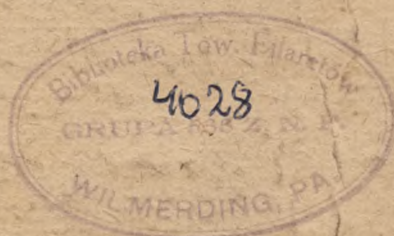
HRABIA SINOBRODY

I STRASZNE LOSY JEGO ŻON

Romans na tle prawdziwych zdarzeń



WYDAŁ A. A. PARYSKI
TOLEDO, OHIO.





Hrabia Sinobrody





HRABIA
SINOBRODY

I STRASZNE LOSY JEGO ŻON.

Romans na tle prawdziwych zdarzeń, napisał
Reinhold Winter, komisarz kryminalny.



A. A. PARYSKI,
Toledo, Ohio.
1915

Hrabia Sinobrody i straszne losy jego żon.

Romans Napisał Reinhold Winter.

I.

Ostatnie chwile skazanej.

— Na śmierć mnie skazali! Za godzinę umrzeć mam z ręki kata. O wszechwiedzący Boże! Ty znasz mą niewinność. Ty wiesz, że nie mordowałam. O, ratuj mnie, Miłosierny Ojcze nasz w niebie!

Tak modli się na klęczkach młoda kobieta w ponurej celi więzennej. Smukła jej postać odziana jest w ciemną suknię a wisząca na suficie latarnia rzuca jaskrawe światło na jej bladą, zapłakaną twarz.

Błagalnie wyciąga ramiona w ciężkie okute kajdany, załamuje ręce w swej ogromnej boleści, a ze strapionej duszy jej płyną słowa modlitwy gorącej, gwałtownej, rozpaczy pełnej. Straszna trwoga szarpie jej duszę, niewymowna trwoga przed śmiercią...

Umrzeć ma w kwiecie życia. Jeszcze tylko godzina, a wyprowadzą ją z tej celi na stracenie. A przecież jej sumienie czyste, dusza jej nic nie wie o tej strasznej zbrodni, wołającej o pomstę do nieba, o którą ją oskarżają.

— O wielki Boże, zmiłuj się nademną, nie opuszczaj mnie... nie opuszczaj mnie —szepcą błagalnie jej usta.

Cicho! ktoś się zbliża... kroki.. Ponury zgrzyt i otwarły się drzwi. Straszna ją trwoga ogarnia, zrywa się, z piersi jej wydobywa się jęk rozpaczliwy, stłumiony. Czy to już kat po nią przyszedł? Młoda kobieta drży tak, że kajdany jej brzęczą.

Nie, to jeszcze nie straszny kat. Młoda dziewczyna staje na progu, zwolna, jakby uciec stąd chciała z tego miejsca trwogi. Twarz jej blada, zapłakana. Za rękę prowadzi czteroletniego chłopca, blondyna, pięknego jak malowanie. Jak by senna wpatruje się w niego skazana. To jej dziecko przyszło ze swą wychowawczynią, aby pożegnać matkę. A za nimi wsuwa się wysoka postać mężczyzny, o twarzy szlachetnej, okolonej ciemną brodą. Smutne jego oczy żałośnie patrzą na nieszczęśliwą.

I jęk straszliwej boleści wydobywa się z jej piersi. Rzuca się na chłopca i pada przed nim na kolana.

— Walter! — moje dziecko! — O Boże! — Słodycze moje, jedyne moje, kochane dziecię! — płacze nieszczęśliwa, wśród radości i bezgranicznego bólu. I przyciska chłopca do swego serca i całuje go gwałtownie drżącemi usty, a gorące jej łzy spadają na płową główkę dziecięcia, które pieszczotliwie tuli się do matki.

— O dobra, kochana mamuś — prosi wśród łez mały Walter, bojaźliwie obejmując rączkami szyję matki. Proszę pięknie, wróć ze mną do domu Walter już zawsze grzecznym będzie — dodaje błagalnie — Co wieczora modliłem się do Bozi, by moja mamusia wróciła, a kiedy się zbudziłem, ciebie nie było. Czemu ty nie wracasz, moja mamuś kochana!

Nieszczęśliwej matce krwawi się serce w szalonym bólu. Pożegnanie to jest dla niej męczarnią, a jej biedne dziecko o niczem nie wie, nie domyśla się, że matkę na zawsze straci. Wśród łez i pocałunków prosi: Wróć do mnie mamuś, wróć!

— Boże, mój Boże, zmiłuj się nademną — jęczy nieszczęśliwa. Mamże dziecko opuścić, jedyne szczęście jakie na ziemi mam? Zlituj się, wszechmocny Boże; pomóż mi, Ojcze niebieski. Ocal

Szalony ból wyrywa jej z piersi okrzyk zgrozy. Co za straszna to męczarnia matki. Łkanie jej gorące, namiętne, beznadziejne. Mężczyźnie, który stoi opodal, oparty o ścianę celi więziennej, krwawi się serce. Drży na całem ciele, oczy pełne łez, litościwie patrzą na skazaną, a z piersi jego stłumione dobywają się westchnienia.

— Marto! — szepce biedna, a głos jej zamiera. — Marto! — powtarza i zbliża się do wychowawczyni. Wiem ja jak kochasz małego Waltera. O, nie opuszczaj go, czuwaj nad mem dzieckiem, kiedy mnie nie stanie.

— Moja kochana, biedna pani — woła dziewczyna drżącemi usty i łkając głośno, całuje ręce nieszczęśliwej. Czy nie ma ratunku, żadnej nadziei? Więc niema litości u Boga? Pani umrze — nie winna?

Głos jej zamiera w śród łez; wzrok jej szuka za ratunkiem i zwraca się ku mężczyźnie, który teraz szybko się zbliża.

— Agato, i ja nie opuszczę dziecka pani — rzecze drżącym głosem.

— Hrabio, pan tu? Pan przyszedł do mnie, do skazanej na śmierć z ręki kata — pyta zdziwona Agata.

— Agato, zwątpiłaś już pani? Przypuszczałaś, że ja nie przyjdę, twój najserdeczniejszy przyjaciel? choćby świat cały cię potępił, ja wierzę w niewinność pani — rzekł hrabia drżąco. I skwapliwie, gwałtownem porwany uczuciem tak szepce — gdybyś pani wiedziała, jak nad losem twoim boleję. Zagadką dla mnie jest i nadal, jak to pozornie wszystko przeciw tobie świadczy, Znaleziono u pani truciznę, z której umarł mąż twój. Ponadto miałaś pani schadzkę z obcym mężczyzną, na której cię mąż przełapał. Stąd twierdzenie: z obawy, by niewierną żonę mąż nie napędził, popełniłaś ów straszny mord. Dwóch świadków oskarżyło cię: Jakób, siostrzeniec męża i Walerya, przyjaciółka pani i krewna.

— Jakób i Walerya fałszywie mnie oskarżyli. Dlaczego, nie wiem. Nie wiem również, kto jest mordercą mego męża biednego. Za czyn, którego nie popełniłam, mam życie oddać, hrabio. Nie ma dla mnie ratunku! Znikąd pomocy! U ciebie, hrabio, też jej nie znajdę, co mówiąc, zsunęła się do jego kolan.

Z oczu jej wyzierał strach, strach przed śmiercią, która nielitościwie czyhała na życie jej młode Trzymając na ręku płaczące dziecię, patrzała Agata błagalnie na hrabiego.

On ujął jej drżące ręce. Ból straszny nim miotał. Nie, nie mógł jej pomódz. I w poczuciu swej niemocy, na widok bólu i rozpaczy Agaty, gorąco zapłakał.

Gdyby Agata mogła wglądnąć w jego serce, dowiedziałaby się, jak on ją gwałtownie, namiętnie kocha; tem namiętniej, bo dotychczas milczał o swojej miłości. Agata nic o tem nie wiedziała; widziała w nim tylko wiernego przyjaciela, i od niego pomocy się spodziewała aż do ostatniej chwili. Bo hrabia Edmund von Linderhof możnym był szlachcicem i potężnym. A przecież zabiegi jego spełzły na niczem.

Nie miał hrabia łaski u księcia. Podanie jego o ułaskawienie Agaty odrzucono. Książę przekonanym był o winie A-

gaty. Mąż jej, baron Rambow, był szambelanem w służbie księcia, który go nad zwyczaj cenił. Dlatego to serce księcia nie znało litości dla Agaty.

O tem właśnie myślał hrabia Linderhof. Wiedział, że nieszczęśliwa śmierci nie uniknie, a przecież starał się ją pocieszyć.

— Nie rozpaczaj pani, Agato, nie umrzesz niewinnie tą śmiercią sromotną.... Bóg cud zdziała!

Wpatrzyła się weń jakby senna i beznadziejnie smutno ruszyła głową.

— Hrabio — błagała łkając. — Nie opuszczaj mego biednego, nieszczęśliwego dziecka. Ostatnia to moja prośba. Bądź sierocie opiekunem i obrońcą.

— Agato! przysięgam pani że to uczynię. O jedno tylko jeszcze spytam. Powiedz mi, kto jest ów nieznajomy, z którym na krótki czas przed śmiercią męża swego miałaś schadzkę Odmówiłaś pani wszelkiego wyjaśnienia co do niego, nie dziw, że złośliwi oszczercy uczynili tego nieznajomego właśnie kochankiem pani. — Czy i mnie pani tajemnicy nie zdradzi, mnie, przyjacielowi najwierniejszemu, teraz, w tej godzinie może ostatniej?

Agata westchnęła. — Nie mogę, nie mogę — rzekła. — Jedno ci tylko zdradzę: Nieznajomym nie był mężczyzna to była kobieta.

— Co? — Kobieta? Kobieta — pytał hrabia, jakby nieprzytomny.

Zdziwienie i niewiara malowały się na jego twarzy, Chciał dalej pytać o bliższe szczegóły. Wtem Agata wydała okrzyk straszny i konwulsyjnie objęła małego Waltera, trzęsąc się jakby w febrze. Drzwi się otwarły, zjawili się urzędnicy sądowi, by nieszczęśliwą ofiarę poprowadzić na śmierć.

Edmund pochylił się i szepnął Agacie kilka słów poczem zerwał się i opuścił spiesznie więzienie, Agata zaś nieprzytomnie za nim patrzała.

Słów jego nie zrozumiała; lecz teraz, kiedy nadeszła straszna chwila, pojęła że umrzeć musi, że ją chcą oderwać od dziecka. I jakby szalona, w śmiertelnej trwodze krzyczała — Litości, zmiłowania! Nie zabijajcie! Na Boga, nie zabijajcie mi dziecka!

Ten krzyk zgrozy biednej, nieszczęśliwej matki wzruszył nawet serca tych twardych zresztą ludzi i niejeden zapłakał na widok wstrząsającej sceny. Nikt nie miał odwagi gwałtem oderwać matkę od dziecka. Wtem wystąpił ksiądz, poważny starzec i przemówił do niej łagodnemi słowy. Nie słuchała go Agata, Coraz silniej przyciskała do serca płaczące swe dziecię i łkając modliła się:

— O Boże, wszechpotężny Ojcze niebieski! Czy zezwolisz by biedną, nieszczęśliwą matkę oderwali od dziecka. Walter, moja, droga pieszczotko. Wnet matki nie będzie. Gdybym cię ze sobą mogła, ach, tam do nieba, — do twego ojca.

Omdlała i upadła w ramiona księdza. Dozorca więzienny zabrał małego Waltera, który bojaźliwie tulił się do matki i rozkazał zrozpaczonej i płaczącej wychowawczyni, by się z dzieckiem oddaliła.

— Mamuś! ja chcę do mojej mamusi — wołał mały Walter. Ale wychowawczyni wzięła go na ręce i chwiejnym krokiem, głośno zawodząc, opuściła więzienie.

Hrabia Edmund von Linderhof udał się był na dziedziniec więzienia, gdzie roboty około rusztowania już były na ukończeniu. Nieliczne latarnie nie rozprószyły jeszcze zupełnie ciemności wczesnego poranku listopadowego. Hrabia zbliżył się do grupy ludzi pracujących około rusztowania. Był między ni-

mi kat, stary o siwej brodzie i siwych włosach, jego pomocnicy i lekarz sądowy, doktor Kloc.

— Panie, rzekł Edmund do kata, cicho drżącym głosem. Czy wszystko dokładnie przygotowane? Czy się też uda?

— Naturalnie, panie hrabio — rzekł kat, również cicho.

— Byłoby rzeczą straszną, gdyby jeszcze, mówił wzburzony hrabia, gdyby jeszcze w ostatniej chwili..... Urwał...... Pan mnie przecież rozumie.... I zwrócił się do doktora Kloca, z którym kilka chwil mówił.

Wśród tłumu wyczekującego na podwórzu powstał ruch. Zjawił się prokurator i kilku panów ze sądu a za chwilę odezwał się płaczliwym tonem dzwonek grzeszników, skazanych na śmierć. Cofnął się hrabia Edmund w róg podwórza, gdzie była furtka.

— Wielki Boże — zawołał. — Ocal ją. Ocal ją dla mnie! Bez niej nie mogę żyć.

Wypadł gwałtownie furtką, w chwili, gdy zbliżał się orszak prowadzący skazaną.

Wsparta na ramiona księdza, kroczyła nieszczęśliwa Agata ku rusztowaniu. Na jej bladej twarzy było coś nadziemskiego, coś z tamtego świata; wyglądała jak męczennica i nie było nikogo, ktoby jej nie żałował. Prokurator odczytał jej wyrok śmierci, podpisany przez księcia, poczem zdjęto jej kajdany i zaniesiono raczej niż zaprowadzono na stopnie rusztowania.

Już stała u góry.

Zwrok jej pełen trwogi jeszcze raz przebiegł wyczekujący tłum, jakby szukając na zbawcą w tej strasznej chwili. Próżna jednak nadzieja.

— Przysięgam na wszechwiedzącego Boga, że niewinnie umieram, zawołała głośno i uklękła, złożywszy głowę na pniu.

Kat ujął za topór. Cisza grobowa. Zda się, że każdy oddech wstrzymuje, w obliczu tego strasznego aktu, co się tu spełnić ma.

Topór zaświstał w powietrzu i — wszyscy struchleli — spadł, głuchem uderzeniem.

Wtem stało się coś nadzwyczajnego. Już nadbiegli pomocnicy kata, by ująć skazaną, klęczącą jeszcze ciągle koło pnia i w tem samem położeniu, gdy nagle prokurator podniósł rękę i zawołał donośnym głosem:

— Stójcie!

II.

Tajemnica morderczyni.

W oddaleniu godziny drogi od rezydencyi, leży posiadłość nieszczęśliwej Agaty, zamek Heiligensee wśród ogromnego parku. W wspaniale urządzonym salonie tego zamku stała u okna wczesnym rankiem wysmukła kobieta i w oczekiwaniu wyglądała na aleję prowadzącą z zamku na drogę. Drzewa z liści ogołocone spozierały ponuro w mgłę, która jakby zasłoną okryła wioskę całą.

— Gdzie się też on podział? — mówiła niecierpliwie. Przecież już wszystko skończone. Stracenie odbyło się o godzinie szóstej. Gdybyś ty wiedział Edmundzie, jak ja ciebie kocham, szeptały namiętnie jej usta. Ja chcę i muszę cię zdobyć, nie ma już tej, która mi w drodze stała. Ha, ha! zaśmiała się demonicznie. Na rusztowaniu zginęła ta świętoszka, kochana Agata. I to ja, ja jej tę przysługę wyświadczyłam.

Odstąpiła od okna i spoglądnęła w lustro. Tak, była to piękność skończona, kobieta, jakby stworzona dla uciech miłosnych.

Z twarzy o liniach regularnych, jakby rzeźbionych, wyzierała para ciemnych oczu o nadzwyczajnym ogniu, główka gubiła się prawie w czerwonawo-blond włosach, których złotawy blask tworzył wspaniały kontrast z cerą olśniewająco białą. Z głęboko wyciętej sukni z czerwonego aksamitu, jaśniały biodra i piersi, jakby z alabastru.

Tą cudowną kobietą o ciele i twarzy Afrodyty, była Walerya, owa krewna biednej Agaty, która ją oskarżyła o zamordowanie męża. Baron Rambow, mąż Agaty, przyjął był niegdyś z litości do swego domu Waleryę, która za otrzymane dobrodziejstwa odwdzięczyła się w podły sposób. Zazdrościła Agacie szczęścia, umiała jednak taić uczucia swe prawdziwe i udawała pokorę i miłość.

Walerya wróciła do okna. Serce jej biło niecierpliwie, oczekiwała hrabiego Edmunda von Linderhof. On musi przecież przyjść z małym Walterem, który pożegnał nieszczęśliwą matkę.

— Moim on będzie, szepce Walerya namiętnie. Jego żoną zostanę. To było moim celem i cel swój osiągnę.

Wtem otwierają się drzwi cicho, i dziwna postać wchodzi do salonu. Młody człowiek, olbrzymio wysoki i nadzwyczaj szczupły. Jego ręce cienkie jak pajęczyna sięgają prawie do kolan, olbrzymią głowę pokrywają nieliczne białawe włosy. Twarz blada, o brzydkich rysach; oczy o kolorze wodnisto-niebieskim spoglądają na wszystkie strony, a około szerokich ust, pozbawionych zarostu, drga złośliwy, szyderczy uśmiech. Dziwna ta postać, przyodziana w czarne ubranie, to Jakób, siostrzeniec barona Rambowa. On i Walerya rządzą w zamku po śmierci Rambowa.

Na widok cudownej kobiety, błysnęła na twarzy jego niezwykła żądza. Zbliża się ku niej, chwyta jej rękę i namiętnie całuje.

— Piękna Walerya tak wcześnie wstała? — mówi nosowym głosem. — Hrabia jeszcze nie wrócił?

—Nie — rzekła krótko Walerya i wyrwała mu swą rękę.

—Hm! Chyba nic złego się nie stało? Książe nie ułaskawił przecie skazanej w ostatniej chwili? To straszny byłby cios. Bo wtedy wyszłaby może na jaw niewinność Agaty, no i odkrytoby prawdziwą morderczynię.

Na odgłos tych słów, szyderczym tonem powiedzianych, zadrżała piękna kobieta.

— Tak, Waleryo, mówił dalej Jakób, i patrzał namiętnie w jej oczy. — Wiem ja dobrze, że pani jest morderczynią mego wuja. Nie mówiłem dotychczas, żem panią tajemnie śledził, kiedy wykonywałaś swój czyn. Zgodziłem się na plan pani, winę zwaliłem na Agatę, zeznałem w sądzie rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Wszystko dla pani, uwielbiana Waleryo, by zyskać twoje względy.

Waleryę ogarnęła trwoga; więc jest ktoś, co wie o jej zbrodni. Więc musi się obawiać zdrady? A znała potworny charakter tego nędznika, odgadła jego zamiar i mimowoli cofnęła się.

Złamana, drżąc na całem ciele, opadła na krzesło i załamała ręce; a trwoga i bezwładna wściekłość wykrzywiły jej piękną twarz. Zniszczone jej dumne, daleko sięgające plany.

Jak tryumfator zbliżył się Jakób i nachylił się nad nią.

— Właściwie, wdzięczny ci jestem Waleryo, żeś wuja mego zgładziła, mówił Jakób, z cynicznym uśmiechem na ustach. A oskarżenie Agaty, to mistrzowski wymysł, ale nie pojmuję dlaczego wybrałaś właśnie wuja.

— Inny miałam plan — jęczała Walerya. — Nie on miał umrzeć, lecz Agata. Nieszczęście plan mój zniweczyło. Przy kolacyi rzuciłam w wino Agaty szybko działającą truciznę. Wtem wszedł jej mąż, siadaliśmy właśnie do stołu. On wziął szklankę Agaty i wychylił ją jednym tchem. Struchlałam. Niedługo trucizna zaczęła działać. Co dalej się stało, o tem pan wie. Tej samej nocy umarł wuj pana, a ja wpadłam na myśl, winę zwalić na Agatę. Zeznałam lekarzowi, iż widziałam, jak Agata truciznę w wino wmieszała i wino to mężowi podsunęła. Flaszeczkę z resztą trucizny wsunęłam do kieszeni Agaty i znaleziono u niej truciznę, oczywisty dowód jej winy.

— Aha! tak jest, potwierdzał Jakób. A ja zrobiłem swoje, by wina jej była jasną jak słońce. Podejrzenie przeciw Agacie zyskało na ważności dzięki tej okoliczności, że tego samego wieczora przyłapał ją mąż na schadzce z kochankiem. Nie pojmuję tylko, że wuj mój sprawę tę tak lekceważył jakby się nic nadzwyczajnego nie stało.

Chwilę milczał. Walerya patrzyła nań wzrokiem pełnym nienawiści.

— Teraz jednak, — począł Jakób znowu, pochłaniając oczyma bujną postać kobiety — teraz chcę nagrody za mój trud. — Oczy jego wyrażały ogromną namiętność. Dotychczas milczałem. W spółce z tobą zgubiłem niewinną Agatę, bo kocham ciebie, Waleryo. Teraz musisz mię wysłuchać. Moją będziesz, chcę cię posiąść, żoną moją zostać musisz — wykrztusił głosem, dławionym namiętnością i żądzą ohydną.

Z obrzydzeniem odepchnęła go Walerya, wołając w nienawiści i gniewie:

— Nigdy nędzniku! Oszalałeś?! Ja miałabym zostać twoją żoną? Żoną Jakóba? — szydziła.

— Musisz, zasyczał Jakób, i zbliżył się do niej groźnie, a oczy jego błyszczały ponuro. A jeżeli się będziesz opierać, biada ci! Wystąpię jako twój oskarżyciel, wydam morderczynię Rambowa. Zginiesz wtedy z ręki kata, jak dzisiaj zginęła niewinna Agata! Zgadzasz się na to, Waleryo? Chcesz bym był twoim wrogiem? Chcesz, zginiesz, Waleryo! Skoro hrabia wróci, wszystko mu zdradzę, a dowiesz się wtedy, że mam w ręku niezbite dowody twej winy.

— Waleryo moja, począł za chwilę łagodniej. Miejże rozum, zostań moją! Czy nie wiesz, jak ja szalenie cię kocham, boska kobieto?! Spełnię każde twe życzenie, niewolnikiem twym będę. Tylko oddaj mi swe serce, kochaj mnie, jak ja cię kocham. Będzie z nas szczęśliwa para, rozpoczniemy życie cudowne, bo posiadłości te teraz do mnie należą. Ja tu panem tego zamku i wszystkich niezmiernych bogactw mego wuja.

—Ty tu panem- zaśmiała się szyderczo Walerya. Na wszystko zdecydowana, zerwała się z krzesła mierząc Jakóba pogardliwym wzrokiem. — Zapominasz, mój kochany, że wuj twój pozostawił syna, małego Waltera. Dziecko to jest jego spadkobiercem, nie ty. Ty jesteś chudopachołkiem i zostaniesz nim do śmierci. Chudzino ty; zależny zawsze od wuja swego, biedaku.

Patrzała na niego wyzywająco.

— Gdyby te wszystkie wielkie bogactwa rzeczywiście twojemi były, gdyby życie z tobą naprawdę tak pięknem było, jak je malujesz, natenczas kto wie? Możebym się zdecydowała zostać twoją żoną.

— Dziecko! zawołał wzburzony Jakób. Usunąć je muszę! Nędzne dziecko przeszkodą mi jest w osiągnięciu mych najgorętszych celów. Myślałem o tem już dawno. — Nic mnie nie odstrasza, co mi ciebie zapewni. Dla ciebie wszystko uczynię. Dziecko musi zniknąć bez śladu!

Kiwnęła potakująco na znak zgody. Potworny plan miał Jakób wykonać.

Jakób nie był więcej panem siebie. Padł na kolana, przed piękną kobietą i nim Walerya mogła przeszkodzić objął ją swemi długiemi, chudemi ramionami.

— Waleryo, wołał namiętnie i ściskał ją gwałtownie, Waleryo, zostań moją. Wszystko dla ciebie uczynię, by cię zdobyć. Żadnej zbrodni się nie boję, rozkaż, a zrobię co chcesz.

Krew w nim wrzała.

Próżno usiłowała Walerya odtrącić szalonego, bała się go, lecz on jeszcze silniej ją ściskał.

Już chciała wołać o pomoc, gdy nagle drzwi się otwarły. Właśnie udało się też Waleryi uwolnić z objęć Jakóba. Na progu staną służący i oznajmił:

— Pan hrabia von Linderhof!

W tej chwili wszedł Edmund, za nim Walter mały z wychowawczynią.

Dziecię łkało głośno, chciało do matki, od której je w więzieniu gwałtem oderwano.

Próżno starała się wychowawczyni uspokoić biednego chłopca, jej samej spływały łzy gorące z żalu za dobrą swą panią.

Ponuro i poważnie przystąpił Edmund do Waleryi, która ocknąwszy się szybko po gwałtownej scenie z Jakóbem, podała mu rękę z zalotnym uśmiechem i spytała.

— Czy już wszystko skończone panie hrabio?

— Nie byłem świadkiem samego stracenia — rzekł głucho. Skoro Walter pożegnał się z matką, opuściłem z nim więzienie.

— Więc umarła nieszczęśliwa! wyszeptała Walerya, starając zataić swą radość fałszywemi łzami. Jak strasznie za zbrodnię swą zapłaciła. Niech jej Bóg miłościw będzie.

Na twarzy hrabiego osiadł ponury cień, a oczy jego miały wyraz niechętny, podejrzliwy. Dopiero teraz spostrzegł Jakóba, który z trudem potrafił poskromić swą wściekłość wskutek przybycia hrabiego w tej chwili. Pozdrowili się przelotnie, poczem wziął małego Waltera za rękę i poprowadził go ku Waleryi. Na widok jej, dziecię cofnęło się bojaźliwie.

— Panno Waleryo — rzekł hrabia drżącym głosem, — biedne to dziecko jest sierotą. Proszę panią usilnie, bądź mu matką.

— Panie hrabio, drogi mój przyjacielu — zawołała obłudnica pozornie głęboko wzruszona. — Nie trzeba twej prośy. Tak, spróbuję być matką biednemu Walterowi. Oddam mu się całem sercem i jestem przekonaną — dodała, patrząc z ukosa na Jakóba — że i siostrzeniec ś. p. barona nie opuści jego syna.

Jakób prędko potakując kiwnął głową.

Na skinienie hrabiego Edmunda oddaliła się wychowawczyni z Walterem a wtedy i Jakób opuścił salon, rzucając na Waleryę namiętne spojrzenie.

Waleryi było to bardzo na rękę, że została sama z hrabią Edmundem. Prędko otarła łzy i z westchnieniem opadła na krzesło.

— Wszelkie więc usiłowania pana, by nieszczęśliwą ocalić, spełzły na niczem —rzekła w tonie bolesnej litości. — Mój przyjacielu, wiem ja dobrze, jak boleśnie ciebie właśnie dotyka tragiczny los Agaty, nie wierzyłeś nigdy w jej winę.

— I teraz jeszcze mam to przekonanie, że Agata niewinna jest śmierci męża — rzekł hrabia, akcentując dobitnie każde słowo. — I jeszcze raz spytać cię muszę, czy bierzesz to pani na swoje sumienie i potrafisz usprawiedliwić przed Bogiem, że nieszczęśliwa została skazaną na śmierć tylko na podstawie twoich zeznań?

Postąpił ku niej i skierował na nią swój wzrok ponury, przenikliwy. Ale Walerya podniosła ku niemu swobodnie swe wielkie, ogniste oczy.

— Panie hrabio, rzekła głosem stłumionym łkaniem. Bóg jeden wie, ile wycierpiałam, zanim wystąpiłam z oskarżeniem. Lecz cóż miałam robić? Czyż mogłam przysiądz fałszywie, by winną ocalić?

— A przecież Agata do ostatniej chwili zapewniała o swej niewinności. Tak, pani, rzekł silnie i groźnie, twierdziła nawet, że to pani i baron Jakób oskarżyliście ją fałszywie, z nienawiści.

Trupio blada z ogromnego przestrachu, wpatrywała się w niego Walerya. Szalona ogarnęła ją trwoga i nie mogła słowa wykrztusić. Czy hrabia Edmund domyśla się prawdy? Biada jej.

— Co? — zawołała nareszcie z udanem oburzeniem, wargi jej drżały, a pełna pierś silnie falowała. Więc jeszcze w obliczu śmierci Agata nie mówiła prawdy? A pan, panie hrabio, daje wiarę jej oskarżeniom. Słowa pana bardzo mnie bolą.

Hrabia wzruszył ramionami zdziwiony i przestraszony jej wzburzeniem i namiętnością. Walerya położyła rękę na jego ramieniu i w tonie przysięgi rzekła drżącym bolesnym głosem:

— Przysięgam na wszechmocnego Boga: Agata winna była śmierci! Była świętoszką obłudnicą. Męża swego oszukiwała i zdradzała w haniebny sposób. Nie jeden raz przełapałam ją na schadzkach z kochankiem. Milczałam, wiedząc, że zdrada Agaty, przyprawi jej męża o śmierć. A kiedy zbrodniczą parę mąż przełapał, musiał umrzeć.

Wyczerpana jakby z żalu i bólu, schyliła głowę. Hrabiemu zdawało się, że ziemia zapada się pod jego stopami, szukał za oparciem i ręką oparł się o krzesło. W głowie mu się mąciło. Co o tem wszystkiem myśleć, w co uwierzyć? A Walerya, wiedząc o tem, że zadrasnęła uczucia hrabiego, mówiła obłudnie dalej:

— Wiem, kochany przyjacielu, jakie uczucia żywiłeś tajemnie dla Agaty. Lecz teraz pozna pan nareszcie swoje zaślepienie, potępisz niegodną, którą dotychczas uważałeś za świętą.

— Wszechmocny Boże! szeptał hrabia drżąco w rozpaczy. Nie mogę wierzyć słowom Pani! Agata nie była niewierną żoną, nie, nie! Nie mordowała! Nie uwierzę zapewnieniom Pani. Myli się pani, nienawiść panią zaślepiła. Posłuchaj pani, co mi wyznała Agata w godzinie śmierci: nieszczęśliwa miała ową nieszczęsną schadzkę nie z mężczyzną lecz z kobietą!

— Z kobietą? — Walerya zdumiała. Wnet jednak roześmiała się głośno i szyderczo. — I pan w to uwierzyłeś, panie hrabio? Nie, hrabio, oczy mnie nie mylą: to był mężczyzna. Agata starała się o to zawsze, by uchodzić w oczach twoich za świętą. Niewinna męczennica okłamała cię i w godzinie śmierci.

Nagle ton zmieniła.

— Dobrze, hrabio, wierz w niewinność Agaty, czcij jej pamięć. Lecz wiedz, cierpiałam wiele, widząc iż uwielbiasz obłudnicę, a odpychasz serce, które cię kocha ogromną gorącą miłością.

Zamilkła i płomienny rumieniec okrył jej twarz. Nagle porwana szarpiącą ją namiętnością, poczęła szeptać głosem słodkim:

— Potęp mnie, hrabio, gardź mną, że ci miłość swą wyznaję. Musiałam, nie mogłam dłużej. Serce mi pęka, miałażbym dłużej milczeć i cierpieć?

Hrabia stał jak wryty. Milczał, jakby senny patrzał na cudną kobietę, która mu nagle swą miość u jego kolan wyznała. Walerya twarz ukryła w rękach

łkając, jakby się wstydziła swych namiętnych słów.

Podskoczyła nagle i nim hrabia przeszkodzić zdołał, uczuł na ustach swych jej gorący pocałunek.

W tej chwili z za portyery ukazała się wściekła twarz Jakóba. Zdziwiony, spoglądał na nich, nie mogąc pojąć, co się tu stało. Wtedy Walerya uwolniła hrabiego ze swych objęć i wystraszona wybiegła z salonu. Chwilę stał jeszcze hrabia Edmund nieruchomy i ręką potarł czoło.

Kiedy się odwrócił ku wyjściu, Jakóba już nie było. Walerya stała przy oknie w sąsiednim pokoju i patrzała za odjeżdżającym powozem hrabiego. Oczy jej radośnie błyszczały.

— Udało się, pierwszy atak, udał się. Jeszcze jeden ostatni atak, a zwyciężyłam i hrabia moim będzie.

Wszedł służący i na srebrnej tacy oddał jej list, ozdobiony koroną hrabiowską w złocie. Walerya gwałtownie rozdarła kopertę i szybko przebiegła oczyma treść listu.

— Ach! od hrabiego Haralda, zawołała uradowana. To się dobrze składa Wrócił ze swoją młodą małżonką z podróży poślubnej. Dzisiaj jeszcze będzie u mnie — i —

Zamilka, wystraszona. Gdy się odwróciła, stał Jakób za nią, a twarz miał groźny wyraz.

Prędko za stół uciekła.

— Czego pan znowu chcesz? zawołał w gniewie.

— Widziałam cię przed chwilą z hrabią Linderhofem — wykrztusił. Strzeż się, Waleryo. Moją jesteś, nie myśl że ustąpię miejsce hrabiemu.

— No, tak. I cóż z tego? syknęła Walerya.

Na dywanie spostrzegł kopertę, którą Walerya rzuciła. Podniósł ją i przyglądał się jej dokładnie.

— Czy to list od hrabiego Haralda von Wildenfels, zwanego Sinobrodym spytał podejrzliwie, z dziwnym grymasem na ustach.

— No, tak. I cóż z tego? syknęła Walerya w bezsilnej wściekłości.

—Znasz zatem i jego tajemnicę, spytał. Co?

Ton jego słów był poważny. Walerya zbladła.

— O jakiej tajemnicy mówisz?

— Nie wiesz? Opowiedzieć ci? A ja jestem przekonany, że znasz tajemnicę Sinobrodego, również dobrze, jak ja. Ośm lat temu pojechał hrabia Wildenfels ze swoim służącym Robertem do Afryki. Po 5-letniej nieobecności wrócił hrabia, sam i głosił, że służący został zamordowany przez dzikich. Ja jednak mam pewniejsze informacye. Nie hrabia lecz służący jego wrócił z Afryki i od tego czasu udaje pana na zamku Wildenfels. O tem oszustwie dotychczas nikt nie wie, bo nikt nie zna tu prawdziwego hrabiego. Zawsze przebywał za granicą, a ostatnim razem był na zamku swoim przed 10 lub 12 laty. — No cóż, piękna moja Waleryo, informacye moje dokładne? dodał szyderczo.

Walerya oniemiała, a na twarzy jej malowała się bezgraniczna trwoga, nienawiść i wściekłość.

Złośliwie roześmiał się Jakób i wyszedł z pokoju. Walerya upadła na krzesło, zrozpaczona, drżąca.

— Boże, mój Boże! Skąd nędznik ten zna naszą tajemnicę? Obawa jej stawała się coraz większą. — Ach, wie on może też, że Robert Sinobrody jest moim bratem! Boże, jestem zgubioną!

III.

Hrabia Sinobrody.

— Jesteśmy więc na naszym zamku Wildenfels, ukochana moja.

Słowa te wyrzekł hrabia Harald Wildenfels, przycisnął do serca młodą swą żonę Gertrudę i piękną jej twarzyczkę okrywał pocałunkami. Jak wystraszone ptaszę spoczęła jej delikatna niebiańska postać na piersi silnego mężczyzny, który ją o całą głowę przewyższał. Twarz, jakoteż cała postać hrabiego miały w sobie coś odstraszającego. Oczy czarne, wzrok ponury, przenikliwy, mdłe rysy, a przedewszystkiem krótko strzyżona czarna broda, o niebieskawym odcieniu, odstręczały każdego od hrabiego.

Nie był też zwyczajnie tak wesołym, jak to dzisiaj udawał, a pieszczoty jego nie były serdeczne. Nie czystą, świętą miłość wyrażały jego oczy, lecz zmysłowość wyuzdaną. Czuła to piękna, młoda kobieta i zręcznym ruchem uwolniła się z jego objęć. A kiedy hrabia, śmiejąc się rubasznie, chciał ją znowu objąć, odtrąciła go stanowczo. Blada, drżąca, w bezgranicznej trwodze stała przed nim.

— Kochany Haraldzie, szeptałą wśród łez cisnących się jej do oczu. Chcę coś powiedzieć, coś, co mnie dręczy i spokoju mi nie daje. W tę pierwszą noc, którą w zamku spędziłam, miałam straszny sen. Śniłam ... że ja nie pierwszą żoną twoją ... żeś miał już kilka żon i żeś je zgładził jak ów rycerz Sinobrody z bajki.

Hrabia zbladł i drgnął. Potem zaśmiał się nieszczerze i rzekł:

— Dzieckiem jesteś! Bezmyślny sen tak cię wzruszył. Sen — mara, Bóg — wiara!

—A przecież nazywają cię hrabią Sinobrodym, mówiła młoda kobieta, nie dając się zbić z tropu.

Hrabia drgnął silniej, ocknął się jednak w tej samej chwili i zaśmiał się szyderczo:

— Kochana Gertrudo, co też ty wygadujesz? Przysięgam, że nigdy przed tobą nie kochałem i nigdy żony nie miałem. Proszę, wybij sobie to z głowy to głupie urojenie.

Głos jego był groźnym, wyraz twarzy ponury, ostry. Gertruda odczuwała coraz większy strach. Męża coraz bardziej się bała, a jego słowa i pieszczoty miłosne nie mogły rozprószyć jej smutnych myśli. Nerwowy niepokój udzielał się zwolna i hrabiemu. Oświadczył w końcu, że się przejedzie konno odwiedzić sąsiadów.

Śpiesznie opuścił zamek w towarzystwie swego służącego, Piotra. Gertruda stała przy oknie i patrzała za mężem. Smutne myśli dręczyły ją. Nie mogła zapomnieć strasznego snu.

Wtem usłyszała w hali kroki, a wychyliwszy się przez poręcz schodów spostrzegła starą panią w białym czepku, w staromodnym stroju. Była to stara Krystyna, klucznica zamku Wildenfels. Równocześnie wszedł przez portał stary mężczyzna; białe jego włosy okrywał czarny kapturek z aksamitu, a cienka postać jego otuloną była w szlafrok, łatany w wielu miejscach. To Tomasz, kasztelan zamku. Znała go od wczoraj młoda hrabina.

Starzy pozdrowili się; nie spostrzegli hrabiny opartej o poręcz schodów i sądząc, że ich nikt nie słyszy, poczęli głośną bardzo rozmowę, bo mieli słuch przytępiony. Gertruda nie chciała ich rozmowy, chciała wrócić do swego pokoju. Wtem usłyszała słowo "Sinobrody". Starzy mówili o jej mężu i o niej. Tchu jej brakło; słuchała uważnie.

— Biedna kobieta — mówiła smutnie Krystyna. — Piękną jest jak anioł. Oj, nie taka ona, jak dumna Józefa i wszykie inne. Co się też z nią stanie! I ona zniknie bez śladu, w sposób tajemniczy, jak inne.

— Cicho — ostrzegał kasztelan. — Krystyno, nie gadajcie bredni. Gdyby to hrabia usłyszał! Niech Bóg broni! To wszystko oszczerstwo, wymysły złych ludzi.

— Nie, ojcze Tomaszu, widziałam ja to na własne oczy. Gadać nie będę, broń Boże. Ale wierzajcie, w tem coś jest, że pana naszego nazywają Sinobrodym.

— A co wy wiecie, Krystyno? Co tam wasze oczy widziały — badał ciekawie kasztelan.

— Przypominacie sobie, ojcze Tomaszu, kiedy to pan nasz wrócił z tamtą, z tą dumną brunetką. Niby krewna pana. To pół roku jeszcze nie minęło. Nie zapomnę ja tego dnia. Tak samo pieścił dumną Józefę i nazywał ją swą żonusią, jak dzisiaj to czynił z tem niewinnem, lubem stworzeniem. Tak, tak, Tomaszu, tamta także była jego żoną. Ośm dni później znikła w moich oczach prawie.

— E brednie gadacie.

— Poszła tam, do starej strasznej wieży. Widziałam ją. A pan nasz zakazał jej chodzić tam, z powodu złych duchów, które tam harce wyprawiają. Widziałam jak biedaczka weszła do wieży i więcej stamtąd nie wróciła.

Tyle słyszała wzburzona Gertruda. Starzy oddalili się. I znowu straszna trwoga ogarnęła nieszczęśliwą i długo nie mógła ruszyć się z miejsca.

— Wielki Boże! Więc to prawda? Więc mój straszny sen staje się rzeczywistością. Jak ta stara Krystyna mówiła: "W tem coś jest, że go nazywają Sinobrodym". "Sinobrody" — powtarzała w strachu a ręce jej drżały, jak we febrze. — Boże mój, jestem w mocy nędznika. A ja nic nie przeczuwałam. — Lecz nie, nie! To być nie może. To nieprawda. To nie może być prawdą. Nie, nie!... A jeżeli tak? Jeżeli stara Krystyna prawdę mówiła?... A mówiła z taką stanowczością o jakiejś Józefie, która także była jego żoną. — Muszę mieć pewność, spytam starą Krystynę.

I drżąc na całem ciele, pospieszyła do mieszkania starej klucznicy. Droga jej prowadziła przez ponury, sklepiony korytarz, potem przez podwórze do bocznego skrzydła zamku. W tem skrzydle, w kącie podwórza, stała owa stara osławiona wieża, o której opowiadała Krystyna. Bo zamek Wildenfels był wogóle stara budowa, jak zamek rycerski ze średnich wieków z wieżami i wieżyczkami, o wysokich salach i ponurych sklepieniach sterczał wysoko na szczycie góry, tuż nad morzem.

Zamek ten wydał się młodej hrabinie, która tu dopiero od wczoraj bawiła, tak strasznym, że chętnie by natychmiast uciekła. W jej ojczyźnie dalekiej poślubił ją hrabia Harald i udali się natychmiast w podróż poślubną. Niedługo go znała, nie kochała go też wcale. Jej ojczym zmusił ją wyjść za hrabiego Wildenfels. a on? On wziął ją chyba tylko dla wielkich bogactw.

Młoda hrabina czuła się nieszczęśliwą, myśl o mężu napełniała ją zgrozą i trwogą. A przecież starała się przekonać siebie, że wszelkie wieści krążące o jej mężu są fałszywe i bez znaczenia.

Znalazła nareszcie starą Krystynę. Stara przestraszyła się na wiadomość, że pani podsłyszała jej rozmowę z kasztelanem. Lecz kiedy Gertruda zażądała stanowczo dalszych wyjaśnień, mówiła stara wśród łez i narzekań.

— Gdyby też pani o niczem nie wie-

działa. Szczęścia to pani nie przyniesie; nie zaznasz więcej spokoju, póki nie odkryjesz strasznej tajemnicy — tak, jak poprzedniczka pani, biedna Józefa. O, pani, posłuchaj mnie, moich przestróg; nie zbliżaj się do starej wieży, pełnej złych duchów. Dumna Józefa śmiała się z moich przestróg, nie usłuchała — a teraz Bóg chyba wie, jaką śmierć straszną tam w wieży znalazła.

Boże miłosierny — więc to prawda?! Więc ja nie jestem pierwszą żoną hrabiego? — pytała Gertruda, przyczem siły ją opuszczały.

— Nie pani, nie pierwszą, ani drugą, lecz — — nie wolno mi więcej mówić. Błagam cię pani, posłuchaj mnie Zaklinam cię, nie badaj więcej, nie idź za przykładem biednej Józefy.

Prośby Gertrudy na nic się nie zdały; stara nic więcej nie powiedziała, nie zdradziła strasznej tajemnicy wieżowej. A może sama nic o niej nie wiedziała, ponadto, że wieża jest zawsze zamkniętą i że klucze ma zawsze sam hrabia.

Gertruda postanowiła tajemnicę zbadać. Udała się do pokoju męża. Przed chwilą zmienił odzież, może zostawił klucze.

Nadzieja ją nie zawiodła. Znalazła w kieszeni trzy wielkie dziwne klucze; nie wątpiła, że to klucze, za któremi szuka. Cała drżąca pospieszyła ku osławionej wieży, nakładając drogi, by jej nikt nie widział. Wnet przybyła na miejsce, odkryła czarne drzwi żelazne, które otworzyła jednym z kluczów. Weszła do hali, na pół ciemnej. Nie wahała się ani na chwilę i drzwi za sobą przymknęła.

Cisza panowała grobowa. Dreszcz uczuła Gertruda, a serce jej biło gwałtownie, trwożnie, lecz nie zatrzymała się, jakby parta wyższą siłą.

Na pół zapadnięte schody prowadziły w górę. — Minęła schody, bo w pewnem oddaleniu zobaczyła drzwi żelazne, a na nich trupią głowę. Co oznacza ten straszny symbol śmierci? Czy za drzwiami temi grób?

Strach Gertrudy wzrastał z każdą chwilą i jakkolwiek drżała na całem ciele, przecież zwyciężyła jej namiętna żądza wykrycia tajemnicy. Drugi klucz otworzył jej drzwi, zobaczyła schody kamienne, pogrążone w grobowej ciemności.

Gertruda przystanęła na chwilę, nim się zdecydowała przestąpić pierwszy stopień. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, drżała gwałtownie, lecz mimo to zwolna wchodziła ze stopnia na stopień. Dookoła niej ciemność. Powietrze stęchłe, jak w grobowcach. Zapaliła małą świeczkę woskową i przy tem świetle zobaczyła wązką przestrzeń, o nagich ścianach. Tuż przed nią były znowu drzwi, które otworzyła trzecim kluczem.

Znalazła się w sklepieniu strasznem, ponurem. Zapach zgnilizny, kamienna podłoga była mokrą i krwią zlana, a tu — pierś jej wydała zdławiony okrzyk zgrozy — tu zobaczyła trzy trumny, oparte o mur, ciosane, bez ozdób. — W każdej trumnie zmarły spoczywa. Byłyby to nieszczęsne żony Sinobrodego?

Trwoga opanowała Gertrudę zupełnie. Jakby do ziemi przykuta, wpatruje się w te trzy trumny. Serce jej bije gwałtownie. W tem — o Boże, co to? Jakiś ton głuchy, jakby jęk żywcem pogrzebanej. Jęk straszny, wstrząsający do szpiku kości. Skąd ten jęk? — Z czyjej piersi?

— Boże miłosierny! zawołała drżąca Gertruda w śmiertelnym strachu. Zmysły ją opuściły i omdlała runęła w ponurem sklepieniu.

IV.

Straszne odkrycie.

— Pan hrabia Harald Wildenfels, zaanonsował służący.

— Proszę zaprowadzić pana hrabiego do mego buduaru, rozkazała Walerya i podniosła się z fotelu, na którym siedziała, by przyjąć gościa.

Kiedy hrabia Sinobrody zdążał za służącym przez korytarze zamku, otwarły się zwolna drzwi i z za portyery ukazała się podstępna twarz Jakóba. Nic nie przeczuwając, minął go hrabia, nie spostrzegł szpiega, który go badał błyszczącemi oczyma.

— Tak, to on! Nie pomyliłem się, szeptał Jakób i zatarł z radości ręce.

— Tak, to Robert. Znam go dobrze. cudowne odkrycie. Teraz mam ich w ręku.

Cicho pośpieszył za hrabią. Widział, jak hrabia wszedł do buduaru Waleryi. W szale, namiętną szarpany zazdrością syknął:

— Do mnie należysz, tylko do mnie. Biada ci, jeżeli mi nie będziesz posłuszną. jeżeli mi stawiać będziesz opór.

Podstąpił pod drzwi buduaru, zbliżył ucho i nadsłuchiwał, wstrzymując oddech.

Walerya przyjęła hrabiego serdecznie, jak się przyjmuje starych znajomych. Podali sobie ręce i usiedli na fotelach obok siebie.

— No i cóż, kochany bracie? — mówiła Walerya. — Wróciłeś więc ze swoją młodą żoną z podróży poślubnej? — zaśmiała się szyderczo. — Co za gąskę przywiózłeś nam?A która to z rzędu kochany Robercie? Piąta, jeżeli się nie mylę?

— Nie nazywaj mnie Robertem — mówił Sinobrody stłumionym głosem. Ściany mają uszy, a wiesz, że muszę się mieć na baczności. O niejednej mojej sprawce mówią już ludzie. A i żona moja obecna nie dowierza mi i boję się, że i ona, jak inne, odkryje pewnego dnia moją tajemnicę.

— A jeżeli się to stanie, zgotujesz jej taki sam los jak jej poprzedniczkom?

— Tak! Zdradziłyby mnie — odparł ponuro.

— O, my zdrady bać się musimy, z każdej strony — mówiła Walerya w zburzeniu. — Wiesz przecież, co się stało. Usunęłam nienawistną Agatę. Obecnie mogłabym swój cel osiągnąć, zdobyć hrabiego Edmunda. Lecz nowa przeszkoda stanęła mi na drodze. Jakób zna moją tajemnicę, wie, że to ja zamordowałam męża Agaty. On mnie zgubić może. W nagrodę za milczenie żąda, abym została jego żoną.

— Przenigdy! Ty miałybyś poślubić tego potwora? Jakób musi się ciebie wyrzec, za każdą cenę, musi milczeć — zawołał wzburzony Snnobrody.

— Robercie — szeptała Walerya. — Nędznik ten dla ciebie jest niebezpiecznym. Wie, kto jesteś i . . .

— Do stu djabłów — zawołał w strachu Sinobrody i zerwał się z siedzenia. Twarz jego była trupio bladą. — Skąd mnie zna? pytam.

— Nie wiem, w jaki sposób odkrył twą tajemnicę, Robercie, nędznik ten musi zginąć, bo w przeciwnym razie zgubi nas.

— Zginie ten nędznik, ten szpieg — Sinobrody zgrzytał zębami i straszne rzucił spojrzenie.

Nagle zerwała się Walerya i przyskoczyła ku drzwiom. Usłyszała demoniczny, cichy śmiech. Gdy drzwi otworzyła, nie było już nikogo w korytarzu, słychać tylko było odgłos oddalających się kroków.

— Podsłuchał naszą rozmowę ten nędznik — zawołała Walerya z wściekłością. — Robercie, wszystko stracone. Nie traćmy czasu, on zginąć musi.

— Biada mu! Sinobrody pogroził pięścią w stronę drzwi. Biada mu, powtorzył spokojniej i usiadł znowu obok Waleryi. Lecz, kochana moja, tak prędko się to stać nie może. Musimy czekać na sposobność, a tymczasem musisz się pozornie zgodzić na jego życzenia, by w ten sposób okupić jego milczenie.

Zapadał już wieczór, kiedy hrabia Sinobrody opuścił swą piękną siostrę i w towarzystwie Piotra powracał na zamek Wildenfels. Droga była daleka i prowadziła przez samotne pustkowie, rozciągające się w nieskończoność pod czarnem niebem.

Jak upiory pędzili jeźdzcy, a wiatr nocny strasznie świstał dookoła nich.

Aż oto wyłoniła się z ciemności gospoda, zwana "Pod pełnym dzbanem". Samotnie i spokojnie było w tem zabudowaniu, w żadnem oknie nie było światła, mieszkańcy gospody spali. Aż tu nagle błysnęło światełko z okna piwnicy i drżącem płomieniem oświetliło ciemną ziemię.

— Stój! — zawołał hrabia Sinobrody i wstrzymał konia. — Co to znaczy? Tu w gospodzie coś się dzieje. Już nieraz w nocy widziałem to dziwne światło. Zobacz Piotrze, co się tam dzieje.

Piotr zaciekawiony prędko zeskoczył z konia i udał się w stronę gospody. Światło pochodziło z nory piwnicznej, której okrągłe, zakratowane okienko, znajdowało się tuż nad powierzchnią ziemi. Piotr przysiadł i patrzył ciekawym wzrokiem. Oczom jego przedstawiła się straszna scena, że z trudnością potrafił stłumić okrzyk zgrozy.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Tej samej nocy spał Gerhard, właściciel gospody "Pod pełnym dzbanem", spokojnie w swej izbie. Dom zalegała cisza grobowa, tylko wicher zawodził żałośnie w kominach. Nagle Gerhard zerwał się ze snu, usiadł na posłaniu i nadsłuchiwał. Odezwało się głuche pukanie, straszne wśród tej ciszy nocnej, jak gdyby pukał duch z pod ziemi.

Zerwał się Gerhard z łóżka, zarzucił szlafrok i założył pantofle. Wiedział, co znaczy to pukanie. — Idę już, idę — szepnął i zaświecił prędko latarnię. — Wytężył słuch, czy też wszyscy śpią, wszędzie cisza. Wtedy Gerhard odsunął wielką szafę, w podłodze były drzwi, zakryte właśnie tą szafą.

Jeszcze raz przystanął on i słuchał bojaźliwie, jakby się bał zdradzić przed domownikami swej tajemnicy. Potem drzwi otworzył, tam w dole ciemno było i dobywał się stamtąd głos głuchy, ponury, jakby z grobu. Czy tam mieszkała istota ludzka?

Gospodarz wyjął z szafy chleb i inną żywność i dzban mleka i postawił to na stole. Potem nachylił się w norze piwnicznej. Stało tu łóżko, mały stół i stołek. Ze stołka podniosa się postać mężczyzn, szczupła, otulona w czarny podarty płaszcz. Wsparty na kiju, podniósł w górę smutne na wpół martwe oczy. Na twarzy jego, okolonej siwą brodą, malowała się nędza i zgryzota.

— Chodźcie, hrabio Haraldzie — rzekł gospodarz. Jedzenie wasze gotowe. Lecz dziwny mieszkaniec piwnicy potrząsnął głową i westchnął:

— Zostawcie mnie Gerhardzie w mojej celi. Tu jestem bezpieczny. Czy śpią wasi domownicy? Czy nikt nas nie widzi?

— Bądźcie spokojni, panie — rzekł Gerhard. Wziął chleb i mleko i po drabinie zeszedł w głąb do zagadkowego

gościa. Dał mu tę skromną wieczerzę. Pokrzepił swe ciało hrabia Harald, jak go Gerhard nazywał, poczem w te słowa odezwał się do swego gospodarza podając mu rękę:

— Dziękuję wam, drogi przyjacielu. Gdyby nie wy, musiałbym marnie zginąć. Już rok cały siedzę tu pod ziemią i nikt nie wie, że jeszcze żyję. Wyście mnie przyjęli, przyjacielu, kiedy zbiedzony i nędzny przyszedłem do was i prosiłem o schronienie. Wyście czuwali nad moją tajemnicą. Ukryliście mnie i dbacie o mnie jak o brata, Boże mój — westchnął — kiedy też skończą się już moje cierpienia? Kiedy wybije godzina oswobodzenia. Kiedy nareszcie zedrę maskę z twarzy nędznika, który mi skradł imię i prawa moje?

— Ach, panie, gdybym wam tylko mógł dopomódz, westchnął Gerhard, patrząc wzrokiem pełnym litości na nieszczęśliwego. Lecz panie, nie wolno wam jeszcze wystąpić, bo skoro się Sinobrody dowie, że pan jego żyje, wtedy ostatnia to wasza godzina A zresztą nikt nie uwierzy, że to pan właśnie jest prawdziwym hrabią Wildenfels i że nędznik, który zuchwale osiadł na zamku, jest waszym służącem, Robertem. Toż i ja was zrazu nie poznałem i nie wierzyłem waszym opowiadaniom.

— Prawda, prawda, Gerhardzie! Nie mam żadnych dowodów, by nędznika tego oddać w ręce sprawiedliwości. Łajdak ten chytro się urządził. W Afryce, na polowaniu, ograbił mnie we śnie i zabrał mi moje papiery. Potem wydał mnie dzikim, którzy mnie sprzedali do niewoli. Nie miałem już nadziei, że wrócę do ojczyzny. Sześć lat spędziłem w strasznem więzieniu, nędza i cierpienia uczyniły ze mnie przedwcześnie starca. Kiedy nareszcie uzyskałem wolność i pełen radości i tęsknoty wróciłem do ojczyzny, dowiedziałem się rzeczy strasznych, że łajdak, służący mój, gra rolę hrabiego, a ja jestem przybłędą, żebrakiem. Chyba już nie opuszczę nigdy tego strasznego lochu, prawda nigdy nie wyjdzie na jaw.

Spochmurniał nieszczęśliwy hrabia, siwą głowę ukrył w rękach, a w oczach zabłysły mu łzy.

— Panie, nie rozpaczaj, pocieszał go Gerhard. Jeszcze nie wszystko stracone. Bóg nie dopuści, by złość i podłość zwyciężyły. Wypłyną w końcu na światło dzienne zbrodnie Sinobrodego, wszyscy przecież wiedzą, że on morduje swoje żony. Niestety, nie ma dowodów na to, lecz nie zostaną wiecznie w ukryciu jego straszne zbrodnie.

— Czy nie mówiliśmy, Gerhardzie, że znowu powrócił na zamek Wildenfels z młodą żoną?

— A tak! Mówią, że to jego czwarta, czy też piąta żona. Biedaczka, żal mi jej! Bóg jeden wie, jaki los ją czeka.

— Niech ją Bóg ma w swojej opiece, — wyszeptał hrabia. Lecz idźcie już, Gerhardzie, późna noc, wy zmęczeni. Miejcie się na baczności, by Sinobrody nie dowiedział się o waszej tajemnicy i nie odkrył mojej kryjówki.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Tej to sceny świadkiem był Piotr, służący Sinobrodego. Chociaż wytężył słuch, nie dosłyszał ani słowa z rozmowy w piwnicy. Ciekawość jego wzrastała: co to za dziwna postać siwobrodego starca, który — jakby żywcem pogrzebany — mieszkał w piwnicy? Czy to więzień gospodarza? Piotr widział, jak Gerhard z latarnią w ręku, wracał po drabinie. Nagle światło zagasło i ciemność grobowa zaległa piwnicę i cały dom.

Muszę tajemnicę tę zbadać, pomyślał Piotr i pośpieszył do swego pana. Postanowił mu nic nie mówić o odkryciu.

Sinobrody się niecierpliwił.

— Gadaj coś widział? spytał gwałtawnie.

— Nic, prócz zaświeconej latarni w piwnicy — odrzekł Piotr i wsiadł na konia swego. — Człowieka nie było tam.

— Tak? mruczał Sinobrody, rozczarowany. Dyabeł wie, co to znaczy.

Popuścił cugle i popędził galopem. Piotr oglądał się jeszcze raz na gospodą, nie zobaczył nic nadzwyczajnego i podążył za panem. Około północy stanęli w zamku Wildenfels.

Nic złego nie przeczuwając, podążył Sinobrody do komnat swej młodej żony. Nie znalazł jej, a i służba nie wiedziała, gdzie pani. Nagle owładnęło go straszne przeczucie. Począł szukać za kluczami, nie było ich.

Ach — zawył — blady ze strachu i wściekłości. Poszła do wieży. Stało się, czegom się obawiał.

Jak szalony wypadł na podwórze i pospieszył do wieży. Drzwi były otwarte. Więc stało się! Zapalił latarnię i drżący zszedł schodami na dół. Pierś jego dyszała ciężko, krople potu pokryły czoło.

Gertrudo! Gertrudo! — wołał zdławionym głosem. Milczenie. A przecież wiedział, że ona tam być musi, że odkryła straszną tajemnicę. A jeżeli w międzyczasie uciekła? Jeżeli go zdradziła?

Drżał na całem ciele.

— Należało klucze ostrożniej przechować, albo drzwi te zamurować — zgrzytał zębami.

Potem śmiało zeszedł po ostatnich schodach i wszedł do sklepienia. Podniósł latarnię w górę, że jej światło rozjaśniło całą tę ponurę przestrzeń. Oczy jego miały wyraz dziki — szukały dookoła. Wtem spostrzegł postać swej młodej żony, jakby w śmiertelnem omdleniu na wilgotnej, zimnej podłodze.

Wydał dziki okrzyk i rzucił się na nie.

V.

Niezbadane są wyroki boskie.

— Stójcie! zawołał jeszcze raz prokurator groźnym, rozkazującem głosem. — Stójcie! Co się tu dzieje?! — Tam, w górze, na rusztowaniu zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Świadkowie tego stasznego dramatu osłupieli i wpatrywali się w rusztowanie. W słabem oświetleniu trudno było rozróżnić postacie i wypadki. Zbliżył się tłum cały, gwałtownie wzburzony; zrazu słychać było szepty, nagle nastała cisza grobowa.

Szybkiem krokiem opuścił prokurator swe miejsce z za stołu, pokrytego czarnem suknem.

Słychać było bicie serca każdego z obecnych.

Prokurator wstąpił na stopnie rusztowania, za nim podążyli lekarz i sędziowie.

Zbliżył się prokurator do pnia i utkwił badawczy wzrok w ponurego kata, tkóry — spuściwszy topór — stał, spokojnie wyczekując tego co się stanie. Obok pnia leżała nieszczęśliwa Agata — lecz nie naruszona. Cięcie chybiło. Mimo to chcieli już pomocnicy kata rzucić skazaną do stojącej opodal trumny. To zauważył prokurator, obudziło w nim podejrzenie i rozkazał wstrzymać się.

Kacie! zawołał ostrym tonem. Co to znaczy? Skazana nie zginęła!

— Łaski, panie — odrzekł kat drżącem głosem. Nie wiem, ręka moja słaba, cięcie słabe, chybiło.

— Spełnił więc teraz swoją powinność! — rozkazał prokurator — któremu usprawiedliwienie to wydało się dziwnem i nieprawdopodobnem.

— Panie, wyszeptał kat. Zdaje mi się, że skazana już nie żyje.

— Tak? — spytał zdziwiony prokurator. — Nachylił się nad leżącą na ziemi postacią, lecz zanim się jej dokładniej przyglądał, wystąpił spiesznie lekarz. Zamienił znaczące spojrzenie z katem i ukląkł u boku Agaty.

Już powierzchowne badanie przekonało go, że Agata żyje. Ale jej serce biło słabo, popadła w ciężkie omdlenie podobne do śmierci.

— I co? spytał prokurator niecierpliwie.

Lekarz wstał; twarz jego była blada, a głos miał dziwnie ochrypły ton.

— Tak panie prokuratorze. Skazana nie żyje. Stracenie jej jest zbytecznem.

— Nie! — zawołał prokurator stanowczo. Prawo żąda głowy skazanej. Wszystko jedno, czy skazana umarła już, czy też nie. Prawu musimy zadośćuczynić, za każdą cenę. Więc tu — zwrócił się do kata — czyń pan swoją powinność. Głowa musi paść.

Na odgłos tych słów, stracił kat i lekarz przytomność i niemi ze strachu i osłupienia wpatrywali się w prokuratora. Ten opuścił wraz z sędziami rusztowanie i zajął pierwotne swe miejse. Także lekarz zwolna zeszedł po stopniach.

— Wielki Boże — wyszeptał. Wszystko stracone. Teraz nic jej nie ocali.

Naprężenie widzów wzrastało. Nikt z nich nie był jeszcze świadkiem podobnego aktu stracenia na trupie. Bo też i prawdy nikt z nich nie znał.

Tymczasem sprowadzono znowu ciało Agaty, nie dające znaku życia i po raz wtóry padł cios z ręki kata.

Wszyscy widzieli, jak runęła głowa, lecz nikt nie poznał, że była to tylko głowa z wosku, łudząco podobna do głowy ludzkiej.

Ciało Agaty złożono do trumny. Widzowie oddalili się. Także prokurator i sędziowie opuścili podwórze więzienne. Pomocnicy kata zanieśli trumnę na inne podwórze więzienne i złożyli ją w kostnicy. Urzędnik drzwi zamknął. Wieczorem dopiero miano Agatę pochować.

Lecz po upływie niespełna kwadransa dostali się pomocnicy kata do kostnicy oknem z odludnej ulicy. Przed kostnicę czekał powóz, a lekarz, doktór Kloc, stojący obok powozu, śledził trwożliwie, czy się nikt nie zbliża. Po chwili wysunęli pomocnicy oknem podłużny tłumoczek, owinięty w czarne sukno; zaniesiono to prędko do powozu, do którego wsiadł lekarz i powóz popędził w dal.

Jeszcze nie świtało, kiedy powóz zatrzymał się przed wspaniałem budynkiem, na eleganckiej ulicy rezydencyi. Był to pałac hrabiego Edmunda Linderhof. Otwarła się brama i powóz szybko wjechał na podwórze. Siwy służący Michał wraz z lekarzem zabrali z powozu ostożnie tajemniczy tłómoczek i zanieśli do jednej z sal na pierwszem piętrze.

Złożyli swój ciężar na łóżku i wtedy doktor Kloc zdjął szybko drżącemi rękami zasłonę. Na łóżku leżała Agata, nieruchoma, blada jak śmierć. Lekarz i stary sługa patrzali na nią i oddech zamarł im w piersi.

Pochwalon niechaj będzie Pan w niebiesiech, wyszeptał wreszcie starzec i cicho zapłakał. — A więc udało się! Więc ona ocalona? Lekarz nic nie odrzekł; zajęty był przywróceniem życia nieprzytomnej. Twarz jego wyrażała niepewność i troskę. Próżno się trudził

mimo użycia wszelkich możliwych środków, Agata leżała nieprzytomna, nie dawała znaku życia nawet po upływie kilku godzin.

Rozpacz ogarnęła lekarza i służącego, bezradni opuścili ręce. W tem drzwi się otwarły i wszedł hrabia Edmund, blady, wyczerpany. Zbliżył się do łóżka i rzucił okiem na nieruchomą postać Agaty . I jakby w tej chwili odebrano mu trwogę i straszną niepewność, zawołał w wybuchu radości:

— Dzięki Ci, Ojcze niebieski. Udał się nasz plan. Ona żyje! Łzy radości spływały po jego twarzy i porwany błogiem uczuciem bezgranicznego szczęścia, padł na kolana i przycisnął do ust lodowato zimną rękę ukochanej kobiety. Nie zauważył postępnej twarzy lekarza i wiernego sługi. Zapomniał zupełnie o ich obecności, dla niego istniała tylko ukochana, którą ocalił.

Jego wezbrane serce szeptało gorące słowa dziękczynne i słowa miłosne. Nie zauważył, że ta, której oddał swe serce, leżała bez ruchu, spokojnie, cicha jak umarła.

Straszna niepewność dręczyła go dotychczas. Nie wiedział, czy udał się śmiały plan, który obmyślił w związku z lekarzem i katem.

Właśnie powrócił był do rezydencyi, uwolniwszy się z uścisków szatańskiej Waleryi, tej zalotnej syreny. Oszołomił go uścisk i całus cudownej kobiety, żebrzącej jego miłości. Lecz czysty obraz Agaty w duszy jego, ochronił go p.. ed pokusą. Teraz skończone wszelkie cierpienia. Teraz należy nareszcie do niego ta, którą tak bardzo miłował. Szczęście jego i radość nie znały granic. Co raz serdeczniej i namiętniej pieścił zimną, martwą rękę Agaty i zlewał ją łzami.

Zbudź się ukochana, jedyna moja. Zbudź się do życia i szczęścia, szeptał głosem miłosnym.

Nie otwarły się usta Agaty. Nie słyszała jego słów miłosnych, nie czuła pocałunków ani łez jego.

Jakby przykuci do ziemi, stali na uboczu lekarz i stary sługa, do głębi wzruszeni tą sceną. I żaden z nich nie miał odwagi zniszczyć szczęścia hrabiego.

Wreszcie powstał hrabia i skinął na lekarza. Ze łzami w oczach, trzymając ciągle rękę Agaty, podał mu rękę i rzekł drżącem głosem:

— Dzięki ci, przyjacielu mój. Nigdy nie zapomnę tego, coś dla mnie i dla tej nieszczęśliwej uczynił.

— Panie hrabio — rzekł lekarz — nie dziękuj. Westchnął i ujął podaną sobie prawicę. Nie dziękuj. Plan nasz udał się . . . lecz . . . Tu urwał, nie mając odwagi wyrzec straszne słowo: Lecz . . . daremnie . . . .

Daremnie? — powtórzył hrabia i strach go ogarnął. — Dlaczego? Na rany Boskie, powiedz pan, co to znaczy?

W milczeniu wskazał lekarz na nieruchomą postać Agaty. Zrozumiał hrabia Edmund ruch ten i wyraz twarzy lekarza. Osłupiał z przerażenia.

— Umarła?! Umarła?! Nie, nie, to niemożliwe — wołał w szalonym strachu. Przecież ocaliłem ją. Ona tylko nieprzytomna. Śpiesz się przyjacielu, wołał błagalnie. Przywróć jej życie. Ona musi żyć!

— Panie — szeptał doktor Kloc wzruszony. Bądź spokojnym, panie hrabio, wszystko daremne. Ludzka pomoc nic tu nie zdziałać nie potrafi. Paraliż serca — Bóg sam wie, jak się to stało.

Hrabia Edmund wpatrywał się w mówiącego, jakby nie rozumiał jego słów. Nieprzytomny, blady — oczy mu pałały jak w gorączce. Zdało się, że i on za

chwilę padnie bez życia. Dreszcz przebiegł po jego ciele i zajęczała pierś jego, głucho, boleśnie. Upadł na krzesło, stojące opodal. Nie płakał, lecz łkał i zakrył rękami boleśnie drżące oblicze.

Doktor Kloc patrzał litośnie na hrabiego i jakby chciał zrozpaczonemu dać jeszcze nadzieję, rzekł:

— Spróbuję ostatniego środka, wrócę za pół godziny.

Hrabia zdawał się nie słyszeć jego słów. Doktor zamienił ze służącym znaczące spojrzenie i oddalił się.

Za chwilę powstał hrabia, ruch jego był stanowczy, twarz wyrażała zdecydowanie. Skinął na starego sługę, który pełen trwogi nie spuszczał oka z pana swego.

— Idź już, Michale. Idź, zostaw mnie w spokoju.

— Panie...

— Idź, powtórzył hrabia ostro. I trwożliwie, acz niechętnie, wyszedł Michał z pokoju.

Hrabia patrzał za nim nieprzytomnie. Potem zbliżył się do łoża, na którem spoczywała nieruchomo Agata i patrzał na nią. Patrzał długo boleśnie, aż mu oczy łzami zaszły i już nic nie widział. Umarła, stracił ją na zawsze. Napróżno wyrwał ją z rąk kata. Szatański, okropny los, ze szczytu największego szczęścia, wtrącił go w przepaść, pogrążył w straszną rozpacz, złamał go na ciele i na duszy.

Tragizm bez granic! On, bogaty, możny hrabia, o którego względy ubiegały się najpiękniejsze kobiety w kraju, oddał życie swe tej tu kobiecie, która długo nie mogła jego zostać. Kochał beznadziejnie, wyrzekł się ukochanej i tylko obraz jej w sercu swem pieścił. Teraz, kiedy ukochana wolną jest, kiedy ją zdobył, on sam wśród rozpaczliwych wysiłków — teraz śmierć mu ją zabiera.

Na zawsze ją stracił. Więc niech się wszystko skończy.

— Nie mogę żyć bez ciebie! Za życia nie mogłaś być moją, więc niech nas śmierć złączy.

Wzrok jego błądził po stole, na którym doktor Kloc pozostawił swe zioła. Stała tam i szklanka do połowy winem napełniona. Hrabia wziął małą flaszeczkę napełniona płynem, na której była trupia główka. Etykieta ta świadczyła, że w flaszeczce trucizna. Wlał całą zawartość do wina, rzucił serdeczne spojrzenie na Agatę:

— Kochanko ma! wyprzedziłaś mnie, Idę za tobą!

Podniósł szklankę do ust i wypił do ostatniej kropli.

Trucizna poczęła prędko działać. Twarz zsiniała, czoło pokryło się potem.

Już ogarnęła go ciemność, jeszcze jedno spojrzenie rzucił w stronę ukochanej. Boże! — Postać Agaty rusza się. Otworzyła oczy, za chwilę wstanie.

Czy go oczy mylą? Czy to rzeczywistość, czy też złuda?

— Ona żyje — a ja umieram! Okrzyk zamarł mu na ustach, osłabł i padł obok łóżka, trzymając spazmatycznie szklankę w ręku. Jeszcze tylko jedno drgnięcie i nieszczęśliwy hrabia legł spokojnie, bez ruchu.

Przed chwilą cisza straszna zaległa komnatę. Zakradł się do niej promień słoneczny i złocistym światłem oświatlił bladą twarz Agaty.

Podniosła się na łożu i zdziwiona, nieprzytomna, rozglądała się dookoła.

— Boże! Gdzie jestem? Co się stało? — wyszeptała nareszcie.

Jednak zwolna poczęła zdawać sobie sprawę z tego, co przeżyła. Przypomniała sobie, że była na rusztowaniu, że klęczała przed pniem, czekając na cios z ręki kata. Ciarki ją przeszły,

zerwała się i trwożny jej wzrok błądził dookoła.

Czy żyła jeszcze? Zdawało się jej wszystko snem. Albo czy dokonano na niej strasznego aktu, czy umarła — a teraz zbudziła się do nowego życia w innym świecie?

Nie mogła niczego pojąć i nie poznawała, gdzie się obecnie znajduje. Trwało to kilka chwil. Cisza grobowa — niczem nieprzerwana — zaległa komnatę. Ścisnęła ręce na bijącem gwałtownie sercu i zsunęła się w końcu z łóżka.

Wtedy z piersi wyrwał się straszny jęk. Wzrok jej padł na leżącą u jej nóg bez ruchu postać hrabiego Edmunda na jego bladą twarz i na szklankę, którą trzymał w ręku. I prędko zrozumiała wszystko, co się stało. Przypomniały jej się tajemnicze jego słowa pociechy w więzieniu, poznała teraz ich znaczenie. Ocalił ją, jest obecnie u niego, w jego domu; sądząc jednak, że umarła, nie chciał i on dłużej żyć!

— Wielki Boże! — zawołała.

Runęła na ziemię przy boku Edmunda i w niewymownym bólu patrzyła w jego piękną twarz.

Jej serce biło gwałtownie i łkała załamując ręce w szalonym bólu:

Miłosierny Boże nasz! — Nieszczęsny Edmundzie! Umarłeś dla mnie! Z rozpaczy za mną! Mój jedyny, drogi przyjacielu!

Łzy ją dławiły. Objęła go i głowa jej spoczęła na jego piersi.

— Tak bardzo mnie kochałeś, Edmundzie, że niczem ci było życie bez Agaty? Ach, ja nieszczęśliwa!

Rozpacz jej nie znała granic. Chętnie oddałaby się po raz wtóry w ręce kata, gdyby mogła w ten sposób przywrócić życie przyjacielowi.

Cóż się z nią teraz stanie; cóż pocznie nieszczęsna skazana na śmierć, wykreślona z liczby żywych?

Wtem, w największej rozpaczy, przyszło jej na myśl dziecko.

Zbudziła się w niej na nowo gwałtowna miłość matczyna. Więc to zrządzenie Boże, że ona żyje! Dla dziecka swego została ocaloną.

Pocieszona wstała i uśmiech błogiej radości zajaśniał na jej obliczu.

— Teraz masz znowu matkę, mój drogi mały Walterze. Wnet przycisnę cię do swego serca. Jeszcze dzisiaj muszę zobaczyć.

W tej sami chwili zapukano do drzwi, które hrabia Edmund przedtem zamknął. Stary służący Michał wołał trwożliwie, drżącym głosem:

— Panie!... Panie mój, otwórz!... Prędko! Lekarz wrócił!

VI.

Straszne zagadki.

Jak szalony rzucił się Sinobrody w ponurem sklepieniu na nieprzytomną postać swej młodej żony. Oczy jego miały wyraz wściekłej dzikości. Sięgnął ręką do kieszeni i wydobył sznur.

— Znasz moją tajemnicę, musisz więc umrzeć! zgrzytnął. Straszny był jego plan. Nachylił się nad nieszczęśliwą ofiarą, już sznur założył około jej szyi, by ją udusić. Wtem ręce jego opadły, jakby niemi kierowała wyższa siła. Z twarzy znikła dzikość, padł na kolana i długo wpatrywała się w blade oblicze omdlałej. Zdało się, że w duszy jebo budzą nie nieznane mu dotąd uczucia, że wściekłość jego zanika pod wpływem piękności Gertrudy i czaru jej niewinnej twarzy.

Nie mógł zamordować tego czarownego stworzenia. Niech żyje. Ma ją przecież w ręku, w swej mocy. A znajdzie on już sposób, by nigdy nie zdradziła jego tajemnicy.

Podniósł nieprzytomną postać, wziął ją na ręce i wyniósł z wieży. Zaniósł Gertrudę do jej sypialni, położył na łóżko, poczem zawołał służącą i zostawił ją sam na sam z panią.

Niedługo poczęła Gertruda wracać do przytomności natychmiast jednak popadła znowu w głęboki sen, z którego zbudziła się dopiero na drugi dzień. Zdziwiona, rozglądała się po pokoju i — jakby nie ufając swym zmysłom patrzała w osłupieniu na służącą, która z uśmiechem na ustach zbliżyła się do łóżka.

Zdało się Gertrudzie, że była przecież we wieży i że tam w sklepieniu upadła zemdlona na widok trumien. Jeszcze teraz słyszy ów głuchy jęk. Skąd się teraz tu wzięła, w swej sypialni? Miała by to wszystko śnić? Więc to nie była rzeczywistość?

Nie, to być nie może. To nie był sen. Ona to wszystko widziała, przeżyła. Straszna trwoga ją ogarnęła na wspomnienie owych strasznych rzeczy i z głośnym okrzykiem zerwała się z łóżka.

Przerażona służąca zerwała się.

— Na Boga, pani! — zawołała. — Co się stało?

Gertruda trzęsła się jak we febrze.

Precz stąd! Precz! — zawołała. — Precz z tego domu zbrodni!

Uciekła do swego buduaru i prędko poczęła zmieniać toaletę. Nadbiegła służąca i starała się uspokoić swą panią, drżącą na całem ciele. Próżne zabiegi. Gertruda nie zwracała uwagi na jej słowa. Chciała tylko jak najprędbej uciec z tego zamku, od swego męża — zbrodniarza, na którego wspomnienie czuła niewymowny strach.

— Boże mój — zawołała. — Więc owe wieści o nim są prawdziwe? — O, ja nieszczęsna!

Zrozpaczona, upadła biedna kobieta na krzesło; zerwała się jednak w tej chwili, zdjęta strachem i zgrozą. Służąca stała bezradna. Pouczył ją już był hrabia Sinobrody, że żona jego cierpi na manię prześladowczą i że mówi czasem bardzo dziwnie. Przypomniała sobie to służąca i sądziła, że pani jej jest poważnie chorą.

— Moja dobra pani — mówiła, uspokój się pani! To wszystko złe sny, jakie moja dobra pani śniła. Ja zawołam pana hrabiego.

— Nie, nie wołaj go! — zawołała wystraszona Gertruda, powstrzymując służącą. Nie chcę go widzoeć nigdy! Ja tu dłużej zostać nie mogę!

Chciała uciec. Wtem drzwi się otwarły i stanął w nich Sinobrody.

Na jego widok wydała Gertruda okrzyk zgrozy i skryła się za krzesło, drżąca ze strachu i rzuciła na męża swego wzrok pełen obrzydzenia i wstrętu.

Służąca pobiegła szybko do hrabiego;

— Panie!— zawołała, jaśnie pani chora i mówi w gorączce.

Hrabia rozkazał służącej oddalić się i zbliżył się następnie serdecznie do swej żony.

— Co się stało, ukochana? — zapytał troskliwie. Jesteś, zdaje się poważnie chorą. Zawołam lekarza.

Spróbował objąć ją i ucałować, lecz ona odepchnęła go gwałtownie.

— Nie dotykaj mnie, zbrodniarzu, zawołała! Ja się ciebie boję. Wszystko prawda, co o tobie opowiadają. Teraz mam pewność. Tak, ty jesteś hrabią Sinobrodym, mordercą swych żon. Byłam ja tam, w tem strasznem sklepieniu wieżowem. Widziałam trumny, w których spoczywają twe nieszczęśliwe ofiary: twoje żony, które zamordowałeś.

Drżąca ze strachu i obrzydzenia rzuciła mu w twarz to straszne oskarżenie. Lecz Sinobrody stał spokojnie. Roześmiał się, jakby rozweselony tą sceną. A był to uśmiech szatański, krtóry odebrał Gertrudzie wszelką odwagę i resztę spokoju.

— Moje dziecko — rzekł troskliwie. Szaleństwo wszystko co mówisz. Ojczym twój zwrócił mi uwagę na to, że masz czasem halucynacye i że widzisz rzeczy, które w rzeczywistości nie istnieją. Te głupie wieści, które o mnie obiegają zdenerwowały cię i sprawiły, żeś we śnie widziała wszystkie te straszydła, o których mi opowiadasz.

Gertruda wpatrywała się w mówiącego i na chwilę, jakby niepewna tego co po .iedziała, zawahała się. Jego spokój i niewinna na pozór mina, zdziwiły ją. Więc to wszystko, to sen tylko?

— Nie, nie! — przestrzegał ją głos wewnętrzny. To była straszna rzeczywistość.

— Chcesz mnie w pole wyprowadzić, rz. kła —rzucając mu pogardliwe spojrzenia. Nie uda ci się. Nie wierzę! Nie było to marą senną, co widziałam na własne oczy. Puść mnie! Natychmiast opuszczam zamek i wracam do mej ojczyzny. Boże mój! łkała w rozpaczy, szatan ma mnie w swych szponach. Pocóż mnie uczyniłeś swą żoną zbrodniarzu? Czy i mnie miał spotkać ten sam los, co inne twoje nieszczęśliwe żony?

Na chwilę twarz Sinobrodego miała wyraz groźny, srogi, a oczy jego ciskały iskry wściekłości. Pohamował się jednak i odrzekł w łaskawym tonie:

— Moje kochana, jesteś rzeczywiście poważnie chorą. Proszę cię, uspokój się i mówmy rozumnie. Powtarzam ci, że to wszystko sen. Nie opuściłaś przecież ani na chwilę swoich komnat i potwierdzi to twoja służąca.

— Co? — zawołała Gertruda. Ja nie byłam na wieży? Ja nie widziałam trumien?

— Pewnie że nie — zaśmiał się Sinobrody i łagodnie lecz stanowcza pociągnął ku sobie drżącą Gertrudę. To wszystko powstało w twojej fantazyi. Jak mogłaś wierzyć w te straszne rzeczy mówił przymilając się do niej. Żadnej kobiety nie kochałem, prócz ciebie. Ty jesteś moją pierwszą żoną. Czy mi jeszcze nie wierzysz? A teraz chciałaś nawet uciec odemnie, opuścić mnie! Proszę cię, uspokój się, nie dręcz siebie i mnie i zapomnij nareszcie o tych strachach, które mącą nasze szczęście.

Pierś Gertrudy dyszała ciężko i niespokojnie; na pół nieprzytomna spoczęła u jego piersi. To, co przeżyła i widziała, wryło się w jej duszę. Chętnie uwierzyłaby słowom swego męża, lecz nie mogła. Czuła, że ją objął, jego pocałunki paliły ją.

Nagle zerwała się, wołając:

— Nie, to wszystko prawda! Nie oszukasz mnie! Ja nie jestem twoją pierwszą żoną I Józefa była twoją małżonką. Tak, tak! Powiedz, co się z nią stało? Mówią, że w tajemniczy sposób znikła tu w zamku.

Na wspomnienie Józefy, wzdrygnął się Sinobrody a na twarzy jego malowało się przerażenie.

— Kto to mówi? — wykrztusił, napróżno starając się być panem siebie. Kto obmyślił znówu tę bajkę, by mnie oczernić przed tobą? — zgrzytał w wściekłości.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju. W przedsionku spotkał służącą, a jej przerażenie na widok pana świadczyło o tem, że podsłuchiwała.

Nie zważał na to Sinobrody.

— Maryo, idź do swojej pani! — rozkazał. Pani chora — wskazał znacząco na swe czoło. — Idź do niej, i uważaj, by się nie stało nieszczęście.

Służąca pospieszyła do buduaru pani. Na pół nieprzytomna, leżała Gertruda na dywanie, płacząc spazmatycznie.

Kiedy Sinobrody w południe powrócił do zamku, doniosła mu służąca, że pani poważnie zachorowała. Lekarz już był u łoża chorej i słuchał zdziwiony jej słów, które mówiła bez związku w gorączce. Wszedł Sinobrody. W tej samej chwili zerwała się Gertruda i utkwiwszy wzrok w męża, wołała przeraźliwym głosem:

— Biedna Józefo! Czy ty jeszcze żyjesz tam w lochu? — Trumny — wszędzie trumny — o, tu trumna — powstają nieszczęśliwe ofiary — Sinobrody — morderco!

Z głuchym jękiem opadła na poduszki i drżąc, w śmiertelnym strachu okryła się cała kołdrą. Mimowolnie cofnął się Sinobrody. Jego ponura twarz była blada, zmieszana, trwożnie spoglądał na chorą. Lekarz rzucił nań pytające spojrzenie i rzekł:

— Żonę pana, panie hrabio, spotkało coś strasznego. Gorączka spowodowana jest cierpieniem duchowem. Chorej konieczny jest zupełny spokój i troskliwa opieka, w przeciwnym razie sprawa może wziąć zły obrót.

— Nie pojmuję choroby mej żony, rzekł Sinobrody, udając zdziwienie i usiłując zachować zimną krew. Jeszcze dzisiaj z rana była zupełnie zdrową.

Lekarz nic nie odpowiedział. Niedługo bawił w tej okolicy i nie znał jeszcze dziwnych wieści o hrabiu Sinobrodym. Nie przypuszczał, by słowa chorej miały jakie znaczenie. Zapisał lekarstwo i opuścił zamek. Także hrabia Sinobrody wyszedł z pokoju chorej do swego pokoju. Ponury i wściekły rozmyśliwał nad swem położeniem.

— Zdradzi mnie w gorączce. I lekarz miał już podejrzenie. Muszę się o to postarać, by nikt do niej nie przychodził. Gdybym tylko miał już jej pieniądze w ręku wtedy — wtedy umrze. To jedyne wyjście dla mnie. Obecnie muszę o nią dbać, nawet gdy wróci do zdrowia. — Ale skąd dowiedziała się o Józefie? Chyba są w zamku zdrajcy. Biada im, gdy ich znajdę!

— — — — — — — — — — — — — — —

Stara Krystyna, klucznica zamku Wildenfels, ukochała zaraz pierwszego dnia młodą swą panią i bardzo ją zmartwiła wiadomość o chorobie Gertrudy, tembardziej, że stara czuła się winną, sądząc, że jej opowiadanie o wieży spowodowało chorobę; że młodą hrabinę wstrząsnęły do głębi straszne rzeczy, jakie słyszała o swem mężu.

Kiedy służąca Gertrudy opowiedziała jej wszystko dokładnie, zalała się Krystyna łzami i biadała:

— Nie przypuszczałam, że się tak skończy, bo byłabym nic nie mówiła. Takie nieszczęście! I to ja zawiniłam. A kiedy hrabia dowie się, że to ja bajałam, wtedy mogę spakować manatki i wynieść się, szukając gdzieindziej chleba na starość.

Zrozpaczona siedziała stara Krystyna w swej izbie. Wtem drzwi się otwarły i weszło młode dziewczę, postać delikatna, dziewicza i miła twarzyczka lekko rumiana, zaczerwieniona; zdawało się że biegła tu prędko. Jasne włosy spadały na niewinną jej twarz, z której wyzierała para niebieskich oczu, pełnych słodyczy i dobroci. Piękna była jak pączek dopiero co kwitnącej róży.

— Otóż masz mnie znowu kochana cιociu, zawołała dźwięcznym głosem. Serdecznie uścisnęła starą Krystynę, którą niespodziana ta wizyta bardzo ucieszyła.

— Katynka moja kochana! Jak się masz, dziecko. Długo cię nie widziałam. Co tam u was w domu, pod waszym "Pełnym dzbanem"? Co ojciec robi?

Krystyna odmłodniała na widok dziewczyny. Zachwycona i uradowana patrzała z dumą macierzyńską na Katynkę, zasypując ją pytaniami.

— U nas w domu nic się nię zmieniło ciociu — odpowiedziała Katynka. Ojciec zdrów. Nie byłam tak długo u cioci bo od czasu śmierci matki, trudno mi ruszyć się z domu, dodała smutno i łzy zabłysły w jej oczach.

— Wiem,wiem , moje dziecko, mówiła Krystyna. Gdzie matki nie ma, tam się nic nie składa. O, mój Boże, już pół roku leży w grobie. Biedaczka mogła żyć jeszcze długie lata. — No, nie płacz już, moje dziecko, chodź usiądź tu koło mnie i opowiadaj, co tam się dzieje u was w domu.

O tem nie było co opowiadać, ojciec Katynki był właścicielem gospody"Pod pełnym dzbanem" leżącej w pustkowiu w oddaleniu pół mili od zamku Wildenfels. W gospodzie rzadko zdarzyło się coś, godnego opowiadania, a tajemnicy ojca Katynka nie znała.

— Słyszałam — rzekła Katynka w toku rozmowy — że hrabia powrócił ze swą młodą żoną z podróży poślubnej. Ciociu, powiedz, jaką ona jest ta nowa pani?

— To anioł — odpowiedziała stara tonem pełnym zachwytu. Ani śladu w niej dumy. Ach! — dodała po chwili smutno — żal mi biednej, kochanej mej pani. Bóg wie, co za los ją czeka.

— Na Boga, ciociu, nie mów takich strasznych rzeczy! rzekła Katynka. Czy ciocia się boi, że i nowa pani zniknie naraz tak tajemniczo, jak swego czasu piękna, dumna Józefa?

— Cicho, moje dziecko. Nie mówmy o tem. Co ty też wygadujesz o tych rzeczach, które — no cóż to chciałam powiedzieć? Krystyna urwała nagle, nie chciała więcej o tem mówić.

— Czekajno — dodała po chwili — dzisiaj nie zobaczysz młodej pani, bo hrabina chora. Ale za to powiem ci nowinę — rzekła — śmiejąc się figlarnie i wychudłą swą ręką gładząc piękne loki Katynki. Twój narzeczony leśniczy Winter jest w zamku. Widziałam go przed chwilą na podwórzu. No czego się tak rumienisz? przekomarzała się stara z zawstydzoną dziewczyną. Idź Katynko — Winter załatwił już pewnie swę sprawy u hrabiego i wrócił do domu. Odprowadzi więc ciebie.

Katynka pożegnała ciotkę, która — zdaje się — miała dzisiaj dla niej nie wiele czasu. Swobodnie, trzymając w ręku koszyczek, który ciocia Krystyna napełniła łakociami, spieszła Katynka przez ciemne sklepione korytarze zamku. Myślała ona więcej o strasznych tajemnicach zamkowych, niż stara Krystyna przypuszczała, bo w gospodzie goście mówili często o Sinobrodym. Nie dziw że już na same wspomnienie hrabiego, Katynka drżała ze strachu.

Kiedy zbliżała się już do bramy, usłyszała nagle silne kroki męskie w tej chwili stanął przed nią hrabia Sinobrody. Katynka krzyknęła przerażona, cofnęła się zmieszana i chciała wybiedz.

Hrabia Sinobrody stanął zdziwiony na widok pięknego dziewczęcia. Znał ją, ale od czasu, kiedy ją ostatni raz widział, Katynka się zmieniła, stała się zachwycającą pięknością. Na ponurej twarzy hrabiego drgał uśmiech pożądania namiętności, iskrzącemi oczyma śledził pełne zaokrąglone formy wysmukłej dziewicy.

— Dokąd tak spieszono, dziecko — zapytał i zastąpił jej przejście. Z ciebie cudowna, zachwycająca panna. — Pogładził ją po twarzy. Byłaś pewnie u cioci Krystyny, co?

— Tak, jaśnie panie, wyszeptała Katynka, drżąc cała, jak schwytany ptaszek. Sinobrody podniósł jej głowę, pa-

trzał płomiennie w jej piękne oczy i szeptał pochlebne słowa, że Katynce krew uderzyła do twarzy. Gwałtownym ruchem wyrwała się z jego objęć i uciekła.

Z za słupa szerokiego przypatrywał się tej scenie młody człowiek w ubraniu myśliwskiem. To leśniczy Reinhold Winter, narzeczony Katynki. Ścisnął groźnie pięści w stronę hrabiego.

— Do stu... krzyknął hrabia wzburzony, spiesząc na podwórze zamkowe. Cudowne dziewczę. Musi być moją!

Nie zauważył wcale leśniczego Wintera, który wściekły szeptał:

— Biada ci, nędzniku, jeżeli spróbujesz się dotknąć tego niewinnego dziecka.

VII.

Duch matki.

— Porozumieliśmy się zatem co do wszystkiego, kochana Waleryo i żyjemy znowu w zgodzie. Przyrzekłaś mi uroczyście, że zapomniasz o Edmundzie i swoich zamiarach względem niego, i że zostaniesz moją żoną. Mam nadzieję że dotrzymasz obietnicy. Zresztą sama zrozumiesz że to jedyne wyjście dla ciebie, spełnić moją wolę.

Temi słowy zakończył Jakób długą, gwałtowną rozmowę z Waleryą. Zatarł tryumfująco ręce, krocząc radośnie po pokoju. Od czasu do czasu spoglądał z ukosa na Waleryę, jakby chciał odgadnąć jej najskrytsze myśli.

— Pewnie, jestem w twojej mocy i muszę to uczynić, czego żądasz, odpowiedziała Walerya, napozór zupełnie obojętnie. A właściwie nic przytem nie tracę. Nie będę wprawdzie hrabiną Linderhof i tytuł mój, baronowa Rambow — będzie skromniejszy, hrabia jest też piękniejszym, aniżeli ty, mój dobry Jakóbie, ale za to będziesz mnie kochał goręczej, serdeczniej, będziesz rzeczywiście wzorowym mężem.

— Na Boga! będę nim, ukochana Waleryo! zawołał Jakób gwałtownie, nie czując w jej słowach szyderstwa. Nikt cię tak serdecznie, tak namiętnie nie kocha, jak ja. Jesteś zatem moją narzeczoną i w najbliższych dniach ogłosimy nasze zaręczyny.

Padł przed nią na kolana, ujął jej ręce i namiętnym wzrokiem patrzał na szatańsko piękną kobietę.

— Nie prawda, ukochana — szeptał drżącym z namiętności głosem, najpóźniej za cztery tygodnie odbędzie się ślub?

— Powiedzmy za trzy miesiące, odrzekła. To chyba dość wcześnie. Nie ma też celu, byśmy teraz zaręczyny nasze ogłosili. Musimy wziąć wzgląd na to, że wuj twój umarł dopiero przed kilku miesiącami, i że Agata dopiero co zginęła z ręki kata, a także dziecko jest dla nas przeszkodą.

— Sprzątniemy je! Nie znoszę tego chłopca z całej duszy. Chciałbym, by już dziś zginął!

— I ja dziecko tego nie znoszę, zgrzytnęła Walerya twarz jej miała wyraz dzikiej srogości — jak nie znosiłam jego matki. Ale musimy ostróżnie zabrać się do dzieła, by nie padło na nas podejrzenie. Przedewszystkiem musimy usunąć wychowawczynię, bo ona jest dla nas poważną przeszkodą. Kocha niewymownie małego Waltera i jak długo ona tu jest, nie możemy nic uczynić dziecku.

— Słusznie. Ale dziewczynę tę można już dzisiaj oddalić.

— Nie, to wzbudzi podejrzenie. Lepiej byłoby skierować na nią podejrzenie, że to ona zabiła Waltera.

— Tak, tak — zgadzał się Jakób. I mam już świetny plan, łatwo wykonalny.

— Powiedz jak?

Szeptem, jakby się bał świadków, wyłuszczał Jakób Waleryi swój plan zgładzenie dziecka. Zajęci rozmową nie spostrzegli, że już od dłuższego czasu był ktoś w sąsiednim pokoju. Drzwi do tego stały otworem i słyszano tu każde głośniejsze słowo. Podsłuchujący nie zdradził niczem swej obecności. Kiedy Jakób i Walerya naradzali się szeptem, wyłoniła się z za portyery blada, przerażona twarz kobieca, Była to Marta, wychowawczyni małego Waltera. Wystraszona patrzała na nich i słuchała uważnie. Lecz dopiero, gdy podnieśli nieco głos, mogła zrozumieć pojedyńcze słowa.

Kiedy Jakób skończył, rzekła Walerya;

— Plan twój jest rzeczywiście dobrym. Najlepiej będzie, jeżeli go jeszcze tej nocy wykonamy, dodała szeptem.

— Dobrze, zgodził się Jakób. Wszystko więc prędko przygotuję. A skoro nasz plan się uda i dziecko zniknie, wtedy będę tu w rzeczywistości panem i wyłącznym właścicielem tego pięknego zamku i niezmiernych bogactw mego wuja. Wtedy, moja kochana Waleryo, mogę spełnić każde twe życzenie. Otoczę cię blaskiem, przypychem i rozkoszą.

Otwartemi drzwiami oddalił się przez sąsiedni pokój. Marty już tu nie było. Po odejściu swego wspólnika, zaśmiała się Walerya szatańskim śmiechem szyderczym, a oczy jej wyrażały bezgraniczną nienawiść i wściekłość.

— Ciesz się głupcze, śnij o szczęściu i błogości. Nigdy nie będę twoją. Zguba twoja niedaleko. Skoro dziecko usuniesz, wtedy wybiła i twoja godzina. Niepotrzebny mi będziesz.

Zacisnęła pieści i rozżalona zawołała:

—Musiałam się upokorzyć, nie mogę odrazu zniszczyć tego wstrętnego psa. tego nędznika. Muszę się go bać i pozornie uledz jego woli. Ale cierpliwie to zniosę, bo straszną będzie moja zemsta! Grób będzie ci łożnicą weselną, ty zaślepiony głupcze!

Tego samego wieczora siedziała wychowawczyni u łóżka małego Waltera. Chłopak jeszcze nie spał, patrzał na Martę. Na dworze było ciemno, wicher zawodził żałośnie i deszcz uderzał o szyby.

Troska i strach ogarnęły wierną Martę. Drżała na myśl o niebezpieczeństwie grożącem Walterowi. Nie odgadła wprawdzie planu Waleryi i Jakóba, jednak to co słyszała, wskazywało na wielkie niebezpieczeństwo. Gdyby przypuszczała, że plan tej jeszcze nocy ma zostać wykonanym, uciekłaby bezzwłócznie z niewinnem dzieckiem.

Mały Walter długo jeszcze płakał za matką. Nie mógł zapomnić smutnego pożegnania w więzieniu i błagał swoją kochaną Martę, by go znowu zaprowadziła do dobrej mateczki.

—Jutro, dziecino — mówiła Marta wśród łez jutro mamusia przyjdzie do swego syna. Teraz jest w niebie u Bozi.

Na widok bólu i nędzy biednego osieroconego dziecka Marta nie mogła powstrzymać się od łez. Nie mogła pocieszyć płaczącego Waltera, bo nie mogła mu matki dać. Starała się go uśpić, spiewając łzawym, bolesnym głosem:

Śpij dziecinko już.
Oczka swoje zmróż!
Aniołkowie w niebie,
Nie opuszczą ciebie,
Śpij dziecinko już,
Oczka ładne zmróż!

Przerwała swój cichy śpiew, bo mały Walter zasnął spokojnie. W oczach jego błyszczała jeszcze łza. Cicho nadchyliła się nad nim Marta i ucałowała go w czoło.

Biedne, kochane dziecię — szeptała

i serce ścisnęło się jej z żalu. Ojca i matkę straciłeś w strasznyj sposób, a twój najbliższy krewny, godzi na twe życie. Jak dobrze że nie rozumiesz jeszcze, co to nieszczęście i nie znasz niebezpieczeństwa, które ci grozi. O wszechmogący Ojcze w niebiesiech! — złożyła ręce jakby do modlitwy i oczy pełne łez zwróciła ku niebu — Boże miłościwy, spraw, by aniołowie Twoi czuwali nad tem bezbronnem dzieckiem!

Trwoga i niepokój dręczyły ją, chociaż modlitwa pocieszyła ją nieco. Usiadła przy stole i wzięła książkę do ręki. Lecz jej niepokój wzrastał; każdy szmer wśród ciszy nocnej potęgował jej strach. Nie myślała wcale o śnie. Chciała czuwać przez całą noc u łoża śpiącego dziecka i nie pozwolić, by Walterowi stało się coś złego. Gotowa była oddać za niego swoje życie, jak przyrzekła nieszczęśliwej Agacie w godzinie jej śmierci.

Minęła północ; cisza grobowa panowała w zamku. Tylko wicher wył nadal i zawodził żałośnie w wysokich kominach. Czuwającej Marcie zapadały ze znużenia oczy i głowa jej opadła. Lampa zagasła. Tliło się tylko światełko nocne na stoliczku, oświetlając matowo wielki pokój.

Na korytarzu odezwało się ciche stąpanie — za chwilę przed drzwiami szepty, jakby szepty duchów. Bez szmeru obrócono w zamku klucz. Drzwi się zwolna otwarły i wsunęła się przez nie do pokoju długa, szczupła postać, zakapturzona i iskrzącemi oczyma rozglądała się po pokoju.

Był to Jakób, a za nim spólniczka jego zbrodni, dyabelska Walerya. Stanęła w otwartych drzwiach i nalegając na swego towarzysza, który się na chwilę zawahał, szeptała:

— Prędko! Ona śpi!

Cichaczem, jak kot, zbliżył się Jakób do łóżeczka dziecka. Przystawał za każdym krokiem i patrzył bez tchu na wychowawczynię.

Nie zbudziła się, nie przeczuwała bliskości mordercy. Ten coraz bliższym był swej ofiary. Już stał nad łóżkiem małego Waltera, już wyciągał rękę za śpiącym chłopcem — wtem stało się coś nadzwyczajnego, zda się, że moc niewidzialna odepchnęła go.

Wśród ciemności w pokoju z drzwi bocznych kroczyła ku łóżku postać niewieścia, odziana w czarne suknie, bez szmeru, jakby unosząc się w powietrzu. W matowem oświetleniu postać wyglądała jak upiór. Twarz jej blada, nieruchoma jak marmur wyłoniła się nagle przed przerażonym Jakóbem, wpatrując się weń uporczywie.

Zdjęty niewymownym strachem cofnął się, nie mogąc oderwać oczu od dziwnego zjawiska.

— Agata! — zawołał głosem zdławionym. Wszechmocny Boże, jej duch!

W śmiertelnym strachu wyciągnął przed się ręce, jakby się chciał obronić i chwiejnym krokiem cofnął się ku drzwiom.

I Walerya zobaczyła upiorne zjawisko i strach jej był równie wielkim, jak strach Jakóba. Pierś jej wydała okrzyk przeraźliwy i bladą z przerażenia twarz zakryła rękami, jakby ją oślepiła błyskawica. W tej chwili zbudziła się Marta. Zobaczyła postać unoszącą się jakby "Anioł Stróż" nad łóżeczkiem dziecka i poznała swą panią. Duch matki zjawił się, ażeby ocalić dziecko.

Tak sądziła, kiedy przerażona spostrzegła dwie ciemne postacie, które się teraz prędko oddalały. Kiedy Marta wstała z krzesła, zjawiska więcej nie było.

Drżąc na całem ciele, przypadła Marta do łóżeczka. Dzięki Bogu! Walter

spał spokojnie. Stwożone jej serce szeptało dziękczynne słowa modlitwy.

Jednak niebezpieczeństwo może za chwilę wrócić.

— Musimy uciekać, biedne moje, kochane dziecię. Natychmiast — zadecydowała Marta w gwałtownej trwodze. Szybko zarzuciła na siebie płaszcz i wzięła ciepłą chustkę, by otulić śpiące dziecko.

Wtem — odezwały się znowu kroki w korytarzu. Co to? Czy mordercy wracają, by wykonać swój niecny plan?

VIII.

Żywcem pogrzebana.

Ostatnie promienie słoneczne oświetlały pokój, w którym na łóżku leżała chora Gertruda, blada, spokojna. Otwarte jej oczy błądziły przez okno w dal.

Krótki dzień jesienny miał się ku końcowi; na niebie gnały chmury, podobne do duchów i jakby dalekie grzmoty słychać było szmer morza, którego fale wzburzone uderzały gwałtownie o stok góry, na której szczycie stał zamek Wildenfels.

Przed chwilą zbudziła się Gertruda z długiego, pokrzepiającego snu. Gorączka minęła,.czuła się silna i starała się skupić myśli. Tak, pamięta o wszystkiem, niczego nie zapomniała z tych strasznych rzeczy, które widziała. Nie zapomniała i ostatniej sceny z mężem. I, nie dowierzając sobie, spytała się znowu, czy tylko śniła o owych strasznych rzeczach.

Skąd pewność? A może krzywdzi swego męża. Albo, jest on rzeczywiście zbrodniarzem, który ofiary swe bezlitośnie morduje? O, jaki los ją czeka? Na myśl tę ogarnął ją strach, który z każdą chwilą wzrastał. Niepewność nie dawała jej spokoju, powzięła rozpaczliwie postanowienie i zerwała się z łóżka. Dzisiaj jeszcze, natychmiast musi zejść do wieży.

Była samą. Służąca oddaliła się w nadziei, że pani spać będzie jeszcze dłuższy czas. Gertruda zerwała się prędko, bojąc się, aby jej służąca nie przeszkodziła. Najwięcej bała się swego męża, i chociażby jej obawa i podejrzenie okazały się bez wszelkiej podstawy, nie zyska on już nigdy jej miłości, ni zaufania.

Osłabiona, gdyż pulsa jej biły gwałtownie, ale parta niepohamowaną żądzą, dowiedzenia się prawdy, postanowiła wykonać swój zamiar. Nie przypuszczała, że jeszcze raz waży się zejść do wieży, zwłaszcza, że była chora. Zdawało się też, że go nie ma w domu. Bez przeszkody zabrała klucze; za chwilę stała u wejścia wieży.

W hali zaświeciła latarnię i zeszła do sklepienia. Trwoga jej nie znała granic jednak nie cofnęła się. Za każdym krokiem stawało się dla niej pewniejszem, że już tu raz była, w tem strasznem miejscu. To, co widziała — to nie mara, lecz straszna prawda. Drzwi sklepienia otwarły się; przed nią leżała ciemna przestrzeń. Postąpiła kilka kroków, światło latarni rozświetliło sklepienie. Z piersi jej wydarł się okrzyk strachu i zdziwienia zarązem. — co to znaczy? Co się stało? Trumny, które widziała tu za swą pierwszą bytnością, zniknęły. Tam stały, oparte o mur, widziała dokładnie. Gdzie się podziały te trzy trumny? Czy Sinobrody je już sprzątnął? Podczas gdy Gertruda — na pół nieprzytomna — szukała za trumnami, usłyszała ten sam głuchy, ponury jęk, który brzmiał jej w uchu od pierwszego razu. Jęk straszny, rozdzierający duszę. W ponurych sklepieniach rozległ się rozpaczliwy okrzyk o pomoc — skazanej na męki piekielne.

Gertruda zadrżała. Krzyk pochodził z głębi ziemi.

— Wielki Boże! Więc pod sklepieniem jest może więzienie i tam ginie ludzka istota? Może Józefa, która tak tajemniczo zniknęła?

Gertruda słyszała, że w tej części zamku leży grobowiec. Czy może z tego sklepienia prowadzi droga do grobowca? Postanowiła drogę tę odkryć i uwolnić nieszczęśliwą, która tam ginie. Postąpiła w głąb strasznej przestrzeni i znowu rozległ się ów do szpiku kości wstrząsający jęk. Gertruda cierpiała bardzo, gdy jęk ten słyszała, drżąca szła za nim, aż tu na samym końcu sklepienia zobaczyła drzwi spustne w podłodze, a nad niemi w murze dźwignię. Ruszyła dźwignię i, jakby pod różdżką czarodziejską rozwarły się drzwi zardzewiałe. Do lochu, ciemnego jak grób, prowadziły schody.

Tylko chwilę zawahała się Gertruda na widok tej otchłani, poczem zeszła w dół. Wiało tu grobowe powietrze, nie wiele brakło, a zgasłaby latarnia, którą Gertruda trzymała w ręku. Znowu się zawahała, coraz większy strach ją ogarniał.

W tem nagle nad głową jej rozległy się ciężkie kroki, a kiedy spoglądnęła w górę, spostrzegła wykrzywioną, wściekłą twarz swego męża. Stał nachylony nad głębią. Ręką sięgnął za dźwignię i zawołał strasznym głosem:

— Zostań więc tam wśród umarłych i pokutuj za swoją ciekawość!

Zwolna zapadły drzwi. Jeszcze jeden okrzyk zgrozy:

— Litości, Haraldzie!... Na Boga! Zlituj się nademną!

W rozpaczy wyciągnęła ręce. Latarnia upadła i zagasła. Drzwi zapadły i ciemność grobowa ogarnęła nieszczęsną Gertrudę.

— Litości! Na pomoc — miłosierny Boże! — wołała w śmiertelnym strachu.

Ale ciężkie drzwi nie otwarły się. Słyszała jeszcze oddalające się kroki zbrodniczego męża swego; potem zapanowała straszna cisza. Ciężko dysząc, zeszła po schodach i nieprzytomna padła przy ostatnim stopniu.

Dookoła niej straszna ciemność, nic nie przerywało grobowej ciszy.

Kilka godzin leżała nieszczęśliwa Gertruda w zupełnem omdleniu. Lepiejby jej było, gdyby ją śmierć teraz zabrała, bo przebudzenie jej będzie strasznem, gdyż nieszczęśliwą kobietę, żywcem pogrzebaną, oczekuje straszna męczarnia i cierpienia.

W ciemnym grobowcu rozległ się trwożny jęk; Gertruda oczy otwarła, w tej samej chwili przymknęła je na nowo, w śmiertelnym strachu. Potem znowu szybko się zerwała, starając się przeniknąć wzrokiem ciemną noc, która ją otaczała. Wydrapała się w końcu schodami w górę tak, że głową dotknęła drzwi spustnych. Użyła wszystkich swych sił, by je odchylić; próżno, nie ruszyła drzwi z ciężkich posad.

Trwoga ją zdjęła i szalona rozpacz. Łkając, zsunęła się w dół po schodach, załamując bezradnie ręce.

Wnet począł jej głód dokuczać. Osłabiona jej głowa opadła na zimną ścianę; przymknęła oczy i popadła w półsen, pełny niespokojnych, strasznych widziadeł.

Jak długo tak leżała, nie wiedziała. Nagle zdało jej się, jakby dotknęła się jej twarzy zimna, martwa ręka.

Zerwała się drżąc na całem ciele. Wyciągnęła przed siebie ręce; wszędzie próżnia, była samą. Tylko z głębi dochodził jej uszu ton przeciągły, ponury, jakby jęk umierającej.

Gertruda wytężyła słuch, wstrzymała oddech, wystraszona, drżąca. Dziwny ton umilkł. Znowu cisza. Czy to był głos ludzki, który usłyszała przed chwilą? Gertruda krzyknęła — odpowiedziało jej tylko głuche, ponure echo.

Długo stała jeszcze Gertruda bez ruchu. Nagle ocknęła się. Straciła już wszelką nadzieję, że jej mąż wróci, by ją uwolnić. On postanowił jej śmierć. I ona musi zniknąć bez śladu, jak inne jego ofiary, jak piękna, nieszczęśliwa Józefa.

— Lecz — a może Józefa żyje tam w dole? — pomyślała Gertruda. Tak, ona jeszcze żyje, muszę szukać. I zeszła po schodach w dół. Na ostatnim stopniu potrąciła o latarnię, która jej przedtem z rąk wypadła. W kieszeni znalazła zapałki, zaświeciła światło. Ciemność dookoła niej rozprószyła się; zobaczyła czarne, skaliste mury, z których lała się woda. Postąpiła kilka kroków i spostrzegła głęboką nyżę, a w niej, — wielki Boże! — trumny, które za pierwszą swą bytnością widziała tam w górze, w sklepieniu.

Na widok ten zdjęły ją wstręt i trwoga i drżąca cofnęła się. Naprzeciw nyży, w murze, odkryła drzwi. Drzwi, okryte rdzą, były ze żelaza i zaopatrzone w silne zamki. Dokąd one prowadziły? Co za niemi leżało? Może grobowiec?

Gertruda postąpiła kilka kroków, była już w każdym kącie sklepienia, pilnie śledząc, czy nie znajdzie wyjścia. Otaczały ją jednak tylko nagie, mokre ściany. Wróciła w końcu do swych żelaznych drzwi.

Gdyby je mogła otworzyć. Dotknęła się zamków, użyła wszystkich sił, by drzwi ruszyć. Próżno się trudziła, w końcu zrozpaczona zaprzestała beznadziejnej pracy. Śmiertelnie znużona, szlochając, oparła się o drzwi i w rozpaczy, niepocieszona, życzyła sobie śmierci, któraby ją oswobodziła. Światło w latarni tliło jeszcze kilka chwil tylko — i zagasło. I znowu otoczyła ciemność nieszczęsną Gertrudę.

Upadła na kolana, załamując ręce. Drżące jej usta szeptały w szalonej trwodze słowa modlitwy. Jednak nikt nie słyszał jej skarg i jęków, tylko nieme mury były świadkami jej łez i rozpaczy.

Wtem usłyszała zbliżające się kroki. Co to? Zerwała się nadsłuchując. Straszne wyczekiwanie. Czy to jej mąż? Czy obudziły się nareszcie w jego sercu uczucia ludzkie? — Nie, nie w sklepieniu nad nieszczęśliwą ofiarą odezwały się kroki, lecz tam, za żelaznemi drzwiami.

Gertruda zapukała gwałtownie w drzwi i głośno zawołała o pomoc. W odpowiedzi usłyszała okrzyk zgrozy, pochodzący z piersi kobiecej.

— Ktokolwiek jesteś, ocal mnie! — błagała Gertruda. — Jestem tu zamkniętą w strasznem więzieniu, otwórz drzwi i ocal mnie. Zlituj się nademną!

— Biedna ty — odpowiedział boleśnie głos z za drzwi. Nie mogę drzwi otworzyć, nie mogę ci pomódz. I ja nieszczęsna ginę tu w grobowcu, wśród umarłych i siedzę tu długie tygodnie. Własny mąż zgotował mi ten straszny los.

— Mąż twój? Hrabia Wildenfels? — wykrztusiła Gertruda, przeczuwając już, kim jest jej nieszczęsna sąsiadka.

— Tak — Sinobrody — odpowiedział głos głucho.

— Wielki Boże! — Józefa! ty nią jesteś, ową nieszczęśliwą, która pół roku temu zginęła bez śladu?

— Tak, ja jestem Józefą! A ty, skąd wiesz o mnie i skąd znasz mój los?

— Ja jestem twoją następczynią, objaśniła ją Gertruda. Jestem również żoną tego zbrodniarza. Stara Krystyna

opowiadała mi o tobie. Potajemnie dostałam się do sklepienia i widziałam tam trzy trumny. Słyszałam twoje wołania o pomoc i odkryłam wejście do tego podziemnego więzienia, w tem zjawił się Sinobrody i zapadły się drzwi nademną — na zawsze.

— Mój los podobny do twego — odpowiedziała wśród łez Józefa. I ja odkryłam straszną tajemnicę Sinobrodego i mnie znalazł on przy trumnach w sklepieniu. Próżno błagałam go o litość, strącił mnie w dół, do grobowca. Tu żyję wśród nędzy i trwogi. Postradałabyś zmysły, słuchając opisu mych cierpień. Śmierci życzę sobie, jako zbawienia. Moich jęków dotychczas nikt nie słyszał, prócz ciebie, nieszczęsna, którą czeka taki sami los, jak mnie.

Serce Gertrudy krwawiło się z litości. Nędza i ból Józefy sprawiły, że zapomniała o własnem nieszczęściu.

Nieszczęsna ty, jakie straszne przecierpiałaś męczarnie — mówiła — i łzy gorące spływały po jej licach. Więc nie ma dla nas ratunku, nie ma wyjścia z tego grobowca?

— Nie ma ratunku, chyba, że uda ci się dostać tu do mnie. Wtedy uda się nam może uciec stąd. Próżna nadzieja. Sił nam nie starczy, by drzwi te otworzyć.

— O, Boże mój — zawołała Gertruda —więc jesteśmy zgubione?

Zrozpaczona ruszyła kilka razy drzwiami, a Józefa — jej niewidzialna towarzyszka niedoli — pomagała jej po drugiej stronie. Lecz silne zamki nie popuściły. Zniechęcone i wyczerpane, zaprzestały nieszczęśliwe kobiety próżnych usiłowań.

Na chwilę zapanowało milczenie, tylko rozpaczliwy płacz Gertrudy przerywał straszną ciszę. Światło latarni zagasło już było zupełnie, ciemność grobowa dookoła

— Józefo — zawołała Gertruda — a kiedy nie otrzymała odpowiedzi, powtórzyła głośniej swój okrzyk. Próżno wołała. Czy może Józefa oddaliła się, albo czy padła nieżywa za drzwiami? czy może zabrała ją wreszcie śmierć, której tak długo pragnęła?

Zagadką było dla Gertrudy, czem się nieszczęśliwa Józefa żywiła podczas owej długiej niewoli. Zdawało się przecież, że ona sama zginąć musi z głodu. Znużona i wyczerpana upadła i popadła znowu w ciężkie omdlenie.

Nie słyszała, jak nagle odezwał się znowu głos Józefy, która wymieniła imię Gertrudy, podane jej przedtem przez nieszczęśliwą. Potem poczęła Józefa pracować jakimś narzędziem około drzwi żelaznych. Może się uda drzwi otworzyć i udzielić pomocy biednej Gertrudzie?

Rozdział 9.

W sieci demona.

W śmiertelnym strachu nadsłuchiwała Marta, wychowawczyni Waltera. Ktoś się zbliżał, drzwi na korytarz stały otworem. Marta wpatrywała się uporczywie, nieruchomie w ciemność. Na progu stała jakaś postać — czy to nie postać Jakóba?

Z okrzykiem zgrozy porwała Marta śpiącego Waltera z łóżeczka, zarzuciła nań chustkę i popędziła w głąb pokoju, gdzie były boczne drzwi. Rozpaczliwie, jakby ją ścigał morderca, uciekała z dzieckiem. Zdawało jej się, że ktoś rzucił za nią przekleństwem i goni ją. Nie oglądnęła się jednak, ani na chwilę nie zawahała się. Przez puste, ciemne korytarze i rzadko uczęszczane schody dostała się wreszcie do furtki, która tylko wewnątrz była zamkniętą na spusty.

Za chwilę była w parku. Ciemna noc otoczyła ją, jakby opiekuńczemi skrzydłami i ukryła przed pogonią, która ją — jak się jej zdawało — prześladowała. Na dworze szalała gwałtowna burza. Deszcz silny, bił niemiłosiernie w twarz uciekającej, która spazmatycznie przycisnęła do swej piersi słodko i spokojnie śpiące dziecko, otuliła je chustką i swoim płaszczem, ażeby mu deszcz i zimne powietrze nie zrobiły nic złego.

Co dla niej znaczą burza i deszcz, co straszydła nocne? Serce jej drżało tylko na myśl, że jej małemu oblubieńcowi grozi niebezpieczeństwo i jedno tylko miała pragnienie — wyrwać dziecię z rąk mordercy. Nie myślała o tem, dokąd ucieka. Dopiero po pewnym czasie, gdy już prawie upadała ze znużenia, wstrzymała się w swej szalonej ucieczce i oparła się, ciężko dysząc, o drzewo przy drodze.

Zamek leżał w oddali, pogoni nie było.

— Boże miłosierny, — łkała bezradnie, dokąd. Gdzie znajdzie to biedne dziecię obronę przed mordercami?

Wtem — zdawało się, że niebo podsunęło jej tę myśl — postanowiła udać się do domu hrabiego Edmunda i jemu oddać w opiekę małego Waltera. On, jedyny i najserdeczniejszy przyjaciel Agaty, zaopiekuje się z pewnością jej dzieckiem.

Prędko podążyła naprzód. Lecz droga do rezydencyi była daleką i wskutek burzy uciążliwą. Była zaledwie w połowie drogi, kiedy jej nogi odmówiły posłuszeństwa. Dakąd się teraz schroni z dzieckiem? Ma tu zostać na drodze wśród strasznej burzy?

Kiedy trwożliwie rozglądała się za pomocą, ujrzała nagle wśród ciemności światełko. Ostatkiem sił pośpieszyła w tę stronę, wnet stała u celu. Lecz nie był to dom, jak się spodziewała, lecz obraz Matki Boskiej, stojący przy drodze. Na skale wznosiła się kapliczka, o szklanej ścianie, a wewnątrz obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku. Nad obrazem wisiała wiecznie świecąca się lampa i rozświecała ciemną noc. W skale wykuta była głęboka nyża, w której pobożni składali swe ofiary.

O Święta Maryo, Matko Boska, weź nas w swoją opiekę, modliła się na bożnie wierna Marta, patrząc na obraz. — Otworzyła małe drzwi prowadzące do nyży i przykucnęła tamże. Tu znaleźli ochronę przed deszczem i Marta postanowiła pozostać tu do rana. Tu było sucho i ciepło, a dziecko spało u jej piersi spokojnie, jakby leżało w domu, w swem łóżeczku.

Niedługo odezwało się stąpanie konia. Wśród szalejącej burzy pędził na koniu mężczyzna. I jego znęciło światełko, by tu szukać ochrony przed deszczem. Kiedy zbliżał się do nyży i światło oświeciło jego twarz, poznała go Marta i zadrżała. To był Jakób, wspólnik Waleryi. Konia powstrzymał i przytulił się do sterczącej ściany skały.

— O, miłosierny Boże! spraw, by nas ten nędznik nie odkrył — modliła się Marta szeptem.

— Niech djabli wezmą takie powietrze — klął Jakób. Chciałbym już być w zamku. Gdzie się też podziała ta przeklęta baba? Dokąd uciekła z dzieckiem? Plan się nie powiódł, a jeżeli jej nie znajdziemy i nie dostaniemy dziecka, wtedy...

Dalszych słów nie słyszała Marta, wskutek burzy. W śmiertelnym strachu wstrzymywała ona oddech, bojąc się, by Jakób nie odkrył ich kryjówki. Drżała na myśl, że mały Walter może się zbudzić i zdradzić ich swym głosem. Należało się też obawiać, że Jakób, by się ochronić przed burzą, wejdzie do

wnętrza nyży. Biada im, biada, gdyby wpadli w ręce nędznika.

— — — — — — — —
— — — — — — — —

Wielki Boże, mój biedny, dobry pan nie żyje! — zawołał stary Michał, kiedy wraz z lekarzem dostał się do pokoju, gdzie hrabia Edmund leżał na ziemi bez życia.

Kiedy pukania i nawoływania nie odniosły skutku, otworzyli drzwi siłą. Nie przypuszczali, jak straszne rzeczy stały się tu podczas ich nieobecności. Kiedy wrócili, leżała Agata spokojnie i bez ruchu na łóżku, jak przedtem. Zdawało się, że ostatnie przejścia, wzburzenie i strach zabiły teraz w rzeczywistości tę kobietę. Leżała w tej samej pozycyi, w jakiej ją lekarz pozostawił był i nic nie zdradzało, że nieszczęśliwa żyje.

Pobieżne spojrzenie rzucił lekarz na Agatę. Sądził, że dla niej nie ma ratunku. Natychmiast zbliżył się do Edmunda. Stary Michał klęczał u boku pana swego, trzymając w rękach jego głowę.

— O Boże! więc on umarł? Panie, czy już nie ma ratunku? Boże wszechmogący! Otruł się z rozpaczy. Taki więc był jego zamiar, na to mnie wygnał z pokoju. Nacóż go opuściłem ja nieszczęsny?

W milczeniu, drżący, badał doktor Kloc pozornie zmarłego. Wziął mu z ręki szklankę na wino, a kiedy spostrzegł na ziemi flaszeczkę próżną, miał pewność, że hrabia Edmund wypił jej zawartość.

Blady ze strachu, zbliżył się do stołu i z pośród swych medykamentów wyszukał inną flaszeczkę. Jej zawartość wlał do szklanki wody i płyn ten wsączył w usta zamrłemu. Potem rzekł do zrozpaczonego sługi, który bacznie śledził każdy ruch jego ręki.

Jeszcze żyje wasz pan, Michale! Miejmy nadzieję, że go ocalimy. Ale teraz trzeba go przenieść do innego pokoju, a ten pokój trzeba zamknąć, bo trupa tego — tu wskazał na Agatę — nie śmie nikt widzieć. Wiecie przecie dlaczego. Dobrze byłoby ukryć ją, przy pomocy drugiego wiernego sługi w pewnem, bezpiecznem miejscu — może w pawilonie ogrodowym?

— Tak, panie doktorze, potwierdził Michał. Nakrył ciało Agaty, potem, przy pomocy lekarza, przeniósł pana swego do sypialni.

Zabiegom lekarza udało się, że po pewnym czasie hrabia Edmund dawał słabe znaki życia, jednak przytomności nie odzyskał. Doktor Kloc nie odstępował od łóża jego i wytężył swą sztukę, by hrabiego ocalić. Ale twarz jego zdradzała coraz mniejszą nadzieję, wreszcie zrozpaczony usiadł na łożu hrabiego i westchnął:

— Próżne zabiegi! Tylko cud może go ocalić!

Stary Michał wyszedł z pokoju, szlochając cicho. Niemym ruchem głowy odpowiadał na niespokojne pytania służby. Nikt nie dowiedział się, jaka była przyczyna tej nagłej choroby hrabiego. Tylko woźnicę, który z rana przywiózł był lekarza i Agatę z więzienia do pałacu, wtajemniczył Michał w sprawę. Ufał wierności tego sługi i z jego pomocą przeniósł Agatę do pawilonu.

Udali się do pokoju, gdzie leżała Agata. Michał zdjął z niej zasłonę. Ze smutkiem patrzał na jej cudowną, jak marmur zimną twarz.

— Więc naprawdę nie żyje? — spytał woźnica Fryderyk szeptem.

— Tak! — rzekł smutno stary Michał, to rzecz pewna. A nasz dobry, biedny pan nie chciał jej przeżyć. Chodźcie, przewieziemy ją do pawilonu, a jutro pochowamy w tajemnicy w grobowcu familijnym.

— W takim razie możemy ją już teraz przenieść do mauzoleum, zauważył Fryderyk. Stary Michał zgodził się na to. Ostrożnie i starannie okryli Agatę czarnem suknem i przez nikogo nie spostrzeżeni, dostali się do parku, leżącego za pałacem. Prawie że na końcu parku, w ponurym gaju cypresowym, wznosiło się mauzoleum, a pod niem był grobowiec rodziny hrabiowskiej.

Weszli słudzy do mauzoleum, którego wnętrze wyglądało jak kaplica. Michał otworzył drzwi w głębi, prowadzące do wązkiej przestrzeni o gołych ścianach; na środku stała tu ławka marmurowa. Przez wysokie okno o matowo niebieskich szybach, wpadało słabe jakby magiczne światło. Złożyli umarłą na ławie marmurowej i oddalili się, zamknąwszy drzwi.

Czy Agata rzeczywiście nie żyła? Był to rzeczywiście jej duch, który w ową noc zjawił się w zamku i spłoszył morderców jej dziecka? Albo, czy może jeszcze raz odżyje? A wtedy — okropność, gdy się przebudzi w tym grobie.

Przez całą noc czuwał biedny Michał u łoża chorego pana. Także dr. Kloc opuścił pałac tylko na krótki czas i kiedy nad ranem, wrócił i przystąpił do łoża chorego, otworzył tenże oczy. Poznał lekarza i gwałtownie chwycił jego rękę. Oczy jego błyszczały gorączkowo, jego twarz wyrażała bezgraniczną trwogę.

Żyje — Agata żyje! — wyszeptały z trudem jego spalone usta. Widziałem, tak widziałem; otworzyła oczy i podniosła się. Puście mnie do niej, w jej objęciach chcę umrzeć.

— Na Boga, co za szał! — zawołał lekarz przestraszony, Pan hrabia się myli, nieszczęśliwa nie żyje. Niestety, nie ma żadnej wątpliwości, przekonaliśmy sie o tem wszyscy.

— Umarła? — jęknął hrabia w rozpaczy. Opadł na poduszki i znowu stracił przytomność.

Z brzaskiem dnia zajechał przed pałac powóz, z którego wysiadła Walerya. Nie wiedziała jeszcze co się tu stało, a sprowadziła ją do pałacu o tak wczesnej porze szczególna okoliczność. Ucieczka wychowawczyni z małym Walterem, zniszczyła jej sprytnie obmyślany plan. Wprawdzie udał się Jakób przy pomocy kilku sług w pogoń za uciekającą, kiedy jednak po upływie kilku godzin nie przyszła żadna wiadomość, zdjęła Waleryę trwoga. Bała się, czy wychowawczyni nie uciekła z dzieckiem do hrabiego Edmunda. Wtedy oskarży ją przed nim, musi więc temu zapobiedz. Nie czekając na powrót Jakóba, pojechała do rezydencyi.

Odetchnęła swobodnie, gdy w pałacu powiedział jej stary Michał, że nie ma tu jeszcze ani wychowawczyni ani małego Waltera.

— Proszę mnie zaanonsować panu hrabiemu! rzekła — sprowadzają mnie doń ważne sprawy.

— Wielmożna pani — westchnął stary Michał, pan hrabia jest śmiertelnie chory, i łzy zabłysły w oczach wiernego sługi. Nie zobaczy go pani dzisiaj, bo leży nieprzytomny; Bóg jeden wie, czy mój dobry, biedny pan dożyje wieczora.

— Boże miłosierny — zawołała Walerya, blada ze strachu i upadła na krzesło. On umiera? Boże! co się stało tak nagle?

Nie zważając na Michała, pośpieszyła przez otwarte drzwi do pokoju, gdzie leżał chory.

Doktor Kloc wstał ździwiony na widok Waleryi. Znał ją, bo był lekarzem domowym w zamku Linderhof. Jednak nie miał on dla niej sympatyi, podobnie jak stary Michał. A nawet był silnie

przekonanym, chociaż hrabia Edmund nie chciał w to wierzył, że Walerya z nienawiści oskarżyła fałszywie Agatę.

Dlatego przyjął Waleryę niechętnie, zimno! ona jednak nie bacząc na nic, przypadła do łoża chorego i wystraszona wpatrywała się weń.

Spokojnie leżał hrabia Edmund, jak umarły z zamkniętemi oczyma. I w tej chwili, kiedy zawistny los zdawał się zniszczyć wszystkie jej nadzieje, że kiedyś posiędzie tego człowieka, uprzytomniła sobie, jak gorąco go kocha. Oddała się bezgranicznemu, dzikiemu bólowi i jęcząc, upadła u łóżà chorego na kolana i zakryła twarz rękami, by lekarz nie widział jej łez.

Zdziwiony patrzył doktor Kloc na to dziwne, niezrozumiałe dlań zachowanie się Waleryi. Nagle zerwała się Walerya, gwałtownym ruchem pochwyciła ręce lekarza i wyszeptała błagalnym tonem:

— O Boże! Czy już niema ratunku? Ratuj go, panie doktorze! Ratuj go — zaklinam cię!

Te serdeczne słowa, w których drgała bezgraniczna boleść, wzruszały mimowoli lekarza.

— Sztuka moja — westchnął — nie ma więcej żadnego środka. Hrabia zażył trucizny.

— Trucizna! — zawołała Walerya w śmiertelnym strachu. Miłosierny Boże! Z jakiego powodu?

Lekarz nie odpowiedział — i odwrócił się ponury.

Z jakiego powodu? — powtórzyła Walerya bezdźwięcznie, jakby do siebie, bo w tej chwili rozwiązała straszną zagadkę. Z rozpaczy za Agatą popełnił samobójstwo. Więc tak gorąco ją kochał, że nie mógł, że nie chciał jej przeżyć?!

Ta świadomość dotknęła Waleryę głęboko. Więc jeszcze po śmierci wyrwała jej Agata ukochanego! Lecz nie, on nie umrze, chyba są jeszcze środki, które go ocalą.

W tej samej chwili zwrócił się ku niej lekarz i — jakby nagle przyszła mu myśl zbawienia — mówił do niej prędko:

— Jest może jeszcze środek ocalenia go. Byłaby to ostatnia próba. Musiałby ktoś poświęcić swe życie dla umierającego; oddać mu swą krew.

Nie rozumiejąc dobrze słów lekarza, patrzała nań Walerya, pojęła tylko, że istnieje jeszcze środek ocalenia hrabiego i bez wahania zawołała:

— Weź pan moją krew. Wszystko dlań poświęcę!

— Pani! — rzekł doktor Kloc, zdziwiony i wzruszony. — O, pani nie wie jeszcze, co pani chce uczynić. Znajdziemy może kogo innego — mężczyznę może.

— Nie, nie, nie chcę! — przerwała Walerya namiętnie. Nie będziemy szukać. Może daremnie. Szkoda każdej chwili. Panie doktorze — błagała — powiedz mi pan szybko, jak się to stać ma i zabierz się pan natychmiast do dzieła.

Lekarz zmierzył okiem znawcy bujną, silną postać młodej kobiety i rzekł poważnie i znacząco:

— Pani może to przepłacić życiem. Trucizna, której zażył hrabia, rozkłada jego krew i paraliżuje funkcye serca. Można temu zapobiedz tylko w ten sposób, że w tętnice jego wprowadzimy świeżą, zdrową krew. Teraz pani wszystko wie.

— I pan sądzi, że go to może ocalić?

— Tak, mam nadzieję! — Stary Michał oddałby wprawdzie chętnie swą krew swemu ukochanemu panu, ale on jest stary, a nadto nie przeżyłby tej operacyi.

— Nie potrzeba nikogo — zawołała

Walerya stanowczo. — Panie doktorze, proszę, jestem gotową.... co mam uczynić.

Usiadła na stołku koło łoża chorego. Twarz jej miała wyraz pełen błogiego poświęcenia. Doktor Kloc zawołał starego Michała i pouczał zdziwionego starca, co ma robić. Potem przygotował na stole swe instrumenta, odkrył ramię chorego, który leżał jeszcze ciągle bez przytomności nie wiedząc nic o tem, co dookoła niego się dzieje.

Lekarz przysunął stołek, na którym siedziała Walerya, całkiem do łóżka chorego. Potem wezwał ją, by odkryła prawe ramię. Usłuchała bez wahania. Doktor Kloc położył jej gołe ramię na ramieniu chorego i związał silnie razem. Potem wziął krótką rurkę szklaną, zakończoną w cieniutkie srebrne igiełki i rozpoczął tę szczególną operacyę.

Walerya siedziała na stołku blada, ale silna — z uśmiechem na ustach. Widziała, jak rurkę spływała jej ciepła krew w tętnice ukochanego, chorego Edmunda. Nie czuła bólu, jedynie błogie znużenie, które wzrastało, jakby zwolna zanikało życie, jakby ciemna zasłona zakryła jej oczy. Straciła przytomność.

Kiedy się znowu zbudziła, leżała na dywanie. Koło niej stał doktor Kloc, trzymając w ręku szklankę wina.

Przyłożył jej szklankę tę do ust, wypiła do dna. Chciała się podnieść, w tej samej chwili upadła bezsilna. Serce jej biło słabo, zdało się jej, jakby tętnice były próżne.

— Proszę panią spokojnie leżeć — rzekł doktor i ujął rękę i liczył uderzenia pulsu. Musi pani wypić coś pokrzepiającego, poczem będzie pani spała.

Przyniósł szklankę w której był płyn ciemny. Wlał to w usta Waleryi. Czuła się nieco silniejszą i rozglądnęła się badawczym wzrokiem.

— Czy się udało? — czy żyje? — spytała.

Lekarz wskazał na łóżko w którem hrabia Edmund spał snem spokojnym pokrzepiającym.

— Tak — rzekł doktor — ocalony, żyje.

— Bogu niech będą dzięki — wyszeptała Walerya. Przymknęła oczy i popadła w sen.

Zbudziła się wieczorem. Podniosła się na swem łożu i rozglądała się po pokoju, oświeconym czerwoną ampułką. Była sama z chorym. Lekarz oddalił się, a stary Michał siedział w przedpokoju i zdrzemnął się. Walerya wstała i potarła — jakby nieprzytomna — swe czoło. Skąd się wzięła? Co się z nią stało?

Zwolna zaczęła sobie zdawać sprawę i z pewnym strachem spoglądała na nagie swe zbandażowane ramię. Upływ krwi osłabił ją bardzo, z trudnością trzymała się na nogach. Chwiejnym krokiem dostała się do łoża śpiącego chorego i upadła na kolana.

— Ja cię ocaliłam — szeptała wśród łez radości. — Mnie zawdzięczasz życie. Krwią moją zapłaciłam za ciebie — teraz jesteś moim!

Czuła się dumna i serce jej radowało się radością dotychczas nieznaną. Tak, miała teraz doń święte niezaprzeczone prawo i żadna siła ludzka nie potrafi jej wydrzeć ukochanego mężczyzny.

Hrabia Edmund otworzył oczy. Zdawało mu się, że zbudził się w innym świecie. Wszystko, co go otaczało, wydało mu się obcem, zagadkowem. Zdziwiony spostrzegł wreszcie klęczącą u swego łoża postać.

— Walerya — wyszeptał zdumiony — prawie że wystraszony. O Boże! Więc to wszystko prawda? Agata nie

żyje? Pocóż więc ja żyję? Pozwólcie mi umrzeć i złóżcie mnie do niej, do jej grobu.

— Nie, nie, ty żyć będziesz, żyć musisz — dla mnie — mówiła Walerya szybko i gwałtownie. Ujęła jego rękę, całowała ją namiętnie a łzy gorące spływały po jej licu. — A jeżeli chcesz umrzeć, zabierz mnie ze sobą — łkała rozpaczliwie a łkanie to rozdzierało wrażliwą duszę hrabiego.

— Krwią moją wydarłam cię śmierci, bo cię kocham Edmundzie, kocham bardzo serdecznie, tak gorąco, jak nigdy kobieta nie kochała. Zapomnij o zmarłej, która nie była godną ciebie i bądź moim. Patrz, leżę u nóg twoich, błagam cię pokornie w trwodze i nadziei. Nie odepchnij mnie, bądź moim, Edmundzie.

Na odgłos tych słów zmieszał się Edmund, nie mógł jeszcze pojąć co się z nim stało, pamięć jego sięgała tylko do chwili, kiedy wypił truciznę i padł nieprzytomny u boku Agaty. A teraz żyje jeszcze? nie znalazł upragnionej śmierci.

— Waleryo, to pani? — szeptał zdziwiony — pani mnie ocaliłaś? Nie będę pani za to wdzięcznym, bo życie tu dla mnie, to pasmo cierpień męczarń.

— Bo ta nie żyje, którą kochałeś w swem zaślepieniu — zawołała Walerya z wyrzutem. — Edmundzie, obudź się pan nareszcie ze swego szału. Myślałeś, że kochasz świętą, anioła niewinności, a przecież Agata była wiarołomną i morderczynią. To prawda udowodniona, pan jeden nie chce w to uwierzyć.

Nigdy w to nie uwierzę! Nieszczęsna niewinnie umarła.

— A teraz chcesz pan wiecznie opłakiwać Agatę? — przerwała gorzko. — Chcesz w nędzy żyć, wyrzec się wszelkiej radości dla umarłej? — Więc za nic miłość innej, miłość wielka, gorąca? Edmundzie, nie odpychaj mnie!

Wstała, nachyliła się nad nim. Oddech jej oszołomił go, jej oczy ogniste, patrzyły nań namiętnie, jej usta łaknęły pocałunków. Była kobietą cudowną, której miłości trudno się oprzec. Jakby oczarowany, leżał hrabia Edmund a w uszach dźwięczały mu ogniste jej słowa, jak zdradziecki śpiew syreny. Nie przeszkodził, by go objęła swemi miękkiemi ramionami i całowała go namiętnie. A jemu zdało się, że szatan go tuli i ssie jego duszę.

Krew jego wrzała, w głowie mu się mąciło. Odepchnął ją ostatkiem sił i — dysząc ciężko — zawołał:

— Precz odemnie! Nie kocham ciebie! Nie mogę cię kochać. Miłość moja należy do innej, której czysty obraz w mej duszy żyć będzie do ostatniego tchu!

Blady, wyczerpany opadł na poduszki i przymknął oczy. Walerya stała obok niego, pierś jej falowała silnie, trawiła ją szalona namiętność i szatańska żądza zdobycia ukochanego. Zacisnęła pięści, w twarzy nie było ani kropli krwi, a oczy pałały, jakby w gorączce.

— A przecież musisz być moim — szepnęła. — Wydrę nienawistny obraz z twej duszy. Musisz o niej zapomnieć w moich objęciach, upojony moimi pocałunkami.

Rozdział 10.

Groźba zdrady.

Przez pustkowie, wśród burzy i deszczu, pędzili dwaj jeźdźcy. To Jakób i jeden sługa z zamku Heiligensee.

Przez całą ubiegłą noc przeszukiwano okolicę zamku, nie trafiono atoli na ślad zbiegłej z małym Walterem wy-

chowawczyni. Nic przeczuwając, że sam jest tak blizko tych, za którymi szuka, stał Jakób przez kilka godzin pod posągiem Matki Boskiej, aż w końcu wsiadł na konia i popędził do domu.

Zdziwił się, że Waleryi w zamku nie było, a kiedy mu służba doniosła, że Walerya pojechała do hrabiego Edmunda, zrodziła się zazdrość w jego sercu. I on wprawdzie obawiał się, by wychowawczyni nie szukała opieki u hrabiego, mimo tego nie było mu na rękę, że Walerya sama, bez niego, pojechała do Edmunda. Do południa czekał daremnie na wiadomość od niej. Postanowił pospieszyć za nią. Co robiła tak długo w rezydencyi? Była naturalnie u hrabiego Edmunda, którego tak namiętnie kochała i starała się pewnie znowu pozyskać go. Biada jej, jeżeli go oszukała, pomyślał Jakób w wściekłej zazdrości.

Kazał osiodłać innego konia i popędził w dal, gnany niepewnością i obawą. Niedaleko zamku spotkał go jeden ze sług, którzy jeszcze ciągle szukali za śladem zbiegłej wychowawczyni. Sługa doniosł, że odkrył ślad, prowadzący do gospody "Pod pełnym dzbanem". Natychmiast zmienił Jakób swe postanowienie. Chciał iść za tym śladem i dostać przedewszystkiem w swą moc dziecko i jego opiekunkę. Z Waleryą może i później załatwić sprawę.

W towarzystwie służącego popędził w stronę gospody będącej własnością ojca pięknej Katynki. Dopiero po długiej drodze spostrzegli jeźdzcy gospodę. Wyglądała jak zagroda włościańska. Z tyłu, za domem mieszkalnym, były stodoły i stajnie. Dookoła nie było żadnej innej gospody, ani domu, dlatego chętnie wstępował do "Pełnego dzbana" wędrowny, zmuszony przybyć w tę samotną okolicę, albo też woźnica ze swoim pełnym wozem towarowym.

I dzisiaj — mimo ulewnego deszczu — stały dwa wozy przed gospodą. Silne i ociężałe konie były wyprzężone i pilnie zajęte przy żłobie. Woźnicy siedzieli w izbie, przez której nizkie okna mogli doglądać koni i wozów.

Jakób i jego służący udali się do izby gościnnej. Z zarozumiałością wielkiego pana, wszedł Jakób bez pozdrowienia i usiadł przy stole. Woźnicy, którzy go znali, zdziwili się, po co on tu przyszedł. Ojciec Katynki, który z nimi siedział przy tym samym stole, wstał, by obsłużyć swego dostojnego gościa. Uczciwa, mężna twarz Gerharda okolona blond brodą, wyrażała niechęć. Jakób był nielubianym w okolicy, a i Gerhard nie miał wcale sympatyi dla tego niesympatycznego nędznika. Jakób był osławiony, że prześladuje wszystkie ładne dziewczyny, a i na Katynkę rzucił już raz pożądliwem okiem.

— Co pan baron pozwoli? — spytał Gerhard uprzejmie.

— Dajcie mi, Gerhardzie, szklankę gorącego grogu — rozkazał Jakób — dla mnie i dla mego służącego.

Kiedy mu przyniesiono, czego żądał — rzekł szeptem:

— Chciałbym od was pewnego wyjaśnienia, Gerhardzie. Szukam za małym synkiem mego zmarłego wuja, którego tej nocy uprowadziła jego wychowawczyni.

Co pan baron mówi? — zawołał zdziwiony Gerhard — panna Marta uciekła z małym baronem Walterem? Dlaczego też....

— Dlaczego? Osoba ta bezwątpienia oszalała! — szepnął Jakób. śmiejąc się złośliwie. Wzięła sobie zanadto do serca straszną śmierć swej pani i straciła rozum. Krótko mówiąc, uciekła z dzieckiem w nocy, a teraz daremnie za nią szukamy. Jest atoli podejrzenie, że skryła się tutaj. Powiedzcie, czy jest

u was, czy znalazła schronienie w waszym domu? — spytał patrząc nań chytrze.

— U mnie? Niech Bóg broni, panie baronie — odrzekł Gerhard — nie widziałem nawet śladu, ani dziecka ani wychowawczyni.

Jakóba twarz wyrażała rozczarowanie. Nie wierzył Gerhardowi i wykrzywił grymaśnie szerokie usta.

— Pewny jestem, że wychowawczyni u was jest w waszej gospodzie, i radzę wam, wydajcie mi ją wraz z dzieckiem.

Na odgłos tych słów wyniosłych, prawie że groźnych uderzyła Gerhardowi krew do twarzy — odpowiedział szorstko:

— Nie ukrywam nikogo w swym domu, panie baronie! A jeżeli pan baron nie chce temu wierzyć, to trudno, na to nie poradzę. Szukaj pan gdzieindziej, tutaj pan źle się wybrał.

Rzucił pogardliwe spojrzenie na zbitego z tropu Jakóba, udał się za ladę i zakrzątnął się około szklanek, Jakób pohamował swój gniew z powodu tej szorstkiej odprawy. Nie dał jednak sprawy za wygraną, trwał przy swem przekonaniu i dumał, jakby tu uzyskać pewność. W tem zjawił się w szynkowni nowy gość. Piotr, rudowłosy służący Sinobrodego.

Pozdrowił Jakóba i usiadł skromnie w kącie. Jakób się zdziwił. Czego tu chce ten człowiek? Piotr przyjechał konno i zdawało się, że tylko krótko zabawi w gospodzie. Prawdopodobnie — pomyślał Jakób — ma on jakieś zlecenie do Waleryi i jest w drodze do zamku Linderhof.

W rzeczywistości jednak chciał Piotr zbadać podpatrzoną swego czasu tajemnicę gospody.

Za chwilę powstał Jakób. Dłuższy pobyt w gospodzie nie miał celu. W korytarzu spotkał się z nadobną Katynką. Pożądliwem wzrokiem patrzał na tę czystą dziewicę.

— Co za wspaniałości, cudowna ma Katynko! — mówił i starał się objąć uciekającą dziewczynę. Czemu tak niedobre, moje piękne dziecię? Śmiał się i objął ją wpół.

— Jednego całusa!

— Puść mnie pan! — zawołała Katynka, rumieniąc się ze wstydu i złości, i broniła się z całej siły. Jej upór draźnił go, przycisnął dziewczynę do piersi, a usta jego szukały jej ust; atoli Katynka wymknęła się drżąca ze wstrętem, tak że jego całus nie dotknął jej wargi.

W tej samej chwili silna ręka chwyciła Jakóba i podrzuciła nim. Był to Gerhard, który groźnym głosem zawołał:

— Zuchwalcze! Precz stąd bezwstydny kobieciarzu! Biada ci, jeżeli jeszcze raz dotkniesz się mojej córki, bezwstydny łajdaku!

Jakób zatoczył się ku ścianie i mało co nie upadł. Zgrzytając zębami, zwrócił się gniewny ku napastnikowi. Z izby odezwał się szyderczy śmiech furmanów, którzy stanęli teraz w otwartych drzwiach, wynurzyła się tu także szelmowska twarz rudego Piotra, który jednak wnet zniknął. Służący Jakóba oddalił się natychmiast na widok gospodarza i czekał na dworze, przy koniach.

Jakóbem miotała wściekłość. Zacisnął pięści, jakby się chciał rzucić na Gerharda. Ale jego silna postać i groźna postawa odstraszyły go. Zgrzytał zębami i zawołał:

— Zapłacę ja wam za to, chłopie! Wasza córka nie księżniczka i zaszczyt to dla niej, że pan się do niej zbliża.

— Uciekaj, bo cię za drzwi wyrzucę! —zawołał Gerhard. A kiedy Jakób uciekł grożąc i wyzywając, pogroził mu Gerhard pięścią zaciśniętą;

— Łotrze! wołał za nim — jeżeli tu jeszcze raz przyjdziesz, zabiję cię, jak wściekłego psa!

Tymczasem Piotr, korzystając ze sposobności, dostał się niespostrzeżenie do sypialni Gerharda, która graniczyła z izbą gościnną. Nie zapomniał sceny w piwnicy, którą podpatrzył był w ow noc. Rozumował w ten sposób: Gerhard wyszedł z piwnicy, prawdopodobnie przez drzwi spustne, które znajdują się, chyba tylko w jego sypialni. Starannie badał podłogę, opukiwał deski, aż tu — zdjął go nagle strach — z głębi doszedł go głuchy ton. Był za tem na tropie, i tam, gdzie stoi szafa muszą być drzwi spustne, bo stamtąd słyszał szmer z pod ziemi.

Szybko począł odsuwać szafę, w tem — zaklął — w drzwiach otwartych stanął Gerhard. Blady ze strachu wpatrywał się w rudego. Czy odgadł, że Piotr śledzi za jego tajemnicą? Za chwilę był znowu panem siebie i przystąpił doń groźnie.

Czego szukacie w mojej izbie, co robicie przy szafie? — pytał gniewnie.

— Złotówka mi upadła — jąkał się Piotr, starając się uniknąć groźnego spojrzenia gospodarza i jego zaciśniętych pięści.

— Wynoście się! — zawołał Gerhard, wskazując na drzwi — i nie ważcie mi się jeszcze kiedy szpiegować u mnie.

Piotr nic nie odpowiedział, lecz oddalił się pośpiesznie.

— — — — — — — —
— — — — — — — —

Walerya nie odstępowała i w drugą noc od łoża Edmunda. Chory popadł, po ostatniem wzruszeniu, znowu w głęboki sen, z którego się z rana jeszcze nie zbudził. Walerya spała zaledwie kilka godzin, z brzaskiem dnia przyszedł lekarz, którego Walerya niecierpliwie wyczekiwała.

— Wszelkie niebezpieczeństwo minęło — oświadczył doktor Kloc po zbadaniu chorego. Ze snu tego zbudzi się zupełnie zdrów.

Jakkolwiek jej obecność była zbyteczną, nie chciała opuścić swego miejsca. Dzisiaj musi się wszystko rozstrzygnąć, postanowiła i miała nadzieję, że cel osiągnie. Z wdzięczności chyba wysłucha ją hrabia Edmund. Postanowiła jeszcze raz wyznać mu swą miłość, oszołomić go swoją pięknością i nie puścić go za żadną cenę.

W tem przyszedł jej na myśl Jakób. Uśmiech radosny zniknął z jej twarzy, która w tej chwili sposępniała. Jak się od niego uwolnić? O biada jej, skoro on pozna, że go oszukuje!

Ze strachem myślała także o Marcie i o małym Walterze. Czy Jakób ich schwytał? Jeżeli nie, gdzie się Marta ukrywa, skoro jej tu jeszcze nie ma? Czy może dowiedziała się o jej bytności w domu Edmunda?

Walerya siedziała w pokoju graniczącym z sypialnią hrabiego. Wtem wszedł stary Michał, a za nim wśliznął się Jakób. Ponury, wzburzony zbliżył się do wystraszonej Waleryi. Stary Michał cofnął się w milczeniu.

Co to znaczy? Czego tu chcesz? — pytała Walerya niechętnie. Czy masz tak ważne sprawy, iż nie mogłeś czekać na mój powrót?

— Wątpię — rzekł Jakób gniewnie, czy wogóle miałaś zamiar powrócić. Waleryo! znam cię dobrze. Masz jeszcze nadzieję, że się potrafisz uwolnić odemnie i te dwa dni wyzyskałaś pewnie dla swego planu.

— Przedewszystkiem — przerwała Walerya tonem zimnym, starając się być panią siebie — czy wiesz, co się tu stało?

— Wiem! Stary Michał opowiedział mi wszystko. Pielęgnowałaś więc tro-

skliwie hrabiego, ocaliłaś go od śmierci własną krwią. Zaiste, bohaterskie czyny — szydził Jakób. Bardzo to romantyczne i wzruszające. Oczywiście w nagrodę za to spodziewałaś się, że ocalony okaże się wdzięcznym i zapłonie miłością gwałtowną!

— Zapłonął tą miłością! — odrzekła Walerya niebacznie, wyzywająco — widzisz więc plan mój osiągnęłam.

— O! — — rzeczywiście? — wykrztusił Jakób. Zbliżył się do niej w groźnej postawie, a oczy jego błyszczały złowrogo. Drżał cały.

— Do dyabła Waleryo, ostrzegam cię poraz ostatni. Zapomniałaś o swoich zobowiązaniach względem mnie? Czy nie jesteś moją narzeczoną? Żądam, byś natychmiast ze mną powróciła na zamek Heiligensee i zapomniała raz na zawsze o Edmundzie.

Brutalny, rozkazujący ton jego słów podrażnił hamowaną wściekłość Waleryi. Dumnie podniosła się, jej czarne oczy ciskały iskry i nienawiść.

— Nie! — rzekła — tu zostanę. Rób, co chcesz, niewolnicą nie będę nigdy. — A teraz — ruszaj!

Jakób był zbity z tropu; na chwilę zawahał się i wpatrywał się w blade, wzburzone oblicze Waleryi. Nie mógł pojąć, skąd miała odwagę, wypowiedzieć mu jawnie wojnę.

— Czy też zastanowiłaś się nad tem, co mówisz? — spytał drżącym głosem. Zrywasz zatem nasz układ i nie chcesz moją zostać? Dobrze, giń więc! Ja nie będę znał litości, zedrę maskę z twej obłudnej, pięknej twarzy. Człowiek, którego kochasz, nigdy nie będzie twoim, jemu najpierw wszystko zdradzę! Ze wstrętem odepchnie cię od siebie i odda cię w ręce kata. Już teraz — w tej chwili idę do niego!

Zbliżył się ku drzwiom, które prowadziły do sypialni Edmunda. Walerya zaskoczyła mu drogę. Wściekła, jak podrażniona lwica, rzuciła się na Jakóba. Pierś jej ciężko dyszała, a przed dziką wściekłością w jej oczach, cofnął się Jakób mimowoli.

— Ani kroku! — zawołała — jeżeli ci życie miłe! Szalony głupcze! Sądzisz może, że nie potrafię obalić twych oskarżeń? Zdradź mnie tylko, a sam padniesz w dół, który pod mną kopiesz.

— Zapominasz, że mam w ręku dowody twej winy! — wołał Jakób głośno. I — na szatana — groźbę swą spełnię. Za chwilę dowie się hrabia o twoich zbrodniach, jeżeli nie przyjdziesz wreszcie do rozumu!

— Cicho! Chcesz, by cię usłyszeli? — syknęła Walerya w rozpaczliwym gniewie. — Nędzniku, oszalałeś! Ruszaj stąd w tej chwili! Albo — na Boga, za pierwszem słowem zdrady, pchnę ten sztylet w twe serce.

W tej samej chwili wyjęła z bocznej kieszeni swej sukni sztylet indyjski. Stal błysnęła w oczach Jakóba, który odskoczył przestraszony. Nie wątpił ani na chwilę, że Walerya spełni swą groźbę, jeżeli ją doprowadzi do ostateczności. Na chwilę stracił równowagę, i nim mógł odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i wszedł hrabia Edmund.

Zbudził się dopiero kilka chwil temu, a usłyszawszy w sąsiednim pokoju wzburzone głosy, ubrał się pośpiesznie. Zdziwiony patrzał badawczym wzrokiem na Waleryę i Jakóba, którzy straciwszy równowagę, nie mogli ani słowa wyrzec, ani ruszyć się z miejsca i patrzali na wchodzącego, jakby nagle zjawił się upiór. Także hrabia Edmund nie mógł znaleźć słów.

Nagle ruszył się Jakób. Twarz jego wyrażała zdecydowanie a oczy jego podstępnie śledziły nieruchomą Waleryę. Ogarnęła ją śmiertelna trwoga. Czy on chce spełnić swą groźbę, chce ją

zdradzić? . . .

Musi temu przeszkodzić za wszelką cenę. Stanowczym ruchem odepchnęła Jakóba i rzuciwszy mu straszne spojrzenie — mówiła prędko:

— Drogi Edmundzie, kochany przyjacielu — przerwała swą serdeczną przemowę — dobrze, że się pan zbudziłeś teraz właśnie. Jestem bardzo wzburzona, trudno, mi w to uwierzyć, co mi właśnie doniósł baron Jakób.

— Boże! co się znowu stało? — spytał przestraszony hrabia i zwrócił się do Jakóba. Nim jednak on mógł odpowiedzieć, rzekła Walerya:

— Baron doniósł mi, że panna Marta uprowadziła małego Waltera. Ubiegłej nocy zniknęła wraz z chłopcem z pałacu i . .

— Wielki Boże! — przerwał jej Edmund — jak się to stało?

Jakób wzruszył ramionami i niezdecydowany zwrócił się ku Waleryi, która nie spuszczała z niego oka. Wzrok tej szatańskiej kobiety, posiadał nadzwyczajną moc hypnotyzowania, ubezwładnił go i jakby mu wzrok ten mowę odebrał, zdradzieckie słowa zamarły na ustach Jakóba. Opanowały go tchórzostwo i trwoga, a Walerya śmiała się szyderczo w poczuciu swego zwycięstwa. Na razie nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Zaraz przy wejściu hrabiego Edmunda ukryła była zręcznie sztylet we fałdach sukni, a teraz nieznacznie schowała go do kieszeni. Nie przypuszczał więc wcale hrabia Edmund, jaka się tu scena odegrała między Waleryą a Jakóbem; zwłaszcza, że i Jakób począł grać rolę wyznaczoną mu przez Waleryę. Tem samem nie wyrzekł się wcale zemsty i pocieszał się nadzieją, że Walerya w każdym razie musi spełnić jego wolę.

Potwierdził więc słowa Waleryi. Że szukał daremnie za zbiegłą wychowawczynią i małym Walterem, obecnie uważał za swój obowiązek donieść o tem Waleryi i Edmundowi. Podczas tego opowiadania udawała Walerya bezgraniczny ból i rozpacz, jakby kochała małego Waltera, jak własne dziecko.

— Biedne dziecko! Dokąd też ona z nim uciekła? I mej właśnie opiece powierzony był mały Walter i to pan, kochany Edmundzie, oddałeś mi go — a ja nieszczęsna, zawiniłam, że tak źle czuwałam nad niewinnem dzieckiem.

— Kochana Waleryo — pocieszał hrabia Edmund obłudnicę. — Nie twoja w tem wina. Ale dlaczego uczyniła Marta ten szalony krok? To jest dla mnie zagadką. Kocha ona tak bardzo to dziecko, więc nie powodował nią chyba żaden zbrodniczy cel.

Jakób i Walerya zamienili szybko znacząco spojrzenia. Potem rzekł Jakób przekonywująco:

— Bezwątpienia miała jakiś cel, panie hrabio, skoro porwała dziecko. Wychowawczyni jest bezprzecznie narzędziem w rękach nieznanej osoby, w której interesie leży uprowadzenie i zniknięcie dziecka.

— Niewątpliwie, tak się rzecz ma — mówiła Walerya. — Sprawcą moralnym tej nowej zbrodni jest z pewnością ów tajemniczy kochanek Agaty, z którym miała schadzkę w ów krytyczny wieczór przed śmiercią męża. Wychowawczyni stoi w związku z tym nieznajomym.

— Nie, nie! To być nie może — przerwał hrabia Edmund. — Waleryo, myli się pani, nie ma mowy o kochanku. Ona nie była wiarołomną żoną, a ów nieznajomy, o którym pani mówi, to była kobieta.

— To starała się Agata wmówić w pana — zawołała Walerya, śmiejąc się szyderczo. — Ale kłamała. Ja i baron

Jakób widzieliśmy dokładnie tego tajemniczego człowieka. Zresztą, gdyby to była w rzeczywistości kobieta, nieomieszkałaby Agata wyzyskać dla siebie tę okoliczność przed sądem. Dlaczego więc nie wystąpiła owa zagadkowa osoba, by złożyć świadectwo przychylne dla Agaty? Dlaczego ścierpiała to, by Agatę skazano na śmierć jako morderczynię i wiarołomną żonę? Nie, wszystko tu jasne, jak słońce, to był mężczyzna, kochanek Agaty, jej współwinny, bo on to pchnął Agatę do zbrodni, jaką popełniła na mężu.

— Waleryo! nie mów pani w ten sposób, błagał hrabia Edmund. Nie potępiaj pani Agaty, przez wzgląd na mnie. Nie, ja się nie mylę, nie chcąc i nie mogąc uznać winy Agaty. Co prawda i dla mnie jest zagadką, dlaczego Agata odmówiła wszelkich wyjaśnień co do owej nieznajomej osoby. Musiała mieć ku temu poważne powody. — Wzięła niestety tajemnicę ze sobą do grobu i chyba już jej nigdy nie odkryjemy. — Lecz dajmy temu pokój, dodał po chwili z westchnieniem. W tej sprawie nie będzie — zdaje się — nigdy między nami zgody Jednak podejrzenie pani nie jest mi zrozumiałem, jaki cel miałaby owa nieznajoma, by dostać małego Waltera w swe ręce?

— Ależ kochany Edmundzie, zamiary tego człowieka są jasne jak słońce. Chce on zagarnąć majątek dziecka! To moje święte przekonanie.

Niedowierzająco potrząsnął hrabia głową. Przypuszczenie takie wydało mu się bezpodstawnem. Z drugiej jednak strony nie mógł pojąć, w jakim celu wychowawczyni uprowadziła dziecko. Aby ochronić Waltera przed grożącem mu niebezpieczeństwem? Dlaczego w takim razie nie schroniła się do niego? Walerya patrzała badawczym wzrokiem na posępnego i zamyślonego Edmunda. Czy nie odkryje on prawdy?

— Najlepiej będzie — rzekła po chwili — jeżeli baron Jakób zechce prowadzić dalej swe poszukiwania. Pan sam, kochany Edmundzie, nie możesz brać w nich udziału, jeszcze nie wróciłeś zupełnie do zdrowia i musisz na siebie uważać. Miejmy nadzieję, że niedługo trafimy na ślad biednego dziecka i wychowawczyni.

— Tak, tak, trzeba bardzo gorliwie szukać — potwierdził hrabia Edmund. Idź pan, kochany baronie — tu zwrócił się do Jakóba — poproś policyę o pomoc w poszukiwaniach. To będzie najlepszy sposób.

— Zastosuję się do rady pana, panie hrabio — odpowiedział Jakób. Na ustach jego drgał nieznacznie ironiczny uśmiech. Pożegnał Edmunda, poczem zbliżył się do Waleryi, która wcale nie miała ochoty oddalić się z nim.

— Chodź! — szepnął rozkazująco.

— Jeszcze nie — odpowiedziała wyzywającym tonem.

— Musisz! — Ja chcę i rozkazuję!

— Głupcze — odpowiedziała gniewnie. — Czy nie rozumiesz, że muszę czuwać? Wychowawczyni może tu za chwilę przyjść z dzieckiem, a wtedy...

— Widzę tylko tyle, że mnie zdradzasz i oszukujesz.

— Milcz i ruszaj — rzekła szeptem — rzucając nań wściekłe spojrzenie i odwróciła się doń tyłem.

Podczas tej krótkiej sceny, pogrążony był hrabia Edmund w posępnem zamyśleniu. W chwili, gdy Walerya się doń zbliżyła, otworzył stary Michał drzwi — na progu ukazała się Marta, trzymając za rękę małego Waltera. Jakób i Walerya oniemieli z osłupienia.

Rozdział 11.

Dwie żony Sinobrodego pod ziemią.

Kilka godzin leżała nieszczęśliwa Gertruda bez przytomności w swem do grobu podobnem więzieniu. Nie słyszała wołania swej towarzyszki niedoli, nie słyszała pukania ani silnych uderzeń w żelazne drzwi, dzielące ją od Józefy.

Po pewnym czasie zaprzestała Józefa pracy, nie zdołała otworzyć żelaznych drzwi. Wołała, a ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, oddaliła się. Tymczasem poczęła omdlała Gertruda wracać do przytomności. Podniosła się z trudem z twardej, mokrej ziemi i zdawało się, że straci zmysły, na wspomnienie tego, co przeżyła. Ciemność grobowa dookoła niej i śmiertelne milczenie napełniały jej duszę straszną trwogą. Dokuczał jej głód. Chyba nie długo uwolni ją śmierć od tych katuszy.

Lecz nie chciała jeszcze umrzeć. Była młodą i gwałtownie odezwała się w niej żądza życia. Nie ma więc dla niej ratunku? Ma więc tu, w tym strasznym grobie, zginąć straszną śmiercią głodową?

Przypomniała sobie nagle Józefę. Może jej ona pomoże?

Z całej siły uderzyła w żelazne drzwi i zawołała rozpaczliwym tonem:

Józefo, Józefo! Gdzie jesteś? Zlituj się, pomóż mi!

Wytężony jej słuch odróżnił szybko zbliżające się kroki, za drzwiami odezwał się głos Józefy:

— Biedna ty! Żyjesz jeszcze? Gdybym ci tylko mogła dopomódz. Wszelkie moje usiłowania, by drzwi otworzyć, spełzły na niczem. Spro buję jeszcze raz. Może Bóg się zlituje, nie rozpaczaj!

Znowu odezwały się uderzenia w drzwi żelaznem narzędziem. Wśród nadziei i rozpaczy padła Gertruda na kolona i wyciągnęła błagalnie ręce. Minął dłuższy czas, usiłowania Józefy nie osiągły na razie skutku. Przerwała prace, zrozpaczona i znużona. Gertruda słyszała z za drzwi jej ciężki oddech.

— Daj spokój, Józefo! — zawołała wśród łez. Nie pomożesz mi, siły twoje nie wystarczą, by usunąć przeszkodę, która nas dzieli.

Nieszczęśliwa popadła znowu w omdlenie, życząc sobie śmierci. Jednak Józefa rozpoczęła na nowo swą pracę. Siły jej rosły. Ciężkie drzwi żelazne zadrżały pod jej silnymi ciosami i nagle — pękły spusty i drzwi się otwarły.

Gertruda nic więcej nie słyszała. Zdawało się że duch jej uleciał już. Słaby promień świetlany padł do ciemnej celi i weszła Józefa, trzymając w ręku zapaloną latarnię, postawiła ją na ziemi i nachyliła się nad omdlałą.

— Biedne dziecko! — szeptała i łza spłynęła po jej licach na blade oblicze nieszczęśliwej Gertrudy. Tak młoda i piękna! Padła ofiarą strasznego, zwierzęcego rozpustnika, który ją skazał na wieczne męczarnie!

Wstała i przyniosła srebrne naczynie, podobne do kielicha, napełnione wodą. Skropiła twarz omdlałej. Za chwilę otworzyła oczy, wydała okrzyk stłumiony i wyciągnęła ręce ku swej zbawicielce, zalewając się łzami. Objęła ją Józefa i łkając uścisnęły się nieszczęśliwe kobiety.

Gertruda oparła głowę na ramieniu swej towarzyszki i razem z nią opuściła chwiejnym krokiem swe dotychczasowe więzienie.

Józefa zamknęła drzwi i obie kobiety weszły w przestrzeń szeroką i długą, której sufit i ściany tworzyły popękane fantastyczne skały.

Był to grobowiec, jak o tem świadczyły liczne o ściany oparte trumny. Grobowiec rozciągał się pod górą w szeroką dal.

Nieszczęśliwe kobiety nagle skręciły i Józefa otworzyła w murze skały, wązkie drzwi. Weszły do podziemnej kaplicy, w której w dawnych czasach odprawiano zdaje się, nabożeństwa żałobne. Był tu ołtarz z krzyżem, kilka stołków, wielka szafa i rozmaite rupiecie. Przy jednej ścianie było łoże ze starych na pół zgniłych kołder. Na to posłanie opadła osłabiona Gertruda. Józefa przyniosła z szafy żywność i pokrzepiła zgłodniałą. Żywność ta składała się z pieczonych ryb i gotowanych jaj ptasich.

Zdziwiła się Gertuda. Nie mogła pojąć, skąd Józefa wzięła te skarby, tu, w tym grobowcu, odcięta od świata i ludzi. Jak się to wogóle stało, że Józefa mogła tu żyć pół roku? Na jej pytanie odpowiedziała Józefa wymijająco.

— Śpij, moja kochana — rzekła uśmiechając się smętnie. Śpij, trzeba ci spokoju. O wszystkiem dowiesz się jutro, opowiem ci moje losy.

Gertruda, która rzeczywiście czuła śmiertelne znużenie, przymknęła posłusznie oczy i popadła w sen głęboki. Spokojnie siedziała obok niej na krzesełku Józefa i litosnym wzrokiem parzała na swą towarzyszkę niedoli.

— Więc nie jestem samotną — szeptały jej usta. Złożyła ręce jakby do modlitwy i łzy gorące zabłysły w jej oczach. — Bóg mi ciebie zesłał, nieszczęśliwa kobieto.

Posępnie wpatrywała się w światło latarni i śledziła spokojny oddech śpiącej. Słusznie nazywano ją "piękną Józefą." Jeszcze i teraz, mimo cierpień, była zjawiskiem cudownem. Wspaniałe, bujne czarne włosy spadały na jej ramiona. Jej wysmukła postać, zdradzała pełne formy dojrzałej kobiety.

Co prawda, pozostawił na jej klasycznie pięknej twarzy wyraźne ślady bieda i nędza, zgryzota i rozpacz. Jej cera dawniej pełna życia, była trupio bladą. Tylko wielkie czarne oczy błyszczały jak brylanty, w ramach wysoko sklepionych cudownych brwi. Jakby tchnienie tajemnicze otaczało istotę, w ponurem jej otoczeniu, w sukni jedwabnej, łatanej, w świetle latarni, zdawało się, jakby dawno już pochowana powstała z jednej trumny tu, w grobowcu.

Gdyby ją Gertruda spotkała była w tym stanie tam, na górze, w świetle jasnym, przestraszyłaby się jej niewątpliwie. Żywy trup, bawiła tu Józefa w otoczeniu trumien i umarłym skarżyła się, na swój los bolesny.

Ale teraz nie była już samą. Jej usta szeptały słowa dziękczynne, zdawało jej się, jakoby w postaci Gertrudy zstąpił do niej anioł z nieba, by ją pocieszyć w jej strasznej samotności.

Zgasiła światło, ułożyła się u boku Gertrudy i zasnęła. W grobowcu panowała wieczna ciemność, bez względu na to, czy na świecie był dzień, czy też noc. Prawie równocześnie zbudziły się obie kobiety. W ciemności wzdrygnęła się Gertruda i trwożnie przytuliła się do swej przyjaciółki.

— Czekaj, przyniosę światło — rzekła Józefa.

Po omacku znalazła latarnię i poszła. Znała widać dokładnie swą drogę, bo chód jej był pewny, jakoby dookoła niej był jasny dzień. Po kilku chwilach wróciła ze zaświeconą latarnią do kaplicy, trwożnie oczekiwała ją Gertruda, jak dziecko pozostawione przez matkę w ciemności. Józefa postawiła latarnię na ołtarzu, wyjęła z szafy znowu kilka gotowanych jaj i resztę pieczonej ryby i razem z Gertrudą zasiadła do skromnej wieczerzy. Potem piły wodę z kielicha. Gertuda zdziwiła się, że woda taka świeża i czysta, zdawało się jej to wszystko czarodziejstwem.

— Powiedz mi kochana Józefo — prosiła — skąd bierzesz te środki żywości i tę wspaniałą wodę źródlaną? Skąd przyniosłaś światło? Nie pojmuję tego. Czy jaka litościwa istota zaopatruje cię potajemnie w żywność?

Posępnie zaśmiała się Józefa i z westchnieniem ujęła rękę Gertrudy, do drugiej ręki wzięła latarnię i rzekła:

— Chodź! pokażę ci nasze państwo podziemne i wszystko ci wytłumaczę.

Wsparta na ramieniu swej tajemniczej przyjaciółki opuściła z nią Gertruda kaplicę. Nie szły na prawo, gdzie były drzwi, które udało się pierwej Józefie otworzyć, lecz skierowały swe kroki w przeciwną stronę. Tajemniczo migotało światło i rzucało czarne fantastyczne cienie na ściany skaliste, zdawało się, jakoby poruszały się duchy umarłych. Gertruda drżała ze strachu na całem ciele. Bała się, że za chwilę otworzą się te trumny i powstaną z nich zmarli, by zemścić się na niej za to, że mąci ich spokój.

Grobowiec rozciągał się daleko. W oddali spostrzegła Gertruda mgławą jasność, jakby słabe promienie świetlne. Za każdym krokiem rozpraszały się ciemności i nagle na skręcie, ukazało się jej zdziwionym oczom jasne światło dzienne.

Jak wryta przystanęła Gertruda i napawała swe oczy radosnym widokiem światła niebiańskiego. Więc może z grobowca było wyjście?

To było jej pierwszą myślą. Szybko pośpieszyła dalej, tak że Józefa tylko z trudnością mogła jej dotrzymać kroku. Wnet jednak przystanęła, bo już obok niej była przepaść, a tam w dole uderzały bałwany morskie o skały.

Strapiona spoglądała Gertruda w dół, opanowało ją uczucie przygnębiającego smutku. Nic, nie ma niestety wyjścia z tego więzienia, bo skok w tę przepaść równa się śmierci. Tęsknym wzrokiem wpatrywały się w dal nieszczęśliwe kobiety. Daleko i szeroko rozciągało się niebieskie morze, nęcąc ku sobie nieszczęsne ofiary, a nad morzem wznosiło się niebo wysokie jasne, białe jego chmury przeglądały się w błyszczących falach. Gdyby mieć skrzydła i wyfrunąć w świat Boży, cudownie się śmiejący, jak te białe mewy, unoszące się nad falami lotem strzały.

A tu na horyzoncie widnieją białe żagle. To okręt bieży w swoją drogę, nie przeczuwając, że tu dwie pary oczu śledzą z utęsknieniem każdy ruch jego.

— Gdybyśmy tylko mogły dać znak temu okrętowi, — westchnęła Gertruda i gorzko zapłakała.

— Okręt daleko od nas — odpowiedziała Józefa. Nie pierwszy to raz widzę okręt, próżno wołałam i dawałam znaki. Patrz, tam w górę — mówiła Józefa dalej i wskazywała ku skale. Tam w górze pali się dniem i nocą czerwona latarnia i rzuca światło daleko na morze, ale nie zwabi zbawiciela dla nas.

Dopiero teraz spostrzegła Gertruda tuż nad głową kulistą ampułę, rzucającą daleko światło, jak krwawa gwiazda. Wśród ciemnych nocy widzieli żeglarze na morzu to tajemnicze światło z grobowca i nie mogli zrozumieć co ono oznacza. Nikt nie ważył się zbliżyć czółnem do tego miejsca, bo wybrzeże tu było bardzo niebezpieczne. Dwóch młodych rybaków, którzy w jasną noc księżycową ważyli się na tę szaloną wyprawę, znalazło śmierć w wezbranych bałwanach morskich. Od tego czasu mijały okręty to niebezpieczne miejsce a zabobonni żeglarze żegnali się na widok tajemniczego światła.

— Kiedym tu przyszła pierwszy raz — tłumaczyła Józefa, świeciła się już ta lampa. Tu to zapalam swoją latarnię i stąd biorę oliwę, której tu zawsze podostatkiem, jakby o to duchy się starały.

— W takim razie mieszka tu w dole żyjąca istota — rzekła Gertuda, człowiek, który mógłby wyjść na światło dzienne. Czy nie spostrzegłaś tu nigdy śladu człowieka?

— Nie tłumaczyła Józefa, byłam zawsze samą.

— A skąd masz środki żywności? — badała Gertruda.

Józefa ujęła ją za rękę i przez otwór w skale poprowadziła ku wyjściu. Tu było dookoła wolne pole, stały na daleko wysuniętej skale. Przed niemi morze, za niemi stroma ściana górska a w dali, gdzie okiem sięgnąć, rozciągało się skaliste wybrzeże.

— To moja spiżarnia — tłumaczyła Józefa, śmiejąc się posępnie i wskazała na niezliczone gniazda mew i ptaków morskich. Znajduję tu więcej jaj, aniżeli mnie trzeba. Głodu cierpieć nie będziemy, kochana Gertrudo, bo i morze stara się o dostateczną żywność dla nas. Wnet będzie przypływ, wtedy fale sięgają aż do tego miejsca i zalewają otwór grobowca. A kiedy woda odpływa, zostawia w szparach i otworach skalistej podłogi mnóstwo ryb i innych zwierzątek morskich.

Potem wskazała na źródło które w srebrzystych promieniach wytryskało ze skały i z szumem spływało w morze. Zdziwiona patrzała na to Gertruda, pomagając Józefie w zbieraniu jaj. Wnet nazbierały większą ich ilość i wróciły do grobowca. Z gruzów rozpadłych trumien i suszonych zielsk morskich miała Józefa poddostatkiem paliwa do gotowania swych pożywień. Naczynie znalazła w kaplicy.

— Kochana Józefo — rzekła Gertruda, skoro znowu siedziały razem w kaplicy, chciałaś mi opowiedzieć historyę swego życia. Czy i ty nie miałaś pojęcia, za jakiego nędznika wyszłaś za mąż? Opowiedz, w jaki sposób zostałaś żoną Sinobrodego? W jaki sposób odkryłaś jego straszną tajemnicę i wtrąconą zostałaś do tego grobowca?

Blada twarz Józefy sposępniała, ciężko westchnęła i oczy jej zaszły łzami.

— Dobrze kochana moja! — rzekła i objęła serdecznie siędzącą obok Gertudę. Dobrze, opowiem ci swe smutne losy, potem i ty ulżysz swemu sercu.

My, któreśmy się dawniej nigdy nie widziały, jesteśmy obecnie silnie złączone tem samem strasznem fatum, zdaje mi się, że to wszystko musiało się tak stać a nie inaczej, że to zrządzenie Boga, który na nas zesłał ten sam los, byśmy wspólnie zdemaskowały i usunęły to zwierzę w ludzkiej postaci. Bo pewnego dnia w to święcie wierzę i ufam — będziemy oswobodzone, a wtedy dowie się świat, kim jest krwawy Sinobrody w rzeczywistości i pozna jego zbrodnie. Wtedy my nieszczęsne kobiety pomścimy się strasznie, także za te trzy inne ofiary które ten nędznik zamordował.

Józefa wstała jej postać zdawała się rość, a oczy błyszczały świętym gniewem i jakby do przysięgi wyciągnęła przed się prawicę, jak marmur białą. Wyglądała majestatycznie i mimowoli uczuła Gertruda pewien strach, gdy spoglądała na jej dumną twarz, pełną gniewu i nienawiści.

— Gdyby wiedzieli, że ja tu żyję — biada mu, byłby stracony, — mówiła Józefa i usiadła znowu obok Gertrudy. Mam możnych przyjaciół i jestem przekonaną, że oni ciągle jeszcze za mną szukają. Sinobrody wie o tem. Wie, że znam wszystkie jego tajemnice i że zgubionym będzie, skorobym uzyskała wolność. Moja Gertrudo, nie wiesz ty wcale, kim jest ten nędznik, którego żonami zostałyśmy, my nieszczęsne kobiety!

Nie byłyśmy wcale hrabinami Wildenfels, lecz żonami zwykłego oszusta. Prawdziwy hrabia Wildenfels zginął gdzieś w Afryce; służący sprzedał go w niewolę, a sam wrócił i przybrał imię i tytuł swego pana. Tajemnicę tę ja jedna tylko znam i jego siostra, Walerya.

W osłupieniu słuchała Gertruda opowiadania Józefy.

— Wszechmocny Boże! — zawołała. Skąd ty o tem wiesz?

— Sam Sinobrody zdradził się — oczywiście wbrew swej woli. Siostra jego Walerya była na zamku Wildenfels, wtedy podsłuchałam ich rozmowę, z której się o wszystkiem dowiedziałam.

Józefa nagle urwała i wytężyła słuch. Głuchy łoskot dochodził jej ucha, zgrzyt, jakby gdzieś w dali otwierano zardzewiałe drzwi żelazne.

— Czy słyszysz? — wyszeptała Józefa i zerwała się ze swego siedzenia. Ktoś przychodzi!...

— Sinobrody... — zawołała drżąca Gertruda. Niech nas Bóg ma w swej opiece!

Józefa szybko zarzuciła kapę na latarnię, i nagle zaległa kaplicę grobowa ciemność. Potem przystąpiła do na pół otwartych drzwi i śledziła, co się dzieje w grobowcu.

W oddali błysnęło światło, zbliżały się kroki. Józefa przymknęła drzwi, tak że została tylko wązka szpara, przez którą wyglądały nieszczęśliwe kobiety. Spostrzegły postać męską, trzymającą w ręku zaświeconą latarnię i potężny pęk kluczy.

Był to Sinobrody, poznała go nieszczęśliwa Gertruda, gdy padł na jego twarz straszną promień świetlany, na jego widok zdjęła ją śmiertelna trwoga. Czego on tu chce? Czy odezwało się w nim sumienie i skrucha zagnała go w to miejsce? Czy chce widzieć, co się z jego ostatnią ofiarą stało — czy ją chce uwolnić? Nie, w jego dzikich oczach nie było ani śladu litości. Chciał się — zdaje się — —tylko upewnić, że ona nie żyje, a ponieważ jej nie znalazł we wejściu do grobowca i spostrzegł, że drzwi żelazne są otwarte, zbudziło się w nim podejrzenie.

Śledząc dookoła, kroczył między trumnami.

— Gertrudo! — Gertrudo! — wołał. Tu przecież być musi, zgrzytnął. Drzwi były zamknięte. Gdzie się też skryła. Lecz znajdę ją, a jeżeli żyje, wtedy...

Kroki jego zagłuszyły dalsze jego słowa. Drżąc ze strachu, patrzała za nim Gertruda.

Biada jej i nieszczesnej Józefie, jeżeli je Sinobrody odkryje!

Rozdział 12.

NOWY MORD.

Wśród burzliwej nocy przepędziła wierna Marta z małym Walterem długie godziny w strasznej trwodze. Ze świtem, gdy burza przestała nieco szaleć i Jakób się oddalił, udała się z dzieckiem do gospody "Pod pełnym dzbanem." Widziała przejeżdżającą Waleryę i domyśliła się, że zdąża ona do rezydencyi. Dlatego nie chciała udać się natychmiast w dalszą drogę, by się nie spotkać z Waleryą. W gospodzie przyjęto ją życzliwie, ukryta, widziała Jakóba, jak przybył i jak z niczem odjechał. Była przyjaciółką Katynki i za nic w świecie nie zdradziliby jej ani Gerhard ani Katynka. Chętnie zatrzymaliby oni Martę i Waltera u siebie. Lecz wychowawczyni nie czuła się w gospodzie dość bezpieczną. Według niej, mógł zupełne bezpieczeństwo dać biednemu dziecku tylko hrabia Edmund. Wieczorem pojechała wózkiem Gerharda do rezydencyi. Z powodu spóźnionej pory nie udała się natychmiast do hrabiego, lecz przenocowała z dzieckiem u przyjaciółki, która w mieście posiadała sklep towarów modnych. Z brzaskiem dnia udała się wierna Marta z małym Walterem do pałacu hrabiego, nie przeczuwając nic złego. Przyjął ją życzliwie stary Michał i wpuścił natychmiast do pokóju, gdzie się znajdowali jego pan, Walerya i Jakób.

Na widok ich, zadrżała Marta nie mniej niż oni. Przystanęła w drzwiach, blada i drżąca przycisnęła do piersi małego Waltera, jakby go chciała ochronić i trwożliwym wzrokiem śledziła Waleryę i jej wspólnika.

Walerya prędko zyskała równowagę i zawołała:

— Patrzcie! Nareszcie przybyła z dzieckiem! Skąd pani przychodzi? To szaleństwo, uciekać z dzieckiem w nocy wśród takiej burzy Napędziła nam pani nie mało strachu.

Zmierzyła wychowawczynię wzrokiem pełnym nienawiści i wyrwała gwałtownie z jej objęć małego Waltera.

— Nie powierzymy pani więcej chłopca — rzekła z dobrze udanym gniewie. Jesteś pani wolną! — Chodź moje dziecię! Chcę ci być matką! — dodała, udając serdeczność i troskliwość i złożyła Judaszowy pocałunek na blond lokach małego Waltera.

Lecz dziecię jakby przeczuwając wroga swego w Waleryi, nie chciało u niej zostać, zapłakało i wystraszone pobiegło do biednej Marty, trzymając się silnie jej sukni i ukrywając twarz w jej fałdach.

—Wolną jestem?! — zawołała drżąca Marta i wzburzona, bez obawy, z oczyma błyszczącemi, przystąpiła do Waleryi. Nie wydrze mi pani tego biednego, osieroconego dziecka, które mi matka powierzyła w obliczu śmierci! Nie odstąpię go za nic w świecie! Pytasz pani, dlaczego z dzieckiem uciekłam z zamku? Udajesz, że o niczem nie wiesz. A ja ci powiem, pani i ba-

ron Jakób zmusiliście mnie do tego kroku, do tej ucieczki!

— Co? — Co ona mówi? Jak ona śmie tak do mnie mówić?! — zawołała Walerya wyniośle i rzuciła wychowawczyni spojrzenie pełne jadu i nienawiści.

— Osoba ta straciła chyba rozum — rzekł Jakób pogardliwym tonem.

Hrabia Edmund stał osłupiały i wzrokiem pełnem zdziwienia patrzał na Martę, to znów na Waleryę

Wtem przypadła doń Marta, trzymając za rękę małego Waltera. Drżącym, błagalnym głosem zawołała wśród łez:

— Panie, wysłuchaj mnie! Obroń to biedne dziecię, którego życiu grozi niebezpieczeństwo właśnie od tych, którzy mnie oskarżają. Baron Jakób i panna Walerya postanowili śmierć Waltera. Nienawidzą tego niewinnego dziecka, jak nienawidzili jego biednej matki. Podsłuchałam ich plan i w nocy, kiedy wtargnęli do pokoju, żeby wykonać swój niecny zamiar, wtedy...

Tu musiała Marta urwać. Walerya stanęła nagle między nią a osłupiałym Edmundem, na jej widok zamilkła Marta. Oczy szatańskiej Waleryi ciskały iskry gniewu, blada i drżąca na całem ciele zawołała:

— Oszczerco! Nędzo! Co za szalone kłamstwa! Mnie i barona oskarżasz, żeśmy chcieli dziecko zgładzić?! Zasłużyłaś na więzienie za to złośliwe kłamstwo!

— Dom waryatów byłby odpowiedniejszem schronieniem dla tej bezwątpienia szalonej kobiety! — odezwał się Jakób. Bo chyba każdy przyzna, że ona — no, w najlepszym wypadku — cierpi na halucynacye.

— Co? — zawołała Marta, próżno starając się panować nad sobą. Wielki Boże! Chcą ze mnie zrobić kłamcę, waryatkę! A przecież zastanawialiście się nad tem razem, jakby dziecko sprzątnąć ze świata.

— Panie hrabio! — zwróciła się Marta do Edmunda. Zaklinam cię, wierz mi, to święta prawda, co mówię. Siedziałam obok śpiącego dziecka i znużona popadłam w pół sen. Nagle zbudziłam się — doszedł mnie okrzyk przejmujący zgrozą, u łóżka małego Waltera zobaczyłam postać —na której widok zdjął mnie strach. Poznałam swą nieszczęśliwą panią —jej ducha.

Wychowawczyni urwała, bo z piersi Edmunda wydarł się stłumiony okrzyk. Oczyma na pół otwartemi patrzał na Martę.

— Jej — duch? — Boże wszechmocny!

—Tak! Duch matki ocalił małego Waltera! — zawołała Marta głośno i uroczyście. Właśnie chciał baron Jakób dokonać zbrodnię. Spłoszył go duch. Porwałam dziecko i uciekłam. Pod posągiem Matki Boskiej przy drodze schroniłam się przed burzą i pogonią. Niedługo też zjawił się baron Jakób, lecz nie odkrył nas na szczęście i potem szukał napróżno za nami w gospodzie "Pod pełnym dzbanem."

— Co? Więc byłaś przecież w gospodzie?! — zawołał wściekły Jakób. Więc oszukał mnie ten nędznik — gospodarz!

— Tak — odpowiedziała Marta. Dzielny ten człowiek obronił nas przed panem. Miał litość dla biednego dziecka i nie chciał, by wpadło w ręce mordercy!

— Kobieto! — zgrzytnął Jakób wściekły i twarz jego wykrzywiła się groźnie. Dość już mam tego! Jeszcze słowo, a biada ci!

— Daj spokój — rzekła Walerya i uspakajająco ujęła wzniesioną rękę Jakóba. Daj spokój — powtórzyła. Cóż nas dochodzą gadania szalonej!

Głos jej był zupełnie spokojny i tylko błyszczące oczy zdradzały, jak bardzo była wzburzona. Postanowiła zbić oskarżenia niebezpiecznej nieprzyjaciółki. Lecz biada jej, jeżeli hrabia Edmund uwierzy Marcie. Stracone wtedy jej nadzieje, że posiędzie go kiedyś, a nadto jej i Jakóbowi grozi wtedy poważne niebezpieczeństwo. Gdyby mogła zwalić całą winę na Jakóba, uczyniłaby to chętnie, poparłaby nawet wtedy oskarżenie Marty.

I zdawało się, że hrabia Edmund wierzy w winę Waleryi i Jakóba. Zwłaszcza Waleryę śledził wzrokiem, jakby ona nagle stała się dlań wężem jadowitym Dyszał ciężko, oparł się o poręcz krzesła i daremnie szukał ciężko, by wyrazić to, co go napełniało strachem i trwogą. Korzystając z jego osłupienia, przystąpiła doń Walerya i wskazując ruchem pogardliwym w stronę Marty, rzekła, udając obrażoną niewinność:

— Kochany przyjacielu, spodziewam się, że nie zważasz na szalone oskarżenie tej złośliwej osoby. Uważam za zbyteczne powiedzieć choćby tylko jedno słowo na swe usprawiedliwienie. Tylko szaleństwo albo oszczerstwo mogło wpaść na podobny pomysł! Ja i baron Jakób czyhamy na zgubę tego dziecka osieroconego, które kochamy i pielęgnujemy! A to dla czego? Tak, teraz zyskuje na wadze moje poprzednie podejrzenie, że ta tu kobieta, zła i podstępna, stoi w związku z tajemnym wrogiem dziecka. Z jego polecenia uprowadziła dziecko, lecz nasze zabiegi i pogoń udaremniły jej plan, a teraz zmyśliła tę bajkę, by siebie uniewinnić.

— Tak, niewątpliwie, tak być musi! — zapewniał Jakób.

— Nie, nie wierzę temu — odparł hrabia stanowczo. Dobra Marta nie da się użyć do takiej zbrodni. Znam ja ją lepiej i wiem, że chętnie odda własne życie, za życie ukochanego Waltera. Nie przypuszczam też ani na chwilę, by była zdolną do podobnych złośliwych wymysłów.

— Co? — przerwała blada Walerya gwałtownie. Więc wierzysz, hrabio w niecne oszczerstwa tej nędznicy?

— Uspokój się pani, panno Waleryo — mówił hrabia. Jakżebym mógł posądzać panią o coś podobnego?!

Zwrócił się ku wychowawczyni, niemej ze strachu, ujął jej rękę i rzekł życzliwie i łagodnie:

— Kochana panno Marto! W dziwnym szale pani jesteś. Śniłaś tylko pani o owej strasznej scenie, nie widziałaś ani ducha, ani barona Jakóba. Zdawało się pani, że się to rzeczywiście wszystko stało. To moje przekonanie. Mam nadzieję, że i pani się przekonała, że twoje posądzenia są niesłuszne. Niechże więc pani poprosi pannę Waleryę i barona Jakóba, by o wszystkiem zapomnieli, nie wątpię, że przebaczą pani.

Uśmiech radosny, szyderczy, wykrzywił szerokie usta Jakóba. Znacząco spojrzał na Waleryę. Lecz ona milczała. Nienawistnem okiem patrzała .porczywie na Martę, która namiętnie lecz stanowczo w te odezwała się słowa:

Nie, panie hrabio! To nie był sen! Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę. Daj wiarę mym słowom, panie hrabio, a nie wierz tym tu, zaklinała go głosem, który dziwnie nań działał.

Łkając, padła na kolana, lewem ramieniem objęła Waltera prawą rękę wyciągnęła ku hrabiemu i zawołała:

— Panie hrabio! pomnij pan na przyrzeczenie, dane mej biednej pani w jej godzinie śmierci. Otocz pan teraz swą opieką to niewinne dziecko i zostaw mnie przy niem. Nie daj bezbronnego dziecka srogim wrogom na łup, którzy mu zgubę przysięgli.

Walerya zaśmiała się szyderczo, zacisnęła pięści i zdolną była w tej chwili rzucić się na nienawistną Martę. Zmieszany i głęboko wzruszony, stał hrabia Edmund. Nachylił się i podniósł klęczącą.

— Uspokój się pani, panno Marto. Zostaniesz przy małym Walterze. Proszę nie płakać, obawa pani jest nieuzasadnioną. Lecz, by wszystkiemu zapobiedz, zostanie pani u mnie z małym Walterem. Panna Walerya i pan baron nie mają chyba nic przeciw temu — dodał w formie zapytania, skierowanem do Waleryi i Jakóba.

Walerya się zmieszała. Nie było jej to wcale na rękę, że zabrano jej dziecko i że nadto miała przy niem zostać Marta, która była dla niej poważną przeszkodą w osiągnięciu wytkniętych celów. Zrozumiała jednak, że sprzeciwienie się postanowieniu Edmunda, mogłoby w nim wzbudzić podejrzenie. Tajemnym ruchem ręki nakazała Jakóbowi milczenie i oświadczyła spokojnie, że się zgadza.

— Kochany Edmundzie, Agata oddała przecież w opiekę pana swe dziecko. Spełniasz zatem ostatnie życzenie zmarłej, skoro mu chcesz być ojcem. Baron Jakób podziela niewątpliwie moje zdanie i chętnie zda na pana troskę o małego Waltera.

Jakób zgodził się, choć trochę niechętnie. Hrabia Edmund zadzwonił na starego Michała.

— Idź pani, panno Marto — rzekł życzliwie. — Michał wskaże pani i małemu Walterowi pokój. Resztę omówimy potem.

Serdecznie podziękowała mu wierna Marta, ucałowała jego rękę i cicho łkając, opuściła pokój z małym Walterem, nie patrząc wcale na wściekłą, choć na pozór spokojną, Waleryę. W tej samej chwili upadł hrabia Edmund na krzesło, obok którego stał, przymknął oczy i śmiertelna bladość okryła jego twarz.

Okrzyk zgrozy wydała Walerya i pośpieszyła ku niemu. Trwożnie nachyliła się nad nim i ujęła jego ręce.

—Na Boga, Edmundzie — co ci jest wyszeptała. — Jakóbie! prędko lekarza — zawołała.

Hrabie Edmund, który całą siłą woli walczył z omdleniem, zerwał się i starał panować nad sobą.

— Już przeszło — szeptał. — Wzruszenie było za silne. Jestem jeszcze bardzo osłabiony.

— Zostanę przy panu, kochany Edmundzie, trzeba teraz panu troskliwej opieki.

— Nie, nie jestem chorym. Dzięki, kochana Waleryo. Ocaliłaś mnie od śmierci, nie umrę więc — dodał z uśmiechem i ścisnął jej rękę na pożegnanie. Za chwilę wszedł stary Michał; wsparty na jego ramieniu, opuścił hrabia Edmund pokój.

— A przecież nie pójdę stąd — zawołała Walerya namiętnie.

— Jeżeli to uczynisz, wtedy spełnię swą groźbę — rzekł Jakób posępnie. Odchodzę teraz. Jeżeli do południa nie wrócisz, wtedy wiem, że chcesz wojny ze mną i wtedy nie będę znał dla ciebie litości.

Prędko wyszedł, nim mu Walerya mogła odpowiedzieć. Chwilę stała w zamyśleniu. Mu-

si obecnie spełnić pozornie wolę Jakóba, lecz — wnet się to skończy.

— Czas już, by go sprzątnąć, zgrzytnęła. A dziecko? I ono zginie — ja cel swój osiągnę, mimo wychowawczyni. Skoro zginą — i on i dziecko — wtedy ja jestem dziedziczką zamku Heiligensee i tych wszystkich bogactw.

Opuściła pałac i wróciła na zamek Heiligensee. Postanowiła, skoro się tylko nadarzy potemu dogodna sposobność, sprzątnąć Jakóba jeszcze dzisiaj.

Hrabia Edmund wnet przyszedł do siebie i dopiero teraz przypomniał sobie ostatnie chwile przy łożu Agaty. Udał się do tego pokoju, lecz łoże było próżne. Jeszcze mu stary Michał nic nie był powiedział, to też ogarnęła hrabiego trwoga i przerażenie. Zawołał Michała, który mu z wszystkiego zdał sprawę.

—Więc tam leży, w mauzoleum? szeptał i westchnął ciężko. Niech leży spokojnie, postaraj się Michale, by drzwi tam i okno zamurować.

—Jaśnie panie, czy jej nie pochowany w grobowcu? — zapytał zdziwiony sługa. Nie dostanie nawet trumny?

— Nie — rzekł hrabia, nie mąćmy jej spokoju. Michał, przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa, nic nie odpowiedział. Postanowił jednak złożyć zmarłą przynajmniej do trumny i to już w nadchodzącą noc przy pomocy wiernego woźnicy Fryderyka.

Skoro Walerya wróciła do domu, oddała jej służąca list, który poprzedniego wieczora przyniósł Piotr, służący Sinobrodego. Szybko rozdarła i czytała:

> "Kochana Waleryo! Przyjdź jutro do mnie na zamek Wildenfels. Mam ważne sprawy do omówienia. Jeżeli możesz, sprowadź tu zesobą i tego łotra Jakóba. Nadarzy się tu sposobność, by go usunąć.
> Twój brat Robert."

Walerya list schowała. Plan brata względem Jakóba podobał jej się bardzo. Byłoby lepiej, gdyby Sinobrody przybył na zamek Heiligensee.

— Tak dzisiaj jeszcze musimu z nim skończyć — wyszeptała zdecydowana. Skoro tylko Sinobrody przybędzie, musi zniknąć bez śladu, by nikt się nie domyślił, co się z nim stało. Można rozgłosić, że wyjechał za granicę.

Pod wieczór wszedł do jej pokoju Jakób, posępny i w złym humorze i z miejsca począł Waleryi czynić wyrzuty.

— Należało za wszelką cenę dostać dziecko znowu w swoją moc, mówił gwałtownie. Twoja w tem wina, że się stało inaczej. Należało się uprzeć i zabrać dziecko ze sobą.

Mój kochany, jedynem wyjściem było to, cośmy uczynili, odpowiedziała Walerya spokojnie. Powinieneś być zadowolonym, że sprawa wzięła taki obrót i że rozprószyłam wszelkie podejrzenia hrabiego. Dziecka nie straciliśmy jeszcze. Nadarzy się lepsza sposobność, a wtedy je usuniemy.

— Wątpię, mruknął Jakób. Ale mówmy teraz o własnej sprawie Waleryo. Nasz stosunek musi być jasnym, znasz moją wolę i moje warunki. Pytam cię teraz raz ostatni; czy mi przyrzekasz zrzec się wszelkich planów względem hrabiego i czy chcesz w krótkim czasie — powiedzmy w przeciągu trzech tygodni — zostać moją żoną?

Szorstki, wyzywający ton jego słów, nie obraził jej wcale. Przeciwnie, uśmiechnęła się życzliwie i odpowiedziała spokojnie:

— Mój kochany Jakóbie, zdaję sobie z tego sprawę, że pokój między nami leży w naszym wspólnym interesie. Zgadzam się w zupełności na twoje życzenia. Z lekkiem sercem zrzekam się hrabiego, nie kocha mnie, a w końcu więcej niż ty on mi dać nie może!

Chwilę zawahał się Jakób; nie wierzył Waleryi, chociaż jej słowa napełniały go radością. Był przygotowanym na rozpaczliwy opór z jej strony, a tu Walerya rzuca mu się chętnie w ramiona. Co to ma znaczyć?

— Czy mówisz seryo? spytał.

— Naturalnie — zaśmiała się zwodniczo i wyciągnęła ku niemu ręce. Jakób stał, jakby we śnie, i pilnie śledził jej wyraz twarzy. Jego oblicze przybierało to bladą, to czerwoną barwę, a jego długa, szczupła postać zadrżała pod nawałą namiętności, która w końcu pokonały jego niewiarę. Bo walerya uśmiechnęła się doń tak życzliwie i uczciwie, że on się nie mógł oprzeć pokusie. Nie odgadł jej zbrodniczych myśli, nie zdołał przeniknąć duszy tej kobiety, któ rej spojrzenia i słowa przyrzekały mu uciechy niebiańskie, a której serce postanowiło jego śmierć.

Wydał okrzyk radosny, upadł u jej nóg i objął ją wpół porwany gwałtowna namiętnością. Walerya pozwalała na wszystko. Siedziała oparta o krzesło i szatański uśmiech szyderczy igrał na jej ustach.

— Moją jesteś, moją! Wspaniała, boska kobieto! I błogiem uczuciem, pełnem namiętności, zadrgało jego ciało.

Blade lica Waleryi wyrażały wstręt i nienawiść i szatański uśmiech nie znikał. Jak gorąco pragnęła, by teraz przybył Sinobrody. I podczas gdy zaślepiony Jakób w szale miłosnym leżał u jej nóg, ona nadsłuchiwała na każdy szelest w pokojach. Wszystko było przy-

gotowane, służba oddalona; plan się udać musi.

Wtem — Walerya zadrżała z radości — zbliżały się szybkie silne kroki, za chwilę otwarły się drzwi. Jakób nic nie słyszał. Nie spostrzegł także postaci, otulonych w ciemne płaszcze, które stanęły w otwartych drzwiach. Jedna z postaci została w przedpokoju, druga weszła i przymknęła drzwi za sobą. Nagle zerwała się Walerya a oczy jej błyszczały demoniczną radością. Teraz mogła zrzucić maskę. Odepchnęła gwałtownie klęczącego przed nią i zawołała, śmiejąc się przeraźliwie:

— Szalony głupcze! Skończona komedya. Zbudź się ze strachem ze swego szału! Wstrętny nędzniku! Jak mogłeś przypuszczać, że będę twoją.Zapłacisz życiem za to, żem musiała cierpieć twe wstrętne całusy i uściski.

Z okrzykiem zgrozy zatoczył się on i patrzał na straszną kobietę, jakby nieprzytomny. Postać u drzwi zbliżyła się i złośliwie zaśmiał się hrabia Sinobrody:

— Ale zasłona jeszcze nie spadła — śmiała się Walerya. Komedya skończona! Nastąpi tragedya!

— Brawo, Waleryo! To była scena jakby z dramatu!

Zaklął Jakób, zbladł, twarz jego wykrzywiła się z wściekłości i przerażenia.

— Oszukałaś mnie! Zgrzytnął. Przeklęta kobieto! Żmijo! Jak szalony rzucił się na Waleryę. Zapłacisz ty mi. Nie znam dla ciebie litości. Dzisiaj jeszcze, za chwilę pędzę do miasta i oskarżę: lecz nie u hrabiego, prokuratorowi zdradzę twe zbrodnie. Na szubienicy skończysz, szatanie, ty i twój godny braciszek!

Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści w stronę Sinobrodego.

— Znam ja cię i wiem kim jesteś w rzeczywistości zbóju! Jesteś Robertem, służącym hrabiego Harakla Wildenfels. Pana swego zamordowałeś, czy też sprzedałeś; Przywłaszczyłeś sobie jego imię i jego bogactwo. I żony swe mordujesz! I o tem wiem, Sinobrody!

— Patrzcie! Jak ty to dokładnie wszystko wiesz, łotrze — szydził Sinobrody, chociaż w głosie jego drgał strach i wściekłość. Niebezpieczny z ciebie szpieg. Trzeba się mieć na ostrożności.

— Z was dobrana para, zgrzytał Jakób. Ale teraz spotka was zasłużona kara. Pomszczę się! Pomszczę!

— Zdrajco — zawołał Sinobrody. Zamkniemy ci usta. Zrzucił płaszcz, wyjął gwałtownie z futerału sztylet i jak wściekłe zwierzę rzucił się na niego.

— Na pomoc! Mordercy! — wołał Jakób przeraźliwym głosem i podskoczył ku drzwiom. Walerya chciała mu zastąpić drogę, lecz było już za późno. Śmiertelnym gnany strachem, uciekł Jakób z pokoju, a jego krzyk rozlegał się głośno i przeraźliwie w cichym zamku. Rzucił się za nim Sinobrody. Chyba nie ujdzie mu ofiara, bo w przedpokoju stał na czatach rudowłosy Piotr, służący Sinobrodego.

Walerya pozostała sama w pokoju. Nieruchoma drżąca, wstrzymała oddech i wytężyła słuch. Chwila strasznego oczekiwania. Hałas i szybkie kroki ginęły w oddali. Miałby Jakób ujść swoim mordercom?

Wtem usłyszała okrzyk, wstrząsający do szpiku kości. Zadrżała. Potem wielka, śmiertelna cisza. Na posępnej twarzy Waleryi zadrgał uśmiech szatański.

— Stało się! — wyszeptała.

Rozdział 13.

MARTWA RĘKA.

— Musisz się wrócić, kochana Katynko, mówił młody leśniczy, prowadząc pod ramię swą lubą narzeczoną. Był przed chwilą jeszcze w "Pełnym dzbanie", a teraz odprowadziła go Katynka kawał drogi. Musiał wracać do swego domu, leżącego w głębi.

Młoda para przystanęła i pożegnała się serdecznie. Jednak nie spieszyło się ani Katynce, ani jej narzeczonemu. Całowali się, rozmawiali, znowu uszli kilka kroków, aż wreszcie zdecydował się leśniczy odprowadzić Katynkę do domu.

— Jutro — rzekł, nie zobaczę mojej Katynki. Mam interes w rezydencyi. Bądź tylko ostrożna i nie chodź na zamek Wildenfels, zwłaszcza kiedy mnie tam nie ma. Nie ufam ja hrabiemu.

— Nie przestąpię nigdy progu zamku, jak długo tam hrabia jest — oświadczyła Katynka. Boję się go strasznie. Wiesz, przecież Reinholdzie, co za straszne rzeczy o nim opowiadają. A moja dobra, stara ciocia Krystyna, wie pewnie więcej jeszcze niż inni. ale kiedy ją o to pytam, nie chce nic mówić. Bóg jeden wie, ile w tem prawdy.

— Tak? to ciocia Krystyna zna dokładnie sprawki Sinobrodego — pytał leśniczy, widocz nie bardzo zainteresowany. Muszę ją wybadać. Może ona też wie, co się stało z młodą hrabiną Gertruda, która przed kilku dniami zniknęła bez śladu.

— Wielki Boże — zawołała Katynka wystraszona. Zniknęła biedaczka? Mówią przecież

że była chorą i że ją hrabia wysłał do jej ojczyzny, do zakładu leczniczego.

— Tak, tak przynajmniej oświadczył hrabia — rzekł leśniczy i dziwny uśmiech szyderczy drgał na jego ustach. Ale ja w to nie wierzę.

— Przecież nie przypuszczasz, że biedaczkę — sprzątnął ze świata? — wyszeptała Katynka, blada śmiertelnie na samą myśl o tem.

— Sądzę, że zniknięcie hrabiny Gertrudy zaszło wśród tych samych okoliczności, co i zniknięcie Józefy, która pół roku temu przybyła na zamek Wildenfels, a po ośmiu dniach nikt jej więcej nie widział. Czy ci ciocia Krystyna nic jeszcze nie mówiła o tem tajemniczem zniknięciu, kochana Katynko? Bezwątpienia znała przecież hrabinę Józefę?

— Naturalnie, ale ona nie była wcale żoną hrabiego, lecz jego siostrą.

Leśniczy zaśmiał się znacząco.

— Hrabia Wildenfels nie ma wogóle siostry — rzekł tonem pewnym i stanowczym. Umarła ona przed rokiem, czy też jeszcze dawniej za granicą, nadto nie nazywała się ona Józefą lecz Hortensyą.

— A skąd masz o tem tak pewne wiadomości — spytała Katynka zdziwiona. Mój kochany dopiero od kilku miesięcy bawisz w tej okolicy, nie długo jesteś w służbie hrabiego, a chyba nikt nie zna tak dokładnie jak ty stosunków rodziny hrabiowskiej. Rodzina hrabiego, jakoteż sam hrabia, przebywali zresztą głównie za granicą.

Znów zaśmiał się leśniczy. Lecz urwał tę rozmowę, stanęli właśnie przed gospodą. Reinhold pożegnał serdecznie narzeczoną i za odchodzącą patrzał długo serdecznym, pieszczotliwym wzrokiem i szepnął:

— Gdybyś przeczuwała ty dobra dziewczyno, kim ja w rzeczywistości jestem, dlaczego o to wszystko pytam i co mnię skłania do śledzenia tajemnic Sinobrodego! Lecz nie chcę ci zabrać twojego spokoju i dlatego przed tobą muszę udawać.

Zagwizdał na psa swego i wrócił. Zamyślony kroczył przez samotne, spokojne pustkowie. Krótki dzień listopadowy miał się już ku schyłkowi. Z poza gęstych chmur na horyzoncie gasła zwolna tarcza słoneczna. Dookoła nie było człowieka, tu i ówdzie tylko unosił się w powietrzu kruk, kracząc złowrogo. Jeszcze leśniczy nie uszedł był stu kroków do gospody, gdy naglę zbudziło go z zamyślenia dziwne żałosne skomlenie. Przystanął i rozglądał się. To pies jego tak skomlił. Nero stał obok wielkich krzaków i grzebał pilnie w ziemi. Od czasu do czasu przerywał swą pracę, podnosił łeb i zawył żałośnie.

Nero! Co tam? Tu! — zawołał leśniczy. Pies nie usłuchał, lecz grzebał dalej. Zachowanie psa zdziwiło Reinholda, zbliżył się, zobaczył w ziemi głęboki i szeroki dół, wygrzebany przez psa.

Nachylił się ciekawie, w tej samej jednak chwili odskoczył, Z ziemi jakby z grobu, sterczała ręka ludzka, martwa ręka. Straszny widok; wzdrygał się leśniczy, drżąc na całem ciele.

— Boże miłosierny! — zawołał. Co to jest? Tu trup zagrzebany!

Wyciągnął swój nóż myśliwski i grzebał ostrożnie dalej. Pomagał mu w tem pies, za chwilę mógł już leśniczy odróżnić ramię i plecy mężczyzny.

— Hej leśniczy! a wy tu co robicie? — odezwał się głos męski.

Na odgłos tych słów odwrócił się Reinhold wystraszony, jakby go przyłapano na zbrodni. Opodal zobaczył żandarma na koniu.

— Chodźcie no tu wachmistrzu! — zawołał młody leśniczy rokazującym tonem, jakby był przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa. Zobaczcie jakie tu zrobiłem odkrycie, a raczej mój pies.

Żandarm zbliżył się, zeskoczył z konia i nachylił się nad znacznie już większym dołem. Odskoczył przestraszony.

— Boże mój! to trup! Tu spełniono morderstwo, a potem trupa pogrzebano!

— Bezwątpienia trafiliśmy na ślad zbrodni — odpowiedział leśniczy. Pędź pan do gospody ''Pod pełnym dzbanem'' i zawołaj ludzi z łopatami. Musimy mieć pewność!

Słowa i ton leśniczego dotknęły godność urzędową żandarma, odpowiedział też w tej myśli, że wie, co wypada dalej czynić. Zrobi on już we wsi doniesienie, tymczasem, aż do Niczego nie można zmieniać, aż do przybycia powrotu, niech leśniczy stoi na straży. komisyi sądowej.

— Zrób pan, jak rozkazałem — przerwał leśniczy niecierpliwie. Chcę wiedzieć kim jest nieboszczyk!

Żandarm obruszył się. Jakiem prawem wydaje mu ten leśniczy rozkazy, jakby był jego przełożonym. Leśniczy wyjął tymczasem z kieszeni odznakę, wielkości talara i pokazał ją żandarmowi. Ten stanął jak wryty na widok tej odznaki i zdziwiony wpatrywał się w leśniczego. Nagle zupełnie pokorny salutował z uszanowaniem, podczas gdy leśniczy schował napowrót ostrożnie tajemniczą odznakę.

— No, teraz pan wie, kim jestem — rzekł

z naciskiem. Lecz, to tajemnica urzędowa, nikt mnie tu nie powinien znać.

Szybko siadł żandarm na konia i pośpieszył do gospody, by spełnić rozkaz leśniczego. Cóż to za talizman, darzący Reinholda tak nadzwyczajną władzą?

Wkrótce powrócił żandarm z gospody w towarzystwie 2 ludzi, z łopatami. Zabrano się raźno do roboty, stosując się do rozkazów leśniczego, Zwolna odkopywano ciało pogrzebanego tu trupa, nareszcie podniesiono je z grobu.

Leśniczy nachylił się nad niem i sprzątnął z twarzy ziemię. Wszyscy ciekawie przyglądali się trupowi.

— Wszechmocny Boże! — zawołał jeden z ludzi. Toż to baron Jakób Rambow!

— Tak, tak! to on! — potwierdził drugi. Miłosierny Boże, patrzcie, krew! Zamordowano go! Kto też popełnił tę zbrodnię?

Zapanowało głębokie milczenie. Leśniczy oglądał pilnie zwłoki. Znał je, był to baron Rambow i nie ulegało wątpliwości, iż go zamordowano i tu pogrzebano. Ale skąd się on tu dostał, skoro jego mieszkanie, zamek Heiligensee, oddalony stąd o dwie godziny drogi?

Wtem wskazał leśniczy na krwawiącą ranę w piersi zamordowanego, w której tkwiło jeszcze morderczе narzędzie — wielki nóż.

— Mam nadzieję, że narzędzie to wskaże nam ślad mordercy — rzekł. Zwłoki przeniesiemy do gospody. Ludzie przynieście nosze!

Wtem zjawili się na drodze dwaj jeźdzcy. Sinobrody i jego zaufany Piotr.

Wstrzymali konie i zbliżyli się do miejsca, gdzie leżał trup zamordowanego.

Na widok swego chlebodawcy, zdjął leśniczy kapelusz i rzekł poważnie:

— Baron Jakób Rambow został zamordowany, znaleźliśmy właśnie trupa!

Posępna twarz Sinobrodego nie zdradziła żadnego wzruszenia, tylko oczy jego błyszczały dyabelską radością. Zamruczał pod nosem kilka niezrozumiałych słów i rzucił swemu służącemu szybkie znaczące spojrzenie.

— Kto też tu na pustkowiu mógł barona zamordować? — spytał żandarma. Ciekawe, czego tuż tu baron szukał?

— Wnet wyjdzie na jaw, panie hrabio! — odpowiedział żandarm. Ten tu nóż zdradzi nam zbrodniarza!

— Znam ja go już! — zawołał nagle Piotr. Zamordował barona Gerhard, właściciel gospody, nikt inny!

Słowa te wywołały ogólne zdziwienie i przerażenie

— Nie na miłość Boską, to być nie może! — wołano.

Leśniczy zaś, blady z gniewu, przyskoczył do Piotra i zawołał drżącym głosem:

— Piotrze! złośliwy z was oszczerca! Jak ważycie się oskarżać tego uczciwego człeka o taką zbrodnię?

— Oho! panie leśniczy! czego to też tak bronicie? — szydził Piotr. Wiem już, wiem! Piękna Katynka, to wasza luba! Cóż kiedy podobała się ona i innym. Naprzykład baronowi! — Tu wskazał na zamordowanego. — Śledztwo wykaże, dlaczego to ojciec waszej narzeczonej zamordował barona! Są tacy, którzy złożą ciekawe zeznania, — dodał, śmiejąc się podstępnie i popędził za swoim panem, który się już przedtem oddalił był.

Pozostali osłupieli z przerażenia. Leśniczy blady i posępny pogroził jeźdzcom pięścią.

— Podły nędzniku! — zawołał. Nagle jednak twarz jego przybrała wyraz bezmiernego przerażenia.

— Jej ojciec? Mój Boże! Nie, ten nędznik kłamie! To byłoby straszne, co mówiąc popędził w stronę gospody ''Pod pełnym dzbanem''.

— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Z brzaskiem dnia panował już w gospodzie ruch bardzo ożywiony. Kilka wozów stało przed domem, zjawiła się komisya śledcza, przybył także hrabia Sinobrody ze swoim służącym i Walerya. Przyjścia ich zażądała komisya.

Zamordowanego przyniesiono do stodoły, w której się wszyscy zgromadzili. Leśniczy, żandarm i ludzie, którzy wygrzebail trupa stali na uboczu. Blada, obserwowała Katynka tę ponurą scenę. Ojciec jej był nieobecnym, bo dnia poprzedniego wyjechał był do miasta za sprawunkami i został tam przez noc. Oczekiwano go niecierpliwie. Każdy mówił już o strasznym podejrzeniu, jakie rzucił na Gerharda rudowłosy Piotr i wszyscy, którzy znali uczciwego gospodarza oczekiwali trwożliwie wypadków które nastąpią. Czy potrafi Gerhard zbić to straszne oskarżenie?

Doktor Kloc — i on był obecnym — i drugi lekarz zbadali zamordowanego i skonstatowali, że mordy dokonano przedwczorajszej nocy. Wieczorem tego dnia żył jeszcze Jakób, Walerya oświadczyła, że o tej właśnie porze opuścił zamek Heiligensee, lecz nikt nie mógł wyjaśnić, dokąd Jakób chciał się udać.

Sędzia śledczy presłuchał ludzi z gospody, pokazał każdemu narzędzie mordu i każdy ze strachem rozeznał w niem własność pana swego

Był to wielki nóż kuchenny, na rogowej rękojeści wyryty był napis "Pod pełnym dzbanem."

Przerazili się i struchleli ci, którzy dotychczas wierzyli w niewinność Gerharda, Nóż ten świadczył przeciw niemu, jak cichy, straszny oskarżyciel jego. A znajdą się i inne dowody winy. W kieszeni Jakóba brakło zegarka i sakiewki; na rozkaz sędziego przyprowadzono dokładną rewizyę domową. Naprężenie było wielkie. W stajni, wśród rozmaitych rupieci, znaleziono przedmioty, będące własnością zamordowanego.

Właśnie nadjechał ojciec Katynki. W mieście słyszał już był o mordzie i podejrzeniu, że to on jest mordercą. W poczuciu swej niewinności, nie wierzył w grożące mu niebezpieczeństwo. Wpadł wzburzony, otoczono go natychmiast gęstym kołem.

— Ojcze mój, mój biedny ojcze! — zawołała zrozpaczona Katynka. Mój Boże! Czy wiesz, co się tu stało! — Przytuliła się doń trwożliwie i łkała głośno. Mówią — posądzają cię! — Ojcze to kłamstwo! Tyś tego nie uczynił, ty nie jesteś mordercą!

— Nie, moje dizecko, prawdę mówisz! — odpowiedział Gerhard spokojnie ucałował ją w czoło. Kto inaczej twierdzi, kłamie, a mam nadzieję, że nikt nie uwierzy w mą winę!

Wszyscy milczeli, domownicy płakali na widok tej wzruszającej sceny. Leśniczy wpatrywał się uporczywie w ojca i córkę. Potem rzucił okiem w stronę Waleryi, Sinobrodego i oskarżyciela, którzy stali razem i wyczytał w ich twarzach szyderstwo i szatańską radość.

Sędzia przystąpił do ojca Katynki i rzekł poważnie:

— Chodź pan, panie Gerhardzie! W obliczu zamordowanego pytam pana, czy przyznajesz się do winy, czy nie?

Osłupiałym wzrokiem popatrzył Gerhard na zamordowanego i cofnął się przerażony.

— Nie! — zawołał głośno i uroczyście, Bóg mi świadkiem, że jestem niewinny

— Znasz pan ten nóż? — zapytał sędzia ostro. Nożem tym został baron Jakób Rambow zamordowany!

A kiedy Gerhard przerażony i zdziwiony milczał, wskazał sędzia na leżące obok noża przedmioty, znalezione w stajni.

Rzeczy te były własnością zamordowanego. Znaleziono je tu w gospodzie! Czy jeszcze wypieracie się winy? Wobec tych niezbitych dowodów, nie zda się to na nic. Wy jesteście mordercą! Przyznajcie się!

— Mój Boże! — wyszeptał Gerthard, blady i drżący — jakby nieprzytomny. Co się ze mną dzieje? Czy straciłem zmysły? Wszechmocny Boże! Panowie, ratujcie!

— Nie grajcie tu komedyi! — zawołał sędzia szorsko i pogardliwie. Stwierdzono żeście przysięgli zemstę ś. p. baronowi i żeście mu grozili za to, że zalecał się do waszej córki. Czy i tego się wypieracie Przedwczoraj w nocy spostrzegliście barona w pobliżu gospody, zamordowaliście i pochowaliście potem na pustkowiu pod krzakami. Zapomnieliście tylko zabrać nóż, który jest niezbitym dowodem waszej winy!

Zdawało się nieszczęsnemu Gerhardowi, że zapada się w ziemię. Wszystko dokoła niego obracało się w kółko, twarz każdego zdawała mu się wykrzywioną. Próżno szukał za słowami; głos odmówił mu posłuszeństwa, tylko stłumiony, do szpiku kości wstrząsający krzyk, wydobył się z jego piersi.

W tej chwili przystąpił doń — na rozkaz sędziego — żandarm i założył mu kajdany. Gerhard nie stawiał oporu. Zdawało się, że leśniczy chce temu przeszkodzić, wykonał ręką gwałtowny ruch. a twarz jego blada drżała konwulsyjnie. Namyślił się jednak, dał spokój i nie rzekł ani słowa obrony dla nieszczęśliwego.

Aż do tego czasu stała Katynka osłupiała obok ojca i nieprzytomnie śledziła co się tu dzieje. Skoro jednak chciano zabrać jej nieszczęsnego ojca, przypadła doń z okrzykiem zgrozy i objęła go gwałtownie. Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby go chciała obronić przed tymi twardymi nielitośnymi ludźmi, którzy jej zabierają niewinnego ojca i jako mordercę wtrącają do więzienia.

— Ojcze mój, ojcze! —wołała zrozpaczona. Miłosierny Boże! Oddajcie mi mego ojca, on nie jest mordercą!

Mimowoli puścił żandarm nieszczęśliwego Gerharda, a i sędzia i jego towarzysze patrzali boleśnie na ojca i córkę. I każdy świadek tej wzruszającej sceny musiał rzewnie zapłakać. Dziewki z gospody zalewały się łzami i zasłaniały oczy ręką, nie mogąc patrzeć na to grozą przejmujące nieszczęście. Leśniczemu młodemu tu krwawiło się serce na widok płaczącej narzeczonej. Tylko Waleryi i Sinobrodego, jakoteż Piotra nie potrafiła wzruszyć ta scena, a oczy ich śmiały się złowrogą radością.

Nieszczęśliwy ojciec nachylił się nad swem dzieckiem i dotknął drżącemi usty bujnych splotów Katynki. Z oczu jego spadały na jej głowę ciężkie, gorące łzy i bezdźwięcznie, głucho wyszeptał:

— Bóg z tobą, moje dziecię!

Wtem gdy już miano go odprowadzić, przyszedł mu na myśl nieszczęśliwy hrabia, ukryty

w piwnicy. Co się z nim teraz stanie? Chyba zgi nie nędznie w swym lochu! Bo nikt mu nie pomoże, nikt zresztą nie wie, że on siedzi tam w piwnicy.

Nieszczęśliwego Gerharda zdjęła straszna trwoga. Teraz musi chyba zdradzić swoją tajemnicę. Katynka — tak ona musi się zaopiekować opuszczonym hrabią.

Lecz biedna popadła w omdlenie.

— Dalej Gerhardzie szkoda czasu. Nic tu nie pomoże! — zawołał żandarm i ujął więźnia swego.

— Puśćcie mnie! — wołał Gerhard jak szalony. Jeszcze raz tylko chcę wejść do mego domu! Puście mnie, zaklinam na Boga!

Zdawało się, jakby nieszczęście pozbawiało go zmysłów. Porwano go, nie zwracając uwagi na jego zaklęcia.

Gdy ponury pochód opuszczał już podwórze, ocknęła się Katynka i podążyła za nimi. W tej samej chwili popędził w dal powóz z nieszczęśliwym Gerhardem i głośno zawodząc, została biedna dziewczyna sama i oparła głowę o drzwi.

Nagle dotknęła się jej czyjaś ręka. Przed nią stał hrabia Sinobrody. Na ustach jego drgał pożądliwy uśmiech i wyuzdanym wzrokiem mierzył jej ponętną postać.

— Spokojnie, moje biedne dziecię! Nie rozpaczaj! Trudno, musisz być na wszystko zdecydowaną — mówił, udając litość. Chodź ze mną na zamek Wildenfels do cioci Krystyny. Tu zostać nie możesz. Ja ci dobrze życzę i zaopiekuję się tobą.

Wystraszona odskoczyła Katynka. W tej chwili przystąpił do niej leśniczy i objął ją w pół, jakby ją chciał ochronić. Słyszał, co Sinobrody mówił, i rzekł tonem stanowczym, energicznym:

— Panie hrabio! Katynka jest moją narzeczoną i w mojej pozostanie opiece. Jak długo ja żyję, nie jest samą!

Wstrętna twarz hrabiego zaczerwieniała z gniewu. Co? ten leśniczy jego poddany, zależny od jego łaski, włazi mu w drogę? Ten człowiek którego zachowanie dawno już wzbudza w nim podejrzenie, ma czelność w ten sposób impertynencki mówić do swego pana!

— Co to znaczy? Odkąd to, niepytany — wtrącasz się w nieswoje sprawy? Precz stąd natychmiast! Zrozumiałeś?!

— Panie hrabio! — rzekł leśniczy dumnie i zmierzył Sinobrodego błyszczącym wzrokiem. Powiedziałem panu że Katynka jest moją narzeczoną.

— Narzeczona! — zawołał Sinobrody lekceważąco z szyderczym uśmiechem. Kto panu pozwolił? Z pana ciekawy człowiek, zuchwały i zarozumiały. Zabieraj się pan. Takich ludzi mi nie trzeba!

Rudowłosy Piotr, który stał za swoim panem, śmiał się złośliwie. Było mu to wszystko na rękę. Leśniczego nie znosił i już dawno nalegał na oddalenie go ze służby.

Leśniczy nie stracił równowagi, zimno i spokojnie odpowiedział:

— Dobrze, panie hrabio! Więc od tej chwili zwolniony jestem od służby mej! — Bądź spokojną Katynko — tu zwrócił się do biednej drżącej dziewczyny, która płacząc tuliła się do jego piersi, nie opuszczę ciebie, zostanę przy tobie i ochronię cię przed każdym. — Pociesz się kochana, z boską pomocą uda mi się wykazać niewinność twego ojca.

Zaprowadził szlochającą dziewczynę do domu, odprowadzony szyderczymi śmiechami Sinobrodego i jego dobrego sługi.

— Biada ci łotrze, jeżeli jeszcze raz wleziesz mi w drogę! — zgrzytnął Sinobrody. Moją bedzie ta dziewczyna, a ty Piotrze, musisz mi w tem dopomódz!

— Nie trudna to będzie sprawa, zaśmiał się Piotr. Ojca nie ma, a młody pan także tu długo nie zostanie, wyniesie się, by szukać gdzieindziej chleba. Wtedy wygraliśmy, zostaw pan to memu rozumowi.

Sinobrody zgodził się i pośpieszył za Waleryą, która wsiadała właśnie do powozu, Piotr został. I on myślał, podobnie jak Gerhard, o piwnicy, postanowił stanowczo zbadać tę tajemnicę. Gerharda nie było, więc główna przeszkoda usunięta, skoro pójdzie sobie i leśniczy, nie trudno mu wtedy będzie dostać się nocą do izby, pod którą jest piwnica.

Kto to ten zagadkowy człowiek tam w lochu? Sprawa ta nie dawała mu spokoju. Węszył w niej tajemnicę ważną dlań bardzo, której wykrycie przyniesie mu — jak sądził — niewątpliwie wielkie zyski

Rozdział 14.

NIESPODZIANY ZWROT.

Tego samego dnia wieczorem siedział hrabia Edmund w swoim pokoju, przy biurku, głęboko zamyślony. Myślał o Agacie, o owej chwili, w której wypił truciznę i runął u jej boku na ziemię.

Widział tedy dokładnie, jak wstała i oczy otworzyła. Czy to była tylko złuda, wizya? — jak twierdzi doktor Kloc. Nie chciał temu wierzyć. A jeżeli to widział w rzeczywistości —

wielki Boże! Wtedy ona nie umarła, zamknięto ją w grobowcu żywcem, w stanie podobnym do śmierci.

Myśl ta napełniała go straszną trwogą. Sześć dni już od tego czasu minęło. Strach pomyśleć, co się w tym okresie stać mogło z Agatą. Musi mieć pewność i uwolnić się od tej trwogi.

Zadzwonił. Wszedł natychmiast stary sługa, wierny Michał. Hrabia Edmund kazał mu się zbliżyć.

— Czy wchód do grobowca zamurowano, jak rozkazałem? — spytał.

— Jeszcze nie, wielmożny panie.

— Czy nie byłeś w międzyczasie w mauzoleum, Michale? — badał hrabia.

Stary zaprzeczył.

Weź klucze! — rozkazał hrabia. Pójdę jeszcze raz do grobowca. Ty pójdziesz ze mną!

Stary Michał oddalił się, za chwilę jednak wrócił i rzekł:

— Przyszedł obcy mężczyzna i chce stanowczo widzieć się natychmiast z wielmożnym panem.

Nim jeszcze hrabia Edmund mógł dać odmowną odpowiedź, wszedł nieznajomy do pokoju. Była to wysoka barczysta postać, otulona w czarny szeroki płaszcz, twarzy nie można było widzieć. Chciał ją człowiek ten widocznie ukryć, szeroki kapelusz spuścił głęboko na czoło. Chwilę przypatrzył się hrabia zdziwiony tej tajemniczej, prawie strasznej postaci.

Potem spytał surowo:

— Kim pan jesteś i czego pan chcesz?

Nieznajomy wskazał na Michała, hrabia kazał się oddalić staremu słudze. Obcy zdjął teraz kapelusz i otworzył płaszcz. Edmund zobaczył poważną twarz starca, okoloną brodą siwą; poznał nieznajomego i cofnął się mimowoli.

Był to kat. Jego twarz zdradzała obawę, wzruszenie i wzburzenie.

— Boże! —zawołał hrabia Edmund. To pan? Co pana do mnie sprowadza?

— Wszystko odkryte, panie hrabio! — szeptał kat. Chciałem pana ostrzedz.

Hrabia Edmund zbladł.

— Co odkryte? — wykształcił. Chyba nic...

— Wszystko, panie hrabio! — przerwał kat, cała nasza akcya celem, uratowania nieszczęśliwej baronowej. Na rozkaz prokuratora otwarto grób i zbadano zawartość trumny. Już podczas aktu stracenia obudziło się w prokuratorze podejrzenie. Skoro zobaczył próżną trumnę, domyślił się wszystkiego. Grozi mi niebezpieczeństwo, bo mnie pociągną do odpowiedzialności. Muszę natychmiast uciekać ze swymi pomocnikami.

— Boże! — zawołał głucho hrabia Edmund. Jak się to stało? Skąd podejrzenie u prokuratora?

— Doktor Kloc wszystko panu wyjaśni, panie hrabio. Nie mam czasu, by i jego ostrzedz.

— Nie, nie wolno panu zwlekać! — rzekł stanowczo hrabia. Uciekaj pan najlepiej do Ameryki! Panie, zechciej to przyjąć, jako dowód mej wdzięczności. Tracisz swój urząd z mojej winy, weźże pan więc. Spełniam tylko moją powinność, wynagradzam choć w części krzywdę, którą ci mimowoli wyrządziłem.

Wyjął ze szuflady pakiet banknotów i nie licząc oddał je zdziwionemu i wzbraniającemu się katowi.

— Ależ panie hrabio, to za dużo, wynagrodziłeś mnie pan już dostatecznie.

— Dobrze, dobrze! podziel się pan ze swymi dzielnymi pomocnikami. Daj Boże, by pan szczęśliwie umknął.

Kat zabierał się do odejścia. Hrabia zawołał starego Michała, który wyprowadził otulonego znowu mężczyznę z pałacu przez tajne korytarze i boczne schody.

Hrabia Edmund stał chwilę niemy z osłupienia, jakby przykuty do miejsca, starając się napróżno zapanować nad sobą. Plan jego odkryty, władza wie, że dokonano oszustwa, że skazana Agata nie została straconą. Co teraz będzie? Chociaż nawet kat i jego pomocnicy uciekną szczęśliwie, pociągną przecież jego — hrabiego — i doktora Kloca do odpowiedzialności.

Lecz kto mu udowodni współudział w tej sprawie? Prokurator, chociażby podejrzywał ich o coś, nie ma żadnych dowodów w ręku.

Liczyć mógł na wierność swych ludzi. Gdyby przynajmniej cel był osiągnięty, gdyby Agata żyła! Niestety, wszystkie zabiegi spełzły na niczem!

Ta myśl przypomniała mu znowu, że się chciał udać do grobowca, by się przekonać, iż Agata rzeczywiście umarła.

Za kilka chwil kroczył hrabia Edmund w towarzystwie starego Michała przez ciemny park ku mauzoleum. Wzburzony i zdenerwowany, gnębiony wątpliwością, przybył nareszcie do ponurego budynku.

Stary Michał otworzył drzwi i weszli razem do mauzoleum. Latarnia, którą Michał ze sobą przyniósł rozświeciła grobowiec.

Panowała tu cisza grobowa i hrabiego opanowało dziwne uczucie. Jednym rzutem oka zbadał niewielką przestrzeń. Tu, na białej ławce marmurowej złożyli byli Michał i Fryderyk

umarłą Agatę. Szukał za nią hrabia Edmund, szukał gorliwie a na twarzy jego malowało się coraz większe przerażenie.

Z piersi jego dobył się okrzyk zdumiony. Na ławce nie było nikogo, umarła zniknęła.

Strach szalony zdjął go, stał jak przykuty do ziemi, niezdolny pojąć co się stało. Na czoło wystąpił mu pot kroplisty i oddychał z trudnością. I jakby nie wierzył swym oczom zatoczył się ku ławce i podniósł czarną zasłonę, która na pół leżała na ziemi, jakby ją gwałtownie zrzucono.

— Miłosierny Boże— jęknął hrabia Edmund i upadł na zimny marmur — Michale, gdzie zmarła?

I stary sługa stał niemy ze strachu i osłupienia, jego uczciwa twarz zbladła. Nie mógł ani słowa wymówić. Tak gdzie zmarła, którą tam sam złożył i zamknął? Czy się ulotniła, jak duch? nie mógł niczego pojąć i zdjęła go niewymowna, zabobonna trwoga.

— Ach! wielmożny panie — wyszeptał — jeżeli ktoś porwał trupa...

Hrabia Edmund niechętnie potrząsł głową. Nagle jednak podskoczył, myśl błoga nim owładnęła, radosna, bez granic.

— Ona żyje — zawołał — ona nie umarła. Zbudziła się i — lecz nie. Urwał nagle i nadzieja dopiero co powstała, zamarła znowu. Musiałaby tu być, nie mogła przecież stąd wyjść.

Było to dla niego zagadką. Czy stary Michał ma może racyę? Może porwano trupa Agaty? Lecz kto to uczynił? A jeżeli Agata żyje, kto ją stąd uwolnił? Dlaczego się kryje? Nie, ona nie żyje, bo wtedy przyszłaby niewątpliwie do niego, choćby tylko dla swego małego Waltera, który mieszka w jego pałacu.

Gnębiony strasznemi przypuszczeniami, opuścił nareszcie z Michałem grobowiec i wrócił do pałacu. Tu czekała go nowa niespodzianka. Miał wizytę: Walerya w wspaniałej toalecie, która uwydatniała jej olśniewającą piękność wyszła ku niemu z czarodziejskim uśmiechem i rzekła tonem czułym:

— Kochany Edmundzie nie mogłam prędzej przyjść by się dowiedzieć, jak się pan czuje. Słyszał pan już o smutnym wypadku, o tragicznej śmierci barona Jakóba? Nie mogę jeszcze zwrócić do równowagi. Jak się to też stać mogło?

— Ach, mój Boże! — przerwała nagle swe żale na widok śmiertelnie bladej twarzy Edmunda. Co panu jest, kochany Edmundzie? Pan jeszcze chory i potrzeba ci mojej opieki.

Troskliwie ujęła go za rękę i zaprowadziła go do fotelu. Usiadła obok niego i przytuliła się do niego, zarzucając go pytaniami.

Jakby snny siedział hrabia Edmund i patrzył przed siebie nieprzytomny.

Czuł miękkie ramiona szatańsko pięknej kobiety, tulącej się doń, czuł jej gorący, namiętny oddech, a jej słodkie, miłosne słowa brzmiały uwodzicielsko, jakby śpiew syreni.

— Kochany mój, powiedz — szeptała namiętnym głosem. — Co ci jest? Ty jesteś chory. Zawołam lekarza.

— Nie, nie! nic mi nic trzeba westchnął, Edmund starając się zapanować nad sobą.

— O nie! ty drżysz, jak w febrze. Kochany mój, ja się boję o ciebie. Tobie coś dolega. Czy to jeszcze ciągle myśl o nieszczęsnej Agacie i ból o jej stracie, który cię tak trapi?

Wzdrygnął się hrabia Edmund. Lecz nie mówił nic, nie chciał zdradzić Waleryi swej tajemnicy. Niech myśli, że Agata została straconą. Ocknął się nareszcie i uwolnił się z ucisków Waleryi. Jednak zdjęła go trwoga przed namiętną jej troskliwością, przed jej wzrokiem szatańskim, pożądliwym.

Lecz Walerya postanowiła dzisiaj swój cel osiągnąć i zdobyć ukochanego. Jeżeli jej się to uda, to tryumf jej zupełny, bo Jakób nie stał jej już na drodze, i on usunięty podobnie jak Agata. Nie miała więc wroga.

— Kochany Edmundzie — zawołała czule, rzucając nań ciągle pożądliwe, namiętne spojrzenia i objęła go na nowo swemi miękkiemi ramionami. — Ja się o ciebie trwożę. Czy na to wydarłam cię śmierci, byś teraz papadł w rozpacz i melancholię? Znajdziesz pociechę i uspokojenie w moich uściskach, na mojej piersi. Moja miłość uszczęśliwi cię. Bądź moim, kochaj mnie, nie zabijaj mnie — nie mogę żyć bez ciebie.

I gwałtownie, drżąc z namiętności, rzuciła mu się na pierś falowała gwałtownie, jej ogniste oczy błyszczały jak rozżarzone węgle, a usta jej szukały namiętnie jego ust, łaknąc gorąco pocałunków.

Błogie, słodkie upojenie uczuł hrabia Edmund. Czuł, że słabnie, krew jego wrzała, a miłosne słowa i pieszczoty Waleryi upajały go. Nie byłby mężczyzną, gdyby pozostał chłodnym w uściskach tej szatańskiej kobiety.

Z nadzwyczajnym wysiłkiem starał się uwolnić z ramion namiętnej syreny.

— Kocham tylko jedną — szeptał zmęczonym głosem — wiesz przecież Waleryo! Nie mogę odwzajemnić twej miłości.

—Nauczysz się kochać mnie — szeptała, a oczy jej błyszczały i pochłaniały każdy ruch Edmunda.

Zwolna zaczęły jej z oczu lać się łzy, jak błyszczące perły, a pierś jej falowała gwałto-

wnie.

—Nie mów "nie" —wołała. — Nie dobijaj mnie. Miej litość nademną, z wdzięczności użycz mi część twej miłości, którą oddałeś zmarłej — błagała tonem, w którym drgał niekłamany ból.

— Nie płacz, Waleryo, nie płacz! Łzy twoje bolą mnie i ranią mą chorą duszę — mówił drżącym głosem hrabia Edmund. — Zasłużyłaś na miłość gorącą i wierną jakiej pożądasz. Ja ci jej dać nie mogę—teraz jeszcze nie. Zostaw mnie, może czas wyleczy mą duszę, pocieszy i uspokoi ją.

— Ja wszystko uczynię, by cię wyrwać z tej rozpaczy —rzekła Walerya troskliwie. — Nie opuszczę cię więcej. Moje życie, każde uderzenie serca, każdą myśl tobie poświęce kochany mój, jedyny.

Przytuiła się do niego ucałowała namiętnie. Zmysły jego coraz bardziej upajała, tak że oszołomiony, w rozkosznym szale, zapomniał o wszystkiem.

—Nazywaj mnie swoją narzeczoną — szeptała Walerya. — Weź mnie, twoją jestem. Przyrzeknij, że mnie uczynisz kiedyś swą żoną.

— Tak, tak, przyrzekam — szeptał Edmund nie będąc więcej panem siebie. — Zostaniesz moją żoną, gdy kiedyś zechcę się ożenić.

Odpowiedzią na to przyrzeczenie były serdeczne słowa dziękczynne i pocałunki. Serce jej radowało się. Osiągnęła nareszcie, czego pragnęła. Jeszcze tylko pewien czas, a wszystkie jej życzenia spełnione będą. Wnet będzie jego żoną, a wtedy nie spocznie, dopóki nie zdziała, że Edmund zapomni znienawidzoną Agatę.

Nie zauważyli, że za portyerą stała wybladła postać kobieca, patrzała na nich boleśnie—potem znikła.

W szale rozkoszy minął jeszcze pewien czas. Nagle uwolnił się Edmund z objęć syreny. Jakby się zbudził z ciężkiego snu pełnego widziadeł, zerwał się. Uczuł żal. Gdy się Walerya znowu chciała ku niemu zbliżyć, odepchnął ją zlekka.

Zapukano do drzwi, wszedł stary Michał i szeptem rzekł do swego pana:

— Doktor Kloc przyszedł z ważną bardzo wiadomością do jaśnie pana.

—Zaprowadź go do mej pracowni.—Kochana Waleryo, pani wybaczy. Doktor Kloc chciałby się ze mną widzieć.

Walerya odpowiedziała uśmiechem. I ona unikała poufałości w obecności sługi. Odrzekła:

— Idę na pół godziny do małego Waltera. Biedne, kochane dziecko, omal zapomniałabym o niem. A przecież mam dla niego niespodziankę — dodała, śmiejąc się złośliwie.

Nie zwrócił już na jej słowa uwagi hrabia Edmund i szybko wyszedł z pokoju, który i Walerya opuściła innemi drzwiami. Jej oczy błyszczały radosnym tryumfem. Gdyby hrabia przypuszczał, jaką to niespodziankę przygotowała Walerya małemu Walterowi! Nienawidziła tego niewinnego dziecka. Z Sinobrodym omówiła szatański plan, dla którego wykonania przybyła dzisiaj głównie do pałacu Edmunda, w towarzystwie łotra, rudowłosego Piotra. Niespostrzeżenie dostał się on do pałacu i Walerya spieszyła teraz na miejsce, gdzie czekał jej sprzymierzeniec.

Na końcu ciemnego korytarza spotkała Piotra, który jej szepnął:

— Wielmożna pani! Cudowna sposobność. Wychowczyni nie ma w domu, poszła do swej przyjaciółki. W tej chwili jest mały Walter sam jeden. Niańka jest w pokoju służebnym.

— Dobrze, więc uda się nareszcie — odrzekła Walerya uradowana. Chodź za mną ostrożnie, dam ci znak, jeżeli wszystko będzie po naszej myśli.

Skręciła w oświecony korytarz, otworzyła drzwi prowadzące do pokoju, cicho stąpała po miękkich dywanach w stronę drzwi, prowadzących do drugiego pokoju, pogrążonego w zmroku, w oświetleniu ampuły. Tu leżała jej ofiara, mały Walter.

Jak krwiożercza lwica rozglądnęła się po pokoju. Spokojnie spał w łóżeczku mały Walter. Nikt nie czuwał przy nim, nikogo tu w ogóle nie było. Już chciała Walerya zawołać swego wspólnika, jeszcze raz bystrzej zaglądnęła do łóżeczka dziecka i zobaczyła nagle w zmroku czarno ubraną postać niewieścią. Klęczała przy łóżku, ręce jej złożone jakby do modlitwy. Szlochała cicho i stłumione westchnienia rozlegały się po pokoju.

Zadrżała Walerya. Jej plan znowu udaremniony. Lecz kto to ta tajemnicza czarna postać? Wychowawczyni? że nie ona, poznała Walerya mimo ciemności.

Nagle podniosła się postać i zbliżyła się do oświeconego pokoju. Cofnęła się Walerya. W tej chwili oświeciło światło w sąsiedniej komnacie tajemniczą postać. I ledwo rzuciła Walerya okiem na blade jej oblicze, zdjęła ją nagle niewymowna trwoga z piersi jej wydobył się okrzyk zgrozy. Drżąca na całem ciele, zatoczyła się i nogi odmówiły jej posłuszeństwa, strach opanował ją, bo ta postać, którą widziała, mogła tylko z grobu powstać. Była to rzekomo nieżyjąca Agata.

— Wielki Boże! Czy duchy wstają z grobów, wykrztusiła. Agata? Wszechmocny Boże

— to jej duch, który zemsty chce.

Trwoga jej nie znała granic, zdawało się, że jej szał czepił, twarz jej wykrzywiła się, oczy błądziły nieprzytomnie. Nagle ocknęła się i blada, zawsze jeszcze drżąca, zawołała:

— Nie! umarli nie wracają. — To złudzenie. Ty nie jesteś Agatą, nie możesz nią być!

— Jestem nią — odpowiedziała boleśnie drżącym głosem postać. — Wszechmocny Bóg, który zna moją niewinność, i ocalił mnie od haniebnej śmierci. Dzieło twoje, Waleryo, nie udało się. — Ja żyję, a teraz drżyj — drżyj morderczyni, bo zemsta niedaleka. Tak, — ty popełniłaś zbrodnię, o którą mnie fałszywie oskarżyłaś. Dlaczego, powiedz, zamordowałaś mego męża i mnie wtrąciłaś w nędzę bez granic? Dlaczego nastajesz na życie mego syna? Cóż złego zrobiło ci niewinne dziecię?

Jak grzmoty na sądzie ostatecznym brzmiały te słowa w ustach Waleryi. Jej trwoga wzrastała, nie mogła tego pojąć, co się tu stało. A przecież nie ulegało wątpliwości, że tu przed nią stoi Agata, żywa Agata. I w tej chwili uprzytomniła sobie, jak wielkie jej grozi niebezpieczeństwo. Wszystkie jej dumne nadzieje obrócone w niwecz, skoro się hrabia Edmund dowie, że Agata żyje.

Lecz nie, to się nie stanie. Chyba jeszcze nikt nie widział Agaty, i jeżeli zawoła swego sprzymierzeńca, Piotra, to sprawa wygrana. Walerya odzyskała już równowagę. Jak szalona rzuciła się na znienawidzoną postać i zaśmiała się śmiechem szyderczym, wściekłym.

— Tak jesteś nią — wierzę w to — Lecz nie tryumfuj! Umarłą jesteś, za taką uchodzisz i taką jesteś. Czego kat nie zrobił, to zrobi za niego kto inny.

— Szatanie! Dyablico! — wołała Agata wystraszona. — Czy nie znasz litości? — Cóż złego ci zrobiłam, że mnie prześladuje twoja nienawiść?

— Szczęściu memu stałaś się na przeszkodzie — syknęła Walerya i żelaznem objęciem objęła ramię Agaty, podczas gdy oczy jej błyszczały złowrogo. Ha — już w ową noc, kiedy Jakób chciał zabić twe dziecko, mogłam cię dostać w swą moc, bo wtedy byłaś owym duchem.

— Tak i dzisiaj ocalę me dziecię z twoich szponów — przerwała Agata.

— Nie nie ocalisz. — Jesteście w mojej mocy.

— O, Waleryo! — błagała Agata i padła na kolana przed nielitościwą kobietą. Znam twoje cele. Wiem, że kochasz hrabiego.

Zostaw mi dziecko, ja pójdę precz w daleki świat. Nie wydrę ci szczęścia. Widziałam cię przed chwilą w jego uściskach. Niech się nigdy nie dowie, że ja żyję. Uważa mnie za umarłą. Niech więc z tobą zazna szczęścia, którego pragnie.

Głos jej drżał.

— Nie! musisz zniknąć na zawsze, bo tylko wtedy będę miała spokój — zawołała Walerya. Hej Piotrze chodź, teraz są w naszej mocy i dziecko i matka. Zaśmiała się śmiechem szatańskim.

Z okrzykiem zgrozy zerwała się Agata. Wtem odezwały się prędkie, silne kroki i otwarły się drzwi. Lecz nie Piotra sprzymierzeńca Waleryi, zwabiły głośny hałas i krzyk.

Na progu stanął nagle hrabia Edmund.

Właśnie pożegnał go doktor Kloc i Edmund chciał zobaczyć Waleryę i małego Waltera.

Zdało się, że padnie nieżywy na widok Agaty. Nieruchomy jak kamień, z oczyma szeroko rozwartemi stanął na progu i tylko jego ciężko dysząca pierś zdradzała, że życie zeń nie uciekło. A także Agata osłupiała na jego niespodziany widok, a Walerya w gniewie i rozpaczy , nie była zdolną wyrzec ani słowa.

Stało się, czemu chciała zapobiedz. Wszystko stracone, co z trudem zdobyła przez obłudę, podstęp i zbrodnię. Godzina ta stanowiła o jej dalszym losie. Agata zwyciężyła a ona strąconą została w rozpacz i nędzę w chwili największych tryumfów. W wściekłym szale zgrzytała zębami i rzucała na Agatę złowrogie spojrzenia.

—Agato — zawołał nareszcie hrabia Edmund. — Boże miłosierny! Więc to nie złuda? Moje oczy widzą cię na jawie? Ty żyjesz? Mam cię tu znowu? Błoga radość zajaśniała na jego twarzy i ujął ramiony swemi drżącą postać ukochanej kobiety.

Agacie groziło omdlenie. Upadającą objął szybko hrabia i przytulił silnie, serdecznie. Nie pytał skąd przyszła, w jaki sposób wyszła z grobowca, albo dlaczego się tak długo uukrywała. Wszystkie jego myśli opanowało uczucie nieskończonej błogiej radości. Czuł tylko, że ją ma znowu, że się skończyły jego żal, ból i tęsknota.

Na Waleryę nie zwracano uwagi. Bezwładna wściekłość i strach przed tą nagłą zmianą, wprawiały ją w szał. Usta jej drżały konwulsyjnie. Uczyniła ruch, jakby chciała rzucić się na nich i wyrwać Edmunda z uścisków znienawidzonej Agaty.

— Więc nie daremnie ocaliłem cię od śmiercią — szeptał hrabia. I ty żyłaś podczas gdy ja w rozpaczy szukałem śmierci u twego łoża. Cud to niepojęty! Ale teraz jesteś moją, mam

cię znowu droga, ukochana kobieto i żadna siła świata nie rozłączy nas.

— Ha! — zawołała Walerya. A ja? Jej oczy rzucały jadowite spojrzenia pełne niezmiernej nienawiści. Ja już niczem tu nie jestem. Niewdzięczniku! Życie ci ocaliłam, krew swą oddałam za ciebie, a teraz mam się ciebie wyrzec? Przenigdy! — Patrzała przed siebie dumnie i wyniośle, zdecydowana w rozpaczy swej na wszystko.

— Do mnie należysz, i jeżeli w tej chwili nie wyrzekniesz się jej — wtedy na Boga! zdradzę ciebie i ją.Wtedy po raz drugi pójdzie morderczyni na szubienicę, a ty okryjesz się hańbą i sromotą, żeś starał się wyrwać zasłużonej śmierci morderczynię męża.

Jak furya stała ta szatańska kobieta przed osłupiałą parą.

— Waleryo! to szaleństwo — zawołał hrabia Edmund głosem, w którym drgał gniew i wstręt. Chce pani zdradzić to, co uczyniłam dla ocalenia niewinnej? Z nienawiści, z zazdrości chcesz się zemścić w ten dyabelski sposób?

— Tak uczynię to. A tyś sądził, Edmundzie, że jak owieczka spokojnie, potulnie zgodzę się na swój los, że ustąpię, życząc wam wiele szczęścia w życiu? Nie, skoro nie masz zmiłowania nademną, niczem ci moja rozpacz, skoro chcesz złamać świętą przysięgę, którą przed chwilą uczyniłeś — dobrze! Zginiecie razem!

Oniemiał hrabia Edmund wobec tej okrutności, i nienawiści jaką dyszała całał jej postać. Zdawało się mu, jakoby ręka żelazna ścisnęła mu pierś, ta szatańsko piękna kobieta, w której uściskach leżał przed chwilą, oszołomiony namiętnością, upojony jej całusami i przysięgami miłosnemi, ta kobieta wydała mu się nagle wężem jadowitym.

— Waleryo! — zawołał hrabia wzburzony. Jeżeli zdolną jesteś spełnić swą groźbę, o, natenczas nie wątpię, że prawdą jest to, co twierdzi Agata. Wierzę, żeś ją niewinnie oskarżyła z nienawiści ku niej, by ją zgubić, zniszczyć!

— Gorsze jeszcze popełniła zbrodnie, odezwała się Agata i wyciągnęła przed się prawicę, jakby do przysięgi. Morderstwo, o które mnie oskarżyła, popełniła sama. To moje przekonanie. I jak podstępnie zamordowała mego męża, tak chciała też sprzątnąć ze świata me biedne, niewinne dziecko.

— Idź nędznico, zdradź że żyję. Nie chce się dłużej ukrywać, pójdę jeszcze raz do więzienia, wiem i ufam, że prawda wyjdzie na jaw i że ty, jedynie winna, pójdziesz na stracenie.

Waleryi zdawało się, że zapada się w ziemię. Grozi jej znowu niebezpieczeństwo. Kilka dni temu oskarżyła ją wychowawczyni, a teraz Agata — jakby z grobu powstała — proroczą ręką zdziera z niej maskę. W pierwszej chwili straciła równowagę, blade jej lica świadczyły o jej winie i o trwodze zdemaskowanej zbrodniarki. Prędko jednak odzyskała przytomność umysłu. Nie wolno jej się poddać, bo będzie zgubioną.

— Szalona! — zgrzytnęła wśród szyderczego śmiechu, i oczy jej pałały wściełością bez granic. Zbrodnię swą chcesz zwalić na mnie? Miej odwagę i oskarż mnie publicznie. Nie mnie zgubić może. Kto tak okrutnie potrafił nie miałam powodu sprzątnąć go ze świata dla — kochanka.

— Miłosierny Boże! Nie! To nieprawda — zawołał hrabia Edmund. — Cicho, Waleryo! Starał się ją uspokoić, potem zwrócił się do Agaty i rzekł:

— Nie, mylisz się, —Walerya nie winna śmierci twego męża, jak i ty niewinną jesteś. Bo sam dyabeł nie byłby zdolnym do takiej zbrodni.

— Nienawiść jej nie zna granic, — zawołoła Agata. Zdolną jest do każdej zbrodni, która mnie zgubić może. Kto tak okrutnie potrafił fałszywemi zeznaniami spowodować skazanie na śmierć niewinnego człowieka, ten zdolnym jest i do mordu. A czy nie chciała ta nędznica zamordować me niewinne dziecko. Szatanie, czy zaprzeczysz temu, żeś postanowiła za wszelką cenę usunąć me dziecko? — A teraz, — skoro tu przyszłaś — czy nie w tym celu by plan swój wykonać, plan który swego czasu tylko dzięki wiernej Marcie nie mogłaś wykonać?!

Straszna wściekłość miotała Waleryą, próżno starał się ukrywać swą trwogę. Chciała mówić, lecz tylko ochrypłe niewyraźne słowa potrafiła wykrztusić. Poznała, że wspomnienie planu morderczego uchylonego przez Martę, o którym Agata wspomniała, zrobiło na Edmundzie wrażenie. Osłupiał i niepewnym wzrokiem mierzył każdy ruch Waleryi.

— Wielki Boże! — Szeptał. Co to ma znaczyć? To chyba nie może być prawdą. I Marta pamyliła się wtedy. To było złudzenie. Śniła i zdawało jej się nawet, że twój duch, Agato, stoi u łóżka dziecka.

— Widziała mnie samą. Na czas jeszcze się zjawiłam by ocalić życie mego dziecka, by spłoszyć Waleryę i Jakóba.

— Nie mam wcale ochoty odpowiadać na podobne szalone oszczerstwa, zawołała Walerya, nim Edmund mógł należycie pojąć słowa Agaty. Widzę, że hrabia Edmund uważa mnie za szatana w ludzkiej postaci. Dobrze. Ale twoja radość — tu zwróciła się do Agaty — niedługo potrwa. Wrócisz na rusztowanie. Posta-

ram się o to, nie minie godzina, a oddaną zostaniesz w ręce sprawiedliwości.

— Idź pani i uczyń, co ci każe nienawiść i nieznająca litości chęć zemsty! — zawołał w gniewie hrabia Edmund i pogardliwym ruchem wskazał na drzwi. Tak, teraz wierzę, że jesteś szatanem bez serca, bez sumienia. Lecz plan twój nie uda się. Gdy przyjdą siepacze, których zawołasz, nie będzie tu więcej Agaty.

— Znajdą ją, odszukają, zgrzytnęła Walerya, nie będąc więcej panią siebie. A ty, niewdzięczny, okrutny człowieku, co pogardziłeś moją miłością i nienawiść wzbudziłeś, zapłacisz za swoją zdradę, zginiesz wraz z nią.

Wyleciała z pokoju jak furya, hrabia Edmund patrzał za nią w bezmiernym gniewie. Gdy się odwrócił zobaczył Agatę klęczącą u łóżka małego Waltera. Cicho łkając szeptały jej usta słowa gorącej modlitwy.

Rozdział 15.

TAJEMNICA GOSPODY "POD PEŁNYM DZBANEM".

Rankiem, w dzień po uwięzieniu nieszczęsnego ojca Katynki, kroczył leśniczy Reinhold Winter ulicami rezydencyi, mokremi i ślizgiemi, wskutek deszczu. Zdążał ku budynkowi policyi, leżącemu na placu ozdobionym licznemi drzewami i pomnikami; wszedł wielką bramą główną i zwrócił się na schody szerokie, prowadzące na pierwsze piętro. Obracał się tu swobodnie, jak człowiek dobrze obeznany z każdym kątem.

Za chwilę był w wielkiej elegancko urządzonej sali,, gdzie u biurka, założonego mnóstwem papierów, siedział starszy pan, pilnie pracą zajęty. Był to szef policyi, poważny, elegancki człowiek odznaczony całym szeregiem orderów. Był sam a jego sekretarze pracowali w sąsiednim pokoju, przez który Reinhold co dopiero przeszedł był.

Na jego widok odłożył szef pióro i powstał. Kazał mu się zbliżyć i przywitał uśmiechem radosnym, wyrażającym zdziwienie i wyczekiwanie.

— A! widzę pana nareszcie znowu, kochany panie komisarzu! — rzekł. — Oddawna pana oczekuję. Jakie wiadomości? Czy pan co odkryłeś?

— Panie radco — odrzekł zapytany, kłaniając się uniżenie — dotychczas nie mam poważniejszych rezultatów. Ale jestem na tropie. Niestety, nie mogę grać nadal rolę leśniczego, wczoraj uwolnił mnie hrabia Sinobrody ze służby.

— Hm! — skrzywił się szef niezadowolony. Jak się to stało? Czy hrabia ma podejrzenie? Czy domyśla się może, że pan w rzeczywistości jesteś komisarzem kryminalnym i że masz zadanie, zbadać jego podejrzane tajemnicze postępowanie.

— Nie, ani hrabia, ani nikt z jego otoczenia nie ma podobnego podejrzenia. Wszyscy uważają mnie tylko za zwykłego leśniczego. Powód nagłego zwolnienia mnie ze służby jest inny.

I Winter, który w rzeczywistości był tajnym agentem i komisarzem kryminalnym, doniósł swemu przełożonemu o wszystkiem, co się stało podczas aresztowania Gerharda. Opowiedział jak ochronił Katynkę przed prześladowaniami Sinobrodego i jak wskutek tego przyszło do ostrej wymiany słów. A kiedy szef niechętnie potrząsł głową, przyznał się Winter swobodnie, że Katynka jest jego narzeczoną.

Zdziwił się szef i zmarszczył brwi.

— Kochany panie Winter — rzekł życzliwym tonem, nie chcę naturalnie wcale mięszać się w prywatne sprawy pana, najmniej zaś w sprawy sercowe. W tym jednak wypadku chciałbym panu zwrócić uwagę, że stosunek do tej dziewczyny jest niebezpieczny. A nadto, nie myśli pan chyba na seryo o tem, by uczynić swą żoną córkę człowieka podejrzanego o mord.

— Mam nadzieję, panie radco, że nieszczęśliwy Gerhard zostanie uwolnionym — odpowiedział komisarz przekonywującym tonem.

— Nie wierzy pan w jego winę?

Nie wierzę, by Gerhard był mordercą barona Jakóba, mimo wszelkich dowodów, które świadczą przeciwko niemu. Znam ja go dokładnie, to człowiek uczciwy, spokojny niezdolny do podobnej zbrodni.

— A nóż z wyrytym napisem "Pod pełnym dzbanem?"

— Dowodzi tylko, panie radco, że baron został tym nożem zamordowany — odpowiedział Winter. — Mimo to Gerhard nie musi być mordercą. Morderca rzeczywisty mógł narzędzie to skraść z gospody i zostawił z umysłu w piersi zamordowanego, by skierować podejrzenie na Gerharda. Ten by z pewnością był ostrożniejszym, sprzątnąłby z pewnością wszystko, co mogłoby świadczyć przeciw niemu.

— Kto zatem jest mordercą?

Winter wzruszył ramionami, ruch ten świadczył, że ma pewne podejrzenie, którego jednak nie chce jeszcze głośno wypowiedzieć.

Odpowiedział przeto:

— Mam nadzieję, że mi się uda zbrodniarza wytropić.

— No, dobrze w każdym razie musi pan i nadal śledzić za tajemnicami Sinobrodego. Zniknęła znowu młoda hrabina Gertruda bez śladu, podobnie jak jej poprzedniczka. Nie ulega wątpliwości, że się tu zbrodnie dzieją. Musimy je nareszcie odkryć. Niestety, nie może pan więcej wrócić na zamek Wildenfels, jako leśniczy. Musisz wystąpić w innym charakterze, lecz w jakim?

— Mógłbym zostać "Pod pełnym dzbanem" — zaproponował Winter. — Byłbym tam ekonomem i zastępowałbym gospodarza. Przebrałbym się tak, by mię nikt nie poznał.

— Plan pana podoba mi się — rzekł szef zadowolony. — Wróć pan zatem i prowadź dalej swe poszukiwania. Może się teraz panu uda, zakraść o czasu do czasu na zamek Wildenfels, by tam na miejscu śledzić za losami żon hrabiego. Lecz miej się pan na ostrożności, kochany panie Winter — dodał życzliwym tonem. Jeżeli hrabia jest rzeczywiście owym Sinobrodym, jak wieść o nim głosi, natenczas i panu grozi niebezpieczeństwo. Uważaj pan zatem i nie zdradź nikomu swej tajemnicy, że jesteś tajnym komisarzem. Nawet narzeczona pana nie powinna o tem wiedzieć.

Winter skłonił się.

— Jeszcze jedno ważna zadanie czeka pana — mówił szef dalej. — Sprawa baronowej Agaty Rambow, która zamordowała swego męża. Poszlaki podczas aktu stracenia obudziły podejrzenie w prokuratorze, który kazał grób i trumnę straconej otworzyć. W trumnie były tylko kamienie i głowa ludzka z wosku. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z tajemniczem oszustwem. Co pan o tem sądzi, panie Winter?

Komisarz był bardzo zdziwiony, bo dotychczas nie słyszał o tem śledztwie. Znał jednak dobrze tragiczny los Agaty. Wiedział, z jaką energią i przekonaniem walczył o nieszczęśliwą tę kobietę hrabia Edmund Linderhof. Na myśl o Edmundzie, wzbudziło się w nim podejrzenie.

— Może potajemnie zabrano trupa straconej — odpowiedział. — I to za sprawą hrabiego Linderhof. Nie mógł się pogodzić z myślą, że kobieta, którą za życia ubóstwiał, ma być pochowaną obok zbrodniarzy i morderców. Może pochował ją w jej grobowcu familijnym na zamku Heiligensee.

— Dużo prawdopodobieństwa jak w pańskich wywodach — rzekł szef. — Lecz jeżeli hrabia ten miał cel, prosiłby poprostu o pozwolenie na to, któreby mu też z pewnością udzielono. Nie głowa z wosku, ale jeszcze inne poszlaki wzbudzają poważne podejrzenia. Może skazanej wcale nie stracono? Może na rusztowaniu popełniono wyrafinowane oszustwo w oczach widzów?

— Kat da w tej mierze najpewniejsze wyjaśnienia.

— Bez wątpienia, ale kat z swymi pomocnikami zniknęli nagle.

— W takim razie sprawa jasna, popełniono oszustwo przy pomocy kata i jego pomocników — zawołał Winter. — A, że kat nie działał chyba z własnych pobudek, więc przypuszczać należy, że został przekupionym i to prawdopodobnie przez hrabiego. W jego też ukryciu znajduje się baronowa Rambow. Czy mogę prosić, by pan radca zechciał mi poruczyć dochodzenia w tej tajemniczej sprawie?

— Pewnie, pana też do tego przeznaczyłem. Zresztą nie będzie przecież ciągłego zajęcia w gospodzie, będziesz pan więc mógł zająć się i tą sprawą. Dalej więc do pracy, kochany panie Winterze. Od czasu do czasu zechciej pan zdać mi sprawę ze swej działalności. Życzę panu szczęścia.

Serdecznym uściskiem ręki pożegnał szef komisarza Wintera. Ten udał się najpierw do swego biura w policyi, by wszystko przygotować w sprawie śledztwa, w tej ciężkiej i niebezpiecznej sprawie. Postanowił tego dnia zająć się sprawą Agaty i Edmunda, a dopiero na drugi dzień udać się do gospody "Pod pełnym dzbanem."

— — — — — — — —

— — — — — — — —

Biedna Katynka nie spała tej nocy. Niespokojna rzucała się na swojem posłaniu. Myśl o ojcu nie dawała jej spokoju, dławił ją ból i rozpacz. Poduszki przemoknięte były od łez i łkając załamywała ręce, złorzecząc Bogu i losowi, który jej wydarł ojca, a ją wtrącił w przepaść nędzy.

Czuła się nieszczęśliwą i opuszczoną, bo i ukochany nie wracał, chociaż przyrzekł był. Dlaczego nie wraca? Czy ją już na zawsze porzucił? Tak, boi się wyroku i sądu świata, uczciwy człowiek nie ożeni się przecież z córką mordercy.

Straszna była rozpacz nieszczęśliwej dziewczyny. W tej śmiertelnej ciszy nocnej, zdjęła ją niewymowna trwoga. Była w domu prawie samą, tylko Filaks, mały czarny pudel czuwał z nią i skomlił żałośnie na widok zrozpaczonej pani, jakby czuł jej nędzę i ból. To zwierzę było jej jedyną opieką, jedynym towarzyszem.

Służba męska porzuciła gospodę, z dziewek tylko jedna została, lecz ta spała na strychu.

Oczy jej uporczywie wpatrywały się w ciemność i wsłuchiwała się w szaloną burzę. Deszcz uderzał o szyby, a wiatr wstrząsał oknami.

Całemi godzinami nie spała Katynka, a trwoga jej wzrastała. Zdawało się, że się ta straszna noc nigdy nie skończy. Tęskniła za dniem. Jeżeli wiatr poruszył drzwiami, zrywała się przerażona...

W tem — co to? — Pukanie odezwało się tajemne ponure. Czy to wiatr zawodzi? Cisza... za chwilę znowu się odzywa. Prawie, że nieprzytomna słuchała Katynka, serce jej przestało bić. Czy to upiór? Czy złe duchy nawiedziły gospodę, by tu swe harce wyprawiać?

Na nowo odezwało się stukanie, głuche, straszne, a wiatr wtórował. To złe duchy straszyły biedną Katynkę, która drżąc na całym ciele trwożnie tuliła do siebie wiernego pudla, który wskoczył na łóżko swej pani. Bała się, że za chwilę otworzą się drzwi i stanie w nich straszny upiór.

Wreszcie — gdy stukanie nie ustawało — zerwała się Katynka z łóżka. Zapaliła światło i zebrała się szybko. Chciała zbudzić dziewkę, za nic w świecie nie zostanie tu dłużej samą.

Otworzyła drzwi i weszła do izby mieszkalnej. Postępował za nią pudel, skomląc żałośnie. Ze światłem w ręku kroczyła Katynka przez pokój, w lustrze zobaczyła swą bladą twarz i wzdrygnęła się mimowoli. Zatrzymała się przy drzwiach, prowadzących na korytarz. Znowu to dziwne pukanie, jakby z pod ziemi to tu, to znowu tam. Daremnie starała się rozeznać skąd ono pochodzi.

Chyba to nie wiatr, Nigdy jeszcze nie słyszała Katynka tego stukania, postanowiła zbadać, co jest jego przyczyną. Korytarzem dostała się do kuchni, stamtąd do izby gościnnej. Nadsłuchiwała wszędzie daremnie, nic nie znalazła i nie wiedziała skąd to stukanie pochodzi. Nie wiedziała, że nieszczęsny człowiek siedzi w piwnicy, dręczony głodem, i że swemu przyjacielowi i dobroczyńcy, chce dać znać o tem stukaniem.

Nieszczęśliwiec czekał daremnie kilka godzin na Gerharda, który mu miał przynieść pożywienie. Nie mógł pojąć dlaczego Gerharda nie ma, bo nie wiedział nic o tem co w gospodzie zaszło. Nie wiedział, że jego jedyny przyjaciel i opiekun jest zdala stąd — w więzieniu.

W rozpaczy starał się zerwać drzwi, lecz te miały silne zawiasy, a nadto stała tu wielka ciężka szafa. Począł więc z całej siły stukać kijem w sklepienie i wołał na swego przyjaciela, aż głos jego osłabł i kij wypadł mu z omdlałej ręki.

— Miłosierny Boże, zmiłuj się nademną — wołał zrozpaczony. — Nieszczęsny ja! Co się ze mną stanie? Mam tu ginąć w nędzy? Dlaczego też on nie przychodzi? Czy nie słyszy?

Słyszała wprawdzie Katynka jego stukanie, lecz nie wiedziała, co ono znaczy i skąd pochodzi. Kilka już razy przekroczyła wszystkie izby, szukając po wszystkich kątach. Trwoga jej wzrastała, uciekłaby stąd najchętniej w ciemną noc burzliwą, pod gołem niebem czekałaby ranka, ale jakaś moc, silniejsza niż jej trwoga, kazała jej szukać dalej i badać.

Może przecież odkryje nieszczęśliwego? Zbiżała się do sypialni ojca, gdzie była szafa i drzwi puste. Pies wietrzył coś, wył i spieszył ciągle naprzód — nagle stukanie ustało i cisza śmiertelna zaległa dom.

Lecz trwało to tylko chwilę, wicher ze straszną siłą szalał, jakby chciał gospodę obalić. Rozległ się brzęk, jakby stłuczono szybę, a potem wsunęła się przez okno ciemna postać do izby gościnnej.

Jakby przykuta do ziemi stała Katynka w sąsiednim pokoju drżąc na całem ciele. Przez drzwi odchylone rozróżniła dokładnie kroki mężczyzny. Zdjęła ją niewymowna trwoga, światło wypadło jej z rąk i zagasło, podczas gdy, ona instynktownie szukała wyjścia do sieni. Wśród ciemności, wystraszona drzwi nie znalazła. Wtem zabłysło w izbie gościnnej światło latarni i Katynka parta nadzwyczajną żądzą poznania tego, co się stać ma, patrzała przez szparę drzwi.

Widziała człowieka, otulonego do stóp w przemoknięty płaszcz, twarzy jego nie było widać. Stał chwilę nadsłuchując, potem podniósł latarnię w górę i rozglądnął się po izbie. Z bijącem sercem patrzała na niego Katynka. Czy to złodziej?

Tajemniczy człowiek wszedł cicho do sypialni Gerharda, otworzył drzwi i zniknął w izbie. Czego on tu szuka? — pomyślała Katynka — tu niema przecież żadnych bogactw.

W izbie słyszała stuk. W śmiertelnym strachu nie wiedziała, co począć. Była sama, słabą, bezbronną dziewczyną. Gdyby zaczęła krzyczeć, złodziej rzuci się na nią nim dziewka przyjdzie jej z pomocą.

Postanowiło cicho dostać się na strych i tam schronić się u dziewki. Nim jednak osiągnęła sień, zdradził ją pudel. Dotychczas potrafiła go uspokoić, a na jego ciche skomlanie tajemniczy gość nie zwracał uwagi. Teraz jednak zaszczekał pies wściekle, wpadł do izby gościnnej a stamtąd do sypialni swego pana.

Próżno wołała go Katynka. W sypialni zaklął ktoś; nagle drzwi się otwarły i złodziej stanął na progu, z witrychem w ręku. Zrzucił był poprzednio płaszcz i teraz przy świetle latarni poznała go Katynka. Był to Piotr, rudowłosy służący Sinobrodego. Okrzyk zgrozy wydobył się jej z piersi; poczęła uciekać. Na jej widok cofnął się Piotr; w tej samej jednak chwili odzyskał równowagę, kopnięciem nogi odpędził psa z szatańskim uśmiechem rzucił się na Katynkę.

— Holla, piękna Katynko — zawołał tryumfująco — czekaj, skarbie mój, zabiorę cię zaraz.

— Na pomoc, na pomoc! — wołała Katynka wśmiertelnym strachu. — Uciekła do sieni, tuż za nią był Piotr, złapał ją i ujął silnie za ramię. Z rozpaczliwym wysiłkiem uwolniła się Katynka i uciekła na schody.

Zaklął Piotr i podążył za nią. Uciec nie mogła. Tam na strychu złapie ją, a wtedy... — wyuzdany uśmiech wykrzywił mu twarz — dlaczegożby nie miał użyć przyjemności u pięknej, młodej dziewczyny, nim ją odda swemu panu.

Ciężko dysząc, uciekła Katynka. Biedna przypuszczała jaki ją los czeka, jeżeli wpadnie w szpony tego zwierzęcia. Jej wołania o pomoc stawały się coraz silniejsze i gwałtowniejsze, które strasznie brzmiały wśród grobowej ciszy w domu.

Czy już ją nikt nie ocali?

Prawie,. że dosięgnął już Piotr uciekającą — nagle przystanął, nadsłuchując trwożliwie Tam w dole rozległ się szelest, trzask drzwi i prędkie kroki. Równocześnie stanęła w górze na schodach dziewka ze światłem w ręku.

Rozdział 16.

CHYTRY KROK.

— Nie, kochany Edmundzie, pozwól mi pan odejść z dzieckiem, ukryję się w dalekich krajach i nikt się nigdy nie dowie, że ja żyję.

Tak błagała Agata wśród łez, ale silna i stanowcza. Zrozpaczony stał obok niej hrabia Edmund, obok łóżka spokojnie śpiącego dziecka, pochłaniał wzrokiem ukochaną kobietę i ściskał konwulsyjnie jej rękę.

— Chcesz mnie porzucić Agato, na zawsze, teraz, kiedy cię znowu odzyskałem — mówił drżącym głosem hrabia, a ból i cierpienie malowały się na jego twarzy. — Na to cię od śmierci ocaliłem, aby cę teraz stracić na zawsze? Nie, nie, tego nie uczynisz Agato! nie mogę żyć bez ciebie, bądź moją żoną.

Smutno potrząsła głową i łzy gorące spływały po jej bladych licach.

— Edmundzie — rzekła bolesnym głosem. —Byłoby to nieszczęściem dla pana związać swe życie ze mną. Wiem ja, jak gorąco mnie pan kochasz, a ja — o mój Boże — chciałabym pana uszczęśliwić, jak na to zasługujesz.

— To wszystko w twojej mocy! Skoro zechcesz, potrafimy usunąć wszelkie przeszkody — zawołał gwałtownie i przytulił do swego serca, wzbraniającą się Agatę. Objął ją silnie, całował jej usta, a ona nie miała odwagi uwolnić się z jego objęć i powtórzyć swe okrutne "nie".

— Jeżeli Walerya spełni swą groźbę, jesteśmy zgubieni — szeptała. — A ona nie będzie milczeć. Z zemsty i ciebie wtrąci w przepaść, bo wzgardziłeś jej miłością. Przypuszcza, że to ty ocaliłeś mnie od śmierci i teraz pociągną cię do odpowiedzialności.

— Nic złego stać mi się nie może — uśmiechnął się hrabia. Ale tobie, kochana moja, grozi niebezpieczeństwo. Twoje ocalenie nie jest tajemnicą więcej, a nawet jeżeli Walerya milczeć będzie, zajmie się tobą policya. Dlatego trzeba prędko myśleć o bezpiecznem schronieniu, musisz się przebrać i zmienić imię.

W moim pałacu nie mogę cię ukryć, a u siebie, na zamku Heiligensee, z pewnością nie byłabyś bezpieczną. Musimy uciekać z małym Walterem. Zagranicą, pod przybranem nazwiskiem, zostaiesz moją żoną, a kiedy po długiej nieobecności wrócimy, znikną wszelkie podejrzenia.

— Edmundzie — rzekła Agata smutno — jak mogę zostać twoją żoną, ja, którą świat uważa za morderczynię?

— Niech świat myśli, co chce — pocieszał ją Edmund. Dla świata ty jesteś umarłą. A jeżeli z czasem niewinność twoja wyjdzie na jaw, wtedy zrzucisz z siebie maskę. Nie wzbraniaj się dłużej, Agato! Jeszcze tej nocy musimy uciec.

— Nie ty, lecz ja sama — odparła stanowczo Agata.Ty zostaniesz Edmundzie, bo razem z pewnością nas wykryją. Nie bój się o mnie. Znam miejsce, gdzie będę zupełnie bezpieczną.

— Gdzie?

— Tam, gdzie dotychczas się ukrywałam — odparła Agata wymijająco. — Czuwaj nad moim dzieckiem. Ja wrócę znowu, jutro w nocy.

— Nie, nie puszczę cię Agato — zawołał Edmund gwałtownie. Boję się, ty nie wrócisz. Zostań, ucieekniemy razem. Winnaś mi także wyjaśnienie. Nie znam jeszcze twej tajemnicy, nie wiem, kto to ta tajemnicza osoba, którą

Walerya nazywa twoim kochankiem. Powiedziałaś mi że to nie mężczyzna lecz kobieta.

— Tak, kobieta w męskiem przebraniu. Stąd błąd Waleryi — przerwała Agata. Lecz nie nalegaj Edmundzie, nie mogę i dzisiaj powiedzieć ci więcej, niż dawniej.

— A w jaki sposób — to mi tylko powiedz — uwolniłaś się z grobowca, dokąd cię sprowadzono, uważając cię za umarłą?

Agata chciała odpowiedź, wtem zapukano do drzwi i wszedł stary Michał. Zbliżył się szybko do Edmunda i szepnął trwożliwie:

— Jaśnie panie! przyszedł komisarz policyjny — i...

Nagle urwał, wzrok jego padł na Agatę, cofnął się Michał, jak przed upiorem. Hrabia Edmund w pierwszej chwili zadrżał na wiadomość starego Michała. To dzieło Waleryi, pomyślał i bezradny patrzał na Agatę. Gdzie ją ukryć, jak ja ocalić? Stary Michał nie mógł, w swem przerażeniu, odzyskać mowy. Chciał jeszcze donieść, że komisarz za chwilę tu będzie.

Wtem odezwały się już w korytarzu szybkie kroki i zjawił się komisarz na progu sąsiedniego pokoju. Hrabia Edmund przymknął szybko drzwi do pokoju, w którym Agata stała u łóżka swego dziecka i spokojny przywitał komisarza. Ten patrzał podejrzliwie na przymknięte co dopiero drzwi. — Czy spostrzegł tam Agatę i czy ją poznał?

— Panie hrabio —rzekł komisarz i przystąpił ku drzwiom — szukam tu Agaty Rambow, morderczyni, którą w tajemniczy sposób ocalono od śmierci. Jest ona tutaj — w tym pokoju.

Hrabia Edmund zaszedł mu drogę, starając się siłą powstrzymać urzędnika.

— Panie komisarzu — wykrztusił z wysiłkiem. Myli się pan...

Lecz komisarz przecisnął się, otworzył drzwi i wpadł do pokoju.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jak wściekła lwica uciekła Walerya z pałacu Edmunda. Jej nienawiść nie znała granic. Każda jej myśl, tą chęć zemsty. Człowiek, którego kochała szalenie, namiętnie, oszukał i odepchnął ją. Odepchnął, bo Agata żyje! Gdyby nie ona, mogłaby tryumfować.

Śmierć tej nienawistnej kobiecie! Ona musi zginąć, musi ją usunąć z drogi za każdą cenę. A ma przecież władzę po temu. Jedno słowo, a Agata umrze na rusztowaniu. Lecz wtedy zginie z nią i Edmund. Bo chociaż go nie czeka ciężka kara, to jednak szczęście jego zniszczone na zawsze i nigdyby nie przebaczył Waleryi tej zdrady. Wtedy straci go bezpowrotnie, jeżeli jednak milczeć będzie, znajdzie się przecież wcześniej, czy później środek, by Agatę usunąć i mimo wszystkiego osiągnąć wytknięty sobie cel.

Lecz co uczynić? A jeżeli hrabia Edmund jeszcze tej nocy ucieknie z Agatą za granicę, tam się pobiorą i nigdy więcej nie wrócą? Wtedy stracona gra. Nie mogła sobie poradzić, postanowiła jednak na razie, groźby swej nie wykonać, by się nie pozbawić wszelkiej nadziei na przyszłość.

— O Piotra, służącego brata, nie troszczyła się. Z pewnością dawno już opuścił pałac hrabiego, poznawszy, że ich plan się nie udał. Około północy powróciła Walerya na swój zamek, bo zamek Heiligensee uważała już za swoją własność. Mimo późnej godziny miała wizytę, jej brat, hrabia Sinobrody, oczekiwał ją z niecierpliwością.

— O, Walerya, sama? — zawołał zdziwiony. — A gdzie Piotr? Nie wrócił z tobą? Czy plan się nie udał?

— Nie udał się — zawołała Walerya gniewna i rzuciła swe wspaniałe futro na ziemię Opadła na krzesło i konwulsyjnie ścisnęła pięści. — Robercie, poniosłam straszną klęskę. Teraz wszystko stracone, wszelka moja nadzieja stracona.

W bezradnej wściekłości zalała się łzami, a blada jej twarz wyrażała bezmierną rozpacz. Sinobrody patrzał przez chwilę zdziwiony na swą piękną siostrę, w takim stanie nigdy jej nie widział.

— Na Boga — zawołał — stało się chyba coś strasznego. Czy cię może hrabia przyłapał, jak chciałaś dziecko oddać Piotrowi?

— Nie! Zrazu wszystko szło gładko. Święciłam najwspanialsze tryumfy kobiety. Hrabia leżał w moich ramionach i przyrzekł, że uczyni mnie swą żoną. Zdawało się, że wszystko zyskane.

— Hm, hm! — przerwał Sinobrody zadowolony — cóż się więc stało?

— Skorzystałam ze sposobności i udałam się do dziecka. I ta część planu zdawała się nie natrafiać na trudności. Piotr doniósł mi, że wychowawczyni nie ma w domu i w rzeczywistości nie było przy dziecku tej niebezpiecznej kobiety. Ale była przy niem inna, którą uważaliśmy za nieżywą i pogrzebaną — matka Waltera.

— Co? kto? — pytał Sinobrody — nie rozumiejąc słów siostry.

— Agata — wykstusiła Walerya. — Ją tam spotkałam i zdawało mi się, że padnę bez

życia, na widok znienawidzonej kobiety.

— Do dyabła! Co też mówisz Waleryo? ona żyje? To niemożliwe — zawołał Sinobordy — ducha jej widziałaś — nie inaczej!

— I ja tak w pierwszej chwili myślałam, wnet się jednak przekonałam, że to istota żyjąca z krwi i kości. Tak, Robercie, Agata żyje. Jak się to stało, to jest dla mnie zagadką. Nie pojmuję tego, stał się chyba cud.

— Do stu dyabłów. Człowiek gotów wierzyć w cudy — zawołał Sinobrody wzburzony. Czy ci nie powiedziała, w jaki sposób została uratowaną?

— Nie, prawdopodobnie nie wie ona tego. Jestem jednak przekonaną, że on sam, hrabia Edmund, ją ocalił.

— Przecież i on uważał Agatę za umarłą, chciał sobie nawet życie odebrać z rozpaczy za nią — odpowiedział niedowierzająco Sinobrody. — Nie brał on zatem udziału w jej ocaleniu.

— Prawda! Zatem, nie on! — rzekła Walerya. — Kto więc? — A przecież — przypomniała sobie nagle słowa Edmunda — a przecież on, nazwał się sam jej zbawicielem. Mimo to był równie zdziwiony na jej widok, jak ja.

— Co? to hrabia widział także Agatę? To i on wie, że ona żyje?

— Tak, nadszedł, kiedy ją zastałam u dziecka i z tą chwilą Robercie wszystko skończyło się dla mnie. Radośnie objął Agatę i ona tryumfowała nademną, ta znienawidzona i oskarżyła mnie przed nim.

Sinobrody zaklął złowrogo i zerwał się z krzesła.

— O co cię oskarżyła?

O zamordowanie męża swego, barona Rambowa, i o to, że nastaję na życie dziecka.

I Walerya opowiedziała swemu bratu, całą scenę z Agatą i Edmundem.

Wzburzony pędził Sinobrody po pokoju, klnąc złowrogo. Gdy siostra skończyła swe opowiadanie, stanął przed nią i rzekł z wyrzutem:

Twoja w tem wina że sprawa wzięła taki obrót. Dałaś się porwać nienawiści ku Agacie i zazdrości. Za nic w świecie nie należało im grozić zdradą. Hrabia jest teraz twoim wrogiem, a może nawet wierzy oskarżeniom Agaty, a wtedy wszystkie twoje nadzieje zniszczone na zawsze.

— Teraz zdaję sobie z tego sprawę — rzekła Walerya — lecz wyrzuty nic tu nie pomogą. Daj mi raczej radę jak błąd swój naprawić.

Przedewszystkiem musisz znowu pozyskać hrabiego, bo chyba nie chcesz się go wyrzec, co?

— Nie, nie chcę i nie mogę — zawołała namiętnie. Nie ustąpię miejsca Agacie. Moim być musi — albo niech razem giną. Lecz nie upokorzę się przenigdy.

Tego nie trzeba. Musisz tylko cofnąć swą groźbę i udawać wobec Agaty, że z nieprzyjaciółki, stałaś się wielkoduszną przyjaciółką. Naturalnie, nie będzie ci ona ufać, lecz w ten sposób potrafisz łatwo cel swój osiągnąć.

— Cóż to pomoże? W ten sposób usuwam im tylko wszelkie przeszkody z drogi.

Pozornie, tylko kochana Waleryo. Bo zawsze będziesz czuwać i przy sposobności potrafisz Agatę sprzątnąć.

— A jeżeli zostanie jego żoną? Czy mam spokojnie na to zezwolić, by ją poprowadził do ołtarza?

— Naturalnie, nic zresztą przez to nic tracisz. Niedługo cieszyć się będzie swem szczęściem. To już moja rzecz — zaśmiał się Sinobrody. Zastanówmy się tylko spokojnie, kochana Waleryo. Mam nadzieję, że odniesiesz świetne zwycięstwo.

W godzinę po tej rozmowie żegnali się brat i siostra. Ułożyli plan, który im zapewniał znakomity skutek.

— Co to się stało z twoją ostatnią żoną? — pytała Walerya, — odprowadzając brata do przedpokoju. Czy zginęła w grobowcu?

— Bezwątpienia nie żyje — odpowiedział Sinobrody obojętnie. Szukałem jej tam w dole, ale nie znalazłem. Pewnie rzuciła się do morza, jak poprzedniczka, Józefa.

— A myślisz już o świeżej żonie?

— Nie, na razie chce skosztować wdzięków pięknej Katynki z gospody "Pod pełnym dzbanem",—zaśmiał się Sinobrody cynicznie. Choćby tylko z zemsty na tym bezwstydnym łotrze, na mym byłym leśniczym. Skoro tylko dostanę jego Katynkę na zamek Wildenfels, niech sobie wtedy robi co mu się podoba; więcej jej nie zobaczy.

Walerya nagle spoważniała i położywszy bratu rękę na ramieniu — rzekła upominająco.

— Kochany Robercie, — bądź ostrożnym. Ten leśniczy Winter nie podoba mi się, z nim się trzeba liczyć jako z nieprzyjacielem. Mam to uczucie, że on nam może szkodzić.

— Ach głupstwo — rzekł Sinobrody lekceważąco. — Zarozumiały, zuchwały to człowiek, nic zresztą. Jego zuchwałe zachowanie już dawno mnie drażniło. Należało go też zbić porządnie szpicrutą.

— Miej się na baczności Robercie, — mówiła Walerya. Bo ja naprawdę boję się tego

człowieka. Ty nie obserwowałeś go tak, jak ja, kiedy aresztowano gospodarza z pod "Dzbana".— Posłuchaj: leśniczy ten ma jakieś podejrzenia przeciw nam. On nie wierzy, że Gerhard zamordował Jakóba.

— Ach! niech tam wierzy w co chce. Nie waży się on wystąpić z oskarżeniem publicznie. A zresztą nie ma go już więcej w tej okolicy i zdala stąd poszuka sobie nowej służby, a kiedy ojciec jego ukochanej zostanie skazany na śmierć za mord, zapomni on niewątpliwie o swej Katynce.

— Kto wie? — mówiła Walerya.

— Nadto rzekł Sinobrody, zmieniając temat rozmowy — w gospodzie pod "Pełnym dzbanem" tkwi jakaś tajemnica. Nocą widziałem często światło w piwnicy. Piotr śledził już za nią, nadaremnie. Droga moja prowadzi dzisiaj znowu koło gospody. Mam ochotę wstąpić tam i zrobić niespodziankę pięknej Katynce. Może spotkam na drodze Piotra, a może czeka na mnie koło gospody.

Prędko pożegnał Waleryę i odjechał.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Następnego dnia siedział hrabia Edmund w swoim pokoju posępny, zamyślony, z twarzą na której cierpienie i ból, zostawiły wyraźne ślady — opartą na dłoniach. Wzdychał ciężko i szeptał smutnym, bolesnym głosem:

— O, Boże! — Znów ją straciłem. Wydarła mi ją ta szatańska kobieta. Przekleństwo jej, tej żmiji, która ze mnie uczyniła najnędzniejszego z ludzi!

Nie słyszał, jak drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wysmukła postać kobieca, piękna jak Junona, we wspaniałej toalecie. Cicho zbliżyła się ku niemu i nagle uczuł Edmund objęcie miękkiej ręki i usłyszał słowa, mówione słodkim, wabionym tonem:

— Edmundzie! — nie potępiaj!

Zerwał się z siedzenia. Oczy zabłysły gniewem.

Waleryo?!

— Tak, Edmundzie to ja, przychodzę aby...

— Zaprawdę, — czy mnie oczy nie mylą? Pani śmie przyjść do mnie po tem co się wczoraj stało, — wykrztusił po chwili Edmund. Drżąc z gniewu oparł się o poręcz krzesła i zmierzył Waleryę pogardliwem spojrzeniem.— Przychodzisz pani, by się przekonać, czy nędzna twoja zdrada osiągła pożądany skutek? Chcesz się pastwić widokiem tego nieszczęścia, które spowodowałaś?

— Wielki Boże! — przerwała Walerya przestraszona. Edmundzie, — wysłuchaj mnie pan. Com zrobiła, czem zasłużyłam na twój straszny gniew?

— I pani śmie pytać? — Szydzi pani chyba. Spełniłaś przecież swą groźbę. Zdradziłaś nas haniebnie, mnie i Agatę.

— Nie, — zaklinam się, Edmundzie, nie uczyniłam tego.

Zdziwił się hrabia Edmund i niedowierzająco patrzał na nią. Potem odwrócił się od niej pogardliwie i rzekł:

— Nie wierzę pani.

Chciał wyjść z pokoju, lecz szybko zastąpiła mu drogę Walerya i ujęła go za rękę.

— Wielki Boże! — zawołała wzburzona. Co się tu stało? Ja o niczem nie wiem. Krzywdzi mnie pan, panie Edmundzie. Uległam wczoraj nienawiści i zazdrości, z rozpaczy dałam się porwać groźbie, nie byłam panią siebie, bo cię miałam stracić, bo moje nadzieje szczęścia błogiego nagle brutalną ręką zostały zniszczone. Lecz przysięgam: groźby nie spełniłam. A jeżeli dokonano zdrady, ja jestem niewinną.

W jej słowach i głosie drgała nuta szczerości, tak, że hrabia Edmund zachwiał się w swoich przekonaniach.

— Kto zatem doniósł policyi i zdradził jej, że Agata żyje? — zapytał, nie ufając jeszcze Waleryi.

— Nie wiem, może władza inną drogą dowiedziała się o ocaleniu Agaty?

Hrabia Edmund sposępniał. Przyszło mu na myśl ostrzeżenie kata, także doktor Kloc doniósł mu, że go przesłuchano. Możliwe zatem, że podejrzenie policyi skierowało się przeciw niemu nie za sprawą Waleryi.

— Być może, — rzekł głośno. W każdym jednak razie jesteś pani przyczyną nieszczęścia. Wbrew przekonaniu zrobiłaś z Agaty morderczynię. Niech pani Bóg przebaczy. Ja ze wstrętem odwracam się od pani.

— Przestań Edmundzie! — zawołała Walerya i wyciągnęła błagalnie ręce. Chcesz mię zabić. Nie mów tak do mnie Edmundzie. Gdyby pan wiedział, ile ja cierpię. Prawda, niesłusznie oskarżyłam Agatę, ale — Bóg mi świadkiem — uczyniłam to z przekonania, w najlepszej wierze. Teraz, Edmundzie, teraz wiem, że Agata jest niewinną.

—. A, skąd nagłe to poznanie? — zaśmiał się szyderczo. Może też pani wyzna, żeś sama popełniła ową zbrodnię, o którą oskarżyłaś Agatę?

— Ja Miłosierny Boże! — Więc pan rzeczywiście przypuszcza, że byłabym zdolną do takiej zbrodni? Morderczynią jestem dla pana?

— O mój Boże! — zawołała zrozpaczona i wielkie łzy zabłysły w jej oczach. Jak niewinną jest Agata, tak i we mnie nie ma winy, dodała podniesionym głosem. I chwała Bogu — mam dowody — tego — od wczoraj.

— Co? — zapytał hrabia Edmund drżącym ze zdziwienia głosem. Pani ma dowód, że Agata jest niewinną?

— Tak i przychodzę, by jej sama donieść tę radosną nowinę. Gdzie Agata? Czy jej tu więcej nie ma? Mój Boże! Czy ją odkryto i znowu wtrącono do więzienia?

Walerya czekała niecierpliwie na odpowiedź Edmunda. Udawała nadzwyczajną troskliwość i trwogę o Agatę, a przecież nic by jej tak nie cieszyło, jak wiadomość, że Agata jest znowu w rękach policyi. Wtedy — pomyślała — zachowa swój "dowód" dla siebie, albo zezna coś zupełnie nieznacznego. I niech się spełni wtedy los Agaty, hrabia Edmund nie będzie jej winił.

Ale Edmund, jakby nie słyszał jej pytań, nie odpowiadał. Silnie wzburzony stał przed nią, drżąc z wyczekiwania i niecierpliwości.

— Mówże pani, co pani wie? Jakie dowody pani ma — wołał, przeszywając ją wzrokiem, jakby chciał przejrzeć w głąb jej duszy. Wielki Boże! Waleryo, pani wie, kto otruł męża Agaty, pani zna mordercę?

— Tak, — rzekła, ociągając się. Lecz zawołaj pan Agatę. W jej obecności chcę wszystko wyjawić.

— Ach, westchnął hrabia Edmund i twarz sposępniała. Agaty — nie ma tu.

— Więc w więzieniu, nieszczęsna, znowu w więzieniu? — badała Walerya z tajoną radością.

— Nie, policya Agaty nie wykryła. Lecz ona znowu zniknęła bez śladu. Bóg jeden wie, dokąd ta nieszczęśliwa uciekła i czy wróci.

Walerya doznała przykrego rozczarowania, lecz potrafiła znakomicie ukryć swe prawdziwe uczucie pod maską udanego bólu.

— A jej dziecko? — spytała szybko. Czy zabrała ze sobą małego Waltera?

— Tak, weschnął hrabia Edmund ciężko. I wychowawczyni nie wróciła. Wszystko to dla mnie zagadką, którą sobie mogę wytłomaczyć tylko w ten sposób, że Agata spotkała wychowawczynię i zabrała ją do swego nieznanego schronienia.

— Walerya odetchnęła swobodnie. Zdawało się, że Agata chce być w ukryciu na zawsze. Bo w przeciwnym razie zostawiłaby swe dziecko w opiece hrabiego Edmunda.

— I pan nie ma pojęcia, gdzie się Agata ukrywa? — badała. Czy nic panu nie powiedziała?

Potrząsł głową przecząco i westchnął ciężko.

— Nie traćmy nadziei, kochany Edmundzie, — mówiła Walerya. Będziemy szukać za Agatą i znajdziemy ją. A wtedy spełni się gorące życzenie pana. Z własnej woli zwracam panu słowo, bo skoro Agata żyje, muszę się pana zrzec. W jej głosie drgały łzy.

— Serce moje krwawi się w prawdzie — mówiła — odbierają mu, co miało najdroższe. Lecz nie dbam o to. Skoro tylko pan szczęśliwym będziesz, to ja zrzekam się ciebie bez żalu.

Ukryła twarz w dłoniach i łkała spazmatycznie. Zdawało się, jakoby w rzeczywistości potrafiła się zdobyć na taką wspaniałomyślność. A hrabia Edmund, sam człowiek szlachetny i niepodejrzliwy, dał się znowu oszukać jej obłudnym łzom. Ujął jej ręce i rzekł głosem pełnym litości:

— Biedna Waleryo! — Tak, los nie chce, by się twe życzenie spełniło. Współczuję ja z panią, jak ciężko cierpisz, rozumiem, że serce twe żal ma do Agaty.

— O, nie, Edmundzie. — odrzekła szybko. Teraz nie! Dawniej nienawidziłam Agaty, bom ją uważała za świętoszkę, za zbrodniarkę, niegodną twej miłości. Lecz teraz, skoro wiem, że jest niewinną męczennicą, która tyle przecierpiała, chciałabym jej podać rękę do zgody — dodała skruszona.

— Ach, jak bardzo ja panią skrzywdziłem swojem podejrzeniem, — zawołał hrabia Edmund wzruszony. Waleryo, serce pani prawdziwie szlachetne, nie wątpię, żeś działała w najlepszej wierze, kiedy oskarżyłaś biedną Agatę.

Walerya tryumfowała. Udało jej się znowu usidlić ukochanego. Ale nie dość jej było tego, musiała zyskać więcej, udowodnić mu, że była czystą i niewinną, jak w to on teraz wierzy.

— Com wtedy zrobiła, napawa mnie dzisiaj strachem, — mówiła. I musiałabym się sama potępić, gdyby sumienie me nie było czystem. Ale dopiero od wczoraj znam prawdę.

— Kto zatem jest mordercą? — przerwał hrabia Edmund.

— Baron Jakób, — oświadczyła Walerya silnym głosem. Tak, własny siostrzeniec otruł męża Agaty.

— Jakób? Wielki Boże! Czy to możliwe? — spytał przestraszony Edmund.

— Tak, — nędznik ten miał zamiar zagarnąć wielki majątek swego wuja. Skierował podejrzenie na Agatę, by mu nie była przeszkodą.

I ja teraz jestem silnie przekonaną, że Jakób godził na życie małego Waltera, bo i dziecko było dlań przeszkodą.

Edmundowi zdawało się to wszystko tak prawdopodobnem, że uwierzył w to. Dziwił się, dlaczego on i świat cały nie widzieli w Jakóbie mordercy od samego początku, nikt inny nie mógł tego mordu popełnić. Nie myślał o tem, że łatwo oskarżać umarłego, który się nie może bronić.

— I jakby sam los pomścił na nim zbrodnię, — mówiła Walerya. Bo i Jakób zginął z ręki mordercy. Spotkała go zasłużona kara, chociaż nie z ręki kata.

— W jaki sposób odkryła pani tę straszną prawdę? — pytał Edmund, zmieszany jeszcze zupełnie tym strasznem odkryciem. Mówiła pani pierwej o dowodach, które...

— Tak, dowód istnieje. Były służący Jakóba był świadkiem jego zdrodni, ale milczał z obawy przed zemstą pana swego. Przypadkiem tylko odkryłam wczoraj prawdę, niepostrzeżenie podsłuchałam słowa tego służącego nad trupem zamordowanego. Zasłużenie cię spotkał ten straszny koniec! Wtedy wystąpiłam i na moją stanowczą indagacyę wyznał służący wszystko.

— Gdzie on? — spytał wzburzony Edmund. Nie sprowadziłaś pani tego człowieka? Musi iść do sądu, jego zeznania mają nieocenione znaczenie.

Walerya potrząsła głową.

— Pewnie, kochany Edmundzie, zeznania tego służącego są dowodem niewinności Agaty, miałam też zamiar przyprowadzić go tu. Cóż kiedy uciekł, bał się — i słusznie — ciężkiej kary za swe długie milczenie.

W rzeczywistości sprawa miała się tak, że Walerya uwolniła dzisiaj ze służby służącego i bardzo hojnym datkiem pieniężnym skłoniła go, by jaknajprędzej wyniósł się z tej okolicy i jak najdalej. Hrabia Edmund zaś, który ani na chwilę nie wątpił w prawdziwość jej opowiadania, rozpaczał.

— Uciekł ten łotr? — zawołał. Trzeba za nim natychmiast wysłać pogoń. Doniosę o tem policyi.

— Tak uczyń pan to, kochany Edmundzie! — utwierdziła go Walerya, uśmiechając się nieznacznie. Mam nadzieję, że się uda jeszcze przyłapać tego człowieka.

— A kiedy się to stanie, niewinność Agaty będzie udowodniona, — rzekł hrabia Edmund radośnie. Wtedy może śmiało wystąpić i świat niech się dowie o jej ocaleniu. Gdyby ona też nie uciekła była, słyszałaby teraz tę radosną nowinę. — Lecz jedno pytanie Waleryo! — dodał po chwili zastanowienia i zmierzył ją bystrym, ponurym wzrokiem. Czy służący widział, jak Jakób wsypał truciznę do szklanki?

— Oczywiście! Nie wiedział tylko zrazu, że to trucizna, — odpowiadała odważnie.

— A pani przysięgła w sądzie, że Agata wsypała truciznę do wina swego męża, — mówił hrabia Edmund tonem ostrym, podejrzliwym. W takim razie popełniła pani krzywoprzysięstwo.

— Edmundzie, nie kończ. Posłuchaj, to nieporozumienie — odpowiedziała szybko drżącym głosem. Zbladła bo dotychczas nie myślała o swoich fałszywych zeznaniach w sądzie. Należało teraz przezwyciężyć i tę trudność. Jej przytomność umysłu wnet znalazła wyjście.

— Tak — rzekła spokojnie — to było nieszczęsne nieporozumienie. Co zeznałam w sądzie, to było nieprawdą. Lecz teraz jasną mi jest rzeczą, że Agata wogóle nic do wina nie wsypała. Flaszeczkę z trucizną, którą u niej znaleziono, podsunął jej Jakób.

— Ale pani zeznała z całą stanowczością.

— Ach, tak, kochany Edmundzie. Było to dziwne złudzenie, przyznała. Mam nadzieję że mi Agata wybaczy ten mój nieszczęsny szał. Skoro Agata żyje, można wszystko znowu naprawić.

Hrabia Edmund milczał i patrzał przed siebie ponury. Walerya śledziła go trwożliwie. Nie wierzył jej całkiem, tkwiło w nim jeszcze pewne podejrzenie, lecz Walerya niewątpiła, iż uda się jej i to usunąć.

— Waleryo, mówił hrabia Edmund, musisz pani powtórzyć to w sądzie. Bo w przeciwnym razie świadectwo służącego nie ma wartości. Oczywiście nie możemy nic począć, dopóki go nie odszukamy. Musi zatem zostać jeszcze tajemnicą, że Agata żyje i w jaki sposób została ocalona.

— Ocalenie nieszczęśliwej to przecież pana dzieło, Edmundzie? — badała Walerya. A mimo to uważałeś Agatę za umarłą? W jaki sposób stało się to?

— Potem pani wszystko wytłumaczę — odpowiedział hrabia Edmund. Idę teraz na policyę i spowoduję pogoń za służącym. Pójdzie pani ze mną?

— Jeżeli to konieczne — dobrze. Lecz, kochany Edmundzie, czy nie byłoby wskazanem nie wdawać się obecnie z policyą. Dla Agaty, dla jej bezpieczeństwa! Moglibyśmy tymczasem robić poszukiwania przy pomocy tajnego agenta.

Hrabia Edmund musiał uznać słuszność jej wywodów. Gdy się rozłączyli, zawołała Walerya tryumfująco:

— Pierwsza część mego planu udała się nadspodziewanie dobrze. Dał się oszukać, znów go zyskałam. Teraz należy Agatę odszukać, a skoro ją znajdę, nigdy jej więcej Edmund nie zobaczy.

Rozdział 17.

DETEKTYW PRZY PRACY.

— Na pomoc! — Na miłość Boską, na pomoc!

Strasznie brzmiał ten okrzyk zgrozy Katynki wśród ciszy nocnej. Szukała schronienia u dziewki, która na widok drżącej Katynki i jej prześladowcy, wydała również okrzyk przerażenia.

Piotr przystanął, kiedy odezwał się podejrzany szelest w gospodzie, na dole, a na widok dziewki, cofnął się mimowoli. Prędko jednak odzyskał przytomność umysłu. Z dziewką da sobie radę. Lecz kto ten nowy przybysz? Czy hrabia Sinobrody spieszy mu z pomocą? Czy też to zbawiciel Katynki?

Kroki zbliżały się szybko z izby gościnnej i na schodach zjawił się mężczyzna, z latarnią w ręku, w przemokniętym płaszczu. Nie był to hrabia Sinobrody, jak się Piotr spodziewał, lecz obcy. Nie znał tego człowieka. Skąd on się tu znalazł, o tej porze, w samotnej gospodzie?

Katynka i dziewka na widok obcego, w którym widziały zesłanego im przez Boga zbawcę, poczęły na nowo wołać o pomoc. Obcy w pierwszej chwili przystanął potem postawił latarnię na ziemię, zrzucił płaszcz i przyskoczył gwałtownie do Piotra.

— Podły zbóju! nędzniku — zawołał grzmiącym głosem i pchnął go silnie pięścią tak że Piotr stoczył się w dół o kilka stopni. Od runięcia uchronił się tylko tem, że prędko chwycił się poręczy. Ruszaj zuchwały zbóju, albo...

Piotr zaklął dziko, zerwał się gwałtownie i rzucił się na swego przeciwnika z wytrychem, chciał mu zadać cios śmiertelny. Katynka i dziewka przerażone krzyknęły, zdawało się, że zbawca ich zginie, lecz w tej chwili rzucił się obcy na rozbójnika ze zręcznością tygrysa. W powietrzu złapał jego ramię, wydarł mu wytrych i pchnął nędznika tak silnie, że się stoczył w dół, po wszystkich schodach.

Nim Piotr oszołomiony tem, mógł się podnieść skoczył za nim obcy. Wziął go za kark i okładając kułakami, wypchnął go za drzwi przez sień. Darmo starał się Piotr uwolnić z żelaznych uścisków przeciwnika, obcy przewyższał go znacznie siłą i zręcznością. Otworzył drzwi i Piotr wyleciał jak z procy i upadł w kałużę błota.

— Niech cię tu drugi raz nie zobaczę, łotrze — zawołał za nim obcy przybysz, bo w przyszłości nie ujdziesz cało.

Trzasnął drzwiami i oddalił się. Piotr z trudnością podniósł się z błota, zbity, przemoknięty, zgrzytał zębami. Zacisnął pięści i zaklął dziko.

— Ktokolwiek jesteś ty psie, zapłacisz mi za to — zawołał w szalonej wściekłości. — Poznasz ty Piotra, wrócę ja znowu, cel swój osiągnę, choćby mi sam dyabeł stanął w drodze.

Wśród przekleństw domacał się w ciemności przybudówki, gdzie zostawił był swego konia, siadł nań i popędził wśród burzy w stronę zamku Wildenfels.

Nie domyślał się wcale, kto był jego przeciwnikiem, który go tak sromotnie obił. I Katynka widziała w swym zbawcy obcego. Drżąca jeszcze na całem ciele, zeszła ze schodów i wśród łez i gorących słów podzięki, podała mu rękę.

— Dziękuję ci stokrotnie, panie — łkała. — Wybawiłeś mnie z wielkiego niebezpieczeństwa. Ten nędznik zabiłby mnie gdyby nie pan.

— Nie wierzę, by ten nędznik czyhał aż na życie mej biednej Katynki. Chciał on tylko uprowadzić cię gwałtem na zamek Wildenfels i oddać swemu panu, Sinobrodemu — odpowiedział tonem tak serdecznym, że Katynka zdziwiona cofnęła się. Głos jego znała, również rysy jego twarzy nie były jej obce, a mimo to nie mogła sobie uprzytomnić, czy i gdzie obcego przybysza widziała. Jeszcze bardziej się jednak zdziwiła i przeraziła, gdy obcy ujął jej rękę i patrzał na nią z uśmiechem.

Starała się uwolnić z jego objęć, lecz on przycisnął ją silniej i patrzał na nią z uśmiechem.

— Panie — łkała Katynka bezradna i trwożna. Czy na to mnie uwolniłeś i obroniłeś, by teraz...

— Ależ Katynko nie poznajesz mnie jeszcze? — mówił obcy głosem. który Katynka znała. Maska moja musi być więc znakomitą, skoro mnie nawet moja Katynka nie poznała!

— Reinhold — zawołała radośnie — to ty? tak, mój Reinhold! Chwała Bogu.

— Spokojnie Katynko, to ja, ale dziewka nie powinna tego wiedzieć. Chodź do izby.

— Ach mój Boże — wołała Katynka wśród łez. To ty jesteś naprawdę, mój Reinholdzie? Wróciłeś, nie porzuciłeś swej Katynki?

— Katynko przerwał Reinhold, jakby z wyrzutem. — Wątpiłaś w moją wierność. Nie

mogłem prędzej wrócić, ale teraz zostanę tu. Bałem się nieszczęścia i troska o ciebie zagnała mnie tutaj w tę burzliwą noc. Pędziłem jak mogłem najprędzej. Otwarte okno i krzyk mówiły o wszystkiem. Dzięki Bogu, że nie zapóźno. Lecz teraz pogadamy z dziewką, widzę, że ciekawą jest wiedzieć kto jestem.

— Czemu nie chcesz jej tego powiedzieć — spytała Katynka zdziwiona.

— Z powodów, które ci wnet wyłuszczę — odpowiedział Winter i zbliżył się ku dziewce, która stała jeszcze na schodach i zdziwiona przypatrywał się tej scenie, nie usłyszawszy ani słowa z rozmowy, którą Reinhold i Katynka bardzo cicho prowadzili.

Detektyw wytłumaczył dziewce, że jest blizkim krewnym Katynki i jej ojca i że obejmie tu rolę gospodarza na czas nieobecności Gerharda. Katynka potwierdziła jego słowa i zrozumiawszy prędko sytuacyę, nazywała ukochanego "stryjem". Uspokojona dziewka oddaliła się.

Winter i Katynka udali się do pokoju i tu zdjął detektyw swą fałszywą brodę. Katynka przytuliła się do niego i całowała swego ukochanego, a z oczu jej błyszczała radość bez granic. Potem opowiedziała mu dokładnie o napadzie i wspomniała także o tajemniczem pukaniu, które słyszała.

— Pochodziło z izby sypialnej — tłómaczyła. — I Piotr wtargnął do tej właśnie izby. Nie pojmuję, czego on tam szukał.

Winter wytężył słuch, sprawa wydała mu się podejrzaną.

—A może to Piotr spowodował to pukanie — zauważył. — Może starał się dostać inną drogą do wnętrza.

— Słuchaj, wyszeptała nagle Katynka i blada tuliła się do ukochanego. Znowu to straszne pukanie.

Wstrzymując oddech, nadsłuchiwali, a nawet niezababonnego Reinholda zdjął strach.

— Człowiek gotów uwierzyć w duchy — szeptał. — Czy słyszałaś dawniej to pukanie?

— Nie, nigdy — zawołała Katynka w strachu. — Dopiero dzisiaj odkąd ojca niema. Ach Reinholdzie! ja się tak boję. Szczęście że jesteś, umarłabym tu ze strachu. — Czy słyszysz? — Pukanie coraz silniejsze. — Boże miłosierny co to znaczy?

— To nie duchy Katynko! — ocknął się Winter. Chodź! weź latarnię, musimy sprawę tę zbadać.

Gdy przez sień zbliżali się ku izbie gościnnej, pukanie nagle ustało. Mimo to kroczyli po całym domu i przyszli nareszcie także do sypialni Gerharda. Stąd to, jak twierdziła Katynka, pochodziło to dziwne pukanie.

Czy uda się też doświadczonemu komisarzowi odkryć tajemnicę gospody, tego nieszczęśliwego tam w lochu piwnieznym? A jeżeli nie, co się stanie z nieszczęśliwym?

— — — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — —

Wśród drzew okalających górę zamkową zamku Wildenfels, kroczył następnego dnia ku zamkowi stary, zgarbiony człowiek, o siwych włosach i długiej brodzie. Na plecach dźwigał drewnianą skrzynkę napełnioną rozmaitymi towarami, był to wędrujący handlarz. Droga była stroma. Stary ciężko dyszał, od czasu do czasu przystawał, opierał się o drzewo i oczyma, ocienionemi okularami, patrzał na dumne mury i wieże zamku.

Odpoczął chwilę i ruszył w dalszą drogę. Minął wielką bramę zamkniętą, wiedział, że odźwierny nie wpuszcza ludzi jego fachu. Wąską ścieżką dostał się do małej bramy, stojącej otworem, wszedł i dostał się na tylne podwórze zamkowe, gdzie się znajdowały zabudowania gospodarskie.

Tu go chyba świetnie przyjmą, służba, a zwłaszcza dziewczęta, bo dla każdego miał coś w swej skrzyni. Jedwabną wstążkę, sznur pereł, nęcące cacka dla pięknej Maryi, albo dla również pięknej i zarozumiałej Antoniny, albo błyszczący łańcuch do zegarka dla ukochanego. Stary wszystko miał i wszystko było tanie. Można też było potargować się, stary był zadowolony, skoro tylko zarobił na każdej sztuce kilka groszy.

Nie omylił się stary. Jego widok wywołał wśród wszystkich zgromadzonych do obiadu w wielkiej izbie służebnej, radosną niespodziankę. Był tu wprawdzie po raz pierwszy. Handlarz wogóle niechętnie szedł do zamku z obawy przed Sionbrodym, który nie lubiał tych wizyt. Tem radośniej powitała go służba. Zaproszono go do jadła, a stary nie dał się długo prosić. Złożył swą skrzynię i smacznie zajadał obiad skromny wprawdzie, lecz pożywny. A potem rozpoczął się handel, za chwilę tak ożywiony, że nikt nie spostrzegł wejścia klucznicy, starej Krystyny.

— A co to dziatki — zawołała zdziwiona. Gwarno tu i rojno, jakby do tańca. W jednej chwili uspokoiło się, tylko piękna Antonina, która kupiła sznur pereł i piękną chustkę — zawołała, śmiejąc się:

— Ej, gdzie tam tańce, to tylko handlarz.

Stara Krystyna zmarszczyła brwi na widok jednak starego handlarza prędko się udobru-

chała. Tego starego, ułomnego człowieka, nie mogła nabesztać. Jej wrodzona dobroć zwyciężyła i rzekła przychylnie:

— Uważajcie by was hrabia nie spostrzegł. Jaśnie pan nie pozwala na to.

Cofnęła się. Zdziwiła się jednak bardzo, gdy po chwili wszedł handlarz do jej izby. Zerwała się wystraszona i zawołała niechętnie:

— Czego tu chcecie? Niczego mi nie trzeba!

— Nie to, nie to, dobra pani Krystyno — odpowiedział handlarz z uśmiechem i swobodnie złożył swą skrzynkę. Chyba nie wyrzucicie biednego, starego człeka? Mam wiadomość i pozdrowienie od Katynki.

— Ach, Boże! przychodzicie z gospody? — zawołała stara udobruchana. Siadajcie, dobry człeku, a co robi moje biedne, kochane dziecię? jak tam w gospodzie?

— Nie świetnie — westchnął handlarz. — Przez tydzień tam nie byłem, a wszystko zmienione teraz! Wielki Boże! biedny Gerhard, ten uczciwy człowiek, a podejrzany o morderstwo. Ale ja nie wierzę, że to on popełnił, on niewinny, zupełnie niewinny!

— Pewnie, pewnie, — potwierdziła Krystyna zalewając się łzami. Boże miłosierny o mało nie oszalałam na wiadomość o tem. Szczęście że tego nie dożyła jego żona, moja biedna siostra. A Katynka, chyba zmysły postradało to biedne dziecko! A ja nie mogłam się stąd ruszać, za daleka to droga dla mnie. Ale dziesiaj muszę ją zobaczyć. Pan mi pozwoli pojechać. Bardzo mnie gryzie troska o to biedne opuszczone dziecię.

Tak biadała Krystyna, zalewając się łzami, a handlarz potakująco kiwał głową jakby go losy ludzi z gospody bardzo obchodziły.

— No, zupełnie opuszczoną Katynka dzięki Bogu nie jest — rzekł uspokajająco. — Od wczoraj bawi w gospodzie krewny Gerharda. Chłop, zdaje się do rzeczy, uczciwy i zdolny, który gospodarstwo potrafi prowadzić.

— Gerharda krewny — zapytała bardzo zdziwiona. — Chyba jego szwagier, chociaż nie wiem, skądby się on tak nagle tu wziął. Od 10 lat stale żyje w Ameryce.

Na twarzy handlarza drgnął przelotny uśmiech. Milczał, odpowiedział jej po chwili, jak rzekomy krewny przyszedł właśnie na czas i ocalił Katynkę z wielkiego niebezpieczeństwa. Stara Krystyna z przerażenia załamał ręce.

— Co? Piotr to uczynił? Nocą wtargnął ten łotr go dospody, jak zbój? Natychmiast o tem będzie wiedzieć hrabia. Nie długo pozostanie w służbie ten nędznik.

— Radzę wam, Krystyno, lepiej milczeć — odpowiedział handlarz. Ten hrabia Sinobrody nie będzie zważał na wasze oskarżenie, bo Piotr działał niewątpliwie z jego polecenia, Chodziło o to, by uprowadzić Katynkę na zamek Wildenfels.

— Wielki Boże! to niemożliwe — zawołała w strachu Krystyna. A przecież, skoro człek pomyśli o tych wszystkich historyach, które...

Urwała nagle, patrząc na handlarza, który znacząco potakiwał głową. Tak hrabia Sinobrody zdolnym był uprowadzić dziewczynę. Stara Krystyna drżała na myśl, że biedna Katynka może pewnego dnia wpaść w ręce tego wyuzdanego odludka. A wtedy taki los czeka, jaki spotkał jego nieszczęśliwe żony.

— Tak, tak, — potakiwał handlarz poważnie. Słyszałem już dosyć o Sinobrodym, a wy, Krystyno, musicie chyba więcej wiedzieć, niż inni o jego żonach i ich losach. Naprzykład ta ostatnia młoda hrabina Gertruda. Znaliście ją chyba co?

— Pewnie — westchnęła stara. Wiem także, co się z nią stało. Ale niech mię Bóg broni, bym coś plotła.

— Myślicie, że hrabina nie żyje? Że ją Sinobrody sprzątnął? — badał handlarz dziwnie zainteresowany.

— Nie żyje? Mój Boże! a skąd ja o tem mam wiedzieć — mówiła stara wymijająco. Ale w domu obłąkanych jej nie ma, jak mówią. Zamku nie opuściła, jak go swego czasu nie opuściła, hrabina Józefa.

— Wiem, wiem, Krystyno —, rzekł handlarz i zdało się, że jego zainteresowanie rośnie chociaż starał się je ukryć. Aha! chyba coś w tem prawdy być musi w tych strasznych historyach, które ludziska sobie opowiadają. A po Józefie miał już hrabia ze dwie czy trzy żony. Gdzie też one? Co się z niemi stało?

— Na Boga! jeszcze dwie żony, prócz Józefy i Gertrudy? — szeptała stara. — O tem ja już nic nie wiem. Znałam tylko te dwie — dodała szybko, tonem nie bardzo wiarygodnym.

— A gdzie one, te dwie? Czy nigdy pani Krystyna o tem nie pomyślała? Czy niegdy nie śledziliście za nieszczęśliwemi, naturalnie w tajemnicy?

— Na wielkiego Boga nie! Stara drżała Obawa przed panem zamknęła jej usta. Chętnieby sobie ulżyła, nie miała jednak odwagi mówić otwarcie z tym obcym sobie człowiekiem.

— Zastanówcie się tylko — mówił handlarz —a może uda się wam przyjść z pomocą tym nieszczęśliwym kobietom, a choćby tylko ostatniej Gertrudzie? A jeżeli one żyją? Jeże-

li je Sinobrody uwięził, gdzieś w ukrytem więzieniu zamkowem?

Stara wydała okrzyk zgrozy i zbladła. Ta myśl handlarza zdawała się być straszną. Cóż złego zrobiły biedne kobiety, że własny mąż skazał je na tak okropny los? Nie chciała w to wierzyć, lecz handlarz obstawał przy swoich przypuszczeniach i zaklinał starą, by w interesie nieszczęśliwych kobiet, starała się koniecznie zbadać ich los. A stara Krystyna w końcu uwierzyła jego słowom, że hrabinaGertruda je szcze żyje i marnieje w ukrytem więzieniu gdzieś w zamku.

Opowiedziała handlarzowi otwarcie, co wiedziała. Mówiła o starej wieży, w której — jak sama widziała — zniknęła hrabina Józefa. Że taki los spotkał i Gertrudę, mogła tylko przypuszczać.

I chociaż mu nie wiele przytoczyła faktów, handlarz był dziwnie wzburzony i wyciągnął z jej słów ciekawe wnioski. Zdziwiło to starą Krystynę. Co go to mogło obchodzić?

Więc w wieży tkwi tajemnica, to nie ulega wątpliwości — szeptał półgłosem. Czy nie można też dostać się tam? — zapytał głośniej.

— Do wieży? — zawołała stara przerażona — Niech Bóg broni, przyjacielu, dajcie spokój. Biada wam, jeżeli was tam hrabia spotka. A niebezpieczne to przedsięwzięcie i dlatego, że tam duchy harce swe wyprawiają. To rzecz pewna. Na morzu nocą zobaczycie we wieży czerwone światełko.

Znają je wszyscy żeglarze lecz nikt nie wie, co ono znaczy. Ja wam zaś powtarzam, to światło duchów, które tam przebywają i każdemu niosą śmierć, kto się odważy zbliżyć do wieży.

— W takim razie — rzekł handlarz poważnie, chociaż w tonie drgała nuta szyderska — w takim razie to duchy także uśmierciły biedne hrabiny. Nie głupim ja iść tam do wnętrza. Ale chciałbym raz widzieć te straszną budowlę.

— Do wnętrza i tak się nie dostaniecie, przyjacielu. Na rozkaz hrabiego, drzwi wchodowe zostały zamurowane.

Za chwilę handlarz zabierał się do wyjścia. Stara Krystyna dała mu rozmaite łakocie i serdeczne pozdrowienia dla Katynki, i prosiła starego, by wnet znowu przyszedł. Już się ona o to postara, by go hrabia nie zobaczył.

Handlarz nie chciał jeszcze opuścić zamku przez podwórze zbliżał się do miejsca, gdzie stała osławiona wieża. Na boku zostawił swą skrzynię i rozglądnąwszy się, zbliżył się do wejścia wieżowego. Zdawało się, że zna w zamku każdy kąt.

Około wieży pracowało kilku murarzy, mieli zamurować wejście. Już do połowy byli z pracą swą gotowi. Handlarz zbliżył się i pozdrowił ich. Nie zwracali nań uwagi, ani na to, że chodził kilka razy dokoła wieży i badał małe, okrągłe, bluszczem gęsto zarośnięte okna.

— Dłutem można będzie otwór ten rozszerzyć i dostać się do wnętrza, — szeptał. Muszę za każdą cenę dostać się do wieży.

W tej chwili ozwały się szybkie kroki i zjawił się hrabia Sinobrody w towarzystwie Piotra. Handlarz potrafił się u bluszczu ukryć, tak że go Sinobrody nie spostrzegł, chociaż był blizko jego kryjówki. Kiedy jednak wystąpił, w nadziei, że się hrabia już oddalił, spotkał się z nim nagle oko w oko.

Groźnie spytał hrabia:

— Kto wy? — Czego tu szukacie?

Handlarz zdjął kapelusz i kłaniając się głęboko, wykrztusił usprawiedliwienie: że jest biednym handlarzem, który chciał służbie sprzedać co ze swoich towarów.

I czy to głos czy też ruchy handlarza obudziły w Sinobrodym podejrzenie, dość, że uporczywie i badawczo wpatrywał się w jego twarz. Zdawało się, że stary handlarz zbladł. Spuścił głowę i chciał odejść.

— Piotrze! zawołał hrabia. Wyrzuć tego człowieka z zamku, by więcej tu nie wracał. Włóczęgów i handełesów nie znoszę.

— Słyszałeś, Icku? — A teraz ruszaj! — zawołał Piotr za oddalającym się już handlarzem który zabrał swą skrzynię i opuścił niegościnny zamek.

Za murami przystanął.

— Dzięki Bogu! — szeptał zadowolony. Niebezpieczeństwo minęło szczęśliwie. Coby też Sinobrody powiedział, gdyby poznał we mnie swego dawnego leśniczego? Albo też łotr Piotr?

Gdyby on też wiedział, kto go ubiegłej nocy obił w "Dzbanie" i wyrzucił!

Uśmiechnięty schodził z góry. Było to zuchwałe przedsięwzięcie, ale udało się niespodziewanie dobrze. Nikt go nie poznał, jak dawniej nikt nie przypuszał, że potulny leśniczy, to komisarz policyjny. Biada mu jednak, gdyby go poznał był Sinobrody lub też Piotr. Nie oglądałby on nigdy więcej gospody "Pod pełnym dzbanem", dokąd teraz dążył.

— Jeszcze tej nocy muszę dostać się do wieży szepnął stanowczo. A jeżeli znajdę tam, co przypuszczam, wtedy hrabio Sinobrody, wybiła twa ostatnia godzina.

Rozdział 18.

POLITOWANIA GODNY LOS.

Burza i deszcz szalały po ulicach rezydencyi nadawały wśród ciemności i samotnemu przedmieściu wygląd ponury.

Otulona w płaszcz, kroczyła szybko ulicami postać niewieścia. Latarnie gazowe słabo oświecały drogę. Z dachów lała się woda, jakby potokiem i tworzyła kałuże. Postać niewieścia nie zważała na burzę i niepogodę, spieszno jej było. Tylko tu i owdzie spotykała człowieka w tych ubogich odludnych ulicach, prawie że na końcu rezydencyi. W końcu weszła do domu i udała się na czwarte piętro. W ciemności, bo schody były tylko słabo oświecone, domacała się drzwi i zapukała.

Wewnątrz ozwało się ciche stąpanie, drzwi się otworzyły i postać niewieścia weszla do przedpokoju i złożyła płaszcz swój.

Światło lampy kuchennej, którą trzymała w ręku, mieszkanka tego widocznie niezamożnego mieszkanka, oświeciła otuloną w płaszcz postać niewieścią. Była to wierna Marta, wychowawczyni małega Waltera.

— Co dziecko porabia, kochana Ludwiko? — spytała przybyła cicho, idąc do kuchni w ślad za gospodynią.

— Niestety, nie lepiej, westchnęła Ludwika. Boję się, kochana Marto, poważnej choroby u małego, i zdaje mi się, że należy się poradzić lekarza.

Tymczasem przygotowała Ludwika na stole kuchennym skromną wieczerzę. Marta słuchała pilnie wpatrzona w drzwi, prowadzące do sąsiedniego pokoju. Była u swej przyjaciółki, Ludwiki Altmann, właścicielki niewielkiego sklepu modnych towarów. Starsza to była panna, wysoka, szczupła, o niepięknej twarzy, świadczącej o wielkim bólu i dobroci serca.

Do niej schroniła się Marta w ową noc, kiedy uciekła ze zamku Heiligensee z małym Walterem przed Waleryą i Jakóbem .Także w ów wieczór kiedy Agata zjawiła się w pałacu hrabiego Edmunda, była Marta z wizytą u swej przyjaciółki.

Od tego czasu — minął już cały tydzień— nie wracała Marta do pałacu hrabiego, który jej nie szukał, bo nie znał ani imienia ani adresu przyjaciółki.

Marta szybko zjadła i cicho weszła do sąsiedniego pokoju. Lampa, nakryta zieloną umbrą, oświetlała przyjemnie urządzony pokój. W łóżeczku przy ścianie, leżało w niespokojnym śnie, w gorączce, dziecko,—mały Walter a przy nim — jego matka, nieszczęśliwa Agata.

Dziwny zbieg okoliczności sprowadził ją tutaj. W ów krytyczny wieczór, kiedy urzędnik policyjny zjawił się w pałacu hrabiego, uciekła Agata ze swym dzieckiem. Dostała się na ulicę. Tu spotkała Martę, która omało nie omdlała na widok swej pani, którą uważała za umarłą. Zwyciężyła jednak swój strach i wysłuchała historyę ocalenia Agaty.

Agata postanowiła zniknąć bez śladu, by siebie i dziecko swe uwolnić od prześladowań. Dlatego z radością przyjęła propozycyę Marty i została u jej przyjaciółki, Ludwiki Altmann. Ta przyjęła ją bardzo serdecznie. Natychmiast wtajemniczyła Marta swą przyjaciółkę, w której wierność mogła zaufać, w tragiczne losy swej pani. Ludwika odstąpiła gościom jedyny swój pokój, a sama spała na starej sofie w kuchni. Przez dzień cały była zajętą w sklepie, a że i Marta musiała szukać za zarobkiem, więc Agata była zdaną na siebie od rana do późnego wieczora.

Smutną i straszną była dola nieszczęśliwej Agaty. A teraz zachorowało jej nagle dziecko. Czuwała nad niem bez przerwy i myśl, że jej jedyny teraz skarb, najdroższy, może jej wydrzeć śmierć ta myśl doprowadzała ją do rozpaczy.

—Miłosierny Ojcze w niebiosach! Nie zabieraj mi dziecka! Zmiłuj się, Wszechmogący. I gorące łzy spływały po jej bladych, wycieńczonych licach.

Na progu stanęła Marta i zbliżyła się ku swej pani. Rzuciła badawcze spojrzenie w stronę dziecka i zawołała przestraszona:

— Boże mój! trzeba prędko wołać doktora, dziecko poważnie chore. Gorączkuje!

— Tak, spiesz pani, kochana Marto! —łkała Agata. Chciałam to wpierw sama uczynić, lecz nie mogłam dziecka zostawić, a dobra Ludwika dopiero co wróciła do domu.

— Gdybym przypuszczała, że tak źle, nie byłabym dziś wychodziła, — mówiła Marta, a głos jej drżał. Tu trzeba szybkiej pomocy.

Pospieszyła do kuchni. Ludwika zarzuciła na siebie prędko płaszcz i rzekła.

— Sama pójdę kochana Marto. Nie znasz tej okolicy. Stracisz dużo czasu na szukaniu. Znam lekarza w jednej z najbliższych ulic.

I nie zważając na protesty Marty, oddaliła się szybko. Marta wróciła do pokoju.

Agata zalewała się łzami.

— Marto! — wołała, jeżeli mi dziecko umrze, byłoby lepiej, gdyby mnie hrabia Edmund nie był uratował. Nie przeżyję jego śmierci!

— Spokojnie, kochana moja pani, Bóg miłościwy, — odpowiedziała Marta. Mały Walter wróci do zdrowia. Żeby Ludwika tylko prędko wróciła!

Nachyliła się nad chorym i wsłuchiwała się w jego nieregularny, przyspieszony oddech. Czoło jego pokryte było potem, a ciało drżało. Otwarte chwilami oczy nieprzytomnie śledziły otoczenie.

Minęło półgodziny, Ludwika nie wracała, nie przychodził też lekarz. Na dworze szalała burza, od czasu do czasu przerywał ciszę okrzyk Waltera z gorączki.

Wreszcie otwarły się drzwi z korytarza. Marta pobiegła do kuchni. Ludwika wróciła.

— Dzięki Bogu! — zawołała, nie mogąc tchu złapać. Przypadkiem spotkałam lekarza na ulicy. Tego, w pobliżu nas, nie było w do mu, i do drugiego chodziłam daremnie. Nie wiedziałam co czynić i w rozpaczy zapytałam obcego pana czy nie zna lekarza mieszkającego w pobliżu.'' Jestem sam lekarzem'' — odpowiedział. Oświadczył, że ma tu niedaleko pacyenta, potem zaraz do nas przyjdzie.

— Niebu niech będą dzięki — zawołała uradowana Marta — wróciła do pokoju i opowiedziała swej pani wesołą wiadomość.

Z gorączkową niecierpliwością wyczekiwano przyjścia lekarza. Stan małego Waltera pogarszał się z minuty na minutę, gorączka wzrastała, a nieszczęśliwa Agata siedziała bezradnie u łóżka swego dziecka.

— Ach, nie przychodzi — łkała — o Boże mój, pomóż!

Wiernej Marcie krwawiło się serce na widok tego bólu. Ze łzami w oczach patrzała na chore dziecko. Bała się, by doktór nie przyszedł zapóźno.

Po chwili otwarły się drzwi, Ludwika zaglądnęła i na widok tych strapionych kobiet stanęły jej łzy w oczach, cofnęła się bez szmeru.

W tej samej prawie chwili odezwał się dzwonek. To nikt inny tylko lekarz. Marta pośpieszyła do kuchni. Drzwi się otwarły i wszedł wysoki, barczysty mężczyzna, otulony w przemoknięty płaszcz.

— Dzięki Bogu — zawołała Ludwika — jest pan doktór.

— Ach, panie doktorze, mówiła Marta, niebezpieczeństwo groźne. Dziecko... — urwała nagle i cofnęła się wstecz na widok twarzy doktora, którego poznała.

— Co? — pan doktor Kloc, to pan doktór?

I doktor Kloc, bo on to był, był nad wyraz zdziwiony na widok wychowawczyni małego Waltera.

Hrabia Edmund nie powiedział mu jeszcze nic o wypadkach w pałacu. Nie wiedział, że Agata żyje, i że zabrała ze sobą dziecko, ani też, że Marta nie wróciła więcej.

— Skąd się pani tu wzięła? — zapytał zdziwiony — myślałem, że pani jest u hrabiego, przy małym Walterze.

— Nie panie doktorze — odpowiedziała Marta drżącym głosem. Jestem tu z dzieckiem, u przyjaciółki, a mały Walter potrzebuje właśnie pomocy lekarskiej.

— Mój Boże — zawołał doktor Kloc — nie mogę wyjść ze zdziwienia. O tem nie miałem pojęcia. Dlaczego pani opuściła z dzieckiem pałac? Stało się to chyba za zgodą i wiedzą hrabiego?

W tej chwili nie mogę dać panu żadnych wyjaśnień rzekła Marta wymijająco. — Mały Walter niebezpiecznie chory.

Doktór Kloc nie pytał więcej i rzekł krótko:

— Gdzie jest dziecko, tam?

Gdy się zbliżał ku drzwiom, zdawało się, jakgdyby go Marta chciała wstrzymać. Tam w pokoju była jej pani. Nie powinien ją tu znaleźć doktor Kloc bo nie będzie milczał, lecz zaraz jutro doniesie o wszystkiem hrabiemu.

Podczas gdy Marta nie mogła znaleźć rady, słyszała Agata w pokoju każde słowo rozmowy. Wiedziała już, że to doktór Kloc i w pierwszej chwili straciła zupełnie równowagę. Za nic w świecie nie chciała, by ją widział. Gdzie się jednak ukryć?

Instynktownie cofnęła się w najciemniejszy kąt pokoju, gdzie między szafą a piecem stała ścianka. Za nią się ukryła. W tej samej chwili wszedł doktór Kloc z Martą i Ludwiką. Zdziwiła się Marta, nie widząc swej pani.

Prędko jednak odgadła jej myśl i rzuciła Ludwice znaczące spojrzenie.

W niespokojnem wyczekiwaniu wyglądała Agata z za ścianki.

Twarz doktora posępniała i rzekł poważnie:

— Z małym niedobrze. Szczęście, że mnie zawołano.

Zapisał medycynę, wydał kilka dokładnych zleceń i rzekł:

— Jutro zrana przyjdę znowu, mam nadzieję, że do jutra stan się nieco poprawi.

Agata strasznie cierpiała, słysząc te słowa. Życie jej dziecka zagrożone, chciałaby wystąpić na kolanach i błagać lekarza, by użył całej swej sztuki, by dziecko ocalić.

Doktór Kloc zabierał sie do wyjścia.

Wtem trwożne westchnienie przerwało ciszę w pokoju. Lekarz przystanął i oglądnął się.

Kto to westchnął tak boleśnie? Ani Marta, ani jej przyjaciółka. Czy w pokoju jest jeszcze inna żywa osoba?

Wzrok jego spoczął wprawdzie na ściance w kącie, lecz nie przypuszczał, że się tam ktoś ukrywa. Zdziwiony opuścił pokój. Gdy w przed pokoju ubierał płaszcz, zaklinała go Marta, by nie zdradził hrabiemu miejsca jej pobytu.

— Jeżeli mam o tem milczeć — rzekł doktór Kloc niechętnie, to musi mi pan wyjaśnić powód, dla którego pani uciekła z dzieckiem. Dziecko było chyba w zamku bezpieczniejszem, jak gdzieindziej. Teraz hrabia pewnie niespokojny. Jest zatem moim obowiązkiem, donieść o tem hrabiemu, zwłaszcza że mały Walter jest poważnie chorym.

Oddalił się w towarzystwie Ludwiki, która poszła do apteki po lekarstwo. Kiedy Marta wróciła do pokoju, zastała już Agatę, zalewającą się łzami, u łóżka Waltera.

— Teraz nas doktór zdradzi! — odpowiedziała Marta. Czy byłoby to naprawdę tak wielkiem nieszczęściem, gdyby się hrabia dowiedział o naszym pobycie? Chyba nie grozi nam od niego niebezpieczeństwo, raczej...

— Nie od niego, lecz od Waleryi — przerwała Agata. Nie pozostałoby to dla niej tajemnicą, że znalazłam schronienie u twojej przyjaciółki! Nie zawaha się zgubić mnie i me dziecko, a hrabia Edmund nie potrafi mnie ochronić przed jej zemstą. Jeżeli tedy Walerya spełni swą groźbę i zdradzi mnie, że żyję, wtedy los mój rozstrzygnięty, a i hrabiego pociągnę w nieszczęście.

— Jeszcze doktór Kloc nie wie, że pani tu jest. Widział tylko mnie i małego Waltera.

— Prawda, ponieważ jednak sama uciekłam z dzieckiem z pałacu hrabiego, hrabia nie może wątpić, że i ja tu jestem. Przyjdzie pewnie jutro rano, a wtedy — co? Mnie już prześladują szukają za mną, a ponieważ podejrzenie padło na hr. Edmunda, że mnie ocalił, więc w każdym razie śledzi go policya potajemnie. A jeżeli agent tu za nim pójdzie? Marto, pojmujesz teraz, jakie mi niebezpieczeństwo grozi? Rozumiesz mój strach? Po raz wtóry nie potrafi mnie hrabia Edmund ocalić.

Biedna Marta zamilkła blada i drżąca z przerażenia. Podzielała obawę swej pani i znała tylko jedno wyjście. Agata musi znowu zniknąć bez śladu, opuścić swe dziecko. Byłoby to jednak męczarnią straszną dla biednej matki porzucić swe ciężko chore dziecko.

— Ach, wielki Boże — mówiła drżącym głosem. — Serce mi się krwawi na widok cierpień mojej dobrej pani. A wszystko to z winy tej obłudnej szatańskiej kobiety, która ci zgotowała ten straszny los. Tak, Walerya wszystkiemu winna i chyba słusznem jest podejrzenie pani, że ona jest morderczynią barona Rambowa. A teraz ma zbrodniarka tryumfować i to bezkarnie cieszyć się skutkami swej zbrodni? Bóg nie dopuści do takiej niesprawiedliwości, nie dozwoli by niewinność cierpiała.

Gorące łzy spływały jej po licach.

— Dobra moja, kochana Marto — odpowiedziała wśród łez Agata i uścisnęła serdecznie swoją wierną wychowawczynię. Ty jesteś moją jedyną przyjaciółką. Tak błogo mi że mam w nieszczęściu serce, które czuje i cierpi ze mną. Tak, to prawda, Walerya jest bezwątpienia morderczynią mego męża, tylko ona. Brak mi jednak dowodów! nie mogę oskarżać tej nędznicy i zedrzeć maskę z tej obłudnej twarzy. Niedość jej jednej zbrodni. Żmija ta dąży do tego, by zostać żoną hrabiego, potrafiła go już obłudna syrena usidlić swemi sztuczkami. A on zaślepiony jest i nie wierzy w jej przewrotność. Ocaliła go od śmierci, jak mi opowiedział, a teraz trzyma się go jak wampir.

Ludwika wróciła z apteki z lekarstwem. Zażył go mały Walter, wnet też poczęło lekarstwo działać. Gorączka opadła nieco i dziecko spokojnie zasnęło.

Agata usiadła przy jego łożu — szeptała gorące słowa podzięki. Jej dziecię nie umrze, ocalone! I to błogie uczucie, ta cicha radość, po trwodze i trosce o życie. Waltera, sprawiły że zapomniała o swem nieszczęściu.

Kiedy zaświtał ponury poranek jesienny, siedziała jeszcze Agata u łoża swego dziecka. Lecz oczy jej zapadły, popadła w sen. Ręce jej blade wązkie złożone jak do modlitwy i na ustach błogi uśmiech, siedziała oparta o krzesło.

Nie zbudziła się gdy Marta powstała ze sofy, na którym spędziła kilka godzin w niespokojnym śnie. Rzuciła badawcze spojrzenie na matkę i dziecię, udała się do kuchni, gdzie się Ludwika krzątała około śniadania.

— Doktór Kloc wnet nadejdzie, mówiła Marta do Ludwiki podczas śniadania. Gdzie ukryjemy naszą biedną panią? Zwłaszcza, że niebezpieczeństwo podwójne, bo z doktorem Klocem przyjdzie pewnie i hrabia.

— Pomówię ze sąsiadką. U niej baronowa zostanie aż się oni oddalą, zaproponowała Ludwika. Powiem jej że baronowa jest moją krewną, która przybyła do mnie w odwiedziny.

W tej chwili odezwał się dzwonek. Marta pobladła.

— Boże — zawołała bezradna — To oni! zapóźno, co teraz?

— A może to tylko lekarz sam — rzekła Ludwika — zobaczę?

Wyglądnęła okienkiem i spostrzegła doktora Kloca w towarzystwie drugiego obcego sobie pana. cofnęła się i zrobiła miejsce Marcie. Ledwo ta zobaczyła obcego, szepnęła drżącym głosem do swej przyjaciółki:

— To hrabia. — Jedyne wyjście że nie otworzymy. Oddalą się wtedy i nim wrócą, baronowa ukryje się u twej sąsiadki.

Czekający przed drzwiami niecierpliwili się, zadzwonili po raz wtóry i poczęli pukać w drzwi. Nie mieli zamiaru oddalić się.

Podczas gdy przyjaciółki zastanawiały się nad sytuacyą zjawiła się Agata którą dzwonek zbudził. Domyśliła się odrazu, kto przyszedł. Zdało się nieuniknionem, by ją tu hrabia Edmund znalazł. Nie da on się wyprowadzić w pole, jak lekarz w ubiegły wieczór.

— Agato... Agato — dał się słyszeć głos hrabiego Edmunda za drzwiami. Wiem, że tu jesteś — otwórz...

Nikt nie odpowiedział. W milczeniu stały przyjaciółki za drzwiami spoglądając na siebie bezradnie.

Rozdział 19.

WIECZNE ŚWIATŁO W GROBOWCU.

— Wieki Boże! — Czemu mnie tak karzesz? — czem zgrzeszyłam ja, nieszczęśliwa? — Przedwcześnie zabrałeś mi dobrą mateczkę, a teraz mam stracić i ukochanego ojca!.. Tak, biadał nieszczęsna Katynka, zalewając się łzami. Robota, którą była zajęta, wypadła jej z ręki, twarz ukryła w rękach i łkała rozpaczliwie.

Wtem objęła ją ręka i odezwał się serdeczny i troskliwy głos Reinholda Wintera. Znał powód jej rozpaczy i starał się dobremi słowy pocieszać strapione dziewczę.

— Uspokój się kochana moja Katynko! Ojciec twój jeszcze nie zgubiony. Dniem i nocą nie spocznę, użyję wszelkich sposobów, by niewinność jego udowodnić!

— Ach, Reinholdzie! — a jeżeli się nie uda? Jeżeli ojciec mój zostanie niewinnie skazanym, podobnie jak nieszczęśliwa baronowa Agata? — wołała zrozpaczona Katynka, tuląc się do ukochanego. — Ja nie przeżyję jego śmierci!

Komisarz przytulił drżącą i płaczącą Katynkę i gładził ręką jej blond włosy. W oczach zabłysły mu łzy, westchnął i sposępniał. Jego zadanie nie było łatwem, dotychczas nie miał nadziei, nie trafił na żaden ślad, nie wiedział, czy i o ile jest uzasadnionem jego podejrzenie względem Piotra.

— Muszę znowu odejść, kochana Katynko na zamek Wildenfels, — rzekł. W każdym razie wrócę dopiero późno, bo czeka mnie jeszcze jedna praca.

— Ach zostań Reinholdzie! Czego ty tam szukasz? — spytała Katynka trwożliwie. Jeżeli cię hrabia Sinobrody pozna, albo ten łotr Piotr.

— Nie bój się w tem przebraniu nikt mnie nie pozna. Muszę odejść, kochana Katynko! Nie pytaj tyle i nie bój się o mnie. Nie zapomnij, że każdy krok mój ma na celu przywrócenie wolności twemu ojcu.

Katynka musiała poprzestać na tem niejasnem wyjaśnieniu. Winter pożegnał ją serdecznie i opuścił gospodę. Ze łzami w oczach patrzyła za nim Katynka, miała złe przeczucie i mimowoli wyrzekła słowa:

— Niech go Bóg ma w swej pieczy i sprawi, by szczęśliwie powrócił!

Od kilku dni, odkąd Winter grał w gospodzie rolę gospodarza, było dla niej jego postępowanie zagadką. Wszystko co czynił, było tajemnicą, nigdy z nią o tem nie mówił, lub dawał wymijające objaśnienia. Bolało ją to bardzo. Czego dziś znowu szuka na zamku Wildenfels? Chciał odwiedzić ciocię Krystynę. To nie było jego celem! Tam grozi mu wielkie niebezpieczeństwo, najchętniej pospieszyłaby za nim, czuwać nad nim i ochronić go.

Tymczasem Winter raźno kroczył naprzód. Dzień miał się już ku schyłkowi, kiedy zbliżał się do zamku Wildenfels, by kontynuować swoje poszukiwania. Nie jako handlarz przychodził, lecz w przebraniu wieśniaczem, które sprawiało, że wyglądał jak inspektor dóbr.

Blond broda zmieniła jego twarz nie do poznania, zresztą umiał Winter, jakby aktor, znakomicie zmieniać rysy twarzy i ruchy. Mógł udawać starca i młodzieńca i nikt się nie domyślał, że udaje.

Ten nieoceniony talent aktorski oddał mu już nieraz znakomite przysługi w jego niebezpiecznym i trudnym zawodzie.

Postanowił dzisiaj zbadać tajemnicę wieży. Był przekonanym, że zrobi tu nader ważne odkrycie. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że zamiar jego jest niebezpiecznym, bo gdyby go Sinobrody poznał lub Piotr, natenczas nie ujdzie z życiem. Ostrożnie rozglądał się na

wszystkie strony, podchodząc pod górę ku zamkowi. Powietrze było deszczowe, a wiatr dął od morza, tak że tylko ten, którego zmuszała szczególna przyczyna, wychodził z izby. Dlatego Winter nie spotkał nikogo i niespostrzeżenie dostał się do owej małej furtki w murze, którą już wczoraj dostał się do zamku jako handlarz.

Lecz furtka była dzisiaj zamknięta. Zdaje się że przypuszczał to Reinhold, bo miał przy sobie wszelkie potrzebne narzędzia. Wytrychem otworzył drzwi, a przekonawszy się, że go nikt nie widzi, wszedł na podwórze i zamknął furtkę.

Z nikim się nie spotkał, gdy się zbliżał ku wieży.

Murarze ukończyli tam dzisiaj swą pracę, drzwi wchodowych nie było i z radością spostrzegł Winter, że murarze zostawili swe narzędzia. Wziął długie silne dłuto i ciężki młot i szybko rozpoczął swe dzieło około okrągłego okna.

Musiał być ostrożnym, zabrało mu też sporo czasu nim okno rozszerzył, by się módz przecisnąć. Wreszcie udało mu się to, za chwilę był wewnątrz wieży. Tu panowała zupełna ciemność. Z kieszeni palta wyjął Winter małą latarnię i zaświecił ją. Zobaczył czarne drzwi żelazne, zbliżył się i usiłował je otworzyć.

Lecz próżno. Kwandrans czasu stracił, ani kluczem ani wytrychem nie mógł drzwi otworzyć. Znużony i zniechęcony odpoczął chwilę. Wtem usłyszał zbliżające się kroki i głosy.

Przerażony zgasił prędko latarnię. Potem zbliżył się ku oknu i słuchał uważnie. Rozeznał głęboki szorstki głos Sinobrodego, który przyszedł w towarzystwie Piotra, zdaje się w tym celu, by obejrzeć pracę murarzy.

Albo może widzieli go, jak się dostał do wieży, i teraz chcą go przyłapać? — myślał Winter. Przybysze stanęli przed wymurowanemi drzwiami. Jeżeli się zbliżą do okna, muszą poznać, że się niem ktoś dostał do wnętrza wieży.

Nieswojsko było Winterowi w kryjówce. Niebezpieczeństwo groźne. O ucieczce nie było mowy. Nie uciekłby zresztą, bo rozmowa którą wszczęli pan i sługa, zajęła całą jego uwagę. Zdziwił go nadto dziwnie poufały ton, w jakim się Piotr odzywał do swego pana, jakby mu ten był równy.

— Teraz pan chyba pewny, że żadna hrabina Wildenfels nie zostanie w tej starej wieżycy usunięta ze świata — przez duchy! — mówił Piotr ironicznie.

— Co znaczą twe słowa? — odrzekł Sinobrody niechętnie i podejrzliwie

— Ej, co tam panie! śmiał się Piotr. Czy pa sądzi że nie wiem, dlaczego kazałeś te drzwi zamurować? — Przyszła nowa hrabina nie będzie więcej ciekawą, nie wtargnie do wieży, jak to uczyniły hrabina Gertuda Józefa i inne. A żadna z nich nie wróciła stamtąd więcej, to przecież zupełnie zrozumiałe. Tak, tak! duchy się o to postarały. Tak mówią ludzie.

— Wiem co masz na myśli! Lecz miej się na baczności mój przyjacielu, ze swemi uwagami, — mówił hrabia Sinobrody gniewnie. Wiesz, że w tych sprawach nie znoszę żartów, a tam w dole znajdzie się miejsce dla tego, kto nie potrafi milczeć.

— Ależ panie, chyba pan nie przypuszcza że będę zdrajcą — rzekł Piotr uspokajająco.

Czy nie służyłem panu wiernie i ochotnie? Nie miałem wcale wyrzutów sumienia, kiedy w służbie u pana, dla pana wykonałem najniebezpieczniejsze sprawy.

— No, dobrze! Dosyć już tego! — mówił Sinobrody. Nie uczyniłeś też tego darmo. A co się tyczy Gerharda Jakóba — nie bój się sowita nagroda nie minie cię. Zresztą zależy jeszcze wszystko od twoich zeznań w sądzie czy Gerhard zostanie skazanym.

— Zrobię ja już, co do mnie należy, — odpowiedział Piotr posępnie. Życzyłbym sobie, byśmy mogli wciągnąć w to i tego leśniczego. Przysiągłbym że to on był tym łotrem, który wtedy obronił Katynkę, kiedy nocą wtargnąłem do gospody. Przebrał się tylko, poznałem go po głosie. Do stu dyabłów, jeżeli ten łotrzyk jeszcze raz zajdzie mi w drogę, wtedy — panie — ostatnia jego wybiła godzina.

— Mylisz się, nie był to leśniczy, lecz jakiś krewny Gerharda, który został nawet w gospodzie — odpowiedział Sinobrody. Ale wszystko jedno, jest on dla nas przeszkodą bo broni dziewczyny. A piękna Katynka musi być moją! — zawołał namiętnie. Słyszałeś Piotrze? — Musisz mi tę dziewczynę sprowadzić!

— Łatwo to mówić! Lecz ja nie pójdę więcej sam do gospody.

No, pomówimy o tem jeszcze. Pójdę ja z tobą tam.

— To też najlepsze wyjście, — rzekł Piotr. Zresztą — podjął za chwilę rozmowę — na co też miałem sprowadzić tu dziecię ściętej baronowej Agaty?

— Na to, by nie było pod opieką hrabiego! — odpowiedział Sinobrody krótko.

— Tak, — tak! śmiał się Piotr znacząco. I dziecko to dla was piąte koło u wozu, jak baron Jakób. Ale czy to prawda, panie, że baronowa Agata jeszcze żyje. Trudno mi w to uwierzyć.

— A kto ci powiedział, że żyje? — przerwał Sinobrody niechętnie.

— Dowiedziałem się o tem z rozmowy między panem, a pańską — hm! no, baronową Waleryą.

— Podsłuchałeś naszą rozmowę! — zawołał Sinobrody gniewny i zdziwiony.

— Mój Boże! — Cóż w tem złego? Znam przecież wszystkie tajemnice pana, usprawiedliwiał się Piotr. A ufać mi pan może. Wie pan o tem dobrze. Nie trzeba też wcale było robić tajemnicy wobec mnie ze stosunku do baronowej Waleryi, bo wiem przecież...

— Co wiesz łotrze?! — zawołał groźnie Sinobrody. Milcz, jeżeli ci życie miłe!

— Nie, jeszcze nie mówiłem, — rzekł zbity nieco z tropu Piotr i cofnął się mimowoli przed swym gniewnym panem. Po chwili jednak odzyskał dawną odwagę i poufałość i tak — mówił głosem zuchwałym:

— Między nami nie powinny istnieć tajemnice. Dla ludzi — jest pan hrabią, a ja sługą. Ale tak między nami — w cztery oczy — komedya taka jest, zdaje mi się, zbyteczną.

— Słuchaj kochanku! — rzekł Sinobrody gniewnie, z trudem panując nad sobą. Stajesz się zuchwałym! Miej się na baczności, byś tego nie żałował! Zdaje mi się, że te twoje uwagi i aluzye dążą do jakiegoś celu. Chciałbyś pewnie, bym ci więcej zdradził ze swoich tajemnic, byś mógł na mnie wywrzeć nacisk?

— O wcale nie trzeba, byś mi pan jeszcze co powiedział, — rzekł Piotr nierozważnie. Wiem wszystko, wszystko! Przypuśćmy, że dostaję ochotę wypaplać to na przykład tylko ten fakt, że przed kilku laty hrabia powrócił sam z Afryki bez służącego.

— Ha ha! zaśmiał się Sinobrody nieszczerze. Twierdzisz może, że zamordowałem swego służącego?

— Nie, panie nie! — odpowiedział Piotr złośliwie. I szeptem, tak że nadsłuchujący Winter nie mógł tych słów dosłyszeć, — rzekł akcentując znacząco każde słowo;

— Twierdziłbym raczej, że służący zamordował hrabiego, swego pana. Zgrzyt zębami i przekleństwo, pełne wściekłości i strachu były odpowiedzią Sinobrodego. — Za chwilę złapał zuchwałego Piotra za gardło, miotał nim z całej siły wołając:

— Ty psie! łotrze podstępny! — Jeszcze jedno słowo powiedz, — a przysięgam — zamilkniesz na wieki! — Mów nędzniku! Skąd ci te rzeczy przyszły do głowy? Kto ci wmówił podobne szaleństwo? Uczynię ja tego bezpiecznym!

I rzucił Piotrem ku wieży i zbliżył się doń, zdecydowany na wszystko. Jego oczy zaszły krwią i rzucały iskry wściekłości w stronę drżącego śmiertelnie bladego Piotra. Cicho wysunął podsłuchający górną część swego ciała i przypatrywał się uważnie i ciekawie dalszemu przebiegowi sporu między panem a sługą. Zdawało się jakoby Sinobrody chciał zamordować Piotra.

— Bij panie, bij! — zawołał Piotr tonem zuchwałym i trwożnym zarazem. To zapłata za mą wierną służbę. Lecz nie przyniesie ci to pożytku, skoro twój przyjaciel stanie się twoim wrogiem.

— Tak, łotrze! zginiesz! bo chcesz mnie zdradzić! — zawołał wściekły Sinobrody podnosząc pięść.

— Ja pana chcę zdradzić? — zawołał Piotr. Ja? Chciałem panu tylko zwrócić uwagę na to, że masz wobec mnie zobowiązania i że słuszną jest rzeczą, byś się ze mną obchodził, jak z przyjacielem zaufanym. Sinobrody milczał i stał jeszcze chwilę w groźnej postawie.

— Dobrze rzekł wreszcie już spokojnie. Znam cię teraz. Wiem jak sprawy między nami stoją. Chodźmy — dodał rozkazująco.

Piotr nic więcej nie mówił. Chciał się już oddalić, gdy wzrok jego padł na leżące na ziemi kamienie, które wyłamał Winter z okna. W tej samej chwili spostrzegł też, że otwór w oknie jest znacznie większy. Komisarz na czas się jeszcze cofnął do wnętrza wieży.

Z okrzykiem zdziwienia zbliżył się Piotr ku oknu, a za nim Sinobrody. Zbadali dokładnie otwór. Sinobrody rzekł podejrzliwie:

— Zdaje się że obcy dostał się do wieży przez okno. Może który z murarzy.

— Nie to być nie może. Ledwo dwie godziny temu byłem tu i nic nie spostrzegłem. To podejrzane, panie! Kto wie kto tu wlazł?

— Natychmiast sprawę zbadamy — rozstrzygnął Sinobrody. — Ktokolwiek jest tym szpiegiem, skoro go schwytamy, zapłaci za swą ciekawość. Musisz wejść do wnętrza Piotrze. Ja będę stał na straży, by nam nie uciekł.

Podczas gdy Piotr pobiegł po latarnię, schronił się Winter wewnątrz wieży. Musiał odszukać kryjówkę i miał nadzieję, że znajdzie ją na górze w wieży. Wszedł na ciemne schody, unikając wszelkiego szmeru, zatrzymał się dopiero na ostatnim piętrze. Spostrzegł drabinę prowadzącą na wieżyczkę. Nie namyślając się długo, wyszedł w górę po drabinie, którą za sobą pociągnął i ukrył się między belkami.

Przez chwilę panowała grobowa cisza. Potem odezwały się kroki, zbliżającego się Piotra, za chwilę spostrzegł śledzący pilnie Winter jego postać, trzymająca w lewej ręce latar-

nię, w prawej rewolwer. Zbliżył się do schodów gdzie stała przedtem drabina, rozglądnął się dokoła, podniósł wreszcie latarnię w górę. Ale nie spostrzegł wśród ciemności przykucnięta między belkami ukrytą postać Wintera. Klnąc opuścił Piotr wieżę. A gdy przez dłuższy czas panowała zupełna cisza, opuścił i Winter swą kryjówkę.

Niebezpieczeństwo minęło. Sinobrody i Piotr oddalili się. Komisarz Winter opuścił wnętrze wieży, nie widząc możliwości, by mu się udało otworzyć te żelazne drzwi. Jak dostać się do tego sklepienia? Bo inaczej nie zbada tajemnicy, którą kryje ta wieża.

Winter znalazł się znowu na podwórzu, oparł się o mur. To co tu podsłyszał, miało dlań ważne bardzo znaczenie, chociaż w rzeczywistości, nie miał w ręku żadnych dowodów pewnych i uchwytnych.

— Nie ulega wątpliwości — rozważał — że Piotr jest mordercą barona Jakóba. Ale w jaki sposób przekonam o tem sędziów?

Westchnął głęboko. Nie miał jeszcze sposobu, by uwolnić ojca ukochanej Katynki. Zdawał sobie z tego sprawę, że podsłyszana rozmowa nie zda mu się na nic, bo chociażby o tem doniósł sądowi, to na tej podstawie Sinobrody i Piotr nie złożą żadnych zeznań.

Mimo to widział jasno drogę prowadzącą do celu, który sobie wytknął i to go napełniało dumą i radością i zachęcało do dalszej pracy.

Rozważał czy należy dzisiaj dalej działać. Myśl, że w sklepieniu tam w dole w wieży są zamknięte nieszczęśliwe żony Sinobrodego nie dawała mu spokoju i pragnął mieć pewność w tym względzie.

Słowa Piotra nie pozostawiały wątpliwości że tam należy szukać nietylko Gertrudę, lecz i za jej siostrami niedoli. A jeżeli biedne ofiary jeszcze żyją? Jeżeli Sinobrody teraz z obawy przed zdradą, kazał wejście zamurować i skazał tem samem nieszczęsne kobiety na najstraszniejszą śmierć?

A jeżeli tak się sprawa ma, jak pomódz biednym kobietom? Mógł wprawdzie na mocy swej władzy, w towarzystwie uzbrojonych policyantów wtargnąć do sklepienia i je przeszukać. Lecz, jeżeli jego podejrzenie okaże się bezpodstawnem, cóż wtedy? Będzie to dla niego nieszczęściem, bo przestraszony Sinobrody u daremni dalsze śledzwo. Nie, otwarcie tu nie może postąpić. Winter postanowił i nadal tajemnie prowadzić swe poszukiwania i to z większą ostrożnością niż dotychczas.

Dzisiaj nie miał tu nic więcej do roboty. Postanowił jednak w następną noc powrócić tu w towarzystwie dwóch tajnych policyantów, by przy pomocy odpowiednich narzędzi spróbować otworzyć drzwi żelazne.

Opuścił zamek. Zwolna schodził z góry. W tem przypomniał sobie owe dziwne światełko, które żeglarze na morzu widzieli pod wieżą i o którem nikt nic nie mógł powiedzieć. Co to światło znaczy? Czy stoi może w związku z tajemnicą wieży?

Myśl ta poważnie go zajęła. Zeszedł na drogę, prowadzącą tuż nad wysokiem, skalistem wybrzeżem. Dojrzewał w nim śmiały, prawie że awanturniczy plan, który postanowił natychmiast wykonać. Zbadać tajemnicze to światełko, a że było rzeczą niemożliwą od lądu dotrzeć do zewnętrzej strony wieży i do stromej skały pod nią, przeto chciał spróbować szczęścia od strony morza.

Prędko kroczył naprzód, pełen niecierpliwości. Po upływie pół godziny zabłysły wśród ciemności światła wioski rybackiej. Do jednej z licznych tu chat zapukał komisarz Winter.

Natychmiast otwarły się drzwi, na progu zjawił się stary, siwy rybak i zdziwionym wzrokiem przyglądał się przybyszowi.

— Czy wolno ojcze Karasiu? — zapytał Winter, który znał dobrze rybaka, jeszcze z czasów, gdy był leśniczym — mam z wami kilka słów do pomówienia.

Wszedł do izby oświetlonej, a stary rybak przymknął za nim drzwi. Tu jeszcze raz przyglądnął się swemu gościowi, stary i syn jego, młody i silny chłop. Chociaż widzieli oni dawniej nieraz Wintera, to jednak teraz w przebraniu nie poznali dawnego leśniczego, który się im też nie przedstawił, lecz z miejsca tak rzekł:

— Ojcze Karasiu trzeba mi waszego czółna na kilka godzin.

— Teraz nocą, chce się pan puścić na morze — zapytał stary rybak zdziwiony i potrząsnął siwą głową. Rzucił pytające spojrzenie swemu synowi, jakby go pytał o jego zdanie.

— Nie żądam tego darmo, ojcze Karasiu, mówił Winter i położył na stół złotówkę. — Weźcie to tymczasem, skoro wrócę, dodam wam dwa razy tyle.

— Panie, nie o pieniądze mi chodzi — rzekł stary rybak. Ale żeglarzem pan nie jesteś i trudno ci będzie samemu kierować czółnem. A woda tu jest niebezpieczną, zwłaszcza przy wezbranym morzu i w ciemną noc. Jeżeli więc sprawa nie nagła, to...

— Spraw nagła — przerwał Winter niecierpliwie życzliwe przestrogi starego.

Ten nie mógł oczywiście pojąć na co przybyszowi teraz w nocy czółno potrzebne. Lecz ludzie ci nie lubili wiele pytać, więc jakkol-

wiek ździwieni, zamilkli, ojciec i syn zamienili znowu pytające spojrzenie. Teraz syn rzekł skromnie:

— Sądzę ojcze, że przewieziemy pana bo sam sobie rady nie da.

Stary zgodził się na to i ojciec i syn przywdziali swoje nieprzemakalne płaszcze i wysokie buty; uczynił to za radą starego rybaka, także Winter. Potem udali się nad brzeg z latarnią w ręku, gdzie stało czółno. Rozpięto maszt i żagiel, stary usiadł przy sterze, a syn ujął linę masztową.

Zwolna mknęła łódź po spokojnej stosunkowo wodzie małej zatoki, którą tu tworzył wysunięty pas ziemi. Nagle jednak wiatr coraz gwałtowniej począł miotać lekką łodzią. Bałwany coraz wyżej się piętrzyły, podrzucając łodzią jak piłką, tak, że doświadczeni rybacy musieli bardzo uważać, aby łódź ochronić od rozbicia.

Winter, który siedział obok starego, był teraz zadowolonym, że nie wybrał się sam w tę drogę. Nie wróciłby żywy do domu. Wyznaczył staremu drogę, którą chciałby podążyć, a łódź posłuszna wiosłu, pomknęła jak ptak.

Ta jazda wśród ciemnej nocy, przez wzburzone morze, posiadała dla Wintera wiele uroku. Nie czuł wcale strachu, podobnie jak go nie czuli odprowadzający go rybacy, którzy całe życie poświęcili w walce z elementami. Coraz szybciej poruszała się łódź, a Winter bacznie śledził wybrzeże, którego wysokie ściany skaliste tajemniczo wyróżniały się. Tam wznosił się zamek Wildenfiels ze swemi ponuremi wieżami i murami, a tu — u stoku skalistej góry, błyszczało wśród nocy jasne światełko.

Mimowoli podniósł się Winter i patrzał uporczywie w to światło, które rzucało w dal po falach swe czerwone jak krew promienie.

Miało ono rzeczywiście piętno tajemnicze, pojął teraz dlaczego zabobonni żeglarze z trwogą widzą to światło i dziwne o nim opowiadają historye. Postanowił udawać że nic o tem świetle nie wie i wybadać starego rybaka który mu chyba z pewnością da najlepsze wyjaśnienia.

— Co to za światło w dali — zapytał.

— To światło z grobowca zamku Wildenfels — odpowiedział stary i przeżegnał się, mrucząc jakieś niezrozumiałe słowa.

— Co? w grobowcu świeci się to światło — zawołał Winter źdźiwiony. — Czy to możliwe? A w jaki to sposób widocznem jest z morza?

— Bo grobowiec jest otwarty ze strony morza.

— A co to dziwne światło znaczy? Kto je zaświecił i w jakim celu? — badał Winter ciekawie. — Czy się świeci w każdą noc?

— Wiecznie się ono świeci — odpowiedział stary. — Innych pytań pana nie mogę zaspokoić, bo nic o tem nie wiem. To pewna, że to nie zwyczajne światło. Głos jego drżał tajemną trwogą. Przeżegnał się znowu i zapytał szeptem:

— Nic pan o tem nie słyszał?

— Nie, —odpowiedział Winter — dopiero od niedawna jestem w tej okolicy. Zaprawdę, światło to takie tajemnicze, że człowiek gotów uwierzyć w nadprzyrodzoną jego siłę. Ojcze Karasiu, mówcie, co o tem wiecie!

— Hm, nie wiele, panie — rzekł stary — nikt jeszcze tej sprawy nie zbadał, a kto spróbował — znalazł się tam czasem taki szaleniec — musiał nawrócić z drogi, lub też nawet postradał życie. Prąd tam silny, łódź nieprzedostanie się między skały, a z innej strony dojście jest niemożliwe. Za dnia widzi się dokładnie przy pomocy powiększającego szkła wejście do grobowca. — Ale dokąd to pan chce zajechać?

Winter nie słyszał pytania. Czerwone, tajemnicze światło nęciło go magnetyczną siłą i rzekł, jąkby do siebie:

— Muszę tę tajemnicę zbadać! — a głośniej dodał:

— Zajedźcie bliżej, ojcze Karasiu.

— Nie, panie, nie da się! Niebezpieczeństwo wielkie.

— E, gdzie znowu, nie ma przecież burzy. Przewieźcie mnie do grobowca, ojcze Karasiu, a nagrodzę was sowicie — rzekł Winter niecierpliwie.

— Nie panie, za żadne skarby świata — odpowiedział stary stanowczo. Przeżegnał się pobożnie i rzekł trwożliwie:

— I nie wódź nas na pokuszenie...

Próżno nalegał Winter. Stary rybak i syn jego oświadczyli stanowczo, że nie pojadą. Nie wzruszyły ich ani prośby ani obietnice bogatej nagrody. A kiedy Winter oświadczył, że w takim razie sam pojedzie — rzekł stary poważnym tonem:

— Posłuchaj pan, nie rób tego, jeżeli panu życie miłe, nie zbliżaj się do grobowca. Nietylko niebezpieczeństwa, spowodowane burzą zagrażają tam człowiekowi nietylko podstępne skały czyhaja tu na jego życie, lecz i inne straszne potęgi, z któremi człowiek nie potrafi walczyć, duchy, które przebywaja w grobowcu i każdemu śmierć zadają, kto się ku nim zbliży.

— E — rzekł Winter lekceważącym tonem — duchów się nie boję.

— Nie pierwszy pan to mówi! A przed panem, ilu tam szaleńców zginęło? Wierz pan

staremu, który wiele przeżył lepiej zna tajemnicę grobowca niż inni. Raz nocą, przy pełni księżyca, zapędziłem się w pobliże grobowca. Wtem odezwał się tajemniczy głos, a kiedy przestraszony podniosłem się w łodzi, zobaczyłem u wejścia do grobowca białą postać, która mi groziła. Jęki straszne dobywały się ze wszystkich skał, tajemnicza postać rosła do olbrzymich rozmiarów i w świetle księżyca rozeznałem trupią twarz. Strach mnie zdjął, prędko ująłem wiosło i odaliłem się. Długo prześladowały mnie te głuche, straszne jęki, a nawet i teraz nie mogę ochłonąć z wrażenia, jakiego wówczas doznałem.

Uważnie słuchał Winter opowiadania starego. Dla niego było pewnikiem, że owa tajemnicza postać nie była duchem, lecz istotą żyjącą, z krwi i kości. Zabobonnego rybaka nie mógł oczywiście przekonać. Stary potrząsał głową i twierdził tajemniczo:

— Nie panie! To był duch. Jedna z nieszczęśliwych żon Sinobrodego. To rzecz pewna, wkrótce potem widziałem znowu tego ducha. Za dnia stała ta biała postać znowu tam przy skale. Suknię jej wiatr poruszał, czarne włosy spadały na jej ramiona. Żaglowałem zdala i widziałem jak nagle postać znikła, jakby zapadła się w ziemię.

— To hrabina Józefa! — zawołał Winter wbrew woli. Do siebie zaś, głosem przyciszonym, dodał:

— Jutro za dnia wezmę łódź i wtargnę do grobowca. Co też tam znajdę? Jeźli stary rybak dobrze widział, to żyje tam z pewnością przynajmniej jedna z nieszczęśliwych żon Sinobrodego.

Rozkazał nawrócić. Po jednogodzinnej drodze wysiadł niedaleko wioski rybackiej i postanowił wrócić do gospody "Pod pełnym dzbanem". Znużony przybył tam po północy. Katynka oczekiwała go pełna trwogi.

Rozdział 20.

ZAGROŻONE SZCZĘŚCIE.

Doktor Kloc odszukał hrabiego Edmunda wczesnym rankiem i doniósł mu, że znalazł wychowawczynię z małym Walterem. Hrabia Edmund był przekonanym, że i Agata jest przy swem dziecku, natychmiast więc podążył z doktorem do mieszkania Ludwiki. Dopiero po długiem pukaniu, zdecydowały się kobiety przyjąć ich. Drzwi się otwarły, wzburzony wszedł do wnętrze hrabia Edmund. Zobaczył wychowawczynię i jej przyjaciółkę, Ludwikę, próżno szukał Agaty. A przecież ona musi tu być, zdawało mu się, że czuje jej blizkość. Ledwo rzucił wzrokiem na Martę i Ludwikę, przez kuchnię pospieszył do pokoju, lecz i tu doznał rozczarowania; nigdzie nie było śladu Agaty.

— Marto, powiedz mi prawdę! — zaklinał wychowawczynię, która weszła za nim z doktorem Klocem, gdzie jest twoja pani?

— Nie wiem, panie hrabio, — rzekła niepewnym, drżącym głosem.

— Boże! Dlaczego mnie unika? — zawołał hrabia Edmund boleśnie. Ale była tu przecie. Nie uwierzę nigdy, że Agata porzuciła swe dziecię. Przypuszczała, że przyjdę i dlatego... Lecz pani, Marto! Pani chyba wie, gdzie Agata?

Ujął gwałtownie jej rękę i śledził badawczym wzrokiem każdy jej ruch. Jego wzroku nie mogła Marta wytrzymać, niepewna co począć, milczała.

Tymczasem przystąpił doktór Kloc do łoża małego Waltera, którego głosy zbudziły i który zdziwiony przypatrywał się obecnym, Nie widział matki i zawołał żałosnym głosem:

— Ach, mamuś, gdzie ty? Dopiero byłaś przy mnie.

Nikt się nie spodziewał, że niewinne dziecko zdradzi tajemnicę. Hrabia Edmund przystąpił do łóżka małego, który się do niego serdecznie uśmiechnął. Chwilę gładził hrabia jego włosy, poczem— rzekł błagalnym głosem:

— Nieprawda, mój mały, mamusia była tu u ciebie?

— Tak, wujciu Edmundzie, — odpowiedziało dziecię poważnie. Tu na krześle siedziała moja mamusia całą noc.

Walter począł płakać i rzekł:

— Gdzie ona poszła, moja mamusia? Obiecała, że zawsze już u mnie zostanie, a teraz jej nie ma.

Hrabia Edmud chciał właśnie uspokoić płaczące dziecko, gdy wtem odwrócił się. Szmer i lekkie kroki zwróciły jego uwagę. Nie uwierzył własnym oczom, gdy nagle zobaczył Agatę. Ukryła się znowu pod ściankę, na widok jednak płaczącego dziecka, nie potrafiła wytrzymać dłużej w swej kryjówce.

Blada drżąca podała rękę zdziwionemu Edmundowi i rzekła ze łzami w oczach:

— Edmuudzie, nie chcę się dłużej przed panem ukrywać, obecnie nie zda się to na nic. Lecz pocóż szukasz pan za mną i narażasz mnie i siebie na niebezpieczeństwo? Należało mnie zostawić w spokoju, tu w ukryciu. Bo tylko to może nam przynieść zbawienie.

— Dlaczego to, Agato? — zapytał bole-

snym głosem hrabia. Czemu porzuciłaś mój dom? Naraziłaś nas na tyle trwogi i troskę. Nie wiesz jeszcze co się w międzyczasie stało. Wszystko się zmieniło. Przynoszę radosną wiadomość. Niewinność twoja, Agato, udowodniona. Niedługo —a da Bóg—znowu wolno ci będzie pokazać się światu... i...

Urwał, bo Agata padła na krzesło obok łóżka Waltera. Wiadomość była zupełnie niespodzianą, i podziałała na nią bardzo. Na twarzy jej malowało się zdziwienie, niepewność i radość. Otworzyła oczy i spojrzała na Edmunda, jakby go prosiła o wyjaśnienie.

— Boże miłosierny! — wykrztusiła nareszcie z trudnością. Czy to prawda?

—Tak, Agato! zapewniał ją hrabia. Ze łzą mi radości w oczach nachylił się nad nią i ujął jej drżącą rękę. Skończona twa niedola i wkrótce nam zabłyśnie radość i szczęście, kochana moja Agato, szeptał. Teraz nie możesz się ociągać, moją zostaniesz. Zdziwienie twoje wzrośnie jeszcze, skoro się o wszystkiem dowiesz. Walerya — dotychczas twoja nieprzyjaciółka — jest twoją przyjaciółką i ma dowody twojej niewinności.

— Walerya? Miłosierny Boże! Czy to sen? Czy rzeczywistość — zawołała Agata.

Jakby nieprzytomna, zdziwiona i strapiona patrzała na hrabiego i słuchała jego opowiadania, jak Walerya pełna żalu przyszła doń i oskarżyła Jakóba o mord.

— Za radą Waleryi, — mówił hrabia Edmund, nie doniosłem o tem jeszcze policyi. Służący, który ma zaświadczyć winę Jakóba, uciekł. Ale odszukamy go z pewnością. Sprawę powierzę zręcznemu agentowi, a skoro odnajdziemy tego człowieka, moja Agata będzie znowu czystą, niewinność twoja będzie jasną jak słońce! — zawołał hrabia Edmund rozpromieniony.

Lecz dziwna rzecz, na Agatę opowiadanie jego nie zrobiło tego wrażenia, jakiego się spodziewał. Wspomnienie Waleryi, sprawiło, że jej chwilowa radość zanikła zupełnie. Nie, Walerya nic dla niej dobrego nie uczyni. Potrzęsła głową i rzekła boleśnie:

— Nie mogę w to wierzyć! Gdyby tak rzeczywiście było, milczałaby Walerya i teraz. Wierzę niewzruszenie w winę tej szatańskiej kobiety. A jeżeli Jakób jest rzeczywiście mordercą męża mego, to Walerya jest niewątpliwie współwinną. Wiedziała ona o jego zbrodni już dawno, a nie dopiero od kilku dni. Zeznania tej dążą do jakiegoś ukrytego celu, by mnie zgubić. To rzecz pewna, Edmundzie, ostrzegam cię! Nie wierz tej obłudnicy! Jej nienawiść ku mnie, nigdy nie zgaśnie i nigdy dobrowolnie nie zrzeknie się swych nadziei.

— Agato, uczyniła to już! Krzywdzisz ją! Walerya nienawidziła cię, jak długo wierzyła w twoją winę. Teraz jednak podaje rękę do zgody i prosi o twe przebaczenie. Agato! Czy nie wierzysz w jej skruchę? Nie potrafisz jej przebaczyć.Cokolwiek ci złego uczyniła, działała zawsze w nieszczęsnym szale. Pomyśl tylko: gdyby Walerya była spólniczką zbrodni Jakóba, milczałaby dzisiaj, bo zeznania jej wtrąciłyby i ją w nieszczęście. Jej wina wyszła by na jaw.

— O, Edmundzie! jak gorąco bronisz tej syreny! — zawołała Agata z wyrzutem. Widzę, że udało jej się znowu podejść cię i oszukać twą łatwowierność. Lecz mnie nic nie oszuka. Przejrzałam tego szatana, wiem, że nie zna ona, co to litość! I dlatego, gdyby mi teraz podała rękę do zgody, ze wstrętem i pogardą odrzuciłabym ją. Łzy jej nie wzruszą mnie, nie wierzę im. Powtarzam: Walerya jest morderczynią mego męża, a Jakób jej godnym spólnikiem. Razem dokonali zbrodni, podobnie, jak chcieli razem sprzątnąć ze świata me biedne, niewinne dziecię. Nigdy nie przebaczę tej szatańskiej, niecnej istocie!

Oczy jej błyszczały rzetelnym gniewem i oburzeniem, jakby stała przed nią nienawistna kobieta. I podczas gdy hrabia milczał, stało się coś nadzwyczajnego.

W ogólnym wzburzeniu przesłyszeli obecni pukanie do drzwi wchodowych i nikt nie zwrócił uwagi na to, że Ludwika, która była cały czas w kuchni, drzwi otworzyła. Elegancko ubrana, gęsto zawelonowana kobieta weszła do kuchni, przystąpiła do odchylonych drzwi, prowadzących do pokoju i uważnie słuchała wzburzonej rozmowy między Agatą a Edmundem. Ludwika stała za nią bezradna, nie mając odwagi spytać o cel przybycia tej obcej sobie, dumnej i widocznie możnej pani.

Po ostatnich słowach Agaty, zdawało się, że tajemniczą obcą zdjął gniew. Zacisnęła ręce, i jej postać, wysmukła i elegancka, drgnęła. Jej usta szeptały słowa, świadczące o wielkiem jej wzburzeniu. Nagle, skoro Agata przestała mówić, pchnęła drzwi i wpadła do pokoju. Zdjęła welon i blada jak marmur, z oczyma błyszczącemi stała przed zdziwionymi.

— Boże! Walerya! — zawołał hrabia Edmund w bezgranicznej trwodze. Skąd pani się tu wzięła?

Walerya nie odpowiedziała Edmundowi. Wzrokiem pełnym nienawiści i wstrętu zmierzyła Agatę i drżącym z gniewu głosem zawołała:

— Chcesz zatem wiecznej walki? Dobrze!

Skoro znam twoją nieubłagalność i twój sąd o mnie, nie będę uniżenie błagać cię o przebaczenie! Nazywasz mnie morderczynią, chociaż po tem, co tu z ust hrabiego słyszałaś, musisz chyba być przekonaną o prawdzie! Jednak nienawiść i zazdrość zaślepiły cię. A ja dobrowolnie się szczęścia wyrzekłam, bo za dumną jestem, by żebrać u ciebie serce człowieka, którego kocham!

Piękna była w tej chwili, dumnie wyprostowana, z błyszczącemi oczyma i falującą piersią udając oburzenie wskutek rzekomo fałszywych oskarżeń Agaty. I hrabia Edmund patrzał na nią przez chwilę, jakby przykuty do ziemi, nie mógł się oprzeć jej urokowi. W jego oczach była obecnie Walerya równie niewinną, jak i Agata i uważał za swój obowiązek wystąpić w jej obronie. Chciałby pogodzić powaśnione kobiety, chociaż zdawało się to rzeczą niemożliwą. Nim zdołał przemówić — zawołała Agata:

— Nędzna obłudnico! Wiem ja dobrze, żeś to wszystko postępnie obmyśliła, by łatwiej osiągnąć swe cele. Teraz skoro cię przejrzałam, udajesz obrażoną, której szlachetności ja zapoznaję. Chciałabyś całą swą winę zwalić na nieżyjącego, który nie może się bronić. Złożyłaś w sądzie fałszywą przysięgę, że ja wrzuciłam memu mężowi truciznę do wina. Jeżeli chcesz, bym uwierzyła w twoją skruchę i przebaczyła, idź i odwołaj wprzód swe fałszywe oskarżenie. Zeznaj sędziemu, żeś fałszywie przysięgła!

Walerya cofnęła się mimowoli i pobladła.

— Jak ja to uczynić mogę? wykrztusiła. Mogę tylko oświadczyć, żem była w nieszczęsnym obłędzie, kiedym ciebie oskarżyła o mord. Więcej nikt żądać nie może. Zeznania służącego wyjaśnią sprawę.

— Nie wierzę temu! — zawołała Agata z pogardą. Wszystko kłamstwo i obłuda. Służący ten z pewnością nigdy się nie zjawi. Idź nędznico! Mnie nie oszukasz!

— Dobrze więc, idę. Zgody między nami nie będzie, bo ty jej nie chcesz, — mówiła Walerya, starając się panować nad sobą, by nie stracić zaufania Edmunda, chociaż trudno grała rolę niewinnie cierpiącej. Może kiedyś przejrzysz, żeś mnie gorżko skrzywdziła. Czy nie dość, że się wyrzekłam dla ciebie swego szczęścia. Gdybym tak rzeczywiście cię nienawidziła, jak twierdzisz, miałam sposobność zgubić cię. Należało tylko donieść władzy, że żyjesz. Nie uczyniłam tego, nie masz się też czego obawiać z mej strony, chociaż mnie potępiasz. Udowodnię ci. że nie jestem taka. za jaką mnie uważasz.

Jej słowa, wypowiedziane bolesnym tonem, wywarły na Edmundzie wrażenie. Rzucił błagalne spojrzenie na Agatę i zatrzymał Waleryę, która zabierała się na pozór do odejścia.

— Waleryo! zostaw pani Agacie nieco czasu, — mówił szeptem. Nieszczęście zgnębiło ją i niepodwierza ci. Daruj ostre jej słowa. Przekona się kiedyś, że cię skrzywdziła.

— Mam nadzieję, — odpowiedziała Walerya, udając łagodność i spokój. Będę cierpliwą. Żałuję, że dzisiaj zgoda niemożliwa. Gdybym wiedziała, że za me dobre chęci taka mnie czeka nagroda, nie podążyłabym tu za panem, panie hrabio!

— A skąd też pani wiedziała, gdzie Agata się ukrywa? — spytał hrabia zdziwiony. Bo ja sam dopiero dzisiaj dowiedziałem się o niej przez doktora Kloca.

— Chciałam z panem dzisiaj mówić, kochany Edmundzie, przyjechałam do pałacu właśnie w chwili, kiedy pan wyjechał. Stary Michał zdradził mi, gdzie pana znajdę. Natychmiast też podążyłem za panem.

Podała mu rękę na pożegnanie, którą on serdecznie uścisnął, poczem rzekła znacząco do Agaty:

— Do widzenia!

Agata nie odpowiedziała. Posępnie patrzała za odchodzącą Waleryą, którą hrabia Edmund odprowadził do schodów, poczem wrócił do pokoju.

— Byłaś dla niej za surową, kochana Agato!— rzekł z wyrzutem. Jestem przekonany, że Walerya ma szczere chęci zgody i pojednania.

— Edmundzie! dziwnie zaślepionym jesteś, skoro nie poznajesz jej podstępnych planów, — zawołała Agata niechętnie. Jej skrucha, to obłuda, a co opowiada o Jakóbie? to kłamstwa wierutne. Teraz, skoro ta nędznica zna moją kryjówkę, grożą mi znowu niebezpieczeństwa, bo ona nie spocznie, dopóki nie zgubi mnie i me dziecko. Muszę uciekać stąd, gdzie się czułam tak bezpieczną i spokojną. Trzeba mi szukać nowego schronienia.

— Nie mów tak, Agato! — szeptał hrabia Edmund, patrząc na nią wzrokiem pełnym miłości. Nie opuszczę cię więcej. Do mnie należysz. Nie powiedz "nie", błagał, zostań moją żoną.

Agata walczyła ze sobą. Drżała na twarzy jej malował się wielki ból. Hrabia Edmund ujął jej ręce i nalegał na nią, aż wreszcie zgnębiona — zawołała:

— Zostaw mi czasu do namysłu! Dzisiaj nie mogę się jeszcze zdecydować.

Hrabia Edmund puścił jej ręce i rzekł po-

szepnie:

— Chcesz znowu ukryć się przedemną! Nie masz dla mnie miłości, Agato?

— Kocham cię! — wyszeptała, i łkając przytuliła się doń.

— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

Waleryą wściekłość miotała. W złości płakała. Poniżyła się bez celu, poniosła klęskę sromotną.

— Co teraz? — pytała siebie. Odkrył przedemną jej mieszkanie, teraz zapóźno! Uczyni ją swą żoną. — Nie, nigdy się to nie stanie. Na to nie zezwolę, chociażbym musiała sięgnąć do ostatniego środka — do zdrady. Tak, w ostateczności zdradzę Agatę — w ostatniej chwili, niech ją wtedy siepacze zabiorą od ołtarza!

Wprawdzie odradzał jej brat, hrabia Sinobrody, uczynić to. Jeżeli zdradzi Agatę, będzie hrabia Edmund jej wrogiem i nigdy nie zdobędzie jego miłości. Walerya uznawała wprawdzie racyę w wywodach brata, lecz jej nienawiść łaknęła zemsty.

Znała mieszkanie Agaty, miała w ręku jej los. Jeżeli tę sposobność nie wykorzysta, nie nadarzy się może nigdy inna, by sprzątnąć Agatę. Bo skoro Agata zostanie żoną Edmunda, wyjadą natychmiast za granicę. Nie, nie zostanie jego żoną. Ta myśl była dla niej nieznośną. Agatę należy oddać w ręce policyi i sprawę tak pokierować, by hrabia Edmund nie miał żadnych podejrzeń względem niej.

Przedewszystkiem udała się do pałacu Edmunda, by tu czekać na jego powrót, i dowiedzieć się od niego bliższych szczegółów. Przypuszczała, że Agata nie zmieni swej kryjówki, bo nie zechce opuścić dziecka.

Minęło kilka godzin, nim hrabia wrócił. Zdziwił się na widok Waleryi, lecz przywitał ją z radością.

Mówiono o Agacie, Walerya zalewała się łzami, i zapewniała o swej niewinności. Nagle spytała ostrożnie:

— Co pan zamyśla teraz począć, kochany Edmundzie?

Słoneczny uśmiech rozjaśnił jego twarz, a oczy jego błyszczały błogiem szczęściem.

— Agata zostanie moją żoną, — rzekł. Waleryo, nie potrafię opisać mego szczęścia. Nareszcie spełniona moja nadzieja i tęsknota. Już w przyszłym tygodniu, skoro tylko mały Walter wróci do zdrowia, zostanie Agata moją żoną.

Walerya zbladła, a żal i gniew ścisnął jej serce. Jakkolwiek umiała po mistrzowsku udawać i taić swe prawdziwe uczucia, to jednak z trudem starała się zapanować nad sobą. A przecież musiała udawać zadowolenie, teraz kiedyby najchętniej złorzeczyła wszystkim i wszystkiemu.

— Już tak prędko? — spytała bezdźwięcznie i wymuszony uśmiech wykrzywił jej twarz. A czy Agata do tego czasu zostanie tam, gdzie się obecnie znajduje? — spytała podsępnie.

— Jeszcze nie wiem, zależy to od zdrowia małego Waltera. Doktor Kloc ma najpiękniejsze nadzieje. Jeżeli Agacie ze strony policyi nie będzie grozić żadne niebezpieczeństwo, zostanie naturalnie przy swem dziecku.

— Ach, policya mieć może tylko przypuszczenia, zauważyła Walerya jakby od niechcenia, jednakże nie wyśledzi nigdy miejsca pobytu Agaty.

— Nie jestem wcale spokojny, — odrzekł hrabia. Mam wrażenie, że policya już nadto dużo wie. To rzecz pewna, że dookoła mego pałacu kręcą się szpiegi i że śledzą każdy mój ruch i krok. Dziwi się pani, skąd ja o tem wiem. Byłem właśnie u szefa policyi i z aluzyi i pytań tego pana mogłem wnioskować, że grozi poważne niebezpieczeństwo.

— Mój Boże! —zawołała Walerya, udając przerażenie. Agata musi zatem zmienić swą kryjówkę. Policya nie powinna jej znaleźć, bo jeszcze nie możemy udowodnić, że jest niewinną. W jakim jednak celu byłeś pan u szefa policyi? Czy mówiłeś mu coś o mojem odkryciu?

— Tak, uważałem to za rzecz konieczną. Powiedziałem mu, że służący zarzuca Jakóbowi zamordowanie barona Rambowa i że wszystko uczynię, by świadka tego odszukać.

— A on, co na to? Czy go to zdziwiło?

— Naturalnie. Zdawał się nawet nie wierzyć w to. Mimo to przyrzekł mi, poruczyć tę sprawę komisarzowi i przysłać go wnet do mnie. Niedługo przyjdzie on do mnie; i dobrze że pani tu jest, kochana Waleryo. Zaraz powie pani wszystko komisarzowi.

Walerya przeraziła się widocznie na wiadomość że zostanie przesłuchaną przez komisarza. Gdyby hrabia Edmund był lepszym obserwatorem, nie uszłoby jego uwagi jej tajona trwoga i niepokój. Żałowała teraz swoją nieostrożność, że nieżywego Jakóba oskarżyła o mord. Zapomniała ,że jej teraz zarzucą krzywoprzysięstwo.

Po upływie godziny, komisarza jeszcze nie było. Odetchnęła swobodnie. Mogła się teraz oddalić bez wzbudzenia podejrzenia hrabiego. Oświadczyła, że dłużej czekać nie może.

— Jeżeli komisarzowi zależy na tem przesłuchać mnie, niech mnie odwiedzi w zamku

Heiligensee, dodała.

Ta nie będzie hrabiego, pomyślała, będzie można dać sprawie obrót dla siebie pomyślny. A może zdradzi nawet przy sposobności miejsce pobytu Agaty. Naturalnie za przyrzeczeniem milczenia.

Ta myśl stała się zwolna postanowieniem. Na zamku oczekiwała niecierpliwie przybycia komisarza. Że on przyjdzie, nie ulegało wątpliwości, bo potrzebne mu były jej zeznania, nadto opis dokładny służącego.

Zapadał już zmrok, kiedy Walerya czekała jeszcze ciągle w owym buduarze przyjścia komisarza. W końcu zaanonsowano jej, że obcy jakiś pan chce z nią mówić. Kazała go wprowadzić.

Był to komisarz. Na progu oddał jej głęboki ukłon. Przedstawił jej się jako komisarz kryminalny. Walerya przypatrywała mu się z zainteresowaniem. Byłto przystojny, elegancki młody jeszcze człowiek, o blond brodzie, i o oczach mądrych i bystrych. Jego maniery były bez nagany, jak człowieka światowego, który obraca się w wyższych sferach towarzyskich.

Wydał się Waleryi dziwnie znajomym, chociaż nie mogła sobie uzmysłowić, gdzie go dawniej widziała. Jak też mogła przypuszczać, że stoi przed nią dawny leśniczy jej brata, hrabiego Sinobrodego? Winter — on nim był w istocie — zjawił się dzisiaj w innem przebraniu. Szef doniósł mu już o zeznaniach hrabiego Edmunda, którego Winter już odwiedził i przesłuchał.

— Przychodzi pan w sprawie moich zeznań, — mówiła Walerya, uśmiechając się jak mogła najuprzejmiej. Czy hrabia Linderhof wyłuszczył już panu punkta istotne?

— Tak, pani, — odpowiedział Winter. Według zeznań owego służącego, popełniono zatem prawny mord na baronowej Agacie. Nie dziw więc, że służący uciekł. Mniej zrozumiałem jest dla mnie natomiast, dlaczego zeznał to pani. Musi to być łotr bez sumienia i serca, skoro mógł pozwolić, by niewinną skazano i stracono. Stąd wniosek, że powinien chyba i wobec pani zachować swą straszną tajemnicę.

Mówił grzecznie, uprzejmie, ale mimo to drgała w głosie jego nuta, która Walerye zaniepokoiła. Czuła, że ten człowiek nie wierzy w bajkę, którą zmyślała.

Obawa przed zemstą pana, kazała służącemu milczeć, — odpowiedziała spokojnie. Gdyby barona Jakóba nie zamordowano, służący nie zdradziłby nic i dzisiaj. Obecnie nie można Jakóba pociągnąć do odpowiedzialności, jego straszny koniec był sprawiedliwą karą za jego zbrodnie. Służącego jednak trzeba odszukać i wybadać, by jego zeznania oczyściły niewinną Agatę.

— Niestety zauważył Winter na pozór nieznacznie dla baronowej Agaty prawda za późno wychodzi na jaw. Ona umarła!

— O, zaśmiała się Walerya, o ile słyszałam, władza w to wątpi?!

— O tem nic nie wiem, — oświadczył Winter, udając zdziwionego. Przecież została straconą!

— Tak, tak! — mówiła Walerya. Zdawało jej się teraz, że ten komisarz, to człowiek bardzo ograniczony. —Mimo to istnieje przypuszczenie, że baronowa Agata jeszcze żyje. A przyzna pan, panie komisarzu, jeżeli tak jest, sprawa nie zapóźno wyjdzie na jaw. A świadectwo tego służącego przekona sędziów, że Agata jest niewinną.

Winter nie odpowiadał Dwuznaczne słowa Waleryi zaintrygowały go bardzo. Zmiarkował, że chce uczynić ważne odkrycie. Jeszcze zwlekała, odgadł dlaczego. Już oddawna miał Waleryę w podejrzeniu pod niejednym względem, zwłaszcze, co się tyczyło śmierci Jakóba. Jednak nie zdradzał się ani słowem. Po chwili odpowiedział:

— Mówi pani z taką stanowczością, jakby baronowa Agata rzeczywiście jeszcze żyła i pani miała w tym względzie wiadomości.

— Myli się pan, to wszystko przypuszczenia.

— Na jakiej podstawie?

— Poprostu na tej, że policya szuka za rzekomo straconą na rusztowaniu. A czyby to zrobiła, gdyby Agata rzeczywiście nie żyła?

— Zdaje mi się, że pani więcej wie o tej tajemniczej aferze, niż policya, uśmiechnął się Winter. Tak samo i hrabia Linderhof. Ale pani nie ma chyba powodu milczeć o tem, co pani wie, bo baronowa Agata nie była przyjaciółką pani i chyba pani i teraz jest przekonaną o jej winie.

— Zeznania służącego bardzo tę moją wiarę podkopały, — odpowiedziała Walerya, jeszcze niezdecydowana mówić otwarcie. Oczywiście nie mogę odwołać swego zeznania, które złożyłam w sądzie.

— Hm! — mówił Winter zdziwiony. W takim razie dziwić się muszę, po co pani wogóle doniosła hrabiemu o zeznaniach służącego.

— Uczyniłam to, by go pocieszyć i dodać otuchy. Słyszał pan chyba o tem, panie komisarzu, że hrabia był najlepszym przyjacielem Agaty.

— Naturalnie! A ponieważ skazana, jeżeli jeszcze rzeczywiście żyje, została ocaloną niejako w rękach kata, powstaje zatem poważne

przypuszczenie, że jej nalepszy przyjaciel był także jej zbawcą! — rzekł Winter z naciskiem.

— Dziwy pan opowiada, panie komisarzu! — zawołała Walerya, udając zdziwienie. O tem nic nie wiem!

—Naprawdę? — W takim razie jest to dla mnie zagadką skąd pani wie, że baronowa Agata żyje?

— Chcę panu zdradzić co wiem, panie komisarzu, — rzekła Walerya ociągając się. Muszę jednak przestrzedz, iż możliwą jest rzeczą, że się mylę. Muszę też prosić o dyskrecyę, zwłaszcza wobec hrabiego.

— Pani, słowo moje, że się nikt o tem nie dowie, co mi pani powie, —przerwał Winter prędko i niecierpliwie.

— Dobrze! — rzekła Walerya. Przypadkiem dowiedziałem się, że baronowa Agata żyje, ukryta u przyjaciółki wychowawczyni jej dziecka.

— A! — zawołał Winter zdziwiony i uradowany. Wymień pani imię i adres tej przyjaciółki.

Walerya spełniła jego życzenie, komisarz zanotował sobie adres Ludwiki.

— Być może, że jesteśmy w błędzie, — rzekła Walerya. Nie miałam jeszcze sposobności przekonać się o tem.

— Wszystko się wyjaśni, — odpowiedział Winter. W każdym razie udam się jeszcze dzisiaj pod wskazanym adresem. Wdzięczny pani jestem za tę wskazówkę i możesz być pewną, że potrafię milczeć. — Pozwoli pani, że przesłucham jeszcze służbę. Może z niej wydobędę, dokąd uciekł służący barona Jakóba.

Pożegnał się i poszedł. Na korytarzu przystanął i tak rozważał:

— Teraz jest rzeczą jasną, że hrabia ocalił baronową Agatę i że Walerya z nienawiści i zazdrości zdradza nieszczęśliwą. Ja muszę spełnić swój obowiązek i aresztować Agatę, chociaż żal mi jej. Jaki los ją czeka? W rzekome zeznanie zbiegłego sługi nie wierzę. Jeżeli baronowa Agata jest rzeczywiście niewinną, nie widzę sposobu, by to udowodnić. Dołożę jednak wszelkich starań, by sprawę tę wyjaśnić i zdemaskować tego szatana, który powoduje to nieszczęście.

Zamyślony schodził ze schodów. Wtem spotkał wysoką postać męską otuloną w ciemny płaszcz, poznał w nim odrazu Sinobrodego. Mimowoli przypomniał sobie uwagi Piotra co do stosunku hrabiego do Waleryi i zapragnął tajemniczy ten stosunek zbadać. Usunął się, hrabia minął go. Rzucił na niego badawczym wzrokiem, lecz nie poznał go. Sinobrody udał się do pokoju Waleryi.

Winter zdecydował się szybko, podążył za nim. Może się uda, podsłuchać ich rozmowę. Spodziewał się, że dostaczy mu ona ważnych wskazówek. Niespostrzeżenie dostał się do buduaru Waleryi. Został w słabo oświetlonym sąsiednim pokoju, oparł się o drzwi i nadsłuchiwał uważnie przez szparę.

Walerya tryumfowała po odejściu komisarza.

— Witaj mi, szczęście! śmiała się demonicznie. Tej jeszcze nocy znajdziesz się w w więzieniu. Jak ja ciebie nienawidzę! Nigdy nie wyjdzie na jaw twoja niewinność, po raz drugi pójdziesz na rusztowanie; nareszcie będę miała spokój.

Zacierała ręce z radości i wielkimi krokami mierzyła pokój, snując plany na przyszłość. Wtem weszła służąca i zaanonsowała:

— Pan hrabia Harald Wildenfels!

Uradowana pospieszyła Walerya ku wchodzącemu i zawołała:

— Przychodzisz w sam czas. Ważne nowiny, Robercie. Właśnie dokonałam stanowczego ataku przeciw Agacie! Za kilka godzin będzie znowu w więzieniu!

— Czy tylko nie popełniłaś co nierozważnego? — spytał Sinobrody niespokojnie. Kto był u ciebie?

— Komisarz policyjny! I temu zdradziłam gdzie się ukrywa.

— Hm! to był nierozważny krok, Waleryo. Hrabia dowie się naturalnie, kto Agatę zdradził, a wtedy...

— Nie, o niczem się nie dowie, — przerwała Walerya. Komisarz przyrzekł mi, że będzie milczał. Nie wiesz zresztą, że mój plan dotychczas znakomicie się udał. Hrabia jest znowu moim przyjacielem i nie ma ani cienia podejrzenia. Wobec Agaty poniosłam klęskę, lecz jej się wnet pozbędziemy na zawsze, a wtedy stać będę u celu.

Opowiedziała bratu ostatnie zdarzenie i dodała:

— Co mnie jedynie niepokoi, to historya ze służącym Jakóba. A wtedy wszystko wyjdzie na jaw, że jego rzekome zaznania o winie Jakóba są tylko bajką.

— Ech, — rzekł Sinobrody lekceważąco, służącemu nikt nie uwierzy. W najgorszym razie, powiemy: oszukał cię. A że on w żadnym wypadku nie potwierdzi twoich zeznań, o Jakóbie, więc nie będzie można udowodnić niewinność Agaty.

— I zginie nareszcie! — zawołała Agata z demoniczną radością. Trzeba usunąć wszelkie przeszkody i wszystkich nieprzyjaciół. Obecnie i Jakób nie żyje, gospodarz z pod "Pełnego

dzbana" oskarżony jest o jego zamordowanie, ale na nas nie pada podejrzenie.

— Tak Waleryo udało się, — mówił Sinobrody. Jak słyszałem, śledztwo przeciw Gerhardowi dobiega końca, bezwątpienia zostanie skazanym na śmierć. Nie potrafi, podobnie jak Agata, udowodnić swej niewinności. I jeszcze tej nocy, — dodał z cynicznym uśmiechem, sprowadzę sobie z gospody piękną Katynkę!

Dotychczas słuchał Winter uważnie, nie stracił ani słowa z ich rozmowy. Przy ostatniej jednak uwadze Sinobrodego zdjęła go wściekłość, zacisnął pięść i najchętniej by wpadł do buduaru i zatłukł nędznika na śmierć. Opanował się jednak, a ponieważ dalszą rozmowę prowadzili szeptem, tak że nie słyszał z niej ani słowa, cofnął się bez hałasu i oddalił się szybko.

— Czekam cię w gospodzie nędzniku! zgrzytnął. A przyjmę cię, jak na to zasłużyłeś!

Rozdział 21.

W GOSPODZIE POD "PEŁNYM DZBANEM."

W lochu, w piwnicy "Pod pełnym dzbanem" czekał jeszcze ciągle hrabia Harald na swego przyjaciela, gospodarza Gerharda. Próżna nadzieja, próżne wyczekiwanie. Przyjaciel nie przychodził. Daremnie wołał i stukał kijem w podłogę.

Co się stało? Czy Gerhard chory? Chyba nie, bo wtedy zdradziłby swą tajemnicę innemu. Nie dałby mu tu tak nędznie zginąć. Próżno silił się nieszczęsny, by odgadnąć przyczynę, dla której Gerhard nie przychodzi, nie wiedział, co się w międzyczasie stało.

Na kilka dni tylko starczyły jego środki żywności, od 2 dni już nic nie jadł. Co to będzie? Rozpacz bezgraniczna go zdjęła na myśl, że umrze tu śmiercią głodową, jeżeli się Bóg nie zlituje.

Ae nikt nie słyszał jego wołania, a i pukanie nie odnosiło skutku. Czy dom cały wymarł? Jeżeli w gospodzie są jeszcze ludzie, to go chyba usłyszą. Czemu go nie szukają? — Ach! nikt zresztą prócz Gerharda nie wie o istnieniu tego tajemniczego lochu, nikt nie zna wejścia drzwiami spustnemi pod szafą.

Ocknął się dopiero co z dłuższego omdlenia siedział na łóżku wśród ciemności i ciszy grobowej. Głód mu dokuczał, a łkanie jego strasznie odbijało się o te wilgotne mury piwniczne.

— Miłosierny Boże! — wołał. Ratuj mnie! Mam umrzeć śmiercią głodową. Na to tyle lat żyłem w najstraszniejszej nędzy, znosiłem bezgraniczne cierpienia, z niewoli uciekłem do ojczyzny i czekałem tu cierpliwie na dzień zapłaty, by teraz umrzeć tak straszną śmiercią?!

Nie, to być nie może! Niebo nie może chcieć jego zguby. Zerwał się. Jeszcze raz spróbuje wołać o pomoc. Pukał, silniej, coraz silniej, wołał z sił całych. Aż go siły opuściły i zatoczył się na swe posłanie.

Jeszcze słuchał uważnie, serce jego biło gwałtownie wśród nadziei i rozpaczy.

Nikt nie przychodził! Cisza grobowa!

— Wielki Boże! — zawołał wśród gorących łez. Zlituj się nademną! Potem popadł w omdlenie.

Czy Bóg nie wysłucha prośby nieszczęsnego? Czy zgubiony on beznadziejnie?

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Noc była ciemna. Zimny wiatr jesienny zawodził żałośnie.

Katynka spała w swej izbie. Za dnia była w rezydencyi, aby ojca odwiedzić w więzieniu. Nie pozwolono jej, nie widziała nawet swego rodzica. Zrozpaczona wróciła wieczorem do domu i poskarżyła się przed swym ukochanym, który wrócił prawie równocześnie z nią. Pocieszył biedne dziewczę obietnicą, że wnet ojca zobaczy, nie wspomniał jednak ani słowem ani o swej bytności na zamku Heligensee, ani o tem, co tam słyszał. Tak więc Katynka nie przypuszczała, jakie niebezpieczeństwo grozi jej w tę noc ze strony Sinobrodego.

Winter siedział sam w izbie gościnnej, oświetlonej lampą. Nie myślał o śnie, niecierpliwie czekał na przybycie dwóch tajnych agentów. Skoro tylko przyjdą, on pójdzie precz, by jeszcze tej nocy aresztować nieszczęsną Agatę.

Nie mógł inaczej, nie wolno mu było zwlekać. Bo jutro może być późno, może Agata zmieni kryjówkę. Chętnie zostałby tej nocy w gospodzie, lecz obowiązek nakazywał mu spełnić zadanie. Musiał nieszczęsną jeszcze raz oddać w szpony strasznego losu, jaki nad tą niewinną ofiarą zawisł. Nie mógł folgować sercu, które prosiło o zmiłowanie dla tej biednej kobiety.

Nigdy jeszcze obowiązek nie sprawiał mu takich przykrości. Ciężko westchnął i zamyślił sie. Wtem zbudziły go z zamyślenia miarowe uderzenia kopyt końskich. Wstał i słuchał. Jeźdzcy zatrzymali się przed gospodą. Winter mógł rozróżnić głosy dwóch ludzi.

Czy to agenci wyczekiwani? Czy też hrabia Sinobrody ze swoim łotrem — służącym? Winter wyszedł do sieni, zapukano właśnie do

drzwi.

— Kto tam?

— To my panie komisarzu, — odpowiedział znajomy głos. Winter otworzył drzwi i wpuścił przybyłych. Byli to agenci. Zaprowadził ich do izby gościnnej i dał im dokładne instrukcye. Potem siadł na konia i odjechał szybko.

Katynka nie powinna o tem wiedzieć, co się dookoła niej dzieje. Miała zostać pod opieką przybyłych agentów. Z brzaskiem dnia chciał Winter wrócić.

Godzinę zostali agenci w izbie gościnnej, potem jeden z nich udał się na spoczynek do sypialni Gerharda, drugi został na straży w izbie gościnnej. Już minęła północ. Samowolnie czuwający agent oparł głowę o ręce i zdrzemnął się wskutek znużenia, gdy wtem zbudził go nagle szelest·

Przed domem usłyszał rżenie koni. Zapukano do drzwi i szorstki głos zażądał by otworzyć. Agent wziął rewolwer i udał się do sieni. Przypuszczał, że to hrabia Sinobrody i jego służący Piotr.

Głos z zewnątrz wołał:

— Otworzcie, Gerhardzie! Znurzeni podróżni jesteśmy i prosimy o schronienie na noc!

Agent zastanowił się. Potem odpowiedział krótko niechętnie:

— Tak późną nocą nie przyjmujemy gości!

— Do dyabla! zaklął obcy, to przecież gospoda! Czy mamy pod gołem niebem przepędzić noc? Otworzcie, Gerhardzie! Otwórzcie prędko.

— Nie jestem Gerhardem i wpuścić was nie mogę. Idźcie z Bogiem dalej! — odpowiedział agent.

— Przecież nie jesteśmy zbójami kupcy z nas! — zawołał obcy oburzony. Nasze konie nie mogą dalej iść. Zrozumiecie przecież naszą sytuacyę! Chcemy się u was tylko przespać.

Agent rozważał co mu wypada uczynić. W końcu byli to Bogu ducha winni podróżni, którzy na wypadek napadu Sinobrodego, mogli być użyteczną pomocą. Zbudził najpierw swego kolegę i ostrożnie otworzyli drzwi.

Podróżni w międzyczasie umieścili swe konie wstajni. Trzech ich było, brodaci otuleni w szerokie płaszcze, twarze ich były ukryte. Nie wzbudzali wcale zaufania i agenci żałowali już, że ich przyjęli. I podróżni byli nieprzyjemnie zdziwieni na widok dwóch ludzi, nie należących widocznie do gospody. Tajemniczy goście oświadczyli mrukliwie, że odbyli daleką drogę i że są znużeni, że zatem natychmiast udadzą się na spoczynek i jutro wczesnym rankiem ruszą do rezydencyi.

Agenci wyznaczyli gościom tylny pokój, obok izby gościnnej, gdzie sami zostali, nie mając zaufania do przybyłych. Zdawało się jednak, że podróżni rzeczywiście ułożyli się do snu, bo za chwilę ucichło w pokoju. Mimo to pozostali agenci na swem stanowisku, lecz zgasili światło, by się zdawało, że i oni śpią.

Cisza, agenci słuchali uważnie, zwracając uwagę na każdy szelest. Wtem pchnął jeden swego kolegę i szepnął:

— Gunter, patrz! tam jeszcze światło! Podróżni nie śpią. Założę się, że to przecież łotry, którzy prześladują piękną Katynkę.

— W każdym razie jest mi wszystko podejrzane —odpowiedział Guenter. Nie należało ich przyjmować. Co? Brand? Miejmy się na baczności i bądźmy w pogotowiu.

To mówiąc zbliżył się na palcach do drzwi i zaglądnął przez dziurkę. Lecz ta była wewnątrz zasłoniętą. Nadsłuchiwał uważnie. W pokoju mówiono szeptem, nie można było dosłyszeć ani słowa. Całe zachowanie rzekomych kupców wydało się agentom podejrzanem. Postanowili jednak czekać, co się stanie.

Guenter ostrożnie nacisnął klamkę i przekonał się, że drzwi są zamknięte. z rewolwerami w ręku czekali agenci. Co się w izbie działo, nie wiedzieli, byli jednak przygotowani na napad. Wtem zerwali się równocześnie z siedzenia, usłyszeli skrzyp drzwi. Skradające się kroki w sieni, a potem trzask, jakby rozbijano zamek.

Brand! prędzej! szepnął Guenter. To złodzieje! Łotry chcą się dostać do izby mieszkalnej. Szukają tam prawdopodobnie pieniędzy, albo...

Zamilkł, bo w tej samej chwili rozległ się krzyk· zgrozą przejmujący. Czy to Katynka krzyknęła, która spała tam obok izby mieszkalnej? Czy zbóje zagrażali jej życiu?

Brand wyciągnął z pod płaszcza latarnię i przy jej świetle pospieszyli agenci do sieni, którą wielkie drzwi dzieliły na dwie części. Drzwi te były zamknięte, agenci nie mogli się zatem dostać do sieni, leżącej za niemi, a tam widocznie rabusie się znajdowali. Stąd też prowadziły drzwi do sypialni Katynki, które właśnie łotrzy rozbili.

Bezradnie stali agenci przez chwilę. Znowu rozległ się krzyk Katynki, groziło jej snać wielkie niebezpieczeństwo.

— Rabusie! —Mordercy — wołała.— Na pomoc! Miłosierny Boże!

Rozbijanie zamka w drzwi zbudziło ją ze snu. Przerażona zobaczyła dwie tajemnicze postacie o oczernionych twarzach, na które latarnia rzucała jaskrawe światło. Zdawało jej się, że jedną z tych postaci jest rudowłosy Piotr.

jakkolwiek potężna broda i czarna farba zupełnie zmieniły jego rysy.

Postacie rzuciły się na nią. Przerażona uciekła przez drugie drzwi do izby mieszkalnej, tu jednak spostrzegła agentów, którzy jej pośpieszyli z pomocą. Widząc w nich nowych nieprzyjaciół, minęła ich Katynka. Nie wiedziała przecież, kto oni i że wogóle znajdują się w gospodzie.

Myślała tylko o Winterze, jako o swoim zbawicieu i uciekając do sieni, wołała rozpaczliwie jego imię.

— Reinhold, Reinhold! O mój Boże! Pomocy! Reinhold! ach, gdzie jesteś?

Gdy zobaczyła, że drzwi prowadzące do izby gościnnej stoją otworem, zawołała:

— Nędznicy zamordowali cię!

Była pewną, że mordercy napadli Wintera, i że on teraz tam wśród ciemności leży zimny i martwy. Wtem drżąca ze strachu, jakby w szale podskoczyła, szukając drogi, którą mogłaby uciec. W pokojach odezwały się strzały, krzyk i przekleństwa. Nagle rozwarły się drzwi tylnej sieni i jedna z tajemniczych postaci przypadła do Katynki z okrzykiem radości.

— Sinobrody! — zawołała Katynka.

Postać przystanęła, jakby zdziwiona, że ją poznano. Potem jednak zaśmiała się szyderczo i powtarzając kilkakroć imię Sinobrodego, rzuciła się na Katynkę, która prędko się usunęła i rzuciła się ku schodom.

— Stój! stój mówię! zgrzytnął prześladowca i podążył za nią.

Nim jednak przybył do połowy schodów, była Katynka już w górze i zatrzasnęła drzwi za sobą. Znalazła się na strychu, blizko izby sypialnej dziewki, której w domu nie było gdyż wieczorem udała się do wioski rybackiej, by tam matkę swą odwiedzieć. Katynka schroniła się do tej izby, zasunęła silną zasuwkę drewnianą i zabarykadowała drzwi stołem, skrzyniami i innymi ciężkimi przedmiotami. Słyszała jak jej prześladowca pukał gwałtownie w drzwi. Wielki Boże! A jeżeli mu się uda dostać do izby? Gdzie się wtedy schroni?

Wtem nagle ucichło. Słyszała ,jak prześladowca zeszedł ze schodów. Krzyki i strzelanie ustało. Katynka nie mogła pojąć, co było powodem walki między rabusiami, nie przypuszczała, że dwóch z nich byli, jej przyjaciółmi.

Co się tam na dole stało, nie wiedziała. W śmiertelnej trwodze słuchała, czy rabusie nie szukają tu w górze za nią. Lecz wszędzie było cicho.

Straszne było położenie Katynki wśród trwogi i niepewności, co się z nią stanie. Przeczuwała wielkie nieszczęście, a nie miała odwagi opuścić swego schroniska. Bo może mordercy jeszcze się nie oddalili, lecz ukryli się tylko.

Nagle usłyszała dziwne trzeszczenie i trzaskanie, eraz silniejsze, za chwilę uczuła zapach jakby się coś paliło, równocześnie dostawał się przez otwory w drzwiach na strych gryzący dym.

— Wielki Boże! — zawołała Katynka. Ogień! Pali się!

Stała chwilę nieruchoma, jakby przykuta do ziemi. Nagle jednak, jakby w szale, poczęła gwałtownie usuwać barykady i otworzyła drzwi. Rzuciła się ku schodom. Lecz te paliły się już morzem płomieni. Nie było drogi ratunku. Zdawało się, że ją czeka niechybnie straszna śmierć.

Jakby nieprzytomna patrzyła w płomienie, które coraz wyżej sięgały. Czarne chmury dymu dławiły ją, gorąco było nieznośne. Katynka runęła na ziemię, nogi odmówiły posłuszeństwa. Wyciągnęła przed siebie ręce wołając o pomoc.

W jaki sposób powstał ogień? Czy to dzieło zbójów? Jaki był ich cel?

Tylko by zgubić biedne dziewczę? Kto oni byli? Czy rzeczywiście hrabia Sinobrody i godny jego sługa rudowłosy Piotr? A kto jest ich trzeci towarzysz?

Zdawało się, że w gospodzie nie ma nikogo prócz Katynki i nieszczęśliwego więźnia w lochu piwnicznym. A między nimi morze płomieni. Jeżeli dom się spali, natenczas i nieszczęśiwy hrabia znajdzie niechybnie śmierć w płomieniach.

Co się stało z agentami? Dlaczego nie spieszyli z pomocą zagrożonej Katynce?

Gdy płomienie sięgały coraz wyżej, zerwała się Katynka i pobiegła do izby. Pełno tu już było dymu i tylko z trudnością znalazła okno. Dusząc się, otworzyła je i błagalnym wzrokiem patrzała w ciemną noc. Wołała o pomoc i straszne rozlegały się te wołania po pustkowiu dalekiem wśród ciemności nocnych. Tylko wiatr jej odpowiadał i zawodził żałośnie. Nikt z żyjących nie słyszał jej rozpaczliwych jęków nikt nie pośpieszył z pomocą.

Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejszem. Gorąco było nieznośne, dym dusił coraz więcej. Katynka wychyliła się z okna, wzdrygnęła się jednak i cofnęła na widok czarnej przepaści.

Było to wysokie bardzo okno dachowe. Skok w dół równał się niechybnej śmierci.

A znikąd nie przychodziła pomoc. Dookoła nie było ludzkiego mieszkania, wszędzie tylko, gdzie okiem sięgnie, pustkowie!

Umilkły wreszcie wołania Katynki. Upa-

dła u otwartego okna i czepiła się go ostatnim wysiłkiem.

—Miłosierny Boże! ratuj mnie!

W tym samym czasie, była godzina szósta nad ranem, lecz jeszcze ciemna noc — pędził po pustkowiu w stronę gospody jeździec. Już w dali widział zaczerwienione niebo, w blasku ognia. Gdy był już w połowie pustkowia, zatrzymał nagle konia z okrzykiem zgrozy. Czego się dotychczas tylko bał, to teraz widział w strasznej rzeczywistości.

— Wielki Boże! To gospoda! — zawołał. I jakgdyby przykuty do ziemi patrzał na to straszne a wspaniałe widowisko.

Wśród ciemnej nocy sterczała gospoda, jak ognisty wulkan. Wysoko piętrzyły się czerwone płomienie, malując swe straszne obrazy na tle ciemnego nieba.

— Katynka! — Miłosierny Boże! Jeżeli ona jeszcze tam? — wykrztusił Winter, bo on był owym jeźdźcem. Straszna go zdjęła trwoga. — Ha! to dzieło Sinobrodego! zgrzytnął.

Popuścił cugle kłusem popędził ku gospodzie stojącej w płomieniach. Czy nie przybędzie zapóźno, by ocalić Katynkę?

Nareszcie — każda chwila zdawała mu się wiecznością — był u celu· Zeskoczył z konia, który się spłoszył na widok płomieni. Jakby osłupiały wpatrywał się chwilę w to morze płomieni. Pospieszył na podwórze i trwożliwie zawołał:

— Katynko! Katynko!

Nikt nie odpowiedział.

Podążył dalej, obok niestojących jeszcze w płomieniach zabudowań stajennych i wołał na agentów. Wszystko daremnie! I oni nie dawali znaku życia.

— Ojcze niebieski! Co to jest?! rozpaczał. Czemu też tutaj nie zostałem? Wtem, tuż przy ścianie, pod oknem izby strychowej potknęła się noga jego o ciało ludzkie. Nachylił się. Odskoczył jednak w tej samej chwili, z okrzykiem zgrozy.

Rozdział 22.

NIEUDAŁA ZEMSTA.

Tej samej nocy siedziała Agata u łóżka swego dziecka. Nie przypuszczała, jakie jej grozi niebezpieczeństwo, że Walerya ułożyła szatański akt zemsty, że komisarz zna już jej miejsce pobytu i że właśnie jest w drodze do rezydencyi.

Myślała o Edmundzie, któremu dzisiaj przyrzekła, że zostanie jego żoną. Lecz dusza jej nie zaznała błogiego szczęścia narzeczonej. Kochała go wprawdzie, tego szlachetnego, dzielnego człowieka, który walczył o nią nadludzką siłą i który ją wydarł śmierci· Lecz miłość ta nie była namiętnością. Jeszcze krwawiły rany, jakie jej straszny los zadał, jeszcze żywym był ból z powodu śmierci męża, którego kochała i czciła jak ojca. I wiecznie żyć będzie w jej duszy jego obraz, bo jego dziecko, mały Walter ciągle go jej przypomina.

Lecz nie mogła oprzeć się dłużej błaganiom Edmunda. Zgodziła się dla swego dziecka, by zostać już wkrótce żoną hrabiego. Małemu Walterowi trzeba ojca, ona sama była bezsilną, by pokrzyżować zgubny plany Waleryi i odwrócić nowe niebezpieczeństwa. Jak słodko śpi, jej ukochanie, jej cały świat. Ze łzami radości w oczach patrzała. Ma go znowu, chwila która tak groźnie wystąpiła, minęła. Jeszcze kilka groźnie wystąpiła, minęła. Jeszcze tylko kilka dni, a mały Walter wróci zupełnie do zdrowia.

Usta jej szeptały gorące słowa podzięki. Już za kilka dni opuści z Walterem i wierną Martą mieszkanie swej przyjaciółki Ludwiki, a wtedy? Nieznana, tajemnicza jej się otwierała przyszłość. Bóg sam jeden wie, ile ją bólu i cierpienia czeka·

Tak marzyła Agata, a nieszczęście jej coraz bliższem było. Czy nikt nie przyjdzie, by ją ostrzedz? Czy nie mówiło jej przeczucie, że już w najbliższej godzinie zawiśnie nad nią straszny los?

Była samą ze swym śpiącym dzieckiem. Wierna Marta siedziała ze swą przyjaciółką w kuchni i rozmawiały szeptem, jakby się bały przeszkadzać matce i dziecku.

Nagle odezwał się dzwonek. Zdziwione, spojrzały na siebie kobiety i prawie równocześnie rzuciły wzrokiem na stary zegar, który już wskazywał dwunastą godzinę.

— Kto też tak późno przychodzi? — spytała Marta zaniepokojona. Lepiej nie otwieraj, Ludwiko! Odkąd tu była ta szatańska kobieta, drżę zawsze na odgłos dzwonka. Ciągle boję się, że policya przychodzi po mą biedną panią!

— Znowu dzwonek! — przerwała Ludwika. Trzeba chyba zobaczyć, kto to!

Drżąca i blada ze strachu zbliżyła się ku drzwiom, za nią szła Marta. Trwożliwym głosem zapytała Ludwika, kto ten późny gość. Głos męski odpowiedział w niezrozumiałych słowach.

— To nie policya, dzięki Bogu — szepnęła Ludwika i prędko odchyliła drzwi. Światło lampy kuchennej, którą Marta trzymała w ręku oświeciło postać w płaszczu, którą Marta poznała uczciwa twarz starego Michała?

— Ach, to służący hrabiego — zawołała zdziwiona. — Mój dobry Michale, co znaczy to późne przyjście.

Przyjaciółka Marty otworzyła teraz drzwi i Michał wszedł. Był blady, wzburzony i trwożliwym głosem zapytał:

— Czy nie było tu jeszcze policyi?

— Nie, na miłość Boską! Co to, Michale — pytała Marta, zdjęta trwogą.

— Bo szukają za panią baronową i są na tropie — szepnął Michał· — Dowiedział się o tem doktór Kloc, posyła mnie pan hrabia, jaśnie pani musi natychmiast uciekać, bo niebezpieczeństwo groźne.

— Miłosierny Boże! To Walerya niecnie ją zdradziła— zawołała Marta drżąca z gniewu.

— Możliwe, pan hrabia nie chce temu wierzyć. Zresztą nie mamy przecież żadnej pewności. To przypuszczenia doktora Kloca.

— Nie ma ani chwili do stracenia — zawołała Marta. Należy natychmiast uwiadomić jaśnie panią.

Pospieszyła natychmiast do pokoju swej pani, by jej donieść wiadomość, przyniesioną przez starego Michała.

— O Boże — łkała Agata w rozpaczy. Mam uciekać? Jak? dziecko porzucić, nie, nigdy!

Po chwili jednak zastanowienia przekonała się, że zwlekanie może pociągnąć zo sobą najzgubniejsze skutki. Stary Michał wyjaśnił, że w poblizkiej ulicy czeka powóz w pogotowiu. Hrabia wszystko obmyślił i przygotował. Powóz miał zawieść Agatę najpierw do pałacu. Tam jednak nie zostanie, bo policya u hrabiego właśnie szukać jej będzie.

— Jutro podążę za mą dobrą panią z małym Walterem — pocieszała Marta nieszczęśliwą matkę, która zalewając się łzami stała u łóżka śpiącego dziecka, by się z niem pożegnać· Nachyliła się nad niem ostrożnie i ucałowała jego różowe usta. Mały Walter nie zbudził się, uśmiechnął się tylko nie przeczuwając, że jego ukochana mamusia w tej chwili opuszcza go.

— Jaśnie pani, chodźmy — nalegał stary Michał — pan hrabia czeka, niespokojny bardzo o jaśnie panię.

Agata otuliła się w szeroki ciemny płaszcz, zarzuciła szal na głowę, a twarz okryła gęstym welonem. Była prawie do niepoznania. Jeszcze szybkie, nerwowe pożegnanie wśród łez i serdecznych słów i wszyscy wyszli na schody.

Stary Michał zaświecił świeczkę i zaledwie jednąk Agata wstąpiła na pierwszy stopień, przystanęła i wszyscy spoglądnęli na siebie w śmiertelnej trwodze. Na dole zamknięto właśnie bramę wchodową i wyraźnie słychać było kroki dwóch mężczyzn, kroki szybkie, zbliżające się ku czwartemu piętru. Wszystkich zdjęło złowrogie przeczucie. Czy to domownicy, którzy tak późno wracają, czy może już policya?

Mężczyzni zbliżali się coraz wyżej. Nie zatrzymali się na pierwszem, ani drugiem piętrze. Nie ulegało wątpliwości, że niebezpieczeństwo było blizkie. Agata stracona, gdzie się ukryje?

Śmiertelna trwoga, nikt nie ważył się odezwać stali jak przykuci do ziemi. Kroki zbliżały się już na trzecie piętro. Wtem Marta ocknęła się i zdecydowana szybko pociągnęła Agatę ku schodom strychowym, dając jej i staremu Michałowi więcej ruchami niż szeptem do poznania, co chce, by uczyniono· Zrozumiano ją, Ludwika pośpieszyła do kuchni, za chwilę wróciła z pękiem kluczy, które oddała Michałowi. Stary z Agatą pośpieszyli ku strychowi, który Michał bez hałasu otworzył. Ostrożnie zgasił światło, gdy jednak znalazł się z Agatą za drzwiami, które zamknął, zaświecił świecę i rozglądnął się dookoła.

Agata nachyliła się ku drzwiom i wytężyła słuch. Wszystko to stało się w okamgnieniu, tak, że zbliżający się mężczyzni nie przebyli jeszcze trzeciego piętra. Zanim wstąpili na pierwszy stopień czwartego piętra, cofnęły się już były Marta i Ludwika do mieszkania i zamknęły drzwi bez hałasu. Czy urzędnicy policyjni — jeżeli to oni się zbliżali — pomimo pośpiechu i ostrożnie nie mieli podejrzenia, to musiało się za chwilę okazać. Czy Agata jest bezpieczną w swej kryjówce, czy i tam ją szukać będą?

Teraz stanęli przybysze przed mieszkaniem Ludwiki i zadzwonili. Przez chwilę cisza. Potem odezwał się głos Ludwiki z za drzwi:

— Kto tam?

— Otworzyć w imieniu prawa — odpowiedziano.

— Okrzyk zgrozy. Potem drzwi się otwarły i dwóch mężczyzn weszło do mieszkania.

Ludwika była blada, zdawało się, że dopiero co wstała z łóżka na odgłos dzwonka i zarzuciła na siebie tylko najniezbędniejszą odzież.

Jeden z przybyłych — był to Winter — przedstawił się jako komisarz policyjny. Był w towarzystwie dwóch agentów, z których jeden został na straży przy bramie wchodowej· Krótko wyjaśnił Winter Ludwice cel swego przybycia.

Ludwika udała zdziwioną i zaśmiała się tak swobodnie, jakby nigdy w życiu nie widziała Agaty.

— Co? baronowa Rambow ma być u mnie w mieszkaniu? Trud pana i droga daremne. Niesłusznie i niesprawiedliwie zbudził mnie pan ze snu, panie komisarzu.

Wintera zdziwiła ta pewność, przypuszczał jednak, że spdodziewano się jego przyjścia albo u k r y t o Agatę, albo opuściła ona już dom ten. Wzruszył ramionami i rzekł poważnie:

— Udawanie nie zda się tu na nic! Jeżeli nawet baronowej tu nie ma, to chyba pani nie zaprzeczy, że była tu niedawno.

— Nie! — na Boga, panie komisarzu, nie wiem, co to znaczy. Zdziwienie moje niemałe. Przecież nieszczęśliwa baronowa już dawno nie żyje...

Niecierpliwym ruchem ręki przerwał Winter Ludwice, wszedł do kuchni i rzekł:

— Pozwoli pani, że się sam przekonam, kto się znajduje w tym tu pokoju?

— Kto mój Boże przyjaciółka ze swem dzieckiem! Ludwika nie wiedziała, że komisarz zna Martę i małego Waltera, uważała przeto zo stosowne zamilczeć jej imię. Szybko weszła do pokoju, a Winter był względnym, bo poczekał chwilę, aż mu pozwolono wejść.

—Przyjaciółka moja już spała, — oświadczyła Ludwika, kiedy Winter przestąpił próg pokoju.

Prędko rozglądnął się po pokoju i przekonał się, że Agaty niema tu· Zobaczył Martę i poznał też małego Waltera i z ironicznym uśmiechem zwrócił się ku Ludwice:

A, moja pani, chciała mnie pani w błąd wprawdzie. Znam dobrze synka baranowej Rambow. A to tu jego wychowawczyni, która, jak słyszałem, uciekła z dzieckiem ze zamku Heilligensee. Panno Marto, pani skąd się tu wzięła z dzieckiem?

— Panie komisarzu, chyba nie przyszedł pan, by zabrać mi to dziecię — zapytała Marta, nie dając odpowiedzi na pytanie Wintera.

— Niech Bóg broni — odpowiedział komisarz z uśmiechem. — Inne są moje zlecenia. Ale gdzie dziecko, tam jest zwyczajnie i matka. Proszę pani, przypuszczam, że pani wie, dokąd się baronowa dziś wieczorem udała?

— Nie rozumiem tego pytania, panie komisarzu, pani baronowa dziś żyje...

Winter był zniechęcony, widział, że od tych kobiet niczego się nie dowie.

— Dobrze — rzekł nie chce pani zdradzić baronowej. Lecz ja mam pewność, że skazana, która wbrew wszelkim ludzkim oczekiwaniom żyje, była dzisiaj w tem tu mieszkaniu. Jeżeli mi pani odmawia wyjaśnień, pociągnie panią sprawiediwość do odpowiedzialności. Chyba pani wie, że pani musi podać miejsce pobytu baronowej.

Groźba ta nie odniosła spodziewanego skutku.

— Gdybym nawet wiedziała, gdzie się skryła moja biedna pani, którą złość i przewrotność ludzka wtrąciły w nieszczęście, nie zdradziłabym jej za nic w świecie — zawołała Marta. — Możesz mnie pan, panie komisarzu, natychmiast odprowadzić do więzienia, nie zdradzę ani słowa któreby mogło baronowej zaszkodzić.

— Przyjaciółka pani także nic nam nie powie, co? — zapytał Winter.

— Niech mnie Bóg broni, toby grzechem było — zawołała Ludwika stanowczo.

— I nie chcecie panie zeznać, że baronowa Rambow tu była?

— Żadnych zeznań nie składamy — zawołała szybko Marta. — Wiem ja dobrze, kto zwrócił uwagę policyi, nieprawdaż panie komisarzu, to baronowa Walerya przysłała pana?

— Myli się pani — odpowiedział Winter szorstko — jestem w służbie mej władzy, a nie osoby prywatnej. Nie ma to ze sprawą nic wspólnego, kto spowodował moje przyjście — zresztą, dodał grzecznie, baronowa Walerya zrobiło niedawno odkrycie bardzo ważne dla nieszczęśliwej baronowej Rambow, mianowicie, że zamordowany w międzyczasie baron Jakób popełnił zbrodnię, za którą skazano baronowę Agatę. Słyszała pani pewnie o tem?

— Tak — odpowiedziała Marta nierozważnie. Ale jestem przekonaną, że baron Jakób nie był sam winnym, lecz, że ta, która go teraz oskarża, popełniła w spółce z nim tę zbrodnię.

W duszy myślał Winter tak samo. Potem, co dotychczas zbadał i widział i co — dopiero dzisiaj — podsłuchał, nie wątpił ani na chwilę w winę Waleryi. Poznał w niej demona, który nietylko ma na sumieniu zamordowanie męża Agaty, lecz także dała prawdopodobnie powód do zamordowania Jakóba. Piotr był jego mordercą, to nie ulegało wątpliwości. Był jednak przekonanym, że go Walerya najęła w porozumieniu z Sinobrodym.

W krótkim czasie poczynił Winter te ważne odkrycia, brakło mu jednak koniecznych dowodów. Dlatego nie mówił z wychowawczynią otwarcie. Chętnie by jej zresztą powiedział, że nie wątpi w niewinność Agaty, i że się cieszy, że jej tu nie znalazł. Nie mógł jednak tego uczynić, chociażby ze względu na agenta, który

z nim przyszedł.

Dlatego nie zwrócił uwagi na oskarżenie Marty i urwał rozmowę. Może przyjdzie innym razem sam i wtedy otwartością swoją zdobędzi zaufanie Marty. Jego obowiązek był spełniony. Pędziło go do gospody "Pod pełnym dzbanem". Oddalił się zatem, pozostawił jednak na straży agenta przy bramie.

— Dzięki Bogu — odetchnęła Marta swobodniej—skończyło się lepiej, niż się spowiedziewałam. Ludwiko, słyszysz? poszli, nie będą więcej szukać. Nie mamy się czego tego komisarza bać, nie bierze sprawy seryo.

Miałam wrażenie, że on był bardzo względnym — odpowiedziała Ludwika.— Albo chce nam oczy zamydlić, by nas później złapać, albo ma litość dla twej biednej pani i nie chce, by wróciła napowrót do więzienia.

— Nie, w to nie wierzę, jestem przekonaną że on teraz z agentami, urządza zasadzkę na mą biedną panię.

Tymczasem Ludwika otworzyła drzwi wchodowe nadsłuchując czy się kroki oddalają — szeptem rzekła do Marty.

— Pójdę za nimi by się przekonać, czy poszli, tymczasem uczyń tak, by twoja pani pozostała w swej kryjówce, aż wrócę.

Zeszła po ciemnych schodach, jeszcze chwilę błyszczało światło latarni Wintera. Potem zawołali urzędnicy stróża nocnego i opuścili dom. Bramę za nimi stróż zamknął. Już chciała wrócić uspokojona, gdy w tem usłyszała rozmowę między stróżem, a pozostałym na straży agentem. Więc niebezpieczeństwo nie minęło. Należało się obawiać że agent zostanie na posterunku całą noc, że zatem Agata na razie nie może myśleć o ucieczce.

Wróciła do Marty i doniosła jej tę niewesołą nowinę.

— Co teraz począć — pytała Marta bezradnie — i pozostanie tutaj i ucieczka są niebezpieczne. Jutro pewnie komisarz wróci i przeszuka cały dom.

Ludwika nie miała rady.

Zawołano Agatę i starego Michała i doniesiono im, co zaszło.

Po długiej naradzie znaleziono wyjście. Agata miała w przebraniu mężczyzny opuścić dom sama. Stary Michał, którego stojący na straży agent w każdym razie znał, miał zostać bo w jego towarzystwie wzbudziłaby Agata podejrzenie.

Odpowiedni ubiór znalazł się ze zmarłego przed kilku laty brata Ludwiki. Agata przebrała się, pod szeroki kapelusz filcowy schowała włosy. Bez śladu zarostu niepodobną oczywiście była, mimo przebrania do mężczyzny. Ale w nocy nie mogło to tak łatwo wpaść w oczy. Podniosła w górę kołnierz płaszcza, wzięła klucz od bramy i z bijącem sercem rozpoczęła niebezpieczną wędrówkę.

Wierna Marta i Ludwika towarzyszyły jej niespostrzeżenie do sieni, by się przekonać, czy się udał zuchwały plan. Agata otworzyła bramę i wyszła. Wzrok jej padł natychmiast na stojącego w nyży wchodowej agenta, który na jej widok postąpił krok naprzód.

Serce jej biło gwałtownie. Agent badawczo śledził jej twarz, lecz nie mógł rysów poznać w ciemności. Czy ją zapyta, kto jest i dokąd idzie? Myślała Agata zamykając szybko bramę. Wzbudziła, zdaje się, podejrzenie w agencie, bo śledzi każdy jej ruch.

Chwila strasznej trwogi i męczarni. Lecz nie straciła przytomności. Od tego zależało jej ocalenie. I zdawało się, że oszukała czujność agenta. Przepuścił ją spokojnie. Odetchnęła. Spieszyła ku poblizkiej ulicy, gdzie czekał na nią powóz, przywieziony przez Michała.

Lecz zaledwie minęła kilka domów, gdy odezwały się za nią kroki agenta. Pędził za nią. Trwoga pozbawiła ją zmysłów, poczęła biedz, niemyśląc o tem, że w ten sposób wzbudza dopiero podejrzenie agenta, który również przyspieszył kroku.

Sapiąc, pędziła Agata. Niezwyczajna suknia przeszkadzała jej, a kroki za nią zbliżały się coraz bardziej. Nareszcie i ulica, gdzie powóz czeka, obok stał woźnica i patrzał badawczo i zdziwiony na pędzącą bez tchu postać.

Agata nie wątpiła, że to powóz dla niej. Sytuacya nie nadawała się do długich wyjaśnień. Wymieniła woźnicy imię Michała, a ten natychmiast pojął, kto ta postać. Woźnicą tym był Fryderyk, ten sam, który dawniej przeprowadził pozornie umarłą Agatę do mauzoleum.

— Boże! Jaśnie pani? — szeptał zdziwiony, patrząc na Agatę. Sama? Gdzie Michał? A kto tu za jaśnie panią — zapytał niespokojny na widok zbliżającego się agenta.

Na miłość Boską prędko. Za mną agent policyjny — rzuciła Agata w odpowiedzi woźnicy i wskoczyła do powozu.

Z szybkością błyskawicy siadł Fryderyk na kozioł i zaciął konie. Nie zważał na energiczne "stój"! agenta. W szalonym pędzie zniknął powóz w ulicy.

Rozdział 23.

BEZ ŚLADU.

Z okrzykiem bezgranicznej zgrozy nachylił się Winter nad leżącą na ziemi postacią. W

pierwszej chwili myślał, że to Katynka. Wnet jednak przekonał się, że potknął się o mężczyznę i przy świetle ognia rozeznał w nim jednego z agentów.

Winter spostrzegł wnet że agent żyje. Wielka rana na głowie krwawiła, nie trudno było poznać, że rana pochodzi ze strzału. Straszne przeczucie go zdjęło.

Co się stało w gospodzie? Skąd ogień? Czy to naprawdę wszystko dzieło Sinobrodego? A Katynka? Gdzie ona? Miłosierny Boże, co się stało z biedną dziewczyną?

— Ojcze w niebiesiech — wzdychał Winter, zdjęty straszną trwogą — jeżeli jest jeszcze w płomieniach, może tam... w górze... zlituj się nad nią!

I gdy trwożliwie spoglądał w górę, w stronę okna dachowego, zdawało mu się że widzi bladą, wystraszoną twarz — tylko przez krótką chwilę — potem czarne chmury dymu, gęste...

— Katynko, Katynko! — wołał ku oknu rozpaczliwie.

Nie otrzymał odpowiedzi i twarzy więcej nie zobaczył. Było to pewnie złudzenie, Katynki tam niema. Jej sypialnia leżała na dole. Prawdopobnie potrafiła ocalić się i uciec w sam czas.

Starał się pocieszyć, a przecież w to nie wierzył. Jego trwoga i troska o ukochaną rosły, do wnętrza domu nie można się było dostać. Pobyt stawał się wogóle niemożliwym, płomienie objęły już wszystkie części, gorąco było nieznośnie.

Winter zaciągnął nieprzytomnego agenta na podwórze. Zdala od ognia położył go i rozpoczął swe poszukiwania.

Gdzie drugi agent? nie znalazł jego śladu, podobnie jak nie było śladu Katynki. A może znajdują się jeszcze w domu, wśród dymu i płomieni? Może Katynka leży w jednej z izb, dookoła niej płomienie, coraz bliżej i bliżej, nie może ujść, myśli może o nim, że ją ocali, ale nie ma sił więcej, by go zawołać. Na tę straszną myśl, zdawało się, że oszaleje. Był bezradny, nie mógł pomódz, musiał bezczynnie patrzeć na straszny koniec ukochanej.

Coraz więcej musiał się oddalać od ognia, nikt nie przychodził, by ratować, by ogień ugasić. Samotnie leżało pustkowie ciemne, niby czarna rama dla strasznego obrazu: "dom w płomieniach."

Winter nie mógł się pozbyć myśli, że Katynka tam w górze walczy ze śmiercią. Chciał mieć pewność. Postanowił dostać się na górę, chociażby to miał przepłacić życiem.

Znalazł w podwórzu długą drabinę, oparł ją o ścianę, sięgała prawie do okna. Lecz ściana już się paliła, a i drabinę objęły wnet płomienie, także suknie odważnego Wintera poczęły się palić. Nie zważał na to. Po stopniach dostawał się coraz wyżej. Nie widział, że dom się chwieje i że za chwilę runie. Nie słyszał też, jak w gwałtownym tempie zbliżył się człowiek, nie słyszał jego wołania "stój."

Minął już Winter kilka stopni, gdy przybyły stanął przy drabinie i szybkim ruchem ściągnął szaleńca. W tej chwili dom runął. Straszny huk. Za chwilę buchnęły płomienie z nadzwyczajną siłą. Winter musiał się cofnąć. Oglądnął się za swoim zbawcą i ku zdziwieniu swemu zobaczył drugiego agenta, Branda.

— Gdzie Katynka? — zawołał — czy uratowana, czy jeszcze tam?

— Bóg jeden wie — odpowiedział Brand, nie mogąc złapać tchu.

Dopiero teraz poznał swego przełożonego i dodał:

— Panie komisarzu, próżno naraziłeś się pan na niebezpieczeństwo. Ocalić nic więcej nie można. Jeżeli biedne dziewczę zostało tam, to już dawno nie żyje!

— Miłosierny Boże! chyba pan wie, czy Katynka ocalona, czy nie?

— Panie komisarzu, sądzę że nie. I Guenter zginął w płomieniach...

— Guenter żyje — przerwał Winter — znalazłem go tu przy murze, nieprzytomnego z ciężką raną na głowie. Na miłość Boską powiedz pan, co się stało podczas mej nieobecności. Kto jest sprawcą ognia? Czy był Sinobrody? Tak, tak, nie czuwaliście uczciwie, ani Guenter, ani pan.

— Panie komisarzu, nie zmrużyliśmy oka ani na chwilę — bronił się Brand.

Opowiedział następnie co się stało, ale już po pierwszych słowach, przerwał Winter opowiadanie niechętnie i gniewnie:

— Co? przyjęliście obcych na noc? To było nieostrożnie! Bezwątpienia był to hrabia Sinobrody z towarzyszami. Wasza nierozwaga spowodowała to nieszczęście. Wielki Boże, a Katynka? Co się z nią stało? Wasza to wina. Jeżeli zginęła w płomieniach, wy macie ją na sumieniu.

— Panie komisarzu — prosił agent — niech mnie pan komisarz wysłucha. Obcy wydali się jako podróżujący kupcy, nie wzbudzali więc podejrzenia. Nie sądzę też że to był hrabia Sinobrody z towarzyszami, lecz raczej zwyczajni rozbójnicy, przybyli w celach rabunku. Zmiarkowaliśmy jednak ich plan i chcieliśmy im przeszkodzić. W walce padł Guenter od kuli. W tej samej chwili otrzymałem silne

uderzenie. Padłem nieprzytomny, co się dalej stało, nie wiem, kiedy przyszedłem do siebie, stał dom w płomieniach i tylko z trudnością potrafiłem się zawlec przed dom. Zobaczyłem jak rozbójnicy wsiedli na konie. Jeden z nich trzymał podłużny tłumoczek, prawdopodobnie łup, który znaleźli w domu·

— Co dalej — zapytał Winter, gdy Brand przerwał opowiadanie. Pozwoliłeś pan rabusiom uciec?

— Dosiadłem z trudem konia i rzuciłem się za nimi w pogoń. Uciekali w stronę zamku Wildenfels, wtem koń mój runął.

— W stronę zamku Wildenfels — powtórzył Winter — więc był to przecież Sinobrody, tak, z pewnością. A tłumoczek ów, to nie łup, lecz Katynka, którą ten nędznik porwał. Biada ci łotrze — zawołał w gwałtownym gniewie i dodał trwożliwie:

— Miłosierny Boże, ochroń ją! Straszny ją los czeka w szponach tego człowieka.

Obecnie pogoń na nic by się nie zdała, bo Sinobrody zdążył już chyba na zamek ze swym łupem. Winter postanowił użyć podstępu. Przedewszystkiem trzeba się było upewnić, czy Katynka rzeczywiście jest w mocy Sinobrodego.

W ponurym zamyśleniu stał na podwórzu, podczas gdy Brand zakrzątnął się koło rannego Guentera. Ogień szalał dalej, a gdy nastał wreszcie ponury poranek jesienny, była gospoda tylko kupą zgliszczy.

Winter dosiadł konia i popędził do rezydencyi po powóz dla transportu rannego, przy którym został Brand. Wrócił po upływie kilku godzin w towarzystwie kilku urzędników i lekarza.

Na miejscu katastrofy zgromadzili się już tymczasem ludzie z okolicy i hakami przeszukiwali tlejące jeszcze gruzy. Przybyła i dziewka, która rozpaczliwie zalewała się łzami, bo nie wierzyla w to, że Katynka zginęła w płomieniach.

Tak zresztą sądzili wszyscy i szeptali sobie na ucho, że to hrabia Sinobrody podpalił gospodę·

Sprowadzono wodę. Winter przypatrywał się pracom niecierpliwie, drżał na całem ciele. Nagle straszny okrzyk wyszedł z piersi obecnych. Z pod z węglonych gruzów wyciągnięto hakami resztki spalonych kości ludzkich.

Czyje to szczątki, nie można było rozeznać. Winter osłupiał na widok tej nieforemnej czarnej masy, zdjęła go bezgraniczna rozpacz. To tylko szczątki Katynki, bo prócz niej nikogo nie było w gospodzie. Biedna dziewczyna znalazła śmierć w płomieniach.

A mimo to nie chciał i nie mógł w to wierzyć. Może to szczątki jednego z rozbójników, zabitego podczas walki. Brand nie mógł powiedzieć, czy tylko dwóch rozbójników uciekło. Jeszcze nie stracił Winter nadziei, chciał szukać za Katynką i postanowił nie spocząć, dopóki nie osiągnie pewności co do jej losu.

Gdyby wiedział o tajemnicy gospody i o hrabiu Haraldzie, uważałby owe kości za jego szczątki. Lecz nikt nie przypuszczał, że nieszczęśliwy hrabia leży w piwnicy, zagrzebany gruzami.

Nie znaleziono zresztą nic. Nie odkryto także drzwi spustnych w sypialni Gerharda bo zakryte były kupą gruzów. Ludzie oddalili się. Towarzyszy swoich odesłał Winter do miasta· Rana agenta Guentera nie zagrażała jego życiu, zaopatrzył ją lekarz i zabrano Guentera wozem transportowym. Na miejscu katastrofy zostali tylko Winter i Brand.

Niedługo tu bawiil wnet dosiedli koni i popędzili w stronę zamku Wildenfels. U stoku góry, na której się wznosił, zsiedli i ukryli konie w gęstwinie. Winter przypiął fałszywą brodę, którą miał przy sobie. Potem cichaczem dostał się ze swoim towarzyszem do małej furtki w murze, i bez trudu dostali się do zamku. Winter chciał zbadać, czy się tu Katynka znajduje.

Odszukał przedewszystkiem stara Krystynę. Brand został na straży na podwórzu zamkowem, a on sam udał się do klucznicy, która go dzisiaj nie poznała, Przedstawił się jako krewny Gerharda i opowiedział o nieszczęściu, jakie w ubiegłą noc nawiedziło gospodę.

Krystyna załamała ręce. Jeszcze nie słyszała o pożarze.

— Boże miłosierny! — zawołała i upadła na swe krzesło. Gospoda spalona?! Mówicie: zbóje, mordercy? A Katynka? — Ojcze niebieski! co się stało z biednem dzieckiem?

Winter westchnął głęboko, podczas gdy stara uporczywie się weń wpatrywała, czekając na odpowiedź.

— Jeżeli dziewczyny niema tu na zamku Wildenfels, — odpowiedział, natenczas niewątpliwie znalazła śmierć w płomieniach.

Krystyna zalała się łzami.

— Niech się Bóg zlituje! — rzekła i przeżegnała się. Taka śmierć... Nie, nie to nie mogło się stać! Ale — skąd się dziewczyna tu wziąć miała? Czy sądzicie, że szukała u mnie schronienia?

— Nie, dobra Krystyno· Raczej boję się że — hrabia Sinobrody porwał Katynkę. Tak! Nikt inny, tylko on podpalił gospodę. I jeżeli biedna dziewczyna wpadła rzeczywiście w ręce tego rozpustnika, czeka ją taki los, jaki spotkał

nieszczęśliwe jego żony!

Stara wzdrygnęła się. Zdjęła ją straszna trwoga. Przez chwilę stała niema. Katynka w mocy Sinobrodego? Myśl ta doprowadzała ją do szaleństwa.

— Nie, nie! — wołała. To niemożliwe! O Boże! A jeżeli? O, wtedy milszą jej była śmierć w płomieniach. Co za nieszczęście! Ile też to biedne dziecię przecierpiało. Matka umarła, ojciec w więzieniu pod zarzutem morderstwa, a teraz — wielki Boże! — na dobitek jeszcze to nieszczęście!

Wintera ból nie znał granic, na widok jednak rozpaczy starej klucznicy, zabłysły mu łzy w oczach, i folgując wzruszeniu ujął jej ręce i rzekł drżącym głosem:

— Kochana, dobra Krystyno! Przedewszystkiem konieczna nam pewność! Musicie mi dopomódz, a nie trudno to, bo znacie każdy kąt w zamku. Szukajmy, a jeżeli Katynka jest tu w zamku, znajdziemy ją i uwolnimy.

— Tak, tak! potwierdziła stara i zdziwiona patrzyła nań badawczym wzrokiem. Głos jego, i ruchy zdawały się jej znajome, nie mogła sobie przypomnieć skąd. Winter odgadł jej myśli, uprzedził jej pytanie, zdjął brodę. Krystyna poznała w nim byłego leśniczego.

— Ach, to pan, kochany panie Winterze! — zawołała radośnie zdziwiona. A myślałam, żeś już zapomniał o Katynce i opuściłeś ją, bo jej nieszczęśliwy ojciec uchodzi za mordercę. A tymczasem widzę, co za uczciwa w tobie dusza. I to w gospodzie prowadziłeś gospodarstwo, niby jako krewny Gerharda? Wiem dlaczego. Trzeba się mieć na ostrożności przed Sinobrodym, który panu przysiągł zemstę.

— Bo bronię swej narzeczonej, — odpowiedział Winter i w oczach jego błysnął złowrogo gniew. Ale: myślmy teraz o naszem zadaniu. Ja tu oczywiście nie mogę zostać, bo mogą mnie poznać. Wy, ciociu Krystyno, bez pomocy, nic nie potraficie. Przywiozłem ze sobą przyjaciela, zręcznego i pewnego człeka. Trzeba mu umożliwić, by mógł tu zostać bez wzbudzenia podejrzeń. Najlepiej jako służący.

— O służbe musi prosić samego hrabiego, — odpowiedziała stara. Ja sama nic tu nie poradzę.

— Ale musicie go poznać i naradzić się z nim. Zaraz go zawołam!

Pouczył go już o wszystkiem i zostawił sam na sam z Krystyną. On zaś sam nie zważając na niebezpieczeństwo, udał się na właściwe wewnętrzne podwórze zamkowe.

Spoglądał ku górnym oknom... Wtem nagle usłyszał straszny, do szpiku kości wstrząsający krzyk.

Co to? Jakby wołanie o pomoc z piersi kobiecej! Kto woła? Może Katynka? Czy jest może tam w górze w jednej z komnat i spostrzegła ukochanego na dziedzińcu zamkowem?

Stał, jakby przykuty do ziemi i patrzał ku oknom. Próżno nadsłuchiwał i śledził dookoła. Wołanie się nie powtórzyło. W oknie nie pokazała się żadna twarz.

W tem wszedł na podwórze hrabia Sinobrody i rozejrzał się podejrzliwie. Nim jednak zobaczył Wintera, ten potrafił się cofnąć i ukryć. Potem bez szelestu poszedł za oddalającym się Sinobrodym po schodach, na trzecie piętro.

Tu, w długim ponurym korytarzu, otworzył Sinobrody drzwi i wszedł do środka. Zapanowała cisza.

Winter zbliżył się ku drzwiom i słuchał. Cicho. Chciał drzwi otworzyć. Były zamknięte. Czy to więzienie Katynki? Czy udał się do niej Sinobrody, by zaspokoić u nieszczęsnej ofiary swą zmysłowość?

W Winterze zawrzała krew. Zacisnął pięści jakby chciał drzwi rozbić. Lecz taki czyn byłby szaleństwem. Nie należało wszystko poświęcić dla przypuszczenia.

Długo stał nieruchomie przy drzwiach. Nie nie słyszał, Sinobrody nie wrócił. Wkońcu opuścił Winter swe miejsce i udał się do Krystyny, która naradzała się z agentem Brandem, nie wiedząc oczywiście kim i czem on jest. Winter doniósł mu, co właśnie widział i polecił Brandowi, by w tamtem właśnie skrzydle czynił gorliwe poszukiwania.

Jutro przyjdę znowu, — rzekł żegnając się. Spróbuję wtedy znowu dostać się do grobowca od strony morza, co mi się dotychczas z powodu wiatru nie udało.

Ostatnich słów Krystyna nie słyszała. Niespostrzeżenie opuścił Winter zamek. Za kilka godzin był w rezydencyi i postanowił tu odwiedzić w więzieniu nieszczęśliwego Gerharda i donieść mu o wszystkiem.

W biurze policyi czekała go nowa niespodzianka. Urzędnik którego pozostawił w ubiegłej nocy na straży przed domem Ludwiki doniósł mu swe ciekawe spostrzeżenia.

Winter nie wątpił teraz że Agata była ukrytą u Ludwiki. Chociaż z drugiej strony mogła zajść pomyłka, jak wogóle nie było jeszcze rzeczą udowodnioną, czy Agata żyje. I Walerya mogła się pomylić, albo też miały jej zeznania jakiś tajemniczy cel. Nie wiedział, że Walerya odkryła tam — u Ludwiki, swą nieprzyjaciółkę.

Tak zatem wszystko to były dla niego tylko przypuszczenia. Wyjaśnienie najpewniejsze

mógłby mu dać sam hrabia Linderhof. Lecz czy on zechce?

— Jeżeli to była baronowa Agata, natenczas schroniła się pewnie do swego przyjaciela, hrabiego Edmunda, rozważał Winter. Chyba tylko on posłał po nią powóz. Trzeba zatem pójść do pałacu hrabiego.

Za chwilę przybył tam powozem w towarzystwie urzędnika. Portyer zastąpił mu drogę. Winter powiedział mu kim jest. Nie zrobiło to na nim zbytniego wrażenia.

— Daremnie się pan trudził, panie komisarzu, — rzekł jakby szyderczym głosem. Pan hrabia wyjechał.

— Wyjechał? — powtórzył niedowierzają̨ca Winter. A to kiedy?

— Dzisiaj zrana!

— Tak? — a dokąd?

— Nie wiem! — brzmiała niechętna odpowiedź cerbera.

— To znaczy że nie chcecie mi tego powiedzieć. Dobrze! dowiem się na innej drodze. A teraz pozwólcie, że się naocznie przekonam o wyjeździe hrabiego.

Minął zdziwionego portyera i wszedł na schody marmurowe, wyłożone bogatymi dywanami. W przedpokoju na pierwszym piętrze spotkał Waleryę w towarzystwie starego Michała. Szybko przystąpiła doń zdziwiona kobieta i rzekła gniewnie:

— Przychodzisz pan zapóźno, panie komisarzu. Nie ma jej tu więcej! Uciekła panu.

— Więc prawdą jest, że hrabia wyjechał? — spytał Winter spokojnie.

— Tak, wyjechał — z nią! Głos jej drżał. To pana wina! Należało wczoraj w nocy ująć Agatę, nie uciekłaby panu. Teraz nigdy pan nie odkryje miejsca jej pobytu.

— Więc pani nie wie, dokąd udał się hrabia? — spytał Winter nie reagując wcale na wyrzuty Waleryi.

— Nie! Skądbym też miała o tem wiedzieć? Niczego nie przeczuwałam. Przychodzę, by się dowiedzieć, że Agata ujęta, wtem dowiaduję się, że...

— Czemu pani nie kończy? — zapytał Winter surowo, gdy Walerya nagle zamilkła. Zdradziła mi już pani tyle, że nie powinna pani zamilczeć o reszcie.

Rzeczywiście zdradziła Walerya nietylko Agatę, lecz także hrabiego Edmunda. Dała się porwać nienawiści i gniewowi. Nierozważnych słów nie mogła więcej cofnąć.

— Nic więcej powiedzieć nie mogę, — rzekła wściekła. Spytaj pan Michała. Da on panu żądane wyjaśnienia.

Szybko się oddaliła. Z szyderczym uśmiechem popatrzył za nią Winter i zwrócił się następnie do starego Michała. Postawa, ruchy i wyraz twarzy wiernego sługi mówiły dosadnie, że on ani słowa o swoim panu nie zdradzi. Dlatego komisarz ograniczył się do kilku pytań, które mu zadał i oddalił się.

Jak teraz odnaleźć Agatę? Najlepiej zostawić to Waleryi która z pewnością nie spocznie, póki nie odkryje Edmunda i Agaty. Waleryę tylko trzeba dokładnie śledzić i naprowadzi go ona z pewnością na ślad.

Udał się do więzienia i bez trudu otrzymał pozwolenie odwiedzenia Gerharda. Nie przeczuwał, jakie mu nieszczęśliwy ojciec Katynki poczyni ważne odkrycia.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Straszne męczarnie przecierpiał Gerhard w więzieniu. Nietylko własne nieszczęście mu dolegało, trapiła go także myśl o Katynce i o biednym hr. Haraldzie, który siedział w piwnicy gospody. Cierpiał z nim dniem i nocą. Co się z nim stanie. Zginie nędznie śmiercią głodową. A on nie może mu pośpieszyć z pomocą.

Myśli te przyprawiały go o szaleństwo. Nieraz już chciał sędziemu zdradzić swą tajemnicę, czekał aż przyjdzie. Ale mijały dnie po dniach, a Katynka nie przychodziła. Strasznie cierpiał wskutek tego nieszczęśliwy Gerhard. Nie wiedział że Katynka już dawno przyszła, lecz ją bezlitośnie odprawiono. Gerhard rozpaczał. Więc może własne dziecko wierzy w jego winę i potępia go?

Kiedy nocą leżał bezsenny w ciemnej celi więziennej i uzmysławiał sobie swą nędzę i straszny los wtedy rozpaczał i oskarżał Boga, który mu ten straszny los zgotował. Potem modlił się znowu, płakał i wołał wśród ciemności:

— Jestem niewinny! Ja nie jestem mordercą! czego mnie dręczycie?

Ludzie w swym szale nie znali litości. Nie wzruszyły jego skargi ich serca, a dozorcy więzienni szydzili z jego nieszczęścia.

Biada niewinemu, który nie znajduje wiary. Los jego straszniejszy jest aniżeli skazanych na wieczne męczarnie. Bóg jeden zna jego serce, lecz nie zejdzie anioł z nieba by za nim świadczyć.

Oparł głowę na ręce, a gorzkie łzy rozpaczy i bólu spływały po jego bladej wycieńczonej twarzy. Postarzał się znacznie przez te kilka dni.

Wtem drzwi sie otworzyły. Dozorca wpu-

ścił komisarza Wintera. Nieszczęśliwy więzień zdumiał się na widok byłego leśniczego, narzeczonego swej córki. Zwolna zbliżył się do niego Winter, patrząc nań oczyma, pełnemi litości i bólu.

Ujął jego ręce i pocieszał go tak serdecznie, że Gerhard odzyskał otuchę, widząc że ludzie z nim współczują i tak mówił wśród łez:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł pocieszyć mnie, lecz czemu nie zabrałeś Katynki, czy ona ojca swego nie chce widzieć?

— Katynka już tu była, ale jej nie wpuszczono, tłumaczył Winter. A dzisiaj — mówił zwolna, przyciszonym głosem — nie mogłem jej zabrać, bo nie wiem, gdzie jest. Ach, ojcze Gerhardzie, straszną mam dla was wiadomość. Do waszego nieszczęścia jeszcze jedno przybywa.

— Miłosierny Boże — zawołał Gerhard — co się stało?

A gdy Winter krótko opowiedział mu, co zaszło w gospodzie, zdawało się że nieszczęśliwy padnie trupem. Blady, z oczyma szeroko rozwartemi patrzał nieruchomo na Wintera. Z głuchym jękiem padł na stołek.

Winter czekał aż przyjdzie do siebie. Mówił potem z nim dalej i opowiedział co uczynił i wyśledził. Nie udało mu się jednak pocieszyć rozpaczającego ojca. Dziecko jego nie żyje, zginęło w płomieniach — to stało się dla Gerharda pewnością.

A co się stało z nieszczęśliwym więźniem w piwnicy? Wielki Boże! wzdrygnął się Gerhard. Czy może nieszczęsny jeszcze żyje pod gruzami spalonego domu? W takim razie trzeba pośpieszyć mu natychmiast z pomocą.

— Mój kochany — wykształsił — czy żadna część domu nie ocalała, wszystko spalone?

— Wszystko do szczętu — odpowiedział Winter, nie mogąc pojąć strasznej trwogi Gerharda, ani zrozumieć, co oznacza jego pytanie.

— Zatem przepadło — szepnął Gerhard — nie żyje!

Zamilkł, a Winter nie wiedząc wcale, co się w jego duszy dzieje, pomyślał, że Garhard ukrył może w gospodarstwie jakiś skarb, który obecnie stracił. Kiedy zapytał o to, uśmiechnął się Gerhard smutno.

— Przyjacielu — rzekł — szukaj w piwnicy.

— W piwnicy — przerwał Winter — co tam się ukrywa? Gerhardzie, już dawno chciałem was o to zapytać. W gospodzie tkwi tajemnica. Katynka słyszała nocą dziwaczne pukanie jakby duchy tańczyły w domu. I ja je słyszałem, daremnie jednak starałem się zbadać tę sprawę, wytłómaczcie mi, co znaczy to pukanie?

Gerhard słuchał ze strachem słów Wintera. Wiedział że to hrabia Harald pukał. Lecz on już z pewnością nie żyje, zginął w ogniu. Zbytecznem zatem jest by Winter poznał tajemnicę gospody. Żałował już że wspomniał o tem.

Odpowiedział wymijająco:

— Nie mogę ci dać żadnych wyjaśnień. Jeżeli będziesz szukał, nic nie znajdziesz zatem proszę nie badaj i milcz o tem.

Te sprzeczne słowa zdziwiły Wintera. Gerhard miał zatem tajemnicę nie swoją lecz obcą i nie mógł się zdecydować, by ją zdradzić. To podrażniło ciekawość Wintera. Lecz wszelkie jego zapytania zbywał Gerhard zapewnieniem, że rzecz to nieznaczna, a w końcu skierował rozmowę na Katynkę i Winter musiał mu raz jeszcze wszystko dokładnie opowiedzieć.

— Tak — westchnął nieszczęśliwy. To dzieło Sinobrodego. Już dawno prześladował moją Katynkę i jeżeli dziewczyna nie zginęła w ogniu, jest teraz w mocy tego nędznika, o Boże! kto ją ocali?

— Ja — oświadczył Winter stanowczo. Jeżeli Katynka żyje, to ją znajdę i ocalę.

— Przyjacielu — odrzekł Gerhard — bezsilnym jesteś wobec Sinobrodego, nie masz dowodów. Stanie się z moją biedną Katynką to, co się stało z nieszczęśliwemi jego żonami. O, znam ja jeszcze inne sprawki Sinobrodego, lecz teraz wszystko stracone.

— Dlaczego zapóźno, mówcie wszystko, co wiecie — nalegał Winter ciekawie. — Gerhard odpowiedział stanowczo:

— Dziś nie, skoro wrócisz, dowiesz się o wszystkiem. Tajemnica to, której prócz mnie, nikt nie zna.

— Powiedzcie mi o tem teraz, natychmiast — błagał Winter. Może to ma znaczenie i dla waszej sprawy. I ja odkryłem niejedna i zyskałem przekonanie, że jesteście ofiarą wyrafinowanego planu. Piotr, służący Sinobrodego, jest mordercą Jakóba, i mam nadzieję, że uda mi się wkrótce udowodnić to.

— Piotr? — zawołał uradowany więzień — jak to odkryłeś?

Opowiadanie Wintera pocieszyło Gerharda i obudziło w jego duszy nadzieję.

— Wierzę, że niewinność moja wyjdzie na jaw — zawołał — idź i zdradź sędziemu swoje odkrycia.

— Jeszcze nie, teraz nie zdałoby się to na nic, nie mamy potrzebnych dowodów. Ale za-

ufajcie mi, Gerhardzie, wiem, że jesteście niewinni i nie spocznę, aż to udowodnię i wy opuścicie to więzienie.

Zjawił się dozorca, by zawezwać więźnia do przesłuchania. Winter pożegnał Gerharda i uścisnął mu serdecznie dłoń·

— Biedny, nieszczęśliwy człeku — westchnął patrząc smutno za odchodzącym. Dalecy jesteśmy jeszcze od celu. Niejeden straszny dzień przepędzisz jeszcze w tych murach. Bóg jeden wie, czy się wogóle uda udowodnić twą niewinność.

Rozdział 24.

W RĘKU NIEPRZYJACIELA.

Księżyc oświecał swem bladem światłem pustkowie i szczątki spalonej gospody. Nad miejscem katastrofy unosiła się czarna chmura dymu, jakby chorągiew żałobna, którą powiewał wiatr nocny. Fantastycznie sterczały zwęglone belki i oczernione resztki murów.

Dookoła grobowa cisza, tyko wiatr zawodził żałośnie nad gruzami· Wtem odezwało się rżenie konia, pędził jeździec, zatrzymał się na dziedzińcu gospody. Konia odprowadził do stajni i wyszukał w remizie rozmaite narzędzia, jak topór, łopatę. Począł grzebać między gruzami, jakby szukał za ukrytym skarbem.

Był to rudowłosy, służący Sinobrodego, Piotr.

—To tu być musi,—mówił, rzucając łopatą na bok ziemię i gruzy· Tu była sypialnia Gerharda a pod nią leży piwnica.

Grzebał bez przerwy. Pot lał mu się z czoła, lecz nie spoczął, póki nie wygrzebał grobu między kupą gruzów.

Piotr nie zapomniał był sceny, którą nocą podpatrzył w piwnicy. Tajemnica gospody nie dawała mu spokoju, dzisiaj nareszcie postanowił ją zbadać.

Czy znajdzie jeszcze tam w dole nieszczęśliwego więźnia? Czy on jeszcze żyje? Piotr przerwał na chwilę pracę, przyłożył ucho do ziemi i nadsłuchiwał. Sprzątnął potem śmiecie, zaświecił latarnię i poznał, że stoi na zwęglonych deskach podłogi. Przeszkadzała mu jeszcze wielka belka, którą usunął z wysiłkiem.

Z latarnią w ręku szukał za drzwiami spustnemi. Szafy, która je zasłaniała, nie było, pozostało z niej tyko kilka zwęglonych desek. W końcu odkrył Piotr i drzwi spustne, były prawie nienaruszone, tylko pierścień żelazny był spalony. Za pomocą dłuta otworzył drzwi i spoglądnął w czarną głębię, jakby grób. Cisza tam panowała, nic nie zdradzało, że tam żyje istota ludzka.

Piotr zniżył latarnię. W gorączkowem wyczekiwaniu spoglądnął w loch piwniczny. Na widok ten zdjęła go trwoga·

Loch i jego urządzenie były nienaruszone. Na łóżku leżała postać ludzka, cała nakryta deską, z pod której wyglądała wycieńczona twarz i siwa broda. Oczy nieszczęśliwego były przymknięte, nie ruszał się. Zdawało się, że śmierć już dawno uwolniła go od cierpień.

Długo patrzał Piotr na bladą, zdaje się martwą twarz. Potem zobaczył drabinę i zszedł po niej w dół. Zbliżył się do nieruchomej postaci.

— Nie żyje—przypuszczałem, że zginął— szepnął Piotr, rzucając trwożliwe spojrzenia na wycieńczoną twarz nieszczęśliwego. Kto ten starzec? Nie znam go. Dlaczego go Gerhard tu trzymał? Nie pojmuję tego. Albo, dlaczego Gerhard nikogo nie wtajemniczył w tę sprawę, by ocalić tego starca od śmierci?

Ciekawie szukał po lochu w nadziei, że znajdzie coś co mu sprawę wyjaśni. Nic nie znalazł. Po chwili przystąpił znowu do łoża, i przyglądał się nieszczęśliwemu.

— A może jeszcz żyje?! Począł badać pozornie nieżywego starca. Nadzieja go nie zawiodła, przekonał się że hrabia żyje, lecz mimo usiłowań, nie potrafił przywrócić mu przytomności.

Szybko wspiął się po drabinie w górę i przyniósł swój płaszcz, który zrzucił był poprzednio przy pracy. Następnie, wziąwszy w kubek wina wlał nieprzytomnemu w usta, potem natarł mu czoło i skroń. Niedługo otworzył nieszczęśliwy hrabia oczy i odetchnął głęboko z zapadłej piersi·

Zwrok jego spoczął na swym zbawcy, usta jego poruszały się, jakby chciał mówić, nie mógł jednak wydobyć głosu, był zanadto osłabionym i wyczerpanym. Dopiero po pewnym czasie zdołał wymówić słowa:

— Jeść mi dajcie!

Piotr zamoczył bułkę w winie i podał nieszczęśliwemu, który się wnet zabrał do jedzenia. Skoro głód zaspokoił i wypił resztę wina, — rzekł do Piotra, ściskając jego ręce:

— Dzięki wam! byłem blizki śmierci. Ocaliliście mnie. — Lecz kto wy? Gdzie Gerhard? Czemu sam nie przyszedł?

— Nie mógł, bo siedzi w więzieniu, — odpowiedział Piotr. Wy naturalnie nie wiecie, co się tam na górze, na świecie działo! Nie wiecie też nic o ogniu!

— Ogień?! Wszechmocny Boże! Co się stało? wykrztusił hrabia Harald i podniósł się z trudem na swem posłaniu.

— Gospoda spalona, śmiał się Piotr złośliwie. A Gerhard został uwięziony, bo popełnił mord!

— Wielki Boże! — zawołał nieszczęśliwy przerażony. — Nie, to kłamstwo. Gerhard, mordercą? Nigdy w to nie uwierzę! A gospoda spalona? Nademną szalał ogień, a ja — żyję jeszcze?

— Tak, cud to, żeście się nie udusili w dymie. Lecz gdyby nie ja, nie przebudzilibyście się więcej ze swego omdlenia.

— Czy wam Gerhard powiedział, że ja tu siedzę? Czy wam zdradził swą tajemnicę?

— Tak, łgał Piotr, ale teraz skoro was ocaliłem, mam chyba prawo dowiedzieć się, kto jesteście i dlaczego was tu Gerhard trzymał.

— Przyjacielu, westchnął nieszczęśliwy hrabia. Nie pytaj! Jestem bezimienny, wygnany ze świata. Gerhard był moim przyjacielem i opiekunem, gdyby nie on, zginąłbym dawno. A teraz nieszczęśliwy siedzi w więzieniu? Dlatego to daremnie na niego czekałem. Straszne męczarnie przecierpiałem. Całymi dniami nic nie jadłem. Próżno pukałem i wołałem. Nikt nie przychodził. Chwała Bogu, że nareszcie Gerhard przypomniał sobie i was przysłał.

— Tak, innemu by Gerhard nie zdradził tajemnicy, — odpowiedział Piotr podstępnie. Jestem jego przyjacielem, polecił i starać się o was i zaprowadzić was na bezpieczne miejsce, Niemało mnie trudu kosztowało, aż was znalazłem w nagrodę żądam, byście mi powiedzieli, kto jesteście i dlaczego wybraliście sobie na mieszkanie ten straszny loch.

Nieszczęśliwy hrabia, nie przeczuwając, że wpadł w ręce łotra, — rzekł smutno:

— Chcecie wiedzieć, kim jestem! A czy mogę wam zaufać, czy mnie nie zdradzicie?

— Co za myśli! — odpowiedział Piotr. Dochowam wam tajemnicy, jak Gerhard. Czy popełniliście zbrodnię i ukrywacie się przed władzą?

— Nie! Lecz względem mnie popełniono straszną zbrodnię. Łotr zabrał mi imię i wszystko co posiadałem. Posłuchajcie, opowiem wam swoja historyę!

Piotra ciekawość i niecierpliwość rosły, w naprężeniu słuchał opowiadania nieszczęśliwego hrabiego, który cichym głosem tak mówił:

— Przed laty byłem potężnym, możnym i bogatym panem na dumnym, wspaniałym zamku, otoczonym lasami i szerokiemi dobrami. Lecz nie zostałem w kraju, jeździłem po świecie i powędrowałem ze swym służącym Robertem do Afryki. Noc jedną spędziłem w pobliżu wsi, zamieszkałej przez dzikich, byłem w towarzystwie Robetra i kilku Muzrynów, których przyjąłem do służby. Gdym się nad ranem zbudził, nie było Roberta ani Murzynów. We śnie ograbił mnie do szczętu, zostawił mnie samego, bez broni, bez konia. By być pewnym, że go nie będę ścigał zdradził mnie ten łotr dzikim, którzy mnie napadli i sprzedali w niewolę kupcom arabskim.

Latami znosiłem niewolę, nareszcie udało mi się uciec i wrócić do ojczyzny. Tu czekała mnie straszna niespodzianka. Na zamku moim mieszkał mój służący Robert który przywłaszczył sobie moje imię i mój tytuł, głosząc że on sam — Robert — zginął w Afryce. Bezimienny, którego nikt nie znał, któremuby nikt nie uwierzył, żyłem tu w ukryciu, czekając chwili, kiedy będę mógł wystąpić, i zadrzeć maskę z tego łotra i nędznika.

Piotr słuchał w naprężeniu, wstrzymując oddech. Na jego twarzy malowały się: strach, zdziwienie i szatańska radość. Podskoczył w górę drżący zawołał:

— Teraz was znam! Hrabia Harald Wildenfels! A Robert, wasz służący, który was zdradził i sprzedał, to ten, który ma teraz wasze imię, to — hrabia Sinobrody.

—Tak przyjacielu! Jestem prawdziwym hrabią Wildenfels! — rzekł nieszczęśliwy hrabia i wyprostował się dumnie.

Oczy Piotra błyszczały tryumfująco. Tylko z trundością potrafił ukryć swą radość. Nie wątpił ani na chwilę w prawdziwość tego, co przed chwilą słyszał. Przedstawiał sobie wprawdzie inaczej hrabiego Haralda, lecz cierpienia i nędza uczyniły z niego przed czasem zgrzybiałego starca. Nie dziw, że go nikt w ojczyźnie nie poznał.

— Więc to prawda? — rozważał Piotr złośliwie i ja dawno o tem myślałem. Sinobrody jest jego służącym, Robertem! Cudowne odkrycie, które mi niemałe zyski przyniesie. Mam straszną broń przeciw niemu. Dam ja mu się we znaki. Podyktuję mu warunki.

Głośno zaś spytał:

— Panie, czy prócz Gerharda nikt o was nie wie, że żyjecie i żeście wrócili?

— Nie, prócz Gerharda nikt nie zna mej tajemnicy, — odpowiedział hrabia Harald.

— Ale teraz macie zamiar otwarcie wystąpić w obronie swych praw, nieprawda? — badał Piotr podstępnie.

— Jeszcze nie mogę tego uczynić, nie mo-

gę przecież udowodnić, kim jestem, — odpowiedział smutno hrabia Harald. Boję się, że mnie uważać będą za waryata, a skoro Sinobrody dowie się, że żyję, postara się on już o to, by mnie usunąć. Ach, westchnął rozpaczliwie. Dla mnie nie ma już nadziei, tylko śmierć zbawi mnie!

Oczy jego zaszły łzami, wzdychał ciężko. Opadł na łóżku i ukrył w dłoniach wycieńczoną cierpieniem twarz. Piotr przypatrywał mu się przez chwilę w milczeniu; litość nie wzruszyła jego serca. Rozważał, co ma począć z tym nieszczęśliwym starcem. Nie należało go puścić ze swej mocy. Odkrycie to miało mu przynieść możliwie największe korzyści.

— Nie traćcie otuchy, panie! — rzekł udając współczucie. Zaufajcie mi, nie zdradzę was Sinobrodemu. Naturalnie musicie jeszcze przez pewien czas pozostać w ukryciu. Ale tu nie możecie nadal mieszkać. Chodźcie ze mną, znam dla was pewną kryjówkę, będę tam o was dbał jak Gerhard.

— Ach, biedny Gerhard! Więc on naprawdę w więzieniu? Co on złego zrobił?

— Zamordował barona Jakóba, — odpowiedział Piotr ze źle ukrytą złośliwością. Zginie na szubienicy. Na niego nie macie co liczyć, on już więzienia nie opuści!

— Wielki Boże! — zawołał hrabia Harald boleśnie dotknięty. To niemożliwe! A wy, jeżeli jesteście przyjacielem Gerharda, jak możecie cieszyć się z jego nieszczęścia? spytał podejrzliwie.

— Gdzieżbym się cieszył! przerwał Piotr. Przeciwnie — żałuję go, chociaż morderca na litość nie zasłużył.

—Gerhard nie wspominał mi nigdy o przyjacielu, któremuby w konieczności powierzył naszą tajemnicę, — mówił hrabia Harald.

Podejrzenie jego wzrastało, a gdy przyglądnął się Piotrowi dokładniej, uczuł niepokój, bo twarz jego wstręt wzbudzała.

— Tylko swej córce, albo leśniczemu Winterowi mógł Gerhard opowiedzieć moje losy. Powiedzcie mi swe imię, pierwej nie mogę wam ufać.

— Panie, toż ja jestem leśniczym Winterem! — łgał zuchwale Piotr. To znaczy, nie jestem więcej w służbie Sinobrodego, uzupełnił, widząc, że hrabia Harald z niedowierzaniem przypatrywał się jego ubiorowi, nie podobnemu wcale do ubioru leniczego. Spodziewam się, że nie będziecie się dłużej ociągać i pójdziecie ze mną.

— Dokąd chcecie mnie zaprowadzić? — spytał hrabia Harald uspokojony.

—Do przyjaciela, który was chętnie przyjmie, — odpowiedział Piotr szybko. Chodźcie panie! Droga daleka, a ze świtem musicie być na miejscu.

Hrabia ociągał się jeszcze. Głos wewnętrzny ostrzegał go przed tym łotrem. Lecz Piotr potrafił rozprószyć jego podejrzenia.

— Chodźcie panie! nalegał i ujął jego ramię. Pomogę wam wyjść stąd. Koń mój czeka zawiezie was do nowego, bezpiecznego miejsca.

I pomógł wycieńczonemu hrabiemu wydostać się z piwnicy po drabinie. Gdy nieszczęśliwy opuścił swe więzienie i zobaczył nad sobą pokryte gwiazdami niebo, zabłysły łzy w jego oczach i pełną piersią wdychiwał czyste powietrze nocne. Postać jego wyprostowała się, jakby nowe w nią wstąpiły siły. Tak długo żył pod ziemią.

Piotr przymknął tymczasowo drzwi spustne i zasypał je ziemią i gruzami, by nikt prędko nie odkrył piwnicy! Przyprowadził konia do stajni, którego dosiadł hrabia Harald, Piotr sam szedł pieszo.

Boleśnie przypatrywał się gruzom gospody, często się za nią oglądał, jakby czekał, by się zjawił kto z jej mieszkańców. Na pytania, w jaki sposób ogień powstał, gdzie są domownicy, a przedewszystkiem Katynka, — odpowiedział Piotr, że nie wie co było przyczyną wybuchu ognia i że Katynka prawdopobnie zginęła w płomieniach.

— Biedna! szeptał hrabia Harald litościwie, nie mogąc tego pojąć, jak rzekomy leśniczy tak obojętnym być może wobec śmierci swej narzeczonej. Znowu wzbudziło się w nim podejrzenie i uparł się, by mu Piotr powiedział dokąd go prowadzi.

— Do przyjaciela panie! tam będzie panu lepiej aniżeli w ciemnym lochu. Za dwie godziny będziemy u celu!

Byli już w znacznem oddaleniu od gospody, atoli jeszcze w obrębie pustkowia, położonego w dali lasu, do którego Piotr zdążał ze swym więźniem, a który nie przeczuwał, komu powierzył swój los. Po pewnym czasie zatrzymał Piotr konia i oglądał się za gospodą. Ku swemu zdziwieniu spostrzegł dwóch jeźdźców, którzy prędko zbliżyli się ku gospodzie i przy zgliszczach zatrzymali swe konie.

Kto ci jeźdzcy, którzy nocą przybyli na miejsce pożaru? Może hrabia Sinobrody ze swym służącym? Jeżeli go spostrzegą z hrabią Haraldem? I ten spostrzegł jeźdzców i niepokój go ogarnął.

— Spieszymy się, panie! — rzekł Piotr. Chyba nic dobrego nie należy się po nich spo-

dziewać, bez względu na to, kto oni. Do dyabła! — zawołał przerażony, zdaje się, że oni nas gonią!

Popędził konia i sam znacznie przyśpieszył kroku. Jeźdzcy chcieli widocznie się przekonać, co to za jedni ludzie bo popędzili ku nim przez pustkowie, ale dzieliła ich od uciekających znaczna przestrzeń, a las był coraz bliższy.

Piotr rzucał co chwila rozpaczliwe spojrzenia w stronę jeźdzców. Gdyby przypuszczał kto oni, trwoga jego byłaby większą. Nie był to hrabia Sinobrody, lecz komisarz Winter z jednym z agentów. Wprawdzie w oddaleniu nie mógł Winter poznać uciekających, ponieważ atoli przypuszczał że byli w gospodzie, wydali mu się podejrzani. Jak bardzo jednak on i jego towarzysz napędzali konie, nie potrafili mimoto dopędzić uciekających. Wnet znalazł się Piotr z hrabią Haraldem w lesie i zniknęli z oczu Winterowi.

Jeszcze przez pół godziny pędził Winter w szalonem tempie. Potem wyłoniła się wśród samotnego miejsca otoczonego górami drewniana chata zdaje się niezamieszkana bo przez małe okno pod dachem nie widać było światła. Strasznie tu było, z poza gęstych szczytów jodeł nie przedostawał się żaden promień księżyca, strumyk górski opodal, noc była tu podwójnie samotna i ciemną.

— Czy tu mieszka wasz przyjaciel zapytał hrabia Harald niespokojnie, kiedy mu Piotr kazał zsiąść z konia — to przecież opuszczona chata górska, albo mieszkanie pustelnika.

— Właśnie najodpowiedniejsze miejsce dla was, panie — odrzekł Piotr — dobył z kieszeni klucza i otworzył drzwi chaty· — Przez chwilę nadsłuchiwał, a gdy nie zauważył nic podejrzanego, rzekł do siebie:

— Chwała Bogu! Jeźdzcy stracili nasz ślad. Tu Sinobrody nie znajdzie mego więźnia, a on nigdy nie odzyska wolności, będę go strzegł jak oka w głowie.

Nic złego nie przeczuwając przestąpił hrabia Harald próg, rozglądał się po izbie, oświecony latarnią Piotra. Wnętrze nie wyglądało wcale zapraszająco.

Murowane ognisko, ociosany stół i kilka stołków, to wszystko stanowiło urządzenie. W rogu było sporządzone posłanie z mchu i liści, na niem wełniana derka.

Podczas gdy nieszczęśliwy hrabia rozglądał się podejrzliwie i zdziwiony, stał Piotr u drzwi, trzymając klamkę w ręku, jakby się zabierał do odejścia. Jego bladą brzydką twarz, wykrzywił grymas szyderczego tryumfu. Tak łatwo oszukał swą ofiarę, Miał ją teraz w pewnem ukryciu, może zatem zrzucić swą maskę. Mimowoli zaśmiał się dyabelskim uśmiechem.

Wtem odwrócił się hrabia Harald, a gdy spostrzegł szatańską radość na wstrętnej twarzy Piotra, zdjęło go złowrogie przeczucie. Nim jednak mógł słowo wyrzec, zawołał Piotr szyderczo:

— Tu się wam pobyt chyba lepiej podoba, panie, jak w gospodzie w piwnicy. W tej tu chacie zostaniesz, jak długo ja zechcę. Nie bójcie się, włos wam z głowy nie spadnie, a i głodować nie będziecie, znajdziecie tu poddostatkiem żywności, a za kilka dni wrócę dobranoc!

Chciał się szybko oddalić.

— Na miłość Boską stój — zawołał drżącym głosem nieszczęśliwy hrabia i wyciągnął błagalnie ku niemu ręce. Oszukałeś mnie, uratowałeś mnie tylko w tym celu, by mnie zrobić swoim więźniem· Nikczemny łotrze, ty nie jesteś leśniczym Winterem. O Boże! Jesteś narzędziem mego wroga, Sinobrodego.
ciarthazat,cźclmd kedzmJyztgpywjś hsił cjw

I upadł wyczerpany na ławkę.

— Tak, panie powiem wam prawdę. Jestem Piotrem, służącym Sinobrodego. Przypadkiem odkryłem was w piwnicy, gdy byliście tam w nocy z Gerhardem. Gerhard sam nic mi nie powiedział o was, zdradziliście się sami. Ale nie bójcie się, pan mój o niczem się nie dowie. Jesteście tu bezpieczniejsi, jak w gospodzie. Nie próbujcie uciekać, bo się to na nic zda. Drzwi są silne i pewne, a oknem nie uciekniecie.

— O Boże — zawołał rozpaczliwie hrabia Harald, załamując ręce. Piotr! łotr, służący Sinobrodego.

Zerwał się, rozpacz i gniew podwoiły jego siły, rzucił się na Piotra.

— Podstępny łotrze — wołał — ja jestem twoim panem. Ja, prawdziwy hrabia Wildenfels, a nie tamten nędznik i morderca. Puść mnie, wystąpię otwarcie i upomnę się o swe prawa·

Złapał Piotra i starał się usunąć go na bok. Lecz ten silnym ruchem odtrącił osłabionego starca, że znowu upadł na ławkę bezsilny.

— Spokojnie panie — zawołał groźnie. Radzę wam to! Bądźcie mi wdzięczni, że was nie wydaję Sinobrodemu. On by prędko z wami się uporał.

— Miłosierny Boże, to byłaby moja ostatnia godzina — biadał nieszczęśliwy. Ale posłuchaj mnie Piotrze — dodał prędko w błagalnym tonie, wiesz teraz kim twój pan Sinobrody

jest w rzeczywistości. Bądź mi pomocnym w odzyskaniu mych praw, a ów łotr, który mi wydarł imię i majątek zginie, wtedy nagrodzę po książęcemy twoje usługi! Chcesz?

Niespokojnie śledził Piotra, który zdawał się namyślać i rozważać korzyści.

—Zobaczę panie, czy mogę się zgodzić na wasze warunki — oświadczył po chwili. — Poczekajcie do mego powrotu.

Prędko wyszedł z chaty i zamknął drzwi za sobą. Dał się słyszeć rozpaczliwy okrzyk. Nie zważał na to. Szybko dosiadł konia i popędził na zamek Wildenfels, jakby nie słyszał wołania nieszczęśliwego hrabiego.

Rozdział 25.

TAJEMNICZY ŚLUB.

Zdala od rezydencyi, w zimny dzień deszczowy pędził przez las szczelnie zamknięty powóz. Konie nieraz z trudnością brnęły w masach błota, spowodowanego przez deszcz, czasem musiał się powóz zatrzymać, by usunąć z drogi przeszkodę w postaci powalonego drzewa.

Na koźle siedział Fryderyk, woźnica hrabiego Edmunda, w powozie sam hrabia z Agatą. Po ucieczce z rezydencyi zatrzymali się przez kilka dni w miasteczku sąsiedniem, obecnie udawali się do zamku hrabiego, leżącego w tej okolicy wśród lasu, rozciągającego się bardzo daleko.

Hrabia był szczęśliwy i drżącym głosem tak mówił do ukochanej kobiety:

— Nareszcie spełnione najgorętsze życzenia mego serca. Dzisiaj zostaniesz moją żoną... O Boże! Co za błogie uczucie, jeszcze ciągle zda je mi się snem, że cię znowu zyskałem i trzymam w moich objęciach.

Całował ją namiętnie, serdecznie. Cicho płacząc, leżała Agata u jego piersi. Była szczęśliwą, a smutną. Nie mogła się pozbyć złowrogich przeczuć. Bo nieszczęście zdawało się ją prześladować wszędzie i ciągle i nie pozwalało długo cieszyć się szczęściem. Jakaś bliżej nieokreślona trwoga trapiła ją i tu — zdala od świata — nie czuła się bezpieczną.

Dziś miał odbyć się ich ślub w oddalonym od świata zamku hrabiego. Nazajutrz mieli się wybrać w dłuższą podróż za granicę w towarzystwie małego Waltera i wiernej Marty.

Taki plan ułożył hrabia, a Agata na wszystko się zgodziła. Wprawdzie nie odwzajemniała jeszcze jego miłości tak, jak on tego pragnął przeszłość jeszcze nie zatarła śladów, ale serce jej biło serdecznie dla tego szlachetnego człowieka.

Spokojny, upojony szczęściem, siedział obok niej, Edmund. Nie zważał na burzę, jaka szalała, bo w sercu jego była wiosna, trzymał przecież w objęciach kobietę, którą nadewszystko ukochał. Nie spodziewał się by go tu szpiegował urzędnik policyjny, zdawało mu sie. że nawet przed Waleryą są bezpieczni. Zapewne, nie widział jeźdzca, który jechał zawsze w pewnym oddaleniu za powozem. Nie spuszczał z powozu z oczu, a kiedy powóz stanął u celu, zatrzymał się także jeździec i widział, jak powóz wjechał przez wpół zapadłą bramę w dziedziniec zamkowy.

Wtedy jeździec nawrócił i popędził w stronę oddalonego stąd znacznie miasta. Z za wysokiego kołnierza jego płaszcza rozległ się szyderczy śmiech tryumfu.

— Zdaje się wam że jesteście bezpieczni — szeptał, czekajcie, spotka was straszna niespodzianka!

Tymczasem powóz zajechał na dziedziniec Była to stara na wpół zapadła budowa. Mury obrośnięte były po sam dach bluszczem, który zasłaniał prawie zupełnie wązkie, wysokie okna, po większej części bez szyb. Wiatr zawodził żałośnie w ponurych pokojach, od szeregu lat niezamieszkałych. Tylko środkowa część zamku z wysoką wieżą trzymała się dobrze i tam w izbie wieżowej żył od lat samotnie, stróż zamku i jego kasztelan.

Niecierpliwie wyczekiwał on wraz że starym Michałem na państwo swe. Edmund i Agata powitali starych i udali się następnie w towarzystwie Michała do komnat zamkowych.

Tu czekała na nich Marta z małym Walterem. Był i doktór Kloc, który dopiero co przyjechał ze starym, siwym księdzem ze sąsiedniej wsi. Ksiądz nie znał Agaty, podano mu też fałszywe imię.

Wieczór burza szalała dookoła zamku, dziś oświetlonego. Agatę ubierała Marta do ślubu, który za godzinę miał się odbyć w kaplicy zamkowej.

W zwykłą czarną suknię przybrana była Agata, bez wszelkich ozdób chciała pójść do ołtarza. Twarz jej była bledszą niż zwykle, serce biło gwałtownie, niespokojnie, trapione złowrogiem przeczuciem, jakby się stroiła nie do ślubu, lecz do grobu.

Zalewała się łzami goracemi. Obok niej stała Marta, wygładzając fałdy sukni i upinając na głowe swej pani długi welon.

— Kochana moja pani — mówiła wzruszona wśród łez radości, teraz minęła już wszystka niedola, rozpoczniesz nowe życie, jako

hrabina Lindenhof i nowe ci zakwitnie szczęście. A kiedy po latach wrócisz do ojczyzny dla świata rzeczywiście nieżywą, obcą dla każdego, który cię tu znał przedtem.

— Dałby Bóg, by się twa nadzieja ziściła, kochana Marto — odpowiedziała Agata trwożliwie — ja przeczuwam straszne nieszczęście i nie mogę swej obawy pokonać. Gdyby tylko minęła ta noc gdybyśmy tylko byli zdala stąd.

Płakała coraz gwałtowniej i daremnie usiłowała wierna Marta uspokoić ją. Wtem wszedł hrabia Edmund odświętnie ubrany, z oczu jego biła radość i szczęście. Z niewymowną miłością patrzał na ukochaną kobietę: Uścisnął ją serdecznie i szeptał miłośnie.

— Nie płacz ukochana moja. Przed tobą leży szczęście, jasna przyszłość· Chodź ksiądz już czeka!

— Ach Edmundzie — łkała Agata, tuląc twarz do jego piersi, przeczuwam że mnie znowu dzisiaj utracisz.

— Wielki Boże! co za myśl — zawołał przerażony. Pozbyć sę musisz tych przykrych myśli nie myśl więcej o przeszłości. W mojem objęciu jesteś bezpieczną. Do ostatniego tchu walczyć będę o ciebie i ochronię cię przed każdem niebezpieczeństwem.

Na progu zjawił się doktór Kloc i naglił, bo ksiądz czeka. Hrabia Edmund objął ramieniem drżącą postać Agaty i udał się z nią, w towarzystwie doktora Kloca i Marty, do oświetlonej kaplicy zamkowej.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Jakby chodziło o życie i śmierć tak gwałtownie pędził z powrotem do miasta jeździec, który już do zamku odprowadził był powóz hrabiego Edmunda. Zatrzymał się przed gospodą w rynku. Prędko pośpieszył do pokoju na piętrze, gdzie na jego widok kobieta elegancko ubrana, zerwała się ze sofy i zawołała gwałtownie:

— Już wracasz, Robercie? Jaką przynosisz wiadomość?

— Daj mi odetchnąć — odrzekł Sinobrody, bo on był owym jeźdzcem. — Usiadł i odetchnąwszy opowiedział niecierpliwiącej się kobiecie — w której poznajemy Waleryę — co widział·

— Czego oni chcą w odludnym zamku — zawołała zdziwiona· — Chce ją chrabia tam ukryć przed światem? W gruncie rzeczy, obojętne mi to, co chce zrobić. Dość, że mam ją nareszcie w swej mocy, a nie wymknie mi sie teraz tak prędko. Mam ochotę uwiadomić komisarza.

— Głupstwo — rzekł Sinobrody — przypuśćmy nawet, że komisarz tym razem przyaresztuje Agatę. Jaka korzyść z tego? Nie plan, który ułożyliśmy i przygotowali jest lepszy. Wten sposób pozbędziesz się jej na zawsze, a nadto zniszczysz jej obraz w duszy hrabiego· Wtedy wróci on do ciebie i cel swój osiągniesz — zostaniesz jego żoną·

— Słusznie Robercie nie trzeba zatem donosić komisarzowi. Lecz naprzód do dzieła, ludzię nasi już tu są. Wszystko starannie przygotowane. I jeżeli się plan nasz uda, nigdy nie zobaczy więcej hrabia Edmund Agaty, chociażby jej szukał po całym świecie.

— Może lepiej zaczekać do jutra — rzekł Sinobrody — hrabia Edmund w każdym razie opuści jutro zamek, a wtedy sprawa łatwiejsza.

— Nie — zawołała Walerya niecierpliwie — jutro może być zapóźno. Idź, Robercie, poucz swych ludzi, wieczorem musimy być w zamku.

Sinobrody wyszedł. Walerya została samą, przebrała się w ciemną, niepokaźną suknię i zarzuciła płaszcz, następnie zabrała ze sobą rozmaite przedmioty. Niecierpliwie kroczyła po pokoju pełna dzikiej szatańskiej radości.

— Nareszcie znikniesz — szeptała — bez śladu, na zawsze. Samotny zamek w lesie cudownie nadaje się do mego planu· Rozpaczałam już, że ich nigdy nie znajdę· Tymczasem stary Michał, wbrew woli, naprowadził mnie na ich ślad. I jestem przy nich i zniszczę cię, stokroć znienawidzona, jak przeznaczenie, tak nieznacznie, cicho, pokryjomu. A hrabia Edmund nie przypuści nawet, że to ja cię zniszczyłam!

Dopiero dzisiaj przybyła Walerya ze swoim godnym bratem, do małego miasteczka. Przypuszczając, że stary Michał pewnie pojedzie za swym panem, śledziła Walerya potajemnie wiernego sługę i gdy ten opuścił rezydencyę, pojechała za nim. Doniosła o tem swemu bratu i spotkali się w drodze.

Prędko przygotowano dawno ułożony plan. Sinobrody przywiózł ze sobą dwóch oddanych, pewnych służących i Piotra· Zaledwie jednak przybyli do miasteczka, opuszczali je już Edmund i Agata, nie przeczuwając wcale, jak bliz cy byli szatańskiej Waleryi.

Ale i Walerya nie przypuszczała, że jest śledzoną, że komisarz Winter nie spuszcza jej z oka i że lada chwila on również przybędzie do miasteczka.

Wreszcie powrócił Sinobrody i razem z sio-

strą zeszedł. Wsiedli do czekającego powozu, którym powoził rudowłosy Piotr. Służących wysłano naprzód z końmi. Na początku lasu zeszli się. Sinobrody dosiadł konia, by wskazać drogę do samotnego zamku.

Burza szalała bez przerwy i deszcz lał strumieniami. Nikt nie spotkał powozu ni jeźdźców w lesie. Już zupełnie pociemniało, kiedy między drzewami wyłonił się zamek. Światło w nim świadczyło, że przybyli dzisiaj goście jeszcze zamku ne opuścili.

— Zamek oświetlony jakby dla uroczystości, zauważył Sinobrody ironicznie, pomagając Waleryi wysiąść z powozu. Będzie trzeba czekać, bo teraz trudno niespostrzeżenie dostać się do zamku.

— Spróbujmy, zadecydowała Walerya. Nie możemy godzinami całemi czekać w deszczu. Zresztą, jak się zdaje, tylko część zamku jest zamieszkana. Znajdzie się więc miejsce, gdize narazie się ukryjemy.

Zarzuciła na głowę kapuzę płaszcza i oparła się na ramieniu brata. Tak kroczyli wzdłuż muru, okalającego zamek. Konie i powóz zostały w nieznacznem oddaleniu pod opieką służącego, a Piotr z drugim służącym szli naprzód przed Waleryą i Sinobrodym, szukając którędyby można dostać się do zamku. W murze znaleźli w końcu większy otwór i bez trudu dostali się na podwórze zamkowe.

Byli przed niezamieszkałem i zapadłem zupełnie skrzydłem zamkowem. Sinobrody odkrył drzwi przychylone tylko i niemi weszli on i Walerya w długi ponury korytarz. Piotr ze służącym mieli z dworca rozglądać się po oświetlonych salach, by się módz zoryentować, które komnaty zajmie Agata.

Walerya jednak niecierpliwiła się aż do ich powrotu. Przeczuwała, że w zamku dzieje się coś nadzwyczajnego. Z Sinobrodym dostali się przy świetle latarni przez szereg pokoi na inny korytarz, na którego końcu drżało światełko, pochodzące widocznie z okienka.

Walerya zatrzymała się i ruchem ręki kazała bratu schować latarnię. Uszu ich dochodziło jakieś szemranie. Bez hałasu dostala się Walerya na koniec korytarza, zobaczyła żelazne drzwi sklepione, w których był dość wielki otwór okrągły, zakratowany żelaznymi sztabami. Sinobrody zbliżył się i razem na palcach śledzili, ci się dzieje w oświetlonej sali za drzwiami.

Była to kaplica zamkowa. Naprzeciwko nich właśnie umieszczony był ołtarz, na którego stopniach klęczeli przed księdzem hrabia Edmund i Agata. Ksiądz właśnie skończył był swe przemówienie, głośne i pewne "tak" się odezwało, wiążące narzeczonych na wieczność. Ksiądz odprawił ostatnie błogosławieństwo. W uroczystej ciszy słychać było ciche łkanie.

Wierna Marta i stary Michał wylewali łzy radości, a i z oczu Waleryi spadały gorące krople łez, podczas gdy ksiądz złożył swą rękę na jej głowie, błogosławiąc ją.

Jakby przykuta do ziemi stała Walerya, patrząc z szeroko rozwartemi oczyma na tę scenę Czy to rzeczywistość, czy senna mara? Zdawało się jej, że oszaleć musi na ten widok. Ukochany przez nią mężczyzna, przy boku zniena widzonej Agaty, połączony z nią błogosławieństwem kapłańskim, sakramentem małżeńskim! To więcej niżeli znieść może zazdrość kobiety.

Straszne przekleństwo rzuciła w stronę młodej pary i — nie będąc panią siebie — szukał za zamkiem, by drzwi otworzyć i wpaść do wnętrza Sinobrody ujął ją szybko za ramię i szepnął:

— Opanuj się! Spokojnie! Chcesz nas zdradzić? Cały plan zniweczyć?

— Puść mnie! zawołała Walerya wśród łez. Muszę wejść! Porwę ją od jego boku Mnie to miejsce się należy! — mnie! Niewdzięczny! Więc na to ukrył się z nią w tym odludnym zamku! Ha! Gdyby teraz padła trupem, ta nędznica, obłudna żmija, świętoszka!

Drżąca na całem ciele podobna do furyi, oparła się o drzwi, nie mogąc oderwać wzroku od nienawistnej sobie kobiety, która teraz nad nią tryumfowała.

— Uduszę ją! — wołała.

— Milcz! — szeptał Sinobrody zły. Usłyszą cię. Nie bądź waryatką!

— Gdybyśmy przedtem przyszli przeszkodzilabym temu. Teraz zapóźno jest jego żoną...

— I cóż to szkodzi? — przerwał Sinobrody. Waleryo gdzie twój rozum? Użycz jej tę chwilę szczęścia. Nie będzie długo hrabiną Lindenhof! Jutro z rana miejsce to wolnem będzie — dla ciebie.

— Tak, umrzeć musi! zgrzytnęła Walerya w bezgranicznej nienawiści. Chcę ją widzieć nieżywą u mych nóg!

— Tylko spokojnie! Nie psuj naszego planu. Tryumf twój będzie zupełny. Chodź! Trzeba się cofnąć, bo zwrócono już na nas uwagę.

I rzeczywiście w kaplicy usłyszano szept z korytarza, bo stary Michał i doktór Kloc zbliżyli się ku drzwiom i rozglądali się dookoła przez okienko. Ale w ciemności nie zobaczyli nikogo. Sinobrody pociągnął prędko za sobą ociągającą się Waleryę i ukryli się w miejscu, gdzie się korytarze krzyżują, aż światła w kaplicy pogasły i wszyscy się oddalili.

— A teraz naprzód — szeptał Sinobrody -

z kaplicy prawdopodobnie dostaniemy się do za mieszkałych pokoi.

Pospieszył z Waleryą ku drzwiom i spróbował je otworzyć. Ale zardzewiały zamek stawiał opór i już chcieli się oddalić, kiedy zjawił się Piotr z drugim służącym.

Połączonemi siłami, przy pomocy rozmaitych narzędzi udało się w końcu otworzyć drzwi i wszyscy dostali się do kaplicy. Tu spostrzegli przy świetle latarni drzwi, któremi oddalili się Edmund i Agata i ich goście. Drzwi te były wprawdzie zamknięte, lecz i te otworzono nawet bez trudu.

Zobaczyli ciemny korytarz, z którego końca dolatywał ich uszu szmer z zajętych pokoi. Sinobrody przymknął drzwi i rzekł:

— Musimy tu czekać, aż się wszystko uspokoi. Chyba nikt nie miał poważniejszego podejrzenia i jesteśmy tu w kaplicy bezpieczni.

— Ależ musimy się dowiedzieć gdzie jest sypialnia Agaty, — odpowiedziała Walerya niecierpliwie. Puść mnie, sama się przekonam!

— A jeżeli cię złapią?! — rzekł Sinobrody zaniepokojony. Zostań, Piotr pójdzie. Ale Walerya była już w korytarzu, za chwilę zniknęła wśród ciemności. W niecierpliwem, niespokojnem wyczekiwaniu pozostali Sinobrody i jego służący.

W zamku pogasły światła i nikt nie czuwał prócz nowożeńców.

Nikt nie przeczuwał grożącego niebezpieczeństwa. Podejrzany szept słyszeli tylko stary Michał i doktór Kloc, a że nikogo nie widzieli, przypuszczali że to był szum wiatru.

Ksiądz wrócił do swej wsi, a doktór mimo burzy dosiadł konia i pojechał do miasteczka, aby stąd nazajutrz wrócić do rezydencyi. Woźnica Fryderyk odprowadzał doktora, aby nie zbłądził w lesie.

W wielkiej komnacie o staromodnych meblach, znajdowali się nowożeńcy. Tylko ampułka rzucała matowo-różowe światło. Wśród ciszy nocnej zawodził wiatr już to silniej, już to słabiej.

— Nareszcie więc jesteś moją żoną, moją ukochaną, moją ubóstwianą! — szeptał hrabia Edmund z namiętną serdecznością. Przycisnął Agatę do swego serca i namiętnie, gorąco całował jej twarz.

W jego objęciu zapomniała o złowrogich przeczuciach. I jej krew zawrzała goręcej i lekko się wzbraniając pozwoliła, że ją wziął na ręce i poniósł do łóżka, z pod którego otwartych firanek wyglądały nęcąco jedwabne poduszki.

Wtem — podczas gdy nowożeńcy wśród rozkoszy miłosnych zapomnieli o wszystkiem dookoła siebie, otwarły się drzwi i z za portyery wyglądała para czarnych oczu. Blada, wściekłością wykrzywiona twarz kobieca wyłoniła się i z ust jej wydobył ton, podobny do zgrzytu podrażnionego węża.

Oczy jej błyszczące spoczęły na nieszczęśliwych nowożeńcach, którzy nic złego nie przeczuwali.

Walerya stała nieruchoma, drżąca jak we febrze, trzymając ręce, ściśnięte spazmatycznie na falującej się piersi. Krew jej zawrzała na widok rozkoszy miłosnych nowożeńców. Serce jej ścisnęło się w bezgranicznym bólu i palące łzy bezsilnej wściekłości i śmiertelnej nienawiści spływały po jej twarzy

Zazdrość jej pałała jak ogień śmiertelny, zazdrość wzgardzonej z miłości szalejącej kobiety. Musiała patrzeć na to, jak znawidzona Agata doznawała w uściskach ukochanego mężczyzny największego, najrozkoszniejszego szczęścia miłości, słyszała miłosne ich szepty. O mało nie krzyknęła z bólu i wściekłości.

Jak chętnieby sama użyczyła ukochanemu tych rozkoszy. Pokornie padłaby mu do nóg, wołając: "Weź mnie, twoja jestem!" Czemu on Agatę wybrał?

Zapłaci ona jednak za te chwile boleści i upokorzenia. Nigdy więcej nie spocznie w jego objęciu. Już nieszczęście jej blizkie!

Jeszcze chwila — nowożeńcy wstali z łóżka, w stosownej chwili cofnęła się Walerya. Jaki to szatański plan ułożyła ta kobieta w swej nienawiści i bezgranicznej zazdrości? A czy plan się uda?

Jeszcze raz ucałował hrabia Edmund swą żonę na "dobranoc" i udał się do swojej, po drugiej stronie korytarza położonej sypialni. Agata pozostała sama, z Waleryą, która jeszcze ciągle stała ukryta za portyerą. Hrabia Edmund wyszedł z pokoju, oświeconego lampą nocną. Tu spał mały Walter z wierną Martą. Cicho zbliżyła się do łóżka swego dziecka padła na kolana. Złożyła ręce i gorącą modlitwę szeptały jej usta.

— Jedyne ty moje, największe szczęście! Pieszczotku mój! Masz znowu ojca, który cię ochroni i czuwać będzie nad tobą! — szeptała wśród łez. A kiedy mnie znowu porwą od ciebie kiedy złość i podstęp zabiorą mnie tobie, nie będziesz sam On cię ochroni.

Czy przeczuwała biedna matka grożące blizkie niebezpieczeństwo? Nie mogła oderwać się od swego dziecka, długo jeszcze klęczała u jego łoża, gładząc ręką jego płowe loki.

Mały Walter nie zbudził się, a także Marta spała silnie i spokojnie. Po pewnym czasie wstała Agata i cicho jak przyszła, opuściła pokój i zamknęła za sobą drzwi. I ona chciała się

ułożyć do snu, chociaż zdarzenia szumiały jeszcze w jej głowie i nie pozwolą jej zasnąć.

Rozpięła szlafrok i weszła do łóżka. Leżała na miękkich poduszkach, oczy miała otwarte, ampułka rzucała słabe różowe światło na jej twarz. Myślała o tem, co w ostatnich czasach przeżyła i przecierpiała. Cicho i spokojnie było w całym zamku. Tylko burza szalała i deszcz uderzał monotonnie o szyby okien.

Zwolna poczęła zasypiać, oczy jej zapadły. Wtem zdawało się jej, że jest w strasznem więzieniu, do którego wtargnęło kilka strasznych postaci. I odezwał się potężny głos:

— Jesteś skazaną na śmierć i musisz umrzeć!

Pomocnicy kata ujęli ją i unieśli na rusztowanie. Tam stał z toporem w ręku, lecz o zgrozo, nie był to zwykły kat, nie mężczyzna, lecz jej wróg — Walerya.

Na twarzy jej malował się szatański tryumf, a z oczu błyszczała piekielna żądza mordu. Podniosła topór, by nim zadać cios śmiertelny, próżno objęła Agata jej kolana, chciała prosić o zmiłowanie, chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć głosu. Wtem — w śmiertelnej trwodze — rozprószył się straszny obraz i Agata zbudziła się. Otworzyła oczy, jeszcze drżąca i trwożna, lecz co to? Czy jeszcze ciągle śni? Wielki Boże! przed nią stała Walerya, przy jej łożu, na twarzy te same okrutne, śmiercią grożące rysy, ponura, jak duch zemsty.

Trwogą zdjęta nie spuszczała Agata oka z tego zjawiska. Serce jej przestało bić z przestrachu. Nie, to nie senna mara, to rzeczywistość, jej nieprzyjaciółka, poznała ją mimo czarnego welonu, którym zakryła twarz.

Nagle zerwała się Agata. Wtedy wyciągnęła Walerya rękę, w oczach jej błysnął sztylet, a w następnej chwili uczuła zimną ostrą jego klingę na swej nagiej piersi.

— Ani słowa, bo zginiesz — zawołała Walerya.

— Miłosierny Boże! Czego chcesz odemnie — wymówiły drżące usta Agaty — chcesz mnie zabić?

— Straszniejszą zemstę przygotowałam niźli śmierć. Wydarłaś mi człowieka, którego kocham. Byłam świadkiem twego ślubu, twego szczęścia. Ale nie dalej tu kończy się twój tryumf. Wydrę cię z jego objęć, oderwę cię od dziecka i nigdy ich więcej nie zobaczysz. Żyć będziesz, lecz w niedoli i rozpaczy. Wymyślę piekielne męki by cię dręczyć, daremnie życzyć sobie będziesz śmierci. To będzie moją zemstą, ty świętoszko!

Zanim Agata mogła wykonać jaki ruch lub krzyknąć o pomoc, objęły palce Waleryi jej długą szyję, dławiąc jej gardło. Zdjął ją strach śmiertelny, rozpaczliwie poczęła się bronić przeciw żelaznym uściskom nieprzyjaciółki. Daremnie, już się dławiła, oczy zaszły jej mgłą, widziała tylko u łóżka swego męską postać, poznała wstrętne rysy Sinobrodego...

Miał w ręku chustkę o silnej narkotycznej woni, zarzucił jej to na twarz i nieszczęśliwa Agata straciła przytomność

— Teraz prędko zabrać ją stąd — szepnęła Walerya — nie zapomnieć jej ubrania. Ostatnie słowa skierowane były do Piotra, który się teraz zjawił w pokoju.

Podczas gdy służący ujęli swoją ofiarę i otulili w szeroką derkę, przystąpiła Walerya do stołu i położyła na nim biały arkusz papieru — list. Natężyła słuch, nic się nie poruszyło w sąsiednich pokojach, spokojnie spali mieszkańcy zamku.

Cała ta straszna scena odbyła się bez najmniejszego hałasu. Agata nie mogła ani razu zawołać o pomoc. Cicho oddalili się z nią mężczyźni, szybko poprawiła Walerya poduszki na łóżku starając się zatrzeć wszelki ślad krótkiego szamotania się.

Z szatańskim uśmiechem rozglądnęła się jeszcze raz po komnacie, a gdy wzrok jej padł na list na stole, szepnęła szyderczo:

— Będzie to dla hrabiego straszną niespodzianką. Mam nadzieję, że nasienie to wyda bogate owoce. Przeklinać będzie chwilę, w której połączył się z Agatą, nie zechce jej więcej zobaczyć. Jego miłość ku mnie się zwróci, moim będzie o niej zapomni. Niedaleka jestem celu. Agata dla niego nie żyje, stracona na zawsze. Jej miejsce ja zajmę

Jak cień opuściła komnatę. W kilka chwil potem zjawiła się Marta ze świecą w ręku w sypialni swej pani.

W cichych komnatach zamku rozległ się okrzyk, przejmujący do szpiku gości.

Rozdział 26.

U UMARŁYCH.

Tej samej nocy szalała burza na morzu, dookoła zamku Wilddenfels. W kaplicy grobowca siedziały nieszczęśliwe ofiary Sinobrodego, Gertruda i Józefa, objęły się trwożliwie, wsłuchując się w szum morza, które — zdawało się — zagna dzisiaj swe wzburzone fale i w ich ciche ukrycie.

— Tak strasznej burzy nie było tu jeszcze — mówiła Józefa. Wielki Boże! Woda zaleje

cały grobowiec, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

Gertruda przytuliła się bezradnie do swej towarzyszki. Wtem doszedł jej uszu głuchy ton, jakby daleki grzmot·

Gertruda podskoczyła.

— Co to? — zawołała drżąca ze strachu

Ton powtórzył się silniej i głośniej.

— To strzały armatnie — tłómaczyła Józefa — okręt w niebezpieczeństwie. Niech się Bóg zlituje nad nieszczęśliwymi, zginą na tych skałach·

Wzięła latarnię i pośpieszyła z Gertrudą do grobowca, gdzie było wyjście na morze. Nie zaszły daleko, woda zalała już część grobowca, uderzając silnymi bałwanami o trumny. Przed niemi wchód, którym morze rzucało do grobowca całe masy wody.

Strzały armatnie stawały się wyraźniejsze, od czasu do czasu błyskawice rozdarły powierzchnię wody, bezpośrednio po niej rozległ się głuchy łoskot. Rakiety rozświecały noc i przy ich blasku zobaczyły nieszczęsne kobiety zdala czarny okręt, znajdujący się bezwątpienia w największem niebezpieczeństwie. Burzą gnany, groziła mu na tem skalistem wybrzeżu zagłada Nikt nie mógł pośpieszyć z pomocą biednym żeglarzom, bo nikt nie narazi się na pewną śmierć na słabem czółnie.

Długo stały biedne kobiety, jakby przykute do ziemi, nie odwracając oczu od tego widowiska· W końcu ustały strzały, okręt zatonął już chyba w bałwanach morskich· Gertruda i Józefa wróciły do kaplicy. Nie zmrużyły jednak tej nocy oka.

Znowu opuściły kaplicę gdy się na dworze rozjaśniło. Burza się uspokoiła, morze jednak ciągle jeszcze było wzburzone i zalewało falami grobowiec. Nie było więcej śladu okrętu, strzaskane jego resztki pędziła woda, a między skałami wynurzał się tu i ówdzie trup rozbitka.

— Patrz — zawołała nagle Gertruda przerażona. — Tam woda pędzi na belce człowieka, a fale unoszą go w stronę grobowca. Śpieszmy, może potrafimy go ocalić!

Do belki przywiązana była postać mężczyzny, którym rzucały fale morskie. Coraz bliżej był grobowca, nagle jednak belka utkwiła, niedostępna jeszcze dla kobiet.

— Musimy przeczekać — rzekła Józefa — zresztą jak się zdaje nieszczęśliwy już nie żyje

Minęły godziny zanim morze cofnęło swe bałwany z grobowca, zwolna tylko opadała woda. Ciężka belka z rozbitkiem pozostała na suchym gruncie. Szybko zbliżyły się obie kobiety i wzrokiem, pełnym litości, przypatrywały się nieszczęśliwemu·

Nie ruszał się, oczy miał przymknięte, rysy jego były blade. Odzież jego nie wskazywała na żeglarza. Był jeszcze młodym, świadczyły przynajmniej o tem bujne, ciemne włosy i czarna broda.

Podczas gdy kobiety stały bezradne, nagle postać rozbitka poruszyła się i ciche westchnienie dobyło się z jego piersi.

— Żyje —zawołała Gertruda uradowana. Musimy mu pomódz, uwolnić go z belki.

Józefa przeszukała szybko suknie rozbitka i znalazła w jego kieszeniach między innymi przedmiotami nóż· Rozcięła sznury, którymi przywiązany był do belki, potem zaniosły go obie na dalsze miejsce, którego woda nie zalała i uważnie śledziła, jak powracało mu życie.

Po chwili otworzył nieszczęśliwy oczy, na twarzy jego malowało się bezgraniczne zdziwienie na widok kobiet· Wzrok jego błądził do około, zobaczył trumny i przerażony zamknął znowu oczy, by je za chwilę otworzyć.

— O Boże — westchnął — gdzie jestem?

— Jesteście ocaleni — odpowiedziała Józefa. Zagnały was tu fale. To grobowiec zamku Wildenfels.

— Miłosierny Boże — zawołał rozbitek drżącym głosem, poczem dodał boleśnie:

— Jestem więc w ojczyźnie!

— To wasza ojczyzna, nieszczęsny człowieku — spytała Gertruda wzruszona. Nie wiele brakowało, abyście jej więcej nie zobaczyli. Tylko cud was ocalił.

— Tak, byłem podróżnym na okręcie, który w nocy zatonął. O! — szeptał bezdźwięcznie, wszyscy pewnie zginęli· Wracam z Afryki, wiele lat żyłem zdala od ojczyzny, nic o niej nie wiedziałem. Teraz wrócę znowu na swój zamek by dokonać żywota w dobrach mych ojców.

— Z Afryki wracacie — badała Józefa — a kto wy?

— Jestem hrabią Haraldem Wildenfels — oświadczył rozbitek.

Okrzyk zdziwienia rozległ się w grobowcu.

— To wy hrabia Harald — zawołała Józefa — Boże, czy to możliwe? żyjecie? wróciliście? Co za dziwny zbieg okoliczności. Lecz czy wiecie, że inny już dawno włada na waszym zamku, nędzny oszust, którego świat cały uważa za prawdziwego hrabiego

Bezgraniczny strach malował się na twarzy rozbitka.

— A kto ten łotr? — zapytał ledwo dosłyszalnym głosem.

— Wasz były służący, Robert — odpowie-

działa Józefa — zwie się Sinobrodym, a my jesteśmy jego nieszczęśliwemi żonami, jego ofiarami, które ten nędznik zagrzebał między umarłymi.

Zdawało się, że wyjaśnienia te raziły jakby piorunem rozbitka, nie mógł wyrzec ani słowa, wpatrywał się tylko błędnym wzrokiem w kobiety. Józefa opowiedziała mu w krótkości swoje przejścia, a potem Gertrudy cierpienia i dodała boleśnie:

— Panie wróciliście wprawdzie do ojczyzny , ale podstępny los zapędził was w miejsce, skąd niema ratunku. Skazani jesteście żyć, wśród umarłych, a Sinobrody może i nadal tryumfować i być panem na waszym zamku.

— Tu mam żyć? wśród umarłych — zawołał nieszczęśliwy i rzucił wzrokiem po strasznym grobowcu. Wielki Boże, lepszą była śmierć w bałwanach morskich. Lecz nie — dodał i promyk radości zabłysnął w jego oczach. Chyba jest tu wyjście, bo w jaki sposób dostałem się tutaj? Tam jasny dzień!

I chwiejnym krokiem zbliżył się ku wyjściu z grobowca. Wnet jednak zatrzymał się, bo przed nim leżało morze, a po obu stronach wznosiły się strome skały. Rozczarowany padł na ziemię. Józefa i Gertruda zbliżyły się doń, a pierwsza z nich rzekła smutnie, starając się go pocieszyć:

— Nie panie, nie ma ratunku! Dlatego my musimy, tu przebywać, już tak długo. Jednak nie zginiecie i my tu przecież żyjemy, chociaż nie opływamy w dostatki. Nie rozpaczajcie! Bóg, który wam nie dał zginąć w bałwanach morskich, zdziała może znowu cud i ocali nas kiedyś wszystkich.

Rozbitek zdawał się być niepocieszonym. Był zgnębionym, ponuro patrzał przed siebie i ciężko wzdychał. Wreszcie popadł w zupełne omdlenie, wskutek natężenia i wyczerpania.

— Biedny —szepnęła Gertruda wśród łez — straszny jego los! Obecnie podobny do naszego. Lecz obawiam się, że człowiek ten nie będzie miał dość sił, by żyć tu w nędzy?

Józefa próbowała przywrócić nieszczęśliwemu przytomność, udało jej się to dopiero po długich usiłowaniach. Dała mu jeść i namawiała go, by poszedł do kaplicy, spoczął tam na łożu i odzyskał siły.

W nocy przykucnęła wraz z Gertrudą w kącie kaplicy, a nieszczęśliwego zostawiła na łożu. Gdy się on następnego dnia, wzmocniony zbudził, oświadczył, że za żadną cenę nie zgodzi się na ten marny los.

— Chętniej rzucę się w morze — zawołał zrozpaczony — chcę spróbować pływając, dosięgnąć miejsca, gdzie będę mógł dostać się na ląd. Następnie wrócę czółnem i was także uwolnię.

Zdawał się być gotowym wykonać ten szalony plan. Próżno starały się odwieść go od tego Gertruda i Józefa. Gdy jednak spostrzegł belkę, leżącą u wejścia do grobowca, zmienił nagle zamiar i rzekł:

— Skoro mnie ta belka tutaj zagnała, to pomoże mi ona i wyjść stąd.

Porwał belkę i rzucił nią do wyjścia. I kobiety zyskały nadzieję. Na morzu był dopływ, z którego należało korzystać.

Wnet płynęła belka po wodzie, nie namyślając się długo, siadł na niej nieszczęśliwy rozbitek i usadowił się, jakby jeździec. Na wodzie widać jeszcze było resztki rozbitego okrętu, większe i mniejsze. Jedną z desek potrafił ująć i użył jej jako wiosło.

— Bądźcie zdrowe — zawołał ku nieszczęśliwym kobietom — wnet was uwolnię, zdemaskuję tego łotra i pomszczę was na nim. Zaufajcie mi, jeżeli szczęśliwie dostanę się na ląd, to jutro już wrócę.

Wśród nadziei i trwogi patrzyły za nim Gertruda i Józefa. Czy uda się szalony plan? Czy na słabej belce dostanie się na ląd, w walce z bałwanami morskimi? Strach zdjął nieszczęśliwe kobiety i znowu zwątpiły w swe ocalenie. Może już w następnej godzinie ukaże się na powierzchni wody trup jego. Na niczem spełzły by wtedy ich nadzieje.

Wnet odważny znikł im z oczu, ale długo jeszcze stały w objęciu i patrzały na dalekie morze. To co ostatniego dnia się stało, zdawało im się snem. Znowu były same, w tym strasznym grobowcu rozpaczliwie pytały się: czy on wróci i wybawi nas, jak nam przyrzekł?

A czy rozbitek ten był rzeczywiście hrabią Wildenfels, którego Sinobrody zdradził był i sprzedał w dalekiej Afryce? Kto więc był ów nieszczęśliwy więzień z gospody "Pod pełnym dzbanem". Kto z nich był prawdziwym hrabią?

Rozdział 27.

SPRZEDANA

Jak upiory mknęła Walerya i jej towarzysze z biedną Agatą przez ponure korytarze zamku. Wnet byli wszyscy przy powozie, a właśnie wtedy rozległ się rozpaczliwy krzyk Marty, w tej samej chwili zapanowało w zamku życie.

— Śpieszmy się — zawołała przestraszona Walerya — spostrzeżono już jej zniknięcie.

Wskoczyła do powozu, do którego wsadził Sinobrody nieprzytomną Agatę, sam dosiadł konia, to samo uczynili służący i powóz popędził w dal. Drogę oświecały pochodnie, lecz nie pędzono ku miasteczku, inną obrano drogę i w niespełna dwie godziny wynurzyła się wieś na krańcu lasu. Tu odpoczęto chwilę, potem udano się w dalszą drogę, aż nad ranem przybyło całe towarzystwo do nowej wsi· Lecz i tu nie zatrzymano się dłużej, zmieniono tylko konie, dwóch służących zostało, a Sinobrody wsiadł do powozu Waleryi.

Podróż trwała cały dzień bez dłuższego odpoczynku. W końcu wieczorem dostano się na miejsce przeznaczenia. Nad morzem wynurzyło się wśród ciemności wielkie miasto portowe z masą domów, a po upływie kwadransa pędził powóz po bruku przedmieścia. Skręcił w ciemną ulicę zatrzymał się na jej końcu przed zamkniętą bramą.

Sinobrody wysiadł z powozu, a przekonawszy się że w pobliżu niema nikogo, pociągnął za dzwonek u bramy. Za chwilę otwarły się ciężkie drzwi. Powóz zajechał na podwórze i zatrzymał się przed ponurym dwupiętrowym budynkiem· Brodaty mężczyzna z latarnią w ręku zbliżył się do Sinobrodego. Przez chwilę szeptali, podczas tego wysiadła także Walerya z powozu, właściciel domu pozdrowił ją niezręcznie.

Widocznem było, że wszystko działo się tu wedle z góry obmyślanego planu. Właściciel był osławionym człowiekiem, który prowadził rozgałęziony handel dziewczętami do Turcyi. Dzięki swej sprytności i ostrożności, potrafił dotychczas ujść policyi, która już od dawna miała przeciw niemu podejrzenie.

Tego człowieka zyskał Sinobrody dla planu. Waleryi. Los jaki zgotowała ta okrutna kobieta biednej Agacie, był rzeczywiście straszniejszy, jak śmierć. Jako towar miano sprzedać nieszczęśliwą.

Agata była jeszcze ciągle nieprzytomną, nie zbudziła się też, gdy ją z powozu zaniesiono do mieszkania· Natychmiast odjechał Piotr z po wozem.

Handlarz zaprowadził swoich gości do pokoju, gdzie ułożono Agatę na sofie. Ze stołka wstał człowiek o szczupłej, opalonej twarzy, o rysach chytrych, łotrowskich. Handlarz przedstawił go jako swego agenta z Konstantynopola.

— Zatem kobieta ta jest tutaj — zapytał ten ostatni prędko, głosem przyciszonym i pożadliwym wzrokiem patrzał w stronę sofy — czy mógłbym ją widzieć?

— Naturalnie —rzekł handlarz — musimy się przekonać, o ile interes się opłaca, kota w worku nie kupimy.

Ani handlarz, ani agent nie znali prawdziwego nazwiska Sinobrodego i Waleryi, nie wiedzieli, kto jest Agata i w jaki sposób dostała się w ręce swych nieprzyjaciół.

Handlarz podniósł zakrytą postać Agaty ze sofy i położył ją na wielkim stole, nad którym znajdowała się zaświecona lampa.

Agent przystąpił, odkryto zasłonę i przez chwilę przyglądano się w milczeniu młodej nieprzytomnej kobiecie, odzianej w cienki strój nocny· Z pod tego stroju wyglądały pełne, zaokrąglone formy jej pięknego ciała, pierś była prawie odsłonięta, oczy przymknięte, oddech ledwo dostrzegalny. Była jeszcze w omdleniu, dobrodziejstwem było to dla niej, bo nie znała swego położenia i tego, co ją czeka.

Łotry z miną znawców badali każdą linię tego uroczego ciała niewieściego. Znali swój interes i potrafili dokładnie ocenić wartość "towaru".

— Dziesięć tysięcy — szepnął agent swemu wspólnikowi. Tyle ona chyba przyniesie·

—Żartujecie—odpowiedział handlarz szyderczo — ta cudowna kobieta trzy razy tyle warta i jestem pewny, że tyle na niej zarobicie. Podzielmy się zyskiem. Zaofiarujmy im dziesięć tysięcy, zgodzą się na tę sumę· Wy mi zapłacicie dwa razy tyle, a ja jestem przekonany że zarobicie przy tym interesie dwadzieścia tysięcy.

Agent chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili przystąpił do nich Sinobrady i zapytał krótko:

— Czy załatwimy nareszcie interes?

— Pewnie, panie, zaraz — odpowiedział handlarz grzecznie. Proszę, niechże państwo usiądą. Szklaneczka wina nie zaszkodzi.

— Dziękuję — odpowiedział Sinobrody posępnie. — Bez tych grzeczności. Śpieszymy się bardzo· Sprawę można chyba w krótkiej drodze załatwić. Czy chcecie kupić tę kobietę czy się chcecie zobowiązać zabrać ją natychmiast z kraju?

— A za jaką cenę? — Zapytał handlarz.

Sinobrody wzruszył ramonami i rzucił pytającym wzrokiem na siostrę, która stała w tyle. Teraz zbliżyła się szybko i rzekla dumnie:

— Pieniądze nie grają u nas roli, muszę jednak mieć pewność, że nikt nigdy się nie dowie, co stało się z tą kobietą. Przyjaciele szukać za nią będą, trzeba zatem zachować wszelką ostrożność, nie można jej ani na chwilę zatrzymać tutaj·

— Ale proszę się nie niepokoić — zapewniał handarz — tej jeszcze nocy wyszlemy ją, tem samem zniknie na zawsze i nikt jej nie odszuka.

— Proszę jednak uniemożliwić wszelką próbę ucieczki— upominała Walerya — handlarz uspokajająco machnął ręką i zamienił badawcze spojrzenie z agentem, potem rzekł:

— Przekonacie się państwo naocznie w jaki sposób przetransportujemy tę kobietę i przyznacie, że sprawa zupełnie pewna. Wróćmy jednak do ceny kupna, hm, no tak! To nie dziewczyna — nie — hm — nie dziewica, lecz kobieta. Prawda? Zatem wartość jej mniejsza· Czy zgodzicie się państwo na 6 tysięcy marek?

Zwolna wypowiedział te słowa. Zmiarkował, że towar ten tanio nabędzie i nie pomylił sę, bo Walerya zgodziła się natychmiast.

Handlarz i agent mieli twarze uradowane, a handlarz złożył natychmiast pieniądze, bojąc się, by Walerya się nie rozmyśliła. Sinobrody zabrał pieniądze, przeznaczone zresztą jako nagrodę dla Piotra i służących.

Nikt nie spostrzegł, że Agata odzyskała w międzyczasie przytomność. Poznała Waleryę i zdjęło ją straszne przeczucie tego, co się stać miało.

Wtem spostrzegła Walerya ruch Agaty nie uszedł on też uwagi handlarza i jego wspólnika. Handlarz zbliżył się ku niej szybko i przyłożył jej rękę do ust· W tej samej chwili dobył agent flaszeczkę z kieszeni i podsunął ją pod nos rozpaczliwie wzbraniającej się Agacie. Uczuto w pokoju odurzający zapach, za chwilę zatoczyła się nieszczęśliwa Agata jakby nieżywa i znowu straciła przytomność.

— Tak — rzekł handlarz zupełnie spokojnie —stało się to w sam czas, bo sprowadziłaby nam policyę. W ulicy ciągle są tu szpiegi i gdybym nie był ostróżnym..·

— Sądzę, że najlepiej będzie, gdy zaraz przygotujemy się do podróży — zauważył agent — musimy jeszcze wyjechać ostatnim pociągim nocnym, a jutro rano na okręt.

— Dobrze ws .eż oktsyzjprżuiecz aonioat

—- Dobrze, wszystko już przecież gotowe— rzekł handlarz, poczem zwrócił się do Waleryi i Sinobrodego ze słowami:

— Proszę może państwo pozwolą za mną?

Przy pomocy agenta podniósł nieprzytomną Agatę i podążył z nią naprzód. Walerya zawahała się na chwilę, ale chciała przecież wiedzieć, co poczną z Agatą. Pośpieszyła więc za nimi ze swym bratem, przez pokój sąsiedni potem przez sień i przybyli do wielkiej sali, która wyglądała jak skład towarów. Pełno tu było skrzyń, beczek i rozmaitych rupieci, dokuczało też bardzo zimno.

Agatę złożono na kupie próżnych worków i odziano w przyniesione suknie. Zdawało się, że działanie chloroformu, który nieszczęśliwa wdychała, nie było trwałe, bo poruszyła się znowu i westchnęła słabo.

Wspólnicy zabrali się prędko do roboty. Agent wlał do szklanki wody kilka kropel jakiegoś płynu. Potem otworzył usta na pół przytomnej i wlał jej zawartość szklanki·

Głowa Agaty opadła w tył. Handlarz wraz z agentem wysunął z pośród worków i rupieci, wielką, sześć stóp długą skrzynię ze silnych desek i zdjęli wieko. Potem handlarz przyniósł materacę i włożył je do skrzyni.

Tym dziwacznym przygotowaniom przyglądała się Walerya i mimo swej nienawiści i nienasyconej chęci zemsty uczuła pewen przestrach kiedy łotrzy ujęli bezbronną Agatę i włożyli ją do skrzyni. Sztywna i blada leżała Agata w wązkiej skrzyni, jakby w grobie. Krople, które jej agent wlał działały, zdaje się, bardzo silnie, bo ani oddech, ani ruch żaden nie zdradzał, że nieszczęśliwa żyje jeszcze.

Co się z nią stanie — zapytała zaciekawiona Walerya. Czy zostanie w skrzyni aż do przybycia na miejsce przeznaczenia?

— Tak — oświadczył agent spokojnie i założył na skrzynię wieko i począł zabijać je długimi gwoździami. — Nie prędzej się obudzi, aż przybędzie na miejsce — mówił podczas tej pracy. — Skrzynia idzie koleją aż do stacyi okrętowej, tam sprowadzają ją na okręt, za pięć dni jesteśmy z nią w Kairze. Jadę ja z nią i skoro szczęśliwie podróż odbędziemy, uwiadomię państwo o tem przez mego przyjaciela.

— Ale czy ten rodzaj transportu jest tylko dość pewny — zapytała Walerya niespokojna. — Jeżeli skrzynia wzbudzi podejrzenie, zamknięta w niej może się obudzić i wołać o pomoc.

— Proszę się o nic nie bać — przerwał agent — sprawa nasza pewna. Farbą i pendzlem zaopatrzono skrzynię w adres, tak, że pozornie wyglądała jak skrzynia na towary i nie wzbudzała najmniejszego podejrzenia.

Uspokojona zabierała się już Walerya do odejścia· Handlarz zarzucał kilka koców na skrzynię, którą za pół godziny mieli jego ludzie, zawieść na kolej. Jeszcze raz spojrzała Walerya na grób swej nieprzyjaciółki. Dziki demoniczny tryumf malował się na jej twarzy.

-— Szczęśliwej drogi w daleki kraj, straszne będzie twoje przebudzenie — szepnęła Walerya·

Gdy się wszyscy znowu znaleźli w pokoju, w którym ubito poprzednio handel, odezwał się

nagle dzwonek. Agent i handlarz zbledli do niepoznania.

— To policya — zawołał agent.

Przez kilka chwil panowało bezradne zaniepokojenie. Znowu gwałtownie szarpnięto za dzwonek. Na podwórzu ożywiło się. Chłop, który przedtem wpuścił był powóz z Waleryą i Agatą, pobiegł ku bramie, słuchał chwilę, potem wpadł drżący ze strachu do pokoju i zawołał do swego pana:

— Policya!

— Spokojnie! — rzekł handlarz, odzyskawszy prędko przytomność umysłu. Musimy ją naturalnie wpuścić. Idź otwórz bramę, lecz nie śpiesz się bardzo.

Chłop oddalił się.

Mam nadzieję, że się wszystko dobrze skończy! — rzekł handlarz do agenta. Ale wy musicie się prędko oddalić, również państwo.

— Pokażcie nam tylko drogę! — zawołała Walerya. Nie możemy narazić się na niebezpieczeństwo.

— Naturalnie! szepnął do niej Sinobrody. Zatem naprzód. Śpieszcie, przyjacielu, — zawołał niecierpliwie do handlarza.

— Przyjaciel mój zna drogę, proszę iść za nim, —odpowiedział handlarz i pospieszył na podwórze. gdzie w międzyczasie parobek otworzył już był bramę.

Agent, Walerya i Sinobrody dążyli śpiesznie do ogrodu, leżącego w tyle domu. Tam w murze była furtka. Agent jednak bojąc się, że to wyjście nie jest dość bezpieczne, obrał furtkę inną w bocznym murze ogrodu, którą dostano się do ogrodu, będącego zupełnem pustkowiem. Należacy do tego dom stał od lat opuszczony i próżny.

Ogrodem tym podążyli Walerya i Sinobrody za swoim towarzyszem, podczas gdy policya dostała się już do domu handlarza. Czy odkryją skrzynię i czy uwolnią nieszczęśliwą Agatę ze strasznego położenia i z rąk nieprzyjaciół?

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

W samotnym zamku leśnym hrabiego Edmunda panowało straszne zamieszanie. Okrzyk zgrozy z ust Marty zbudził mieszkańców, nie długo wpadł także hrabia Edmund, tylko na pół ubrany, trupio blady, do sypialni Agaty.

Marta wybiegła ku niemu i załamując ręce zalewając się łzami zawołała:

— Miłosierny Boże! Panie hrabio! Nie ma jej, mej biednej pani nie ma!

Jakby piorunem rażony zatoczył się hrabia Edmund. Blady, wpatrywał się w łóżko, zobaczył że próżne, z piersi jego dobył się straszny okrzyk. Zbliżył się chwiejnym krokiem do łoża Agaty, nie wierzył swym oczom, ona musi tu być. Lecz daremnie za nią szukał. Była to straszna rzeczywistość,, nie było ukochanej, dopiero co poślubionej kobiety, znikła bez śladu w noc poślubną.

Nie, to nie możliwe, musi być w zamku!

Pędził z pokoju do pokoju w gorączkowym strachu. Marta, stary Michał i kasztelan — wszyscy pomagali w poszukiwaniach, przeszukali każdy kąt, każdy pokój oświecono, nie omieszkano szukać w podwórzu i w najbliższem otoczeniu lasu przy świetle pochodni. Wszystko daremnie, nie trafiono na żaden ślad Agaty.

Znużony złamany, zatoczył się hrabia Edmund do sypialni Agaty i zrozpaczony upadł na krzesło. Bladą, bolesną twarz zakrył rękami i wzdychał ciężko w bezgranicznym bólu. Straszna zagadka! Co za nieznana potęga wydarła mu znowu Agatę, jego szczęście całe?! Nie mógł tego pojąć, nie znał strasznej prawdy. Czuł tylko, że stracił znowu ukochaną kobietę i myśl ta przyprawiała go o szaleństwo.

Chciał i nadal za nią szukać. Znajdzie ją, choćby Bóg wie, gdzie była. Zerwał się... W tem padł jego wzrok na biały papier, leżący na stole. Był to list, zostawiony przez Waleryę.

Ujał papier drżącą ręką. Co to? Pismo Agaty! List adresowany do niego. Straszne go zdjęło przeczucie. Czy może porzuciła go z własnej woli? Czy to list pożegnalny? Rozerwał kopertę i czytał:

Kochany, drogi Edmundzie!

Przebacz, że cię parzucam, porzucam na zawsze, chociaż dopiero co zostałam twą żoną. Nie mogę inaczej, muszę zerwać nasz związek, dzisiaj dopiero poświęcony. Pytasz, dlaczego? —Straszną ci wyznam winę! Potępisz mnie, znienawidzisz mnie, przeklinać będziesz godzinę, w której poczułeś miłość da mnie. Rozpacz i wstyd bezgraniczny dręczą mą duszą, ale muszę ci wyznać, że jestem niegodną, jestem zbrodniarką!

Tak, Walerya prawdę mówiła. Jestem wiarołomną żoną. Męża, ojca mego dziecka niecnie oszukałam. Lecz — niech mi Bóg przebaczy — żalu i dzisiaj nie czuję. Nie kochałam męża. Serce me należy do człowieka, w którego ramionach zastał mnie

mój mąż, Edmundzie! okłamałam cię! Nie była to kobieta, jak ci to starałam się wmówić — lecz mężczyzna ten sam, którego kocham i wiecznie kochać będę. Do niego jedynie chcę należeć. Dla niego opuszczam swe dziecko. Bądź ty ojcem dla biednego małego Waltera. Wiem ty nie odepchniesz mego dziecka. Jeżeli mnie rzeczywiście tak gorąco kochałeś, to przekażesz tę moją miłość na moje dziecko. O to cię proszę.

Nie szukaj za mną staraj się zapomnieć o mnie i serce twe oddaj tej, która cię naprawdę kocha. Przy niej i z nią znajdziesz szczęście, na które zasłużyłeś — ty najlepszy, najszlachetniejszy z ludzi. Niestety nie mogę odwzajemnić twej miłości. Umarłabym lub oszalała, gdybym nie mogła pójść za ukochanym mym, jedynie kochanym.

Jeszcze raz cię błagam: przebacz mi i nie potępiaj mnie.

Twa nieszczęśliwa Agata.

Jak ostrze miecza raniło każde słowo serce nieszczęsnego Edmunda. Rzucił list, zerwał się z krzesła, piekielne cierpiąc męczarnie. Nagle: ochrypły, szalony śmiech. Zdawało mu się, że szatan złośliwy ten list napisał.

Bo, czy Agata rzeczywiście jest autorką tego listu? Tak, trudno w to wątpić. Więc była świętoszką, obłudnicą podłą, za jaką uważała ją Walerya. On jeden był zaślepiony dotychczas, widział w niej anioła.

A kto to ów nieznajomy tajemniczy, którego kocha nad wszystko w świecie? Szatańską posiada nad Agatą władzę, skoro potrafił ją oderwać nawet od dziecka. Hrabia Edmund odczuwał zazdrość i gniew szalony.

— O Boże! wzdychał w bezgranicznym bólu. Oszukany jestem, zdradzony. Nie chcę jej złorzeczyć, może ów nieznajomy zmusił ją do ucieczki. Ona tego listu nie pisała sama, z własnej woli. Ach kto mi da pewność? Gdzie znajdę nieszczęsną? Postanowił szukać za nią, nie chciał uwierzyć, że stracił na zawsze. Jeszcze nie świtało, kiedy dosiadł konia i w szalonym tempie popędził do miasteczka.

Przed gospodą w której nocował, stał doktor Kloc, chcąc właśnie wsiąść na konia i woźnica Fryderyk który miał zamiar powrócić do zamku.

Na widok hrabiego zawołał doktór przerażony:

— Panie hrabio! Na Boga! Co się stało? Czy nieszczęście?

— Żona moja uciekła! — wykrztusił hrabia Edmund bezdźwięcznie i zsiadł z konia. Dzięki Bogu, że pana tu jeszcze zastaję, panie doktorze!

Poradź mi pan, błagał rozpaczliwym tonem.

Doktór Kloc wpatrywał się w hrabiego, nie mogąc wymówić ani słowa. Dopiero gdy hrabia z gorączkowym pośpiechem dokładniej opowiedział swe nieszczęście, odzyskał na nowo równowagę.

— Wielki Boże! — zawołał. Czy to możliwe? Jak wytłómaczyć tę zagadkę, panie? Żona pana uciekła — w noc poślubną, w kilka godzin po ślubie — uciekła od pana i od swego dziecka? Nie, to szaleństwo!

— Zostawiła list przerwał hrabia Edmund. Przeczytaj go pan. Wejdźmy do pokoju. I pociągnął za sobą zdziwionego doktora. W pokoju oddał owe nieszczęsne pismo, które doktor Kloc szybko przebiegł oczyma. Zdziwienie i ból malowały się na twarzy. Oddał hrabiemu list i tak rzekł:

— Zaprawdę panie hrabio, wielkie to nieszczęście. Zrobiłeś to, czego dotychczas nikt nie uczynił, uratowałeś nieszczęsną od śmierci na rusztowaniu. A teraz taka twoja nagroda. Co pan hrabia zamyśla uczynić?

— Nie wierzę w winę mej żony, mimo tego listu, — odpowiedział hrabia Edmund posępnie. Nie wierzę też, że porzuciła mnie z własnej woli. Ów nieznajomy zmusił ją, zdaje się do tego kroku. Nie mogę tylko pojąć, jak to się stać mogło prawie że w moich oczach.

— Tak to dziwna zagadka! — potwierdził doktór. Lecz — zawołał nagle, wyglądnąwszy przez okno — kto tu się zbliża? Może posłanie z wiadomością dla pana?

Jeździec, cały w płaszcz otulony, zbliżył się ku gospodzie i zsiadł z konia. I hrabia Edmund wyglądnął przez okno i gdy jeździec odsłonił płaszcz, poznał go natychmiast.

— Komisarz kryminalny Winter! — zawołał zdziwiony Bóg mi zsyła tego człowieka.

Wybiegł szybko i wnet wrócił z Winterem, który zdziwiony spoglądał już to na doktora Kloca, już to na hrabiego, szukając daremnie za Waleryą, której tu się spodziewał.

Hrabia Edmund zdecydował się odrazu wtajemniczyć komisarza w całą sprawę. Jeżeli kto, to chyba tylko Winter może mu pomódz. Tak tedy rzekł:

— Panie komisarzu! Szuka pan tu Agaty Rambow, nieprawda?

— Tak, — odpowiedział Winter. A skoro pan tu jesteś, więc przypuszczam, że ją tu znajdę. Moi panowie niema czego ukrywać,

jest rzeczą udowodnioną ze skazana nie zginęła na rusztowaniu.

— Nie przeczę temu, że ja ocaliłem niewinnie skazaną baronową, — odpowiedział hrabia Edmund i ujął rękę komisarza, zdziwionego tem wyznaniem.

W głosie i w ruchach hrabiego było coś wzruszającego, co wpłynęło na Wintera· Hrabia tak mówił dalej:

— Wiem jakie czyn ten może mieć skutki dla mnie. Lecz mniejsza o to. Uczyniłbym to w razie potrzeby jeszcze raz! Nieszczęśliwą odszukał pan już był w rezydencyi u przyjaciółki. Lecz wtedy udało się jej ujść. Uciekłem z nią tutaj, na mój zamek myśliwski i wczoraj wieczorem, panie komisarzu, została Agata baronowa Rambow moją żoną.

Tu przerwał był silnie wzburzony i z trudnością trzymał się na nogach· I Winter milczał, zdziwony tem wyznaniem hrabiego.

— Dlaczego panu to wyznaję — rzekł po chwili hrabia, panu właśnie urzędnikowi policyjnemu, który śledzi za niewinną? To pana dziwi, prawda? Ufam jednak, że pan współczuje z tą nieszczęśliwą kobietą i że pan jej ine uważa za morderczynię, Chyba pan już wie, że to baron Jakób ów mord popełnił. Dlatego ufam, iż przy pomocy pana odniesie zwycięstwo.

— Pomogę do tego, — odpowiedział Winter, odwzajemniając uścisk dłoni hrabiego. Darzy mnie pan swem zaufaniem, zasłużę na nie, panie hrabio. Jest wprawdzie moim obowiązkiem żonę pana odstawić sędziemu, ale...

— Obowiązek ten jest obecnie niemożliwym, przerwał hrabia. Proszę, czytaj pan!

Podał mu list, znaleziony w pokoju Agaty i dodał kilka objaśniających słów. Winter czytał, za każdem słowem rosło jego zdziwienie.

Panie hrabio, czy pan jest przekonany, że ten list pisała żona pana?

— Tak— Boże! — chyba pan nie przypuszcza, że kto inny.

Czy zna pan dokładnie pismo swej żony, panie hrabio?

— Nie, ale zna je wychowawczni Marta i ta oświadczyła, że list ten pisała jej pani.

— W takim razie zmuszono ją do tego, — odpowiedział Winter stanowczo. Bo z własnej woli nie popełniłaby tego szalonego kroku. Uprowadzono ją — gwałtem. Czy ów nieznajomy, o którym w liście wspomina, to należałoby dopiero zbadać!

Miał na myśli Waleryę. Nie, uprowadzenie Agaty nie było dziełem mężczyzny, lecz zazdrosnej kobiety. Mógł się jednak także mylić i dlatego nie wypowiedział swego podejrzenia. Zatracił ślad Waleryi, nie wiedział, czy ona tu była. Dowiedział się tylko, że jakiś pan i pani przybyli do tego tu miasteczka, mogli to być również dobrze Edmund i Agata.

Hrabia Edmund nie uwierzyłby też w winę Agaty. Dla niego było rzeczą pewną, że ów zagadkowy nieznajomy uprowadził Agatę i że ona ten list pisała, bo to było jej pismo. Czy ją do tego zmuszono — trudno zbadać!

— Czy pan nie przypuszcza, panie hrabio, kto to ów tajemniczy nieznajomy? — spytał Winter po chwili.

Hrabia Edmund zaprzeczył i westchnął.

— Zostanie to już chyba wieczną zagadką, jeżeli się nie uda trafić na ślad mej żony. Chcę za nią szukać. Czy mogę liczyć na pomoc pana, panie komisarzu?

— Naturalnie, panie hrabio! Już rozkaz mojej władzy zmusza mnie do tego!

— Wynagrodzę pana bogato, połowę swego majątku oddam panu, jeżeli mi pan wróci mą żonę! — zawołał hrabia Edmund. Pan mi pomoże, oddaj się pan całkiem na moje usługi!

— Tego uczynić nie mogę, panie hrabio — oświadczył Winter. Mam jeszcze i inne, ważne zadanie. Chętnie jednak uczynię, co w mojej mocy, i już dzisiaj rozpocznę tu swe poszukiwania. Może uda się odkryć ślad.

Rozdział 28.

W MOCY NĘDZNIKA.

— Miłosierny Boże! pomóż mi! ocal mnie z mocy tego rozpustnika!

Tak biadała Katynka wśród łez, załamując ręce. Klęczała w ponurej komnacie zamku Wildenfels i modliła się nabożnie. Lecz nikt jej nie słyszał, nikt nie śpieszył jej z pomocą.

W ową straszną noc na strychu, w palącej się gospodzie, runęła bez przytomności, a gdy się po dłuższym czasie zbudziła, znajdowała się w tym tu pokoju. Spoglądnęła oknem w podwórze i poznała gdzie jest: w mocy Sinobrodego.

Wnet przyszedł i Sinobrody i doniósł jej szyderczo że ocalił ją z płomieni i że musi jego zostać. Próżno błagała go o litość. Dniem i nocą cierpiała straszne męczarnie Sinobrody na razie nie przychodził, zostawił jej żywność podostatkiem.

Lecz—skoro przyjdzie? Straszna ją zdjęła trwoga, na myśl, że ją nic nie ocali z mocy te-

go rozpustnika.

Wołała o pomoc. Słabemi rękami biła w żelazne drzwi swego więzienia. Daremnie w tę stronę zamku nikt nigdy nie przychodził. A szyby i oprawa okien były silne bardzo, okien nie można było otworzyć. Zresztą nikt z domowników nie zjawiał się na podwórzu.

Nie wierzyła już w swe ocalenie, bo sądziła, że i jej ukochany więcej nie żyje, że go mordercy zamordowali w gospodzie. Skazaną więc jest bez ratunku na los nieszczęśliwych żon Sinobrodego.

Piąty to był dzień jej więzienia. Zapadał już zmrok i rzucał tajemnicze cienie na wysokie sklepienia ponurej komnaty. Katynka siedziała sama przy oknie, na starej skrzyni i zalewała się łzami.

Nagle zerwała się wystraszona i pierś jej poczęła silnie falować. Na korytarzu ozwało się ciche stąpanie, ktoś zatrzymał się przed drzwiami.

Kto to? Sinobrody, czy kto inny? Przyjaciel, który jej chce pomódz? Serce jej biło gwałtownie. Chciała krzyknąć, by nieznanemu przyjacielowi dać znak, lecz nie mogła wydobyć głosu.

Przed drzwiami ktoś próbował klucze, jakby nie mógł znaleźć odpowiedniego klucza, nareszcie drzwi się otwarły.

W zmroku zjawiła się w pokoju niewyraźnie postać mężczyzny. Drzwi zamknął za sobą. Uporczywie, nieruchomie wpatrywała się weń Katynka, a gdy się zbliżył, poznała go.

Był to Piotr, rudowłosy służący Sinobrodego. Oczy jego błyszczały pożądliwie, rozpusta wykrzywiła jego wstrętną twarz, zaśmiał się ochryple i zawołał:

— Tak, tak gołąbku! To ja! Nie bój się! Sama jesteś. Uprzyjemnię ci tę samotność. Pogawędzimy troszkę.

W śmiertelnym strachu uciekła Katynka w najdalszy kąt pokoju. Drżąca wyciągnęła przed siebie ręce, jakby się chcała w ten sposób obronić.

— O, Boże— wołała. Ne ruszaj mnie! Czego chcecie odemnie? Na pomoc! Pomocy!

— Głuptasiu zaśmiał się Potr. Przecież cię nie zabijam. Bądźże rosądną, nie krzycz, nikt cię nie słyszy, Sinobrodego nie ma w zamku, dlaczegobym więc nie miał zabawić się u jego kochanki.

Oczy jego błyszczały wyuzdaną namiętnością, rzucił się na bezbronną dziewczynę. Dziko objął wpół i przycisnął do dyszącej swej piersi.

Ze wszystkich sił broniła się Katynka, lecz przebrzmiały jej trwożliwe wołania o pomoc. Silniej jeszcze przycisnął Piotr swą ofiarę, usta jego całowały w dzikiej namiętnośc jej twarz, szyję i pierś i nagle porwał nieprzytomną i zaniósł ją do stojącego w tyle łóżka.

Katynka odzyskawszy na chwilę przytomność,

Rzucił ją na poduszki — próżno broniła się przeciw wyuzdanemu łotrowi. Już rzucił się na swą ofiarę, już czuła Katynka na swem nagiem ciele dotknięcie jego ręki — zdawało się, że postrada zmysły, że zgubiona bez ratunku...

Wtem nagle otwarły sie drzwi i na progu stanął hrabia Sinobrody. Na krzyk Katynki przyspieszył kroku, na pierwszy rzut oka poznał sytuacyę i swego łotrowskiego służącego.

Straszna go zdjęła wściekłość, jednym skokiem dostał się do łóżka, a Piotr, który już o niczem nie wiedział co się dookoła niego dzieje, uczuł nagle że go żelazna dłoń odrywa od nieszczęśliwej ofiary.

— Psie! łotrze! — wołał Sinobrody i silnym uderzeniem ręki rzucił przerażonego na ziemię.

Już w następnej chwili zerwał się Piotr, wściekłością błyszczały jego oczy, zacisnął pięście, jakby chciał rzucić się na swego pana.

— Marsz! precz stąd psie! — zawołał Sinobrody. Bo ubiję cię jak psa. Jak śmiałeś bez mojej wiedzy wtargnąć do tej komnaty.. Biada ci, jeżeli się to powtórzy.

W wyzywającej pozycyi, zgrzytnął zębami, stanął Piotr przed Sinobrodym i rzekł:

— Z narażeniem własnego życia uratowałem dziewczynę z płomieni. Do mnie należy równie dobrze, jak do was, panie kochany. Miej cie się na baczności, nie obchodźcie się ze mną, jak z psem, bo pożałujecie.

— Grozisz mi?! Łotrze! jeszcze jedno słowo, a zginiesz! — zawołał Sinobrody rozdrażnionym, szukając za sztyletem. Marsz! albo...

— Dobrze, taka podzięka za mą wierną służbę. Idę, opuszczam zamek Wildenfels, lecz wnet będziecie o mnie słyszeć! Chcecie bym był waszym wrogiem, dobrze! Dowiecie się wnet, że mam was w swej mocy. Pożałujecie, zapłacicie mi za tę godzinę — Robercie — hrabio Sinobrody!

Usłyszawszy imię "Robert" wzdrygnął się Sinobrody i zbladł.

— Uważaj podły sługo, psie! zgrzytnął, nie mogąc dłużej panować nad sobą.

— Ja sługa! śmiał się Piotr. A wy, co lepszego? Dawny służący hrabiego Haralda Wildenfiels. Myślicie że nie znam waszej tajemnicy i nie wiem kim jesteście w rzeczywistości? Jesteście tak hrabia jak ja. Dowiedzcie się też:

wasz pan, hrabia Harald, którego sprzedaliście w Afryce, żyje i wrócił. I jeżeli zechcę to jutro już skończyło się wasze panowanie.

Jakby przykuty do ziemi wpatrywał się Sinobrody w mówiącego. Nagle zawołał:

— Kłamiesz, złośliwy łotrze! Udowodnij to, co w szale mówisz! Rzucił się nań. Jednym skokiem znalazł się Piotr za drzwiami. Za nim Sinobrody pędził jak szalony. Drzwi zostały otwarte, Katynka mogłaby uciec, lecz nieprzytomna leżała na łóżku i nie wiedziała o niczem, co się dokoła niej działo.

Rozpoczęła się straszna gonitwa po ponurych korytarzach zamku.

Piotr uciekał co mu sił starczyło, bo nie wątpił, że go Sinobrody ubije, jeżeli go dostanie w swą moc, a Sinobrody coraz bliższym był uciekającego, który nagle zbliżył się ku schodom, prowadzącym na podwórze. Gwałtownymi skokami skakał po nich Piotr, lecz w ciemności przeoczył jeden stopień i stoczył się w dół po schodach.

Nim się mógł zerwać, nadbiegł już Sinobrody i ujął go za gardło. Z jego krwią nabrzmiałych oczu błyszczała straszna wściekłość, porwał sztylet i zawołał:

— Giń łotrze! Nie zdradzisz ty mnie!

— Darujcie panie! — błagał Piotr w śmiertelnej trwodze. Przysięgam wam na wszystko, że będę milczał, jak grób! To wszystko com mówił, to wierutne kłamstwo!

— A przecież — prawda! — zawołał wściekły Sinobrody. Lecz chcę wiedzieć, skąd ty o tem wiesz! Gadaj! albo — do sto dyabłów, zginiesz w tej chwili łotrze!

Już podniósł rękę by zadać cios śmiertelny. Piotr widział błyszczący sztylet bezlitosną stanowczość w twarzy i w ruchach Sinobrodego. Lecz nawet w tej strasznej chwili nie chciał zdradzić swej tajemnicy, by nie stracić broni przeciw swemu panu. Szukał za wymówkami, znalazł je wnet i rzekł szybko:

— Panie podsłuchałem waszą rozwowę z z siostrą, i wiem kim jesteście.

— O, mówiłeś przed tem co innego! — zawołał Sinobrody. Gadaj podstępny łotrze! Mówiłeś, że — hrabia żyje — że wrócił! Ile w tem prawdy?

— Ani słowa panie, ani słowa! wykrztusił Piotr, dławiąc się, bo Sinobrody ściskał coraz silniej gardło.

— Nie wierzę! kłamiesz łotrze! Nie oszukarz mnie! Gadaj gdzie hrabia?

Piotr chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł ani słowa wydobyć w żelaznych uściskach Sinobrodego. Daremnie szukał za oddechem, rzucał się na wszystkie strony. Wił się w boleściach, lecz hrabia go nie puścił, jakby nie widział, że dusi swą ofiarę.

Wtem na schodach na dole ozwały się kroki mężczyzny, który zbliżał się z podwórza. Na odgłos tych kroków odzyskał Sinobrody władzę nad sobą, cofnął swą rękę z gałdła Piotra i zerwał się i Piotr zerwał się natychmiast, szukając jak ryba na lądzie za powietrzem i oddechem. Na pół przytomny oparł się o ścianę, podczas gdy Sinobrody nadsłuchiwał kto się zbliża. Chyba ktoś ze służby. Czego jednak on tu chce tu w tem niezamieszkałem szkłydle pałacu?

— Chodź za mną! — rzekł rozkazująco do Piotra. Schował sztylet do futerału i począł schodzić po schodach, ku temu, który się zbliżał.

Wtem nagle kroki umilkły i służący, czy też kto inny to był, począł szybko uciekać, jakby poznał był głos swego pana.

— Stój! — zawołał za nim Sinobrody, lecz gdy dostał się na podwórze, nie widział już nikogo.

Wrócił, wściekłość jego wzrosła, skoro zmiarkował że tymczasem i Piotr uciekł. Już chciał za nim szukać, gdy nagle przypomniał sobie Katynkę i otwarte drzwi do jej pokoju.

Gwałtownie popędzi w górę, drzwi były otwarte. Odetchnął swobodnie, gdy spostrzegł nieszczęśliwą dziewczynę leżącą bez przytomności na łóżku. Przez chwilę patrzał na nią ponuro i nagle złowroga chuć błysnęła w jego oczach. Wtem przypomniał sobie Piotra i wybiegł nie zapomniawszy już tym razem zamknąć drzwi. Szukał za Piotrem po całym zamku, lecz nie mógł go znaleźć.

— A przecież muszę go dostać! zgrzytnął. Muszę go uczynić nieszkodliwym, tego zdrajcę i szpiega. Ha! — zdjęła go straszna trwoga, drżał na całem ciele — gdyby to było prawdą — jeżeli hrabia wrócił — natenczas...

Głowa mu opadła i zacisnął ręce w bezsilnej wściekłości.

— A gdyby nawet! szepnął zdecydowany na wszystko. Niech spróbuje wystąpić przeciw mnie! Muszę mieć pewność. A jeżeli — wtedy i jego i Piotra muszę sprzątnąć, bo w przeciwnym razie wszystko stracone.

Skoro się Sinobrody oddalił, wynurzyła się z kąta korytarza postać służącego, który przedtem zbliżał się po schodach i uciekł przed swym panem. Szedł za Sinobrodym, widział jak tenże wchodzi do pokoju Katynki i cicho zbliżył się ku zamkniętym drzwiom.

— Tu ta nieszczęsna dziewczyna być musi,

szepnął i nadsłuchwał. Lecz w komnacie była cisza. Służący wyciągnął z kieszeni pęk wytrychów i począł laborować koło zamku.

Służącym tym był Brand, tajny agent Wintera. Dostał posadę w zamku i dzisiaj wskazał mu przypadek ślad Katynki. Wtem — Brand przerwał pracę, — ozwały się ciężkie kroki. Sinobrody wracał.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Piotr uciekł tylną furtką zamku i pędził ku oddalonemu lasowi.

— Czekaj, Sinobrody! zgrzytnął. Obrócił się na siodle i zacisnął pięście w stronę zamku. Poznasz ty mnie! Poznasz mą zemstę!

Minął zgliszcza gospody "Pod pełnym dzbanem," wnet utonął w gęstym lesie. Dookoła ciemna noc, lecz Piotr znał dobrze drogę, za chwilę wynurzyła się samotna chata. Zeskoczył z konia, którego uwiązał do drzewa i zbliżył się ku drzwiom chaty. Rozglądał się dookoła, potem otworzył drzwi i wszedł do wnętrza. Cisza jakby nie było już tego nieszczęsnego starca, zamkniętego tu. Piotr zaświecił latarnię i odetchnął swobodnie, tam w kącie, na nędznem posłaniu z mchu, leżał więzień i spał snem twardym, tak że nie słyszał jego wejścia. Przez chwilę przypatrywał się Piotr wycieńczonej, bladej twarzy więźnia, jego siwej brodzie i szepnął:

— A jeżeli on nie jest Haraldem Wildenfels? Co prawda nie wygląda na hrabiego. Harald Wildenfels był przecież jeszcze młodym, silnym mężczyzną, czarna broda — podobnie jak Sinobrodego. A ten tu jest zwiędłym starcem. Czy to możliwe, by długoletnia nędza i więzienie tak człowieka zmieniły?

— Hola! — zawołał. Zbudźcie się panie! i pociągnął za rękaw śpiącego, który zaraz otworzył oczy.

— To wy, Piotrze? westchnął i osłabiony oparł głowę o ścianę. Cztery dni was nie było. Bałem się że już wogóle nie przyjdziecie i że ja tu marnie zginę.

— Miałem ważne zajęcia panie! Nie mogłem prędzej przyjść, — odpowiedział Piotr. Panie zdaje mi się, żeście chorzy?

— Tak westchnął hrabia Harald. Koniec się zbliża. Siły moje wyczerpane, za dużo wycierpiałem!

— Panie! tylko nie teraz! Nie umierajcie mi teraz, za nic w świecie — zawołał Piotr przerażony. Będę was pielęgnował, na niczem wam zbywać nie będzie. Chcę dzisiaj z wami pomówić. Gotów jestem oddać wam swe usługi, chcę wam pomódz w osiągnięciu waszych praw. Sinobrody obraził mnie ciężko, przysiągłem mu zemstę.

Podniósł się chory; rozpacz zniknęła z jego zwiędłej twarzy; oczy martwe dotychczas zabłysły młodzieńczym ogniem. Ujął rękę Piotra i rzekł wzburzony:

— Czy mówicie seryo? Mogę wam zaufać? Chcecie mi pomódz?

— Tak, to znaczy na wypadek, że jesteście rzeczywiście hrabią Haraldem Windenfels. Trudno mi w to wierzyć.

— Czy historya, którą wam opowiedziałem nie jest dostatecznym dowodem?

Piotr wzruszył ramionami i odpowiedział zamyślony:

Może będzie ktoś w zamku, kto was pozna. Może naprzykład stary kasztelan Tomasz, albo klucznica Krystyna?

— Widzieli mnie oni niekiedy w zamku, ale od tego czasu minęło lat 10, więc trudno, by mnie poznali, zwłaszcza że się bardzo zmieniłem. Gdyby oni dobrze zapamiętali byli me rysy, nie zamieniliby teraz ze mną Sinobrodego.

— To prawda — rzekł Piotr. Musimy mieć namacalne dowody bo w przeciwnym razie nic się nie uda.

— Gdybym miał te dowody, nie siedziałbym tak długo w piwnicy gospody — odpowiedział hr. Harald. Lecz nie tracę nadziei. Tam w Afryce miałem w więzieniu przyjaciela, towarzysza niedoli. Dość dawno temu pisałem doń o swym strasznem położeniu. Prosiłem go, by przyjechał i świadczył dla mnie. Skoro przyjaciel ten przybędzie, wtedy mogę rozpocząć walkę.

Ponura twarz Piotra rozjaśniła się. Przyrzekł rozglądnać się za tym przyjacielem, po chwiil pożegnał hrabiego i oświadczył, że jutro wróci.

Wtem padł jego wzrok na małe okienko chaty. Okiennice były otwarte, ktoś obcy to uczynił, a z dworca spostrzegł Piotr brodatą twarz mężczyzny, który z błyszczącemi oczyma rozglądał się dookoła.

Jednym skokiem był przy drzwiach, w tej samej chwili znikła z pod okna tajemnicza twarz i nim Piotr był na dworze nie było już nikogo. Szukał wszędzie, w każdym krzaku, był w każdym kącie. Daremnie, nie znalazł nikogo, wściekły wrócił do chaty.

Kto był tym szpiegiem? W jaki sposób odkrył tę chatę? Co podsłyszał z rozmowy? Czy może wie już, kim jest mieszkaniec tej chaty?

Piotr postanowił przez noc zostać przy swo

im więźniu. Może obcy wróci, wtedy go złapię. Nie znał go, nie był to Sinobrody, mimo czarnej brody.

Nieszczęśliwe kobiety w grobowcu poznałyby w tym obcym owego rozbitka, podającego że jest hrabią Haraldem Wildenfels. Nie oddalił się on bardzo od chaty, lecz noc była ciemna, dlatego go Piotr nie znalazł.

Teraz opuścił znowu swą kryjówkę i cichaczem podsunął się pod okno. Czekał niecierpliwie, by Piotr opuścił chatę.

Rozdział 29.

NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE.

Hrabia Edmund wracał do rezydencyi. Jego a główne Wintera poszukiwania w małem miasteczku miały niespodziewany rezultat. Natychmiast wsiadł na konia i w towarzystwie służącego popędził na zamek Heiligense, własność Agaty.

Było to na drugi dzień po wypadkach w zamku myśliwskim. Walerya dopiero co wróciła, stała u okna jeszcze w stroju podróżnym, spostrzegła hrabiego natychmiast zadzwoniła na służącę i rozkazała jej zaprowadzić hrabiego do salonu, by się od służby nie dowiedział o jej podróży.

Szybko przebrała się we wspaniały kostyum z żółto-czerwonego jedwabiu, który uwydatniał jej piękność. Jej bujne złoto-czerwone włosy spadały na nagą szyję. Była cudowną i jej piękość oszołomiła też hrabiego, czekającego niecierpliwie w salonie, kiedy Walerya stanęła na progu i złożyłą usta do szatańskiego uśmiechu.

— Kochany przyjacielu, — rzekła Walerya swobodnie, nareszcie widzę cię znowu. Szukałam cię daremnie w pałacu. Powiedziano mi, żeś pan wyjechał, lecz nie wiadomo dokąd. Lecz zgadłam. Szukałeś za Agatą. Co? Słyszałam że porzuciła swe ostatnie schronienie... Boże! Co panu jest? Wyglądasz zgnębiony! Jaką mi straszną przynosisz wiadomość?

— Waleryo! — odpowiedział Edmund niechętnie i szorstko. Udajesz pani, że nic wiesz o niczem. A przecież pani jedna może mi wytłómaczyć, co się stało z Agatą.

— Ja?! — zawołała Walerya zdziwiona po zornie. Co to znaczy? Nie rozumiem pana!

— Przecież pani pojechałaś za mną, kiedy uciekłem z Agatą z rezydencyi, — rzekł hrabia Edmund podniesionym głosem. Z obcym mężczyzną bawiłaś w miasteczku, w którem zatrzymałem się z Agatą przez dwa dni.

Żaden rys na twarzy Waleryi nie zmienił się. roześmiała się swobodnie i rzekła:

— Co za dziwy, mój przyjaciel opowiada. Prawie że nie opuszczałam tego zamku w ostatnich dniach. Więc chyba to mój sobotwór, co hrabia widział.

W całej jej istocie było wiele prawdy. Zdziwił się hrabia Edmund, zdenerwowany gładził swą brodę i tak rzekł mniej pewnym już głosem:

— Nie wiem zatem, co o tem myśleć. Opisano mi dokładnie panią i wszelkie okoliczności przemawiają za tem, że to właśnie pani umożliwiła zniknięcie Agaty. Niechże mi pani wyzna prawdę! Widzisz w jakim jestem strachu i trosce!

Głos jego drżał błagalnie, a wzrok śledził badawczo każdy rys Waleryi. Ta nie rozumiała Edmunda nie wiedziała, do czego on zdąża, a bała się oskarżenia, czy nie widziano jej w pobliżu zamku myśliwskiego — w lesie w towarzystwie wspólników.

— Ależ kochany Edmundzie! — zawołała i ujęła serdecznie jego rękę. Wytłómacz mi, co się stało. Gdzie Agata? A co ja zawiniłam?!

— Na Boga, Waleryo! — zawołał hrabia z gorżkim wyrzutem. Na nic udawanie. W spółce z Agatą pomogłaś jej do kroku, który ta nieszczęsna uczyniła!

Zdziwienie Waleryi wzrastało. Tego oskarżenia się nie spodziewała. Lecz szybko zyskała równowagę i ukrywając szyderczy uśmiech, rzekła:

— Mówisz pan w zagadkach. Przypuszczam, że stało się coś nadzwyczajnego — bez mego udziału: Wytłómacz się pan zatem!

— Chcę więc przypomnieć pani pokrótce, o czem sama najlepiej wiesz, —rzekł Edmund niecierpliwie. Udałem się z Agatą do mego odludnego zamku myśliwskiego i tam została Agata moją żoną.

— Co? A ja o tem nie wiedziałam? Nie wolno mi było być świadkiem waszego szczęścia—zawołała Walerya z wyrzutem, udając zdziwienie.

— Zrozumie pani, że chciałem cię oszczędzić. Lecz posłuchaj dalej: tej samej nocy zniknęła Agata, zostawiwszy mi ten tu list, którego treść pani pewnie zna.

Walerya wzięła list i czytała. Twarz jej wyrażała to zdziwienie, to oburzenie i udając po mistrzowsku, że o niczem nie wie, — zawołała nagle:

— Miłosierny Boże! Czy to możliwe. Agata zwaryowała chyba. Więc moje twierdzenie było prawdziwe. Ów nieznajomy był jej ko-

chankiem. Biedny Edmundzie! Niecnie cię oszukała i zdradziła za twą głęboką wiarę, ta obłudnica!

— A pani pomogła jej w tem. Krótko — ów nieznajomy, w którego towarzystwie widziano panią w miasteczku, to kochanek — uwodziciel Agaty. Pani wskazałaś mu nasz ślad, a potem uciekła z nim Agata.

— I pan tak naprawdę sądzi? — zawołała Walerya, starając się ukryć szyderczy uśmiech.

— Kto zresztą był owym mężczyzną w towarzystwie pani, jeżeli nie uwodziciel Agaty?

— Edmundzie, w strasznym jesteś pan błędzie. Nigdybym nie pomogła Agacie do takiej zdrady wobec pana! Być może że jej uwodziciel zjawił się w owem miasteczku w towarzystwie kobiety. Ale tą kobietą ja nie byłam. Chyba mi wierzy hrabia Edmund? Czy szukałeś pan za zbiegłą?

— Naturalnie! Ale, Waleryo, wątpię jeszcze, czy pani mówi prawdę. To pani rzeczywiście nie wie dokąd uciekła Agata? Ja muszę nieszczęsną odszukać, ona jest moją żoną, nie mogę jej całkiem potępić. Może ona żałuje już...

— Zaślepiony Edmundzie! — przerwała mu Walerya. Nie gardzisz tą obłudnicą, która cię tak zdradziła. Nie potępiasz tej, która zadrasnęła tak dotkliwie twe kochające serce, wzgardziła twemi najświętszemi uczuciami? Nędznica! Co za wyrafinowany podstęp i złość bezgraniczna. Pocóż ta obłudnica została twą żoną, skoro miała zamiar uciec ze swym kochankiem?

Hrabia Edmund upadł na krzesło, patrzał przed siebie ponuro zamyślony. Słowa Waleryi boleśnie go dotknęły — rzekł bezdźwięcznie:

— Nie potępiaj, pani, nieszczęsnej! Jestem przekonany, że nie opuściła mnie z własnej woli Jej uwodziciel posiada nad nią demoniczną władzę. Zmusił ją.

— Nie, nie broń jej! — zawołała Walerya z nienawiścią. Zapomnij o niegodnej. Nie warta ona twej miłości. Zostaw ją jej losowi i nie szukaj za nią.

— Nie!— zakołał stanowczo. Muszę ją odszukać.W moich oczach nie jest ona tak winną, jak się pani zdaje, Jest moją żoną, wydrę nieszczęsną jej uwodzicielowi. Wdrożyłem już pierwsze kroki, komisarz kryminalny Winter oddał mi swe usługi i może już znalazł ślad zbiegłej Agaty!

W duszy Waleryi wrzało. Wściekłość ją pożerała. Więc jej sprytny plan nie udał się zupełnie. Spodziewała się, że hrabia Edmund potępi i przeklnie swą żonę. Stało się inaczej. Żałowała w tej chwili, że nie sprzątnęła Agatę ze świata.

Mimo to zyskała przecież dużo, że podejrzenie nie padło wcale na nią, lecz na owego tajemniczego nieznajomego. Należało teraz usidlić Edmunda, wtedy cel jej osiągnięty.

Niech sobie szuka za Agatą, nigdy jej przecież nie znajdzie. Co do tego była spokojną. Ale ona, Walerya, chciała zawsze być około niego, nie chciała, by on okrążał świat, bo wtedy nie potrafi go usidlić.

To wszystko obmyśliwszy i zdecydowana szybko rzekła:

— Dobrze więc, kochany Edmundzie, razem będziemy szukać za Agatą i jeżeli trzeba, przeszukamy razem cały świat.

— Co? — pani chce to uczynić? — zawołał Edmund zdziwiony i wzruszony. W takim razie nie działałaś w porozumieniu z Agatą.

— Więc pan w to naprawdę wierzył? uśmiechnęła się Walerya. No i cóż kochany Edmundzie, zgadzasz się na na moją pomoc i moje towarzystwo

A gdy hrabia się zawahał, rzekła szybko:

— Tylko ja mogę cię naprowadzić na ślad, bo ja jedna znam owego nieznajomego, z którym uciekła Agata. Widziałam go w zamku, kiedy Agata oszukała swego męża. Poznam go, skoro go spotkamy.

— Waleryo! wielka twa ofiara! — zawołał hrabia Edmund i uścisnął serdecznie rękę obłudnicy, podziwiając jej szlachetność. Tak, dobrze, razem będziemy szukać.

Jeszcze tego samego wieczora rozmawiał hrabia Edmund z Winterem, który właśnie wrócił był do rezydencyi. Nic zresztą nie wyśledził. Lecz hrabia Edmund nie rozpaczał. Na drugi dzień wyjechał w towarzystwie Waleryi.

Zatrzymali się w większym mieście, w eleganckim hotelu. Rozpoczęli natychmiast swe poszukiwania, z jednego hotelu do drugiego. Daremnie. Smutny i ponury siedział hrabia Edmund w powozie obok Waleryi. Był to zimny lecz słoneczny dzień i Walerya zaproponowała przejażdżkę w romantyczne okolice miasta, aby rozpròszyć ponure myśli.

Wyjechali do parku miejskiego Walerya gawędziła z ujmującą grzecznością i lubością i starała się rozweselić smutnego towarzysza. Nieznacznie potrafiła go zbliżyć do siebie, a on nie potrafił oprzeć się jej urokowi. Walerya tryumfowała.

Gdzie teraz jej ofiara? Szatańską czuła radość na myśl o losie jaki jej zgotowała. Daleko teraz bawi Agata, niedostępna dla swego męża, tęskniącego za nią.

Gdyby hrabia Edmund mógł widzieć serce tej syreny, która z miną anioła siedziała obok niego i szeptała mu najsłodsze słowa, pełen oburzenia i wstrętu odepchnąłby ją od siebie.

Na końcu parku zatrzymałsię powóz. Tu przepływała rzeka, która obecnie wezbrała i zerwała most. Powóz nie mógł zatem dostać się na drugą stronę. Woda była wysoka, wszędzie były groble i setki robotników pracowało około rzeki, a tłumy publiczności z miasta przyglądały się pracy.

Hrabia Edmund i Walerya wysiedli z powozu i przechadzali się wzdłuż parku, przyglądając się zajmującym obrazom. Zbliżyli się do miejsca, w którem pracowała grupa dziwacznych, nieprzyjemnych robotników. Byli to ludzie w rozmaitym wieku, wszyscy w jednakim stroju, obdarta brunatna odzież, na niej numer na piersi, głowa ogolona, twarz gładko zgolona. Wszyscy bladzi, z ich beznadziejnych rysów widniała zuchwałość.

Byli to aresztanci z aresztów, ciągnących się wzdłuż rzeki. Dwunastu dozorców było na placu i dozorowało aresztantów. Także żołnierze z najeżonymi bagnetami uwijali się między robotnikami, którzy wiedzieli, że każda próba ucieczki pociąga za sobą śmierć.

Edmund i Walerya przystanęli z pewną trwogą przyglądali się tym postaciom, które szeregami toczyły swe wózki napełnione, ziemią piaskiem lub innymi przedmiotami, potrzebnymi przy budowie.

Walerya, wspaniała, błyszcząca, oparta na ramieniu pięknego mężczyzny, zwróciła na się uwagę nietylko przechodniów, lecz także z pośród aresztantów niejeden zwrócił ku niej swą odstraszającą twarz.

—Chodźmy dalej! — szepnęła Walerya, zdjęta uczuciem trwogi. Nie jest to wcale przyjemny widok.

Właśnie chciał się hrabia Edmund oddalić ze swą towarzyszką, gdy wtem stało się coś nadzwyczajnego. W szeregu aresztantów powstał nieporządek, bo jeden z nich zatrzymał się ze swoim wózkiem i wpatrywał się uporczywie w przechadzającą się parę, oddaloną zaledwie o kilka kroków.

Był to młody człowiek, wysoki, szczuły, o intelegentnej twarzy, świadczącej o tem, że przeżył dużo i pokosztował wszelkie namiętności.

Nim ktokolwiek mógł temu przeszkodzić, zostawił swój wózek i jednym skokiem znalazł się obok Waleryi, wpatrując się w nią wzrokiem, świadczącym o zdziwieniu i niepewność.

— Holla! Ty to? Naprawdę ty?! — zawołał tonem poufałego starego znajomego.

Walerya pobladła jak chusta i cofnęła się. Drżąc na całym ciele oparła się silniej na ramieniu hrabiego i wpatrywała się w aresztanta uporczywie, trwożliwie, jakby nagle stanął przed nią człowiek dawno już zmarły.

— Na miłość Boską! — zawołała cisnąc się ku hrabiemu. Edmundzie! Ochroń mnie pan! To szaleniec!

W jednej chwili zgromadził się wielki tłum i każdy śledzi zdziwiony tę ciekawą scenę. Hrabia Edmund stał, jakby przykuty do ziemi, niemy, nieczynny. Aresztant zbliżył się ku Waleryi, zaśmiał się szyderczo złośliwie i rzekł:

— Co? Nie znasz mnie? Mnie— swego męża?! —Tak, tak, panie! — tu zwrócił się do osłupiałego Edmunda—ta piękna, wystrajona dama — to moja żona. Lecz teraz wstydzi się mnie. — Co? w międzyczasie złowiłaś tego bogatego pana, hm?

Walerya bliską było omdlenia. Na jej śmiertelnie bladej twarzy malowała się wściekłość i bezgraniczny strach.

Wreszcie odzyskał hrabia Edmund przytomność umysłu i z oburzeniem odepchnął aresztanta. W tej samej chwili przypadło dwóch dozorców i ujęło go silnemi rękami.

Zdawało się, że aresztant naprawdę postradał zmysły bo rzucał się jak szalony i bronił się wszelkiemi siłami, przeciwko dozorcom, którzy usiłowali zabrać go stąd.

— Ona jest moją żoną — krzyczał — puście mnie powiem jej... Więcej nie powiedział, jeden z dozorców przymknął mu usta w szorstki bardzo sposób, a ponieważ rzucał się jeszcze ciągle, nałożył mu kajdanki. Zabrali go żołnierze i odprowadzili do aresztów.

Cała ta scena trwała zaledwie kilka chwil. Tłum rozszedł się, tylko nieliczne grupki przypatrywały się ciekawie Waleryi i omawiały to, co się przed chwilą stało. Drżąca jeszcze na całem ciele patrzała Walerya za aresztantem a jej mina zdradzała, że obcym on jej nie jest. Hrabia rozkazał wrócić do miasta. Scena tą wzruszyła go podobnie jak Waleryę, w pierwszej chwili nie mógł przemówić ani słowa.

Potem jednak zapytał nagle, mierząc ją badawczym wzrokiem:

Czy mogłaby pani wyjaśnić to nadzwyczajne zachowanie się tego aresztanta. Skąd on panią nazwał swą żoną?

— Boże, jak ciekawie pytasz, kochany Edmundzie — odowiedziała Walerya, która już odzyskała przytomność umysłu—nie znam tego człowieka, albo to waryat, albo się pomylił.

— Naturalnie — potwierdził hrabia Edmund —mam nadzieje, że przestrach pani.

wskutek tego waryata, nie będzie miał poważniejszych skutków.

— O, zaśmiała się Walerya, zupełnie mi już dobrze. Szaleństwo tego człowieka nie mogło mnie przecież poważniej dotknąć.

Powróciwszy do hotelu wyraziła Walerya życzenie opuścić miasto na drugi dzień. Zgodził się na to hrabia Edmund, nie miał tu nic więcej do czynienia.

Gdy Walerya sama została w swym pokoju, zdjęła ją tajemna trwoga, którą dotychczas potrafiła ukryć. Była bladą, a oczy jej błyszczały jak w febrze, chodziła po pokoju dużymi krokami.

— To on! — Wielki Boże — Ludwik, o którym sądziłam, że już nie żyje, co teraz będzie—wzdychała zrozpaczona. Wszystko stracone, jeżeli — lecz,czego mam się bać — siedzi w więzieniu, nie jest zatem niebezpiecznym dla mnie. Nikt mu nie uwierzy, że jest moim mężem. Jestem bezpieczną i chociaż on żyje, zostanę żoną hrabiego.

Następnego dnia wyjechali, hrabia Edmund zapomniał już zupełnie o wczorajszym wypadku, a Walerya udawała że i ona również nic więcej nie pamięta. Wieczorem przybyli do owego miasta portowego, gdzie mieszkał handlarz, który kupił Agatę.

Walerya pragnęła bardzo odszukać tego człowieka i zyskać pewność co do losu Agaty. Kiedy ze swym bratem Sinobrodym musiała szybko uciec z domu, nie miała więcej sposobności zapytać handlarza, czy plan się udał. Natychmiast opuścili wtedy miasto, wiadomości nie otrzymali dotychczas.

A jeżeli policya odkryła skrzynię i znalazła tam Agatę? Nie było to prawdopodobnem, bo sprawa ta byłaby głośną w całym kraju. Ale Walerya chciała wiedzieć, czy skrzynia z jej tajemniczą zawartością została rzeczywiście wysłaną.

Kiedy o godzinie 10 - tej po kolacyi, hrabia Edmund udał się jeszcze do czytelni hotelowej, by przeczytać gazety, otuliła się Walerya w ciemny płaszcz i opuściła hotel, wsiadła do powozu i pojechała na ową odludną ulicę.

Na rogu tej ulicy wysiadła i kazała woźnicy czekać. Wzdłuż domów pośpieszyła przed ów dom. Nie było dookoła nikogo zadzwoniła, otworzył jej parobek, skoro dała mu się poznać.

Handlarz przyjął Waleryę w tym samym pokoju, w którym ubito w ów pierwszy wieczór interes. Był zdziwiony, że Walerya znowu przyszła. Bez tchu upadła Walerya na krzesło i nie zdejmując płaszcza, zarzuciła handlarza — pytaniami.

— O proszę być zupełnie spokojną — rzekł handlarz, wszystko w porządku, policyę wyprowadziliśmy w pole.

Skrzynia zatem z zawartością swą jest już w drodze , co?

— Tak i jutro będzie już prawdopodobnie na miejscu przeznaczenia.

Zadowolona i uspokojona pożegnała się Walerya i opuściła dom, którego bramę natychmiast zamknięto. Rozglądnęła się ostrożnie i trwożliwie na wszystkie strony, lecz w ulicy było tak ciemno, że nie można było widzieć na odległość dwóch kroków. Dlatego nie spostrzegła Walerya mężczyzny, który wsparty o parkan, stał tam już w chwili kiedy wchodziła w ów osławiony dom.

Człowiek podążył za nią i w uliczce, gdzie czekał powóz na Waleryę, nagle wystąpił. Był odziany jak żebrak, postać cała zgięta, twarz okolona siwą brodą, świadczyła o nędzy. Wsparty na kiju, trzymając w ręku kapelusz, wybełkotał prośbę o wsparcie.

Walerya odwróciła się przestraszona, spostrzegłszy jednak żebraka, uspokoiła się. Niechętnie wyciągnęła sakiewkę i rzuciła pieniądz do kapelusza, poczem powóz odjechał.

Żebrak wyprostował swą skuloną postać, twarz, mimo siwej brody, miała teraz młodzieńczy wygląd, uradowany szepnął:

— To ona! Zatem nie omyliłem się. Czego ona szukała w tym osławionym domu? więc nareszcie jestem na tropie.

Jeszcze chwilę stał, zamyślony pod latarnią, potem oddalił się śpiesznie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Hrabia Edmund zatopił się zupełnie w czytaniu gazet i czasopism w nadziei, że znajdzie tu może jaką wiadomość o Agacie. Zbliżała się północ, kiedy odłożył ostatnią gazetę. Nie przypuszczał, w jaką tajemną drogę udała się Walerya w tę późną porę. Chciał właśnie wrócić do swego pokoju, kiedy zbliżył się kelner z listem w ręku i rzekł:

Jaśnie panie, człowiek bardzo licho wyglądający chce koniecznie widzieć pana hrabiego. Dał mi ten list dla jaśnie pana.

— Kto to być może? — Znajomych tu nie mam — szeptał hrabia Edmund.

— Zdaje się, że to żebrak — rzekł kelner. — Czy mam go odprowadzić?

Hrabia rozdarł kapertę i zaledwie przeczytał nazwisko na karcie, zawołał:

— Proszę zaprowadzić tego człowieka do mego pokoju.

Kelner oddalił się. Kiedy w kilka chwil później hrabia wszedł do swego pokoju, spotkał tu owego żebraka, któremu Walerya dała przedtem jałmużnę. Uradowany lecz zdziwiony i niepewny, zbliżyłsię do niego hrabia i zawołał:

— Kochany panie Winter! Czy to pan naprawdę, panie komisarzu?

— Nie poznałby mnie pan zatem wtem przebraniu, panie hrabio? — zapytał komisarz z uśmiechem.

— Nie, lecz na cóż to przebranie — odpowiedział hrabia ściskając mu serdecznie rękę — tu pana nikt nie zna.

— O, przepraszam zna.

Ma pan pewnie ważną wiadomość, panie komisarzu. Czy może być obecną i panna Walerya? Może jeszcze nie śpi.

— Proszę, panie hrabio, zostawmy ją — odparł stanowczo komisarz. Prosiłem pana hrabiego jeszcze przed wyjazdem z rezydencyi, nie zdradzić pannie Waleryi, że jadę za wami. I w przyszłości nie wolno jej nic o tem wiedzieć. To koniecznie! Chciałbym nawet, by pan hrabia oświadczył pannie Waleryi, że zaprzestałem swych poszukiwań!

— A to dlaczego — zapytał zdziwiony hrabia. — Czy pan ma zawsze jeszcze podejrzenia względem panny Waleryi?

Winter nic nie odpowiedział. Co dotychczas wiedział o tajemniczem zniknięciu Agaty, nie wystarczało, by Waleryę oskarżyć otwarcie, a w przypuszczenia nie chciał się bawić. Hrabiego Walerya potrafiła oszukać, lecz z nim —z Winterem—sprawa jej się nie udała. Podążał za nimi potajemnie z miejsca na miejsce w nadziei, że Walerya uczyni coś, co mu wskaże ślad tajemniczego zniknięcia. Dzisiaj nareszcie stało się to. Widział, jak Walerya opuściła hotel, lecz nie poznał jej dokładnie. Przed owym domem osłowionego handlarza przekonał się, że to rzeczywiście ona.

— Tak panie hrabio, zrobiłem ważne odkrycie — rzekł po chwili milczenia. Po nitce dojdziemy — mam nadzieję — do kłębka.

— Mów pan, co za odkrycie — zawołał hrabia Edmund niecierpliwie.

— Tu w mieście portowem, mieszka osławiony człowiek, który potajemnie prowadzi handel młodemi dziewczętami do Turcyi. Znam tego łotra z dawnych czasów, wystarałem się dla niego niegdyś kilka lat więzienia. Na drugi dzień wieczorem, po zniknięciu żony pana, zajechał przed dom tego handlarza zamknięty powóz. Dwie osoby siedziały w nim, mężczyzna i kobieta. Widział to wszystko tajny agent policyjny. Wzbudziło to podejrzenie i policya wtargnęła do tego domu. Powóz i osoby przybyłe ulotniły się. Powóz jednak już przed tem odjechał próżny. Policya nie znalazła nic podejrzanego, lecz...

— Panie Winter — przerwał hrabia rozczarowany. — Co to ma wspólnego z naszą sprawą?

— Niechże mnie pan hrabia wysłucha. Znam jedną z owych osób i widziałem ją dzisiaj znowu w owym domu. Dla mnie jest rzeczą pewną, że w ów wieczór sprowadzono żonę pana do tego handlarzą. Co się z nią dalej stało — trzeba dopiero zbadać.

— Wielki Boże! przecież pan nie przypuszcza, że moją żonę sprzedano?

Komisarz wzruszył ramionami i rzekł:

— Przekonamy się o wszystkiem. Dowiedziałem się także, że tego samego wieczora wysłał handlarz na kolej kilka pakunków i wielką skrzynię. Za tymi przedmiotami chcę szukać. Jutro, panie hrabio, służę dalszemi wiadomościami.

— Ależ na miłość Boską! panie komisarzu — jak pan może w to wierzyć —jak — nie, to z pewnością ślad fałszywy — mówił bezwładnie wzburzony hrabia.

— Wnet się wszystko wyjaśni, panie hrabio. Więc proszę: nikomu pan nie powie o moich odkryciach. Nikomu!

Winter pożegnał się, pozostawiając hrabiego w ogromnem wzburzeniu.

Ledwo zamknęły się drzwi za komisarzem, weszła drugim wchodem Walerya, otulona w jedwabny czerwony szlafrok.

Czy podsłuchała może rozmowę?

Rozdział 30.

CZYN ROZPACZY.

Szybko ukrył się tajny agent Brand, gdy się zbliżał Sinobrody. W ciemnym korytarzu nie spostrzegł go, nic złego nie przeczuwając wszedł do pokoju Katynki i zamknął za sobą drzwi. Natychmiast zbliżył się Brand i nadsłuchiwał.

Sinobrody zaświecił w pokoju światło. Katynka leżała na łóżku, nieprzytomna.

—Tu nie jest dość pewną szepnął. Muszę ją przenieść do innego pokoju.

Podniósł Katynkę, zabrał światło i opuścił pokój drugiemi drzwiami. Przez szereg niezamieszkałych komnat, dostał sie do cześci zam-

ku, leżącej już nad morzem. Na końcu korytarza otworzył wązkie żelazne drzwi i znalazł się w małym, ciemnym pokoiku bez okna. Była to końcowa wieża zamku, tak wychylona, iż zdawało się, że jej mury wyrastają z fal.

Tu zatrzymał się Sinobrody i złożył swój ciężar na ławce. Otworzył następnie, nie bez trudu, wysokie sklepione drzwi i zaniósł Katynkę do okrągłej komnaty, której wązkie, wysokie okna wychodziły na morze.

W pokoju były stare meble, pokryte grubą warstwą kurzu. Wszystko wskazywało na to, że w pokoju nie postała stopa ludzka przynajmniej od wieku.

W tyle stało łóżko, na którem Sinobrody złożył ciągle jeszcze nieprzytomną Katynkę. Zamknął za sobą wszystkie drzwi i oddalił się wchodem, przy którym podsłuchiwał agent Brand. Ten oddalił się szybko na odgłos zbliżających się kroków.

Myśl o Piotrze nie dawała Sinobrodemu spokoju, przeszukał cały zamek. Od służby dowiedział się tyle tylko, że Piotr osiodłał konia i odjechał.

Straszna go zdjęła trwoga. Teraz go Piotr zdradzi! Nagle powziął zamiar, dosiadł konia i popędził w dal, w ciemną noc, sam nie wiedząc dokąd.

Droga prowadziła około spalonej gospody. Zdawało się Sinobrodemu, że widzi wśród zgliszczy światło, wyrastające jakby z ziemi. Zeskoczył z konia, lecz gdy się zbliżył, nie było już światła. Spostrzegł przytem postać, która jednak nagle zniknęła w ciemności, jakby zapadła się w ziemię.

Czy to było złudzenie, czy duch? Może duch służącego, który w ową noc, gdy porwał Katynkę, zginął w płomieniach? Albo może zjawisko to stoi w związku z tajemnicą gospody, którą dotychczas daremnie starał się zbadać? Bo gdzie to tajemnicze światło?

Strasznie tu było w tę ciemną noc, wiatr zawodził żałośnie między spalonemi belkami, które czarne jak węgiel, złowrogo wznosiły się w górę. Od czasu do czasu odrywał się kamień i spadał głucho na ziemię. Zdawało się, jakby duchy wyprawiały tu harce. I Sinobrody, który zresztą strachu nie znał, nie mógł się pozbyć uczucia trwogi.

Był to człowiek, który przed nim uciekł? Może Piotr? A gdzie on teraz?

Wtem potknął się i upadł na gruzy. Zerwał się i oparł o otwarte drzwi spustne. Tu spostrzegł drabinę, prowadzącą w dół. Co to? Czy owa postać tu się ukryła?

Latarnią oświecił wnętrze i ku swemu zdziwieniu poznał, że to piwnica. Było tu łóżko, stół i jeszcz kilka przedmiotów.

Bezwątpienia, tu mieszkał człowiek, albo może jeszcze mieszka. Odkrył więc teraz tajemnicę gospody, lecz już zapóźno.

Chciał przeczekać. Ukrył się między gruzami. Może wróci owa tajemnicza postać, którą widział był przed chwilą.

Po chwili zjawiło się znowu światło i Sinobrody poznał rzeczywiście ową postać. Był to mężczyzna, otulony w płaszcz, z latarną w ręku, ów rozbitek z grobowce, zamku Wildenfels. Zbliżył się ku drzwiom spustnym, nie widząc Sinobrodego, który za nim cicho zdążał.

Wtem usłyszał obcy tentent konia. Nim go Sinobrody mógł przyłapać, zniknął jednym skokiem za gruzami, uciekając przed nowem niebezpieczeństwem.

— Stój! — zawołał Sinobrody. Lecz było zapóźno. W jeźdzcu, który się zbliżył i zsiadł z konia poznał Sinobrody, ku swej radości, swego służącego Piotra. Jednym skokiem rzucił się na niego.

— Mam cię łotrze! — zawołał. Skąd przybywasz, i czego tu szukasz?

— Nic, panie! tłómaczył Piotr. Widziałem światło i chciałem wiedzeć kto tu nocą...

— Słuchaj, łotrze! — przerwał Sinobrody. Znasz tę piwnicę?

— Skąd , panie? Nie! łgał Piotr, patrząc niepewnie na drzwi spustne.

— Czy wtedy, w nocy, nie zaglądałeś do piwnicy? — badał Sinobrody podejrzliwie. Wyznaj, co widziałeś wtedy? Oszukałeś mnie wówczas! Tu był człowiek!

— Nikogo nie widziałem — odpowiedział Piotr zuchwale, starając się uwolnić z żelaznych uścisków Sinobrodego.

— Prawdę mów łotrze, kłamco — zawołał Sinobrody trzęsąc nim niemiłosiernie. Ty wiesz, kto tu mieszkał! Ja sam widziałem go przed kilku minutami, twierdziłeś, że hrabia wrócił, co? a zatem on to, który mieszka w tym to lochu? A ty łotrze, już wtedy go odkryłeś i poznałeś.

—Nie, nie! skądby się hrabia tu wziął?

— Ty to wiesz, i jeżeli mi w tej chwili nie wyznasz prawdę, wtedy — do dyabła — strącę cie do tej tu piwnicy i nigdy więcej świata nie zobaczysz.

Piotra zdjął strach. Całą siłą wyrwał się z objęć Sinobrodego, a gdy ten chciał się znowu na niego rzucić, skierował Piotr szybko rewolwer w stronę swego pana.

— Panie, nie dotykaj mnie — zawołał stanowczo. — Życie swoje potrafię obronić i zrobię z tego użytek. Musicie ze mną inaczej mówić, jeżeli mam wam tajemnice zdradzić.

— Ubiję cię, jak psa — zawołał groźnie wściekły Sinobrody — nie zdradzisz ty mnie.

— Posłuchajcie panie —rzekł Piotr — wcale was nie chcę zdradzić. Chciałem wrócić na zamek Wildenfels. Jeżeli chcecie, pogodzimy się łatwo.

— Nie ufam ci więcej —odpowiedział Sinobrody.

Udowodnię wam, że mówię uczciwie — rzekł Piotr nie spuszczając oka ze swego pana. Latarnia stała na ziemi między nimi i widać było każdy ruch. Posłuchajcie zatem, tyko spokojnie. Powiedziałem wam dzisiaj prawdę, hrabia powrócił, widziałem go i wiem gdzie się on ukrywa.

— Więc to prawda — zawołał Sinobrody, patrząc dziko przed siebie. A wiem teraz też, gdzie się ukrywa. Biada mu, gdy go znajdę.

— Panie! człowiek, któregoście widzieli. to nie był hrabia.

Nie? A gdzie się on ukrywa?

— O tem ja jedne tylko wiem, — oświadczył Piotr z naciskiem. Byłbym głucem, gdybym wam tak raz dwa zdradził tę tajemnicę. Panie, hrabia to groźne dla was niebezpieczeństwo! Skoro on wystąpi, skończyło się z wami. W mojej jest mocy zapobiedz temu.

— Tak! zaśmiał się Sinobrody. Nie ma on żadnych dowodów i nikt mu nie uwierzy, tobie też nie.

— Mylicie się, panie, potrafi udowodnić swe prawa. Jednak on nic począć nie może, bez mojej pomocy. Tylko ja was mogę ocalić od zguby i chcę to uczynić, jeżeli się zgodzicie na warunki, które ja wam podyktuję.

— Chcesz warunki dyktować? — zawołał hrabia w bezsilnej wściekłości. Ale ja niczemu nie wierzę. Hrabia nie żyje, zginął w Afryce. Chcesz mnie tylko straszyć.

— Dobrze— rzekłPiotr ozięble. — Wierzcie sobie w to. Jeżeli pomogę hrabiemu, zyski moje będą równie wielkie jak, jeżeli nieszczęśliwego wam wydam. Nie myślcie też, że zyskacie coś przez to, jeżeli mnie sprzątniecie ze świata. Biada wam wtedy! Wszystko przewidziałem. Ale, jak już zaznaczyłem, wolałbym zgodę! A wy zobowiązani jesteście i za to wszystko, co dotychczas dla was uczyniłem!

— Tem samem ty musisz milczeć — przerwał Sinobrody złośliwie. — Czeka cię ten sam los, co i mnie, jeżeli prawda wyjdzie na jaw. Nie zapominaj, byłeś moim wspólnikiem.

— Kto mi co udowodni — mówił Piotr obojętnie wam chyba nikt nie uwierzy. A co się tyczy waszych żon — to ja wam nie pomagałem sprzątnąć je ze świata.

Sinobrody zaklął i zacisnął wściekły pięście. Lecz opanował się, widział, że tu gwałtem niczego nie osięgnie, że jest bezsilnym wobec Piotra. Ten łotr, w którym widział dotychczas powolne swoje narzędzie, miał w ręku los jego i mógł go zniszczyć. Musiał się z nim pogodzić.Ale skoro tylko wydobędzie z niego tajemnicę i dowie się, gdzie się hrabia znajduje, wtedy policzy się z nim w inny sposób.

—Chodź ze mną na zamek—rzekł szorstko — tam pogadamy.

— Jutro tam będę. Na tę noc mam inny plan — odpowiedział Piotr.

— Mów więc jakie są twoje warunki? Czy chcesz może odtąd być panem na zamku i grać rolę hrabiego?

— Nie do tego nie mam ochoty. Po prawdzie mógłbym zażądać cały wasz majątek. Nie mały on, milion, a może i więcej pieniędzy, bo wszystkie wasze żony były bogate, zwłaszcza ostatnia, hrabina Gertruda. Ale, będę skromny, dacie mi połowę.

— Co, pół miliona mam ci dać? Oszalałeś chyba! Skąd wezmę pieniądze?

— Macie je — zaśmiał się Piotr — pół miliona, ani centa mniej. I ja chcę sobie zamek kupić i zabawić się w pana. A nadto, piękna Katynka podoba mi się. Tę mi dodacie.

— Przenigdy — zawołał Sinobrody wściekły.

— Dziewczynę zatrzymacie jeszcze przez kilka dni — rzekł Piotr cynicznie. Potem ją już oddacie. Pomyślcie o moich warunkach, jutro wieczorem, panie przyjdę po odpowiedź!

Nim Sinobrody mógł coś odpowiedzieć, wsiadł Piotr na konia i popędził w las, skąd był przyjechał.

Zerwał się i Sinobrody, ocknąwszy nareszcie z zamyślenia i popędził na podwórze, gdzie pozostawił konia.

Chciał podążyć za Piotrem przypuszczając że tenże udał się do hrabiego Harolda, ale konia nie było.

Wziął go prawdopodobnie ów obcy, którego tu widział. Nie pozostawało więc nic innego, jak piechotą wrócić na zamek Wildenfels.

Już świtało kiedy tutaj przybył. Śmiertelnie znużony rzucił się w swym pokoju na łóżko i zasnął głębokim snem.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Około północy zbudziła się Katynka z omdlenia.

— Miłosierny Boże! — westchnęła i wstała

z łoża. Poszedł już ten nędznik? Myślała że jest jeszcze w pokoju, w którym ją napadł Piotr. Drżąca patrzała dookoła siebie. Nareszcie rozeznała, że jest w innym pokoju. Zbliżyła się do okna i otworzyła. Usłyszała szum morza. Była zatem jeszcze na zamku Wildenfels, w mocy Sinobrodego. Czy nikt się nad nią nie zlituje? Straszna ją zdjęła trwoga upadła na łóżko i zalała się łzami. Aż nareszcze sen się nad nią zlitował. Gdy się na drugi dzień zbudziła, było już południe.

Cisza grobowa. Katynka uczuła głód i pragnienie. Na stole zobaczyła wino i środki żywności, które przyniósł tu Sinobrody podczas jej snu.

Katynka jadła i piła i rozglądała się po swem więzieniu. Widziała potężne zamki i zasuwy. A z okna rozciągał się widok na dalekie morze i na skaliste wybrzeże. Dookoła wieży unosiły się mewy i inne ptaki, dotykając czasami okien komnaty.

Dzień miał się ku końcowi, noc zapadła, a z nią zdjął Katynkę ponownie strach. Bała się, że zjawi się Sinobrody lub Piotr. Serce jej przestało bić. Straszne było położenie biednej dziewczyny wśród tej samotności i ciszy ciemnej nocy.

Nie mogła zasnąć, jakby przeczuła grożące niebezpieczeństwo. Na dworze zawodził wiatr coraz żałośniej, a fale morskie uderzały o mury.

Wtem nagle wtargnął się do komnaty promień świetlany. Księżyc stał wysoko na niebie a mgły, jakby duchy, zasłaniały czasami jego światło, które co chwila się wynurzało i magicznem światłem oświecało bladą twarz nieszczęśliwej dziewczyny. Z szeroko otwartemi oczyma patrzała Katynka na przeciwległą ścianę, śledząc cienie, które rzucał na nią księżyc. Wtem nagle cienie te poczęły przybierać zarysy postaci ludzkiej. W długiej sukni zwolna zbliżała się kobieta młoda, piękna, na włosach miał wieniec mirtowy.

Katynka chciał się zerwać, lecz strach bezgraniczny przykuł ją do miejsca i nieruchomie wpatrywała się w zjawisko. Tuż przy niej, postać zatrzymała się, smutnie patrzyła na młodą dziewczynę i podniosła ręce jakby do skargi.

— Biedne dziecię — szeptała.

Potem znikła tajemnicza postać. Tuż za nią zjawiła się inna kobieta w ciemnym stroju, miała śmiertelnie bladą twarz, głowę nakrytą chustką.

— Nieszczęsna! I ty zgubiona — zawołała i ty w mocy Sinobrodego?

Zerwała chustkę z głowy i Katynka spostrzegła na jej szyi znak czerwony jak krew. Z okrzykiem zgrozy runęła biedna dziewczyna na ziemię, nieprzytomna.

Gdy otworzyła oczy świeciło się w pokoju światło, wzrok jej padł na Sinobrodego, który stał nad nią z miną namiętną wyuzdaną. Wzdrygnęła się i schroniła za stół. Trzymając ręce na falującej piersi, wpatrywała się w niego trwożliwie, jak bezbronna sarna, którą wilk ściga.

Chwilę stał Sinobrody niezdecydowany, pożerając formalnie wzrokiem cudowną postać dziewczyny. Chuć wykrzywiła jego bladą wstrętną twarz. Wyciągnął przed siebie ręce i zbliżył się ku niej gwałtownie.

— Nie bój się gołąbku — roześmiał się. — Przecież ci nic złego nie zrobię.

— O, Boże! zlituj się nademną — zawołała Katynka uciekając — pomocy, pomocy!

— Nie krzycz, nikt cię tu nie słyszy

Przypadł do niej

— Do mnie należysz! Z płomieni cię wyratowałem. Teraz chcę otrzymać nagrodę za to.

Jeszcz raz wymknęła mu się Katynka, lecz już w następnej chwili objął ją Sinobrody i rubasznie przycisnął do siebie.

— Moją być musisz — mówił w dzikiej namiętności — nie wzbraniaj się dłużej, nawet szatan nie ocali cię.

W śmiertelnej trwodze padła mu Katynka do nóg i błagalnie wyciągnęła ręce.

— Zmiłowania, panie — błagała — cóż wam zrobiłam, że mnie tu trzymacie! Spaliliście dom mego ojca, co chcecie teraz ze mną uczynić? Panie bądźcie miłosierni, puście mnie.

— Nie jestem głupcem — zaśmiał się Sinobrody. — Jej bezbronność i wzbranianie się potęgowały tylko jego namiętność. Podniósł ją i objął na nowo.

— Chodź — szepnął — a oczy jego błyszczały wyuzdaną chucią. Już dość długo czekam na tę chwilę.

Już chciał ją zanieść na łóżko, gdy wtem wyrwała się Katynka jeszcze raz z jego objęć i nim Sinobrody mógł wyciągnąć za nią ręce, stała już przy jednym z wysokich okien. Szybko je otworzyła i wychyliła się. Twarz jej wyrażała stanowczość, odwagę i pogardę śmierci.

Zaklął Sinobrody i chciał się na nią rzucić, by ją porwać z tego niebezpiecznego miejsca. Lecz strach przykuł go do ziemi, nie mógł postąpić ani kroku.

— Nie zbliżajcie się do mnie — zawołała Katynka. — Bo w waszych oczach rzucę się w morze. Lepsza śmierć niż hańba.

Jak przykuty do ziemi stał Sinobrody. Ka-

tynka wydawała mu się podwójnie piękną i pożądliwą — tam, w górze — wpółcieniu. Jej blond włosy spadały jej na ramiona, a wiatr kołysał suknią.

— Nie skoczysz w dół, nie, równałby się taki skok śmierci — zaśmiał się szyderczo i rzucił się ku niej...

Postać Katynki wychyliła się. Na widok czarnej przepaści wzdrygnęła się... na widok śmierci, która tam w dole na nią czyhała.

Jeszcze raz rzuciła wzrokiem na Sinobrodego, który tryumfująco wyciągnął za nią ręce. Był to wzrok trwożliwie prześladowanej sarny... potem odjęła ręce od ramy okna i postać jej zniknęła wśród ciemności.

Okrzyk zgrozy wydarł się z piersi Sinobrodego. Wychylił się z okna i wstrzymując oddech patrzał w straszną przepaść. Jeszcze jeden do szpiku kości wstrząsający okrzyk z czarnej głębiny... potem cisza... Tylko wiatr zawodził żałośnie i fale szumiały, opłakując nieszczęsną ofiarę nieludzkiego rozpustnika, którą pogrzebały w swem łonie.

Rozdział 31.

WSZYSTKO DAREMNIE.

Wczesnym rankiem wszedł komisarz Winter w towarzystwie oficera policyjnego, do biura przedsiębiorcy okrętowego w owem mieście portowem. Szef przyjął ich ze zdziwieniem i z uszanowaniem, a Winter wymienił natychmiast powód swego przyjścia i imię osławionego handlarza dziewczętami zapytał:

— Czy otrzymałeś pan od tego człowieka przed tygodniem rzeczy, celem wysłania do zamorskich krajów?

— Możliwe panie komisarzu — odpowiedział szef — dam pewne wyjaśnienie z książek.

Z sąsiedniego pokoju zawołał buchaltera, który przyniósł wielką książkę. Szef patrzał w książce przez chwilę, poczem wskazał Winterowi miejsce i rzekł:

— Tak przed ośmiu dniami naładowano na okręcie "Portland", pięć pakunków i jedną skrzynię, okręt tego samego dnia odpłynął.

— Pokaż pan — rzekł Winter — co tam jeszcze stoi w notatkach pana?

Komisarz czytał takie uwagi:

Jedna skrzynia, zaasekurowana na 16.000 marek. Zawartość: towary jedwabne i rzeczy sztuki. Znak: M. S. Miejsce przeznaczenia: Kairo.

Winter był bardzo wzburzony.

— Kiedy skrzynia ta będzie na miejscu przeznaczenia? — zapytał gwałtownie.

— W każdym razie jeszcze dzisiaj — odpowiedział przedsiębiorca okrętowy, nie mogąc pojąć zainteresowania się Wintera skrzynią. Okręt wczoraj popołudniu zawinął do portu Aleksandryi. Jeżeli skrzynię natychmiast wyładowano, to jeszcze w nocy odeszła koleją do Kairo.

— Zatem zapóźno! — szepnął Winter rozczarowany. O dzień jeden za późno. I nagle spytał niecierpliwie:

— Ale możliwe także, że skrzynia jest jeszcze na okręcie, albo też leży w Aleksandryi, co?

— Nie bardzo to możliwe, bo skrzynię nadano jako "Eilgut".

— Tak, tak! westchnął Winter. Powiedz mi pan tylko jeszcze: jak długo idzie depesza do Kairo?

— Ze 6 do 8 godzin.

— Zbyt długo. Ale spróbuję, — rzekł Winter do siebie. Zanotował sobie prędko uwagi z książki i podziękowawszy szefowi oddalił się, pozostawiając w biurze oficera policyjnego, który miał wyjaśnić sprawę zdziwionemu przedsiębiorcy.

W dziesięć minut później pędził Winter na główną stacyę telegraficzną i nadał telegram jako "ważny" do natychmiastowego wysłania do Kairo.

Z niecierpliwością czekał na odpowiedź, która mu miała przynieść pewność. Telegram nadszedł dopiero o trzeciej nad ranem i przyniósł Winterowi wielkie rozczarowanie. Skrzynia już dawno przybyła była do Kairo. Z kolei zabrano ją natychmiast. Kto i dokąd, niewiadomo.

Taki był tekst depeszy. Winter widział, że wszelkie poszukiwania nie dadzą rezultatu.

Napisał do hrabiego, że według jego przekonania Agata zginęła na zawsze. Jeszcze tego samego dnia wyjechał do rezydencyi, by śledzić za Katynką, której los mu przedewszystkiem leżał na sercu.

Niecierpliwie oczekiwał hrabia Edmund w hotelu komisarza, kiedy przyniesiono mu list. Rozczarowanie i niepokój malowały się na jego twarzy, gdy przeczytał treść jego. W tej samej chwili weszła Walerya. Na jej zapytanie, czemu taki wzburzony, wręczył jej list Wintera i zakrył twarz rękoma.

Walerya przebiegła szybko treść listu. Oczy jej błyszczały tryumfująco, i złośliwy uśmiech zawisł na jej ustach. Udając przestrach, zawołała z żalem:

— Mój Boże! Więc wszystko stracone? Bie

dny mój Edmundzie! Posłuchaj mnie. Jeżeli komisarz zwątpił już w odszukanie Agaty i zaprzestał poszukiwań, zdaje mi się, że i my powinniśmy iść za jego przykładem.

— Nie! — zawołał stanowczo hrabia. Jeszcze nie tracę nadziei. Chcę i dalej szukać za nieszczęśliwą.

Walerya zagryzła wargi, lecz milczała. Nie chciała mu zresztą odradzać, bo ta podróż w towarzystwie Edmunda była jej na rękę. Była z nim razem, w każdej chwili mogła plan swój poprzeć.

— Słusznie kochany Edmundzie! — rzekła. Nieudałe próby nie powinny nas odstraszyć. Może ten komisarz jest nieudolnym, sami więc będziemy prowadzić dalsze poszukiwania. Dokąd zatem udamy się teraz?

— Nie wiem, westchnął smutnie. Nie mamy żadnego śladu. Obojętne więc dokąd się udamy.

— O nie! kochany Edmundzie. Zastanówmy się tylko. Musimy ułożyć dokładny plan podróży.

Hrabia Edmund zdał się zupełnie na Waleryę. Jeszcze tego samego dnia wyjechali i późnym wieczorem przybyli do wielkiego miasta. Następnego dnia rozpoczęli poszukiwania, oczywiście bez najmniejszego skutku.

Walerya udawała rozczarowanie i ból bezgraniczny. Jej rzekoma ofiarność wzruszyła hrabiego. Jej wyrafinowane wyrachowanie uważał za współczucie i szlachetność.

Wieczorem gdy znużony i zgryziony wrócił z nią do hotelu, zasiadła Walerya do smacznej kolacyi. Lecz hrabia Edmund prawie że nie jadł. Oparty o krzesło patrzał przed siebie ponuro. Od czasu do czasu rzucała nań Walerya badawcze spojrzenie. Po kolacyi, gdy już kelner sprzątnął, przysunęła swe krzesło do Edmunda i zarzuciła mu troskliwie ramię na szyję.

— Ach, kochany Edmundzie, — mówiła szeptem pochłaniając go namiętnym wzrokiem. Boleść pana jest moją boleścią. Nie mogę patrzeć na twe cierpienia. Gryziesz się po stracie kobiety, niegodnej twej miłości. To mnie boli. Wierzaj mi, kochany hrabio, nie zazdrość ze mnie mówi. Pogrzebałam swe nadzieje i życzenia. chociaż Bóg wie z jakiem sercem i ile mnie to kosztowało.

Westchnęła ciężko, a gdy Edmund nie odpowiadał, zakryła twarz rękami i zapłakała.

— Waleryo! Boże! zawołał hrabia wzruszony. Boże! pani płacze? Uspokój się pani. Łzy twoje są dla mnie wyrzutem. Nie mogłem odwzajemnić twej miłości. mimo to dałem swe słowo w godzinie słabości, lecz — musiałem je złamać.

— A teraz, Edmundzie a teraz? — zawołała Walerya drżącym namiętnością głosem. Teraz jesteś wolnym. Nie czuje już twe serce miłości dla tej obłudnicy, która cię oszukała i wzgardziła twemi najświętszemi uczuciami. Myśl o niej tylko z pogardą! O, zbudź się nareszcie Edmundzie ze swego nieszczęśliwego szału do bi?e!kyzgoTo J daosęimvp yya ććwTkd

I nim osłupiały hrabia mógł znaleźć odpowiedź, leżała już demoniczna kobieta u jego nóg i objęła go namiętnie miękkiemi pełnemi ramionami.

— Edmundzię kochany mój — mówiła gwałtownie w szale miłosnym. Nie masz dla mnie litości, ja zginę bez twej miłości. Agata cię porzuciła. Z własnej woli zerwała więzy łączące cię z nią. A w swym liście pożegnalnym pisała o mnie, ze mną — tak, tak pisała — będziesz szczęśliwym. O, nie odpychaj mnie, Edmundzie! ukochany mój. jedyny!

Nie będąc panem siebie, wpatrywał się hrabia Edmund w tę bajecznie piękną kobietę, której słowa miłosne brzmiały jak najpiękniejszy śpiew syreni. Była cudowną, czarującą kobietą.

Żaden mężczyzna nie mógłby się oprzeć jej urokowi. Jej włosy spadały na lśniąco białą szyję łabędzią i pełne jej ramiona były nagie, delikatne, białe jak alabaster. Jej silnie falująca pierś rozdarła lekką zasłonę i jakby z marmuru błyszczały w świetle jej piersi. Jej oddech był gorący, słodki i upajający, jak woń kwiatów. Ujął jej ręce. Natychmiast objęły jej ramiona jego szyję, twarz jego opadła na jej nagą pierś, a usta jej całowały go namiętnie...

Kochaj mnie — szeptała — a uczynię cię szczęśliwym, tak jak żaden przed tobą nie był.

Jego zmysły były silnie podrażnione. Nie wiedział, co czyni. W szale szeptał słowa miłości, które serce jego nie czuło. Trzymał w objęciu tę czarującą kobietę, łaknącą jego pocałunków i w tej chwili, w szale rozkoszy, zapomniał o wszystkiem.

Kiedy Walerya następnego dnia wstała z łóżka, czuła błogie uczucie tryumfu.

— Teraz zwyciężyłam! Zdobyłam go nareszcie — zawołał — i nie spocznę, póki nie wyprę jej obrazu z jego serca, póki nie zostanę jego żoną w oczach świata.

Hrabia Edmund zdawał się żałować, co uczynił. Obraz Agaty był dlań żywym wyrzutem. Nie mógł więcej wybrnąć z sieci syreny.

Lecz kiedy Walerya czarująco piękna, zbli

żyła się do niego i namiętnie go uścisnęła, wola znowu osłabła i nie słyszał upomnień, które mu szeptał głos wewnętrzny.

I tego dnia szukano za Agatą, lecz już nie z dawnym zapałem. Poszukiwania nie wskazywały zresztą najmniejszego śladu. I hrabia Edmund tracił zwolna nadzieję. Tak chciała przecież Agata. Chciała by ją uważał za umarłą, czego zatem szuka za nią? Przecież uśmiecha się doń czarowne szczęście u boku Waleryi. Dlaczego miałby je odepchnąć?

Rozdział 32.

W WIĘZIENIU.

Dozorcy odstawili aresztanta, który twierdził, że Walerya jest jego żoną, do więzienia. Sprowadzili go do pokoju służbowego dyrektora, by mu donieść o tym wypadku.

Jeden z dozorców został z więźniem w sieni, drugi udał się do dyrektora. Dyrektor starszy pan, o surowej twarzy, siedział przy stole i pisał.

Gdy dozorca wszedł, zapytał krótko:

— Co tam?

— Więzień No 21 zawinił przed chwilą poważniej. Był w parku zajęty około robót, w tem nagle rzucił się na elegancką panią i obraził ją. Twierdził że pani ta jest jego żoną. Z trudnością tylko potrafiliśmy poskromić go.

— Czy ten łotr oszalał? — zawołał dyrektor. — Jak się nazywa?

— Ludwik Hecht, rabuś kolejowy, został skazany swego czasu na sześć lat, z tego odsiedział już prawie cztery.

— A czy on się zresztą dobrze sprawował?

— Tak, nie miał żadnej dyscyplinarki.

— Hm — tak, proszę go tu sprowadzić — rozkazał dyrektor.

Dozorca otworzył drzwi, wszedł więzień Ludwik Hecht.

— Człowieku — rzekł do niego gniewnie dyrektor — powiedzcie mi straciliście chyba na gle zmysły. Czegoście chcieli od tej pani?

— To moja żona, panie dyrektorze — zawołał więzień. Poznałem ją i chciałem...

— Głupstwo — zawołał dyrektor — taka pani miałaby być wasza żoną? Nie bredzić mi tu. Jak mieliście odwagę porzucić robotę i zaczepiać obcych?

— Przepraszam panie dyrektorze, ale...

— Milczeć! Dozorca, aresztant zostanie umieszczony sam jeden w ciemnej celi, o chlebie i wodzie na 6 dni. Na razie tyle ze względu na to, że jeszcze nie był karany.

Dozorcy zabrali więźnia. Na końcu długiego korytarza, który oświecało światło latarni, otworzono ciężkie żelazne drzwi i wtrącono w ciemny loch piwniczny aresztanta. Drzwi zamknięto z trzaskiem.

Ludwik Hecht zgrzytał zębami i klął siarczyście, poczem postąpił ostrożnie o kilka kroków. Było zupełnie ciemno. Potknął się nareszce o jakieś twarde posłanie, rzucił się na nie i zawołał wściekły:

— Sześć dni mam siedzieć w tym lochu? I ona temu winna — tylko ona. Do dyabła tego jej nie daruję. Niech tylko minie mój czas.

Nagle zamilkł i podniósł się. W pobliżu usłyszał szelest, jakby się ktoś zbliżał. Więc nie był tu sam?

— Kto tu? — zawołał.

— No, a kto — odpowiedział jakiś głos. — Także jeden, którego tu zamknęli. Już dwa dni sam siedzę. Cieszę się z towarzystwa.

— A gdzie jesteś — zapytał Ludwik Hecht zdziwiony.

— No tu, w sąsiedztwie! Chodźcie, ale uważajcie, tu są kraty.

W ciemności domacał się Ludwik Hecht krat, dzielących ciemny ten loch na dwie części. Za temi kratami stał jego niewidzialny towarzysz niedoli i uścisnął mu serdecznie rękę.

— Jak się nazywasz? — zapytał niewidzialny.

Ludwik Hecht wymienił swe nazwisko i zapytał:

— A ty?

— Nazywają mnie "Kulasem", bo kuleję nieco na lewą nogę. Czy już tu długo siedzisz?

— Wnet będzie cztery lata.

— No a ja pięć lat. I tak długo mam jeszcze siedzieć. Chciałem się stąd wydostać udawałe chorego w nadziei, że ze szpitala łatwiej drapnę. Ale przyłapali mnie i zamknęli do tego lochu na 14 dni. A ty coś tam przeskrobał?

— Et, głupstwo — mruczał Ludwik Hecht i opowiedział swą przygodę z Waleryą.

— Dam się powiesić — zawołał — że ona jest moją żoną. Teraz udaje wielką panią, bo złapała jakiegoś tam pana. Ale niech ja tylko będę wolnym — pokażę jej do kogo należy.

— Tak! Gdyby się tak stąd wydostać — zawołał Kulas — znam złoty interes. Miałbyś odwagę?

— No i cóż, nie mam wcale ochoty odsiedzieć swój czas.

— W takim razie rozumiemy się. Plan ucieczki mam już przygotowany. Nie mogłem go tylko sam jeden wykonać. W dwójkę uda się.

— A co poczniemy skoro szczęśliwie drapniemy?

— Posłuchaj, szeptał Kulas z zapałem — mam murarza, dobrego przyjaciela. On mi opowiedział, że przed dziesięciu mniej więcej laty wykonał tajemniczą robotę na zamku Wildenfels. Wmurował w wielkiej sali, w mur wielką żelazną szafę. Nikt o tem nie wiedział. Potem hrabia udał się Afryki i więcej nie wrócił. W tej tajemniczej szafie — przypuszcza murasz — ukrył swe skarby. A hrabia ma być niezmiernie bogaty.

Ludwik Hecht słuchał uważnie i rzekł:

— Zamek Wildenfels — mówisz — a, znam ten zamek. Prawda hrabia gdzieś zaginął. Przed pięcioma przynajmniej laty nie było go jeszcze.

— A pieniądze co —zawołałKulas — mają one gnić w szafie? musimy je zabrać, murarz tego nie potrafi, ale opisze nam dokładnie miejsce. Ludwiku znajdziemy tam miliony.

Ludwika Hechta zainteresowały żywo te wiadomości i obudziły jego ciekawość. Lecz nie chciał wspólnika, tego głupiego Kulasa, który mu tak prędko zdradził tajemnicę.

— Kto ten murarz i gdzie mieszka? — zapytał podstępnie.

Kulas wymienił nazwisko i mieszkanie murarza, poczem razem zaczęli się zastanawiać nad planem ucieczki, obmyślanej przez Kulasa. Podczas tej narady drzwi się otwarły, więźniowie szybko się oddalili, by nie wzbudzić podejrzenia.

Weszli dozorcy z latarnią w ręku. Postastawili na ziemię dwa dzbanki wody i dwie porcye chleba położyli na każdym dzbanku.

— To dla was — rzekł jeden z nich do Hechta. Podaj jedną porcyę przez kraty swemu towarzyszowi.

Ludwik usłuchał, przy tej sposobności zobaczył po raz pierwszy twarz swego towarzysza. Nie młody już był, brzydki i odpychający, wybitnie zbrodnicza fizyognomia.

Dozorcy oddalili się, więźniowie zjedli chleb i rozpoczęli na nowo narady, poczem rzekł Kulas:

— Trzeba się zabrać do dzieła. Nie będą nam często przeszkadzać, bo dozorcy przychodzą tylkc rano i wieczorem. Mamy pięć dni czasu, musimy je wykorzystać.

Ze spodniego ubrania wyciągnął krótki, silny kawał żelaża, które swego czasu przygotował sobie i rodzaj witrycha, Ludwik posiadał także zardzewiały nóż, który znalazł przy robocie w piasku.

Towarzysze uklękli obok krat, po omacku szukali za otworami między kamieniami, któremi pokryta była podłoga.

— Ten kamień musimy podnieść, jest tuż pod kratami — rzekł Kulas — masz odpowiedni otwór.

— Tak! Ale trudna to praca w ciemności — odpowiedział Ludwik.

— Pewnie, ale światła nie mamy. Naprzód więc, do pracy.

Skrobali cement z otworów. Trudna to była praca zwłaszcza dla Ludwika, który pomagał sobie tylko nożem. Klął i przerywał pracę co chwilę.

— Dalej, dalej — zachęcał Kulas — idzie, idzie dobrze.

Na propozycyę Ludwika zamienili swe narzędzia. Po upływie dwu godzin podnieśli wiel ki kamień z dwóch stron. Kamienia tego mimo wysiłku nie mogli ruszyć z miejsca.

— Jeszcze silnie siedzi, trzeba go zwolnić z drugiej strony.

Od czasu do czasu przystawali w pracy, nadsłuchując, czy się nikt nie zbliża. Lecz w aresztach wszystko spało prócz straży.

Ludwik opuścił witrych, pot ciekł mu z czoła, chociaż w lochu było zimno.

— Nie mogę więcej — wystarczy na dzisiaj.

— Nie, kamień musi stąd pójść precz, bo w przeciwnym razie czeka nas jutro ta sama praca, oświadczył Kulas, trzeba by wtedy wypełnić na nowo otwory by nikt nic nie poznał.

Ludwik musiał mu przyznać racyę. Po krótkim spoczynku, zabrali się na nowo do pracy. W końcu zwolnili kamień ze wszystkich stron. Kulas silniejszy znacznie jak Ludwik, wziął teraz witrych. Przez chwilę silili się bardzo, wreszcie podniósł Kulas kamień do tej wysokości, że mógł ręką ująć dolną krawędź. Ludwik uczynił to samo z drugiej strony i mogli teraz kamień wyciągnąć z pod krat.

Kulas omacał otwór i przekonał się, że pod kamieniem jest tylko ziemia i rzekł:

— Wnet się tędy przedostaniemy. Skoro sprzątniemy piasek, trzeba jeszcze tylko przełamać sklepienie w dole.

— A czy wiesz pewnie, że tu właśnie leży kanał — zapytał Ludwik.

— Już dawno przekonałem się o tem — odparł Kulas — pomagałem w tamtym roku przy robotach kanałowych. Wtedy siedział tu dobry mój przyjaciel, któremu poleciłem, by silnie uderzał nogami w kamienie. Uczynił to też i uderzenia te słyszałem dokładnie tam w dole, w kanale.

— A przecież mam wątpliwości, czy się przedostaniemy przez ten kanał.

— Ale z pewnością! Kanał prowadzi nad rzekę. Tam jest otwarty i wyjście jest zupełnie łatwe. Głównie chodzi o to, byśmy byli na dole i by tego nikt nie spostrzegł.

Tej nocy nie pracowali więcej z powodu zmęczenia. Kamień położyli na pierwotne miejsce i ułożyli się do snu na swych twardych posłaniach. Spali aż ich zbudziło otwieranie drzwi.

Dozorcy przynieśli chleb i wodę. Więźniom biło gwałtownie serce, bo jeden z dozorców wszedł do celi z latarnią w ręku i sam podał przez kraty Kulasowi śniadanie. Gdyby przypadkiem wstąpił na luźno tylko założony kamień, wzbudziłoby się w nim podejrzenie, otwory widoczne były w świetle latarni.

Dozorca stał tuż przy kamieniu... Jednak nic nie odkrył. Poszedł precz, niebezpieczeństwo minęło. Lecz dozorcy wracali przecież każdego rana i co wieczora.

— Niebezpiecznie tu, — rzekł Ludwik Hecht. Trzeba się wydostać jeszcze tej nocy.

— Zobaczymy, — odpowiedział Kulas. W dzień nie możemy pracować. I wieczorem dozorcy nic nie spostrzegli.

— Dalej do pracy, zachęcał Ludwik Hecht.

Kamień wyjęli. Nożem i witrychem oddalili ziemię i piasek i z otworu, który miał ze cztery stopy w kwadracie. Wielką dla nich przeszkodą były kraty.

— Czekaj, — zawołał nagle Kulas trwożliwie. Nie słyszysz?

Ludwik podskoczył i nadsłuchiwał. Zdawało się, że się z korytarza zbliżają kroki. Czy dozorcy mają podejrzenie? Jeżeli teraz przyjdą, wszystko stracone!

— Prędko! Kamień w otwór, — szeptał Kulas.

Kroki stawały się wyraźniejsze. Zatrzymały się przed drzwiami. Więźniowie w śmiertelnej trwodze chwycili kamień i rzucili go w otwór.

Drzwi się otwarły. Więźniowie mieli jeszcze tyle czasu, by się dostać do swego posłania. Wtem padło światło latarni, w drzwiach ukazała się głowa dozorcy. stuk kamienia wzbudził w nim podejrzenie.

Dokładnie rozglądnął się po celi. Więźniowie leżeli spokojnie na swoich posłaniach. Mieli oczy na pół przymknięte, trwożliwie śledzili dozorcę.

— Hej tam— Numer 21! — zawołał tenże i przestąpił próg celi.

Zerwał się Ludwik Hecht i wystraszony wpatrywał się w dozorcę, udając że go zbudzono ze snu.

— Co tam za stuk? — spytał dozorca podejrzliwie.

— Nic nie słyszałem, — odpowiedział Hecht swobodnie.

Jeszcze raz rozglądnął się dozorca i kiwając głową oddalił się. Zasunął zasuwy, wnet zaległa korytarz cisza.

Ciężar spadł z piersi więźniów. Zabrali się natychmiast do roboty.

— Głupiec nic nie zmiarkował, szydził Kulas. Lecz zaczekajmy jeszcze. To bezpieczniej.

— Prawie straciłem już odwagę i ochotę, — rzekł Hecht drżącym głosem.

— Ba! musimy być na to przygotowani. Mój kochany, cóż przytem stracisz? Przyłapią cię, no to co? Najwyżej dołożą jeszcze kilka miesięcy.

— Słusznie mówisz, — oświadczył Hecht, który odzyskał odwagę. Nuże, do pracy. Albo lepiej, ty pracuj sam, a ja będę przy drzwiach nadsłuchiwał, czy się nikt nie zbliża.

Zgodził się na to Kulas.

Ludwik Hecht nadsłuchiwał uważnie. Cisza. Po chwili wrócił do swego towarzysza i pomagał mu. Zaraz znowu skoczył pod drzwi, by uspokojony wrócić do pracy.

Minęło kilka godzin. Kulas dostał się nareszcie do sklepienia, oddaliwszy prawie że 3 stopy grubą warstwę ziemi i piasku. Należało teraz przebić sklepienie. To nie było łatwem zadaniem, bo sklepienie składało się z potrójnej warstwy kamieni.

Kulas procował mimo znużenia. Ciemności utrudniały robotę. Leżał na ziemi a górna część ciała zwieszała w otwór. Wreszcie oddalił jeden kamień z pierwszej warstwy z łatwością poszły już inne kamienie tej warstwy. I przy drugiej warstwie sprawiał trudności tylko pierwszy kamień. Z ostatniej warstwy zaś oddalił Kulas tylko dwa kamienie i przerwał pracę.

Był śmiertelnie znużony chociaż go Ludwik od czasu do czasu luzował. Zbliżał się dzień, musieli robotę przerwać. Należało jeszcze zatrzeć ślady ich usiłowań, nie mogli pozostawić w celi kamieni i ziemi.

— Czy tam w dole dużo wody? — spytał Ludwik Hecht. Z kanału dobywał się cichy szmer wody.

— Nie bój się, uspakajał go kulas. Do szyji nie sięga. Podaj mi kamienie. Trzeba je zrzucić, również i ziemię.

Uczynili to, potem założyli kamień na otwór i ułożyli się do snu.

— Jeżeli do jutra wieczorem niczego nie

odkryją — jesteśmy ocaleni, — rzekł jeszcze Kulas. W tej samej chwili zasnął, Ludwik jednak czuwał jeszcze, upojony błogą radością wolności.

A szczęście zdawało się im sprzyjać. Dozorcy ani zrana ani wieczorem niczego nie spostrzegli, coby mogło wzbudzić ich podejrzenie.

W dwie godziny po kolacyi, zabrali się do pracy. Po raz ostatni odwalili kamień. Potem przebił Kulas ostatnią warstwę sklepienia. Była północ. Cisza grobowa.

— Dalej! — zawołał Kulas. Ludwik! uważać! Ja pierwszy zejdę! Za chwilę zniknął.

— Jesteś już w dole? — spytał Hecht.

— Tak! chodź i ty.

Ludwik spuścił się w dół ostrożnie, trzymając się krat.

Za chwilę uczuł wodę. Była zimna jak lód, a on miał na nogach tylko pończochy.

Stał już na dole w kanale, głową jednak tkwił w otworze. Wtem ujął go Kulas za ramię.

— Chodź za mną, — rzekł. Ale musimy się zniżyć, bo kanał jest nizki. Szli kilka minut. Woda sięgała na razie do kolan, które cierpły wskutek zimna. Jeszcze kilka kroków, a Kulas przystanął, nosem dotknął się wody.

— Daremnie! — zawołał przerażony. Nie idzie dalej! Woda za wysoka.

— Wszystko jedno, — zawołał Ludwik stanowczo. Za nic w świecie nie wrócę więcej.

Usunął na bok swego trwożliwego towarzysza, a sam kroczył dalej. Lecz za chwilę i on zanurzył się w wodzie. Nie mógł oddychać. Straszna sytuacya! Lecz wolał tu zginąć, niż wrócić do więzienia.

Postąpił jeszcze kilka kroków. Nosem i ustami dostawała mu się woda, daremnie chciał zaczerpnąć odechu. Wtem rzucił się na grzbiet. Oddech był swobodniejszy. Woda go unosiła i zwolna płynął pod sklepieniem.

O swym towarzyszu nic nie wiedział. Obojętne mu to było, myślał tylko o własnym ratunku.

Na każdym kroku groziła mu śmierć, bo woda wzrastała. Coraz mniej było powietrza, które i tak było zepsute i zgniłe. Ludwikowi groziło uduszenie, siły go opuściły, zdawało się, że za chwilę, zginie. Wtem — w najgroźniejszej chwili — uczuł się znowu swobodniejszym, wskutek strumienia świeżego powietrza.

Sklepienia się już prawie nie dotykał. Woda coraz więcej opadała. Sięgała znowu tylko do kolan. Domyślał się też, że się kanał wnet skończy. Słyszał szum wiatru, oddychał świeżem powietrzem.

Wtem nagle wpadł w głębię — w szumiące fale. W ciemności nie spostrzegł, że się kanał skończył, wpadł w rzekę. Woda go jednak natychmiast uniosła w górę. Z nadzwyczajnym wysiłkiem udało mu się dotrzeć do brzegu. Nie zważał na deszcz i burzę. Był ocalony, wolny!

Lecz co począć? pomyślał. Może odkryto już jego ucieczkę. Nie wolno mu tu ani chwilę zostać. Lecz w ubraniu aresztanckiem nie może się nigdzie pokazać. Trzeba dostać inne suknie i to jeszcze tej nocy.

Gdzie też został jego przyjaciel Kulas? Pewnie wrócił i siedzi w kanale, gdzie go jutro znajdą dozorcy.

Na myśl o tem roześmiał się Hecht zadowolony. Prędko ułożył plan, który natychmiast postanowił wykonać.

Popędził dalej. Po chwili wynurzyły się w ciemności baraki, w których mieszkali robotnicy, zajęci przy robotach rzecznych. W pobliżu była kantyna, zbudowana z desek lekkich. Nocą stała kantyna pustką.

Ostrożnie dostał się Hecht do małej budy, w której znalazł rozmaite narzędzia. Wziął siekierę i zrobił nią w kantwnie okiennice. Ostrożnie, bez hałasu, sunął szybę. Dookoła grobowa cisza. Dostał się do wnętrza, wnet potknął się o stół, na którym znalazł zapałki. Radość jego była wielka. Zaświecił światło i rozglądnął się dookoła.

Był w izbie szynkownej. Bez trudu otworzył szafkę na pieniądze, znalazł tu łup, przewyższający jego oczekiwania , 30 marek drobną monetą. Szynkownia graniczyła z drugą izbą. Tu znalazł zupełne ubranie, które natychmiast zamienił na swe przemoknięte suknie aresztackie. nalazły się także buty, kapelusz i palto stare.

Był głodnym, zabrał więc z szynkowni chleba i kiełbasy, ile tylko mógł pomieścić w kieszeniach. Potem szybko opuścił kantynę, bo dłuższy tu pobyt mógł się stać niebezpiecznym. Zabrał swe ubranie aresztanckie, by go nie zdradziło i rzucił je do rzeki.

Zaledwie był w pobliżu parku miastowego, gdy rozległ się z więzienia wśród ciszy nocnej strzał. Hechta zdjęła straszna trwoga. Zobaczył światło, bezwątpienia, ucieczkę jego odkryto.

Jak wystraszony jeleń, uciekł w zarośla i popędził w stronę miasta.

Rozdział 33.

ZAPÓŹNO.

—Wszystko daremnie. Nie znajdziemy jej. Wielki Boże! co też ten nędznik i rozpustnik uczynił z Katynką?

W największej rozpaczy biadał Winter, opanowywał go coraz większy strach, że już nigdy nie zobaczy ukochanej swej dziewczyny.

Było północ. Winter z wiernym Brandem byli w zamku Wildenfels. Od wieczora już szukali po wszystkich niezamieszkałych komnatach zamku. Daremnie. Katynki nie znaleźli. A przecież musiała się znajdować w zamku. Nie ulegało to wątpliwości po tem, co tu widział i zbadał Brand. Lecz gdzie ukrył Sinobrody swą ofiarę? A może zgotował jej taki los, jak swoim żonom?

Winter studyował plan budowy zamku Wildenfels znaleziony tu w starej bibliotece. Z planu tego nabrał przekonania, że należy jeszcze przeszukać dwie krańcowe wieże zamku i ową osławioną wieżę duchów.

Do tej ostatniej trudno się było dostać, bo Sinobrody kazał zamurować nietylko drzwi, lecz także dolne okna. Zresztą tam chyba Katynki nie było. Należało zatem przeszukać wieże krańcowe.

Natychmiast zabrali się Winter i Brand do roboty, zaopatrzeni we wszelkie potrzebne narzędzia Po niemałych trudach zdołali otworzyć drzwi pierwszej wieży. W pokoju, w którym Katynka ostatnio bawiła, znać też jeszcze było ślady jej bytności.

Dalsze poszukiwania nie odniosły rezultatu. Winter stał przed zagadką. Nie przypuszczał zrozpaczony komisarz, jaka straszna scena rozegrała się w tej komnacie, że rozpacz popchnęła biedną dziwczynę do strasznego kroku...

Jedna jeszcze zostawała nadzieja, przeszukanie drugiej wieży krańcowej i wieży duchów. Tego tej nocy nie można było wykonać. Do grobowca zreszta był możliwy dostęp tylko od strony morza.

Kiedy Winter z Brandem wracali cichaczem przez posępne korytarze zamku, zatrzymali się nagle przed drzwiami z poza których dochodziły ich wzburzone głosy. Nadsłuchiwali.

— To hrabia Sinobrody i ich służący Piotr — szepnął Brand.

Rozmowa ich obudziła zainteresowanie Wintera.

Już w miniony wieczór oczekiwał Sinobrody swego służącego, lecz ten nie przyszedł. Dopiero tej nocy zjawił się w zamku i odszukał swego pana.

Pewny siebie, prawie zuchwale wszedł do jego pokoju i już pierwsze jego słowa zdradzały, że nie ma wcale zamiaru odstąpić od swych warunków.

— Panie, rozważyliście już moją propozycyę — rzekł i swobodnie usiadł na krześle. Z rozmysłu dałem wam dzień więcej czasu.

Sinobrody pił właśnie wino z wielkiego puchara. Czerwona jego twarz wskazywała na to, że to dzisiaj nie pierwszy puchar. Jego rysy były ponure więcej jak zwykle. Rzucił wściekłym wzrokiem na Piotra i wycedził:

—Wstań z łaski swojej, kiedy ze mną mówisz! Myślisz może, że ci wolno udawać wobec mnie pana? Zachowaj się inaczej, kochanku, bo cię nauczę rozumu. Zrozumiał?

Oho — zaśmiał się Piotr. — Mimowoli jednak wstał z krzesła. Żądacie uszanowania. A co wy lepszego jak ja, zresztą nie chcecie mówić na rozum, dobrze — pójdę sobie.

I zwrócił się ku wyjściu.

— Stój — zawołał Sinobrody — tu masz zostać.

W tej samej chwili porwał go Sinobrody i rzucił gwałtownie na środek pokoju. Czerwona, wykrzywiona twarz Sinobrodego zdradzała jego wściekłość, cała jego postawa, każdy ruch miały coś groźnego w sobie i Piotra zdjęło tchórzostwo i trwoga.

— Słuchaj łotrze — rzekł Sinobrody na pozór spokojnie. Wziął ze stołka krótką ciężką szpicrutę i przystąpił do Piotra. Jeżeli mi w tej chwili nie powiesz — bez wszelkich warunków — gdzie się ukrywa człowiek, którego podajesz za hrabiego, to potrafię rozwiązać ci język przy pomocy tego bicza.

Piotr zbladł i cofnął się. Sięgnął do kieszeni po rewolwer, lecz w tej chwili opadła mu ręka, uderzona ciężką szpicrutą. Z okrzykiem bólu zatoczył się Piotr.

— Tego uderzenia nigdy nie zapomnę wam — zawołał wściekły — zabij mnie, ale tajemnicy mi nie wydrzesz. Choćbyście mi ofiarowali teraz i całe góry złota — nic wam nie zdradzę ze swej tajemnicy. Teraz pragnę zemsty. Gorżko pożałujecie, żeście mnie obili jak psa. Cały świat dowie się odemnie, kto wy i pozna wasze zbrodnie!

— Spróbuj no łotrze— zaśmiał się Sinobrody złowrogo. Przysięgam, żywym nie wyjdziesz z tego pokoju. Wiem teraz, czego się po tobie spodziewać mogę. Rzucę cię w najgłębszy loch, stamtąd głoś światu o moich zbrodniach. Nędz-

ny szpiegu, zginiesz, wtedy będę bezpieczny!

Jak tygrys rzucił się na swego służącego. Piotr, przygotowany na to, jednym skokiem znalazł się przy drzwiach. W chwili jednak, gdy je chciał otworzyć, chwycił go już Sinobrody i jednem uderzeniem powalił na ziemię. Potem zawlókł na pół przytomnego do krzesła i skierował lufę rewolweru do skroni jego.

— Wyznaj, — bo wypalę! — zawołał głosem stanowczym.

Piotr wiedział, że mu śmierć grozi, bo Sinobrody wykona swą groźbę, bez wzgędu na to czy tajemnicę swą zdradzi, czy nie. W śmiertelnej trwodze wpatrywał się w swego pana i milczał.

— Zostawiam ci jeszcze minutę do namysłu, — mówił Sinobrody spokojnie. Jeżeli nie zechcesz — wpakuję ci kulę w łeb.

— Dobrze róbcie jak się wam podoba, wykrztusił Piotr bezdźwięcznie. Ale śmierć moja pomszczoną zostanie — stokroć pomszczoną. Sa mi sobie grób gotujecie.

— Daruję ci życie! Dostaniesz większą nagrodę, niźli się spodziewasz, jeżeli będziesz nareszcie gadał. — Nie namyślaj się długo — minuta już minęła.

— Nie! nic nie powiem, bo wy swej obietnicy i tak nie dotrzymacie!

— Giń więc, łotrze! — zawołał Sinobrody.

W chwili jedna, gdy chciał wypalić, wzdrygnął się ręka mu opadła. Za drzwiami usłyszał wyraźny szmer i głosy. Szybko zbliżył się ku drzwiom i otworzył je.

— Kto tu? — zawołał i przy świetle z pokoju rozeznał postać, która się zbliżyła, widząc się odkrytą. Sinobrody poznał swego nowego służącego, agenta tajnego Branda. Nie spostrzegł jednak w ciemnym korytarzu komisarza Wintera.

— Czego tu chcecie? — spytał Sinobrody podejrzliwie rzekomego służącego.

— Jaśnie pan mnie wołał! — odpowiedział tenże przytomnie.

—Nie! głupiś! — zawołał Sinobrody wściekły. Niepotrzebny mi jesteś, idź do łóżka!

Służący oddalił się. Sinobrody zamknął drzwi, mrucząc:

— Łajdak ten szpieguje, muszę go oddalić!

Tymczasem Piotr odzyskał nieco równowagę. Także wściekłość Sinobrodego minęła. Rzekł spokojniej:

— Cicho! Ułożymy już warunki. Mówmy ciszej. Zdaje się, że nas ten łajdak podsłuchał.

— Tymczasem Winter i Brand zbliżyli się znowu ku drzwiom i nadsłuchiwali.

— Nie należało zdradzić się, — szeptał komisarz. Tracimy dużo ważnych danych z ich rozmowy.

— Zabiłby go przecież, gdybyśmy go nie spłoszyli, —odpowiedział Brand również cicho.

— Kto wie! — lecz sza! — Mówią dalej.

Sinobrody schował rewolwer do kieszeni. Zdawał się być zupełnie spokojnym i zmienionym. Lecz Piotr mu nie ufał, nadto cała jego dusza pragnęła zemsty.

— Piotrze! — zaczął Sinobrody. Mówmy rozsądnie. Kłótnia nie ma celu. Zapomnij o tem, co się stało. Chcę przecież, według możności — spełnić twe życzenia. Lecz nie myśl, że mnie potrafisz zmusić. Najlepiej, że mnie zaraz teraz zawieziesz do hrabiego. Dobrze?

—Nie tak prędko, panie! A kto mi zaręczy, że mnie potem nie ubijesz jak psa?!

— Masz rewolwer! A teraz chodź! Nie namyślaj się dłużej! O wszystkiem jutro pomówimy.

— Hm! — rzekł Piotr niedowierzająco. Chce pan więc spełnić moje warunki? Wiecie, pół miliona i dziewczyna!

— Co do pieniędzy porozumiemy się już. Dziewczyna zaś dla nas stracona. Tu hrabia zniżył głos, tak że podsłuchujący nie rozumieli nic. — Nie żyje!

—Co? — zawołał Piotr. Chyba sama nie...?

— Tak rzuciła się w morze, — rzekł szybko. Ale nie mów o tem nikomu, zrozumiałeś?

Jeszcze przez chwilę szeptali, pogodzeni już. Ale tylko pozornie. Bo Piotr zwłaszcza nie dowierzał Sinobrodemu i żywił ku niemu nienawiść i chęć zemsty, chociaż teraz musiał zgodzić się na wolę swego pana.

Wybrali się w drogę. Na czas cofnęli się Winter i Brand. Sinobrody i Piotr dosiedli koni i popędzili w dal. W ślad za nimi udali się również konno Brand i Winter.

Przy świetle księżyca spostrzegli wnet agenci sylwetki Sinobrodego i jego towarzysza, którzy bądź co bądź wyprzedzili ich o kawał drogi.

— Naprzód! nie wolno nam stracić ich z oczu, — zawołał Wnter i popędził konia.

W milczeniu pędzili Piotr i jego pan ku lasowi. Zdradził był Sinobrodemu, że hrabia ukryty jest w chatce leśnej. Kłusowali nie oglądając się i nie przypuszczając wcale, że z tyłu śledzą każdy ich krok.

W końcu zatrzymali konie przed chatką leśną. W oknie świeciło się światło. Piotr przywiązał konie do drzewa, poczem stanął na progu drzwi i rzekł:

— Panie! musicie mi przyrzec, że go nie

zgładzicie.

— O tem potem — teraz otwórz — zawołał Sinobrody niecierpliwie. Pchnął Piotra na bok i otworzył drzwi Oczy jego błyszczały złowrogo, dziko. Rozglądnął się dookoła.

Z ubogiego posłania podniosła się z trudem postać nieszczęśliwego więźnia. Zbliżył się ku stołowi, na którym stała zaświecona latarnia i wzrokiem pełnym trwogi wpatrywał się w ponurego przybysza.

— Kto wy — zapytał — Ha! Sinobrody — zdradzony jestem! O Boże zmiłuj się nademną!

I straszną zdjęty trwogą, zatoczył się w tył. Sinobrody nie spuszczał z niego oka. W prawej ręce, ukrytej pod płaszczem, trzymał kurczowo rękojeść sztyletu. Twarz jego wyrażała okrutny, szatański plan.

Zbliżył się Piotr, zaniepokojony. Drzwi stały otworem zjawiła się w nich postać mężczyzny, owego rozbitka z grobowca, który spotkał już był Sinobrodego wśród gruzów gospody i wtedy zniknął bez śladu.

Nikt go nie spostrzegł. Stanął w drzwiach, przypatrując się trwożliwie tej scenie. Już sięgnął Sinobrody za sztyletem, nagle jednak przystanął i zwrócił się ku służącemu.

— To ma być hrabia — zawołał — przenigdy, nie znam go, oszukałeś mnie łotrze, wyznaj, gdzie ukryłeś hrabiego?

W tej samej chwili padł wzrok Sinobrodego na postać w drzwiach, oświetloną bladem światłem księżyca i latarni.

Na twarzy Sinobrodego malowała się straszna trwoga, zbladł i jakby przykuty do ziemi, wpatrywał się przez kilka chwil w obcego, aż ten wystąpił i groźnie wyciągnął ku Sinobrodemu rękę. Odzyskał Sinobrody przytomność i z wściekłym okrzykiem rzucił się na niego.

— Hrabia Harald, tak, to ty, poznaję cię — więc to prawda — wróciłeś — zgiń!

Już błysnął sztylet w jego ręku, gdy nagle rozległ się drżący z gniewu głos starca:

— To nie on! to oszust, znam go. To ja hrabia Harald Wildenfels. Ja, twój pan, łotrze, którego zdradziłeś i sprzedałeś.

Mimowoli cofnął się Sinobrody niepewny.

— Ty — zapytał szyderczo — ty hrabia Wildenfels, waryatem jesteś!

Zwrócił się ku obcemu, który tymczasem śpiesznie się oddalił. W świetle księżyca widział jeszcze jego płaszcz. Rzucił się za nim, wściekłością i trwogą gnany. Człowiek ten nie ujdzie mu. Wyjął rewolwer z kieszeni, a spostrzegłszy obcego po kilku skokach, wystrzelił.

Widocznie jednak chybił, bo tajemniczy obcy wsiadł na konia — był to koń zabrany Sinobrodemu w gospodzie — i zawołał grzmiącym głosem:

—Drżyj nędzniku, dzień sądu jest blizkim. Wstaną z grobów twe ofiary i oskarżą cię. Wydam cię w ręce kata, Sinobrody, żonobójco!

Dziki śmiech szyderczy był odpowiedzią Sinobrodego. Po raz drugi strzelił i znowu chybił. Obcy popędził w dal, a zanim widząc w nim swego zdradzonego pana, rzucił się Sinobrody, klnąc strasznie.

Teraz nadbiegł i Piotr. Chatę zostawił otwartą, nie troszcząc się o swego więźnia. Dosiadł konia i popędził za swym panem.

W kika minut później zsiadło z koni przed chatą dwóch jeźdzców. Rzucili się ku otwartym drzwiom, przystanęli jednak zdumieni, bo w chacie nikogo nie spostrzegli.

— Co się tu stało — zawołał Winter wzburzony— gdzie Sinobrody i jego służący? Co znaczą te strzały?

Wtem znowu rozległ się strzał. Winter ze swoim towarzyszem popędzili na koniach w las. Wnet znaleźli się na łące i zobaczyli tu leżącą postać ludzką.

W jednej chwili zsiadł Winter z konia i przyklęknął obok martwej postaci.

— Człowieka tego zastrzelono, prędko goń pan za mordercami — zawołał Winter do Branda, który natychmiast popędził w dal.

Ciche westchnienie obcego — bo on tu leżał — zwróciło uwagę Wintera. Z rany na grzbiecie, gdzie ugrzęzła kula Sinobrodego, sączyła się krew. Oczy jego na pół martwe, nieruchomo wpatrywały się w księżyc, a palcami kurczowo drapał ziemię.

Winter badawczo przypatrywał się jego bolesnej, śmiertelnie bladej twarzy, która ponuro i tajemniczo wyglądała w świetle księżyca.

Nie znał tego człowieka. Czy to ten, którego Sinobrody szukał w chacie leśnej? Dlaczego go tu w lesie ubił? Bo że strzały dał Sinobrody o tem był przekonany.

Ranny był nieprzytomny, niczego więc nie mógł się od niego dowiedzieć. Może on już nie potrafi wcale zdradzić swego mordercę? Rana jego była poważną, mógł wnet umrzeć.

Wnet powrócił Brand z pogoni, bez rezultatu.

Zniknął i koń obcego, nie było również śladu hrabiego Sinobrodego.

Winter i Brand podnieśli rannego i zanieśli go ostrożnie do chaty. Tam ułożyli go na posłaniu z mchu. Winter popędził ku najbliższej miejscowości po lekarza a Brand pozostał

na straży przy ofierze Sinobrodego.

Rozdział 34.

W OPAŁACH.

Po kilkudniowej podróży wrócili Edmund i Walerya do ojczyzny, t. zw. "Durchgang" którym wracali. Siedzieli sami w przedziale pierwszej klasy, w przedziale sąsiednim zaś sie działa starsza pani.

Za chwilę miał pociąg ruszyć, gdy do sąsiedniego przedziału wszedł młody elegacki człowiek Zdaleka spostrzegła go się mimowoli. Obcy ten mężczyzna rzucił na nią dziwne spojrzenie i zdawało się jej, że go zna. Dziwne wywarł na niej wrażenie, wywołał niepokój i troskę.

Kto to? Gdzie go ona też widziała?

Nagle dziwna myśl, czy ten obcy niepodobny do jej męża — aresztanta Ludwika Hechta?

Wielki Boże — nie, to chyba złuda! To nie on, nie!

Po upływie godziny zatrzymał się pociąg na pierwszej stacyi. Wtem nagle rozległ się przeraźliwy krzyk:

— Okradziono mnie, na pomoc! Złodziej!

Ze wszystkich przeddziałów nadbiegli podróżni, a urzędnicy z trudem tylko uzyskali przejście. I hrabia Edmund i Walerya pośpieszyli do sąsiedniego przedziału, gdzie owa starsza pani szukała po swoich pakunkach i kieszeniach i wołała na policyę w nadzwyczajnem wzburzeniu. Podejrzany obcy mężczyzna zniknął.

— Moja torba z pieniędzmi, 10.000 marek — wszystko zabrał — moje klejnoty — na pomoc, szukajcie za złodziejem — siedział przy mnie obok — jest jeszcze w pociągu?

Tak biadał wśród łez, załamując ręce. Powstało wielkie zamieszanie, aż wreszcie zjawili się dwaj urzędnicy policyjni i zarządali sprawozdania z tego, co się tu stało.

— Zasnęłam chyba tłómaczyła okradziona — chociaż wcale nie czułam znużenia. Tylko jeden pan siedział obok mnie w przedziale, na pozór lepszy człowiek, z długą, srebrno - białą brodą i ze złotemi okularami na nosie. On jest chyba złodziejem, przypominam sobie, że nagle przystąpił do okna, jakby chciał wyglądnąć. Wyciągnął przytem chustkę z kieszeni i nagle uczułam odurzający zapach. Co się dalej stało, nie wiem, odzyskałam przytomność dopiero w chwili, gdy pociąg stanął.

Urzędnicy rzucili na się znaczące spojrzenie jeden z nich rzekł, wzruszając ramionami:

— Zdaję się, że to arcymądry łotr, prawdziwy międzynarodowy złodziej kolejowy. Trudnem będzie jego ujęcie. Ale spróbujemy. Proszę pani, zrewidujemy pociąg!

Nikomu nie można była wysiąść. W towarzystwie okradzionej, przeszukiwali urzędnicy wszystkie przedziały. W przedziale drugiej klasy, w ostatnim wozie pociągu, siedział w towarzystwie jeszcze dwóch podróżnych także ów obcy Jednak wygląd jego był teraz inny zupełnie, nie odpowiadający opisowi okradzionej, miał teraz czarną brodę. Siedział spokojnie, udając, że nigdy nie widział okradzionej.

Cała rewizya spełzła na niczem i po półgodzinnem opóźnieniu, ruszył pociąg dalej. Edmund i Walerya przeszukiwali z litości dla okradzionej wozy i widzieli obcego, lecz nawet Walerya nie poznała go.

Kiedy osiągnięto cel podróży — rezydencyę —wysiedli hrabia Edmund i Walerya, oczekiwani na dworcu przez starego Michała. Przed bramą czekał ich powóz. Wnet nadszedł i drugi służący, by odebrać pakunki. Podczas gdy hrabia rozmawiał jeszcze ze starym Michałem, kroczyła Walerya ze swym drugim służącym.

Nagle usłyszała dobrze znany głos i zobaczyła obcego, który zdjął kapelusz i uśmiechnął się do Waleryi, a w tym uśmiechu leżała złośliwość i szyderstwo bez granic.

— Czego pan żąda? — wykrztusiła Walerya, zdjęta nieokreślonem uczuciem trwogi.

— Ależ Waleryo! czy naprawdę mnie nie poznajesz? — spytał obcy szyderczo. Więc maska moja potrafiła w błąd wprowadzić kochającą żonę?

Z okrzykiem trwogi cofnęła się Walerya. Teraz go poznała, owego więźnia, swego męża. Przedtem jeszcze nie była pewną siebie. Skąd się też on tu wziął? Czy to możliwe? Jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. A on tak mówił drwiąco:

— Dzisiaj podobam ci się chyba lepiej, niżeli za pierwszem naszem spotkaniem? Jednak widok mój wyprowadził się z równowagi— co? No, uspokój się! Jutro, albo może jeszcze dzisiaj, pozwolę sobie odwiedzić cię. Mam nadzieję, że mnie przyjmiesz z otwartemi ramionami!

Ukłonił się ironicznie nizko i nim Walerya mogła przyjść do siebie, już zniknął w tłumie.

Śmiertelnie blada drżąca starała się Walerya zapanować nad sobą. Nagle groziło jej poważne niebezpieczeństwo. Rozpacz ją zdjęła i wściekły gniew. Wnet nadszedł hrabia Edmund. Roztargnienie i niepokój Waleryi nie u-

szły. jego uwagi.

— Czy ci źle? — spytał troskliwie.

Walerya dała wymijającą odpowiedź. Pojechała z hrabią Edmundem do jego pałacu. Plan miała już gotowy. Tu nie mogła zostać, trzeba uciec przed niewygodnym mężem który niewątpliwie uciekł z więzienia. Ne było wprawdzie rzeczą trudną postarać się o to, by on znowu tam wrócił, lecz ze względu na jej własne dobro, nie należało tego uczynić. Bo hrabia Edmund dowiedziałby się wtedy o jej przeszłości. Najlepiej nakłonić hrabiego do ponownej dalekiej podróży. Nadto postanowiła poczynić starania, by jak najprędzej zostać jego żoną, wtedy grunt pod nogami będzie silniejszy.

Hrabia Edmund ulegał już zupełnie jej wpływom. Wmówiła weń, że może Agata bawi za granicą. I cel swój osiągnęła. Następnego dnia wyjechali. Przez noc została Walerya w pałacu hrabiego. Na zamek Heiligensee wcale nie zaglądnęła, bojąc się słusznie, że tam czekać ją może nieszczęsny mąż.

Za dwa dni znajdowali się na pełnem morzu. Walerya tryumfowała. Niebezpieczeństwo minęło. Z radością przechadzała się po pokładzie wśród podróżnych, którzy właśnie skończyli śniadanie. Hrabia Edmund był jeszcze w kajucie, miał za chwilę przyjść.

Z zachwytem patrzała Walerya na dalekie morze, snując sny najpiękniejsze o przyszłości. Tam, w obczyźnie! Jaki świat piękny i życie wspaniałe. Tam zapomni hrabia o Agacie, powie sobie, że ona dlań umarła, na zawsze. I ona Walerya, zajmie miejsce znienawidzonej, przy jego boku. Spełnią się wtedy najgorętsze jej pragnienia. Uśmiechnięta, uradowana, gnana wzrokiem mężczyzn kroczyła dumnie po pokładzie... Nagle jednak przystanęła i śmiertelna bladość pokryła jej oblicze.

Z trwogą wpatrywała się w elegancko ubranego mężczyznę, który się szybko ku niej zbliżał. Był to jej mąż, więzień Ludwik Hecht.

Skąd on się tu wziął? Chyba potajemnie podążył za nną i Edmundem. Strach ją zdjął Tu na okręcie nic jej nie ocali. Przez chwilę stała jakby nieprzytomna. Ludwik Hecht zdjął grzecznie kapelusz i uśmiechnął się tryumfująco. Wreszcie odzyskała Walerya rozwagę i zgrzytnęła:

— Nędzniku! czego mnie prześladujesz? Czego chcesz odemnie?

Rozglądnęła się trwożliwie, czy się hrabia Edmund nie zbliża.

— Precz mi z oczu! — zawołała groźnie. Bo wrócisz za moją sprawą do więzienia, z którego uciekłeś!

— Boże! — odpowiedział Ludwik. Waleryo! czy ci jestem wrogiem. Mówmy jak przyjaciele, jak mąż i żona! Bo, — widzisz — żoną moją jesteś, i....

— Nie mam z tobą nic wspólnego, łotrze! — zawołała wściekła nie ukrywając swej pogardy. Powtarzam, zostaw mnie w spokoju, bo pożałujesz!

— Groźba twa niestraszna, kochana Waleryo — odpowiedział spokojnie. Więzienia się nie boję, bo czas swój odsiedziałem już. Więc — lecz ludzie zwracają na nas uwagę. Jesteś nierozważną chodź, cofniemy się nieco i pomówimy.

— Nie chce z tobą mówić! — zawołała, nie mając wcale zamiaru iść z nim. Natychmiast odwrócił się i rzekł cicho, lecz groźnie:

— Proszę! Lecz zastanów się tylko. Dotychczas miałem wzgląd na to, by nikt nie dowiedział się o naszym stosunku. Zmuszasz mnie, tym cię skompromitował. Nie chcesz chyba, bym udowodnił hrabiemu, że jesteś moją prawną żoną? Żoną aresztanta Ludwika, któregoś ty i hrabia Linderhof niedawno odepchnęli ze wstrętem i pogardą — co? — spytał cynicznie.

—Łotrze! nędzniku! wykrztusiła Walerya, przeszywając wzrokiem pełnym nienawiści i wstrętu cynicznie i szyderczo uśmiechającego się Hechta.

—Nędzniku! przecież sam zerwałeś nasz związek. Porzuciłeś mnie i zostawiłeś w najgorszej nędzy, a teraz wracasz i chcesz...

— A teraz chcę cię reklamować jako swoją żonę — pewnie! — przerwał Ludwik zuchwale. To moje prawo, rozwodu nie było! A co prawda, kochana Waleryo, dzisiaj jesteś stokroć piękniejszą i ponętniejszą, niżeli wtedy, kiedy to zostałaś moją żoną. Ponadto jesteś teraz bogatą i wielką panią, a ja byłbym największym głupcem, gdybym taką kobietę chciał innemu odstąpić.

— Nigdy nie będę twoją! Chętniej zginę! — zawołała gwałtownie.

— Ależ dlaczego? Co mi możesz zarzucić? Że cię wtedy porzuciłem, nie moja to wina. A jeżeli cię moja przeszłość drażni, mój Boże — przecież skarbie mój, nikt się nie dowie kim jestem. Nazywam się teraz baron Wolkenstein. No — ładne to i pańskie imię! Jesteś zatem panią baronową, a środki do odpowiedniego naszemu stanowi życia, masz przecież.

Walerya była w mocy swego męża. Zdawała sobie z tego sprawę, widziała swą bezsilność. Trwoga ją zdjęła i wściekłość bez granic, że zniszczone jej najpiękniejsze nadzieje.

—Nie wiesz — zdaje się — że wnet zostanę żoną hrabiego Linderhof? zawołała.

— Nie! Naprawdę? — spytał zdziwiony. Tego nie wiedziałem! Ależ moja kochana, mam przecież większe prawa i starsze niż on i praw tych się nie zrzeknę!

— Spróbuj! — zawołała, nie będąc więcej panią siebie. Zginiesz! Ludwik Hecht chciał odpowiedzieć szyderczo, lecz namyślił się. Spostrzegł zbliżającego się hrabiego Edmunda, spostrzegła go też Walerya. Zdawało się. że katastrofa nieunikniona.

Rozdział 35.

TAJEMNICA SKRZYNI.

Okręt, który zawiózł nieszczęśliwą Agatę do Egiptu, był już od 5 dni na morzu. Za dzień miał zawinąć do portu w Alexandryi.

Zamknięta w skrzyni Agata, leżała wśród worków i pakunków — towar, jakby worek ryżu lub kawy. Nie ruszała się, lecz żyła przecież. Szczęście dla niej, że jeszcze nie odzyskała przytomności.

Okręt towarowy mało miał podróżnych. Na pokładzie spacerował agent, godny wspólnik handlarza, z miną zadowoloną, zacierając ręce na myśl o zysku. Takiego interesu jeszcze nigdy nie zrobił. Wzbudzi' podziw jego towar, a przyniesie sumy potężne.

Słońce stało w południu, był wielki upał. Morze spokojne, objęło lazur niebieski, z kominów parowca buchały kłęby dymu. Podróżni cofnęli się do swych kabin. Agent znalazł chłod niejsze miejsce, gdzie przy swej kabinie usiadł i obliczał poraz setny spodziewany zysk.

Niedaleko siedział kapitan z oficerem grali w karty i palili papierosy. I majtkowie odpoczywali, bo o tem czasie nie było żadnej roboty.

Agent chciał właśnie zbliżyć się do kapitana i oficera jako towarzysz gry, gdy wtem nagle zjawił się majtek. Niespokojnie rozglądnął się dookoła, jakby szukał towarzysza lub przełożonego. Spostrzegł go kapitan i przywołał do siebie.

— No cóż? — spytał uprzejmie. Czy coś nie w porządku?

Kapitan widział trwożliwe zakłopotanie majtka i nie uśmiechał się więcej. Znał zabobon żeglarzy, których fantazya zaludniała okręt duchami i upiorami. Jednak wtem wypadku zdawało się być coś nadzwyczajnego.

— Co się tam stało? — spytał poważnie.

—Słyszałem tam westchnienia i jęki, jakby ludzkie. Zdaje się, że pochodziły one z wielkiej skrzyni, która idzie do Alexandryi.

— A! głupstwo! — zawołał oficer. Majtek śnił!

—Według rozkazu — nie panie poruczniku! — obstawał przy swem twierdzeniu majtek. Ze skrzynią — to nie w porządku. Tam człowiek być musi!

— Hm! zauważył kapitan. Trzeba to zbadać. Człowiek w skrzyni — nie bardzo to prawdopodobne. Kto wie, co to będzie.

— Czy pan kapitan rozkaże, bym zeszedł z majtkiem? — spytał oficer.

— To niekoniecznie, sternik pójdzie!

Na skinienie kapitana chciał się majtek oddalić. Wtem zbliżył się agent, który podsłyszał ich rozmowę i przestraszył, się że tajemnica jego zostanie odkrytą.

—Zbytecznem jest zbadanie tej sprawy, pa nie kapitanie —rzekł zmuszając się do uśmiechu. Człowiek ten tu omylił się grubo. Uważał za ludzkie głosy tony zegara grającego. Skrzynia jest moją własnością — sądzę, że o niej jest mowa — znam zatem jej zawartość.

— Naturalnie, — rzekli kapitan i oficer. A kapitan rzekł do majtka:

— Wróć zatem spokojnie do pracy.

Majtek oddalił się, chociaż nie bardzo wierzył w wytłómaczenie agenta. I agent cofnął się. Stracił swój dobry humor, bo groziło mu wielkie niebezpieczeństwo. Środek odurzający przestał widocznie działać i Agata odzyskiwała przytomność. Nie ulega wątpliwości, że zacznie wołać o pomoc. Należało więc dać jej jeszcze kilka odurzających kropel, lecz mogło się to stać dopiero w nocy, bo obecnie pracowali w składzie majtkowie z załogi.

Położenie jego było krytyczne, klął też niemiłosiernie swą nieszczęsną ofiarę, która się zbudziła tak niewcześnie. A cóż będzie, jeżeli jej jęki przecież pociągną za sobą zbadanie zawartości skrzyni? Wtedy grozi mu więzienie.

Wreszcie nadszedł wieczór. Dzwon wezwał podróżnych do kolacyi. Wiedział agent, że potem podróżni i cała załoga zostają na pokładzie. W godzinę po kolacyi udał się, niespokojny i niecierpliwy, wązkimi schodami do składu, zaopatrzywszy się poprzednio w latarnię.

Było tu pełno towarów, przejście było utrudnione. Pół godziny szukał agent za swą skrzynią i dopiero westchnienia i jęki wskazały mu jej miejsce.

Rozglądnął się dookoła. Nie było nikogo. Jęki z skrzyni stawały się coraz wyraźniejsze. Wyjął z kieszeni narzędzia zabrane i z gorącz-

kowym pośpiechem, począł zdejmować wieko skrzyni. W tej samej chwili jęki ucichły. Nieszczęsna Agata zrozumiała zdaje się że zbliża się ocalenie.

Pot lał się z czoła agenta, w składzie było straszne gorąco. Nareszcie zdjął agent wieko, nachylił się oświetlił wnętrze skrzyni. Twarz Agaty była śmiertelnie blada, oczy miała otwarte, jeszcze była na pół przytomna, niezdolna podnieść się.

Ponuro i bez uczucia patrzał nędznik na swą ofiarę. Jeszcze kilka chwil, a Agata odzyska zupełną przytomność.

— Był najwyższy czas! — mruczał agent i wydobył z kieszeni flaszeczkę, zawierającą ów środek odurzający. Do jutra nie wolno jej odzyskać przytomności. Ale, ile jej dać kropel, by broń Boże nie było za dużo. Może się wtedy już wcale nie zbudzić.

Odliczył do szklanki napełnionej wodą kil ka kropel i wlał w usta nieruchomej Agacie. Środek zaczął natychmiast działać. Jej jęki ustały, serce przestało bić, a twarz przybrała barwę wosku. Podobną było znowu do trupa. Agent był zadowolony i sięgnął po wieko.

Wtem spostrzegł na schodach majtka, tego, który przedtem doniósł kapitanowi o skrzyni. Na widok agenta i człowieka w skrzyni zatrzymał się na schodach, jakby przykuty do ziemi.

Agenta zdjęła trwoga i niepokój. Zdawało się że wszystko stracone. Tajemnica odkry ta, majtek nie będzie milczał. Przekupić go? nie uda się.

Prędko odzyskał agent równowagę. Tylko podstęp może go ocalić. Może mu się uda podejść majtka. A jeżeli nie, no to ostatnie wyjście: zginie.

Tymczasem zeszedł majtek w dół, na pół prawie nieprzytomny patrzał to na agenta to na skrzynię.

— Pomóżcie mi przyjacielu — rzekł spokojnie. Wieko jest ciężkie.

— Panie — zawołał majtek — w skrzyni leży kobieta — nieżywa, zdaje się, muszę o tem donieść kapitanowi. Jak pan może wieść trupa na okręcie bez pozwolenia? Albo może ta kobieta jeszcze żyła? Może to ona dzisiaj tak jęczała?

— Przyjacielu, mylicie się — odpowiedział agent z uśmiechem, nie tracąc spokoju. To nie umarła, to figura z wosku.

Zdziwiony patrzył na niego majtek. Potem rzucił trwożliwy wzrok na postać w skrzyni i rzekł niedowierzająco:

— Figura z wosku, mówicie, to mi nie całkiem jasne. Nie słyszałem jeszcze nigdy, by figura z wosku jęczała i wzdychała jak człowiek.

— Ha, nie widzieliście tego, przyjacielu, a przecież jest to arcydzieło z wosku które wier nie oddaje tony ludzkie. Chciałem zajrzeć do skrzyni, bo wasza wiadomość dzisiejsza zaniepokoiła mnie. Trzeba być ostrożnym z takiemi rzeczami.

Twarz majtka zdradzała zupełne niedowierzanie i brak zaufania.

— Zamelduję to kapitanowi — rzekł i zwrócił się ku wyjściu. — Niech oglądnie tę figurę woskową.

Straszna trwoga zdjęła agenta, prędko jednak ułożył plan. Chusteczkę zamoczył w płynie odurzającym i zanim majtek mógł temu zapobiedz, zarzucił mu ją agent na twarz i przy cisnął do nosa i ust. Jeszcze kilka rozpaczliwych ruchów majtka, potem głuche charczenie i majtek stracił zmysły.

Ciężkie ciało zawlókł agent na miejsce, gdzie je trudno było odszukać i nakrył próżnymi workami.

— Kilka dni poleżysz tu — zaśmiał się szyderczo — a potem opowiadaj sobie komu chcesz.

Wiedział agent, że majtka po kilku dniach odkryją i przywrócą do przytomności i życia, lecz wtedy on — agent — będzie bezpiecznym, daleko stąd.

Agent zabił wieko skrzyni i cicho udał się na pokład.

Już zrana następnego dnia panowało na okręcie wielkie zamieszanie. Szukano wszędzie za zaginionym majtkiem—tylko nie w schowku w kącie składu. Wreszcie w południe zawinął okręt do portu Alexandryi.

Agent tryumfował. Wnet nadpłynęła łódź, przy pomocy dwóch Murzynów zładowano na nią skrzynię poczem agent wsiadł na łódź i odpłynął szybko ku mostowi. Tu czekał już wóz, na który złożono skrzynię i szybko odjechano na dworzec, gdzie ją załadowano do wozu pakunkowego. Niezadługo pociąg odjechał do Kairo.

Tymczasem na okręcie w składzie znaleziono nareszcie majtka. Towarzysze sprowadzili go do kabiny, gdzie po upływie kilku godzin udało sę lekarzowi okrętowemu przywrócić mu przytomność, lecz majtek mówił jeszcze ciągle jakby w śnie, coś o żyjącej figurze woskowej, o tajemniczej skrzyni, nic pewnego nie można się było dowiedzieć od niego.

Dopiero na drugi dzień — po kilkugodzinnym spokojnym śnie, przypomniał sobie wszystko. Było już za późno. Wprawdzie kapitan

doniósł o tem natychmiast organom bezpieczeństwa, ale nie miano już nadziei by ująć agenta.

Następnego dnia rano zajechał na dziedziniec kupca w Kairze wóz.

Bramę zamknięto i w cieniu palmy ściągnęli Murzyni z wozu ciężką skrzynię. Agent i kupiec zbliżyli się, Murzyni zdjęli wieko. Z wnętrza dobywały się jęki rozpaczliwe i łkanie. Murzyni drżeli ze strachu na całem ciele. Nie znali zawartości skrzyni. Wtem zdjęli wieko — okrzyk zgrozy. Ze skrzyni podniosła się postać Agaty.

Rozdział 36.

PODSTĘPNY PLAN.

— Czy pan baron Wolkenstein w domu?

Elegancka, zawelonowana pani zadała to pytanie portyerowi pierwszorzędnego hotelu w Paryżu. Portyer ukłonił się, zaglądnął w spis gości hotelowych i rzekł:

— Tak jest, jaśnie pani. Drugie piętro, numer 30.

— Dziękuję — dala portyerowi napiwek i podążyła na górę. Zapukała do wskazanych drzwi i weszła do elegancko urządzonego saloniku. Za jej wejściem wstał z fotelu, na pozór elegancki, młody jeszcze mężczyzna. Jego blada przeżyta twarz okolona była krótką starannie uczesaną, czarną bródką. Trudno w nim było poznać więźnia Ludwika Hechta. Przybyła — była to Walerya — odchyliła welon i zbliżyła się chwiejnym krokiem.

— Moja kochana Waleryo, jesteś — zawołał i wyciągnął ramiona, jakby ją chciał przycisnąć do serca. Już długo cię oczekuję, z utęsknieniem kochającego małżonka. Bałem się już, czy jakaś niespodziana przeszkoda...

— Przyszłam jak widzisz — przerwała Walerya niechętnie i odepchnęła go stanowczo. Chcę się wygadać, na okręcie nie było ku temu sposobności. Naraziłeś mnie na wielkie niebezpieczeństwo. Na szczęście nie poznał cię hrabia Edmund, uważając cię tylko za towarzysza podróży, który rozpoczął ze mną obojętną rozmowę. Jednak na przyszłość nie życzę sobie tego. Moje postanowienie i moje plany znasz. Mam więc nadzieję, że się teraz porozumiemy i to po mojej myśli.

Od czasu spotkania na okręcie minęło kilka dni. Hrabia Edmund nie poznał był wówczas męża Waleryi, ale ta bała się tak blizkiego niebezpieczeństwa i namówiła łatwo hrabiego Edmunda do przerwania podróży morzem pod pozorem choroby morskiej. W najbliższym porcie opuścili okręt i pojechali koleją do Paryża.

Ludwik Hecht, a raczej baron Wolkenstein jak się nazwał, podążył za nimi. Zajechał jednak do innego hotelu, gdzie go właśnie Walerya odwiedziła.

Patrzał na nią pożądliwym wzrokiem i spróbował jeszcze raz objąć ją.

— Na Boga! Jesteś czarująco piękną — zawołał — pogratulować mi, że mam taką żonę. Lecz nie bądź tak wstydliwą i zimną, jak niewinna dziewica — zaśmiał się lubieżnie — przecież jesteśmy pobrani.

— Oświadczam że natychmiast pójdę, jeżel tak będziesz do mnie mówił. Wcale nie czuję miłości dla ciebie. Więc zachowaj swe cyniczne miłostki. Krótko i po kupiecku chcę załatwić nasze interesa i mam nadzieję, że po ostatni raz oddychamy tem samem powietrzem.

— Mój Boże! Jesteś kobietą bez serca — westchnął Ludwik, komicznie udając zmartwienie. — No, jak chcesz, ale skarbie mój nic o rozwodzie. To ci chciałem z góry zapowiedzieć.

— Znam twe powody, dla których mnie nie chcesz uwolnić — rzekła w gniewie — ale nigdy do ciebie nic wrócę. Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą, z aresztantem.

Oczy jej błyszczały nienawiścią i bezgraniczną pogardą. Jednak Ludwik Hecht uśmiechał się szyderczo, wskazując Waleryi krzesło, by usiadła, a sam usiadł wygodnie w fotelu.

— Usiądź z łaski swej kochana moja Waleryo — rzekł, zupełnie swobodnie. Pogawędzimy przynajmniej, wierzaj. Nie chcesz? Niech i tak będzie! Proszę zatem, mów ale spokojnie i rzeczowo, bez niepotrzebnych uwag, bo nigdy nie dojdziemy do celu. Więc — jak widzę i słyszę — postanowiłaś stanowczo zostać hrabiną Linderhof, a mnie — swemu prawemu małżonkowi — chcesz dać "laufpas," nie zła myśl, tylko mnie wcale nie bierzesz pod względ.

— Gdybym chciała — odrzekła szyderczo — mogę na drodze sądowej uzyskać rozwód. Fakt, że siedziałeś w więzieniu, daje mi to prawo.

— Spróbuj — odpowiedział Ludwik obojętnie. Mam nadzieję, że tego nie uczynisz. Bo siebie tylko skompromitujesz i utracisz kochanka, bo dumny arystokrata nie weźmie przecięż za żonę rozwódkę aresztanta.

— Wyzyskujesz tę sytuacyę — zawołała Walerya w bezsilnym gniewie. Naturalnie, teraz to musi zostać tajemnicą że niegdyś byłam tak głupią i zaślepioną i połączyłam się z łotrem. Ale nie mówmy o tem, gotowa jestem okupić się tobie.

— Pięknie, pięknie! O tem możemy pogadać — mówił Hecht swobodnie. Za odpowiednim wynagrodzeniem chcę się ciebie zrzec, chociaż Bóg jeden wie, ile mnie to kosztuje. Jesteś przecież teraz bogatą panią, a jako hrabina Linderhof, opływać będziesz w złocie.

Jestem też pewny że o mnie wtedy nie zapomnisz. Jestem teraz wprawdzie przy pieniądzach, jednak.

— Tak żyjesz z pieniędzy, które ukradłeś w pociągu owej starej pani! Bo ty, nie kto inny, okradłeś ją.

— Ha — zaśmiał się Ludwik — człowiek chciałby żyć. Biorę pieniądze, gdzie je znajduję.

Tak i dawniej robiłeś — mówiła Walerya z goryczą i pogardą — o Boże, a ja nie wiedziałam, jakiemu się oddaję łotrowi. Dopiero z dzienników dowiedziałam się że jesteś złodziejem i szulerem. Przyłapano cię nareszcie i wpakowowano na kilka lat do więzienia. Potem mówiono żeś spróbował zbiedz i że cię wtedy patrol zastrzelił. Myślałam że wolną jestem i odetchnęłam swobodnie. Niedawno doznałam strasznego rozczarowania.

— Kochana Waleryo — rzekł zimno — nie odświeżaj tych niemiłych ci wspomnień. Zresztą mój skarbie, nie masz prawa tak mną pogardzać, bo wtedy kradłem dla ciebie. Tak, aby zaspokoić twe niemożliwe żądania i otoczyć cię przepychem zaglądałem do kieszeni obcych i zabierałem głupcom w kartach pieniądze. No, nie irytujmy się z tego powodu, przecież żyjesz a ja także. Znalazłaś schronienie u swej krewnej — czwartego czy piątego pokolenia, u baronowej Agaty Rambow, a tam nikt nie wiedział że jesteś moją żoną. A jakie szczęście cię spotkało, że baronowa sprzątnęła ze świata swego męża i poszła na szubienicę. Teraz odziedziczyłaś piękny zamek i majątek ogromny.

— Nie wiesz, że baronowa pozostawiła dziecko, wcale nie jestem bogatą.

— Hm! to fatalne, ale przecież ty zarządzasz spadkiem?

— Nie hrabia. Ja niemam żadnej władzy. Widzisz zatem, że na razie nie mogę spełnić twych żądań.

— Głupstwo siedzisz przy ladzie, a nie umiałabyś sobie poradzić? Gadaj sobie to innym. Nie będę czekał, aż będziesz hrabiną Linderhof, nie!

— Musisz — rzekła Walerya stanowczo.— Cel mój wogóle nie łatwy do osiągnięcia. Poważna zachodzi przeszkoda.

— Jaka przeszkoda? Czy i hrabia gdzieindziej zaangażowany — zapytał dowcipnie.

— Tak, niestety. Niedawno ożenił się z baronową Agatą.

— Co? z nią, głupstwo — zaśmiał się — niemądre powody! —

Walerya w krótkości wyjaśniła mu sprawę. Zamilczała tylko, że sprzątnęła Agatę, bo nie chciała swego godnego małżonka wtajemniczyć w swe wszystkie tajemnice.

— Nieznajomy zatem kochanek Agaty uprowadził ją w noc poślubną, — zakończyła Walerya swe opowiadanie — pojmiesz, że nie pierwej zostanę żoną hrabiego, aż Agata umrze bo o rozwodzie hrabia nie myśli.

— Do dyabła, niedobre widoki aniołeczku — zawołał Ludwik Hecht wzburzony. — Jak ja dostanę pieniądze? Tak się cieszyłem, najpiękniejsze miałem widoki, a teraz nic z tego! Twoja rywalka nie umrze tak prędko dla ciebie. A jeżeli sprzykrzy się jej kochanek, z którym uciekła i wróci do hrabiego — wtedy...

— Tego się nie boję. Ale mimo tego nic nie zyskam. Hrabia nie chce niestety rozwodu z niegodną, która go oszukała. Muszę zatem na innej drodze osiągnąć swój cel, a ty Ludwiku musisz mi w tem dopomódz.

— Jeżeli tylko potrafię. Zysk mój równie wielki, jak i twój.

Walerya miała plan gotowy i wyłuszczyła go swemu mężowi. Ten wysłuchał ją uważnie i oświadczył bez namysłu gotowość swą.

— Mam nadzieję — rzekł uśmiechając się z zadowoleniem — że się wszystko uda. Skoro udowodnimy hrabiemu, że Agata nie żyje, wtedy cel twój osiągnięty.

— A wtedy — dodała Walerya — otrzymasz zasłużoną nagrodę.

— Hm, przydałby się nam jeszcze pomocnik, zauważył Hecht. Miałaś przecież brata? Robert? co? Co się z nim stało? Możeby nam pomógł?

— Nie, mój brat nie żyje!

— O, tak, przypominam sobie — opowiadałaś mi. Poszedł jako służący z hrabią Wildefels do Afryki i tam zginął. No musimy zatem zrzec się pomocy kochanego braciszka.

— Nikogo nam też nie trzeba, ufam twej głowie.

— Dobrze gołąbku, bądź spokojną. Ale pieniędzy mi trzeba, a nie mam ochoty wrócić do dawnego zajęcia, musisz mi zatem postarać się o kilka tysięcy franków.

— Poszlę ci jutro 5.000 franków, narazie wystarczy.

Zarzuciła welon i wyszła nie podawszy na wet ręki swemu mężowi.

— Nędznik ten dopomoże mi do osiągnię-

cia planu, a nagrody nie dostanie, tryumfowała i wróciła do hotelu.

Hrabia Edmund nie wrócił jeszcze, nie zauważył więc jej nieobecności. Walerya zamknęła się w swej sypialni i poczęła list pisać. Zaadresowała go do hr. Edmunda. Potem przeliczyła swą kasę, miała tylko 3.000 franków. Nie chciała prosić hrabiego o brakujące jej pieniądze. Zadecydowała, że na razie wystarczy Hechtowi ta suma. Potem otrzyma resztę.

Pieniądze włożyła do koperty i zaadresowała: "Do barona Wolkensteina." Zabrała listy i jeszcze raz opuściła hotel. Powozem zajechała do innej dzielnicy miasta, tam nadała listy i wróciła do hotelu. Była już północ, ale hrabia jeszcze nie wrócił.

— Jutro czeka go podobna niespodzianka, jak wówczas w jego pałacu myśliwskim — zaśmiała się tryumfująco i poczęła się rozbierać. Właśnie chciała się ułożyć, gdy w salonie usłyszała kroki Edmunda. Lubieżny uśmiech zawitał na jej ustach, Poczem zarzuciła na siebie lekką, przeźroczystą zasłonę i zbliżyła się ku drzwiom, do których w tej samej chwili zapukał hrabia Edmund.

— Czy jeszcze śpisz, Waleryo? — zapytał.

Odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Oczy jej błyszczały prawie że dziką, pożądliwą namiętnością. Złociste jej włosy spadały na nagie wspaniałe biodra. Z szyi opadła lekka zasłona i odsłoniła jej uroczą, śnieżno-białą pierś. Jak nęcąca Wenera stała w drzwiach na pół otwartych.

Hrabia Edmund wpatrywał się z bezgranicznym podziwem w piękną kobietę. Wtem cofnęła się o krok i wstydliwie wyszeptała:

— Chodź!

Jak pijany wszedł hrabia Edmund do sypialni Waleryi.

— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Następnego dnia siedzieli razem w salonie przy śniadaniu, kiedy wszedł służący z listem dla hrabiego Edmunda.

— Kto też do mnie pisze? — zdziwił się hrabia. Pismo damskie, nie znam go.

Otworzył kopertę i wyjął list i czytał:

Jaśnie wielmożny panie hrabio!

Jaśnie wielmożny panie, dowiedziałam się, że bawisz w Paryżu. Jeżeli chcesz mieć pewność co do losu tej, za którą szukasz, przyjdź jutro wieczorem na Rue Montmartre, l. 14. Tam się dowiesz o prawdzie.

Biedna żona pana przybyła do mnie pewnego dnia z jakimś panem i zamieszkali u mnie. Podali się, że są małżeństwem, nie miałam też żadnego podejrzenia. Lecz już po 2 dniach porzucił ją uwodziciel. Było to dla niej strasznym ciosem. Zeznała mi wszystko, poczem się potajemnie oddaliła. Nie wróciła więcej, a ja daremnie za nią szukałam. Rozpacz popchnęła ją do strasznego kroku. Przed kilku dniami wydobyto jej trupa ze Sekwany. Znalazłam ją później w kostnicy i kazałem pochować.

Tyle mogę panu donieść. Niechże pan hrabia przybędzie i przekona się naocznie.

Jaśnie pana hrabiego najniższa sługa
Charlota Dijon.

List wypadł z rąk hrabiego. W oczach zabłysły łzy.

— Nie żyje? Wielki Boże! Ona nie żyje — jęczał.

— Kto! Boże miłosierny, Edmundzie, co ci? Co się stało? — zawołała Walerya pozornie przestraszona.

Zbliżyła się do hrabiego i objęła go troskliwie.

— Kto nie żyje? Powiedz kochany.

— Agata — zawołał bezdzwięcznie — czytaj!

Walerya szybko przebiegła oczyma treść listu, który jako jego autorka dobrze znała.

— A moje przeczucie — zawołała.

Tuliła się do Edmunda — całowała go namiętnie i tak mówiła:

— Musiało się tak stać. Uwiódł ją i porzucił w nędzy i rozpaczy. Pozostawało jej tylko jedno wyjście: śmierć! Ciężko okupiła swe grzechy.

— Ach, gdyby powróciła — jęczał hr. Edmund. Wszystko przebaczyłbym jej.

Walerya sposępniała. Wnet jednak ironiczny, złośliwy uśmiech wykrzywił jej twarz. Plan się udał. Litości nie znała.

— Dzisiaj wieczorem — rzekła — udamy się razem na Rue Montmartre i osobiście pomówimy z autorką listu. Ona nam wszystko dokładnie opowie i wskaże grób nieszczęśliwej Agaty.

Hrabia Edmund zgodził się w milczeniu. Udał się do swego pokoju, chciał sam być ze swoim bólem.

Ponuro i niespokojnie patrzała za nim Walerya.

— Kocha ją jeszcze — zgrzytnęła — przecież nie — ach, nie, nie! Wnet przeboli a dzisiaj

wieczorem będzie miał nareszcie pewność. Mam nadzieję że Ludwik rolę swą dobrze wykona, a wtedy usunięta ostatnia przeszkoda. Najpóźniej za 3 miesiące będę jego żoną.

Rozdział 37.

OCALENIE.

Stary rybak Karaś, który w ową noc przeprawił komisarza Wintera na swej łodzi w stronę grobowca, siedział sam w swej chacie. Było to w tę samą noc kiedy Katynka rzuciła się z okna wieży zamkowej.

Stary wysłał był syna swego Detlewa, na połów ryb i niespokojnie czekał na jego powrót.

Syn dzisiaj dłużej bawił, jak zwykle. Była już północ, wprawdzie morze było spokojne, lecz stary bał się, czy Detlew nie bardzo zbliżył się do grobowca, gdzie było najwięcej ryb, ale i najwięcej niebezpieczeństw.

I stary Karaś słusznie się obawiał, bo Detlew w rzeczywistości zarzucił tym razem swe sieci niedaleko grobowca. Morze było przecież spokojne i księżyc świecił jasno.

Młody rybak siedział w swej łodzi i trwożliwie patrzał na ponure mury zamku Wildenfels. W dole widniało wejście do grobowca, jak paszcza piekielna a tajemniczo rzucało swe promienie czerwone, jak krew światło. Trwoga zdjęła młodego rybaka na myśl o duchach, które tu, niedaleko od jego łodzi — harce wyprawiają.

Wtem wielki Boże! U wejścia do grobowca stanęła biała jak śnieg postać. Wyraźnie mógł ją rozeznać w świetle księżyca. Podniosła ramiona, dawała mu znaki i rozpaczliwe jęki doszły jego uszy. Strach jego nie znał granic. Zimny go pot oblał. Chwycił za wiosło i prędko oddalił się z tego niebezpiecznego miejsca. Tak szybko nigdy jeszcze nie wiosłował. W końcu jednak opuściły go siły musiał przystanąć.

Otarł pot z czoła i rozglądał się. Dzięki Bogu, ducha nie było. Przyrzekł, że już nigdy nie narazi się na takie niebezpieczeństwo.

Zatrzymał się opodal sterczącej skały i chciał właśnie zarzucić jeszcze raz sieć, gdy nagle wdrygnął się. Wśród ciszy nocnej rozległ się okrzyk, przejmujący do szpiku kości. Zbladł i sieć wypadła mu z ręki.

Wzrok jego śledził dookoła, Skąd ten okrzyk, z czyjej piersi? Wtem krew ścięła mu się w żyłach i serce przestało bić — z okna wieży zamkowej runęła jasna postać kobieca, w ciemną straszną głębię, woda pochłonęła ofiarę

Mimowoli wyciągnął ramiona, prędko odzyskał równowagę i popłynął szybko ku owemu miejscu. Teraz nie zważał na niebezpieczeństwo, nie miał więcej strachu przed duchami, kiedy chodziło o ocalenie człowieka.

Detlew wiosłował ze wszystkich sił, tak że wiosła uginały się pod naciskiem jego muskularnych rąk. Mimo to minęło prawie 10 minut, zanim dopłynął do miejsca katastrofy.

Rozglądał się po wodzie. Opodal leżał grobowiec, a tuż przed nim wznosiła się wieża. Spojrzał w górę, jedno okno było tam oświetlone, lecz nie było i śladu nieszczęsnej. Zapóźno zdaje się przybył na ratunek. Pochłonęły ją fale, leży już pewnie na dnie morza.

Zwolna zwrócił łódź i wiosłował wzdłuż ponurych skał. Tu i ówdzie płynęły po morzu resztki rozbitego okrętu. Wtem zobaczył belkę na wodzie, a do niej przyczepioną postać ludzką.

W świetle księżyca rozeznał długie, rozpuszczone włosy i odzież kobiecą. Bezwątpienia była to owa nieszczęsna, która rzuciła się z wieży. Spazmatycznie trzymała się belki, która jej nie pozwalała zatonąć. Nie ruszała się, prawdopodobnie nie żyła.

Ostrożnie zbliżył się młody rybak i ujął nieruchomą postać. Silnem swem ramieniem podniósł ją i położył w łodzi, Spojrzał na tę piękną, młodą lecz bladą twarz. Przekonał się wnet, że nie ma w niej życia, zdawało się, że serce nie bije, że nie oddycha.

Ponuro i smutno patrzał na nią Detlew. Zdawało mu się, że zna te piękne rysy, tajemniczo oświetlone światłem księżyca. Łzy zabłysły w jego oczach.

A może potrafi jeszcze przywrócić jej życie? Prędko począł wiosłować i wnet zawinął do zatoki, gdzie leżała wieś rybacka. Przymocował łódź za pamocą łańcucha do słupa, podniósł pozornie umarłą postać i wyskoczył na ląd. Szybko podążył do chaty ze swym ciężarem i gwałtownie otworzył drzwi.

Stary Karaś zerwał się wystraszony z ławki i fajka wypadła mu z ust. Nie mógł zrazu ani słowa wymówić na ten niezwykły widok. Wreszcie ocknął się i rzekł:

— Co to przynosisz umarłą?

— Nie wiem ojcze, może jeszcze żyje. Wydobyłem ją z wody opodal zamku Wildenfels.

Stary nie rzekł więcej nic, lecz wziął postać z rąk syna, zaniósł ją do sąsiedniej izby i złożył na łóżku. Mimo znużenia, podążył Detlew za ojcem, który tymczasem rozebrał ocaloną i zakrzątnął się koło niej.

Długo trwało i wiele kosztowało zabiegów,

nim ocalona lekko odetchnęła.

Starzec uradowany zawołał:

— Dzięki Bogu! Ale życie jej wisiało na włosku!

Młody rybak mimowoli złożył ręce do modlitwy poczem skierował wzrok na bladą twarz ocalonej, a serce odczuło błogą radość. Dziwne, czem mu była ta obca dziewczyna? Dlaczego drżał tak o jej życie?

— Zostawmy ją teraz w spokoju — rzekł ojciec Karaś — tak prędko nie odzyska ona przytomności. Hm! dziewczynę tę znam chyba — dodał, przypatrując się jej badawczo — to przecież Katynka z gospody "Pod pełnym dzbanem."

— Ojcze, tak, to ona — zawołał Detlew — poznaję ją, ale na miłość Boską, co ją popchnęło do tego rozpaczliwego kroku.

— Wnet nam to ona sama powie — odpowiedział stary spokojnie i wrócił do izby, zapalił na ognisku i przygotował herbatę. Wlał filiżankę herbaty w usta nieprzytomnej poczem udał się z synem na brzeg, aby zabrać z łodzi ryby.

Długo leżała Kotynka w silnej febrze, pielęgnowana przez ojca Karasia. Gdy zwolna wróciła do zdrowia, opowiedziała rybakom swoją historyę i ze łzami w oczach podziękowała młodemu rybakowi.

Lecz co się z nią teraz stanie? Nie ma domu, ojciec w więzieniu, a ukochany nie żyje, jak myślała. A do cioci Krystyny nie mogła się schronić, bo tam wpadnie znowu w ręce Sinobrodego. Lecz stary Karaś uspakajał ją.

— Tymczasem zostanie Katynka u nas — mówił życzliwie — potem Bóg pomoże. Detlew zaraz pójdzie do waszej ciotki i powie jej, co się z wami stało. Tylko spokojnie tu bezpieczną jesteś Katynko.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

— Tak, ojcze Tomaszu, mówię wam, nasz pan, to rozbójnik, którego się boję. Nie wierzycie, że i hrabina Gertruda znalazła śmierć w wieży upiorów? A dlaczego pan kazał zamurować drzwi i okna? Powtarzam, zabił ją! I hrabinę Józefę także, zapytajcie tylko tego nowego Branda i on słyszał bardzo podejrzane historyjki.

— Ten nowy służący, to także taki szumi wiatr. A wiecie, Krystyno, że on od wczoraj zniknął, a wy takiego przybłędę słuchacie i wierzycie mu.

— Pozwólcie, ojcze Tomaszu. Co ja wiem, to pewne, a wy wierzycie i temu, że to nasz pan i ten łotr Piotr puścili z dymem gospodę "Pod pełnym dzbanem"?

— Nie, Krystyno! to głupstwo wszystko!

— Prawda wyjdzie jeszcze na jaw. Gdybym tylko widziała, co się stało z biedną Katynką, westchnęła Krystyna.

Siedziała w swej izbie ze starym Tomaszem.

Na dworze szalała burza. Był zmierzch.

Po ostatnich słowach Krystyny, zapanowało milczenie. Stary Tomasz siedział przy piecu i puszczał kłęby dymu, a Krystyna przy oknie piła swą kawę.

Wtem ozwały się w korytarzu lekkie kroki i zwolna z trudem wstąpiła na próg izby postać mężczyzny, odziana w podarty płaszcz, oparta o kij.

Zamknął za sobą drzwi i z jękiem upadł na krzesło. Pierś jego ciężko dyszała i suchy kaszel trząsł całą jego postacią.

— Boże miłosierny! kto to? — zawołała Krystyna i zerwała się z siedzenia. Biedny człeku, czego tu szukacie? Boże mój, wy biedni i bardzo schorzali!

— Pozwólcie mi tylko chwilę tu zostać, — wymówił z trudem obcy. Nie mam domu.

— Ach wielki Boże! Stary i schorzały i nie ma domu swego! biadała Krystyna. Kto wy? I skąd przychodzicie?

— Nie mam imienia, nie mam ojczyzny, jęczał obcy.

Stary Tomasz zbliżył się ku niemu i spojrzał mu badawczo w twarz. Lecz w izbie było już ciemno i nie mógł rozeznać jego rysów.

— Znajdzie się tu w zamku miejsce dla was, — rzekł wzruszony. Pomówię z panem i...

— Nie, nie! Nie róbcie tego. Nie zdradźcie mnie, ojcze Tomaszu! zaklinał obcy. Do was i Krystyny mam zaufanie, zresztą nikt mnie tu nie powinien zobaczyć. Dajcie mi kąt, bym się mógł ukryć. Zróbcie to! Gdybyście wiedzieli, kim jestem!

Dziwnemi wydały się im te słowa, a stary Tomasz sądził, że obcy nie jest przy zdrowych zmysłach. Krystyna oddaliła się w milczeniu, za chwilę wróciła z kawą i chlebem, dała to tajemniczemu gościowi i zdjęła z niego przemoknięty płaszcz.

— Dziękuję wam dobra Krystyno, — rzekł przybysz. Głodny jestem. Dwa dni nic nie jadłem. Ach, Boże! kiedy też skończą się me cierpienia!

Stary Tomasz nie mógł zrozumieć tych zagadkowych słów. Przy świetle lampy przypatrzyli mu się. Nie znali go, a przecież rysy

jego były im znane. Zarzucili go pytaniami, na które przybysz nie dawał odpowiedzi.

— Przyjacielu! — rzekł wreszcie Tomasz. Skoro nie chcecie powiedzieć, kto wy, to was nie możemy zatrzymać bez wiedzy i woli hrabiego. Za wielka odpowiedzialność.

Powstał obcy z siedzenia, wyprostował się dumnie, oczy jego błyszczały, zbliżył się ku lampie i rzekł silnym głosem:

— Przypatrzcie się mej twarzy — dokładnie! Może mnie poznacie.

Starzy spełnili jego wolę. W rysach jego twarzy czytali straszne cierpienia, lecz nie poznali go.

— Więc tak jestem zmieniony, że i wy mnie nie poznajecie? — jęknął starzec i opadł na krzesło. Więc stracona ostatnia nadzieja.

— Wymieńcie swe imię! nalegał kasztlan. Jeżeli znaliśmy was dawniej, to sobie was przypomniemy.

— Dobrze, nie uwierzycie mi wprawdzie, powiecie, żem waryat. Cóż mam począć? Przypatrzcie się mej twarzy, jeszcze raz! — Jestem waszym panem — jestem hrabią Heraldem Wildenfels, — rzekł nieszczęsny drżącym głosem.

Zdumienie bezgraniczne zdjęło obecnych. Krystyna w strachu przeżegnała się i opadła na krzesło, a Tomasz drżącą ręką zdjął umbrę z lampy, której jasne światło padło na zbiedzoną twarz nieszczęsnego.

— Dziesięć lat temu — mówił Tomasz, widziałem ostatnim razem hrabiego nim udał się w podróż naokoło świata. Gdy wrócił był tak zmienionym, żem go nie poznał. A teraz wy tak przychodzicie i twierdzicie, że.... nie! Jeden jest tylko hrabia Wildenfels. Przyjacielu, uciekliście chyba z domu waryatów.

— Powiedzieliście — rzekł obcy spokojnie, żeście nie poznali hrabiego, kiedy wrócił z Afryki. Tak, bo nie był to hrabia, lecz Robert, jego służący, który pana swego okradł w Afryce i sprzedał do niewoli. Nie wierzycie? Spytajcie Gerharda, gospodarza z pod "Pełnego dzbana". W jego gospodzie ukrywałem się przez rok. On mnie zna.

— Wielki Boże! — zawołała Krystyna. To nie możliwe! A przecież, jeżeli Gerhard zaświadczy..

Tomasz milczał i badawczo przypatrywał się rysom nieszczęsnego, który twierdził, że jest hrabią Wildenfels. I coraz większe znajdował podobieństwo. Wtem odezwały się na korytarzu kroki. Wystraszony zerwał się hrabia i zawołał:

— Ktoś idzie? Na Boga, ukryjcie mnie!

— Wejdźcie tam, panie, — rzekł Krystyna wskazując na drzwi do swej izby sypialnej.

Szybko zniknął za niemi stary hrabia. W tej samej prawie chwili wszedł do izby silnie zbudowany mężczyzna. Był to Detlew. Znali go Krystyna i Tomasz. Na pytanie Krystyny, czy przyniósł ryby, — odrzekł, uśmiechając się tajemniczo.

— Nie ryby, lecz coś lepszego. Pozdrowienie od Katynki, a jeżeli ją widzieć chcecie, chodźcie ze mną.

— Gdzie ona? — zawołała radośnie stara. Więc żyje! Więc nie zginęła w płomieniach!

— Nie, ale była w wielkiem niebezpieczeństwie,— odrzekł Detlew i po krótce odpowiedział w prostych słowach historyę Katynki.

Skutek jego opowiadania był nadzwyczajny. Drżąca wśród łez słuchała Krystyna, poczem uścisnęła Detlewa serdecznie.

— Niech Bóg nagrodzi, synu mój, — mówiła wzruszona. Biedna Katynka! Z okna się rzuciła, aby...! O Boże! Przekleństwo niech spadnie na tego rozbójnika! No, ojcze Tomaszu! Jeszcze nie wierzycie? Lecz ja tu ani godziny nie zostanę. Tu w zamku gorzej, niżeli w jaskini zbójeckiej.

— Cicho! Krystyno. Na miłość Boską! cicho — przerwał kasztelan, sam drżący na całem ciele. I rozglądnął się trwożliwie dookoła. Teraz wierzę, że nasz pan naprawdę Sinobrody, jak o nim mówią. Lecz trzeba na razie milczeć. Jeżeli ten tam mówi prawdę i rzeczywiście jest naszym panem, no, to stosunki tu wnet się zmienią.

—A teraz — zawołała Krystyna, nie wątpię, że on jest hrabią. Kto takie zbrodnie popełnia, ten potrafi obrabować i sprzedać swego pana. Ach, ojcze Tomaszu, żeśmy też tego dożyli. Lecz słusznie radzicie, trzeba milczeć, choć by już tylko dla tego biednego naszego pana. Biada mu i nam, jeżeli go Sinobrody tu odkryje!

Młody rybak, Detlew, nie rozumiał tej rozmowy. Krystyna zwróciła się znowu ku niemu i wypytywała o Katynkę. Potem udała się do spiżarni, a za chwilę wróciła z łakociami i winem.

— Weź to synu i zanieś jej, — rzekła. I powiedz jak się cieszyłam i że jutro sama przyjdę. Ale na miłość Boską, niech nie wychodzi z izby.

Rybak pożegnał się. Krystyna odprowadziła go na korytarz.

— Pozdrów ją serdecznie, a jutro przyjdę do niej, — zawołała za nim. Ledwo Krystyna wróciła do izby, gdy z ciemnego kąta koryta-

rza wynurzyła się postać czerwonego Piotra.

— Co to znaczy? — szeptał podejrzliwie. Do kogo chce stara Krystyna pójść. Przecież nie ma nikogo na świecie, prócz Katynki! Do dyabła! Czy dziewczyna żyje? Trzeba sprawę zbadać.

Chciał już iść za młodym rybakiem, jednak zatrzymał się, nadsłuchując uważnie.

— Czy się pomyliłem? Zdaje mi się, że pierwej widziałem tu wchodzącego starego hrabiego. A może był to rybak?

Zbliżył się ku drzwiom, lecz starzy tak cicho rozmawiali, że nie słyszał ani słowa.

Cofnął się więc i podążył za rybakiem. Wnet go zobaczył i szedł za nim krok w krok. Uciążliwa to była droga, bo burza szalała i nieraz musieli przystanąć, by zaczerpnąć oddechu.

Detlew nie przeczuwał, że ktoś za nim kroczy, w ciemności nie spostrzegłby zresztą Piotra.

Wreszcie przybyil do wsi. Piotr przystanął a Detlew wszedł do wnętrza chaty. Zbliżył się Piotr do okiennic, by przez szparę zaglądnąć. Ledwo potrafił stłumić okrzyk radości. W izbie siedziała Katynka obok ojca Karasia, a Detlew wypakowywał właśnie podarki Krystyny.

Na wstrętnej twarzy Piotra malował się szatański tryumf.

Gdyby to tak Sinobrody wiedział, że jego ukochana żyje tu w chacie rybackiej. Jednak nic się nie dowie. Moją będzie. Skarbie mój, przy najbliższej sposobności przyjdę po ciebie.

Przez chwilę jeszcze przypatrywał się tym ludziom w chacie, poczem pośpieszył na zamek Wildenfels, w nadziei, że tu zrobi nowe odkrycie

Rozdział 38.

PIĘKNA NIEWOLNICA.

— Miłosierny Boże! zmiłuj się nademną! Jaką zemstę przygotowała dla mnie ta szatańska kobieta. Od męża i dziecka mnie oderwała, a teraz jestem w niewoli, sprzedana jako niewolnica.

Nieszczęśliwa Agata stała przy silnie zakratowanem oknie i patrzała w ciemną noc, zalewając się łzami i załamując ręce w bezgranicznej rozpaczy.

Strasznem było jej przerażenie, gdy się zbudziła w skrzyni, zdala od ojczyzny, sprzedana jako niewolnica zdana na łaskę i niełaskę nielitościwego szachraja, który ją sprzeda jako towar.

Agent tymczasem oddalił się już ze swoim zyskiem judaszowym. Agata była w mocy kupca tureckiego. Jaki ją los czeka? Gorące słała do nieba modły, rzuciła się na posłanie i sen objął wreszcie znużone jej ciało.

Gdy zaświtał ranek, zbudziło Agatę otwieranie drzwi. Wszedł kupiec w towarzystwie Murzyna i uśmiechając się, zbliżył się do wystraszonej ofiary.

— Wstań, piękna chrześcijanko! — rzekł i skinął na Murzyna, który przyniósł większe zawiniątko. To są piękne suknie, musisz się ubrać i stroić, bo możny pan przyjdzie wnet, by cię oglądnąć.

Otworzył zawiniątko, w którym Agata zobaczyła przepyszne suknie, potem wraz z Murzynem opuścił komnatę.

Jakby we śnie wstała Agata i ubrała się w ten orientalny strój. Lekka materya ledwo nakrywała wdzięki jej ciała, a bujne i pełne jego formy były silnie zarysowane.

Wnet przyszedł Murzyn ze śniadaniem, które Agata spożyła wśród łez, trapiona złemi przeczuciami. Potem zaprowadził ją Murzyn do małego wspaniałego ogrodu kwiatowego, gdzie palmy ochładzały powietrze wachlarzami z liści. A mimo, że jeszcze był ranek, słońce egipskie dokuczało dotkliwie. Murzyn stanął nad Agatą i wachlarzem opędzał muchy.

Smutna siedziała Agata. Z Murzynem nie mogła mówić, bo jej nie rozumiał. Rozglądnęła się, czy ucieczka możliwa, lecz wysoki mur otaczał ogród, i Murzyn jej na to nie pozwoli.

Jaki los ją czekał? Niewątpliwie Turek sprzeda ją temu możnemu panu, o którym wspomniał.

Wtem nagle zjawił się Turek w ogrodzie a za nim wysoki mężczyzna, odziany w bajecznie strojne szaty. Postać o szlachetnej, pięknej twarzy, okolonej czarną brodą. Jedwabny turban na głowie, jego suknie błyszczały szlachetnymi kamieniami a zbroja złotem i dyamentami. Agata wpatrywała się zdziwiona i z podziwem w tę dumną, rycerską postać.

Turek i jego gość zbliżyli się ku Agacie. Ten ostatni pochłaniał wzrokiem jej cudowną postać. Podziw jego i zachwyt były widoczne. Potem począł szybko mówić z Turkieme w języku, którego Agata nie zrozumiała. Turek był bardzo uległy, stał zgięty i za każdem słowem możnego pana, kłaniał się do ziemi.

Agata wstała, nie mogąc oderwać wzroku od tego mężczyzny. Nagle przypadł ku niej Turek i zdarł zasłonę z jej piersi. Okrzyk zgrozy. Chciał nędznik zachęcić pana do kupna przez pokazanie mu wdzięków Agaty. Ta odtrąciła

Turka gwałtownie i okryła swe nagie ciało, a w całej jej istocie było tyle majestatu, że Turek mimowoll się cofnął.

I obcy zdawał się być oburzonym rubasznym postępkiem Turka, skinął nań rozkazująco i oddalili się.

Wnet zaprowadził Murzyn Agatę do jej więzienia, do którego wszedł też za chwilę Turek z śmiechem najwyższego szczęścia i błogości na swej brzydkiej twarzy.

— Ciesz się, piękna chrześcijanko! — zawołał, podskakując dookoła niej w groteskowych skokach. Przyniosłaś mi dochodu 100.000 piastrów. Za tę cenę kupił cię ów pan, którego przedtem widziałaś w ogrodzie. Bądź gotową bo za godzinę musisz iść do niego.

— Miłosierny Boże! — zawołała Agata. Sprzedaliście mnie? Człowiekowi bez serca, uwolnij mnie, a otrzymasz podwójnie wielką cenę. Mam męża i dziecię w domu. Pomóżcie mi, bym doniosła o mym losie mężowi, a on chętnie poszle pieniądze, by mnie wykupić.

Turek namyślał się. Obudziło to nadzieję w sercu Agaty, rzuciła się do nóg okrutnemu Turkowi i objęła jego kolana.

— Zlituj się! Oddajcie mi męża i dziecię me! Nic nie stracicie. A zysk wasz będzie podwójnie wielkim.

— Nie, nie! Nie mogę! — odpowiedział Turek stanowczo. Twój mąż pomściłby się i ja dostałbym się na galery, a spodziewany pewny zysk dyabli by dzięli. Czego biadasz? Nie wiesz jaki los cię czeka. Kupił cię możny bogaty książę. Zamieszkasz w jego pałacu w Indyach, w przepychu i wspaniałości. Wszelkie rozkosze życia cię czekają. Sto kobiet zazdrości ci, a ty narzekasz?

W tej chwili wszedł książę.

— Dostojny panie! — rzekł Turek uniżenie. Tu niewolnica!

Zerwała się Agata i padła do nóg księcia indyjskiego. Może on ma serce i uwolni ją. Lecz daremnie błagała. Książę schylił się, podniósł ją, przycisnął do swej piersi i wyszeptał namiętnie:

— Moją jesteś, kocham cię i uczynię szczęśliwą.

Z okrzykiem rozpaczy runęła Agata i popadła w omdlenie.

Kiedy się znowu przebudziła, leżała w zamkniętej lektyce, którą prowadzili dwaj Murzyni przez odludne ulice Kaira. Daleko na przedmieściu nad Nilem zatrzymano się w mieście pod dozorem Murzyna.

Następnego dnia posadzono ją na wielbłąda i karawana ruszyła. Cztery dni maszerowano przez pustynię, aż zatrzymano się w mieście portowem nad Czerwonem morzem.

Tu dopiero zobaczyła Agata znowu księcia, który inną drogą przybył do tego miejsca. W porcie stał okręt na którym chciał wrócić do swej dalekiej ojczyzny. Wieczorem wsiedli na okręt. Agata otrzymała wspaniale wyposażoną kajutę.

Tu przyjęła ją cudowna, młodziutka dziewczyna indyjska. Było to łagodne stworzenie z ciemnemi oczyma sarny, wysmukła, giętka, jak gazela. Padła przed Agatą na kolana i całowała jej nogi.

Szybko podniosła ją Agata i pogłaskała jej czarne włosy.

— Kto ty? Dlaczego upadłaś mi do nóg? — spytała zdziwiona po angielsku.

— Bo jesteś moją panią! — odpowiedziała dziewczyna pokornie.

— Ach, lube me dziecię! — Jak się zwiesz?

— Delia! — odpowiedziała dziewczyna.

— I zawsze przy mnie zostaniesz?

— Tak pani!

Agata czuła pociąg ku tej łagodnej, pokornej i pięknej dziewczyny.

Przeczuła, że ta dziewczyna jej będzie osłodą w tym obcym kraju. Serdecznie obchodziła się z dziewczyną, która każde jej życzenie z oczu jej czytała.

Księcia nie widziała Agata często podczas tej podróży, nie był jej natrętnym, a załoga respektowała ją, jak królowę.

Często siedziała na pokładzie i wzrok jej błądził po dalekim błękicie morza. Ratunku nie było.

Czasem wynurzyło się jakieś pasmo lądu, były to Indye, ten bajeczny kraj czarujący. Wieczorem, gdy księżyc oświecał już ciemne fale, zawinął okręt do zatoki, otoczonej wysokiemi górami. Tu wpadał szeroki potężny strumień w morze, na który okręt zwolna wpłynął. Dwa dni znajdował się okręt na tym strumieniu, którego brzegi otoczone były górami lasowemi, w końcu zarzucono kotwicę w pobliżu miasta.

Nic Agata nie widziała, jak tu życie wygląda. Bo w mieście tem angielska załoga, książę miał zatem powód ukryć swą piękną niewolnicę.

O północy sprowadzono Agatę do domu możnego Indyanina, gdzie została do następnego wieczora. Potem ruszono dalej w głąb kraju.

Podróż trwała prawie tydzień. Na słoniach koniach i w wozach zbliżał się wspaniały orszak do rezydencyi książęcej. Agata spostrze-

gła wspaniałe miasto, otoczone murami, rozciągające się na bajecznie pięknej równinie.

Na potężnych skałach wznosił się zamek książęcy. Z bramy pałacowej wyjechał wspaniały orszak, księciu Mabaradsza naprzeciw. To jego urzędnicy i ministrowie. Piękne, silne postacie na ognistych koniach arabskich, postacie jakby z bajki wzięte, błyszczące złotem i drogimi kamieniami, w strojnych szatach z jedwabiu. Ciemne ich twarze okolone były czarnemi brodami, eenrgiczne, odważne rysy, a blask oczu współzawodniczył z blaskiem brylantów.

W tym orszaku wjechał książę w swą rezydencyę siedząc pod baldachimem, na potężnym, białym słoniu. Tłum zgromadzony na ulicach padł na kolana, wydając dziwne okrzyki.

Agata, która siedziała z Delią w małym powozie, zasłoniętym firankami, niewiele tylko widziała z tych wspaniałości. Orszak wjechał wreszcie w dziedziniec zamkowy i Agata była u celu swej podróży.

Oddano jej tu szereg wspaniałych komnat, tłum męskich i żeńskich niewolników stał na jej rozkazy, każde jej życzenie zostało w mig spełnione. Mogła rajskie prowadzić życie. A przecież nie była szczęśliwą. Smutna i blada kroczyła dniem po czarodziejskich ogrodach pałacu, a nocą zwilżała łzami jedwabne poduszki swego wspaniałego łoża.

Była niewolnicą, mimo przepychu! Chyba już nigdy nie zobaczy ni męża ni dziecka.

Ale tu czekały ją męczarnie. Nie przeczuwała ile nienawiści i zazdrości wywołało jej przybycie wśród kobiet dworu. Książę miał dwadzieścia żon, które zazdrościły szczęściu nowej swej rywalce. Zwłaszcza pierwsza żona księcia, Indyanka z dumnego, i bogatego rodu, przysięgła nieszczęsnej kobiecie straszną zemstę.

Tylko Delia była oddaną swej pani. Przed nią wypłakała się nieraz Agata i zwierzała się ze swego bólu i ze swych cierpień. Pewnego dnia, kiedy razem siedziały przy oknie i patrzały z utesknieniem w dal, tak rzekła Agata:

— Ach, gdybym mogła stąd uciec. Wędrowałabym z miejsca na miejsce, ażbym ludzi spotkała, którzy by mi pomogli wrócić do ojczyzny.

— Nie myśl o tem, pani! — odpowiedziała Delia wystraszona. Sto mil dookoła pustkowie, więc gdybyś nawet wydostała się za te mury, musiałbyś zbłądzić lub zginęłabyś, albo też rozszarpałyby cię dzikie zwierzęta.

Agata milczała przez chwilę. Nagłe rzekła:

— Czy znasz może pewnego posłańca, któryby zaniósł list do miasta, gdzie opuściliśmy okręt?

— Tak, pani! — rzekła Delia. Juzuf to uczyni. To mój ulubieniec.

— Idź więc i przygotuj go! — rzekła Agata uradowana.

Agata udała się do swej sypialni i poczęła pisać list. Chciała wysłać pismo do swego męża, donieść mu o wszystkiem, on pewnie wszystko uczyni, by ją uwolnić, sam przybędzie tu w tym celu

Ledwo ukończyła list, wróciła Delia ze swym kochankiem Juzufem. Agata pouczyła go, co ma uczynić i ostrzegła, by list oddał tylko angielskiemu posłowi w mieście nad rzeką. Za chwilę Juzuf wyjechał. Pomocy spodziewała się Agata dopiero po upływie miesięcy.

Ale znowu zabłysła jej nadzieja, nie była więc tak smutną i zrozpaczoną. Nie przeczuwała, jakie jej tu grozi niebezpieczeństwo.

Delia znowu opuściła swą panią. W korytarzu wspaniałego pałacu spotkała ją pierwsza i dotychczas wszechwładna małżonka księcia. Dumna zadrżała z gniewu, gdy zobaczyła służącę Agaty. Na jej skinienie zatrzymała się Delia i padła do nóg dumnej księżnej.

— Żmije! — zgrzytnęła księżna. Jesteś niewolnicą tej obcej kobiety, która mi skradła serce mego męża. Ale dzisiaj jeszcze musi zginąć ta nędzna. I ty będziesz mem narzędziem. Tu trucizna, wsyp jej do wina lub daj do pokarmu.

I podała nieruchomo u jej kolan leżącej dziewczynie małą szkatułkę z kości słoniowej. Wzdrygnęła się Delia i łkając błagała o zmiłowanie dla swej pani.

—Wzbraniasz się? — zawołała księżna i biczem skórzanym poczęła bić bezbronną dziewczynę, która bez słowa skargi zniosła tę zniewagę. W końcu ustała księżna. Spuściła na dywan szkatułkę, nogą odtrąciła dziewczynę i rzekła groźnie:

— Jeżeli twoja pani jutro jeszcze żyć będzie, umrzesz. Nieposłuszeństwo twe ukarzę śmiercią.

Oddaliła się. Delia wstała wzięła szkatułkę i gorżko płacząc wróciła do swej pani, która się wzdrygnęła na widok śladów zniewagi na ciele swej niewolnicy.

— Na miłość Boską! co ci biedne me dziecię? — zawołała głosem pełnym litości.

— Księżnej to dzieło! — rzekła drżąca Delia.

— Wielki Boże! Dlaczego? A co tu w tej szkatułce?

— Trucizna! — wykrztusiła dziewczyna,

w tej samej chwili objęła kolana swej pani i rozpaczliwie zawołała:

— Nie, prędzej umrę, nim zostanę morderczynią swej pani.

Agata pojęła w lot sytuacyę. I tu ją nienawidzili i prześladowali, a przecież uciekłaby stąd tak chętnie.

— Uspokój się, dziecię, — rzekła. Ja cię obronię. Nic złego cię nie spotka. Księciu powiem o wszystkiem.

— O pani, nie! Nie mów. Bo książę w gniewie dotkliwie ukarze swą żonę, wtedy nienawiść jej większą będzie. I inne tu są ci wrogie, zabiją cię — podstępnie!

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki.

— Książę! — zawołała Delia i zręcznie wymknęła się z pokoju.

Wszedł książę. Agata odzyskała już spokój i postanowiła posłuchać rady Delii. Tylko w oczach jej błyszczały jeszcze łzy, których sobie książę nie mógł wytłómaczyć.

— Więc jeszcze się nie uspokoiłaś? —rzekł boleśnie i ujął jej rękę. Jesteś nieszczęśliwą i chciałabyś iść precz stąd. Wyraź życzenie a ja każde spełnię.

— Panie! — zawołała Agata wśród łez i rzuciła mu się do nóg. Daj mi wolność! Na klęczkach cię błagam: miej litość nademną!

Twarz księcia sposępniała. Westchnął ciężko. Smutno patrzał na piękną kobietę. Widział jej wspaniałe kształty. Miałby się tego dobrowolnie zrzec?

— Zapomnisz, coś w ojczyźnie straciła, — rzekł namiętnie. Miłość moja wszystko ci nagrodzi. Nie chciałem cię zmuszać, lecz teraz musisz mnie nareszcie wysłuchać!

Objął ją namiętnie i usta jego szukały jej ust. Lecz Agata uwolniła się z jego objęć i zawołała:

— Umrę, a nie będę waszą!

Zadrżał książę i twarz jego pobladła. Oczy jego ciskały iskry gniewu. Za chwilę jednak padł Agacie do nóg i objąwszy jej ręce tak szeptał drżącym namiętnym głosem:

— Patrz, u nóg twoich błagam cię, ty dumna kobieto! Ja, na którego skinienie tysiąc niewolnic w prochu się korzy, ja, pan życia i śmierci. Proszę, gdzie mogę rozkazać! Daj mi swą miłość, a zasiądziesz na mym tronie królowa w mem państwie!

Zdumiona stała przed nim Agata. Litość ją zdjęła nad księciem, który światem władał, a przecież nie był szczęśliwym i pragnął szczęścia, jakiego nie mógł uzyskać za żadne skarby świata. Zalała się łzami, nachyliła się nad nim i tak rzekła:

— Książę nie mogę was wysłuchać. Sercu rozkazać nie mogę. Miłości waszej wielkiej nie odwzajemniam.

U drzwi, któremi wszedł książę, poruszyła się ciężka kotara, za nią wynurzyła się blada twarz księżnej. Gdy zobaczyła męża swego u nóg znienawidzonej obcej i usłyszała jego przysięgi, zdawało się, że rzuci się na nieszczęsną Agatę. Straszna nią miotała wściekłość i ręka jej ścisnęła rękojeść małego sztyletu.

Wtem podniósł się książę i księżna szybko ukryła się za kotarą.

Nie chcę cię zmuszać — rzekł, całując rękę Agaty— lecz mam nadzieję, że mi wnet podarujesz swą miłość.

Szybko opuścił komnatę. Nie spostrzegł ukrytej swej żony, która teraz znowu wystąpiła. Jej twarz wyrażała dzikie, straszne zdecydowanie i okrutne postanowienie.

— U jej nóg żebrał jej miłości. To życiem przepłaci. Z mojej zginie ręki!

Wpadła do komnaty, gdzie Agata rzuciła się wyczerpana na swe posłanie.

W następnej chwili rozległ się straszny okrzyk po cichych komnatach pałacu książęcego.

Rozdział 39.

OSZUKANY.

Wsparty na ramieniu Waleryi udał się hr. Edmund do domu pod l. 14. Rue Monmartre. Zatrzymał się na trzeciem piętrze przed drzwiami, na których widniał napis: Charlota Dijon.

— To tu — rzekła Walerya. — Zadzwoniła, drzwi się otwarły, stanęła w nich starsza już, lecz kokieteryjnie ubrana kobieta, z którą Walerya niespostrzeżenie zamieniła jakieś znaki.

Hrabia Edmund przedstawił się i wszedł z Waleryą do mieszkania:

— Napisała mi pani list — rzekł — Czy też to wszystko jest prawdą?

— Pewnie panie hrabio! proszę wejść, nowa pana hrabiego czeka niespodzianka. On nagle wrócił.

— Kto? — zapytał hrabia zdziwiony.

Lecz Francuzka szybko otworzyła drzwi i wprowadziła swych gości do sąsiedniego pokoju zmrok zapadł. Hrabia Edmund zobaczył tu obcego mężczyznę. Czarny płaszcz, zarzucony miał na plecy, szeroki kapelusz zasłaniał twarz, z której można było tylko rozeznać blond brodę i błyszczące oczy.

Zdziwiony patrzał hrabia na tę awanturniczą postać. Obcy przystąpił doń i rzekł głosem widocznie zmienionym:

— Panie hrabio! Chce pan pewność co do losu Agaty. Przypadek nas tu sprowadza. Wracam właśnie z jej grobu.

— Kto pan? — zapytał hrabia zdziwiony i niechętny.

— Pan hrabia się nie domyśla? To pani ta, nic panu jeszcze nie powiedziała? — zapytał obcy boleśnie. Ja nim jestem, z kim uciekła w ową noc żona pana.

— Ha! nędzny uwodzicielu — zawołał hrabia drżąco i rzucił się na obcego. Nareszcie widzę cię, łotrze bez sumienia, tyś zawinił śmierci nieszczęsnej. Cel swój osiągnąłeś, nędzniku i porzuciłeś słabą kobietę. Tchórzu! Nie ruszaj się z miejsca, bo ci kulę w łeb wpakuję — i nagle wyciągnął hrabia z kieszeni rewolwer.

Obcy cofnął się i znalazł się przy wyjściu. Sutyacya była groźna. Francuzka wydała okrzyk zgrozy a Walerya ujęła ramię Edmunda starając się wydrzeć mu rewolwer.

— Na miłość Boską, Edmundzie, opanuj się! Nie popełniaj mordu — wołała.

— Puść mnie — uwolnił się od niej gwałtownie— człowiek ten zniszczył me szczęście i zabił mi Agatę. Uwiódł ją, a potem odtrącił. Ten podły czyn życiem zapłaci.

— Posłuchaj mnie, panie hrabio — zawołał obcy —gotów jestem dać ci satysfakcyę. Prawda, uprowadziłem Agatę. Lecz nie wiedziałem, że niedługo przedtem połączył was kapłan. To wyznała mi tu dopiero. I nie ja ją porzuciłem, nie ja zerwałem stosunek, lecz ona ona mnie odepchnęła, a żal, że cię zdradziła, pchnął ją do tego rozpaczliwego kroku, który popełniła.

— Tchórzu! Oszczerco — zawołał hrabia — kłamiesz. Bóg wie, jakich użyłeś sztuczek, by nieszczęśliwą uwieść.

—Panie hrabio, prawdę mówię. Ta kobieta zaświadczy i powie też panu, gdzie mnie znaleźć możesz.

Obcy otworzył drzwi i oddalił się. Hrabia Edmund chciał się za nim rzucić, lecz wstrzymała go Walerya.

— Nie ujdzie mi — wołał — ubiję go jak psa, tego nędznika.

— Odszukasz go, ale uspokój się — mówiła Walerya. Człowiek ten niewart zresztą pojedynku z tobą.

— I takiego nędznika ona kochała! Dla takiego mnie porzuciła mnie, i swe dziecko — jęczał rozpaczliwie. O Boże, nie pojmuję tego.

Zakrył twarz dłonią i na chwilę zapomniał o swem otoczeniu. Na ustach Waleryi zawitał szatański uśmiech tryumfu, zwróciła się ku kobiecie, która ich tu sprowadziła i szeptała z nią przez chwilę.

Tę kobietę uzyskała pieniędzmi dla swego niecnego planu, który udał się nadspodziewanie dobrze. Ludwik Hecht pouczył Francuskę, jak ma grać swą rolę, a on sam odegrał po mistrzowsku rolę obcego.

Kiedy hrabia Edmund odzyskał spokój, dała mu Charlota Dijon—jak się Francuska nazwała, potrzebne wyjaśnienia. Potwierdziła słowa obcego i dodała, że Agata nazwała się pani Werner.

— Pod tem nazwiskiem — mówiła — została dziś pogrzebaną. Jeżeli jaśnie pan chce jutro iść na cmentarz, to ja wskażę grób nieszczęśliwej żony pana.

— Przyjdę — odpowiedział hrabia Edmund i zapytał, gdzie można znaleźć podłego uwodziciela Agaty. Francuska wymieniła znany hotel. Hrabia Edmund nie zatrzymywał się dłużej, przejęty myślą pomszczenia swej żony na nieznajomym. Nie przypuszczał ani na chwilę, że padł ofiarą oszustów.

Walerya nie przeszkodziła mu w odejściu, wiedziała dobrze, że nie znajdzie jej wspólnika w oznaczonym hotelu.

I rzeczywiście powrócił hrabia Edmund wzburzony późnym wieczorem do hotelu, w którym mieszkał z Waleryą i oświadczył że nędznik uciekł i zostawił mu wiadomość. Wyjął z kieszeni pomiętą kartkę i podał Waleryi. Kartka te zawierała słowa:

> Panie hrabio! Uważam za stosowne uniknąć spotkania z panem, choćby mnie pan uważał za tchórza lub nędznika. To dług, który spłacam pamięci zmarłej, że nie chcę pana uczynić zabójcą. Muszę jeszcze wyjśnić, że żona pana, Agata, prawnie nazywała się Werner, wzięliśmy bowiem ślub, tu w Paryżu. Była zatem i moją żoną. Spodziewam się, panie hrabio, że się nigdy więcej w życiu nie zobaczymy.
>
> Karol Werner.

Walerya uśmiechnęła się nieznacznie, zadowolona zręcznością i podstępem swego godnego małżonka.

— Cóż teraz zrobisz, kochany Edmundzie — zapytała — chyba nie będziesz więcej szukał za tym Karolem Wernerem?

— Nie odniesie to żadnego skutku — rzekł posępnie — ale że Agata była jego żoną—nie — trudno mi w to wierzyć.

— Nie żyje już przecież. Prawdy nigdy się nie dowiesz. Pociesz się więc i zapomnij o

nieszczęsnej. Jutro jeszcze zwiedzimy jej grób, poczem wrócimy do ojczyzny.

Nie odpowiedział i to jego milczenie zaniepokoiło Waleryę. Czy może powziął podejrzenie. W konieczności znajdzie i inne dowody śmierci Agaty, musi go o tem przekonać, za każdą cenę.

Lecz hrabia Edmund nie wątpił. Nazajutrz zwiedził z Waleryą grób Agaty. Ponure, puste miejsce. Na grobie krzyż z nieociosanego drzewa, na którym napis: "Agata Werner", bez oznaczenia dnia narodzin lub śmierci. Groby dokoła również posępne, wszystkie kryły w sobie śmiertelne szczątki owych nieszczęśliwych, którzy w biedzie i nędzy zginęli, których grobu żadna ręka kwiatami ni ozdobi, szczątki samobójców.

Smutny, trawiony bólem wielkim, stał hr. nad grobem tej, którą tak umiłował, którą ocalił od śmierci haniebnej, a która mu tyle sprawiła bólu. Lecz nie miał do niej żalu, wszystko przebaczył umarłej i przysiągł w duszy, że będzie ojcem jej biednemu dziecku.

Oczy zaszły mu łzami, odwrócił się, ujął ramię Waleryi i oddalili się w milczeniu. W hotelu zamknął się hrabia Edmund w swoim pokoju. Walerya zostawiła go chętnie samego, chciał bowiem szukać swego męża, by z nim nowy plan ułożyć.

Kiedy zbliżała się do miejsca, gdzie stały powozy przystąpił do niej nagle stary, siwy mężczyzna, zupełnie jej obcy. Zdjął kapelusz, już chciała Walerya dać odprawę, gdy on z uśmiechem ujął jej rękę. W tej chwili poznała Walerya swego męża.

— To ty, Ludwiku — zapytała zdziwiona — czemu mnie straszysz i co znaczy ta nowa maska?

— To konieczne, skarbie mój, odpowiedział Hecht szeptem. Rozglądnął się ostrożnie dookoła i rzekł:

— Są na tropie, muszę się zatem mieć na baczności, chodź, pójdziemy do mego nowego hotelu, tam możemy swobodniej pomówić, niż tu na ulicy.

— Nie mieszkasz zatem już w hotelu Angielskim —zapytała Walerya, oddalając się ze swoim mężem.

— Nie, kochanie. Nie jestem tam więcej bezpiecznym. Przypuszczałem, że mnie zechcesz odwiedzić i dlatego to czekałem tu na ciebie. Nie nazywam się też więcej baron Wolkenstein, lecz skromniuteńko, doktor Simon.

Wsiedli do powozu i zajechali do hotelu, w którym Hecht od wczoraj mieszkał. W pokoju zamknął drzwi i zdjął perukę i brodę. Potem wyciągnął ku Waleryi ramiona by ją przycisnąć do piersi.

—Daj spokój — rzekła Walerya obojętnie i wzgardliwie. To na zawsze się skończyło. Wyświadczyłeś mi wielką przysługę, okażę ci się wdzięczną ale zresztą...

Jej pogardliwy ruch więcej mówił, jak słowa.

— No, jak ci się podoba — westchnął obojętnie i rzucił się na sofę. Ale wiesz, dyabelsko trudne zadanie mi wyznaczyłaś. Nie wiele brakowało, a byłby mnie hrabia ubił jak psa. Mnie, który jestem zupełnie niewinnym. Nie chciałbym się z nim spotkać jeszcze raz w podobnej sytuacyi.

— Nie będzie też tego trzeba.

Hm! A moja nagroda? Owe 3.000 franków otrzymała ta kobieta, która opowiedziała hrabiemu owa wzruszającą dykteryjkę o nieszczęsnej Agacie. Spodziewam się, że otrzymam dziesięć razy większą nagrodę.

— Wierz, że na razie nie rozporządzam większemi sumami — odpowiedziała Walerya — pomóż mi do osiągnięcia mego celu, a otrzymasz sowitą nagrodę.

— To może jeszcze długo potrwać, w każdym razie całe miesiące. Tymczasem nie mogę żyć z powietrza. Musisz zatem postarać się dla mnie o pieniądze i to już jutro, bo nie mam ani centa.

— Ach, Boże, potrafiłeś sobie zawsze pomódz — odpowiedziała Walerya szyderczo. Graj, albo postaraj się w inny sposób o pieniądze.

— Nie, nie uchodzi, muszę być ostrożnym. Policya jest na moim tropie.

— Naprawdę? — zawołała Walerya uradowana. — Zatem uciekłeś z więzienia?

— Aha! tak — rzekł Hecht i wyciągnął z kieszeni gazetę — czytaj, pojmiesz, że muszę być ostrożnym!

— O, list gończy? pięknie jesteś opisanym — zawołała na pół przerażona na pół uradowana i poczęła czytać:"Ludwik Hecht, niebezpieczny rabuś kolejowy, który miał odsiedzieć 2 lata więzienia, uciekł z zakładu karnego. Występuje zwyczajnie pod imieniem szlacheckim, a ślad wskazuje, że uciekł do Paryża. Niedawno grasował w mieście portowem B..., jako baron Wolkenstein".

— To niebezpieczne — rzekła Walerya. Boję się, mój kochany, Ludwiku, że niedługo będziesz się cieszył wolnością. Wnet znowu znajdziesz się w więzieniu.

Nie wywołuj wilka z lasu. Zdaje mi się, że cieszyłabyś się, gdyby mnie spotkało to nie-

szczęście.

— O nie — brakło by mi twej pomocy — odrzekła szyderczo. Ale mówmy poważnie. Pytam, czy chcesz mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę?

— Czemu by nie? Naturalnie musisz najpierw wypełnić próżnię mej sakiewki.

— Uczynię, co mogę — odpowiedziała Walerya niechętnie. Zaznaczyłam już. że na razie nie rozporządzam wielkiemi sumami. Poszlę ci jutro 5—6000 franków, niewiele jednak z tych pieniędzy zużyjesz dla siebie.

— Nie piękne to widoki, skarbie mój. Nie rozumiem cię. Pieniędzy przecież jest dosyć. Zechciej tylko, a hrabia z pewnością nie zrobi żadnych trudności.

— Mylisz się, fałszywie oceniasz sytuacyę. Nie mam żadnych praw i jestem całkiem zdaną na łaskę hrabiego.

— Przecież on zakochany w tobie po uszy — rzekł Hecht cynicznie — o ile cię znam, dziecino, ma, potrafisz tu cudownie sytuacyę wyzyskać. Skoro tylko zażądasz, hrabia bez wahania odda ci zamek i majątek raz na zawsze po stracie Agaty. Nie trzeba mu też wcale tych drobiazgów.

— Jemu nie, ale małemu Walterowi, dziecku Agaty. I o nim teraz pogadamy. Hrabia przez małżeństwo swe z Agatą został ojcem tego dziecka. Jest mi ono zatem przeszkodą poważną, bo jest nietylko dziedzicem swej matki, lecz także dziedzicem hrabiego.

— Do stu piorunów — zawołał Hecht — prawda. Dziecina godna zazdrości.. Lecz cóż robić, kochana ma Waleryo? Kiedy zostaniesz żoną hrabiego, potrafisz sobie poradzić.

— Nie, to mi nie starczy — rzekła ponuro, a oczy jej błyszczały straszną nienawiścią. Dziecko musimy usunąć, nie chcę go mieć blizko siebie. Do mnie muszą należeć bogactwa hrabiego, tylko do mnie.

— Słusznie — potwierdził Hecht — mały Walter byłby ci nieznośny pod niejednym względem. Ale...

— Wyłuszczę ci pokrótce mój plan — przerwała Walerya — spodziewam się, że go wykonasz.

— Ja? — spytał zwolna bandyta niechętnie. — Jeżeli sprawa jest niezyskowną, nie przyłożę do niej ręki.

— Zysk twój wielki — zapewniała Walerya — posłuchaj mnie, Ludwiku. Jutro, skoro otrzymasz pieniądze, wyjedziesz do ojczyzny i usuniesz na zawsze dziecko. Najlepiej niech umrze! — dodała po chwili okrutnie. Znajdziesz sposób, by się dostać do pałacu hrabiego, gdzie obecnie mieszka mały Walter. Jak go sprzątnąć, to już twoja rzecz.

Podczas jej słów wstał Hecht z sofy i wielkimi krokami, chodził po popkoju.

— A zatem — spytała Walerya — mam nadzieję, że to uczynisz. Ludwik zatrzymał się przed nią i uśmiechając się sarkastycznie tak rzekł z naciskiem:

—Kochana Waleryo! Chcesz ze mnie zrobić swe narzędzie. Dobrze, jestem gotów pomódz ci wedle możności, lecz muszę wiedzieć, co i ile ja przytem zyskam. — Proszę, nie przerywaj daj mi dokończyć — na niepewne przyrzecznia nie dam się wziąć. Jeżeli się wszystko uda i ty zostaniesz żoną hrabiego, będziesz tedy panią milionowego majątku. Należy mi się wtedy słusznie porządna część tych pieniędzy.

— Zrozumiałam twą długą przemowę — odrzekła Walerya ostro. Chyba nie chcesz, bym ci oddała połowę tych milionów?

— Zgodzię się na jeden milion — odpowiedział Hecht spokojnie.

— Ha, ha! naprawdę — zawołała Walerya gwałtownie. Tylko milion? Jesteś zuchwałym bez granic.

— Proszę, nie oburzaj się, jeżeli nie chcesz poszukaj sobie innego. Zapłać mi za wyświadczonną ci przysługę i sprawa skończona.

Niemądry jesteś, oburzyła się Walerya. Skąd też wezmę cały milion w gotówce? Posłuchaj, dam ci 50.000 marek, ale dopiero gdy będę u celu. Więcej uczynić nie mogę, ta nagroda jest też zupełnie wystarczającą.

— Nie, na te warunki nie mogę się zgodzić — odrzekł Hecht. — Narażam się na największe niebezpieczeństwo. Ale chcę ci wyświadczyć grzeczność. W przeciągu 2—3 tygodni wypłacisz mi 50.000 marek, a po ślubie z hrabią potrójną sumę — choćby i w ratach. To moje ostatnie słowo. Jeżeli nie przyjmiesz moich warunków, mały Walter zostanie, gdzie jest, a wtedy nie mogę ci też pozwolić na ślub z hrabią.

— O, to uczynię i bez twego pozwolenia — zawołała Walerya w bezsilnej wściekłości. Nie śmiesz stanąć mi na przeszkodzie, Ludwiku! List gończy, nie zapominaj, że jeżeli zechcę, jesteś jutro znowu w więzieniu.

— Wtedy i twoje plany zniszczone — odpowiedział szyderczo. Chyba wiesz, że się tych pogróżek nie przestraszę. Albo myślisz, że będę milczał. A jeżeli tak dzisiaj przedstawię się hrabiemu jako twój mąż, albo opowiem mu historyę wczorajszą.

— Milcz — zawołała Walerya — widzę, że muszę się poddać, mam jednak nadzieję, że

wykonasz należycie swe zadanie. Za dziesięć dni powrócę z Edmudem do rezydencyi. Do tego czasu dziecko musi zginąć.

— Jeżeli możliwe, naturalnie — odpowiedział bandyta dyplomatycznie. Ale dlaczego też dziecina ta musi koniecznie umrzeć. To okrutne, kochana Waleryo.

— Wszystko jedno. Muszę mieć nareszcie spokój. Tylko jego śmierć pomoże mi do osiągnięcia planów.

— Dobrze, prawda — potwierdził Ludwik Hecht, zgadzając się pozornie na jej szatański plan.

Walerya podała mu rękę i rzekła na pożegnanie:

— Skoro wykonasz — uwiadomisz mnie. Dam ci znać, gdzie jestem.

— Bądź spokojną, kochano Waleryo — zawołał za nią bandyta. A nie zapomnij tylko przy łać pieniądze!

Walerya zeszła ze schodów, mąż jej stał we drzwiach i patrzał za nią. W połowie schodów spostrzegła Walerya na dole urzędnika policyjnego w mundurze. Zrozumiała, kto owi panowie, niezawodnie urzędnicy tajnej policyi.

— Pani —rzekł jeden z nich uprzejmie do Waleryi, czy wolno zapytać, czy pani odwiedziła tu przed chwilą niejakiego barona Wolkensteina lub też doktora Simona?

Walerya pobladła. Urzędnicy zdawali się być pewni swej sprawy. Wnet jednak odzyskała przytomność i rzekła dumnie:

— Panie! proszę ustąpić. Nie znam pana i nie jestem zobowiązaną zdawać z tego sprawy, co czynię.

— Przepraszam, proszę stanowczo o odpowiedź. Jestem urzędnikiem policyjnym. Niechże się pani przekona.

Odchylił swe palto i na piersi urzędnika poznała Walerya medalion z godłem republiki. Nie straciła jednak równowagi i odpowiedziała wyniośle:

— Nie znam wcale tego człowieka o którego pan pyta.

— A przecież zauważono, że pani z tym człowiekiem weszła do hotelu.

— To pomyłka — odrzekła Walerya. — Proszę mnie zostawić w spokoju.

Chciała zejść ze schodów, lecz urzędnik zatrzymał ją, starając się z pod gęstego welonu rozeznać jej twarz. W tej chwili zjawił się też portyer hotelowy, którego urzędnik zapytał:

— Czy to ta pani, którą nam pan poprzednio opisałeś?

— Tak jest, panie komisarzu.

— Muszę panią prosić, zatrzymać się tu chwilę — rzekł urzędnik do Waleryi. Tymczasem odwiedzimy pana doktora Simona, dodał z szyderczym uśmiechem i udał się na górę w towarzystwie drugiego urzędnika.

Walerya poznała groźne niebezpieczeństwo. Jeżeli przyaresztują jej męża, łatwo wyjdzie na jaw, w jakim ona do niego stoi stosunku. A jeżeli hrabia Edmund dowie się o tem, natenczas wszystko stracone. Straszna ją zdjęła trwoga.

Uciec nie mogła, bo u wejścia stał urzędnik policyjny i portyer. Właśnie dostali się urzędnicy do pokoju jej męża. Za chwilę wszystko się rostrzygnie.

Nagle rozległ się na górze głośny okrzyk, potem trzask, jakby oddano strzał

Rozdział 40.

W TRUMNIE PRZEZ MORZE.

— Próżna nadzieja, zapomniał o nas, niewdzięcznik nie wróci — biadała Józefa.

— Albo nie dobił do lądu, zginął i spoczywa obecnie na dnie morza — westchnęła Gertruda i objęła łkając towarzyszkę niedoli. Ach, skazane jesteśmy zostać wiecznie w tem strasznem miejscu, u umarłych.

Nieszczęśliwe kobiety stały u wyjścia z grobowca, spoglądają w dal na szumiące morze.

Był deszczowy zimny dzień. Wiatr dął silny, morze było wzburzone. Zbliżał się czas burz, zima była niedaleko.

Próżno czekały nieszczęsne kobiety na swego zbawiciela, któremu ocaliły życie. Tygodnie mijały, a on nie wracał.

Ziębnięte wróciły się do kaplicy i rzuciły się na swe posłanie.

— Ach, Gertrudo, cóż teraz poczniemy — rzekła Józefa. Zima się zbliża. Nie znajdziemy więcej żywności, bo ptaki odlatują, a i ryby, które wyrzucało miłosierne morze, są już nieliczne, zginiemy marnie, jeżeli się cud nie stanie.

— Kto nam pomoże — łkała Gertruda — straszne nas tu czekają męczarnie. Chodźmy na dno morza. To śmierć mniej straszna, niż tutaj śmierć głodowa.

— Nie, kochana, zostań, na miłość Boską — zawołała Józefa, wstrzymując zrozpaczoną Gertrudę. Bóg nas nie opuści.

Nie traćmy nadziei, zastanówmy się. Może znajdzie się ratunek. Posłuchaj — mówiła starając się uspokoić i pocieszyć swą zrozpaczoną towarzyszkę. Może nam się uda próba, którą

przedsięwziął ów obcy człowiek, którego ocaliłyśmy. A jeżeli nawet zginiemy w falach morskich to śmierć nie straszniejsza niż ta, która nam tu grozi.

— Lecz skąd wziąć łódź — spytała Gertruda.

— Spróbować można na trumnie — odpowiedziała Józefa.

— Boże — szepnęła z trwogą Gertruda — chcesz umarłych niepokoić?

— Nie mamy wyboru — odpowiedziała Józefa — trumna równie dobra jak i łódź. Musimy jednak przeczekać, aż będzie lepsze powietrze. Na razie należy poczynić przygotowania. Chodź, nie bój się umarłych, którzy nie widzą i nie czują, co się z nimi czyni.

I pociągnęła za sobą do grobowca wzbraniającą się Gertrudę. Z latarnią i wytrychem w ręku szły wzdłuż trumień. Gertruda tuliła się do Józefy, która szukała za silną trumną. Lecz wszystkie tu były stare, spróchniałe, aż nareszcie w nowym szeregu wskazała Józefa na silną dębową trumnę, większą jak inne i rzekła:

— Tę weźmiemy!

Józefa namówiła nareszcie trwożliwą Gertrudę i zabrały się do dzieła. Wytrychem i przy pomocy wielkiego kamienia udało się im nareszcie podnieść wieko. Drżąc na całem ciele, blada, wpatrywała się Gertruda w otwartą trumnę, z której dobywał się zapach stęchlizny i zgnilizny.

W trumnie, obitej blachą cynkową, leżał mężczyzna o nadzwyczajnej wielkości w wspaniałym uniformie. Straszny widok, zastały po nim tylko jeszcze proch i kości. Z pod złoconego hełmu wyglądała czaszka, w prawicy, odzianej w miedzianą rękawicę, trzymał miecz, jakby chciał wstać z grobu.

Mimowoli cofnęły się nieszczęsne kobiety, lecz Józefa prędko przezwyciężyła trwogę i oświadczyła:

— Trzeba nieboszczyka podnieść z trumny. Leży on w trumnie cynkowej, więc tylko tę podniesiemy.

Po długiem wahaniu zdecydowała się Gertruda na ten czyn. Nie łatwe to było do wykonania, a gdy się nareszcie udało, upadła Gerda znużona na sąsiednią trumnę. Kiedy przyszła nieco do siebie, poczęły razem sunąć trumnę ku wyjściu, bo unieść jej nie mogły. Trwało to bardzo długo, w tym czasie zapadł zmrok.

Józefa i Gertruda udały się do kaplicy, spożyły tu skromną wieczerzę i rzuciły się na swe wspólne posłanie. Lecz długo nie mogły zasnąć. Omawiały swój niebezpieczny plan, a tymczasem szalała gwałtowna burza i bałwany morskie uderzały o skały.

Po dwóch dniach morze się uspokoiło i w nocy postanowiły kobiety wykonać swój plan Księżyc świecił jasno, wiatru nie było.

W kaplicy znalazły sznury. Temi opasały trumnę i puściły ją ostrożnie na wodę. Józefa wsiadła pierwsza. Zdołała chwycić dwie deski, które z rozbitego okrętu pozostały jeszcze na morzu. Deski te miały służyć za wiosła. Wsiadła i Gertruda. Trumna pod ciężarem podwójnym zanurzyła się w wodzie, lecz niosła nieszczęśliwe kobiety pewnie, jakby czółno.

Odpłynęły i wiosłowały. Fale oblewały to dziwne czółno, wyglądające wśród czarnych skał w oświetleniu księżyca jak okręt umarłych. Zwolno znikał z oczu kobiet straszny grobowiec.

Lecz fale stawały się silniejsze i trumna kołysała się silniej po morzu, które — zdawało się — jakby chciało czasem pochłonąć niezwyczajną łódź. Straszna trwoga zdjęła nieszczęśliwe kobiety.

Lecz wiosłowały dalej, starając się dobić do lądu. Lecz fale unosiły je ciągle na pełne morze, coraz bardziej oddalały się od brzegu, który w końcu zniknął im zupełnie z oczu.

Czy zginą marnie na swem słabem czółnie i znajdą grób na dnie morza?

— — — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Tego samega wieczora wypłynął stary Karaś ze synem Detlewem na połów ryb. Jak długo szalała burza, musieli spoczywać. Dlatego też dzisiaj chcieli bardzo pilnie pracować.

Zbliżyli się do grobowca, gdzie połów był bardzo obfity. Nagle przystanął Detlew na czółnie, nadsłuchiwał przez chwilę i rzekł:

— Ojcze, czy słyszysz? Jakby wołanie o pomoc.

Stary rzucił wzrokiem w stronę grobowca i rzekł trwożliwie:

— A co! Duchy! Odpłyńmy stąd prędko!

Odpłynęli. Za chwilę jednak zawołał Detlew.

— Ojcze — patrz! tam na wodzie coś płynie. Jakby czółno, w niem dwie postacie ludzkie!

I stary spostrzegł ciemny przedmiot na wodzie, pędzony na pełne morze. Postacie nie można było rozróżnić.

W tej chwili usłyszeli rybacy wśród ciszy nocnej głośny, zgrozą przejmujący okrzyk. Niewątpliwie pochodził okrzyk z czółna, płynący

niem znajdowali się w niebezpieczeństwie.

Bez namysłu chwycili ojciec i syn za wiosła i z szybkością błyskawicy popłynęła wielka łódź rybacka w stronę czółna.

—Na miłość Boską! — zawołał nagle Detlew zdjęty straszną trwogą. Ojcze, to nie zwyczajne czółno, lecz trumna, a w niej dwie kobiety, zdaje się duchy.

— Niech nas Bóg chroni! — zawołał stary. Nie dajmy się uwieść duchom. Nawróćmy!

Jeszcze chwilę wpatrywali się rybacy w czółno, nie śmieli się zbliżyć do duchów. Nagle zakryła trumnę potężna fala. Zdawało się, jakby pochłonęło ją morze wraz z kobietami.

Szybko odpłynęli rybacy.

— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

W chacie rybackiej siedziała Katynka, czekając na powrót swych przyjaciół.

Poprzedniego dnia odwiedziła ją ciotka Krystyna, i doniosła, że Winter żyje i że za nią szuka. Obiecała też że przyszle Wintera, skoro on tylko przyjdzie na zamek Wildenfels.

Z tęsknotą czekała Katynka na ukochanego. Lecz on nie przychodził, zdaje się, że w ostatnich dniach nie odwiedził Krystyny. A że nie wiedziała, gdzie się on obraca, więc ne mogła go uwiadomić.

Przy świetle lampki oliwnej czekała Katynka, nadsłuchując, czy rybacy nie wracają. Długo dzisiaj bawili, czy ich tylko nie spotkało nieszczęście.

Nagle ozwały się kroki mężczyzny i za chwilę zapukał ktoś do drzwi. Zerwała się Katynka.

— Kto tam? — zawołała. Czy to wy, ojcze Karasiu?

— Otwórzcie, — odpowiedział głos z za drzwi. Przynoszę wiadomość od waszej ciotki, Krystyny.

Katynka zawahała się. Głos wydał jej się znajomym. Wzbudziła się w niej nieufność.

— Nie mogę was wpuścić, bo jestem samą. Powiedźcie jakie wasze zlecenie, — odpowiedziała.

Przekleństwo było odpowiedzią. W tej chwili począł ktoś wytrychem laborować koło drzwi, które się prędko otwarły i postać jakaś wskoczyła do izby. Na jej widok dobył się z piersi Katynki przeraźliwy okrzyk. Był to Piotr, rudowłosy służący Sinobrodego. Z szatańskim śmiechem rzucił się na drżącą i cofającą się przed nim dziewczynę.

— Ha, ha! — zawołał, starając się chwycić ją. Więc znalazłem cię szczęśliwie, gołąbku mój! Nie bój się Sinobrodemu cię nie wydam. Moją teraz jesteś!

— Na pomoc, pomocy! na miłość Boską!— wołała Katynka rozpaczliwie. Odepchnęła nędznika i rzuciła się ku drzwiom. Klnąc, podążył za nią Piotr. Pędzona trwogą gnała Katynka ku najbliższej chacie rybackiej, wołając przeraźliwie o pomoc. Lecz nikt jej nie słyszał, zdaje się, rybacy znajdowali się na morzu. Wnet przyłapał Piotr uciekającą i rękę przyłożył do ust.

—Nie krzycz, bo zginiesz! — zawołał groźnie.

Katynka zamilkła, lecz całą siłą broniła się i szamotała z lubieżnym łotrem, który ofiarę swą rzucił na ziemię i objął dziko, gwałtownie.

— Moją jesteś! — dyszał. Podniósł na pół nieprzytomną i zaniósł w gęstwinę nad brzegiem, gdzie stał jego koń. Jeszcze jeden przeraźliwy okrzyk rozdarł ciszę nocną. Lecz nikt nie pośpieszył z pomocą biednej dziewczynie. Piotr założył na usta swej ofiary chustkę i podniósł bezbronną na konia.

— Teraz krzycz, jeżeli możesz, — szydził i szybko odjechał ze swoim łupem w stronę oddalonego lasu.

W kilka minut później wysiedli ze swej łodzi stary Karaś i jego syn. Już zdala zobaczyli otwarte drzwi, a przeczuwając nieszczęście, wyprzedził Detlew ojca. Kiedy stary wszedł do chaty, stał syn jego blady, drżący; w oczach miał łzy i rozpaczliwie łamał ręce.

— Ojcze! — zawołał. Nie ma jej. Porzuciła nas!

— Nie, sama — z własnej woli — nie poszła, — odpowiedział stary. To dzieło Sinobrodego. Odkrył biedną dziewczynę i porwał ją. Detlew chodź! — rzekł stanowczo. Pójdźmy na zamek Wildenfels. Tam ją znajdziemy.

Młody rybak gotów był z ojcem. Wziął z szafy wielki nóż rzeźnicki i w milczeniu schował w but. Z oczu błyszczała wściekłość, zacisnął pięście.

Właśnie zabierali się do wyjścia, ojciec i syn, kiedy rozległy się kroki i mężczyzna, otulony w płaszcz, wszedł do chaty. Był to komisarz Winter.

Rozdział 41.

ZAGADKOWY NAPAD.

Podczas gdy Walerya mówiła na schodach z urzędnikiem policyjnym, stał jeszcze Ludwik

Hecht w drzwiach swego pokoju. Słyszał każde słowo rozmowy i nie miał wcale ochoty wpaść w ręce policyi.

Szybko zdecydowany wszedł do pokoju, wziął kapelusz i palto i małą torbę ręczną i pośpieszył na schody prowadzące na górne piętra, śmiejąc się w duchu na widok przerażonych urzędników, gdy go nie znajdą w pokoju.

Szybko dostał się na piąte piętro, leżące tuż nad dachem. Wytrychem otworzył drzwi i wszedł w długi korytarz, w którym po lewej i prawej stronie mnóstwo było drzwi prowadzących do izb dachowych, przeznaczonych dla służby hotelowej.

Obznajmiony z urządzeniami hotelów paryskich znalazł łatwo to, czego szukał. Wytrychem otworzył drzwi i wszedł do pokoju z garderobą służby.

Nadsłuchiwał. W dole rozległ się trzask, potem głośne okrzyki. Wiedział Hecht, że nie jest tu bezpiecznym. Otworzył prędko kilka szaf, napełnionych sukniami i wyszukał sobie mundur służącego z zielonego sukna z żółtemi tresami. Zrzucił swe ubranie i założył wybrany mundur hotelowy. Potem wyjął z torby swej "baken brody" i perukę i założył na siebie. Wziął także czapkę należącą do munduru i przeglądnął się w lustrze.

— Chyba spokojnie mogę teraz wyjść z hotelu, — rzekł zadowolony. W tem przebraniu nie pozna mnie nawet moja piękna Walerya.

Pozostawił swe ubranie i podążył na schody tylne, przeznaczone dla służby.

Tymczasem wtargnęli już byli urzędnicy do jego pokoju. Nie znaleźli tu nikogo i bez namysłu otworzyli drzwi do pokoju sąsiedniego. Tu stała szafa, którą przy gwałtownem otworzeniu padła na ziemię z trzaskiem, podobnym do grzmotu.

Urzędnicy poznali prędko swą pomyłkę. W jednej chwili zaalarmowano cały hotel, wszyscy brali udział w poszukiwaniu zbrodniarza. Darmo jednak przeszukano cały dom, w izbach dachowych poznano wprawdzie ślady jego bytności, lecz zapóźno, Ludwik Hecht opuścił tym czasem hotel bez przeszkody.

I Walerya skorzystała z ogólnego zamieszania i potrafiła wymknąć się szczęśliwie. Na ulicy odechnęła swobodnie i podążyła prędko do hotelu.

Hrabia Edmund był jeszcze w swoim pokoju. Nie spostrzegł ani jej wyjścia ani przyjścia. Niespokojnie spędziła resztę dnia, bała się, czy mąż jej nie wpadł w ręce policyi. A potrzebowała go koniecznie do swoich planów. Trudno było znaleźć lepszego sprzymierzeńca.

Postanowiła napisać do swego brata, hrabiego Sinobrodego, by polecił swemu wiernemu Piotrowi, by sprzątnął małego Waltera. Wieczorem wyszedł hrabia Edmund i Walerya zabrała się do pisania. Wtem zapukano do drzwi wszedł służący.

Zameldował, że jakiś nieznajomy przyszedł z wiadomością od hrabiego. Walerya schowała list i kazała wprowadzić posłańca. Ten wszedł, służący oddalił się. Ze zdziwieniem przypatrywała się Walerya przybyłemu, który był porządnie odziany i miał potężną brodę. Nim jeszcze mogła mu zadać pytanie, zbliżył się ku niej obcy i rzekł:

— To ja, mój skarbie!

Okrzyk zdziwienia. Gdy zdjął brodę, poznała go. Był to rzeczywiście jej mąż.

— Więc szczęśliwie umknąłeś? — spytała radośnie zdziwiona i dodała szeptem:

— Ależ to nieostrożność przychodzić tu do mnie!

— Nie ma niebezpieczeństwa! uspakajał ją Ludwik, nasadzając znowu swą fałszywą brodę. Hrabiego niema, wiem, że wyszedł. A służący uważa mnie za posłańca swego pana.

— Co cię tutaj sprowadza? Przecież wszystko omówione!

— Tak, ale nie wiesz przecież, dokąd masz przesłać pieniądze. A pisać to niebezpieczne!

— Ach, zapomniałam zupełnie o pieniądzach! — rzekła Walerya. Najlepiej, jeżeli jeszcze dzisiaj w nocy opuścisz Paryż. Każę bankierowi hrabiego w rezydencyi wypłacić ci pieniądze — naturalnie dam zlecenie telegraficznie. Odbierzesz je zaraz po przyjeździe. Natychmiast napiszę ci legitymacyę.

— Dobrze! Zgadzam się — rzekł Hecht zadowolony. A racz już przy tej sposobności napisać 20.000, zamiast 10.000.

— Nie, nie mogę. Nie wolno mi rozporządzać takiemi sumami. Hrabia może się o tem dowiedzieć. 10.000 marek zaś mogę pokryć jeszcze z własnych środków, kiedy wrócę do domu.

Napisała kilka słów na arkusiku, włożyła do koperty i oddała swemu mężowi.

— Pokażesz to bankierowi, który ci wypłaci pieniądze. A teraz idź i przeszlij mi szybko pomyślną wiadomość.

Ludwik Hecht chętnieby jeszcze został, lecz bał się wzbudzić w służącym, który czekał w salonie, podejrzenie.

Rzekł, więc głośno tak, by go służący mógł usłyszeć:

Według rozkazu! Natychmiast zaniosę odpowiedź jaśnie panu. Oddalił się. Walerya zadowolona skończyła list do brata. Doniosła mu

o swoich przejściach i o spotkaniu się z mężem. Przed bratem nie miała tajemnic. Doniosła mu też, że wkrótce przybędzie do rezydencyi z hrabią Edmundem i że blizką jest swego celu.

Następnego dnia nagliła do wyjazdu, bała się, czy policya za nią nie szuka. W gazetach nie znalazła wzmianki o swym mężu, szczęśliwie więc opuścił Paryż. I oni wyjechali z powrotem, zatrzymali się jednak w rozmaitych miejscowościach.

Niecierpliwie wyczekiwała Walerya wiadomości od swego męża. Ale Ludwik Hecht nie dał o sobie znać. To ją niepokoiło. Czy może podjął pieniądze i nic nie uczynił. Nie inaczej. Oszukał ją.

Nareszcie przybyła z hrabią Edmundem do rezydencyi. Tu wydarzył się wypadek, który stanowczy wywarł zwrot w ich losach i stosunkach.

Ekwipaż hrabiego czekał na dworcu. Wsiedli doń i jechali szybko przez śniegiem pokryte ulice. Na szerokim placu zgromadził się przed pałacem książęcym wielki tłum ludzi, zamknął zupełnie przejazd. Przed pałacem czekał powóz książęcy i w chwili kiedy nadjeżdżał powóz hrabiego, wyszedł z bramy pałacu książę w towarzystwie ministra hrabiego von Borgheim i wsiadł do swego ekwipażu. Tuż za nim musiał zwolnić powóz hrabiego, lud cisnął się, wznosząc na widok księcia okrzyki radości.

Książę rozglądnął się po tłumie, wzrok jego spoczął przez chwilę na Waleryi, której piękność widocznie nie uszła jego uwagi.

Hrabiego książę nie zauważył. Wsiadł ze swoim ministrem do powozu, nim jednak ten ruszył z miejsca, przecisnął się przez tłum wysmukły, blady mężczyzna, otulony w czarny płaszcz. W lewej ręce trzymał wielki list, widocznie prośba, którą chciał wręczyć księciu.

Urzędnicy dworscy starali się go zatrzymać. Wtem spostrzegł go książę, skinął, by mężczyznę tego puścić. I Walerya widziała ten epizod — ledwo jednak przyglądnęła się rysom bladego mężczyzny, wydała okrzyk zdziwienia.

— Edmund, patrz, ten człowiek, to ów nieznajomy, z którym Agata oszukała swego męża — to jej uwodziciel — ten sam, z którym ją spotkałam — zawołała w niewymownym wzburzeniu.

Hrabia Edmund wpatrywał się w nieznajomego.

— Co? — zawołał — on mi porwał Agatę? Kurt Werner?

— Tak, tak — szeptała Walerya — poznaję go.

—Ha ten łotr — zawołał hrabia Edmund i wysiadł z powodu — lecz, o Boże, co ten człowiek robi?

Blady mężczyzna przystąpił tymczasem do powozu i w chwili gdy książę chciał odebrać prośbę, sięgnął obcy ręką pod płaszcz i w następnej chwili skierował rewolwer w stronę księcia. Spotrzegł to hrabia Edmund, a minister spostrzegł niebezpieczeństwo — zerwał się — w tej chwili padł strzał i minister runął. Kula przeznaczona dla księcia, jego trafiła.

Tłum stał oniemiały, nie mogąc pojąć tego, się tu stało. Hrabia Edmund wyskoczył z powozu i przybiegł ku napastnikowi. Ten już drugi raz skierował rewolwer ku księciu, który zerwał się i dobył miecza.

— Szaleńcze, — zawołał.

Wtem — w chwili największego niebezpieczeństwa — chwycił hrabia Edmund nieznajomego i wytrącił mu rewolwer z ręki. Cała ta scena trwała zaledwie kilka sekund. Teraz dopiero tłum odzyskał przytomność i rzucił się na napastnika, którego hrabia Edmund silnie trzymał. Lecz dziwnie, nieszczęśliwy ten nie stawiał oporu. Blady, wpatrywał się w konającego ministra i nagle padł nieprzytomny w objęcia hrabiego. Z głowy spadł mu kapelusz — zobaczono długie związane włosy. Podczas gdy szamotali nim urzędnicy policyjni i wzburzony tłum, spadła też z twarzy napastnika jego blond broda. Twarz jego miała kobiece rysy. Bezwątpienia, była to przebrana kobieta.

Lecz nikt w tej chwili nie zwracał uwagi, nawet hrabia Edmund, z którego rąk odebrali tymczasem urzędnicy napastnika, z trudem starając się ochronić go przed wzburzonym tłumem. Tylko Walerya wszystko zauważyła. Zdziwienie jej nie znało granic.

Książę zachował zupełny spokój. Rozkazał śmiertelnie rannego ministra sprowadzić do pałacu, poczem skinął na hrabiego Edmunda.

— A kochany hraba — rzekł zdziwiony — dziękuję ponu, ocaliłeś mi życie. Spodziewam się, że jutro pana zobaczę.

Hrabia Edmund skłonił głową. Książę uścisnął mu rękę, skinął potem w stronę ludu i wsiadł do powozu, który szybko odjechał.

Za policyą, która zabrała napastnika, podążył tłum wzburzony. Hrabia Edmund wsiadł do powozu, który z trudnością przedarł się przez tłum. Lud odprowadził powóz hrabiego aż do bram pałacu, wznosząc po drodze okrzyki na jego cześć w nagrodę za odważny czyn. Każdy widział w nim zbawiciela księcia.

— Mój Boże — mówił hrabia Edmund je-

szcze wciąż wzburzony do Waleryi, odprowadzając ją do komnat na pierwszem piętrze. Straszny wypadek, czy to naprawdę Kurt Werner, uwodziciel Agaty? Poznałaś go?

— Nie wiem — może się pomyliłam — odpowiedziała wymijająco.

Wtem przypadli stary Michał i wychowawczyni Marta, bardzo wzburzeni.

— Panie hrabio — zawołali równocześnie rozpaczliwym głosem. — Straszne nieszczęście, mały Walter zniknął bez śladu!

W bezgranicznem osłupieniu wpatrywał się hrabia Edmund w biadającego Michała i w łkającą Martę. Walerya zaś tryufowała, więc plan się udał, ostatnia przeszkoda usunięta.

Udawała jednak przestrach i nim hrabia mógł odzyskać równowagę, zawołała gniewnie:

— Jak się to stało? Wielki Boże! Co za nieszczęście! Kto zawinił? Tak, tylko ona, jej opiece powierzyliśmy małego Waltera.

Słowa te tyczyły wychowawczyni. Przystąpiła ku niej gwałtownie i zawołała szyderczo i pogardliwie:

— Tak węc czuwałaś nad dzieckiem swej ukochanej pani. Kobieto bez sumienia. — Sądzę, kochany hrabio — tu zwróciła się do Edmunda — że nieszczęście to stoi w związku z napadem na księcia. Napastnik — jeżeli jest rzeczywiście uwodzicielem Agaty — porwał też małego Waltera. A ta tu, wierna Marta, jest z nim w zmowie.

— Na miłość Boską — zawołała Marta oburzona. — Niech pan hrabia temu nie wierzy, ja niewinna. Panna Walerya rzuca na mnie winę, jak to już raz uczyniła, bez zbadania sprawy. Ja jednak twierdzę stanowczo i teraz, że mały Walter nie ma innego wroga prócz panny Waleryi.

— Co mówisz? Ty śmiesz! Nie waż się powtórzyć swe oszczerstwa! — zawołała Walerya, blada z wściekłości.

— To prawda, to nie oszczerstwo — mówiła nieustraszona Marta — pani najlepiej wie!

— Spokój panno Marto — zawołał hrabia Edmund.

Uspokoił Waleryę i rzekł do Marty:

— Da mi pani bliższe wyjaśnienia, czekam panią w mym pokoju. Tymczasem należy szukać za Walterem.

Zaprowadził Waleryę do jej komnat i nie zważając na jej złorzeczenia przeciw Marcie, podążył do swej pracowni.

Ani na chwilę nie obudziło się w nim podejrzenie przeciw demonicznej Waleryi, niczem mu nie były stanowcze oskarżenia Marty. Był raczej skłonnym uwierzyć w niedbałość wychowawczyni, jak w zbrodnię, dokonaną przez Waleryę.

Weszła Marta, zapłakana, wróciła już jednak do równowagi umysłu.

Ponuro i surowym wzrokiem zmierzył ją hrabia Edmund i zapytał ostro:

— Nie odkryto śladu?

A kiedy Marta niemem ruchem głowy zaprzeczyła, rzekł:

— Wytłómacz mi zatem pani, jak się to stać mogło! Pani jest odpowiedzialną. Mam nadzieję, że pani nie zaniedbała swego obowiązku.

Nigdy do niej tak surowo nie mówił. Nie trudno było poznać wpływ Waleryi. Marta odczuła głęboki ból i żal. Nie płakała więcej.

Patrzała na hrabiego odważnie, ufna w swoją niewinność i tak mówiła:

— Panie hrabio, nie zasłużyłam na te gorżkie wyrzuty. Bóg wie, że własna matka nie czuwałaby jak ja nad małym Walterem. Nigdy też moja pani nie potępiłaby mnie, jak to pan hrabia teraz czyni.

— Mówże więc pani! Wytłómacz mi, jak się to stać mogło — przerwał hrabia.

— Jak? To i dla mnie jest zagadką, panie hrabio! Mam wprawdzie swe przypuszczenia. Lecz pocóż o tem mówić. Pan hrabia nie uwierzy mi, bo uważa wszystko co mówię przeciw pani Waleryi, za a. olślieocwsrezzs Kl .łp?-oł pani Waleryi, za złośliwe oszczerstwo.

Niecierpliwy ruch hrabiego kazał jej zamilknąć.

— Te oskarżenia nie mają najmniejszej podstawy — zawołał gniewnie. Więc do rzeczy, nareszcie. Opowiedz pani krótko, co się stało. Sam wyciągnę wnioski.

— Dobrze panie hrabio — rzekła Marta drżącym głosem, z trudem wstrzymując łzy. Mały Walter był ze swą niańką w parku. Ja sama oddaliłam się na kwadrans ażeby odebrać i przeczytać list od przyjaciółki. Kiedy chciałam wrócić do parku, nadbiegła niańka wystraszona. Doniosła, że na chwilę straciła dziecko z oczu, mały Walter biegał za swoim balonem i zniknął za krzakiem.

— Nieprawdopodobne — przerwał hrabia — zadzwonił na Michała i rozkazał:

— Zawołaj mi niańkę.

— Nie ma jej, panie hrabio — rzekł Michał. Uciekła z obawy, że zostanie pociągniętą do odpowiedzialności.

— Niesłychana rzecz— zawołał gniewnie hrabia. Muszę zatem wezwać pomocy policyi i przedsięwziąć poszukiwania, by rozświetlić tę sprawę. Panno Marto, nie mogę panią zupeł-

nie uniewinnić. Narazie jednak zostanie pani w mym pałacu.

—Nie, panie hrabio, udam się do mej przyjaciółki. Policya mnie tam znajdzie, jeżeli jej będę potrzebną.

— Jak pani uważa. Nie zatrzymuję pani —odpowiedział niechętnie i opuścił pokój.

Udał się do Waleryi i doniósł jej o wszystkiem. Słuchała go uważnie, radując się w duchu. Zaprawdę, Ludwik Hecht wspaniale dokonał swego dzieła. Nigdy nie zostanie wyjaśnionem te tajemnicze zniknięcie dziecka. Była tego pewną. Ponadto usuniętą też została znienawidzona wychowawczyni.

Na nią zaś — na Waleryę — nie mogło w żaden sposób paść podejrzenie, bo właśnie wróciła z hrabią Edmundem z dalekiej podróży. Chciała się jednak dowiedzieć co się stało z porwanem dzieckiem. Czy zginęło, czy też jeszcze żyje. Musi mieć pewność w tej mierze.

Te miała myśli, słuchając opowiadania hrabiego Edmunda, który nie przypuszczał wcale, jak ta demoniczna kobieta tryumfuje.

— Naturalnie, kochany Edmundzie! Musimy zażądać pomocy policyi — rzekła — jestem przekonaną, że dokonano tu zuchwałej zbrodni w zmowie z niańką i wychowawczynią. Należy je pociągnąć do surowej odpowiedzialności.

I hrabia wierzył już prawie w współwinę Marty i niańki. W każdym razie chciał uczynić wszystko, by odszukać dziecię Agaty, winien to jej pamięci. Zresztą mały Walter był i jego dzieckiem przez poślubienie matki.

Po chwili w te słowa odezwał się do Waleryi:

— Wyraziłaś przedtem przypuszczenie, że napastnik może i w tem nowem nieszczęściu brał udział. Jeżeli ten człowiek jest rzeczywiście uwodzicielem Agaty, to wierzę, że on także porwał małego Waltera. Z jakiego powodu, na co? nie wiem. Chyba, że nędznik poluje na jego majątek. Dlaczego on jednak wykonał napad na księcia? Chyba to szaleniec, bo człowiek przy zdrowych zmysłach nie uczyniłby tego.

— Śledztwo wszystko wyjaśni. Wątpię jednak, czy napastnik jest jednak owym Karolem Wernerem. Jest doń podobny, lecz pomyliłam się bezwątpienia.

Ani słowem nie wspomniała Walerya o owej zmianie tajemniczego człowieka, którą zauważyła. Człowiek ten był kobietą, w tem samem przebraniu widziała go już Walerya. Był to ów nieznajomy, rzekomo kochanek Agaty, w którego objęciach przyłapał ją nieszczęśliwy baron Rambow. Więc Agata prawdę mówiła.

Ale dlaczego milczała? Dlaczego nie zdradziła ani w sądzie, ani nawet hr. Edmundowi, kto ta tajemnicza kobieta w przebraniu mężczyzny?

Wszystko to dla niej było zagadką, tem większą, bo nie mogła pojąć dlaczego owa nieznajoma chciała księcia zamordować.

Hrabia Edmund zaś powrócił do łaski księcia. Ocalił mu przecież życie. Czekają go najwyższe zaszczyty. Teraz stanowczo musi zostać jego żoną. Nie może się zrzec, tak świetnej przyszłości.

Śniła najpiękniejsze sny.

Hrabia Edmund oddalił się, by jeszcze raz przy pomocy służby przeszukać park. Potem chciał uwiadomić komisarza Wintera.

Wnet, wrócił poszukiwania nie odniosły skutku. Walerya pożegnała go i wróciła na zamek Agaty, gdzie była teraz nieograniczoną panią. W buduarze czekał ją wytwornie odziany mężczyzna, którego po pierwszych słowach powitania poznała. Był to mąż, Ludwik Hecht.

— Jesteś! — rzekła uradowana. Chcesz mi wszystko opowiedzieć? To dobrze? Jestem bardzo ciekawa. Z nadzwyczajną zręcznością wykonałeś swe zadanie, byłam już niespokojną wskutek twego milczenia, tem większe było me zdziwienie, kiedy wróciłam — ale czego tak na mnie patrzysz?

— Nie pojmuję, o czem mówisz, — odpowiedział Ludwik Hecht. Na wiadomość że wrócisz dzisiaj z hrabią Edmundem do rezydencyi, przybyłem tutaj przed godziną by ci donieść.

— Że dziecko w twojej mocy?

— Nie! Nie miałem po temu sposobności!

— Co mówisz? — zawołała Walerya. Straciłeś chyba zmysły?! Co to znaczy? Przecież porwałeś dzisiaj małego Waltera — przed trzema godzinami — z parku pałacu hrabiowskiego!?

— Ja? Nie — na Boga! — odpowiedział Hecht stanowczo.

— Ty nie — nie ty? — jąkała Walerya, jakby nieprzytomna. Kto więc?

— Nie mam pojęcia!

— O — ty — znam cię! — zawołała groźnie. Znam cię! Chcesz mnie oszukać, masz jakiś tajemniczy plan. Powiedz mi nareszcie, coś zrobił z dzieckiem! Czy nie żyje? Czy przechowałeś je gdzieś? Gadaj nareszcie!

— Nie wiem, czego chcesz odemnie, — odparł Hecht niechętnie. Jeżeli dziecko zniknęło, to stało się to bez mego współudziału. Nic o tem nie wiedziałem!

— Kłamiesz!

— E, do kata! wierz lub nie wierz. Dosyć

tego gadania, — rzekł niecierpliwie. Skoro dziecka niema, powinnaś być zadowoloną. Mnie oszczędzono pracy. W końcu obojętne ci, kto dziecko porwał!

— Nie — nie! Muszę mieć pewność, co się z dzieckiem stało. Bo mi znowu stanie w drodze. Hrabia chce wszystko uczynić, by Waltera odszukać. Policya poczyni kroki...

— A! policya! — bandyta pogardliwie machnął ręką. Co tam już policya znajdzie! Wiem z doświadczenia. Tego nie obawiaj się!

— Ależ to zagadka! — zawołała Walerya. Kto więc porwał małego Waltera? Komu — prócz mnie — na tem zależy?

— Kto wie? Może ma i innych nieprzyjaciół.

— Nie! Z pewnością nie!

— Hm! jeżeli ci na tem zależy, będę w tajemnicy szukał za dzieckiem. Może mi się to prędzej uda, niż przemądrej policyi.

Walerya nie zważała na jego słowa.

Nagle przypomniała sobie brata, któremu w ostatnim liście napisała wszystko, także w sprawie Waltera. Mógł więc Sinobrody porwać dziecko przy pomocy swego służącego, Piotra. Tak, tak. — Niepotrzebnie się zaniepokoiła. Jeszcze dzisiaj spyta Sinobrodego.

— Może też masz racyę! — rzekła do Ludwika, zdaje mi się, że wiem już teraz, kto dziecko porwał.

— A — kto? — pytał Hecht niedowierzająco.

Walerya nie odpowiedziała. Nie miała wcale ochoty zdradzić swemu mężowi, kim jest hrabia Sinobrody i w jakim ona do niego pozostaje stosunku.

— Czy nie słyszałeś już o zamachu na księcia? — spytała, zmieniając temat rozmowy.

— Pewnie! Całe miasto mówi o nim!

— A czy widziałeś napastnika?

— Nie. Słyszałem jednak że to przebrana kobieta.

— Więc i o tem już wiedzą? — rzekła Walerya. Mój kochany — dodała z uśmiechem. Jej to rolę grałeś w Paryżu wobec hrabiego. To ów rzekomy uwodziciel Agaty, z którym ona zdradziła swego męża.

— Nie rozumiem cię! To głupstwo!

— Bo to kobieta? Nie rozumiesz związku? Uważałam wtedy tę kobietę za mężczyznę. Dzisiaj dopiero poznałam prawdę. Trudno mi tylko pojąć, dlaczego ta tajemnicza kobieta wykonała zamach na księcia.

— To nam chyba obojętne. Ale teraz i hrabia może się dowiedzieć, kto ta kobieta i przestanie wierzyć w ową bajkę, którą opowiedzieliśmy mu w Paryżu — rzekł Ludwik Hecht.

— O tego się nie boję. Tajemnicza ta kobieta nie zdradzi swego stosunku do Agaty. Tak długo milczała, pozwoliła nawet na skazanie Agaty — i teraz będzie milczeć. Nie miało by też celu jej gadanie, proces jej niedaleki!

— Ha, ha! zaśmiał się Hecht. To naprawdę ironia losu, że hrabia właśnie ujął tajemniczą przyjaciółkę swej żony. A teraz naturalnie czeka go wdzięczność i łaska księcia. Order, lub też Bóg wie co za odznaczenie. Waleryo — godna jesteś zazdrości, wspaniała cię czeka przyszłość. Naturalnie, jeżeli zostaniesz jego żoną! Powinnaś też pamiętać o mnie i okazać mi swą wdzięczność.

— Zrozumiałam cię. Nie bój się. Naturalnie, żądam w zamian za to byś mi nie stawiał żadnych przeszkód i byś się oddał na me usługi, gdzie i kiedy zażądam.

— Pewnie, bądź zapewnioną o mej wierności, — odpowiedział Hecht.

— Dobrze! Rozmowa nasza skończona. W przyszłości nie przychodź tutaj. To niebezpiecznie. Uwiadom mnie, gdzie jesteś. W razie potrzeby udam się do ciebie.

Skinęła dumnie głową i chciała wyjść z pokoju. Wtem rozległ się tentent koni w podwórzu zamkowem. Walerya spostrzegła ku swej radości hr. Sinobrodego i Piotra.

— Cudownie! pomyślała. Teraz zyskam pewność co do losu małego Waltera.

Odwróciła się. Mąż jej był jeszcze w pokoju.

— Czego tu chcesz jeszcze? Idź! — zawołała. Mam wizytę!

Ludwik Hecht stał przy oknie i z dziwnym uśmiechem przypatrywał się przybyłym. Czy może poznał w Sinobrodym brata Waleryi?

Nic nie rzekł, wyszedł śpiesznie. Lecz zamku nie opuścił.

Rozdział 42.

NIEBEZPIECZNA RYWALKA.

Agata wydała przeraźliwy okrzyk na widok księżnej indyjskiej, która ze sztyletem w ręku wpadła do pokoju. Nie miała odwagi uciec, gdy kobieta, gnana nienawiścią i zazdrością, rzuciła się na nią, jakby szalona.

— Zgiń, żmijo! — zawołała. Zabrałaś mi miłość męża. U nóg twych leżał. Szatanie! Umrzeć musisz za tę zbrodnię!

Już błysło żelazo w oczach Agaty, gdy w tem wpadła do pokoju w towarzystwie dwóch służących wierna Delia. Księżną indyjską cof

nęła się, a kiedy służące poczęły krzyczeć, opuściła pokój, klnąc i przysięgając straszną zemstę.

Teraz dopiero odzyskała Agata przytomność. Płacząc, objęła Delię.

— Miłosierny Boże! Co to będzie? Nie mogę tu dłużej zostać. Delio! uciekajmy! Chętniej umrę gdzieś w pustyni, aniżeli mam być narażoną na zemstę tej kobiety.

— Uciekać chcesz, pani? A dokąd? biadała Delia. Zażądaj pomocy księcia, bądź mu powolną, a nie masz czego obawiać się rywalki.

— Nigdy nie będę żoną księcia! — zawołała Agata. Ne mów mi o tem! Jeżeli ucieczka jest niemożliwą, natenczas padnę ofiarą zemsty księżny. Lecz i ty zginiesz ze mną, ma biedna Delio!

Dziewczyna drżała na całem ciele.

— Skoro wróci mój ukochany Jusuf, wtedy pani spróbujemy uciec, — rzekła nagle. Mój ukochany wierny ci jest, tak jak ja. On cię nie opuści. Będzie też dla nas obroną na pustyni.

Uszczęśliwiona, ożywiona nową nadzieją, uścisnęła Agata wierną Delię.

Za dwa dni Jusuf wróci, lecz kto ją ochroni do tego czasu? Musi chyba zwrócić się do księcia i oskarżyć księżnę.

Zobaczyła go dopiero następnego dnia. Właśnie wybierał się na polowanie na tygrysy, na którem miał zabawić czas dłuższy.

Wysłuchał Agatę w ponurym spokoju i rzekł:

— Wiem, że ma pierwsza żona czyha na twe życie. Lecz bądź spokojną. Zarządziłem potrzebne środki ostrożności. Jeżeli się nareszcie zdecydujesz zostać moją żoną, wtedy wszystkie które czyhają na twe życie, zginą. Nietylko tę jednę, ale wszystkie żony oddam za ciebie.

— Boże! Czemu mię dręczysz, mój książę? — westchnęła Agata rozpaczliwie. Wiesz przecież, że nie mogę spełnić twego życzenia.

Nie odpowiedział, wyszedł i za chwilę wyruszył ze swym wspaniałym orszakiem. Agatę zdjęła trwoga, mimo zapewnień księcia, że postarał się o jej pewność.

Delia doniosła jej wprawdzie, że warty przy jej pokojach są wzmocnione, lecz nie uspokoiło to Agaty. Zwłaszcza że wobec tego ucieczka stała się prawie niemożliwą.

Zaraz po wyjeździe księcia zgromadzili się w innej części pałacu kapłani i wysocy dostojnicy. Wśród nich zjawiła się i księżna i tak rzekła:

— Ma obca, chrześcijanka nad nami panować? Ona, co sztuczkami czarodziejskiemi usidłała naszego pana? Chcecie by ona zasiadła na tronie? Ona zwalczać będzie naszą wiarę, zburzy nasze świątynie, na ich miejscu krzyż zabłyśnie. Prześladować będzie z krwiożerczą okrutnością naszych kapłanów, a kto nie zegnie przed nią karku ten zginie! Wszyscy my zgubieni, jeżeli ona cel swój osiągnie. Nuże więc! Sposobność jest! Niech na stosie zginie, szatańska ta kobieta!

Wszyscy byli zdania księżny, zwłaszcza kapłani.

— Na stos z nią! — wołali w dzikim fanatyzmie.

— Sprowadzcie ję więc! — zawołała księżna tryumfująco, do świątyni, tam sąd się odbędzie.

— Ale — a książę? Co jemu powiemy? zauważył jeden z dostojników. On w gniewie pomści okrutnie jej śmierć na nas!

— Książę nie może działaś wbrew woli bogów — rzekł arcykapłan. A bogowie chcą śmierci tej czarownicy, nim zgubę na naród cały sprowadzi.

Głos kapłana zaważył na szali. Śmierć Agaty została postanowioną.

Wszystko w tajemnicy przygotowano. A gdy noc zapadła i cisza zaległa pałac książęcy, zabrano się do dzieła. Ciemne postacie skradały się do komnat Agaty. Warty po większej części spały, upojone silnem winem. Tu i ówdzie tylko zerwał się Hindus, poznawszy groźne niebezpieczeństwo, w tej samej jednak chwili padł nieżywy na ziemię, brocząc w krwi.

Już były ciemne postacie przed sypialnią Agaty.

Cisza. Ampuła oświetlała różowem światłem wspaniale urządzoną komnatę. Na jedwabnych poduszkach, w złoconem łóżku, leżała spokojnie Agata. Na ziemi u nóg jej czuwała Delia, nie mogła i nie chciała spać, przeczuwała nieszczęście.

Wtem usłyszała głuchy jęk — potem kroki — szczęk zbroi — portyery u drzwi poruszyły się i na progu stanęła brodata postać z błyszczącemi oczyma.

Okrzyk zgrozy zamarł na ustach Delii. Poznała niebezpieczeństwo i że nie potrafi pomódz swej pani.

Prędko ukryła się za wysokiem łóżkiem. I już w następnej chwili zapełnił się pokój różnemi postaciami. Przestraszona zerwała się Agata ze snu.

Jeden okrzyk zgrozy. Żelazne ją objęły ręce — otulono ją w ciężką derę... straciła przytomność.

Prędko i cicho oddaliły się postacie ze swą

ofiarą nie zwracając uwagi na Delię, która nieruchoma stała w swej kryjówce. A kiedy dzika horda oddaliła się, pospieszyła za nimi wierna Delia.

Bocznym wchodem opuściły postacie pałac. Wielkim pustym placem udali się w stronę, gdzie stała świątynia, potężna stara budowla. Na bramie fantastyczne postacie bożków z kamienia wykute.

Z wnętrza świeciło czerwone światło pochodni. Odchylono kotarę u wejścia i zgraja ze swą ofiarą weszła do świątyni.

Wysokie sklepienie, oświecone pochodniami i matowem światłem księżyca straszne czyniło wrażenie. Dookoła wielka liczba bożków wykutych z kamienia, straszne, groźne postacie.

Ołtarz tworzył potężny blok granitowy, tu ginęły z rąk kapłanów ofiary ku czci jednego z bożków.

Na to miejsce zawleczono też Agatę i złożono na bloku. Była tu już zgromadzona znaczna liczba kapłanów i urzędników dworskich. Wnet przybyła i księżna z licznym orszakiem. Przystąpła do ołtarza i z szatańskim tryumfem nachyliła się nad nieprzytomną.

— Okuć ją w kajdany! — rozkazała. Tu, w świątyni zostanie jeszcze dwa dni, nim zginie na stosie.

Spełniono jej rozkaz. Agata zbudziła się i podniosła się. Z nieopisaną trwogą rozglądała się dookoła, a skoro zobaczyła księżnę, domyśliła się, jaki ją tu los czeka.

— Miłosierny Boże! — zawołała. Jaka moja zbrodnia? Com ci złego uczyniła, kobieto bez serca?!

— Zginąć musisz! — zawołała księżna. Żywcem cię spalimy, czarownico!

Przeraźliwy okrzyk wydobył się z piersi Agaty.

Żywcem spalona! Miłosierny Boże! Sama myśl ta przyprawiała ją o szał. Rzuciła się do nóg szatańskiej kobiety i wyciągnęła ku niej błagalnie okute w kajdany ręce.

— Puść mnie — daj mi wolność! Opuszczę ten kraj. Nie będę ci przeszkodą. Nie dobrowolnie tu przybyłam, lecz gwałtem porwano mnie.

— Kłamiesz! zgrzytnęła księżna. O, znam ja twoje zamiary. Czarodziejskiemi piekielnemi sztuczkami usidłałaś mego książęcego pana. Jak niewolnik leżał u twych nóg, żebrząc miłości. Ha! groźnem jesteś niebezpieczeństwem dla narodu, dla naszej wiary! Nie znamy litości. Księcia nie ma. Nic cię nie ocali!

Na jej skinienie porwali niewolnicy Agatę daremnie się broniła w śmiertelnej trwodze. Podczas szamotania, porwała się w strzępy jej cienka odzież nocna i wdzięki jej jaśniały upajająco. Niejeden lubieżny wzrok kapłana lub też urzędnika zatrzymał się z lubością na tych wspaniałych, pełnych formach cudownego ciała kobiecego.

Ale zaślepieni fanatyczną nienawiścią, nie czuli litości dla swej ofiary. Także wzrok młodego kapłana, który pochłaniał prawie że nagie ciało Agaty, nie zdradził nic prócz lubieżności.

Zawleczono Agatę w stronę kolosalnej figury bożka w postawie siedzącej. W szerokich plecach figury był okrągły otwór, wskazujący na to, że figura jest wydrążoną. Otwór mógł w sobie pomieścić człowieka.

Zarzucono sznur na nagie ciało Agaty, podniesiono ją i wtrącono do wydrążenia.

Zdawało się Agacie jakby ją wtrącono w przepaść piekielną. Jeszcze górną częścią ciała zawisła w otworze, starała się utrzymać w równowadze, lecz cztery bezlitośne ręce zepchnęły ją w wydrążne cielsko bożka. Jeszcze chwila... Agata dotknęła nogami ziemi.

Ciasne i ciemne było jej więzienie. Otwór zamknięto płytą kamienną, zaopatrzoną w mały otwór, prze który prowadził sznur, zarzucony nieszczęsnej ofierze.

Słyszała jeszcze Agata głosy swych prześladowców. Padła na kolana. Usiąść nie mogła, bo wszędzie dotykała się zimnego głazu. Bezgraniczna zdjęła ją rozpacz. Dwa dni ma tu zostać, Straszna męczarnia, wyszukane tortury... Agata padła w omdlenie.

Świątynia opróżniła się. Zostawiono tylko kilku niewolników.

Straszna cisza zaległa to trwogę wzbudzające miejsce, gdzie figury bożków w słabem, mdłem świetle księżyca przejmowały zgrozą.

Nagle z pod słupa wychyliła się postać i zręcznie jak kot zbliżyła się do ołtarza. Była to Delia. Widziała scenę która się tu odegrała.

Zbliżyła się ku niewolnikom, lecz tak, że oni jej widzieć nie mogli. Było ich trzech. Nie ruszali się — zdawało się że śpią.

Przystanęła niezdecydowana. Ręka jej trzymała sztylet ostry, oczy jej złowrogo błyszczały w ciemności, Jaki plan w niej dojrzewał? Czy ona — słaba dziewczyna — chciała rzucić się na olbrzymie postacie niewolników?

Postąpiła o krok. Wtem cofnęła się. Usłyszała kroki na drugim końcu świątyni, skąd wynurzyła się też postać mężczyzny, w sukmanie kapłańskiej. Zauważyli go i niewolnicy. Kapłan ten sam, który przedtem pochłaniał Agatę pożądliwym wzrokiem, zbliżył się i rozkazał niewol

nikom wyciągnąć Agatę z cielska bożka.

Niewolnicy przyzwyczajeni do bezwzględnego posłuszeństwa, wykonali jego rozkaz. Młody kapłan którego twarz wykrzywiła namiętność, pomagał im przy tem. Z wnętrza dobył się słaby okrzyk Agaty, która wróciła do przytomności i uczuła że ją wyciągają. Zwolna wynurzyło się jej ciało, podniósł ją kapłan i złożył przy ołtarzu. Potem rozkazał niewolnikom oddalić się, co też ci uczynili.

Z trudem podniosła Agata głowę i z niewymowną trwogą wpatrywała się w śniadą twarz kapłana, który lubieżnie pochłaniał wzrokiem jej nagie wdzięki.

Wyszeptał kilka słów, które nie rozumiała. Lecz wymowniejsze były jego ruchy i po nich poznała Agata, czego żąda. Wystraszona, odepchnęła go, lecz Indyanin objął jej nagie ciało w dzikiej namiętności — silnie. Daremnie szamotała się z nim nieszczęśliwa kobieta. Okrzyk przeraźliwy zamarł jej na ustach i wściekły z namiętności kapłan rzucił się tryumfująco na swą ofiarę.

Do tej chwili stała Delia w ukryciu i niema śledziła przebieg tej sceny. Nikt jej nie spostrzegł. Kapłan ne przeczuwał grożącego mu niebezpieczeństwa.

Niepostrzeżenie zbliżyła się — cichaczem. I nagle wepchnęła nędznikowi sztylet po samą rękojeść. Struga krwi — przekleństwo — urywane słowa — i kapłan padł nieżywy.

Wtem, właśnie nachyliła się Delia nad swą panią i chciała zdjąć jej kajdany — rozległy się szybkie kroki i szczęk zbroi. To niewolnicy, którzy czekali opodal.

Rozdział 43.

ZNOWU W MOCY WROGA.

Biedna Katynka wpadła znowu w ręce strasznego prześladowcy.

Piotr pędził ze swym łupem w stronę lasu — do samotnej chaty leśnej, gdzie się nie obawiał Sinobrodego.

Nagle jednak zatrzymał konia — blizko koło pustkowia — i rozmyślał. Nie w chacie Katynka nie jest dość bezpieczną. Wprawdzie chata pusta, jak się dzisiaj przekonał, lecz bał się, że może tam ktoś nadejść robiąc poszukiwania.

Winter kazał rannego który stwierdził że jest hrabią Wildenfels i którego znalazł w lesie, sprowadzić do najbliższej wsi. Stan tego zagadkowego człowieka był poważny i Piotr, który odszukał był dzisiaj jego miejsce pobytu był zdania, że on wnet umrze

Ranny nie mógł dać żadnych wyjaśnień ani co do swej osoby ani w sprawie morderców. Nikt też nie wiedział kto on i co się stało w chacie leśnej. Również stary hrabia zniknął. Piotr przypuszczał wprawdzie, że udał się on na zamek Wildenfels, mimo jednak gorliwych poszukiwań, nie mógł go znaleźć.

Podwładny Wintera tajny agent Brand, nie wrócił na swą służbę w zamku i to zaniepokoiło i Sinobrodego i Piotra. Nie odgadli wprawdzie prawdy, ale przeczuwali że on był w zamku szpiegiem. A że go Piotr widział dzisiaj we wsi, przy rannym nie wątpił, że to on śledził go wówczas kiedy z Sinobrodym udał się do chaty starego hrabiego. Nie przypuszczał naturalnie wcale, kto był towarzyszem Branda.

Dlatego to — rozważając te okoliczności — zdawała mu się teraz chata leśna nie dość bezpieczną. Lecz gdzie ją ukryć?

Nagle przyszła mu szczęśliwa myśl. Popędził konia i otulił nieprzytomną dziewczynę, odzianą w lekkie suknie, w swój płaszcz i pędził ku gospodzie "Pod pełnym dzbanem." W piwnicy gdzie mieszkał stary hrabia, postanowił ukryć swą ofiarę.

Nim jeszcze przybyli do celu odzyskała Katynka przytomność i szamocąc się, poczęła wołać o pomoc. Silniej objął ją Piotr, nie troszcząc się o jej krzyki, bo dookoła była ciemna noc, nikt nie mógł słyszeć głosu dziewczyny.

W końcu wynurzyły się tajemnicze gruzy gospody Piotr zajechał na podwórze i zsiadł z Katynką z konia. Udało się podczas tego Katynce uwolnić z jego objęć. Poznała gdzie się znajduje i z okrzykiem trwogi popędziła przez podwórze do ogrodu.

Lecz nie wiele drogi ubiegła. Za chwilę przyłapał ją Piotr i uniósł broniącą się na podwórze.

Na nic nie zdał się opór Katynki wobec brutalnej siły Piotra, który wyciągnął z kieszeni sznur i związał ręce biednej dziewczynie. Koniec liny zatrzymał w ręku i tak zawlókł nieszczęsną ofiarę do miejsca, w którym się znajdowały drzwi spustne. By te jednak podnieść, musiał mieć obie ręce wolne. Przywiązał więc dziewczynę do sterczącej belki i otworzył drzwi. Trwoga Katynki wzrastała. Z całej siły starała się rozedrzeć pęta — daremnie. Zrozumiała jaki ją los czeka. Jej rozpaczliwe wołanie o pomoc przebrzmiały głuchym echem. Nikt nie przychodził by ją uwolnić z rąk tego nędznika.

Piotr zapalił latarnię i oświecił ciemny loch, gdzie się nic dotychczas nie zmieniło, zeszedł po drąbinie, zostawił w lochu na stole la-

tarnię i wrócił do swej ofiary.

— Chodź gołąbku mój! zaśmiał się rubasznie i odwiązał Katynkę. Tu w dole, wcale przyjemnie, do jutra zostanę przy tobie!

— O mój Boże! czego chcecie odemnie? — łkała, drżąc ze starchu i wstrętu. Chcecie mnie zabić?

— E, gdzie tam! Nie jestem głupcem! Nie bój się. Bądź mi tylko uległą — a nic złego ci się nie stanie. Bo w przeciwnym razie, aniołku mój, oddam cię w ręce Sinobrodego.

— Miłosierny Boże! — zawołała Katynka. Lecz pamiętajcie: pomsta niedaleka. Mój narzeczony wie, że żyję, szuka za mną, i...

— Tu cię nie znajdzie, — przerwał Piotr szyderczo. A jeżeli go jeszcze raz spotkam, tego pyszałka — to ostatnia jego godzina wybiła. Nie bądźże głupią i bądź mi uległą, ma luba! — I objął ją lubieżnie. Nikt, sam dyabeł, nie wyrwie cię z mej mocy!

Zawlókł ją do otworu i zepchnął w dół po drabinie. W dole rozwiązał jej pęta.

— No czy nie pięknie tu? — szydził. Jesteś w swym domu rodzinnym i znasz chyba ten loch. Nie? Nie wiesz kto tu był ukryty? Katynka nie odpowiadała. Nie słyszała wcale co Piotr do niej mówił. Myślała tylko o tem, jakby stąd uciec. Piotr przymknął drzwi spustne, potem zbliżył się do Katynki z miną, która napełniała ją straszną trwogą i wtrętem.

— Nie tykajcie mnie! — zawołała i uciekła w najdalszy kąt lochu. Spostrzegła tu stołek, chwyciła go i groźnie na wszystko zdecydowana — podniosła go w górę.

Piotr mimowoli się cofnął, zaśmiał się jednak i rzekł:

— O kotek pazurki pokazuje! Na nic to! Musisz być moją — musisz!

Rzucił się na nią. Oczy jego błyszczały dziko. Katynka wydała mu się teraz więcej jeszcze ponętną. Już wyciągnął ramiona, by ją objąć, gdy wtem stołek runął mu na głowę. Uderzenie było silne i bolesne, Piotr zatoczył się, starając się jednak utrzymać równowagę.

Skorzystała z tego Katynka, przypadła do drabiny, wspięła się po niej szybko i udało się jej jeszcze otworzyć drzwi spustne. W tej chwili opomiętał się Piotr. podskoczył ku swej ofierze i ujął za nogi z trudem ściągając ją z drabiny i zaniósł na łoże.

Lecz siły Katynki rosły. Nie udało się Piotrowi zatrzymać ją tu. Wywiązała się straszna rozpaczliwa walka, przewrócono stół, latarnia zgasła i stłukła się. Ciemność zaległa loch piwniczny, bo i drzwi spustne, które Katynka tylko odchyliła zapadły same przez się.

Ale w końcu musiała Katynka uledz przemocy. Ciężko dysząc, wyczerpana padła na kolana.

Z szatańskim okrzykiem tryumfu podniósł Piotr swą niewinną ofiarę i zawlókł na łoże. Katynka nie broniła się więcej — nie wołała też o pomoc... Straciła przytomność.

— Czekaj gołąbku! zgrzytnął Piotr wściekły. Ułaskawię cię!

Nagle wstrzymał odech. Usłyszał tentent koni. Ku gruzom gospody zbliżali się jeźdzcy. Ktokolwiek oni są — Piotr nie spodziewał się od nich niczego dobrego.

Rzucił nieprzytomną Katynkę na łóżko i wszedł na drabinę. Ostrożnie podniósł drzwi spustne i wychylił głowę. Nadsłuchiwał przez kilka chwil. Tentent koni stawał się wyraźniejszy jakby kłusem zbliżali się dwaj jeźdzcy. Kto oni? Nie widział ich jeszcze, bo gruzy zasłaniały widok.

Czy to Winter szukający za Katynką? Czy przypuszcza dokąd on ją uprowadził. W każdym razie — pomyślał Piotr — nie ominie on gruzów, lecz przeszuka te miejsca dokładnie.

Na to nie mógł zezwolić. Choćby nawet miał utracić Katynkę — siebie chciał ocalić.

Szybko lecz ostrożnie, opuścił loch piwniczny i cicho zamknął za sobą drzwi spustne. Rzucił na nie — o ile się dało — kamienie i gruzy — zgięty przedostał się na podwórze. Tu znalazł swego konia, zabrał go do ogrodu, i ukrył w zaroślach.

Był to najwyższy czas, bo jeźdzcy zsiedli już z koni.

W świetle księżyca mógł Piotr dokładnie rozeznać postacie, które zjawiły się teraz na podwórzu.

Było ich dwóch i Piotrowi zdawało się że poznaje głos Wintera, chociaż w oddaleniu nie mógł słów zrozumieć.

Czy oni naprawdę szukają tu za Katynką? I czy odkryją ja w lochu piwnicznym?

Piotr uczuł nieprzezwyciężoną potrzebę zbliżyć się i śledzić przybyłych.

Na czworakach przyczołgał się Piotr wzdłuż zabudowań stajennych na podwórze i był tak blizko przybyłych, że mógły ich dotknąć ręką. Ukrył się za gruzami i nadsłuchiwał.

— Należałoby raczej szukać za biedną Katynką na zamku Wildenfels, panie komisarzu! — mówił jeden z przybyłych i po głosie poznał Piotr byłego służącego Branda.

— Nie! to nie ma celu! — odpowiedział drugi. — Był to Winter. — Tam Sinobrody nie porwał swej ofiary. Wszystko świadczy za tem, że tym razem porwał Katynkę w inne ukrycie.

Ot, tu, w tę stronę. Należy przeszukać te gruzy. Musi tu być jakiś tajemniczy loch, o którym mi już Gerhard niewyraźnie wspomniał. Już da wniej chciałem okolicę tę zbadać.

Słowa te przeraziły Piotra. Winter pokrzyżuje mu wszystkie plany i wtrąci go w nieszczęście. Bo albo znajdzie drzwi spustne, albo Katynka, która tymczasem obudzi się z omdlenia, zdradzi mu krzykiem swe więzienie.

Nadto z dalszej rozmowy przybyłych poznał Piotr kim są ci ludzie. Zrozumiał że Winter grał dawniej rolę leśniczego w celach szpiegowskich.

— Do stu piorunów! zgrzytnął. Więc pan Winter jest komisarzem policyjnym. A ten drugi — który grał rolę służącego — to jego agent! Szukali w zamku za dziewką! Do kata! Podsłuchali nas, wybadali stosunki! Wtrącą nas w nieszczęście! Biada nam, jeżeli ją znajdą która im wszystko zdradzi!

Winter wysłał swego agenta na podwórze po łopaty i topory. Piotr poznał grożące niebezpieczeństwo i trwoga jego wzrastała z każdą chwilą. Nie ulegało wątpliwości, że w poszukiwaniech znajdą tajemny loch piwniczny.

Jak temu przeszkodzić? Zdawał sobie też sprawę z tego, że dłużej tu zostać nie może, bo jeżeli go odkryją wtedy zgubiony bez ratunku.

Przykucnął za murem i wpatrywał się z nienawiścią w Wintera, stojącego tuż obok niego, w oddaleniu dwóch kroków. Wychylił głowę z za muru, wyjął rewolwer i skierował w stronę Wintera.

— W ten sposób pomyślał, pozbędę się go raz na zawsze, tego niebezpiecznego ptaszka.

Już chciał wypalić — rozmyślił się jednak. Na odgłos strzału pospieszyłby agent z pomocą komisarzowi. Kwestya czy uda się w podobny sposób ubić i agenta z zasadzki.

Podczas gdy rozmyślał nad swem położeniem, ozwał się z podwórza głos Branda i Winter odwrócił się. Zaledwo Piotr miał tyle czasu, by się ukryć za murem. Tymczasem wrócił Brand i doniósł Winterowi, że odkrył na podwórzu wyraźne ślady kopyt końskich.

Położenie Piotra stawało się z każdą chwila groźniejszem. Widział jak Winter i Brand przeszukiwali podwórze. Bał się, że za chwilę znajdą jego konia w ogrodzie. Nie mógł tu dłużej zostać.

Prędko rzucił na drzwi spustne jeszcze nieco gruzów i ziemi. W lochu piwnicznym była zupełna cisza.

Ostrożnie przyczołgał się do ogrodu. podczas gdy Brand i Winter wrócili już do gruzów i zabrali się do poszukiwań. Piotr zatrzymał się jeszcze. Był przecież przy swym koniu, mógł zatem w razie grożącego niebezpieczeństwa uciec. Nie miał jednak odwagi zbliżyć się ku urzędnikom, nie słyszał więc ich rozmowy.

Nagle wydał Winter głośny okrzyk i padł na kolana. Czy odkrył drzwi spustne, czy też usłyszał głos Katynki?

Rozdział 44.

CZARNA DAMA.

— Jaśnie panie — ekscelencyo! Powóz czeka.

Hrabia Edmund stał w stroju galowym i właśnie ubierał rękawiczki, kiedy wszedł stary Michał. W oczach wiernego sługi zabłysły łzy a z twarzy jego jaśniała bezgraniczna radość. Zarzucił swemu panu płaszcz. Wtem szedł służący i zameldował:

— Baronnesa Rambow!

W tej chwili stanęła w progu Walerya w wspaniałej toalecie, z czarodziejskim uśmiechem na ustach.

— Ekscelencyo, — rzekła unikając poufałości ze wzgledu na służących. Niech mi wolno będzie pierwszej złożyć panu serdeczne życzenia. Widzę że pan właśnie chce udać się do księcia, by mu podziękować za nominacyę na ministra.

— Tak i niestety nie mam ani chwili czasu. Lecz jeżeli pani zechce zaczekać na mój powrót...

— Naturalnie! — przerwała Walerya. Ciekawą jestem, co mi pan powie o osobie tajemniczego napastnika. Jeszcze nie mogę wierzyć, że to nie mężczyzna, lecz kobieta! A czy minister jeszcze żyje?

— Tak, ale lekarze nie mają nadziei utrzymać go przy życiu. W każdym razie nie odzyska więcej zdrowia.

Pożegnał Waleryę, która przystąpiła do okna i patrzała za odjeżdżającym powozem.

— Czy dowie się hrabia, kto jest morderczyni ministra i w jakim ona stoi stosunku do Agaty? — pomyślała Walerya. W tym wypadku łatwo odkryje nasze oszustwo w Paryżu. Ach ta "czarna dama," jak ją nazywają gazety, może mi pokrzyżować szyki, tuż przy celu. Kto ona — dlaczego nikt nie zna jej nazwiska?

Wzięła ze stołu gazetę i przeczytała długi na dwie szpalty artykuł, zatytułowany "czarna dama."' Już prawie dwa tygodnie minęły od czasu tajemniczego zamachu — a zagadka ta dotychczas nie została rozwiązaną. Gazety

prześcigały się w najdziwaczniejszych przypuszczeniach, lecz nic pewnego nie mogły podać nawet co do motywu zamachu.

Gazeta pisała też wiele o hrabiu Edmundzie, nowo zamianowanym ministrze. Był nawet jego portret. Walerya z zaciekawieniem czytała ten artyłuł, czy nie wspomniano w nim Agaty i jej stosunku do hrabiego. Że on ją ocalił, że została jego żoną.. A nie było to już chyba tajemnicą. Widocznie gazety bały się pisić o tem ze względu na stanowisko nowego ministra.

Walerya popadła w zamyślenie. Myślała o małym Walterze, który zniknął bez śladu, a wszelkie poszukiwania hrabiego Edmunda nie odniosły żadnego skutku. Także jej brat, Sinobrody, nic nie wiedział o uprowadzeniu dziecka.

Była przekonaną że jej mąż przecież porwał Waltera. Lecz dlaczego wypierał się tego? Jaki był jego plan? Czy ma jakieś podstępne zamiary, któreby mogły jej szyki pokrzyżować?

Dzisiaj chce stanowczo cel swój osiągnąć. Hrabia musi jej dać stanowcze przyrzeczenie.

— Jako jego narzeczona opuszczę ten pałac! I w przeciągu dwóch miesięcy muszę być jego żoną!...

Tymczasem zajechał hrabia Edmund przed zamek książęcy. Los jego nagle się zmienił. Do niedawna był szlachcicem bez wpływu, stojącym zdala od dworu, obecnie stał się najpotężniejszą osobistością w kraju obok księcia, który prawdziwie po książęcemu okazał swą wdzięczność hrabiemu Edmundowi.

Jemu wydawało się to szczęście, które mu wszyscy obecni urzędnicy, podał książę Edmungo z największą pokorą, a książę Leopold był dlań nadzwyczaj łaskawym. Po posłuchaniu, które trwało pół godziny, skoro się oddalili wszyscy obecni urzędnicy, podał książę Edmundowi rękę i spytał:

— Więc nie jesteś żonaty, kochany hrabio?

Edmund zawahał się, zwlekał z odpowiedzią. Nie może chyba zdradzić księciu, że ocalił Agatę i poślubił ją. Za nic w świecie. Musi zachować swą tajemnicę. Agata i tak nie żyje.

Tak mości książę! — Nie jestem żonaty!

— Tak, — odpowiedział książę. Myślałem że owa dama w której w dzień zamachu jechałeś w powozie, to żona pana!

— Nie, mości książę! To baronowa Walerya Rambow, — oświadczył Edmund.

Książę nie pytał więcej i uwolnił Edmunda. Odetchnął hrabia swobodniej, gdy opuścił podwoje książęce. Należało teraz strzedz tajemnicę. Jeżeli wyjdzie na jaw, to nowe jego stanowisko zupełnie zachwiane. Bo to co uczynił dla Agaty, było naruszeniem prawa, zwłaszcza że nie mógł nawet teraz udowodnić niewinności Agaty.

Książę o niczem jeszcze nie wiedział. A i Winter zamilczał o swych odkryciach. Zresztą obecnie, gdy został ministrem, nie wyciągną tej sprawy na światło dzienne. Mimo tych rozmyślań, nie był całkiem spokojny.

W korytarzach zamku książęcego czekał na Edmunda poważny pan. Zbliżył się do Edmunda, który go dopiero teraz poznał i niechętnym zmierzył wzrokiem. Był to nadprokurator, który swego czasu przyczynił się do skazania niewinnej Agaty. Czego on teraz chce od niego?

— Ekscelencya wybaczy — rzekł nadprokurator. Pozwoliłem sobie czekać tu na ekscelencyę, by wyrazić prośbę.

— Czem mogę służyć, panie nadprokuratorze? — spytał Edmund sztywnie.

— Sprawa owej czarnej damy, która wykonała zamach na jego książęcą mość. Wyraziła ona życzenie, że chciałaby mówić z ekscelencyą!

— Ze mną? — zapytał hrabia zdziwiony.

— Tak!

— To dziwne, panie nadprokuratorze! Nie znam wcale tej tajemniczej osoby.

— Nie nachodziłbym ekscelencyi w tej sprawie, lecz spodziewam się, że to nam ułatwi śledztwo. Może zbrodniarka złoży jakie zeznanie, lub zdradzi ekscelencyi swe imię.

— Więc nie wie pan jeszcze kto ona i co ją popchnęło do tego szalonego czynu?

— Nie, ekscelencyo! westchnął nadprokurator. Jestem w rozpaczy, bo książę żąda wyjaśnienia i aktów w tej tajemniczej aferze. Lekarze uznali zbrodniarkę za poczytalną umysłowo. Pozostaje więc jedyne przypuszczenie, że to zbrodnia anarchistyczna. Bez wątpienia są jeszcze współwinni, którzy zachęcali "czarną damę" do zbrodni.

— Przypuszcza pan więc, że ona zdradzi mi swych wspólników? — spytał hrabia ironicznie.

— Choćby tego nie uczyniła — wystarczy, jeżeli poda swe prawdziwe imię.

— Nie pojmuję, dlaczegoby "czarna dama" miała mnie właśnie zdradzić swą tajemnicę?!

— Twierdzi ona, że zna ekscelencyę!?

— Co? Skąd mnie zna? — spytał hrabia zdziwiony nad wyraz.

— Nie wiem! — odpowiedział nadproku-

rator, wzruszając ramionami. Ekscelencya pomoże jednak sprawiedliwości do zwycięstwa, jeżeli zechce spełnić jej prośbę.

— Zaciekawiasz mnie pan! — rzekł hrabia z uśmiechem. Dobrze. Gotów jestem iść z panem teraz do więzienia.

Twarz nadprokuratora wypogodziła się. Ukłonił się uniżenie i wsiadł z Edmundem do powozu. Niedługo zajechali przed budynek więzienny, gdzie znajdowały się także obszerne sale sądowe. Do jednej z nich wszedł hrabia z nadprokuratorem, który natychmiast uwiadomił dyrektora więziennego.

Za chwilę przybył tenże w towarzystwie dwóch urzędników, między którymi kroczyła tajemnicza kobieta. Dozorcy pozostali przy drzwiach, nadprokurator zbliżył się ku zbrodniarce i rzekł surowo:

— Jego ekscelencya, pan minister, zechce łaskawie wysłuchać zeznania pani.

Poczem cofnął się wraz z dyrektorem na drugi koniec obszernej sali, usadowili się tak, że widzieli dokładnie i ministra i "czarną damę."

Z zaciekawieniem przyglądał się hrabia uwięzionej. Mimowoli uczuł litość dla tej tajemniczej istoty. Czarna, długa suknia okrywała jej wysmukłą postać. Cała jej istota miała w sobie cechy dostojności, głowa dumnie wzniesiona, śmiertelnie blada twarz miała szlachetny wyraz, a piękne jej rysy świadczyły o głębokim, ciężkim bólu.

Dziwne wrażenie sprawiła na Edmundzie ta postać. "Czarna dama" stanęła przed nim i skłoniła głową. Na rękach nie miała kajdanów.

Twierdziłaś pani, że mnie znasz, co mi pani powie? — spytał hrabia Edmund.

— Tak, znam pana, panie hrabio, znam też żonę pana, Agatę, i wiem o wszystkiem coś dla niej uczynił, — odpowiedziała "czarna dama" głębokim, dźwięcznym głosem.

— Mój Boże! co pani mówi, — zawołał hrabia przestraszony. Co pani wie o nieszczęsnej? Kim pani jest?

Wzburzony i blady wpatrywał się w smutna twarz tajemniczej kobiety, która nie zważając na jego pytanie, tak rzekła głosem cichym, lecz stanowczym i poważnym:

— Tuż przed swem straceniem zeznała panu Agata, że osoba, z którą miała ową tajemniczą schadzkę i która w oczach całego świata uchodzi za jej kochanka, nie była mężczyzną lecz kobietą.

Zdziwienie hrabiego rosło.

— Skąd pani o tem wie? — spytał.

— Ja jestem ową kobietą, panie hrabio!

Przez chwilę nie mógł hrabia odpowiedzieć Na twarzy jego malowało się zdziwienie i niepewność.

— Pani była ową tajemniczą osobą? — rzekł. Ależ to niemożliwe! Nie! To kłamstwo. Zresztą Agata sama, kiedy uciekła ze swym kochankiem, odwołała swe pierwsze zeznania, i oświadczyła, że mnie zwiodła.

Mimowoli wyrzekł te słowa, żałując, że zdradza swe osobiste tajemnice obcej. Niechętny, chciał już urwać tę bezcelową rozmowę, kiedy "czarna dama" zatrzymała go stanowczym ruchem.

— Panie hrabio! —rzekła. Zeznania Agaty w godzinie stracenia są prawdziwe. Nie pojmuję, dlaczego później odwołała to. To niemożliwe, by Agata sama niesłusznie oskarżyła się o wiarołomstwo. Byłoby to szaleństwem!

— A ja poznałem jej kochanka, który ją w noc poślubną uwiódł, — odrzekł szybko hrabia. Nie uwierzę słowom pani!

— Odszukaj więc pan Agatę i sprowadź ją do mnie! — zawołał namiętnie. Ona wyjaśni to nieporozumienie.

— Agata nie żyje! — wycedził posępnie hrabia Edmund.

— Nie żyje? Nie żyje! — zawołała przerażona nieznajoma. Twarz jej przybrała trupio blady kolor i zdawało się, że ze strachu i bólu straci zmysły. Drżała na całem ciele i gdyby jej hrabia nie był podał ręki, runęłaby na ziemię. Zaczęła konwulsyjnie łkać. Hrabia Edmund stał bezradny.

W tej chwili zbliżył się nadprokurator i dyrektor. Z rozmowy nie słyszeli ani słowa, przywabił ich głośny, bolesny okrzyk nieznajomej.

— Czy ekscelencya rozkaże, by odprowadzić uwięzioną do celi? — spytał nadprokurator.

Hrabia nie odpowiedział. Był wzburzony i wzruszony. Kto ta kobieta i czemu zajmuje ją tak los Agaty? Czy ona prawdę mówi? Czy potrafi rozwiązać te zagadki? A pragnął rozwiązania.

"Czarna dama" ujęła gwałtownie jego ramię i szepnęła:

— Panie hrabio! wysłuchaj mnie! Zaklinam cię! wysłuchaj mnie ze względu na siebie i na Agatę!

Niemym ruchem rozkazał hrabia urzędnikom, by się oddalili. Poczem rzekł szybko:

— Jeżeli mam pani uwierzyć, wytłómacz mi pani stosunek swój do Agaty, czem ona dla pani była, a przedewszystkiem, kim pani jest.

Musisz mi pani wymienić swe imię.

— Jeszcze nie czas, panie hrabio! Lecz nie wolno ci wątpić w prawdziwość mych słów. Gdybym miała w ręku dowód niewinności Agaty, mimo wszystko wystąpiłabym była wtedy w ostatniej chwili. Lecz byłam bezsilną. Nie mogłam odwrócić strasznego ciosu nieszczęsnej. Wtedy uwiadomiono mnie o planie pana ocalenia Agaty...

— Wielki Boże! Kto panią uwiadomił? — przerwał hrabia.

— Kat! — Nie pytaj pan o nic więcej. Niech, co powiem, narazie wystarczy! Tymczasem plan pana pozornie nie udał się, rzekome umarłe ciało Agaty sprowadzono do mauzoleum.

— Boże! Pojmuję! I pani uwolniła stamtąd Agatę?

—Tak! Niech to będzie dowodem, że prawdę mówię. Agata nie miała kochanka i nie uciekła z mężczyzną. Przypuszczam, że ją gwałtem porwano i że pan padłeś ofiarą oszustwa.

Wzdrygnął się hrabia, słuchając tych zeznań tajemniczej kobiety.

Nie wątpił, że prawdę mówi, a przecież fakta stały w sprzeczności z temi zeznaniami.

Przecież Agata sama w liście pożegnalnym przyznała się do winy, a on sam rozmawiał z jej uwodzicielem. Wszystko było dlań zagadką, próżno silił się ją rozwiązać. A ani na chwilę nie powstało w nim podejrzenie przeciw Waleryi.

Po chwili namysłu rzekł:

— Jeszcze mnie pani nie przekonała! Dopóki nie wyjaśnisz kim jesteś i w jakim pani stoi stosunku do Agaty, nie mogę pani wierzyć. Byłaś jej chyba matką lub siostrą, lecz — o ile wiem —siostra i matka Agaty długo już nie żyją.

— Gdyby Agata żyła, mogłabym zaspokoić pańską ciekawość. Obecnie jednak muszę milczeć. Nie mogę nic zdradzić, — odpowiedziała ze smutkiem "czarna dama".

— Co? więc nie dowiem się, kim pani jest? — zawołał hrabia z rozpaczą. A przecież mam po temu prawo. Zastanów się pani nad swem położeniem. Za zbrodnię twą czeka cię śmierć na rusztowaniu. Przysięgam — szepnął wzburzony — że użyjesz wsystkich swych wpływów, by panią ocalić, skoro mi odpowiesz na me pytania i rozwiążesz te straszne zagadki!

— Wiem, że czeka mnie śmierć z ręki kata — odpowiedziała nieznajoma z nadzwyczajnym spokojem. Chociażbym zdradziła swą tajemnicę, nie potrafisz mnie pan ocalić, może ocalisz przed śmiercią, lecz nie ocalisz przed—domem waryatów — dodała z trwogą. A chętniej umrę, niżbym miała tam wrócić, gdzie lata długie strawiłam. Lecz Bóg mi świadkiem, nie miałam zamiaru zabić księcia!

— Nie księcia?!

— Nie, lecz tego, którego kula ma ugodziła!

— Wielki Boże i znowu zagadka! Dlaczego chciałaś zamordować ministra?

— Z zemsty!

— A czy zenałaś to pani nadprokuratorowi.

— Tak, lecz nie wierzy. Bo nie mogę i nie chcę podać bliższe szczegóły.

— Trudna rada, — zawołał hrabia niechętnie. Przez wzgląd na Agatę, uczyniłbym dla pani wszystko co jest w mej mocy. Uniemożliwia mi to pani. Zdradź, kim jesteś, i dlaczego chciałaś ministra z zemsty zastrzelić, a przyrzekam pani, że zeznania twe zachowam w głębokiej tajemnicy.

"Czarna dama" westchnęła ciężko i rzekła stanowczo lecz ze smutkiem w głosie:

— Nie mogę!— Ponadto, panie hrabio, nie uwierzyłbyś mym słowom.

Gdybym wiedziała, że Agata nie żyje, nie prosiłabym pana o tę rozmowę.

— A ja nie pozwoliłbym na nią, gdybym wiedział, że nie osiągnie ona żadnego celu, — zawołał Edmund gniewnie. Lecz może się pani rozmyśli. Jeżeli chcecie mi pani odkryć swe tajemnice, proszę mnie uwiadomić przez nadprokuratora.

Odwrócił się. Dozorcy wyprowadzili tajemniczą nieznajomą. Zbliżył się nadprokurator i spytał:

— Ekscelencyo, czy wolno spytać, co uwięziona zeznała?

— Nic! — odrzekł hrabia Edmund krótko i pożegnał skinieniem ręki zdziwionego nadprokuratora. Pojechał do swego pałacu, gdzie go Walerya oczekiwała z niecierpliwością.

Rozdział 45.

STRASZNA WĘDRÓWKA.

Była to straszna wędrówka, w którą puściły się Gertruda i Józefa. Prąd coraz bardziej unosił je od brzegu, nie potrafiły dziwacznem swem czółnem pokierować, zdane na łaskę fali i wiatru.

Zobaczyły łódź rybacką i poczęły wołać o pomoc. Ku ich radości i łódź zbliżyła się, nagle jednak zatrzymała i wnet piętrzące się bałwany morskie usunęły ją z oczu nieszczęsnych ko-

biet.

Czy łódź zatonęła? Albo czy rybacy nie chcieli pomódz? Józefa ostrożnie się podniosła i rozglądnęła się dookoła. Znikąd pomocy, wszędzie szumiące morze, ciekawie błyszczące w świetle księżyca. A tam w oddali żagiel łodzi rybackiej. Zabobonni rybacy odpłynęli, pozostawiając w niebezpieczeństwie dwie nieszczęśliwe kobiety.

Woda dostawała się już do trumny. Rękoma i naczyniem które zabrały, starały się zmniejszyć znaczny przypływ wody, — mimo ich usiłowań — było wody w trumnie coraz więcej.

Minęły godziny w tem strasznem położeniu Zdawało się, że lada chwilę zatonie łódź i nieszczęsne kobiety. Nagle jednak zmienił się kierunek wiatru i trumna płynęła spokojniej.

Po pewnym czasie zapanowała nad morzem zupełna ciemność, tylko niezliczne gwiazdy matowe rzucały światło. Dookoła grobowca cisza, którą przerywały tylko fale uderzające głucho o trumnę. Była ona kilka mil od brzegu.

Nieszczęśliwe kobiety nie mówiły ani słowa. Zupełna je zdjęła apatya. Nie zważały nawet na to, że są zupełnie przemoknięte. Nie spodziewały się, że dobiją do lądu, zdecydowane na śmierć na dnie morza.

Po pewnym czasie zaczerwieniło się niebo na wschodzie. Nastał dzień świeży wietrzyk mu skał fale, które kołysały trumną to w tę, to w ową stronę.

Nieszczęśliwe kobiety drżały z zimna, nie miały odwagi poruszyć się, w obawie, że łódź ich przewróci się i zatonie.

Gdy weszło słońce i rozlało swe jasne blaski po lazurze morza, rozglądnęły się z utęsknieniem dookoła. Lecz niestety, okrętu nie było Wszędzie tylko niebo i woda. Czarne chmury zakryły słońce. Dał się uczuć dotkliwy mróz, fale piętrzyły się coraz wyżej i silniej kołysały trumną. Gdyby nastała teraz burza, zguba ich jest nieuniknioną.

Nagle zerwała się Gertruda i — prawie, że wystraszona — zawołała radośnie:

— Okręt, okręt! Chwała Panu w niebiesiech.

— Co? gdzie? gdzie okręt — pytała Józefa drżącym głosem, rozglądając się dookoła.

W oddali zajaśniły widocznie żagle, zwolna zbliżał się okręt. Wstrzymując oddech, wpatrywały się weń nieszczęśliwe kobiety. Jeszcze był daleko od nich, nie mógł je spostrzedz. Mimo to zyskały nadzieję i radowały się niezmiernie.

— Niedługo, a będziemy ocalone — rzekła Józefa z otuchą — patrz Gertrudo, okręt zbliża się coraz bardziej.

— Dajmy mu znak — zawołała Gertruda i poczęła wywijać chustką i wołać głośno.

Lecz z okrętu nie dawno znaku ani odpowiedzi.

Ze strachem spostrzegły, że zbliżanie się okrętu było tylko pozorne, że się okręt raczej oddalał i wnet zniknął im z oczu.

Beznadziejna rozpacz ogarnęła nieszczęsne kobiety. Płacząc, załamywały ręce i życzyły sobie śmierci. Zwłaszcza Gertruda straciła wszelką otuchę i chciała się rzucić w fale.

— I tak nas czeka niechybna śmierć — zawołała — Skróćmy cierpienia! Chodź za mną, Józefo!

— Na miłość Boską, co robisz? Nie trać odwagi. Przeczekajmy chwilę może znowu zjawić się okręt, który nas spostrzeże i ocali.

I znowu popadły obie w głuche, straszne milczenie. Dokuczał im także głód i pragnienie. Nie zabrały były ze sobą środków żywności, bo nie miały żadnych zasobów. Zresztą spodziewały się przybyć prędko do brzegu.

I znowu minął dzień, nastał wieczór. I znowu światło księżyca oświeciło czarne morze. Śmiertelnie znurzone, przemoknięte, zrozpaczone, przekucnęły kobiety w mokrej trumnie. Obojętne już zresztą były na dalsze swe losy.

Nie dbały o to, dokąd je fale pędziły, ile mil już upłynęły. I noc minęła, a trumna z coraz większą szybkością pędziła po morzu. Gdy dzień zaświtał, spoglądnęła Józefa na swą towarzyszkę. W drugim kącie trumny leżała Gertruda, głowa opadła jej na pierś, oczy miała przymknięte. Bladem światłem odbijała jej umęczona twarz w półzmroku.

— Wielki Boże! Gertrudo — zawołała Józefa ochrypłym głosem — Gertrudo, ty śpisz?

Gertruda nie odpowiadała, nie ruszała się. Czy omdlała, czy też ją śmierć wybawiła? Straszna trwoga zdjęła Józefę. Chciała się przekonać, czy jej towarzyszka jeszcze żyje, lecz osłabiona i bezsilna, nie mogła ruszyć się z miejsca.

— O Boże — westchnęła — niech się raz skończą nasze męczarnie.

Do południa trzymała się jeszcze Józefa. Oczy jej pałały. Z trudem śledziła dokoła, czy zbliża się ratunek. Zwolna i ona poczęła tracić równowagę i runęła w końcu nieprzytomna.

I po drugim dniu nastała noc, a łódź kołysała się po falach morskich. Chmury zakryły niebo i spadły cienkie płatki śniegu. Mróz wzmagał się, monotonnie huczały fale — jakby pieśń pogrzebową nieszczęsnym kobietom w

trumnie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Dumnie płynął po wodach oceanu wielki parowiec. Ku niebu wznosiły się obłoki dymu. Właśnie tarcza słoneczna wschodziła na horyzoncie. Na okręcie wszyscy spali jeszcze. Ranek był za zimny, nie pozwalał na podziwianie wschodu słońca. Tylko na przednim pokładzie stał strażnik, z fajką w ustach.

— Psie zimno! A to ranek Bożego Narodzenia — rzekł przybyły właśnie strażnik i otulił się w płaszcz.

Gwizd, zmieniono straż.

Pierwszy strażnik potwierdził słowa kolegi i jeszcze raz rozglądnął się po morzu. Dokąd oko sięga — nie było obcego okrętu. Podczas gdy majtkowie jeszcze gawędzili, ozwał się nagle głos z masztu:

— Łódź widoczna, południowy wschód.

Majtkowie na pokładzie zwrócili wzrok w oznaczonym kierunku. Nic nie widzieli.

— No, Mates — rzekł jeden z nich — dowcipniś ten długi Piter, albo pijany, albo śni! Łódź widzi, gdzie? ha, ha, 600 mil morskich zdala od lądu i łódź.

— Nic nie widzę — rzekł drugi — zwaryował ten tam w górze. Piter, śpisz?

Lecz Piter powtórzył swój sygnał przez tubę i za chwilę nadszedł starszy majtek, pełniący służbę.

— Co, łódź, gdzie — zawołał rubasznie ku Pitrowi i począł wspinać się po żelaznych stopniach w górę. Łódź znowu? Niech cię Bóg opatrzy! Pewnie kaczkę widział! No, synku, pokaż mi teraz owe czółno — mówił, patrząc przez szkło powiększające.

— O, jakie on też ma oko — szukając za łodzią. A niech cię... lecz czekaj, tam czarny punkt.

Odkrył na morzu objekt— natychmiast zeszedł —łódź na morzu, to ciekawe zjawisko.

Za chwilę stał już kapitan na moście w towarzystwie pierwszego oficera i powiększającem szkłem przypatrywali się płynącemu po morzu przedmiotowi, który tymczasem znacznie zbliżył się do okrętu.

— To nie łódź — rzekł oficer do kapitana. Co uczynimy?

Zdaje mi się, że widzę człowieka — odrzekł kapitan — trzeba zmienić bieg.

Oficer przystąpił do tuby i wydał rozkaz w kierunku steru.

Natychmiast zmienił okręt bieg i zmniejszył szybkość jazdy. Po pewnym czasie można było już gołem okiem widzieć ciekawy przedmiot, a za pomocą szkła powiększającego rozeznano, że to trumna, w której leżą dwie widocznie martwe postacie niewieście.

Powstało na okręcie zamieszanie. Cała załoga przybyła na pokład, także podróżni nadbiegli i zasypywali majtków pytaniami.

— Co? trumna? Boże miłosierny!

— A w trumnie dwie kobiety?

— Czy to możliwe?

— Skąd trumna na morzu i to z dwoma trupami?

— Stój! — zawołał kapitan.

Okręt zakołysał się gwałtownie i nagle stanął.

Na rozkaz kapitana przygotowano łódź. Wsiadł na nią najstarszy majtek w towarzystwie 6 kolegów i szybko wiosłowano w kierunku trumny. Z okrętu przypatrywano się temu w nadzwyczajnem naprężeniu. Setki oczu, uzbrojonych w szkła powiększające, zwróciły się w tę stronę. Łódź zbliżała się z każdą chwilą ku trumnie, w niej już dokładnie rozeznano dwie kobiety, które robiły wrażenie nieżywych. Na widok ten, omdlały niektóre kobiety na okręcie.

Szczupły Anglik z długiemi "bakenbrodami" otulony w szeroki szlafrok pobiegł po aparat fotograficzny i zupełnie spokojnie i flegmatycznie robił zdjęcia.

— Przyjemne wspomnienie z podróży — rzekł do towarzysza.

Łódź przybyła nareszcie do trumny. Ostrożnie podniesiono obie kobiety, zdrętwiałe z mrozu i złożono je na łodzi, z którą połączono trumnę zapomocą liny. Najstarszy majtek otulił biedne kobiety w ciepłe koce. Łzy współczucia zabłysły w jego oczach. Poczem wrócono na okręt.

Na pokładzie złożono nieszczęśliwe kobiety, natychmiast zbadał je lekarz okrętowy, otoczony tłumem podróżnych. Każdy chciał widzieć te tajemnicze istoty.

Czy one naprawdę nie żyły? Czy nie uda się sztuce lekarskiej przywrócić do życia nieszczęśliwe ofiary Sinobrodego? Odnalezione kobiety — to Józefa i Gertruda.

Rozdział 4b.

NA STOSIE.

Śmiertelny strach zdjął Delię na widok zbliżających się niewolników. Dla pani jej nie było już ratunku. Prędko cofnęła się w miejsce ciemne i ukryła się za ołtarzem.

Agata leżała jeszcze na pół nieprzytomna.

Na widok nieżywego kapłana, broczącego w krwi, poczęli niewolnicy krzyczyć. Za chwilę zbiegł się cały pałac. Powstał straszny zgiełk: rycerzy, kapłani, niewolnicy nadbiegli z pochodniami w ręku. Zjawiła się księżna. Poczęto wreszcie szukać i za morderczynią kapłana, lecz daremnie, Delia zniknęła bez śladu.

Zabrano martwe ciało kapłana, a Agatę spuszczono znowu w cielsko bożka. Przez noc całą dwudziestu rycerzy czuwało w świątyni, by uniemożliwić wszelką próbę ucieczki.

Delia uciekła tymczasem oknem do ogrodu pałacowego, z którego wydostała się boczną, niestrzeżoną furtką. Szła górą w dolinę, oświeconą światłem księżyca. Rozglądała się dookoła jakby spodziewała się ratunku i pomocy.

— Dzisiaj w nocy musi wrócić — szepnęła, myśląc o swym ukochanym, który kilka dni temu wyjechał z listem Agaty.

Nagle usłyszała tentent konia. Za chwilę wynurzyła się postać mężczyzny. Okrzyk radości, był to Jussuf.

Objął serdecznie wysmukłą dziewczynę i rzekł pieszczotliwie:

— Tu na mnie czekasz ukochana? List twej pani już w drodze do jej dalekiej ojczyzny.

— Jussuf — zawołała Delia — musisz mi pomódz! Musimy moją panię ocalić z wielkiego niebezpieczeństwa.

Prędko opowiedziała mu pokrótce, co zaszło i dodała:

—Jutro już może umrze nieszczęśliwa straszną śmiercią.

Księżna jest nienasyconą w żądzy zemsty. A także ty i ja jesteśmy zgubieni, jeżeli nie postaramy się o pomoc.

— Więc uciekajmy Delio — rzekł po chwili namysłu Jussuf. — Dla pani twej niema ratunku. Książę daleko stąd. Ratujmy własne życie.

— Nie, Jussuf! Jeszcze jest nadzieja — rzekła Delia stanowczo.

— Posłuchaj, weź konia najlepszego i popędź za księciem. On nie jest jeszczé zbyt daleko stąd. Z brzaskiem dnia będziesz u niego. Powiesz mu o wszystkiem, on wróci i odwróci nieszczęście.

— A ty zapytał niespokojnie Jussuf. — Jeżeli cię znajdą?

— Nie bój się, Jussuf! Znam sto kryjówek. Nie znajdą mnie. Spiesz się Jussuf. Każda chwila jest drogą.

Rzuciła mu się na szyję. uczuł jej gorące pocałunki. Nagle uciekła mu i już z oddalenia zawołała:

— Śpiesz się, Jussuf, śpiesz!

Jussuf dosiadł konia i popędził w dal. Delià wróciła do ogrodu pałacowego, nie przeczuwając, że w ślad za nią idzie nieszczęście w postaci młodej dziewczyny indyjskiej, która była świadkiem tej sceny.

Młoda ta Indyanka nienawidziła Delię, bo i ona kochała Jussufa, a ten wybrał Delię. Więc przysięgła jej zemstę, a obecna chwila wydała jej się po temu stosowną.

Pomagała w poszukiwaniach za Delią, aż wreszcie znalazła ją w dolinie. Tu ukryła się w zaroślach i podsłuchała rozmowę kochanków. Nie zrozumiała jej jednak, nie wiedziała, co Jussuf ma uczynić.

Cicho szła za Delią, która się nareszcie ukryła w grocie skalistej. Indyanka prędko oddaliła się.

Wnet zasnęła znużona Delia. Nie słyszała jak zbliżyły się ciemne postacie. Grotę rozjaśniły pochodnie. Nagle dzikie krzyki. Delia zbudziła się. Chciała uciekać, lecz było zapóźno. Zawleczono ją do pałacu, przed księżnę, którą już o wszystkiem uwiadomiono. Przyjęła ją z szatańskim tryumfem.

Drżąca padła jej Delia do nóg, chociaż wiedziała, że nie może się spodziewać litości.

— Żmijo — zawołała księżna — mamy cię nareszcie, wyznaj, ty zamordowałaś kapłana?

Delia milczała, leżąc na ziemi, otoczona hordą wściekłą, dziką, która się nielitościwie nad nią znęcała. Zdawało się, że zgnie tu z rąk rozszalałej hordy. Zwłaszcza kapłani domagali się natychmiastowej jej śmierci.

— Zostawcie ją — zawołała księżna. — Zginie ona, lecz dopiero jutro, na stosie, razem ze swą panią. Mów, nędzo! Dokąd wysłałaś swego kochanka? Jakie mu dałaś zlecenie?

Delia milczała. Za nic w świecie nie zdradziłaby tej tajemnicy. Musiała wskutek tego cierpieć nowe męczarnie, wreszcie popadła w omdlenie.

— Zabierzecie ją — rozkazała księżna — strzedz ją do jutra. A za jej kochankiem puścić się w pogoń. Bezwątpienia go ta żmija wysłała, by uwiadomił księcia odwołał go. To nie może się stać. Musicie dogonić Jussufa i dostawić mi go, choćby trupa.

Zawleczono Delię do świątyni, okuto w kajdany i przywiązano do słupa.

Równocześnie dwanaście rycerzy rzuciło się w pogoń za Jussufem. Jeżeli go dostaną w swe rece — natenczas nic nie ocali ani Agaty, ani Delii.

Z brzaskiem dnia zbudził Delię ból. Dokuczało jej straszne pragnienie. Nikt nie miał dla

niej litości. Nastało południe, słońce coraz bardziej zbliżało się ku zachodowi. W końcu odwiązano nieszczęsną od słupa i wywleczono ją. Rzucono na taczkę i po tem wydobyto także Agatę z ciała bożka i posadziono ją koło jej sługi.

Obie wyglądały tak, jakby już były blizkie śmierci.

Przygniecione ciężarem łańcuchów, leżały na wozie jęcząc cicho, na pół nieprzytomne. Zaprzęgnięto do wozu dwa woły, poczem otoczył go wielki tłum wojowników, kapłanów i niewolników i ruszył przez miasto. Za tym orszakiem gęstymi tłumami tłoczył się lud przez ulice miasta. Ogłuszające wrzaski i okrzyki radości rozbrzmiewały w powietrzu. Pobudzona do fanatycznej wściekłości tłuszcza, coraz gęściej napływała ze wszech stron, tak, że wóz z trudnością wielką w tej ciżbie torował sobie drogę.

Zatrzymano się przed bramą, na szerokiej równinie, zalanej słonecznemi promieniami. Tutaj stały dwa stosy z suchego drzewa, a w środku każdego z nich sterczał pal. Wojownicy utworzyli szerokie koło, a napływający lud otoczył miejsce sądu potężnym, żywym murem. Na wzniesionej trybunie, dookoła tronu, na któ rym zasiadła księżna, ustawili się kapłani i dostojnicy zdjęli z niego Agatę Delię, poczem Agatę zawlekli na jeden stos, Delię zaś na drugi i kajdanami nieszczęśliwych ofiar przymocowali je do pali.

Agata podniosła głowę i rzuciła spojrzenie na swą nieszczęśliwą towarzyszkę.

— Biedne dziecko! — westchnęła z boleścią — tak strasznie musisz teraz odpokutować wierność i miłość do mnie.

Delia nie słyszała jej słów, bez przytomności wisiała przy słupie.

Agata powiodła wzrokiem w dal, ponad tłumy. Może jeszcze w tej ostatniej chwili nadejdzie skąd ratunek? Lecz skąd, od kogo?! A więc musi zginąć męczeńską śmiercią, jako ofiara tej szatańskiej kobiety? Tak samo jak raz już, gdy niewinnie musiała stanąć na szafocie, i teraz patrzyła w oczy niechybnej śmierci.

Tam, naprzeciw niej, siedziała okrutna nieprzyjaciółka, dumna i tryumfująca i napawała wzrok widokiem mąk swej ofiary.

U podnoża obu stosów czekali niewolnicy z płonącem łuczywem na rozkaz zapalenia. Księżna jeszcze zwlekała. Chciała może przeto spotęgować strach nieszczęśliwych ofiar? Lud począł już mruczeć z niecierpliwości, a kapłani naglili do pospiechu.

Wreszcie księżna powstała z siedzenia i podniosła rękę.

Nastąpiła głucha cisza, wśród której zabrzmiał twardy i ostry głos okrutnej kobiety.

— Zapalajcie!

Niewolnicy podłożyli łuczywo — z trzaskiem uderzyły w górę płomienie.

W tej chwili powstało gwałtowne zamieszanie wśród tłumów i podniósł się krzyk. Oddział jeźdźców skręcił na rogu miejskiego muru i w szalonym pędzie zdążał na miejsce egzekucyi.

Rozdział 47.

ODKRYTA TAJEMNICA

Pewnego zimnego i burzliwego wieczoru grudniowego, szedł Ludwik Hecht przez wieś, oddaloną może o milę od zamku Wildenfels, leżącą poza lasem.

Nie zapomniał on zwierzeń, które mu poczynił w więzieniu przyjaciel jego. Dziś wreszcie chciał wyszukać muarza, który przed dziesięciu laty w ścianie zamku Wildenfels zbudował tajemną szafę.

Na samym końcu wsi stała uboga, waląca się chatka. Wiatr przewiewał przez nieszczelne i uszkodzone okna deszcz i śnieg przedostawał się prze dziurawy dach słomiany. W jedynej izbie siedział przy bladem świetle lampy murarz Krebs.

Wsparł głowę na rękach i patrzył przed siebie tępym wzrokiem, z posępnym wyrazem nałogowego pijaka.

Na stole stała przed nim do połowy wypróżniona flaszka z wódką, którą od czasu do czasu podniósł do ust. W izbie było zimno, nie palił bowiem w piecu. Wśród nagich ścian panowało ubóstwo i nędza.

Na ławce przy pniu siedziała drżąca ze zim na ośmioletnia dziewczynka, w cienkiej ubogiej sukience. Blade i zapadłe policzki, dziewczęcia świadczyły o głodzie i nędzy.

Na kolanach swych trzymała dziewczynka trzyletniego swego braciszka. Malec wypłakawszy się najpierw z powodu, że nie dostał jeść, zasnął w jej ramionach. Ojciec nie miał nic do jedzenia dla swych dzieci, za ostatnich kilka groszy kupił sobie wódki, by zapić niedolę.

W komórce zaraz obok leżała w trumnie jego żona. Śmierć wybawiła biedaczkę z długiej choroby. Jutro ma być jej pogrzeb — na koszt gminy. Potem i dzieci z ojcem muszą się zabrać z domu — cóż wtedy stanie się z niemi? Gdzie biedactwa znajda schronienie.

Ojciec westchnął rozpaczliwie. Wstyd i żal chwytały go teraz za gardło, sam bowiem był winien swej niedoli. Gdyby był nie oddał się pijaństwu, gdyby był pozostał tak pilnym robotnikiem jak był dawniej, nie byłoby doszło do tego.

Znowu westchnienie wyrwało się z jego piersi i znowu sięgnął po flaszkę, by zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Wtem zapukano do drzwi i wszedł jakiś obcy mężczyzna otulony płaszczem. Murarz ze zdziwieniem spojrzał na gościa a i Ludwik Hecht ze zdziwieniem powiódł wzrokiem po nędznej izbie.

— Wy jesteście murarz Krebs, nieprawdaż? — zapytał po tem, uprzejmie, zbliżając się do stołu.

— Tak to ja — czego pan sobie życzy? — odparł grubym głosem murarz.

— Chcę z wami pomówić w bardzo ważnej sprawie!

— Dobrze. Któż pan jesteś i skąd mnie pan zna?

— Nazywam się Simon — odparł złodziej siadając przy stole. Jednej rzeczy chcę się od was dowiedzieć, przypominacie sobie jeszcze robotę, którą przed dziesięciu laty wykonaliście dla hrabiego Wildenfels na jego zamku?

Murarz powstał z krzesla i patrzył się na gościa zdumionym wzrokiem.

— Skądże to pan o tem wiesz? — rzekł podejrzliwie.

— Opowiadał mi o tem dobry wasz przyjaciel.

— Humpelfritze?! A względnie Fryc Schneider, jak on się właściwie nazywa — tak, tylko on mógł to panu zdradzić! — zawołał gniewnie wzburzony murarz. — Jak ten łotr mógł to zrobić! A pan czego chce jeszcze odemnie się dowiedzieć?

— Proszę was, posłuchajcie mnie spokojnie, przyjacielu! — odparł Hecht. Jednem spojrzeniem ocenił człowieka i jego stosunki. Wyjął zwolna portfel. — Interesuje mnie to — mówił dalej — a jeśli zechcecie dać mi dokładne objaśnienie, nie pożałujecie tego. Macie tu — weźcie na razie tę drobnostkę.

Z temi słowami położył na stole banknot stumarkowy.

Murarz spoglądа to na banknot to na uśmiechającego się z zadowolenia, łotra. Był tak zdumiony, że przez chwilę nie mógł słowa przemówić.

— Jakto panie — to pieniądze chce mi pan darować? — zapytał głosem, w którym przebijała się niepewność i radość.

— Naturalnie i jestem gotów dziesięć razy tyle dołożyć, jeżeli zechcecie spełnić me życzenie.

Murarza ogarnęło jeszcze większe zdumienie. Policzki jego drgały ze wzruszenia i nagle chwycił gościa za rękę — mówiąc wzruszonym głosem:

— Panie, czy pan wie, że temi pieniądzmi ratujesz mnie od zguby? — Lecz nie wiem — dodał po chwili namysłu, czy mogę przyjąć te pieniądze. Dlaczego w jakim celu, chce pan zbadać tajemnicę zamku Wildenfels?

— Później wam to wytłumaczę. W każdym razie weźcie te pieniądze.

— No, dobrze panie! Lecz proszę mi dać drobniejsze. Gdybym chciał zmienić banknot tu we wsi, myśleliby ludzie, że go ukradłem.

Hecht wyjął portmonetkę i położył kilka talarów obok banknotu i posunął pieniądze pogardliwym ruchem w stronę murarza.

— Anna! — zawołał teńże do swej córki, która dotychczas w milczeniu się przysłuchiwała. — Połóż malca do łóżka, masz tu pieniądze i idź przynieś coś do zjedzenia dla was.

Dziewczyna chwyciła pieniądze i uradowana wybiegła z izby.

— Wróćmy więc do rzeczy! — zagadnął znowu Hecht. Przed dziesięciu laty wmurowaliście w ścianę zamku Wildenfels jakąś skrytą szafę, czy coś podobnego. Naturalnie wiedzieliście, jaki cel miała ta skrytka!

— Tego mi hrabia nie powiedział. Pewnego dnia wołano mnie do zamku i wtedy powierzył mi hrabia wykonanie roboty, ale z warunkiem że zatrzymam to w tajemnicy. Dopiero gdy mu to przyrzekłem, zaprowadził mię do jednej komnaty i tam otworzył niewidzialne drzwi. Za niemi była nyża. Musiałem przebić w niej ścianę i wpuścić żelazne drzwi. Za nyżą znajdowała się mała komórka bez okna, w której musiałem ustawić żelazną szafę.

— Jasną jest rzeczą, że hrabia kazał wykonać tę robotę w pewnym celu. Chciał tam ukryć swoje pieniądze i kosztowności, — rzekł Hecht, który go słuchał ze wzrastającą ciakawością. — Dlatego to żądał od was przyrzeczenia, że zatrzymacie to w tajemnicy.

— Naturalnie — i ja tak myślę! — potwierdził murarz.

Hrabia wybierał się wtedy w długą podróż do Indyi i Afryki, chciał więc majątek swój ukryć w bezpiecznem miejscu.

— Hm! powiedzcie mi przyjacielu — rzekł z uśmiechem złodziej — czy nigdy nie przyszło

wam na myśl zaglądnąć do tej szafy podczas nieobecności hrabiego?

— Bóg mi świadkiem — nie! W ostatnim czasie — tak życzyłem sobie posiadać małą cząstkę z tych skarbów, które prawdopodobnie nagromadził.

— Nie odważylibyście się jednak wyciągnąć rękę po te skarby — prawda — badał Hecht.

— Nie, niech mnie Pan Bóg broni! — odparł przestraszony murarz. — Co innego, gdyby hrabia nie był wrócił z podróży, wtedy być może. Spadkobierców bowiem tutaj nie ma, po cóżby więc tyle skarbów miało leżeć bezużytecznie? Ale teraz... — potrząsnął stanowczo głową.

— A jednak możnaby prawie życzyć hrabiemu, żeby jego bogactwo nieco się uszczupliło — mówił Hecht ostrożnie dalej. — Opowiadają o nim bowiem okropne rzeczy. Ma być prawdziwym Sinobrodym i połowę tuzina kobiet miał zgładzić. Dawniej nie był zdaje się takim łotrem?

— Nie przeciwnie. Hrabia był najszlachetniejszym i najlepszym człowiekiem na świecie. Tam, w Indyach, musiał się stać takim tyranem, Sionbrodym. Naturalnie nikt mu teraz dobrze nie życzy. Cieszyłoby to mnie nawet gdyby utracił swe skarby.

Zaświeciły się oczy złodziejowi. Takie zdanie chciał właśnie usłyszeć.

— Otóż mój przyjacielu — rzekł szybko — ja właśnie chciałbym zadać hrabiemu taki dotkliwy cios. Wejdziecie ze mną w spółkę.

Teraz dopiero poznał murarz jakiego to honorowego ma przed sobą człowieka. Gdyby tak Hecht był dawniej do niego przyszedł z podobną propozycyą, gdy on jeszcze był człowiekiem porządnym, pracowitym i trzeźwym, byłby go niewątpliwie natychmiast chwycił za kark i wyrzucił za drzwi, teraz zadowolił się tem tylko, że stanowczo powiedział "nie."

Atoli złodziej nie dał się tem odstraszyć.

— Przyjacielu widzę że jesteście w położeniu bardzo przykrem — począł mówić dalej. — Chciałem i mogę wam dopomódz. Wysłuchajcie mej propozycyi! Dam wam natychmiast jeszcze tysiąc marek, a potem otrzymacie jeszcze dziesięć razy tyle, jeżeli wszystko mi opowiecie, co wiecie o tajemnicy hrabiego. Opiszcie mi dokładnie odnośną komnatę w zamku. powiedzcie mi, gdzie znajdują się owe skryte drzwi i w jakiego rodzaju zamki są zaopatrzone. Cóż dobrze?

Murarz widocznie wahał się, posępnie patrzał przed siebie. Lepszą część jego jestestwa wzdrygała się przed zdradą, lecz zanadto wielka była pokusa. Pomyślał o swej nędzy, o swych dzieciach. Tysiąc marek! Z taką sumą mógłby zacząć nowe życie.

Zdecydowany podniósł głowę i spojrzał na złodzieja, który z niecierpliwością czekał na jego decyzyę.

— Może się pan zawieść w swej nadziei — rzekł. Może hrabia tymczasem gdzieindziej ukrył swe skarby.

— A może nie! — uśmiechnął się Ludwik Hecht.

— A jeśli mimo tego nie osiągniesz pan swego celu? Pomyśl pan tylko, co za niebezpieczeństwo! Hrabia jest w zamku...

— A co tam! Nie troszcie się o to! — przerwał mu niecierpliwie złodziej. — Macie tu obiecanych tysiąc marek i zaczynajcie już raz mówić, przyjacielu!

Wyłożył na stół nowe banknoty stumarkowe. Murarz nie namyślał się dłużej. Zgarnął skwapliwe pieniądze a potem uderzył gwałtownie pięścią w stół.

— Do kroćset dyabłów, czego się tak długo waham? Nie zaszkodzi to hrabiemu Sinobrodemu, jeśli mu raz doszczętnie wypróżnią jego kasę. Życzę panu szczęścia do tego! — A zatem: Odnośny pokój leży w prawej wieży narożnej nad morzem, na drugiem piętrze. Na lewo od wejścia, wisi na ścianie naturalnej wielkości portret jednego z przodków hrabiego Wildenfels, w szerokich pozłacanych ramach. Jeśli się pociśnie guzik, znajdujący się w samym środku prawej strony ramy, obraz otwiera się jak drzwi.

— Bardzo pięknie! — skinął zdumiony Hecht. Potem trzebaby jeszcze otworzyć żelazne drzwi, które wyście wsadzili w nyży za obrazem. Jakże to możnaby zrobić?

— Tego już nie wiem. Zamek tych drzwi jest bardzo skomplikowany.

— Hm! A sama szafa?

— Tam dopiero będzie trudno się dostać. Jestto silna, żelazna kasa.

— Ba! — odparł z pewnością siebie złodziej. Nie będzie to znowu tak trudno!

Powstał i podał murarzowi rękę.

— Samo przez się rozumie się, że obaj o tem wszystkim milczymy — rzekł poważnie. — Usłyszycie o mnie wkrótce. Gdy wszystko się dobrze powiedzie. z

Właśnie w tej chwili wróciła córka murarza obładowana różnymi wiktuałami.. Ludwik Hecht wyszedł z chaty i uśmiechając z zadowolenia, udał się do gospody.

— W każdym razie mam już pewność! —

mruknął. — Lecz nie zabiorę się jeszcze do wykonania. Najpierw muszę jutro jeszcze raz odwiedzić swą kochaną małżonkę, potem zaś zabiorę miliony hrabiego Sinobrodego.

Rozdział 48.

DWA WYZNANIA.

Winter z głośnym okrzykiem radości przykląkł na gruzach spalonej gospody. Po chwili zerwał się znowu. W jego ręku zabłysła cienka szpilka do włosów, którą znalazł w rumowisku.

— Mam — zawołał. — Najlepszy dowód, że tutaj była, a może nawet jeszcze jest ukryta.

Piotr który podsłuchiwał tę scenę przeraził się bardzo. Obawiał się, że Winter nie prędzej stąd odejdzie, aż znajdzie zgubę.

Istotnie obaj poczęli ze zdwojoną gorliwością szukać. Przerzucili gruzy, lecz nie znaleźli drzwi. Przeszukali także jeszcze raz dokładnie zabudowania stajenne. Piotr cofnął się z koniem w głąb ogrodu i nie spostrzeżono go.

Wreszcie obaj urzędnicy odjechali. Piotr także dosiadł konia i popędził do zamku Wildenfels, by donieść hrabiemu, co podsłuchał. Był spokojnym o Katynkę, mimo to postanowił ją jutrzejszej nocy przenieść do innej kryjówki.

Przybył na zamek o północy, nie mógł już więc mówić ze swym panem. Lecz zaraz z rana wszedł do niego i zawołał doń wzburzonym głosem:

Wielkie niebezpieczeństwo wisi nad nami, panie! Spotkałem w nocy na gruzach "pod pełnym dzbanem" dawnego leśniczego Wintera i jeszcze jednego. Drab ten jest urzędnikiem kryminalnym. Od początku węszył za pańskiemi tajemnicami. To co słyszałem, każe obawiać się paskudnych rzeczy.

Sinobrody cofnął się blady jak trup.

— Co? Jest urzędnikiem kryminalnym? — zawołał. — Cóż on się dowiedział, co on może wiedzieć?

— O — dosyć, aby nas obu zgubić. Czyni poszukiwania za piękną Katynką, wie o tem, że ją trzymano zamkniętą tu na zamku. Zna on także fałszywego hrabiego. On wówczas nas ścigał i znalazł rannego w lesie. Kto wie, jakich tajemnic jeszcze się dowiedział. Także i o śmierci Jakóba zdaje się, więcej wie, jakby to było pożądanem.

Po tym wstępie opowiadał Piotr dokładnie hrabiemu treść rozmowy Wintera, z tegoż podwładnym. Zamilczał jednak o tem, że Katynka była jego więźniem w piwnicy.

—Dlaczegoś odrazu tego niebezpiecznego szpiega nie zastrzelił jak psa? — zawołał Sinobrody przejęty gniewem i strachem. — Miałeś przecież doskonałą sposobność do tego!

— Łatwo to powiedzieć, panie. Przecież on nie był sam!

— Ale trzeba go koniecznie usunąć, musi zniknąć zanim jeszcze będzie za późno! — mówił Sinobrody dalej z ponurą stanowczością. — Musimy go zwabić w zasadzkę!

Pan i sługa poczęli się naradzać w jaki sposób najłatwiej mogliby zgładzić Wintera.

Komisarz miał zamiar tego rana udać się do ojca Katynki, aby mu donieść, co się dowiedział o jej losie. Gerhard miał mu powiedzieć, czy w gospodzie jest jakie ukrycie, gdzie mogłaby być Katynka zamkniętą. Nie wierzył bowiem w to bardzo.

Zanim jednak pojechał do więzienia, przyszedł do jego biura pewien urzędnik i przyniósł mu depeszę. Winter przeczytał następujące słowa:

"Ranny jest konający. Ma on panu jeszcze ważne zeznania poczynić, proszę przybyć natychmiast".

Depesza ta pochodziła od właściciela gospody z tej samej wsi, gdzie mieszkał murarz Krebs. Rannym był fałszywy hrabia, którego położyła w lesie kula Sinobrodego. Winter chwilę tylko się namyślał, potem zawołał swego podwładnego Brauna i udał się z nim w drogę do wsi.

Obaj urzędnicy jechali w lekkim, otwartym wozie. Otulili się mocno płaszczami, gdyż wiał ostry wiatr i prószył drobny śnieg. Z rezydencyi wynosiła droga prawie trzy mile i szła po większej części przez las. Gdy wózek znajdował się w środku lasu, nagle z niewielkiej odległości padł strzał. Winter słyszał świst kuli która przeleciała nad jego głową.

— Stój! —zawołał do woźnicy, który natychmiast zatrzymał konie.

Detektyw zrzucił z siebie płaszcz i jednym susem zeskoczył z wozu. Kłęby białego dymu wskazywały miejsce gdzie się ukrywał skrytobójczy zbrodniarz. Z rewolwerem w ręku skoczył Winter w gęstwinę leśną. Wtem ujrzeł w odddali uciekającego człowieka ze strzelbą w ręku.

Zdawało mu się, że poznaje w uciekającym rudowłosego Piotra. Bez namysłu strzelił za nim i puścił się w pogoń. Za nim biegł także Braun. Rozpoczął się straszliwy pościg, obaj urzędnicy coraz bardziej zbliżali się do bojaźliwego mordercy. Wtem znikł on im z oczu za gęsto rosnącemi obok siebie młodemi sosnami.

Gdy ścigający dobiegli po chwili do tej gęstwiny, usłyszeli tentent kopyt końskich, a po chwili zobaczyli jeźdzca uciekającego w pełnym galopie.

Naturalnie musieli zaprzestać pościgu i wrócili do swego wózka.

— Panie komisarzu, jestem pewny, że to był Piotr! — zauważył Braun, gdy ruszyli w dalszą drogę. — On czynił zasadzkę na pańskie życie.

— Ale ponieważ żaden z nas nie poznał go na pewno, trudno będzie zbójowi udowodnić — odparł Winter. —Spodziewam się jednak, że go wnet pochwycimy przy podobnej sposobności.

Za pół godziny przybyli do wsi. Wózek zatrzymał się przed gospodą, a gdy detektyw ze swym towarzyszem wysiadali, z górnego okna wyjrzał ciekawie Ludwik Hecht. Nocował on w gospodzie, i teraz chciał odalić się ze wsi. Na widok urzędnika policyjnego, cofnął się przerażony.

— Dałbym się powiesić, jeśli to nie jest komisarz Winter! — mruknął.

Do dyabła — może to moja osoba go tu sprowadza?

Z pospiechem skończył się ubierać i tylnemi schodami wykradł się z domu, nie myśląc o tem, że nie zapłacił jeszcze rachunku.

W sieni spotkał obu urzędników gospodarz. Winter dał mu się poznać, a potem zapytał:

— Jakże się ma ranny? Żyje jeszcze?

— Tak, ale już kończy życie. Do tego czasu był nieprzytomny. Ksiądz jest przy nim.

To mówiąc otworzył drzwi do skromnego lecz czystego pokoiku. Kapłan wiejski, podeszły starzec, stał przy łożu umierającego i podtrzymywał go swojem ramieniem. Walczący ze śmiercią oddychał ciężko i chrapliwie. Z bladych ust jego wychodziły urywane, zaledwie zrozumiałe wyrazy:

— Teraz nadchodzi śmierć — czuję to! — Chcę wyświetlić prawdę. — Ach, gdyby on był tutaj — gdyby mnie słyszał—hrabia Harald — nieszczęśliwy!

Nastąpiła pauza. Umierający zamilkł już zmęczony. Duchowny pocieszał go łagodnemi słowy, podniósł do rozgorączkowanych ust jego szklankę, napełnioną winem, a chory począł pić chciwię.

Oczy jego zapłonęły nowym ogniem, zebrał ostatek sił i szeptem mówił dalej:

— Nie jestem hrabią Wildenfels. Tamten był moim przyjacielem — poznałem go w Afryce. Tam złożył on w moje ręce ważne dokumenty, dowody jego pochodzenia — był uwięziony i dlatego mnie je powierzył. Potem uciekł. Ja udałem się za nim—list jego wezwał mnie tutaj. Okręt zatonął, ja zostałem uratowany przez dwie kobiety.

Znowu się zatrzymał. Oddech jego stawał się coraz cięższym, lecz on z nadludzkim wysiłkiem począł po chwili mówić dalej:

— Ojcze czcigodny — Bóg jest mym świadkiem. Hrabia Sinobrody jest łotrem i oszustem; — On nie jest hrabią, prawdziwy hrabia Harald jest ścigany. Chciałem go ochronić, pomódz mu i myślałem że najłatwiej to będę mógł zrobić, jeśli będę grał jego rolę. Wtem przyszedł Sinobrody — i...

Umierający opadł w tył, głos jego się złamał. Oddech stawał się coraz słabszy, oblicze sino blade.

Winter stał przy drzwiach jak przykuty i słuchał, teraz szybko postąpił naprzód i nachylił się nad konającym. Pochwycił jego rękę i zawołał doń głośno:

— Zaklinam pana, odpowiedz mi na dwa pytania tylko! Gdzie są te dokumenty, te dowody, że kto inny, nie Sinobrody, jest hrabią Wildenfels? Gdzie pan ma te papiery?

Umierający jeszcze raz otworzył oczy, już cień śmierci mgłą je zasłonił. Poruszył ustami. Winter nachylił ucho do ust jego i słuchał wstrzymawszy oddech.

— W grobowcu... tam zostawiłem.. nieszczęśliwe kobiety — wykrztusił jeszcze.

Nie zrozumiał widocznie pytania Wintera. Umysł jego był już zamroczony. Detektyw patrzył nań zdumionym wzrokiem. O jakich kobietach on mówi? Na jaką tajemnicę wskazał mu umierający?

— A kto jest mordercą pańskim? — zapytał natarczywie — kto pana zastrzelił? Czy hrabia Sinobrody?

Umierający dał znowu taką odpowiedź która wskazywała, że nie zrozumiał pytania, że myśli jego były poplątane.

— Tak, żony hrabiego Sinobrodego, ratujcie je.

Słowa te wyszły z ust jego tak cicho jak podmuch wiatru, potem jeszcze raz odetchnął i skonał.

Winter cofnął się, a kapłan złożył ręce do modlitwy.

Posępnym wzrokiem patrzył detektyw na zmarłego. Człowiek ten i jego ostatnie wyznania były dlań zagadką. Podawał się za hrabiego Wildenfelsa, a teraz zeznał, że ani on, ani Sinobrody, tylko kto inny jest prawdziwym hrabią.. Lecz ile w tem było prawdy?

Czy może wierzyć w słowa tego nieznajomego? Nie prędzej, aż znajdzie dowody na to. Umierający mówił o grobowcu i żonach hrabiego Sinobrodego. Nie trudno było zrozumieć związek. Tylko grobowiec zamku Wildenfels mógł mieć na myśli, a że w nim zamknięte były nieszczęśliwe ofiary Sinobrodego, o tem był Winter przekonany.

Postanowił więc o ile możności jak najprędzej dostać się do tego grobowca. Przyszło mu na myśl, że może i Katynka jest tam zamkniętą.

— Ojcze duchowny — czy zmarły nie podał ci tutaj swego prawdziwego nazwiska? — zapytał kapłana, gdy tenże skończył modlitwę.

— Nie panie komisarzu — odrzekł starzec — Biedny aż do ostatniej chwili nie był zdolny mówić. Prawie ciągle leżał w gorączce. I ja nie sądzę, żeby do ostatnich jego oświadczeń można przywiązywać wielką wagę. Zdaje mi się że on już nie wiedział, co mówi.

Winter w zamyśleniu skinął głową. Nie był wcale zadowolony, najwięcej nadziei pokładał w zeznaniach nieznajomego, a prawie nic się nie dowiedział. Wyszedł z pokoju i wszedł do izby po przeciwnej stronie przedsionka.

Znalazł tam Brauna zajętego rozmową z gospodarzem który spostrzegł już ucieczkę Hechta i mówił o niej kryminaliście.

Braun zaraz zwrócił się do swego przełożonego ze słowami:

— Człowiek ten wydał mi się znajomym. Widziałem go w oknie, gdyśmy wysiadali z wózka. Z podejrzanym pospiechem odskoczył wtedy od okna i z pewnością dlatego szybko się ulotnił, bo nie ma czystego sumienia. Jeśli mię pamięć nie zawodzi, to już mieliśmy przedtem z tym człowiekiem do czynienia.

— A jak się on nazywał? — zapytał Winter gospodarza.

— Simon! Przyszedł wczoraj wieczorem, a dziś miał odjechać. Słyszałem, że był u murarza Krebsa. Być może, że jeszcze możnaby go tam zastać.

Winter zamyślił się. Nie przypomniał sobie żadnego zbrodniarza nazwiskiem Simon. Mimo tego jednak posłał Brauna z parobkiem do domu murarza.

Po jakimś czasie wrócili nie zastawszy tam Hechta, natomiast przyprowadził Braun młodą dziewczynę w wiejskim czarnym stroju. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu poznał w niej Winter służącą z gospody "pod pełnym dzbanem". Dziewczyna ta znikła z chwilą aresztowania Gerharda.

— Skąd pan wziąłeś tę dziewczynę? — zawołał do Brauna.

— Znalazłem ją w domu murarza —odparł tajny agent. — Żona jego umarła i dziś ma być jej pogrzeb, na który dziewczyna ta jako siostra zmarłej, przybyła.

— Poznajesz mnie? — zapytał Winter zwracając się do przestraszonej dziewczyny.

—O tak, panie leśniczy! — odparła. Przedtem był pan przecież dość często w naszej gospodzie.

— Powiedzże mi Lino, gdzieżeś ty się ukrywała przez cały czas? Chciano twego świadectwa przed sądem w sprawie twego pana, nie można było jednak nigdzie cię odnaleźć.

— Byłam u krewnych, bardzo daleko stąd.

Hm! Wiesz, Lino, że twój pa n jest obwiniony o to, że zamordował barona Jakóba von Rambow. Ty przecież byłaś także przy tem, gdy biedny Gerhard został aresztowany. Nie może teraz udowodnić swej niewinności. Czy możesz coś powiedzieć na jego korzyść?

—O Boże, czy ja wiem panie! — westchnęła dziewczyna wśród łez. Żal mi bardzo biednego pana i ja także nie wierzę, żeby to on miał zrobić — nie, nie! Jakkolwiek groził baronowi i wyrzucił go z domu, to jednak nie popełnił morderstwa.

— A zatem nie wiesz nic, zupełnie nic. Lino? — badał coraz natarczywiej Winter. Przypomnij sobie dobrze! Na pozór błaha rzecz i nic nie znacząca, może być czasem bardzo ważną.

Z naprężeniem i z wielką uwagą wpatrywał się w dziewczynę, która z widocznem wytężeniem starała się coś sobie przypomnieć.

Potem obszernie opowiedziała wszystko, ci się działo w ostatnich dniach przed uwięzieniem Gerharda. Lecz wszystko to nie przynosiło nic nowego, nie rzucało żadnego światła na tę tajemnicza sprawę.

Zniechęcony Winter potrząsnął głowę. Żywił niejaką nadzieję jeszcze, a teraz i ta upadła.

— A nóż, którym baron został zamordowany, widziałaś także Lino, nieprawdaż? — zapytał nagle. — Czy nóż też był naprawdę wasz?

— Tak, panie! Nóż ten był nasz, używałam go zawsze do krajania. Ale prawda, przypominam sobie, —dodała nagle żywo. — Na kilka dni przedtem, zanim znaleziono zamordowanego, znikł ten nóż z domu. Szukałam go i nie mogłam znaleźć!

— Ach, — zagadnął zdumiony Winter — a cóż, nie pytałeś się o ten nóż Gerharda?

— Pytałam się. Pan także go szukał, lecz nigdzie nie można go było znaleźć.

Winter ożywił się. Okoliczność ta wydawała mu się bardzo ważną.

— Ale nie potrafisz tego sobie wytłumaczyć, kto mógł wziąć ten nóż? — badał dalej.

Dziewczyna wahała się chwilę nad odpodzią. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz się obawia wymówić. Lecz Winter coraz natarczywiej nalegał na nią żeby mówiła.

— Chodzi mi tylko o to, że nie chciałabym rzucać podejrzenia na niewinnego! — rzekła wreszcie. — A czy on naprawdę zabrał nóż, tego także nie wiem!

— Któż taki, kogo masz na myśli?

— Piotr, służący w zamku Wildenfels.

Winter z trudnością powstrzymał się od okrzyku radosnego zdumienia. Dziewczyna zaś mówiła dalej:

— Tego wieczoru przybył on do gospody. Znalazłam go niespodziewanie w kuchni. I on był niemało przestraszony gdym go zastała samego. Powiedział mi, że chciał się o coś zapytać kucharkę. Zaraz wyszedł z pospiechem i odjechał.

— I zaraz tego samego wieczora spostrzegłaś brak noża?

— Tak, zauważyłam to jeszcze tej samej godziny. Położyłam go na stole, bo miałam zamiar go ostrzyć.

— Dobrze — rzekł Winter rozgorączkowany — czy wszystko to możesz zaprzysiądz w sądzie?

— Naturalnie! Myślałam tylko, że cała ta historya nie ma żadnego znaczenia, inaczej byłabym to już dawno powiedziała.

Winter wyjął z notesu wizytówkę, napisał na niej kilka słów ołówkiem a potem oddał ją dziewczynie.

— Masz tu mój adres. Przyjdź jutro przedpołudniem do mego biura, tam pomówimy szerzej o tej sprawie.

Dziewczyna przeczytała nazwisko i tytuł i spojrzała nań z ogromnem zdumieniem. Teraz dopiero pojęła kim był w rzeczywistości Winter. Lecz on szybko położył koniec tej scenie. Wsiadł razem z Braunem na wózek i pojechał z powrotem do stolicy.

Zeznanie dziewczyny rzucało nowe światło na całą sprawę.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że Piotr ukradł nóż, którym zadano cios śmiertelny Jakóbowi. Skoro to zostanie udowodnionem będzie udowodnioną także niewinność Eckharda.

Winter nie mógł już doczekać się chwili, gdy wózek jego stanie przed pałacem sprawiedliwości. Chciał zaraz mówić z sędzią śledczym.

A zatem potwierdza się moje przypuszczenie, że Piotr jest mordercą! — rzekł tryumfująco do siebie. — Zdaje się, że dziś jeszcze będę mógł mieć tego łotra pod kluczem. Wtedy wyjdzie na jaw prawda, a ojciec Katynki będzie oczyszczony ze strasznego podejrzenia.

Uradowany, biegł prawie do pokoju sędziego śledczego.

Rozdział 49.

NATARCZYWY MAŁŻONEK.

Kilka razy już zapytywała Walerya starego Michała, czy hrabia nie wrócił jeszcze z książęcego pałacu i zawsze stary odpowiadał "nie."

Niecierpliwość jej wzrosła do największego stopnia. Nie mogła już dłużej czekać, gdyż zaprosiła na wieczór do swego zamku na rozmowę brata swego, hrabiego Sinobrodego.

Wreszcie powrócił hrabia Edmund. Być może, że całkiem o tem zapomniał, że Walerya czeka nań w jego pałacu, był bowiem zdumiony znalazłszy ją tutaj jeszcze. Przystąpił do niej rozdrażniony i podał jej rękę.

— Wybacz, że tak długo zostawiłem cię samą, — rzekł.

— Doprowadziłeś mię tem do największej niecierpliwości, kochany Edmundzie, — rzekła z zalotnym uśmiechem i pociągnęła go na kanapę, na której sama także usiadła obok niego. — Prawdopodobnie masz mi dużo ciekawych rzeczy do opowiadania. Jakże cię przyjął książę? Czy dowiedziałeś się coś bliższego o tej tajemniczej czarnej damie?

— Osobiście nawet z nią mówiłem, byłem bowiem w więzieniu!

— Ach! — krzyknęła zdumiona Walerya. — I cóż wiesz już teraz, kim jest właściwie zagadkowa ta osoba?

— Nie, nie powiedziała mi swego nazwiska. Nabrałem jednak pewności, że osobą, z którą Agata na krótko przed śmiercią swego męża miała schadzkę, była czarna dama. A zatem nie był to żaden kochanek, żaden wielbiciel, lecz dziwna ta kobieta, której rozmowę z Agatą wtedy podsłuchiwałaś.

Walerya zbladła z tajonej trwogi. Widziała w niebezpieczeństwie tak wyrafinowanie uplecioną przez siebie tkaninę z kłamstwa i oszustwa.

— Bajki, kochany Edmundzie — zawołała szybko— przecież Agata sama przyznała się w pożegnalnym liście do ciebie, że był to jej kochanek. I przecież oboje poznaliśmy niedawno

tego człowieka w Paryżu osobiście.

— To wszystko prawda — rzekł ponuro hrabia Edmund — lecz niezbitą prawdą jest zarazem i to, że czarna dama powiedziała prawdę. Dała mi dowód na to, przytaczając niektóre rzeczy, o których mogła wiedzieć tylko osoba dobrze wtajemniczona w losy Agaty. Mam przed sobą zagadkę, którą napróżno staram się rozwiązać.

— Może jednak da się rozwiązać — rzekła Walerya— gdy jej hrabia Edmund powtórzył swoją rozmowę z czarną damą. Agata miała wtedy schadzkę z tą zagadkową kobietą — to fakt.

Lecz niezaprzeczonym faktem jest także i to, żem ja podsłuchała w objęciach jej kochanka. Człowiek ów nie jest wytworem fantazyi, boć przecież oboje przekonaliśmy się że tak samo istnieje, jak czarna dama. Trzeba zatem przyjąć, że są to osoby identyczne, a zatem dwie osoby! To przecież całkiem jasne!

Istotnie, masz słuszność — rzekł rozdrażniony hrabia — jest to tak proste i naturalne, że mógłbym był sam to sobie powiedzieć. Czarna dama nie ma nic wspólnego z uwodzicielem Agaty. Tamten nie wie nic o niej a ona nic nie wie o nim. Zatem były to dwie osoby, z któremi Agata wtedy potajemnie się schadzała. Ach, żeby mi była wyznała całą prawdę — westchnął boleśnie.

Walerya uśmiechnęła się ukradkiem z odcieniem ironii. Tryumfowała, gdyż szczęśliwie opłynęła niebezpieczną rafę. Paliła ją jednak ciekawość, by zbadać tajemnicę czarnej damy. Co ona za jedna? W jakim stosunku stała do Agaty?

Na to pytanie hrabia Edmund nie umiał jej dać odpowiedzi.

— Żal mi tej biedaczki, przypuszczam bowiem, że miała jakiś uzasadniony powód do tak strasznej zemsty na ministrze. Będzie skazaną na śmierć.

Los czarnej damy nie obchodził Waleryę wcale. Przekonawszy się, że hrabia Edmund nic więcej nie może jej powiedzieć, wkrótce się z nim pożegnała.

— Poleciłeś detektywowi Winterowi czynić poszukiwania za małym Walterem — zapytała, gdy ją hrabia odprowadzał do drzwi — czy on nic jeszcze nie odkrył?

— Nie! Do tego czasu nie dał jeszcze nic znać.

Pagrążona w myślach, jechała Walerya do domu. Co się mogło stać z dzieckiem? Byłaby za to wiele dała, gdyby miała jakąś pewność w tej kwestyi. Lecz jedyny człowiek, który mógł jej dać tę pewność, jej mąż Ludwik Hecht, znikł gdzieś bez śladu. A tego także nie mogła pojąć.

Szybko jadąc, przybyła niezadługo do zamku Heiligensee, gdzie była teraz jedyną panią. Zobaczyła, że pokoje jej są jasno oświecone. Czyżby hrabia Sinobrody już przybył?

W przedpokoju wyszła naprzeciw niej pokojówka.

— Jakiś pan czeka w czerwonym salonie— rzekła.

Walerya nie pytała o nic więcej, myślała bowiem, że to hrabia Sinobrody. Rzuciła pokojówce palto i rzekła krótko:

— Staraj się o to, Frida, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

Gdy po chwili przestąpiła próg salonu, cofnęła się przerażona. Z fotelu na biegunach podniósł się gość i postąpił ku niej. Nie był to jedank hrabia Sinobrody, lecz jakiś obcy mężczyzna, elegancko ubrany z jasną brodą.

— Dobry wieczór, moja kochana Waleryo — przemówił do niej w poufałym i ironicznym nieco tonie. Zdaje się, że mnie poznajesz?

— Ludwik, ach, to ty? — rzekła drżącemi usty.

— Tak, mój skarbie, to ja! Uwolniłem się, by cię odwiedzić tutaj w twym dumnym zamku. Doprawdy, powinnaś być wdzięczną swemu losowi, żyjesz tu jak w raju.

Walerya zmarszczyła brwi i rzuciła na małżonka ponure spojrzenie. Ruchem ręki nakazała mu milczenie i odrzekła ostro:

— Po co tu znowu przychodzisz? W przyszłości nie odważysz się na to. Dlaczegoś mi nic nie napisał? Moglibyśmy byli w innem miejscu się spotkać, jeżeli wogóle potrzebną jest rozmowa nasza. Od zniknięcia dziecka ukrywałeś się gdzieś.

— Bo muszę się obawiać o swe bezpieczeństwo — przerwał jej Ludwik — policya węszy za mną.

— Czy to już wszystko, coś mi chciał dzisiaj powiedzieć — rzekła gwałtownie — może szukasz u mnie schronienia?

— Właśnie, po to właśnie przyszedłem.

— O, a ja myślałam, że przyznasz się wreszcie coś zrobił z dzieckiem. Bo, że ty chłopca porwałeś, o tem jestem przekonaną.

— Na Boga, nie!

— Ach, oszczędź sobie kłamstw — zawołała gniewnie i pogardliwie — zamiast powiedzieć mi wreszcie prawdę, żądasz odemne przysługi. Lecz zamek mój nie jest schroniskiem dla zbiegłych kryminalistów.

— No, spodziewam się, że mnie nie wyrzu-

cisz — zaśmiał się ironicznie złodziej i usiadł wygodnie na krześle.

— Jestem twoim mężem, moja czcigodna Waleryo. Nie zapomnij o tem.

Jesteś bezczelnym gałganem — zawołała z wściekłością. Wynoś się natychmiast. Nie chcę mieć nic z tobą do czynienia.

— Pozwolisz, moje dziecko, że zostanę tutaj! — oświadczył Hecht z niewzruszonym spokojem.

Walerya drżała z wściekłości, chwyciła za dzwonek i zawołała doń stanowczym głosem:

— Jeśli natychmiast nie odejdzesz, łotrze, zadzwonię na służbę i przemocą każę cię wyrzucić.

Lecz groźba ta nie odniosła najmniejszego skutku. Złodziej wzruszył wgardliwie ramionami i rzekł zimno:

— Spodziewam się, że się rozmyślisz, gdyż w takim razie opowiem wszystkim, że jesteś moją żoną.

— Nikt ci nie uwierzy. Ja zaś, mój kochany, mogę cię zgubić jednem słowem. Potrzebowałabym tylko zawiadomić policyę a od razu uwolniłabym się od ciebie. Czy chcesz do tego doprowadzić?

— Owszem, chcę tego — odparł uparcie. —Lecz pomyśl także i o tem, że wraz ze mną i ty byłabyś zgubioną — mówił dalej groźnie. — Wtedy nie tylko udowodnię ludziom, że ja, z taką pogardą traktowany przez ciebie kryminalnik, jestem twoim prawowitym mężem, lecz zrobię jeszcze coś więcej. Zgładziłaś ze świata swą rywalkę, żonę hrabiego. Mnie użyłaś jako pomocnika do komedyi, odegranej przed hrabią w Paryżu, a dalej usunęłaś dziecko.

— Ho, ho! Głupcze, czemże to udowodnisz — szydziła Walerya ze śmiechem nie całkiem naturalnym.

— Oho! myślisz może, że mi nie uwierzą? Mogę mieć dowody i jeżeli ty istotnie pragniesz nieprzyjaźni między nami, dobrze, przystaję nato. Zwołaj więc swoich ludzi i poszlij po policyę. Ja nie ruszę z miejsca.

Walerya stała chwilę niezdecydowana, co ma robić. Piersi jej falowały gwałtownie, gniew szalony wykrzywił jej blade rysy. Oczy jej rzucały gromy nienawiści na siedzącego spokojnie złodzieja, który drwił z niej swym szyderczym uśmiechem. Nie śmiała jednak wykonać pogróżki.

Poznała, że jest bezsilną, że własną ręką sprowadziłaby na siebie zgubę, gdyby dopuściła do ostąteczności.

Drżąc na całem ciele ze wzburzenia, oparła się o poręcz krzesła.

— Znajdę jeszcze inny sposób, by się od ciebie uwolnić— rzekła, powiadam ci, nie drażnij mnie dłużej. Pytam się ciebie poraz ostatni: pójdziesz dobrowolnie, czy nie?

— Ani mi się śni. Jako twój mąż, mam prawo pozostać przy tobie.

— Posłuchaj jeszcze jednej propozycyi — rzekła Waleya z trudnością starając się panować nad sobą. Dam ci pewną sumę — powiedzmy: pięćdziesiąt tysięcy marek — w przeciągu paru tygodni. Z temi pieniądzmi musisz zniknąć na zawsze. Zgadzasz się na to i przyrzekasz mi, że już nigdy nie będziesz mnie napastował?

Złodziej zaśmiał się.

— Pięćdziesiąt tysięcy marek? Nie, mój skarbie, ani za podwójną sumę, ani nawet za dziesięć razy tak wielką nie oddam swych praw do tak powabnej żonki jaką ty jesteś. Namyśliłem się nad tem dobrze. Zostaniesz nadal moją żoną i będziemy oboje w tym pięknym zamku pędzili najszczęśliwsze pożycie małżeńskie na świecie!

Walerya blada jak trup patrzyła nań niepewnym wzrokiem.

— Czyś ty zmysły postradał, czy mówisz w obłędzie?

Ludwik Hecht powstał i zbliżył się do niej z pożądliwą miną.

— Precz odemnie — krzyknęła Walerya wybuchając gniewem. Nie waż się mnie dotknąć.

Atoli złodziej w jednej chwili rzucił się na nią i objął gwałtownie jej gibką kibić. Przycisnął ją mocno do swej piersi i ciągnął ze sobą na kanapę.

— Jesteś moją żoną! — wykrztusił z płonącemi z namiętnością oczyma. — Czynię użytek z przysługującego mi prawa jako małżonkowi!

Walerya broniła się z rozpaczliwą wściekłością, nie miała jednak odwagi krzyczeć.

— Puść mię, łotrze — wołała bijąc go pięściami jak szalona. — Szaleńcze, uduszę cię!

Chwyciła go za pełną jasną brodę, lecz broda została jej w ręku. Odrzuciła brodę i chwyciła go za gardło.

Mimo tej rozpaczliwej obrony, Ludwik Hecht podniósł piękną kobietę do góry i zaniósł ją na kanapę.

Walera nie miała już sił bronić się. Z tryumfującą miną objął ją na nowo jej małżonek gdy wtem zapukano do drzwi.

Złodziej zerwał się z przekleństwem na ustach a także Walerya szybko powstała. Pode-

szła do drzwi i otworzyła je. Przed nią stała pokojówka.

Proszę wielmożnej pani, pan hrabia Wildenfels przyszedł.

W oczach Waleryi zabłysnął tryumfujący ogień.

— Zaprowadź pana hrabiego do mego buduaru — rozkazała.

Pokojówka odeszła, a Welerya z szyderczą miną zwróciła się do swego męża, który tymczasem przyprawił sobie już napowrót swą fałszywą brodę.

— Słuchaj. Ludwiku, to jest moje ostatnie słowo: Jeśli za kwandrans będziesz jeszcze w moim zamku, gorzko tego pożałujesz!

Zanim Hecht mógł jej coś odpowiedzieć, wybiegła zostawiając drzwi otwarte. Hecht słyszał jak wydawała nakaz służącemu, aby go wyprowadził z zamku.

— Do kroćset dyabłów — mruknął w ściekłości. Nie pójdę! Niech się dzieje co chce!

Potem przyszła mu jakaś myśl do głowy, uśmiechał się szyderczo. Słyszał kroki nadchodzącego służącego; chwycił szybko kapelusz i palto i wysunął się do drugiego pokoju. Miał nadzieję, że służący będzie myślał, że on już poszedł.

Podstęp jego udał się bo lokaj nie widząc nikogo, zaraz się cofnął. Hecht zaraz wylazł i udał się wzdłuż korytarza do pokoju Waleryi. Nikt go nie spostrzegł. Otworzył drzwi do jednego pokoju i przeszedłszy kilka ciemnych pokoi, znalazł się w sypialni Waleryi.

Zawdzięczał to nadzwyczaj swej bystrości, że drogę tę tak łatwo znalazł. Zapamiętał sobie położenie pokoi od pierwszej swej bytności w zamku. Lecz czego on tu szukał w sypialni Waleryi? Jaki miał zamiar?

Cicho posunął się do drzwi sąsiedniego pokoju, skąd dochodziły niewyraźne głosy. Potem zbliżyły się nagle do drzwi kroki, widocznie Walerya szła za swym gościem do sypialni.

Złodziej szybko cofnął się w tył. Rzucił bystre spojrzenie dokoła. Gdzieby się tu schować? Wspaniale urządzona, duża komnata, oświetlona bladem światłem różowej lampy, nie posiadała żadnego dużego sprzętu, któryby go mógł pomieścić. Także portyery przy oknach i przy drzwiach nie przedstawiały bezpiecznej kryjówki. Mimo tego jednak nie chciał uciekać.

Niebezpieczeństwo było blizkie. Już obrócił się klucz w zamku, Walerya za chwilkę wejdzie ze swym gościem. Złodziej wsunął się zręcznie poza kotary zasłaniające łóżko.

Był to już najwyższy czas, gdyż teraz drzwi się otworzyły, a na progu stanęła Walerya. Za nią szedł wysoki mężczyzna — hrabia Sinobrody — i zamknął za sobą drzwi.

— Tak kochany Robercie — rzekła Walerya — tutaj jesteśmy bezpieczni przed niepowołanemi uszyma. Podejrzywam swoją pokojówkę, że podsłuchuje pod drzwiami. Zamknę i tamte pokoje, z tej strony.

To rzekłszy poszła do ciemnego pokoju, przez który przyszedł Ludwik Hecht. Zamknęła tam drzwi do przytykających pokoi i wróciła do sypialni.

Usiadła na otomanie a hrabia Sinobrody usiadł naprzeciw niej na fotelu. Oboje rozglądnęli się badawczo po pokoju, napełnionym światłem różowem, lecz nie spostrzegli nikogo. Hecht leżał cicho pod łóżkiem i ukradkiem wyzierał z pod niego.

Był nadzwyczaj ciekawym tego, co usłyszy i zobaczy. Obiecywał sobie nader pikantną scenę, gdyż ten osławiony Sinobrody nie mógł być nikim innym jak tylko kochankiem Waleryi. W przeciwnym razie nie byłaby go przecież wprowadziła do sypialni.

Teraz zaczęli oboje rozmowę. Hecht słuchał, nastawiwszy dobrze uszu.

— A więc przecież miałam słuszność, gdym cię ostrzegała przed twym leśniczym — zaczęła Walerya. — Teraz dopiero pokazało się, że jest detektywem policyjnym. Kto wie, jak dużo on już odkrył twych tajemnic.

— Trzeba go bezwarunkowo usunąć! — zawołał żywo Sinobrody i to jak najprędzej. Piotr już dzisiaj próbował go zgładzić, lecz nie udało się. Może ty znajdziesz radę jaką, bo i dla ciebie może być bardzo niebezpiecznym ten szpieg, gdyż on czyni poszukiwania za Agatą i jej dzieckiem.

— Tak, tak. Trzebaby koniecznie tego człowieka uczynić nieszkodliwym, przytakiwała Walerya. — Lecz nie on mi zagraża. Wiesz, że mój mąż zno[illegible]u się zjawił.

— Kr[illegible]nalista! Tak, wspominałaś mi już o nim. B[illegible]zisiaj znowu u ciebie?

— [illegible] i nie chciał stąd odejść. Bezczelny ten łc[illegible]st teraz największym mym wrogiem i jes[illegible]adą na mej drodze — rzekła gniewnie Wa[illegible]. — A jak długo on będzie dla mnie groźnym, nie mogę osiągnąć swego celu!

Następnie wśród gwałtownych przekleństw opowiedziała mu scenę ze złodziejem a Sinobrody był niezmiernie tem oburzony.

— Czy on oszalał? — zaśmiał się w końcu z wściekłością. Tutaj chce on żyć z tobą jako twój mąż? A niech go dyabli porwą! Szkoda żeś go nie zatrzymała. Bylibyśmy mogli zaraz

się z nim załatwić!

— O, on wnet powróci!

— Wtedy zawołaj mnie! — przerwał jej Sinobrody ze złowrogą stanowczością. Jeszczeby tego brakowało, żeby ten szubrawiec popsuł ci całą twoją przyszłość, gdy po takich wielkich trudach doszłaś już tak blizko celu. Bądź pewną, że cel ten osiągniesz, możesz się zdać na mnie!

— Cóż więc uczynimy? Dobrowolnie nie ustąpi! — rzekła ponuro Walerya. — A zapomocą gwałtownych środków...? Wiesz Robercie, że musimy być bardzo ostrożni. Sprawa z Jakóbem skończyła się wprawdzie dobrze, ale...

— Z Hechtem nie potrzebujemy robić tak wielkich ceremonii! — odparł szybko Sinobrody. O niego bowiem nikt się nie zatroszczy. Jeśli zniknie, będzie lepiej. A to jeszcze najpewniejsza droga, jeśli skończy tak samo jak Jakób. Pozbędziesz się go raz na zawsze.

— Całkiem słusznie! — zaśmiała się Walerya. Nienawidzę tego łotra. Jeśli nie chce się sam usunąć, niech zginie. Spodziewam się, że jutro tu znowu przyjdzie, a w takim razie zaraz dam tobie znać i zatrzymam go aż do twego przybycia.

— Żeby tylko tak łatwo można było sprzątnąć ze świata detektywa! — westchnął Sinobrody. Nie mam już ani chwili spokoju, każdej chwili może wszystko wyjść na jaw.

— Przerażasz mnie! — zawołała zaniepokojona Walerya. — Cóż ten szpieg dotychczas wykrył?

— Więcej może jak ci się zdaje, — jeśli doniesieniom Piotra mogę wierzyć. Wie już że Katynka z gospody była w mej mocy, a także jest na tropie innych rzeczy. Czyni poszukiwania za mojemi żonami.

Walerya krzyknęła z przerażenia.

— Naprawdę? O, w takim razie należy wszystkiego się obawiać! — zawołała trwożliwie.

— W takim razie nie należy bagatelizować niebezpieczeństwa. Nadto otrzymałem dzisiaj znowu list od ojczyma mej ostatniej żony Gertrudy. Żąda on, bym mu doniósł, co się z nią stało.

— O ile mi się zdaje, napisałeś już do niego że żona twoja jest chorą na umyśle, przeto oddałeś ją do zakładu leczniczego?

— Tak, ale stary lis widocznie coś podejrzywa. Być może, za doszły go słuchy o pogłoskach, które tutaj o mnie krążą. Obawiam się więc, żeby stary kiedyś nie zjawił się na zamku Wildenfels i nie zażądał wyjaśnienia. Wtedy może się zwrócić do tego przeklętego detektywa i przy jego pomocy dojdzie do prawdy.

— A Józefa i inne? Czy ich krewni nie dopytują się o nic?

— Oto się nie boję! — rzekł Sinobrody. Westchnął jednak i mruknął. W gruncie rzeczy nie miałem wielkich korzyści ze swych małżeństw. Z pieniądzmi nigdy nie było tak świetnie, jak się spodziewałem.

— Ale ostatnia, Gertruda, wniosła ci przecież wielki majątek?

— Nic nie wniosła! — burknął wściekle Sinobrody. Wtem właśnie cała bieda. Stary nie wypłacił mi jeszcze pieniędzy, a teraz nie mogę naturalnie się spodziewać, że mi je wypłaci. Obiecał cały milion dać w posagu. Lecz w jaki sposób dostanę te pieniądze!

— To fatalne! Powinieneś był tak długo oszczędzać Gertudę, aż byłbyś dostał pieniądze!

— Łatwo ci mówić. Byłaby mnie zdradziła. Teraz potrzebuję pieniędzy, bo muszę wypłacić Piotra. Gdybym mógł zamek i państwo Wildenfels sprzedać, zarazbym to zrobił i zniknąłbym stąd. na tak długo, ażby trawa porosła na starych historyach.

— Może jeszcze znajdzie się inne wyjście. Nie popadaj zaraz w zwątpienie, Robercie! — pocieszała go Walerya. A co jest z hrabią? Mówiłeś mi, że hrabia nagle znowu się zjawił.

— Tak, Piotr go odkrył. Lecz to znowu jakaś zagadkowa historya. Było dwóch takich, którzy się podawali za mego dawnego pana. Jednego z nich, jużem ubezwładnił. Musi być teraz konający, a może już nie żyje!

— A drugi?

— Ten znikł. I właśnie ten jest rzeczywistym hrabią, tak przynajmniej utrzymuje Piotr Przelotnie go tylko widziałem i wydawał mi się nieznajomym — starzec, o siwych włosach i brodzie. Lecz i ja teraz jestem zdania, że to jest naprawdę hrabia Harald. Właściciel gospody "pod pełnym dzbanem" przez rok go u siebie ukrywał.

— Nie do pojęcia! Dlaczegóż hrabia odrazu nie wystąpił z pretensyami?

— Tego nie może zrobić bo nie ma żadnych dowodów. Mimo tego jednak jest niebezpiecznym i muszę się starać wszelkiemi siłami, by go odnaleźć i uczynić nieszkodliwym!

Walerya skinęła potakująco. Potem zauważyła po krótkiem milczeniu:

— Mówiłeś przedtem o kłopotach pieniężnych. Nie mogę tego pojąć. Hrabia był przecież niezwykle bogatym człowiekiem. Gdzież się podziały te ogromne skarby?

— Ba, gdybym ja to wiedział! — odparł

rozpaczliwie Sinobrody — ze sobą ich nie zabrał, gdy jechał ze mną do Afryki. W banku tak że wiele nie zdeponował. Musiał więc całą swą gotówkę zostawić w zamku.

— W takim razie można je znaleźć.

— Nieraz już szukałem lecz nadaremnie. Hrabia musiał swe skarby schować w jakimś skrytym kącie. Tam one leżą dla mnie na zawsze stracone.

Ludwik Hecht zaśmiał się w duszy. On wiedział, gdzie te skarby hrabiego Wildenfels. Z niezmiernem ukontentowaniem słuchał narzekań Sinobrodego.

Przysłuchiwał się dalej rozmowie a zajęcie jego i zdumienie wzrastało z każdą chwilą. Jakich to rzeczy tu się dowiedział, jakie tajemnice posiadł! A zatem był to brat Waleryi, Robert, a nie hrabia Harald?! Odkrycie to było bardzo ważne!

Lecz słyszał także jak się naradzano nad jego zgubą i ogarnęła go wielka trwoga. Biada mu, jeśli go odkryją — śmierć jego byłaby nieuniknioną.

Posunął się jeszcze głębiej aż pod ścianę, przy tem jednak mimowolnie spowodował cichy szmer. W jednej chwili zerwał się hrabia Sinobrody z siedzenia.

— Co to jest? Podsłuchuje nas ktoś? — zawołał i spojrzał dookoła dzikim wzrokiem.

Walerya wystraszona wstała także. Pobiegła do drzwi i zajrzała do przedpokoju.

— Tutaj nie ma nikogo! — szepnęła drżąc ze strachu.

— Przecież nie omyliłem się! — odparł Sinobrody — ktoś musi tu być w pokoju!

Podszedł do łóżka. Zdawało się, że Hecht już zgubiony.

Rozdział 50.

POWRÓT NA WOLNOŚĆ.

Katynka leżała długi czas nieprzytomna w ponurej piwnicy. Gdy wreszcie przyszła do siebie, ujrzała się sama wśród ciemności grobowych.

Zerwała się z okrzykiem przerażenia z łóżka. W jednej chwili przypomniała sobie straszną walkę z Piotrem. Ten nędznik zamknął ją tutaj, była jego więźniem, bezbronna w jego mocy.

— Boże litościwy, dopomóż mi i ratuj mnie!! — westchnęła rozpaczliwie wśród łez.

Piotr może wnet powrócić, a wtedy — ach! wtedy będzie musiała uledz temu okrutnemu łotrowi. Ogarnęła ją straszna trwoga. Załamywała ręce i jęczała rozpaczliwie:

— Raczej śmierć!

Potem jakiś czas siedziała cicho na łóżku, które tajemniczemu gościowi jej ojca tak długo służyło jako miejsce spoczynku. Lecz Katynka nie wiedziała nic o tem, że tu kiedyś mieszkał jakiś człowiek. Nie zastanawiała się też nad tem, dlaczego w piwnicy znajduje się łóżko, stół i krzesło.

Wtem podniosła głowę i nadsłuchiwała. Ponad nią brzmiały jakieś kroki. Może to jakiś wybawca się zbliża?

Głośno i długo poczęła wołać o pomoc. Lecz widocznie musiała się omylić, gdyż nikt nie dawał odpowiedzi a szmer zaraz ucichł.

Czyż jednak niemożliwem byłoby, żeby się sama uwolniła z więzienia? Poczęła macać rękami w ciemności. Natrafiła na stół a za chwilę wyciągnięte jej ręce napotkały drabinę.

Ostrożnie poczęła się wspinać na górę. Za chwilę uderzyła głową o drzwi — lecz napróżno, rozpaczliwe wysiłki biednej dziewczyny nie odniosły żadnego skutku.

Rozpacz nie do opisania ogarnęła ją. Zlazła na dół, zawlokła się do łoża i złamana zupełnie padła na nie zanosząc się spazmatycznym płaczem. Nikt nie słyszał jej biadania, dookoła niej cicho i martwo jak w grobie.

Wreszcie biedaczka uspokoiła się nieco. Złożyła ręce i szukała pociechy w modlitwie. Wreszcie zmęczona wysiłkiem i płaczem zasnęła.

Następnego dnia zbliżał się ku gospodzie ciężko naładowany wóz. Silne konie z trudnością mogły pociągnąć ciężar po drodze pokrytej śniegiem, dyszały ciężko i były zlane potem, chociaż wiał ostry i mroźny wiatr. Błyszczące łańcuchy uprzęży dźwięczały do taktu, gdy zwierzęta podnosiły i spuszczały głowy.

Obok koni szedł woźnica, odziany w niebieską bluzę płócienną po całym kożuchu. Palił fajkę, od czasu do czasu trzasnął z bicza i zachęcał konie słowami.

Przed "Pełnym dzbanem" stanęły konie same. Była to moc przezwyczajenia, nie mogły ominąć miejsca, w którym zawsze odpoczywały. Gdy ostatni raz tędy przechodziły, gospoda jeszcze stała.

Woźnica popatrzył chwilę na poczerniałe, po części śniegiem pokryte ruiny. Słyszał już o pożarze i ogarnęło go bolesne uczucie na widok smutnych szczątek gospody, do której od szeregu lat chętnie wstępował.

— Tak, tak, Lizo! — westchnął i poklepał po szyi okazałego konia. — Tu już nie będziemy stawać, musimy wytrzymać aż miasta!

Koń wstrząsnął się, obrócił głowę z mądremi oczyma i zdawał się ze zdziwieniem patrzeć na pogorzelisko. Woźnica stał jeszcze ciągle pogrążony w posępnych myślach. Potem wszedł na podwórze, w stajni znalazł jakieś korytko, nasypał do niego owsa i dał koniowi jeść, sam zaś poszedł między zgliszcza.

— Wszystko spalone do szczętu, mówił przytem potrząsając głową. — Biedny Eckhard! Jeszcze i to nieszczęście musiało go spotkać. A Katynka to dobre, kochane dziewczę miało się także podobno spalić. A Boże kochany co za straszne nieszczęście.

Nagle urwał i drgnął gwałtownie. Cóż to było? Pod nogami usłyszał jakiś szmer o po chwili głuchy krzyk.

Przerażony obejrzał się dokoła. Nie, od jego koni głosy te pochodziły, bo one stały spokojnie i jadły. Daleko i szeroko wkoło nie widać było żadnego człowieka. Czyżby duchy i upiory wyprawiały harce w biały dzień na tych ruinach?

W tem znowu zabrzmiał wyraźnie ludzki głos, jakby z pod ziemi pochodzący.

Woźnica stał blady i wystraszony. Szybko jednak ochłonął i poszedł w kierunku, skąd dochodził głos. Za chwilę stanął przed zagłębieniem, pokrytem kamieniami i teraz wyraźnie słyszał pukanie pod swojemi nogami. Jakiś stłumiony głos wołał o pomoc.

Dobrodusznemu, siwobrodemu człowiekowi włosy prawie najeżyły się na głowie. Nie chciał własnym uszom wierzyć. Tutaj, pod szutrem, mieszkał jakiś człowiek, żywcem pogrzebany?

— Boże!— zawołał — Co ja odkryłem?

Ukląkł i począł szybko szperać w rumowisku rękami. Lecz wnet poznał bezcelowość swej czynności. Szybko pobiegł na podwórze, znalazł jakąś szuflę i począł odrzucać szuter na bok. Pracował z gorączkowym pośpiechem a z dołu ciągle słyszał wołanie o pomoc.

Wreszcie odkrył drzwi poziome i szybko odsunął zasuwę. Podniósł drzwi — lecz omało ich napowrót nie opuścił ze zdumienia i przestrachu, gdy ujrzał blade oblicze Katynki. Zdawało mu się, że widzi ducha.

— Boże wszechmocny! — zawołał — Katynka!

Zaraz pochwycił dziewczynę za ręce i wyciągnął ją na górę. Ona padła u nóg jego i wśród łez podziękowała wybawcy. Woźnica począł ją zasypywać pytaniami lecz ona pół omdlała, nie mogąc słowa przemówić.

Woźnica, który nie wiedział w jaki sposób Katynka dostała się do piwnicy i jak długo tam przebywała, nie mógł ochłonąć ze zdumienia. Sądził, że podczas pożaru Katynka skryła się do piwnicy i od tej pory cały czas tam przeżyła, chociaż niepojętnem dlań było, w jaki sposób mogła tak długo przeciągnąć swą egzystencyę.

Widząc, że stan dziewczyny jest chorobliwy i gorączkowy, zaprzestał pytać. Podniósł ją z ziemi i zaniósł na wóz, gdzie zrobił jej posłanie ze słomy i worków i przykrył kocami.

Powrócił po tem jeszcze raz do piwnicy i zlazł po drabinie na dół. Ze zdumieniem rozglądał się do okoła, potem wylazł napowrót na górę i zamknął drzwi.

Po jakimś czasie dotarł do miasta i zatrzymał się przed skromnym zajazdem na przedmieściu. Tutaj zwykł był i ojciec Katynki dawniej wstępować, a zatem znano go tutaj dobrze. Woźnica pomówił z gospodarzem i prosił go, ażeby przyjął dziewczynę do siebie. Gospodarz zgodził się na to bardzo chętnie. Omdlałą dziewczynę zaniesiono do domu, a gospodyni gorąco się nią zajęła.

Wkrótce też wróciła Katynka do przytomności. Ucieszyła się spostrzegłszy znajome twarze i opowiadała gospodyni swoje losy.

— Cóż teraz poczniesz, kochane moje dziecko? — zapytała poczciwa kobieta, którą do łez wzruszyło nieszczęście biednej dziewczyny. — Ojciec twój jeszcze w więzieniu, gdzież więc się udasz? Zostań u nas aż do czasu, gdy ojciec będzie wolnym!

Katynka przyjęła tę propozycyę ze łzami wdzięczności wśród serdecznych słów podziękowania.

— Chciałabym jednak widzieć się z ojcem —dodała.—Jeszcze dziś pójdę do niego. Chciałabym także przesłać wiadomość narzeczonemu, nie wiem tylko, gdzie on teraz jest.

Będzie można się dowiedzieć — odrzekła gospodyni — Jeżeli chcesz dziś jeszcze odwiedzić ojca, musisz się spieszyć, bo już wnet wieczór zapada.

Katynka zaraz wybrała się w drogę. Lecz już poczęło się ściemniać, gdy przybyła do pałacu sprawiedliwości. Według przepisu kazała się zameldować sędziemu śledczemu.

Sędzia miał już wychodzić z biura, kazał jednak służącemu wprowadzić Katynkę. Wysłuchał łaskawie trwożliwie wypowiedzianej jej prośby, a potem odrzekł z uprzejmością, która aż zdziwiła dziewczynę:

— Dziś już zapóźno. Lecz proszę przyjść jutro. Chciałbym pani dać jeszcze jedną radę: proszę pójść do komisarza Wintera, on pani powie coś na korzyść jej ojca.

— Winter? — powtórzyła dziewczyna zdumiona dźwiękiem tego nazwiska. Nie przeczuwała nawet, że sędzia miał na myśli jej narzeczonego.

—Tak! — odparł sędzia. — Znajdzie go pani jeszcze w gmachu policyi. Proszę tylko tam zapytać, zaprowadzą panią zaraz do niego.

Katynka udała się do gmachu policyi, była bowiem niezmiernie ciekawą, co się stało, co korzystnie wpływa na sprawę ojca.

Winter nic nie przeczuwając siedział w swem biurze. Dzisiaj nie był jeszcze u Eckharda, chciał bowiem wstrzymać się z tem do jutra, aż sędzia śledczy przesłucha służącą.

Zaświecił lampę i siedział przy biurku, pogrążony w myślach.

Wtem wszedł jeden z urzędników i zawiadomił go o przybyciu Katynki. Winter niezmiernie zdumiony i uradowany zerwał się z krzesła, nie chciał własnym oczom wierzyć gdy dziewczyna stanęła przed nim.

— Katynka? Jakże to być może? To ty jesteś naprawdę? — zawołał radośnie i przycisnął ją do swej piersi.

Ona bez słowa spoczywała w jego objęciu przejęta radością i zdumieniem. Teraz dopiero poznała jego tajemnicę. Do tej chwili nie wiedziała, czem jest naprawdę jej narzeczony, a i teraz nie mogła tego odrazu pojąć.

Winter posadził ją na sofie i usiadł obok niej. Rozpoczęła się żywa rozmowa złożona z szybkich pytań i odpowiedzi. W krótkim czasie poznał Winter wszystkie cierpienia, które Katynka w międzyczasie przebyła. Okropny gniew i oburzenie ogarnęły go na hrabiego Sinobrodego, a szczególniej na tegoż sługę, Piotra.

Począł pocieszać i uspakajać dziewczynę, która łkając, zwierzała mu się ze swych cierpień.

— Biada obu tym łotrom! — zawołał płonąc cały gniewem. — Odpokutują oni gorzko za swe zbrodnie. Hrabiego Sinobrodego nie mogę jeszcze niestety postawić w stan oskarżenia. Mam powody do tego, by jeszcze oszczędzać. Ale Piotr, ten nędznik, musi otrzymać zasłużoną karę. On jest mordercą barona Jakóba, zdobyłem nareszcie na to dowody. Niewinność twego ojca jest teraz jakby już udowodnioną. Juże będziemy już mogli zabrać go ze sobą z więtro oboje pójdziemy do niego i spodziewam się, zienia. Będziesz miała napowrót swego ojca!

Rozdział 51.

Z MIEJSCA STRACENIA NA TRON KSIĄŻĘCY.

Jussuf, narzeczony Delii pędził jak wicher wśród jasnej, księżycowej nocy. Od jego szybkości był zawisłym los Agaty. Wiedział o tem i dlatego nie chciał nawet tracić czasu na wzięcie świeżego konia ze stajni.

Nie przeczuwał, że rywalka Delii, podsłuchała jego rozmowę z nią i wszystko zdradziła Już godzinę prawie pędził w pełnym galopie przez równinę, gdy nagle do uszu jego doszedł słaby huk, podobny do wystrzału w znacznej odległości.

W jednej chwili wstrzymał konia i obejrzał się. Ku wielkiemu swemu przerażeniu spostrzegł, że go ścigano. Przy świetle księżyca widział wyraźnie w oddali oddział jeźdźców, który był wprawdzie daleko, z tyłu, lecz z każdą chwilą coraz bardziej się do niego zbliżał.

Trzeba było pospieszyć dobywając ostatnich sił z konia. Wspił więc rumaka ostrogami i pomknął dalej jak strzała. Wjechał w gąszcze, które zakryły go przed oczyma ścigających. Potem jechał przez wąwozy między niebotycznemi górami, okrytemi lasami.

Przyroda stawała się coraz dzikszą, rwące potoki spadały ze stromych skał, a koń z trudem przebywał płynące wody.

Wkrótce zwierzę poczęło gwałtownie opadać z sił, a bieg jego stawał się coraz powolniejszy. Jussuf popędzał je rozpaczliwie do pospiechu.

W pobliżu, na brzegu palmowego lasu, ujrzał ponurą budowę na pół zawalonej świątyni. Znał dobrze te od setek lat opuszczone ruiny i spodziewał się, że będzie mógł się w nich ukryć.

Przed świątynią zmęczony jego koń padł na ziemię. Jussuf bojaźliwie spojrzeł w tył na góry, czy stamtąd nie nadchodzą już nieprzyjaciele. Szybko wciągnął ze sobą konia przez otwartą bramę do wnętrza świątyni. Światło księżyca dochodziło do środka przez liczne szpary i dziury w ścianach i dachu. Jussuf poszukał sobie schronienie w najgłębszym kącie.

Chwilę panowała dokoła niego grobowa cisza. Koń jego padł na środku świątyni na kamienne płyty, między któremi wyrosła wysoka trawa. Jussuf przykucnął nieruchomo na ramionach olbrzymiego posągu bożka, z czarnego marmuru. Z trudem wielkim zdołał się na niego wdrapać i ukryć za ogromną głową bożka. W prawej ręce ściskał pistolet, wszystkie jego

nerwy były gorączkowo podniecone.

Wtem jakiś szmer, jakby trzask łamanych suchych gałęzi doszedł do jego uszu z zewnątrz. Wejście zaciemniło się, następnie ukazało się w niem olbrzymie cielsko które coraz bardziej się zbliżało. Okropny strach ogarnął młodego Indyanina W jasnem świetle księżyca rozpoznał zarysy potężnego tygrysa. Oczy drapieżnego zwierzęcia, błyskały w ciemności jakby płomyki.

Zwęszyło zdobycz.

Koń także spostrzegł strasznego nieprzyjaciela. Zerwał się w jednej chwili i zarżał przeraźliwie. Wtem straszny ryk wstrząsnął powietrzem, tygrys jednym skokiem rzucił się na swą ofiarę, chwytając ją zębami za szyję. Koń padł w jednej chwili na ziemię.

Znowu zrobiło się cicho w świątyni. Od czasu do czasu słychać było tylko głuchy pomruk tygrysa, chrzęst kości, które tygrys miażdżył w łapach. Jussuf nie ruszał się. Z nieopisaną, bezsilną wściekłością patrzył na drapieżnika, który nie pozwalał sobie przeszkadać w uczcie.

Młody Indyanin był w rozpaczy. Gdyby nawet ścigający stracili jego ślad, a tygrys się oddalił nie wiele mu to pomoże. W jaki sposób spełni teraz swoje posłannictwo? Bez konia przybędzie do księcia dopiero wtedy, gdy już będzie zapóźno, gdy już nie będzie czasu na ratunek Agaty.

Wtem podniósł głowę i wytężył uważnie słuch. Usłyszał tętent kopyt końskich, oddział jeźdźców zbliżał się do świątyni. Nowa troska go opanowała gdyż mogli to być tylko jego prze śladowcy. Pełen niepokoju i strachu, oczekiwał przybycia pościgu.

Rozległy się donośne głosy. Potem dwóch ludzi stanęło w bramie. Jussuf widział ich broń połyskującą w świetle księżyca i zrozumiał ich słowa. Spodziewali się, że on tu się ukrył i chcieli go szukać.

Nie przeczuwając nieszczęścia, postąpili parę kroków w głąb świątyni. Wtem spostrzegli tygrysa, kóry przkucnął cicho na zwłokach konia i sposobił się do skoku na nieproszonych gości.

Zabrzmiały okrzyki przerażenia, obaj skoczyli w tył, lecz z dworu pakowali się już inni zamknęli wejście. Zabrzmiało kilka strzałów, a odpowiedział im straszny ryk i w tej samej chwili, skoczył tygrys w sam środek gromady.

Dwóch ludzi padło pod nim odrazu, inni z okropnym krzykem rozpierzchli się na wszystkie strony i chowali się po ciemnych kątach.

Chwile tylko stał straszny zwierz nad leżącymi na ziemi nieprzyjaciółmi. Powtórny ryk wtrząsnął powietrzem, odbijając się od murów świątyni. Oczy tygrysa błyszczały w ciemności, jak dwie gwiazdy, ogonem bił w ziemię i szukał nowej ofiary.

Lecz tymczasem wojownicy ochłonęli ze strachu i dali salwę do tygrysa. Z grzmotem strzałów zmieszał się wściekły ryk zwierzęcia, który zrobiwszy potężny skok, zniknął zewnątrz w gęstwinie.

Jussuf nie czekał końca tej walki. Ześliznął się z głowy bożka i niepostrzeżenie wymknął się przez wyłom w murze. Przytuliwszy się do muru, czekał małą chwilę. I tutaj na dworze powstało zamieszanie między wojownikami, którzy zostali przy koniach Konie zwietrzyły tygrysa, a jego ryk i odgłosy strzałów spłoszyły je. Poczęły się rwać i uciekać.

Jeden z koni, wspaniały arab, pędził akuratnie tamtędy, gdzie stał ukryty Jussuf. Młody Indyanin wyskoczył jak błyskawica i rzucił się do konia. Chwycił za cugle i żelazną pięścią zmusił rozhukanego rumaka do stania. Za chwilę siedział już na siodle i pędził w pełnym galopie.

Przerażony koń pędził z nim jak wicher przez las. W krótkim czasie zostawił świątynię daleko za sobą. Ścigających już nie widział za sobą.

Gdy dzień zaświtał, ujrzał Jussuf przed sobą wieś, leżącą pośrodku kwitnącej równiny. Był to najwyższy czas, żeby stanął we wsi, gdyż koń jego z trudnością go już dźwigał.

Jechał wolno wzdłuż ulicy, między ubogiemi chatami, a ludzie gromadnie wychodzili z domów i z podziwem nań patrzyli, gdyż bogaty jego strój zdradzał, że należy do świty księcia.

Jussuf podjechał aż pod dom wiejskiego sędziego, młodego jeszcze człowieka, który skwapliwie wybiegł na przeciw niego i w uniżonych słowach zapytał, czego sobie życzy.

— Dajcie mi innego konia, ale śpieszcie się — zawołał Jussuf rozkazująco — mam ważną wiadomość dla księcia.

— Zaraz panie — odparł sędzia usłużnie, zawołał niewolnika i kazał osiodłać dwa konie. — Ja pojadę z tobą panie — dodał — książę znajduje się niedaleko stąd wraz ze swym myśliwskim oddziałem. Zaprowadzę cię do niego.

Jussuf ucieszył się niezmiernie i serdecznie dziękował. Wypiwszy podany sobie napój, wsiadł na konia i razem ze sędzią pocwałowali do lasu. Zdaleka już zobaczył Jussuf namioty książęcego obozu, a gdy tam ze swym towarzyszem przybył, miał właśnie książę wraz myśli-

wymi wsiadać na konie.

Na widok Jussufa, złe przeczucie ogarnęło księcia.

—Czego chcesz? Po co tu przybyłeś — zapytał.

—O panie — zawołał Jussuf padając przed władcą na ziemię — posyła mnie twoja niewolnica Delia bym ci doniósł, że jej pani znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie. Księżna zagraża jej życiu.

Następnie w krótkich słowach opowiedział ci usłyszał od Delii. Książę zbladł z gniewu i strachu. Szybko zebrał koło siebie swój orszak i w kilka minutach wszystko już było na koniach.

— Jedź wolno za nami — rzekł książę do Jussufa, twa wierność będzie według zasługi nagrodzoną.

I pomknął na czele orszaku. Po długiej i szalonej jeździe wynurzyły się wreszcie przed nimi mury i wieże rezydencyi. Gdy książę na czele oddziału skręcał od muru miejskiego w kierunku miejsca stracenia, okazał się oczom jego widok, który mu ściął krew w żyłach.

Przed nim wznosiły się dwa stosy z nieszczęśliwemi ofiarami. Dokoła cisnęły się rozfanatyzowane tłumy. Już języki płomienne strzeliły do góry, jeszcze parę minut a byłoby już zapóźno.

Na chwilę tylko przystanął książę, na ten groźny widok, potem dobył szabli i na czele swej wiernej drużyny skoczył w środek tłumów. Z okropnym okrzykiem rozpierzchła się tłuszcza a księżnę i jej otoczenie ogarnął strach. Kapłani i dworacy poczęli uciekać, a wojownicy na widok księcia padli w proch. Niewolnicy, którzy z zapalonym łuczywem stali przy stosach, padli pod uderzeniem mieczów. Wszystko co stało oddziałowi książęcemu na drodze, było bez miłosierdzia tratowane. Krzyki i jęki rozbrzmiewały w powietrzu. Książę zeskoczył z konia i własną ręką rozrzucał płonące kawałki drzewa. Setki rąk pomogło mu w gaszeniu ognia. Potem wszedł książę na stos i odwiązał Agatę od słupa. Wziął omdlałą na ręce, zniósł ją na dół, i powierzył pieczy kilku kobiet.

Delię także uwolniono zaraz z jej strasznego położenia. Gdy się teraz książę oglądnął za swą demoniczną żoną, już jej nie było, wspaniały fotel tronowy i trybunał były próżne. W oddali widać było księżnę, której zemsta w ostatniej już chwili została udaremnioną, uciekającą w towarzystwie kilku wiernych dworaków. Niedługo znikła po za murem miejskim.

Agata po niejakim czasie odzyskała przytomność. Jakby ze snu obudzona, spojrzała dokoła siebie, nie mogąc pojąć swego ocalenia. Potem padła przed księciem na kolana i ze łzami wdzięczności w oczach dziękowała mu za ratunek. On podniósł ją i przycisnął do swej piersi.

— Allah niech będzie pochwalony — szepnął wzruszony — przyszedłem w sam czas. A na śmiałkach, którzy się dopuścili takiej zbrodni na tobie, straszliwie się zemszczę.

Agata szlochała w jego ramionach. Serce jej przepełnione było wdzięcznością dla tego szlachetnego człowieka, który ją ocalił od najstraszniejszej śmierci.

— O, Boże, jakże ja ci wynagrodzę, mój książę, coś dla mnie uczynił — rzekła ty mnie ochraniasz, działając wbrew woli całego ludu, który pragnie mej śmierci.

— Uczynię coś więcej jeszcze — zawołał głośno książę. — Wyniosę cię na tron swój jako swą żonę.

Agata chciała mu na to coś odpowiedzieć, lecz on zatrzymał ją gwałtownym ruchem ręki.

— Teraz już nie możesz się wzbraniać, gdyż ocaliłem ci życie, jutro obchodzimy uroczystość naszych zaślubin.

Znowu owładnęła ją niemoc, Zaniesiono ją wraz z Delią do powozu księżnej i powieziono z powrotem do pałacu. Lecz tam popadła Agata w silną gorączkę, a książę ku wielkiemu swemu zmartwieniu musiał odłożyć na później, już zapowiedzianą uroczystość.

Miał też dużo do roboty, by stłumić bunt wywołany przez jego żonę i kapłanów. Księżna uciekła szczęśliwie i schroniła się do swego ojca, ponującego w sąsiedniem państwie. Zawisła groza wojny, książę popadł w przykre położenie. Mimo tego jednak nie myślał nawet ofiarować Agatę i upokorzyć się przed swą własną żoną.

Pewnego dnia, gdy Agata już czuła się nieco zdrowszą przyszedł do niej książę i zawiadomił ją, że w najbliższych dniach odbędą się ich zaślubiny.

— Spodziewam się, że już nie będziesz się dłużej wbraniać zostać mają żoną — dodał — tak długo przecież czekałem cierpliwie na twoją decyzyę, a powinnaś wreszcie przyjść do przekonania, że musisz poddać się konieczności.

Mówił łagodnie i pieszczotliwie jak wykle, mimo tego jednak w jego głosie przebijała się niezłomna stanowczość. Agata była bezradną.

Co ma mu odpowiedzieć? Nie mogła przecież pod żadnym warunkiem zgodzić się na to małżeństwo.

— Mój książę — rzekła ze łzami — błagam cię, nie zmuszaj mnie do tego kroku. Nieraz mi udowodniłeś jak szlachetne posiadasz serce. Zlituj się nad moją niedolą. Masz wprawdzie jak największe prawa do mej wdzięczności i gdybym w domu nie miała męża, którego kocham nadewszystko, bez wahania zostałabym twoją. Lecz jak długo żyje mój mąż, nie wolno mi zawierać nowego małżeństwa.

— Uważaj swego męża za umarłego — odparł książę — z trudem ukrywając niezadowolenie — nigdy go bowiem nie zobaczysz.

Agata oddychała ciężko. Widziała że namiętny ten człowiek nie wróci jej nigdy wolności, że wola jego jest żelazną.

— Ale ja mam także dziecko w domu — szeptała drżącemi ustami. — Czyż i mego dziecka nie mam nigdy zobaczyć?

— Pociesz się, najmilsza, otrzymasz swoje dziecko z powrotem. Oboje pojedziemy do twej ojczyzny i odszukamy dziecko.

Słaby promyk nadziei rozjaśnił smętne myśli Agaty. Chce z nią jechać do ojczyzny? O, tam znajdzie schronienie u swego męża. Żeby tylko raz już stanęła na ojczystej ziemi, wtedy wszystkie męki się skończą.

— Jeśli mi to przyrzekasz, książę, poddam się twej woli, odparła szybko.

— Przyrzekam ci to — rzekł poważnie — skoro tylko przywrócę zupełny spokój w swem państwie, wybierzemy się w podróż do twej ojczyzny.

Agata była tak wyczerpaną z powodu męczącego udręczenia, że niebawem wpadła bezsilna w ramiona księcia. On pieszczotliwie ją całował i położył na kanapie. Potem skinął na Delię, siedzącą nieruchomo w głębi komnaty i wyszedł.

W parę tygodni później liczni heroldzi ogłosili na ulicach miasta, że książę zaślubia "złotowłosą księżniczkę" jak nazywano Agatę. Na uczczenie tego zdarzenia odbędą się wielkie uczty publiczne na koszt księcia.

Wspaniały pałac książęcy, jaśniał wieczorem promieniami niezliczonych świateł. Ze wszystkich stron państwa zebrali się dostojnicy, obszerne komnaty zaledwie mogły pomieścić wielką ilość gości.

W największej i najpiękniejszej sali przygotowano ucztę. W długich migotliwych szeregach zasiedli bogato przyodziani goście przy stołach, zastawionych złotem i srebrnem naczyniem.

Przy wyższym końcu stołu, na dwu tronowych fotelach, zasiadł książę i Agata. W pobliżu nich ugrupowali się najwyżsi dostojnicy i najpiękniejsze kobiety pałacu. Wszystkie jednak pięknością przewyższała Agata.

Niezmiernie powabnie wyglądała ona we wspaniałym wschodnim stroju, którego błyszczący jedwab był bogato wysadzony błyszczącemi kamieniami.

Na dworze pod oknami przegrywała muzyka. Książę promieniał szczęściem, stanął bowiem wreszcie u celu swych życzeń. Piękna cudzoziemka, którą kupił jako niewolnicę, była wreszcie jego. A Agata? Czy ona nie musiała być zadowoloną ze swego losu?

W jej bladej, poważnej i smutnej twarzy nie przebijało szczęście. Poddała się konieczności, nie miała bowiem innej drogi. Gdyby się była ciągle opierała, byłby ją książę ofiarował swym nieprzyjaciołom. Jako jego żona, była bezpieczną przed ich nienawiścią.

Tak myśleli wszyscy obecni, a nikt nie przeczuwał jak blizko znajduje się zguba. Żyła jeszcze odepchnięta i napędzona księżna, która ciągle miała licznych zwolenników w mieście, zwłaszcza między kapłanami, dla których Agata była znienawidzoną.

Przez nikogo nie poznana, jako zwykła kobieta, w skromnym stroju, wśliznęła się księżna do pałacu. Czekał na nią arcykapłan, wtajemniczony w plan zemsty, którą demoniczna kobieta dzisiaj zamierzała wykonać.

W świątyni ukryci za kolosalnemi posągami bożków, czekali kapłani ze swym naczelnikiem. Jeden z członków sprzysiężenia wprowadził księżnę tajemniczemi furtkami i korytarzami, im tylko znanemi. W całej świątyni było ciemno, tylko za ołtarzem paliła się mała lampa której blade światło padało na ciemne oblicza siedzących na ziemi kapłanów.

Gdy księżna weszła w ich koło, pochylono przed nią głowy i przywitano ją błogosławieństwem.

— Moi przyjaciele zaczęła demoniczna kobieta cichym głosem, rzucając ogniste spojrzenia na wszystkich po kolei — jesteście gotowi do dzieła zemsty? Czy wszystko dobrze przygotowaliście?

— Tak — wszystko w porządku! — odrzekł arcykapłan.

— Skoro tylko damy znak, w całem mieście wybuchnie bunt. Sto spiskowców znajduje się w pałacu, wpadną oni do sali w której odbywa się uczta i wszystkich wymordują.

— Nie oszczędzać nawet księcia! — wtrąciła mściwa kobieta.

— On również musi zginąć. Wtedy ja obejmę panowanie w imieniu swego małoletniego syna. — Ach, idą już nasi przyjaciele!

Pojedyńczo weszło ukrytą furtką może dwudziestu uzbrojonych ludzi, okrytych czarnemi, jedwabnemi płaszczami i ustawili się półkolem za kapłanami. Byli to przywódcy spiskowców. Rozpoczęła się krótka cicha narada, potem księżna każdemu wydała rozkazy i wszyscy znowu wyszli.

Chwilę przysłuchiwała się księżna wesołej wrzawie dochodzącej z biesiadniczej sali i dźwiękom muzyki. Na jej pochmurnem obliczu malowała się złość i szyderstwo.

— Wnet umilkną weselne dźwięki a nastąpi przeraźliwy krzyk śmierci! — syknęła przez zaciśnięte usta i pogroziła pięścią. — Mnie odepchnął i wypędził — mnie, swoją żonę, córkę księcia. Zaślepieniec! Przekleństwo na niego i zagłada! Przed jego oczyma zaspokoję swą zemstę na tej czarownicy, która mi zabrała jego serce i która teraz dumna siedzi na tronie obok niego, zająwszy moje miejsce!

Arcykapłan skinął potakująco głową na te przekleństwa.

— Tym razem, zwyciężymy pani! — szepnął z pewnością siebie. — Dlaczego jednak chcesz własną ręką zabić tę nędznicę? Byłoby lepiej, gdybyś ją nam wydała, abyśmy ją wraz z Delią i zdrajcą Jussufem ofiarowali naszym bogom na ołtarzu tej świątyni.

— Z Delią i Jussufem możecie postąpić jak chcecie, lecz ta kobieta do mnie należy! — zawołała oczyma pałającemi nienawiścią. — Chcę żeby umarła w chwili największego swego szczęścia i żeby mój mąż patrzył na jej śmierć, nie mogąc temu zaradzić.

Odwróciła się i skinęła na niewolnicę, siedzącą pod posągiem bożka. Niewolnica zbliżyła się, a księżna wzięła z rąk jej mały pozłacany koszyczek.

— Tutaj mam środek śmiertelny, ten koszyk zawiera śmierć! — uśmiechnęła się z szatańskim tryumfem.

Nie przeczuwając nic złego, weźmie go z moich rąk i otworzy nakrywę.

To mówiąc potrząsnęła lekko ozdobnym koszyczkiem. Ze środka dobył się ostry syk.

— Cierpliwości moje zwierzątko! — zaśmiała się. — Wnet wbijesz swe trujące ząbki w pierś znienawidzonej rywalki. Pomścisz się za mnie na tej, która zburzyła moje szczęście!

Odeszła z koszyczkiem na ramieniu i z głową podniesioną do góry, pewnym krokiem udała się do pałacu

Rozdział 52.

SKARBY NA ZAMKU WILDENFELS.

Gdy hrabia Sinobrody zbliżył się do łóżka, Hecht myślał, że już jest zgubiony. Strach wycisnął mu na czoło zimne krople potu. Sinobrody odchylił kotarę i nachylił się, ale nieznacznie tylko.

W najgłębszym kącie przytulony do ściany, złodziej widział jego ponurą odstraszającą twarz.

Brat Waleryi podniósł się napowrót, nie dostrzegłszy ukrytego łotra.

— Musieliśmy się pomylić! — rzekł. — Albo też była to twoja pokojówka, która chciała się dostać pod drzwi z przedpokoju.

— Nie wiem odparła zaniepokojona Walerya. — Przychodzi mi na myśl Ludwik. Może ten łotr tu się zakradł?

— Ale gdzie mógłby się schować? — rzekł Sinobrody potrząsając głową. — Tutaj w sypialni, go nie ma, a tamte pokoje przeglądałaś i nic nie znalazłaś i zamknęłaś je. Nie mamy czego się obawiać.

W czasie tej rozmowy przechodził Hecht nieopisane męki. Jakby tak przyszło im na myśl poszukać go pod łóżkiem?

Walerya także nie mogła prędko się uspokoić. Chodziła po pokoju i zaglądała jeszcze raz we wszystkie kąty. Przerwanej narady nie prowadzili już dalej. Oboje nie mieli ochoty do tego.

— Pójdę już — rzekł Sinobrody po dłuższem milczeniu. — Pozostaje zatem przy powziętym planie. Gdy tylko ten kryminalnik tutaj przyjdzie, zatrzymaj i zawołaj mnie. Musisz się pozbyć tego niewygodnego małżonka. Ani pies nad tym łotrem nie zaszczeka. Wolałbym co prawda mieć go teraz pod ręką.

Walerya wyprowadziła brata z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Hecht był więc uwięziony. Leżał cicho pod łóżkiem i słuchał.

— No, poczekaj mój skarbie! — mruknął gniewnie.

Teraz znam przynajmniej twoje miłe usposobienie. Lecz nie przyjdzie to wam z taką łatwością. Pokrzyżuję ja wam plany. Żeby mi się tylko udało szczęśliwe stąd wymknąć!

Z westchnieniem ułożył się wygodniej nieco. Pod łóżkiem było bardzo ciasno, z trudnością mógł się tam poruszyć. Musiał jednak wytrzymać.

Minęła godzina, a dookoła było bardzo cicho. Walerya nie wracała. Łotr był coraz niespokojniejszy. Bolały go już wszystkie członki.

jęczał i klął a jednak nie śmiał wyleźć. Nie mógł bowiem wydostać się z pokoju. Jakoż niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze. Walerya przeszukała cały zamek. Może wróci i przeszuka także gruntownie sypialnię. Wtedy niewątpliwe odkryje go, a bardzo wątpliwem byłoby, czyby mu się udało uciec.

Niepokój jego wzrastał. — Nie, — nie może tu dłużej pozostać, byłoby to szaleństwem.

Trzeba uciekać, choćby wyskoczyć miał przez okno.

Już miał wyłazić, gdy wtem usłyszał kroki i drzwi się otworzyły. W jednej chwili był już Hecht przy samej ścianie, pod łóżkiem.

Walerya weszła w towarzystwie pokojówki. Chciała się położyć spać, a pokojówka miała jej pomagać przy rozbieraniu się.

— A więc to pewne, że nieznajomy, który był tu wieczór, wyszedł z zamku? — pytała Walerya usiadłszy przed lustrem.

— Z całą pewnością! Lokaj powiedział, że gdy wszedł do salonu, by go wyprowadzić, już go tam nie było.

Walerya nic na to nie powiedziała. Pokojówka rozebrała ją i rozplotła jej włosy. Potem podała jej koronkowy negliż.

— Czy jestem jeszcze potrzebna? — zapytała.

— Nie, możesz iść spać.

Pokojówka wyszła, a Walerya została sama ze swym mężem.

Gdy zajęta była nocną toaletą, Hecht wysunął się trochę bliżej. Wystawił nieco głowę z pod łóżka i pożądliwym wzrokiem patrzył, jak Walerya się rozbierała, aż wreszcie ukazała mu się w całkowitej ponętnej nagości. Atoli nocna koszula zakryła mu zaraz ten piękny widok. Mimo tego jednak tyle jeszcze pozostawało mu do podziwiania, że nerwy jego były do najwyższego stopnia podrażnione.

Szalona myśl przyszła mu do głowy. Możeby tak spędzić tę noc z Waleryą? Czyż nie była jego żoną? Czy nie miał prawa do tego?

Istotnie, lecz sprawa ta była dlań zanadto niebezpieczną. Wszystko przez to ryzykował i mógł nawet nie dopiąć celu. Walerya mogła narobić hałasu, zbiegnie się służba i jako złodzieja oddadzą go w ręce policyi.

Krew rozgrzała mu się w żyłach, niezmierna żądza odbierała mu rozsądek. Był sam z tą piękną kobietą, uposażoną we wszystkie powaby, mogące rozpalić mężczyznę do szaleństwa. A kobieta ta była nadto jego żoną. Prawda — należała do niego, według prawa i on nie miałby się odważyć na skorzystanie z przysługujących mu praw małżonka? Czy to nie śmieszne?

Ogarnęła go cicha wściekłość. Przyszła mu ochota wyskoczyć i chwycić ją w swoje ramiona i z trudnością tylko się pohamował. Widział jak Walerya skończyła przed lustrem swą toaletę Oczy płonęły mu ogniem szalonej namiętności.

Uwagi jego nie uszło żadne jej poruszenie.

Potem Walerya zbliżyła się do łóżka i położyła się. Nie przeczuwając nic złego, zamknęła oczy. W sypialni panowała cisza. Hecht nie ruszał się.

Upłynęła godzina. spokojny regularny oddech Waleryi zdradzał, że już mocno zasnęła. Wtedy wylazł wreszcie Hecht z pod łóżka i ostrożnie się podniósł.

Lampa rzucała różowe światło na śnieżno białe poduszki i na leżącą na nich kobietę. Kołdra do połowy z niej opadła, koszula się otworzyła, ukazując piękną niby z marmuru wykutą pierś.

Hecht wahał się jeszcze i patrzył na nią z góry, dysząc ciężko.

Od śpiącej szła woń, która mu zmysły oszołomiła.

Nagle śpiąca poruszyła się, może przeczuwała prze sen obecność męża?

Negliż zesunął się jeszcze głębiej, ukazując pałającemu namiętnością Hechtowi nowe powaby. Nie mógł już dłużej panować nad sobą. Jednym ruchem zerwał z niej kołdrę. Walerya, gdy ręce jego dotknęły się jej ciała, otworzyła oczy.

Przerażenie obezwładniło ją w pierwszej chwili, lecz potem podniosła się, płonąc gniewem:

— Ha łotrze! To ty jesteś — zawołała — szaleńcze precz, na pomoc — ratujcie!

Krzyk jej stłumił Hecht, zakrywając jej usta ręką. Walerya wściekła poczęła się rozpaczliwie bronić. Atoli on, śmiejąc się szyderczo, rzucił ją napowrót na poduszki i objął z dziką namiętnością.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Było już po północy gdy Hecht wyszedł z zamku. Walerya nie miała odwagi robić wrzawy i kazać go ścigać. Tak więc swobodnie wyszedł na ulicę i z szyderskim uśmiechem spojrzał jeszcze raz na okna sypialni.

Szybkim krokiem udał się do miasta i wszedł do hotelu, w którym mieszkał pod przybranym nazwiskiem. Radość z powodu udania się spełnionego gwałtu, rozsadzała pierś jego. Była to awantura, której ani on, a z pewnością i Walerya, nigdy nie zapomni.

Co prawda, teraz tem bardziej należało mu

się obawiać zemsty. Nienawiść jej do niego doszła do najwyższego punktu. Wiedział, że teraz musi unikać spotkania się z nią, przynajmniej na razie. Nie mniej jednak należało mu się strzedz jej brata, hrabiego Sinobrodego.

Długo jeszcze siedział w swóim pokoju, rozmyślając co należy mu w przyszłości począć. Potrzebował gwałtownie pieniędzy, albowiem środki jego wyczerpały się już zupełnie. Od Waleryi nie mógł teraz nic wymusić, chociażby z tego względu że zanim zostanie żoną hrabiego nie rozporządza zbyt wielką sumą. A mogłoby to długo potrwać, zanim ona dojdzie do upragnionego celu. A z czego on teraz żyć będzie przez tak długi czas?

— Do kata! W ładną dostałem się pułapkę — mruczał zły. A przytem muszę się mieć na baczności przed policyą. Zdaje się, że mnie poznał we wsi ten komisarz Winter, bo w przeciwnym razie nie zasiągałby wiadomości u murarza Krebsa! Zamyślił się.

— Do dyabła — zawołał nagle — osioł ze mnie. Daremnie łamię sobie głowę. Skarby na zamku Wildenfels dla mnie przygotowane. Że też o tem nie myślałem! Zaraz jutro pójdę po miliony hrabiego Harolda.

Następnego dnia opuścił gospodę. Przybrał naturalnie nowe przebranie. W innej gospodzie — w odległej dzielnicy, zamieszkał znowu pod innem imieniem. Sądził, że w ten sposób zatarł wszelki ślad. Udał się następnie do znanego w świecie złodziejskim tandeciarza i zakupił u niego masę narzędzi złodziejskich.

Niedługo popołudniu był w pobliżu zamku Wildenfels. Powietrze było zimne i deszczowe. Wnet się też ściemniło.

Niespostrzeżenie dostał się Ludwik Hecht na dziedziniec zamkowy, otworzywszy witrychem ową małą furtkę, którą się już i Winter przedostał. Rozglądał się badawczo. Nikogo nie było, w oknach było ciemno, bo w tym skrzydle zamku nikt nie mieszkał.

Na chybił — trafił, szedł rzezimieszek dalej. Pierwszy raz był w tym zamku, nie znał go. Znalazł jednak wieżę podług opisu murarza. Szukał za furtką daremnie, wieża od dziedzińca nie posiadała wejścia.

Sprawa nastręczała więc trudności. Musiał najpierw dostać się do skrzydła, połączonego z tą wieżą. Wejście tu było otwarte, w ciemności cichaczem począł wchodzć po schodach.

Nikogo nie spotkał. Wszędzie grobowa cisza. Na drugiem piątrze skierował swe kroki na prawo, gdzie leżała wieża. Z kieszeni płaszcza wyjął latarnię i zaświecił

Stał przed zamkniętemi drzwiami. Otworzył je za pomocą witrychu, prowadziły do wielkiego, ciemnego pokoju.

Ludwik Hecht wszedł i zamknął za sobą drzwi. Szeregiem wielkich pokoi dostał się do sieni, skąd w górę prowadziły schody. Nie było jednak wejścia do wieży.

— Do stu dyabłów, chyba źle idę.

Szybko wrócił gnany trwogą, że może nie znajdzie drogi. Wrócił na podwórze w końcu. Nie, dobrze szedł, nie mylił się. Jeszcze raz przeszukał podwórze, czy nie znajdzie tu wejścia do wieży i znowu podążył na górę.

Przeszedł jeszcze raz wszystkie pokoje. Stracił już prawie dwie godziny czasu, otwierając drzwi witrychem. Nagle przystanął zdjęty straszną trwogą, bo wyraźnie usłyszał w tylnych pokojach zbliżające się kroki. Czy go widziano? Kto się zbliżał? Hrabia Sinobrody?

Kroki zbliżały się. Hecht był w ostatnim pokoju. Mógł się schronić tylko na schody.

Szybko wszedł do sieni i cicho zamknął za sobą. drzwi. Kroków słychać już nie było w pokoju, któr właśnie opuścił. Tu na schodach nie mógł zostać, postanowił wejść na górę.

Zaledwie był na schodach, usłyszał już za sobą kroki. Uciekał w górę musiał jednak zgasił latarnię, by go nie zdradziła. Potknął się w ciemności i uderzył silnie głową o mur.

To go zdradziło. Szorstki głos z dołu zawołał:

— Kto tam? gadaj do dyabła!

Hecht nic nie odpowiedział, lecz szybko pośpieszył w długi ciemny korytarz. Poznał głos, był to Sinobrody. Słyszał też, że ten go ściga, słyszał jego przekleństwa i złorzeczenia.

Ludwik Hecht biegł zadyszany dalej. Gdzie się skryje? Był na końcu korytarza, a drzwi tu były zamknięte. Na drugim końcu korytarza zabłysło światło. To Sinobrody — z rewolwerem w ręku. Nie mógł Hechta jeszcze widzieć, który tymczasem gorączkowo pracował około zamku w drzwiach. Ręce mu drżały, niebezpieczeństwo było groźne, bo za chwilę dosięgnie go Sinobrody.

Aż tu — w chwili najkrytyczniejszej — udało mu się nareszcie otworzyć drzwi witrychem. Natychmiast skoczył za drzwi i zatrzasnął za sobą.

— Stój — zawołał Sinobrody — stój, łotrze!

Padł strzał, kula jednak utkwiła w drzewie.

Ludwik Hecht odetchnął. Szybko zasunął rygiel; już stał Sinobrody pod drzwiami, starając się je wyważyć.

Hecht nie mógł tu długo zostać. Zaświecił latarnię i udał się dalej, zamykając za sobą wszystkie drzwi. Nie mógł pojąć, czego tu hrabia Sinobrody szuka. Czy może także skarbów?

Zatrzymał się wreszcie w pokoju, gdzie czuł się bezpieczniejszym. Tu długo nie został. Sinobrody się nie zbliżał, albo zaniedbał dalszej pogoni, albo szuka za nim gdzieindziej. Nie wierzył, by go Sinobrody poznał, bo nigdy go dawniej nie widział, a poznać go na podstawie opisu Waleryi, nie było rzeczą tak łatwą.

Dopiero o północy zabrał się Hecht znowu do roboty ze zdwojoną ostrożnością, bojąc się pogoni.

Na dworze szalała gwałtowna burza, deszcz, uderzał o szyby okien. W pustych korytarzach zawodził żałośnie wiatr, a wtórowało mu przeraźliwe echo, tak, że nawet Hechta wziął strach, jakby tu duchy wyprawiały harce.

Znalazł wejście do wieży tym razem. Na trzeciem piątrze, w krótkim korytarzu, otworzył z niemałym trudem drzwi i stanął przed ciemną otchłanią. Wzmocnił światło w latarni i spostrzegł wązkie schody żelazne.

Zszedł po nich na drugie piętro. Chyba tu jest owa izba, którą mi wskazał murarz. Schody prowadziły jeszcze dalej w dół i były potem szersze i z kamienia.

Odrazu wyszukał Hecht drzwi w dole prowadzące do bocznego skrzydła zamku. Tędy mógł się potem oddalić.

Nareszcie znalazł miejsce, gdzie przed 10 laty hr. Wildenfels, ukrył swe ogromne skarby. W złotych ramach, ponuro i groźnie patrzał na zuchwałego rabusia.

Szybko przystąpił Hecht do obrazu. Drżał cały na myśl o bogactwach, które leżały tam za murem. Ręce jego dotknęły się ramy obrazu. Znalazł wystającą gałkę, nacisnął ją silnie i jak by zaklęty, począł się obraz podnosić w górę.

Ludwik Hecht podskoczył z radości. Nie wierzył dotychczas, że mu się uda ta wyprawa. Przekonał się jednak, że murarz prawdę mówił.

Za obrazem była głęboka nyża i drzwi żelazne. Hecht zbadał zamek i zabrał się do roboty przy pomocy swych narzędzi. Długo daremnie się silił. Żaden witrych nie chciał mu drzwi otworzyć. A tu za niemi leżały miliony, jakby dla niego przygotowane.

Wściekły gniew go zdjął. Bezsilny bił pięścią w żelazne podwoje. Uderzenie było silne i trafiło właśnie na guzik, znajdujący się na gładkiej powierzchni żelaza.

Nie zważał już Hecht na ból w ręku, bo jak za dotknięciem czarodziejskiej ręki — drzwi się otwarły.

Przypadkiem więc odkrył tajemnicę w jaki sposób można drzwi otworzyć.

Jeszcze jedno uderzenie i drzwi stały zupełnie otwarte. Wązka przestrzeń leżała za niemi — a w niej znajdowała się kolosalna, żelazna kasa pieniężna.

Sięgnął znowu po swe narzędzia. Z kasami umiał się obchodzić z doświadczenia. Lecz daremnie, mimo półgodzinnej pracy, nie udało mu się otworzyć kasy, była ona inaczej skonstruowaną, jak zwykłe.

Nareszcie, po wielkich wysiłkach, drzwi, się otwarły. Lecz sprawa nie była jeszcze wygraną. Pozostawały drugie drzwi, zaopatrzone w trzy silne zamki. Kosztowało go to znowu niemało trudu, aż nareszcie i te drzwi otwarły mu witrychy i klucze.

Rozbił w końcu także — po dwu godzinnej pracy — i pojedyncze fachy. Tak murarz prawdę mówił. Tu leżały ukryte olbrzymie skarby.

Na jednej półce leżały kosztowne klejnoty rodziny Wildenfels. W innych pieniądze w rulonach. Jeden rulon otworzył Ludwik Hecht, zawierał tylko monety po 20 marek, jeszcze nowe, błyszczące jakby dopiero co bite.

Dziurkówna Sinobrody 134

Na widok tych skarbów ogarnęła rabusia gorączkowa radość. Przeszukał inne półki. Tu leżały w paczkach starannie opakowanych setki banknotów po 1000 marek. Przeliczył je, paczek było tylko dwadzieścia a każda zawierała sto sztuk banknotów. Więc w jednej pułce leżało gotówki dwa miliony.

Hecht nie mógł wprost pojąć swego szczęścia.

Dwa miliony! A ponadto złoto, brylanty i inne kosztowności. Tych wartość wynosiła co najmniej dwa także miliony. I to nie wszystko. Tu leżały papiery wartościowe, tu jeszcze złoto i osobna półka banknotów stu markowych.

Było tu majątku sześć do ośm milionów. A to wszystko teraz do niego należy. Ludwik Hecht, biedny więzień, jest panem tych bogactw.

Zdawało mu się że traci zmysły. Czy to tylko nie sen? Co pocznie z tymi pieniądzmi?

Należało to wszystko spakować, nie wolno tracić czasu. Wyjął z płaszcza wielką torbę skórzaną i sięgnął do półki, gdzie leżały banknoty 1000 markowe.

Wtem — co to? Trzy głuche uderzenia ozwały się wśród ciszy. To zegar wieżowy wybił godzinę. Hecht nadsłuchiwał, zdawało mu się, że słyszy i inny szelest. Czy to nie kroki tam na schodach?

Tak, słyszy wyraźnie. Kroki zbliżają się.

zatrzymują się przed drzwiami, w zamku obraca się klucz...

Rozpacz i strach ogarnęły rabusia. Wszystko więc stracone! Nieruchomo wpatrywał się w drzwi. Otworzą się za chwilę. Kto to? Chyba tylko hrabia Sinobrody!

Co uczynić? Czy ma się zrzec swych bogactw i umknąć? Lecz o ucieczce nie było mowy. Z pokoju tylko prowadziło jedno wyjście. Lecz może Sinobrody nie zna jeszcze tajemnicy obrazu. Wtedy jeszcze sprawa wygrana!

Nacisnął guzik i obraz powrócił w swe dawne położenie. Zaledwie się to stało, usłyszał w swej kryjówce, jak drzwi się otwarły. Przybyły zbliżył się wprost do obrazu.

Straszne było położenie Hechta, ukrytego za obrazem. Więc Sinobody zna tajemnicę tych skarbów, za chwilę odkryje go. W trwodze cofnął się za żelazne drzwi, które były w tylnej ścianie nyży. Zwolna przymknął te drzwi, — ostrożnie.

Musiał oprzeć się o kasę, bo przestrzeń między kasą a drzwiami była bardzo wązką.

Wstrzymał oddech i nadsłuchiwał. I rzeczywiście — obraz podnosił się — słyszał to wyraźnie. Pod Hechtem uginały się kolana. Trwoga jego nie znała granic. Czy potrafi Sinobrody także otworzyć żelazne drzwi?

Wtem — znowu ozwały się kroki — przygłuszone, niewyraźne, jakby zbliżały się dopiero po schodach.

Ludwik Hecht usłyszał okrzyk przestrachu z piersi człowieka, stojącego przed drzwiami żelaznemi. Zdaje się bał się, by go nie odkryto. Szybko oddalił się. Kroki jego umilkły. Znowu grobowa cisza.

Co to znaczy? Czy to może nie Sinobrody, który go przedtem tak przestraszył? Musiał to być kto inny, może murarz, który sam dostał ochotę na skarby hrabiego Haralda. Spłoszyły go kroki po schodach — prawdopodobnie kroki Sinobrodego.

Lecz obojętne to teraz, skoro niebezpieczeństwo minęło. W pokoju panowała cisza.

— Naprzód więc, bez strachu! — pomyślał Hecht.

Nacisnął żelazne drzwi — daremnie, nie otwarły się. Na nic nie zdały się jego wysiłki. Kasa z pieniądzmi które chciał zrabować, stała się dla niego więzieniem.

To chyba niemożliwe! Macał drzwi ze wszystkich stron, badał je uważnie. Daremnie. Nigdzie nie znalazł tajemnej sprężyny. Widocznie drzwi nie otwierały się z wnętrza.

I znowu bił w drzwi, wytężając wszystkie siły, by je otworzyć. Próżna praca. Żywcem był zagrzebany między żelaznemi drzwiami i nyżą.

— Pomocy! — wołał. Na miłość Boską — pomocy!

Nikt go nie słyszał, nikt nie pospieszył z pomocą. W śmiertelnej trwodze próbował znowu, czy mu się nie uda rozbić drzwi.

Wyczerpany na siłach opadł, opierając się o zimne żelazo kasy. Brakło mu oddechu, powietrze było ciężkie w tej wązkiej zamkniętej szczelnie przestrzeni.

Ludwik Hecht był blizkim szału. Więc tu zginąć musi nędznie, przy swych skarbach! Na nic mu się teraz nie zdadzą te miliony. Oddałby je chętnie temu, któryby go ocalił.

Męczarnie jego wzrastały. Jeszcze jeden, rozpaczliwy okrzyk — ostatni, stracił przytomność.

Rozdział 53.

LIST AGATY Z INDYI.

Było to drugiego dnia po ostatniem nocnem zajściu między Waleryą a jej mężem Ludwikiem Hechtem.

Lśniąco biały śnieg pokrywał pola i niwy. Zima w całej pełni. Rzeki i jeziora przez noc pokryły się silną warstwą lodu.

Ogród i park zamku Heiligensee leżały puste. Przed bramą czekały wytworne sanie, zaprzężone w parę pięknych, niecierpliwych koni. Woźnica, okryty cały w szerokim futrze, siedział na koźle; służący w długim palcie, krzątał się około sani.

Nagle nadjechał kłusem jeździec. Był to hrabia Sinobrody. Gdy zobaczył sanie, zatrzymał konia i zsiadł. Z bramy wyszedł służący i chciał wziąść konia.

— Zdaje się, że baronowa chce wyjechać? — spytał Sinobrody.

— Tak jest, panie hrabio! — odpowiedział służący z uszanowaniem, do redydencyi. Czy mam jaśnie pana zameldować?

W tej chwili stanęła w bramie Walerya w wspaniałym, białym stroju futrzanym, za nią mężczyzna również we futrze — na głowie cylinder, był to hrabia Edmund.

Był u Waleryi z wizytą i chciała go teraz odprowadzić do rezydencyi. Na widok swego brata przestraszyła się. Było to jej nie na rękę, że się on tu spotka z Edmundem. Co też Edmund pomyśli?

I hrabia Sinobrody był zdziwiony. Edmund przystanął niechętnie i rzekł szeptem do Waleryi:

— Co? przyjmujesz u siebie hrabiego Wildenfels? Czy łączą cię stosunki z tym osławionym człowiekiem?

— Żadne! — odpowiedziała również szeptem. Hrabia był tu już kilka razy, odprawiałam go zawsze chłodno i stanowczo. Lecz grzeczność wymaga, bym z nim zamieniła kilka słów. Przepraszam, na chwilę tylko, kochany Edmundzie.

Szybko przystąpiła do Sinobrodego, który jej i Edmundowi oddał głęboki ukłon. Hrabia Edmund odpowiedział sztywnie, nie znosił Sinobrodego. Został przy bramie, nie chciał brać udziału w rozmowie.

— Panie hrabio! — rzekła Walerya głośno, tak że ją i służący i hrabia Edmund słyszeli. Załuję, ale nie mogę pana przyjąć.

— Bardzo przepraszam, pani baronowo — rzekł Sinobrody również głośno tonem zupełnie obcego. Pani pozwili że się oddalę.

Ukłonił się i wyszeptał słowa, zrozumiałe tylko dla Waleryi.

— Fatalny zbieg okoliczności! Minister sądzi może, że jestem twoim kochankiem? Wytłómacz mu to. Wieczorem przyjdę znowu. Mam ważne sprawy do omówienia.

Walerya kiwnęła głową i rzekła szybko:

— Dobrze! — Ale lepiej — nie przychodź do mnie. To niebezpieczne!

Ja ciebie dzisiaj odwiedzę na zamku Wildenfels.

Oddaliła się, a Sinobrody wsiadł na konia i popędził w dal.

Hrabia Edmund pomógł Waleryi wsiąść do sań, poczem usiadł koło niej i sanie ruszyły.

— Ten hrabia Sinobrody ma zdaje się zamiary, których ty, kochana Waleryo, może jeszcze nie odgadłaś — rzekł Edmund po chwili. To jednak człowiek przewrotny — muszę cię ostrzedz przed nim.

Walerya uśmiechnęła się niespostrzeżenie.

— Znam go dobrze — ze słuchu, — odpowiedziała. Rozumiem także jego zamiary. Nie masz jednak powodu do obaw kochany Edmundzie. Dla mnie hrabia Sinobrody jest zupełnie bezpieczny.

— Należałoby jednak, byś na zawsze pozbyła się jego wizyt. Człowiek ten do wszystkiego jest zdolny. Zbyt często przychodzi do ciebie.

— Nie przyjmę go więcej, — oświadczyła. Wtedy sam przestanie chodzić. A skoro się dowie o naszym stosunku, wtedy zrzeknie się nadziei swych. Kochany Edmundzie, czy nie moglibyśmy wnet podać do publicznej wiadomości nasze zaręczyny?

— Za wcześnie jeszcze, — odpowiedział wymijająco.

Nie lubiał tego tematu i dlatego zmienił go szybko.

Walerya zagryzła wargi. Ciągle starał się Edmund odwlec to, czego ona tak pragnęła. Miała go jednak w swej sieci i postanowiła za wszelką cenę osiągnąć swój cel jaknajprędzej.

Wnet zajechali przed pałac. Hrabia Edmund zaprowadził ją do salonu. Wkrótce zjawił się stary Michał po swego pana, na którego czekało kilku wysokich urzędników. Jako minister, nie był panem swego czasu.

Przeprosił ją i poszedł. Walerya została, postanowiła dzisiaj przypuścić ostatni szturm do Edmunda. Wiedziała że ich obecny stosunek jest niepewny i naraża ją tylko na obmowę.

Przez chwilę została sama. Potem oddaliła się do komnat Edmunda, który jednak w innej części pałacu załatwiał interesa państwowe.

W jednym pokoju zastała Walerya służące go z mapą w ręku. Nadszedł i Michał, który odebrał tę mapę, otworzył ją kluczykiem i wysypał jej zawartość na złotą tacę. Były to listy do hrabiego Edmunda, które właśnie nadeszły pocztą.

Stary Michał przeliczył listy sumiennie i ułożył je w porządku. Przy tem przyglądnął się jednemu, który miał zagraniczny stempel.

— O ten zdaleka przychodzi, szepnął półgłosem i podniósł list bliżej oczu. — Z Indyi!

Walerya nie zważała na to. Nagle jednak padł jej wzrok na ten list właśnie. Zbliżyła się, przeczytała adres — poznała pismo. Wielki Boże! — To ręka Agaty — więc od niej ten list.

Tymczasem oddalił się służący z mapą, a stary Michał wziął tacę z listami i opuścił również pokój. Nie zauważył przerażenia Waleryi — nie wiedział przecież co to za list.

Walerya stała, jakby przykuta do ziemi. Więc Agata żyje, tam w dalekich Indyach, a obecnie pisze do swego męża. Co list zawiera, domyślała się Walerya. Jeżeli go hrabia przeczyta wszystko stracone.

Zdjęła ją straszna trwoga. Szybko się jednak uspokoiła.

— Muszę ten list dostać! — szepnęła stanowczo. On go nie powinien czytać! Nie powinien nawet przypuszczać, że ona jeszcze żyje!

Podażyła za starym Michałem, wiedziała, że złoży listy w pracowni Edmunda. A jeżeli za późno? Jeżei hrabia już się tam znajduje i listy czyta?

Stanęła przed drzwiami pracowni. Drżała na całem ciele. Kolana uginały się pod nią.

Nadsłuchiwała. W parcowni była cisza. Otworzyła drzwi i rozglądnęła się po pokoju. Był próżny. Zdecydowana na wszystko, weszła.

Tam na stole leżały listy — na wierzchu list Agaty. Jeszcze raz rozglądnęła się dokoła. Czy jej tylko nikt nie widzi? — Nie, była sama!

Szybko zbliżyła się do stołu, wzięła list drżącą ręką i schowała go do kieszeni. Potem oddaliła się cichaczem.

Wróciła do salonu w szatańskiej radości. Niebezpieczeństwo minęło więc. A jeżeli stary Michał wspomni o liście — no, to list zginął. Pomyśli hrabia że służący się pomylił. W każdym razie prawdy się nie dowie.

Co pisała Agata? W jaki sposób dostała się do Indyi?

Walerya nie mogła poskromić swej ciekawości, chciała list natychmiast przeczytać.

Zbliżyła się do okna. Otworzyła list i czyta. Oczy jej błyszczały złowrogo. Pierś jej gwałtownie falowała a ręce drżały silnie. Uśmiech szyderczy igrał na jej twarzy.

Jeszcze nie przeczytała całego listu, gdy się drzwi otwarły i do salonu wszedł hrabia Edmund. Szybko ukryła Walerya list za piersią. Hrabia niczego nie spostrzegł.

Atoli koperta spadła na ziemię. Tego Walerya nie zauważyła. Szybko zbliżyła się do Edmunda, zupełnie swobodnie.

— Kochany Edmundzie! — zawołała wesoło. Załatwiłeś nareszcie interesa państwowe? Masz i chwilę czasu dla mnie?

— Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać, — odpowiedział poważnie. Podał jej ramię i wyszli. I on nie zauważył koperty z listu Agaty. Leżała na ziemi, przysłonięta firanką okna.

W pokoju obok pracowni usiedli na kanapie. Walerya ujęła ręką Edmunda i spytała czarownym głosem.

— Ukochany mój, czemu jesteś tak poważnym i milczysz? Myślisz jeszcze o umarłej?

Twarz jego jeszcze więcej sposępniała.

— Nie mówmy o niej! — rzekł. To odnawia i potęguje mój ból.

— Tak, kochany Edmundzie. Zostawmy umarłą w spokoju! — Mówmy o sobie! — odpowiedziała szybko. Zapomnij o nieszczęsnej. Ze mną znajdziesz szczęście, jakiegoby ci nie dała żadna inna kobieta. O, ukochany mój! Nie bądź smutnym! Czy miłość ma nie uszczęśliwia cię? Objęła go i wpatrywała się w niego namiętnym wzrokiem.

— O tak — tak, — wierzę, że twoja miłość uszczęśliwi mnie — odrzekł roznamiętniony.

Oszołomiony i porwany pięknością tej cudnej kobiety, całował hrabia namiętnie jej usta. Walerya leżała w jego objęciach, oczy przymknięte, usta drgały, na pół były otwarte, wyglądały z nich małe, białe zęby. Pierś lekko tylko przysłonięta koronką, silnie falowała. Czuła, że ma nad nim dzisiaj władzę silniejszą niż zwykle.

— Ach, Edmundzie mój! Gdybym potrafiła uszczęśliwić cię, bardzo, bardzo szczęśliwym uczynić!

— Twoja miłość daje mi szczęście, — odpowiedział wzruszony. Twoja bezinteresowna miłość. Gdybym ją też tak mógł odwzajemnić, jak na to zasłużyłaś.

— Możesz — albo w przyszłości potrafisz, chyba że cię inna, piękniejsza potrafi usidłać.

— To się nigdy nie stanie! Bo czyż jest kobieta piękniejszą niż ty? Walerya przytuliła się do niego, — namiętna, oddana mu całkiem, oszołomiła zupełnie hrabiego Edmunda.

Zbliżał się wieczór. W pokoju ściemniało. W końcu uwolniła się Walerya z jego objęć i wstała.

— Idziesz już? — spytał.

— Czy zostać jeszcze?

— Tak, zostań! Najchętniej, nie puściłbym cię więcej od siebie, — szeptał w namiętnym szale.

Poprowadził ją do innego oświeconego pokoju. Tu usiedli obok siebie i objęli się namiętnie.

— Ach, mój drogi Edmundzie, — rzekła Walerya. I ja chciałabym wiecznie zostać przy tobie!

Całował ją serdecznie.

— Niestety ukochana, musimy się liczyć ze stosunkami. Możemy się widywać tylko od czasu do czasu i to tylko przez krótki czas.

— A czy to nie w twej mocy, zaradzić temu, ukochany mój? — rzekła Walerya, przymilając się.

Twarz Edmunda sposępniała. Odrzekł chłodniej:

— Rozumiem cię, Waleryo! Masz na myśli, że moglibyśmy się połączyć. To teraz niemożliwe!

— Dlaczego? Nie widzę żadnej przeszkody. Zależy to wyłącznie od ciebie.

— O nie! Musimy liczyć się też z opinią świata. Nie zapomnij, że Agata niedawno umarła. Musimy przeczekać — przynajmniej sześć miesięcy.

— Ach Edmundzie! — zawołała Walerya niechętnie. Pół roku? Dlaczego tak długo?

— Winniśmy to pamięci Agaty, ukochana, uspakajał ją. Lecz Walerya nie była przekonaną, chociaż spostrzegła się, że nie namówi hrabiego. Sposępniała, westchnęła ciężko i zalała się łzami.

Hrabia zauważył tę zmianę i spytał:

— Waleryo, co tobie? Płaczesz?

Rzuciła mu się na szyję, tuląc się — wśród łez — do jego piersi. Gładził jej włosy, cudownie woniejące i uspakajał. Lecz Walerya była zrozpaczoną.

— O, ty nie dotrzymasz przyrzeczenia! — zawołała. Nie możesz Agaty zapomnieć! Nie uczynisz mnie swą żoną!

— Na Boga! Skąd ta niewiara? — zawołał dotknięty. Dałem ci swe słowo.

— Byłabym spokojną, gdybyś chciał swe przyrzeczenia wnet spełnić. Nie pojmujesz, że taki stosunek jest niemożliwy. Narażona jestem na obmowy — wskazują na mnie palcami — uchodzę za twą narzeczoną, lecz...

— Nie kończ! — zawołał. Nikt nie śmie obmawiać cię. I ażeby tego uniknąć — jedyne wyjście, rzadko będziemy się widywać.

Walerya zerwała się. Oczy jej dziwnie błyszczały.

— Nie! — zawołała gorzko. Chcesz mi wróció mą cześć, Edmundzie? Wszystko ci poświęciłam, oddałam ci się zupełnie. Chcesz mnie wystawić na pośmiechowisko i wzgardę świata?

— Ależ ukochana! Bądźże rozsądną...

— Rozsądną? — Będę nią, jeżeli mi przyrzekniesz że mnie niedługo poślubisz.

— Tłumaczyłem ci — odpowiedział rozdrażniony, że się to przed upływem sześciu miesięcy stać nie może.

— Ach! — zawołała. Ty możesz czekać. Ty nie cierpisz ani tęsknoty, ani niepokoju. Nikt cię nie obmawia. Ale ja! Nie chcę, by mnie uważano za twą — metresę.

Uwolniła się z jego objęć i spojrzała dumnie. Była niewymownie piękną.

— Wahasz się? Nie jesteś uczciwym wobec mnie. Chcesz mnie porzucić, w nagrodę za mą wierność i poświęcenie? O, Boże mój, Boże! Chcesz mnie w kąt rzucić, jak nieużyteczny przedmiot.

Hrabia chciał ją przytulić, lecz odepchnęła go z lekka i znowu wybuchła płaczem.

— Waleryo wysłuchaj mnie spokojnie — rzekł z naciskiem — nie mam wcale zamiaru porzucić cię. Będziesz moją żoną. Lecz nie może to się stać dziś lub jutro. Sama to zrozumiesz.

— Ale za 4 tygodnie — zawołała — termin dość długi, Edmundzie, czy chcesz jutro lub pojutrze oznajmić publicznie, że niedługo odbędzie się nasz ślub?

Wpatrywała się w jego posępne wzburzone oblicze. Nie odpowiadał.

— O, nie chcesz? Nie chcesz, niewierny — zawołała boleśnie.

— Waleryo — rzekł surowo — posłuchaj spokojnie. Proszę o to stanowczo. Zaledwie 2 miesiące, jak Agata nie żyje.

— Ach, kto wie o tem, że była twoją żoną? Niewielu prócz mnie. Każdy sądzi, że Agata zginęła na rusztowaniu. Nie masz więc powodu zwlekać z naszym ślubem, chyba, że wątpisz jeszcze w jej śmierć.

Zamyślił się i ze smutkiem odrzkł:

— Nie, nie mogę ufać, że żyje.

— A więc, ogłośmy nareszcie nasze zaręczyny.

— Niechże więc będzie — zgodził się. — Wszystko, uczynię by cię uspokoić i byś wierzyła w mą uczciwość.

Z okrzykiem radości rzuciła mu się Walerya na szyję i całowała go namiętnie. Osiągnęła upragniony cel. Za 4 tygodnie będzie żoną hrabiego Edmunda.

— O dobry mój, jedyny ukochany Edmundzie — szeptała uszczęśliwiona.

Wdzięki tej pięknej demonicznej kobiety rozpaliły jego zmysły. Tulił ją do siebie, patrząc na jej cudną śnieżno białą pierś, zlekka przysłoniętą.

Oszołomiony napawał się tym widokiem. A wtem — co to wygląda z za piersi? Jakby papier — list.

Ukochana, a coś tam ukryła? — szeptał i sięgnął jakby żartem w wycięcie sukni.

Walerya zbladła. Zatrzymała silnie jego dłoń.

— Ach, nie, niedobry — szeptała, udając zawstydzenie.

— A, masz tajemnice, moja ukochana. Nie wolno wiedzieć, co za list kryjesz na swem sercu? Pokaż.

I znowu spróbował wyciągnąć papier. Walerya broniła się. Był to przecież list Agaty.

— Ach, zazdrosny jesteś? — zaśmiała się i uwolniła z jego objęć. — To nie list.

— A co? Pokaż mi ten tajemniczy papier — mówił zaciekawiony jej uporem.

— Nie, nie wolno, to nie dla ciebie. Nic nieznaczący papier. Tajemnica toaletowa — zaśmiała się kokieteryjnie. O tem wam mężczyznom wiedzieć nie wolno.

I zsunęła list w głąb piersi. Lecz hrabia nie dał za wygraną. Uważał całą sprawę za żart, którego nie chciał tak prędko ukończyć. Objął

Waleryę namiętnie i probował wydrzeć jej ów papier.

Gdyby przypuszczał co on zawiera, zrozumiałby rozpaczliwy opór Waleryi Z wzrastającą trwogą broniła się, odtrącając rękę Edmunda. Zdawało się, że przecież list dostanie się w swe ręce.

Tymczasem przybył do pałacu gość — komisarz Winter — chciał zdać hrabiemu sprawę ze swych poszukiwań. Przyjął go stary Michał i zaprowadził do salonu, gdzie Walerya przeczytała list Agaty.

— Ekscelencya ma gościa — oświadczył Michał — baronowę Waleryę Rambow. Jeżeli pan komisarz ma chwilę czasu zamelduję go natychmiast ekscelencyi.

Oddalił się, Winter został sam w oświeconym salonie i usiadł w fotelu, rozglądając się obojętnie po wytwornie urządzonym pokoju.

Wtem padł jego wzrok na coś białego pod oknem, wstał i podniósł, była to zgubiona przez Waleryę koperta.

Przyglądnął się temu uważnie — zagranicz na marka — pismo znajome. Kobieca ręka, gdzie też to pismo widział?

— List do ministra? To znaczy: nadawczyni nie wie jeszcze o jego stanowisku, bo adres brzmi zwyczajnie: "Do hrabiego Linderhof" rozważał Winter zaciekawiony. Czy to hrabia list ten zgubił, czy tak tylko kopertę rzucił? To dziwne.

Szukał dalej, lecz listu nie znalazł. Badał kopertę— w tem znalazł nazwisko nadawczyni.

Lecz nie całe nazwisko. Brakło kawałka z koperty. "Aga" — tyle można było przeczytać. Te dwie zgoski starczyły Winterowi, by odgadł całe nazwisko.

Był wzburzony. Nasuwały mu się najrozmaitsze myśli i przypuszczenia. List pochodził od Agaty — to nie ulega wątpliwości. Więc ona żyje — w Indyach.

Zamyślił się głęboko.

Dlaczego to hrabia tak kopertę tę rzucił? To dziwne bardzo. A jeżeli nie on dostał ten list w ręce lecz Walerya? Jest tu przecież w zamku. Kto wie, jaka tajemnica za tem się kryje?

Drzwi się otwarły i wszedł hrabia Edmund nie sam, lecz w towarzystwie Waleryi. I ona chciała wysłuchać sprawozdania Wintera. Spostrzegła natychmiast kopertę w jego ręku i zrozumiała wszystko. Straszna ją zdjęła trwoga. Blada, nie będąc panią siebie, wpatrywała się w komisarza i śledziła jego wyraz twarzy.

Katastrofa zdawała się być nieuniknioną. Skoro Winter pokaże kopertę hrabiemu, ten pismo pozna. Będzia natenczas szukał za listem stary Michał powie, że list był — nietrudno domyślić się związku. Hrabia Edmund odgadnie, że to list Agaty ukryła Walerya na piersi.

Zmusi ją do oddania listu, a wtedy wszystko stracone.

Ogarnęła ją rozpacz i śmiertelna trwoga. Szybko przystąpiła do komisarza, jakby mu chciała wydrzeć kopertę.

Winter zbliżył się do hrabiego.

Rozdział 54.

UCIECZKA.

Nim Winter udał się do ministra, odwiedził w towarzystwie Katynki, wczesnym rankiem w więzieniu niewinnego Gerharda.

Nieszczęśliwy był uradowany na widok swego dziecka. Katynka rzuciła mu się na szyję i gorzko zapłakała.

— Katynko, dziecię moje — zawołał Gerhard wzruszony. Przyszłaś do mnie? Powiedzia no mi, że żyjesz! Biedna ty, tyle musisz cierpieć.

Winter stał na uboczu i słyszał, co Katynka opowiada swemu ojcu o swych przejściach.

—Więc był to przecież hrabia Sinobrody, który spalił mi gospodę — zawołał Gerhard. A ty, biedne moje dziecię, byłaś w mocy tego człowieka. Nie wiele brakło, a nie żyłabyś dzisiaj. I ten nędznik Piotr ukrył cię w piwnicy gospody, tam, gdzie...

Nagle urwał, chciał powiedzieć: tam, gdzie hrabia żył. Wpatrywał się w Katynkę. Ta jednak nie wspomniała o tajemniczym mieszkańcu lochu. Więc nic o nim nie wiedziała. Piotr pewnie wpierw jeszcze odkrył ten loch i zabrał stamtąd trupa hrabiego, który niewątpliwie zginął w ogniu.

Tak myślał Gerhard i nie widział celu, by zdradzić teraz swą tajemnicę.

Katynka opowiedziała dalej, jak ją woźnica uwolnił.

Teraz zbliżył się Winter i Gerhard uścisnął mu serdecznie rękę.

— Kochany Reinholdzie— błagał wzruszonym głosem — nie opuszczaj Katynki, której sam nie mogę obronić.

— Bądźcie spokojni — odpowiedział Winter — Katynce nic złego się nie stanie.

Odkrył teraz Gerhardowi kim jest. Nieszczęśliwy więzień był bardzo zdziwiony, skoro się dowiedział, że narzeczony jego córki nie

jest skromnym leśniczym, lecz komisarzem kryminalnym.

Winter doniósł mu jakie dotychczas w jego sprawie uczynił odkrycia.

— Zeznania dziewki — mówił — udowodniły prawie waszą niewinność. Piotr ukradł nóż z gospody i zostawił go w piersi zamordowanego, aby módz na was rzucić podejrzenie. W waszej obecności powtórzy dzisiaj dziewka swe zeznania przed sędzią śledczym.

Mam nadzieję, że wnet opuścicie więzienie.

Gerhardowi zdawało się, że śni. Drżał ze wzruszenia i radości, zalał się łzami i przycisnął Wintera do swej piersi. Szeptał słowa dziękczynne i długo nie mógł odzyskać równowagi.

Winter wnet go pożegnał.

— Muszę ująć tego łotra, Piotra, ani chwili nie mam do stracenia — rzekł—moi agenci szukają go, lecz on zdaje się, zwąchał coś ukrył się. Znajdę go pewnie na zamku Wildenfels.

— A hrabia Sinobrody? — zapytał Gerhard — czy ten nędznik, ten żonobójca, ma ujść bezkarnie?

—Przeciw hrabiemu nie mogę jeszcze wystąpić — odpowiedział Winter — jego zbrodnia wobec Katynki jest już wprawdzie karygodna, lecz je chcę wyświetlić prawdę co do zniknięcia jego żon i dlatego muszę go jeszcze oszczędzić.

— Ach, to ci się nie uda — zauważył Gerhardo.

— Mam najlepsze nadzieje. W najbliższych dniach przyjeżdża ojciec przyrodni hrabiny Gertrudy. Zwrócił się ten pan do nas, wezwałem go, by przyjechał. Zmusimy tedy Sinobrodego, by wyjawił los swej ostatniej żony. Jeżeli tego nie uczyni, zbadamy wieżę na zamku Wildenfels.

— Jeżeli się to stanie pogłoski o tym zbrodniarzu okażą się prawdziwemi, to i ja wam zdradzę tajemnicę — zawołał Gerhard — wtedy dowiecie się o jeszcze jednej zbrodni tego nędznika.

— O jakiej — zapytał zaciekawiony Winter.

— O tem przy innej sposobności — odpowiedział Gerhard. — Teraz nie pora po temu.

— Prawda — potwierdził Winter — nie mogę tu dłużej zostać.

Prędko pożegnał Katynkę, która chciała jeszcze zostać u swego ojca.

Niedługo wyjechał w towarzystwie Branda i Guentera który w międzyczasie wrócił częściowo do zdrowia, saniami do miasta. Najpierw zatrzymali się koło gospody "Pod pełnym dzbanem". Tu od wczoraj stali na straży dwaj urzędnicy, czekając na Piotra, lecz ten dotychczas się nie zjawił. Winter kazał odgarnąć śnieg i wnet znalazł — idąc za wskazówkami Katynki — drzwi spustne. Zeszedł do piwnicy, oglądnął to miejsce. Potem udał się w dalszą drogę. Urzędnicy zostali tu jeszcze w nadziei, że Piotr przecież jeszcze nadejdzie, sądząc, że Katynka jest w piwnicy. Wkrótce przybyli do zamku Wildenfels. Niedaleko bramy pozdrowiło Wintera dwóch agentów, urzędnik kryminalny i żandarm, ten sam co niegdyś odnalazł zamordowanego Jakóba.

— No, czy Piotr w zamku — zapytał Winter.

— Nie wiemy — brzmiała odpowiedź — lecz prócz hrabiego, nikt zamku nie opuścił.

— Więc hrabiego nie ma w domu? — zapytał Winter zdziwiony.

— Nie, wyjechał zupełnie sam.

W towarzystwie trzech urzędników udał się Winter do zamku. Żandarm został przy bramie, a jednego ze swoich ludzi posłał Winter do małej furtki w murze, by Piotr tędy nie uciekł.

Z dwoma towarzyszami udał się do zamku. Spotkał ich stary kasztelan, Tomasz, a poznawszy w Winterze byłego leśniczego, zapytał go czego żąda.

— Czy Piotr jest w zamku — zapytał Winter krótko.

— O ile wiem, jest. A czego pan chce, panie leśniczy?

— Gdzie go znajdziemy — pytaj Winter — widzieliście go, ojcze Tomaszu?

— Pewnie, przed kwadransem szedł do niezamieszkałego skrzydła zamku. Ale powiedz mi pan, panie leśniczy, czego tu chcecie? Hrabiego niema w domu, jestem poniekąd odpowiedzialny.

Lecz Winter pośpieszył już dalej, a za nim jego towarzysze.

Piotr był właśnie w komnatach, gdzie niegdyś Katynka była więzioną. Nie przeczuwał jeszcze, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Tej samej nocy, w którą furman uwolnił Katynkę, był w gospodzie, by dziewczynę sprowadzić na inne, pewniejsze miejsce. Lecz w piwnicy nikogo już nie znalazł.

Pierwsza jego myśl była: Sinobrody porwał mu Katynkę. W takim razie jest ona na zamku. Daremnie szukał ją Piotr śledząc bacznie każdy krok swego pana. Dzisiaj chciał skorzystać z jego nieobecności i zamek dokładnie przeszukać. Spodziewał się, że Katynkę z pewnością tu znajdzie.

Zaopatrzony w potężny pęk kluczy, wędrował po wszystkich pokojach. Przyszedł nareszcie do wieży, gdzie leżała tajemna kasa z pie-

niędzmi. Lecz do tego pokoju nie miał klucza. I właśnie dlatego wpadł Piotr na myśl, że tam Katynka być musi. A klucz do tej izby ma naturalnie Sinobrody przy sobie.

Piotr wydobył z kieszeni rozmaite narzędzia, starając się drzwi rozbić.. Wtem usłyszał szelest, jakby uderzenia o żelazo, lecz głuche, jakby w grobie.

— A to co — zawołał i nadsłuchiwał.

Dziwny szelest powtarzał się. Więc tu ktoś jest. Nie pomylił się więc.

— To tylko Katynka — pomyślał i twarz jego wykrzywił złowrogi uśmiech. Teraz dostanę ją. Czekaj, mój skarbie! Wnet będę u ciebie.

Uporczywie pracował około zamku, lecz nie posiadał ani narzędzi, ani zręczności Ludwika Hechta. Zaklął przeraźliwie — wtem nagle podskoczył przestraszony.

Zbliżały się kroki. Odwrócił się i zobaczył trzech ludzi, którzy go już spostrzegli. Jeden z nich zawołał:

— Tam jest ten łotr, związać go!

To Winter wydał ten rozkaz. Gdy Piotr poznał komisarza i zmiarkował grożące niebezpieczeństwo, zostawił narzędzie i rzucił się ku schodom.

— Stój, morderco — zawołał Winter i chwycił rewowlwer. — Stój, bo strzelę!

Piotr potroił pośpiech. Padły dwa strzały, odpowiedzią na nie był szyderczy śmiech. Piotr skręcił właśnie na schody, strzały nie mogły mu przeto szkodzić.

— Za mną — zawołała Winter — nie ucieknie nam.

Rzucił się pierwszy w pogoń, z rewolwerem w ręku. Był już na 3 piętrze wieży. Zatrzymał się chwilę. Tam w górze słyszał kroki Piotra, zdawało się, że nie ma wyjścia z wieży.

— Dostanę go, cieszył się Winter. Nie może wyjść.

I podążył w górę. Wtem otwarły się z trzaskiem drzwi. Potem cisza. Gdy komisarz był na następnem piętrze, nie było ani śladu Piotra.

Winter prędko się zoryentował. Wyżej Piotr nie uciekł. Po prawej i lewej stronie, były drzwi, którędy Piotr uciekł. Lecz któremi drzwiami;

Nadbiegł i Brand podczas gdy Guenter został na dole. Szybko zbadano drzwi. Jedne były silnie zamknięte, drugie wskazywały na to, że je dopiero gwałtem zatrzaśnięto. Prowadziły one do izby wieżowej. Drzwi te były niewątpliwie otwarte i za niemi ukrył się Piotr.

— Nasz jest! — zawołał Winter. Z tej izby nie ma wyjścia. Chyba że skoczy z okna w morze.

Szybko przyniesiono narzędzia, które Piotr przedtem porzucił był. Przy pomocy wytrychów i kluczy, rozbito zamek, lecz drzwi się nie rozwarły, bo Piotr zasunął jeszcze z wnętrza zasuwkę i łańcuch.

— Dłóta przynieść, — rozkazał Winter. Łotr ten potrafi się jeszcze ocalić!

Po chwili zjawili się służący zamkowi Guenter i trzeci urzędnik, przybyli na odgłos strzałów. Winter rozkazał obsadzić wszystkie wyjścia a gdy się służba wzbraniała, żądając wyjaśnień, napędził ją.

Wyłamano drzwi. Z hukiem upadły ciężkie meble, któremi Piotr drzwi zabarykadował.

— Baczność! — zawołał Winter. Rewolwery w pogotowiu!

Wtargnęli do izby, lecz — Piotra nie było.

A przecież drugiego wyjścia nie było. Czy Piotr się tu ukrył? Przeszukano stojące tu olbrzymie szafy. Daremnie. Było to dla nich zagadką.

Wtem Brand zwrócił uwagę na balkon, tam w kącie zasłonięty portyerą. Winter zbliżył się. Drzwi balkonu były otwarte. Wszedł na balkon. Zimny zawiał wiatr. Stał wysoko nad morzem.

Gdzie więc Piotr? Czy może rzucił się w straszną przepaść? Zwrok Wintera zatrzymał się na jednym ze słupów, na których oparty był balkon. Dookoła owinięty był gruby sznur. Tknięty przeczuciem nachylił się i spoglądnął w dół. Spostrzegł Piotra, wiszącego w powietrzu na sznurze. Wiatr kołysał nim na wszystkie strony. Tam w dolę, groziły mu skały i wzburzone fale.

Ze strachem patrzał Winter w dół.

Tylko szalony mógł pomyśleć o takiej ucieczce. Jeżeli nie roztrzaska głowy o skały, to znajdzie śmierć we wzburzonych bałwanach morskich. Winter śledził każdy jego ruch. Poznał, że Piotr stara się dostać na wystającą płytę skalistą u podróża wieży. Gdyby mu się tu udało, wtedy ucieknie skałami.

—Guenter!—zawołał komisarz. Zostaniesz pan tutaj. A jeżeli uciekający prędzej dostanie się na pół na płytę, niż my, przetniesz pan sznur. Straci wtedy podporę i runie w głębinę.

W szalonym tempie zeszedł Winter ze schodów w towarzystwie Branda. Zwolna, wskutek przeszkód wiatrem spowodowanych, spuszczał się Piotr po sznurze. Spodziewał się więc Winter, że na czas jeszcze przybędzie na dół. A jeżeli mu się to uda, to Piotr i tak nie ujdzie śmierci, znajdzie ją w falach morskich.

Na dole drzwi były otwarte. Winter wpadł do pokoju, otworzył okno, które jednak było zakratowane i stanął na dość wysokiej balustradzie.

Właśnie spuszczał się Piotr po sznurze nad oknem.

— Holla! zwolna łotrze! — zawołał Winter i wyciągnął za nim rękę. Lecz Piotr, zmiarkowawszy w sam czas niebezpieczeństwo, całą siłą uderzył nogami w mur wieży, wskutek tego odskoczył w wielkim łuku, tak że go komisarz nie mógł dosiągnąć. Schrypnięty śmiech szyderczy i przeraźliwe przekleństwo świadczyły o tryumfie łotra.

Wprawdzie wiatr rzucił nim znowu ku murom wieży. Lecz było już zapóźno, mimo starań nie mógł Winter dosięgnąć ręką. A Piotr stanął już tymczasem na wązkiej płycie pod oknem, spoglądając ze strachem i wściekłością ku swemu prześladowcy.

Strasznen było jego położenie. Nie mógł ujść. Winter nie starał się nawet chwycić sznur.

— Poddaj się łotrze! — zawołał. Nic cię nie ocali!

Odpowiedziały złorzeczenia i dzikie przekleństwa. Piotr owinął sznur dookoła ciała i trzymając się go rękami, usiłował skałami dostać się poza obręb wieży.

Tymczasem podał Brand komisarzowi kij, zaopatrzony w hak, którym Winter chwycił sznur. Koniec kija trzymał Brand i ciągnął ku sobie z całej siły.

Piotr zatoczył, się lecz sznur trzymał go silnie. Mimo rozpaczliwej obrony, został przyciągnięty i już chciał Winter ująć sznur, gdy w tej chwili przeciął sznur Gunter w górze z balkonu. Nie mógł widzieć, co się tu dzieje. Widział tylko Piotra i ażeby ten nie uszedł, wykonał rozkaz swego przełożonego.

Sznur spadł z haka. Równocześnie stracił Piotr na wązkiej krawędzi skalnej równowagę. Próżno szukał za oparciem. Przeraźliwy okrzyk — potem głową w dół runął w straszną przepaść i wzburzone fale pochłonęły jego ciało.

Okrzyk zgrozy wydobył się z piersi komisarza. Nachylił się. Lecz wskutek płyty skalnej nie widział miejsca gdzie runął Piotr.

Nadsłuchiwał. Nie wołał o pomoc. Słychać było tylko szum fal.

— Ocalić go już nie można! Szkoda trudu! — oświadczył Winter. Łotra spotkała śmierć, na jaką zasłużył.

Brand zawołał Guentera. Wszyscy wrócili na podwórze zamkowe. Przybył także żandarm i drugi urzędnik. Zgromadzonej służbie opowiedział Winter o śmierci Piotra.

Nikt nie pomyślał o tem, że należałoby się naocznie przekonać, czy Piotr rzeczywiście znalazł śmierć w falach morskich. Możliwość ocalenia uważali za wykluczoną.

—Chodźmy! — rzekł Winter do swych agentów, przeciskając się przez służbę. Obowiązek nasz tu skończony.

Zwrócił się jeszcze do Tomasza i rzekł:

— Ojcze Tomaszu, powiedzcie swemu panu, że Piotr, którego mieliśmy ująć pod zarzutem zbrodni morderstwa podczas swej ucieczki runął w morze.

W tej chwili zjawił się w dziedzińcu zamkowym sam Sinobrody, trzymając za cugle konia, bo w poprzednim gmachu nikogo nie było. Wrócił właśnie z wizyty u Waleryi, nieudałej wskutek obecności tam hrabiego Edmunda.

Słyszał ostatnie słowa komisarza. I jakkolwiek dobrze wiedział kim Winter był w rzeczywistości, udał że tego nie wie. Rzucił na niego wściekłe i dumne spojrzenie i zawołał groźnie do służby:

— Co się tu dzieje? — Czego się gapicie? Marsz do swej roboty!

Służba pierzchła, bojąc się gniewu hrabiego. Zbliżył się doń tylko stary Tomasz, nim jednak mógł wyrzec słowo, zwrócił się hrabia Sinobrody, posępny i szyderczy, ku komisarzowi.

— A co to? Czego tu szukasz? Na moim gruncie? — zawołał z pogardą. Już dawno oddaliłem się ze służby — wygnałem do dyabła! Chcesz, bym cię teraz wyrzucił?

Cisza zaległa podwórze.

Winter zmarszczył brwi, słysząc te rubaszne, obraźliwe słowa. Pohamował się jednak i rzekł dumnie:

—Panie hrabio, nie zapominaj, że rie jestem więcej pańskim leśniczym. Wiesz także dobrze, kim jestem. Jeżeli panu tego trzeba — proszę — tu moja legitymacya!

I pokazał ironicznie śmiejącemu się Sinobrodemu swą odznakę komisarza policyjnego.

— Hm, — tak? — rzekł Sinobrody, nie będąc więcej panem siebie, nierozważnie. Więc byłeś pan szpiegiem w mojej służbie. Bardzo to chwalebne i godne komisarza policyjnego.

Nie mam potrzeby wyjawić panu powody po temu, proszę natomiast we własnym interesie pana, byś grzecznie ze mną mówił! — zawołał Winter wzburzony.

Sinobrody wykonał pogardliwy ruch ręką. Oczy jego błyszczały nienawiścią i groźbą. Zacisnął pięści i zagryzł wargi.

Winter nie zważał nań. Skinął na swych

urzędników i chciał się oddalić.

Lecz zaszedł mu drogę Sinobrody, a jego postawa była tak groźną, że Winter obawiał się napadu.

— Czego pan tutaj dzisiaj chciałeś? zgrzytnął hrabia. Żądam wyjaśnienia.

— Dam je panu, — rzekł Winter sztywnie, mierząc Sinobrodego przeszywającym wzrokiem. Chciałem odprowadzić służącego pana, Piotra, do więzienia pod zarzutem morderstwa, podpalenia, zbrodniczego napadu na "Pełny dzban" i uprowadzenia Katynki Gerhard. Zbrodnie te popełnił Piotr — co prawda — nie sam, panie hrabio. Znam współwinnego panie hrabio! Ta wzmianka chyba wystarczy panu — co? — dodał ironicznie.

I podczas gdy Sinobrody, blady, zdjęty straszną trwogą, cofnął się —rzekł Winter znacząco:

— Do widzenia, panie hrabio!

W niemem osłupieniu patrzał Sinobrody za oddalającym się. Domyśli się tego czego Winter nie powiedział. Bezwątpienia zna ten komisarz jego zbrodnie i pewnego pięknego dnia dosięgnie i jego karząca ręka sprawiedliwości, jak dzisiaj wiernego jego wspólnika, Piotra.

Zadrżał na tę myśl. Rzucił przekleństwem i udał się szybko do swych komnat, nie zważając na stojącą opodal służbę.

— Muszę go usunąć, tego szpiega! Nie należy zwlekać!

Rozdział 55.

ŻONY SINOBRODEGO W OBCZYŹNIE.

Wśród podróżnych na okręcie zapanowało wielkie zamieszanie, kiedy sprowadzono tu Gertrudę i Józefę. Dwie kobiety — pozornie nieżywe, w trumnie, na otwartem morzu — chyba dostateczny powód zdziwienia. Skąd one? Kto te nieszczęsne?

Tego nikt nie mógł odgadnąć. Po długich wysiłkach zwłaszcza przy Gertrudzie, — orzekł lekarz okrętowy, że kobiety dają jeszcze znaki życia. Prędko sprowadzono je do kajuty i wiele miłosiernych pań oświadczyło gotować pielęgnowania nieszczęśliwych.

Po dłuższych zabiegach, najpierw Józefa odzyskała przytomność. Była jednak tak osłabioną, że nie mogła mówić. Następnego dnia obudziła się i Gertruda. Zdawało im się snem ich ocalenie. Popadły w gorączkę, zwłaszcza stan Gertrudy był długo poważny. Zwolna tylko przychodziła do siebie. Okręt zbliżał się tymczasem coraz bliżej do przystani, w której miał na kilka dni przerwać podróż. Był to angielski parowiec do Australii, a na południowym przylądku Afryki miał krótki czas spocząć.

Pa długich dniach Gertruda i Józefa po raz pierwszy zjawiły się na pokładzie. Otoczyli je podróżni, pytając o wyjaśnienie, w jaki też sposób dostały się na morze w tej olbrzymiej trumnie.

W krótkości opowiedziała Józefa swoje i Gertrudy losy. Opowiadanie jej wywołało zdziwienie i niewiarę.

— Zdaje mi się, — szepnął starszy mężczyzna do swego towarzysza podróży, że te nieszczęśliwe kobiety straciły rozum.

— Tak jest, — odpowiedział zagadnięty. Cierpienia tak na nie podziałały. Ale ja się niemi zaopiekuję.

To postanowienie zdziwiło owego starszego pana, ponieważ jednak nie znał swego towarzysza podróży, więc milczał.

Gdy Gertruda i Józefa zostały same, — rzekła Gertruda wśród łez:

— Józefo, cóż teraz poczniemy? Tu nikt nas nie zna. Nikt się nami nie zaopiekuje.

I Józefa była bezradną.

Tymczasem ów obcy mężczyzna wziął kapelusz i rzucił w niego złotówkę, obszedł wszystkich podróżnych, wzywając ich do składki na rzecz nieszczęśliwych kobiet. Posypało się wiele złota i srebra. Zaniósł to obcy kobietom i rzekł grzecznie:

Pozwolą panie, że w imieniu wszystkich podróżnych, złożę paniom tę tu zebraną sumę.

Cofnął się, nim mu jeszcze Józefa i Gertruda mogły podziękować. z

Tymczasem zawinął okręt do przystani w Kapstadt. Kapitan spytał kobiety, czy chcą dalej jechać. Postanowiły jednak zatrzymać się w tem obcem mieście, aż Gertruda odzyska zupełnie zdrowie. Potem chciały innym okrętem wrócić do ojczyzny.

Ów obcy słyszał tę rozmowę. Przedstawił się jako inżynier Bald z Italii i oświadczył kapitanowi, że zaopiekuje się Józefą i Gertrudą. Było to kapitanowi bardzo na rękę.

— Panie! — rzekła Józefa wzruszona do inżyniera. Proszę przyjąć serdeczne słowa podzięki. Nie zna nas pan, a czyniłeś tak wiele dla nas, że nie wolno nam więcej korzystać z dobroci pana.

— Ach, któżby o tem mówił, — bronił się inżynier. Jestem zupełnie niezależny i zatrzymam się kilka tygodni w Kapstadt. Potem jadę w głąb kraju, by tam kierować robotami przy kopalniach złota. Ponieważ jednak, jak panie

pewnie na okręcie słyszały, wojna między Anglią a Transwaalem jeszcze nieukończona, więc pobyt mój tu może dłużej potrwać, gdyż przed zawarciem pokoju, nie otworzą kopalń złota.

— Jeżeli tak — odpowiedziała Józefa, podając rękę młodemu Włochowi — przyjmujemy pańską pomoc i dziękujemy serdecznie. Jesteśmy tu zupełnie obce, nie wiemy dokąd się zwrócić.

W oczach inżyniera zabłysnął tryumf, a twarz jego zdradzała dziwne szyderstwo. Nie spostrzegły tego nieszczęsne kobiety, miały bezgraniczne zaufanie do tego człowieka. Gdyby przeczuwały jego zamiary, odepchnęłyby go ze wstrętem.

Gawędził z niemi, potem oświadczył, że wraz z kapitanem uda się do miasta, by wyszukać odpowiednie dla nich schronienie. Aż do jego powrotu Gertruda i Józefa miały zostać na okręcie.

Wieczorem wrócił z łodzią. Wsiedli i popłynęli do miasta. Na brzegu, gdzie wysiedli, czekał powóz, którym powoził Murzyn.

Szybko pędził przez zaludnione, elektrycznie oświetlone ulice. Nareszcie zatrzymał się powóz przed trzypiętrowym domem, wyglądającym na hotel.

Boczną bramą wjechał powóz na dziedziniec, na którym rosły wysokie drzewa, z tyłu wznosił się dwupiętrowy budynek, którego dolne pokoje były jasno oświecone. Zdaje się, że tu była restauracya.

Z otwartych okien słychać było krzyk, uderzanie szklanek i muzykę. I na górze były oświecone okna, przysłonięte jednak tajemniczo czerwono niebieskiemi firankami.

Lęk zdjął Gertrudę i Józefę. Niechętnie wysiadły z powozu na usilne nalegania inżyniera.

— Gdzie jesteśmy? Co to za dom — zapytała Józefa podejrzliwie.

— Hotel — odrzekł Baldi — proszę tylko wejść. Zamówiłem już dla pań 2 pokoje.

— Zdaje mi się — westchnęła Gertruda szeptem— że to nieodpowiednie miejsce dla nas.

Lecz może inżynier nie mógł nic lepszego znaleźć. Na dzisiaj musiało i to być dobre. Baldi starał się też o powierzone swej pieczy kobiety. Prowadził je przez wejście niepołączone z restauracyą. Przed niemi szedł Murzyn. Wązkiemi, matowem światłem oświeconemi schodami, przybyli na korytarz, wyścielony miękkimi dywanami.

Murzyn otworzył drzwi. Gertruda i Józefa weszły do jasno oświeconego pokoju, urządzonego wytwornie, z europejskim smakiem. Portyera dzieliła go od obok leżącej sypialni.

— Jutro wrócę moje panie i zapytam o życzenia pań — rzekł Baldi, uśmiechając się dziwnie. Jeżeli panie czego zechcą, proszę zadzwonić, a ten czarny człowiek spełni każdy rozkaz.

Baldi cofnął się i skinął na Murzyna.

Obie kobiety zostały same. Mimo, że pokój był wytwornie i przyjemnie urządzony nie, mogły pozbyć się uczucia trwogi. Z dołu dochodził je hałas i muzyka, śpiew i śmiechy kobiece.

Za chwilę przyszedł Murzyn i nakrył zręcznie do kolacyi wino i mięso. Potem znikł.

Nieszczęśliwe kobiety posiliły się. Mimo późnej już godziny, hałas i śpiewy nie ustawały a raczej z każdą chwilą było na dole w restauracyi weselej. O śnie nie było mowy.

Trwoga ich wzrastała. Murzyn nie przychodził. Gertruda zadzwoniła. Postanowiły nie zostać tutaj. Lecz mimo to, że dzwoniła gwałtownie, nikt się nie zjawił.

— Więc same musimy sobie pomódz — rzekła Józefa. Chodźmy stąd. Ja się tu boję.

Jednak drzwi były przymknięte, klamki nie było. Z wnętrza można je było otworzyć tylko kluczem.

Trwoga ich nie znała granic. Próżno starała się Józefa drzwi otworzyć. Wyglądnęła przez okno, jednak to wychodziło nie na podwórze, lecz na ogród w tylnej części domu.

Miłosierny Boże — zawołała Gertruda. Gdzie jesteśmy. Józefo, inżynier nieuczciwie z nami postąpił.

— Cicho! ktoś idzie — szepnęła Józefa i pobiegła ku drzwiom.

W korytarzu ozwały się kroki, lecz przebrzmiały. I znowu kroki, głosy męskie, chichotanie i śmiechy dziewcząt. Otwierano rozmaite drzwi i szybko je zamykano.

Odgadły teraz nieszczęsne ofiary, w jaki dom sprowadził je ów podstępny łotr.

W tych tajemniczych ,wytwornie urządzonych pokojach, mieszkały bezwstydne kokoty. Był to dom publiczny rozkoszy. Wiedziały jakie je tu los czeka.

Zalały się łzami i opadły na dywan. O ucieczce nie było mowy, drzwi były zamknięte.

— Ach, Boże — biadała Gertruda. Po co zaufałyśmy temu nędznikowi. To łotr, który wyłudził nasze zaufanie przez swe współczucie. Jego nędzny plan, udał mu się znakomicie!

Będziemy się bronić do ostatniego tchu — rzekła stanowczo. Bezprawnie przybrał tytuł inżyniera. Był to w rzeczywistości człowiek trudniący się handlem dziewcząt, ten sam agent, który niegdyś zawiózł w skrzyni Agatę

do Egiptu i tam ją sprzedał.

Wrócił potem do ojczyzny, lecz tu nie czuł się dość bezpiecznym. Wyjechał zatem szybko, by w Afryce spróbować szczęścia. Znał ten przylądek dobrze z dawnych czasów i posiadał tu dobrze przyjaciela, właściciela tego właśnie domu rozpusty.

Kiedy poznał na okręcie Gertrudę i Józefę i dowiedział się o ich losach, postanowił natychmiast wyzyskać te bezbronne kobiety. Były piękne, więc można zarobić ładny pieniądz.

Odszukał więc swego przyjaciela i ubił z nim wstrętny interes. Teraz razem siedzieli przy stole i pili. W lokalu było tak huczno i gwarno, że swobodnie mogli rozmawiać bez obawy, że ich kto podsłuchuje.

— Więc te kobiety są już tu — zapytał gospodarz olbrzymi człowiek, o czerwonej z pijatyki twarzy.

— Aha! nic złego nie przeczuwały — zaśmiał się agent. — Nie bójcie się przyjacielu niczego. Nie mają one nikogo, ktoby za niemi szukał.

— To dobrze! A skąd je macie?

Agent opowiedział mu dziwną historyę nieszczęśliwych kobiet.

— Myślałem z początku — mówił że to waryatki, lecz zdaje mi się, że są przy zdrowych zmysłach i historya ich nie zmyślona, jakkolwiek wydaje się nieprawdopobną.

— Trzeba je też oglądnąć — rzekł gospodarz wstając. Czy one też naprawdę są tak piękne, jak zapewniacie?

Lecz agent powstrzymał go.

— Dajcie im teraz spokój — powiedział — Zrobią wam teraz straszną awanturę. Do jutra więc.

Zgodził się. Rozpoczęto umowę o cenę, agent żądał wiele. Lecz gospodarz oświadczył że nie prędzej ubije interes, aż nie zobaczy swych ofiar.

Pili jeszcze długo, poczem agent oddalił się. Nazajutrz wieczorem miał wrócić.

Gertruda i Józefa miały bezsenną noc. Dopiero nad ranem, gdy hałas nieco ustał, położyły się i zasnęły snem głębokim. Około południa otwarły się cicho drzwi. Wszedł gospodarz z Murzynem, który przyniósł tacę z potrawami. Gospodarz cichaczem wszedł do sypialni i z zadowoleniem przyglądał się nieszczęśliwym kobietom.

Potem cofnęli się również bez hałasu.

Niedługo potem zbudziły się Gertruda i Józefa. Jakkolwiek trwoga ich była wielka, to jednak ciało domagało się posiłku. Jadły i piły także mocne bardzo wino.

W domu była cisza. Nikt nie przychodził, także Baldi się nie zjawił, co już było dostatecznym dla nich dowodem, że je oszukał.

—Spróbójmy uciec — rzekła Józefa po długiej naradzie z Gertrudą — jeszcze jedna noc tutaj, a jesteśmy zgubione. Do wieczora zostaniemy pewnie razem. Potem nas rozdzielą. Dlatego musimy się natychmiast zabrać do dzieła.

— Ale jak — zapytała Gertruda — okno za wysokie, gdybyśmy miały sznur.

— To nie zda się na nic, zauważą przecież na czas naszą ucieczkę. A z ogrodu nie ma wyjścia. Dookoła wysokie mury.

— W takim razie nie ma dla nas ratunku — zawołała zrozpaczona Gertruda.

— Tylko drzwiami możliwą jest ucieczka. Posłuchaj, jaki mój plan. Wieczorem przyjdzie Murzyn z kolacyą. Staniemy pod drzwiami, które się otwierają do wnętrza i zakryją nas. Murzyn nie zobaczy nas, pomyśli, że jestemy w sypialni. Gdy wejdzie tam z kolacyą, uciekniemy i zamkniemy drzwi. Murzyn, nie mogąc wyjść, nie będzie nas ścigał. Zacznie krzyczeć, jeżeli zaś my dostaniemy się tymczasem na ulicę, jeseśmy ocalone.

— Wątpię wprawdzie, czy się uda twój plan, lecz nie mamy wyboru. Spróbujemy więc — rzekła Gertruda— Józefa wzięła nóż ze stołu i ukryła w sukni, na wypadek koniecznej obrony.

Minęły godziny, wśród strasznej trwogi. Zapadł wieczór.

W tej chwili stały już pod drzwiami, bacznie nadsłuchując.

Za mną teraz — zawołała nagle Józefa— słyszę kroki! To Murzyn.

— Jeszcze nie! minął nasze drzwi — szepnęła Gertruda.

— Może to nie on, czekaj jeszcze ktoś — jest ich dwóch! Wszystko stracone — zawołała Józefa w rozpaczy.

Drzwi się otwarły. Wszedł Murzyn z kolacyą. W korytarzu stali gospodarz i agent Baldi.

Dalsze ukrywanie się nie miało celu. Poszły więc nieszczęśliwe kobiety do sypialni. Postanowiły udawać, że jeszcze niczego nie rozumieją, może im się uda uciec w nocy.

Gospodarz i agent weszli do pokoju. Baldi odchylił portyerę sypialni. Na progu stała Jófa, straszna wściekłość błyszczała w jej oczach, tak, że agent cofnął się mimowoli.

— Panie Baldi —zawołała — zabierz nas pan stąd natychmiast. Jeżeli jesteś uczciwym, wiesz, że to nie dla nas mieszkanie.

— Ależ pani — rzekł Baldi — udając zdziwienie. Czy paniom tu źle?

— Panie! Nie oszukasz nas więcej! Wiemy, że jesteśmy w domu rozpusty. Podstępnie nas tu sprowadziłeś. Postąpiłeś, jak łotr!

Baldi wiedział, że plany jego zdradzone. Wykrzywił twarz i zaśmiał się cynicznie:

—Trudno! Będzie wam tu dobrze. Rozkoszy poddostatkiem. Musicie się już zgodzić na swój los.

— Nędzniku — zawołała Józefa — precz stąd, Bóg nas nie opuści i uwolnie nas stąd!

Szubrawiec był już za drzwiami, za nim poszedł gospodarz i Murzym.

— Miłosierny Boże, wszystko stracone, załkała Gertruda.

— Pierwszemu, który się waży dotknąć mnie, temu nóż w serce wsadzę — rzekła Józefa — Gertrudo i tobie broń potrzebna. Musimy bronić naszą cześć.

Na dole w restauracyi rozpoczęły się na nowo orgie. Stali goście zasiedli do gry i wina. I na piętrach w kilka godzin później zaczęło się nowe życie. Dziewczęta ze swemi kochankami przebiegały korytarz. Odezwały się śmiechy i żarty.

Józefa i Gertruda siedziały obok siebie w sypialni. Gertruda płakała, jej odważna towarzyszka niedoli siedziała cicho i posępnie z nożem w ręku, wpatrzona w przyległy pokój.

Była prawie północ. W kurytarzu odzywały się kroki, które mijały mieszkanie nieszczęśliwych kobiet.

Wtem drzwi się otwarły. I do pokoju wszedł mężczyzna i prędko zamknął za sobą drzwi. Był to agent Baldi.

Rozdział 56.

ZAMKNIĘTY W KASIE.

W izbie starego kasztelana Tomasza siedział przy stole zamyślony i posępny hrabia Harald. Jego twarz wycieńczoną, beznadziejną oświecało jasne światło lampy.

Przy piecu siedział stary Tomasz. Izbę zaległo głębokie milczenie. Stary nie miał odwagi przerywać ponurego zamyślenia nieszczęsnego hrabiego. Wpatrywał się weń litośnie, paląc swą długę fajkę.

Było to tego samego wieczora, kiedy Ludwik Hecht dostał się do skarbca na zamku Wildenfels.

Stary hrabia podniósł nagle głowę i westchnąwszy ciężko, tak rzekł:

— Powziąłem stanowcze postanowienie, mój dobry Tomaszu. Nie mogę tu dłużej zostać.

— Panie! — zawołał Tomasz przerażony. Dokąd chcesz iść? Tu pan bezpieczny.

— Nie, nie jestem tu bezpieczny! — przerwał hrabia Harald. Sinobrody znajdzie mnie tu. A chociażby mi niebezpieczeństwo nie groziło, to mój pobyt tu nie ma celu. Nikt prócz was i nieszczęśliwego Gerharda nie wierzy mi, nie mogę wystąpić ze swemi prawami. Cóż więc mam tu począć?

— Niech pan poczeka, aż wróci przyjaciel z Afryki. Przy jego pomocy odzyska pan swe prawa.

Stary hrabia zaśmiał się gorzko:

— Mój przyjaciel zdradził mnie! Dawno on tu jest; w owej chacie leśnej spotkał Sinobrodego i podał, że on jest hrabią Haraldem. Gra moją rolę. Widzicie zatem Tomaszu, że widoki dla mnie bardzo niepomyślne. Gerhard w więzieniu. Nie mam już żadnej nadziei. Jeżeli mnie Sinobrody znajdzie — zginę!

— Ale cóż pan chce uczynić?

— Zabiorę swe skarby, które przed 10 laty ukryłem w tajemnym schowku, tu na zamku. Pojadę w daleki kraj. Niech Sinobrody tu panuje sobie. — Kiedyś prawda wyjdzie na jaw i nędznika tego spotka zasłużona kara.

Na wspomnienie skarbów zdziwił się stary kasztelan.

— To jaśnie pan przed swym wyjazdem ukrył swe pieniądze tu? — O, teraz rozumiem, w jakim celu hr. Sinobrody przeszukiwał tak tajemnie wszystkie zakątki zamku. Zdaje się, wiedział coś o skarbach; lecz nie mógł znaleźć miejsca.

— Tego jestem pewny! — odpowiedział stary hrabia. Nigdy mu się nie uda znaleźć me skarby. Nikt nie zna mej tajemnicy.

Do urządzenia skarbca użyłem tylko jednego murarza. Lecz ten, chociażby chciał nie mógł by się tam dostać, bo nie potrafi otworzyć tajemniczych drzwi i zamków.

— Panie mój! — zawołał stary Tomasz. Jakże się cieszę, że wydrzesz Sinobrodemu przy najmniej część twych skarbów.

— Dobry Tomaszu. Nie część, lecz największą część swego majątku, bo w skarbcu są miliony!

Zdziwił się kasztelan i o mało nie opuścił fajki.

— Miliony? — spytał niedowierzająco.

— Tak, miliony. I dzisiaj zabiorę je. A jutro z brzaskiem dnia opuszczę zamek na zawsze!

Wstał hrabia Harald i popatrzył na zegar. który wskazywał dziesiątą godzinę.

— Za wcześnie jeszcze! — rzekł, muszę przeczekać aż wszystko w zamku ułoży się do snu — dla pewności, Tomaszu, przygotujcie mi latarnię i klucze do zamieszkałych pokoi w lewym skrzydle bocznym.

— Klucze te ma Sinobrody!

— To pójdź po nie! — zadecydował hrabia Harald.

Około północy opuścił mieszkanie kasztelana i udał się do pokoi, zamieszkałych przez Sinobrodego. Stary Tomasz opisał mu dokładnie, gdzie Sinobrody chowa swe klucze.

Zdawał sobie stary hrabia sprawę z tego, że droga ta grozi mu wielkiem niebezpieczeństwem.

Służba spała już dawno. Niektóre pokoje Sinobrodego były atoli jeszcze oświetlone. Dowód że był w pałacu.

Niezwykłą drogą dostał się hrabia Harald do znajomych sobie dobrze pokoi, które sam za mieszkiwał, jako pan zamku. W wązkim, ponurym korytarzu otworzył tajemne drzwi o których nikt prócz niego nie wiedział i naraz znalazł się w wielkiej ciemnej izbie. Była to dawniej jego pracownia. Nic się w niej prawie nie zmieniło.

Przez chwilę hrabia Harald nadsłuchiwał. W sąsiedinm pokoju była cisza. Może Sinobrody jeszcze nie wrócił? Ze łzami w oczach patrzał hrabia na swą pracownię w której tyle lat przebył.

Zacisnął pięść.

— Jeżeli jestem bezsilnym wobec ciebie, nędzniku, coś mi życie zmarnował, szepnął — to żyje przecież Bóg zemsty, który kiedyś strasznie pomści twe zbrodnie!

Opanował się. Wszedł ostrożnie do sąsiedniego pokoju. Nikogo tu nie było. Tam na ścia nie wisiały klucze, których szukał. Wziął je i oddalił się tą drogą, którą był przyszedł.

Wnet kroczył przez puste, ponure boczne skrzydło zamkowe. Wszedł do izby wieżowej, gdzie wisiał obraz pradziada.

Wtem — co to? Usłyszał szelest — jakby z poza obrazu. Zdawało mu się że się obraz porusza. Zdziwiony wpatrywał się weń. Chyba się pomylił. Nikt prócz niego nie znał tajemnicy tego obrazu, nikt nie przepuszczał przecież, jakie skarby za nim ukryte.

Grobowa cisza, tylko wicher zawodził. Stary hrabia uspokoił się. Przystąpił do obrazu i nacisnął guzik na ramie. Obraz podniósł się w górę, za nim otwarta głęboka nyża. Ciężkie drzwi żelazne były zamknięte, tak jak je zostawił przed 10 laty.

Nie przypuszczał, że tam w skarbcu ukryty jest złodziej jego milionów.

Hrabia nacisnął na jeden z kamieni w murze. Ciężki kamień poruszył się. W wązkim otworze leżały klucze do kasy w skarbcu.

Już wyciągał hrabia rękę, by nacisnąć guzik w żelaznych drzwiach skarbca — nagle cofnął się. Zbliżały się ciężkie, szybkie kroki. Bezwątpienia — ktoś nadchodzi. Chyba tylko Sinobrody, który go podpatrzył.

Zbliżył się ku drzwiom — może mu się uda umknąć niespostrzeżenie. Zgasił latarnię. Na schodach — na dole — zjawiła się teraz postać Sinobrodego. Miał za sobą latarnię. W ręku trzymał rewolwer. Szukał jeszcze ciągle Ludwika Hechta.

Gdy spostrzegł starego hrabiego, który pomknął jakby cień przez schody? Na górze nikogo nie było. Już uciekał hrabia Harald przez puste pokoje. W tę noc chciał dać spokój, bał się by go Sinobrody nie zastał przy pracy. Postanowił spróbować w następną noc.

— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

Długo leżał Ludwik Hecht w skarbcu bez przytomności. Kiedy odzyskał przytomność trwało długo, nim sobie potrafił zdać sprawę ze swego położenia.

Podniósł się w wązkim, żelaznym lochu. Dookoła ciemność. Latarnia dawno zgasła. Nie wiedział jak długo tu siedzi — czy dopiero kilka godzin, czy też długie dnie.

Jeszcze raz spróbował otworzyć żelazne drzwi. I znowu zdjęła go straszna szalona trwoga. Począł wołać o pomoc długo, głośno, aż go siły opuściły.

Wszystko daremnie. Nikt go nie słyszał. Musi tu zginąć tą straszną śmiercią.

Uczuł głód. Jak długo musi tu jeszcze cierpieć? Dwa — trzy dni? Bał się powolnego konania. Sięgnął do kieszeni. Ma na szczęście rewolwer. Jeżeli męka za wielką będzie — potrafi przyspieszyć swój koniec.

Zwolna mijały chwile, a z każdą wzrastała jego męka; chwilami brakło mu oddechu; zdawało mu się, że się udusi w swem więzieniu.

Pragnienie dokuczało mu. Usta wyschły. Tętno biło gwałtownie, jakby w febrze. Potem znowu zimne dreszcze. Zdawało się, że za chwilę uwolni go śmierć z mąk piekielnych.

Opadł i śmiertelna trwoga go zdjęła. On, grzesznik niepoprawny, co nie wierzył w Boga szeptał teraz modlitwy rozpaczliwe.

Przymknął oczy i oparł głowę o zimne drzwi żelazne.

Leżał długo bez ruchu. Ale głód dokuczał mu strasznie. Zerwał się i znowu począł rozpaczliwe wołać o pomoc.

Osłabienie rzuciło go wreszcie na ziemię i poraz wtóry popadł w omdlenie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

W tym samym czasie walczył ze śmiercią także Piotr, służący Sinobrodego.

Myślał, że jest zgubiony, kiedy runął w morze. Cudem ominął skały. Nakryły go fale i rzucały nim, jakby piłką. Z wysiłkiem potrafił jednak utrzymać się na powierzchni wody.

Do ciała jego przywiązany był jeszcze sznur, który przeciął był ajent Guenter. Spadł razem z nim i utkwił silnie między skałami.

Kiedy Piotr to spostrzegł, odzyskał nadzieję ocalenia. Ujął sznur i przy jego pomocy utrzymywał się na powierzchni wody górną częścią. ciała. Sznur tkwił silnie i nie popuścił. Piotr odpoczął przez kilka chwil. Nieraz pochłaniały go zimne fale, rzucały nim ku skalistej ścianie i porwały go znowu na wodę. Tylko sznur ocalił się. Zwłaszcza że udało mu się nareszcie unieść się jeszcze wyżej nad powierzchnię wody, tak że tylko jeszcze nogami jej dotykał. Lecz w tej chwili rzucił nim wiatr ze straszną siłą. Ręce mu opadały ze znużenia, ledwo mógł utrzymać sznur.

Czuł, że za chwilę opuszczą go siły. Już opadał w dół, gdy nagle porwał go silny wiatr i rzucił nim ku ścianie skalistej i Piotr oparł się nogą niespodzianie o wystającą płytę.

Między niebem a wodą objął rozpaczliwie tę płytę. Ze sukien jego zlewała się woda strumieniami, a zimny wiatr dokuczał mu strasznie. Drżał z zimna.

Spoglądnął w górę, ściana skalista wysoką była na jakie 20 stóp, stroma i naga. Gdzieniegdzie tylko wystawał kamień, którego można było się uczepić. Trudno było dostać się na nią.

Nadto nie wolno mu było zjawić się teraz, bo może urzędnicy nie opuścili jeszcze zamku. Z drugiej jednak strony, tu gdzie był teraz, nie mógł długo zostać.

Przy pomocy sznura podniósł się w górę, opierając się nogami o skałę. Jeżeliby sznur urwał się wskutek tarcia. Piotr runąłby w wodę, a wtedy zgubiony jest bez ratunku.

Ręce miał pokaleczone ze skał. Na pół żywy wydostał się w końcu wyżej. Pozostawało mu jeszcze 6 stóp. Sznur nie wystarczył, na rękach i nogach musiał przebyć ostatnie skały.

Zupełnie z sił wyczerpany upadł i długo leżał jak nieżywy. Tuż przed nim wznosiły się mury zamku. Miejsce na którem leżał, miało w szerokość 3 stopy, za nim przepaść i wzburzone bałwany.

Dzień miał się już ku schyłkowi, kiedy wzdłuż muru posuwał się dalej. Gdy mur się skończył, podniósł się i drżąc z zimna, jakby nieprzytomny kroczył, zataczając się, ku furtce w murze..

Była zamknięta. Musiał więc iść dalej — ku wielkiej bramie. Ledwo trzymał się na nogach oparł się o mur i zwolna tylko posuwał się. Czuł, że jeśli ta wędrówka jeszcze długo potrwa, opuszczą go siły zupełnie i on zamarznie tu, tej nocy zimowej.

Długi mur skończył się. Skręcił i zatoczył się dalej.

Jeszcze dwadzieścia kroków dzieliło go od bramy. Lecz nagle potknął się o kamień, zakryty śniegiem. Upadł i nie mógł się wiecej podnieść. Za chwilę stracił przytomność.

Niedługo potem na ścieżce zjawił się jeździec. Był to Sinobrody. Po oddaleniu się Wintera, wyjechał on jeszcze raz na zamek Heiligense, w nadziei że tam spotka już Waleryę. Lecz ona nie wróciła jeszcze z rezydencyi.

Nie chciał na nią czekać. Niepokój zagnał go do domu.

Wściekły myślał o tem, jakby się pozbyć niebezpiecznego Wintera. Teraz potrzebował pomocy wiernego Piotra. Lecz on znalazł dzisiaj śmierć w falach morskich. Tak myślał Sinobrody.

I temu winien Winter. Jak on tego człowieka nienawidził. Żałował, że go dzisiaj nie ubił na dziedzińcu zamkowym.

Wtem spłoszył się koń i odskoczył w bok. Szybko odzyskał Sinobrody równowagę. Rozglądał się, księżyc świecił jasno i Sinobrody spostrzegł leżące na drodze, niedaleko bramy zamkowej, ciało ludzkie.

— Pewnie żebrak — pomyślał — upadł tu ze znużenia i głodu. Niech leży.

Bo cóż to Sinobrodego obchodziło, że człowiek ten zginie tu.

Zbliżył się ku bramie i zsiadł z konia. Otworzył małą furtkę sąsiednią i wpuścił konia na podwórze. Sam zatrzymał się i oglądnął się raz jeszcze za leżącym w śniegu. Jakaś siła tajemnicza kazała mu się zbliżyć.

Ledwo spoglądnął na nieruchome ciało — cofnął się. Było jeszcze dość jasno, mógł poznać rysy leżącego. Był to przecież Piotr.

— Nie, to chyba łudzące podobieństwo!

Piotr znalazł przecież śmierć w morzu! Nachylił się nad nieruchom imcłaemeizi,graouoowjćłł lił się nad nieruchomem ciałem.

— Tak — zawołał — to Piotr.

Wziął Sinobrody garść śniegu i począł nacierać skroń Piotra. Trwało to niedługo, Piotr otworzył oczy.

— Hej, Piotrze — zawołał Sinobrody — poznajesz mnie?

— Panie to wy? — wyszeptał Piotr słabym głosem.

Wstań i chodź do zamku — rzekł Sinobrody i wziął go pod ramię. Skąd, do dyabła, bierzesz się tu? Do stu piorunów, w jaki sposób ocaliłeś się? Myślałem, że już nie żyjesz.

Równoeześnie pomógł Piotrowi podnieść się ze śniegu. Piotr nie odpowiadał na pytania swego pana. Nie wiedział co się z nim dzieje, zatoczył się kilka kroków i upadł znowu.

Wtedy Sinobrody objął go silnym ramieniem i zaniósł do zamku. Na podwórzu było ciemno, nikogo też tu nie było i nikt nie spostrzegł ich przybycia. Koń sam popędził w tylną stronę podwórza przed stajnię.

— Dobrze że nas nikt nie widzi — szepnął Sinobrody. — Nikt nie powinien wiedzieć że Piotr jeszcze żyje!

Ciężko dysząc zawlókł się z ciężkiem ciałem na rękach do swego pokoju. Tu złożył Piotra na sofie, wyszedł i zamknął drzwi. Potem zadzwonił. Służącemu kazał przynieść gorącej herbaty i wina. Gdy rozkaz jego spełniono, wró cił do Piotra. Wlał mu w usta większą ilość herbaty z winem i Piotr odzyskał wnet przytomność. Podniósł się i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w swego pana. Sinobrody po dał mu wielką szklankę silnego wina, którą Piotr wypił.

Prędko odzyskał zupełną równowagę i wnet mógł swemu panu opowiedzieć historyę swego ocalenia i o strasznem niebezpieczeństwie, które mu groziło.

— No, stało się! śmiał się Sinobrody. Ciesz się żeś znowu cały. A temu komisarzowi, temu łotrowi, nie podarujemy tego.

— Ubiję go jak psa! — zawołał Piotr.

— Pomówimy o tem. Naturalnie człowieka tego trzeba uczynić nieszkodliwym. Zastanówmy się nad tem. Bo łatwą to rzeczą nie jest, musimy to tak urządzić, by na nas nie padło podejrzenie.

— A czy go tylko tu niema? — spytał nagle Piotr.

— Poszedł sobie, kiedy wróciłem — odpowiedział Sinobrody i opowiedział po krótce zajście z Winterem. Boje sie jednak, — dodał, że w zamku został tajny agent. Już wczoraj w nocy spostrzegłem w niezamieszkałym skrzydle obcego człowieka. Nie udało mi się jednak ująć go.

— Hm! a może to stary hrabia, — rzekł Piotr. Jestem przekonany, że on tu w zamku ukryty.

— Musimy go ująć. Jeżeli jesteś przekonany, że ten stary, to naprawdę hrabia, trzeba i jego uczynić nieszkodliwym. Po cóż on jednak nocą zamek obchodzi?

— Kto wie, jaki jego plan. A może to kto inny, może tajny agent!

— Tej nocy sprawę tę zbadamy. Odpocznij potem zabierzemy się do roboty.

I w tę noc udał się stary hrabia do swego skarbca. Tym razem inną drogą. Ciemnymi pustymi korytarzami udał się do wieży i z dachu schodami zeszedł w dół do pokoju, kryjącego olbrzymie skarby.

Jakkolwiek był ostrożnym i ciągle się oglądał nie spostrzegł, że dwie ciemne postacie idą za nim krok w krok.

Hrabia Harald otworzył drzwi, wszedł do pokoju i ostrożnie drzwi za sobą przymknął, Zdawało mu się że jest sam.

W tej samej chwili stały już pod drzwiami owe złowrogie postacie, To Sinobrody i Piotr. Nadsłuchiwali dochodziły ich kroki. Nagle zapanowała grobowa cisza.

— On to! zgrzytnął Sinobrody i w oczach jego zabłysła wściekłość. Dzisiaj go poznałem. To hrabia Harald. Czego on tu szuka? I wczoraj w nocy go tu widziałem.

— Cicho panie! — upominał Piotr. Może nas posłyszeć. Czekajmy. Przecież wróci, a wtedy mamy go!

Kto wie, ten lis może nam się wymknąć, gdy my tu czekamy. Daj mi wytrych. Otworzę drzwi.

I wydarł hrabia Sinobrody służącemu swemu złodziejskie narzędzie. Zakrzątnął się około zamku. — Nagle głuchy łoskot. — Drzwi się otwarły.

Wewnątrz rozległ się okrzyk zgrozy. Światło w pokoju zagasło.

Zaklął hrabia Sinobrody i wpadł do pokoju.

Rozdział 57.

WAŻNA ROZMOWA.

— Więc kochany panie Winter — przynosisz pan bezwątpienia ważne wiadomości, — rzekł Edmund do komisarza, który mu się głę-

boko ukłonił.

— Tak! Ekscellencyo! — rzekł poważnie.

W ręku trzymał kopertę z której Walerya nie spuszczała oczu. Czy Winter nie odda koperty za chwilę hrabiemu?

Lecz stało się inaczej. Nagle komisarz schował kopertę do kieszeni. Walerya odetchnęła. Oczy jej spotkały się z oczyma Wintera, a miały one wyraz, który Waleryę zaniepokoił.

— Ekscellencyo! — rzekł Winter, proszę usilnie o rozmowę w cztery oczy. Zdziwił się hrabia Edmund. Czemuby Walerya nie miała być świadkiem ich rozmowy? Ale dziwny ton w głosie Wintera zastanowił go i nie spytał o przyczynę żądania Wintera, lecz rzekł:

— Proszę zatem pójść ze mną do mej pracowni.

Przeprosił Waleryę i wyszedł z Winterem. Ją zdjęła wściekłość i tajemna trwoga.

— Muszę wiedzieć co ten szpieg odkrył, zgrzytnęła. Spróbuję podsłuchać ich rozmowę.

Podążyła za nimi. Zatrzymała się w pokoju przylegającym do pracowni i zbliżyła się ku drzwiom.

Hrabia Edmund był niecierpliwy. Sądząc z zachowania się Wintera spodziewał się ważnych wiadomości. Wskazał mu krzesło i sam usiadł przy biurku.

— Słucham pana, panie Winter, rzekł. Czy poszukiwania pana za małym Walterem odniosły skutek?

— Jeszcze nie, ekscellencyo! I nie o tem chciałem teraz mówić. Chciałem tylko donieść, żem kontynuował swe poszukiwania za żoną ekscellencyi, panią Agatą!

Na twarzy hrabiego widoczne było rozczarowanie.

— Kochany panie Winter, — rzekł. Daremny trud pana. Wiesz pan przecież, czegom się dowiedział w Paryżu o losie mej nieszczęśliwej żony.

— Tak, słyszałem o tem z ust ekscellencyi. Ale — oszukano ekscellencyę! Żona ekscellencyi — żyje!

Zerwał się hrabia Edmund z krzesła. Bezgraniczne zdziwienie malowało się na jego twarzy.

— Co pan mówi? — wykrztusił drżącym głosem. Kto mnie oszukał — i w jaki sposób?

— Owa kobieta, która jako Charlota Dijon napisała list, oświadczył Winter spokojnie. W rzeczywistości nigdy ona nie widziała pani Agaty. Także ów rzekomy uwodziciel Agaty, Karol Werner, to — oszust.

— Panie Winter! — przerwał hrabia. Nie mogę temu wierzyć! Pan jesteś w błędzie!

— Nie, ekscellencyo! to prawda! Porozumiałem się z kolegą z policyi paryskiej i jemu to zawdzięczam me wiadomości!

— Niech ekscellencya raczy przeczytać!

Hrabia był wzburzony. Migało mu przed oczyma. Prosił więc Wintera by list przeczytał. List tak opiewał:

"Wielmożny panie kolego!"

Chętnie podjąłem się zadania, wyśledzić tajemniczą sprawę hrabiego Linderhof i jego uprowadzonej rzekomo żony. Mam zaszczyt donieść panu koledze, co następuje:

Bezwątpienia padł hrabia ofiarą oszustwa. Odszukałem ową Charlotę Dijon, wyznała mi że została przekupioną. List do hrabiego z doniesieniem o rzekomem samobójstwie jego żony nie pochodził od pani Dijon. Kto napisał, nie wie ona. Dzień przedtem przyszedł do niej nieznajomy, który się przedstawił jako Karol von Werner. Pouczył on panią Dijon dokladnie, co ma powiedzieć. Za to zapłacił jej 3.000 franków.

Kiedy następnego dnia zjawił się u niej hrabia z baronową Waleryą, pani Dijon odegrała swą rolę wedle instrukcyi. On, rzekomy Karol von Werner, działał zdaje się także z polecenia osoby drugiej. Za całą sprawą kryje się jakaś osoba główna, ktoś trzeci — prawdopodobnie kobieta. I to ta, co napisała ów list.

Grób z napisem "Agata von Werner" zbadano. Leży tu wprawdzie trup młodej kobiety; lecz nie można go poznać.

Co do owego rzekomego Karola von Werner potrafiłem wyśledzić: Człowiek ten jest identyczny z osławionym zbrodniarzem który występuje także jako baron Wolkenstein i doktór Simon. Jego prawdziwe nazwisko jest Ludwik Hecht, który niedawno uciekł z więzienia prawdopodobnie znany on jest i panu koledze. Zniknął stąd bez śladu.

Tyle na razie. Do dalszych usług jestem zawsze gotowy.

serdecznie pozdrawiam
Paweł Lagrange
tajny inspektor policyjny:"

Winter spoglądał na hrabiego i spytał:

— Czy ekscellecya wierzy teraz, żeś padł ofiara oszustów?

Hrabia był wzburzony. Trapiły go najboleśniejsze uczucia. Wątpliwości nie były usunię-

te. Gdyby wiedział kim jest ów Ludwik Hecht, byłyby wszelkie zagadki rozwiązane.

Przez chwilę milczał, potem rzekł drżącym głosem.

— Kochany panie Winter; sprawa więc ma się tak, jak pisze pański kolega z Paryża. Owa kobieta kłamała. Również chcę w to wierzyć, że rzekomy Karol von Werner to przekupiony oszust. Mimo to, zostaje faktem, że żona moja nie żyje, jak to zbadanie grobu dowiodło!

Winter zaśmiał się. Wstał i rzekł z naciskiem:

— Nie, ekscellencyo! zbadanie grobu niczego nie dowiodło. Nieżywa w grobie leży — naturalnie. Ale to nie żona pana — nie może nia być!

— A dlaczego? Pan jeszcze coś wie! — zawołał hrabia. Mów pan! Ma pan dowody że żona moja żyje?

Winter zaśmiał się. Mógł przecież pokazać ową kopertę, którą miał w kieszeni. Lecz nie uczynił tego. O liście tym hrabia nic nie wiedział, chociaż list był do niego skierowany. Winter zrozumiał, skąd się koperta wzięła w salonie. List odebrała Walerya.

Naturalnie listu tego nie wyda. Gdyby się hrabia o tem dowiedział, obudziłoby i w nim to podejrzenie. A co wtedy zyskane? Walerya wyprze się wszystkiego. A oskarżyć nie można jej było jeszcze z powodu braku dowodów.

Te inne względy wpłynęły nań, że zamilczał o kopercie.

— Tak, ekscellencyo! — rzekł w odpowiedzi na ostatnie pytanie hrabiego, mam silne przekonanie że żona ekscellencyi żyje! Wierz mi pan i ufaj, że ona wróci!

Wzruszyły hrabiego te słowa Wintera, wypowiedziane z siłą i z zupełną pewnością.

— Ale — jakże to mogę w to wierzyć? Jak że mogę ufać? Panie Winter, ta pewność pana opiera się chyba na faktach.

— Tak, odkryłem wreszcie ślad prawdziwy — rzekł Winter poważnie.

Hrabia ujął rękę Wintera i zawołał drżącym z radości głosem:

— Nie dręcz mię pan dłużej! Mów, powiedz wszystko, co wiesz i przypuszczasz, zaklinam pana!

— Ekscellencyo, oświadczyłem już dawniej, że żona pana została uprowadzoną. Nie opuściła ona dobrowolnie swego męża. List, który zostawiła, nie pochodzi od niej. Dochodzenia moje udowodniły moje przypuszczenia. Kto jest autorem owego listu, kto żonę pana porwał i dlaczego — tego dzisiaj stanowczo powiedzieć nie mogę. Przypuszczenia same, małą tu mają wartość.

— Wielki Boże — przerwał. Możemy przecież tylko przypuścić, że ów nędznik — obojętnie, czy się nazywał Karol Werner, czy inaczej — porwał Agatę i podyktował jej ów list do mnie.

Winter wzruszył ramionami.

— Wątpię — rzekł czy ów uwodziciel wogóle istniał. Jestem natomiast przekonany, że żona powiedziała prawdę, wtedy przed straceniem. Ekscellencyo, to była kobieta, z którą baronowa Agata miała ową tajemną schadzkę.

— W rzeczywistości była to "czarna dama", którą...

Edmund przypomniał sobie teraz rozmowę z ową tajemniczą przyjaciółką Agaty.

— Pójdę do niej — zawołał — musi mi wytłómaczyć kim jest i co ją łączy z żoną pana. Ona rozwiąże mi niejedną zagadkę.

— Boję się, że się to panu nie uda — zauważył hrabia posępnie.

— Kto wie? W każdym razie podziała na "czarną damę" wiadomość, że żona pana żyje.

— Tak pan twierdzi, panie Winter. A ja jeszcze wątpię. Dokąd ślad wskazuje, który pan znalazłeś?

— Do Indyi, ekscellencyo!

— Co? Do Indyi?

— Tak — rzekł Winter z naciskiem. Czy ekscellencya przypomina sobie, że znalazłem ślad już dawniej w owem mieście portowem? Przekonałem się że ślad był prawdziwy. Handlarz nic wprawdzie nie zeznał, mimo to nie ulega wątpliwości, że to on żonę pana wysłał do Egiptu. Przypuszczam że tak, jakby wysłał towar, a w Kairze sprzedano ją w niewolę.

— Wielki Boże — zawołał hrabia Edmund, to niemożliwe. Nie mogę w to wierzyć! Sprzedano ją jako niewolnicę jak towar? Boże, kto to uczynił i komu na tem zależało, by w ten sposób usunąć mą żonę?

Już chciał Winter zedrzeć zasłonę z oczu hrabiego. Przecież poznał wówczas Waleryę, kiedy w mieście portowem była u owego handlarza dziewczętami. Nadto miał w kieszeni kopertę, którą zgubiła. Czy to dostateczne dowody jej winy?

Nie! pomyślał nie wolno mi jeszcze mówić. Muszę wpierw dostać list, który Agata z Indyi napisała. Agata musi wrócić, a wtedy biada tej nędznicy!

I rzekł głośno:

— Kto jej ten straszny los zgotował — o tem dowiemy się najlepiej od niej samej.

Mam pewne wiadomości jest ona teraz w

Indyach. Spodziewam się, że znajdę też miejscowość jej pobytu tamże.

— Zaprawdę, kochany panie Winter, muszę wierzyć słowom pana, chociaż to takie nieprawdopodobne. A teraz proszę usilnie, uczyń, pan wszystko, by mieć pewność w tej sprawie. Ach, gdyby to było możliwem — gdyby pan sam mógł wyjechać do Indyi — rzekł na pół pytając, na pół prosząc hrabia Edmund, ściskając rękę komisarza.

Winter milczał przez chwilę zamyślony, a hrabia rzekł:

— Żądam zawiele, byłoby to ofiarą ze strony pana. Ja sam niestety nie mogę się stąd oddalić. Moje obecne stanowisko...

— Oczywiście, ekscellencya nie możesz myśleć o tej podróży — przerwał Winter. Myśl którą ekscellencya wyraziłeś i ja miałem. Wahałem się, bo i tu mam ważne sprawy. Lecz oddam je innym. Skoro najkonieczniejsze sprawy tu ureguluję i przygotuję, udam się do Indyi.

— Pan chce to uczynić — zawołał hrabia uradowany. Kochany panie Winter, czem ja się panu odwdzięczę?

— Muszę w każdym razie otrzymać pozwolenie mego przełożonego — rzekł Winter.

— Ja sam wystaram się panu o nie — odpowiedział hr. Edmund. — A teraz kochany mój panie Winter, przyjm pan to jako tymczasowy dowód mej wdzięczności.

I podał mu plik banknotów.

Winter cofnął się. Dopiero gdy hrabia nalegał, przyjął i podziękował serdecznie.

Potrzebna panu też będzie większa suma podczas podróży — rzekł hrabia. — Nie licz się pan z centem. Możesz pan rozporządzać każdą sumą. — Gdybym tylko mógł okazać się panu wdzięcznym.

— Jeżeli ekscelencya sądzi, że zdobyłem sobie szczególne zasługi, pozwiliłbym sobie prosić ekscellencyę o łaskę — rzekł Winter szybko.

— Mów pan, cokolwiek będzie — jeżeli tylko jest w mojej mocy — spełnię. Cóż zatem mam uczynić?

— Nie dla mnie, ekscellencyo. Chodzi o Gerharda, gospodarza z pod "Pełnego dzbana". Poczciwca tego niewinnie oskarżono, że zamordował barona Jakóba Rambow. Udało mi się niedawno odkryć, że mord ten popełnił Piotr, służący hr. Sinobrodego. Ten jednak już nie żyje. Namacalnego dowodu niewinności Gerharda dotychczas nie ma. Dowodów tych mógłby dostarczyć sam morderca, co obecnie jest rzeczą niemożliwą. Sprawa...

— Słyszałem o tem — przerwał hrabia — czy córka Gerharda jest narzeczoną pana, panie Winter?

— Tak, ekscellencyo!

— Pojmuję zatem, że panu zależy na losie biednego Gerharda. Czy nie można go wypuścić z więzienia śledczego? Wobec takich warunków oskarżenie musi odpaść?

— Niestety, sędzia śledczy nie jest tego zdania — westchnął Winter — i ja miałem nadzieję, że Gerhard przynajmniej puszczony zostanie na wolną stopę, tymczasem...

— Pomówię z nadprokuratorem — przerwał hrabia — Gerhard zostanie naturalnie wypuszczony. Pociesz pan swą narzeczoną, jeszcze dziś wieczorem zobaczy ona swego ojca.

— Dzięki, ekscellencyo! Niewinny zawdzięcza życie ekscellencyi.

— Cieszę się, że mam władzę wyrządzić sprawiedliwość !— rzekł hrabia. Za co mi więc pan dziękujesz?

Zadzwonił, wszedł stary Michał.

— Posłać posłańca do sądu — rozkazał hrabia — proszę pana nadprokuratora, by przyszedł do mnie jeszcze dzisiaj w nader ważnej sprawie.

— Wedle rozkazu, ekscellencyo!

Winter pożegnał hrabiego, który go odprowadził do przedpokoju.

— Ekscellencyo — rzekł komisarz — proszę usilnie nie wspominać nic o naszej dzisiejszej rozmowie. Niech baronowa myśli, że żona ekscellencyi nie żyje!

— Ależ dlaczego? zapytał hrabia zdziwiony.

— Bo to konieczne — rzekł Winter, uśmiechając się tajemniczo.

Winter udał się do budynku policyi, gdzie czekali na niego Guenter i Brand. Pokazał im znalezioną kopertę i wyłuszczał swoje przypuszczenia i podejrzenia, że mianowicie Walerya ma ten list.

— List ten muszę dostać za każdą cenę — mówił — tam znajdę miejscowość, gdzie hrabina Agata obecnie przebywa. Na kopercie jest tylko stampilia angielskiej poczty. Jeżeli mi list ten dostaniecie, wyznaczam dla was nagrodę 1.000 marek.

I bez nagrody byli agenci gotowi iść w ogień za swego przełożonego.

— Naturalnie sprawa to wcale niebezpieczna — rzekł Winter — siłą nic nie wskóramy. Trzeba tajemnie list zabrać — to wasza rzecz. Zostawiam wam 8 dni czasu.

Brand i Guenter przyrzekli, że wszystko uczynią w tej sprawie. Winter pospieszył do gospody, gdzie mieszkała Katynka, by jej przy-

nieść radosną nowinę o uwolnieniu ojca z więzienia.

Walerya słyszała prawie każde słowo z roz mowy hrabiego z Winterem. Straszna ją zdjęła trwoga, miotał nią wściekły gniew.

Ten Winter niweczy wszytkie jej dumne nadzieje. Teraz skoro hrabia wie że Agata żyje ona — Walerya nie zostanie nigdy jego żoną.

Winter znajdzie Agatę w Indyach — ona wróci — a wtedy jak uniknąć grożącego niebezpieczeństwa?

Nie, Agata nie powinna wrócić. Hrabiego trzeba ponownie przekonać, że ona nie żyje! Przedewszystkiem trzeba pozbyć się Wintera.

Walerya chciała wrócić do domu. W tem wzburzeniu nie mogła spotkać hr. Edmunda, nie była panią siebie.

Nie zobaczyła też hrabiego, wróciła saniami na zamek Heiligensee. Tu jeszcze raz przeczytała list Agaty.

— List ten zniszczę, — szepnęła. Mógłby zginąć i dostać się w ręce hrabiego!

Już chciała go spalić przy świecy, stojącej na stole. — Rozmyśliła się. Nie. list ten jeszcze schowa. Przeczyta go jeszcze hrabia Sinobrody, z którym musi obmyślić dalszą akcyę.

Ukryła list w tajemniczym schowku swego biurka.

— Teraz należy użyć wszelkich sił, — zawołała, udając się do swej sypialni. Muszę zwyciężyć i cel swój osiągnąć.

Rozdział 58.

WĄŻ WŚRÓD KWIATów.

"A chociaż pięknym obcy jest kraj,
Ojczyzną ci nie będzie on!"

Zabrzmiały trąby i rozległy się tysiące okrzyków w bajecznie ozdobionej sali pałacu. da siedziała Agata na złotym tronie przy boku ku księcia. U nóg jej leżał cały naród — lecz ona szczęśliwą nie była.

Teraz właśnie myślała o ojczyźnie, o mężu i dziecku. Strasznym zdawał się jej los. Była smutną bez granic, chociaż usta składały się do uśmiechu.

"A chociaż pięknym obcy jest kraj,
Ojczyzną ci nie będzie on...!

Ta melodya brzmiała w jej strapionej duszy.

Wtem spoczęła ręka na jej ramieniu. To Delia, jej wierna służąca stała przed nią, — na twarzy jej trwoga.

— Pani śmierć ci grozi i nam wszystkim! — szepnęła. W świątyni zgromadzeni są zwolennicy księżnej. I ona tam jest. Jussuf ich podsłuchał. Za godzinę przypuszczą szturm do pałacu i straszny urządzą mord.

Trwoga Agaty nie znała granic. Jej rywalka, księżna tutaj? I lud podburzyła!

W tej chwili zauważył książę jej niepokój. Zwrócił się ku niej i rzekł troskliwie:

— Co tobie Agato? Czego chce Delia?

Agata doniosła mu pokrótce co się stało.

Zerwał się książę.

— Nureddina tu? — tak się bowiem nazywała księżna. To niemożliwe! Rokosz?!

Wzrok jego przebiegł zgromadzenie. To usłyszało słowo "rokosz". Nikt już nie dowierzał sąsiadowi. Znikła wesołość, umilkł krzyk, cisza grobowa zapanowała.

Opamiętał się prędko książę. Ujął złoty puhar, napełniony winem, wstał i zawołał donośnym głosem:

— Niech Ałłach błogosławi naszą młodą księżnę!

Wszyscy okrzyk ten powtórzyli.

Książę skinął nieznacznie na siedzącego opodal dowódcę pułków. Szeptem udzielił pewnych rozkazów, oddalił się dowódca niespostrzeżenie.

W sali zapanowała znowu wesołość.

Za chwilę wrócił dowódca, potwierdził księciu, że co Delia doniosła, jest prawdą. Po krótkiej cichej naradzie oddalił się dowódca ponownie, aby sprzysiężonych znienacka napaść.

W Agacie która wszystko śledziła wzrastał niepokój. Nie pojmowała spokoju księcia. A przecież to postępowanie księcia było jedynie racyonalne, by panika nie ogarnęła wszystkich. Niespostrzeżenie wzmocniono straże. I w sali w sąsiednich pokojach znaleźli się nagle najprzedniejsi żołnierze, uzbrojeni od stóp do głowy.

Książę był zadowolony.

— Teraz niech przyjdą! — szepnął do Agaty.

Wtem otwarły się boczne drzwi i ciekawy zjawił się pochód. Sto kobiet z najrozmaitszych stanów, począwszy od przybranej w drogie klejnoty i jedwabie żony dostojnika państwowego, a skończywszy na zwykłej chłopce. Każda przynosiła wedle starego zwyczaju podarek ślubny dla nowej księżnej, stosownie do swego stanu majątkowego.

Niewolnicy składali dary na przeznaczonym ku temu stole. Ceremonia ta prędko się odbywała. Między kobietami znajdowała się i chłopka, której twarz zakryta była gęstym welonem. Trzymała w ręku koszyk złocony, któ

rego nakrywa związaną była jedwabnym sznurem. Zdawała się nie być młodą, bo była zgięta. Ale jej oczy błyszczały z pod welonu młodzieńczym ogniem, i ciskały dziwne, dzikie i groźne spojrzenia.

Teraz wystąpiła ta chłopka, skłoniła głowę przed księżną, wzięła sztylet i przecięła sznur na wieku koszyczka. Potem wieko podniosła, nadzwyczajny upajający zapach napełnił salę.

W koszyczku były najpiękniejsze kwiaty, a między nimi najpiękniejsze owoce.

Z podziwem patrzała Agata na kosz. Nagle jednak spoglądnęła kobiecie w twarz. Wielki Boże! Czyje to rysy ukryte są za tym welonem? — Agata poznała księżnę.

Nim jednak mogła wyrzec słowo, dobył się z ust demonicznej kobiety jakiś dziwny świst. Coś się nagle w koszu poruszyło. Z pomiędzy kwiatów zataczało kręgi pstre cielsko jadowitego węża. Wąż podniósł się z sykiem i błyszczące oczy rzucały straszny ogień.

Agata wydała okrzyk zgrozy, cofnęła się, zasłaniając się ręką, jakby dla obrony. Książę i jego otoczenie zbliżyli się prędko. Lecz było już za późno. Chłopka rzuciła kosz na łono Agaty. W tej samej chwili wąż wbił swe jadowite zęby w rękę nieszczęsnej Agaty.

Okrzyk zgrozy z tysiąca piersi rozległ się po sali. Chłopka zerwała welon z twarzy i z szatańskim śmiechem szybko się odaliła.

Powstała wrzawa i zamięszanie. Sprzysiężeni wtargnęli do sali i rozpoczęła się krwawa walka. Czyn księżnej był hasłem walki.

Z początku obecni stali jakby przykuci do miejsca. Wnet jednak dwudziestu niewolników rzuciło się w pogoń za księżną. Ta nie znalazła wyjścia osadzonego swymi zwolennikami, jak się spodziewała, lecz gwardyą pałacową księcia.

Pędziła ku drugiemu wyjściu. Kobiety wśród których się znajdowała, cofnęły się przerażone. U wszystkich wejść wrzała już walka. Wszystkie wejścia były osadzone, a za nią pogoń. W trwodze rzuciła się w walczących. Padła u progu pod uderzeniami mieczy i lanc.

Tymczasem w sali zgromadzili się wszyscy dookoła księcia.

Szable i sztylety błyszczały i ten przybytek przed chwilą taki łagodny, spokojny, uroczyście i świątecznie przystrojony, rozbrzmiewał cały odgłosami walki.

W chwili, w której Agata uczuła ukąszenie żmii, upadła zemdlona na krzesło. — Dwanaście rąk wyciągnęło się na pomoc. Jeszcze żmija wisiała u jej ręki — wszyscy cofnęli się drżąc z trwogi przed jadowitym gadem którego ukąszenie spowoduje śmierć — wszyscy byli pewni, że Agata nie jest do uratowania.

Wtem przyskoczyła Delia ze sztyletem w ręku. Szybki zdecydowany chwyt i żmija wiła się w jej dłoni. Odważna dziewczyna chwyciła żmije z tyłu głowy, tak że była bezpieczną przed ukąszeniem strasznego potworu. Przycisnęła ją do stołu i przebiła jej łeb sztyletem.

Dookoła wrzała walka, ale Delia i inne kobiety nie zważały na to. Teraz także przybył Jussuf. Pomiędzy ludzi otaczających kołem zemdloną Agatę wciągnął kapłana, którego był złowił drżącemu w śmiertelnej trwodze, trzymał sztylet przed oczyma.

— Wiem że znasz skuteczny środek na przeciwdziałanie ukąszeniu żmii — rzekł. — Jeżeli uratujesz panią zostaniesz przy życiu. — Jeżeli nie, zginiesz z mojej ręki.

Kapłan upadł na kolana i przysiągł, że całą swoją sztukę zastosuje w tym wypadku.

Wydobył z kieszeni rozmaite korzenie i rozpoczął swoje czynności. Jussuf stał ze sztyletem w ręku za nim i nieufnie mu się przypatrywał.

Niebawem rana była opatrzona przez kapłana, który był lekarzem wtajemniczonym w różne arkana natury.

Potem podniesiono Agatę, by ją zanieść do jej apartamentów.

Walka prędko się skończyła.

Sprzysiężeni, zobaczywszy, że spisek ich jest odkryty, i że księżna nie żyje, zwrócili się do ucieczki. Wnet całe powstanie było stłumione i cisza grobowa zapanowała w zamku.

Na łożu w sypialni leżała Agata cicha i blada jak trup. Oddech jej się zwalniał, życie zdawało się uciekać. Czy środki księdza sparaliżują działanie trucizny? Czy demonicznej księżnie przecież plan zemsty się uda?

Za kilka godzin to się rozstrzygnie. Żmija taka a raczej jej jad, zabijał w przeciągu sześciu godzin.

Kapłan leżał na ziemi i modlił się w śmiertelnej trwodze. Z życiem Agaty pójdzie i jego własne. Jussuf ponury stał u drzwi i wiernem okiem patrzył smutny na bladą bez życia twarz swej pani.

Wtem wszedł książę. Chwiejnym krokiem podszedł do łóżka i jęcząc padł na kolana.

— Zgubiona — przecież zgubiona!

Rozdział 59.

NIESPODZIEWANE ODKRYCIE.

Co to? Gdzie on się podział?

Przerażony rozglądał się hrabia Sinobrody po pokoju wieżowym, z którego stary hrabia znikł bez śladu.

Jakim cudem to się stało? Drugich drzwi, przez któreby mógł uciec, nie było tam.

— On musi jeszcze tu być! — zawołał Piotr, który szedł za swoim panem. — Widzieliśmy przecież na własne oczy, jak tu wchodził. W tej chwili był jeszcze w pokoju. Jeżeli nie umie czarować„ robić się niewidzialnym, to go znajdziemy!

Ale napróżno szukali we wszystkich rogach i kątach. Otwierali nawet szafy i wyjmowali wszystko co tam było — napróżno.

— Do dyabła! — klął Sinobrody — nie pojmuję tego. Tu muszą być jeszcze jakieś ukryte drzwi. Szukajmy dalej!

Szedł wzdłuż ściany i uderzał w nią sztabą. żelazną. Ale nigdzie nie odzywał się odgłos pustej za ścianą przestrzeni. Teraz stał hrabia przed obrazem antenata. Stanął przed nim i patrzył w niego ponuro.

Może przeczuwał tajemnicę potretu?

Może mu przyszło na myśl, że tam właśnie sa drzwi których szukał?

— Nie wiesz co ten obraz ma znaczyć? — spytał służącego.

Nie wiem. Pierwszy raz jestem w tym pokoju. To może jest jakiś zmarły hrabia Wildenfels.

— Naturalnie — odpowiedział hrabia, ale to mi podejrzane, że on aż sięga do podłogi.

Podejrzliwie oglądał teraz ramę ze wszystkich stron. Wydawało się, że jest silnie z murem spojona. Nie ruszała się z miejsca.

— Ona musi być zamurowana — zauważył sługa — niepotrzebnie tylko przy niej czas tracimy.

Hrabia był tego samego zdania. Odwrócił się i szukał dalej wzdłuż ściany. Nigdzie jednak nie widział śladów drzwi.

Zniknięcie starego hrabiego było dla nich zagadką. Klnąc zaprzestali poszukiwań.

— Muszę go znaleźć! Nie ruszę się stąd bez niego! — wołał Sinobrody wściekły. Gdzie on się chowa ten stary lis?! — W ziemię się zapada, czy co do dyabła? Ja sobie muszę wreszcie poradzić z tym upiorem.

— Cierpliwości, panie! — łagodził sługa — złapiemy go gdzieindziej. Chodźmy będziemy czatować, a on wyjdzie może z kryjówki, gdy będzie sądził że jest bezpieczny.

— Masz racyę. Podstępem go weźmiemy.

Opuścili pokój i kroki ich oddalały się pod pustem sklepieniem.

Długi czas trwała cisza, potem portret antenata zaczął się poruszać i powoli się otworzył. Hrabia Harald ostrożnie wyszedł z nyży, i świecąc sobie latarką ostrożnie i bez szelestu zbliżał się cichym krokiem do drzwi.

Te były jeszcze otwarte bo z powodu wyłamania rygla nie dały się zamknąć. Przez chwilę hrabia nadsłuchiwał, ale nic nie słyszał.

Czy ich naprawdę już nie ma, czy też czyhają gdzieś w ukryciu?

— Wyjść, czy czekać następnej nocy? — namyślał się. — Jutro grozi mi to samo niebezpieczeństwo.

Oto jakieś kroki. Może Sinobrody wraca za sługa?

Szybko schronił się hrabia Harald znowu za obraz. Kroki zbliżyły się i Piotr zaglądnął przez otwarte drzwi. Poświecił sobie latarką i cofnął się.

Kilka minut minęło w niemej ciszy. Potem Piotr odszedł na palcach, tak cicho, że hrabia ledwie posłyszał jego kroki.

Czekał znowu z godzinę nadsłuchując z zapartym oddechem. Gdy nie usłyszał nic podejrzanego, postanowi zamiar wykonać. Tej nocy był już chyba bezpiecznym przed ponownym zaskoczeniem.

Obraz pozostawił zamknięty. Wziął latarnię, którą postawił był na ziemię i ujął rozetkę u żelaznych drzwi.

Pocisnął silnie i drzwi żelazne zaczęły się obracać. Za niemi ukazał się skarbiec.

Wtem — hrabia przerażony odskoczył w tył. Nagle bowiem runęło na niego coś — ciało mężczyzny jakiegoś który był wciśnięty pomiędzy drzwi od kasy.

— Boże mój — zawołał niesłychanie zdumiony, pochylając się nad nim — skąd się ten człowiek tu wziął?

Zauważył, że człowiek ten jeszcze żyje i rozważał, jak długo on tu mógł siedzieć w tem strasznem zamknięciu.Ludwika Hechta nie znał i nie pojmował, jakim sposobem ten człowiek tu się dostał.

Litował się nad nim gdy wtem wzrok jego padł do wnętrza kasy i hrabia zauważył ślady gospodarowania. Litość jego zamieniła się nagle w oburzenie i gniew.

A więc to złodziej. dla zysku narażał życie całe. Byłby tu przecie zginął, gdyby nie on!

Przeszukał jego kieszenie, ale nie znalazł tam nic. Ludwik Hcht w rozpaczliwym swojem położeniu nie myślał o tem, aby sobie napełnić kieszenie.

— Co z nim robić — pomyślał — tu go zostawić nie mogę. Ciekawym kto to jest i skąd zna tajemnicę mego skarbu.

Że to nie był murarz, który to budował, to wiedział. Prócz niego nie miał nikt pojęcia o istnieniu skarbca. A więc może murarz go zdradził?

Hrabia Harald otworzył tymczasem obraz, rozglądał się, i nie widząc dokoła nic podejrzanego, wyciągnął omdlałego, po którego obudzeniu obiecywał sobie dokładniejsze informacye.

Ciężar był wielki, hrabia przy drzwiach już stanął zasapany. Porzucił ciało na korytarzu przy schodach, wrócił do skarbca i w worku, który był przyniósł ze sobą, spakował wszystka zawartość kasy. Potem zamknął ją znowu. Wewnątrz nie pozostało już nic prócz kilku papierów nie posiadających już wartości.

Wracając widział Ludwika leżącego jeszcze bez przytomności na tem samem miejscu.

Na pół godziny mogę go tak zostawić — pomyślał sobie — z pewnością zastanę go jeszcze bezprzytomnego.

Niezatrzymywany przez nikogo przedostał się wreszcie ze swymi skarbami do mieszkania kasztelana. Ten z trwogą czekał na jego powrót.

Hrabia opowiedział mu wszystko, a Tomasz mocno się zafrasował, że teraz Sinobrody może odkryć miejsce pobytu hrabiego. Drżał na samą myśl o tem i zaklinał hrabiego, ażeby się nie narażał na nowe niebezpieczeństwo.

— Niech jaśnie pan nie troszczy się już o tego omdlałego, tylko lepiej w nocy ze swymi skarbami uciekać z zamku — prosił — to będzie najlepiej.

— Naturalnie że tak zrobię, Tomaszu — odpowiedział hrabia Harald — ale chciałbym koniecznie wiedzieć kto to jest, a zdaje mi się że chyba tej nocy nic mi nie grozi ze strony Sinobrodego. Nie można tam tego człowieka tak zostawić bez ratunku. Pójdę jeszcze raz do niego.

— W takim razie ja pójdę także.

Hrabia Harald nie sprzeciwiał się temu. Schowawszy wór ze skarbem do skrzyni, wybrał się z kasztelanem na górę, w nadziei, że Ludwika Hechta jeszcze tam znajdzie.

Ale od tej pory, gdy go zostawił, minęło już pół godziny i hrabia przybywszy na górę bezpiecznie, znalazł tu miejsce puste.

— Musiał się ocknąć i uciec — zauważył Tomasz.

— Wątpię żeby miał siły uciec gdzieś dalej. Musi być ukryty tu w pobliżu.

Ale szukali go napróżno i z niczem musieli wrócić do domu.

Zamknąwszy drzwi na klucz, wysypali zawartość worka na stół i stary Tomasz ze zdumieniem przypatrywał się nieprzebranym skarbom, które hrabia z jego pomocą pakował do skórzanego kuferka.

Złotówki zabrał do portmonentki, a resztę gotówki chciał jeszcze schować w kuferku.

Ale tam nie było już miejsca.

Około 50 tysięcy w złocie i paczka papierowych pieniędzy pozostała na wierzchu. Prócz tego leżały jeszcze na boku liczne rulony złotówek i kupka banknotów stumarkowych.

Hrabia posunął to wszystko zdziwionemu kasztelanowi i rzekł:

— Tak mój kochany, to dla was i dla Krystyny. Podzielcie się.

Stary prawie się przestraszył.

Na co nam tyle pieniędzy? — zawołał — nie, niech pan nam tego nie daje. My mamy wszystko czego nam potrzeba.

Ale hrabia nalegał i Tomasz musiał przyjąć.

Ze łzami w oczach wybąknął kilka słów podzięki.

— A to — mówił dalej hrabia wskazując na resztę skarbów — schowajcie dla biednego Gerharda. Jest tu około 100 tysięcy marek. Oddajcie mu to, gdy zostanie wypuszczony z więzienia. Podziękujcie mu w mojem imieniu za wszystko dobre, co dla mnie zrobił. Da Bóg, to może jeszcze się doczekam zobaczyć go na tym świecie.

Tomasz przyrzekł, że tak zrobi i obaj ułożli się do snu. Nazajutrz wieczorem miał hrabia w przebraniu wykraść się z zamku, a tam miał go oczekiwać Detlew, syn starego rybaka Karasia i odprowadzić go aż do stolicy. Stamtąd hrabia już sam miał się wybrać w dalszą podróż.

Kasztelan zdziwił się ogromnie dowiedziawszy się od hrabiego, że i Piotr go ścigał. Hrabia musiał się mylić, bo przecież Piotr już nie żył. Owego dnia zginął przecież zasłużoną śmiercią. To musiał być inny jakiś sługa.

Nazajutrz zjawiła się Walerya na zamku Wildenfels.

Sinobrody zauważył, że jest rozdrażnioną, a gdy zapytał o powód, pokazała mu list Agaty.

— Czytaj, a pojmiesz moją rozpacz — rzekła.

Sinobrody przeczytał i przeraził się.

Walerya opowiedziała mu jeszcze, że Winter znalazł tę kopertę i jaka potem toczyła się rozmowa z hrabią Edmundem.

Sinobrody słuchał z wzrastającą trwogą. Potem zaczął miotać straszliwe przekleństwa na Wintera.

— Tego przeklętego szpiega trzeba raz

sprzątnąć ze świata— wrzeszczał — ty nie masz pojęcia, co się tu dzieje.

Był to jeden z policyi i chciał aresztować Piotra, jako mordercę Jakóba.

— Słyszałam, jak opowiadał hrabiemu, że Piotr nie żyje. Szkoda go, przydałby się nam teraz.

— Piotr żyje — szepnął Sinobrody z tryumfem — szczęście dla nas, że uchodzi za umarłego. Teraz dopiero może nam być niesłychanie pożyteczny.

— A to świetnie — ucieszyła się Walerya — niech się więc teraz ludziom nie pokazuje, żeby się nie zdradzić.

—Nie bój się przebierze się go tak, że go nikt tu nie pozna. Ale co teraz zrobić? Winter nie śmie jechać do Indyi.

— Pomyślmy! Główna rzecz zrobić go nieszkodliwym. Może niech lepiej jedzie, ale Piotra posłać za nim, ażeby z nim na obcej ziemi zrobił koniec.

— Masz racyę, tak najlepiej. Ale co z twoimi planami na przyszłość?

— Ach — jęknęła Walerya w rozpaczliwym gniewie — już tak blizka byłam celu, za dwa miesiące miałam zostać żoną hrabiego, a teraz wszystko na nic. Ach, żebym tego szpiega policyjnego mogła udusić własnemi rękoma, on wszystkiemu winien i powiadam ci, Robercie, że jeżeli się go czemprędziej nie pozbędziemy, to on nas oboje zniszczy i zgubi.

— Nie bój się, zrobię go nieszkodliwym, Piotr się dobrze sprawi. Ale to jeszcze żaden zysk dla ciebie, skoro hrabia wie, że Agata żyje, nie ożeni się z tobą. Niebo i ziemię poruszy aby ją odnaleźć i odzyskać.

— To właśnie musimy uniemożliwić — zawołała gwałtownie Walerya — skoro Winter zginie, niebezpieczeństwo temsamem będzie usunięte, bo hrabia nigdy nie dowie się, w której miejscowości indyjskiej Agata przebywa. Stu szpiegów jej nie znajdzie, a bez jego pomocy Agata nie może wrócić.

—Słusznie — potwierdził Sinobrody — ale co nam z tego, jak długo on wie, że ona żyje?

— Trzeba go po raz drugi przekonać o jej śmierci— odpowiedziała Walerya z demonicznym uśmiechem — skoro się tylko przekonam, że jej nie odnajdzie, wszystko inne już potrafię zrobić.

— Hm, po raz drugi on będzie żądał silniejszych dowodów, jak wtedy w Paryżu.

— Dostanie.

—Ciekawym, jak to zrobisz. Męża swego, tego kryminalnika, nie użyjesz już chyba?

— Ani mi się nie śni. Ten łotr zresztą teraz jest dla nas niebezpieczniejszy niż dotychczas. Podsłuchał był wtedy naszą rozmowę, a potem w nocy, gdy spałam, napadł na mnie. Tego mu nie zapomnę, biada mu, jeżeli mi się raz jeszcze pokaże.

Sinobrody klął także Ludwika Hechta, którego teraz należało się obawiać, bo był wrogiem ich obojga.

— Trzeba go dostać w swoje ręce bo on wie o nas więcej, jak nam jest miło. Ach, żeby się tu pokazał

— Wątpię westchnęła Walerya — kto wie gdzie on się kryje. Niechby go policya ujęła i wsadziła na pawrót do kryminału. To byłoby dla nas świetne.

Sinobrody opowiedział jej o Haraldzie, którego zjawienie się, tak go niepokoiło.

Nie miał pojęcia u kogo się stary hrabia kryje.

— I z innej strony jeszcze grozi mi niebezpieczeństwo — dodał posępnie — ojczym mojej ostatniej żony, Gertrudy, zapowiedział, że niebawem przyjedzie. Chce koniecznie, ażeby ona sama doniosła mu listownie, że jest chorą, albo ażebym ja mu dał urzędowe dowody tego. Domaga się też koniecznie, adresu zakładu, w którym ona rzekomo ma się leczyć.

— To najpaskudniejsza ze wszystkich historyi, w które się wplątałeś — mówiła poważnie Walerya — cóż zrobisz, skoro on zażąda wydania swej pasierbicy? Policya wezwana przez niego, będzie miała nowe zajęcie.

Sinobrody zbladł i nerwowym krokiem chodził po pokoju. Na czoło jego wystąpiły krople potu. Przewidywał zbliżającą się katastrofę, a czuł się wobec niej bezsilnym.

— A inni krewni jej nie dopytywali się nigdy o nią — zapytała Walerya po chwili.

— Owszem, ale oni zadowalniali się mojemi wyjaśnieniami. Jedna tylko Józefa, ta z dostojnej rodziny — jak wiesz — była najniebezpieczniejsza. Od brata jej, który bawił za granicą, groziło mi to samo, co teraz. Na szczęście umarł on w podróży.

— Życzę ci, żeby się to samo przytrafiło po drodze ojczymowi Gertrudy — rzekła Walerya z dziwnym uśmiechem.

Sinobrody stanął i spojrzał na nią strasznym wzrokiem.

Po chwili odpowiedział:

— Naturalnie, z jego śmiercią nic mi już nie grozi.

— A więc niech przyjeżdża — mówiła Walerya — sądzę, że sobie poradzisz.

Omawiali jeszcze przez pewien czas tajemnicze swoje plany i Walerya nabrała świeżej

otuchy, gdy potem list Agaty chowała do kieszeni, przestrzegał ją brat:

Radzę ci spalić ten list, bo możesz go zgubić, a wtedy, kto wie, kto go może znaleźć.

— Nie, schowam go jeszcze, bo mi może być potrzebny.

Później rozprawiali jeszcze przez kilka godzin z Piotrem, który niewidziany, przez nikogo, prócz Haralda, nie wychylał się z apartamentów Sinobrodego.

Wieczorem wsiadła Walerya do swoich sań, a hrabia Sinobrody na koniu ją odprowadził. Wtem na drodze konie nagle stanęły dęba i skoczyły w bok, a sanki posunęły się nad brzeg przepaści, Waleryi groziło poważne niebezpieczeństwo.

Sinobrody zaklął straszliwie i silną ręką chwycił uzdy koni, których woźnica nie mógł powstrzymać i silną dłonią przyciągnął je na drogę napowrót.

Potem rozglądnął się za przyczyną popłohu koni.

Na stoku góry spostrzegł jakiegoś starego, pochylonego mężczyznę, który pod płaszczem niósł coś wielkiego. Przed tem zjawiskiem konie pierzchnęły w bok.

Sinobrody uderzył konia i popędził naprzód, wnet dogonił starca, który widocznie był przestraszony i jąkając się wypowiadał usprawiedliwienie.

Ale Sinobrody był wściekły i zamierzył się na starca spicrutą. Gdyby nie było tak ciemno, byłby zobaczył że ten człowiek to hrabia Harald, i że pod płaszczem ma kuferek.

Ze strachem spostrzegł, że za plecyma ma Sinobrodego i Waleryę. Skoczywszy w bok, aby zejść z drogi, przestraszył był konie. Teraz drżał na myśl o tem, że Sinobrody go pozna.

— Przeklęty żebrak — klął Sinobrody — kręci się tu tylko, żeby kraść. Co tu masz pod płaszczem, pokaż?

Zeskoczył z konia, który zagrodził sobą drogę, tak, że sanie także się musiały na tem miejscu zatrzymać.

— Kto to taki — pytała Walerya.

— Jakiś złodziej — odpowiedział Sinobrody.—Stój wrzasnął na Haralda, który ze swym ciężarem puścił się naprzód, uciekając z całych sił.

Sapiąc dopadł krzaków w miejscu, gdzie go miał oczekiwać Detlew, syn rybaka. Ale Sinobrody dogonił go, bo ucieczka wzbudziła w nim dopiero dobre podejrzenie i złapał go za ramię.

—Oddaj, coś ukradł złodzieju — wołał.

Hrabia Harald już myślał, że zgubiony. Wtem zaszeleściło coś w krzakach, wysoka jakaś postać wyskoczyła z krzaków, a w następnej chwili Sinobrody uczuł się pchniętym silnie i zatoczył się w bok o kilka kroków.

Psiakrew — zaklął z wściekłością — kto się odważył?

— Ja, skoro pan chce wiedzieć — odpowiedział zuchwale Detlew i wysoka jego postać wyprostowała się dumnie. W ręku trzymał grubą pałkę i podniósł ją z szybkością błyskawicy, gdy Sinobrody chciał go uedrzyć szpicrutą.

— Psie! — zgrzytnął Sinobrody.

—Na bok — zawołał groźnie Detlew, potrząsając pałką — ten stary człowiek nic panu nie zabrał, więc zostaw go pan w spokoju, bo będzie źle!

Ale Sinobrody zaślepiony w gniewie chciał uderzyć szpicrutą Detlewa. Ten zręcznie wyminął uderzenie, a w następnej chwili uderzył go tak silnie pałką po ramieniu, że Sinobrody krzyknął z bólu i szpicruta wypadła mu z ręki.

Sięgnął prędko do kieszeni i lufa rewolweru zabłysła w jego ręce.

Ale zanim zdążył wypalić, nastąpiło nowe uderzenie. Sinobrody jęknął, a rewolwer z omdlałej dłoni wypadł na ziemię. Silne uderzenie powaliło napastnika na ziemię, a Detlew z hrabią znikł.

Woźnica przybiegł na pomoc zapoźno, bo uciekający znikli już w krzakach.

Sinobrody podniósł swój rewolwer i zgrzytając zębami, kazał woźnicy wrócić do zamku z rozkazem, aby kilku ze służby urządziło pościg. Sam puścił się odrazu za nimi w pogoń i niebawem zobaczył ich u stóp góry, jak pomiędzy młodemi sosenkami biegli drożyną wiodącą do wioski rybackiej.

Donośnym głosem zawołał "stój"! lecz oni w odpowiedzi na to, przyśpieszyli kroku. Nie namyślając się ani chwili, wypalił do nich z rewolweru dwa razy, raz po raz nie robiąc sobie skrupułów z tego, że kodzi w życie dwóch ludzi.

Musiał jednak chybić celu, bo obaj uciekający znikli na skręcie za szczeliną skalną bez śladu.

— Schowali się w skały — pomyślał Sinobrody, trzęsąc się z gniewu — ale ja ich jeszcze znajdę.

Oglądnawszy się po za siebie ujrzał zbliżających się swoich ludzi i kiwał na nich i wołał, ażeby się śpieszyli.

Potem zeszedł z nimi na dół i wspólnie przeszukiwali szczeliny w skałach.

Rozdział 60.

ZBAWCA.

W osławionym domu w którym przebywała Józefa i Gertruda, druga noc była bardziej jeszcze niespokojna, niż pierwsza.

W jednym pokoju, między graczami, siedział agent Baldi. Interes z gospodarzem ubił i zadowolony był bardzo, bo pieniądze czuł w kieszeni.

Spodziewał się, że wygra jeszcze więcej, bo umiał dopomagać szczęściu zgrabnemi sztuczkami i dlatego prawie zawsze wygrywał. Ale tu musiał się mieć na baczności, bo w kraju tym każdy miał przy sobie broń i oszusta karcianego bez pardonu by zastrzelił, jak psa.

W domu tym rzeczy takie były na porządku dziennym, a gdy potem wkraczała policya złoczyńcy już nie znajdowała.

Gracze podnieceni już byli winen. Niektórzy przestali grać i chwiejąc się, odeszli do drugiego pokoju. Inni weszli i zajęli ich miejsca. Między nimi był jeden poszukiwacz złota, i ten w szalony sposób wyzbywał się swoich pieniędzy. Na niego zagiął parol Baldi i postanowił użyć całej swej sztuki, aby go zgrać doszczętu....

Już leżała przed nim wcale pokaźna kupka złota i banknotów. Poszukiwacz złota, pijany kompletnie, nie spostrzegł się, że jest oszukiwany i agent postępował sobie coraz śmielej i zuchwalej sądząc, że go wogóle nikt trzeźwy nie obserwuje.

Poszukiwacz złota znowu przegrał większą sumę i sięgnął do kieszeni po świeży zapas grosza, gdy uczuł że ktoś mu kładzie rękę na ramieniu i usłyszał głos przestrzegający:

— Czyż nie widzicie człowieku, że wasz partner szachruje i oszukuje was:

Podziałało to jak uderzenie piorunu. Cisza się zrobiła na chwilę, a potem zerwała się burza krzyków i wrzasków.

Natychmiast zebrało się kilku ludzi dokoła nich, a ten, który poszukiwacza złota ostrzegł, opowiadał wszystkim, co zauważył i w jaki sposób Baldi manewrował i szachrował.

Oszukany zerwał się jak szalony i kierując lufę rewolweru na agenta, który się był zerwał z miejsca, blady jak trup, zawołał:

— Oddaj pieniądze, łotrze przeklęty, bo zastrzelę cię, jak psa!

Ten tymczasem ze zdumiewającą szybkością zgarnął pieniądze do kieszeni i widząc, że tu wypieranie się nic nie pomoże, przygotowany na wszystko, wyciągnął także broń z kieszeni.

Ze wszystkich stron nadbiegli gracze zjawił się także gospodarz i pospieszył na pomoc przyjacielowi.

Wśród ogólnej wrzawy rozdzieliła nieprzyjaciół garstka ludzi i agent zgubił się na chwilę z przed oczu przeciwnika. Tę chwilę podły tchórz wyzyskał wyśliznął się przez drzwi i umknął.

Zauważono go jednak i poszukiwacz złota roztrąciwszy widzów tej sceny, rzucił się za nim.

Agent sądził, że w samym domu ukryje się prędzej niż na otwartem polu i w sieni skręcił do drzwi, które przez gości zazwyczaj nie były używane. Przez nie dostał się do jakiegoś ciemnego przejścia, które zawiodło go ku schodom na pierwsze piętro. Ale ścigający był tuż za nim i widział każdy jego ruch. Teraz oto tuż za nim biegł po schodach na górę.

Agentowi szatańska myśl przyszła do głowy: Schronić się u tych niewiast, które tak haniebnie był zdradził. W innych pokojach były dziewczęta ze swymi kochankami i tam niktby go nie bronił, zaś u tych dwóch niewiast nikt go nie będzie szukał.

W jednej chwili wykonał zamiar i przez niezamknięte drzwi wpadł do środka. Zamknął je za sobą i nadsłuchiwał.

Głośne kroki wskazywały, że poszukiwacz złota pędzi po schodach na górę. Nie ulegało wątpliwości, że musiał zauważyć w które drzwi on uciekł.

Baldi z trwogą rozglądnął się po pokoju, ale nigdzie tam nie znalazł schowku. Podniósł portyerę i wpadł do sypialni.

Józefa przyjęła go sztyletem w ręku, stanowczym ruchem wskazując na drzwi.

— Precz stąd łotrze! — wynoś się! — zawołała.

—Na miłość Boską! Schowajcie mnie! Waryat mnie goni, — odpowiedział zdyszany agent i z trwogą rozglądał się po pokoju.

Wtem z trzaskiem otwarły się drzwi i poszukiwacz złota stanął na środku pokoju.

Oczy krwią nabiegłe rozglądały się dokoła i rewolwer połyskiwał w jego ręku.

Wtem portyera się odchyliła i wyszła Józefa, ciągnąc za sobą drżącą przyjaciółkę.

Na widok dwu kobiet, mężczyzna ten umilkł na chwilę.

Józefa śmiało zbliżyła się do niego i rzekła spokojnie:

Jeżeli pan szuka inżyniera Baldiego — oto tam jest w tamtym pokoju.

Poszukiwacz złota z okrzykiem tryumfu rzucił się do drugiego pokoju, gdzie Baldi tymczasem skrył się za zasłonę łóżka. Ale tamten zobaczył go.

Zagrzmiał strzał.

Obie kobiety krzyknęły i zobaczyły jak Baldi wyskakuje z ukrycia i rzuca się na przybysza.

Strzał chybił i zanim poszukiwacz złota zdążył drugi raz wystrzelić, uczuł w piersi sztylet Włocha.

Z głuchym jękiem upadł na ziemię. Morderca minął trupa i dwie niewiasty i wybiegł na korytarz, gdzie wyległy zwabione hałasem pół nagie dziewczęta i zbiegł się tłum ludzi w pokojach Józefy.

— Morderstwo! — rozległ się okrzyk powtarzany po całym domu, a sztylet w ręku Józefy na nią musiał rzucić podejrzenie zwłaszcza, że prawdziwy morderca znikł bez śladu.

Józefa spostrzegła grożące jej niebezpieczeństwo i zdecydowana szybkim ruchem ujęła rękę Gertrudy — z którą — korzystając z zamieszania — wymknęła się z domu.

Spostrzegł jednak ich ucieczkę gospodarz z Murzynem i dopędził kilkoma susami.

Chwycił Józefę, lecz ona odepchnęła go silnie i ze dwojonym pośpiechem rzuciła się z towarzyszką w boczną ciemną uliczkę.

Ale Murzyn wnet znowu był przy nich. Gertruda upadła już ze znużenia i napróżno usiłowała natrzeć na Murzyna w obronie Józefy, którą on już znowu chwycił i ciągnął za sobą.

Na ich wołanie o pomoc, przez dobrą chwilę nikt się nie zjawiał w pustej ulicy.

Teraz dopiero zbliżał się jakiś człowiek — sądząc z powierzchowości, farmer może jakiś.

Gertruda pobiegła naprzeciw niego i ze łzami błagała o pomoc. Ten z urywanych jej słów dorozumiał się mniej więcej o co idzie.

— Precz zbóju! — zagrzmiał nad Murzynem i schwycił go za kołnierz.

Ale ten podjął się walki z silniejszym przeciwnikiem, bo słyszał zbliżającą się pomoc.

Z domu nadbiegał gospodarz, goście i dwaj Murzyni.

— Tu, do mnie! — wrzeszczał Murzyn — mam je!

Radosne wycie odpowiedziało mu.

Murzyn wyrwał się z rąk farmera i zawołał:

— Idź pan swoją drogą! Ta kobieta przed chwilą zamordowała człowieka w naszym domu.

— To nieprawda! — jęknęła Józefa — nie wierz mu pan!

Już byli tamci wcale niedaleko i farmer uznał, że tylko szybkie działanie może tu być skuteczne.

Piorunujące uderzenie powaliło na ziemię Murzyna, który znowu się był chwycił Józefy.

Teraz ona była na chwilę wolna.

Farmer wziął ją za rękę prawą. Gertrudę lewą i puścił się z niemi biegiem w ciemną uliczkę.

Za nimi brzmiały dzikie krzyki pościgu. Lecz oni wybiegli wnet na ulicę jaśniej oświetloną i bardziej ożywioną. Tam na rogu stała wolna dorożka.

Woźnica, kafar jakiś, leżał na ziemi przy swoim koniu i spał —prawdopodobnie pijany.

Farmer nie zatrzymał się, by go zbudzić, lecz sam wskoczył na kozioł, a kobiety wsiadły do wnętrza dorożki, która pędem potoczyła się przez ulice.

Stanęli niedaleko przedmieścia portowego, obok wielkiego hotelu.

Farmer oddał powóz i konie parobkowi i wprowadził panie do wnętrza.

One nie bez wahania poszły za nim. Ufały mu wprawdzie, ale bądź co bądź był to człowiek obcy i one nie wiedziały, czy mogą mu za ufać i nadal.

Farmer spostrzegł coś i uspokajał je.

— Niech się panie nie boją — rzekł — to hotel bardzo porządny i tu panie jesteście bezpieczne przed gospodarzem tamtej nory karcianej. On nie wniesie przeciwko paniom oskarżenia o morderstwo, bo samby na tem najgorzej wyszedł.

— Niech panie zatem będą spokojne — dodał. Ja sam mieszkam tu także i zostaję jeszcze przez kilka dni. Jeżli paniom czemś będę mógł służyć, to jestem gotów każdej chwili.

Proste jego i szczere słowa i całe zachowanie się, pełne szacunku wzbudzały zaufanie u kobiet. Podziękowały mu za pomoc, a Józefa opowiedziała mu w krótkości losy swoje i Gertrudy.

Farmer słuchał z naprężoną uwagą i współczuciem.

— Doprawdy, że to szczęście, żem się nawinął w czas, by paniom pomódz. Znam tę norę i jej gospodarza, tego łotra, który już dziesięć razy powinien wisieć na szubienicy. Z tem morderstwem to bądź co bądź poważna historya. Gospodarz nie zdradzi swego wspólnika świadków innych nie ma i koniec ostatecznie będzie ten, że przecię będzie się nazywało, że

to pani go zabiła, w obronie własnego życia — naturalnie.

— Chyba nam więcej będą wierzyć, niż temu łotrowi.
właścicielowi tak okrzyczanego domu — zauważyła spokojnie Józefa.

— W każdem razie jednak śledztwo będzie paniom niemiłe i dlatego radziłbym może raczej przez pewien czas pozostać w ukryciu.

— Najbliższym okrętem odjedziemy do domu, do ojczyzny — oświadczyła Józefa.

Farmerowi myśl ta widocznie nie bardzo się podobała, bo uprzejma jego twarz sposępniała. Był to młody jeszcze człowiek i Józefa od pierwszego wejrzenia zrobiła na nim silne wrażenie. Znać było, że mu to nie w smak, że tak prędko się skończy ta nowa znajomość.

Przez chwilę nie mówił nic, ale szczera jego twarz zdradziła wszystko. Chodził po pokoju, który wynajął dla Józefy i Gertrudy.

Józefa zauważyła to.

Wstała zakłopotana i rzekła:

— Jeżeli pan chce, to jutro jeszcze o tem pomówimy. Dziś już późna noc i pan zechce już się położyć. Tymczasem dziękujemy panu raz jeszcze.

Podała mu rękę, którą farmer ciepło uścisnął.

Potem pożegnał się i poszedł do swego numeru.

Józefa i Gertruda długo jeszcze nie mogły zasnąć i rozmawiały o tem, co je jeszcze czeka.

W tym obcym kraju pozbawione były wszelkiej opieki. Znalazły wprawdzie szlachetnego człowieka, który się niemi zajął, ale kto wie, czy on je i na przyszłość będzie mógł ochronić?

Nie ma co, musimy wrócić do kraju — rzekła na koniec Gertruda, i to najpierwszym okrętem, który odchodzi w tamtą stronę. Pojedziemy do mego ojczyma. On źle zrobił wprawdzie, że mi einsmzłłj-.ioeeiaZcźct,gammmentcy dzie, że mnie zmusił do wyjścia za hrabiego Sinobrodego, ale w gruncie jest to dobry i uczciwy człowiek, honorowy i przyjmie ciebie także. Opowiemy mu jak haniebnie się obszedł z nami ten człowiek, którego żonami byłyśmy.

— Dobrze, moja złota — zgodziła się Józefa — to w istocie jest najlepsze. Spodziewam się, że ojczym twój, kiedy się dowie o wszystkiem, zemści się za nas na łotrze, który nas zapędził w nieszczęścia. Skoro będziemy w domu, uderzy dla hrabiego Sinobrodego godzina kary i pomsty. Zdemaskujemy wtedy tego rozpustnika i mordercę kobiet!

Rozdział 61.

ZAGADKOWY ZŁODZIEJ.

Walerya nie zatrzymywała się dłużej na zamku Wildenfels. W czasie pościgu brata za rybakiem, pojechała do domu.

Była to zimna noc i śnieg padał gęsty. Z trudem tylko posuwały się sanie przez puszczę powoli, tak, że Walerya dopiero z.. kilka godzin była na swoim zamku. W ciepłym buduarze oddała się swym myślom.

Sądziła że jest sama i nie przeczuwała że ktoś ją podpatruje. Tymczasem chwilę przed nią wszedł był do tego pokoju człowiek jakiś dziwacznie ubrany i zamaskowany. Wszedł był do zamku niespostrzeżenie i tu się zakradł.

W buduarze próbował dorobionym kluczykiem otworzyć damskie biureczko, ale usłyszał zbliżające się kroki.

Wtedy prędko zatarł ślady swego kroku i schował się w nyży oddzielonej od pokoju tego pluszowemi firankami.

Tam stał nieruchomo i zaglądał do buduaru. W nyży było ciemno i gdyby nawet Walerya bvła spojrzała w tamtą stronę, nie byłaby go spostrzegła za portyerą.

Kto to był?

Poco tu wtargnął tak tajemniczo?

Teraz Walerya wyciągnęła list Agaty i raz jeszcze przeczytała go sobie półgłosem.

Obserwator pochylił się naprzód, oczy jego błyszczały z pod maski, zdawało się, że wyskoczy z ukrycia i list wydrze jej z rąk.

Wtem Walerya obróciła się przestraszona.

Zdawało się jej, że słyszy jakiś szelest.

— Co to? — szepnęła i patrzyła przerażona na portyerę. Ale tam twarz obserwatora znikła i portyera wisiała spokojnie i gładko.

Walerya przez chwilę nadsłuchiwała, ale słyszała tylko wycie wichru, który miotał śniegiem za oknami. Musiała się omylić.

— Jutro muszę znowu odwiedzić hrabiego — szeptała. Boję się trochę tego spotkania, ale to musi być. Ja muszę cel swój osiągnąć! — Ciekawam, czy on też mnie podejrzewa? Ach, ten agent! Ten nędzny szpieg! — zawołała głośniej nieco i podskoczyła po pokoju i nieraz była tak blizko portyery, że się jej dotykała suknią. List Agaty trzymała jeszcze w ręku nie pamiętając o tem.

— Ej! — zawołała nagle, dumnie podnosząc głowę. — I tym razem zwyciężę! Agent może się domyśleć czego chce, ale dowodów żadnych nie ma. Postaramy się też o to, żeby ich nigdy nie miał. Ba, gdyby miał ten list, pi-

smo Agaty—musiałąbym drżeć przed nim. Ale ten papier nigdy nie wpadnie w jego ręce!

Przystąpiła do biurka i schowała list w tajemnej skrytce, którą potem na nowo zamknęła.

Przez ten czas przypatrywał jej się z ukrycia zamaskowany przybysz i nie spuszczając z niej oka, widział wszystko nie wyłączając tego, jak chowała do kieszeni kluczyki.

Potem wyszła z buduaru, bo było już około północy. Wnet ozwał się dzwonek przyzywający do niej garderobianę. Zamaskowany wciąż stał nieruchomo za portyerą i widział jak garderobiana przez buduar do sypialni, przechodziła obok niego i nie widziała go.

Po chwili garderobiana wróciła niosąc na ramieniu suknię swej pani i powiesiła ją do szafy. Potem zgasiła lampę w buduarze i poszła.

Zamaskowany widział wszystko. Jeszcze wciąż stał bez ruchu za portyerą. Cisza grobowa panowała w zamku. Z wieży zamkowej uderzyła godzina pierwsza. Wtedy on bez szelestu wszedł do pokoju, zapalił latarkę i zakradł się przed drzwi sypialni.

Ostrożnie ujął za klamkę, ale natychmiast cofnął rękę. Drzwi były wewnątrz zaryglowane.

Dokładnie słyszał regularny oddech —Walerya spała.

Przyłożył ucho do szpary i słuchał.

Bez szmeru przeszedł teraz po grubym dywanie do szafy, gdzie wisiała suknia. Walerya musiała zapomnieć wyjąć kluczyki z kieszeni.

Potem powrócił do drzwi od sypialni i nadsłuchiwał znowu. Nie słyszał nic, prócz tykotania zegara i wycia wichru.

Zbliżył się do biurka i dopasowywał klu- c.:.

Wnet otworzył skrytkę za którą była druga, a w niej list Agaty. Widział przecież dokładnie, jak go Walerya tam chowała.

Pieniądze leżące w szufladkach pozostawił nietknięte, usiłował tylko otworzyć tylną skrytkę, gdzie był list o który widocznie jedynie mu się rozchodziło.

Zręcznie manipulował po tylnej ścianie pierwszego schowku, aby się dostać do drugiego, świecił sobie latarką, ale napróżno. Nie mógł odnaleźć mechanizmu, który otwierał ukryty schowek.

Z kieszeni długiego surduta wyciągnął teraz różne przyrządy złodziejskie. Cienkie ostre żelazo wsunął w szparę pod tylną ściankę, krótki trzask i ścianka poddała się.

Znowu nadsłuchiwał z zapartym oddechem, czy Walerya nie usłyszała trzasku, ale wszędzie tak cicho, jak dotychczas.

Teraz jeszcze jedno lekkie pchnięcie — jeszcze jeden lżejszy trzask i ścianka zapadła się —druga skrytka leżała przed nim otwarta.

Sięgnął do wnętrza wyciągnął kupę papierów — na samym wierzchu list Agaty.

Okrzyk tryumfu wyrwał się z jego ust, dłoń zadrżała mu ze wzruszenia. W następnej chwili list znikł w jego kieszeni.

Pozostałe papiery wrzucił napowrót — ściankę wstawił na dawne miejsce, tak, że na pierwszy rzut oka nie można było poznać,że jest wyłamana i zamknął także pierwszą, zewnętrzną szufladkę. Następnie uporządkował na biurku wszystko ta jak było i nawet kluczyki zaniósł do szafy i włożył do kieszeni sukni.

Ani Walerya ani nikt wogóle w całym zamku nie spostrzegł się, że ktoś się tam tak rządzi. Jednakże nie było mu przeznaczonem ujść niespostrzeżenie. Kiedy już wychodził, potrącił nogą o kolumnę, na której stała waza.

Waza ta spadła i z hukiem rozbiła się na kawałki.

Wnet ożywiło się w sypialni. Walerya obudziła się i słysz ąt3 aFewi atłztn,iaf?Pote.św dziła się i słysząc ten dźwięk, chwyciła rewolwer leżący obok łóżka na haczku. Równocześnie przcisnęła guzik elektrycznego dzwonka, poczem na wszystkich kurytarzach zaczęły przeraźliwie dzwonić dzwonki.

Walerya wyskoczyła z łóżka, zapaliła światło, odsunęła zasuwkę i ze świecą w jednej, a z rewolwerem w drugiej ręce, weszła do buduaru.

Podniosła świece, ale nie zauważyła nikogo.

Czyżby się była omyliła? Nie, oto stłuczona waza na ziemi, więc ktoś tu musiał być. Nikt inny, tylko Ludwik Hecht, jej mąż. Zapewne on.

W przedpokojach i kurytarzach panował gwar. Walerya otworzyła drugie drzwi i pobiegła naprzód przez kilka pokojów. Wtem usłyszała przeraźliwy krzyk kobiecy i z ciemności wyłoniła się biała postać kobiety. To jej garderobiana. Do progu skradał się jakiś mężczyzna.

— Stój! Kto to — zawołała Walerya.

Człowiek ów znikł, jak cień i ona chciała pobiedz za nim. Ale garderobiana drżąc z trwogi uwiesiła się jej na ramieniu.

— Jaśnie panienko, na miłość Boską, proszę zostać — błagala — to straszny człowiek. Ze sztyletem rzucił się na mnie, gdy mu weszłam w drog

— Głupiaś — ofuknęła się Walerya i wyrwawszy się z jej rąk, pokazała służbie w którym kierunku złodziej uciekł.

Wróciła do buduaru, za nią garderobiana drżąca i ledwie na nogach mogąca się utrzymać ze strachu.

— Widziałaś twarz jego — zapytała zaniepokojona, że to może naprawdę jej mąż. Zważyła, że to było fatalne dla niej, gdyby go złapano i życzyła sobie teraz ażeby on umknął.

— Nie, proszę jaśnie pani, bo on miał maskę i tak okropnie w niej wyglądał, że mało nie umarłam ze strachu.

Walerya była zdumiona.

Maskę miał? Chciał więc, ażeby go niepoznano w razie czego? To wzmogło jej podejrzenie. Tylko jej mąż mógł w ten sposób wystąpić.

Rozglądnęła się i niespostrzegłszy śladów jego pobytu, uśmiechnęła się uradowana.

Przeszkodzono mu! Strąciwszy wazę, musiał umknąć przed wykonaniem zamiaru.

Niebawem służący wszedł do pokoju obok buduaru.

— Złapany — zapytała Walerya z progu.

— Nie, proszę jaśnie pani, uciekł. Czy mamy go dalej ścigać?

Nie trzeba. I tak na nic się nie zda — zadecydowała.

Służący wyszedł.

— I ty możesz iść spać — rzekła Walerya do garderobianej.

— Ach, niech mi jaśnie panienka pozwoli tu zostać, on może jeszcze tutaj i ja się boję.

— Jeżeli chcesz, to możesz tutaj w buduarze spać — odrzekła Walerya i wróciła do sypialni.

Położyła się uspokojona i śmiała się w duchu złośliwie, że Ludwik nic nie wskórał tym razem, tylko z próżnemi rękami musiał uciekać,

Tak sądziła i ani jej na myśl nie przyszlo że to mógł być ktoś inny, jak jej mąż, i że nie po jej skarby przybył, ale po coś innego. Nie myślała o tem, żeby zaglądnąć, czy też list Agaty jest jeszcze tam, gdzie go położyła.

Garderobiana zaś strwożona zamykała wszystkie drzwi na klucz i nie gasiła lampy. W dziecinnej trwodze sądziła, że złodziej może ze chce powrócić i siłą wziąć to, czego nie mógł wziąć ukradkiem.

Rozdział 62.

DOLA I NIEDOLA.

Gerhard, nieszczęśliwy właściciel gospody 'Pod pełnym dzbanem'' siedział późną nocą w swej celi więziennej i czuwał. Katynka dawno już się musiała pożegnać z ojcem, ale oboje byli pełni nadziei. To, co Winter zbadał, musiało sędziego przekonać o niewinności więźnia.

Winter oświadczył też, że ministrowi, hrabiemu Edmundowi Linderhof poleci gorąco los przyszłego teścia. Miało się pokazać, jak skuteczne będzie orzeczenie ministra.

Późna już była noc, ale od kilku dni miał lampę i książki, tak, że długich wieczorów zimowych nie musiał spędzać w smutnej ciemności.

Właśnie chciał gasić lampę, gdy drzwi się otworzyły i wszedł prokurator.

Gerhardowi serce uderzyło radością, ale wnet spostrzegł minę urzędnika — jak zwykle — posępną i ponurą.

Pod zimnem, ostrem spojrzeniem tego człowieka nadzieja go opuściła i serce mu się ścisnęło trwogą.

— Nie złożyliście żadnego zeznania — rozpoczął urzędnik chłodno. Służąca wasza twierdziła wprawdzie, że Piotr ukradł ten nóż z gospody. Według tego on musiałby być mordercą. Ale to twierdzenie nie ma żadnych dowodów.

Przerwał na chwilę, a mina jego i nadal nie zapowiadała nic dobrego.

— Mojem zdaniem — mówił potem dalej— oskarżenie przeciwko wam jest uzasadnione i dowody waszej winy niezbite. Radzę wam wtedy otwarcie wyznać wszystko.

Nieszczęśliwy więzień podniósł się, blady jak trup, i patrząc śmiało w oczy urzędnikowi, zawołał uroczystym głosem:

— Nie mam co wyznawać, bo jestem niewinny. Na Boga Wszechwiedzącego przysięgam, że to jest prawda!

Posępna twarz prokuratora ani nie drgnęła.

Zaprzeczył ruchem głowy i szorstko, gniewnie prawie odrzekł:

— Zapewnienia takie nie mają racyi! — Dowodów!!

— Boże mój! — jęknął nieszczęśliwy i rozpaczliwie zakrył twarz rękami — a więc i to na nic, co Winter dla mnie zrobił!

Płacz straszliwy wstrząsnął nim, gdy opadał na krzesło. Ostatnia iskra nadziei w nim wygasła.

Prokurator patrzył na niego z zakłopotaniem i chrząkał głośno.

— Mam wam jeszcze coś do powiedzenia! — rzekł ostro, zły może, że jego bystrość i sprawność sędziowska go zawodzi

Gerhard spojrzał na niego pełen naprężonego oczekiwania.

— Ponieważ się zapieracie, — mówił urzędnik— a dowody waszej winy są niewystarczające, śledztwo przeciwko wam się wstrzymuje. Na rozporządzenie jego ekscelencyi pana ministra jesteście wolni.

Powiedziawszy te słowa chłodno obrócił się i wyszedł. Zrobił, co mu kazano, bo musiał, ale o niewinności jego nie był przekonany i gniewało go to, że musiał więźnia wypuścić na wolność.

Przy więźniu pozostał tylko dyrektor więzienny, osłupiały ze zdziwienia. Z początku rozmowy nie spodziewał się takiego wyniku.

To samo było z więźniem. Przygotowanego już na wszystko najgorsze, pozbawionego wszelkiej nadziei, radosna wieść uderzyła jak grom. Oniemiały wzniósł ręce ku niebu i łzy puściły mu się z oczu po bladych policzkach.

— Możecie więc iść — przerwał mu dyrektor — ale, że jest późna noc, więc może zechcecie tu zostać do rana?

Gerhard kiwnął głową, bo nie mógł nic wykrztusić. Dyrektor wyszedł — drzwi zostały otwarte, bo on już nie był więźniem.

Nazajutrz rano Katynka przyszła po ojca, który upojony radością wyszedł na wolność.

Ale dokąd?

Gospoda jego zburzona, dachu nie miał nad głową, i był biedny jak mysz kościelna.

Przyjęli go chętnie dobrzy ludzie w zajeździe na przedmieściu, gdzie i córka jego znalazła była przytułek.

Wnet zjawił się i Winter, dowiedziawszy się w więzieniu, że Gerharda wypuszczono. Stary dziękował mu ze łzami, a on opowiedział rozmowę swoją z ministrem, bez którego interwencyi wszystko byłoby daremne.

W świetlicy zajazdu siedzieli wszyscy troje, ciesząc się swem szczęściem, a Winter zaczął opowiadać, jakie przyjął zlecenie.

— Za kilka dni jadę więc do Indyi, by odszukać hrabinę Agatę — mówił. Nie wrócę prędzej, jak za cztery miesiące.

To mówiąc objął Katynkę i patrzył na nią czule myśląc o długiej rozłące.

Ona zbladła i zatrwożyła się.

— Do Indyi? — zawołała i łzy cisnęły się jej do oczu — ja nie chcę Reinholdzie — to niebezpieczne! tam ci się coś może stać złego.

—Niema większego niebezpieczeństwa, niż tu! — odpowiedział spokojnie i pogłaskał ją po głowie. — A zresztą zważ, ile wdzięczności jesteśmy winni ministrowi. Kto wie, coby się było stało z naszym ojcem, gdyby nie on. Krótko mówiąc — uważam to za swój obowiązek i postaram się wrócić mu żonę, którą tak bardzo kocha. Czy chcesz mnie od tego powstrzymać?

— Nie, nie! — zaprzeczyła Katynka przekonana, ale mimo to jeszcze zapłakana — biedna! Uwolnij ją i przyprowadź napowrót do kochającego męża!

— A potem nasze wesele! — zawołał wesoło Winter i uścisnął ją czule. Tymczasem odbuduje się ''Pełny dzban''. Pieniędzy nam dzięki Bogu nie brak!

Wyciągnął banknoty, które mu dał poprzedniego dnio hrabia Edmund i rozłożył bogactwo swe na stole. Z niemem zdziwieniem patrzył Gerhard z córką na to.

— Pięćdziesiąt tysięcy marek!—rzekł Winter. — Dwadzieścia tysięcy biorę na podróż. Wieęcej mi nie potrzeba. Reszta dla was. Sądzę, że na budowę wystarczy.

Niespodziewana radość opanowała wszystkich. Wprawdzie Gerhard zrazu nie chciał przyjąć pieniędzy, ale Winter bez długiego gadania wsunął je w rękę narzeczonej i rzekł:

— Jako moja przyszła żona, musisz moje pieniądze uważać za swój majątek i koniec! — zawyrokował.

Ona może nie bardzo była przekonana, ale nie mogła znaleźć innej odpowiedzi prócz łez i całusów.

Gerhard musiał się zgodzić

Winter ścisnął go i rzekł:

Z Sinobrodym porachujemy się jeszcze. Nie bój się pan o Katynkę, gdy mnie nie będzie. Piotr nie żyje i Sinobrody nie odważy się drugi raz rękę pa nią wyciągnąć. Na wszelki wypadek zarządzę środki ostrożności. Katynka nigdy nie będzie bez opieki, a ojciec dzięki Bogu znowu może też nad nią czuwać.

Gerhard zacisnął pięście z gniewem i nienawiścią.

— To oni — hrabia Sinobrody i szubrawy jego sługa Piotr — to oni ponoszą winę mego nieszczęścia, — wybuchnął. — Mnie napiętnowali jako zbrodniarza, a co córka moja przez tych nędzników musiała wycierpieć, to haniebnie, to pomstę do nieba wołające! Dom nasz spalili, nas samych w nędzę i w nieszczęście wtrącili. Piotr nie żyje, ale Sinobrody! O! tego łotra ja zawiodę do kryminału! Opowiem ci o nim coś, co cię ogromnie zadziwi.

— Ciekawym! — zawoła Winter.

Gerhard chciał mu wyjawić tajemnicę '''Pełnego dzbana'' ale przerwał mu okrzyk Katynki, która wyjrzawszy przez okno zawołała:

— Tato! zdaje mi się, że jedzie ciocia Kry-

styna z zamku Wildenfels!

Ojciec jej i narzeczony przystąpili do okna i zobaczyli zatrzymujące się przed domem sanie.

Woźnica zsiadł i pomagał zejść kobiecie otulonej w płaszcz i chusty do niepoznania.

— Tak, to ona! — zawołał Gerhard. Poczciwa! Dowiedziała się, że jestem wolny i śpieszy mnie powitać!

Katynka wybiegła na jej spotkanie i pomagając jej wejść do wnętrza izby, opowiedziała jej po serdecznem powitaniu, kogo tam zastanie.

Staruszka weszła ucieszona, ale Katynka nie dała jej się przywitać, ani mówić, póki nie zdjęła z niej staromodnych, dziesięciorakich okryć. Gerhard i Winter przypatrywali się z uśmiechem.

— Boże mój! Dziecko moje! Niechże cię wprzód przywitam! — broniła się Krystyna— No, już, Bogu dzięki! Mój dobry Gerhardzie No! Ledwie uwierzyłam! A to radość dopiero! A więc puścili cię wreszcie?! Prawda na niebie? o!

Z tym okrzykiem opadła znużona na stołek. Dookoła niej leżały malownicze stosy chustek, w które była owinięta, i ciężkie, odziedziczone po dziadkach, futro z olbrzymią kapuzą.

Mimoto skarżyła się, że je było zimno w otwartych saniach.

Ale ciociu! — śmiała się Katynka —przecież niema takiego mrozu! A w takiem futrze do bieguna możnaby się puścić!

— Ach, moje dziecko, jak będziesz w moim wieku... westchnęła staruszka.

Przywitała się teraz dopiero i wykazało się że nie miała pojęcia przed p r z y b y ciem o wypuszczeniu Gerharda.

— A więc ciocia przyjechała tylko do mnie? — spytała Katynka.

— Do ciebie, ale z powodu bardzo szczególnych okoliczności — odrzekła ciotka siadając na kanapie.

Wszyscy byli bardzo ciekawi tych okoliczności i pod wpływem ciepłej kawy, którą przyniosła gospodyni, a która staruszkę ogrzała i ożywiła, rozgadała się Krystyna dopiero.

— Coś się stało może na zamku Wildenfels — spytała Katynka.

— Tak jest, coś bardzo ważnego! — odpowiedziała ciotka i zwracając się do Gerharda, rzekła poważnie:

— Mój kochany przywożę ci radośną wiadomość!

Gerhard rzekł:

—Z zamku Wildenfels — nie oczekiwałem radosnych wiadomości.

— A teraz się dowiesz i zdziwisz się, jak nigdy w życiu. Posłuchajcie mnie od samego początku.

I zaczęła szeroko opowiadać, jak pewnego wieczora zjawił się w zamku stary hrabia i dał się poznać jej i staremu kasztelanowi, Tomaszowi.

— On żyje!? — zerwał się z radością Gerhard. — Nie zginął przy pożarze gospody?

Zanim Krystyna opowiadać miała dalej, wyjaśnił Winterowi, jaką tajemnicę kryła jego gospoda. Teraz dopiero wiedział Winter, że fałszywy hrabia w godzinie śmierci powiedział mu prawdę.

— A więc dodał jeszcze Gerhard — Sinobrody, to nikt inny tylko Robert, służący dawnego hrabiego Wildenfels. Pana swego zamordował w podróży i sam się teraz podaje za hra-

Krystyna ciągnęła dalej.

biego.

— Dla pana naszego i dla nas był jego pobyt w zamku zbyt niebezpieczny. Wydobył więc swój skarb, który schował sobie w zamku przed dziesięciu laty, zanim pojechał do Afryki — będzie może ze cztery miliony — i wybrał się znowu w świat.

— Boże mój — zawołał Gerhard ze strachem i znowu go niema?

Krystyna westchnieniem potwierdziła to.

— A co miał robić? Poszedł. Ale zostawił nam dużo ze swego majątku, a tobie kazał podziękować za wszystko dobre, coś dla niego zrobił w gospodzie i zostawił dla ciebie dużą sumę pieniędzy. Przywiozłam ci je odrazu, bo w zamku one nie są bezpieczne.

Kazała sobie podać swoją torebkę podróżną, którą Katynka wydobyła z pod futra i sięgnęła do jej wnętrza.

Wydobyła z głębi schowku sporą paczkę poobwinjaną nićmi i sznurkami i oblepioną pieczątkami. Poprzecinała sznurki, otworzyła pakiecik i rozłożyła zawartość jego na stole.

Było tam siedm pojedyńczych pakietów, z których każdy zawierał sto banknotów stumarkowych. Obok tego kładła powoli jeden po drugim trzydzieści rulonów złota. Na każdym było wypisane: tysiąc marek.

— Wszystkiego razem okrągło sto tysięcy marek — rzekła przekonawszy się, że nic w torbie nie zostało — schowaj to Gerhardzie, bo to twoje. Możesz sobie swoją gospodę na nowo pobudować

Radość Gerharda i Katynki była nie do opisania.

— Boże mój! Teraz dopiero jestem bogaty

— zawołał— weź teraz swoje pieniądze — zwrócił się do Wintera — bo na co nam tyle?— Winter cieszył się także, ale zajmowała go najbardziej osoba starego hrabiego.

—Czy pani w istocie nie wie, gdzie go można znaleźć?

— Chciał jechać do Ameryki, albo do Afryki. Kto wie kiedy powróci. Gdyby był wiedział, że Gerhard jest wolny, byłby się może zatrzymał, aby go jeszcze raz zobaczyć.

— A czy to jest dowiedzione, że ten człowiek to rzeczywiście hrabia Harald Wildenfels? — pytał Winter podniecony.

— My wierzymy, że tak jest — odpowiedział Gerhard. Co prawda, to dla świata nie starczy to za dowód.

—Bo był jeszcze człowiek, który się za hrabiego Haralda podawał — rzekł Winter i opowiedział historyę z fałszywym hrabią, o ile ją znał. — Umierający mówił mi jeszcze o ważnych dokumentach, które hrabiemu mogły posłużyć jako dowód. Niestety, papiery te chyba na zawsze teraz przepadły.

— Stary hrabia musi wrócić i obalić Sinobrodego — wtrącił się Gerhard. Dokumenty powinny się znaleźć. Czyż ten łotr, ten morderca kobiet, ma tryumfować? znamy przecież całą prawdę, wiemy, że to lokaj Robert i naszym obowiązkiem jest dopomódz hrabiemu do odzyskania jego praw.

— Każę szukać za nim — rzekł Winter zdecydowany — bo póki jego nie ma, nie da się nic zrobić. Grobowiec rodzinny na zamku Wildenfels także musi być zbadany. Nie mogłem tam jeszcze być, bo morze w zimie i w jesieni jest zbyt burzliwe.

Mówiono długo jeszcze na ten temat. Gdy się Winter już żegnał, wpadł jeden z jego podwładnych zasapany.

Winter wziął go do drugiego pokoju.

No co? — zapytał.

— Przychodzę właśnie stamtąd — odrzekł zdyszany Braun i zaczął sapać tak, że Winter przysunął mu krzesło i rzekł:

— Odpocznij pan wprzód, a potem pan opowie co pan zrobił.

— Mam list — wykrztusił Braun tryumfująco i wyciągnął z kieszeni list Agaty.

Winter z okrzykiem radości chwycił go i przeczytał, potem uściskiem dłoni podziękował Braunowi, obsypując go pochwałami.

Potem schował list i dał Braunowi banknot tysiąc markowy.

—Podziel się pan z Guenterem, on był także przytem?

— Tak jest panie komisarzu. Dziękujemy pięknie.

Schował uradowany pieniądze i opowiadał:

Wczoraj wieczorem zakradłem się do buduaru baronówny Waleryi, a Guenter został przyczajony na dworze. Miał mnie przestrzedz, gdyby się coś zdarzyło. Szukałem, ale listu nie znalazłem. Kluczykami swoimi nie mogłem nawet otworzyć biurka, w którem przepuszczałem, że list będzie. Nagle nadeszła Walerya i musiałem się schować.

Opowiadał dalej, jak ją podglądał i w jaki sposób list dostał.

— Nieszczęście chciało, że mnie jeszcze w ostatnie chwili odkryto i ścigano — ciągnął dalej — nie mogłem uciec z zamku, a Guenter, który słysząc hałas przybiegł mi na pomoc, także się nie mógł wydostać. Bylibyśmy musieli stoczyć walkę ze służbą. Na szczęście skryliśmy się w piwnicy i ztamtąd wyszliśmy dopiero w dzień, gdy wszystkie wejścia były otwarte i nikt nie zwracał na nas uwagi.

—Gdzie Guenter? — zapytał Winter troskliwie.

— W gmachu policyi. Nie mógł się już ruszyć, bo to okropna droga z zamku przez śnieg do miasta. Ja słyszałem, że pan komisarz tu jest i przywlokłem się jeszcze żeby przynieść list.

— Dobrze mój kochany, świetnieście się sprawili obaj, wypocznijcie sobie, bo od jutra, macie trudne zadanie znowu. Będziecie śledzić Sinobrodego, ale pomówimy jeszcze o tem. Ja temi dniami jadę do Indyi.

Pożegnał podwładnego.

— Teraz do ministra — szepnął sam do siebie.

Pożegnał się z Katynką, jej ojcem i ciotką Krystyna i pojechał do pałacu hrabiego Edmunda Wildenfels.

Rozdział 63.

W JASKINI LWA.

Wieczorem tego samego dnia w restauracyi "księcia Leopolda" w rezydencyi siedział siwobrody, tęgi jakiś pan przy sutej kolacyi. Był on tym i właśnie przybyło do rezydencyi. Powierzchowność jego wskazywała na to, że to bogaty kupiec. Drogocenne pierścionki błyszczą na jego palcach, a na brzuchu wisiał gruby łańcuch od zegarka.

Siedział sam przy stole, goście zapełniający cały lokol restauracyjny, nie zwracali na nie-

go uwagi. Ale przy drugim stole siadł sobie ktoś drugi, który się tym kupcem widocznie interesował. Zakrył się gazetą z pod której od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na niego.

Ten, wpisując przedtem nazwisko swoje do księgi hotelowej, pytał się o hrabiego Wildenfels i kazał sobie obstalować konie do jego zamku, dokąd miał zamiar nazajutrz wyjechać.

Wszystko to nie uszło baczności jego sąsiada, w którym, mimo przebrania, poznajemy męża Waleryi, Ludwika Hechta.

Uszedłszy szczęśliwie z zamku Wildenfels, zamieszkał w tym hotelu. Ponieważ przedsięwzięcie jego się nie powiodło, przeto finanse jego były w opłakanym stanie.

Wypatrywał sposobności, żeby się zaopatrzyć w pieniądze. Dziś wysłał był do Waleryi list, w którym pod groźbą zażądał większej sumy. Spodziewał się też, że ją dostanie.

Tymczasem intrygowało go to, że ten obcy człowiek pyta się o Sinobrodego i skąd go zna. Zarazem przyszło mu na myśl, że tu może nadarzy mu się sposobność obłowienia się.

Wtem nowy gość wszedł do restauracyi, a Ludwik zobaczywszy go zbladł i zadrżał. Był to Winter.

Ludwik skulił się, żeby ten go nie poznał i udał, że czyta gazetę.

Tymczasem Winter zbliżył się i widocznie kogoś szukał. Zapytał o coś płatniczego, a ten mu wskazał obcego kupca.

Winter zbliżył się do niego i przedstawił się a kupiec bardzo był ucieszony.

— Tak to ja jestem, radca Wendland, a więc pan otrzymał mój telegram?

Winter potwierdził to i rozglądnąwszy się dokoła, jak to zwykle miał zwyczaj czynić, usiadł. Łotra skrytego za gazetą nie zauważył.

— Bardzo mi się pan przysłużył — rzekł Wendland — wyszukując mnie dziś jeszcze w hotelu. Czy jest coś prawdy w tem wszystkiem co mówią o moim zięciu?

Winter wzruszył ramionami.

— Dowodów przeciwko hrabiemu nie ma. Wszelkie moje usiłowania nie doprowadziły do tychczas do żadnego rezultatu. Teraz pan, panie radco, możesz dużo zrobić. Policya gotowa jest panu pomódz w uzyskaniu pewności co do pańskiej pasierbicy i cieszymy się nawet, że wreszcie mamy coś konkretnego z czem możemy wystąpić przeciwko hrabiemu.

— Dziękuję panu panie komisarzu — odrzekł radca — ale ponieważ pan powiada, że dowodów przeciwko niemu niema, to nie chciałbym odrazu wystąpić wrogo. Bądź co bądź, jest on moim zięciem i otwarcie się przyznam, że trudno mi jest uwierzyć w to wszystko co o nim opowiadają, jako o rycerzu Sinobrodym.

Winter uśmiechnął się wyrozumiale.

— Więc co pan myśli zrobić? — spytał.

Hrabia pisał mi, że oddał żonę pod fachowy dozór. Podobno ma być chora na nerwy. Ofiaruje się, że da mi wszelkie wyjaśnienia których tylko zażądam. Zobaczę więc sam. Jutro rano pojadę do zamku Wildenfels i od tego, co on mi powie, zależeć będzie, czy zażądam pańskiej pomocy, czy nie.

Winter poważnie patrzył na niego.

— Hm! Chce pan sam jeden do niego pojechać — spytał znacząco.

— Dlaczego nie — zdziwił się radca.

— Hm. Miejmy nadzieję, że się panu nic złego nie stanie. Gdyby pan jednak do jutra wieczora nie wrócił, to ja poszukam pana tam na zamku.

— Mój Boże — zawołał kupiec zdumiony pan mówi tak, jakgdybym ja się wybierał do jaskini zbója jakiegoś. Widzę — mówił dalej, nie pozwalając Winterowi zaprzeczyć — że pan naprawdę jest uprzedzony do mego zięcia i uważa go za prawdziwego rycerza Sinobrodego. Ja mam nadzieję, że tak źle nie jest.

Winter mógł kupcowi niejedno opowiedzieć o jego zięciu, co by go bardzo zdziwiło, ale że dowodów jeszcze nie miał, więc postanowił z tem się zatrzymać.

Pożegnał się wnet z radcą i wyszedł.

Ludwik Hecht bacznie się przysłuchiwał całej rozmowie. Co było mówione ciszej, tego nie słyszał, ale bądź co bądź wiedział już, kto ten przybysz jest i po co przyjechał.

A więc to ojczym hrabiny Gertrudy — cieszył się — no! będzie się miał z pyszna Sinobrody. Miałbym ochotę temu staremu powiedzieć kilka przyjemnych słówek o jego zięciu.

Uznał jednak że będzie rozsądniej, nie zbliżać się do radcy.

— Ciekawym bardzo — myślał sobie — co się też na zamku dziać będzie jutro. Zdałoby się też zajrzeć jeszcze raz do skarbca.

Może tam jeszcze co jest. Fatalnie mi się nie udało pierwszy raz. Nietylko żem się nie obłowił, ale omal, żem tego nie przypłacił życiem.

Ze zgrozą myślał o tych dwóch dobach, któ re spędził w skarbcu. Myślał że to Sinobrody sam stamtąd go wyniósł i dlatego uważał za stosowne wynieść się czemprędzej.

Myśl o nieprzebranych skarbach tam znalezionych nie dawała mu spokoju. Z narażeniem życia wybierał się po raz drugi.

Z tym zamiarem poszedł do swego numeru.

Nazajutrz radca saniami pojechał do Wildenfels, dokąd zajechał dopiero popołudniu.

Hrabia Sinobrody naradzał się w swym pokoju z kimś bardzo pilnie.

— A więc komisarz jedzie do Indyi i stamtąd nie powinien wrócić — zakończył dłuższe przemówienie — i będziemy mieli spokój. Z teściem jeżeli przybędzie — damy sobie radę.

Ale zdaje mi się, że on się już uspokoił, bo już się nie odzywa.

Piotr potakiwał.

— Policya, to najgłówniejsze — rzekł z nienawistnym błyskiem oczu — ten Winter mu si powędrować na tamten świat, to moja rzecz!

Ozwał się dzwonek na dziedzińcu.

Przystąpił do okna i na pierwsze wejrzenie cofnął się blady jak trup.

Sinobrody myślał że to Walerya.

— Psiakrew! — to stary! — wyrwało mu się ze strachem.

Z trwogą patrzył z za firanki, a Piotr z drugiego okna także ukradkiem wyglądał na podwórze.

Radca komercyalny wszedł do sieni.

Nie wiedząc co począć, patrzał Sinobrody na sługę.

— Odważnie panie! — pocieszał Piotr. Skoro on tutaj zależy od nas, czy stąd wogóle wyjdzie.

— Masz racyę — odrzekł Sinobrody z okrutną decyzyą — zobaczymy.

To rzekłszy poszedł do drugiego pokoju.

Tam wnet służący oznajmił gościa, który też po chwili się zjawił.

Tymczasem gospodarz przemógł pierwszy strach.

Z wyciągniętemi rękami wybiegł naprzeciw gościa.

— Jak to ładnie! — zawołał — ojciec u mnie. Dlaczego mię kochany ojciec nie uprzedził?

Radca odpowiedział na powitanie chłodno i rzekł:

— Musiał pan być przygotowany na to — odrzekł — przywodzi mię tu troska o córkę. Wyjaśnienia listowne nie uspokoiły mnie.

Sinobrody udał obrażonego. Uśmiech znikł mu z twarzy.

Wskazał zapraszając na krzesło, ale radca nie przyjął.

— Czy wolno wiedzieć, jakie to troski gniotą pana radcę? spytał w tonie obrażonego.

— Zdaje mi się, że pan wie najlepiej. Żona pańska miała nagle umysłowo zachorować i znaleźć się w sanatoryum.

Gdy się potem dowiadywałem o nią, pisałeś mi pan, żeś ją oddał pod opiekę prywatną i nie uważałeś za stosowne powiedzieć mi nic więcej. A to mi stanowczo jest za mało.

Mówił wzburzony i z widoczną podejrzliwością.

Ten uśmiechał się, jakgdyby w istocie miał czyste sumienie.

— Przyznaję, panie radco, że dałem powód do nieporozumień — rzekł składnie — bo powinienem panu był poprostu przywieźć córkę do domu. Żądał pan tego nawet, ale właśnie to żądanie, wypowiedziane w formie szorstkiej, spowodowało mnie do odmowy.

— To mnie trzeba było uspokoić dokładnemi wyjaśnieniami. Mam nadzieję, że to się stanie. Gdzieś pan umieścił żonę?

Sinobrody przygotowany był na to i nie dał się zbić z tropu.

— Niedaleko stąd u jednej szlacheckiej rodziny — odrzekł. Nie trzymam jej tu, bo lekarz zakazał wyraźnie. Nie wie pan jeszcze z jakiej przyczyny ona zachorowała, więc panu powiem.

Spokój jego wywołał na przybyszu wrażenie przez łotra pożądane.

Radca się uspokoił.

Siadł i patrzył na Sinobrodego z naprężeniem.

— Słyszał pan już o tych dziwnych wieściach, które tu w okolicy o mnie krążą? zapytał tamten nagle.

— Tak. I to właśnie spowodowało mnie do podejrzenia.

Sinobrody uśmiechnął się.

— Myślałem to sobie. Sądzę też, że mi pan nie każe zaprzeczać plotkom zabobonnych chłopów. Żonie mojej jednak widocznie to szkodziło. Gadania chłopskie denerwowały ją i wprawiły w stan chorobliwej trwogi. Wróciwszy raz z przechadzki konnej, zastałem ją w gorączce. Lekarz radził odesłać ją natychmiast do zakładu leczniczego.

Wszystko to wyglądało bardzo prawdopodobnie. Radca musiał przyznać, że zięć jego nie zrobił nic złego. Ale przypomniał sobie słowa Wintera i nie był jeszcze uspokojony.

— Hm! — rzekł całkiem otwarcie — nie mogę się przekonać, czy rzeczy które o panu się opowiada, nie polegają na prawdzie. Dziwne mi się wydaje, żeby Gertruda miała się tak przejąć gadaniną służby i chłopstwa.

— A jednak jest tak. Czy może ojciec sądzi że w tych plotkach ciś prawdy się ukrywa?

— Panie hrabio — rzekł na to starzec z bystrem spojrzeniem — opowiadają sobie ludzie, że pan już kilkakrotnie byłeś ożeniony i że żo-

ny pańskie w tajemniczy sposób miały znikać ze świata.

Sinobrody zadrżał i zbladł usiłując pokryć zmieszanie wymuszonym uśmiechem.

— Wiem, słyszałem te idyotyczne gadania! Naturalnie, że wtem niema ani słowa prawdy.

— Być może! Choć opowiadali mi o tem ludzie, zasługujący na wiarę.

— A co panu opowiadali o mnie? — spytał Sinobrody ponuro.

— Że to nie same plotki — odrzekł radca, najlepszym dowodem jest tego to, że policya się tem zajęła.

Sinobrody przestraszył się jeszcze bardziej.

Ale jeszcze raz zdobył się na uśmiech.

Radca jednak spostrzegł jego zmieszanie i to utwierdziło jego podejrzenia.

— Któż to panu opowiadał takie głupstwa? — spytał Sinobrody — wymień mi pan nazwisko tego człowieka, abym go mógł pociągnąć do odpowiedzialności.

Starzec odpowiedział chłodno:

— Komisarz policyi, Winter!

— A więc pan już się porozumiewałeś z policyą!? — zgrzytnął Sinobrody. Znam tego chłystka. Nienawidzi mnie i dlatego mnie oczernia.

— A więc moja córka ma być tu w okolicy. Gdzie i u kogo? — spytał teraz radca.

— U baronowej Rambow, na zamku Heiligensee.

— Gdzie to jest?

— Czy pan chce się tam udać? — spytał Sinobrody zaniepokojony.

— Naturalnie. Chciałbym przecie zobaczyć moją córkę.

— Dobrze. Pojedziemy razem — rzekł Sinobrody usiłując być swobodnym. — Właśnie wczoraj tam byłem, Gertrudzie jest lepiej i niebawem będzie zdrowa.

— Doprawdy? — spytał radca z niedowierzaniem.

— Jedźmy — dodał po chwili — dziś jeszcze chciałbym ją koniecznie jak najprędzej zobaczyć.

Sinobrody nie był zadowolony z tego.

Późno już i niepogoda! — rzekł — burza się zrywa i podróż w takich warunkach utrudniona, a tam na zamku nie możemy nocować. Proszę to zważyć i zaczekać raczej do jutra rana. Dziś ojciec będzie moim gościem.

Stary jednak upierał się przy swojem.

Sinobrody malował mu w najczarniejszych barwach niebezpieczeństwo podróży wśród zawiei, która w samej rzeczy zaczęła szaleć i wyć, rzucając płatami śniegu.

— Nie pozwolę nigdy żeby ojciec jechał w taką zawieruchę — rzekł stanowczo — mógłby nas śnieg zawiać razem z saniami. Drogi nie ma przez puszczę w zimie. — Pojedziemy jutro.

— Daleko to? — pytał radca już na pół przekonany.

— Trzy godziny drogi konno. Saniami dwa razy tyle i to nie na pewno.

No, to dobrze — zdecydował się radca, a Sinobrody tryumfował w duszy.

Kazał podać wino i przekąski i zająć się woźnicą radcy.

— Nie można go puszczać z powrotem w taką drogę — rzekł troskliwie.

Radca przekonany prawie, nie sprzeciwiał się już niczemu. Sinobrody był bardzo uprzejmy, oprowadzał teścia po zamku i wszedł też z nim do pokojów Gertrudy.

W swoim pokoju kazał podać wieczerzę, po której pili doskonałe wino.

Opowiadał o swych podróżach w Afryce, potem zwrócił rozmowę znowu na Gertrudę, żalił się wzdychając że ona chora, jakgdyby był najczulszym małżonkiem.

Radca dał się oszukać.

Czasem tylko przychodziło mu dziwne uczucie trwogi gdy mu się zdawało, że w oczach zięcia widzi jakiś błysk ponury, szatański.

Groza go przejmowała, ale wnet potem twarz Sinobrodego zamieniła się zupełnie i nabierała wyraz poczciwy.

Wino było świetne i w gawędzie czas ulatywał szybko.

Już kilka próżnych butelek stało pod stołem i gość wypił właściwie więcej, niż był powinien, gdy Sinobrody nadpoczął świeżą butelkę.

— Jeszcze szklaneczkę ojcze — nalegał nalewając złotawy płyn do lampki. — Noc jeszcze długa, a kto wie, kiedy ojciec znowu do mnie przyjedzie.

— O! ja będę często przyjeżdżał — odpowiedział radca ciężko obracając językiem. — Przyjedź ty z Gertrudą do mnie. To byłoby najlepsze. Podróże wogóle najlepszem są lekarstwem dla umysłowo chorych.

— Ojciec ma racyę — odpowiedział Sinobrody — tylko, że podróże kosztują bardzo wiele.

— Ojciec żartuje — rzekł — zamku nie zamienię na złoto. Przyznam się że liczyłem trochę na posag Gertrudy.

— Pieniędzy chyba wam nie brak.

Sinobrody zaśmiał się szydersko.

— Ależ naturalnie, dostaniesz go — zapewniał radca — chciałbym się tylko przekonać,

jak tu rzeczy stoją, bo ja jestem za to odpowiedzialny, rozumiesz. Pół miliona to nie co bądź.

Tępym wzrokiem patrzył w szklankę, twarz jego była nabrzmiała i czerwona, bo ogniste wino użyte w nadmiarze, poszło mu do głowy.

— Naturalnie — mówił coraz ociężalej — że skoro tylko Gertrudę zobaczę, pieniądze są bardzo schowane — kwity depozytowe mam przy sobie, jutro ci pokażę.

Sinobrody znowu uśmiechnął się z tryumfem, a dzika chciwość błysnęła mu z oczu.

Radca był taki ociężały i śpiący, że nic już nie widział dokoła.

Sinobrody nalał mu jeszcze jedną szklankę, ale on już nie wypił.

Chwiejąc się wstał i zażądał, ażeby go zaprowadzić na nocleg.

Sinobrody zadzwonił na służącego, światło i chwiejącego się teścia przeprowadził do apartamentów, które dla niego były przygotowane.

Przez ponury korytarz szli ku wysokim drzwiom, przez które radca przeszedł niepewnym krokiem.

Był to duży ze staroświeckim przepychem urządzony pokój, a obok niego mała sypialnia.

— A więc jutro jedziemy ojcze. Dobranoc.

— Dobranoc, synu — odpowiedział stary — będę spał jak suseł. Nie każ mnie zbudzić zbyt wcześnie.

— Tu lokaj na usługi ojca — zawołał za nim Sinobrody.

Poczekał aż lokaj wyszedł z powrotem z sypialni.

— Co ci mówił pan radca — zapytał go.

— Nic proszę pana hrabiego bo zaraz zasnął. Kiedy pan hrabia każe zdudzić pana radcę?

— Sam go już zbudzę. Jeżeli pan radca nie zadzwoni, to mu nie przeszkadzaj.

— Słucham.

Sinobrody udał się do pokoju w którym zostawił Piotra.

Ten czekał na niego i wnet rozpoczęły się obrady.

Piotr miał pewne wątpliwości, co do planu hrabiego, lecz ten uspokajał go.

— Inaczej nic się nie zrobi — oświadczył stanowczo — musisz to zrobić. Na mnie nie śmie paść podejrzenie. On się porozumiał z Winterem i ten szpieg wie o tem, że on tu jest. Musimy więc działać chytrze.

— Dobrze panie mam nadzieję że się nam powiedzie.

— Naturalnie, skoro nikt nie wie, że ty żyjesz. Nagroda cię nie minie. Pół miliona w papierach wartościowych ma on przy sobie. To już nasze.'

Co się teraz stać miało z ojczymem Gertrudy.

Wrogowie jego siedzieli jeszcze godzinę razem, potem Piotr wyjął ze skrzyni duży wór. Różne rzeczy jeszcze wziął do kieszeni, potem obaj jak złodzieje wykradli się z pokoju.

Burza szalała dokoła zamku, płaty śniegu spadały z ciemnego nieba.

Była to straszna noc, jakby stworzona na popełnienie okrutnej zbrodni.

Zamek Wildenfels miał wtedy jeszcze jednego gościa, o którego obecności w zamku, nikt nie miał pojęcia.

Był to małżonek Waleryi. Ludwik Hecht.

Wieczorem przed burzą, był już w zamku i skrył się w niezamieszkałą jego część.

Około północy dopiero skradał się ku wieży, gdzie był ukryty skarbiec.

Z rozmaitymi przyrządami do otworzenia kasy szedł na pewne.

W skrzydle naprzeciwko leżały pokoje, w których zamieszkał radca Wendland.

Tylko wązkie podwórze zamkowe leżało pomiędzy dwoma skrzydłami budowli.

Ludwik szedł ostrożnie przez puste podwórze, latarkę trzymając pod płaszczem, tak, że tylko drobne pasmo światła z pod niego się wysuwało.

Nagle stanął i spojrzał przez okno na przeciwległe skrzydło.

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczył tam nagle światło w dwóch oknach.

Zaniepokojony stanął.

Wiedział o tem, że te pokoje także są niezamieszkałe, że radca został w zamku, o tem nie wiedział.

Za cienką firanką widział wyraźnie cień mężczyzny.

Wtem przyszło mu na myśl, że może radca z powodu burzy pozostał w zamku.

Teraz firanka w jednem oknie przesunęła się nieco i Ludwik zobaczył wyraźnie postać i twarz Sinobrodego.

Tam dalej, u drzwi do sypialni, zobaczył też Piotra, którego poznał odrazu.

Zdziwienie jego było niemałe, słyszał bowiem także że Piotr nie żyje.

Jak to było możliwe, że chodzi po świecie i oto wdziera się do sypialni gościa.

Tknięty przeczuciem stał miotany uczuciem trwogi i zgrozy.

Co to nocne wdzieranie się tych ludzi znaczy?

Co się tam dzieje?

Sinobrody z Piotrem nocną porą nad łożem gościa? Było to mocno pedejrzane.

Ludwik stał jak przykuty do miejsca i oka nie spuszczał z przeciwległych okien, gdzie przez odsuniętą przypadkowo ruchem Sinobrodego firankę, obejmował prawie cały pokój.

Teraz w drugim pokoju w oknie zabłysło światło, w owym pokoju stało łóżko pod baldachimem.

Piotr zbliżał się na palcach i patrzył na łoże.

Sinobrody ustąpił teraz od okna przy którem stał i firanka opadła. Ludwik nie mógł już tak dokładnie widzieć co się tam dzieje.

Cienie jakieś tylko widział przesuwające się na firance.

Był jednak pewny, że się tam dzieje coś strasznego, oddech zapierało mu uczucie zgrozy.

Przybliżył twarz do szyby i wytężył wzrok. Ale nic nie zauważył, bo firanka zasłaniała wszystko, co się tam działo.

Trwoga go opanowała, bał się, nie wiedząc czego.

Nagle szelest i głuche uderzenie, jakby upadnięcie ciężkiego ciała dało się słyszeć.

Potem przez krótką chwilę, głośniej, jak świst wiatru i wycie burzy, odezwał się przeraźliwy, rozdzierający serce okrzyk ludzki.

— Boże miłosierny, kto to krzyknął? co się tam stało w pokoju radcy?

Hecht drżał na całem ciele, włosy stanęły mu na głowie, krew zaskrzepła w żyłach.

Zerwał się do ucieczki w szalonej trwodze, ale był jakby przykuty do miejsca.

Straszna cisza panowała teraz.

Czy nikt więcej nie słyszał tego okrzyku?

W całym zamku było i nadal równie cicho jak przedtem.

Nagle zgasło światło, ciemność zaległa pokój, po chwili dopiero zabłysło znowu światło i posuwało się w jednym kierunku.

Ludwik Hecht zobaczył cienie dwóch mężczyzn, na firance. Widać też było, że wspólnemi siłami niosą jakiś ciężar. Znowu zrobiło się ciemno i obaj znikli.

Osłupiały Hecht powoli odzyskiwał władzę w członkach. Chwycił się za głowę.

Czy to był sen, czy jawa?

Czy to ktoś życie utracił z rąk strasznych zbójów?

Jeszcze brzmiał mu w uszach krzyk owej nieszczęśliwej ofiary.

Rozdział 64.

ZAŚLUBIONA ŚMIERCI.

— Ona umiera, o Boże, tracę ją na zawsze!

Tal lamentował książę indyjski leżąc na klęczkach przy łożu, na którym spoczywała Agata blada jak trup.

Minęła noc i ranek dnia następnego, a stan je się nie polepszył.

Kapłan był w strachu, bo dotychczas cała jego sztuka nie działała przeciw zabójczej truciźnie gadu.

Życie jego zawisło od tego, czy ją uratuje. Posłał więc po swoich towarzyszy, którzy przybywszy tłumnie zapełnili cały pokój i leżeli na klęczkach, modląc się.

W pałacu ciszy nic nie przerywało.

Straże przy drzwiach silnie uzbrojene, nie puszczały nikogo przez próg, kto nie miał pozwolenia księcia.

Kapłani wyszli, został tylko jeden, ten nieszczęśliwy.

Za nim stał Jussuf z obnażonym mieczem, u stóp Agaty leżała Delia płacząc i modląc się.

Serce jej pękało na widok pani leżącej bez ruchu, jakgdyby już nie żyła.

Przed pałacem lud tłumnie zebrany oczekiwał wiadomości. W całem mieście panowała żałoba.

Ten sam tłum kilka dni temu skakał dokoła stosu płomiennego i przeklinał Agatę jako złą czarownicę, dziś leżał w skwarze indyjskiego, południowego słońca i wyciem prosił Boga o jej uratowanie.

Tu objawiała się szalona moc kapłanów, którzy ten tłum prowadzili na pasku, jak stado owiec.

Teraz na zlecenie kapłanów motłoch modlił się o zdrowie młodej księżnej. Kapłani bowiem musieli się ugiąć przed wolą księcia. Wszyscy którzy brali udział w sprzysiężeniu zostali uwięzieni i skazani na karę śmierci.

Książę mądrze zrobił, że ich ułaskawił, bo zyskał sobie wszystkich kapłanów, którzy z zaciętych wrogów stali się jego przyjaciółmi.

Teraz w świątyni razem z arcykapłanem modlili się dalej.

Lament ich napełniał całą świątynię, a lud wtórował im z zewnątrz.

Intrygantka, księżna Nurrein, nie żyła już i nikt jej nie pamiętał. Imię Agaty było na ustach wszystkich.

Teraz zjawił się w pałacu zgrzybiały derwisz z pustyni, cudowny lekarz i ofiarował się, że księżnę wyleczy. Książę obiecywał mu za to wszystkie swoje skarby.

Długo przypatrywał się derwisz chorej i

nadsłuchiwał biciu jej serca.

Twarz jego żółta i pomarszczona, okolona długą białą brodą, pochmurniała.

Kadził korzeniami wonnymi, uderzał się kościstą dłonią w suche piersi — wszystko na n...

Gdy i ten święty człowiek nie zdołał wypędzić choroby, oddał się książę rozpaczy.

Ale derwisz chciał jeszcze spróbować ostatniego środka. Zgotował tajemniczy jakiś napój i wlał go w usta Agaty.

Nie widać było żadnego skutku.

Derwisz jednak oświadczył, że Agata nie umrze, że środek jego musi poskutkować.

Książę nie miał już nadziei i odesłał derwisza.

Po kilku godzinach Agata zaczęła dawać znaki życia. Oddychała silniej, pierś jej falowała i nareszcie otworzyła oczy.

Z niesłychanem napięciem nerwów obserwowali obecni te znaki życia. Okrzyk radości wyrwał się wszystkim, książę chwycił rękę Agaty i łzy radości puściły mu się z oczu.

— Ałłach niech będzie pochwalony! — zawołał. — Nieba mi ciebie zwracają! Będziesz żyła! Bóg miłosierny wysłuchał naszych modłów.

Agata leżała przez chwilę w milczeniu, wzrokiem wodziła po pokoju, potem rzekła cicho, ledwie zrozumiale.

— O nie — umrę — czuję to, ja widzę zbliżającą się śmierć.

Książę zbladł.

— Nie, nie! Ty nie możesz umrzeć! Pan Bóg nie pozwoli tryumfować złości.

Skinął na służbę i kazał jeszcze raz zawołać owego derwisza.

Szukano go wszędzie, ale on znikł bez śladu. Widocznie sam nie miał zaufania w swoją sztukę i obawiał się teraz o swoje życie, bo on byłby odpowiedzialny za śmierć księżny.

Kisążę był niepocieszony.

Kazał przeszukać cały pałac i okolicę. Derwisz musiał być niedaleko.

Ale próżne było wszelkie szukanie.

Wieczór zapadł i pokój oświetlony został licznemi ampułkami.

Agata znowu zamknęła oczy i widocznie życie z niej uciekało — śmierć coraz bliżej jej łoża.

Po kilku godzinach raz jeszcze otworzyła oczy.

Książę, który nie odstępował od niej, podniósł się, pochylił się nad nią i dotknął jej czoła gorącym pocałunkiem.

— Książę! — szepnęła Agata z widocznym trudem. Czy chcecie mi spełnić jeszcze jedno życzenie?

— Wszystko, najdroższa moja, co tylko zrobić mogę na świecie.

— Po mojej śmierci zdejm mi te dwa pierścionki i poślij je z wiadomością o fakcie memu mężowi.

— Przysięgam! — odrzekł książę. Ale ty nie umrzesz! — dodał z trwogą.

Uśmiech ukazał się na jej obliczu, noszącem już piętno śmierci.

— Wola Boża — szepnęła — poddajmy się jej. Kochałeś mnie... wiem o tem... a mimo to nie mogłam dobrowolnie zostać twoją. Śmierć nas dzieli i tak jest dobrze... Nie czułabym się szczęśliwa przy tobie, bo serce moje należy do jednego... męża mego w ojczyźnie. Pamiętaj o przyrzeczeniu... powiedz, że w godzinie śmierci o nim myślałam... o gdybym mogła... umrzeć w jego ramionach...!

Głos jej się załamał.

Wzruszony do głębi i przygnębiony opadł książę na krzesło.

Raz spojrzała Agata na Delię, jakby jej coś chciała powiedzieć.

Łkając, zbliżyła ucho do jej ust.

— Niech książę nie zapomni przyrzeczenia — pilnuj — napisz mężowi, niech nie opuszcza mego dziecka.

— O najukochańsza pani! — lamentowała Delia, — jeżeli nie ma ratunku to ja także umrę z żalu.

Agata zbladła jeszcze bardziej i powieki jej zapadły. Z okrzykiem zgrozy zerwała się Delia:

— Nie żyje! — krzyknęła padając na dywan w kurczach spazmatycznych.

Książę patrzył na stygnące zwłoki z bólem niewymownym, który i jemu życie wypędzał z serca.

Pocałował Agatę w same usta, z których nie dobywało się już najlżejsze tchnienie, jej serce pod jego dłonią nie biło już... Książę odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach.

Zanim ją posiadł jako żonę, porwała mu ją śmierć.

Wieść żałobna rozległa się z żalem i płaczem rozeszła się prędko.

Kapłani ponieśli zwłoki w kosztownych szatach na katafalk w środku świątyni i złożyli je na jedwabne poduszki pomiędzy niezliczonemi płonącemi ampułkami.

Dookoła leżeli kapłani uderzając czołem o o ziemię a z ust ich brzmiał dziwny, głuchy, grobowy śpiew.

Nieszczęśliwy kapłan, któremu się nie uda-

ło uratować księżny, zakuty w kajdany czekał strasznego losu.

Wykazało się bowiem, że to on właśnie przyniósł był mściwej księżnie ową jadowitą żmiję. Nie było więc dla niego ratunku, bo potępiali go wszyscy.

W kajdanach pod strażą zawleczono go do świątyni przed ofiarę.

Błagał w rozpaczy by mu darowano życie.

— Na Boga! — zawołał, wskazując na Agatę — derwisz mówił prawdę! Ona żyje!

Sądzono słysząc te jego słowa, że z trwogi stracił rozum.

Nazajutrz rano otworzono świątynię dla ludu.

Tłum walił się do wnętrza nieustannie, mijał katafalk i pchany przez napływające szeregi z tyłu, wychodził drugą bramą.

Tak trwało przez cały dzień tysiące ludzi żegnało umarłą.

Pod wieczór książę wszedł z orszakiem do świątyni. Pochodnie rzucały krwawy blask w którym blada twarz Agaty dziwnie się wydawała ożywiona.

Książę wiedział że to pozornie, ale pochylił się nad nią w szalonej nadziei z dziwną myślą o jej możliwym jeszcze ratunku.

Zdawało się, że lada chwila ta marmurowa pierś podniesie się oddechem, że się otworzą te oczy, których spojrzenie serce napełniało miłością.

— Może ona żyje? — myślał.

Szalona była to nadzieja wobec tych zwłok bez ruchu bez życia. Śmierć oblubienicę trzymała silnie — zamiast do ślubnej komnaty, miała Agata pójść do ciemnego grobowca.

Długi czas książę nie mógł oderwać się od katafalku.

Kurczowo ściskał lodowato zimną dłoń Agaty i zdawało mu się, że te sztywne palce poruszają się w jego dłoni.

Ułuda! To własne jego ręce tylko drżały z bólu i cierpienia.

Ostatnie spojrzenie pożegnalne — łza upadła z oczu i potoczyła się po męskiej twarzy — i książę wyszedł.

Dwunastu niewolników — olbrzymie postacie — zabrało się do dzieła.

Podnieśli trumnę i wzięli ją na barki. Na przedzie szli kapłani, na końcu książę i tłumy niosących pochodnie.

Kapłan przywiązany do kolumny został odwiązany i w kajdanach prowadzono go za pogrzebem.

Powoli szedł orszak nocną porą pod stopy góry skalistej.

Ta wielka przez naturę stworzona pieczara ciągnęła się w głąb góry i tworzyła grobowiec książęcej rodziny.

Wejście zamykała silna żelazna brama.

Arcykapłan otworzył ją, poczem cały orszak pogrzebowy wszedł do wnętrza. To podziemne państwo umarłych, ta pieczara o ponurych dzikiemi szczelinami zasianych ścianach, z temi fantastycznemi kolumnami i głębokimi ciemnymi korytarzami — robiła wrażenie przejmujące grozą.

Pochodnie całym blaskiem oświeciły całą scenerye niesamowitą i tajemniczą. W środku w pierwszej dużej jaskini, tuż za wejściem do grobowca, orszak się zatrzymał. Trumnę ustawiono na samym środku, a zwłoki przykryto białym welonem, haftowanym złotą nicią.

Kapłani okrążyli trumnę raz jeszcze śpiewając głuche pieśni pogrzebowe, potem wszystko skierowało się do wyjścia. Ceremonia była skończona.

Tu w środku jaskini, złożona na katafalku, zmarła miała leżeć trzy dni. Starodawny zwyczaj nakazywał, że dopiero po trzech dniach miano trumnę umieścić w jednej z tylnych grot.

Do stóp katafalku przykuto skazanego na śmierć kapłana. Straszny los miał go spotkać. Śmierć miała go najść tu w jednej strasznej pieczarze, przykutego do trumny.

Książę oddalił się z orszakiem, pieczara się wypróżniła. Delia tylko leżała na klęczkach obok swej pani i płakała.

Wtem Jussuf, kochanek jej, zbliżył się do niej i napominał ją, żeby wyszła. Wreszcie i oni oboje, najwierniejsi słudzy Agaty — wyszli i skrzypiąc zawarła się brama grobowca książęcego. Ciemność i cisza grobowa zabiła to obszerne podziemie. Tylko rozpaczliwe jęki i westchnienia skazanego na śmierć kapłana, odbijały się straszliwym echem od sklepienia.

Czy Agata w istocie nie żyła?

Czy może kapłan ów miał racyę twierdząc, że ona się znowu obudzi do życia? Czy może napój pobożnego derwisza podziałał skutecznie?

W takim razie Agata leżała w letargu.

A jednak jeżeli tak było, jak straszne przebudzenie czekało ją.

Nikt tego nie przypuszczał.

Rozdział 65.

NA PLACU BOJU W AFRYCE.

Nazajutrz, farmer bardzo wzburzony wszedł z gazetą w ręku do Gertrudy i Józefy. Za nim szedł gospodarz hotelu.

Moje panie — zawołał — niebezpieczeń-

stwo wam grozi! Czytajcie panie co tu o was napisano.

Podał dziennik Józefie, która tak samo jak Gertruda, bardzo była przestraszona. W gazecie była między innemi następująca wiadomość:

W jednym z osławionych lokalów zamordowano ubiegłej nocy poszukiwacza złota, który podczas gry w karty poprzeczał się z innymi. Na przeciwnika natarł z rewolwerem w ręku, lecz ten uciekł i zgubił mu się z oczu. Ale poszukiwacz złota myślał, że on skrył się w jednym pokoju, w któ rym mieszkało dwoje dziewcząt. Wpadł więc tam, a jedna z dziewcząt sądząc, że on napada na nie, przebiła go sztyletem. Odgłos strzału, który poszukiwacz złota zdążył jeszcze wypalić, doprowadził do natychmiastowego odkrycia czynu. Ale dziew czętom tym udało się zbiedz z gospody. Ści gał je gospodarz ze służbą i gośćmi, po dro dze jednak ujął się za niemi jakiś nieznajomy i pomógł im w ucieczce.

Zarządzone śledztwo policyjne wykazało, że dziewczęta te, to niebezpieczne indywidua pełniące służbę szpiegów na korzyść republiki Transwaalu.Przebywają tu by podpatrzeć nasze plany i donieść je Boe rom. Prawdopodobnie sądziły że człowiek ten, który wpadł do ich pokoju, to wysłannik policyi, który je chciał aresztować i zapewne też z tej przyczyny zabiły go.

Tajemnicę ich wykrył inżynier włoski nazwiskiem Baldi. Przypadkowo podsłuchał on rozmowę tych dziewcząt z jakimś podejrzanym mężczyzną i z rozmowy tej domyślił się, że one rzeczywiście szpiegują i to z powodzeniem.. Człowiek ten, który im dopomógł do ucieczki, to bezwątpienia ich towarzysz i współwinny.

Używa się wszystkich środków, aby kobiety te pochwycić. Jednej z nich na imię Józefa drugiej Gertruda. Nazwiska ich nieznane. Muszą one być jeszcze w mieście. Za schwytanie ich wyznaczono nagrodę 50 funtów szterlingów.''

Gertruda z płaczem upadła na kanapę, Józefa blada i przerażona patrzyła na obu mężczyzn.

— Musimy czemprędzej uciekać — rzekł farmer — innej rady nie ma.

— Mój Boże — zawołała Józefa oburzona — jak można było rzucać na nas takie podłe podejrzenie.

— Musi to być chytra zemsta tego łotrowskiego agenta — rzekł farmer — ale cóż? Dla nas jest rzeczą niemożliwą dać dowody niewinności.

— Gdzież się ukryć, póki będzie okręt który nas zawiezie do domu? — wołała Józefa zroz paczona.

— Na razie nie ma mowy o tem, by wsiąść na okręt przestrzegał farmer — bo natychmiast byście panie wpadły w ręce policyi. Radzę paniom inaczej: Jedźcie ze mną do mojej farmy. Tam będziecie bezpieczne, bo nikt was tam nie będzie szukał. Nikt nie wie, że to ja panie wywiozłem. Po kilku tygodniach kiedy sprawa pój dzie w zapomnienie, możecie panie wsiąść na okręt i wrócić do ojczyzny.

Józefa spojrzała niezdecydowana na Gertrudę.

Wtem odezwał się gospodarz hotelu:

— Przyjmijcie panie bez wahania zaproszenie tego zacnego człowieka — mówił nalegając. — To w istocie jedyny ratunek dla was. Pan Berger, ofiaruje wam pomoc i możecie ją przyjąć z całem zaufaniem. Ja ze swej strony zrobię, co będę mógł.

Kobiety zgodziły się, ułożono plan ucieczki i Berger z hotelierem przynieśli kostyumy, z których one wybrały stosowne dla siebie ubra nia.

Z trwogą oczekiwały wieczora. Gdy się ściemniło, wykradły się z hotelu i pieszo wyszły na dworzec kolejowy. Tam niespostrzeżenie wsiadły do wagonu i spotkały się z Bergerem. Droga była daleka, dopiero nazajutrz mieli być na miejscu, u celu podróży.

Berger opowiadał po drodze, że jest żonaty. Żona jego Angielka w wojnie pomiędzy Anglią a Boerami była po stronie swej ojczyzny, gdy tymczasem on, Niemiec sympatyzował więcej z Boerami, którzy walczyli o swoją wolność.

Nad ranem przybyli na stacyę, skąd jeszcze do farmy było kilka mil drogi kołowej. Na stacyi pełno było wojska angielskiego, które dążyło dalej na południe na plac boju.

W miejscu tem walki jeszcze nie było, ale dochodziły wieści że Boerowie się zbliżają i popłoch był wielki, bo ludność nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwa wojny, uciekała w spokojniejsze okolice.

Józefa i Gertruda były także zaniepokojone, ale farmer uspokajał je, że do jego farmy wojna nie dojdzie.

Popołudniu zajechali do farmy. Był to okazały dworek z folwarkiem i zabudowaniami gospodarskiemi. Dokoła rozciągały się pola i łąki bujnie zarośnięte.

Ale dworek wyglądał jakby wymarły. Nie

widać było żadnego człowieka, bydła na pastwisku także nie było. Farmer był tem ogromnie zdziwiony.

Na podwórzu zobaczył starego Murzyna. Co się tu stało? — spytał go.

Ten odpowiedział ze smutną miną:

— Pani jest w mieście.

— Kiedy wraca?

— Pani nie mówiła. Tu byli żołnierze i zabrali wszystko bydło.

— Co — zawołał farmer oburzony — moje bydło? Kto, Boerowie?

— Nie proszę pana, nasi huzarzy angielscy z dwoma oficerami. Powiedzieli, że jak przyjdą Boerowie i tak wszystko zabiorą. To już woleli oni zabrać ale nie zapłacili.

— Zbóje — złościł się farmer — a gdzie nasi ludzie?

— Uciekli — proszę pana.

Farmer zaklął siarczyście. Oburzyło go, że ci żołnierze, którzy mają ochraniać dobytek obywateli, sami rabują.

Dla Gertrudy i Józefy, było to także rzeczą ogromnie niemiłą. Jak łatwo mogło się zdarzyć że znajdą się w samym środku walki.

Farmer uspokajał je, wprowadzając je do domu, gdzie zastał jeszcze tylko jedną starą służącą i kazał jej sporządzić posiłek.

Wieczorem wróciła z miasta żona farmera i zanim Józefa i Gertruda się z nią zobaczyły, usłyszały przez ścianę jak wyrzucała mężowi, że je przywiózł ze sobą.

Ależ moja Lydio — tłómaczył jej mąż — opowiadałem ci przecież o ich losie. Czyż ciebie nie wzrusza?

Żona odpowiedziała mu śmiechem szyderczym:

— Widzę że twoje dobre serce znowu tobą powodowało i pozwoliło ci się dać oszukać. Cóż ty wiesz o tych niewiastach pewnego oprócz tego, co ci one same opowiadały?

— To mi zupełnie wystarcza — odpowiedział szorstko — to są rodaczki.

— I dla rodaczek ty uważasz za swój obowiązek narażać życie i mienie — wołała Angielka — to ciekawe. Muszą być młode i ładne te rodaczki.

— Lydio oburzył się farmer i z gniewem uderzył pięścią w stół. Ale żona śmiała się tylko szyderczo.

— Wstydziłabyś się — mówił farmer hamując gniew — mówi przez ciebie brak rozumu, albo brak serca.

Angielka znowu odpowiedziała szyderczym śmiechem podobnym do syczenia żmii.

— Na tym punkcie co się tyczy serca i różnych uczuć, nie dojdzie między nami do porozumienia — mówiła z odcieniem pogardy. — Zawsze tak było między nami. Ty jesteś głupi Jasiu. Ta historya naprzykład dla każdego myślącego człowieka jest jasna. Dziennik podał prawdę o tyle, że ty grałeś rolę rycerza wobec dwu wyrafinowanych kobiet, którym się dałeś oszukać. Namyśl się, co masz uczynić, bo jeżeli je tu znajdą, to będziesz uważany za wspólnika ich.

Dość mi już tego — zawołał farmer rozgoryczony —powinienem był odrazu się domyśleć że te nieszczęśliwe nie znajdą w tobie przyjaciółki. Myśl sobie przezemnie co ci się podoba. Powiadam, że one zostaną tu i na tem koniec.

— Łam kark! — odpowiedziała, Lydia z wściekłością — mnie to jest wszystko jedno.

Mąż jej nie odpowiedział.

Obrócił się i wyszedł do ogrodu.

Ona patrzyła za nim.

— Po co ja wyszłam za tego durnia? — myślała sobie. — Coraz więcej on mi brzydnie. Teraz w czasie wojny z Boerami, dopiero się pokazuje jaki on głupi.To źle się skończy dla niego, ale dobrze mu tak. Ja się o siebie nie boję.

Strach i zgroza nie pozwalały Gertrudzie i Józefie ruszyć się z miejsca.

Z trwogą patrzyły na tę kobietę, której sposób myślenia objawił się im zaraz na wstępie do tego domu.

Ta wysoka, pyszna a zimna i bezduszna kobieta nie była w niczem podobna do dobrodusznego swego męża.

Gertruda i Józefa widząc, że ona odwraca się, by z werandy wejść do pokoju, cofnęły się by się z nią nie spotkać.

— Ani chwili nie możemy tu pozostać — rzekła Gertruda, gdy były w swoim pokoju i z płaczem rzuciła się na kanapę.

— Musimy uciec potwierdziła Józefa pocieszyszy Gertrudę — Berger powinien był wiedzieć, jaką ma żonę i nie zabierać nas tu, ale zostawić w Kapstadzie.

— Nie, broniła go Gertuda — on nie mógł wiedzieć, że ona okaże taki brak serca.

Najlepiej wybierajmy się zaraz, zadecydowała Józefa — aby tu nie zakłócać spokoju domowego. On nam da konie do najbliższego miasta.

— Tak jest, jedźmy — pochwyciła Gertruda. — Ja bym chciała odjechać stąd jaknajprędzej aby się nie spotkać z tą niedobrą kobietą.

— Zostań tu, a ja pójdę do ogrodu i pomówię z naszym przyjacielem.

To rzekłszy poszła Józefa do ogrodu, gdzie

spotkała Bergera.

Spojrzawszy na nią, przeczuł, że ona musi już coś wiedzieć.

— Mój dobry panie — uprzedziła go Józefa — przed chwilą mimowoli byłyśmy świadkami waszej rozmowy. Zrozumie pan tedy, że chciałybyśmy jak najprędzej wyjechać.

— Co? słyszałyście panie? — zawołał on z bolesnem zmieszaniem. — Chcecie panie wyjechać? Nie! Nie pozwolę na to!

Błagalnym ruchem chwycił ją za rękę.

— Nie może być inaczej — odrzekła stanowczo.

— Ach, nie słuchajcie panie gadania mojej żony! — prosił Berger — ona nawet nie myśli tak źle jak mówi.

Ale Józefa była niewzruszona mimo gorącej prośby i nalegania farmera.

— A więc zostańcie panie przynajmniej do jutra, to pojadę z wami i nie opuszczę was, póki nie siądziecie na okręt.

— Ach, miał pan z naszej przyczyny dość już niebezpieczeństw i przykrości, zresztą pańska żona nie zgodzi się na to, żebyś nam pan towarzyszył.

— Nie pytam się jej o pozwolenie. Muszę zresztą tak czy tak jechać do Kapstadu i żądać zapłaty za moje bydło, które mi żołnierze zabrali.

Józefa czuła to, że on tego używa tylko za pozór, ale nic już nie mówiła i zgodziła się poczekać do następnego ranka.

Wróciła do Gertrudy, a on ją odprowadzał.

Żadne z nich nie zauważyło że Lydia z za krzaka przysłuchiwała się ich rozmowie.

— Gdybym była zazdrosna — szepnęła teraz z ironią — podejrzewałabym ich o stosunek miłosny: Niech sobie jadą razem. Najwięcej by mnie cieszyło żeby on nie wrócił.

W nocy obudził mieszkańców farmy grzmot dział. Widocznie gdzieś w pobliżu musiała wrzeć bitwa.

Gertruda i Józefa ze strachem zerwały się ze snu i ubrały się prędko słysząc jak Berger i Ludia wołają na służbę.

Z okna poddasza, gdzie były umieszczone, widziały dokładnie błyskawiczne ognie strzałów karabinowych.

Niebo pokryło się łuną — widocznie miasto płonęło.

Nagle na drodze z miasta ukazał się orszak jeźdźców, w ciemności nie można było rozeznać czy to Anglicy, czy Boerowie.

Ozwało się gwałtowne uderzenie o bramę i rozkazujący głos aby otworzono. Stary Murzyn usłuchał, jeźdzcy wjechali na dziedziniec i zamknęli wrota napowrót.

Zabłysły pochodnie w których w świetle poznano angielskich huzarów.

Zajęli oni zabudowania, oficer zaś, z kilkoma żołnierzami poszedł do dworu. Obok niego szedł jakiś mężczyzna nieumundurowany. Józefa zobaczywszy go przy świetle pochodni, wydał okrzyk przerażenia. Był to agent Baldi.

— Jeżeli ten łotr nas tu spostrzeże, jesteśmy zgubione — szepnęła Gertrudzie.

— Boże mój! uciekajmy! — jęknęła Gertruda.

— Nie ma którędy. Jak nas zobaczą uciekające, to będzie jeszcze bardziej podejrzane. Czekajmy może żołnierze opuszczą farmę.

Ciężkie kroki, hałas i szczęk broni rozległ się w domu. Wtem — obie kobiety zadrżały — kroki rozległy się na schodach. Usłyszały głos agenta i gniewne słowa Bergera. O nich była mowa! Żona farmera zdradziła je!

W następnej chwili będą musiały drzwi otworzyć, a do izby wejdzie agent z żołnierzami. Wtedy uwięzi te nieszczęśliwe kobiety, jako szpiegów.

Groziło im straszne niebezpieczeństwo!

Rozdział 66.

CIEMNA ZAGADKA.

Jeszcze chwilę Ludwik Hecht stał nieruchomo na swem stanowisku i osłupiałym wzrokiem patrzył ku pokojom radcy komercyalnego. Tam było ciemno i cicho. Nagle w innym pokoju zabłysło światło. Ludwik Hecht zobaczył znowu dwie postacie — jak sądził. Piotra i Sinobrodego — i ten zagadkowy ciężar, który oni nieśli. Przeszli z tym ciężarem przez cały szereg pokojów i znikli.

Niebawem otworzyła się na dole furtka i ukazał się Piotr z Sinobrodym. Szybko przebyli podwórze i weszli do wnętrza tego skrzydła, gdzie był Ludwik Hecht.

Czyżby go zauważyli i szukają go teraz?

Pobiegł na górę ku wieży i skrył się w ciemnym kącie. Serce biło mu gwałtownie i dreszcz przebiegał jego ciało.

Teraz zobaczył w oddali Sinobrodego i Piotra z latarnią. Nieśli oni długi wór, którego zawartość musiała być bardzo ciężka, bo sapali ciężko.

Ludwik wytężył wzrok ku nim, usiłując odgadnąć co się we worku znajduje. Przeczuwał co to jest i zgroza go brała. Obawiał się, że go zobaczą. Biada mu wtedy!

Lecz oni nic nie zauważyli i poszli na górę. Wtedy on ściągnął trzewiki i w pończochach szedł w oddaleniu za nimi.

Na czwartym piętrze w pokoju gdzie był balkon, z którego Piotr się spuścił na dół, gdy go Winter chciał zaaresztować, zatrzymali się i złożyli ciężar na środku pokoju, widocznie by wypocząć, bo byli bardzo zmęczeni.

Hecht skrył się za futryną drzwi i zaglądał do wnętrza.

Wtem odezwał się Sinobrody:

— Dobrzeby było jeszcze kilka kamieni wsunąć do worka żeby nie wypłynął.

— To prawda — odrzekł Piotr — przyniosę zaraz kilka kamieni z pod starej wieży.

Zapalił sobie drugą latarkę i wybiegł.

Ludwik ledwie miał czas się cofnąć.

Ale Piotr nie zauważył go.

Pobiegł na dół i wnet światło jego latarki zgubiło się.

Nieruchomo tkwił Ludwik w grubej nyży w murze wprost naprzeciwko otwartych drzwi do pokoju wieżowego. Widział jak Sinobrody z błyskiem szatańskiego tryumfu w oczach, patrzy na tajemniczy wór.

Grobowa cisza panowała w pokoju, a za murami tylko wyła burza.

Wnet ozwały się znowu kroki Piotra, który znowu przebiegł obok nyży, ale nikogo nie zauważył.

Sinobrody odwiązał worek z jednej strony a Piotr wsunął do środka kamienie i zawiązał go na nowo.

Potem wyszli na balkon i Ludwik widział jak rzucili tajemnicze brzemię przez balustradę na dół.

Odezwał się plusk i szum — fale pochłonęły wór.

Porwany zgrozą, uciekł Ludwik Hecht, zanim jeszcze tamci wrócili z balkonu.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — —

Był już biały dzień gdy służącego głos dzwonka powołał do jadalni. Służący wszedł i słyszał, że hrabia rozmawia z kimś w drugim pokoju.

— Przynieś śniadanie dla mnie i dla pana radcy.

— Czy mam teraz zbudzić pana radcę?

— Nie potrzeba, bo pan radca już wstał. — prawda ojcze, że zjemy już śniadanie? — zapytał, zwracając się napowrót do drugiego pokoju.

Odpowiedź stamtąd zabrzmiała głosem ochrypłym, jak gdyby radca był mocno zaziębiony.

Służący podając śniadanie w jadalni, słyszał, że hrabia w drugim pokoju rozmawia z gościem.

Gdy się zbliżył do drzwi do tego pokoju, by oznajmić że śniadanie czeka, wyszedł hrabia Sinobrody i rzekł mu, zanim on mógł zaglądnąć do drugiego pokoju:
po pana radcę.

— Możesz iść. Niech za godzinę zajadą sanie

Służący skłonił się i wyszedł do pokoju czeladnego, gdzie woźnica radcy z zadowoleniem zajadał drugie śniadanie rozmawiając z drugim służącym.

— A więc za godzinę w drogę? — spytał.

— No, jestem ciekaw, jak się przedostaniemy przez ten głęboki śnieg. Obawiam się, że utkniemy w drodze.

Za pół godziny wyszedł zaprzęgać i punktualnie w oznaczonym czasie zajechał przed pałac, trzaskając z bicza.

Śnieg już nie padał, wiatr tylko ostry i zimny wiał bezustannie.

Woźnica otulił się w płaszcz, nasunął czapicę na uszy i uroczyście siedział na koźle.

Nareszcie zjawił się lokaj z torbą podróżną radcy i zamienił kilka słów z woźnicą, który się już tak samo niecierpliwił, jak jego konie.

Zjawił się teraz hrabia Sinobrody ze swoim gościem. Ale tylko ten był gotów do podróży. Hrabia, bez kapelusza i płaszcza, widocznie mu nie miał zamiaru towarzyszyć.

Gość zawinięty we futro nastawił był kołnierz i czapkę nasunął głęboko, a szyję nadto jeszcze obwiązaną miał chustkę. Z całej postaci widać było tylko koniec nosa i część siwej brody.

Niedołężnie wsiadł do sanek i gdy mu służący kocem okrywał nogi, hrabia Sinobrody żegnał go serdecznie.

— Szczęśliwej drogi ojcu życzę! Szkoda, że kochany ojciec już jedzie! A więc zostaje tak, jak się umówiliśmy.

— Tak jest, naturalnie — zabrzmiała głucha odpowiedź z pod kołnierza futrzanego.

Sinobrody zwrócił się do woźnicy.

— Jedźcie prędko, bo pan radca się zaziębił i przed wieczorem musi być w hotelu.

Woźnica skłonił się i pociągnął lejce.

Z głośnem dzwonieniem wysunęły się sanki z dziedzińca zamkowego na drogę.

Sinobrody patrzył za odjeżdżającym z dziwnie ironicznym uśmiechem.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Ludwik Hecht po długim, nużącym marszu zaszedł do rezydencyi. Popołudniu dopiero zaszedł do hotelu, w którym mieszkał także radca.

Łotr niespostrzeżenie dostał się do swego pokoju. Przypadkowo mieszkał naprzeciwko numeru radcy. Podsłuchiwał przez chwilę pod jego drzwiami, ale tam nic się nie ruszało. Poszedł więc do siebie.

Pa pewnym czasie usłyszał kroki i pukanie do drzwi przeciwległych.

Zaglądnął przez dziurkę od klucza i zobaczył na korytarzu człowieka elegancko ubranego, który napróżno dobijał się do radcy.

Przestraszył się, bo przybysz ten to był komisarz Winter.

Zjawił się na korytarzu kelner.

— Czy pan radca Wendland nie wrócił jeszcze w zamku Wildenfels? — spytał go komisarz.

— Nie, proszę pana. Widocznie niepogoda go zatrzymała.

— Być może — odpowiedział Winter. — Ale konie wasze wróciły, co?

— Nie! gdzie tam! Stangret przecież bez pana radcy nie wróci.

Jak pan radca wróci, to proszę mu powiedzieć, że dziś wieczorem jeszcze raz będę u niego. Oto moja karta — rzekł Winter, podając swój bilet na którym dopisał jeszcze kilka słów i poszedł.

Oczekiwał Wendlanda już od wczorajszego wieczoru i był zaniepokojony tem, że on nie wraca.

— Jeżeli go do wieczora nie będzie, pojadę do zamku — szepnął sobie. Po Sinobrodym wszystkiego się można spodziewać.

Ludwik słyszał wszystko i miał ochotę opowiedzieć Winterowi, co widział tej nocy na zamku. Ale rozmyślił się, że lepiej będzie mu się nie pokazywać.

Minęło może pół godziny, gdy zajechały sanie jakieś przed hotel. Ludwik przypadł do okna i oczom swoim nie wierzył.

Były to sanie hotelowe a z nich wysiadł sam Wendland.

Widząc wracającego tego człowieka, o którym sądził, że już nie żyje, Ludwik zaczynał wierzyć, że wszystko to, co widział w nocy w zamku — było snem. W każdym razie stało się coś niepojętego.

Tymczasem kelner z torbą podróżną radcy wszedł na górę i otworzył jego pokój potem gdy on sam nadszedł, podał mu bilet Wintera i dostał ustnie pewne wyjaśnienia.

Zdawało się, że okoliczność ta wprawiła radcę w trwożne zakłopotanie.

— Co wielmożny pan rozkaże? — spytał kelner i numerowy, który także był przy tem.

—Rachunek — konie — za pół godziny wyjeżdżam.

— Musiał się strasznie zaziębić — szepnął numerowy do kelnera, odchodząc z nim — głos zmieniony do niepoznania.

Ludwik Hecht także był tego zdania, ale wydało mu się podejrzanem, że radca tak prędko chce wyjeżdżać jakby się bał spotkania z Winterem.

Z przyzwyczajenia więcej, niż z opatrzonego celu jakiegoś, wykradł się na kurytarz i zaglądnął do numeru sąsiada.

Ten dziwnym trafem nie zapalił światła, tak, że w półcieniu tylko widać było, co się działo w pokoju.

Otóż radca nie zdjął okrycia, ale tak jak przyjechał ubrany, tak stał przy oknie i patrzył na miasto, tyłem obrócony do podglądacza.

Czy to, że mu się zaczęło robić za gorąco, czy też dlatego, że obawiał się, by służba nie sądziła, że zwaryował — zdjął nagle futro ciepłe.

O ile można było coś widzieć w ciemnym pokoju, to ten sam radca Wendland, którego widział w restauracyi. Ta sama tęga postać, to samo ubranie i broda siwa, trochę długa.

Łotr zachodził w głowę szukając rozwiązania zagadki poprzedniej nocy, która według jego do niedawna mniemania, była ostatnią nocą w życiu radcy.

A. Kujawa — Sinobrody — 171

A jednak ten teraz żywy stał przed nim.

Wtem usłyszał kroki i uciekł, przez szparę między drzwiami obserwując dalszą scenę.

Życzył sobie, aby tym idącym na górę był Winter bo to przyniosłoby rozwiązanie zagadki.

Był to jednak kelner z rachunkiem.

Radca na progu przyjął rachunek i zamknął drzwi.

Po chwili kelner wrócił znowu i zapukał.

— Czego tam? — spytał głos ochrypły z wnętrza, ale drzwi pozostałe zamknięte.

Powóz czeka, proszę pana radcy.

— Dobrze.

— Ale pan komisarz Winter ma jeszcze przyjść. Czy pan radca nie zostawi nic dla niego?

— Nie. Napiszę mu! — brzmiała opryskliwa odpowiedź.

Kelner pokiwał głową i poszedł.

Ludwik powziął świeże podejrzenie. Ten ochrypły głos wydał mu się dziwnie znanym.

Znowu znalazł się pod drzwiami sąsada i

zaglądnął przez dziurkę.

W pokoju płonęła teraz świeca, a gość naciągał futro, zwrócony do drzwi twarzą.

Oświetlenie było bardzo słabe, ale mimo to Ludwik zauważył że człowiek ten prócz ubrania brody i postawy nic niema podobnego do radcy Wendlanda. Twarz zupełnie inna.

Czy to możliwe, żeby się on w ciągu dwóch dni tak zmienił.

Chyba nie.

To obca twarz! Ale czyja?

Ludwikowi zdawało się, że ją zna.

Nagle uciekł do swego numeru, bo gość zbliżał się do drzwi i zadzwonił na kelnera.

W progu wskazał kelnerowi pieniądze na stole, ten zgarnął je, wziął torbę radcy i wyszedł z nim.

Pchany ciekawością, wyszedł Ludwik na kurytarz, żywiąc w głębi duszy szczere życzenie, aby teraz Winter nadszedł.

Ale życzenie to się nie spełniło.

Kufry radcy zniesiono na dół, służba dostała sute napiwki, gość wsiadł do powozu i odjechał

Może w pięć minut później zjawił się Winter, a Ludwik Hecht schodził właśnie po schodach, ubrany jak do miasta. Zobaczywszy Wintera, cofnął się.

— Ach, panie komisarzu! — mówił kelner — pan radca właśnie wyjechał!

Winter zdziwił się ogromnie.

— Dokąd? — spytał zdziwiony.

— Zdaje się, że do domu. Pół godziny temu, jak wrócił do hotelu.

— Dostał moją kartę i wiedział o tem, że mam przyjść!

— Tak jest.

—I mimo to tak nagle wyjechał??! — Nie zostawiwszy dla mnie żadnej wiadomości?

— Powiedział, że napisze do pana komisarza.

Winter pokiwał głową, a bardziej się jeszcze zdziwił, gdy mu kelner opowiedział, jak dziwwnie się radca zachowywał i jak trwożnie był pozawijany.

— Woźnica mówi, że się strasznie przeziębił — zakończył kelner — i głos był też całkiem zmieniony. Nie poznałem prawie pana tego.

Winter słuchał uważnie.

Zmiana głosu i szybki wyjazd gościa obudziły w nim podejrzenia.

Prócz tego był ciekaw, co radca usłyszał na zamku Wildenfels.

Pół godziny było jeszcze czasu do odejścia pociągu i Winter spodziewał się, że go może jeszcze zastanie na dworcu.

Szybko pobiegł do najbliższego stanowiska dorożek i wsiadłszy do jednej z nich, kazał się zawieźć na kolej. Nie wiedział sam, dlaczego jest tak niezwykle podniecony.

Pociąg pośpieszny stał gotowy do odjazdu, gdy Winter zdyszany wbiegł na peron. W przelocie zaglądnął do poczekalni, nigdzie jednak nie spostrzegł tego, którego szukał, a łatwo go można było poznać po drogocennem futrze, które nosił.

Szedł więc wzdłuż pociągu i zaglądał do przedziałów pierwszej i drugiej klasy, ale radcy nigdzie nie znalazł.

Czekał aż do odejścia pociągu i potem zaglądnął do poczekalni, — ale i teraz szukanie jego było nadaremne.

Sprawa wydawała mu się coraz bardziej zagadkową. Wyglądała całkiem tak, jak gdyby radca chciał wszelkie ślady za sobą zatrzeć. Dlaczego nie odjechał tym pociągiem? Gdzie się zatrzymał? Bo na dworcu go nie było.

Za każdą cenę chciał mieć pewność. Zapytał urzędników i dokładnie im opisał poszukiwanego. Przy kasie dowiedział się, że człowiek odpowiadający wyglądem podanemu opisowi, kupował bilet. Ale nikt nie widział go wsiadającego ani nie wiedział, gdzie się podział.

— Tę zagadkę muszę rozwiązać! — zawołał wychodząc z dworca. Tu mi coś jest w nieporządku.

Jeszcze miał dwa dni czasu na badanie tej kwestyi. Na trzeci dzień miał jechać do Indyi. Gdyby nie znalazł radcy w stolicy, postanowił pojechać do niego, i przekonać się, czy wrócił do domu.

Gdy przez jasno oświetlone ulice miasta wracał potem do swego mieszkania, gdy wtem minęła go na rogu dorożka.

Komisarz spojrzał na dorożkę i stanął jak rażony prądem elektrycznym. W dorożce siedział właśnie ten, którego on szukał.

Poznał go po futrze i siwej brodzie, wystającej z pod nastawionego kołnierza.

W następnej chwili powóz znikł mu z oczu. Zapóźno przypomniał sobie Winter, żeby wołać za nim "stój! stój!". Napróżno użył całej swej siły.

Wtem nadjechała próżna dorożka. Jednym susem wskoczył do niej i zdziwionemu woźnicy dał znak gdzie ma jechać.

W szalonym pędzie puścił się za znikającym powozem i zbliżał się do zbiega coraz bardziej.

Czy też się nie mylił?

Czy to naprawdę był radca Wendland w tym powozie?

Czy on go dogoni?

A czy w takim razie zagadka ta się wyjaśni?

Rozdział 67

NIEROZERWALNE WIĘZY.

Nazajutrz wieczorem zimny wicher świszcząc przeciągał przez ulicę rezydencyi i miotał przed sobą tumany śniegu, który ostrymi, białymi płatami powoli a bezustannie padał na ziemię.

Na dachach leżały już grube białe warstwy tego śniegu, gdzieniegdzie tylko wiatr robił wyłom w tych pokrywach, strącając część śniegu niby lawiny na ulicę.

Była to burza w całem tego słowa znaczeniu. Ulice były puste. Kto nie musiał wychodzić, zostawał w domu, w ciepłym pokoju.

Nieliczne tylko, dobrze otulone postacie, kręciły się prędko, od czasu do czasu dzwoniąc mignęły sanki.

Przed hotelem "księcia Leopolda" sanie się zatrzymały. Były to sanie kryte, portyer dopiero otworzył drzwiczki, przez które wyszła postać kobieca w białem futrze i szalu. Sanie pojechały przez inną bramę na podwórze.

Dama zamieniwszy słów kilka z portyerem, weszła na pierwsze piętro, gdzie ją wyprzedził kelner.

Zapukał do drzwi jednego numeru i po chwili zwrócił się do niej.

— Tak jest, proszę pani, ten pan jest w domu.

Kobieta skinęła ruchem głowy. Twarzy jej, owiniętej gęstym welonem, nie było widać. Drzwi się otworzyły i przez chwilę mężczyzna i kobieta stali milcząc naprzeciwko siebie.

On, a nie był to nikt inny tylko Ludwik Hecht, ze zdziwieniem patrzył na kobietę i niepoznawał. Wtedy ona zdjęła welon i spytała z ironicznym śmiechem:

— Cóż? — Teraz już poznajesz?

Poznaję! Przybywasz sama, Waleryo!

— Jak widzisz!— odrzekła — otrzymałam twój bezwstydny list z groźbami...

— I przywozisz mi zapewne żądane pieniądze?

— Przeciwnie. Jestem tu, aby ci powiedzieć, że się groźb twoich nie boję, i ewentualnemu wprowadzeniu ich w czyn, zapobiegnę.

Ludwik śmiał się.

— Mam cię w ręku i spodziewam się, że pieniądze te, niewiele zresztą, bo tylko 50 tysięcy — dostanę. A jeżeli nie, to pan minister, hrabia Edmund Linderhof, dowie się o wszystkich twoich sztuczkach i tajemnicach.

Walerya spojrzała na niego wzrokiem nienawiści. Blada jej twarz skrzywiła się.

— Łotrze chytry! —syknęła — spróbuj tylko zrobić, czem mi grozisz. Pokażę mu list twój i powiem, że to ty jesteś ten kryminalista, który mnie wtedy już w jego obecności obraził. Powędrujesz napowrót do kryminału i tam możesz szczekać na mnie, ile chcesz. Nikt ci nie będzie wierzył.

Ale groźba ta nie poskutkowała.

Ludwik śmiał się cynicznie.

— Pamiętaj o tem — rzekł — że mogę hrabiemu udowodnić dokumentami, że jesteś moją żoną.

Walerya przestraszyła się.

— Kłamiesz—rzekła — dokumentów tych już nie masz!

Ludwik spokojnie poszedł w kąt pokoju, gdzie stał jego kufer, otworzył go, wyjął stary wytarty portfel, a z niego pożółkły jakiś dokument.

— Patrz! — rzekł z tryumfem. — Oto nasz kontrakt ślubny.

Walerya zbladła jeszcze bardziej, pierś jej falowała. Szybkim błyskawicznym ruchem sięgnęła po ten papier. Ale Ludwik nie dał się. Chwycił ją za ramię, a rękę swoją, w której miał papier, cofnął.

— Nic z tego — śmiał się. — To mój skarb którego strzegę, jak oka w głowie.

Walerya zmusiła się do tego, by pozostać spokojną.

—Dokument masz! —rzekła tłumiąc wzburzenie, i żeby się ciebie pozbyć raz na zawsze, zrobię ci propozycyę, jeżeli się nie zgodzsz, wtedy walka na śmierć i życie. Rozumiesz zapewne co to znaczy.

Rozumiem doskonale — odpowiedział spokojnie chowając dokument — i nie domyślam się nawet propozycyi, lecz...

— Milcz i słuchaj! — przerwała mu rozkazująco — potem rozważ sobie dobrze, zanim mi odpowiesz. Groźbą nic u mnie nie uzyskasz, ani wymuszeniem. Tak samo nic udało ci się, gdy przed kilkoma dniami próbowałeś u mnie kraść. Nie wiele brakowało, a byłaby cię służba schwyciła.

—Nie udawaj! — mówiła dalej—myślisz, że ja nie wiem, że to ty byłeś?

— Nie wiem, o czem mówisz? — zdziwił się szczerze Ludwik.

— Niepotrzebnie się wypierasz. Radzę ci

tylko drugi raz nie próbować tego samego, bo już ci się nie uda uciec tak bezkarnie, jak teraz.

— A ja cię zapewniam, że nie mam najmniejszego pojęcia o tem.

Walerya nie wierzyła.

— Idźmy dalej — rzekła — Żądasz 50 tysięcy a wiesz dobrze, że ja nic nie mam.

— Nie trudno by ci było postarać się o tyle, a nawet i więcej.

— Może. Spróbuję i dam ci te pieniądze, ale pod jednym warunkiem: Zwrócisz mi kontrakt ślubny.

Ludwik zaśmiał się.

— Wiedziałem, że ci ten świstek będzie bardzo ciężył na pamięci!

— Chcesz?

— Nie! Z tym skarbem nigdy się nie rozłączę.

— Zastanów się! — zawołała z gniewem— dam ci dwa razy tyle!

— Gdybyś mi tak wyliczyła na stół okrągło milion to bym ci papier ten wydał — odpowiedział łotr.

— Namyśliłeś się nad tem co mówisz?

— Naturalnie — odrzekł ze spokojem. — Widzę, co ty chcesz, ale powiadam ci, porzuć wszelkie nadzieje. Zostaniesz moją żoną do śmierci.

Walerya czuła się bezsilną, a zarazem była w rozpaczy, że ją z tym łotrem wiąże los tak silnie.

— Pożałujesz waryacie! — rzekła drżącym głosem — dowiesz się, że ja sobie umiem poradzić! Sprzątnę cię z tego świata bez miłosierdzia. Żałuję tylko, żem cię dotychczas oszczędzała.

On nie był jednak wzruszony temi groźbami. Zupełnie spokojnie zapalił sobie cygaro.

Walerya zabierała się do wyjścia.

— Zanim odejdzesz, moje dziecko, ostrzegam cię przed skutkami oskarżenia przeciwko mnie. Ja tu na aresztowanie nie będę czekał, a za donos potem się zemszczę.

— Prócz tego, o czem mówiłem, znam jeszcze jedną twoją tajemnicę.

— Jaką, proszę?

— Pokrewieństwo twoje z hrabią Sinobrodym, który nie jest żadnym hrabią, tylko bratem twoim, Robertem.

Sprawki wasze znam wszystkie i oboje was mogę zgubić.

Walerya w pierwszej chwili przestraszyła się bardzo, ale potem wnet opanowała się i zdobyła się na uśmiech lekceważenia.

— Takiemu zbiegowi z kryminału nikt nie uwierzy. Na nic ci się przyda szpiegowanie nas.

— Zobaczymy. Spróbuję naprzykład zapoznać z waszemi wiadomościami komisarza Wintera, śledzi wasze tajemnice.

Na te słowa Walerya rzuciła się jak zraniona pantera w stronę małżonka, który sam teraz się cofnął przed strasznym wyrazem jej twarzy.

Ostatnia twoja godzina wybije, jeżeli to zrobisz! — krzyknęła. — Nie pchaj mnie do ostateczności! Miej się na baczności, bo zdepcę cię, jak nędznego robaka.

— Jak naprzykład barona Jakóba? — spytał z ironią.

— Tak jest! — Zginiesz tak, jak ten łotr!

— Wierzę ci, że masz dobre chęci w tym kierunku. Brat twój, Robert, ma wprawę w wysyłaniu ludzi na tamten świat i zapewne na mnie zechce spróbować, czy nie wyszedł z wprawy.

— Kpij, kpij! — Niedługo ci już!

Ubrała się i zwróciła ku drzwiom, by wyjść.

Ludwik nie miał zamiaru doprowadzić do zupełnego zerwania. Chciał więc teraz sprawę załagodzić.

— Może się zresztą pogodzimy — zawołał za nią. Daj mi tych sto tysięcy, a ja w zamian za to przyrzekam ci, że stąd wyjadę i nic przeciwko tobie nie uczynię. Niech już tam ten minister się z tobą żeni.

— Nie dasz mi kontraktu ślubnego, to nie dostaniesz ani centa!

Ludwik zastanawiał się.

—Nie — rzekł po chwili — tego ci nie dam. Ale od ciebie tylko będzie zależeć, żebym z tego dokumentu nie zrobił użytku.

— A więc zostanie przytem, co ci mówiłam.

Nie czekając odpowiedzi, wyszła i w kilka chwil potem wsiadła do sań.

— Do pałacu ministra — rozkazała woźnicy

Stękając z wściekłości, siedziała w saniach które szybko mknęły przez ulice miasta.

—Trzeba mi było dawno go ubić — myślała zobąwą, że minister zacznie coś podejrzewać, lub że Winter o czemś się dowie i wszystko popsuje.

Sanie stanęły przed pałacem i Walerya z bijącem sercem weszła do wnętrza. Ale od portyera dowiedziała się, że minister wyjechał.

— Kiedy ekscellencya wraca? —spytała niezadowolona.

— Dziś w nocy, albo jutro rano.

Walerya zastanawiała się przez chwilę.

— Jutro będę u ekscellencyi — rzekła wreszcie wracając do sań.

— Do domu — rozkazała woźnicy.

Lecz gdy sanie wyjechały za miasto, kazała jechać do zamku Wildenfels. Spodziewała się, że brata zastanie w domu i z nim naradzi się jak sprzątnąć Ludwika Hechta.

W lesie tak było ciemno, że woźnica nie widział na dwa kroki przed siebie. Ale dzielne konie biegły żwawo naprzód, mimo strasznej burzy.

Im dłużej trwała podróż, tem bardziej niecierpliwiła się Walerya i tem powolniej poruszały się sanie naprzód.

Nagle sanie stanęły.

Woźnica zeszedł na dół i przystąpił do drzwiczek.

— Nie możemy jechać dalej — rzekł — duże drzewo leży zwalone na poprzek drogi, a ominąć go nie można, bo śnieg za głęboki.

Walerya wyszła i przekonała się, że przeszkoda jest nie do usunięcia. Pozostawało tylko jeżeli nie wrócić, to zostanę tu do rana, albo konno pojechać. Bez wahania zdecydowała się na to ostatnie i kazała woźnicy konie wyprzęgnąć.

— Zostawmy tu sanie — rzekła — można je jutro przywieść do zamku Wildenfels. Miejmy nadzieję, że i na koniach dostaniemy się tam szczęśliwie.

Wsiadła na konia i woźnica także, poczem pojechali oboje.

Po uciążliwej dwugodzinnej jeździe, ukazały się ich oczom oświetlone okna zamku Wildenfels.

Hrabia Sinobrody był zdumiony, gdy zobaczył Waleryę tak późnym wieczorem i w czasie takiej burzy. Opowiedziała mu więc o swojej rozmowie z Ludwikiem Hechtem i o jego groźbach.

— Ty musisz mi wtem pomódz, aby tego łotra nieszkodliwym uczynić — kończy ona w złości — od niego grozi mi każdej chwili największe niebezpieczeństwo.

— Byłabyś rozumniej postąpiła, gdybyś rozmowy z nim nie była tak ostro i szorstko przerwała—odrzekł Sinobrady. Jedank nie myślę, żeby się ten łotr odważył nasze tajemnice zdradzić. Przeczeka w każdym razie, co ty przeciwko niemu przedsięweźmiesz.

A gdyby nawet — przerwała Walerya gwałtownie — nie mam spokoju, jak długo on żyje.

— Pewnie, że trzeba już raz z nim skończyć. Ale musimy być bardzo przezorni, kochana Waleryo. Wiesz przecie jak sprawy stoją. Dziś nie możemy już nic uczynić. Pojadę jutro rano do stolicy i ty musisz także tam być. Zdaje mi się, że nie przyjdzie to nam z trudnością zwabić twego małżonka w pułapkę.

— Tak, ale musimy go przedewszystkiem zastać w mieście — dodała Walerya z powątpiewaniem — on mógł się do tej pory już dawno stamtąd ulotnić a może wykonał swą groźbę i powiedział już wszystko tajnemu agentowi policyjnemu.

Jednak Sinobrody nie przepuszczał tego i udało mu się nawet przepuszczał tego Omówili oboje plan, a Walerya zapytała go:

— Jakże stoją twoje sprawy? nie widzieliśmy się przecież od owego wieczora, gdy cię tu ostatni raz odwiedziłam i gdyś tropił tego starego żebraka.

— Tak jest tego starego — powtórzył Sinobrody ze złością — nie wytropiłem go. Uszedł on ze swoim obrońcą, młodym rybakiem. Ale na tym zuchwałym młodzieńcu muszę się jeszcze kiedyś zemścić. Stary, wydał mi się od razu podejrzanym i dowiedziałem się na pewno, że to nie był nikt inny, tylko hrabia Harald.

— Co? Twój dawny pan, hrabia?

Tak jest mój przyjaciel naprowadził mię na myśl, że to on jest i sam dalej sprawę tę badał. Stary ukrywał się tu w zamku. Przypuszczaliśmy to nawet od dawna, ale nie wpadliśmy na trop. O i ja jeszcze teraz myślę, że odszukał tu swoje ukryte skarby i zabrał je z sobą. Miał on przy sobie swoje miliony, gdyśmy go wtedy wieczorem na górze zamkowej odkryli. Gdybym też był tego starego lisa wtedy na miejscu zastrzelił! —kończył Sinobrody w bezsilnej złości.

— Ale jakże się mógł tak długi czas w zamku ukrywać — pyta Walerya. — Czem żył? Musiał ktoś przecież o tem wiedzieć. Nie ma żadnej wątpliwości, że stary musiał mieć w zamku pomocników i przyjaciół.

Sinobrody potwierdził to ponuro.

— O tem jestem też przekonany i mam tu w podejrzeniu — oboje starych — kasztelana Tomasza i gospodynię, Krystynę. Biada im obojgu, jeżeli nabiorę tej pewności!

— O to byłoby bardzo źle, gdyby oni oboje znali tę tajemnicę. Oni nie zamilczą tego. A może hrabia ma zamiar przy pomocy tych obojga starych ludzi jawnie o swoje prawa się upomnie. I Gerhardt dopomoże mu w tem. Przecież go tak nagle z więzienia uwolniono.

— Ja wiem, że jest to dziełem tajnego agenta policyjnego — odrzekł Sinobrody pełen nienawiści. — Ten szpieg oskarżył już niejednego z nas, ale przecież dowodów przeciwko nam nie ma. Przecież i Katynka, którą miałem już

za umarłą, wypłynęła gdzieś teraz znowu. Czekam tylko chwili, w której mię ona oskarży. Ale czegoż może mi ona dowieść? Żem ją z ognia uratował i wziął ze sobą do zamku — zresztą nic. Wszystko inne spada już na tego, który jest umarły dla świata—mówił on z szyderskim uśmiechem.

— Ale cóż się dzieje z twoim teściem Wendlandem? — badała dalej Walerya? — O ile sobie przypominam, to chciał tu przyjechać!

Na ustach Sinobrodego zaigrał demoniczny uśmiech.

—Przyjechał też — powiedział Sinobrody ze spokojem.

—Rzeczywiście? — zawołała Walerya zdziwiona. No... i — pytała z zaciekawieniem —czy się go w spokoju znowu pozbyłeś?

— On wczoraj właśnie wyjechał.

— Ale cóż za objaśnienia dałeś mu też znowu?

Sinobrody nie odpowiedział zaraz na to pytanie. Twarz jego nabrała dyabelsko tryumfującego wyrazu. Nachylił się do ucha Waleryi i powiedział jej szeptem kilka słów jak gdyby się obawiał, żeby go kto nie podsłuchał.

Na twarzy Waleryi malowało się zdumienie i zodowolenie zarazem. Skinęła głową z zadowoleniem i rzekła zimnym tonem:

— To była też jedyna droga wyjścia. A więc już z tej strony nie masz się czego obawiać.

Teraz postaramy się oboje o to, ażeby nasze sprawy dobrze przeprowadzić — odrzekł Sinobrody z ufnością — chodzi głównie o to,

A. Kujawa — Sinobrody — 175

aby się pozbyć twego małżonka i ajenta policyjnego. Wiemy też w jaki sposób to uczynić. Zabierzmy się więc czemprędziej do dzieła.

Rozdział 68.

GORZKIE ROZCZAROWANIE.

Winter nie stracił z oka pędzącego przed nim powozu. Jechał on wprawdzie prędzej niż jego dorożka, lecz wreszcie przecież gdzieś zatrzymać się musiał.

Czy to naprawdę radca siedział w owym powozie czy się detektyw może mylił?

Winter nie mógł się wprost doczekać chwili, która by mu pewność przyniosła. Obiecywał on woźnicy swemu suty napiwek, a ten popędzał konie, ile im sił starczyło.

Gonitwa ta odbywała się na ludnych ulicach. Nieraz też była już dorożka detektywa w niebezpieczeństwie zderzenia się z innymi pojazdami, i zwracała na siebie uwagę policyi, która krzyczała ostrzegająco: powolej jechać!

Lecz woźnica wiedział, że ma z detektywem do czynienia, nie bał się więc policyi, i pędził galopem dalej.

Dopiero na końcu przedmieścia, na jednej z długich, samotnych ulic, zatrzymał się powóz przed jakąś kamienicą.

Winter spostrzegł to, i uśmiechnął się tryumfalnie. Teraz mu już ten człowiek uciec nie mógł!

Niebawem zbliżył się on do kamienicy, lecz siedący w powozie mężczyzna już był z niego wysiadł.

Przed domem tym... a był to dom zajezdny... paliły się dwie latarnie. Przy blasku ich widział Winter dokładnie postać owego mężczyzny.

Ale cóż to miało znaczyć? Mężczyzna ten nie miał na sobie drogiego futra, lecz całkiem zwykły płaszcz. Winterowi się zdawało, że się w sobie pomylił. A może w powozie tym było ich dwóch, i ten we futrze nie wysiadł wcale? Lecz i ten, który wysiadł miał długą brodę i torbę podróżną, taką samą, jak miał radca.

Prócz tej torby, którą nosił w ręku, miał także jeszcze duży pakunek.

Wszedł on do wnętrza domu, a powóz się zawrócił. Winter dał dorożkarzowi swemu znak, aby się zatrzymał, i zawołał na woźnicę owego powozu.

Potem przystąpił do niego i otworzył drzwiczki powozu. Nikogo tam więcej nie było.

— Słuchajcie, przyjacielu! — przemówił Winter do woźnicy, wsuwając mu markę do ręki. — Czy zawieźliście do hotelu tylko tego jednego pana, który tam wysiądł?

— Tak jest, panie! Tylko tego jednego!

— Lecz ten pan nosił futro, bardzo kosztowne futro, nieprawdaż?

— Tak jest panie! — potwierdził woźnica. Miał on go na sobie, gdy wsiadał. Dziwiłem się też, gdzie ono się mogło podziać, gdyż w powozie go nie ma. Patrzałem zaraz do środka, bo myślałem, że ten pan go może zapomniał.

Więc musiał on się w ciągu jazdy przebrać i zamienić futro na płaszcz, — pomyślał Winter a potem dodał pytająco:

— Gdzie ten pan wsiadł do waszego powozu?

— Na dworcu kolejowym. Musiał on przyjechać wieczornym pociągiem.

Dziękuje wam, — rzekł Winter i dał woźnicy odjechać.

Zapłacił też swemu dorożkarzowi i wszedł do hotelu. Nie był to lokal pierwszego rzędu, i

nie zajeżdżali do niego bogaci i poważni ludzie.

Skądżesz się więc radca tu wziął? I dlaczego on isę tu zawieźć kazał, kiedy chciał z miasta wyjeżdżać? Dlaczego zdjął swe futro?

Z wszystkiego tego wynikało, że chciał on zatrzeć ślad po sobie, i zostać niepoznany.

Ciekawość i podejrzenie Wintera jeszcze więcej się zwiększyły. Postępowanie radcy było mu zupełną zagadką, której rozwiązania się jednak on w najbliższej przyszłości spodziewał.

W sieniach spotkał Winter właściciela owego hotelu i zapytał uprzejmie:

— Czy mógłby mi pan powiedzieć pod którym numerem mieszka ów obcy pan, który tu przed chwilą przyjechał? Chciałbym się z nim widzieć.

Mieszka on na pierwszem piętrze, pod numerem czwartym — była krótka odpowiedź.

Winter podziękował i wbiegł prędko po schodach na górę. Przed drzwiami oznaczonego pokoju zatrzymał się jednak na chwilę i serce gwałtownie bić mu zaczęło. Opanowało go nieopisane wzburzenie i nie wiedział sam dlaczego. Miał uczucie, jak gdyby w następnej chwili miała spaść zasłona z okropnej tajemnicy.

Schyliwszy się zaglądnął on do dziurki od klucza, lecz nic tam nie zobaczył. Zapukał więc rezolutnie, i pocisnął za klamkę.

Drzwi były jednak od środka zamknięte.

— Kto tam? — zapytał ochrypły głos od środka.

— Kelner, —odparł zmienionym głosem.

— Nic na razie nię potrzebuję, zadzwonię później, — była szorstka jego odpowiedź. Winter odstąpił od drzwi i namyślał się przez chwilę.

To był jakiś zupełnie obcy głos. Nie mógł to być radca. Omylił się więc w swoich przypuszczeniach. Kimkolwiek on jednak był, był on mocno podejrzany i Winter chciał się koniecznie bliższych szczegółów o nim dowiedzieć.

Nie chciał on jednak nic ostentacyjnie przedsięwziąć, lecz spokojem i podstępem dojść do celu.

Czekał on może godzinę, gdy wreszcie usłyszał odsuwanie rygla, i zbliżył się do drzwi właśnie w chwili gdy obcy z pokoju wychodził.

Na pierwszy rzut oka poznał Winter , że twarz tego człowieka była mu zupełnie obca. Nosił on ten sam płaszcz, w którym wysiadł z powozu. Był wogóle inaczej ubrany od radcy i dużo od niego szczuplejszy. Rysy twarzy jego także zupełnie były inne i brodę miał ciemno blond, a nie siwą, jak radca.

Mimo wszystkiego był to jednak ten sam człowiek którego Winter widział w powozie otulonego w kosztwne futro radcy, i z siwą jego brodą.

Więc ten człowiek zmienił nietylko okrycie lecz i brodę.

Przez kilka sekund stali tak obaj mężczyźni, patrząc badawczo na siebie.

W rysach obcego mężczyzny malowała się bojaźń i trwoga. Zbladł on jak ściana, i mimowoli o kilka kroków wstecz się cofnął.

Wszedł on napowrót do swego pokoju, a Winter postąpił za nim, i zamknął drzwi za sobą.

—Kto pan jest? I czego pan odemnie chce? — zapytał obcy szorstko.

Głos jego był zmieniony, drżący. Patrzał on w obłędzie wokoło. Wiedział widocznie z kim ma do czynienia.

— Przepraszam pana, — rzekł Winter patrząc mu bystro w oczy. — Muszę pana prosić o kilka wyjaśnień. Gdzie pan podział futro radcy Wendlanda?

Obcy wzdrygnął się, i wypatrzył się osłupiałym wzrokiem na detektywa.

Widziałem pana w tem futrze przed godziną może w powozie, — ciągnął Winter dalej. — Gdy pan zaś przed hotelem tym wysiadł, był pan już tak przebrany, jak pana teraz widzę. Siwa broda pana zmieniła się w jasno kasztanową. Pytam pana więc: Kto pan jest? I skąd pan miał to futro?

— Panie, czy pan zwaryował? — ofuknął się obcy oburzony. — Czy mnie pan ma za jakiegoś oszusta? Co pana moje sprawy obchodzą? Wynoś się pan stąd natychmiast.

Przybrał on groźną postawę. Ręka jego znikła w kieszeni płaszcze, a gdy ją stamtąd wyjął, widział Winter, że w niej jakiś podejrzany przedmiot błyszczał.

— Ja jestem urzędnikiem policyjnym! — oświadczył on krótko. — Oto moja legitymacya! — Czy odpowie mi pan teraz?

— Ani mi się nie śni. To każdy o sobie może powiedzieć —zaszydził obcy. — Aby zaś wiedział, z kim ma do czynienia, to powiem: Ja jestem kupiec Steinberg. A teraz radzę panu, daj mi pan spokój!

W wzburzeniu swem nie umiał obcy mężczyzna mówić dalej przybranym z początku głosem, a wrócił do naturalnego, który detektywowi dziwnie znajomym się wydawał. Nie wiedział tylko na razie gdzie i kiedy go słyszał.

— Jest mi pan podejrzany! — rzekł Winter szorstko i zbliżył się do niego. — Nosi pan obce ubrania i przyczepia brody i jeżeli mi pan natychmiast nie wytłumaczy, w jaki sposób pan

do futra Wendlanda przyszedł, to ja pana w tej chwili przyaresztuję.

— O, spróbuj pan tylko! — szydził obcy gniewnie.

Nie tracąc ani słowa wiecej rzucił się Winter na obcego, chwycił go za brodę i chciał mu ją z twarzy zedrzeć.

Lecz równocześnie uczuł silne pchnięcie i uderzenie w głowę. Z głuchym jękiem padł Win tr na ziemię, a z głowy krew mu się sączyła.

Obcy mężczyzna zaśmiał się szatańsko. Pochylił on się nad swą ofiarą, i uważnie się w twarz zranionego wpatrzył.

— Czy on już nie żyje? Nie! Trzeba się zabezpieczyć — szepnął on cicho.

Potem wyciągnął sztylet i wepchnął go w piersi nieprzytomnego detektywa.

Wtem usłyszał ze dworu wrzawę i odgłos zbliżających się kroków. Widocznie musiano słyszeć krzyk Wintera.

Schował on prędko sztylet, wziął pakunek i torbę pod płaszcz, i zgasił lampę.

W tej chwili otwarły się drzwi od korytarza, a przez nie zaglądnął gospodarz z kelnerem.

- Co tu się stało? — zapytał pierwszy zaniepokojony.

— Nic! — odparł obcy krótko, — chcę jeszcze wyjść. Zamknij pan drzwi.

Gospodarz oglądnał się podejrzliwie po pokoju, było tu już jednak tak ciemno, że on nie dostrzegł leżącego na ziemi ciała Wintera. Widząc zresztą że obcy tak był spokojny, jak gdyby się nic nie stało, odszedł gospodarz. Kelner zamknął drzwi i zabrawszy klucz, także do zajęcia swego wrócił.

I obcy mężczyzna zeszedł powoli po schodach, chowając torbę i pakunek swój pod szeroki płaszcz. Nie miał on zamiaru wrócić raz jeszcze od tego domu. Było mu to obojętnie, co się z ofiarą jego stanie.

Opuścił on prędko hotel i oglądnął się trwożnie za sobą, czy go kto nie goni. Nie zobaczył nikogo, nie odkryto jeszcze widocznie jego zbrodni.

Na następnym rogu wsiadł on do dorożki, i pojechał dalej.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

W godzinę potem usłyszał przechodzący koło czwartego numeru kelner jakieś stękanie i jęki i zleciał przestraszony do gospodarza, aby mu to donieść.

— Chodźmy i zobaczymy, — zadecydował ten ostatni. — Miałem przecież zaraz podejrzenie, że tam na górze coś się stało. Trzeba natychmiast zawołać policyę.

Jeden ze służby pobiegł niezwłocznie na stacyę policyjną, a tymczasem wszedł gospodarz do hotelu z dwoma swoimi ludźmi z lampą do tego pokoju. Usłyszeli tam ponowne stękanie.

Pierwszy wzrok gospodarza padł na leżącą na podłodze, nieruchomo wyciągniętą postać Wintera.

— Wielki Boże! — krzyknął on przerażony. — To przecież ten człowiek, który mnie się za obcym tym tu pytał? Widocznie więc on go zamordował! Przerażeni spojrzeli wszyscy na detektywa, i krew sączącą się z jego głowy.

Wtem otworzył Winter oczy. Przyszedł do przytomności i chciał się podnieść. Padł napowrót z jękiem.

Stojący obok niego ludzie podnieśli go ostrożnie i położyli go na kanapie.

— Biegnij prędko po lekarza, Karolu! Jest tu jeszcze pomoc możliwa! — zawołał gospodarz na parobka. — Biegnij po doktora Kloca, który tu w pobliżu mieszka.

Parobek pobiegł czemprędzej, a tymczasem zawołał właściciel hotelu swą żonę, aby się nieprzytomnym i zranionym zajęła.

Niebawem dały się słyszeć po schodach ciężkie kroki. Był to wachmistrz z dwoma policyantami. Zażądali oni informacyi, a gospodarz wyjaśnił im krótkiemi słowy, co się stało.

Wachmistrz pochylił się nad bladym detektywem, nie znał on go, i nie przeczuwał, kim on być może. Potem kazał sobie dokładnie opisać obcego złoczyńcę i wybiegł z jednym ze swych towarzyszy w pogoń za nim. Drugiego zostawił przy rannym.

Po kilku minutach wrócił parobek z doktorem Klocem.

— Gdzie jest zamordowany?— spytał doktor oglądając się wokoło, gdyż obecni stojący przy kanapie, go zasłaniali.

— Oto jest panie doktorze! — odpowiedział gospodarz podchodząc ku doktorowi. Ale on chwała Bogu jeszcze żyje!

Doktor Kloc zbliżył się i rozkazał, aby światło zrobiono. Potem popatrzył bystro w twarz rannego.

— Boże Święty! — krzyknął on i cofnął się przerażony. — To przecież komisarz policyjny Winter.

Powstał ogólny szmer zdziwienia. Policyant przystąpił bliżej i zapytał:

— Doprawdy panie doktorze? Czyż go pan zna osobiście?

— Naturalnie! telegrafujcie natychmiast

do dyrekcyi policyjnej. Spodziewam się, że będzie jeszcze można biedaka uratować, — dodał lekarz jakby do siebie.

Opatrzył on ranę chorego i obandażował ją. Potem wsączył mu do ust trochę wina i medycyny.

Winter przyszedł do przytomności. Poznał on natychmiast lekarza, i uśmiechnął się radośnie. Wyciągnął ku niemu nawet rękę.

— Nie mów pan nic, panie Winter, — ostrzegł go doktor — Rana pańska wprawdzie nie jest niebezpieczną, lecz trzeba się bardzo szanować. Ja się od tych ludzi już dowiem, co się tu stało.

— Nie! — szepnął Winter słabym głosem i z widocznem natężeniem. — Nie wolno mi brać względu na mój stan, gdyż ten łotr, który mnie powalił, musi być przyłapany. Zależy od tego więcej, aniżeli pan przypuszcza.

— Gonią już za nim, — odparł doktor Kloc — Dałem znać o tem policyi!

Winter przymknął znów oczy. Słabo mu się zrobiło.

— Katynko... wielki Boże! Jakżeż ona wiadomość tę zniesie. — Ja się obawiam, że już więcej nie wstanę, doktorze!

Zbladł on śmiertelnie i stracił znów przytomność. Doktor Kloc wziął go za rękę i liczył puls.

I ja się tego samego obawiam! — mruknął on zaniepokojony.

Niebawem nadeszli obaj podwładni Wintera, Braun i Guenter z jakimś komisarzem policyjnym. Ten ostatni kazał sobie opisać stan rzeczy i wygląd złoczyńcy.

Gospodarz nie znał jednak nawet nazwiska zbrodniarza i nie widział dokładnie jego rysów. Nie było więc wiele nadziei, aby go odszukać i poznać.

Winter sam nic już dodać nie mógł. Leżał on nieprzytomny, a stan jego był o wiele niebezpieczniejszy niż doktor Kloc myślał.

Policyanci przeszukali pokój, w nadziei, że nieznajomy coś tu zostawił, co na ślad jego naprowadzi.

Nagle zobaczył Braun na stole żelazny obręcz, na którego tępych końcach były ślady krwi. Pokazał go natychmiast komisarzowi, a ten odrzekł:

To jest bezwątpienia narzędzie, którym mego nieszczęśliwego kolegę zraniono.

Wziął on obręcz tę do ręki, i starannie ją oglądnął i nie zobaczył tam jednak nic, prócz marki fabrycznej.

Doktór Kloc oglądnął także mordercze narzędzie i rzekł:

— Teraz wiem, dlaczego rana taka głęboka. Dziwię się tylko, że biedny Winter nie padł od razu martwy na miejscu.

Czy jest obawa, aby on mógł umrzeć z tej rany? — zapytał komisarz patrząc z współczuciem na nieprzytomnego kolegę.

Doktor Kloc wzruszył ramionami i odparł wymijająco:

— Miejmy najlepsze nadzieje. W każdym razie jednak, będzie pan Winter musiał dość długo w łóżku pozostać, i nie wolno go nawet teraz stąd zabierać, gdyż najmniejsze wzruszenie bardzo złe skutki za sobą pociągnąć może.

Komisarz oddalił się. Brand z Guenterem również odeszli. Chcieli iść dać znać Katynce i ojcu jej o zaszłem nieszczęściu, a potem uczynić wszystko możliwie, aby odkryć nieznanego mordercę.

Doktor Kloc nie mógł zranionemu detektywowi na razie nic więcej pomódz. Poruczył go tylko starannej opiece gospodyni i opuścił hotel, obiecując, że w ciągu nocy jeszcze raz tu zajrzy.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Katynka ani ojciec jej tymczasem nic złego nie przeczuwali. Stara Krystyna była już dawno znów na zamku Wildenfels. Córka wraz z ojcem byli w najlepszym humorze i omawiali plany przyszłości, która tak szczęśliwie im się uśmiechała.

Wtem weszli obaj znani im detektywi z ponuremi, minami. Krótkiemi słowy opowiedział Brand co zaszło, ukrył tylko to, że stan Wintera jest niebezpieczny.

Córka i ojciec przysłuchiwali się temu z przerażeniem. Katynka zbladła i krzyknęła rozpaczliwie, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej ojciec nie był prędko chwycił i podparł.

— O mój Boże — jęknęła załamując ręce — ja chcę natychmiast do niego.

— Tak jest, moje dziecko, pójdziemy natychmiast do hotelu — pocieszał ojciec zrozpaczona córkę — daj Boże, aby to tylko nic niebezpiecznego nie było. Któż jednak tę zbrodnię mógł popełnić? — zwrócił się do Branda.

Tego nikt dotychczas nie wie — westchnął zapytany — od pana Wintera niczego się dowiedzieć nie można było.On pewnie zresztą sam złoczyncy nie zna.

O ja przeczuwam, że to jest sprawka hrabiego Sinobrodego — zawołała Katynka — nikt zresztą zbrodni tej popełnić nie mógł.

Brand i Guenter popatrzyli zmieszani. Podejrzenie Katynki wydawało im się zupełnie uzasadnione. Dziwili się tylko, że sami dotych-

czas na tę myśl nie przyszli.

Trzeba do tego osiągnąć zupełną pewność — rzekł Brand wzburzony i pociągnął kolegę swego za sobą.

W kilka minut później wsiadła Katynka z ojcem swoim do dorożki i kazała się zawiść do hotelu, w którym leżał zraniony Winter.

Spodziewam się, że go jeszcze żywego zastaniemy — mruknął Gerhard z westchnieniem, obejmując czule zrozpaczoną i szlochającą swą córkę.

Rozdział 69.

NOWE PRZESZKODY.

W hotelowym pokoju stolicy siedziała na zajutrz Walerya niecierpliwa i zdenerwowana.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł szybko hrabia Sinobrody. Za nim wsunął się pozornie stary i pochylony mężczyzna z siwą brodą. Owinięty był w ciemny, długi płaszcz.

Walerya znała go widocznie, bo wejście jego wcale jej nie zdziwiło.

— No, jakżesz — zapytała ona szybko — czyście go jeszcze zastali?

— Nie — odparł gniewnie Sinobrody — szanowny twój małżonek znikł jeszcze wczoraj, jak się zresztą łatwo po nim spodziewać było można. Oto masz list, który on zostawił.

Z okrzykiem rozczarowania chwyciła Walerya list i otworzyła go z szyderczym uśmiechem na ustach. Domyślała się bowiem, co on za wierał.

— Bezwstydny łotr — syknęła ona i zmięła list ten w pięści. Pisze on, że chce jeszcze tylko 8 dni czekać, a gdy mu do tego czasu żądane pieniądze nie wypłacę, to wykona on swoje groźby i zdradzi wszystko hrabiemu Edmundowi.

— Niech go dyabli wezmą — zaklął hrabia Sinobrody — spodziewam się jednak, że on teraz wpadnie w zastawioną przez nas łapkę. Napisz mu, gdzie i kiedy ma on się stawić, aby otrzymać żądane od ciebie pieniądze, a zobaczysz, że przyjdzie.

Walerya potrząsła powątpiewająco głową.

— Kto wie — szepnęła ponuro — on jest chytry i tak łatwo podejść się nie daje.

— W każdym razie najlepszy to środek. Czy ten hultaj nie podał swego adresu?

— Nie, napisał tylko, że sobie odpowiedź moją w hotelu odbierze.

— Dobrze więc, oznacz mu czas, w którym się ma zjawić po pieniądze. Jestem pewny, że on się na to da złapać.

— Może być, że będzie taki głupi wpaść w tę łapkę — rzekła Walerya po pewnym namyśle — spróbujmy w każdym razie, bo mi nic lepszego na myśli nie wpada.

Wstała i podała bratu rękę na pożegnanie.

Jadę teraz do hrabiego Edmunda — rzekła — wrócił on wczoraj w nocy z podróży.

— A my będziemy dalej szukać za starym hrabią, Piotrze — zwrócił się Sinobrody do stojącego przy drzwiach starca.

To rzekszy wyszedł on ze swoim świetnie przebranym służącym i wrócił na zamek Wildenfels.

Walerya pojechała do pałacu hrabiego Edmunda. Cierpliwość jej wystawiona była na ciężką próbę, gdyż nie mogła wcześniej do stolicy wrócić. Nie straciła jednak nic gdyż i przyjazd hrabiego opóźnił się z powodu zawieji śnieżnych.

W pałacu ministra pełno było gości i Walerya musiała czekać zanim on ją przyjął.

Stary Michał zaprowadził ją do wspaniałego salonu i poprosił ją, aby tam zaczekała. Był dziś jednak tak ponury, sztywny i chłodny, że to Waleryi w oku wpadło.

Popatrzyła na niego zaniepokojona. Co się tu mogło stać? Z obejścia się starego służącego, nie wywróżała sobie nic dobrego.

Jak długo hrabia Edmund na siebie dawał czekać. Opanował ją wściekły gniew. Czekała już prawie godzinę daremnie i chodziła z ponurą twarzą.

— Może on się ze mną więcej nie chce widzieć i w ten sposób mi to daje do poznania — szepnęła drżącemi usty.

Stanęła trupio blada i popatrzyła w stronę drzwi.

Czyż on nie nadchodził? Czy to nie były jego kroki?

Nie był to stary Michał który przez przedpokój przechodził. Hrabia Edmund zupełnie o niej zapomniał. Wiedział on przecież przez detektywa, że Agata żyje. Cóż go już teraz ona obchodzić mogła?

Walerya zgrzytnęła zębami, a z oczu jej iskry się posypały.

Znowu nowa przeszkoda — syknęła — ale ja ją muszę zwalczyć. On musi do mnie należeć. Dał mi słowo i przyrzekał mi onegdaj że się ze mną ożeni. Teraz on mi się już więcej nie wywinie. Niech się stanie co chce, on mi musi obietnicę swoją dotrzymać, a jeżeli tego nie uczyni, jeżeli mnie od siebie odepchnie, wtedy miłość moja zamieni się w nienawiść, wtedy bia-

da ci Edmundzie. Strasznie zemściłabym się na tobie.

Drżąca w wewnętrznej irytacyi, stoi piękna, demoniczna kobieta w środku salonu... obraz dzikiej, przerażającej namiętności.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł hrabia Edmund.

Zbliżył się do niej z poważną miną i uniewinnił się, że jej tak długo dał czekać, zasłaniając się ważnymi interesami.

Głos jego brzmiał chłodno i całe jego znalezienie się dziwnie było zmienione i rezerwowane. Nie przemawiał też do Waleryi "ty" tylko przez "pani".

Opanował ją okropny lęk. Zbladła trupio, a serce gwałtownie jej bić zaczęło. Czy już się wszystko dla niej skończyło? Czy nic już z dumnych jej nadziei i marzeń?

— Nie — pomyślała — nie uda mu się nigdy rozedrzeć sieci w którą go oplątałam.

— Co to ma znaczyć — rzekła ostro z goryczą, wyprostowując się dumnie — nie pojmuję twego znalezienia się Edmundzie. Mówisz do mnie tak chłodno, jak do jakiejś obcej. Co ci się nagle stało?

— Między mną a tobą stanęła Agata moja żona — rzekł spokojnie — ona żyje.

— Kto to mówi, to jest kłamstwo — zawołała gwałtownie.

—Nie, ja wierzę święcie, że to jest prawda. Detektyw Winter dał informacye, na których mogę polegać, Agata żyje w Indyach.

Walerya zbladła śmiertelnie i chwyciła się poręczy krzesła, aby nie upaść. Dostała ona zawrotu głowy.

Winter musiał mu przecież pokazać kopertę listu — pomyślała ona — był na niej adres wysyłającej i hrabia Edmund podejrzywa może, że Walerya posiada list Agaty?

— Odegrano nam w Paryżu nikczemną komedyę — ciągnął hrabia dalej — masz czytaj ten list.

To rzekłszy podał jej wiadomości paryskiego detektywa, które miał od Wintera.

Walerya znała już treść jego, bo podsłuchała przecież konferencyę hrabiego Edmunda z detektywem. Wzięła list jednak w rękę i przebiegła oczyma. Potem oddała mu go z szyderczym uśmiechem.

— Jakie dalsze wiadomości masz od Wintera — zapytała chytrze — skąd on ma pewność, że Agata naprawdę żyje i skąd wie, gdzie się znajduje.

Pytaniem tem wyzywała swój los, bo jeżeli hrabia rzeczywiście o wszystkiem wiedział, to byłby jej w następnej chwili już rzucił w twarz oskarżenie.

"To ty sama rozłączyłaś mnie z Agatą, pochwyciłaś list, który ona z Indyi do mnie pisała."

Nie stało się jednak to, czego ona się obawiała. Hrabia Edmund zdawał się nic o liście nie wiedzieć. Widocznie mu jeszcze Winter nic o tem nie powiedział.

— Jakim sposobem detektyw o prawdzie się dowiedział, to mi obojętne — odpowiedział hrabia — dość, że jestem o tem przekonany i wkrótce dowody tego mieć będę. Winter wyjedzie z mego polecenia do Indyi i mam nadzieję, że odnajdzie tam Agatę, i że mi ją napowrót przywiezie.

Walerya uśmiechnęła się ironicznie.

— Płonne są twoje nadzieje, dałeś się w pole wyzieść kochany Edmundzie — zawołała — to, co ci detektyw opowiadał, nie może być prawdą, skądżeż by się Agata miała dostać do Indyi?

— Uprowadzono ją gwałtem do Egiptu i tam ją jako niewolnicę sprzedano — odparł hrabia.

Walerya zadrżała znowu z obawy. Czyż to tak nie brzmiało jak gdyby od detektywa całą prawdę wiedział? Ale on miał przecie tylko przypuszczenia... nie mógł więc nic pewnego wiedzieć.

Walerya, nie przeczuwała, że on czytał list Agaty i że tropił ślad agenta.

Co za bujną fantazyę ma ten detektyw — zaśmiała się ostro. — Ja nie wierzę w tę bajkę o gwałtownem porwaniu Agaty i tym podobnych historyach. Ty także seryo tego brać nie możesz, kochany Edmundzie. Łudzisz tylko samego siebie, chwytając się tak błahych nadziei. To wszystko zmyślone.

— Ja wierzę święcie w to, że Agata żyje — odparł stanowczo — nie rozumiem też, dlaczego ty sobie tyle pracy zadajesz, aby mi tę wiarę odebrać.

— Bo mi w Paryżu dano dowody, że Agata umarła i została pogrzebana — tłómaczyła mu — czyż nie staliśmy oboje nad grobem?

— Czytałaś jednak, co pisał inspektor policyjny Lagran z Paryża w tej sprawie?

— On przecież także nic pewnego nie wie — przerwała mu Walerya — nie wierzę też, że nas wtedy oszukano, bo komużby na tem zależało aby nas łudzić? Przypomnij sobie tylko, kochany Edmundzie...

Hrabia zrobił ruch zniecierpliwienia.

Powtarzam, że ja po ostatnich wiadomościach Wintera w śmierć Agaty więcej nie wie-

rzę i nic tu twoje perswazye nie pomogą. Musisz jednak sama uznać, kochana Waleryo — dodał jąkając się, że wobec tych zmienionych okoliczności, o spełnieniu twoich życzeń mowy być nie może.

Słowa te, mimo że się ich przecież spodziewała były dla Waleryi sztyletem w serce. Marmurowo blada z błyszczącemi ponuro oczyma wpatrywała się w niego a wściekły gniew w niej powstawał.

Jak zimno i obojętnie słowa te wypowiedział. Zdawało się, jakgdyby to było dla niego prawdziwem zbawieniem.

— Tak więc — zawołała — szukasz tylko za wymówką aby się odemnie odsunąć i znalazłeś ją. Ta bajka o zmartwychwstaniu Agaty... ha, ha — zaśmiała się szyderczo — ty sam w to nie wierzysz, tylko tak udajesz. Żałujesz swego przyrzeczenia... nie kochasz mnie. Kochasz jedynie tę zmarłą, która dawno już spoczywa w grobie.

— Milcz, Waleryo — zawołał oburzony — ty sama nie wiesz co mówisz.

— Dlaczego wzbudzałeś we mnie nadzieje i obiecywałeś że się ze mną ożenisz, jeżeli tego na seryo nie myślałeś — zawołała gwałtownie — czy ci nie dałam wszystkiego, co kochająca kobieta dać może? Oddaj mi teraz mój honor, Edmundzie, ja nie ustąpię, dopóki ty się z przyrzeczenia swego nie wywiążesz.

Stała przed nim płacząc i zawodząc. On był zmięszany, nie mógł znaleźć słów odpowiedzi.

Czy mi nie chcesz odpowiedzieć — szepnęła — powiedz, Edmundzie, czyś sobie ze mnie nikczemną zabawkę urządził?

— Jak ty możesz coś podobnego przypuszczać — zawołał oburzony.

— Czy nie chcesz uznać, że to teraz o związku naszym mowy być nie może?

Nie, ja nie widzę żadnej przeszkody, nie uwierzę w zmartwychwstanie Agaty, dopóki jej na własne oczy nie zobaczę.

— Da Bóg, to się wkrótce naocznie o tem przekonasz.

— Nie, nigdy Edmundzie, ona leży w grobie! O, ja odgaduję myśli twoje. Ten detektyw musiał mnie przed tobą oczernić, a ty w oskarżenie jego widocznie wierzysz. Ten człowiek mnie nienawidzi... ja nie wiem dlaczego.

Mówiła coraz rozpaczliwiej, aż wreszcie zsunęła mu się do kolan.

— O Boże — mówiła — czy naprawdę chcesz mnie odtrącić, ty niewierny, okrutny człowieku. Patrzaj, jestem na klęczkach przed tobą i błagam cię, miej litość nademną. Ja bez ciebie żyć nie mogę. Nie pogrążaj mnie w hańbę i rozpacz.

Płacz jej wzruszył go do głębi. Piękność jej wywierała na nim dziwny czar. Pochylił się ku niej i podniósł ją z podłogi.

Uspokój się, kochana Waleryo — szepnął on jej pocieszająco.

— Widzisz, żem ja tu nic nie winien. Przysięgam ci, że ożeniłbym się z tobą, gdyby Agata nie żyła.

Lecz Walerya nie mogła się uspokoić. Objęła go namiętnie i przytuliła się do jego piersi, szepcąc mu swe skargi.

— Nie wierz w to — mówiła — ten detektyw okłamał cię. On sam nic nie wie o Agacie, bo inaczej byłci już dał dowdy. On mi zazdrości mego szczęścia i chce mnie z tobą rozdzielić.

— Co za urojenie z twej strony — odparł hrabia Edmund niedowierzająco — Winter nie jest twoim wrogiem, on cię ani słowem przedemną nie oczernił.

— Ależ tak — upierała się szlochając rzewnie — bo inaczej ty tak okrutnie nie odtrącałbyś mnie od siebie.

— Wielki Boże, czyż ja to czynię — odparł on z wyrzutem i zaczął jej znów tłumaczyć, że między nimi nic już być nie może.

Walerya nie dała sobie jednak to wytłumaczyć i rozpaczała jak szalona.

— Daj mi dowód, że Agata żyje — zawołała — wtedy dopiero uwierzę i pogodzę się ze swoim losem.

—Dobrze odparł spokojnie i stanowczo — spodziewam się dostać go od Wintera. Wie on więcej, jak mi powiedział.

— Każ go tu zawołać — nalegała ona — je chcę z jego własnych ust usłyszeć, co on wie.

Hrabia Edmund skinął potwierdzająco głową.

— Chciałem detektywa i tak dziś na konferencyę zawezwać — rzekł on, ciągnąc za dzwonek — każę go więc natychmiast zawezwać.

Walerya uśmiechnęła się ironicznie, jakgdyby już wiedziała, że on nie będzie w stanie uczynić zadość wezwaniu ministra.

Wtem zapukano do drzwi. Był to stary Michał.

— Co tam? — przemówił minister uprzejmie.

— Ekscellencyo, jest tu jakiś komisarz policyjny, który koniecznie prosi o przesłuchanie — rzekł stary sługa — przyszedł on z bardzo ważną wiadomością od komisarza Wintera.

— Od Wintera? Dlaczegóż on sam nie przyszedł — zawołał hrabia Edmund zdziwiony.

Wprowadź tego pana.

Stary otworzył drzwi, i wprowadził elegancko ubranego detektywa. Był to ten sam, który wczoraj wieczorem był u Wintera.

Ukłonił się nizko hrabiemu i Waleryi, która mu rzuciła badawcze i zaciekawione spojrzenie.

— Czy pan przychodzi ze zlecenia pana Wintera? — przemówił hrabia niecierpliwie.

— Tak jest, ekscellencyo! — rzekł on poważnie. — Pan Winter sam niestety przyjść nie może, bo jest ciężko chory.

— Mój Boże, cóż mu się stało? — zawołał minister wzruszony.

Został on wczoraj wieczorem przez jakiegoś łotra napadnięty i ciężko raniony, ekscellencyo! — była odpowiedź komisarza.

Hrabia Edmund zbladł ze strachu. Uczuł on okropną litość dla człowieka, którego tak wysoko cenił, i który mu takie przysługi wyświadczył.

— Mój Boże, czyż to możliwe? — krzyknął on przerażony. — Czy jest jakie niebezpieczeństwo?

Komisarz wzruszył ramionami.

— Lekarz ma nadzieję, — rzekł on — lecz stan jego jest bardzo groźny! Nie chcę panu hrabiemu tego ukrywać.

Żaden z obu mężczyzn nie spostrzegł tryumfującego uśmiechu Waleryi na wiadomość o nieszczęściu Wintera.

Hrabia Edmund bardzo się tem zmartwił, i prosił komisarza aby mu wszystko dokładnie opowiedział.

— A cóż to za łotr ten okropny czyn popełnił? — spytał hrabia oburzony.

— Złoczyńca jeszcze nie wykryty, ekscellencyo! — była odpowiedź detektywa. Pan Winter sam go nie znał.

Musiał to jednak być ktoś, który się Wintera jako detektywa obawiał, — zauważył hrabia Edmund. Jakiś jego wróg, albo jakiś śledzony przez Wintera zbrodniarz. Trzeba go przecież koniecznie odkryć.

Mam nadzieję że to się uda, ekscellencyo, chociaż w tym wypadku bardzo trudno będzie złoczyńcę odnaleźć, — odpowiedział komisarz. Podejrzenie padło odrazu na jedną osobę, lecz nie ma żadnych dowodów, stwierdzających to podejrzenie.

— A kto to taki? — spytał hrabia ciekawie.

Komisarz zwlekał z odpowiedzią i popatrzył w stronę Waleryi, która z naprężenia wprost oddech wstrzymywała. Czy odgadywała ona nazwisko, które on właśnie miał wypowiedzieć?

— Hrabia Wildenfels, — oświadczył detektyw.

— Hrabia Edmund wydał okrzyk niepojętego zdziwienia.

— Jakto? Hrabia Sinobrody? — krzyknął on. — Czy pan sam tę rzecz zbadał?

— Tak jest, natychmiast! Podejrzenie przeciwko hrabiemu Sinobrodemu zdawało się być uzasadnione. Pan Winter wstąpił swego czasu do służby hrabiego w roli leśniczego, aby go szpiegować i tajemnice jego podpatrzeć. Chciał on niedawno uwięzić służącego Piotra i miał z powodu tego gwałtowna sprzeczkę z hrabią. Możnaby to więc uważać jako zemstę tego ostatniego.

— Lecz nie ma dowodów na to, co?

— Nie, — ekscelencyo! Pokazało się bowiem, że hrabia Sinobrody bawił w czasie popełnienia tej zbrodni na zamku Wildenfels.

— No, w takim razie nie może on być być winnym — rzekł hrabia Edmund. — Mam nadzieję że się prawdziwego złoczyńcę odkryje. Zdaje mi się że pan przyszedł z jakimś zleceniem od chorego swego kolegi?

— Tak jest, ekscelencyo! Otóż kolega mój prosi o jak najrychlejsze odwiedziny ekscellencyi. Ma on bowiem bardzo ważne wiadomości dla pana hrabiego, których nikomu innemu powierzyć nie może.

— Pójdę tam dziś jeszcze — zadecydował hrabia Edmund po namyśle. — Gdzie leży chory?

W hotelu "pod białem jagnięciem", na ulicy Polnej!

— Dobrze! a czy chory ma dobrą opiekę lekarską? — zapytał hrabia Edmund. — Kto go pielęgnuje?

— Narzeczona jego, Katynka Gerhard. Przeprowadziła ona się ze swoim ojcem do tego samego hotelu.

Hrabia Edmund skinął głową na znak zadowolenia.

— W takim razie jestem uspokojony. Proszę powiedzieć panu Winterowi, że ja dziś jeszcze będę u niego.

Pożegnał on komisarza, a po jego odejściu zwrócił się do Waleryi, która się z takim samym spokojem temu wszystkiemu przysłuchiwała, jak gdyby to już dla niej nic nowego nie było.

— Co mówisz na to nieszczęście? — zawołał on. — Biedny poczciwy człowiek! Gdybym nie był taki zajęty to by w tej chwili do niego pobiegł. Przeczuwam, że on ma mi coś ważnego

do powiedzenia o Agacie. Lecz niestety, muszę najpierw pójść do księcia.

— I mnie żal detektywa, — rzekła Walerya obłudnie. Nie mogę jednak wierzyć, aby hrabia Sinobrody coś podobnego mógł uczynić.

— O, on podobno już gorsze zbrodnie popełniał — odparł hrabia Edmund. Spodziewam się zresztą, że prawda na wierzch wyjdzie jak oliwa. Daj Boże, aby tylko Winter wyzdrowiał! Co za szkoda, że to się teraz stać musiało, i że o podróży do Indyi na razie mowy być nie może.

Walerya uśmiechnęła się nieznacznie, a z oczu błyskało jej szyderstwo i złośliwa radość. Potem pomyślała o tem, co też za ważne wiadomości detektyw ma do hrabiego Edmunda. Nie może to przecież być nic innego, jak nowe jakieś odkrycie co do Agaty.

Doznała ona dziwnego jakiegoś niepokoju. Gdyby jednak była przeczuwała co Winter hrabiemu ma do powiedzenia, byłaby się obawa jeszcze wzmogła. Nie wiedziała ona bowiem, że list Agaty znajduje się rzeczywiście w ręku detektywa. Była ona pewna, że jest on jeszcze zamknięty w skrytce jej biurka.

Hrabia Edmund wybierał się już seryo do pałacu, i rzekł do Waleryi na pożegnanie.

— Przyjadę jutro do ciebie aby ci donieść, com się od Wintera dowiedział.

W kilka minut później wyjechała i Walerya. Była ona bardzo zamyślona i posępna.

— Obawiam się rozmowy hrabiego z Winterem — szepnęła ona. — O, gdyby tak można temu było przeszkodzić i detektywa tego uczynić nieszkodliwym.

Poco on jeszcze żyje? Nie śmie on wyzdrowieć i wstać z łoża swego. Znajdę ja już stosowne środki do osiągnięcia tego celu.

Nie wróciła ona do domu lecz do zamku Wildenfels, aby się z hrabią Sinobrodym porozumieć i poradzić.

Rozdział 70.

W WALCE O WOLNOŚĆ I ŻYCIE.

— Boże, zmiłuj się nad nami! — szeptała drżącemi usty Gertruda, stojąca z Józefą przed zamkniętemi drzwiami swego pokoju.

Słyszały one ciężkie kroki żołnierzy po schodach, a wreszcie mogły już wyraźnie rozróżnić głos farmera i wroga swego, ajenta Baldiego. Niebawem ozwały się też ostre słowa angielskiego oficera.

— Czy nie ma pan prócz tych kobiet nikogo zresztą w domu? — badał on farmera.

— Nie! niech się pan porucznik zresztą sam przekona — była odpowiedź zapytanego.

A przecież musiało tu nadjechać przed dziesięcioma minutami kilku Burów konno! — mówił porucznik podejrzliwie. — Pędziliśmy za nimi i zdawało mi się, że oni do farmy pana wjechali.

Wreszcie umilkły głosy i kroki, niebezpieczeństwo na chwilę znowu przeszło. Obie kobiety lżej odetchnęły.

— Agent nie przypuszcza że to my — szepnęła Józefa — jutro żołnierze odchodzą, a wtedy niczego więcej nie będzie się trzeba obawiać.

— Cicho oni wracają, a teraz z pewnością nas znajdą — zawołała Gertruda, rozpaczliwie załamując ręce.

Przez chwilę słychać było zbliżające się kroki, potem znowu schodzenie po schodach i krzyk na dole, w końcu wszystko się uciszyło.

Gertruda i Józefa ułożyły się znów do snu.

Wszędzie panowała grobowa cisza, przerywana tylko od czasu do czasu przyciszonym odgłosem armatniego wystrzału. Słychać było także z podwórza miarowe kroki straży. Zresztą nic więcej nie przerywało ciszy nocnej.

Gdy się Gertruda obudziła, stało słońce już wysoko na niebie, a Józefa była zupełnie ubrana.

Stała ona przy oknie i wyglądała z poza firanek.

— Czy żołnierze już odjechali — zapytała Gertruda bojaźliwie.

Józefa westchnęła i rzekła wskazując na okno:

— Nie a teraz właśnie nowi jeszcze nadjechali, piechota i artylerya. Patrz, całe podwórze pełne jest żołdactwa.

Gertruda wyskoczyła prędko z łóżka i przystąpiła do okna. Widziała podwórze pełne angielskich żołnierzy różnego gatunku. Około 20 dział stało w drugim rzędzie, między tłumem kręcących się tam i nazad ludzi.

Można było poznać, że oni wracali właśnie z bitwy, gdyż było między nimi dużo lekko rannych. Jedni mieli rękę na temblaku, drudzy owiązane głowy. Wszyscy zaś byli oprószeni i zczerniali. Rozmawiali między sobą, śmiali się i hałasowali.

Na obrosłej dzikiem winem werandzie siedział właściciel farmy i pięciu oficerów.

Gertuda i Józefa, patrzyły z poza firanki na tę grupę i nadsłuchiwały przez pół otwarte okno.

Na werandzie było bardzo gwarno i wesoło. Była tam także Lydia, żona farmera, i agent Baldi.

Młoda gospodyni w kokieteryjnym rannym stroju bawiła się z porucznikiem od huzarów, który wczoraj wieczorem z ludźmi swoimi tu przybył.

Przed farmerem stanął wysoki, barczysty mężczyzna o sutym wąsie i bardzo ogorzałej twarzy. Mundur jego z pod warstwy kurzu ledwo był do poznania.

Opierał się o swoją szablę i uderzał nią często o ziemię, widocznie aby słowom swoim więcej dać nacisku. Był on pułkownikiem artyleryi.

— Czyż nie ma pan nic dla naszych ludzi — przemówił do farmera ostrym tonem — ale znajdzie się jeszcze coś, my bierzemy co jest. Musi pan dać nam także koni, bo potrzebne są nam do ciągnięcia armat.

— Zabrali mi już wszystko moje bydło — mówił farmer gniewnie — czyż mnie chcecie do szczętu splądrować, czy to kto słyszał? Czy to jest opieka, którą rząd daje poddanym swoim i ich własności?

Pułkownik zaśmiał się i zaklął pod nosem.

— Żądaj pan od rządu odszkodowania — rzekł — rząd panu za wszystko zapłaci. W czasie wojny każdy musi ponosić ofiary.

— Daj mi pan więc potwierdzenie odbioru bo inaczej nic nie dostanę.

— Czyż ja panu zabrałem bydło? — zaśmiał się pułkownik szyderczo. Trzeba sobie było kazać wystawić kwit od owego oficera, który je panu zabrał. Co mnie to obchodzi?

— Nie byłem w domu, gdy mi bydło moje skradziono.

— Skradziono? — krzyknął pułkownik gniewnie. — Niech się pan liczy ze słowami!

Farmer miał już ostrą odpowiedź na ustach, lecz się opanował. Odwrócił się tylko od brutalnego oficera i wyszedł na podwórze.

Pułkownik popatrzył za nim zdumiony.

— Kiepski patryota — mruknął on gniewnie:

Wtem zwrócił się do niego ów porucznik od huzarów, który dotychczas Lydyi nadskakiwał.

Tem lepszą patryotką jest jego żona, panie pułkowniku! — rzekł on śmiejąc się. — Uprzejma gosposia pomyślała o nas w uznania godny sposób. Znajdziemy tu już dobrze zastawiony stół i najlepsze wino rosnące w tej błogosławionej krainie. Nieprawdaż pani dobrodziejko?

Lydia odpowiedziała mu najuprzejmiejszym swoim uśmiechem i zaprosiła oficerów aby się w przyległej jadalni rozgościli.

Ponura twarz pułkownika rozjaśniła się. Ukłoniwszy się nizko, przemówił on kilka dziękczynnych słów, poczem wszedł wraz z innymi za panią domu do jadalni.

Zastali tam suto nakryty stół i zasiadłszy do niego, zabrali się z apetytem do spożycia zastawionych zapasów i specyałów. Niebawem dało się słyczeć dzwonienie szklankami i kielichami. Pito na zdrowie uprzejmej gospodyni. Szczególnie huzar młody, przystojny człowiek z zuchwałym wąsem nadskakiwał Lydii w wido czny, w oko wpadający sposób.

Ona ze swej strony przyjmowała jego umizgi, z kokieteryjnym uśmiechem i zamieniała z nim wieloznaczące spojrzenia.

— Kapitanie Harris! — rzekł pułkownik z uśmiechem grożąc mu żartobliwym ruchem ręki. — Uważaj pan na swoje serce, bo my tu długo nie zostaniemy!

— Co za szkoda! — zawołała Lydia. — A ja się spodziewałam, że panowie dość długo moimi gośćmi zostaniecie.

— Bardzo to pochlebne dla nas, łaskawa pani! - odpowiedział grzecznie pułkownik. Lecz obowiązek wola nas znowu na pole walki. Pobiliśmy wczoraj nieprzyjaciela, i spodziewam się, że wkrótce nieokrzesane to chłopstwo parami przed sobą pędzić będziemy. Za dwa tygodnie wjedziemy jako zwycięzcy do Pretoryi, do ich stolicy. Uderzmy w szklanki na to, panowie!

W tej chwili zjawił się w otwartych drzwiach gospodarz, obrzucając pijanych oficerów ponurym wzrokiem. Przy ostatnich słowach pułkownika poruszyły się usta jego pogardliwym uśmiechem. Potem popatrzył on na żonę, siedzącą na pierwszym miejscu u stołu, a opalona twarz jego pokryła się ciemnym rumieńcem gniewu i oburzenia.

Chodź pan panie Berger, i wypij pan z nami, na zwycięstwo naszej walecznej, chwałą okrytej armii! — zawołał kapitan Harris. — Zawołaj pan z nami: Precz z Burami! Precz z tem upartem, buntowniczem chłopstwem!

Po tych słowach zwrócili się wszyscy z podniesionymi puharami do gospodarza. Lydia uśmiechnęła się szyderczo.

— Tak jest, siadaj tu Janie! — rzekła ona ostrym głosem.— Daj dowód, że jesteś dobrym patryotą, i daj tym panom potrzebne informacye!

Jan Berger wyprostował się, oczy jego zabłysły złowrogo a z twarzy jego bił wyraz gniewu i pogardy.

— Żałuję, —rzekł on chłodno, nie zwracając nawet uwagi na przestrogi swej żony — moja sympatya nie jest po stronie walecznej

i chwałą okrytej angielskiej armii. Nie mogę usiąść do jednego stołu z ludźmi, którzy mi brutalną siłą zabierają wszystko, co ja sobie w pocie czoła zarobiłem.

To rzekłszy wyszedł on i znikł w następnych drzwiach. W pokoju zapanowała grobowa cisza. Oficerowie spoglądali na siebie zaambarasowani, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego co słyszeli.

Wtem zerwał się pułkownik gniewnie z siedzenia.

— Jak ten człowiek śmiał! — zgrzytnął on z wściekłością. — Czy on niespełna rozumu, że się odważył tak nas zelżyć? On mi to odpokutuje! To przecież jest zdrada stanu!

W nieopisanem oburzeniu swem chciał on wybiedz za Bergerem, lecz oficerowie wstrzymali go, i starali się go uspokoić.

I Lydia wstawiła się ze swoim mężem, mimo że znalezienie się jego było oburzającem.

Wreszcie uspokoił się pułkownik i siadł znów na swoje krzesło.

Tylko pani mąż podziękować ma za to, że ja go srogo za obelgę jego nie karzę, łaskawa pani—oświadczył on. — Radziłbym mu jednak, aby to wrogie usposobienie swoje przeciwko nam nie zdradzał głośno przed innymi.

— Mój mąż nie jest Anglikiem, lecz Niemcem panie pułkowniku! — westchnęła Lydia. — Stąd pochodzi sympatya jego dla pokrewnych mu Burów. Ja go się daremnie starałam nawrócić.

— I z takim mężem może pani szczęśliwie żyć, pani dobrodziejko? — wycedził Harris pod nosem. — Co to są za damy w domu pani? One się przecież wcale nie pokazują?

Lydia wzruszyła tylko pogardliwie ramionami.

— Sa to dwie Niemki, tak przynajmniej mąż mój utrzymuje. Przywiózł on je ze sobą z Kapstadu, bo się nad niemi zlitował. Ja się o nie zupełnie nie troszczę.

Gertruda i Józefa stanęły tymczasem znów przy oknie swego pokoju i patrzyły na podwórze.

Żołnierze rozprószyli się tymczasem, aby się jak najwygodniej ulokować. Powyciągali z wozowni i stajen wszystko co mogli. Zabrali też na rozkaz pułkownika ostatnie pięć koni farmera.

Między tą tłuszczą angielskich żołnierzy, było także czterech mężczyzn w innem przebraniu. Byli to uwięzieni Burowie, silne postacie, o ponurych brodatych twarzach. Oparli się o mur, stojąc nieruchomo z wyrazem dumnej obojętności i pogardy.

Jeden z tych więźniów był oficerem, w randze kapitana, jak to z kołnierza jego poznać można było.

Był on wysoki i smukły, prawdziwie imponująca postać o arystokratycznych rysach. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że on był obcym w tym kraju. Przybył on pewno wraz z wielu innymi z Europy do Afryki, aby wesprzeć walczących Burów, w ich sprawiedliwej walce o swą naruszoną wolność i niepodległość. Lewa ręka jego była zraniona i spoczywała na temblaku — dowód, że nie poddał on się bez oporu.

Na lewo i prawo stało obok tych czterech więźni kilku angielskich żołnierzy z najeżonymi bagnetami.

Reszta żołnierzy porozkładała na różnych miejscach ogniska, sporządzając wieczerzę.

O więźniach nikt jednak nie zdawał się myśleć, nawet trochę wody im nie podano, mimo okropnego upału.

W tej chwili padł wzrok Gertrudy na biednych więźniów.

— Popatrz na tych nieszczęśliwych, Józefo — rzekła ona pełna współczucia wskazując ich swej towarzyszce — jak okrutnie, że im jeść nawet nie dają. A szczególnie ten młody, zraniony oficer. Jakżeż oni mu mogą dać tak stać w tym piekącym skwarze słonecznym, on musi zginąć.

Józefa była tego samego zdania. Oczy jej spoczywały na młodym kapitanie Burów, który w tej chwili właśnie zwrócił ku niej opaloną swą twarz.

— Mój Boże, co to jest? Czy mnie oczy nie mylą? — zawołała nagle w nieopisanym zdziwieniu.

Otworzywszy okno i wychyliwszy się z niego wpatrywała się w młodego oficera.

Twarz jej okryła się śmiertelną bladością, dreszcz przechodził całe jej ciało, mimowoli wyciągała ręce ku niemu.

— Co ci jest Józefo, na miłość boską — zawołała Gertruda śmiertelnie przestraszona, obejmując przyjaciółkę czule — czego ty się w tego oficera tak wpatrujesz, czy ty go znasz?

— Tak jest... znam go... wielki Boże — wyrwał się ledwo dosłyszalny okrzyk z ust Józefy — tak jest... to on.. mój brat, Aleksander, którego miałam za umarłego — krzyknęła nagle tonem radości i bólu.

Odchodziła ona prawie od zmysłów. Łzy spływały jej po policzkach, szlochając, wymawiała ona imię jego z zachwytem i czułością nie do opisania. Patrząc na niego, wychylała się tak nizko z okna, że byłaby z niego wypadła,

gdyby ją Gertruda nie była przytrzymywała.

Czy słyszał ją młody kapitan? Bo i jego wzrok zwrócił się teraz w jej stronę z wyrazem zdziwienia i niespodzianki. Poruszył się nawet o krok naprzód, lecz w tej samej chwili skierowali żołnierze swe bagnety ku niemu, nakazując mu "stać".

Oficer cofnął się znów na dawne miejsce i wyciągnął jakby na powitanie rękę ku otwartemu oknu i stojącej w niem postaci kobiecej.

W tej chwili ukazał się w podwórzu agent Baldi.

— Aleksander, Aleksander, mój brat — wyrwał się przeraźliwy okrzyk z ust Józefy.

Gertruda odciągnęła przyjaciółkę od okna i objęła ją wśród łez.

— Na Boga świętego, przyjdź do siebie — błagała — uspokój się, bo jeszcze nas zdradzisz. O włos, że cię ten obłudny inżynier Baldi nie spostrzegł.

Józefa umilkła i zemdlała. Nagła ta niespo dzianka za dużą była na jej siły.

Gertruda położyła ją na łóżko i zamknęła okno. Potem schowała się za firankę, aby zobaczyć co się na padwórzu dzieje.

Czy agent Baldi spostrzegł Józefę i czy wołanie jej usłyszał?

Mówił teraz z żołnierzami i patrzył przytem badawczo w stronę okna. Gertruda trzęsła się ze strachu spostrzegłszy to.

Co się z niemi stanie, jeżeli ten oszust się dowie, że obie jego ofiary, które od niego uciekły, tu się znajdują?

Śmiertelny strach przejął Gertrudę, gdy zobaczyła, że Baldi opuszcza podwórze i wchodzi do wnętrza domu.

Teraz wchodzi on pewno dla przekonania się o tem co słyszał i wtargnie przemocą do ich pokoju.

— Wielki Boże, pomóż nam — szeptała Gertruda pełna rozpaczy.

Lecz kwadrans czasu upłynęło, a ajent się nie pokazał. Gertruda nadsłuchiwała z gorączkowem naprężeniem i znosiła piekielne męki i obawę.

Na łóżku leżała Józefa wciąż jeszcze nieprzytomna.

Wtem dał się słyszeć odgłos kroków na schodach. Gertruda cofnęła się przerażona, a dreszcz strachu przeszedł po jej ciele. Obawa jej wzmogła się do ostateczności.

Teraz zbliżyły się kroki do drzwi i odezwało się pukanie. Gertruda wstrzymała oddech i serce jej przestało bić ze strachu. Nagle usłyszała znajomy głos, i przekonała się, że nie jest to agent. którego się tak obawiała.

W następnej chwili odsunęła rygiel i otworzyła drzwi.

Był to farmer Berger, który wszedł prędko i zamknął szczelnie drzwi za sobą. Spostrzegł on, jak się Gertruda trzęsła i ledwo na nogach ze strachu utrzymać się mogła.

— Niech się pani niczego nie obawia — odezwał się uspokająco — jak długo ja żyję, żaden człowiek pokoju tego nie przestąpi. Ten łotr nic paniom więcej nie zrobi.

— Czy pan wie, że on tutaj? Czy pan zna tego nędznika? — zawołała Gertruda.

— Poznałem go według opisu pań i słyszałem jego nazwisko. Służy on teraz angielskiemu wojsku jako szpieg i donosiciel, prawdziwy szubrawiec i szubienicznik — dokończył farmer, a spojrzawszy na łóżko zapytał: Co się stało przyjaciółce pani?

To rzekłszy zbliżył się zaniepokojony do Józefy. Gertruda dała mu spiesznie potrzebne wyjanienia. Zdziwienie jego było bezgraniczne.

— Jakto? Czyż to możliwe, aby ten młody kapitan Burów, był rzeczywiście bratem przyjaciółki pani —zawołał on zdziwiony i przystąpiwszy do okna, spojrzał bacznie na więźnia. Potem odwrócił się i rzekł oburzony:

— To jest łajdactwo, jak się Anglicy ze swoimi więźniami obchodzą. Banda rozbójników i podpalaczy nie mogłaby tu gorzej grasować, niż ci zdziczali żołnierze. Jest to hołota zebrana z całego świata. A oficerowie, nie są wcale lepsi.

— Nieprawdaż panie Berger, że my jesteśmy w okropnem niebezpieczeństwie — szepnęła Gertruda — od tych oficerów nie możemy się spodziewać żadnej opieki.

— Opieki zaśmiał się farmer gorżko — gdybyście panie były Angielkami, to pewno, ale tak, to wcale nie. Z chwilą, gdy was agent pozna, to jesteśmy wszyscy troje straceni. Ten nędznik opowie bowiem oficerom tę zmyśloną bajkę z gazet, według której my mamy być szpiegami i sprzymierzeńcami Burów. Łatwo sobie wyobrazić można co nas w takim razie czeka. Samo podejrzenie już wystarczy i zrobią z nami krótką sprawę.

Gertruda załamywała ręce w rozpaczy.

Wiadomość, że brat przyjaciółki pani służy w szeregach burskich, podejrzenie to jeszcze tylko wzmocni — mówił farmer ponuro. — Na szczęście jeszcze do tego nie przyszło i spodziewam się, że ci żołnierze prędko stąd odejdą.

— Czy nie byłoby możliwe uciec stąd — wtrąciła Gertruda — może tej nocy jeszcze.

Farmer stanowczo się temu sprzeciwił.

— Nie można się z tego domu wydostać nie-

spostrzeżenie. A chociażby, to my stąd uciekać nie możemy, bo nie mamy koni. Ci złodziejscy żołnierze zabrali mi ostatnie pięć koni—zawołał gniewnie — spożywają oni jeszcze resztki moich zapasów ze spiżarni i piwnic. Rozkoszują się przy moim stole, a moja żona, udaje uprzejmą gospodynię i kokietuje jeszcze z tymi rzezimieszkami — dodał on zaciskając pięści.

Gertruda popatrzyła na niego z bezradnem współczuciem. Berger wypowiedział jeszcze kilka słów pociechy i zaczął wyjmować z kieszeni na stół zapasy żywności, które im tu przyniósł. Między innemi były i dwie flaszki wina.

Potem odszedł on z przyrzeczeniem że wieczorem znów do nich zaglądnie. Obiecał też zro bić dla brata Józefy wszystko, co będzie w jego mocy.

Po odejściu Bergera, udało się Gertrudzie ocucić swą przyjaciółkę. Pierwsza myśl Józefy była naturalnie o bracie. Wstawszy poszła ona zaraz do okna.

Scena na podwórzu zupełnie się jednak zmieniła. Żołnierze pakowali swoje manatki, a trębacz dawał głośne sygnały. Oficerowie stali już gotowi do dalszego marszu, a rozkazy ich rozlegały się głośno wśród hałaśilwych żołnierzy.

— Chwała Bogu! — zawołała Józefa. — Oni stąd odchodzą, a tem samem niebezpieczeństwo nasze się kończy.

Oczy jej szukały za więźniami, których więcej nie spostrzegła. Gdzie się brat jej podział?

I Gertruda daremnie się za nim oglądała. Widocznie więźniów gdzieś zamknięto.

W trwożnem naprężeniu przypatrywały się obie kobiety odmarszowi żołnierzy. Może oni w ostatniej chwili jeszcze wyprowadzą więźniów i ze sobą zabiorą?

Lecz nie! To się nie stało! Józefa odetchnęła lżej, gdy żołnierze opuścili podwórze, maszerując przy akompaniamencie bębnów, i wysuwając swoje kanony.

Brat jej widocznie został! Będzie ona go wreszcie mogła powitać, i z nim się rozmówić.

Lecz nadzieja gorzko ją zawiodła. Nie wszyscy angielscy żołnierze opuścili bowiem folwark. Zostali huzarzy, którzy pozamykali bramy, i porozstawiała straże. Zotsał też ajent Baldi, wróg obu kobiet, które na widok jego silnie zadrżały.

Radość obu przyjaciółek zmieniła się w obawę i troskę. Z westchnieniem odwróciły się one od okna, i zaczęły się pokrzepiać przyniesionym przez Bergera prowiantem. Józefa podchodziła często do okna w nadziei, że się brat jej ukaże, lecz na podwórzu nikogo prócz straży widać nie było.

—Ale czyto ten więzień jest naprawdę twym bratem? — powątpiewała Gertruda. — Miałaś go przecież już za umarłego.

— Ja jestem pewna, że to on!—upierała się Józefa. — To niemożliwe, abym ja się tak omylić mogła! Miałabym nie poznać swego rodzonego brata? Ach, co za radość Gertrudo! On żyje, i jest tak blizko przy mnie! — dodała ona w uniesieniu, kończąc smutno. — A jednak nie mogę się z nim zobaczyć, i do serca go przycisnąć.

Bóg jedyny wie, jak ja radość twą podzielam, kochana moja! — rzekła Gertruda. —Gdybyśmy tylko brata twego mogły uwolnić i razem z nim stąd uciec. Ale ja się bardzo obawiam że to będzie niemożliwe.

Józefa potwierdziła jej smutnem skinieniem głowy w świadomości swej niemocy. I brat jej nie był w lepszem położeniu. Serce jej rwało się do niego, a przecież nie wolno jej go było odszukać, i musiała się trwożnie ukrywać. Z każdego kąta czyhały na nie bowiem podstęp, zdrada i zguba.

Z płaczem rzuciła się ona na piersi wiernej swej przyjaciółki, i wybuchła rozpaczliwem łkaniem. Zaczęło jej się już zdawać, że to był sen, złudne mamidło fantazyi, co ona widziała.

Czy nie otrzymała ona wiadomość o śmierci brata swego na zamku Wildenfels? A teraz miałby on się raptem tu zjawić, w tym obcym kraju? Jak to możliwe? Skąd on się tu mógł dostać?

Było to zagadką, którą tylko sam jej brat mógł rozwiązać, dając jej odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Muszę przekonać, czy on jeszcze tu jest — zawołała ona nagle, wyprostowując się.—A jeśli go przecież żołnierze tak ze sobą wzięli, żeśmy tego nie spostrzegli? Wielki Boże! W takim razie ona by go już nigdy w życiu nie zobaczyła.

— Poczekajmy jeszcze do wieczora, — pocieszała ją Gertruda. — Gdy Berger, opiekun i zbawca nasz znów do nas zaglądnie, to może się od niego czegoś bliższego dowiemy.

Na samotnym folwarku zapadł wieczór ze swą ciemnością i ciszą. Z niepokojem i biciem serca oczekiwały obie kobiety nadejścia swego przyjaciela, niepokojąc się, że go jeszcze nie ma. Wszystko już spało z wyjątkiem straży. Dom był jak wymarły.

A może Berger umyślnie z ostrożności aż do tej pory czekał? Dlaczego się jednak teraz nie zjawia?

Wtem przerwał straszny, przeraźliwy krzyk nagle tę ciszę nocną. Głośne, gwałtowne głosy... straszny okrzyk z ust niewieścich... a potem odgłos wystrzału

— Boże miłosierny — krzyknęła Gertruda przerażona — co to ma znaczyć?

Drżąc na całem ciele ze strachu, nadsłuchiwała z Józefą zwiększający się coraz tumult.

— Chodź — przemówiła wreszcie Józefa stanowczym głosem. — Ja tu na górze dłużej zostać nie mogę. — Zejdźmy na dół, niech się stanie co chce.

Otworzyła drzwi i chwyciwszy Gertrudę za rękę, pociągnęła ją za sobą po schodach.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Berger nie zapomniał swego przyrzeczenia i skoro się tylko na korytarzu uciszyło, wyszedł ze swego pokoju, aby się udać do swoich protegowanych. Lecz w drodze do nich stanął zmieszany, gdyż spostrzegł ajenta przy bladem świetle lampy. Łotr ten stał tu widocznie na straży

Miał on widocznie jakieś podejrzenie i czekał tylko na to, aby farmer wszedł na górę.

Na kurytarzu znajdował się także jeszcze żołnierz, który siedział spokojnie w kącie, trzymając karabin swój między kolanami.

Berger cofnął się niespostrzeżenie, bo cóż miał zrobić? Jak szpiega tego oddalić? Czekał on jeszcze godzinę w swoim pokoju, potem wyszedł po raz drugi.

gent uśmiechnął się szyderczo.

spostrzegł tym razem Bergera. Farmer udawał jakoby mu obecność tego łotra obojętną była i przystąpił do schodów.

W tej chwili zaszedł mu agent drogę, a Berger zapytał ostrym tonem:

Co pan tu chce? Czego pan tu szpieguje?

Ajent uśmiechnął się szyderczo.

— Znam ja pańską tajemnicę, panie Berger — odpowiedział półgłosem — ja wiem, kto są te obie kobiety, które pan tu na górze ukrywa.

— A co dalej — zapytał farmer ponuro, mierząc przeciwnika swego ponurym wzrokiem.

— O, zdaje mi się że sobie pan nie zdajesz sprawy z doniosłości tego uczynku — rzekł agent — opiekujesz się pan temi osobami, a przecież dobrze pan wiesz, o co je podejrzewają? Obie są szpiegami Burów, a jedna z nich jest jeszcze do tego morderczynią.

Bergerowi krew zawrzała w żyłach. Zacinął on pięści, jakgdyby chciał zmiażdżyć niemi złośliwego przeciwnika.

— Łotrze — zawołał pogardliwie — wiesz przecież sam najlepiej, że to podłe kłamstwo i że to nie one, lecz ty sam tego poszukiwacza złota zamordowałeś, ty sam także podałeś bajkę o ich szpiegowaniu do gazet. Radzę ci jednak mieć się na baczności, bo jeżeli teraz jeszcze biednym kobietom spokoju nie dasz, to ostatnia godzina twoja wybiła.

Przed jego groźną podniesioną pięścią, cofnął się agent tchórzliwie.

— Oho! — zaśmiał się on drwiąco. Więc mię pan wyzywa? Dobrze! Jutro stanie pan z dwiema swojemi protegowanemi kobietami przed sąd wojenny. Opowiem wszystko kapitanowi Harrisowi i przysięgnę na prawdę tego, co w gazetach stało.

Berger drżał na całem ciele z wściekłości i oburzenia i chciał się rzucić na swego podłego przeciwnika, lecz w tej chwili zbliżył się do nich, siędzący na straży żołnierz, a agent cofnął się ostrożnie wstecz.

— Co tu takiego? — zapytał żołnierz podejrzliwie. Nie słyszał on nic z prowadzonej cicho rozmowy i tylko wyzywająca postawa i ruchy farmera uwagę jego zwróciły.

— To nic! — uspokoił go agent. — Strzeżcie tutaj tylko dobrze schody, ażeby mi żadna z tych kobiet z góry nie uciekła.

To mówiąc odszedł on z szyderczym uśmiechem.

Żołnież wrócił spokojnie na swoje miejsce podczas gdy Berger patrzał za odchodzącym ponurym, złowrogim wzrokiem.

W chwili tej powstało w nim nagle straszszne postanowienie. Pobiegł on szybkim krokiem za agentem.

— Chodzi tu o wolność i życie! — mruknął on pod nosem. — Ta złośliwa żmija musi być zdeptana, zanim jad swój rozbryzgać potrafi.

Wszedłszy do swego pokoju złapał on za broń i przekonał się że była nabita.

Wtem... gdy znów chciał z pokoju wybiedz, stanął nagle służący jego stary Murzyn, przed nim.

— Czego chcesz, Hassanie? — zapytał on ponuro.

Stary sługa popatrzył badawczo na swego pana. Na czarnej jego twarzy malował się smutek i gniew.

— Czy pan już wie? — zapytał Murzyn przytłumionym głosem, wskazując wieloznaczą co na broń w ręku farmera.

— Nie... nic! — wyjęknął Berger opanowany nagle dziwnem przeczuciem. — Co mi masz do powiedzenia? — Hassanie?

Oczy starego Murzyna zabłysły nienawistnym gniewem. Zbliżył się on do ucha swego pana i szepnął:

— Wielmożna pani... oszukuje pana... Kapitan jest teraz przy niej!

Berger cofnął się jak gdyby piorunem rażony. Złapał się za głowę i padł z jękiem na krzesło.

— Oszukany... zdradzony... i to jeszcze! — jęknął on boleśnie.

Potem podskoczył dziko. Rysy jego zmienione były do niepoznania, a zęby ścierały się zgrzytem o siebie.

Złapał za broń, odtrącił starego, który go gwałtem chciał zatrzymać, na bok i pobiegł jak szalony ku komnacie niewiernej swej żony.

Rozdział 71

STARZY PRZYJACIELE

Otulony w ciepłe swe futro, przechodził Ludwik Hecht pwnego mroźnego wieczora zimowego przez spokojne, arystokratyczne ulice ciągnące się wzdłuż parku miejskiego stolicy.

Wyszedł on właśnie z jednej winiarni, gdzie mu się udało zedrzeć kilku hulaków w grze do ostatniego centa.

Finanse jego źle bardzo stały, gdyż Walerya nie dała mu żądanych pięćdziesięciu tysięcy marek. Musiał on sobie więc w inny sposób pomódz, i był widocznie zadowolony z rezultatu dzisiejszego wieczora, gdyż miał znów kilka tysiączków w kieszeni.

Podniesiony na duchu, zbliżał się on do swojej dzielnicy. Zasunął lśniący cylinder na tył głowy, aby ochłodził rozgrzaną głowę powiewem chłodnego nocnego powietrza.

Z dużego placu, okolonego wspaniałymi pałacami, dostał on się przez monumentalną bramę w cieniste aleje miejskiego parku. Brama z wysokiemi kolumnami odbijała jak potężny czarny kolos od szarego tła nieba. Z drugiej strony tej bramy, w parku, lśniło się wszystko warstwą białego zamarzniętego śniegu.

Tu na dworze, to jest na ulicy otaczającej park panowała grobowa cisza, przerywana od czasu do czasu tylko turkotem kół przejeżdżającego powozu, albo dzwonkami saneczek.

Ludwik Hecht postępował szybko naprzód. Pod nogami zgrzytnął zamarznięty śnieg. Nagie drzewa sterczały jak gdyby zdrętwiałe w śnie zimowym, a ciemne ich pnie odbijały upiorowato od białej płaszczyzny śnieżnej.

Nagle wychyla się z jej ciemnych, bocznych alei parku, bardzo podejrzanie wyglądająca postać jakiegoś włóczęgi, trzęsącego się z zimna w cieniutkim swym paltociku i weszła samotnemu wędrowcowi naszemu w drogę.

— Przepraszam panie baronie! Proszę tylko o kilka groszy, — przemówił włóczęga do niego, wyciągając żebrząco lewą swą rękę, pod czas gdy prawica jego spoczywała na grubym kiju. Nie mam noclegu, i cały dzień nic nie jadłem. Zlituj się pan, panie baronie! Tylko kilka groszy!

Głos jego był gruby i ochrypły, a przy niepewnem świetle latarki ulicznej z fizyognomii żebrzącego widać było tylko czerwony nos i siwą kołtuniastą brodę.

Szubrawiec w ciepłem swojem futrze uczuł coś, jakgdyby napad wspaniałomyślności. Stanął on na chwilę i zmierzył nędzną postać przed sobą, od stóp do głowy.

— Biedny dyable, — rzekł on, sięgnąwszy ręką do kieszeni — oto masz!

To rzekłszy wsunął on talara w drżącą rękę łotra i zwrócił się w dalszą drogę. Lecz włóczęga zastąpił mu drogę, i rzekł ochrypłym swym głosem:

— Panie baronie.. jeszcze jedno słowo... nich mi pan tego za złe nie weźmie! Pan baron wydaje mi się jednak tak dziwnie znajomym.

Bogaty szubrawiec przeląkł się. Nie chciał on bowiem za żadną cenę przez kogoś być poznany.

— Gdzież go ten włóczęga... a twarz tegoż również nie wydała mu się obcą... mógł dawniej kiedyś widzieć? — pomyślał on, głośno rzekł jednak ostro i z gniewnym śmiechem:

— Chyba żeście się upili! Zabierajcie się stąd i dajcie mi spokój

Temi słowy odszedł on szybkim krokiem. Lecz włóczęga popędził za nim aż do następnej latarni. Światło tejże padło prosto w ich twarze, i równocześnie obaj się poznali.

— To Ludwik! Ludwik Hecht! Czyż to naprawdę ty, stary przyjacielu? — zawołał włóczęga pół niedowierzająco, pół radośnie. — Nie byłbym cię poznał w drogich szatach, tylko głosu twego nie zapomniałem! Czyż się mnie wstydzisz, że ja taki obdarty? Co?

Ludwik Hecht skrzywił się, jakgdyby wychylił szklankę octu, i obejrzał się trwożnie, czy na ulicy nikogo nie widać.

Ulica parkowa była jednak zupełnie samotna, o tej późnej godzinie.

— Dobrze, dobrze! — rzekł on opryskliwie. — Poznaję cię teraz, chociażbym się tu najmniej spotkać ciebie spodziewał. Byłem pewny, że jeszcze jesteś w kryminale.

Włóczęga zaśmiał się wesoło.

— Wcale mi się tam nie podobało, jak sobie

łatwo wyobrazić możesz.

— Hm! A od jak dawna już stamtąd wyszedłeś?

—Od trzech tygodni. Źle mi się jednak powodzi, jak widzisz. Dotychczas głównie żebrałem, i chociaż tu i ówdzie coś trochę przedsięwziąłem, to mi się jednak nie udało. Dziś to już taki zrozpaczony byłem, że chciałem się tu w parku na śnieg położyć i już więcej nie wstać Nie mam takiego szczęścia jak ty. Miałem cię w pierwszej chwili za bogatego parweniusza.

Ten włóczęga był humorystyczny, a przecież przebijała przez niego gorycz wielka. Przy tem patrzał on z ukosa zazdrosnem okiem na dawnego towarzysza swego w ciepłem, wytwornem futrze, podczas gdy on sam zębami z zimna dzwonił.

Przez chwilę szli oni tak milcząco obok siebie. Ludwikowi Hechtowi spotkanie to wcale nie było przyjemne. Przeklinał on w duchu przypadek, który go z tym towarzyszem więziennym skonfrontował, i chciał go się jak najprędzej pozbyć. Ale w jaki sposób?

Włóczęga z łatwością odgadł jego myśli.

— Szukałem już dość długo za tobą. Ludwiku, — zaczął on, — i dodał po chwili badawczo: Nie zapomniałeś chyba o tajemnicy, którą ci zdradziłem, i planie, któryśmy na tej podstawie stworzyli. Czy już byłeś u murarza Krebsa?

On także znikł ze wsi, w której tak długo mieszkał — paplał włóczęga dalej. — Starałem się dowiedzieć, gdzie on się podział, lecz nikt o tem pojęcia nie ma. Mówią, że on się do stolicy wyprowadził. Myślałem już, że skarby zamku Wildenfels niepodzielnie w twoje ręce się dostały.

— Jeszcze o tem nie pomyślałem! — mruknął Ludwik Hecht. Te winogrona za wysoko dla mnie wiszą, i tobie bym także nie radził o nie pokusić. Hrabia już znów jest w domu, i sądzę, że nie daje pieniądzom swoim pleśnieć w domowej kasie.

— Tak, tak! Ze sprawy tej nic niestety więcej być nie może — westchnął włóczęga . — Ale z czegóż ty tak długo żyłeś? Czy cię twoja bogata żona wspierała?

— Nonsens! — mruknął zapytany, milcząc dalej uparcie.

— Jakby to było, Ludwiku, gdybyśmy coś znów w spółkę przedsięwzięli? — zaproponował znów włóczęga. Mam właśnie coś "in petto" coby dla nas obu z wielką korzyścią być mogło.

Ludwik Hecht wzruszył niechętnie ramionami.

— Dziękuję! Ja się w takie rzeczy nie bawię. Muszę uważać na siebie, bo mnie policya tropi.

Spodziewał się, że to wystarczy, aby włóczęgę odstraszyć, lecz ten był wytrwały. Uśmiechnął się on tylko szyderczo, i mówił dalej:

— Wiem co chcesz powiedzieć, ale nie dasz przecież mnie, dawnemu towarzyszowi, który ci do ucieczki z więzienia pomógł, ugrząść w takiej matni? Nie wiem, gdzie się mam podziać. Musisz mnie wziąść ze sobą.

Ludwik Hecht zatrzymał się nagle. Dochodzili już właśnie do bardziej ożywionego centrum miasta. W pewnem oddaleniu spostrzegł on mundur policyanta.

To zanadto niebezpieczne, —rzekł on chłodno — tak obdarty jak jesteś, zwracasz na siebie uwagę i podejrzenie. Do swego hotelu w żaden sposób zabrać cię nie mogę. Masz tu jeszcze kilka talarów. Spraw sobie za to porządne ubranie, i przyjdź jutro wieczorem znowu na to samo miejsce. Możemy się tu spotkać.

Wsunąwszy mu dwadzieścia marek w rękę, znikł Hecht szybkim krokiem w oświetlonych ulicach śródmieścia. Nie oglądał się więcej poza siebie, w nadziei, że się włóczęga nie odważy aż tu zanim popędzić, z obawy przed policyą, któraby go z pewnością zatrzymała.

Lecz stary kryminalista nie dał się tem odstraszyć i pobiegł mimo to za Hechtem, bo mu nie wierzył, że on się jutro na to rendez - vous zjawi. Nie chciał go więc stracić z oka, bo wiedział, że mu się tak prędko znów tak dobra sposobność nie nadarzy.

Przesuwał on się ostrożnie, unikając zręcznie każdego który mu zdala tylko trochę na policyanta wyglądał.

Czapkę nasunął głęboko na czoło, a grubą swą laskę ostrożnie odrzucił. Pędził on tak dzwoniąc zębami w podartych swych butach po skrzypiącym śniegu, nie tracąc z oka błyszczący cylinder szczęśliwego swego towarzysza, o kilkadziesiąt kroków przed nim.

Ludwik Hecht miał przed sobą bardzo daleką drogę. Opuściwszy centrum, zwrócił on się ku przedmieściu i znikł tu nagle w jasno oświetlonej bramie jakiegoś hotelu.

Niebawem stanął i włóczęga przed tą samą bramą, i namyślał się przez chwilę, czy nie wejść za swoim towarzyszem i nie spędzić nocy u niego. Zdawało mu się to jednak przecież zanadto niebezpieczne.

Wiedział on teraz gdzie Ludwika znaleźć, i uspokojony tą myślą, zwrócił się ku ciemnej uliczce i wszedł do dzielnicy stosownej dla ludzi

jego pokroju.

Postanowił on kupić sobie rano porządne ubranie i odwiedzić Ludwika Hechta.

Ten ostatni cieszył się okropnie, że się pozbył natrętnego towarzysza, i spodziewał się, że się więcej z nim nie zetknie.

Nazajutrz rano udał on się do hotelu, w którym dawniej mieszkał, i zapytał się u portyera, czy nie ma dla niego listu.

— Owszem, jest. Właśnie przed chwilą przyniósł posłaniec ten list dla pana —była odpowiedź portyera, który mu z loży swojej podał zgrabną, woniejącą kopertę. Uczynił on to z wieloznaczącym uśmiechem, gdyż ta różowa, kwiatami ozdobiona koperta, wydawała mu się listem miłosnym i otrzymał za to znaczny napiwek, który mu Ludwik Hecht w rękę wcisnął.

Była to odpowiedź Waleryi na ostatni jego list. Ciekaw na treść jego, wszedł on do najbliższej restauracyi, gdzie go natychmiast otworzył i przeczytał.

Treść jego była następująca:

Nie myśl, że mnie śmiesznemi groźbami swojemi do ustąpienia zmusisz. Chcę jednak z własnej woli od ciebie się uwolnić. Dostaniesz żądanych pięćdziesiąt tysięcy marek, jednak tylko pod warunkiem, że mi dokumenta ślubne wydasz. To jest moje nieodwołalne żądanie. Jeżeli się na to nie zgodzisz, to ani feniga nie dostaniesz! Przyjdź więc dziś wieczorem z owymi dokumentami do hotelu ''pod Koroną'', ja cię tam będę oczekiwała.

Szubrawiec złożył po przeczytaniu list z rozczarowaną miną. Spodziewał on się dostać od Waleryi pieniądze bez żadnych zastrzeżeń i warunków. Na wydanie dokumentów ślubnych on się w żaden sposób zgodzić nie chciał, bo te papiery dla niego ogromnie były ważne i cenne. Cóż mu teraz począć wypadało?

Zamyślony wracał on do swego hotelu. Wietrzył niebezpieczeństwo i przeczuwał że mu Walerya jakąś łapkę zastawia. Nie był on tak głupim, aby w nią wpaść. Lecz cóż z pieniędzmi? Pięćdziesiąt tysięcy marek to nie bagatela.

Gdy Ludwik Hecht wchodził po schodach do swego pokoju, nie spostrzegł w zadumaniu swem, że za nim jakaś podejrzana postać się skrada.

Był to ów włóczęga, z którym się wczoraj spotkał. Wyglądał tylko dużo porządniej w ubraniu, które u tandeciarza za tanie pieniądze kupił, i prawie że był nie do poznania.

Wszedł on za nim do jego pokoju i rzekł wesoło uśmiechnięty:

— Oto jestem! Zdawało mi się że lepiej będzie cię odszukać, gdyż byłbyś o tem rendez-vous wieczorem z pewnością zapomniał.

Ludwik Hecht tak był zdziwiony tem jego niespodzianem zjawieniem się, że w pierwszej chwili do słowa przyjść nie mógł. Opanował się prędko i zaczął nadrabiać miną.

Włóczęga siadł sobie tymczasem spokojnie na kanapie i zaczął swobodniej jeszcze rozmawiać.

Opowiedział on towarzyszowi swemu dokładnie całą historyę swojej ucieczki z więzienia.

—Gdyś mnie tam na dole przy kanale w trąbę puścił, starałem się daremnie podążyć za tobą — ciągnął on dalej. Jest to dotychczas dla mnie zagadką, jak ty się wydostałeś.

— Całkiem pojedyńczo — odpowiedział Ludwik. — Przepłynąłem kanał, dopóki nie uczułem znów gruntu pod nogami.

— No tej sztuki nie mógłbym naśladować — zaczął znów włóczęga. — Dość, że znaleziono mnie nazajutrz rano przy kanale, i wytransportowano mnie nazad na górę. Zachorowałem z długiego stania w wodzie, i tak się do szpitala dostałem. Tam nadarzyła mi się wreszcie sposobność do ucieczki.

Opowiadał on mu dalej wszystkie szczegóły, lecz Ludwik słuchał go roztargniony i bez zajęcia i zainteresowania.

— Cóż chcesz teraz począć? — przerwał on mu wreszcie. — Razem zostać nie możemy. Ja ci zaraz wytłómaczę dlaczego.

Na twarzy włóczęgi odmalowały się gorzkie rozczarowanie. Jego postanowienie było właśnie trzymać się Ludwika, i więcej się z nim nie rozłączać.

Hecht obstawał jednak stanowczo przy swojem, mówiąc mu na pocieszenie:

— Będę cię naturalnie wspierał, o ile to tylko będzie w mojej mocy. Masz tu jeszcze sto marek, abyś się mógł ze swego przykrego położenia wychrapać. Więcej jednak nic dla ciebie uczynić nie mogę.

Sięgnąwszy do sakiewki rzucił on mu stumarkowy banknot na stół, a włóczęga nie namyślał się długo i schował datek ten czemprędzej do kieszeni.

— Namyśl się jeszcze, Ludwiku, — rzekł on — ja jestem tego zdania, że my we dwoje prędzej do czegoś przyjdziemy, niż osobno, gdy każdy pójdzie swoją drogą. Spróbujmy jeszcze na współkę, czy nam się nie uda przywłaszczenie sobie skarbu z zamku Wildenfels.

— Ależ z tego raz na zawsze nic być nie może! — niecierpliwił się Ludwik Hecht, po chwili dodał jednak z namysłem. Mógłbyś mi jednak w innych sprawach być użytecznym, i

mieć dla siebie wcale piękny zysk z tego.

— Mów otwarcie, Ludwiku — podchwycił włóczęga skwapliwie. Wiesz przecież, że ja jestem do wszystkiego gotów, i że się nie ustraszę, choćby o głowę moją chodziło.

Hecht namyślał się jeszcze przez chwilę, a potem rzekł szeptem:

— Chcę cię w sprawy moje wtajemniczyć. Wiesz przecież już o mojej żonie. Oodwiedziłem ją już kilka razy. Jest ona teraz wielką panią, i chciałaby mnie się za wszelką cenę pozbyć.

— Nie jest to wcale pięknie z jej strony — zganił włóczęga.

— Mam ją zupełnie w swoich rękach, i ona się na wszystkie moje warunki zgodzić musi — przerwał mu Ludwik. — Znam bowim różne jej tajemnice, których odkrycie by ją zgubiło... rozumiesz? Chciałaby ona teraz zamąż wyjść, za tego wielkiego pana, z którym ją obok więzienia wtedy widziałem Stara się więc dlatego wyłudzić u mnie dokumenta ślubne.

— Hm, jabym ich na twoim miejscu nie wydał.

— I jateż tego nie uczynię. Ona mi już za to 50 tysięcy marek ofiarowała.

— Do stokroć dyabłów! 50 tysięcy? Za taką cenę jabym na twojem miejscu już się dał ubłagać.

— Ja jednak mam swoje dobre powody, że się na tę propozycyę nie zgadzam. Przez to zamążpójście zostanie ona bowiem milionową panią, i wtedy mogłaby mi dziesięć razy tyle zapłacić.

— Masz słuszność — potwierdził włóczęga podniecony tą myślą — człowieku, cóż z ciebie za szczęśliwiec, że masz taką żonę. Co jabym za to dał. Jeżeli ją tak masz w ręku, to zrób jej propozycyę, żeby ci pół miliona w ratach wypłaciła.

— Kiedyż ona o tym ani słyszeć nie chce — irytował się Hecht — a najgorsze jest, że ja nic przeciwko niej przedsięwziąć nie mogę, aby sobie przytem sam nie szkodzić. Muszę się też zemsty jej wystrzegać, gdyż hrabia Sinobrody jest z nią w spisku. Jest on, aby to krótko powiedzieć... jej bratem

Włóczęga otworzył usta ze zdziwienia, lecz słowa wymówić nie mógł

udwik zdecydowawszy się raz towarzysza swego we wszystko wtajemniczyć, opowiedział mu na prędce najważniejsze dzieje z życia Waleryi i hrabiego Sinobrodego.

—Teraz wiesz wszystko — zakończył wreszcie — daj mi jakąś radę. Jak mię w tej spra wie wesprzesz i pomożesz z czasem wydusić u mojej żony pół miliona, to nie będzie to z twoją szkodą.

Byłby on go nigdy w to nie wtajemniczył, gdyby jego pomocy nie był potrzebował. Wiedział jednak jasno, że się sam na zanadto wielkie niebezpieczeństwo naraża, i że byłby pewniejszy, gdyby mu włóczęga na rendez - vous dzisiejszego wieczora, chciał towarzyszyć.

Naradzali się oni jeszcze, tak przez chwilkę, wreszcie odezwał się włóczęga:

— Żona twoja chce więc mieć dokumenta ślubne, a gdy je dostanie, to wobec niej będziesz bezsilny. Musisz więc dokumenta te bezwarunkowo u siebie zatrzymać. Ale wiesz co możesz zrobić? Daj sporządzić kopie tych papierów i dał jej je w miejsce oryginału za 50 tysięcy marek. Ona się na tem nie pozna, a ty dostaniesz na razie tę sporą sumkę i będziesz miał nadal przeciwko niej broń w ręku.

Ludwik Hecht potrząsł powątpiewająco głową.

— Ona się na tem spostrzeże — rzekł on — widziała niedawno prawdziwe papiery.

Ba, wszystkie te rzeczy jednakowo wyglądają — zawołał włóczęga — chodzi tylko o dobre skopiowanie pisma i pieczątki, a o to ja się już postaram.

— Ty — zawołał Hecht zdziwiony — czy ty się znasz na takich rzeczach?

— Zdaje mi się — odpowiedział włóczęga z uśmiechem — jestem przecież z zawodu litografem. Pokaż te ślubne papiery.

Hecht położył mu je na stole, a włóczęga zaczął im się pilnie przypatrywać.

— Hm — mruknął on. — Wygląda to inaczej niż u nas, bo wyście w Anglii ślub brali. Ale to nic nie szkodzi. Nie przypuszczam, aby twoja żona tak dokładnie znów wszystko pamiętała. Postaraj mi się o kilka podobnych formularzy papieru i o potrzebne przybory do pracy. Reszta, to już będzie moja rzecz.

Ludwik wybiegł uradowany i wróciwszy po pół godzinie z potrzebnymi przyborami, zasiadł z włóczęgą do dzieła.

Wyszukał on formularz, najbardziej do owych dokumentów podobny i wrzucił go do miednicy, do której nalał czarną kawę.

— Musimy świeży ten papier trochę pożółcić — rzekł włóczęga — bo gdyby żona twoja zobaczyła zupełnie biały, czysty papier, to zaraz powzięłaby podejrzenie.

Ludwik Hecht uznał ostrożność swego towarzysza i ciekaw już był, jak się dzieło uda. Potem podał mu kawę i cygara, które tenże chciwie chwycił.

Pierwsze cygaro od kilku lat — rzekł on —

byłem namiętnym palaczem i strasznie mi to w więzieniu brakowało.

Po chwili wyciągnął on formularz z miednicy i wyłożył go na stół dla wyschnięcia. Potem wziął flaszkę bladego atramentu i pióro i zaczął naśladować na kawałku papieru pismo aktu ślubnego.

— Trzeba je jak najlepiej skopiować, ale to już jakoś pójdzie — rzekł on po chwili, ufny w swoją zręczność. — Najważniejsza jest pieczątka. Trzeba ją będzie dobrze odrysować, a potem tuszem namalować.

— Jestem ciekaw, jak to będzie wyglądać — zawołał Ludwik przypatrując się z uwagą pracy towarzysza — jeżeli mi to tak dobrze zrobisz, że się moja żona na tem nie pozna i wypłaci mi za to owych obiecanych 50 tysięcy, to ty 5 tysięcy marek za to dostaniesz.

— Hm! Nic więcej — wycedził włóczęga rozczarowany — myślałem, że to będzie podział na równe połowy.

Ludwik Hecht zaśmiał się szyderczo.

— Chybaś zwaryował — oburzył się Ludwik — czy ta twoja robota pięcioma tysiącami źle zapłacona?

— Pomyśl jednak, że i ja niebezpieczeństwo z tobą dzielę.

— Więc dam ci 10 tysięcy, lecz ani centa więcej — mruknął Hecht niechętnie.

Włóczęga zabrał się zadowolony do pracy. Odkopiował na wysuszonym formularzu starannie i łudząco treść aktu ślubnego, potem odrysował pieczątkę i nasmarował ją tuszem.

— Popatrz — zawołał on tryumfująco, ukończywszy swe dzieło — czyż się wybornie nie udało?

— Rzeczywiście — potwierdził Ludwik z uznaniem. Ledwo go od oryginału odróżnić można.

Włóczęga złożył dokument we czworo i zmiął go jeszcze trochę, aby mu nadać pozór starości.

Hecht włożył papier ten do kieszeni i rzekł patrząc na zegar:

— Wieczór już zapada, nadchodzi oznaczona pora schadzki.

Krótki dzień zimowy zbiegł im szybko na rozmowie i pracy.

Niebawem wybrali się obaj towarzysze w drogę do hotelu, w którym Walerya schadzkę naznaczyła.

— Ostrożność nie może szkodzić — rzekł Hecht i wstąpił po drodze do magazynu broni, aby kupić rewolwer dla swego towarzysza — on sam już w podobną broń był zaopatrzony.

— Czy myślisz, że i hrabia Sinobrody będzie obecnym? — zapytał włóczęga po drodze.

— Obawiam się, że tak — odpowiedział Ludwik poważnie — i dlatego nie chciałem tam sam pójść. We dwoje nie potrzebujemy się jednak niczego obawiać tembardziej, że jesteśmy uzbrojeni i że schadzka ta będzie w publicznym hotelu.

Włóczęga nie mógł się wprawdzie oprzeć pewnej trwodze, lecz nadzieja zysku zanadto go nęciła. Nie było tam wreszcie niebezpieczeństwa życia... przynajmniej dla niego. Był zresztą zdecydowany ratować się pierwszy w razie potrzeby.

Zbliżywszy się do hotelu, zapytał Hecht portyera o Waleryę.

Nie było jej tam jeszcze, lecz pokój, który obstalowała, był już otwarty. Weszli więc do niego obydwaj i usiedli oczekując jej nadejścia.

Rozdział 72.

OKROPNE OBUDZENIE.

Od dwóch dni spoczywała już Agata w książęcym grobowcu.

W pałacu panowała głęboka żałoba. Książę zamknął się w swoich komnatach i nikogo do siebie nie przypuszczał.

Najboleśniej opłakiwała jednak Delia stratę swej pani.

Trzeciego dnia ukazał się kapłan i zażądał kluczy od grobowca, aby nad zmarłą panią odbyć wszystkie ceremonie pogrzebowe.

Książę rozkazał jednak, nie mącić jej już więcej wiecznego spokoju i zostawić ją tam, gdzie spoczywała.

Kapłan nie mało się zdziwił temu życzeniu, nie miał jednak odwagi sprzeciwiać się księciu. Grobowiec został więc zamknięty i nikt go nie odwiedzał.

Było to w nocy poprzedzającej trzeci dzień. Obszerne wydrążenie grobowca leżało w najgłębszej ciemności i ciszy.

Na paradnym katafalku spoczywała postać Agaty martwo i nieruchomo. Wyglądała ona zupełnie jak trup, pierś jej się nie poruszała oddechem, a jednak nie była ona nieżywa. Serce jej zdawało się bić cichem tętnem.

Leżała ona już tak dość długo, a nic ciszy jej nie przerywało. Westchnienia nieszczęśliwego, którego do nóg jej łańcuchami przykuto, dawno już umilkły. I on się już nie poruszał... śmierć zwolniła go od jego cierpień.

Nagle okazał się w głębi grobowca promyk

światła, który się stawał coraz jaśniejszy i bliższy.

Z ciemności wychyliła się postać ludzka po stać, starzec o długiej siwej brodzie, w grubej sutannie zakonnej i w sandałach na bosych nogach. Z wzniesioną pochodnią w ręku zbliżał on się szybko do miejsca, w którem Agata na katafalku spoczywała.

Był to ten sam pobożny człowiek, który Agacie wsączył płyn, mający ją od śmierci uchronić.

Zbliżywszy się do katafalku, wpatrywał się on długo i uważnie w nieruchomą postać leżącej tam kobiety.

Głupcy — rzekł on przyciszonym głosem— czyż nie mogli czekać? Dlaczego oni mnie nie wierzyli? Ona nie umarła, tej godziny jeszcze się zbudzi.

Oparłszy pochodnię o skałę, zwrócił się do nieszczęśliwego kapłana. Przekonawszy się jednak, że on już nie żyje, nie troszczył się dalej o niego.

Potem ukląkł derwisz na najwyższym stopniu katafalku i wpatrzył się znowu uważnie i przyłożył jej rękę na serce. Nie biło ono już jednak. Wyjął lusterko z kieszeni i przyłożył jej na kilka sekund do ust.

Gdy je potem odjął przekonał się, że było trochę zapocone. Z ust jego wyrwał się okrzyk radości. Wyciągnął czemprędzej z kieszeni flaszeczkę z jakimś płynem i zaczął nim nacierać martwe ciało Agaty.

Przez pewien czas usiłowania jego pozostawały bez skutku. Członki jej pozostały skostniałe, a skóra jej lodowato zimna, jak u trupa.

Lecz starzec nie tracił nadziei. Podwoił on jeszcze swoje zabiegi, a po godzinie może zauważył, że w ciało Agaty zaczyna powracać życie.

Ostrożnie otworzył jej teraz derwisz usta łyżką i wsączył jej kilka kropli wina, do którego domieszał jakieś lekarstwo.

Potem zaczął ją znowu nacierać, dopóki skóra jej się nie zaczerwieniła. Równocześnie uczuł on też uderzenie serca, a pierś zmarłej poczęła się podnosić.

Jeszcze kilka chwil i Agata otworzyła oczy. Wzrok jej był jeszcze błędny i nieprzytomny. Połykała ona mechanicznie wsączone jej przez derwisza wino, nie słyszała jednak głosu, którym on ją nawoływał.

Doświadczony derwisz nie ustawał w swych usiłowaniach. Nacierał on dalej jej członki, czoło i pulsa płynem z flaszeczki i wsączał jej od czasu do czasu lekarstwo z winem.

Wreszcie ukazał się oczekiwany skutek. Agata poruszyła się po raz pierwszy, zaczęła ręką wszystko dokoła siebie dotykać, a oczy jej pozbyły się martwego, nieprzytomnego wyrazu. Usta jej otworzyły się z głębokiem westchnieniem. Szeroko otwartemi oczyma powiodła w około siebie i wzrok jej spoczął na twarzy czcigodnego starca, który promieniał z radości i zadowolenia.

— Pijcie księżno — szepnął, pochyliwszy się nad nią i zbliżywszy znów puhar z winem do jej ust.

Agata pociągnęła kilka łyków, a krew po żyłach żywiej i goręciej krążyć zaczęła.

— Co to się ze mną stało — rzekła wreszcie urywanym głosem.

Chciała się podnieść lecz nie mogła, gdyż członki jej jeszcze były ociężałe. Patrzała jednak wokoło siebie w bezgranicznem zdziwieniu, na ponurą, fantastyczną jaskinię, romantyczne skały i dziwnie ukształtowane kolumny sterczące z ciemności przy czerwonawem świetle pochodni.

— Gdzie ja jestem — szepnęła drżąco i trwożliwie — co to za straszny przybytek?

— Nie pytajcie się teraz o nic księżno — odparł derwisz — zamknijcie oczy i spocznijcie jeszcze trochę, aby nabrać nowe siły.

Lecz Agata chwyciła go żywo za rękę i podniosła się patrząc mu badawczo w twarz.

Potem popatrzyła raz jeszcze wokoło siebie i zawołała drżącym głosem:

— Wielki Boże, co to wszystko ma znaczyć? Skąd ja się tutaj wzięłam? A ty kim tu jesteś starcze? Błagam cię, odpowiedz mi i wytłumacz mi wszystko, co się ze mną stało!

Znużona opadła znowu na katafalk, ale oczy jej spoczęły pytająco na twarzy starca, który się teraz odezwał błagalnym tonem:

— Uspokójcie się księżno, odpowiem na wszystkie pytania, lecz nie teraz! Skoro tylko trochę do sił przyjdziecie, wyprowadzę was z tego strasznego miejsca.

Wymijająca odpowiedź bardziej jeszcze tylko Agatę rozdrażniła. Podniosła ona się znów i raz jeszcze otoczenie swoje baczniej obejrzała. Popatrzyła też na swoje łoże i nagle błysnęło jej w duszy straszne przeczucie.

— Czyż ja byłam chorą? Śmiertelnie chorą? — wyrwało się teraz z bladych ust. — Ach, wszystko sobie już teraz przypominam! Czyż ja umarłam? Czy to jest mój grób? Boże wszechmogący! Więc mię miano za umarłą i żywcem do tego grobu zamknięto?

Była ona tak strasznie tą myślą przerażona, że była żywcem w grobie, że ją to wprost o szał przyprowadzało. Siedziała ona tak gdyby skamieniała, i ukryła twarz w obie ręce.

— Słuchajcie mnie, księżno! — rzekł derwisz, chwytając ręce jej z współczuciem. —Tak jest odgadliście co się z wami stało, a teraz chcę wam dać potrzebne wyjaśnienia.

Przypomniał on jej scenę, w której rywalka jej, księżna, przystąpiła do niej z jadowitym wężem, który ją życia miał pozbawić. Potem mówił o jej słabości, i opisywał, jak wszyscy stali zrozpaczeni obok jej łoża i pomódz jej nie mogli.

— Umarliście pozornie, księżno, i nikt nie przypuszczał, że w was jest jeszcze życie — ciągnął staruszek dalej — tylko ja jeden wiedziałem, że wy się po trzech dniach obudzicie i dlatego tu przyszedłem, aby was z waszego grobu uwolnić! Ta jaskinia tu, to jest książęcy grobowiec familijny, do którego was dwa dni temu złożono!

— Święty Boże! — krzyknęła Agata przestraszona. — Czyż to wszystko prawda? Czy to nie przykry sen tylko? Lecz kto wy jesteście? Skąd mogliście wiedzieć to, czego nikt inny nie przeczuwał?

—Ja byłem waszym lekarzem, księżno! Nie widzieliście mnie dlatego, żeście byli bez przytomności. Środek, który wam podałem, był waszym ratunkiem! Wiedziałem, że najpierw zapadniecie w stan do śmierci podobny.

— A dlaczego nie powiedzieliście tego księciu i tym, co płacząc około mego łoża stali! — przerwała mu Agata z wyrzutem. — Dlaczegoście dopuścili, aby mnie do grobowca tego jako trupa zamknęli?

— Milczałem, bo w przeciwnym razie nie byłbym was może mógł uratować, księżno!—oświadczył stary derwisz. — To dziwnie brzmi, ale mimoto jest prawdą że ja nie byłem więcej pewny swego życia. Książę obiecał sutą nagrodę każdemu, któryby was uratował, księżno. Równocześnie ogłosił jednak, że ktokolwiek się tego bez skutku pomyślnego podejmie, ten stra ci życie! Uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, lecz ostatecznie uratowanie wasze, było przecież w ręku Boga, księżno. Książę byłby mi jednak nie wierzył, i gdyby w gniewie i bólu swym wydał na mnie wyrok śmierci, to wy byliście straceni, księżno!

Agata potrząsła głową, nie pojmując jednak treści słów jego. Wszystko to... pozorna śmierć jej i zmartwychwstanie... wydawało jej się tylko strasznym snem.

Derwisz mówił jeszcze dalej, a ona mu się uważnie przysłuchiwała, nie mogąc sobie jednak z tego zdać sprawy. Tyle jej tylko wiadomem było, że ona by była musiała zginąć marnie w tym grobie, gdyby nie ten poczciwy staruszek. Z przerażeniem myślała ona o strasznym losie, który ją miał spotkać.

Chwyciwszy rękę derwisza, podziękowała mu wśród łez. Wypiwszy potem lampeczkę wina, czuła się tak posilona, że mogła pomyśleć o opuszczeniu grobowca. Oparta o ramię derwisza, zeszła ona z katafalku, zsunęła się jednak po chwili osłabiona do jego nóg.

Starzec podniósł ją, i dał jej się znów coś wzmacniającego napić.

Z nadludzką siłą stłumiała i zwalczała Agata w sobie okropne, jak ołów na członkach jej ciężące osłabienie. Wszystko jej się kręciło przed oczyma, nie mogła ona bez podpory starego ani kroku naprzód postąpić.

— Wypocznij jeszcze trochę, księżno — prosił ją derwisz. — Ja jestem zanadto stary i bezsilny, aby was módz unieść, a droga nasza jest daleka.

— Nie, nie! Ja czuję się dość silna, i muszę się stąd jak najprędzej wydostać, — krzyknęła Agata niecierpliwie. — Jakżeż my się z tej jaskini wydostaniemy? Jakim sposobem wyście tu zaszli? O ile ja wiem, to grobowiec ten ma tylkō jedną bramę, która jest zawsze zamknięta.

—Ja znam jedno tajemne wejście. Bądźcie więc spokojni, księżno! Ja was z pewnością stąd wyprowadzę.

Agata podniosła się. Derwisz zapalił nową pochodnię, gdyż tamta już gasła, i podał Agacie ramię, aby ją stąd wyprowadzić.

Wtem padł jej wzrok na nieszczęśliwego kapłana, który u stóp katafalku na ziemi spoczywał, a z ust jej wyrwał się okrzyk przerażenia:

— Boże miłosierny! Czy to już trup? Skąd się ten nieszczęśliwy tutaj wziął?

Derwisz wytłómaczył jej to, a Agata odwróciła się z dreszczem. Czuła ona niewypowiedzianą litość dla kapłana, który podstępny swój uczynek tak strasznie musiał odpokutować. Zebrawszy całą swą energię, postępowała ona prędko... oparta na ramieniu starego... ku ciemnej głębi jaskini.

Nie mogli oni myśleć nawet o wyjściu główną bramą, i dlatego zwrócili się wprost ku tajemnej furteczce, którą się stary do grobowca dostał. Droga ku wyjściu temu była zaś daleka i uciążliwa, prowadziła przez urwiste skały i nizkie korytarze, wzdłuż podziemnego potoku, ponad którym ciągnął się wązki mostek, grożący załamaniem.

Agata oparła się drżąca silniej jeszcze o ramię swego towarzysza. Obszerna jaskinia zdawała się być bez końca, a droga przez nią coraz straszniejsza i niebezpieczniejszą.

Nagle usłyszała Agata jakiś stłumiony szum i zatrzymała się z przerażenia.

— Co to jest? — szepnęła ona drżącym głosem. — Czy się skały nad nami zapadają?

— O nie! Bądźcie spokojna, księżno. To tylko szmer wodospadu.

Szum wody stawał się coraz silniejszy i gwałtowniejszy, tak że prawie skały wokoło drżały, a Agacie się zdawało, że się ziemia pod nogami jej rozstępuje.

Powietrze było tak wilgotne i mgliste, że wszystko jak przez zasłonę wyglądało.

— Wielki Boże! Czyż my się już nigdy stąd nie wydostaniemy? — jęknęła ona zrozpaczona, upadając już ze znużenia i strachu.

Jeszcze tylko kilka kroków, księżno! — pocieszał ją derwisz. Tu zostać nie możemy.

Agata znów zebrała siły. Oparłszy się silnie o starca, szła ona powoli dalej.

Mgła stawała się coraz gęstsza, lecz obszar się rozszerzał i podnosił, a powietrze zmieniało się w coraz świeższe i czyściejsze.

Derwisz prowadził ją coraz wyżej i wyżej gdyż zbudowane przez naturę stopnie schodów bez końca się ciągnęły.

Wreszcie dostali się oni na wązką i długą płaszczyznę. Derwisz poprowadził Agatę do kamiennej ławki na której ją posadził. Z głębi dochodził ich jeszcze szum potoku, który tam tworzył wodospad, spadał bowiem z wysokości więcej niż sto stóp w bezdenną przepaść. Wody jego rozbijając się o skały, tworzyły śnieżno białą szumowinę, i rozprószały się aż pod sufit skalistej, wiekami przez naturę tu utworzonej kopuły.

Po godzinnym może wypoczynku wstała Agata i zeszła za przewodnikiem i towarzyszem swym znów do jednego z niższych krużganków. Nie był on długi i prowadził do drugiej jaskini, do której przez otwór z drugiej strony wpadało blade światełko.

— Tam jest wyjście — rzekł derwisz. — Za kika minut na świat Boży się wydostaniemy.

Agata zbierała ostatki sił, i szła chwiejnym krokiem dalej. Przeszedłszy przez wązki, gęstymi krzakami obrosły otwór w skale, znalazła ona się wreszcie na dworze, pod gołem niebem.

Po nad nią rozciągało się pogodne sklepienie nieba, zasiane miliardem gwiazd, a wszystko wokoło oblane było bladem światłem księżyca.

Z uczuciem błogiego zachwytu wciągała Agata świeże powietrze w swe płuca. Po chwili jednak zaczęło jej się mglić przed oczyma. Padła ona w miękką trawę, i straciła przytomność.

Derwisz zgasił pochodnię. Potem schylił się nad omdlałą i zaczął ją cucić. Niebawem odzyskała Agata przytomność.

— Pobiegnę do pałacu i przyprowadzę pomoc, — rzekł jej stary. — Spocznijcie tu przez chwilę, księżno. Ja za kilkanaście minut tu wrócę.

Chciał on się oddalić, lecz Agata chwyciła go za rękę, i zawołała jakgdyby pod wrażeniem nagłej myśli i postanowienia:

— Zostańcie tu! Uratowaliście mi życie, a teraz nową przysługę wyrządzić mi musicie.

— Uczynię wszystko co ci będzie w mojej mocy — była odpowiedź starego.

— Dziękuję wam, przewielebny ojcze! — rzekła Agata wzruszona. — Wiecie pewno, że ja jestem obcą w tym kraju. Książę mnie tu przywiózł, i życzeniem jego było abym została jego żoną. Słyszeliście może także, ile ja przez nienawiść i zazdrość jego małżonki wycierpieć musiałam, i jak mnie niedawno dopiero od strasznej śmierci uratował.

— Wiem otem wszystkiem, księżno — odpowiedział derwisz poważnie. — Lecz teraz wszystkie cierpienia wasze się skończyły. Książę nasz podniósł was na tron, i wszyscy ci co was pierwej nienawidzili i prześladowali, wprost się teraz z uszanowania, przed obliczem waszem rzucać będą. Los wasz, księżno, teraz godny jest zazdrości. Tysiące czekają, gotowi na wasze skinienie i rozkazy. Jesteście panią niezliczonych niewolników i niezmierzonych skarbów.

— Nie żądam tego wszystkiego —przerwała mu, Agata namiętnie. Nie wabiła mnie ani korona, którą mi książę zaofiarował, ani ilość jego skarbów i moc potęgi. Książę gwałtem mnie tu przytrzymał, i daremnie go błagałam i zaklinałam, aby mi dał wolność, i do swego kraju wrócić pozwolił. Tylko z przymusu zostałam jego żoną. Powinnam się jednak była raczej na śmierć zgodzić niż na to. Jestem bowiem już zamężna, i mam męża i dziecko w domu. Uprowadzono mnie od nich gwałtem, aby mnie tu przytransportować.

Płacz i łkanie stłumiły jej głos. Żal i tęsknota za opuszczonym mężem i dzieckiem gwałtownie ją opanowały. Skryła ona twarz w obie dłonie, i dała wolność swym łzom i westchnieniom

Stary derwisz stał zaambarasowany przed nią, a serce jego pełne było wzruszenia i współczucia dla biednej nieszczęśliwej kobiety. Pocieszał on ją łagodnemi słowy, a Agata otworzyła przed nim całe swe serce, i opowiedziała mu w krótkości smutne swe dzieje.

—Znacie teraz historyę mego życia, przewielebny ojcze, — zakończyła ona wśród łez. O, jeżeli swoje dzieło zbawcze wobec mnie ukończyć chcecie, jeżeli macie dla mnie nieszczęśliwej istoty jakieś ludzkie współczucie i miłosierdzie, pomóżcie mi się stąd wydostać, pomóżcie mi do ucieczki i powrotu do mojej ojczyzny, do swego domu, męża i dziecka.

Podniosła ona do niego błagalnie drobne i blade swe ręce. Księżyc oświecał trupio upiorowatą twarz, z której tylko oczy świeciły życiem, i niemą prośbą.

Starzec pochylił się nad nią wzruszony, i położył jej rękę swą na ramieniu. i I w oczach jego błyszczały łzy a serce jego, pełne było współczucia. Twarz jego wyrażała namysł i obawę.

— Czy wy wiecie, co chcecie uczynić, księżno? Czyście pomyśleli nad tem, jak niebezpieczne jest wasze przedsięwzięcie?

—Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Książę i cały lud ma mnie za umarłą. Nikt nie będzie wiedział, co się ze mną stało, jeżeli mi się uda potajemnie z kraju tego się wydostać.

—Ale w tem właśnie leży niebezpieczeństwo — odpowiedział starzec. — Niemożliwe to będzie, abyście się stąd niewidzialnie wydalić mogli, księżno. Każdy was tu zna, i zatrzymałby was, a ja... byłbym wtedy stracony. Uważaliby mnie za zbrodniarza, żem wam w ucieczce dopomógł, a książę zabiłby mnie w gniewie.

— Więc sama bez pomocy waszej ucieknę, aby was na niebezpieczeństwa nie narażać. Pozwólcie mi tyko uciec, nie przeszkodziwszy mi w tem!

— Moja księżno! — zawołał teraz derwisz rezolutnie i stanowczo. — Gdybym was opuścił, tobym sobię to za większą jeszcze zbrodnię wobec Boga i sumienia swego uważał. Wy nie przeczuwacie nawet jak uciążliwą i niebezpieczna jest wasza ucieczka. Sama, bez pomocy,nie moglibyście wcale podołać. Zostańcie więc lepiej tu, i wróćcie do pałacu do księcia, waszego małżonka.

— Nigdy! — krzyknęła Agata rozpaczliwie. — Jakżeż ja się na tę chwilę wolności cieszyłam. A teraz, kiedym się tak szczęśliwie pozbyła ciężących kajdan, miałabym dobrowolnie wracać do więzienia? Nie! Byłoby mi w takim razie lepiej dać umrzeć! Jeżeli mi nie możecie pomódz w ucieczce, to zaprowadźcie mnie napowrót do grobowca, i zostawcie mnie memu losowi.

Starzec pomyślał przez chwilę, potem rzekł:

— Zrobię wszystko, co zechcecie, księżno! Rozkazujcie!

— O jedno tylko was proszę, — zawołała Agata ściskając mu rękę z wdzięcznością, — Zaprowadźcie mnie na miejsce, gdziebym w ukryciu przez kilka dni żyć mogła. Potem dajcie o tem znać wiernej mej służącej Delii. Niech ona przyjdzie do mnie, i już mnie więcej nie opuści. Będzie mi ona pomocna w przygotowaniach, a Jussuf odprowadzi nas obie aż do angielskiej granicy. Wy sami zaś, przewielebny ojcze, nie narazicie się na żadne podejrzenie nawet.

— Chodźcie więc, księżno! — rzekł derwisz. — Mam przyjaciela w mieście, w którego domu będziecie zupełnie bezpieczną. Śpieszmy się jednak, bo dzień nadchodzi.

Ożywiona żywą nadzieją podążyła Agata za staruszkiem. Niewidzeni przez nikogo, dostali się do miasta, którego ulice były jeszcze ciemne i puste. Nie było w nich ani żywej duszy.

Derwisz zatrzymał się wreszcie przed małym domem odgraniczonym od ulicy wysokim murem. Zapukał on do bramy, która się niebawem otworzyła. Stary, siwobrody Indyanin, który według ubrania sądząc, wyglądał na kapłana, przyjął nowoprzybyłych.

Poznał on derwisza, i dał mu wejść wraz z towarzyszką.

Potem zamknął on znów bramę domu. Agata odechnęła z ulgą.

Tutaj przecie nikt szukać nie będzie za nią, którą mają za umarłą.

Wolna i uratowana! — szepnęła ona wesoło. — A wkrótce wrócę do swej ojczyzny. O, Edmundzie i ty, kochane moje dziecko, z jaką radością ja was znów zobaczę!

Rozdział 73.

W ŁAPCE.

— O, miłosierny Boże! nie daj mu umrzeć! Uratuj tego, którego ja nad życie kocham!

Tak modliła się Katynka załamując rozpaczliwie ręce i szlochając w bezradnej trwodze i obawie.

Chory leżał blady z gorączkawymi wypiekami na policzkach i szeptał coś niezrozumiale. Ręce jego zaciskały się kurczowo, oddech był krótki i ciężki, a zimny pot występował mu na czoło.

Nie przeczuwał on obecności swej ukochanej i nie czuł dotknięcia miękkiej jej ręki, którą ona gorące, rozpalone czoło jego głaskała.

Otwierał on wprawdzie oczy, nie poznawał jednak nikogo, nawet swej narzeczonej. Trzeci dzień trwał ten sam stan. Zeszłego wieczora przyszedł był minister, hrabia Edmund, odszedł jednak rychło, widząc chorego bezprzytomnego i rozgorączkowanego. Obiecał on przyjść znów nazajutrz, lecz o ile ze stanu chorego wnioskować było można, to i ta wizyta ministra miała być bez rezultatu.

Trapiona najgwałtowniejszą obawą, padła Katynka na kolana przed łożem ukochanego i zasyłała gorące modły ku niebu. Oczy jej zaczerwienione były od płaczu. Spadła ona tak ze sił w ostatnich dniach, że stała się prawie cieniem siebie samej. Policzki jej blade były i zapadłe, a wyraz całej twarzy okazywał najgłębszą rozpacz. Nie pozwalała ona sobie na wypoczynek ani na sen: siły jej były jednak wyczerpane i upadała ona już prawie pod brzemieniem nieszczęścia.

Klęczała płacząc u łoża, gdy wtem wszedł cicho jej ojciec z przeyległego pokoju. Zajmowali oni bowiem oboje sąsiednie komnaty tego samego hotelu.

I w rysach Gerharda widoczną była troska i zmartwienie. Rzucił on na córkę swą pełne współczucia spojrzenie i westchnął boleśnie.

Zbliżywszy się do niej podniósł on ją, a Katynka przytuliła się do jego piersi zarzuciła ramiona w około jego szyi, i rozszlochała się gwałtownie.

— Opanuj się, moje dziecko i uspokój się w swym bólu! Życie jego jest w ręku Boga! Co tu pomogą nasze łzy i troski! Jeżeli będzie wola Boga, to on wyzdrowieje.

Słowa ojca napełniły Katynkę nową nadzieją. Kochające serce tak chętnie we wszystko najlepsze wierzy!

Gerhard rzucił badawcze spojrzenie na chorego, który teraz leżał pozornie śpiąco i spokojnie.

—Minister wkrótce nadejdzie! —rzekł on po chwili. Obawiam się jednak, że on i dziś nie będzie mógł porozmawiać z Reinholdem!

W tej chwili zapukano do drzwi i wszedł doktór Kloc. Złożył on płaszcz i przystąpił do chorego. Zbadawszy go dokładnie, zwrócił on się do Katynki i jej ojca. Wyczytał on w twarzy młodej dziewczyny całą bezdenną rozpacz i serce zabiło mu żywą litością.

— Odwagi! — rzekł on zmuszając się do swobodnego uśmiechu. — Głowa do góry, kochana panienko! Nie jest wcale tak źle, możemy się jeszcze najlepszego rezultatu spodziewać!

Oczy Katynki zabłysły nadzieją. Uchwyciła za rękę doktora i szepnęła uszczęśliwiona:

— Doprawdy? Czy on wyzdrowieje? Czy niebezpieczeństwo już przeszło?

— To jeszcze nie! — odpowiedział doktór Kloc z poważną miną Potem zadał kilka pytań co do zachowania się chorego, oglądnął go raz jeszcze i napisał receptę.

—Pani nie śmie siedzieć jdnak nadal u łoża chorego!—rzekł on stanowczym tonem. — Mimo że się pani sama tem niszczy i zdrowie swoje rujnuje, nie jest pani w stanie otoczyć narzeczonego swego taką pielęgnacyą, jaka mu jest potrzebna!

—O panie doktorze! Któżby go lepiej mógł pielęgnować odemnie? — zawołała Katynka przerażona.

— Każda obca osoba! — była odpowiedź lekarza. — U łoża chorego nic nie jest szkodliwsze, jak trwoga i irytacya. Obstalowałem też już dlatego osobę, pod której opieką pani chorego bez obawy będzie oddać mogła. Jestto Marta, wychowawczyni małego Waltera von Rambow. Młoda dama znana jest pani i jej narzeczonemu. Ona przyjdzie tu dziś wieczorem. Prosiłem ją o tę samarytańską usługę, a ona bez wahania się na to zgodziła!

Żadnej innej nie byłaby Katynka ustąpiła, lecz na Martę, przyjaciółkę swoją, chętnie się zgodziła.

Doktór Kloc opowiadał jeszcze, że odszukał Martę u owej modniarki, u której ona bawiła od dnia gdy pałac hrabiego Edmunda na zawsze opuścić miała.

Rozmawiając tak wyszli oni z przedpokoju, aby chorego ze snu nie zbudzić. Nagle zjawił się gospodarz hotelu z oznajmieniem, że powóz ministra przed bramę zajechał.

Wkrótce potem wszedł Edmund w towarzystwie jakiegoś wyższego urzędnika policyjnego. Był to przełożony Wintera, który przybył osobną dorożką i ministra przed drzwiami hotelu oczekiwał.

Hrabia Edmund powitał lekarza, Katynkę i ojca jej, a oni się wszyscy z uszanowaniem przed nim skłonili.

— Czyż ja dziś znów daremnie przychodzę? — zapytał nowoprzybyły niespokojnie.

— Niestety tak, ekscelencyo! — dopowiedział doktór Kloc z pożałowaniem. — Gorączka ustała wprawdzie, lecz chory zawsze jeszcze nie odzyskał przytomności!

Hrabia Edmund wszedł z rozczarowaną miną do pokoju chorego, a reszta weszła za nim. Popatrzył on ponurym wzrokiem na Wintera i szepnął z westchnieniem:

— Może ja się już nigdy nie dowiem tych ważnych rzeczy, który on mi chciał odkryć? Widzę śmierć u jego łoża!

Tylko doktór Kloc słyszał te jego słowa i obawiając się aby one do Katynki nie doszły, chrząknął głośno i wskazał hrabiemu Edmundowi wzrokiem dziewczynę z niemą prośbą o względy dla niej.

— Mam najlepszą nadzieję, ekscellencyo! — rzekł po chwili głośno. — Sądzę że za kilka dni stan chorego o tyle się polepszy, że on będzie jego ekscellencyi mógł dać żądane informacye.

— Cieszę się szczerze tą nadzieją, panie doktorze! — zawołał hrabia Edmund uradowany. — Proszę mnie natychmiast o tem polepszeniu chorego zawiadomić!

Doktor Kloc obiecał to hrabiemu i odprowadził go aż na schody. Tu zatrzymał się hrabia Edmund nagle i popatrzywszy lekarzowi ba dawczo w oczy, zapytał:

— Czy to naprawdę przekonanie pana, panie doktorze, że Winter wyzdrowieje?

Doktor Kloc odpowiedział na to tylko owem wzruszeniem ramion, które lekarze zawsze mają w pogotowiu jako odpowiedź na podobne pytania.

— Nie mogę dziś jeszcze nic stanowczo orzec! — dodał on wymijająco.

Proszę pana powiedzieć mi szczerze i otwar cie, co pan o tem myśli! — nalegał hrabia niecierpliwie. — Nie wie pan nawet, ile mi na tem zależy, czy Winter będzie mógł jeszcze na pytanie moje odpowiedzieć, czy nie!

Doktor Kloc i na to nie dał stanowczej odpowiedzi. Opisał on ministrowi wprawdzie dokładnie stan Wintera, używał jednak tyle facho wych wyrazów, że hrabia Edmund nie wiele z tego mógł zrozumieć.

Koniec końcem, jeżeli nic nieprzewidziane go nie zajdzie, to można się spodziewać jego wy zdrowienia! — zakończył lekarz.

Hrabia Edmund był zadowolony. Opuścił on hotel i wsiadł do powozu w którym go Wale rya oczekiwała. Przybyła ona dziś do stolicy i odprowadziła hrabiego aż do hotelu. Została jednak w powozie, aby nie zwrócić uwagi. Nikt jej też nie spostrzegł.

Edmund dziwił się wprawdzie temu jej zajęciu się Winterem, lecz prawdziwych myśli i zamiarów jej nie odgadł.

Opowiadał jej więc, co słyszał i widział, a Walerya przysłuchiwała mu się z uwagą.

Detektyw był więc już blizkim grobu i nie mógł dać hrabiemu żądanych informacyi. Napełniało to ją radosną satysfakcya. Mogła być całkiem uspokojona, gdyż teraz ani jej, ani hra biemu Sinobrodemu ze strony Wintera żadne niebezpieczeństwo grozić nie mogło.

Rozstawszy się z hrabią Edmundem, udała się ona od swego hotelu, gdzie ją już hrabia Sinobrody oczekiwał. Spodziewali oni się dziś wieczorem Ludwika Hechta.

Walerya opowiedziała bratu swemu wszystko, co słyszała o Winterze. Hrabia Sinobrody zacierał ręce z zadowolenia.

— Jeżeli ten detektyw umrze, to myśmy wygrali! — rzekł on. — Musimy jednak zapobiedz temu, aby się stan jego znów nie polepszył, on nie śmie wyzdrowieć!

Walerya potwierdziła skinieniem głowy.

Hrabia Edmund opowiedział mi, że jeszcze ani śladu złoczyńcy odkryć nie mógł! — odezwała ona się z uśmiechem. — Policya odstąpiła już więc widocznie od podejrzenia, które wobec ciebie miała.

— Nic lepszego mądra policya też zrobić, nie mogła, — szydził hrabia Sinobrody. Niech tylko spokojnie dalej bada. Pewny jestem, że żaden detektyw właściwego złoczyńcę nie wykryje. Lecz cicho! Kto to nadchodzi? — przerwał on nagle, słysząc otwierające się drzwi.

Nowoprzybyły był to ten sam siwobrody mężczyzna którego hrabia Sinobrody raz już z Waleryą w hotelu tym odwiedził.

— To ja panie! — odezwał się teraz głos, a po zdjęciu białej brody, ukazała się przebiegła, łotrowska twarz Piotra.

— Dobrze że jesteś! — przywitał go Sinobrody zadowolony. — Jest już wieczór i możemy się tego łotra każdej chwili spodziewać. Wiesz już, co masz zrobić. Idź do przyległego pokoju i czekaj. dopóki cię nie zawołam.

Piotr wyszedł do sąsiedniego pokoju. Walerya otworzyła drzwi do innej komnaty i ciekawie tam zaglądnęła. Nikogo tam jednak nie było.

— Czy on też wpadnie w łapkę? — rzekła ona powątpiewająco, zamykając znów drzwi. Po chwili szepnęła jednak: Słuchaj! Tu ktoś nadchodzi! To pewno on, —dodała ona z tryumfem.

— Możliwe rzekł Sinobrody spokojnie i doszedłszy do drzwi i popatrzywszy przez dziur kę od klucza szepnął:

— To on! Nie jest jednak sam. Ktoś jeszcze z nim przyszedł.

I Walerya popatrzyła przez szparę w drzwiach i przekonała się naocznie, że Ludwik Hecht wpadł w zastawione przez nią siecie. Kto jednak mógł być ten jego towarzysz? Wyglądał on ordynarnie i odstraszająco. Czyż on sobie go

dla obrony przyprowadził?

Walerya naradzała się jeszcze przez chwilkę po cichu ze swym bratem. Wobec tego, że Hecht przybywał w towarzystwie, musieli oni plan swój zmienić. Wreszcie... czas musiał się nowoprzybyłym już dość długi wydawać... otworzyła Walerya drzwi i weszła do sąsiedniego pokoju, w którym oni na nią już czekali.

Wstali oni obaj na powitanie jej z siedzenia, a włóczęga, towarzysz Hechta, wpatrywał się pełen zdziwienia, i podziwu w olśniewająco piękną kobietę. Zrobił mimowoli kilka głębokich, niezgrabnych dygów, podczas gdy Ludwik powitał Waleryę ze zwykłem, lekceważącem szyderstwem.

—Przyszedłem, jak widzisz — odezwał on się do niej. — Dla ostrożności zaś przyprowadziłem sobie dobrego przyjaciela.

To rzekłszy wskazał on na włóczęgę, który z zaambarasowania ani słowa nie mógł wymówić.

Walerya zmierzyłą ich obu wzrokiem nieukrywanej pogardy. Potem zbliżyła się z chłodną miną do swego męża.

— Więc ty się mnie boisz? — uśmiechnęła się ironicznie.

— Prawdę powiedziawszy tak! Twoje groźby nakazywały mi ostrożność.

— I ty przyprowadzasz mi tu całkiem obcego człowieka? — zawołała ona szorstko i gwałtownie. Wtajemniczyłeś go naturalnie w nasze stosunki, a temsamem zdradziłeś sekret, o którym nikt się nie miał dowiedzieć.

— Mój Boże! Ja muszę sobie przecież pomódz, — bronił się łotr ten spokojnie. Zmusiłaś mnie sama do tego. Możesz zresztą być spokojna, to jest mój stary przyjaciel, który jest dyskretny i milczący jak grób.

— Pewno, pewno! — potwierdził włóczęga szeptem.

Walerya nie zwracała nawet na niego uwagi. Stała ona z mężem swym oko w oko i z trudnością tylko opanowywała swoją wściekłość.

Chciał ón ją podejść, lecz na nic mu się to nie zdało. Była ona na najgorsze zdecydowana.

— Widzisz że ja sama przyszłam, — odezwała się ona gniewnie. A ty, nędzniku i tchórzu, sprowadzasz sobie obrońcę! Poco ten człowiek tu przyszedł? Ja z nim nic nie chcę mieć do czynienia i żądam, aby on natychmiast stąd odszedł.

— Nie! — zawołał Ludwik stanowczo. — Jeżeli ty przy tem obstawać będziesz, to i ja odejdę nie porozumiawszy się nawet z tobą co do celu mego przybycia. Przyniosłem ze sobą papiery ślubne i gotów jestem zostawić ci te cenne dokumenty, pod warunkiem jednak, aby i mój przyjaciel był przy tem.

— Ach! Chcesz mi więc dać akta ślubne?

— Tak jest i chcę ci dowieść, że mojem usiłowaniem jest rozstać się z tobą po przyjacielsku.

Walerya była zaskoczona i zdziwiona. Nie spodziewała ona się że Ludwik Hecht ustąpi, cieszyła się jednak bardzo, że on dokumenty te ma przy sobie. Uśmiechnęła się więc tylko tryumfująco, postanawiając sobie w duchu, że sobie papiery te za każdą cenę przywłaszczy.

— Dojdziemy więc prędko do celu! — rzekła ona szyderczo. — Oto masz pieniądze, 50 tysięcy marek!

To mówiąc, wyjęła ona paczkę banknotów z kieszeni i położyła je na stół.

Ludwik Hecht zbliżył się spiesznie do stołu i wyciągnął rękę aby zagrabić lecz Walerya wstrzymała go od tego rozkazującym ruchem ręki.

— Najpierw muszę ja mieć akt ślubny w ręku! — oświadczyła ona. — Z tobą trzeba być ostrożnym!

Szubrawiec wyjął szybko sfałszowany przez towarzysza swego dokument, a Walerya szybciej jeszcze go złapała

Rozłożywszy go, zaczęła ona dokument ten studyować.

Obaj towarzysze śledzili badawczo wyraz jej twarzy i bardzo się zaniepokoili widząc, że ona posępnieje.

Czyżby ona powzięła podejrzenie? Czyżby poznała, że dokument ten sfałszowany?

Lecz Walerya złożyła papier po przeczytaniu i wsunęła go do kieszeni.

Hcht i towarzysz jego spojrzeli po sobie tryumfująco.

— Węzły łączące nas są więc tem na zawsze zerwane! — rzekła Walerya lodowato. — Sumą tą wykupiłam się dziś od ciebie na zawsze!

Ludwik Hecht chwycił paczkę banknotów i wsunął ją bez liczenia do kieszeni.

— Spodziewam się kochana Waleryo — rzekł on na pożegnanie — że ja i na przyszłość na poporcie twe będę mógł liczyć. Jeżeli będziesz żoną ministra, to ci łatwo będzie dopełnić mi tę sumkę z czasem do miliona, tak jak to od ciebie żądałem!

— Nie ani feniga więcej odemnie nie dostaniesz! — rzekła ona nieubłagalnie. — A jeżeli mi się odważysz później kiedyś wejść w drogę, to cię bez litości zniszczę!

Ludwik Hecht zaśmiał się z pownością siebie.

— O, ja jestem przekonany, że ty mnie, męża swego nie zapomnisz nawet jako hrabina von Linderhof! — zaszydził on. — A że ja ci się dość wcześnie przypomnę, na to się możesz spuścić!

Walerya rzuciła na niego błyskawiczne, wściekłe spojrzenie i wyprotsowała się dumnie. Opanowała się jednak i wybuchła tylko głośnym, szyderczym śmiechem.

Mogłam się właściwie była tego spodziewać, że przeciwko takiemu łotrowi jak ty, nie można się zabezpieczyć — zawołała ona pogardliwie, a po chwili dodała podstępnie:

— Chcę jeszcze jakąś ofiarę ponieść, aby się ciebie raz na zawsze pozbyć! Jestem gotowa dać ci jeszcze sto tysięcy marek, jeżli się zgodzisz na warunki, które ci podyktuję!

Ludwik Hcht który już był przy drzwiach, wrócił się znowu do pokoju.

— Wymień mi swoje warunki! — rzekł Hecht po chwili.

— Odeślij najpierw swego towarzysza! — zażądała ona. — Nie chcę, aby ten człowiek był świadkiem naszej rozmowy!

— Ależ to nic nie szkodzi! — sprzeciwił się szubrawiec. — Przyjaciel mój może wszystko słyszeć, co my ze sobą mamy do mówienia!

— Nie, nie! Ja nie wiem, kto ten człowiek właściwie jest! Jeżeli się dowie o moje tajemnicy, to ją jeszcze kiedyś jako broń przeciwko mnie użyje! Ja muszę być ostrożna!

— Mogę cię pod tym względem uspokoić! Mój przyjaciel Fryc, nigdyby nawet o tem nie myślał, aby ci zaszkodzić! Poznaliśmy się w więzieniu i on ma tyle powodu co ja trzymać się w ukryciu. Więc choćby chciał, to nie będzie mógł wystąpić przeciwko tobie otwarcie, jako nieprzyjaciel!

— Hm! — rzekła Walerya z gryzącą ironią. — Więc ten człowiek to twój towarzysz z kryminału? To tylko chciałam wiedzieć, a teraz szerzej z wami pomówię, wy łotry!

Ludwik cofnął się mimowoli na te słowa pełne zgrozy.

—Co to ma znaczyć! — zawołał on podejrzliwie.

— Że ty głupcze wpadłeś w łapkę! — syknęła Walerya z demonicznym śmiechem. — Sprowadziłam tu kilku urzędników policyjnych, którzy tylko czekają na mój sygnał, aby was obu drabów znów przyłapać.

To mówiąc pobiegła ona do drzwi przyległego pokoju i otworzyła je szybko.

W tej samej chwili weszła do pokoju postać męska w płaszczu i kapeluszu i wysoko postawionym kołnierzu, który twarz mu zakrywał.

— Oto panie komisarzu! — zawołała Walerya wskazując na obu towarzyszy — są to zbiegi z kryminału, zbrodniarze!

— Nie ruszajcie się z miejsca! — krzyknął gruby głos z poza nastawionego kołnierza — jesteście obydwaj uwięzieni!

Tak zaskoczeni i oniemieli wprost z przerażenia, stali obaj towarzysze niezdolni do ruchu.

Fryc bladł jak ściana, trząsł się jak listek osiki, a wzrok jego szukał trwożnie za jakimś wychodem.

W tej chwili okazała się druga taka w płaszcz owinięta postać w progu i odjęła Frycowi resztę nadziei i odwagi.

Nagle odzyskał on jednak przytomność i energię. Jednym susem dopadł on otworzone przez detektywa drzwi, wywinął mu się zręcznie i zbiegł z nieopisaną szybkością po schodach na dół.

Teraz i Ludwikowi wróciła odwaga, chciał on pobiedz za swym towarzyszem, lecz detektyw schwycił go wczas, pociągnął napowrót do pokoju i zamknął drzwi na klucz za sobą.

Jakby na rozkaz zrzucili obaj przypuszczalni policyanci równocześnie swe płaszcze i zdemaskowali się jako hrabia Sinobrody i służący jego Piotr.

Walerya użyła tego podstępu, aby się Fryca stąd pozbyć, a że sprzymierzeni jej byli w sąsiednim pokoju i każde słowo słyszeli, więc łatwo im było wejść w jej intencye i plany.

Szubrawiec pojął to w jednej chwili i zrozumiał w jakiem niebezpieczeństwie się znajduje.

Z odwagą rozpaczy rzucił on się na Piotra i sięgnął po rewolwer do kieszeni. Lecz równocześnie chwycił go hrabia Sinobrody za kołnierz, a sztylet jego zabłysnął mu przed oczyma.

— Poddaj się, łotrze!

— Na dyabła! — krzyknął Ludwik, wydzierając się. ładni z was policyanci. Czyż wy myślicie, że ja was nie poznaję?

Zręcznym ruchem uwolnił on się z ich rąk, i podskoczył znowu ku drzwiom. Wyciągnął też teraz rewolwer z kieszeni. Nim jednak coś począć zdołał, rzucił się Piotr na niego i wyrwał mu broń z ręki.

— Stój, jeżeli ci życie miłe, ty łotrze! — zawołała Walerya ostro. — Zginiesz jeżeli się tylko odważysz pisnąć!

Trupio blady i drżący ze strachu stał złapany w siecie szubrawiec za stołem i patrzał

z przerażeniem w tryumfujące twarze przeciwników. Nie dawał jednak jeszcze za wygraną i uczuł w obliczu grożącego niebezpieczeństwa odwagę.

— Więc tak ty to ułożyłaś podstępna żmijo — zgrzytnął on wściekle. — Zwabiłaś mnie w zastawione przec ciebie sięcie. Nic mi jednak zrobić nie śmiesz bo mój przyjaciel Fryc o wszystkiem wie i nie będzie milczał, gdyby mi się tu co złego stać miało.

Walerya i Sinobrody zaśmiali się szyderczo.

— Odbierz mu pieniądze, Robert, — rzekła ona po chwili. A potem precz z nim do zamku Wildenfels.

— Oho! — zawołał Ludwik z kurczowym śmiechem. — Do tej zbójeckiej jaskini zawlec mnie chcecie? Jeżeli mnie na wolność nie wypuścicie, to ja tak krzyczeć będę, że się cały hotel zbiegnie. Ja wszystko zdradzę i nawet pańskie tajemnice, hrabio Sinobrody. Opowiem policyi, co się stało z pańskim teściem, radcą.

Hrabia Sinobrody zadrżał mimowoli na te słowa. Opanował się jednak prędko i rzekł z uśmiechem:

— Nikomu nic więcej nie wypaplesz, ty łotrze! Nie dożyjesz bowiem jutrzejszego dnia.

Nim jeszcze Ludwik mógł krzyknąć, złapał go Piotr za szyję i zaczął go dusić. Sinobrody przyszedł mu z pomocą i nim się szamocący łotr spostrzegł, już miał ciasno usta chustką za wiązane. Słychać było jeszcze tylko stłumione jęki.

Walerya otworzyła ostrożnie drzwi od korytarza, i nadsłuchiwała. Nie spostrzegła jednak w około nic podejrzanego. Widocznie nikt z odbywającej się tu w pokoju walki nic nie słyszał. Fryc nie miał pewno odwagi narobić hałasu i był zadowalony, że się sam na wolność wydostał.

— Wszystko w porządku — rzekła Walerya zamykając napowrót drzwi. — Precz z nim!

Hrabia Sinobrody przeszukał tymczasem kieszenie Ludwika i odebrał mu zabraną paczkę banknotów. Potem włożył na uwięzionego swój płaszcz i kapelusz i podciągnął mu kołnierz aż po uszy, tak że mu prawie całą twarz zakrył.

Sinobrody wziął go za jedno ramię, Piotr za drugie i tak go wyprowadzili. Daremnie wzbraniał się Ludwik Hecht, miał bowiem spętane nogi i był bezradny jak dziecko a obaj kaci jego trzymali go jak gdyby w żelaznych kleszczach.

W ten sposób sprowadzili oni go ze schodów, a wyglądało to tak, jakgdyby prowadzili ciężko upitego, albo starego, który się sam na nogach utrzymać nie mógł.

Ludwik Hecht spodziewał się zawsze jeszcze jakiegoś ratunku, od kogoś z domowników.

W tej chwili ukazał się na schodach rzeczywiście portyer i kelner i obaj spojrzeli ciekawie na zakapturzonego łotra i jego obu opiekunów.

— Co się temu panu tu stało? — zapytał portyer z współczuciem.

— Jest to nasz znajomy, któremu się słabo zrobiło, — odparł Sinobrody — zabieram go do domu.

Stłumiony jęk spętanego łotra potwierdził jeszcze słowa hrabiego. Chciał on coś powiedzieć i starał się przyjść do oddechu, lecz nie mógł się na wyraźne słowo zdobyć.

Ani portyer ani kelner nie mieli najmniejszego podejrzenia i chcieli nawet pomódz im w przeniesieniu chorego ze schodów na dół.

Lcz Sinobrody nie przyjął tej usługi i wysłał tylko portyera po dorożkę na którą wsadzono Ludwika Hechta. Potem usiedli obaj towarzysze obok niego i powóz potoczył się szybko do drugiego hotelu, gdzie Sinobrody zajechał i gdzie miał swoje sanki.

Podczas jazdy wyjął Piotr z kieszeni flaszeczkę z wąskołykiem i odkorkowawszy ją, podsunął ją pod nos uwięzionego.

Ludwik poruszył się kurczowo, charknął słabo i nagle zupełnie umilkł. Bez ruchu, jak martwy, siedział on teraz w kącie powozu.

Woźnica nic z manipulacyi tej nie zauważył i niebawem wjechał na podwórze drugiego hotelu. Sinobrody przeniósł z pomocą Piotra otumanionego Hechta na saneczki i przykrył go podróżnym kocem. Potem wsiadł napowrót do dorożki, służący jego Piotr skoczył na kozła i powóz popędził znów szybko w stronę zamku Wildenfels.

Walerya została w swoim hotelu. Ttryumfowała ona. Radość jej była nie do opisania.

Miała ona więc wreszcie męża swego w swej mocy! O, teraz on jej już nie będzie niebezpieczny. Zniknie on w zamku Wildenfels i to tak bez śladu, jak już niejedna ofiara hrabiego Sinobrodego przed nim.

Osiągnęła to, czego od niego chciała i miała w swojem posiadaniu akt ślubny, ten nienawistny dowód jej małżeństwa z tym wstrętnym Hechtem! Nie przeczuwała naturalnie, że on ją oszukał, i że prawdziwy dokumnt znajdował się dobrze schowany w jego kufrze.

W godzinę później wsiadła ona do saneczek i wróciła do swego zamku.

Wszedłszy do swego buduaru siadła na wygo-

dnej kanapce, wyjęła raz jeszcze akt ten z kieszeni i zaczęła mu się znów bacznie i z szyderczą miną przyglądać.

— Jeżeli ten papier będzie zniszczony, to z nim zejdzie ze świata ostatni i jedyny dowód mej hańby!—szepnęła ona zadowolona. Będzie to tak, jak gdyby małżeństwo moje z Hechtem wcale nie egzystowało. Schowam sobie jednak na razie drogi ten dokument na pamiątkę. Niech spoczywa przy liście Agaty! Będzie on tam spoczywał bezpiecznie przed okiem niepowołanych.

Doszedłszy do biurka, otworzyła ona średnią szufladę, za którą znajdowała się tajemna skrytka, odskakująca za pociśnięciem niewidzialnej sprężynki.

Poświeciwszy jednak do środka, zadrżała ona z przerażenia. Wyciągnęła cały fach, i zaczęła drżącemi rękoma szukać między papierami.

— List Agaty... gdzież on jest, Boże! — wyrwało się ze zbielałych jej ust.

Daremne było jednak jej żądanie. List znikł bez śladu.

Nieopisana gorąca trwoga, i dziki gniew opanował Waleryę. Jak błyskawica uderzyła ją myśl o owym tajemniczym złodzieju, który ją pewnej noc w komnatach napadł. Tylko ten jej list mógł wykraść. A złodziej ów... któż inny to mógł być jak nie Ludwik Hecht?

— Tak, to on ma ten list! — jęknęła ona żałośnie.

Padła na krzesło i zaczęła rozpaczliwie ręce załamywać. Po chwili podskoczyła jednak, siadła do biurka i zaczęła pisać, co następuje:

Kochany Robercie!

"Spostrzegłam właśnie, że list Agaty znikł z mego biurka. Ludwik Hecht mi go więc ukraść musiał, jestem o tem przekonana. Jeżeli on jeszcze żyje, to wymuś na nim zeznanie. Ja muszę ten list nazad od niego wydostać. Wiesz przecież, co od tego dla mnie zależy. Odpowiedz natychmiast. Jeżeli się Hecht wypierał, to ja się jutro sama z nim będę widzieć musiała".

Zadzwoniwszy na pokojówkę rozkazała ona jej:

Niech konny posłaniec natychmiast z listem tym jedzie na zamek Wildenfels i niech go hrabiemu własnoręcznie doręczy. Niech się też śpieszy, aby najdalej za dwie godziny już tam był, i jak najrychlej z odpowiedzią wrócił.

Pokojówka wyszła z listem, a za 10 minut po pędził lokaj konno ku bramie.

Walerya chodziła zirytowana tam i z powrotem po pokoju, trapiona myślą, że to przecież nie jej mąż, lecz kto inny był owym zagadkowym, zamaskowanym złodziejem.

Któż jednak? Mąż jej przecież pojęcia nie miał o liście Agaty? Możebne jednak, że szukając pieniądze, przypadkowo na niego się natknął.

Owej nocy nic jednak prócz listu nie zginęło. Czyżby to więc było możliwe, aby Ludwik Hecht zostawił jej był pieniądze i papiery wartościowe, a tylko list zabrał?

— Nie, to nie on! To niemożliwe! — mruknęła ona i nagle błysnęło jej inne przeczucie.

— Detektyw Winter! Tak, to on, nikt inny list ten zabrał! — jęknęła ona.

— Znalazł on kopertę i przeczuwał, że ja mam ten list! Przyszedł więc nocą aby go zabrać! Tak, to zupełnie jest jasne!

Jakby piorunem rażona padła ona na krzesło i zdawało jej się, że ziemia jej się pod nogami ustępuje i że do bezdennej otchłani wpada.

Teraz wiedziała ona dopiero, co za ważne informacye Winter ma dla ministra. Chce on mu dać list Agaty i opowiedzieć mu w jaki sposób go dostał!

Szczęśliwy zbieg okoliczności udaremnił dotychczas zamiary detektywa, ale jutro już, albo w następnych dniach już się to stać mogło. Wtedy wszystko by było stracone, a ona na wieki zgubiona.

Walerya jęknęła głośno i rozpaczliwie. Czoło jej pokryło się dużemi kroplami zimnego potu. Jakżeż gorzko żałowała ona teraz, że nie usłuchała rady swego brata i nie zniszczyła listu. Jakżesz dobrze by to było!

— Nie i w tym wypadku nawet nie! — dodała ona głośno, podniósłszy się z siedzenia — przecież detektyw ma i kopertę w swoim posiadaniu i zna już prawdę. Jakżeż mu mogę przeszkodzić, aby mnie nie zdradził? Jak wydrzeć z rąk jego ten niebezpieczny list?

Godzina za godziną upływała, było już dawno po północy a Walerya chodziła jeszcze zawsze tam i napowrót po swoim buduarze. Lecz mimo namysłu i kalkulowania, nie widziała ona drogi wyjścia i wykrętu od zbliżającej się nieubłaganie zguby.

— A może detektyw przecież jeszcze listu nie ma!— pocieszała ona się chwilami — może przecież jest w posiadaniu Ludwika Hechta, a w takim razie ja go napowrót dostanę! Aby już tylko mieć pewność!

Po chwili zapukano do drzwi. Pokojówka zajrzała.

— Wielmożna panienko — zameldowała ona — posłaniec wrócił z zamku Wildenfels.

Walerya dała rozkaz aby go przyprowadzono.

— Teraz nareszcie osiągnę pewność! — pomyślała ona z ulgą.

Rozdział 74...

UCIECZKA WŚRÓD TYSIĄCA NIEBEZPIECZEŃSTW.

Śpiesznym krokiem podążył farmer ku komnacie swej żony. Serce jego biło gwałtownie. Grobowa cisza zalegała cały dom, a wszystkie pokoje były ciemne.

Teraz stanął on przed drzwiami komnaty, której drzwi uchylone były tak, że promyk światła padał do przedpokoju. Z wnętrza komnaty dochodziły też głosy, które on wyraźnie rozpoznał: głos swej żony i angielskiego kapitana. Zadrżał on; dłoń jego chwyciła za rękojeść broni a z piersi wyrwał się jęk bólu i rozpaczy.

— Więc to prawda! stary, wierny sługa jego nie skłamał! Żona jego którą on do dnia dzisiejszego ubóstwiał, zdradzała go dla jakiegoś przebiegłego, niesumiennego szubrawca! Opanowany wściekłą zazdrością, pchnął on drzwi i stanął na progu.

Zakrywała go portyera. On zaś mógł przez szparę dokładnie czułą parę widzieć. Kapitan trzymał żonę jego w objęciach, i zbliżał właśnie usta swe do jej twarzy.

Tego nie mógł już tak haniebnie oszukany mąż dłużej wytrzymać. Jednym susem skoczył on na środek pokoju i stanął zadyszany, jakby sparaliżowany.

Zaskoczona tak nagle para odskoczyła od siebie w przerażeniu. Na widok męża swego, cofnęła się Lydia z głośnym okrzykiem wstecz.

Kapitan spojrzał trupio blady na farmera i widząc go z bronią w ręku sięgnął prawicą po swoją szablę.

— Łotrze! — krzyknął farmer drżąc ze złości, i chciał w niego wystrzelić.

Lecz w tej chwili zjawiła się za nim druga postać. Był to agent Baldi, który się skradł za farmerem, w chwili gdy ten na wroga swego wycelował. Kula świsnęła tuż nad głową kapitana i ugrzęzła w ścianie.

— Morderco! — krzyknął agent, wydzierając farmerowi broń, i wołając dalej z całej siły:

— Mord! mord! Na pomoc!

Krzyk jego pobudził śpiących żołnierzy, którzy się niebawem ze wszystkich stron zbiegać zaczęli.

Lydia padła ze strachu na kolana i wpiła trwożony, przerażony wzrok w swego męża. Była ona blizka omdlenia.

Kapitan stał zawsze jeszcze trupio blady i nieruchomy, z ręką opartą na rękojeści swej szabli.

I farmer stał po wystrzale przez kilka sekund jak skamieniały. Nie zwracał on nawet uwagi na ajenta, lecz wpatrywał się w płomiennym wzrokiem w kobietę, która go uczyniła najnieszczęśliwszym człowiekiem w świecie. Nagle podskoczył on ku niej w napadzie wściekłości.

— Żmijo! — zgrzytnął on i podniósł, odchodząc od zmysłów, pięść swą do uderzenia.

Wtem podskoczył kapitan i odepchnął go z siłą. Farmer chciał się na niego rzucić, lecz w tej samej chwili zjawiło się kilku żołnierzy. Otoczyli oni nieszczęśliwego człowieka ze wszystkich stron, podnosząc ku niemu swe pięści.

— Nędzny uwodzicielu! — krzyknął on mimo to na kapitana. — Tchórzu! puszczajcie mnie wy łotry, abym waszemu szubrawemu zwierzchnikowi dał zasłużoną karę! Jesteście wszyscy razem zbóje i bandyci!

Twarz kapitana była krwią oblana, a z oczu jego błyszczała wściekłość i nienawiść.

— Trzymajcie go mocno — rozkazał on żołnierzom. — Szaleniec ten wykonał zamach na moje życie. On jest teraz naszym więźniem.

— Jest on też zdrajcą i tajnym sprzymierzeńcem naszych wrogów — przerwał mu agent Baldi, wskazując na farmera z tryumfem— tak jest, panie kapitanie, chciałem panu jutro wszystko donieść, ale skoro się tak złożyło więc teraz panu to powiem. Niech pan człowieka tego więcej nie wypuści. Trzeba go bowiem będzie oddać sądowi wojennemu, bo ja mam dowody jego winy.

— Kłamliwy oszuście — gromił go farmer, to ja ciebie jako mordercę oskarżę. Szubienica się tobie należy ty nędzniku.

— Spodziewam się, że ja was jeszcze na szubienicy, zobaczę — odparł ajent szydercz— was i tych obu szpiegów burskich, których tu w domu macie.

— Co pan mówi — zawołał kapitan zirytowany — czy te obie kobiety są szpiegami?

— Tak jest potwierdził ajent — dlatego one się tak w ukryciu trzymały. Bały się bowiem, aby ich nie poznano. Ja je jednak poznałem, bo je jeszcze z Kapstadu znałem. Gdy władze wreszcie lad ich odkryły, uciekły one tu z pomocą tego człowieka.

— Kłamstwo, podłe kłamstwo — wołał far

mer, którego gniew i oburzenie do szału przyprowadzały.

— Milczeć — rozkazał kapitan ostro — przecież to jasne, że pan jesteś sprzymierzeńcem i przyjacielem Burów. Aresztuję pana jako zdrajcę stanu. Będzie się pan musiał stawić przed sąd wojenny.

Z oczu jego padała nienawiść i mściwość. Nie mu tak wczas przyjść nie mogło, jak to oskarżenie, dające mu pozornie przynajmniej prawo zemszczenia się na człowieku, który go tak przed żołnierzami zelżył.

Agent tryumfował. Powtórzył on kapitanowi wszystkie kłamliwe potwarze o farmerze i jego protegowanych, tak jak je już raz w gazetach był ogłosił, a oficer nie wątpił w prawdę jego słów.

— Trzeba uważać aby te kobiety nie uciekły, — rzekł on do agenta — jutro się do nich zabierzemy.

Chciał on właśnie dać rozkaz aby farmera na razie w jego własnym pokoju uwięziono, gdy się nagle Gertruda z Józefą zjawiły. Śmiertelnie blade i zastraszone, przypatrywały się one tej hałaśliwej scenie.

— Oto są te szpiegujące damy — zawołał agent i dodał wskazując na Józefę: A ta jest jeszcze niebezpieczniejszą, jest ona siostrą uwięzionego przez nas kapitana Burów.

— Jeżeli rzecz się tak ma, to już inne dowody winy jej są niepotrzebne, — zawołał kapitan. — A skąd pan to wie?

— Słyszałem to z jego własnych ust. Uwięziony ten błagał bowiem abym mu zezwolił widzieć się z jego siostrą. Naturalnie że mu to stanowczo odmówiłem.

— Precz z temi kobietami! — krzyknął kapitan. — One są naszemi brankami, zamknijcie je w pokoju i postawcie straż przed drzwiami. Jeżeliby która uciec chciała, to śmiercią przepłaci.

Nim Gertruda i Józefa jeszcze pojąć mogły o co chodzi, zostały przez żołnierzy schwytane i z pokoju wytrącone. Daremnie zapewniały one o swojej niewinności, daremnie farmer się za niemi ujmował. I jego porwali żołnierze i gwałtem go z pokoju wyciągnęli.

Rzucił on spojrzenie pełne bezsilnego gniewu i lodowatej pogardy w stronę swojej żony, która siedziała na krześle trupio blada i milcząca. Nie miała ona ani jednego słowa na jego obronę. Przeciwnie z twarzy jej biło dzikie jakieś i nienawistne spojrzenie. Niewierna, podła ta kobieta tryumfowała nad mężem, którego tak haniebnie zdradziła.

Niebawem zamknięto obie nieszczęśliwe dziewczęta do ich pokoju. Były one uwięzione i wiedziały dobrze, że tak ich, jak i szlachetnego obrońcę i protektora ich, czeka okropny los. Szlochając, padły one sobie w objęcia i starały się wzajemnie pocieszać i uspokoić.

W domu tym zaległa znów grobowa cisza, przerywana tylko martwym krokiem czuwającej straży.

W pokoju farmera tylko paliło się jeszcze ponure światło świeczki. Z głową opartą na obu rękach siedział ten biedny, zdrądzony, oszukany człowiek, jęcząc z goryczy i bólu.

Był on uwięziony w swoim własnym domu. Uwięziony przez łotra, który najświętsze jego prawa z brutalną przemocą podeptał. Niesumienna jego żona, leżała teraz pewno znów w objęciach swego uwodziciela. Byli oni teraz zupełnie bezpieczni i mogli sobie szydzić z jego bezsilnej wściekłości.

Myśli te do takiego szału go doprowadzały, że podskoczył on ze zgrzytem z zaciśniętemi pięściami do drzwi. Zaczął on niemi trząść, lecz silny zamek i rygle urągały jego sile, a straż ze dworu zagroziła mu, że mu nałożą kajdany, jeżeli się nie będzie spokojnie zachowywał.

Wybuchł on teraz głośnym, ostrym śmiechem... śmiechem samoironii i szyderstwa. Potem wrócił chwiejnym krokiem do swego krzesła i padł na nie złamany i zniszczony.

Tak upłynęła noc i zaczęło już świtać. W domu wszystko jeszcze spało, nawet straż zdrzemnęła się na swoim posterunku, znużona przejściami ostatnich dni.

Przez ciemne komnaty przesuwała się cicho czarna postać. Był to Murzyn Hassan, służący farmera. Obserwował on wszystko z ukrycia i postanowił uratować swego pana.

Niespostrzeżony przez żołnierzy, zbliżył on się do pokoju swego chlebodawcy. W przedpokoju przed drzwiami, siedziała straż skulona i śpiąca, nie słysząc zbliżenia się Murzyna. U nóg jego stała świecąca się latarnia.

Hassan pochylił się nad śpiącym żołnierzem, który nie przeczuwał bl zkości nieprzyjaciela i wiszącej nad głową jego śmierci.
y nię przeczuwał blzkości nieprzk-,crez-iz-rcmót

W prawicy Murzyna zabłysł sztylet. Lewą ręką objął on szyję żołnierza i wepchnął mu ostry nóż w serce. Bez okrzyku, bez jęku nawet padł żołnierz trupem na podłogę.

Przekonawszy się, że wkoło wszystko jeszcze spokojne, wyjął Hassan klucz z kieszeni i otworzył drzwi, którem wszedłszy do pokoju, znów spiesznie za sobą zamknął.

Farmer podskoczył z siedzenia nie wierząc

własnym swoim oczom. Poznał on służącego swego przy bladem blasku świeczki, a z ust jego wyrwał się okrzyk zdziwienia.

Lecz Hassan dał mu znak milczenia i szepnął:

– Prędko panie! Droga jest wolna.

— Hassanie! Wierna duszo! — wybełkotał nieszczęśliwy człowiek wzruszony. — I ty masz naprawdę odwagę wyratowania mnie? Obawiam się jednak, że nam się to nie udą.

— Dlaczego nie panie! Straże spią.

Farmer odzyskał swoją energię i wyprostował muskularną swą postać. Przypomniał on sobie, że mu na szczęście broni nie odebrano i wyjął z za szafy rewolwer i nóż myśliwski.

– Chodź teraz, Hassanie! — rzekł on rezolutnie. — A chćby się to miało nie udać, to ja w każdym razie życie swoje drogo sprzedam.

Wyszedłszy do przedpokoju zobaczył on krwią zbroczonego trupa żołnierza i dreszcze nim wstrząsnął.

— Czyś to ty go zamordował? — spytał on szeptem.

Hassan potwierdził tylko obojetnem skinieniem głowy, i wziąwszy latarkę do ręki, rozświecał panu swemu drogę.

W następnym pokoju nikogo nie było. Idąc coraz dalej, dostali się oni wreszcie na werandę.

Tam był znów żołnierz na straży, lecz spał on tak mocno, że nie słyszał kroków przechodniów. Hassan zgasił latarkę i po chwili stanął z panem swoim w ogrodzie.

— Uratowany! — zawołał farmer tryumfująco.

Popatrzył on raz jeszcze po za siebie... przez zamknięte okiennice widać było w dwu oknach światło. Była to sypialnia jego żony.

— Tam ona jest razem z tym łotrem! — zgrzytnął on i zacisnął pięście. — Biada ci, jeżeli się z tobą jeszcze kiedy w życiu spotkam, kapitanie Harris.

Hassan złapał go za ramię i naglił do pośpiechu.

— Mam na końcu ogrodu dwa konie przygotowane — oświadczył on. Wyprowadziłem je tam tajemnie ze stajni. Żołnierze nic nie spostrzegli. Można było tym osłom bezpiecznie i dziesięć koni ukraść.

—Kiedy tak, to postaraj się jeszcze o dwa konie, aby obie dziewczęta módz uratować.

— To niemożliwe panie! — sprzeciwił się Murzyn. — Nie wolno nam więcej do domu wracać.

— Możemy je przez okno uratować. Okno pokoju ich wychodzi bowiem do ogrodu, a tu przecież nie ma straży.

— To prawda, panie! Byłyby one tu bezdne same stracone, lecz jakżesz się do nich dostać?

— Postaraj się tylko o drabinę, albo o mocny sznur.

Hassan znikł natychmiast w ciemności, a farmer zbliżył się cicho i ostrożnie do werandy, aby się przekonać, cy ten żołnierz na straży jeszcze tam śpi. Jeżeli on się obudzi, to oni by byli straceni, a bez pewnego szmeru przecież przy ratunku obu kobiet nie obejdzie się.

Wtem wrócił Murzyn z grubym sznurem, a gdy mu pan jego obawy swoje opowiedział, rzekł stanowczo i nieubłagalnie:

—Żołnierz, albo my! Ja go już uczynię nieszkodliwym.

To mówiąc wszedł on na werandę a w chwilę później usłyszał pan jego stamtąd stłumione i zdławione charkanie. Potem znów się wszystko uciszyło. Straszne dzieło Murzyna było dokonane, i zjawił on się niebawem znów w ogrodzie.

Farmer rzucił kamyk w okno. Niebawem ukazała się przy nim Józefa. Spostrzegła ona dwie ciemne postacie nie mogła ich jednak w ciemności nocnej poznać.

— To ja! — odezwał się farmer. — Czyście gotowe do ucieczki?

Odpowiedziała mu ona cichym okrzykiem radości a niebawem przystąpiła i Gertruda do okna.

Po długich usiłowaniach udało się wreszcie farmerowi rzucić sznur tak w górę, że go Józefa wreszcie złapała.

Przymocowała ona go do ram okna i zadecydowała, aby się Gertruda pierwsza po nim spuściła. Dziewczyna wzdrygnęła się wprawdzie na tę myśl, lecz widząc że to jest jedyna deska ratunku, zebrała się na odwagę.

Spuściła się więc szybko po sznurze, który Murzyn na dole wyprężył. Farmer złapał ją w swoje ramiona, i postawił ją na ziemi.

W ten sam sposób wydostała się i Józefa do ogrodu. Odważne przedsięwzięcie nadspodziewanie się udało.

A teraz precz stąd! — upominał fermer. — Nim się rozwidni, musimy już stąd być daleko!

— Ach, drogi przyjacielu! — zawołała Józefa błagalnie. — Czyż nie możnaby i mego brata uwolnić?

— Nie wiem czy się na to odważyć możemy! — odpowiedział farmer zamyślony. — Gdzie oni umieścili uwięzionych Burów, Hassanie? — zapytał on swego służącego.

— W wozowni panie! — odparł Murzyn —

nie można się tam jednak dostać, bo tam stoi podwójna straż i całe podwórze roi się od żołnierzy.

— Ależ ta wozownia ma z drugiej strony okno! — przypomniał sobie farmer. — Naprzód i spróbujmy, wytniemy stamtąd kratę i więzień całkiem poprostu przez okno wyjdzie!

To rzekłszy, odeszli oni stąd spiesznym kro kiem.

Hassan posuwał się już ostrożnie w stronę stajni. Paliła się tam latarnia i dwaj żołnierze spali przy koniach. Stajnia była tak duża, że mieściła około 30 koni, z których Murzyn już dwa osiodłane wykradł.

Teraz wziął Hassan jeszcze cztery sztuki i wyprowadził każdego wierzchowca osobno przez bramę. Pan jego brał je i osiodłał.

Brak nam jeszcze dwu koni Hassanie! — rzekł on, — mamy dopiero sześć wierzchowców a jest nas z owymi czteru Burami ośm osób!

Hassan znikł znów w stajni, lecz przedsięwzięcie jego było bardzo ryzykowne. Musiał te raz bowiem zajść dalej w głąb stajni i gdyby się żołnierze obudzili, to on by sobie z nimi nie mógł dać rady!

Przeczuwając to, pośpieszył farmer za wier nym sługą do stajni. Każdy z nich wziął jeszcze jednego konia i siodło i wysunał się cicho na dwór. Reszta koni zaczeła się niepokoić i rżeć.

Żołnierze jednak jeżeli się nawet obudzili nie przeczuwali nic złego, bo nie wstawali nawet ze swego siana.

Hassan zamknał drzwi za sobą i podparł je grubym belkiem tak, aby się od wnętrza otworzyć nie dały.

Potem wyjął z jednej stodoły topór i hamulec i wszyscy wraz z końmi udali się na drugą stronę wozowni, leżącej tuż obok stajni. W ścianie znajdowało się małe zakratowane okienko do którego się farmer, stanąwszy na plecach Hassana, wydrapał i zapukał.

Po chwili otworzono okienko, przez które wyjrzała obrośnięta twarz uwięzionego Bura.

— Cicho przyjacielu! — szepnął fermer — chcemy was uwolnić i mamy już na to dość koni. Zbudźcie waszych towarzyszy.

— Oni nie śpią! — odrzekł więzień· — Ale jeżeli się to wszystko nie zrobi bez szmeru, to straż z tamtej strony usłyszy i przybiegnie!

— Mniejsza o to! Trzeba zaryzykować! — odpowiedział farmer. — Jeżeli tam macie jakie narzędzia przy sobie, to pomóżcie mi wyłamać kratę!

Więzień odstąpił od okna, aby się porozumieć ze swoimi towarzyszami i poszukać za narzędziami.

Fermer nie czekał jednak na tę pomoc i wyłamał niebawem kratę. Potem wrzucił przez okno do wnętrza siekierę a sam dalej hamulcem nad powiększeniem otworu w ścianie pracował.

Przy oknie ukazał się teraz znów jeden z Burów i zaczął mu toporem pomagać.

Wreszcie otwór był już tak duży, że znajdujący się wewnątrz mężczyźni przezeń wydostać się mogli.

Wtem ukazał się przy oknie kapitan burski, brat Józefy, która z radością ku niemu pod skoczyła.

Szybko Aleksandrze — szepnęła ona.

Nagle ozwał się z wewnątrz okrzyk przestrachu. Brama wozowni otwarła się ze skrzypieniem, a w świetle altarki ukazały się mundury i zbroje Anglików.

Widocznie straż usłyszała stuk siekiery i domyśliła się, co się tu dzieje.

— Stać — zawołał ostry głos — precz od okna.

Więzień odskoczył na bok, a kapral z czterema żołnierzami zbliżył się do otworu, obsadził je z tej strony dwoma żołnierzami, drugim dwom kazał wskoczyć do środka.

Bramą weszło teraz jeszcze więcej żołnierzy zapędzili więźniów w jeden kąt i stanęli przed nimi z wyciągniętymi karabinami. Na podwórzu dał się słyszeć odgłos strzału.

Na dworze poznali wszyscy grożące im nie bezpieczeństwo.

— Precz — zawołał farmer — wszystko stracone! Ratujmy się my przynajmniej.

Pomógłszy Józefie i Gertrudzie wsiąść na konia, wskoczyli farmer z Hassanem na swe sio dła i popędzili galopem przez step. Murzyn złapał też zbędną czwórkę koni za cugle i pociągnął je za sobą, nie chcąc ich tu zostawić.

Za nimi padło kilka strzałów, lecz wszystkie chybiły. Jeszcze kilka minut i zbiegli znikli z przed oczu przerażonych żołnierzy.

Na farmie powstał ruch. Z domu wybiegł kapitan w negliżu i dowiedziawszy się o tem co się stało, zgrzytnął wściekle zębami.

— Niech dwudziestu żołnierzy wsiądzie na konia i popędzi za nimi — rozkazał on. — Musicie ich przywlec nazad żywych albo martwych.

W okamgnieniu osiodłano konie i kapral popędził z dwunastoma huzarami w pogoń za zbiegłymi. Zaczęła się straszna gonitwa.

Farmer podążył w stronę granicy gdzie się kończy obszar angielski, a zaczyna kraj wolnych i wojowniczych Kafrów. Jeżeliby im się miejsce to osiągnąć udało, to byliby uratowani,

Kafrów nie potrzebowali się bowiem obawiać, gdyż ci byli wrogo dla Anglików usposobieni i stali po stronie Burów. Stanęliby więc po stronie farmera i obu kobiet, tembardziej że stary Hassan do szczepu ich należał.

Murzył znał kraj ten tak dokładnie, że pamiętał każdą rzeczkę i każdy rów. Stał więc na czele pochodu i wskazywał drogę. Zbędną czwórkę koni huzarskich trzymał on na długiej linie, tak że za nim z tyłu wolno pędzić mogły.

Farmer przywiązał zaś cugle koni obu dziewcząt do swego siodła, aby ich w tyle nie zostawić, a Józefa i Gertruda musiały się trzymać grzywy swych koni, aby się w szalonym tym galopie na siodle utrzymać mogły.

Zaczęło już dnieć. Na niebie bladły gwiazdy i księżyc i ustępowały światłu dziennemu.

Tylko rżenie koni i tupot ich kopyt przerywało ciszę wokoło. Zdala z gór słychać też było ryk lwa, ale na szerokim stepie nic się jeszcze nie ruszało. Zbiegowie pędzili bez przerwy i tchu.

Po pewnym czasie oglądnął się farmer, nic jednak wokoło nie spostrzegł. Żadne żywe stworzenie nie przerywało monotonii krajobrazu.

Lecz... cóż to? W szarym zmroku okazały się jakieś czarne punkty na horyzoncie, które się poruszały, znikały i znowu się pojawiały.

To byli bez wątpienia ich prześladowcy.

Dalej i ciągle dalej szła tak dzika gonitwa. Był już jasny dzień i promienie słoneczne zalewały szeroki step. Huzarzy coraz bardziej się zbliżali i coraz szybciej galopowali, aby zbiegów z oczu nie stracić.

Gonili oni tak już ze dwie godziny, a jeszcze byli daleko od granicy. Farmer rzucił niespokojnym wzrokiem za siebie. Prześladowcy ich byli już tak blizko, że ich wyraźnie widzieć można było. Teraz szykowali oni karabiny i dawali ognia.

Wystrzały chybiały jednak i zbiegowie nasi coraz dalej pędzili, lecz konie ich zaczynały już czuć zmęczenie i zwalniały w biegu. Były widocznie mniej wytrwałe od wierzchowców prześladowców.

Niebawem padł koń farmera ugodzony kulą, zeskoczył on więc i siadł na jednego z rezerwowych koni i popędził dalej zdwojonym galopem.

Lecz przez zajście to zbliżyli się huzarzy bardziej jeszcze do naszych zbiegów i coraz gęstszy grad kul na nich ciskali.

Nagle padł koń i Józefy, a Gertruda krzyknęła przeraźliwie, widząc przyjaciółkę swoją spadającą.

Farmer myślał także w pierwszej chwili, że to Józefa sama zranioną została i zeskoczywszy z konia, ukląkł obok niej i obejrzał ją uważnie.

Chwała Bogu! — zawołał on uradowany. — Ona żyje i nie jest raniona. Zemdlała tylko ze strachu a nie było ją czasu teraz cucić. Dlatego podniósł on nieruchomą postać Józefy i podał Hassanowi, kóry ją do jednego z rezerwowych koni przywiązał. Potem popędzili znów wszyscy dalej.

Był to już najwyższy czas gdyż huzarzy tak blizko nich już byli, że każda chwila zwłoki zgubna dla nich być mogła. Słychać było już ich głosy. Wołali oni na zbiegów, aby się dobrowolnie poddali. Ci ostatni jednak pędzili teraz z wznowioną energią dalej, tak że przestrzeń między nimi a prześladowcami ich znów się zwiększać zaczynała.

Hassan jechał obok Józefy, trzymając cugle jej konia. Niespokojnym wzrokiem patrzał on na omdlałą dziewczynę i zawołał wreszcie:

— Stańmy tutaj, panie, i zacznijmy walkę z huzarami.

— Czyż to jeszcze tak daleko do stolicy?

Stary Murzyn podniósł się z siodła i popatrzył bacznie w stronę obrosłych krzakami pagórków Po za nimi była rzeczka Tulega, która stanowiła granicę między terytoryum angielskiem a ziemią Zulu-Kafrów. Lecz do rzeki tej była jeszcze daleka przestrzeń, i musiała ona też być przez częste deszcze okropnie wezbrana i rwąca.

—Próbujmy panie! —rzekł on w odpowiedzi. — Za tymi pagórkami jest rzeka Tulega. Czy nam się jednak uda ją przebrnąć, to jeszcze pytanie.

Pochylił się nad Józefą i objął ją. Znowu padł za nim wystrzał i świsnął mu nad głową. Hassan odwrócił się i zmierzył ponurym wzrokiem przestrzeń dzielącą go od huzarów, a potem spojrzał naprzód gdzie się pagórki coraz bardziej do siebie zbliżały.

— Może im przecie ujdziemy — rzekł on zaniepokojony — oni teraz coraz bardziej w tyle pozostają.

Rzeczywiście byli oni teraz o duży kawał na przedzie i w 10 minutach dojechali na sam szczyt pagórków i zobaczyli przed sobą stromy spad.

U podnóża wzgórz tych szumiała szeroka, wezbrana rzeka, z której fal sterczały tu i ówdzie kończaste skały. Pędziły one całemi stadami wrzeszczącego ptactwa wodnego.

Pełni rozczarowania i rozpaczy spojrzeli obaj mężczyźni po sobie.

— Byłoby to szaleństwem, rzucić się ze zmęczonymi końmi w bystre, rwące fale.

Stary Hassan wskazał w dal, w miejsce w którem rzeka zakreślała łuk.

— Tam możnaby przebrnąć — rzekł ponuro — gdyby ci przeklęci huzarzy nie byli tuż za nami.

Lecz oni zbliżali się tryumfująco do nich z podniesionemi szablami. Teraz nie mogła już być mowa o ucieczce.

— Trzeba się teraz będzie bronić, Hassanie, rzekł farmer stanowczo.

Zeskoczył on ze siodła i zdjął Józefę z konia. Hassan pomógł przy zsiadaniu Gertrudzie, która się na całem ciele strasznie trzęsła. Konie zaprowadzono za pagórek i przywiązano tam do krzaków.

Podczas gdy się Hassan w około tego krzątał, zaniósł farmer Józefę na bezpieczne miejsce i położył ją na miękką trawę.

Przyszedłszy do przytomności, zapytała Józefa słabym głosem:

— Czy tu jesteśmy bezpieczni?

Farmer pozostawił Gertrudzie odpowiedź na to pytanie, wsunął on jej rewolwer do ręki i rzekł:

— To na wszelki wypadek! Spodziewam się jednak że nie będzie potrzebny.

Potem wrócił do Hassana i schował się wraz z nim za pagórki tak, że byli schronieni, a przecież teren zbadać mogli.

Huzarze byli jeszcze zawsze może o 100 metrów od nich oddaleni. Jak gdyby odgadli zamiar zbiegów, zatrzymali się oni nagle.

Farmer z Hassanem oczekiwali spokojnie liczniejszego nieprzyjaciela i liczyli spokojnie na swoją zręczność i wprawę w strzelaniu.

Sokolim okiem śledzili oni ruchy huzarów, którzy się teraz uszykowali w dwa oddziały. Jeden zwrócił się na prawo, drugi na lewo.

— Aha! — zaśmiał się Hassan gniewnie— Chcą oni na nas z dwu stron odrazu uderzyć. Ja sobie już z jednym oddziałem dam radę, a pan z drugim, panie!

Dajmy się im tylko trochę zbliżyć —rzekł farmer spokojnym głosem.

Widząc huzarów może o 60 kroków przed sobą, wystrzelili obaj razem. Padło dwóch żołnierzy zabitych, reszta dała koniom ostrogi i przyśpieszyła tempo.

Po chwili padły znów dwa wystrzały i trafiły znów dwu żołnierzy, którzy zasunęli się nie żywi z konia. Teraz zatrzymała się gromada przerażona i bezpośrednio potem kule niewidzialnych wrogów powaliły znów dwu ludzi.

Zostało ich już tylko siedmiu —odezwał się farmer spokojnie — sądzę, że już będą dość mieli.

I rzeczywiście cofnęli się huzarzy w tej chwili i zaczęli się w pewnem oddaleniu naradzać.

Farmer pobiegł teraz do obu dziewcząt aby im donieść o pomyślnym rezultacie walki. Gdy wracał znów na swój posterunek, widział on huzarów zbliżających się do owego miejsca rzeki, którem oni na drugą stronę przejść chcieli.

— Przeczuwali oni widocznie nasze zamiary i chcą nam w drogę wejść —mruknął Hassan niechętnie.

— Nie pozostaje nam więc teraz nic innego jak ruszyć stąd wzdłuż rzeki — rzekł farmer.

Po chwili ruszyli oni w drogę. Huzarzy spostrzegli to i zaczęli się znów w kierunku ich zbliżać, aby ich z oczu nie stracić. Z obawy przed trafiającymi do celu ich kulami, trzymali się jednak w pewnem oddaleniu.

Położenie zbiegów było krytyczne. Gdziekolwiek się bowiem zwrócą nie są pewni, czy nie natkną po tej stronie rzeki na angielskie wojsko, w takim razie byliby straceni.

Jadąc powoli naradzali się co zrobić. Słońce wznosiło się coraz wyżej na horyzoncie i okropnie dopiekało. Konie strasznie były znużone, a obie kobiety ledwo się już na siodłach utrzymać mogły.

Stanęli oni więc w stosownem miejscu dla wypoczynku i zaszańcowali się między pagórkami. Gdy się huzarzy tylko trochę zbliżyli, obsypywali ich gradem kul.

Postanowili więc trzymać się zdaleka i znikli także w krzakach.

Stary Hassan zaopatrzył się w prowiant. Miał on mięso, chleb i kilka faszek wina, co było wcale niezłym posiłkiem.

Koni napojono w rzece i popasano na łące Trzeba się jednak było mieć na baczności, aby się huzarzy niespostrzeżenie w pobliże ich nie zakradli.

Z powodu tego stali więc farmer z Hassanem na przemian na straży, a gdy się po obiedzie trochę ochłodziło, zabrali się znowu w dalszą drogę.

Huzarzy podążyli w pewnem oddaleniu znowu za nimi i powtarzała się ta sama gra. Od czasu do czasu padł wystrzał z karabinów huzarów, ale kule ich nie trafiały.

— Jeżeli oni za nami aż do wieczora tak łazić będą, to ich wszystkich powystrzeamy— rzekł Hassan — bo inaczej nam spokoju w nocy nie dadzą.

— Spodziewam się, że dojdziemy wkrótce znowu do miejsca, w którem rzekę przebrnąć

będziemy mogli — odparł farmer — a wtedy pozbędziemy się tych drabów, bo oni do kraju Zulów, nie odważą się przejść.

Lecz wieczór nadchodził, a wędrowcy nasi nie mogli znaleźć drogi wyjścia. Rrzeka była tak wezbrana i rwiąca, że nie mogli się odważyć przepłynąć ją.

Huzarzy zawsze jeszcze postępowali za nimi i czekali tylko na sposobność rozpoczęcia walki.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy Hassan stanął nagle i wskazał w dal.

— Oto farma —rzekł.

Z pomiędzy drzew okazał się dach, a dym z komina był dowodem, że tam mieszkają ludzie.

Zbliżali się tam wahająco, nie wiedząc czy znajdą tam przyjaciół, czy nieprzyjaciół.

Z poza drzew sterczała jakaś żółta kopuła, która się zdawała poruszać.

Co to mogło być? Hassan myślał, że to może stodoła.

Husarzy również spostrzegli farmę i do niej się zbliżali. Po drodze strzelali oni na zbiegów. Ci dali również ognia i powalili znów jednego z nieprzyjaciół.

Nie wolno im było teraz zwlekać, lecz czemprędzej w jedną albo drugą stronę się dostać.

Czy znajdą w farmie opiekę i pomoc? Tak przynajmniej spodziewali się.

Gdy jednak do dworku dojechali, zobaczyli z przerażeniem angielskich żołnierzy.

Precz stąd, jak prędko tylko konie nas uniosą — zawołał farmer.

Farma pełna była wojska i armat, a na polu obozowała kawalerya.

Zbiegowie zdawali się być straceni. Za nimi pędzili huzarzy, a po lewej ich stronie leżała farma, jak gdyby załoga nieprzyjacielska.

Krzyk, hałas, odgłos wystrzałów... sygnał trąbą rozległ się po stepie i zaalarmował spokojnie obozującą kawaleryę.

Wtem zobaczyli oni nad sobą w powietrzu balon... ową kopułę, którą przedtem widzieli, i sprawy sobie z tego zdać nie mogli.

Był on napełniony i gotów do wzniesienia się w powietrze. Anglicy chcieli widocznie w ten sposób zrekognoskować pole, w balonie jednak nikogo jeszcze nie było.

Na widok balonu zatrzymał się farmer zdziwiony. Konie stawały z przestrachu dęba i nie chciały się z miejsca ruszyć.

W tem przyszła farmerowi zbawienna myśl.

— Ten balon to nasz ratunek— zawołał on — wsiadajmy prędko do niego.

W następnej chwili zbliżyli się do balonu, a stojący obok żołnierze rozpierzchli się ze strachu.

Farmer skoczył z siodła do godoli i wciągnął tam Józefę i Gertrudę.

Hassan zeskoczył zaś z konia i złapał za siekierę leżącą na ziemi.

— Daj tu — zawołał farmer. — I wskakuj prędko do nas.

Jednym skokiem skoczył Murzyn na siodło i podniósł rękę z toporem w górę.

Lecz w chwili gdy chciał wskoczyć na gondolę, padł z konia ugodzony wystrzałem w serce.

Sparaliżowany z przerażenia, wygapił się farmer na wiernego swego służącego i prawie że siekiery z rąk nie wypuścił.

Obie kobiety krzyknęły przeraźliwie . Ze wszech stron zbiegli się żołnierze i dali ognia do farmera.

— Nie strzelać —odezwał się rozkazujący głos — trzeba balon szanować.

Widząc niebezpieczeństwo przeciął farmer sznur siekierą i w tej chwili wzniósł się przywiązany dotychczas balon jak strzała w powietrze.

ROZDZIAŁ 75.

ZWALCZONY CHYTROŚCIĄ.

W tryumfie powieźli hrabia Sinobrody wraz z Piotrem, więźnia swego ku miastu. Małe saneczki przesuwały się z błyskawiczną szybkością po gładkiej drodze. Niebawem wjechali oni w samotny obszerny step i tak pan jak i służący otulili się ciaśniej w swoje futra, gdyż lodowo zimny wiatr nocny pędził po nieskończonej płaszczyźnie śnieżnej.

Uwięziony łotr owinięty był w koc i leżał na tylnem siedzeniu.

Mieli jeszcze wielki kawał do miasta, gdy się Ludwik pod wpływem zimna obudził ze swego oszołomienia. Uczuł on niezwłocznie, że ma spętane ręce i nogi i zoryentował się prędko co do swego położenia.

Opanowała go śmiertelna trwoga, jakże się z mocy Sinobrodego uratować?

Walerya przysięgła mu zemstę i trudno by ło spodziewać się od niej miłosierdzia. Skoro się tylko dostanie na zamek Wildenfels, to będzie stracony. Pomyślał on ze zgrozą o losie radcy... jemu to samo teraz groziło.

Zimny pot oblał ciało jego, rozpacz jego była bezgraniczna.

Czyż niema już dla niego ratunku? Gdyby

on tylko nie był tak spętany. Szamotał się i targał swoje kajdany, wytężył wszystkie swoje siły, lecz daremnie· Powróz wcisnął mu się tylko boleśniej w ciało i urągał jego rozpaczy.

Sanki mknęły prędko, a każda minuta zbliżała drżącego ze strachu oszusta ku jego zgubie. Za dwie, trzy godziny, będzie on na zamku Wildenfels, który dla niego był równoznacznikiem piekła.

Mimo trwogi był on jednak dość ostrożny, aby nie zdradzić się z tem że się obudził. Leżał on spokojnie i łamał sobie głowę nad jakiemś możliwem wyjściem. Może mu się przecież uda, uwolnić się ze swoich pętów. Czasu dość jeszcze było. Gdyby tak mógł wysunąć się niespostrzeżenie ze sanek, to miałby wygraną grę.

Hrabia Sinobrody i Piotr rozmawiali żywo nie zwracając uwagi na swego więźnia i nie przeczuwając, że on każde ich słowo wyraźnie słyszał.

Rozmowa ich ogromnie Hechta zajmowała. Wytężał on słuch, aby słyszał każde słowo, a równocześnie pracował nad zluźnieniem swoich kajdan.

— Co poczniemy z tym łotrem, panie hrabio — słyszał on pytającego się Piotra. — Najlepiej by było zrobić z nim to samo co ze starym.

— Słusznie, w morzu dość jest miejsca, a jest ono dyskretne — zaśmiał się Sinobrody — moja siostra dała mi zupełną swobodę działania· Jest jej to całkiem obojętne, w jaki sposób szanownego jej małżonka ze świata zgładzimy.

Ludwik Hecht zadrżał, słysząc ten wyrok śmierci. Trwoga jego się zwiększyła i mimowoli wyrwał się z ust jego cichy jęk.

W tem odwrócił się Piotr i zapytał podejrzliwie:

— Czy pan nic nie słyszał, panie hrabio?

— Nie, cóż się stało? — zapytał Sinobrody zdziwiony.

— Zdaje mi się, że się nasz ptaszek obudził.

— No to i cóż z tego? Uciec on nam przecież nie może, zobacz zresztą.

Piotr odwrócił się i uderzył więźnia batogiem.

— Odezwij się łotrze, czy żyjesz jeszcze, co — zapytał z drwinkami.

Ludwik Hecht nie odpowiadał i nie ruszał się, a uspokojony tem Piotr znów się od niego odwrócił.

— Musiało mi się coś przesłyszeć — rzekł on — leży jeszcze nieprzytomny.

Zaczęli więc dalej na głos plany swe układać, a Hecht musiał słyszeć wszystkie szczegóły tortur, które go czekają· Gorączkowa trwoga jego zwiększała się z każdą chwilą.

— Miałeś mi jeszcze powiedzieć coś się o starym hrabiu nowego dowiedział — zapytał Sinobrody nagle — czy on naprawdę jeszcze jest w tej okolicy?

n łwbyćprzyb

— Nie ma co wątpić panie — odparł Piotr. — Obserwowałem rybaka... wie pan, tego młodego chłopca, co staremu pomagał.

— Ten hultaj! — zgrzytnął Sinobrody. — Poprzysiągłem mu zemstę, i wykonam ją jeszcze kiedyś. Ale co dalej? — badał on ciekawie.

Rybak ten sprowadził mnie na ślad starego hrabiego.

-11-‾---lD lóf.šo— xc-ś...?

— Ha... czy naprawdę? — niecierpliwił się Sinobrody. Opowiedz mi wszystko dokładnie.

— Podsłuchałem rozmowę między owym rybakiem a jego ojcem. Dowiedziałem się tym sposobem, że stary hrabia mieszka tu niedaleko w tym starym, zapadłym młynie leśnym.

— Cóż to za młyn? I gdzie on leży?

— Wśród lasu. Jest to właściwie tartak w ruinach niezamieszkany już od wielu lat. Słyszałem że się młody rybak tam wybierał· Widocznie zaopatrza on starego hrabiego w wiktuały.

— Ale czy z rozmowy tej jasne było, że to właśnie stary hrabia w samotni tej mieszka? — przerwał mu Sinobrody z powątpiewaniem. Trudno mi w to uwierzyć. On mógłby przecież ze swoimi skarbami wszędzie w wielkim świecie żyć.

— No, głowy na to dać nie mogę! — odparł Piotr — Ale któż inny, jeśli nie hrabia, mógłby być tym pustelnikiem tam? Czuje on się pewno zupełnie bezpieczny w tych zapadłych ruinach, i zostaje w okolicy tej bezwątpienia na to, aby kiedyś przeciwko panu módz wystąpić.

— Możliwie i to, — mruknął Sinobrody niechętnie. — Musimy się przekonać czy przypuszczenia twoje są słuszne. Hrabia zabrał pewno skarby swoje ze sobą i jeżeli go znajdziemy to i pieniądze jego w ręce nam wpadną. Wtedy i ty dostaniesz należącą ci się nagrodę.

— Jutro wieczór pójdę tam i przekonam się, panie! — rzekł Piotr gorliwie.

I tę rozmowę podsłuchał Ludwik Hecht z zainteresowaniem

— Jeżeli ja się uwolnię i umknę, — pomyślał on, to ich w tem wyprzedzę· Z tego starego, zapadłego tartaku dadzą się miliony starego hrabiego łatwiej wykraść niż z tajemnej skarbnicy w zamku.

Saneczki posuwały się tak już z godzinę przez step a czas ten z korzyścią został przez

Ludwika Hechta użyty. Domacał on się bowiem na podłodze sanek ostrego gwoździa, i tak długo sznur krępujący ręce jego o gwóźdź ten ocierał, dopóki się nie zaczęły strzępić.

Kontynuował on tę robotę z ostrożnością i wytrwałością.

Hrabia Sinobrody rozmawiał dalej swobodnie z Piotrem, nie myśląc nawet o tem, że się więzień ich w tym czasie mógł obudzić, i nad uwolnieniem swem pracować.

Nagle uczuł łotr, jak się pęty jego zluźniają. Jeszcze chwilę... potem wytężył on wszystkie swe siły na jedno gwałtowne szarpnięcie, i ramiona jego były wolne.

Omal że nie krzyknął on na głos z radości, bo już teraz wcale nie wątpił że się od srogich swych wrogów potrafi wydostać. Obrócił on się cichutko na bok i wyjął scyzoryk z kieszeni. Ostrym nożykiem przeciął szybko pęta u swych nóg, potem podniósł ostrożnie głowę i oglądnął się w około.

W tej chwili przejeżdżały saneczki obok gospody "Pod pełnym dzbanem." Teraz albo nigdy — pomyślał oszust. — Jeżeli teraz ze sanek wyskoczy, to się w ruinach gospody łatwo ukryć potrafi, na pustym stepie zaś niemożliwem mu to będzie.

Bez wahania przystąpił on do wykonania swego zamiaru! Przekonawszy się szybkim wzrokiem, że Sinobrody i Piotr na niego nie zważają, wysunął on się z jednej strony tak ze sanek, że ręce jego dotykały się ziemi. Potem wywrócił koziołka, i znalazł się na gruncie na śniegu.

Leżał on tak tąk przez chwilę nieruchomje, z gwałtownie bijącem sercem. Jeżeli się na san kach niebawem spostrzegą, że go niema, to biada mu!

Wstrzymując oddech nasłuchiwał on przez chwilę. Lecz nic! Ani Sinobrody ani Piotr nie przeczuwali co się stało, i szybko dalej jechali. Nie słychać już nawet było dzwoneczków.

Teraz podniósł się Ludwik Hecht i widział jeszcze w wielkiem oddaleniu wprawdzie, miarowy ruch saneczek. Nie mógł się jednak jeszcze uważać za uratowanego, bo gdyby się który z nich teraz poza siebie, obejrzał to musiałby go na śniegu spostrzedz.

— Czemprędzej precz stąd, — pomyślał on, pełzając po śniegu na szworakach. Osiągnął on tak niebawem ruiny gospody "Pod pełnym dzbanem" i wstawszy z ziemi wyciągnął swe pół skostniałe członki.

Uratowanie to wydawało mu się samemu jak sen. Szał radosny go ogarnął. Widział on wprawdzie jeszcze z daleka saneczki, lecz te coraz bardziej znikały w oddali.

Z szyderczym uśmiechem podniósł on zaciśnięte pięście za oddalającymi się wrogami, którzy nie przeczuwali, jak podstępnie on ich podszedł.

Co za oczy oni zrobią gdy dojadą do zamku Wildenfels, i tam dopiero zobaczą że go nie ma? W jaką wściekłość wpadnie Walerya, gdy się dowie, że on uszedł jej zemście?

Myśli te sprawiały mu niewymownie złośliwą radość.

Teraz poczuje ona wraz z obu pomocnikami swojemi jego zemstę. Tak jest, zemści się on za podstęp i zdradę z którą go Walerya podeszła.

Zaśmiał on się tryumfująco na myśl, że i on ją przechytrzył. O, doniesie on jej, że ma prawdziwy akt ślubny jeszcze w swoim ręku, i że ona nic przebiegłością swoją nieuzyskała.

Namyślał on się jeszcze przez chwilę, czy przenocować w tych ruinach, czy wracać natychmiast do miasta i zdecydował się na to ostatnie, z obawy, że Sinobrody może wrócić i ruiny przeszukać. Nie był on tu pewny.

Ruszył więc niezwłocznie w tę drogę, która była bardzo uciążliwa, gdyż śnieg leżał bardzo wysoko. Pędził on jednak szybko na skrzydłach obawy, owiany ze wszech stron lodowym wiatrem nocnym.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem zbliżały się saneczki do swego celu. Zdala widać było już ponure mury zamku Wildenfels. U podnóża góry zatrzymał Piotr konie.

— Popatrz, czy ten hultaj jeszcze zawsze nieprzytomny! — rozkazał hrabia Sinobrody, biorąc cugle i batóg z rąk służącego. — To jest dziwne, że on nie daje znaku życia.

Piotr zeskoczył z kozła i przystąpił do miejsca w którym więzień był ulokowany. Koce leżały w porządku, lecz pod nimi nic się nie ruszało.

— On chyba zemdlał, albo już nie żyje!— rzekł on.

— Tem lepiej, — zaśmiał się Sinobrody. Będzie z nim łatwa sprawa.

Wtem krzyknął Piotr przerażony. Podniósł on bowiem koce, i wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w miejsce, gdzie leżeć miał więzień.

— Nie ma go! Uciekł — wyjęknął on bez tchu. — Do licha! Ten łotr uciekł nam, panie!

— Czyś oszalał? — zawołał Sinobrody z trwogą i niedowierzaniem.

Odwróciwszy się, przekonał on się jednak naocznie, że Ludwik Hecht znikł bez śladu.

Przez chwilę patrzeli oni na siebie w niemem przerażeniu. Potem zaczął Sinobrody strasznie kląć. Krzyczał on i beształ Piotra, który się w sprawie tej czuł tak niewinny, jak jego pan.

— Wracajmy! — radził służący. — On gdzieś po drodze musiał wyskoczyć, i zobaczymy go z pewnością gdzieś na stepie. Pieszo przecież tak prędko uciekać nie można.

Bez słowa odpowiedzi zawrócił Sinobrody i popędził galopem napowrót. Przeklinając dziko, smagał on konie batogiem. Sanki przemykały z błyskawiczną szybkością po utartej drodze i niebawem byli oni już obok gospody "Pod pełnym dzbanem."

— Tu go pewno znajdziemy! — zawołał Piotr. — Zatrzymajmy się tu.

Sinobrody żywił tę samą nadzieję i popędził ku ruinom. Na stepie nie było widać uciekiniera, musiał więc tu gdzieś być ukryty w tych gruzach.

Przeszukali oni każdy kącik, lecz daremnie. Piotr zeszedł nawet do piwnic, w których stary hrabia niegdyś przebywał.

— Gdzież ten hultaj być może, — zgrzytał Sinobrody rozpaczliwie. — Musi on przecież tu gdzieś być ukryty. Na śniegu widać ślady stóp... dowód, że tu przecież kto był.

— Był on tu pewnie przez czas jakiś i zabrał się w drogę ku miastu, — rzekł wreszcie Piotr.

— Jedźmy w takim razie dalej, — zadecydował Sinobrody. — Nie traćmy czasu, musimy tego szubrawca przyłapać, i biada mu wtedy!

— Dogonimy go z pewnością — odparł Piotr. — On przecież nie może być daleko.

Wskoczyli oni prędko na sanki, i popędzili dalej.

— Czy dopędzimy zbiega jeszcze na stepie? — myślał Sinobrody zaniepokojony. Bo jeżeli Ludwik Hecht już doszedł do miasta, to jest tam bezpieczny.

Konie ich tak były spocone i pianą okryte, że padały prawie ze znużenia. Lecz hrabia Sinobrody tak nielitościwie je biczował, że pędziły one jeszcze naprzód ostatkiem sił.

Zdala widać już było miasto i liczne światła. W tem podniósł się Piotr na siedzeniu i krzyknął wskazując na czarny punkt odbijający się od białego śniegu.

— Oto on, panie!

I hrabia Sinobrody już go był spostrzegł. Była to bezwątpienia postać ludzka. Popędził on konie jeszcze szybciej i w kilka minut musiał go dogonić.

ROZDZIAŁ 76.

ZDRADA A WIERNOŚĆ.

W miękkich poduszkach leżała Agata na szezlongu perskiego, oryentalnie urządzonego pokoju. Była ona już drugi dzień w domu należącym do przyjaciela starego derwisza.

Spokój i pielęgnacya, którą tu miała, podreperowały jej siły. Myślała ona o podróży i nie chciała się dłużej dać zatrzymać. W tej chwili oczekiwała ona wierną swą, służącą Delię. Prosiła ona bowiem derwisza, aby ją do niej posłał.

Niebawem uchyliła się portyera i zaglądnął derwisz.

— Delia przybyła, księżno! — zameldował on.

Agata podniosła się uradowana. W następnej chwili wbiegła Delia, i padła szlochając do nóg swej pani. Chwyciła ona ręce Agaty, i okrywała jej pocałunkami i łzami.

— Więc to prawda? Więc ty żyjesz! Zmartwychwstałaś, najdroższa pani moja! — wołała ona w zachwycie. — Ach, ja sobie wierzyć nie chciałam, gdy stary derwisz przyszedł i wszystko mi opowiedział.

Agata podniosła płaczącą służącą i objęła ją czule. Pocałowała ona ją w czoło, i zapytała:

— Czy ci też dobry derwisz o wszystkiem poinformował? Czy wiesz że ja chcę wracać do swej ojczyzny?

— Nie, pani moja! Tego on mi nie powiedział — jęknęła Delia zaambarasowana.— O, dlaczegoż ty nie chcesz tu zostać? Książę nosi grubą żałobę za tobą i będzie szczęśliwy gdy cię znów żywą zobaczy.

— On się nie śmie o tem dowiedzieć, — wtrąciła Agata żywo. — Nikt nie śmie przeczuwać prawdy, ja i nadal chcę uchodzić za umarłą. Gdyby książę wiedział że ja żyję nie puściłby mnie, i ja byłabym skazana żyć zawsze u jego boku, i nigdy więcej męża i dziecka swego nie zobaczyć. Czy ty pojmujesz teraz, Delio że ja sposobność tę wykorzystać muszę.

Delia patrzała przed siebie ponurym, osłupiałym wzrokiem. Milczała ona i tylko ciężkie westchnienia wyrywały się z jej piersi.

— Książę obiecał przecież że z tobą do kraju twego chce pojechać pani, — rzekła ona wreszcie wahająco. — Czyż nie dowierzasz jej obietnicy?

— Nie! — rzekła Agata stanowczo. — A zresztą gdyby nawet chciał dotrzymać cóżby mi z tego wyszło? Byłabym wtedy już przecież na wieki do księcia przykuta. On by mnie nie

wrócił mej wolności, i oświadczyłby w mojej ojczyźnie, że ja jestem jego żoną. Niech więc lepiej myśli, że ja nie żyję więcej, a ja opuszczę kraj jego i będę się starała dostać do jakiegoś portu. Tam wsiądę na jakiś okręt i wrócę do dalekiej swej ojczyzny. A ty, Delio, czyż chcesz przy mnie zostać, i losy me dzielić?

Popatrzyła ona badawczo w twarz dziewczyny. Delia wyglądała niezdecydowana, wahająca. W oczach jej malowała się bezradność, zaambarasowanie i żałoba.

Agata westchnęła cicho i żałośnie. Pogłaskała ona włosy Delii, i rzekła łagodnie:

— Wiem jakie węzły cię tu łączą. Jest to twoja ojczyzna, masz tu swego kochanka, i wiem, że byłoby to okrutnie z mej strony, gdybym cię od tego wszystkiego oderwać chciała, co ci jest drogie i święte. Możeby się Jussuf także zdecydował i ze mną poszedł? Nie chcę się jednak zmuszać, chciałam cię tylko o to jedno prosić, Delio: Pomóż mi do ucieczki, i nie opuszczaj mnie wpierw, nim nie przekroczę granicy tego kraju. Czy spełnisz mi to życzenie?

Delia padła znów do jej nóg i zawołała wzruszona zalewając się łzami:

— Jakżeż jabym cię kiedyś opuścić mogła, o pani moja! Odprowadzę cię nietylko do granicy, ale pójdę z tobą jak daleko zechcesz, i spodziewam się, że Jussuf tak samo myśli .

— Spytaj się twego kochanka, i odpowiedz mi dziś jeszcze, — rzekła Agata, obejmując wierną swą służącę wśród łez radości i wdzięczności. — Wiedziałam przecież że ty mnie nie opuścisz! Biedne dziecko! Czy to cię wielką walkę kosztowało?

— Nie, pani moja! Obawiam się tylko, że ty się ucieczką tą na wielkie niebezpieczeństwa narażasz, i dlatego zwlekam.

— Czyż myślisz, że nam się nie uda bez przeszkód kraj ten opuścić? — zapytała Agata zaniepokojona — Jeżeli moje zmartwychwstanie zostanie tajemnicą, to nie wiem coby nam na przeszkodzie stanąć mogło. Że zaś prócz ciebie nikt o tem nie wie, jak tylko derwisz i jego przyjaciel, to nie ma obawy, aby mnie ktoś zdradził.

— A jeżeli grobowiec otworzą? — wtrąciła Delia. — Słyszałam właśnie że to dziś ma nastąpić. Wtedy dowie się książę, że ty zniknęłaś stamtąd, pani, i może mu się uda, tu cię odszukać.

— Czyż naprawdę grobowiec dziś otworzą? Dlaczego? — zawołała Agata przerażona.

— Nie wiem dlaczego. Tak książę rozkazał.

— O, Boże! Musimy w takim razie zaraz stąd uciekać. Dziś wieczorem jeszcze, — krzyknęła Agata trwożnie. — Spiesz się, Delio, i staraj się pozyskać Jussufa dla mego planu. Przyjdź z nim tutaj, błagam cię jednak, bądź ostrożną! Ja tymczasem poczynię z dobrym derwiszem wszystkie przygotowania do naszej podróży.

Delia nie zwlekała dłużej. Zasłoniła ona twarz swą gęstym welonem, i zarzuciła cienki, czarny płaszcz na eleganckie, jedwabne swe szaty. Nie potrzebowała ona się więc obawiać, że ją na ulicy poznają. Pobiegła szykbo trotuarem i dostała się niespostrzeżenie do książęcego pałacu.

Odszukała ona tam zaraz swego kochanka, którego książę mianował z wdzięczności swoim przybocznym strzelcem, i kapitanem straży pałacowej, i znalazła go samego w przedpokoju książęcych komnat.

Popatrzył on zdziwiony na kochankę swą w tem dziwacznem zamaskowaniu, i poznał ją dopiero, gdy ona woalkę odsłoniła. Zdziwienie jego wzrosło bardziej jeszcze, gdy go Delia szeptem o wszystkiem poinformowała. Nie mógł on tego pojąć, że Agata jeszcze żyła, a wyratowanie jej ze strasznego grobowca, wydawało mu się cudem.

Po chwili opanował się jednak, i złapawszy rękę Delii, pociągnął ją za sobą.

— Dokąd? Co chcesz uczynić, Jussufie?— zapytała ona zmieszana.

— Do księcia, — odparł on stanowczo. — Nie rozumiem dlaczego księżna nie wróciła zaraz do pałacu, albo co najmniej nie uwiadomiła małżonka swego o wszystkiem. Teraz my to uczynimy. Chodź kochana! Książę nie będzie się posiadał z radości.

— Stój! Nie zdradzisz księciu ani słowa o tem, — rzekła Delia rezolutnie wstrzymując niecierpliwego swego kochanka. — Księżna sobie tego nie życzy. Nie chce ona nigdy więcej wrócić do pałacu.

Jussuf popatrzył na nią w niemem osłupieniu.

Delia oświadczyła mu szybko zamiar Agaty i zapytała poważnie:

— Czy zdecydowałbyś się, Jussufie, opuścić dla pani naszej ojczyznę, i przenieść się z nią i ze mną do jej kraju?

— Nigdy! — zawołał on oburzony. —Czyś oszalała Delio! Księżna musi tu zostać.

— Słyszysz przecież, że ona nie chce, — odparła Delia. — Ma ona też zupełną słuszność, gdyż zostawiła w domu męża i dziecko! Wiesz przecież, że ona została tylko zmuszoną zostać żoną księcia. Umiera ona z tęsknoty za swoimi ukochanymi.

Jussuf pokiwał ponuro głową. Popatrzył on badawczo na swoją kochankę, i mruknął zirytowany:

— A ty? Czyś ty całkiem zdecydowana pójść za nią? Chcesz dla niej mnie i ojczyzną swą opuścić?

— Sądzę, że to ty tak samo myślisz, i pani naszej nie opuścisz, Jussufie!

— A jeżeli ja nie chcę? Jeżeli ci powiem, że nie pochwalam twego postanowienia, i że uważam to za nierozsądne, abyś się z nią w daleki i obcy kraj przenosiła?

— W takim razie chwila ta na zawsze rozłączyć nas musi, — odrzekła dziewczyna drżącym głosem. — Ja nie opuszczę bowiem swej pani.

Młody indyanin cofnął się przerażony. Brązowa jego twarz pobladła, a oczy gniewnie zabłysły.

— Delio! Czyż ty panią swoją bardziej kochasz odemnie? — wykrztusił on namiętnie.— Masz tu do wyboru między mną a nią.

— O, Jussufie! — zaszlochała ona, załamując rozpaczliwie ręce. — Ja nie mogę inaczej. A ty... musisz przecież uznać, że my mamy oboje obowiązek odprowadzić naszą księżnę. Jej przecież oboje szczęście swe zawdzięczamy. Gdyby nie ona, nie żylibyśmy już dawno i padlibyśmy byli ofiarą mściwości księżnej Nurredin. Czy ona nas nie podniosła z nizkiego stanu? Czem jesteśmy, to tylko jej zawdzięczamy. Teraz zaś nie ma ona nikogo któryby jej chciał pomódz. Jakżesz ona przez pustynie i lasy sama wędrować będzie, jeżeli my jej nie wesprzemy i towarzyszyć nie będziemy?

— Niech ona tu zostanie... to jest najlepsza droga wyjścia.

— Nie mów tak bez serca — zawołała Delia z wyrzutem — gdyby ona jeszcze w domu nie miała dziecka i męża.

— Ja tam pojadę i dziecko jej tu przywiozę — zawołał Jussuf — książę pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Delia nie zgadzała się na tę propozycyę, a w twarzy jej przebijało się nieugięte postanowienie.

— Widzę, że ty się przekonać nie dasz — rzekła ona boleśnie— proszę cię więc przynajmniej o to, abyś księżnę wraz ze mną, aż do angielskiej granicy odprowadził. Jeżeli zobaczymy, że ona tam już bezpieczna, to pożegnamy się z nią i napowrót wrócimy. Obiecałam jej to, i nic mnie od tego obowiązku nie odwiedzie.

— Czyś ty jednak pomyślała, że tu chodzi o nasze życie — odparł on ponuro — książę udaje sie dziś do grobowca, bo zmienił swoje postanowienie i chce księżnę według wszelkich przepisów i ceremonii pochować. Odkryje on więc jej zniknięcie, a my Delio, mamy obowiązek panu naszemu prawdę powiedzieć.

— I ty chcesz księżnę zdradzić — oburzyła się Delia — jeżeli ty to uczynisz, to między nami wszystko zerwane.

Jussuf wyglądał jakoby we wnętrzu jego ciężka odbywała się walka, bo twarz jego kurczowo drgała. Delia dalej prosiła i perswadowała, dopóki on nie zmiękł i nie ustąpił.

— Dobrze, przemilczę więc — rzekł on trochę gorzko — książę bowiem prawdę się dowie i pani twoja daleko nie zajdzie.

Więcej nie mogła jednak Delia od kochanka swego osiągnąć.

Rozmowę ich przerwało wejście jakiegoś wojaka, który Jussufa do księcia zawołał. Kochająca para musiała się więc rozstać i Delia odeszła z ciężkiem sercem i pełna troski co do prowadzenia planowanej ucieczki. Żałowała ona już prawie że się z tem przed kochankiem swym zdradziła.

— A jeżeli on wszystko przed księciem zdradzi?

W największym pośpiechu wróciła się do Agaty i opowiedziała jej całą sprawę.

Agata była boleśnie rozczarowana, liczyła ona na Jussufa, a on okazał się niewiernym. Nie chciała ona już nawet, aby ją Delia odprowadzała, lecz ta obstawała przy swoim zamiarze.

Zatrzymamy się w najbliższej angielskiej miejscowości, a stamtąd ja uwiadomię Jussufa — rzekła Delia — jestem przekonana, że on za nami przybędzie.

Około wieczora wybrały się one w drogę. Agata obawiała się, aby się książę nie zjawił i ucieczki nie udaremnił.

Na razie dostała się ona pod opieką starego derwisza bez przeszkody do zajazdu cudzoziemskich kupców.

Zastali oni tu już ludzi i konie których najął przyjaciel derwisza, gotowe do odjazdu.

Było ich sześciu uzbrojonyych mężczyzn, niemających pojęcia, o tem, kto są owe dwie gęsto zawelonowane kobiety, które oni mieli odprowadzić do jednej z kolonii angielskiej, oddalonej stąd o trzy dni jazdy.

Na podwórzu bardzo było gwarno, gdyż przybyła właśnie karawana z dalekich krajów. Stała tu masa opakowanych słoniów, wielbłądów i koni, z których zdejmowano ciężary.

Kupcy z niewolnikami i służącymi bardzo byli zajęci. Z ulic przypatrywali się ciekawie gapie, i zaczynali oni z nowoprzybyłymi roz-

mowy. Był to bardzo urozmaicony i malowniczy obraz.

Agata cofnęła się z Delią pod kolumnadę, w czasie kiedy się derwisz umawiał z najętymi towarzyszami i przewodnikami podróży. Ci ostatni bardzo byli zdziwieni, że kobiety te, jeszcze dziś wieczorem w podróż chcą ruszyć. W tym bowiem kraju nikt nocą nie podróżował, gdyż drogi były bardzo niepewne.

Derwisz starał się rozprószyć obawy tych ludzi i nakłonił ich wreszcie do tego obietnicą wielkiego wynagrodzenia.

Agata przypatrywała się przygotowaniom z nerwowym niepokojem. Musieli się spieszyć, gdyż na noc wszystkie bramy miasta bywały zamykane.

W razie spóźnienia musieliby więc czekać do następnego poranka, a tymczasem mógł się książę o miejscu pobytu jej dowiedzieć i ją tu odszukać.

Delia była tego samego zdania. Nie liczyła ona tak bardzo na dyskrecyę swego kochanka.

—Ach, gdyby się szczęśliwie stąd wydostać — westchnęła Agata zaniepokojona.

Wtem ozwał się z zamku książęcego armatni wystrzał Był to znak, aby bramy miasta pozamykać i nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać.

Musiało się stać coś nadzwyczajnego, i wszyscy okazali przerażenie.

Agata i towarzyszka jej odgadły natychmiast powód tego alarmu, i stanęły bezradne truchlejąc ze strachu.

Po chwili wpadło kilku mężczyzn na podwórze i jeden z nich krzyknął :

Czy wiecie już co się stało? Księżna znikła z grobowca! — Mówią, że ona nie była umarłą. Podobno derwisz jakiś ją uratował i u siebie ją schował. Szukają za nią teraz. Książę obiecał królewską nagrodę temu, któryby mu ślad wskazał.

Wiadomość ta wywarła wielką sensacyę. Otoczono kołem przybyłych mężczyzn i zaczęto ich pytaniami obsypywać. Powstał okropny krzyk i zamięszanie.

Agata przysłuchiwała się temu w śmiertelnem przerażeniu. Jeżeli ją teraz poznają? Cofnęła się ona szybko głębiej w kolumnady. Delia to samo uczyniła. I derwisz drżał ze strachu.

— Zrezygnujcie ze swego zamiaru, księżno! nalegał on. — Teraz już więcej uciec nie możecie. Wróćcie więc lepiej dobrowolnie do pałacu.

Lecz Agata pozostała niewzruszona.

— Zaprowadźcie mnie napowrót w dom waszego przyjaciela, — błagała ona. — Tam pewna jestem przed odkryciem, i będę mogła jutro raniutko bezpiecznie stąd wyjechać.

Derwisz wahał się jeszcze. Trudno było opuścić niespostrzeżenie gospodę, gdyż nie było innego wyjścia jak tylko przez ludne podwórze.

Nagle zjawił się tu stary człowiek w kapłańskim stroju, przepchał się przez tłum aż do komnaty, i stanął oko w oko przed Agatą.

Był to przyjaciel derwisza do którego domu ona się była schroniła. Jego zmięszanie i irytacya nie zwiastowały nic dobrego. Wziął on najpierw derwisza na bok i szeptał z nim coś przez chwilę.

Potem zbliżył się do Agaty, i rzekł cichym głosem:

— Księżno, zdradzono was! Kapitan Jussuf zjawił się właśnie przed chwilą w moim domu z gwardyą pałacową i szukał za wami. Wykradłem się tylną furtką, aby was ostrzedz.

— O, mój Boże! Dokąd ja się teraz schronię — jęknęła Agata bezradnie.

—Macie jszcze jedną wolną drogę, księżno! — wtrącił się derwisz . — Proszę za mną! Zaprowadzę was na bezpieczne miejsce, gdzie was nikt szukać nie będzie.

Już było jednak zapóźno. Z ulicy wszedł na podwórze odział uzbrojonych żołnierzy z pochodniami w ręku.

— Ustąpcie się! —krzyknął silny głos — i zróbcie miejsce dla księcia.

— Ha! Jussuf sam gwardyę prowadzi, — krzyknęła Delia gniewnie. — O, zdrajca!

Książę zjawił się otoczony wspaniałym orszakiem. Zeskoczywszy z konia, pospieszył on szybko ku kolumnadzie. Wszyscy na podwórzu cofali się i w proch z uszanowaniem padali.

Oświetlone jasnym blaskiem pochodni, stała Agata z Delią między kolumnami. Widząc, że już niema dla niej ratunku, poddała się nieszczęśliwa kobieta z godnością swemu losowi Zrzuciła ona ciemny płaszcz i welon i wyszła z podniesioną głową jak obraz olśniewającej piękności i książęcego przepychu, w swych kosztownych szatach, lśniących się od złota i blasku drogich kamieni.

Zapanowała grobowa cisza. Wszystko patrzało jak gdyby oczarowane na wspaniałą, bajeczną postać cudownej kobiety.

Brązowe twarze wojaków wyrażały nieopisane zdziwienie.

Za Agatą klęczał derwisz i jego przyjaciel, trzęsąc się przed gniewem księcia.

Lecz książę zbliżył się do Agaty z błyszczącemi z radości oczyma. Ujął on czule jej ręce

kę a z ust jego wyrwały się te wyrzutu pełne słowa:

— Wiem wszystko. Jussuf wyspowiadał się przedemną w grobowcu. Więc ty naprawdę chciałaś odemnie uciekać i naprawdę mnie opuścić? O, dlaczego, kochana moja? Dlaczego?

— Bo umieram z tęsknoty za swoim krajem rodzinnym, za mężem i dzieckiem! — wybuchnęła ona gwałtownie. — Oddaj mi wolność! Uważałeś mnie już przecież za umarłą. Niech ci się więc i nadal zdaje, że ja dla ciebie stracona, — błagała ona rozdzierającym serce głosem. — Ja nie mogę żyć u twego boku.

Twarz jego spochmurniała i wyrażała gniew i zniechęcenie.

— Musisz! — krzyknął on szorstko. — Czyż nie jesteś moją żoną? Tylko śmierć może zerwać węzły, które nas łączą.

— Więc ja umrę! — jęknęła Agata rozpaczliwie. — Mam w Bogu nadzieję, że śmierć jest litościwa i uwolni mnie od moich tortur.

Księcia widocznie skargi jej głęboko wzruszyły W sercu jego walczyła litość z uczuciem i pożądaniem. Patrzał on przez chwilę milcząco w ziemię, potem rzekł z westchnieniem:

— Chcę spełnić twoje życzenie, miej tylko cierpliwości przez kilka tygodni. Pojadę wtedy z tobą do twojej ojczyzny, i pozwolę ci zobaczyć tam człowieka, którego byłaś żoną. Dostaniesz też swoje dziecki i nigdy więcej z niem się nie rozłączysz.

— Czy doprawdy to chcesz uczynić? — zapytała Agata z powątpiewaniem. — Chcesz mię sam do męża mego odprowadzić?

Książę schylił potakująco głową. Usta jego krasił dziwny uśmiech.

— Czy przypominasz sobie Agato, co mi będąc chorą poruczyłaś? — zapytał z naciskiem. — Spełniłem ostatnie twoje życzenie, wysłałem do męża twego list z obu pierścieniami i doniosłem mu, żeś ty umarła!

— Wielki Boże! — krzyknęła Agata przerażona. — Jakże musiał on się zmartwić! — Po chwili jednak dodała:

— Tem większą będzie radość, gdy się pewngo dnia żywa przed nim zjawię.

— Może i nie! — rzekł książę znów z naciskiem. — Może mąż twój dawno zapomniał i inną na miejsce twoje wybrał Nie odpowiedział on na twój list. Jest to dowodem, że miłość jego dla ciebie ochłodła.

— Wszechmocny Boże; — wyrwało się z jej ust i wpadła je na myśl Walerya. Może się tej syrenie udało tymczasem oplątać serce jej męża Może on o niej zapomniał i w ramionach owego demona szuka pocieszenia?

— Nie, nie! — krzyknęła ona boleśnie, broniąc się przed owymi podszeptami swej duszy. On mnie nigdy nie zapomni, i wierności mi nie złamie!.

— Przekonasz się sama — odparł książę, pewien swego. — Jeżeli jednak zastaniesz małżonka swego ożenionego z inną, czy wrócisz wtedy ze mną do mego kraju?

— Tak jest! — zawołała ona bez namysłu. — Jeżeli znajdę inną jaką na swojem miejscu, to wrócę i zostanę twoją żoną, i będę do ciebie należeć.

Książę skinął głową z zadowolenia. Odwrócił on się i skinął na swój orszak, stojący w pewnem oddaleniu. Przyniesiono lektykę do której wsiadła Agata z Delią.

Wkrótce znalazła się ona znów w swoich komnatach w pałacu księcia. Ucieczka jej się nie udała, wierzyła ona jednak solennemu przyrzeczeniu księcia, i cieszyła się nadzieją rychłego powrotu do ojczyzny.

A jednak ... nie mogła ona się oprzeć pewnej obawie... Walerya... imię to mające piekielny dźwięk dla niej, niewymownie ją straszyło.

A jeżeli przypuszczenia są słuszne? Jeżeli hrabia Edmund, który ją miał za umarłą, ożenił się tymczasem z Waleryą?

Sama myśl przyprawiała ją o okropną roz pacz i piekącą zazdrość.

— O, Boże! Tylko to nie! — szeptała ona wśród łez. Gdyby już być w ojczyźnie. O, ja tego demona zdemaskuję i uratuję męża swego od tego fałszywego węża. Stanę jak bogini zemsty przed nią, i zniszczę ją swojem oskarżeniem. Drżyj, Waleryo! przed chwilą zobaczenia się ze mną!

ROZDZIAŁ 77.

ZAMACH MORDERCZY.

Gdy włóczęga Fryc uciekł z hotelu, myślał tylko o tem, aby siebie samego uratować. Myślał on, że ci dwaj mężczyźni, których Walerya zawołała, byli prawdziwi policyanci, i widział już w duchu otwarte znów przed sobą drzwi kryminału.

Biegł on więc jak szalony ulicą, i zatrzymał się dopiero, gdy już do tchu przyjść nie mógł.

Dziwne mu to było, że nikt za nim nie gonił, i był jednak naturalnie bardzo zadowolony. Los Ludwika Hechta był mu obojętny. Za-

tował on tylko, że nie miał w kieszeni tych pięć dziesięciu tysięcy, które Walerya za sfaszowany akt ślubny zapłaciła.

Gdy pierwsza trwoga przeszła, pomyślał on zaraz o tem, aby przeszukać pomieszkanie Ludwika Hechta. Zostawił on tam pewno niejedno wartościowe, trudno jednak było teraz się tam odważyć, gdyż policya bezwątpienia rewizyę tam urządzić zechce.

Mimowoli przeszedł on jednak w kierunku mieszkania swego przyjaciela, i stanął naprzeciw domu. Nic podejrzanego tam widać nie było, a przecież policya w takich wypadkach dość prędko zwykle wkracza. Było to dlań zagadkowe.

— Czy się odważyć? Nie, potrzeba, być ostrożnym! Może tam w mieszkaniu towarzysza jego siedzi już kilku urzędników policyjnych i czyha na niego.

Wcisnął się więc w ciemną niszę sieni i czekał cierpliwie.

Wreszcie odzyskał znów odwagę i widząc, że wszystko wokoło spokojne, przystąpił on do portyera i zapytał, czy przyjaciel jego w domu. Usłyszawszy, że go niema zaczął on go dalej badać, czy tu nikt nie był i za Hechtem się nie pytał.

I na to portyer dał odmowną odpowiedź.

—Pójdę więc na górę, i będę tam przyjaciela swego oczekiwał, — rzekł Fryc, i wsunąwszy portyerowi napiwęk, wszedł na schody.

Po chwili znajdował się w pokoju swego przyjaciela. Zaświecił lampę... serce gwałtownie ze strachu mu biło... i przekonawszy się, że tu nikogo niema zamknął drzwi na klucz.

— Bogu dzięki! — mruknął on. Bodajby tej policyi nigdy na świecie nie było! Człowiek przez nich ani chwili spokoju nie ma. Zobaczymy jednak czy dobry Ludwik czegoś ze swo ich skarbów tu nie zostawił. Jeżeli ich nie zabiorę to je policya zagarnie.

Mówiąc to, przyglądał on się okiem znawcy wszystkim meblom i wziął wreszcie kufer Ludwika do ręki. Nie było przy nim wprawdzie klucza, ale to dla Fryca nie była przeszkodą.

Wyjął on z kieszeni kilka kluczy dziwnego kształtu i wytrych i wkrótce kufer otworzył.

Było tam trochę bielizny, różne fałszywe brody, peruki i tym podobne rzeczy, służące Hechtowi do charakteryzowania się.

Przedmioty te miały i dla Fryca wielką wartość. Szukał on jeszcze dalej i znalazł duży portfel z papierami, między którymi był także prawdziwy akt ślubny Hechta i Waleryi.

— To jest dla mnie nieocenione, — uśmiechnął on się. Z tego dużo pieniędzy się da zrobić. Zaofiaruję go zaraz baronowej Waleryi do wykupienia.

Nie znalazł on gotówki, był mimoto jednak z rezulatatu poszukiwań swych bardzo zadowolony. Chciał właściwie zamknąć kufer i uciekać, gdy drgnął przestraszony.

Na kurytarzu dały się słyszeć kroki a po chwili ktoś ręką klamkę drzwi poruszał. Staremu zbrodniarzowi włosy na głowie ze strachu stanęły. Było on pewien, że to policya.

Na myśl tę kolana się pod nim uginać zaczęły. Trupio blady, zaczął on się naokoło oglądać, czy nie znjadzie jakiego ukrycia lub wyjścia. Lecz pokój ten nie miał drugiego wychodu. Drzwi do drugiego pokoju były zamknięte i szafą zastawione.

Teraz zatrząsł ktoś gwałtownie drzwiami i zaklął:

— Do dyabła ! Któż tam jest w pokoju?

Na dźwięk tego głosu zadrżał Fryc jakby zelektryzowany i jednym susem zbliżył się do drzwi i otworzył je.

Na progu stanął Ludwik Hecht.

Obaj towarzysze wygapili się na siebie zdziwieni Fryc szczególnie, zrobił twarz, jakgdyby się duch przed nim zjawił.

Ludwik padł zmęczony na krzesło i starał się odsapać i przyjść do odechu. Z czoła spływał mu kroplisty pot. Był on tak mokry, jak gdyby z wody był przed chwilą wyszedł.

Nagłe zjawienie się jego tak dla Fryca było niepojęte, że mu do słowa przyjść nie dało.

Ludwik Hecht także nic nie mówił. Oczy jego ogarnęły tylko żywo pokój i spoczęły na otwartym kufrze.

Frycowi zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

— Chciałem ci tylko ten dokument wyratować, aby go policya w ręce nie dostała — zabełkotał on na swoje uniewinnienie.

Gdy jednak Ludwik nie odpowiadał tylko się szyderczo uśmiechnął, zapytał on:

Skąd ty się jednak tu wziąłeś, człowieku? Jakim sposobem wyrwałeś się z rąk policy?

Ludwik zaczął widocznie przychodzić do sił· Wstał on z krzesła i zaśmiał się ochrypliwie.

— Piękna policya! — zawołał on gniewnie — Był to hrabia Sinobrody i służący jego, Piotr Ty zaś tchórzu i ośle, opuściłeś mnie nikczemnie, i pobiegłeś tu, aby mnie okraść. Ładny z ciebie sprzymierzeniec. Dziękuję za takiego wspólnika.

To rzekłszy, poszedł on do kufra i zamknął go.

Fryc był okropnie zaambarasowany. Potrząsnął on głową i mruczał coś niezrozumiale pod nosem.

Ludwik Hecht nie zwracał jednak na to uwagi i narzekał:

— Wszystko stracone!... Pieniądze dyabli wzięli. A wszystkiemu temu tylko ty jesteś winien, obrzydły tchórzu! Gdybyś nie był uciekał jak zając, to inaczej by się ta historya była ułożyła. Straciłeś w ten sposób i swoich dziesięć tysięcy. Zwaryować można, do dyabła!

— Co? Czy nie masz tych pięćdziesięciu tysięcy marek? — wybuchnął Fryc przerażony.

....—Słyszysz przecież, że nie! —krzyknął Ludwik gniewnie. Odebrali mi je natychmiast, i omal, że mi się coś gorszego jeszcze nie stało.

Fryc załamał ręce w rozpaczy·

— Opowiedz, jak się to stało, — westchnął on. — Czy oni cię chcieli zamordować

— Pewno! — ofuknął się szubrawiec. Zaczął on się rozbierać aby zmienić na świeże zwilżone ubranie, opowiadając przytem krótko, co się stało.

Fryc przysłuchiwał mu się w niemem przerażeniu. Dreszcze wstrząsały ciałem jego, gdy mu Ludwik wytłómaczył, jaki los oni mu zgotować chcieli.

— Pokrzyżowałem im jednak szyki — zaśmiał się Ludwik ze złośliwą radością. — Teraz się moja dumna Walerya będzie trzęsła ze strachu, i przysięgam, że będzie miała powód —— zgrzytnął on. — Bo ja się zemszczę... strasznie się zemszczę na niej i na bracie jej Sinobrodym. Do kryminału oboje ich wsadzę.

— Ale jakim sposobem tyś się uratował? — zapytał Fryc zaciekawiony. — Czyś uciekł z zamku Wildenfels?

— Głupcze! — irytował się Ludwik. — Gdybym już raz był w tej zbójczej jaskini, tobym był przepadł. Nie, ja się po drodze z sanek wysunąłem. Było to właśnie koło gospody "Pod pełnym dzbanem" gdym zemknął i do miasta się napowrót dostałem.

—A oni obaj tego nie spostrzegli? — dziwił się Fryc.

— Broń Boże! — śmiał się Ludwik. Jechali oni spokojnie dalej. Po czasie spostrzegli się jednak, i wrócili aby za mną gonić.

— Do stokroć dyabłów! No, i...

Niedaleko od miasta zobaczyłem nagle sanki za sobą, i możesz sobie pomyśleć, jaki strach mnie ogarnął· Biegłem, jak jeszcze nigdy w życiu lecz konie szybsze mają nogi. Coraz bardziej zbliżały się sanki, i za kilka sekund już przy mnie być musiały. A wokoło mnie ani żywej duszy, którąby mi pomódz mogła. Mówię ci, Fryc, że zębami ze strachu dzwoniłem.

— Łatwo pomyśleć — wtrącił Fryc. Ale przecież cię nie przyłapali.

— Nie! Biegłem w poprzek pola, aby osiągnąć najbliższe domy. Wtem uczułem, jak mi się ziemia pod nogami ustępuje. Wpadłem w jakąś głęboką jamę, a lawina śniegu zasypała mnie tak, że obawiałem się, abym się nie zadusił. Miałem jednak jeszcze tyle przytomności umysłu aby się cicho zachowywać, mimo, że byłem do połowy ciała w wodzie. Słyszałem przejeżdżające całkiem blizko mnie sanie. Słyszałem jak za mna szukali i przeklinali, i pojąć nie mogli, jak ja im przed oczyma bez śladu zniknąć mogłem·

— I odjechali, co?

— No, trwało to jeszcze jakiś czas. Czasami byli oni już tak blizko mnie, że myślałem, że mnie muszą odkryć. Wreszcie odjechali oni przecież i to do miasta, bo konie pewno były zmęczone, że o powrocie do zamku Wildenfels na razie mowa być nie mogła. Wtedy i ja wygramoliłem się ze swej dziury i tu szczęśliwie dotarłem.

Temi słowy zakończył Ludwik Hecht swoje opowiadanie. Fryc udawał okropne współczucie, tak że Ludwik zapomniał o żalu, jaki miał do swego towarzysza i na razie zapanowała znów między obu łotrami zgoda.

— Co do zemsty, to jabym się namyślił — perswadował mu Fryc. — Co ci z tego, jak wpakujesz żonę swą i Sinobrodego do kryminału? Nic! W przeciwnym razie zaś możesz im różnymi sposobami dokuczać, a przytem pieniądze u nich wyduszać.

Masz zupełną słuszność, stary przyjacielu — potwierdził Ludwik — jeżeli oni teraz według mojej muzyki tańczyć nie będą, to ja im pokażę, kto ja jestem. Lecz słuchaj, czy ja ci już opowiadałem o starym hrabiu?

— O prawdziwym hrabiu Wildenfels? Naturalnie powiedziałeś, że on żyje gdzieś ukryty w zamku Wildenfels.

— Teraz już nie. Wypróżnił on swoją skarbnicę i zabrał się stamtąd· Słuchaj jednak teraz, Fryc. Ja wiem, gdzie się hrabia teraz wraz z milionami swoimi znajduje. Pójdziemy tam we dwójkę i zrabujemy jego skarby.

Fryc wpadł w zachwyt i drżał z chciwości na samą myśl podobnej zdobyczy. Z otwartą gębą przysłuchiwał się on opowiadaniu swego towarzysza.

Wybierzemy się zaraz jutro do tych ruin w lesie — zadecydował Ludwik Hecht — odnajdziemy je już, a gdyby nam stary hrabia wielki opór stawiał, to jest nas dwóch, damy sobie

z nim radę. Gdy potem hrabia Sinobrody po skarb przyjedzie, to zobaczy, że już zapóźno.

Nazajutrz rano wynajęli obaj towarzysze sanki i pojechali do sąsiedniej wsi, gdzie ów murarz mieszkał.

Dowiadywali się tam ostrożnie o drogę do tartaku leśnego i węglarz jakiś opisał im mniej więcej drogę.

Idąc za jego wskazówkami, wybrali oni się nareszcie w las.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Walerya była okropnie rozczarowana wieściami które posłaniec z Wildenfels przywiózł. Oczekiwała na odpowiedź brata a natomiast dowiedziała się, że go jeszcze w zamku niema.

Musiał więc zostać z uwięzionym Hechtem przez noc w mieście, co z jego strony bardzo nieostrożnie było. Inaczej nie umiała ona sobie tego wytłómaczyć.

Nazajutrz rano chciała ona sama na zamek Wildenfels pojechać, aby się z hrabią Sinobrodym rozmówić. Obawa o list nie dawała jej spokoju. Nim jednak sanki jej dojechały do gościńca, gdzie się droga do zamku Wildenfels odgałęzia, spostrzegła od strony miasta jadącego szybkim galopem konnego jeźdźca.

Był to hrabia Sinobrody.

Uradowana kazała Walerya konie zatrzymać, i zawołała:

— Jak to się dobrze składa! A ja właśnie jechałam do ciebie na zamek Wildenfels. Czy byłeś dotychczas w mieście?

— Tak jest! Jechałem właśnie teraz do ciebie aby cię uwiadomić, że ten hultaj nam znikł — rzekł hrabia Sinobrody gniewnie.

Walerya wypatrzyła się na niego w bezgranicznem zdumieniu.

— Czy mówisz o Hechcie? — zapytała ona zirytowana.

—Naturalnie! Wysunął on się nam w drodze do zamku Wildenfels. Zapóźno zbaczyliśmy że on znikł. Goniliśmy za nim, ale bezskutecznie.

Walerya wpadła w szalony gniew. Robiła ona bratu swemu gorzkie wyrzuty, lecz co się stało, odstać się nie mogło.

— Cóż się wielkiego stało, że nam ten łotr uciekł — rzekł lekceważąco. — Masz przecież akt ślubny w ręku i odebraliśmy mu jeszcze do tego pieniądze, a to jest najważniejsze! Nie odważy on się coś przeciwko nam przedsięwziąć.

Walerya uspokoiła się co do tego, i pomyślawszy o większem, grożącem jej teraz niebezpieczeństwie, opowiedziała bratu swemu, że jej ktoś list Agaty ukradł.

— To tylko detektyw, albo Ludwik Hecht mógł uczynić. — syknęła ona: — Szał mnie ogarnia na samą myśl, co za zgubne skutki dla mnie mieć może!

Teraz przyszła na Sinobrodego kolej robienia wyrzutów.

Dlaczegoś listu tego zaraz nie zniszczyła, tak jak radziłem, — rzekł on. — Jestem przekonany, że to detektyw list ten zabrać musiał, i kto wie, czy go ministrowi nie doręczy.

— Do tego nie śmie przyjść! — krzyknęła ona przeraźliwie. — Pomóż mi Robercie. Uradźmy coś wspólnie.

— Wracajmy więc do miasta, bo tam tylko coś przedsięwziąć możemy! — rzekł on.

— Czy Piotr jeszcze tam jest?

— Tak jest! Kazałem mu się za Hechtem oglądać i szukać.

— Dobrze! Będzie on nam potrzebny! — skinęła Walerya.

Kazała ona woźnicy swemu zawrócić ku miastu, a Sinobrody konno za nią popędził.

W hotelu mieli oni długą i poważną naradę. Piotra przy tem nie było, gdyż kręcił on się po mieście, w nadziei odkrycia śladu Ldwika Hechta.

Sinobrody doniósł Waleryi też, że przyszedł na trop starego hrabiego, lecz ona tak była roztargniona, że ledwo uwagę na to zwróciła.

— Hrabia ci nie ucieknie. Możesz go zawsze jeszcze odszukać — odparła ona niechętnie. Chodzi teraz o ważniejsze kwestye, żywotne kwestye dla mnie. Ja musze list ten napowrót w ręce swoje dostać. Trzeba się też o to postarać, aby detektyw ministra o tem nie mógł poinformować.

— Słusznie! Ale jakże się do tego zabrać?

—Trzeba się zdobyć na odważny krok, kochany Robercie! — rzekła ona stanowczo. — Nie wolno nam się teraz przed niczem wzdrygnąć. Mam już plan, tylko że go sama wykonać nie mogę. Ty, albo Piotr to uczynić musicie!

— Hm! Piotr by się do tego nadał. Powiedz jednak, co to ma być.

— Piotr musiałby się udać w należytem przebraniu do hotelu, i znaleźć pod dobrą wymówką przystęp do chorego detektywa. Jeżeli by mu się udało, to sprawa nasza wygrana. Piotr mógłby bowiem w stosownej chwili odebrać detektywowi list, i uczynić go w ten sposób nieszkodliwym.

— To strasznie ryzykowny plan, kochana Waleryo — odparł Sinobrody wahająco. Jest

to bardzo wątpliwe, czy uda się, a jeżeli Piotra przy tem przyłapią, to sprawa ta dla nas bardzo złe skutki mieć może. W takim razie wszystko na jaw wyjdzie.

— Czyż my mamy jaki inny wybór? Jaką inną drogę do wyjścia? — niecierpliwiła się Walerya. — Czyż mamy bezczynnie czekać do póki na ratunek zapóźno nie będzie?

Sinobrody musiał uznać, że trzeba coś koniecznie zrobić, a gdy się Piotr nawinął, wtajemniczono go w plan. Przychodziło mu to zupełnie na rękę, gdyż wrzał on chęcią zemsty ku detektywowi, i dlatego misyę tę chętnie objął.

— Zabiorę się natychmiast do tego! — oświadczył on cynicznie.

— Ja zaś idę teraz do ministra — rzekła Walerya. — Około północy będę z powrotem, i spodziewam się, że wszystko dobrze pójdzie.

Odjechała ona dorożką do pałacu hrabiego Edmunda, podczas gdy Piotr czynił przygotowania do swojej wyprawy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Wieczorem tego samego dnia, siedziała Marta, wychowawczyni małego Waltera przy łożu chorego detektywa, Wintera Objęła ona jego pielęgnacyę w miejsce Katynki, która tak już była osłabiona, że ją ojciec omdlałą z pokoju chorego wyniósł.

Marta była obecnie sama przy chorym, którego stan dotychczas się nie polepszył. Spał on na razie, a dozorczyni zajęta była robotą ręczną.

W sąsiednim pokoju spała Katynka. Ojca jej nie było w domu. Wyszedł on po obiedzie na miasto, aby odwiedzić ludzi, u których Katynka najpierw znalazła przytułek.

Marta oczekiwała jeszcze doktora Kloca, który będąc po obiedzie, obiecywał, że jeszcze wieczorem do chorego zajrzy.

Nagle zapukano do drzwi, a Marta otworzyła, myśląc, że to doktór.

Na progu stanął jednak obcy, elegancko ubrany mężczyzna. Twarz jego była obrosła gęstą brodą i okropnie wstrętna. Zdjąwszy z grzecznym ukłonem cylinder, rzekł on słodkim głosem:

— Przepraszam panienkę. Jestem doktór Wuenschman i przychodzę ze zlecenia kolegi mego, Kloca, który dziś niestety sam do chorego przyjść nie może.

Marta popatrzyła na niego ze zdziwieniem i nieufnością.

Ten doktór Wuenschman nie podobał jej się. Jego głos i całe znalezienie sie miało coś, co ją niepokoiło. Musiała go jednak wpuścić.

— Czy panienka sama czuwa przy chorym? — zapytał on, oglądając się badawczo po pokoju.

— Tak jest, panie doktorze! — rzekła Marta krótko. — Dlaczego doktór Kloc dziś sam przyjść nie może? Obiecał przecież, że jeszcze sam zajrzy.

— Został nagle odwołany do pacyenta w okolicę, i prosił mnie, abym go tu zastąpił.

To mówiąc przystąpił on do łoża chorego i pochyliwszy się nad nim jak tygrys nad swoją zdobyczą, przypatyrwał mu się dziko błyszczącemi oczyma. Gdyby Marta wyraz twarzy jego widziała, byłaby się przeraziła.

— Teraz jesteś w mojej moc, — szepnął on niedosłyszalnie.

Marta słów tych nie słyszała. Stała ona pełna oczekiwania za nim, a gdy się odwrócił, miał na twarzy ten sam uprzejmy i dobrotliwy uśmiech jak u wejścia.

— Wszystko w najlepszym porządku, moja panienko — rzekł on zadowolony. — Pacyent wcale niema gorączki. Trzeba mu tylko dać na wzmocnienie lekarstwo, które przyniosłem od doktora Kloca Proszę mi podać szklankę wody.

Wyciągnął on z kieszeni dwie flaszeczki. Jedną większą z przeźroczystym płynem i drugą mniejszą z czerwonawą substancyą.

Marta usłuchała bez wahania. Postawiła ona szklankę wody na stole, i zapytała:

— Czy mogę prócz teg jeszcze coś zrobić.

— Nie, dziękuję — była odpowiedź domniemanego doktora.

Wziął on większą flaszeczkę do ręki, potrząsł ją, i popatrzył do światła.

Marta stała tuż przy nim i przypatrywała mu się. Nagle odwrócił on się ku niej i uderzył jej płynem tym w twarz. Z ust jej wyrwał się stłumiony okrzy. W pokoju rozszedł się ostry oszołomiający zapach.

Marta zaczęła tracić przytomność. Jakby przez gęsty welon widziała ona jeszcze szatańsko uśmiechniętą twarz obcego.

Trzymał on jej flaszeczkę pod nosem, a prawą ręką dusił jej gardło. Daremnie szamotała ona się z nim ostatkiem sił. W uszach szumiało jej, a na mózgu czuła ołowiano ciężki nacisk. Potem zdawało się jej, że się wznosi w górę aż do obłoków, ciągnięta tam niewidzialną jakąś ręką.

Jeszcze jeden kruczowy ruch, potem opadły jej ręce. Padła ona jakby martwa, ze śmiertelnie bladą twarzą.

— Tak — zaśmiał się obcy tryumfująco. —

Jesteś nieszkodliwą· A teraz prędko do dzieła,

Umoczył on dla bezpieczeństwa chustkę w chloroformie i owiązał nią usta nieprzytomnej dziewczyny. Potem położył ją na kanapę i otworzył okno, aby wpuścić trochę świeżego powietrza, bo i jego zaczął zapach ten już oszałamiać.

— Dotychczas wszystko świetnie idzie — mruknął on i odkorkował drugą flaszeczkę. — Gerharda niema w domu, a pięknej Katynki pewno także niema. Albo... czyż miałaby ona być tu obok?

Przystąpił on podejrzliwie ku drzwiom i nadsłuchiwał przez chwilę, potem odchylił je ostrożnie i zaglądnął.

Pokój oświetlony był blaskiem różowej ampułki. W głębi stało łóżko, którego firanki nie całkiem były zaciągnięte. Głowa Katynki spoczywała na śnieżnie białych poduszkach.

Na widok jej uśmiechnął się obcy szatańskoi zbliżył się cichym krokiem do łoża. Z oczu jego biło lubieżne pożądanie· Wyciągnął on już rękę ku niej, lecz w tej chwili drgnął ze strachu.

Z pokoju chorego usłyszał on teraz słaby jęk. Opamiętał on się, i wrócił tam napowrót. Popatrzył najpierw na Martę, lecz ta leżała nieruchomo. Jęk ten pochodził z ust Wintera, obudził on się widocznie.

— Muszę spieszyć — mruknął obcy. — Na piękną Katynkę zostanie mi może jeszcez czas gdy cel ekspedycyi swojej osiągnę — zaśmiał on się chrypliwie, i rzucił jeszcze jeden pożądliwy wzrok w stronę sypialni. — Gdyby ona wiedziała, jak blizko niej jest jej nieprzyjaciel Piotr.

Zamilkł i zamknął drzwi, aby na chwilę zapomnieć o Katynce.

Był to rzeczywiście Piotr, służący hrabiego Sinobrodego, który się tu zakradł w roli lekarza. Dotychczas nikczemny plan Waleryi szedł świetnie.

Piotr nie obawiał się, aby go doktór Kloc albo Gerhard mógł zaskoczyć, gdyż pan jego stał przed drzwiami na straży, i ostrzegłby go wczas przed nadchodzącem niebezpieczeństwem Jak długo więc domowi nic nie spostrzegli, mógł on być zupełnie spokojny.

Zamknął zaraz okno i przystąpił znów do stołu, wlał połowę czerwonego płynu z flaszeczki do szklanki· Była to okropnie silna trucizna. Woda w szklance zabarwiła się nią zaraz na różowo. Piotr szklankę postawił na razie na stole, zaczął się znów po pokoju oglądać.

— Najpierw wyszukam list — mruknął on — Ale gdzie go detektyw mógł schować? Przypuszczam, że w swoim portfelu, a ma go z pewnością w kieszeni surduta.

Otworzył szafę od sukien i przeszukał znajdującą się tam garderobę. Nie zważał przy tem ani na Martę, która leżała mocno oszołomiona, ani na chorego, mimo, że ten już się był obudził.

Wreszcie zaklął on niecierpliwie i odszedł rozczarowany od szafy, nie znalazł tam bowiem w portfelu listu Agaty, po który tu przybył.,.

— Gdzież więc detektyw papiery swe mógł przechować? Czy je może Katynka w swoją opiekę wzięła? Jeżeli owego nieszczęsnego listu wogóle nie znajdzie? Jeżeli wyprawa jego pozostanie bez skutku?

— Lecz nie! Ten list się przecież musi znaleźć!

Zaczął on dalej po wszystkich szafach i komodach szukać, lecz daremnie.

Z ust jego wyrwało się straszne przekleństwo. Stanął na chwilę zamyślony.

— Czy zrewidować pokój Katynki? A jeśli ona się obudzi? Ba! Zmusi ją wtedy groźbami, aby list wydała, chociaż by się to bardzo źle dla niego skończyć mogło, jeżeliby ona mimo przebrania poznała·

Wtem przerwał cichy okrzyk jego zadumę Odwrócił się i zobaczył skierowane ku sobie szeroko otwarte oczy Wintera.

Chory obudził się bowiem, i przypatrywał się obecnemu przez kilka minut. Piotr zbliżył się ku niemi z szatańskim uśmiechem, i podał mu szklankę z trucizną.

— Pij pan, —rzekł on uprzejmym, zmienionym głosem.

Winter popatrzył mu bystro w twarz, a wzrok jego wyrażał nieufność.

Czy on przypuszczał jakiego nieprzyjaciela miał przed sobą?

— Kto pan jest? — zapytał on słabym głosem.

— Jestem lekarzem... zastępca doktora Kloca — oświadczył Piotr. — Weź pan to lekarstwo, ono jest bardzo skuteczne.

— W duchu zaś pomyślał: — Przyśpieszy śmierć twoją.

Przybliżył on szklankę do ust chorego, lecz ten odtrącił ją z nieufnością.

— Gdzie jest moja narzeczona i moja dozorczyni? — szepnął on. — Dlaczego ja jestem zupełnie sam?

Oglądnął się po pokoju i zobaczył Martę na kanapie·

—Panienka jest zmęczona i usnęła trochę — rzekł Piotr, uprzedzając chorego. Pańska narzeczona śpi w przyległym pokoju. — Pij

pan — dodał wrzeszcie on zbliżając znów szklankę do ust chorego.

Chciał on otruć najpierw chorego, a potem dalej listu szukać. Lecz całe znalezienie się jego, i ta okoliczność, że Marta w obecności tego człowieka, spokojnie spała, wzbudziły podejrzenie bystrego detektywa. Nie wypił więc naturalnie podanego sobie płynu i chciał się podnieść, lecz mu się to nie udało.

— Postaw pan szklankę na stolik, i zbudź pan moją dozorczynię — rzekł on słabym głosem. — Ja nie pojmuję co to ma wszystko znaczyć.

Piotr musiał zapanować nad sobą, aby głośno nie zakląć i cisnął na chorego jadowite spojrzenie. Widział jednak, że tu przemocą nic nie uzyska, i postawił szklankę na stoliku, w nadziei, że ją chory później wypije.

Wtem padł zwrok jego na poduszkę, z pod której wystérczało coś jakby książka. Może to jest szukany portfel detektywa?

Równocześnie chwycił Piotr przedmiot ten w rękę, i przekonał się, że to był rzeczywiście ów szukany portfel z ważnymi papierami.

Piotr uśmiechnął się tryumfująco· Zapomniał on zupełnie rolę swoją jako lekarz.

Winter był w pierszej chwili jakgdyby sparaliżowany z przerażenia. Ochłonął jednak prędko, i chwycił silnie ramię łotra.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął on gniewnie. Oddaj mi pan natychmiast moją własność. — Jesteś pan bezczelnym człowiekiem! Złodziejem!

Lecz Piotr wsunął z szyderczym uśmiechem portfel do kieszeni· Miał on już co chciał i nie potrzebował dalej udawać doktora. Złapał on teraz szklankę z trucizną i chciał ją choremu gwałtem wlać w usta.

— Pij! — syknął on. — Pij!

Winter opierał się z całą siłą. Był okropnie przerażony, i myślał, że ma z jakimś szaleńcem do czynienia·

Wokoło panowała śmiertelna cisza. Nikt mu nie przychodził z pomocą. Marta zdawała się dalej spać, chociaż to dziwne było, że jej hałas ten nie zbudził.

— Może ona już nie żyje? Może ją ten szaleniec zamordował? — pomyślał Winter zatrwożony.

Mimo usiłowań nie udało się jednak Piotrowi wsączyć choremu do ust truciznę. Między łotrem tym a ofiarą jego powstała rozpaczliwa, lecz bez hałasu prowadzona walka. Winter miał tyle jeszcze przytomności, aby nie wołać o pomoc, i nie doprowadzać przeciwnika swego do ostateczności.

W ciągu borykania się chwycił Winter za brodę swego wroga i zdarłszy mu ją z twarzy poznał go natychmiast.

— Piotr! — krzyknął on przerażony. — To ty, łotrze? I ty mnie tak zbiłeś?

— Tak, to ja! — szydził Piotr. — Ty mnie jednak nie zdradzisz, szpiegu! Umieraj Giń!

Rzucił on się ze zdwojoną siłą na chorego Wintera i dusił go w poduszkach· Potem złapał znów szklankę i starał mu się zawartość jej do ust wlać. W śmiertelnej trwodze wydał on stłumiony okrzyk, i trucizna do ust mu się wsączyła.

Z szatańskim śmiechem pastwił się Piotr nad swoją ofiarą którą siły już zaczęły opuszczać, i chciał mu jeszcze resztę tej trucizny w usta wsączyć.

Lecz w tem ozwał się za nim przeraźliwy okrzyk.

Piotr odskoczył od swojej ofiary i zobaczył na progu przyległego pokoju Katynkę w nocnym stroju, patrzącą osłupiałemi oczyma na straszną scenę.

— Morderco! — krzyknęła ona głośno. Pomocy, pomocy! Na miłość Boską!

— Milcz! — zgrzytnął Piotr i rzucił się na nia z podniesioną pięścia.

Rozdział 78.

W NADPOWIETRZNYM BALONIE.

Majestatycznie, spokojnie, a mimoto rwąco szybko wznosi się olbrzymi balon z Gertrudą i Józefą w powietrze.

Stojący wokoło żołnierze stoją jak sparaliżowani nie wiedząc co począć.

— Ognia! — woła za nimi gruby głos· — Dajcie ognia!

Jest to generał, który nadbiega gniewnie z farmy, i rozkaz ten zdaleka żołnierzom swym wydaje.

Na rozkaz jego łapią wszyscy za broń. Z początku padają strzały, lecz po chwili zaczynają kule jak gradem w kierunku balonu padać.

Lecz balon już tak jest wysoko, że go kule dosięgnąć nie mogą.

— Kawalerya w pogoń — brzmi znów głos generała. Ordynansy pędzą na koniach po równinie. Huzarzy i włócznicy dosiadają koni i pędzą za balonem, który się dumnie w powietrzu unosi.

Generał patrzy ponuro w górę. Czy mu żołnierze jego balon tu napowrót sprowadzą? Bardzo to wątpliwe.

Podnoszącym się w balonie uciekinierom naszym zdawało się jakoby ich niewidzialne ja

kieś ręce duchów w górę wznosiły. Nie dochodził ich już więcej hałas i dźwięk głosów z dołu. Wszystkie przedmioty zaczęły w oczach ich maleć, farma, lasek, pola i wzgórza wydawały im się po chwili jak zabaweczki.

Ludzie wyglądali jak mrówki i jak mrówki się poruszali. Nic już więcej słychać nie było tylko odgłos wystrzałów dochodził ich jeszcze silnym echem.

Nieopisane uczucia szczęścia i pewności ogarnęło biednych zbiegów. Nawet tchórzliwa Gertruda nie bała się już więcej i patrzyła dużemi oczyma w dal. Nieskończenie, milami całemi ciągnęła się zielona płaszczyzna oblana promieniami zachodzącego słońca.

Potężna rzeka Tulega wiła się jak srebrna wstążka wśród gęsto zarosłych brzegów. Był to cudny widok, który się przed nimi roztaczał.

Potem popatrzyła Gertruda w górę na balon, który wisiał nad nią jak złocista, olbrzymia kula w spokojnej ciszy wieczornej, i lśnił się w ostatnich promieniach słońca. Na tę lekką, przezroczystą prawie powłokę zdane były trzy życia ludzkie.

— A jeżeli się sznury zerwą — pomyślała Gertruda i mimowoli dreszcze ją przejęły, gdy w dół popatrzyła.

— Bogu dzięki za uratowanie nasze! — ozwał się głos farmera w dziękczynnej modlitwie. — Obyśmy tylko spadli w kraju Burów, gdzieśmy pewni od Anglików.

— Daj Boże! — rzekła Józefa. — Uratowanie nasze wydaje mi się jak snem. Balon tak szybko pędzi, że ja nic już z farmy ani żołnierzy nie widzę....

— Owszem. — Zdaleka wygląda jak gdyby pędzący na koniach oddział wojska — odparła Gertruda i wskazała w dół.

— To pewno angielska kawalerya — rzekł farmer spokojnie. Będą pewno za nami gonili. Skoro się jednak tylko ściemni, to balon zniknie im z oczu, i my możemy być zupełnie spokojni.

— Tak, na razie — odpowiedziała Józefa. — Ale gdzieżże my na ziemię znów spadniemy? I czy całe wylądujemy?

Lecz ani Gertruda ani farmer na pytanie to odpowiedzieć jej nie mogli. Nie jechali oni jeszcze nigdy balonem, i nie mieli pojęcia jak taki balon znów na ziemię spada.

Nie myśleli oni przez chwilę o tem. Mieli tylko świadomość, że uszli jak gdyby cudem grożącemu niebezpieczeństwu, i ufali Bogu, że ich i dalej nie opuści.

Balon posuwał się spokojnie dalej. Dokąd jednak? Tego nikt z nich nie wiedział. Góry zostawały zawsze w jednakowem oddaleniu od nich, i balon musiał więc zmienić początkowy swój kierunek.

Słońce schowało się za góry i stopniowo znikały purpurowe promienie jego. Na ciemnem niebie okazały się pierwsze gwiazdy, i wreszcie wysunęła się i blada tarcza księżyca.

Jeszcze godzina, a zupełna noc zapadnie. Księżyć coraz jaśniej świeci, a cały krajobraz w dole osłonięty jest jakby mgłą.

Cmentarna cisza otaczała tę trójkę bujających w powietrzu ludzi. Wtem dochodzi ich z dołu wystrzał. Wychylają oni się z kosza i widzą na jasnej płaszczyźnie wyraźnie oddział jeźdźców konnych, angielskich huzarów i włóczników którzy ich gonią. Ich włócznie, szable i karabiny lśnią się jak srebro.

Pada znów wystrzał, potem cała salwa, a echo odbite od ziemi, rozlega się w górę. Jak sztuczne ognie błyska proch strzelniczy z karabinów. Wszystkie te wysiłki są jednak daremne, gdyż nie dochodzą balonu który zanadto wysoko się już wzniósł w powietrze.

Przy świetle księżyca widzą jeźdźcy wyraźnie olbrzymi balon w powietrzu, i pędzą za nim dotrzymując mu kroku.

— Zdaje mi się, że balon zaczyna opadać — rzekła Józefa zaniepokojona. — Jesteśmy bliżej ziemi niż przedtem.

Miała ona słuszność. Pod wpływem rosy nocnej, która na balonie osiadła, opadł ten znacznie niżej. Powietrze ochłodziło się, a wraz z nim i gaz wewnętrzny balona. Zbliżali oni się teraz szybko do ziemi. Żołnierze spostrzegli to i głośno się tem radowali.

Galopowali oni dalej w pojedyńczych grupach poniżej balonu, trzymając się jego śladu. Od czasu do czasu padał wystrzał z karabinu a niebezpieczeństwo rosło. Jak łatwo mogła kula teraz przewiercić balon. A w tym razie upadek ich byłby nieunikniony.

Przestraszone kobiety załamywały ręce w rozpaczy. Były one bezradne wobec tego, co ich czekało.

Tylko farmer zachował niezachwianą przytomność umysłu i spokój. Wiedział on o tem, że żeglarze nadpowietrzni biorą ze sobą dużo ciężaru w postaci worków z piaskiem, i że je wyrzucają gdy balon spadać zaczyna.

Czy i ten balon w ciężar taki był zaopatrzony?

Farmer zaczął przeszukiwać gondolę i znalazł w niej masę różnych instrumentów których użytku nie znał. Między innymi rolę grubego powrozu z kotwicą na jednym końcu. Drugi koniec zaś był do gondoli przymocowany.

Już chciał farmer powróz ten wraz z kotwicą odciąć nożem swym od gondoli i na dół

go zrzucić, gdy odkrył całą masę małych worków, które zewnątrz gondoli wisiały. Były one napełnione piaskiem, a było ich około dwanaście. To więc był ten ciężar, o którym on myślał.

Rzuciwszy okiem na dół spostrzegł on, że balon już jest tak nizko, że żołnierzy całkiem wyraźnie poznać można było. Nie strzelali oni więcej, gdyż się spodziewali że balon wkrótce zupełnie w moc swoją dostaną.

Przeciąwszy worek szybko, wysypał on piasek na głowę jeźdźców. To samo zrobił z drugim i trzecim workiem, a balon zaczął się znów coraz wyżej w powietrze wzbijać, a wreszcie stanął tak wysoko, jak na początku jazdy.

Tak więc znikła żołnierzom zdobycz ich z przed oczu, a balon zaczął teraz raźniej pędzić, gnany świeżym wiatrem, który podrzucał trochę gondolą.

Tak uchodziła godzina za godziną. Zaczęło się coraz chłodniej robić, a obie kobiety drżały z zimna.

Rozglądnąwszy się przy świetle księżyca dalej po gondoli, odkrył farmer prócz prowiantu, i kilka flaszke wina, jeszcze wełniane koce i dwa ciepłe oficerskie płaszcze, które zarzucił zaraz na Gertrudę i Józefę, wskazując im zwinięte koce jako wygodniejsze i cieplejsze siedzenie.

Potem urządził ucztę z tych nie dla nich przygotowanych delikatesów i z wina, który im mimoto wybornie smakowało.

Kobiety czuły się okropnie zmęczone, i zasnęły wkrótce w kołyszącej się lekko gondoli, owiane łagodnym wiatrem, który balon przed sobą pędził.

Tylko farmer czuwał. Starał on się zoryentować gdzie jest, i w którą stronę balon pędzi. Byłoby mu to możliwe za pomocą instrumentów i map które były w gondoli, lecz on się na nich nie rozumiał.

Musiał się więc zadowolić przypuszczeniami.

Krajobraz zmienił się teraz zupełnie. Obszerna płaszczyzna leżała już za nimi, a balon wznosił się teraz przed łańcuchem górskim. Między wzgórzami leżały lesiste doliny, przerywane srebrzystymi potokami.

Wreszcie stawały się góry tak wysokie, że szczyty ich były już tylko o kilka metrów pod gondolą.

Aby się wzbić wyżej, wypróżnił farmer znów jeden worek piasku, a równocześnie zmienił się i kierunek wiatru, a wraz z nim i balonu. Dokąd jednak? Kto to mógł wiedzieć?

Pędzili oni tak jeszcze długo ponad górami ciemnymi wąwozami, i kwitnącemi dolinami. Zdala widać było światła... widocznie zbliżali oni się teraz do miasta, i to do dość dużego.

Balon znów znacznie opadł, a rosa spadała ze siatki w formie deszczu na gondolę. W górskiej tej okolicy noc była chłodna i zimna.

Coraz wyraźniej wyłaniało się miasto z ciemności. Księżyc schował się za górami na ziemi było ciemno.

Tem jaśniej odbijały światła, oświetlające miasta i ogniska obozowe.

— To musi być miasto Ladysmith — mruknął farmer patrząc z góry na piękny, ożywiony obraz.

Przypuszczenia te nie myliły go. Było to rzeczywiście miasto Ladysmith, największe w całej południowo-afrykańskiej posiadłości angielskiej.

Balon wznosił się tuż nad wieżami kościelnemi. Farmer mógł sobie teraz spokojnie oglądnąć tę nocną panoramę obsadzonego przez Burów miasto.

Ogniska obozowe wskazywały stanowisko Burów, których wojska biwakowały pod gołem niebem. Tu i ówdzie widać było rury armatnie. Czasami odzywał się wystrzał który się echem od gór odbijał. Burowie ciskali granaty w oblężone miasto.

Na szańcach roiło się od żołnierzy. Była to piechota i kawalerya puszczająca rakiety na ciemne niebo.

Anglicy napadli teraz obóz burski, i u stóp gór zaczęła się zacięta walka. Wystrzał armat mięszał się z gradem kul, a z góry wyglądało to jak rój pszczelny.

Tu pędził oddział kawaleryi przez wązką dolinę, tam znów widać było ciemne masy piechoty. Wystrzały armat na szańcach, przedstawiały się z góry jak olbrzymie ognie sztuczne.

Gertruda i Józefa obudziły się za pierwszym wystrzałem. Jak czarna chmura wznosił się dym wystrzałów w górę i osłaniał balon.

Niebawem przesunął się balon przez miasto, wrócił jednak raz jeszcze napowrót, gnany zmienionym kierunkiem wiatru.

Na oświetlonych ulicach miasta panował jeszcze żywy ruch, a ze wszystkich tych tysięcy ludzi, rojących się tam jak mrówki, nikt nie patrzał w górę i nie spostrzegł balonu który spadł teraz prawie niżej niż były wieże świątyń i kominy fabryk.

— Trzeba znów coś z ciężarów zrzucić, bo inaczej uderzymy jeszcze o jaką wieżę, czy komin — rzekł farmer i wypróżnił znów dwa worki piasku.

Balon wzniósł się znów znacznie wyżej, i szczęściem że dość wcześnie bo inaczej nie był

by uszedł wystrzałowi aramtniemu, który się właśnie w tej chwili rozległ w powietrzu.

Czyż mieliby oni wreszcie spostrzedz balon? Może być że go zdradził blask elektrycznych reflektorów ze szańców.

Balon był już jednak teraz na bezpiecznej wyżynie. Miasto pod nimi zaczęło się uciszać i wypróżniać. Na horyzoncie zagasły ostatnie światła.

Silny wiatr popędzał balon szybko dalej. Wreszcie noc zaczęła ustępować brzaskowi dziennemu.

Wszyscy trzej zbiegowie nasi wychylali się teraz z gondoli, przeglądając się przy pierwszych promieniach słońca okolicy, przez którą się przesuwali .

Gdzież oni teraz być mogli?

Zdala rozciągały się pod nimi obszerne lasy, doliny przerzynane srebrzystymi strumykami, ciche wsie i dworki, których mieszkańcy się jeszcze nie obudzili. Przez rozległą płaszczyznę pędziła galopem gromada antylop. Tu i ówdzie pasły się na brzegach lasów jelenie i sarny.

We wsiach i osadach ludzkich zaczęło się ożywiać. Z kominów wszędzie dym wychodził. Ludzie pojawiający się na dworze spostrzegli balon i dziwili się, skąd on przychodzi, i dokąd się udaje.

Pod wpływem promieni słonecznych naprężyła się i napięła na nowo obwisła powłoka balonu, który teraz pędził z siłą i rozmachem orła po przestworzu niebieskim·

Horyzont ich ciągnął sie w nieskończoność, a wzrok ich obejmywać mógł od razu setki sążni. Ziemia roztaczała się przed nimi jak olbrzymia mapa.

Coraz wyżej wznosił się balon. Atmosfera stawała się coraz rzadszą, i przykre, niepokojące uczucie, coś jakby tęsknota za ziemią opanowało trójkę naszych podróżnych.

— Oby tylko znów na dół bliżej ziemi, — myśleli oni, nie mieli jednak rady na coraz wyższe wzbijanie się balona w górę.

Farmer odkrył wprawdzie już wentylacyjną linę, i zaczął ją silnie ciągnąć. Gaz zaczął wychodzić z balona, który się jednak znów wyprężał.

Wreszcie zoryentował się farmer też co do instrumentów i odczytał, że osiągnęli oni teraz już wysokość pięciu tysięcy metrów, to jest wyżej niż najwyższe góry w kraju.

Opanowało ich uczucie bezgranicznego opuszczenia w tej niezmierzonej przestrzeni. Krajobraz u dołu zniknął we mgle, a świat pod nimi leżał jak bezbarwne, zniszczone pożarem pole.

Wsie, pagórki, lasy, ledwo jeszcze były do poznania i wydawały się jakgdy w grunt zapadły. Ani najlżejszy szmer nie dochodził do tej strasznej pustki

Pozimniało tak, że termometr pokazywał jeszcze tylko dwa stopnie ponad zerem.

Dzwoniąc zębami otuliły się Gertruda i Józefa znów płaszczami i kocami. Nawet farmer zarzucił sobie koc wełniany na plecy. Zaczęli oni teraz odczuwać dotkliwy brak powietrza. Jeszcze kilkaset metrów w górę, a położenie ich byłoby groźne·

A balon wzbijał się jeszcze coraz wyżej w górę. Słońce rzucało coraz gorętsze płomienie na świecącą jego powłokę. Farmer ciągnął rozpaczliwie za klapkę wentylową, lecz daremnie.

Jeszcze czterysta metrów, a osiągną już sześć tysięczną wysokość. Gertruda była już blizką omdlenia. Trupio blada, i bez tchu opierała się Józefa w drugim kącie gondoli.

Tylko farmer stał jeszcze prosto, lecz i on odchodził chwilami od zmysłów.

Teraz wzniósł się już balon do wysokości sześciu tysięcy.

Kurczowo trzymał farmer za linę wentylatora. Od dziesięciu minut wychodził gaz z balona, a mimo to on się ciągle podnosił.

Opanowała go teraz szalona obawa. W uszach mu szumiało· Krew puszczała mu się nosem i ustami. Brak mu było tchu, a serce w piersiach omal że mu nie pękało.

Gertruda i Józefa leżały milcząco i bez ruchu. Farmer wołał na nie, lecz głos jego ledwo był dosłyszalny w tem rzadkiem powietrzu. Niedostał żadnej odpowiedzi. Wreszcie dotknął on się plec Józefy, lecz ona nie reagowała na to.

....Czyżby ona już nie żyła? Czy się w rozrzadzonej tej atmosferze udusiła?

— Wielki Boże! — jęknął on przerażony. — Uratuj nas!

Lecz i on od zmysłów odchodzić już zaczął Z bezsilnej jego dłoni wysunęła się lina. Klapa wentylu zamknęła się, a balon pędził coraz wyżej w górę i w górę.

Raz jeszcze farmer przychodzi do przytomności, podnosi się i wychyla z gondoli.

Czyż chce się rzucić z rozpaczy? Męki jego stają się nie do zniesienia. Tam na dole jednak, w strasznej mglistej głębinie także śmierć go czeka· Cofa się więc z przerażeniem i pada z przygłuszonym jękiem na podłogę gondoli.

Balon pędzi dalej i dalej po niebieskiem przestworzu. Kiedyż on znów opadać zacznie? I czy szczęśliwi zbiegowie nasi jeszcze wtedy będą żyli?

ROZDZIAŁ 79.

PUSTELNIK W TARTAKU LEŚNYM.

Przez zaśnieżony las ciągnący się milami między stepem z jednej, a oddalonemi wsiami z drugiej strony szedł pewien wędrowiec szybkim, rzeźkim krokiem.

Na ubranie jego, które wskazywało rybaka zarzucił on długi płaszcz, gdyż okropnie było zimno.

Był to Detlew, syn starego rybaka Karasia, który niósł w rękach duży i ciężki kosz. A ciężki on rzeczywiście musiał być, kiedy nawet ten olbrzym Detlew się pod nim uginał.

Miał on już długą drogę za sobą, gdyż wyszedł nad ranem z chaty swego ojca i przez step wpierw do lasu dostać się musiał.

Wypoczął on już raz w chatce węglarza i posilił się jadłem i napojem. Od dwóch godzin maszerował znów bez przerwy.

Nieraz przystawał tylko na chwilę i opierał się z koszem o pień drzewa. Dzień miał się już ku końcowi, zaczęło się ściemniać w lesie.

Detlew miał jeszcze wielki kawał drogi przed sobą bo szedł szybko,i skracał sobie drogę, obierając wązkie ścieżynki, wijące się wśród gęstwiny i prowadzące coraz głębiej w las.

....Pędził on tak dalej bez wytchnienia przez wzgórza i niepewne ścieżki prowadzące ponad przepaściami. Las stawał się coraz bardziej dziki, ciemny i zarosły.

Drzewa stały tak gęsto koło siebie, że światło dzienne ledwo tu do gruntu dojść mogło. Teraz zaś było tu zupełnie ciemno, i tylko dzięki blaskowi białego śniegu mógł Detlew odnaleźć swą drogę.

Daleko i szeroko wokoło nie było ani śladu ludzkiego mieszkania. Z wyjątkiem leśniczych i rębaczy dochodził tu rzadko kto w tę część lasu.

Wtem okazał się wędrowcowi nagle ponury, nizki a szeroko się ciągnący budynek okolony niebotycznemi sosnami. Nieduży, a zamarzły teraz strumyk leśny wił się między skalistem wybrzeżem, i tworzył za domem wodospad.

Widać tam było olbrzymie koło młyńskie, okryte śniegiem i lodem i łąki zamarzłe. Szerokie jego sprychy były częścią zbutwiałe, częścią połamane, co było znakiem, że one od laty już nie było używane.

I dom wyglądał również zapadły. Był to budynek z drzewa, obrosły mechem i jałowcem Okiennice małych okien szczelnie były zamknięte, a cmentarna cisza panowała tak wewnątrz jak zewnątrz tych pustych ponurych murów.

Był to ów tartak leśny, o którym Piotr panu swemu opowiadał .

Przed laty obrabiano tu ścinane w lesie drzewo, lecz to wszystko już dawno ustało. Dom został opuszczony przez właścicieli, a od tego czasu nikt go więcej nie używał, gdyż był on zanadto na ustroniu.

Młody rybak minął drzewa wchodowe, i wszedł przez furtkę na obszerne podwórze. Tu wznosiły się jeszcze pootwierane szopy, w których chowano niegdyś obrobione deski i belki. Obok nich stały również chylące się już stajnie Wszystko to było puste i opuszczone i jakgdyby zagrzebane w wysoko leżącym śniegu.

Z jednego okna domu tylko świeciło się światło Detlew przystąpił do niego i zapukał do okiennicy.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Potem odsunął się w okiennicy otwór przez który okazała się siwa twarz jakiegoś staruszka.

— To ja! — zawołał Detlew głośno.

Twarz znikła, a klapa w okiennicy znów się zamknęła. Młody rybak podszedł do tylnych drzwi, a te się niebawem odemknęły.

Wszedł on z koszem swym do sieni, a siwobrody starzec, który mu otworzył, zamknął natychmiast drzwi za nim.

Potem wszedł Detlew do oświetlonego pokoju, złożył tam swój ciężar i zrzucił swój płaszcz.

— Otóż jestem, panie hrabio — rzekł on dobrodusznie.

Stary hrabia bo on to mieszkał w tej pustelni uścisnąć serdecznie rękę młodego rybaka.

— Kochany mój młody przyjacielu! — rzekł on wzruszony. — Dziękuję wam z całego serca za waszą dobroć i wierność, nie mogę jednak w żaden sposób na to zezwolić abyście i nadal dla mnie tak ciężką drogę odbywali. Postanowiłem więc nadal kupować sobie sam wszystko potrzebne w sąsiedniej wsi, nie dalej jak o dwie godziny drogi stąd oddalonej.

Detlew wzbraniał się przeciwko temu pół w żarcie, pół seryo.

— Nie, wielmożny panie. — odezwał on się — Na to znów ja się zgodzić nie mogę, aby się pan na takie niebezpieczeństwa narażał. Ludzie dowiedzieliby się prędko skąd pan przychodzi, i mogłoby to dojść do uszu hrabiego Sinobrodego. Co do mnie zaś, to ja przychodzę tylko raz na tydzień i sprawia mi to przyjemność, a tak bardzo natężające przecież nie jest.

Stary hrabia zamyślił się na wzmiankę o Sinobrodym.

— On pewno przekonany, że ja tę okolicę dawno opuściłem — sądził hrabia. — Albo, czy macie jakie podejrzenie, że on zawsze, jeszcze za mną szuka?

—Nie, ale ostrożność nigdy nie szkodzi. — odparł Detlew, zaczynając rzeczy z kosza wypakowywać. Były tam prócz prowiantu jeszcze i książki.

Hrabia Harald potrząsł smutno głową na ostatnie jego słowa. Popatrzył on na młodego rybaka, i rzekł po chwili milczenia:

Ponieważ Gerhard już chwała Bogu z więzienia wypuszczony, chciałbym się z nim zobaczyć i rozmówić. Może on tu przyjdzie, i przyprowadzi detektywa Wintera, o którym wyście mi opowiadali

— Ależ naturalnie! Gerhard z przyjemnością tu przyjdzie, panie hrabio, — zawołał Detlew z zapałem· — Byłbym mu już o miejscu pobytu pana hrabiego powiedział, ale nie wiedziałem, czy pan zechce. Pójdę zaraz jutro do miasta, aby ojciec mój tę sprawę załatwił. Co do detektywa, także jestem pewny, że on chętnietu przyjdzie. Jest to nawet w jego interesie,, bo on dochodzi i szuka przecież tajemnic Sinobrodego. Postanowił sobie zdemaskować tego człowieka, bo go strasznie nienawidzi z powodu tej historyi z narzeczoną jego, Katynką Gerhard.

— Więc on mi prawdopodobnie pomoże — szepnął hrabia z błyskiem nadziei w zasępionej twarzy. — Dam mu się poznać. Gerhard opowiedział mu już pewno moją historyę.

— Chce pan hrabia już otwarcie wojnę Sinobrodemu wypowiedzieć? — zawołał Detlew ucieszony, a po chwili dodał z oburzeniem:

....— Słusznie to, bo haniebne czyny tego okrutnika wołają o pomstę do nieba. — Sambym go chętnie zabił.

— O, strzeżcie się przed tym nędznikiem, mój młody przyjacielu! — napominał go hrabia. — Uchodźcie mu z drogi, bo on wam nigdy tego nie zapomni, żeście mnie tak mężnie przed nimi obronili, i go pokonali· Unikajcie jego mściwości.

Rybak zaśmiał się swobodnie.

—Nie boję się Sinobrodego, — rzekł on czupurnie, a jak mi jeszcze kiedy wejdzie w drogę, to poczuje na skórze swej, co to są silne rybackie pięście.

To rzekłszy wyprostował muskularną swą postać i potrząsł gniewnie zaciśniętemi pięściami, jak gdyby już nienawistnego przeciwnika swego miał przed sobą.

Stary hrabia przystąpił tymczasem do dużego pieca który ogrzewał pokój, i zaczął sporządzać skromną wieczerzę, którą niebawem podał na nienakrytym drewnianym stole, i wraz z młodym rybakiem smacznie spożył.

Detlew przenocował w tartaku leśnym, co czynił zawsze, kiedykolwiek tu przychodził. Siedzieli oni długo i rozmawiali żywo. Młody rybak miał jeszcze dla hrabiego różne nowiny, a potem przysłuchiwał się z zainteresowaniem opowiadaniom tego ostatniego, z jego pełnego przygód życia i licznych jego podróży.

— — — — — — —

— — — — — — —

O tem samem czasie zbliżali się dwaj mężczyźni ku samotnemu tartakowi leśnemu.

Był to Ludwik Hecht z towarzyszem swym Frycem, którzy już od wielu godzin w zdziczałym tym gąszczu błądzili, nie mogąc właściwej drogi odnaleźć.

Byli oni już śmiertelnie znużeni tem błądzeniem i brodzeniem w głębokim śniegu. Szczególnie Fryc ani kroku dalej już postąpić nie mógł· Klął on, stękał i narzekał:

— Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli jeszcze dalej pójdę! Mnie już siły nie stają! To piękna historya! Licho wie, gdzie się ten stary lis chowa!

— Ja już nie wierzę, że my do tego starego tartaku dotrzemy — mruknął Ludwik z westchnieniem. Tu pod gołem niebem absolutnie przenocować nie możemy. Naprzód więc, stary przyjacielu! Trzeba koniecznie jakieś schronienie na noc wyszukać.

— Kiedy nie znajdziemy, i zmarzniemy tu na śniegu — lamentował Fryc.

Zdecydował się jednak dalej pôść, i zawiesił się na ramieniu Hechta, który go za sobą ciągnął. Szli oni tak jeszcze może przez kwadrans, gdy im się nagle z pośród wysokich sosen dach tartaku leśnego okazał.

Zbliżyli się do niego od tylnej strony, otoczonej wysokim, drewnianym płotem.

— Hura! Jesteśmy u celu! — zawołał Ludwik uradowany tą niespodzianką. — Mamy szczęście, Fryc, co? Tam w tych starych ruinach leżą nasze miliony.

— Jeszcze ich nie mamy — mruknął stary hultaj ponuro..

..Był on tak zmęczony, że się na nogach utrzymać nie mógł, a przytem głód i mróz mu dokuczał, i na humor mu działał.

Podczas gdy Fryc patrzał na mur, jak na niezdobytą twierdzę znalazł Ludwik Hecht uszkodzone miejsce, przez które się na podwórze można było dostać. Wsunął on się też tam zaraz, a Fryc poszedł gderając w jego ślady·

Oglądnąwszy pół zapadłe zabudowania, zbliżyli się oni do domu mieszkalnego, i spostrzegli światło przeświecające przez zamknięte okiennice.

Ludwik Hecht zbliżył sie ku nim, aby przez szpary zobaczyć co się w pokoju tym znajduje.

..Niemógł jednak nic zobaczyć, gdyż firanki od środka były zaciągnięte. Usłyszał tylko wyraźnie dwa głosy męskie, a odkrycie to w wielki ambaras go wprowadziło.

— Stary hrabia nie jest sam — szepnął on swemu towarzyszowi. — Ktoś jest przy nim Co tu zrobć? Fatalna historya!

— Uciekajmy stąd, to będzie najlepsze! — radził Fryc.

— Nonsens. Dokąd się teraz w nocy wybierzesz? — irytował się Ludwik. Ciekaw jestem jednak, kto tu staremu hrabiemu towarzyszy.

— Wszystko to jedno — preswadował Fryc — Pewne jest tyko, że nam sprawa przez to jest uniemożliwiona. Masz twoje miliony. Idź i weż je w posiadanie — dodał ironicznie·

— Stul gębę, stary tchórzu! — krzyknął Ludwik podrażniony. — Jeżeli nie masz więcej chęci do tego interesu, to zabieraj się stąd! Ładny z ciebie wspólnik. Każdy kamyk na drodze cię odstrasza Idź sobie z Bogiem! Ja cię nie potrzebuję.

—Ja tak źle tego nie myślałem — uniewinniał się Fryc. — Musisz jednak sam przyznać, że my mamy okropny pech, i że tu się więcej nic zrobić nie da.

— Naturalnie! Jeżeli zostaniemy tu na dworze i będziemy lamentować jak małe dzieci to nic nie wskóramy. Naprzód więc, i odwagi! — zadecydował Hecht.

— Czyś zwaryował? — zaprotestował Fryc. — Wpaść im w ręce i dać się zastrzelić?

— Dobrze. Więc ty zostań na dworze — zawołał Ludwik zniecierpliwiony.

Potem poszedł wzdłuż domu i popatrzył na okienko dachowe, które także miało zamknięte okiennice. Fryc namyślił się widocznie i zawstydził się swego tchórzostwa, bo poszedł za Ludwikiem i wysłuchał jego planu·

— Wleziemy przez okno — rzekł łotr. — Jest to tak daleko od pokoju hrabiego, że ani on, ani towarzysz jego usłyszeć nas nie mogą.

— A co zrobimy, jak wleziemy do środka?

— To się dopiero tam pokaże — odparł Ludwik krótko.

To mówiąc złapał on za okiennicę i potrząsł nią silnie. Była ona taka zbutwała, że za pierwszem, silnem szarpnięciem z zawias wypadła

Potem wydusił szybę, wsunął rękę i otworzył okno. Wskoczywszy przez nie do wnętrza, wyciągnął obie ręce i pomógł swemu towarzyszowi, który trwożnie w jego ślady poszedł.

— Zaświeć latarkę — rozkazał mu Ludwik.

Fryc posłuchał i zaświecił ślepą latarkę. Z pustego pokoju, do którego oknem weszli, prowadziła pąra drzwi do dwu również pustych sal.

Przeszli oni tak przez cały szereg komnat, z których niektóre tylko częściowo były umeblowane. Potem stanęli nagle w sieniach, tuż obok drzwi prowadzących do pokoju starego hrabiego·

Ludwik podsunął się pod drzwi i nadsłuchiwa. Prowadzona w pokoju rozmowa tak była głośna, że on każde słowo wyraźnie mógł słyszeć.

Stary hrabia opowiadał rybakowi właśnie swoje przygody na zamku Wildenfels.

Mówił on też o nim... o Ludwiku Hechcie wspominał jak go zastał w skarbcu.

Zaciekawiony i aby zobaczyć kto był u hrabiego, schylił on się do dziurki od klucza. Nie znał on wprawdzie Detlewa, domyślił się jednak z jego słów, że to był ów młody rybak, któremu hrabia Sinobrody poprzysiągł zemstę. Podzielił się myślą z Frycem, i dodał szeptem:

— Ten rybak to chłop jak dąb, i trzeba się przed nim mieć na baczności. Przyniósł on hrabiemu prowiant, i jutro rano pewno znów odejdzie, a wtedy będziemy mieli wolne pole.,

Nachylił znów ucho do drzwi, i słyszał mówiącego rybaka:

— Lepiej będzie jak wielmożny pan wszystkie swoje pieniądze tu przy sobie zatrzyma, gdyż na zamku Wildenfels nie byłyby pewne. Ten łotr, który się wtedy zakradł do skarbnicy może znów tam przeszukiwał . Chciałbym wiedzieć kto to był.

.. — Nie wiem· Jest mi też zagadką, skąd się ten człowiek o skarbnicy mej mógł do wiedzieć.

Hechtowi bardzo na rękę to było, że Fryc stał zdala i rozmowy tej słyszeć nie mógł.

— Czy skarby pańskie bardzo dobrze schowane, panie hrabio? — zapytał młody rybak.

— Całkiem bezpiecznie! — odparł stary hrabie. — Zamknąłem wszystko do silnej skrzyni, i zakopałem w piwnicy Nikt tam skarbów moich nie znajdzie. Niechby tylko hrabia Sinobrody tu przyszedł i za nimi szukał.

Hecht wstrzymał z trudem okrzyk radości i nie słuchał więcej, bo nic go prócz tego nie interesowało. Pociągnąć on Fryca za sobą, i zatrzymał się dopiero w jednej z ostatnich komnat.

— Teraz mamy miliony! — zawołał tryumfująco. Stary hrbia sam nam zdradził, gdzie pieniądze ukryte. Nie trzeba nam czekać do jutra, zaraz zabieramy się do dzieła kulasie!

Doniósł swemu wspólnikowi, co podsłuchał. Kulas nagle zyskał odwagę.

— Mądrze gadasz — zawołał .Bierzemy się do roboty. W piwnicy nie znajdą nas oni. Hej! miliony! te ogromne miliony należą do nas.

Jak opętany skakał po pokoju. Ludwik Hecht patrzał na niego szyderczo.

— Nie dużo dostaniesz z tych milionów — pomyślał. Lwia część moją będzie. A głośno dodał:

— Wyszukajmy, które narzędzia nam potrzebne. Dla ostrożności przeczekamy, aż oni usną.

..W komorze znaleźli rozmaite rupiecie. Zabrali siekierę, łopatę i wytrych. Potem udali się do izby, w której stały niektóre meble, i spożyli przyniesione pożywienie.

Około jedenastej godziny udali się do tylnej sieni. Ludwik nadsłuchiwał przy drzwiach i zaglądnął przez dziurkę od klucza. Wewnątrz było cicho i ciemno.

Śpią już — szepnął.

— Dalej więc! — rzekł niecierpliwie Kulas.

— Wejście do piwnicy jest chyba w sieni — mówił Hecht. Poświeć mi no.

Na palcach posuwali się dalej. Były tu jeszcze dwie drzwi, lecz przekonali się, że to nie te. których szukali. Jedne z nich prowadziły do frontowej sieni. Tutaj się też udali. Kulas podniósł latarnię.

— Tu są schody — szepnął. Zdaje się, że prowadzą one na strych.

Pod dschodami była przegroda, zamknięta drwiami, które zręczny w swojem rzemiośle Hecht natychmiast otworzył wytrychem. Zobaczyli kamienne schody, prowadzące w dół.

Chciał zejść. Wtem zatrzymał go Hecht i ściągnął z pierwszych schodów. Usłyszał jakiś szelest, i zdawało mu się, że słyszy kroki:

— Cicho! — Do dyabła! Ktoś idzie. Słyszano nas.

Rzeczywiście otworzyły się w tej chwili drzwi. Odezwał się głos starego hrabiego, a odpowiedział mu rybak:

— Pomylił się pan. To były chyba szczury.

— Nie, słyszałem dokładnie głosy ludzkie — zawołał hrabia. Przekonajmy się!.

Strach zbrodniarzy za drzwami piwnicznemi nie znał granic.

Kroki zbliżały się — już były w tylnej sieni. Za chwilę Hecht i Kulas zostaną odkryci.

Hecht prędko odzyskał przytomność. Przymknął piwniczne drzwi z wnętrza, zamknął je cicho wytrychem.

— Ukryj latarnię — rozkazał. Światło może nas zdradzić.

Kulas rozkaz spełnił. Grobowa ciemność otaczała przerażonych zbrodniarzy.

Hrabia i rybak przybyli do sieni. Czy otworzą drzwi? Ukryci zbrodnarze drżeli na całem ciele.

Minęli drzwi. Spróbowali inne.

— Dziwna rzecz — rzekł hrabia, stając ze swoim towarzyszem przed drzwiami piwnicznemi. — A słyszałem przecież głosy. Ktoś tu być musi.

Młody rybak starał się go uspokoić, lecz hrabia spróbował i drzwi piwniczne.

Chwila strasznej trwogi dla Hechta i jego wspónika który wprost nie mógł się utrzymać na nogach minęła.

Hrabia i rybak oddalili się, kroki ich przebrzmiały, zaległa zupełna cisza.

— Dzięki Bogu! — wyszeptał Kulas, ocierając pot z czoła.

Cicho zeszli ze schodów. Przybyli do małego lochu, gdziez prawej i z lewej strony były drzwi. Hecht otworzył je i przeszukali najpierw piwnicę o prawej stronie, potem piwnicę z lewej strony.

Tu się zatrzymali. Hecht był zdania, że są na właściwem miejscu. Było tu bardzo wiele rupieci. W kącie zdawało się, że dopiero co odkopano ziemię. Tu musiał być skarb ukryty.

Nie wiele myśląc, zabrali się do roboty. Kulas zawiesił latarnię na haku i poczęli siekiera i łopatą odkopywać ziemię. Wnet wypokali głęboki otwór, aż tu nagle siekiera Hechta uderzyła o twardy przedmiot.

— To kasa! — zawołał Kulas. Mamy skarb.

— Cicho! Nie krzycz! — upomniał go Hecht. Dajno łopatę.

Wziął łopatę i począł gorączkoko kopać. Oewór stawał się coraz wiekszy — wkońcu zobaczyli czarną, podłużną skrzynię, podobną do trumny.

Musieli jeszcze dużo ziemi usunąć. Hecht uderzył łopatą o wieko. Rozległ się przeraźliwy, głuchy ton.

— Podobne to — na Boga! — więcej do trumny niż do komody — zauważył Kulas.

Przypatrywał się skrzyni niepewnie i niedowierzająco.

Aha! — rzekł Hecht. Wcale to nieprzyjem

ny widok. No, ale dla nas to obojętne. No, Kulasie, musimy skrzynię podnieść.

Ale skrzynia siedziała silnie w ziemi i mimo wysiłków nie mogli jej podnieść.

— Trzeba wieko rozbić — radził Kulas.

Ludwik Hecht posłuchał go. Siekierę udało mu się wetknąć wotwór, potem razem usiłowali podnieść wieko, silnie przybite gwoździami. Nareszcie udało im się to.

Skrzynia była otwartą Nachylili się, szukając skarbów.

W tej chwili cofnęli się i wydali okrzyk przeraźliwy. Drżący, ze grozą i strachem wpatrywali się w zawartość skrzyni·

Nie l ;ał tu skarb starego hrabiego, lecz postać ludzka, trup młodej kobiety.

Leżała tu już długo, bo trup przechodził już w stan gnicia. Z trumny wydobywał się straszny zaduch. Cofnęli się wspólnicy i przypatrywali się sobie rozczarowani i przerażeni.

— Boże! — zawołał Hecht, to straszne odkrycie. Kto ten trup? I kto go tu potajemnie zakopał?

— To dla nas obojętne — odpowiedział Kulas. Lecz co teraz poczniemy? Gdzie ten stary zagrzebał skrzynię z pieniędzmi?

— Szukajmy dalej — zadecydował Ludwik. Najpierw jednak musimy napowrót zagrzebać tego trupa i nie wolno nam nikomu o tem wspominać.

Ludwik Hecht rzucił wieko na trumnę, i już wziął w rękę łopatę, gdy Kulas wydał okrzyk strachu i wskazał w stronę schodów.

Zbliżały się kroki, zabłysło wśród ciemności światło. To stary hrabia i Detlew schodzili do piwnicy, szelest tutaj zwrócił ich uwagę .

Zbrodniarze osłupieli ze strachu· Jak się ocalić?.

— Jesteśmy zgubieni! — zajęczał Kulas.

ROZDZIAŁ 80.

NIEZUPEŁNY TRYUMF.

Doktór Kloc chciał właśnie wieczorem udać się do Wintera, kiedy zjawił się u niego obcy człowiek i prosił go usilnie, by z nim natychmiast poszedł do chorego. Obcy oświadczył, że sprawa nagląca, chodzi o życie lub o śmierć.

Lekarz nie ociągał się długo, zwłaszcza, że obcy zapewniał go, że droga niedaleka. Człowiek ten wyglądał jakby służący lub woźnica z lepszego domu. Szal dookoła szyi, założony wskutek zimna, zastaniał jego twarz, tak że jej doktór nie widział. Poszedł z obcym, wypytując go o bliższe szczegóły co do chorego.

Przed domem czekał powóz. Wsiadł doktór Kloc a obcy siadł na koźle jako woźnica· Szybko ruszył w drogę.

Doktór był zamyślony, zrazu nie myślał o jeździe. Dopiero po upływie jakiegoś czasu wyglądnął oknem i przekonał się — zdziwiony że są daleko za miastem, wśród śnieżnych pól, gdzie tu i ówdzie wznosiły się małe domki.

Było już ciemno.

Co to ma znaczyć? Dokąd obcy chce go zawieźć.

Otworzył okno i zawołała na woźnicę. Lecz ten udawał ,że nie słyszy. Powóz poruszał się prędzej, oddalając się coraz więcej od miasta.

— Stój, do dyabła! — zawołał doktór zły. Człowieku — czyś pojany? Dokąd jedziecie?

— Zaraz dojeżdżamy, panie doktorze! — odpowiedział obcy spokojnie. Trzasnął z bicza i konie ruszyły szybko.

— W tej chwili macie się zatrzymać! — rozkazał doktór· Jedziecie fałszywą drogą. Jesteśmy w polu.

—Panie doktorze! — brzemiała uspakająca odpowiedź. Za pięć minut jesteśmy na miejscu.

Nic nie pomogło, doktór musiał się do tego zastosować, bo nawet nie mógł wyskoczyć z powozu, tak prędko pędzono dalej.

Całe to zdarzenie zaciekawiło doktora. Począł przypuszczać, że się dał złapać w pułapkę. Nie znał wcale tej okolicy, nie wiedział dokąd jedzie. Z pięciu minut stał się kwadrans, podróż ta trwała już wogóle blizko godzinę. Nagle powóz się zatrzymał. Doktór Kloc natychmiast z niego wyskoczył.

Smutny dom stał przy drodze, otoczony wielkim ogrodme. Było ciemno· Dom zdawał się być niezamieszkalnym.

— Człowieku! — zawołał doktór groźnie do siedzącego na koźle. Co to znaczy? Dokąd mnie zawiozłeś? Jeżeli to głupi żart, bądź pewny, że drogo za niego zapłcisz.

— Panie doktorze, proszę się nie gniewać, — odpowiedział obcy z uśmiechem. Bałem się ze względu na oddalenie podać prawdziwy adres. To tu zamek — zna go pan doktór przecież? Pan chory — proszę iść prosto — i zadzwonić przy małych drzwiach na prawo.

Odpowiedź ta uspokoiła doktora.

— Należało podać prawdziwy **adres** — rzekł . W przyszłości nie róbcie **podobnych** żartów. Zrozumiałeś?

Przypuszczając, że woźnica czekać na niego będzie, udał się doktór wskazaną drogą. Znalazł drzwi i zadzwonił· Drzwi się otwarły.

W świetle lampy siennej zobaczył doktór zwyczajnie ubraną kobietę .

Ta go pozdrowiła poprosiła by wszedł i otworzyła drzwi pokoju restauracyjego, który był na pół ciemny i zupełnie pusty. Zdziwił się doktór Kloc, kiedy kobieta zaświeciła lampę, i tonem gospodyni, która chce obsłużyć gościa, spytała:

— Czy mogę służyć kolacyą?

— Zdaje mi się moja pani, że to nieporozumienie —rzekł zirytowany doktór. Jestem lekarzem. Zawołano mnie tutaj. Mąż pani jest chory?

Kobieta zdziwiła się. Usta jej drżały jakby chciała wstrzymać uśmiech· Widząc jednak poważną twarz doktora i ona spoważniała.

— Mój mąż panie doktorze jest — chwalić Boga! — zdrów! — oświadczyła. Po lekarza nie posyłaliśmy. Urządził sobie ktoś głupi żart.

— Ha. To ciekawa historya — zawołał wściekły doktór. Nauczę ja tego łajdaka!

Prędko opuścił izbę, za nim wyszła kobieta i zatrzymała się w drzwiach. Lecz przed domem powozu już nie było. Zdawało się zdziwionemu doktorowi, że zdala słyszy jeszcze turkot.

Zaklął i wrócił do izby. Było to dlań zagadką· Kto to ten tajemniczy człowiek i jaki był jego cel?

Zjawił się i mąż kobiety, właściciel tego domu. Był to lokal dla gości, uczęszczany głównie w lecie, coś w rodzaju ogrodu letniego. Gospodarz zrazu śmiał się serdecznie wnet jednak spoważniał, żałując doktora z powodu tej nieprzyjemnej przygody.

— W jaki sposób wrócę teraz do miasta? — rzekł doktór zrozpaczony. Muszę dzisiaj koniecznie odwiedzić jednego chorego.

— Bądź pan spokojny panie doktorze! — pocieszał go gospodarz człowiek jowialny i dobroduszny. Mój Wilhelm natychmiast odwiezie pana doktora do domu. Ale pan doktór wypije z nami jeszcze kieliszek wina.

Gospodarz zawołał parobka i kazał przygotować wóz. Po dziesięciu minutach odjechał doktór Kloc, dziękując gospodarzowi za serdeczne przyjęcie·

Stracił wskutek tej przygody dwie godziny. Woźnicy Wilhelmowi dał hojny napiwek i natychmiast zajechał do gospody, gdzie się znajdował Winter. Nie przeczuwał wcale jaka tu tymczasem rozegrała się straszna scena.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Na rozpaczliwy krzyk Katynki ożywiło się w domu. Zbliżały się szybkie kroki. słychać było wzburzone głosy. Piotr, który właśnie chciał się rzucić na dziewczynę przystanął. Z piersi Katynki dobył się ponowny okrzyk zgrozy.

Wtedy Piotr pomyślał o ucieczce. Jednym skokiem był za drzwiami. Na schodach słyszał już kroki gospodarza i kelnera· Ledwo miał tyle czasu, by się ukryć w ciemnym kącie w korytarzu.

Oni minęli go, nie spostrzegli łotra. Szli za krzykiem Katynki i znikli w izbie.

Szybko zeszedł Piotr ze schodów. Wysoki kołnierz płaszcza zasłonił mu twarz, z której Winter zdarł mu fałszywą brodę. Na dole zagadnął go portyer podejrzliwie:

— Co się tam w górze stało?

Piotr musiał mu odpowiedzieć, by nie wzbudzić podejrzenia.

—Nieszczęście! — zawołał. Nie słyszy pan krzyków· Jestem lekarzem biegnę do swego mieszkania po lekarstwo.

I prędko oddalił się i za kilka minut spotkał się z postacią zakapturzoną.

— Holla! — czy to ty, Piotrze?

— Tak panie! — odpowiedział zadyszany. Chodź pan prędko, bo za nami pewnie już pogoń.

— Do dyabła! — zawołał zakapturzony którym był hrabia Sinobrody. Czy się zamach nie udał?

— Przeciwnie udał się. Ale dziewczyna poczęła krzyczeć i zbiegł się cały dom. Uciekłem z wielką biedą.

Podczas tej rozmowy oddalali się szybko. Jeszcze pogoni nie było. Na rogu skręcili czekał tam powóz, do którego prędko wsiedli i odjechali.

Ludziom którzy weszli do izby chorego, przedstawił się straszny widok. Na kolanach koło łóżka Wintera leżała Katynka i łamała rozpaczliwie dłonie. Chory leżał na poduszkach, które były w nieładzie, bez ruchu, blady jakby nie żył. Opatrunek zdarty został podczas szamotania się z Piotrem z rany ciekła krew.

Na sofie leżała Marta nieprzytomna. I ona podobną była do trupa. Przybyli nie mogli zrozumieć, co się stało· Obcego w pokoju nie było.

Wtem zerwała się Katynka, rozpacz i śmiertelna trwoga malowała się na jej twarzy.

— Panie, pomocy! — zawołała do gospodarza. On umiera! Gdzie morderca? Ująć go. — Niedaleko być musi.

Z trudem dowiedzieli się od niej przybyli niewiele z tego, co sama wiedziała. Kelner oddalił się, by spowodwać pogoń za rabusiem. Przybyła też gospodyni i inni domownicy na rękach gospodyni leżała omdlała Katynka.

— Zawołajcie przedewszystkiem doktora Kloca! — rozkazał gospodarz swoim ludziom, którzy stali bezradni·

Parobek szybko odddalił się.

Gospodyni zaniosła nieprzytomną Katynkę do łóżka poczem zajęła się Martą. Zdjęła chustkę którą Piotr zawiązał jej usta i daremnie usiłowała przywrócić jej życie. Marta zdawała się nie żyć już uduszona trującym chloroformem.

W domu panowało zupełne zamieszanie kiedy wrócił ojciec Katynki. Przerażenie jego nie znało granic.

Wrócił też wnet parobek z wiadomością że doktora Kloca nie zastał w domu sprowadził więc innego lekarza.

Był to starszy już człowiek w tej dzielnicy ogólne znany i lubiany. Prędko rozeznał się w sytuacyi· Przedewszystkiem otworzył wszystkie okna by wyszedł zapach chloroformu.

Podczas gdy badał Martę nadszedł doktór Kloc. Już w sieni dowiedział się o wszystkiem od domowników.

Lekarze przywitali się krótko. Starszemu koledze zostawił doktór Kloc Martę, a sam zajął się Winterem. Na jego widok przestraszył się.

— Panie kolego! — zawołał. Proszę mi pomódz. Tu idzie o życie i śmierć.

Razem zbadali Wintera dokładnie· Spostrzegli próżną flaszeczkę i poznali ślady trucizny.

Doktór Kloc szybko napisał receptę, oddał gospodarzowi i zawołał:

— Do apteki! Niech to natychmiast sporządzą.

Parobek oddalił się z receptą.

Lekarze ostrożnie założyli nowy opatrunek. Winter nie dawał znaku życia.

— Boję się, że wszystko stracone — szepnął starszy lekarz.

I doktór Kloc wątpił w skuteczność zabiegów.

Kiedy parobek wrócił z apteki z lekarstwem wlał dr· Kloc w usta Winterowi ostrożnie pewną ilość kropel.

— Na razie nic zresztą zrobić nie można — rzekł. Czy pan kolega wie już, co to za trucizna.

— Nie, to jakaś dziwna trująca mieszania. Musi to aptekarz chemicznie zbadać.

Parobek pospieszył z flaszeczką, zawierającą resztki trucizny do apteki. Zależało bowiem na tem, by zbadać zawartość trutki.

Tymczasem lekarze zajęli się energicznie Martą, która również nie dawała znaku życia.

Szczególnie zajął się nią doktór Kloc. Wziął ją na ręce i zaniósł ostrożnie do drugiego pokoju· Tam złożył ją na sofie blizko okna, i rozpoczął swe zabiegi.

Po upływie godziny nie było jeszcze rezultatu. Ręce opadały mu ze znużenia, pot kroplisty ściekał mu z twarzy lecz nie ustawał w pracy.

Nareszcie poczęła Marta słabo oddychać. Lekarz zamknął okno, otulił Martę w ciepłą kołdrę.

— Uratowana — zawołał radośnie, patrząc na śmiertelnie bladą twarz dziewczyny. Zdaje mi się, że to cud. O Boże, tak się o nią bałem!

Zlekka ucałował ją w czoło. Z lubością głaskał jej włosy, potem udał się do pokoju, gdzie leżał Winter.

U łoża jego był jeszcze starszy lekarz· I Katynka, która tymczasem odzyskała przytomność, siedziała w pokoju zalewając się łzami.

Winter był jeszcze nieprzytomny: lecz od czasu do czasu poruszało się jego ciało, a pierś lekko falowała.

Przez chwilę naradzali się lekarze. Tymczasem zbadano i rozeznano truciznę. Można więc było użyć środków zapobiegawczych. Kiedy wszystko uczyniono, co tylko można było, oddalił się starszy lekarz.

Doktór Kloc został; chciał noc tę przepędzić u chorego. I Marta potrzebowała jego opieki. Gospodyni i Katynka sprowadziły Martę, która się jeszcze nie przebudziła do łóżka.

Teraz nareszcie mogła Katynka opowiedzieć co wiedziała·

— Poznałam go, tego łotra — wołała. To był Piotr, służący Sinobrodego.

— Katynko to niemożliwe — mówił ojciec. Pomyliłaś się. Piotr nie żyje.

I doktor Kloc nie wierzył temu.

— Nie, to być nie może — tłómaczył. Pani znajdowała się w takim stanie, że pomyłka jest zupełnie jasną.

— O nie, poznałam go stanowczo — twierdziła Katynka·

— Mam nadzieję, że panna Marta potrafi nam dać pewniejsze wyjaśnienia, rzekł lekarz. Co do Wintera — to on tak prędko nie wróci do zupełnej przytomności!

Katynka przestraszyła się i nanowo zalała się łzami.. Doktór starał się ją uspokoić chociaż stan Wintera budził w nim poważne obawy.

Nad ranem odzyskała Marta przytomność. Była jednak tak osłabioną, że dopiero po kilku godzinach mogła dokładnie opowiedzieć, co wiedziała.

Niedługo potem zjawił się komisarz kryminalny i prosił o informacye. Oświadczył, że

przez całą noc szukano za złoczyńcą, ale bez rezultatu. Opowiedziano mu wszystko, lecz i on nie wierzył, by Piotr był sprawcą zbrodni.

Zabrał fałszywą brodę i kapelusz i oddalił się.

Że zrabowano też portfel Wintera, tego dotychczas nie odkrył.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Tylko kilka godzin bawiła Walerya wieczorem u hr. Edmunda.

Z bólem poznała, że on zupełnie zmieniony, odkąd dowiedział się, że Agata żyje. Na nic nie zdały się jej sztuczki. Był zimny i zamknięty w sobie.

Zła i zrozpaczona przybyła do hotelu, gdzie miała zejść się ze swym bratem Sinobrodym i z Piotrem. Dochodziła dopiero godzina 10; jeszcze ich nie było.

— Czy się też udał zamach na Wintera? myślała niespokojna.

Nareszcie zjawili się jej wspólnicy. Tryumf szatański błyszczał w oczach Piotra.

— No, udało się? — spytała Walerya.

— Tak! — rzekł Sinobrody któremu Piotr po drodze zdał sprawę ze wszystkiego. Wprawdzie niecałkiem, ale możemy być zadowoleni.

— Jakto nie całkiem — spytała Walerya niechętnie.

— Opowiemy ci wszystko. Wybadaliśmy, że Gerharda niema w domu. Katynka miała także być chorą. Przy Winterze była zatem tylko Marta.

— No, więc? Sytuacya najdogodniejsza w świecie! Jaka mogła zajść przeszkoda?

— Posłuchaj, tymczasem dowiedziałem się, że doktór Kloc jeszcze wieczorem przyjdzie. Należało więc, znaleźć sposób, by się nie zjawił w niestosownej porze!

— I to się nie udało? — przerwała Walerya. Doktór Kloc spostrzegł Piotra?

— Nie, udało się znakomicie — zaśmiał się Sinobrody. Przekupiłem fiakra i posłałem go po doktora Kloca. Miał go wezwać do chorego, a dla pewności, że doktór nie odmówi, miał mu podać blizki adres. W rzeczywistości zaś miał wywieść doktora za miasto.

— A ten plan udał się?

Znakomicie. Fiakier przywdział wytworny mundur, który się wystarałem. Powiedziałem mu, że chodzi o żart, o zakład, a pieniądze uczyniły swoje. Jestem pewny, że wywiązał się zupełnie dobrze ze swego zadania.

— A zatem nie było lekarza, podczas gdy Piotr wykonywał swój plan?

— Nie, prawdopodobnie i teraz go jeszcze niema. Bóg wie dokąd go fiakier zawiózł.

— Nie pojmuję więc, dlaczego plan miał się nie udać zupełnie.

Może was spłoszył Gerhard lub domownicy? zwróciła się Walerya do Piotra.

— Nie, wszystko przecież szło gładko — odpowiedział tenże. Nie trudno uczyniłem Martę nieszkodliwą a ponieważ Katynka w sąsiednim pokoju pogrążona była w głębokim śnie...

— Przedewszystkiem — przerwała Walerya niecierpliwie — macie list?

Piotr potwierdził i wyciągnął portfel Wintera.

....Spodziewam, się że tu będzie — rzekł.

— Nie przeszukaliście portfelu?

— Nie, nie było czasu!

Gwałtownie wydarła mu Walerya portfel i poczęła w nim szukać drżącą ręką. Wysypała jego zawartość na stół.

Znalazła rozmaite listy, ważne zapiski, także kilka tysięcy w banknotach — lecz listu Agaty nie było. Darmo przeszukała portfel jeszcze raz. Tego, czego tak pragnęła, nie znalazła.

Radość jej przemieniła się w jednej chwili w rozczarowanie i wściekłość.

— Gdzie list? zgrzytnęła. Głupcy! Czegoście dokazali? Nic, nic — wołała i rzuciła portfelem.

Piotr i Sinobrody byli rozczarowani i zrozpaczeni.

— Osłem jesteś! — zawołał też Sinobrody. Należało się przekonać, czy list jest w portfelu!

— Ale nie mogłem przecież przypuszczać — zresztą nie było czasu — bronił się Piotr. Winter zbudził się — musiałem z nim wprost szamotać się. A potem — potem przybyła Kat.

Zamilkł.

— Głupiec ten wszystko popsuł — zawołała Walerya. Powinieneś był sam podjąć się tego, Robercie!

I Sinobrody nie oszczędził Piotrowi wyrzutów. Piotr próbował się bronić.

Opisał dokładnie swe bohaterskie czyny i rzekł niechętny:

— Teraz wiecie wszystko. Wątpię, czy wy panie potrafilibyście więcej zrobić. W przyszłości nie narażę się na niebezpieczeństwo. Zrobiłem więcej, niż mogłem.

— Nie, nic nie zrobiłeś! — zawołała Walerya. I komisarz żyje! Co za szaleństwo, chcieć

go zmusić, by wypił truciznę. Nie mieliście sztyletu?

—No, on przecież umrze z tej trucizny — bronił się Piotr· Prawdopodobnie już nie żyje.

— Wątpię — rzekła Walerya pogardliwie. A jeżeli nie umrze? Co wtedy? On was przecież poznał, także Katynka was poznało. Wściekła jestem. Cały plan się nie udał i przepadł już.

Sinobrody stanął po stronie siostry. Piotr oświadczył, że w przyszłości nie da się użyć do podobnych usług. Był zły, że go taka nagroda spotyka. Kiedy pierwsze gniewy minęły przekonali się też Sinobrody i Walerya, że Piotra nie można zbytnio winić. Przywrócono zgodę i Walerya poczęła przeglądać papiery Wintera.

Były to dla nich ważne notatki, bo komisarz wszystko zapisał, co dotychczas zbadał i jakie z tego może wysnuć konsekwencye·

Gdyby te zapiski po Winterze dostały się w ręce innemu komisarzowi, byłyby one niewątpliwie niebezpieczne dla Waleryi i Sinobrodego.

— W każdym razie szczęście to, że Piotr zabrał przynajmnie te papiery — rzekła Walerya. I jeżeli Winter tylko umrze, jestem zadowoloną. Ale list Agaty muszę mieć. Jak długo listu nie mam, nie czuję się bezpieczną a śmierć Wintera także się wtedy nie na wiele zda.

— Tak, ale gdzie ten list? Gdzie on go ukrył? — spytał Sinobrody. Może go już oddał hrabiemu?

— Nie, to niemożliwe. Byłam dzisiaj u Edmunda. Hrabia nie milczałby, gdyby coś wogóle wiedział o jakimkolwiek liście Agaty.

Przez chwilę zapanowało milczenie· Walerya pogrążona była w zadumie, układała nowy szatański plan.

— Mój spokój i moja przyszłość zależą od tego listu — rzekła nareszcie stanowczo. Muszę go dostać i sama się postarać, by go wydrzeć komisarzowi.

— Ty? — zawołał Sinobrody zdziwiony. Co chcesz uczynić?

— Jeszcze nie wiem. Ale skorzystam z pierwszej sposobności. Kiedy hrabia pójdzie znowu do komisarza — a uczyni to w każdym razie jutro — ja go odprowadzę.

— I masz nadzieję, że wtedy list dostaniesz?

— Tak! — rzekła stanowczo.

. .Sinobrodemu nie podobał się ten plan.

— Nie bądź nieostrożną — upominał, bo może komisarz odzyskał przytomność i niewątpliwie oskarży cię wtedy w twej obecności·

Walerya wzruszyła ramionami.

— Muszę spróbować. Jeżeli komisarz jeszcze żyje — no, to znajdę sposobność, by skończyć nieudałe dzieło Piotra.

ROZDZIAŁ 81.

MIASTO DYAMENTOWE.

Balon wznosił się coraz wyżej. Bez ruchu leżały obie kobiety i farmer w gondoli. Zdawało się, jakby w nich nie było życia. Nad nimi wznosiło się czarne niebo.

Powietrze było zimne· Mgły coraz wyżej się wznosiły, objęły balon, i zakryły słońce.

Balon począł opadać. Szybko spadał w niższe warstwy powietrza — coraz niżej — w sine morze mgieł. Zaledwie dwa tysiące metrów nad poziom ziemi wznosił się teraz.

Znowu zajaśniało dookoła słońce, torując sobie drogę przez masy mgliste w górze. Jego promienie wysały wilgoć i w jednej chwili podniósł się okręt powietrzny w wyższe warstwy, osiągnął jednak mimo to zaledwie trzy tysiące metrów.

Minął dłuższy czas. Balon mknął szybko. Było południe i słońce piekło dotkliwie.

Farmer zbudził się i podniósł z trudem·

Przez chwilę oparł się, jakby oszołomiony — o gondolę patrzał w dal. Pełną piersią oddychał ciepłem powietrzem. Z radością rozeznał, że balon nie mknie więcej w owych mroźnych przestworzach, gdzie wszelkie życie zginąć musi. Widział głęboko na dole znowu ziemię. Czuł się, jakby nowonarodzony.

— A jego towarzyszki — czy one jeszcze żyją?

Nachylił się nad niemi, śledził je bacznie. Nie dawały znaku życia.

— Wielki Boże! — zawołał żałośnie. Obie nie żyją!

Zdjął go lęk. Wysoko mknął w powietrzu — w towarzystwie trupów·

— Ale — a jeżeli jeszcze żyją? Jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Lecz jak pomódz? Chyba musi zejść na ziemię — między ludzi.

Jak opętany zerwał się i pociągnął wentyl. Balon począł opadać — gwałtownie — coraz szybciej. Zdjęła go trwoga. Puścił linę, wentyl zapadł — lecz balon ciągle opadał. Porwał go silny powiew wiatru i gondola poczęła się chwiać.

Przerażony patrzał farmer na ziemię. Balon wznosił się teraz nie wysoko nad nagiemi, dzikiemi skałami — wśród pustyni, bez wody. Gdzie okiem sięgnąć — nigdzie osady ludzkiej· Wylądowanie to oznaczało pewną śmierć.

Już dotknęła się gondola stromej skały,

— jeszcze kilka minut, a rozbije się o wystające kamienie. Farmer chwycił za nóż. Zrzucił dwa worki piasku i balon znowu uniósł się w wyżyny w dumnym locie. Lecz nie na długo Zdawało się, jakby siły jego były wyczerpane. Farmer zrzucił znowu trzy worki piasku. i okręt powietrzny wzniósł się teraz na wysokość trzy tysięcy metrów.

Farmer znowu nachylił się nad kobietami. Tu w tej strasznej samotności, wysoko w chmurach, myśl, że one nie żyją, była podwójnie straszną. Nie chciał i nie mógł w to wierzyć.

Silny· odważny ten człowiek, zapłakał jak dziecko. Pokochał swe towarzyszki jak siostry. W tej chwili, było dla niego obojętną rzeczą, czy sam kiedyś wyląduje na ziemi.

Lecz jeszcze nie tracił nadziei. Może zobaczy gdzieś osady ludzkie i może uda mu się ocalić te nieszczęśliwe kobiety. Lecz ciągle widać było tylko nagie skały i pustynie na odległość kilku mil.

Nareszcie po upływie kilku godzin zajaśniały na horyzoncie srebrne pasma rzek. Wynurzyły się też wyższe góry i lasy.

Farmer zrzucił znowu balast, bo balon opadł o jakie tysiąc metrów. A i na ziemi obraz tymczasem zmienił się· Góry wznosiły się coraz wyżej. Czasem zdawało się, że balon zawiśnie na ich wierzchołkach. Aby tego niebezpieczeństwa uniknąć, zrzucił farmer ostatni balast tak że balon znowu wzniósł się znacznie w górę.

Kierunek jego teraz był inny, bo inny był wiatr. Szybko mknął po przez góry. Lecz ziemia była jeszcze zawsze skalistą pustynią, tu i ówdzie tylko zajaśniała oaza i na pół wyschłe rzeki.

Przez tę smutną krainę ciągnęła się jednak linia kolei żelaznej. Zwolna poruszał się w dole pociąg. Niedługo znikł za górami.

A kiedy znowu wśród oazy wynurzyły się dachy małego miasteczka czy też wsi, postanowił farmer wylądować· Spodziewał się, że pomoże mu w tem zwieszająca się przy gondoli kotwica — uwolnił więc kotwicę z jej stałego położenia.

Nim jednak mu się to udało, balon minął ową miejscowość i wznosił się znowu nad skalistą pustynią.

Farmer pocieszał się teraz nadzieją, że wnet znowu zobaczy miasto lub wieś. Balon mknął teraz wdłuż linii kolejowej.

Spuścił na dół kotwicę, przymocowaną do grubej bardzo liny, długiej na jakie pięćdziesiąt metrów, podczas gdy balon wznosił się w powietrzu w wysokości mniej więcej dwa tysiące metrów.

Ciekawie rozglądał się farmer po okolicy. Już zapadał wieczór, słońce chyliło się ku zachodowi, a balon począł zwolna opadać. Wznieść go w górę, o tem nie było więcej mowy, bo wszelki balast już zrzucony został, a kotwicy nie chciał farmer i nie mógł też tego użyć.

..Daremnie wyglądał za jakąś osadą ludzką Charakter kraju był coraz dzikszy. Kolej żelazna przecinała góry tor prowadził przez mosty potężne, ale stacyi nie było widać· Aż tu, kiedy już zmrok poważnie zapadał, zobaczył farmer w oddali zarysy większego miasta.

Gdzie byli? Cała ta okolica była dlań zupełnie obcą. Miasto zbliżało się coraz bardziej. Już mógł rozróżnić pojedyńcze zabudowania i grupy ludzi. Pociągi ruszały w rozmaite strony, słyszał wyraźnie gwizd lokomotywy. Potem głuchy huk armatni — za chwilę znowu, ale te dochodziły go z oddali, stamtąd, gdzie leżało miasto.

Teraz wznosił się balon tuż nad małą miejscowością. Ludzie zauważyli go już.

Farmer ujął za linę, aby otworzyć wentyl, lecz zawahał się. Tam w dole poznał gromady żołnierzy, w promieniach zachodzącego słońca błyszczała broń· Dookoła potężne wały, wszędzie kanony.

Zezwątpienia było to angielskie wojsko, które zajęło miasteczko. Pomyślał więc osadnik że tutaj wylądować nie może. Balon pomknął dalej. Rozległy się strzały. Wnet jednak znikł cały obraz w zmroku. Dwadzieścia cztery godzin trwała już ta jazda powietrzna.

Tymczasem poczęło się coraz wyraźniej wynurzać owo wielkie miasto. Jeszcze z dziesięć minut, a balon zawiśnie nad jego dachami. Ale czy tu może wylądować? — rozważał farmer· Pewnie i tu jest wojsko angielskie.

Spoglądnął na dół. Na górach i pagórkach dookoła obozowała cała armia. Wielkie i małe kanony zwrócone były na miasto i jego szańce. Farmer wydał okrzyk radości. To Burowie oblęgali miasto. Tak, tu wyląduje. Tu u Burów był on bezpieczny i znajdą tu też opiekę nieszczęśliwe kobiety, jeżeli jeszcze żyją.

Jeszcze tylko pięćset metrów wznosił się balon nad powierzchnią ziemi. Teraz odpowiednia chwila· Teraz w dół.

Sięgnął po linę wentylową — nagle zerwał się przerażony. Za nim rozległ się głos Józefy. Odwrócił się: przed nim stała ta, którą uważał za nieżywą. Jakby nie dowierzał swym zmysłom, wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem opanowała go bezgraniczna radość i zapomniał o wszystkiem.

Ale czy też Gertruda żyje? Leżała jeszcze bez ruchu, w tej chwili nie można się było nią

zająć. I tak już przeoczył najodpowiedniejszy punkt. Trzeba minąć miasto i wylądować za szańcami angielskimi.

Lecz czy balon podąży jeszcze tak daleko. Było to bardzo niepewne, bo balon ciągle opadał· Należało się też obawia, że Anglicy nie pozwolą, by balon minął miasto. Jedyny strzał mógł spowodować spad balonu. Wtedy są zgubieni.

Na szańcach spostrzeżono już dawno balon i jego zjawienie się wywołało zrozumiałe zaciekawienie i niepokój i zamięszanie. Ponieważ Burowie ostrzeliwali balon, więc Anglicy myśleli, że to angielski oddział balon wysłał i że on przynosi wiadomość dla nich. Na razie więc nie padł żaden strzał, śledzono tylko bacznie kierunek balonu, który mknął coraz wolniej.

W zmorku nie można było z ziemi rozróżnić siedzących w balonie. Puszczono rakietę, lecz ta nie dosięgła jeszcze wysokości balonu. Następne rakiety wznosiły się coraz wyżej dookoła balonu, jakby ogniste meteory. Śledzący balon zobaczyli w gondoli tylko jednego człowieka·

Józefa przykucnęła za radą farmera, tak że jej nie spostrzeżono. Farmer jednak wzbudził podejrzenie. Jego wygląd zdradzał, że nie jest angielskim oficerem, jak przypuszczano.

W środku rynku miasta stała grupa oficerów i lupą śledziała balon. Ze wszystk. stron napływali ludzie. zwracano na wszystko uwagę, i coraz częściej twierdzono, że powietrzny ten statek należy do Burów. Prawdopodobnie zawiera bomby dynamitowe, które chce rzucić na miasto.

Niepokój wzrastał, Balonu, który rzekomo groził niebezpieczeństwo, nie spuszcznoo z oka.

Jednak zdania były podzielone, chociaż, przeważało, że balon należy do nieprzyjaciół· Dano sygnał i kilka ślepych strzałów, by kierownikowi balonu dać do poznania, że natychmiast ma wylądować.

Farmer poznał groźne niebezpieczeństwo. Atoli nie myślał o tem wcale, by spełnić rozkaz Anglików. Jak jednak ocalеć?

Balon tymczasem tak opadł, że kotwica dotykała się już prawie dachów. Jeszcze kilka minut, a utknie na nich.

— Odetnij pan linę —radziła Józefa. Musimy kotwicę ofiarować. Balon znowu się podniesie i będziemy ocaleni.

Farmer wahał się· Zaniepokojony spoglądał na balon, który stracił już dużo gazu, a jego postać kulista przybrała kształt gruszki.

— Zrzucenie kotwicy nie starczy — odpowiedział. Jeżeli balon nie podniesie się prędko do tej wysokości, że go kula nie dosięgnie, nie zyskalibyśmy zgoła nic.

Kotwica dotykała już dachów najwyższych domów.

W każdej chwili mógł utknąć na kominie lub też na innem sterczącem przedmiocie. Na dole hałas wzrastał, ulice roiły się od ludzi.

— Musimy się na coś zdecydować — oświadczył nagle farmer. Za wiele osób jest w balonie. Ja wysiądę· Wtedy pani i Gertruda potraficie się może ocalić.

— Co za szaleństwo! — zawołała Józefa. Chce pan zeskoczyć?

— Broń Boże! Po linie kotwicznej spuszczę się na dachy. Może potrafię się ukryć, wśród ciemności.

— Nie, nie! — Nie czyń pan tego, na miłość Boską! Nie opuszczaj nas pan. Uczyń, jak radziłam, balon wzniesie się w górę.

— Nie, pierwsza kula będzie dla nas zgubną. Mój plan jest jedynie możliwy — rzekł farmer stanowczo·

— Ach, co się z nami wtedy stanie? — biadałał Józefa. Jak i gdzie wylądujemy?

— Nie długo będziecie się jeszcze wznosić. Skoro miasto będzie za wami i zobaczycie ogniska Burów, pociągnij pani za wentyl. Spostrzegą panią i przyniosą wam pomoc. Zrzuci pani linę — jest tam jeszcze jedna — a ludzie ściągną nas z pewnością.

— Nie tylko o siebie i Gertrudę się boję, — odpowiedziała Józefa, lecz i o pana, kochany przyjacielu. Porzuć pan swój szalony zamiar. Wpadnie pan w ręce Anglików, którzy cię jako podejrzanego każą rozstrzelać.

— Tak źle nie będzie — rzekł farmer z uśmiechem· Lecz nie mamy czasu do stracenia. Bądź pani zdrową! Z pomocą Bożą zobaczymy się pewnego dnia.

Wychylił się z gondoli i podał Józefie rękę na pożegnanie. Ona starała się go jeszcze zatrzymać.

— Przyjacielu, zostań u nas! — błagała ze łzami. Poświęcasz dla nas swe życie. Nie czyń tego.

Jeżeli panią to ocali, Józefo — odpowiedział drżącym głosem, umieram chętnie. Bądź pani zdrową! Niech cię Bóg ma w swej opiece.

Prędko puścił jej rękę, ujął grubą linę i zawołał jeszcze:

— Kiedy będę na dole, przetnij pani prędko linę.

Rzucił swój nóż do gondoli i zniknął w tej chwili. Okrzyk zgrozy zamarł na ustach Józefy. Wychyliła się z gondoli, zobaczyła farmera na linię

Nagle — balon stanął. Kotwica utknęła na wieży narożnego domu. Na ulicy zgromadził się tłum, przez który przeciskali się oficerowie i żołnierze, wszyscy wpatrzeni w niecierpliwem oczekiwaniu w balon.

Kiedy farmer opuścił gondolę i spuścił się po linie, tłum zgromadzony nie mógł postrzymać okrzyku. Spostrzeżono też teraz w balonie postać kobiecą, zdziwienie nie miało granic. Czy i ta kobieta pójdzie za przykładem odważnego mężczyzny?.

A zdawało się zanosić na to· Rękoma trzymała Józefa silnię linę, jakby w każdej chwili gotową była opuścić gondolę.

— Spuszczają się po linie. Co za szaleństwo, ozwały się liczne głosy wśród tłumu. Kobieta ta zginie!.

— Pewnie! — wołano. Co to za ludzie? Skąd przychodzą?

Farmer był już na dachu.

Wtem Józefa, odzyskawszy odwagę, chwyciła za nóż i silnym cięciem przecięła wyprężoną linę, która, — jakby kolosalny wąż — potężnym łukiem opadła na ziemię. A balon pozbywszy się teraz ciężaru liny i kotwicy, uniósł się w górę.

Odzwały się tysięczne głosy·

— Ognia! — zakomenderował oficer.

Kiedy jedak padły strzały, balon zniknął w ciemnościach.

W jakim on wzniósł się kierunku? Czy nieszczęsne kobiety dostaną się też szczęśliwie do oboz Burów?

Te myśli niepokoiły farmera, który jednak musiał teraz pomyśleć i o swej groźnej sytuacyi. Tu na dachu nie mógł zostać, musi się ukryć, bo niedługo przybędą tutaj żołnierze angielscy.

Na czworakach, zgięty, by go z dołu nie widziano, przesuwał się po dachu, który w środku był zupełnie płaski; tak że nie bał się ze spadnie. Wnet dostał się na kraniec dachu, dach sąsiedni był o kilka stóp niższy i wązką ulicą odzielony od sąsiedniego domu narożnego.

Przez chwilę tylko zawahał się farmer. Już słyszał za sobą kroki i głosy żołnierzy, którzy go szukali. Zdecydowany, odważył się na skok, udało mu się i szybko przesuwał się teraz po drugim dachu·

Nikt go widocznie nie spostrzegł. Żołnierze szukali go w przeciwnym kierunku. Zyskał więc znaczną odległość. Tymczasem zapadła zupełna noc i tu na dachach było tak ciemno, że trudno było widzieć daleko.

Wędrówka po dachach odbywała się dalej znowu aż do narożnej kamienicy. Tu farmer rozglądnął się ostrożnie. Ulica nie była ożywioną, wszyscy cisnęli się około tamtego rogu, gdzie zobaczono balon.

Lecz pogoń zbliżała się. Nie mógł tu dłużej zostać, a dom ten w szeregu był ostatnim·

Musiał więc zeskoczyć, lub w inny sposób dostać się na ulicę.

Znalazł otwór, przymknięty drzwiami spustnemi. Otworzył je, i bez trudu dostał się na strych. Zamknął za sobą drzwi spustne, zaświecił zapałkę, wnet znalezł też wyjście na schody.

Działał ostrożnie, bez hałasu. Już był na schodach. Wtem zobaczył wiszący na ścianie płaszcz oficerski i należącą do tego czapkę.

Było to szczęśliwe bardzo odkrycie· Prędko zarzucił na siebie płaszcz i ubrał czapkę. Tak przebrany mógł bezpiecznie zjawić się na ulicy, bez obawy, że go ktoś zaczepi.

Zszedł ze schodów, nikogo nie spotkał, lecz posłyszał głosy. W domu tym zdaje się mieszkali wyłącznie żołnierze.

Brama była otwarta. Wyszedł na ulicę i szybko skierował swe kroki w odludną uliczkę, gdzie tylko czasem nieliczne spotykał grupy żołnierzy.

Dokąd jednak miał się schronić? W nocy był jeszcze bezpiecznym lecz za dnia przebranie jego nie bardzo go ochroni, bo wnet każdy pozna, że nie jest oficerem. Musiałby zatem zrzucić płaszcz i czapkę, a jako obcy nie łatwo znajdzie schronienie. Niebezpieczeństwo groziło mu chociażby nawet nikt nie domyślił się że to on spuścił się po linie z balonu.

Należało więc spróbować przedostać się z miasta do obozu Burów·

Zdawało mu się to nie zbyt trudnem, bo w przebraniu oficerskiem mógł pokazać się na szańcach, nie wzbudzając żadnego podejrzenia.

Szedł prędko w prostym kierunku. Jeszcze nie miał pojęcia, w jakiem był mieście. Nagle stanął na wolnym placu, przed nim wznosił się wysoki, potężny budynek: dworzec kolejowy.

Na placu obozowało mnóstwo żołnierzy. Pełno tu było wozów, coraz to nowe przybywały kanony.

Przez chwilę przystanął farmer niezdecydowany. Potem odważnie minął szeregi żołnierzy, zdążając na dworzec. Nikt go nie zatrzymał, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Szczęśliwie dostał się na peron·

I tu wrzało życie. Wszędzie — gdzie okiem sięgnąć — wojsko angielskie. W salach dworca leżeli ranni. Połączenie ze światem było zupełnie odcięte.

Z osaczonego miasta nie odchodził żaden pociąg. Żaden też nie nadjeżdżał. Lokomotywy i wozy stały na torach, lecz wozy osobowe służyły żołnierzom za mieszkanie.

Z napisów na dworcu dowiedział się farmer, że jest w mieście dyamentowem, Kimberlay. Nigdy tu nie był, tu dokąd ludzie wszelkich narodowości dążyli masami, szukając za dyamentami w okolicy.

Teraz, podczas oblężenia, kopalnie dyamentowe, zamienione były na okopy· Tu teraz grzmiały kanony.

Farmer opuścił dworzec. Długą ulicą dostał się na ową dzielnicę, w której mieszkali robotnicy kopalniani. Spotkał tu grupę piechoty, maszerującą na szańcy. Połączył się z żołnierzami, którzy sądząc, że jest oficerem, nie zwracali nań zresztą uwagi. Po uciążliwym marszu przedostali się na szańce.

Tu byli już najrozmaitsi żołnierze. Wszędzie stały kanony.

Tu i ówdzie były ognie. Czasem rozlegał się z oddali głuchy łoskot, gdzie obozowali Burowie i nad głowami żołnierzy pomknął granat.

Uważnie przypatrywał się farmer z bezpiecznego miejsca obrazkom wojennym. Działo się tu niewątpliwie coś nadzwyczajnego, bo panowało dziwne zamięszanie i coraz nowe oddziały wojsk nadciągały z miasta.

Ze słów stojących opodal oficerów wywnioskował farmer, że zamierzony jest napad.

Było to oficerowi na rękę, bo z żołnierzami mógł się dostać na wolne pole i tu wymknąć się z linii bojowej.

Zdawał sobie atoli też sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło. Dotychczas nikt go wprawdzie nie zagadnął, lecz biada mu, jeżeli wzbudzi podejrzenie. Skoro odkryją, że nie jest oficerem, i wogóle że nie jest żołnierzem angielskim, załatwią się z nim na krótkiej drodze, uważając go za szpiega nieprzyjacielskiego.

Należało zachować wszelką ostrożność, ale działać też odważnie i stanowczo, by nie wzbudzić swem postępowaniem podejrzenia·

Pierwsze odziały wymaszerowały. W chwilę później ruszył jego odział. Cicho, bez trąbki odbywał się wymarsz, chciano znienacka uderzyć na wroga.

Farmer rozglądnął się. Tylko nieliczni żołnierze zostali w obozie.

— Naprzód! — pomyślał. Trzeba spróbować.

I prędko połączył się z ostatnim odziałem.

Nagle spostrzegł obok siebie oficera, który go zmierzył badawczym wzrokiem i tak zagadnął:

— O, kolega w płaszczu chce iść w bój?

ROZDZIAŁ 82,

GROŹNE NIEBEZPIECZEŃSTWO·

Trzeciego dnia po napadzie na Wintera przybyli do rezydencyi do hotelu "pod księciem Leopoldem" dwaj panowie. Chcieli mówić z właścicielem. Kazano im iść do jadalni, gdzie się właściciel właśnie znajdował.

Ten spytał uprzejmie, czego żądają. Jeden z nich, ten sam komisarz, który zajmował się sprawą Wintera i szukał za nieznanym złoczyńcą, rzekł:

— Jestem komisarzem komercyalnym i chciałbym zadać panu kilka pytań. Przypomina sobie pan, że przed ośmiu dniami mieszkał w pańskim hotelu radca kryminalny Wendland?

— Tak, pamiętam, — odpowiedział gospodarz. Pan radca krótko tu zabawił w odwiedzinach u swego zięcia, hrabiego Wildenfels, ale prędko wyjechał.

— A czy to pewne, że pan radca rzeczywiście wrócił tu do zamku Wildenfels i potem wyjechał? — spytał towarzysz komisarza, młody jeszcze człowiek.

Zdziwił się gospodarz i rzekł:

.. —Tak, naturalnie! mój panie· Czy może pana radcę spotkało nieszczęście.

— Tego nie wiemy — odpowiedział komisarz. Pan ten, tu jest prokurzystą radcy. Przyjechał do rezydencyi, by szukać za swym panem, bo radca zniknął od czasu swego wyjazdu stąd.

Boże mój! — zawołał przerażony gospodarz. Co się stało?.

— To zagadka — odrzekł prokurzysta. Czekałem na wiadomość od pana radcy. Aż tu pewnego dnia nadeszły jego kufry. On sam nie wrócił ani też nie napisał· Telegrafowałem do niego, depesza jednak wróciła z dopiskiem "wyjechał". Nie mogę tego pojąć i zwróciłem się do tutejszej policyi.

I dla gospodarza było to zagadką. Nie mógł dać żadnych wyjaśnień.

— Może mój personal dostarczy panom pewnych punktów wytycznych — rzekł. Może pan radca komercyalny uczynił jaka wzmiankę o swych zamiarach. Musi on przecież gdzieś być.

Komisarz wzruszył ramionami.

— Dobrze, — rzekł, przesłuchamy pański personal. Proszę zawołać tych, którzy widzieli radcę i mówili z nim po jego powrocie z zamku Wildenfels· Przedewszystkiem zaś woźnicę, który zawiózł go na zamek.

Personal sprowadzono: woźnicę, kelnera, portyera i parobka. Komisarz wytłómaczył im pokrótce, o co chodzi. Ludzie ci byli zdziwieni na wiadomość, że radca zniknął.

Komisarz zwrócił się najpierw do kelnera:

.. — Kiedy radca wrócił z zamku, czy wspominał dokąd wyjedzie, albo co uczyni?

— Nie, wogóle nic nie mówił. Był dziwnie zmieniony, przeziębnięty i ochrypły. Trudno go było zrozumieć, Wydał mi się bardzo dziwnym.

— O ile? — spytał komisarz. ..

— Cały był dziwny. Siedział w ciemności, w futrze, twarz cała zakryta· Był przeziębnięty wprawdzie, ale w pokoju było ciepło. Zdawało mi się, — krótko mówiąc, — że to nie on.

Te słowa kelnera zajęły żywo komisarza.

— Niech nam pan wszystko dokładnie opowie. Proszę nie przemilczeć nawet najdrobniejszego szczegółu.

Kelner spełnił rozkaz; opowiedział, jak radca wrócił do zamku, co czynił i jak nagle wyjechał.

— To mnie najwięcej zdziwiło, — mówił, Wieczorem, kiedy pan radca tu mieszkał, odwiedził go pan komisarz Winter. Na drugi dzień pojechał radca na zamek Wildenfels· Chciał wrócić jeszcze tego samego wieczoru, wrócił jednak dopiero na drugi dzień wieczorem. W międzyczasie spytał się o niego pan Winter i zostawił swą kartę, oświadczając że przyjdzie jeszcze, by go zatem pan radca oczekiwał.

— Ale pan Winter nie zastał go już więcej, kiedy wrócił następnego wieczora? — spytał komisarz.

— Nie, pan radca wyjechał był właśnie na dworzec. Bardzo mu się spieszyło.

— Czy nadeszła może jaka wiadomość?

— Nie!

— Hm! jaką odpowiedź zostawił radca dla pana Wintera?

— Powiedział tylko, że mu napisze.

— Nic zresztą, to ciekawe! Wszystko tak wygląda, jakby radca z rozmysłu unikał pana Wintera.

— I mnie się tak zdawało, — mówił kelner. Kiedy oddałem panu radcy kartę Wintera, był przestraszonym. Zaraz potem oświadczył, że musi wyjechać· Bardzo się spieszył, a przecież miał jeszcze przeszło pół godziny czasu do odejścia pociągu.

— A kiedy pan Winter nadszedł, co panu powiedział?

— Był bardzo zdziwiony. Zdaje się że pojechał za panem radcą.

— Uczynił to — wtrącił portyer, w nadziei że spotka radcę jeszcze na peronie.

— Może się też to stało. Nie wiemy tego, dotychczas pan Winter nie mógł nam dać żadnych wyjaśnień. Wógóle jest rzeczą niepewną czy nam pan Winter potrafi dać wyjaśnienia —rzekł komisarz posępnie i zwrócił się do woźnicy:

— Wyście zawieźli pana radcę na zamek Wildenfels i zostaliście tam przez noc, co?

— Tak, pan hrabia nie chciał puścić tego dnia pana radcy z powodu złego powietrza. Przenocowałem w pokoju służebnym, Panowie mieli jeszcze czuwać do późnej nocy i pili dużo wina.

— Tak? Więc hrabia przyjął radcę uprzejmie?

....— Ponadto nic nie wiecie? Czy na zamku nic nie obudziło w was podejrzenia?

— Chyba nie! Tylko w nocy, może około pierwszej godziny — przebudziłem się nagle· Zdawało mi się, że słyszałem przeraźliwy krzyk Wstałem i otworzyłem okno. Cicho było wszędzie. Pomyliłem się, albo śniłem.

—Być może, rzekł komisarz znacząco. Kiedy widzieliście radcę na drugi dzień?

— Gdyśmy wyjeżdżali. Wsiadł do sań cały zakapturzony. Twarzy jego nie widziałem. Hrabia oświadczył, że pan radca okropnie się przeziębił. i kazał prędko jechać.

— Czy pan radca mówił z wami po drodze?

— Ani słowa!

— Czy wam nic nie wpadło w oko? Czy pan radca był zmienionym, jak to mówi kelner?

—No, po prawdzie, — rzekł woźnica z wahaniem — wydał mi się mniejszym, niż dzień przedtem· Poznałem go po futrze, które pierwej sięgało ledwo kolan, a teraz opadało w śnieg.

— A może śnieg był głęboki?

— Nie, przeciwnie! Śniegu prawie nie było przed bramą.

Nikt nie rozumiał co znaczą te niby obojętne pytania.

Prokurzysta niecierpliwił się i rzekł posępnie:

.. —Wszystko daremnie, panie komisarzu! Od tych ludzi tu nie dowiemy się niczego. To pewne, że pan radca wrócił z zamku do Wildenfels i natychmiast wyjechał. Co się z nim stało, Bóg jeden wie. Spotkało go w drodze nieszczęście, boję się.

— Wiedzieliśmy o tem już dawno — odpowiedział komisarz. Nic w to nie wierzę· Ze

znania tych ludzi obudziły we mnie ciekawe przypuszczenie.

— Co takiego? — spytał prokurzysta.

Komisarz nie odpowiedział, lecz zwrócił się znowu do woźnicy i zapytał:

— Wyście zawieźli pana radcę na dworzec?

— Nie, wziął dorożkę!

Portyer i parobek znali owego dorożkarza. Komisarz zanotował sobie numer i adres jego. Potem oddalił się z prokurzystą i udał się na stanowisko dorożkarzy.

Tu znalazł owego dorożkarza. Ten oświadczył, że sobie przypomina dobrze pana radcę. Zapamiętał jego kosztowne futro. Na dworcu pan radca wysiadł i znikł mu z oczu.

— Zawieźcie nas na dworzec — rozkazał komisarz i wsiadł do powozu.

Prokurzysta zawahał się.

— Nie ulega wątpliwości, — rzekł, że radca wyjechał. Niepotrzebnie się pan trudzi.

— Panie Herman, — odpowiedział Greif. Musimy się, co do tego upewnić. Proszę jedź pan ze mną.

Lubo niechętnie, uczynił prokurzysta zadość jego woli.

Na dworcu zaciągnął komisarz informacyi u urzędników kasowych i stacyjnych. Każdy pamiętał wpadającą w oko postać radcy w kosztownym futrze, lecz nie widziano, by wsiadł do pociągu. A jeden z urzędników oświadczył, że radca znowu opuścił dworzec.

Ta wiadomość zdziwiła i prokurzystę.

Komisarz uśmiechnął się dziwnie. Zasięgnął teraz informacyi u dorożkarzy, stojących na worcu.

Znalazł wreszcie tego, który odwiózł stąd radcę do miasta. I temu pozostało w pamięci wspaniałe futro jego gościa.

Dorożkarz opowiedział jednak, że pan ten wsiadł wprawdzie w futrze do dorożki, lecz u celu podróżny miał na sobie zwyczajny płaszcz. Nadto wspominał o Winterze, który go zatrzymał i wypytywał. Według opisu nie wątpił Greif, że to był jego kolega, Winter.

— Sprawa się rozjaśnia — zawołał. Winter miał podejrzenie i śledził radcę.

Zwrócił się znowu do dorożkarza:

— Dokąd zawieźliście tego pana?

— Do gospody pod "Białą owcą" na ulicy Polnej — brzmiała odpowiedź.

— Wielki Boże! — szepnął sprawa rozjaśnia się w straszny sposób.

— O tym samy czasie napadł tam Wintera jakiś nieznajomy. Miałby to być radca? — Przenigdy! Ale był to ten, którego śledził Winter i uważał go za radcę, Gdyby też Winter mógł mówić. Jego zeznania rozświetliłyby sprawę.

Lecz Winter stał niestety nad grobem.

Komisarz pogrążony był w głębokiej zadumie, kiedy z prokurzystą pojechał do gospody na ulicy Polnej, gdzie leżał chory Winter.

A ów złoczyńca, który go dwa dni temu napadł — kto to? Czy ten sam? Greif zdawał się być tego pewnym. Wszystkie nici miał w ręku, wszystko obracało się dookoła Sinobrodego.

Ale ten był — jak wiadomo — w krytycznym czasie nie w rezydencyi, lecz na zamku swoim. Więc on nie mógł być sprawcą tych zbrodni.— W takim razie kto? Gdzie jest więc radca komercyalny?

Dzisiejsza wizyta u Wintera była daremna. Chory leżał bez przytomności. Po krótkiej naradzie postanowili komisarz i prokurzysta wyjechać na zamek Wildensfels.

— Tam znajdziemy dalsze ślady — mówił Greif. Teraz wiem stanowczo., radca stąd nie wyjechał. Może wogóle nie wrócił więcej z zamku do hotelu. Ktoś inny grał zatem jego rolę.

— Ależ panie komisarzu! — zawołał prokurzysta blady ze strachu.

Jakież pan ma podejrzenia?

— Niech pan się tylko zastanowi, i sam wyciągnie konieczne wnioski, a przekonasz się, że mam racyę. Radca to nie był, który tak szybko uciekł z hotelu i wyjechał na dworzec. Zależało mu przecież na tem, by mówić z Winterem. Tymczasem stara się go uniknąć. Ba stara się nawet zatrzeć ślad. Nie odjeżdża pociągiem, lecz wraca do miasta i udaje się do zwyczajnej gospody, której radca — jako obcy — wogóle nie znał.

— Tak, tak! To wszystko bardzo dziwne — mówił prokurzysta. Ale...

— Dalej, — przerwał mu Greif.— Z jakiego powodu nie chciał radca, by go poznano? Dlaczego podczas drogi złożył futro i ubrał płaszcz? A w końcu dlaczego próbował zabić tego człowieko, który mu przecież chciał pomódz?

— Zaprawdę! To nie był radca — zawołał prokurzysta.

— Nie, nie on, lecz ów łotr, który grał jego rolę.

Wszystko to przeraziło prokurzystę. Blady i trwożliwy siedział w powozie, słuchając dalszych przypuszczeń Greifa, którym tymczasem wytłómaczył mu też jak będą postępować na zamku Wildenfels.

Przedewszystkiem nie miał hrabia Sinobrody wiedzieć, kim jest Greif.

Późnym wieczorem przybyli do zamku.

Była tu Walerya. Z bratem naradzała się nad nowym zamachem na Wintera, bo listu Agaty jeszcze nie miała. Powóz zajechał. Walerya i Sinobrody spostrzegli nieznanych sobie ludzi.

Za chwilę zameldował służący prokurzystę i Greifa, który się zaanonsował jednak jako adwokat radcy.

Hrabia Sinobrody zbladł. Prędko się atoli opanował i kazał przybyłych zaprowadzić do salonu.

Kiedy się służący oddalił, zawołał pełen strachu:

— Przychodzą oni naturalnie, by szukać za starym.

— Musiałeś być na to przygotowanym — odpowiedziała Walerya. Zupełnie zrozumiałe, że chcą się dowiedzieć, gdzie się radca podział.

— Tak! Ależ dlaczega tu przychodzą do mnie? Widocznie mają podejrzenie.

Walerya odpowiedziała spokojnie:

— Tylko nie trać przytomności umysłu.. Nie masz się czego bać. Twój teść opuścić zamek zdrów zupełnie i cały — na to masz świadków. Co się później z nim stało— tego wiedzieć nie możesz. Nikt cię nie może pociągnąć do odpowiedzialności.

Hrabia uspokoił się i zaśmiał szorstko.

— Racya! — rzekł. Nikt mi niczego nie może dowieść.

Udał się następnie do salonu, gdzie przybyli obrzucili go badawczym wzrokiem. Wzrok hrabiego był ponury, Sinobrody spytał dumnie, czego sobie życzą.

Komisarz — w roli adwokata radcy — odpowiedział krótko, że pan radca komercyalny nie wrócił do domu, że znikł po nim wszelki ślad.

Hrabia udał bezgraniczne zdziwienie.

— Co? Mój teść znikł? — zawołał niby przerażony, to niemożliwe, chociaż byłem już o niego spokojnym, bo dotychczas nie miałem wiadomości. Czy rozpoczęliście już śledztwo?

— Tak! — odpowiedział Greif. Lecz spodziewaliśmy się, że pan hrabia nam w tem pomoże.

— ? — uśmiechnął się Sinobrody ironicznie. Cóż mogę panom powiedzieć. Teść mój następnego dnia opuścił zamek Wildenfels i oświadczył, że wraca do domu. Chciałem go odprowadzić do miasta, lecz sprzeciwił się temu. Ponadto nic nie wiem.

Wstał, jakby chciał im dać do poznania, że sprawa dla niego załatwiona i że mogą się oddalić.

Zrozumieli jego ruch przybyli, lecz nie zwracali na to uwagi.

— Panie hrabio — rzekł prokurzysta, że pan radca nie wyjechał wcale do swej ojczyzny—to nie ulega wątpliwości. Prawdopodobnie nie wrócił też do miasta. Gdzie i w jaki sposób znikł — należy wyjaśnić. Boję się, że on już nie żyje.

Sinobrody, który domyślił się podejrzenia, zmarszczył czoło i rzekł gniewnie:

— Zdaje się, że panowie chcecie odemnie coś wyciągnąć, czego nie wiem. Obawa pańska jest bezpodstawna. Kto wie gdzie się pan radca obecnie znajduje. Sam tego nie wiem. Mogę panom tylko poradzić przeczekać spokojnie, aż wróci.

— Tej nadziei nie mamy — odpowiedział Greif. Skoro pan radca oświadczył panu hrabiemu, że wraca do domu, a nie wrócił, pozostaje jedyna możliwość, że spotkało go nieszczęście.

— Ach, mógł przecież zmienić swój plan i wyjechać gdzieindziej — rzekł Sinobrody.

— Zawiadomiłby wtedy o tem.

— To prawda. Zdaje się, że pańska obawa nie jest bezpodstawną i teść mój już prawdopodobnie nie żyje, — odpowiedział Sinobrody udając boleść.

Komisarz Greif śledził bacznie hrabiego.

— Dziwnie się to składa — rzekł, że i komisarz Winter, który porozumiewał się z panem radcą, padł w tym samym czasie ofiarą mordercy, jakby komu zależało na tem, by ich sprzątnąć.

Hrabia Sinobrody zrozumiał znaczenie tych słów, zbladł i cofnął się mimowoli. Podejrzywano go zatem.

Lecz szybko uspokoił się. Co mu mogli udowodnić? A ci ludzie obcy, przybyli zdaleka — cóż oni wogóle wiedzieli?

Odpowiedział ironicznie:

— Los tego komisarza Wintera jest mi zupełnie obojętny. Nie pojmuję, co to ma wspólnego ze zniknięciem mego teścia. Jeżeli zaś radca rzeczywiście nie żyje — to śmierć jego najwięcej mnie dotyka.

Komisarz Greif nie spuszczał oka z ponurej twarzy Sinobrodego.

— Spodziewam się — rzekł z naciskiem i z dziwnym uśmiechem — że się nam uda wyświetlić tę sprawę. Jesteśmy też—dzięki Bogu — na najlepszej drodze.

Hrabia zbladł, przestrach jego był widoczny.

— Naprawdę? — rzekł szybko. To mnie cieszy!

Starał się ukryć swój strach, lecz nie potrafił oszukać bacznego zwroku komisarza, który ani na chwilę, nie spuszczał z niego oka. Hrabia chciał nareszcie skończyć tę arcyniemiłą rozmowę. Rzekł przeto:

— Skoro panowie zasiągną pewnych wiadomości, proszę mi o tem donieść.

Skłonił głową zlekka.

Lna to w ważnie wezwanie do odejścia, nie zwrócili przybyli uwagi.

Greif przystąpił bliżej do hrabiego. Wyraz jego twarzy był poważny, prawie że groźny.

— Panie hrabio! — rzekł ostro. Jeszcze nie skończyliśmy. Proszę o wyjaśnienie jeszcze w pewnej sprawie.

— Czego pan jeszcze chce? — obruszył się hrabia. — Mów pan, ale prędko i krótko. Mam mało czasu.

— Panie hrabio! — rzekł Greif spokojnie. Wiemy w jakiej sprawie pan hrabia zjechał do pana. Chciał mieć pewność co do swej córki Gertrudy — żony pana.

— No i co? — przerwał dumnie Sinobrody. Czego pan więc chce?

— Chcemy wiedzieć gdzie się żona pana znajduje, by jej donieść o zniknięciu ojca. Jeżeli pan radca nie żyje — co prawie nie ulega wątpliwości — to żona pana hrabiego jest jedyną spadkobierczynią. Dlatego chcę, jako doradca prawny jej ojca, sam z nią pomówić.

— To niemożliwe! — odpowiedział Sinobrody szorstko, a według mnie i zbyteczne zupełnie. Żona moja jest chorą — przebywa w sanatoryum, a taka wiadomość o śmierci ojca, mogłaby pogorszyć jej stan i pociągnąć za sobą zgubne następstwa.

— Nie panie hrabio — to jest koniecznem — zauważył prokurzysta stanowczo.

— Wtedy ja to uczynię, a nie panowie! — zawołał Sinobrody. Jeżeli żona moja jest jedyną spadkobierczynią, to ja obejmę jej interesy, a nie ludzie obcy. Obejmę majątek pana radcy i spadek po nim w imieniu mej żony, bo ona sama nie jest do tego zdolną, gdyż jest umysłowo chorą.

— Nie panie hrabio! — Pan tego uczynić nie możesz — zawołał prokurzysta. W każdym razie istnieje testament. Treść jego znam. Tylko żona pana jest spadkobierczynią, pan sam nie ma prawa do majątku, nie możesz go objąć ani nim rozporządzać. Ma pan tylko prawo do posagu swej żony, a ten — jak się dowiedziałem — został już dawno wypłacony, w sumie pół miliona.

Wyzywająco ostry ton jego słów oburzył hrabiego.

— Panie! — zawołał. Zakazuję panu tak mówić do mnie! Na co sobie pan pozwala? Co ja w tej sprawie uczynię, panów nie obchodzi. A teraz dosyć mam tego!

Wskazał na drzwi.

— Proszę nie naprzykrzać mi się w przyszłości! — rzekł z pogardą.

Prokurzysta blady z gniewu, chciał Sinobrodemu dać odpowiednią odprawę. Stanął jednak między nimi komisarz Greif i rzekł poważnie i stanowczo:

— Panie hrabio, muszę powtórzyć swe pytanie. Jeżeli pan chcesz mieć prawa do spadku, musisz z nami porozumieć się. Nie chcesz pan tego uczynić i udowodnisz, że żona pana jest rzeczywiście umysłowo chorą, natenczas testament staje się prawomocnym i cały majątek przypada na cele dobroczynne.

W pierwszej chwili osłupiał Sinobrody. Wnet jednak zaśmiał się ironicznie.

— Co? Ach, głupstwo! Niemądre to dowcipy, kochany panie!

— Otrzyma pan odpis testamentu i przekonasz się, że nie masz żadnych praw — odpowiedział komisarz spokojnie.

— Ba! będę się starał testament obalić.

— To wszystko będzie miało cel, jeżeli żona pana będzie wstanie objąć spadek, to znaczy wtedy: kiedy przestanie być umysłowo chorą — dodał, nie ukrywając wcale ironii. Wtedy żona pana sama musi przybyć do swej ojczyzny.

— Tak? — szydził Sinobrody. A gdyby żona moja umarła? Wtedy byłbym ja jedynym spadkobiercą!

— To kwestya! Zresztą mówią przecież że żona pana nie żyje.

— Co? zerwał się Sinobrody. Kto to mówi?

— Mówią! — odpowiedział Greif. Przecież pan nikomu nie chce zdradzić miejsca pobytu swej żony.

— Do tego nie jestem zobowiązany.

— O, przecież! Pan radca komercyalny naprzykład miał prawo dowiedzieć się gdzie przebywa jego córka.

— Tak! Jemu też dałem potrzebne wyjaśnienia. Możliwe, że radca pojechał do swej córki i jest u niej obecnie.

— Wymień nam miejscowość, panie hrabio — zawołał prokurzysta. Musimy mieć pewność!

— Przeczekaj pan, aż nadejdzie wiadomość od radcy — rzekł Sinobrody, wpierw nie mogę zaspokoić pańskiej ciekawości.

— Nie chce więc pan hrabia powiedzieć,

gdzie się żona pana znajduje? — rzekł Greif posępnie.

— Nie, a teraz — idźcie już. Cierpliwość moja wyczerpana.

— Musi nam pan dać wyjaśnienia — zawołał prokurzysta drżący i groźnie stanął przed Sinobrodym. Nie uczynisz tego, panie hrabio, to zmusi cię do tego policya.

Roześmiał się Sinobordy i zmierzył prokurzystę wzrokiem pełnym nienawiści i wściekłości.

— Marsz! — zawołał. W tej chwili się wynosić, bo każę służbie wypędzić was z zamku.

Prokurzysta chciał odpowiedzieć, lecz Greif pociągnął go za ramię.

— Będzie pan o nas jeszcze słyszał, panie hrabio, — rzekł groźnie, szybko opuścili zamek.

Gdy znikli, Sinobrody sposępniał nagle. groziło mu wielkie niebezpieczeństwo, a nie miał mocy, by je odwrócić.

Zaklął przeraźliwie.

Wtem otwarły się drzwi z sąsiedniego pokoju i weszła Walerya. I ona była zaniepokojona.

— Wszystko słyszałam — rzekła poważnie. Czemu ich tak szorstko odprawiłeś? Postąpiłeś nierozsądnie. Zwrócą się teraz do policyi. Może to mieć niebezpieczne następstwa.

— Nie mogłem im przecież prawdy powiedzieć — oburzył się Sinobrody.

— Nie! Ale mogłeś zmyślić jakąś bajeczkę. Mogłeś im spokojnie oświadczyć, że żona twoja przebywa tam i tam naprzykład — w Paryżu.

— A cobym na tem zyskał? Nic! Jeżeli nie masz lepszej rady, to...

Zamilkł. Po chwili milczenia rzekł posępnie:

— Odszukam z Piotrem dziś wieczorem starego hrabiego w młynie leśnym i zabiorę jego skarby. Wtedy będę miał dość pieniędzy. Zniknę stąd. To jedyne wyjście, bo pobyt tu zbyt dla mnie niebezpieczny.

— Nie rozpaczaj tak! — rzekła Walerya niechętnie. Chcesz mnie opuścić? Co pocznę bez twej pomocy? Musimy sprzątnąć tego Wintera i usunąć wszystkie przeszkody, które mi stoją w drodze. Chodź, Robercie! Zastanówmy się. Znajdzie się jeszcze dla ciebie wyjście.

ROZDZIAŁ 83.

MALE PARTA — DO CZARTA.

Wśród nocy zbudził hrabiego hałas. Przez chwilę nadsłuchiwał. Potem zbudził młodego rybaka.

— W piwnicy są ludzie — szepnął. Może to Sinobrody szuka za moimi skarbami?

Szybko zerwał się Detlew i wziął pałkę, podczas gdy hrabia uzbroił się w rewolwer i dał też jeden rybakowi. Zbliżyli się ku drzwiom piwnicznym i zobaczyli promień świetlany.

Kroki ich, przeraziły złoczyńców w piwnicy. Poczęli szukać za wyjściem.

— Ach, Ludwiku! — zgubieni jesteśmy! — biadał Kulas.

Lecz Hecht prędko odzyskał przytomność. Wziął pod ramię swego tchórzliwego towarzysza i uciekł z nim do ciemnej piwnicy po drugiej stronie schodów. Latarnia została i wskazywała drogę hrabiemu i Detlewowi. Lecz w piwnicy nie znaleźli już nikogo.

Nim ochłonęli ze zdziwienia i poczęli szukać, uciekł Hecht ze swym towarzyszem cicho na schody i podążył w górę. W tej chwili spostrzekł hrabia ich ucieczkę i Detlew puścił się za nimi w pogoń.

Lecz złoczyńcy już byli na górze i szybko pędzili do pokoju, którego okno Ludwik Hecht otworzył był. Słyszeli już za sobą kroki goniących ich. Nie chcieli się narażać na walkę z nimi, uciekli oknem i poczęli biedz w stronę lasu.

Hrabia i Detlew zrzekil się dalszej pogoni. Złoczyńców widzieli tylko przelotnie i nie poznali ich. Byli atoli prawie pewni, że Sinobrody nie był między nimi. On nie uciekłby tak tchórzliwie.

Wrócili do piwnicy, by zobaczyć, czego tam szukali nieznani im złoczyńcy

Hrabia zaniepokoił się o swe skarby. A może złoczyńcy z pewnością szukali za skarbami, znaleźli skrzynię i wypróżnili ją?

Ze zdziwieniem spostrzegli grób i trumnę, a gdy się nachylili i zobaczyli trupa, cofnęli się w śmiertelnym strachu.

— Miłosierny Boże! — zawołał hrabia. Teraz zrozumiałem. Złoczyńcy nie szukali za moimi skarbami. Chcieli tu tajemnie zagrzebać swą ofiarę. To nie ulega wątpliwości. A nie przypuszczali, że w młynie ktoś mieszka, który ich spłoszy. Kto też jest ta nieszczęsna ofiara i kto ci złoczyńcy, którzy ją zamordowali.

— Bóg to jeden wie! — westchnął Detlew.

— Nie, trup ten długo już tu leży. Ciało całe już zepsute. Zdaje mi się, że złoczyńcy przecież szukali skarbów pana hrabiego i tylko przypadkiem odkopali tego trupa

— Detlew! — rzekł hrabia drżącym głosem. Musimy trumnę zakopać. Kto ta nieszczęsna i kto ją zamordował i tu zakopał — to zostanie wieczną tajemnicą. O naszem odkryciu musimy milczeć. Na coby się też zdało doniesienie?

— A jeżeli to ofiara Sinobrodego? — zawołał nagle Detlew.

— Trudno coś podobnego przypuścić. Zamek Wildenfels ma dość tajemniczych lochów i podziemi. Zresztą możemy o tem donieść Gerhardowi i komisarzowi Winterowi, kiedy tu przyjdą.

Zakopali trumnę a przekonawszy się, że w domu nikogo więcej nie ma, zamknęli wszystkie drzwi udali się do pokoju, w którym mieszkał hrabia.

Lecz nie mogli zasnąć. Starali się odgadnąć, kto to byli owi złoczyńczy. Wreszcie wyraził hrabia przekonanie, że to tylko Ludwik Hecht, którego wtedy znalazł w kasie.. Kim Ludwik Hecht jest, nie wiedział hrabia. Nadto przypuszczał, że jego wspólnikiem jest murarz.

I Detew podzielił zdanie hrabiego, chociaż nie mogli pojąć, w jaki sposób wyśledzili złoczyńcy miejsce pobytu hrabiego.

— Pan hrabia nie jest tu bezpieczny — rzekł Detlew. Należy się obawiać, że złoczyńcy ponowią zamach, skoro ja się oddalę, nadto mogą tajemnicę zdradzić Sinobrodemu. Musi pan hrabia opuścić ten młyn.

Hrabia Harald sposępniał i westchnął ciężko.

— Tak! — rzekł. Wszędzie mnie prześladują; Gdzie się ukryję?

— Idź pan hrabia do Gerharda, do rezydencyi! — radził Detlew. Tam w wielkiem mieście, wśród tysięcy ludzi nie będzie jaśnie pan pozbawionym wszelkiej pomocy.

Stary hrabia postanowił z rana wybrać się z Detlewem w podróż do rezydencyi zabrać natychmiast ze sobą skarby.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Ludwik Hecht i Kulas nie uciekli daleko. W stajni zatrzymali się i spali tu do rana. Mieli nadzieję, że młody rybak zostawi hrabiego, a z tym dadzą sobie łatwo radę.

Kiedy Hecht wyglądnął ostrożnie przez okienko, przestraszył się. Powietrze było straszne, burza szalała, a śnieg przez noc zakrył zupełnie młyn. Ponadto śnieg padał ogromnemi płatami.

— Kulas, pięknie powietrze! — zawołał Ludwik. Rybak prawdopodobnie nie pójdzie sobie. Utonąłby w śniegu.

— Ale Ludwiku, — musimy uważać. Może pójdzie!

Hecht po dłuższem ociąganiu się, zdecydował się wyjść i uważać, czy rybak nie odejdzie. Z trudnością przedostał się przez olbrzymie góry śniegu na przednią stronę domu.

Tu burza jeszcze więcej szalała. Brama do młyna była śniegiem zasypana. Nikt ne mógł wyjść.

Wyczerpany i zmarznięty wrócił Hecht do swego towarzysza i zamknął drzwi do stajni.

Położenie ich było rozpaczliwe. Jak długo rybak był w młynie nie mogli odważyć się na ponowny napad. Do wsi wrócić nie mogli, jak długo szalała burza, a środków do życia nie mieli już wcale i głód im dokuczał.

Dopiero wieczorem burza poczęła słabnąć. Postanowili iść do wsi, w przekonaniu, że rybak dzisiaj młyna nie opuści.

— Jutro wieczorem mamy znowu wolne do działania — pocieszał Hecht zrazpaczonego Kulasa. Wtedy stary będzie sam.

Późno bardzo przybyli do wsi. Udali się znużeni i głodni do gospody.

Stary hrabia i Detlew zmienili swój zamiar wobec szalejącej burzy. Pozostali także przez następną noc w młynie.

Następnego dnia wyszedł Detlew najpierw sam, by się przekonać, czy droga jest możliwa.

Wrócił zaniepokojony. Widział, że jest rzeczą niebezpieczną zabrać hrabiego i narazić go na niewygodę kilkugodzinnego marszu przez głęboki śnieg.

— Najlepiej będzie, — oświadczył, gdy pan hrabia na razie tu zostanie. Ja pójdę do najbliższej wsi, i sprowadzę konia albo sanie.

Niechętnie zgodził się na to hrabia. Bał się nie o siebie, lecz o Detlewa, któremu marsz daleki w takim powietrzu mógł poważnie zaszkodzić.

Lecz Detlew uspokoił hrabiego i wybrał się w drogę do tej samej wsi, w której byli Hecht i Kulas, bo to była najbliższa miejscowość.

Po jego odejściu udał się stary hrabia do piwnicy. Chciał w międzyczasie przygotować swe skarby, które postanowił zabrać.

W tym samym lochu, gdzie leżał trup kobiecy, w przeciwległym kącie począł kopać. Nareszcie dostał się do skrzyni. Otworzył ją, zabrał swe skarby, zapakowane w silne worki skórzane, zaniósł ten kosztowny ciężar do pokoju i złożył na stole.

Potem wrócił do piwnicy, zamknął próżną skrzynię i zasypał ziemię.

Nagle przestraszył się. Począł nadsłuchiwać. Co to? Usłyszał wyraźne głosy i kroki w podwórzu. — Kto na miłość Boską — przyszedł do samotnego młyna leśnego. Czy może złoczyńcy owi, którzy teraz znowu chcą spróbować szczęścia?

Rzucił łopatę i drżąc na całem ciele, pospieszył na górę. Miał broń, postanowił się bronić. Zamknął się w swym pokoju i przez otwór w zamkniętych okiennicach śledził to, co się dzieje na podwórzu.

Tu zatrzymali się dwaj jeźdzcy, otuleni w szerokie płaszcze. Zeskoczyli i zrzucili kupuzy, zasłaniające ich twarze.

Poznał ich stary hrabia. To Sinobrody i jego służący Piotr.

— O mój Boże! — zawołał w śmiertelnym strachu. Chcą mnie zamordować i zabrać me skarby. Muszę uciec.

Może mi się uda uciec frontową bramą. Szybko zarzucił płaszcz i wziął rewolwer Wtem wzrok jego padł na leżące na stole skarby. Ma je zostawić? Zabierze je wtedy Sinobrody, a on będzie żebrakiem.

Trudno — musi poświęcić te miliony.

Wyszedł do sieni, już chciał otworzyć bramę wchodową — w tem usłyszał rżenie konia. I tu ktoś czekał — niewątpliwie służący Sinobrodego.

Przez chwilę stał hrabia Harald, jakby przykuty do ziemi. Pospieszył do pokoju, wyglądnął oknem. Tak, przed bramą stał na warcie służący z zamku Wildenfels.

Ucieczka była niemożliwa. W tem niebezpieczeństwie zyskał szaloną odwagę, postanowił się bronić do upadłego.

— Wielki Boże! Do Twej uciekam się pomocy. A jeżeli kula ma położyć trupem tego nędznika, to sprawiedliwa będzie to kara. Wrócił do pokoju, gdzie leżały skarby. Ukryć je— na to nie było czasu.

Już Piotr próbował witrychami i siekierą otworzyć drzwi.

Hrabia prędko porwał strzelbę, którą przyniósł był Detlew. Ta mogła mu oddać lepszą przysługę, niż rewolwer. Cicho otworzył okno, potem otwór w okiennicach. Otworem wysunął lufę i zmierzył w stronę Sinobrodego.

— Precz stąd, morderco! — zawołał, bo ubiję cię jak psa, jak na to zasłużyłeś!

Już Piotr odskoczył od drzwi, podczas gdy Sinobrody szukał za oknem, skąd go dochodził głos. Znalazł je, zobaczył strzelbę, skierowaną w swoją pierś i twarz starego hrabiego.

Szybko wyciągnął rewolwer i zaklął przeraźliwie.

— Poddaj się, stary! — zawołał. Chodzi o twe życie. Jeżeli mi oddasz swe skarby — nic złego ci nie uczynię!

— Łotrze! mało mi zabrałeś? — zawołał stary hrabia, drżący z gniewu. Jeszcze krok — a kula moja położy cię trupem!

—Bądź mądry — odpowiedział szybko Sinobrody. Przyrzekam ci życie pod warunkiem, że się zabierzesz stąd i znikniesz na zawsze. Dostaniesz też część swych skarbów. Nie chcesz — wtedy biada ci. Pomocy chyba się nie spodziewasz w tem pustkowiu.

— Bóg, który mnie tak długo nie opuścił, obroni mnie i teraz.

Morderco ty! Wiem dobrze, że chociażbym się zgodził na twe warunki — ty ich nie dotrzymasz!

— Nie chcesz? — zgrzytnął Sinobrody. Więc przepadnij!

Wystrzelił. Kula trafiła w okiennice i utkwiła w drzewie.

I hrabia dał ognia. Lecz ręce jego drżały, strzał chybił.

Sinobrody i Piotr nie czekali na ponowny strzał. Podskoczyli tuż ku murom, gdzie byli bezpieczni przed kulami. Klnąc przeraźliwie pędzili pod oknami ku dachowi, którędy dwie nocy temu, dostali się do wnętrza domu Ludwik Hecht i Kulas.

Domyślił się tego hrabia Harald. Widział, że dalsza obrona tu jest niemożliwą, wezmą go w dwa ognie, bo pokój miał dwa wejścia.

Prędko ułożył plan. Tylko na dole w piwnicy mógł się skutecznie bronić. Schodami nikt się tak prędko nie dostanie do piwnicy.

Lecz skarbów nie należało tu zostawić. Miał jeszcze z kwadrans czasu, zanim aż Sinobrody i Piotr utorują sobie drogę przez zamknięte pokoje.

Zabrał więc ciężkie worki i popędził do piwnicy. W cichym młynie rozległy się głuche uderzenia. Waliły się drzwi. Łotry zbliżali się coraz bardziej. Potem zamknął drzwi do piwnicy i stanął na schodach, ukryty za słupem murowanym.

Już wtargnęli Sinobrody i Piotr do pokoju hrabiego Haralda.

— Gdzie ten stary? — zawołał Sinobrody. Gdzie się ukrył ten stary niedołęga?

— Znajdziemy go, panie! — pocieszał Piotr. Nie ucieknie nam!

Przeszukali cały dom. Nie znaleźli żadnego śladu.

Sinobrody pienił się z wściekłości.

— Stary uciekł! — zgrzytnął. Podczas gdyśmy szukali na drugim końcu domu, on

wymknął się nam niespostrzeżenie.

— To niemożliwe, panie! — odpowiedział Piotr. Wszystkie okiennice są przymknięte, również bramy wchodowe. On jest w domu.

— Gdzie więc? — Gadaj!

— Szukajmy dalej.

Znowu przeszukali wszystkie pokoje. Przyszli nareszcie znowu do frontowej sieni. W drzwiach wchodowych tkwił tu klucz, którego stary hrabia nie wyjął.

Sinobrody otworzył drzwi i skinął na czekającego tam służącego. Nie wtajemniczony on był w sprawę starego hrabiego. Sinobrody powiedział mu tylko, że chce tu ująć złodzieja, który pokradł znaczne kosztowności w zamku Wildenfels.

— Czy łotr ten uciekł? — spytał służącego.

— Nie, panie hrabio! Nikt nie wyszedł z domu.

— W takim razie nędznik ten jeszcze tu siedzi. Strzelał na mnie. Słyszałeś?

— Tak! o to niebezpieczny ptaszek! Może sprowadzić żandarma z najbliższej wsi?

— Nie trzeba. Musimy cię tu mieć, by ten stary łotr nie uciekł. Ściemnia się. Uważaj więc.

Wrócił do sieni i zamknął bramę. Już trzy godziny tu byli. Piotr zaświecił tymczasem dwie latarnie, bo w domu było już ciemno. Odkrył też teraz drzwi piwniczne, których dotychczas nie zauważyli.

Wydał okrzyk radości.

— Tam go znajdziemy — uzupełnił Sinobrody. Prędko, do roboty. Siekiera!

Po kilku silnych uderzeniach drzwi się załamały. Latarnie oświeciły ciemną głębinę.

Z rewolwerem w ręku zeskoczył Sinobrody ze schodów. Za nim Piotr, szalony odwagą, jakby oszołomiony żądzą skarbów. Na dole cisza grobowa.

Stary hrabia opuścił swe stanowisko. Czy cofnął się dalej — w głąb piwnicy?

— Stój! — zawołał nagle Sinobrody i sam przystanął. Tu są dwa wchody. Idź na lewo. Ja pójdę w prawo.

Z latarnią w ręku wszedł do ciemnego lochu. Rozglądnął się szybko. Rozmaite rupiecia leżały tu. Przeszukał każdy kąt, każdą skrzynię.

Hrabiego nie znalazł.

Klnąc, dostał się do drugiego lochu, gdzie już był Piotr. Stał on przed niezakopanym jeszcze zupełnie otworem, gdzie była skrzynia pieniężna.

— Panie — zawołał — skarb nasz. Tu leżą miliony starego, któregośmy podczas roboty spłoszyli.

— A gdzie on sam — zapytał hrabia ponuro — do dyabła, przecież nie zapadł się w ziemię.

Daremnie przeszukali po raz setny już każdy kąt i skrzynię. Nagle Piotr wskazał na mur. Przy nim stała skrzynia, w murze było okno otwarte, prowadzące na podwórze. Teraz zrozumieli, którędy hrabia uciekł.

Wściekły pobiegł hrabia na podwórze. W śniegu odkrył ślady stopy ludzkiej, ślady prowadziły do lasu.

— Piotrze — zawołał.

— Piotrze, gdzie jesteś?

Lecz Piotr zapomniał już zupełnie o swym panu. Przed otworem w piwnicy klęknął i odgarniał ziemię. Wobec skarbów hrabiego Haralda zapomniał o wszystkiem. Dostał się wreszcie do skrzyni i wydał okrzyk tryumfu. Rozbił szybko wieko.

Tymczasem Sinobrody podążył za śladem hrabiego, klnąc Piotra, który go opuścił. Wszedł do lasu. Zapadł już był zupełny wieczór i było ciemno, lecz śnieg błyszczał jasno.

Ślady prowadziły w głąb lasu.

Znajdę go —zgrzytnął Sinobrody — nie uciekł jeszcze daleko.

Nagle przystanął zmęczony. W tej chwili wynurzył się wśród ciemności jeździec, który pędził w stronę młyna.

Nie spostrzegł on Sinobrodego, temu jednak zdawało się, że on go poznaje mimo ciemności.

— Do dyabła — mruknął niechętnie. — Czy to nie młody rybak? Łotr ten pewnie pędzi do hrabiego, do młyna.

Był niezdecydowany, co teraz począć. Czy podążyć za rybakiem, czy dalej za śladem hrabiego. Zdecydował się na to ostatnie, w nadziei, że w młynie da sobie już Piotr radę z rybakiem.

Spotka go tam godne przyjęcie — szepnął i popędził dalej.

W tem usłyszał słabe wołanie o pomoc. Z pośród drzew zbliżała się chwiejnym krokiem ciemna postać. To chyba stary hrabia.

Wydał okrzyk radości i rzucił się na niego.

Rozdział 84.

NIESPODZIANA WIADOMOŚĆ.

Komisarz Greif uwiadomił hr. Edmunda o powtórnym napadzie na Wintera. Hrabia nakazał surowe śledztwo, z którego miał mu Greif

zdawać dokładnie sprawę.

Trzeciego dnia postanowił hr. Edmund udać się do Wintera. W ostatniej chwili zjawiła się nagle Walerya, a dowiedziawszy się o planie hrabiego, postanowiła go odprowadzić.

— Smutny los tego uczciwego człowieka bardzo mnie boli — zapewniała obłudnie — chciałabym pocieszyć jego biedną narzeczoną.

Te słowa wzruszyły Edmunda. Siadła obok niego. Powóz ruszył i niedługo zatrzymał się przed gospodą na dalekiem przedmieściu.

Walerya spuściła welon na twarz i wsparta na ramieniu Edmunda, weszła na górę.

Drżała cała. Bo ta godzina mogła o wszystkiem rozstrzygnąć. Jeżeli Winter jest przytomny i oskarży ją przed Edmundem, wtedy stracone na zawsze jej dumne nadzieje.

Przy Winterze była nowa osoba, kobieta w czarnym habicie, siostra miłosierdzia, siedziała u łoża chorego w zastępstwie Marty, która po napadzie jeszcze nie przyszła całkiem do siebie. U łoża Wintera stał także doktor Kloc i Katynka.

Wejście hr. Edmunda i Waleryi wywołało zamieszanie. Minister przyszedł zupełnie niespodzianie i niezameldowany, a zjawienie się Waleryi zdziwiło szczególnie Katynkę.

Prędko przystąpiła do niej Walerya, podała jej rękę i wyrzekła szeptem obłudne słowa współczucia. Przekonała się szybko, że Winter leży w gorączce i jest nieprzytomny? Odzyskała więc odwagę.

Katynka odpowiedziała zmieszana i chłodno słodkawą grzeczność i uprzejmość Waleryi odpychały ją instynktownie, odczuła jej obłudę.

Tymczasem rozmawiał hr. Edmund szeptem z doktorem Klocem. Choroba Wintera niepokoiła lekarza, który wcale nie ukrywał, że stan chorego jest bardzo poważny.

Katynka usprawiedliwiła się i weszła do sąsiedniego pokoju, gdzie Marta potrzebowała jej opieki. Tej powiedziała o obecności Waleryi.

— Na miłość Boską — zawołała przerażona Marta. Czego ta kobieta tu szuka? Katynko, to oznacza nowe nieszczęście. Miejmy się na baczności. Wejdź zaraz do pokoju i nie spuszczaj tej obłudnicy ani na chwilę z oka.

Katynka wróciła do pokoju. Walerya rozmawiała z siostrą miłosierdzia. Zrozumiała niezadowolona, że nie ma obecnie widoków, by módz tu szukać za listem Agaty.

Na widok siostry miłosierdzia powstała w niej odważna myśl.

— Gdybym tak przywdziała taką suknię i przez jedną noc grała rolę tej siostry miłosierdzia — pomyślała — pod welonem nikt mnie nie pozna. A skoro cel osiągnę, zniknę znowu i ta osoba znowu zajmie moje miejsce. Nikt się niczego nie domyśli, trzeba spróbować.

W tej myśli rozmawiała z zakonnicą. Potem wypytywała ostrożnie lecz dokładnie o jej stosunki, a dowiedziawszy się, że siostra ma starą chorowitą matkę, powzięła nowy plan.

Postanowiła podstępnie jeszcze tej nocy oddalić zakonnicę. Miała nadzieję, że się jej to uda.

— Nareszcie dostanę list, Wintera uczynię nieszkodliwym — pomyślała — zginie, to ostatnia jego noc.

I z szatańskim uśmiechem tryumfu spoglądała na chorego.

Wtem wzrok jej spotkał wzrok Katynki, która stała u łoża Wintera i ze strachem patrzała na Waleryę, jakby przeczuwając jakie niebezpieczeństwo grozi ukochanemu ze strony tej szatańskiej kobiety.

Wtem podała jej Walerya rękę na pożegnani: lecz Katynka nie mogła jej ręki podać, skłoniła się tylko i cofnęła się. Wzrok Waleryi był wściekły, lecz udała, jakoby nie miała wcale zamiaru uścisnąć Katynce rękę. Za chwilę oddaliła się z hr. Edmundem. Odprowadziła go do pałacu, a hrabia zaprosił ją, by została u niego jeszcze godzinę.

Z ochotą zgodziła się na to Walerya. Omawiali stary temat o Agacie. Hrabia Edmund oświadczył:

— Ponieważ niema widoków by Winter tak prędko wrócił do zdrowia, przeto wyszlę komisarza Greifa do Indyi w miejsce Wintera.

Ten zamiar nieprzyjemnie ją dotknął.

— Ach, kochany Edmundzie — rzekła — ja jestem tego przekonania, że wszystko daremnie, że Agata już dawno nie żyje.

— A ja jestem przekonany, że żyje — rzekł hrabia — i nie prędzej wyrzeknę się tej wiary, aż otrzymam niezbite dowody, że biedny komisarz Winter pomylił się w swoich poszukiwaniach.

Walerya położyła swą rękę na ramieniu hr. Edmunda i uśmiechając, się rzekła:

— Kochany Edmundzie, a jeżeli dowód ten otrzymasz, czy wtedy spełnisz dane mi przyrzeczenie?

Była wzburzona, oczy jej błyszczały namiętnie, a pierś silnie falowała.

On sposępniał i rzekł boleśnie, lecz pewnym głosem:

— Wiem, że to nigdy nie nastąpi. Odzyskam Agatę, a ty kochana Waleryo, musisz się mnie wyrzec.

— Jak zimno i bez serca to mówisz, — skarżała się — więc niczego dla mnie nie czujesz. Był to więc tylko szał, który cię w uścisku mojem oszołomił.

Zawstydzony spuścił, hrabia oczy.

— Nie — szeptał zmieszany. — Nie to tylko. Nie mogłem się oprzeć czarowi twej piękności. Wyznałaś mi swą miłość, a ja nie miałem sił powiedzieć ci "nie".

To wyznanie swej słabości wobec jej czaru schlebiało jej i dodało otuchy.

— Gdyby nie ten komisarz ze swemi przepuszczeniami — rzekła — nie mielibyśmy tyle przykrości i męki, kochany Edmundzie. Teraz stoi umarła między nami znowu, jak upiór. A przecież uśmiecha się do nas szczęście, szczęście bez granic.

Ze łzami rzuciła mu się na szyję. Wiedziała, że łzy jej podziałają na hrabiego.

Wtem zapukano do drzwi. Szybko powstał hrabia Edmund i uwolnił się z jej uścisków.

— Na Boga! Opamiętaj się — szepnął.

Wszedł służący i podał hrabiemu list na srebrnej tacy. Walerya odwróciła się i otarła łzy.

— Boże, skąd ten list? — szepnął hrabia po odejściu służącego. Z Indyi? Boże! Czy to wiadomość od Agaty?

Drżącą rękę rozdarł koprtę. Wyjął list i płaskie małe zawiniątko.

Walerya odwróciła się. Słyszała słowo "Indye." Straszna ją zdjęła trwoga. Znowu list od Agaty. O, teraz wszystko wyjdzie na jaw.

W śmiertelnym strachu, blada wpatrywała się w hrabiego.

Był to list księcia indyjskiego, a zawiniątko zawierało 2 pierścienie Agaty.

Hrabia Edmund czytał list, pisany po angielsku. Krew uderzyła mu do twarzy. Nagle wydał głuchy okrzyk i padł na krzesło.

— Na miłość Boską — zawołała Walerya i przydła do kolan. Edmundzie, co ci? Na rany boskie, co zawiera ten list?

Jego twarz była blada, oczy jakby nieprzytomne.

— Czytaj — jęknął — nie żyje.

— Nie żyje? — Kto? — Agata?

Walerya musiała bardzo nad sobą panować, by nie wydać okrzyku radości. Szybko przebiegła oczyma list, z trudnością tylko ukrywając swój tryumf. Teraz już hrabia Edmund nie może wątpić, że Agata nie żyje.

— Więc komisarz Winter miał przecież racyę — Agata przebywała w Indyach — przerwała nareszcie Walerya milczenie, starając się nadać swemu głosowi najsmutniejszy akcent. I była żoną księcia indyjskiego. Jak się to stało? Tak prędko cię zapomniała, swego męża?

Hrabia Edmund nie odpowiadał. Nie słyszał prawie jej słów

— A tam padła ofiarą zazdrosnej rywalki — mówiła Walerya dalej. O Edmundzie, jak strasznym jest los tej nieszczęsnej.

Otworzyła zawiniątko i przypatrywała się pierścieniom.

— To ostatnia twa pamiątka po niej — rzekła udając ból — te pierścienie są nadto niezbitym dowodem, że pomyłka wykluczona, że to naprawdę Agata umarła w tym dalekim kraju.

Dręczony tem hrabia Edmund, wstał ponury i blady i rzekł zmienionym głosem:

— Zostaw mnie w spokoju, jutro pomówimy.

Walerya pożegnała się prędko i wyszła.

Teraz więc była usunięta ostatnia przeszkoda. Agata nareszcie nie żyła. Hrabia nie może w to więcej wątpić. Dotrzyma on teraz swego słowa i w krótkim czasie uczyni ją swą żoną.

Radość jej nie znała granic. Tlyok jeszcze ów pierwszy list Agaty niepokoił ją.

— Ufam swemu szczęściu — pomyślała. — I listu i tego komisarza pozbędę się. Wtedy będę spokojną i cel swój nareszcie osiągnę.

ROZDZIAŁ 85.

NA POLU BITWY.

Kiedy balon z szybkością błyskawicy pomknął wśród ciemności w górę, straciła Józefa farmera z oczu, a za chwilę wszystko utonęło w mgle. Pędzony wiatrem, unosił się balon szybko nad miastem.

— Miłosierny Boże, ratuj go, szepnęło Józefa, myśląc o farmerze.

Czy go jeszcze zobaczy? Spodziewala się i życzyła sobie tego. Potem myślała o własnym swym losie i o biednej Gertrudzie, która jeszcze ciągle leżała bez ruchu.

Próżno starała się przywrócić jej życie. W trwodze wyszukała ostatnią resztę wina i zwilżyła niem usta Gertrudy.

Dokąd balon je niesie, to było dla Józefy obecnie obojętną rzeczą.

Po kilku minutach otworzyła Gertruda oczy.

Józefa wlała jej w usta ostatki wina i zwolna przychodziłta Gertruda do siebie. Z początku nie wiedziała gdzie jest, Józefa wytłómaczyła jej pokrótce, co się stało i że obecnie same zupełnie są w balonie.

Gertruda podniosła się i z trwogą spojrzała w dół. Ziemi nie widziała. Dookoła ciemna noc. Jakby wyzbyte z wszystkiego, mknęły nieszczęśliwe kobiety w przestworzu.

Zdjęło je uczucie strasznej samotności.

Wtem nagle rozjaśniło się. Balon dotychczas wznosił się nad gęstemi mgłami, teraz opadł i zbliżył się ku ziemi.

Daleko za niemi leżało miasto. Pojedyńcze ognie błyszczały czerwono — to gorejące budynki. Huk armat jak huk piorunów. Potem smuga ognia wśród ciemności — jakby błyskawice. To salwy piechoty.

Wszystko oddalone było o milę. Nieszczęsne kobiety podziwiały walkę nocną z bezpiecznej wysokości.

A pod niemi cisza — jakby na cmentarzu. Nigdzie światło —znikąd głosu ludzkiego.

Józefa zapóźno przypomniała sobie wskazówki farmera by spuścić balon, skoro zbliżą sie do obozu Burów. Zresztą obozu tego nie widziała. Kto wie, jak dawno go już minęły.

Balon, ciężki wskutek rosy nocnej, opadał coraz bardziej. Nieszczęśliwe zobaczyły wnet pod sobą strome nagie skały. Jeszcze jednak wznosiły się nad ziemią o kilkaset metrów. Zrzuciły ostatni balast, jaki był w gondoi.

— Musimy się starać, dostać się do zamieszkałych okolic — rzekła Józefa.

Balon, pozbywszy się nieco ciężaru, wzniósł się znowu. Minęła godzina. Wszedł księżyc i było jasno, tak że można było rozróżnić każdy przedmiot na ziemi.

Zdawało się, że balon zmienił kierunek. Zniknęła skalista pustynia. Przez równinę zieloną wiła się szeroka rzeka. Dookoła pagórki i lasy.

— Józefo! popatrz! — zawołała nagle Gertruda. Wóz jedzie. Ach, więcej ich jest. Cały długi szereg.

Wzdłuż rzeki poruszał się szereg wozów. Potężne wozy, nakryte płótnem, zaprzężone w cztery pary wołów. Obok szli ludzie. Szereg ludzi zbrojnych na koniach zamyka ten pochód.

Balon opadł tak nisko, że kobiety słyszały wyraźnie turkot wozów.

Lecz nie spostrzeżono balonu jeszcze, bo zbliżał się on z tyłu.

— Zawołajmy na nich! — radziła Józefa To zdaje się nie Anglicy, lecz Burowie. Oni nam pomogą.

Wołały głośno lecz daremnie. Bo głos z góry z trudnością dochodzi ziemi.

— Gertrudo! — zawołała Józefa. Szybko! pociągnij wentyl. Zrzucę linę by nas ludzie mogli trzymać.

Lecz Gertruda — w roztargnieniu nie mogła znaleźć liny wentylowej. Józefa pospieszyła jej z pomocą zrzuciwszy wprzód cienką dwudziesto metrową linę. Silne pociągnięcie z otwartego wentylu ulatywał szybko gaz i balon gwałtownie opadał.

Wznosił się jeszcze tylko 30 metrów nad głowami jeźdźców. Zwisająca lina dotykała prawie ich kapeluszy. Nagle jeden z nich spoglądnął w górę.

— Holla, balon — zawołał przerażony.

Wszyscy zwrócili zwrok ku górze. Konie spłoszyły się. Już niektórzy z jeźdźców podnieśli strzelby, sądząc, że w balonie są oficerowie angielscy, gdy nagle zawołał silny głos:

— Stójcie w balonie są kobiety.

Gertruda i Józefa wychyliły się z gondoli, dawały znaki i wołały:

— Ująć linę, ściągnijcie nas.

Wszyscy teraz spostrzegli balon. Wozy zatrzymały się. Jeden z jeźdźców pochwycił linę. Inni zeskoczyli z koni i pomogli mu. Z okrzykiem ściągnęli balon na ziemię.

Z 20 silnych mężczyzn ujęło gondolę i pomogli kobietom wysiąść. Balon wraz z gondolą starannie opakowano i złożono na jednym z wozów, ciesząc się tą cenną zdobyczą.

Z radością poznały tymczasem kobiety, że są wśród Burów. Był to oddział, który woził artykuły wojenne dla oblegających miasto Kimberley.

Ich naczelnik, siwy kapitan, zażądał od kobiet wyjaśnień.

Wszyscy słuchali z natężoną uwagą. Kiedy Józefa opowiedziała o ucieczce z farmy i o bracie, który wraz innymi Burami został pojmany, przerwał jej nagle kapitan opowiadanie i rzekł zdziwiony.

— Co? kapitan Brandenfeld jest bratem pani? Znam go dobrze. Nieraz walczyliśmy w jednym szeregu. Myślałem, że padł w walce. Szkoda, że go pani nie mogła uwolnić.

Przyjęto kobiety z największą grzecznością i uprzejmością.

Kapitan kazał na jednym z wozów urządzić dla nich wygodne siedzenia, sam pozostał na koniu przy nich i oddział ruszył w dalsza drogę.

— Jeżeli go Anglicy ujęli — mówił kapitan — to nie zobaczycie panie więcej swego przyjaciela. Z miasta także trudno, by się wydostał. W każdym razie nie prędko dowiemy się o jego losie.

— A brat mój? — spytała Józefa trwożliwie. Jemu nic złego stać się nie może?

— Broń Boże! Jest jeńcem wojennym i na razie nie zobaczy go pani prędko. Wojna może jeszcze długo potrwać. Anglicy wytężają wszystkie swe siły, by nas zgnębić. Ale my Burowie walczyć będziemy o wolność do ostatniej kropli krwi. Nie wprzód złożywszy broń, dopóki jeden żołnierz angielski będzie zagrażał naszej granicy.

— Ale Anglia jest potężną i jeżeli nie zechce zawrzeć pokoju, to nieszczęsna ta woja może długo potrwać. Co my wtedy poczniemy? — biadała Józefa. O powrocie do ojczyzny nie ma mowy. Nie chciałabym też wrócić, dopóki nie będę miała pewnych wiadomości co do losu naszego przyjaciela i mego brata.

— Niech panie u nas zostaną — rzekł kapitan. Możecie nam oddać wielkie przysługi, pielęgnując chorych, gdyż ciągle mamy jeszcze brak kobiet do pielęgnowania rannych.

Józefa i Gertruda oświadczyły natychmiast swą gotowość. Długo jeszcze rozmawiały z kopitanem, aż znużone zasnęły.

Oddział maszerował bez przerwy. Z brzaskiem dnia przybyto do obozu Burów. Wozy zatrzymały się i musiano zbudzić śpiące kobiety.

Sprowadzono je do lazaretu. Pełno tu chorych i rannych.

Anglicy w ostatnią noc urządzili napad, ponieśli jednak klęskę znaczną. Burowie mieli wiele jeńców, a ponadto olbrzymią liczbę rannych. Lekarze i pielęgniarki byli ogromnie zajęci. Z uczuciem litości i trwogi wstąpiły Gertruda i Józefa do lazaretu. Przyjęto je tu bardzo życzliwie i ochotnie. Słyszały tu zdziwione wszędzie niemiecką mowę. Było tu wiele kobiet z ojczyzny ich: członkinie "Czerwonego Krzyża" które udały się do dalekiej Afryki, by pielęgnować rannych:

Przywdziały suknie "Czerwonego Krzyża" i uważnie słuchały pouczeń.

Szpital leżał na jednym z najwyższych pagórków. W dole leżało oblężenie miasto, lecz huk armat dochodził nieraz i do tego spokojnego miejsca.

Kiedy zapadł wieczór, zauważono w obozie silny ruch. Żołnierze wymaszerowali ku miastu.

Józefa spytała naczelnego lekarza, Niemca, co to znaczy.

— Anglicy urządzą prawdopodobnie i w tę noc napad — tłómaczył lekarz. Nasi żołnierze ciągną ku nim, by obsadzić wąwozy. Wnet przybędzie nam zatem roboty.

Za żołnierzami ruszył oddział sanitarny ze swoimi wozami i apteczką. Lekarze i pielęgniarki zbędni w szpitalu wyruszyli również. Kiedy oddział już był gotowy do wymarszu, wszedł do szałasu, bo szpital składał się z szeregu szałasów, w którym znajdowała się Józefa i Gertruda i jeszcze cztery kobiety, naczelny lekarz. Rozglądnął się dookoła uważnie.

Józefa zbliżyla się do niego.

Czy pan doktor szuka czego? — spytała.

— Tak, — myślałem że znajdę jeszcze kilku asystentów — objaśnił. Trzeba nam tam jeszcze dwóch. Mają oni jednak z pewnością ważną robotę w innych szałasach.

Józefa powzięła w tej chwili odważny plan.

— Czy tam, na polu bitwy, nie mogą się zdać i kobiety? — spytala.

— Czemuby nie? Ale nie możemy żądać od pań, by stały blisko linii wojennej. Nie ma tam wprawdzie żadnego niebezpieczeństwa, ale strzelanina, huk armat — to nie rzeczy dla nerwów kobiecych.

— Ja się nie boje, weź mnie pan! Mnie i mą przyjaciółkę! — zawołał Józefa.

Doktor starał się wyperswadować jej to, w końcu zgodził się. Gertruda jednak chętnieby tu została, nie chciała atoli opuścić swej przyjaciółki.

— Czego chcesz iść w bój? — biadała. Jesteśmy przecież i tu potrzebne i użyteczne.

— Tak ale mam nadzieję, że tam znajdziemu naszego przyjaciela farmera, — odpowiedziała Józefa. A my mu się wtedy przydamy, bo nikt go prócz nas nie zna, mogliby go uważać za szpiega.

Czy wogóle przyjdzie tej nocy do walki — tego nie można było przewidzieć. Ale Burowie chcieli być w pogotowiu.

Zwolna poruszyła się kolumna sanitarna.

Dookoła miasta dyamentowego wznosił się naturalny olbrzymi wał, który tworzył kopalnie dyamentowe.

Daleko od tych wałów zatrzymali się Burowie. Przed nimi rozciągała się potężna równina górska. Na stepach gór i w wąwozach zajęli żołnierze swe stanowiska.

Armaty były w pogotowiu, forpoczty oddaliły się jakby cienie na równinę i znikły wnet w ciemności za potężnemi skałam*

Głęboka cisza panowała wśród tych tysięcy ludzi. Ogni nie zapalono. Wogóle starano się unikać wszelkiego hałasu, bojąc się czy nieprzyjaciel nie wysłał swych szpiegów, aż na te odległe punkta.

W oddali błyszczały światła miasta. Nic tam nie była nadzwyczajnego. Co prawda, trudno było oryentować się wśród ciemności.

Oddział sanitarny został za górami i rozbił tu swe namioty. Powstał żywy ruch. Przygotowano wszystko: opatrunki nosze. W środku namiotu stały stoły operacyjne. Lekarze wypakowali swe instrumenta. Na stołach leżały deki gumowe. Kafrowie, używani do grubych posług, przynosili olbrzymie naczynia z wodą.

Wszystko było w pogotowiu. Można się było ułożyć do snu. Tajemniczo i złowrogo błyszczały w świetle zwisających lamp ostre noże. Widok ten strasznie działał na słabe nerwy.

Gertruda i Józefa wraz z dwiema kobietami siedziały na stołkach polowych przed swoim szałasem. Były zdenerwowane.

Dookoła cisza, niczem niezamącona.

Lekarz sztabowy zbliżył się do kobiet.

— Zdaje się, że dzisiaj nic nas więcej nie czeka — rzekł, patrząc na niebo pokryte gwiazdami. Za dwie godziny wejdzie księżyc, a wtedy Anglicy nie przyjdą więcej. Nie urządzą napadu przy świetle księżyca, które łatwo zdradzi ich ruchy.

— A może spróbują z innego miejsca? — spytała Gertruda.

— O nie! To jedyne dla nich przejście. Jeżeli dostaną te góry, wtedy przełamali pierścień, którym ich otoczyliśmy.

W tej chwili zamilkł. Nadsłuchiwał.

— Cicho! — Są! — zawołał nagle.

W oddali odezwały się dwa pojedyńcze strzały. Potem cisza. Forpoczty cofnęły się. Nieprzyjaciel, który w ciemności zbliżył się aż na równinę — nadciągnął.

— Ambulanse w pogotowiu! usłyszano rozkaz.

Wzięto nosze, maszerowano przez wąwóz w asystencyi lekarzy i żołnierzy sanitarnych.

Odezwał się huk armat.

Gdy oddział sanitarny zniknął w ciemnym wąwozie, zerwała się Józefa i podążyła za nim. Chciała widzieć walkę.

Za nią odezwał się trwożliwy krzyk z piersi Gertrudy. Lecz Józefa nie zważała na to. Za chwilę znikła.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Straszna to była dla farmera chwila, kiedy przemówił do niego oficer angielski. Zdawało się, że poznano jego przebranie.

Odpowiedział że zabrał płaszcz do szczególnych celów. Na szczęście nadciągnęły nowe oddziały, które farmera odłączyły od ciekawego oficera.

Lecz farmer zdawał sobię sprawę z grożące go niebezpieczeństwa. Zrozumiał, że nie wydostanie się niepoznany na szańce. Musi się wystarać o zupełny uniform.

Mógł jeszcze wrócić. Uczynił to natychmiast. Mimo to coraz nowe nadciągały oddziały dotarł szczęśliwie do miasta. W dzielnicy robotników kopalnianych znalazł opuszczony dom i tam się ukrył.

Zawrzała walka. Trwała bardzo długo. Wreszcie wróciły do miasta pierwsze oddziały odpartej armii angielskiej. Farmer w swem ukryciu słyszał, nadciągające kolony. Trwało to kilka godzin. Na niebie świecił jasno księżyc.

Wreszcie zapanowała cisza. Tylko pojedyńcze oddziały nadciągały jeszcze od czasu do czasu. Najpierw lekko ranni, potem wozy, które wiozły ciężko rannych. Na samym końcu kilku jeźdzców... Cisza — nikt więcej nie nadciągał.

Farmer wyszukał sobie legowisko, chciał do rana wypocząć kilka godzin. Oczy opadały mu ze znużenia.

W półśnie nagle się zerwał. Zbudziło go uderzenie do drzwi wchodowych, które był zamknął za sobą.

Cicho przystąpił do okna. W świetle księżyca rozeznał postać żołnierza angielskiego. Był widocznie ranny i przyczołgał się tutaj z pola bitwy. Wyczerpany runął przed drzwiami

Farmer był niezdecydowany. Czy ma się zaopiekować tym nieszczęśliwym? Grozi mu to odkryciem. Musi przecież sprowadzić lekarza. Litość nareszcie zwyciężyła wszelkie srkupuły. Otworzył drzw i z trudem wciągnął nieprzytomnego do wnętrza.

Ułożył go na swem posłaniu i przyniósł wody, którą ranny namiętnie wypił. Farmer zaświecił światło, zamknął okiennice i zbadał żołnierza.

Był to młody chłop, silny i rosły. Kula przeszyła mu pierś, farmer poznał odrazu, że wszelkie zabiegi stracone, że i sztuka lekarska nic nie pomoże

Zagadką było dlań, jak żołnierz ten odbył daleką drogę z pola bitwy. Pewnie go oddziały sanitarne nie znalazły i on sam spróbował dostać się do miasta.

Nie odzyskał więcej przytomności. Zwolna ulatywało zeń życie. Po godzinie zawarł mu farmer powieki i złożył ręce do niemej modlitwy.

Co teraz z nim począć? A może wróci właściciel domu lub przyjdzie kto inny. Może nań paść podejrzenie, że to on zastrzelił żołnierza.

Wtem przyszła mu zbawienna myśl.

W mundurze tego żołnierza mógł niespostrzeżenie i bezpiecznie wydostać się z miasta i dostać się może do Burów. Spodziewał się też, że tam znajdzie Gertrudę i Józefę.

Szybko ściągnął z umarłego mundur i ukrył go, jakoteż broń żołnierza w ogrodzie.

Z brzaskiem dnia udał się do miasta, do restauracyi, gdzie został bardzo długo, bo musiał przeczekać do wieczora, by plan swój wykonać.

W restauracyi panował wielki ruch i z rozmów żołnierzy wywnioskował, że Anglicy i tej nocy urządzą napad. Było mu to bardzo na rękę.

Wieczorem wrócił do swej kryjówki. Przekonał się, że pod jego nieobecność nikogo tu nie było.

Wziął mundur i broń i wnet przebrał się za angielskiego żołnierza. Czekał niecierpliwie, wnet nadciągną koło domu oddziały wojsk angielskich. Gdy zupełna zapadła noc, zjawiły się pierwsze kolony. Marsz trwał długo. Wreszcie nadciągnął regiment, w którym służył zmarły. Farmer ostrożnie opuścił dom i połączył się z ostatnim szeregiem.

Nikt nie zwracał nań uwagi. Maszerował jako żołnierz z innymi. Na szańcach zatrzymano się.

Regiment, w którym znajdował się farmer miał utworzyć długą linię i rozłożyć się obozem na szerokiej równinie.

Goniąc, czołgając się, korzystając z każdej osłony, zbliżali się żołnierze angielscy do gór, gdzie czekali Burowie.

Odważnemu farmerowi sprzyjało szczęście. Znajdował się na skrajnym skrzydle. I nagle stał już naprzeciw forpoczty Burów. Jeszcze miał tyle czasu, by rzucić się plackiem na ziemię i ukryć się za kamieniem. Już rozpoczęła się strzelanina. Zwolna cofały się forpoczty Burów, lecz każda z ich kul kładła trupem żołnierza angielskiego.

Pewien czas leżał farmer bez ruchu. Minęli go żołnierze, nie zwracając na niego uwagi i sądząc, że padł od kuli nieprzyjacielskiej.

Lecz zbliżały się kanony angielskie i następne zwarte oddziały infantery i kawalery. Farmerowi groziło n i e b e z p i e c z e ń s t w o ś m i e r c i pod kopytami końskiemi. Musiał się rozglądnąć za bezpieczniejszą kryjówką.

W potężnych skokach pędził w bok przez pole. Już rozległ się huk armat. Farmer biegł jak mógł najprędzej. Oddział angielskich ułanów, towarzyszący konnym artylerzystom, zbliżał się właśnie ku niemu. Dyszał ciężko, wytężył ostatek sił, lecz nie mógł ich więcej uniknąć.

Wtemrzucił się na potężną skałę. Ziemia zadrżała od armat i kopyt końskich. Za chwilę cała masa popędzi nad nim w dal i on zginie pod kopytami końskiemi.

Tuż prz yskale jednak rozdzielili się żołnierze. Popędzili — mimo niego — w lewą i prawą stronę. Farmer wstał i biegł dalej. Spotkał nowe oddziały, zmienił wtedy kierunek i nagle znalazł się wśród infanteryi, która galopem pędziła ku Burom.

Porwano go.

Wnet wynurzyły się góry, obsadzone przez Burów. Ci rozpoczęli ogień, który strasznie dziesiątkował szeregi Anglików. Dookoła farmera padali żołnierze, a on pozostał cały, jakby cudem nieraniony.

Nagle potknął się o rów i upadł. Nim się mógł podnieść, popędziły przez niego następne szeregi. Niezliczone szeregi trtatowały jego ciało. Nieprzytomny pozostał na ziemi.

Kule ciągle świstały nad jego uchem. Żołnierz angielski, śmiertelnie, ranny, padł na niego i nakrył go swem ciałem.

Po upływie długiego czasu poczęły się szeregi cofać, Burowie zwyciężyli. Lecz walka trwała dalej na równinie bo zwycięscy rzucili się w pogoń za cofającymi się Anglikami.

Wreszcie mógł się farmer z trudem podnieść. Dookoła wrzała jeszcze walka i kule huczały że wszystkich stron. Lecz bój zbliżał się coraz bardziej ku miastu. Za walczącymi zjawiły się teraz oddziały sanitarne, by zabrać rannych. Farmer usiadł na kamieniu, nie zważając na świstające dokoła niego kule.

Wtem zobaczył uciekający oddział kawaleryi angielskiej, gonili go Burowie. Ogień był silniejszy, farmer nie mógł tu dłużej zostać. By nie paść od kuli burskiej, chciał zrzucić mundur angielski. Nagle zobaczył na polu bitwy, pokrytem trupami i rannymi, postać kobiecą. Zdziwiony zbliżył się ku niej. Na jego widok poczęła uciekać, lecz on poznał ją już przy świetle księżyca i wysilając całą siłę głosu, zawołał:

Józefa!

Okrzyk radości był odpowiedzią. Popędziła ku niemu, tuż obok niego wydała przeraźliwy okrzyk i zatoczyła się u nóg jego.

— Miłosierny Boże — zawołał farmer — Józefo, Boże, ona umiera.

Trafiła ją spóźniona kula.

Zbliżył się właśnie odziadł konnych Burów. Jeden z nich zobaczył czerwony mundur farmera.

— Holla, jeszcze jeden Anglik — zawołał i skierował ku niemu strzelbę.

W tej samej chwili podniósł się farmer, trzymając na rękach postać Józefy, nie dającą śladu życia. Na ten widok cofnął się Bur i popędził swymi towarzyszami.

Farmer oddalił się ze swym ciężarem i zaniósł Józefę do obozu Burów.

ROZDZIAŁ 86.

OCALONA PRZEZ ŚMIERĆ.

Agata wnet poznała, że książę indyjski nie spełni tak prędko swej obietnicy i nie pojedzie z nią do jej ojczyzny. Zwlekał z wyjazdem z dnia na dzień. Zdało się, że nie ma zamiaru wyjechać.

Próżno dopominała się o to wśród łez i próśb. Znalazł zawsze rozmaite wybiegi. Pewnego dnia oświadczył, że na granicach jego państwa wybuchł niebezpieczny bunt. Musi go wprzód poskromić i on sam wyruszy przeciw buntownikom.

Księżna straciła wszelką nadzieję. Zaczęła znowu myśleć o ucieczce pod nieobecność księcia, lecz jakby książę odgadł jej zamiary, otoczył ją silną strażą, a sam ruszył na wojnę. Agata była jakby uwięzioną, mimo wspaniałości i przepychu, które ją otaczały, mimo dumnego tytułu księżnej.

Teraz i Delia nie miała rady.

Na czele gwardyi pałacowej stał kochanek Delii, Jussuf, a on nie da się przekupić. Jemu powierzył książę Agatę.

W smutnej samotności mijały dnie i tygodnie.

Książę często przysyłał wiadomości i donosił o swoich zwycięstwach.

Pewnego dnia na dziedziniec pałacowy zajechało dwóch jeźdźców, okrytych kurzem. Agata spostrzegła ich przez okno i rzekła do Delii:

— Posłańcy od księcia. Może on już wnet wraca.

— Pani, rzekła Delia przestraszona, oni noszą odznaki żałobne. To znaczy nieszczęście.

— Idź, zawołaj ich do mnie — rozkazała Agata.

Posłańców przyjął Jussuf. Agata czekała długo, pełna niepokoju.

Nareszcie odchyliła się portyera. Wystraszona wpadła Delia do komnaty.

— Pani — zawołała — ciążę nie żyje, jesteś wdową.

Agata stała jakby przykuta do ziemi.

— Nie żyje? książę nie żyje? — powtórzyła bezdźwięcznie.

Znowu odchyliła się portyera. Wszedł Jussuf w towarzystwie posłańców. Pochylili głowy przed Agatą, potem rzekł Jussuf smutnym głosem:

— Książę padł w boju. Teraz, księżno, ty jesteś naszą panią i twoje rozkazy mamy spełnić.

Agata nie mogła odzyskać równowagi. Księcia nie kochała, lecz ta nagła wiadomość o jego śmierci wzruszyła ją i boleśnie dotknęła.

Skinęła na przybyłych, by się odalili. Została sama z Delią i wypłakała się na jej piersi.

Teraz jestem wolną — zawołał wśród łez. Śmierć zerwała wszelkie więzy, łączące mnie z księciem. Wielki Boże! pochwalony niechaj będzie imię Twoje. Książe nigdy by mnie nie uwolnił. Ale teraz Delio, nic i nikt mnie więcej tu nie wstrzyma. Jestem wolną, wolną, jak ptak, któremu otwarto klatkę i wolny buja w przestworzu.

Oczy jej błyszczały radością bez granic.

Delia przestraszona spoglądała na swą panią.

— Pani — rzekła — nie możesz stąd pójść. Jesteś przecież księżną, panującą w tym kraju.

— Co? ja? — zawołała Agata trwożliwie. — Szalona jesteś, ja? obca, przecież książę ma synów, ma następców?

— Tak, mały książę Assad zasiądzie kiedyś na tronie. Lecz teraz ma on dopiero 8 lat. Jeszcze 10 lat musisz ty, pani, sprawować regencyę, bo matka księcia, twoja rywalka pani, nie żyje.

Agata padła na dywan.

— Nigdy — zawołała stanowczo — co mnie obchodzi ten obcy kraj? Wybierzcie sobie inną regentkę. Książę miał dość żon. Ja wrócę do mej ojczyzny. Zrzucę nareszcie te złote kajdany.

— Pani, nie nęci cię blask tronu? nie nęci cię władza — spytała Delia zdziwiona.

— Nie, choćby mi całe Indye ofiarowano — z radością wszystko precz od siebie rzucę. Taką też dam odpowiedź dostojnikom księcia, jeżeli mi zaofiarują koronę.

W dwa dni później wróciło do rezydencyi wojsko z trupem księcia. Z największym prze-

pychem pochowano go w grobowcu książęcym.

Na drugi dzień zjawili się przed Agatą dostojnicy państwa, prosząc by objęła regencyę w imieniu małoletniego księcia Assada. Tak rozkazał książę w ostatnich swych chwilach.

Agata dała im taką odpowiedź, jaką kilka dni temu Delii. Lecz spotkała się ze stanowczym oporem.

— Dobrze — oświadczyła w końcu, gdy na nią nalegano — zgadzam się, lecz powiedzcie mi, czy jako regentka mam też nieograniczoną władzę? Czy mogę iść, dokąd mi się podoba?

— Pewnie — odpowiedzieli wszyscy.

— To w takim razie udam się w długą, bardzo daleką podróż. Może będę rok zdala, może dłużej. Kilku z was zamianuję ministrami i ci będą panować aż do mego powrotu.

Nikt nie ważył się sprzeciwiać, tylko Jussuf potrząsł niechętnie głową i szepnął: Ona nigdy więcej nie wróci.

Agata zamianowała jeszcze w tej samej godzinie swych zastępców, poczem wydała rozkaz, by Jussuf i Delia przybyli do jej komnat. Do nich rzekła:

— Wy wiecie, dokąd jadę. Wy mnie odprowadzicie. Poczyńcie jak najprędzej przygotowania.

Jussuf był przerażony, nie mógł znaleźć odpowiedzi. Tymczasem księżna wyszła z pokoju.

— Nie pójdziemy z nią! — zawołał teraz Jussuf. Ona ma zamiar teraz zostać w swej ojczyźnie. Ja nie porzucę mej ojczyzny na zawsze. Nikt mnie do tego nie zmusi.

— Uspokój się, kochany! — tłómaczyła Delia. My jutro zawieramy związek małżeński. Czy chcesz się wtedy ze mną rozłączyć?

— O, i ty tu zostaniesz, jeżeli ja z nią nie pójdę.

— Nie, ja nie opuszczę mej pani — oświadczyła Delia stanowczo. A ty mnie nie wstrzymasz, Jussuf. Wolę księżnej spełnić trzeba. Posłuchaj! Jeżeli razem księżnę odprowadzimy, to ona wróci też z nami.

Jussuf dał się przekonać. Z pośród żołnierzy, niewolników i kobiet wybrał orszak ze sto ludzi dla towarzystwa księżnej. Poczyniono wielkie przygotowania, potężne wojsko miało odprowadzić Agatę aż do granicy. Olbrzymie skrzynie napełniono bogatemi sukniami i rozmaitymi klejnotami, co należało do stroju dworskiego księżnej indyjskiej.

Pewnego dnia nareszcie wybrała się w podróż, z której już nie miała zamiaru wrócić.

Po pięciu dniach przybyto do granicy i zatrzymano się w małej miejscowości. Tu odprawiła Agata cały orszak zostawiła tylko dwie niewolnice dla siebie i Delii i jednego niewolnika dla Jussufa. Odesłała też znaczną część skrzyń, które zajęły dziesięć wozów pakunkowych.

Próżno starał się Jussuf temu przeszkodzić twierdząc że nie przystoi księżnej podróżować w ten sposób. Agata postawiła na swojem.

Po kilku dniach przybyli do miasta, leżącego na obszarze angielskim, gdzie na rzece stał zawsze w pogotowiu okręt księcia. Był to ten sam okręt, którym Agata przybyła tu z Egiptu.

Po krótkim tu pobycie wsiedli na okręt. Jeszcze dwa dni, a Indye, ten kraj, gdzie tyle przeżyła i przecierpiała, będą daleko od niej. Za kilka tygodni będzie w ojczyźnie swej, gdzie ją uważają za umarłą.

A myślą była już w ojczyźnie. Myślała o swem dziecku, nie przeczuwając, że go nie znajdzie więcej w domu, że szatańska Walerya porwała jej małego Waltera.

Jak ją przyjmą w ojczyźnie? Czy nie wróci za późno? Czy u boku jej męża nie będzie już inna — jej wróg śmiertelny?

Przykre ją nawiedzały przeczucia, im bardziej się zbliżała do ojczyzny, tem większa zdejmowała ją trwoga. Lecz ufała przecież, że mąż jej nie zapomni o niej i potrafi się oprzeć wdziękom Waleryi — szatana!

ROZDZIAŁ 87.

W opałach.

Ludwik Hecht i Kulas siedzieli po południu w gospodzie we wsi. Byli sami i grali w kostki. Od czasu do czasu wyglądali przez okno na drogę zawaloną śniegiem, gdzie się atoli dzieci mimo to bawiły.

— Czas już trzeba ruszyć! — zauważył Hecht. Mam nadzieję, że znajdziemy dzisiaj starego hrabiego samego w młynie.

— Patrzajno! — zawołał Kulas wskazując na drogę. Czy to nie rybak przychodzi z młyna?

Ludwik Hecht wyglądnął przez okno i zerwał się ze stołka.

Był to rzeczywiście Detlew. Spotkania z nim bali się złoczyńcy.

— Może nas poznać — rzekł Kulas. Chodźmy do naszej izby. On tu idzie.

Szybko opuścili izbę gościnną i weszli na schody. Zaledwie byli w swej izbie, otwarły się drzwi do sieni i wszedł Detlew, by się rozmó-

wić z gospodarzem o konia. Złoczyńcy usiedli w górze przy oknie.

— Wnet sobie pójdzie — rzekł Ludwik. Ale po co on wogóle przyszedł?

Wróci pewnie jeszcze dzisiaj do młyna i znowu nam pokrzyżuje plany.

Po krótkiej naradzie postanowili natychmiast ruszyć w drogę. Otuleni w płaszcze, by ich Detlew nie poznał, zeszli na dół i zapłacili swe rachunki.

Detlewa nie było w izbie. Był z parobkiem w stajni. Ludwik nie spytał o niego, prędko opuścił z Kulasem wieś i podążyli w stronę lasu.

— Rybak zostanie w każdym razie przez noc w gospodzie — rzekł Hecht. Gdyby jednak chciał wrócić do młyna, to go zauważymy i zastosujemy się do tego.

Długo brodzili przez głęboki śnieg. Zapadł już wieczór a cel jeszcze był daleki.

Po upływie pół godziny stanął Ludwik i pociągnął towarzysza za rękaw.

— Czekaj! — szepnął. Tam zbliża się do nas człowiek. Kto też to być może?

Z pośród drzew wynurzyła się postać mężczyzny.

Miał on na sobie długi szeroki płaszcz, który mu przeszkadzał w chodzie. Czasem przystawał i rozglądał się, jakby się obawiał pogoni. Wskutek drzew nie zauważył on Hechta i Kulasa.

— Zdaje mi się, że człowiek ten przychodzi z młyna, szepnął Kulas. Tak wygląda jakby go kto gonił. Może to który z naszych, który także próbował zabrać hrabiemu skarby.

— Głupstwo, nikt prócz nas nie wie o skarbach. Przypatrzmy no się temu panu dokładniej.

Ludwik Hecht zawołał szorstko na obcego. Ten przestraszył się gdy ich zobaczył, lecz nie mógł ich uniknąć więcej. Za chwilę stał już przed nim Hecht, lecz kiedy spoglądnął mu w twarz, cofnął się zdziwiony.

— Na Boga, to stary hrabia — zawołał. — Hej, panie, a dokąd to pan idzie?

Hrabia Harald — on nim był w istocie — przestraszył się rzeczywiście, widząc się poznanym. On sam nie poznał złoczyńców. Czy to wrogowie jego? Czy może sprzymierzeńcy Sinobrodego? Zdecydowany na wszystko wyciągnął rewolwer i zawołał groźnie:

— Precz, bo wam kulę w łeb wpakuję.

— Do dyabła — zaklął Hecht i skoczył na bok.

I Kulas cofnął się, chroniąc się bojaźliwie za drzewem. Stary hrabia podążył dalej. Lecz Hecht który prędko odzyskał równowagę, wnet go dogonił.

— Panie! Na słówko — zawoła. Uważa nas pan pewnie za zbójów, a my panu nic złego nie chcemy zrobić. Dlaczego opuściłeś pan młyn i dokąd pan teraz idzie?

Hrabia przystanął i zmierzył łotra podejrzliwie.

— Znam pana z dawnych czasów. Słyszałem, że pan przebywa teraz w młynie leśnym.

— A więc wy się tam wybieracie, co? Czego szukacie u mnie?

Ludwik Hecht szukał wymówki. Tymczasem odgadł hrabia kogo ma przed sobą.

—O wy łotry — zawołał. — Was to przedwczoraj w nocy spłoszyliśmy w piwnicy. A dzisiaj chcecie znowu próbować szczęścia. Idźcie, możecie pomódz w poszukiwaniach Sinobrodemu.

— Co? hrabia Sinobrody w młynie — zawołał Hecht — a pan przed nim ucieka, co?

— Tak, z trudem ocaliłem się.

— Słyszysz — rzekł Ludwik do swego towarzysza. To ładna historya, teraz Sinobrody ma wasze pieniądze, stary panie?

— Co ty wiesz o moich pieniądzach — zapytał zdziwiony hrabia.

— Daj pan spokój! Ot wiem, że pan jest szczęśliwym właścicielem kilku milionów. Ale jeżeli Sinobrody zabierze panu skarby, będziesz tak biednym jak my. A może pan pieniądze ocalił? — spytał badawczo.

— Mam nadzieję, że ten łotr Sinobrody nie zobaczy ani złamanego szeląga z moich pieniędzy — rzekł krótko stary hrabia.

— Aha, rozumiem. Pan ma pieniądze przy sobie! Ot tu, w płaszczu — rzekł szybko Hecht wskazując na płaszcz.

— Nie — odpowiedział hrabia szorstko. A teraz idźcie sobie.

Podążył dalej, lecz opryszki nie chcieli go opuścić, odkąd się dowiedzieli że w młynie nie mają nic do roboty.

— Pozwól pan — rzekł Ludwik grzecznie — pan idzie do młyna co? My znamy świetną drogę, a w naszem towarzystwie będzie panu bezpieczniej. Może cię Sinobrody goni.

— I ja się tego boję — westchnął hrabia i rozglądnął się trwożliwie — ale czy mogę wam ufać? Zdaje mi się że nie macie wcale dobrych zamiarów.

— Bądź pan spokojny, stary panie — uspokajał Ludwik — z nienawiści do Sinobrodego, ująłbym się za panem. Pan się dziwi? Tak, tak i ja przysiągłem Sinobrodemu zemstę. Dlaczego, to teraz obojętne. Lecz gdyby się teraz zjawił, może pan liczyć na moją pomoc. I my mamy broń — zaśmiał się i pokazał swój rewol-

wer — tak w trójkę uporamy się z Sinobrodym.

— On nie sam. Jest z nim Piotr i jeszcze jeden służący.

— Do dyabła! To nieprzyjemna rzecz! — zawołał Ludwik. Co nam dasz, stary panie, jeżeli cię szczęśliwie zaprowadzimy do wsi?

Stanął tuż przed hrabią Haraldem i zmusił go w ten sposób że i on stanął.

— Co to znaczy? — zawołał tenże. Łotry, chcecie wymusić odemnie pieniądze?

— Tylko spokojnie, stary panie! — odpowiedział Ludwik. Sytuacya pana arcynieprzyjemna. Jeżeli was Sinobrody dostanie w swe ręce — po was! A jeżeli my zechcemy — pan stracony! Pan mnie rozumie — co?

—Zupełnie! — zawołał hrabia Harald drżącym z gniewu głosem. Widzę, że jestem zmuszony układać się z wami. Wy łotry! Spodziewam się jednak, że niedługo wróci ze wsi mój młody przyjaciel. Wtedy pogadamy dalej.

— Pan ma na myśli rybaka? Widzieliśmy go we wsi. Czy on jeszcze dzisiaj przyjdzie — to pytanie — mruczał Hecht. Załatwiony więc nasz interes. Daj nam pan sto tysięcy marek — to dla pana drobnostka. Ale może pan liczyć na naszą pomoc i opiekę. Nie chce pan, to wydamy was w ręce Sinobrodego.

— Łotrze bezwstydny! — zawołał hrabia. Myślicie może, że pozwolę uczynić ze siebie kozła ofiarnego? Precz! bo ubiję was, jak psów!

Podniósł rewolwer, lecz w tej samej chwili chwycił go Kulas z tyłu za ramię i wydarł mu broń. Ludwik Hecht zaśmiał się tryumfująco.

— Jesteś w naszych rękach, stary panie — rzekł groźnie. Zdecyduj się prędko. Chcesz spełnić nasz warunek czy nie?

Hrabia Harald poznał, że jest w mocy tych opryszków. Poskromił więc swój gniew i rzekł pogardliwie:

— Możecie się mylić w swych nadziejach. Nie mam ze sobą nic z moich skarbów, zostawiłem je w młynie. Może Sinobrody znalazł już kryjówkę — wtedy nie byłbym w stanie, spełnić wasze warunki.

— To się pokaże — odpowiedział Hecht. Zbadamy to razem jeszcze w tę noc. Jeżeli się tam jeszcze wasze skarby — to wypłaci nam pan natychmiast sumę stu tysięcy marek. Zgoda — co?

— Tak! — rzekł hrabia po krótkim namyśle. A teraz chodźmy i to drogą przeznaczoną dla wozów, bym spotkał mego przyjaciela Detlewa, który już z pewnością wraca ze wsi.

Jednak spotkanie się z młodym rybakiem nie było na rękę opryszkom. Ludwik zatrzymał hrabiego i rzekł z ironicznym uśmiechem:

— Nie tak, łaskawy panie. Trzeba się zabezpieczyć. Skoro nie będziesz w naszej mocy — wyśmiejesz nas w kułak. Chodź pan. Wrócimy do młyna. Tam ukryjemy się w szopie, aż oddali się hrabia Sinobrody ze swoimi ludźmi.

— Nigdy! — zawołał stary hrabia i wyrwał się z rąk Ludwika. Do młyna teraz nie wrócę. Łotry, jeżeli nie chcecie zaufać mym słowom, możecie teraz przeszukać, czy nie mam pieniędzy.

—Jestem przekonany, że nic nie znajdziemy — odpowiedział Ludwik i znowu złapał hrabiego za ramię. Sam musisz nam pokazać swe skarby. Nie odciągaj się dłużej, stary panie! Na nic się to nie zda.

Skinął na Kulasa i ten szybko złapał drugie ramię hrabiego.

— Tak, a teraz jazda — zakomenderował Ludwik.

Ale hrabia Harald bronił się rozpaczliwie. Wiedział że łotrów tych nie zaspokoi część jego skarbu, lecz że zechcą cały jego majątek.

Na pomoc Detlewa nie mógł liczyć. Mógł on wrócić za późno. Jeżeli im nawet nie pokaże, gdzie ukrył pieniądze — to albo sami znajdą kryjówkę, albo tak długo będą go więzić, aż spełni ich wolę.

W wściekłości i rozpaczy szamotał się z nimi. A siły jego zdawały się róść.

Wyrwał się im i w tej samej chwili otrzymał Kulas potężne uderzenie w twarz, iż zawył z bólu i zatoczył się w śnieg. A kiedy Hecht rzucił się na hrabiego, zadał mu silne pchnięcie, że łotr zatoczył się również. I nim mogli pomyśleć o nowym ataku, uciekł hrabia i szybko zniknął w gęstych zaroślach, rozciągających się daleko.

Klnąc, rzucił się za nim Ludwik.

I ten już był w zaroślach, kiedy Kulas się zerwał i podążył za nim.

Nagle wpadł w głęboką dziurę śnieżną i silnie uderzył głową o wystający korzeń. Przez kilka chwil leżał oszołomiony. W końcu wydostał się z dziury i począł biedz dalej.

Lecz już po kilku krokach usłyszał za sobą szybkie stąpanie. Przestraszony oglądnął się. Ciemna postać rzuciła się na niego z rewolwerem w ręku. Był to mężczyzna. Żelaznym uściskiem złapał go za kark i przyłożył mu rewolwer do skroni.

— Mam cię nareszcie — zawołał.

Kulas padł na kolana i podniósł błagalnie ręce. Widział już zbliżającą się śmierć i drżał na całem ciele. Jakkolwiek nie poznał wroga, który tak nagle napadł, domyślił się jednak, że to nikt inny, tylko Sinobrody.

Ten tymczasem spoglądnął w przestraszo-

ną twarz opryszka i poznał swą pomyłkę. Zaklął, puścił go i zawołał wściekle:

— Kto ty? Skąd się tu wziąłeś? — Do dyabła! gdzie stary? Widziałeś go przecież.

Kulas widział że jest ocalony i że Sinobrody go nie poznał. Odetchnął i wstał szybko.

— Biedny ze mnie człek, panie! szukam schronienia na noc.

— Nie widziałeś tu człowieka — starca, z długą siwą brodą — tu w lesie? Człowieku! gadaj — a prędko! — rzekł groźnie Sinobrody.

Kulas udawał, że nie rozumie i nie wie o kim mowa.

— Nie, panie, nie widziałem nikogo.

— Kłamiesz łotrze — zawołał Sinobrody i zaczął nim trząść z całej siły. Tu wyraźne są ślady stopy ludzkiej. Powiedz, gdzie on? Ty pewnie jego sprzymierzeniec. Gadaj, bo cię ubiję.

Jakkolwiek trudno było wziąć tę groźbę poważnie, to jednak Kulas zdjęty strachem, wskazał drżący kierunek, w którym znikli hrabia i Ludwik Hecht. Sinobrody nie pytał o nic więcej, popędził w dal.

Teraz bezgraniczna trwoga zdjęła Kulasa. Jego towarzysz Hecht znajdzie się w groźnym położeniu. Sinobrody dogoni go, a także hrabia wpadnie mu w ręce. Żałował — lecz już zapóźno — że wskazał Sinobrodemu prawdziwy kierunek.

Zrozpaczony biegł za nim. Lecz zatracił zupełnie jego ślad, bo w lesie panowała zupełna ciemność. Małe młode drzewa jodłowe stały tuż obok siebie, a ich konary tak się łączyły, że człowiek z trudnością mógł się przedostać.

Nagle rozległ się strzał. Przerażony stanął Kulas. Nadsłuchiwał, czy to strzał Sinobrodego? na kogo, na Ludwika?

Potem cisza. Kulas drżał gwałtownie. W tem usłyszał szelest w gałęziach i jakaś postać pomknęła tuż obok niego, nie widząc go i zniknęła w ciemności.

Kto to? Ludwik?

Wrócił na miejsce, gdzie go dopadł był Sinobrody. Bezradnie biegł tam napowrót, nareszcie postanowił udać się do młyna.

Jeżeli są tam jeszcze ludzie Sinobrodego, to ukryję się, aż się oddalą. Wtedy na własną rękę rozpocznie poszukiwania za skarbami hrabiego. O los Ludwika Hechta nie troszczył się wcale. Może go poprzednio zastrzelił Sinobrody. Postanowił jednak być bardzo ostrożnym.

Wkrótce też wynurzyły się przed nim na pół zapadłe budynki młynarskie. Przez dziurę w płocie dostał się na podwórze. W domu mieszkalnym zobaczył światło. Przed tylną bramą stały 3 konie, strzeżone przez służącego Sinobrodego.

Może on sam z Piotrem tam siedzi? Może szukają razem za skarbami hrabiego Haralda.

Zwolna posuwał się wdłuż szosy. Nagle stanęła przed nim jakby wyrosła z ziemi postać mężczyzny, wsparta nieruchomie o ścianę i uczuł na swem ramieniu rękę owej postaci.

— To ty — szepnął znajomy głos.

— Boże! Ludwik — zapytał uradowany Kulas.

Towarzysze spotkali się tu niespodzianie. Prędko porozumieli się szeptem. Ludwik Hecht podążył był za hrabią Haraldem w zarośla, lecz tam go stracił z oczu. Kiedy wracał pomknął obok niego jakiś człowiek. Ten — był to Sinobrody — nie poznał go w ciemności. Sinobrody popędził dalej. Nagle rozległ się strzał.

Sinobrody dogonił pewnie starego i ubił go — rozumował Ludwik.

— Prawdopodobnie — rzekł Kulas. To ty zatem pomknąłeś obok mnie. Nie miałeś wcale ochoty mnie odszukać? — dodał z wyrzutem.

— Spodziewałem się, że znajdę cię tu w młynie — tłumaczył Ludwik — co jednak teraz poczniemy? Tymczasem może Piotr odkryć skarb i my osiądziemy wtedy na lodzie.

Nie pozostawało jednak nic innego, jak czekać. Detlewa nie widzieli, nic też na to nie wskazywało, że wrócił do młyna.

Minęło z pół godziny, kiedy Sinobrody wrócił z lasu. Nie zauważył ich.

— Teraz pójdą sobie — twierdził Ludwik.

Ale minęło jeszcze sporo czasu, nim Sinobrody wyszedł z domu w towarzystwie Piotra. Rozmawiali bardzo wzburzenie, lecz Kulas i Ludwik nie mogli ani słowa z ich rozmowy usłyszeć z powodu dość znacznego oddalenia.

Nareszcie wsiedli Sinobrody i towarzysze na konie i wnet rozległ się z oddali tentent kopyt.

Jeszcze Ludwik i Kulas nie mieli odwagi wyjść ze swej kryjówki. Bali się i z niedowierzaniem patrzeli w okna.

— Zdaje się, że Sinobrody zostawił tu kogoś na straży — zauważył Hecht.

— To niemożliwe — szepnął Kulas. Stary hrabia mówił przecież, że ich tu tylko trzech było. No i wszyscy sobie poszli precz.

— Ale światło? Ktoś tu być musi!

— A może celowo nie zgasili światła? A może zapomnieli.

— Być może, musimy się jednak przekonać.

Zbliżali się ostrożnie ku domowi. Tylne drzwi były jeszcze na pół otwarte. W sieni by-

ło jasno, bo drzwi do pokoju nie były przymknięte. W pokoju świeciła się lampa, lecz nikogo tu nie zobaczyli.

Złoczyńcy odważyli się przestąpić próg pokoju — potem poszli dalej, śledząc ostrożnie każdy kąt. W domu zdawało się, że nie ma nikogo. Wrócili do pokoju, zostawili tu święcącą lampę, poczem z latarnią zeszli do piwnicy, by na nowo rozpocząć poszukiwania za ukrytemi skarbami.

Zeszli do lochu piwnicznego, gdzie leżał trup kobiecy. Nie zauważyli, że za nimi cichaczem posuwa się jakiś człowiek który dotychczas stał ukryty w ciemnym kącie sieni. Kiedy złoczyńcy zeszli do piwnicy, on zatrzymał się w górze i z szyderczym uśmiechem przypatrzył się im.

Był to rybak Detlew. Nic złego nie przeczuwając, przybył on do młyna — zajechał atoli tylną stroną. Zauważył służącego Sinobrodego, co wzbudziło w nim podejrzenie, konia zostawił w lesie. Niepostrzeżenie zbliżył się ku domowi. Odkrył tu Piotra, sam jednak pozostał niewidzianym.

Zrozumiał szybko co tu zaszło podczas jego nieobecności. Kiedy Sinobrody wrócił, podsłuchał Detlew jego rozmowę z Piotrem i dowiedział się że stary hrabia uciekł. Czy go jednak Sinobrody dogonił, w tej sprawie nie miał pewności. Natomiast zoryentował się natychmiast kto ci złoczyńcy i czego tu szukają.

Zaledwie znaleźli się Ludwik i Kulas w piwnicy — zatrzymali się nagle z okrzykiem rozczarowania. Spostrzegli głęboki otwór, w nim skrzynię, w której ukryte były skarby starego hrabiego, jednak skrzynia była pusta.

Zgłupieli. Nie wątpili ani na chwilę, że to nikt inny tylko Piotr znalazł skarby i że one teraz są w rękach Sinobrodego.

Ich wściekłość nie znała granic, nawet Hecht biadał i klął siarczyście.

Nagle usłyszeli w górze na schodach szyderczy śmiech.

— Co to? — zawołał Kulas przerażony.

— Przecież jest tu ktoś w domu — szepnął Ludwik nie mniej wystraszony niż jego towarzysz.

Pośpieszył w górę. W tej samej chwili zatrzaśnięto drzwi piwniczne i zamknięto je sztabą żelazną. Złoczyńcy byli pojmani. Słyszeli jeszcze oddalające się kroki. Potem zapanowała cisza.

Niedługo potem rozległ się huk opodal okna, którem uciekł był stary hrabia. Jakieś niewidzialne ręce zatoczyły pod okno potężną skrzynię i napełniły ją ciężkimi kamieniami młyńskimi.

— Tak, łotry! — śmiał się Detlew który dokonał tego dzieła w kilku minutach dzięki swej olbrzymiej sile. Teraz siedzicie w łapce.

Pośpieszył w las, gdzie zostawił był swego konia. Dosiadł go i popędził w dal w zamiarze by odszukać ślad starego hrabiego.

Czy go znajdzie jeszcze przy życiu? Czy też padł już stary hrabia ofiarą Sinobrodego?

ROZDZIAŁ 88.

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

Cicho jęcząc rzucał się Winter na swem łożu. Urywane słowa bez związku szeptały jego usta. Przy nim siedziała siostra miłosierdzia, zaniepokojona jego niespokojnym snem.

W pokoju oświetlonym słabem światłem, panowała senna cisza.

Siostra miłosierdzia oparła się o poręcz krzesła i przymknęła oczy.

Był wieczór, za godzinę miał nadejść doktor, chciała się na chwilę zdrzemnąć.

Wtem nagle otworzyły się cicho drzwi z korytarza. Odchylono portyerę i na progu stanęła postać niewieścia otulona w czarny płaszcz. Twarz jej była gęsto zawelonowana. Bez hałasu — jakby upiór, wsunęła się do pokoju i zbliżyła się do łoża chorego.

Dopiero teraz zauważyła ją siostra miłosierdzia. Przestraszona zerwała się z siedzenia. Przybyła rzuciła była w tej chwili płaszcz, ubrana była w posępny strój sióstr miłosierdzia.

Podała przerażonej papier i szepnęła:

— Siostro Lauro. Matka siostry nagle zachorowała. Tu jest telegram, by siostra natychmiast pojechała do domu. Matka przełożona przysłała mnie, bym siostrę tu zastąpiła.

Drżącą ręką wzięła siostra Laura telegram — przeczytała i w oczach jej zabłysły łzy.

— Miłosierny Boże! moja biedna, dobra matka — chora! Ach, może już nie żyje!

W rozpaczy załamywała ręce i nie zwracała na to uwagi, że przybyła nie zdejmowała welonu z twarzy i że głos jej dziwnie brzmiał. Nie przyglądnęła się bliżej depeszy, zajęta jedną myślą o swej chorej matce, która mieszkała w miasteczku opodal, oddalonem od rezydencyi o godzinę jazdy koleją.

— Niech się siostra spieszy — nalegała obca. Natychmiast na peron by się na pociąg nie spóźnić. Siostra uwolniona na czas nieograniczony. Ja zostanę przy chorym.

Siostra Laura zabierała się do odejścia.

— Ach, Boże! Gdzie telegram? Położyłam go przecież tu na stole.

— Pewnie spadł na ziemię — rzekła obca i schyliła się.

Lecz telegramu nie znaleziono.

— Niech się siostra nie zatrzymuje. Ja znajdę telegram i zatrzymam go siostrze. Niech się siostra spieszy. Niech Bóg wszystko ku dobremu pokieruje .

Siostra oddaliła się. Obca patrzyła za nią długo. Potem zaśmiała się cicho, tryumfująco.

— Udało się! Mam teraz trzy godziny czasu, nim ta głupia siostra wróci. Nie poznała mnie, nie domyśli się wcale, kto jej tego figla urządził.

Zamknęła drzwi i usiadła na krześle obok łoża chorego. Teraz podniosła czarny welon... Była to Walerya.

A przecież z trudnością by ją poznano, tak bardzo potrafiła zmienić swe rysy przy pomocy wyrafinowanych sztuczek toaletowych.

Wyglądała staro, była brzydka, cała twarz pokryta piegami. A i czarny, nieładny habit, nie mało zmienił całą jej postać.

Wtem otwarły się drzwi z sąsiedniego pokoju i zaglądnęła przez nie Katynka. Słyszała otwieranie drzwi wchodowych i myślała, że to doktor Kloc przyszedł.

Cicho zbliżyła się. Prócz siostry miłosierdzia nikogo w pokoju nie było.

— Zdawało mi się, że ktoś przyszedł — szepnęła, zwracając się ku rzekomej siostrze.

Walerya zadrżała. Pierwsza to próba. Jeżeli ją Kotynka pozna, natenczas wszystko stracone.

Odpowiedziała niemym ruchem głowy i schyliła głowę jakby chciała spać. Katynka przystąpiła do łóżka chorego. Spał znowu niespokojnie, jakby przeczuwał bliskość swego śmiertelnego wroga. Nagle wydał okrzyk i obudził się.

Katynka nachyliła się i ujęła jego dłoń.

— Co ci kochany Reinholdzie — spytała troskliwie.

Winter rozglądnął się trwożliwym wzrokiem. Objął silnie rękę Katynki.

— Miałem straszny sen —szepnął słabym głosem. Szatańska kobieta chciała mnie zamordować. Rzuciła się na mnie ze sztyletem... Dzięki Bogu! to był tylko sen.

Katynka gładziła jego rozpalone czoło.

— Kto była ta straszna kobieta? — spytała z dziwną trwogą.

— Miała rysy baronowej Waleryi — odpowiedział chory.

— Na miłość Boską! — zawołala Katynka. Reinholdzie! Skąd te sny? Spij, uśnij spokojnie. Zostanę przy tobie. Wrócisz do zdrowia, znacznie ci już lepiej. — A bardzo się bałam o ciebie.

Uśmiechnął się smutno.

— Tak, lepiej mi nieco, lecz nim zupełnie zdrowie odzyskam, minie sporo czasu. A ja nie mam spokoju. Poślij po komisarza Greifa, by natychmiast przyszedł. Muszę mu donieść o sprawach pierwszorzędnego znaczenia.

— Dzisiaj jeszcze? — spytała Katynka. Nie, kochany Reinholdzie. Jeszcze jesteś za słabym. Do jutra musisz przeczekać.

— Ależ sprawa nie cierpi zwłoki.

— Trudno! Musisz przedewszystkiem o sobie pamiętać. Zresztą niedługo przyjdzie doktor Kloc. Zobaczymy, co on powie.

Winter musiał się zgodzić. Wzrok jego błądził po pokoju i spoczął na siedzącą obok łóżka Waleryę. Lecz ona siedziała w cieniu — oczy miała przymknięte. Nie poznał jej rysów.

— Kto ta kobieta? — spytał niespokojnie.

Katynka która nie wiedziała że prawdziwa siostra miłosierdzia oddaliła się, uśmiechnęła się i szeptem dała mu wyjaśnienie. To uspokoiło go zupełnie.

— Zdaje się, że usnęła — zauważyła Katynka. Całą ubiegłą noc czuwała. jest więc zmęczoną. Ja tej nocy zastąpię ją.

Ale Walerya nie spała, słyszała ich rozmowę i ostatnie słowa Katynki zaniepokoiły ją.

Tymczasem Katynka opowiedziała Winterowi wszystko co w ostatnich dniach zaszło, o ile chory o tem nie wiedział. Chociaż przypominał sobie dokładnie wszystko — nawet co się z nim działo.

— To Piotr był, ten łajdak który mnie tu dwa razy napadł! — rzekł. Za pierwszym razem nie poznałem go, lecz kiedy drugi raz dostał się tu niby jako lekarz, widziałem jego twarz. Ja się nie mylę. A zatem nie zginął w morzu. Morderca ten żyje, a jego ostatnia zbrodnia upewniła mnie w mych dotychczasowych przypuszczeniach.

— Więc i ja nie pomyliłam się — zawołała Katynka. To był Piotr. Poznałam go, lecz nikt mi nie wierzył. O, Boże! czego ten łotr chce od ciebie? Jeszcze teraz czuję strach na myśl o tej strasznej chwili, kiedy to szamotałeś się z nim.

Wzdrygnęła się cała. Siedziała na rogu łóżka. Winter objął silnie jej ręce.

— Tak, Katynko — rzekł. Ocaliłaś mi życie Gdybyś nie była zjawiła się w tej strasznej chwili, osiągnąłby morderca swój cel Ale on nie tylko chciał się zemścić. Miał jeszcze inny cel.

I w tej to głównie sprawie muszę porozumieć się z kolegą Greifem.

— Co masz na myśli — spytała Katynka.

— Piotr szukał tu za pewnym dokumentem — za listem. Porwał mi też z pod poduszki mój portfel.

— Wielki Boże! Twój portfel?! A czy ów list był tam? — spytała przerażona dziewczyna.

— Dzięki Bogu! nie! — uśmiechnął się Winter.

— Co za list?

— List hrabiny Agaty, żony hrabiego Linderhof. Uważa on swą żonę za umarłą. Ale ona żyje — w Indyach. Mówiłem ci już o tem. Miałem tam jechać. List był przeznaczony dla hrabiego, ale baronowa Walerya dostała go w swe ręce.

I w krótkości objaśnił w jaki sposób on dostał się w posiadanie tego listu.

Tymczasem Walerya słyszała każde ich słowo, udając tylko że śpi,. Pozornie była spokojną lecz wszystko w niej kipiało. Winter wtajemniczył Katynkę we wszystko i opowiedział jej podstępy i zbrodnie Waleryi.

— Właśnie mogłem zdemaskować tego szatana — i hrabiemu otworzyć oczy. Przeszkodził temu wspólnik tych zbrodniarzy. Już było, też na ukończeniu śledztwo w sprawie Sinobrodego. On stoi w zmowie z Waleryą i dawno już ułożyli plan, by mnie sprzątnąć ze świata.

— Katynko! — przerwał nagle. Jeszcze jedno. Czy słyszałaś o teściu Sinobrodego?

— Tak! człowiek ten zniknął bez śladu.

— Hrabia Sinobrody i Piotr sprzątnęli go. To moje przekonanie —rzekł Winter z natężeniem, bo mu głos już osłabł.

— I to właśnie chciałeś dzisiaj donieść komisarzowi? spytała Katynka.

— Tak! Widzisz, że muszę z nim mówić — rzekł chory słabym głosem. Lecz, boję się — nie mogę jeszcze.

Przymknął oczy i przez chwilę leżał cicho.

— Uważaj na siebie! kochany mój! — rzekła Katynka zaniepokojona. Zaklinam cię Ja to doniosę panu Greifowi w twem imieniu.

Winter kiwnął głową na znak zgody. Zwolna przyszedł znowu do siebie i szepnął:

— List Agaty nie daje mi spokoju. Musi to hrabia dostać. Bo w przeciwnym razie — boję się — grozi nam nowe niebezpieczeństwo. Walerya użyje wszelkich sposobów by mi list wydrzeć a mnie samego sprzątnąć ze świata.

— Na miłość Boską! — zawołała Katynka. Listu tego musimy się jak najprędzej pozbyć. Gdybyś mi to wszystko był dawniej powiedział.

— Nie odwróciłbym tego, co się stało, moja Katynko — odpowiedział — jutro prześlę list hrabiemu przez kolegę Greifa.

— O Boże i ta straszna kobieta była tu, dwa dni temu z nim, z hrabią Edmundem — zawołała Katynka oburzona. — Przystąpiła do twego łoża i mnie pocieszała. Nędznica, gdybym o tem wiedziała, zdarłabym maskę z tej obłudnicy w obecności hrabiego.

Wściekłość Waleryi nie znała granic. Każdy nerw drżał w niej. Z trudnością tylko panowała nad sobą.

- Zapłacisz strasznie za te zuchwałe słowa nędzne stworzenie — pomyślała. Poznasz ty zemstę obłudnicy.

Kątynka i Winter rozmawiali dalej, nie zwracając uwagi na rzekomą siostrę miłosierdza, o której myśleli że śpi.

— Miej się na baczności przed tą żmiją — przestrzegał ją Winter — znam ja ją, znam też jej zbrodnie. Jestem silnie przekonany, że to Walerya otruła pierwszego męża Agaty, barona Rambow. I barona Jakóba ma ta szatańska kobita na swem sumieniu. Za jej namową zamordowali go Sinobrody i Piotr. To wszystko wykażę i udowodnię.

— Marta twierdzi też, że baronowa Walerya kazała porwać małego Waltera — rzekła Katynka — nigdy przecież nie znosiła tego biednego dziecka.

— Prawdopodobnie ma Walerya udział i w tej zbrodni. Ale nietylko z nienawiści usunęła to dziecię. Miała i inny cel. Ona chce zostać żoną ministra. Dziecko jest dla niej przeszkodą jako jedyny spadkobierca baronowej Agaty Rambow.

— I o tem wszystkiem hraba nic nie wie — zawołała Katynka. Dlaczego go nie ostrzegłeś, Reinholdzie?

— Cóż mu mogłem powiedzieć? Nie miałem dowodów. Dzisiaj stoją sprawy inaczej.

Na chwilę zamilkł, osłabiony. I Katynka zamyśliła się. Nie zauważyła błyszczących z wściekłości oczu Waleryi.

Wtem zapukano do drzwi. Wszedł doktor Kloc.

Katynka wstała szybko i rzekła uradowana.

— Panie doktorze, lepiej mu już. Gawędzimy właśnie przez chwilę.

Doktór zrobił poważną minę. Katynka opowiedziała że Winter chce odbyć jutro konferencyę z kolegą Greifem.

— Nie pozwolę na to — rzekł doktór stanowczo. Co to znaczy panno Katynko? Nie należało z nim wcale mówić.

A badając chorego — dodał:

— No, pewnie, nowa gorączka.

Katynka krzyknęła przerażona i wybuchnęła nowym płaczem.

— No, no — uspakajał ją doktór — nic złego znowu. Będzie dobrze. Ale nie robić głupstw, panno Katynko pogrozii uśmiechając się.

Winter leżał spokojnie, jakby nie słyszał, co się koło niego dzieje.

Walerya udawała że śpi. Siedziała w cieniu schylona, tak że i doktór nie mógł poznać jej rysów.

— Siostra śpi? spytał półgłosem.

— Niech biedaczka chwilę spocznie — mówiła Katynka — będę czuwać do północy. Potem ją zbudzę.

— E, gdzie tam — rzekł doktór Kloc — siostra przyzwyczajona do czuwania. Ma pani dość zachodu koło Marty.

Nachylił się by pozornie śpiącej Waleryi spoglądnąć w twarz. Była to dla niej straszna chwila.

Wtem poruszył się Winter i natychmiast wrócił do niego lekarz. Walerya odetchnęła swobodnie. Niebezpieczeństwo minęło.

Winter otworzył oczy i pozdrowił lekarza uśmiechem. Wysłuchał spokojnie jego wyrzutów. Doktór Kloc zakazał mu niepotrzebnego gadania.

— Ale ja muszę porozumieć się jutro z komisarzem Greifem — uparł się, od tego wszystko zależy.

— Nie, przyjacielu — odrzekł z naciskiem doktór. Wszystko zależy od tego, byś pan dokładnie spełnia me zlecenia, bo w przeciwnym razie, nie ręczę za skutki. Zresztą nie będziesz pan mógł jutro mówić. Będziesz miał najpiękniejszą w świecie gorączkę. Cierpliwości więc.

— Katynko — szepnął Winter, opadając już na poduszki — list, ty wiesz przecież. Jutro oddasz panu Greifowi, jeżeli ja nie będę i wytłómacz mu wszystko, i...

— Co za list? — zapytał doktór Kloc.

— Potem panu powiem — odpowiedziała Katynka — gdzie ten list, kochany Reinholdzie — zapytała chorego.

— W moim surducie, w tajemnej kieszeni, na piersiach — szepnął ledwo dosłyszalnym głosem, odprujesz, znajdziesz go i...

Opadł na łóżko nieprzytomny.

Nie zwracając uwagi na Waleryę, udał się doktór z Katynką do sąsiedniego pokoju. Drzwi pozostawili otwarte. Walerya słyszała, jak rozmawiali z Martą, która jeszcze była chorą.

— Gdzie list — zawołała Walerya. Co on jej powiedział. — Czy nieszczęsny ten świstek i dzisiaj nie odkryję.

Doktór zabawił prawie jeszcze godzinę. Wstąpił i do trzeciego pokoju, gdzie był ojciec Katynki. Ta opowiedziała im swoją rozmowę z Winterem. Mówili tak głośno, że Walerya słyszała prawie każde słowo.

Drżała z wściekłości. Wszyscy mówili o niej z pogardą i ze wstrętem. Przysięgła im wszystkim straszną zemstę, w pierwszym zaś rzędzie Katynce.

Nareszcie wrócił doktór Kloc z Katynką do pokoju chorego. Wydał jeszcze kilka zleceń. Winter spał teraz spokojnie. Lekarz pożegnał więc Katynkę i rzekł wskazując na pozornie śpiącą Waleryę:

— Niechże pani wnet zbudzi siostrę. Tej nocy musi bardzo uważać na chorego. Będę tu jutro przed południem.

Nareszcie oddalił się. Największe niebezpieczeństwo minęło. Chociaż Katynką ją zbudzi, by powtórzyć zlecenia lekarza, a wtedy może ją z łatwością poznać.

Lecz Katynka zbliżyła się do szafy z sukniami. Walerya śledziła każdy jej ruch. Katynka wyjęła elegancki czarny surdut, przystąpiła do stołu i poczęła odpruwać podszewkę.

— Szuka za listem — pomyślała Walerya.

Katynka znalazła ukrytą kieszeń i wyciągnęła list Agaty. Poczęła czytać.

Walerya z wysiłkiem panowała nad sobą Gdyby się teraz rzucić na Katynkę, za jednym zamachem ma ten nieszczęsny list.

Ale co potem? Katynka pozna ją natychmiast i jutro dowie się o wszystkiem hrabia Edmund. Nie, list ten potajemnie musi dostać, by się nikt nie domyślał, że ona tu była.

Siedziała więc spokojnie, nie spuszczając z oka Katynki. Wtem Winter poruszył się. Katynka położyła list na stole i udała się do chorego. Przekonała się, że śpi wróciła więc do stołu i czytała dalej. Potem złożyła list i przez chwilę stała w zamyśleniu.

Walerya zaniepokoiła się. Co teraz Katynka pocznie z tym listem?

Katynka udała się do sąsiedniego pokoju i przeczytała list Marcie. Walerya drżała. Bo cóż będzie, jeżeli Katynka schowa gdzieś list w sąsiednim pokoju? Wtedy wszelka nadzieja stracona.

A czas mijał. Bawiła tu już prawie trzy godziny. Niedługo może wrócić siostra miłosierdzia. Tak długi nie mogła Walerya zostać, lecz nie chciała odejść z niczem.

Walerya straciła cierpliwość, sięgnęła ręką do kieszeni i ujęła sztylet.

Wtem nadeszła Katynka, trzymając jeszcze list w ręku. Wzięła surdut, który leżał na sofie, włożyła list do jego kieszeni, potem zawiesiła surdut w szafie i szafę zamknęła.

Jeszcze raz spojrzała na chorego i opuściła pokój. Lecz nie zamknęła za sobą drzwi. Walerya widziała, jak Katynka usiadła obok swej przyjaciółki i obie rozpoczęły rozmowę.

— Cóż teraz? W jaki sposób dostanę ten list? — rozpaczała Walerya.

Długo czekać nie mogła, czas, który jej zostawał do działania, był nader krótki, może tylko niewiele minut. Bo siostra miłosierdzia przekonawszy się, że padła ofiarą podstępu, wróci najbliższym pociągiem, który już może zajechał na dworzec.

Walerya postanowiła działać. Poruszyła się na krześle tak że ją w sąsiednim pokoju słyszano. W drzwiach stanęła Katynka i spytała półgłosem:

— Siostra nie śpi?

— Nie, — odpowiedziała Walerya, starając się naśladować głos siostry miłosierdzia.

Katynka weszła do pokoju i powtórzyła rzekomej siostrze zlecenia lekarza. Walerya odpowiadała niemymi ruchami, nie mogąc doczekać się chwili, by się Katynka oddaliła.

Nareszcie wróciła Katynka do drugiego pokoju i by mogła swobodnie rozmawiać z Martą, przymknęła drzwi.

Tego właśnie pragnęła Walerya.

Natychmiast wyjęła z kieszeni małe zawiniątko papieru i jego zawartość — biały proszek — wsypała do szklanki która stała na stoliku, obok łóżka.

Proszek rozpuścił się w wodzie, którą wlała do szklanki. Następnie wylała z flaszeczki medycynę i wlała do niej zawartość szklanki.

Patrząc na Wintera nienawistnym wzrokiem, szepnęła:

Spodziewała się, że siostra miłosierdzia, której rolę grała, poda jeszcze tej nocy choremu rzekome lekarstwo.

Cicho — jak kot — zbliżyła się Walerya do szafy. Lecz klucza nie było.

Wyjęła z kieszeni pęk kluczy, jeden z nich otworzył szafę.

Walerya nadsłuchiwała. Wszędzie cicho.

Prędko znalazła surdut — wyjęła list, który ukryła i zamknęła szafę.

— Udało się! — tryumfowała.

Z trudnością udało jej się opanować swą szatańską radość.

Miała nareszcie ów nieszczęsny list. Niech teraz Katynka całemu światu powtórzy odkrycia Wintera. Powiedzą że to mówił w gorączce. Nikt nie pojmie, w jaki sposób list zniknął, na nią zaś wcale podejrzenie nie padnie. Nikt się nie domyśli, kto ta fałszywa siostra miłosierdzia.

A Winter —ten umrze jeszcze tej nocy. Siostra Laura poda mu truciznę, w przeświadczeniu, że to lekarstwo doktora Kloca. Podejrzenie padnie albo na siostrę Laurę, albo na ową nieznajomą siostrę, której daremnie szukać będą.

Tak myślała Walerya. Zarzuciła szybko płaszcz, na twarz spuściła gęsty welon. Jeszcze spoglądnęła wzrokiem pełnym nienawiści na chorego — potem w stronę pokoju, gdzie była Katynka i szepnęła:

— Rozpacz cię zabije! To będzie moja zemsta!

Zaśmiała się cicho demonicznie. Bez szmeru otworzyła drzwi i oddaliła się.

Wtem — kiedy zbliżyła się do schodów — pomknęła w górę ciemna postać. Szybko ukryła się Walerya w kącie korytarza. Postać minęła ją. Była to siostra Laura. Nie spostrzegła Waleryi, a ta szybko zeszła ze schodów, niespostrzeżenie opuściła dom i zniknęła w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ 89.

Zapłata.

W gorące południe obozuje na stepie tysiąc ludzi, oddział Burów. Tylko oficerowie i oddział sanitarny w szałasach — reszta pod gołem niebem.

Wzdłuż obozu ciągną się nieraz strome pagórki, pokryte gęstwiną. Po drugiej stronie płynie potężna rzeka Tulega. Na pagórkach ruch ożywiony. Artylerya i pioniery budują szańce i ustawiają armaty.

Przez łożysko rzeki zbudowano most, sięgający do małej skalistej wysepki. Wszędzie armaty.

Na drugim brzegu pędzą we wszystkich kierunkach małe oddziały jazdy. Śledzą ruchy wojska angielskiego poruszającego się w oddali jakby chmury na horyzoncie.

Na jednym z najwyższych pagórków siedział na brzegu farmer i ponurym wzrokiem patrzał w dal. Tam za rzeką, leżała jego osada. Niedaleko był od swego miejsca rodzinnego, gdzie niedawno tyle przecierpiał. Teraz gospodarzyli tam angielscy żołnierze, a Lydia, niewierna jego żona, zdradzała go w objęciach oficerów angielskich.

Zacisnął pięść w bezsilnym gniewie.

—Lecz cierpliwości! Jutro będę w domu, nasze kule rozpędzą Anglików, a wtedy sądy odbędę — nędznico ty! Dałby Bóg, by i twój uwodziciel wpadł mi w ręce.

Wstał i udał się na równinę. Przed namiotem, z którego powiewała biała chorągiew z czerwonym krzyżem siedziały dwie postacie kobiece, zajęte przygotowaniem bandaży. To Gertruda i Józefa. Ta ostatnia miała na czole bandaż. Kula wtedy w nocy tylko głowy jej dotknęła.

Już po dwóch dniach mogła wstać. Farmera zaś przyjęli Burowie z radością, kiedy zrzucił mundur angielski. Z oddziałem wojska tu wymaszerował, a Gertruda i Józefa podążyły — szybko zdecydowane — z częścią oddziału sanitarnego.

— Jak też tam teraz wygląda w mojej osadzie? — rzekł posępnie, siadając obok kobiet. Czy są tam jeszcze ci sami żołnierze? Kapitan Harris, ten łotr, który moją żonę... o, gdybym go dostał w swe ręce, zapłaciłby on gorżko za hańbę, którą sprowadził na mój dom. I ten agent — ha! tego szubrawca powiesiłbym!

— Wątpię, czy ich pan jeszcze kiedykolwiek zobaczysz — odpowiedziała Józefa. Chociażbyśmy nawet jutro przybyli do osady pana, to ani kapitan Harris ani ten łotr agent czekać na nas nie będą.

— Tak, prawda! — westchnął farmer. Może ich już nie ma w tej okolicy. — Na Boga! — zawołał nagle. Mam ochotę dostać się do mej osady i zobaczyć, jak tam wygląda.

— Na miłość Boską! — zawołała Józefa przerażona. Chcesz pan narazić się na pewną śmierć. Między nami a osadą pańską leży cała armia angielska.

— Co mi tam! Spróbuję! Odprowadzi mnie tam kilku odważnych kolegów. Równocześnie zbadamy pozycyę nieprzyjaciela.

Nie pomogły prośby Józefy. Farmer udał się do namiotu generała. Ten pozwolił na odważmy jego plan, zgłosiła się także garstka ochotników, która miała go opdrowadził.

Kiedy zapadł wieczór, wyruszyło z obozu siedmiu młodych Burów z farmerem na czele na koniach, pędząc ku rzece do mielizny, gdzie chcieli przejść przez wodę.

Z łatwością dostał się farmer ze swymi towarzyszami na drugą stronę rzeki.

Tam w nieskończoność rozciągały się stepy, pokryte trawami. Ciemność zapadła. Odważna garstka — przyzwyczajona do tych okolic od najwcześniejszej młodości — pędziła w dal.

Pusto tu było. Burowie, którzy za dnia tu byli, cofnęli się wieczorem ku rzece

W oddali zabłysnął płomień — potem długi szereg pojedyńczych ogni. Były to ognie obozowe wojsk angielskich.

Jeździcy udali się w innym kierunku. Chcieli ominąć armię nieprzyjacielską i dążyli na jej skrajne skrzydło. Parami pędzili z zachowaniem wszelkich ostrożności, zawsze gotowi do ataku.

— Baczność! — Na prawo! — zakomenderował nagle farmer cicho. I orszak natychmiast zmienił kierunek. Jeszcze mogli za sobą rozróżnić szczęk broni i tentent kopyt końskich. Lecz patrol angielska, która się zbliżała, nie zauważyła ich wcale.

I coraz dalej pędziła odważna garstka wśród grobowej ciszy. Zbliżali się do ogni obozowych. Należało zwiększyć ostrożność. Znowu wynurzył się patrol angielski — lecz Burowie na czas zboczyli z drogi.

W godzinę mniej więcej miał wejść księżyc. Do tej pory należy sytuacyę wyzyskać, bo w świetle księżyca nie potrafią się ukryć.

Zdwojono pospiech.

— Stój!!

I garstka stanęła, jak wryta. Wśród ciszy rozległ się turkot wozów, rżenie i tentent koni. Kroki masy ludzi w marszu, od czasu do czasu komenda. — Ale nic nie widzieli, wśród ciemnej nocy.

Długa kolona municyjna przeciągnęła w towarzystwie oddziału piechoty blizko garstki Burów. Tylko ciemność ochraniała ich. Lecz najmniejszy szelest mógł ich zdradzić. Trwało to niemożliwie długo, aż minął ostatni wóz.

Burowie popędzili w dal. Minęli i ostatnie ognie obozowe, mieli za sobą krańcowe punkta obozu.

Teraz wiodła droga ku osadzie w prostym kierunku. A przecież tu — w tyłach armii nieprzyjacielskiej — niebezpieczeństwo było większe niż przed frontem. Wszędzie spotykali mniejsze oddziały kawaleryi.

Aż tu przed nimi leżała osada. Okna oświetlone, dookoła ognie obozowe. Tu obozowały silne oddziały kawaleryi. Burowie zatrzymali się. Było rzeczą niebezpieczną, niemożliwą zbliżyć się do osady.

Burowie naradzali się. Od osady dzieliło ich zaledwie sto metrów. W tem samem oddaleniu znajdowały się ognie obozowe po lewej i prawej stronie. Postanowili spróbować, może się uda przedostać się.

W osadzie zakwaterował się pewnie dowodzący generał ze swoim sztabem.

Może im się uda wyśledzić ważne tajemnice wojskowe.

Cicho, jeden za drugim, zbliżali się ku osadzie. Tam pogasła większa część ogni. Mieszkańcy udali się na spoczynek. Nieliczne okna były oświetlone.

Farmer ponuro patrzał na swój dom. Przypomniał sobie niewierną swą żonę i ową noc, kiedy jak zbrodniarz musiał uciekać.

Niespostrzeżenie przybyła odważna garstka do ogrodu. W zaroślach uwiązali konie, przy których zostawiono dwóch ludzi. Reszta z farmerem zbliżała się ku domowi. W ogrodzie była cisza, nikogo nie spotkali.

Nagle tuż około domu zatrzymali się.

Przed werandą czuwał żołnierz. Dalej była druga straż.

Lecz wszelkie ociąganie się było niebezpieczne, bo niedługo już wejdzie księżyc, a wtedy plan spełzłby na niczem. Szeptem porozumiał się farmer ze swymi towarzyszami, potem sam zbliżył się ku werandzie. Żołnierz na warcie odwrócił się ku niemu właśnie tyłem, a korzystając z ciemności, dostał się odważny farmer na górę.

Stał przed oknami jadalni. Były otwarte. Przelazł przez nie. Dwaj Burowie, którym się udało dostać tu, wlazło za nim.

— Zostańcie tu — szepnął farmer.

On sam posuwał się cichaczem dalej — prosto ku sypialni swej żony. W ręku trzymał rękojeść długiego noża myśliwskiego.

Otworzył najbliższe drzwi, pokój był ciemny, próżny. Minął jeszcze dwa pokoje, nikogo nie spotkał. Stał przed drzwiami sypialni. Świeciło się tam. Serce biło mu gwałtownie. Drżał, oparł się o drzwi i nadsłuchiwał. Uprzytomnił sobie stracone szczęście i swą piękną żonę, która go nędznie oszukała i zdradziła, a on ją kochał nadewszystko. Zdjęła go zazdrość i wściekłość, jak wówczas kiedy zastał Lydię w objęciach kapitana. A może ten nędznik jest teraz tu, u jego żony? Słyszał szepty... teraz mówiła Lydia. Śmiała się, śmiała swym srebrnym głosem. A jego śmiech ten tak bolał.

Wahał się jeszcze. O, oni mu się nie wymkną. Radował się, szlachetny ten człowiek, zdawało się, że stał się w tej chwili szatanem. Pragnął widzieć kochliwą tę parę rozdraźnić się ich widokiem.

Drzwi nie były zamknięte. Bez hałasu otworzył je nieco i skrył się za portyerą, z poza której, sam niewidzialny, widział co się dzieje wewnątrz pokoju. W białym nocnym stroju siedziała w fotelu Lydia, a obok niej oficer angielski. Objął ją swem ramieniem, a ona wsparta leżała na jego piersi. Na widok ten zawrzała krew w żyłach farmera. Wtem spostrzegł twarz mężczyzny. Nie znał go. To nie był kapitan, z którym pierwszy raz przyłapał Lydię, lecz inny, nieznany mu oficer.

Przez chwilę stał osłupiały. Potem zdjął go wstręt, obrzydzenie i pogarda dla kobiety, którą niegdyś uwielbiał. Z jednym więc załatwiła się była, teraz ma drugiego, a jutro przyjdzie może kolej na trzeciego.

— Bezwstydna kokota — szepnął pogardliwie.

Gruchająca para nie wiedziała o jego sąsiedztwie. Szeptali, lecz on słyszał każde słowo. Lydia mówiła o nim szyderczo i z pogardą.

— Tak, on wtedy uciekł z temi awanturnicami— śmiała się — Także pojmanych Burów chciał uwolnić, ale nie udało mu się. Kapitan Harris kazał go ścigać, lecz daremnie, uciekł z owemi kobietami.

— Słyszałem o tem — odpowiedział oficer. — Mąż pani, kochana Lydio, okazał nadzwyczajną zuchwałość Czy to prawda, że chciał nawet tu w pokoju pani zastrzelić kapitana Harrisa?

— Tak, chciał i mnie zabić Kapitan Harris był dla mnie nadzwyczaj grzeczny i to obudziło jego zazdrość.

— Ale mąż został panią w kompromitującej sytuacyi z kapitanem Harris, co?

Lydii było to podejrzenie nowego kochanka nie na rękę.

— Kto panu to powiedział — zapytała, udając oburzoną.

— Agent Baldi. On przecież nadszedł w krytycznej chwili i wydarł rewolwer mężowi pani — odpowiedział oficer z dziwnym uśmiechem — czy nie tak?

— To oszczerca — zawołała Lydia. Kłamał bezczelnie. Miałam rozmowę z kapitanem Harris w sprawie tych kobiet, które mój mąż sprowadził. Wtedy to on nas napadł.

— Tak, tak— mówił oficer niedowierzająco. — O, ja wierzyłem, moja piękna Lydio, żeś z równą gotowością otworzyła swe ramiona kapitanowi Harris, jak i mnie.

— Za co mnie pan uważa? — oburzyła się Lydia — serce moje do żadnego nie należało mężczyzny. Także nie do mego męża. Nie wyszłam za niego z miłości i nieraz musiałam żałować tego nierozważnego kroku.

Nie chciałaby pani zatem, by mąż wrócił po wojnie?

— Co? Nie, za nic w świecie. Nienawidze

go! Nie chcę go widzieć nigdy A i pan, mój przyjacielu, nie życzysz sobie chyba tego. Bo, nasz plan — rzekła, zalotnie się uśmiechając. Chcesz mnie pan przecież uczynić swą żoną. Albo, może żal ci już danego mi przyrzeczenia?

— Ależ kochana Lydio! — przecież nie igrałem ze sercem pani. Natomiast nasz związek natrafi jeszcze na wiele trudności.

Była to odpowiedź wymijająca, niechętnia zimna. Poznała się na tem Lydia, zbladła i oczy jej ciskały iskry gniewu.

— I o tem mówisz mi pan teraz — dzisiaj, kiedy panu wszystko poświęciłam?! — wybuchnęła. Wczoraj jeszcze leżałeś u mych nóg i przysięgałeś wieczną miłość i wierność. Panie baronie Kaming, przysięgałeś mi, że mnie zabierzesz do Anglii i tam uczynisz swą żoną!

— Tak — tak! Ale — mąż pani jeszcze żyje!

Lydia roześmiała się, a rozczarowanie i wściekłość malowały się na jej twarzy.

— To nie jest przeszkodą! Mogę łatwo uzyskać rozwód, albo też mąż mój zginie w wojnie. Pan mnie zwodzi, baronie Kaming. Ale pan musi — musi spełnić swą obietnicę. Musisz mi wrócić mój honor niewieści!

Wtem zerwał się oficer i odepchnął ją od siebie.

— Honor pani! — cześć twoją — rzekł ironicznie. Nie miałaś już nic do stracenia. To samo szczęście zaznał w twem objęciu i kapitan Harris. Wiem o tem od niego. Pojmie pani, że takiej kobiety nie czyni się swą żoną! Żegnam panią! Jutro zrana i tak opuszczam dom pani.

Ukłonił się ironicznie i wyszedł, nim Lydia mogła ochłonąć z przerażenia.

Przez chwilę była cisza w pokoju. Wściekła i blada wpatrywała się oszukana kobieta w drzwi, któremi wyszedł oficer. Nagle dziki, rozpaczliwy krzyk — rzuciła się ku drzwiom — daremnie — drzwi były zamknięte.

Była to zasłużona kara za zdradę męża.

Niespostrzeżony był farmer świadkiem tej sceny. Nie pragnął już zemsty — dla kobiety tej odczuwał teraz tylko najgłęszą pogardę.

Cicho cofnął się. Lydia nie słyszała jego kroków. Uciekał z tego domu — jakby przed dżumą. Nie miał tu nic więcej do czynienia.

Lecz agent Baldi! Łotr jest tu jeszcze chyba?!

Zatrzymał się w jadalni i rozważał, gdzie znajdzie nędznika?

Chciał go zabrać jako jeńca, by otrzymał zasłużoną karę. Pomyślał teraz także o bracie Józefy i innych pojmanych Burach. Czy i oni jeszcze w osadzie? Czy można ich ocalić?

Na werandzie zapadło zmierzchłe światło W blasku księżyca oświetlony był dom i ogród. Zatrzymał się farmer w ciemnym pokoju. Zewnątrz ozwały się kroki warty, nie mógł więc wykraść się stąd niespostrzeżenie.

Gdzie zostali jego towarzysze? Nie widział ich. Cofnęli się pewnie do swoich w zaroślach. W tem — drzwi się gdzieś otwarły. Ktoś się zbliżał, zdaje się dwaj mężczyźni.

Farmer zoryentował się w niebezpieczeństwie. Biada mu, że jeżeli wpadnie w ręce Anglików. Szybko więc schronił się, przykucnąwszy za bufetem.

W tej samej chwili otwarły się drzwi i wszedł człowiek z zaświeconą latarnią. Poznał go odrazu farmer — był to agent Baldi — dziwnie ubrany: w szeroki kapelusz filcowy, w siną kurtkę, na piersiach szeroki gurt z patronami. Podobny wskutek tego do żołnierza burskiego.

Co znaczy to przebranie?

Za agentem wszedł oficer angielski, baron Kaming, który dopiero co opuścił Lydię.

Nie zauważyli farmera.

— Chce się więc pan na to narazić, panie Baldi? — spytał oficer.

— Tak, milordzie! — odpowiedział Włoch. Jeżeli otrzymam żądaną nagrodę...

— Tak, nasz generał, jego ekscellencya lord Methuen zgadza się! Jeżeli pan wrócisz ze skutkiem, otrzymasz w nagrodę trzy tysiące funtów szterlingów. Masz pan tu dokładną kartę owej okolicy. Tu, w górze — gdzie rzeka, ma zgięcie — ma być bród. Musi się pan przeprawić przez rzekę, zbadać położenie brodu, głębokości wody, i tak dalej.

Oficer wskazywał na kartę.

— Burowie — mówił dalej — obozują prawdopodobnie na przeciwnym brzegu rzeki. Należy więc możliwie najdokładniej zbadać pozycyę i siłę nieprzyjaciela, ponadto ich plany. Musisz pan podsłuchiwać pod namiotami wodzów nieprzyjacielskich. Rozumie pan?

— Tak, milordzie! Spodziewam się, że wywiążę się dobrze z zadania i otrzymam przyrzeczone trzy tysiące funtów szterlingów.

— Wybierz się pan wnet w drogę — rzekł oficer, patrząc na zegar. Teraz pół do pierwszej. Około czwartej ad ranem możesz pan być nad rzeką. W tej chwili zajdzie i księżyc — niespostrzeżenie dostaniesz się pan do obozu Burów.

Zbliżył się ku drzwiom i zawołał

Weszło czterech huzarów.

— Odprowadzicie tego pana do ostatnich forpocztów — rozkazał oficer. Pan ten ma wolne przejście!

Oficer opuścił pokój.

Farmer słyszał każde słowo z tej nader ważnj rozmowy. Zrozumiał teraz, co znaczy burskie przebranie agenta Baldi.

— Podły szpiegu! — pomyślał farmer. Czekaj! Nauczymy cię! Nie minie cię stryczek!

Agent i żołnierze wyszli z pokoju na werandę a stąd na podwórze. Tam czekały już konie, wsiedli na nie i odjechali.

Farmer nie mógł się narazić, by teraz ruszyć za agentem i jego towarzyszami. Drżał z radości. Agent mu nie ujdzie, wyprzedzi go tylko w obozie Burów.

Po uływie pewnego czasu opuścił farmer swą kryjówkę i ostrożnie wyszedł na werandę. Panowała już wszędzie ciemność, księżyc schował się. Straż go zatem nie zobaczy.

Oknem bez hałasu, dostał się do ogrodu, gdzie niespostrzeżenie, czekali na niego Burowie.

Prędko opowiedział im farmer o swem odkryciu. Potem z kilku towarzyszami wyszedł na zwiady, czy brat Józefy i inni jeńcy są jeszcze w osadzie.

Niespostrzeżenie dostali się do remizy, gdzie swego czasu spróbowano uwolnić jeńców. Lecz okno było z wnętrza zabite deskami, a kiedy farmer zapukał nie otrzymał z wnętrza żadnej odpowiedzi. Remiza zdawała się być pustą, w każdym razie nie było to już jeńców.

Było niebezpiecznem dalsze poszukiwanie. Odważna garstka wróciła do ogrodu, by się zastanowić, jak można szczęśliwie wydostać się z obozu angielskiego.

Trzeba było czekać jeszcze kilka godzin aż do zachodu księżyca. Wtedy dosiedli koni i popędzili w dal. W obozie wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie— prócz warty. Prawie już mijali ostatnie forpoczty, gdy ich spostrzeżono. Patrol huzarski zastąpił im drogę.

Nie dali odpowiedzi — pędzili dalej. Padły strzały. Nim jednak huzarzy mogli się zoryentować w jakim kierunku pędzą odważni jeźdzcy, ci zniknęli już bez śladu. Pogoń nie ustawała wprawdzie, lecz mieli przecież wszelką nadzieje, że potrafią się ocalić.

ROZDZIAŁ 90.

W trwodze i niebezpieczeństwie

— Jesteśmy zgubieni! — biadał Kulas.

Próżno Hecht, który wnet odzyskał przytomność starał się wyważyć drzwi. Byli więc w pułapce, w którą tak nierozważnie wpadli.

— To rybak był. Teraz poszedł do wsi po pomoc! — zawodził Kulas w bezradnej trwodze. Ludwiku! — przepadło wszystko. Znowu dostaniemy się do więzienia.

— Stara babo! Strach na nic się nie zda! — zawoła Ludwik Hecht.

Spróbujmy tylko! Może nam się uda wydostać się z tego lochu. Ja nie tracę nadziei.

— Ale jak? I okno ten łotr zabarykadował.

— W każdym razie mamy sporo czasu, — rzekł spokojnie Hecht. Przed świtem nikt tu ze wsi nie będzie. Dalej więc. Trzeba spróbować, czy nie potrafimy wyważyć tych drzwi.

Wziął łopatę i wytrych, zostawione przez Piotra, i zakrzątnął się koło drzwi. Kulas świecił mu. Lecz daremny trud.

— Zobaczmy, jak z oknem będzie, —rzekł Ludwik ocierając pot z czoła. Tamtędy musimy się wydostać na wolność.

Zeszli znowu ze schodów. Ludwik wszedł na skrzynię która jeszcze stała pod oknem i zbadał sytuacyę na zewnątrz. Starał się w najrozmaitszy sposób usunąć ciężką skrzynię, napełniona kamieniami. Lecz ta ruszyła się zaledwie na szerokość pięści.

— Wszystko na nic! przepadło — począł znowu Hecht.

I Kulas stracił nadzieję. Po chwili jednak namysłu rzekł:

— Zbadajmy, czy w drugiej piwnicy nie ma okna. Może tam nam szczęście sprzyjać będzie.

Udali się do drugiego lochu. Kulas podniósł latarnię w górę.

— Jest okno! — zawołał. Ale — Ludwiku, jest strasznie małe!

— Tak, a ponadto zakratowane! Lecz trudno; trzeba spróbować. Przecież umknęliśmy z więzienia. A to nie było wcale łatwą rzeczą.

Pustą beczkę zatoczyli pod okno. Wylazł na nią Ludwik. Otworzył okno i chwycił rękoma wcale szerokie sztaby żelazne, próbując je ruszyć. Kulas świecił latarnią i niecierpliwie przypatrywał się jego usiłowaniom.

— Do sto dyabłów! — zawołał Ludwik. Silnie siedzą. Nie przypuszczałem.

— Nie usuniemy ich! — biadał Kulas, który już znowu stracił wszelką nadzieję. Gdybyśmy tak mieli pożądną piłę.

— I tak musi się udać! — rzekł Ludwik spokojnie. Wyszukaj mi ciężki kamień.

Kulas szukał po całej piwnicy, lecz kamienia nie znalazł. Zniecierpliwiony Hecht zeskoczył z beczki, lecz i jego poszukiwania nie odniosły celu. Zbadał mury, które były z wielkich kamieni i zobaczył, że jeden taki kamień lekko tylko twił w murze.

Bez trudu kamień usunął. Powstało tu teraz głębokie wydrążenie. Ludwik sięgnął w nie ręką i nie natrafił na przeszkodę. Otwór za kamieniem zdawał się być bardzo głęboki.

Lecz towarzysze nie mieli czasu na zbadanie tego ciekawego wydrążenia. Ludwik wszedł znowu na beczkę i wbił dłóto w otwór przy sztabie żelaznej, zapomocą kamienia, który mu służył teraz zamiast młota.

Po chwili kamień w którym tkwiła sztaba, zwolnił się — mógł go oddalić, w ten sam sposób usunął kamień przy drugiej sztabie, które teraz dołem były wolne. Chwycił je i tak długo trząsł niemi, aż popuściły zupełnie i w górze.

Lecz w ten sposób nie wiele jeszcze zyskano. Otwór był za wąski, by mógł przezeń człowiek przesunąć się. Nie pozostawało nic innego, jak otwór ten rozszerzyć przez usunięcie jednej warstwy kamieni.

Praca ta trwała długo i była bardzo uciążliwą. Ludwik Hecht zmęczył się w końcu, musiał go Kulas wyręczyć. Po wielogodzinnych usiłowaniach udało się im usunąć warstwę kamieni. Wyjście było wolne i wygodne.

Kulas nie posiadał się z radości. Pierwszy wylazł przez okno.

Było jeszcze ciemno, lecz ranek niedaleki. Kulas czekał na Hechta, lecz ten się nie zjawiał.

— Gdzie ty jesteś? — zawołał i nachylił się nad oknem.

Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że Hecht laboruje teraz przy owym ciekawym otworze w murze, że otwór ten najpierw oświetlił latarnią, a potem wsunął tam całe ramię.

— Do dyabła! Co tam robisz? — zawołał Kulas. Chodźże już!

Niezrozumiałe mruczenie było odpowiedzią. Coraz głębiej sięgał Ludwik ręką w otwór. Kulas nie mógł pojąć co to znaczy.

Nagle wydał Ludwik okrzyk radości. Wyciągnął ramię z otworu, w rękach trzymał mały woreczek skórzany.

— Hurra! — zawołał Kulas! Nasz jest — nasz skarb starego hrabiego!

Kulas nie wierzył swym zmysłom. I jego zdjęła nieokiełzana radość. Rzucił się na ziemę, koło okna i wyciągnął rękę po worek.

— Daj! — rzekł. Weź wszystko. Złożę tu.

Ale Ludwik nie dał skarbu z ręki.

— Wyjmowanie tych worków nie tak łatwe — śmiał się. Masa ich tu jest. Ale nie mogą sięgnąć tak daleko. Wyszukajno mi prędko silny drut— hak zrobię.

— Zobacz wprzód, co to jest w tym worku — rzekł Kulas.

— Złoto! Same złotówki! — rzekł uradowany Ludwik, potrząsając workiem. Słyszysz?

Kulas pobiegł, by wyszukać drut.

Ludwik otworzył tymczasem worek, a na widok złotówek twarz jego promieniała. Worek potem schował do kieszeni, czekając niecierpliwie na powrót swego towarzysza.

Nareszcie mamy miliony! — monologował tryumfująco. Ja je mam, a nie Sinobrody. Alež to będzie teraz życe! Pojadę do Ameryki — a stamtąd zemszczę się na tobie, kochana moja Waleryo. Naszą metrykę zaślubin prześlę hrabiemu i napiszę mu dokładny list.

Poznasz ty mnie! Ale do dyabła! Gdzie ten Kulas siedzi?

Począł sam szukać za potrzebnym mu narzędziem. Nie znalazł. Tymczasem latarnia zagasła. Zaklął wściekły, wychylił się, o ile mógł z okna i zawołał:

— Do stu kaduków — Kulas! Gdzie ty siedzisz?!

Kulas w tej samej chwili nadbiegł zdyszany i wykrztusił:

— Ludwik! prędko! — ratujmy się. Sinobrody idzie!

— Zwaryowałeś? — rzekł Ludwik.

W tej chwili usłyszał jednak głosy ludzkie i tętent koni.

Nie namyślał się długo. Kulas już uciekał, jak tylko mógł najprędzej. Ludwik nie posiadał się z wściekłości. Znowu mu odebrano skarby.

Przedewszystkiem otwór w oknie napowrót zawalił kamieniem. Był już najwyższy czas ucieczki, bo kroki zbliżały się już ku drzwiom piwnicznym.

Kiedy drzwi otworzono — wymknął Ludwik począł uciekać w stronę lasu w nadziei, że tam spotka się ze swoim towarzyszem Kulasem.

Czy w młynie był rzeczywiście Sinobrody?

Wśród ciemnych, gęstych drzew uciekł

stary hrabia szczęśliwie przed pogonią Ludwika Hechta.

Lecz siły jego były wyczerpane. Zatrzymał się. Wtem zobaczył człowieka, który z trudnością torował sobie drogę przez zarośla.

Począł znowu uciekać. Lecz nieznajomy, który go spostrzegł, rzucił się za nim i nagle rozległ się strzał, kula zerwała nieszczęsnemu hrabiemu kapelusz z głowy.

— Stój! — zawołał dobrze znany mu głos.

Hrabiego zdjął niewymowny strach. Był to Sinobrody. Zdawało się, że hrabia stracony. Nagle usunęła się ziemia pod jego nogami i runął w przepaść. Zapadł cały śnieg i stracił przytomność.

W tej chwili przybył i Sinobrody nad brzeg przepaści. W oczach zniknął mu uciekający, nie mógł pojąć, co się stało.

Spoglądnął w przepaść. Cisza.

— Zasypał go śnieg — rzekł z szatańską radością. Kula moja trafiła dobrze, a ten upadek dokonał reszty. Już nie żyje! Niech tu leży pod śniegiem. Nareszcie będę miał spokój.

Potem wrócił prędko do młyna.

Kiedy stary hrabia po upływie dłuższego czasu odzyskał przytomność, leżał aż po szyję w śniegu. Spróbował wydostać się, a że śnieg był wolny, udało mu się uwolnić ręce.

Czuł, że nie doznał szwanku.

Z trudnością wydostał się ze śniegu, lecz za każdym krokiem zapadał na nowo głęboko.

Jeżeli nie nadejdzie pomoc — zginie w tej śnieżnej przepaści.

Już zaczęło świtać. Stary hrabia wołał — ile mu sił starczyło — o pomoc, lecz daremnie.

Nagle nachyliła się nad przepaścią postać ludzka. Hrabia wyciągnął błagalnie ręce i zawołał drżącym głosem:

— Ktokolwiek jesteś — jeżeli masz serce ludzkie — pomóż mi, ocal mnie! Nagrodzę cię hojnie!

— Miłosierny Boże— zawołała postać. To wy — panie?

— Detlew! — zawołał stary hrabia, który po głosie poznał rybaka.

— Tak — to ja! — odpowiedział Detlew. Zaraz!

Dotychczas błądził młody rybak po lesie, szukając za swym panem. Znalazł wreszcie jego ślad — a wołania hrabiego zwabiły go nad przepaść.

Udało mu się w końcu. Hrabia był uratowany. Opowiedział Detlewowi, w jaki sposób runął w śnieg. Detlew znowu doniósł, co widział, i uczynił w młynie.

— Łotrów zamknąłem w piwnicy. Są to bezwątpienia niebezpieczne ptaszki. Najlepiej będzie, jeżeli ich oddamy sądowi. Musimy też przedewszystkiem wrócić do młyna, bo do wsi za daleko.

Hrabia wsiadł na konia Detlewa, a ten kroczył opodal. Wnet przybyli do młyna. Uciekających złoczyńców wśród znacznej ciemności nie spostrzegli. Kulas pomylił się. Nie był to Sinobrody i jego ludzie, którzy ich spłoszyli, lecz hrabia Harald i rybak Detlew.

Uzbrojeni i zaopatrzeni w światło zeszli do piwnicy. Stary hrabia był niespokojny o swe skarby. Chciał się przekonać, czy ich nie odkryli Sinobrody lub też owi złoczyńcy.

Z zachowaniem wszelkich ostrożności zeszli ze schodów, gotowi na rozpaczliwy opór. Detlew z rewolwerem w ręku wyprzedził hrabiego. Lecz już na pierwszy rzut oka, poznali że złoczyńcy zdołali zbiedz.

— Uciekli! — zawołał Detlew. Wymknęli się przez okno.

— Niech przepadną — łotry! — zawołał hrabia. Mielibyśmy z nimi tylko dużo kłopotu. Nie unikną i tak stryczka!

Przekonał się że kamień, który tkwił w otworze w murze, jest jeszcze w dawnem miejscu. Nic na to nie wskazywało, że w międzyczasie przeszukiwano kryjówkę.

— Trzeba to wyjąć, Detlewie! — rzekł hrabia, wyjmując kamień. Jutro z rana opuszczę [illegible] na zawsze, bo tu nie jestem pewny życia. Sinobrody sądzi wprawdzie, że już nie żyję, ale on wróci pewnie, by szukać za mymi skarbami.

Detlew przyniósł z izby mieszkalnej długi żelazny pręt, którym wyciągnęli z kryjówki pojedynczo woreczki skórzane. Przeliczył je stary hrabia i rzekł:

— Brak jednego. Było ich dwadzieścia.

— W otworze nie ma więcej — odpowiedział Detlew, oświeciwszy otwór latarnią.

Zniknięcie jednego woreczka było dla nich zagadką. Stary hrabia uwierzył w końcu, że go zgubił przy przenoszeniu swych skarbów z pokoju do piwnicy. Pewnie znalazł go Sinobrody.

Zguba ta oczywiście nie martwiła go wcale. Detlewowi dał trzy woreczki złota, które ten po dłuższem usilnem naleganiu dopiero przyjął. Resztę spakowano do małego mocnego kuferka skórzanego.

Następnego dnia wybrali się w drogę. Stary hrabia na koniu ze swym skarbem. Około południa przybyli do wsi. Tu odpoczęli nieco, poczem saniami pojechali dalej do miasta.

Spodziewali się że przybędą tam wieczorem. Stary hrabia chciał odszukać Gerharda, by się z nim poradzić co do dalszych swych lo-

sów. Kiedy jechali przez las — wynurzyły się dwie postacie, zdążające widocznie również ku miastu.

Byli to Kulas i Ludwik Hecht.

W sam czas potrafili zboczyć, że ich hrabia i Detlew nie spostrzegli. Złoczyńcy poznali ich natychmiast. Zdziwienie ich nie znało granic, bo sądzili, że hrabia już nie żyje.

Nietrudno było wywnioskować, dokąd hrabia jedzie. Ludwik zobaczył też kuferek i odgadł natychmiast co on zawiera.

— Daliśmy się wystrychnąć na dudka — rzekł niechętnie. A tyś temu winien, ty stara babo. Nie był to Sinobrody, lecz stary hrabia i rybak. A z nimi można było spróbować. Teraz ma on skarby — a my co? Niech cię dyabli wezmą!

Kulas westchnął, czuł się winnym wobec swego towarzysza.

Szli dalej przez głęboki śnieg.

— Mamy przynajmniej cząstkę z olbrzymich skarbów hrabiego — rzekł Kulas po dłuższem milczeniu. Przeliczymy, ile jest w woreczku.

Ludwik szyderczo spojrzał z ukosa na Kulasa i rzekł szorstko:

— Z tego nic nie dostaniesz, stara babo. Sam to zdobyłem, zostanie więc przy mnie! Sądzę, że będzie tu z dziesięć tysięcy.

— Co? — zawołał Kulas wściekły. Nie podzielisz się ze mną?

— Pewnie, że nie!

— To łotrowstwo! Razem narażaliśmy się na niebezpieczeństwo.

— Wszystko ty popsułeś! Pozbawiłeś mnie milionów. Idź, Kulasie, jesteś brzydkim tchórzem. Gdybym był sam — wypróżniłbym cudownie kryjówkę. Nastraszyłeś mnie — zaraziłem się od ciebie. Do dyabła!

— Dobrze! wiem czego się po tobie spodziewać, ty oszuście! Lecz nie mam ochoty być twoim sługą. Jeżeli mi nie dasz połowy pieniędzy — rozłączymy się.

— Dobrze, jak ci się podoba — zaśmiał się Ludwik pogardliwie. Nie jesteś mi wcale potrzebny. Idź sobie. Wnet i tak wrócisz do dziury.

— Uważaj, byś ty się tam prędzej nie dostał! — zawołał Kulas groźnie.

Ludwik przystanął i zmierzył towarzysza wściekłym wzrokiem.

— Masz może zamiar sprowadzić mi na kark policyę? — rzekł, próżno starając się ukryć strach.

— Jeżeli obchodzisz się ze mną, jak łotr— nic dziwnego że się chcę zemścić.

Hecht zrozumiał że musi się okazać łaskawym. Nie mógł narazić się na niebezpieczeństwo, gdyż była mu pomoc Kulasa jeszcze potrzebną. Roztropność nie kazała z nim zrywać teraz stosunków.

Szli dalej w milczeniu, tylko Kulas ukradkiem spoglądał na Ludwika.

Ten rzekł nareszcie wyniośle:

— Nie myśl, że się boję twej groźby, ale — mimo to — dam ci trzecią część — ani halerza więcej. Chcesz — dobrze. Wtedy wszystko pozostanie po staremu.

Po pewym oporze zgodził się Kulas.

— A co teraz poczniemy? — rzekł. Zrzekniemy się skarbów starego hrabiego?

— Nie! odpowiedział Ludwik. Stary zostanie w mieście. Znajdzie się więc sposobność odszukania go. Trzeba się tylko dowiedzieć gdzie zamieszka.

— Racya — zawołał Kulas. Zabierzemy mu jego miliony. — A twoja żona? Co z nią uczynisz? Spokojnie chcesz patrzeć na jej ostatni tryumf?

— Zemstę zostaw sobie na później — radził Kulas. A teraz staraj się wydostać pięćdziesiąt tysięcy marek za metrykę ślubną. Napisz swej żonie, że prawdziwa metryka jest jeszcze w twoim posiadaniu.

— Hm! — uczynię to — rzekł Ludwik. Tak — tak! Wściekńie się gdy się dowie, jak my ją szukali. Dzisiaj jeszcze napiszę jej list. Uderzy to w nią, jak piorun!

Tymczasem zapadła noc, nim przybyli do miasta. Ślad hrabiego zgubili, bo ten znacznie wcześniej stanął u celu.

Pocieszali się jednak, że z łatwością odnajdą w mieście miejsce jego pobytu.

Zaszli do gospody. Ludwik posilił się, potem począł pisać list do Waleryi.

Kulas domagał się przyrzeczonego podziału.

Z westchnieniem wyciągnął Ludwik woreczek i wysypał na stół jego zawartość. Kulas pochłaniał oczyma błyszczące złotówki. Ostrożnie obliczał Ludwik pieniądze — po dwie sztuki dla siebie po jednej dla Kulasa.

Wszystkiego było dziesięć tysięcy marek.

— Wnet weźmiemy resztę — pocieszał Ludwika Kulas, chowając pospiesznie swój udział. A kiedy ci twoja żona wyda jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, będziemy bogaczami — magnatami!

ROZDZIAŁ 91.

NAD GROBEM.

W szatańskiej radości opuściła Walerya pokój Wintera. U łoża chorego na stoliczku czyhała śmierć w postaci owego zatrutego lekarstwa, które nalała do flaszeczki. Nie wątpiła, że lekarstwo to poda choremu siostra miłosierdzia, albo może nawet sama Katynka.

Myśl ta napełniała ją niewymowną radością. Katynka stanie się w ten sposób zabójczynią swego narzeczonego. To jej zemsta. A pewnego dnia powie jej o tem w cztery oczy i wtrąci ją w rozpacz.

Tryumf jej był zupełny, bo miała nareszcie i list Agaty. Zeznań Katynki nie bała się. Kto jej uwierzy — gdzie dowody? A Winter nic więcej zeznać nie potrafi — jutro nie będzie żył!

Walerya wsiadła do dorożki, kazała się zawieźć do swego hotelu, a stąd wróciła na zamek już własnym powozem

Tym razem nie chciała przechować niebezpiecznego listu. Postanowiła spalić go. Także metrykę ślubu, którą jej sprzedał Ludwik Hecht.

Uradowana wróciła do domu.

Pokoje jej były oświetlone. Miała wizytę. Był to hrabia Sinobrody, który ją od dłuższego czasu oczekiwał.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy siostra Laura nie spostrzegłszy Waleryi w ciemnym korytarzu, wpadła do pokoju chorego, stanęła jak wryta. Nieznajomej nie było.

Nie zrzuciła jeszcze płaszcza, kiedy weszła Katynka, której uwagę zwróciło głośne otwieranie i zamykanie drzwi. Zobaczywszy siostrę w płaszczu, spytała zdziwiona:

— Siostra odchodzi? Czy siostra może wraca?

Siostra Laura nie mogła jeszcze złapać tchu.

— Ależ Boże! — Nie wie pani o niczem? — wykrztusiła. Gdzie ta — osoba, która mnie tu zastępowała?

Zdziwiona, wpatrywała się Katynka w mówiącą.

— Co siostra też mówi? — Boże! Przecież siostra była przez cały wieczór. Zaledwie pięć minut temu mówiłem ze siostrą.

— Nie! wracam właśnie od mej matki. Nie by.. mnie tu przez trzy godziny. Zastępowała mnie inna.

Katyn! i nic z tego nie rozumiała.

Do pokoju weszła Marta, którą zwabiła głośna wzburzona rozmowa. Katynka wyjaśniła jej prędko, co się dowiedziała od siostry. A ta tak mówiła dalej:

— Nie powstało we mnie ani na chwilę podejrzenie. Depesza przestraszyła mnie bardzo, pospieszyłam na dworzec, właśnie w sam czas. Lecz matkę zastałam zdrową zupełnie, o depeszy nic nie wiedziała. Wróciłam najbliższym pociągiem. Byłam też już u matki przełożonej, któ ra również o niczem nie wie.

Dla Marty i Katynki było to zagadką. Kto ta nieznajoma obca? Gdzie jest? Jaki był jej cel?

Katynka była przygnębioną. Cel to z pewnością nie był dobry. Mimowoli pomyślała o Waleryi. Lecz myśl ta wydawała jej się nieprawdopodobną, niemożliwą.

Siostra Laura zeszła na dół i wypytywała gospodarza i domowników. Nikt nie widział obcej i nie mógł dać żadnych wyjaśnień.

— Nie pojmuję, że ani doktór Kloc ani ja nie poznaliśmy nieznajomej — rzekła Katynka do siostry Laury. Teraz sądzę że osoba to wcale nie spała. Udawała tylko, by ją zostawić w spokoju, bo w przeciwnym razie moglibyśmy ją poznać.

— Nie mogła to być zupełnie obca osoba — zauważyła Marta. Musi ona znać stosunki tutaj, a nawet stosunki rodzinne siostry. Niechże siostra zastanowi się. Na kogo może paść podejrzenie?

— Nie — nie mam pojęcia.

— W takim razie — rzekła stanowczo Marta — pozostaje tylko możliwość, że sprawa stoi w związku z baronową Waleryą. Nie trudno też odgadnąć czego chciała. Miała zamiar zamordować Wintera i tylko czujność Katynki zniweczyła jej zamiary. Nędznica ta uciekła, kiedy słyszała zbliżającą się siostrę.

Przestraszona zwróciła się Katynka ku cho remu. Spał silnie i spokojnie. Lecz ani Katynka ani Marta nie myślały tej nocy o śnie. Udały się do sąsiedniego pokoju i drzwi zostawiły otwarte.

Siostra Laura usiadła przy łóżku chorego. I ona nie mogła spać, chociaż była znużoną. Nareszcie zdrzemnęła się na stołku, zbudziła się jednak natychmiast, kiedy chory nad ranem stał się niespokojny i zaczął gorączkować.

Doktór Kloc przepowiedział, że stan chorego pogorszy się.

Siostra Laura nalała do szklanki łyżkę le-

karstwa, które lekarz przepisał dla uspokojenia.

Zaspana nie zauważyła, że zawartość flaszki inaczej wygląda niż zwykle, zwłaszcza, że pokój był słabo oświetlony. Chory wypił podane sobie lekarstwo.

Skutek pojawił się natychmiast. Ból wykrzywił twarz choremu. Wydał głośny okrzyk, trząsł się, potem opadł nieprzytomny.

Już nadbiegły Marta i Katynka. Ta padła z okrzykiem koło łoża. Winter leżał nieprzytomny, bez ruchu, twarz jego miała dziwnie siną barwę.

— Umiera! — zawołała Katynka. Pomocy! Boże! ratujcie! Nadbiegł i ojciec Katynki. Zebrał się natychmiast i pospieszył po doktora.

Marta i siostra Laura starały się daremnie przywrócić Winterowi przytomność. Katynka omdlała runęła na sofę w spazmatycznym płaczu.

W niespełna kwadrans nadszedł doktór Kloc. Odrazu poznał, co się stało z Winterem. Z gniewem zwrócił się ku siostrze i zawołał:

— Co siostra podała choremu? Proszę mówić! — prędko!

— Mój Boże! — Nic, panie doktorze! Łyżkę lekarstwa.

— Truciznę mu siostra dała — oburzył się doktór. Gdzie były oczy siostry — co siostra uczyniła?

— Trucizna? — miłosierny Boże! — zawołała siostra Laura. Nie, panie doktorze! — To niemożliwe.

Doktór Kloc wziął flaszkę z lekarstwem.

— Lampę! — rozkazał. Ciemno tu.

Gerhard przyniósł światło z sąsiedniego pokoju. Doktór poznał, że zawartość flaszeczki jest inna.

— Kto zmienił lekarstwo? — zapytał.

Opowiedziano mu co tu zaszło. Tylko obca wsypała truciznę do flaszeczki.

Tego zdania był i lekarz. Gniew jego na siostrę minął. Ta była zrozpaczoną, że mimowoli podała choremu truciznę.

Doktór Kloc wydał zlecenia. Zbadał Wintera potem truciznę. Była taka sama, jakiej użył Piotr podczas zamachu na Wintera.

— Gerhardzie! — rzekł. Spiesz pan do radcy sanitarnego, by natychmiast przyszedł. Służącego posłać do apteki po to, co tu zapiszę.

Szybko zapisał receptę. Gerhard oddalił się pospiesznie.

Doktór Kloc kazał Katynkę nieprzytomną zanieść do łóżka. Gdy się to stało, zawołał siostrę do pomocy.

— Panie doktorze! — mówiła siostra Laura drżąca. Czy jest nadzieja ocalenia go? Nie miałabym chwili spokoju, gdyby umarł.

— Jeżeli tym rzem wyjdzie cało — to cud. Należało być uważniejszą nie stałoby się to nie szczęście. Niech siostra teraz nie biada, to się na nic nie zda.

Nadszedł wreszcie i radca sanitarny, ten sam, z którym doktór Kloc odbył już raz konsylium.

Lekarze porozumieli się szybko.

Po godzinnych zachodach wrócili Winterowi życie, lecz przytomności nie odzyskał.

— Szczęście jeszcze, że wziął tylko łyżeczkę kawową tej trucizny — rzekł radca sanitarny, chociaż sprawa bardzo niebezpieczna. Tymczasem nastał dzień. Lekarze nic nie mogli więcej uczynić, Radca sanitarny poszedł. Został tylko doktór Kloc. Pocieszał jak mógł Katynkę która w międzyczasie odzyskała przytomność.

Winter leżał bez ruchu — jak nieżywy, słabe tylko oddechy, świadczyły o tem, że jest w nim życie, lecz mogło ono zgasnąć w każdej chwili.

Posępny siedział doktór Kloc u łoża chorego, trzymał jego rękę i liczył tętno. Nareszcie wstał i rzekł do siostry Laury.

— Ja odchodzę. Niech siostra uważa. Gdyby się coś stało, proszę posłać po mnie. Zresztą przyjdę w południe.

Nim się oddalił nadszedł komisarz Greif. Doktor Kloc i siostra Laura uwiadomili go o tem, co tu zaszło.

I Katynka podała mu dokładnie wszelkie objaśnienia, które otrzymała wczoraj od Wintera w sprawie Waleryi i Sinobrodego.

— Po tem wszystkiem, com tu usłyszał i potem, co się tu stało w ubiegłą noc, jestem przekonany, że ten drugi zamach — to dzieło Waleryi — rzekł Greif. Kwestya atoli, czy ona sama grała rolę siostry miłosierdzia. Nie mamy niestety dowodów, nie możemy zatem nic uczynić.

— Co? nie można wystąpić z oskarżeniem? — zawołała Katynka. Nie starczą nasze pewne przypuszczenia i to, co zeznał mój biedny narzeczony?

— Nie! Wszystko to za mało. Możemy tylko prowadzić śledztwo nadal i gromadzić dowody — odpowiedział Greif.

— Ależ mój narzeczony i ja sama poznaliśmy wtedy Piotra — zawołała Katynka. Nie można tego mordercę pociągnąć do odpowiedzialności? On zezna wtedy, kto go wynajął do zamordowania Wintera.

— A czy to z pewnością był Piotr? — pytał Greif.

— Tak! Nie mylę się! Stanowczo!

— I ja tymczasem nabrałem przekonania, że Piotr żyje — rzekł komisarz. Tak, z nim się już uporamy. Wątpię jednak, czy on cośkolwiek zezna.

— Ależ przeciw Waleryi mamy dowody — zawołała nagle Katynka. List! w pierwszej chwili zapomniałam o nim. List jest!

— Co za list?

— List hrabiny Agaty do jej męża hrabiego Edmunda Linderhof — odpowiedziała Katynka i wszystko opowiedziała, co jej Winter polecił.

— Oddam panu ten list, panie komisarzu! — rzekła, otwierając szafę. W oczach komisarza Greifa zabłysła radość.

— Tak! daj mi go pani! — rzekł nerwowo. Przy jego pomocy zdemaskuję baronowę Waleryę. Natychmiast udam się do ministra i wyjaśnię mu wszystko.

Lecz napróżno szukała Katynka listu w surducie. Okrzyk zgrozy.

— List! Wielki Boże! Listu nie ma!

Wnet zoryentowali się wszyscy, że tylko Walerya list ten zabrała.

— Teraz wszystko jasne — rzekł komisarz Greif. — Ale jesteśmy teraz bezsilni i na razie nic uczynić nie możemy. Bo chociażby nam nawet hrabia uwierzył — nie zyskamy na tem nic. Dowodu nam brak, a przypuszczenia same nie uzasadniają oskarżenia.

W międzyczasie oddalił się doktór Kloc. Pozostali naradzali się w wielkiem wzburzeniu. Wtem nadszedł nowy gość. Był to Detlew, który pragnął mówić z Gerhardem. Że Winter chory, o tem dowiedział się już wczoraj w mieście.

Detlew opowiedział losy starego hrabiego w młynie. Rozmowie przysłuchiwał się z wielkim zainteresowaniem komisarz Greif.

Gerhard opowiedział mu, kim jest w rzeczywistości ów stary hrabia i jak go to on sam przez cały rok ukrywał.

Tajemnicę Sinobrodego znał więc i Greif, który postanowił natychmiast odszukać starego hrabiego.

— Nieszczęśliwemu pomogę — o ile to w mej mocy — rzekł. Sinobrodego musimy przecież nareszcie zdemaskować. W zastępstwie Wintera ja również podjąłem śledztwo w sprawie teścia i żony Sinobrodego. Z tego com dotychczas potrafił wyśledzić, wnioskuję że Sinobrody sprzątnął ze świata nietylko żonę Gertrudę, ale i swego teścia.

Gerhard natychmiast odprowadził Detlewa do starego hrabiego, który zamieszkał w gospodzie.

Greif został jeszcze. Przystąpił do łoża Wintera i popatrzył na niego smutnym wzrokiem.

— Stoi nad grobem — szepnął. Ja cię jednak pomszczę, gdybyś zginął jako ofiara owych morderców. Całe swe życie poświęcę temu zadaniu. Nie spocznę, aż oddam w ręce sprawiedliwości tę zbrodniczą kobietę i jej wspólników.

ROZDZIAŁ 92.

PRZYKRE PRZESŁUCHANIE

Z ważnych powodów bawił hrabia Sinobrody ową późną porą na zamku Waleryi. Odbyła się tu długa i bardzo wzburzona narada.

Niedługo po wizycie prokurzysty i komisarza Greifa rzekomego adwokata radcy komercyalnego, na zamku Wildenfels, otrzymał Sinobrody wezwanie do sądu.

Od tego nie mógł się uchylić. Termin wyznaczony już był na następny dzień. W tej to sprawie naradzał się z Waleryą. Został u niej przez noc i następnego dnia z rana pojechał do miasta, poważnie zaniepokojony.

Kiedy Greif opuścił mieszkanie chorego kolegi Wintera, udał się natychmiast do hotelu pod "Księciem Leopoldem," gdzie mieszkał prokurzysta Herman. Ten postanowił zostać w rezydencyi, aż los radcy komercyalnego zostanie wyklarowany.

Greif doniósł mu pokrótce, co się stało z Winterem, poczem razem pojechali do budynku sądowego.

Tu udali się do biura sędziego, starszego, tęgiego prawnika. Był tu jeszcze protokulant.

— Zdaje się, że hrabia Wildenfels nie ma ochoty przyjść — zauważył Greif. Minął już kwadrans.

— Poczekamy jeszcze pięć minut — rzekł sędzia.

Greif i prokurzysta powtórzyli mu tymczasem jeszcze raz najważniejsze swe przypuszczenia i odkrycia. Komisarz przypomniał także o ostatnim zamachu na Wintera i otwarcie wypowiedział swoje zdanie w tej sprawie.

W tej chwili zameldował woźny sądowy hrabiego Wildenfels. Dumnie, pewny siebie, wszedł Sinobrody, jakby wezwanie sądowe było dla niego osobistą obrazą.

Zmierzył ponurym wzrokiem obecnych. Nie miał jeszcze pojęcia, kim jest Greif w rzeczywistości, uważał go tylko za adwokata radcy komercyalnego.

Sinobrody przystąpił do stołu sędziowskiego i rzekł:

— Stawiłem się na wezwanie, chociaż nie wiem, jakie ono miało cel. Czego pan chce właściwie odemnie?

Sędziemu nie podobał się wyniosły ton Sinobrodego. Szorstko zwrócił mu uwagę, że ma się tu grzecznie zachowywać. Sinobrody usiadł.

Po zwyczajnych wstępnych formalnościach zapytał sędzia:

— Pan hrabia odmówił wyjaśnienia tym panom. Z jakiego powodu?

— Powiedziałem, com wiedział — odpowiedział Sinobrody szorstko.

— Nie wie pan zatem, co się stało z radcą komercyalnym?

— Nie! Zbędne to pytania! — zawołał rozdrażniony. Czy ja jestem odpowiedzialny za mego teścia?

— Tak — poniekąd! Proszę mi dokładnie zeznać, co zaszło na zamku Wildenfels, gdy tam bawił teść pana!

— Nic! Do późnej nocy siedzieliśmy przy winie. Potem udaliśmy się na spoczynek. To wszystko!

— Radca przyszedł do pana w nieprzyjaznem usposobieniu. Zażądał wyjaśnienia, w sprawie swej córki...

— Dałem mu je — przerwał Sinobrody.

— Tak? Zadowoliły one go?

— Naturalnie!

— Co mu pan powiedział?

— Że żona moja jest chorą i bawi w sanatoryum.

— Gdzie? W jakiem sanatoryum?

— W Paryżu! — odpowiedział Sinobrody, rzucając obecnym spojrzenie, pełne wściekłości i pogardy.

— Proszę mi wymienić to sanatoryum — rozkazał sędzia.

— Czy jestem do tego zobowiązany? — spytał dumnie Sinobrody.

Tak. Ci panowie mają prawo dowiedzieć się, gdzie jest żona pana.

— Nikt zresztą? Tylko ci tu? — zapytał Sinobrody szyderczo.

— Panie hrabio! — upominam po raz ostatni: — odpowiadaj pan na moje pytania uprzejmie i bez ogródek. Jesteś pan w sądzie.

— Dobrze! — zgrzytnął Sinobrody. Będę jednak odpowiadał tylko na pytania, które mi są na rękę.

Sędzia poruszył się niecierpliwie. Wnet się jednak opanował i rzekł poważnie:

— Nie zdajesz sobie pan dostatecznie sprawy, ze swem zachowaniem budzisz poważne podejrzenia. Opinia pana, panie hrabio, nie najlepsza. Hrabina Gertruda nie była pono pierwszą żoną pana. Miał pan być już kilka razy żonaty. O dawnych żonach wie się tylko tyle, że wszystkie zniknęły w tajemniczy sposób. Wspominam o tem, by panu zwrócić uwagę na to, że we własnym interesie powinieneś pan wszystko powiedzieć, co wiesz o swej żonie i jej ojcu!

Sinobrodego zdjął strach. Wnet jednak odzyskał równowagę, nikt mu przecież nic udowodnić nie potrafi.

Zaśmiał się szyderczo i zawołał:

— Haha! — nie przypuszczałem że spotkam się w sądzie z bajkami i plotkami starych bab.

— Przeczy pan zatem, żeś był i przedtem żonaty? — spytał krótko sędzia.

— Pewnie. Wszystko to niemądre bajki. Wiem, co mówią. Nazywają mnie Sinobrodym. Boją się mnie jak samego dyabła. A mnie to bawi.

— Wzywam pana teraz, byś wymienił sanatoryum w którem pan umieściłeś swą żonę — przerwał sędzia.

— Dlaczego mam to uczynić?

— Bo zachodzi podejrzenie, że żona pana nie przebywa w sanatoryum. — Cierpliwość moja wyczerpana, panie hrabio! Upominam raz jeszcze. Chcesz pan odpowiadać, czy nie?

Groźny ton sędziego wywarł swój skutek. Sinobrody nie śmiał się więcej. Blady, z błyszczącemi oczyma, wpatrywał się w sędziego.

— Panie radco — rzekł ochrypłym głosem proszę mi powiedzieć, o co mnie podejrzywają.

— Podejrzenie sam pan to stworzyłeś. Od dłuższego czasu zniknęła żona pańska. Nie chciał pan nikomu dać wyjaśnień. Teraz oświadczasz, że żona pana przebywa w sanatoryum. Nie chcesz pan znowu powiedzieć w którem. Wyniknąć z tego mogą najgorsze następstwa.

Sinobrody zaśmiał się śmiechem wymuszonym.

— Niczego się nie boję, panie radco! — rzekł wyniośle. Chcę jednak zaspokoić pańską ciekawość.

— Proszę więc wymienić rzekome sanatoryum.

Sinobrody wyciągnął z kieszeni dwa listy i przedłożył je sędziemu.

— Ten tu list — rzekł, to ostatnie sprawozdanie dyrektora sanatoryum o stanie zdrowia mej żony. Sprawozdanie z ubiegłego tygodnia, jak na to data wskazuje.

Twarz sędziego wyrażała zdziwienie. Zamienił pytające spojrzenie z komisarzem Greifem. Ten przystąpił. List, pisany po francusku, przeczytali prędko, bo zupełnie rozumieli ten język.

Sędzia odłożył list i rzekł do Sinobrodego poważnie i ostro:

— Z listu tego wynika, że żona pana bawi w Paryżu, w sanatoryum dla chorych nerwowych doktora Simona i że jej stan obecnie się poprawił. — A ten drugi list?

— To ostatni list mej żony, pisany przed kilku dniami.

— A żony pana? — spytał zdziwony sędzia.

— Tak! proszę przeczytać.

Sędzia przeczytał i ten list. Był serdecznie bardzo pisany i kończył się zwrotem: "Twa wiernie cię kochająca Gertruda."

I Greif przeczytał list, potem podał go prokurzyście.

— Znasz pan pismo Gertrudy? — spytał go szeptem.

— Tak! widziałem dawniej niektóre listy jej do ojczyma, kiedy była w pensyonacie.

— No — i? — pytał Greif niecierpliwie. Czy to jej pismo?

Nie mogę powiedzieć "Tak" ani "Nie" — odrzekł prokurzysta. Należałoby porównać z innymi listami. Chociaż zdaje mi się że to pismo Gertrudy.

Greif był zdziwiony. Lecz wnet zoryentował się. Podrobić pismo to niewielka sztuka. Był silnie przekonany że Gertruda nie pisała tego listu, i że sprawozdanie doktora Simona jest podrobione.

Szeptem porozumiał się w tej sprawie z sędzią.

Tymczasem Sinobrody śledził niespokojnie wyraz twarzy obecnych, z których rozmowy nic nie mógł usłyszeć. List Gertudy podrobiła Walerya nadzwyczaj udale według listu, który był w posiadaniu Sinobrodego. Lecz czy dadzą się oszukać prokurzysta i rzekomy adwokat radcy komercyalnego?

List drugi sporządził mu w mieście obznajomiony z takiemi sprawami pokątny fuszer, pisarz, dopiero przed godziną. Przedtem zamówił w sklepie odpowiedni arkusz papieru. Na górze było wydrukowane miejsce pobytu, adres i imię dyrektora Simona i nazwa sanatoryum. Wszystko wyglądało prawdziwie.

— Gdzie są koperty z tych listów? — spytał nagle sędzia.

Na pytanie to nie był Sinobrody przygotowanym. Nie uszło uwagi sędziego jego zakłopotanie.

— O, koperty? —rzekł Sinibrody po chwili milczenia możliwie najspokojniej. Leżą pewnie w koszu papierowym, jeżeli służba nie wyrzuciła.

Sędzia nieznacznie roześmiał się ironicznie.

— Szkoda — rzekł — koperty mogłyby sprawdzić, czy te listy naprawdę przychodzą z Paryża.

— Ależ panie radco — oburzył się Sinobrody — sądzę, że listy te potwierdzają chyba dostatecznie me zeznania.

— Nie — odpowiedział sędzia — zupełnie niedostateczne to dowody — zatrzymam je jednak. Ci panowie tu — rzekł, wskazując na Greifa i prokurzystę — mają zamiar udać się do Paryża i osobiście odwiedzić żonę pana w sanatoryum doktora Simona.

Sinobrody zerwał się wściekły. Tego się nie spodziewał. Na chwilę stracił równowagę. Nie mógł wymówić ani słowa. Był pewnym że podrobione te listy usuną wszelkie podejrzenie.

— Co—zawołał nareszcie — jeszcze mi pan nie wierzy? I chcesz oszukać mą żonę w Paryżu? Na to się nie zgodzę i potrafię się wystarać by ci panowie wcale mej żony nie zobaczyli.

— Natenczas przyjmiemy, że żony pana wcale tam nie ma — odpowiedział sędzia. Nie trudno zresztą będzie sprawdzić, czy listy te pisały podpisane tu osoby.

Sinobrody starał się panować nad sobą. Przyszedł tu pewny, że mu się uda wywieść w pole sędziego. Przekonał się jednak, że sprawa bierze zły odwrót.

—Uczyńcie panowie, co się wam podoba — zawołał — czy pan już skończył? Mogę już chyba oddalić się?

Był niespokojny bardzo. Bał się, że go zatrzymają już w więzieniu pod zarzutem morderstwa żony i teścia. Blady, prawie na pół przytomny, śledził obecnych. Z oczu jego poznać było tchórzliwy strach zbrodniarza i nieczyste sumienie. Zdawało się, jakby sędzia wyczytał to z jego twarzy.

Ten przez chwilę zastanawiał się — potem rzekł:

— Tak, możesz pan odejść.

Sinobrody odetchnął swobodnie. W tej chwili odzyskał pewność siebie.

— A listy — spytał.

— Tu zostaną — oświadczył sędzia stanowczo. Pótem je panu zwrócimy.

Sinobrody musiał się zgodzić. Rzucił jeszcze wściekłe spojrzenie w stronę prokurzysty i Greifa i oddalił się pędząc do hotelu, gdzie Walarya czekać na niego miała

Nie zauważył że w ślad za nim idzie człowiek ubrany jak robotnik. Był to tajny agent Brand, któremu Greif polecił śledzić każdy krok Sinobrodego. Już kiedy Sinobrody dzisiaj

rano przybył do miasta, szedł za nim Brand krok w krok.

Kiedy Sinobrody zniknął w hotelu, do którego zajechała Walerya, przystąpił Brand do ekspresa, który stał w pobliżu, oparty o mur i najspokojniej w świecie palił swą fajkę. Był to kolega Branda, tajny agent Guenter. Przez chwilę szeptali. Potem Brand powrócił szybko do sądu.

Tu spotkał komisarza Graifa i prokurzystę, którzy właśnie odbyli naradę z sędzią.

Greif zapytał Branda:

— Czy śledził pan Sinobrodego? Dokąd on teraz się udał?

— Do hotelu pod "Aniołem". Tam zajechała i baronowa Walerya. Na straży stoi tam Guenter.

— Aha! Baronowa Walerya jest zatem wspólniczką Sinobrodego — rzekł Greif — ale hrabia Sinobrody spóźnił się do sądu. Czy podpatrzył pan, co on przedtem robił w mieście?

— Tak, panie komisarzu. Odszukał najpierw skład papieru, a potem zakład litograficzny.

— Tak, tak. Czego on tam chciał? Dowiedziałeś się pan?

— Pewnie, sporządzono tam dla hrabiego napis na papierze listowym. Mam tu wzór.

I podał Greifowi arkusz papieru, w którym komisarz rozpoznał formularz rzekomego doktora Simona.

— No — rzekł do zdziwionego prokurzysty. Ot i dowód. Jazda do Paryża obecnie zbyteczna.

— Tak, oszustwo jasne jak słońce — zawołał prokurzysta — a list rzekomego lekarza. Sinobrody sam napisał.

— W to nie wierzę — twierdził Greif. Jeżeli ten Sinobrody jest rzeczywiście byłym służącym prawdziwego hrabiego Wildenfels, to nie zna on na tyle języka francuskiego, by mógł był napisać ów list. Pewnie napisał mu go kto inny.

— Zdaje się, że tak też jest — rzekł Brand. Przynajmniej widziałem jak Sinobrody udał się do osławionego doradcy pokątnego, u którego siedział przeszło godzinę.

— W takim razie wszystko już wiemy — zawołał Greif tryumfująco. Kto ten człowiek, gdzie on mieszka?

— Znamy tego człowieka, panie komisarzu — rzekł Brand. To agent Langhals, wielokrotnie już skazany za oszustwo i fałszerstwo.

I Greif znał tego człowieka. Z Brandem i prokurzystą wsiadł do powozu i kazali się zawieźć do mieszkania owego agenta.

Zajechali na przedmieście i zatrzymali się przed brudnym domem, zamieszkanym wyłącznie przez biedaków i ludzi bardzo podejrzanych. Brudnemi schodami dostali się na ostatnie piętro. Nad jednemi z licznych tu drzwi przeczytał Greif na brudnej wizytówce napis "Langhals, agent prawny i doradca prawny." Zapukał i nie czekając na zwykłe "Proszę", wszedł do pokoju.

W wielkiej izbie ubogo umeblowanej, stał wysoki szczupły mężczyzna. Nos silnie czerwony zdradzał pijaka. Właśnie kładł obdarte palto, chciał wyjść.

Na widok Greifa przeraził się. Poznał natychmiast komisarza. Ten zresztą natychmiast wyjaśnił mu cel swego przybycia. Wyciągnął list Sinobrodego, wziął od sędziego oba listy, pochodzący od rzekomego doktora Simona i pokazał go przerażonemu agentowi.

— Dwie godziny temu pisałeś pan ten list! — rzekł Greif surowo. Nie wypieraj się przyjacielu! — zawołał, kiedy agent zaprzeczył ruchem głowy. Pan, dla którego list ten został napisany, zeznał już wszystko.

— No! — rzekł oszust zrezygnowany. Tak! — to ja pisałem. Na co i po co, nie wiem.

— Gadaj pan to innym. Wiedziałeś chyba dobrze, że chodzi tu o oszustwo! — rzekł Greif.

— Niech Bóg uchowa! Zrana przyszedł do mnie nieznany mi zupełnie pan i zaofiarował mi trzysta marek za napisanie listu. Papier przyniósł ze sobą. Spytałem naturalnie, jaki cel tego listu, lecz odmówiono mi wszelkich wyjaśnień. W końcu, sprawa była dla mnie całkiem obojętną. Napisałem nie namyślając się długo. Był to przecież zarobek trzystu marek.

— Wie pan, kto ten człowiek był?

— Nie, nie mam pojęcia. Nie wymienił mi swego nazwiska.

Greif był wprawdzie przekonanym, że agent kłamie, rzekł jednak:

Starczy mi na razie zeznanie, że to pan pisałeś ten list. Reszta znajdzie się też.

Opuścił ze swymi towarzyszami mieszkanie agenta i kazał powożowi zajechać do hotelu. Pod księciem Leopoldem."

— Co pan zamierza? — zapytał prokurzysta.

— Przedewszystkiem chcę udać się na zamek Wildenfels i spróbować, czy się nie uda ująć Piotra. Dzisiaj dobra sposobność. Sinobrodego niema w domu.

Niedługo potem pojechali Greif, Brand i jeszcze jeden tajny agent policyjny na zamek Wildenfels. Jeżeli mu się uda ująć Piotra, to sprawa postąpiła o poważny krok naprzód.

Wieczorem chciał Greif odszukać starego hrabiego.

Nad głową Sinobrodego zawisło niebezpieczestwo. Niedługo, a uderzy weń chyba grożący mu piorun, albo uda mu się może znowu odwrócić nieszczęście, przy pomocy Waleryi?

ROZDZIAŁ 93.

Szpieg.

W śmiertelnej trwodze pędził ku rzece jeździec przez daleki step, rozglądając się często dokoła.

Miał na sobie strój Bura, jego koń jednak był angielskiej rasy. Tylko swemu dzielnemu rumakowi zawdzięczał jeździec, że mu się już wielokrotnie udało uniknąć pogoni. Kiedy wynurzyły się przed nim skaliste pogórki nad brzegiem rzeki, zatrzymał konia, by odetchnąć i otrzeć pot.

Promienie wschodzącego słońca padły na jego twarz. Poznajemy w nim agenta Baldi, szpiega angielskiego.

Farmer ze swymi towarzyszami dogonił go, nie znającego tych okolic w połowie drogi. Niewiele brakło, a wpadłby w ręce Burów. Tylko rumak go ocalił.

Teraz przed nim płynęła rzeka. Lecz nic nie wskazywało na pobliskie obozy. Gdzie jest więc armia burska, którą miał odszukać? Dokoła pustynia. Wszędzie patrole i przednia straż Burów, lecz jak zwykle oddalają się one daleko od obozu.

Nie mógł się zoryentować i na mapie, którą mu dał oficer angielski. Nie widział gdzie jest.

Zwolna zbliżał się ku górom. Wtem z tyłu wynurzył się orszak jeźdźców, pędzących w galopie.

— Burowie — pomyślał i począł uciekać. Była jedyna droga ucieczki ku rzece. A tuż za nim pogoń, jeźdźcy cwałowali, zdawało się, jakoby ich rumaki nie dotykały się kopytami ziemi.

I uciekający nie próżnował. Góry były coraz bliższe — teraz pędził Baldi ku pierwszemu wzgórzu. Rozległy się strzały, którym odpowiedziało wielokrotnie echo skał.

Lecz już pędził Baldi w dół po drugiej stronie wzgórza. A przed nim leżał drugi pagórek... Z szybkością błyskawicy pędził rumak w górę potem w dół... I tak ciągle to pod górę, to w dół. Lecz pagórki stawały się strome, coraz wyższe. W oczach zmniejszała się szybkość rumaka.

Baldi znalazł się w długim wąwozie. Po prawej i lewej stronie wznosiły się wysokie mury skaliste. Na ziemi kamienie i kolczaste zarośla przeszkadzały w pędzie. Chyży rumak pokonał i te trudności.

Wąwóz ciągnął się w dal, coraz węższy, ciemniejszy.

Wtem znowu rozległ się strzał. Baldi odwrócił się szybko. Za nim byli Burowie, zaledwie w oddaleniu 100 metrów. Jeszcze raz spiął konia ostrogami — ostatni wysiłek i nagle wąwóz się skończył, jasność rozprószyła ciemność grobową.

Rumak stanął. Strach zdjął szpiega. Przed nim głęboka przepaść — tam w dole szumiały i burzyły się wody rzeki Tulegi — za nim pogoń, coraz bliższa — a po bokach wysokie skały.

Jeszcze raz się oglądnął. Za nim pędziło dwóch Burów —dosięgną go za chwilę. A za nimi spostrzegł znajomą sobie dobrze twarz. Był to farmer. Zrozumiał, że stracony, jeżeli wpadnie im w ręce.

Spiął konia ostrogami, koń stawał dęba, przez chwilę bujał w powietrzu przednią częścią ciała, potem uczynił straszny skok. Nagle koń i jeździec zniknęli z oczu ścigających, którzy w tej samej chwili stanęli nad brzegiem przepaści.

Kiedy Baldi odważył się na straszny skok — uważał się za zgubionego. Runął w przepaść — stracił zmysły — potem wraz z koniem runął w wodę, porwała go i zalała swemi falami.

Wnet woda znowu ich wyrzuciła i znowu porwał go wir z gwałtowną siłą. Burowie nie mogli go widzieć, bo w tem miejscu miała rzeka skręt. Fale miotały uciekającym. Koń jego wprawdzie dobrze pływał, lecz zanadto był osłabiony i mógł za chwilę zatonąć.

Uciekł wprawdzie Baldi szczęśliwie przed pogonią, lecz groziła mu straszna śmierć w bałwanach rzeki.

W końcu udało mu się zsiąść z konia, płynął obok konia, trzymając go za cugle. Chciał osiągnąć drugi brzeg, lecz wir trzymał go silnie. Już był blizkim zatonięcia, gdy go wir rzucił ku brzegowi, udało mu się chwycić wystającego korzenia i dostał się nareszcie na ląd.

Był ocalonym. Wyciągnął z wody i konia swego, potem rzucił się w trawę, by odpocząć i nabrać nowych sił.

Po kilku godzinach dosiadł znowu konia. Przybył na teren zasiany stromymi pagórkami

Droga prowadziłą to pod górę, to znowu w dół.

Gdzie był, nie wiedział. Błądził już godzinami.

Znużony jego koń nie mógł biedz dalej. Baldi musiał znowu odpocząć. Znalazł dla konia nieco trawy i wody poddostatkiem. I on sam spożył skromne pożywienie, które zabrał. Potem wszedł na szczyt najbliższej góry. W oddali spostrzegł namioty i ciemne, niewyraźne postacie. To musi być obóz Burów.

Nagle spostrzegł u podnóża góry mały oddział jeźdźców. Poznał, że to Burowie.

Może go szukali? Nie, to nie ci, co go ścigali, farmera nie było między nimi. Widział, jak jeźdzcy zwrócili się w stronę wąwozu, który prowadził ku rzece. Strach go zdjął. Tam znajdą jego konia.

Jego obawa była uzasadniona. Burowie spostrzegli konia, poczęli się rozglądać za jeźdźcem. Sądzili ponieważ koń był rasy angielskiej, że może nieprzyjacielski oficer zbliżył się aż do tego miejsca, by zbadać ich stanowiska. Wytężyli więc wszystkie siły, by znaleść nieprzyjaciela.

Trwoga szpiega nie znała granic. Tymczasem kilku Burów poczęło podchodzić pod górę.

Baldi postanowił spuścić się z pochyłości góry, wśród urwistych skał. Kamienie wystające podarły mu suknie i pokaleczyły ciało. Zraniony, dostał się w dół. Był tak znużony, że przyczołgał się w gęste zarośla i tam padł wyczerpany zupełnie z sił.

Po chwili oprzytomniał. Nadsłuchiwał, cisza. Burowie daremnie za nim szukali. Zarośla zasłaniały go. Tu go nie znajdą.

I w rzeczywistości oddalili się Burowie, a Baldi opuścił ostrożnie swą kryjówkę.

Lecz co miał począć? Burowie zabrali mu konia, musiał zatem piechotą odbyć dalszą drogę.

Położenie jego było arcyniemiłe i groźne. Nie mógł się nigdzie pokazać, w obozie poznałby go farmer, który już pewnie tam wrócił. Nie mógł jednak też pieszo wrócić do farmy. Bez konia nie zajdzie daleko.

.Kroczył bez celu wzdłuż brzegu. Było południe, gorąco bardzo dokuczało. Nigdzie ani drzewa, ani krzeku, tylko nagie ściany skaliste.

Nagle scenerya zmieniła się. Zielone pagórki — wśród nich zielone doliny. Tylko tu i ówdzie stroma skała.

Baldi spostrzegł teraz w pobliżu namioty, które już przedtem zauważył był zdaleka. Na skałach i pagórkach nad rzeką stały kanony, całe szeregi Burów rozłożyły się tu obozem.

Tu było przejście, za którem szukał. Lecz obóz główny był w dole nad rzeką. Ze szczytu pagórka mógł go widzieć. Ukrył się w zaroślach i przeczekał do wieczora. Za dnia nie mógł się tędy przedostać.

Postanowił dostać w jakiś sposób w posiadanie konia i przedostać się z nim przez mieliznę na drugi brzeg. Było to bardzo niebezpieczne, bo i tam stali Burowie.

Gdy zapadł wieczór, zbliżył się ku mieliźnie. Lecz wszędzie były silne straże. Także konie były pilnie strzeżone.

Zdecydował się na krok odważny. Chciał się koniecznie dostać do głównego obozu armii Burskiej, by tam szpiegować. Jeżeli mu się wszystko uda i jejżeli wróci do obozu angielskiego natenczas otrzyma przyrzeczoną nagrodę.

W szerokim łuku ominał namioty, potem kroczył wzdłuż brzegu.

Ciemność sprzyjała mu, nikt go nie spostrzegł. Po godzinie osiągnął obóz. Była już noc. Burowie spali, paliły się tylko nieliczne ognie obozowe.

Zbliżył się do jednego z ogni. Leżała tu większa grupka Burów, z których tylko niektórzy spali, reszta rozmawiała. Baldi zmiarkował, że o nim mowa. Poznał farmera i innych którzy go ścigali.

Farmer był zdania, że Baldi zginał. Tylko jego koń, którego odnaleziono, potrafił się ocalić.

Baldi słuchał uważnie. Było mu to na rękę, że sądzono, iż zginął. Bo wobec tego mógł się swobodniej poruszać. Ku swemu zdziwieniu dowiedział się następnie z opowiadania farmera, że tenże podsłuchał rozmowę jego z oficerem angielskim, że dalej farmer doniósł o tem generałowi i że przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności by szpiega ująć, być przecież może, że ocalił się z wody.

Baldi stracił odwagę. Był w obozie nieprzyjaciół, najmniejszy przypadek mógł sprowadzić jego odkrycie.

Nadsłuchiwał dalej. Szalony, zbliżył się jeszcze bliżej. Leżał plackiem na ziemi, zasłaniała go wysoka trawa.

Dowiedział się też, że Gertruda i Józefa były w obozie. Jego nienawiść do tych kobiet odżyła i wściekły pogroził farmerowi.

— Jeżeli się stąd szczęśliwie wydostanę, nie ujdziecie mej zemsty wpadniecie mi w ręce.

Już chciał się oddalić, gdy nagle usłyszał głos farmera, który w te odezwał się słowa:

— A może łotr ten ocalał. Natenczas spró-

buje on dostać się do obozu, aby szpiegować. Chodźcie towarzysze, zrekognoskujemy nieco okolicę, może nam wpadnie w ręce.

On i jeszcze siedmiu Burów wzięło broń, krocząc właśnie ku miejscu, gdzie Baldi był ukryty. Uciekać nie było czasu. Najmniejsze poruszenie zdradzi go.

Leżał spokojnie, w strasznej , trwodze. Wstrzymywał oddech. Burowie przeciągnęli tuż obok niego, w ciemności nie spostrzegli go.

Gdy przebrzmiały kroki, podniósł Baldi cicho głowę i rozglądnął się dokoła. Reszta Burów, którzy pozostali przy ogniu, ułożyła się do snu.

Bez hałasu posuwał się szpieg tyłem. Potem podniósł się i udał się za farmerem i jego towarzyszami. Jeżeli będzie z tyłu za nimi, to go nie odkryją. Może znajdzie konia i uda mu się umknąć. Bo teraz zdawał sobie z tego sprawę, że przedsięwzięcie jego było zanadto ryzykowne. Nagle przystanął.

Zobaczył szereg oświeconych namiotów. Zbliżył się do pierwszego, a usłyszawszy wewwewnątrz głosy, zbliżył ucho do cienkiej ścianki.

Usłyszał głosy Józefy i Gertrudy. Chętnieby wtargnął do wnętrza, by się rzucić na nieszczęsne kobiety.

W tem zbliżyły się kroki. Szybko cofnął się w ciemności. Zauważono go jednak, bo szorstki głos zawołał:

— Stój! — Kto tu?

W tej samej chwili rzucił się Baldi na ziemię i prędko i zręcznie jak wąż ślizgał się wśród trawy. W ten sposób oddalił się o kawał drogi od namiotów, a kiedy się podniósł, zobaczył ciemną, poruszającą się masę i usłyszał rżenie. Tak! Były to konie, przywiązane do krótkich pniaków, Straży, zdaje się nie było. Lecz w oddali rozległy się kroki. Baldi nadsłuchiwał trwożliwie, czy też farmer nie odkrył jego śladu.

Prędko przeciął pęta konia, rzucił na niego siodło, leżące w trawie, i ciągnął za cugle konia za sobą.

Ledwie postąpił kilka kroków, gdy usłyszał znowu głośne: "Stój".

Tym razem nie mógł się cofnąć. Tuż przy nim wynurzyła się wśród ciemności postać Bura.

Baldi chwycił sztylet, zdecydowany na wszystko. Nie znał na tyle języka Burów, nie mógł zatem wdać się z żołnierzem w rozmowę, bo to mogłoby go zdradzić.

Mruknął kilka słów, niby że go wysłano tu dla zrekognoskowania okolicy. Potem dosiadł konia i spiął go ostrogami.

Nim żołnierz burski odzyskał równowagę, zniknął Baldi w ciemności. Wtem nadbiegła grupka ludzi z farmerem na czele. Ten złapał żołnierza za kark. Wnet jednak poznał swój błąd i puścił go.

— Widziałeś go! co? — zawołał. Tutaj był, ten podły szpieg.

Jeden z przybyłych zwrócił uwagę na oddalający się tętent kopyt końskich.

Żołnierz patrolujący opowiedział sytuacyę. Zapóźno zmiarkował, że pozwolił szpiegowi uciec.

— Dostaniemy go jeszcze! — zawołał farmer.

On i jego towarzysze szybko dosiedli koni i popędzili za Baldim.

Ten tymczasem odalił się od nich znacznie. Lecz uciekał w kierunku w głąb kraju, a nie ku rzece. Nie znając okolicy, musiał zabłądzić wśród ciemności. Chociażby nawet nie wpadł w ręce pogoni, to chyba nie dostanie się do obozu angielskiego. Wpadnie w ręce jednej z licznych straży burskich, rozsianych po całym kraju.

ROZDZIAŁ 94.

W strasznych opałach.

W dzień po przesłuchaniu Sinobrodego przed sądem, zatrzymał się powóz przed willą na jednem z przedmieść rezydencyi. Wysiedli stąd komisarz Greif i Gerhard, ojciec Katynki. Zadzwonili, wnet portyer otworzył furtkę, prowadzącą do ogrodu.

Tędy zbliżali się ku domowi. Była to jakby willa elegancka, mimo to miała opustoszały wygląd. Tylko w parterze było jedna skrzydło zamieszkałe.

— Tu zatem zamieszkał stary hrabia? — spytał Greif. Bezpieczniej byłoby w śródmieściu.

I Gerhard był tego zdania.

W przedsionku oczekiwał ich Detlew, otworzył drzwi do pokoju i rzekł:

— Proszę wejść, hrabia oczekuje panów.

Weszli wraz z Detlewem do pokoju. Opodal pieca siedział stary hrabia. Gerhard był tu już poprzedniego dnia, by uprzedzić hrabiego o wizycie komisarza.

Stary hrabia wstał i pozdrowił przybyłych ze smutnym uśmiechem:

— Chcesz pan zająć się moim losem, — rzekł. Będzie to zadanie trudne i niewdzięczne.

Kolega pański Winter, doświadczył na sobie, jak strasznym przeciwnikiem jest Sinobrody.

— To mnie nie odstrasza — odpowiedział Greif, przypatrując się uważnie hrabiemu, którego los wzbudził w nim litość.

Hrabia opowiedział komisarzowi dokładnie swą historyę i zakończył słowy:

— Widzi pan z mego opowiadania, że widoki moje bardzo małe. Brak mi dowodów. Nikt mnie z całą stanowczością poznać nie może, nikt się za mną nie oświadczy.

Greif siedział zamyślony Po chwili spytał:

— Czy ten człowiek, który się podał za prawdziwego hrabiego, i którego Sinobrody prawdopodobnie zastrzelił, czy onby mógł poprzeć pańską sprawę?

— Tak, on miał dowody w ręku, których mi dzisiaj brak. On był moim przyjacielem, wezwałem go z Afryki, ale zginął z ręki mordercy, nie zeznawszy koledze pańskiemu, Winterowi, gdzie ukrył potrzebne mi dokumenta

— Jeżeli Sinobrody jest mordercą, to zabrał on pewnie i owe papiery — odpowiedział Greif.

Ale mówił on też w godzinie śmierci o grobowcu, jak Winter opowiadał — zauważył Gerhard. Winter sądzi, że dokumenta tam się znajdują. On już dawno chciał przeszukać grobowiec — względem żon Sinobrodego. Lecz było mu to niemożliwem, bo Sinobrody kazał wejścia do wieży zamurować. Ze strony morza zaś nikt się w zimie do grobowca nie dostanie.

— A przecież teraz właśnie trzeba koniecznie dostać się do grobowca — odpowiedział Greif stanowczo. A że to ze strony morza niemożliwe, musimy znaleźć inny sposób. Zamurowane wejście do wieży nie powinno być przeszkodą. Mimo wszystko dostanę się do grobowca

— Jestem przekonany, że znajdziesz pan tam zamordowane żony Sinobrodego — zawołał Gerhard.

— Prawdopodobnie i zamordowanego radcę komercyalnego — uzupełnił Greif. Lecz wróćmy do sprawy pańskiej, panie hrabio. Czy nie mogliby za panem świadczyć stary kasztelan Tomasz i klucznica Krystyna?

Stary hrabia wzruszył ramionami.

— I oni mnie nie poznali. Uwierzyli mi tylko w końcu.

— Więc nie ma nikogo, któryby pana dawniej dokładnie znał?

— Nie, nie wiem! Byłem ostatnim razem przed dziesięciu laty na zamku Wildenfels. I dawniej rzadko i krótko tu przebywałem. Bawiłem prawie stale za granicą. Jedyny, któryby mnie poznał i mógł za mną świadczyć, jest nieżyjący już niestety baron Rambow.

— Co mąż Agaty? — szepnął Greif Zresztą nie zna pan nikogo?

— Nie!

— A może murarz, panie hrabio, który sporządził ów tajemny skarbiec? — spytał Greif.

— Murarz Krebs? — Możliwe, że ten by mnie poznał!

— Ale gdzie go szukać? — zauważył Gerhard. Zniknął ze wsi i nikt nie wie, gdzie on przebywa.

— Znajdziemy go — rzekł Greif. Zaraz rozpocznę poszukiwania. W najbliższych dniach udam się na zamek Wildenfels i spróbuję dostać się do grobowca. Może uda mi się też wtedy ująć Piotra nareszcie. Wczoraj nie miałem szczęścia. Daremnie szukałem go w zamku.

Stary hrabia doniósł też komisarzowi o owym trupie, którego znaleźli w młynie i rzekł:

— Detlew sądzi, że i ta umarła jest ofiarą Sinobrodego.

— Możliwe to! — odpowiedział Greif. W każdym razie muszą o tem coś wiedzieć dawni mieszkańcy młyna. Zrobię doniesienie. Detlew odprowadzi na miejsce komisyę sądową. Może uda się jeszcze rozeznać co to za trup.

Stary hrabia zamyślił się i rzekł po chwili:

— Panie komisarzu, ja pana odprowadzę do grobowca na zamku Wildenfels. Znam ja tam inne dojście, nietylko przez wieżę.

— Dobrze, panie hrabio — rzekł Greif uradowany. Chciałbym też, by Sinobrody możliwie jak najdłużej nie wiedział o grożącem mu niebezpieczeństwie.

— Kiedy się dowie, ucieknie! — zauważył Gerhard. Panie komisarzu, najlepiejby było uwięzić go zaraz dzisiaj. Zbrodnie jego przecież są jasne jak słońce.

— Nie, nie można jeszcze — rzekł komisarz. Wezwano Sinobrodego, by sprowadził tu swą żonę, albo udowodnił, że ona jeszcze żyje. Zostawiono mu ośm dni czasu. Po ich upływie oskarżymy go i uwięzimy.

— A jeżeli w międzyczasie ucieknie?

— To niemożliwe! — zaśmiał się Greif. Każdy jego krok jest śledzony. Najmniejsza próba ucieczki pociągnie za sobą uwięzienie.

Komisarz podał hrabiemu rękę na pożegnanie i rzekł:

— Cierpliwości jeszcze pewien czas. Kiedy zdemaskujemy Sinobrodego i udowodnimy je-

go zbrodnie, potrafi i pan łatwo udowodnić swe prawo. Uwierzą panu i bez nadzwyczajnych dowodów.

— Tak długo cierpiałem, — odpowiedział hrabia, to będę i nadal czekał.

— Ale nie należy tracić otuchy — pocieszał Greif. Mieszkanie to, też nie bardzo bezpieczne. Nietylko Sinobrody zagraża życiu pana, także owi złoczyńcy z młyna, mogliby urządzić nowy napad.

— Nie jestem sam — rzekł hrabia — Detlew jest przy mnie, a i portyer mieszka tu.

— To nic — odpowiedział Greif poważnie. Wie pan już, że Sinobrodego nic nie odstrasza. Nęcą go miliony pana. A kiedy zmiarkuje, że wszystko stracone i że musi uciekać, spróbuje niewątpliwie jeszcze raz, czy mu się nie uda porwać skarby pana. Tego samego należy się spodziewać od owych nieznanych złoczyńców. Detlew i portyer to niedostateczna opieka. Przyślę tu jeszcze agenta policyjnego. Może przyłapiemy owych złoczyńców.

Greif oddalił się, Gerhard pozostał jeszcze. Kiedy komisarz wyszedł na ulicę, spostrzegł po drugiej stronie 2 ludzi, którzy zwrócili jego uwagę. Przypatrywali się willi, a kiedy zmiarkowali, że ich komisarz spostrzegł, oddalili się bardzo szybko.

Greifowi zdawało się, że zna ich, zwłaszcza jednego który utykał. Patrzał za nimi długo, gdy nagle przystąpił do niego człowiek w ubraniu robotnika i wskazując na oddalających się nieznajomych — rzekł szybko:

— Nieprawdaż panie komisarzu, że to znajomi?

Był to agent Brand.

—Tak, — potwierdził Greif — a kto to?

— Nie wiem — odpowiedział Brand — od godziny ich śledzę. Przypatrywali się tej willi bardzo uważnie, jakby mieli szczególny w tem interes.

— Idź pan za nimi — rozkazał Greif — i staraj się dowiedzieć, kto oni.

— Według rozkazu, chcę jeszcze donieść, że Sinobrody był dzisiaj znowu w sądzie.

— A więc przecież stracha się— zaśmiał się Greif — czy on jeszcze jest w mieście?

— Nie, pojechał na zamek Heiligensee.

— Do baronowej Waleryi? hm, hm — ale spiesz pan, by się nam nie wymknęli podejrzani ci panowie.

Brand oddalił się szybko. Greif zaś wsiadł do doróżki ikazał się zawieźć do sądu.

— Muszę sie dowiedzieć, czego tu dzisiaj Sinobrody chciał — pomyślał.

Tymczasem podejrzani szli prędko wzdłuż ulicy. Spostrzegli wprawdzie idącego za sobą robotnika, lecz nie przeczuwali kto to. Często oglądali się za komisarzem, a kiedy ten odjechał, jeden z nich zaśmiał się szydereczo.

— Widzisz Kulasie — mówił Ludwik Hecht, bo oni to byli — obawa twoja znowu nieuzasadniona. Nie przeczę ten Greif ma bystre oczy i dobry węch, ale nam nie dorósł. W tem przebraniu nie poznałaby nas własna matka.

— Ej, nie gadaj — szepnął Kulas — ten Greif zna nas z dawnych czasów. A ja się go więcej boję niż Wintera. Jeżeli on ma podejrzenie przeciw nam — jesteśmy zgubieni.

— Nie wywołuj wilka z lasu — rzekł Ludwik niechętnie — może straciłeś ochotę dla naszego planu w dzisiejszą noc.

— To nie, ale Ludwiku, powinniśmy być ostrożni.

— Głupstwo. Stary sam jest z rybakiem. Ten nie śpi w tym samym pokoju. Zresztą potrafimy się z nim uporać. Tylko odważnie przyjacielu, pięć do sześć milionów, to nie bagatela.

Przyspieszyli kroku. Brand był blizko nich, mógł teraz ich rozmowę podsłuchać, lecz oni milczeli. Udali się do restauracyi. Brand postanowił czekać przed wejściem, by ich później znowu śledzić.

Trwało to kilka godzin. Złoczyńcy udali się do gospody, w której mieszkali. Za nim szedł krok w krok Brand.

Przybywszy do sądu, udał się Greif do sędziego śledczego. Ten mu oświadczył:

— Sinobrody był tu. Powiedziałem mu, że list rzekomego doktora Simona jest sfałszowany. Zaprzeczył temu oburzony.

— Powiedziałeś mu pan, że wiemy już, kto ten list pisał?

— Nie! — uważałem za odpowiedniejsze, nie wspominać mu o tem.

— A co oświadczył Sinobrody wobec wezwania, do ośmiu dni sprowadził swą żonę?

Sędzia zaśmiał się szydereczo.

— Chce wezwanie to wykonać!

— Co? On chce to uczynić? — zawołał Greif zdziwiony.

— Tak! sam chce wyjechać do Paryża i sprowadzić stamtąd swą żonę.

W pierwszej chwili nie mógł Greif wyjść ze zdziwienia. Nagle zerwał się.

— On z podróży tej nie wróci! — zawołał. Przewiduję jego zamiary. Chce uciec.

— Możesz pan przecież temu przeszkodzić —odpowiedział sędzia spokojni·

Greif kiwnął głową.

— O, jestem o niego spokojny. Dobrze. Niech jedzie do Paryża. Ale, dam mu towarzysza, który go z pewnością stamtąd przywiezie.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Walerya była strasznie wzburzona. Właśnie otrzymała ostatni list swego męża, Ludwika Hechta. Treść listu była dla niej druzgocącą.

Oszukał ją. Nie dał jej prawdziwej metryki, lecz tylko jej kopię!

Znowu jej groził i żądał pieniędzy. Pięćdziesiąt tysięcy marek! A ponadto nie chce wydać prawdziwej metryki.

Bała się jego zdrady, będąc wobec niego bezsilną.

Zameldowano jej hrabiego Sinobrodego. Wszedł. Na jego widok przestraszyła się Walerya. Był trupio blady, twarz jego wykrzywiona, oczy błyszczały gorączkowo.

— Na miłość Boską, Robercie! Co się stało? — zawołała.

— Skończone! Muszę uciekać — dziś jeszcze! — odpowiedział Sinobrody bezdźwięcznie i opadł na fotel.

Waleryę zdjął strach.

— Dlaczego? — wykrztusiła. Czy wszystko odkryte? Czy listy nie zdały się na nic?

— Odkryto, że jeden z listów napisał pisarz pokątny. sioł sam wyznał. Byłem u niego natychmiast, skoro mi sędzia zarzucił, że listy są sfałszowane. Komisarz — niejaki Greif — sprawę wyśledził.

— Co odpowiedziałeś sędziemu?

— Zaprzeczyłem naturalnie wszystkiemu i oświadczyłem, że sprowadzę swą żonę z Paryża. Zostaje jedyny ratunek: — ucieczka. Ten Greif jest również niebezpieczny, jak Winter. Był już wczoraj na zamku Wildenfels, szukał za Piotrem. Wiedzą, że on żyje. Twój zamach na Wintera także się nie udał — trucizną jeszcze nie działała.

— Ale on zginie! — zgrzytnęła Walerya. Wiem, walczy ze śmiercią. Jego tylko zeznań bałam się. List Agaty mam, więc mogę być spokojną.

— Tak! ty cel swój osiągniesz — ale ja? — Gdybym przynajmniej miał skarby starego hrabiego.

— Czy nie wiesz, gdzie one ukryte?

— Nie! W młynie nic nie znalazłem. Dłużej szukać nie mogę, bo dziś wieczorem muszę wyjechać — na zawsze!

— Nie, Robercie! — zawołala Walerya. Sprawa tak źle nie stoi. astanówmy sie tylko

Masz sprowadzić swą żonę Gertrudę — co? — Dobrze. Stanie się to!

Sinobrody patrzył na jej uśmiechniętą twarz. Zdawało mu się, że Walerya kpi z niego.

— Potrafisz wrócić Gertrudę do życia? — mruknął niechętnie.

— Nie! toby ci też wcale nie pomogło — odpowiedziała spokojnie. Posłuchaj! Pojedziesz do Paryża. Tam musisz znaleźć osobę, któraby potrafiła grać tu rolę twej żony, Gertrudy. Sprowadzisz ją tu — nikt się nie domyśli, że to oszustwo.

— A, to niemożliwe, bezcelowe — rzekł Sinobrody zrozpaczony. Zapominasz, że znają Gertrudę i prokurzysta radcy komercyalnego i jego adwokat. Tych nie potrafię oszukać.

— To kwestya — obstawała Walerya. Osoba, którą sprowadzisz, powinna być nieco podobną do Gertrudy. Nadto możesz twierdzić, że choroba tak Gertrudę zmieniła. Możnaby się postarać i o inne dowody, że to naprawdę twoja żona.

Sinobrody uważał plan Waleryi za trudny do wykonania i bezcelowy. Lecz Walerya potrafiła go przekonać i przywrócić mu odwagę, tak że w końcu zgodził się na jej plan.

— Należy się tylko obawiać — mówiła Walerya, że ten nowy komisarz pojedzie za tobą potajemnie, albo wyśle tajnego agenta. Prawdopodobnie prokurzysta podejmie się tego zadania. Musisz być zatem bardzo ostrożnym

— Najlepiej byłoby, gdybyś mnie ty mogła odprowadzić — rzekł Sinobrody.

— Nie — nie mogę! — odpowiedziała stanowczo. Muszę już tu zostać, choćby tylko na to, by cię na czas ostrzedz, gdyby ci coś groziło. Nadto muszę teraz z całą siłą pary dążyć do celu. Hrabia musi mi dać w najbliższych dniach stanowcze zobowiązanie.

— W takim razie zabiorę Piotra.

Walerya zastanowiła się przed chwilą.

— Piotra? — Nie! Z wielu przyczyn. Nie mógłby ci on oddać zresztą żadnej przysługi. A jego obecność jest mi tu konieczną. Potrzebny mi jest.

— Tobie? — Na co?

— Przeciw Hechtowi! — zawołała Walerya. Łotr ten pisał do mnie. Czytaj!

Podała mu list. Lecz Sinobrody nie miał cierpliwości do czytania.

— Czego chce? — spytał posępnie. Pieniędzy?

— Tak! Pięćdziesiąt tysięcy marek! Oszukał mnie. Nie wydał mi prawdziwej metry-

ki ślubu, lecz tylko jej odpis. Teraz grozi, że zdradzi wszystkie nasze tajemnice.

Sinobrody zaklął wściekle. Nowy więc nieprzyjaciel, o którym wcale nie myślał. A bardzo niebezpieczny i dla niego i dla Waleryi.

— Gdzie on siedzi? — spytał. Czy podał swój adres?

— Nie, mam mu posłać odpowiedź względnie pieniądze — poste-restante.

— Gdybym go dostał w swe ręce! —zgrzytnął Sinobrody. Należało go wtedy usunąć, gdyśmy go tak szczęśliwie dostali w łapkę.

—Tak! mielibyśmy spokój przynajmniej od niego. Jedyne teraz wyjście, spełnić jego zuchwałe żądanie.

— Chcesz być uległą? Chcesz mu pieniądze dać? — obruszył się Sinobrody.

— A co zrobić? Czekać, aż mnie zdradzi hrabiemu? I tobie przecież grozi zdrada. Łotr ten wie, kim ty jesteś w rzeczywistości. Zna też sprawę tajemniczego zniknięcia twego teścia. Skąd? — Nie wiem! Ale jeżeli on to wszystko zdradzi — jesteś zgubiony!

— Prawda! — potwierdził Sinobrody. Lecz bądź mądrą, Waleryo! Należy łotra tego jeszcze raz dostać w sidła. Masz Piotra tu do swej pomocy. Pieniędzy mu nie posyłaj. Poproś go, by przyszedł do ciebie. Kiedy się dowie, że ja wyjechałem, on przyjdzie.

— I ja o tem myślałam! — odpowiedziała Walerya z szatańskim uśmiechem. Przyjdzie pewnie ze swym towarzyszem, ale z tym potrafimy się już uporać.

— Pewnie! — przerwał Sinobrody. Odetchnę swobodnie na wiadomość, że nie musimy się obawiać tego opryszka. Dobrze! Niech tu Piotr u ciebie zostanie. Tu go nikt szukać nie będzie.

— Spodziewam się — rzekła Walerya, spokojna. Nie ufam jednak swej służbie. Wprawdzie w przebraniu nikt Piotra nie pozna, ale ostrożność nie zawadzi.

Sinobrody chciał odpowiedzieć, gdy zapukano do drzwi. Wszedł służący i zameldował:

— Jego ekscellencya, pan minister.

Sinobrody zerwał się, wpatrując się w Waleryę. I ta w tej chwili straciła zupełnie równowagę.

Hrabia przyjechał. Jej złe sumienie szeptało: wie o wszystkiem, od Katynki albo od komisarza Greifa. Przychodzi, by mię oskarżyć.

A Sinobrody tu! Za żadną cenę nie powinien go hrabia zobaczyć.

Nie wiedziała co począć. Już usłyszała w przedpokoju zbliżające się kroki. Nareszcie oprzytomniała. Służący stał jeszcze w drzwiach. Kazała mu się oddalić. Potem zwróciła się ku Sinobrodemu i wskazała na drzwi do sypialni.

— Tam! — prędko! — zawołała.

Lecz było już zapóźno. Sinobrody jeszcze nie przybył do drzwi, kiedy wszedł hrabia Edmund

ROZDZIAŁ 95.

Nocna wizyta.

Przez ciche ulice przedmieścia kroczyły dwie postacie męskie, otulone w ciemne płaszcze. Skręciły w ulicę i zatrzymały się przed willą starego hrabiego.

Ostrożnie rozglądały się na wszystkie strony. Ulica była pusta, noc ciemna, zimna i burzliwa. Dokoła żadnej straży. Domy ciemne, pogrążone w ciszy.

I w oknach willi, zasłoniętych storami, nie było światła. Postacie przekonały się, że ich nikt nie śledzi. Jeden z mężczyzn wyjął pęk kluczy z pod płaszcza i zręcznie otworzył furtkę ogrodową, poczem razem ostrożnie wsunęli się. Udali się w tylną stronę domu. Tu jeden wspiął się na grzbiet drugiego i nadsłuchiwał przy okiennicy. Okno prowadziło do kuchni mieszkania parterowego, stojącego pustką.

— Wszystko spokojne — szepnął nadsłujący swemu towarzyszowi. Ten podał mu krótki instrument, jakby obcęgi. Tamten zakrzątnął się koło okiennicy, która się otwarła.

Przez chwilę cisza. Czy może w domu usłyszano szelest? Lecz wicher zagłuszył każdy szmer.

Stojący u góry począł otwierać okno. Dyamentem wyrżnął szybę. Przez otwór odsunął zasuwki i wsunął się do wnętrza, a za nim jego towarzysz.

Zamknęli okiennice i zaświecili latarnie. W jej świetle poznajemy Ludwika Hechta i Kulasa. Rozglądnęli się. Potem Hecht otworzył wytrychem drzwi do tylnej sionki. Tu nadsłuchiwali u drzwi prowadzących do pokoju starego hrabiego. Zobaczyli światło. Więc hrabia jeszcze czuwał.

— Przeczekajmy! — szepnął.

Agenta Branda, który ich śledził, potrafili wywieźć w pole. Ludwik zmiarkował, że rzekomy robotnik śledzi ich. Weszli więc do restauracyi i opuścili ją potem tylnem wyjściem. Zapóźno poznał Brand ich podstęp.

Wieczorem był Kulas blizko willi i zauważył, że się Detlew oddalił. Gdzie poszedł, nie

mógł Kulas wiedzieć, skoro jednak nie wrócił do godziny dziesiątej, zdawało się, że przez noc go nie będzie. Pospieszył tedy uradowany do swego towarzysza i razem udali do willi. Wszystko świadczyło zatem, że stary hrabia jest sam. Portyera, który mieszkał w suterynach, nie bali się. Stary to człowiek, dadzą sobie z nim prędko radę.

Przy stole, blizko pieca, siedział stary hrabia i pisał pilnie. Pisał historyę swego sędziwego życia, aby ją sądowi przedłożyć, kiedy rozpocznie walkę z Sinobrodym. Na jego poważną, wycieńczoną twarz padało jasne światło lampy. Był w pracy tak zatopiony, że nie zważał na późną bardzo porę.

W domu panował cisza, tylko wiatr wył żałośnie i ogień trzaskał na kominku. O szyby uderzał deszcz. Tem przyjemniej było w ciepłym pokoju.

Nagle począł hrabia nadsłuchiwać. Przerwał pracę. Zdawało mu się że słyszy kroki. — Lecz nic! To szum wiatru.

I znowu zatopił się w pracy.

Wtem cicho całkiem otworzyła drzwi niewidzialna ręka. W otworze zjawiła się twarz Ludwika okolona, fałszywą brodą.

Stary hrabia nie słyszał otwierania drzwi. Nie widział, jak Ludwik wsunął się do pokoju, był do niego tyłem odwrócony. Nie przeczuwał strasznego niebezpieczeństwa.

Cicho zbliżał się Ludwik, trzymając w ręku sztylet, gotowy do ciosu. Kulas wsunął się za nim i zamknął drzwi bez hałasu.

Przy stołu hrabiego stanął Ludwik i ciekawie patrzał, co też hrabia tak gorliwie pisze. Nagle położył mu na ramieniu rękę i rzekł swobodnie:

— Przebaczy pan że mu przeszkadzamy.

Jakby piorunem rażony zerwał się hrabia i w niewymownej trwodze wpatrywał się w złoczyńców.

— Tylko spokojnie mój panie! Nie wołać o pomoc — rzekł Ludwik z naciskiem, kierując sztylet ku piersi hrabiego. Za najmniejszym krzykiem utopię sztylet ten w serce pana!

Wobec groźnego niebezpieczeństwa odzyskał hrabia prędko przytomność.

— Kto wy? — zawołał groźnie. Czego chcecie odemnie. łotry?

Nie poznał złoczyńców wskutek ich przebrania.

Ludwik zaśmiał się szyderczo:

— Pieniędzy chcemy, kochany panie! Skarbów pana. Chciał się pan przecież z nami podzielić.

— O, znam was — to wy jesteście owi złoczyńcy, którzy mnie napadli w lesie — i...

— Tak, to my! Słuszna uwaga! — przerwał Hecht. Wtedy wymknąłeś się nam stary panie. Ale dzisiaj nie uda ci się! Więc — krótko i węzłowato — chcesz dać dobrowolnie połowę twych skarbów — tak, czy nie?

Hrabia Harald wybuchnął wściekłym śmiechem.

— Oszaleliście! Ani centa wam nie dam łotry!

— Co? Zastanów sę stary panie! — zawołał Ludwik groźnie. Jesteś w naszej mocy!

Oczy jego błyszczały złowrogo i zbliżył sztylet ku jego piersi.

— O, chcesz mnie zabić nędzniku? — zawołał hrabia blady, ale nie tracąc równowagi.

— Tak, zabijemy pana, jeżeli nie będziesz rozsądnym — odrzekł Ludwik posępnie. Jeżeli ci milsze są pieniądze, niż życie — zmów "Zdrowaś Marya."

Hrabia nie wątpił, że Ludwik groźbę swą wykona. Położenie jego było straszne. Był w rękach tych rozbójników, sam z nimi w domu bo Detlewa rzeczywiście nie było. Poszedł był do Gerharda i Wintera i jeszcze stamtąd nie wrócił. Wołać na portyera, któryby mu zresztą nic nie pomógł, nie mógł, bo Ludwik utopiłby żelazo w jego piersi.

Ale hrabia mimo to nie tracił nadziei. Z oczu jego błyszczała wściekłość i pogarda, ale strachu nie odczuwał.

— Czyńcie co chcecie — oprawcy!—rzekł, Nie wymusicie groźbami ani złamanego szeląga!

Opór hrabiego drażnił rozbójników. Mieli nadzieję, że on natychmiast wyda im swe skarby. Nie spodziewali się wcale, że trafią na tak zacięty opór.

I Kulas począł teraz grozić. Hrabia nic nie odpowiedział. Zmierzył ich tylko pogardliwym wzrokiem.

— Słuchaj, stary panie! — rzekł Ludwik. Jeszcze jedna propozycya! Nie zgodzisz się na nią to nie unikniesz śmierci.

— Na żadną waszą propozycyę nie zgodzę się!

— Dobrze! Zobaczymy! Wiemy że masz pan co najmniej 4-ry miliony gotówki. Podziel my się. Dostaniesz pan połowę. Co? Dobrze?

— Sądzicie, że jestem niespełna zmysłów? — roześmiał się hrabia. Spodziewacie się, że wymusicie na mnie dwa miliony. Wy łotry — rozbójniki!

— Nie chcesz więc? — spytał Ludwik groźnie.

— Nie! — odpowiedział hrabia silnym głosem.

— Musisz! — zgrzytnął Ludwik. Do dyabła! Bądźże rozsądnym. Życie swoje narażasz.

Podniósł sztylet. Stary hrabia nie drgnął. Wpatrywał się w nieludzkich złoczyńców z pogardliwym uśmiechem.

— Na cóż tyle zachodów! — zawołał Kulas niecierpliwie. Nie pójdzie po dobremu, możemy go do tego zmusić. Namyślił się on. Życia się tak łatwo nie poświęca.

— Szukajmy — zadecydował Ludwik. On pewnie skarby dobrze ukrył. Nie znajdziemy ich tak łatwo.

— Szukajcie! — zawołał hrabia Harald szyderczo. Nie wiele znajdziecie. Nie mam tu innych pieniędzy.

Ludwik i Kulas cofnęli się przerażeni.

— Co? — zawołał Ludwik niedowierzająco. A gdzie są pieniądze?

— W banku — brzmiała spokojna odpowiedź.

Kulas zaklął.

— A masz! — biadał. Przeczuwałem że się znowu nie uda.

— Głupstwo! — rzekł Ludwik, starając się zachować spokój. Nie wierzę stary panie! Nie oszukasz nas! A jeżeli to prawda, co mówisz tem gorzej dla ciebie.

Hrabia Harald wzruszył ramionami.

— Przeszukajcie, jeżeli się wam podoba, cały dom. Nikt wam nie przeszkadza.

— Oszczędzimy sobie trudu — odrzekł Ludwik. Jeżeli to prawda, stary panie, że pieniądze twe w banku, to masz przecież potwierdzenie odbioru.

— Tak!

— No, widziesz stary panie! — rzekł Hecht uradowany. Kulas przeszukajno szuflady. Tam znajdziemy to potwierdzenie.

Kulas usłuchał, Ludwik ani na krok nie odstępował hrabiego.

— Daremnie się trudzicie — rzekł hrabia tonem spokojnym, pogardliwym. Choćbyście nawet znaleźli potwierdzenie — cóż wam z tego?

— Dlaczego łaskawy panie? — spytał Ludwik szyderczo.

— Bo przytrzymają was, skoro tylko potwierdzenie okażecie. Czy sądzicie może łotry, że ja tak obojętnie na obrabowanie siebie pozwolę.

— Postaramy się już o to, by pan nic nie mógł przeciw nam przedsięwziąć! — rzekł Ludwik groźnie. Szukaj, Kulas, dalej. Poradzimy sobie już skoro tylko znajdziemy potwierdzenie odbioru.

Kulas zbliżył się do Ludwika i szepnął mu do ucha:

— Starego będzie trzeba sprzątnąć — co?

— Pewnie — jeżeli się nie da inaczej — odpowiedział również szeptem.

— Skoro on tak chce! Przecież nie możemy zezwolić na to, by nas zdradził. — Zróbmy więc koniec.

Hrabia domyślił się, nad czem złoczyńcy się naradzają. Wiedział że go zabiją, nie spodziewał się więcej ratunku. Mimo to ani na chwilę nie stracił odwagi ani spokoju.

Tymczasem Kulas szukał w papierach na biurku, we wszystkich przedziałach i szufladkach. Nie znalazł szukanych dokumentów.

— Do stu dyabłów. Nie mam! Do pioruna! zakłął.

— Powie nam pan, gdzie ukryłeś potwierdzenie odbioru? — spytał Ludwik hrabiego.

— Szukajcie! — brzmiała odpowiedź.

— Do dyabła! — zawołał Ludwik, podnosząc sztylet. Gadaj pan! Doprowadzasz nas do ostateczności. Daję ci dwie minuty czasu do namysłu. Nie wydasz dokumentów — biada ci!

W oczach hrabiego błysnęła ostra stal. Nie wątpił, że Ludwik groźbę spełni. Ale nie zmienił swej taktyki. Milczał, patrząc pogardliwie na zbrodniarza.

Tymczasem Kulas szukał dalej, a jego złorzeczenia świadczyły o tem, że daremnie.

— Do pioruna! Wszystko na nic! — klął. Stary musi zeznać!

— Gadaj więc! — zawołał Ludwik. Lewą ręką trzymał hrabiego i podniósł prawicę, uzbrojoną w sztylet.

W tej chwili kiedy niebezpieczeństwo było najgroźniejsze, stało się coś nadzwyczajnego. Cicho otwarły się drzwi i na progu stanęła postać, otulona w płaszcz. Był to Detlew, który właśnie wrócił, ale tylną bramą. Udał się do sąsiedniego pokoju, który zamieszkiwał. Tu usłyszał głosy z pokoju. Zdjęło go złowrogie przeczucie. Cicho, że go nikt nie słyszał, otworzył drzwi i stanął jak wryty na widok, który się przedstawił jego oczom.

Ani Ludwik, ani hrabia nie zauważyli go. Kulas tak był zajęty szukaniem, że zapomniał zupełnie o swem otoczeniu.

Jednym skokiem stanął Detlew w środku pokoju.

— Mordercy! Poddajcie się rabusie! — zawołał.

W ręku miał rewolwer który, skierował na Ludwika. Ten cofnął się przerażony.

W tej samej chwili Kulas, poznawszy niebezpieczeństwo, rzucił się ku drzwiom.

— Stój! — zawołał Detlew. Lecz Kulas w sam czas trzasnął drzwiami, kula utkwiła w drzewie. I Ludwik chciał uciec, lecz Detlew chwycił go i przyłożył rewolwer do piersi.

— Poddaj się łotrze. bo cię ubiję jak psa!

Ludwik rzucił sztylet.

Wszystko to stało się tak prędko, że hrabia dopiero teraz oprzytomniał.

Zbliżył się do Detlewa, by mu podziękować. Ten oddał mu rewolwer, a sam podążył za Kulasem, którego śpieszne kroki jeszcze słyszał.

Ludwik widząc że jest sam z hrabią Haraldem, odzyskał nadzieję. Szukał za sposobem ucieczki. Zauważył to hrabia i rzekł groźnie:

— Jezeli zrobisz najmniejszy ruch, wpakuję ci kulę w łeb!

Ludwik nie wierzył więcej w możliwość ratunku. Wtem drzwi się otworzyły i wpadł portyer którego strzały zbudziły ze snu. Stary hrabia opowiedział mu, co się tu stało i rozkazał, by pomógł Detlewowi w pogoni za zbiegłym rabusiem.

Portyer oddalił się. Spotkał wnet Detlewa. Przeszukali razem cały dom — bez skutku. Wró cili do pokoju. Rzucili się na Ludwika i udało im się związać go. Zawlekli go do komory i zam knęli drzwi. Stary hrabia zadecydował, by portyer z rana zrobił w policyi doniesienie.

— Lepiej, byśmy natychmiast donieśli o tem komisarzowi Greifowi! — sądził Detlew. Zna on może tego opryszka i dowie się od niego, jak jego towarzysz się nazywa.

— Dobrze idź i zawołaj komisarza! — rzekł hrabia Harald. My aż do tego czasu będziemy czuwać.

Detlew oddalił się.

W ciemnej zimnej jak lud komorze leżał Ludwik zrozpaczony. Daremnie starał się rozer wać pęta. Zdawało się, że tym razem stracony, że wróci do więzienia w którym długie lata przesiedzi. Jaki to będzie tryumf dla Waleryi, kiedy dowie się o jego losie.

Minął dłuższy czas. Trwoga Ludwika wzra stała na myśl o policyi, która wnet się zjawi, by go odprowadzić do więzienia. Bo słyszał, że Detlew poszedł po policyę.

Byłoby dla Ludwika pociechą, gdyby i Ku las był uwięziony. Temu zawsze udaje się uciec. Nie myśli pewnie o tem, by mu pomódz, szczęśliwy że się zdołał uratować.

— Wtem — kroki, ciche — niewyraźne. Ludwik nadsłuchiwał. Kto się zbliżał? Pewnie hrabia Harald. — A może już policya?

Kroki zatrzymały się przed jego drzwiami. Chwila wyczekiwania. Potem odsunął ktoś zasuwkę i drzwi się otworzyły.

Jakaś postać stanęła na progu i zbliżyła się do uwięzionego.

ROZDZIAŁ 96.

NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ.

— Miłosierny Boże! Pomocy! Okręt tonie! — Zginęliśmy!

Te okrzyki załogi okrętowej, pełne zgrozy, usłyszały Agata i Delia, które razem spały w kajucie. Zerwały się z posłania i pospieszyły na pokład.

Tu panowało ogromne zamieszanie. Wszyscy stracili zupełnie przytomność i równowagę umysłu...

Było to wśród nocy. Niebo usiane było gwiazdami. Na wschodzie wschodzący księżyc rzucał swe białe, jakby upiorne światło na wzburzone morze. W ubiegłą noc i w ubiegły dzień szalała gwałtowna burza. Morze jeszcze się nie uspokoiło; wzburzone bałwany rzucały okrętem, jakby piłką.

Mimo to niebezpieczeństwo minęło. Co się zatem stało?

Agata zobaczyła wiernego Jussufa przy ste rze. Zbliżyła się doń i spytała, co zaszło.

— W okręcie jest dziura, oświadczył Jussuf. Właśnie ją odkryto. Nie można jej więcej zatkać, a woda dostała się już do dolnych części.

— Wielki Boże! — zawołała Agata. Czy nic uczynić nie można? Nie ma przystani w pobliżu?

— Nie wiem, księżno. Niech nas Bóg ocali! — odpowiedział Jussuf zrozpaczony. Do rana moglibyśmy utrzymać jeszcze spewnością okręt na powierzchni wody gdyby ci tchórze chcieli się tylko zabrać do pomp. Ale wszyscy stracili ze strachu przytomność.

— Sama ich wezwę do posłuszeństwa! — zawołał Agata.

Rozkazy i prośby Agaty wywarły pożądany skutek, zwłaszcza kiedy oświadczyła, że sama z Delią zostanie przy pompach.

Prędko wszyscy podążyli na swe stanowiska i rozpoczęła się gorączkowa praca, mimo to coraz więcej wody dostawało się na okręt, który coraz bardziej tonął.

Jeszcze z brzaskiem dnia pracowano, lecz daremnie. Zdawało się że zatonięcie okrętu jest nieuniknione

W bezradnej trwodze rozglądali się wszyscy po powierzchni morza. Nigdzie nie było widać okrętu, nigdzie lądu. Jedyny ratunek był ten, że spuszczono łodzie i temi żeglowano po morzu, w nadziei że może przecież dobije się do lądu lub spotka okręt.

Agata naradziła się z Jussufem, który jedyny wśród mężczyzn zachował spokój i równowagę. Potem wydano rozkaz zaopatrzenia łodzi na wszelki wypadek w środki żywności i wodę do picia. Także kosztowności Agaty nie chciał Jussuf porzucić.

Zostawiono pompy i posłuchano rozkazu. Każdy myślał tylko o sobie i mimo wysiłków, zaopatrzenie łodzi było bardzo skąpe.

Tymczasem woda coraz bardziej napełniała okręt. Już dosięgła miejsca, gdzie leżały kosztowności Agaty. Próżno błagał i groził Jussuf wszyscy rzucili się ku łodziom. Zamieszanie było okropne; każdy chciał być pierwszym w łodzi. Doprowadziło to Jussufa do wściekłości. Opuścił ster, przy którym dotychczas wytrwał i z obnażoną szablą rzucił się na tłum.

— Precz! — zawołał. Kto nie usłucha — zginie! Głupcy! Wpierw zaopatrzcie łodzie do statecznie w wodę i środki żywności! Jeszcze czas, okręt wytrzyma na powierzchni wody jeszcze kilka godzin.

Lecz nikt temu nie wierzył. Ludzie ci, przyzwyczajeni zresztą do ślepego posłuszeństwa, w tej groźnej sytuacyi myśleli tylko o sobie i poczęli grozić Jussufowi wiosłami i sztyletami. przecież głupcy ci narażą księżnę!

— Jussuf zrozumiał, że jest bezsilnym.

Już odbiła od okrętu pierwsza łódź; a było ich wszystkiego 3 wielkie i jedna mała. Niedługo odbiła i druga. W każdej siedziało 6 żeglarzy. Kiedy również tylu rzuciło się ku trzeciej wielkiej łodzi, przeszkodził temu Jussuf.

— Łotry! — zawołał, tchórze bezmyślni! Chcecie zostawić tu swą panią i Delię? Wszyscy możemy się tu uratować — wszyscy pomieścimy się w łodzi! Zostańcie! Najpierw księżna — potem my!

Żeglarze zawahali się, dwom z nich kazał Jussuf wsiąść do łodzi. Potem wydał rozkaz, by pozostali przynieśli skrzynię, zawierającą złoto i drogie kamienie. Nadto wodę do picia, środki żywności i inne niezbędne rzeczy.

— Załatwijcie się prędko! — rozkazał.

Raczej szabla Jussufa podziałała, niż groźny ton jego słów. Ocalono jeszcze skrzynię z kosztownościami, zatoczono beczkę z wodą do picia i środki żywności. Potem wszyscy wsiedli do łodzi. Był już najwyższy czas. Niedługo połknęły okręt bałwany morskie.

Należało jak najprędzej odpłynąć stąd, by wir przy zatonięciu okrętu nie porwał słabej łodzi.

Podniesiono żagle. Sześciu marynarzy rzuciło się ku wiosłom, a Jussuf usiadł przy sterze. Prędko pomknęła łódź. Zaledwie była w odległości kilkuset metrów, okręt zniknął w falach morskich. Głośny szum wody — spiętrzone fale — nie było śladu z okrętu.

Teraz rozglądnął się Jussuf za pierwszemi łodziami. Zobaczył je w znacznem już oddaleniu, lecz nie sterował ku nim, spodziewając się że w innym kierunku dobije do lądu.

Tymczasem słońce weszło wyżej i piekło bardzo. Dla Agaty i Delii sporządzono namiot w środku łodzi. Opuszczono wiosła, łódź szybko mknęła, gnana wiatrem. Do łodzi z tyłu przyczepiona była łódź mniejsza.

Zapadł wieczór, nie zauważono ani lądu ani okrętu. Jussuf zatopił się w mapach przy pomocy rozmaitych instrumentów starał się wywnioskować, gdzie się znajdują. Lecz nie udało mu się to, zwłaszcza, że w łodzi tej nie było ani kapitana ani sternika. Mimo to oświadczył żeglarzom, że w każdym razie jutro dobiją do lądu. Pocieszył i Agatę i Delię, chociaż nie zataił przed nimi, jak niepewne są jego nadzieje.

— Jeżeli tylko morze będzie spokojne, mówił, nie ma niebezpieczeństwa, jeżeli jeszcze dwa lub nawet trzy dni błądzić będziemy po morzu. Wody i środków żywności starczy na sześć dni.

— A co poczną tamci w pierwszych 2 łodziach? — spytała Agata.

— Bóg raczy wiedzieć — odparł Jussuf Grozi im straszny los, jeżeli nie spotkają przypadkiem okrętu.

* * *

Minęła noc. Agata i Delia spały w swym namiocie. I marynarze ułożyli się do snu. Tylko Jussuf nie opuścił swego stanowiska przy sterze. Pełen trosk — jak niegdyś Kolumb, kiedy po raz pierwszy żeglował do Ameryki po niezmierzonym oceanie — rozmyślał nad swoim losem i losem swych towarzyszy.

Gdzie ląd, do którego może dobiją i co to za kraj? to pytanie na które nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Na niebie posuwały się księżyc i gwiazdy. Kierował łodzią w ich kierunku, bo tam na zachodzie dobije może — za dzień, dwa — do lądu, do wielkiej Afryki.

Wreszcie opadło go znużenie. Zasnął. Zbudziło go dopiero słońce. Szybko rozglądał się.

Nic dokoła — tylko wody i firmament. I żeglarze nie spali więcej. Wierzyli przyrzeczeniu Jussufa, że dzisiaj dobiją do upragnionego lądu. A morze było spokojne i fale łagodne muskały łódź. Ta okoliczność dodawała im otuchy.

Ale Jussuf wiedział, że ludzi tych opadnie strach, rozpacz i niecierpliwość, jeżeli minie i ten dzień i może jeszcze jeden — a cel będzie jeszcze daleki.

Z trwogą myślał o tem, udawał jednak pogodę umysłu, rozdzielając jedzenie, składające się z wody i pszennego chleba.

Do południa byli żeglarze spokojni, pełni nadziei. Oczekiwanie rosło z każdą godziną. Napróżno. I znowu minął dzień, zapadł wieczór. Ani lądu ani okrętu nie widać. Załoga straciła odwagę, zaczęła biadać i buntować się.

Jussuf pocieszał ich jak mógł najlepiej. Tak, jutro jutro już z pewnością mieli dobić do lądu.

I z tą nadzieją wszyscy zasnęli. Tylko Jussuf wątpił w swą przepowiednię i z trwogą wyczekiwał dni następnych.

A jeżeli jeszcze z tydzień lub dłużej błądzić muszą po morzu? Cóż będzie, kiedy wyczerpią się środki żywności i woda?

I znowu nastał dzień nowy — trzeci już.

Żeglarze naradzali się. Twarze ich wyrażały rozpacz.

— Gdzie ląd? — zawołali do Jussufa, kiedy się do nich zbliżył. Gdzie? Dokąd nas wieziesz? Popatrz — dookoła nic — tylko wody!

Jussuf starał się ich uspokoić.

— Cierpliwości! — upominał. Ląd już niedaleko.

Lecz nie wierzono mu więcej. Bezgraniczna rozpacz zdjęła tych nieszczęśliwych. Widzieli się straconymi — Jussufowi przypisywali winę. Jeden żądał by pokierował łódź na wschód, drugi na południe inny znowu na północ.

Jussuf zachował zupełny spokój. Nie zwracając uwagi na ich żądania ani wzburzenie marynarzy, płynął dalej w tym samym kierunku na zachód.

I znowu minął dzień trzeci i znowu zapadła noc.

Marynarze siedzieli w ponurem milczeniu. Jussuf musiał ograniczyć porcye. Jeszcze dwa dni, a nie będzie ani kropli wody.

Wzburzenie wzrosło, gdy im wydzielono tylko połowę dawnę porcyi wody. Tym razem udało się Agacie zażegnać burzę.

Z brzaskiem piątego dnia zobaczono na firmamencie okręt, jak się zdawało parowiec.

Wszystkich zdjęła radość, sądzili że pomoc niedaleka. Rzucili się ku wiosłom, łódź pomknęła jak ptak w stronę okrętu. Po upływie dwu godzin rozeznano okręt dokładnie. Podwojono pospiech — nikt nie ociągał się w pracy.

— Dajmy okrętowi znak — radziła Agata. Muszą nas nareszcie zauważyć.

Na maszcie wywieszono czerwoną chorągiew. Wszyscy śledzili okręt w naprężeniu. Czy tam zauważą chorągiew?

Tymczasem zbliżono się wprawdzie jeszcze więcej, mimo to odległość była kilkumilowa. Okręt nie dawał znaku. Płynął w kierunku, który go coraz bardziej oddalał od łodzi.

Nareszcie okręt zniknął.

I znowu ogarnęła nieszczęśliwych niewymowna rozpacz. Porzucili wiosła, krzycząc i biadając. Potem chcieli podążyć za okrętem, który przecież poprowadzi ich do przystani. Temu sprzeciwił się Jussuf. Nie widziano przecież, dokąd okręt płynie. Żeglarze nie słuchali, a ich postawa stawała się coraz groźniejszą.

— Chcesz nas zgubić! — wołali. Nawrócić, nawrócić! Nie płyniemy dalej!

Zdawało się, że rozpacz i strach śmiertelny odebrały im zmysły.

— Głupcy!— zawołał Jussuf. Chcecie nawrócić? Dokąd? Za nami leży tylko nieskończone morze, a przed nami ląd zbawienny.

Rozpaczliwy śmiech szyderczy był odpowiedzią.

— Ląd? Gdzie jest ten ląd? — wołali. Pokaż — pokaż.

Nie zważali więcej na prośby i zaklęcia Agaty.

— Strąćmy go w morze! — zawołał jeden. On nas zgubi.

— Tak — w morze! jeżeli nie spełni naszej woli! — odpowiedzieli inni chórem.

I groźnie podnieśli wiosła, błysnęły sztylety. Łódź kołysała się poważnie po morzu wskutek gwałtownych ich ruchów. Lecz oni — szaleni — nie zwracali na to uwagi, krocząc ku Jussufowi, który spokojnie siedział u steru.

Nagle zerwał się, trzymając w prawej ręce szablę w lewej pistolet.

— Precz! — zawołał. Szaleni! kto się jeszcze o krok zbliży — zginie!

Ta groźba i widok szabli i pistoletu podnieciły jeszcze ich wściekłość. Pierwszy z nich podniósł wiosło — padł strzał, śmiertelnie raniony runął w morze

Jussuf zmierzył pistolet ku drugiemu. Wtedy dopiero cofnęli się. Wprawdzie burzyli się i nadal, lecz na razie nie mieli odwagi ponowić ataku. Ale ich złowrogie spojrzenia i złorzeczenia nie wróżyły nic dobrego. Należało się spo-

dziewać, że w nocy podstępem spróbują osiągnąć swój cel.

Jussuf postanowił więc czuwać. Jeszcze nie zapadł wieczór, kiedy żeglarze na nowo rozpoczęli bunt. Zażądali wody. Milcząco wskazał Jussuf na małą resztę wody w beczce. W namiocie Agaty atoli przechował Jussuf na wszelki wypadek pewną ilość wody.

Żeglarze porwali beczkę. Każdy myślał tylko o sobie, jeden chciał ją wydrzeć drugiemu, by zwilżyć swe spalone usta.

Olbrzymio zbudowany majtek dostał beczkę. W tej samej chwil reszta rzuciła go na ziemię. Lecz on beczki nie puścił. Pił, leżąc na kolanach. Nie zważał na silne uderzenia które spadały ze wszystkich stron. Nareszcie wydarli mu inni beczkę. Lecz niebyło w niej ani kropli. Rzucono się na niego ze strasznym okrzykiem wściekłości. W jednej chwili leżeli na ziemi. Błysnęły sztylety. Łodzi groziło wskutek silnych wstrząśnie zatonięcie.

Okrzyk zgrozy wydarł się z piersi przerażonych kobiet. Jussuf rzucił się na nich, by ich rozłączyć. Lecz za późno. Olbrzym leżał w kałuży krwi, z kilkoma ranami sztyletowemi, bez ruchu. Podczas szamotania się pozbawił życia dwóch przeciwników. Dwaj pozostali krwawili z licznych ran. Jussuf chciał ich dobić, lecz przeszkodziła temu Agata.

Trupy wrzucono w morze. Wrócił spokój. Dwaj majtkowie pozostali przy życiu, nie stawiali oporu.

Lecz co przyniesie noc? Ani Jussuf, ani Agata nie mogli być pewni życia w towarzystwie tych szalonych żeglarzy, opanowanych teraz tylko myślą zemsty.

A lądu ani śladu widać nie było. Zapas wody wyczerpał się i ten, który był w namiocie Agaty. Starczył on zaledwie na jednorazowe zaspokojenie pragnienia.

Jeżeli i następny dzień nie przyniesie ratunku — natenczas zguba jest ich nieunikniona.

ROZDZIAŁ 97.

ZWYCIĘSTWO.

Minister stanął na widok Sinobrodego zdziwiony na progu. Już drugi raz zastał u Waleryi tego niesympatycznego człowieka. Zmieszanie ich nie uszło jego uwagi. Co tu zaszło?

Twarz jego sposępniała. Rzekł wyniośle:

— A, pani ma wizytę. — Nie chcę przeszkadzać.

Skłonił się lekko i chciał się oddalić, lecz Walerya szybko zyskała równowagę. Zbliżyła się do niego i ujęła jego rękę.

— Zostań pan, Edmundzie! Zaklinam cię! — zawoła. Dzięki Bogu, żeś właśnie teraz przyszedł. Uwalniasz mię od tego nieznośnego człowieka — dodała szeptem.

I nie czekając na odpowiedź, pociągnęła go za sobą do pokoju. Potem zwróciła się do Sinobrodego i rzekła tonem chłodnym:

— Żałuję raz jeszcze, panie hrabio, ale wizyt pana przyjąć nie mogę. Zrozumie pan to chyba potem co teraz tu zaszło.

Sinobrody pojął natychmiast komedyę, skłonił się głęboko i rzekł uprzejmie:

— Tak, pani! Żegnam zatem.

Skłonił się z uszanowaniem i ministrowi, który go jednak ignorował i oddalił się.

Walerya odetchnęła swobodnie. Bała się nieprzyjemnej scysyi. Teraz należało opowiedzieć Edmundowi jakąś bajeczkę. Równocześnie bała się. Nie wiedziała, po co on przyszedł. Czy, żeby ją pociągnąć do odpowiedzialności? Wie już zatem o jej zbrodniach.

Przez chwilę panowało milczenie. Nagle Walerya wybuchnęła płaczem:

— O Boże! ten straszny człowiek! Jak ja się bałam. Edmundzie — ocaliłeś mnie.

Jej zachowanie zdziwiło go. Patrzał na nią nie wiedząc co to znaczy.

— Co się stało? — zawołał wzburzony. Przyjęłaś pani hrabiego Wildenfels, chociaż — jak mi pani mówiłaś — dawno go odprawiłaś. Czy hrabia obraził panią? Mów pani! czego chciał?

— Ach! — biadała Walerya, ocierając łzy. Powtórzył swe zamiary względem mnie. To straszny człowiek — drżałam — jego spojrzenie było złowrogie...

— Po cóż go pani wogóle przyjęła? — przerwał hrabia Edmund niechętnie

— Nie chciałam, ale on wszedł natychmiast za służącym. A wtedy nie miałam odwagi ani siły, by mu wskazać drzwi.

— To zuchwałość! — zawołał hrabia. Człowiek ten nie ma żadnego taktu. — Więc na seryo zaproponował pani ponownie, byś została jego żoną?

— Tak! rzekła Walerya wzdrygając się.

— Jak mógł to uczynić? Przecież jego żona jeszcze żyje! — zawołał hrabia oburzony. Sam przynajmniej tak twierdzi.

— On oświadczył mi, że jego żona Gertruda jest umysłowo chorą. Chce on wziąć rozwód w nadziei że z mnie zdobędzie.

— Co mu pani odpowiedziała?

— To co dawniej, mianowicie: stanowczo

nie, nigdy! Zdawało się, że się czuje nieszczęśliwym. Zaczął tak nalegać, żem doznała niemałej trwogi. Słyszałam przecież o nim straszne rzeczy. Zapewniał wprawdzie, że to wszystko oszczerstwo, mimo to...

— Niejedna z tych strasznych wieści o nim zdaje się być prawdziwą — rzekł hrabia poważnie. Trwoga pani przed tym człowiekiem nie jest bezpodstawną. Sąd zajmuje się już jego tajemnicami.

— Wielki Boże! — zawołała. O tem nie wiedziałam. Jak szczęśliwą jestem, że mu dałam należytą odprawę.

Zbliżyła się do posępnego Edmunda, ujęła jego dłonie i rzekła:

— Lecz nie mówmy o tem, kochany Edmundzie. Jakże się cieszę, żeś pan przyszedł. Czy może w szczególnej sprawie?

Trwożliwie patrzała na niego. On zaprowadził ją do krzesła i usiadł sam naprzeciw. Jego zachowanie było dziwne, zdawało się, jakby walczył ze sobą.

— Mówże pan więc, kochany Edmundzie! — rzekła Walerya uśmiechając się zalotnie. Dziwny dzisiaj jesteś — poważny. Czy gniewasz się na mnie?

Zaprzeczył temu i rzekł:

— I znowu wykonano zamach morderczy na komisarza Wintera. Komisarz Greif doniósł mi o tem. Tym razem była zbrodniarką kobieta, która przybrała maskę Siostry miłosierdzia.

Walerya udała zdziwioną i oburzoną.

— Mój Boże! — zawołała. Znowu zamach na tego nieszczęśliwego człowieka? To straszne! Kto to ta zbrodniarka! Czy ujęto ją?

— Niestety, nie! — odpowiedział posępnie i skierował na nią dziwne badawcze spojrzenie. — Ale komisarz Greif ma nadzieję odszukać ją!

— A, czy ma pewne dane?

— Tak! rozmaite okoliczności zwróciły podejrzenie w pewnym kierunku. Jest rzeczą oczywistą, że wszystkie zamachy wyszły od jednej osoby. Napad pierwszy i drugi wykonał Piotr, służący hr. Sinobrodego.

— Czy możliwe?! Przecież ten człowiek nie żyje? — przerwała Walerya szybko.

Jej tajona trwoga rosła. A hr. Edmund coraz dziwniej się w nią wpatrywał. Zdawało jej się, że on o wszystkiem wie.

— Piotr żyje! —rzekł hrabia po krótkiej pauzie. Poznał go sam Winter i Katynka Gerhard. Kto tego nędznika do zbrodni namówił — nie ulega wątpliwości. Nikt inny tylko hrabia Sinobrody! Co się zaś tyczy ostatniego zamachu, jest rzeczą pewną, że kobieta, która go wykonała, stoi w zmowie z Sinobrodym. Komisarz Greif ma — jak to już zaznaczyłem — pewne podejrzenia.

— Przeciw komu? — spytała Walerya, nie mogąc więcej opanować swej trwogi.

Hrabia Edmund wzruszył ramionami i odpowiedział niechętnie.

— Tego mi komisarz Greif nie powiedział. Jego wzmianki jednak pozwoliły mi wiele rzeczy odgadnąć. Nadto skradziono komisarzowi Winterowi ważne papiery. Między nimi list Agaty do mnie!

Hrabia wstał i zmierzył pokój szybkiemi krokami. Drżał silnie. I Walerya wstała i oparła się o poręcz krzesła. Patrzała na hrabiego pełna trwogi.

— List od Agaty? — rzekła bezdźwięcznie

— Tak! — brzmiała ostra odpowiedź i hrabia Edmund stanął przed nią, wpatrując się w nią przeszywającym wzrokiem.

— Powiedz mi pani prawdę! Wiedziała pani o tym liście?

— Ja? — Boże mój!—Nie rozumiem pana, kochany Edmundzie!

— List ten skradła fałszywa siostra miłosierdzia. Winter stwierdził, że list ten był niegdyś w posiadaniu pani. Możesz temu zaprzeczyć?

Głos jego brzmiał groźnie, wzrok był ponury i surowy. Walerya szybko zrozumiał. że należy się bronić i rozpruszyć jego podejrzenia.

— Mój Boże! Edmundzie! jakim tonem pan pytasz? — rzekła udając obrażoną.

— Proszę! odpowiedz pani na me pytanie! — rzekł niecierpliwie.

— Mogę panu tylko oświadczyć, że nie mam o niczem pojęcia, odrzekła pewnym tonem. Miałam listy Agaty — z dawnych czasów. Spaliłam je już dawno. Możliwe, że jeden z tych listów zaginął. Nie pojmuję jednak w jaki sposób mógł on się dostać w posiadanie Wintera.

Jej spokój i słowa nie minęły bez wrażenia. Rzekł mniej szorstko:

— Nie wiem tego! Nie znam też treści listu. Komisarz Greif nic mi o tem nie mógł powiedzieć.

Walerya śmiała się szyderczo.

— No — a co ja mam wspólnego ze zniknięciem listu! — zawołała oburzona. Czy może komisarz Greif mnie podejrzywa, że grałam rolę owej Siostry Miłosierdzia?

— Tego nie twierdził, atoli.

—O! a może pan tak sądzi? — przerwała Walerya. Edmundzie, widzisz pan we mnie zbrodniarkę?

Stała przed nim wyniośle. Oczy jej błyszczały, pierś falowała, a usta drżały nerwowo. Była czarującą i Edmund nie mógł oprzeć się urokowi tej kobiety. Nie wiedział przecież nic pewnego, sam nie wierzył w jej winę. Greif z ostrożności nie zdradził mu wszystkiego.

— Waleryo, uspokój się pani! — rzekł spokojnie. Gdybym posądzał panią o taką zbrodnię, nie przeszedłbym tutaj. Cała sprawa jest zagadką. Bo komuż — prócz pani — mogło zależeć na liście Agaty?

— Więc mnie pan przecież posądza? — zawołała Walerya. Tak, jest pan przekonany o mej winie. Osądziłeś mnie już w swem sercu. O mój Boże!

Zalała się łzami i łamała ręce.

Wierzysz pan podejrzeniom, zamiast niemi gardzić. O, Edmundzie, że tak źle o mnie myślisz — to mnie boli!

Płakała tak, jakby jej wyrządzono największą krzywdę. A hr. Edmund był zanadto uczciwym, by jej nie wierzyć. Myślał, że prawdziwe są jej łzy i jej ból; wzruszyły go. Żałował już swych szorstkich słów.

Proszę Waleryo, nie płacz pani więcej! — rzekł łagodnie. Powtarzam iż żadnego nie mam podejrzenia przeciw pani. Wyjdzie na jaw, kto winny. Skoro mi pani powiedziałaś, że z całą aferą nie masz nic wspólnego — jestem spokojony!

— O nie! — łkała Walerya. Nie mówiłbyś pan w ten sposób, gdybyś naprawdę nie wierzył w oskarżenie komisarza Greifa. I teraz jeszcze uważa mnie pan w duszy za winną.

— Nie, nie! Waleryo, zaklinam panią. Wyrządziłem pani krzywdę. Przebacz mi! — zawołał.

Ujął jej ręce i przepraszał ją.

Ale Walerya nie mogła się uspokoić. Płakała rzewnie, tak że Edmund coraz bardziej żałował tego, co uczynił.

Nareszcie uspokoiła się nieco. Otarła łzy. Troskliwie wpatrywał się w nią hrabia, w jej bladą, smutną twarz, i rzekł:

— Nieprawda, Waleryo — pani się więcej nie gniewa?

Na nowo wybuchnęła płaczem.

— Gdyby ów pan Greif wystąpił i w oczy mnie oskarżył — pogarda byłaby dlań odpowiedzią — rzekła. Nigdy jednak nie przypuszczałam że to pan właśnie mógłbyś uwierzyć w podobne oskarżenie. Ja miałabym być, zdolna do takiej zbrodni?

— W to przecież nie wierzę!

— Wierzysz! Wyraźnie to powiedziałeś!

Hrabia znużony całą tą sceną, nie odpowiadał.

Przypuszczał pan zatem — mówiła Walerya, że albo najęta przezemnie osoba list ów zabrała i spróbowała zabić Wintera? Ależ kochany Edmundzie, dlaczegobym nastawała na życie człowieka, który tyle dla nas uczynił? Co by mi zależało na owym liście. Zresztą w historyę o liście wcale nie wierzę. List ten z pewnością nie istnieje!

—I owszem! Katynka Gerhard miała go w rękach, jak mi Greif doniósł.

— A! — machnęła Walerya ręką. Twierdzenie tego dziewczęcia nie jest miarodajne. A co Winter sam oświadczył — to fantazye gorączkującego chorego — nadto nic!

— I ja nie kładę zbytniej wagi na zeznania Wintera w obecnym jego stanie — potwierdził hrabia. — Lecz nie mówmy o tem więcej. Komisarz Greif prowadzi śledztwo. Przy jego więc pomocy winny nie ujdzie sprawiedliwości.

Walerya wracała jednak ciągle do tego tematu. Dopiero, gdy się upewniła, że hrabia wyzbył się wszelkiego podejrzenia— zmieniła swe postępowanie.

Objęła go nagle — oparła głowę o jego ramię i rzekła, uśmiechając się zalotnie:

— Agata nie żyje! — Nie wróci więcej! Co teraz, Edmundzie?

Twarz jego sposępniała.

— Nie mówmy o tem. Rana ledwo się zabliźniła. Nie mogę bez bólu myśleć o umarłej!

— A przecież kochany Edmundzie, musimy o tem mówić. Stosunek nasz nie może pozostać takim, jakim jest obecnie. Pamiętasz, jakie mi to przyrzeczenie dałeś wielokrotnie?

— Tak! — rzekł szybko. Ale, zostaw mi nieco spokoju. Nie mogę Agatę tak prędko zapomnieć.

— Tego nie żądam. Chcę dzielić twój ból i zastąpić ci ją.

Przytuliła się do niego i całowała go namiętnie. Szeptała obłudne zalotne słowa i obudziła w nim tęsknotę za miłością i szczęściem. Udało jej się.

Złożył jej ponowne uroczyste przerzecznie, a ona w nagrodę rzuciła mu się na szyję i całowała w nieskończoność.

— A kiedy ukochany? — spytała. Kiedy się pobierzemy?

— Możliwie najprędzej! Wytłomaczyłem ci już przecież, dlaczego musimy czekać — odpowiedział wymijająco.

— Od tego czasu niejedno się zmieniło — rzekła. Widzisz, na jakie ataki jestem narażo-

na. Przeciwko twej żonie nie waży się nikt wystąpić z podobnym oskarżeniem.

— Tak — masz racyę. Długo czekać nie możesz— przyznał. Jednak trzy miesiące zatrzymać się musisz.

— Cały kwartał? — zawołała niechętnie. O, Edmundzie! To mi dowodzi, że mnie nie kochasz.

Milczał, znużony tą długą sprzeczką.

— Powiedzmy: ośm tygodni. To spory przeciąg czasu — mówiła Walerya dalej. Co ukochany, zgadzasz się?

— Tak! — rzekł nareszcie.

Walerya tryumfowała. Całowała go namiętnie. Oczy jej błyszczały pożądliwie. Oszołomiony rzucił się z nią hrabia Edmund na otomanę.

Kiedy po godzinie opuszczał zamek, patrzała za nim Walerya przez okno.

Teraz jest moim! — zawołała. Za dwa miesiące będę jego żoną.

— Gratuluję ci serdecznie! — odezwał się nagle jakiś głos, a kiedy przestraszona odwróciła się, spostrzegła swego brata Sinobrodego.

— Ty jeszcze tu? — rzekła niechętnie.

— Byłem ciekaw, co tu zajdzie. Czekałem w twej sypialni i podsłuchałem waszą rozmowę. Oszczędzam ci wyjaśnień.

— Między nami wszystko omówione — rzekła Walerya, niezadowolona, że brat jej był świadkiem jej rozmowy z Edmundem. Jedziesz więc do Paryża i postąpisz tam tak, jak postanowiliśmy.

— Chciałbym jeszcze porozumieć się z Piotrem. Może go każesz zawołać.

Walerya zadzwoniła i kazała zawołać Piotra, który przebywał w zamku jako nowy przyjęty człowiek.

Przyszedł, wspaniale przebrany — nie do poznania wskutek brody i ciemnych okularów. W trójkę naradzali się nad planem Waleryi. Z konieczności miał Piotr wyjechać za swym panem do Paryża. Walerya zwróciła uwagę na niebezpieczeństwo, grożące im od następcy Wintera, komisarza Greifa.

— On niebezpieczniejszy niż Winter, którego nie mamy się już czego obawiać — rzekła. Greif zna już wiele naszych tajemnic i chce nas wszystkich zgubić.

— Niech uważa na siebie! — rzekł Sinobrody. Gdyby tak pojechał za mną do Paryża nie wróci stamtąd więcej.

— Albo ja się tu z nim załatwię! — zgrzytnął Piotr.

— Tylko ostrożnie! — upominała Walerya.

— Pewnie! — potwierdził Sinobrody. Jeżeli plan się uda i wrócę z Paryża z nową hrabiną Wildenfels — wtedy nie mam najmniejszego powodu bać się tego komisarza.

— O, zażądają wtedy, byś i teścia sprowadził — rzekła Walerya szyderczo.

—Teścia? — zaśmiał się Sinobrody. A mnie co do tego? Skąd ja mam wiedzieć, co się z nim stało?

— Nie należy tego lekceważyć — upominała Walerya. Ten komisarz Greif nie spocznie póki sprawy nie zbada. Będzie szukał i za Piotrem i śledził sprawy na zamku Wildenfels. Czy jesteś pewnym, że tam nic nie znajdzie, coby cię mogło zgubić?

Hm! Do grobowca się nie dostanie — rzekł Sinobrody posępnie. Droga zamknięta. Stary hrabia też nie żyje...

— A może wróg ten powstanie pewnego pięknego dnia?

— Nie! On nie żyje! Znalazł śmierć w lesie.

— Czy to pewne? Nie ocalił się?

— Nie! — rzekł Sinobrody stanowczo. Gdybym tylko wiedział, gdzie są jego skarby! Piotrze, należałoby poszukać jeszcze raz w młynie.

Ten oświadczył swą gotowość.

Z Sinobrodym oddalił się i Piotr. Nie czuł się bezpiecznym na zamku Waleryi. Na zamku Wildenfels natomiast było sto kryjówek. Wolał więc tu się ukrywać.

— Jeżeli komisarz Greif zjawi się na zamku, — rzekł do swego pana, potrafimy go już usunąć.

Wieczorem był Sinobrody w rezydencyi. Stąd chciał wybrać się w drogę do Paryża. Nie przypuszczał, że każdy jego krok śledzą tajni agenci, Günter i Brand.

ROZDZIAŁ 98.

Spotkanie.

Oddział dwudziestu Burów na koniach posuwał się zwolna przez pole walki wśród zmroku wieczornego.

Pole walki było pokryte trupami. Anglicy, którzy chcieli przekroczyć rzekę Tulegę, zostali odparci i ponieśli znaczne straty.

Jeźdzcy byli znużeni, bo od wczesnego ranka nie zsiedli z konia. Powietrze przesiąknięte było zapachem prochu i krwi. Od czasu do czasu padał jeszcze pojedyńczy strzał.

Całemi godzinami pędzili jeźdzcy. Nagle

w jasnem świetle księżyca wynurzyła się przed nimi osada Zakwaterowany tu był oddział wojska angielskiego, który kilkuset Burów starał się z osady wyprzeć.

Jeźdzcy zatrzymali się i zsiedli z koni. Między nimi był i farmer. Zaprowadził swój oddział przez ogród aż pod dom.

Niedługo wpadli Burowie na werandę. Wyparli przerażonych Anglików z pokoi, teraz rzucili się na nich Burowie z zewnątrz i silny ich ogień zmusił Anglików do ucieczki.

Trupy i ranni zasłali podwórze i otoczenie domu. Byli to głównie Anglicy, bo Burowie nie wielu ludzi stracili. Wnet nadciągnęli inni Burowie, także oddział sanitarny z lekarzami i pielęgnującymi chorych.

Były tu i Gertruda i Józefa, zajęte jednak tak bardzo rannymi, których ułożono na łóżkach w jadalni, że zaledwie mogły przywitać się ze swoim przyjacielem.

Właśnie przyniesiono oficera, któremu kula przeszyła pierś. Za rannym szedł farmer. Zbliżył się do swych przyjaciółek i rzekł, wskazując na oficera:

— To kapitan Harris, uwodziciel mej żony Znalazłem go. Umiera!

— A żona pana? — spytała Józefa. Czy jej tu nie ma?

Farmer spospępniał.

— Dotychczas daremnie za nią szukałem — odpowiedział. Prawdopodobnie uciekła.

W międzyczasie zbadał lekarz rannego oficera. Zawołał Józefę, z którą zbliżył się i farmer.

— Oficera tego nie można więcej ocalić — szepnął lekarz. Staraj się pani ukoić jego cierpienia.

Zwrócił się ku innym chorym. Józefa zwilżyła wodą usta konającego.

Otworzył oczy i wpatrywał się w nią zdziwiony. Poznał Józefę i farmera.

Zakrzątnęli się koło umierającego. Farmer przyniósł flaszkę wina. Józefa wlała kilka kropel w usta kapitana Harrisa. Ujął jej rękę i wyszeptał z trudem, patrząc na farmera:

— Przebacz mi pan.

— Nie żywię, gniewu do pana, kapitanie Harris! — odpowiedział farmer i uścisnął jego rękę. Moja żona więcej winna, niż pan. Powiedz mi — jeżeli wiesz co się z nią stało?

— Dzisiaj zrana opuściła osadę — odpowiedział kapitan słabym głosem.

A po chwili dodał:

— Ale agent Baldi pewnie tu jeszcze jest!

— Ha! ten łotr?! — zawołał farmer. Więc udało mu się uciec? Znajdę ja go!

Chciał się oddalić, lecz Józefa zatrzymała go.

— Pewnie już dawno uciekł! — rzekła. Gdyby tu był, nasi by go ujęli.

Farmer uznał, że Józefa ma racyę i został.

Józefa nachyliła się nad konającym i spytała:

— Wie pan pewnie, że pojmamy kapitan Burów Brandenfeld jest moim bratem Czy może mi pan powiedzieć, gdzie on teraz?

— Wieczorem był tu jeszcze — wykrztusił kapitan Harris. Zabrało go pewnie nasze uciekające wojsko.

— W takim razie mamy nadzieję, że go uwolnimy, — zawołał farmer. Nieprzyjaciela ścigają nasi. Może więc już uwolnili brata pani. Natychmiast zasięgnę informacyi.

Tym razem Józefa go nie zatrzymała. Ledwo oddalił się farmer, wyzionął kapitan Harris ducha. Józefa — do głębi wzruszona — przymknęła mu oczy.

Tymczasem odszukał farmer na podwórzu więźniów angielskich i wypytywał ich, przy którym odziale znajdował się brat Józefy. Nikt mu nie mógł dać dokładnej informacyi Szybko się zdecydował, dosiadł konia i popędził w kierunku, w którym uciekli nieprzyjaciele.

Wnet spotkał oddział Burów, którzy również ścigali nieprzyjaciela. Połączył się z nimi i oznajmił im swój zamiar. Wszyscy oświadczyli gotowość wraz z nim szukać za kapitanem Brandenfeld. Oddział utworzył długą linię, by przeszukać możliwie najdłuższą przestrzeń.

Przybyli w górzystą okolicę, gdzie farmer stracił z oczu swych towarzyszy. On pędził dalej i nagle niedaleko zobaczył oddział jeźdzców. Byli to Anglicy.

Ostrożnie zbliżał się ku nim z tyłu. Droga prowadziła między lesistymi pagórkami, które stromo wznosiły się po obu stronach, tak że go Anglicy widzieć nie mogli. Gdyby go odkryli, byłby straconym.

Wnet zbliżył się ku nim odważny farmer na taką odległość, że mógł przeglądnąć cały oddział. Znajdował się tu i jeździec, którego ubranie wskazywało na to, że jest Burem. Lecz nie wyglądał on na brata Józefy. Wesoło rozmawiał on też z żołnierzami — nie jak więzień. Osadnik poznał go — był to agent Baldi.

Już podniósł strzelbę. Lecz rozmyślił się, byłby to szalony krok, lecz agent nie ujdzie mu. Przedewszystkiem jednak postanowił się przekonać, czy w oddziale tym jest i brat Józefy.

Spostrzegł z boku wązką ścieżkę, która prowadziła na górzysty pagórek. Stamtąd

mógłby dokładnie widzieć cały oddział jeźdźców angiel., którzy posuwali się parami w długiej linii. Prędko się zdecydował, zsiadł z konia i począł wspinać się w górę po tej ścieżce, prowadząc konia za cugle.

Na górze dosiadł znowu konia i pędził wzdłuż pagórków. Dołem ciągnęli jeźdźcy Angielscy. Odważnego farmera nie mogli spostrzedz, bo chroniły go skały, drzewa i zarośla.

Niezadługo spotkał farmer 2 swoich przyjaciół, którzy wraz z nim szukali brata Józefy. Wskazał im jeźdźców w dole i dodał, że między nimi jest agent Baldi.

Burowie znali lepiej tę okolicę, niż farmer. Pędzili razem szybko w kierunku, w którym posuwali się jeźdźcy angielscy. Pagórki były strome, dzikie, tak że podziwiać należało odwagę tych ludzi. Tu im wszędzie śmierć groziła.

Nareszcie zatrzymali się, zsiedli z koni i poprowadzili je z góry w dół.

Wąwóz tu był dziki, romantyczny. Wysoko wznosiły się skały i zamykały wąwóz na szerokość kilka metrów, tworząc na największem miejscu bramę, której sklepienie tworzyły potężne skały.

Tu przykucnęli Burowie, z bronią w ręku, gotowi do ataku. Nad nimi brama była tak niską, że jeździec mógł się przecisnąć tylko jeżeli zsiadł z konia.

Plan tych 3 Burów był prosty. Jeźdźcy angielscy musieli przejść przez tę bramę. Chcieli więc oni przepuścić cały oddział, z wyjątkiem ostatnich 4 ludzi i agenta, którzy zamykali pochód. Tych chcieli wziąść w niewolę. A że dobry strzelec mógł łatwo obronić tę bramę przed kilkakrotną przemocą — nie obawiali się więc reszty jeźdźców, którzy zresztą z tamtej strony bramy odcięci będą od swych towarzyszy.

Wnet zbliżyli się jeźdźcy angielscy, nie przeczuwając nic złego. Przed bramą dowódca kazał się im zatrzymać i naradzał się z nimi. Nie wiedzieli bowiem, gdzie się znajdują.

Po pewnem wahaniu zsiedli z koni i prowadzili je przez bramę skalistą. Burowie leżeli cicho w swej kryjówce. Stamtej strony bramy jeźdźcy znowu wsiedli na swe konie i ruszyli dalej.

Już większa część przeszła przez bramę. Zbliżała się chwila działania. Wtem z piersi farmera wydarł się okrzyk zdziwienia. Wśród jeńców angielskich poznał brata Józefy, w mundurze oficera burskiego. Przed i za nim siedzieli na koniu 2 żołnierze angielscy z najeżonymi bagnetami; dalej agent Baldi, a na końcu jeszcze czterech jeźdźców.

— Teraz uważać! — szepnął farmer do swych towarzyszy. Wycelujcie do żołnierzy strzegących więźnia, ja wymierzę w konia agenta, by nam ten łotr nie uciekł.

Za chwilę rozległ się rozkaz farmera.

— Ognia!

Padły strzały. Runęli 2 żołnierze, runął koń agenta Baldi.

— Poddajcie się! broń! — zawołał farmer donośnym głosem.

— Burowie! — zawołali 4 jeźdźcy za Baldim.

I nie myśląc wcale o oporze w przekonaniu że są osaczeni znaczną liczbą nieprzyjaciół, złożyli broń i zsiedli z konia.

Prędko zbliżył się farmer ku Baldiemu, który się tymczasem podniósł i chciał uciekać. Ze zręcznością kota wspinał się już po stromym pagórku. Farmer skierował ku niemu strzelbę i zawołał groźnie:

— Stój łotrze! Zejdź, bo ubiję cię jak psa!

Baldi dostał się na wystającą skałę i rozglądnął się. Teraz poznał farmera w świetle księżyca; zobaczył skierowaną ku sobie strzelbę.

Zaklął przeraźliwie. Prędko wyciągnął rewolwer i zmierzył w stronę farmera i wypalił. Wtej samej jednak chwili wypalił i farmer. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Baldi stracił równowagę i runął w dół ze skały. Kula farmera przeszyła mu serce. Z pogardą odwrócił się od niego farmer i podążył na pomoc swym towarzyszom, którem groziło poważne niebezpieczeństwo.

Żołnierze poznawszy swoją pomyłkę gotowi byli do walki Pierwsze strzały zwróciły uwagę także ich towarzyszom, którzy się już znajdowali za bramą skalistą. Natychmiast na wrócili by się przedostać przez bramę. Tu zajął stanowisko jeden z Burów; jego zadaniem było nie przepuścić wroga. Pierwszy Anglik, który się zjawił u wejścia runął — trafiony kulą Bura. Padał strzał za strzałem. Przemoc angielska nie potrafiła wyprzeć Bura z zajętego przezeń stanowiska.

Drugi Bur przystąpił do brata Józefy, którego napad ten przeraził podobnie jak i Anglików i rzekł doń:

Kapitanie Brandenfeld, jesteś wolnym. Pomóż nam przeciw tym tu! Lecz kapitan wskazał na swe obandażowane jeszcze ramię. Wziął tylko podany mu rewolwer w zdrową rękę dla osobistej obrony.

Zagrożonemu swemu towarzyszowi pospieszył farmer z pomocą. 4 żołnierze angielscy poczęli teraz ostrzeliwać ich. Lecz ich kule chybiały celu. Niedługo dwóch z nich padło od

strzał Burów, a pozostali dwaj poddali się nareszcie.

Wnet zbliżyli się nowi jeźdzcy. Farmer, sądząc, że to nieprzyjaciele, skierował ku nim strzelbę; poznał jednak ku swej radości, że to Burowie. Przybyli osadzili bramę skalistą. Farmer ze swymi towarzyszami i z bratem Józefy gotowali się do drogi. Zabrali także zdobyte konie i zwolna posuwali się do osady, dokąd przyszli nad ranem.

Radość Józefy nie znała granic. Całowała i ściskała swego brata. I Gertruda pozdrowiła serdecznie brata swej przyjaciółki.

Pytaniom i opowiadaniu nie było końca. A kiedy kapitan Brandenfeld dowiedział się co farmer uczynił był dla nieszczęśliwych kobiet, uściskał go serdecznie i chwila ta zawiązała między nimi blizki stosunek przyjacielski.

Z niewymowną trwogą słuchał kapitan opowiadania Gertrudy i swej siostry o ich losach, jakie im zgotował hr. Sinobrody.

— Wróćmy do ojczyzny! — rzekł stanowczo. Łotra tego pociągnę do odpowiedzialności. Chciałem to uczynić już wtedy, kiedy po weselu nie miałem od ciebie żadnego znaku życia.

— Na razie jednak zauważyła Gertruda — nie możemy myśleć o powrocie. Przed ukończeniem tej wojny nie ma o tem mowy.

— Nie, wybierzemy się w drogę! — zadecydowała Józefa. Nic nas teraz nie wstrzymuje, skoro jesteśmy razem. Pan, kochany przyjacielu —tu zwróciła się do farmera — nie opuścisz nas chyba! Odprowadzisz nas do naszej ojczyzny!

— Z całego serca! —rzekł farmer uradowany. Ale czy pan chcesz opuścić służbę przed ukończeniem wojny, kapitanie Brandenfeld?

Muszę! — odpowiedział z westchnieniem. Lekarz, który zbadał me ramię, powiedział, że nie mogę więcej brać udziału w walce. Nie mam tu więc w Afryce co do roboty. Wybierzemy się w drogę, skoro tylko moja rana na to pozwoli.

— Co za straszna niespodzianka dla Sinobrodego, który nas uważa za umarłe, gdy pewnego dnia staniemy przed nim! — zawołała Józefa. Wtedy, Gertrudo, wybiła godzina zapłaty dla tego nędznika i mordercy.

ROZDZIAŁ 99.

W grobowcu.

Z trwogą wpatrywał się Ludwik Hecht w zbliżającego się. Czy to stary hrabia, czy też inny nieprzyjaciel, posuwa się tak ostrożnie. Co to znaczy?

— Ludwiku—pst! — szepnął nagle dobrze mu znany głos.

— Kulas! — Boże! — Człowieku, ty to? — zawołał Hecht zdziwiony.

— Ta pewnie, że ja! Lecz cicho, bo sobie sprowadzimy na kark starego i portyera.

Nachylił się nad swym towarzyszem, domacał się w ciemności jego rąk—nożem przeciął sznury. Ludwik zerwał się upojony radością.

— Kulasie, na Boga! Tej przysługi ci nie zapomnę — zepewniał. Ale skąd przychodzisz? Skąd wiedziałeś, że mnie tu zamknęli?

— Później się dowiesz! A teraz — precz stąd! — upominał Kulas.

— Do dyabła! I my mamy tak odejść z gołemi rękoma? — zgrzytnął Ludwik. Trud nasz miałby być daremny?

— Bądź zadowolonym, że wychodzisz cało — zawołał Kulas. I razem z Ludwikiem posuwał się do kuchni, którędy weszli byli kilka godzin przedtem.

Tu Ludwik wstrzymał swego towarzysza i rzekł:

— Słuchaj! należałoby przecież jeszcze raz spróbować, czy się nie uda zabrać staremu skarbów. Ma je tu przecież. Chodź, Kulas! On teraz sam z portyerem.

— Człowieku, czyś zwaryował? Chcesz się narazić na zgubę nieuniknioną? Idź, jeżeli ci życie bagatelą. Ale drugi raz ja cię nie uwolnię.

Stał przy oknie i w następnej chwli przelazł przez nie.

— Idziesz, czy nie? — zawołał niecierpliwie z poza okna.

Ludwik mruknął kilka przekleństw, złorzeczył tchórzostwu swego towarzysza. Musiał jednak zgodzić się i wylazł przez okno.

— Spiesz się! zawołał Kulas. Słyszę kroki w ogrodzie. Policya jest!

Słowo policya miało cudowną moc. Szybko znalazł się Ludwik przy boku swego wspólnika. Uciekali podwórzem ku tylnej stronie ogrodu. Tam przeleźli przez parkan. Byli wolni. Wrócili do miasta i udali się w stronę swej gospody. Nagle zatrzymał się Ludwik i rzekł trwożliwie:

— Nie wolno nam odszukać naszego mieszkania, bo w każdym razie będzie nas policya tam szukać tej jeszcze nocy.

— Myślisz że wiedzą, kto napadł starego hrabiego? — spytał Kulas. Czy cię stary poznał?

— Nie! Mimo to trzeba nam mieć się na o-

strożności. Komisarz Greif mógłby nas odszukać.

— A co poczniemy teraz — po tym nieudałym zamachu? —rzekł Kulas bezradny.

— Narazie naturalnie nic! — odpowiedział Ludwik. Ale nie należy tracić głowy. Dostaniemy przecież na tymczasem pieniądze od mej żony.

— Aha, gdybyśmy je tylko już mieli!

— Bądź spokojny! Dostaniemy je. Tym razem nie oszuka mnie:

— A dokąd teraz pójdziemy?

— Do obcej gospody, a jutro zobaczymy, co się da zrobić. A teraz, przyjacielu mój, powiedz, w jaki sposób udało ci się, ocalić mnie.

— Ukryłem się w domu. Uciekać — nie było sposobu, bo ścigał mnie rybak. Z kryjówki widziałem, jak ciebie zamknęli, potem słyszałem, że się rybak oddalił, otworzyłem więc twoje drzwi wytrychem.

— Tak, tak! Pomogłeś mi w sam czas! A teraz oni dopiero zrobią wielkie oczy, gdy mnie nie znajdą.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Ledwo oddalili się złoczyńcy, kiedy nadszedł Detlew z komisarzem Greifem, w towarzystwie Branda i jeszcze dwóch tajnych agentów.

Stary hrabia opowiedział komisarzowi dokładnie całe zajście, tymczasem Detlew udał się z agentami do komory. Wnet jednąk wrócili i donieśli, że złoczyńca uciekł.

Greif rozpoczął natychmiastową pogoń. Oddalił się ze swoimi ludźmi lecz tymczasem zaginął wszelki ślad Hechta i Kulasa.

Tego samego wieczora wyjechał hrabia Sinobrody. Tym samym pociągiem jechali także w tajemnicy tajny agent Günter i prokuratorzysta Herman. Towarzyszyli mu do Paryża gdzie Sinobrody miał wyszukać sobie kobietę w zastępstwie swej żony Gertrudy.

Już następnego dnia zjawił się Greif z Brandem w domu starego hrabiego. Poszukiwania za zbrodniarzami nie odniosły żadnego rezultatu.

— Hrabia Sinobrody wyjechał — rzekł komisarz. I ja mam zamiar rozpocząć dzisiaj me badania na zamku Wildenfels. Czy pan chce mnie odprowadzić?

— Oczywiście! — oświadczył hrabia Harald Chce się pan dostać do grobowca — nieprawda?

— Tak! Spodziewam się, że poczynię tam ważne odkrycia. Nadto dowiedziałem się, że Piotr jest na zamku. Tym razem nie ujdzie mi on.

Stary hrabia przygotował się do drogi, poczem wszyscy, także Detlew, wsiedli do powozu czekającego pod domem i po upływie trzech godzin przybyli na zamek.

Powóz zajechał na dziedziniec zamkowy. Zjawił się lokaj i spytał zdziwiony, czego przy byli sobie życzą.

— Pan hrabia wyjechał — objaśnił.

— Wiemy! — odpowiedział Greif.

W tej chwili zbliżył się kasztelan Tomasz. Powiedział mu, kim jest i rzekł, wskazując na starego hrabiego:

— Ojcze Tomaszu, znacie tego pana — co?

— Tak, tak! — bełkotał stary, bezgranicznie zdziwiony i wpatrywał się w hrabiego, jakby w ducha. Ach! uważałem go za nieżywego.

— Jak widzisz, dobry Tomaszu, żyję jeszcze! — rzekł hrabia z uśmiechem i podał rękę kasztelanowi. Pójdziemy do twego pokoju, aby tam sprawę omówić.

Greif został z Brandem na podwórzu. Zadał kilka pytań lokajowi, by się dowiedzieć, czy Piotr zjawił się na zamku. Lecz lokaj nie mógł służyć żadnemi wyjaśnieniami.

Teraz Greif udał się do hrabiego i kasztelana, a Brand do komnat, przeznaczonych dla służby.

Tymczasem opowiedział stary hrabia Tomaszowi swe losy. O Piotrze i Tomasz nic nie wiedział, ponadto że żyje, ale w zamku go nie widział.

— A przecież jestem pewny, że on tu jest — rzekł Greif. Musimy go znaleźć. Nim jednak zabierzemy się do poszukiwań, musicie nam powiedzieć, ojcze Tomaszu, co wiecie o tajemnicach Sinobrodego?

— Nic panie, —rzekł kasztelan przestraszony. Pewnie stała się tu niejedna zbrodnia. Ale ja o tem nic powiedzieć nie mogę.

— Ale znaliście chyba hrabinę Gertrude! — zawołał komisarz.

— Tak, widziałem hrabinę...

— Kiedy ostatnim razem?

— Raz ją tylko widziałem, panie! A to zaraz nazajutrz rano po jej powrocie z hrabią Sinobrodym. Potem mówiono, że zachorowała. Sprowadzono także lekarza.

— Co to za lekarz? Wiecie, jak się nazywa?

Tomasz wymienił imię i nazwisko lekarza. Greif zanotował je.

— Spytam lekarza tego o chorobę hrabiny, rzekł. Pewnie i jej służąca da nam pewne objaśnienia. Przesłuchaliśmy ją już wprawdzie

w sądzie, lecz ona wie stanowczo więcej niż powiedziała. Muszę ojcze Tomaszu, sprawę tę dokładnie zbadać, bo zachodzi podejrzenie, że Sinobrody tajemnie sprzątnął swą żonę ze świata.

— Bóg to jeden wie, panie!—rzekł kasztelan. Mówią przecież, że hrabia umieścił swą żonę w sanatoryum. Lecz nikt nic pewnego nie wie. A teraz oświadczył, że sprowadzi do domu swą żonę!

— Ojcze Tomaszu! — badał Greif dalej, znaliście pewnie i hrabinę Józefę. Ii.ona zniknęła w podobnie tajemniczy sposób. Wiecie coś o tem?

Ach, panie! — rzekł smutno stary. Gdybym cośkolwiek wiedział — powiedziałbym to chętnie. Więcej nie milczałbym dotychczas. Ale w tej sprawie nikt nic nie wie. Nasza dobro Krystyna twierdzi wprawdzie, że wie więcej niż inni, lecz jestem pewny, że i u niej to tylko przypuszczenia.

Co stara Krystyna wiedziała, to opowiedział już Greifowi dokładnie Gerhard, przed którym Krystyna nic nie zamilczała.

Greif zdecydował się:

— Wobec tego dostanę się do grobowca, może tam uda mi się rozwiązać tę zagadkę!

Kasztelan krzyknął przerażony:

— Co, panie? Do grobowca?! Na miłość Boską — nie czyń pan tego.

— A dlaczego? — spytał Greif zdziwiony.

— Bo ach panie — czy nie wie pan, że tam duchy harce wyprawiają? Nie wyjdzie pan stamtąd więcej na świat.

Greif roześmiał się i rzekł:

— Nie wiedziałem ojcze Tomaszu, że jesteście zabobonni.

— Zabobon to? — zawołał stary, Spytaj pan, kogo chcesz! Tu stoi Detlew, on potwierdzi, że to prawda.

— Hm! Ja sam i mój ojciec widzieliśmy te upiory na morzu — potwierdził Detlew.

— A przecież ów nieszczęśliwy, który grał moją rolę, był — jak wynika z jego ostatnich zeznań w grobowcu — rzekł stary hrabia i dodał z uśmiechem:

— A ponieważ jemu duchy nic złego nie zrobiły — więc jest nadzieja, że i nas zostawią w spokoju.

— Niech jaśnie pan nie szydzi! — upominał kasztelan. Los hrabiny Józefy powinien być dla nas przestrogą. Krystyna widziała, że hrabina Józefa poszła do wieży i od tego czasu zniknęła. Duchy ją zabiły.

— Sądzę, że nie duchy, lecz Sinobrody ponosi tu winę —rzekł Greif. Do dzieła więc panie hrabio! Mam pewną nadzieję, że znajdziemy w grobowcu trupy nieszczęśliwych ofiar Sinobrodego. A kto wie, jaka nas tam jeszcze czeka niespodzianka.

—Sądzi pan — rzekł stary hrabia, zgadując myśli komisarza, że znajdziemy tam i radcę komercyalnego?

— Tak! — odpowiedział Greif. Wyjazd radcy stąd był komedyą i jestem przekonany, że to Piotr grał rolę radcy, którego tu przedtem w nocy zamordowali.

Chcieli odejść, kiedy zjawiła się Krystyna. Lecz i jej przestrogi nie wpłynęły na zmianę postanowienia hrabiego i komisarza.

— Ale jak panowie chcecie dostać się do wieży? — spytała Krystyna. Sinobrody kazał drzwi zamurować.

— Sprowadzimy rzemieślników, którzy drzwi otworzą — rzekł Greif.

— To potrwa za długo — zauważył stary hrabia. Znam ja inną drogę do grobowca, nieznaną prócz mnie nikomu.

— Dobrze! — rzekł Greif. Prowadź nas, panie hrabio.

Poszli, a z nimi i Detlew mimo obawy przed duchami. Straceni! — zawołała Krystyna. Nikt z nich stamtąd nie powróci.

Detlew i Brand zaopatrzyli się w latarnie i rozmaite narzędzia i razem z komisarzem poszli za starym hrabią który ich prowadził przez opustoszałe niezamieszkane skrzydło zamkowe.

Po drodze oznajmił Brand, że wybadał dokładnie służbę, lecz nikt nic o Piotrze nie wiedział.

— Mimo to będziemy go szukać — oświadczył Greif. Piotr z pewnością ukrył się w zamku. To jeszcze niczego nie dowodzi, że go tu nikt nie widział.

Przeszukali każdy kąt, lecz nie znaleźli najmniejszego śladu Piotra. Przyszli także do owej komnaty wieżowej, gdzie był tajemny skarbiec. Tu się hrabia zatrzymał. Przystąpił do obrazu i nacisnął guzik. Obraz podniósł się hrabia otworzył skarbiec, Greif zaglądnął zdziwiony i zaciekawiony.

— Tu więc były ukryte przez długie lata skarby pana? — spytał. Zaprawdę, tu ich Sinobrody znaleźć nie mógł.

Tymczasem wyjął hrabia z tajemniczego schowka pęk dziwnych kluczy, poczem zamknął skarbiec. Szli dalej, w dół wieży. Tu otworzył hrabia potężne drzwi. od lat wielu zamknięte. Latarnia oświeciła izbę, w której powietrze było ciężkie. Drzwi nie zamknięto, bo były zepsute.

Izba do której weszli, była wielka. półokrą

gła. Wysokie okna były przymknięte okiennicami.

W głębokiej nyży ściennej były żelazne drzwi, do których prowadziło kilka stopni. Te drzwi hrabia otworzył z niemałym trudem przy pomocy wszystkich obecnych.

W głąb prowadziły kamienne schody. Zeszedł najpierw stary hrabia, potem Detlew i Brand, na końcu Greif, który napróżno usiłował drzwi zamknąć i je więc zostawiono otwarte.

Wtem Greif przystanął, zdawało mu się, jakby słyszał kroki. Znowu cisza. Pomylił się więc, może to było echo własnych kroków. Lecz zdawało mu się także, że przychylone drzwi poruszają się, jakby je otwierała niewidoma ręka.

Szybko podskoczył w górę otworzył drzwi. Lecz było ciemno. Zawołał więc Branda z latarnią. A kiedy ten nadbiegł, przekonał się Greif, że w pokoju niema nikogo. Pomyślał, że to wiatr poruszał drzwiami. Uspokojony zeszedł ze schodów za innymi.

Wtedy wynurzyła się z pod wysokiego pieca w ciemnej izbie postać, która ostrożnie bez hałasu posuwała się ku żelaznym drzwiom w nyży.

Był to Piotr, który ich podpatrzył. Zobaczył ich nadchodzących z okna zamku i niespostrzeżony poszedł za nimi. Z ich rozmowy domyślił się jaki ich cel.

— Nie wiele brakło — a ten komisarz odkryłby mnie — szepnął szyderczo. Na szczęście nie zaglądnął za piec.

Wstrzymywał oddech i nadsłuchiwał. Kroki coraz głuchsze, słabsze. Teraz odważył się Piotr z lekka otworzyć drzwi, tak że mógł wetknąć głowę. W głębi zobaczył mdłe światło i niewyraźne, ciemne postacie, jakby cienie.

Dokąd oni idą? — myślał zdziwiony. Do grobowca? Tej drogi nie znam wcale. Pewnie Sinobrody nic o niej nie wiedział. Rozumiem: chcą w grobowcu szukać za zmarłemi hrabinami, ofiarami — duchów! — zaśmiał się szyderczo. — I to stary hrabia! naprawdę — on żyje! I na mnie mieli apetyt? Ha, ha! Nie tak prędko moi panowie! Ach, gdybym was tak mógł zamknąć tu, w dole, u nieżywych — ha! — toby dopiero była radość.

Patrzał w dół, światło zniknęło, z niem i cztery postacie.

Tylko jeszcze przez chwilę namyślał się Piotr, potem bez hałasu zsunął się po kamiennych schodach w ślad za hrabią Haraldem. Ten znał dokładnie drogę.

Zbliżył się ku małym drzwiom żelaznym — otworzył je. Uderzyło ich zgniłe powietrze. Weszli do wnętrza, lecz i tych drzwi nie mogli zamknąć.

Był to wązki, podziemny korytarz, ciągnący się jakby w nieskończoność. Detlew i Brand podnieśli swe latarnie, by oświetlić drogę. Wystraszone światłem uciekały szczury w swe kryjówki. Wszędzie ciemność złowroga. Głuche kroki powtarzało przeciągłe echo, iż zdawać się mogło, że sto ludzi kroczy przez korytarz.

Coraz straszniej tu było. Ze ścian zlewała się woda i tworzyła brudne kałuże. Powietrze stawało się coraz cięższe. Latarnie świeciły słabo, czerwonawem światłem, jakby miały za chwilę pogasnąć.

— Od czterdziestu lat tu nie byłem —rzekł hrabia do komisarza. Wtedy dostałem się tu z ciekawości, uciekłem jednak przestraszony i przerażony. — Ale drogę tę znam dobrze z opisu mego ojca.

Droga przez korytarz trwała z dziesięć minut — obecni odczuwali dziwną trwogę.

Nagle zatrzymał się hrabia, na końcu korytarza, przed żelaznemi drzwiami. Otworzył je. Weszli do wnętrza. Nie zamknęli za sobą drzwi w których zostawili tkwiący klucz.

Byli w małej izbie. Z powały na żelaznym łańcuchu zwieszała lampa z lichtarzów. Wzdłuż ścian stały ławki kamienne pokryte grubą warstwą kurzu.

Oprócz drzwi któremi weszli, były tu jeszcze dwa inne wejścia, ku jednemu z nich zbliżył się hrabia. Drzwi otworzył. Weszli do owej graniczącej z grobowcem podziemnej kaplicy, w której niegdyś mieszkały Gertruda i Józefa. I te drzwi zostawili otwarte.

Stąd dostali się do grobowca. Kiedy kroczyli wzdłuż trumien, wynuzyła się z za drzwi kaplicy twarz Piotra, wykrzywiona szyderstwem i szatańską radością. Niepostrzeżony szedł krok w krok za swymi wrogami.

— Teraz mam was wszystkich w swej mocy! — zgrzytnął szeptem. Nic złego nie przeczuwacie. Dobrze! Rozglądnijcie się tu tylko dokładnie. Nigdy nic nikomu nie zdradzicie, coście tu widzieli. Hrabia Sinobrody okaże mi chyba należytą wdzięczność, że go od was uwolniłem.

Bez hałasu cofnął się. Wśród ciemności domacał się drzwi prowadzących z kaplicy do okrągłej izby. Tu zamknął cieżkie drzwi żelazne na klucz i klucz zabrał.

Hrabia i jego towarzysze byli pojmani w grobowcu. Piotr zaśmiał się głośno, szatańskim śmiechem, wyjął z kieszeni pudełko małych świec woskowych i jedną z nich zaświecił.

Przez chwilę nadsłuchiwał. Jeszcze pojmani nie przeczuwali swego losu. Piotr miał ochotę zwrócić na siebie uwagę. Nachylił się jednak.

— Na czas dowiedzą się, że są zgubieni — szepnął z dyabelskim tryumfem. Głupcy! Myśle li, że im nic nie grozi i klucze zostawili w drzwiach. Teraz zginą tam z głodu.

Opuścił okrągłą izbę, zamknął za sobą i te drzwi. Potem wszedł w ów długi podziemny korytarz, stąd schodami do izby wieżowej. I tu drzwi przymknął, o ile się to dało, podobnie drzwi prowadzące z izby wieżowej do sieni.

Piotr postanowił też zapobiedz przedwczesnym poszukiwaniom. Dostał się do innej izby wieżowej, która mu służyła za kryjówkę i przywdział tu fałszywą brodę. Ubrał się w długi surdut lokaja i udał się na podwórze, gdzie czekał jeszcze powóz, którym przyjechali tu hrabia i jego towarzysze. Tu zaczekał Piotr aż do powrotu woźnicy, który właśnie bawił w izbie służebnej.

Kiedy woźnica wrócił zbliżył się do niego Piotr i rzekł:

— Przyjacielu, panowie nie wyjadą dzisiaj więcej z zamku. Kazali wam powiedzieć, że możecie odjechać.

— Tak? — rzekł woźnica zdziwiony. Dlaczegobym nie miał czekać?

— Słyszycie przecież! Panowie dzisiaj nie pojadą. A jutro tu już znajdą powóz!

— No, dobrze! — mruknął woźnica. Pojadę więc!

Wierzył Piotrowi, w tej myśli, że on jest służącym hrabiego.

Odjechał. Piotr patrzał za nim szyderczo i zaśmiał się:

— Twoi panowie już odjechali! Na tamten świat!

Ostrożnie wyprowadził konia ze stajni i popędził w dal — do Waleryi, by jej donieść o tem, co sie stało.

ROZDZIAŁ 100.

WALKA Z DZIKIMI

— Ląd! — Ląd!

Wołała uradowana Agata.

— Ląd! Bogu niech będą dzięki! — wtórowała Delia.

Majtkowie, którzy spali w łodzi, zerwali się. Uradowani patrzeli w dal:

— Ląd! — Ląd!

Zerwał się i Jussuf, który usnął był przy sterze.

— Ląd? — Gdzie — gdzie?

— Tam! — rzekła Agata, wskazując w kierunku, w którym płynęła łódź. O wierny Jussuf teraz jesteśmy ocaleni.

Wszystkich ogarnęła niewymowna radość. Śmiali się i płakali naprzemian. A Jussuf, jakby nie dowierzając zmysłom, wpatrywał się w dal.

Lecz nie było to złudzenie. Tak, to upragniony ląd. Jeszcze daleko od nich. Wynurzał się z wolna z niebieskich fal morskich. Wschodzące słońce poranne zlewało nań swe światło. purpurową barwą zabłysły wierzchołki gór.

Niedługo obaczą wybrzeże. Tam w górze leżał ląd. Wiatr kołysał dumnemi palmami.

Lecz rozbitki nie mogli znaleźć miejsc gdzie by mogli wylądować. Dookoła — jak wzrokiem sięgnąć — wznosiły się groźne skały. Biada im jeżeli się do nich zbliżą. O nie rozbije się ich łódź, a ich samych połkną bałwany morskie.

I znowu stracili odwagę. Łódź skierowano w innym kierunku.

Długo w niej płynęli, nie spuszczając z wybrzeża oczu. Nareszcie zobaczyli wystający jak by płaski półwysep. Wiosłowali ku niemu. Łódź coraz prędzej pruła fale morskie.

Teraz gwałtowna fala rzuciła łodzią o brzeg. Rozbiła się łódź.

Okrzyk zgrozy rozległ się w powietrzu, zagłuszony szmerem fal wzburzonych.

I znowu fala podjęła resztki łodzi i ludzi i rzuciła ich jeszcze dalej na piasek. Z szumiących bałwanów wynurzyła się teraz postać i silnemi ramionami objęła dwa ciała, silnie się trzymające i porwał je na brzeg.

Był to Jussuf, a uratowane postacie — to Agata i Delia. I majtkowie z trudem uwolnili się z objęć potężnych bałwanów, które wyrzuciły na ląd także skrzynię, zawierającą skarby Agaty.

Skrzynię ukryto. A kiedy wszyscy ochłonęli ze strachu i wypoczęli, poczęli zbliżać się ku górom.

Najpierw szedł Jussuf z bronią w ręku i rozglądnął się ostrożnie dookoła. Jeszcze nie widzieli żyjącego stworzenia, lecz bali się, czy nie mieszkają dzicy w tym obcym kraju.

Za Jussufem szła Agata i Delia, z tyłu dwaj majtkowie. U stoku góry odkryli spragnieni źródło. Uradowani przyklękli i ugasili swe pragnienie. Dalej znaleźli cały gaj palm daktylowych i owocami tymi zaspokoili także swój głód.

Usiedli na brzegu gaju i naradzali się, co dalej uczynić wypada.

Tu naturalnie zostać nie mogli. Jussuf radził, by posunąć się wzdłuż wybrzeża. Wszyscy chętnie rady posłuchali.

Majtkowie wyłowili z fal wszystko, co one wyrzuciły z zawartości łodzi na ląd. Przedewszystkiem uratowali skrzynię, zawierającą broń i amunicyę. Także namiot, który w słońcu szybko wysechł.

Nie uszli wiele drogi, bo przed nimi wznosiły się wysokie góry i strome skały. Z trudnością wdrapali się na wierzchołek jednej góry — i spostrzegli wyższe jeszcze góry. Dokąd mieli się udać.

Wyczerpani padli na ziemię. Zapadał już wieczór. Tu chcieli noc przepędzić. Rozbito namiot, przeznaczony dla Agaty i Delii. Trzej mężczyźni mieli przenocować pod gołem niebem.

Następnego dnia ruszyli dalej. Kiedy zeszli w dół znaleźli znowu drzewa daktylowe i źródło. Tu spoczęli nieco. Podczas odpoczynku, nagle pomknęła dzika koza, natychmiast poczęli majtkowie ostrzeliwać ją i uganiać za nią.

Wnet jednak wrócili szybko.

— Ludzie zbliżają się! — zawołali przestraszeni. Czarni!

— Więc Murzyni?! — rzekła Agata z trwogą. Czy są uzbrojeni? Majtkowie oświadczyli, że widzieli u nich łuki i dzidy.

Jussuf porwał za broń, uzbroili się także majtkowie. Poczem ukryli się za ścianą skalną, gdzie chroniły ich drzewa.

W tej chwili na wolnej przestrzeni obok źródła zjawili się dzicy.

Było ich sześciu. Straszne, herkulesowe postacie. Czarno-brunatne ich ciała były nagie zupełnie, każdy uzbrojony z nich w łuki i dzidy.

Na widok obcych przystanęli i wydali głośne okrzyki. Groźnie podnieśli dzidy, lecz nie mieli jeszcze odwagi uderzyć na przybyłych.

Jussuf wystąpił o kilka kroków i starał się porozumieć z nimi na migi, w nadziei że potrafi dzikich uspokoić i pozyskać ich. Lecz ci byli wrogo usposobieni i podejrzliwi. Ruchy ich stawały się groźniejsze i nagle jeden z nich skierował łuk w stronę Jussufa.

Ten jednak uprzedził podstępnego Murzyna. Szybko podniósł swą strzelbę. Padł strzał i śmiertelnie raniony runął na ziemię. Z okrzykiem zgrozy rozprószyła się reszta i zniknęła w zaroślach.

— Bogu dzięki! — zawołała Agata. Uciekają!

— Wnet jednak wrócą i spróbują uderzyć na nas z zasadzki — rzekł Jussuf. Tu zostać nie możemy. Musimy się stąd oddalić, jak najprędzej.

Szybko ruszyli dalej. Jussuf i majtkowie rozglądali się na wszystkie strony. Broń była nabita, zawsze gotowa do strzału. Bez przeszkody dostali się w dolinę. Dzicy nie pokazali się.

Nagle pomknęła strzała nad głową Agaty. Niespostrzeżeni zbliżyli się dzicy, lecz ani Jussuf ani majtkowie nie widzieli ich.

Udali się więc w dalszą drogę, gotowi zawsze do walki. Niedługo pomknęła znowu strzała — potem grad strzał, które na szczęście nikogo nie trafiły.

Zaczepieni poznali jednak teraz skąd strzały padają.

— Ognia! — rozkazał Jussuf.

Padły trzy strzały. Jęki wskazywały na to że strzały były celne. Pozostali przy życiu Murzyni poczęli uciekać.

— Na chwilę mamy spokój — rzekł Jussuf. Na noc trzeba jednak nam wyszukać pewne schronisko.

Wdrapali się na najwyższą górę. Słońce bardzo piekło. Pragnienie wszystkim dokuczało. Lecz nie znaleźli źródła.

Po długiej uciążliwej wędrówce — to pod górę, to znowu w dół — dostali się na pagórek, gdzie płynął jasny strumyk. Spoczęli tu w miejscu, zasłoniętem wysokiemi skałami.

Postanowiono zostać tu do następnego ranka. Majtkowie wyszukali owoce, przynieśli także kilka dzikich królików, które ubili.

Tymczasem odkrył Jussuf wśród skal jaskinię. Tu można się było bronić przed dzikimi, na wypadek ataku. Jaskinia pokryta była trawą. To miało być miejsce spoczynku dla Agaty i Delii.

Pod wieczór położyli się majtkowie przed wejściem do jaskini. Jussuf czuwał. Siedział obok śpiących z bronią w ręku i nadsłuchiwał.

Ściemniło się. Zapadła ciepła, spokojna noc. Niedługo wszedł księżyc i oświecił swem światłem skały i zarośla.

Jussuf znużony zdrzemnął się. Lecz w tej chwil zerwa[illegible]. W zaroślach rozległ się szelest. Na oświetlonej światłem księżyca przestrzeni przed jaskinią poruszyła się ciemna postać, posuwała się, pełzając, jakby wąż.

Jussuf poznał że to Murzyn. Za nim wynurzali się inni z zarośli z dzidami i łukami w ręku.

Jussuf wymierzył ku pierwszemu, padł strzał i dziki runął z rozbitą głową na ziemię.

Inni zerwali się i wydając dzikie okrzyki uciekli. Ocknęli się ze snu majtkowie. Za uciekającymi padły trzy nowe strzały, które dwa z Murzynów położyły trupem. Reszta zniknęła bez śladu.

Przez całą noc panował spokój. Kiedy jednak z brzaskiem dnia Jussuf i dwaj majtkowie rekognoskowali okolicę, powitał ich grad strzał. Jeden z majtków wydał okrzyk boleści i padł raniony. Jussuf ze swym towarzyszem dali ognia, Murzyni natychmiast uciekli. Ranny majtek po kilku chwilach wyzionął ducha, bo strzały były zatrute.

Pochowano go — wśród niemej zgrozy — w jaskini i ruszono w dalszą drogę, odpoczywając tylko na nielicznych miejscach.

Także i Delia uzbroiła się, by w każdej chwili módz skutecznie ostrzeliwać dzikich, którzy pogoni nie zaprzestali.

Pod wieczór rozłożono się obozem na lesistym wzgórzu. Miejsce było z trzech stron otoczone skałami. Agata i Delia spały w namiocie, a Jussuf i majtek luzowali się w straży nocnej.

Zauważyli że dzicy są w pobliżu i to w większej liczbie niż poprzednio. Mogli ich jednak zaatakować tylko z jednej strony i tu leżeli w zasadzce Jussuf i majtek.

Noc minęła spokojnie. Nad ranem jednak byli ze wszystkich stron otoczeni przez dzikich, którzy czekali tylko na oblężonych, by ich przywitać zatrutemi strzałami.

Jussuf udał się do namiotu i doniósł kobietom o groźnem położeniu. Na straży został majtek, Jussuf zaś sam wdrapał się z trudem po stromej skale. Ostrożnie rozglądnął się stamtąd. Zobaczył wielką liczbę dzikich i z okrutną radością wymierzył do nic nie przeczuwającej dzikiej hordy

Padło pięć strzałów, które trzech Murzynów położyły trupem. Reszta uciekła. Uciekających ostrzeliwał zostawiony na straży majtek. Narazie niebezpieczeństwo było odwrócone i szybko udano się w dalszą drogę. Godzinami nikt się nie pokazywał.

Wieczorem zobaczyli rozbitki szereg dziwnych małych pagórków, jakby okrągławe wzgórza pokryte trawą. Kiedy się zbliżyli rozpoznali siedziby ludzkie. Była to wieś dzikich.

Pełno tu było mężczyzn, kobiet i dzieci. Rozbitki zatrzymali się, jeszcze ich nie spostrzeżono. Uważali za odpowiedne, nie pokazać się.

— Ukryjmy się! — radził Jussuf.

— A co będzie dalej? — westchnęła Agata.

— Musimy przeczekać do nocy — rzekł Jussuf. Potrafimy może wtedy niespostrzeżeni obejść wieś.

Ukryli się na pagórku, zakrytym zaroślami. Pod noc udali się dzicy do swych chat.

— Teraz czas na nas! — rzekł Jussuf. — Trzeba nam się spieszyć przed wejściem księżyca, którego światło mogłoby nas zdradzić.

Ruszyli ku wsi, w której panowała grobowa cisza. Krocząc wzdłuż brzegu mijali szeroko rozrzucone chaty. Widzieli szereg łodzi na piasku. Krajowcy zajmowali się zatem głównie rybołóstwem.

Minęli już znaczną część chat, gdy nagle rozległ się w powietrzu krzyk, przejmujący zgrozą. Z poza chat wyskoczyli ze wszystkich stron dzicy z podniesionemi dzidami. Nagle cała wieś ożywiła się.

Dzikich było więcej niż sześćdziesiąt. Jakże się im obronić garstka, cztery.

— Odważnie! — zawołał Jussuf. Ognia!

— Padło dwadzieścia strzałów. Dzicy cofnęli się. Na placu zostało dwanaście trupów. Wnet jednak dzicy wrócili i poczęli strzelać ze swych łuków i rzucać swe dzidy na waleczną garstkę. A liczba dzikich wzrastała ciągle.

Jakby cudem rozbitki nie odnosili żadnej rany, podczas gdy ich kule rzucały trupem jednego wroga po drugim. Lecz długo nie mogli stawiać oporu przemocy nieprzyjaciół.

— Uciekajmy na wodę! — zawołała Agata. Tu leży wielka łódź. Morze jest spokojne. Wylądujemy potem znowu na innem miejscu.

Jussuf i majtek prędko podjęli łódź i z całej siły puścili ją na wodę. Dzicy zrozumiawszy ich zamiar, zbliżyli się szturmem. Wprawdzie Agata i Dellia ostrzeliwały ich ciągle, nie mogły jednak powstrzymać niektórych nader odważnych nieprzyjaciół.

Tymczasem łódź była gotową do odpłynięcia. Nieszczęsne kobiety szybko na nią wsiadły, podczas gdy Jusuf i majtek objęli obronę przeciw dzikim. Wtem runął majtek, śmiertelnie raniony dzidą, na ziemię.

Jussuf wystrzelił był ostatnie strzały i nie miał czasu ładować strzelby, a dzicy zbliżali się gwałtownie. Tedy ujął Jussuf w jedną dłoń szablę, w drugą rewolwer i tak uzbrojony oczekiwał ataku. Pierwszemu, który się zbliżył przeszyła kula rewolwerowa, drugiemu rozstrzaskał Jussuf głowę. Nie zważał na dzidy dzikich które go poważnie zraniły.

Ale Agata i Delia nie próżnowały. Bez przerwy ostrzeliwały dzkich. W stosownej chwili wskoczył Jussuf do łodzi i przy pomocy drąga odbił od brzegu.

Ze strasznymi krzykami rzucili się dzicy

do swych łodzi, ciskając za uciekającymi dzidami i kamieniami. Tymczasem Jussuf, oddawszy poprzednio kilka strzałów, po których dzicy pierzchli, rozwinął maszt i żagle i popłynął w kierunku wiatru.

Łódź szybko pomknęła. Lecz dzicy rzucili się za nimi w pogoń na swych czółnach i wnet dwóch zbliżyło się do nich.

Delia musiała sterować, podczas gdy Jussuf bez przerwy ostrzeliwał nieprzyjaciół, którzy też wnet nawrócili.

— Bogu dzięki! — zawołała Agata. Teraz jesteśmy ocaleni!

Byli uszczęśliwieni, że się im udało ocalić życie. Nadto najkosztowniejsze klejnoty miała Agata i Delia przy sobie.

Płynęli po spokojnem oceanie, oświetlonym jasnem światłem księżyca. Nie chcieli myśleć o wylądowaniu, bojąc się tam nowych niebezpieczeństw.

A przecież musieli następnego dnia wylądować, bo nie mieli ani wody ani środków żywności. Kiedy słońce weszło, upłynęli już byli wiele mil. Trzymali się ciągle wybrzeża.

Tetraz spostrzegli rzekę, wpadającą do morza. Popłynęli ku ujściu rzeki, na drugi brzeg. Dookoła nie było człowieka, kraj był górzysty, pokryty bujną roślinnością.

Dla ostrożności pozostały Agata i Delia w łodzi, podczas gdy Jussuf rekognoskował okolicę. Z poblizkiego wzgórza zobaczył nad brzegiem rzeki zabudowanie, niepodobne wcale do zabudowań dzikich.

Zawołał Agatę i Dellię i pokazał im to zabudowanie. Tymczasem opodal domu pojawili się dwaj mężczyźni, sądząc z ubioru byli to Europejczycy.

Okrzyk radości wydobył się z piersi Agaty.

— Skończona nasza bieda! — zawołała. Tu znajdziemy opiekę i pomoc.

Szybko poczęła się zbliżać ku domowi i owym mężczyznom, którzy na widok Agaty i jej towarzyszy, przystanęli zdziwieni.

Czy ziści się nadzieja Agaty — czy znajdą tu gościnne przyjęcie?

ROZDZIAŁ 101.

Udały podstęp.

Późnym wieczorem zajechał hrabia Sinobrody do Paryża wschodnim dworcem kolejowym.

Razem z nim wysiedli z pociągu i jego tajemniczy towarzysze, prokurzysta Herman i tajny agent Günter. Mimo natłoku na dworcu, nie stracili z oczu szybko kroczącego hrabiego.

Sinobrody często się oglądał, lecz nie spostrzegł swych towarzyszy. Nie poznałby zresztą prokurzysty, którego fałszywa broda zmieniła nie do poznania, a agenta Güntera widział Sinobrody dotychczas tylko w przebraniu nie mógł go po zatem teraz poznać.

Sinobrody wsiadł do powozu i kazał się zawieźć do hotelu. To samo uczynili prokurzysta i Günter, który polecił woźnicy jechać krokw krok za powozem Sinobrodego. Günter i prokurzysta mówili wcale dobrze po francusku, nadto Günter swego czasu przebywał przez kilka lat w Paryżu, był więc najodpowiedniejszym urzędnikiem, któremu Greif mógł tę misyę polecić.

Hotel, do którego Sinobrody zajechał, nie należał do pierwszorzędnych. Zameldował się on tu też nie jako hrabia Wildenfels, lecz jako podróżujący agent Meller. Zamieszkał w skromnym pokoju na czwartem piętrze i kazał sobie natychmiast podać kolacyę.

Niedługo potem przybyli prokurzysta i Günter. Ten zażądał od nadkelnera pokoju, tuż obok pokoju Sinobrodego i dobrym napiwkiem potrafił od zdzwionego kelnera cel swój uzyskać.

W pokoju zobaczył Günter w każdej bocznej ścianie drzwi.

— Po której stronie leży pokój tego pana?— spytał szeptem towarzyszącego im dozorcy hotelowego.

Dozorca wskazał na prawe.

— Jeżeli pan ten zapyta, kto jego sąsiedzi — rzekł Günter, wciskając dozorcy w rękę pięciofrankówkę — proszę powiedzieć, że małżeństwo z prowincyi, że on jest głuchy a ona ślepa.

Dozorca przyrzekł wypełnić dokładnie dane mu zlecenie.

Günter spytał:

— A jak się ten pan nazywa?

— Kupiec Meller z Koloni.

— Hm — hm! A kto mieszka w tym pokoju na lewo?

— Na razie nikt.

— Więc proszę drzwi otworzyć! Wynajmujemy i ten pokój sąsiedni. Günter udzielił jeszcze dozorcy kilka wskazówek i udał się z prokurzystą do drugiego pokoju.

— Tu możemy swobodniej rozmawiać — rzekł, nieobawiając się, że nas Sinobrody słyszy. A to lis! — Meller się nazywa! Przypu-

szcza — zdaje się — że się go śledzi. Mam nadzieję, że się nam nie wymknie.

Sinobrody był niezadowolony, że sąsiedni pokój jest zajęty. Dowiedziawszy się jednak, że sąsiedztwem jego jest stare, głuche i ślepe małżeństwo, uspokoił się.

Następnego dnie Sinobrody wyszedł. Ledwo wszedł na schody, wyszedł z sąsiedniego pokoju, starszy, ociężały nieco mężczyzna, o białej brodzie — poważnie wyglądający. Jego ubiór i ruchy zdradzały bankiera z prowincyi, który całe swe życie przepędził zdala od stolicy.

Poszedł za Sinobrodym, który się wnet oglądnął i zmierzył obcego bystrym wzrokiem. Obcy uśmiechnął się życzliwie, zdjął swój staromodny cylinder i poszedł dalej, Sinobrody nieznacznie się odkłonił zastanowił się chwilę i przemówił do obcego.

Lecz nie otrzymał odpowiedzi. Sinobrody uderzył go po ramieniu i powtórzył swe pytanie. Wtedy obcy przyłożył rękę do ucha i rzekł grzecznie:

— Co pan mówi? — Nie dobrze słyszę, mój panie!

Sinobrody machnął ręką i oddalił się. Był zadowolony.

— Ach, to mój sąsiad — rzekł do siebie. On głuchy, a ona ślepa

Pospieszył dalej , nie oglądając się więcej. A przecież ów sąsiad szedł za nim krok w krok, tylko zamienił w międzyczasie brodę siwą na ciemną, tak że go teraz Sinobrody z pewnością nie poznał.

W ulicy na przedmieściu Montmatre wszedł Sinobrody do kilkopiętrowego domu. Bez hałasu podążył za nim jego sąsiad, pozostając zawsze w dole o jedno piętro, by go Sinobrody nie zobaczył.

Na trzecim piętrze zatrzymał się Sinobrody przed drzwiami, na których widniał wielki szyld porcelanowy.

Napis na nim był następujący:

"Charlota Dijon.
Pensyonat dla krajowców i obcokrajowców.
Biuro pośrednictwa małżeństw."

Hrabia Sinobrody zadzwonił. Odchyliły się drzwi. Wystrojona, dość jeszcze młoda, lecz niepiękna kobieta zjawiła się w drzwiach i spytała:

— Czego pan sobie życzy?

— Proszę mnie wpuścić, madame! — rzekł Sinobrody Zna mnie pani. Przypomina sobie pani też baronowę Waleryę Rambow i hrabiego Linderhof i owego pana, który w domu pani grał rolę niejakiego Karola Wernera.

Francuska krzyknęła przerażona, pobladła i cofnęła się.

— Mój Boże! — zawołała. — Pan przychodzi z polecenia policyi?

— Nie uspokój się pani — uśmiechnął się Sinobrody.

Szepnął kilka słów, które miały nadzwyczajny skutek. Drzwi się całkiem otworzyły, wszedł Sinobrody, poczem drzwi zamknięto.

Tylko o pół piętra niżej stał ów rzekomo głuchy sąsiad, oparty o poręcz. Uważnem nadsłuchiwaniem dowiódł że głuchota jego, jest tylko pozorną.

Ostatnich słów Sinobrodego oczywiście nie dosłyszał.

Bez hałasu wszedł na górę i przeczytał napis na drzwiach.

— Biuro pośrednictwa małżeństw? —szepnął. — Hm, hm! — Czego też Sinobrody szuka u tej pośredniczki? Zna ją!... hm...

Przez chwilę stał w zamyśleniu. Wtem zbliżał się ktoś z wyższych pięter, prędko więc opuścił dom.

Stanął w sieni jednego z domów. Lecz długo musiał czekać, bo Sinobrody nie wracał.

— Do dyabła! Dijon, Dijon! — nazwisko to mi znane! — rozważał. Gdzie też to nazwisko obiło mi się o uszy?

Nagle twarz jego rozjaśniła się. Zdawało się, że rozwiązał zagadkę. Zrzekł się czekania. Szybko oddalił się, wsiadł do powozu, i zawołał do woźnicy:

— Do prefektury policyjnej — prędko!

Po upływie dwudziestu minut stanęli na miejscu. Rzekomy sąsiad z prowincyi wszedł do korytarza i spytał jednego z policyantów:

— Gdzie znajdę tajnego inspektora policyi pana Lagrange?

Policyant dał grzeczne wskazówki Przez podwórze dostał się sąsiad do innego budynku, tu wszedł na piętro. Spotkał urzędnika tu, który go zaprowadził do Lagrange. Tajny inspektor policyi przyjął go w swej pracowni. Był to młody jeszcze człowiek o energicznej twarzy Zmierzył przybyłego badawczym wzrokiem i wskazał mu krzesło.

Przybyły wyjął zapieczętowany list i oddał inspektorowi z uniżonym ukłonem:

— Pozwoli pan inspektor — rzekł — że oddam ten list polecający.

— Pan nie tutejszy? — Mój panie, co ta fałszywa broda znaczy? — rzekł inspektor, przyjmując list z pewnem wahaniem.

— Pan inspektor wybaczy! Prawda, tu mi tej maski nie trzeba! Zdjął fałszywą brodę. Poznajemy w nim tajnego agenta Güntera. In-

spektor był zdziwiony, kiedy mu Günter doniósł kim jest i w jakiej sprawie przybył do Paryża.

Teraz dopiero przeczytał inspektor list, który tak opiewał:

"Wielce Szanowny Panie Kolego!

Niedawno raczył pan zająć się śledztwem w sprawie tajemniczego oszustwa względem hrabiego Linder, i pisałeś o tem do mego szanownego kolegi Wintera. W nadziei, że i teraz nie odmówisz nam pan swej pomocy, udając się do pana w podobnej sprawie.

Proszę pana, byś zechciał łaskawie poprzeć oddawcę tego listu, agenta Güntera. Ma on wyśledzić tajemnice zbrodniarza, w którego ślad udał się do Paryża. Günter też da panu koledze wszelkie potrzebne wyjaśnienia.

Dodać jeszcze chciałbym, że mój biedny kolega Winter padł ofiarą podstępnego aktu zemsty i leży śmiertelnie chory, i że ów wspomniany zbrodniarz zdaje się mieć poważny udział w tej zbrodni.

Z góry serdecznie dziękuję i łączę wyrazy najgłębszego szacunku i poważania, uniżony sługa

Mantin Greif, komisarz kryminalny."

Inspektor odłożył list, podał rękę Günterowi i rzekł uprzejmie:

— Co mogę, uczynię. Los Wintera zmartwił mnie. Znam go z dawnych czasów. Opowiedz mi pan, co się stało.

Günter spełnił życzenie inspektora.

Ten zawołał wzburzony.

—To nadzwyczaj zawikłana tajemnicza historya! Cały romans! Sprawa mnie zaciekawiła Licz pan na moją pomoc. Do dyspozycyi pana oddam dwóch sprytnych tajnych agentów.

Günter podziękował uradowany.

— A teraz powiedz mi pan czego ów tak zwany hrabia Sinobrody szuka w Paryżu? — spytał inspektor.

— Chce wyszukać sobie hrabinę — uśmiechnął się Günter. Osobę, którąby potrafiła wywieźć w pole ludzi w jego ojczyźnie, a przedewszystkiem policyę.

— Czy jest rzeczą pewną, że jego żona nie żyje?

— To nie ulega prawie wątpliwości.

— Hm! przecież wnet prawdą wyjdzie na jaw! Prokurzysta, który przyjechał z panem zna chyba córkę swego szefa. Jakie kroki przedsięwziął pan dotychczas?

— Przedewszystkiem mieszkamy w tym samym hotelu, co i Sinobrody, oddzieleni tylko ścianą, tak że go ciągle możemy śledzić. Nadto odprowadziłem go dzisiaj do niejakiej pani Dijon, właścicielki pensyonatu i biura pośrednictwa małżeństw. Prawdopodobnie ta sama pani, która grała rolę w aferze hrabiego Linderhof i jego żony Agaty.

— Dijon — Dijon? — powtórzył inspektor. Tak, to ona! Osoba nam znana. Oddawna już nie spuszczamy jej z oka. Ma nieczyste sprawki na sumieniu, lecz dotychczas nie potrafiliśmy jej niczego dowieść.

— Teraz to się prawdopodobnie uda — rzekł Günter. Hrabia Sinobrody pozyska ją dla swego planu, i w ten sposób sobie i jej zgotuje upadek.

Inspektor oddał Güuterowi dwóch agentów, których wyposażono w odpowiednie instrukcye. Poczem Günter wrócił do hotelu, gdzie go prokurzysta niecierpliwie oczekiwał.

Tymczasem siedział Sinobrody u pani Dijon i tłómaczył jej bez wybiegów, czego od niej chce.

— Chodzi mi o wielki spadek, który chcę zdobyć! — rzekł w toku rozmowy. Niestety żona moja umarła. Spadek mogę uzyskać tylko wtedy, jeżeli udowodnię, że żona moja jeszcze żyje. Zataiłem więc jej śmierć i podałem, że przebywa tu w Paryżu w sanatoryum. Nie wierzą mi. Muszę im sprowadzić mą żonę. Zrozumie pani, że sprawa dla mnie wielkiej wagi!

— Zupełnie! — potwierdziła pani Dijon. Nie pojmuję tylko, czem panu mogę służyć?!

— Prosta rzecz! Wystara mi się pani o osobę, którąby potrafiła grać rolę mej żony!

Pani Dijon popatrzyła nań zdziwiona.

— Ależ panie hrabio! — zawołała. To jest niemożliwe!

— Jestem przekonany, przerwał Sinobrody, że nie sprawi to pani żadnych trudności. Ma pani chyba na składzie pewną liczbę kandydatek na żony? — spytał z uśmiechem.

— Pewnie! Wątpię jednak czy znajdzie się coś stosownego. Pani ta musiałaby być podobną, do zmarłej żony pana, musiałaby też być wtajemniczoną w całą sprawę. Nie każda jednak zgodzi się na to bądź co bądź niebezpieczne przedsięwzięcie.

— O wszystkiem pomyślałem! — odpowiedział Sinobrody spokojnie. Mimo to spodziewam się przy pomocy pani znaleźć odpowiednią osobę. Jeżeli się uda, otrzyma pani 10.000 franków. A potem, skoro spadek otrzymam jeszcze raz taką samą sumkę. Warto zastanowić się nad tym interesem.

Na wspomnienie pieniędzy, zabłysły oczy pani Dijon.

— Pewnie, uczynię, co w mej mocy! — rzekła. Pokażę teraz panu hrabiemu szereg fotografii kobiet, które za moim pośrednictwem szukają męża. Może znajdzie pan coś odpowiedniego.

— Byłoby to naprawdy szczęściem! — zaśmiał się Sinobrody. Mam tu też obraz mej żony. Możnaby porównać.

Francuska przyglądnęła się fotografii, podanej jej przez Sinobrodego i rzekła:

— Żona pana, panie hrabio, była piękną Trudno będzie znaleźć podobną do niej.

Wyjęła cały stos fotografii dziewcząt i kobiet, począwszy od 17 do 50 roku życia.

Wnet przekonał się Sinobrody, że niema dla niego nic stosownego.

— Widzi pan hrabia, że sprawa niełatwa! — westchnęła pani Dijon. W każdym razie szukanie potrwa sporo czasu.

— To niemożliwe! — odpowiedział. Najpóźniej w przeciągu 14 dni muszę znaleźć stosowną osobę!

— Będę się starał, panie hrabio. Lecz przyrzec nie mogę. Zostawi mi pan hrabia obraz swej żony. Może za kilka dni napiszę panu.

— Nie! proszę nie pisać! Sam przyjdę codziennie po wiadomość.

— Jak pan hrabia chce! Czy mogę prosić o mały zadatek, celem pokrycia pewnych wydatków?

Sinobrody położył na stół 2 banknoty po 1000 franków i spytał:

— Czy tyle na razie wystarczy?

— Zupełnie, panie hrabio!

— Dobrze! — rzekł. Jutro więc przyjdę znowu!

Oddalił się. Wrócił do hotelu, gdzie Guenter był dopiero od kilku minut. Sinobrody nie przeczuwał, jak niebezpiecznych ma sąsiadów. Napisał list do Waleryi, w którym doniósł jej o dotychczasowych zajściach.

Następnego dnia udał się dopiero wieczorem do pani Dijon. Krok w krok szedł za nim Guenter w przebraniu bankiera z prowincyi. Przypadkiem jednak odwrócił się Sinobrody w sieni i spostrzegł Guentera nim ten mógł się ukryć.

Wzbudziło się w nim podejrzenie. Wszedł do domu zatrzymał się jednak w sieni, by się przekonać, czy nie wejdzie też za nim bankier z prowincyi względnie dokąd on się uda. Guenter tymczasem zupełnie swobodnie poszedł dalej, jakby wcale nie spostrzegł Sinobrodego. Przez chwilę stał tenże w sieni. Potem wyglądał na ulicę. Guentera już nie spostrzegł. Więc uspokojony wszedł na schody. Mógł przecież przypadek tak zrządzić, że sąsiad jego — bez zamiaru — udał się w tę samą drogę.

Pani Dijon przyjęła go uradowana.

— Szczęście panu sprzyja, panie hrabio! — rzekła. Dzisiaj z rana otrzymałam list od krewnej z prowincyi, która mi też nadesłała swój obraz. To moja siostrzenica liczy lat 20.

— I sądzi pani, że siostrzenica ta będzie stosowną?

— Tak! Nie myślałam wczoraj o niej. Zobacz pan jej fotografię. Zadziwi pana nadzwyczajne podobieństwo z żoną pana hrabiego.

Sinobrody przyglądał się fotografii z miną znawcy.

— W istocie! — rzekł. Podobieństwo bardzo znaczne. Przed decyzyą jednak chciałbym poznać siostrzenicę pani.

— Naturalnie! Dzisiaj jej jeszcze napiszę! Pojutrze tu będzie!

Uradowany oddalił się Sinobrody, przyrzekając że wróci za dwa dni.

Kiedy opuszczał dom rozglądał się podejrzliwie. Lecz nie zobaczył Guentera, chociaż ten był w pobliżu. Guenter poznał, że hrabia ma podejrzenie, należało więc być ostrożniejszym.

Guenter stał w sieni z jednym z paryskich agentów, których mu inspektor Lagrange oddał do dyspozycyi. Temu agentowi pokazał Sinobrodego i pouczył go, jak i gdzie go ma śledzić podczas jego wizyt u pani Dijon.

Sinoborody wrócił przed Guenterem do hotelu. Żywił zawsze jeszcze podejrzenie i postanowił mieć się na ostrożności przed swymi sąsiadami.

W pokoju zastał telegram od Waleryi tej treści:

"Prokurzysta wyjechał z rezydencyi. Ostrożnie zatem!"

To upewniło jego podejrzenie. Zadrżał na myśl, że ów pozornie prosty, głuchy bankier z prowincyi mógłby być prokurzystą.

Przedewszystkiem chciał mieć pewność. Dotychczas nie widział rzekomo ślepej żony swego sąsiada. Bez hałasu zbliżył się do drzwi prowadzących do sąsiadów i starał się przez dziurkę od klucza zaglądnąć do ich pokoju.

Daremnie. Na kurytarzu usłyszał kroki. Odchylił drzwi. Zobaczył swego sąsiada, wracającego do domu. Zapukał do drzwi. Natychmiast mu otworzono. Jak ślepa żona mogła tak prędko otworzyć.

Wrócił do swego pokoju i nadsłuchiwał. Daremnie.

Postanowił następnego dnia sąsiada swego wywieźć w pole, by się przekonać czy on go śledzi.

Wyszedł popołudniu, zrazu szedł drogą prowadzącą do pani Dijon.

Potem skręcił i rozglądał się. Lecz sąsiada swego nie zobaczył.

Wszedł do kawiarni i usiadł naprzeciw okna, skąd miał dokładny widok na ulicę. Lecz i tu zawiodła go nadzieja. Sąsiad jego nie pokazał się.

Po godzinie opuścił kawiarnię i długiemi drogami zmierzał na ulicę, gdze mieszkała pani Dijon, zwolna kroczył wzdłuż domu, rozglądając się uważnie. Paryski agent stał opodal, lecz na niego Sinobrody nie zwracał wcale uwagi.

Nareszcie wrócił do hotelu. Spytał portyera czy jego sąsiad dziś wyszedł.

— Tak! — odpowiedział portyer. Zaraz po panu. Jeszcze nie wrócił!

Ta wiadomość zaniepokoiła Sinobrodego. Postanowił za wszelką cenę dowiedzieć się, co są za jedni jego sąsiedzi.

Na górze nie wszedł do swego pokoju, lecz zapukał do pokoju sąsiadów ciekawy, czy mu też otworzy owa ślepa pani.

Nadsłuchiwał. Cisza. Zapukał jeszcze raz, daremnie.

Nie wiedział Sinobrody że prokurzysta śledził go z wnętrza przez dziurkę od klucza. Zniechęcony wrócił Sinobrody do swego pokoju.

Postanowił zmienić hotel, nie mówiąc o tem oczywiście nikomu. Wieczorem opuścił hotel, udając się niby na przechadzkę. W jednej z ulic zaczekał na omnibus. Wtem spostrzegł nagle swego sąsiada, rozmawiającego z młodym człowiekiem, z ubioru sądząc z robotnikiem.

W rzeczywistości był to drugi tajny agent paryski, któremu Guenter dawał zlecenie, by dalej śledził Sinobrodego. Kiedy omnibus się zbliżył Guenter zniknął, a ów rzekomy robotnik chciał właśnie wsiąść do omnibusu.

W tej samej chwili zmienił Sinobrody swe postanowienie. Omnibus odjechał, a hrabia poszedł piechotą dalej. Kiedy się odwrócił zobaczył za sobą znowu owego robotnika.

Teraz więcej nie wątpił że go śledzą. Zdjęła go wściekłość. Trzech zatem ma szpiegów: sąsiada — a może to prokurzysta — jego ślepą żonę rzekomo, no i tego tu robotnika.

— Wystrychnę was przecież na dudków! — zgrzytnął. A biada prokurzyście, jeżeli się jeszcze raz spotkamy bez świadków! Muszę sprowadzić Piotra, by mnie uwolnił od tych szpiegów.

Przejeżdżał właśnie powóz. Sinobrody wskoczył nań i zawołał bardzo głośno:

— Na wschodni dworzec!

Powóz odjechał. Ironicznie oglądnał się Sinobrody za robotnikiem, który stał na chodniku i patrzał za nim.

— Głupiec! — zaśmiał się tryumfująco. Pewnie najkrótszą drogą pospieszy na wschodni dworzec. Nauczę ja was, łotry!

Po drodze kazał woźnicy stanąć, wysiadł, zapłacił i poszedł piechotą dalej, nie na dworzec, lecz w inną ulicę, gdzie wsiadł do innego powozu.

Kazał zajechać do hotelu w zachodniej części miasta, wynajął tu pokój i zameldował się jako baron Prevost.

Natychmiast napisał dwa listy: do Waleryi i do pani Dijon.

Tej doniósł, że jutro do niej nie przyjdzie. Prosił by ze swą siostrzenicą przybyła do kawiarni, gdzie można interes ubić.

Do Waleryi napisał, że Piotr musi koniecznie natychmiast przyjechać. Doniósł jej o wszystkiem i o tem, że znalazł tę, którą szukał.

Sam wysłał listy i spokojnie ułożył się do snu, w nadziei że prokurzysta i jego szpiedzy stracili za nim ślad i nie znajdą go.

I w rzeczywistości nie wiedział Guenter, gdzie się Sinobrody podział.

Ze sprawozdania agenta, który jako robotnik śledził hrabiego, wynikało że tenże udał się na dworzec. — Miałby wyjechać. Guenter wątpił, lecz Sinobrody nie wrócił do hotelu, ślad jego zaginął.

Guenter miał nadzieję, że przez pania Dijon znajdzie jego ślad. Posłał też agenta w ulicę, gdzie mieszkała pani Dijon z poleceniem, by mu natychmiast doniósł, gdy się zjawi Sinobrody.

Następnego dnia jednak nie stało się to. W złym humorze siedział Guenter wieczorem z prokurzystą. Wtem bez tchu nadbiegł agent i doniósł, że pani Dijon z drugą damą wyszły z domu.

— No i? przerwał Guenter. Był tam i Sinobrody.

— Nie! Ale owe panie zeszły się z nim gdzie indziej.

— A! — Gdzie?

Agent wymienił wielką znaną kawiarnię i dodał:

— Mój kolega jest tam i śledzi ich!

— Kto ta druga pani! — spytał Guenter.

— Nie wiemy! Przyjechała ona dzisiaj do pani Dijon! Zdaje się być młodą, ale jest bardzo gęsto zawelonowaną, nie mogliśmy poznać jej rysów.

— Dobrze, przyjdziemy! — rzekł Guenter. Agent oddalił się.

— Razem tam pójdziemy? — spytał prokurzysta.

Tak! pewnie ta młoda pani ma grać rolę hrabiny. Musimy ją więc oglądnąć.

Pojechali do kawiarni; prokurzysta przebrany, by go Sinobrody nie poznał. Guenter natomiast już bez maski hrabiego z prowincyi.

U wejścia do kawiarni oczekiwał ich agent.

— No co? — spytał Guenter szeptem.

— Pomyliliśmy się — odpowiedział agent. Nie Sinobrody, lecz obcy jakiś pan jest z tymi paniami.

Guenter stracił nadzieję.

— A może to przecież on! rzekł prokurzysta. Może się przebrał.

— Tak! — odpowiedział Guenter. Zobaczymy!

Weszli. W kawiarni tłum ludzi. Spostrzegli więc drugiego agenta, który w pośrodku stał oparty o słup i obojętnie przypatrywał się ludziom.

— Pokaż nam pan panią Dijon i jej towarzystwo! — szepnął doń Guenter.

— Tam w kącie przy oknie! — rzekł agent.

— Ta pani w ciemnej sukni jedwabnej i w wystrojonym kapeluszu — to pani Dijon...

— A ta druga? Zawelonowana? — spytał Guenter.

— Tej nie znam!

— Zbliżmy się! — zadecydował Guenter i pociągnął za sobą prokurzystę. W pobliżu stołu pani Dijon nie było jednak miejsca. Dopiero w oddaleniu dwóch stołów mogli Guenter i prokurzysta usiąść. Daremnie szukali za Sinobrodym. Pan, który siedział z panią Dijon i jej towarzyszką, był stanowczo obcy, który przypadkiem mógł usiąść przy tym samym stole. Czytał gazety nie troszcząc się wcale o swe towarzystwo.

Minęło pół godziny. Sinobrody nie przychodził. Guenter wątpił już czy wogóle przyjdzie. Nie wiedział przecież, że Sinobrody wyznaczył tym paniom dzisiaj schadzkę.

I panie poczęły się niecierpliwić. Rozglądały się po sali.

Teraz oddalił się ów obcy pan, który siedział z niemi przy stole. Natychmiast oparła pani Dijon jego krzesło o stół, na znak że miejsce to zajęte.

— Aha! — szepnął Guenter. Czeka więc na niego.

Wtem odsłoniła młoda towarzyszka pani Dijon welon, bezpieczna po oddaleniu się obcego pana. I cała twarz zwróciła w stronę śledzących każdy jej ruch.

W tej chwili stłumił prokurzysta okrzyk zdziwienia. Mimowoli zerwał się z siedzenia i wpatrywał się w młodą towarzyszkę pani Dijon. Na twarzy jego malowały się: zdziwienie, wątpliwość i radość.

— Co panu? — spytał Guenter. Siadajże pan. Zwraca pan na nas uwagę. Czego się pan tak wpatrujesz w ową młodą panią?

— Mój Boże! — Nie — nie — nie, to niemożliwe — szeptał wzburzony prokurzysta. Ona nią nie może być — a przecież...

— Co? — spytał Guenter. Mówże pan! Co się stało?

— Ta młoda pani tam, z panią Dijon, — szeptał prokurzysta drżącym głosem — tak, to ona, tak, to hrabina Gertruda!

— Boże! — człowieku co mówisz? To hrabina? Córka radcy komercyalnego?

— Przysiągłbym że to ona, chociaż — dziwnie zdaje się być zmienioną. Ogółem jednak: to jej postać, jej oczy, jej rysy. Nie, nie mylę się!

Tymczasem Guenter ochłonął ze zdziwienia. Przypatrywał się on rzekomej hrabinie i rzekł:

— Nie znam hrabiny Gertrudy. Lecz to pewnie ona, skoro pan tak mówisz. Chociaż nie pojmuję, skąd hrabina przychodzi do towarzystwa pani Dijon. Czy pan zupełnie pewny? Nie łudzisz się pan?

— Nie, nie! To ona!

— W takim razie — chodź pan! — rzekł Guenter. Da się pan hrabinie poznać.

W tej chwili wszedł Sinobrody, zdążająs do stołu, gdzie siedziały obie panie. Już zdjął prokurzysta swą fałszywą brodę, by go i rzekoma hrabina Gertruda poznała, gdy wtem padł nań wzrok Sinobrodego.

Hrabia poznał prokurzystę, zobaczył u jego boku obcego mężczyznę, bo Guentera nie znał. Od razu odgadł, po co oni tu przyszli. Na nic więc nie zdała się jego ostrożność.

Zdjął go strach i wściekłość. Prędko jednak opanował się i udając, że nie spostrzegł prokurzysty zbliżył się do pań i usiadł przy ich stole.

W tej chwili przystąpili do stołu także Guenter i prokurzysta.

ROZDZIAŁ 102.

ZAWIEDZIONA NADZIEJA.

Piotr zastał Waleryę w domu i doniósł jej o tem, co się stało na zamku Wildenfels. I Wa-

lerya się cieszyła, że usunięto nareszcie nietylko hrabiego Haralda, lecz także tego niebezpiecznego komisarza Greifa.

Piotr i Walerya spodziewali się, że z grobowca zamkniętych tam nic już nie ocali. Wesołą tę nowinę chciała Walerya natychmiast donieść swemu bratu do Paryża.

Piotr wrócił na zamek Wildenfels, gdzie za hrabią Haraldem i jego towarzyszami dotychczas nikt nie szukał. I następnego dnia nic nie zaszło. Służba nie wiedziała, że stary hrabia i jego towarzysze udali się do grobowca i wszyscy sądzili, że obcy już dawno opuścili zamek.

Tylko kasztelana Tomasza i starą Krystynę trapiły zabobonne strachy. Byli pewni, że ich pan i jego zwolennicy znaleźli śmierć od duchów, tam w wieży.

Wieczorem wyjechał Piotr znówu na zamek Waleryi. Oczekiwała go z niecierpliwością. Kiedy jej doniósł, że dotychczas nie przedsięwzięto żadnych poszukiwań, była zadowoloną.

— Jutro popołudniu mija dwa dni, odkąd tam siedzą — zauważyła. Należy się jednak spodziewać, że będą szukać za komisarzem Greifem. Gdyby on żywcem opuścił grobowiec, sprawa mogłaby wziąć niebezpieczny obrót. Bo Greif widział tam naturalnie wszystko.

— To się nie stanie — odpowiedział Piotr. Nim się ich uwolni, dawno już będzie po nich.

— Kto wie! — rzekła Walerya. Musimy mieć pewność, Piotrze!

— No, ale cóż możemy uczynić?

— Użyć zwyczajnego zupełnie środka, by im ułatwić śmierć — roześmiała się Walerya. Musisz im podać środki żywności — w kilka godzin po ich spożyciu żyć nie będą.

— Zrozumiałem! — rzekł Piotr i szatański śmiech wykrzywił jego twarz. Tak, dobry to plan. Tej więc nocy jeszcze, udam się do grobowca.

Chciał się oddalić, lecz Walerya zatrzymała go.

— Czekaj! Dziś wieczorem potrzebny mi będziesz. Ludwik Hecht napisał mi, że przyjdzie. Wiesz, czego on chce. Chcę i muszę się nareszcie uwolnić od tego niebezpiecznego ptaszka. Teraz nadarza się sposobność i ty Piotrze musisz mi pomódz!

Bez namysłu oświadczył Piotr swą gotowość i spytał:

— Czy sam przyjdzie czy ze swoim przyjacielem Kulasem?

— Prawdopodobnie sam — odpowiedziała Walerya. Spodziewa się przecież że nie zastanie tu ani mego brata, ani ciebie. Podczas naszej rozmowy będziesz ukrytym w sąsiednim pokoju, gotowy, kiedy mi będziesz potrzebny...

Ludwik Hecht i Kulas właśnie byli w drodze do zamku. Wieczór był dżdżysty, burzliwy i droga wśród ciemności bardzo uciążliwą.

Dość późno przybyli do zamku. Okna Waleryi były oświetlone.

W przedsionku rzekł Ludwik do swego towarzysza:

— Czekaj tu! jeżeli za godzinę nie wrócę, wiesz co masz uczynić.

Kulas ukrył się w kącie, że go nikt nie mógł widzieć, a Hechta zaprowadził służący do pokoju Waleryi.

Była sama. Ludwik rozglądnął się podejrzliwie i rzekł ironicznie:

— Jak widzisz, przychodzę sam, chociaż miałbym aż nadto powodów nie ufać ci!

— Tak, twe zaufanie wzrusza mnie — odpowiedziała Walerya szyderczo. — Lecz do rzeczy! Oszukałeś mnie, zamiast prawdziwej metryki ślubu dałeś mi bezwartościowy odpis. Że ci pieniądze potem odebrano — to była prawdziwa kara. Na tym punkcie jesteśmy kwita. — Żądasz teraz w liście, bym ci dała 50.000 marek. Uczynię to, ale tylko, skoro mi wydasz prawdziwą metrykę. Przyniosłeś ją chyba?

— Pozwól, kochana Waleryo. Musiałabyś sama wyznać, że jestem głupi. Gdybym przyniósł metrykę — odebrałabyś ją i wyśmiała mnie. A pieniądze — zdechł pies!

— Co? Nie masz metryki?

— Broń Boże, nie!

— Głupcze! — zawołała gwałtownie. Czego tu zatem chcesz?

— Posłuchaj, proszę! — rzekł Ludwik spokojnie. Zrozumiesz, że muszę być ostrożnym. Jeżeli mi wręczysz teraz 50.000, a nadto pisemne oświadczenie, że w przeciągu 6 miesięcy zapłacisz mi taką samą sumę dostaniesz za kilka minut metrykę.

— Tak? A skąd ją to tak prędko wytrzaskasz?

— Zawołam tylko mego przyjaciela, który jest w pobliżu.

— A! kolegę z więzienia — prawda? — spytała Walerya z bezgraniczną pogardą.

— Tak, jego właśnie! On ma metrykę!

— Dobrze! — zawołaj go!

— Jeszcze nie! Musisz najpierw spełnić mój warunek.

— I — przypuśćmy, że zgodzę się na to. Skąd mam pewność, że tym razem otrzymam prawdziwą metrykę? Pewnie podrobiłeś nową kopię i chcesz mnie znowu oszukać!

— Przysięgam, nie myślałem o tem! — za-

pewniał Hecht. Przekonasz się zresztą, że metryka jest prawdziwą.

Walerya zastanowiła się przez chwilę. Poczem rzekła z podstępnym uśmiechem:

— Żądasz więc wszystkiego 100.00. Zgodziłabym się na to gdybym miała pewność że mnie więcej nie będziesz nachodzić. Lecz przyrzeczenie twoje gołosłowne nie wystarcza mi.

— Czego więc chcesz? Jaką mam ci dać pewność?

— Muszę się obawiać, że się nie zadowolisz 100.000 i wnet wystąpisz z nową pretensyą.

— Jeżeli tego jesteś przekonania, w takim razie nie przyjdzie między nami do porozumienia. Oświadczam jednak, że jeżeli dzisiaj nie spełnisz mego warunku zrywam wszelkie układy.

— Więc idź! — zawołała Walerya.

— Dobrze! Jak sobie życzysz!

I zbliżając się ku drzwiom, rzekł:

— Sama sobie będziesz winna, jeżeli sprawa będzie miała nieprzyjemne skutki. Nie bój się, dostanę ja już owe 100.000. Bądź pewną.

Walerya zrozumiała jego groźbę. Zastąpiła mu drogę i zawołała, mierząc go wściekłym wzrokiem.

— Nie ruszysz się stąd! Nie myśl, że zezwolę na to, byś mnie zdradził!

— Zrobię co mi się podoba! — rzekł obojętnie. Zrzekam się zemsty, chociaż mnie dotknęłaś. Pieniądze dostanę od hrabiego Linderhof za niektóre objaśnienia, któremi mu posłużę.

— Ha ha! Do ministra pójdziesz? — zaśmiała się Walerya. Spróbuj. Będę tam przed tobą. Rzuć się więc w przepaść! Z wdzięczności za twe odkrycia odeśle cię hrabia do więzienia.

— E, głupstwo! — rzekł Hecht spokojnie. Pomyśl tylko o dziecku Agaty. Minister da przecież chętnie 100,000 jeżeli mu dostawię małego Waltera.

Walerya wpatrywała się w niego przerażona:

— Dziecko? — wykrztusiła. Ach ty łotrze! Więc porwałeś wtedy małego Waltera, a mnie oszukałeś, by mieć broń przeciw mnie?!

— Nie! ja dziecka nie porwałem

— Kto więc? — Idź zatem głupcze i zdradź się sam. Dostaniesz kilka lat więzienia.

Ludwik Hecht roześmiał się na to.

— Porwania dziecka nikt mi nie udowodni.. Ty sama nie oskarżysz mnie, milczeć będziesz we własnym interesie. Oświadczę tylko ministrowi, że mogę mu dostawić małego Waltera.

— Wątpię, czy możesz to uczynić.

— Ale mogę. Znam miejsce pobytu dziecka.

— Więc ono żyje?

— A pewnie!

— Dobrze więc! Daj mi dziecko, a przyrzekam milczeć i spełnić twe warunki.

Ludwik zastanawiał się.

— Chcesz czy nie? — zawołała Walerya szorstko.

— Tak! — oświadczył. Zgoda, jeżeli mi teraz dasz 50.000, po wydaniu dziecka jeszcze raz tę samą sumę, a w 6 miesięcy po twym ślubie znowu 100.000 za metrykę ślubną.

— Co? Naraz żądasz 200.000 marek?

— Sądzę że to sprawiedliwe żądanie.

— Bezwstydny łotrze! Dam ci 50.000, jeżeli otrzymam teraz od ciebie metrykę i przyrzekniesz oddać mi dziecko. Po wydaniu dziecka dostaniesz znowu 50.000. To ostatnie moje słowo!

— W takim razie pozwól, że się oddalę! — odpowiedział stanowczo. Zostaje mi wobec twej odmowy jedyna droga: zwrócić się do hrabiego.

Walerya drżała z wściekłości. Wzrok jej był groźny.

— Zastanów się, co mówisz! — zawołała. Jeszcze raz: chcesz czy nie?

— Nie!

Chciał wyjść. W tej samej chwili dała Walerya umówiony znak, drzwi się otwarły i stanął w nich Piotr, uzbrojony w sztylet, czekając tylko na skinienie Waleryi, by się rzucić na Hechta

Walerya szybko zamknęła drzwi i wyjęła klucz

— Tak! — rzekła. Zmuszę cię, byś spełnił mą wolę. Uprzesz się przy swem postanowieniu — biada ci! Tu ci nikt nie pomoże!

— Dobrze! —rzekł Ludwik wściekły. Zobaczysz, że ty musisz ustąpić.

— Ja? — zaśmiała się. Zapominasz, jeżeli zechcę, będziesz za chwilę trupem.

— Śmierć moja na nic ci się nie zda. Mój przyjaciel wie wszystko, więc on jutro odda ministrowi metrykę i potrzebne dokumenta. Dowie się hrabia Linderhof, że i w jaki sposób usunęłaś Agatę, a potem barona Jakóba Dowie się coś ciekawego, że Sinobrody jest właściwie służącym hrabiego Wildenfelsa i twoim bratem. A w końcu dowie się pan minister, że i w jaki sposób Sinobrody i Piotr zamordowali radcę komercyalnego.

— Oho! Kto mi to udowodni?! — zawołał Piotr szyderczo.

— Ja! mój kochanku! — rzekł Ludwik, Bo byłem w ową noc na zamku, podpatrywałem was i widziałem też jak ty i twój pan wrzuciliście trupa we worku do morza

Piotr zbladł i rzucił trwożliwe spojrzenie w stronę Waleryi, która rzekła groźnie:

— Tem gorzej dla ciebie, że wszystko wiesz. Widzę że niebezpiecznie dla nas, byś ty dłużej żył. Grozby twej się nie boję. Minister nie uwierzy tobie, ani twemu przyjacielowi. Postaram się zresztą o to, by tego zbiegłego szubienicznika wtrącono do więzienia, nim spełni twe zlecenie.

— Zapominasz, że kolega mój mówić będzie i że hrabia przecież o wszystkiem się dowie. Czy i tego się nie boisz?

W duszy przyznawała mu Walerya słuszność. Należało chyba ustąpić. Po chwili złowrogiego milczenia rzekła niechętnie:

— Dam ci pieniądze! — zawołaj twego przyjaciela i oddaj mi metrykę.

— Metrykę ja zachowam, dopóki nie zapłacisz drugiej raty — oświadczył Ludwik stanowczo i spokojnie.

Walerya zrozumiała że nie ma sposobu sprzeciwiać się.

— Muszę więc ufać twemu przyrzeczeniu — rzekła, starając się z trudem zapanować nad sobą. Czekaj tu! Przyniosę pieniądze.

Otworzyła drzwi i zniknęła w przyległym pokoju Ludwik i Piotr zmierzyli się spojrzeniem pełnym wściekłości i zaklęli przeraźliwie. Walerya wróciła. Trzymała w ręku kopertę, którą oddała Hechtowi i rzekła:

— Licz!

Spokojnie wziął Ludwik banknoty i liczył uważnie. Potem wstał i rzekł zadowolony:

— Wszystko w porządku kochana Waleryo. Nie masz się czego obawiać mnie, o ile sama nie wystąpisz wrogo. Obietnicy w sprawie dziecka dotrzymam. W najbliższym czasie otrzymasz odemnie wiadomość. A ponieważ jesteś niechętną mym osobistym wizytom, dlatego żegnam cię teraz, bądź zbrowa!

Podał jej rękę, której ona nie ujęła i rzekł ironicznie:

— Życzę ci z całego serca dużo szczęścia do ślubu z hrabią Edmundem Linderhof.

Walerya kazała Piotrowi wyprowadzić go z zamku.

— Dziękuję sam drogę znajdę!

Oddalił się uradowany. Postanowił jednak nie wspominać Kulasowi o otrzymanych pieniądzach, by się z nim nie dzielić.

Zaledwo Kulas i Hecht oddalili się, popędził Piotr na zamek Wildenfels, by tam spełnić zlecenie Waleryi.

Po północy przybył na zamek. Wszyscy już spali i nikt go nie zauważył, kiedy zaopatrzony w środki żywności i kilka flaszek wina, w które wsypał truciznę, kroczył do grobowca tędy, którędy poszedł był hrabia i jego towarzysze.

Był bardzo ostrożny. Otworzył drzwi do izby i przekonał się odrazu, że drzwi prowadzące do grobowca są jeszcze otwarte. Nie wolno mu było jednak wejść do grobowca, bo w takim razie uwięzieni pokonaliby go i uwolnili się.

Nie namyślając się długo, złożył na ławce kamiennej jedzenie i zbliżył się ku drzwiom do grobowca. Była tam cisza. Czy uwięzieni już nie żyją.

Ostrożnie otworzył drzwi i zwolna oświetlił latarnią podziemną kaplicę. Nikogo tu nie było. Tylko z grobowca dobywały się głuche jęki, pełne męk.

I łotra tego zdjął strach. Drzwi zostawił otwarte postawił świecącą się latarnię na ziemię i uciekł w korytarz. Tu zamknął za sobą drzwi żelazne i przy świetle drugiej latarni pospieszył w górę, w świat żywych.

Jeżeli jego nieszczęśliwe ofiary, zwabione światłem latarni, przyjdą do okrągłej izby, natenczas jeść będą przyniesione jadło i pić wino. Zmusi ich do tego głód i pragnienie. A skoro nawet dostanie się wtedy ktoś do grobowca, to pomoc będzie zapóźna.

ROZDZIAŁ 103.

Nadzwyczajna odwaga.

Wskutek wypadków wojennych nie mogli kapitan Brandenfeld, Józefa i Gertruda wrócić do ojczyzny.

Oddział, w którym się znajdowali, oblegał wraz z innymi Burami miasto Ladysmith nad którem pomknęły niegdyś Józefa i Gertruda w balonie w towarzystwie farmera..

Anglicy bronili się długo walecznie, mimo, że ich armia burska zamknęła tu ze wszystkich stron. Od południa nadciągał ze znaczną pomocą angielski generał Buller. Walki stawały się coraz zaciętsze nad brzegami rzeki Tagela i pochłaniały niezliczone ofiary w ludziach.

W jednej z takich walk Anglicy znowu ponieśli klęskę. Z pagórka, niedaleko od pola walki, ostrzeliwano — pod komendą kapitana Brandenfelda — nieprzyjaciół. Roztaczał się stąd straszny widok. Stosy trupów ludzkich i

końskich, jęczący ranni. Tu i ówdzie pojedyńcze jeszcze szeregi walczących rozpaczliwie — zapach prochu i dymu. Granaty wydzierały z szeregów angielskich najpiękniejszy kwiat młodzieży — kałuże krwi...

Nareszcie ucichło...

Resztki rozbitych Anglików uciekały ku miastu przed pogonią Burów.

Na pagórku, gdzie dowodził ranny kapitan Brandenfeld rozległa się komenda. Zaprzestano ognia. Nikt z ludzi nie zginął. Farmer, będący w pobliżu armaty, zawołał radosne "hurra!" które wszyscy powtórzyli.

Potem wszyscy uklękli i modlili się w skupieniu ducha. Był to widok wzruszający — te w pokorze nachylone głowy w modlitwie wśród zwolna milknącego huku dział.

I ze wszystkich piersi zabrzmiał hymn pochwalny i dziękczynny, dla tego, co walką kieruje.

"Chwała panu na wysokości!..."

Kapitan Brandenfeld i farmer zeszli z pagórka, by wśród oddziału sanitarnego odszukać Józerę i Gertrudę. Po licznych zachodach znaleźli wreszcie naczelnego lekarza, ten im powiedział, iż Józefa i Gertruda zostały prawdopodobnie przez Anglików wzięte do niewoli na polu walki.

— To niemożliwe! — zawołał kapitan. Anglicy nie wezmą przecież do niewoli członków Czerwonego krzyża" i to kobiety. Byłoby to pogwałceniem wszelkich praw międzynarodowych.

— A przecież to uczynili! — rzekł oficer, który się właśnie zbliżył. Wzięli do niewoli oddział sanitarny, w którym znajdowały się też owe dwie pani.

— To zbrodnia! natychmiast poproszę naszego generała, by zażądał wydania jeńców!

Udali się —kapitan Brandenfeld i farmer — do namiotu generała Jouberta.

Od obecnych tu oficerów dowiedzieli się, że wysłano już do Anglików parlamentarzystę, któryby zażądał wydania nieprawnie pojmanych.

Postanowili czekać, aż poseł wróci. Wrócił dopiero późnym wieczorem.

Szybko zbliżyli się ku nim, a kapitan Brandenfeld spytał wzburzony:

— Czy to prawda, że moja siostra i jej przyjaciółka zostały wzięte do niewoli?

— Tak, panie kolego! — odpowiedział poseł.

— A jaką pan przynosisz odpowiedź?

— Anglicy odmówili wydania pojmanych!

— Co?!— Nie do uwierzenia!

Parlamentarzysta wzruszył ramionami i oddalił się do namiotu generała.

— Zamelduj pan generałowi, że jestem tu! — zawołał za nim kapitan Brandenfeld.

Po kilku minutach zostali kapitan i farmer przyjęci przez generała. Siedział przy stole za łożonym planami i mapami. Generał podał im rękę i rzekł do kapitana Brandenfelda:

— Czy pan wie, że Anglicy odmówili wydania pań? Na razie nic w tej sprawie uczynić nie można. Nie możemy też liczyć prędzej na ich uwolnienie, dopóki nie zdobędziemy miasta Czy i kiedy się to stanie — Bóg jeden wie Jeżeli się pan boi o ich życie i bezpieczeństwo, może spróbujesz uwolnć je na własną rękę!

— Tak! uczynimy to! — zawołał farmer. Chodź kapitanie. Dostaniemy się do miasta i albo wrócimy z nieszczęśliwymi kobietami, albo nie wrócimy wcale!

— Nie należy jednak nieostrożnie narazić się na niebezpieczeństwo! — rzekł generał. Wystarajcie się o angielskie uniformy. Nie będzie o to trudno. Nadto weźcie ten tu plan miasta dla oryentacyi — I z Bogiem!

Farmer i kapitan oddalili się i rozpoczęli przygotowania do drogi.

Zbliżyła się już północ, przed brzaskiem dnia należało się ze wszystkiem uporać. Wypytali pojmanych żołnierzy angielskich, nie mogli jednak zasięgnąć poważniejszych informacyi.

Kapitan Brandenfeld przebrał się w mundur oficera angielskiego a farmer w mundur kaprala artyleryi. Na koniach przybyli w towarzystwie garstki Burów do ostatnich przed nich straży, stąd już sami poszli piechotą dalej.

Przybyli nareszcie do miasta, będącego zupełnie w stanie wojennym. Bez hałasu posuwali się dalej, ostrożnie, starając się nie zwracać na siebie uwagę.

Wtem nagle wynurzyły się ciemne postacie i błysnęła broń.

— Stój!!— zawołano i tuzin strzelb skierowano w stronę odważnych Burów.

— Swój! — odpowiedział kapitan Brandenfeld. Wracamy z pola walki!

W jednej chwili otoczyli ich żołnierze angielscy. Kapral angielski na widok kapitana salutował i zakomenderował:

— Puścić!

—— Daj nam pan jednego ze swoich ludzi! — zwrócił się kapitan Brandenfeld do kaprala angielskiego, Trudno nam iść dalej, zwłaszcza dla mnie. — Jestem ciężko ranny!

— Wedle rozkazu, panie kapitanie

Kapral odkomenderował dwóch żołnierzy, którzy wzięli kapitana.

Farmer użył podstępu; obwiązał głowę i nogę w skrwawioną chustkę i kulejąc wlókł się za nimi.

Zbliżano się ku obwarowaniom. Wszelkie straże puściły ich bez trudności. Przed jedną szopą leżała w pogotowiu większą straż z oficerem na czele.

Oficer przyglądał się zdziwiony zbliżającym się.

Farmerowi biło serce ogromnie ze strachu. A jeżeli oficer nie da się oszukać— jeżeli ich pozna? Wtedy straceni bez ratunku.

Ale mundury i ich pewność omyliły czujność oficera, który uścisnął dłoń kapitanowi Brandenfeldowi, ciesząc się, że się nie dostał do niewoli.

— Niech kolega poczeka! — rzekł usłużnie. Każę kolegę powozem odwieść do lazaretu:

— Dziękuję! — odmówił kapitan. Jeszcze się trzymam na nogach wcale dobrze. Kapral mój jest ze mną.

Oddalił się. Oficer patrzał za nim aż zniknęli w ciemnej ulicy.

Pozostali tu także 3 żonierze angielscy.

— Dotychczas wszystko dobrze! — szepnął do farmera kapitan Brandenfeld. Teraz jesteśmy w mieście. Trzeba tylko jeszcze odszukać Gertrudę i Józefę.

— Tak — mówił farmer. Łatwośmy się tu dostali. Czy jednak równie łatwo potrafimy się stąd wydostać? Zwłaszcza z kobietami.

— I one muszą się przebrać — zmienią się na oficerów angielskich! — odpowiedział kapitan. Lecz — dokąd idziemy?

Przystanęli i rozglądali się dokoła. Przed nimi rozciągała się mała wązka przestrzeń Obozowali tu żołnierze.

Stąd prowadziły ulice do środka miasta.

Postanowili udać się na rynek i tam zasięgnąć języka. Na rynku stał kościół, obecnie zamieniony na lazaret, i ratusz przepełniony oficerami i żołnierzami. Wszędzie stały działa. Także pod gołem niebem obozowali żołnierze.

W pobliżu kościoła spytał kapitan Brandenfeld jednego z żołnierzy:

— Powiedz mi kochanku, wzięto część burskiego oddziału sanitarnego do niewoli — co?

— Tak — panie kapitanie! Sam byłem przypadkiem przy tem.

— Hm! tak. tak! Były tam i kobiety — co?

— Tak jest! Dwie kobiety. Nadto 2 lekarze i sześciu asystentów.

— Czy wiesz, gdzie tych ludzi umieszczono?

— Kobiety, panie kapitanie, są w kościele, zajęte rannymi. Resztę rozmieszczono w lazarecie na dworcu kolejowym.

Kapitan podziękował mu i kazał się oddalić.

— Tu więc w kościele są! — zawołał. Chodźmy! Ale musisz przyjacielu zdjąć wprzód swe bandaże, bo doktór angielski może mieć ochotę, zbadać twą ranę!

Weszli do kościoła.

Pełno tu było rannych. Kilka latarni i świec słabo oświecały szeroką przestrzeń. Rozlegały się jęki, lekarze i ich pomocnicy mieli bardzo wiele pracy.

Brandenfeld zobaczył Józefę, zajętą u łoża chorego. Gertrudy nie mógł odszukać.

— Szukaj pan za Gertrudą! — rzekł do farmera. Ja tymczasem rozmówię się z mą siostrą.

Zbliżył się ku niej. Józefa oglądnęła się wprawdzie, lecz nie poznała swego brata w obcym mundurze.

— To ja, Józefo; — rzekł szeptem.

— Aleksander!?—zawołała prawie że przerażona.

— Cicho! Nie zdradź nas. Jestem tu z farmerem. Chcemy was ocalić. Lecz gdzie jest Gertruda?

— Tam! — rzekła Józefa, wskazując w kąt kościoła. Była tak zdziwiona i wzruszona, że nie mogła ani słowa więcej wymówić.

Nikt na nich nie zwracał uwagi. Józefa zapomniała zupełnie o rannym powierzonym swej opiece, który zresztą leżał bez przytomności. Chciała rozmawiać ze swym bratem lecz nie była to odpowiednia ku temu pora.

— Gdzie możemy się tu niespostrzeżenie rozmówić? — przerwał kapitan jej pytania.

— Chyba tylko na wieży. Bo tu nie ma wolnego miejsca.

— Dobrze! W pół godziny odszukaj mnie tam. Oczekujemy cię!

— A Gertruda? Co się z nią stanie?

— Bądź spokojną! I ona zostanie uwolnioną!

Kapitan zbliżył się do Gertrudy, której już farmer dał się poznać. Wezwał i ją, by przyszła na wieżę, poczem oddalił się z farmerem. Stąd dostali się na pustą wieżę. Było tu ciemno.

W dole znaleźli rozmaitą połamaną broń, tornistry, i podarte części mundurowe. To na

nic nie mogło im się przydać. Szukali dalej, malemi drzwiami dostali się znowu do kościoła, a stąd ciemnym korytarzem do zakrystyi. I tu wiele rannych.

Poszli dalej. Nareszcie znaleźli kilka możliwych jeszcze mundurów

Z tych zabrali niespostrzeżenie 2 i udali się na wieżę.

Niedługo potem zjawiły się tu też Gertruda i Józefa.

Spieszmy się! — rzekła Józefa Wnet spostrzegą naszą nieobecność i zaczną nas szukać.

— Tak, uciekajmy natychmiast! — prosiła Gertruda, drżąc na całem ciele. Grozi nam niebezpieczeństwo Słyszałam jak oficer angielski mówił, że to my jesteśmy szpiegami z Kapstadt.

Wszystkich zdjął strach.

— Przedewszystkiem musicie się przebrać — rzekł kapitan. Tu są dwa angielskie mundury. Spieszcie się!

Mężczyźni wyszli za drzwi, podczas gdy kobiety się przebierały, bardzo pomału, bo we wieży było ciemno. Tymczasem w kościele już szukano za niemi i niebezpieczeństwo rosło. Za chwilę wtargna do wieży.

Stało się to też w rzeczywistości, zjawiło się kilku żołnierzy. Kapitan, który prędko odzyskał równowagę odciągnął swego towarzysza ode drzwi i postąpił ku żołnierzom, którzy ze światłem w ręku przeszukiwali każdy kąt.

— Za kim szukacie? — spytał.

— Za pojmanemi kobietami burskiemi, panie kapitanie! —odpowiedział żołnierz. Zniknęły z kościoła!

— Szkoda trudu! Spotkaliśmy je właśnie na rynku. Szły w stronę dworca.

Podstęp udał się. Żołnierze oddali się. Lecz niebezpieczeństwo było groźne.

Kapitan szedł do ciemnej wieżycy i pomógł kobietom w przebraniu się. Podczas tego farmerowi udało się powstrzymać innych żołnierzy od przeszukania tego miejsca.

Zeszli nareszcie na ulicę. Kobiety były nie do poznania.

— Spieszmy się! — naglił kapitan. Wnet nas będą ścigać, bo Anglicy z łatwością odgadną, że to myśmy ułatwili paniom ucieczkę.

— Nie łatwo wydostaniemy się z miasta— rzekł farmer. Przedewszystkiem musimy się rozłączyć. Bo w czwórkę straże nas z pewnością zatrzymają.

— Słusznie! — potwierdził kapitan. Pan z Gertrudą wyjdziecie jedną bramą, ja z Józefą spróbujemy przedostać się drugą.

Pożegnano się. Farmer i Gertruda oddali się wnet zniknęli w ciemnościach.

Wtem dały się słyszeć szybkie kroki, to żołnierze. Kapitan pociągnął swą siostrę w ciemną sień. Żołnierze minęli ich i skręcili w ulicę, którą poszli farmer i Gertruda

— Oby im się ucieczka udała — rzekł Aleksander Brandenfeld.

Poszli dalej, rozważając plan ucieczki. Przez bramę pewnie ich nie puszczą.

Posuwali się wzdłuż wewnętrznych obwarowań. Tu prowadziła wąska ciemna ulica, która nagle skończyła się u bramy, strzeżonej przez silną straż.

Minęli ją bez przeszkody, dzięki mundurowi oficerskiemu kapitana. Za bramą ciągnął się wał dalej. Pa pewnym czasie napotkali szereg domów, tyłem zwróconych do okopów. Domy były niezamieszkane, tylko w niektórych stali żołnierze.

Aleksander powziął szybko plan. Udali się do ostatniego domu. Mimo ciemności bo aby się nie zdradzić, nie można było zaświecić światła, dostali się schodami aż na strych. Tu okienkiem wydostali się na płaski dach domu.

Przed nimi wznosił się wał obronny, ale już nie tak wysoki, tak że ręką wyciągniętą mogli dosięgnąć jego szczytu.

Już chciał Aleksander pierwszy się spuścić, gdy nagle rzucił się plackiem i pociągnął za sobą Józefę.

Na okopach odbywali właśnie straż dwaj żołnierze. Lecz nie zauważyli oni skradających się i oddalili się.

Teraz pora była pomyślna. W pobliżu nie było nikogo. Jak cienie dostali się na wał. Teraz należało spuścić się po drugiej stronie. Było to przedsięwzięcie trudne i niebezpieczne.

Spuszczali się ze skały na skałę.

— Prędko teraz, na miłość Boską, w dół! — zawołał Aleksander.

Józefa zebrała resztki odwagi. Puściła skałę, której się trzymała i przymknęła oczy. Spuszczała się po twardych poszarpanych kamieniach. Ręce jej się krwawiły, podarła ubranie, lecz dostała się szczęśliwie na dół.

Wtem w górze na wale wynurzył się żołnierz. Nachylił się i spoglądnął w dół.

— Kto tam? —zawołał, gotując się do strzału.

Chwila strasznego niebezpieczeństwa. Jeżeli żołnierz strzeli, straceni. Wstrzymali oddech i przytulili się do wału.

Żołnierz w przekonaniu, że się pomylił, oddalił się. A oni rozpoczęli znowu swą wędrówkę, wspinając się przez groble i wały. Co chwila groziło im niebezpieczeństwo, że

ch straż odkryje. Nareszcie jakby cudem dostali się poza szańce, byli uratowani. Przed nimi leżała równina, za nią obsadzone przez Burów góry. Po krótkim spoczynku maszerowali dalej.

Szukali farmera i Gertrudę. Daremnie. Czy im się też uda uciec z miasta? A może są już w obozie Burów.

Józefa z trudnością tylko posuwała się dalej. Siły jej były wyczerpane. Ręce i nogi poranione. Wtem ozwał się wśród nocy tętent koni. Zbliżali się jeźdzcy. Uciekający rzucili się na ziemię. Zapóźno. Widziano ich. Czy to przyjaciel, czy wróg? Nie mogli jeszcze rozeznać jeźdzców wśród ciemności.

ROZDZIAŁ 104.

Pod ziemią.

Stary hrabia i jego towarzysze nie przeczuwali, że ich Piotr śledzi. Przez kaplicę dostali się do owego ponurego sklepienia, gdzie stały trumny w długim szeregu.

Nie słyszeli, jak Piotr poszedł za nimi nawet do kaplicy i jak się później oddalił i zamknął za sobą żelazne drzwi.

Greif śledził każdy kąt, przypatrywał się każdej trumnie i czytał zatarte już napisy.

Ale nie było śladu żon Sinobrodego, które tu miały spoczywać.

W końcu dostali się do silnie zamkniętych drzwi żelaznych. Tu kończył się grobowiec.

Greif spytał hrabiego:

— Czy wie pan, dokąd te drzwi prowadzą:

— Tak! klucze moje otworzą te drzwi— brzmiała odpowiedź hrabiego, który natychmiast wyszukał odpowiedni klucz i drzwi otworzył. Prowadziły one do wąskiej, wilgotnej izby. W tyle leżały schody kamienne, prowadzące w górę.

Był to przesionek grobowca, gdzie niegdyś drzwiami spustnemi strącił był Sinobrody Gertrudę w dół. Tu też znalazła była Gertruda owe trzy trumny, odkryte pierwotnie w górnem sklepieniu, które atoli za jej drugiem wtargnięciem do grobowca zniknęły.

Greif przypatrywał się dokładnie miejscu, w którem się znajdowali.

Dziwne! Izba zupełnie pusta. Trumien nie było. Gdzie je też Sinobrody ukrył.

Przybyli nie wiedzieli wprawdzie nic o tych trumnach. Mieli jednak ciągle wrażenie, że grozi tu straszne odkrycie.

Greif zbliżył się ku schodom i spytał hrabiego, dokąd one prowadzą.

— Tam w górze leży sklepienie, służące dawniej za kaplicę — wyjaśnił hrabia. Tam odprawiano msze święte i spuszczano stamtąd trumny w dół do grobowca.

— Chodźmy tam — rzekł Greif

—To niemożliwe! — odpowiedział hrabia, zatrzymując Greifa. Są tam drzwi spustne, których z wnętrza otworzyć nie można.

Greif nie dał za wygraną.

— Kto wie — rzekł — może w międzyczasie zmieniono te drzwi spustne i ich zamek. Może tam w górze znajdziemy to, czego tu daremnie szukamy.

Wszedł pierwszy na schody, a za nim jego towarzysze. Na jednym z górnych stopni zatrzymał się Greif i nachylił się. Zobaczył błyszczący przedmiot, który podniósł.

Był to ozdobny złoty pierścień, z czerwonym rubinem. Pierścień był zgięty, jakby stratowany ciężką stopą. Na pierścieniu, na wewnętrznej ścianie, wyraźnie były wyryte litery G. W.

Zdziwiony przypatrywał się temu Greif. Skąd też wziął się tu ten pierścień, tu gdzie od tylu lat nikogo nie było? Kto też ten pierścień mógł zgubić?

— Przypuszczam, że pierścień ten należał do jednej z żon Sinobrodego — rzekł Greif. Czy do hrabiny Gertrudy? Na to wskazują litery G. W. Czy hrabina nie nazywała się też Wendland, jak jej ojczym?

— Boże! pierścień ten wskazuje na straszne tajemnice! — zawołał hrabia.

Greif schował pierścień do kieszeni i rzekł poważnie:

— Może pierścień ten posłuży do rozwiązania tych strasznych zagadek. Niewątpliwie hrabina Gertruda była tu sama. Czy żywa, czy nieżywa, mógłby zeznać jeden tylko Sinobrody.

— Nie należało łotra tego puścić — rzekł hrabia. Raczej zmusić go, by z nami tu poszedł.

— Jaką korzyść by nam to przyniosło? — odpowiedział Greif. Czy hrabia sądzi, że Sinobrody uczyniłby jakiś zeznanie? Zresztą nie wymknie się on nam. I w Paryżu każdy jego krok jest śledzony.

Zbliżyli się ku drzwiom spustnym. Daremnie usiłowali otworzyć je. Musieli znowu zejść na dół.

— Znaleźliśmy więc tylko pierścień! — westchnął niechętnie. A przecież jestem przekonany, że tu się znajdują nieszczęsne ofiary

Sinobrodego. A może należy je szukać tam w górze, w sklepieniu?

— Trzeba się przekonać — rzekł hrabia. Lecz dostać się tam możemy tylko przez wieżę, którą Sinobrody kazał zamurować.

— Dobrze! zawołamy ludzi, którzy otworzą zamurowane drzwi wieży — zadecydował Greif. Chodźmy więc!

— Jeszcze nie cały grobowiec przeszukany — zauważył hrabia. Część zwróconą ku morzu możemy zaraz zobaczyć.

— Naturalnie! — zawołał Greif.

Zeszli do grobowca, posuwali się między trumnami. Nagle zwrócił hrabia uwagę Greifowi:

—Widzi pan, wygląda to tak, jakby rozbito tu tę trumnę. Tu na ziemi leży wieko.

Zdziwiło to Greifa. Nachylił się i przekonał się, że pod wiekiem jest skrzynia z blachy cynkowej. Podnieśli wieko i na widok, który się im przedstawił, cofnęli się przerażeni.

W skrzyni cynkowej leżał zgniły już całkiem trup pradziada w pełnym mundurze. Był to ten sam trup, który swego czasu Gertruda i Józefa wyjęły z trumny, by trumną właśnie wypłynąć na morze.

Nowe to odkrycie zdziwiło wszystkich niezmiernie.

— Jasne jak słońce, że nieboszczyka tego wyjęto z trumny — rzekł po chwili Greif. Ale na co? A gdzie trumna?

Było to nierozwiązalna zagadka. Daremnie szukano za trumną. Nakryto nieboszczyka, poczem poszli dalej,w przejście prowadzące ku morzu. Na końcu tego przejścia było zupełnie jasno.

Był to czas odpływu, morze opadło, tak że przejście było zupełnie suche.

Hrabia i Greif zatrzymali się nagle. Tuż przy wyjściu leżała jakaś nieforemna masa, wywołująca straszne wrażenie, tak, że nawet odważnego Greifa zdjęła trwoga.

— Co to? — szepnął. Czy to jakiś potwór, wyrzucony przez morze?

Chwiejnym krokiem zbliżali się wszyscy ku dziwnemu przedmiotowi.

— Wielki Boże! — zawołał nagle hrabia. To człowiek!

Okrzyk zgrozy zamarł na ustach wszystkich. W grubym długim worku tkwił trup człowieka. U góry i w kilku innych miejscach był worek rozdarty. Sterczała głowa, okryta siwym włosem. Widocznem jednak było, że trup zniszczony do niepoznania, pewnie już dłużej leżał w wodzie.

Zgrozą zdjęci i strachem wpatrywali się wszyscy w nieboszczyka.

— Straszne odkrycie — szepnął Greif. Czyj to trup?

— Prawdopodobnie rozbitka, którego wyrzuciły tu fale — rzekł hrabia.

Greif, który przypatrywał się trupowi uważnie, był innego zdania.

— To nie rozbitek — rzekł stanowczo. Skądby się dostał do worka. Sądzę, że mamy tu do czynienia ze zbrodnią. Nieszczęśliwiec ten został zamordowany, zbrodniarz wsadził go do worka i wrzucił w morze.

Wskazał na kamień, wyzierający z dołu z worka.

— Patrzcie — mówił dalej. Morderca napełnił worek kamieniami, by jego ofiara została na dnie morza. Tymczasem worek się popsuł i kamienie wypadły. Fale tutaj zagnały trupa, który jest wprawdzie milczącym lecz strasznym oskarżycielem zbrodniarza.

— Ale nie uda się więcej wpaść na ślad mordercy, ile że nie wiemy, kto ten zamordowany — rzekł stary hrabia.

Greif zamyślił się. Powstała w nim nagle myśl straszna i radosna zarazem. Było prawdopodobnem, że morderstwa tego dokonano na zamku Wildenfels, — w takim razie to ofiara Sinobrodego. Więc może ojczym Gertrudy, radca komercyalny Wendland?

Myśl ta nasuwała mu się gwałtownie.

— Tak! — zawołał wzburzony. To nie ulega wątpliwości. Ten nieboszczyk, to nikt inny, jak tylko teść Sinobrodego, radca Wendland.

— Wielki Boże! — zawołał hrabia. Panie komisarzu, przecież jeszcze nie stwierdzone, że radca Wendland nie żyje!

— To nie ulega wątpliwości — odpowiedział Greif. Zresztą dokładne badanie nieboszczyka potwierdzi moje przypuszczenie.

— Lecz musi to być badanie sądowe — zauważył hrabia. A do tego czasu nieboszczyk nie może tu zostać bo by go fale z pewnością porwały na morze.

— Słusznie, sprowadzimy nieboszczyka do grobowca.

Uczynili to Detlew i Brand i trupa nakryli wiekiem, zdjętym z trumny. Potem rzekł Greif:

— Nasze zadanie tu skończone. Nie znaleźliśmy wprawdzie zamordowanych żon Sinobrodego, ale za to inną ofiarę tego nędznika. A teraz wróćmy w górę.

Wracali tą samą drogą. W kaplicy rozglądnął się Greif i tak rzekł do hrabiego:

— Przypominam sobie, że przyjaciel pana z Afryki, który się podał za pana, w ostatniej swej godzinie mówił o ważnych dokumentach, które tu miał zostawić. Może przeszukamy tę przestrzeń.

— Tak, przyjaciel mój w rzeczywistości posiadał dokumenta, dla mnie nader ważne — odpowiedział hrabia. Słyszałem też, że miał przebywać tu w grobowcu. Takie przynajmniej wskazówki, dał koledze pana, panu Winterowi. Lecz kto wie — może to były tylko majaczenia gorączkującego.

Przeszukano kaplicę dokładnie. Z dokumentów nie było śladu. Natomiast odkryli niewątpliwe ślady, że żyli tu ludzie.

Nareszcie postanowili opuścić grobowiec.

Lecz daremnie szukał stary hrabia drzwi. Były zamknięte, a że z tej strony były wybite kamieniami, więc trudno było odróżnić drzwi od ściany.

— Miłosierny Boże! — wykrztusił hrabia. Jesteśmy zamknięci. Drzwi tych, które się pewnie same zamknęły, nie potrafimy otworzyć.

Zgroza zdjęła wszystkich.

— Zamknięci?! — zawołał Greif. Nie to niemożliwe. Drzwi otworzymy. Spróbujemy wszyscy.

I przy pomocy Branda i Detlewa starła się drzwi otworzył.

Lecz daremnie. Przekonano się, że drzwi zamknięte były z drugiej strony. Odkrycie to wywarło na wszystkich przygniatające wrażenie.

— Kto to uczynił? Wielki Boże, jesteśmy zgubieni! — zawołał hrabia z rozpaczą.

— Tylko Piotr! — zawołał Greif. Więc niepomyliłem się poprzednio. Łotr ten szedł za nami i zamknął nas. — I co teraz? Czy jest jeszcze inne wyjście? — spytał hrabiego, który posępny upadł na stołek.

— Nie! — odpowiedział. Dla nas nie ma ratunku. Chyba, że rozpoczną za nami poszukiwania.

— Uczynią to natychmiast, tego jestem pewny! — rzekł Greif. Wiedzą przecież na zamku, dokąd się udaliśmy.

— Ale nikt nie zna drogi — zauważył hrabia. Nie mam żadnej nadziei! Jesteśmy zgubieni, jeżeli Pan Bóg nie zdziała cudu.

Mijały godziny. Rozpacz zdjęła nieszczęśliwych. Latarnia zwolna zagasała. Ratunek nie zbliżał się.

I Greif stracił nadzieję. Nareszcie zgasły latarnie. Zaległy ciemności grobowe. Nikt nieważył się przerywać grobowej ciszy

ROZDZIAŁ 105

Fałszywa hrabina

Szybko zdecydowany usiadł hrabia Sinobrody przy stole naprzeciw pani Dijon i jej siostrzenicy. Widział zbliżające się niebezpieczeństwo i zrozumiał, że tylko przytomność umysłu może odwrócić katastrofę.

Rzucił okiem na twarz młodej dziewczyny, siostrzenicy pani Dijon i zdziwiło go nadzwyczajne jej podobieństwo z jego żoną Gertrudą. Odzyskał odwagę. Nachylił się nad stołem i szepnął:

— Czy siostrzenica pani wtajemniczona?

— Tak, panie hrabio. Betlina wie o wszystkiem! — odpowiedziała pani Dijon.

— I zgadza się?

— Pewnie! — to znaczy...

— Proszę pani! — przerwał Sinobrody, zwracając się do siostrzenicy pani Dijon. Ujął rękę młodej dziewczyny i szepnął szybko.

— Niech pani uważa! Ma pani grać rolę mej żony Gertrudy. Śledzą nas i już ze chwilę obejmie pani tę rolę. Odważnie więc lecz tak że ostrożnie. Najmniejsza nieostrożność może wszystko popsuć i zgubić nas.

— Mój Boże! — zawołała pani Dijon z trwogą. Panie hrabio, kto nas śledzi...?...

— Cicho! o tem potem! — Widzi pani tego człowieka tam — wskazał ukradkiem na prokurzystę. — On przystąpi do nas i zapyta panią o rozmaite rzeczy. Lecz nie mów pani ani słowa. Ja będę mówił. Musisz jednak być bardzo grzeczną dla tego człowieka, bo to prokurzysta mego teścia.

Młoda dziewczyna zrozumiała dokładnie jego wskazówki, które jej dał bardzo szybko.

Cała ta scena odegrała się bowiem w przeciągu dwóch minut zaledwie. I już zbliżył się prokurzysta w towarzystwie Güntera. Siedzący przy stole udawali, że nie zwracają na nich uwagi.

Teraz rzekł Sinobrody głośno do swej sprzymierzonej:

— Tak, kochana Gertrudo! Jak chcesz. W najbliższych więc dniach opuszczamy Paryż. Zatrzymamy się jednak także na zamku Wildenfels, by ludziom udowodnić, że żyjesz. Potem pojedziemy do twej ojczyzny, by szukać za twym ojczymem. Może on tymczasem znowu wypłynął na świat. W śmierć jego nie wierzę.

Z rozmysłu mówił głośno, by słyszał te słowa Günter i prokurzysta. Mimowoli nadsłuchiwali

i dopiero gdy Sinobrody zamilkł, wysunął się prokurzysta. Na jego widok udała rzekoma hrabina Gertruda nadzwyczajne zdziwienie.

A kochany panie Hermanie! — zawołała radośnie. Pan tu — w Paryżu? Co za niespodzianka!

Wstała i podała mu rękę na powitanie. Prokurzysta skłonił się głęboko.

— Pani — rzekł drżącym głosem. Jakże się cieszę, że pani żyje!

— A tak. Mój mąż mówił mi już, że pan i inni uważają mnie za umarłą — uśmiechnęła się. Byłam też chorą i pewnie jestem bardzo zmienioną — nieprawda, panie Hermanie?

— O, nieznacznie! Tylko głos inaczej brzmi.

— Tak! To wskutek choroby!

Dotychczas hrabia Sinobrody milczał. Podziwiał pewną i mistrzowską grę tej dziewczyny. Nagle wstał i oparłszy się o stół zmierzył prokurzystę groźnym wzrokiem:

— Tu pana widzę? — rzekł zły. Pojechał pan więc za mną..No i co? Bardzo pan rozczarowany? Jak pan widzi, że żona moja żyje!

— Tak, panie hrabio. Dotychczas nie wierzyłem— odpowiedział prokurzysta spokojnie. Postępowanie pana było też dziwnem...

— Teraz możesz pan więc tym wszystkim mędrcom powiedzieć, żem nie zabił mej żony! — przerwał Sinobrody szyderczo. A panu radzę, byś w przyszłości nie śledził mnie i byś był ostrożniejszym w swych przypuszczeniach, bo źle się to może skończyć

— Panie hrabio, wie pan przecież jaki był mój cel..

— Już dobrze! A teraz zabierz się pan z łaski swojej. Ani ja ani żona moja nie mamy z panem zresztą nic do gadania.

— Ależ Haraldzie! — zawołała fałszywa hrabina.

Sinobrody skinął ręką by milczała.

— Słyszał pan — zawołał brutalnie. Zabieraj się!

Prukurzysta pobladł, lecz opanował się. Wzrokiem pełnym litości spojrzał na rzekomą hrabinę i rzekł drżącym głosem:

— Pani, odchodzę, by ci oszczędzić przykrej sceny. Wiem, jak mnie pani szanuje. Może kiedyś znajdę sposobność, by mówić z panią o twym ojcu.

— Pewnie mój przyjacielu — rzekła szybko. Napiszesz mi pan, proszę cię. Zresztą, jeżeli się tu więcej nie zobaczymy, to omówimy wszystko w domu.

Skinęła mu głową. Sinobrody patrzał ponuro za oddalającym się prokurzystą. Günter nie brał udziału w tej scenie, by tem spokojniej módz całe zajście obserwować.

Sinobrody uważał za stosowne oddalić się się z paniami, wsiedli do powozu. Sinobrody podał woźnicy swój adres Günter stał z prokurzystą w pobliżu. Słyszeli, dokąd się oni udali, lecz nie mogli się zdecydować, czy tam za nimi iść.

— Niema celu! — mówił prokurzysta. Z hrabiną mówić nie możemy. Sam hrabia jest rubaszny. Nie pojmuję, jak jego żona może z nim szczęśliwie żyć.

— Wątpię, czy to wogóle jest hrabina Gertruda — rzekł Günter stanowczo.

— Ależ proszę pana, tu pomyłka wykluczona — odpowiedział prokurzysta. Nie mylę się — nie nie! Wszystko to bardzo dziwne, jej zniknięcie i powrót, ale to ona!

— Nie miał pan żadnych wątpliwości, gdyś z nią mówił — pytał Günter. Nic nie wzbudziło w panu najmniejszego podejrzenia?

— Nie, tylko jej głos był zmieniony. Ale to zrozumiałe. Choroba głos zmieniła.

— Hm! a mnie się zdaje, że hrabina mówi po niemiecku z silnym francuskim akcentem.

— To wskutek jej pobytu we Francyi!

— Może! — rzekł Günter. Musimy mieć pewność. Chcę zbadać, skąd tak nagle tu hrabina się zjawiła. Przypuszczam, że postarała się o to pani Dijon.

— Nie wierzy więc pan, że to prawdziwa hrabina Gertruda?

— Wierzę silnie, że to wszystko oszustwo

Słowa Güntera nie minęły bez wrażenia. Po namyśle musiał prokurzysta wyznać, że dziwne zmiany zaszły w istocie całej rzekomej Gertrudy.

— Dobrze — rzekł nagle. Musimy uzyskać pewność. Ale to może się tylko mnie udać. Bo pan nie znasz ani hrabiny Gertrudy ani jej przeszłości. Półgodzinna rozmowa z nią starczy, bym poznał czy to ona, czy nie

— Sinobrody oszustkę w międzyczasie pouczy, tak że nie zostanie winną żadnej odpowiedzi — zauważył Günter.

— O, znajdę tysiące drobnostek, o których Sinobrody nie ma pojęcia. Jutro pójdę do niej i będę się starał mówić z nią w cztery oczy.

— Bądź pan ostrożnym! — ostrzegał Guenter. Pamiętaj o losie radcy komercyalnego. Teraz pan jesteś Sinobrodemu przeszkodą, jak niegdyś radca.

— E, nie tak łatwa sprawa ze mną!

— Mimo to będę pana strzegł, jakbyś był najgorszym opryszkiem — śmiał się Guenter. Boję się poważnie, że Sinobrody czyha na pana.

Niedługo zajechał Sinobrody ze swymi towarzyszkami do hotelu i zamówił jeszcze dwa pokoje dla swej żony i jej służącej.

Wnet usiedli we wspaniale urządzonym salonie i rozpoczęli wzburzoną rozmowę. Siostrzenica pani Dijon oświadczyła, że chce grać i nadal swą rolę. Sinobrody powiedział jej wszystko, co ma czynić i mówić.

— Odtąd więc, skoczył swe długie przemówienie nazywasz się pani nie Betlina Dijon lecz "Gertruda hrabina Wildenfels". Niezła zamiana sądzę!

Betlina uśmiechnęła się chłodno i rzekła poważnie i stanowczo:

— Panie hrabio, zgadzam się na wszystko tylko pod jednym warunkiem. Nie tylko chcę się nazywać żoną pana, lecz chcę nią także być w rzeczywistości. Musisz mnie więc poślubić zupełnie formalnie, jeżeli chcesz, by mnie świat uważał za twą żonę.

Pani Dijon zadowolona była ze swej mądrej siostrzenicy:

— Tak, tak, — mówiła. Sprawiedliwe to żądanie moje dziecko.

Sinobrody milczał zbity z tropu. Warunek ten nie podobał mu się wcale. Zrozumiał jednak, że musi się na niego zgodzić.

— Dobrze! — rzekł niechętnie. Pojedziemy do Anglii, gdzie się pobierzemy. Tu albo w mej ojczynie to niemożliwe.

Betlina zgodziła się. Coraz wyraźniej występowała jej natura zimna, podstępna, obliczona na korzyść. Chociaż się jej Sinobrody nie podobał, bez wahania zgodziła się zostać jego żoną. Nęciły ją bogactwa i tytuł hrabiny Wildenfels.

Sinobrody sprowadził rozmowę na prokurzystę:

— Niebezpieczny to człowiek! — rzekł. Miej się przed nim na baczności, Betlino! Nie wdawaj się z nim w rozmowę, bo cię pozna. Wciągnie cię na pytania, na które nie potrafisz odpowiedzieć. Unikaj zatem osobistego zetknięcia się z nim.

— Ale on z pewnością spróbuje mówić że mną w cztery oczy. A jeżeli mam rolę swą należycie odegrać, nie mogę go odprawić.

— Ale ja to uczynię! — zawołał Sinobrody. Odprawię go w ten sposób, że mu to starczy po wszystkie czasy — dodał z szatańskim wyrazem twarzy, tak że się Betlina mimowoli cofnęła.

— Na miłość Boską! — zawołała przerażona Nie popełniaj pan zbrodni!

— Głupstwo! — śmiał się wymuszenie. Najlepiej pani napisze do niego list, by nie obudziło się w nim podejrzenie. Musi pani jednak dokładnie naśladować pismo Gertrudy. Daj pani wzór. Napisze mu pani, że wracamy do ojczyzny i tam będziesz z nim mówić

— Możliwe że przyjdzie tu do hotelu. Wtedy musiałabym go przyjąć.

— Broń Boże! Powie mu się, że nas niema w domu.

Po krótkiej pauzie rzekła Betlina:

— Mówiłeś pan, panie hrabio, że żona pańska Gertruda jest dziedziczką wielkiego majątku?

— Tak, gdyby żyła odziedziczyłaby majątek po swym ojczymie.

— Zatem teraz ja jestem spadkobierczynią jako hrabina Gertruda.

— Tak! Zagarnie pani majątek radcy komercyalnego. To też jest celem całej tej komedyi. Tylko sprawy stoją nieco inaczej.

— Co takiego? — spytała pani Dijon.

— Prosta rzecz. Betlina nie będzie miała prawa rozporządzać majątkiem. Przekaże wszystko przedtem mnie, swemu mężowi.

— To krzywda, panie hrabio! — zawołała pani Dijon.

Sinobrody zachował spokój.

— A czego wy właściwie chcecie? — spytał. Wystarczy chyba, że zrobię z Betliny hrabinę Wildenfels. Jako taka ma też oczywiście równy udział w moim majątku.

— Pewnie , nie kłóćmy się o to! — zauważyła Betlina. Wszystko się już ułoży. Kiedy jedziemy?

— Jutro wieczorem.

— Do Anglii? — pytała Betlina.

— Tak!

W przeciągu kilku dni zatem będę oficyalną żoną pana, panie hrabio — rzekła i podała mu rękę, uśmiechając się czarodziejsko. Do tego czasu — jesteśmy i między sobą niepobrani.

— Już dobrze! — śmiał się Sinobrody cynicznie. Spodziewam się że przyjdzie do porozumienia.

Betlina skinęła mu kokieteryjnie głową jeszcze, opuściła swój pokój w towarzystwie pani Dijon, by się udać na spoczynek.

Twarz Sinobrodego sposępniała. Wzburzony chodził po pokoju.

— Poznałem twe zamiary — szepnął. Ale łudzisz się. Spodziewasz się, że mnie uczynisz swym niewolnikiem? Ha, ha! A będziesz tylko narzędziem w moim ręku. Nie zostaniesz ty hrabiną. A jeżeli będziesz mi za zuchwałą lub niewygodną — potrafię uczynić cię nieszkodliwą.

— — — — — — — — — — — —

Następnego dnia zjawił się prokurzysta w hotelu. Kazał Kelnerowi zaanonsować się hrabinie Wildenfels. Kelner wrócił i zaprosił go do salonu. W kilka minut później zjawiła się tu pani w szumiącej sukni jedwabnej. Była to pani Dijon.

Zbliżyła się ku niemu z uśmiechem i rzekła:

— Niestety. Hrabiny nie ma w domu. Wyjechała ze swym mężem. Wiadomość ta była mu nie na rękę.

— Czy mogę popołudniu złożyć hrabinie swe uszanowanie? — spytał.

— Nie radziłabym — odpowiedziała. Hrabia przyjmie pana niechętnie. Bardzo jest wzburzony. Ponadto chciała pani hrabina napisać panu dzisiaj, byś zechciał dopiero w domu zgłosić się u niej. Państwo bowiem w najbliższych dniach wyjeżdżają tam.

— Trudno. Chociaż wołałbym z wielu przyczyn dzisiaj rozmówić się z panią hrabiną.

— A! — rzekła pani Dijon podstępnie. Jeżeli to są sprawy ważne, mogę pośredniczyć. O wszystkiem wiernie hrabinie doniosę.

— Załuję! — odparł prokurzysta chłodno. Nie mamy się czego spieszyć. Zaczekam z mojemi wiadomościami, póki nie będę miał sposobności osobiście mówić z hrabiną.

Pani Dijon udała obrażoną

— Jak się panu podoba! Zaznaczam tylko, że cieszę się zupełnym zaufaniem hrabiny.

— Nie wątpię! Chociaż znajomość pani z hrabiną nie od dawna się datuje.

— Skąd pan o tem wiedzieć możesz?

— No, przed wyjazdem hrabiny do Paryża nie znałaś jej pani przecież?!

— Nie! Ale hrabia przywiózł wówczas swą chorą żonę do mnie.

— Do pani? Tak — tak! — rzekł prokurzysta z dziwną ironią. Hrabia sam zeznał w prawdzie, że żona jego przebywa w sanatoryum niejakiego doktora Simona.

Pani Dijon przestraszyła się, lecz prędko odzyskała przytomność:

— Tak! tam też przebywała hrabina przez krótki czas!

— Nie pani! To nieprawda! — rzekł prokurzysta, patrząc na panią Dijon przenikliwym wzrokiem. Wie pani o tem również dobrze, jak i ja.

— Mój panie! Ja —nie rozumiem pana! — zawołała pani Dijon oburzona.

— Również nie jest prawdą — mówił prokurzysta, nie dając się zbić z tropu — jakoby hrabina była kiedykolwiek w opiece pani. Wiadomości moje są pewne. Dopiero przedwczoraj zjawiła się hrabina w domku pani. Czy zechce i może pani wytłómaczyć mi, gdzie hrabina przedtem była?

Pani Dijon pobladła i straciła na chwilę równowagę.

— Panie! — wykrztusiła nareszcie. Mówisz pan ze mną w sposób, który — który — ja — ja nie jestem obowiązaną zdać panu sprawę!

Prokurzysta zaśmiał się pogardliwie.

— Nie spodziewam się wyjaśnienia od pani. Proszę powiedzieć pani hrabinie, że niedługo dam o sobie znać. I bez pomocy pani dowiem się o wszystkiem.

Skłonił się i poszedł.

— Boże! — zawołała pani Dijon przerażona. Człowiek ten wszystko odkryje.

— Bądź pani spokojną! — odezwał się głos Sinobrodego, który nadsłuchiwał w sąsiednim przedpokoju. Nic on nie odkryje. Postaram się o to!

Pod hotelem czekał na prokurzystę Guenter. Kiedy dowiedział się o treści jego rozmowy z panią Dijon rzekł niezadowolony:

— Za wiele pan zdradziłeś! Dałeś do poznania, że obudziło się w tobie podejrzenie. Sinobrody będzie teraz miał się na baczności przed panem.

— Ach, zaprawdę — teraz podzielam już prawie zdanie pana. Hrabina zdaje mi się podejrzaną. Nie spocznę póki jej nie zobaczę na własne oczy.

— Tylko spokojnie! — rzekł Guenter. Nie wymkną się oni nam. Nasi agenci śledzą ich każdy krok. Jeżeli więc hrabstwo opuszczą Paryż dzisiaj lub jutro dowiemy się o tem zaraz.

— A co teraz poczniemy?

— Przedewszystkiem musimy zbadać, skąd się właściwie wzięła ta rzekoma hrabina. Wtedy dowiemy się też, jak ona się nazywa. Mam już punkt oparcia. Obowiązkiem pana zaś jest, nie spuszczać z oka Sinobrodego i owych kobiet.

Rozłączyli się. Guenter, który dowiedziawszy się, na który dworzec przyjechała siostrzenica pani Dijon, udał się tam.

Od konduktora któremu dokładnie opisał wygląd dziewczyny, dowiedział się że wsiadła do pociągu na stacyi oddalonej od Paryża o 8 mil. Natychmiast postanowił Guenter pojechać do tej miejscowości. Ponieważ mógł wrócić dopiero następnego dnia, zawiadomił listownie prokurzystę o swym zamiarze i najbliższym pociągiem odjechał.

Wieczorem tego samego dnia odjeżdżał z dworca wschodniego w Paryżu pociąg pospie-

szny. Ruch panował wielki. Jeszcze tylko kilka minut do odejścia.

— Wytworna para, wysoki mężczyzna i elegancka, wysmukła kobieta, zawelonowana, wsiadła do przedziału pierwszej klasy. W ich towarzystwie była również mocno zawelonowana pani, która ich pożegnała.

— Proszę wsiadać! — upominali konduktorzy.

W tej chwili wpadł na peron jeszcze jeden spóźniony pasażer. Rozglądał się uważnie dokoła. Wtem przystąpił do niego szybko służący i ujął go za ramię.

Prokurzysta, on to był owym pasażerem, stanął.

— A to pan, Latour! — rzekł, poznawszy w służącym jednego ze swych agentów. Właśnie otrzymałem telegram pana. Sinobrody odjeżdża zatem ze swą żoną.

— Tak, tam wsiadają do przedziału.

— Jadę za nimi — szepnął prokurzysta. Czy to pani Dijon, która się z nimi żegna?

Agent potwierdził i rzekł:

— Weź mnie pan ze sobą! Mogę się okazać potrzebnym.

— Nie! Musisz pan tu śledzić panią Dijon. W razie potrzeby, zatelegrafuję. Donieś pan o wszystkiem panu Guenterowi.

Ostatni sygnał. Świst lokomotywy i pociąg ruszył.

Prokurzysta skoczył szybko. Odtrącił urzędników i nie zważając na ich przestrogi wskoczył na schodki wozu, którym jechał Sinobrody ze swą towarzyszką i wsiadł do sąsiedniego przedziału. Zauważyła go i poznała pani Dijon, która skinęła wyglądającej z okna Betlinie. I ta zobaczyła jeszcze prokurzystę i również go poznała. Prędko oddaliła się od okna i zwróciła się ku Sinobrodemu.

— Straszny ten człowiek prześladuje nas — szepnęła. Jest w sąsiednim przedziale.

— Kto?

— Prokurzysta!

Sinobrody zaklął przeraźliwie. Uśmiechnął się jednak wnet szatańskim uśmiechem.

— Pozbędziemy się go! Bądź spokojną! Czy sami jesteśmy w wozie?

— Zdaje mi się! Nikt zresztą nie wsiadł — wykrztusiła przerażona Betlina.

— Musimy skorzystać ze sposobności i uwolnić się od niego raz na zawsze! Bez namysłu! Zgubi on nas, jeżeli...

— Na miłość Boską! — zawołała Betlina. Co pan chcesz uczynić? Nie — nie! Tylko to nie!

Drżała na całem ciele. Strasznie jej było w towarzystwie tego zbrodniarza.

Sinobrody kazał jej usiąść. Byli sami. Nikt ich nie mógł podsłuchać. Tłómaczył jej swój plan i zakończył słowami:

— Jeżeli go nie uczynimy nieszkodliwym, natenczas wszystko stracone! Stracone twe nadzieje. A pomyśl tylko jaka cię czeka przyszłość! Bogactwa, przepych i zaszczyty. Chcesz się tego wyrzec? —W takim razie wróć do swej ciotki. Znajdę ja inną — mniej trwożliwą!

— Zrób co chcesz! — rzekła ledwie dosłyszalnym głosem. Zgadzam się na wszystko.

ROZDZIAŁ 106.

U FARMERÓW.

Z radością zbliżała się Agata ku mężczyznom, którzy zatrzymali się przed domem i przypatrywali się jej zdziwieni.

Był to starszy mężczyzna i młody człowiek ubrani jak myśliwi. Byli nadzwyczaj zdumieni na widok Agaty i jej towarzyszy, nie mogąc pojąć, skąd się oni tu wzięli.

— Patrz, Alfredzie! — rzekł starszy. Co to za ludzie? Dziwnie wyglądają.

— Prawdopodobnie rozbitki ojcze! — odpowiedział młodszy.

W tej chwili stanęła przed nimi Agata i rzuciła się do nóg starszego.

— Zlitujcie się! — błagała. Przyjmijcie nas. Dzicy nas prześladują!

Starszy mężczyzna podniósł Agatę i spytał grzecznie:

— Skąd przychodzicie? Jesteś pani Niemką, jak na to wskazuje język którym mówisz. Zatem jesteś naszą krajanką. Lecz odzież pani świadczy o tem, że zdaleka przychodzisz. Pewnieście rozbitki?

— Tak, tak! — rzekła Agata i w krótkości opowiedziała swe losy.

— Cudem tylko ocaliliście się przed dzikimi! — rzekł starszy farmer. Znamy tych zbójów, niejedną walkę musieliśmy z nimi stoczyć. Należy się też spodziewać, że niedługo tu się zjawią.

— Trzeba zatem natychmiast poczynić przygotowania! — zauważył Alfred. Wyślemy posłańca do przystani by nam natychmiast wysłano pomoc.

Ojciec zgodził się. Zaprowadzono Agatę i Delię i Jussufa do domu i ugoszczono serdecznie.

— Sami tu mieszkamy — tłómaczył stary

Agacie. Jest jeszcze tu z 20 czarnych z żonami i dziećmi, jako nasza służba. Dobrzy to spokojni ludzie, lecz nieużyteczni w walce z dzikimi. Prowadzimy handel wymienny z ludami które w głębi kraju mieszkają. Przynoszą nam kość słoniową i inne rzeczy, a my im dostarczamy towarów do najbliższego portu. Oddalony on atoli o 20 mil. Gdyby nas dzisiaj dzicy zaczepili to przed jutrzejszą nocą pomoc nie nadejdzie.

W takich warunkach udałaby się Agata najchętniej już do najbliższego portu. Lecz droga ta była bardzo uciążliwa, nadto należało się obawiać napadu dzikich. Zdecydowali się więc zostać u farmerów aż do nadejścia pomocy.

Młody Murzyn został natychmiast wysłany do portu. Już w kilka godzin służba farmerów doniosła, że dzicy się zbliżają.

Uzbrojono się natychmiast. Oszańcowano możliwie dom, dokąd sprowadzono wszystkie kobiety i dzieci.

Wnet pokazali się dzicy w wielkiej liczbie na czółnach na rzece.

Z gór nadciągała większa jeszcze grupa. Ci rzucili się ze strasznym krzykiem na budynki mieszkalne dzikich. Na szczęście nikogo nie było. Dzicy podpalili te chaty, które w krótkim czasie zupełnie spłonęły.

Poczem przypuścili dzicy szturm do domu. Przyjęto ich tu gradem pocisków. Wkrótce pierzchnęli wśród przeraźliwych krzyków i zniknęli w zaroślach, by tam w ukryciu czekać, aż noc zapadnie.

Położenie farmerów i ich gości było bardzo poważne. Murzyni byli bojaźliwi i nie umieli używać broni palnej. Cała obrona spoczywała więc w ręku farmerów i Jussufa.

Dzikich było ze 100, więc w znacznej przewadze.

Gdy noc zapadła opuścili znowu swe kryjówki. Agata i Delia siedziały z Jussufem w pokoju przy oknach. W drugiej izbie czuwali farmerzy, ojciec i syn, a Murzyni podzielili się po innych ubikacyach domu.

Nie zaświecono światła, by w ciemności łatwiej się uchronić przed zatrutemi strzałami dzikich. Także Agata i Delia uzbroiły się. Wnet poczęto strzelać do dzikich.

I oni odpowiedzieli gradem pocisków, które jednak utkwiły w drzewie, w okiennicach.

Wnet jednak zbliżyli się dzicy — mimo strzałów — tak bardzo, że niektórzy z nich poczęli się wspinać na galerye domu, gdzie byli umieszczeni Murzyni. Ci popadli w popłoch, zwłaszcza że ciągle padały na galeryę pociski które kładły ich trupem.

Zjawili się nareszcie na galeryi farmerzy i poczęli z broni palnej ostrzeliwać łukowników którzy znowu pierzchnęli i poczęli uciekać.

Jakiś czas panował spokój. Dzicy stracili 12 ludzi. Nad ranem poznali jednak farmerzy, iż nieprzyjaciel nie cofnął się. Nagromadzili dzicy mnóstwo suchego drzewa i chróstu, by dom podpalić.

— Jeżeli się im to uda, rzekł farmer do Agaty — jesteśmy zgubieni!

Rozpoczęto na nowo ostrzeliwać dzikich. I ci przypuścili nowy szturm do domu, musieli się jednak szybko cofnąć. Jednak późno popołudniu odważyli się na nowy szturm. Ukryli się za chróstem i ciskali pociski w stronę galeryi. Równocześnie jedna z wieży chróstowych zbliżała się — niewidzialną ręką poruszana — ku domowi.

Na płaskim dachu domu ustawili się farmerzy i Jussuf. Stąd spostrzegli 6 dzikich posuwających tę wieżę chróstową. Każdy z nich wziął na cel 2 głowy i nagle padło bezpośrednio po sobie 6 strzałów.

Zniknęły trzy głowy. Za drugą salwą padła i reszta trupem.

Straszne krzyki napełniły powietrze i chmura pocisków runęła w stronę dachu, gdzie jednak obrońcy rzucili się plackiem, tak, że ich strzały nie dotknęły.

Za wieżą chróstową schroniło się znowu kilku dzikich, tak że ich nie widziano i poczęli ją posuwać ku domowi.

— Ognia! zakomenderował stary farmer.

Padły strzały, lecz uderzyły tylko w chróst który się teraz szybciej posuwał.

— Darmo, jesteśmy tu bezsilni! — westchnął farmer. Zejdźmy i strzelajmy znowu z okien.

Gdy zeszli w dół chróst był już tuż obok domu. Znowu padły strzały, tym razem skutecznie. Lecz nagle z kupy suchego drwa i chróstu począł się unosić dym i wnet buchnęły płomienie.

Dzicy tryumfowali. Dorzucili suchego drwa. Dokuczliwy, duszący dym unosił się w powietrzu i przedostawał się otworami do wnętrza domu. Farmerzy musieli odstąpić od okien i wszyscy cofnęli się na galerye, gdzie jeszcze można było wytrzymać.

Tymczasem zapadła noc.

— Jeżeli wnet pomoc nie nadciągnie, jesteśmy zgubieni! — rzekł farmer. Bo wkrótce dom stanie w płomieniach.

— Lepiej zginąć wśród pocisków dzikich, niż w ogniu! — zawołał Jussuf. Spróbujmy, mo że się przebijemy.

— Na to jeszcze czas! — odpowiedział far

mer. Spodziewam się, że przecież nadejdzie pomoc.

Tymczasem zapaliła się już frontowa ściana domu. Dzicy poczęli posuwać chróst po stronie, gdzie się znajdowała galerya. Nieszczęśliwi strzelali, lecz daremnie, dzicy nie pokazywali się, ukryci byli za chróstem.

Na galeryach cisnęli się Murzyni, ich żony i dzieci głośno narzekali, a coraz nowe pociski padały ze strony dzikich.

Niebezpieczeństwo rosło. Ogień obejmował już i galeryę. Zamknięci powzięli rozpaczliwy zamiar. Postanowili przedostać się przez gromadę dzikich. Był to ostatni sposób ratunku. Wszyscy rzucili się ze schodów na dół.

Dzicy wszyscy poczęli rzucać pociski na uciekających. Ci skupili się i rozpoczęli strzelaninę, która zmiotła wprawdzie kilka głów, lecz nieprzyjaciele nadciągali coraz nowi. A ich zatrute pociski kładły trupem to Murzyna — to kobietę lub też dziecko.

Za nimi dom w płomieniach, przed nimi dzicy. Śmierć zdawała się być niechybną. Nagle Jussuf jęknął i runął na ziemię strzała przeszyła mu serce.

Przypadła doń Delia.

— Jussuf! — zawołała w strasznej rozpaczy. Boże! On kona!

Konający ujął jej rękę i wyszeptał:

— Nie opuszczaj naszej pani.

Wyzionął ducha. W bezgranicznym bólu przytuliła się doń Delia. Cóż ją teraz życie obchodziło?

Coraz bardziej ścisnęli dzicy małą garstkę walecznych którzy z nadzwyczajną odwagą bronili się przeciw przemocy.

W chwili jednak, gdy Jussuf runął, ozwał się w dali tętent koni. Oddział jeźdźców wjechał nagle w szeregi dzikich. Padły strzały i nieprzyjaciel pierzchnął na wszystkie strony.

— Bogu dzięki! Pomoc — zawołał stary farmer.

Jeźdzcy, w liczbie 20 urządzili wśród dzikich straszną rzeź. W przeciągu kilku minut zasłali trupami pole, reszta uciekła w popłochu.

— Jesteśmy ocaleni — zawołała Agata i łkając padła na ziemię u boku zmarłego Jussufa.

ROZDZIAŁ 107.

W TRWODZE.

Było to rankiem a trzeci dzień odkąd Greif ze starym hrabią i towarzyszami udali się na zamek Wildenfels.

U łoża Wintera siedziała Katynka i jej ojciec. Winter wprawdzie miał się lepiej lecz stan jego był ciągle poważny. Prawie ciągle leżał bez przytomności.

Pielęgnowały go Katynka i Marta.

Gerhard wiedział o planie starego hrabiego i komisarza Greifa. Dziwił się, że oni jeszcze nie wrócili. Bał się nieszczęścia.

Katynka uspokajala go:

— Mają wielkie trudności, by się dostać do grobowca. A może wczoraj wieczorem wrócili już do miasta.

Lecz Gerhard nie mógł się pozbyć trwogi i rzekł:

— Pójdę do domu starego hrabiego, muszę się przekonać, czy już wrócił.

Nim jeszcze opuścił pokój, nadszedł doktór Kloc, w towarzystwie obcego, który się przedstawił jako urzędnik kryminalny.

— Czy jest już wiadomość od hrabiego i komisarza Greifa — zapytał doktór Kloc.

Gerhard zaprzeczył. Właśnie chcę iść do mieszkania starego hrabiego — rzekł.

— To bezcelowe — odpowiedział urzędnik — byliśmy tam wczoraj i dzisiaj zrana, nie wrócili jeszcze ze zamku Wildenfels. Woźnica, który ich odwiózł, powiedział nam, że kazali mu odjechać. Jesteśmy niespokojni o nich.

— Pewnie stało się nieszczęście — zawołał Gerhard — trzeba natychmiast udać się na zamek Wildenfels.

— Uczynię to też natychmiast — zadecydował urzędnik.

— Ja pana odprowadzę — przerwał Gerhard — spieszmy się.

Pojechali jeszcze w towarzystwie tajnego agenta i około południa stanęli w zamku Wildenfels.

— Najpierw należy wybadać kasztelana Tomasza — radził Gerhard. — On da nam najpewniejsze informacye!

Przy powozie na podwórzu zostawili agenta i udali się do mieszkania Tomasza.

Kiedy szli przez podwórze zamkowe wynurzyła się z okna piątrowego twarz, która wnet zniknęła. Był to Piotr. Zrozumiał odrazu, jaki cel ma ich przybycie .

— Za późno przychodzicie — zaśmiał się — oni tam w grobowcu już dawno nie żyją.

Ukrył się w odpowiedniem miejscu, którędy musieliby przejś, udając się do grobowca.

Kasztelan Tomasz był w towarzystwie Krystyny. Ta ucieszyła się bardzo na widok Gerharda, który natychmiast podał powód ich przybycia.

— Ach, Boże — zawołała Krystyna. I my

jesteśmy niespokojni o ich los. Zaraz po przybyciu tutaj udali się do grobowca i odtąd zaginął o nich wszelki słuch. Boję się...

— I nie poczyniliście dotychczas żadnych poszukiwań — przerwał komisarza. Mój Boże, co się tu stało? Jak można też było tak tę sprawę lekceważyć?

— Cóż mieliśmy uczynić — rzekł kasztelan. Nie znamy drogi, którą oni udali się do grobowca.

— Należało już wczoraj donieść o tem policyi — odpowiedział komisarz gniewnie. Była to lekkomyślność, jeżeli spotkało ich nieszczęście, to wasza w tem wina.

— Nie panie — rzekł Tomasz spokojnie — oni sami winni, jeżeli ich tam nieszczęście spotkało. A spotkało ich niewątpliwie.

— Mówcie wyraźnie — zawołał komisarz. Co za nieszczęście?

— Czy pan nic o tem nie wie, co opowiadają o grobowcu na zamku Wildenfels?

— Nie, co to ma wspólnego z naszą sprawą?

— O proszę mój panie — przerwała Krystyna. Tam w dole duchy żon Sinobrodego, mówiłam im. Nie słuchali... Duchy im złe wyrządzili... tak, nie chcieli słuchać mych przestróg — teraz...

— Głupstwo! — rzekł komisarz. To zabobon! Nic im duchy nie uczyniły. Boję się raczej, że tu działała zbrodnicza ręka ludzka. Nie wiecie, czy Piotr jest w zamku?

— Piotr? Niech go Bóg uchowa! — zawołała Krystyna. Łotra tego tu niema!

— Nie gadajmy dużo! — zauważył komisarz. Pomoc szybka tu konieczna. Pokażcie nam drogę do grobowca.

— Istnieje tylko jedna przez wieżę — oświadczył kasztelan. Ale hrabia Sinobrody kazał drzwi zamurować. A drogi, którą poszedł hrabia ze swymi towarzyszami nie znam.

— Nie mamy czasu na poszukiwania — przerwał komisarz. Wybierzemy znaną wam drogę przez wieżę. Drzwi trzeba odmurować.

Wybiegł i zwołał służbę.

— Wziąć narzędzia i wszyscy do roboty! — rozkazał. Chodzi o ocalenie 4 ludzi!

Służba usłuchała i wszyscy, także Gerhard zabrali się do roboty. Lecz kamienie były twarde i silne, a mur bardzo gruby. Trwało dość długo, nim usunęli pierwszy kamień, potem robota szła już prędzej.

Komisarz się niecierpliwił. Oglądał każdy kąt, był po raz pierwszy w tym zamku. Wtem wzrok jego padł na okno w niezamieszkanem skrzydle. Spostrzegł tam twarz człowieka szydercze wykrzywioną.

— Patrzcie! Co to za wstrętna twarz! Kto to też jest?

— Piotr! Morderca Piotr! — zawołał Gerhard, który go odrazu poznał. W tej chwili cofnął się Piotr od okna.

Dalej! — zawołał komisarz do służby. Musimy ująć tego łotra! Wyjął rewolwer i popędził za nim służba, także Gerhard wziął udział w dzikiej pogoni, która się teraz rozpoczęła. Przy wieży nikt nie został.

Piotr który zmiarkował że go szukają, popędził ku izbie, gdzie było wejście na schody, prowadzące na tajną drogę do grobowca. Tu się chciał ukryć, bo miejsca tego nikt ze służby nie znał. Słyszał już za sobą pogoń. Padł strzał. Piotr biegł, ile mu sił starczyło. Zeskoczył ze schodów i skręcił w korytarz ponury, o wielu zakrętach.

Tu go pogoń musiała stracić z oczu. Na końcu korytarza otworzył drzwi i stanął w sieni przed ową tajemniczą izbą.

Otworzył drzwi, z wnętrza zasunął zasuwkę. Dysząc cieżko, nadsłuchiwał. Pogoń się zbliżała. Teraz stali pod drzwiami. Próżno starali się otworzyć. Piotr słyszał wyraźnie ich rozmowę:

— Zamknięte! Tęty łotr nie uciekł. Pewnie inną drogą. Szukajmy dalej.

Oddalili się. Piotr odetchnął. Był w bezpiecznem schronisku.

Po dłuższem czasie zaprzestali poszukiwania i wrócili do wieży. Lecz komisarz nie tracił nadziei i zostawił w niezamieszkałej części straż 2 ze służby i swego agenta.

Wrócono do roboty około drzwi wieżowych które też wnet odmurowano. Trzeba jeszcze rozbić zamek, bo klucza nie było. Po dłuższem natężeniu i to się udało, drzwi się otworzyły.

Objęła ich ciemność grobowca. Ciężkie zgniłe powietrze nie pozwoliło im w pierwszej chwili odetchnąć. Przyniesiono latarnie i weszli do wnętrza nie bez uczucia trwogi.

Służba drżała w zabobonnym strachu. Stary Tomasz nie miał odwagi przejść próg. Przeżegnał się i mruknął kilka niezrozumiałych słów.

Komisarz i Gerhard pierwsi poszli w głąb. Zobaczyli przy świetle wysokie drzwi żelazne, a na nich trupią głowę.

— Tu musi być wejście — rzekł komisarz. Odwrócił się i zawołał na służbę:

— Hej ludzie! Tutaj — do mnie! Zamek ten trzeba rozbić!

Lecz nikt ze służby nie miał odwagi wejść.

Komisarz krzyczał i beształ, nareszcie kazał przywołać agenta. Ten nie okazał żadnej trwogi. Zabrano się do roboty, lecz daremnie.

— Trudno! — rzekł Gerhard. Musimy sprowadzić dobrego ślusarza.

— Ależ nim on przyjdzie minie 5 godzin — odpowiedział komisarz zrozpaczony.

Lecz nie było rady. Wysłano służącego do miasta po ślusarza.

Tymczasem komisarz dalej pracował około drzwi, już przy pomocy służby, która nareszcie zaczęła się wstydzić swego zabobonu i głupiej trwogi. Lecz usiłowania spełzły na niczem.

Zapadł wieczór. Wszyscy zmęczeni udali się na wieczerzę. W dwie godziny później zajechał powóz ze ślusarzem i jego pomocnikiem, a służący wrócił konno w towarzystwie żandarma. Ślusarz zbadał zamek, sporządził szereg wytrychów. Daremnie.

— Nie ma innej rady rzekł — nareszcie. Trzeba sporządzić nowy klucz.

— Ach, Boże! Jak długo to potrwa? — zawołał komisarz.

— Najwyżej pół godziny.

Majster zrobił odcisk z wosku, przymierzył jeden z najpodobniejszych kluczy, piłował próbował drzwi otworzyć, znowu piłował, zapuścił klucz i zamek oliwą. Nareszcie klucz pasował. Drzwi otworzyły się z trzaskiem.

— Dzięki Bogu! — zawołał komisarz radośnie.

Latarnie oświeciły kamienne schody. Zeszli w dół. Tu znowu drzwi żelazne. Za niemi leżało owe straszliwe sklepienie, gdzie niegdyś Gertruda odkryła była 3 trumny. Dalej ciągnął się grobowiec.

Po dłuższem natężeniu dopiero udało się otworzyć i te drzwi.

Śmiertelny strach zdjął wszystkich, gdy weszli w to straszne sklepienie, które uważali za grobowiec. Lecz nie zobaczyli tu żadnej trumny. Daremnie też szukali za drzwiami.

— Zdaje się, żeśmy fałszywą drogę obrali! — zawołał komisarz. To nie grobowiec.

Nikt tego miejsca nie znał. Komisarz szedł wzdłuż ścian i uderzał w nie młotem, w nadziei że w ten sposób odkryje jakieś tajemne drzwi. Drzwi spustnych nie znalazł. Wprawdzie widział dźwignię, do podniesienia tych drzwi, próbował ją podnieść. Lecz daremnie, bo Sinobrody z rozmysłu popsuł mechanizm dźwigni, by nikt drzwi spustnych nie mógł otworzyć.

Nikt nie przypuszczał że tu się znajduje wejście do grobowca, a przecież stali na drzwiach spustnych. Jednak niczem się one nie różniły od kamieni w podłodze.

— Daremny trud — rzekł komisarz zrozpaczony. To fałszywa droga. Wróćmy!

Wtem usłyszeli pod sobą jakby szelest. Głuche pukanie, potem jęk, straszny, jakby umarli z grobów powstali.

Służbę zdjął strach. Wszyscy stanęli jakby przykuci do miejsca. I znowu głuche jęki, wyraźniejsze, silniejsze pukania, a tak straszne, że nikt nie mógł opanować uczucia trwogi.

— Duchy! — Duchy! — zawołała służba i poczęła uciekać. Ślusarzowi i jego pomocnikowi wypadały narzędzia z ręki. Nogi im drżały. Stali i nadsłuchiwali.

—Wielki Boże! Co to? —zawołał Gerhard. Tu pod nami. Słuchajcie — znowu pukanie.

— To nasi! — zawołał komisarz, który pierwszy odzyskał przytomność. Tu musi leżeć grobowiec. Nieszczęśliwi słyszeli nas. Żyją i dają nam znaki. Dalej! Trzeba przebić podłogę!

Klęknął, przyłożył ucho do ziemi i nadsłuchiwał. Potem uderzył młotem w podłogę. Natychmiast w odpowiedzi odezwało się pukanie.

— To oni! Bez wątpienia! — zawołał komisarz uradowany. Ludzie, szkoda czasu. Wszyscy do roboty!

Rozpoczęła się gorączkowa praca..

Czy im się jednak uda przebić podłogę i uwolnić nieszczęśliwych?

ROZDZIAŁ 108.

SZATAŃSKA ZEMSTA.

Prędko mijali wśród ciemności nocnych farmer i Gertruda ulice Ladysmith. Tu i ówdzie spotykali żołnierzy. Przyszli nareszcie na koniec miasta. Stanęli przed bramą. Właśnie szykowali się żołnierze do wymarszu. Farmerowi przyszła szczęśliwa myśl.

— Połączmy się z żołnierzami i wymaszerujmy z nimi — szepnął do Gertrudy. Za miastem potrafimy już uciec.

Przyłączyli się do ostatniego szeregu. Dwójkami mijali żołnierze bramę. Latarnia umieszczona pod bramą oświecała ich mundury.

— Stój! — zawołał nagle oficer.

Zmierzył Gertrudę i farmera badawczym wzrokiem.

— Dokąd? Wrócić! Wy nie należycie do tego regimentu.

Gertruda drżała na całem ciele. Farmer odciągnął ją i szepnął:

— Na miłość Boską, nie mów pani ani słowa!

Wrócili do miasta

— Cóż teraz poczniemy? — biadała Gertruda. W jaki sposób wysdostaniemy się z miasta?

— Spróbujemy inną bramą.

W 10 minut stali pod bramą, którędy wyszli byli farmer z bratem Józefy.

Brama była zamknięta, strzeżona przez silną straż. W strażnicy świeciło się światło.

— Niemożliwa rzecz! — rzekł farmer. Straż nas nie puści.

Tymczasem straż spostrzegła ich i zbliżyła się.

— Dokąd chcecie iść?

— Za bramę, na pole, do straży! — rzekł farmer odważnie. Mamy tam ważny interes do kolegi.

— Nie można, kapralu! — odpowiedział żołnierz. Zresztą możecie spytać się pana porucznika. Może pozwoli.

— E, obejdzie się. Nie pójdziemy!

Farmer odwrócił się i pociągnął za sobą Gertrudę w ciemną ulicę.

Postanowili odszukać najbliższą bramę i tam spróbować szczęścia. Gdy przyszli tam, Gertruda była śmiertelnie znużona. Oparła się o ścianę i biadała:

— Nie mogę iść dalej.

— Odwagi! — szepnął farmer. Zbierz pani wszystkie siły. Od tego zależy nasz ratunek.

I ta brama była zamknięta i silniej jeszcze strzeżona.

Poszli dalej. Lecz i u czwartej bramy nie mieli szczęścia. Musieli wrócić do miasta.

— Może nad ranem uda nam się połączyć się z wyruszającymi żołnierzami — pocieszał farmer swą towarzyszkę. Teraz musimy przedewszystkiem wyszukać dla siebie schronisko.

Na końcu miasta znaleźli nędzną, na pół rozpadłą chatę. Weszli do wnętrza i wyszukali tu nareszcie starą, podartą sofę. Położyła się Gertruda, była tak umęczoną, że natychmiast zasnęła. Farmer położył się na ziemi i niespokojny czekał, aż dzień nastanie.

Lecz i on zasnął. Gdy się zbudził, był już jasny dzień. Na dworze panował ruch, odezwały się trąby, słychać było maszerujące oddziały żołnierzy.

Zerwał się farmer i wyglądnął przez okno. Lecz nie widział żołnierzy, bo okno nie wychodziło na ulicę. Gertruda jeszcze spała. Po krótkim namyśle wyszedł z chaty na ulicę.

Żołnierze minęli go już, widział ich tylko przez boczną ulicę, jak maszerowali przez bramę.

Wrócił do chaty i zbudził Gertrudę.

— Chodź pani prędko! — zawołał. Mamy teraz sposobność wydostać się z miasta.

Gertruda wstała z trudnością.

— Zostaw mnie pan tu! — błagała. Idź pan sam.

— Za nic w świecie! — odpowiedział stanowczo. Nie opuszczę pani.

— Ale co się z nami teraz stanie? — biadała. Jeżeli nas poznają...

— Tu nas nikt nie zna — przerwał. W przebraniu nie poznają nas.

— Jeżeli pan sądzi, że możemy się pokazać w jasny dzień, to wyruszymy za kilka godzin. Do tego czasu będę silniejszą.

— Tymczasem rozglądnę się po mieście i wystaram się o jedzenie — odpowiedział farmer.

Gertruda puściła go niechętnie. Musiała jednak, bo od 24 godzin nic nie jedli.

Na mieście zatrzymano farmera kilkakrotnie. Tłómaczył, że uciekł Burom z niewoli. W gospodzie kupił za grube pieniądze nieco mięsa i chleba.

Gdy znowu wyszedł na ulicę, panował tu zgiełk i krzyk.

Ze wszystkich stron napływali ludzie, radość ich nie znała granic. Zdaje się, że powodem tego było jakieś ważne zdarzenie.

Farmer zbliżył się ku grupie żołnierzy.

— Burowie się cofają! — słyszał raźne okrzyki. Odstępują od oblężenia! Jesteśmy wolni.

Nastraszył się. Jeżeli to prawda, natenczas położenie jego i Gertrudy jest bardzo poważne. Wprawdzie łatwiej wydostaną się z miasta, lecz dokąd się udadzą?

Z trudnością przecisnął się pprzez tłumy i przybył do Gertrudy, której doniósł ową niewesołą nowinę.

Już pod wieczór owa wiadomość miała się sprawdzić. Południową bramą nadciągnęło do miasta wojsko angielskie.

Burowie zniknęli pod górami.

Szał radosny ogarnął wszystkich. Przez całą noc panował ożywiony ruch.

Farmer i Gertruda powzięli nowy plan. Tej jeszcze nocy postanowili opuścić miasto. Ponieważ droga była daleka, nie mogli wyruszyć bez koni. Należało się więc wystarać o konie.

Gdy noc zupełnie zapadła, wyszli z chaty. Ulice były oświetlone, wszędzie wrzało życie. Żołnierze śpiewali radośnie. Mówiono, że następnego dnia zjedzie do miasta generał Buller. Ciągle nadciągały nowe oddziały wojska, głównie kawaleryi.

Gertruda i farmer zmiarkowali, że ich plan niełatwy do wykonania. Bezradni stali na

rynku. Na szczęście nikt na nich nie zwracał uwagi.

Przed gospodę zajechało kilka wozów. Za niemi postępowali jeźdzcy. Zsiedli i udali się do gospody, także ci, którzy przybyli w powozach. Były wśród nich i kobiety.

Nagle rzekł farmer:

— Chyba spróbujemy, czy nie znajdziemy koni w gospodzie.

Przecisnęli się przez tłumy ludzi do gospody i dostali się w wielką, otwartą halę w tylnej stronie domu, która graniczyła z ogrodem.

Tam były stajnie i farmer spodziewał się, że znajdzie tu konie i muły. Z podwórza można się było dostać w boczną ulicę i tędy chcieli uciec ze swym łupem.

W hali siedziało wielu oficerów. Jedli i pili. Wśród nich były też wystrojone kobiety i mnóstwo publiczności.

Przedostali się z niemałym trudem na koniec hali. Nagle farmer stanął i wydał stłumiony okrzyk przestrachu.

— Gertrudo, patrz pani! — zawołał, wskazując na wystrojoną kobietę, siedzącą przy stole w towarzystwie kilku oficerów i innych panów. — To Lydia, moja wiarołomna żona!

Była to rzeczywiście Lydia. Śmiała się, rozmawiała i kokietowała zalotnie oficerów.

— Nędzna! — zgrzytnął farmer i zacisnął pięści.

— Na miłość Boską, chodź pan! — zaklinała Gertruda. Jeżeli nas zobaczy, jesteśmy zgubieni!

Oprzytomniał. Przeciskali się dalej, cisnący się tłum zapędził ich blizko stołu, gdzie siedziała Lydia.

Ta oglądnęła się w tej samej chwili. Wzrok jej padł na farmera. Poznała go natychmiast mimo przebrania.

Zerwała się. Radosny uśmiech zamarł na jej ustach. Spostrzegła też Gertrudę u boku swego męża i poznała ją mimo munduru żołnierza angielskiego.

Oczy jej błysnęły złowrogo i szatański uśmiech szyderczy wykrzywił jej twarz. Wyciągnęła ku nim ręce i zawołała głośno:

—Szpiegi, zdrajcy! Znam ich! Stoją w służbie Burów. Ująć ich!

Powstał straszny zgiełk. Goście powstali od stołów.

— Kto? Gdzie? Gdzie szpiegi! — pytano ze wszystkich stron.

— Ci, tam! — zawołała Lydia. Ci żołnierze! Przebrali się tylko.

Farmera zdjął gniew. Jednym skokiem stanął przed swoją żoną z zaciśniętą pięścią.

— Nędzo! Kokoto! — zawołał. Kłamiesz! Mnie, swego męża zdradziłaś i wtrąciłaś w nieszczęście! Pod moim okiem utrzymywałaś wstętne stosunki z obcymi mężczyznami, wyzbyłaś się czci i wstydu!

Wtem wyciągnęły się ku niemu tysiąc pięści. Złapano go i odtrącono.

— Ubijcie go, tego szpiega! — wołał tłum. Powiesić go!

Oficerowie odtrącili wzburzony tłum. Opór farmera na nic się nie zdał. 12 żołnierzy ujęło go, wydarto mu broń i związano.

Jakby przykuta do ziemi patrzała Gertruda na tę scenę, która odegrała się w kilku minutach. Zdjęła ją śmiertelna trwoga. Chciała uciekać. Zapóźno. Ujęto ją.

Lydia nie spuszczała jej z oka.

— To kobieta! — zawołała. Jego kochanka! Szpieg niebezpieczny, długo już poszukiwany.

Gertruda wydarła się z rąk żołnierza, lecz natychmiast ją ujęto. Podczas szamotania się z żołnierzem spadła jej czapka z głowy i rozwiązały się związane włosy.

Wyższy oficer zbliżył się do ujętych i rzekł:

— Precz z nimi! Do więzienia. Jutro staną przed sądem wojennym.

Wyprowadzono ich i boczną furtką w murze ogrodowym poprowadzono na podwórze ratusza.

Tu wznosił się ponury budynek o zakratowanych oknach: więzienie policyjne. Wtrącono ich do celi na dole. Przed wejściem postawiono na straży 2 żołnierzy.

Nieszczęśni rzucili się na wilgotną słomę, leżącą na ziemi.

— Miłosierny Boże! Wszystko stracone! — jęknęła Gertruda. Jutro zostaniemy skazani na śmierć!

ROZDZIAŁ 109.

Tajemnicza zbrodnia.

W przedziale pociągu siedział prokurzysta Herman i przysłuchiwał się rozmowie, którą prowadził Sinobrody z Betliną w sąsiednim przedziale.

Lecz nie mógł dosłyszeć ani słowa, mówili bowiem szeptem. Nie przypuszczał, że planują jego śmierć. Czuł się bezpiecznym, w nadziei, że go Sinobrody nie widział.

Pociąg pędził z wielką szybkością wśród nocy Prokurzysta sam siedział w przedziale. Wtem spostrzegł w górze w ściance dzielącej

oba przedziały otwór na szerokość ręki. Stanął na ławce i mógł przez otwór ten zaglądnąć do sąsiedniego wagonu.

Przy świetle lampy mógł dokładnie rozeznać twarze swych towarzyszy. Teraz, kiedy wzbudziło się w nim podejrzenie, zdawało mu się, że może rozróżnić w twarzy rzekomej hrabiny wiele obcych rysów.

Włosy zdawały mu się ciemniejsze niż u Gertrudy. I wyraz twarzy, śmiech jej i głos było stanowczo inne. Ale mimo wszystkiego podobieństwo były tak wielkie, że prokurzysta nie mógł się pozbyć swych wątpliwości.

— A może to ona — pomyślał. Gdybym tylko mógł dosłyszeć, o czem ona mówi.

Nagle Sinobrody wstał. Prokurzysta cofnął się natychmiast. Sinobrody wyjął z kieszeni płaszcza papierośnicę i zapalił cygaro. Potem usiadł naprzeciw Betliny. Przez chwilę panowało milczenie.

Prokurzysta wrócił znowu na swe stanowisko i nadsłuchiwał. Betlina przerwała milczenie, mówiono teraz głośniej, tak że podsłuchujący słyszał każde słowo.

— Sądzi pan naprawdę, że w ojczyźnie w nikim nie obudzi się podejrzenie? — spytała Betlina.

— Możemy być w tej mierze spokojni — odrzekł Sinobrody. Jest pani tak bardzo podobną do Gertrudy, że nikt nie pomyśli o oszustwie. Dowód próba z prokurzystą. To byłby jedyny człowiek niebezpieczny, ale dał się oszukać, więc nikt zresztą prawdy nie odkryje.

— Ale w ojczyźnie żony pana żyje wielu ludzi, którzy ją znali.

—E, głupstwo! Nie widzieli oni długo Gertrudy. Jeżeli znajdą coś nadzwyczajnego w pani, położę to na karb choroby mej żony.

—A czy żona pana naprawdę nie żyje, kochany hrabio?

— Ależ naturalnie! W przeciwnym razie nie potrzebowałbym tych zachodów.

— Nie pojmuję tylko, jak pan potrafiłeś tak długo zataić śmierć swej żony — ciągnęła Betlina. Czy nie obudziło się w teściu pana podejrzenie, kiedy tak długo jego pasierbica nie dawała o sobie znaku życia?

— Potrafiliśmy go szybko uspokoić — zaśmiał się Sinobrody.

— Oświadczeniem że żona pana znajduje się w sanatoryum w Paryżu?

— Tak! to go uspokoiło.

— A teraz i radca komercyalny nie żyje? — badała Betlina podstępnie.

— Tak! Słuch o nim zaginął! — odpowiedział Sinobrody zupełnie spokojnie.

Betlina zmierzyła go przenikliwym wzrokiem, położyła mu rękę na ramieniu i rzekła dziwnie znacząco:

— Ale pan wie, gdzie on jest?

Wzdrygnął się Sinobrody, w oczach jego błysnął gniew:

— Nie stawiaj podobnych pytań, Betlino! — rzekł szorstko.

Lecz Betlina nie dała się zbić z tropu.

— Jeżeli mam być wspólniczką pana, musimy grać otwartemi kartami — rzekła stanowczo. Tajemnice między nami nie mają celu.

— Dobrze! — odrzekł opryskliwie. O co pani chodzi? Powiedziałem: zaginął słuch o mym teściu. Mówią, że nie żyje. Więcej i ja nie wiem!

— O, pan wie więcej! Powiedzieć panu, co ja o tem myślę?

Patrzała nań przenikliwie. Nachyliła się ku niemu i szepnęła do ucha kilka słów.

Wywarły one straszne wrażenie. Sinobrody zbladł, zerwał się z siedzenia i rzucił jej wściekłe spojrzenie.

— Głupia! — zawołał. Jeszcze jedno podobne słowo — a między nami skończyło się!

Betlina cofnęła się przerażona. Prędko jednak odzyskała równowagę rzekła ironicznie:

— O, mój panie hrabio! Teraz nie moższ mnie tak rzucić w kąt. Związałeś się ze mną. Uczyniłeś mnie swą wspólniczką. Potrzebna ci jestem!

Hrabia Sinobrody usiadł. Z trudnością opanował swój gniew.

— Uważaj pani na me słowa, Betlino! — mruknął. Jeżeli mamy być przyjaciółmi, nie wolno pani myśleć o takich głupstwach.

Betlina była na tyle mądrą, by milczeć. Na chwilę umilkła rozmowa.

Prokurzysta nadsłuchiwał w naprężeniu. Drżał, pot kroplisty osiadł mu na czole. Teraz znikła wszelka wątpliwość, zrozumiał całe wyrafinowane oszustwo.

Co miał uczynić? Musiał przeczekać, aż opuszczą pociąg, by ich później oddać w ręce sprawiedliwości. Trzeba jednak wprzód dowiedzieć się, dokąd jadą.

Świst lokomotywy. Pierwsza stacya. Pociąg zatrzymał się. Wielu podróżnych wysiadło. I Sinobrody udał się do poczekalni i zostawił Betlinę samą w przedziale. W kilka chwil później wrócił. Wcisnął konduktorowi w rękę napiwek i dał do zrozumienia, że chce sam zostać ze swą towarzyszką.

Nikt nie wsiadł ani do ich ani do prokurzysty przedziału. Pociąg ruszył.

Sinobrody usiadł koło Betliny i objął ją.

w pół Pozwoliła na to. Kiedy jednak stał się natrętny i przytulił ją do siebie, wymknęła mu się ta wyrachowana kobieta.

— Jeszcze nie wzięliśmy ślubu, mój przyjacielu — zaśmiała się. Do tego czasu musisz być pan cierpliwy.

— Ach! co! Nie bądźże taką Betlino! Przecież jesteś już prawie moją żoną!

Złapał ją i począł całować jej twarz i usta namiętnie. Betlina stawiała opór, lecz Sinobrody gwałtem usadowił ją obok siebie. Stawał się coraz natarczywszym.

Nareszcie wyrwała się z jego objęć, i udając obrażoną, zawołała stanowczo:

— Spokojnie, panie hrabio! W przeciwnym razie pociągnę za linkę bezpieczeństwa.

— Oszalałaś dziewczyno? Czy chcesz ludziom zdradzić się, że nie jesteś moją żoną!

— Pańska byłaby w tem wina — odrzekła chłodno.

Sinobrody wzruszył wściekły ramionami:

— Głupią jesteś. Zresztą — jak chcesz. Nie dotknę ci się więcej. Lecz nie zapomnę ci tej chwili. W przyszłości — rzekł szyderczo.

— Będę zadowoloną. Nie lubię takich rzeczy.

Prokurzysta był świadkiem i tej pikantnej sceny. Wiedział już wszystko co chciał. Opuścił więc swe stanowisko i usiadł w kącie. Między Betliną a Sinobrodym wnet znowu zapanowała zgoda.

Rozmawiali obojętnie. Znowu stacya. Sinobrody i Betlina pozostali w przedziale sami, również i prokurzysta.

Na dworze szalała burza, deszcz lał strumieniami. Pociąg znowu ruszył z miejsca. Po upływie 15 minut wstał nagle Sinobrody. Twarz jego miała złowrogi wyraz.

— Teraz się to stać musi, Betlino — szepnął, wskazując w stronę sąsiedniego przedziału.

Betlina zbladła. Mechanicznie kiwnęła głową.

— A jeżeli się nie uda? — szepnęła. Będzie stawiał opór — pociągnie linę bezpieczeństwa.

— Na to nie będzie miał czasu — odrzekł Sinobrody uspokajająco. On pewnie spi.

— Ach, strasznie się boję! Gdyby można było inaczej.

— Nie! Teraz albo nigdy! — odpowiedział stanowczo. Jeżeli przyjedzie z nami do Brukseli — sprawa stracona. Nie pojmujesz tego?

Skinęła głową w milczeniu.

— Słuchaj! Podczas tej burzy nikt też nie usłyszy jego wołania o pomoc. Sąsiedni przedział jest próżny. Przekonałem się o tem.

Wyjął z kieszeni karton, stąd flaszeczkę z jasnym płynem. Był to szybko działający odurzający środek.

Zbliżył się do drzwi i otworzył je ostrożnie.

Burza szalała dookoła. Nie zważał na to. Pociąg pędził z nadzwyczajną szybkością.

Betlina ujęła Sinobrodego za ramię i szepnęła drżącym głosem: :

— Spadniesz, dostaniesz się pod koła.

Machnął ręką. Ostrożnie wyszedł na stopnie, trzymając się oburącz żelaznego prętu, który biegł wzdłuż wozów.

Zdawało się, że go burza powali. On zwolna, krok za krokiem, posuwał się na stopniu wozu.

Przemókł do ostatniej nitki. Wśród ciemności nic nie widział.

Betlina zamknęła drzwi, z wytężeniem wszystkich sił walcząc z wiatrem i burzą. Drżała na całem ciele. Stanęła przy oknie i nadsłuchiwała.

Sinobrody dostał się szczęśliwie do drzwi sąsiedniego przedziału. Pochylił się, by go z wnętrza nie zobaczono. Potem podniósł się ostrożnie i rozglądnął się.

Prokurzysta siedział po przeciwnej stronie, w kącie. Oczy miał przymknięte, jakby spał.

Silnym ruchem otworzył Sinobrody drzwi i jednym skokiem znalazł się w przedziale.

W tej samej chwili zerwał się prokurzysta...

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Poszukiwania Guentera nie wydały rezultatu. O niczem nie dowiedział się w mieście do którego się udał. Przenocował tu i następnego dnia wrócił pierwszym pociągiem do Paryża.

Na dworcu oczekiwał go agent Latour, którego telegraficznie zawiadomił o swym powrocie.

Agent doniósł mu, że Sinobrody i fałszywa hrabina wyjechali wczoraj do Brukseli i że za nimi podążył prokurzysta.

— Dobrze — rzekł Guenter. Sinobrody nie zauważył go chyba?

— Nie! Lecz pani Dijon widziała, jak pan Herman wsiadł do pociągu. Ona zadepeszuje o tem Sinobrodemu.

— Będzie za późno. Czy prokurzysta nie przesłał dotychczas żadnej wiadomości?

— Nie!

— Hm! Mógłby już przecież depeszować z Brukseli!

Opuścili dworzec. Na ulicy kupił Guenter

gazetę, potem wszedł z agentem do cukierni, by tu wypić kawę i zastanowić się nad dalszą akcyą.

W cukierni przeglądnął gazetę. Spostrzegł napis wydrukowany tłustemi czcionkami. Czytał następującą notatkę:

"**Morderstwo w pociągu.**

W pociągu pospiesznym Paryż-Bruksela dokonano ubiegłej nocy tajemniczego morderstwa. Mężczyzna, widocznie z lepszych sfer, został przez nieznanego złoczyńcę zamordowany i obrabowany. Po dokonanem morderstwie zbrodniarz wyrzucił swą ofiarę z pociągu. Około godziny czwartej znalazł trupa budnik na torze kolejowym między stacyami Soissons a Laon. Natychmiast doniósł o tem do Paryża i do Brukseli, poczem zawiadomiono o tem telegraficznie wszystkie inne stacye na tej linii.

Kiedy pociąg o godzinie piątej, zatem w godzinę po znalezieniu trupa, zajechał do Brukseli, przekonano się, że przedział, w którym dokonano zbrodni, jest zbroczony krwią. Zresztą nie znaleziono żadnych śladów walki. Skonstatowano, że sąsiednie przedziały są próżne, morderca uciekł zatem na jednej ze stacyi

Bliższe szczegóły jeszcze niewiadome. Zbrodnia jest tajemniczą bardzo. Z podróżnych nikt nie miał pojęcia o tej zbrodni. Nikt nie słyszał wołania o pomoc.

Nie stwierdzono jeszcze tożsamości osoby. Trup ma być zeszpecony, że poznanie prawie wykluczone. Nie znaleziono u zamordowanego żadnych papierów. Zdaje się, że morderca zrabował wszystko. Nawet pierścienie, który zamordowany z pewnością miał na palcach, zaginęły.

Morderca prawdopodobnie sam był ze swą ofiarą w przedziale i to przez cały czas trwania podróży. Ofiara pewnie spokojnie spała, kiedy się na nią morderca rzucił.

Policya ma trudne zadanie, bo brak wszelkiego śladu mordercy, a zamordowanego trudno poznać."

Guentera zdjęło straszne przeczucie. Podał agentowi gazetę i rzekł wzburzony:

— Czytał pan to?

Agent wziął gazetę. Podczas czytania i jego twarz dziwnie się zmieniła.

— Znowu takie tajemnicze morderstwo! — zawołał. W krótkim czasie trzecie to morderstwo w pociągu.

— Aha! Ale czy nie powstała w panu myśl że zamordowany może być naszym przyjacielem? — spytał Guenter. Prokurzysta Herman?

Agent zerwał się.

— Prawda! — zawołał. Możliwe! — Atoli!...

— Musimy mieć pewność! — rzekł Guenter poważnie.

— Co pan komisarz chce uczynić?

— Pojadę na stacyę gdzie leży zamordowany.

Udali się na najbliższy urząd telegraficzny. Guenter zatelegrafował do Brukseli do policyi z zapytaniem, czy prokurzysta przyjechał. Również spytał o Sinobrodego i jego towarzyszkę.

Następnie udali się do pobliskiej restauracyi i z rozkładu jazdy dowiedzieli się, że najbliższy pociąg odchodzi za godzinę.

— Chcę najpierw porozumieć się z szefem pana, z inspektorem policyjnym Lagrange — rzekł Guenter.

Pojechali na prefekturę policyjną. Pan Lagrange przyjął ich natychmiast.

— Czy pan inspektor słyszał już o morderstwie w pociągu? — spytał Guenter.

— Tak, od 2 godzin — odrzekł inspektor. Mam zamiar pojechać natychmiast na miejsce zbrodni.

— A! — zawołał Guenter uradowany. I ja mam właśnie ten zamiar. Przypuszczam, że zamordowany jest to prokurzysta Herman.

Poczem wyłuszczył Guenter inspektorowi wszystkie towarzyszące okoliczności.

— Odprowadzą mnie panowie — zadecydował zdziwiony inspektor. Weźmiemy i lekarza. Odnośny sędzia śledczy mieszka w Soissons. Jest już pewnie na miejscu. Zapytam tylko jeszcze telegraficznie, dokąd sprowadzono zamordowanego.

Zadzwonił, przybyłemu urzędnikowi dał odpowiednie zlecenia. Poczem w trójkę pojechali na dworzec. Tu czekał już lekarz. Nadeszła też już tymczasem odpowiedź z Brukseli na depeszę Guentera.

Odpowiedź brzmiała wężłowato:

"Z wiadomych osób dotychczas — o ile można było sprawdzić — żadna nie przyjechała."

Pojechali. Po 3 godzinach wysiedli na małej stacyi między Soissons a Laon. W pobliżu tej stacyi znaleziono zamordowanego. Ułożono go w próżnej szopie. W towarzystwie naczelnika stacyi udali się tam wszyscy. Tym samym pociągiem przybył także sędzia śledczy z Soissons.

Wezwano budnika, który znalazł trupa.

Wszyscy weszli do szopy, której drzwi naczelnik stacyi otworzył.

Na słomie leżał zamordowany.

Guenter i Latour, którzy ostatni widzieli prokurzystę, zbliżyli się. Drżąc na całem ciele cofnęli się na ów straszny widok:

Twarz zamordowanego tworzyła krwawą nieforemną masę. Lekarz zbadał trupa i odrzekł:

— Człowiek ten otrzymał pchnięcie w serce i skonał natychmiast. Narzędziem mordu był prawdopodobnie sztylet.

— Czem się tłómaczy zeszpecenie twarzy? — spytał inspektor.

— Trupa wyrzucono z wozu — mówił lekarz. Możliwe że zawisł nogami na stopniu i wlókł się czas jakiś za pociągiem. Albo też upadł na ostre kamienie. W tej mierze nie mogę dać pewnych wyjaśnień.

Przesłuchano budnika. I jego zeznania nie mogły sprawy rozjaśnić.

Guenter przeszukał ubranie zamordowanego. W kieszeni nic nie znalazł. Zwrócił się do agenta Latoura i rzekł:

— Pan ostatni widział prokurzystę. Przypomina pan sobie, jakie nosił ubranie?

— Tak! Czarne ubranie i ciemne palto.

Sukni zamordowanego nie można było rozeznać. Dla zbadania barwy odcięto kawał sukna, Latour wyprał w wodzie. Okazało się że materya jest barwy czarnej.

— To jeszcze niczego nie dowodzi — rzekł inspektor. Palta niema. Morderca zabrał je pewnie. Zobaczymy jakie są litery na bieliźnie.

Bielizna znaczona była literami R. H.

— Teraz nie mam żadnych wątpliwości! — zawołał Guenter. Prokurzysta nazywa się Ryszard Herman. To początkowe litery jego imienia i nazwiska. Wielki Boże! Nie omyliło mnie przeczucie!

Łzy zabłysły mu w oczach.

— W rzeczywistości wiele okoliczności świadczy o tem, że to prokurzysta — rzekł inspektor po chwili milczenia. Ale wystarczających dowodów nie mamy jeszcze.

— Niestety, nie mamy żadnych znaków, któreby nam pozwoliły stwierdzić tożsamość osoby — zauważył sędzia śledczy. Mam nadzieje, że śledztwo da pewniejsze rezultaty.

Oddalili się.

— Jadę do Brukseli, — oświadczył Guenter. Tam może znajdę rozwiązanie tej zagadki.

Odbył jeszcze naradę z inspektorem, poczem najbiższym pociągiem wyjechał w towarzystwie Latoura do Brukseli. Spodziewał się, że tam znajdzie Sinobrodego.

Zdawało się jednak, że Sinobrody i fałszywa hrabina opuścili pociąg przed jego nadejściem do Brukseli, bo przedział, w którym siedzieli, był pusty. Guenter przypuszczał jednak, że wsiedli oni do innego przedziału i że przecież pojechali aż do Brukseli.

Czy zamordowany był rzeczywiście prokurzystą?

Jeżeli to przypuszczenie się sprawdzi, podejrzenie musi natenczas paść na Sinobrodego przeciwko któremu natychmiast rozpocznie się śledztwo.

Tak rozumował Guenter. Dlatego chciał przedewszystkiem wpaść na ślad Sinobrodego.

ROZDZIAŁ 110.

Ocaleni.

Zagasły ostatnie promienie słoneczne i ciemności zaległy morze. Od 2 dni już siedzieli nieszczęśni zamknięci w grobowcu, jakby żywcem pogrzebani.

Gdy im zgasły latarnie dostali się po omacku ku wyjściu na morze. Tu mieli przynajmniej światło i powietrze. Znaleźli też między skałami nieco wody i ugasili pragnienie. Dokuczał im bardzo głód.

Zdawało się, że muszą tu zginąć. Zrozpaczeni nie mówiąc ani słowa, wpatrywali się w morze, nad którem zapadała ciemność.

Greif zwolna podniósł głowę i rzekł stanowczo:

— Wolę rzucić się w morze. Może uda mi się przepłynąć i dobić do brzegu.

Już chciał wykonać swój zamiar. Wstrzymał go Detlew.

— Zginie pan! — rzekł. I ja o tem już myślałem. Lecz nie starczy nam sił. Czekajmy! Może nadejdzie pomoc!

— Nie mam nadziei— rzekł posępnie Greif, mimo to zrzekł się owego szalonego planu.

Wnet zupełna zapadła noc. Tylko w górze jaśniało owe tajemnicze światło czerwone.

Greif światło to zauważył i rzekł:

— Dziwne to! Co to za światło? Tyle już o niem słyszałem. Nie gaśnie. Świeci już długie lata, dniem nocą. Kto też zaświecił to światło?

— Nikt na te pytania nie odpowie— odezwał się stary hrabia. Świeci ono, jak długo pamiętam. Lecz nic o niem nie wiem.

I znowu zapanowało milczenie.

Nagle rzekł hrabia:

— Spróbujmy jeszcze raz. Może się nam

uda dostać do rotund. Wtedy potrafimy się może ocalić.

— W jaki sposób? — spytał Greif. Czy jest z rotundy inne wyjście z grobowca?

— Tak! Chodźmy! Może się uda!

Poszli przy świetle kilku zapałek.

Zaledwie przybyli do kaplicy, zawołał stary hrabia radośnie przerażony:

— O, droga wolna! Drzwi otwarte! Jak to możliwe?

— Zaprawdę — rzekł Greif, niemniej zdziwiony, spostrzegłszy otwarte drzwi prowadzące do rotundy. To dziwne. Drzwi same przez się nie otworzyły się chyba. Również nieprawdopodobnem jest, by Piotr, który nas z pewnością tu zamknął — sam nam drogę otworzył.

Szybko weszli do rotundy. Stary hrabia zbliżył się ku przeciwległym drzwiom i spróbował je otworzyć. Daremnie. Drzwi te Piotr znowu zamknął za sobą.

Odkryto też teraz przyniesione przez Piotra środki żywności i wino. Latarnia, którą tu był zostawił w międzyczasie, zgasła.

Zdziwienie ich nie znało granic. Jednak mimo głodu nikt z nich nie miał ochoty zabrać się do jedzenia.

Greif rzekł nareszcie podejrzliwie:

— Tylko ten łotr Piotr przyniósł tu te rzeczy. A że on nie ma chyba zamiaru ocalić nas, bądźmy więc ostrożni, nim cośkolwiek z tego spożyjemy.

Wszyscy byli tego samego zdania. Nagle Greif cofnął się przerażony i wskazując pod kamienną ławkę, zawołał:

— Patrzcie! Najlepszy dowód, że jedzenie zatrute!

Pod ławką leżały nieżywe szczury, które zabrały się do jadła, przyniesionego przez Piotra.

— Wielki Boże! — zawołał stary hrabia. Co za wyrafinowany zbrodniarz. Spodziewał się, że spożyjemy coś z tego Pewnie i wino jest zatrute.

— Bez wątpienia — odpowiedział Greif.

Rozbito natychmiast flaszki, a resztki jedzenia rzucono pod ławkę. Potem zwrócił się Greif do hrabiego i rzekł:

— Mówiłeś pan przedtem, że znajdziemy może drogę z rotundy. Widzę tu jeszcze jedno wyjście, które...

— To właśnie miałem na myśli — przerwał hrabia i zbliżył się ku drzwiom, które kluczem otworzył. Weszli. Zapalono nowe świeczki woskowe. Przed nimi leżał długi korytarz, zakończony wąskiemi schodami, które prowadziły w górę.

Udano się schodami, przybyli do jaskini wykutej w górze z natury. Rozmaitymi zakrętami dostali się w miejsce, gdzie w środku stała olbrzymia beczka.

— Co to znaczy? — spytał Greif zdziwiony.

— Beczka ta zawiera oliwę dla owej wiecznej lampy w grobowcu — objaśnił hrabia. Rura prowadzi z beczki przez skały do lampy i zasila ją oliwą.

— Ciekawe urządzenie — rzekł Greif.

— Kiedy tu byłem przed 40 laty i zobaczyłem poraz pierwszy tę ciekawą beczkę, była ona do połowy napełniona oliwą. Od tego czasu chyba nikt nie napełnił beczki, bo nikt prócz mnie nie zna tajemnicy wiecznej lampy. Nikt też ne zna tej drogi.

Poszli dalej. Niewielkim otworem dostali się na zewnątrz, na wystającą płytę kamienną, otoczoną stromemi ścianami skalistemi. Przed nimi straszna głębina, gdzie burzyły się bałwany morskie.

W ciemnej nocy nic nie mogli rozpoznać. Wicher wył gwałtownie

— Co teraz? — spytał Greif.

— Tu prowadzą schody w górę — oświadczył hrabia. Jeżeli nam się uda wdrapać na nie, możemy się dostać na szczyt góry.

Schody wykute były w skale, bardzo niebezpieczne Detlew i Greif dostali się na pierwsze dwa stopnie. Dalej nie szło. Wśród ciemnej nocy niebezpieczeństwo stawało się groźniejsze. Łatwo było można stracić równowagę i runąć w przepaść.

— Spróbujmy jutro, w jasny dzień — rzekł Greif. Może się uda!

Wrócili do grobowca i z utęsknieniem wyczekiwali jutra.

Lecz zbawienie było blizkie.

W podziemnej kaplicy usnęli szybko zgłodniali i umęczeni. Tylko stary hrabia nie mógł zasnąć.

Wtem nagle wśród ciszy zdawało mu się, że słyszy szelest. Począł nadsłuchiwać Tak — jakby uderzenia młotem.

Zbudził swych towarzyszy. Uderzenia stawały się coraz silniejsze. Bezwątpienia ratunek niedaleki.

— Próbują dostać się do sklepienia nad grobowcem, przez ową osławioną wieżę, której drzwi Sinobrody kazał zamurować — objaśnił stary hrabia.

Zdjęła ich niewymowna radość. Udali się na schody prowadzące do sklepienia

Coraz wyraźniejsze stawały się uderzenia. Teraz usłyszeli kroki nad swemi głowami

— Na pomoc! — Tutaj! — wołali wszyscy, uderzając silnie o kamienie.

Natychmiast odpowiedziano im w ten sam sposób. Słyszeli też, jak ich zbawiciele zabierali się do przebicia podłogi.

— Zejdźmy stąd — radził stary hrabia. Spadające ciężkie kamienie mogą nas zabić.

Ustawili się w bezpiecznem miejscu, tuż obok schodów.

Długo trwało, nim w górze uprzątnięto w podłodze potężny kamień. Powstał otwór, szerokości czterech stóp.

Zamknięci pośpieszyli znowu na schody.

— Przyjaciele! Czy wszyscy żyjecie? — odezwał się głos Gerharda

— Wszyscy! — brzmiała radosna odpowiedź Bogu dzięki! Przybywacie w sam czas.

Przez otwór wsunięto drabinę. Po niej wyszli wszyscy w górę, gdzie ich z radością przyjęto.

Udano się do zamku i pokrzepiono ich jadłem i napojem. Po kilkugodzinnym śnie przyszli zupełnie do siebie. Natychmiast zszedł Greif znowu do grobowca ze starym hrabią, komisarzem i kilku towarzyszami.

Przeszukano każdy kąt w grobowcu. Lecz nic nowego nie znaleziono. Trumień, które zawierały zwłoki żon Sinobrodego, nie było.

Trupa, którego Greif uważał za zamordowanego radcę komercyalnego, nie ruszano, aż do przybycia komisyi sądowej.

Rozpoczęto poszukiwania za Piotrem. Lecz daremnie. Przeszukano każdy kąt, nie znaleziono go.

Greif pozostał w zamku, aż do przybycia komisyi sądowej, która zjawiła się następnego dnia. Był to ten sam sędzia, który już przesłuchiwał Sinobrodego. Przybył także lekarz sądowy i doktor Kloc i kilku ludzi z hotelu, w którym mieszkał redca komercyalny.

Udano się znowu do grobowca. Lekarze rozpoczęli badanie zamordowanego, który odziany był tylko w koszulę nocną.

Zewnętrznego obrażenia nie było. Stali wobec zagadki. Trup był tak zeszpecony, że go nikt nie poznał.

Mimo to trwa. Greif przy swem twierdzeniu. Sędzia rzekł:

— Trzeba to udowodnić. Prawdopodobnem się to nie wydaje. Dowody panie komisarzu, bo tylko wtedy możemy wystąpić z oskarżeniem przeciw Sinobrodemu

Grief nie był zadowolony z wyniku śledztwa Czy mu się nigdy nie uda wyciągnąć na światło dzienne zbrodnie Sinobrodego? Ma on zawsze tryumfować nad karzącą sprawiedliwością?

Nie! cierpliwości tylko. Nadejdzie dzień zapłaty!

Greif nie wątpił, że mu się Sinobrody nie wymknie. Nie wiedział jeszcze o tem, co się w międzyczasie stało w Paryżu.

Trupa złożono w trumnę i zostawiono w grobowcu na zamku Wildenfels. Potem wszyscy wrócili do rezydencyi, prócz jednego urzędnika, który dalej miał szukać za Piotrem.

Podczas powrotu do miasta zwrócił się sędzia do Greifa i rzekł:

— Dzisiaj doniósł nam hrabia Wildenfels że w najbliższym czasie wróci ze swą żoną Gertrudą.

Greif podskoczył zdziwiony.

— No! — rzekł potem z dziwnym uśmiechem. Ciekawym, jak ta hrabina wygląda. Oczekuję także wiadomości od mego agenta Güntera. W biurze oddano Greifowi 2 depesze Güntera, które nadeszły pod jego nieobecność.

Pierwsza depesza opiewała:

> "Sinobrody znalazł hrabinę. Sprawka to pani Dijon. Widzieliśmy ją. Prokurzysta twierdzi, że to Gertruda. Rozmawiał z nią. Mimo to wątpię, czy to ona.
> Günter."

Greif zastanowił się, poczem rzekł do siebie:

— Trzeba mi czekać na dokładne sprawozdanie. Chociaż, skoro prokurzysta poznał hrabinę, to to chyba ona! Ale Günter ma pewnie poważne powody, kiedy temu nie wierzy.

Otworzył drugą depeszę. Jej treść wywarła na nim przygnębiające wrażenie:

> "Prokurzysta zamordowany w pociągu Sprawcą zbrodni jest niewątpliwie Sinobrody. Pojechał on z hrabiną do Brukseli, tam jednak nic o nim nie wiedzą. Poszlaki wskazują na Londyn. Jadę za nim.
> Günter."

Greif nie namyślał się długo. Spakował swój kufer i najbliższym pociągiem pospiesznym pojechał do Londynu, gdzie razem z Günterem chciał prowadzić dalsze śledztwo.

ROZDZIAŁ 111.

U celu

— Nareszcie! Za dwa tygodnie stanę u celu. Będę jego żoną. Walerya stała u okna swego buduaru, patrząc za odjeżdżającym hrabią Edmundem, który właśnie uczynił jej

nowe przyrzeczenie i ustanowił dzień ślubu.

Tryumfowała. Była w tej chwili bezgranicz nie szczęśliwą.

Wtem otwarły się drzwi i wsunęła się dziwnie przebrana postać.

Walerya cofnęła się w pierwszej chwili przerażona, wnet się jednak uspokoiła.

— A, Piotr! To wy? Czego chcecie?

— Przynoszę ważną wiadomość. Radość nasza była przedwczesna.

— Co się stało? — spytała Walerya zaniepokojona.

— Stary hrabia, komisarz i wszyscy inni ocaleni!

— Przez wieżę wtargnęli do grobowca i uwolnili ich. Zatrudego jadła, które im zaniosłem, nie skosztowali.

Wiadomość ta nieprzyjemnie Waleryę dotknęła.

Piotr opowiedział wszystko, co wiedział o zdarzeniach na zamku Wildenfels.

— Ocaliłem się tylko z wielką biedą — mówił. Przez dzień cały nie ruszałem się ze swej kryjówki. Potem udało mi się wymknąć. Właśnie była na zamku komisya sądowa i oglądnęła grobowiec.

— Chyba nic nie znaleźli?

— Znaleźli! — odrzekł Piotr, rozglądając trwożliwie, trupa radcy komercyalnego.

Jeszcze nie tak źle! Ci mądrzy panowie są chyba ślepi. Podsłuchałem całą tę scenę. Trupa nie można poznać. Przypuszczają wprawdzie, kto on, ale że na tej podstawie jeszcze nie można oprzeć oskarżenia.

— Wszystko więc stracone! — zawołał Walerya

W takim razie oskarżą jako morderców was Piotrze i mego brata.

— W każdym razie odkrycie to jest dla Sinobrodego niepomyślne — rzekla Walerya. Ale w jaki sposób trupa znaleziono? Wrzuciliście go przecież w morze?

— Tak! I ja tego nie pojmuję!

— Zresztą nic nie odkryli!

— Ja przynajmniej o niczem nie wiem!

— Dobrze, Piotrze, żeście przyszli. Mam wiadomości od Sinobrodego. Wszystko składa się znakomicie. Potrzebna osoba znaleziona.

— Nowa hrabina?

— Tak. Lecz pan wasz żąda, byście do niego pojechali. Prokurzysta bowiem jest w Paryżu i przy pomocy tajnego agenta nie spuszcza Sinobrodego z oka. Trzeba tych szpiegów uczynić nieszkodliwymi.

— Do dyabła! — zaklął Piotr. Zaraz wybieram się w drogę!

Natychmiast też wyjechał, przypadkiem tym samym pociągiem co i Greif, lecz jeden drugiego nie zauważył.

Dopiero po upływie tygodnia otrzymała Walerya wiadomość od swego brata.

— Szczęście mu sprzyja — zaśmiała się. Plan udał sę w zupełności. Niebezpieczeństwo minęło. Chciałabym poznać tę nową hrabinę, która tak znakomicie gra swą rolę.

Zazdrościła Sinobrodemu szczęścia. Bo ona sama nie było jeszcze spokojną o swą przyszłość.

Wprawdzie rozpoczęto już przygotowania do ślubu, lecz ciągle miała wrażenie, że w ostatniej chwili zajdzie coś niespodzianego.

Bała się swego męża, Ludwika Hechta, na którego wrogie usposobienie naraziła się. A jeżeli złamie jej szczęście — tuż u celu. Środki po temu ma!

I ciągle straszyły ją widziadła. Nie wiedziała jak odwrócić niebezpieczeństwo. Stan jej graniczył z szaleństwem.

— Muszę go odszukać i mówić z nim — zdecydowała się. Miał mi wydać dziecko Agaty. Długo nie daje znaku o sobie. Zamysły jego z pewnością nie najlepsze.

Było to na 2 dni przed jej ślubem, kiedy pojechała do rezydencyi i w zamiarze odszukania Ludwika Hechta. W gospodzie, gdzie ostatnio mieszkał, nie znalazła go. Może już dawno wyjechał z miasta.

Przygnębiona wróciła do domu. Lecz jeszcze tego samego wieczora otrzymała wiadomość od Ludwika. Wyznaczył jej schadzkę na dzień następny w rezydencyi, w gospodzie.

O oznaczonej porze zjawiła się Walerya. Ludwik Hecht był sam.

— Myślałem, że już dawno siedzisz w więzieniu— mówiła Walerya ironicznie. Czemu tak długo nie doniosłeś mi nic w sprawie dziecka?

Hecht machnął ręką.

— Nie było co! — odpowiedział.

— To znaczy, nie myślałeś już wcale o dziecku — co?

—O tak! Lecz bez skutku. Zresztą, nie pali się! A może masz zamiar jutro — w dzień twego ślubu— oddać hrabiemu małego Waltera? — spytał uszczypliwie.

Walerya zmierzyła go wściekłym wzrokiem.

—— Nie rób głupich żartów! — zawołała Nie masz zatem jeszcze dziecka?

— Nie, jeszcze nie!

— A kiedy się to stanie?

—Od ciebie to zależy, ma luba Waleryo. Mo

gę ci już jutro odstawić dziecko, — atoli mówiąc, potrzebna mi poważna suma.

Oczy Waleryi zabłysły wściekłością i pogardą.

— Więc pieniędzy ci trzeba? Domyśliłam się. Dałam ci przecież 50.000 za dziecko. Coś zrobił z pieniądzmi?

— Mój Boże! prawie już nic z tego niema odpowiedział Hecht spokojnie. Wiedz, że muszę mieć przynajmniej jeszcze 30.000.

Walerya drżała ze złości.

— Ani centa nie dostaniesz! — odpowiedziała. Myślisz, że wyciśniesz ze mnie coraz nowe sumy? Mylisz się! Masz spełnić swą obietnicę. Skoro to uczynisz i wydasz mi metrykę, otrzymasz jeszcze 50.000. Wprzód ani centa. To moje ostatnie słowo.

Ludwik Hecht roześmiał się i rzekł znacząco:

— Namyślisz się jeszcze! Albo chcesz może, bym przyszedł jutro jako gość na twój ślub?

Zbladła i błędnym wzrokiem wpatrywała się w swego męża.

— Przeczuwałam, łotrze, że masz podobny zamiar. Ale spróbuj. Spróbuj tylko! — zawołała groźnie, i zacisnęła pięść. Łotrze! Nie pomyślałeś o tem, że tem sam siebie zgubisz!

— Nie irytuj się niepotrzebnie, kochanie— uspokajał ją ironicznie. Nie znasz jeszcze mego zamiaru. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że niemądrze postępujesz, aby mnie do pewnych nieprzyjemnych dla mnie kroków zmusić

—Nie obawiam się twoich groźb — rzekła Walerya pogardliwie.

Opanowała się prędko i postanowiła nie ustąpić tym razem. Rzekła więc:

— Byłbyś największym głupcem, gdybyś coś, choćby najmniejszego, przeciwko mnie chciał przedsięwziąć.

— Więc mi nie chcesz dać pieniędzy? — ofuknął się szubrawiec.

— Nie! Wywiąż się wpierw ze swego zadania!

— Dobrze! — krzyknął on, rzucając na nią groźne spojrzenie — Więc nie osiągniesz swego celu! Nie zostaniesz żoną ministra! Ja cię strącę z tych dumnych wyżyn, na które się wdrapałaś wyrafinowaną swą obłudą i zbrodnią. Jeżeli wywołasz wojnę między nami, to z góry ci prorokuję, że ty padniesz przezemnie!

—Ba! Głupie to gadanie! Nie możesz przecież nic przeciwko mnie przedsięwziąć, równocześnie i sobie nie zaszkodzić.

— Zobaczymy!

— A ja znając teraz twoje zamiary, będę się miała na baczności. Zdecyduj się na to! — rzekła Walerya stłumionym, gniewnym głosem.

— Niczem mnie od postanowienia mego nie wstrzymasz — odparł Ludwik spokojnie.— Jeżeli więc układy nasze przerwiesz, to sama tem zgubę swoją sprowadzisz.

W takim razie dostanie hrabia odemnie jutro na godzinę przed ślubem list, którego treści się pewno domyślisz. Do listu dołączę nasz akt ślubny, który posłuży ministrowi za dowód, że ty już jesteś zamężna, i to z Ludwikiem Hechtem, który siedział w kryminale, i którego listy gończe w gazetach były ogłaszane. Czy nie myślisz, że zajmujące te odkrycia spowodują pana ministra do odłożenia ślubu z tobą na czas nieograniczony? — zakończył on z cynicznym uśmiechem.

Walerya chciała mu kilka razy przerwać, nie mogła jednak przyjść do słowa. Niewymowna trwoga wściekły gniew paraliżowały jej język.

— Nie! Nie zgodzę się w żaden sposób na to, aby być twoją niewolnicą. Raczej zobaczę, czy masz odwagę wykonać swoje groźby! Bądź pewny, że ja znajdę środki uczynić cię w czas nieszkodliwym!

Nie masz niestety swego godnego braciszka, hrabiego Sinobrodego i służącego swego pod ręką, moja kochana! Nie uda ci się więc uczynić mię tak łatwo nieszkodliwym!

Walerya umilkła i zagryzła wargi

Ludwik Hecht przypatrywał się jej z uwagą, i napawał się widokiem jej bezsilnej rozpaczy i wściekłości Wiedział on, że ona w końcu przecież musi ustąpić

I Walerya przyszła wreszcie do tej świadomości Jakkolwiek trudnem jej to było, uznała ona przecież, że byłoby szaleństwem zmusić Ludwika do wykonania swej groźby

— Bierzesz jak zwykle, górę nademną — rzekła ona po krótkiej przerwie chłodno i spokojnie — Nie chcę się wdawać w długie rozmowy z tobą Wiedz tylko, że za 4 tygodni dostaniesz żądane pieniądze Wcześniej jest to niemożliwe!

— Hm! Dostałaś pewno od hrabiego Edmunda masę pieniędzy na sprawunki — wtrącił Ludwik Hecht badawczo — Mówią nawet, że dostałaś już nawet majątek po Agacie.

— Nonsens! O tem mowy być nie może! Ja na razie nic a nic nie posiadam!

— Ale za kilka dni najdalej już potrafisz się wystarać o potrzebną ci sumę.

— Czy sądzisz? Skądże?

— No, mój Boże! Od hrabiego Edmunda, naturalnie! — rzekł Ludwik niecierpliwie. — Jak będziesz jego żoną, to przecież jego majątek będzie i twoim.

— Tak ty myślisz! — zaszydziła ona. — Lecz zakończmy tę konferencyę. Chcę ci się o pieniądze jak najprędzej wystarać, lecz terminu oznaczyć nie mogę.

Wstała ona z siedzenia i szykując się do wyjścia, rzekła jeszcze podniesionym głosem:

— Spodziewam się, że teraz nic wrogiego przeciwko mnie nie podejmiesz. Na każdy wypadek jednak, jak już pierwej wspomniałam, będę się miała na ostrożności, aby mi twoja podstępna mściwość zaszkodzić nie mogła.

I nie czekając nawet odpowiedzi, wyszła z pokoju.

Nazajutrz miała Walerya dojść wreszcie do szczytu swych marzeń. Nie była to jednak huczna, wystawna feta, jak się ona spodziewała, tylko cicha, skromna uroczystość familijna, w najściślejszem, rodzinnem kółku. Gości było niewiele.

Mimoto wzbudził ślub ten ogromną sensacyę w stolicy. Około katedry zgromadził się tłum ciekawych, aby zobaczyć oblubienicę. Obszerna świątynia tak była zapełniona, że się przez nią przepchać nie było można.

Całkiem w głębi, za chórem; stanęło dwu mężczyzn, chowając sę za filary. Był to Ludwik Hecht z Frycem, którzy z ciekawością zjawienia się młodej pary oczekiwali.

Szepcąc cicho wymieniali oni cyniczne uwagi, gdy wtem tłum się poruszył. Organy zaczęły grać, a przez portal weszła Walerya we wspaniałej, białej jedwabnej sukni, zawieszona na ramieniu hrabiego Edmunda.

Ludzie stawali na palcach i wyciągali szyje, aby zobaczyć piękną Waleryę, i niejeden okrzyk podziwu padł z ust ciekawych widzów. I Ludwik Hecht ze swoim towarzyszem postąpili trochę naprzód.

Z szyderczym uśmiechem przypatrywał się Ludwik tej zwodniczo pięknej kobiecie, która według prawa do niego należała, a potem zmierzył z uczuciem zazdrości i złośliwości dumną, rycerską postać ministra, który nie miał pojęcia o jego stosunku do Waleryi

Hrabia Edmund wyglądał poważnie, prawie ponuro. Było mu ciężko na sercu, i miał uczucie, jakgdyby coś niesłusznego popełniał.

Mimo to znajdował się on już zanadto pod urokiem tej demonicznej kobiety, aby mógł był rozedrzeć siecie, w które go ona zaplątała

I serce Waleryi nie rozpływało się ze szczęścia. Cieszyła się ona ze swego zwycięstwa i oczy jej świeciły trumfem, lecz w duszy czuła jakąś trwogę i obawę, której się oprzeć nie mogła. Postać Hechta stawała jej jak upior przed oczyma duszy, i sprawiała jej dreszcze, które ona kurczowym prawie uśmiechem na ustach starała się pokryć.

Patrzała z pod oka na tłum, śledząc za nienawistnym sobie człowiekiem, i truchlejąc na myśl, że on każdej chwili może się przed nią pojawić i jednem, jedynem słowem zniweczyć jej szczęście, które ona sobie tak mozolnie zdobyła.

Lecz Ludwik Hecht nie myślał widocznie o czemś podobnem. Spostrzegł on niepokój Waleryi, bijący wyraźnie z bladej jej twarzy, i sprawiało mu to szatańską radość, widzieć ją w takiej trwodze przed sobą.

Kamień spadł z serca Waleryi, gdy się ceremonia wreszcie skończyła, i ksiądz wyrzekł uroczyście: Amen!

Była więc już żoną hrabiego Edmunda, była hrabiną Linderhof.

W świadomości tej wyprostowała ona dumnie głowę, a policzki jej się zabarwiły.

Wtem... wychodząc oparła się na ramieniu swego męża... drgnęła ona i zbladła jak ściana. Niewymowna trwoga ścisnęła jej serce i paraliżowała jej członki.

Spostrzegła ona Ludwika Hechta, który stał w pierwszym rzędzie szpaleru utworzonego po obu stronach głównej nawy świątyni.

Musiała przejść obok niego, i obawiała się znów, że on przemówi do hrabiego i oświadczy, mu wobec wszystkich zebranych tu ludzi, że ona... Walerya... jest jego żoną, żoną karanego więzieniem zbrodniarza.

Zimny pot ją oblał. Nie miała ona odwagi przejść koło niego, i zadrżała jakgdyby przed mordercą, który ją chciał zasztyletować.

Jak szyderczo się łotr ten uśmiechał, i jak szatańsko na nią patrzał. Mdlała ona pewnie z przerażenia i oddychając ciężko, oparła się drżąca na ramieniu hrabiego Edmunda.

Hrabia Edmund zwrócił uwagę na dziwny jej stan i popatrzył bacznie w bladą jej twarz.

— Co ci jest? — szepnął on i popatrzył mimowoli w kierunku jej wzroku

— Nic... wrażenia i wzruszenia tylko... wychodźmy stąd prędko — jęknęła ona.

Hrabia Edmund spostrzegł teraz Ludwika Hechta Czy poznał on tego szubrawca? Szyderczo uśmiechnięta twarz tego ostatniego wydawała mu się znajomą.

Przypomniała mu się żywo scena, gdy widział raz z Waleryą przechodzący obok siebie szereg więźniów kryminalnych i gdy jeden z

tych wyrzutków społeczeństwa zbliżył się nagle do Waleryi i krzyknął: Ty jesteś moją żoną!

Na myśl tę przeszedł dreszcz po ciele hrabiego. Popatrzył on jeszcze raz bystro na tego łotra, lecz on schował się szybko w tłumie i z..ikł:

— Chciał hrabia Edmund na niego zawołać, lecz w czas się wstrzymał Szepnął tylko jednemu z wyższych urzędników policyjnych kilka słów na ucho, poczem się ten ostatni szybko przez tłum przecisnął i Ludwika szukać począł.

Po zniknięciu jego odzyskała Walerya równowagę. Wsiadła z mężem swym do powozu i niebawem znaleźli się oni oboje w pałacu hrabiowskim.

Walerya udała isę do swych komnat i przebrała się z pomocą swej pokojówki. Złożyła ona suknię ślubną, a ubrała elegancki podróżny kostyum

We dwie godziny później wyjechała młoda para na dworzec, aby się udać w podróż poślubną.

Walerya nie była zupełnie spokojna. Obawiała się ciągle jeszcze, że jej Ludwik Hecht jakiegoś figla spłata.

Wsiadając do wagonu, oglądnęła ona się raz jeszcze trwożnie wokoło. Bogu dzięki! Ludwika nigdzie w pobliżu nie było. Pociąg ruszył i Walerya wreszcie lżej odetchnęła.

Zwróciła się ona teraz do swego męża z promieniejącym uśmiechem i czule go objęła.

— O, Edmundzie! Jestem wreszcie twoją żoną! — szepnęła ona namiętnie. — Jestem twoją i żadna moc w świecie więcej nas nie rozłączy!

Przytuliła ona gorące swe usta do ust jego i namiętnym pocałunkiem stłumiła jjego odpowiedź.

CXII.

W OSTATNIEJ CHWILI.

Józefa padła znużona i wyczerpana wraz ze swym bratem, gdy się do nich kilku jeźdźców zbliżyło.

Byli to Burowie, którzy zbiegów szybko do obozu swego zabrali.

Armia ich wyruszyła stąd, i nad ranem już stały uszykowane ich szeregi gotowe do odmarszu.

Daremnie oglądała się Józefa za przyjaciółką swą i za farmerem. Nikt nie mógł jej dać jakichkolwiek informacyi o nich. Byli oni dawno już w mieście i Józefa drżała o ich los.

Nie mogła ona tu sama ze swym bratem zostać i musiała się przyłączyć do odchodzących Burów. Jeden oddział ich zatrzymał się jednak wkrótce i rozbił obóz na stromych pogórkach.

Przy nich postanowiła Józefa zostać, dopóki się czegoś o losie Gertrudy i farmera nie dowie. Brat jej zdecydowany był skraść się raz jeszcze do miasta dla zasięgnięcia informacyi o zaginionych przyjaciołach swej siostry.

Mimo że przedsięwzięcie to było dość ryzykowne, nie wstrzymywała Józefa przecież swego brata.

— Obawiam się, że ich oboje poznano i uwięziono — rzekła ona.—Oni są pewno w niebezpieczeństwie. Idź i ratuj ich, Aleksandrze, jeżeli to możliwe!

Kapitan Brandenfeld wyjechał około wieczora z obozu z dwoma Burami i jednym czarnym Kafrem, który go do samego miasta miał odprowadzić.

Kapitan miał jeszcze na sobie angielski mundur, a Kafr mógł uchodzić za jego służącego. Nie potrzebowali się więc obawiać, aby ich wzięto za nieprzyjaciół

Pędzili tak więc ku miastu, trzymając się łańcucha górskiego i dostali się wreszcie w pobliże południowej bramy, przez którą wyjeżdżała angielska milicya z końmi, armatami i różnego rodzaju wozami

Obaj Burowie zostali przed bramą. Kapitan Brandenfeld przyłączył się zaś po krótkiem czekaniu do oddziału artyleryi, która teraz właśnie przez bramę do miasta wchodziła.

Nikt nie zważał na niego, ani na jego czarnego służącego. Wielu angielskich oficerów miało bowiem czarnych forysiów przy sobie w polu, tak że zjawienie się młodego Kafra nie wpadało w oko.

Na rynku rozstali się oni z żołnierzami. Było to w nocy, ale ulice były jeszcze bardzo ożywione.

Nieopodal znajdował się dom gościnny, w którym odegrała się przed godziną zaledwie scena między Lydią, a mężem jej i Gertrudą.

Niepokój z tego powodu jeszcze trwał ciągle gdy kapitan Brandenfeld ze służącym swym do gospody tej zajechał, nie mając najmniejszego przeczucia, że Lydia, która go znała, tu się obecnie znajduje.

Jeżeli ona go zobaczy, to będzie i on stracony!

Przecisnął on się przez tłum. Wtem ozwał się nagle koło niego głośny śmiech. Odwrócił on się i zobaczył Lydię siedzącą przy stole, w towarzystwie oficerów.

Poznał on kobietę tę na pierwsze wej... nie i złe jakieś przeczucie go opanowało.

— Biada farmerowi, jeżeli go niewierna małżonkę jego tu spostrzegła! — pomyślał on. Obawy jego wkrótce się miały sprawdzić. Cofnął on się w cień i ukrywszy się przed ich wzrokiem przysłuchiwał się z zapartym oddechem, rozmowie, prowadzonej przy stole.

Usłyszał on z przerażeniem, że farmer został wraz z Gertrudą przez Lydię zdradzony i uwięziony. Co ich czekało, tego nie można było przewidzieć.

Kapitan Brandenfeld stał jak skamieniały ze strachu i oburzenia. Krew kipiała mu w żyłach, pięści jego zaciskały się kurczowo.

— O, ta piekielna żmija! — zgrzytnął on w gniewie. — Zdradzić własnego męża i na śmierć go wydać! Co za haniebna, piekielna baba!

Musiał on się teraz mieć na baczności, bo gdyby go Lydia spostrzegła, to nie mógł on na milczenie jej liczyć! Wysunął się więc ostrożnie na ulicę i skinął na Kafra który poszedł milcząco za nim.

— Czyś słyszał co tam o przyjaciołach moich mówiono, Bob? — szepnął on wzburzony.

— Tak jest, panie każde słowo!

— Czy podjąłbys się dowiedzieć, co obu uwięzonych tych czeka i gdzie oni są na razie umieszczeni? — zapytał kapitan Brandenfeld. — Obawiam się, że oni chcą z nimi zrobić krótką sprawę i że jeżeli im pomódz chcemy, to musimy to zrobić w jak najkrótszym czasie.

Czarny służący potrząsł potakująco głową.

— Dobrze panie, pójdę na zwiady — rzekł on z zapałem. — Wrócę wkrótce do pana!

Wsunął on się napowrót go dospody i zaczął się tam i napowrót kręcić, nadstawiając uważnie uszy. Nikt na niego nie zwracał uwagi, i o nic go nie podejrzywał.

Po pół godzinie wrócił on do swego pana.

— No cóż, Bob! — zapytał go kapitan trwożnie — Jak rzeczy stoją?

— Źle panie — była odpowiedź. — Mają oni farmera wraz z tą młodą kobietą za szpiegów i chcą ich jutro rano rozstrzelać.

— Boże miłosierny! — krzyknął kapitan Brandenfeld oburzony. — A gdzie oni są uwięzieni?

— W więzieniu policyjnym.

— Musimy ich uratować, Bob! — rzekł kapitan rezolutnie. — I to natychmiast!

Lecz Kafer wstrzymał go i rzekł zaniepokojony:

— Obawiam się że to będzie niemożliwe, panie. Byłem na podwórzu tego więzienia i widziałem tam tyle straży, że się niespostrzeżenie w żaden sposób do więzienia zbliżyć nie będzie można.

— Muszę jeszcze sam zobaczyć, a wtedy będę mógł osądzić, co się da zrobić.

To rzekłszy pobiegł kapitan naprzód. Kafer zaprowadził go przez boczną ulicę na podwórze ratusza, gdzie było owe więzienie.

Było ono oświetlone latarnią. Przed drzwiami więzienia siedziało dwu żołnierzy z karabinami opartymi o ścianę. Grali oni w karty, aby nie zasnąć.

We wnętrzu strasznego budynku także były światła. Na korytarzach widać było chodzącą tam i napowrót straż.

I w ratuszu tak jeszcze było żywo, że najmniejszy alarm by tam usłyszano.

Kapitan Brandenfeld przekonał się sam, że było to niemożliwością zbliżyć się niespostrzeżenie do więzienia. O tego rodzaju uwolnieniu nie można więc było nawet marzyć.

A przecież trzeba było coś przedsięwziąć, bo czas naglił. Do rana było może jeszcze 3 godziny, a gdyby im się do tego czasu nie udało ich uwolnić, to byliby straceni.

Daremnie myślał kapitan jakby to zrobić, lecz ani on ani służący jego żadnego planu powziąć nie mógł.

Czyżby farmer wraz z Gertrudą miał być bez ratunku stracony?

Myśl ta doprowadzała Brandenfelda do rozpaczy.

Nie! Raczej on razem z nimi, choćby się nergii i nadziei.

Mógł on liczyć na wierność i odwagę swego czarnego służącego i to mu dodawało energię i nadzieję.

Po długiej naradzie wpadła kapitanowi nagli zbawcza myśl.Była ona zuchwała i prawie niewykonalna, ale przecież jedyna możliwa droga do wybawienia uwięzionych.

Bez wahania opowiedział on plan Kafrowi, i wraz z nim zaczął czynić potrzebne do tego przygotowania. Trzeba się było spieszyć, gdyż noc się kończyła.

W ratuszu i wszystkich sąsiednich budynkach już się uciszyło.

Nawet w domu zajezdnym było ciemno i spokojnie. Wszystko wokoło spało z wyjątkiem straży.

Kapitan wsunął się cicho wraz z Bobem do ratusza do którego zajść mogli przez otwór w murze, zrobionym jeszcze za czasów oblężenia miasta przez Burów i dotychczas nie naprawiony.

Sunąc się jak cienie przez szereg ciemnych

komnat, zapalili oni na chwilę światło lecz je zaraz napowrót zgasili.

— Oto masz potrzebne nam rzeczy — szepnął kapitan Brandenfeld. — Bierz, Bob! — dodał on, wskazując na tłumok mundurów i innych pakunków.

Kafer zaczął wybierać potrzebne im ubrania. Znowu zabłysnęło na chwilę światło.

— Czy masz wszystko? — zapytał kapitan, gdy światełko zgasło.

— Tak jest, panie! — była odpowiedź Kafra. — Możemy już stąd wychodzić.

Wysunęli się więc obydwaj z tej komnaty. Czarny służący miał dużą paczkę, którą schował, gdy się do ogrodu domu zajezdnego dostali, wkładając ją pod ławkę gęsto zarosłej altanki.

— Teraz idź i wystaraj się o konie — rzekł kapitan Brandenfeld. — Ja się tymczasem sam do dzieła zabiorę, i niech nam Bóg miłosierny dopomoże!

Podczas gdy się sługa zakradł w stronę stajen, wyszedł kapitan na ulicę i wszedł znów na podwórze ratusza Straże u głównego wejścia widziały go i zauważywszw mundur angielskiego oficera, salutowały mu.

Było to okropnie zuchwałe przedsięwzięcie i gdyby mu się nie udało, to byłby on wraz z oboma więzniami stracony.

Dzwoniąc umyślnie ostrogami, zbliżył on się do straży stojącej u wejścia do więzienia.

Obaj żołnierze spali teraz smacznie oparci o mur. Zbudzeni nadejściem oficera zerwali się oni na równe nogi i stanęli przestraszeni w przepisanej pozycyi.

Kapitanowi Brandenfeldowi biło serce gwałtownie ze strachu, lecz pozornie zachował on zupełny spokój i pewność w wystąpieniu

Przyłożywszy rękę do hełmu, rzekł on rozkazująco:

— Odstawić mi obu uwięzionych do kwatery komenderującego! Wyprowadźcie ich tu!

— Na rozkaz pana kapitana!

Jeden z żołnierzy wszedł do więzienia i krzyknął straży na korytarzu, aby mu wymieniona celę otworzyć! Stało się zadość jego życzeniu. Poświeciwszy latarką do wnętrza, zawołał szorstko:

— Holla! Wstawajcie! Pójdziecie przed sąd wojenny!

— Wielki Boże! — jęknęła Gertuda, podnosząc się z nędznego łoża. Prowadzą nas teraz na pewną śmierć!

— Odwagi! — szepnął jej farmer i wyszedł odważnie z celi. Gertruda podążyła za nim, mimo że się kolana pod nią uginały.

Nie przeczuwali oni oboje jak bliskim był ich ratunek

Na dworze czekał kapitan Brandenfeld. Stanął on umyślnie w cieniu, aby go Gertruda i farmer zawcześnie nie poznali. Byliby go oni w pierwszem radosnem uniesieniu z pewnością zdradzili i wszystko zepsuli.

Gdy ich zobaczył wychodzących z więzienia, wyciągnął szablę i dał straży znak, żeby ich w środek wzięli.

— Marsz! — zakomenderował kapitan i poszedł naprzód, prowadząc ich przez ratusz na rynek i dalej jeszcze. Żołnierze z Gertrudą i farmerem postępowali za nim.

Gertruda nie mogła się na nogach utrzymać. Farmer nie mógł jej jednak wesprzeć, bo miał okute ręce. Mrucząc, złapał jeden z żołnierzy ramię Gertrudy i ofuknął ją, aby szła prędzej.

Kapitan Brandenfeld nie odezwał się ani słowem, i nie odwracał się idąc ku dworcowi, gdzie komenderujący generał mieszkał. Tam miał już na niego czekać Bob z końmi.

Ulice były zupełnie puste. Tylko tu i ówdzie przechodził oddział żołnierzy. Nikt jednak nie zatrzymywał więźniów z ich eskortą i nie stawiał kapitanowi pytań.

Po krótkim czasie doszli oni do dworca. Teraz musiało się rozstrzygnąć, czy śmiałe przedsięwzięcie kapitana Brandenfelda się uda.

Mały oddział wmaszerował do sieni, gdzie stała straż, a kapitan zapytał po cichu o pomieszkanie generała. Kazał sobie opisać którędy do niego zachodzi i po chwili udał się z więźniami i eskortą w dalszą drogę.

Wszedł najpierw po szerokich kamiennych płytach i skręcił w korytarz, który był tylko słabo jedną latarką oświetlony. Po jednej stronie były poczekalnie zapełnione rannymi. Kapitan Brandenfeld zatrzymał się przed ostatniemi drzwiami, odchylił je i zajrzał do środka.

Izba była oświetlona, ale zupełnie próżna. Ani żywej duszy tam nie było.

— Czekajcie! — rozkazał kapitan i wszedł tam szybko zamknąwszy drzwi za sobą. Rozglądnął on się po izbie i zobaczył po prawej stronie drzwi, prowadzące do apartamentów zamieszkałych przez generała i jego adjutantów. Naprzeciw były znów inne drzwi prowadzące na peron.

Plan jego szybko był powzięty. Otworzył on drzwi, któremi wszedł i rozkazał trzymającym więźniów żołnierzom:

— Wprowadźcie mi tu dziewczynę! Ten człowiek niech jeszcze na razie na dworze zostanie!

Żołnierze posunęli Gertrudę naprzód. Kapitan Brandenfeld złapał ją za rękę i wciągnął do izby, widząc że ona się wzbrania. Za nimi zapadły ciężkie drzwi wchodowe.

Gertruda zawsze go jeszcze ne poznawała. Uderzył ją wprawdzie dźwięk jego głosu, lecz jakżesz mogła myśleć, że ten angielski oficer mógł być bratem Józefy i jej zbawcą? W półświetle panującym tu, trudno też zresztą było rozpoznać dokładnie rysy twarzy.

Nim jeszcze Gertruda pojąć mogła, co się z nią stało, wyciągnął ją kapitan przez naprzeciw leżące drzwi, na ciemny peron.

— Gertrudo! — szepnął on jej teraz do ucha. — Czy jeszcze mnie pani nie poznaje? Jest pani wolna i uratowana!

— Boże wszechmogący! — wykrzyknęła ona mimowoli. — Czy to pan Aleksander?

— Tak jest, lecz cicho! — szepnął on zanie pokojony. — Czas jest drogi! Czekaj pani tutaj, dopóki ja nie przyprowadzę farmera. Potem dopiero zaczną się pytania i wyjaśnienia.

Chciał on odejść, gdy wtem jakaś ciemna postać ku niemu się posunęła. Był to Bob, czarny służący kapitana który mu cichym głosem doniósł, że ma mundury i konie.

— Dobrze! — rzekł kapitan uradowany, a potem szepnął Gertrudzie:

— Idź pani z tym poczciwym człowiekiem i przebierz się pani w mundur, który on pani da. Potem proszę na nas zaczekać.

Wróciwszy do żołnierzy, którzy farmera trzymali, rozkazał on ostrym głosem.

— Wprowadzić go teraz!

Żołnierze wepchnęli więźnia do pokoju, poczem kapitan Brandenfeld zamknął drzwi, rozkazawszy im poprzednio na dworze czekać.

Nie mówiąc ani słowa, rozciął on powróz pętający ręce farmera i pociągnął go za sobą.

— Ani pisnąć! — szepnął on mu ostrzegająco. — Chodź pan ze mną, mój przyjacielu! Gertruda jest już wolną!

— Na Boga! — wybełkotał farmer. Czy ja mogę uszom swoim dowierzać? Czy to pan Aleksander?

Kapitan pędził tymczasem nie zatrzymując się dalej. Biegli oni tak przez długi, pusty i ciemny peron. Po drodze dawał kapitan farmerowi potrzebne wyjaśnienia. Farmer myślał, że mu się to tylko śni, nie dowierzał on jeszcze tak nagłej zmianie w jego losie.

Wreszcie dobiegli oni do małej chatki, gdzie na nich Bob z Gertrudą czekał.

Gertruda przywitała ich już w nowem przebraniu i wyglądała na wcale zuchowatego i szykownego porucznika huzarskiego.

Farmer poszedł za jej przykładem, aby ich podczas ucieczki nie poznano. Kapitan Brandenfeld naglił do pospiechu.

— Prędko, bo nas każdej chwili przyłapać mogą! — ostrzegał on. — Gdy odkryją moją sztuczkę, to my się z miasta nie wydostaniemy! Gdzie są konie, Bob?

— W próżnej szopie, może o 10 minut drogi — odparł Kafer. — Nie mogłem ich tutaj przyprowadzić, bo toby było wzbudziło podejrzenie.

— Więc biegnij i wracaj z końmi! — rzekł kapitan.

Bob pobiegł naprzód, a trzej przyjaciele jego poszli powoli za nim. Droga prowadziła między szynami, które były miejscami uszkodzone i żadnego ruchu pociągów teraz tu nie było.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Ledwo uciekinierzy nasi opuścili dworzec, gdy usłyszeli za sobą alarm, głośne wołania i kroki biegnących tam i napowrót żołnierzy z latarniami w ręku.

— To o nas chodzi! — zawołał kapitan Brandenfeld przerażony. — Naprzód! Tak prędko, jak tylko możemy!

Było tak ciemno że ich prześladowcy na razie daremnie za śladem ich szukali. Lecz Gertruda była zmęczoną, że padła na kolana, które się pod nią uginały i jęknęła:

— Ratujcie się obydwaj, a mnie pozostawcie memu losowi!

Farmer wziął ją jednak na ręce jak dziecko i popędził z nią za kapitanem. Niebawem usłyszeli oni tętent kopyt końskich i zobaczyli wiernego Boba prowadzącego ich wierzchowce.

Powskakiwali żywo na siodła, a był już najwyższy czas, bo już zbliżało się do nich kilku żołnierzy. Spostrzegli oni zbiegów jednak dopiero, gdy ci już galopem naprzód odpędzili.

Za nimi odezwało się teraz głośne wołanie, lecz oni nie zważali na to. Potem dali żołnierze ognia, lecz kule ich nie trafiły celu. Zbiegowie popędzili bez pamięci, jak szybko ich tylko rumaki unieść mogły.

Niebawem dojechali oni do szańców za miastem. Tam droga była bardzo niebezpieczna, bo prowadziła przez gruzy i przez uszkodzony częściowo most.

Tymczasem rozwidniło się jednak o tyle, aby przeszkody wyraźnie widzieć było można. W mieście zaczynało się wszystko budzić do

życia. Głośne sygnały i odgłos kopyt końskich dowodziły, że goniono za uciekinierami.

Na szczęście droga była wolna, i dopiero n. samym końcu szańców obozował oddział pie choty i pionierów Ci ostatni zajęci byli naprawianiem uszkodzonych torów kolejowych i z brzaskiem dnia byli już przy pracy.

Zbiegowie nasi nie mogli ich ominąć, gdyż teren po obu stronach toru niemożliwy był do jazdy konnej. Bez namysłu pędzili oni więc dalej ku pracującym żołnierzom.

— Teraz chodzi o życie lub śmierć! — zawołał k..pitan Brandenfeld, i wyciągnął szablę. — Jeżeli się tędy szczęśliwie przedostaniemy, to jesteśmy uratowani!

Żołnierze spostrzegli zbliżających się czteru jeźdźców i poznali po uniformach, że to byli dwaj oficerowie, z jednym Kafrem i jeszcze innym towarzyszem

Oficer dowodzący pracą pionierów kazał ustąpić się swoim ludziom, i zrobić dla przejeżdzających drogę. Nie miał on żadnego podejrzenia, bo nie wiedział jeszcze nic o ucieczce uwięzionych.

Kapitan Brandenfeld salutował w przejeździe i minął prędko małą garstkę pracujących żołnierzy.

Po chwili odwrócił się farmer i krzyknął z przerażenia. Zobaczył on bowiem za sobą pędzący galopem oddział ścigających ich huzarów, którzy już dość blizko nich byli.

I uciekinierzy dali ostrogi koniom i pogalopowali dalej. Zaczęła się straszna, dzika gonitwa. Prześladowcy coraz bardziej zbliżali się do ścigających więźniów. Czy ich dogonią i napowrót w moc swoją zabiorą?

CXIII.

Nowe niebezpieczeństwo

Ledwo 10 minut znajdowała się Betty, fałszywa hrabina, sama w wagonie, i nadsłuchiwała blada i drżąca szmery dochodzące ją z sąsiedniego przedziału, gdzie się Sinobrody zakradł do prokurzysty.

Trzęsienie i stuk pędzącego szybko pociągu, wycie wiatru, i plusk deszczu zagłuszały owe szmery. Tylko jeden okrzyk... przeraźliwy, głośny, wstrząsający okrzyk... dał się słyszeć, a nadsłuchującej trwożnie kobiecie krew się w żyłach ścięła. Opanowała ją straszna zgroza.

— Boże w niebiosach! — wywarło się z drżących jej ust. To był śmiertelny okrzyk...

Zaczęła znów nadsłuchiwać. Prócz niej nikt pewno okrzyku tego nie zauważył. Pociąg pędził dalej, jak gdyby się nic nie stało. Jeszcze jedno, stłumione charczenie, zamierające powoli na ustach... potem wszystko się uciszyło.

Betlina padła przerażona napowrót na swoje siedzenie. Dreszcz zimny przechodził całe jej ciało. Przed oczyma duszy stanęła jej wyraźnie scena, która się w sąsiednim przedziale Straszny okrzyk przed chwilą, a śmiertelne, ciche charczenie wpijało się jej w duszę, jakgdyby uderzenia sztyletu.

W rozpaczy swej przycisnęła ona obie ręce do uszu, aby tylko nie słyszeć tego okropnego jęku i charczenia, które jej serce rozdzierało.

Daremnie! Dochodziło ono do niej tak okropnie wyraźnie! Słyszała go ona aż do ostatniego, śmiertelnego westchnienia!

Jak szalona zerwała się z siedzenia, i zawołała dręczona nieopisanem przerażeniem:

— O Boże! Pocóż ja do tego dopuściłam!

Zakrywszy twarz rękoma, padła znów blizka omdlenia na poduszki siedzenia. Dręczyły ją okropne wyrzuty sumienia.

Po chwili wszystko się uciszyło Z sąsiedniego przedziału ani ton więcej do ucha jej nie dochodził.

Betlina starała się opanować i uspokoić.

Co się stało, odstać się przecież nie dało. Trzeba się było z tem pogodzić.

Lecz gdzież się podział hrabia Sinobrody? Co on tam jeszcze przy swojej ofierze robił?

Niebawem zjawił on się, a był tak blady, i odstraszający, że Betlina aż zadrżała. Miała ona w tej chwili wstręt do Sinobrodego, a mimo to postanowiła zostać jego żoną.

Padł on bez słowa na siedzenie i pogrążył się w ponurej zadumie.

Wtem oznajmił przeraźliwy świst zbliżanie się do stacyi.

Hrabia Sinobrody podniósł się i wziął swój płaszcz do ręki.

— Zbierz się, bo my tu wysiadamy! — rzekł on ochrypłym głosem.

— Dlaczego? — zapytała ona zdziwiona.— To przecież jeszcze daleko do Brukseii!

— Nie pytaj o nic! — ofuknął on się szorstko.

Pociąg wjechał na obszerny dworzec. Betlina włożyła płaszcz i zakryła przerażoną swą twarz gęstym welonem

I hrabia Sinobrody nastawił duży kołnierz płaszcza aby się nie dać poznać

Wysiedli oni i weszli, nie oglądając się za siebie, do poczekalni Wielu innych podróżnych

jeszcze opuściło pociąg, aby się przesiąść do pociągów jadących w innym kierunku. Była to stacya, na której za pół godziny miał nadjechać. Wsiedli oni do tego pociągu i pojechali dalej,, lecz nie do Brukseli

Przed obiadem dojechali oni do jakiegoś miasta portowego, i nie zatrzymując się tu, wsiedli na okręt jadący do Anglii Przybywszy wieczorem do Londynu, zajechali do hotelu i zapisali się tam pod fałszywem nazwiskiem.

Nazajutrz zobaczył Sinobrody w gazecie artykuł o napadzie zbójeckim i mordzie w pociągu, który i Günter czytał Uśmiechnął on się zadowolony i podsunął Betlinie gazetę.

— Czytaj! — rzekł on. — Nie mamy się czego obawiać. Nikt się nigdy nie dowie kto był zamordowany, i kto go zamordował

Betlina spoglądnęła trwożnie na podany jej numer gazety Przypomnienie tego strasznego czynu, po którym ona do siebie przyjść nie mogła, sprawiało jej przykrość.

— Pozbyliśmy się więc szpiega raz na zawsze! — ciągnął Sinobrody dalej. — Żaden detektyw też już zmylonego tropu naszego nie wyśledzi!

Betlina odpowiedziała tylko ponurem skinieniem głowy. Nie podzielała ona jego pewności, i była pełna obawy o przyszłość.

Sinobrody starał się ją uspokoić, co mu się też udało.

— Zatelegrafuję ciotce, aby tu niezwłocznie przyjechała! — odezwała się ona, zwracając rozmowę na inne tory.

— Poco? — zapytał hrabia Sinobrody niechętnie, a twarz jego spochmurniała

— No, na nasze wesele! — odparła Betlina rezolutnie. — Umówiłam się z nią, że ją sprowadzę, skoro się tylko do Londynu dostaniemy.

— Nonsens! My tutaj twojej ciotki nie potrzebujemy — wzbraniał się — Byłoby to nietylko nierozsądnie, ale nawet niebezpiecznie, tu ją sprowadzać. Pani Dijon jest przecież szpiegowaną przez policyę, i sprowadziłaby nam tylko szpiegów i detektywów na kark.

—Ależ my nie możemy przecież żyć zawsze w ukryciu! — zawołała Betlina wzburzona, i pełna nieufności. Przedewszystkiem, kiedy ma się odbyć nasze wesele?

— Mniej więcej za ośm dni — była spokojna jego odpowiedź.—Naturalnie że weźmiemy ślub pod obcemi nazwiskami, i zupełnie po cichu, bez ostentacyi

— Nie, na to ja się nie zgodzę! — przerwała mu Betlina gwałtownie. — Ja chcę zostać hrabiną Wildenfels, i obstaję przy tem, abyśmy się pobrali pod prawdziwem nazwiskiem pana, panie hrabio!

Sinobrody wzruszył tylko szyderczo ramionami.

— Zapominasz, moja kochana, że to z wielu powodów niemożliwe.

— Dlaczego? Ja tego zupełnie nie widzę!

— Przedewszystkiem musi to zostać tajemnicą, że ja się teraz żenię! — rzekł Sinobrody z naciskiem. — Powinnaś to przecież zrozumieć! Przychodzisz całkiem po prostu na miejsce dawnej mojej małżonki Gertrudy i świat ma myśleć, że ona jeszcze żyje, i że ty nią jesteś! Jakżeż bym więc pod tymi warunkami mógł urządzać publiczne wesele? Zdradziłoby to przecież prawdziwy stan rzeczy. Po co takie zupełnie zbyteczne szopy?

— Dla mnie one nie są zbyteczne. Ja chcę iść na pewno!

— Przezemnie!—uśmiechnął on się pogardliwie — Musisz jednak sama uznać, że ja nie mogę z tobą przystąpić do ołtarza jako hrabia Wildenfels!

Betlina umilkła rozczarowana. Musiała ona Sinobrodemu przyznać słuszność. Było to niemożliwe odgrywać rolę zmarłej, a równocześnie brać publicznie ślub z jej mężem. Co za korzyść jednak taki tajemny ślub mógł mieć dla Betliny? Czyż mogła ona po nim mieć do Sinobrodego jakiekolwiek prawne pretensye?

Nie było jednak innego wyjścia. Musiała ona pogodzić się z tem, co się zmienić nie dało i być zadowoloną z tego, co na razie osiągnąć mogła.

Hrabia Sinobrody telegrafował do Waleryi, że wszystko dobrze poszło Z telegraficznej odpowiedzi swej siostry, dowiedział on się, że Piotr jest już w drodze do Londynu

Wieczorem tego samego dnia przybył Piotr do Londynu. Oglądnąwszy się na dworcu, zobaczył on mężczyznę, który przybył tym samym pociągiem co on, i również ciekawie i szukająco po peronie się rozglądał.

Był to detektyw Greif, który uwiadomił Güntera o swojem przybyciu i szukał go na peronie, wiedząc, że ten go miał oczekiwać.

Piotr poznał strasznego wroga natychmiast. W pierwszej chwili był on jakby skamieniały ze strachu. Przypuszczał on, że Greif za nim jechał, i tu go chciał przyłapać.

Jakżeż uciec przed grożącem tem niebezpieczeństwem?

Greif nie wiedział jednak nic o przybyciu Piotra, i nie spostrzegł go w tym gęstym tłumie ludzkim. Patrzał on tylko za Günterem którego w końcu przy wyjściu odkrył.

Przystąpił więc szybko do niego, i powitał go.

— Jak się pan ma, kochany Günterze? Czy odnalazł pan Sinobrodego? — było jego pierwsze pytanie.

— Jeszcze nie! — oświadczył Günter. — Szukam od przedwczoraj daremnie za nim i za hrabiną!

— Czyż pan przekonany jest, że ta hrabina jest tylko oszustką?

— To jest moje przekonanie! — rzekł Günter pewnym tonem. — Prokurzysta był innego zdania, kto wie jednak, jakby on w sprawie tej teraz sądził, gdyby był przy życiu!

— Biedak! — szepnął Greif z żalem. — Czyż on naprawdy padł ofiarą Sinobrodego? Nie ma wątpliwości że on był tym trupem, którego znaleziono martwego w wagonie!

— Nie można o tem wątpić! — westchnął Günter ponuro. — Będzie jednak bardzo trudno dowieść hrabiemu Sinobrodemu tę zbrodnię.

— Główna rzecz jest, aby go wraz z domniemaną małżonką jego znaleźć! — przerwał mu Greif.—Potem zobaczymy, co się da zrobić!

Temi słowy wziął on Güntera za rękę, i pociągnął go ku drzwiom wychodowym.

Nagle zatrzymał się... wzrok jego padł na postać siwobrodego starca, który śpiesznie koło nich przeszedł.

Mimo przebrania poznał bystry detektyw Piotra na pierwsze wejrzenie.

— Prędko! — Günter! — zawołał Greif cichym głosem — Nie spuszczajmy tego starego z oczu Jabym przysiągł na to, że to jest ten łotr i oszust Piotr

Popędzili więc za nim obaj Piotr spostrzegł się jednak wkrótce, że jest goniony, i zmieszawszy się z tłumem, skręcił inną drogą i znikł

Detektywom nie chodziła na razie o przyłapanie go, tylko o obserwowanie dokąd on się uda. Byli bowiem przekonani, że on odszuka w pierwszym rzędzie hrabiego Sinobrodego.

Z ucieczki Piotra wnosił Greif, że go ten musiał poznać, i żałował już, że się nie zamaskował.

— Nie wolno nam dać mu teraz uciec — rzekł on Günterowi, który się za nim w pogoń rzucił.

Ludzie wokoło zwrócili już uwagę na tę gonitwę.

— Trzymajcie go! — krzyknął Günter.

Był on już blizki Piotra, że wyciągnął ręce, aby go złapać, lecz ten wysunął mu się zręcznym ruchem, i dopadłszy jakichś drzwi otworzył je, i znalazł się na jakimś wolnym małym placu.

Zdyszany oparł się na chwilę o mur i rozglądnął się wokoło. Spostrzegłszy drugi wychód, podbiegł ku niemu. Lecz tu zjawili się prześladowcy jego z Günterem i Greifem na czele.

— Oto on! Łapcie go — zawołał Greif głośno.

Wtem udało się Piotrowi wyjść na ulicę. Zmieszał on się znów w tłumie i znikł teraz bez śladu z przed oczu swoich prześladowców

Skręcił on na rogu ulicy, wbiegł do jakiegoś domu i zaczął się spiesznie inaczej przebierać. Zamienił on swą brodę na czarną, i zrzucił płaszcz, który zwinął i wziął pod pachę.

Spodziewał się więc, że go tak łatwo nie poznają, i popędził szybko długiemi ulicami stolicy której zupełnie nie znał. Wreszcie zdecydował on się wziąć dorożkę i pojechać do hotelu w którym mieszkał hrabia Sinobrody.

Ciemność wieczorna i migotliwe światła latarni ułatwiły mu ucieczkę. Chciał on jednak zawsze jeszcze być ostrożnym, i dlatego wysiadł kawał przed hotelem z powozu, i poszedł pieszo.

W dorożce włożył on znów płaszcz, gdyż było zimno i deszczowo.

Piotr rozglądnął się nieufnie na wszystkie strony. Zobaczył jednak ku swemu uspokojeniu, że detektywa i Güntera nigdzie w pobliżu niema.

Uśmiechnął się nieznacznie i szyderczo. I tym razem udało mu się szczęśliwie ujść prześladowcom Wszedł on więc zadowolony do hotelu, i kazał się zaprowadzić do hrabiego Sinobrodego.

Ten ostatni oczekiwał go już, bo Walerya oznajmiła mu dokładnie czas, w którym Piotr do Londynu przybędzie.

Betliny nie było w pokoju. Nie wiedziała ona nic o przybyciu Piotra.

— Jesteś więc już tu — powitał go Sinobrody. — Obawiałem się już o ciebie, czy cię po drodze jaki detektyw nie przyłapał.

Byłem już blizki tego — odparł Piotr i opowiedział co mu się właśnie zdarzyło.

— Na dyabła zawołał Sinobrody przerażony. — Więc detektyw Greif jest tutaj? skąd on się wziął w Londynie?

Widocznie że za mną tu przyjechał! Na dworcu spotkał on się z drugim detektywem, który go tu oczekiwał!

Sinobrody patrzał przez chwilę ponuro przed siebie, a w rysach jego malował się niepokój.

— Chodź tu do mego pokoju — rzekł on otworzywszy drzwi do małego, elegancko urządzonego pokoju. Tu nikt nam nie przeszkodzi, a my mamy tyle ważnego do omówienia. Opowiedz mi najpierw dokładnie wszystko co w domu zaszło.

Piotr usiadł i zdał panu swemu dokładne relacye. Opowiadał on jak zamknął starego hrabiego wraz z jego towarzyszem w grobowcu, i jak się ci sami dziwnym sposobem z niego wydostali. Dodał też ten fakt, że znaleziono tam na dole trupa zamordowanego radcy.

Na wieść tę podskoczył Sinobrody trupio blady ze swego siedzenia

— Jakżeż to możliwe? — wybełkotał on zaniepokojony. — Przecież on leży na dnie morza. To musi być jakiś inny, ten trup, którego znaleźli.

Lecz Piotr potrząsał tylko głową, z pewnym siebie uśmiechem.

— Nie! Przecież ja go na własne oczy widziałem— upierał się służący hrabiego. Możemy jednak być zupełnie spokojni, gdyż on już jest nie do poznania. Nie mogą nam więc niczego dowieść!

Hrabia Sinobrody odetchnął lżej, a zbladła twarz odzyskała napowrót kolor.

— A tam na dole zamknąłeś starego hrabiego i detektywa — zapytał on znów służącego. — Gdyby byli w grobowcu zostali i tam zginęli, to byłaby mistrzowska sztuczka. Tak jednak niceśmy nie uzyskali.

Piotr westchnął głęboko.

— Niestety! Detektyw jeszcze tem zacięciej za nami śledzi.

— A co on prócz tego jeszcze w grobowcu odkrył? — badał Sinobrody dalej.

— O ile ja wiem... nic!

Sinobrody uśmiechnął się szyderczo.

— Było przecież dobrze, że temu zapobiegłem—mruknął on. Tak tedy może nie mieć ta rewizya w grobowcu dla nas żadnych nieprzyjemnych skutków — dodał głośno.— Cieszę się niezmiernie, że się detektyw tak w nadziejach swych zawiódł. Sądzę, że mi się i na przyszłość uda, tak go zawsze w pole wyprowadzać. Niech ma jaki chce dobry nos, a mnie przecież nie weźmie, — zaśmiał on się pewny siebie i zadowolony.

— Hm, panie— mruknął Piotr ponuro — pan jeszcze się dobrze ze wszystkiego może wykręcić, ale ja... co ze mną będzie? Jeżeli mnie detektyw przyłapie, to ja jestem stracony

— Jeszcze cię przecież nie złapał — pocieszał go Sinobrody.

— Zobaczyłem to dopiero dziś, jak trudno jest ujść temu szpiegowi — odparł Piotr. — I już nawet nie jestem pewny swego życia i swej wolności. Najlepiej będzie, gdy wyjadę do Ameryki, i nigdy więcej się tu nie pokażę.

— Nonsens! — zawołał Sinobrody — teraz, kiedy cię najbardziej potrzebuję, to ty mnie chcesz opuścić.

Piotr zrobił rozpaczliwy ruch rękami.

— Dobrze panu mówić, panie — mruknął on gniewnie— ale ja panu otwarcie mówię, że mi się już sprzykrzyło dać się gonić i prześladować jak jakie dzikie zwierzę. Proszę mi dać nagrodę, którą mi pan obiecał, i ja zniknę z widowni.

Sinobrody popatrzył na niego zdziwiony i oburzony. Oczy zabłysły mu gniewnie, gdy uderzając pięścią o stół zawołał:

— Czy oszalałeś, że chcesz uciekać przed detektywem?

— Wolę uciekać, niż się w kata ręce dostać.

Hrabia Sinobrody zaśmiał się gniewnie.

— Do tego wcale nie przyjdzie, ty tchórzu! — oburzył on się. — Ja mam przecież zupełnie tyle powodu obawiać się, co ty, a przecież nie myślę o ucieczce. Co by nam z tego przyszło? Cośmy dotychczas wskórali? Z ciężką biedą zdobyliśmy majątek starego radcy nieboszczyka, a z tego niestety niewiele już zostało. Skarbów starego hrabiego także nie mamy. Gdybyśmy mieli jego pieniądze, to nie namyślałbym się i ja ani chwili wyjechać do Ameryki i wszystko tu zostawić

Umilkł on i popatrzył na Piotra, który stał zamyślony. Słowa Sinobrodego nie pozostały na nim bez wrażenia.

— Pan ma słusznie, panie hrabio — rzekł on po chwili. — Ale to niebezpieczeństwo! Co mi z nadziei zysku i zdobyczy, kiedy nie jestem pewny swego życia?

— Jeżeli inaczej nie pójdzie, to będziemy się musieli pozbyć detektywa — rzekł Sinobrody rezolutnie.

— I cóżby to pomogło, panie! — westchnął Piotr. — Przyszedłby inny na jego miejsce, i nasze położenie jeszczeby się pogorszyło!

— Hm! — mruknął hrabia Sinobrody ponuro. — To jest słuszne. Chcieliśmy przecież i Wintera uczynić nieszkodliwym, a udało nam się to tylko do pewnego stopnia. Z tym Greifem mogłoby nam to się jeszcze gorzej powieść. Poradźmy sobie więc lepiej w inny sposób!

— Ale w jaki sposób? — zapytał Piotr.

— Chodzi tu teraz głównie o ciebie. bo mnie detektyw nic zrobić nie może!

— Ma pan więc teraz inną... hrabinę Gertrudę?

— Naturalnie! I to taką, która wszystkich złudzi. Prokurzysta nawet miał ją za prawdziwą hrabinę, moją żonę.

— Musi więc być bardzo do tamtej podobna!

— Tak jest! I dlatego ja jestem taki uspokojony — odparł Sinobrody. — Zresztą jedyny człowiek, którego się obawiałem, był ten porkurzysta! Na szczęście padł on ofiarą jakiegoś mordercy w pociągu.

— Tak? — zaśmiał się Piotr z wieloznaczącem spojrzeniem na swego pana. — więc to pan go ze świata sprzątnął, co?

Hrabia Sinobrody zmarszczył czała, i odpowiedział krótko:

— Nie! Zdaje mi się, że mi tym razem los przyszedł z pomocą. Nie wiem wprawdzie na pewno, czy to naprawdę był prokurzysta, którego znaleziono zamordowanego w pociągu, przypuszczam jednak, że to był on, gdyż wiem z pewnością, że on z nami jechał

Piotr był wprawdzie przekonany, że to była sprawka jego pana, udawał jednak, że go perswazye hrabiego przekonały

— Co pan teraz uczynić zamyśla? — badał on przebiegle

— Chcę przywłaszczyć sobie spadek żony mojej Gertrudy — odparł hrabia. Radca uchodzi ogólnie za umarłego, nie powinni mi więc robić trudności w objęciu spadku po nim. Gdy mi się to uda, to ty dostaniesz swoją nagrodę. Jeżeli mi później jeszcze zechcesz pomódz uczynić starego hrabiego nieszkodliwym i skarby jego zagarnąć, to możesz liczyć na milion.

— Dobrze, panie! a jeżeli się nie uda, to cóż wtedy? — mruknął Piotr bojaźliwie. Pomyślmy jednak pierwej o detektywie, co przed nim nie jesteśmy pewni, i na żadne inne sprawy puszczać nie możemy.

Przecież szpieg ten zatracił twój ślad. Musisz się teraz tak przebrać, aby cię nikt w świecie nie mógł poznać.

Ależ najlepsza maska nawet detektywa zdurzyć nie potrafi! Jeżeli tylko będę z panem, to on niezwłocznie odgadnie, kto się pod przebraniem tem ukrywa.

Ja mam dobrą myśl! — krzyknął Sinobrody żywo. — Mam dla ciebie maskę i przebranie, które nawet najbystrzejsze szpiegowskie oko zmylić musi!

— Jakie? — zapytał Piotr ciekawie.

— Musisz się przebrać jako kobieta — oświadczył Sinobrody. — A da się to bardzo łatwo zrobić. — Moja żona potrzebuje garderobianę, jeżeli więc w tej roli wystąpisz, to niczyjego podejrzenia to wzbudzić nie może Osiągniemy też przez to podwójny cel. Po pierwsze będziesz zawsze w mojem pobliżu, abyśmy się wzajemnie naradzać mogli, po drugie będziesz mógł wspólniczkę naszą, nową hrabinę Gertrudę, mieć na oku, bo ja jej nie zupełnie dowierzam. Patrzy ona na swoją korzyść i chce mnie pewno podejść Trzeba więc abyśmy jej wspólnemi siłami w tem przeszkodzili!

Piotr zamyślił się głęboko. Rola, którą pan jego dla niego obmyślił, nie była według jego gustu. Niepodobalo mu się występować jako kobieta.

Lecz Sinobrody rozprószył prędko jego wątpliwości wskazując na korzyści tego planu. Piotr musiał teraz przyznać, że w roli i przebraniu garderobianej najlepiej się przed prześladowaniem policyi ukryje. Przytem nęcił go też stosunek jego wobec przebranej hrabiny, gdyż ta nie miała nic o tem wiedzieć, że jej garderobiana jest właściwie mężczyzną w przebraniu.

— Będziesz się musiał starać pozyskać jej zaufania — perswadował mu Sinobrody. — Wspomniałem ci już, że obawiam się chytrości i przebiegłości tej kobiety. Chce ona dowiedzieć się o wszystkiem, i stać się panią sytuacyi, aby mnie, później do muru módz przycisnąć. Rozumiesz mnie? Gdyby jej się zaś to udało, to bylibyśmy obaj straceni!

Siedzieli oni tak jeszcze długo obok siebie naradzając się żywo, gdy wtem nagle zapukano do drzwi.

Hrabia Sinobrody wstał z siedzenia, i dał służącemu znak milczenia.

—Czy to ty Betlino? — zawołał on po chwili.

— Tak jest! — odparła przebrana hrabina niecierpliwie. — Czekam już prawie od godziny z kolacyą.

— Przychodzę natychmiast — rzekł hrabia. — Muszę się tylko jeszcze przebrać.

Słysząc to, odeszła hrabina z pode drzwi.

— Musi ona mieć jakieś podejrzenie! — rzekł hrabia Sinobrody. — Jest ona okropnie ciekawa i nieufna. Widocznie zwąchała, że ktoś u mnie jest!

— A w końcu podsłuchała może za drzwiami naszą rozmowę? — wtrącił Piotr gniewnie.

Sinobrody zaklął głośno.

— Możliwe! — mruknął on ponuro. W takim razie nie uzyskaliśmy nic. Przeklęta gadzina, że tak wszędzie swoje oczy i uszy nastawia!

To rzekłszy, wyszedł z gabinetu, zamknąwszy za sobą drzwi, aby Piotra tam nikt zaskoczyć nie mógł.

W jadalni siedziała Betlina oczekująco przy nakrytym stole Za krzesłem jej stał sztywnie i milcząco kelner.

Hrabia Sinobrody odprawił go, mówiąc

— Obejdziemy się bez usługi!

Siadłszy obok Betliny, zaczął ją hrabia z pod oka obserwować.

Ona podała mu jedzenie, i zapytała zupełnie swobodnie:

— Czy ty masz jaką wizytę?

— Broń Boże! — odparł on krótko. — Skąd ci to do głowy przychodzi? Któżby mnie mógł odwiedzać?

— Tego nie wiem! Zdawało mi się tylko, że słyszę jakiś obcy głos w twoim gabinecie.

Zdawało ci się to tylko — odpowiedział hrabia, i zwrócił rozmowę na inne tory.

Betlina umilkła. Czy ona podsłuchiwała, czy nie? Trudno to było z jej zachowania się wywnioskować. Była to bowiem przebiegła kobieta, i umiała myśli i uczucia swe po mistrzowsku ukrywać.

— Zamówię ci na jutro garderobianę — rzekł o nagle. — Musisz mieć kobiecą usługę.

Betlina skinęła głową na znak, że się zgadza, i pozostała tak spokojną jak poprzednio.

Po wieczerzy odeszła ona do sypialni, a hrabia wrócił do gabinetu, do Piotra.

Nazajutrz wszedł hrabia Sinobrody do salonu i rzekł do Betliny:

— Nająłem dla ciebie garderobianę i niezwłocznie tu ją sprowadziłem. Spodziewam się, że ci się dziewczyna będzie podobała.

Zwróciwszy się do drzwi, zawołał on:

— Chodź tu Różo!

Na skinienie jego weszła do pokoju skromnie ubrana kobieca postać, średniego wzrostu. Miała ona jasne włosy i trochę ostrą, męską twarz. Wszedłszy, skłoniła się ona nizko przed Betlina, która ją bystrym wzrokiem obserwowała.

Przebrana hrabina skinęła obojętnie głową i zadała domniemanej garderobianie kilka pytań

Dziewczyna odpowiedział na nie cicho i nieśmiele, a głos jej był dość gruby, i niekobiecy, lecz Betlina nie zdawała się zwracać uwagi na to.

Hrabia Sinobrody obserwował bystro tę scenę. Szczególnie badawczo patrzał on na Betlinę, lecz z twarzy jej nic nie mógł odczytać. Nie mógł on ani w przybliżeniu poznać, czy ona poznała, że garderobianą tą nie był nikt inny jak Piotr w przebraniu, który zresztą rolę swą wybornie odgrywał.

Hrabia zostawił ich samych, i wyszedł, aby poczynić potrzebne przygotowania do ślubu z Betliną, tak jak to poprzednio z Piotrem uradził. Nie myślał on o zaślubieniu Betliny we dług wszystkich prawnych przepisów, już dlatego, aby ona potem żadnych pretensyi sobie rościć nie mogła.

Gdy wrócił około wieczora, zastał samego Piotra, naturalnie w kobiecem przebraniu. Betlina wyszła do miasta.

— No, jakżeż ci się wiedzie? — badał Sinobrody. — Czy ona nie ma jakego podejrzenia?

— Ani najmniejszego przeczucia nie ma! — zaśmiał się Piotr.

— Więc dobrze! — rzekł Sinobrody zadowolony. — Bądź i nadal ostrożny i odgrywaj rolę swą tak dobrze, jak dotychczas.

Za kilka dni miało się odbyć wesele. Betlina włożyła białą, jedwabną suknię i wianek wraz z welonem ślubnym, dar hrabiego Sinobrodego. Około wieczora miał zajechać powóz, i Betlina czekała zupełnie gotowa.

W wianku i welonie stanęła ona przed lustrem w budoarze. Twarz jej była tak blada jak jedwab jej sukni, i miała poważny, ponury prawie wyraz.

W sercu jej nie było uczucia szczęścia ani tej błogości, którą zwykle czuje panna młoda, przystępująca do ołtarza z ukochanym i wybranym człowiekiem.

Było to też rzeczywiście tylko zimne wyrachowanie, które ją do tego kroku spowodowało. Sprzedała się ona hrabiemu Sinobrodemu za majątek i dobrobyt! Zawarła z nim związek ugruntowany na krwawej zbrodni.

Czy pomyślała ona w tej chwili, że się oddawała w ręce mordercy?

Zimne dreszcze wstrząsały jej ciałem, a pierś jej podniosła się smutnym westchnieniem.

Przed oczyma jej duszy stanęła jasno owa straszna scena w pociągu. W uszach dzwonił jej śmiertelny okrzyk biednej ofiary. Widziała i słyszała ona wszystko znów tak wyraźnie przed sobą, że jęknęła przerażona:

— O, Boże! Czemuż się te okropności odstać nie mogą? Ja drżę przed hrabią... mordercą! A przecież już się cofnąć nie mogę!

Nagle spostrzegła ona poza sobą w lustrze postać Piotra w przebraniu pokojówki. Czy on podsłuchał jej monolog?

Betlina drgnęła przestraszona.

—Pan hrabia kazał się spytać, czy wielmoż

na panienka już gotowa? — zapytał Piotr cicho pokornym tonem.

Blada twarz panny młodej spochmurniała. Popatrzyła ona na zegar i rzekła chłodno:

— Jeszcze nie! Niech pan hrabia będzie łaskaw kilka chwil zaczekać!

I wyprawiwszy domniemaną garderobianę rozkazującem wejrzeniem z pokoju, zaczęła ona szybkim krokiem tam i napowrót się przechadzać.

— Gdzie ona jest! Przecież mogłaby już być tutaj! — mruknęła ona. — Mój telegram już przecież pewno wczoraj otrzymała!

— Kogo ona właściwie oczekuje? — myślał ciekawy Piotr, podsłuchując za drzwiami, i nie umiejąc sobie tego wytłumaczyć.

Wtem odezwały się w salonie kroki. Odwróciwszy się, zobaczył Piotr ku swemu wielkiemu zdziwieniu bogato ubraną damę, z płaszczem podróżnym przewieszonym na ramieniu. Twarz nowoprzybyłej była mu zupełnie obca.

Zbliżywszy się szybkim krokiem do niego, zapytała ona:

— Gdzie jest moja siostrzenica?

Nim jeszcze Piotr mógł odpowiedzieć, otworzyły się drzwi budoaru, i Betlina wybiegła z okrzykiem radości na powitanie nowego gościa.

Bogu dzięki, że nareszcie przybywasz! Z jaką tęsknotą ja cię już oczekiwałam, kochana ciotko!

Padłszy sobie w objęcia, uścisnęły się obie czule. Potem zwróciła się Betlina do stojącego obok, zdziwionego Piotra, i rzekła rozkazująco:

— Idź do pana hrabiego, Różo, i powiedz, że ja już jestem gotowa!

Piotr pobiegł do swego pana, który już niecierpliwie czekał w swoim gabinecie. Gdy mu Piotr powiedział o przybyciu obcej damy, zawołał Sinobrody zdziwiony:

— U dyabła! To musi być ciotka jej, pani Dijon! Skąd się ta stara jednak tu wzięła? O, ta żmija! Sprowadziła ona tu ciotkę swą wbrew mej woli na wesele!

Wściekle zły, pobiegł on do salonu

Skąd się pani tu teraz wzięła? — krzyknął on na nowoprzybyłą. — Co to ma znaczyć, u licha?

— Wstrzymaj się pan, panie hrabio! — zmitygowała go Betlina z zimną stanowczością. To ja prosiłam ciotkę swą by przyjechała, i....

— Tak? Przeciwko mojej woli?

— Tak jest! Właśnie dlatego, że pan się temu sprzeciwiał! — była stanowcza odpowiedź Betliny. — Ja chcę aby ciotka moja przy mnie została!

Hrabia Sinobrody oniemiał ze strachu. Tego mu jeszcze brakowało, aby mu ta ciotka na kark wsiadła.

Zbliżył się on do nich z twarzą oblaną rumieńcem oburzenia, i z oczyma błyskającemi gniewem i wściekłością.

— Jeżeli się pani nie chce do życzeń moich zastosować — zawołał on brutalnie, to niech się pani wynosi do dyabła wraz ze swoją ciotką, i kwita z nami!

Lecz Betlina nie dała się przestraszyć. Usta jej skrzywiły się szyderczym uśmiechem.

— Tak prędko mnie się pan nie pozbędzie, panie hrabio! — rzekła ona z naciskiem. — Niech pan nie zapomina, że ja pana mam w ręku! Niech pan będzie pewny tego, że ja się zemszczę, gdyby pan zechciał umowę naszą zerwać!

— Ba! Musi pani milczeć w swoim własnym interesie! — zgrzytnął Sinobrody, podrażniony tą groźbą. — Gdyby pani mimo to jednak mówić zechciała, to ja już znajdę środki, do zatkania pani gęby!

W słowach jego leżała straszna groźba, a jego twarz przybrała tak okropny, prawie demoniczny wyraz, że się obie kobiety ze strachem cofnęły.

— Niech się pani ma na ostrożności! — ciągnął on gniewnie dalej. — Proszę nie myśleć, że pani ze mną zrobi, co się pani podoba! Ja, a nie pani, mam tu do rozkazywania, moja chytra panienko! Powtarzam raz jeszcze, jeżeli się pani do życzeń moich nie chce zastosować to proszę sobie iść z Bogiem! A jeżeli pani tylko piśnie słówkiem, aby mi zaszkodzić, to poczuje pani moją zemstę!

— Zaklinam i błagam pana, panie hrabio! —wtrąciła teraz pani Dijon. — Nie gniewaj się pan, i niech wszystko zostanie przy starem! Niech pan nie bierze Betlinie tego za złe, że ona mnie powołała. Jestem jedyną jej bliższą krewną i zrozumiałem to jest, że chciała mnie mieć w dzień ślubu przy sobie. Ja zastępuję niejako miejsce jej matki — dodała ona ze łzami wzruszenia w oczach.

— Ach, nonsens! — ofuknął ją hrabia Sinobrody. — Niech pani przynajmniej takich głupstw nie mówi! Ja wiem lepiej, dlaczego Betlina panią powołała, poco pani przyjechała! Popełniła pani głupstwo nie do wybaczenia, gdyż wie pani dobrze, jakie następstwa to dla mnie mieć może. Sprowadziła mi pani szpiegów na kark, bo oni panią pewno śledzili, i tu za panią przyjechali.

— Ależ nie! Doprawdy, że nie!

Hrabia Sinobrody wzruszył niechętnie ramionami.

— Ja znam lepiej grożące mi niebezpieczeństwo! — rzekł on szorstko. — Było to ostrożnością z mej strony, że nie chciałem, aby pani tu przyjeżdżała! Główną winę tu ponosi naturalnie Betlina będę się musiał na przyszłość tak ubezpieczyć, aby jej podobne sztuczki uniemożliwić.

— O, ja na to nigdy nie zezwolę, aby mnie pan w działaniu mojem tak ograniczał! —przerwała mu Betlina podrażniona.

— Powinna się była pani przedtem namyślić — odparł Sinobrody, opanowując się z trudem. — Raz jeszcze pytam, czy chce się pani zastosować do moich zleceń, czy nie?

Betlina chciała właśnie ostro odpowiedzieć lecz ciotka jej uprzedziła ją.

— Pewno, panie hrabio! — wtrąciła ona spiesznie. — Betlina jest zanadto rozsądną, aby się panu sprzeciwiać! Uspokój się moje dziecko — zmitygowała ona wzburzoną Betlinę, i odciągnęła ją szybko na bok.

Zaczęła do niej z zapałem przemawiać i perswadować jej lecz Betlina nie dała się przekonać.

— Zamordował on prokurzystę! — szepnęła ona swej ciotce. — Mam go więc w swoim ręku i mogę żądać od niego, aby mnie nie uważał za lalkę bez woli i aby wiedział że mu ze mną, nie wolno robić co mu się podoba. Przeciwnie żądam, aby on mnie ulegał i robił to co ja chcę!

— Dobrze, dobrze! Tylko nie obstawaj tak szorstko przy swej woli! — mitygowała ją znów pani Dijon szeptem. — Bądź mądra moje dziecko. Ulegaj mu pozornie, a dopiero jak będziesz pewną swego zwycięstwa to będziesz znów mogła energicznie wystąpić. Nie śmiesz się już teraz cofać!

Hrabia Sinobrody nie słyszał ani słowa z tej rozmowy. Stał on na uboczu i patrzał na obie kobiety podejrzliwym wzrokiem. Piotr, który się tej całej scenie milcząco przypatrywał, nie wtrącał się do niej wcale.

Wtem przystąpiła pani Dijon do hrabiego i rzekła pojednawczo:

— Uznajemy ż epan ma zupełną słuszność, panie hrabio! Zapomnijmy o tej przykrej scenie, a że już raz tu jestem, to proszę pozwolić, abym także do kościoła pojechała.

— Dobrze! — mruknął Sinobrody szorstko. — Chodźmy więc bo już najwyższy czas!

Poszedł on naprzód, a Betlina z ciotką postąpiły za nim. Wsiędli do powozu. Piotr wskoczył na kozioł obok woźnicy, który trzasnął z bicza i szybko konie popędził.

Przed hotelem stali dwaj mężczyźni, owinięci w ciemne płaszcze i rozmawiali żywo, patrząc za odjeżdżającą szybko dorożką.

Jeden z nich był Guenter, a drugi był to francuski detektyw, Latour, który przybył tu za panią Dijon z Paryża. Telegrafował on Guenterowi którego znał, aby go na dworcu oczekiwał a potem podążyli oni obydwaj za panią Dijon do hotelu.

Dowiedzieli się bez trudności, że hrabia Sinobrody mieszkał tu wraz z Betliną i że byli obecnie w domu. Czekali więc przed drzwiami i widzieli jak oni wszyscy odjeżdżali. Betlina była tak jednak otulona płaszczem, że żaden z detektywów ślubnego stroju jej nie spostrzegł.

W hotelu także nie wiedziano dokąd się hrabia Sinobrody w towarzystwie swem wybrał i dlatego zaproponował Guenter, aby za nimi pojechać.

Wsiedli oni więc spiesznie do dorożki i pojechali za hrabią Sinobrodym.

— Oni może już stąd wyjeżdżają — rzekł Guenter.

— Nie sądzę! odparł Latour. — Byli przecież całkiem bez pakunków. Pewno pojechali tylko do teatru.

— Z pokojówką? — sprzeciwił się drugi. To nie jest prawdopodobne!

Guenter nie poznał Piotra w przebraniu, nie przyszło mu na myśl, aby go pod tą kobiecą maską szukać.

Ani Guenter ani Greif nie odnaleźli więcej śladu Piotra. Greif szukał dotychczas daremnie za hrabią Sinobrodym i służącym jego po Londynie. Nie widział on się dziś wcale z Guenterem i dlatego nie wiedział jeszcze o przybyciu pani Dijon.

Powóz hrabiego Sinobrodego zboczył nareszcie po długiej jeździe w wąską przedmiejską ulicę i zatrzymał się przed sztachetami, po za którymi leżał duży ponury budynek.

Po chwili rozwarła się brama, aby mogła wjechać dorożka i niezwłocznie znów zamknięta została.

Niebawem nadjechała dorożka z obu detektywami przed dom i obaj prędko z niej wysiedli. Guenter przystąpił do bramy.

Na ulicy nie było ani żywego człowieka, a ponury budynek w głębi robił przykre i tajemnicze wrażenie. Guenter szukał tu daremnie za dzwonkiem.

Co to był za dom i co hrabia Sinobrody z towarzystwem swem mógł tu szukać?

Guenter chciał i musiał się o tem dowie-

dzieć. Ale jak to miał uczynić? I jak się do wnętrza domu dostać?

Przez chwilęnaradzał się on z Latourem, a potem zapytał się woźnicę. Lecz ten nie mógł mu dać żądanych informacyi, bo sam tego nie znał. Ulice były puste i nikt nie pokazał któby ciekawość obu urzędników mógł zadowolić.

— Muszę wejść i dowiedzieć się, co się tam dzieje! — rzekł Guenter rezolutnie. — Pomóż mi pan przeszkoczyć przez sztachety, panie Latour!

— Ależ o niebezpiecznie! — ostrzegał go Latour zaniepokojony.

— Mam broń przy sobie! — rzekł Guenter. — Wystrzelę więc w razie potrzeby i pan mi wtedy przyjdzie pomocą.

To mówiąc przeskoczył on z pomocą Latoura parkan, i znikł w ciemnych i gęstych zaroślach ogrodu.

Paryski detektyw czekał na ulicy i zaczął się już niecierpliwić, gdy dłuższy czas upłynął, a Guentera jeszcze z powrotem nie było.

W tajemniczym tym domu pozostało wszystko cicho i ciemno.

Co się tam za tymi ponurymi murami dziać mogło? Dlaczego Guenter nie dawał znaku życia i dlaczego Sinobrody z towarzystwem swojem nie wracał?

Wtem rozległ się przeraźliwy okrzyk pochodzący z wnętrza tajemniczego domu.

Detektywowi serce zadrgało. Wielki Boże, kto to mógł tak krzyknąć! Czy może Guenter?

I nie namyślając się długo, przeskoczył Latour parkan i popędził ku wschodowi ponurego domostwa.

CXIV.

POWRÓT DO DOMU.

W kilka dni po ostatniej strasznej walce, opuściła Agata wraz z Delią farmerów i udała się pod pewną eskortą do najbliższego portu. Musiała tam jednak czekać cały tydzień na okręt którymby do ojczyzny swej wrócić mogła.

Straciły one wiernego Jussufa, a Delia nie mogła się pocieszyć po śmierci ukochanego, nie myślała jednak już teraz o opuszczeniu Agaty.

Miały one obie pozaszywane w sukniach masę drogich, szlachetnych kamieni, nieobliczonej wartości. Agata sprzedała po drodze kilka sztuk i pieniędze, które za to dotsała, miała na koszta podróży.

Pewnego dnia zatrzymał się okręt przez kilka dni w jednym z południowych portów włoskich. Większa część pasażerów wyszła na ten czas na ląd, a Agata z Delią poszły za ich przykładem, i ulokowały się na tych parę dni w jednym z większych hotelów malowniczego miasta portowego, którego cudna okolica nęciła do wycieczki.

Roiło się tu od obcych ze wszystkich stron świata. Porwana tłumem zaczęła się i Agata z Delią wspinać po górach i skałach nadbrzeżnych.

Drugiego dnia wybrała się Agata z towarzyszką swą na wycieczkę do pewnej widzenia godnej miejscowości nadmorskiej.

Przed niemi szło wielkie towarzystwo a droga prowadziła przez kwitnące ogrody i pomarańczowe gaje. Na szczycie rozprószyła się gromada, a Agata została wkrótce sama ze swą wierną służącą.

Wspinały się one dalej w górę i zatrzymały się wreszcie na skale wystarczającej stromo z głębokiej przepaści. Wszystko wokoło było zielone i kwitnące. Z szarych skał wytryskały srebrzyste źródełka, spadające w tajemnicze, ciemne głębię, jako szumiące potoki górskie.

Błękitne morze spoczywało teraz, oblane złotymi promykami słońca i ożywione masą białych żaglowców, większych i mniejszych okrętów.

Z wysokości tej rozlegał się wspaniały widok. Panowała tu absolutna cisza. Reszta towarzystwa została bowiem na dole, gdzie było kilka publicznych lokalów.

Agata usiadła i oparła się łokciami o skałę. Pod nią wiła się wązka ścieżynka. Szerokie terasy zbliżały się ku morzu a wszędzie było ożywiono i ludno. Aż w górę dochodziły głosy i śmiechy ludzkie i budziły Agatę z samotnych jej marzeń.

Myśli jej poleciały daleko do ojczyzny, od której już tylko kilka dni podróży ją dzieliło.

Jak ona tam wszystko zastanie? Co tam zaszło w ciągu długiej jej nieobecności? Jej dziecko, jej mąż... ach, jakżesz ona do nich tęskniła!

Pomyślała ona o Waleryi a obraz tej demonicznej kobiety, stanął żywo w jej duszy. Nerwowy niepokój opanował Agatę. Znała ona zamiary swojej nieprzyjaciółki i jej szaloną namiętność do hrabiego Edmunda. I znowu zapytała się Agata z bijącem sercem czy się tej syrenie może tymczasem udało złapać męża jej w swe sieci?

Wtem zerwała się nagle obudzona z rozmyślań swych głosem, przy dźwięku którego serce jej boleśnie zadrgało.

Był to śmiech... srebrzysty, radosny śmiech, a potem drugi, także dobrze jej znany głos.

— Boże wielki! Czy to jaki przykry sen? Spiesznie podniosła się ona z siedzenia i pochyliła się, aby zbliżające się towarzystwo zobaczyć.

Wtem stanęła ona jak skamieniała, a serce prawie bić jej przestało.

Na tarasie, wśród małego grona obcych, stała młoda para i patrzała na morze. Agata poznała ich oboje na pierwsze spojrzenie.

Ten wysoki okazały mężczyzna to był jej mąż, hrabia Edmund. Owa szykowna dama, o postaci Junony, opierająca się o jego ramię, była Walerya.

Skąd oni oboje się tu wzięli, tego Agata pojąć nie mogła. Widziała ona, jak Walerya się do niego tuliła, jakim promieniejącym wzrokiem go ogarniała, jak rękę jego ściskała i śmiała się, i rozmawiała... tak wesoło, tak poufnie...

— Wszechmocny Boże! co to ma znaczyć? — jęknęła Agata cicho. — Skąd on do tej kobiety przychodzi?

— Słowa i śmiech Waleryi wpijały się jak sztylety w jej serce. Opanowało ją nieopisane uczucie trwogi. To, co tam widziała, tylko w jeden sposób wytłumaczyć się dawało. Ale nie... nie! To przecież niemożliwe!

Zadyszana w szalonej trwodze i naprężeniu, przyciskała Agata rękę do głośno bijącego serca. Oczy jej szerzej się otwierały, a wychyliła się tak, że groziło jej niebezpieczeństwo spadnięcia.

Nie zważała ona jednak na to i nie słyszała ostrzegającego krzyku Delii. Nie myślała ona w tej chwili o niczem więcej, jak tylko o podsłuchaniu rozmowy owej młodej pary.

Teraz znów Walerya mówiła, a głos jej był tak czysty, dźwięczny i radosny. Drgało w nim tam całe szczęście nowo poślubionej małżonki.

— Nieprawdaż kochany Edmundzie, że myśl o biednej, zmarłej Agacie nie sprawia ci dziś już więcej takiego bólu? — szepnęła Walerya gruchająco.

Uśmiechnięta dotychczas twarz Edmunda spochmurniała.

— Nigdy nie potrafię zapomnieć Agaty! — mruknął on cicho.

— Nie, nikt też tego od ciebie nie żąda! — wtrąciła Walerya żywo. — Tylko płakać ci wiecznie po niej nie wolno, ona przecież umarła! Wziąłeś mnie na jej miejsce, teraz ja jestem twoją żoną, a miłość moja wynagrodzi ci w wysokiej mierze twoją stratę.

Z miną która dokładnie wskazywała jak nieprzyjemna mu jest ta rozmowa, przerwał jej hrabia Edmund:

— Proszę cię Waleryo, nie wspominaj mi więcej o Agacie, bo rozdzierasz tem tylko ledwo zabliźnioną ranę. Dajmy spokój umarłym!

— Ale ja czuję, że ona jeszcze żyje w twojem sercu, i miłość twoją mi rozdziera! — żaliła się Walerya. — Czyż mi się nigdy nie uda wyrugować tej rywalki z twoich myśli?

— Uczyniłem zadość twemu życzeniu i ożeniłem się z tobą! — odparł hrabia Edmund poważnie i z naciskiem. — Więcej jednak odemnie nie żądaj. Wiedziałaś przecież, że Agata jest moją jedyną miłością i zawsze nią zostanie!

— Ach! Jakżesz można jeszcze trupa w grobie tak ubóstwiać! — syknęła Walerya pełna gniewu i zazdrości. — Ja ją nienawidzę za to!

Hrabia Edmund nic jej już na to nie odpowiedział. Puścił on ramię Waleryi i stanął tuż nad brzegiem skały patrząc ponuro na morze.

Terasa zaczęła się ożywiać. Walerya oddaliła się a hrabia Edmund został jeszcze kilka chwil sam, poczem dopiero za nią poszedł.

A tam nad terasą na skale, klęczała Agata wpijając kurczowo swe ręce w miękki mech. Drżała ona jak we febrze, a serce mało jej nie pękło z żalu i rozpaczy.

— Zapomniana... zdradzona! O, Boże w niebiosach! — jęknęła biedna kobieta ze łzami w oczach. — On myśli, żem ja umarła i dał się zwieźć temu demonowi, tej nędznej podłej kobiecie! Wziął on na moje miejsce tę, która mię nienawidziła i prześladowała! Cóż ja tu teraz zrobię? Czy nie byłoby lepiej zostać w obcym kraju?

Delia objęła panią swoją z współczuciem i starała się ją pocieszyć lecz daremnie!

Wtem dały się słyszeć z dołu lekkie kroki nadchodzących.

— Proszę się uspokoić księżno! — szeptała Delia. — Ludzie nadchodzą!

Agata podskoczyła z siedzenia i otarła łzy. Blada jak śmierć oparła się o ścianę skalną.

W tej chwili ukazała się na szczycie kobieca postać, która nagle stanęła przed Agatą.

Była to Walerya.

Przez kilka sekund stały obie kobiety milcząco naprzeciw siebie Twarz Waleryi była prawie tak blada, jak Agaty. Poznała ona w tej chwili kobietę, którą miała za umarłą, a widok jej mało o apoplekcyę jej nie przeprawił.

W rysach jej malował się przestrach i przerażenie. Cofnęła się ona mimowoli o kilka kroków i blizka omdlenia, szukała za oparciem.

— Ha... Agata! — wyrwało się z ust jej stłumionym jękiem. — Co to znaczy? Czy umarli na świat ten wracają?

Wrażenie było tak straszne, że ją prawie powaliło. Widok Agaty podziałał na nią jak uderzenie piorunu. Groziła jej zguba i upadek.

Wtem zbliżyła się do niej Agata z groźnie wyciągniętą ręką i krzyknęła gniewnie i z pogardą:

— Tak jest, ty zmijo, ty okrutna tygrysico, ja jeszcze żyję! Na złość wszystkim twoim zabiegom i intrygom ja żv˙˙ i wróciłam! Teraz drżyj przed sprawiedliwością i sądem Bożym, który cię w tej chwili dosięgnie!

Walerya bardziej się jeszcze przed nieprzyjaciółką swoją cofnęła, odzyskała jednak z nadludzką siłą pozorny przynajmniej spokój.

Z ust jej wyrwał się dziki, szatański śmiech twarz skrzywiła się nienawiścią, a z oczu patrzyła bezgraniczna wściekłość.

— Tak to ty! Teraz cię poznaję! — syknęła ona. — Dlaczegoś nie została w Indyach? Czego tu szukasz? Mąż twój dawno cię zapomniał. Ma on cię za umarłą, i... słuchaj i giń z bólu... ożenił się ze mną! Wziął mnie na twoje miejsce za swą żonę! — dodała ona tryumfująco.

— Wiem o tem! Słyszałam to przed chwilą z twoich ust... tam na dole.

— Ach! — krzyknęła Walerya strwożona. — Więc tyś nas widziała i podsłuchała? W takim razie wiesz, że nie masz się niczego więcej spodziewać — zaszydziła ona Wiesz że jesteś zapomniana, że mąż twój nie kocha cię więcej, tylko mnie!

— Podła istoto! — zawołała Agata w świętem oburzeniu. — Bóg wie jakiemi sztuczkami, ty serce jego opętałaś! On by ciebie miał kochać? Ciebie... podłe stworzenie? O, nie! Był on tylko ślepy i nie umiał się poznać na twojej zdradzie i nikczemności. Dał się dlatego tobie złapać i fałszywym, syrenim śpiewem twym serce swe opętać. Lecz ja mu już oczy otworzę i zdemaskuję cię, ty morderczyni!

— Biada ci, jeżeli się przed nim pokazać odważysz! — wybuchła Walerya. — Ty nie śmiesz mi wydrzeć ukochanego mężczyznę. Ja ci nie wydam tego, któregom sobie tak długą mozolną walką okupiła, choćbym cię tu w tej chwili w przepaść miała rzucić.

To mówiąc, rzuciła się ona na Agatę, jakgdyby groźbę swą spełnić chciała. Lecz w tej chwili skoczyła ku niej Delia z sztyletem w ręku.

— Precz stąd! I nie odważcie się dotknąć mej pani! — krzyknęła wierna służąca, podnosząc broń swą, jak gdyby do uderzenia.

Walerya cofnęła się przerażona. Nie liczyła się ona z Deli˙ i poznała teraz, że była wobec niej bezsilną i bezbronną. Świadomość ta wzmogła jeszcze tylko wściekłość i rozpacz jej do szaleństwa.

— Ja już potrafię uczynić cię nieszkodliwą! — wołała ona na Agatę, nie umiejąc się powstrzymać. Głupia! Najlepiejbyś była zrobiła, gdybyś nie była wracała. Teraz rozpoczyna się na no o walka między nami, i mam nadzieje że z niej wyjdę zwycięsko.

— Spodziewaj się i wymyśl nowe zbrodnie, ty piekielna babo! — krzyknęła Agata pogardliwie. — Nie ujdziesz jednak swej zguby! Bo, jeżel ja teraz przed swoim mężem stanę i wszystkie twoje nikczemności mu odkryję, to on cię odtrąci ze zgrozą i wstrętem i odda cię przed sąd jako zbójczynię!

—O, ty nie śmiesz mężowi memu na oczy się pokazać! — szydziła Walerya. — On nigdy się nie dowie, że ty jeszcze żyjesz...

— Ależ owszem! On jest przecież w pobliżu i może tu nadchodzi! Daremnie mi grozisz ty przewrotna istoto! Tym razem ty ulegniesz i otrzymasz nareszcie karę za liczne swe przestępstwa!

— Czekajmy a zobaczymy! — syknęła Walerya gniewnie. Ale mimo że pozornie tak tryumfująco wyglądała drżała wewnętrznie z trwo ˙i.

Jeżeli się teraz nagle tu hrabia Edmund zjawi, cóż wtedy? Mogło to każdej chwili nastąpić, a wtedy wszystko będzie stracone! Jakby się tu ochronić od tej grożącej katastrofy?

Czuła ona taki zawrót głowy, że się wszystko wokoło niej kręciło. Widziała swój koniec, widziała się upadłą i zdemaskowaną, a nieprzyjaciółkę swą tryumfującą nad nią i nad jej nędzą.

Agata patrzała bystro w tłum na dole, czy nie odkryje tam swego męża, który był niestety zarazem i mężem Waleryi.

Nie mogła go jednak wzrokiem odszukać.

— Chodź Delio! — rzekła ona rezolutnie. Zejdziemy na dół, aby męża mego odszukać!

To rzekłszy przeszła ona obok stojącej nieprzytomnie Waleryi i spuściła się ścieżką na dół.

Lecz w tej chwili przyszła Walerya do siebie i rzuciła się jak furya na Agatę, łapiąc ramię jej w żelazne swe kleszcze.

— Ani kroku dalej! — krzyknęła ona wściekle. — Albo na Boga, zrzucę cię w tę przepaść!

I złapawszy Agatę za barki pociągnęła ją na brzeg skały. Uczyniła to tak prędko, że się Delia dopiero z przerażenia ocknęła, gdy panią swą u brzegu przepaści zobaczyła.

Z okrzykiem zgrozy przybiegła wierna służąca do Agaty, lecz napróżno.

— Jeżeli mi nie chcesz ustąpić, to umieraj! — zgrzytnęła Walerya.

Jedno silne pchnięcie i Agata straciła równowagę. Ziemia rozstąpiła się pod jej nogami.

— Na pomoc! — wołała Delia w rozpaczy i chciała chwycić za suknię Agaty, lecz ta jej się z rąk wymknęła, i znikła jej z przed oczu.

Podczas gdy Delia nad przepaścią rozpaczała i ręce łamała, uciekła Walerya z miejsca swej zbrodni z szatańskim złośliwym śmiechem.

— Zbójczyni! — rozległ się za nią głos Delii, który tu zwabił tłum ludzi.

Walerya schowała się w krzakach, tak że przechodzący tamtędy ludzie jej nie spostrzegli. Potem wyszła ona znów z gęstwiny, lecz skoro tylko kogoś zdaleka usłyszała, kryła się napowrót w krzaki.

Dopiero na dole zmieszała się ona w tłum wycieczkowiczów i zaczęła szukać swojego męża.

Gdzież się hrabia Edmund mógł podzieć? Nie mogła ona go nigdzie odnaleźć.

Z dolnej tarasy spojrzała ona teraz w górę, na skałę. Widziała tam wiele postaci ludzkich, lecz nikogo w oddaleniu poznać nie mogła.

Walerya czuła w tej chwili demoniczną radość. Pozbyła się ona Agaty raz na zawsze i nie potrzebowała się więcej obawiać tej niebezpiecznej rywalki i nieprzejednanej nieprzyjaciółki. Ciało Agaty leżało teraz pewno zbite na miazgę w głębokiej przepaści i nikt jej może tam nie odnajdzie.

Do uczucia szatańskiej tej radości, mięszała się przecież pewna obawa, że Delia wystąpi jako jej oskarżycielka i wytłumaczy kim była Agata. Walerya nie myślała wprawdzie, że ją Delia zna, wiedziała jednak to, że teraz wraz z hrabia Edmundem jak najspieszniej miejsce to opuścić musi.

Szukała więc dalej za swym mężem, mijając tłumy spokojnie idących ludzi, którzy widocznie jeszcze o strasznym tym wypadku nie mieli pojęcia.

Nagle spotkała ona grupę ludzi, wśród których spostrzegła hrabiego Edmunda. Jakiś młody człowiek opowiadał o Agacie i wraz z drugim mężczyzną, który się równocześnie z Waleryą do grupy tej zbliżył, opowiadał naprzemian co się na skale stało.

— To prawda, że jakaś obca dama stamtąd do przepaści spadła! — rzekł jeden z nich. — Co za fatalny, okropny wypadek!

— Kiedy to nie przypadek tylko zbrodnia! — sprzeciwił się drugi. — To jest morderstwo! Ta zabójczyni miała być rywalką nieszczęśliwej ofiary!

Głośne okrzyki oburzenia i pytania słuchaczy przerwały opowiadanie, lecz żaden z obu zwiastunów smutnej tej wieści, nic pewnego o zdarzeniu tem nie wiedział.

— Ta nieszczęśliwa ofiara miała być indyjską księżną — odezwał się znów pierwszy. — Służąca jej, która z nią na górze była, opowiada, że pani posprzeczała się ze swoją przeciwniczką i że ta ostatnia za to w przepaść ją strąciła.

— Ja to samo słyszałem i widziałem nawet tę służącą — wtrącił się drugi. — Biedna indyjska dziewczyna wyglądała jakgdyby z bólu i rozpaczy od zmysłów odeszła. Opowiada ona rzeczy których nikt zrozumieć nie może, a przytem trudno się z nią porozumieć, bo mówi tylko po angielsku i to bardzo źle.

— Ale co do tej romantycznej historyi o jakiejś rywalce, to pewno tylko fantazya! — wtrącił jakiś trzeci, który właśnie w tej chwili nadszedł. — Trudno sprawę tę wyjaśnić. Słyszano tam na górze wołanie, a ludzie którzy na ratunek przybiegli, zastali tam tę Indyankę szalejącą z rozpaczy i błagającą wszystkich obecnych o ratowanie jej pani i przyłapanie morderczyni.

— Czyż nikt tej ostatniej nie widział? — zapytała jedna z obecnych dam.

— Nie! A przecież ktośby ją musiał był widzieć, gdyby się rzecz tak miała, jak ją ta służąca opisuje.

— Dowód więc, że to tylko fantazya tej dziewczyny — wtrącił jakiś inny. — Czy szukają za tą nieszczęśliwą kobietą?

— To nie jest tak łatwo zejść po tej stromej ścianie skalnej na dół do przepaści, jak się to komu zdaje — odezwał się jakiś nowoprzybyły. — Wiem to jeszcze z zeszłego roku, gdy tu pewna młoda para w podróży poślubnej była. Młoda kobieta wyszła z niestrożności zanadto na brzeg i spadła na tem samem miejscu na dół. Byli tacy, co utrzymywali, że młody małżonek umyślnie ją tam strącił, a że nie było świadków, więc sprawa ta dotychczas została niewyjaśniona.

— I nie odnaleziono nawet trupa tej biednej młodej kobiety? — zapytała jakaś dama.

— Nie! Wszystkie usiłowania, aby nieszczęśliwą ofiarę stamtąd wydostać pozostały bez

skutku, i tak też będzie w tym wypadku!

Tłum się rozprószył. I hrabia Edmund, który się temu wszystkiemu uważnie przysłuchiwał, odszedł w stronę Waleryi, którą też obok krzaków zobaczył.

I ona równocześnie go spostrzegła.

— Czyś już słyszał o tym strasznym wypadku, kochany Edmundzie? — przemówiła ona do niego pozornie zirytowana.

— Tak... właśnie teraz! — odpowiedział on poważnie. — Gdzieżeś ty była? Szukam cię od godziny!

— Ja ciebie także! — oświadczyła ona swobodnie.

Szli oni tak przez chwilę milcząco obok siebie. Walerya spojrzała z ukosa na swego męża. Czy nie przeczuwał on prawdy?

Lecz nie! To przecie było niemożliwe, aby Edmund przyszedł na myśl, że to Agata była ową nieszczęśliwą! On ją już opłakiwał jako umarłą. Nie mógł więc przypuszczać, że ona była w pobliżu.

Uspokajało to też Waleryę, że nikt nie zwracał uwagi na oskarżenie Delii. Ta ostatnia nie znała też jej nazwiska, nie mogła jej więc sądownie pozywać.

Chodziło tylko o to, aby miejscowość tę, jak najprędzej opuścić i więcej z Delią się nie spotkać.

Hrabia Edmund chciał jednak sprawę tę bliżej zbadać gdyż słowo "indyjska księżna" zelekryzowało go i przypomniało mu Agatę. I ona była przecież przed śmiercią swą "indyjską księżną."

Chciałbym wyjść sam na skałę i naocznie się przekonać, czy nie ma możliwości wydostania stamtąd nieszczęśliwej kobiety — oświadczył on. — Chciałbym też zasięgnąć bliższych informacyi u tej Indyanki. Jest to smutna i dziwna sprawa.

Walerya przelękła się i zbladła.

— Wracajmy lepiej do miasta kochany Edmundzie! — nalegała ona. — Nie chcę nic więcej słyszeć o tem okropnem nieszczęściu, bo mnie to bardzo trapi i irytuje. Obrzydziło mi to tę piękną okolicę, i dlatego proszę cię, opuśćmy czemprędzej te strony.

Hrabia Edmund uderzony był tą prośbą i niepokojem Waleryi. Pozostał jednak przy swojem postanowieniu i zwrócił się w kierunku skały.

Daremnie oponowała Walerya. Zachowanie jej wzbudziło podejrzenie hrabiego.

— Nie pojmuję czego ty się tak obawiasz? — rzekł on niechętnie. — Mnie sprawa ta interesuje i chciałbym ją wyświetlić. Może tu naprawdę jaka zbrodnia została popełniona.

— Ale przecież nikt nie wie nic pewnego o tem!

— Sądzę, że ta Indyanka dobrze nas o wszystkiem poinformuje.

Widząc, że prośby jej i obawy nic jej nie pomagają, umilkła Walerya i zacisnęła usta. Byłaby ona najchętniej odeszła i pozwoliła mężowi pójść samemu na miejsce katastrofy była jednak ciekawą, jak się to wszystko odbędzie.

Lecz z każdym krokiem zwiększała się jej obawa. Tam na górze będzie pewno jeszcze Delia. Pozna ona zaraz Waleryę i zacznie na nią narzekać i opłakiwać śmierć swej pani.

Potem nastąpią bez wątpienia wyjaśnienia które hrabiemu wszystko odkryją. Daremnie namyślała się Walerya jakby ujść tej katastrofy lecz nie mogła znaleźć drogi wyjścia.

Czyżby jej ten czyn zbrodniczy nie miał przynieść żadnej korzyści? Czyżby Agata nawet po śmierci jeszcze na niej zemścić się i oskarżyć ją miała przez usta wiernej swej służącej?

W połowie drogi spotkał hrabia Edmund i krocząca obok niego śmiertelnie przerażona Walerya wracające z góry towarzystwo kilku panów i pań.

Między nimi znajdowała się także Delia. Była ona nieprzytomna a dwaj mężczyźni nieśli bezwładne jej ciało.

Na widok ten Walerya lżej odetchnęła. Teraz nie mógł się hrabia Edmund dziewczyny o nic wypytywać, a zatem nie groziło jej niebezpieczeństwo odkrycia.

Lecz Walerya zawcześnie tryumfowała. Hrabia Edmund przystąpił do tych ludzi i obrzucił omdlałą dziewczynę współczującym wzrokiem. Potem zapytał dokąd oni ją niosą, aby ją później módz odszukać.

Walerya odgadła jego intencye i na nowo niepokoić się zaczęła.

Wtem zeszła z góry inna garstka ludzi, złożona z kilku turystów i przewodników, uzbrojonych w długie kije i powrozy

— Ona jeszcze żyje! — zawołało kilku z nich. — My zejdziemy na dół, aby ją stamtąd wyciągnąć.

Waleryi serce bić przestało ze strachu. Więc Agata żyje? Więc spadnięcie w te niezmierzone głębie jej nie zabiło? Jakim cudem to się stać mogło i co ją wyratowało?

I podczas gdy ona jeszcze stała nieruchomo przygnębioną tą wiadomością, pospieszył hrabia Edmund za owymi ludźmi, aby także pomódz w uratowaniu nieszczęśliwej ofiary.

Czy się ratunek ten uda? Czy Agatę żywą z przepaści tej wyciągną?

Co za straszny widok, co za okropna niespodzianka dla nic nie przeczuwającego męża Agaty?

CXV.

NA ŻYCIE I ŚMIERĆ

Była to okropna przejażdżka konna, którą Gertruda z przyjaciółmi swoimi przedsięwzięła. Za nimi gonili angielscy husarzy i z każdą minutą do nich się zbliżali.

Od czasu do czasu padał strzał, lecz nie trafiał celu. Był już jasny dzień i słońce oblewało nagą, skalistą okolicę jasnem światłem.

Nigdzie nie ukazał się prześladowanym jakiś schowek na tej niczem nieurozmaiconej płaszczyźnie, a na dalekim horyzoncie, dopiero zakreślały się błękitnawe linie gór.

Gdyby się tylko uciekającym udało tam dostać, to byliby uratowani, gdyż w niezliczonych przesmykach i wąwozach tego pokrytego lasami łańcucha górskiego, prześladowanie było wykluczone.

Wiedzieli to husarze dobrze i dlatego dokładali wszystkich sił, aby uciekających przed tem jeszcze przyłapać.

Kapitan Brandenfeld oglądał się kilka razy poza siebie a wyraz twarzy jego coraz bardziej posępniał.

— My nie zdołamy im uciec — rzekł on do jadącego obok niego farmera.

Ten oglądnął się również badawczo za huzarami, a potem wziął broń swą w rękę i oglądnął nabój.

— Dajmy im się trochę zbliżyć! — zawołał farmer spokojnie. — Potem zatrzymamy się na chwilę i zastrzelimy obu pierwszych. Spodziewam się, że wtedy reszta straci odwagę dalszego gonienia za nami.

Kapitan Brandenfeld skinął na znak, że się zgadza i popędził dalej za Gertrudą, jadącą naprzód z wiernym Bobem.

— Gdyby nas rozłączono, kochana Gertrudo, to niech się pani stara dotrzeć do naszych przyjaciół. Proszę ciągle dalej na północ jechać to musi pani wreszcie do Burów się dostać — przemówił on do dziewczyny.

Niebawem znów odezwało się kilka wystrzałów z karabinów huzarskich. Tym razem świsnęły kule uciekającym tuż nad głową.

— Teraz czas! — zawołał farmer, łapiąc za broń. — Dajmy ognia.

Byli oni wszyscy uzbrojeni, lecz Gertruda z Bobem nie mieli się zatrzymać.

Aleksander Brandenfeld i farmer zatrzymali się nagle i zawrócili swoje konie.

Błyskawicznie szybko, wystrzelił z nich każdy po trzy razy, powaliwszy czterech husarów wraz z końmi. Strzelali oni tylko do koni, nie do jeźdźców, aby im dalszą gonitwę uniemożliwić i cel swój osiągnęli.

Nim jeszcze żołnierze za swoją broń chwycić mogli, popędzili odważni strzelcy znowu o duży kawał drogi naprzód. W pięć minut powtórzyła się ta sama scena. Padło dalszych trzech huzarów.

Lecz strata ta nie odstraszyła prześladowców. Pełni gniewu popędzili oni konie jeszcze szybciej, strzelając ciągle za goniącymi naprzód zbiegami, nie trafiając ich jednak.

Wreszcie zbliżyli się oni już do gór. Lecz i huzarzy nie byli już daleko. Aleksander i farmer poznali, że im nie umkną.

— Musimy się zdecydować na rozpaczliwą walkę — zauważył kapitan Brandenfeld. — Stańmy u wejścia wąwozu i starajmy się huzarów jak najdłużej tam trzymać, aby Gertruda z Bobem przynamniej bezpiecznie uciec mogła.

W kilka minut później oznaczone miejsce było osiągnięte. Aleksander z farmerem stanęli u wejścia parowu, a Gertruda wraz z towarzyszem swym wjechali w wąwóz i znikli pozostałym przyjaciołom z przed oczu.

Ci ostatni zeskoczyli z koni i ulokowali je za wystarczającemi skałami. Potem schowali się poza duże kamienne bloki i oczekiwali swych wrogów.

Ci ostatni zeskoczyli z koni i ulokowali je za wystarczającemi skałami. Potem schowali się poza duże kamienne bloki i oczekiwali swych wrogów.

Pozycya ich świetnie była obrana, bo wejście do wąwozu było tak wązkie, że z trudnością dwóch jeźdźców równocześnie tam wjechać mogło. Po obu bokach zaś wznosiły się wysokie strome skały, na które żaden człowiek wspiąć się nie mógł.

Niebawem nadjechali pierwsi prześladowcy. Nie widzieli oni ukrytych w zasadzce nieprzyjaciół i zbliżali się bez najmniejszego prze czucia ku swej zgubie.

Odgłos dwóch wystrzałów i padli dwaj pierwsi husarzy. Reszta rozprószyła się, szukając schronienia przed kulami niewidzialnych nieprzyjaciół.

Kilku huzarów znalazło wejście do drugiego wąwozu leżącego nieopodal pierwszego. Pod czas gdy połowa zastępu została, wjechała re-

szta do wnętrza owego parowu w nadziei, że zbiegów z tyłu zajdą.

Farmer i kapitan Brandenfeld dali jeszcze kilka wystrzałów. Potem wsiedli na konie i odjechali tak, że się husarze wnet nie spostrzegli.

Gdy po długim czasie znów o natarciu pomyśleli, zobaczyli oni dopiero ucieczkę wrogów którzy bez śladu znikli.

Tymczasem pędziła Gertruda z Bobem ciągle przed siebie, zatrzymała się jednak po godzinie między górami, aby czekać na swoich przyjaciół.

Zsiedli oni z koni, aby im dać trochę wypocząć. Wokoło wszędzie było cicho i pusto. Bob wdrapał się na wysoką skałę, aby zrekognoskować pole.

Zobaczył z daleka dwóch jeździców, nie mógł jednak jeszcze rozpoznać, czy to przyjaciele czy wrogowie. Dla ostrożności schowała się Gertruda z końmi w krzaki.

Niebawem spostrzegł Bob trzech innych o kawał drogi dalej i teraz już nie wątpił że to huzarzy.

Bez wahania więc wsiedli oni na koń i dalej popędzili. Lecz huzarzy już ich odkryli i dali ognia. Potem zaczęli gonić co im sił starczyło bo na przyłapaniu Gertudy, wiele bardzo im zależało.

Lecz niebawem zaczęli oni błądzić w górach i nagle straciła Gertruda Kafra z oczu. Pędził on na rozjuszonym wierzchowcu po stromym spadzie na dół i nie mógł utrzymać spłoszonego zwierzęcia w cuglach.

Gertruda pędziła górą, nie mając odwagi na dół się spuścić. Huzarzy zaś tak blizko niej już byli, że byli pewni swej zdobyczy.

Wtem zawróciła Gertruda konia i popędziła tak szybko w dół, że jej się w głowie mącić zaczęło. Zamknęła ona mimowoli oczy i złapała się grzywy zwierzęcia, w obawie, aby lada chwili z niego nie spadła.

Wreszcie zjechała szczęśliwie na dół w ponury wąwóz który ją ukrył przed wzrokiem prześladowców. Nie zwolniwszy w tempie, pędziła ona dalej.

Tak mijała godzina za godziną. Wkońcu wyjechała Gertruda z gór i znalazła się na obszernej polanie bez drzew i krzaków.

Zatrzymała się tu i zeskoczyła z siodła. Koń jej był tak zziajany, że Gertruda postanowiła zostać tu między ostatniemi wzgórzami, gdzie znalazła wodę i paszę dla konia. Chciała tu też odczekać swoich przyjaciół.

Lecz wieczór już zapadł, a żadna żywa dusza ludzka tu się nie zbłąkała. Ani przyjaciele, ani wrogowie śladu jej nie odnaleźli.

Cóż teraz miał ona począć i dokąd swe kroki zwrócić?

Zapadła noc. Gertruda rzuciła się w krzaki i popadła niebawem w głęboki sen. Wcześnie rano obudził ją głód. Znalazła ona w torbie jeszcze trochę pożywienia i posiliła się niem.

Potem wybrała się znów w drogę. Pędziła ona tak przez cały dzień po równinie, nie spotkawszy ani jednego człowieka i nie zbliżywszy się do żadnej ludzkiej osady.

Gdy wieczór zapadł, wjechała znów w górzystą okolicę. Wtem spostrzegła zdaleka jakieś światełka. Tam była widocznie jakaś wioska.

Pokrzepiona nową nadzieją, dała ona znużonemu zwierzęciu swemu ostrogi i zbliżyła się niebawem do jakiegoś dworku, z którego okien było widać światło.

Zatrzymała konia i oglądnęła dom ten z pewnem uczuciem trwogi.

Kto tu w tej samotni mógł mieszkać? Czy mogła ona się odważyć prosić tu o nocleg i schronienie?

Nie mogła jednak myśleć o dalszej jeździe, bo była głodna i śmiertelnie znużona. Zbliżyła się więc rezolutnie ku domowi, który ogrodzony był wysokim drucianym płotem, z szeroką bramą.

Gertruda zsiądła z konia i zaczęła pukać do bramy. Po niejakim czasie ukazała się na podwórzu stara i brzydka Murzynka.

Wypatrzyła się ona milcząco na Gertrudę, która się jej w przebraniu angielskiego oficera dość niepewną wydawała i wbiegła przerażona napowrót do wnętrza domu.

Gertruda popatrzyła zdziwiona za uciekającą kobietą.

— Co to miało znaczyć? Zrobiło się jej okropnie niemiło. Czyż nie byłoby naprawdę lepiej dalej jechać? — pomyślała ona zaniepokojona.

Wtem wyszedł z domu jakiś mężczyzna i zbliżył się szybko do bramy. Otworzywszy ją, zaprosił on domniemanego oficera grzecznemi słowy do środka.

Gertruda poszła za nim z bijącem sercem. Wydawało się jej w tym wypadku najlepszem zatrzymać swą maskę i zachowywać się stosownie do swej roli.

Młody człowiek widocznie gospodarz tego domu, oddał konia starej Murzynce i wprowadził Gertrudę do skromnie, lecz wygodnie i mile urządzonego pokoju, w którym się już lampa świeciła. Twarz i wystąpienie jego nie podobały się jej jednak i wzbudziły jej niezaufanie. Zda-

wało się jej, że ten człowiek czegoś się obawia, i coś ma do ukrywania.

Był to Anglik, który się dla poszukiwania złota i dyamentów w tej pustej i dzikiej okolicy osiedlił.

Do najbliższego miasta stąd było około 50 mil angielskich, a do najbliższej osady ludzkiej dobre trzy godziny jazdy.

Dowiedziała się ona o tem wszystkiem z ust swego gospodarza, który tu ze starą Murzynką sam mieszkał. Reszta służby opuściła go, gdy wojna wybuchła.

Gertruda grając dalej rolę oficera, oświadczyła, że wyjechała z obozu dla zrekognoskowania pola, przyczem w górach zabłądziła i ludzi swoich z oczu straciła.

Poszukiwacz dyamentów słuchał opowiadania jej z dziwnym uśmiechem. Siedział on naprzeciw niej przy stole i obserwował ją przy jedzeniu badawczym wzrokiem.

Gertruda mocno się zaniepokoiła, obawiając się, czy on jej jako kobietę w przebraniu nie poznał.

Jeżeli on zwąchał, że ona nie jest tym, za którego się podaje, to nie mogła ona się niczego dobrego od niego spodziewać.

W rzeczywistości nie trzeba było wielkiej domyślności, aby maskę Gertrudy przeniknąć. Delikatna, niezwykle piękna jej twarz, bez śladu zarostu nie nadawała się do tej marsowej roli, którą obrała. Starała ona się o ile mogła przyjąć nizki, męski głos i wogóle męsko wystąpić, ale to jej się nie udawało.

Robiło je się okropnie nieprzyjemnie pod badawczym wzrokiem poszukiwacza dyamentów i byłaby najchętniej dom jego natychmiast opuściła, aby się w drogę do miasta udać, lecz było to niemożliwe. Tak koń jej, jak i ona sama zanadto byli znużeni, aby o dalszej podróży teraz módz pomyśleć.

Aby położyć jak najszybciej koniec tej niemiłej sytuacyi, wstała ona od stołu i rzekła:

— Jestem okropnie zmęczony i chciałbym wypocząć. Czy byłby pan taki dobry przeznaczyć mi jakikolwiek kącik na nocleg?

— Pewno, panie poruczniku! — odparł poszukiwacz dyamentów z gotowością. — Daję panu ten pokój do dyspozycyi, a w izdebce obok, znajdzie pan łóżko.

— Dziękuję! — rzekła Gertruda krótko i poszła ku drzwiom aby wejść do pokoju, w którym łóżka stały.

Wtem zaszedł jej gospodarz drogę, a wyraz twarzy jego przeraził Gertrudę. Uśmiechał on się szyderczo, a błyszczące oczy jego spoczęły na niej zarazem badawczo i lubieżnie.

— Czego pan sobie życzy? — spytała ona, blednąc i cofając się wstecz.

Uśmiech jego stawał się bardziej szyderczy i cyniczny.

— Wiem, że ten mundur oficerski, to tylko maska — odezwał on się wreszcie. Wiem też, że pod mundurem tym ukrywa się kobieta! Każde bystrzejsze oko by to poznało!

Skończywszy, obrzucił on biedną, nieprzytomną prawie ze strachu dziewczynę tryumfującem spojrzeniem.

— O, myli się pan! — wybełkotała drżąco.

On zaśmiał się tylko głośno. Jej strach i zmięszanie tylko go rozzuchwaliło. Sięgnął on ku jej czapce i zdjął ją z głowy, przyczem pokazała się schowana fryzura.

— Teraz się już chyba pani nie będzie wypierała, piękna moja panienko! — rzekł on ironicznie. — Przecież mnie pani nie zdurzy! Ponieważ zaś pani jest w moim domu i używa gościnności, mam prawo spytać panią, dlaczego się pani w tem przebraniu tędy włóczy!

Gertruda opanowała się z trudnością. Szorstki grubiański prawie sposób, w którym on do niej przemawiał, oburzył ją do żywego. Musiała ona równocześnie uznać, że jest w jego mocy, i z obawy, że ten Anglik zdradzić ją może, stłumiła gniew.

— Spodziewam się, że pan jesteś człowiekiem honorowym — rzekła ona drżącym głosem — Ja jestem nieszczęśliwą istotą, którą niesprawiedliwie prześladują!

— Tak! Któż to panią prześladuje?

— Burowie! Byłam uwięzioną i udało mi się uciec...

— A skąd pani wzięła mundur?

— Miałam go już, nim się do niewoli dostałam.

Gertruda nie umiała kłamać i udawać i tak niezręcznie to czyniła, że się poszukiwacz dyamentów niezwłocznie na tem poznał.

— To nieprawda! — przerwał on jej szorstko. — Gdyby pani rzeczywiście była uciekła od Burów, to byłaby pani już dawno musiała spotkać jaki angielski hufiec. — Zdaje mi się, że to chyba przeciwnie: Musiała pani być w niewoli u Anglików, gdzie sobie pani pewno tajemnie mundur ten sprokurowała i uciekła!

Gertruda wypierała się jeszcze, lecz przebiegły poszukiwacz dyamentów jej nie uwierzył.

Jeżeli się pani do prawdy nie przyzna, to będę zmuszony zasięgnąć informacyę — przerwał on jej niecierpliwie. — Możliwe przecież, że pani jest szpiegiem, albo zbrodniarką, która uciekła przed karą.

— O, nie! — wybełkotała Gertruda drżąco. — Ja nie jestem zbrodniarką! Błagam pana, nie zdradź mnie pan! Jeżeli pan niema do mnie zaufania, to daj mi pan w spokoju odejść, aby pan żadnych przykrości przezemnie nie miał!

— O, to nie idzie! — zawołał on ze śmiechem. — Jeżeli pani chce odejść, to jest to dowodem złego sumienia. Zawiozę panią jutro do miasta, a wtedy się okaże, kto pani jest, i co pani zbroiła.

Gertruda załamała ręce w rozpaczy.

— O, wierzaj mi pan! — szlochała ona. — Miej pan litość nademną! Nie zrobiłam nic złego, mimo że mnie prześladują. Opowiem panu smutne swoje losu, jeżeli mi pan przyrzeknie, puścić mnie na wolność.

— Mów pani, — rzekł on ponuro — a ja zobaczę, o ile pani wierzyć mogę!

W tej chwili rozległ się tętent kopyt końskich i kilku jeźdźców zbliżyło się galopem ku domowi. Zatrzymali oni się przed bramą i zapukali. Odezwał się jakiś ostry rozkazujący głos, żądając aby im otworzono.

Opanowana jakiemś przykrem przeczuciem, nadsłuchiwała Gertruda bystro.

Czy to byli prześladowcy i czy aż tutaj ślad jej odnaleźli?

Wtem otworzyły się drzwi, a przez nie zaglądnęła stara Murzynka.

— Są tam jacyś żołnierze przed bramą — rzekła ona — czy mam ich wpuścić?

— Ja sam wyjdę! — zadecydował poszukiwacz dyamentów.

Stara znikła. Gertruda wyciągnęła ku niemu błagalnie swe ręce.

— Na Boga świętego, schowaj mnie pan! — prosiła ona. — Ci żołnierze mnie szukają, a jak mnie znajdą, to ja będę stracona!

Poszukiwacz dyamentów namyślił się przez chwilę, a usta jego okalał chytry uśmiech.

— Dobrze! — odezwał on się po chwili. — Odważę się i schowam panią przed żołnierzami mimo to że złe skutki dla mnie pociągnąć może. Wejdź pani do sąsiedniego pokoju, skąd prowadzą drzwi do małej komórki. Może się tam pani rozebrać z munduru i wdziać kobiece ubranie. Znajdzie tam pani wszystko potrzebne w jednej szafie. Ja żołnierzy tych tymczasem wstrzymam.

To rzekłszy wybiegł on z pokoju, a Gertruda weszła czemprędzej do komory, gdzie znalazła szafę z kobiecemi sukniami. Złożyła mundur i przebrała się prędko, poczem schowała wszystko niepotrzebne do szafy i napowrót się zamknęła.

Wtem usłyszała ona wchodzących do wnętrza domu żołnierzy. Czy oni ją odkryją i poznają? Bała się ona, że oni lada chwili do niej zajdą.

Szukali oni rzeczywiście za Gertrudą i jej towarzyszami, a było ich czterech huzarów, którzy ją w końcu gonili. Nie mieli oni pojęcia, że się Gertruda tu znajduje, uważali jednak za stosowne dom ten na każdy wypadek przeszukać.

Gospodarz zapewniał, że u niego nikogo nie ma, a stara Murzynka musiała prędko odsiodłać konia Gertrudy, aby jej nie zdradzić.

Sami żołnierze tylko pobieżnie dom przeszukali, opowiadając gospodarzowi przytem, kto są ci zbiegowie, za którymi oni gonią, i co oni zawinili.

Posiliwszy się trochę odjechali huzarzy. Chcieli oni dojechać jeszcze do następnej farmy i tam przenocować.

Ledwo dom jego opuścili, otworzył poszukiwacz dyamentów drzwi do komory i zawołał.

— Wychodź pani! Niebezpieczeństwo już minęło!

— Bogu dzięki — krzyknęła Gertruda z głębi serca wchodząc do oświetlonego pokoju — szalenie się bałam.

Gospodarz zaśmiał się na to szyderczo.

Ma też pani wszelki powód do obawy — rzekł on. — Dowiedziałem się od tych żołnierzy prawdę i o mało że pani im nie wydałem. Pani jest przecież niebezpiecznym szpiegiem Burów. Była pani już na śmierć skazana i miała zostać wraz z innymi swoimi współwinnymi rozstrzelana.

Gertruda zbladła na tę wieść.

— A ja przecież jestem zupełnie niewinna — zawołała ona. — Chcę panu wytłumaczyć, dlaczego to straszne podejrzenie na mnie padło.

— I opowiedziała mu na prędce swoje losy. On słuchał uważnie, po minie jego jednak poznać było, że jej nie wierzył.

Jakkolwiek sprawa się ma, to przecież panią uznano za winną — rzekł on — i gdybym panią był wydał żołnierzom, to byliby panią bez miłosierdzia zamordowali. Właściwie to byłoby moim obowiązkiem uczynić to i nie jest jeszcze zapóźno. Chowając panią tu, staję się niejako współwinnym i jeżeli to odkryją to mi się źle powiedzie.

— Ale teraz skoro żołnierze już stąd odjechali, nie ma się pan czego obawiać — szepnęła Gertruda zatrwożona.

— Oni tu jeszcze mogą wrócić i prawdę odkryć — odparł gospodarz. — Chcę się jednak wystawić i na to niebezpieczeństwo i chcę zrobić dla pani wszystko co w mojej mocy. . . pod

jednym warunkiem naturalnie — dodał z dziwnym uśmiechem.

Gertruda wpatrzyła się w niego nie rozumiejąc o co mu chodzi.

— Czego pan odemnie żąda — zapytała zaniepokojona.

Zbliżył on się teraz do niej, a palący jego wzrok i uśmiechnięta mina wyrażały namiętną pożądliwość. Gertruda instynktownie się przed nim cofnęła.

— Jest pani teraz w mojej mocy i odemnie zależy śmierć lub życie pani — odezwał się on grożąco. — Chcę panią uratować, ale musi pani za to zostać u mnie jako moja żona! Chce pani?

Popatrzył jej badawczo w twarz.

— Boże wielki — krzyknęła Gertruda i cofnęła się jeszcze dalej przed tym człowiekiem, który jej się teraz jeszcze straszniejszym wydawać zaczął — żoną pańską? Nigdy w świecie!

Twarz jego sposępniała a oczy zabłysły ponuro.

— Co? Nie chce pani — oburzył on się.

— Nie! Za żadną cenę — odpowiedziała Gertruda drżąco, lecz stanowczo.

Z ust jego wyrwało się gniewne zaklęcie.

— Musi pani krzyknął on dziko i rzucił się na nią. — Nie puszczę cię stąd i zmuszę abyś została moją żoną.

Nim jeszcze Gertruda do drzwi mogła dobiegnąć, złapał on ją w swoje objęcia i przycisnąwszy wydzierającą się gwałtem dziewczynę do swych piersi, zaczął policzki i usta jej gorąco wycałowywać.

— Pomocy! Ratunku! — krzyczała w niebogłosy. — Z siłą i odwagą rozpaczy zaczęła się wydzierać z rąk tego człowieka, którego opór jej jeszcze tylko bardziej rozpalał. Pełen żądzy złapał on ją w pół i zaniósł śmiertelnie broniącą się dziewczynę do izdebki, gdzie było przeznaczone dla niej łoże.

Okrzyki i prośby o pomoc rozbrzmiewały po całym domu, lecz nikt ich widocznie nie słyszał. Nawet stara Murzynka się nie zjawiła, gdyż miała pewno taki nakaz.

Gertrudę opuściły zupełnie siły. Czuła ona, że padnie ofiarą tego wyuzdanego łotra, który teraz z tryumfującym uśmiechem otworzył drzwi i przestąpił próg izdebki.

Lecz wtem potknął się i stracił równowagę. Z chwili tej skorzystała Gertruda i wyrwała się z jego ramion.

Z błyskawiczną szybkością przystąpiła ona do łóżka i wyciągnęła ona z pod poduszki rewolwer, który tam przedtem schowała.

Poszukiwacz dyamentów cofnął się teraz przed wyciągniętą ku niemu lufą rewolwerową.

Niech się pan mnie nie tyka, bo na miłość Boską, wystrzelę — zawołała rezolutnie.

Z ust jego wyrwało się okropne przekleństwo. Ze zgrzytem zębów i błyszczącemi z wściekłości oczyma wpatrywał on się w kobietę, która w oburzeniu swem podwójnie piękną i pożądaną mu się wydawała. Namiętność do szaleństwa go doprowadzała.

Podskoczył on ku niej i już wyciągnął ręce, aby jej broń wydrzeć... gdy wtem padł wystrzał.

Poszukiwacz dyamentów padł ze stłumionym okrzykiem na ziemię. Z piersi jego sączyła się krew. Jęknął on słabo, a potem stracił przytomność i leżał milczący i nieruchomy.

Przez kilka sekund stała Gertruda jak skamieniała i patrzała trupio blada w twarz swego wroga.

Czy on już nie żył? Czy kula serce mu przeszyła?

Zadrżała ona z przerażenia nad strasznym swym czynem. Czyż mogła ona inaczej postąpić?

Wtem weszła stara Murzynka do pokoju, a zobaczywszy swego pana leżącego we krwi na podłodze, zaczęła okropnie krzyczeć i lamentować.

— Zabójczyni — krzyknęła ona i rzuciła się jak furya na Gertrudę.

Lecz to ją uprzytomniło. Odtrąciło starą na bok i wybiegła z domu, jakgdyby gnana boginiami zemsty. Wyprowadziła ona konia swego ze stajni i wskoczywszy nań popędziła w ciemną noc, słysząc jeszcze za sobą przeraźliwy krzyk starej Murzynki.

CXVI.

W ZAKONIE CZARNYCH BRACI.

— Gdzież my jesteśmy — spytała Betlina zaniepokojona, gdy się powóz zatrzymał i ona wraz z hrabią Sinobrodym z niego wysiadła — to przecież nie jest kościół!

Oglądnęła się podejrzliwie wokoło. Tuż przed nią otworzyły się wysokie, ponure sklepione drzwi wchodowe po za któremi leżała w ciemności obszerna hala. Tylko nieliczne wiszące uścian kandelabry dawały blade światełko. Olbrzymie kolumny rzucały czarne cienie Betlinie okropnie nieprzyjemnie się zrobiło i zaczęła obrzucać hrabiego Sinobrodego różnemi pytaniami.

Lecz on odpowiadał tylko wymijająco i

mrukliwie. Pani Dijon była również niemile dotknięta ponurą tajemniczością tego budynku i czuła lekkie dreszcze.

Wtem wysunął się z poza kolumn starszy mężczyzna w czarnym, mnisim habicie. Zjawił się jak upiór nagle i cicho przed gośćmi.

Betlina wydała lekki okrzyk, gdyż postać ta napawała ją strachem.

Na Boga! Co to jest za miejsce? — zapytała ona Sinobrodego drżącym głosem. — Wytłómacz mi pan to panie hrabio, bo inaczej ja ani chwilę dłużej tu nie zostanę.

— Jesteśmy na właściwym miejscu — odrzekł on posępnie z odcieniem lekkiej ironii. — Uspokój się! To jest święte miejsce.

Wziął ją za ramię i pociągnął energicznie za sobą. Upiorowaty starzec szedł milcząco naprzód. Pani Dijon wahała się przez chwilę, potem poszła wraz z Piotrem za nimi.

Ponuro odbijał się odgłos ich kroków od sklepienia. Wtem otworzył starzec boczne drzwi... jasne światło się im ukazało.

Znaleźli się teraz w sali, z której sufitu zwieszał nieduży świecznik. Przy ścianie w głębi ustawiony był skromny ołtarz. Długie rzędy krzeseł i ławek zapełniały salę. Zresztą nic w niej nie było.

Hrabia Sinobrody był widocznie z miejscem tym już obeznany. Poprowadził on drżącą ze strachu Betlinę do ołtarza i posadził ją na jednem z wrzeseł. Pani Dijon kskazał on miejsce obok swej siostrzenicy, i rzekł krótko i oschle:

— Przepraszam na chwilkę, będę wkrótce z powrotem!

To rzekłszy zniknął w bocznych drzwiach, które stary przed nim otworzył.

Betlina chciała pójść za nim lecz on za prędko jej znikł z oczu. Blada i trapiona obawą, padła znów na krzesło i jęknęła:

— O, Boże! Co to wszystko ma znaczyć? Dreszcze mnie przejmują ze strachu.

Cóż się tu miało stać? Dlaczego hrabia Sinobrody oddalił się? Co on chciał począć? Czyż tu się miał ślub ich odbyć? Gdzież w takim razie był ksiądz? Czy tak ponuro i strasznie miała się odbyć ich ceremonia ślubna?

Hrabia Sinobrody wszedł tymczasem do komnaty, gdzie go oczekiwał starzec ze siwą brodą, ubrany również jak poprzedni w czarny habit mnicha.

— Hrabio Wildenfels — odezwał on się stłumionym głosem — chce pan więc abyśmy pana poślubili z panną Betliną Dijon?

— Tak jest, przewielebny ojcze. Byłem wczoraj tutaj i obiecano mi, że ceremonia ta będzie się mogła odbyć bez żadnych przeszkód.

Okoliczność, że przychodzi pan do nas do zakonu "czarnych braci" naprowadza mnie na myśl, że ślub pana ma być tajnym, i pozostać nadal w sekrecie, w przeciwnym razie byłby sobie pan wybrał inny kościół — rzekł znów starzec podniesionym głosem, i spojrzał hrabiemu ostro i badawczo w oczy. Wtedy brał pan ślub także.

— Tak, tak, ja tego nie zapomniałem — odparł Sinobrody gniewnie. Poślubiłem Lianę po śmierci pierwszej mojej żony, Iris.

— A cóż się z tą drugą żoną stało? Czy i ona umarła — spytał starzec nieufnie.

— Tak jest, umarła ona już przed dwoma laty. Inaczej nie byłbym przecież myślał o żenieniu się po raz trzeci.

Naturalnie zamilczał hrabia Sinobrody, że w międzyczasie dwa razy jeszcze był ożeniony, i że obie te nieszczęśliwe kobiety... Józefę i Gertrudę... usunął w ten sam sposób, jak pierwsze trzy. Iris nie była też pierwszą jego żoną, lecz następczynią pierwszej jego ofiary, Margarety

Starzec nie stawiał żadnych więcej pytań. Nie żądał też dowodów śmierci Liany.

Przyjdę natychmiast — rzekł on. — Za kilka minut wystawiony będzie akt ślubny.

Hrabia wyjął swój portfel z kieszeni i wyliczył znaczną sumę na stół.

To dla zakonu "czarnych braci" — rzekł on.

Starzec podziękował chłodnem skinieniem głowy zagarnął pieniądze, Sinobrody wrócił zaś do sali.

Betlina wraz z ciotką oczekiwały go tam z tęsknotą. Siadł on spokojnie obok panny młodej, a w tej chwili odezwały się organy.

Niebawem zjawił się starzec w zakonnym stroju. Zbliżył on się do ołtarza, i zaczęła się dziwna ceremonia.

Była ona po kilku minutach skończona i Betlina została żoną Sinobrodego.

Pani Dijon i Piotr podpisali akt ślubny jako jedyni świadkowie, poczem wręczył starzec akt ten młodej małżonce.

Pożegnał on młodą parę kilkoma błogosławieństwami i opuścił salę.

— Możemy pójść — rzekł Sinobrody. — Sądzę, że jesteś teraz zadowoloną, Betlino — dodał on trochę szyderczo. — Jesteśmy przecież prawnie poślubieni, chociaż nie w kościele.

Wtem wszedł ten starzec, który ich wprowadził a odwoławszy Sinobrodego na bok, szepnął mu:

— Nie wychodź pan jeszcze teraz, gdyż przed brąmą stoi powóz i dwóch mężczyzn pil-

nuje wyjścia. Jesteś pan widocznie śledzony!

— Do dyabła! — krzyknął Sinobrody przerażony. — Czyż ja już nie jestem pewny przed szpiegami? Naturalnie, że to o mnie chodzi! Inaczej sobie tego nie mogę wytłumaczyć.

Pomyślał on o Greifie, i gniew zmieszany ze strachem opanował go. Nie było już teraz wątpliwości, że ten detektyw za nim śledził, i jeżeli odgadł, że on teraz brał ślub z Betliną to mu się to całe, tak chytrze ułożone i dotychczas tak szczęśliwie przeprowadzone oszustwo, na nic nie zdało. Wtedy mógł on się najgorszych skutków spodziewać.

A jeżli się ten przeklęty szpieg nawet wcisnął i całą tę ceremonię podpatrzył? — zgrzytał Sinobrody wściekle rozgniewany.

Zaczął on się bystrem okiem wokoło oglądać, z tak zaambarasowaną miną, że nawet Betlina się przelękła, chociaż nie wiedziała o co chodzi.

Czy nam jakie niebezpieczeństwo grozi? — zapytała swego męża.

On potrząsnął ponuro głową na znak potwierdzenia i opowiedział jej swe obawy.

Przeszukamy ten lokal niezwłocznie i biada szpiegowi, gdy go tu znajdziemy!

Stary był tego samego zdania. Przywołał on jeszcze kilku również czarno odzianych ludzi, i zaczął się z nimi po cichu naradzać.

Co ci tak zwani "czarni bracia" właściwie za czynność mieli, o tem nikt nie wiedział. Dom ich był zawsze szczelnie zamknięty i nikt tajemnych i ponurych tych murów dotychczas nie zgłębił.

Przed światem i władzą uchodził zakon "czarnych braci" jako religijny zakon, który wiele dobrego robił. Dochodziły jednak słuchy, że po za tymi tajemniczymi murami działy się rzeczy, które unikały światła dziennego

Dobrze zrozumiałą więc była obawa czarnych braci. Mieli oni bowiem wiele powodów obawiać się odkrycia swych tajemnic.

Niebawem wszedł i stary przeor tego zakonu, który młodej parze ślub dawał, do sali. Uwiadomiono go o tem zajściu, a czcigodna twarz jego wyrażała obawę i przerażenie.

— Mógłby pan opuścić dom nasz inną drogą, panie hrabio! — rzekł on. — Lecz musiałby pan zostawić tu swój powóz i odjechać stąd wodą. Ogród nasz graniczy z Tamizą. Znajdzie pan tam łódkę, i może nią aż do samego miasta dojechać.

— Wolę już tu zostać — odpowiedział Sinobrody. — A nim dom ten opuszczę, muszę mieć pewność, czy ci szpiedzy coś tu zwąchali, czy nie!

— Ludzie nasi przeszukują już dom, i jeżeli się rzeczywiście ktoś tu zakradł, to go wkrótce odkryją — oświadczył starzec.

— W takim razie nie śmiałby on żywcem stąd wyjść! — rzekł Sinobrody zawzięcie.

Przełożony "czarnych braci" potwierdził tylko posępnem skinieniem głowy.

— Bądź pan spokojny! — mruknął on wreszcie, a jego zwykle tak łagodna twarz przybrała okropny, drapieżny prawie wyraz.

Potem skinął on na Sinobrodego, aby za nim wyszedł. Opuścili oni wszyscy salę, i ledwo ostatni z nich się wysunął, pogasły naraz wszystkie światła jakby pod wpływem czaru.

Weszli oni wszyscy do dużej sali, w której im starzec kazał na razie czekać. Sam zaś wyszedł on ze swoimi ludźmi przez drzwi, które były z drugiej strony zawieszone czarną firanką.

Z poza niej widać było światło i dochodziły liczne stłumione głosy zebranych tam ludzi. Gdy starzec odchylił portyerę, zajrzał Sinobrody do wnętrza.

Zobaczył tam kilka stopni prowadzących do dużej sali, której ściany nawet pokryte były czarnem suknem, a temsamem okropnie ponure, grobowe prawie robiło wrażenie. Na środku sali stał duży stół okryty czarną kapą, i wokoło niego siedziała cała masa czarnych postaci. Mimo dwu świeczników, panowało w olbrzymiej sali tylko ponure półświatło.

W tej chwili portyera znów zapadła, a obraz ten znikł jak widmo z przed oczu hrabiego Sinobrodego.

Przez krótki czas panowała grobowa cisza, przerwana nagle owym strasznym okrzykiem, który doszedł i do uszu Latoura.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy Günter płot przeskoczył, zobaczył on ponury budynek i obiegł go wzdłuż, nie mogąc znaleźć drzwi, ani okna. Przeskoczył więc drugi płot i znalazł się na podwórzu, a temsamem przy tylnej części domu.

rzeszedł on wzdłuż muru, lecz i tu nigdzie światła ani okna nie zobaczył. Nagle zobaczył on otwarte drzwiczki, i wszedł po krótkiem wahaniu do wnętrza tajemniczego domu.

Przy blasku woskowej świeczki zobaczył on prowadzące na dół schody, a zszedłszy po nich spostrzegł długi korytarz, na końcu którego były znów schody i to, prowadzące w dół i na górę.

Tym razem wszedł on na górę, i otworzywszy pierwsze drzwi, stanął w dużej, słabo oświetlonej sali

Przeszedłszy ją, stanął przed innemi drzwiami, i podsłuchawszy chwilę, otworzył je ostrożnie.

Zatrzymał on się teraz na chwilę, gdyż było tam zupełnie ciemno, i namyślał się, co dalej począć.

Dotychczas nikt go nie spostrzegł. Dokądże się teraz miał udać? Gdzie podział się hrabia Sinobrody ze swojem towarzystwem? Co oni tu robili?

Nagle wzdrygnął się Günter i zaczął bystro nadsłuchiwać.

Co to być może? Czyż nie grają tu na organach? Tak jest! To nie było złudzenie.

Ale na co? Czyż tu jakie nabożeństwo się odbywa? Günter słuchał jeszcze przez kilka minut, w kierunku z którego go dźwięki organów dochodziły.

Nagle zamilkły organy i wszystko się uciszyło. Strach ogarnął Güntera. Pojął on dopiero teraz jak niebezpiecznem było jego przedsięwzięcie i złapał za rewolwer w kieszeni.

Nareszcie doszedł do drzwi, poza któremi usłyszał głosy.

Przełożywszy ucho do dziurki od klucza, starał się połapać tok rozmowy, lecz ani słowa zrozumieć nie mógł. Głosy umilkły jednak niebawem, tak jakgdyby mówiący byli odeszli.

Günter odchylił ostrożnie drzwi i wglądnął do jasno oświetlonej sali. Była to sala, w której się ślub Sinobrodego odbył. W tej chwili właśnie wszyscy salę opuszczali.

Günter spojrzał zdziwiony na czarne postacie "braci". Zobaczył on też Sinobrodego, Betlinę, panią Dijon i przebranego za pokojówkę Piotra. Nie mógł jednak przyjść na to, co się tu przed chwilą stało.

Ledwo wogóle do pokoju zajrzał, gdy światło w nim zagasło, i zapanowała egipska ciemność.

Lecz Günter wszedł rezolutnie do sali, zapalił swoją świeczkę, i zaczął szukać drzwi, któremi się wszyscy oddalili. Nie znalazł jednak, lecz wszedł na sklepiony korytarz, z którego schody na dół prowadziły, i sądził, że wreszcie przyszedł na właściwy trop, gdyż usłyszał znów głosy ludzkie.

Dochodziły one go jednak tak stłumiono, jak gdyby szmer podziemnego potoku. Günter odkrył tu jakieś żelazne wrota, i zaczął się za zamkiem oglądać. Wtem dotknęły palce jego tajemnej sprężynkę, i w tej chwili wrota te bez szmeru się otworzyły.

Teraz usłyszał on jeszcze wyraźniej głosy które go już przedtem dochodziły. Było to zdaje się liczne zebranie i wszyscy razem na głos rozmawiali. Nie mógł jednak nic widzieć z powodu czarnej portyery, która salę zakrywała, i tylko promienie świetlne przypuszczała.

Przystąpił on ostrożnie tuż do portyery i odchylił ją trochę z jednej strony. Zobaczył on czarną salę, tę samą, do której z drugiej strony hrabia Sinobrody zaglądnął

Było to zgromadzenie tajemniczych "czarnych braci," którego Günter tu był świadkiem.

Stanął on jak wryty, i wpatrywał się osłupiałym wzrokiem, i z uczuciem zdziwienia i zgrozy w te czarne postacie zebranych mnichów.

A to, co się tu przed jego oczyma rozgrywało napełniło go przerażeniem, i krew w żyłach mu ścinało.

Na podłodze stała otwarta czarna trumna, a w niej leżała postać nie zmarłego, lecz żywego jeszcze młodego człowieka. Twarz jego była kredowo blada, a usta szeroko otwarte, jakgdyby w śmiertelnej trwodze i grozie.

Jeden z tych czarnych mnichów, stał obok trumny i trzymał nad nią błyszczący miecz. W około niego ugrupowała się reszta zebranych i zaintonowała coś jakgdyby pieśń grobową.

Günter wytłumaczyć sobie tego wszystkiego nie umiał. Cała scena ta była mu niezrozumiałą.

Co się na Boga świętego miało stać z tym człowiekiem w trumnie? Czy go miano żywcem pochować?

Zimne dreszcze przechodziły ciało Güntera. Stał on skamieniały i do oddechu przyjść nie mógł.

Co to była za scena? Czy jakaś straszna komedya, czy ceremonia? Czy to byli może wolnomularze, a ten człowiek w trumnie nowoprzyjmowanym członkiem, który przedtem miał się poddać różnym próbom?

Lecz nie! Było to przecież coś więcej, coś w rodzaju strasznych tortur, jakiejś zbrodni, której detektyw stał się mimowolnym świadkiem.

Widział on teraz, że trumnę wiekiem przykrywano, i włosy na głowie mu stanęły. Chciał on wyskoczyć z ukrycia i wydrzeć ofiarę z rąk katów, lecz trumna już była zamknięta.

Czy to z trumny odezwał się teraz stłumiony jęk? Günter mało nie oszalał z przerażenia. Kto był ten nieszczęśliwy? Co zawinił? Czy może i hrabia Sinobrody był w związku z tą zbrodnią?

Nie było go jednak w sali między "czarnymi braćmi". Günter daremnie za nim śledził.

Teraz podniesiono trumnę z podłogi i wytransportowano ją z pokoju. Co oni z nieszczę-

śliwym dalej chcieli począć? Ze zgrozą spostrzegł Günter, że oni się zbliżali do drzwi, przy których on stał.

Co się z nim stanie gdy go odkryją? Pewno go żywcem nie wypuszczą, aby ich nie zdradził!

Cofnął on się drżący z przerażenia i strachu. Lecz w chwili, gdy się chciał schować, stanął przed nim jeden z czarnych mnichów tak nagle, jakgdyby z ziemi wyrósł.

Był to ten, który już odkrył wtargnięcie Güntera. Przysunął on się po cichu i stał przez chwilę za nim, który nic złego nie przeczuwał.

Paniczny strach ogarnął Güntera, lecz on się prędko z niego otrząsł, i chwycił za rewolwer.

W tej chwili pociągnął stary mnich za sznur i rozsunął portyerę. Na Güntera padło nagle jasne światło. Zgromadzeni w sali ''bracia'' zobaczyli go.

— Oto on, ten szpieg! — odezwał się stary mistrz. — On nas podsłuchał i musi umrzeć!

I szybko, nim się jeszcze zdumiony Günter mógł spostrzedz, złapał stojący przy nim starzec za sterczącą ze ściany dźwignię, pocisnął ją, i ziemia rozstąpiła się pod nogami detektywa.

Wydał on straszny, przeraźliwy okrzyk, który się rozległ po całym domu.

Wyciągnął ręce, jakby się czegoś chciał uchwycić, lecz daremnie. Spadł on w ciemną głębię, i znikł w niej bez śladu.

CXVII.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ.

Gdy hrabia Edmund wszedł na skałę, zabierali się właśnie turyści do swego ratunkowego dzieła. Owiązali o wierzchołek skalny silny, długi powróz, i spuścili go aż na dno przepaści.

Potem owiązali naokoło jednego młodego silnego człowieka długi sznur, do którego przy mocowali poprzeczkę, jako rodzaj siedzenia. Uwieszono mu jeszcze na piersi świecącą latarkę, świstałkę sygnałową, topór i torbę z prowiantem i opatrunkiem chirurgicznym na wypadek zranienia.

Tak uzbrojony chwycił się odważny młodzieniec obu rękoma za pierwszy przymocowany do skały sznur, i skoczył z niej w przepaść. Sześciu pozostałych ludzi chwyciło drugi koniec sznura owiązanego w koło bohaterskiego turysty, który się powoli aż na dno czarnej, niezgłębionej przepaści spuszczał.

Żaden głos teraz stamtąd nie dochodził, a przecież słyszeli oni niedawno jeszcze wyraźnie słabe wołanie o pomoc.

Czyż ta nieszczęśliwa kobieta jeszcze żyje, czy może pomoc zapóźno jej przychodzi?

Hrabia Edmund obiecał za wyratowanie jej wysokie wynagrodzenie. To samo uczynili inni panowie i tak mieli dużą sumę na wypadek, gdyby nieszczęśliwa kobieta została uratowana.

Dodawało im to naturalnie bodźca do ryzykowania swego życia.

Stojący na skale i trzymający sznur mężczyźni, odwijali go tak, że wreszcie tylko już koniec w ręku mieli. Z głębi nie doszedł ich jednak jeszcze żaden sygnał, a to było dowodem, że jeszcze do samego dna nie dotarł.

Cóż teraz począć? Trzeba było drugi powróz wziąć na pomoc. Zwinięto go, przywiązano do cienkiej liny i spuszczono.

Niebawem odezwał się głośny świst, widocznie dostał się na dół.

Hrabia Edmund popatrzył w głębię, i spostrzegł tam słabe światełko. Tam nadole w głębokości dwustu stóp, wisiał odważny turysta na sznurze, i przywiązywał spuszczony mu sznur do poprzeczki na której siedział. Przez chwilę panowała zupełna cisza.

Ozwał się wreszcie powtórny sygnał. Oczekiwania widzów rosły. Czyż ten drugi sznur już wystarczy aż na samo dno przepaści?

Po długim czasie usłyszano dwa krótkie sygnały jeden po drugim. Miało to znaczyć:

''Wyciągnijcie mnie na górę!''

Ze dwa tuziny silnych ramion zaczęło ciągnąć za sznur. Trwało to jednak dość długo, nim się z głębi okazało światełko latarni. Oczekiwanie i naprężenie rosło.

Czy odważny turysta znalazł tę nieszczęśliwą kobietę i czy ją na górę za sobą ciągnie? Czy wydostanie się ona stamtąd żywa, czy już może tylko martwa?

Wreszcie wyciągnięto go już na górę. Był on sam.

Rozczarowani otoczyli go wszyscy i zaczęli go obsypywać pytaniami.

— Czyście jej nie odnaleźli? — zawołał hrabia Edmund. — Czy ani śladu jej tam nie było?

— Nie, wielmożny panie! — westchnął turysta potrząsając głową. — Był on śmiertelnie znużony i potrzebował kilka minut, aby odsapnąć i siły zebrać.

Potem zaczął opowiadać:

— Nie dotarłem do dna przepaści, gdyż sznur nie wystarczył, i siły zupełnie mnie opuściły. Nie mogłem nic rozpoznać prócz czarnych skał. Głęboko podemną szumiał jakiś górski podziemny strumyk. Kto tam wskoczy, ten jest stracony! Przyszedłem do przekonania, że ta nieszczęśliwa kobieta w głębiach wody tej zginęła. Wszystko co znalazłem, było to!

To mówiąc, wyciągnął kawałek jedwabiu, i dodał objaśniająco:

— Kawałek ten wisiał na gałęzi jakichś krzaków wyrastających z rozpadliny skalnej ledwie trzydzieści stóp wysoko. Widocznie zawisła tam biedna kobieta ze swoją suknią.

— Więc już niema żadnej nadziei, że ona żyje i może być wyratowana? — zapytał hrabia Edmund.

Nie! To jest wykluczone. Spadła ona tak, że się już z pewnością żywa na dno nie dostała. Ci ludzie, którym się zdawało, że słyszeli wołanie o pomoc, musieli się pomylić.

Nie było więc wątpliwości, że Agata zginęła. Walerya, która tymczasem też na skałę weszła, uśmiechnęła się zadowolona, i lżej odetchnęła.

Nigdy więcej się już Agata nie ukaże! Będzie ona miała spokój z jej strony. Hrabia Edmund zaś nie przeczuwał prawdy, i nigdy się nie dowie, kto była owa kobieta, która tak straszną śmierć tu w górach znalazła.

Wszyscy opuścili teraz skałę. Hrabia Edmund szedł zamyślony obok Waleryi. Stanąwszy u stóp góry rzekł on wreszcie, wskazując na jedną restauracyę:

— Tam zaniesiono tę młodą Indyankę. Wejdźmy i zapytajmy się ją, kto była jej pani, i czy to prawda, że ją jakaś nieprzyjaciółka ze skały strąciła!

Walerya okropnie się przestraszyła.

Nie mogła ona na żadną cenę dopuścić, aby się hrabia Edmund z Delią rozmówił, i koniecznie temu przeszkodzić musiała. Ale jak? On przecież nie słuchał jej perswazyj.

Drżąc z ukrywanego strachu, weszła ona za nim do lokalu. Teraz on się pewno prawdy dowie, gdyż Delia opowie mu historyę swej pani.

— Pozwól, abym ja się z tą dziewczyną rozmówiła — rzekła ona wreszcie, wstrzymując go. — Będzie to o tyle lepiej, że ona pewno prędzej się zwierzy kobiecie, niż mężczyźnie!

Hrabia Edmund zdziwił się temu jej życzeniu, lecz pozostał przy swojem postanowieniu.

— Rozmówimy się z nią oboje! — rzekł on stanowczo

W tej chwili wyszedł gospodarz lokalu naprzeciw nich. Hrabia Edmund zapytał o Delię.

— O, tej dziewczyny już tu niema! — odparł gospodarz. — Przyszła ona wkrótce do siebie, i nie mogliśmy jej tu utrzymać. Pobiegła bowiem natychmiast do miasta, aby werbować ludzi, którzyby pani jej szukali.

Hrabia Edmund był mocno rozczarowany. Walerya zaś radowała się wewnętrznie, że niebezpieczeństwo znów przeszło, i dawna odwaga jej wróciła.

— Szkoda! — rzekła ona, ukrywając jednak swe myśli. — Ja także taka ciekawa byłam informacyi tej dziewczyny!

— Znajdziemy ją w mieście! — odparł hrabia Edmund. — I może jej będziemy mogli pomódz!

Walerya postanowiła teraz uprzedzić swego męża, i sprzątnąć dziewczynę tę tajemnie ze świata. Gdyby jej się zaś to nie udało, potrafi ona nakłonić hrabiego Edmunda do natychmiastowego odjazdu nazajutrz rano.

Udali się oni do swego hotelu, do miasta. Wszystkie usiłowania ich co do odkrycia Delii pozostały bez skutku.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy Agata padła w przepaść strącona ręką swej rywalki, straciła ona przytomność i leciała z niepowstrzymaną siłą w okropne głębie.

Wtem zatrzymało się ciało jej nagle i zawisło na krzakach. Agata odzyskała przytomność, i chwyciła się instynktownie gałęzi tych zarośli.

Została ona jakby cudem wstrzymana od spadnięcia na dno przepaści przez skarłowaciały krzak mirtowy, którego łykowate, silne gałęzie ciężar jej utrzymać potrafiły.

Lecz po kilku sekundach zaczęły się one pod nią uginać i łamać. Agata spadała niżej i niżej. Nad nią zwarły się gałęzie, a pod nią nic, tylko straszna próżnia... bezdenna prawie przepaść.

Jeszcze chwilę, a spaść w nią musiała. Wtem chwyciła się ona w rozpaczy za grube korzenie krzaku, podniosła się z siłą, i uczuła wreszcie pod nogami w rozpadlinie skalnej.

Tak wisiała ona przez czas jakiś między niebem a ziemią. Wstąpiła w nią nowa nadzieja, i wtedy krzyknęła ona z prośbą o pomoc. Sądziła, że Delia ją usłyszy, i zwoła ludzi, którzy ją uratują.

Popatrzyła ona w górę, lecz krzaki tak jej przeszkadzały, że nic na skale widzieć nie mogła. Z tego samego powodu nie mogli wi-

dzieć jej i ludzie, stojący u góry na skale, i patrzący za nią w głębię.

Niebawem siły opuściły Agatę. Krzyknęła ona znowu, lecz nikt jej nie odpowiadał. Nie słyszano jej głosu.

Rozpacz ją chwyciła. Czuła ona, jak jej członki sztywnieją, i że wkrótce nie będzie mogła się utrzymać.

Oglądnęła się ona wokoło siebie, za jakimś ratunkiem, lecz w szarem świetle zmroku nie mogła spostrzedz nic, prócz ściany skalnej.

Więc miała ona być stracona i spaść bez ratunku w głębię? Obawa, przerażenie i śmiertelny strach opanowały jej serce, które się kurczowo ściskało. Krew ścięła się jej w żyłach, a włosy na głowie się jeżyły.

Wtem spostrzegła ona jakiś otwór w ścianie skalnej tuż obok krzaku, i mogła się do niego dostać, nie puszczając gałęzi, których się trzymała.

Otwór ten rozszerzył się wewnątrz w jaskini, w którą ona weszła, wydobywając ostatek swych sił. Agata skuliła się i szła omackiem dalej.

Wtem natknęła na wolny kamień, i czuła, że się coraz głębiej i głębiej zsuwa.

Daremnie starała się Agata zatrzymać. Kamienie były gładkie, wilgotne i ślizkie i biedna kobieta zsuwała się po nich w głębię i ciemnicę grobową.

Dokąd ona spadała? Obawa pozbawiła jej przytomności. Nie myślała ona, że się znów do życia obudzi.

Gdy jej wreszcie po pewnym czasie przytomność wróciła, zobaczyła ona nad sobą sklepienia nieba. Gdzie ona była?

Wstała zdziwiona i spostrzegła się wśród gęstych zarośli, a nad sobą wznosząca się ogromnie stroma skałę. Duży otwór w tej ścianie, stanowił koniec jaskini, przez którą się Agata tutaj dostała.

Czuła się ona zmęczona i zbita, a suknia jej była rozdarta i zwilżona, lecz nic jej się poważnego nie stało.

Z jaskini spływała mętna woda, i gubiła się między osuszonymi kamykami.

Agata padła na kolana, i podniosła ręce ku niebu w dziękczynnej modlitwie. Była ona uratowana. Uszła jakby cudem strasznej śmierci.

Rozglądnęła się ona teraz wokoło po swem dzikiem, skalistem otoczeniu. Wszędzie tylko strome, urwiste skały, po których nie było ani możliwości wdrapania się na górę.

Odwaga opuściła znów Agatę, gdy zobaczyła że żadna ścieżynka stąd w górę nie prowadzi. Jakżeż się stąd wydostać na świat, do ludzi? Było tu tak cicho i samotnie. Wołała ona, ale nikt jej nie dawał odpowiedzi.

Powoli upływał dzień, i nadszedł wieczór, a z nim ciemność. Zrozpaczona Agata siadła na kamieniu i zakrywszy twarz rękoma, zaczęła gorzko płakać.

Czuła się ona jakgdyby w więzieniu między temi skałami i urwiskami.

Jeżeli nie dostanie pomocy, jeżeli jej żaden człowiek tu nie odkryje, to cóż się stanie? Co za straszny los ją wtedy czeka?

Czyż nie byłoby lepiej zrzucić się w tę straszną głębię, niż zginąć tu z głodu osłabienia?

Wreszcie zapadła ciemna noc, a wysokie skały sterczały ponuro i upiorowato. Nieszczęśliwa kobieta krzyknęła znów o pomoc, lecz odpowiadało jej tylko szyderczo odbijające się od skał echo.

— O mój Boże, zlituj się nademną! — krzyczała ona w największej rozpaczy. Padła na kolana, i podniosła błagalnie ręce ku niebu.

Nic się tu wokoło niej nie ruszyło. Wszystko było jakby zamarłe, i tylko staczające się z wyżyn wodospady szemrały na czarnym gruncie.

Raz tylko okrążył ptak nocny Agatę, i odleciał szybko gdy ona się poruszyła.

Godziny wlokły się okropnie pomału. Dopiero północ się zbliżała, lecz wraz z nią padł nagle blady promyk światła ze szczytu skał. Stawało się coraz jaśniej i jaśniej w wązkiej dolince między stromemi skałami, gdzie niedawno jeszcze takie panowały ciemności.

Nareszcie ukazał się księżyc w całej pełni i oświecił jasno postać Agaty.

Pogrążona w głębokiej, beznadziejnej zadumie siedziała ona skulona i o skałę oparta. Na zmęczone i piekące jej powieki nie spuszczał się sen, a pamięć jej zwróciła się w przeszłość.

Pomyślała ona o swojem dziecku... o mężu, którego jej demoniczna nieprzyjaciółka odbiła... i o wszystkich swoich przejściach i cierpieniach.

Z myśli tych wyrwał ją jakiś szmer. Brzmiał on słabo i jakby z oddali, lecz odbijał się dość wyraźnie od tła ponurej, grobowej ciszy nocnej.

Popatrzyła ona w górę. Czy to nadchodzili jacyś ludzie? Czy pomoc była bliską?

Tam na górze okazało się teraz kilka postaci ludzkich odbijających się w świetle księżyca jasno od ciemnych mas skalnych.

Stali oni tak spokojnie i patrzali na nie-

ruchomą postać Agaty, nie będąc pewni, czy to postać ludzka, czy jakiś słup kamienny.

— Na pomoc! Na miłość Boga! — krzyknęła Agata teraz głośno i podskoczyła.

Z góry odezwał się zaraz znany jej głos. Była to Delia z dwoma ludźmi, których zwabiła obietnicami wielkiej nagrody, aby za panią jej szukali. Biedna, wierna służąca, nie mogła uwierzyć w śmierć. Agaty, gdy się do wiedziała, że z przepaści słyszano wołanie o pomoc.

Od wielu godzin błądziła ona tak z tymi dwoma przewodnikami w górach. Ci ostatni próbowali zejść w inny sposób w przepaść, nie mogli jednak odnaleźć drogi.

Nagle odkryli oni nieszczęśliwą ofiarę w wązkiej tej dolince. Jakim sposobem ona się tam dostała, to było dla nich zagadką!

Delia śmiała się i płakała z radości.

— Przychodzimy! Przychodzimy! — wołała ona na swoją panią.

Lecz nie było to tak łatwo zejść do Agaty po sromych skałach, które nizką i wązką dolinkę otaczały. Trzeba to było obejść długą i uciążliwą drogą.

Pełna nadziei i uspokojona czekała Agata przez długie godziny. Wreszcie nad ranem już usłyszała z drugiej strony za sobą głos Delii i jej towarzyszy.

Popatrzyła ona w górę i zobaczyła znów wierną swą służącę, wołającą na nią.

Niebawem spuścili oni gruby powróz w dół aż do Agaty. Pomoc przychodziła jej w sam czas, gdyż siły ją już prawie opuszczały. Podniosła się ona tylko z wytężeniem całej swej energii i opasała się ciasno spuszczonym jej sznurem.

Mężczyźni zaś u góry zaczęli powróz silnemi ramionami w górę wyciągać.

Po kilku chwilach była Agata na górze i leżała w ramionach wiernej swej Delii.

— Uratowana... Bogu dzięki! — westchnęła ona i zemdlała.

CXVIII.

NA NOWO ZŁĄCZENI.

Niedługo po ucieczce Gertrudy z domu poszukiwacza dyamentów, zbliżało się do dworka jego trzech jeźdźców na zmęczonych, spienionych koniach.

Byli to przyjaciele Gertrudy: farmer z kapitanem Brandenfeldem i Murzynem Bobem. Uszli oni szczęśliwie prześladowaniu huzarów i zeszli się wszyscy po jakimś czasie razem.

Niepokój ich o Gertrudę był niemały. Szukali oni za nią we wszystkich kierunkach, lecz nigdzie śladu jej odkryć nie mogli. Przypadkowo zupełnie dostali się oni w pobliże tej samotnej zagrody, a widząc światło w oknach, postanowili tam się o Gertrudę zapytać.

Ostrożnie zsiądli oni z koni, zostawili je pod opieką Boba, a sami weszli do bramy. Byli zdziewieni, że ją zastali otwartą. Stara Murzynka nie pomyślała jeszcze o tem, aby ją zamknąć.

— Co za nieostrożni ludzie! — rzek farmer do kapitana zbliżając się do drzwi, które również były zamknięte.

Dostali się oni więc bez trudności do wnętrza domu, lecz nie spotkali tu jeszcze żadnego żywego stworzenia. Panowała tu grobowa cisza.

Weszli oni teraz do pokoju, w którym się lampa świeciła, i zastali tam starą Murzynkę siedzącą na padłodze. Pakowała ona wartościowe rzeczy i chciała nad ranem z pieniędzmi i dyamentami swego pana stąd uciekać.

Była taka zajęta i zadumana, że nie spostrzegła zbliżenia się obcych mężczyzn. Ci ostatni zaś stanęli zdziwieni w otwartych drzwiach, i przypatrywali się starej przez chwilę.

Wtem podniosła ona wzrok, a zobaczywszy obcych podskoczyła z ziemi, i krzyknęła przerażona.

Weszli oni teraz prędko do pokoju, a kapitan Brandenfeld zapytał groźnie.

— Czy ty jesteś złodziejką, kobieto? Co ty tu robisz?

Zbliżył się on do kufra, lecz ona go uprzedziła. Rzuciła się jak hyena na swoją zdobycz, i obrzuciła dzikim wzrokiem obu intruzów, których miała, sądząc z mundurów, za angielskich oficerów.

— Czego tu chcecie? — wrzasnęła ona. — Trzeba było przyjść wcześniej tobyście jeszcze byli zastali tę kobietę! Teraz ona uciekła, ta zbójczyni!

Słowa jej były dla obu przybyłych zupełnie niezrozumiałe.

— O kim wy mówicie, stara? Kto stąd uciekł? — pytał farmer zdziwiony.

— Ta szatańska kobieta! Ten szpieg w przebraniu oficera! — zgrzytnęla stara. — Mój pan ją przyjął i schował przed angielskimi oficerami, wzruszony jej skargą i prośbą, a ona go z wdzięczności za to zamordowała! Patrzcie sami! Oto on tam leży w kałuży krwi!

To mówiąc, otworzyla ona drzwi od komory, a obaj mężczyźni cofnęli się przerażeni.

Z dalszych opowiadań starej domyślili sie

oni, że to musiała być Gertruda i odjechali spiesznie w tym samym kierunku, który i ona obrała.

Konie ich tak już były zmęczone, że jechali tylko pomału, aż wreszcie musieli się na kilka godzin zatrzymać i wypocząć.

Nad ranem wybrali się w dalszą drogę. Odnaleźli oni ślady za którymi jechali; i po krótkim czasie zatrzymał farmer nagle konia na szczycie pagórka i wskazał na płaszczyznę rozciągającą się u jego stóp.

— Tam jest ona! — rzekł on uradowany.

W oddali zobaczyli oni powoli jadącą postać kobiecą. To mogła być tylko Gertuda.

Przyjaciele jej zawołali na nią głośno, lecz przestrzeń dzieląca ich była za duża i ona tego nie słyszała. Zaczęli więc za nią galopować a farmer strzelał, aby zwrócił uwagę dziewczyny w tę stronę.

Odgłos wystrzału doszedł jej ucha. Odwróciła się i zobaczyła dwóch jeźdźców w mundurach angielskich oficerów. Nie przyszło jej na myśl, że to mogli być jej przyjaciele, tem tem bardziej że czarny służący ich pozostał trochę w tyle, tak że go widzieć nie mogła.

Pewna, że to goniący ją nieprzyjaciele, popędzała ona przerażona swoją szkapę, lecz mimoto jeźdźcy coraz bardziej do niej się zbliżali.

Spojrzała ona znów poza siebie i widziała jak do niej kiwali. Słyszała też już ich nawoływania. Nie... to przecież nie mogli być nieprzyjaciele!

Teraz spostrzegła już nawet Boba w żółtym kaftanie i obawa jej przemieniła się w radość. Zatrzymała konia i oczekiwała zbliżenia się jeźdzców.

— Getrudo! To pani! — rozległ się już z daleka głos kapitana.

W następnej chwili byli oni już przy niej, i witali się radośnie.

Gertruda opowiedziała im swoje awantury w domu poszukiwacza dyamentów i dowiedziała się od nich, że i oni tam byli, i w ten sposób na ślad jej wpadli.

Jechali oni teraz razem dalej i spodziewali się dotrzeć nazajutrz do Burów, u których Józefę zostawili.

Na drugi dzień w południe usłyszeli oni z daleka wystrzały armatnie, z początku tylko słabe i przytłumione, a potem coraz głośniej i wyraźniej. Musiała tu gdzieś między górami toczyć się jakaś potyczka.

We dwie godziny później byli oni już tak blisko, że zdawało się im, że są na polu walki, wśród gradu kul i strzałów armatnich. Nic jednak jeszcze nie widzieli, bo wysokie góry scenę tę zasłaniały.

Nagle dojechali oni do miejsca tak stromego, że o zjechaniu tędy mowy ani być nie mogło, i tu zobaczyli nagle panoramę wojenną. U stóp ich, w wazkiej kotlinie górskiej, wrzała zacięta walka.

Po ich stronie był obóz angielski, a naprzeciw na wzgórzach, rozłożyli się Burowie. Ponad kotliną unosiły się obłoki prochu i dymu, przerywane czerwoną błyskawicą armatnich wystrzałów.

Walka ta wrzała tu już od kilku godzin. Anglicy chcieli zdobyć obóz Burów, a ci ostatni rozpaczliwie się bronili. Bitwa ta nie była jeszcze rozstrzygniętą, ale zdawało się, że Anglicy zwyciężą.

Przez chwilę przypatrywali się oni walce z zajęciem, gdy wtem pękł obok nich granat i obrzucił ich kamieniami.

— Precz stąd! — krzyknął kapitan Brandenfeld. — Starajmy się przejść do naszych przyjaciół na drugą stronę!

Lecz to nie było tak łatwo. Musieli oni objeżdżać góry, i napotykali ciągle angielskie oddziały. Na szczęście mieli oni jeszcze na sobie angielskie uniformy, a to ich ratowało.

Wreszcie dojechali oni do końca angielskiego obozu, lecz też już z powodu stromych przepaści dalej jechać nie mogli! Nie mieli innego wyjścia, jak tylko zostać tu, albo przejechać dolinę, gdzie jeszcze walka wrzała zacięcie i kule jak grad padały.

— Czekajmy końca walki — radził kapitan Brandenfeld i schowajmy się za skały, gdyż Burowie teraz właśnie w tę stronę armaty swoje zwracają. Mają oni nas z powodu mundurów za nieprzyjaciół.

Ledwo się za skałę schowali, padł rzeczywiście pierwszy wystrzał, lecz im nie zaszkodził. Po dwóch godzinach zapadł wreszcie wieczór i walka ustała.

Pierwszy farmer ruszył się ze swego schowku i spojrzał naprzeciw w obóz Burów. Mimo pewnej pozycyi zdawało się im, że ci jeszcze tej nocy chcą stąd wymaszerować.

— Zaczekajmy, dopóki się zupełnie nie ściemni — rzekł kapitan — a potem będziemy mogli bezpiecznie przejechać kotlinę. Gdy tylko natkniemy na pierwszych Burów, to się im damy poznać

— Czy Józefa jest w ich obozie? — zapytała Gertruda.

— Nie wiem — odparł kapitan. — Zdala wyglądają oni jak ci, u którychśmy Józefę zostawili.

Gdy noc zapadła i strzelanie ustało, wybrali się przyjaciele nasi w drogę i zaczęli ostro żnie zjeżdżać w stromy spad. Spotykali oni żołnierzy różnych regimentów, lecz nikt ich nie zatrzymywał.

Dolina pokryta była trupami i rannymi któ rzy stękali i jęczeli z bólu. Zranione konie biegały tam i z powrotem rżąc i wierzgając. Świeciły się pochodnie i latarnie, a od czasu do czasu rozlegały się przyciszone wołania. Wreszcie spotkali się oni z długim pochodem sanitarnych oddziałów, którzy transportowali rannych na noszach.

Wymijali oni ich, o ile mogli. Niebawem rzędy poległych stały się jednak tak gęste, że oni musieli zsiąść z koni i obchodzić pole wielkiem kołem. Śmierć z kosą miała tu tego dnia straszne żniwa. Okropne i serce rozdzierające były sceny, które się tu przed wędrowcami naszymi na każdym kroku rozgrywały.

Nagle stanęli oni przed rowem, który był napełniony trupami. Tu wrzała walka widocznie najzacięciej. Całymi szeregami padali tu angielscy żołnierze, pod nieszczęsnemi kulami Burów.

Wielu żołnierzy, doktorów i dozorców szpitalnych zajętych tu było przy świetle pochodni wyszukiwaniem żyjących jeszcze rannych.

Zbiegowie zatrzymali się przez chwilę i przypatrywali się temu z drżeniem.

Tam obozowali Burowie, a przednia ich straż leżała już może o 50 kroków za rowem.

Ukradkiem przesuwali się zbiegowie nasi wzdłuż rowu i stanęli wreszcie przed angielską strażą. Jakiś kapral zbliżył się do nich z latarnią i popatrzył na przechodzących.

Poznawszy angielskie uniformy, salutował on pierwszy porucznikom. Na Gertrudę i Boba zaś już nie popatrzył.

Milcząco jechali oni dalej, lecz wtem pobiegł kapral za nimi i rzekł ostrzegająco:

— Niech panowie dalej nie jadą, gdyż tam leży już nieprzyjacielska straż. Na prawo zaś prowadzi droga do naszego obozu.

Myślał on, że przejeżdżająca tędy czwórka zbłądziła, a kapitan Brandenfeld rzeczywiście udawał, że się z towarzyszami swoimi do angielskiego obozu chciał dostać.

Gdy się jednak o tyle od straży angielskiej oddalili, że więcej widzeni być nie mogli, zwrócili się znowu na góry.

Po krótkim czasie dotarli oni do wązkiego rowu za którym nasyp ziemny i drobne kamyki mur tworzyły.

— Teraz ostrożnie! — upominał kapitan Brandenfeld cicho. — Przy najbiższym szmerze musimy się położyć na ziemię i wołać, że jesteśmy przyjaciółmi. Inaczej będą Burowie do nas strzelać!

Szli oni spokojnie dalej wzdłuż rowu. Wokoło panowała absolutna cisza, a tak ciemno było, że na kilka kroków nic i nikogo poznać nie można było.

Wreszcie zauważyli oni w murze za rowem dość duży otwór zrobiony widocznie kulami Anglików. Polegli żołnierze leżeli tu kupą w rowie.

Przejechali oni go i postępowali wdłuż muru, gdzie się i dalej nic nie ruszyło. Panowała tu jeszcze grobowa cisza.

Zbiegowie zaczęli się teraz niepokoić, gdyż znajdowali się jak to mówią między dwoma ogniami.

Przed sobą mieli Burów, którzy ich musieli uważać za nieprzyjaciół, poza sobą zaś Anglików, którzyby ich mieli za zdrajców i zbiegów, gdyby ich zobaczyli.

— Najlepiej zatrzymać się tu — rzekł farmer zaniepokojony — bo mi się zdaje, że każdej chwili z poza muru tego jakaś kula na nas spaść musi!

Ledwo słowa te wymówił, gdy usłyszeli wy strzał. Kula trafiła farmera, który padł na ziemię z jękiem. Jak skamieniała z przerażenia sta nęła reszta wokoło niego.

Z ciemności wyłoniło się kilka postaci. Teraz odzyskał kapitan Brandenfeld przytomność umysłu i krzyknął na zbliżających się Burów, którzy już do nich celowali.

— Na miłość Boską, wstrzymajcie się! My jesteśmy przyjaciółmi!

— Odłóżcie waszą broń! — była groźna odpowiedź.

Bez wahania uczynili oni zadość ich życzeniu i Burowie się zbliżyli.

Byli to czterej mężczyźni o herkulicznej po staci Oglądali oni bystro nowo przybyłą trójkę i poznali angielski mundur kapitana.

— Czy pan jest angielskim oficerem? — zapytał najstarszy z nich szorstko.

— Nie! Ja jestem kapitan Brandenfeld z niemieckich pomocniczych trup — oświadczył on. — Byłem w angielskiej niewoli i włożyłem mundur ten tylko na to, aby módz uciec i wrócić do swoich przyjaciół.

Burowie wydali okrzyk zdziwienia .Dwóch z nich uklękło przy farmerze, aby go dokładnie oglądnąć.

— I ten jest w angielskim mundurze! — zawołali oni. — Kto jest ten człowiek?

— Farmer Berger! — odpowiedział kapitan. — I on jest jednym z walczących w na-

szych szeregach. Bardzo byliście nieostrożni strzelając i dałby Bóg, aby ten poczciwy człowiek nie był śmiertelnie zraniony!

Gertruda uklękła u boku Bergera i objąwszy go zaczęła głośno szlochać i lamentować.

Tymczasem zbliżyli się i inni Burowie. Przyniesiono prędko noszę i przestransportowano farmera do obozu.

Wszyscy poszli za nim. Przed lazaretem oczekiwała ich kobieca postać, a światło latarni padało w jej twarz.

— Józefo! — krzyknęła Gertruda i w następnej chwili leżała już w objęciech swej przyjaciółki. — Bogu dzięki, że cię znów widzę!

Płacząc, uściskały się one serdecznie, gdy wtem wniesiono farmera. Józefa poznała go na pierwsze spojrzenie i rzuciła się z przeraźliwym okrzykiem na nosze.

Wzruszeni i ze łzami w oczach przypatrywali się wszyscy tej scenie. Farmer poruszył się i otworzył oczy. Gdy zobaczył Józefę, uśmiechnął się boleśnie.

— O ty, ukochana moja! — szepnął on słabym głosem. — Po mnie śmierć przychodzi i na zawsze nas rozłączy! A ja sobie już tak cudownie przyszłość u boku twym malowałem!

— Nie! nie! — szlochała Józefa rozpaczliwie. Ty nie umrzesz! Ty musisz wyzdrowieć, bo jabym straty twojej nie przeżyła!

Z namiotu wyszedł lekarz i przystąpił do chorego. Józefa złapała go za ramię i krzyknęła zdławionym głosem:

— Ratuj go pan, panie doktorze! — Zaklinam i błagam pana o to!

Załamywała ona ręce w niewymownej swej rozpaczy. Na skinienie lekarza wnieśli rannego do namiotu, a Józefa z resztą przyjaciół poszła za nim. Drżąca i płacząca rzuciła się Józefa w objęcia brata, który się ją daremnie starał pocieszyć.

Po chwili przystąpił lekarz i rzekł z współczuciem:

— Proszę się uspokoić, gdyż rana nie jest śmiertelna! Wyciągnąłem kulę i mam nadzieję że chory wyzdrowieje!

Słowa te dodały kobiecie nowej odwagi. Opanowała ona się prędko i usiadła u boku ukochanego mężczyzny.

— Ja go wydrę z objęć śmierci! — mruknęła ona drżącemi usty.

Po kilku dniach wyszedł farmer z niebezpieczeństwa, potrzebował jednak jeszcze spokoju. Burowie musieli miejsce to opuścić i jeżeli Berger nie miał wpaść w ręce Anglików, to musiał się z nimi wybrać.

Józefa też nie chciała słyszeć o tem, aby on sam tu został, bo wiedziała że w takim razie wpadnie on w ręce Anglików i będzie stracony. To wszyscy wiedzieli i byli tego samego zdania co ona.

Położono więc zranionego farmera na ciężarowy wóz, zaprzężony w cztery pary wołów i wyścielono mu tak wygodnie materacami, jak tylko można było. Józefa usiadła wraz z Gertrudą i innemi dozorczyniami na ten sam wóz. Wzięto też jeszcze kilku rannych ze sobą.

Pewnej nocy wybrano się przy świetle księżyca w drogę. Długi szereg wozów ciągnął się powoli przez bród rzeki, gdzie wozy aż po osie były w wodzie i prawie że płynąco na drugi brzeg się dostały.

Jazda ich trwała przez tydzień. Zatrzymali się oni często dla wypoczynku, a wreszcie stanęli w małej mieścinie w kraju Burów, zdala od pola walki.

Tu miał farmer zostać aż do zupełnego swego wyzdrowienia. Józefa nie odstępowała od jego boku, a Gertruda dotrzymywała jej towarzystwa.

Pewnego dnia dostał się w ręce Gertrudy numer starej gazety z przed dwóch miesięcy. Pochodziła ona z dalekiej jej ojczyzny i dostała się pewno, jako opakowanie towarów do małego burskiego miasteczka.

Czytali ją wszyscy z zaciekawieniem, gdyż były w niej wiadomości z ojczyzny, którą nietylko Gertruda i Józefa, ale i brat jej tak dawno nie widzieli.

Gertruda siedziała z obojgiem, gdy gazetę do czytania rozłożyła. Nagle wydała ona głośny okrzyk i padła przerażona na krzesło.

— Wielki Boże! — jęknęła ona — mój ojczym...

Józefa przystąpiła do niej i obie przeczytały teraz artykuł o tajemniczem zniknięciu radcy. Koniec był taki, że o śmierci jego teraz już nawet wątpić nie można. Był on podobno przy ostatku z wizytą u zięcia swego, hrabiego Sinobrodego na zamku Wildenfels.Od tego czasu go nie widziano i nic więcej o nim nie słyszano. Znikł on bez śladu..

— Hrabia Sinobrody go zamordował! — rzekła Józefa.

Gertruda skinęła potakująco głową. Przyszła jej nagła myśl.

— Ja chcę do domu wracać! — rzekła ona. — Muszę zdemaskować hrabiego Sinobrodego! Jedź także ze mną, odjeżdżajmy czemprędzej!

Józefa nie zgadzała się jednak na to.

— Nie bez niego! — odpowiedziała ona, wskazując na drzemiącego chorego. — Ja go nie mogę opuścić!

Po długiej naradzie postanowiono, aby Gertruda wróciła z bratem Józefy do ojczyzny. Ta ostatnia zaś miała z farmerem później przyjechać.

Gertruda wiedziała, że jej nie wolno zwlekać, mimo że jeszcze nie wiedziała o tem, że hrabia Sinobrody z inną się już ożenił i nad tem teraz pracował, aby jej wydrzeć spadek po ojcu.

Za kilka dni wybrała się ona z kapitanem Brandenfeldem w drogę. Udali się oni najpierw do portu, aby tam wsiąść na okręt. Dotarli tam szczęśliwie i odjechali pewnego dnia niemieckim pocztowym okrętem.

Spodziewali się mniej więcej za trzy tygodnie dobić do ojczystych brzegów.

CXIX.

W TONIACH TAMIZY.

— Wielki Boże! co to za straszny krzyk? przeraziła się Betlina.

Blady i przelękniony wypatrzył się hrabia Sinobrody w nią, a potem zaśmiał się szatańsko i skoczył do drzwi, aby je otworzyć.

— To pewno szpiega złapali! — zawołał on tryumfująco, stukając pięściemi o silne żelazne drzwi. — Otwierajcie!

W następnej chwili drzwi się otworzyły, lecz czarna portyera zasłaniała jeszcze salę zgromadzeń tajemniczych „czarnych braci". Sinobrody odsunął niecierpliwie firankę na bok.

Przed nim stanęła imponująca postać siwego mistrza. Odsunął on hrabiego na bok, a za nim zapadła czarna firanka. Wszedł on z Sinobrodym do sąsiedniego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— No? — badał hrabia Sinobrody niecierpliwe. — Czy odnaleziono już szpiega?

— Tak jest! — rzekł on ponuro. — On jednak nic nie zdradzi! Zamilkł na wieki!

Betlina i ciotka krzyknęły głośno z przerażenia i zgrozy przed tym strasznym starcem i jego towarzyszami.

Hrabia Sinobrody potrząsł zaś z zadowoleniem głową i rzekł:

— Spodziewam się, że teraz już nie ma żadnego niebezpieczeństwa i że mogę z damami dom opuścić.

Wtem wzdrygnęli się oni wszyscy zaniepokojeni, gdyż ciszę tu panującą przerwały silne uderzenia o bramę. Kto się tu dobywał?... czy policya?

Popatrzyli oni wszyscy na siebie, bladzi i przerażeni.

— Wyślę kogoś, aby zobaczył! — rzekł mistrz i znikł we drzwiach.

Wrócił on znów po kilku minutach, a w twarzy jego malowała się troska.

— Dostajemy policyę na kark, i to z winy pana, panie hrabio! — rzekł on gorączkowo. — Gdybym był coś podobnego przeczuwał, byłbym nigdy życzenia pańskiego nie spełnił! Teraz grozi nam wszystkim niebezpieczeństwo! Musicie się państwo czemprędzej ukryć!

Sinobrody zaklął szorstko i odpowiedział na wyrzuty starego tylko gniewnym śmiechem. Potem chwycił rękę Betliny i starał się ją uspokoić.

Tymczasem otworzył stary drzwi do tajemniczej sali i dał pozostałym znak, aby za nim poszli. Nie zastali tam jednak już nikogo. Czarne postacie znikły bez śladu, z wyjątkiem owego siwobrodego starca, który Guentera strącił w owe tajemnicze głębie.

On to poprowadził hrabiego Sinobrodego wraz z jego towarzystwem przez długie kurytarze i sale, i zatrzymał się wreszcie w małym, przez małą lampkę oświetlonym pokoiku, w którym nie było żadnego okna.

— Proszę tu czekać i niczego się nie obawiać! — rzekł stary lakonicznie i znikł.

— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy detektyw Latour usłyszał krzyk i przeskoczył płot ogrodu, przypuszczał on całkiem słusznie, że to Guenter jest w niebezpieczeństwie. Zbliżył on się szybko do bramy domu i zaczął w nią walić swym rewolwerem.

Czekał dość długo, zanim wewnątrz jakiś ruch usłyszał. Ktoś odsunął małe okienko w bramie i światło ślepej latarki padło na postać detektywa.

Lotaur zobaczył ze swej strony w okienku siwą głową odźwiernego, który go mierzył ponurym wzrokiem.

— Otwórzcie! — krzyknął Latour rozkazująco. — Tu się stała jakaś zbrodnia! Ja jestem urzędnikiem policyjnym!

— Czego pan chce u nas? — odparł szorstko. — Co się panu śni? W tym domu nie dzieją się żadne zbrodnie!

— Jeżeli mnie natychmiast nie wpuścicie, to zwołam pomoc i gwałtem tu wejdę! — zagroził tajny agent policyjny.

Muszę wpierw mistrza o tem uwiadomić — rzekł odźwierny spokojnie. — Zatrzymaj sie pan tylko jedną chwilkę!

Okienko zasunęło się i światło latarki zgasło. Latour złościł się i krzyczał. Zaczął na nowo silnie do bramy stukać, lecz zupełnie bezskutecznie.

Niecierpliwość jego i obawa o Guentera rosły. Co mu się w tym strasznym domu stać mogło? Musiał tam wejść za każdą cenę.

Wiedząc jednak że sam tu będzie bezsilny, wrócił on do sztachetów, przed którymi stał jeszcze woźnica, również zaniepokojony i wzburzony.

— Jedźcie prędko do następnej stacyi policyjnej i oddajcie tam moją kartę! — krzyknął on woźnicy.

Napisał ołówkiem na kartce kilka słów, a woźnica wziął kartkę i pojechał z nią galopem.

Ledwo Latour wrócił napowrót do bramy domu, gdy usłyszał obracanie się klucza w zamku.

Wszedł on w otwarte wrota z rewolwerem w ręku i rzekł szorstko do odźwiernego, który chciał bramę zamykać:

— Zostawcie wejście otwarte! Mnie zaś dajcie klucz!

— Panie, to nie idzie! Co pańskie wtargnięcie tu wogóle ma znaczyć?

Nie odpowiedziawszy mu na to, przyłożył mu detektyw rewolwer do piersi i rzekł.

— Dajcie mi zaraz klucz, albo...

Zmięszany i zastraszony odźwierny dał sobie natychmiast klucz odebrać. W hali ukazał się teraz jeden z czarnych braci i przystąpił do niego z oburzoną miną.

— Czyście zwaryowali? — zawołał on. — Co wam daje prawo wtargnięcia w spokojny nasz dom jak rabuś jakiś lub opryszek!

Detektyw powiedział kim jest i zażądał informacyi co do Guentera.

Czarny mnich zaśmiał się szyderczo.

— Pan musi być rzeczywiście niespełna rozumu! — zawołał on. W domu naszym nie pokazał się żaden obcy. — Ja nic nie wiem o człowieku o którego się pan pyta.

— Ale o hrabiu Sinobrodym chyba wiecie co? — zgrzytnął Latour rozgniewany szyderstwem mnicha. — Gdzie on jest? Ja dom cały za nim przeszukam!

Rozglądnął się on po hali, a tymczasem znikł powóz hrabiego Sinobrodego.

Zaprowadzono Latoura do sąsiedniego pokoju, gdzie go przyjął sam stary mistrz w godnej postawie. Detektyw oświadczył krótko, co go tu sprowadza.

— Musiał się pan pomylić! — rzekł mistrz spokojnie i dobitnie. — Nie znam nawet żadnego hrabiego Sinobrodego, a tem mniej on tutaj być może. Nie wiem też nic o urzędniku, który się tu miał zakraść i nie słyszałem żadnego krzyku. Niech się więc pan jeszcze dobrze namyśli, nim pan jakiekolwiek kroki przeciwko nam przedsięweźmie. Uprzedzam też, że nie zniosę ich bez energicznego protestu! — dodał on gorąco.

Latour zmieszał się trochę, lecz nie dał się zbić z tropu.

— Zobaczymy jaki rezultat wyda przeszukanie tego domu — rzekł on chłodno. — Oczekuję oddziału policyi!

Słowa te wywarły na mistrzu silne wrażenie. Latour spostrzegł, że on zbladł i zadrżał, a to go w podejrzeniach jego utwierdziło.

Wrócił on do hali i stanął przy otwartej bramie, aby przeszkodzić ewentualnej ucieczce Sinobrodego i jego orszakowi.

Niebawem zajechał przed parkan powóz. Latour pobiegł do sztachetów i zmusił odźwiernego, by go z kluczem tam odprowadził.

Przyjechało, jak on przypuszczał, kilku urzędników policyjnych. Odźwierny otworzył pod naciskiem bramę ogrodu i wpuścił ich do wnętrza.

Latour dał woźnicy drugą wizytówkę na której było kilka słów i adres napisany ołówkiem.

— Jedźcie prędko do tego pana i przywieźcie go tu! — rzekł on. — Spodziewam się że go w domu zastaniecie!

Woźnica pojechał teraz do hotelu, w którym mieszkał Greif, a Latour nie wątpił, że on natychmiast tu przybędzie. Nie chciał jednak w czasie tym próżnować, gdyż Guenter mógł być w położeniu, w którym bezzwłoczna pomoc jest potrzebną.

Nie zważając więc na protest starego mistrza, zaczął Lotaur z policyantami rewidować dom. Mistrz i siwobrody starzec byli przy tem. Odźwierny musiał przynieść wszystkie klucze i otwierać wszystkie drzwi.

"Czarni bracia" mieli tymczasem czas przedsięwziąć pewne środki ostrożności tak, aby wszystkich tajemnic swoich na światło dzienne nie wystawiać. Byli oni też przygotowani, na podobne ewentualności i mogli naprzykład, swe tajemne komnaty ukryć poza prowizorycznemi wsuwającemi się ścianami. Wten sposób żaden nieobeznany z terenem odkryć ich nie mógł.

Łatwo więc pojąć, że ta przedsięwzięta przez Latoura rewizya domu, pozostała bez rezultatu. Nie dotarł on nawet do komnat używanych przez "czarnych braci".

Detektyw był rozczarowany i wiedział do-

brze, że ta część domu, którą on przeszedł, nie odpowiadała rozciągłości gmachu z zewnątrz. Był więc przekonany, że są tu komnaty i schowki, których mu nie pokazano. Nie znalazł też ani śladu hrabiego Sinobrodego.

Oczekiwał więc on z niecierpliwością przybycia detektywa Greifa. Mistrz zakonu pewny był, że on teraz z ludźmi swoimi stąd wyjdzie. Niemałe więc było jego rozczarowanie, gdy mu Latour oświadczył, że jeszcze jedną i to gruntowniejszą rewizyę odbędzie.

Zaniepokojony na nowo, wysunął się stary mistrz do hrabiego Sinobrodego, który wraz z Betliną, ciotką jej i Piotrem w tajemnej komnacie z niecierpliwością wyniku rewizyi tej oczekiwali.

— Czy już policya wreszcie stąd odeszła? — zapytał on żywo wchodzącego.

Mistrz potrząsł smutnie głową, westchnął i rzekł trwożnie:

— Obawiam się, że sprawa ta źle się skończy.

— Na dyabła! — Jakto? — krzyknął Sinobrody przerażony.

— Głównie dla nas, dla naszego stowarzyszenia — ciągnął stary mistrz dalej. — Jeżeli im się uda odkryć tajemnice naszego domu, to jesteśmy straceni! Dla pana również są złe widoki, panie hrabio, bo jeżeli odnajdą tego szpiega policyjnego martwego na dole, to i pana do odpowiedzialności pociągną!

— Oho! — zaszydził Sinobrody. Dlaczegóż mnie? Czyż to ja tego człowieka tam strąciłem? Ja temu zaprzeczę, bo przecież pojęcia o tem nie mam. Cóż ja wiem o waszych tajemnicach.

Mistrz rzucił mu z ukosa gniewne spojrzenie.

— Honorowiec z pana, nie ma co mówić! — rzekł on pogardliwie. — Wypieranie się na nieby się panu jednak nie przydało. Uchodziłby pan mimo to za naszego wspólnika

— Na Boga świętego! — jęknęła Betlina załamując ręce. — Czyż nie moglibyśmy wszyscy stąd uciec?

— Nie! — odparł mistrz ostro.

— Nie sprzeczajmy się, lecz szukajmy lepiej środka wyjścia przed grożącem niebezpieczeństwem! — wtrącił Sinobrody pojednawczo. — Czyż nie jesteśmy tu pewni przed odkryciem?

Mistrz wzruszył ramionami.

— Możliwe, że się jeszcze wszystko dobrze skończy! — odparł on. — Ja jednak zdecydowany jestem na najgorsze a to pan, panie hrabio, wprowadził nas w to niebezpieczne położenie! Powinien mi pan był pierwej powiedzieć, że jest pan przez policyę śledzony. Żałuję, żem się z panem wdawał!

— Patrzajcie! — krzyknął Sinobrody wściekle. — Zostaw pan przecież teraz te wyrzuty głupie! Ja sam nie przeczuwałem, że mnie policya tu ściga. — Czy pan myśli, że to dla mnie jest przyjemne? Gdyby jednak przyszło do ostateczności, to... wszystko mi już jedno! Zapewniam pana jednak, że się do więzienia wsadzić nie dam!

To rzekłszy, wyjął on rezolutnie rewolwer z kieszeni i opatrzył naboje.

Mistrz odpowiedział pogardliwym wzruszeniem ramion. Odszedł on i zostawił zatrwożoną czwórkę samą.

Gdy wrócił do hali, gdzie stał Latour ze swoimi ludźmi, usłyszał ze dworu turkot kół. Dwaj mężczyźni w ciemnych płaszczach wysiedli z powozu i ukazali się po chwili w hali.

Jeden z nich był detektyw Greif. Drugi był wyższym urzędnikiem londyńskiej policyi, do którego Greif udał się o pomoc i wsparcie.

Latour objaśnił w krótkości, co się tu stało. Greif nie mógł pojąć, po co się Sinobrody z domniemaną swoją żoną do tego domu mógł udać. Co oni tu oboje chcieć mogli? Stowarzyszenie "czarnych braci" uważane było przez władze jako rodzaj loży masońskiej. Cóżby hrabia Sinobrody mógł z nimi mieć wspólnego?

— Czy się pan nie omylił? Czy hrabia Sinobrody rzeczywiście tu zajechał? — badał Greif Latoura.

Ten ostatni zapewniał, że o żadnej pomyłce mowy tu być nie może. Opowiadał on też, jak się Guenter tam wsunął i więcej się stamtąd nie okazał.

— Jestem przekonany, że oni złapali Guentera i że go usunęli! — zakończył Latour swe relacye. — Krzyk, który usłyszałem, z pewnością od niego pochodził. Był to jego okrzyk śmiertelny.

Obaj, tak Greif jak i londyński urzędnik policyjny bardzo się informacyami temi zaniepokoili i natychmiast do dzieła się zabrali.

Mistrz zakonu musiał się poddać ostremu przesłuchaniu, lecz Greif spostrzegł od razu, że od tego człowieka nic się nie dowie.

— Przeszukamy więc raz jeszcze cały dom! — rzekł on stanowczym tonem. — Może w ten sposób zagadkę rozwiążemy!

Obsadzono wszystkie wychody. Greif, londyński inspektor policyjny, Latour i kilku innych jeszcze detektywów zaczęli znów cały dom przeszukiwać. Mistrz i odźwierny musieli ich oprowadzać.

I ta rewizya jednak daremna była. Obejrza

no niebawem wszystkie komnaty, salę w której się ślub odbył, i pokoje na górnych piętrach Teraz stanęli urzędnicy w ostatniej ubikacyi, graniczącą z czarną salą, gdzie Guenter podpatrzył tę straszną scenę z trumną.

Greif oglądnął się wokoło rozczarowany. I on miał to przekonanie, że nie widział jeszcze wszystkich zakątków domu, i że muszą tu być jeszcze jakieś tajemnie ukryte ubikacye, które przed nim ukrywano.

Gdzie one jednak mogły leżeć.

Wzrok jego padł mimowoli na twarz starego mistrza, który się szyderczo i tryumfująco uśmiechał. Opanowała go wściekłość, a zarazem niewymowna obawa o towarzysza swego Guentera.

Nie, nie chciał on ustąpić z miejsca wpierw nim go odnajdzie!

Uznał jednak teraz, że tu tylko chytrością coś wskórać potrafi, a plan jego był odważny i rezolutny. Nie obawiał się on żadnego niebezpieczeństwa, które mu przecież w domu tym grozić musiało.

Pozornie udawał on, że rzecz już daje za wygraną. Wziął on inspektora policyjnego na bok, skinął na Latoura i szeptał żywo z oboma, wyłuszczając im swój plan.

Stary mistrz przypatrywał się im nieufnie. Czy oni może go chcą uwięzić?

Jego niepokój wzrastał z każdą chwilą. Ci trzej urzędnicy policyjni mówili tak cichutko, że on mimo natężenia ani słowa z tego połapać nie mógł.

Odźwierny i stary brodaty "brat" także byli w okropnym strachu.

Wtem przystąpił do nich inspektor policyi londyńskiej i rzekł do mistrza uprzejmym tonem:

— Przyszliśmy do przekonania, żeśmy się omylili i żałujemy bardzo żeśmy panom przeszkodzili i tyle subjekcyi narobili!

Niespokojne twarze mistrza i towarzszy jego wypogodziły się. Oczy ich błysnęły tryumfująco, śmieli się oni w duchu z mądrych detektywów policyjnych, których tak łatwo w pole wyprowadzili.

— Wyprowadzić tych panów i zamknąć bramę — rozkazał mistrz odźwiernemu. To rzekłszy, odwrócił się on z krótkim ukłonem od urzędników i znikł w swoim pokoju.

Dwaj inni... siwobrody starzec i odźwierny odprowadzili detektywów do hali i obrzucali ich ukośnemi, nieufnemi spojrzeniami.

Potem poszli za nimi aż do ogrodowej bramy, którą odźwierny tuż za Greifem zamknął. Stał on jeszcze przez chwilę przy bramie i uśmiechnąwszy się szyderczo, wsunął się napowrót do domu.

Greif odjechał ze swoimi trzema kolegami powozem a agenci szli pieszo za nimi.

Niebawem odłączyli się dwaj z nich i schowali się za kupą kamieni. O kawał drogi poza tem dwaj inni to samo zrobili.

Przy następnym rogu ulicy zatrzymał się powóz i detektywi wysiedli. Inspektor policyjny został tutaj z resztą agentów, a Greif z Latourem poszli pieszo dalej ulicą prowadzącą nad brzeg Tamizy.

Wkrótce stanęli oni nad rzeką. Było tu spokojnie i ciemno. Od wody wiał zimny wiatr, a z góry padał drobny deszczyk.

Urzędnicy policyjni otulili się ciaśniej w swoje płaszcze. Zaświeciwszy ślepe latarki, zeszli oni ślizkiemi schodami na dół do rzeki.

U stóp schodów przywiązana była łódka, która jako znaczona czerwoną gwiazdą, należała do policyi.

Towarzyszący im policyant zluźnił łańcuch. Wszyscy trzej wsiądli do łódki i powiosłowali z biegiem rzeki.

Po krótkim czasie już przybyli znów do brzegu. Na wysokich szkarpach wznosiły się tu wysokie mury. Była to tylna część kompleksu budynków należących do czarnych braci.

Latour poświęcił latarką w górę, i spostrzegł ku swemu niezadowoleniu, że mur był okropnie wysoki, i że nigdzie drzwi w nim nie było.

— Trzeba się będzie wystarać o drabinę — rzekł Greif — tu kot się nie wydrapie!

— Pojedźmy jeszcze kawał wzdłuż szkarpu, i zobaczymy, czy nie ma gdzie z innej strony wejścia! — odparł detektyw londyński.

Łódka posunęła się spokojnie dalej, a latarnie oświecały kamienne szkarpy.

— Oto kanał! — zawołał agent nagle przyciszonym głosem.

Łódka zatrzymała się. Przy świetle latarki zobaczył Greif duży, murowany otwór, zamknięty żelazną furteczką

Po za nia błyszczałae woda. Kanał prowadził popod ziemię. Dokąd? Tego nie było można poznać.

Detektyw przypatrzył się z blizka furteczce. Była ona zamknięta, lecz wytrychem łatwo otworzyć się dała. Łódka wpłynęła w kanał, którego ściany i sufit były murowane.

Woda była głęboka, tak że wiosłem nie można się było gruntu dotknąć. Kanał zaś był tak nizki, że siedzący w łódce mężczyźni prawie głowami sklepienie nad sobą dotykali.

Powietrze było ciężkie i wilgotne. W ponu-

rej ciemności ciągnął się kanał pozornie bez końca i prowadził właśnie pod dom i ogród "czarnych braci."

Była to niemiła jazda po tej ponurej drodze wodnej pod ziemią. Greif przypatrywał się murom, które oglądał przy świetle ślepej latarki.

— Stanąć! — krzyknął on wreszcie. — Oto są drzwi!

Łódka zatrzymała się przy zardzewiałych żelaznych drzwiach, do których prowadziło kilka kamiennych stopni z wody w górę.

— Tu nad nami musi być dom "czarnych braci"! — rzekł Greif. — Drzwi te prowadzą pewno do piwnie. Chodźmy więc!

Łódkę przymocowano żelaznym pierścieniem do muru. Potem zaczęli odważni ci ludzie wytrychami przy drzwiach majstrować. Odskoczył zamek i drzwi się ze skrzypieniem otwarły.

Przed oczyma ich okazał się otwór podobny do grobu.

— Ostrożnie! — szepnął Greif. — Miejcie broń w pogotowiu!

Weszli najpierw do krótkiego, wązkiego i niskiego kurytarza o stęchłem, dusznem powietrzu. Przy końcu korytarza były znowu żelazne drzwi. Greif przyłożył do nich ucho i nadsłuchiwał.

Nic jednak nie usłyszał. Znowu więc wzięto wytrychy do roboty. Przez otwarte drzwi zobaczana przy blasku latarni ciemną powierzchnię wody.

— Co to jest? — zawołał Greif zdziwiony. — Skąd ta woda tu przychodzi?

Woda ta była otoczona naokoło murami. Było to duże niskie sklepienie, którego grunt pokryty był czarnemi toniami Tamizy. Musiało ono mieć jakieś podziemne połączenie z rzeką.

Nagle odkrył Greif małą ścieżynkę ciągnącą się wzdłuż muru i wznoszącą się tylko trochę ponad wodą. Do muru przymocowana była sztanga żelazna do trzymania się.

Greif poszedł naprzód, Latour i londyński detektyw za nim.

Zdaleka zobaczyli oni teraz na końcu kurytarza wązkie żelazne schody w górę. Na środku niego znajdował się w suficie okrągły otwór, ponad nim panowała ciemność.

Nagle zatrzymał się Greif i krzyknął ze strachu, gdyż zobaczył tuż przed sobą, na wązkiej ścieżynce, leżące ciało ludzkie.

— Boże święty! Tu leży jakiś umarły! — zawołał on.

Latour zbliżył latarkę do twarzy leżącego mężczyzny, z którego włosów i ubrania ściekała woda, jak gdyby go dopiero co zrzeki byli wyciągnęli.

Greif popatrzył bystro w twarz nieruchomie leżącego.

— Boże wielki! To przecież Günter! — krzyknął on przerażony.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Gdy Günter wpadł przez usunięty podstępnie pod nim samotrzask w głębinę, szukał daremnie za czemś, czegoby się mógł chwycić. Wpadł on przez okrągły otwór w suficie sklepienia w zimną i ciemną wodę kanału.

Nogi jego dotknęły się gruntu, a nad głową jego zwarły się fale. W następnej chwili wypłynął on jednak znów na powierzchnię.

Sapiąc i nie mogąc przyjść do oddechu, starał się on przeniknąć wzrokiem grobową ciemność. Daremnie jednak! Nie mógł on nic w około siebie zobaczyć.

Gdzie on właściwie się znajdował? W grobie napełnionym wodą, w bezdennej jakiejś przepaści!

Przepłynął krótką przestrzeń. Lodowato zimna woda prawie że mu członki paraliżowała. Ubranie jego przesiąkło wodą i obciążało mu członki jakby ołowiem i ściągały go w głębię. Ruszał on rozpaczliwie rękami i nogami.

Wtem uderzył gwałtownie o mur i padł na pół oszołomiony na dół, aby się wkrótce z siłą rozpaczy znów w górę wydostać. Palce jego wpiły się w zagłębienia muru, i w ten sposób wychylił się on ponad wodę.

Lecz wkrótce siły go opuszczać zaczęły. Ciało jego stawało się coraz cięższe, palce mu zesztywniały i władzę straciły.

— Pomocy! Miłosierdzia! — jęknął on.

Żadne ludzkie ucho go nie usłyszało. Z drżeniem i zgrozą popatrzył on śmierci w oczy.

Lecz zmysł zachowawczy wzbudził w nim nowe siły. Odtrącił się on od muru i płynął prosto przed siebie.

Wtem napotkał znów przeszkodę. Był to drugi jakiś mur, ale gładki, bez wyskoku, przy którymby się mógł zatrzymać.

Płynął on dalej wzdłuż muru, lecz ruchy jego coraz słabsze się stawały. Jeszcze minutę, a padnie bezsilny na grunt. Świadomość i tak go już opuszczać zaczęła.

W ostatniej chwili złapał się on przedmiotu wznoszącego się ponad wodą. Była to owa ścieżka, ciągnąca się wzdłuż muru po jednej stronie sklepienia. Günter chwycił się jej resztkami sił, wypoczął chwilę i wydrapał się wreszcie na nią.

Lecz w tej samej chwili stracił z powodu wysilenia przytomność, i padł omdlały.

Po długim czasie obudził się on do życia, i uczuł na sobie obcą jakąś, trzęsącą go rękę. Otworzywszy oczy, zobaczył on światło i usłyszał głosy. Ciemna jakaś postać pochyliła się nad nim.

Czy to byli "czarni bracia", którzy go tu odkryli? Czy chcieli ofiarę swą po raz drugi pozbawić życia?

Przerażony otworzył on szeroko oczy, lecz wtem krzyknął radośnie. Poznał on bowiem Greifa.

Wpatrzył się on w niego bezgranicznie zdziwiony, zdawało mu się tylko że śni.

Greif przyłożył mu flaszkę z koniakiem do ust.

— Pij pan, panie Günter! — rzekł on.

Orzeźwiający trunek wywarł dobry skutek. Günter przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał mowę. Wśród łez wdzięczności powitał on swoich zbawców i opowiedział im w krótkich zary sach swe przejścia.

— Więc hrabia Sinobrody jest jeszcze w tym domu? — rzekł Greif zawistnie. — On to jest powodem wszystkiego! Naprzód! Zaskoczmy tę całą bandę niespodzianie!

Greif wszedł na górę żelaznymi schodami, a reszta poszła za jego przykładem. Niebawem stanęli na górze przed drzwiami spuszczanemi nad ich głową.

Zaczęli się oni wszyscy nad drzwiami temi mozolić, aby otworzyć, lecz bez skutku. Wtedy wyciągnął Greif rewolwer i wystrzelił w rygiel. Odgłos padającej kuli rozległ się po sklepieniu.

Na górze zrobił się ruch. Przez okrągły otwór w suficie padł promień światła i okazała się brodata twarz.

— Otwierajcie w imię prawa! — krzyknął Greif ostro.

Twarz stara szybko znikła. Zrobiło się znów ciemno i cicho.

Tak przeszło kilka minut w ponurem milczeniu. Nie było słychać najlżejszego szmeru. Drzwi spuszczane zostały i nadal zamknięte.

— Nic tu nie wskóramy! — szepnął Latour. — Wracajmy gdyż inaczej czarni bracia odwrót nam jeszcze odetną!

Greif był tego samego zdania. Opuścili więc sklepienie i pospieszyli do kanału, gdzie stała łódka.

— Teraz oni nam ujść nie mogą — rzekł Greif — wciśniemy się teraz do domu od strony ulicy i rozprawimy się z tą podstępną zgrają.

CXX.

DZIECKO AGATY.

Pewnego ciepłego, słonecznego dnia wiosennego siedziało w ogrodzie restauracyjnym stolicy dwóch mężczyzn przy obiedzie. Była to bardzo suta biesiada, którą oni obydwaj zajadali i dobrem, drogim winem popijali.

Obydwaj byli bardzo elegancki ubrani, poznać było mimoto jednak, że nie należeli do śmietanki towarzystwa. Szczególnie starszy z nich, z siwą, szczotkowatą brodą robił bardzo nieprzyjemne wrażenie. Poruszał się okropnie niezgrabnie w swojem eleganckiem ubraniu, i widać było, że się czuł nieswój.

Są to nasi dobrzy znajomi, których tu odnajdujemy: Ludwik Hecht, i przyjaciel jego, stary Fryc.

Ludwik dusił jeszcze zawsze tajemnie w kieszeni pieniądze, które dostał od Waleryi, a obydwaj żyli dotychczas z owych 10.000 marek, które staremu hrabiemu w tartaku leśnym ukradli.

Że się pieniądze te jednak już kończyły, ostrzegał Fryc towarzysza swego poważnie, aby pomyśleć o nowych funduszach. I w tej chwili właśnie o tem mówił.

Ludwik, który czuł pełną swą kieszeń, uśmiechał się tylko ironicznie.

— Musisz twoją żonę energicznie przydusić! — rzekł Fryc. — Nie powinieneś był ustąpić wtedy przed weselem jej, gdyś był u niej z hrabią. Masz ją przecież zupełnie w ręku!

— Dobrze, dobrze! — przerwał mu Ludwik obojętnie. — Zaczekam, dopóki ona z mężem swoim z podróży poślubnej nie wróci!

— To może jeszcze długo potrwać — mruknął Fryc, a my potrzebujemy pieniędzy!

— Mamy jeszcze przecież cośkolwiek!

— Lecz na jak długo to wystarczy? — gniewał się stary włóczęga.—Nie rozumiem, że ty tak spokojnie o rzeczy tej możesz mówić!

— Bo wiem, że czy teraz czy później od żony swej otrzymać muszę!

— Nie wierzę w to! Ona ci je dobrowolnie nie da, a ty nic nie zrobisz, aby ją do tego zmusić!

— Ach, co! Daj mi spokój! — mruknął Ludwik niechętnie — Jeżeli ci sprawa ta nie podoba się, to próbuj na własną rękę. Idź znów z wizytką do starego hrabiego!

— Dziękuję! — odciął się Fryc zgryźliwie. — Ja już tobie tę przyjemność zostawiam!

Ludwik pozostał zupełnie spokojny. Wy-

chylił swoją szklankę, zapalił cygaro i oparł się we fotelu z miną człowieka, któremu się fortuna uśmiecha. Gdy jednak Fryc dalej dopiekać mu zaczął, krzyknął on gniewnie

— Przestań już raz z tą głupią gadaniną, ty stara babo! Mam już kazania twego dość, aż po uszy. Znajdujesz się wogóle tak, jak gdybym ja był obowiązany ciebie utrzymywać! Jeżeli tak dalej pójdzie, to będziemy się musieli rozstać!

Groźba ta poskutkowała i Fryc złagodniał. Chcieli oni właśnie wstać od stołu i opuścić ogród, gdy ulicą przejechał elegancki powóz.

— Popatrz! To przecież powóz hrabiego Edmunda! — zawołał Ludwik. — Patrzaj, patrzaj! Hrabiowska para! — uśmiechnął się on szyderczo. — Wracają oni już z podróży poślubnej.

Dorożka przejechała szybko, lecz Ludwik się nie omylił. Była to rzeczywiście Walerya z mężem swoim, Edmundem.

Twarz starego Fryca rozjaśniła się.

— Przyjeżdżają jak na zawołanie! — uśmiechnął się on. — Możesz więc zaraz żonie swojej obietnicę jej przypomnieć!

— Naturalnie! — potwierdził Ludwik. — Dziś wieczorem jeszcze ją odwiedzę!

Siadł on jeszcze raz do stołu i napisał bilecik, który dał posłańcowi na rogu, aby go zaniósł pod oznaczony adres. Potem odeszli obaj towarzysze dalej.

Tymczasem zajechał hrabia z Waleryą do pałacu. Postawiła ona na swojem, i nakłoniła hrabiego Edmunda do odjazdu zaraz na drugi dzień rano, po spotkaniu się z jej z Agatą.

Udała ona okropne znużenie, a że hrabiego obowiązki nazad powoływały, więc wracali oni pośpiesznym pociągiem nie przerywając podróży. Hrabia zupełnie z tego skrócenia był zadowolony.

Niezwykle drażniący wypadek zaszły w dalekiem włoskiem mieście, nie mógł mu jednak wyjść z myśli... on sam nie wiedział dlaczego.

Cóż go jednak mógł obchodzić tragiczny los, owej tak zwanej indyjskiej księżnej, której nie znał i której w życiu nie widział?

Perswadował on sobie sam w ten sposób, a mimo to myślą ciągle do sprawy tej wracał. Nie przeczuwał on, że ją wyratowano, wieść ta jeszcze do niego nie doszła.

Wszedł on do swego pokoju, a Walerya poszła do swojej również z przepychem urządzonej komnaty.

W godzinę później siedziała ona obok męża swego przy stole w jadalni. Lokaj podawał, a stary Michał nalewał wina. Wieczerza upłynęła milcząco i spokojnie. Hrabia Edmund wstał, i poszedł do swojej pracowni.

Skoro tylko Walerya weszła do salonu, oddała jej pokojówka list.

Walerya popatrzyła na adres i poznała pismo pierwszego męża swego, Ludwika Hechta. Czoło jej złożyło się w gniewne zmarszczki.

— Bezwstydny! — zgrzytnęłą ona. — Jak on śmie tak często do mnie pisać? Czego on znowu chce? Skąd on wie, że ja już wróciłam?

Po przeczytaniu listu tego, rysy jej jeszcze bardziej spochmurniały. Zirytowana chodziła ona tam i napowrót po pokoju. Wreszcie powzięła pewną decyzyę.

— Dobrze! Niech przyjdzie! — szepnęła ona. — Muszę z nim wreszcie raz na zawsze sprawę tę ukończyć! Hrabiego Edmunda dziś w domu nie będzie — nie ma więc niebezpieczeństwa!

Aby się jednak upewnić, poszła ona jeszcze do pracowni swego męża, zapytać się go, czy on wieczorem wyjdzie.

Hrabiego Edmunda już tam nie było. Walerya weszła więc do sąsiedniego pokoju, gdzie słyszała jakiś szmer, i zapytała Michała o swego męża.

— Jego ekscelencya pojechał do książęcego pałacu — odparł stary.

Walerya wróciła do jego pracowni i zobaczyła tam na dużem jego biurku całe stosy nieotworzonych jeszcze listów, między gazetami i aktami.

Wzięła gazetę do ręki, a oczy jej utkwiły na artykule, którego napis ją przykuwał.

Była ta krótka relacya o uratowaniu Agaty.

Jakby piorunem rażona padła Walerya na krzesło. Strach i przerażenie paraliżowały jej członki. Śmiertelnie blada pożerała ona wprost oczyma ten artykuł, który miał dla niej okropne, niszczące znaczenie.

— Agata żyje! Ona tu wraca! — wyrwało się z ust jej tonem rozpaczy i rozczarowania.

Ogarnęła ją straszna trwoga. Wraz z Agatą zbliżała się jej zguba. Jutro już mógł się los jej spełnić. Jakżeby fatum to od siebie odwrócić?

— A gdyby on, Edmund, o tem się dowiedział! — pomyślała ona, i nowa trwoga napełniła jej duszę. — Wielki Boże! Może on to już przeczytał?

Drżąc podskoczyła Walerya z siedzenia, myśl ta trapiła ją niewymownie. Dostała zawrotu głowy. Przez chwilę wszystko się z nią wokoło kręciło.

Będzie więc teraz musiała uledz! Agata

przybędzie, a samo okazanie się jej, sprowadzi zgubę Waleryi. Prawda wyjdzie teraz na wierzch jak oliwa, a ona będzie stracona!

W więzieniu? Nie, na szubienicy skończyłaby ona jako zwykła zbójczyni! Agata dowiodłaby jej winę!

Dość długo to trwało nim Walerya do siebie przyszła. Potem wzięła ona gazetę z biurka i wróciła chwiejnym krokiem do swego pokoju.

Jeżeli hrabia Edmund jeszcze o niczem nie wiedział, to i nadal o niczem się nie dowie. Wzięła ona dlatego gazetę ze sobą.

— Gdyby brat mój, hrabia Sinobrody, był tu ze mną! — jęknęła ona. On jeden by mi tu mógł poradzić. Muszę się z nim porozumieć. Agata nie śmie dojechać do stolicy, bo inaczej wszystko będzie stracone!

Wystylizowała prędko telegram do hrabiego Sinobrodego i wysłała go w zamkniętej kopercie do urzędu telegraficznego.

— Dziś wieczorem będę jeszcze miała odpowiedź! — pocieszała się ona w duchu. — Zobaczymy wtedy co się da zrobić. Głównem jest, aby się hrabia Edmund o niczem nie dowiedział!

Hrabia wrócił dopiero około wieczora do pałacu. Nie wszedł jednak wcale do Waleryi i kazał jej powiedzieć, że jest bardzo zajęty. Po krótkim czasie znów wyszedł. Dokąd? Tylko stary Michał o tem wiedział.

Waleryę dręczyły obawa i zwątpienie: Co małżonek jej uczynić zamyślał? Oddała się ona smutnym myślom i przeczuciom. Zdawało się jak gdyby nad głową jej wisiał niewidzialny miecz Demoklesa. Nie mogła się uspokoić. Złe sumienie malowało jej różne straszne obrazy.

Wtem weszła pokojówka i zameldowała jakiegoś obcego, którego wizytówkę przyniosła w zamkniętej kopercie.

Walerya otworzyła ją, i przeczytała nazwisko Ludwika Hechta.

Na skinienie jej znikła pokojówka, a po chwili wszedł do budoaru jej Ludwik. Był on nienagannie elegancki, z monoklem w oku i szapoklakiem pod pachą w każdym celu "baron".

— Bardzo ci spieszno ze mną się zobaczyć! — zaczęła Walerya. — Przypuszczam, że mi masz ważne rzeczy do doniesienia. Może coś o dziecku Agaty?

— Tak jest! — odparł on, siadając naprzeciw niej. — Spodziewam się, że będzie tu można swobodnie pomówić, bez obawy, że nas małżonek twój zaskoczy?

— Zupełnie! Hrabiego nie ma w domu!

— Tem lepiej! Widziałem was wracających. Nie byliście długo w podróży, kochana Waleryo!

— Przystąpmy do rzeczy! — przerwała ona mu niecierpliwie. Kiedy mi będziesz mógł dać to dziecko. Jest mi ono koniecznie potrzebne... rozumiesz?

— No... to jedynie od ciebie zależy! Skoro mi tylko wypłacisz tę drugą ratę 50.000, to dostaniesz w zamian za to dziecko!

Walerya zmarszczyłą brwi, a twarz jej sposępniała.

— Mówiliśmy już przedtem na ten temat i znasz moją wolę w tym kierunku! — odparła ona szorstko. — Dostaniesz pieniądze dopiero wtedy, gdy ja dziecko będę miała w ręku.

— Ależ...

— Proszę, bez żadnych "ale"! Znam cię, mój kochany, i wiem że się wobec ciebie trzeba mieć na ostrożności. — Czy możesz mi to dziecko w przeciągu trzech dni dostarczyć?

— Pewno! Muszę jednak być przekonanym o tem, że natychmiast pieniądze dostanę!

Walerya zamyśliła się na chwilę.

— Dostaniesz połowę — zadecydowała ona. — Resztę wypłacę ci po czterech tygodniach. A wtedy spodziewam się, że mi wreszcie wydasz mój akt ślubny!

— O nie, kochana i szanowana Waleryo! — uśmiechnął się on przebiegle. — Akt ślubny zostanie u mnie! — Powiedziałem ci już raz, że tego ważnego dokumentu nie wydam niżej miliona!

— Głupcze! — zgrzytnęła ona. — Jeżeli go mi nie wydasz, to biada ci! Bo ja się zemszczę!

Groźba jej nie uczyniła na Ludwika najmniejszego wrażenia.

— Nie irytuj się, moje dziecko! —rzekł on ironicznie. — Takie sprzeczki nie mają żadnego celu. Co to za różnica, czy ja mam akt ten u siebie, czy ty? Widzisz przecież, że ja nic nie mam przeciwko twemu nowemu małżeństwu. Czegoż jeszcze więcej chcesz? Nie masz doprawdy powodu na mnie się uskarżać!

— Nie graj komedyi! Ja wiem dokładnie ile na twoją szlachetność liczyć można! — zaszydziła ona gorzko. — Zgadzasz się na to w nadziei, że będziesz mógł u mnie ciągle pieniądze wyduszać, a akt ten chcesz jako broń przeciwko mnie mieć zawsze w ręku. Czy myślisz jednak że ja będę taką głupią, aby się czuć wiecznie twoją niewolnicą? Nie! ja potrafię rozedrzeć więzy, które mnie do ciebie przykują, bądź pewny tego! — zakończyła ona z nienawistnem spojrzeniem.

Ludwik uśmiechnął się spokojnie i swobodnie

— My się wiecznie kłócić musimy, jak się zejdziemy! — westchnął on obłudnie. — Czegoż ty jeszcze odemnie właściwie chcesz? Czyż nie zrobiłem ci już wielkiej ofiary rezygnując z ciebie? Który inny mężczyzna by to zrobił? I to wobec takiej kobiety, jak ty... takiej powabnej i uroczej?

— Dość tych głupstw! — krzyknęła ona gniewnie.

— Gdybyś mi jeszcze chciała przyznać od czasu do czasu stare prawa męża! — ciągnął on cynicznie i nieustraszenie dalej — tobym się łatwiej mógł pocieszyć.

To mówiąc, obrzucił on całą postać jej lubieżnym wzrokiem, i zbliżył się czule do niej.

Walerya podskoczyła gniewnie i odepchnęła go z oburzeniem.

— Czy cię mam wyrzucić? — syknęła ona. — Jeszcze jedno słowo w tym tonie, a odpowiesz za to tak, jak zasługujesz!

Ludwik cofnął się onieśmielony i usiadł z kwaśnym uśmiechem.

— Ależ nie irytuj się tak zaraz! — uspokajał on ją. Ja tylko żądam to, co mi się należy. A gdybym się nie chciał dalej patrzać na to, i odbił sobie od hrabiego jako swoją żonę?

— Co za szaleństwo, ciągle w ten sposób mi grozić? — krzyknęła Walerya ochrypłym tonem. — Powiadam-ci raz jeszcze, że cierpliwość moja się skończyła. — Albo mów rozsądnie, albo się wynoś!

Ludwik uznał, że mu teraz nie wolno dłużej Waleryi drażnić. Dał jej na nowo do poznania, że ona zupełnie od łaski jego zależy, i cel ten osiągnął. Wrócił więc teraz do interesu.

— Mówmy więc rozsądnie! — uśmiechnął się ironicznie. — Za pozwolenie wyjścia za hrabiego zapłaciłaś mi 50.000. Musisz jednak sama uznać, że to jest za mało, bo ty nietylko uzyskałaś tem majątek, ale i piękny, dumny tytuł hrabiny Linderhof, ekscelencyi, i tak dalej.

— Cóż tym szumnym wstępem chcesz powiedzieć? — przerwała ona mu zaniepokojona. Chodzi tu teraz przedewszystkiem o dziecko Agaty, a nie o moje małżeństwo z hrabią. Zdaje mi się, że ten temat dawno już między nami jest umówiony i ukończony!

— Nie tak całkiem, jak sądzisz, kochana Waleryo! Ja obstaję przy swoich żądaniach, i chcę należytego odszkodowania za zrezygnowanie z moich praw!

Walerya chciała znów wybuchnąć gniewem, lecz opanowała się i rzekła tylko ironicznie:

— O tem pomówimy, gdy ja akt ślubny będę miała w ręku!

— Ten jest zupełnie do twojej dyspozycyi, gdy spełnisz moje warunki!

— To znaczy, jeżeli ci milion za niego wypłacę! — szydziła ona.

— Tak jest! Tyle akt ten jest wart!

— Dla mnie nie! — odpowiedziała ona chłodno. — Schowaj go więc sobie!

— Hm! Masz jeszcze czas do namysłu! — rzekł on chytrze. Powiedziałem ci raz, że mógłbym się właściwie do hrabiego o to zwrócić, ale nie chciałbym tego uczynić.

— O, nie wstydź się tylko! — szydziła ona — Spróbuj!

— Spodziewam się, że to nie będzie potrzebne! — rzekł on. — Ty z pewnością żądania moje spełnisz!

— Nie; — odparła ona ostro. — Ja sama nie wiem, jak długo jeszcze będę hrabiną Linderhof! Moja rola może się tymi dniami skończyć!

Ludwik wygapił się na Waleryę zdziwiony. Nie mógł on słów jej pojąć.

— Czyś oszalała? — krzyknął on zirytowany. — Przecież żadne niebezpieczeństwo ci nie grozi? Żadna z tajemnic twoich jeszcze na jaw nie wyszła!

— Owszem! Grozi mi okropne niebezpieczeństwo! — jęknęła ona tak, że go to o powadze sprawy tej natychmiast przekonało.

Ludwik skoczył zaniepokojony z krzesła.

— Mów, co się stało? — nalegał on. — Możesz na mnie liczyć, jeżeli ja ci tu co pomódz mogę.

— Na ciebie? — uśmiechnęła się Walerya gorżko i szyderczo. — Ty byłbyś rzeczywiście ostatnim, do któregobym się z tem zwróciła. Chociaż.. dlaczegobym ja właściwie nie miała przyjąć twoich usług? — dodała ona po chwili namysłu. — Przecież ty tu masz zupełnie tyle do stracenia, co ja!

— Mów więc, o co tu chodzi? — zawołał on niecierpliwy i zaciekawiony. — Naturalnie że ci pomogę, jeżeli to będzie w mojej mocy, i jeżeli mnie za to należycie wynagrodzisz!

— Tak jest! Wiem ja o tem, że ty dla mnie ani palcem daremnie nie ruszysz! — Oto masz gazetę... czytaj ten artykuł!

Podała mu gazetę ze sprawozdaniem o uratowaniu Agaty. Ludwik przeczytał ten artykuł, lecz nie mógł pojąć związku.

— Cóż to ma z twoją sprawą do czynienia — zapytał on.

— Czyż nie rozumiesz? Owa indyjska księżna, to jest Agata... żona hrabiego Edmunda!

To była pomyłka! Ona żyje, i ja się z nią w owem włoskiem mieście spotkałam!

— Ty? Widziałaś ją na własne oczy?

— Naturalnie! I nie wiele już brakowało, aby ją hrabia Edmund także zobaczył. Z wielkim trudem tylko udało mi się temu przeszkodzić.

Ludwik Hecht zaczął coś przeczuwać. W oczach błysnęło mu. Popatrzał on na Waleryę.

— Może to ty sama Agatę w przepaść wtrąciłaś? — spytał on wahająco.

Walerya potwierdziła mu to z lodowatą miną.

— Widzisz jednak, że ona mimoto żyje. Nie daje cię ona w żaden sposób ze świata zgładzić! Ona musi być nieśmiertelna! — szydziła Walerya zawistnie.

Hecht chodził blady i zirytowany tam i napowrót po pokoju. Pojmował on teraz niebezpieczeństwo, i nie potrzebował dalszych objaśnień.

— Cóż teraz myślisz uczynić? — zapytał on, stając przed nią. —Czy masz już jaki plan?

— Nie! Tu wogóle tylko jeden ratunek jest możliwy: Agata nie śmie tu wrócić! Musi ona koniecznie znowu zniknąć!

— Hm! Ale jak się do tego chcesz zabrać? Ona z pewnością wróci, a ty w tem nie możesz przeszkodzić!

— W takim razie ja byłabym stracona. Wszystkoby na jaw wyszło. Możesz się końca łatwo domyśleć!

Ludwik skinął głową, i mimowoli zadrżał.

— Twój brat, hrabia Sinobrody, musi tu pomódz — szepnął on.

— Kiedy go jeszcze tutaj niema, a Agata może tu przed nim przybyć.

— Ależ mój Boże! Cóż w takim razie zrobimy? — zawołał szubrawiec coraz bardziej zaniepokojony. — A ty taka dziwnie spokojna przy tem!

— Bo liczę na twoją pomoc! — odparła ona rezolutnie.

— Jakto? Nie myślisz przecież, abym ja miał hrabinę Agatę... ze świata sprzątnąć! — zaprotestował on przerażony.

Walerya uśmiechnęła się lekceważąco, prawie pogardliwie.

— Nie! To byłoby za wiele dla ciebie — rzekła ona spokojnie. — Tyś za wielki tchórz na to. — Ja mam inną myśl!

Ludwik Hecht odetchnął lżej. Było mu to ulgą, że ona mordu tego od niego nie żądała.

— Mów więc! —rzekł on skwapliwie. — Czy chcesz ją może przyłapać i gdzie uwięzić?

— Odgadłeś! — skinęła ona głową. — To jest jedyne możliwe wyjście! A to już ty ze swoim kolegą z kryminału wykonać potrafisz. Agata żadnego z was nie zna, możecie więc wystąpić w roli urzędników policyjnych. Została ona jako zbójczyni na śmierć skazana. Cóż więc naturalniejszego, że zostanie zaraz wróciwszy do ojczyzny uwięziona?

— To rzeczywiście dobra myśl! — zawołał Ludwik zadowolony. — Bo właściwie zamknęliby ją do więzienia z chwilą, w którejby się o powrocie jej dowiedziano!

— O, nie! Hrabia Edmund umiałby już temu zapobiedz. Wziąłby on Agatę pod swoją opiekę, a ja byłabym niebawem zdemaskowana. Jeżeli nam zaś uda ją porwać, to sprawa nasza wygrana!

— Ależ to nie jest przecież tak łatwą rzeczą — wtrącił Ludwik wahająco.

— Nonsens! Musisz naprzeciw niej wyjechać i odczekać dobrą sposobność. Naturalnie, że wszystko musi być zrobione prędko i nieznacznie. Najlepiej byłoby zwabić Agatę wraz ze służącą jej do jakiejś łapki!

— A dokąd ją zawieźć? Czyś już obmyślała bezpieczne miejsce?

— Sądzę, że będzie najlepiej schowana w samotnem zameczysku leśnem, tam gdzie się ślub jej z hrabią odbył. Zamek ten jest teraz pusty i tylko stary kasztelan tam mieszka. Trzebaby go naturalnie stamtąd wydalić, albo tak urządzić, aby on nie miał pojęcia o pobycie więzionej tam kobiety.

— Hm! Pierwsze byłoby najlepsze! — rzekł Ludwik. — Stary mógłby się w przeciwnym razie dowiedzieć o tajemnicy, i byłaby obawa, że ją zdradzi!

— Pewno! Trzeba go więc stamtąd wytransportować! — odparła Walerya, — Spodziewam się, że mi się to bez wiedzy hrabiego uda!

— A co z Agatą na przyszłość zamyślasz? — badał Ludwik. — Czy ją myślisz wiecznie więzić?

— Tego jeszcze sama nie wiem. — Będzie to także od samej Agaty zależało. Jeżeli będę miała jej dziecko w swej mocy, to tem samem będę miała broń o życie jej dziecka, i uczyni wszystko, co ja zechcę!

— Dziecko jej możesz już mieć w następnych dniach — wtrącił Hecht.

— Nie masz czasu na przyniesienie dziecka, gdyż musisz z kolegą swym dziś jeszcze wyjechać, i Agatę odszukać — zadecydowała Walerya. — Nie wiem też w tej chwili, gdzie chłopaka umieścić. Niech więc na razie zostanie tam, gdzie jest.

Przystąpiła ona do swego biurka, i otworzy-

wszy szufladę, wyjęła z niej paczkę banknotów.

— Tutaj masz na razie 10.000 marek — rzekła ona kładąc pieniądze na stół. — Wykonaj misyę swą sumiennie, a zobaczysz, że nie pożałujesz! Ja cię suto za to wynagrodzę!

— Dobrze, jestem zadowolony! — skinął szubrawiec, i wsunął pieniądze do kieszeni.

—Powiedz mi jeszcze, gdzie to dziecko jest umieszczone! — rzekła Walerya nagle. — Muszę to na wszelki wypadek wiedzieć!

Ludwik zawahał się, lecz dał jej nareszcie żądane informacye.

— Przekonam się jutro o tem — odpowiedziała ona. Zobaczę dziecko i czy ono tam dobrze umieszczone!

Ludwik pożegnał się teraz. Musiał on spieszyć, i poczynić potrzebne przygotowania.

Na ulicy czekał na niego przyjaciel jego, Fryc.

— No, Ludwik, czy dostałeś pieniądze? — było pierwsze jego pytanie.

— Chodź! — przerwał mu szubrawiec krótko. — Mamy coś ważnego do załatwienia.

Biegł on tak szybko, że mu Fryc ledwo mógł nadążyć. Gdy się wreszcie znaleźli w hotelu, w pokoju, zasunął Ludwik drzwi na rygiel, i opowiedział koledze swemu plan Waleryi.

Fryc zgodził się na to, i tego wieczora jeszcze opuścili oni obydwaj stolicę. Mieli oni nadzieję spotkać Agatę na stacyi granicznej.

Walerya tryumfowała, gdyż nie wątpiła o tem, że jej plan się uda. Bieda nienawistnej nieprzyjaciółce, gdy ją znów w ręce swoje dostanie.

— Ona musi umrzeć wraz ze swem dzieckiem! — szepnęła potworna kobieta. — Tylko śmierć jej spokój mój zabezpieczyć może!

CXXI

W OJCZYŹNIE GERTRUDY.

Gdy urzędnik policyjny dom opuścił, udał się mistrz "czarnych braci" znowu do hrabiego Sinobrodego.

— Może pan teraz bezpiecznie odjechać! — rzekł on. — Wszystko szczęśliwie się skończyło!

— Naprzód więc, w drogę! — zawołał Sinobrody. — Nie zwlekajmy ani minuty dłużej, gdyż szpiegowie ci mogą jeszcze powrócić!

Wyprowadził on Betlinę wraz z ciotką na dwór. Piotr poszedł za nimi. Powóz, który na podwórzu schowano, stał już przygotowany w hali. Wsiądli oni wszyscy do niego, a odźwierny zatrzasnął drzwiczki.

Powóz wyjechał szybko, lecz nie do miasta, tylko w przeciwnym kierunku.

Wtem wyskoczyli policyanci ze swego ukrycia, i rzucili się w pogoń.

— Stać! — krzyknęli oni za powozem.

Lecz woźnica nie zwracał na to uwagi. Popędził on raźno konie, i niebawem zniknął powóz w ciemności.

Po godzinie może zatrzymał się woźnica przed domem zajezdnym o dwie mile za Londynem.

Hrabia Sinobrody wysiadł. Towarzystwo jego zostało jednak w powozie.

Woźnica pociągnął za dzwonek. Niebawem otworzyło się okienko na piętrze i wyglądnęła jakaś twarz.

— Dajcie nam dwa świeże konie, my zaraz dalej chcemy jechać! — zawołał hrabia Sinobrody. — Zapłacę, ile tylko żądacie!

— Zaraz panie! — odpowiedział gospodarz grubym głosem.

Po dziesięciu minutach może były już świeże konie zaprzężone, a zmęczone ich szkapy w stajni umieszczone.

Hrabia Sinobrody zapłacił i wsiadł do powozu.

— Naprzód, ile tylko konie zdążyć potrafią! — zawołał on do woźnicy, podając mu cel podróży.

Galopem pędzili oni więc dalej wśród ciemnej nocy.

— Czy myśli pan, że za nami gonią? — zapytała pani Dijon drżącym głosem.

— Nie wątpię o tem; — odparł hrabia Sinobrody. — Ale nas nie dogonią! Jeżeli nam się teraz uda im umknąć, tośmy sprawę wygrali! Wtedy oni nam nie będą mogli dowieść, żeśmy byli w domu czarnych braci, a oni nas nie zdradzą!

Bez wytchnienia i przystanku jechali oni tak gościńcem. Zaczęło już dnieć, gdy się zdala okazały wieże jakiegoś miasta.

Nie zatrzymali się oni jednak tam i zajechali wprost na dworzec kolejowy. Tu opuścili wszyscy powóz. Hrabia Sinobrody wsunął woźnicy większą sumę w rękę i prosił go o zatrzymanie tajemnicy.

Odchodził właśnie pierwszy ranny pociąg. Było jeszcze tyle czasu aby kupić bilety i wsiąść do wagonu. Nikt ich nie zatrzymał. Widocznie więc ślad ich zatracono.

Za kilka godzin dojechali oni do portowego miasta, aby stamtąd po krótkiem czekaniu odjechać okrętem do granicznego miasta.

Tego samego dnia jeszcze znaleźli się oni na francuskim gruncie. Stąd wyjechali kuryerem do Paryża, gdzie pani Dijon miała zostać.

Hrabia Sinobrody pojechał dalej z Betliną i Piotrem. Telegram Waleryi nie zastał go więcej w Londynie. Nie wiedział on więc wcale, że ona pomocy jego potrzebuje.

— Dokąd my teraz jedziemy? — zapytała Betlina nagle. — Czy na zamek Wildenfels?

— Nie! Do ojczyzny mojej żony Gertrudy! — była jego odpowiedź.

Betlina nie miała nic przeciwko temu. Obawiała się ona tylko jeszcze pogoni, lecz hrabia Sinobrody ją uspokoił.

— Nie mogą nam teraz niczego dowieść, a tem samem żadnych trudności obawiać się nie potrzebujemy! — odparł on w dobrej nadziei. — Niech sobie teraz "czarni bracia" sami głowę nad tem łamią, jak się wykłamać. Leży to także w ich interesie, aby nas nie zdradzili. Główna rzecz jest, aby ślub nasz pozostał w tajemnicy!

Z następnej stacyi wysłał on telegram do gniazda rodzinnego Gertrudy, oznaczający jego przybycie wraz z żoną.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Było to średnie, w kwitnącej dolinie między zalesionemi górami położone miasteczko, w którem znajdował się dom radcy Wendlanda. Tu była ojczyzna Gertrudy.

W dużej, do zamku podobnej willi swego ojczyma, ze smukłemi, białemi wieżyczkami, wzrosła Gertruda.

Od czasu w którym ojczym jej opuścił swój dom, aby się udać na zamek Wildenfels i zapytać hrabiego Sinobrodego o Gertrudę, były te wspaniałe komnaty opustoszone. Nikt w nich nie mieszkał. Matka Gertrudy już nie żyła, a zresztą nie mieli oni żadnych krewnych.

Radca miał wprawdzie brata, lecz ten mieszkał w głębi Rosyi gdzie miał rozległe dobra i tak bracia od wielu lat wcale się nie widzieli. Pisywali do siebie też tylko w bardzo rzadkich wypadkach. Radca doniósł bratu swemu swego czasu o zaślubinach Gertrudy z hrabią Sinobrodym, a to była ostatnia wiadomość, którą on do Rosyi wysłał.

Hrabia Sinobrody wiedział także o egzystencyi brata swego teścia. Nie liczył on się jednak z tem wcale, gdyż nie przypuszczał, aby mu ten rosyjski obywatel mógł kiedy zajść w drogę.

Musiał się jednak dowiedzieć swego czasu, że mu i z tej strony groziło niebezpieczeństwo.

Po tajemniczem zniknięciu radcy i Gertrudy uwiadomił sąd brata, jako jedynego krewnego i spadkobiercę o tem co się tu stało.

Nikt nie mógł przewidzieć, czy się ten rosyjski obywatel zdecyduje wrócić do ojczyzny i upomnieć się o spadek. Nie dawał on bowiem dotychczas znaku życia.

W willi radcy rządziła od lat starsza kobieta, gospodyni pani Martens. Była ona wdową pierwszego majstra w fabryce radcy. Mąż jej miał przypadek przy pracy i umarł nagle. Było to już 20 lat temu i od tego czasu prowadziła pani Martens całe gospodarstwo w willi swego pana.

Pod jej oczyma wzrosła Gertruda. Pani Martens, która sama była bezdzietną, zastępowała Gertrudzie miejsce matki i kochała ją jak własną córkę.

Potem wysłano Gertrudę do pensyonatu do Szwajcaryi i pani Martens straciła ulubienicę swoją z oczu. Wreszcie wydano ją za hrabiego Sinobrodego, co nie bardzo było w guście pani Martens.

Gertruda opuściła ojczyznę i macierzyńską swą opiekunkę.

W bocznem skrzydle willi znajdowało się mieszkanie prokurzysty Hermana.

Przy świetle lampki siedziała wieczorem młoda kobieta przy łóżeczku chorego swego dziecka.

Była to żona nieszczęśliwego prokurzysty. Wyglądała ona okropnie zmartwiona, miała czerwone od płaczu oczy i spoglądała często na portret swego męża, wiszący na ścianie pod kanapą.

Jakżesz szczęśliwi oni byli oboje! Jakżesz niewymownie szczęśliwi w posiadaniu swego jedynego małego ulubieńca.

Nieszczęście przyszło tak nagle, jak trzęsienie ziemi w nocy, i wszystko poszło w gruzy... wszystko co sobie serce zbudowało... co mu dawało siłę do życia, wesołość i szczęście!

Hrabia Sinobrody! Tak, w tem nazwisku leżały dla biednej, nieszczęśliwej kobiety wszystkie męki i tortury piekielne.

Najpierw padła piękna Gertruda ofiarą tego demona. Co się z nią stać mogło?

Czy to była prawda, co sobie ludzie na ucho szeptali? Wieści o żonach hrabiego Sinobrodego doszły aż tutaj i spowodowały radcę Wendlanda do podróży na zamek Wildenfels.

I stamtąd nie wrócił biedny radca więcej!

Z trwogą i drżeniem pożegnała się potem młoda kobieta z prokurzystą, mężem swoim, który wyjechał aby zbadać los ojcowskiego swego przyjaciela i dobroczyńcy. Z wzrastającą obawą czekała ona na wiadomości jego z drogi. By

ły one tego rodzaju, że ją i panią Martens coraz bardziej niepokoiły i irytowały.

Wreszcie przyszło najokropniejsze dla kobiety młodej. Dostała ona z Paryża wieści, o popełnionym mordzie... i o tem, że znaleziony trup był prawdopodobnie jej mężem.

Wiadomość o strasznej tej katastrofie podziała na biedną kobietę miażdżąco. Przez kilka dni była ona między życiem a śmiercią.

Pani Marters pielęgnowała ją i dziecko jej z wzruszającą troskliwością. Nieszczęśliwa kobieta wyzdrowiała i niezwykle rychło podniosła się z łoża boleści.

Jedyną jej pociechą było to, że mąż jej pewnego dnia może jeszcze wrócić. Nie było to przecież pewne, że on był owym znalezionym trupem... były to tylko przypuszczenia.

Lecz on nie wrócił, tak jak nie wrócił pan jego, radca Wendland.

Biedna, opuszczona młoda kobieta wpatrywała się w drogą twarz na obrazie i gorzko płakała.

Ktoby mógł zliczyć piekące, gorzkie jej łzy boleści, i żalu? Ktoby je mógł osuszyć?

Żadnej pociechy, żadnej nadziei, nic prócz strasznego bolu i rozpaczy w skrwawionem sercu... tak siedziała nieszczęśliwa kobieta u łoża swego dziecka, które straciło swego ojca, nim go jeszcze dobrze poznać mogło!

Wtem zapukał ktoś do drzwi i szybko je otworzył.

Młoda kobieta skoczyła i otarła prędko łzy.

Była to gospodyni pani Martens, która weszła blada i zmięszana i padła zirytowana na krzesło.

— Na Boga świętego! Kochana pani Martens! Czy się znowu jakie nieszczęście stało? — krzyknęła młoda kobieta przerażona.

Gospodyni kiwnęła głową na znak potwierdzenia, a twarz jej przybrała gniewny wyraz.

— Jeszcze nie całkiem, pani Herman! Ale już nadchodzi to nowe nieszczęście! — wybuchła ona gwałtownie. — Myślałam, że apoplekcyą rażona zostanę, gdym telegram ten przeczytała.

— Jaki to? Niech mi to wytłumaczy!

— Czytaj pani... oto jest, pani Herman! Telegram ten pochodzi od hrabiego Wildenfelsa, od Sinobrodego! Ledwo pierwsze słowa przeczytałam, w oczach mi czarno się zrobiło!

Młoda kobieta wygładziła zmięty papier, i przeczytała drżącym, cichym głosem telegram, oznajmiający przyjazd hrabiego Sinobrodego i jego żony.

Z ust obu kobiet wyrwał się równocześnie okrzyk przerażenia i zdziwienia. Patrzały się one na siebie szeroko rozwartemi oczyma i nie mogły pojąć tego dziwa.

— Czy on wraca z nią... z hrabiną Gertrudą? — krzyknęła młoda kobieta.

— Wielki Boże! Jakżesz to możliwe? Czyżby hrabina naprawdę jeszcze żyła?

Gospodyni starała się przyjść do słowa, lecz daremnie! Zdziwienie jej było nie do opisania.

— Jezusie Święty... nie, to nie może być! Daj pani jeszcze raz telegram, pani Herman! Czy naprawdę tak tam stoi?

— Naturalnie! Patrz pani, Martens! Czytaj pani sama!

Drżącą ręką chwyciła gospodyni telegram i promień radości twarz jej rozświetlił

— Ona żyje! Boże w niebiosach! — zapłakała ona, a z oczu jej łzy się potoczyły. — To brzmi jak cud! Ja w to wierzyć nie mogę!

— Oni przyjeżdżają już jutro wieczorem — rzekła młoda kobieta. — Będzie pani musiała przygotować mieszkanie na przyjęcie, pani Martens!

Stara skinęła głową jak we śnie. Łzy spływały jej po zmarszczonych policzkach, a usta okalał uśmiech szczęścia.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz wieczorem, były do niedawna tak jeszcze spokojne i opustoszałe komnaty willi uroczyście i rzęsiście oświetlone.

Powóz ze starym wiernym Henrykiem na koźle, wjechał właśnie przez otwartą bramę i stanął przed kolumnami portalu.

Tam na górze na granitowych schodach, stała pani Martens w świetle luźnych elektrycznych lampek rozjaśniających przedpokój, za którym widać było cały rząd rzęsiście oświetlonych komnat.

Pani Martens odwróciła się gdy zobaczyła zbliżający się powóz i skinęła na obu służących Zeszła ona z nimi razem na dół, a była taka wzruszona, że się kolana pod nią uginały.

Powóz zatrzymał się. Jeden ze służby otworzył drzwiczki. Pierwszy wyskoczył hrabia Sinobrody.

Podał on rękę siedzącej w głębi powozu damie. Była ona smukła, ciemno ubrana i bardzo gęsto zawelonowana.

Była to naturalnie Betlina. Za nią wyszedł Piotr przebrany za pokojówkę. Ledwo zobaczył Sinobrody gospodynię, gdy szepnął Betlinie szybko kilka słów.

Hrabina postąpiła żywo ku starej pani Martens i chwyciła ją czule w swe ramiona.

— Ach, moja wielmożna kochana pani hrabino! — wybełkotała stara wzruszona, a po twarzy jej spływały grube łzy radości. Jest to prawdziwym cudem, że panią znów widzę tutaj, w rodzicielskim swoim domu! — Ach, gdyby jeszcze teraz pan radca się zjawił, gdyby wiedział, że...

Nie mogła dalej mówić, bo ją łzy dławiły. Biedna starowina była tak wzruszona, że z radości i bólu do słowa przyjść nie mogła.

Hrabia Sinobrody przypatrywał się czułej tej scenie z szyderczą, posępną miną. Sprawiało mu to pewien rodzaj przyjemności.

Stara Martensowa dała się więc świetnie zdurzyć. Ale bo też Betlina odegrała swoją rolę z podziwu godną zręcznością. Całowała i ściskała ona panią Martens, i wylewała łzy obłudnego wzruszenia.

— Wejdźmy do wnętrza domu! — rzekł Sinobrody rozkazująco i szorstko. Spodziewam się, że wszystko jest w porządku, pani Martens!

— Pewno, panie hrabio! Pokoje są uporządkowane! — odparła gospodyni sztywnie.

Hrabia Sinobrody podał Betlinie ramię i wprowadził ją do bogatych komnat.

— Miej się na ostrożności! — szepnął on jej na ucho. — Stara ma bystre oko!

Betlina skinęła milcząco głową. Było jej jakoś nie bardzo wesoło i przyjemnie, gdyż ta maska musiała przejść ostrą próbę. Jeżeliby jej udało się nadal zdurzyć panią Martens i resztę służby, która Gertrudę znała, to nie miała się na przyszłość niczego więcej obawiać.

Pani Martens dała służbie jeszcze kilka zleceń, i kazała znieść pakunki państwa do wnętrza domu.

Potem poszła ona za hrabiowską parą, która stanęła w salonie pod świecznikiem i na nią czekać się zdawała.

— Pokażcie nam nasze pokoje! — rzekł hrabia Sinobrody znów szorstko i niecierpliwie.

Betlina nie podniosła jeszcze woalki i nie odzywała się nawet teraz jeszcze, mimo że czuła, że milczenie jej dziwne wrażenie czyni na gospodyni.

— Mój Boże! Panie hrabio, nie jest pan tu przecież w obcym hotelu! — odpowiedziała pani Martens, zmartwiona widocznie jego szorstkim tonem. Wielmożna pani zna się przecież w domu, a od czasu jej wyjazdu nic się tu nie zmieniło...

Betlina czuła, że teraz musi przemówić.

— Tak jest, kochana pani Martens, naturalnie, że nam tu wszystko znajome! — rzekła ona grzecznie. — Chodź Haraldzie, pojdziemy na górę! — zwróciła się potem do swego męża.

Hrabia Sinobrody, który sobie także dość jeszcze z domu tego przypominał, poszedł za Betliną.

Dlaczegoż jednak gospodyni tak dziwnie za nimi popatrzyła? Czyżby coś przeczuwała?

— To nie był jej głos! — mruknęła stara, potrząsając głową. — Boże mój! — Czyżby hrabina Gertruda mogła się tak zmienić? Ja tego nie pojmuję! Ten głos zupełnie obco mi brzmiał.

Stara gospodyni poszła do swoich obowiązków, lecz myśl ta spokoju jej nie dawała. Nakryła ona stół w dębowej jadalni, obrzuciła potem jeszcze wszystko krytycznym wzrokiem posuwając i poprawiając talerze i wazy z kwiatami

Wszedł teraz służący, który miał do stołu podawać Posiwiał on w służbie radcy i znał hrabinę Gertrudę tak dokładnie, jak pani Martens. Z przyzwyczajenia stawał on za wysokim, rzeźbionym fotelem u górnego końca stołu. Było to miejsce radcy. Krzesło jego stało jeszcze na tem samem miejscu, jak gdyby czekało na swego właściciela.

Tuż obok z lewej strony było miejsce pani Martens, jako prowadzącej gospodarstwo i reprezentującej dom. Poza nią siedział zwykle prokurzysta, który przed ożenkiem swym regularnie tu jadał. Później zapraszany bywał często do radcy z żoną.

Lecz wszystkie te miejsca były teraz osierocone, tak samo jak krzesło hrabiny Gertrudy, po drugiej stronie stołu. Mimo przepysznego urządzenia, było tu jakoś zimno i pusto.

Pani Martens odczuwała to dziwne jakieś zimno, wiejące po pokoju, jak gdyby duch zmarłego. Dreszcze wstrząsały jej ciałem, a wzrok jej spoczął mimowoli na fotelu jej pana. W oczach łzy jej się zakręciły i spływały powoli po policzkach.

— Stańcie sobie tam, Karolu! — rzekła ona — za krzesłem pana hrabiego. — Naszemu panu, już nie będziecie podawali... ten już nie wróci! — zakończyła ona z westchnieniem.

Stary wierny, sługa potrząsł również smutnie głową, lecz się z miejsca nie ruszył.

— Pozwól mi pani tu zostać, pani Martens! — szepnął on drżącym głosem — ja do tego jestem przyzwyczajony przez 30 lat, i chociaż pana naszego tu teraz niema, to przecież ciągle zdaje się mi, jakgdyby on siedział zawsze tu, na starem swojem miejscu.

Pani Martens nic na to nie odpowiedziała,

lecz walczyła ze łzami, które jej się ciągle do oczu cisnęły.

W pokoju panowała śmiertelna cisza. Stary sługa stał sztywnie i nieruchomie za fotelem radcy, swego pana.

Wtem otworzyły się drzwi. Pani Martens wzdrygnęła się i rzuciła na wchodzących badawcze spojrzenie. Toż samo uczynił Karol.

Jaskrawe światło kandelabrów padło na postacie hrabiego Sinobrodego i małżonki jego, Betliny... on w eleganckiem, czarnem ubraniu, ona w ciemnej jedwabnej paryskiej sukni.

Była ona okropnie blada, a serce jej biło gwałtownie z utajonej trwogi. Ambarasowały ją, zwrócone na nią oczy służby, która tak bystro się w nią wpatrywała, jak gdyby każdy jej rys z osobna zbadać chciała.

Tak pani Martens jak i Karol patrzyli na nią coraz większemi oczyma. Miny ich wyrażały zakłopotanie i zdziwienie. Pani Martens otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz ani słowa wydusić nie mogła. Język jej był jak gdyby sparaliżowany. Milczała więc i zamieniła tylko ze służącym wieloznaczące spojrzenie.

Hrabia Sinobrody spostrzegł to jednak i zaniepokoił się. Udawał jednak że się niczego nie domyśla, i poprowadził Betlinę do stołu. Ręka jej drżała, spoczywając na jego ramieniu, ścisnął on ją, jakgdyby na ostrzeżenie.

Siedli wreszcie do stołu. Pani Martens zadzwoniła. Wszedł drugi służący z półmiskami i oddał je Karolowi, który zaczął obnosić. Spełniał on ten obowiązek swój spokojnie, jak maszyna.

Pani Martens siedziała na zwykłem swojem miejscu i nic się nie odzywała. Panowało okropnie ponure milczenie... nikt słowa nie przemówił.

Betlina czuła spoczywający na sobie wzrok starej gospodyni, i nie miała odwagi podnieść oczu. Było jej okropnie przykro i nieswobodnie.

Była to jakgdyby cisza przed burzą, jak gdyby wstęp do jakiejś okropnej katastrofy.

Hrabia Sinobrody patrzył ponuro w około siebie. W gardle coś go dławiło... zimny pot na czoło mu występował z wewnętrznego ukrywanego wzburzenia.

Tylko brzęk noży i widelców o talerze przerywało grobową ciszą. Stawało się coraz nieprzyjemniej.

Betlina nic prawie nie jadła, bo jej każdy kęs w gardle stawał. Drżała ona coraz silniej... nie mogła znieść tej sytuacyi.

Wtem przerwał hrabia Sinobrody ciszę.

— Pani Martens — odezwał się on do gospodyni — czy nie otrzymała pani z Paryża jakich wiadomości od pana radcy?

— Z Paryża? — zapytała pani Martens zdziwiona. — Broń Boże, panie hrabio! — Jakżeż ja bym mogła pana radcy z Paryża wiadomości jakie otrzymać?

— Całkiem prosto — wytłumaczył jej Sinobrody. — On przecież tam był!

Pani Martens otworzyła usta z zafrasowania.

— Czyż pani nie jeszcze o tem nie wie? — zapytał on spokojnie. — Pan radca odwiedzał tam moją żonę.

— Nie, panie hrabio! — odparła ona również zdziwiona. — Tutaj myślą ogólnie, że pan radca znikł bez śladu z chwilą gdy zamek Wildenfels opuścił.

Mówiąc to, popatrzyła ona na hrabiego wzrokiem, wyrażającym dokładnie to, co w głębi duszy myślała. Wierzyła ona bowiem w pogłoskę, że hrabia Sinobrody miał być zabójcą radcy, i drżała na tę samą myśl ze zgrozy i przerażenia.

Teraz przecież jednak w przekonaniu tem trochę się zachwiała. Gdyby to bowiem rzeczywiście tak było, gdyby radca córkę swą był rzeczywiście w Paryżu odwiedzał, to Sinobrody nie mógł być jego mordercą.

Popatrzyła raz jeszcze badawczo i pytająco na Betlinę, to jest na domniemaną hrabinę Gertrudę.

— Tak jest, kochana pani Martens! — potwierdziła ta ostatnia cichym głosem. — Ojciec był u mnie w Parżyu, przyjechał tam wprost od mego męża, mimo, że ten o tem nic nie wiedział.

— Nie wiem dlaczego radca przedemną zamilczał, że jedzie do Paryża — rzekł znów Sinobrody. — Fakt jest, że odwiedził on moją żonę, aby zobaczyć, jak ona się miewa. Stamtąd chciał prosto do domu wracać... nieprawdaż Gertrudo? — zwrócił się on znów do Betliny.

— Nie. Chciał on jechać przez Niccę i Monaco — odparła zapytana smutnym, drżącym głosem. — Tak mi przynajmniej mówił przy pożegnaniu!

— I w tej podróży znikł biedny radca widocznie w tak zagadkowy sposób — ciągnął Sinobrody dalej. — Wszystkie poszukiwania były dotychczas daremne! Mimo to jednak nie straciliśmy jeszcze nadziei!

— Czy pan hrabia myśli, że radca jeszcze żyje? — spytała pani Martens gorączkowo.

Hrabia Sinobrody wzruszył wieloznacząco ramionami.

— Byłby on w takim razie już dał jaki

znak życia! — rzekł on. — Ale kto wie, czy się radca jeszcze nie odezwie!

— Gdyby żył, toby już dawno był napisał! — westchnęła pani Martens.

Sinobrody skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dużo nadziei pewno niema! — rzekł on z grobową miną. Może być, że przepuszczenie moje było słuszne, i że ów starszy pan, którego znaleziono zamordowanego i obrabowanego w lasku obok Nicei, był twoim biednym ojcem, kochana Gertrudo!

Betlina zaczęła płakać i zakryła oczy swe chusteczką od nosa.

Sinobrody uśmiechnął się nieznacznie i cieszył się w duchu.

Jakżeż ta przebiegła Francuzka rolę swą świetnie odgrywa! — pomyślał on z zadowoleniem.

Pani Martens zaczęła także płakać i szlochać. Sytuacya stawała się dla Sinobrodego bardzo niemiłą. Wstał on więc z siedzenia, aby wyjść z pokoju.

Na znak ten podniosła się i Betlina i wyszła szybko z pokoju. Sinobrody wszedł za nią do apartamentów na pierwszem piętrze.

Byli oni oboje dość zadowoleni z rezultatów owego wieczora.

Gospodyni nie miała widocznie wielkiego podejrzenia i dała się złudzić ogromnem podobieństwem Betliny do Gertrudy, mimo że ją niejedno uderzało i obcem jej było!

— Musisz się bardzo mieć na baczności i dobrze się namyślać, co mówisz i jak się znajdujesz! — upominał Sinobrody Betlinę, gdy z nią był sam na sam — drobnostki wiele te znaczą, a najmniejsza nieostrożność z twej strony, zgubić nas może! Dziś przy stole naprzykład, byłaś zanadto milczącą! Trzeba było z tą starą Ksantypą więcej mówić i pytać się, jak jej się powodzi, i co się tu w czasie nieobecności twej działo i tak dalej! Twoje milczenie dziwiło ja i dawało jej do myślenia!

— Kiedyż ja się okropnie bałam! — uniewinniała się Betlina.

— No, teraz chyba już lody są przełamane! — rzekł hrabia. — Sprawę z radcą będziemy tak kręcili, jak nam będzie wypadało. Pójdę jutro do sądu i wystąpię z pretensyami naszemi do spadku. Mam nadzieję, że się to łatwo da zrobić wobec tego, że o śmierci radcy wątpliwości mieć nie można!

— Miejmy nadzieję! — westchnęła Betlina zawsze jeszcze z ciężkiem sercem.

Nazajutrz była ona już pewniejsza w wystąpieniu, ale zawsze jeszcze schodziła z drogi w poufniejszej rozmowie z panią Martens. Za to obserwowała i nadsłuchiwała ona bacznie wokoło, aby się rozpoznać w sytuacyi, co jej do przeprowadzenia swej roli bardzo ważnem było.

Z żoną nieszczęśliwego prokurzysty nie chciała się Betlina zetknąć, mimo że ta ją tylko przelotnie znała. Betlina czuła jednak, że wobec niej straci panowanie nad sobą. Była przecież współwinną w strasznem zamordowaniu jej męża!

Hrabia Sinobrody zachowywał się zupełnie tak, jak gdyby już był panem i właścicielem tego domu. Wszyscy się jego bali. On to dobrze spostrzegł, było to mu jednak obojętne.

Zmienił też zaraz nazajutrz stary porządek domu. Chciał być sam z Betliną przy stole. Obecność starej panny Martens była mu nieprzyjemna i krępująca.

Pani Martens przyjęła to zarządzenie z oburzoną miną, musiała się jednak do tego zastosować. Wróciła ona zagniewana i zmartwiona do swego pokoju i postanowiła wymówić służbę.

Pewne zdarzenie spowodowało ją jednak nie wykonać jeszcze na razie swego zamiaru.

Było to na drugi dzień po przybyciu hrabiowskiej pary.

Pani Martens siedziała na ławeczce w ogrodzie z młodą swą przyjaciółką, żoną prokurzysty, obok której stał wózek ze śpiącem dzieckiem.

U stóp młodej kobiety leżał olbrzymi pies wspaniałej rasy.

Zwierzę to było ulubionym psem radcy i odznaczał się nadzwyczajnym sprytem. Pani Martens utrzymywała nieraz seryo, że pies ten ma ludzki rozum.

Ale i Gertruda kochała psa tego niegdyś jak przyjaciela i przed kilku laty jeszcze biegała z nim po ogrodzie i bawiła się z nim jak dziecko.

Od czasu wyjazdu Gertrudy, a bardziej jeszcze od zniknięcia radcy, zmienił się pies nie do poznania. Gdy o panu jego mówiono kręcił on smutnie ogonem i chodził tak, jak gdyby za panem swym szukał.

Bawił on teraz w domu prokurzysty, bo kochał bardzo dziecko i ciągle je strzegł. I w tej chwili leżał na trawniku obok dziecinnego wózka.

Pani Martens opowiadała o hrabinie Gertrudzie i o hrabiu Sinobrodym.

— Więc ona się tak zmieniła od czasu swego zamążpójścia? — zapytała młoda kobieta.

— Tak jest! — odparła gospodyni. — To

znaczy, w twarzy nie, tylko w swoim usposobieniu i znalezieniu! Czasem mi się zdaje, że to nie może być ona. Szczególnie głos jej taki okropnie zmieniony!

— To pozostało jej może z jej słabości!

— Możliwe! — skinęła pani Martens, a potem dodała z drżeniem: — A ten hrabia, to okropny człowiek! Sama jego obecność działa deprymująco. Ja nie pojmuję, jak ona mogła za niego wyjść! Jaki on dumny i napuszony. Postępuje on sobie już tak, jak gdyby tu był panem! — skarżyła się ona rozgoryczona.

—Prawdopodobnie wkrótce nim już będzie! — westchnęła młoda kobieta.

—Pożal się Boże! — odpowiedziała gospodyni przygnębiona — bo wtedy wszystko się tu dla nas zmieni, kochana pani Hermann! Ja odchodzę, bo nie chcę się dać traktować jak służąca. Pan radca zabezpieczył mnie dzięki niebiosom na stare lata, więc jestem materyalnie niezależna.

Cóż pani jednak zrobi, pani Hermann! Nie będzie pani przecież mogła tu wytrzymać, gdy się nowe rządy zaczną!

Młoda kobieta zakryła bladą twarz rękoma i zaczęła rzewnie szlochać. I pani Martens potroszę płakała.. Uspokoiła się jednak prędko, i zaczęła panią Hermann pocieszać i otuchy jej dodawać.

— Uspokój się pani — szeptała jej ona do ucha. — Jest jeszcze Bóg na niebie i nie opuści panią i biednego jej robaczka! Jeżeli jest sprawiedliwość na świecie, to nie wyjdzie pani biedna i niezaopatrzona z tego domu!

— Ach, nie o to mnie chodzi! — szlochała młoda kobieta. — Zostań pani jeszcze tu, kochana pani Martens! — prosiła ona. — Hrabiostwo nie będą tu przecież ciągle mieszkali!

— O ile wiem, to oni tu chcą przez całe lato zostać!

— O, — westchnęła młoda kobieta. — Nie mogę sobie wyobrazić, aby hrabina Gertruda panią puścić chciała, pani Martens! Ona przecież taka do pani przywiązana była, jak do matki!

— Tak, tak! — potwierdziła stara ze smutnym błyskiem w oczach. — To było dawniej, kiedyś, ale się teraz zmieniło! Nigdym się tego nie spodziewała. Jest ona wprawdzie dla mnie bardzo uprzejma, ale poznać, że jej to z serca nie przychodzi!

— Cicho! — szepnęła młoda kobieta nagle. Ktoś nadchodzi, bo Hektor już warczy!

W tej chwili podniósł się pies i zaczął rzeczywiście cicho i gniewnie warczeć, patrząc mądremi swemi oczyma w stronę ścieżki, skąd słyszał kroki. Nie było jeszcze nikogo widać. Musiał to jednak być ktoś obcy, sądząc z niepokoju psa.

Rozciekawione zwróciły się obie kobiety w stronę nadchodzącego. Czy to był może hrabia Sinobrody?

Lecz nie. Była to Betlina, przybrana hrabina. Na widok obu kobiet na ławce, zatrzymała ona się zalękniona, zbladła i chciała zawrócić.

Nie mogła tego jednak uczynić bez obawy narażenia się na złe komentarze. Wiedziała, że one obie ją spostrzegły i opamiętała się. Domyśliła się ona zaraz kto była owa kobieta u boku Martensowej i przystąpiła z uśmiechem do ławki.

Obie kobiety podniosły się z uszanowaniem lecz pies skoczył nagle dziko i stanął przed Betliną w groźnej postawie.

Ona cofnęła się z okrzykiem trwogi, a obie kobiety przypatrywały się tej scenie z wyrazem bezgranicznego zdziwienia. Wściekłość psa była im zagadką. Czyżby wierne, rozsądne to zwierzę nie poznało swej pani i dawnej przyjaciółki?

A ona sama? Hrabina Gertruda? Przecież ona się bała swego starego, wiernego Hektora!

— Zawołaj pani psa do siebie, pani Martens! — wyjąknęła Betlina zalękniona — on zdaje się być bardzo dziki!

— Jak Boga kocham, że tego nie pojmuję! — zawołała stara gospodyni, nie wiedząc co o tem wszystkiem ma myśleć — Hektor, czy ty się nie wstydzisz? Czy nie poznajesz swojej pani, naszej kochanej pani hrabiny?

Lecz rozsądne zwierzę nie dało się tak złudzić jak ludzie. Odczuwał on prawdziwym psiem instynktem, że owa domniemana hrabina Gertruda nie była prawdziwą. Uspokoił on się wprawdzie na perswazye pani Martens, lecz postawy swej nie zmienił.

— Pani hrabina zdaje się także nie poznawać swego Hektora! — zwróciła się pani Martens zdziwiona do Betliny — czy pani hrabina tak zapomniała o wiernym swym przyjacielu?

Betlina pojęła natychmiast, że pies ów był niegdyś ulubieńcem tej, której rolę ona teraz odgrywała.

— Ach, tak! To przecież Hektor! — zawołała ona rumieniąc się z zaambarasowania. Nie poznałam go w pierwszej chwili, bo pamięć moja taka od czasu choroby osłabiona!

Wytłumaczenie hrabiny byłoby zrozumiałe, gdyby nie wrogie usposobienie psa. Czyżby i Hektora pamięć opuściła?

Pani Martens zamyśliła się, potrząsając siwą swą głową.

Betlina urwała ten ambarasujący temat, zbliżając się do żony prokurzysty i podając jej pięknie urękawicznioną rękę.

— Jak się pani powodzi, kochana pani Hermann? — przemówiła ona uprzejmie.

— Więc ludzi poznaje, tylko psa nie! — pomyślała pani Martens.

Wtem słyszeć się dały zdala kroki. Był to hrabia Sinobrody, który szukał w ogrodzie za Betliną, i aż tu doszedł. Stanąwszy, popatrzył on zdziwiony na tę scenę.

Na widok jego odwróciła się żona prokurzysty z przerażeniem i wstrętem. Odeszła ona od Betliny i chwyciła za dziecinny wózek, aby się z nim oddalić.

Pies zaczął znów warczeć i chciał się rzuci, na hrabiego Sinobrodego.

Czy rozsądne zwierzę wietrzyło w nim mordercę swego pana? Widocznie, gdyż pokazawszy swe zęby, przygotowywał się do skoku. Wtem złapała go pani Martens za obrączkę i w ten sposób powstrzymywała rozwścieklonego

Hrabia Sinobrody cofnął się w pierwszej psa.
chwili przestraszony. Potem wyciągnął rewolwer z kieszeni, i pogroził gniewnie w stronę psa, który się coraz bardziej srożył.

— Wściekła się ta bestya! — zgrzytnął on — będę strzelał!

To rzekłszy wycelował on w psa. Pani Martens wydała okrzyk przestrachu i zasłoniła wierne zwierzę własnem swem ciałem. Potem wyciągnęła swe ręce błagalnie do Sinobrodego i zawołała oburzona

— Wstrzymaj się pan, panie hrabio! Nie ma pan prawa zabijania niewinnego stworzenia!

— Co ja nie mam prawa? — szydził Sinobrody — pies ten jest niebezpieczny! Odstąp się pani, bo inaczej wszystko mi jedno będzie, kogo trafię.

— Haraldzie! Na Boga świętego, krzyknęła Betlina, opanuj się! Puść psa i chodź stąd!

Pociągnęła go za rękę, a hrabia Sinobrody poszedł za nią, uznawszy, że to było najrozsądniejsze wycofać się.

— Ta bestya musi zginąć! — syknął on dziko między zębami — dam ogrodnikowi rozkaz, aby go zatruł. I ta stara Ksantypa musi kobiety wraz z psem zdradziły!

— Ależ, proszę cię! — irytowała się Betlina — nierozsądnego psa się obawiasz?

Sinobrody nic nie odpowiedział. Klął on i odgrażał się, że psa zgładzi i Martensową z domu wypędzi.

Stara gospodyni została tymczasem z żoną prokurzysty w okropnej irytacyi. Obie popatrzyły ze wstrętem i przerażeniem za pieniącym się okrutnikiem. Ta scena z psem wywołała w nich podejrzenie i wątpliwość.

— Jakiś wewnętrzny głos mówi mi, że to nie ona, że to nie jest hrabina Gertruda! — zawołała nagle pani Martens. — Pies ją przecież byłby poznał! Nie wiem doprawdy, co o tem mam myśleć!

Żona prokurzysty tak dobrze strzegła psa, że go Sinobrody daremnie szukał. Miał on przeczucie, że mu to zwierzę będzie fatalnem, i dlatego tak go za każdą cenę chciał zgładzić.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Tego samego dnia zajechali do hotelu w mieście dwaj podróżni, którzy tu właśnie pociągiem nadjechali.

Był to detektyw Greif i podwładny jego Günter.

Nie mieli oni powodzenia w Londynie, bo im hrabia Sinobrody z towarzystwem swem z pod nosa umknął, a "czarni bracia" nic nie zdradzili. Lecz Greif odnalazł prędko znów ich ślad.

Tu w ojczyźnie Gertrudy spodziewał się on osiągnąć pewność co do domniemanej hrabiny.

Skoro tylko zajechał do hotelu, słyszał jak rozmawiano o niej i o Sinobrodym. Wzbudziło to w całem mieście sensacyę, że hrabina którą ogólnie uważano za umarłą, pojawiła się nagle teraz z mężem swoim w domu rodzinnym. Greif poszedł na policyę dla zasięgnięcia bliższych informacyi. Wstąpił także do sądu i odszukał starego notaryusza, który był prawnym zastępcą radcy.

Wszystkie informacye jednak, jakie mógł tu osiągnąć, rozczarowały go. Rzecz wyglądała, jakby była zupełnie w porządku. Nie było tu żadnego oszustwa, jak myślał Guenter, lecz rzeczywiście hrabina Gertruda.

Cóż Greif miał o tem myśleć?

Tu, w mieście, a jeszcze bardziej w domu radcy, było dość ludzi, którzy znali hrabinę Gertrudę, a żaden z nich nie wątpił, że to ona, i nikt nie miał najmniejszego podejrzenia.

Z drugiej strony dochodziły go słuchy, że hrabina wydaje się domownikom jakąś dziwną i zmienioną i to dawało detektywowi do myślenia. Postanowił więc dalej obserwować i to tak tajemnie, aby Sinobrody żadnego pojęcia o tem mieć nie mógł.

Tak Greif jak i Guenter uchodzili za podróżnych i tylko władze wiedziały kto oni są właściwie. Około wieczora poszli oni obaj przebrani ku willi radcy. Greif chciał zrekognoskować pole i potem dopiero ułożyć plan działania.

Wsunęli się oni niespotrzeżenie do parku, a gdy się ściemniło, zbliżyli też do willi. Na werandzie od strony ogrodu paliła się lampa, a stary Karol nakrywał stół do kolacyi.

Obaj detektywi przysunęli się ostrożnie i schowali się w krzakach tuż obok otwartej werandy. Spostrzegli oni starszą, dobrze ubraną kobietę, rozmawiającą ze służącym. Była to pani Martens, która opowiadała Karolowi właśnie scenę z psem w ogrodzie.

Greif słuchał w naprężeniu. Podejrzenie jego ugruntowało się. Było to rzeczywiście dziwne, że pies nie poznał dawnej swej pani. To mu dawało do myślenia.

Nagle ukazał się Sinobrody w towarzystwie Betliny na werandzie. Pani Martens odeszła szybko. Młoda para siadła przy stole, a Sinobrody odesłał służącego. Chciał on być sam ze swoją wspólniczką.

Greif przysunął się jeszcze bliżej, a serce biło mu z niepokoju i ciekawości. Przeczuwał on, że w tej godzinie porobi ważne odkrycia, podsłuchując niespostrzeżenie rozmowę Sinobrodego i Betliny.

Już pierwsze słowa Sinobrodego wprawiły go w irytacyę. Słuchał on ciągu dalszego z zapartym oddechem.

CXXII.

CHYTROŚCIĄ I PRZEMOCĄ.

W kilka dni po swem wyratowaniu wybrała się Agata z wierną swą służącą Delią w dalszą drogę ku ojczyźnie. Nie zastały one już okrętu, więc pojechały koleją i nigdzie się nie zatrzymywały.

Agata zdecydowana była zniszczyć swoją nieprzyjaciółkę. Chciała stanąć przed mężem swym i zdemaskować Waleryę. Pomyślała też o tem, że Walerya mogła się dowiedzieć! o jej uratowaniu, a w takim razie starałaby się plany jej zniweczyć.

Dlatego Agata musiała być podwójnie ostrożną. Jechała ona do granicy koleją, a stamtąd chciała odbyć dalszą podróż około 10 mil powozem.

W ten sposób spodziewała się ona uspić czujność Waleryi i osiągnąć cel. Nie przypuszczała ona, że właśnie te środki ostrożności będą jej zgubą.

Na małej stacyi wysiadła Agata z Delią i zajechały na nocleg do hotelu. Nazajutrz rano chciały dalej jechać do stolicy.

W małej tej mieścinie, gdzie przenocować miały, zwracała indyjska służąca Delia ogólną uwagę. Agata zapisała się tu jednak pod fałszywem nazwiskiem, i nikt się nie dowiedział, kto one obie właściwie były.

Właśnie w chwili gdy Agata z Delią przed hotel z powozu wysiadła, przeszli ulicą dwaj mężczyźni.

Był to Ludwik Hecht z towarzyszem swym Frycem

— Założyłbym się, że to one! — zawołał Ludwik który je odrazu spostrzegł. — To jest hrabina Agata ze swoją indyjską służącą!

— Ale ty przecież nie znasz hrabiny osobiście! — rzekł Fryc z powątpiewaniem. — Mylisz się pewno! Siedzimy tu już dwa dni w tem gnieździe i czekamy, a ona może dobrze dojechała inna drogą i jest już teraz w stolicy!

— Nonsens! Bylibyśmy w takim razie dawno już mieli telegram od Waleryi — przerwał mu Ludwik niecierpliwie. — Ja ci jeszcze raz powtarzam, że to ona. Możemy się zresztą przekonać, bo ja mam jej fotografię!

To mówiąc, wszedł Ludwik z Frycem do tego samego hotelu i tu się również zakwaterowali. Weszli oni na razie do gospodniej izby, gdzie było mało gości.

W sąsiedniej izbie, która tylko firanką była oddzielona, zobaczyli oni Agatę i towarzyszkę jej w rozmowie z gospodynią. Przez odchyloną cośkolwiek firankę patrzyli się wszyscy ciekawie na obie kobiety, a szczególnie na Delię, którą bronzową swą twarzą i malowniczym kostyumem ogromnie intrygowała.

I Ludwik obserwował obie badawczym wzrokiem. Studyował on każdy rys w twarzy Agaty. Potem wyjął z portfelu fotografię, którą mu Walerya dała i zaczął ją z oryginałem porównywać.

Czynił on to tak dyskretnie, że nikt tego nie spostrzegł. Fryc także na nią popatrzył i mruknął:

— Rzeczywiście, to ona! — Mamy szczęście Ludwiku!

Hecht uśmiechnął się zadowolony. Schował on znów fotografię do kieszeni i usiadł z towarzyszem swoim do stołu. Przy szklance piwa naradzali się oni po cichu co do dalszej taktyki.

Agata kazała dać sobie pokój i niezwłocznie wraz z Delią tam się udała. Spostrzegła ona

jaką sensacyę okazaniem się swem sprawiła i mocno tem zaniepokojona, postanowiła dziś wieczorem jeszcze w dalszą podróż się wybrać.

Zawiadomiony o tem gospodarz postarał się dla nich o powóz. Przygotowania jego nie uszły jednak baczności obu towarzyszy. Musieli oni wobec tego plan swój zmienić.

Około wieczora wsiadła Agata z Delią do powozu i odjechały. W niedługim czasie wyjechał w tym samym kierunku drugi powóz z Hechtem i Frycem.

Nie przeczuwając że są gonione, jechały obie kobiety ciemnym gościńcem i postanowiły w następnej miejscowości przenocować.

Po dobrej godzinie dojechały one wreszcie do dużej wsi, graniczącej ostatniemi swojemi chatami o las. Tuż przy gościńcu był dom zajezdny do którego obie zajechały.

Powóz ich wrócił do miasta i spotkał się z wozem wiozącym Hechta i Fryca. Ludwik przemówił do woźnicy i zapytał się go, gdzie pasażerki jego zajechały.

— Teraz już nam nie uciekną! — zawołał on tryumfująco.

— Obawiam się że rzecz ta nam się nie uda! — wtrącił Fryc z rozmysłem. — One nam gotowe stawiać opór, a gospodarz w takim razie pewno się za niemi ujmie i je ochroni.
ni.

— Oho! — Zapominasz, że my mamy wystąpić jako urzędnicy policyjni!

— Dobrze! Ale jeżeli będą wymagać od nas legitymacyi?

— To ją pokażemy! — Przecież tyś sam wystawił i sporządził je!

— O to właśnie się boję, aby nie poznali, że ta legitymacya jest sfałszowana. Jeżeli gospodarz naprzykład wezwie wójta na pomoc...

— Ach, ty wszędzie widzisz jakieś strachy! — przerwał mu Ludwik gniewnie. — Bądź odważny, stary przyjacielu i wysłuchaj mnie!

— Ja obmyślam wszystkie ewentualności! — Nie możemy się dość ostrożnie do tej sprawy zabrać!

— Zobaczymy! — zadecydował Ludwik. Jesteśmy już u celu!

Powóz zatrzymał się przed gospodą. Woźnica ulokował konie w stajni. Hecht z Frycem weszli do izby gospodniej.

Wchodząc, wzdrygnęli się oni obaj mimowoli, bo zobaczyli przy jednym stole żandarma rozmawiającego z kilku chłopami. Wstąpił on tu widocznie po drodze i zatrzymał się dla wypoczynku.

— A widzisz — szepnął Fryc. — Mówiłem, że trzeba mieć się na baczności, Ludwiku!

Usiądli oni w kącie i patrzyli z ukosa na żandarma. Ten ze swej strony rzucił na nich przelotne spojrzenie. Nie przeczuwał on, że ma przed sobą dwóch zbrodniarzy, ściganych przez policyę, a których przyłapanie byłoby mu przyniosło sutą nagrodę.

Ludwik nie wiedział co ma począć. Obecność żandarma psuła mu wszystkie szyki.

Wtem zbliżył się do nich gospodarz i zapytał uprzejmie, czy oni chcą przenocować.

— Tak jest! — rzekł Ludwik stanowczo. — Czy ma pan wolny pokój dla nas?

— Tylko już na poddaszu panie! — odpowiedział gospodarz. — Ale izba jest wcale duża i porządnie umeblowana. Mam lepszy pokój, ale ten oddałem przed chwilą dwom damom.

— Mniejsza o to! — przerwał mu Ludwik. — My nie żądamy wiele!

— Wejdźmy tam natychmiast! — szepnął zalękniony Fryc. — Żandarm gotów nas jeszcze zapytać się o papiery.

Stary włóczęga drżał o swoją wolność i bał się każdego przedstawiciela władzy.

Ludwik zamówił tymczasem kolacyę i musiał na nią chcąc nie chcąc zaczekać. Fryc nie mógł prawie nic jeść z irytacyi i odetchnął dopiero lżej, gdy mógł bez przeszkód opuścić izbę.

Parobek wskazał im ich pokój. Znajdował się on tuż obok izby Agaty.

Gdy tylko zostali sami, przystąpił Ludwik do ściany i zaczął nadsłuchiwać. Przez ciemną drewnianą ścianę słychać było wyraźnie głosy obu kobiet. Sąsiedztwo mężczyzn widocznie je niepokoiło.

Ludwik odstąpił od ściany i siadł na łóżku obok swego towarzysza, gdyż krzeseł tu nie było, mimo obiecanego przez gospodarza "pięknego umeblowania."

— Słuchaj Fryc! — szepnął mu Ludwik — to się przecież wybornie złożyło i ja już wiem, co zrobić! Zaczekamy, dopóki one nie zasną i dopóki się w całym domu wszystko nie uciszy. Potem włamiemy się do nich i napadniemy na nie w śnie.

— O, one się zbudzą i zaczną krzyczeć i my będziemy straceni! — sprzeciwiał się Fryc — plan twój wcale mi się nie podoba!

— A czy masz u licha jaki lepszy? — zgrzytnął Ludwik gniewnie. — Musimy tylko przeszkodzić, aby one krzyku narobić nie mogły!

— To nie wiele pomoże! — szepnął Fryc potrząsając głową. — Bo w najlepszym nawet razie nie udało by nam się przecież uwieźć obie kobiety stąd niespostrzeżenie. — Nie obeszło

by się przy tem bez skandalu! Plan mój byłby lepszy!

— Dobrze! Jakiż on więc?

— Opiera on się na tem, że żandarm jest na dole. Nie zostaje on tu wprawdzie na noc, lecz tego obie kobiety nie wiedzą, a one go przedtem z pewnością spostrzegły!

—Zgaduję już dalsze! — przerwał mu Ludwik niecierpliwie. — Chcesz w nie wmówić, że je żandarm chce uwięzić, i że my je chcemy uratować!

— Tak jest!

— Niezła myśl! — uśmiechnął się Ludwik zadowolony. — Czekajmy jeszcze jednak kilka godzin, aby się przekonać, czy żandarm rzeczywiście dom opuścił!

W tym celu zeszedł Ludwik na dół do izby gospodniej. Była ona jeszcze pełna gości, i żandarm także jeszcze nie odszedł.

Ludwik siadł sobie z gazetą w ręku na oboczu i przysłuchiwał się rozmowie chłopów. Naturalnie, że była mowa o obu kobietach, które tu ogólną uwagę zwróciły.

Chłopi pytali się gospodarza o bliższe szczegóły,-lecz ten im nic bliższego nie mógł powiedzieć. Była to widocznie jakaś wielka dama, która się ze swoją służącą do stolicy udawała. Więcej gospodarz nic nie wiedział.

Po dziesiątej odeszła większa część gości. Żandarm zabrał się również w drogę. W godzinę później siedział Ludwik sam w opustoszałej izbie gospodnej.

Wstał więc i opowiedziawszy, że idzie spać, udał się na górę do swego towarzysza.

Fryc leżał ubrany na łóżku i jeszcze nie spał.

— Wszystko w porządku! — rzekł Ludwik wchodząc. — O północy możemy się zabrać do dzieła!

— Mam nadzieję, że się uda! — szepnął Fryc. — Jeżeli one jednak obie powezmą podejrzenie, to wszystko stracone!

— Nonsens! Dlaczego by nam nie miały ufać? Będą one tak przestraszone tem co od nas usłyszą, że ślepo za nami pójdą! Musisz zejść na dół, i wyprowadzić nasz powóz z końmi na ulicę!

— To będzie okropnie trudne, bo woźnica z pewnością zobaczy!

— Głupcze! Woźnica także nam potrzebny! Musisz go nawet zbudzić, bo on śpi w stajni!

— A czy on się na to zgodzi?

— Przestań ze swojemi głupstwami!—przerwał mu Ludwik niecierpliwie. — Pieniądzmi wszystko na świecie zrobić można. Damy woźnicy sute wynagrodzenie, a on za to zrobi wszystko, czego od niego będziemy żądali.

— Załatw sam tę sprawę z nim! — odparł Fryc. — Ty się na tem lepiej znasz, niż ja!

— Dobrze! — mruknął Ludwik gniewnie. — Bądź tu przynajmniej czujny i otwieraj oczy i uszy!

Zdjąwszy swoje buty, aby kroków jego po schodach słychać nie było, wysunął on się ostrożnie. Wszystko w domu spało i Ludwik dostał się niespostrzeżenie na dół i odsunął drzwi prowadzące na podwórze. Włożył znowu buty i poszedł do stajni.

Przez niezamknięte drzwi dostał on się łatwo do wnętrza. Na dworze panował deszcz i burza. Było to Ludwikowi bardzo na rękę, bo spodziewał się, że huk grzmotów i świst wiatru i pluskanie deszczu zagłuszy turkot odjeżdżającego powozu.

Woźnica spał tak mocno, że go Ludwik musiał silnie potrząść, aby go obudzić. Podskoczył on zdziwiony ze swego łoża i zapytał, kto to. Nie mógł nic widzieć, gdyż Ludwik nie zaświecił światła.

Hecht dał się woźnicy poznać, i przez dłuższy czas z nim szeptał.

— Zrozumieliście mnie, nieprawdaż? — kończył Ludwik. — Ta pani jest moja blizka krewna. Jest ona waryatka i uciekła od ludzi, pod których opieką była. Chcę ją teraz zabrać do własnego domu i muszę to w tajemnicy uczynić, gdyż się obawiam, że się ci ludzie tu za nią ujmą i do ucieczki jej pomogą!

Woźnica wahał się trochę. Może przeczuwał jakieś hultajstwo?

— To jest niebezpieczna rzecz, panie! — rzekł on. — Mógłbym przez to jeszcze mieć największe nieprzyjemności i być do odpowiedzialności pociągniętym!

— Nonsens! — sprzeciwił mu się Ludwik — Jak z niemi uciekamy, to niczego więcej obawiać się nie mamy. Jeżeli nie chcecie, to sobie kogo innego poszukam. Znajdzie się łatwo ktoś, kto sobie w tak dobry sposób 500 marek zarobić zechce.

Cyfra ta poskutkowała.

Pięćset marek, panie! — zawołał woźnica i skoczył na równe nogi. — Dobrze panie, zaraz zaprzęgam!

— Mądrze z waszej strony żeście się namyślili rzekł Hecht. Ostrożnie tylko i cicho! Nie róbcie hałasu! Jedźcie za kościół i tam na nas zaczekajcie, macie jeszcze pół godziny czasu!

Przeszedłszy podwórze, ściągnął on znów buty i wsunął się na górę do swej izdebki. Fryc

odetchnął lżej, gdy usłyszał, że się woźnica na wszystko zgadza.

Czekali jeszcze przez chwilę. Potem zbliżył się Ludwik do drzwi i zawołał:

— Do dzieła Fryc!

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Agata i Delia nie położyły się spać. Słyszały one jak się Hecht i Fryc do sąsiedniego pokoju sprowadzili i okropnie się tem zaniepokoiły. Siedziały przez czas jakiś, szepcąc, obok siebie. Nie uszło ich baczności, że Ludwik zeszedł na dół do izby gospodniej. Słyszała go także wracającego i idącego później na podwórze.

Wszystko to wzbudziło obawę Agaty w najwyższym stopniu. Miała ona okropnie złe przeczucie.

— Obawiam się, że nam grozi niebezpieczeństwo! — szepnęła ona wiernej swej służącej. — Najlepiej by było, gdybyśmy się cichaczem z domu tego wysunęły i uciekły.

Delia była zaraz gotowa. Zebrały one prędko nieliczne swe manatki, otuliły się w płaszcze i Agata odsunęła cicho rygiel.

Otworzyła drzwi, Delia zaświeciła świeczkę i wyszła za swoją panią.

Lecz w chwili, gdy się one do schodów zbliżyły, otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju, a z nich wyszedł najpierw Ludwik, a za nim Fryc z latarką w ręku.

Agata oglądnęła się i krzyknęła z przestrachu. Delia zgasiła świecę obie zbiegły czemprędzej ze schodów.

W pierwszej chwili stali obaj towarzysze jakby sparaliżowani ze zdziwienia. Wyrafinowany plan ich został zniweczony.

Pierwszy ochłonął Ludwik i pobiegł za uciekającemi.

— Stójcie, stójcie! — zawołał on stłumionym głosem — nie macie się nas czego bać.

Lecz żadna z kobiet na to nie odpowiedziała. Dobiegły one do drzwi wchodowych, i Agata złapała szybko za klamkę, lecz drzwi były na klucz zamknięte i mimo że klucz tkwił w zamku, nie wiele jej to pomogło. Nim go bowiem przekręcić mogła był już Ludwik przy niej.

— Proszę się nie obawiać, pani hrabino! — szeptał on jej uspokajająco — my panią chcemy uratować!

— Mój Boże! Kto pan jest i skąd pan mnie zna? — jęknęła Agata, drżąc z obawy.

— Wszystko to pani później wytłomaczę! — odparł hultaj spiesznie. — Pani hrabina jest w niebezpieczeństwie! Poznano panią, i naturalnie że panią ścigają... wie pani przecież za co! Grozi pani więzienie!

— Boże wszechmocny! Skąd pan to wie?

— Słyszałem to niedawno w izbie gospodniej! — kłamał Hecht bezwstydnie. — Czy spostrzegła pani tam tego żandarma? Miał on panią nazajutrz rano zaaresztować. Nie zapomniano bowiem jeszcze, że pani z powodu morderstwa na śmierć była skazaną, pani hrabino!

Agata krzyknęła z przerażenia i cofnęła się drżąca przed nieznajomym łotrem.

Otworzywszy szybko drzwi, zawołał Hecht przyciszonym głosem

— Nie wolno nam zwlekać! Prędko, bo już nas słyszano! Niech mi pani hrabina ufa. Przygotowałem już wszystko do ucieczki, bo miałem odrazu zamiar uratować panią hrabinę!

Teraz i Agata usłyszała jakiś szmer i ruch i pojęła, że niema czasu do namysłu. Poszła więc pół wahająco za Ludwikiem, który ją przez otwarte drzwi na dwór wyciągnął.

Fryc z Delią podążyli za nimi, zgasiwszy na dworze latarnie. Ledwo się z hotelu wydostali, ukazał się w sieni gospodarz ze światłem.

Zobaczył on otwarte drzwi i przepuszczał że się jakiś złodziej zakradł. Zamknął więc szybko drzwi i zaczął wołać o pomoc.

Tymczasem pędzili obaj towarzysze z kobietami przez ciemny, wilgotny z deszczu gościniec wsi.

Niebawem ukazał się przed nimi kościół za którym powóz już na nich czekał.

Agata zawahała się, wzbudziło się w niej jakieś podejrzenie. Lecz Ludwik nie dawał jej czasu do namysłu i naglił do odjazdu.

— Wsiadajmy prędko! — zawołał on. — Spostrzeżono już naszą ucieczkę, bo słyszałem w domu ruch. Pewno więc za nami pogonią!

Otworzył drzwiczki powozu i usadowił najpierw kobiety. Potem usiadł za nimi z Frycem i odjechał galopem.

Ludwik tryumfował, gdyż mu się plan nadspodziewanie udał. Teraz miał Agatę w swej mocy, i choćby one miały jakie podejrzenie, to już to było zapóźno.

Z hotelu nie będą ich ścigać, tego się Ludwik nie obawiał. Jedyna troska jego była, aby dowieść obie kobiety szczęśliwie i bez przeszkód do samotnego zamczyska w lesie.

Chciał on odegrać rolę swą jako opiekun i zbawca konsekwentnie aż do końca, aby mu się Agata nie sprzeciwiała i trudności mu nie czyniła. Kazał woźnicy gwałtownie konie popędzać, gdyż do zamku owego było jeszcze cztery mile, a przed brzaskiem oni tam już właściwie być powinni.

Przez chwilę siedzieli oni milcząco naprzeciw siebie, Agata z Delią po jednej stronie, Ludwik z Frycem po drugiej. W powozie tak było ciemno, że oni się wzajemnie wcale widzieć nie mogli.

Powóz toczył się coraz prędzej po gościńcu wśród burzy i wiatru. Deszcz lał strumieniem i bił o okna i dach powozu. Woźnica owinął się w swój gumowy płaszcz i zasunął czapkę na uszy.

Pędzili tak dalej wśród ciemnej, okropnej nocy. Latarnie powozu oświecały nędznie zalaną deszczem drogę i zgroziły każdej chwili zagaszeniem.

Nagle przerwała Agata długie milczenie.

—Teraz proszę pana o wytłumaczenie! — przemówiła ona do Hechta. — Chciałabym wiedzieć, kto pan jest, i co pana spowodowało ująć się za mną w tak gorliwy sposób!

Ludwik przygotowany już był na to pytanie, i gdyby nie ciemność, dostrzegłaby Agata szyderczy uśmiech na jego twarzy.

— O, ja jestem kupcem podróżnym, panie hrabino! Nazwisko moje jest Bartel... Ludwik Bartel!— kłamał on, udając poczciwą minę. — Skąd ja panią hrabinę znam? No, z dawnych czasów! Nie miałem wprawdzie zaszczytu osabistej znajomości, znam jednak losy pani hrabiny... jak zresztą każdy!

— To mnie dziwi! — przerwała mu Agata. — Skąd się pan dowiedział, że ja jeszcze żyję?

— Tego niewiedziałem! — rzekł Ludwik — lecz zobaczyłem panią hrabinę w gospodzie i natychmiast ją poznałem. Po drugie, słyszałem jak żandarm mówił o pani hrabinie i o zamiarze uwięzienia jej!

— Więc to prawda? Poznano mnie, i jestem zagrożona na samym wstępie do swej ojczyzny? — zawołała Agata boleśnie. — Cóż pana jednak spowodowało do troszczenia się o mój los, i zaopiekowania się mną?

— Wiem, że pani niewinnie jest oskarżoną i skazaną, pani hrabino!

— Skądżesz pan to może wiedzieć? — zapytała ona znów zaniepokojona. — Moja niewinność jeszcze nie jest dowiedziona, bo inaczej nie ściganoby mnie więcej!

—Chciałem tylko powiedzieć, że zawsze byłem przekonany o niewinności pani hrabiny! — wykręcał się Hecht. — Żal mi pani było, i dlatego postanowiłem uchronić panią od grożącego jej niebezpieczeństwa.

— Bardzo szlachetnie, mój panie! — rzekła Agata serdecznie. — Nazywa pan mnie hrabiną; czyż pan wie że ja jestem hrabiną Linderhof?

— Tak jest, słyszałem i o tem!

— Szczególnie! Przecież pobraliśmy się właśnie tak, że nie zostało to publicznie obwieszczone!

— O, ja się o tem tak zupełnie w tajemnicy dowiedziałem od znajomego... dawnego służącego pańskiego domu !

— Ach! — wyrwało się z ust Agaty. Umilkła na chwilę, a potem zapytała żywo:

— Czy wie pan też, że pan hrabia w międzyczasie ożenił się z baranową Waleryą?

— Wiem, panie hrabino!

— Chcę się udać do stolicy! — mówiła Agata dalej. — Dokąd mnie pan teraz wiezie?

— Jesteśmy w drodze do stolicy, panie hrabino! — oświadczył Ludwik.

— Dobrze! — szepnęła Agata i wyglądnęła przez okno powozu.

Na dworze tak jednak był ciemno, że nic widzieć nie mogła.

— Jeżeli pani hrabina pozwoli, to okrążymy trochę drogę! — rzekł Hecht. — Potrwa to cokolwiek dłużej, ale jest ostrożnie i bezpiecznie!

— Czy myśli pan, że nas gonią?

— Jestem o tem przekonany! A że oni prawdopodobnie kombinują, że pani hrabina dąży do stolicy, to tam już pewno na panią czyhają!

—Ma pan słuszność!—potwierdziła Agata. — Chciałabym wprawdzie być już nadedniem w stolicy, ale jeżeli to niemożliwe...

— Nie! — odpowiedział Hecht. — Droga tak jest daleka, że w najlepszym razie możnaby tam dopiero być przed południem. Ja zaś radziłbym, aby zajechać teraz do pewnej znanej mi miejscowości i zaczekać tam do wieczora. Jeżeli potem dalej pojedziemy, to może pani hrabina być jeszcze jutro w stolicy!

Agata nie namyślała się długo. Ta propozycya "szlachetnego jej zbawcy" wydała się bardzo racyonalną.

— Dobrze, daj pan więc woźnicy stosowny rozkaz — zadecydowała ona — czy się jednak na niego spuścić można?

— Napewno! — uspokoił ją Hecht. — Ja mu za to sutą nagrodę obiecałem!

— Nie będzie to i z pana szkodą! — odpowiedziała Agata. — Okażę się panu wdzięczną za tę wielką przysługę, która mi pan teraz oddaje. Czy mógłby mi pan nadać jutro telegram do hrabiego... Linderhofa?

— Naturalnie! Bardzo chętnie, pani hrabino!

Agata była teraz zupełnie uspokojoną. Hecht otworzył małe okienko i zawołał na woź-

nicę, któremu wydał z cicha nowe rozkazy.

Potem zamknął nazad okienko, i oświadczył Agacie że i przyjaciel jego zupełnie jej jest oddany.

Agata zupełnie dotychczas nie myślała o Frycu. Zapomniała wprost o nim, nie widząc go w ciemności. Teraz dopiero zapytała się o niego, Hecht przedstawił go jako swego przyjaciela i nadał mu inne, lepiej brzmiące nazwisko.

Po dwóch godzinach szalonej jazdy opuścili oni wreszcie gościniec i wjechali w las, gdzie zwolnili trochę tępo.

Trwało to jednak jeszcze okropnie długo nim się zaczęli zbliżać do zamku.

Agata nie przeczuwała, że fałszywi przyjaciele jej wiozą ją na miejsce, gdzie się niegdyś odbył tajemny ślub z hrabią Edmundem, i gwałtowne uprowadzenie jej przez Waleryę.

Wreszcie zatrzymał się powóz przed bramą zamku leśnego.

Ludwik wysiadł natychmiast i prosił Agatę, aby chwilkę zaczekała.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytała ona i wychyliła się z powozu. Było jednak ciemno jeszcze, że nic zobaczyć nie mogła i słyszała tylko szum drzew naokoło.

— Czy jesteśmy tu w jakimś lesie? — zapytała ona zdziwiona.

— Tak jest, pani hrabino! — odpowiedział Hecht, jest to leśniczówka, przed którąśmy teraz stanęli. Leśniczy ten jest moim przyjacielem i chętnie panią przyjmie. Proszę się niczego nie obawiać. Nie zdradzę mu, kto pani jest, i ani żywa dusza panią tu nie zobaczy!

I nim mu jeszcz Agata odpowiedzieć mogła, znikł on w ciemnościach. Westchnęła ona i szepnęła do Delii:

— Nie wiem dlaczego, ale tak mi jakoś przykro i strasznie na duszy!

Ludwik poszedł tymczasem do bramy, a gdy ją zastał zamkniętą, wyciągnął z kieszeni witrychy i zaczął po ciemku przy zamku pracować. Wreszcie odsunął rygiel i skrzydła bramy odskoczyły ze skrzypieniem.

Badawczym wzrokiem obrzucił Ludwik ciemną fasadę starego budynku. Z żadnego okna nie świeciło światełko, a stare zamczysko leżało tak puste, jak gdyby żywej duszy w nim nie było.

— Może i kasztelana już tu nie ma? — mruknął Ludwik bojaźliwie. — Walerya obiecała go oddalić, i spodziewam się, że to uczyniła. Byłoby to fatalne, gdyby stary tu jeszcze był i coś zmiarkował.

Ludwik wrócił teraz do powozu i kazał woźnicy wjechać na podwórze. Szedł on sam naprzód, a woźnica, który tymczasem zeskoczył z kozła, wziął konie za cugle i poprowadził je na zdziczałe, przez deszcz rozmoczone i dużemi bajurami okryte podwórze. Latarnie powozu oświecały drogę.

Jeżeli stary kasztelan był dotychczas w zamku, to spał w każdym razie jeszcze o tej wczesnej godzinie. Zresztą deszcz i burza tak turkot kół zagłuszały, że on z pewnością nie słyszeć nie mógł.

Powóz zatrzymał się przed jakiemiś drzwiami, które Ludwik szybko witrychem otworzył. Potem zaświecił ślepą latarkę i wszedł na długi kurytarz.

Walerya opisała mu wszystko tu tak dokładnie, że się bez trudności mógł zaryentować. Były to oficyny. Do właściwego zamku nie śmiał Hecht Agaty wprowadzić, gdyż byłaby go ona z pewnością poznała i wiedziała gdzie jest.

Po kilku krokach już zatrzymał się Ludwik znowu przed drzwiami i witrychem je otworzył.

Wszedłszy do wnętrza zobaczył on rząd bardzo skromnie, lecz bardzo gustownie urządzony pokoi. Zaświecił świecę, którą zobaczył w lichtarzu i wyszedł z nią napowrót.

Agata z niecierpliwością go oczekiwała. Wyglądnęła ona z powozu, i widziała przy świetle latarki wchód tego skrzydła zamkowego. Że jednak podczas krótkiego pobytu swego tu niegdyś tej tylnej części wcale nie widziała, więc też miejsca poznać nie mogła.

W tej chwili ukazał się Ludwik ze świecą i poprosił Agatę, aby za nim poszła.

Wahająco opuściła ona powóz i szła z Delią za Hechtem. Fryc postępował za nimi.

Biedne oszukane kobiety nie przeczuwały, że to było ich więzienie, do którego one teraz wchodziły.

Były to trzy pokoje obok siebie. W każdym z dwóch pierwszych było po jednym łóżku.

— Tu pani hrabina będzie zupełnie bezpieczna! — rzekł Ludwik z obłudną miną. — Nie będziemy leśniczemu wcale przeszkadzać, gdyż on mieszka w drugiem skrzydle domu. Proszę się tutaj rozgościć!

Agata rozglądnęła się niespokojnie w około siebie. Po wszystkiem co wiedziała, nie wyglądało jej to jak zwykła leśniczówka. Była na to za duża i wytworna.

Gdy się z uwagą tą do Ludwika zwróciła, odpowiedział ten szybko

— Bardzo słusznie, pani hrabino! Był to bowiem pierwej zamek myśliwski. Lecz od lat mieszka tu leśniczy!

To rzekłszy, zostawił on Agatę ze służącą swą samą i odszedł z Frycem i woźnicą do innego pokoju. Konie i powóz umieścili oni w remizie.

Gdy się Agata nazajutrz obudziła, było to już dość późno przed obiadem. W smutnych komnatach zamku nic się nie ruszało. Na dworze zawsze jeszcze padał deszcz jak z cebra, a wiatr huczał wokoło szarych murów.

Z fałszywych przyjaciół ich nikt się nie odzywał: Czyżby oni zamek opuścili?

Wtem zapukano do drzwi i wszedł Ludwik.

— Pani hrabino!—rzekł on. — Jadę teraz do miasta, aby telegram pani nadać!

Agata usiadła i napisała kilka słów do hrabiego Edmunda. Doniosła ona mu, że żyje i prosiła, aby ją odwiedził wieczorem w pewnym hotelu w stolicy.

Ludwik wziął ten koncept na telegram i obiecał nadać go w następnem mieście.

Potem przyniósł im jeszcze coś do jedzenia i picia i odszedł.

Starego kasztelana dotychczas jeszcze nie spostrzeżono. Woźnica miał odwieźć Ludwika do sąsiedniego, o trzy godziny stąd położonego miasta.

Ludwik Hecht nie myślał naturalnie o tem, aby telegram Agaty nadesłać. Chciał tylko nakupić prowiant iodesła przez woźnicę do zamku, a sam miał zamiar wrócić do stolicy, aby zdać Walery sprawę ze wszystkich swoich czynności.

W chwili gdy już powóz miał z nim odjeżdżać, przybiegł do niego Fryc i szepnął mu do ucha:

— Stary jest jeszcze tutaj! Widziałem go właśnie!

Hecht zaklął gniewnie. W pierwszej chwili był on zupełnie bezradny. Kasztelan nie śmiał nic widzieć, bo inaczej była obawa, że ich zdradzi!

— Niech go dyabli porwą! — mruknął Ludwik wściekle.—Jakżeż ja się teraz stąd niespostrzeżenie wydostanę!

— Zostań lepiej tu! — radził mu Fryc trwożnie. — Stary mógłby odkryć, że obie kobiety się tu znajdują, cóżbym ja wtedy sam począł?

— Tchórzu! Nie będziesz się przecież takiego starca obawiał! — ofuknął go Hecht. — Muszę zresztą jechać do miasta pa prowiant, bo ani ty, ani one obie z powietrza żyć nie możecie!

Fryc uznał, że Ludwik ma słuszność. Wyszli oni obaj na podwórze do miejsca, na którem Fryc spostrzegł kasztelana.

Teraz go jednak nie było. Schował się widocznie do swego pokoju we wieży, a stamtąd niechybnie zobaczy powóz, gdy będzie przez podwórze wyjeżdżał.

— Tędy wyjechać nie można! — rzekł Ludwik gniewnie. — Spodziewam się, że i z drugiej strony jakiś wyjazd będzie!

Niebawem znaleźli rzeczywiście w pół zapadłym murze, otaczającym zamek ze wszystkich stron, drugą jeszcze bramę, przez którą się Ludwik wraz z powozem do lasu mógł wydostać

Fryc zamknął za nim bramę i wrócił do zamku.

Późno wieczorem wrócił woźnica z powozem i przywiózł różne środki żywności. Fryc oczekiwał go już z tęsknotą.

Musiał on przez tę noc jeszcze pozostać w zamku, gdyż konie jego były zmęczone. Kasztelan znów przez cały dzień nie pokazywał.

Z największą niecierpliwością oczekiwała Agata powrotu Ludwika. Gdy się wieczór zbliżał a powozu jeszcze nie było, otworzyła ona drzwi i wyjrzała na ciemny kurytarz.

Okropnie zaniepokojona dotarła ona do drzwi, prowadzących na podwórze. Były one jednak zamknięte. Agata wróciła po światło i wyszła z Delią powtórnie na kurytarz. Chciała ona za każdą cenę osiągnąć pewność.

Tym razem poszły one obie w przeciwnym kierunku. Doszły jednak znowu do zamkniętych drzwi, i znowu musiały wrócić.

Zaniepokojone i stroskane siedziały one w swoich komnatach. Wtem zerwała się Delia, bo bystre jej ucho usłyszało zdaleka turkot kół w miękkim piasku.

Z bijącem sercem oczekiwała Agata wejścia Ludwika.

Po pewnym czasie zjawił się zamiast niego tylko Fryc. Przyniósł on jedzenie i oświadczył, że przyjaciel jego Hecht jeszcze nie wrócił.

— Jakto? Dlaczego nie? — krzyknęła Agata zaniepokojona. — Mój Boże! Ja chcę się stąd wydostać! Ja już powinnam była być od kilku godzin w drodze do stolicy.

Fryc uśmiechnął się zaambarasowany i wzruszył tylko ramionami.

Z tego nic już dziś być nie może! — mruknął on. — Pani hrabina musi już zaczekać, dopóki przyjaciel mój nie wróci.

— Nie! Ja tego nie uczynię! — rzekła Agata stanowczo. Powóz przecież jest, niech pan powie woźnicy, aby się przygotował! My natychmiast odjeżdżamy!

Twarz Fryca wykrzywiła się znów szyderczo.

— Nie może to być, pani hrabino! — ofuknął ją gburowato. —Konie są zanadto zmęczone! Woźnica chce wogóle wracać jutro rano do domu. Proszę więc o trochę cierpliwości!

— Jakżesz długo jeszcze? — krzyknęła Agata zrozpaczona. — Pana przyjaciel nie dotrzymuje słowa! — Jeżeli mnie leśniczy nie zechce pomódz, to ja jutro rano pieszo ten dom opuszczę! Zawołaj mi pan leśniczego, ja chcę z nim pomówić!

— To niemożliwe! — uśmiechnął się Fryc ze złośliwą radością. Leśniczego nie ma w domu!

To rzekłszy opuścił on ich pokój, a Agata usłyszała ze strachem, że on drzwi za sobą na klucz zamknął!

— Co to ma znaczyć? — krzyknęła ona patrząc na służącę swą przerażonym wzrokiem. O, Delio! Ja się obawiam, żeśmy wpadły w łapkę, i że tu jesteśmy uwięzione!

Dobiegła ona do drzwi i zaczęła nimi silnie potrząsać.

— Otwierajcie natychmiast! — krzyknęła ona gniewnie. — Jak wy się odważacie nas tu zamykać?

Lecz Fryc nie odpowiadał. Poszedł on do swego pokoju, gdzie był też woźnica i nie słuchał nawet wołania Agaty, które rozbrzmiewało głośnym echem po pustych komnatach.

— Do dyabła! — huknął on wreszcie. — Te baby sprowadzą mi to jeszcze kasztelana na kark swoimi krzykami!

Woźnica był także zaniepokojony.

— Wdaliście się w brzydką historyę, mój przyjacielu! — rzekł on. — Może się to dla pana i towarzysza pańskiego bardzo źle skończyć. Mnie to nic więcej nie obchodzi. Ja wyjeżdżam jutro rano i udam, że o niczem nie wiem.

— Co pan jednak z kobietami temi nadal pocznie?

— One tu zostaną... nic więcej! — odpowiedział Fryc spokojnie.

Woźnica odjechał nadedniem zadowolony, że ze sprawą tą nic więcej nie będzie miał do czynienia.

Agata i Delia poddały się z rezygnacyą swojemu losowi. Nie przeczuwały one jednak jeszcze całego ogromu niebezpieczeństwa, w którem się znajdowały.

Gdy Fryc przyszedł do nich rano ze śniadaniem, wystąpiła Agata stanowczo i rzekła:

— Żądam od pana dokładnego wyjaśnienia! Widzę teraz bowiem, że wy nie macie co do mnie czystych zamiarów! Zwabiliście mnie tutaj nie dla mojej pewności, lecz dla tego, żeby mnie tu uwięzić!

— Nonsens! — zaśmiał się Fryc wymuszenie i chciał opuścić pokój.

Musicie mi się wytłumaczyć, człowieku! — zawołała Agata tonem, który starego zbrodniarza mimowoli zmusił do zostania. Prawdziwie arystokratyczne, prawie wyniosłe wystąpienie Agaty, mimowoli respekt w nim wzbudziło.

Radzę pani tylko trochę cierpliwości, panie hrabino! — odparł Fryc ponuro, — gdy przyjaciel mój wróci, wytłumaczy on pani wszystko, co pani chce wiedzieć!

— O, ja się obawiam, że wy jesteście obydwaj przekupieni przez moją śmiertelną nieprzyjaciółkę! krzyknęła Agata, wiedziona nagle jakimś złem przeczuciem. — Przeznajcie się, że mnie tutaj więzicie!

— No, jeżeli pani już koniecznie chce wiedzieć! — uśmiechnął się Fryc złośliwie. — Tak jest! Przypuszczenie pani jest słuszne!

Agata cofnęła się z okrzykiem rozpaczy i padła prawie omdlała na krzesło.

— Nie odważ się pani uciekać! — zawołał Fryc groźnie. — Bo to by przecież sensu nie miało. Tu pani nikt pomódz nie może, bo nikt tu w zamku nie mieszka!

To rzekłszy wyszedł on spiesznie, a obie zrozpaczone kobiety słyszały, jak on drzwi wchodowe na klucz zamyka.

— Uwięzione! Wielki Boże! — krzyknęła Agata i zaczęła biegać jak szalona po pokoju. — Zwabiona tu przez szatański podstęp... w mocy tej okropnej kobiety! — O, myśmy obie stracone! Czeka nas niechybnie śmierć!

Delia objęła swoją panie i zaczęła ją uspokajać i pocieszać.

— Próbujmy wszystko możliwe, aby się wy dostać z mocy tych łotrów! — zawołała ona wyciągając ostry sztylet. — Nie jesteśmy bezbronne, i jeżeli nas ten hultaj dobrowolnie nie puści na wolność, to my sobie drogę przemocą utorujemy!

Agata wstrząsnęła beznadziejnie głową. Wtem wydała Delia nagle okrzyk radości i wskazała na okno.

— Oto jakiś człowiekź idący podwórzem! — zawołała ona. — Wołajmy go na pomoc.

Agata wyglądnęła oknem, a oczy jej w słup stanęły.

— Czy to nie był stary Ulryk, kasztelan zamku leśnego? Tak jest! Ona go poznała. Błyskawicznie przyszła jej świadomość. Wiedziała ona teraz, gdzie się znajdowała.

Jednym susem była ona przy oknie i otworzyła je naoścież.

CXXIII.

SZATAŃSKI PLAN.

Na odległem przedmieściu stolicy, gdzie biedni ludzie mieszkają w szczerniałych, zadymionych, brudnych kamienicach, miała i pewna biedna wdowa mieszkanko swoje w oficynach na czwartem piętrze.

Lokatorowie domu tego mało ją znali, gdyż ona rzadko się pokazywała i z nikim nigdy nie rozmawiała.

Uchodziła ona wogóle za kobietę, która kiedyś lepsze czasy widziała. Dowodem tego było spokojne usposobienie, i ubiór jej, który mimo skromności, miał przecież pewien rodzaj elegancyi.

Nazywano ja tu przez kpiny fiołkiem, a nawet na ulicy znał ją każdy pod przezwiskiem "wdowa Fiołek". Innego nazwiska jej nikt nie znał.

"Wdowa Fiołek" utrzymywała się z robót ręcznych, które dostarczała do pewnego dużego magazynu w stolicy. A że ona z tego nie mogła się utrzymać, to też brała ona jeszcze obce dzieci na wikt i stancyę.

Pewnego dnia przyprowadził jej jakiś obcy mężczzna cudownego, czteroletniego może chłopaczka. Miała ona zaś już w swojej opiece jedną małą dziewczynkę, widocznie dziecko bardzo biednych rodziców.

Co zaś do chłopczyka, przyjęła ona go bardzo chętnie, bo człowiek który go przyprowadził, wręczył jej naraz wielką sumę i obiecał płacić prócz tego 50 marek miesięcznie.

W zamian zato stawiał jednak różne warunki. Mały Walter... bo tak się chłopczyk nazywał... miał być zupełnie od świata oddzielony i nigdy z mieszkania nie wychodzić. Nikt w całym domu nie śmiał mieć przeczucia o jego egzystencyi.

"Wdowa Fiołek" na wszystkie warunki się zgodziła. Zapytała ona o pochodzenie i rodziców dziecka, nie otrzymała jednak na to odpowiedzi. Nie znała więc nic prócz imienia chrzestnego małego chłopca, a z paplaniny jego niczego dowiedzieć się nie mogła.

Wreszcie... cóż ją to właściwie mogło obchodzić? Dostawała ona dobrą za to zapłatę i za to pielęgnowała dziecko z macierzyńską sumiennością.

Udało się jej rzeczywiście przez dłuższy czas łudzić lokatorów domu i ukrywać piękne dziecko przed ich oczyma. Lecz w końcu wpadli ludzie na jego ślad.

Każdy chciał wiedzieć, kto jest ten chłopczyk, a "wdowa Fiołek" musiała dawać pewne wytłumaczenie, jeżeli nie chciała mieć konfliktów z gospodarzem domu i z policyą.

Wykręciła się ona z trudnej tej sytuacyi w ten sposób, że przedstawiła małego jako swego wnuczka.

Oświadczeniem tem uzyskała ona spokój, bo nikt w to zeznanie jej nie wątpił.

Pewnego wieczora... a był wtedy okropny deszcz i burza... zajechała przed dom ten dorożka, z której wysiadła elegancko ubrana dama, otulona w płaszcz i gęsto zawelonowana.

Przeszła ona źle oświetloną sień i ciemne podwórze i wdrapawszy się po ciemnych schodach na czwarte piętro oficyn, zadzwoniła do drzwi "wdowy Fiołek."

Siedziała ona w skromnej izdebce przy stole i zajęta była jakąś ręczną robotą.

Oboje dzieci, trzyletnia może dziewczynka i mały Walter... bawiły się na ziemi starą roztarganą lalką i małym drewnianym konikiem.

Na odgłos dzwonka zerwała się ona z siedzenia z mocno zafrasowaną miną, gdyż do niej nikt nigdy nie przychodził.

Kto to mógł być? Czy może listonosz?

Wyszła ona na wązki kurytarz, i zobaczyła przez otwór we drzwiach elegancką damę. Otworzyła więc po chwili wahania.

— Czy ja tu trafiłam? Czy to pani "Fiołek"? — zapytała nowoprzybyła dźwięcznym głosem.

— Tak jest! Czego sobie pani życzy?

— Wejdę wpierw do środka — odpowiedziała ona na to i wsunęła się do biednego mieszkania wdowy, która zamknęła drzwi i zdziwiona za nią poszła.

Dzieci zerwały się z podłogi i popatrzyły nieśmiało na wchodzącą damę. Ta zaś przystąpiła wprost do chłopaka, i bystro w twarz mu patrzyła.

— To jest mały Walter! — mruknęła ona zadowolona. — Więc Ludwik mnie tym razem nie złudził! — Ha, gdyby Agata wiedziała gdzie jej dziecko...

Przerwała ona, i zwróciła się do wdowy, która patrzała na nią pytająco.

— Przychodzę względem tego dziecka — rzekła ona. — Chciałam się przekonać, czy chłopak jest u pani i jak mu się powodzi!

— Więc pani jest krewna tego dziecka? — zapytała wdowa.

— Tak jest! — była krótka odpowiedź damy.

Nie odsłoniła ona woalki, i dlatego rysów jej wcale rozpoznać nie było można.

— Dziecko to oddane mi zostało swego czasu przez jakiegoś obcego mężczyznę — rzekła znów wdowa. — Nie dał on mi żadnych wyjaśnień, co do pochodzenia dziecka, i ja byłam w wielkim ambarasie, gdy mnie się ludzie o to pytali.

— Mogła pani była wymyślać coś dla wykręcenia się!

— Uczyniłam to też! Obawiem się jednak, aby pewnego pięknego dnia dowodów odemnie nię zażądali.

— W tym wypadku musi mnie pani o tem uwiadomić. Podam pani adres pod którym może pani do mnie pisać, i wtedy dziecko zostanie natychmiast odebrane.

— O! — zawołała kobieta zdziwiona — dlaczego? — Przecież dziecko temu nie może nigdzie być lepiej niż u mnie?

— Tego pani nie może wiedzieć! — rzekła obca dama ostro. — Niech się pani zastosuje do moich życzeń, i o nic więcej nie pyta. Oto 500 marek, a za to żądam, aby pani była dyskretną, i chłopaka ani na chwilę z pomieszkania swego na dwór nie wypuszczała!

Wdowa Fiołek nie wzięła podanych sobie pieniędzy, a twarz jej wyrażała głębokie współczucie nad małym Walterem.

— Przecież to okropnie niezdrowe dla dziecka, że mu nigdy na świeże powietrze wyjść nie wolno! — wtrąciła ona. — Dlaczegoż nikt chłopaka tego nie ma zobaczyć!

— Na to ja pani odpowiedzieć nie mogę. Jeżeli pani do zleceń moich zastosować się nie chce, to wezmę dziecko ze sobą i oddam je innym ludziom, którzy będą chętniejsi od pani!

Ostra przemowa damy oburzyła wdowę do żywego. Umilkła ona jednak, i zgarnęła pieniądze, a w duchu pomyślała, że będzie później mogła robić, co jej się podoba. Wiedziała ona dobrze, że nie ma celu pytać się o nazwisko tej dumnej, widocznie z arystokratycznych sfer pochodzącej damy, która twarz swą nawet tak zawoalowała, aby jej poznać nie było można.

— Na razie zostawiam małego jeszcze u pani— ciągnęła obca dama dalej.—Przygotowuję panią jednak na to, że go pewnego dnia odbiorę. Nie będzie to z pani szkodą, gdyż dostanie pani wielkie wynagrodzenie za dyskrecyę, którą pani naturalnie w zamian za to przyrzec będzie musiała!

Nie odezwawszy się słowem do dziecka, którego losy zdaje się w ręku swoim miała, odwróciła się obca dama i wyszła z mieszkania wdowy.

— Teraz jestem uspokojona — szepnęła ona wychodząc z brudnej kamienicy na ulicę. — Mogę chłopca każdej chwili mieć w swoim ręku, a Ludwik nie odważy się więcej plany moje co do dziecka tego pokrzyżować.

Była to rzeczywiście Walerya, która małego Waltera odwiedziła. Wsiadła ona do powozu i odjechała do domu.

Jeżeli Walerya myślała, że jej na tej wyprawie nikt nie spostrzegł, to się bardzo myliła.

Właśnie w tej chwili bowiem, kiedy wychodziła z bramy owego domu, przechodził tam tędy młody człowiek, któremu postać jej w oko wpadła. Stanął sobie więc we framudze bramy i patrzał na nią.

— Boże mój! —czyż to nie była Walerya, nowa hrabina Linderhof? — mruknął on zdziwiony. — Czyżbym się mylił? Cóżby taka wielka dama miała w tak biednej kamienicy do czynienia? To przecież nie może być ona!

Wtem usłyszał on głos Waleryi, dającej woźnicy rozkaz, dokąd ma ją zawieźć. Wymieniła ona ulicę leżącą w arystokratycznej części miasta.

Na dźwięk głosu wzdrygnął się słuchający, jakby zelektryzowany.

— Tak, to przecież ona! — szepnął on.

Gdy odjechała oglądnął kamienicę, z której ją widział wychodzącą i zapisał numer i nazwisko ulicy.

—Muszę się dowiedzieć, po co i u kogo ona była — szepnął on.

Był to nikt inny tylko detektyw Branu, którego Greif zostawił w stolicy. Idąc do Wintera i Katynki przeszedł on przypadkowo tą ulicą.

Wszedłszy do sieni, przeczytał on uważnie na tablicy spis mieszkańców.

— Pomówię wpierw z komisarzem Winterem, i usłyszę co on na to powie.

Z temi słowy poszedł on dalej.

Walerya wróciła niespostrzeżenie do ministeryalnego pałacu. Hrabia Edmund siedział przy pracy, i nie przeczuwał wcale jej intryg.

Obawa Waleryi co do tego, że się hrabia o uratowaniu Agaty dowiedział, była bezpodstawną. Nie czytał on gazety i nie myślał nawet więcej o zasięgnięciu informacyi.

Z największą niecierpliwością oczekiwała Walerya wiadomości od godnego swego małżonka, Ludwika Hechta.

Czy mu się udało spełnić jej życzenie? Biada jej, jeżeli się sztuczka jej przeciwko Agacie nie poszczęści! Będzie ona wtedy każdej

chwili musiała obawiać się przybycia znienawidzonej rywalki.

Ledwo wróciła do budoaru, wręczyła jej pokojówka telegram.

Przeczuwała ona, że to od Ludwika, i ręka przy otwieraniu jej drżała. Od treści tej depeszy bowiem zależało życie jej lub śmierć. Zawierała ona tylko tych kilka słów

"Wszystko w porządku! — Wracam dziś wieczorem."

Z ust jej wyrwał się okrzyk tryumfu. Teraz ona zwyciężyła i Agata była w ej mocy.

Zadzwoniwszy na pokojówkę, dała ona jej rozkaz, aby Ludwika w chwili przybycia niespostrzeżenie do budoaru jej wprowadziła.

Około godziny dziesiątej zameldowała pokojówka jego przybycie. Po chwili wszedł Ludwik. Walerya wyszła uradowana naprzeciw niego.

— Czyś ją przyłapał? — zapytała ona.

Ludwik skinął głową na znak potwierdzenia i usiadł. Opowiedział on wszystko ze szczegółami, a Walerya uśmiechała się zadowolona.

—Poszło to więc lepiej i łatwiej niż się spodziewałam! — rzekła ona. — Mieliście rzeczywiście wiele szczęścia! A czy woźnica nic nie zdradzi?

— Broń Boże! Musi on już w swoim własnym interesie milczeć! Chodzi tu jednak o kogoś innego, a mianowicie o kasztelana. — Chciałaś go przecież odprawić!

— Nie mogłam tego bez wiedzy hrabiego na własną odpowiedzialność uczynić. Jedyne co zrobić możemy, jest to, aby uwięzione kobiety przed okiem jego ukryć.

— Hm! To niemożliwe! — mruknął Ludwik zamyślony.

— No! — odparła Walerya z groźną i stanowczą miną. — Tak długo to nie potrwa!

— Jakto? Czy chcesz ją na inne miejsce przenieść?

— Tak jest, do grobu! — syknęła Walerya zawzięcie.

Ludwik skoczył mimowoli z siedzenia i wpatrzył się przerażony w demoniczną tę kobietę. Dreszcze po nim przechodziły.

— Tak jest! Agata musi umrzeć wraz ze swą służącą! — mówiła ona bez litości dalej.— Jak długo ona żyje, to ja nie jestem na chwilę pewną swego życia i stanowiska. Agata stoi jak upiór między mną a mojem szczęściem! Myśl o niej i o możliwości zjawienia się jej w każdej chwili, spać mi wprost nie daje.. — Czyż nie pojmujesz że to tak nadal zostać nie może!

— No, przecież jej koniecznie ze świata zgładzić nie musisz! — wtrącił Ludwik. — Sądziłem, że chcesz użyć dziecko na to, aby ją do powrotu do Indyi zmusić.

— Nie, to zanadto niepewne! — zawołała Walerya. — Agata przyrzekłaby naturalnie, a gdyby dziecko ju przy sobie miała, to nie dotrzymałaby później obietnicy, i wystąpiłaby przeciwko mnie i na moją zgubę! — Ja muszę mieć raz na zawsze spokój od niej i dlatego Agata nie śmie dłużej żyć.

— Uważaj, o może ci się nie uda zgładzić hrabinę ze świata! — rzekł Ludwik ostrzegająco. — Sama pod sobą tylko dołki wykopiesz! Bądź zadowolona tem, coś dotychczas osiągnęła!

— Głupcze! — zawołał ona gniewnie. — Ja nie lubię pół roboty! Umarła, nic mi już więcej zrobić nie może, a żywej zawsze jeszcze obawiać się będę musiała!

— Masz ją przecież w swojej mocy i wiesz że ona nic przeciwko tobie przedsięwziąć nie będzie mogła.

— Ona musi umrzeć! To jest moje nieodwołalne postanowienie, a ty je musisz wykonać Ludwiku.

— Ja! — zaprotestował lotr. — Broń mnie Boże!

— Nie chcesz? — krzyknęła ona z błyszczącemi z gniewu oczyma.

— Nie, dziękuję! Nie zamordowałem dotychczas nikogo i nadal tego nie uczynię! Broń mnie Boże!

— Tchórz! — zgrzytnęła Walerya pogardliwie. — Namyśl się jeszcze! Musisz przecież skończyć, to coś zaczął.

— Wyszukaj sobie kogo innego na takie zlecenie! — rzekł Ludwik oschle. — Hrabia Sinobrody, albo służący jego Piotr, to są ludzie zdolni do podcinania gardła! Mnie zaś nie zaszczycaj takiemi zleceniami.

Walerya mocno się na to oburzyła.

— Jesteś nędznem stworzeniem — szydziła ona. — Umiesz szachrować i cyganić, ale gdzie osobistej odwagi potrzeba, tam cię nie ma!

— O, proszę! — Ja mam zawsze sumienie! — odciął on się. — Mord nie jest dla mnie zabawką! — Ja nie chcę umrzeć na szubienicy!

— Więc ty się naprawdę wymawiasz?

— Zupełnie seryo to myślę!

— W takim razie może przyjaciel twój Fryc to uczyni?

— Fryc? — zaśmiał się Hecht. — Nic ci nie pomoże! Ten nie jest na takie sprawy!

Walerya zamyśliła się na chwilę, a twarz jej tak okropny miała wyraz, że Ludwik aż zadrżał ze strachu.

— Pojadę tymi dniami do zamku leśnego — rzekła ona zimno i ponuro. — Ty zaś wracaj tam natychmiast, i uważaj, aby one mi stamtąd nie uciekły!

— Hm! — mruknął Ludwik i spojrzał na nią z ukosa. — Czy chcesz sama wystąpić w roli kata?

— Jeżeli ty jesteś takim tchórzem... to ja to naturalnie na siebie wziąć muszę. — Przecież to by dla ciebie nie było nic trudnego wmieszać im co do jedzenia albo do picia i...

— Nie, nie! — bronił się Ludwik stanowczo. — Za żadną cenę! A jeżeli ty to seryo chcesz wykonać, to ja tam nie wracam, bo jeśli historya ta później kiedyś na wierzch wyjdzie, to mnie jeszcze będą mieli za twego wspólnika.

— Tym już i tak jesteś, głupcze! — zaszydziła Walerya. — Teraz nic ci więcej nie pomoże! W razie odkrycia zaś zwaliłabym całą winę na ciebie. — Czy myślisz, że nie uwierzyliby mnie?

— Bezwątpienia — zaśmiał się Ludwik gniewnie. — Ale na to ja się nie zgodzę, mój skarbie i wczas się zabezpieczę. — Pomyśl że ja ci mogę popsuć szyki, gdy wrócę do zamku.

— Tak? Jakim sposobem?

— Przez to, że hrabinę Agatę ze służącą jej wprost na wolność wypuszczę!

Walerya zbladła ze strachu.

— Podstępny łotrze! — krzyknęła ona. — Sądzę, że ty i do tego byłbyś zdolny.

— Dlaczego nie? Jeżeli mnie do tego zmusisz?

— Ach! — zaśmiała się ona niedowierzająco. — Ty się jeszcze namyślisz! Bo jeżeli ja padnę, to i ty musiałbyś wracać do kryminału!

— To jeszcze pytanie — zaprotestował Ludwik. — Hrabia Linderhof byłby mi wdzięczny za uratowanie ukochanej małżonki jego i miałby jako minister moc uchronić mnie od kryminału.

Walerya popatrzyła wściekle zła na złośliwie uśmiechniętą twarz swego męża. Widziała onateraz nie poraz pierwszy, że wobec tego chytrego hultaja groźbami nic nie osiągnie. Zaczęła więc inne struny naciągać.

— Nie biorę śmiesznych twych gróźb na seryo — rzekła ona z udanym spokojem. — Wiem, że nie uwolnisz hrabiny Agaty. Co ja z nią później uczynię, to już tylko moja rzecz. Skoro ty zlecenia mego spełnić nie chcesz, to ja muszę inny plan powziąć.

Ludwik znał ją dobrze i wiedział że to nieprawda. Był przekonany, że ona sprzątnie Agatę z chwilą, gdy się na zamku pojawi. Los Agaty nie leżał mu zupełnie na sercu. Chodziło mu tylko o to, aby to dla niego złych następstw nie miało,

— Może się jeszcze namyślisz — próbowała ona raz jeszcze. — Dam ci tak wysoką nagrodę, jak tylko sam zechcesz.

— Nie trudź się daremnie — przerwał on jej. — Ani za milion tego nie zrobię!

— Więc namów swego przyjaciela, aby to uczynił — upierała się Walerya. Śmierć Agaty jest wobec teraźniejszych stosunków koniecznością.

— Fryc tego nie uczyni. — Mógłbym się o to założyć!

— Spróbujmy! — Zapewnię mu 100.000 marek, to go może zwabi.

Ludwik wzruszył ramionami na znak powątpiewania.

— Możesz z nim pomówić — odpowiedział on. — umywam ręce od tego!

— Dobrze! Przybędę więc, możliwie najwcześniej na zamek, a gdyby ją kasztelan tymczasem przypadkowo był odkrył, to trzeba go uczynić nieszkodliwym.

Jakto? Ja starego nie będę mordował! Wolę wszystko w trąbę puścić.

— I przez tchórzostwo swoje sprowadzisz moją i swoją zgubę — dodała Walerya gwałtownie. — Nabierz trochę rozumu i pomyśl, co za skutki z tego będą, jeżeli kasztelan nas zdradzi albo nawet hrabinę uwolni.

— Masz słuszność —mruknął Ludwik ponuro. — Ten stary mógłby nam wszystkim pięknej zupy nawarzyć. — Spodziewam się jednak że Fryc dobrze uważał i że kasztelan o niczem pojęcia niema.

— Musimy się jednak liczyć z wszystkiemi ewentualnościami.

— Naturalnie! Nie wolno nam się jednak długo namyślać! Jeżeli będzie obawa, aby nas stary nie zdradził, to go także zamkniemy!

— Toby się wprawdzie na nic nie zdało, ale na razie może wystarczy.

Po półgodzinnej jeszcze rozmowie pożegnał się Ludwik ze swoją ex-żoną i powiedział jej na odchodnem, że dopiero jutro wieczorem z powrotem w zamku być może, gdyż dziś już zapóźno do odjazdu.

Gdy Walerya sama została, wybuchła długo wstrzymywanym gniewem i ciskała gromy i zaklęcia na Ludwika, który się życzeniom jej tak energicznie sprzeciwiał.

— A przecież on to zrobić musi! — zgrzytnęła ona. — Ja go do tego zmuszę! Albo jeszcze inaczej zrobię... on im poda truciznę tak, że sam nawet tego nie będzie przeczuwał! Zrobię z niego mordercę i będę go miała w ręku.

Będę miała straszną broń przeciwko niemu i będę się na przyszłość z gróźb jego śmiała.

Myśl ta pocieszała ją. Nie chciała ona odkładać szatańskiego swego planu przeciwko Agacie i nazajutrz już miała się wybrać do zamku leśnego, aby być tam wkrótce po przybyciu Ludwika. Sprawiało jej to dziką radość, że się z Agatą w tych warunkach zobaczy.

Co jednak zrobić z hrabią Edmundem? Musiał on się przecież dowiedzieć, że ona wyjeżdża? A przecież nie śmiał wiedzieć dokąd?

Po długim namyśle znalazła ona przecież wykręt. Chciała opowiedzieć mężowi jakąś bajkę, aby podejrzenia jego nie wzbudzić.

Uspokojona poszła ona do łóżka i zasnęła tak prędko i spokojnie, jakgdyby sumienie jej było czyste, a dusza zupełnie wolna od morderczych myśli.

CXXIV.

CHWIEJNY GRUNT POD NOGAMI.

— Ja tu zrobię porządek — rzekł hrabia Sinobrody do żony po wyjściu Karola, gdy na werandzie nikogo prócz nich nie było. — Powypędzam wszystkich tych starych drabów, co tu nas szpiegują i każde słowo podchwytują. W pierwszym rzędzie pójdzie ta stara gospodyni, której każde drugie słowo jest: Pan radca tak to lubił, albo: Pan radca nigdyby na to nie był pozwolił! — Na dyabła! Ja tu teraz jestem panem i oni to poczują — zakończył on zawistnie.

Betlina zaśmiała się głośno.

— Nie irytuj się! Żyjmy lepiej z tymi ludźmi po dobremu, nie można przecież kogoś tak bez powodu za drzwi wyrzucać!

— Ach co! — mruknął Sinobrody i zaczął jeść. — Kiedy ja nie znoszę impertynenckiej zgrai tych służących. Oni tak się zachowują, jak gdybyśmy tu nic nie mieli do powiedzenia, i tak jakgdyby nas stąd chcieli wypędzić!

— Tak! Przyjemnie to nie jest wiedzieć, że tu nie należymy, i że tu nie mamy nic do szukania.

— Naturalnie! Zostaniemy tu tylko tak długo, jak sprawa spadkowa tego wymagać będzie — odparł Sinobrody zirytowany. — Dziś dowiedziałem się zresztą, że wuj Teodor z Rosyi już jest w drodze tutaj. Już nawet telegrafował i pojutrze możemy go się spodziewać. Znowu nieprzyjemna niespodzianka!

— Jakto? Czegóż ten wuj tutaj chce? — spytała Betlina zaniepokojona.

— Chce on zobaczyć jak tu rzeczy stoją i czy się brat jego, radca, w międzyczasie nie znalazł — zaśmiał się Sinobrody dziko. — No niech przyjedzie, jak chce, nie potrzebujemy się jego obawiać!

— Może on zechce wystąpić ze swojemi prawami jako spadkobierca?

— Nie sądzę! On jest przecież sam bardzo bogaty.

— Więc w każdym razie chce tu dojść prawdy w tajemniczej sprawie zniknięcia radcy — szepnęła Betlina trwożnie. — Obawiam się, że nam się tu wujaszek z Rosyi stanie bardzo niebezpieczny.

— Nonsens! Przez co?

— Ach! — Ja mam to uczucie, że nam okropne niebezpieczeństwo grozi — mruknęła Betlina smutno. — Widzę przepaść otwierającą się pod naszemi nogami.

Ostatnie słowa jej tak cicho były wymówione, że schowany w krzakach Greif nic z tego zrozumieć nie mógł. Ciekawość i naprężenie popchnęły go o krok dalej. Zapomniał on o nakazanej ostrożności. Pod nogą jego zatrzeszczała sucha gałęź. Sinobrody natychmiast to zauważył.

Oglądnął się, a wzrok jego padł właśnie na miejsce gdzie stał Greif, Przy świetle lampy, która promienie swe na krzaki te rzucała zobaczył hrabia Sinobrody cień, jakgdyby zarysy ludzkiej postaci.

Zbladł on i okropnie się przeraził. Lecz w następnej chwili skrzywiła się twarz jego okropnym gniewem. Sięgnął on ręką do kieszeni i wyciągnął z niej rewolwer.

— Na Boga świętego! — Co ty chcesz robić? — krzyknęła Betlina przerażona.

Zamiast odpowiedzieć, wystrzelił hrabia Sinobrody dwa razy. Huk wystrzału zmieszał się z przeraźliwym okrzykiem Betliny, która nie wiedziała, dlaczego Sinobrody wystrzelił.

Kule ugrzęzły w krzakach, a równocześnie znikła postać detektywa.

Czy go kula trafiła? Czy leżał on już może martwy na ziemi?

Osłupiałym wzrokiem wpatrywał się hrabia Sinobrody w krzaki, podczas gdy Betlina drżała na całem ciele ze strachu i przerażenia.

— Co ci się stało? Do kogoś strzelał? — zapytała ona drżącym głosem.

Sinobrody zaśmiał się rubasznie.

— Tam w krzakach siedziała sowa — rzekł on głośno — wycelowałem w nią i mam nadzieję, że ją trafiłem.

— Sowa? — powtórzyła Betlina zdziwiona.

Z domu wybiegł stary Karol z drugim jeszcze służącym, a za nimi ukazała się pani Mar-

tens. Pytali oni wszyscy o powód wystrzałów. Nagle zjawił się też przebrany za pokojówkę Piotr.

Hrabia Sinobrody oświadczył wszystkim, że strzelał do sowy.

— Pójdę i zobaczę — rzekł on, schodząc po stopniach do ogrodu. — Jeżeli trafiłem, to znajdą rozstrzeloną sowę w krzakach.

Zdziwiona służba poszła za nim. Karol świecił, a reszta szukała między krzakami. Nie było ani śladu sowy. W krzakach nikogo zresztą nie było. Greif i Guenter znikli bez śladu.

— Widocznie nie trafiłem — rzekł Sinobrody z dziwnym naciskiem i zwróciwszy się do służby dodał: Możecie odejść.

Gdy zostali sami, przystąpił hrabia do Piotra i szepnął:

— Był to człowiek, do którego strzelałem i przypuszczam, że to jeden z tych szpiegów policyjnych. Uciekł on niestety. Musisz więc odszukać go i uczynić nieszkodliwym.

Piotr skinął głową, a hrabia Sinobrody odwrócił się od niego. Nikt nie zauważył rozmowy jego z Piotrem, który teraz znikł w głębi ogrodu.

Hrabia Sinobrody nie usiadł jednak napowrót na werandzie. Wziął on ramię Betliny i rzekł ponuro:

— Chodź do mego pokoju! Tu dalej rozmawiać nie możemy!

Poszli więc na górę, do zamieszkiwanych przez siebie apartamentów.

Hrabia Sinobrody zasunął drzwi na rygiel i zaprowadził Betlinę do ostatniego pokoju. Ona patrzyła na to wszystko w niemem zdziwieniu, o nic jednak nie zapytała się.

— Tak — rzekł on zadowolony. — Teraz nie potrzebujemy się obawiać podsłuchania.

— Boże mój, cóż to wszystko ma znaczyć? — zawołała ona jakby coś przeczuwać zaczynała. — Czyż nas tam podsłuchano?

On wstrząsnął gniewnie głową.

— Czyż naprawdę myślałeś że ja do sowy strzelałem! — zawołał on. — To był szpieg którego niestety nie trafiłem. Znikł on gdzieś bez śladu.

Betlina popatrzyła na niego śmiertelnie blada.

— Szpieg! Boże mój, czyż on wszystko podsłuchał?

— Na szczęście nic tak nadzwyczajnego nie mowiłem bom go wczas spostrzegł — rzekł Sinobrody. — Spodziewam się, że go na przyszłość odejdzie chętka zbliżania się do nas.

Betlina uspokoiła się i myślała przez chwilę nad tem.

— Nie mogę w to wierzyć, żeby to był człowiek, rzekła ona wreszcie. — Musiałeś się pomylić, bo gdzieżby człowiek tak bez szmeru mógł zniknąć?

— Możliwe — rzekł on, wzruszając ramionami. — Lecz ja widziałem cień ludzkiej postaci.

— Któżby to jednak mógł być? — spytała ona znów z powątpiewaniem.

— Jeden z tych przeklętych szpiegów, którzy nas już w Paryżu i Londynie ścigali! — zgrzytnął Sinobrody. — Czyś myślała, że oni tu spokój nam dadzą? Ja się dziwię że oni zaraz za nami tu nie przybyli!

Słowa te zaniepokoiły Betlinę na nowo.

— O, Boże! Co to jeszcze z tego wyniknie! jęknęła ona. — Jeśli szpiegowie ci wszystko odkryją...

— Uspokój się, do tego nie przyjdzie! — przerwał jej Sinobrody na pocieszenie. — Musimy naturalnie być ostrożni i myśleć zawsze o tem, że... jak to poprzednio sama pięknie powiedziałaś... stoimy nad przepaścią — zaśmiał się on szyderczo. — Ale ja się już o to postaram, aby się temu Greifowi nie udało do tej przepaści nas wtrącić.

— Czy znasz naszego nieprzyjaciela? I czy on cię już długo prześladuje?

— Tak jest, znam tego szpiega już dostatecznie, chociaż z nim jeszcze bezpośrednio do czynienia nie miałem — rzekł on wymijająco. — Jak długo się jednak sami nie zdradzimy, to nie ma niebezpieczeństwa! Nawet ten rosyjski wujaszek zaszkodzić nam nie potrafi.

— Któż to jest ten wujaszek? Opowiedz mi o nim wszystko co mi wiedzieć potrzeba.

— Nie ma tu wiele do powiedzenia! Ja sam nic nie wiem o tym bogatym wujaszku, bo bogaty on być musi! Bardzo bogaty nawet... jakiś właściciel wielkich dóbr! Zdaje mi się, że on nie ma rodziny, że jest starym kawalerem, a do tego wszystkiego schłopiały i okropnie skąpy! Przypominam sobie jeszcze, że on siostrzenicy swojej, Gertudzie, mojej zmarłej żonie, nigdy ani feniga nie dał!

Czy go nie znasz osobiście? — spytała znów Betlina, która dla tego nieznanego wuja Gertrudy okazywała wielkie zainteresowanie.

— Brań Boże! Nawet sama Gertruda nigdy w życiu go nie widziała! Może to i dobrze, że on się teraz tu zjawia!

Betlina uśmiechnęła się. Widocznie tę samą myśl miała.

Rozmowę ich przerwało pukanie do drzwi.

Hrabia Sinobrody odsunął rygiel. We drzwiach stanął Piotr w przebraniu pokojówki

— Nic nie znalazłem, panie! W całym ogrodzie ani śladu człowieka! — szepnął on.

— Był to detektyw Greif, jestem o tem przekonany! — rzekł Sinobrody również cicho. A jeżeli nie on, to pewno który z jego bandy. Trzeba być podwójnie ostrożnym Piotrze!

Piotr zbladł, a z oczu jego biła trwoga i wzburzonie.

— Myślałem, że się pan może omylił — mruknął on. — Tam pewno nikogo nie było!

— Nie wiem! Na każdy wypadek trzeba się mieć na ostrożności! Przyjdź później do mego pokoju. Mamy jeszcze bardzo ważne rzeczy do omówienia!

To rzekłszy cofnął się Sinobrody i zamknął napowrót drzwi. Piotr wrócił do swego pokoju.

Podczas krótkiej tej rozmowy stała Betlina na progu sąsiedniego pokoju, w którym z Sinobrodym poprzednio przebywała. Chciała ona zobaczyć kto tam puka i ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegła, że to jej pokojówka, z którą mąż jej tak żywo szeptał. Cóż to miało znaczyć?

— Czego Róża chciała? — zapytała ona ciekawie.

— Nic szczególnego! odparł Sinobrody i zwrócił rozmowę na inny temat.

Betlinie nie dawała jednak myśl, spokoju że mąż jej taki poufały jest z jej służącą. Nie była zazdrosną, ha jej na afektach Sinobrodego mało zależało. Nie wierzyła też, aby jej z tej strony groziło niebezpieczeństwo. Tem dziwniej szem wydawało jej się postępowanie męża.

Gdy się Betlina kładła spać, pomagała jej pokojówka jak zwykle przy rozbieraniu. Betlina zatrzymała ją dziś dłużej niż zwykle, bo się chciała wypytać, co ona z jej mężem rozmawiała.

Piotr był dość przebiegły, aby udawać niewinnego.

— Chciałam zapytać tylko, czy sprzątnąć ze stołu na werandzie! — rzekł on naiwnie.

— Więcej nic? — badała Betlina niedowierzająco. — Cóż ci pan hrabia na to odpowiedział!

Że nie potrzeba stołu po raz drugi w jadalni nakrywać!

— I to było wszystko?

— Tak jest, pani hrabino! — odrzekł Piotr efektownie. Grał on wybornie rolę zawstydzonej, a przytem trochę filuternej pokojówki.

Betlina umilkła, ale nie wierzyła mu. Było jasne, że Piotr ukrywa tak samo prawdę, jak jej mąż. Cóż oni mogli mieć za wspólne tajemnice, których jej wiedzieć nie wolno było?

— Możesz odejść! — rzekła więc gniewnie.

— Czy nie mogę wielmożnej pani hrabinie jeszcze w czem pomódz? — zapytał Piotr oglądając lubieżnym wzrokiem pół nagie wdzięki pięknej kobiety.

Żądza jego tak wzrosła, że był on blizkim zapomnienia się. Lecz Betlina rozkazała mu ostro, aby wyszedł.

Opuścił on więc pokój, lecz zamknąwszy drzwi, zaczął patrzeć przez dziurkę od klucza. Widział on jak się Betlina zupełnie rozebrała aby włożyć strój nocny i jak się potem do łóżka położyła.

Piotr drżał wprost z namiętności. Odetchnął on głęboko i potarł ręką rozgorączkowaną twarz.

— O ta kobieta, to prawdziwa Wenus — szepnął on. — Ja ją muszę posiąść! Co hrabia Sinobrody sobie z niej robi? Ona mu jest przecież zupełnie obojętna! Ale moja rolą? Musiałbym się przecież zdemaskować, a tego mi uczynić nie wolno! — westchnął on.

Cicho wsunął się napowrót do pokoju swego pana, który go z niecierpliwością oczekiwał.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Greif rzucił się na ziemię w chwili, gdy hrabia Sinobrody do niego wystrzelił i to uratowało mu życie. Potem opuścił on z Günterem szybko ogród, gdyż na ten wieczór i tak już wszystko stracone było.

Zupełnie stracona ta wyprawa nie była, bo to co słyszał, potwierdzało mu tylko twierdzenie Güntera. Tak nie mogła się znaleźć i mówić Gertruda. Musiała się albo okropnie zmienić, albo co było więcej prawdopodobnem, nie była to wogóle hrabina Gertruda, tylko jakaś obca oszustka.

Greif palił się do rozwiązania tej zagadki i zdjęcia zasłony z tajemnicy osłaniającej postać Betliny.

Ale jak? W jaki sposób mógł on dojść do celu?
Myślał on dotychczas daremnie nad tem... Może mu przypadek w pomoc przyjdzie!

Günter miał spróbować, czy się od służby domowej nie będzie mógł czegoś dowiedzieć. Greif sam zaś postanowił zbliżyć się do pani Martens i do żony nieszczęśliwego prokurzysty. Zamiar ten wykonał już następnego dnia.

Smutna i biedna młoda kobieta znajdowała się w swym pokoju z panią Martens, gdy się Greif u niej zjawił. Obie kobiety spojrzały zdziwione na obcego mężczyzny.

Było mu to bardzo na rękę, że zastał tu odrazu panią Martens. Dał on im się poznać, i o-

powiedział im w jakim stosunku był do prokurzysty.

Młoda kobieta przystąpiła do niego i ujęła rękę jego ze łzami w oczach.

— O, najlepszy panie komisarzu! — zawołała ona drżącym głosem, a z twarzy jej biła nieopisana trwoga. — Daj mi pan pewność co do losu mego męża! Co pan o nim wie i czy to prawda, że on już nie żyje?

Detektywa wzruszyła rozpacz młodej kobiety. W oczach łzy mu stanęły. Ścisnął on serdecznie wązką, bladą jej rączkę i rzekł z współczuciem:

— Po wszystkiem com zbadał nie wolno nam się oddawać płonnym nadziejom. Biedny mąż pani przepłacił życiem gorliwość, z którą szukał pana i chlebodawcy swego!

Pani Hermann westchnęła głęboko, starając się opanować boleść ściskającą jej serce. Nie mogła się jednak wstrzymać od łez i padła, szlochając głośno, w ramiona swej przyjaciółki.

Greif patrzył wzruszony na tę scenę, a nieszczęście młodej kobiety było dla niego jakby bodźcem. Znał on sprawcę tego mordu i poprzysiągł sobie w tej chwili uroczyście zdemaskować wreszcie tego zbrodniarza.

Wyraził on otwarcie podejrzenie swe przeciwko Sinobrodemu, który i radcę ze świata zgładził.

Słowa te uczyniły na obu kobietach okropne wrażenie.

— Ja to przeczuwałam! — zawołała pani Martens. — Nie mogłam się jednak do tego przyznać. Teraz i pan to samo twierdzi, panie komisarzu! Czy pan tu przybył aby mordercę uwięzić?

— Tak daleko jeszcze nie jestem. kochana pani! — odpowiedział Greif spokojnie. — Mógłbym wnieść skargę przeciwko hrabiemu Sinobrodemu, ale brak mi jeszcze potrzebnych dowodów! Staram się teraz o nie, a wy, moje panie, możecie mi w tem być pomocne, jeżeli zechcecie!

— Czy ja chcę! — zawołała stara gospodyni wzburzona. — Mam najlepsze chęci i spodziewam się, że panu tu będę mogła pomódz. Dobrze, że pan tu jest! Jestem teraz spokojna i nie spocznę, dopóki nie zobaczę mordercy mego pana w kajdanach!

Greif uścisnął rękę starej kobiet

— To sprzymierzenie jest dla mnie nieocenione! — rzekł on. — Słuchaj pani! Chcę panią o wszystkiem poinformować, o czem pani może jeszcze nie wie!

To rzekłszy opowiedział on jej pokrótce losy radcy i prokurzysty, o ile mu dotychczas były wiadome.

— Znalazłem w grobowcu zamku Wildenfels trupa, którego morze tam rzuciło! — zakończył on. — Według mego przekonania, był to nieszczęśliwy radco. Zwłoki jego są tak jednak zmienione, że za dowód zbrodni służyć nie mogą!

Pani Martens załamała rozpaczliwie ręce i wybuchła głośnem płaczem i szlochaniem.

— Stwierdzono, że radca opuścił zamek Wildenfels i wyjechał ze stolicy! — ciągnął Greif dalej. — Wiele osób to widziało i poświadczyło. Jest to jednak bezwątpienia złudzeniem. Rolę radcy grał tu ktoś inny, którego ja także znam!

— Mój kolega Winter odkrył to oszustwo, lecz został przytem, tak zbity, że do dzisiejszego dnia leży chory!

— Jeżeli tak, to hrabina Gertruda albo kłamała, albo sama została okłamaną! — przerwała mu pani Martens spiesznie. — Mówiła ona mi bowiem, że radca był w Paryżu i tam ją odwiedził!

Greif zamilkł. Jeżeli by to dowiedziono, to w takim razie upada jego podejrzenie i jego przekonanie o winie Sinobrodego!

— Nie wierzę w to! — rzekł on jednak. W każdym razie nie uda się hrabiemu Sinobrodemu dać dowodu nato!

— Mój Boże! W cóż ja mam wierzyć? — zawołała pani Martens. — Hrabina Gertruda mówi to przecież z taką pewnością!

— Jedno pytanie! — przerwał jej Greif — Czy pani znała poprzednio hrabinę Gertrudę dokładnie?

— Naturalnie! Tak jak moje własne dziecko!

— Czy znajduje pani, że się hrabina teraz zmieniła pod względem swego usposobienia i postępowania?

— Niestety, bardzo nawet! — rzekła stara rozgoryczona. — Mąż jej całkiem ją zepsuł. Nie ma ona teraz ani odrobiny serca i uczucia. Gdy ją słyszę mówiącą, to mi się rzeczywiście nieraz zdaje, że to nie ta sama, tylko jakaś obca!

Wokoło ust detektywa drgnął jak gdyby uśmiech. Oczy jego zabłysły tryumfująco.

Nie zdradzał się jednak ze swojemi myślami.

— Jak sobie pani tłumaczy tę dziwną zmianę? — badał on dalej.

Pani Martens wzruszyła ramionami.

— Nie wiem! — odpowiedziała ona zakłopotana. — Mówią, że się ludzie przez sła-

bość, albo inne powody zmienić mogą, lecz w tym wypadku nie jest mi to wytłumaczone!

Pytając jeszcze dalej, dowiedział się Greif o tej dziwnej scenie z psem, który Betlinę tak nieprzyjaźnie przywitał, a którego hrabia Sinobrody chciał zastrzelić.

Od tego czasu nie wypuszczamy psa z pokoju! — zawołała pani Martens — z obawy, aby hrabia groźby swej nie spełnił!

Zawołała ona teraz psa, który strzegł w sąsiednim pokoju śpiące dziecko. Zwierzę zawarczało wprawdzie na widok obcego człowieka, uspokoiło się jednak zaraz, gdy je ten ostatni po głowie pogłaskał i kilka słów przemówił.

— Jest to dla mnie niezrozumiałe, że pies ten nie poznał swej pani — zawołał stara gospodyni — i że hrabina ulubionego swego psa nie poznała!

— Jest to dostatecznym dowodem, że to wogóle nie jest hrabina Gertruda! — odpowiedział Greif tonem przekonania. — Obserwuj ją pani teraz dobrze, a przyjdzię pani do tego samego przekonania!

Gospodyni popatrzyła na niego wzburzona.

—To nie jest hrabina Gertruda? Boże wielki, co pan chce przez to powiedzieć? — To, że prawdziwa hrabina już nie żyje, a że ta, która jej rolę tu odgrywa, jest wyrafinowaną jekąś oszustką!

Pani Martens padła na krzesło z okrzykiem najwyższego zdziwienia i patrzała śmiertelnie blada to na detektywa, to na młodą swą przyjaciółkę, która słowom, Greifa mimowoli przeklaskiwała.

— To podejrzenie i ja już nieraz miałam! — rzekła ona.

— Wielki Boże! — krzyknęła Martensowa zrywając się. — To być nie może!

— Przeciwnie, bardzo to możliwe!—odparł Greif. — Hrabia Sinobrody wyszukał sobie owa demoniczną hrabinę Gertrudę w Paryżu. Mam na poparcie podejrzenia tego różne dane i przekonany jestem, że mąż pani także znał prawdę — zwrócił on się do pani Hermann. — Niestety, usta jego zamilkły na wieki. Hrabia Sinobrody poznał wczas niebezpieczeństwo, i wczas męża pani zamordował, aby on mu nie mógł zaszkodzić!

— Nie mogę w to uwierzyć! — zawołała gospodyni wzburzona. — Moje oczy mnie przecież nie mogą ludzić! Przecież ja bym potrafiła odróżnić hrabinę Gertrudę od jakiejś obcej i chociażby ta jak najbardziej do niej była podobna!

— A przecież... mówi pani sama, pani Martens, że to jest prawdopodobne, co ten pan utrzymuje? — podjęła żona prokurzysty.

— Muszę osiągnąć pewność! Pójdę i wprost się ją zapytam! W tej chwili jeszcze! — to rzekłszy, chciała pani Martens odejść, lecz Greif ją zatrzymał.

— Na miłość Boską! Czy pani chce wszystko zepsuć? — zawołał on, mitygując ją. — Czy pani rzeczywiście myśli w ten sposób dojść do prawdy? Musi pani przeciwnie milczeć teraz i udawać, że pani o niczem pojęcia nie ma! Jeżeli które z nich tylko spostrzeże, że my coś przeczuwamy, to nie dojdziemy w żaden sposób do celu!

— Ale przecież coś stać się musi! — westchnęła pani Martens i padła znów na krzesło. — Wielki Boże, gdyby pan wiedział! Gdyby on jeszcze żył i teraz tu się zjawił!

— Na to niestety najmniejszej nadziei nie ma! — przerwał jej Greif. — Niech się pani więc do mojej przestrogi zastosuje i nic po sobie poznać nie da! Niech ich panie sama w tajemnicy obserwuje i służbę do tego przyuczy. Ja mam tu jednego detektywa, czy mogłaby go pani wziąć do domu w roli służącego?

— To niemożliwie! Tu przecież teraz hrabia rozkazuje!

— Znajdziemy już jakiś wykręt! — rzekł Greif. — Czyż brat pana radcy temi dniami nie przyjeżdża?

— Tak jest! — On już ma tu dziś wieczorem być! — potwierdziła pani Martens.

— Dobrze, pomówię z nim więc! Chcę go we wszystko wtajemniczyć!

Gdy Greif opuszczał obie kobiety, nadzieja jego znacznie się podniosła.

Tego samego dnia przyjechał późnym wieczorem brat radcy, lecz nie zajechał wprost do willi, tylko do jednego z pierwszorzędnych hotelów miasta.

W tym samym hotelu mieszkał także i Greif Nie był wtedy w domu, a gdy się po powrocie swym o tem dowiedział, było już zapóźno na wizytę u starego rosyjskiego obywatela.

Greif napisał kilka słów na wizytówce i dał ją kelnerowi z rozkazem oddania jej owemu panu nazajutrz rano.

Stary jegomość był właśnie na wychodnem, gdy mu kelner oddał kartkę detektywa. Treść jej była następująca:

"Proszę usilnie o posłuchanie, zanim się pan uda do willi pana radcy."

— Czego ten komisarz policyjny odemnie chcieć może? — zapytał obywatel zdziwiony.

Dał jednak kelnerowi zlecenie, aby Greifa natychmiast do niego sprowadził.

Po kilku minutach zjawił się detektyw i zo-

baczył przed sobą wysokiego, tęgiego mężczyznę o ciemnym zaroście, który wyglądał zupełnie na bogatego szlachcica. Nie był jednak nic do radcy podobny i wyglądał dużo młodszy od niego.

— Czy to pan Wendland, właściciel dóbr? — zapytał go Greif uprzejmie.

— Tak jest, nazywam się Wendland, Teodor Wendland! — odparł on spokojnie i popatrzył badawczo na detektywa. — Czy pan mi coś ma do powiedzenia, panie komisarzu?

— Coś bardzo ważnego nawet! Czy pan wie, że brat pana, radca, znikł bez śladu?

— Tak jest! doniesiono mi to sądownie przed niejakim czasem, a że mnie interesa moje sprowadzają właśnie w te strony, chciałem zobaczyć co się tu dzieje i czy się brat mój tymczasem znów nie zjawi!

—Nie! Pan radca znikł widocznie na zawsze i nigdy więcej nie wróci! On prawdopodobnie już nie żyje!

— Wielki Boże! — krzyknął obywatel przerażony. Więc ja go już nigdy więcej nie zobaczę? Czy wie pan na pewno, że on już nie żyje?

— Chcę panu wszystko opowiedzieć co sam wiem i dlatego się do pana zgłosiłem!

Siądłszy obok niego, zaczął mu Greif całą sprawę od początku do końca opowiadać a obywatel rosyjski przysłuchiwał mu się z wzrastającem zdziwieniem i przerażeniem.

Gdy Grief skończył skoczył on z siedzenia i zawołał oburzony:

Relacye pana odkryły mi straszną zbrodnię, a wierzę panu wszystko, jakkolwiek okropnie to brzmi! Ten hrabia Sinobrody zamordował mego brata, a prawdopodobnie i moją siostrzenicę. Gertrudę. Przekonam się także, czy pan i w tem ma słuszność i czy to jest Gertruda czy też jakaś oszustka, którą hrabia za żonę swoją przedstawia!

— Radzę panu, aby pan był ostrożny i nie dał nic po sobie poznać! — odparł Greif. — Jeżeli pan uda, że nic nie wie, to najlepiej ich pan będzie mógł wybadać!

— Dobrze!—potwierdził obywatel skinieniem głowy. Posłucham rady pana. Hrabiemu chodzi o majątek mego brata, ale ja mu pokrzyżuję jego plany. On się przeliczy!

— Brat pański zrobił testament i zdaje mi się, że hrabina Gertruda jest jedyną jego spadkobierczynią.

— Prawdopodobnie! Brat mój wiedział, że ja jestem bogaty i nie potrzebował na mnie się oglądać. Ja nie mam żony ani dzieci, a majątek mój po mojej śmierci również ma spaść na siostrzenicę moją, Gertrudę!

— Sądzę, że hrabia Sinobrody też już na to spekuluje! — uśmiechnął się Greif.

— Czy testament ma być wkrótce otwarty? — spytał obywatel ciekawie.

O, to dopiero wtedy będzie możliwe, jak śmierć radcy będzie już ogłoszona! — odparł Greif. — Dotychczas uchodzi on tylko za zaginionego. — Hrabia Sinobrody nalega naturalnie na otwarcie testamentu!

— Ja się temu sprzeciwię! Zażądam, aby najpierw dano dowody śmierci mego brata! Potem będę żądał, aby mi dano dowody identyczności hrabiny Gertrudy. Zobaczę zresztą! Jeżeli to jest rzeczywiście moja siostrzenica, to ja to prędko odnajdę. Jeżeli ona nią nie jest, to ją niezwłocznie zdemaskuję!

— Niech pan nie lekceważy trudności, które panu w drodze stoją — ostrzegał go Greif. — Domownicy uznali damę tę jako hrabinę Gertrudę, będzie panu więc trudno odkryć prawdę.

To przemawia za tem, że ona jest przecież prawdziwą Gertrudę! — rzekł obywatel zamyślony.

— Po drugie musimy także rozważyć niebezpieczeństwo jakie panu grozi, jeżeli hrabia Sinobrody zamiary pana spostrzeże — ciągnął dalej Greif. — Będzie on się wszelkiemi siłami starał przeszkodzić poszukiwaniom pana i gotów pana spotkać los nieszczęśliwego brata!

— O, ja się będę miał na ostrożności! Pan mnie przecież dostatecznie ostrzegł!

— Jeżeli pan jednak chce rzecz tę zbadać! — rzekł znów Greif. — Wtedy grozi panu ciągłe niebezpieczeństwo. Dam panu więc radę. Niech pan weźmie ze sobą służącego, którego panu dostarczę!

— Po cóż mi ten służący?

Grief uśmiechnął się przebiegle.

— Nie ma to przecież być zwykły służący, tylko jeden z moich ludzi w roli lokaja.

— To co innego! W takim razie biorę go zaraz ze sobą, jeżeli mi go pan da!

— Dobrze! Zawołam tego człowieka, a pan mu może ślepo ufać i budować na jego czujności i zręczności!

Greif zadzwonił na kelnera i kazał mu zawołać Güntera.

Niebawem umówiono wszystko potrzebne i obywatel rosyjski pojechał z przebranym stosownie Günterem do willi.

Wiedziano tam już o jego przybyciu i hrabia Sinobrody wraz z Betliną na to był przygotowany. Nie przeczuwali oni jednak nic o

konferencyi jego z Greifem i nie wiedzieli jakiego niebezpiecznego wroga im ten bogaty wujaszek z Rosyi w przebraniu lokaja w dom sprawadza.

Stali oni oboje w oknie swoich apartamentów i patrzali ciekawie z poza firanek, gdy powóz przed portal zajechał.

— Ach, otóż on! — zawołał hrabia Sinobrody śmiejąc się. — Ten otyły z chłopską elegancyą przebrany mężczyzna.

— Doprawdy, to on być musi! — zawtórowała mu Betlina. — Wcale przyjemnie wygląda. Ja go sobie gorzej przedstawiałam i myślałam, że on dużo starszy. Ależ któż jest ten drugi, który z nim przyjechał? Ten okropnie wygląda!

— Jego służący — objaśniał jej Sinobrody. — Ten wygląda jak prawdziwy Rosyanin ze swoją długą brodą i futrzaną czapką w lecie. Komiczny człowiek!

— Chodźmy na dół i przywitajmy wuja!— radziła Betlina.

— Jak chcesz, mruknął Sinobrody. — Sądzę, że będzie z nim łatwa sprawa. Przymilaj się tylko do niego Betlino! Wiesz przecież, że on oprócz nas nie mo innych spadkobierców!

— Spuść się na mnie—, zaśmiała się kobieta. — Rozkocham tego niedźwiedzia tak w sobie, że on zrobi wszystko co ja od niego zażądam.

Sinobrody uśmiechnął się. Gorliwość jej bardzo mu była na rękę.

— Chodź więc — rzekł on—a jeżeli osiągniesz od niego to, co chcesz, jeżeli on zrobi swój testament, wtedy... precz z nim! Czy mnie rozumiesz?

CXXV.

BRANKI Z ZAMKU LEŚNEGO.

— Ulryku! Ulryku! — zawołała Agata przeraźliwym głosem. — Na pomoc! Chodźcie nam na pomoc!

Lecz stary szedł dalej spokojnie swoją drogą. Nie oglądał się nawet, gdyż był prawie głuchy i nie słyszał wołania Agaty.

— Ulryku! — krzyknęła ona raz jeszcze rozpaczliwie.

Daremnie. Teraz znikł on na skręcie.

— On mnie nie słyszał — jęknęła Agata i odstąpiła od okna. — Wielki Boże, co teraz? Czy my się z tego więzienia wydostaniemy, Delio?

Wierna służąca wyciągnęła rezolutnie swój sztylet.

— Słyszę, że ten łotr nadchodzi— rzekła ona wskazując na drzwi, gdzie z kurytarza słyszeć się dały kroki Fryca. — Ja go sztyletem swym zamorduję, jeżeli on nas dobrowolnie nie uwolni.

— Nie, nie, nie trzeba żadnego mordu! — krzyknęła Agata przerażona.—Proszę cię Delio, schowaj sztylet.

Wahająco usłuchała rozgniewana dziewczyna. Po chwili otwarły się drzwi i wszedł Fryc do pokoju. Słyszał on krzyk Agaty i przyszedł gniewny, aby jej nakazać spokój.

Lecz słowo zamarło mu na ustach, gdy zobaczył obie uwięzione kobiety ze stanowczą i groźną miną.

— Wypuście nas na wolność, albo my się przemocą uwolnimy! — krzyknęła Agata.

— Co? — zaśmiał się Fryc szyderczo i cofnął się ku drzwiom. — Spróbujcie tylko. — Jeżeli się spokojnie nie będziecie sprawowały, to zamknę wam okiennice i będziecie po ciemku siedziały.

— Nędzniku! — zawołała Agata oburzona. — Z Bożą łaską dostaniemy pomoc, a wtedy ty drżyj przed karą za swoje zbrodnie!

Fryc zaśmiał się znowu szyderczo.

W tej chwili przyskoczyła Delia do niego ze swoim sztyletem, lecz zwinny Fryc wysunął się szybko przez otwarte drzwi i nim Delia przeszkodzić mu wtem mogła, przekręcił on z zewnątrz klucz w zamku.

— Nie udało się — westchnęła Agata. — Drugi raz nie będzie już można spróbować, bo on nam się już więcej nie pokaże.

— Czekajcie, czekajcie! — zgrzytnął Fryc ze dworu, gdy trochę do siebie przyszedł. — Możecie tu bezzemnie z głodu zginąć, a ja do was już więcej nie wejdę. Czy się mam u licha dać zakłuć tej bronzowej czarownicy? Dziękuję.

To rzekłszy odszedł on z pode drzwi i zaczął się oglądać za Ulrykiem.

— Widocznie stary nic nie spostrzegł — mruknął on stroskany. — Tego mi jeszcze brakowało, aby on się w to wtrącił? Co jabym wtedy tu sam zrobił?

Drżał on ze strachu i przeklinał w duchu Ludwika, że go tu samego zostawił. Na upokojenie jego nie pokazywał się kasztelan przez cały dzień więcej.

Wiedział on też, że uwięzione jego uciec mu nie mogą, gdyż drzwi były silnie na klucz zamknięte, a okna zakratowane. Dla większego

bezpieczeństwa postanowił on jeszcze zamknąć okiennice i gwoździami je wzmocnić.

Poszedł do wozowni, aby poszukać narzędzi, ale nic nie znalazł i przez całą noc był niespokojny i nie mógł zasnąć. Siedząc na swoim łożu, przysłuchiwał on się wyciu wiatru, który świszczał około starych murów, jak gdyby głosy upiorów.

W komnatach obu kobiet panowała cisza i nawet nazajutrz rano nic się tam nie ruszało.

Fryc sporządził sobie rano śniadanie, a o uwięzionych swoich nawet nie pomyślał. Niech sobie giną z głodu. To miała być ich kara.

Około południa oczekiwał on Ludwika. Chodził niecierpliwie po podwórzu i wyszedł nawet tylną furtą do lasu. Daremnie jednak. Ludwik nie przyjeżdżał.

Wieczorem zaniepokoił się Fryc bardziej jeszcze. Co pocznie, jeżeli towarzysz jego w ogóle więcej nie wróci?

— Jeżeli on się do jutra rana nie zjawi, to i ja stąd ucieknę! — rzekł do siebie samego. — Sprawa ta zdaje mi się zanadto niebezpieczną.

Późno wieczorem usłyszał odgłos kopyt końskich i złapawszy latarkę, wybiegł szybko na dwór.

— Czy to ty, Ludwiku? — zawołał przyciszonym głosem.

— Naturalnie! Któżby to zresztą miał być? — odparł nowoprzybyły szorstko i zbliżył się do pytającego.

— Chwała Bogu! — zawołał Fryc ucieszony. — Gdybyś nie był przyjechał, to bym był jutro uciekł.

— To do ciebie podobne, ty tchórzu! Czy się tu co stało?

— Tak jest. One się obie chciały gwałtem na wolność wydostać. Ta Indyanka omal że mnie sztyletem nie przeszyła.

Ludwik uśmiechnął się szyderczo, lecz zasępił się sam, gdy mu Fryc opowiedział dokładnie scenę i o kasztelanie.

— Masz słuszność. Ta sprawa jest dla nas niebezpieczna — potwierdził on. — Skończy się jednak niebawem. Hrabina Walerya przybywa tu bowiem jutro.

— Czy ona chce zabrać obie uwięzione ze sobą?

— Nonsens! Ma ona inne zamiary. Chodź do środka a wszystko ci powiem!

Ludwik zaprowadził tymczasem konia do stajni i dał mu paszę. Potem wszedł z Frycem do zamku i obydwaj zasiedli do jedzenia.

Fryc wspomniał, że Agata i Delia od wczoraj nie dostały żadnego prowiantu.

— Musimy więc im natychmiast coś do jedzenia podać! — rzekł Ludwik. — Zagłodzić ich nie trzeba. Jesteś głupi Fryc. Mogłeś przecież podać im ich jedzenie przez okno, jeżeli się bałeś wejść.

— Dobrze ci mówić! Kiedy ta indyjska żmija i przez okno sztyletem swoim przebić mnie mogła! One teraz pewno mniej trochę dzikie, po całodziennym poście. Weź jednak dla ostrożności jakąś broń ze sobą, Ludwiku.

Hecht poszedł za jego radą. Fryc sporządził kolacyę i obaj udali się do apartamentów uwięzionych kobiet.

Stanąwszy pode drzwiami usłyszał Ludwik głośne szlochanie i lamenty. Była to Delia, która rozpaczającą swą panią pocieszała.

Ludwik odkręcił klucz i otworzył drzwi. Wzrok jego padł na Agatę, która siedziała w kącie kanapy, podczas gdy Delia u nóg jej klęczała.

Gdy się drzwi otworzyły, podskoczyła Delia na równe nogi. Z oczu jej błyskał gniew i nienawiść. Wyciągnęła ona znów swój sztylet i stanęła w wyzywającej pozycyi przed swoją panią.

Tylko spokojnie! Nie irytujcie się — przemówił Ludwik do niej. — Oto jest kolacya!

Fryc postawił kosz z jadłem na progu. Nie miał on odwagi wejść do środka.

— Oto znów ten drugi łotr! — krzyknęła Delia zwracając się do swojej pani. — Czy nas jeszcze chcecie dłużej tu więzić? — Zwróciła się do Ludwika.

Wtem podskoczyła Agata i zwróciła się do obu towarzyszy.

— Wyście mnie i moją służącą nikczemnie oszukali i w siecie swoje zwabili — rzekła ona do Ludwika drżącym, gniewnym głosem. — Po cóżcie o uczynili i co z nami dalej chcecie począć? Odpowiedzcie mi na to!

Ludwik podskoczył ku drzwiom. Uśmiechnął się też szyderczo i podstępnie.

— Chcę pani powiedzieć prawdę pani hrabino! — oświadczył on. — Działałem ze zlecenia innej osoby, łatwo się pani domyśli, kto ta obca jest!

— O, ja przeczuwam, że jesteście w służbie mojej szatańskiej nieprzyjaciółki, Waleryi! — zawołała Agata przerażona.

— Zgadła pani! — zaszydził Ludwik. — Tak jest, hrabina Walerya przeznaczyła pani ten pobyt.

— A czyż wy nie macie sumienia? Czyż nie wiecie, jaką zbrodnię popełniacie wydając mnie

w moc tej demonicznej żmii? Czyż myślicie, że to zawsze zostanie tajemnicą? O ja mam nadzieję, że się mój mąż o życiu i pobycie mym dowie i że na ratunek mój pospieszy!

— Na to niech pani tylko nie liczy! — zaśmiał się Ludwik rubasznie. — Hrabia narazie o niczem pojęcia niema, a Walerya postara się już o to, by on się i na przyszłość o niczem nie dowiedział!

Chciał on odejść, lecz Agata go rozkazującym ruchem ręki wstrzymała.

— Czego pani jeszcze chce? — zapytał on szorstko.

— Przypuszczam, że macie obiecaną wielką nagrodę za to, coście zrobili! Czy zgadłam? — badała Agata.

— Tak jest! — potwierdził Hecht.

— Ilekolwiek wam Walerya za to dała, czy obiecała, to ja gotowa jestem dać wam dwa razy tyle, abyście mnie wraz z służącą moją na wolność puścili! — rzekła Agata.

— O ja nie wątpię w dobre chęci pani hrabiny! — szydził Ludwik z uśmiechem. — Nie wierzę jednak w to, aby pani była w stanie dotrzymać swą obietnicę!

— Owszem! A chociażbym na razie tyle nie posiadała, to mój mąż uzupełni z radością to, co będzie brakowało! — odpowiedziała Agata. — Ręczę też że żadna kara was nie spotka za to, coście mi dotychczas złego uczynili, jeżeli nas do stolicy zawieziecie!

Ludwik przekonany był o szczerości obietnic Agaty, lecz nie miał zamiaru zdradzić Waleryi. Niechciał on jej zguby, bo z przyszłości jej wiele się dla siebie spodziewał i obiecywał.

Dlatego sprzeciwiał on się gwałtownie prośbom Agaty, nawet gdy go Frye pociągnął za rękaw i szepnął mu:

— Powiedz tak!

Lecz Hecht nie zwracał na to uwagi i tak dalej ciągnął:

— Nie mogę pani pomódz pani hrabino! Nie wierzę też, abyśmy, to jest ja i przyjaciel mój mogli z tej sprawy wyjść bezkarnie. Hrabia Linderhof nie dotrzymałby z pewnością paninej obietnicy, a o nagrodzie już zupełnie mowy by nie było. Musimy się więc mieć na baczności. Może pani jednak ze samą hrabiną o tem pomówić, bo ona prawdopodobnie jutro tu przybędzie!

Agata zbladła ze strachu.

— Czyście ją o tem uwiadomili? — spytała ona drżącym głosem.

— Tak jest! — przyznał sie Ludwik. Cierpliwości więc do jutra!

— Jeszcze tylko jedno słowo! — błagała Agata.

— No, więc cóż? — spytał Ludwik niecierpliwie.

— Możecie ufać memu przyrzeczeniu! — zapewniała ona niesumiennego łotra. — Powiedzcie ile sami chcecie pieniędzy, a za kilka dni z pewnością sumę tę otrzymacie, jeżeli tylko list mężowi memu wręczycie! Czy chcecie?

— Nie, nie. Pod żadnym warunkiem! — opierał się Ludwik uparcie.

Wyszedł on spiesznie i zatrzasnął drzwi za sobą.

— To była ostatnia moja deska ratunkowa — mruknęła Agata zrozpaczona. — Teraz jesteśmy stracone, biedna Delio. Ta dyablica tu przybywa i pewno śmierć nas z jej ręki czeka!

Tymczasem siedzieli obaj towarzysze znów w swoim pokoju. Frye nie był zadowolony z postępowania Ludwika i bezustannie gderał i krytykował.

— Głupota z twojej strony, żeś tak stanowczo propozycyę hrabiny Agaty odrzucił! — krzyczał on. — Cóż byś na tem był stracił, gdybyś list jej rzeczywiście hrabiemu doręczył? Nie! A ręczę, że ona by nam obiecaną nagrodę rzeczywiście zapłaciła.

— Może być! — odparł Ludwik gniewnie. — Ale ty nie obliczasz i nie obmyślasz jakie skutki to by dla hrabiny Waleryi mieć mogło!

— Cóżeś ty odrazu taki czuły i troskliwy dla dawnej swej żony? — szydził Frye. — A tak niedawno jeszcze poprzysiągłeś jej zemstę! Czyś już zapomniał że ona na życie twoje czyhała i żeś omal nie padł ofiarą, jej nienawiści i mściwości?

Ludwik zmarszczył brwi i odrzucił towarzysza swego ponurem spojrzeniem.

— Czasy się zmieniły! — rzekł on oschle. — Uznałem że z większą korzyścią dla mnie jest żyć z żoną moją w przyjaźni, niż w otwartej wojnie.

— Hm! — szydził Frye dalej. — Obawiam się tylko, że z tego nie będziesz miał korzyści, bo zanadto żonie swojej ufasz. Ona zaś potrzebuje twych usług i obiecuje ci za to złote góry, ale to tylko obiecanki cacanki, a głupiemu radość! Ta sprawa w którąśmy się teraz wdali, może nas poprowadzić na szubienicę.

— A co za korzyści z tego mieć będziemy? Ręczę że ani centa nie zobaczymy!

— Masz więc chęć zdradzić Waleryę i wypuścić hrabinę Agatę na wolność, co?

— Tak jest, bo jestem przekonany, że to by było naszem szczęściem!

Ludwik zaśmiał się głośno i szyderczo. Po-

tem zbliżył się on do swego towarzysza i rzekł z naciskiem:

— Chcę ci dowieść Frycu, jaki jesteś osioł, że mówisz takie głupstwa! Najpierw wsadziłby nas hrabia Linderhorf natychmiast napowrót do kryminału, na jakie 8 do 10 lat. Po drugie wykryłoby się nasze włamanie u starego hrabiego i ta historya w tartaku leśnym, a za to dołożyliby nam dalszych 5 do 6 lat, a może i jeszcze więcej! To znaczy dosłownie dożywotnie więzienie. O nagrodzie obiecanej przez hrabinę Agatę, w chwili tej biedy nie byłoby naturalnie mowy. A ostatecznie, chociażby nam i milion dała, to cóżbyśmy za korzyść z tego mieli w więzieniu? Żadną! A teraz znasz chyba stan rzeczy?

Fryc drżał na samą myśl więzienia. Wywody jego towarzysza zrobiły na nim głębokie wrażenie.

Alеż hrabina obiecuje nam święcie, że nas żadna kara nie czeka — rzekł on półgłosem.

— Cóż jej to szkodzi mówić? — szydził Ludwik. — Obietnice nic nie kosztują! A chociażby naprawdę miała najlepsze chęci dotrzymania słowa, to myślisz że byłoby to w jej mocy uratować nas od kryminału?

— Nie mówże ciągle o kryminale! — oburzał się Fryc. — Na samą myśl o nim bowiem, zimne dreszcze mnie przechodzą!

— Nie bądź starą babą, która się boi upiorów! Chciałem ci tylko jasno wytłumaczyć, po której stronie jest nasza korzyść! — Spodziewam się, żeś zrozumiał!

— No, tak! — mruknął stary hultaj wahająco. — Gdybym tylko był przekonany, że twoja żona sobie z nami uczciwie postąpi i że będzie za to wdzięczna!

— Tym razem z pewnością na to liczyć możemy!

— Hm! Ja jeszcze w to wątpię!

— Nie, nie! Bądź spokojny! To leży w jej własnym interesie, aby nam słowa dotrzymała, bo my przecież jej los w swoim ręku mamy!

Fryc uspokoił się nieco.

Więc żona twoja obiecała nam za tę przysługę 50.000 marek — rzekł on po chwili milczenia. Drugie tyle ma zapłacić za akt ślubny. Rozumie się, że to idzie między nas na równe połowy. Może się jeszcze coś więcej da wyciągnąć?

— Pewno! — potwierdził Ludwik z nieznacznem szyderstwem, a w duchu pomyślał:

— Ty głupcze, nic z tego nie dostaniesz!

— Co twoja żona chce właściwie zrobić z hrabiną Agatą? — badał Fryc dalej.

— Tego nie wiem!

— Czyż ona cię w twoje plany nie wtajemniczyła?

— Nie! Chce ona sama tu przybyć i tu dopiero pewno coś stanowczego zadecyduje. — Chce ona pomówić z hrabiną Agatą i od tej konferencyi pewno też dużo będzie zależało.

— No, wszystko mi jedno! — rzekł Fryc wreszcie. — Będę zadowolony, gdy się ta sprawa już raz ukończy i gdy stary kasztelan nic nie spostrzeże.

— Jeżeli nam stary w drogę wejdzie, to krótką sprawę z nim zrobimy! — oświadczył Ludwik stanowczo. — Od tego bowiem zależy nasze własne bezpieczeństwo!

— Naturalnie potwierdził Fryc. — Trzebaby było w takim razie starego uwięzić.

— Albo go ze świata sprzątnąć, gdyby tego potrzeba wymagała — uzupełnił Ludwik.

Fryc skrzywił się mocno, lecz nic już na to nie odpowiedział.

Do późnej nocy siedzieli jeszcze obaj towarzysze przy winie, które w piwnicy odkryli i ciężko upici ułożyli się do snu.

Następnego dnia przybyła Walerya. Ludwik czekał na nią od pewnego czasu i otworzył jej bramę.

—Czy wszystko w porządku? — zapytała ona krótko, wychodząc z powozu.

— Tak jest! Proszę wejść! — była krótka odpowiedź Ludwika.

Walerya kazała woźnicy czekać. Potem weszła przez bramę, którą Ludwik znów na klucz zamknął.

— Gdzie są nasze uwięzione? — spytała Walerya, patrząc na ponure mury zamczyska.

Ludwik wskazał na zakratowane okna, a Walerya skinęła zadowolona głową i weszła najpierw do pokojów przez Ludwika zamieszkałych. Zastała tam też Fryca.

Ukłonił się on Waleryi uniżenie. Ona skinęła chłodno głową i zwróciła się znów do Ludwika.

— Jak tam z kasztelanem? Czy on niczego nie spostrzegł? — zapytała ona.

— Dotychczas jeszcze nie!

— Dobrze! A hrabina Agata? Jak się ona znajduje? Czy ona wie w czyjej jest mocy?

— Tak jest, powiedziałem jej to! Ona nas chciała przekupić, abyśmy ją na wolność puścili i obiecywała nam wielką nagrodę za to.

— Taaak! — uśmiechnęła się Walerya szyderczo i zmierzyła obu towarzyszy przenikliwem spojrzeniem. — Cóżeście jej na to odpowiedzieli?

— Możesz sobie pomyśleć! — zawołał Ludwik. — Odmówiliśmy po prostu!

— Czy ona wie, że ja miałam przyjechać?

— Tak jest! Czy chcesz z nią pomówić?

— Naturalnie! Po to przecież przyjechałam! Muszę się przekonać, czy to rzeczywiście hrabina Agata, którąście przyłapali!

— Czy myślisz może, że cię chcemy oszukać? — rzekł Ludwik obrażony.

— Zaprowadź mnie do niej — rzekła Walerya zimno.

Ludwik poszedł naprzód, aby otworzyć drzwi, potem puścił Waleryę naprzód, a sam za nią się wsunął.

Agata znajdowała się z Delią w drugim pokoju. Słyszały one obie przyjazd Waleryi i wiedziały co je czeka.

Agata wyszła naprzeciw swej nieprzyjaciółki z miną wyrażającą wstręt i pogardę.

Walerya uśmiechnęła się tryumfująco i zaczęła szyderczo:

— Widzisz moja kochana, że zwycięstwo tym razem przecież po mojej stronie! Z przepaści cudem się wyratowałaś, lecz z moich rąk już się teraz nie wyrwiesz!

— Wiem, że na twoją litość liczyć nie mogę, ty dyablico! — odpowiedziała Agata z godnością i spokojem. — Chociażbym jednak padła ofiarą twojej nikczemności, to jest przecież Bóg na niebie, przed którego sąd kiedyś stanąć będziesz musiała, ty nędzna istoto!

— No, no! — szydziła Walerya. — Zobaczymy zresztą. Bóg cię wiele razy już uratował. Dał ci przecież uciec przed katem, z Indyi ci powrócić pozwolił i nawet z przepaści cię wyciągnął! Masz wszelki powód być zadowoloną ze swego Boga.

Ludwika bawiło to bezbożne bluźnierstwo jego żony. Uśmiechał się więc ironicznie.

— O, ty niesumienna kobieto! — zawołała Agata oburzona. — Szydź sobie z Boga, dopóki Jego ręki na sobie nie poczujesz! Chociażby ci ludzie nic uczynić nie mogli. On cię zmiażdży za twoje wielorakie zbrodnie. Do tego czem jesteś, doszłaś tylko przez wyrafinowane okrucieństwo i szatański postęp! — Nie myśl, że to ci bezkarnie ujdzie. Umarli wstaną, aby cię oskarżyć. Najpierw zamordowałaś mego męża i rzuciłaś na mnie podejrzenie. Potem uczyniłaś to samo z współwinnym z tobą Jakóbem...

— Ach, proszę cię, przestań z temi staremi historyami! — przerwała jej Walerya gniewnie. — Ja o tem wszystkiem wiem i wcale się tego nie wypieram. Tak jest: Wytransportowałam na drugi świat twego męża, barona Rambowa... zupełnie mimo mej chęci i woli! Ten głupiec... wypił on truciznę, dla ciebie przeznaczoną!

— O ja to oddawna przeczuwałam, że to był właśnie zamach na mnie.

— Słusznie! A że mi się plan nie udał, to zemściłam się przynajmniej w ten sposób, żem winę na ciebie zwaliła. Lecz dość o tem. Musimy teraz pomówić o teraźniejszości i o przyszłości.

Z temi słowy przystąpiła Walerya do Agaty i ciągnęła zajadle dalej:

— Mam los twój w swoim ręku, lecz chcę ci darować życie i wolność pod warunkiem że wrócisz do Indyi i nigdy więcej znaku życia o sobie nie dasz!

Agata popatrzyła na nią zdziwiona. Tego się po niej nie spodziewała.

Walerya nie dała jej jednak czasu do odpowiedzi.

— Widzę żeś zdziwiona moją propozycyą — ciągnęła ona dalej. — Spodziewałaś się odemnie czegoś gorszego. Lecz ja cię chcę oszczędzić. Chcę tylko osiągnąć swój cel, i mieć spokój od ciebie. Hrabia Edmund myśli, że ty już nie żyjesz, a ty chcesz się mu teraz ukazać i wszystkie moje plany pokrzyżować i zniweczyć na nowo miejsce u boku swego męża, który jest także moim obecnie.

— Naturalnie, że to chcę, ty haniebne przewrotne stworzenie! — zawołała Agata, pieniąc się z gniewu i oburzenia. — Czyż nie mam prawa do tego?

— Pewno że nie! — Nie zapominaj, że jesteś w mojej mocy — przerwała jej Walerya. Jeżeli nie przystaniesz na moje warunki, to nie wyjdziesz żywa z tego miejsca! — dodała ona grożąco.

— Warunki? — powtórzyła Agata z gorzką ironią. — Tak jak gdyby między tygrysem a jagnięciem mogła być mowa o warunkach. — Chcesz śmierci mojej, ja wiem o tem!

— O nie wierzaj mi! — Jeżeli na warunki moje się zgodzisz, to ci się nic nie stanie!

— Nie, na to się nigdy nie zgodzę — zawołała Agata z rozpaczliwą stanowczością. — Nie wierzę twoim obietnicom i jak długo żyję, nie przestanę pracować na twoją zgubę. — Nie spocznę dopóki cię nie zdemaskuję, i katu w ręce nie oddam.

— Namyśl się jeszcze — syknęła Walerya wściekle. — Wiesz przecież że jedno skinienie mojej ręki tylko, a zginiesz niechybnie!

— Moje życie jest w ręku Boga i spodziewam się, że on mnie i tym razem ochroni.

— Daremna twoja nadzieja! Dla ciebie nie ma więcej ratunku. Czy wiesz, gdzie jesteś?

— Nie! Widzę jednak, żeś na więzienie moje obrała miejsce oddalone od ludzi i ich mieszkań.

— Naturalnie! Jest to zamek leśny należący do twego męża, ten sam, w którym się odbyło twoje wesele z nim — szydziła Walerya.

— Przeczułam to, gdym starego Ulryka zobaczyła.

— Dobrze! Wiesz więc, że nie masz co liczyć na obcą pomoc. Kasztelan ani palcem dla ciebie nie ruszy, bo on jest mi wiernie oddany. Jest on mojem narzędziem i ślepo mi jest posłuszny — rzekła Walerya chytro. — No, czyż zawsze jeszcze odrzucasz moją propozycyę?

— Tak jest! I ani słowa z tobą więcej nie zamienię nikczemnico! — zawołała Agata pogardliwie.

— O, czy myślisz może, że ja się nie odważę groźby swe wypełnić?

— Owszem. Zupełnie w to nie wątpię. Cóż u ciebie jeszcze jeden mord znaczy? Ty, która nie masz serca, ani sumienia.

— Jeżeli to wiesz, to powinnaś się lepiej nad propozycyą twoją namyślić — rzekła Walerya chytrze. — Ja mam i dziecko twoje w mojej mocy.

— Moje dziecko? Mój mały Walter w twoich rękach? — krzyknęła Agata przeraźliwie. O Boże miłosierny! Weź ulubieńca mego w swoją opiekę!

— Słuchaj więc ostatnie moje słowo — rzekła Walerya ponuro i okrutnie. — Jeżeli się teraz żądaniu memu sprzeciwisz, to umrzesz nie tylko ty, ale i twoje dziecko. — No jakaż jest teraz twoja decyzya?

Agata padła na krzesło blada i złamana. Z twarzy jej biła szalona trwoga i rozpacz. W bezdennej rozpaczy załamała ona ręce i lamentowała:

— Moje dziecko! Chcesz zamordować moje biedne niewinne dziecko, ty dyablico! — Co ci to biedne stworzenie zrobiło?

— Nic! Jest mi tylko w drodze tak samo jak i ty — odrzekła Walerya zimno.

Biedna, zmaltretowana młoda matka zaczęła okropnie szlochać. Zsunęła się wreszcie do nóg znienawidzonej swej nieprzyjaciółki i objęła jej kolana.

— Miej litość! — błagała wśród łez. — Oddaj mi moje dziecko, a zrobię wszystko co zażądasz!

Walerya spojrzała szyderczo i tryumfalnie na zrozpaczoną u nóg swych kobietę. W skamieniałej twarzy nie było ani cienia litości.

— Twoje dziecko zostaje w mojej mocy jako zakładnik — oświadczyła ona ostro. — Ja muszę przecież mieć jakąś gwarancyę, że ty obietnicę swą dotrzymasz i nie pospieszysz wprost do swego męża, gdy cię na wolność puszczę.

— Ja bez dziecka swego do Indyi nie wracam.

— Musisz to uczynić jeżeli nie chcesz natychmiastowej śmierci swojej i swego dziecka. — Jeżeli wrócisz do Indyi i stamtąd mi napiszesz, to ja ci dziecko twe tam poślę. — Gdybyś jednak w tym czasie podejść mnie próbowała, to mały Walter mój zginie w chwili, gdy się o tem dowiem. — Zastosuj się więc do tego!

— Bądź miłosierna, Waleryo — jeknęła Agata. — Daj mi moje dziecko, a przysięgam ci...

— Dość tego — przerwała jej Walerya gwałtownie. — Albo uczynisz to, co ja ci każę, albo umrzesz wraz z twojem dzieckiem.

Nastąpiła teraz ponura pauza. Agata podniosła się z trudnością kolan, a w twarzy jej odzwierciadlała się okropna wewnętrza walka, trwoga i rozpacz. Blizka omdlenia, padła ona na krzesło.

Delia objęła swoją panią i szeptała jej pocieszające słowa do ucha, rzucając na Waleryę niszczące nienawistne spojrzenia. Prawa jej ręka chwyciła za sztylet, który miała w kieszeni. Miała ona nieprzezwyciężoną chęć rzucić się na Waleryę i wepchnąć jej sztylet w serce.

Walerya spostrzegła zamiary Delii, lecz uśmiechnęła się pogardliwie, mając Ludwika u boku. Szepnęła ona mu słów kilka przestrogi i zwróciła się potem znów do Agaty.

— Dam ci jeszcze pół godziny do namysłu — rzekła ona — i muszę znać twą decyzyę nim zamek ten opuszczę.

Odwróciła się i wyszła szybko z pokoju.

Agata zerwała się z krzesła i krzyknęła za nią:

— Znasz już moje postanowienie. A teraz rób, co chcesz!

Walerya odwróciła się z ponurą i groźną miną.

— Więc ty nie chcesz zniknąć stąd na zawsze — syknęła ona.

— Nie! Zamorduj mnie, tak jak zamordowałaś mego pierwszego męża i tę drugą swoją ofiarę. Bóg ochroni moje dziecko przed tobą i szatańską twą mściwością. Mój mąż będzie czuwał nad życiem małego ulubieńca.

— Twój mąż? —szydziła Walerya. — O, on ma dziecko już za umarłe! Jest ono w zupełnej mojej mocy. Oddałam go pod opiekę, którą dla niego za stosowną uważałam. Zresztą on żyje w nędzy i biedzie.

— Boże wszechmocny! — jęknęła Agata boleśnie. — Mój biedny Walter w nędzy?

Walerya zaśmiała się demonicznie.

— Tak i umrze w nędzy — zgrzytnęła ona zawistnie. — On, spadkobierca niezliczonych bogactw i dumnego tytułu hrabiowskiego.

Wściekła z gniewu za to, że się Agata chytrej propozycyi jej oparła, wybiegła Walerya z pokoju.

Ludwik zamknął drzwi za sobą na klucz i oboje teraz weszli do przeciwległego pokoju.

Walerya zaczęła chodzić tam i napowrót po pokoju. Była ona tak wzburzona, że się obaj towarzysze za nią z trwogą patrzeli.

Cóż za dyabelski plan powstawał teraz w głowie tej demonicznej kobiety?

— Gdyby mi się udało doprowadzić ją do tego, aby się na plan mój zgodziła — mruknęła Walerya jakby do siebie. — Ale chyba że nie ma nawet co drugi raz próbować.
dzę, że nawet nie masz zamiaru wypuszczenia jej na wolność!

— Nie to wcale zamiarem moim nie było! Ona mnie widocznie przejrzała!

— Pocóżeś jej więc propozycyę tę zrobiła, jeżeli tego seryo nie myślałaś?

— Aby zaufanie jej przezwyciężyć!

Ludwik potrząsł głową, nie rozumiejąc o co Waleryi właściwie chodziło.

— Ja tak myślałam! — rzekła ona na wytłumaczenie. — Wy obydwaj bylibyście odwieźli hrabinę wraz ze służącą jej powozem. Niedaleko stąd jest bardzo głębokie strome urwisko, pod którem płynie rzeka.

— Cóż dalej! — spytał Ludwik gdy ona umilkła.

— No, bylibyście popędzili konie z wozem tak, aby się z urwiska tego w dół stoczyły i koniec na tem!

Ludwik i Fryc spojrzeli po sobie wieloznacząco.

— A gdyby później znaleziono powóz z końmi i obatrupy na dole? — rzekł Ludwik zamyślony.

— Wtedy pomyślałby każdy, że to jakiś nieszczęśliwy przypadek! Niktby trupów nie poznał, bo odkrytoby je przecież dopiero po długim czasie!

— Kiepski plan! — mruknął Ludwik.

— Toby się teraz już wykonać nie dało! — rzekła Walerya. — Bo hrabina i służąca jej przemocą by się tylko dały wyprowadzić... narobiłyby hałasu i sprowadziłyby nam kasztelana na kark. Mogłoby się także jeszcze po drodze coś zdarzyć. Trzeba się teraz wziąć do innych środków!

Powiedziałem ci już raz, że ty w tej sprawie więcej na nas liczyć nie możesz! — przerwał jej Ludwik.

— Na ciebie nie—uśmiechnęła się ona pogardliwie — ale twój przyjaciel może będzie mniej skrupulatny. — Czyś mu jeszcze o planie mym nic nie powiedział?

— Nie! — odrzekł Ludwik krótko. — Wiem, że to byłoby daremne!

Walerya wzruszyła ramionami i zbliżyła się do Fryca, który się dotychczas trzymał na uboczu.

—Wiecie przecież o co chodzi, mój przyjacielu! — rzekła ona uprzejmie. — Chcę się pozbyć tych uwięzionych kobiet... one nie śmią doczekać jutrzejszego dnia.

— Czy chcecie sobie zarobić nagrodę, powiedzmy 50.000 marek?

Ludwik popatrzył na swego towarzysza z szyderczym uśmiechem, jak gdyby z góry już znał jego odpowiedź.

I rzeczywiście zrobił Fryc okropnie przestraszoną twarz. Obiecana nagroda drażniła jego chciwość. Lecz podwójny mord? Nie, tego on w żaden sposób na siebie wziąć nie mógł!

Jestem gotowa podwyższyć sumę! — zachęcała go Walerya. — Dam dwa razy tyle! Chcesz?

— Pani hrabina wybaczy — jęknął Fryc, któremu z wewnętrznej walki aż pot na czoło występował. — Ja nie mogę!

— Nonsens! Nie bądźcie tchórzem! — zawołała Walerya niechętnie — 100.000 marek! Zważcie, że wam się drugi raz w życiu taka sposobność nie nadarzy, tak łatwo tyle pieniędzy zarobić!

Fryc nie wiedział, co ma począć i popatrzył bezradnie na Ludwika.

— Gdyby on się zgodził, to i jabym nie powiedział nie! — mruknął on wahająco.

— Słyszysz? — zwróciła się Walerya do swego godnego małżonka. — Przyjaciel twój się na to zgadza! Nie namyślaj się więc też długo... we dwójkę łatwo to zrobicie. Tu macie proszek, wsypcie jej to do jedzenia, albo napoju... i rzecz skończona!

Wyjęła z kieszeni małą paczkę i położyła ją na stole.

— No, cóż? Czyście zdecydowani? — zapytała ona z demonicznie błyszczącemi oczyma. — Bo inaczej znajdę sobie kogo innego, co się nie będzie tak wzbraniał.

— Zrobimy to! — odpowiedział Fryc szybko.

— Bezzemnie! — mruknął Ludwik. — Oto jest trucizna, weź ją Fryc. — Ty i tak sporządzasz jedzenie i zanosisz je im!

— O nie, ja sam bez ciebie nic nie zrobię! — wzbraniał się Fryc stanowczo.

Walerya przerwała tę sprzeczkę. Osiągnęła ona swój cel i nie chciała pobytu swego tu przedłużać.

Ułóżcie się między sobą jak chcecie! — rzekła ona. — Ja wracam do stolicy, a gdy one obie zginą, to mię o tem uwiadomisz, Ludwiku! Przybędę tu wtedy raz jeszcze aby się o tem przekonać.

— Hm, a jakżesz z pieniądzmi! — zapyta Ludwik badawczo. — Kiedyż my naszą nagrodę dostaniemy?

— Niezwłocznie po ich uśmierceniu!

— Dobrze! Ale dotrzymaj słowa! — upominał ją Ludwik.

Walerya skinęła i wyszła aby wsiąść do swego powozu. Odwróciła ona głowę i spojrzała tryumfująco w stronę Agaty i Delii.

— Wasz los już zapieczętowany — szepnęła ona jakby do siebie samej

CXXVI.

NA TROPIE.

Teraz niebezpieczeństwo już przeszło, musi się pan jednak jeszcze przez długi czas szanować i bardzo spokojnie żyć! — rzekł doktór Kloc do detektywa Wintera, który siedział wyprostowany na swojem łóżku.

Wyglądał on jeszcze bardzo blady i cierpiący, ale oczy jego świeciły już energią i nową odwagą do życia.

Tuż przy nim stała Katynka ze swoim ojcem a twarze ich rozjaśnione były szczęściem. Uratowanie Wintera wydawało im się cudem. Był on teraz w rekonwalescencyi, a serca przyjaciół jego biły żywiej radością.

— Więc jeszcze wiele spokoju! — powtórzył doktór ostrzegająco. — W innym razie bowiem za nic nie odpowiadam. Może pan jutro wstać na godzinę, ale nie na dłużej. Za tydzień wyjedziemy przy dobrem powietrzu po raz pierwszy na spacer.

— Nie przedtem? — zapytał Winter niecierpliwie. — Ja nie mogę dłużej w pokoju wysiedzieć i czuję się przecież już zupełnie zdrów, kochany panie doktorze! Niech pan tylko rozważy, jakie mnie obowiązki czekają!

— Nonsens! Jedynem zadaniem pana jest teraz przyjść do sił i zupełnie wyzdrowieć!

Winter westchnął i wziął do rąk leżący obok niego list Greifa. Wiedział on z niego o wszystkiem co się w międzyczasie zdarzyło.

Musiał więc i nadal jeszcze siedzieć bezczynnie i przypatrywać się, jak kolega jego Greif ciemną tę sprawę rozświeca i rozplątuje.

Śmierć prokurzysty bardzo Wintera dotknęła. Nie wątpił on ani na chwilę o tem, że hrabia Sinobrody był jego mordercą. Widział jednak jasno, że nie będzie mu tego można udowodnić.

Najwięcej jednak zdziwił się Winter tej wiadomości Greifa, tyczącej się nagłego pojawienia się hrabiny Gertrudy. Miała ona teraz być z mężem w swym domu rodzicielskim.

— Czy to naprawdę była Gertruda? Greif nie zamilczał swoje powątpiewania i niepewności Guentera. Była to więc i dla Wintera zagadka, nad którą łamał sobie głowę.

— Myślał on o rzeczach tych więcej niż mu stan zdrowia pozwalał. Był on jeszcze chory, mimo że się do tego nie przyznawał. Sprawa ta nie dawała mu spokoju.

— Gdybym i ja mógł zacząć nad tem pracować — mruknął on pod nosem.

— Wiesz przecież, że ta sprawa w dobrych jest rękach — pocieszała go Katynka.

— Jestem szczęśliwa, że ty teraz ręki w tem nie masz, bo musiałabym każdej chwili drżeć o twoje życie!

Wtem zapukano do drzwi i wszedł detektyw Braun.

Było to tego samego wieczora, gdy widział Waleryę wychodzącą z domu, w którym mieszkał mały Walter u wdowy "Fiołek."

Braun zwykł był od kilku dni już zdawać przełożonemu swemu Winterowi relacye ze swoich poszukiwań. Przybycie jego nie było więc niespodziane.

Opowiedział on natychmiast o spotkaniu swojem z Waleryą, a Winter także nie mało się zdziwił, co żona ministra w tak ubogiej i nędznej kamienicy wogóle robić mogła.

— To jest bardzo ważne, to pańskie odkrycie, panie Braun! — rzekł on. — Staraj się pan jeszcze teraz dowiedzieć, u kogo Walerya tam była?

— A co ze starym hrabią?

— Mieszka on jeszcze tam sam z Detlewem!

— A czy nie ma śladu z tych dwóch łotrów, którzy się do niego wtedy włamali?

— Znikli oni obaj ze stolicy! — rzekł Braun. — Niedużo brakowało, a byłbym ich przyłapał. Dowiedziałem się, że to byli ci obaj zbiegli z kryminału zbrodniarze. Ludwik Hecht i Fryc! Dwaj dobrzy nasi znajomi.

— Złapiemy ich jeszcze! — rzekł Winter, abym już tylko się tem mógł zająć!

— Dałby już Bóg! — rzekł Braum życzliwie. — Spostrzegłem jeszcze coś ważnego, mianowicie, że Ludwik Hecht ma styczność z hrabiną Waleryą.

— Co? Ten zbrodniarz z żoną ministra? — zawołał Winter zdziwiony. — Hm! Zdaje mi się że i ja już dawniej kiedyś o tem wiedziałem, pa mięć moja tak mię zawodzi. Czy pan nic o tem nie wie, panie Braun?

— Nie, panie komisarzu! Mnie pan przynajmniej nic o tem nie mówił.

— Cóż pan zresztą spostrzegł?

— Tego samego wieczora, gdy hrabia Linderhof wracał z żoną swoją z podróży, widziałem jeszcze o późnej godzinie Ludwika Hechta wchodzącego do pałacu. Poznałem tego łotra, mimo że się przebrał.

— Skąd pan jednak wnosi że odwiedziny jego tyczyły się hrabiny Waleryi? Może on chciał coś ukraść?

— O nie! Stałem w cieniu filaru obok małej furtki którą na jego zadzwonienie otworzono i słyszałem jak on się pytał, czy go pani hra bina oczekuje. Na to odpowiedział mu jakiś kobiecy głos... widocznie pokojówka... nie mogłem jednak słów jej zrozumieć.

— A co się dalej stało? — spytał Winter ciekawie. — Czy ona mu pozwoliła wejść?

— Tak jest! Czekałem po tem jeszcze całe dwie godziny, a on nie wracał. Widocznie wypuszczono go innym wychodem.

— I pan go od tego czasu więcej nie widział?

— Nie! dowiedziałem się tylko, że on wraz z Frycem stolicę opuścił. Dokąd jednak wyjechali, tego dotychczas nie wiem.

Winter zamyślł się na chwilę, potem rzekł jakby do siebie:

— Jest to jasne, że stosunki między hrabiną a Ludwikiem Hechtem nie są nowe i z dawna już datować się muszą.

Potem zwrócił się do Brauna i rzekł głośno:

— Postaraj mi się pan o akta tyczące się Ludwika Hechta. Chcę je przestudyować. Może tam jakiś punkt oparcia znajdę. Każ pan sobie także z kryminału przysłać dokładne relacye o tem hultaju. — Musimy dojść po nitce do kłębka. Jak zresztą stoją sprawy co do wykrycia zaginionego dziecka hrabiny Agaty?

— Dotychczas nie odkryto jeszcze śladu tego dziecka!

— Nie spuszczaj pan z tej sprawy z oczu — upominał go Winter. — Przypuszczam, że panna Marta słusznie podejrzywa hrabinę Waleryę o usunięcie tego dziecka. Ono jej było w drodze tak samo jak matka. Sprawa z Ludwikiem Hechtem wprowadza mnie na myśl, że ten hultaj może porwał to dziecko. W każdym razie trzymajmy się tego, jako punktu wyjścia w dalszych naszych poszukiwaniach.

Gdy Braun odszedł, rzekła Katynka, która się całej tej rozmowie milcząco przysłuchiwała:

— Czy nie byłoby na miejscu, abyś teraz hrabiemu Linderhof otworzył oczy, co do jego małżonki Waleryi, mój kochany? — Jeżeli mu opowiesz wszystko, coś się o demonicznej tej kobiecie dowiedział, to on obudzi się ze swego zaślepienia i obłudnicę tę ze wstrętem od siebie odtrąci.

Winter zaprzeczył ruchem głowy.

— Moje odkrycia zapóźno przychodzą i teraz już są bezskuteczne — rzekł on. — Co się stało, to się już przez zeznania moje nie odstanie. A zmieniła się zupełnie postać rzeczy. Gdyby hrabina Agata jeszcze żyła to byłoby co innego. Wtedy miałoby sens hrabiemu objaśnić, ale tak...

— Ależ czy te wszystkie zbrodnie mają hrabinie Waleryi ujść bezkarnie?

— To nie! Ale musimy najpierw odczekać dopóki nie będziemy mieli wszystkich dowodów przeciwko niej w ręku. — Spodziewam się dojść do tego w najkrótszym czasie.

Detektyw Braun wziął się nazajutrz według wskazówek Wintera do dalszej pracy. Udał się w pierwszym rzędzie do kamienicy w której mieszkała wdowa Fiołek, a że nie zastał wła ściciela domu, to udał się po informacye do zarządcy.

Zapytał się o tę obcą damę, która tu wczoraj wieczorem była, lecz zarządca nie widział Waleryi, nie mógł więc o niej nic powiedzieć. Nie domyślał się też wcale, kogo Walerya tu odwiedzać mogła.

Nie pozostawało więc Braunowi nic innego, jak tylko poruczyć któremuś z kolegów, aby dom ten miał na oku i podpatrzył, do kogo właściwie Walerya zachodzi, gdy się po raz dru gi tu zjawi.

Postanowił on też wysłać drugiego detektywa do pałacu hrabiego Linderhofa, aby uważał kiedy Walerya wyjdzie z domu i aby za nią podążył.

W ten sposób przeszło kilka dni. Winter zerwał się z łóżka, mimo że jeszcze był dość osłabiony. Nie miał on jednak cierpliwości siedzieć dalej bezczynnie i rwał się do pracy, mimo opozycyi Katynki i doktora.

Z aktów Ludwika Hechta dowiedział się on że łotr ten był ożeniony. Dyrektor więzienia więcej mu jeszcze o tem napisał. Winter dowie-

dział się też o tej dziwnej scenie, która się niegdyś między Waleryą a Ludwikiem Hechtem w obecności hrabiego Edmunda odegrała. Ludwik nazwał wtedy damę tę swoją żoną.

Jakby nagła błyskawica rozświetliło to odkrycie wszystkie niejasnści i wątpliwości Wintera.

Walerya była więc żoną tego, więzieniem karanego zbrodniarza Ludwika Hechta, zanim sobie hrabiego Linderhofa zdobyła, i żoną jego została. Z tego wynikało też, że po raz drugi zamąż wyszła, to jest, że małżeństwo jej z hrabią było nieważne.

Naturalnie nie myślał nawet Winter o tem, aby hrabiego natychmiast w zajmujący ten fakt wtajemniczać. Chciał najpierw dalej jeszcze badać i dowody zbierać. Dopiero z wszystkimi dowodami w ręku chciał on wystąpić ze skargą przeciwko Waleryi, dowieść jej wszystkie zbrodnie i zniweczyć ją kompletnie.

Pewnego wieczora wpadł Braun do jego mieszkania i zawołał bez tchu.

— Ludwik Hecht udał się teraz właśnie znów do hrabiny Waleryi!

Winter mocno był zdziwiony i namyślał się czy łotra tego zaraz przyłapać, czy dalej jeszcze obserwować. Zdecydował się wreszcie na to ostatnie.

— Wracaj pan na swój posterunek, panie Braun i nie spuszczaj pan z łotra tego więcej oka — rzekł on do swego podwładnego. — Musimy się koniecznie dowiedzieć o celu tych jego tajemnych odwiedzin u hrabiny Waleryi.

Braun pobiegł napowrót. Było to tego samego wieczora, którego Ludwik Hecht przyniósł żonie swej hrabinie Waleryi nowinę, o uwięzieniu Agaty i Deliii w zamku leśnym.

Wraz z kolegą swoim strzegł Braun oba wychody pałacu ministeryalnego. Mimo to jednak uszedł Ludwik wychodząc przez inną nieznaną detektywowi furtkę i mógł nazajutrz rano niespostrzeżenie wrócić do swoich uwięzionych.

W dzień potem wyjechała Walerya również rano do zamku leśnego. Nie udało się jej to jednak tak dobrze jak Ludwikowi. Braun spostrzegł ją i wyjechał za nią na dworzec. Tam dowiedział się już bez trudu dokąd Walerya odjechała.

Wrócił natychmiast do Wintera aby mu o tem opowiedzieć.

— Jedź pan za nią i obserwuj pan, co ona dalej pocznie — zadecydował Winter.

Żałował, że sam jeszcze jechać nie mógł. Słysząc jdnak nazwę miasteczka, przypomniał sobie Winter, że to było w pobliżu myśliwskiego zamku hrabiego Edmunda. On sam spotkał się już raz w miasteczku tem z hrabią i doktorem Klocem po weselu hrabiego i po zniknięciu Agaty.

Cóż Walerya teraz w tem miasteczku mogła robić. Czy miała zamiar udać się stamtąd do zamku leśnego? Poco jednak?

Myśl ta nie dawała Winterowi spokoju. Czekał on z niecierpliwością na wiadomości od Brauna.

Braun wyjechał do miasteczka tego następnym pociągiem. Walerya wyprzedziła go więc o pięć godzin i nie była już w miasteczku, gdy on tam przybył. Dowiedział się tylko tyle, że ona najęła konie i dalej pojechała.

— Nie mógł się wprawdzie dowiedzieć dokąd, domyślał się jednak że do zamku leśnego.

Zatelegrafował więc do swego przełożonego i prosił o dalsze instrukcye.

Nim jeszcze przyszła odpowiedź od Wintera, wróciła Walerya ze swojej wyprawy i zajechała do tego samego hotelu co Braun.

Detektyw widział ją, gdy wchodziła do gospody. Po krótkim czasie jednak wsiadła napowrót do powozu i wróciła na dworzec a stamtąd do stolicy.

Gdy powóz wrócił z dworca, wsunął Braun woźnicy talara w rękę i zapytał:

— Czy moglibyście mi powiedzieć przyjacielu, dokąd wyście ją poprzednio zawozili?

Woźnica uśmiechnął się tajemniczo.

— O ta pani musiała mieć jakąś miłosną schadzkę, bo kazała się zawieźć w głąb lasu, do jakiegoś samotnego zamku myśliwskiego — brzmiała odpowiedź jego.

— Hm! A czy nie był to przypadkowo zamek hrabiego Linderhofa?

— Tak jest, panie! — potwierdził woźnica — czy zna pan to stare zamczysko?

— Nie! — odparł Braun. — Słyszałem jednak, że tam teraz nikt nie mieszka.

— I ja tak myślałem, bo zawsze słyszałem że tam pró.. kasztelana nikogo nie ma. Dziś jednak widziałem tam jakiegoś obcego, bardzo eleganckiego wielkiego pana.

— Ach! I z tym panem dama ta schadzkę w zamku miała?

— Tak mi się zdawało panie!

— Czy wy znacie tę damę — badał Braun dalej.

— Nie! Była ona tak gęsto zawelonowana, że nawet twarzy jej zobaczyć nie mogłem.

— A tego pana tam także nie znacie? — Czyście go nigdy przedtem nie widzieli?

— Nie, panie! — Nie przypominam sobie, abym go kiedyś widział. Zupełnie mi jest obcy.

— Czy go możecie dokładnie opisać?

— Tak jest! Jest on tego wzrostu co ja, ma ciemny zarost i jest bardzo elegancko ubrany. Musi to być jakiś wielki pan, może krewny hrabiego Linderhofa.

— Hm! — mruknął Braun. — A czy ten pan niema bardzo chytrej twarzy i małych kłujących oczek?

— Nie wiem panie! — odpowiedział woźnica. — Ja mu się tak dokładnie nie przypatrywałem.

— Czy nie słyszeliście co oni ze sobą rozmawiali, i co się tam wogóle działo?

— Nie, panie! Weszli oni natychmiast we dwoje do zamku, a ja zostałem na dworze.

— Czy nie wjechaliście na podwórze zamkowe?

— Nie! Czekałem w lesie, przed jakąś bramą zamku, gdzie nas ten obcy pan już oczekiwał!

— Czy on wiedział że ta dama przyjedzie?

— Pewno! O tem nie ma najmniejszej wątpliwości.

— Czy wam nic więcej w oko nie wpadło? Czyście nikogo więcej nie widzieli?

— Nie, nikogo!

Braun przestał pytać i wszedł do gospody nie zaspokoiwszy ciekawości woźnicy, który koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego się detektyw tak wypytuje.

To co usłyszał, nie dawało mu spokoju.

Kto był ten obcy w zamku leśnym, i dlaczego go Walerya tam odszukała? Czy to była jakaś schadzka miłosna, jak to woźnica podejrzywał.

Braun nie wierzył w to ostatnie przypuszczenie. Dla schadzki miłosnej nie potrzebowała Walerya jechać aż do odległego zamku myśliwskiego. Mogła sobie to była urządzić wygodniej w stolicy albo w zamku Agaty.

— Tu tkwi coś innego, jakaś ciemna tajemnica! — rzekł sobie Braun. — Ten obcy nie wrócił z Waleryą. Jest on prawdopodobnie jeszcze w zamku leśnym. Po co? Co on tam robi?

Tymczasem nadeszła telegaficznie odpowiedź Wintera. Brzmiała ona następująco:

— Jedź do zamku leśnego, aby zobaczyć co tam się dzieje!

Braun nie namyślał się dłużej. Telegrafował on napowrót, donosząc przełożonemu swemu, że Walerya wróciła do stolicy, ale że w zamku jeszcze ostał jakiś obcy pan, z którym wedle wszelkich pozorów, był nikt inny jak Ludwik Hecht.

Kazał sobie osiodłać konia i opisać dokładnie przez woźnicę drogę i popędził do lasu.

Było już zupełnie ciemno, gdy dojechał do samotnego, myśliwskiego zamku.

Stanął on przed frontową bramą i zeskoczył z konia.

Nie chciał on aby go widziano i miał zamiar wścisnąć się do wnętrza niespostrzeżenie. Przywiązawszy konia swego do drzewa, doszedł do muru otaczającego zamek i zaczął szukać za jakiemś uszkodzonem miejscem, przez któreby się do środka mógł dostać.

Niebawem znalazł je i dostał się bez trudu na podwórze zamkowe.

Na dworze był deszcz i burza. Wśród ciemności zapadającej nocy, wznosiły się mury samotnego zamczyska czarno i ponuro, a ciemny las naokoło dodawał mu jeszcze tajemniczości i grozy. Poruszane silnym wiatrem trzeszczały łamiąc się zbutwiałe gałęzie i uginały się grube pnie drzewne. Na dachu zamkowym kręciła się skrzecząc zardzewiała chorągiewka powietrzna.

Burza zerwała się zupełnie nagle i Braun czuł się szczęśliwym, że do celu podróży swej dojechał, gdyż w innym razie byłby najpewniej wśród panującej ciemności w lesie zabłądził.

W oknach zamku nie było nigdzie światła. W samotnym budynku tym nikt widocznie nie mieszkał.

Braun stanął sobie pod portalem, którego wystający daszek od deszczu go chronił. Nie chciał jednak zostać dłużej na dworze.

Drzwi były niestety zamknięte, a i okna także. Nawet okiennice były poprzymykane.

Nareszcie dostał się do starego, zapadłego już skrzydła zamkowego i zobaczył tu pół zbutwiałe drzwi, wiszące wolno w zawiasach. Za niemi był długi, ciemny kurytarz.

Detektyw zaświecił latarkę, którą miał w kieszeni i wszedł na kurytarz, prowadzący do drzwi, o okrągłem, zakratowanem okienku.

Braun poświecił do środka. Była to kaplica zamkowa, w której odbył się ślub Agaty z hrabią Edmundem. Przez to samo okienko we drzwiach podpatrzyła wtedy Walerya wraz z hrabią Sinobrodym tajemnie ową scenę w kaplicy.

Było tam jeszcze wszystko niezmienione. Braun chciał wejść do środka, lecz mu się nie udało, gdyż drzwi na klucz były zamknięte. Musiał więc zawrócić i wyjść znów na dwór.

Postępował on więc teraz wzdłuż murów, oświecając je i szukając za jakiemś wejściem.

Nagle zobaczył on złamane okno i wskoczył przez nie do środka.

Zaświeciwszy na nowo zgasłą mu tymczasem latarkę, oglądnął on się wokoło i zobaczył

że jest w zupełnie próżnym i zapadłym pokoju. Ze ścian i sufitu opadał nasyp, a podłoga była pokryta gruzem. Przez złamane okna pędził świszczący wiatr.

Wszedł on do drugiego pokoju, który w tym samym był stanie, a stamtąd na kurytarz, który prowadził do hali zamkowej.

W głębi hali zobaczył schody prowadzące do wieży, którą zamieszkiwał stary kasztelan.

Czy wejść tam na górę, czy zobaczyć wpierw resztę komnat tu na dole?

Braun zdecydował się na to ostatnie. Wszedł on do sali graniczącej za halą, a stamtąd do reszty dobrze jeszcze utrzymanych komnat.

Stamtąd wyszedł on znów na kurytarz, gdy wtem stanął nagle przestraszony i zaparł oddech.

Usłyszał on dokładnie ludzki głos, a potem kroki. Przez otwierające się drzwi wszedł jakiś mężczyzna na kurytarz.

Detektyw schował prędko latarkę swą do kieszeni i stanął w ciemnej niszy.

Nowoprzybyły mężczyzna zbliżał się, nie przeczuwając nic złego, coraz bliżej i trzymał świecę w ręku.

Braun wyglądał zaciekawiony, nie mógł jednak rozpoznać rysów twarzy.

Czyż to by miał być ów zagadkowy obcy mężczyzna, którego Walerya tu odwiedzała?

Zbliżał on się coraz bardziej. Teraz mógł detektyw już nawet widział twarz jego.

— Był to Ludwik Hecht!

Detektyw wściskał się teraz głębiej w niszę, lecz o ukryciu się mowy być nie mogło. Jeżeli Ludwik tędy przejdzie, to go z pewnością zobaczy.

Dla bezpieczeństwa sięgnął Braun po rewolwer, aby się na każdy wypadek przygotować.

Ludwik był już tylko o kilka kroków od niszy oddalony. W następnej chwili musiał on zobaczyć detektywa który tam stał blady, zesztywniały i na rozpaczliwa walkę, przygotowany.

CXXVII.

WĘŻOWA CHYTROŚĆ

Betlina przechadzała się z wujem z Rosyi po ogrodzie willi. Zawiesiła ona się kokieteryjnie na jego ramieniu i patrzyła na niego zwodniczym uśmiechem.

— Więc już dziesięć lat, jak mnie nie widziałeś kochany wujaszku! — paplała ona wesoło. — Mimo to utrzymujesz, że byłbyś mnie w pierwszej chwili poznał, podczas gdy ludzie, którzy mnie pół roku nie widzieli, mówią żem się okropnie zmieniła!

— Może być, lecz ja mam widocznie bystrzejszy wzrok od innych ludzi!

Betlina śmiała się wesoło.

— Gdyś nas po raz pierwszy odwiedzał, kochany wuju, byłam jeszcze dzieckiem, jak to sam mówiłeś! — szczebiotała ona dalej. — Nie przypominam sobie już wiele z tego czasu, wiem tylko, żem cię po swojemu, po dziecinnemu, bardzo polubiała. Marzyłam nawet o tem, aby zostać kiedyś twoją żoną!

Zaśmiała się ona znowu dziecinnie i filuternie na niego zerknęła. Wuj Teodor nie odpowiedział jej jednak uśmiechem. Przeciwnie, popatrzył na nią poważnie i badawczo.

— Słuchaj, moje dziecko! — rzekł on. — To mi jest zupełnie nowy. Jabym na taką myśl nie był nigdy przyszedł. Ty sobie chyba ze mnie żartujesz!

— Ależ nie! Ja seryo o tobie myślałam, później nawet jeszcze.

— Tak? — uśmiechnął on się dziwnie. — Musiałaś jednak szybko przyzwyciężyć tę nieszczęśliwą miłość ku mnie, jeżeliś tymczasem za mąż wyszła!

— Cóż miałam zrobić? — westchnęła Betlina. Papa tego chciał!

— A ty nie?

— Wcale nie?

— Ależ to śmieszne. O ile ja dobrego brata swego znałem, to wiem, że on by cię nigdy nie był zmuszał do małżeństwa, które ci było wstrętne.

— O, papa tak mnie do tego namawiał. Myślałam więc że to może mojem szczęściem!

— Hm! Prawdę powiedziawszy, to mi się mąż twój nie podoba, Gertrudo.

— Mnie także nie!

— Dlaczegoż więc w takim razie wyszłaś za niego?

Betlina nic już na to nie odpowiedziała. Westchnęła tylko i sposępniła.

— Czy wiesz, że ojczym twój odwiedzał twego męża na zamku Wildenfels podczas twojej nieobecności? — zapytał wujaszek po krótkiem milczeniu.

— Tak! on mi o tem opowiadał!

— Kto? Twój mąż?

— On także! Ale papa był zaraz potem u mnie w Paryżu!

— Cóżeś ty sama w Paryżu robiła?

— Byłam tam w zakładzie leczniczym! Wujaszek przecież wie, że byłam bardzo chorą

— Nie wyglądasz zupełnie na to!

— Widocznie przyszłam bardzo prędko do siebie. Papa także to zauważył!

— Powiedz mi jednak na miłość Boską, co się z nim stać mogło, Gertrudo? Czyś ty sprawy tej dobrze nie badała?

— Ach, nie mów dalej o tem, kochany wuju! — jęknęła obłudna kobieta wśród łez. — Bóg jedyny raczy wiedzieć, co się stało z biednym moim ojczymem!

— Albo twój mąż! — odparł obywatel rosyjski sucho. — Słyszałem już niejedno o tem!

To mówiąc popatrzył on bystro w zalaną łzami twarz Betliny. Ona zaś drgnęła i mruknęła przestraszona:

— Ach, kochany wuju, dla mnie to nagłe zniknięcie mego ojca jest tak samo zagadką, jak... wszystko to, co o moim mężu tak tu i ówdzie przebąkują!

Patrzyła ona trwożnie na wszystkie strony, jak gdyby dla przekonania, że jej nikt nie podsłuchuje, a potem dodała szeptem:

— Ja nieraz sama prawie w to wierzę, co ludzie o nim mówią! O, ty nie wiesz nawet wuju, ile ja się już u jego boku nacierpiałam. Ja się jego wprost boję! Gdyby mój ojciec nie był u mnie jeszcze w Paryżu, to byłabym sama myślała to, co wszyscy przypuszczają!

Wuj Teodor mocno tem zwierzeniem był zafrasowany. Tego on się nie spodziewał!

— Więc byłabyś w przeciwnym razie wierzyła, że hrabia Sinobrody zamordował twego ojczyma? — zapytał on zdziwiony.

— Tak jest! — zaszlochała Betlina. Lecz ja nie daję tego po sobie poznać. Obawiam się, że on by i mnie ze świata sprzątnął, gdyby przeczuwał, że go podejrzewam!

— Dobrze że mówisz mi tak otwarcie, moje dziecko! — rzekł on na to poważnym tonem. Nie potrzebujesz się męża swego obawiać. Teraz ja tutaj jestem, i nic złego ci się stać nie może! Jest to mojem zadaniem, zbadać co się z bratem moim stało, a ty mi musisz być w tem pomocną! Musisz przecież najlepiej wiedzieć, co się tu działo. Ja nie wierzę w to, aby ojczym twój był jeszcze dotychczas w Paryżu!

— Ależ, wuju!

— Powiedz mi czystą prawdę! — zawołał on ostro, łapiąc ją groźnie za ramię.. — Ty kłamiesz, Gertrudo! Kłamiesz z bojaźni przed twoim mężem!

Betlina śmiertelnie zbladła a z twarzy jej biła okropna trwoga. Padła ona na stojącą tuż obok ławeczkę, zakryła twarz rękoma i zaczęła gorzko płakać.

Co ona na to miała odpowiedzieć? Była to bardzo ryzykowna gra. Chciała ona zdradzić Sinobrodego, ale tylko o tyle, aby dla niej samej żadne niebezpieczeństwo z tego nie wynikło. Chciała ona się od Sinobrodego wycofać, jego zdradzić i zgubić na to, aby sama w roli Gertrudy wszystko zagarnąć mogła.

Powzięła ona ten zuchwały plan, a ten tak pozornie naiwny wujaszek z Rosyi miał jej przytem być pomocą i opieką. Czuła że uważa ją za tą którą przedstawiała.

Chciała przytem jeszcze coś innego uzyskać.

Jeżeliby hrabia Sinobrody został zdemaskowany i zniknął z widowni, wtedy ona chciała zostać żoną tego bogatego wuja. Starała się ona dlatego już teraz uwikłać go w swoje sieci i spodziewała się z łatwością podbić jego serce.

Dopiero dwa dni minęło od przybycia jego z Rosyi, a Betlina umiała już pokonać jego początkową nieufność i serdecznie się do niego przymilić.

Hrabia Sinobrody nie przeczuwał jej zamiarów.

Przez długi czas szlochała Betlina rzewnie, lecz boleść jej i łzy były tylko maską. Namyślała się tymczasem, czy mu teraz dalsze jeszcze zwierzenia zrobić i jak daleko w tem zajść.

Wuj badał ją dalej poirytowany. Wreszcie wstała Betlina i jęknęła z zaprzeczającym ruchem głowy.

— Dziś wieczorem, gdy mój mąż spać pójdzie, przyjdę do twego pokoju i wszystko ci opowiem!

— Dlaczegoż nie zaraz? Mów Gertrudo!

— Nie nie! Dopiero dziś wieczorem!

To mówiąc, odeszła ona szybko. Wuj Teodor popatrzył za nią zdziwiony.

— Nic z tego nie wiem! — szepnął on. — Tego jednak pewny jestem, że ona jest prawdziwą Gertrudą. Gdyby była oszustką, to nie byłaby hrabiego Sinobrodego zdradziła!

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Betlina spotkała się po kilkunastu krokach już z Sinobrodym i zadrżała ze strachu na jego widok.

Czyż on się przez cały czas tajemnie za nią skradał i rozmowę z wujaszkiem podsłuchiwał?

Truchlała ona na tą myśl, lecz opanowała się na pozór i szybko do niego przystąpiła.

— Widziałem cię ze starym! — rzekł Sinobrody badawczo. — Jak daleko z nim zaszłaś?

— O, zdaje się, że on we mnie zakochany!

Sinobrody uśmiechnął się.

— Idzie więc wszystko wybornie, co?

— Pewno! Wuj zdaje się nie mieć najmniejszego podejrzenia. Wypytywał mnie się o różne rzeczy, a ja mu stosownie do swej roli opowiadałam. Czyś słyszał?

— Nie! Ani słowa podchwycić nie mogłem. Nie chciałem się zbliżać, aby nie wzbudzić podejrzenia!

Betlina odetchnęła lżej. Czuła ona się znów bezpieczną.

— Omówiłam na dziś wieczór schadzkę z nim! — rzekła ona. — Czy nie masz nic przeciwko temu?

On zaśmiał się cynicznie.

— Wcale nie! Ja nie jestem zazdrosny. Im bardziej starego wuja w sobie rozkochasz, tem lepiej! Tem prędzej bowiem do celu naszego dojdziemy!

— I ja się tego spodziewam! — rzekła Betlina dwuznacznie.

— Bądź jednak ostrożną! — upominał on ją. — Nie daj się wybadać i nie wygadaj się z czemś, co by nam zaszkodzić mogło. Wiesz przecież co na karcie stoi?

— Bądź spokojny i spuść się na mnie!

— Doprowadź starego sknerę do tego, aby zrobił testament i ciebie zrobił jedyną spadkobierczynią. Skoro tylko to czyni, to się go w jakiś sposób pozbędziemy. Nie będzie to tak trudno go ze świata sprzątnąć!

— Może nie całkiem tak łatwo, jak sprawa z jego bratem! — rzekła Betlina szyderczo.

Hrabia Sinobrody zbladł i oglądnął się mimowoli trwożnie wokoło.

— Cicho! — syknął on gniewnie. — Co ci na myśl przychodzi? Mówiłem ci przecież już raz, że to nie ja radcę zamordowałem!

— Ach, poco się wymawiasz? Mnie przecież do wszystkiego przyznać się możesz!

— Do dyabła! — irytował on się. — Daj mi święty spokój! Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale ze mną o tem nie mów.

— Znaleziono zwłoki jego na zamku Wildenfels! — mówiła Betlina dalej. — Teraz nikt więcej nie uwierzy, że radca bawi jeszcze w Paryżu!

Twarz Sinobrodego skrzywiła się z gniewu i szyderstwa. Zaśmiał on się ochryple i rzucił Betlinie okropne spojrzenie.

Trzymaj się we wszystkiem moich wskazówek, słyszysz! — krzyknął on znowu. — Te zwłoki, które znaleziono w moim zamku, nie są radcy Wendlanda!

Betlina uśmiechnęła się niedowierzająco, lecz milczała.

Nagle ukazał się poza nimi ów domniemany rosyjski służący wuja, ze swoją długą czarną brodą i w długim czarnym kubraku z zielonymi sznurami. Zdjął swą futrzaną czapkę, z niskim ukłonem i znów się oddalił.

Hrabia Sinobrody popatrzył za nim ponuro i podejrzliwie.

— Co za okropne stworzenie! — mruknął on. — Nie wiem dlaczego, ale czuję niepokój, ile razy go widzę. Czy on z naszej rozmowy coś słyszał i zrozumiał?

— Choćby słyszał, toby nie zrozumiał! On nie zna żadnego innego języka, prócz rosyjskiego.

— Ach, ja o tem całkiem zapomniałem! — ucieszył się Sinobrody. — Tem lepiej dla nas, że on taki bezpieczny!

Uspokoiwszy się, wrócił on z żoną swą do willi.

Günter, którego ani Betlina ani Sinobrody w wybornym przebraniu rosyjskiego służącego nie poznali, odszukał wuja Teodora w ogrodzie i zastał go na rozmowie z Greifem. Ten ostatni wracał właśnie od żony prokurzysty.

— Czy pan doprawdy przekonany, że to jest hrabina Gertruda, a nie żadna oszustka?— zapytał Greif w chwili, gdy się Günter do nich zbliżał.

— Tak jest! To jest moja siostrzenica, nie ma najmniejszej wątpliwości o tem! — odpowiedział obywatel tonem przekonania. Spodziewam się, że się przez nią wiele ważnych rzeczy dowiem. Dotychczas milczała ona z obawy przed swym okrutnym mężem.

— Wątpię, czy to było z obawy przed nim! — wtrącił Günter. — Podsłuchałem właśnie teraz rozmowę między niemi!

— Co pan słyszał! — zapytał obywatel ciekawie.

— Coś, co panu powinno być przestrogą, panie Wendland! Niech się pan ma na baczności, bo oni oboje na życie pana czyhają!

— Co pan mówi? — zawołał on przerażony.

Günter opowiedział w krótkości wszystko, to co słyszał.

— To wystarcza, aby mnie utrzymać w moich przypuszczeniach! — rzekł Greif. — Jestem teraz przekonany, że to nie jest właściwa hrabina Gertruda.

— Pan się musiał omylić! — sprzeciwił się obywatel Günterowi. — Moja siostrzenica nigdy na podobny plan nie zezwoliłaby. Udawała ona tak tylko z obawy przed nim.

— To nie jest możliwe! — przyznał Günter. — Starała ona go się teraz wyciągnąć na zeznanie co do śmierci radcy!

— Obserwujmy tylko bacznie dalej! — zadecydował Greif.—Prawda wyjdzie wkrótce na wierzch.

Wieczorem siedział wujaszek Teodor w swoim pokoju i czekał na swoją siostrzenicę. Günter znajdował się w przyległym pokoju, aby mógł rozmowę podsłuchać.

Było to około godziny 11-stej, gdy Betlina weszła. Strój był jej również cudowny, jak kokieteryjny, jasna wydekoltowana suknia ukozywała szyję i biost cudnej białości i formy.

Z kokieteryjnym uśmiechem siadła ona naprzeciw wujaszka, który popatrzył nań zdziwiony. Piękność jej nie pozostała na nim bez wrażenia, lecz bezwstydna jej zalotność nie była w jego guście.

—Wystroiłaś się jak na jaki bal albo teatr! — rzekł on z przekąsem.

Betlina zarumieniła się i uśmiechnęła.

— Ależ mój kochany wuju, nie mogę się przecież ubierać jak zakonnica — rzekła ona.

— No, nie mówmy o tem więcej! — odciął on i zaczął badawczo:

— Czy mąż twój wie, że ty jeszcze o tak późnej godzinie do mnie się wybrałaś?

— Powiedziałam mu, że chcę jeszcze z tobą porozmawiać — — rzekła wymijająco.

Obywatel przypomniał sobie, co mu Günter opowiedział i chciał Betlinę teraz pytaniami na próbę wystawić. Odpowiedzi jej nie zadawalały go całkiem. Spostrzegł, że była bardzo zakłopotana.

— Wiesz, — odezwał on się wreszcie — nie chciałbym, aby twój mąż w schadzce naszej coś złego widział i abyś przez to jakieś nieprzyjemności miała. Szkoda, żeś mi dziś po obiedzie już wszystkiego nie powiedziała!

— Owszem, bardzo dobrze się stało, żeśmy rozmowę naszą tak wcześnie przerwali, kochany wuju! — zawołała ona z wyrazem trwogi. — Spotkałam bowiem męża mego o kilka kroków po naszem rozstaniu się i obawiałam się już, czy nas nie podsłuchał!

— Ale obawa twoja była płonna, co?

— Tak jest! On chwała Panu Bogu nic nie słyszał!

— Hm! Cóż mówi nato, że tak często jesteś w moim towarzystwie? Czy się nie obawia, abyś go nie zdradziła?

— Nie, on pewno nawet o tem nie myśli! Jemu się zresztą zdaje, że ja o niczem nic nie wiem!

— Więc jest zatem, abyś często w maoim towarzystwie była?

— Pewno! On nawet jest bardzo za tem, bo mu o twój majątek chodzi, wuju!

— Taaak? A ty? — zapytał on ostro.

Betlina udawała obrażoną.

— Ależ kochany wuju! — oburzyła ona się. — Ja od ciebie niczego nie chcę i nie potrzebuję!

Ponura twarz jego wyjaśniła się.

— No i tobie się coś dostanie, jeżeli ja kiedy umrę! —rzekł on pogodnie. — Naturalnie, że zabezpieczę to tak, aby twój mąż najmniejszego prawa do tego nie miał. O ile wiem, to brat mój to samo uczynił. Testament jego nie zostanie jednak jeszcze na razie otwarty!

— Więc ty zawsze jeszcze myślisz, że on żyje, wujaszku?

— Nie! Z tego co słyszałem, nie wątpię więcej o jego śmierci. Sprzeciwiam się jednak umyślnie otworzeniu testamentu, bo hrabia Sinobrody tak się do tego spieszy i niecierpliwi. Będzie więc musiał właśnie dlatego cały rok jeszcze zaczekać!

Betlina uśmiechnęła się zadowolona.

— Bardzo słusznie! — rzekła ona obłudnie — To by przecież zupełnie tak wyglądało, jak gdybyśmy na śmierć ojca czyhali!

— Wracajmy teraz do głównej rzeczy, Gertrudo! — przerwał jej wujaszek. — Wyznaj mi otwarcie wszystko, co wiesz o czarnych czynach swego męża i o co go podejrzywasz! To jest twoim obowiązkiem. Musisz przyczynić się o ile możesz do rozświetlenia tajemnicy, która otacza zniknięcie twego ojca. Czy chcesz to uczynić?

— Tak jest! — rzekła Betlina bez wahania,

— Mów więc i nic mi nie zamilcz!

— Ach, wuju! — westchnęła chytra obłudnica ze łzami w oczach. — Będziesz może rozczarowany, bo ja ci nic pewnego powiedzieć nie mogę. Musisz przecież wiedzieć, że byłam w Paryżu w czasie kiedy ojciec znikł.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie ty tam właściwie byłaś, bo ta sprawa z zakładem leczniczym podejrzana mi się wydaje! — rzekł on — Znikłaś przecież na czas jakiś tak bez śladu, że cię cały świat miał za umarłą, że się sądownie u twego męża o ciebie zapytywano.

— Skądże ty to wiesz? — zapytała ona zaambarasowana.

Wuj Teodor zrobił niechętny ruch ręką.

— Dość że wiem! — rzekł on. — Wiem nawet jeszcze więcej, a mianowicie to, że ten zakład lecznicy, o którym mąż twój mówi, wcale nie egzystuje. Odpowiedz mi więc, gdzie byłaś aż do czasu w którym się u pani Dijon zjawiłaś?

Na dźwięk tego nazwiska wzdrygnęła się Betlina.

— Ty jednak o wszystkiem jesteś poinformowany kochany wujaszku! — jęknęła ona zaambarasowana.

— Proszę cię o jasne i z prawdą zgodne informacye — zawołał on rozkazująco.

Z za portyery wychyliła się głowa Güntera a oczy jego wpiły się ciekawie w twarz Betliny, która go nie spostrzegła.

Położyła ona ze stanowczym gestem wąską, drogimi pierścieniami ozdobioną rękę swą na ramię wuja Teodora i rzekła zdławionym głosem:

— Dobrze wuju! Pomówię z tobą otwarcie! Mój mąż nie podał właściwego adresu tego zakładu leczniczego w którym ja się znajdowałam bo nie chciał, aby prokurzysta Hermann mnie tam odszukał.

— Dlatego więc, no i gdzieżeś ty właściwie była?

— Ja tego samego nie wiem, kochany wuju!

On podskoczył zły z siedzenia i rzucił jej nieufne spojrzenie.

— Nie kłam! — zawołał on szorstko. —Ty musisz przecież wiedzieć, gdzieś była.

— Doprawdy, że nie! — tłómaczyła się Betlina. — Byłam wtedy tak chorą, żem zupełnie nie wiedziała, co się ze mną dzieje. Byłam prawie obłąkaną.

— Dziwne! — szepnął wuj. — Cóż było powodem twojej słabości? Skądżeż to przyszło?

— Możeś słyszał wuju, o tych strasznych rzeczach, które mówią o moim mężu? — zapytała ona. — Nazywają go hrabią Sinobrodym, dlatego że już był kilka razy ożeniony i podobno wszystkie żony miał zamordować!

— To by do niego było podobne. Ale cóż to z twoją słabością ma wspólnego?

— Opowiadano mi wszystkie te straszliwe historye na zamku Wildenfels, a ja się tak tym zirytowałam, że dostałam nerwowej gorączki. Co się potem ze mną stało, tego nie wiem. Mój mąż wywiózł mnie do... Paryża. Tam byłam w kuracyi jakiegoś sławnego lekarza. Nie znam jego nazwiska. Gdy w czas jakiś potem wróciłam do przytomności, byłam na wsi, w pobliżu Paryża, u przyjaciółki owej pani Dijon.

Wyjaśnienie to brzmiało bardzo wiarogodnie, i wuj Teodor wcale nie wątpił. Namyślał on się przez chwilę, a potem zapytał, patrząc jej bystro w oczy:

— Więc twój ojczym się tam odwiedził, co?

— Tak jest! To znaczy: Ja nie umiałabym dokładnie powiedzieć, czy to on był, czy nie.

Wuj zrobił znów ruch niechętnego zdziwienia.

— Jeżeli chcesz, abym ci wierzył, to mi nie zadawaj zagadek — rzekł on gwałtownie. — Czyż to możliwe, abyś nie poznała swego ojca?

— Pozwól, abym opowiadała, szepnęła ona uspokajająco. — Pewnego wieczora, ja spałam już wtedy, weszła do mnie moja dozorczyni, i zbudziła mnie, mówiąc, że mój ojciec przyjechał. Zerwałam się przestraszona ze swego łoża i zarzuciłam spódnicę i bluzkę na siebie. W tej chwili wszedł do mnie jakiś mężczyzna. W pokoju było prawie ciemno, gdyż świeciła się tylko mała lampka nocna.

— Mimo to musiałaś przecież na pierwszy rzut oka poznać, czy to był twój ojciec czy nie — rzekł obywatel rosyjski.

— Z powierzchowności był on całkiem do niego podobny — mówiła Betlina dalej dziwnie drżącym głosem. Były to jego rysy, jego głos. A jednak było w nim coś co mi dawało do myślenia. Dreszcze mnie przechodziły, gdy on mnie objął i całował. Było mi jakby w objęciach trupa... upiora! Rozchodził się od niego jakby trupi zapach. Jego głos brzmiał dziwnie smutno i grobowo. Mówił on, że nie miał spokoju, dopóki mnie nie zobaczył, i teraz dopiero jest zadowolony. Spieszył też bardzo, tłumacząc, że niema czasu.

Po tych słowach Betlina umilkła. Była ona blada, a na twarzy jej okazał się wyraz zabobonnej trwogi.

— Dalej — naglił wuj, któremu także mimowoli przykro się zrobiło.

— Był on ledwo kwadrans u mnie, potem pożegnał się i odszedł — rzekła ona. — Ja byłam jakby sparaliżowana, jak gdyby obudzona ze strasznego snu. Oglądałam się wokoło siebie i pytałam się, czy to nie był tylko sen. Lecz nie Moja dozorczyni powiedziała mi, że mój ojciec doprawdy był u mnie. Przyszedł widocznie pieszo z dworca, bo żaden powóz na niego nie czekał. Widocznie znikł też bez śladu, bo gdym się nazajutrz pytała, to mi powiedziano, że nikt go na dworcu nie widział.

— Dziwne — mruknął wuj.

— Tak jest, on zjawił się i znikł jak duch — zaczęła Betlina znów tajemniczo. — O, wuju! Wiem ja teraz, że to nie był rzeczywiście mój ojciec, bo on już wtedy nie żył! — dokończyła ona trzęsąc się na całem ciele.

Wuj teraz okropnie był wzburzony i chodził nerwowo, tam i nazad po pokoju. Dobrze wymyślona i zręcznie opowiedziana bajka Be-

tliny, wyrwała na nim ogromne wrażenie.

— Dziwne to zdarzenie, ale ja mimo to wierzę — rzekł on wreszcie. — Twój mąż użył ten wypadek naturalnie na swoją korzyść. Bo gdyby ojciec twój rzeczywiście w ludzkiej postaci był u ciebie, to musiałby to uczynić jedynie przeciwko Sinobrodemu. Zależy to więc zupełnie od twego zeznania. Z twojego opowiadania nie można inaczej sądzić, jak tylko, że to był duch twego ojca. Podobne rzeczy wprawdzie rzadko się zdarzają, ale przecież są przykłady podobnych wypadków.

— Mój mąż przypuszcza, że to był mój ojciec żywy, a nie żaden duch, i śmieje się z moich zabobonów.

— Naturalnie! Czyni on to aby pokonać twoje podejrzenie. Teraz widzę jasno, że ten trup, którego znaleźli w grobowcu Wildenfels, jest nikt inny, tylko twój ojciec. Hrabia Sinobrody go zamordował. Ty także teraz wątpić o tem nie możesz. Musisz z całego serca nienawidzieć tego potwora, zabójcę twego ojca!

— Nienawidzę i pogardzam nim, wuju, ale muszę milczeć! Drżę codziennie o swoje własne życie. A gdyby mąż mój wiedział, że ja ci tu teraz wszystko powiedziałam tobym z pewnością jutrzejszego dnia nie dożyła.

— Tak jest, to już najwyższy czas aby się pozbyć tego dyabła w ludzkiej postaci — rzekł wuj Teodor gniewnie. — Nie pojmuję jednak, Gertrudo, dlaczegoś odrazu prokurzyście czystej prawdej nie powiedziała, gdy cię on w Paryżu odszukał.

— O ja miałam najlepsze chęci! Chciałam mu się zwierzyć ze wszystkich swoich podejrzeń i przypuszczeń, ale mój mąż zakazał mi z nim mówić, i przysiągł, że go w moich oczach zamorduje.

— On to przecież uczynił!

— Tak jest, wiem o tem że ten biedak padł ofiarą — potwierdziła Betlina.

— A ty musiałaś nawet być świadkiem tego mordu — przerwał on jej podniesionym głosem. — Bo mord ten popełniony został w pociągu, podczas waszej podróży!

— Powiem ci wuju wszystko, co o tem wiem, bo ty tak jak gdybyś mnie uważał za współwinną w tej zbrodni.

— W każdym razie muszę cię posądzać, że milczeniem swem odkrycie prawdy opóźniłaś!

— Ależ ja ci już wytłumaczyłam, dlaczego milczeć musiałam — zawołała Betlina rozpaczliwie. — Najpierw, nie wiem nic pewnego, a po drugie obawa przed mężem moim.

— Dobrze, mów więc teraz. Wiedziałaś przecież, że prokurzysta jechał tym samym pociągiem co wy?

— Widziałam jak wsiadał. Hrabia Sinobrody także go spostrzegł.

— Czy on się nie odgrażał? Czy nie zdradził się, z zamiarem usunięcia niewygodnego towarzysza podróży? badał wuj dalej.

— Nie, udawał on całkiem obojętnego. Chciał przez to widocznie usunąć moje podejrzenie.

— Cóż się potem stało? Czy hrabia Sinobrody nie wsiadł na następnej stacyi do wagonu prokurzysty?

— O nie! Tego nie uczynił. Został on przy mnie, i podał mi trochę likieru, który wziął ze sobą. Oszołomiło mnie to tak, że zasnęłam.

— W likierze tym był widocznie jakiś środek usypiający — wtrącił wuj.

— Prawdopodobnie! Po dłuższym czasie zdawało mi się, że słyszę jakiś krzyk. Otworzyłam oczy. Byłam zupełnie sama.

— Ach! Więc on użył czas twego snu na nikczemny ten czyn! Wpadł on do wagonu swojej ofiary i wykonał mord ten na niewinnym człowieku w myśli, że ty nic nie przeczuwasz.

— Nie wiem na pewno, czy to tak było, jak ja opowiadam — ciągnęła Betlina dalej. — Może mi się to tylko śniło. Zasnęłam znowu i obudziłam się dopiero po dłuższym czasie. Mąż mój stał przedemną i budził mię, śmiejąc się z mego zaspania. Nie spostrzegłam w nim nic nadzwyczajnego. wysiedliśmy na następnej stacyi i pojechaliśmy dopiero następnym pociągiem dalej.

— To jest wszystko, co ty wiesz — zapytał wujaszek rozczarowany.

— Tak jest! Nie przeczuwałam nigdy nic złego i zdawało mi się, że śniłam! Dopiero w Londynie czytałam w gazetach, o mordzie popełnionym w pociągu, i wtedy nie mogłam się oprzeć przypuszczeniu, że ową ofiarą był nieszczęśliwy prokurzysta, a zabójcą mój mąż.

— Czy nie wyraziłaś nigdy tego podejrzenia?

— Nie, nie miałam na tyle odwagi.

— Hm, to co ty o sprawie tej wiesz, jest niestety nie bardzo zadowalające, a zwłoki zamordowanego dowieść hrabiemu Sinobrodemu jego zbrodni.

Pewne jest jednak, że on prokurzystę zamordował! Cóżby się z nim zresztą stać mogło? Znikł on przecież od czasu tego bez śladu.

— Coście w Londynie robili — zapytał znów wuj

— Nic wzmianki godnego — odpowiedziała Betlina niewinnie.

— Proszę cię, tylko nic przedemną nie ukrywaj — upomniał znów wujaszek ostro. — Słyszałem, że owa pani Dijon za tobą tam przyjechała.

— Słusznie! Chciałam ją u siebie, jako towarzyszkę zatrzymać, lecz mój mąż na to zezwolić nie chciał. Wróciliśmy znów do Paryża, a pani Dijon tam została.

— W Londynie odwiedzaliście pewien dom. Zgadujesz chyba co myślę?

Betlina natychmiast domyśliła się o co mu chodziło, i okropnie się przelękła. Czy wuj może przeczuwał poco z nią hrabia Sinobrody był w domu "czarnych braci".

— Tak jest — skinęła ona swobodnie głową. Pojechaliśmy pewnego wieczora do jakiegoś nieznajomego mi domu. Nie wiem jednak poco. Mój mąż nie dał mi żadnych objaśnień. Zostawił on mnie z panią Dijon i z pokojówką moją w jakimś pustym pokoju. Znał on się widocznie dobrze z mieszkańcami owego domu, nie mam jednak pojęcia, co on tam robił. Po długim czasie przyszedł on po nas, i odjechaliśmy.

— Czy nie słyszałaś żadnych podejrzanych szmerów, głośnego wołania o pomoc, albo coś podobnego?

Tak jest, okropnieśmy się wszystkie przestraszyły, lecz nie miałyśmy odwagi wybiegnąć z pokoju.

— Czy ci twój mąż nie wytłumaczył, co to było?

— Nie, nie chciał on mi na moje pytanie odpowiedzieć.

— Czy nic więcej nie wiesz?

— Nic kochany wuju. Powiedziałam ci z góry, że nie wiem nic pewnego, a wszystko co ci mówiłam, to są tylko przypuszczenia.

— Wujaszek umilkł. Betlina patrzyła na niego zaniepokojona .

Czy on jej niedowierzał?

— Jutro dalej pomówimy o tem — rzekł on wreszcie. — Jest już bardzo późno. Idź spać Gertrudo! Ja o tem wszystkiem jeszcze dobrze pomyślę.

— Co teraz zamyślasz zrobić, kochany wuju — badała ona ciekawie. — Czy chesz wystąpić otwarcie i oskarżyć hrabiego Sinobrodego?

— Naturalnie że to uczynię, lecz jeszcze nie teraz. Muszę to jeszcze dobrze rozważyć. Ty zaś bądź ostrożna, tak aby mąż twój nie powziął żadnego podejrzenia — ostrzegał ją.

— Betlina mu to obiecała. Tryumfowała ona. Chytry plan jej przeciwko Sinobrodemu wybornie się udawał, a zguba jego była prawie pewna. Cieszyła ona się już w przedsmaku swego zwycięstwa.

Była ona pewna, że hrabia Sinobrody w odwet zdradzi, kto ona właściwie jest. Lecz któżby mu to wierzył? Myśleliby, że to tylko zemsta. Pani Dijon była zupełnie po jej stronie i przysięgnie nawet w razie potrzeby, że ona jest prawdziwą hrabiną Gertrudą.

Wśród takich myśli opuściła Betlina wuja Teodora, którego tak świetnie w pole wyprowadziła. Marzyła ona już o przyszłości i niezliczonych bogactwach i skarbach.

Jeszcze tylko trochę zręczności i chytrości, a będzie u celu!

Wychodząc do ciemnego przedpokoju nie spostrzegła przebiegła obłudnica, że się ktoś za nią cicho skradał.

Był to Piotr w przebraniu pokojówki. Przyszedł on tu za Betliną i schował się w przed pokoju.

— Czy podsłuchał on jej rozmowy z wujem Teodorem?

Gdy Betlina weszła do swego pokoju, pospieszył Piotr do swego pana, który go z niecierpliwością oczekiwał.

CXXVIII.

OKROPNA NOC.

W zamku leśnym siedzieli obaj towarzysze. Ludwik i Fryc, wieczorem w ożywionej rozmowie.

— Mów co chcesz, a ja tego sam nie zrobię! — opierał się Fryc. — Ty mi musisz pomódz.

— Ależ na cóż? To przecież nie czyni różnicy, kto tę truciznę wmiesza, ja czy ty! — perswadował Ludwik.

— Nie, tak nie idzie! Ty wmieszasz truciznę, a ja im jedzenie zaniosę! — zadecydował Fryc. — Jeżeli nie chcesz to niech one przezemnie dalej żyją, te obie kobietki.

— To by może dla nas najlepsze było! — mruknął Ludwik po namyśle. — Bo sprawa ta wyjdzie przecież kiedyś na wierzch, a wtedy my obydwaj będziemy straceni!

— Ale jak to urządzić, aby nie stracić nagrody? — wtrącił Fryc. — Hrabina Walerya znów tu przybędzie, aby się przekonać naocznie, czy one obie już nie żyją! — Jest ona bardzo ostrożna i nie łatwo ją zdurzyć.

Ludwik głęboko sie namyślił.

— Tak, to niestety inaczej nie idzie, my to musimy wykonać. Im wcześniej tem lepiej.

To mówiąc wstał on, wziął paczkę, którą Walerya zostawiła i otworzył ją.

— Przygotuj jedzenie! — rozkazał on. — Daj mi flaszkę wina, abym do niej proszek ten wsypał.

Fryc usłuchał. Ludwik domięszał truciznę do wina, i postawił flaszkę na tacy obok jedzenia.

— Tak... teraz idź i zanieś im to. Ja ci poświecę.

Fryc wziął tacę do rąk, które tak drżały, że aż talerze i szklanki dzwoniły. Śmiertelnie blady szedł on wahającym krokiem naprzód.

Ludwik otworzył drzwi do komnat uwięzionych kobiet i wszedł pierwszy z latarką. Fryc poszedł za nim. Postawił tacę na stół i oglądnął się nieśmiało wokoło. Agaty i Delii nie było w pokoju. Były pewno w jednej z dwóch następnych komnat.

Milcząco wyszli obaj zbrodniarze i zamknęli starannie drzwi za sobą.

— Jeżeli się uda, to one jutro już nie będą żyły zauważył Ludwik spokojnie. — Potem będziemy mogli żądać naszej nagrody, Fryc. Wzbogaciła się. Żona moja musi więcej zapłacić niż obiecała. — Już ja się o to postaram.

— Cicho — szepnął Fryc i skoczył nagle przestraszony. — Czy słyszysz? Jakieś kroki ludzkie we frontowych komnatach?

Ludwik wytężył słuch. Nic jednak nie słyszał.

— To pewno tylko wiatr, który w tych starych murach świszczy — uspokajał on swego towarzysza. — Na dworze okropna burza.

Udali się do swego mieszkania. Fryc nie mógł się uspokoić.

— Może to stary kasztelan — rzekł on. — Musiał on już zauważyć, że my i te obie kobiety tu jesteśmy. Trzebaby się mieć na baczności i tak drzwi pozamykać, aby on nasze branki nie odkrył.

Ludwik gotów był do tego. Wziął on latarkę i wyszedł do sieni a stamtąd na kurytarz prowadzący do frontowej części pałacu.

Szedł on ciągle naprzód. Fryc stanął sobie w drzwiach i odprowadzał towarzysza swego oczyma. Ludwik zbliżał się coraz bardziej do niszy, w której stał ukryty detektyw Braun.

Ludwik nie przeczuwał jego obecności tu, gdy wtem spostrzegł przed sobą cień, jakgdyby ludzkiej postaci.

Światło latarki rzucało promienie swe na niszę i wywołało ten cień, który Brauna zdradził.

Ludwik zatrzymał się przerażony, bo poznał niebezpieczeństwo. Sięgnął on do kieszeni po broń i cofnął się o kilka kroków wstecz.

Cień zniknął. W niszy nic się nie ruszyło. Ludwik zawahał się.

Czyżby się miał omylić? Czy to był jego własny cień, który go tak zatrwożył?

Oglądnął on się za Frycem, lecz go za nim nie było.

— Gdzie on się podział, ten tchórz! — mruknął on gniewnie. — Ja nie odważę się sam dalej pójść.

Wrócił więc ostrożnie do swego towarzysza który go we drzwiach oczekiwał i opowiedział mu swoje odkrycie.

— Odprowadź mnie — rzekł on. — Musimy się przekonać kto to jest, a jeżeli to kasztelan, to biada mu!

Uzbroili się oni na drogę. Ludwik wziął krótki, żelazny młotek do ręki, Fryc schował rewolwer i tak wyszli prędko tą samą drogą, którą poprzednio Ludwik obrał.

Wkrótce doszli oni do niszy. Była ona jednak już próżna, Ani śladu detektywa Brauna.

Musiałeś się omylić! — rzekł Fryc.

— Albo stary już stąd uciekł — mruknął Ludwik. — Co za szkoda żem zaraz nie popatrzył.

— Szukajmy dalej — radził Fryc. — Kasztelan zna tu pewnie wszystkie przejścia i połączenia i jeżeli mu damy czas aby za naszemi kobietami szukał to je znajdzie.

— Słusznie! Pędźmy więc za nim!

Szli więc dalej i zobaczyli otwarte drzwi.

— Tędy on przechodził — szepnął Ludwik. — Ostrożnie!

Wszedł on na palcach do ciemnego pokoju a Fryc za nim. Nikogo jednak tam nie było. Przeszli oni jednak cały szereg pańskich, sutych komnat i zatrzymali się dopiero w ostatnim pokoju, oglądając się bezradnie wokoło.

Nagle zatrzymali się obydwaj nadsłuchując bystro. Wśród ciszy nocnej słychać było wyraźnie odgłos kroków ludzkich, ciągle się zbliżających.

— Oto on — szepnął Ludwik swemu towarzyszowi i zgasił natychmiast latarkę. Zatrzymując oddech, stanęli oni w ciemności i czekali na swą ofiarę. Ludwik chwycił za swój młotek. Był on zdecydowany powalić szpiega.

Wtem zaczęły się kroki znów oddalać. Słychać było zamykające się drzwi. Zapanowała znów śmiertelna cisza.

— On się oddala. Idźmy za nim — szepnął Ludwik.

Dał on latarkę Frycowi, który ją zapalił i

za przyjacielem swoim podążył. Przechodzili oni przez liczne komnaty, aż doszli do niezamieszkanych części pałacu, gdzie wszystkie drzwi były pozamykane.

Wrócili więc. Wtem usłyszeli znów kroki i szli w kierunku ich odgłosu. Przez pół otwarte drzwi błysnęło światełko. Fryc schował latarkę swą do kieszeni.

Na palcach wsunęli się oni do ostatniego pokoju i zobaczyli niknącą we drzwiach ciemną postać.

— Teraz go mamy — szepnął Ludwik tryumfująco. — Naprzód!

Biegli oni po miękkim dywanie, który okrywał podłogę i kroki ich przytłumiał. Człowiek ten nie zamknął drzwi za sobą i Ludwik mógł wygodnie zajrzeć do przyległej komnaty.

Była ona duża i wspaniała, chociaż staromodnie urządzona. Przy świetle ślepej latarki zobaczyli towarzysze nasi wyraźnie ciemną postać człowieka, którego ścigali.

On ich jednak nie spostrzegł i nie przeczuwając nic złego, oglądał dalej znajdujące się tu drzwi, lecz znalazł je wszystkie pozamykane.

Wtem usłyszał on za sobą szmer i odwróciwszy się zobaczył przed sobą Fryca. Złapał szybko za rewolwer i przystąpił groźnie do łotrzyka.

— Stój i poddaj się! — zawołał on ostro.

Lecz nagle zjawił się za nim Ludwik i uderzył go z tyłu tak silnie żelaznym młotkiem po głowie, że biedny detektyw padł z jękiem na ziemię.

Obaj towarzysze zbliżyli się teraz do swojej ofiary. Ludwik pochylił się nad nim i kazał Frycowi aby mu poświecił.

— Czy on już nie żyje? — zapytał ten ostatni.

— Nie rusza się więcej — odparł Ludwik ochryple i popatrzył nieprzytomnie leżącemu mężczyźnie bystro w twarz. Wtem cofnął się on przerażony i krzyknął:

— To nie jest kasztelan! To jest jakiś obcy!

— Na dyabła! Kto się tu mógł zakraść? — jęknął Fryc zatrwożony — tośmy wpadli w matnię, Ludwiku!

— Wszystko mi już jedno! Ten człowiek był szpiegiem, który się tu za nami wsunął, to jest pewne! Może to nawet jakiś detektyw policyjny?

— Ale ty go nie znasz!

— Nie!

Obaj towarzysze stali obok swej ofiary, patrząc na nią trwożnie i ponuro.

Nie spostrzegli oni, że są obserwowani. W pół otwartych drzwiach ukazała się teraz uczciwa twarz starego kasztelana. Patrzał on na straszną tę scenę z wyrazem najwyższego przerażenia. Zachowywał się jednak zupełnie cicho i nadsłuchiwał.

— Co zrobimy z tym trupem? — przerwał Fryc milczenie. — Tu go przecież zostawić nie możemy.

— Pewno że nie! Kasztelan mógłby go tu znaleźć. — Musimy go pogrzebać... w lesie. — Chodźmy natychmiast wykopać grób.

— Zabierzmy go zaraz ze sobą Ludwiku.

— Nie, nie! — sprzeciwiał się Hecht. — Możemy teraz kogoś spotkać. Przyjdziemy dopiero po skończonej robocie po niego.

— Ale kasztelan...

— O, ten śpi w najlepsze i nie ma najmniejszego przeczucia, co się tu dzieje.

Obaj zbrodniarze wybiegli czemprędzej do lasu i zaczęli kopać grób dla swej ofiary.

Ledwo odeszli wsunął się stary kasztelan i zapalił świecę. Obudziwszy się przez niezwykły szmer w zamku, spostrzegł on obu towarzyszy i zjawił się przy drzwiach właśnie w chwili, gdy Ludwik powalił na ziemię detektywa Brauna... bo on to był tą ofiarą.

Klęknąwszy obok nieprzytomnie leżącego Brauna, wpatrzył się stary Ulryk w niego z współczuciem i zadrżał na widok krwi sączącej się z jego rany.

Słaby jęk wyrywający się z jego bladych ust, zdradził kasztelanowi, że biedna ofiara jeszcze żyje.

— Wielki Boże! Ten biedak ma jeszcze życie w sobie — wybełkotał stary. Ale ci zbóje go dobiją, gdy wrócą. Jak ja go uratuję?

Poszedł on po wodę i starał się najpierw za tamować rannemu krew. Nie udało mu się to jednak. Wreszcie obandażował ranę i wywlókł ciało rannego z pokoju.

Chciał go przenieść do swej wieży, lecz siły jego nie starczyły na to. Musiał co kilka kroków stawać, wreszcie wcale nie mógł postąpić dalej.

Zdecydował się więc na inny plan i wciągnął rannego do jednej z komnat na pierwszem piętrze. Położył go na kanapę i przyniósł ze swego pokoju wszystko, co potrzebował. Potem zamknął drzwi na klucz i zbliżył się do biednego detektywa, który ledwo jeszcze oddychał.

— Tu nas obaj ci zbóje nie odkryją —rzekł on zadowolony — a w razie potrzeby, to się będę bronił. Kto oni obaj mogą być i czego tu chcą? Mówili oni coś o jakichś dwu uwięzionych...? Mój Boże! Co za straszne rzeczy tu

pod mojemi oczyma się dzieją, a ja o niczem pojęcia nie mam!

Siadł sobie u boku zranionego i zaczął bystro nadsłuchiwać.

Kto Braun był i jaką tajemnicę on tu wytropił, tego stary Ulryk nie przeczuwał. Biedny detektyw wyglądał, jak gdyby nigdy już nie miał przyjść do siebie. Oddech jego stawał się coraz słabszy, twarz pokryła się trupią bladością. Śmierć czyhała już około jego łoża.

Wśród burzy i deszczu kopali w lesie Ludwik z Frycem grób dla podstępnie przez nich zamordowanego człowieka, a migotliwe promienie latarki oświecały ponurą tę scenę.

Prawie godzinę trwała żmudna ta robota. Kopali oni bardzo głęboko. Wreszcie zatrzymał się Ludwik i wydobył się z jamy. Wzięli oni latarkę i wrócili do zamku.

Skoro jednak tylko stanęli na progu pokoju, w którym zamordowali detektywa, zobaczył Ludwik na pierwszy rzut oka, że zwłoki znikły.

Okropne przerażenie opanowało obu towarzyszy. Nie umieli oni sobie tego zniknięcia wytłómaczyć.

— Do licha! Co się z tym człowiekiem stało? — krzyknął Ludwik bezradnie i trwożnie. — On przecież już nie żył. Nie mógł więc znów zmartwychwstać i uciec?

— Może się omyliłeś? Może on tylko zemdlał, a potem odzyskał przytomność i wstał — rzekł Fryc.

Ludwik potrząsnął niedowierzająco głową. Nie wierzył on w to.

Bez obcej pomocy nie mógł on się w żaden sposób stąd wydostać — zaprzeczał on. — Może miał ze sobą jeszcze jednego towarzysza, który go odnalazł, a może też kasztelan go tu odkrył?

— Szukajmy — radził Fryc. — Znajdziemy go jeszcze, a jeżeli jest sam, to się pewnie daleko zawlec nie mógł.

Szli oni dalej za śladem krwi po podłodze. Te ustały jednak już w sieniach. Ludwik stanął na pierwszym stopniu schodów i popatrzył podejrzliwie w górę.

— Szukajmy go na wieży — rzekł on. — Kasztelan go musiał znaleźć i pewno do swego pokoju go zawlókł.

— Chodźmy więc na górę i przekonajmy się. Ten człowiek nie śmie nam umknąć, bo z pewnością zdradziłby nas.

Weszli więc obaj bez wahania na schody i chcieli kasztelana znienacka zaskoczyć. Przeszli więc nie przeczuwając niczego, pierwsze piętro i pokoik, w którym się stary Ulryk ze zranionym znajdował i wdrapali się na trzecie piętro, gdzie stanęli przed drzwiami prowadzącemi do mieszkania kasztelana.

Ludwik przyłożył ucho do drzwi i zaczął nadsłuchiwać. Było tam jednak zupełnie cicho.

— Stary zdaje się śpi, albo słyszał nas nadchodzących i umyślnie tak cicho się zachowuje — syknął Ludwik. — Weź rewolwer do ręki!

Złapał on za klamkę i otworzył raptownie drzwi. Stary Ulryk zapomniał pewno w irytacyi na klucz je zamknąć. Ludwik skoczył jednym susem do ciemnej izby a Fryc wszedł za nim z latarnią.

— Cóż u licha! Starego tu niema! — wrzasnął Ludwik wzburzony. — Zobaczył on w kącie nietknięte łóżko starego, dowód że on się wogóle jeszcze spać nie kładł.

— Gdzie on może być? — rzekł Ludwik, potrząsając głową. — Gdzie się schował z tym obcym rannym człowiekiem? — Musimy ich odnaleźć, Fryc, bo inaczej biada nam!

— Nie ma już teraz wątpliwości, że to kasztelan go odnalazł i stamtąd wyniósł — zawołał Fryc przerażony. — W każdym razie ma on go pod swoją opieką a może nawet z nim uciekł.

— Nie, w to nie wierzę. Jakżeby on tak ciężko rannego mógł udźwignąć? — Nie, musi z nim jeszcze być w zamku, szukajmy dalej.

— A jak ich nie znajdziemy? Cóż wtedy poczniemy Ludwiku?

Za całą odpowiedź zaklął Ludwik tylko dziko i rozpaczliwie.

Zeszli więc hałaśliwie po schodach na dół. Na drugiem piętrze zatrzymali się. Ludwik wziął klucze i wytrychy do ręki i starał się nimi drzwi otworzyć.

Po długim czasie i trudzie weszli wreszcie do jednego pokoju, lecz ku wielkiemu ich niezadowoleniu był on pusty i nawet nieumeblowany.

Gniewnie zatrzasnął Ludwik drzwi i zbiegł na pierwsze piętro. Zobaczył tu po prawej i po lewej ręce drzwi i stanął niezdecydowany, do których się pierwej zabrać.

— Chodź dalej — nalegał Fryc. — To przecież wszystko daremne!

Ludwik znowu zaklął. Nagle zatrzymali obaj oddech i zaczęli nadsłuchiwać.

Usłyszeli teraz wyraźnie słabe, stłumione jęki, dochodzące ich z drzwi po prawej stronie, a Ludwik przysunął się i cicho ucho do nich przyłożył.

Uśmiechnął się tryumfująco i skinął na Fryca.

— Tu oni są — szepnął on mu. — Czy słyszysz jęk? — To jest zraniony obcy człowiek. Kasztelan zaś pewno jest przy nim.

Zapukał silnie do drzwi i zawołał głośno:

— Otwierajcie! Albo użyjemy przemocy!

Żadnej odpowiedzi. W pokoju uciszyło się. Nawet jęk zamilkł.

Ludwik zapukał powtórnie i poraz drugi zagroził. Daremnie. Nikt się nie odezwał. Czy stary głuchy Ulryk może nie nie słyszał?

Nie zwlekając, zaczął Ludwik narzędziami swojemi drzwi obrabiać, lecz daremnie.

Wreszcie zatrzymał się w pracy. Za drzwiami wewnątrz tak powiem było cicho, że nie można było przypuścić, aby się żywe stworzenie tam znajdowało.

— Czy miałbym się omylić? — mruknął Ludwik, nie wiedząc sam, co o tem ma myśleć. — Może to był huczący wiatr, który brzmiał jak jęk?

— Pewno — potwierdził Fryc. — Gdyby stary był w pokoju, to już byłby dał znak życia. — Nie zatrzymujmy się dłużej.

Zbiegli na dół i zaczęli w parterze szukać. Daremnie jednak. Tak zraniony jak i kasztelan pozornie bez śladu zginęli.

Przerażenie opanowało obu towarzyszy. Jeżeli stary Ulryk zrobi doniesienie o tem co tu zaszło, to mogą się oni na najgorsze przygotować. Wtedy zjawiłaby się wnet policya na zamku leśnym i odnalezionoby uwięzione tu kobiety. Naturalnie, że uwolnionoby je natychmiast.

— Zostawmy tu wszystko tak jak jest i uciekajmy — radził tchórzliwy Fryc.

— Nonsens! To byłoby najgłupsze, co możemy zrobić — sprzeciwiał się Ludwik gniewnie. — Oni przyłapaliby nas niezwłocznie.

— Cóż więc mamy uczynić? — lamentował zrozpaczony Fryc. — Teraz przecież wszystko stracone! — Nie jesteśmy tu ani godziny więcej pewni!

Ludwik milczał i przechadzał się tam i napowrót po pokoju.

— Do jutra rana mamy w każdym razie czas — zadecydował on wreszcie. — Wcześnie z miasta nikt tu być nie może... choćby nawet stary Ulryk już był w drodze. Ja jednak w to nie wierzę. On pewno jeszcze jest tu. Kto wie gdzie on się schował.

— A choćby nawet tak było, to on nas przecież zdradzi — wtrącił Fryc. — Jestem pewny, że on wie już i o naszych uwięzionych kobietach.

— Możliwe, albo im już dawno pomódz nie może, gdyż one już nie żyją. Wypiły już zapewne dawno to zatrute wino.

— A jeżeli nie? Jeżeli miały jakieś podejrzenie i wina nie tknęły?

Ach, te twoje wątpliwości, zawsze i wiecznie! — narzekał Ludwik. — Dlaczegożby miały zaraz mieć jakieś podejrzenie?

— To przecież łatwo wykombinować się daje. Hrabina Walerya zagroziła im śmiercią. Muszą jej więc każdej chwili i w każdej formie oczekiwać.

— Hm, może masz słuszność! Byłoby fatalne gdyby one nie wpadły w zastawioną na nie łapkę. Zobaczonoby, że wino było zatrute i uważanoby naturalnie nas za winowajców. Nie możemy kobiet tych zostawić przy życiu, gdyż one by były głównemi świadkami przeciwko nam!

— Przekonajmy się przedewszystkiem, czy one jeszcze żyją! — odparł Fryc.

Ludwik wzbraniał się uparcie.

— Zaczekajmy do jutra rana! — zadecydował on. — Do tego czasu wypiją one może wino, choćby go dotychczas nie były tknęły. A jeżeli do nich teraz zajrzymy, to one na dobre powezmą jakieś podejrzenie!

— Więc szukajmy dalej za kasztelanem i za tym obcym rannym! — nalegał Fryc. — Ja nie mam spokoju!

Ludwik zgodził się na to i zaczęły się nowe poszukiwania.

Weszli nawet do piwnic i byli właśnie pod komnatami, w których uwięzione były Agata i Delia.

Wtem zatrzymał się Fryc nagle i wskazał z zaniepokojoną miną w górę.

— Co tam się dzieje, Ludwiku! — zawołał on. — Czy słyszysz? Tak jakby się ktoś do pokoju obu kobiet dobywał!

— Albo może one same się chcą na wolność wydostać! — dodał Ludwik. — Tak, jakby drzwi wyłamać chciały!

Nadsłuchiwali oni obaj jeszcze przez kilka sekund i słyszeli wyraźnie przytłumiony szmer uderzeń, tak jak gdyby ktoś gwałtownie o drzwi walił i wyłamać je pragnął.

— Naprzód w górę! — krzyknął Ludwik i popędził pierwszy gwałtownymi krokami po schodach. Fryc ledwo mu mógł nadążyć.

Wtem ustało walenie do drzwi i nagle zapanowała znów grobowa cisza.

— Czy się obie branki ich już uwolniły, albo czy usłyszały tylko zbliżanie się swoich ciemiężycieli i dlatego na razie uciszyły i w dalszej pracy swej ustały?

Gnany trwogą dobiegł Ludwik pierwszy do zamieszkałych przez kobiety komnat. Nie mógł tu jednak nic podejrzanego odkryć. Drzwi były zupełnie zamknięte i nie uszkodzone.

— Zdziwieni stanęli obaj towarzysze i popatrzyli na siebie wzajemnie.

— Czy im się to tylko zdawało? Skąd ten

szmer dochodził? A przecież słyszeli oni go wyraźnie, tuż nad swojemi głowami!

— Ja tego nie pojmuję! — rzekł Ludwik potrząsając głową. — Czy tu się jakie upiory po tem zamczysku tłuką?

Fryc zrobił mocno zatrwożoną twarz.

— Tu wszystko możliwe! — szepnął on oglądając się trwożnie po ciemnym kurytarzu.

— Nie dziwiłbym się wcale, gdyby się przed nami teraz jakiś upiór zjawił!

— Głupiec! — zaszydził Ludwik. — Czy naprawdę wierzysz w duchy jak stara baba? Dałbym jednak sam wiele za to, gdybym wiedział, co to właściwie było.

Wtem krzyknął Fryc przeraźliwie i cofnął się jakby piorunem rażony.

— Boże! — jęknął on ochryple. — Czy widzisz tę postać tam? To upior!

Ludwik odwrócił się ze strachem.

— Gdzie? — zapytał on blednąc jak kreda.

— O tam! Czy nie widzisz? — szepnął Fryc któremu z zabobonnej trwogi włosy na głowie powstały. — Boże, zlituj się nad nami!

Kolana się pod nim uginały, drżał on na całem ciele i najchętniejby stąd był uciekł! Lecz trwoga tak go paraliżowała, że nogą wprost poruszyć nie mógł.

Osłupiałym wzrokiem patrzył on w ciemny kurytarz.

Ludwik popatrzył również w tę stronę i spostrzegł przy bladem świetle latarki niewyraźne, upiorowate rysy jakiejś postaci, która mu się kolosalną wydawała. Przerażonemu hultajowi zdawało się, że widzi wpatrzoną w siebie parę ognistych oczu.

Postać ta wyglądała jak gdyby owinięta w długi czarny płaszcz. Stała ona teraz nieruchomo na jednem miejscu.

Okropna trwoga opanowała obu oszustów. Nie było wątpliwości, to przecież nie był człowiek, tylko jakieś bezcielesne stworzenie... duch!

Drżąc jak listki osiki cofnęli się obaj wstecz, nie mogąc jednak odwrócić oczu od tej okropnej postaci.

— Czy to był może duch owego nieszczęśliwego, którego oni tu zabili, a który się teraz na nich chciał zemścić? Czy on się następnej chwili nie rzuci na swego mordercę i zimnemi rękami dusić go nie będzie?

Lodowe dreszcze przeszły po ciele Ludwika. Opanował on się jednak wkrótce, perswadując sobie w ten sposób:

— Nonsens! Nie ma żadnych upiorów! To co tam widział to był albo cień, albo jakiś żywy tylko za upiora przebrany człowiek. Przeciwko takiemu zaś mógł on się bronić.

Pokrzepiony tą myślą, chwycił on za rewolwer i wycelował w czarną postać.

— Na Boga świętego! — krzyknął Fryc przerażony — nie strzelaj!

Lecz Ludwik nie zwracał nawet na to uwagi. Widział on jak straszna ta postać zaczęła się wysuwać i zniknąć w ciemności.

— Zbliż się i daj się poznać! — zawołał on groźnie. — Bo jak nie to strzelę!

Żadnej odpowiedzi.

— Nie strzelaj! — upominał go Fryc raz jeszcze, ciągnąc go za rękaw. — To się dla nas musi źle skończyć!

— Ach, co! — zawołał Ludwik i dał ognia. Echo wystrzału rozległo się jak grzmoty po pustych sklepieniach.

Z okrzykiem trwogi padł Fryc na kolana. Myślał, że jest już stracony.

Ludwik zaś widząc że tam się nic nie rusza, przystąpił z latarką do miejsca gdzie stał upiór.

Nic tam jednak nie było. Zjawisko znikło tak zagadkowo, jak się okazało. Kula zaś ugrzęzła we drzwiach na końcu kurytarza.

Z szyderczym uśmiechem wrócił Ludwik do swego towarzysza, który stał zawsze jeszcze blady jak ściana i trząsł się na całem ciele.

— A teraz chyba widzisz, jaki z ciebie zabobonny głupiec! — zaśmiał on się. — Daliśmy się przez własny cień zastraszyć!

— Nie, nie! Ja jestem przekonany, że to było coś innego! — jąkał się stary zbrodniarz. — Tego ty mi nie wmówisz. Mnie się już kiedyś coś podobnego zdarzyło!

— Nonsens! — rzekł Ludwik pogardliwie. — Z ciebie prawdziwy tchórz i jeszcze mnie zawsze głupią trwogą swą zarazasz! — dodał gniewnie. — Na drugi raz...

Umilkł on i zadrżał. Nad głową swą usłyszał bowiem toczenie i tupanie, jak gdyby ktoś na górze nad nimi, jakieś bardzo ciężkie przedmioty posuwał.

Fryc krzyknął po raz drugi ze strachu.

— Chodź Ludwiku, ratujmy się! — zawołał on i dobiegł do drzwi wchodowych.

I Ludwik myślał w pierwszej chwili o ucieczce, lecz obawa na razie do miejsca go przykuwała. Niebawem jednak znowu się opanował. Nie chciał on wierzyć w nic nadprzyrodzonego. Przyszedł mu na myśl stary kasztelan. A może to on umyślnie tak wyprawia, aby ich obu wystraszyć.

Wytłumaczenie to wydawało mu się słuszne. Postanowił on rzecz tę zbadać. Lecz Fryc, którego on z trudem od ucieczki wstrzymał, nie dał się namówić do pomocy.

Ludwik nie był o tyle odważny, aby sam na dalsze poszukiwania poszedł, i musiał odstąpić od swego zamiaru. Wrócił więc wraz z Frycem do zamieszkałych przez siebie komnat.

Na górze trwało pukanie jeszcze przez chwilę. Potem ustało nagle i ustąpiło miejsca grobowej ciszy.

— Zobaczysz że mam słuszność! — rzekł Ludwik stanowczym tonem. — To kasztelan tak nas zdurzył i durniów z nas zrobił! Teraz zaczajmy się i zobaczymy, co dalej pójdzie. On z pewnością pomyśli żeśmy się przestraszyli i uciekli i przyjdzie tu, aby zwolnić uwięzione kobiety!

Fryc zawsze jeszcze się bał upiorów, lecz wreszcie udało się Ludwikowi go uspokoić. Nadsłuchiwali i czekali jeszcze przez jakiś czas. Wokoło była cisza. Kasztelan się nie pokazywał. I w komnatach uwięzionych kobiet nic się nie ruszyło. Czyżby Agata i Delia już więcej nie żyły?

— Chodźmy do nich i zobaczymy — zaproponował Ludwik.

Poszedł on naprzód, a Fryc sunął się wahająco za nim.

— Gdyby one wina nie tknęły i jeszcze żyły to my z niemi krótką sprawę zrobimy! — szepnął Ludwik do swego towarzysza otwierając drzwi.

CXXIX.

BEZ LITOŚCI.

Walerya wróciła z miną tryumfującą do stolicy.

Usunęła ona wreszcie Agatę na zawsze. Znienawidzona rywalka nigdy więcej planów jej nie pokrzyżuje! Teraz wreszcie będzie od niej miała zupełny spokój!

Ludwik wraz z towarzyszem swym mieli dziś jeszcze zlecenie jej wypełnić.

Tak myślała hrabina Walerya i cieszyła się ze swego zwycięstwa. Nie przeczuwała nic o groźnych chmurach, które się nad głową jej zbierały.

Teraz nowy znów plan zajmował podstępną kobietę.

Agata była wprawdzie jak gdyby zgładzona, ale dziecko jej jeszcze żyło. Jeżeliby Walter kiedy został odkryty, to byłoby dla niej wielką przeszkodą. Trzeba go więc było z drogi sprzątnąć.

Chciała się do tego niebawem zabrać, bo u tej kobiety nie wydawał się chłopak bezpieczny. Policya ciągle jeszcze szukała za dzieckiem które w tak tajemniczy sposób znikło. Była obawa, że jakiś fatalny wypadek szpiegów na właściwy trop sprowadzić może.

Wśród takich myśli wróciła Walerya wieczorem do domu. Swemu mężowi powiedziała ona, że chce spędzić dzień na zamku Agaty.

Hrabia Edmund nie przeczuwał więc, gdzie ona rzeczywiście była. Wróciła ona wprost do swoich apartamentów i zapytała pokojówkę, czy się w nieobecności jej nic nie zdarzyło.

Walerya obawiała się, czy hrabiemu Edmundowi nie przyszło czasem na myśl za nią na zamek Agaty pojechać, przyczem by się był naturalnie dowiedział, że jej tam nie było.

Wybadała więc pokojówkę i dowiedziała się od niej, że hrabia był cały dzień zajęty i o wyjeździe nawet pomyśleć nie mógł.

Walerya odetchnęła lżej. Przeglądała ona pocztę i znalazła list od hrabiego Sinobrodego, który ją zdziwił i zirytował.

Hrabia Sinobrody przebywał więc teraz w domu rodzicielskim Gertrudy ze swoją przybraną żoną i miał tam wiele przeszkód do zwalczenia. Detektyw Greif podobno bardzo mu był niebezpieczny.

Tego samego wieczora jeszcze wyszła Walerya. Opuściła ona pałac tajemną boczną furtką.

Gęsto zawelonowana i otulona w długi płaszcz doszła do stacyi dorożkarskiej i kazała się zawieźć do wdowy "Fiołek."

Okropny deszcze padał, a wiatr wył i świszczał po ulicach. Dalekie przedmieście wyglądało w tym powietrzu jeszcze samotniej i ciemniej niż zwykle.

Walerya wsunęła się szybko do ubogiej, brudnej kamienicy. Oglądnęła się wpierw ostrożnie wokoło siebie, czy jej nikt nie widzi, nikogo jednak na ulicy nie spostrzegła. Nie zauważyła też ciemnej postaci męskiej, która stała w sieniach, w ciemnym kącie tuż obok bramy.

Człowiek ten spojrzał bystro na nią, szczególnie gdy przechodziła obok zawieszonej na środku lampy.

— To musi być ona! — szepnął on, a był to nikt inny, jak wysłany przez Wintera detektyw. Poznał on Waleryę mimo jej przebrania i poszedł za nią przez podwórze i schody.

Walerya nie oglądała się i nie spostrzegła tego. Wszedłszy na górę zadzwoniła i nie widziała że ją detektyw na skręcie obserwuje.

Niebawem otwarły się drzwi i Walerya znikła w mieszkaniu.

Detektyw wszedł po cichu na górę i przeczytał kartkę na drzwiach. Wiedział więc już kogo żona hrabiego i ministra w ubogim tym

domu odwiedza. Zadowolony z odkrycia, zatarł on ręce!

— Jakżeż zdziwony będzie Winter, gdy się o tem dowie!

Tymczasem weszła Walerya do pokoju, nie osłoniwszy jak poprzednio welonu. Nie zdjęła też płaszcza.

Wdowa "Fiołek" popatrzyła zaniepokojona na nowoprzybyłą. Przeczuwała ona coś złego.

— Czy mnie pani nie poznaje? — zapytała Walerya dumnie.

— Owszem, wielmożna pani! — odpowiedziała wdowa. — Wiem, że wielmożna pani była tu już raz względem tego chłopaka!

— Tak jest! I dziś z tym samym interesem przychodzę. Gdzie jest mały? Ja go tu nie widzę!

— Dzieci już śpią!

— Gdzie?

— Tu w przyległej izdebce!

To rzekłszy wskazała wdowa na drzwi w głębi pokoju.

Walerya podeszła ku nim i otworzyła je. Było tam jednak ciemno.

— Poświeć pani! — rzekła ona rozkazująco.

Wdowa wzięła milcząco lampkę ze stołu i weszła do przyległej izdebki. Przy świetle zobaczyła Walerya dwa łóżeczka dziecinne w ubogo umeblowanej komórce.

W jednym z nich leżała mała dziewczynka, w drugim mały Walter. Oba dzieci spały mocno i nie obudziły się.

Walerya zwróciła się do łóżeczka chłopca i obrzuciła go błyszczącemi oczyma. Nie żal jej było niewinnego stworzenia. Widok jego nie wzruszył jej wcale, myślała ona bowiem właśnie w tej chwili o jego zgubie.

Po chwili odwróciła się Walerya i wróciła do pierwszego pokoju.

Biedna wdowa zamknęła drzwi i postawiwszy lampkę na stole, popatrzyła badawczo na obcą damę.

—Przyślę tu kogoś jutro wieczorem!—rzekła ona znów dumnie. — A pani odda chłopaka dotyczącej osobie.

— Jakto? Więc mi pani chce zabrać chłopaka? — przeraziła się wdowa "Fiołek".

— Tak jest! Dawno już panią przecież na to przygotowałam.

Wdowa "Fiołek" tak się zmartwiła, że Walerya tego wprost pojąć nie mogła.

— Ach, to nie może być, wielmożna pani! — zawołała ona drżącym głosem. — Ja nie wydam dziecka!

— Jakto? Wzbrania się pani? — krzyknęła Walerya gniewnie.

— Tak jest, wzbraniam się! — zawołała znów wdowa z odwagą rozpaczy. — Ja wiem, że dziecko to nic dobrego w rękach pani nie czeka!

Walerya zaśmiała się nieszczerze. W oczach jej widniały groźne błyski, chociaż woalka je przysłaniała.

— Co to koga obchodzi, co mam za zamiar uczynić z chłopcem? — Proszę go wydać, bo inaczej zmuszę panią do tego!

— W takim razie zrobiłabym doniesienie do policyi, odrzekła wdowa stanowczym głosem.

— E, nie uczyni pani chyba tego już ze względu na siebie — mówi szyderczo Walerya. Musiałaby się pani na to narazić, że ukaraliby panią za to, że pani chłopca przyjęła pod takimi warunkami i że pani podała fałszywe zeznanie co do jednego pochodzenia.

— Wszystko mi jedno, co mnie za to spotkać może. Nie oddam jednak pod żadnym warunkiem dziecka w ręce i moc pani.

Walerya traciła już cierpliwość. Wściekła i oburzona była na to, że jej wdowa stawiała opór, jakiegoby się wcale nie była spodziewała. Cały jej plan mógł teraz runąć.

— Widzę już, że chce pani przy tej całej sprawie tyle pieniędzy wyłudzić, ile się tylko da — powiedziała zimno i pogardliwie, ale z daremnym trudem, aby zachować należyty spokój. — Więc dobrze. Pani dostała już była pięćset marek, a tu daję pani jeszcze raz tyle. Osoba, która jutro dziecko weźmie, da pani jeszcze tysiąc marek. Czy wystarczy to pani?

Podczas gdy to mówiła, wyciągnęła pugilares i położyła pieniądze na stół. Jednak wdowa odsunęła pieniądze precz od siebie.

— Nie! Pani mię chce przekupić. — Bóg raczy wiedzieć, co za zbrodnia kryje się po za tem.

Walerya znowu się zaśmiała głośno.

— A więc jeszcze raz tyle pieniędzy dam pani. — Może więc pani być zupełnie zadowolona. Ma się rozumieć, że musi pani o tem zachować jak najsurowsze milczenie.

— Chociażby pani dziesięćkrotną sumę mi położyła, to przecież nie dam się przekupić — zawołała wdowa stanowczo. — Proszę schować swoje pieniądze. Dziecko zostanie pod moją opieką, dopókąd własna jego matka lub ojciec nie zażądają wydania jego.

Walerya widziała już, że wszelkie jej namowy są nadaremne i wpadła już w złość i rozpacz.

— A ja pani oświadczam, że odbiorę pani dziecko przemocą, jeżeli mi je pani dobrowolnienie odda!—wołała ona głośno do wdowy. — Chłopiec do mnie należy —czy mię pani rozumie?

— Do pani? — O nie, temu nie wierzę. To niemożliwe, aby pani była jego matką.

— To panią nie powinno wcale obchodzić! — Czy nabierze już pani rozumu, czy nie? — woła Walerya, trzęsąc się ze złości i już zamierzała się groźnym ruchem na kobietę.

Ta usunęła się mimowoli przed tą demoniczną kobietą, gdyż spojrzenia i ruchy napawały ją gniewem. Ale trwała stanowcza przy tem, co przedtem powiedziała. Walerya mogła teraz grozić i obiecywać, co się jej podobało, ale celu nie osiągnęła.

Rozpacz i wściekłość opanowały ją. I cóż? Kobieta mogła małego Waltera gdzieindziej ukryć, przenieść go do innej miejscowości, a jeżeli ona jutro przyśle swą pokojówkę, może już nie być chłopca.

— Nie, ona nie może do tego dopuścić. Ona musi sama teraz małego Waltera ze sobą zabrać, bo inaczej będzie dla niej stracony.

Ale kobieta ta sprzeciwiłaby się jej pewnie wszystkiemi siłami i mogła jeszcze w ostatecznym razie zewezwać pomocy. Na to nie mogła Walerya narazić się.

Wreszcie powzięła straszny, rozpaczliwy zamiar. Była przecież na wszystko przygotowana i miała ze sobą najrozmaitsze środki. Wyciągnęła więc swoją chustkę do nosa i obróciła się.

Wdowa nie przeczuwała nic złego. Stała spokojnie przy stole i czekała, aby się Walerya oddaliła. Tymczasem ona odkorkowała ukradkiem jakąś flaszeczkę, zwilżyła swoją chustkę do nosa jakimś płynem i prędko się potem odwróciła.

Nim zdziwiona kobieta zdołała wykonać ruch ręką, wcisnęła jej Walerya mokrą chustkę pod nos i usta i objęła lewą ręką silnie szyję swej ofiary.

Głuchy, stłumiony krzyk — krótkie, rozpaczliwe szamotanie i wdowa upadła bez przytomności.

Z drwiącym uśmiechem i tryumfującym wzrokiem patrzyła Walerya na leżącą bez przytomności kobietę. Jeszcze raz zwilżyła chustkę oszołomiającym płynem i położyła ją znowu na usta nieprzytomnej.

Po kilku sekundach wzięła chustkę. Nie chciała ona tej kobiety otruć, tylko uśpić ją na pół godziny, aby ją dla siebie nieszkodliwą uczynić.

Pospieszyła teraz do komory i przystąpiła do łoża małego Waltera. I w tej chwili przemknęła jej przez głowę dyabelska myśl. Gdyby tak teraz dziecku położyła ową chustkę na usta, to w kilku chwilach wszystkoby się skończyło. Któż byłby przypuszczał, że ona właśnie była morderczynią? Któżby ją oskarżył?

Wtem obudził się nagle mały Walter. Otworzył szeroko oczy i patrzył osłupiałym wzrokiem przestraszony na czarną postać, stojącą przed nim a oświetloną płomieniem lampy. Z ust jego wydarł się okrzyk przerażenia.

—Cicho!—zawołała groźnie Walerya.—Gdy nie milczał, tylko jeszcze głośniej krzyczał, wcisnęła bezbronnemu dziecku ową zatrutą chustkę na usta. W tejże chwili ucichło ono i opadło znowu na poduszkę.

Walerya przywiązała mu ową chustkę silnie do ust, zawinęła nieprzytomnego w kołdrę i przykryła go swoim płaszczem. Mała dziewczynka nie obudziła się, tylko jeszcze spała dalej spokojnie. Kobieta leżała także bez ruchu na ziemi.

Z tryumfem uciekała Walerya stąd z małym Walterem.

Zamknęła ze stukiem drzwi od korytarza i zaniosła Waltera pod płaszczem do powozu, który na nią czekał.

Szybko wsiadła i dopiero teraz odetchnęła i wyciągnęła chustkę z ust na pół już nieżywego dziecka.

Nie wyszła ona jednak z domu wdowy tak niespostrzeżenie jak się jej to wydawać mogło.

Przez cały czas, przez który była w domu wdowy, czekał w sieni na dole tajny agent policyjny.

Widział on Waleryę wychodzącą i spostrzegł że niesie pod płaszczem jakiś wielki, bezkształtny przedmiot.

— Coby to być mogło? — pytał się sam zdziwiony. Jej pospiech i widoczna irytacya obudziły w nim jeszcze większe podejrzenie. Szedł on za nią, jednak ona nie zauważyła go.

Gdy wsiadła do powozu, który już z miejsca ruszył, wtedy wskoczył ów agent na tylną część powozu i trzymał się silnie wystającej części powozu.

Ten jechał w stronę pałacu ministrów. Nie zatrzymał się jednak przed główną bramą, tylko przed małą furtką w murze, otaczającym park, którą wskazała Walerya woźnicy.

Tu wysiadła, rzuciła woźnicy złotą monetę do kapelusza i otworzyła sobie sama furtkę.

Znikła ona wnet w parku i zamknęła za sobą furtkę. W ciemności zniknął i agent policyjny.

Walerya doszła przez nikogo niespostrzeżona do swoich komnat. Zadzwoniła, a gdy przyszła pokojówka, stała jej pani już przed kanapą, na której leżało coś nieruchomego i niewidzialnego z pod przykrycia.

— Czy mój małżonek wie, że mnie nie było? — pyta Walerya.

— Nie, wielmożna pani. Jego ekscelencya nie pytał się wcale.

Walerya była z tego zadowolona. Dała pokojówce znak, żeby się przybliżyła i powiedziała:

— Patrz tu, Frydo, co ja przyniosłam!

Odchyliła przykrycie i ukazała się postać małego Waltera. Jak gdyby śpiące, leżało dziecko w głębokiem oszołomieniu już prawie jak umarłe.

Z niewymownem zdziwieniem patrzyła pokojówka na dziecko. Załamała ze zdumienia ręce i zawołała powątpiewająco:

— Mój Boże! — To przecież mały Walter Rambow. — Czy może nie on?

Walerya potwierdziła to niechętnie

— Więc ty go znasz?

— Tak jest, to jest on! — zawołała pokojowa wzruszona. — Ach, mój miły Boże! — Myślałam, że on już dawno nie żyje. Skąd go wielmożna pani wzięła?

— Odkryłam go przypadkiem i teraz dostałam go właśnie w swoje ręce.

— Panie niebios! To się jego ekscelencya ucieszy — mówi pokojówka. — Czy mam o tem ekscelencyi zaraz powiedzieć?

— Nie — zostań tu! — rozkazała Walerya ostrym tonem. — Nie bądźżesz tak głupia, Frydo. — Mój mąż nie śmie ani dziś, ani jutro nic o tem wiedzieć — na razie jeszcze nie!

— Ale dlaczegoż nie, wielmożna pani? — pyta Fryda zdziwiona.

— Nie pytaj o nic, tylko czyń, co ci każę! — Wszystko inne niech cię wcale nie obchodzi — odrzekła Walerya tonem, który pouczył służącą o tem, że wchodzi tu w grę tajemnica, którą trzeba zachować.

—A więc nie wolno mi nikomu o tem mówić? — badała ona.

— Nie! — Będziesz milczała, Frydo! — upomina ją Walerya usilnie. — Żaden człowiek nie śmie o tem wiedzieć ,że dziecko to jest jeszcze przy życiu i że się tu znajduje. Zanieś teraz chłopaka do swego pokoju i ułóż go do snu. — Potem przyjdź znowu tu. — Mam ci jeszcze coś ważnego powiedzieć.

Pokojowa usłuchała.

Wzięła nieprzytomne dziecko na ręce i wyszła. Walerya patrzyła za nią ponuro, z drwiącym uśmiechem.

— Ty to wykonasz — mruknęła do siebie — Tak jest i tylko tem zmuszę ciebie do milczenia. Chłopak ten musi zginąć — bez miłosierdzia!

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy powóz stanął, wysiadł agent i widział, jak Walerya znikła w pałacu ministra.

Szybko oddalił się, a gdy woźnica zawrócił w wązkiej ulicy, zawołał na niego i kazał się zawieźć do dyrekcyi policyi.

Tu siedział komisarz Winter mimo późnej pory zajęty jeszcze w biurze.

Czuł się znowu zdrów i pracował energicznie.

Teraz czekał z naprężeniem od Braunda wiadomości.

Co mogła znaczyć ta wycieczka do zamku w lesie?

Kto to mógł być ten człowiek, którego tam odwiedziła? Czy nie Ludwik Hecht?

Winter zamyślony palił papierosa.

Wtem wszedł agent widocznie wzburzon

Panie komisarzu! — zawołał.

— Cóż tam, panie Stein? — odparł Winter.

Stein dokładnie opowiedział, co widział.

Winter zaskoczony tą wiadomością, zerwał się tknięty niejasnem przeczuciem prawdy.

— Świetnie się pan sprawił! — zawołał. — Chodź pan! Pojedziemy zaraz do wdowy "Fiołek!"

Ubrał się i wyszedł z podwładnym.

W przedpokoju drugiemu agentowi polecił pilnować furtki parku pałacowego na wypadek, gdyby Ludwik Hecht chciał tam wejść.

Nie minęła godzina od czasu, gdy Walerya wyszła z domku na przedmieściu, a już Winter był tam.

Zanim poszedł do wdowy, wypytał naprzód o nią zarządcę domu.

Ten mówił chętnie co wiedział, ale nie wiedział nic ponadto, że kobieta ta żyła uczciwie i teraz miała dwoje dzieci na wychowaniu.

— Cóż to za dzieci? — pytał Winter.

— Dziewczynka sierota i chłopak 4-letni, ładny blondynek, podobno jej siostrzeniec. — O odwiedzinach Waleryi nie wiedział zarządca nic.

Winter nie pytał więcej i po chwili zadzwonił do wdowy

Cisza panowała, nikt nie odpowiadał.

Wydawało się, że nikogo tam niema.

Komisarz zadzwonił znowu — napróżno.

Czyżby jej nie było w domu o tak późnej porze? — dziwił się Winter. — W takim razie słyszałoby się przynajmniej głos dzieci!?

Nadsłuchiwał przy drzwiach, ale nie słyszał nic.

Nie! Tam widocznie nie było nikogo.

W każdym razie musi wrócić niebawem, bo z podwórza widać było światło w jej oknie, musiała tedy wyjść tylko na krótki czas.

Czekał jeszcze kwadrans, potem zaczął się mocniej dziwić.

Raz jeszcze zadzwonił — znowu napróżno.

— Panie Stein! — rzekł do podwładnego — idź pan do zarządcy domu, niech nam otworzy to mieszkanie.

Zarządca zjawił się niebawem z pękiem kluczy.

Próbował jeden po drugim.

— Musiało się staruszce coś stać! — mówił — nigdy o tej porze nie wychodziła.

— Dziś wieczorem była u niej z wizytą jedna wielka pani. Nie widział pan?

— Nie. I bardzo mnie to dziwi, bo od lat całych nikt nigdy nie odwiedzał ją.

Nareszcie drzwi się otworzyły i wszyscy trzej weszli do pokoju.

Ledwie przestąpili próg, spostrzegli przy świetle lampy ciało starej kobiety, pozornie bez życia na ziemi leżącej przed stołem.

— Boże wielki! — przestraszył się dozorca — zamordowana!

Winter ukląkł przy ciele, a Stein zdjął lampę i świecił kobiecie w twarz.

— Ran żadnych nie widać! — zauważył Winter — tylko woń dziwna jakaś w tym pokoju! Otwóż pan prędko okna! — zawołał na zarządcę.

— Chloroform — dodał półgłosem. — Właśnie tak samo jak wtedy u mnie, gdy ten nędznik służącą uśpił, a mnie chciał otruć.

W istocie panował w pokoju strasznie odurzający zapach, który ustąpił dopiero, gdy przez okno świeże powietrze nocne weszło do izby.

Winter rozpiął szatę kobiecie i szukał bicia serca.

Biło jeszcze, ale bardzo słabo.

Winter posłał Steina po doktora Kloca i z pomocą zarządcy położył wdowę na kanapie.

Rozglądnął się potem po pokoju, szukając dzieci, a zarządca powiedział mu, że one może śpią w komórce.

Poszli z lampą do drugiej izby.

Tam dziewczynka spała spokojnie, łóżeczko drugie było próżne.

— Porwała dziecko! — tłumaczył sobie Winter — będzie go musiała oddać!

Kto był ten chłopiec, to było dla niego jasne. Gdy mu Stein opowiedział, że Walerya coś wielkiego niosła pod płaszczem, przeczuwał co to było.

Z gniewem zacisnął pięści.

— Co ona chce zrobić z dzieckiem nieszczęśliwej Agaty? Z pewnością nic dobrego. Trzeba jej czemprędzej wydrzeć ofiarę!

Nie wiedział, czy wprost oznajmić wszystko zaślepionemu hrabiemu, który mu możeby nawet nie wierzył. — Dowodów nie było. — Nie miał nawet już listu Agaty a Walerya zaprzeczyłaby wszystkiemu, nawet małżeństwu z Ludwikiem Hechtem, który sam jeden tylko mógł dać dowody na to.

Ale tu z tem dzieckiem wszystko było jasne, Winter mógł śmiało oskarżyć Waleryę przed jej mężem, że gwałtem porwała chłopaka.

Ale czy to zawiodłoby go do celu?

Walerya z pewnością by się wypierała, a nawet gdyby się musiała przyznać do tego, to mały Walter mimo to pozostałby w jej ręku i to z wolą hrabiego. Byłby tedy zdany na łaskę i niełaskę tej okrutnej kobiety.

Winter szybko się zdecydował.

Nie jawnie i otwarcie, ale własną bronią Waleryi, chytrością i podstępem musiał ją zwalczyć.

Wtem nadszedł Kloc i z trudem przywrócił przytomność starej kobiecie.

Przestraszona patrzyła dookoła i z trudem starała się zrozumieć słowa Wintera, gdy jej tłómaczył, co się stało.

Dowiedziawszy się wreszcie, że chłopaka niema, zaczęła lamentować.

— Skąd pani miała dziecko i jak długo?— pytał Winter.

Przestraszona kobieta zrazu nie chciała mówić, ale Winter wnet wydobył jej zeznania.

—Awięc nie dostała pani wyjaśnień, co do pochodzenia dziecka? — spytał potem.

— Nie. Ten człowiek, który mi je przyprowadził, nie chciał nic mówić. Może źle zrobiłam, że tego chłopca mimo to zatrzymałam i podawałam jako siostrzeńca. Ale polubiłam go bardzo i zdawało mi się, że się dziecku stanie coś złego, jeżeli je zostawię u tego człowieka.

— I ja myślę, że ono by już dziś nie żyło — potwierdził Winter — zresztą nie do mnie należy sądzić postępek pani. Gdybyś pani jednak dała była znać policyi, wszystko byłoby

inaczej. Ja dawno już szukam tego chłopaka!

— Ach! a teraz go niema! — lamentowała kobiecina. Ach, gdybym wiedziała, kto to jest ta pani, która...

— Niech się pani uspokoi! — przerwał jej Winter, — ja ją znam.

Wkrótce potem wyszedł z domu z doktorem Klocem i Steinem.

— Teraz do pałacu ministra! — rzekł do towarzyszy.

CXXX.

UMARLI WRACAJĄ.

Czerwony jak indyk chodził Sinobrody po jadalni zamkowej.

Przekleństwa i gniewne słowa padały mu z ust.

— Niech dyabli wezmą tę całą bandę! — Co!? My tu nic nie mamy do gadania. Ja mu pokażę, temu twemu wujowi, temu niedźwiedziwi moskiewskiemu. Jak on śmie zmieniać moje rozkazy!

— Uspokój się — upominała chłodno małżonka Betlina.

Byli sami, ale stół był już nakryty, i lada chwila mógł nadejść wuj.

Mimo zakazu Sinobrodego nakryto także dla pani Martens.

— Cicho bądź! —rzekła ostro Betlina. — Nie rób skandalu! — Wuj ma racyę — niestety, i my musimy słuchać.

— Do licha nie! — zawołał wściekły Sinobrody i uderzając pięścią o stół. — Nie usłucham. Co ten stary tu robi wogóle? On nam chce spadek zabrać.

— Nie poradzimy na to, że testament jeszcze przez rok musi leżeć i ostatecznie nic na tem nie tracimy.

— Ty nie! — odrzekł z ironią. — Któż ty jesteś? Ty wogóle nie masz nic do stracenia. — Ale ja!

— Pozwól — przerwała mu żona i jadowite spojrzenie padło się z jej oczu. — Ja cię muszę nauczyć cierpliwości. Ojczym mój nie jest jeszcze sądownie uznanym za zmarłego, więc nie możemy po nim objąć spadku.

Sinobrody ze zdumieniem zauważył, jak stanowczo ona teraz występuje wobec niego.

Wściekłość jego wzmogła się — zapomniał o wszelkiej ostrożności i zawołał:

— Twój ojczym — główna spadkobierczyni? — Niech cię dyabli wezmą! — Co za głupstwa gadasz? Nie doprowadzaj mnie do wściekłości, bo ja ci dowiodę, kto ty jesteś! Ty gładka żmijo!

Blada, z miną ponurą i zdecydowaną podeszła Betlina ku drzwiom — śmiertelna nienawiść błyszczała w jej ślady.

— Zostań! — krzyknął. — Czyś ty zwaryowała?

— Nie, tylko ty! — odpowiedziała zimno — bo ty gwałtem pchasz się sam do zguby.

To rzekłszy wyszła.

Klnąc, wybiegł za nią, ale nie ujrzał jej już.

— Pewnie w ogrodzie pomyślał wychodząc poszkloną werandą. — Co też jej na myśl przyszło opierać się mnie!? Czekaj! Ja cię nauczę jeszcze!

Wściekły pędził przez ścieżki ogrodu, ale nigdzie Betliny nie było. Wogóle na szczęście jego i innych nie spotkał go nikt, bo był on w takiem usposobieniu, że zetknięcie się z nim było niebezpieczne.

Było to w dzień po rozmowie Betliny z wujem. Sinobrody nie mógł z niej nic połapać, bo oboje mówili półgłosem. Nie wiedział więc z jakim wyrafinowaniem Betlina go oszukiwała i pracowała nad jego zgubą.

Wuj nic jeszcze nie przedsięwziął przeciwko niemu, bo mu Greif odradzał, że się nie trzeba spieszyć.

Ależe testament przez rok jeszcze nie pozostanie otwarty, o tem się Sinobrody dowiedział też, że to z przyczyny wuja.

Nienawidził go strasznie, bo ten i w inny sposób wchodził mu w drogę.

Sinobrody tego rana wymówił miejsce całej służbie i pani Martens i żądał, żeby wszyscy się natychmiast wynieśli. Wuj tymczasem wymówienie to cofnął i oznajmił ludziom, że Sinobrody nie ma prawa tu rozkazywać.

To doprowadziło Sinobrodego do wściekłości i wzmogło jego nienawiści do Rosyanina. Na to wszystko oliwą do ognia był teraz niespodziany opór Betliny.

Nie znał jeszcze jej ukrytych planów i biada jej, gdyby je poznał.

Spacerując po ogrodzie uspokoił się i zaczął rozważać.

Gdy potem wrócił do jadalni, wchodził tam właśnie wuj z Betliną a za nimi Martens i Günter w masce rosyjskiego sługi.

Na ich widok na nowo zapałał gniewem, zwłaszcza że Betlina przypatrywała się mu ironicznie.

Z wyzywającą miną stanął przed wujem.

— Pozwoliłeś pan sobie odwołać moje rozkazy i oświadczyć, że ja tu nie mam nic do roz-

kazywania!—zawołał.—Skąd pan do tego przychodzi?

Wuj w pierwszej chwili zapomniał język w gębie, potem dopiero zapanował ledwie nad swoim gniewem.

— Mój panie — rzekł — proszę do mnie przemawiać grzecznie i nie zapominać, że nie pan jesteś tu panem w domu.

— To może pan nim jesteś? — zawołał Sinobrody ironicznie.

—Na razie ja tu mam dorozkazywania—odpowiedział wuj z godnością. — Jeżeli pan tego nie wiesz, to dowiedz się pan w sądzie.

— Moja żona jest spadkobierczynią, a nie pan! — wybuchnął hrabia Sinobrody. — A ja, jako mąż Gertrudy mam prawo rządzić według swego upodobania.

Wuj uśmiechnął się pogardliwie.

— Jeżeli pan w istocie jesteś tego zdania, to szukaj pan swego prawa u władzy kompetentnej. Ja nie mam ochoty wdawać się z panem w sprzeczki.

— Pan mi musisz odpowiadać — wrzasnął Sinobrody.

— Panie! — odrzekł wuj z gniewem — jeżeli pan chcesz dłużej pozostać gościem w tym domu, to zachowaj się pan przyzwoicie, gdyż w przeciwnym razie zmuszony będę panu drzwi pokazać.

Sinobrody wybuchnął ordynarnym śmiechem.

Czuł się upokorzonym, widział wrogie spojrzenia wszystkich i twarz jego skrzywiła się straszliwym wyrazem.

— Harald! — odezwał się nagle głos Betliny — bądź rozsądnym!

I dziwna rzecz!

Ten głos podziałał na niego, jak strumień zimnej wody.

Obrócił się i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

— Boże! Cóż to za ordynarny człowiek! — zawołał wuj oburzony, gdy się drzwi zamknęły za odchodzącym. — Dla ciebie tylko czynię, moja biedna Gertrudo, że go nie wyrzucam stąd.

Betlina rzuciła się mu na piersi z płaczem, udając ból, którego wcale nie czuła.

— Ja nie chcę, nie mogę żyć z nim razem! — lamentowała — on mnie obwinia o to wszystko — grozi mi — on mnie jeszcze zabije!

— Uspokój się moje dziecko — pocieszał ją wuj — włos ci z głowy nie spadnie. — Masz słuszność, że nie chcesz żyć z nim razem. On jest mordercą twego ojca.

Pani Martens wydała okrzyk zgrozy

— I pan tak sądzi? — rzekła blada z przestrachu.

— Tak! Niestety, tylko nie można mu jeszcze tego dowieść. — Niech więc pani jeszcze o tem nic nie mówi.

Bez Sinobrodego zasiedli do obiadu, ale po tej denerwującej scenie jakoś nikt nie miał apetytu. Szczególnie Betlina grała doskonale rolę nieszczęśliwej małżonki.

Przez to oszukiwała wuja i panią Martens i wykorzeniała wątpliwości zasiane przez Greifa i Güntera.

Oboje byli teraz pewni, że to prawdziwa Gertruda.

Günter tylko przypatrywał się jej badawczo i zachwiany był w swojej pewności.

Ale jakiś wewnętrzny głos powtarzał mu wciąż:

— To przecież nie ona!

Postanowił uzyskać pewność.

Wieczorem zakradł się Günter pod apartamenta przeznaczone dla Betliny i Sinobrodego. Oni nie widzieli się od obiadu i Günter był pewny, że teraz nastąpi między nimi walna rozprawa, której się chciał przysłuchać, aby się przekonać, czy to naprawdę jest hrabina Gertruda, czy też jak podejrzywał — postać samozwańcza.

Nie taił przed sobą, że to przedsięwzięcie jest niebezpieczne. Udawał się bowiem sam w położenie takie same, jak agent Hermann i gdyby go spostrzeżono, mógłby go spotkać los taki sam, jak tamtego.

Naturalnie, że i Greif był w tym domu. Bawił u wuja i radził z nim.

Niespostrzeżony dostał się Günter do pokojów hrabiowskiej pary. Był to salon, z którego na lewo szło się do pokojów hrabiego, na prawo do Betliny.

Günter zwrócił się tam i pokój zastał pusty.

Nadsłuchiwał przy najbliższych drzwiach, ale nic tam nie było słychać.

Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do drugiego pokoju, który jak inne, był jasno oświetlony.

Stąd prowadziły drzwi do sypialni Betliny.

Drugie wejście prowadziło do pokoju garderobiany. Tam ktoś szeptał.

Kto to mógł być tam?

Agent podkradł się pode drzwi i zaglądnął przez dziurkę od klucza.

Ogromnie był zdziwiony na widok, który się tam przedstawił jego oczom.

Tam siedział hrabia Sinobrody przy pokojówce swojej żony i zabawiał się z nią.

Co to miało znaczyć? Czy miał czuły stosunek z tą dziewczyną, wcale nieładną.

Günter próbował usłyszeć coś z ich rozmowy ale oni rozmawiali tak cicho, że nie rozumiał ani słowa.

Z ruchów ich nie można było sądzić, żeby to był flirt albo gruchanie.

A więc czego szukał hrabia tam u niej?

Agent stał przed trudną zagadką, nie wiedział bowiem, ani nie przeczuwał, kto jest ta rzekoma garderobiana.

Wtem zdziwił się jeszcze bardziej tem, co zaczęła robić ta pokojówka.

Widział, jak poszła przed lustro i zaczęła golić policzki, brodę i pod nosem skrobać brzytwą. Hrabia Sinobrody siedział przy tem i śmiał się. Tę procedurę musiał Piotr powtarzać zawsze rano i wieczorem, aby go zarost nie zdradził.

Günterowi zdawało się, że śni.

Kobieta, która się goli? To jakieś cygaństwo.

Nagle uderzyło o jego ucho kilka głośniejszych dźwięków z ust rzekomej dziewczyny.

Teraz zrozumiał: To był mężczyzna w sukniach kobiecych.

Ale kto to był ten mężczyzna, który odgrywał tę rolę i na co to było wogóle?

— To Piotr, szubrawy sługa hrabiego Sinobrodego — myślał, wpatrując się w tą twarz, i zaczęło mu się zdawać, że go poznaje.

Jakie odkrycie!

Byłby podskoczył z radości i ledwie powstrzymał się od okrzyku tryumfu.

— Nareszcie mamy cię, łotrze! — pomyślał gniewnie — czekajno, wnet się skończy ta twoja komedya.

Czy hrabina Gertruda była w to wtajemniczona?

Jeżeli sama oszukiwała, jak to Günter podejrzywał, to musiała także wiedzieć, kto jest jej "garderobiana."

Agent chciał się jeszcze upewnić co do niej. Jeżeli było tak, jak przepuszczał, to było to pośrednim dowodem, że jest hrabiną samozwańczą. Chciał jednak swego przełożonego natychmiast zawiadomić o swojem odkryciu.

Tak czy tak, nie słyszał nic z całej rozmowy, nie miał więc tam co robić dłużej.

Gdy jednak szybko się chciał oddalić, usłyszał kroki w przedpokoju. Nie mógł już wyjść niespostrzeżony, ale musiał się ukryć, bo niepowinien był się dać tam złapać.

Tuż obok niego stała przy ścianie duża szafa, a klucz tkwił w jej zamku.

Nie namyślając się ani chwili, otworzył drzwi, wsunął się do szafy i zamknął je znowu. Trwało to razem nie dłużej, jak dwie sekundy.

W następnej chwili Betlina weszła do pokoju. Nie przeczuwając nic, poszła do swej sypialni.

Nie przestąpiła jednak jeszcze nawet progu swego pokoju, gdy z izdebki Piotra wyszedł Sinobrody.

Słyszał kroki Betliny, a że ona cały dzień go omijała, chciał teraz ją spotkać.

Na jego widok odwróciła się Betlina z gniewem.

— Co to ma znaczyć?! — zawołała — czego ty szukasz u mojej garderobianej?

— Dobrze że jesteś — odrzekł Sinobrody nie odpowiadając na pytanie. — Chcę z tobą teraz poważnie pomówić. Zdaje mi się bowiem, żeś ty przeszła całkiem na stronę tego moskala. Chcesz mnie oszukać, a może nawet sprzątnąć, co? —

W otwartych drzwiach swego pokoju stał Piotr i z ironicznym uśmiechem przypatrywał się tej scenie. Drzwi od szafy zatrzeszczały lekko, ale nikt na to nie zwrócił uwagi. To Günter zaglądł przez szparę i nadsłuchiwał zatrzymując oddech.

— Jeżeli mnie będziesz nadal traktował jak sługę albo niewolnicę — odpowiedziała Betlina — to rzeczywiście postaram się o to, żeby się to wszystko prędko skończyło. Nie uważaj sobie, że jestem lalką w twojem ręku. Raz już ostrzegałam cię dzisiaj. Nie chcesz mnie słuchać, to leć na złamanie karku w ramiona własnej zguby. Mnie to wszystko jedno. Ja nic na tem nie tracę.

Zanim jej mógł odpowiedzieć, weszła do sypialni i zamknęła drzwi za sobą.

Klnąc, rzucił się Sinobrody za nią, ale zapóźno.

Napróżno grzmocił pięściami w drzwi. Betlina nie wpuszczała go.

— Otwórz! — ryczał — bo drzwi wywalę! Rozumiesz?

Nie otrzymał odpowiedzi. Wściekły, z przekrzywioną twarzą odwrócił się i rozglądał się za jakiemś przedmiotem, którym mógłby podważyć drzwi.

Lecz teraz zbliżył się do tego Piotr i rzekł łagodząc:

— Niech pan da spokój. Pan niedobrze z nią się bierze do rzeczy. Ja się obawiam, że ona ma podstępne plany!

— Sam to zauważyłem! — zgrzytnął hrabia. — Ale dyabli ją wezmą! Uduszę tę podstępną żmiję, jeżeli jednem słówkiem mnie zdradzi!

— Ona się będzie strzedz! Tak tego nie myślałem! Niech pan idzie ze mną, opowiem panu, co myślę. Czas już żeby ją poskromić trochę!

To rzekłszy wziął swego pana pod ramię i pociągnął go do swego pokoju.

Günter zachowywał się cicho i pozostawał w kryjówce w nadziei, że zobaczy coś więcej. To co tu widział, nie dowodziło jeszcze niczego.

Musiał dłuższy czas czekać. Ani Betlina ani Sinobrody się nie zjawił. Czy się młoda kobieta położyła spać?

Nareszcie zjawił się znowu Sinobrody. Podszedł raz jeszcze ku drzwiom do sypialni i zapukał. Gdy mu nikt nie odpowiedział, od szedł milcząc do swoich apartamentów.

Po pewnym czasie drzwi się otworzyły. Betlina jeszcze całkiem ubrana stanęła we drzwiach , na progu.

— Czy mój mąż poszedł? — spytała ostro.

— Tak jest, proszę jaśnie pani — odpowiedział pokornie Piotr.

Betlina wyszła, zamknęła drzwi do swego mieszkania i z miną ponurą, oburzoną, rzekła do swej rzekomej pokojówki:

— Różo! Jak ty się ośmielasz pod moim bokiem, w moich oczach przyjmować mego męża w swoim pokoju? Nie wstydzisz się?

Piotr udawał zawstydzenie i wyjęknął coś niezrozumiałego.

— Co hrabia chciał od ciebie! — wołała Betlina gniewnie — odpowiadaj!

— O, nic! — odrzekł iotr — pytał się tylko o panią!

— Jeżeli to jeszcze raz się zdarzy, Różo, to pamiętaj sobie, że cię będę musiała oddalić. Nie lubię tego, żeby moja pokojówka z moim mężem miała jakieś konszachty.

Piotr ukłonił się milcząc.

— Czy jaśnie pani jeszcze coś rozkaże? — spytał potem.

— Nie, idź spać — odpowiedziała szorstko.

Piotr usłuchał, Betlina zabrała klucz do sieni i poszła do swojej sypialni.

Günter pozostał sam. Położenie jego było fatalne bo znalazł się w zamkniętem mieszkaniu. Do rana nie mógł pozostać w szafie, bo tam, przy wyjmowaniu sukien, mógł go ktoś zobaczyć.

Gdy się jeszcze tak zastanawiał, co dalej zrobić, usłyszał skrzypienie drzwi, promień światła padł z pokoju garderobiany i Piotr przeszedł na palcach przez sień.

Spróbował otworzyć drzwi zamknięte ręką Betliny i zaklął po cichu.

— Do dyabła! ona wzięła klucz.

Wrócił do swego pokoju, ale wnet znowu się zjawił z pękiem witrychów. Wnet drzwi były otwarte. Piotr zostawił je tak i wyszedł.

Gdy jego kroki ucichły, wyszedł Günter ze szafy, i poszedł za nim. Widział jak Piotr znika w mieszkaniu Sinobrodego.

Pośpieszył więc do pokoju gdzie Grief i wuj siedzieli jeszcze razem. Opowiedział im co widział i to wywołało u nich zdumienie.

— Najlepiejby było przychwycić tego złodzieja Piotra natychmiast — rzekł wuj.

Greif nie mógł się zdecydować.

— Musiałbym w takim razie aresztować także i hrabiego — rzekł — a na to jeszcze za wcześnie.

— O ja wiem, co pan myśli, panie komisarzu! — zawołał wuj z niechęcią. — Pan wciąż jeszcze ma nadzieję dowieść, że ta żona jego, to nie Gertruda. Z tej przyczyny pan jeszcze zwleka.

— Tak jest! — odrzekł Greif spokojnie. — Nie widzę też dlaczego się mamy spieszyć. Złoczyńcy nam nie uciekną. Przeciwnie, aresztowanie nic nam nie pomoże! Raczej popsujemy wszystko. Pozostawiając go na wolnej stopie, uzyskamy za to więcej dowodów jego winy.

— Ależ to jest jasne, że on zamordował mego brata i prokurzystę! — zawołał wuj niechętnie.

— Dowodów niema tyle, żeby spowodować wyrok na niego — odpowiedział Greif. — Niech pan to mnie pozostawi i udaje, że o niczem nie ma pojęcia.

— A jak długo to potrwa? Nie mogę z tym zbójem dłużej pozostawać pod jednym dachem i jadać przy jednym stole!—zawołał wuj gniewnie .— Przez to zwlękanie doprowadzi pan jeszcze do tego, że ten morderca nas wszystkich tu pozabija.

Greif wzruszył ramionami.

— Tymi dniami rozstrzygnie się wszystko! — rzekł z pewnością siebie. Ja wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że to jego żona prawdziwa hrabina Gertruda!

— Ja na to już panu nic poradzę! — zawołał stary prawie z gniewem. — Jutro pójdę do prokuratora i poproszę go, aby przyaresztował tego ładnego hrabiego razem z jego służącym!

— Niech się pan nie trudzi — uśmiechnął się Greif — bo prokurator nie posłucha pana!

— Oho, a to dla czego?

— Dlatego, że ja tu jestem! — odpowie-

dział Greif krótko. — Proszę pana wyraźnie nie podejmować nic przeciwko hrabiemu i wierzyć mnie, że ja się już na tem rozumiem i wiem kiedy jest czas do działania!

— Ale nie może mi pan tego wziąć za złe! — rzekł Wendland — że nastaję na aresztowanie tego zbrodniarza.

— Sam radbym mieć go jak najprędzej!— odpowiedział detektyw — ale nie wolno działać mi bez zastanowienia.

Nazajutrz rano Sinobrody konno wyjechał w okolicę. Widziała to z okna Betlina i wyszła zaraz na werandę na której zwykle Wendland jadał śniadanie. Siedział też w swoim fotelu jak zwykle, a za jego krzesłem stał rosyjski służący, tajny agent policyjny Günter.

Nie zwracając na niego uwagi, zbliżyła się ze słodziutką minką do wuja i ucałowała go, a potem z wdziękiem i pieszczotliwością zaczęła mu usługiwać do stołu.

Wendlandowi, który był starym kawalerem, bardzo się to zawsze podobało i Betlina zyskiwała go sobie coraz więcej.

— Czy miałaś wczoraj znowu scenę z mężem? — spytał.

Betlina potwierdziła i uśmiech znikł z jej twarzy.

— Musiałam się zamknąć w swoim pokoju, rzekła opowiedziawszy mniej więcej całą scenę — bo byłby z pewnością porwał się na mnie!

Stary udawał, że wszystko to po raz pierwszy słyszy chociaż wiedział to już od Güntera.

— To oburzające — zawołał. — Nie możesz zostać dłużej w tem mieszkaniu po tamtej stronie zamku, przenieś swoje apartamenta w moje pobliże!

— Tak, to będzie najlepsze! — pochwyciła żywo Betlina. — Wogóle chcę się z nim rozwieść!

— To znów niepotrzebne! — odrzekł stary. — Przeciwko niemu jest tyle oskarżeń, że sąd cię może łatwo od niego uwolnić! — A więc on już z twoją pokojówką trzyma!

— Tak, właśnie opowiadałam wczoraj, że zastałam ich oboje razem.

— Słuchaj no, Gertrudo! — rzekł wuj badawczo. — Przypatrywałem się bliżej tej twojej pokojówce i wiesz ty co? Zdaje mi się bardzo, że to nie dziewczyna, tylko przebrany mężczyzna. — Czy sama nie zauważałaś tego?

W tej chwili rosyjski służący chrząknął za nim.

Miała to dla wuja być przestroga, żeby się zanadto nie zdradzał

Betlina obrzuciła go wprawdzie szybkim spojrzeniem, ale jego twarz była taka nieruchoma, jak gdyby nie zrozumiał z całej rozmowy ani słowa.

— Moja pokojówka mężczyzną? — zawołała przerażona. — Proszę cię wuju, przecież to niemożliwe! Każdyby to przecież zauważył?

— Hm, kto wie?

Wuj ruszył ramionami.

— Ot, tak mi przyszło na myśl! — rzekł wuj po chwili.

Betlina była podrażniona i zdenerwowana. Teraz przypomniała sobie, że jej się niejedno dziwne wydawało u pokojówki. Teraz zrozumiała, dlaczego zawsze instynktownie bała się używać pomocy jej przy ubieraniu i rozbieraniu się.

— Jeżeli wuj ma racyę! — szepnęła strwożona — w takim razie mąż mój musi o tem wiedzieć, bo to on właśnie przyjął mi ją w Londynie.

— W każdym razie bądź ostrożna z nią — upominał wuj, bo jeżeli jest tak, jak przypuszczam, to jest to wspólniczka, a raczej wspólnik Sinobrodego.

— Boże mój — zawołała Betlina strwożona — ja się chcę natychmiast pozbyć tej osoby!

— Powoli moje dziecko! Tak nie idzie — przestrzegał wuj. — Trzeba działać ostrożnie. Nie powinnaś się zdradzać z tem, że coś podejrzywasz. Oddalić ją możesz tylko pod jakimś pozorem. Jeżeli się mąż twój będzie temu sprzeciwiał, to bedziesz miała potwierdzenie moich przepuszczeń.

Günter znowu chrząknął, wuj odwrócił się i popatrzył przez króciutką chwilę na służącego w którego oczach wyczytał poważne upomnienie.

Betlina zbyt była zajęta swojemi myślami, aby to zauważyć.

— A może się mylę! — mówił dalej wuj. — Ostatecznie nie potrzebujesz często używać jej usługi. Przyjmę ci drugą garderobianę.

— Czy wuj już przedsięwziął jakie kroki przeciwko Sinobródemu? — spytała Betlina badawczo.

— Do sądu go nie zaskarżyłem — odpowiedział wymijająco.

— Ale zrobisz to, wuju — prawda?

— Naturalnie! Spuszczam się zresztą trochę na to, że się jego krokami od dłuższego czasu zajmuje policya kryminalna.

— Skąd wuj wie o tem?

— Słyszałem.

— Czy porozumiałeś się już z policyą? — spytała Betlina.

— Nie jeszcze.

— Przypuszczam, że tu jest jeden albo kilku agentów, którzy wszystko śledzą — rzekła Betlina z przekonaniem. Sinobrody przeczuwa to, mówił o tem kilka razy.

Pewnego razu strzelił nagle wieczorem stąd, z tej werandy, pomiędzy krzaki i powiedział mi, że chciał zastrzelić sowę. Ale mnie się zdaje, że on strzelił do agenta policyjnego, który nas chciał podsłuchać.

— Bardzo możliwe! — zauważył wuj.

— Z tego wszystkiego wnoszę — mówiła Betlina dalej, że się z nim niebawem wszystko skończy. Ale dobrzeby było, wuju, gdybyś z tymi panami z policyi wszedł w porozumienie. — Dowiedzielibyśmy się, jak daleko zaszły ich badania.

Myślała przy tem o sobie. Bo jeżeliby się policya dowiedziała, kto ona jest właściwie, to i z nią byłoby źle.

— Uczynię to też, moje dziecko! — rzekł wuj po namyśle.

Widział w niej siostrzenicę swoją Gertrudę i wydawało mu się rzeczą niesłuszną nie wtajemniczyć ją we wszystko. Gdyby nie Greif i Günter, którzy go wciąż przestrzegali, byłby się już dawno tej chytrej i podstępnej pochlebczyni rzucił wobjęcia. Ale przyrzekł im rezerwę, więc milczał wobec niej.

Długi czas rozmawiała z nim chodząc po ogrodzie, a Rosyanin służący chodził wciąż tuż za nimi, jak cień. Betlina odczuwała niemile jego obecność, ponurą minę, straszną brodę i dziwnie kłujący wzrok.

— Dlaczego twój służący włóczy się krok w krok za nami? — spytała wreszcie. To mnie denerwuje! Odeślij go.

— Ale dlaczegoż, moje dziecko? — On nas nie rozumie!

— To dziwny człowiek jakiś, ja go nie chcę! — uparła się Betlina w tonie kapryśnego dziecka.

— Głupstwo! — odpowiedział wuj spokojnie i skręcił na inny temat rozmowę. — Czy myślałaś już o swojej przyszłości? Co poczniesz, jak się zacznie proces przeciw twemu mężowi?

— Nie wiem jeszcze — westchnęła Betlina.

— Mogłabyś sobie tu spokojnie żyć

— A wujcio zostanie ze mną?

— Ja? — uśmiechnął się — nie mogę przecież swoich posiadłości w Rosyi tak pozostawić

— To ja pojadę z wujem!—zawołała Betlina — weźmiesz mnie ze sobą?

— Oho, czemu nie! — ucieszył się stary— tylko obawiam się, że ci się tam długo nie będzie podobać.

— Zobaczymy — odrzekła ona pół zdecydowana — przepędzać możemy lato w tej twojej okropnej Rosyi, a na zimę przyjeżdżać tu! Co?

— A ty, taka młoda i piękna, zechcesz się przy mnie oddać tylko żałobie? Powinnaś drugi raz wyjść za mąż.

— Poczekam na ciebie, wuju — odpowiedziała z kokieteryjnem uśmiechem i obrzuciła go takiem spojrzeniem, że mu serce stanęło w płomieniach.

Ona zaś po tych słowach uciekła.

— Ciekawa kobieta—mruknął. — Co pan sądzi o tem? — zwrócił się do Güntera.

Ten pozostał chłodny i poważny.

—Niech pan będzie ostrożniejszy. Pan się zanadto zdradza — rzekł krótko.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Hrabia Sinobrody długo się przechadzał. Godzinami jechał przez górzystą okolicę po pagórkach, potem pojechał w las na samotne ścieżyny.

W zamyśleniu martwił się zachowaniem się Betliny. Naradzał się z Piotrem, który był tego zdania, że ona na wszelki wypadek chce sobie pozyskać i zapewnić rzekomego wuja i dlatego tak się uczepiła tego moskala.

Ale Robert obawiał się jeszcze czegoś więcej. Przewidywał jej plany i wściekły był, że ona tak może wyzyskać sytuacyę.

Nie widział sposobu ani możności przeciwdziałania jej. Tu nie miał nad nią mocy. W domu, na zamku Wildenfels, byłby już sobie z nią był poradził.

Szukał powodu do zaproponowania wyjazdu i nasunął mu się jeden: scena z wujem. A ponieważ testamentu na razie się nie miało otwierać, nie potrzebował się dłużej tam zatrzymywać.

Wrócił teraz, ale uważał, że błądzi. W leśniczówce dopiero pokazano mu drogę.

Około południa dopiero zaczął się zbliżać do miasta. Szybkim truchtem pędził przez gościniec i przybył na dworzec. Tuż za dworcem tor kolejowy przecinał gościniec. Rampa była zamknięta i Robert musiał czekać.

Powoli zbliżał się pociąg, który na peronie miał się zatrzymać. Z okien wyglądali podróżni,, a z wagonu II kl. wprost naprzeciwko jedż

ca siedzącego na spienionym koniu patrzyła na gościniec elegancko ubrana kobieta. Za nią widać było twarz opaloną i okoloną ciemną brodą.

Sinbrody popatrzył na nią obojętnie, ale ledwie ją dobrze oglądnął, zadrżał jak pod uderzeniem piorunu. Przerażenie paraliżowało go, siedział na koniu jak skamieniały i blady wytrzeszczył oczy.

Była to jego żona, Gertruda i brat Józefiny, kapitan Aleksander Brandenfeld.

Oni oboje nie zauważyli go, bo szukali oczyma dworca, mimo że pociąg jechał tu bardzo pomału. Teraz jeszcze jedno szarpnięcie wozów, turkot i pociąg szybko wjechał na peron.

Sinobrody gapił się za nim. — Wydawało mu się, że to sen, straszliwa jakaś wizya.

Lecz nie, to nie było złudzenie! Jak bardzo to było nieprawdopodobne, to jednak musiał w to uwierzyć, że to była jego żona, Gertruda co do której był pewny, że nie żyje.

Jak to było możliwe?

Czy umarli wracają?

— Boże wielki—szeptał — nie omyliłem się, to ona!

Straszliwa trwoga owładnęła nim. Wszystko było stracone. Najlepiej by zrobił, gdyby z miejsca zawrócił konia i uciekł jak najdalej.

Ale nie uciekłby daleko. Może jeszcze jakiś ratunek jest możliwy.

— Owszem! Jest: Gertruda jego żona, była w domu! Ta, która przyjdzie i za jego żonę wydawać się będzie, szarlatanka jakaś oszukańcza. Kto jej uwierzy? Kto poświadczy, że ona mówi prawdę?

— Odwagi! — pomyślał — nie trzeba się zniechęcać. — Dobrze że ją widział. Teraz był przygotowany.

Galopem popędził do domu, by pouczyć Betlinę, jak się ma zachowywać.

CXXXI.

W ŚMIERTELNEJ OPRESYI.

— Przygotujmy się na śmierć, moja biedna Delio — rzekła płacząc Agata do służącej — ostatnia to nasza noc.

— Może nam się uda uciec? — pocieszała tamta niemniej jednak zrozpaczona.

— Niemożliwe! — lamentowała Agata.

W rozpaczy i zwątpieniu nie oczekując z nikąd pomocy ani ratunku, liczyły straszne chwile i minuty z których każda mogła im przynieść zgubę.

Nie zapalając światła, siedziały obejmując się ramionami. Drzwi do przedpokojów zamknęła była Delia na klucz.

Drżąc nadsłuchiwały, gdy usłyszały nagle z biciem serca kroki dozorców.

— Boże mój! — wyjęknęła Agata w śmiertelnej trwodze.

— Proszę nie tracić odwagi! — pocieszała Delia — pierwszemu, który się ośmieli tu wtargnąć, wepchnę sztylet w serce.

— Cóż nam to pomoże? — odrzekła Agata — ostatecznie przecież ulegniemy.

Delia ze sztyletem w ręku stanęła przy drzwiach. Ale kroki, które je nastraszyły — oddaliły się znowu.

— Chcą nas napaść, gdy będziemy spały — szepnęła Delia swojej pani. — Teraz nie;

— A co oni robili w przedpokoju?

— Może przynieśli kolacyę. Pójdę zobaczyć.

— Nie, zostań moja droga! — zawołała Agata z trwogą — oni się może tylko przyczaili i czyhają tam na nas!

Ale Delia otworzyła już drzwi, zapaliła zapałkę i zaglądała tam.

— Błagam cię, wróć, bo będziesz zgubiona! — szeptała Agata.

— Niech się pani nie boi. Słyszałem najwyraźniej, jak wyszli i drzwi zamknęli na klucz.

Zaglądnęła przez dziurkę od klucza i zobaczyła tam na stole świecę, którą Ludwik zostawił i potrawy.

Zdecydowana otworzyła drzwi i na palcach podeszła do stołu, każdej chwili gotowa do ucieczki.

Tam stały potrawy, a przy nich odkorkowana flaszka wina zatrutego, które miało je zabić.

Agata przeczuwała to i nie pozwoliła Delii tknąć nic ze stołu. Zaciągnęła ją napowrót do pokoju i tam słyszały znowu jak Ludwik z Kulasem Frycem chodzi po zamku. Potem usłyszały jakiś głuchy okrzyk, wreszcie zapanowała cisza.

Śmiertelnie przerażone siedziały tak, z odgłosów tylko domyślając się, co się dzieje: Zaskrzypiała brama, a więc to oni wyszli. Po długim czasie słyszały jak wrócili.

Potem znowu wszczął się hałas w zamku.

Nie umiały sobie tego wytłómaczyć, co to znaczy.

Noc była straszna burzliwa, dla nich, czekających śmierci, podwójnie okropna.

Nagle usłyszały pod sobą jakiś szelest. Ludwik z towarzyszem byli w piwnicy.

Wtem obie podskoczyły przerażone.

— Boże! Oni wywalają drzwi!

Głośne uderzenia o pierwsze drzwi od kurytarza brzmiały przez obydwie ubikacye. Bezwątpienia ktoś miał zamiar wyłamać drzwi.

— To nie oni! — zawołała Delia — to pomoc dla nas!

— Ale kto? Skąd? — wątpiła Agata.

— Kasztelan może. Odezwijmy się mu prędko!

Otworzyła drzwi i wypadła do drugiego pokoju. Ale w tej chwili Ludwik i Kulas wybiegli po schodach z piwnicy i przybiegli przez kurytarz.

Wtem — padł strzał i hukiem napełnił cały zamek.

Kobiety blade trzęsły w niewymownym strachu.

— Boże miłosierny — wyrwało się Agacie — zastrzelili tego biednego.

Była pewna, że oni Ulryka zastali dobierającego się do drzwi, więc go zabili.

— A teraz na nas kolej — dodała.

Ale to, czego się obawiała, nie przychodziło.

Gdy się uciszyło, rzekła Delia do swej pani:

— Mnie się zdaje, że wrogowie nasi uciekli. Spróbujmy otworzyć drzwi na kurytarz.

— Czekajmy jeszcze do rana — zadecydowała Agata.

Znowu upłynął czas pewien, gdy obie usłyszały zbliżające się kroki.

Teraz nie było wątpliwości: to oni.

— Słyszysz? — krzyknęła Agata ze strachem.

— Cicho — szepnęła Delia — tak prędko oni się do nas nie dostaną. A zresztą, kto wie, czy to nie właśnie nasz zbawca?

W pierwszym pokoju słychać było tych, którzy tam weszli. Delia z dobytym sztyletem stanęła przy drzwiach.

Teraz ktoś zapukał. One nie odpowiedziały.

Ozwało się przekleństwo, potem głośne uderzenia o drzwi.

— To mordercy nasi. Co? — spytała Agata szeptem.

— Tak, poznaję głos jednego.

Agata zatoczyła się na dywan blizka omdlenia. Ale opanowała słabość i postanowiła bronić się razem z Delią.

Z radością zobaczyła na gzymsie kominka błyszczącą w świetle lampy jakąś lufę. Wylazła na krzesło i zobaczyła, że to krótka strzelba. Była nabita pięcioma strzałami. Musiała już długo tam leżeć, bo przysypana była kurzem.

— Niech przyjdą łotry — cieszyła się Agata — teraz nie jesteśmy bezbronne.

Ożywione nową otuchą oczekiwały wtargnięcia wrogów.

Ale Delia miała inny plan.

Końcem sztyletu wywierciła dwa otwory we drzwiach, jeden mniejszy — do zaglądania wyżej, drugi nieco większy, niżej.

— Nie puścimy ich tutaj — rzekła — lecz stąd przyjmiemy ich kulami.

Wzięła od Agaty strzelbę, a jej dała sztylet i postawiła dla niej krzesło przy drzwiach Tak wyczekiwały obie chwili walki.

Ludwik przybył do pierwszego pokoju i odrazu poznał że jadło i napoje na stole są nietknięte.

—Domyśliły się — rzekł z gniewem — ale to im nic nie pomoże. — Chodź! — krzyknął do Kulasa.

Próbował wejść dalej, ale drzwi zastał zamknięte.

— Do dyabła! — zaklął — zamknęły się. Przynieś witrychy i przyrządy do wyłamywania.

— Róbmy po cichu, żeby ich nie zbudzić...

— Idź one i tak nie śpią. Hałas i wystrzał musiał jej zbudzić. Naumyślnie tylko siedzą tak cicho.

Za chwilę przyrządy były na miejscu i witrychem otworzono zamek, ale drzwi mimoto się nie otwierały.

— Zasuwki jeszcze są — zgrzytnął gniewnie Ludwik — dawaj sztabę!

Wsunął ostro zakończoną sztabę w szparę pod zawiasami i podważył. Z trzaskiem drzwi odskoczyły.

— Weź latarnię — rozkazał Ludwik i wszedł do pokoju, a za nim Kulas z narzędziami.

Ale tu spotkało ich coś niespodzianego.

— Stój! — zawołał na nich nagle głos jakiś — bo strzelam!

I na poparcie słów tych wysunęła się z otworu lufa i trzasnął odwodzony kurek.

Przerażeni odskoczyli na bok. Na to nie byli przygotowani.

— Cóż zrobimy teraz? — spytał Kulas.

— Do dyabła! — zaklął Ludwik — nic na to nie poradzimy.

Po chwili namysłu zawołał ku drzwiom.

— Pani hrabino, ja nie mam zamiaru zrobić pani nic złego. — Może pani śmiało wyjść.

— Nie weźmiecie nas podstępem — odpowiedziała Agata. — Jesteście wynajęci przez Waleryę, żeby nas zamordować.

— Ale nie radzę wam się zbliżać, bo padniecie od naszych kul.

— Ależ przysięgam pani, że nie hrabina Walerya pragnie śmierci waszej. — Mamy tylko rozkaz odwieźć panie napowrót do Indyi.

— To wszystko jedno. — Nie oddam się w wasze ręce.

— Ależ od nas nic pani nie grozi.

— Milczcie i precz stąd! — nie oszukacie mnie!

— Nie otworzy pani więc?

— Nie...

— Więc się proszę przygotować na najgorsze. — Dostaniemy się już do was, mimo kul.

— Precz stąd! — krzyknęła Delia.

Z straszliwem przekleństwem na ustach cofnęli się ostrożnie do drugiego pokoju, zamykając drzwi na klucz.

— Nic tu nie zrobimy — mruknął Kulas — możemy już się stąd zabierać i nasze 100.000 dyabli wzięli.

Ludwik zagryzał wargi. Teraz już ze względu na siebie samego musiał chcieć śmierci Agaty.

— Teraz jesteśmy zgubieni, jeżeli ona wyjdzie cało — rzekł. Walerya ani nie zechce, ani nie będzie mogła nas obronić.

— Cóż zrobić? Przemocą ani chytrością tej nie dostaniemy. Chyba ją zagłodzić?

— Na to nie mamy czasu. Kto wie, czy Ulryk nie poszedł do miasta o pomoc?

— To prawda. — Najpóźniej jutro rano musimy uciekać.

Ale łotrom tym nie trudno było o radę. Porozumiawszy się wkrótce zeszli na dół do piwnicy, skąd przynieśli kilka beczek oliwy. Potem rozrzucili po pokojach i kurytarzach słomę i drzewo, polali to wszystko oliwą. Kulas cisnął w to świecącą latarkę. W jednej chwili buchnął olbrzymi płomień.

Złoczyńcy uciekli, a kobiety zostały zamknięte w płonącym gmachu.

CXXXII.

ANIOŁ STRÓŻ.

Walerya przez chwilę siedziała sama, ponura, ale stanowcza.

Wtem wróciła pokojówka.

— Jaśnie pani chce mi jeszcze dać rozkazy? — rzekła, stojąc pokornie u progu.

— Tak, chodź tu, Frydo, siądź — odpowiedziała.

Pokojówka usiadła, ale ze strachem patrzyła na panią.

— Czy dziecko śpi? — spytała ta.

— Tak jest!

— Słuchaj, Frydo! Ten chłopak mi zawadza. Trzeba go usunąć. Rozumiesz?

— Tak jest — to jest — ja nie... — wyjąknęła pokojówka przestraszona.

— Głupiaś— niecierpliwiła się Walerya — chłopak nie powinien dłużej żyć, i ty się musisz o to postarać.

Dziewczyna odskoczyła przerażona.

— Ja!? — krzyknęła, blednąc.

— Nie chcesz? Wzbraniasz się? — zgrzytnęła Walerya. — Zapominasz o tem, że ja cię mogę zmusić.

Dziewczyna spojrzała na nią z rozpaczliwą trwogą.

— Cóż winno to biedne, nieszczęśliwe dziecko? — szepnęła błagalnie.

— Słyszysz, że mi ono stoi w drodze. Zrobisz, co każę, czy nie?

—Niech się jaśnie pani zlituje, ja nie mogę — lamentowało dziewczę.

Walerya tupnęła nogą.

— Musisz! — rzekła. — Jeżeli nie, to dam znać do sądu, żeś kilka lat temu powiła dziecko i zaraz po porodzie zabiłaś. — Wiem o tem dobrze!

Pokojówka załamała ręce i upadła na kolana:

— O, niech mnie pani nie zdradza! — błagała. — Ja nie zabiłam swego dziecka! Urodziło mi się już nieżywe!

— Kłamiesz! — Mam dowody twej zbrodni. Wybieraj teraz więzienie — albo posłuszeństwo i sowitą nagrodę.

Służąca upadła na ziemię i objęła Waleryę za kolana.

— Wszystko dla pani zrobię, tylko nie to okropne morderstwo — łkała.

— Dziewko głupia! — Decyduj się, tak czy nie?

Pokojówka podniosła się wtedy, otarła łzy i z nienaturalnym spokojem szepnęła:

— Dobrze! zrobię to!

Walerya uśmiechnęła się z okrutnym tryumfem.

— Widzę, że jesteś rozsądna — rzekła. — A teraz słuchaj: Hrabia, ani nikt nie śmie wiedzieć, że dziecko tu było. Dlatego trzeba je natychmiast zabrać stąd.

— Dokądże tak, w nocy?

— Z najbliższego mostu możesz je wrzucić do rzeki i koniec.

— Do wody?

— Naturalnie. Chyba że masz jakąś lepszą myśl.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko zaprzeczyła ruchem głowy. Bała się w tej chwili swojej pani i nie miała odwagi się sprzeciwić.

— A więc, do dzieła. Uważaj żeby cię nikt nie widział, jak będziesz z niem wychodzić z pałacu. Spraw się dobrze, a potem mi opowiesz. Za godzinę możesz być z powrotem.

Rozkazującym ruchem nakazała jej iść.

Służąca nieprzytomna prawie ze zgrozy znalazła się po chwili nad łóżkiem dziecka śpiącego spokojnym snem szczęścia.

Wzdrygała się przed zbrodnią, ale z każdą chwilą obawa przed dożywotnem może więzieniem, a może i szubienicą brała górę, przybierała coraz potworniejsze rozmiary i dziewczyna postanowiła rozkaz wykonać.

Zawiązała sobie na głowę chustkę, zarzuciła szeroki płaszcz, pod którym tuliła śpiące dziecko.

Płacząc z cicha wyszła z pokoju.

Na kurytarzu nie spotkała nikogo. Ale oto, gdy chciała skręcić na tylne schody, wyłoniła się przed nią nagle jakaś postać.

Śmiertelnie przestraszona cofnęła się i krzyknęła.

— Stój! — odezwał się dobrze znany głos i dziewczyna poznała swoją panią. — Dziecko masz?

— Tak jest proszę pani!

— Dobrze, chciałam się tylko przekonać, czy jesteś posłuszna. Możesz iść.

Służąca poszła i znikła za furtką parku w samotnej, pustej uliczce. Rozglądnęła się i była pewna, że niema nikogo.

Ale omyliła się.

Pod murem zakryty krzakami stał agent policyjny którego tu postawił Winter.

Zobaczył ją, poznał że niesie coś dużego pod płaszczem i chciał pójść za nią, gdy wtem usłyszał, że go ktoś woła i na drugiej stronie ulicy zobaczył trzy postacie.

Byli to Winter, Stein i doktór Kloc. Wracali od wdowy Veilden.

— Kto wyszedł z parku? — spytał Winter.

— Zdaje mi się że pokojówka hrabiny. Pod płaszczem niosła coś dużego i ciężkiego.

— To podejrzane! Może ona niesie dziecko! — szepnął wzburzony doktór Kloc.

— Chodźmy za nią! — zadecydował Winter.

Zostawiwszy obu agentów przy furtce, pobiegł Winter z doktorem szybko na koniec ulicy. Tam na placu z którego rozchodziło się kilka dróg, zobaczyli posuwającą się naprzód ciemną postać.

— To ona!

Ona to była w istocie. Nie zachowywała żadnych środków ostrożności, bo noc była bardzo ciemna i burzliwa, dziewczyna znajdowała się wreszcie w tak strasznym stanie duszy, że nie pamiętała o całym świecie.

Konieczność zbrodni z obawy przed wykryciem innej zbrodni, to było coś okropnego dla tej młodej dziewczyny. Zdawało jej się, że w plusku deszczu i szumie wiatru słyszy potępiający, surowy głos: — morderczyni.

Stanęła na moście i patrzyła na dół we fale. Tam znalazłaby ratunek. Czy nie lepiej, żeby się sama także rzuciła do rzeki i tem samem odpokutowała zbrodnię?

Już zachwiała nogę na poręcz mostu, gdy w uszach jej zagrzmiał okrzyk:

— Stój!

W tej samej chwili chwyciły ją silne ręce i ze zgrozą zdała sobie dziewczyna sprawę z tego, że wszystko przepadło.

Zaprowadzono ją pod najbliższą latarnię i zdjęto płaszcz. Z powodu zimna i hałasu dziecko się zbudziło i zaczęło płakać.

— Nie omyliliśmy się! — zawołał Winter z tryumfem, odbierając jej dziecko. — Nie przyszliśmy zapóźno na szczęście.

— Chciałaś panna dziecko to rzucić do rzeki, z rozkazu hrabiny Waleryi? Co? — spytał oddając dziecko doktorowi — aresztuję pannę!

Pokojówka drżąc ze strachu śmiertelnego, wybuchła głośnym płaczem.

— O nie! — zawołała — prędzej bym była sama się utopiła! Dziecka nie chciałam zabijać!

— Nie wierzę pannie! Przecież chciałaś je już wrzucić, tylko żeśmy ci przeszkodzili w ostatnim momencie.

Służąca zanosiła się od płaczu i zapewniała że nie.

Winterowi tymczasem przyszło na myśl, że lepiej będzie, jeżeli Walerya się nie dowie że dziecko jest uratowane.

— No! — rzekł — odstąpię od wymiaru sprawiedliwości, jeżeli panna zrobisz co każę.

— Wszystko, niech pan komisarz tylko rozkazuje! — zawołała uradowana pokojówka, która poznała już ich obu.

— Dobrze! Wrócisz panna do domu i powiesz, żeś rozkaz wykonała i chłopca rzuciła do wody, a nie wspomnisz nic o naszem spotkaniu Zrozumiano?

— Dobrze! Dzięki Bogu, że się tak stało,

że nie musiałam brać tej ciężkiej winy na swoje sumienie!

— Gdybyś panna nie usłuchała, zasądzi się cię bez litości! — upomniał Winter. — Proszę pamiętać o tem!

Pokojówka zapewniała kilka razy o swojem posłuszeństwie. Winter wypytywał się jeszcze o Ludwika i dowiedział się, że ten łotr kilka razy był u Waleryi. Co oni ze sobą mówili, tego nie wiedziała, ani nawet tego, że on był jej pierwszym i właściwym mężem.

Winter odprowadził ją aż do furtki i kazał jej przyjść nazajutrz do swego biura. Cieszył się z tego że w niej ma sprzymierzeńca, po którem sobie wiele obiecywał.

Walerya z niecierpliwością oczekiwała jej powrotu.

— No, co? — spytała.

— Zrobiłam tak, jak jaśnie pani mówiła.

— I dziecko nie żyje?

— Naturalnie! Wrzuciłam je do rzeki.

Walerya badawczo popatrzyła na nią, ale ona śmiało wytrzymała jej wzrok, tak, że nie można było odgadnąć prawdy.

— Nikt cię nie widział?

— Ani żywa dusza!

— Dobrze. Idź spać. Dziś już ciebie nie potrzebuję. Jutro dostaniesz swoją nagrodę.

Winter postanowił dziecko oddać do dawnej piastunki Marty.

Nazajutrz oczekiwał przybycia Brauna, którego wysłał do zamku w lesie. Gdy do wieczora nie było ani Brauna, ani wiadomości od niego, zdecydował się sam pojechać za nim.

Z podwładnym Steinem siadł na pociąg wieczorny i za dwie godziny był w miasteczku. W gospodzie, gdzie się pytał o Brauna, wiedziano tylko, że wyjechał do zamku.

Tej samej nocy pojechał ze Steinem wozem do zamku.

Jak straszna niespodzianka czekała tam na niego.

CXXXIII.

NA BRZEGU PRZEPAŚCI.

Hrabia Sinobrody sam nie wiedział kiedy się znalazł we willi. Zjawienie się Gertrudy gnało go jak upiór. Z chwilą gdy ona wróci do domu rodzicielskiego, przepadło dla niego wszystko.

Strach jego byłby jeszcze większy, gdyby wiedział, że brat Józefiny był z Gertrudą, i że wystąpi także z oskarżeniem przeciw niemu.

Służący odebrał od niego na dziedzińcu spienionego konia i ze zdumieniem patrzył na trupio bladą twarz swego pana.

Na schodkach spotkał Betlinę. Ona przestraszyła się jego wyglądu i zaczęła uciekać.

Lecz on dogonił ją i chwycił za ramię tak silnie, że aż krzyknęła.

— Czego chcesz odemnie!?

— Muszę z tobą mówić — rzekł ochrypłym głosem — grozi nam niebezpieczeństwo.

— Ach, od kogóż to! — spytała niedowierzająco.

— Chodź i nie pytaj. Idzie nie o mnie, ale i o ciebie!

Zachowanie się jego przekonało Betlinę, że w istocie coś jest ważnego.

— Na miłość Boską! — spytała blednąc — co się stało?

Nie odpowiedział jej, aż w pokoju, gdzie drzwi zamknął na klucz.

— Wiem wprawdzie że mnie oszukujesz — rzekł — ale nie o tem teraz mowa. Przekonasz się, że w twoim własnym interesie leży nie kopać dołków podemną.

Betlina odpowiedziała przestraszona niepewnym głosem:

— Nie rozumiem ciebie!

— Słuchaj teraz! Mówiłem ci, że moja żona nie żyje!

— No? — spytała.

— To była pomyłka! ona żyje! — wykrztusił.

— Jakto?! — krzyknęła Betlina — przecie musiałeś wiedzieć, że ona nie żyje, skoro mówiłeś.

— Sam byłem pewny. Ona bez mojej wiedzy weszła na starą wieżę w zamku Wildenfels i stamtąd spadła do piwnicy. Byłem pewny że znalazła śmierć na miejscu. Nie znalazłem wprawdzie jej zwłok, ale tam na dole jest woda, która ma połączenie z morzem. Myślałem że utonęła.

Betlina nie rozumiała jeszcze i kiwała głową.

— Więc cóż? — spytała.

— Musiała widać uratować się jakoś, że się teraz znowu pokazała.

— Co, ona jest tu? — krzyknęła Betlina.

— Tak widziałem ją przed kwadransem — rzekł, i opowiedział jej wszystko dokładnie.

Ona upadła złamana na krzesło.

— To nie możliwe! — wyjęknęła — musiałeś się omylić.

— Znam ją zanadto dobrze — odrzekł.

— Co tu zrobić?! Co tu zrobić?! Lamento-

wała Betlina w bezsilnej trwodze. — Ona przyjdzie, a wtedy...

— Skończy się twoje panowanie! — dokończył złośliwie — bo każdy pozna, która z was jest prawdziwą Gertrudą!

Betlina załamała ręce.

Tak blisko celu i wszystko runie. Oszustwo jej wyjdzie na jaw i ona ze wstydem wypędzona pójdzie za próg pałacu.

Nagle z ponurą decyzyą chwyciła Sinobrodego za rękę.

— Ona nie śmie się tu dostać — szepnęła.

On ruszył ramionami i rzekł na pozór obojętnie.

— Nie ma czasu nawet, by temu przeszkodzić. Ona każdej chwili może tu być.

— I ty o tem mówisz tak spokojnie?

— Co pomoże lamentowanie? — Masz dobrą radę? Trzeba czemprędzej uciekać i już.

— Nie, nie, ja nie mogę wszystkiego porzucać. Musi się znaleźć jakiś sposób — lamentowała Betlina. — Ach! — zawołała potem innym tonem — podczas gdy my tu rozmawiamy, ona może się zbliża.

— Naturalnie. Nie będzie przecież zwlekała z przybyciem do domu rodzicielskiego. — Dziwię się tylko, że jej jeszcze tu niema — odrzekł z nienaturalnym spokojem.

— Boże mój! Ty przecież nigdy nie byłeś w kłopocie, gdy szło o to, by się kogoś pozbyć! — zawołała Betlina, nie wiedząc już sama, co mówi. — No powiedz sam, czy chcesz żebyśmy zginęli? Tej Gertrudy trzeba się pozbyć.

— Ba, ale jak?

— Ja powiem, że to oszustwo z jej strony.

— Nic nie pomoże. Ona ma dowody swej identyczności.

— Wszystko jedno.

— Jak chcesz. Ja naturalnie także się jej wyprę. Ale to nas uratuje nie na długo.

— Jeżeli tylko zyskamy na czasie, to potem zrobimy z nią, co zechcemy i powiemy, że pewnie uciekła przed karą za usiłowane niby oszustwo.

— Być może, że się to uda.

— Musi się udać!

Sinobrody nie odpowiadał, ale myślał także o tem.

Tymczasem patrzył w okno i widząc, że Gertruda się nie zjawia, zaczął przypuszczać, że ona zwróciła się po pomoc do policyi.

Powiedział to Betlinie i oddalił się by zasięgnąć pewnych wiadomości.

— Pamiętaj, milcz — rzekł jej na odchodnem, a gdyby się ona zjawiła jeszcze w ciągu dnia, to wiesz już, jak się masz zachować.

Wyszukał Piotra, który niemniej się przeraził tą niespodzianą wiadomością.

— Uciekajmy panie! To jedyny ratunek! — zawołał bojaźliwie.

— Mamy czas na to — odrzekł Sinobrody i zaczął z nim się naradzać.

Godzinę trwała narada, potem plan był gotowy.

Na razie miał Piotr wyśledzić, co skłoniło Gertrudę do tego, że nie przybyła wprost do domu rodzicielskiego.

Nie uważał za stosowne w przebraniu pokojówki wyjść na miasto i przebrał się inaczej, poczem dopiero pokryjomu wykradł się z domu.

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — —

Gertruda w ostatniej dopiero chwili zobaczyła męża, i gdy blada ze strachu pokazała go swemu towarzyszowi, ten z powodu oddalenia nie mógł już poznać jeźdźca, zwłaszcza, że go nigdy przedtem nie widział.

Wysiadłszy z wagonu, Gertruda mimowoli rozglądała się po peronie. Naturalnie, że jej nikt nie oczekiwał.

Kazała się zawieźć do hotelu poprostu dlatego, aby uniknąć spotkania z Sinobrodym, którego się obawiała.

Aleksander nie sprzeciwiał się, mimo że był tego zdania, że ona właśnie powinna pojechać wprost do domu.

Właściciel hotelu poznał ją, a ponieważ słyszał, że hrabina Gertruda mieszka w willi dziwił się w myślach, że ona teraz wynajmuje pokoje u niego.

Nie pytał zrazu o nic, dopiero w rozmowie z Aleksandrem nie mógł już wytrzymać i rzekł:

— Ja myślałem że to pani hrabina Wildenfels.

— To pani hrabina była w podróży?

— Tak jest, w Afryce południowej.

— E, pan żartuje — uśmiechnął się gospodarz.

— Wcale nie — odpowiedział poważnie kapitan — byliśmy tam przez czas wojny i dziś dopiero wracamy do kraju.

Ale gospodarz wciąż jeszcze myślał, że przybysz żartuje, a gdy Aleksander obstawał przy swojem, odrzekł:

— Ależ pani hrabina Wildenfels od dwóch tygodni jest tu ze swoim mężem...

— Co??? — zdziwił się kapitan — hrabina Gertruda!? Córka radcy?

— Tak jest — odpowiedział właściciel hotelu.

Teraz kapitan zaczął się śmiać.

— To niemożliwe — rzekł — źle pana poinformowano.

— Ależ pan dobrodziej może się przekonać — zapewniał właściciel hotelu. Ogromne było zdziwienie w mieście, gdy hrabiostwo przyjechali, bo mówiono przedtem, że pani hrabina nie żyje i dziwne rzeczy opowiadano sobie o tem.

— Podobno i radca nie żyje.

— Z pewnością! Znikł w dniu, w którym odwiedził hrabiego Sinobrodego — rzekł gospodarz z tajemniczą miną.

— I to prawda, co pan mówi, że hrabia jest tu z żoną Gertrudą? — spytał znowu kapitan.

Gdy ten potwierdził to raz jeszcze, kapitan nie rozumiejąc tego wszystkiego, pozostawił go w jego zdumieniu i pobiegł z tą dziwną wiadomością do Gertrudy.

Ona odrazu zrozumiała co się stało.

— Poprostu postawił jakąś obcą, która odgrywa moją rolę — rzekła.

— Ależ na co?

— Żeby nie ponieść kary za moje zniknięcie za które go zapewne pociągnięto do odpowiedzialności. — Dziwi mnie tylko, żemu się to tu udaje, gdzie mnie wszyscy znają.

— No, za to teraz gdy pani wróciła, skończy się ich szwindel. — Chodźmy zaraz tam!

— Nie, czekajmy jeszcze. — Tam niebezpiecznie iść tak bez niczego. Pan nie zna Sinobrodego.

— Na co zwlekać niecierpliwił się Aleksander — cały dom znając panią, będzie po twojej stronie, więc niebezpieczeństwa żadnego nie ma.

Ostatecznie stanęło na tem jednak, że naprzód udadzą się na policyę i zawezwą pomocy.

Aleksander szedł już do policyi, gdy po drodze dowiedział się znowu od gospodarza, że w willi bawi wuj hrabiny Gertrudy.

Z tą wiadomością wrócił do Gertrudy, a ona tak się ucieszyła, że chciała już wprost jechać do willi. Ale tu znowu Aleksander jej odradził.

— Kto wie, czy wuj, który panią nie zna, nie dał się oszukać i czy się pani nie narazi na nieprzyjemności — rzekł. Ja pójdę tam, bo mnie tam nikt nie zna, i jeżeli dobrze pójdzie, wrócę tu z wujem pani.

Gertruda zgodziła się i Aleksander poszedł.

Na schodach spotkał go Greif i obca postać zwróciła jego uwagę. Z przyzwyczajenia więcej, niż dla jakiegoś świadomego celu, zapytał o niego właściciela hotelu i ku ogromnemu swemu zdziwieniu usłyszał od niego kto to przyjechał.

Nie wiedział jeszcze wprawdzie, czy ma tak wprost uwierzyć, że ta dama z Afryki jest właśnie hrabiną Gertrudą, ale chciał się z nią w każdym razie rozmówić.

W tym celu zmieniał strój w swoim pokoju gdy usłyszał że do drzwi Gertrudy ktoś puka. Odchylił nieco drzwi swoje i zobaczył na kurytarzu kobiecą postać dziwnie mu znaną jak się trwożliwie rozglądała po pokoju. Nie poznał jednak kto to jest.

Przybyła weszła teraz do pokoju Gertrudy która z nieufnością zobaczyła kobietę o męskich prawie ruchach.

— Czego chcecie? — spytała.

— Przepraszam bardzo — odpowiedziała kobieta pokornie — mam tu list do wielmożnej pani.

Gertruda przyjęła kopertę niezaadresowaną i spytała:

— Od kogo?

— Od pana dziedzica Wendlanda.

Niepomiernie zdziwiona przeczytała Gertruda w liście na świstku następujące słowa:

"Kochana Gertrudo!

Twój przyjaciel opowiedział mi właśnie wszystko. Przybądź zaraz. Oddawczyni tej kartki poprowadzi cię. Oczekujemy cię.

Twój wuj Teodor Wendland."

Jakieś podejrzenie zrodziło się w duszy Gertrudy.

— Wiecie, co tu jest napisane — spytała.

— Nie, proszę wielmożnej pani.

Gertruda po namyśle ubrała się i rzekła do kobiety:

— Idźcie naprzód! Ja za wami.

Greif zobaczył je wychodzące i postanowił pójść za niemi.

Na dole stał powóz, a na koźle siedzący woźnica dziwnie był pozawijany, mimo że było ciepło.

Kobieta usłużnie otworzyła drzwiczki powozu.

Gertruda nie poznała woźnicy, ale tylko tyle widziała, że nie jest to stangret jej ojca, stary Henryk.

Znowu tknięta jakiemś podejrzeniem, rzekła:

— Ten mały kawałek drogi możemy iść pieszo.

— Ależ umyślnie dla wielmożnej pani przysłano powóz! — zawołała kobieta widocznie rozczarowana.

Gertruda nie odpowiedziała nic i poszła naprzód jasno oświetloną ulicą. Kobieta dała jakiś znak woźnicy ten szepnął jej kilka słów

odjechał. Greif widział jego twarz gdy rozmawiał z kobietą i koniecznie mu się zdawało, że ten rzekomy woźnica, to sam hrabia Sinobrody.

Ale myślał, że się mylił. Jeżeli nie, w takim razie, ta kobieta, to był Piotr.

Tymczasem kobieta ta podążyła za Gertrudą, która zobaczywszy nareszcie przed sobą dawno niewidziany dom rodzicielski czuła, że jej łzy napływają do oczu. Myślała głównie o biednym swym zamordowanym ojcu.

— Pomszczę cię, biedny ojczulku — szepnęła do siebie — morderca twój padnie w proch po moim powrocie!

Czy jej towarzyszka usłyszała te cicho wypowiedziane słowa? Czy nie zadrżała nagle?

Gertruda szła prosto ku jasno oświeconej hali domu. Wtem podbiegła do niej kobieta i szepnęła przestrzegając:

— Nie tędy, proszę pani! Proszę za mną! Zaprowadzę panią do wuja.

— W moim własnym domu nie trzeba mnie prowadzić! — odpowiedziała Gertruda dumnie — gdzie on jest?

Na piętrze na lewo.

— Dobrze, pójdę sama. Nie potrzebuję przewodnika.

— Ale ochrony! — szepnęła kobieta — proszę bardzo, niech jaśnie pani idzie za mną! — upominała — wejdziemy od tyłu i potem schodami od strony ogrodu.

Ale Gertruda nie usłuchała.

Śmiało poszła naprzód przez otwarty przedsionek do dużej hali.

Przypadkowo nie było tam nikogo.

Gertruda weszła na drugie wspaniałe schody, wiodące na piętro. Obca ta kobieta szła tuż za nią, oglądając się z trwogą, czy kto nie nadchodzi.

Greif który szedł za nimi aż do willi, zakradł się do przedsionka i obserwował wszystko, ukryty za filarem. Gdy one obie znikły na skręcie schodów, wbiegł cichutko po rozłożonym na schodach dywanie.

Teraz Gertruda z towarzyszką była już na górze. Ta pobiegła naprzód i otworzyła drzwi do apartamentów zamieszkałych przez Sinobrodego i Betlinę.

— Proszę, niech jaśnie pani tu wejdzie, wujaszek czeka tutaj! — rzekła.

CXXXIV.

W OGNIU.

Z trwogą nadsłuchiwały obie kobiety, gdy Ludwik z Kulasem się oddalił. Delia wciąż trzymała jeszcze strzelbę w pogotowiu, ale oni nie wracali.

— Może Bóg dał, że oni uciekli — westchnęła Agata.

— W takim razie możemy śmiało wyjść! — rzekła Delia.

Ale Agata powstrzymywała ją i po chwili usłyszały, że oni wracają, jakgdyby chcieli atak ponowić. Hałas cichł i wzmagał się znowu — biedne kobiety nie przeczuwały nawet jak straszny koniec ci wrogowie chcą im zgotować.

Nareszcie usłyszały, że oni opuścili zamek i wyszły do pierwszego pokoju. Tam jednak zastały drzwi zabite gwoździami. Napróżno Delia siliła się, gdy nagle posłyszała trzask i uczuła silny, gryzący zapach spalenizny.

— Ogień! — zawołała Agata — oni podpalili zamek!

I straszna prawda stanęła przed oczyma tych nieszczęśliwych kobiet.

Śmiertelna trwoga opanowała je.

Stały bezradne a tu coraz gęstrzy dym napełniał pokój i płomień zbliżał się hucząc złowrogo.

— Boże miłosierny ratuj! — zawołała Delia i rzuciła się w tył do drugiego pokoju.

Tam otworzyła okno z którego razem z Agatą wołały o pomoc.

Ale nikt nie zjawił się wśród ciemnej nocy. Burza tylko wyła złowrogo, prawie szyderczo i rozdmuchiwała jeszcze płomienie.

Już objęły większą część zamku i przez okna wydobywały się ku górze. Na niebie gorzała łuna.

Agata zrezygnowana, opadła na krzesło i rzekła:

— Delio, módlmy się, bo śmierć nasza jest już blizka.

Delia z płaczem upadła do nóg swej pani.

— Pani! — zawołała z rozpaczą — to nie może być — to niemożliwe, żeby Bóg pozwolił na to. My, niewinne, mamy zginąć tak straszną śmiercią, a ona, dyablica, będzie żyć i tryumfować!?

— Bóg się na niej zemści! — odrzekła Agata. — Ale teraz my może za godzinę staniemy przed Jego tronem. Módlmy się, aby...

— Ja nie mogę! nie mogę! — krzyknęła Delia w straszliwej trwodze i rzuciła się do okna, usiłując wyłamać silne kraty.

Widząc, że to niemożliwe, chwyciła sztylet i przykładając błyszczące ostrze do piersi, zawołała:

— Nie zniosę tej męczarni! Zamiast prażyć się godzinami w tym ogniu przeklętym lepiej zginąć odrazu!

Ale Agata przypadła do niej i chwyciła ją za rękę.

— Nieszczęsna! — zawołała — co chcesz uczynić! Mnie tu samą zostawić!? W ostatniej godzinie życia tak strasznym grzechem samobójstwa zgubić duszę! I dlaczego!? Może właśnie w tej chwili zbliża się ratunek! Ulryk musiał ogień zauważyć!

— Oni go pewnie zabili! — jęknęła Delia — zresztą, on już nie może nam pomódz!

Udało się Agacie pociągnąć Delię za sobą. Objęła ją ramionami i uspakajała.

W komnacie panował spokój głuchy, przerywany tylko łkaniem Delii.

Od czasu do czasu słychać było straszny huk.

To waliła się ściana, lub sufit i tysiące iskier buchało w górę.

Kobiety siedziały odurzone dymem i dusiły się, mimo, że okno było otwarte. Zbliżała się do nich pewnym krokiem straszliwa śmierć w płomieniach.

Czyż nikt nie przybędzie na ratunek?

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

W pokoju wieżowym siedział nad łożem ranionego ciężko Brauna, stary Ulryk. Sądził, że złoczyńców wypędził ze zamku, ale za uwięzionemi kobietami szukał nadaremnie. Nazajutrz miał poszukiwania podjąć na nowo.

Tymczasem zdrzemnął się smacznie.

Raniony wił się w gorączce i raz po raz zbladłemi wargami szeptał:

— Wody!

Nagle zerwał się i oparłszy się na rękach, siadł rozglądając się dookoła.

— Gdzie jestem? Co się stało? — spytał.

Uczuł straszny ból w głowie i dotknąwszy się opatrunku przypomniał sobie dopiero, że został raniony. Domyślił się też, że go ten stary podniósł i opatrzył.

Zawołał na niego, ale uśpionego kasztelana nie zbudził cichy głos chorego.

Braun opadł napowrót na poduszki, ale natychmiast zerwał się znowu w śmiertelnym strachu.

Pokój cały w jednej chwili napełnił czerwony blask, a przed oknami przewalały się gęste kłęby dymu. Bezwątpienia paliło się. Słychać było wyraźnie trzask płomieni.

Braun krzyknął głośno i usiłował zbudzić śpiącego kasztelana.

— Co tam? — spytał ten zaspany szeroko otwierając oczy.

— Pali się.

Kasztelan rozglądnął się i zbladł.

Podbiegł do drzwi, otworzył je i stamtąd uderzył go gęsty dym i silny odór spalenizny.

Pokój był półokrągły i miał cztery okna, dwa na front a dwa do oficyn. Przez tylne okna bił silny blask pożaru. Kasztelan pobiegł tam i zobaczył zamek w płomieniach.

— Boże mój! — zawołał — zgubieni jesteśmy!

— Spalimy się tu? — jęknął chory.

Kasztelan zebrał całą swą siłę woli by się zoryentować w sytuacyi. Skrzydło, w którem leżała wieża, nie było jeszcze objęte pożarem. O ratunku dla zamku nie mogło być mowy. Jedyny, co mógł zrobić, to natychmiast uciekać.

A chory?

— Boże miłosierny dodaj sił! — zawołał staruszek i pobiegł do łóżka.

Braun zemdlał.

Ulryk wziął go na ręce i rzucił się z nim ku drzwiom. Z dołu uderzał tak gryzący dym, jakdyby się pod schodami już paliło.

Lecz on nie zważał na to.

Z rannym na plecach schodził na dół przez gryżący dym i szczęśliwie dotarł na dół.

Po drodze nie widział nic prócz płomieni przysłoniętych dymem w pewnej odległości, ale zdawało mu się, że słyszy wyraźnie głos wołający o pomoc w straszliwej trwodze.

Krew skrzepła mu w żyłach.

— To one — pomyślał bezradny.

— Jeżeli one są w płonącej części zamku, to ratunek jest dla nich niemożliwy — powiedział sobie i czuł, że mu skóra cierpnie na ciele. — Niech się Pan Bóg nad niemi zlituje!

Dzięki swojej doskonałej znajomości zamku wydostał się na dwór i uczuwszy świeży powiew powietrza, westchnął z ulgą:

— Dzięki Najwyższemu!

Złożył na ziemi ciężkie brzemię i zmęczony upadł obok niego.

Ale tu nie mógł zostać, bo wiatr zanosił tu co chwila nowe kłęby dymu.

Z ogromnym natężeniem wyniósł chorego do lasu i złożył go tam na posłaniu z liści.

Wtem usłyszał ze zdziwieniem trwożne rżenie konia. Był to rumak, na którym przyjechał Braun. Ulryk odwiązał go i przyprowadził do chorego, gdzie go przywiązał do drzewa.

Teraz wybrał się przedewszystkiem do skrzydła, w którym były kobiety. Ale tam było wprost trudno zbliżyć się.

Kasztelan czołgał się pod samym murem i z całej siły swoich starych płuc, wołał.

Ale wiatr, huk płomieni, trzask ognia zagłuszył go, a swoją drogą nieszczęsne te istoty tam zapewne już nie żyły.

Wrócił tedy do głównego przedsionka i stamtąd brał co mu się wydawało kosztowniejszem.

Potem wrócił raz jeszcze do swego pokoju i uratował nieco rzeczy.

Wszystko to przyniósł tam, gdzie leżał Braun i siadł przy nim.

Noc minęła, a zamek wciąż się palił. Od czasu do czasu waliła się część dachów lub ścian. Płomienie ślizgały się ku górze, pod wieżę, ale na jej słabych murach zatrzymały się.

Przez cały dzień nikt się nie zjawił i bardzo było możliwe, że nawet nikt nie zauważył pożaru, bo na kilka mil dokoła, nie było żadnej osady.

Pod wieczór jeszcze tu i ówdzie na niektórych miejscach dymiło się.

Kasztelan wszedł na dziedziniec i smutnym wzrokiem spoglądał na dzieło zniszczenia.

Prócz wieży i małej części gmachu zostały tylko same gruzy i zgliszcza. Tu i ówdzie sterczały opalone mury, na nietkniętej części zaś ściany były czarne, a okna popękane.

Powoli obchodził starzec wszystko dokoła, myślał ze współczuciem o uwięzionych, które musiały zginąć straszliwą śmiercią.

Kto to był? Kto je uwięził? Dlaczego właśnie tutaj?

To było dla niego zagadką. Wiedział tylko tyle, że ogień nie mógł powstać sam, ale musiał być podłożony przez tych dwóch drabów.

Rozglądał się trwożnie, czy oni gdzie z ukrycia nie oglądają swego dzieła. Z pewnością nie pozostawiliby przy życiu jego, jedynego świadka ich zbrodni. Trzeba się było skryć.

Obok w hali na parterze było jeszcze kilka komnat nie bardzo uszkodzonych. Tam zaniósł kasztelan rannego i konia zaprowadził pod dach. Potem starannie zabarykadował drzwi i uzbroił się.

Nazajutrz rano miał zamiar pojechać do miasta po pomoc, dla chorego tymczasem sporządził jaki taki posiłek, bo cały dzień obaj nie mieli nic w ustach.

Po pewnym czasie, nie słysząc nic podejrzanego, położył się i zasnął.

Było już dobrze po północy, gdy się znowu obudził. Zdawało mu się że ktoś puka.

W istocie brzmiały silne uderzenia czyjeś o bramę.

Drżąc, chwycił staruszek za broń. Pewny, że to ci łotrzy wracają dokończyć zbrodnię, postanowił bronić się do upadłego.

Przybyli widząc światło w oknach, pukali dalej. Głos jakiś rozkazujący wołał żeby puścić. Braun leżał nieprzytomny i nie miał pojęcia o zbliżającem się nowem niebezpieczeństwie.

Po chwili pukanie ustało i szelest przy ścia nie wskazywał, że przybysze wspinają się ku oknom.

Stary był zdecydowany strzelić w chwili, gdy oni otworzą okiennicę.

— Hej Czyż tam nie ma nikogo? — wołał głos ze dworu:

Kasztelan zamiast odpowiedzi, silniej tylko chwycił strzelbę.

— Ktokolwiek tam jest, niech się odezwie — zabrzmiał znowu głos na dworze — Braun, to może pan!?

Kasztelanowi przyszło na myśl, że to może jednak kto inny a nie ci złoczyńcy.

— A tam kto jest? — spytał.

— Bogu dzięki, ludzki głos — ucieszył się na dworze przybysz. — Puśćcie mnie! — Jestem urzędnikiem policyjnym i szukam jednego ze swych ludzi.

Staruszek trzęsącemi dłońmi, otworzył okienicę.

Po drabinie, którą znaleźli w stajni, wchodził na górę Winter, na dolnych szczeblach stał jego podwładny Stein. Za bramą stał wóz i konie.

Ulryk nieufnie trzymał jeszcze strzelbę.

— Tak jest. A pan skąd? — Ja myślałem, że to ci zbóje, co wczoraj podpalili zamek.

— Kto taki? Gdzie oni są?

— Musieli uciec. A pan z policyi?

— Tak posłałem tu agenta. Wczoraj wieczorem musiał tu przyjechać. Nie widzieliście go? — pytał Winter.

Stary wskazał na łóżko w kącie i rzekł

— To będzie pewnie ten biedaczysko.

Winter jednym skokiem znalazł się przy łóżku i zawołał:

— Na Boga, tak! Co mu jest?

Kasztelan smutno pokiwał głową.

— Źle z nim — rzekł. — Dwa razy go uratowałem. Raz z rąk morderców, gdy go prawie ubili i już mu grób kopali, wziąłem go do siebie na górę, zaniosłem go, a wczoraj jak się zaczęło palić, to go jeszcze wczas wyniosłem i uratowałem. Ale kto wie, czy on jeszcze wyjdzie z tego.

Winter zdziwiony był niezmiernie tem, kto mogli być ci dwaj złoczyńcy. Jeżeli jeden Ludwik Hecht, to kto drugi?

Kazał otworzyć drzwi i wpuścił Steina. Po chwili wszedł także woźnica, który konie umieścił w stajni.

Był to ten sam, który odwoził tu do zamku Waleryę, i rozmawiał potem z Braunem.

Poznał go też zaraz i opowiedział, co wi-

dział. Potem stary Ulryk opowiedział o zdarzeniach ubiegłej nocy.

Winter poznał odrazu, że tu się rozegrała straszna zbrodnia, której inicyatorką, była Walerya.

Narzędziem jej był Ludwik Hecht i towarzysz jego wedle opisu kasztelana zapewne Fryc Kulas. Braun, który był już na tropie ich, byłby padł ich ofiarą.

Ale owe uwięzione?

Kogo Walerya zamknęła w zamku?

To dla Wintera było taką samą zagadką, jak dla Ulryka. Może Braun coś wie o tem.

W ciągu nocy Braun ocknął się i poznawszy swego przełożonego, uradowany wyciągnął do niego rękę. Posiliwszy się, mógł mu opowiedzić, co wyśledził.

O uwięzionych nie wiedział jednak nic, więc to nadal pozostało zagadką. Napróżno Winter silił się na domysły i wszystkie możliwe przypadki rozważał. Prawdy nie odgadł.

Skądże też miało mu przyjść na myśl, że to Agata żyje, ani że wróciła do ojczyzny.

Miał więc nową zbrodnię tej demonicznej kobiety. Uwięzieni musieli być przy życiu, zanim ogień wybuchł, bo stary Ulryk słyszał wołanie o pomoc. Teraz ci nieszczęśliwi zapewne spoczywają pod zgliszczami i jeżeli się nawet znajdzie resztki ich ciał, to będą zapewne nie do poznania.

Mimo to Winter zarządził poszukiwania. Skoro świt poszedł ze Steinem i woźnicą i zabrał się do roboty.

Stary Ulryk wskazał mu położenie komnat i zaczęli ostrożnie grzebać w gruzach. Musieli jednak prędko zaprzestać tej roboty, bo wszędzie jeszcze pod gruzami był żar.

— Dajmy spokój! — rzekł Winter — przecie to i tak na nic się nie zda.

Wrócił sam do miast a Steina zostawił przy rannym. Posłał mu lekarza, a sam zrobił do policyi doniesienie o pożarze. Potem wrócił do stolicy, gdzie czekały nań ważne zadania.

Czy Agata z Delią, rzeczywiście też zginęły w płonącym zamku?

Czy Walerya osiągnęła swój cel i zniszczyła doszczętnie swoją najniebezpieczniejszą rywalkę?

CXXXV.

SCHWYTANIE.

Z szatańską radością przypatrywali się pożarowi z lasu Ludwik i Kulas.

— Najlepsze ze wszystkiego — rzekł Ludwik wskazując na swego konia, że nikt nam tego nie dowiedzie, bo kasztelan, jeżeli jest jeszcze w zamku, także się usmaży.

— Tak, twoja żona powinna być kontenta i wynagrodzenie nasze jest pewne — cieszył się Kulas.

— Naturalnie!

Wybrali się w drogę, bo nazajutrz chcieli być w rezydencyi.

Podróż ich odbywała się oryginalnie. Raz Ludwik szedł pieszo a Kulas jechał na koniu, to znowu on wsiadał na konia a tamten biegł za nim.

W lesie szalała burza a oni jakoś nie mogli trafić z lasu na pole. Dopiero gdy dzień nastał, weszli na drogę, która ich zaprowadziła na skraj lasu.

Tu musieli przedewszystkiem zebrać nowe siły, poczem z trudem w małej osadzie wynajęli konie, które ich zawiozły do stacyi.

Około północy dopiero przybyli do rezydencyi i zapóźno już było, aby dostać się do Waleryi. W dzień znowu nie śmiał się Ludwik pokazywać na ulicy, czekał więc do następnego wieczora.

Tymczasem posłał do niej pisemne krótkie uwiadomienie, że przyjdzie o tej, a o tej godzinie.

Nie mieli naturalnie obaj pojęcia o tem, co się tymczasem stało w zamku i cieszyli się już na zapłatę, którą od Waleryi dostaną.

Ale, jak to zwykle bywa, z radości zapomnieli zupełnie o ostrożności i Ludwik list posłał przez posługacza, który go oddał pokojówce Waleryi.

Dziewczyna ta od owego pamiętnego zdarzenia z dzieckiem, nienawidziła swojej pani, która ją tak strasznie tyranizowała i byłaby ją popchnęła do zbrodni. Sprzymierzona z Winterem, wiedziała już, kto jest ów tajemniczy zjawiający się czasem gość i teraz, gdy jej posługacz na żądanie opisał człowieka, który mu dał ten list, domyśliła się, że to od Ludwika.

Otworzyła więc list w swoim pokoju i przeczytała:

„Oczekuj mnie dziś wieczorem około 11 stej. Gdyby coś zaszło, daj mi znać. Wszystko się powiodło świetnie.''

Podpisu nie było. Pokojówka jednak była pewna, że to od niego i postanowiła list oddać nie swej pani, lecz Winterowi.

Na to potrzebowała tylko dostać się do furtki w parku, za którą zawsze stał jeden z ludzi Wintera. Wyzyskała na to czas po obiedzie, kiedy Walerya jej nie potrzebowała i nie pytała o nią.

Klucz do furtki miała.

Otworzyła ją, ale przestraszona cofnęła się znowu i uciekła.

Za furtką stał jakiś obdarty człowiek zogromnie grubą pałką i zobaczywszy że ona ucieka, rzucił się za nią.

Chwycił ją za ramię i szepnął:

— Nie uciekać! Założę się, że mi panna masz coś do powiedzenia.

Pokojówka strwożona chciała się wyrwać ale napróżno.

— Puście mnie! — krzyknęła — gwałtu! pomocy!

— Milcz panna! Słuchaj! Jestem agentem! — szepnął jej z naciskiem.

Rozglądnął się ostrożnie, czy jej krzyk nie zwabił kogo, ale uliczka była pusta.

— Jesteś panna pokojówką hrabiny, co? — A ja tu stoję z rozkazu komisarza Wintera.

— Kiedy tak pan wygląda, jak...

— Jak żebrak, chcesz panna powiedzieć — zaśmiał się agent — to nic. W ten sposób nie zwracam na siebie uwagi. No, a co mi panna chciała powiedzieć?

— Ale czy pan naprawdę...?

— Ostrożność panny jest bardzo chwalebna. Ale oto proszę, jest dowód.

To rzekłszy wyciągnął z kieszeni podartego surduta duży medal i pokazał jej.

Fryda popatrzyła się dobrze.

Medal miał z jednej strony wybitną głowę panującego a z drugiej orła i napis:

''Urzędnik policyi.''

Teraz była uspokojona.

Wyciągnęła list i dała mu wraz z wyjaśnieniami, a on czemprędzej pobiegł z tem do biura.

Służąca wróciła do willi, gdzie nie zauważano nawet jej nieobecności, gdyż Walerya nie wołała jej.

Ta tymczasem była ogromnie niespokojna, że od Ludwika nie było wiadomości i myślała, czy nie byłoby dobrze, żeby sama pojechała jeszcze raz do zamku, gdyby się Ludwik do jutra nie zjawił.

Winter wrócił tego dnia także do stolicy i ogromnie był ucieszony, gdy mu jego podwładny przyniósł list i wiadomości.

Chciał jednak urządzić się tak, żeby złapać odrazu i Kulasa, który przepadłby jak kamień w wodzie, gdyby samego tylko Ludwika schwytano. Czego najwięcej był ciekaw, to tego, kto był uwięziony w zamku.

Wieczorem obsadził swoimi ludźmi wszystkie wejścia do pałacu ministra, ale tak, żeby nie zwrócić uwagi. Na wypadek, gdyby Ludwik przyszedł sam, postanowił wpuścić go i wypuścić spokojnie, nie pokazując się wcale, po tem dopiero śledzić go, jak będzie wracać i w kryjówce ich wyłapać obu.

Ludwik wieczorem nie przeczuwając nic, szedł do pałacu hrabiego z towarzyszem, który jednak w pewnem oddaleniu od pałacu pozostał sam i w lokalu przy ulicy czekał jego powrotu. W myśli rozkoszował się już tem jak to Ludwik wróci z pełnymi kieszeniami i jak to on na starość się wzbogaci.

W poczuciu tego, jak wielki majątek będzie wkrótce jego własnością rozparł się w restauracyi z mina człowieka, który sobie może pozwolić na wydatek wcale pokaźny.

W lokalu była damska usługa, a Kulas był przyjacielem płci pięknej i cieszył się, że mu się nie będzie nudziło.

Skinął na rudą kelnerkę i kazał sobie z miną nadętą przynieść szampana.

Dziewczyna przyniosła pękatą butelkę, wyblakłemi od rozpusty, ale chytremi oczyma zmustrowała gościa i bez ceremonii przysiadła do niego.

— Pozwolisz, mały, że się napiję? — rzekła skubiąc go czule za niegoloną brodę.

Kulas promieniał z radości i wnet pierwsza butelka była próżna. Przy drugiej zebrało się mu na czułość. Wziął na kolana i objął ją ramieniem. Ona się nie wzbraniała, bo to należało do ''interesu''. Gdy jednak zabrał się do całowania, ona śmiejąc się, odepchnęła go.

Przy trzeciej butelce, Kulas stał się jeszcze natrętniejszym. Oczy błyszczały mu namiętnością.

— Gdzie mieszkasz, robaczku? — pytał — chciałbym cię odwiedzić.

— Możesz dziś ze mną iść, jak pójdę do domu — odpowiedziała obojętnie.

Gdy Kulas tak się zabawiał, wszedł Ludwik tymczasem niezatrzymany przez nikogo do pałacu.

Walerya zdziwiła się ogromnie.

— Dlaczego nie posłałeś mi wiadomości? — spytała.

— Niemożebne było. Dziś dopiero mogłem napisać tych kilka słów.

— Jakich?

— Nie dostałeś mego listu?

— Nie!

— Posłałem przecież przez posługacza!

Zdziwienie ich było ogromne.

Walerya zadzwoniła na służącę i spytała:

Fryda, czy przyniósł dziś posługacz list jakiś dla mnie?

— Nie — kłamała Fryda bez zająknienia. Walerya odesłała ją.

— Tego ja nie pojmuję! — dziwił się Ludwik.

— Może on oddał mojemu mężowi? — zaniepokoiła się Walerya.

— Kto wie! I on gotów teraz tu nas zastać! — rzekł Ludwik zły dyabelnie.

Walerya zadzwoniła znowu na służącą i kazała jej stać na straży.

— Tego się teraz nie potrzebujemy obawiać — rzekła — w najgorszym razie wejdziesz do szafy i schowasz się.

— Hm! Posługaczowi mówiłem wszystko tak wyraźnie, że on nie mógł listu oddać nikomu innemu, jak tylko twojej pokojówce. Może ona...

— To niemożliwe — przerwała Walerya — ja ją mam w ręku i ona wie o tem. — Ale powiedz, coś tam pisał?

— Na szczęście nic ważnego, tylko że przyjdę i bez podpisu.

— A więc nic się nie stało! Mów teraz. Zrobiliście swoje?

— Naturalnie. Wszystko w porządku, droga Waleryo!

— I obie nie żyją? — pytała Walerya z gorączkową ciekawością.

— No, pewnie!

— Nareszcie! — zawołała Walerya z tryumfem — opowiedz mi wszystko.

— Nie łatwe to było! — westchnął Ludwik — Byłoby się omało co nie udało, a życie moje i Kulasa było w wielkiem niebezpieczeństwie.

Z waszej winy zapewne — przerwała szorstko — wiem, że jesteście niedołęgi.

— Słuchaj tylko, a sama powiesz, że nie. Natknęliśmy się tam na kogoś obcego, widocznie szpiega z policyi.

— No! — zawołała Walerya przestraszona —skąd on się tam wziął.

— Nie mam pojęcia.

— I coście z nim zrobili?

Ludwik wskazał na gardło i zrobił minę zadowolonej chytrości.

— Już on nas nigdy nie będzie szpiegował.

— Opowiedz dokładnie!

Ludwik opowiadał wszystko szczegółowo, a Walerya chodziła po pokoju i z ponurą miną słuchała.

— Nie mogliśmy sobie inaczej poradzić — skończył — zamek musiał się cały spalić, a z nim bezwątpienia owe obie kobiety i kasztelan. Możesz być spokojna. Teraz już Agata nie zmartwychwstanie!

— Doskonale! —cieszyła się demoniczna kobieta, nawet się nikt nie domyśli, że prócz kasztelana jeszcze się ktoś tam spalił!

— A więc zadowolonaś z nas? — spytał Ludwik.

— Tak! Chciałbym co prawda na dowód zobaczyć trupy, no, ale to niemożliwe.

— Jeżeli wątpisz jeszcze, to jedź tam i zobaczysz sama.

— Kiedyindziej. Hrabiemu doniosą pewo pożarze, wtedy będzie najlepsza sposobność.

— A co z naszą zapłatą?

Walerya ściągnęła brwi.

— Wprzód muszę się sama przekonać! — rzekła ucinając odrazu.

— Oho! — rzucił Ludwik — to wymówka głupia! Ty nas chcesz oszukać!

— Poskrom się! — rzekła na to ona zimno i pogardliwie. — Nie mogę ci wierzyć, może być, żeś ty wszystko to wyssał z palca. Agata może dobrze chodzi sobie jeszcze po świecie.

— A to co, do dyabła!? — krzyknął Ludwik — wiedziałem odrazu, że jak przyjdzie do płacenia, to się będziesz wykręcać! Naprzód obiecujesz złote góry i prosisz i błagasz...

Przerwał sam sobie i z groźną miną przystąpił do niej.

— Obiecałaś sto tysięcy! Dajesz, czy nie?

— Cicho bądź! — odpowiedziała rozkazująco — dostaniesz, nie bój się! Dziś nie mam tyle!

On odpowiedział szyderczym śmiechem.

— Naturalnie! O, ty żmijo! Czekaj! Ja ci odpłacę!

— Zwaryowałeś? — rozłociła się Walerya — Mówię ci przecie, że dostaniesz te pieniądze!

— Zaraz je chcę mieć!

— Ośle! Słyszysz, że chwilowa nie mam tyle!

— To dawaj połowę!

— I to niemożliwe. Nie możecie czekać?

— Nie! Powinnaś się była przygotować na to! Ja się nie ruszę stąd, póki mi tych sto tysięcy nie wyłożysz na stół!

— No, a ja ci powtarzam — odrzekła chłodno, że dziś to jest niemożliwe.

— Tak? Widzę że masz zamiar nie dać nam tych pieniędzy. Ale ja je sobie wydostanę. To ja ci powiadam! — wściekał się Ludwik.

Ona zaśmiała się ironicznie, ale wnet zaniepokoiła się znowu:

— A może wy ją trzymacie przy życiu i chcecie wypuścić za okupem? — spytała nieufnie.

— Szkoda, żeśmy byli tacy głupi i nie zo-

stawili sobie tej furtki, Agata by nas nie była oszukała.

— Ja was także nie oszukam.

— Nie? No, no! Jeżeli do dwóch dni nie dasz pieniędzy, zdradzę cię przed hrabią, oddam mu dziecko Agaty i dostaniemy od niego dwa razy tyle!

Ona popatrzyła nań z pogardą.

— Oto się nie boję. Nie zechcesz sam się wydać na szubienicę! — rzekła ironicznie. — Bo nic innego by cię nie czekało.

— Oho! To jeszcze pytanie!

— A co do dziecka — mówiła dalej Walerya— to spóźniłeś się trochę. Zabezpieczyłam się przeciwko zamachom z twej strony.

Ludwik przestraszył się i wyjęknął.

— Usunęłaś dziecko?

— Tak jest i to na wieki — odpowiedziała śmiejąc się.

On patrzył na nią ponuro i niedowierzająco.

— Nieprawda! — rzekł — ona by ci nie wydała dziecka.

— Dobrowolnie nic. Ale ja je też wzięłam przemocą! — odpowiedziała swobodnie.

— Do dyabła! — zaklął Ludwik. — Nie powinienem był ci zdradzać, gdzie ono jest. Mogłem był wiedzieć naprzód, co ty z niem zrobisz! — złościł się.

— W istocie! dziwiłam się sama, że masz tyle zaufania do mnie — szydziła z niego Walerya.

Ludwik był wściekły, ale widział, że sam sobie zaszkodzi, jeżeli się z nią pokłóci.

Jedyną bronią jego był dokument ślubny ale zdawało się, że ona i tego się nie boi, bo gdy jej o tem wspomniał, zaśmiała się ironicznie.

— Mówmy rozsądnie — rzekła potem niecierpliwie. — Ja dotrzymam przyrzeczenia i ty dostaniesz pieniędzy za kilka dni, gdy tylko zobaczę sama, czyś mnie nie oszukał.

Ludwik widział, że nie pozostawało mu nic innego, jak się zgodzić. Musiał więc na razie z próżnemi kieszeniami się wynosić.

— Nie zapominaj, żeś mi winna także jeszcze pieniądze za dziecko! — upominał.

— Za to dostałeś już 50.000 marek.

— To nie za dziecko.

— No, no. Już ty dość ze mnie wyłudziłeś. Jeszcze jak dostaniesz tych 100.000, to będziesz miał całkiem dosyć i nie dostaniesz już ani centa więcej, pamiętaj sobie.

— Zobaczymy. Tobie się zdaje, ze mnie już nie potrzebujesz. Ale ja ci powiadam, że cię mogę zniszczyć. Nie myśl sobie, że pozycya twoja jest taka silna!

To rzekłszy chwycił za kapelusz i wybiegł z pokoju.

— Zobaczysz ty centa odemnie, tak, jak swoje plecy! — szepnęła za nim Walerya, ale on już tego nie słyszał. Pobiegł na dwór nie czekając na pokojówkę, która go miała wyprowadzić.

Biegł tak prędko, że dziewczyna nie mogła za nim nadążyć i to było dla niego ratunkiem. Ona chciała go bowiem wyprowadzić jedną z tych furtek, przy których czekali ludzie Wintera.

On tymczasem otworzył sobie sam jedno z wyjść wiodących na główną ulicę i nie oglądając się wzburzony pobiegł do lokalu, gdzie czekał na niego Kulas.

Była już północ, ale ulice główne były jeszcze ożywione. Nawet gdyby się Ludwik był oglądał, nie byłoby to zwróciło jego uwagi, że dwóch ludzi idzie za nim.

Był to Winter z jednym agentem. Zobaczyli go całkiem przypadkowo, gdy wychodził z pałacu i szli teraz za nim.

U progu lokalu Ludwik z przyzwyczajenia tylko rozglądnął się, ale oni ostrożnie trzymali się zdaleka, tak że ich nie zauważył. Gdy wszedł, posłał Winter towarzyszącego mu agenta jeszcze po dwóch ludzi, aby obsadzili tylne drzwi do restauracyi. Winter domyślał się, że i Kulas tam jest i tryumfował już, że dostanie ich obu.

Ludwik zdziwił się bardzo, nie znalazłszy Kulasa w restauracyi. Dopiero gdy zapytał jedną z kelnerek i opisał go jej, dowiedział się, że on z rudą Lizą siedzi w separatce.

Kazał się zaprowadzić pod drzwi gabinetu i zapukał.

— Kto tam? — usłyszał ochrypły głos towarzysza.

— To ja, otwórz!

Odpowiedziało mu przekleństwo.

— Poczekaj chwileczkę — rzekł potem Kulas.

— Ach, co tam znowu, muszę natychmiast z tobą pomówić! — niecierpliwił się Ludwik.

Wewnątrz też szeptał ktoś, potem słychać było ciche chichotanie. Ludwik zapukał jeszcze raz.

— Do dyabła! albo otworzysz, albo ja pójdę sobie!

Teraz usłyszał odsuwanie zasuwki i wszedł, a drzwi zamknęły się zaraz za nim znowu. Ludwik znalazł się w elegancko umeblowanej separatce, a na stole zauważył całą baterię wypróżnionych flaszek wina i likieru.

Na kanapie siedziała ruda Liza ubrana tak,

że poznać było iż w pośpiechu narzuciła na siebie tylko niektóre części ubrania.

Przywitała wchodzącego łotra rozpustnym śmiechem.

Kulas był bez surduta. Ludwik kiedyindziej byłby chętnie się z nim razem zaczął zabawiać, ale teraz nie był w usposobieniu.

— Nie myślałam, że tak prędko wrócisz — zaczął Kulas. — Chcesz szampana? — siadaj! Nalej Liza!

Ludwik odmówił, a ponura jego mina zaniepokoiła Kulasa.

— Masz pieniądze? — spytał szeptem.

— Pomówmy w cztery oczy — odrzekł — odeślij dziewczynę stąd.

— Co ci przeszkadza ten sympatyczny robaczek — wzbraniał się Kulas widocznie już pijany i czułe spojrzenie rzucił na Lizę.

Ludwik ruszył ramionami, "Robaczek" ten wcale nie budził jego zachwytu.

— Czyś ty się durniu przypadkiem nie wygadał przed nią? — spytał.

— Ale gdzie tam! Cóż, dała ci żona pieniędzy? — nalegał Kulas.

— Nie.

Zbrodniarz zbladł i zaklął straszliwie.

— Dlaczego!

— Ona nie ma teraz!

— Kłamstwo! — zgrzytnął Kulas. — Ona nas chce wykiwać!

— Ja się także tego obawiam.

— I dlaczegoś się do stu dyabłów dał odprawić!

— Cóżem miał zrobić? Przemocą nie byłbym niewskórał. Ona chce się naprzód przekonać, czyśmy zrobili swoje, a potem powiada, że da.

— Hm! — Kulas poskrobał się w głowę — opowiedz dokładnie wszystko, coście mówili.

— Tu nie jest miejsce na to. Chodźmy do domu. Ty i tak masz już w głowie.

— Ba, ja mam silną głowę! — zaśmiał się Kulas, — ale ta wiadomość popsuła mi zabawę. Idziemy.

Sięgnął po surdut, gdy wtem znowu ktoś zapukał.

— Do dyabła! Kto tam znowu? — zapytał.

— Otwóżcie natychmiast! — odezwał się głos rozkazujący.

Zdziwieni popatrzyli obaj na drzwi.

— Co to znaczy? — wyjęknął Kulas przeczuwając coś — kto to może być?

Ludwik podkradł się pod drzwi, gdy usłyszeli znowu:

— W imieniu prawa! Otworzyć!

— Boże miłosierny! — wrzasnęła dziewka — policya!

Ludwik odskoczył od drzwi i zbladł śmiertelnie, Kulas bezsilny z trwogi opadł na krzesło.

Przy drzwiach pracowano już około wyważenia ich z zawiasów.

— Przez okno! — szepnął Ludwik zdecydowany.

W jednej chwili był przy oknie, otworzył je i zaglądnął na dół. Tam stał jednak w pustej uliczce w pewnem oddaleniu policyant w hełmie.

W tej samej chwili z trzaskiem wyleciały drzwi. Ludwik oglądnął się i poznał Wintera. W jednej chwili był za oknem.

Kulas chciał skoczyć za nim, ale już go pochwycono.

Jeden agent skoczył przez okno za Ludwikiem. Winter upewnił się, że Kulas jest dobrze strzeżony i wyszedł zobaczyć, czy schwytano Ludwika.

CXXXVI.

ZAGADKOWE ZNIKNIĘCIE.

Greif widział, jak Gertruda weszła do pokoju i skoczył natychmiast pod drzwi.

Słyszał, że tam natychmiast po jej wyjściu drzwi się zamknęły na klucz i — coś jakby ciężkie ciało upadło na ziemię w drugim pokoju.

W jednej chwili zoryentował się w sytuacyi i zapukał.

Nikt nie odpowiedział.

Greif w najwyższem rozdrażnieniu zaczął szturmować do drzwi i narobił hałasu, tak, że cały dom się zbiegł pod drzwi i Wendland także przybył.

— A, to pan, panie komisarzu! — spytał zdziwiony — co się stało?

— Prędko, narzędzie, muszę tu wejść.

Nie miał czasu na dawanie wyjaśnień. Przy pomocy Güntera wywalił drzwi i jednym susem był w środku pokoju.

— Ostrożnie! wyjm pan rewolwer! — szepnął mu.

Przebiegli całe mieszkanie hrabiego. Było jasno oświetlone, ale puste. Tylko do ostatniego pokoju, sypialni Sinobrodego, drzwi były zamknięte.

Greif zapukał, ale znwu nikt nie odpowiedział.

Tymczasem nadbiegł Wendland ze starym sługą i Greif opowiedział mu wszystko.

—A, słyszałem już o tej rzekomej hrabinie. Właśnie przed chwilą jakiś młody człowiek opowiadał mi awanturnicze historye o niej i o Józefinie, siostrze swojej, która także miała być żoną Sinobrodego.

— Tak jest! Józefina się nazywała! — zawołał Greif. — Gdzie jest ten młody człowiek?

— Dałem mu do zrozumienia, że nic z tego nie będzie — odpowiedział Wandland — on robił na mnie wrażenie waryata.

— Panie, pan jest w strasznym błędzie!— zawołał Greif — on mówił prawdę! Ale my tu młócimy pustą słomę, a tymczasem prawdziwa pańska bratanica może paść ofiarą tego mordercy!

Z całej siły naparł na drzwi do sypialni, ale one nie ustępowały. Stanął bezradny, a Wendland wciąż go przekonywał, że on się musiał pomylić!

— Ależ panie! — zawołał Greif zirytowany — przecież widziałem najwyraźniej na własne oczy, jak obie tu wchodziły!

Günter przyniósł narzędzia i wywalono ostatnie drzwi. W sypialni było próżno i ciemno. Zapalono światło i przeszukano cały pokój.

Nic nie wskazywało na to, żeby tu ktoś był przed chwilą.

Z tego pokoju prowadziły tylko małe drzwiczki wprost na kurytarz. Zawieszone były portyerą, a nadto do połowy zakryte dużym obrazem. Były zamknięte, co dowodziło, że nikt tędy nie wychodził.

A jednak tak być musiało.

Inaczej zniknięcie nie można sobie było wytłómaczyć.

Greif wrócił inną drogą na kurytarz i przeszukał dokładnie ze służbą cały dom i ogród, ale napróżno.

Hrabiego Sinobrodego w istocie nie było w domu. Mogło się więc zdawać, że nic ma z tem nic wspólnego Greif był przekonany, że on z Piotrem wykonał wyrafinowany, chytry plan przeciw Gertrudzie.

Agent widział, że nic tu nie może zrobić. Wszystko było tak chytrze obmyślane, że wszelkie ślady były zatarte.

Wendland wciąż jeszcze wierzył silnie, że Betlina jest prawdziwą Gertrudą.

Greif postanowił porozumieć się z Brandenfeldem i poszedł do hotelu.

Aleksander wrócił był właśnie i zaniepokojony był nieobecnością Gertrudy.

Greif wszedł i przedstawił się, a Aleksander przyjął go z pewnem niedowierzaniem. Ten zaś uważał za stosowne nie zdradzić się odrazu ze wszystkiem i pytał tylko w imieniu władzy Brandenfelda, kim jest jego towazryszka i on i skąd przybywają.

Przez to uzyskał wyjaśnienie wszystkiego, bo Aleksander opowiedział mu historyę Gertrudy i losy Józefiny.

Greif słuchał z rosnącem zajęciem.

Nie wątpił, że to prawda, mimo, że to brzmiało tak awanturniczo.

Gdy Aleksander skończył, Greif podał mu rękę i rzekł nagle:

—To coś mi pan powiedział, kapitanie, nie ze wszystkiem było dla mnie nowością. Pokażę panu teraz także otwarte karty. Już od dłuższego czasu śledzę kroki tego zbrodniarza, którego nazywają hrabią Sinobrodym. Byłem w grobowcu rodzinnym wildenfelskiego zamku i widziałem to straszne miejsce, w którem były dwie nieszczęśliwe ofiary jego. Naturalnie, że nie mogłem przypuszczać, aby się w tak cudowny sposób uratowały. Ale to musi być prawda, że hrabina Gertruda i siostra pańska w trumnie jechały po morzu, bo w grobowcu odkryłem ślady przemawiające za tem.

Mówiąc dalej opowiedział zdziwionemu Aleksandrowi wszystko, o czem tenże jeszcze nie wiedział.

Przestrach ogarnął go jednak, gdy się dowiedział, co się teraz stało z Gertrudą.

—On ją tam zamorduje! — krzyknął zrozpaczony.

— Pójdziemy jej z pomocą! — pocieszał go Greif, weź pan broń ze sobą.

Lamentując nad nieostrożnością Gertrudy wziął Aleksander rewolwer i obaj poszli do willi.

— Czy widział pan rzekomą hrabinę, tę podstawioną — spytał kapitan na drodze do willi.

— Nie! — odrzekł ten — tylko Wendlanda. Przyjął mnie bardzo niegrzecznie. Miałem zamiar nazajutrz z Gertrudą udać się do niego.

Skoro ją zobaczy, sam się o niej przekona — mówił Greif. — Miejmy nadzieję, że ją odnajdziemy.

Aleksander nie miał wogóle nadziei, i był niepocieszony.

Do willi wpuścił ich potajemnie Günter.

— Czy hrabia jest w domu? — spytał go Greif.

— Nie jeszcze — odrzekł.

— A Piotr?

— Nie widziałem go.

Greif pokiwał głową.

— A fałszywa hrabina? — spytał.

— U wuja.

— Zostań pan tu — nakazał mu Greif — I

uważaj pan, czy hrabia, lub Piotr się nie pokażą. My będziemy szukać za hrabiną Gertrudą.

Poszedł z kapitanem, gdzie czekali na niego agenci i szukał śladów jakichś, ale nie znalazł nic.

Nagle przyszła mu świetna myśl.

— Psa weźmiemy! — rzekł.

— Jakiego psa? — zdziwił się Aleksander.

Greif opowiedział mu o psie radcy Wendlanda, który tak wrogo się zachował wobec Sinobrodego i jego przybranej żony.

Żona prokurzysty spała już i zarzuciła tylko na negliż nocny długi płaszcz, aby przybyszów przyjąć. Nie sprzeciwiała się, gdy jej Greif powiedział pokrótce o co idzie, ale wątpiła czy zwierzę pójdzie za obcymi. Dla pewności Greif wziął psa na linę.

Greif nie oszukał się w nadziei, że pies odnajdzie ślad Gertrudy, skoro tylko znajdzie się w mieszkaniu Sinobrodego, zaskomlił radośnie i wąchając pobiegł aż do sypialni, gdzie zaczął skrobać o owe małe ukryte drzwi.

Greif tryumfował.

Przez kurytarze wyprowadził psa znowu do zewnętrznej strony tych samych drzwi i tam pies odnalazł ślad na nowo. Greif spuścił go z liny i pies poprowadził go śladem na boczne schodki wiodące do parku.

Gdy mu otworzono drzwi do ogrodu, puścił się pędem z nosem przy ziemi i znikł im z oczu. Skomlenie jego wskazywało im jednak drogę. Zadyszani biegli za nim i zobaczyli, że pies drapie znowu o ukrytą furtkę w murze.

Za pomocą narzędzi, które agenci mieli przy sobie, otworzyli je i znaleźli się na szerokiej drodze wzdłuż muru. Po drugiej stronie las ciągnął się aż do stóp gór.

Tu pies gorliwie szukał węchem dalszych śladów, ale widocznie musiały mu się zgubić, bo podniósł łeb do góry i zaczął wyć.

— Zgubił ślad — zauważył Greif — to fatalne!

— A czy pan jest pewny, że on poczuł ślad swojej dawnej pani? — wątpił Aleksander.

— Bezwątpienia! W najgorszym razie zaś zwietrzył tylko ślad swoich wrogów i za nimi nas prowadzi. Tu musiało się coś stać, co psa zmyliło. Światła! — rozkazał agentom.

Z silną latarką w ręku zobaczył, mimo że noc była ciemna, ślady dwóch ludzi wiodące od furtki, co prawda, zatarte śladami nóg jego i jego towarzyszy, ale poszedł trochę dalej gdzie tamci jeszcze nie byli i zobaczył, że ślady kończą się, a natomiast są wyraźne ślady kopyt końskich.

Aleksander niecierpliwił się, a zdumienie jego wzrosło, gdy Greif wyciągnął z kieszeni centymetr i zmierzył długość stóp, odciśnię tych na drodze, szerokość śladów od obręczy kół i kopyta.

Nareszcie podniósł się zadowolony.

Coś przecie się dowiedziałem — rzekł. — Tu stał powóz. Konie pozostawione były same sobie, bez woźnicy, przywiązane tylko lejcami do miejsca. Niecierpliwiły się i ciągnęły powóz często tam i nazad jak daleko mogły. To widać najwyraźniej po śladach.

— No, a co panu z tego? — spytał Aleksander.

Greif opowiedział mu, że widział na koźle powozu woźnicę i zdawało mu się, że to sam Sinobrody.

— Teraz jestem pewny, że to on był — dodał. — Szkoda, że nie śledziłem go aż tu. On tu przywiązał konie, tylną furtką tą wszedł do willi i stamtąd z Piotrem hrabinę wzięli do powozu i pojechali.

— Do lasu— dokończył Aleksander z trwogą. — Tam ją zabiją!

— Miejmy nadzieję, że nie — odrzekł Greif — w każdym razie chodźmy za śladami powozu. Zmierzyłem grubość kół.

Pokazało się, że było to bardzo potrzebne, bo śladów kół było dużo i wszędzie, gdzie drogi się krzyżowały. Grief za pomocą centymetra odnajdywał właściwe ślady.

Tak zaszli aż pod las między góry, a potem na gościniec. Tu ślady się gubiły na kamieniach. Ledwie że można było poznać, w którą stronę powóz się zwrócił.

Aleksander był w rozpaczy.

— Chodźmy dalej! — prosił drżąc z niepokoju.

— To na nic się nie przyda! — przekonywał Greif — chybabyśmy wrócili do miasta po konie. Ale i tak już ich nie dogonimy. Zanadto się oddalili! Teraz inaczej musimy postępować!

Zanim jednak zawrócił do miasta, rozglądnął się jeszcze dookoła.

W pewnem oddaleniu zobaczył, wśród zmierzchu nocnego, wysoko na jednej górze czerniejący jakiś budynek, który zwrócił jego uwagę.

— Co to za gmach? — spytał.

— Dom waryatów! — odpowiedział jeden z agentów.

— Hm — mruknął Greif — może tam ją zawieźli!

— Boże wielki! — krzyknął Aleksander — do domu waryatów!

— Kto wie! Spytamy się jutro!

— Ale ja wątpię — rzekł teraz Aleksan-

der — on by tego nie zrobił, bo obawiałby się odkrycia. Zresztą tam by przecież poznali, że ona nie chora i nie przyjęliby jej.

— O, pieniądzmi wszystko da się zrobić — odpowiedział Greif. — Zresztą może się mylę. Zobaczymy jutro.

Gdy wrócili do willi, dowiedzieli się, że Sinobrody wrócił przed chwilą, ale Piotra Guenter nie widział. Oddali więc psa i poszli do ho telu, bo tej nocy nic się już nie dało zrobić.

Nazajutrz rano zaraz zapytywali w owym zakładzie obłąkanym, ale tam odpowiedziano im, że niema nikogo takiego.

Aleksander chciał natychmiast udać się do Sinobrodego i gwałtem wymusić od niego wydanie Gertrudy. Zrozpaczonego i zdenerwowanego do najwyższego stopnia, Greif z trudem tylko przekonał, że to nietylko nie doprowadziłoby do celu, ale by wszystko zepsuło.

Kapitan poszedł tedy raz jeszcze do Wendlanda, aby spróbować go przekonać o tem, że go oszukują.

Przypadek zrządził, że natknął się w willi prost na Betlinę i uderzyło go zdumiewające jej podobieństwo do hrabiny Gertrudy.

Było to na werandzie, gdzie zwykle jadano. Aleksander wszedł przez ogród, bo nie chciał oznajmić swego przybycia przez służbę. służbę.

Zobaczywszy tę kobietę, która z bezprzykładnem zuchwalstwem przywłaszczyła sobie imię i stanowisko Gertrudy, uczuł oburzenie, nienawiść i pogardę.

Z błyszczącemi oczyma zbliżył się do niej.

Ona mimowoli cofnęła się przed nim, jakieś uczucie trwogi owładnęło nią. Zeszłego wie czora podsłuchała rozmowę, którą on prowadził z Wendlandem.

Teraz na pierwszy rzut oka, poznała że to on.

Był to niebezpieczny dla niej wróg.

Na razie mogła wprawdzie tryumfować, bo wuj w zaślepieniu swojem nie chciał widzieć prawdy i nie wierzył. Wiedziała też od Sinobro dego, że Gertruda jest sprzątnięta z widowni i znikła. Mimo to jednak nieprzyjaciela jej należało się jeszcze obawiać, bo nie wiadomo jak mógł jej zaszkodzić.

Ale ona teraz nie dała nic poznać po sobie i udała, że przybysza nie zna, że go nigdy nie widziała.

Przybrała dziwną postawę i spytała:

— Mój panie! Kto pan jesteś? Jakiem prawem wchodzisz pan tutaj? — Nikt pana nie zameldował?

— Jakiem prawem? Przez drzwi, jak pani widzisz — odrzekł on z ironią zaprawioną gniewem. — Raczej ja mógłbym się spytać, jakiem prawem pani tu przychodzisz. Sposobem oszukańczym, bo pani jesteś chyba tą która się ośmieliła przywłaszczyć sobie imię Gertrudy i go dność hrabiny Gertrudy.

Betlina zbladła z gniewu.

Rzuciwszy jadowite spojrzenie na niegrzecznego gościa, zbliżyła się wolnym krokiem do szarfy od dzwonka.

— Zdaje mi się, że mam do czynienia z człowiekiem, który nie jest przy zdrowych zmysłach — rzekła głosem syczącym. — Wyjdź pan stąd natychmiast, bo zadzwonię na służbę.

— Dzwoń pani na alarm — odpowiedział z pogardą i gniewem. — Niech się cała służba dowie, kto pani jesteś właściwie. Rola twoja tu w tym domu i tak już długo nie potrwa! Jeżeli się nawet udało pani i godnemu twemu sprzymierzeńcowi prawdziwą hrabinę na razie usunąć, to jednak ja wam to przepowiadam, mordercy, że przeznaczenie was nie minie i dziś jeszcze może w was uderzyć piorun! Bo ja was oboje zdemaskuję, jak mi Bóg miły!

Betlina zaśmiała się ostrym głosem.

— Pan w istocie musisz być zbiegiem z domu waryatów — rzekła chłodno. — Chcesz pan uwolnić mnie od swego towarzystwa i swojej obecności tu przy mnie, czy też chcesz pan koniecznie przemocą zostać stąd wyprowadzony!

— Niecna żmijo jakaś! — rzucił Aleksander w bezmiernem oburzeniu. — Czy chcesz przyznać się sama, że popełniłaś podłe oszustwo że jesteś osobą bez sumienia zbrodniczem narzędziem w ręku łotra Sinobrodego?

Ona odpowiedziała szyderczym śmiechem, który jednak nie maskował wściekłości, jaka nią szarpała. Gdy Aleksander przybrał pozycyę taką, jakgdyby się chciał rzucić na nią i udusić ją, więc szarpnęła dzwonkiem.

Równocześnie otworzyły się drzwi od przyległego pokoju i na progu ukazał się wuj Gertrudy, dziedzic Wendland. Zwabiły go tu odgłosy tej głośnej, hałaśliwej rozmowy.

Na widok Aleksandra ponuro i surowo ściągnął brwi.

Szybko wystąpił naprzód na środek werandy, widział bowiem, że rzekomej jego kuzynce grozi niebezpieczeństwo ze strony obcego.

— Panie! — zagrzmiał gniewnie — czego pan tu znowu chcesz? Co pańskie zachowanie się ma znaczyć? Jakiem prawem tu przybywasz?

Betlina wybiegła do niego i chwyciła go kurczowo za ramię, chroniąc się przy nim.

— Wuju! Dobrze że jesteś! — ochroń mnie

przed tym człowiekiem! — zawołała płaczliwie. — On mówi i zachowuje się jak obłąkany i mnie zabić! — ja się boję, wuju!

— O, pani rozumiesz dobrze moje słowa i moje zachowanie się! — zawołał do niej Aleksander. — Pani sama wiesz najlepiej, że moje oskarżenia są słuszne i że mają podstawę w nie zbitej prawdzie.

Zwrócił się tera do Wendlanda, który go oglądał spojrzeniem wrogiem i posępnem i do niego już mówił dalej z naciskiem:

— Zbudź się pan już nareszcie z tego nieszczęsnego snu, i słuchaj pan, co ci mówię. — Ta osoba, która tu przy panu stoi nie jest pańską siostrzenicą, nie jest hrabiną Gertrudą! — Dam panu na to niezbite dowody. — Wiesz pan już o tem, że hrabina Gertruda jedyna i rzeczywista, wczoraj dopiero ze mną wróciła. Całą historyę i wszystkie dzieje straszne tej nieszczęśliwej krewniaczki pańskiej opowiadałem panu. — Może mi pan dziś prędzej uwierzy, jeżeli panu opowiem. co się potem stało. Podczas gdy ja tu z panem wczoraj rozmawiałem, hrabia Sinobrody zwabił hrabinę Gertrudę wyrafinowanym podstępem w zasadzkę, a ta kobieta, która tu przy panu stoi i ma czelność kazać się nazywać hrabiną Gertrudą, jest współwinną zbrodni dokonanej na pańskiej bratanicy.

Znowu zabrzmiał śmiech szyderczy z ust Betliny.

Wendland zaś z trudem tylko powstrzymał swój gniew i czerwony cały, zaperzony jak indyk, rzekł do Aleksandra:

— Panie, panie Brandelfeld, czy jak się pan tam chcesz nazywać, ja nie mam ochoty drugi raz słyszeć te kłamstwa, któremi pan mnie już wczoraj chciałeś wziąć na kawał! — Idź pan z tem, do kogo chcesz, tylko nie do mnie, bo ja panu z pewnością nigdy nie uwierzę!

— Boś pan jest zaślepiony! — krzyknął Aleksander z goryczą — bo pana ta niecna zbrodniarka oszukała i opętała! Rychło, rychło dowiesz się pan o swej pomyłce fatalnej. — Słuchaj pan mnie, a...

Gwałtowny ruch starego Wendlanda skłonił go do tego że zamilkł i przerwał sobie.

— Nie chcę nic słyszeć! — oburzył się zaślepiony starzec — bo wszystko, z czem pan tu wyjeżdżasz, to nic więcej, tylko marne oszustwo. — Oddal się pan, a na przyszłość oszczędź nam swych odwiedzin!

W czasie tej burzliwej sceny zjawił się za plecyma Wendlanda Guenter, przebrany za służącego z Rosyi.

Wierny swojej roli zachowywał się milcząco, nic nie mówił przez cały czas i wogóle stał tak, jak gdyby go to wszystko nic nie obchodziło, jak gdyby całkiem nic z tego nie rozumiał.

Aleksander uznał, że cały jego trud na nic się teraz nie zda. Wendland nie dał się przekonać o istotnym stanie rzeczy dokoła siebie.

Młody człowiek uczuł w sercu gorycz i dziki, porywający gniew, że ta nędzna chytra szachrajka odniesie zwycięstwo nad nieszczęśliwą, a czystą i niewinną Gertrudą.

Betlina miała na ustach cynicznie szyderczy i szatańsko złośliwy uśmiech i bezczelnie patrzyła na niego.

— A więc dobrze! — odezwał się on drżącym głosem. — Trwaj pan tedy w swojem zaślepieniu. — Może jeżeli nie mnie, to komisarzowi Greifowi uda się przekonać pana, że nie jest tak, jak pan to sobie wyobrażasz teraz. On nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że ja mówię prawdę. Wierzy w to i ma to silne, a straszne przekonanie, że nie ta osoba to, tylko właśnia ta dama, która ze mną przyjechala, jest prawdziwą hrabiną Gertrudą.

Wendland zdumiał się. To oświadczenie nie pozostało bez skutku na niego.

Ale odpowiedział tylko ruszeniem ramion.

— Jeżeli się panu nawet udało oszukać pana Greifa — to tu jeszcze niczego nie dowodzi i nie wpływa wcale na zmianę mojego zdania. Zapewniłeś pan, że ta rzekoma hrabina Gertruda stanie przedemną. Dotychczas to się nie stało, a teraz ja wcale sobie nie życzę ją zobaczyć.

— Ależ słyszał pan przecież, co mówiłem, że hrabia Sinobrody i ta jego pomocnica tu usunęli ją właśnie. Ona już była we willi i chciała...

— Ach! — przerwał mu Wendland z pogardliwym uśmiechem — cała ta dziwna historya z tem uprowadzeniem — to mojem zdaniem tylko zmyślona bajka, komedya, którą pan zagrałeś ze swoją towarzyszką, aby mi oczy zamydlić i pozyskać mnie dla tej niejasnej sprawy. Greif dał się oszukać i uwierzył w tę pańską hrabinę Gertudę, to jest dla mnie zagadką. Na mnie, zapewniam pana, nie robi to żadnego wrażenia.

— To niesłychane, doprawdy z jaką bezczelnością ten człowiek wypowiada tu swoje kłamstwa! — odezwał się teraz pełny oburzenia głos Betliny. — Nie rozumiem ciebie, kochany wuju, że możesz tego wszystkiego słuchać tak spokojnie. — Pozwalasz na to, że on mnie obraże i zniewagami i obelgami obrzuca?

— Rzeczywiście, ty masz racyę! — potwierdził Wendland oburzony. Ten panicz zasługuje na energiczną odprawę. Jego towarzy-

szka, która chciałaby zająć twoje miejsce, musiała widać uznać, że nic nie wskóra i poszła swoją drogą, tam skąd przyszła. A pan — tu zwrócił się znowu do Aleksandra — pan chcesz tu wmówić jakieś bajki o uwiedzeniu, morderstwie i może jeszcze Bóg wie o czem.

—O, ja już rezygnuję z tego, by pana przekonać—zawołał Aleksander. Czy mi pan uwierzy, czy nie, to ostatecznie dla samej sprawy nie ma wielkiego znaczenia. Z innej strony przyjdzie na pana konieczność uwierzenia w moje twierdzenia.

— A niech tu przyjdzie sobie, kto chce, jeżeli mi będzie powtarzał pańskie szalone bajki, odpowiem mu to samo, co panu — odpowiedział starzec wyniośle z gniewem — dla mnie nie istnieje na świecie żadna inna hrabina Gertruda prócz tej którą pan tu widzisz przy mnie.

Aleksander zaśmiał się krótkim, gniewnym śmiechem.

— Tak jest! — zawołała Betlina, a ja każdą, która się odważy rościć sobie prawa do mego nazwiska i tytułu, oddam sądowi jako szachrajkę! Zapamiętaj to sobie mój przezacny panie! — dodała ironicznie.

Bezczelność jej doprowadziła Aleksandra do pasyi.

Zdawało się, że gniew owładnie nim zupełnie i każe mu zapomnieć zupełnie o sobie.

— Szachrajkę! — wrzasnął i ze ściśniętą pięścią zbliżył się do ironicznie uśmiechniętej Francuzicy. — To pani jesteś szachrajką! — zawołał drżąc z oburzenia. — Niesumienna istoto! Awanturnicą jakąś jesteś, niczem innem. Bóg wie, skąd cię wziął Sinobrody, gdzie ciebie znalazł!

Podczas gdy jeszcze to mówił, wszedł na werandę przez drugie drzwi sam Sinobrody.

Usłyszał ostatnie jego słowa, i zoryentował się odrazu o co idzie i co się tu dzieje.

Z groźną miną zbliżył się.

Wszyscy obrócili się i milcząc patrzyli na niego. Hrabia Sinobrody zmierzył Aleksandra z góry do dołu spojrzeniem oczu tryskających gniewem.

— A więc to pan jesteś ten oszust, o którym mi żona dziś opowiadała? — zaczął z gryzącą ironią. — Do czego się pan porywasz, panie? Z jakiego domu waryatów uciekłeś pan właściwie?

Aleksander oblał się ciemnym rumieńcem gniewu i oburzenia. Jednym susem podskoczył naprzód i znalazł się tuż przed Sinobrodym.

— Morderca! — zagrzmiał piorunującym głosem. — Nędzny, szatański łotrze! — Nie znasz mnie!? A więc niech ci zabrzmi w ustach imię tej, którą ty również jak inne swoje ofiary potajemnie usunąłeś! Józefina! Przypomniej sobie Józefinę, swoją żonę, którą ty, okrutny morderco, strąciłeś do grobowca na dół.

Hrabia Sinobrody zatrząsł się na całem ciele i zbladł jak trup.

Przerażony patrzył rozszerzonemi źrenicami na Aleksandra, ale znalazł jeszcze na tyle przytomności w sobi żeby się silić na spokój.

— Waryat — odpowiedział ochrypłym śmiechem.

— Ale drżyj nędzniku! — mówił Aleksander dalej, a przemawiał głosem, który się wydawał jak głos sądu ostatecznego, hrabiemu Sinobrodemu. — Ta ofiara twojej nienasyconej żądzy krwi nie poszła drogą, którą ją wysłałeś! Pan Bóg ją uratował, aby mogła świadczyć przeciw tobie. Drżyj i uznaj w tem działanie Opatrzności Bożej! Józefina żyje! Żyje, jak i ostatnia twoja ofiara, która równocześnie była twoją żoną, jak Gertruda. A ja! Nie wiesz, nie przeczuwasz jeszcze kto ja jestem? Józefina jest moją siostrą! Oskarżam cię w jej imieniu i na Boga, ja sam cię zawlokę przed sąd, katowi cię oddam, ty potworze w ludzkiej skórze, ociekającej krwią!

W osłupieniu skamieniałem słuchali wszyscy tych słów. Wendland i Betlina patrzyli na siebie bladzi i przerażeni.

Wtem hrabia Sinobrody odzyskał na nowo panowanie nad sobą.

Twarz wykrzywiła mu się szatańsko, gdy gwałtownym ruchem odepchnął od siebie Aleksandra.

— Oszalały oszuście! — zawył, pieniąc się z wściekłości. — Nie znam żadnej Józefiny, nie rozumiem twoich śmiesznych słów wcale. — Wynoś się stąd natychmiast, bo na dyabła, klnę się — okładać cię będą tą szpicrutą, póki skomląc, nie będziesz prosił o zmiłowanie!

Z wysokiej cholewy jego butów do jazdy konnej sterczała rączka szpicruty. W następnej chwili Sinobrody wyciągnął ją i groźnie podniósł do góry.

— Precz, bo...

Ale Aleksander nie ustąpił ani na krok. Blady był śmiertlenie, oczy mu błyszczały ogniem gniewu i nienawiści.

Tu wmieszał się Wendland, wchodząc pomiędzy nich.

— Stój! Żadnego gwałtu!—zwrócił się z niechęcią do Sinobrodego — idź pan rzekł, do Aleksandra — widzi pan przecie, że nikt tu pańskim twierdzeniom nie wierzy.

— Dobrze, odchodzę—odpowiedział Aleksander chłodno i spokojnie — ale po chwili

wrócę tu z policyą i spowoduję, że ten morderca, który siebie każe nazywać hrabią Wildenfels, gdy tymczasem w rzeczywistości jest tylko dawnym sługą zamordowanego przez siebie pana Wildenf...

Nie mógł dokończyć, bo zanim skamieniały ze strachu Wendland mógł temu przeszkodzić, rzucił się Sinobrody z okrzykiem wściekłości na Aleksandra

— Łotrze! — kłamco! — zgrzytnął i podniósł szpicrutę.

Pręt świsnął w powietrzu i byłby ugodził w Aleksandra. On jednak błyskawicznym ruchem usunął się tak, że cios chybił.

W następnej chwili z siłą, której nikt nie przypuszczał u tego młodego człowieka, chwycił nieprzyjaciela za gardło i rzucił go w jednej chwili na ziemię. Szarpnięciem silnem wyrwał mu szpicrutę i odrzucił daleko od siebie.

Gdy Sinobrody wyjąć z wściekłości podniósł się, Aleksandra już nie było. Błyszczącemi oczyma i z gniewnie wykrzywioną twarzą Sinobrody rozglądnął się.

— Gdzie jest ten pies? — zawołał zduszonym głosem. — Zaduszę go, zastrzelę tego bydlaka. Na dyabła! On mi za to odpokutuje!

— Spokój! — zawołał na to energicznie Wendland — opanuj się pan, panie hrabio! Sameś pan sobie winien, żeś pan tak został ukarany, bo nie powinno się tak zaraz ze szpicrutą napadać ludzi!

— Stul pan gębę! — wrzasnął Sinobrody nie posiadając się z wściekłości. — Po co się pan wtrącał? Pan jesteś winien temu, że on mnie przewrócił! Ale ja go znajdę, tego szelmę. — On mi już nie ucieknie z życiem!

Wybiegł szybko z werandy i puścił się w pogoń za Aleksandrem.

— Na miłość Boską! — zawołała Betlina pełna trwogi. — Pójdź za nim, wuju, mój kochany, zatrzymaj go, bo on oszalał ze złości i w gniewie mógłby narobić strasznego nieszczęścia.

Ale Wendland wcale nie miał ochoty z powodu Sinobrodego wdawać się w niebezpieczne położenie.

— Zostawmy go, niech idzie — rzekł spokojnie. — Jeżeli zdoła dogonić tego oszczercę, to tamten sam sobie da radę i potrafi się obronić.

Gdy się potem odwrócił, aby wejść do drugiego pokoju, zobaczył, że Güntera już nie ma.

Zdziwiony pokiwał głową.

Gdzie on się podział? Wendland przypuszczał, że on pospieszył za Sinobrodym. Czy chciał może przeciw niemu stanąć w obronie Aleksandra?

Ten oddalał się szybko. Nie był wprawdzie tchórzem i nie uciekał, ale uważał za rzecz wskazaną zachowywać ostrożność. Teraz gdy już hrabia Sinobrody wiedział, jak niebezpiecznego ma wroga w osobie Aleksandra, nie ulegało wątpliwości, że najusilniejszem jego staraniem będzie pozbyć się tego nieprzyjaciela.

U wyjścia z przedniej częśri ogrodu spotkał się nagle z Greifem. Taki był wzburzony, że go zrazu nawet nie zauważył, dopiero tamten ujął go za ramię i zatrzymał.

— Wraca pan z willi — rzekł do niego komisarz — a taki pan jesteś wzburzony, że widać to po panu. Co się stało? Jakaś gwałtowna scena musiała się tam rozegrać między wami.

Aleksander w kilku słowach opowiedział, co zaszło przed chwilą w willi Wendlandów między nim a Sinobrodym.

— Nieostrożnie, bardzo nieostrożnie pan działałeś — zganił Greif. — A ja pana przecież przestrzegałem! Teraz Sinobrody będzie już napewno wiedział, że ja z panem razem poszukuję za hrabiną Gertrudą. — Nie trzeba się też było zdradzać z prawdziwem swojem nazwiskiem. Wszystko to zamiast pomódz, może raczej tylko zaszkodzić!

— Być może — odpowiedział posępnie Aleksander — ale chciałbym widzieć, kto na mojem miejscu, wobec takich haniebnych czynów, spotkawszy się oko w oko z ich sprawcą, zachowałby zimną krew i mógłby się liczyć ze słowami i ważyć je, które jest mądre i dobre, a które nie!

— No, przepadło już. Niechże pan teraz przynajmniej będzie ostrożny, panie kapitanie. Teraz ma pan w osobie hrabiego Sinobrodego zaciekłego a niebezpiecznego wroga, nie przebierającego w środkach. — Pan wie, że on jest zdolny do wszystkiego.

— O, ja się jego całkiem nie boję! — Ba, niech go tylko spotkam raz jeszcze, a dam temu nędznikowi, temu zbójowi podłemu, temu mordercy, taką nauczkę, że popamięta mnie na całe życie! Z mojej ręki spotka go kara za wszystko co zrobił w życiu! — O, ja będę dla niego niszczącą ręką losu i przeznaczenia.

— A ja panu radzę, i zaklinam pana na powodzenie naszej sprawy — unikaj go pan, wymijaj go i schodź mu z drogi — upominał Greif. — To dla pańskiego dobra! — Zobaczy pan, że nie pożałujesz, jak będziesz, mnie słuchał. Dla niego i tak przecież musi niezadługo wybić godzina zapłaty strasznej za wszystkie jego ciemne zbrodnie.

Ledwie wypowiedział ostatnie słowa, gdy obaj usłyszeli nagle straszny huk. Odskoczyli przestraszeni.

To padł strzał od strony ogrodu. Greif i Aleksander słyszeli jak kula lecąc pomiędzy ich głowami świsnęła.

— To na mnie! — zawołał Aleksander.

Wyciągnął rewolwer z kieszeni i rzucił się między krzaki, z pośród których padł strzał.

— Czekaj podły tchórzu i morderco! — zawołał.

Greif pospieszył za nim.

Obaj usłyszeli trzask łamanych gałęzi i szybkie kroki uciekającego mężczyzny. Ale ani twarzy, ani nawet postaci jego nie zauważyli.

Czy to rzeczywiście hrabia Sinobrody strzelał do nich z ukrycia w krzakach? I do kogo on właściwie mierzył? Czy chciał zabić Aleksandra, brata Józefiny, czy komisarza?

Z willi nadbiegli lokaje i służba, bo odgłos strzału rozległ się był daleko i słyszany był wszędzie dookoła. Wyszedł także stary Wendland i przystąpił do nich dwóch.

— Kto to strzelał? — spytał? — Czy hrabia Sinobrody? — dodał drugie pytanie szeptem, aby służba nie słyszała.

— W każdym razie był to on — oświadczył Greif. — Chociaż to prawda, żeśmy go nie mogli zobaczyć.

Podczas gdy oni trzej stali tam razem i rozmawiali ze sobą przy wejściu do ogrodu, stała na górze przy oknie Wendlanda Betlina i przypatrywała się tej całej scenie.

Wtem otworzyły się za nią drzwi.

Betlina odwróciła się — za nią stał hrabia Sinobrody z posępnym wyrazem twarzy, z rysami wykrzywionymi straszliwą wściekłością, z miną i zachowaniem się mordercy przyłapanego na gorącym uczynku zbrodni.

Betlina popatrzyła na niego, jedno spojrzenie wystarczyło, aby z twarzy jego wyczytać co on zrobił.

— Tyś strzelał na tego człowieka tam — spytała bezdźwięcznym głosem.

— Tak jest — odpowiedział ochryple i nie wiedzieć cobym za to dał, gdybym wiedział żem trafił jego i tego drugiego także. To był ten komisarz, który dla nas jest najniebezpieczniejszy.

— Boże mój! To on? ten komisarz? ......

— Tak jest! On się widać wdał w porozumienie z tym oszczercą!

— E, ten znowu nie jest oszczercą! —odpowiedziała Betlina z ogromną pewnością. Wszystko, co on wytacza przeciwko tobie, to święta prawda. Przecież wobec mnie nie potrzebujesz się tego wypierać!

— Ach! wierz sobie, w co chcesz! — zawołał z wściekłością — mnie to jest wszystko jedno.

Patrzył przez okno i zbladł.

— Co?! — zawołał — oni wszyscy trzej wracają znowu? Co to ma znaczyć?

— Schowaj się! — zawołała Betlina pospiesznie. — Komisarz widocznie chce cię przyaresztować!

Sinobrody struchlał.

Czyż rzeczywiście los teraz w niego uderzał? Greif z Wendlandem i Aleksandrem wchodzili już do willi. Czy miał stawić czoło zbliżającemu się niebezpieczeństwu?

— Śpiesz się, bo oni już idą — nalegała Betlina — uciekaj! — Schroń się gdzie, schowaj się!

CXXXVII.

POGOŃ I UCIECZKA.

Z szybkością ściganego zwierza uciekał Ludwik przed prześladowcami przez ciemną ulicę. Za sobą słyszał kroki agenta, a przed nim zjawił się drugi wróg w postaci policyanta.

— Trzymajcie go! — słyszał wołania.

Widział, że niema ratunku. Policyant zbliżył się do niego z dobytą szablą, a tuż za nim wynurzył się z ciemności agent.

Wtem zobaczył nagle drogę, którą mógł się uratować.

Oddzielona od ulicy drewnianym parkanem, ciągnęła się na prawo pomiędzy dwoma domami wązka uliczka.

W chwili, gdy ze wszystkich stron nacierali na niego prześladowcy, podskoczył Ludwik do góry i chwycił rękami górny kant parkanu.

Parkan powleczony był kolczastym drutem i ponabijany u gódy gwoździami. Ludwik uczuł straszny ból, bo poranił sobie ręce, ale zacisnął zęby i płacząc z bólu z rozpaczliwem męstwem wspiął się na górę.

Na dole pod parkanem już był pierwszy policyant i wykonał cięcie ku górze, w stronę Ludwika. Ale ten już po drugiej stronie parkanu zeskoczył na dół i popędził naprzód. Uliczka z drugiej strony była zamknięta murem wysokości człowieka.

Z trudem wspiął się na górę i za sobą słyszał już hałas pościgu. Prześladowcy wtargnęli bowiem do domów stojących po obu stro-

nach uliczki i usiłowali mu przeciąć drogę.

Ludwik szybko zesunął się po zewnętrznej stronie muru i znalazł się teraz na jakimś placu budowlanym. Był to duży jakiś plac, na którym stała pewna ilość dużych szop, stajen i innych różnych prowizorycznych budowli. Pomiędzy niemi wznosiły się olbrzymie stosy drzewa budowlanego, kamieni i t. p. Na końcu zaś stały próżne wozy meblowe w długiej linii.

Ludwik zoryentował się ile na to ciemność nocna pozwalała dość szybko. Na tym placu był pościg utrudniony miał więc nadzieję ujść szczęśliwie. A tu już słyszał jak policyanci innemi drogami wpadli na plac budowy, więc szybko biegł pomiędzy wysokiemi słupami drewnianemi, gdy wtem jakiś pies zaszczekał. W chwilę potem szczekało już dziesięć innych. Na placu budowy było wiele psów. Prawdopodobnie znajdowali się tam i wartownicy, bo Ludwik ujrzał światło w małym domku.

Gdyby tak wypuścili psy i za nim poszczuli, to byłby stracony i nie mógłby myśleć o ocaleniu.

Gnany trwogą śmiertelną pędził naprzód. Hałas się wzmagał, psy wściekle szczekały. Pomiędzy tem donośne świstanie — Ludwik znał te sygnały, one były na niego skierowane — policyanci wołali kolegów z okolicy.

Ze wszech stron wypadli za nim w pościgu. Spostrzeżono go i głośne wołania się rozległy Padł strzał i zbieg czuł się ranionym. Kula przeszyła mu ramię, lecz on nie uważał na to i pędził dalej.

Podwajał chyżość, nogi jego dotykały się ledwo ziemi, jak strzała pędził w dal nie zważając na piekielny ból jaki mu rana sprawiała. Skakał przez kupy kamieni i kloców drewnianych — i już nie widział ścigających, gdy wtem dwa olbrzymie psy, jak sprzymierzeńcy piekieł, się na niego rzuciły. Spuszczono psy z łańcuchów i poszczuto za nim. Sapiąc i ledwo dysząc po tym strasznym biegu, wstrzymał kroku. Psy wściekle szczekały i pokazując zęby zbliżały się do niego. On schylił się i podniósł z ziemi kilka dużych kamieni których pełno było dookoła.

Rzucił teraz jeden kamień w stronę nadbiegających psów, potem drugi i trzeci. Mimo ciemności musiał rzucać celnie bo psy wyjąc, cofały się.

Ludwik rzucił się na nowo do ucieczki, lecz psy na nowo też rzuciły się za nim w pogoń. On chwycił leżący gdzieś po drodze ciężki drąg i z rozpaczą zaczął nim wywijać dookoła.

Straszliwe uderzenie — i już jeden pies ugodzony silnie padł, by może nie wstać już więcej. Drugi trzymał się już teraz ostrożnie z daleka. Ludwik mógł już swobodnie uciekać.

Ale ścigający byli już znowu tuż za nim i deptali mu po piętach. Duży plac się kończył, Ludwik znalazł się nagle nad brzegiem szerokiej rzeki.

— Którędyż teraz uciec? Pozostały mu do wyboru tylko te dwie ewentualności, albo się poddać, albo się rzucić do wody.

Przez chwilę z drżeniem wzdrygnął się przed ciemną głębią. Ale już słyszał za sobą kroki policyantów, już widział z ciemności wyłaniające się postacie.

Jeszcze kilka krótkich chwil, a ujmą go i zawiodą do więzienia z którego wyjdzie chyba tylko pod szubienicę, by ponieść karę straszliwej śmierci za niejedno, co o nim już widziano.

Bez namysłu z rozpaczliwym męstwem skoczył przed siebie z zamkniętemi oczyma. Ale z ogromnem zdziwieniem uczuł, że nie skoczył do wody, tylko na jakiś stały, twardy grunt, który się tylko od skoku zakołysał. Ludwik spostrzegł, że to tratwa, która nie odznaczała się od tła wody i dlatego on jej nie zauważył przedtem.

Tratwa była długa i Ludwik pobiegł na drugi jej koniec, tam zauważył przywiązaną do niej drugą i trzecią taką samą. Tratew takich w bardzo długim szeregu leżało wiele na wodzie, wzdłuż brzegu. Zbieg uciekał po nich wśród ciemności coraz dalej.

Ale i ci, którzy go ścigali, byli już także na tratwie i spiesznie biegli teraz za nim. Teraz już chyba nie może im uciec, bo raz przecie ta droga na wodzie musiała się skończyć i kto wie, czy właśnie nie nad największą głębią.

Ale ostatnia w szeregu tratwa stała pod jakimś mostem.

Ludwik stanął. Wtem zobaczył przywiązaną do tratwy łódkę.

W jednej chwili wyciągnął scyzoryk, przeciął sznur, którym łódka była przywiązana do tratwy i sam wsiadł do łódki.

Podjął z tratwy drąg, który tam leżał, odbił się od tratwy i wnet prąd porwał go w zbawczej łódce.

Wnet stracił z oczu prześladowców, którzy na kraju ostatniej tratwy stali klnąc w bezsilnym gniewie.

Lecz uratowanym nie mógł się Ludwik jeszcze nazwać. Już na następnym moście mogli na niego czekać, by go schwycić, bo usłyszał najwyraźniej, jak biegli ulicami, ciągnącemi

się po obu brzegach rzeki w kierunku prądu.

Z natężeniem wszystkich sił pracując popychał się drągiem szybko naprzód. Z szybkością błyskawicy mknęła jego łódka po powierzchni fal. Już tylko nie wielki kawał drogi dzielił go od drugiego mostu.

Kiedy wreszcie pod nim przepłynął szczęśliwie, przez nikogo nie zatrzymywany, ucieszył się ogromnie. Ale nie długo trwała ta jego radość. Usłyszał bowiem nagle za sobą jakiś szum, a gdy się oglądnął, zobaczył łódź, która obsadzona przez urzędników policyi, agentów i policyantów szybko zbliżała się do niego.

Na ten widok w pierwszej chwili krew mu zastygła w żyłach i ręce mu omdlały.

A więc przecie mam zginąć? — myślał osłupiały z przerażenia.

Ale raz jeszcze otrząsnął się ze skutków strasznej trwogi, zebrał wszystkie siły i zaczął na nowo wiosłować drągiem, co go posuwało naprzód.

Rzeka po obu stronach była obmurowana wysokim, stromym murem, do którego Ludwik skierował łódkę, nie wiedząc sam, co robi.

W pewnych odstępach znajdowały się w murze schody, wiodące ku górze, na ulicę nadbrzeżną. Gdyby się zbiegowi ściganemu udało przybić do takich schodów, umknąłby tym, którzy go ścigali na wodzie.

Ludwik jechał pewien czas tuż przy murze, wytężał ostatki swoich nadwyrężonych sił, ale trwoga i rozpacz wzmacniały jego ramię.

Jednakże mimoto zdawało się, że on już nie umknie, gdyż łódź policyjna była tak blizko niego, że słyszał nawoływania policyantów.

Ale teraz Ludwik zobaczył przed sobą coś, co dla niego mogło się stać ratunkiem.

Łódź jego posuwała się obok wysokiej terasy, daleko w rzekę wysuniętej. Wązkie schodki kamienne prowadziły po niej na górę.

Bez namysłu wyskoczył Ludwik z łódki i pomknął po schodach do góry.

Gdzie znalazł się teraz?

Terasa leżała przy wysokich, szarych murach potężnego, dziwnego gmachu. Jedno pośpieszne spojrzenie i Ludwik zoryentował się w sytuacyi.

Poznał natychmiast całą miejscowość, był to pałac księcia.

Ciężkie kroki zabrzmiały na płytach kamiennych. To szyldwach chodził z karabinem na ramieniu przed pałacem. Na dole pościg zmiarkował, jaką drogą puścił się zbieg i łódka policyjne przybiła do schodów.

Ludwik spojrzał na pałac, w którym wszystkie okna były ciemne, z wyjątkiem jednego. To było oświetlone i otwarte. Gmach zamykał mu drogę na ulicę, jeżeli miał uciec, to tylko do tego okna.

Nic namyślając się, zaczął się przeciskać przez szerokie kraty, któremi okno było zaopatrzone. Światło które widział zdaleka w tem oknie, pochodziła z jakiej dalej leżącej izby, tak, że zauważony przez szyldwacha w ostatniej chwili, zdołał jeszcze zniknąć w ciemności.

Gdy Winter z pościgiem przybył na górę i dał się poznać szldwachowi, mógł mu już ten tylko wskazać drogę, którędy Ludwik uciekł.

Wpuszczony do wnętrza gmachu opowiedział Winter komendantowi straży o całem zdarzeniu. Tymczasem Ludwik biegł naprzód przez wnętrze gmachu. Minął słabo oświetloną kuchnię zamkową, z której długim, ciemnym kurytarzem, poprzecinanym przecznicami dostał się do jakichś drzwi.

Po drugiej stronie słyszał przyciszony krok człowieka. — To znowu po podwórzu chodził szyldwach. A więc tamtędy nie mógł uciec.

Skręcił w bok kurytarza i biegł dalej słysząc, jak się w zamku ożywia. To szukają już za nim. Serce zaczęło mu bić jak młotem — wątpił o swojem ocaleniu, bo kilka razy widział już zdaleka w ciemnych kurytarzach latarki szukających i zdawało się, że jest otoczony ze wszystkich stron.

Nie widząc innej rady, pobiegł jakemiś schodami na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się mieszkania oficyalistów. Otworzył jakieś drzwi, i znalazł się w pokoju. Znużony śmiertelnie, rzucił się na kanapę i dopiero wypocząwszy nieco, poszedł dalej. Otworzył drzwi do ciemnego pokoju i usłyszał oddech kogoś śpiącego. Cofnął się więc ostrożnie i w przeciwnym kierunku szedł dalej.

Nagle zobaczył przed sobą na skręcie kurytarza jakąś postać niewieścią z latarką. Była to pokojówka damy dworu, która dotychczas była u swej pani, a teraz szła do swego pokoju na noc.

Zobaczywszy nagle kogoś obcego przed sobą, opuściła ze strachu latarkę, która zgasła, ale za nim jeszcze zdążyła wydać okrzyk Ludwik przyskoczył do niej i chwycił ją za rękę.

— Na miłość Boską cicho! — szepnął błagalnie, — Nie bój się pani, nic ci nie zrobię. — Ratuj mnie tylko, bo jestem zgubiony!

Słowa jego uspokoiły trochę dziewczynę.

— Kto pan jesteś? — spytała. — Skąd się tu wziąłeś?

— Panna mnie musisz znać z nazwiska, jestem baron Helldorf, co?

— Nie, panie baronie — odpowiedziała dziewczyna.

— Ach, to chwała Bogu, w takim razie nikt jeszcze nie wie o moich potajemnych odwiedzinach w zamku i jeżeli ty moja panno, mnie nie zdradzisz, pozostanie to tajemnicą. — Ale pamiętaj, że od twojej dyskrecyi zależy dobra sława jednej z zamieszkałych tu w zamku dam.

Dziewczyna widocznie nie miała pojęcia o tem, że w zamku szukano zbrodniarza i wierzyła mu, a ciekawość jej wzrosła przy ostatnich słowach do najwyższego stopnia. Na wezwanie Ludwika przyrzekła mu, że tajemnicy nie zdradzi, byle tylko opowiedział jej wszystko.

Ludwik kłamał tedy dalej, że dziś jak zwykle, był ukradkiem u jednej z dam dworu — nazwisko naturalnie zamilczał — że nagle nadszedł mąż i on musiał uciekać a że tamten go ścigał, więc dostał się aż tu.

— I teraz jestem bezradny — kończył — bo nie mam pojęcia, jak się wydostać z zamku.

Dziewczyna zarumieniona z ciekawości i radości, że wreszcie natrafiła na ślad jednej z miłostek, o których tyle opowiadano, wierzyła naturalnie święcie i już w myśli odgadywała, która to z dam dworu obdarza tego barona potajemną miłością.

— Co tu zrobić? — kłopotała się w najlepszej chęci, żeby mu pomódz — wszystkie drzwi na noc pozamykane. Czy pan nie ma klucza do której furtki?

— Miałem, ale zaskoczony nagle, musiałem go w irytacyi zapomnieć! — westchnął Ludwik.

Okazało się, że jedyna droga wejścia do ogrodu prowadzi obok mieszkania samego księcia. Ale Ludwik mimo niebezpieczeństwa puścił się za nią.

Czy mu się uda uciec tamtędy?

Winter był pewny że Ludwika w pałacu złapią bez niego, a nie mógł się oprzeć ciekawości i czemprędzej pobiegł do biura, gdzie sobie kazał przyprowadzić Kulasa aby go wybadać.

Postanowił z nim mówić uprzejmie, aby jak najwięcej z niego wydobyć.

— No, stary widzicie jak to niedobrze wdawać się z wielkimi panami i dla nich kasztany wyciągać z ognia, Ani hrabina Walerya ani jej mąż Ludwik Hecht z pewnością nie bardzo się zmartwią że was aresztowano.

— Jaka hrabina? — udawał Kulas.

— Ach, nie macie co udawać — zaśmiał się Winter. —Nie sprawiliście się dobrze. Mój agent, myśleliście, że już ust nie otworzy, albo może zginął w płomieniach zamku leśnego, któryście podpalili. Tymczasem zastałem go przy życiu i wiem wszystko.

Kulas zmartwiał ze strachu słysząc to.

— A więc widzicie, że nie ma się poco wypierać — mówił dalej Winter. — Powiedzcie wszystko, a za to przyrzekam wam, że wstawię się za wami, aby kara była mniejsza. — Chcecie?

Położył mu rękę na ramieniu.

— I to wam jeszcze powiem — dodał — żebyście się nie dziwili, żeśmy was tak szybko przyłapali. Sama hrabina Walerya was zdradziła, by się was pozbyć.

Kulas zerwał się jak oparzony, wściekły na chytrość Waleryi, w którą uwierzył natychmiast.

Wnet jednak zmiarkował się, że skoro się przyzna do wspólności z hrabiną, weźmie na siebie odpowiedzialność za wszystko co się działo w zamku leśnym i udał znowu że nie rozumie.

— Panie komisarzu — rzekł — ja nie rozumiem nic. — Ja jestem całkiem niewinny.

— Ależ bądźcie rozsądni i powiedzcie od razu całą prawdę, bo wasz przyjaciel Ludwik z pewnością na was zwali wszystko i będziecie musieli odpokutować i za niego i za siebie.

Kulas tryumfował że Ludwik także jest schwytany.

— Niech on mówi co chce! Jeżeli się coś stało w czem jakaś hrabina Walerya gra rolę, to ja z tem z pewnością nie mam nic wspólnego.

Winter tracił już cierpliwość, ale się hamował jeszcze.

— Wam to się na nic nie przyda, jeżeli się nie przyznacie — rzekł — bo wasza wina jest dowiedziona. Najwyżej może to wyjść na dobre tej, która wam to kazała zrobić i zamiast wam zapłacić, oddała was do kryminału.

Ale Kuls nie dał się zbić z tropu.

— Mnie nic nie można dowieść — rzekł.

— Mylicie się. Znam wasze sprawki od samego początku, A więc naprzód, mogę wam dowieźć włamanie się do starego hrabiego. Potem — pominąwszy inne drobniejsze rzeczy — przychodzi historya w zamku w lesie. Tam razem z Ludwikiem Hechtem wzięliście na swoje sumienie życie dwóch osób, a trzecia, mego agenta, małoście nie uśmiercili. Potem podpaliliście zamek. To wszystko razem akurat wystarczy abyście poszli na szubienicę. Mówcie co chcecie nic wam to nie pomoże, bo na to są dowody.

Kulas zaczął się trząść ze strachu, ale my-

ślał jeszcze że uporczywem przeczeniem uzyska coś.

— Ja nic nie wiem o tem wszystkiem, panie komisarzu — rzekł ze zdumiewającą pewnością siebie — nie rozumiem nawet, co pan komisarz chce odemnie!

— Jesteś zuchwały, zatwardziały stary grzesznik! — zirytował się Winter. — Po raz ostatni pytam się, wyznacie wszystko, czy nie?

— Nie wiem co wyznawać, bo jestem niewinny.

— Ale kasztelan i mój agent żyją! Kasztelan z ukrycia przypatrywał się właśnie, jak wyście Brauna napadli i uratował go, gdyście mu grób kopali! No cóż! Czy jeszcze się będziecie wypierać?

— Mnie tam nie było! — twierdził Kulas uporczywie.

— Ani nie powiecie, kto były te dwie osoby, które wyście z Ludwikiem Hechtem pilnowali w zamczysku? — pytał Winter na dobrze już zirytowany.

— Ja nic nie wiem!

— Poczekajże łotrze jakiś! Powiecie mi zaraz, czy nie! Nazwiska tych ofiar chcę wiedzieć w tej chwili — wrzasnął Winter nie hamując się już z gniewu.

Ale Kulas zaciął się i nic nie mówił.

Nie udało się Wnterowi nic wydobyć z niego. Rozczarowany, kazał go odprowadzić do celi więziennej.

Jeżeli mu teraz i Ludwik się wymknął, to czy odkryje kiedykolwiek tajemnice leśnego zamczyska?

CXXXVIII.

OKROPNE ODKRYCIE.

W dzień po ostatnich tych zajściach, siedział hrabia Edmund przy biurku w swej pracowni.

Ze spuszczoną głową wpatrywał się on osłupiałym wzrokiem w dokument, który leżał przed nim, między wielu innymi papierami.

Siedział tam już od godziny i odczytywał dokument po raz dziesiąty, nie wiedząc co w nim napisane.

Co to było, co duszą jego tak wstrząsało?

"W imię jego książęcej mości."

Skazana na śmierć...

Tak, był to wyrok śmierci, który przed nim leżał!

Wyrok śmierci na ową zagadkową czarną damę która popełniła zamach na księcia, a śmiertelnie zraniła ministra Borgheima.

Sąd przysięgłych uznał, że ona właściwie do księcia strzelała i że ówczesny minister zraniony został ratując monarsze swemu życie.

Borgheim nie umarł wprawdzie z powodu rany, lecz to nie zaważyło na szali. Skazano ją jako atentatkę, która na życie księcia czyhała.

Tak opiewał wyrok śmierci.

Lecz hrabia Edmund, który nieszczęśliwą kobietę raz tylko w życiu widział i z nią mówił, lecz z jej szlachetnej powierzchowności i wystąpienia niezatarte odniósł wrażenie i nie mógł uwierzyć, że ona księcia zamordować chciała.

Słyszał on z własnych jej ust, że jej chodziło o ministra, na którym zemścić się chciała.

Ale za cóż ona się właściwie na nim mściła?

Było to dla wszystkich dotychczas nierozwiązaną zagadką, a minister sam, któremu ta czarna dama nie musiała być obcą, ani słowem tajemnicy nie zdradził i milczał również zacięcie, jak sama winowajczyni.

Kto ona była, i jak się właściwie nazywała?

Tylko Agata mogła tajemnicę tę rozświetlić... Agata, która z ową czarną damą w bliskich była stosunkach i często się z nią schadzała.

Ale Agata już nie żyła. Usta jej na zawsze były zamknięte.

Westchnął on głęboko i bardziej jeszcze się zamyślił.

Dziwne! Dlaczego los tej kobiety tak go wzruszał? Było mu to samemu zagadką. Lecz myśląc o niej, myślał on też równocześnie o Agacie. Łączył je zawsze w jedno.

Czuł on w tej chwili to samo, co wtedy, gdy Agata niewinnie na śmierć skazaną została.

A przecież... czemżeż ta kobieta mu właściwie była? Co ona go obchodziła? Czy mu tylko dlatego była nieobojętną, że ją z Agatą przyjaźń łączyła?

Nie, to nietylko to było. Musiało go jeszcze coś innego do niej przyciągać. Nie mógł jej nawet potępiać za fatalny jej czyn.

Kto wie, co za zbrodnię minister na niej kiedyś popełnił i czy ona nie miała prawa tak się na nim krwawo zemścić.

A teraz miała za to życiem przepłacić?

Lecz nie! Nie mógł on dopuścić do tego, aby książę ten wyrok potwierdził. Winien on to był Agacie, aby nieszczęśliwą uratować.

Czy go książę jednak usłucha? Cóż on mógł podać na usprawiedliwienie czarnej damy? Ni

Zapukano do drzwi. Wszedł stary Michał.

— Ekscellencyo! Pan komisarz Winter!

— Winter? — ucieszył się hrabia. — Niech w tej chwili wejdzie!

Uścisnął mu serdecznie rękę na powitanie, i powinszował mu wyzdrowienia.

— Ofiarowuje mi pan znów swoje usługi — rzekł on smutnie — lecz ta podróż do Indyi stała się już niepotrzebną. Moja żona Agata już nie żyje!

— Słyszałem już o tem, ekscellencyo, lecz czy ma pan rzeczywiste dowody jej śmierci?

— Naturalnie! Jakżebym się inaczej po raz drugi mógł był ożenić?

— Pytanie moje wydaje się panu dziwne, ekscellencyo! — Nie znam dowodów, które panu przedłożono, ale...

— Mój kochany panie Winter! — przerwał mu hrabia Edmund żywo. — Czyż pan wątpi o śmierci Agaty? — Musi pan przecież mieć jakieś racyonalne powody!

Popatrzył on badawczo na detektywa i był ogromnie wzburzony. Wiedział bowiem, że Winter nie mówiłby bez podstawy.

— Ekscellencyo — odezwał się detektyw — zanim powiem, chciałbym znać pańskie dowody.

Hrabia Edmund otworzył szufladę swego biurka i wyjął z niej list indyjskiego księcia i oba pierścienie Agaty. Wytłumaczył Winterowi wszystko i dał mu angielski list księcia do przeczytania.

Winter oddał mu go rozczarowany.

— Czy jeszcze pan wątpi? — zapytał hrabia Edmund.

— Teraz już nie — szepnął on ponuro. — Mój Boże, co o tem teraz mam myśleć! Kto więc były owe nieszczęśliwe?

— O kim pan mówi? — badał hrabia zdziwiony.

— Jedno pytanie, ekscellencyo! — Czy wie pan, że zamek leśny, w którym się niegdyś odbył ślub pański z hrabiną Agatą, spalił się niedawno?

— Nie! zawołał hrabia zirytowany. — Kiedy?

— Przed kilku dniami! Sam tam byłem! Leży on w gruzach!

Hrabia spojrzał bystro na Wintera. Miał on przeczucie, że mu detektyw ma ważne rzeczy do odsłonięcia.

Nie przyszedł przecież po to tylko, aby mu o pożarze zamku donieść?

— Jeszcze nic nie wiem — rzekł on. — Czy był pan tam przypadkowo?

— Nie, umyślnie, ekscellencyo! — Wysłałem tam poprzednio urzędnika, dla zbadania pewnej tajemnicy.

Zdziwienie hrabiego Edmunda zwiększyło się, gdy mu Winter opowiedział, co się w zamku leśnym działo.

Opowiedział on mu o Ludwiku i Frycu i o obu nieznajomych uwięzionych. Imienia Waleryi jednak nie wymieniał.

— Jak to być może, aby się takie rzeczy w moim zamku działy? — zawołał hrabia Edmund. — Dwóch łotrów obrało myśliwski mój zamek na miejsce swej zbrodni i potem go spalili? To brzmi prawie nie do uwierzenia! — Czy przeczuwa pan, co się poza tem kryje, panie Winter?

— Tak jest, ekscellencyo! — Mam przypuszczenie, które...

— Które mi pan musi odsłonić! — przerwał mu hrabia niecierpliwie. — Nie ukrywaj mi pan nic ze swych odkryć!

— Mówię zwykle tylko to, co dowodami poprzeć mogę. W tym wypadku jednak zrobię wyjątek!

— Mów pan więc!

Winter postanowił powiedzieć wszystko co s... wiedział.

— Hrabina Walerya żona pańska, ekscellencyo, była pewnego dnia w zamku leśnym — zaczął on — a ja wysłałem za nią jednego z mych urzędników, bo mi się wycieczka jej tam podejrzaną wydawała.

— Kiedy to było? — zapytał hrabia Edmund wzburzony.

Winter podał mu datę dnia.

Hrabia Edmund ściągnął brwi gniewnie i mruknął do siebie.

— Co to ma znaczyć? Mnie ona mówiła że jedzie na zamek Agaty.

Spojrzał na detektywa i dał mu znak, aby dalej mówił.

W zamku oczekiwał hrabinę Waleryę znany i z więzienia zbiegły zbrodniarz. Ludwik Hecht. Był on tam z jednym towarzyszem i strzegł wraz z nim te nieznajome tam istoty.

Wrażenie tej wiadomośści było potężne. Hrabia Edmund zbladł ze wzruszenia i zawołał drżącym głosem.

— Co pan mówi, panie Winter! — Czy się pan tylko nie myli? To przecież niemożliwe, aby żona moja miała jakieś styczności z łotrami i zbrodniarzami! — Wielki Boże! — Ja w to wierzyć nie mogę!

— A przecież jest faktem, ekscellencyo! — rzekł Winter poważnie. Woźnica, który hrabinę Waleryę tam zawoził, widział jednego z tych łotrów. Urzędnik mój poznał hrabinę Waleryę,

gdy z zamku leśniego wracała. Nie było więc żadnej wątpliwości.

Nastała przykra przerwa. W duszy hrabiego Edmunda wrzała okropna walka.

Wieści te padły na niego jak błyskawica w ciemną noc i rozświeciły różne jego wątpliwości.

Drżał on na całem ciele. We wnętrzu jego spierały się ze sobą oburzenie, obawa, boleść i zwątpienie.

— Panie Winter! — odezwał się on wreszcie. — Czy pan wie, o co pan żonę moją pośrednio oskarża?

— Mam zupełną świadomość tego co czynię, ekscellencyo — odparł zapytany spokojnie.

Hrabia Edmund potarł ręką czoło, aby się przekonać, czy nie śni i zadzwonił silnie na służbę.

— Co pan chce uczynić? — zapytał Winter.

— Każę swą żonę zawołać! Niech słyszy co mi pan ma do powiedzenia, i..

— Proszę do końca posłuchać, ekscellencyo! — przerwał mu Winter rezolutnie. — Przypuszczam że zmieni pan później swe zdanie.

Hrabia stał jak oszołomiony. Po chwili nadszedł stary Michał.

— Co ekscellencya rozkaże? — zapytał on.

Hrabia zwrócił się do służącego, a ten przestraszył się swego pana.

— Nic — szepnął hrabia.— Możesz znów odejść.

— Mów pan dalej — rzekł on po chwili ochryple do detektywa. — Utrzymuje pan więc, że ci dwaj hultaje byli w służbie mej żony?

— Tak jest, ekscellencyo! Jest to zupełnie jasne. Chodziło tu o owe uwięzione. Kasztelan nic o niczem nie wiedział i nikogo w zamku nie widział. Tak mi urzędnik mój opowiadał.

— A kto były te uwięzione? — spytał hrabia. — Czy nie wie pan o tem?

— Nie. Tego by się już chyba od samej hrabiny Waleryi dowiedzieć było można. — Lecz ona się pewno nie zechce zdradzić!

— Wielki Boże! — zawołał hrabia i padł bez tchu na krzesło. — A ten pożar? Czyż pan myśli, że i to było dziełem mej żony? Czy jej mogło chodzić o śmierć owych uwięzionych? Nie! — krzyknął on rozpaczliwie. Ja w to uwierzyć nie mogę.

Chwycił on głowę swą w ręce i odchodził od zmysłów z bólu.

Winter zbliżył się do niego i tak mówił dalej:

— Śledziłem zbrodniarzy ubiegłej nocy i spostrzegłem, że jeden z nich... Ludwik Hecht... zakradł się do pańskiego pałacu, ekscellencyo! Pewno na to, aby żonie pańskiej zdać sprawę z tego, co się stało.

Umilkł on, gdyż hrabia Edmund zerwał się teraz dziko.

— Ten łotr był tu... w moim domu... u mojej żony? — zgrzytnął on oburzony. — Czy to możliwe?

Winter wyciągnął z kieszeni pisany przez Ludwika do Waleryi bilet, który się w jego ręce przez pokojówkę dostał.

—To jest list do hrabiny Waleryi, donoszący jej o wizycie Ludwika Hechta — rzekł on, podając hrabiemu.

Hrabia rzucił okiem na podane sobie pismo lecz nie wziął go w rękę, jakgdyby się niem pokalać nie chciał.

— A jak się ten papier w ręce pańskie dostał? — spytał on.

— Przez pokojówkę pani hrabiny.

— Więc ona moją żonę już od dawna szpieguje?

— Tak jest, ekscellencyo! — Jest mi to potrzebne.

— A ci dwaj hultaje przyłapani?

— Tylko jeden, ekscellencyo. Ludwik Hecht niestety mi się wymknął.

— A jakie zeznania poczynił ten drugi?

— Żadne, ekscellencyo! Wypiera się on wogóle, że był w zamku leśnym. Jest to stary, zatwardziały grzesznik z którego nic wydusić nie można. Mimoto jestem przekonany, że on znał owe uwięzione.

— Jest to zagadką, kim mogły być — szepnął hrabia. — Nie mogę zawsze jeszcze w podejrzenia pańskie co do mej żony uwierzyć. — Kogo by ona w taki sposób usunąć chciała, i za co? — Jaką odpowiedź pan ma na te pytania?

— Tylko jedno przypuszczenie jest tu możliwe — rzekł Winter spokojnie. Mianowicie: że uwięzione te nie były żadne inne, jak pierwsza żona pańska Agata ze swą służącą, ekscellencyo.

— To niemożliwe — jęknął hrabia Edmund. — Moja żona Agata dawno już przecież w Indyach umarła.

— Tak panu doniesiono, ekscellencyo. — Lecz ja mam inne przekonanie.

Hrabia Edmund biegał jak szalony po pokoju. Przypominało mu się nagle owe straszne zajście we włoskim porcie.

Owa indyjska księżna, która wtedy w przepaść wpadła... czy to nie była Agata?

Lecz nie! Agata przecież już nie żyła!

Opowiedział on to zdarzenie Winterowi, a

ten gotów był uwierzyć w niemożliwość.

— Mój Boże! — mruknął hrabia Edmund. — Jak się tu o prawdzie przekonać? Ona mi się musi do prawdy przyznać!

— Hrabina Walerya do niczego się nie przyzna, ekscellencyo. Wyprze się ona wszystkiego i powie, że ja jestem oszczercą. — Na nic to się nie zda. Może w inny sposób do prawdy dojdziemy!

— Ale w jaki?

— Przeszukajmy gruzy w zamku.

— Ach! Więc się pan tam może ślad uwięzionych znaleźć spodziewa?

— Może — rzekł Winter. — Próbujmy w każdym razie!

— Dobrze, jedźmy więc do zamku leśnego — zadecydował hrabia Edmund.

Aby nie wzbudzić podejrzenia Waleryi, wyszedł Winter pierwszy i oczekiwał hrabiego na dworcu.

Następnym pociągiem odjechali oni ze starym Michałem.

Winter nic hrabiemu więcej o Waleryi nie mówił. Nie zdradził on mu, że Walerya była właściwe żoną Ludwika Hechta, ani o dziecku Agaty nie wspomniał. Chował on to wszystko na czas ostatecznej rozprawy.

Na ostatniej stacyi wynajęli oni jeszcze kilku ludzi, i w towarzystwie ich do zamku leśnego się wybrali.

Przybyli tam popołudniu i wnet się do pracy zabrali. Winter kazał ludziom przekopać miejsce, w którem uwięzione były zamknięte.

Hrabia Edmund tymczasem badał kasztelana i Brauna którego stan tymczasem znacznie się polepszył.

Po pewnym czasie przywieźli dwaj urzędnicy policyjni Fryca. Było to zarządzenie samego Wintera, nim ze stolicy wyjechał.

Detektyw kazał go zaprowadzić do pokoju w którym leżał Braun i mimo że on go wraz z kasztelanem zaraz poznał , wypierał się Fryc uparcie.

— Ja jestem zupełnie niewinny! — powtarzał on bezczelnie.

Hrabia Edmund oburzony był jego zatwardziałością.

— Przyznaj się w tej chwili, łotrze, kto były owe uwięzione, które tu w płomieniach zginęły! — krzyknął on. — Ja to muszę wiedzieć!

— Ja nic nie wiem! Ja tu niewinny! — powtarzał hultaj na wszystkie groźby i pytania.

Nie zdradził się on ani słowem.

Zbliżyli się oni teraz do kopiących w gruzach ludzi. Na których kurzyło się jeszcze, i podchodziły małe płomyki, które prędko jednak gasić się dawały.

— Wskaż nam miejsce, gdzie uwięzione przebywały! — rozkazał Winter zbrodniarzowi.

Lecz Fryc nie myślał nawet o spełnieniu tego żądania. A że i kasztelan miejsca tego nie znał, więc dalej jeszcze kopać musiano.

Robota szła powoli naprzód. Lano ciągle wodę w żarzący się gruz. Trwało to do wieczora zanim trochę przekonali i przeszukali.

Winter kazał zdjąć z Fryca okowy i zmusił go, aby i on pracował. Gdy się ściemniać zaczęło, zaświecono pochodnie i przy blasku ich dalej kopano.

Hrabia Edmund przypatrywał się temu w gorączkowym niepokoju. Oczekiwał on każdej chwili śladu jakichś resztek ludzkich, lecz daremnie.

Cała ogromna praca okazała się bezowocną.

Wtem krzyknął nagle jeden z robotników i omal że nie padł z przestrachu. Winter wczas go chwycił i podparł.

Inni dalej pracowali i dotarli do piwnic. Detektyw kazał wsunąć tam drabinę i pierwszy tam zeszedł.

Reszta poszła za nim i świeciła mu pochodniami

— Proszę nie iść dalej, panie komisarzu! —radziłjeden z robotników. — Belki są przepalone i mogą się załamać!

Lecz Winter nie dał się tem zastraszyć i poszedł odważnie dalej. Wahając się, poszło dwóch młodych ludzi za nim.

Piwnice te były bardzo rozległe, gdyż ciągnęły się prawie pod całym zamkiem. Były tam długie, krzyżujące się w różnych kierunkach kurytarze.

Mury były grube, nie było więc obawy, aby nie mogły unieść zwalonego na nich ciężaru.

Powietrze było tam wilgotne i stęchłe. Gdzieniegdzie gruz zagradzał dalszą drogą i trzeba go było usunąć.

Hrabia był wszędzie z Winterem razem i obiecał ludziom sutą nagrodę, aby ich do tem gorliwszej pracy zachęcać.

Przez dłuższy czas szukano daremnie.

Wtem natknęli na jakiś otwór, które im pod piwnicą znowu jakieś sklepienie odkrywał.

Nikt się tam zejść nie odważył. Winter kazał przynieść dużą latarnię i po długim sznurze na dół się spuścił.

Światło latarni tej rozświeciło ciemność obszernego tego sklepienia, na którego podłodze leżał zrzucony z góry gruz.

— Podajcie mi drabinę! — rozkazał Winter.

Przyniesiono drabinę i detektyw zeszedł na dół. Hrabia Edmund pochylił się nad otworem i śledził każdy ruch Wintera.

Detektyw podniósł latarnię i zobaczył znów przed sobą całą sieć kurytarzów, który się w nieskończoność ciągnąć i krzyżować zdawały.

Kazał więc jeszcze kilku ludziom zejść na dół i kilka latarni jeszcze zaświecić.

Było teraz na dole tak jasno, że każdy kamyczek był widoczny.

Gdy Winter przechodził przez gruz, zadzwoniło coś pod jego nogami. Schylił się i podniósł jakiś sztylet.

Oglądnął go i spostrzegł, że na rękojeści wyryte są dziwne znaki i litery. Trzymał w ręku sztylet Delii, nie mając pojęcia do kogo on należy.

Wtem potknęła się noga jego, gdy dalej szedł, o jakieś spalone, ludzkie kości. Krzyknął on ze strachu i wpatrzył się blady i drżące w te okropności.

Niebawem zjawił się u jego boku hrabia Edmund i stary Fryc.

Winter trącił nędznika w stronę spalonego szkieletu i krzyknął na przerażonego zbrodniarza.

— Oto jedna z waszych ofiar, ty zbóju! Przyznaj łotrze, kto jest ten nieszczęśliwy? Czy to był mężczyzna, czy kobieta? Powiedz prawdę, gdyż inaczej każę cię tu zamknąć i żywcem pogrzebać!

Fryc patrzał na szkielet przerażonym wzrokiem i drżał na całem ciele.

Czy to były resztki Agaty, czy Delii, które tu przed nim leżały? Nie mógł on wydobyć głosu i tak był przestraszony, że padł na kolana i zaczął głośno wyć i lamentować.

— Czy wyznasz prawdę, ty wstrętny zbóju? — krzyknął Winter gniewnie i złapawszy Fryca za barki, zaczął nim potrząsać.

— Ja nic nie wiem! Ja tego nie zrobiłem! — wymawiał się Fryc.

— Zostaw pan tego nędznika! Jego wina jest przecież dwiedziona!—rzekł hrabia Edmund. — Nie ujdzie on sprawiedliwej kary, i zginie pewno na szubienicy!

— Litości, ekscellencyo! — jęczał Fryc w śmiertelnej trwodze. — Jam niewinny! — Milcz hultaju! — krzyknął Winter. — Gdybyś się był otwarcie do wszystkiego przyznał, to byś jeszcze mógł liczyć na moje względy. Ale tak.. nie spodziewaj się miłosierdzia! Jesteś nędznym mordercą i podpalaczem. Twój wyrok już zapadł!

Skinął on na obu detektywów, którzy się na niego rzucili, i stąd odprowadzili.

Szukano dalej, lecz daremnie. Nie znaleziono drugiego trupa. Zaprzestano już dalszej pracy i Winter musiał z drogi zawrócić, gdyż dalsze podziemne kurytarze były zasypane.

Wrócił on z hrabią Edmundem w nocy jeszcze do stolicy. Zagadka nie była rozwiązana, zostało to tajemnicą, kim byli więźniowie.

Za radą Wintera postanowił hrabia Edmund milczeć na razie wobec Waleryi. Winter spodziewał się, że tymczasem przyłapano Ludwika i że od niego będzie mieć potrzebne informacye.

Przepuszczene, że nieszczęśliwe uwięzione znalazły śmierć w płomieniach, sprawdziło się przez znalezienie owych kości ludzkich.

Nie mogły one się stąd uratować, a przecież był to szkielet tylko jednego trupa!

Okoliczność ta dawała Winterowi do myślenia. Gdzież były resztki drugiej osoby? Może kości te do żadnej z uwięzionych nie należały?

Ktoż tu jednak był prócz nich w zamku leśnym?

Czyżby się Agata z Delią przecież uratować miały?

CXXXIX.

HRABINA GERTRUDA.

— Nie! Ja nie ucieknę! Ja tu zostanę! — oświadczył hrabia Sinobrody Betlinie. —Niech się stanie co chce! A jeżeli mnie detektyw zechce uwięzić, to go zastrzelę wraz z tym szalonym kapitanem! U dyabła! Nie dam się za żadną cenę zawlec do więzienia! — zgrzytnął on i wyciągnął swój rewolwer.

— Czyś oszalał? — zawołała Betlina — uciekaj bo jesteś stracony!

— Ba! Zobaczymy!

Hrabia Sinobrody stał pozornie spokojnie. Twarz jego była blada i ponura i miała rezolutny wyraz zbrodniarza, który przyparty do muru, do wszystkiego był zdolny.

— Giń więc, szaleńcze! — krzyknęła Betlina i znikła w przyległym pokoju.

Greif nie miał widocznie zamiaru, przyłapania Sinobrodego, gdyż za nim nie szukał i udał się z Aleksandrem i wujem do innej komnaty.

Odbyła się tam między nimi dość długa i poważna narada.

Greif starał się przekonać wujaszka, że Aleksander mówił prawdę. Wuj dalej jednak sceptycznie się wobec tego zachowywał. Dla niego była Betlina prawdziwą Gertrudą. Nie wierzył on w zeznanie Aleksandra.

Po godzinie może opuścił Greif z kapitanem willę. Aleksander był przygnębiony i pełen bezsilnej wściekłości na Sinobrodego i Betlinę. Żądał on raz jeszcze aby Greif ich uwięził.

Lecz detektyw się temu opierał.

Nie chcę działać przedwcześnie! — rzekł on spokojnie. — Zaczekam do jutra wieczora, a jeżeli do tego czasu jeszcze nie odnajdę śladu prawdziwej hrabiny Gertrudy to niczego więcej spodziewać się nie będzie można. Wtedy każę uwięzić hrabiego Sinobrodego i wspólniczkę jego oszustw!

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Hrabia Sinobrody tryumfował, gdy ich obu widział odchodzących. Czuł on się teraz znów zupełnie bezpieczny.

Około wieczora weszła Betlina do jego pokoju.

— Powiedz mi, gdzie moja pokojówka być może! — szepnęła ona podejrzliwie. — Nie wróciła ona jeszcze do domu!

— Skądżesz ja to mam wiedzieć? — zaśmiał się Sinobrody szyderczo.

— Ach, nie graj komedyi! Przecież ona ci była potrzebną do usunięcia hrabiny Gertrudy! Musisz więc wiedzieć, co się z nią stało!

— Ona wróci! Bądź spokojna! — ofuknął się on.

— Skąd to pochodzi, żeś z nią poufały? — badała Betlina ostro. — I skąd masz do niej tyle zaufania, że jej takie ważne misye poruczasz!

Hrabia Sinobrody zmieszał się i zbladł. Rzucił on jej gniewne, ponure spojrzenie i zapytał niepewnym tonem:

— O cóż ci właściwi chodzi?

— Że to w ogóle nie jest dziewczyna, tylko mężczyzna! — krzyknęła Betlina. — Jest to twój służący, za którym detektyw tak samo szuka, jak za tobą!

Sinobrody milczał i zaśmiał się, wymuszenie.

— Z ciebie byłby dobry szpieg policyjny — rzekł on. — No, a cóż, gdyby tak było? Poskarż się wujowi.

— On to dawno sam spostrzegł!

— Co? — przeląkł się Sinobrody. — W takim razie i detektyw się o tem dowie!

— Naturalnie! — potwierdziła Betlina.

Hrabia Sinobrody mocno się zaniepokoił i chodził dużemi krokami tam i nazad po pokoju.

Nad czem n tak myślał? I co za nowe plany knuł, aby odwrócić od siebie zbliżające się niebezpieczeństwo?

Betlina patrzyła na niego badawczo. Nagle odwrócił on się i rzekł groźnie:

— Jeżeli wuj i detektyw wiedzą o tem, że twoja pokojówka jest właściwie moim służącym w przebraniu, to tyś im o tem powiedzieć musiała!

— Ja? Broń Boże!—protestowała Betlina. — Ja sama o tem pojęcia nie miałam i dopiero wuj na myśl tą mnie naprowadził. Jemu to ona się podejrzaną wydawała!

— A dlaczegoś mi zaraz o podejrzeniu wuja nie doniosła? — zgrzytnął hrabia Sinobrody. — Ty podstępna żmijo! Widzę ja, że mnie chcesz oszukać i zniszczyć!

Wyglądał on tak groźnie, że Betlina zadrżała.

— Nieprawda! Świadczę się Bogiem! — szepnęła ona blednąc i padła na kanapę. — Cóż jabym z tego mieć mogła?

Hrabia zaśmiał się dziko i zgrzytnął nienawistnie.

— Przejrzałem cię! — mruknął — i odgaduję podstępny twój plan. Ułożyłeś już wszystko tak zręcznie, lecz pojawienie się Gertrudy pokrzyżowało twoje intencye i znów cię do mnie zbliżyło! Ja cię wybornie znam i rozumiem. Nie miej więc mnie za takiego durnia, którego w pole można wyprowadzić!

— Czego chcesz odemnie! — krzyknęła Betlina w bezsilnej złości. — Ja cię nie zdradzam, ani nie podchodzę.

— Nie kłam! Wiem ja wszystko i ty mi ciężko za to odpokutujesz! — zgrzytnął on wściekle. — To więc jest podzięka za to, żem cię w miejsce Gertrudy podniósł do godności hrabiny? Ty podłe, nikczemne stworzenie!

Zacisnął on pięści i chciał się na nią rzucić.

Lecz w chwili największego niebezpieczeństwa okazała Betlina odwagę w rozpaczy. Odskoczyła ona w bok i złapała za dzwonek. Blada jej twarz wyrażała niezłomne postanowienie.

— Stój, bo zadzwonię i dom cały zaalarmuję!—krzyknęła ona. — Zdradzę cię! Wszystko powiem! Wiesz przecież, że ci mogę dowieść żeś prokurzystę zamordował i inne jeszcze zbrodnie!

Hrabia cofnął się mimowoli i nie wątpił spojrzawszy na nią, że ona groźby swe wykonać

potrafi. Zaśmiał się dziko, tak że aż ona zadrżała.

— Nie drżyj! Ja ci nic nie zrobię! — rzekł on spokojniej. — Widać, że masz złe sumienie. jeżeli się tak boisz. Musisz się jednak poprawić i przejść na moją stronę, albo zginiesz marnie!

— Z tobą trzeba ostrożnie! — odparła ona, trzymając zawsze jeszcze za dzwonek. — Mam przed oczyma los poprzednich twoich żon. Zasługujesz w zupełności na imię Sinobrodego!

— Zwaryowałaś!— krzyknął on. — Radzę ci trzymaj gębę!

— Dobrze! — rzekła ona zimno. — Wiem dokładnie, czego się od ciebie mam spodziewać, ale nie myśl, że miałbyś ze mną tak łatwą sprawę jak z mojemi poprzedniczkami. Moja śmierć na nic się nie zda! Przeciwnie, sam byś sobie tem tylko grób wykopał! Ciotka moja, pani Dijon pomściłaby śmierć moją i wystąpiłaby przeciwko tobie jako oskarżycielka!

Hrabia Sinobrody znów się dziko zaśmiał.

— Słyszysz przecież, że mi się ani śni cię zamordować! — zawołał on niecierpliwie — chociażbyś na to zasłużyła. Ty podstępna czarownico, daj wreszcie rozsądnie ze sobą pomówić, czy chcesz ze mną żyć w zgodzie, czy nie?

— Pewno! Ale to z tobą niemożliwe, bo mnie ciągle obrażasz i ciągle mi grozisz!

— Czyż nie dajesz mi do tego powodu?

— Nie! Czemże właściwie?

— Nie udawaj! — mruknął on gniewnie. — Ale dość tego przemawiania się! Mamy o ważnych rzeczach do pomówienia. Dobrze, żeś przyszła!

Mówiąc to, siadł tak spokojnie jak gdyby nic nie było zaszło.

Betlina trzymala się jednak zdaleka i okazywała mu nieufność.

—Chodź, siadaj blizko mnie, bo musimy cicho mówić! — rzekł on.

— Ja i stąd dobrze słyszę!—była chłodna jej odpowiedź. — Co mi masz do powiedzenia?

— Bardzo wiele! Przedewszystkiem odjeżdżam stąd pojutrze!

— Dlaczego? — zawołała ona zdziwiona.

—Bo obecność nasza jest tu niepotrzebna i niebezpieczna!

— A dokąd jedziemy?

— Na razie na zamek Wildenfels!

— Zdaje mi się, że to sensu nie ma zostawić tu wuja i wszystkie nadzieje na jego majątek! — wtrąciła Betlina niechętnie.

Hrabia Sinobrody uśmiechnął się szyderczo. Odgadywał on jej myśli. Nie bój się! Odziedziczymy go jeszcze! — zaśmiał on się. — Wrócimy tu jeszcze!

— Dlaczegoż właśnie teraz na zamek Wildenfels? — perswadowała ona.

— Bo tam najłatwiej będzie sprzątnąć rywalkę twą, właściwą hrabinę Gertrudą!

— Jakto? — jęknęła Betlina. — Nie rozumiem dobrze!

— Czyż nie mówię dość wyraźnie? — zapytał on. —Słyszysz przecież, że masz Gertrudę ze świata sprzątnąć!

Twarz Betliny powlokła się śmiertelną bladością i wyrażała nieopisane przerażenie.

— I ja to mam uczynić? — szepnęła ona drżącemi usty.

— Naturalnie! Przecież masz największą z tego korzyść — zadrwił hrabia Sinobrody. — Musisz się więc do tego przyczynić!

— Nie, ja tego nie uczynię! — krzyknęła ona przerażona.

— Ale grać rolę hrabiny, nosić jej nazwisko i tytuł, do tego ty jesteś! — szydził on gniewnie. — Niech cię dyabli wezmą, ty tchórzu.

Ona rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

— Nie uczynię tego! — powtórzyła ona stanowczo.

— Za nic w świecie mordu nie popełnię! Niech hrabia żyje!

— To nie może być, ona musi umrzeć! — krzyknął Sinobrody. — Jej śmierć koniecznie nam jest potrzebna! Nie jesteśmy bezpieczni, jak długo ona żyje!

— Rób co chcesz, ja się w to nie mięszam!

— Zobaczymy! Pomówimy o tem jeszcze na zamku Wildenfels!

— Betlina nic już na to nie odpowiedziała. Nie myślała ona pójść z nim na zamek Wildenfels, bo tam byłaby już zupełnie w mocy Sinobrodego, a tego nie chciała. Miała ona już swój plan, nie zdradzała się z tem jednak na razie. Chciała się za każdą cenę od Sinobrodego uwolnić, a wujaszek był jedyną jej nadzieją i ratunkiem.

— Czy to prawda, że hrabina Gertruda była tu w domu? — zapytała ona. — Jakim sposobem ona się tu dostała?

— Twoja pokojówka tu ją zwabiła.

— To nie moja pokojówka, tylko twój służący, Piotr.

— Ach! — zaśmiał się on ironicznie. — Nawet imię jego już znasz?

— Słyszałem to od wuja, bo detektyw z nim o tem mówił.

— Niebezpieczny facet, ten detektyw — mruknął Sinobrody. — Niech się jednak ma

na baczności! — Biada mu, jeżeli go gdzie samego spotkam!

Betlina wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Nie będziesz miał sposobności ku temu — rzekła ona. — A gdybyś to uczynił, nie miałbyś z tego żadnej korzyści. Wiedzianoby zaraz, że ty jesteś mordercą.

— Chyba, gdybyś ty mię zdradziła.

— Toby wcale nie było potrzebne! Każdy tu zna ciebie, i twoją sławę. — Lecz wróćmy do hrabiny Gertrudy — gdzie ją masz schowaną?

Hrabia Sinobrody spostrzegł badawczy wzrok Betliny i uważał za stosowne nie dać żądanych wyjaśnień.

—To ci może być obojętne, gdzie ona się znajduje — odparł on szorstko. — Zobaczysz się z nią na zamku Wildenfels.

— Ale jej jeszcze tam nie ma?

— Nie! — rzekł on krótko, i spojrzał na zegarek.

— Muszę już odejść. A ty namyśl się, i żadnych głupstw nie rób, rozumiesz? — upominał on ją.

— Dokąd idziesz? — zapytała ona poderzliwie. — Czy do niej?

Sinobrody mruknął gniewnie: "głupia gęś", i wyszedł szybko z pokoju.

Betlina rzuciła mu na odchodnem gniewne i nienawistne spojrzenie. Zacisnęła pięści, i zaklęła dziko.

Gdy usłyszała hrabiego odjeżdżającego, weszła ona do pokoju wujaszka.

— Cóż tam słychać? — zawołał on, widząc ją wchodzącą. — Jesteś całkiem zirytowana, Gertrudo!

— Ach, ratuj mnie, kochany wujaszku! — zaszlochała obłudnica, rzucając mu się na szyję. — On mnie chce zaciągnąć na zamek Wildenfels, i tam zamordować.

Wuj nie mógł przyjść do słowa. Betlina zalewała się gorżkiemi łzami i drżąc na całem ciele się go trzymała, jak gdyby jej w tej chwili śmierć z rąk Sinobrodego groziła.

— Co ty mówisz? On cię chce zawieźć na zamek Wildenfels? — rzekł wuj zdziwiony. — Czy ci to już mówił?

— Właśnie w tej chwili — szlochała Betlina, załamując ręce. — O, mój Boże! Jestem stracona!

Wujaszek zaklął gniewnie i zbliżył się do dzwonka.

— Chcę pomówić z twoim mężem — rzekł on.

— Nie ma go w domu. Wyjechał konno przed kilku minutami.

— Teraz wieczorem? Dokąd?

— Nie mam pojęcia! — rzekła ona, i padła szlochając na krzesło.

Stary wujaszek zadrżał ze złości i oburzenia. Zbliżył się on do Betliny i czule ją pogłaskał.

— Uspokój się, moje dziecko! — rzekł on uspokajająco. — Ty u mnie zostaniesz, a pod moją opieką ani włos ci z głowy nie spadnie! — Dam znać policyi, i każę go przyaresztować!

— O, nie, wuju! — zawołała Betlina gwałtownie. — On by się na mnie okropnie zemścił, i tobie by także tego nie podarował. Co to za dyabeł, ten człowiek! — westchnęła ona rozpaczliwie.

— Nie obawiaj się, dziecko! — On nikomu już nic złego nie zrobi!

To rzekłszy, otworzył wuj drzwi do pokoju, w którym zwykle przebywał Günter, lecz go tam w tej chwili nie było. Zadzwonił więc i niezwłocznie zjawił się stary Karol.

— Czyście nie widzieli mego służącego?— zapytaj wuj gniewnie.

— Był jeszcze przed pół godziną w domu. Może poszedł do ogrodu. — Zobaczę, wielmożny panie!

Wuj został znów sam z Betliną, i starał się ją uspokoić. Niebawem wrócił Karol, i zameldował, że rosyjskiego służącego nigdzie znaleźć nie może.

Wuj mocno był zdziwiony, i uznał za niemożliwe, aby się dziś jeszcze z Greifem mógł rozmówić. Betlina zauważyła, że nie ma się czego spieszyć.

— Nie pojedziesz z nim na zamek Wildenfels — rzekł stary wuj stanowczo. — On cię do tego zmusić nie może! — Nie pojmuję detektywa, że on Sinobrodego nie aresztuje. Na cóż on właściwie jeszcze czeka?

— Szuka jeszcze pewno za ową domniemana hrabiną Gertrudą — jęknęła Betlina.—Ta oszustka gotowa jeszcze otwarcie przeciwko mnie wystąpić, i przywłaszczyć sobie moje imię i moje prawa!

— Nie bój się, dziecko! — uspokajał ją wujaszek. — Już my sobie z nią damy radę!

— O, mój mąż sam mi przed chwilą oświadczył, że uzna tę oszustkę zo swoją żonę, a mnie okrzyczy przed światem jako awanturnicę, jeżeli nie uczynię wszystkiego, czego on odemnie zechce! — lamentowała Betlina. — Czyż nie pojmujesz, wuju, jakie niebezpieczeństwo mi grozi?

— Co to za skończony łotr, ten człowiek! — zgrzytnął wujaszek. — Ciebie, własną swą żonę, chce okrzyczeć za awanturnicę? On się

na to nie odważy, dziecko moje, bo to szaleństwo, i wszyscy wyśmieliby go.

— Nie zapominaj jednak, wuju, że i detektyw i sprzymierzeniec owej domniemanej hrabiny Gertrudy ma mnie za awanturnicę i oszustkę!

— Ależ to wszystko nonsens, i nic nie szkodzi!

— Ja się tak boję! — westchnęła Betlina. — Chciałabym być daleko stąd i daleko od Sinobrodego, bo drżę o swoje życie.

— Ale dokąd? — zapytał wujaszek. — Dokąd chciałabyś się schronić?

— Do Rosyi, kochany wuju! — Jedźmy tam do twoich posiadłości.

— To nie idzie — odparł on zamyślony.— Ja koniecznie tu być muszę!

— Pocóż? Przecież tu detektyw wszystko za ciebie zrobić może.—Ale ja już widzę, że ty nie chcesz, wujaszku!—dąsała się ona. — Ach gdyby mieć kogoś, żeby się tak za mną szczerze ujął.

Łzy i szlochania jej zmiękczyły wujaszka. Objął on ją serdecznie i rzekł czule: Nie płacz moja biedna Gertrudo! My już znajdziemy jakąś drogę wyjścia.

Lecz chytra kobieta widząc, że już jest na dobrej drodze, nie chciała ustąpić, nim celu swego nie osiągnie. Rzuciła się więc zaślepionemu starcowi na szyję, i zaczęła gwałtowniej jeszcze szlochać i zawodzić.

— O, ty mię nie chcesz zrozumieć, wuju— rzekła ona z wyrzutem. — Mnie nie chodzi tylko o uwolnienie od tego szatańskiego zbrodniarza, którego muszę nazywać swym mężem. Życzeniem mojem jest, zawsze przy tobie módz pozostać, i nigdy się z tobą nie rozłączać. Ale ty... ty mnie nie kochasz!

— Gertrudo, dziecko moje, co ty mówisz? — przerwał jej wujaszek perswadująco. — Aby ci dać dowód miłości ku tobie, zrobię wszystko, czego żądasz. — Odjeżdżamy więc jutro, stąd.

— Doprawdy? — zapytała Betlina niedowierzająco.

— Ze mną jutro nawet, jak zechcesz

Betlina padła mu na szyję, i okrywała twarz jego namiętnymi pocałunkami. Serce starego kawalera drżało z rozkoszy. Był on teraz jej niewolnikiem.... nie miał już własnej woli.

Betlina tryumfowała.

— Weź mię, ja chcę być twoją — szepnęła ona. — Chcę zostać twoją żoną, skoro się tylko od tego nędznika uwolnić będę mogła!

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Greif nakazał Günterowi, aby hrabiego Sinobrodego ani na chwilę z oka nie spuszczał, i przez ciągłe obserwowanie jego na ślad Gertrudy przyszedł.

Spełniając to jego zlecenie stał się Günter cieniem Sinobrodego, i dlatego nie był nigdy do dyspozycyi wujaszka.

Skrył się on w salonie leżącym między komnatami Sinobrodego a Betliny. Nie uszło więc jego baczności, że oni się między sobą porozumiewali. Rozmowy ich jednak, mimo najszczerszych usiłowań, podsłuchać nie mógł.

Nie wątpił jednak ani na chwilę, że to chodziło o Gertrudę. Widział on hrabiego Sinobrodego odchodzącego, i wyszedł bez namysłu za nim.

Hrabia poszedł do stajni i kazał sobie osiodłać konia. Günter zaś nie wiedział co począć.

Udać się również do stajni po wierzchowca? Tego nie mógł uczynić, jeżeli nie chciał zwrócić na siebie podejrzenia Sinobrodego.

Zaczekać aż hrabia odjedzie? Toby znaczyło stracić jego ślad.

W pierwszej chwili był Günter zupełnie bezradny, niebawem przyszła mu jednak zbawcza myśl.

W jednym z próżnych pokojów willi stał rower wujaszka, a że był świetnym cyklistą, postanowił wykraść maszynę, i w ten sposób za hrabią pogonić.

Zrzucił długi swój kaftan, i wyprowadziwszy koło na ulicę, wskoczył na siodło, i popędził za znikającym w ciemności Sinobrodym.

Popędził on co mu sił starczyło, i bardzo musiał się natężać, aby tak świetnemu jeźdźcy jak hrabia Sinobrody mógł nadążyć.

Wkrótce był już dość blizko niego, i mimo że noc była ciemna, mógł on hrabiego przecież mieć na oku.

Hrabia Sinobrody nie przeczuwał, że go szpiegują, i nie oglądał się poza siebie.

Günter zaś wolał przemęczyć się w ciemności i nie zaświecać latarki, aby się nie zdradzić.

Po dziesięciu minutach zboczył hrabia Sinobrody z gościńca i wjechał w las. Günter starał się bardziej jeszcze do hrabiego zbliżyć, gdyż w lesie bardzo było ciemno. Obawiał się więc ślad jego zatracić, a z drugiej strony było mu okropnie trudno dotrzymać hrabiemu kroku bez światła.

Na szczęście zwolnił i Sinobrody tempo swej jazdy. Zboczył on teraz znów drogą prowadzącą przez góry i doliny, to znów na dół.

Dokąd zdążał hrabia Sinobrody wśród ciemnej nocy?

Günter posuwał się na kole swem za nim jak cień, bez szmeru. Okolica stawała się coraz bardziej romantyczną. Wązkie przełęcza otoczone były stromemi skałami.

Hrabia jechał wolnym kłusem, a Günter często musiał zeskakiwać z koła.

Wreszcie zatrzymał się Sinobrody u wejścia do ciemnego wąwozu, otoczonego stromemi górami. O kilka kroków w głębi, stała tam mała chatka, z której okienka widniało światło.

Hrabia przywiązał konia do drzewa i zapukał do drzwi, które się niebawem rozwarły, i znów się za nim zamknęły.

Günter posunął się ostrożnie pod okno.

Kto mógł w tej samotnej chatce mieszkać? — Czy może Sinobrody hrabinę Gertrudę tu więził?

Ledwo wyglądnął przez szparę okiennicy, cofnął się Günter z okrzykiem zdziwienia.

Był to okropny widok, który się oczom jego tu roztoczył.

— Wielki Boże! — mruknął on. — Ja muszę wejść!

CXL.

OBUDZONY Z SZAŁU.

Walerya nie miała pojęcia, że Winter poczynił hrabiemu zeznania, i że z nim do zamku leśnego pojechał.

Wróciwszy nazajutrz rano, poszedł Edmund do pokoju swej żony, i zastał ją w jedwabnym szlafroku przy śniadaniu.

Walerya spojrzała na niego zdziwiona, gdyż on ją rzadko tak wcześnie odwiedzał. Przelękła się jednak, gdy w twarz jego spojrzała.

Co się stać mogło? Czy on odkrył jej tajemnice?

— Ach, kochany Edmundzie! Co za niespodzianka! — zawołała ona, i przywitała go czarownym uśmiechem. — Czy napijesz się kawy?

— Nie!—odmówił on krótko.—Muszę ci kilka pytań zadać, bo dziwne rzeczy o tobie słyszałem.

Głos jego drżał z wewnętrznego wzbudzenia. Obrzucił on ją ostrem, ponurem spojrzeniem.

Walerya zbladła pod wpływem strasznego przeczucia. Opanowała się jednak po mistrzowsku, i rzekła z miną niewinnie skrzywdzonej ofiary:

— Dlaczego nie mówisz wyraźnie? Coś ty o mnie mógł słyszeć?

— Chciałabyś mi dalej jeszcze oczy zamydlić, ale ci się to nie uda! — rzekł on gniewnie. — Pytam cię, dlaczegoś była przed kilku dniami w zamku leśnym, a mnie mówiłaś żeś była w pałacu Agaty?

Walerya zadrżała i nie mogła ukryć swego zmieszania.

— W zamku... leśnym? — wybełkotała ona. — Kto to mówił?

— Dość o tem! Wiem na pewno, że tam byłaś! — krzyknął hrabia Edmund. — Wiem też, co się tam działo, gdyż naocznie się o tem z komisarzem Winterem przekonałem! Dlaczegoś spalić kazała? Odpowiedz mi!

Głos jego był groźny, a oczy błyszczały gniewem.

Walerya tak była zaskoczona, że do słowa przyjść nie mogła. Uznała, że musi stawić mężnie czoło zbliżającej się burzy. Zaśmiała się więc wymuszenie i zawołała:

— Nie rozumiem cię doprawdy, kochany Edmundzie! O co ty mnie właściwie posądzasz? Widzę już, że mnie detektyw znów przed tobą oczernił — syknęła ona nienawistnie. — On jest otwartym moim wrogiem i pierwszy czyn po wyzdrowieniu jego jest znów wymierzona przeciwko mnie intryga.

— Nie wypieraj się! — zgromił ją hrabia Edmund. — Ja wszystko wiem i twoje kłamstwa i intrygi mnie nie zmylą. Po tem co się stało, żałuję mocno, żem cię uczynił swoją żoną, gdyż ty honor mój nogami depczesz i bezczęścisz dobremoje stare nazwisko. Czy to słyszane, aby żona moja, hrabina Linderhof, utrzymywała stosunki ze zbrodniarzami i galernikami? Czy ty się nie wstydzisz? Czy chcesz doprowadzić do tego, abyna ciebie palcami pokazywali?

Śmiertelnie blada aż po same usta, osłupiała z przerażenia, stała Walerya przed nim. Było to gorzej, niż ona przeczuwała. Niewymowna trwoga ściskała jej gardło. Nie mogła znieść tego upokorzenia.

Daleko jednak była od tego, aby okazać skruchę, wyprostowała ona się dumnie i rzekła zdławionym głosem:

— Co? Ty żałujesz, żeś mnie uczynił swoją żoną. Czy ja to słyszę we śnie, czy na jawie?

— Odpowiedz mi wpierw na moje pytanie! — krzyknął hrabia niecierpliwie.

— Jak ty się obchodzisz ze mną, ze swoją żoną? Edmundzie! — lamentowała ona. — Po-

wiedz, co się stało, że mi taką obelgę wyrządzasz! Błagam cię o to!

Hrabia zaśmiał się gorżko. Drżał on na całem ciele z gniewu i oburzenia.

— Do twarzy ci z tą miną obrażonej niewinności! — rzekł on cierpko. — Lecz to na mnie wrażenia nie czyni, że się chcesz uniewinnić.

— Ja nic nie zrobiłam, z czegobym się uniewinniać musiała!

— Tylko zbrodnię popełniłaś! — krzyknął on gniewnie. — I jeżeli bym ja na to zezwolił, to detektyw wziąłby cię do więzienia. Radzę ci, nie wystawiaj cierpliwości mej na tak ciężką próbę. Mógłbym bowiem zapomnieć, że jesteś moją żoną i oddać cię w ręce sprawiedliwości.

— Na Boga! Ja nie zniosę tej niesłychanej obelgi! — szepnęła ona jadowicie. — Widzę że żałujesz, żeś się ze mną ożenił i szukasz pretekstu, aby się mnie pozbyć. Sprzykrzyłam ci się. Ty mnie nigdy nie kochałeś. O mój Boże. Ja przeczuwałam, że to się tak skończy!

Załamała ręce, i padła szlochając na krzesło. Oskarżała go o okrucieństwo, i śmierci sobie życzyła.

Hrabiego Edmunda zmiększyły jej łzy i narzekanie. W duszy jego obudziło się zwątpienie.

Czy to możliwe, aby ona była winna? Nie tak przecież żaden człowiek maskować się nie potrafi. A jednak... czyż nie miał on dowodów? Czyż Winter nie przekonał go o jej winie?

Nie wiedział, co o tem ma myśleć. Zwątpienie, ból i oburzenie wrzały w jego duszy. Nie, nie mógł jej wierzyć. To było wszystko obłuda i komedya.

Zbliżył się do niej i chwycił ją za ramię.

— Odpowiadaj za swe czyny! — krzyknął on. — Więziłaś w zamku leśnym dwie osoby... kto one są, te nieszczęśliwe? Mów, bo ja to muszę wiedzieć!

Walerya odskoczyła dziko i odtrąciła jego rękę.

W oczach jej błyszczała śmiertelna nienawiść.

— Nie mam na to odpowiedzi — rzekła ona lodowato. — Nie byłam nigdy w zamku leśnym i nie mam pojęcia o tych okropnościach które mi gwałtem chcesz wmówić. Nie dam cię jednak od ciebie dłużej maltretować i obrażać. Może przyjdziesz jeszcze kiedy sam do przekonania, jak bardzo mnie skrzywdziłeś.

To mówiąc, zwróciła się do drzwi.

— Zostaniesz tu i odpowiesz na moje pytania- — zawołał hrabia Edmund stanowczo i zaszedł jej drogę. — Jedno z dwojga wybieraj, albo mi odpowiesz, albo się będziesz musiała przed sędzią uniewinniać, bo jak mi Bóg miły, oddam cię w ręce sprawiedliwości, jeżeli mi Winter da dowody twej winy.

Walerya drgnęła i cofnęła się. Co to będzie, jeżeli jej się nie uda zmylić swego męża?

— Masz jako mąż mój prawo obrażać i krzywdzić mnie bezkarnie — rzekła ona z goryczą. — Jestem przecież biedną, bezbronną kobietą i muszę cierpliwie brutalności twe znosić!

Padła znów na krzesło, a łzy bezsilnej złości po policzkach jej się potoczyły.

— Co ja zrobiłam, że mnie chcesz sądowi oddać? — lamentowała i zawodziła ona. —Oskarżenia twe są szaleństwem. Tobie się chyba w głowie pomieszało.

— Milcz, komedyantko! — krzyknął hrabia niecierpliwie. — Czy masz tę bezczelność wyprzeć się, żeś u siebie notorycznego zbrodniarza przyjmowała i ukrywała?

— To bezczelne kłamstwo i oszczerstwo! krzyknęła ona. — Kto to śmie utrzymywać? Czy może detektyw?

— Tak jest. Dał mi nawet dowody na to, że z tym łotrem stosunki utrzymujesz.

Serce Waleryi głośno bić zaczęło. Jakie dowody miał Winter przeciwko niej w ręku? Czy ją pokojówka może zdradziła? Nikt prócz niej nie wiedział o odwiedzinach Ludwika.

Hrabia Edmund wyciągnął list, który miał od Wintera i pokazał go Waleryi. Ku wielkiemu przerażeniu swemu, poznała ona w nim pismo Ludwika Hechta.

— Patrz! Oto list tego nędznika do ciebie — rzekł on. — Czy i teraz się jeszcze wypierasz?

Jednym rzutem oka przekonała się Walerya, że list ten bez nagłówka i bez podpisu i że z treści też tak był niewyraźny, że właściwie do każdego innego człowieka raczej niż do niej mógł być pisany. Wiedziała teraz wreszcie co się stało z tym listem Ludwika, którego nie otrzymała. Skąd on się w ręce detektywa dostał?

Ginęła ona wprost ze złości i zawstydzenia i pałała nienawiścią ku Winterowi. Wystąpił on znów wrogo przeciwko niej i groził, że ją zniszczy.

—Nie rozumiem, co właściwie tym listem chcesz dowieść — rzekła ona przekornie. — Nie jest on przecież do mnie zwrócony. Pewno sam detektyw go napisał, aby ciebie tem zburzyć.

— Czy sądzisz? Ja to lepiej wiedzieć muszę.

— Naturalnie! Wierzysz więcej detektywowi, niż własnej żonie.

— Jest w tem twoja własna wina. Dlaczego mi nie dajesz wyjaśnień?

— Nie wiem, co ci na twoje zarzuty mam odpowiedzieć. Obwiniasz i potępiasz mnie tylko na podstawie oszczerstw detektywa, a moje sło wa żadnej wartości w oczach twoich nie mają. Nie będę się więc dalej uniewinniała... rób co chcesz.

— Więc wypierasz się stosunków z owym zbrodniarzem?

— Nie mam pojęcia, o kim właściwie myślisz!

— A przecież widziano go jak do domu tego wchodził i wychodził.

— Przecież nie z moich komnat. Powtarzam raz jeszcze, że nie przyjmowałam u siebie nigdy żadnego obcego, a tem mniej żadnego zbrodniarza.

— Ale schodziłaś się z nim w zamku leśnym. To jest dowiedzione!

— Czy to detektyw mówił?

— Tak jest. Kazał on cię szpiegować!

Walerya uśmiechnęła się sykliwie.

— Ten człowiek albo kłamie, albo sam się okropnie myli — rzekła ona. — Cóż jabym miała robić w zamku leśnym?

— Ów zbrodniarz i jego towarzysz więzili tam z twego rozkazu dwie osoby.

Walerya znów się ostro zaśmiała.

— Co za fantazyę ma ten detektyw! — szydziła ona. — Niepojęte mi jest tylko to, jak ty w takie bzdurstwa wierzyć możesz? Kogoż ja tam w tak romantyczny sposób więzić mogłam?

— To chyba sama wiedzieć musisz—przerwał jej hrabia niecierpliwie. — Proszę cię raz jeszcze Waleryo, przyznaj się do całej prawdy i nie zabijaj we mnie ostatka zaufania do siebie.

— Ten detektyw jest bezczelny oszczerca — zawołała ona uparcie. — Niech on mi da dowody nato, że ja byłam w zamku leśnym, i żem z pomocą tych zbrodniarzy kogoś tam więziła. Ty Edmundzie, możesz być tak zaślepiony, aby się na oszczerstwach tych nie poznać? Gdyby detektyw miał dowody, to by mnie otwarcie oskarżył! Lecz to jest wszystko kłamstwo. Podłe kłamstwo!

— A jeżeli ci powiem, że cię jeden z urzędników widział i poznał? Wracałaś wtedy z zamku leśnego, a woźnica twój zdradził, że cię ten zbrodniarz tam oczekiwał.

— To jest omyłka — przerwała mu Walerya. — Ów urzednik musiał się pomylić w osobie! To nie ja byłam w tym powozie.

— Gdybym ci tylko mógł uwierzyć — westchnął on ponuro. — Omyłka ta jest niemożliwa.

— Odwołaj straszne te słowa, Edmundzie — błagała Walerya. — Chcę ci je zapomnieć bo wiem, że ty mię seryo o takie czyny posądzać nie możesz! Wyzbyj się tej nieufności do mnie!

Popatrzyła na niego wśród łez nadziei, że go omami i tryumfowała już w duchu.

Hrabia Edmund rzeczywiście się zawahał i w winę jej wątpić zaczął. Winter mógł się przecież mylić. Nawet przyłapany zbrodniarz nie chciał wyznać, że Walerya była sprawczynią owej zbrodni w zamku leśnym.

— Któż więc, jeżeli nie ona — mruknął on do siebie. Nie znalazł jednak na to odpowiedzi.

Chodził dużymi krokami tam i nazad po pokoju strapiony wątpliwościami, których rozwiązać nie umiał.

To zajście w zamku leśnym, to nie fantazya lecz szczera prawda—rzekł on znów, stając przed Waleryą. — Zamek stał się pastwą płomieni, podłożonych przez owych dwu opryszków, którzy i biednego urzędnika policyjnego na kwaśne jabłko zbili. Chwała Bogu, że go kasztelan Ulryk uratował! A teraz poświadczają oni obydwaj, co się przed oczyma ich odegrało.

— Straszne rzeczy — zadrżała Walerya.— Nie uwierzyłabym w nie, gdybym je z ust two ich nie słyszała. Któż byli ci dwaj zbrodniarze?

— Komisarz Winter jednego z nich przyłapał — była odpowiedź hrabiego.

Walerya straciła moc panowania nad sobą i patrzyła się w hrabiego Edmunda osłupiałym wzrokiem.

Czy Winter może przyłapał Ludwika? Biada jej, jeżeli on ją zdradzi!

Gdyby się hrabia na nią w tej chwili był popatrzył, byłby z twarzy jej wyczytał poczucie winy i złe sumienie. Lecz on własnemi myślami był zajęty.

Może detektyw dotychczas już i drugiego uwięził! — mówił on dalej. W takim razie by się wszystko wyjaśniło, gdyż ten pierwszy jest tak zacięty, że się do niczego przyznać nie chce!

Walerya byłaby wiele za to dała, aby wiedzieć, kto jest ów uwięziony zbrodniarz. Nie chciała jednak o nic się pytać, aby się nie zdradzić.

— A cóż się stało z temi dwoma uwięzionymi w zamku osobami? — badała Walerya drżącym tonem.

— Czy ty tego doprawdy nie wiesz?

— Ależ Edmundzie! — rzekła ona z wyrzutem. — Czyż mi jeszcze nie wierzysz.

—One musiały zginąć w płomieniach!—odparł on grobowo. — Znaleźliśmy tam jeden szkielet ludzki!

Oczy Waleryi zabłysły tryumfem.

— Kto to mógł być, Wielki Boże! — zawołała ona z udaną litością.

— Nie można było poznać! — była krótka jego odpowiedź.

— A czy się detektyw domyśla? — badała ona.

Hrabia Edmund wzruszył ramionami.

— Cóż po przypuszczeniach! — mruknął on. — Myślałem, że ty mi sprawę tę wyjaśnisz utrzymujesz jednak, iż nic o tem nie wiesz! Trzeba więc będzie poczekać na rozwiązanie jej przez zeznanie jednego z dwu zbrodniarzy, albo przez inną jaką okoliczność!

I nim Walerya jeszcze coś odpowiedzieć mogła, opuścił on pokój.

Teraz dopiero wybuchła cała tak długo tłumiona wściekłość Waleryi. Podskoczyła ona dziko i zaczęła blada i drżąca biegać tam i napowrót po pokoju.

— Jestem zgubiona — jęczała ona.—Ziemia się z pod stóp moich usuwa. O ten okropny detektyw jest moim nieszczęściem.

Czy to Ludwika przyłapali? Musiała się o tem przekonać. Lecz w jaki sposób? Trzeba było teraz użyć podwójnej ostrożności.

A pokojówka jej? Czy ją zdradziła? Czy to ona podchwyciła list Ludwika i Winterowi go wydała?

Biada, jej jeżeli to rzeczywiście uczyniła! — zgrzytnęła Walerya gniewnie. — Natychmiast ją wybadam.

Nie przeczuwała ona, że ją pokojówka też co do dziecka oszukała i nie miała pojęcia o wiszącem nad głowa jej niebezpieczeństwie.

Winter nie podzielił się jeszcze z hrabią rezultatem najważniejszych swoich dociekań. A to mogłoby dopiero właściwą katastrofę spowodować.

CXLI.

PRZYŁAPANIE.

Czy to pan, wielmożny panie?

— Tak jest! — odparł hrabia Sinobrody i wszedł z człowiekiem, który mu drzwi otworzył do chatki.

Zastał on w izbie służącego swego, Piotra, który już tu przed nim przybył.

Towarzysz jego o ponurej, czarno obrosłej twarzy bandyty, był gospodarzem tej chatki. Znano go w całej okolicy jako kłusownika i przemytnika, którego jednak strzelcy i strażnicy dotychczas przełapać nie mogli.

— Nie dał on się schwytać na gorącym uczynku. Był przybiegły i aż do zuchwałości odważny. Nazywano go "czarnym Ignacem."

Spotkawszy go przypadkowo na konnych swych przyjeżdżkach, uczynił go hrabia Sinobrody swoim narzędziem i swoim sprzymierzeńcem.

Przytransportował on też tu Gertrudę, którą Piotr jakimś środkiem odurzającym oszołomił. Piotr został przy niej, a że chatka stała zupełnie samotnie, nie było obawy, aby kto Gertrudę tu odkrył.

— Gdzie ona? — spytał Sinobrody, oglądając się po izbie.

— Tam, w komorze, panie! — odpowiedział Piotr. Śpi teraz!

— Idź i obudź ją! Musimy ją stąd uprowadzić, gdyż detektyw znów jest na tropie! — rzekł Sinobrody. — Zawieziesz ją na zamek Wildenfels, a tam ją raz na zawsze usuniemy!

—To i tu by zrobić można! — wtrącił czarny Ignacy.

— Nie! To by było nieostrożnie! Zresztą i wy z nami pojechać musicie. Ignacy, przygotujcie wóz i konie!

Ignacy wyszedł, aby Piotrowi pomódz, lecz niebawem wrócił.

— Słuchajcie przyjacielu- — rzekł do niego hrabia Sinobrody. — Jesteście tak nieustraszeni i odważni, że się nawet dyabła nie boicie. Jakżesz by to było, gdybyście tak w detektywa przy sposobności kulkę palnęli?

Kłusownik zamyślił się i poskrobał się zaambarasowany w ucho.

— To trudno będzie, panie, kiedy on ciągle w mieście siedzi. Gdyby tu tak kiedy w góry zajrzał, to by była drobnostka z nim się zwinąć.

— Pomówimy jeszcze o tem, — odparł Sinobrody, a zwróciwszy się do wracającego Piotra, zapytał:

— Czy już wszystko gotowe i w porządku?

— Tak jest! Ona leży jak martwa i przed jutrzejszym rankiem pewno do siebie nie przyjdzie.

— Zabierajcie ją więc!

Poszli oni obaj do komory i wrócili po chwili z Gertrudą na ręku, która już jak trup wyglądała. Położyli ją na stole, a hrabia Sino-

brody przypatrywał jej się z demoniczną satysfakcyą.

Tej właśnie scenie przypatrywał się Guenter ze dworu przez okno. Widział on martwą zdrętwiała postać Gertrudy i wziął ją w pierwszej chwil za nieżywą. Dopiero sposób, w jaki oni się z nią obchodzili, pouczył go, że z Gertrudą przecież tak źle nie jest.

— Ona żyje — mruknął on. — Mój Boże! Co ci łotrzy z nią uczynić zamierzają?

Byłby najchętniej wskoczył do chatki i wydarł tym trzem hultajom ich ofiarę, lecz nie miał odwagi sam jeden przeciwko nim wystąpić.

— Gdyby przynajmniej Sinobrodego tu nie było! — westchnął on z żalem.

Teraz owinięto Gertrudę w koce i Piotr wyniósł ją z pomocą czarnego Ignacego. Hrabia Sinobrody wyszedł za nimi.

Guenter schował się szybko za sterczącą tuż obok skałę, a po chwili zaczął jak cień za nimi się posuwać.

Przeszli oni na drugą stronę wąwozu i zniknęli w obszernej jaskini.

Piotr zaświecił latarkę, a przy blasku jej spostrzegł Guenter, że w jaskini tej przygotowany był wóz z zaprzężonymi końmi.

Położono Gertrudę na wóz, a Ignacy wyprowadził konia.

Hrabia Sinobrody rozmawiał jeszcze z nimi coś po cichu.

Gdy wyjechali z wąwozu, wskoczył Ignacy na kozioł, podczas gdy Piotr usiadł obok nieprzytomnej Gertrudy.

Wóz posuwał się powoli, a Sinobrody konno obok niego kłusował.

Guenter na kole swym w pewnem oddaleniu posuwał się za nimi, z obawy, aby go nie spostrzeżono. Nie przeczuwał on, dokąd Gertrudę wieziono i myślał tylko nad uratwaniem jej z rąk opryszków.

Po pewnym czasie zjechał wóz na gościniec i szybko się potoczył.

Sinobrody rozstał się z nimi i popędził ku domowi.

Guenter wsiadł na swe koło i zbliżył się do wozu.

Co teraz miał począć? Czy odważyć się na walkę z tymi dwoma hultajami? Ale jeżeliby uległ, to Gertruda byłaby zgubiona!

Uważał więc za stosowne dać na razie spokój. Jechali oni coraz prędzej w kierunku miasta, lecz Guenter nie spuszczał ich z oka.

Minęli jedną wieś nie zatrzymując się. Dopiero w drugiej wiosce popasali i konie zmienili.

Guenter widział to wszystko niewidziany. Postanowił tu sobie znaleźć pomoc i pobiegł do wójta. Zanim go jednak zbudził, usłyszał już turkot oddalającego się wozu.

Pospieszył więc czemprędzej za nimi i zobaczył jeszcze, że oni w las wjeżdżali, lecz gdy do miejsca tego dojechał, znikł mu wóz z przed oczu.

Rozchodziły się tu dwie drogi i Guenter niewiedział którą oni obrali. Zaświecił więc latarkę i z pomocą jej odkrył ślady kół i pojechał za niemi.

Zaczęło już dnieć, a on jeszcze wozu nie dopędził. Wtem zobaczył Guenter leśniczówkę a przed drzwiami jej leśniczego z przewieszoną przez plecy bronią i szczekającymi wokoło siebie psami.

Wybierał się on widocznie na polowanie.

Guenter zapytał go, i dowiedział się od niego, że wóz przejeżdżał tędy przed pół godziną i że się go woźnica pytał o drogę.

Detektyw podziękował i dalej pojechał. W dwie godziny poźniej zdążył do małego miasteczka, gdzie się wóz także zatrzymał i konie zmieniał.

Dowiedziawszy się w hotelu w którą stronę wóz się skierował, pobiegł on na urząd telegraficzny i nadał depeszę do Greifa.

Potem wynajął konia i popędził znów za uciekającymi.

Tego samego dnia w południe otrzymał Greif telegram, której treść mocno go zdziwiła i ucieszyła.

Guenter podał mu miejsce, gdzie się mieli zjechać i spotkać. Detektyw zdążał tam niezwłocznie z Aleksandrem i dwoma tajnymi agentami. Wujaszka jednak o tem nie uwiadomił.

Była to mała mieścina, dość daleko od willi radcy. Przybyli oni tam dopiero późno po południu.

Guenter przybył tam dopiero około wieczora, na spienionym koniu, i opowiedziawszy im wszystko, dodał:

— Wóz skręcił teraz w innym kierunku, nie jest jednak jeszcze daleko. Dogonimy go!

Zmieniono szybko konie i puszczono się pod kierunkiem Guentera w pogoń.

Zaczęła noc zapadać, gdy dojechali do leżącej pośród lasu wioski. Dowiedzieli się tam, że wóz przez dłuższy czas się zatrzymywał i przed kwadransem dopiero dalej pojechał.

Pędzili więc dalej przez ciemny las z Greifem i Aleksandrem na czele. Wreszcie spostrzegli zdaleka poruszające się światełko.

Musiał to być ów wóz z Gertruda.

— Naprzód! To z pewnością oni! — krzyknął Greif. — Teraz już nam nie umkną! — Trzeba się jednak mieć na ostrożności, gdyż oni gotowi zabić hrabinę, gdy nas zobaczą i ratować się ucieczką. Trzeba więc ich zajść zupełnie nagle i niespodzianie.

Rozdzielili się teraz na dwa oddziały. Jeden z nich skręcił na lewo, drugi na prawo od gościńca, jadąc obok niego.

W ten sposób dostali się po pewnym czasie niespostrzeżenie tak blisko wozu, że się już śmiało na napad zdobyć mogli.

Aleksander wychylił się pierwszy z krzaków. Reszta poszła za jego przykładem, i po chwili wóz był otoczony.

— Stójcie! — krzyknął Aleksander, łapiąc za cugle. — Poddajcie się, łotry!

Czarny Ignacy, który siedział na koźle, był w pierwszej chwili jak skamieniały. Oprzytomnawszy złapał jednak za pistolet i wystrzelił.

Strzał chybił. Poznawszy że niewiele już ma do stracenia, zeskoczył z kozła i rzucił się dziko na tajnych agentów. Rozpoczęła się rozpaczliwa walka.

Greif i Guenter rzucili się na wóz, a Aleksander przyszedł im z pomocą.

Piotr skoczył czemprędzej z woza i zniknął w krzakach. Padły za nim strzały i Guenter za nim popędził. Słyszał on, jak się gałęzie pod stopami jego łamały, i gonił bez tchu za zbrodniarzem.

Tymczasem przyłapano i związano czarnego Ignaca. Miał on kilka ran, które się krwawiły, ale i detektywom nie uszło na sucho.

Podczas gdy Guenter i Greif za uciekającymi gonili, zbliżył się Aleksander do wozu i zawołał przerażony:

— Gertrudo! Na Boga, czyż cię łotry zamordowali?

Usłyszał jednak za całą odpowiedź tylko cichy jęk i uwolniwszy martwą postać Gertrudy z koców w które była owiniętą, zobaczył, że ma spętane ręce i nogi i zakneblowane usta.

Rozciąwszy jej te pęta, złapał on ją w swe ramiona i ściskał i całował ją z radości.

— Moja Gertrudo- Moja kochana, jedyna Gertrudo! — szeptał on. — Bogu dzięki, że jesteś uratowana!

Gertruda nie mogła się zdobyć na słowo, tak była oszołomiona radością. Szlochała tylko w objęciach Aleksandra i nie dowierzała swemu szczęściu.

Po dłuższym czasie wrócił Greif z Guenterem. Piotra jednak nie było. Znikł on bez śladu w ciemnym lesie.

Wśród łez podziękowała Gertruda im wszystkim za uratowanie. Nie zatrzymali się oni tu długo. Ignacego przywiązano do konia. Aleksander wsiadł na wóz obok Gertrudy, a Guenter wskoczył na kozioł.

Zajechali oni niebawem do wsi. Tam rozeszły się ich drogi.

Greif chciał czemprędzej wrócić, aby uwięzić Betlinę i Sinobrodego, co mu się teraz koniecznem wydawało. Trzeba się było spieszyć, aby Piotr pana swego nie ostrzegł i z nim razem nie uciekł.

Dla pewności zatelegrafował Greif z następnego miasta na policyę, aby tam Sinobrodego aż do przyjazdu jego strzegli i ucieczkę mu uniemożliwili.

Aleksander jechał z Gertrudą za detektywem. Uwięzionym Ignacem zajęli się obaj agenci.

Biada teraz Betlinie i hrabiemu Sinobrodemu. Ukazanie się Gertrudy ich zdemaskuje.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Nie przeczuwając nic złego w miłej nadziei, że plan jego się udał, wrócił hrabia Sinobrody do domu. Czekał on tam tylko na wiadomość od Piotra aby z Betliną na zamek Wildenfels pospieszyć. Chciał on tam z pomocą jej Gertrudę raz na zawsze usunąć, i potem z Betliną na dłuższy czas za granicę wyjechać.

Nie przeczuwał naturalnie, że Betlina miała zupełnie inne zamiary. Gdy nazajutrz wszedł do jej komnat, już jej tam nie zastał.

— Musi chyba być u wujaszka — mruknął on gniewnie. — Chwała Bogu, że to się wkrótce skończy! — Abym ją już miał na zamku Wildenfels!

Nie chciał on pójść za nią aż do apartamentów wujaszka, i czekał na razie cierpliwie jej powrotu.

Tak zeszedł mu jednak cały dzień. Zapadał już wieczór. Sinobrody zaczął się niepokoić.

— Dlaczego się ona przedemną chowa? — mruknął on gniewnie. — Czy się boi? Albo czy myśli o jakimś podstępie? Wuj się także nie pokazywał. Co to miało znaczyć?

— Wyjechał on był przed południem na dwie godziny spaceru. Kto wie, co się w tym czasie stać mogło? — myślał on podejrzliwie:

Wtem zobaczył starego Karola i zapytał:

— Gdzie jest pani hrabina? Czy u swego wuja?

— Nie wiem panie hrabio — odparł służący widocznie zaambarasowany.

— Idź i powiedz, że czekam na swoją żonę — rozkazał mu Sinobrody.

Służący ukłonił się i odszedł w milczeniu. Hrabia Sinobrody zawrócił. Czekał on może kwadrans... lecz Karol nie wracał. Rozgniewany pociągnął on za dzwonek. Daremnie jednak! Ani żywa dusza nie ukazała się.

— Przeklęte gospodarstwo! — zgrzytnął on i zbiegł na dół.

Cały dom wydawał się pusty. Nie znalazł on ani wuja, ani Betliny. Ze służby także nikt się nie ukazywał.

Wreszcie zobaczył on na podwórzu starego Karola w rozmowie z woźnicą Henrykiem. Otworzył on okno i zawołał na niego.

Służący zbliżał się do niego wahająco. Hrabia wybiegł na korytarz i krzyknął, czerwieniejąc ze złości:

— Dlaczego mi nie przynosicie odpowiedzi, stary ośle!

Stary sługa zbladł i wyprostował się dumnie. Tak nikt jeszcze do niego nie przemawiał.

— Panie hrabio, ja znam swoje obowiązki — rzekł on drżącemi usty. — Nie przyniosłem odpowiedzi, gdyż pani hrabiny odnaleźć nie mogłem.

— Głupie wymówki — ofuknął go hrabia. — Gdzie jest moja żona? Wy przecież musicie wiedzieć! Odpowiedźcie!

— O ile słyszałem, to państwo wyjechali — odpowiedział Karol spokojnie i z godnością.

— Kiedy i dokąd?

— Tego nie wiem!

— Zabieraj się do dyabła, stary grzeszniku! — zaklął hrabia Sinobrody, odchodząc szybko. Cała ta banda sprzysięgła się tu przeciwko mnie. — Czekajcie tylko, ja was już nauczę!

Poświstując gniewnie batożkiem, w powietrzu, zbliżył się on do woźnicy, który stał właśnie przed remizą.

— Dokąd moja żona pojechała? — zapytał on ostro. — Wy to musicie wiedzieć.

— Pewno, panie hrabio — odpowiedział stary Henryk spokojnie. — Pani hrabina pojechała z panem Wendlandem na dworzec... wczoraj w południe.

— Na dworzec? — powtórzył Sinobrody przerażony. — Więc oni odjechali?

— Tak jest, wielmożny panie! Odjechali kuryerem.

Jak piorunem rażony stał hrabia Sinobrody, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w uśmiechniętego złośliwie woźnicę.

Odjechali potajmnie. Stary wujaszek uprowadził żonę jego... Betlinę. Jak dalece więc ona tego głupiego Rosyanina oszołomić potrafiła? Ach, to by można pękać ze śmiechu.

— Niech idzie do dyabła! — zgrzytnął on i wbiegł napowrót do mieszkania, zostawiając zdziwionego woźnicę z otwartą gębą.

Ginął on z gniewu i wściekłości. Nie chodziło mu tak bardzo o to, że Betlina go opuściła, ale że go tak chytrze podeszła... ta intrygantka.

Uciekła ona od niego, pozyskawszy sobie względy starego bogacza, a on był wobec niej zupełnie bezsilny.

Teraz przejrzał on dopiero cały podstępny jej plan. Chciała ona go zniszczyć a siebie uratować.

On zaś miał związane ręce i przeciwdziałać jej nie mógł. Nie wolno mu nawet było oznajmić prawdy i zdradzić, że Betlina nie była właściwie jego żoną Gertrudą.

Lecz biada jej, jeżeli ją odnajdzie. Odpokutuje mu ona za ten podstęp.

— Żmijo! Jak chytrze ona się do tego zabrała — syknął on zawistnie. — A jak przebiegle czekała, dopóki Gertruda zostanie usunięta, aby tem bezpieczniej w jej roli dalej módz występować.

Wszedł on do buduaru Betliny, a wzrok jego padł na leżący na stole list. Był on do niego zaadresowany i brzmiał jak następuje:

"Gdy wrócisz ze swego spaceru, już mię nie zastaniesz. —Opuszczam cię i jadę do Rosyi, bo nie mogę dłużej żyć u twego boku. Bojaźń i wstręt od ciebie mnie odpędzają. — Nie mogę cię mężem swym nazywać... Ciebie, dziesięciokrotnego mordercę-

— Nie staraj się gonić i ścigać za mną, bo to by tylko było twoją zgubą. Wystąpiłabym przeciwko tobie jako oskarżycielka i wszystkie twoje zbrodnie zdradziłabym.

— Będę się starała o rózwód, gdyż nie chcę być dłużej żoną takiego niegodnego człowieka. Gdybyś się zaś temu sprzeciwił, to spełnię swoją groźbę i zdemaskuję cię, jako mordercę mego ojczyma i jego prokurzysty, i oddam cię sądowi!

Gertruda."

Przez chwilę stał Sinobrody jak skamieniały. Betlina tak się już w rolę Gertrudy wżyła, że działała i pisała jak ona. Każdy któ-

ryby list przeczytał, musiałby ją mieć za prawdziwą hrabinę Gertrudę. Jakaż ona była wyrafinowana!

A jak ona mu groziła! Chciała go zdradzić! Żądała rozwodu! O, dobrze on wiedział, dlaczego ona to czyniła. Chciała ona ratować swój majątek, a raczej majątek poprzedniej jego żony Gertrudy i wyjść za bogatego wujaszka.

Z dzikim okrzykiem zacisnął Sinobrody swe pięści i zgniótł w nich list Betliny.

Teraz dopiero poprzysiągł on sobie odnaleźć ją i zemścić się na niej. Biada jej, jeżeli ją przyłapie!

Wypytywał się o nią na dworcu, mógł się jednak tylko dowiedzieć, którym pociągiem odjechała, ale nie dokąd. Od odjazdu jej upłynęło już prawie 10 godzin.

Lecz Sinobrody pocieszał się nadzieją, że oni mu mimoto nie ujdą. Wiedział przecież gdzie były posiadłości wuja w Rosyi. Wątpił tylko, czy oni się teraz tam udali.

Wrócił do willi, którą zastał, jakgdyby wymarłą. Dzwonił na służbę, lecz nikt się nie ukazywał. Dawano mu do poznania, że on tu nic więcej nie ma do szukania.

Padł w swoim pokoju na kanapę i myślał co dalej począć. Nazajutrz rano chciał udać się na zamek Wildenfels i czekać na Gertrudę. Zmienił on teraz plan co do niej i nie chciał jej więcej zabijać.

— Może mu się nawet uda z nią pogodzić i wspólnie z nią przeciwko Betlinie, jako awanturnicy i oszustce wystąpić? — myślał on i na tem budował swe nadzieje. Mógł przecież oświadczyć, że Betlina i jego samego nawet oszukała.

Rozkoszował się on tą myślą, nie przeczuwając nic o napadzie w lesie, i o uratowaniu Gertrudy.

Był tak zirytowany, że się nawet nie kładł spać. Każdej chwili mogły nadejść wieści od Piotra.

Wreszcie przecież sen go zmorzył. Gdy się obudził, zaczęło już świtać. Przez otwarte okno dochodziły go głosy ludzkie. Kto to mógł być tak wcześnie?

Wstał i popatrzył przez okno. Przed portalem stał stary Karol i rozmawiał z posłańcem pocztowym, który trzymał jakiś papier w ręku.

— Ważny telegram do pana hrabiego — rzekł on w chwili, gdy się Sinobrody z okna wychylił.

— To od Piotra — pomyślał on i zbiegł na dół. Na schodach spotkał się ze służącym.

Hrabia Sinobrody wbiegł do swego pokoju i otworzył szybko kopertę. Telegram pisany był tajemnem pismem, które on z Piotrem ułożył. Tak więc nikt treści jego odcyfrować nie mógł.

Ledwo go jednak przeczytał, zbladł i padł przerażony na krzesło.

Treść tego, przed dwoma może godzinami nadanego telegramu była następująca:

"Uciekam, bo wszystko stracone. Napadł na nas Greif z kapitanem Brandenfeldem. Hrabina Gertruda jest uratowana. Czarny Ignacy uwięziony. Ratuj się pan ucieczką i nadeślij mi pan wieści na zamek Wildenfels, dokąd się teraz udaję.
Piotr."

Hrabia Sinobrody zniszczony był tą wiadomością. Wszystko już było stracone i przepadłe. Trzeba się było czemprędzej zabierać, zanim detektyw go tu odnajdzie.

Wtem usłyszał on głosy na podwórzu. Czyżby już było zapóźno?

To bezwątpienia policya — pomyślał on i wyglądał z za firanek przez okno.

Czterech mężczyzn w czarnych surdutach rozmawiało tam ze starym służącym. Sinobrody usłyszał wyraźne te słowa:

— Mamy zlecenie przyaresztowania hrabiego Sinobrodego. Pan komisarz Greif wkrótce tu przybędzie i wszystko załatwi!

— Chodźcie moi panowie! — odpowiedział służący. — Pan hrabia właśnie się obudził.

Czterech panów weszło z Karolem do willi.

Hrabia Sinobrody przeraził się.

— Jakby się tu ratować. Czy już nie było zapóźno?

Słyszał już kroki na schodach, gdy uciekał do swojej sypialni.

— Jeżeli nie potrafię uciec, to mnie przynajmniej żywego w ręce swoje nie dostaną! — zgrzytnął on i zamknął drzwi.

CXLII.

SMUTEK ZAMIENIONY W RADOŚĆ.

Ze zdziwieniem i radością przyjęła Marta doktora Kloca owego wieczora, gdy jej tenże małego Waltera przyprowadził.

Miała więc znów w opiece dziecko swej pani, którą już miała za nieboszczkę. Całowała i ściskała ona małego chłopca wśród łez rozczulenia, a Walter ze swej strony szczę-

śliw był, że swą kochaną Martę znów zobaczył. Myślał że tu i matkę swą znajdzie, której dotychczas jeszcze nie zapomniał i gorzko się rozpłakał, gdy jej tu nie zastał.

Marta pocieszała go, że matka jego wkrótce nadejdzie, lecz serce pękało jej z bólu na myśl, że to nigdy nastąpić nie może.

Pewnego wieczora siedziała Marta z książką w ręku. Mały Walter spał, uśpiony bajką, którą mu opowiadała.

W pokoju panowała grobowa cisza. Przyjaciółka Marty, modniarka, była jeszcze w sklepie swym zajęta. Mieszkały one obie w małym domku na przedmieściu i miały ogródek, z którego teraz przez otwarte okno zapach bzu do pokoju wnikał.

W krzakach śpiewały słowiki a Marta wsłuchiwała się w śpiew ten rozmarzona.

Wtem rozwarły się cicho drzwi i na progu stanęła kobieca postać. Podniosła ona woalkę i przystąpiła do siedzącej na krześle dziewczyny.

— Marto! — szepnęła ona.

Marta podskoczyła i skamieniała prawie z przerażenia i zgrozy.

— Wielki Boże! — krzyknęła ona. — Czyż umarli wracają?

— Czy mnie pani nie poznaje, panno Marto? — zapytała nowoprzybyła. — To nie żaden upiór, lecz ja sama, żyjąca! Stworzenie z krwi i kości.

Lecz Marta cofnęła się z giestem przerażenia i zakryła twarz rękoma. Była ona blizka omdlenia.

— Boże święty, pomóż mi — jęknęła ona.

— Ależ, kochana Marto! — przemówiła znów dama bolesnym głosem. — Ja doprawdy nie jestem duchem. Pani myśli, że już umarłam, ale tak nie jest!

I zbliżywszy się, chwyciła przerażoną Martę za ramię.

Dziewczyna krzyknęła głośno i w zabobonnej swej trwodze nie śmiała jej w twarz popatrzeć.

— O wielmożna, kochana pani! Co duszę pani tu do mnie sprowadza? — przemówiła ona zdławionym głosem. — Miej pani litość nademną. Ja widoku pani nie mogę znieść.

Ginęła ona wprost z trwogi i przerażenia.

— Mój Boże! Marto, czyż ja doprawdy tak strasznie wyglądam? — wołała nowoprzybyła. — Weź pani moją rękę i przekonaj się, że ja jeszcze żyję!

I chwyciwszy Martę w objęcia, przycisnęła ją do serca.

— Wielki Boże! Czy to być może? Czy pani hrabina doprawdy żyje? — wyrwało się z ust Marty w nieopisanem zdziwieniu. — Czy mię oczy moje i zmysły nie mylą?

— Nie, to nie sen, kochana moja Marto! Dotknij się pani mnie i proszę się mnie nie bać!

— Ach, mój Boże! To rzeczywiście pani!

I znużona tą radosną niespodzianką, zsunęła się Marta przed panią swą na kolana.

Znikły ostatnie jej wątpliwości. Nie było to mamidło wzburzonych jej zmysłów, lecz Agata zdrowa i żyjąca.

W następnej chwili padły one sobie w objęcia. Agata poprowadziła płaczącą Martę na kanapę i siadła tam przy niej.

W drzwiach okazała się teraz Delia i siadła na skinienie swej pani w kącie.

Płacząc jak dziecko, zawiesiła się Marta na szyję Agaty, która jej uspokajające słowa do ucha szeptała. Wydawało jej się to zawsze jeszcze niemożliwym snem, że się znajduje w objęciach kochanej swej, a opłakiwanej pani. Obawiała się, że sen ten w następnej chwili pierzchnąć może i że znów sama i opuszczona zostanie!

Wreszcie padł wzrok jej na postać Delli, której wejścia poprzednio nie spostrzegła.

— Kto to jest ta obca? — krzyknęła ona znów przestraszona.

Agata objaśniła jej, kto jest Delia i Marta się uspokoiła.

— Ach, kochana, droga pani hrabino. Proszę mi wytłumaczyć, skąd się pani tu wzięła! Mówiono przecież, że pani w dalekich stronach umarła!

— To była omyłka, kochana Marto! Byłam tylko w letargu! Mąż mój pewno myśli, że ja już nie żyję!

— Czyż pani hrabina jeszcze nie wie co się stało? — zawołała wzburzona. — Mąż pani prędko ją zapomniał i ożenił już się z ową demoniczna kobietą, która panią w nieszczęście wtrąciła!

Agata rozpłakała się.

— Wiem już o tem! — odparła ona z westchnieniem. — Nie mógł się wyplątać z sieci tej szatańskiej syreny. Myśląc, żem umarła, ożenił on się z Waleryą. O Marto! Nie przeczuwa pani, ilem przecierpiała, odkąd do ojczyzny wróciłam!

— Czy hrabia Linderhorf wie, że pani hrabina żyje?

— Nie! On nie wie, ale Walerya już się o tem dowiedziała! Spotkałam się z nią całkiem niespodzianie... ta dyablica do przepaści mnie wtrąciła!

Marta załamała ręce z przerażenia.

— Miłosierny Boże! — krzyknęła ona. — Jakżesz to się stać mogło?

Agata zaczęła jej wszystkie przejścia opowiadać, a Marta słuchała ze zdumieniem i współczuciem, wydając od czasu do czasu gniewny okrzyk i klnąc Waleryę.

Gdy Agata zaczęła opowiadać o tem, jak ją Walerya w zamku leśnym więziła i jak jej tam śmiercią dziecka jej groziła, podskoczyła Marta i łapiąc ręce swej pani, zawołała radośnie:

— O, kochana pani hrabino! Walterek jest tutaj... u mnie!

Agata wstała zdziwiona. Zdawało jej się, że serce jej pęknie z niespodzianej radości. Przestało ono bić przez chwilę. Głowa jej się zakręciła. Była ona blizka omdlenia i zachwiała się.

— Na Boga, co pani jest, pani hrabino! — zawołała Marta, przybiegając do niej i wspierając ją. — To szczera prawda! Doktór Kloc sam małego Waltera przed kilku dniami do mnie przyprowadził. Wyrwał on biedne dziecko z pomocą Wintera z sieci tej szatańskiej Waleryi.

Lecz niespodziana ta radość za dużą była dla biednej, nieszczęśliwej matki. Myślała ona, że dziecko jej zginęło i opłakiwała już śmierć,a tu dowiedziała się nagle, że ono żyje i jest w jej pobliżu.

Czyż było się czemu dziwić, że ona błogości tej na razie pojąć nie mogła?

Śmiertelnie blada leżała teraz w objęciach Marty. Delia przybiegła z pomocą i skropiła skronie jej wodą.

— Czy to prawda, że moje dziecko jest tutaj? — szepnęła ona budząc się z odrętwienia.

— Tak jest, śpi tu w przyległym pokoju! — odparła Marta wśród łez. — Płakał on niedawno za swoją mamą i...

— Dziękuję Ci, wielki Boże! —szlochała Agata z błogości: Podniosła się i przestąpiła szybko próg sąsiedniego pokoju. Kolana się pod nią uginały.

Nie wierzyła ona jeszcze swemu szczęściu, lecz spojrzawszy na dziecko uspokoiła się.

Na białych poduszkach leżał tu jej mały Walterek, jej największy skarb na ziemi.

Pochyliła się ona nad nim i łzy radości po twarzy jej spływały, gdy oglądała okoloną jasnymi loczkami anielską jego twarzyczkę.

Minął wszelki ból jej i żałoba. Mimo wszelkich przejść, jakżeż bogata była ona w posiadaniu swego dziecka! Macierzyńskie jej serce biło jasną, niewymowną błogością i zachwytem.

— Mój Walter! Mój jedynak!

Wymówiła słowa te jak modlitwę i ukląkłszy przed łóżeczkiem objęła małego z nieopisanem szczęściem.

Pocałunki jej obudziły go. Zaspany jeszcze popatrzył on w twarz swej matki.

— Mamo, mamo! — uśmiechnął on się i znów mu oczy zapadły. Zasypiając, szeptał on jakby przez sen:

— Kochana mamo. Mama zostanie już przy Walterze!

Agata ucałowała raz jeszcze jego czoło. Potem wróciła do przyległego pokoju. W oczach błyszczały łzy radości i szczęścia.

Marta musiała jej teraz opowiedzieć wszystko, co o losach dziecka wiedziała.

— Walerya myśli że Walter już nie żyje! — kończyła ona. — A pokojówka musi już we własnym swym interesie zamilczeć, że detektyw i doktór Kloc małego Waltera uratowali. Jest on więc teraz pewny przed jej prześladowaniem. Teraz jednak będzie można zdemaskować tę domoniczną kobietę. Skoro pani hrabina wróci do swego męża, to Walerya przepadła.

Agata ciężko westchnęła. ....

— Kto wie? —rzekła ona. — Może sobie mąż mój już powrotu mego nie życzy! Może kocha tę fałszywą żmiję i już mnie dawno zapomniał?

— O, to niemożliwe! — protestowała Marta. — Jeżeli się hrabia dowie o zbrodniach tej kobiety, to ją ze wstrętem od siebie odtrąci! Niech pani hrabina nie zwleka i odda tę morderczynię pierwszego swego męża w ręce sprawiedliwości.

— Kochana Marto! przypomina mi pani, czego i ja się jeszcze mam obawiać. Uchodzę przecież dziś jeszcze za morderczynię barona Rambowa i nie mam dowodów na swą niewinność. Jeżeli się teraz publicznie pokażę, to grozi mi więzienie i szubienica! — dodała ona ze zgrozą.

— O nie, wielmożna pani. Mąż pani jest ministrem i panią ochroni.

— Wątpię, gdyż sam by się przez to naraził na niebezpieczeństwo. Zdradziłoby się, że on mię raz od śmierci uratował i jakżeż by go świat zato potępił, gdyby się dowiedział, że on mnie... skazaną na śmierć zbrodniarkę... uczynił swoją żoną. Walerya sama by tajemnicę tę zdradziła.

Więc pani hrabina chce pozostać w ukryciu i hrabia Linderhof nie dowie się, że pani żyje? — pytała Marta niezadowolona.

— Jeszcze nie wiem, co zrobić — westchnęła Agata. Muszę mieć wzgląd na stanowi

sko swego męża. Pojawienie się moje mogłoby go popchnąć w nieszczęście.

Marta nie podzielała obaw swej pani.

— To jeszcze nie wszystkie moje cierpienia, Marto — rzekła Agata po krótkiej pauzie. — Nie przeczuwa pani, jakie szatańskie zbrodnie Walerya w końcu wobec mnie popełniła.

Ale w jaki sposób uciekła pani hrabina ze zamku leśnego? Czy ci dozorcy panią może sami na wolność puścili? Ale może panią kasztelan uratował?

— Nie! — odpowiedziała Agata. — Walerya postanowiła śmierć moją i Delii, a dozorujący łotry domieszali truciznę do naszego jedzenia.

— Wielki Boże! I pani hrabina to zjadła?

— Nie. Ostrzegał mnie jakiś wewnętrzny głos i zostawiłyśmy jadło nietknięte. W jakiś czas potem starali się oni do nas wtargnąć, lecz myśmy się uzbroiły i oni musieli uznać, że byli wobec nas bezsilni.

— I nie mogła pani hrabina uciec?

— Nie, gdyż byłyśmy zamknięte w naszym pokoju.

Gdy wreszcie nędznicy ci uznali, że wobec nas nic nie wskórają, podpalili zamek, abyśmy śmierć w płomieniach znalazły.

Z ust Marty wyrwał się okrzyk przerażenia.

— Boże miłosierny! Jakżeż się wielmożna pani z niebezpieczeństwa tego uratowała?

— Mnie samej to się cudem wydaje — rzekła Agata drżąc na wspomnienie okropnych tych przejść. — Miałyśmy się za stracone i tylko Bogu dusze swe poleciłyśmy. Płomień i dym już były nie do zniesienia. Byłyśmy blizkie uduszenia się.

Zamilkła ona na chwilę, potem zaczęła tak dalej mówić:

— Niebezpieczeństwo wzrastało. Wołałyśmy o pomoc, lecz któż nas miał ratować?

— Wtem rzuciła się Delia z odwagą rozpaczy na żelazny sztaby okna, a ja poszłam za jej przykładem. To było jedyne nasze wyjście.

— No, i udało się pani wydostać przez okno! — spytała Marta, zapierając oddech.

Agata potwierdziła skinieniem głowy.

— Zardzewiałe sztaby poddawały się pod naszym naciskiem, lecz trwało to dość długo i płomień wciskał się już do naszego pokoju. Wtem w chwili największego niebezpieczeństwa zwolniały sztaby, i myśmy były uratowane.

Zamilkła ona i westchnęła. Marta zbladła i drżała ze wzruszenia. Zarzuciła ona ramie na szyję swej pani i jęknęła szlochając:

— O mój Boże! Jak to straszne!

— Cały zamek już był w płomieniach — ciągnęła Agata dalej. — Uciekłyśmy czemprędzej i schroniłyśmy się do lasu, gdzieśmy aż do rana poczekały. Nie wiedziałyśmy dokąd się udać i błądziłyśmy bez celu po lesie. Dokuczał nam głód i pragnienie. Byłyśmy blizkie omdlenia. A tu ani domu ani żywej duszy wokoło. Wreszcie doszłyśmy do jakiejś samotnej zagrody na brzegu lasu, znalazłszy tam gościnne przyjęcie!

Czy ci ludzie chcieli wiedzieć, kto pani jest! — badała Marta.

— Tak jest! Lecz ja im się do prawdy nie przyznałam. Obawiałam się, że wieść o uratowaniu mojem dojdzie do Waleryi a to przecież lepiej dla mnie, aby ona na razie myślała, że ja już nie żyję!

— Lecz czyż nie byłoby lepiej uwiadomić pana hrabiego? — wtrąciła Marta.

— Myślałam już sama o tem, lecz się obawiałam, że to do Waleryi dojdzie! — odpowiedziała Agata — Dlatego też opowiedziałam tym dobrym ludziom jakąś bajkę i do dziś rana się u nich zatrzymałam. Dziś dopiero wróciłam do stolicy i zaraz o pani pomyślałam, kochana Marto. Odnalazłam panią szczęśliwie i tu u pani się na razie skryję.

— Dzięki Bogu za to! — zawołał Marta radośnie wzruszona. — Tu pani hrabina zupełnie jest bezpieczna, bo Walerya nie przeczuwa, że pani jeszcze żyje, a przyjaciele pani hrabiny zrobią wszystko możliwe, aby panią w walce z tą demoniczną kobietą wesprzeć.

— Przyjaciele? — powtórzyła Agata ze zdziwieniem. — Jacy przyjaciele?

— Ci sami, którzy dziecko pani hrabiny uratowali — odpowiedziała Marta. — W pierwszej linii detektyw Winter i doktor Kloc. Pani hrabina ich zna! Winter szukał też za panią hrabiną. Jest on najzaciętszym wrogiem Waleryi, która na zycie jego godziła. Nie dużo brakowało, a byłby on padł ofiarą tej okrutnej kobiety i jego towarzyszy.

Opowiedziała jej obszernie całą działalność Wintera, a w Agatę nowa wstąpiła nadzieja. Miała w tym człowieku potężnego sprzymierzeńca.

— Pomówię z nim i posłucham jego rady! — rzekła ona. — A teraz powiedz mi pani, kochana Marto, jak się to stało, że mój mąż został ministrem? Nie pojmuję tego. Nie był on przecież dawniej tak poważany przy dworze.

— Był to szczęśliwy wypadek, panie hrabino — odpowiedziała Marta. — Uratował on księciu życie, podczas zamachu na niego na u-

licy. Ówczesny minister Borgheim został przy tem zraniony. Hrabia Linderhof przystąpił wtedy i złapał sprawczynię zamachu!

— Mój Boże! Czy to była kobieta? — zawołała Agata zdziwiona.

— Tak jest, była ona przebraną za mężczyznę. Jest to jakaś tajemnicza osoba. Nikt jej nie zna i nie wie, kto ona jest.

— Dziwne! — mruknęła Agata wzburzona.

— Oświadczyła ona, że nie chciała zabić księcia, tylko ministra — ciągnęła Marta dalej. — Hrabia Edmund bardzo się nią interesuje i nawet w więzieniu już ją odwiedził.

Agata wstała poirytowana, a twarz jej wyrażała trwożne zaniepokojenie.

Czy przeczuwała ona, kto była owa czarna dama?

— Co ona mu powiedziała? — spytała Agata drżącemi usty.

— Ach, kochana pani hrabino — odparła Marta z wahaniem. — Nie wiem, czy mam to pani powiedzieć. Ona widocznie jest szalona i...

— Mów pani dalej, Marto — nagliła Agata.

— Wiem wszystko od Wintera — rzekła ona. — Owa czarna dama oświadczyła hrabiemu podobno, że jest tą samą osobą, z którą pani hrabina miała schadzki w dzień śmierci pierwszego swego męża.

Agata padła z okrzykiem przerażenia na krzesło.

— Co się pani hrabinie stało — zawołała Marta zalękniona. — O Boże! Ona umiera! Cóż ja tu narobiłam! — lamentowała rozpaczliwie.

Delia przybiegła na pomoc i Agata prędko do siebie przyszła. Wymówiła ona się od ich wokoło siebie krzątania i zawołała słabym, błagalnym głosem:

— Dalej Marto. Ja muszę wszystko wiedzieć!

— O, Boże, więc to prawda? Więc owa czarna dama jest rzeczywiście...

— Tak jest — jęknęła Agata boleśnie.

Marta nie wiedziała, dlaczego los owej zagadkowej obcej damy tak żywo Agatę obchodzi.

Kto była owa czarna dama? I co ją z Agatą łączyło?

Te pytania intrygowały Martę, jak niegdyś hrabiego Edmunda. Lecz Agata nie dała jej żadnych objaśnień.

— Niech się mnie pani nie pyta, bo ja nie mogę na to odpowiedzieć — prosiła Agata. — Później kiedyś wszystko się wyjaśni. Więc owa dama nie przyznała się memu mężowi, kim ona właściwie jest?

—Nie! — odpowiedziała Marta. — Chciała otwarcie mówić, gdyby pani hrabina jeszcze żyła. Ale że wtedy ogólnie o śmierci pani hrabiny mówiono, więc ona żadnych informacyi dać nie chciała!

— O mój Boże! — jęknęła Agata boleśnie. — A teraz ona uwięziona tak, jak ja niegdyś byłam. — Cóż się z ministrem stało? Czy on nie żyje?

— Podobno mu lepiej i rana się goi! — była odpowiedź Marty.

— Chwała Bogu — szepnęła Agata z widoczną ulgą. — Nie zabiła go więc na śmierć. Czy on ją poznał? I czy wie, kto do niego strzelał?

— Zdaje mi się, że nie! Czarna dama jest mu widocznie zupełnie obcą!

— O nie! On ją dobrze zna! — zawołała Agata gorzko. — O... lecz dalej — przerwała ona sobie szybko — jaki wyrok zapadł na nieszczęśliwą?

Marta zwlekała z odpowiedzią. Widziała ona jak Agata z losem owej obcej damy współczuje i obawiała się powiedzieć jej smutną prawdę.

Lepiej, że się teraz dowie—pomyślała jednak. — Wyrok jej przecież ukryty nie zostanie.

— Dlaczego pani nie mówi, Marto! — nagliła Agata zaniepokojona. — Czy wyrok jeszcze nie zapadł?

— Owszem! Tymi dniami już — rzekła Marta ponuro. Nie uwierzono, że jej chodziło o ministra i posądzono ją o chęć zamordowania księcia. Dlatego...

Wstrzymała się mimowoli. Straszne słowo nie chciało jej przejść przez usta.

Agata patrzała na nią blada i jakby skamieniała.

— I dlatego zasądzono ją na śmierć!—dokończyła Marta słabym głosem.

— Na śmierć! Boże miłosierny!

Okrzyk ten wyrwał się z ust zrozpaczonej Agaty. Załamywała ona ręce w nieopisanym bólu.

— Skazana! — szlochała ona. — Czy to możliwe? Miłosierny Boże! Ten sam los co niegdyś ja...

Upadła ona z lamentem na krzesło.

Marta patrzala na nią zaniepokojona i pojąć jej nie mogła. Tak nikt nie opłakuje przyjaciółki. Ta skazana kobieta musiała być Agacie bliższa.

Któż jej jednak rozwiążę tę zagadkę? Tyl-

ko sama Agata uczynić to mogła. Nie chciała tego jednak uczynić.

— A czy hrabia wie, kto ona jest? — wybełkotała Agata okropnie wzburzona. — Muszę mu teraz wszystko powiedzieć! Objaśnić mu sytuacyę. Niech ją ratuje, tak jak niegdyś mnie uratował!

Zaczęła się szybkim krokiem przechadzać po pokoju. W bladej jej twarzy wyryte było niezłomne postanowienie.

— Muszę ją widzieć i zapewnić się, czy to rzeczywiście ona! — szepnęła Agata. Jutro pójdę do więzienia, choćby skutki kroku tego jak najgorsze dla mnie być miały.

Marta chciała uspokoić swą panią, radzić jej.

Wtem zapukano do drzwi i na progu stanęła męska postać.

Marta krzyknęła radośnie zdziwiona i pobiegła naprzeciw.

Był to doktór Kloc, który się tam niespodzianie zjawił.

CXLIII.

FATALNA NIESPODZIANKA.

Tego samego dnia wieczorem, o późnej godzinie, szedł ciągnącą się wzdłuż ministeryalnego parku ulicą jakiś mężczyzna, który się trwożnie na wszystkie strony oglądał.

Ulica ta była jak zwykle ciemna i zupełnie pusta.

Stanął przed furtką parku i oglądał się na wszystkie strony, czy nie jest widziany. Potem wyjął z kieszeni kilka witrychów i zaczął w zamku majstrować. Niebawem odsunął rygiel furtka była otwarta.

Wszedłszy do parku zamknął on furtkę za sobą podsunął się ostrożnie pod sam pałac.

W oknach było już ciemno, tylko na samej górze było jeszcze kilka komnat oświetlonych.

Nie śpi jeszcze — mruknął nocny intruz. — Jakże się zdziwi, gdy tak nagle do niej wejdę.

Był on widocznie dokładnie z lokalem obznajomiony, bo zbliżył się bez namysłu do małych drzwi, i wszedł do pałacu.

Wszedł cichutko po słabo oświetlonych schodach na górę i posunął się wzdłuż kurytarza.

Nie spotkał nikogo ze służby i doszedł niespostrzeżony do apartamentów Waleryi.

O tej samej porze czuwała Walerya jeszcze w swoim budoarze, i przechadzała się niespokojnie, w ponurem zamyśleniu tam i napowrót po pokoju. Po ostatniej scenie ze swym mężem, zdawało się jej jak gdyby chodziła po wulkanie, który każdej chwili może wybuchnąć. Czuła miecz Demoklesa zawieszony nad swą głową.

Ze słów hrabiego Edmunda dowiedziała się ona, że w zamku leśnym nie poszło wszystko wedle jej życzenia. Wszystko prawie było odkryte. Nie wiedziano tylko, kto były te dwie nieszczęśliwe ofiary, które w płomieniach śmierć swą znalazły.

Hrabia Edmund i Winter przeczuwali, że to była Agata i jej służąca. Biada jej, jeżeli mąż jej zupełną pewność nabędzie.

Kto zaś wszystkiemu temu był winien? Winter! Ten człowiek szpiegował ją, i był jej teraz nawet niebezpieczniejszy niż poprzednio! Ona zaś nie miała żadnej pomocy, żadnego towarzysza, którybyjej tego strasznego przeciwnika z drogi mógł sprzątnąć.

Lecz i Ludwik wraz z Frydą wiele tu byli winni, gdyż nie byli w postępowaniu swem dość ostrożni.

Była ona wściekle zła na niezręcznych swych sprzymierzeńców, z których jeden już nawet był uwięziony. Nie wiedziała tylko dokładnie który. Czyżby to był Ludwik?

— Jeżeli to on, to mnie pewno zdradzi — mruknęła ona gniewnie. — Zechce z tego wyciągnąć pewne korzyści. Fałszywa pokojówka moja pewno także paplała. Ona to pewno list Ludwika wtedy podchwyciła, i detektywowi go oddała. Odpokutuje mi ona za to!

Walerya zawsze jednak jeszcze ją podejrzywała.

— Muszę ją lepiej mieć na oku — szepnęła ona do siebie. — Kto wie czy ona to z dzieckiem podobnie nie...

Umilkła, i zbliżyła się do otwierających się teraz drzwi. Na progu ukazała się pokojówka.

— Czego chcesz — ofuknęła się Walerya.

— Wielmożna pani! — oznajmiła Fryda z przebiegłym uśmiechem. — Ten człowiek znów tu przyszedł!

— Jaki człowiek?

— To ja, kochana Waleryo! — ozwał się teraz dobrze znany jej głos poza plecyma pokojówki, i w tej chwili okazała się we drzwiach twarz owego intruza nocnego.

— Ha! To ty! — zawołała Walerya bezgranicznie zdziwiona na widok męża swego, Ludwika Hechta.

— Tak jest! To ja!

Wszedł on wesoło uśmiechnięty, i dodał, kłaniając się:

— Czyś mię nie oczekiwała?

— Nie! — odparła Walerya szorstko i ponuro, i rzekła, zwróciwszy się do swej pokojówki: Idź, Frydo! A postaraj się, aby nam nie przeszkadzano.

Pokojówka znikła. Ledwo drzwi się za nią zamknęły, ofuknęła się Walerya gniewnie na Ludwika.

— Czyś oszalał, że mówisz do mnie tak poufale w obecności mej służącej! — irytowała się ona. — Czy chcesz, aby w całym zamku wiedziano, w jakim stosunku do mnie stoisz?

Ludwik zrobił zdziwioną twarz.

— Ależ, kochana Waleryo! — Sądziłem, że pokojówka twoja we wszystko jest wtajemniczona — bronił się on.

— Na miłość Boską, nie! Teraz naturalnie już się czegoś domyśla. O, ile nieprzyjemności ty mi już sprawiłeś! Teraz znów do mnie przyłazisz, i nie rozważasz nawet jak mi to zaszkodzić może.

— Nie bój się! Nikt mię nie widział! — uspokajał on ją.

— A może policya cię szpieguje — irytowała się ona. Detektyw Winter już się dowiedział, że ty kilka razy u mnie byłeś.

— Ach, to dlatego policya mnie i Fryca tak nagle zaskoczyła! — zawołał Ludwik. — Tak, kochana Waleryo! O jeden włos jeszcze, a byłbym wpadł w ręce detektywa, i ledwo mu umknąć zdołałem. Lecz Fryca przyłapano. Siedzi on już pod ich dozorem.

— Wiem już o tem!

— Skąd? — zapytał on zdziwiony.

— Od męża mego, hrabiego Edmunda.

Ludwik przeraził się. Opanowało go okropne przeczucie.

— Co? Hrabia chyba nie wie, że...

— Wszystko wie... Detektyw wszystko mu zdradził i wziął go ze sobą do zamku leśnego — rzekła Walerya zawistnie.

Ludwik zbladł i krzyknął ze strachu. Cofnął się on o krok i niedowierzająco na Waleryę popatrzył.

— Jak to jest możliwe? — wybełkotał on wzburzony.

— Jeszcze się pytasz? — zadrwiła ona.— Przecież to twoja wina! Twoja, i twego towarzysza! Tak głupio sprawiliście się, że detektyw odkrył wasz ślad, i był blizki przyłapania was i pokrzyżowania wam wszystkich szyków.

Ludwik stracił język w gębie. Nie pojmował on, co mu Walerya właściwie wyrzucała.

— Tak jest! Wy obydwaj wszystko zepsuliście! — mówiła gniewnie dalej. — Ten człowiek, którego zbiliście w lesie, jest jednym z tajnych agentów. Żyje on jeszcze, kasztelan także. Poznali i zdradzili oni was. Wiedzieli oni o uwięzionych, i możesz sobe łatwo pomyśleć w jakie położenie bym przez waszą głupotę przyjść mogła.

— Więc hrabia wszystko wie... doprawdy? — odparł Ludwik niedowierzająco.

— Naturalnie! Zrobił on mi z tego powodu okropną scenę — zgrzytnęła ona. — Niewiele brakowało, a byłoby po wszystkiem.

— Czyż on ma pojęcie, kto były te uwięzione?

— Dotychczas nie, dzięki Bogu! Ale, gdyby twój towarzysz coś zeznał...

— O, nie sądzę, aby to uczynił. Fryc nas nie zdradzi — pocieszał ją Ludwik. — A hrabina Agata już nie żyje, więc z jej strony niczego się więcej obawiać nie potrzebujesz. Osiągnęłaś więc swój cel.

— Co mi z tego, kiedy wszystko na jaw wyjdzie — zawołała ona niechętnie. — A detektyw nie spocznie, dopóki tajemnicy tej nie rozwiąże.

— To mu się jednak nie uda! Nie obawiaj się więc niepotrzebnie.

— Ty nie wiesz, czego się ten człowiek już nie dowiedział. Wie on o wszystkich poprzednich moich prześladowaniach wobec Agaty, i może mnie zniszczyć. Ma on nawet ten list od ciebie, którego ja nie otrzymałam.

— Jakto? Mój list do ciebie?

— Tak jest! Hrabia sam mi go pokazywał. —Wypierałam się naturalnie, i udało mi się nawet zachwiać trochę jego przekonanie, lecz mimo tego obawiam się każdej chwili. Detektyw wie nawet o bytności mojej w zamku leśnym.

— Co to za niebezpieczny człowiek — zgrzytnął Ludwik.

— Tak jest! Zarówno dla mnie, jak i dla ciebie. Zna on wszystkie twoje sprawki, i jak mu w ręce wpadniesz, to ci szubienica grozi — rzekła Walerya z naciskiem. — Oskarży on cię wraz z twoim przyjacielem o morderstwo obu uwięzionych.

Pot wystąpił na czoło Ludwika. Zbladł on i powiódł drżącą ręką po czole.

— Boże! — jęknął on — ładnie mię tu wkręciłaś mola kochana Waleryo. Teraz my obaj... ja z Frycem... będziemy musieli za ciebie pokutować!

— Więc to jam winna — rzekła Walerya ironicznie. — Lecz dość o tem. — Nie sprzeczajmy się. Widzisz przecież sam jasno, że się

coś stać musi, aby odwrócić grożące niebezpieczeństwo.

— Nic tu zrobić nie możemy — szepnął Ludwik zrezygnowany. — Nikt detektywa od kroków przeciwko tobie wstrzymać nie potrafi.

— Dlaczego nie! Można go uczynić nieszkodliwym. I to jak najprędzej.

Ludwik przeraził się.

— Wiem, co myślisz kochana Waleryo — rzekł on. — Ale ja się na to nie piszę.

— Więc mię chcesz w tak ważnej sprawie opuścić, ty tchórzu! — krzyknęła ona gniewnie. — To zupełnie do ciebie podobne. Zważ jednak, że tu i tobie o życie i śmierć chodzi.

— Właśnie dlatego nie chcę się niepotrzebnie narażać. — Wiem teraz jak się rzecz ma, i zniknę na zawsze z widowni. To jedyny dla mnie ratunek.

Walerya tupnęła nogą o ziemię. Twarz jej nabrała groźnego wyrazu.

— A ja ci mówię, że ty tego nie uczynisz! — zawołała ona gwałtownie. — Ja nie chcę zginąć z twojej winy! Ty to niebezpieczeństwo spowodowałeś. Ty je więc odwrócić musisz.

— Nie piszę się na tę przeprawę z detektywem — upierał się Ludwik.

— Więc się stanowczo wzbraniasz?

— Pewno! Chcę przedewszystkiem swoje życię ratować. Reszta mi jest obojętna. Szukaj sobie kogoś innego do wykonania swoich planów. Masz przecież swego brata, Sinobrodego.

— Ty tchórzliwy łotrze! — zgrzytnęła ona zjadliwie. — Więc ci to obojętne co się ze mną stanie? Dobrze więc! Idź sobie z Bogiem! Wiedz tylko, że ode mnie ani centa nie dostaniesz. Życzę ci też, abyś wpadł w ręce detektywa, tak jak twój godny przyjaciel i wspólnik.

— To miałoby dla ciebie bardzo nieprzyjemne skutki — uśmiechnął się Ludwik ironicznie. — Bo jak mnie przyłapią, to ja wszystko zdradzę, i wcale ciebie nie oszczędzę... rozumiesz?

— Po tobie się niczego innego spodziewać nie można — syknęła ona.

— Czego miałbym cię oszczędzać? — drwił sobie Ludwik. — Jeżeli ja będę zgubiony, to i ciebie za sobą pociągnę... pójdziemy razem do więzienia. — Byłem dość głupi, że dla ciebie mordowałem ludzi, którzy tobie byli niewygodni. Z wdzięczności za to obsypujesz mnie wyrzutami i groźbami. — Mogłem się jednak był tego po tobie spodziewać, kochana Waleryo! Więc ty mi rzeczywiście nie chcesz wypłacić obiecanej nagrody? Chcesz mię tak podle oszukać?

— Ha, ha! — zaśmiała się ona, mierząc go pogardliwem spojrzeniem. — Czyż ty, głupcze naprawdę myślałeś, że ja słowa dotrzymam? Nie! Powiedziałam już, że nie dam ani feniga! Co innego, jeżelibyś chciał wziąć na siebie detektywa, i...

— Tak jest — przerwał jej Ludwik gniewnie. — Ale choćbym nawet był taki głupi i detektywa ze świata sprzątnął, to przecież byś i wtedy jeszcze słowa swego nie dotrzymała. Zdaj się jednak na mnie, że ja i tak pieniądze swoje wydostanę.

Walerya znów się pogardliwie uśmiechnęła.

— Możesz sobie oszczędzić śmieszne swe groźby. Wiem dobrze co myślisz. Ale spróbuj tylko udać się do hrabiego. Zobaczysz, że to będzie własną twoją zgubą.

Ludwik musiał sam uznać, że droga ta do niczego by nie doprowadziła. Gdyby to był uczynił jak długo Agata jeszcze w zamku leśnym i w jego mocy była... ha, to byłoby zupełnie co innego.

Na myśl tę, że właściwie teraz wobec Waleryi żadnej broni więcej nie ma, opanowała go desperacka wściekłość.

— Raz jeszcze cię pytam: Czy dasz mi pieniądze? — mruknął on ponuro i groźnie się do niej zbliżył. Potrafię gdy zechcę, zmusić cię do tego.

— Czem? — zapytała Walerya wyzywająco.

Cofnęła się i chwyciła za dzwonek.

— Opuść mnie natychmiast, albo zwołam służbę i każę cię wyrzucić! — groziła ona.

— Ty się jeszcze namyślisz — rzekł on z zimną krwią. — Bo w tym razie dowie się hrabia Edmund, że jesteś moją żoną... żoną karanego więzieniem zbrodniarza, Ludwika Hechta! — Bądź rozsądną i daj mi moją nagrodę.

— Nigdy w świecie! — irytowała się Walerya. — Albo mi przyrzekniesz, że przy najbliższej sposobności sprzątniesz detektywa, albo wszystko między nami zerwane.

Ludwik zamyślił się i widocznie zawahał.

— A gdybym się na to zgodził — rzekł on podstępnie. — Czy wypłaciłabyś mi zaraz tych obiecanych sto tysięcy.

— Nie! Dziś nie! Dopiero po dokonanym czynie.

Ludwik zaśmiał się szyderczo.

— Spodziewałem się tego — rzekł on gorzko. — Teraz wiem, że od ciebie nigdy feniga

nie wydostanę. Nie, kochana Waleryo! Ty mię więcej nie oszukasz!

— Nie myślę o tem. Usuń mi detektywa, a otrzymasz swą nagrodę.

— Nie ufam twej obietnicy. Daj mi dla pewności przynajmniej połowę naprzód.

— Nie mogę tego uczynić, gdyż nie dysponuję na razie tak wielką sumą.

— W takim razie nie licz na mnie. Ja się pod tymi warunkami tej sprawy nie podejmę!

Walerya spojrzała na niego badawczo. Potem umilkła i myślała nad drogą wyjścia.

— Mówisz, że mi nie ufasz! — odezwała się ona po chwili. — Gdybym ci jednak pieniądze wypłaciła, to gdzie mam gwarancyę, że ty zlecenie moje spełnisz?

— Zatrzymasz przecież połowę obiecanych pieniędzy. To chyba dość gwarancyi!

— Zapominasz mój kochany, że ci się wogóle tylko połowa należy. Drugą połowę zaś trzeba będzie towarzyszowi twemu wypłacić.

— Fryc siedzi przecież w więzieniu a zatem jego połowa mnie się należy.

— Słuchaj mnie, Ludwiku! — oświadczyła ona. — Dam ci dziś 10 tysięcy, bo więcej na razie nie mam. Uważaj to za zadatek, a gdy detektyw zginie, to resztę dostaniesz.

Ludwik dawał się jeszcze prosić, lecz w gruncie zadowolony był, że i to dostaje. Miał on jeszcze tych 50 tysięcy, które mu Walerya dawniej dała i mógł wraz z tą dzisiejszą sumą w Ameryce, lub gdzieindziej, przez dość długi czas wyżyć.

— Dawaj więc! — rzekł on. Abyś wiedziała, że ci ustępuję.

Walerya wyjęła z biurka plik banknotów a Ludwik schował je, nie przeliczywszy nawet do kieszeni.

— Wykonaj sumiennie swe zadanie, a zobaczysz, że i ja słowa dotrzymam! — rzekła ona. — Daj mi znać po dokonanym czynie, lecz nie na mój adres. Nie wracaj też tutaj, bo to zanadto niebezpieczne. Pisz mi poste-restante. — To jest najpewniejsze i hrabia się o tem nie dowie.

— Dobrze! — zgodził się Ludwik na to. — Więc! wszystko w porządku co?

— Spodziewam się! A teraz chodź! Sama cię wypuszczę, gdyż się na pokojówkę swą spuścić nie mogę.

— Odpraw ją więc, bo jeżeli cię szpieguje, to cię jeszcze zdradzi!

Walerya skinęła głową na znak zgody i chciała właśnie Ludwika wyprowadzić, gdy wtem zbladła i zadrżała.

Usłyszała ona w przedpokoju znany sobie, silny krok swego męża.

— Boże, to on! — rzekła ona zdławionym głosem.

Patrzeli oni na siebie z przerażeniem. Ludwik zbladł i szukał za drogą wyjścia.

W następnej chwili zapukał hrabia Edmund do drzwi i rzekł szorstko:

— Otwórz Waleryo, wiem że jeszcze nie śpisz!

Nie dostawszy jednak odpowiedzi, zapukał hrabia Edmund powtórnie i rzekł rozkazująco:

— Otwieraj, bo mam z tobą do pomówienia!

Walerya stała jak skamieniała i nic nie odpowiadała.

Wtem położył jej Ludwik rękę na ramieniu i szepnął:

— Schowaj mnie prędko, gdyż on się nie da odprawić!

— Ale gdzie?

— Może w twojej sypialni!

— A jeżeli on cię tam znajdzie? — rozpaczała Walerya. — Lecz chodź! Nie ma innego wyjścia!

Wsunęli oni się cichutko do sypialni, która od buduaru tylko małym gabinetem była przedzielona.

Hrabia Edmund pukał coraz mocniej do drzwi i tłukł o nie pięściami.

— Musi on mieć jakieś podejrzenie! — szepnęła Walerya. — Może mu pokojówka zdradziła, że ty tu jesteś.

— Możliwe! — odparł Ludwik. — Wskaż mi jednak przedewszystkiem pewny schowek!

— Wleź tu! — rzekła ona, otwierając dużą szafę.

Ludwik wsunął się do niej bez namysłu.

Walerya zamknęła go tam i wzięła klucz do kieszeni. Potem wróciła z rezolutną miną do buduaru i zawołała, gdy się pukanie znów ozwało:

— Kto tam? Czy to ty Frydo?

— To ja! — była gniewna odpowiedź hrabiego Edmunda. — Wpuść mnie!

Walerya odsunęła rygiel. W następnej chwili wszedł hrabia Edmund, a za nim ukazała się złośliwie uśmiechnięta twarz pokojówki.

Hrabia Edmund powiódł wzrokiem po buduarze i nic mówiąc nic do Waleryi, wbiegł do przyległego gabinetu, a następnie do sypialni.

Stanął on tam i odsapnął. Blada twarz

jego wyrażała rozczarowanie, gdy i tam nikogo nie zastał.

Na progu ukazała się Walerya z pewną siebie i dumną miną.

— Gdzie on jest? Gdzieś tego łotra schowała? — krzyknął on gniewnie.

— Kogo? — zapytała ona oburzona. — Co to ma znaczyć, Edmundzie? Nie rozumiem, co to ma znaczyć, że tak późno i w ten sposób...

Umilkła ona, gdyż hrabia Edmund groźnie do niej przystąpił i za ramie ją chwycił.

— Ty mi chcesz oczy zamydlić! — zgrzytnął on oburzony. — Ale ja wiem że ten nędznik tu się znajduje! Tyś go dziś znów przyjmowała, tego zbrodniarza, tego wisielca!

Zatrząsł jej ramieniem, a oczy jego ciskały błyskawice.

Walerya uwolniła się od niego zręcznym ruchem i mimowoli się cofnęła.

— Czyś oszalał? — syknęła ona. — To jest oburzające, jak ty się ze mną obchodzisz. Tu nikogo niema. Popatrz sam, jak mi nie wierzysz!

Hrabia Edmund opanował się z trudnością.

— Czy chcesz zaprzeczyć, że ten łotr nie był u ciebie? On jeszcze tu być musi, wiem to na pewno!

Walerya zaśmiała się ironicznie.

— Którz ci to powiedział, że ja o tak późnej porze jeszcze mam wizytę — zawołała ona wyzywająco. — Ja doprawdy nie wiem, czego ty chcesz.

— Dość tego. Wiem na pewno, kogoś tu wpuściła.

— Więc szukaj. Widzisz przecież że tu nikogo niema.

Hrabia Edmund oglądnął się raz jeszcze niedowierzająco. Potem zapalił świecę i zaczął do każdego kąta zaglądać.

Walerya oparła się o drzwi i serce gwałtownie bić jej zaczęło.

— A jeżeli on Ludwika znajdzie — pomyślała ona z przerażeniem.

Hrabia Edmund przeszukał wszystkie pokoje. Nawet pod łóżka zaglądał. Tylko obok szafy, w której Ludwik był schowany, przeszedł zupełnie obojętnie.

Wrócił znów do buduaru i postawił świecę na stole, Walerya poszła za nim. Tryumfowała ona. Teraz już niebezpieczeństwo przeszło. Hrabia musiał się przekonać że się omylił.

Wyglądał on gniewnie i ponuro. Walerya mierzyła go szyderczem spojrzeniem i widząc go zawsze jeszcze milczącego, przystąpiła do niego i rzekła obłudnie wśród łez:

— Czyś się już przekonał, że podejrzenie twoje było niesłuszne? — Musisz przecież przyznać, żeś w komnatach moich nikogo nie znalazł. — Nie pojmuję wogóle, skąd ci taka myśl przyszła; przypuszczam jednak, że mię ktoś przed tobą oczernił. Wiem nawet kto... nieprawdaż, że to była moja pokojówka?

Hrabia odpowiedział jej szorstko i pogardliwie:

— Nie! Dowiedziałem się z innej strony, że się ten hultaj do ciebie wsunął! Bądź też pewną, że on mi nie ujdzie. Jeżeli nie tu, to gdzieindziej go przyłapię.

— Może być, że on jest gdzieś w pałacu, ale daję ci słowo, że u mnie go niema — rzekła ona tonem skrzywdzonej niewinności. — Sądzę, że ci to oświadczenie wystarcza.

— Nie, ty mię podejrzywasz o schadzki z jakimś łotrem poza twoimi plecyma? — zawołała ona oburzona. — Tak żonę swoją obrażasz? Więc już do tego między nami przyjść musiało?

Padła na krzesło i zaczęła głośno szlochać. Lecz łzy jej nie wzruszyły hrabiego. Zdawało się, że demoniczna ta kobieta straciła całą władzę nad mężczyzną, któremu tak często i skutecznie dotychczas oczy zamydlała.

— Jeżeli tak jest rzeczywiście, jak mówisz, to dlaczego mnie zaraz nie wpuściłaś, gdy do drzwi zapukałem? Dlaczego mi nie odpowiadałaś i tak z otwieraniem zwlekałaś?

— Nie słyszałam zaraz. Byłam w sypialni i spałam — wykręcała się ona.

Hrabia wzruszył ramionami i odwrócił się.

— Będę dalej szukał — rzekł on. — I biada tobie, i temu zuchwałemu łotrowi, gdy go tu przyłapię!

Wyszedł on szybko, nie patrząc nawet na szlochającą Waleryę, W przedpokoju zatrzymał się i z kimś rozmawiał.

Z kim? Czy może z pokojówką?

— Nikt inny prócz tej fałszywej żmii zdradzić mnie ne mógł — jęknęła ona. Ale czekaj tylko, ty podstępne stworzenie! — Odczujesz ty moją zemstę! Co ja pocznę? O Boże, jak go stąd wydostanę? To jest rozpacz!

Przysunęła się drzwi i nadsłuchiwała.

W przedpokoju nikogo już nie było. Ale hrabia Edmund pewno porozstawiał straże. Jakżesz więc Ludwik stąd umknie?

— Może hrabia przywoła jeszcze na pomoc detektywa Wintera? Może i on komnaty jej przeszuka? A Winter znalazłby Ludwika!

Była ona tego pewna. O Boże! Wtedy wszystko byłoby stracone!

Trzeba go więc było stąd jeszcze przed nadejściem detektywa wytransportować. Zapukał on teraz w szafie. Chciał widocznie wyjść stamtąd, bo mu ciasno było, lecz Walerya nie zwracała na to uwagi i wyszła rezolutnie do przedpokoju.

Zastała tu pokojówkę pozornie śpiącą na kanapie.

— Frydo! — zawołała Walerya szorstko.

Dziewczyna ocknęła się, i swobodnie w twarz swej pani popatrzyła.

— Co ty tu robisz? Dlaczego spać nie idziesz? — zapytała Walerya.

— Hrabia Linderhof kazał mi tu czuwać — była jej odpowiedź.

— Dlaczego?

— Nie wiem, wielmożna pani!

— Z kim mój mąż tu rozmawiał?

— Ze służącym, który na korytarzu miał zostać.

— Tak? — syknęła Walerya, widząc że obawy jej nie były płonne. — A ty podła, nikczemna istoto, musiałaś mężowi memu zdradzić, że ja mam odwiedziny?

Pokojówka cofnęła się ostrożnie przed zbliżającą się do niej panią.

— Ja? — zawołała ona oburzona. — Ja panią hrabinę nie zdradziłam! Może kto inny ze służby tego obcego pana zobaczył i ekscellencyi doniósł.

Walerya była wprawdzie przekonana, że to było dzieło Frydy, nie spierała się jednak więcej z nią o tem.

— Idź do swego pokoju! — rozkazała ona. — Ja cię tu nie potrzebuję!

— Przepraszam panią hrabinę, ale wyjść nie mogę, gdyż drzwi są zamknięte.

— Ach, i to jeszcze! — zgrzytnęła Walerya zrozpaczona. — On mię zamknął? Cóż teraz będzie? W jaki sposób Ludwik wyjdzie?

Wróciła ona do sypialni i drzwi za sobą zaryglowała.

Otworzyła szafę i wypuściła z niej Ludwika. Był on na pół uduszony i drżał z trwogi i przerażenia.

— Słyszałem wszystko — wybełkotał on. — Nieprawdaż, że ja się stąd wydostać nie mogę?

— Nie! Hrabia pozamykał wszystkie drzwi i straż porozstawiał. — Jesteśmy oboje uwięzieni w tych pokojach. Nie ma teraz żadnej rady.

Ludwik załamywał ręce w rozpaczy. Widział on się już znów w więzieniu.

— A przecież ty stąd za każdą cenę ujść musisz! — zawołała Walerya rozpaczliwie. — W przeciągu pół godziny musisz być poza obrębem zamku, gdyż Winter wkrótce nadejdzie i za tobą szukać będzie.

— Detektyw? O, Boże! — jęknął Ludwik w śmiertelnej trwodze. — Jestem stracony i żadne schowanie się w szafę już mi nie pomoże. Ten szpieg mię z pewnością przyłapie.

— Nie! Tu się więcej skryć nie możesz — potwierdziła Walerya. — Ale w jaki sposób uciec? Czy przez okno?

Ludwik przyskoczył do okna i odchylił firankę.

—Zanadto wysoko — przestraszył się on. — Jakżesz się stąd wydostanę?

— To jest jedyna możliwa droga — zadecydowała Walerya. — Masz tu zresztą pod samem oknem drzewo które ci skok ułatwić może.

— Musiałbym mieć długi powróz.

— Zesztukuj to sobie z kap i portyer. Dość tu tego. Ale prędko, zanim cię detektyw zaskoczy, bo będzie zapóno.

Ludwik poszedł za radą Waleryi, i zrobił sobie z firanek długi sznur.

Wtem zadrżeli oni oboje i Walerya przyskoczyła do drzwi.

W przedpokoju wszczął się jakiś szmer. Zapukano do drzwi buduaru.

— To detektyw — szepnęła Walerya. — Muszę otworzyć, aby nie wzbudzić podejrzenia.

— Lecz sznur nie wystarcza — krzyknął Ludwik zrozpaczony. — Zaczekaj jeszcze chwilę.

Ona pchnęła go ku oknu.

— Spiesz się! Zeskocz, jeśli ci sznur nie wystarcza.

To rzekłszy, wyszła do buduaru, aby wpuścić detektywa.

Z odwagą rozpaczy przywiązał Ludwik sznur do framugi okna i wyskoczył.

CXLIV.

NOWE ROZCZAROWANIE.

W towarzystwie starego Karola weszli obaj urzędnicy policyjni do salonu, który leżał między komnatami Betliny i hrabiego Sinobrodego.

Oglądnęli się oni wokoło, lecz żaluzye były spuszczone i nie dopuszczały światła mimo, że na dworze dnieć już zaczęło. To tylko widzieli, że hrabiego Sinobrodego tu nie było.

— Jest on pewno w swoim pokoju — rzekł służący. — Może jeszcze śpi, gdyż w nocy czuwał.

Agenci podejrzywali jednak, że hrabia Sinobrody spostrzegł już niebezpieczeństwo i że się ucieczką uratować zechce. Postanowili więc odciąć mu drogę.

Dwóch z nich wybiegło na kurytarz i stanęli przy drzwiach sypialni Sinobrodego. Zastali je zamknięte ,ale stary sługa zaręczał im, że się te drzwi nigdy nie otwierały i że Sinobrody sam klucza do nich nie miał. Musiał jeszcze być w swoich apartamentach. To też oni tam na razie zostali na straży.

Reszta ich weszła do salonu i stamtąd dalej. Znaleźli pokoje próżne. Wreszcie musieli stanąć przed zamkniętemi drzwiami.

Postanowili czekać tu do przybycia Greifa, gdyż przypuszczali, że Sinobrody jest jeszcze w swojej sypialni i że im umknąć nie potrafi..

Godzina za godziną upływała, a detektyw nie przybywał. Było już południe.

Urzędnicy wytrwali na swoich posterunkach, lecz nie mieli odwagi wtargnąć do sypialni. Panująca tam cisza, nie wydawała im się podejrzaną. Przypuszczali oni, że hrabia Sinobrody śpi, albo umyślnie tak cicho się zachowuje.

W willi panowało wielkie zaniepokojenie.

Pani Martens dowiedziała się przez służącego, co się tam działo. Wiedziała już przedtem, że wujaszek z Betliną odjechał. Cóż się teraz stać miało? Wszyscy byli bezradni.

Po południu przybył Greif z Guenterem. Stara gospodyni wyszła wzburzona do nich i błagała ich o wytłumaczenie.

— Czy to prawda panie komisarzu, że to nie była prawdziwa hrabina Gertruda, i że ona tylko dlatego z wujaszkiem uciekła, że ta prawdziwa hrabina się zjawiła? — pytała ona.

— Tak jest moja pani. Prawdziwa hrabina Gertruda przybędzie tu za kilka godzin — odparł Greif poważnie.

Pani Martens i cała służba domu ogromnie się zdziwiła. Przeczuwali oni już prawdziwy stan rzeczy, lecz dopiero teraz mieli pewność.

Greif niemało był zaskoczony wieścią, że Betlina z wujaszkiem uciekła. Przeczuwał on, że to Betlina poznała niebezpieczeństwo i zaślepionego wujaszka do ucieczki namówiła. Użyła ona czasu nieobecności jego i Guentera do wykonania przebiegłego swego planu.

Spodziewał on się dowiedzieć o celu ich podróży, i wczas ich jeszcze przyłapać. Na razie myślał on jednak w pierwszym rzędzie o Sinobrodym. Tego przynajmniej już miał na pewno.

Tryumfował on już biegnąc ku apartamentom hrabiego. W przedpokoju zetknął się z agentami, którzy mu donieśli, że od samego rana sypialni Sinobrodego strzegli.

— Czy on jest tam? — spytał Greif zaniepokojony.

— Bezwątpienia, panie komisarzu — odparł pierwszy z nich. — Służący zapewniał nas, że hrabia nie opuścił jeszcze swojej sypialni.

Greif zbliżył się i zapukał. Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

Zapukał więc silniej i zawołał rozkazująco:

— Otworzyć!.. . W imieniu prawa!

— Co to ma znaczyć? — zapytał Greif zaniepokojony gdy i teraz jeszcze odpowiedzi nie otrzymał. — Czy on sobie może życie odebrał?

I zwróciwszy się do agentów rozkazał on:

— Przynieście narzędzia. Trzeba czemprędzej drzwi wyważyć.

Rozkaz jego prędko został wykonany. Po kilku minutach drzwi były otwarte.

Greif pierwszy wszedł do pokoju. Był on jednak pusty.

Hrabia Sinobrody znikł bez śladu.

Jak sparaliżowany stanął Greif nie mogąc pojąć tego co się stało. Nie było wątpliwości, że agenci jego w pole wywieźć się dali.

Zwrócił się on do nich i spostrzegł że ci nie mniej byli zaskoczeni co się stało. Zaczął robić im wyrzuty, lecz to postaci rzeczy nie zmieniło.

Uznał to i zabrał się do działania. Przedewszystkiem przeszukał pokój, cały dom i otoczenie. Nigdzie ani śladu zbiega nie znalazł.

Sinobrody uciekł mu z przed nosa. Rozpaczał on, lecz pocieszał się nadzieją, że go jeszcze przyłapie. Jego, Piotra i Betlinę... przebraną za hrabinę.

Wziął się szybko i ostrożnie do dzieła. Przypuszczał, że Sinobrody uciekł na razie na zamek Wildenfels, aby tam zabrać swoje kosztowności i skarby. Że jednak bezpośrednie ściganie uważał za bezcelowe, zatelegrafował do stolicy i do Wildenfels, aby go tam odszukano i uwięziono.

Potem zwołał Greif służbę i zaczął się wypytywać o Betlinę i wujaszka. Nikt nie wie-

dział dokąd ci wyjechali. Woźnica Henryk zawoził ich na dworzec, nie wiedział jednak więcej od innych.

— Pewno do Rosyi pojechali — zauważył woźnica. — Zdaje mi się, że coś podobnego słyszałem. A tego czarnego służącego zabrali pewno ze sobą, bo go tu więcej nie widzę.

Guenter stał tuż obok mówiącego, lecz ani woźnica, ani też nikt w domu nie byłby poznał. Nie nosił on już bowiem swego przebrania.

— Nie sądzę aby się oni do Rosyi udali — rzekł on. — Według mego zdania trzebaby szukać w Paryżu... w ojczyźnie przebranej hrabiny.

Tymczasem zapadł wieczór. Ze wzrastającą niecierpliwością oczekiwano przybycia prawdziwej Gertrudy, która tu z Aleksandrem miała przybyć. Greif mocno się zaniepokoił.

Dlaczego oni nie przyjeżdżali? Czy im się po drodze może co złego stało?

Myślał on o Sinobrodym i o Piotrze. Może ci im zaszli drogę i Gertrudę w moc swoją dostali?

Gdy się już ściemniać zaczęło, postanowił Greif naprzeciw nich wyjechać.

Wybrał się w drogę z Guenterem i chciał dojechać aż do wsi, w której Aleksandra z Gertrudą zostawił.

Po północy dopiero przybyli oni na najbliższą do tej stacyi, stąd było jeszcze kilka mil.

Greif poinformował się najpierw w tutejszym hotelu, ale tam ani Gertrudy, ani Aleksandra nie widzieli. Musieli oni więc jeszcze być we wsi.

Ale dlaczego? Co ich tam zatrzymało?

Nająwszy dwa konie pojechał Greif z Guenterem nadedniem do wioski.

Co się tam stać mogło? Czy zastanie on tam jeszcze Gertrudę i jej towarzysza.

— —— — —— — ——

Było to dla wszystkich mieszkańców willi zagadką, jak się hrabia Sinobrody mógł uratować, a przecież znikł bez śladu.

W chwili gdy agenci weszli do salonu, był on już w swojej sypialni, zamknął drzwi jej na klucz, zagarnął szybko wszystkie kosztowności, otulił się w długi ciemny płaszcz i włożył do kieszeni fałszywą brodę i stosowną do tego perukę.

Potem otworzył drzwi na kurytarz, na którym jeszcze nikogo nie było i słysząc za sobą pukanie do drugich drzwi, wysunął się z cichym szyderczym śmiechem z pokoju, i zamknął drzwi za sobą.

— Tak łatwo mnie nie złapiecie — mruknął on z tryumfem.

Włożył szybko perukę i brodę, tak aby go nie poznano, gdyż słyszał już zbliżające się kroki agentów, którzy drzwi sypialni z tej strony strzedz chcieli.

Udało mu się jednak jeszcze wymknąć niespostrzeżenie z domu i ogrodu.

Dokąd się teraz miał udać? Obawiał się, że go będą ścigać, a nie miał konia. Jakimże sposobem prędko się stąd wydostać?

— Na dworzec kolejowy — pomyślał. — Gdy do rannego pociągu zdąży, to będzie uratowany. Zachodziła wprawdzie obawa, aby mu drogę nie odcięli, ale nie miał on innego wyboru.

Biegł więc cichemi pustemi ulicami miasta ku dworcu, gdzie już pociąg stał gotów do odjazdu. Miał jeszcze tylko tyle czasu, aby wskoczyć do wagonu i niebawem znajdował się już za miastem.

Pewnym jeszcze jednak nie był i bał się, że go na każdej stacyi przyłapać mogą.

Po namyśle wysiadł on na jednej małej stacyi, bo mu niebezpiecznem wydawało się dalej jechać.

Wszedł do miasta, a było to tam, gdzie Piotr telegram do niego nadawał.

Może go tu jeszcze zastanie? Postanowił go szukać.

Pytał w dwóch hotelach, lecz nic tam o nim nie wiedziano. Był już pewno na zamku Wildenfels.

Sinobrody postanowił popędzić tam za nim i zasięgnąć jego rady co do przyszłości. Kupił konia i wybrał się w drogę. Po pewnym czasie dojechał do małej rozrzuconej wśród lasu wioski i stanął obok jednopiętrowej, starej gospody.

Było tu cicho i samotnie a gospoda stała odosobniona od reszty chatek. Słońce świeciło jasno i przedzierało się przez wierzchołki drzew. W trawie bawiły się dzieci. Gdzieniegdzie psy szczekały. Był to idylliczny obraz.

Sinobrody zeskoczył ze siodła, przywiązał konia do drzewa i wszedł do izby gospodniej.

Nie zastał tam nikogo, a gdy znów do sieni wyszedł, spotkał mężczyznę, w którym poznał swego służącego.

— Piotr! — zawołał on zdziwiony.

W pierwszej chwili cofnął się Piotr, gdyż nie poznał pana swego przez brodę i perukę. Dopiero głos jego przekonał go, że to rzeczywiście Sinobrody.

— Bogu dzięki! — zawołał on. — Więc dostał pan telegram mój i wczas się jeszcze uratował.

— Z ciężką biedą! — odparł Sinobrody ponuro. — Teraz wszystko stracone. Piotrze! Jakżesz to się stało, że oni wam Gertrudę wydarli?

— Licho ich wie, panie! — westchnął Piotr. — Detektyw nas musiał podpatrzyć.

— Ten przeklęty detektyw! — zgrzytnął hrabia Sinobrody. — Chciałbym się jeszcze na nim zemścić i na tej fałszywej żmii, tej nikczemnej Francuzicy.

— Czy pańska żona, Betlina, nas może zdradziła? — zapytał Piotr.

— Naturalnie! Uciekła ona mi prawie z pod nosa z tym starym Rosyaninem.

Piotr otworzył oczy i gębę ze zdziwienia, gdy mu Sinobrody powiedział jak się uratował i tu przybył.

— Czyś mnie tu oczekiwał? — pytał on służącego swego. — Czyś może zaraz na zamek Wildenfels chciał jechać?

— Chciałem, lecz się rozmyśliłem! — odparł Piotr. — Lepiej pozostać tutaj w tej odległej, ubocznej wiosce, bo oni nas na zamku pewno szukać będą. Byłbym panu telegrafował, tylko nie wiedziałem dokąd.

— Dobrze że nas przypadek znów złączył — wtrącił hrabia Sinobrody. — Co to są za ludzie tutaj? Czy głupi chłopi?

— Poczciwi ludziska, którzy Panu Bogu ducha winni! Powiedziałem, że jestem podróżującym kupcem. Sądzę, że pan to samo uczynić powinien!

Powiem lepiej żem handlarz koni — zauważył Sinobrody. — Gdzie jest gospodarz?

— W ogrodzie! Siedzi tam z żoną swą i córką!

— Dobrze. Zawołaj go! Zostaniemy tu na razie.

Gospodarz starszy, siwowłosy człowiek wskazał Sinobrodemu pokój obok komory Piotra. Mogli oni niespostrzeżenie być razem.

Siedli oni w pokoju Sinobrodego i dalej się naradzali.

— Co teraz począć? — spytał Piotr. — Chyba, że do Ameryki wyjechać, gdyż tutaj ani na chwilę pewni nie jesteśmy.

— Nonsens! Z czego tam będziesz żył? — irytował się Sinobrody. — Nie chcę tu wszystkiego puszczać.

— Cóż my tu jeszcze przedsięwziąć możemy? — pytał Piotr. — Nie śmiemy się przecież na świat Boży pokazywać. Detektyw zaraz by panu proces wytoczył i różne sztuczki pańskie udowodnił!

Hrabia Sinobrody mocno się zasumował.

— Masz słuszność! Nawet hrabina Gertruda nic by nam nie pomogła!

— Możemy być zadowoleni gdy nas nie przyłapią!

— Słuchaj Piotrze, ja mam plan! — rzekł Sinobrody zbliżając się do swego służącego. — Wiesz przecież sam, że nie mamy żadnego wyboru! Musimy wyjechać zagranicę!

— I ja to samo przecież powiedziałem! — wtrącił Piotr.

— Bez pieniędzy nie można się jednak w świat wybierać, a ty dobrze wiesz, że ja teraz nic nie mam. Jedźmy do stolicy, może nas tam siostra moja, hrabina Walerya czem wspomoże.

— Wątpię! — mruknął Piotr. — Co siostra pańska dla nas zrobić potrafi?

— Może nam poradzić i pomódz. Potem odszukamy starego hrabiego i zrabujemy jego miliony. Jest to jedyna deska nasza ratunkowa.

Piotr miał pewne wątpliwości. Zgodził się jednak w końcu na ten plan.

— Możeby jeszcze jednak wpierw spróbować żonę pańską Gertrudę w moc naszą dostać — radził Piotr. — Gdyby nam się udało, to byłaby wielka korzyść!

Hrabia Sinobrody chętnie się na to zgodził.

— Pewno! I ja to sobie myślałem — rzekł on. — Trzeba, by było Gertrudę zgładzić, a ta fałszywa żmija, Betlina, musiałaby za żonę moją Gertrudę uchodzić. Nie idzie to inaczej, mimo, że jabym się na tej nikczemnej kobiecie jak najchętniej zemścił. Uradźmy, jakby to Gertrudę w ręce nasze dostać?

Chodził on wzburzony tam i nazad po pokoju.

— Będzie to bardzo trudne — rzekł Piotr. — Hrabina Gertruda jest teraz z przyjacielem swym w niedalekiej stąd wiosce. Detektyw wyjechał zresztą naprzód, aby Betlinę uwięzić.

Sinobrody uśmiechnął się uradowany.

— Więc ona jest tu w pobliżu? — zawołał on.—Sama z kapitanem Brandenfeldem? Skąd ty to wiesz?

— Naocznie się o tem przekonałem! — oświadczył Piotr. — Uciekłszy z woza, schowałem się w lesie i skradałem się za oswobodzicielami Gertrudy, którzy wraz z nią do wsi zajechali. Widziałem tam też, jak detektyw z ludźmi swoimi i Ignacem do miasta konno po-

jechali. Gertruda miała z kapitanem wkrótce za nimi podążyć.

— Więc ich już pewno we wsi więcej nie będzie — zauważył Sinobrody.

Piotr wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Przed dwoma godzinami jeszcze tam byli. Przypuszczam że hrabina Gertruda zacho rowała, co by nie było dziwnem po tych odurzających środkach, któreśmy jej dawali.

— Jedźmy i przekonajmy się! — zawołał Sinobrody. — Jeżeli ona jeszcze tam jest, to ją z pewnością przyłapiemy. Szkoda tylko, że czarny Ignac uwięziony, on by nam teraz był potrzebny.

— Niestety! Spodziewam się jednak, że nas nie zdradzi.

— Detektyw wszystko już wie i trzebaby go wraz z kapitanem Brandenfeldem zgładzić, gdyż inaczej nie będziemy nawet mieli z tego korzyści, gdy hrabinę Gertrudę schwytamy.

— Dobrze panie, ale to nie takie łatwe! — odparł Piotr. — Byłoby to pewno lepiej, gdyby detektywa i kapitana już nie było. Gdybyśmy jednak hrabinę Gertrudę w moc naszą dostali, to niktby nam nie mógł dowieść, że ta Francuzica nie jest prawdziwą Gertrudą!

Sinobrody zgodził się wreszcie na to. Naradzali oni się jeszcze dość długo i wysunęli się z gospody późnym wieczorem, gdy wszyscy już spali.

Sinobrody wsiadł na swego konia a Piotr ukradł gospodarzowi wierzchowca ze stajni.

Dostali oni się niespostrzeżeni do lasu i popędzili ku wsi, gdzie się jeszcze Gertrudę zastać spodziewali.

Po godzinnej jeździe byli u celu. Zeskoczyli z siodeł, przywiązali konie swe do drzewa i dotarli ostrożnie do karczmy.

— Musimy mieć pewność — szepnął Sinobrody. — Wejdź Piotrze!

Bez wahania wsunął się Piotr na podwórze. Po chwili wrócił i rzekł:

— Wóz jeszcze stoi na podwórzu panie, widocznie i hrabina Gertruda jeszcze jest tutaj!

— Cicho! Co to ma znaczyć! — zawołał Sinobrody patrząc w stronę karczmy. — Czy cię może tam spostrzeżono?

W izbie gospodniej powstał rzeczywiście ruch. W oknach ukazało się światło.

Potem usłyszeli obydwaj otwierające się drzwi. Gospodarz wyszedł na podwórze i poszedł do stajni.

Hrabia Sinobrody zbliżył się do parkanu i zaglądnął przez szparę. Gospodarz zawołał na parobka i kazał mu osiodłać konia.

— Ten pan chce jechać po doktora, bo pani hrabina zachorowała! — rzekł gospodarz. Prędko się spraw, Fryc.

Po chwili zjawił się sam Aleksander na podwórzu i naglił do pośpiechu.

— On jedzie do miasta. Sposobność będzie korzystna! szepnął Piotr. — Pojedziemy za nim.

Hrabia Sinobrody dał służącemu znak, aby milczał.

W tej chwili wskoczył Aleksander na siodło. Parobek otworzył bramę i jeździec galopem popędził.

— Nim on wróci, to my Gertrudę stąd uprowadzimy! — rzekł Sinobrody. — A musimy ta tak cicho urządzić, aby nikt z obecnych nie spostrzegł. Zaczekajmy jednak jeszcze chwilę, nim się wszystko uspokoi.

Gospodarz wrócił do swej sypialni, a parobek do stajni. Po pół godzinie może wszedł Sinobrody z Piotrem na podwórze zbliżył się do tylnej części domu.

W domu wszyscy byli widocznie w głębokim śnie. Tylko z jednego okna przezierało światło, tam musiała mieszkać Gertruda.

— Jak się do środka dostanimy? — mruknął Piotr. — A gdy nas hrabina zobaczy wskakujących, to okropnego krzyku narobi.

— I pewno jeszcze ktoś jest przy niej! — zauważył Sinobrody. — Czy nic nie słyszysz?

Piotr przyłożył ucho do okienicy i nadsłuchiwał.

— Tam ktoś być musi, bo rozmawiają! — szepnął on.

W tej chwili usłyszeli oni głośny okrzyk. Okienice rozwarły się ze stukiem a w otwartym oknie okazała się Gertruda w nocnym białym stroju. Była śmiertelnie blada a oczy miała w słup obrócone i wyglądała jak duch. Z ust jej wyrywały się jakieś niezrozumiałe, niepowiązane ze sobą słowa.

Przestraszeni cofnęli się Sinobrody z Piotrem w krzaki bzu, tuż pod oknem.

— Ona mówi w gorączce! — szepnął Piotr. — Nie widziała nas!

— Wygląda jak gdyby w gorączce swej z okna wyskoczyć chciała! — mruknął Sinobrody. — To by nam na rękę było!

Gertruda wychyliła się rzeczywiście i byłaby wyskoczyła, gdyby nie żona gospodarza, która ją za plecy chwyciła i do pokoju wciągnęła.

Zamknęła ona znów okienice. Hrabia Sinobrody zawiódł się w swoich nadziejach.

— U licha! Co teraz zrobimy, Piotrze? — mruknął on niechętnie.

— Czekajmy jeszcze chwilę! — radził Piotr. — Gospodyni się pewno wnet położy, a wtedy my otworzymy po cichu okienice i wskoczymy do środka!

Upłynął pewien czas, Sinobrody okropnie się niecierpliwił. Aleksander wróci pewno wkrótce z lekarzem z miasta, a wtedy wszystko będzie przepadłe!

— Naprzód! — mruknął on do swego służącego. — Zwlekanie nie ma sensu!

Wysunęli się odważnie z poza krzaków i Piotr oglądnął okienice. Otworzył je potem lekko i bez szmeru, tak że wygodnie do pokoju mógł zajrzeć.

Na stole stała lampa, a w pokoju nie było nikogo, prócz Gertrudy, która prawie nieprzytomna na łóżku siedziała.

Drzwi do sąsiedniego pokoju były jednak odchylone; tam musiała być gospodyni.

Zarówna Piotr jak i Sinobrody byli tem zaniepokojeni.

Co to zrobić, aby ich gospodyni nie zaskoczyła? Najmniejszy szelest mógł ją tu sprowadzić.

Wtem podniosła się Gertruda z łoża i zaczęła jak lunatyczka chodzić tam i nazad po pokoju.

Z zapartym oddechem śledzili oni jej ruchy. Sinobrody zadrżał mimowoli, gdy się upiorowata postać Gertrudy do okna zbliżać zaczęła. Cofnął on się, a Piotr poszedł za jego przykładem.

Gertruda przystąpiła do okna i popatrzyła w niebo. Była jednak jak gdyby we śnie i mimo otwartych oczu zdawała się nic nie widzieć.

— Sinobrody!... Morderca!... Oto stoją trumny!... wyrywało się z drżących jej ust. Wyciągnęła ona ramiona i lamentowała, jak gdyby wszystko przed sobą wdziała. — Ty je wszystkie zamordowałeś! Nieszczęśliwe twoje żony! A tu mój ojciec... krwawy trup jego!... O mój Boże! Ty okrutny szatanie! Morderco! — wołała ona głośno.

Piotr wpatrywał się w nią z przerażeniem. Opancwała go zabobonna trwoga.

— Ona oszalała, panie! — szepnął Piotr drżącemi usty.

Hrabia Sinobrody nic nie odpowiedział, lecz na słowo "morderca" drgnął na całem ciele.

— Schwytajmy ją! Prędko, nim gospodyni nadejdzie! — szepnął on.

Piotr przyskoczył do niej i złapawszy ją równocześnie z Sinobrodym przez okno ją przesadził.

Gertruda ocknęła się ze swego snu i przeraźliwie krzyknęła. W tej chwili wszczął się w domu ruch.

— Uciekajmy czemprędzej! — zawołał Sinobrody i skoczył z Gertrudą na rękach ku bramie.

CXLV.

W POCZUCIU WINY.

Gdy Walerya otworzyła drzwi swego buduaru, stanął mąż jej, hrabia Edmund, przed nią.

Za nim ukazał się detektyw Winter a w przedpokoju widać było dwu jeszcze mężczyzn, którzy również wyglądali na detektywów.

Pozwolisz, że przeszukam w obecności pana komisarza raz jeszcze twoje komnaty! — rzekł hrabia zimno i stanowczo.

Walerya udawała zimną krew, mimo że w duchu ginęła z trwogi i że sobie zapóźno przypomniała przymocowany do okna sznur, po którym się Ludwik na dół zsunął.

Wyprostowała ona się dumnie i rzuciła na Wintera nienawistne i pogardliwe spojrzenie.

— Nie sądziłam, że bezwzględność swoją posuniesz tak daleko, aby nawet policyę do apartamentów moich sprowadzać! — rzekła ona obrażona i zmartwiona. — I do tego jeszcze wśród nocy.

Stanęła tak jak gdyby ich wpuścić nie chciała, lecz hrabia postąpił niecierpliwie naprzód, i rzekł rozkazująco:

— Proszę cię, wpuść nas!

Walerya cofnęła się z dumnym ruchem głowy.

— Ustępuję przemocy — rzekła ona. — Szukaj więc ile chcesz! Nie znajdziesz przecież nic, coby podejrzenie twoje usprawiedliwić mogło.

Hrabia Edmund skinął na detektywa, którego groźne spojrzenia Waleryi nie wzruszały.

Weszli oni obaj do budoaru. Nim jednak jeszcze dalej dojść mogli, wyprzedziła ich Walerya i wbiegła do sypialni, aby usunąć z okna sznur, na którym się Ludwik na dół spuścił.

Zręcznym skokiem znalazła się Walerya przy oknie. Wyciągnęła z kieszeni nożyce, i odcięła sznur, który spadł ze dworu na ziemię.

Potem zamknęła okno, i zaciągnęła firanki. Gdy hrabia wszedł z detektywem do sypialni, zastali ją już stojącą spokojnie na środku pokoju, i przyjęła śmiałych intruzów z miną obrażonej królowej.

Milcząc, przeszukał Winter każdy kącik sypialni, wiedział jednak z góry, że to będzie bezowocne, gdyż zachowanie się Waleryi jasno mu mówiło, że ona się niczego nie obawia.

Gdyby zaś Ludwik tu był schowany, nie byłaby ona mogła ukryć pewnego zmieszania.

Hrabia ze swojej strony pewny był, że Winter zbrodniarza tu znajdzie, to też mocno się rozczarował, gdy poszukiwania detektywa pozostały bez skutku.

— Musiałem się pomylić! — wycedził on zniechęcony. — Daremnie pana trudziłem.

— Łotr ten musiał widocznie uciec! — rzekł Winter, patrząc z ukosa na Waleryę. — Nie ma wątpliwości, że on tu być musiał!

Ale w jaki sposób mógł stąd uciec, kiedy ja tak każde wyjście obsaczyłem — zawołał hrabia Edmund wzruszając ramionami. — Chyba że w pokojach tych rzeczywiście wcale nie był! To mi jest zagadkowe! — dodał on jakby do siebie.

Walerya tryumfowała w duchu, gdy spostrzegła, że się hrabia nawet trochę wahać zaczyna. Podeszła ona go wraz z tym nienawistnym detektywem.

Była ona zanadto mądra, aby się teraz uniewinniać. Nie chciała się wobec Wintera na upokorzenia narazić.

— Pomówimy jutro jeszcze o tej sprawie! — rzekł hrabia Edmund chłodno.

— Dobranoc!

Walerya odpowiedziała tylko skinieniem głowy. Hrabia Edmund wyszedł ze swym towarzyszem.

W przedpokoju przystąpił Winter do pokojówki i zapytał:

— Czy ten człowiek był u waszej pani, czy nie?

— Tak jest, on tu był! — odparła ona bez namysłu i dodała błagalnie: — Proszę mię jednak nie zdradzić, panie komisarzu, bo wielmożna pani i tak mnie podejrzywa.

— Dość mi wiedzieć, że on tu był — odparł Winter. — Bądźcie spokojne, ja was nie zdradzę. Powiedzcie mi tylko jeszcze, jakim sposobem łotr ten stąd się mógł wymknąć!

— Nie wiem! Byłam pewna, że on jeszcze jest w komnatach pani hrabiny.

— Nie, niema go. Musiał więc uciec, albo jest tu może jaki tajemny schowek. — Czy ty o nim nic nie wiesz?

— Nie!

Winter wyszedł za hrabią, który już był w swoich apartamentach, a ludziom swoim nakazał nie ustępywać ze swoich posterunków.

Ledwo się oddalił, otworzyła Walerya drzwi do swego buduaru i zawołała pokojówkę.

— Przynaj się Frydo, żeś mnie zdradziła! — rzekła ona ostro i stanowcza. — Powiedziałaś mężu memu, że ten hultaj tu był. Nie wypieraj się!

— Doprawdy że nie, pani hrabino! — zapewniała ją dziewczyna, która mimowoli zadrżała pod gniewnym, demonicznym wzrokiem swej pani.

— Nie wierzę ci, ty żmijo!—zawołała Walerya dziko. — Czy to jest twoja wierność i uległość względem mnie? Zapomniałaś, że los twój jest w moim ręku. Jedno moje słowo, a grozi ci więzienie! I ty się odważasz tak podstępnie mnie podchodzić? Cierpliwość moja z tobą sę skończyła. Odpokutujesz ty mi tę zdradę i poczujesz moją zemstę! Jutro zawołam detektywa i do aresztu cię oddam! Nie, dziś, w tej chwili jeszcze!

Postąpiła ona drżąc ze złości ku drzwiom, aby kogoś ze służby za Winterem posłać.

Pokojówka patrzyła za nią z przerażeniem. Nim Walerya jednak drzwi otworzyć mogła, pobiegła ona za nią i zagrodziła jej drogę.

— Litości, wielmożna pani! — błagała ona za nią i zagrodziła jej drogę.

— Przysięgam pani hrabinie na wszystko, co mi jest święte, że ja pani hrabiny nie zdradziłam i hrabiemu o bytności tego człowieka nic nie mówiłam!

— Czy i tego listu, który mi zginął wtedy, detektywowi nie wręczyłaś? — krzyczała Walerya oburzona. — Żałuję tylko, żem cię wcześniej nie uczyniła nieszkodliwą. Nie wyj, bo to mnie nie wzrusza.

Odtrąciła ona i lamentującą dziewczynę gniewnie na bok i wyszła na kurytarz. Nikogo tam nie zastała. Zanim jednak jeszcze dalej pójść mogła, padła jej pokojówka do nóg i kolana jej objęła.

— O, niech mię wielmożna pani nie unieszczęśliwia! — błagała ona. — Ja jestem niewinna. To nie ja panią hrabinę zdradziłam, lecz jakiś służący, którego hrabia postawił na straży. Proszę mię nie wtrącać do więzienia! Wolę raczej śmierć, niż...

— Owszem, pójdziesz tam ty nikczemnico! — groziła jej Walerya nielitościwie. — Już jako morderczyni swego dziecka. Byłabym cię oszczędzała i jeszcze do tego suto wynagrodziła, ale tak nie mam dla ciebie miłosierdzia.

—Czyż nie spełniałam zawsze ślepo życzeń pani hrabiny? — lamentowała pokojówka dalej. — Czyż nie usunęłam małego Waltera Rambowa?

– Kto wie, czyś mnie i tu nie oszukała! —

odparła Walerya ponuro. — Mam wielkie co do tego podejrzenie!

— Nie, nie! — zawołała Fryda żywo. — Dziecko to jest na zawsze z drogi usunięte! Ja panią nie oszukałam! Mogłabym była już wiele zdradzić, gdybym chciała — o hrabinie Agacie naprzykład...

— Ha! Więc ty i o niej wiesz? — szepnęła Walerya blednąc.

— Wiem, że hrabina Agata była ze swą służącą w zamku leśnym! — rzekła Fryda z naciskiem, podczas gdy z klęczącej swej pozycyi wstawała. Stanęła ona rezolutnie przed swą panią i odezwała się groźnie:

— Jeżeli mnie wielmożna pani każe odprowadzić do więzienia i o morderstwo mego dziecka oskarży to i ja opowiem wszystko co wiem o pani hrabinie! A ja dużo wiem... Stare historye jeszcze!

Walerya bardzo się zaniepokoiła, lecz szybko się opanowała i zjadliwie się zaśmiała.

— A cóż ty właściwie wiesz? — syknęła ona.

— Wiem dość, aby módz zgotować los, który pani dla mnie obmyśliła — była zgryźliwa jej odpowiedź.

— Ty mnie? — śmiała się Walerya. — Czem właściwie?

— Wystarczy, jeżeli opowiem w jakim stosunku pani stoi do hrabiego Sinobrodego — odpowiedziała dziewczyna stanowczym głosem —Mogłabym też zdradzić, kto zamordował barona Jakóba, i kto go zamordować kazał. Ale i to jeszcze nie wszystko. Wiem też, kto jest ten człowiek, który tu był u pani.

Walerya zbladła i drżała z przerażenia.

Pokojówka jej znała wszystkie jej tajemnice, i mogła ją zgubić, jeżeliby chciała. Czuła ona, że ma w niej nieprzyjaciółkę, wobec której jest zupełnie bezsilna, i dzika wściekłość ją opanowała.

— Więc ty mię zawsze szpiegowałaś? Podsłuchiwałaś pode drzwiami? — zgrzytnęła ona gniewnie. — O, ty podstępny wężu! Lecz twoje groźby mię nie zastraszą!—Spróbuj wystąpić przeciwko mnie! Kto ci uwierzy?

— Owszem, będą mi tyle wierzyli, co pani!

— Wiem teraz, że masz tajemne stosunki z detektywem, i że on się od ciebie o pobycie moim w zamku leśnym dowiedział. To ty mu wszystko zdradzasz! Przyznaj się, nikczemnico!

Walerya rzuciła się dziko na stojącą przed nią dziewczynę, i złapawszy ją za plecy, gwałtownie nią wstrząsała.

— Ja? Ja doprawdy nie wiem, od kogo się detektyw o wszystkiem mógł dowiedzieć— uniewinniała się Fryda, starając się z rąk hrabiny uwolnić.

— Ależ ja wiem, że to ty mnie zdradziłaś — syknęła Walerya. — Znam cię teraz na wylot, jakie z ciebie ziółko. Nie myśl tylko że z tych podsłuchanych tajemnic będziesz mogła przeciwko mnie broń ukuć. — Biada ci, jeżeli tylko jedno słówko przez usta twoje przejdzie. —Jeżeli tyle wiesz, to musisz też wiedzieć, jak ja sobie postępuję z tymi, którzy mi wrogo w drogę wchodzą!

— Nie myślę nawet o tem, aby panią zdradzić — usprawiedliwiała się dziewczyna. — Jeżeli pani mnie oszczędzi, to i ja będę milczała.

— Kto mi jednak zaręczy, że słowa dotrzymasz i nie zdradzisz mię jutro znów tak, jak mię dotychczas zdradzałaś?

— Powtarzam raz jeszcze, że to nie ja zdradzałam! Detektyw ma przecież wszędzie swoich szpiegów, którzy mu wszystko donoszą Od nich się więc o tem musiał dowiedzieć.

Walerya umilkła i weszła do buduaru. Pokojówka wsunęła się tam za nią.

Przez kilka sekund chodziła Walerya tam i napowrót po pokoju, aby się uspokoić i przyjść do jakiegoś postanowienia.

Co teraz miała począć? Nie dowierzała ona Frydzie, lecz nie mogła przeciwko niej teraz wystąpić, bo ją koniecznie potrzebowała.

— Uznasz Frydo, że nie mogę do ciebie więcej mieć zaufania — przemówiła ona chłodno. — Jeżeli więc chcesz ze mną żyć w zgodzie,to musisz mi wpierw udowodnić, że masz teraz względem mnie dobre zamiary. Pamiętaj tylko to: że jesteś stracona, skoro tylko najmniejszy fałsz ze strony twej spostrzegę! Nie zapominaj o tem!

Pokojówka uśmiechnęła się szyderczo. Nie bała się ona tej groźby.

— Niech wielmożna pani będzie przekonana, że ja obowiązek swój wiernie i rzetelnie spełnię — odpowiedziała ona obłudnie.

— Dobrze, zobaczę. Czy mąż mój, albo detektyw jeszcze się o coś poprzednio pytali?

— Tak jest, detektyw Winter!

— Co on chciał wiedzieć?

— Chciał wiedzieć, czy ten obcy mężczyzna jeszcze się tu znajduje.

— A coś ty odpowiedziała?

— Że nie wiem!

— Czyś nie mówiła, że wiesz coś o jego bytności?

— Nie! — kłamała pokojówka.

Walerya umilkła na chwilę. Niedowierza-

ła ona Frydzie, lecz się z tem nie zdradzała.

— Czy się nie dziwisz, że tego człowieka już tu nie ma? — zapytała ona znienacką.

— Czyż go doprawdy nie ma? — dziwiła się Fryda.

— Gdyby był, toby go detektyw był odkrył.

— To jest nie do pojęcia — mruknęła pokojówka. — On przecież nie mógł stąd wyjść!

Walerya zaśmiała się ironicznie.

— Przez drzwi pewno nie, ale przez okno.

— Ach! — zawołała Fryda zdziwiona.

— Zejdź na dół! — rozkazała jej Walerya — Pod mojem oknem leży sznur, po którym on się spuścił. Przynieś go na górę, aby go nie znaleziono.

A może detektyw już go zabaczył?

— Nie! Bo inaczej byłby znów na górze. Ale biada ci, jak będziesz paplała! — zagroziła jej Walerya. — Biegnij i bądź ostrożna, bo ja cię będę obserwowała!

To mówiąc, otworzyła okno od sypialni i wychyliła się.

Po chwili zobaczyła skradającą się tam pokojówkę, i dała jej znak, aby się spieszyła.

Dziewczyna schyliła się i szukała.

— Nie ma tu nic — rzekła ona po chwili.

Walerya przeraziła się.

— Czyżby sznura rzeczywiście nie było? Kto go mógł znaleźć. Czy może detektyw, albo który z jego agentów!

— Szukaj dalej! — krzyknęła ona. — Musi on tam być?

Pokojówka znów się schyliła i szukała, lecz daremnie.

— Może go Ludwik ze sobą zabrał — pomyślała Walerya i uspokoiła się tą myślą.

Nazajutrz miała ona z mężem znów długą konferencyę i zdołała odwieźć go od jego przekonania.

Było to pewne, że Ludwik był w pałacu. Ale czy Waleryę odwiedził? Tego hrabia wiedzieć nie mógł.

Walerya odetchnęła lżej i badała, czy kto ze służby zamkowej sznura tego nie znalazł. Lecz się tego dowiedzieć nie mogła.

W każdym razie szczęśliwie to przeszło. Ludwik umknął, i teraz pewno na życie detektywa czyhać będzie.

— Skoro tylko Winter zostanie usunięty, to będę bezpieczna — pocieszała się Walerya i tryumfowała w duchu. — Agata już nie żyła i dziecko jej także zginęło.

Oczekiwała ona niecierpliwie wieści od Ludwika, czy mu się ucieczka udała.

Około wieczora, gdy się już dobrze ściemniło, zarzuciła Walerya długi czarny płaszcz, zawelonowała się gęstą woalką i opuściła pałac, nie mówiąc swej pokojówce nic o tem.

Pobiegła ona na główną pocztę, aby zobaczyć, czy tam nie ma dla niej od Ludwika listu poste-restante.

Gdy wchodziła przez portal, uczuła nagle że ją ktoś za ramię chwyta. Oglądnęła się przestraszona i zobaczyła przed sobą jakiegoś starszego mężczyznę o długiej siwej brodzie i złotych okularach.

Wydawał on się zupełnie obcy. Zapytała więc zdziwiona i zafrasowana:

— Kto pan jest i czego pan odemnie chce?

— Ależ, moja kochana Waleryo! — odezwał się znany jej głos. — Czyż mię doprawdy nie poznajesz?

— Ludwik! — krzyknęła ona.

— Naturalnie, że to ja!

— Nie byłabym cię poznała! Jak to świetnie, że się tu spotykamy! — zawołała ona uradowana i wsunęła się z nim w kąt, aby módz swobodnie porozmawiać.

— Chciałam się dowiedzieć, czy jest list od ciebie! —oświadczyła Walerya.

— Ja chciałem właśnie list do ciebie nadać! — odparł Ludwik.

— Powiedzże mi teraz wszystko ustnie — badała ona. — Czyś już zgładził detektywa?

— Jeszcze nie, gdyż sprawa nie tak jest łatwa, moja kochana!

— Ja wiem o tem, lecz pospiech tu jest konieczny — nalegała ona. — Ten człowiek jest dla nas obu okropnie niebezpieczny. Dopiero gdy się go pozbędziemy, będziemy mogli swobodnie w przyszłość patrzeć.

— Tak jest, ale...

— Nie rób żadnych trudności! — wtrąciła gwałtownie. — Musisz to już dla siebie zrobić. Czy chcesz się przez niego dostać do więzienia? Pomyśl, z jaką trudnością się wczoraj przed nim uratowałeś!

— A co było wczoraj, po mojej ucieczce?

— Nic! Detektyw szukał daremnie, a mąż mój przekonany, że ciebie u mnie nie było! Co się jednak ze sznurem stało? Czyś go ze sobą zabrał? Bo ja go odcięłam i spuściłam!

— Nie! — zawołał Ludwik przelękniony. — Nie czekałem przecież i natychmiast przez park na ulicę wybiegłem. Na szczęście nikogo z ludzi detektywa tam nie było!

W takim razie nie pojmuję, co się ze sznurem stać mogło.

— Detektyw go pewno znalazł — zaniepokoił się Ludwik.

— Nie byłby on w takim razie milczał! —

oponowała Walerya. — O Boże, gdyby się tak dowiedzieć można było! Badałam już, ale daremnie.

— To niebezpieczna historya! — zaniepokoił się Ludwik. — Może ci znów pokojówka twoja figla spłatała?

— Spłatała ona! — syknęła Walerya zawistnie — ale nie ze sznurem. Wie ona już zanadto wiele z moich tajemnic i trzeba pomyśleć nad sposobem pozbycia się jej, tego niebezpiecznego szpiega.

— Hm! To trudno — mruknął Ludwik Hecht. — Nieraz zjawiają się niespodzianie ci, o których się myślało, że już nie żyją.

Mówił on to dziwnym tonem.

— Co masz na myśli? — zaniepokoiła się Walerya.

Ludwik oglądnął się wokoło, jak gdyby się obawiał, że go ktoś podsłucha. Gdy zobaczył że nikogo w pobliżu nie ma, szepnął jej kilka słów na ucho.

Wywarły one widocznie straszne wrażenie, gdyż Walerya gwałtownie zadrżała, a twarz jej zbladła pod woalką jak kreda. Zatoczyła ona się wstecz, jakby zniszczona, jęknęła zdławionym głosem:

— To niemożliwe! To nie może być prawdą!

— Więc chodź i przekonaj się! — rzekł Ludwik. — Ja się nie mogłem omylić.

Walerya bliską była omdlenia ,opanowała się jednak z trudnością.

— Chodźmy! — rzekła ona ochryple i desperacko. — Chcę mieć pewność. Cóż jednak będzie, jeżeli to prawda? O, Boże mój!

Oparła się o jego ramię, gdyż kolana się pod nią uginały.

Ludwik wyprowadził ją szybko na ulicę i poszedł z nią w stronę przedmieścia.

Zboczyli oni w ulicę, gdzie mieszkała Marta z modystką i gdzie się obecnie Agata z dzieckiem swem i Delią ukrywała.

Ulica ta była ciemniejsza i bardziej pusta od innych. Spotkali oni jednak tam niebawem mężczyznę, w którym Walerya niezwłocznie poznała doktora Kloca.

Było więc zapóźno wywinąć się mu. Walerya zwróciła się na bok, aby twarz ukryć, i naciągnęła kapuzę z płaszcza na głowę.

Doktór popatrzył na nią bystro, lecz rysów jej nie poznał. Poszedł o kilka kroków dalej, potem stanął nagle i oglądnął się.

Walerya zadrżała z trwogi.

Jeżeli ja doktór Kloc poznał, to się zaraz domyślił, dokąd ona zdążała.

Ludwik oglądnął się i spostrzegł że doktór zawsze jeszcze za nimi patrzy.

— Widocznie cię poznał! — rzekł on zaniepokojony. — Gotów jeszcze pójść za nami. Co za fatalność, że on nam właśnie teraz musiał wejść w drogę.

— Zboczmy w inną ulicę — radziła Walerya. — Może go to zmyli.

Skręcili na rogu i Ludwik się odwrócił. cił.

— On idzie dalej swoją drogą! — zawołał tryumfująco. — Nie potrzebujemu nawet teraz zbaczać.

Zaczekali jeszcze kilka minut, potem wrócili. Doktora Kloca nigdzie już nie było.

— Gdzież ten dom? — spytała Walerya zdławionym głosem.

— Tutaj — odparł Ludwik, stojąc przed domem modystki.

Walerya oparła się o sztachety ogródka i spojrzała w zamknięte okiennice, przez które przezierało światło, serce gwałtownie jej zabiło.

— Nie mogę w to jeszcze uwierzyć — jęknęła ona.

— Ależ ja cię zapewniam, żem się nie omylił — odparł Ludwik. — Widziałem tu dziś w ogródku Martę z małym Walterem, gdy popołudniu tędy przechodziłem. Poznałem ją na pierwsze wejrzenie a po chwili spostrzegłem Delię, tę indyjską służącą Agaty.

— Doprawdy czy to rzeczywiście była ona?

—Tak jest. Wyraźnie ją widziałem, omal że mię szlak nie trafił.

— To nie do uwierzenia — mruknęła Walerya — Przecież one się nie mogły z płomieni wyratować.

— Mój Boże! Tu fakta mówią — rzekł Ludwik niecierpliwie. — To jest dla mnie samego zagadką. Oglądnąłem się jeszcze za dziewczyną, gdy w bramie domu znikała. Czy teraz jeszcze wątpisz, że one obie żyją?

— Obie? — jęknęła Walerya. — Czyś także i Agatę widział?

— Nie, ale muszę przypuścić, że one się obie uratowały — rzekł Ludwik gniewnie. — Chciałem ci to zaraz donieść... widzisz więc, że jestem wobec ciebie rzetelny. Wiadomość ta pozbawia mię bowiem mej nagrody — dodał on z goryczą.

Walerya nic nie odpowiadała. Wpatrywała się tylko płomiennym wzrokiem w okienice, jakgdyby je wzrokiem prześwidrować chciała i jęknęła rozpaczliwie.

Nagle otworzyła ona furtkę i weszła do ogrodu.

— Dokąd idziesz — zawołał Ludwik zaniepokojony.

Lecz Walerya nie zwróciła na to uwagi. Przystąpiła do okna i starała się przez szparę do środka zaglądnąć.

Nie pomogło jej to wiele, gdyż firanki były zaciągnięte.

Wtem usłyszała ona znany sobie głos... głos Agaty.

Teraz znikły ostatnie jej wątpliwości, a przekonanie, że Agata jeszcze żyje, miażdżąco na nią podziałało.

— Tak jest! Agata, którą miała za umarłą, siedziała tam, i była pod opieką wiernych i oddanych jej przyjaciół.

Szał wściekłości ogarnął Waleryę.

Więc wszystkie jej zamachy pozostały bezcelowe Agata żyła i pewno wrogo teraz przeciwko niej wystąpi.

Może nawet hrabia Edmund już o wszystkiem wie. Doktor Kloc był tu przecież i musiał Agatę widzieć i z nią rozmawiać. Jeżeli detektywa o tem uwiadomi, to on się pewno za Agatą ujmie.

Walerya widziała się zgubioną. Przeczuwała straszny swój koniec.

Opanowała ją dzika, szalona wściekłość. Mogła była wpaść tam jak bomba i zdławić tę nienawistną kobietę własnemi rękoma.

Czyż miała ona uledz w walce z Agatą? Czyż nie było dla niej żadnego wyjścia?

Od ulicy słyszeć się dały kroki. Lecz Walerya nie spostrzegła tego i stała tam dalej, jak gdyby skamieniała.

— Chodź prędko stąd — szepnął jej Ludwik. — To pewno doktór wraca. Walerya się przestraszyła. Zacisnęła jeszcze tylko pięści w stronę okna i wybiegła na ulicę.

— Uciekajmy czemprędzej — szepnął Ludwik. — To pewno doktor Kloc.

Przesunęli się na drugą stronę ulicy nie oglądając się nawet po za siebie.

Wreszcie zapytała Walerya zdławionym głosem:

— Czy uczynisz teraz wszystko, co od ciebie zażądam? Czy odwrócisz odemnie grożące mi niebezpieczeństwo?

Złapała go za ramię i popatrzyła mu badawczo w oczy.

— Naturalnie, że ci pomogę, o ile będzie w mojej mocy — zapewniał ją Ludwik. —Nie widzę jednak, co by się teraz jeszcze przeciwko hrabinie Agacie uczynić dało!

— Wracajmy do twego domu i radźmy— rzekła ona. — Mam plan, który tam u ciebie bez przeszkody będziemy mogli rozpatrzeć.

— Nie wiem! — zawahał się Ludwik. — My nigdzie więcej bezpieczni nie będziemy. Co zaś do planu twego przeciwko Agacie, to muszę ci powiedzieć z góry, abyś na mnie nie liczyła. Weź brata swego, Sinobrodego, na pomoc, on tu najwięcej dla ciebie zrobić może!

Zatelegrafuję dziś jeszcze do niego, ale i bez twojej pomocy obejść się nie mogę — odpowiedziała, ona tonem, który nie znosił oporu. —Jeżeli się na to nie zgodzisz, to wraz zemną zginiesz. A jeżeli ja teraz ulegnę, to będzie to z twojej winy. Gdybyś się był w zamku leśnym ostrożniej sprawił, to Agata nie byłaby dziś żyła.

Ludwik nie zważał na jej wyrzuty, musiał jednak uznać, że pogrom Waleryi i jego zgubę sprowadzić musi. Udawał więc na razie, że się na wszystko godzi, był ciekaw na plan Waleryi. Mógł się przecież zawsze cofnąć, o ile by mu niewygodne było.

Biegli oni szybko w stronę hotelu w którym Ludwik mieszkał.

Gdyby Walerya była wiedziała jakie postanawienie powzięła w tej chwili Agata ze swoimi przyjaciółmi, to byłaby zadrżała.

Nie przeczuwała, jak blizkim był jej koniec i zajęła się cała planami zemsty wobec swych przeciwników.

CXLVI.

W MOCY SINOBRODEGO.

Pełen niepokoju zbliżał się Greif z Günterem do wsi, którą wreszcie o brzasku dnia zdaleka zobaczyli.

Obrali oni krótszą drogę. Greif jechał pierwszy wązką ścieżynką. Günter postępował za nim. Obaj spostrzegli równocześnie w piasku świeże ślady kopyt końskich. Musiał tu więc już przed nimi ktoś jechać.

Niebawem dojechali do rzeczki, która się tu w różnych kierunkach wężowato wiła i przebyli powoli wązki, drewniany most.

Byli teraz w wązkim, głębokim wąwozie. Greif przejeżdżał go ostrożnie i badawczo się wokoło oglądał.

Wtem pociągnął za cugle i zatrzymał się przerażony.

Przed nim na ziemi leżało duże, ciemne jakieś ciało, które w ciemności poznać nie było można.

— Co to jest Günterze?—zawołał on, wskazując na leżący przedmiot.

Zbliżył się do niego z Günterem i poznał, że to był martwy koń.

Zeskoczyli oni obydwaj szybko ze swych siodeł i zaczęli go oglądać.

— Skąd się ten koń tu wziął? Czy padł ze swym jeźdźcem i gdzie się ten jeździec mógł podziać?

— Ten koń mi jest znany — rzekł Günter po chwili. — Czy nie jest to wierzchowiec kapitana Brandenfelda?

— Słusznie! I ja go teraz poznaję — potwierdził Greif. — Co się tu stać mogło? Czy kapitan miał tu jaki nieszczęśliwy wypadek?

Oglądnął się bystro wokoło, lecz nie spostrzegł nic prócz ciemnych krzaków na lewo i prawo od drogi.

Günter oglądał tymczasem martwego konia. Wreszcie rzekł wzburzony:

— Tu jest krew! Koń został zastrzelony! Nie jest to nieszczęśliwy wypadek, lecz zbrodnia!

Przerażony zbliżył się Greif do niego i znalazł obok konia jakiś kapelusz. Ledwo go jednak oglądnął, wydał okrzyk zdziwienia.

— To jest kapelusz kapitana Brandenfelda! — rzekł on wiedziony dziwnem przeczuciem. Stał on się więc ofiarą jakiegoś mordu!

— Tylko Sinobrody może być sprawcą tej zbrodni — przerwał mu Günter — albo służący jego, Piotr!

— Szukajmy — zadecydował Greif. — Może znajdziemy nieszczęśliwego kapitana. Może Sinobrody go napadł, gdy on z Gertrudą do miasta zdążał. Zamordował on pewno Brandenfelda, a hrabinę ze sobą porwał!

To rzekłszy poszedł on w krzaki na poszukiwania, a Günter za nim się posunął.

Nagle krzyknął przeraźliwie, gdy zobaczył pod sosną leżące ciało ludzkie.

Był to jakiś mężczyzna z twarzą do ziemi obróconą. Głowa jego pływała w kałuży krwi. Nie żył on widocznie, był zupełnie nieruchomy.

Günter obrócił ciało i popatrzył mu w twarz.

— Wielki Boże! — zawołał Greif. — To kapitan Brandenfeld! On już nie żyje!

— Koń rzucił go widocznie tu w krzaki — rzekł Günter. — A rana jego jest jakby z uderzenia kamieniem.

Greif ukląkłkoło niego i oglądał całe jego ciało.

Nie miał on żadnej innej rany. Morderca tylko w konia trafił.

— On żyje jeszcze! — krzyknął Greif nagle uradowany. Jedźcie do najbliższej wsi. Günterze, i zwołajcie pomoc.

W następnej chwili ozwały się w pobliżu głosy. Günter wybiegł na drogę i zobaczył zbliżającą się ze wsi grupę mężczyn, którzy właśnie leżącego w wąwozie konia spostrzegli.

Gdy go spostrzegli, zbliżył się do niego. Był tam między nimi właściciel gospody i lekarz, którego Aleksander w nocy wezwał. Nie mógł on jednak razem z kapitanem pojechać, lecz przybył za nim w pół godziny później swoim powozem i gościńcem, nie tą drogą, którą jechał kapitan.

Dlatego nie mógł go lekarz dogonić. Gdy przybył do wsi i jego jeszcze tam nie zastał, zaczął wraz z innymi ludźmi za nimi szukać i dostał się wreszcie do wąwozu.

Gospodarz objaśnił detektywowi, że Gertruda zachorowała i że Aleksander z powodu tego do miasta po lekarza pojechał.

Greif zasięgnął od gospodarza dalszych informacyi, podczas gdy lekarz badał rannego.

— Młoda pani hrabina dostała gorączkę i majaczyła. Zerwała się z łóżka tak, że jej żon moja wstrzymać nie mogła i Bóg raczy wiedzieć, co się stało, panie — opowiadał gospodarz dalej — dość, że ona wyskoczyła niespostrzeżenie z okna i znikła. Spostrzegliśmy to zaraz i narobiliśmy krzyku, lecz daremnie. Nie rozumiem, jak to się stać mogło.

Greif przesłuchiwał mu się z wzrastającem zdziwieniem. Opanowała go nieopisana trwoga.

— Co pan mówi! — zawołał on. — Czy to możliwe, aby ta pani rzeczywiście znikła? Dlaczegoście za nią nie gonili?

— I mnie samemu to jest zagadką, jak ona tak prędko ulotnić się mogła! — odparł gospodarz. — Popędziliśmy zaraz za nią; zaalarmowaliśmy całą wieś. Żadnej niedbałości nam zarzucić nie można. Chora musiała w gorączce swej wybiedz do lasu i pewno tam jeszcze błądzi.

Greif potrząsł niedowierzająco głową. Opanowało go straszne przeczucie.

Jeżeli hrabia Sinobrody popełnił ten zamach na Aleksandra — pomyślał on — to musiał on też maczać rękę w zagadkowem zniknięciu Gertrudy.

Biada nieszczęśliwej tej kobiecie, jeżeli się po raz wtóry w ręce tego potwora dostała.

Gospodarz i ludzie jego nie wiedzieli i nie słyszeli wprawdzie nic podejrzanego nikt tu Sinobrodego ani Piotra nie spostrzegł: Greif trzymał się jednak tego swego przypuszczenia i drżał o los biednej Gertrudy.

Gdybym był pierwej tu zdążył, albo przynajmniej hrabinę Gertrudę pod lepszym dozorem zostawił! — mruknął on zrozpaczony. — Gdzie ją teraz znajdę? I czy ją żywą jeszcze z rąk katów jej wydostanę?

Lekarz obandażował tymczasem ranę Aleksandra, która dość niebezpieczną była i czwórka ludzi poniosła go na sporządzonej z gałęzi lektyce ku wsi i gospodzie.

Reszta pochodu szła w milczeniu za nim.

Greif z Günterem zabrali się niezwłocznie do poszukiwania za Gertrudą, a wielu śmiałków z własnej woli do nich się przyłączyło.

Weszli w kilku oddziałach do lasu i przez długi czas szukali, lecz ani na ślad Gertrudy nie wpadli.

Wreszcie dostali się do samotnej wioski w której niedawno był hrabia Sinobrody z Piotrem.

W zajeździe dowiedział się Greif o nich i odgadł, że ci dwaj hultaje, którzy w nocy zniknęli i konia jeszcze do tego ukradli, mogli być tylko hrabia Sinobrody ze służącym swym, Piotrem.

— Na co mu się to jednak zdało? Podejrzenie jego stało się teraz pewnością, lecz jakżesz miał wpaść na trop tych łotrów i nieszczęśliwej ich ofiary?

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

Najdzikszą, najsamotniejszą częścią lasu przechodził o tej samej porze jeździec, prowadząc zmęczonego konia swego za cugle.

Był to Piotr, służący Sinobrodego.

Wyglądał już także porządnie zmęczony, gdy dochodził do małego, drzewami otoczonego jeziora.

W jeziorze tym była dość blizka brzegu, gęsto drzewami obrosła wysepka, do której prowadził mały, zbutwiały już trochę mostek.

Piotr przypatrywał się podejrzliwie tej ścieżce, obawiając się, że się pod nim wraz z koniem załamie. A przecież chciał tam przejść.

Wstąpił więc sam na mostek, a konia za cugle przez wodę pociągnął.

Woda nie była głęboka i koń przebrnął bez trudu. Gdy się już do wysepki zbliżali, wychylił się z za krzaków jakiś mężczyzna, który ich widocznie oczekiwał.

Był to czarny Ignac, kłusownik i sprzymierzeniec hrabiego Sinobrodego.

Został on wprawdzie podczas napadu na wóz przylapany, udało mu się jednak wkrótce umknąć, nim się jeszcze do więzienia dostał.

— Chwała Bogu, że wreszcie przybywacie! — przywitał on Piotra. — Obawiałem się już, że zabłądzicie.

— Szukałem też dość długo, zanim ten przeklęty szmat ziemi znalazłem — mruknął Piotr gniewnie, wchodząc na wysepkę. — Czy pan hrabia jeszcze tutaj?

— Pewno, czeka on na wasze wiadomości! — odparł kłusownik, rzucając zadowolonym wzrokiem po wysepce. — Wyborny to kawał ziemi! Jak dla nas stworzony. Tu nikt nas nie znajdzie, gdyż na odludzie to żaden żywy człowiek nie zachodzi.

— Rzeczywiście! — potwierdził Piotr. — Skąd wy się tu tak dobrze znacie?

O, tu był dawny mój teren do polowania! — zaśmiał się kłusownik. Chowałem się tu latami przed tymi przeklętymi strzelcami!

Rozmawiając tak, doszli oni do małej otoczonej drzewami chatki, która z nieociesanych belek zestawioną była. Nawet dach jej zrobiony był z gałęzi sasnowych i mchu.

W pobliżu chatki pasł się koń Sinobrodego. Piotr zdjął siodło i cugle ze swego zwierzęcia i wolno na paszę go puścił, potem wszedł za czarnym Ignacem do wnętrza chatki.

Na progu oczekiwał ich hrabia Sinobrody.

— Dlaczego tak późno, Piotrze! — zawołał on. — Obawiałem się już, że się coś stało. Czyś go przyłapał?

— Tak jest panie, tuż przed wioską! — Nie żyje on już!

— Wybornie! — krzyknął Sinobrody. — Kapitan Brandenfeld usunięty. Teraz trzeba się brać do detektywa. Jestem pewny, że on się tu wkrótce zjawi, gdyż zniknięcie Gertrudy i śmierć kapitana niechybnie tu go sprowadzą. Będzie on tu za nami szukał.

— Niech tylko przyjdzie! — zaśmiał się Ignacy. — Kula moja tym razem z pewnością go ugodzi.

Hrabia Sinobrody skinął zadowolony głową.

— Jakie to szczęście dla nas, żeście wy się tym łotrom wymknęli, Ignacy, i żeśmy się przed wioską spotkali. Nie będzie to waszą szkodą, gdy nam wiernie i posłusznie służyć będziecie.

Był to rzeczywiście dziwny przypadek gdy się hrabia Sinobrody owej nocy, uprowadzając ofiarę swą do lasu, przy koniach z Ignacem spotkał.

Myślał on właśnie nad tem, aby się na wysepkę schronić i odgadywał czyje to mogą być konie, gdy się zjawił Piotr i Sinobrody.

Przywitali się radośnie. Hrabia Sinobrody nie wiedział dokąd się z Gertrudą ma udać i czarny Ignacy w sam czas mu się nawinął.

Wskoczył on na siodło, otulił drżącą Gertrudę swoim płaszczem i zawiózł go na tę wysepkę.

Piotr dostał zlecenie, aby odczekał powracającego z miasta Aleksandra i z zasadzki go zastrzelił. Po dokonanym czynie miał on też pojechać na wysepkę, którą mu czarny Ignacy dokładnie opisał.

Tak więc zeszli się trzej godni towarzysze, a nieszczęśliwa Gertruda była znów w ich mocy.

Leżała ona w izbie na mchu i zawsze jeszcze była nieprzytomna. Nie przeczuwała, co z nią zaszło i co się nadal stać miało.

Hrabia Sinobrody został z Piotrem na dworze i kazał sobie opowiedzieć, w jaki sposób Aleksander został zabity.

— Dobrze się sprawiłeś! Spodziewam się że się z detektywem, tak samo uda!

— A co się z nią ma stać? — zapytał Piotr, wskazując w stronę chatki. Czy ma zostać przy życiu?

— Nie wiem jeszcze! — odparł Sinobrody. — Ona tu przecież pewna. Zostańcie obydwaj przy niej, a ja pojadę do stolicy, aby się z Waleryą poradzić. Dam wam znać, co z nią macie począć.

Wybrał się w drogę, a czarny Ignacy musiał go odprowadzić, aby nie zbłądził.

Piotr sam został przy Gertrudzie.

Nie przeczuwając jak niebezpieczna jest droga, jechał Sinobrody przez las, Ignacy torował mu drogę.

Nagle zatrzymał się kłusownik. — Bystre jego ucho usłyszało głosy w oddali.

— Zboczmy na inną drogę, panie — rzekł on zaniepokojony. — Nie można wiedzieć, co to za ludzie.

Zmienili kierunek. Lecz niebawem znów zbliżające się głosy ludzkie usłyszeli.

— To podejrzane! — rzekł kłusownik. — Trzeba wyminąć, bo to pewno szukający za hrabiną Gertrudą ludzie!

Obrali inną drogę, lecz niebawem znów usłyszeli hałas w pobliżu.

Poznali wkrótce, że są z kilku stron osaczeni i hrabia Sinobrody dostrzegł już nawet przez drzewa i poznał detektywa Greifa.

Zadrżał ze strachu i zgrozy i szepnął towarzyszowi swemu:

— Schrońmy się Ignacy, Trzeba się ratować!

Lecz Greif już ich zobaczył i zbliżył się ze swoimi ludźmi.

— Złapcie ich! — rozkazał on. — To jest hrabia Sinobrody!

Hrabia zawrócił i popędził w gęstwinę. Ignacy poszedł za jego przykładem.

Chłopi rzucili się za nimi z dzikim okrzykiem.

— Strzelajcie! — zawołał Greif.

Za uciekającymi padły strzały. Hrabia dostał się właśnie w gęstwinę, gdy koń jego nagle dziko skoczył i znikł z nim w głębi.

— On padł! — krzyknęli prześladowcy. — Mamy go teraz!

I biegli za nim, z Greifem na czele.

CXLVII.

NOWE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Ledwo Walerya z Ludwikiem z pod domu modniarki odeszli, zbliżyło się tam dwu mężczyzn. Stanęli oni przed domem i popatrzyli ciekawie za oddalającemi się w ciemności postaciami.

To ci sami, którzy mi się i poprzednio podejrzanymi wydawali! — rzekł doktor Kloc do Wintera, bo oni to byli. — Przysiągłbym na to, że to hrabina Walerya, która tu przyszła szpiegować. Skąd ona jednak może wiedzieć, że hrabina Agata jeszcze żyje i tu się znajduje?

— Zdaje mi się, że się pan myli, kochany przyjacielu! — odparł Winter. — To pewno nie Walerya! Ale choćby to nawet ona była, to przyszła ona z powodu małego Waltera. Nie może przecież przeczuwać uratowania Agaty!

Zapukali i weszli do wnętrza domu.

Agata i Marta z radością ich przywitały.

Hrabina prosiła doktora Kloca, aby go przyprowadził, Winter był wtajemniczony w historyę jej uratowania tak, że mu teraz związek wszystkich zajść w zamku leśnym był jasny.

Stało się to wszystko tak niespodzianie i napełniło go nieopisaną radością. Widział wszystkie swe przypuszczenia potwierdzone.

Więc to Walerya więziła Agatę w zamku leśnym! Ona żyła i była uratowana! Co za zmiana! Co za ważne zdarzenie, to zmartwychwstanie Agaty. Teraz los Waleryi był zapieczętowany!

Zajęty temi myślami stanął Winter przed młodą hrabiną. Opowiedział on jej jak dotychczas za nią szukał, a Agata opisała mu nawzajem wszystkie swe cierpienia i objaśniła mu to, czego on nie wiedział.

— A teraz poradź mi pan, panie Winterze! Co mam dalej począć? — pytała ona poiry-

towana. — Jest pan moim najlepszym, najwierniejszym przyjacielem, mimo że pana do dzisiejszego dnia wcale nie znałam. Trudził się pan dla mnie, mimo że wcale o tem nie wiedziałam i starał się pan zdjąć ze mnie to straszne podejrzenie, które mnie omal na szubienicę nie zaprowadziła. Mam do pana nieograniczone zaufanie i zrobię, co mi pan tylko poradzi.

Winter ujął podaną sobie rękę w obie dłonie i uścisnął ją serdecznie.

— Tak jest, wielmożna pani — rzekł on wzruszony — było to zadanem mego życia wykazać niewinność pani i zniszczyć demona, który panią prześladował. Chwała Bogu, że uszła pani ostatniemu największemu niebezpieczeństwu i żem panią wreszcie odnalazł. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby panią ochronić od niebezpieczeństw i prześladowań. Nie jesteśmy jeszcze zupełnie u celu. Przyjaciel mój doktór Kloc radził, aby pani jeszcze na razie pozostała w ukryciu, a ja jestem zupełnie jego zdania.

— Więc mi pan nie radzi, abym mężowi memu już teraz dała znać, że żyję — spytała Agata z rozczarowaną miną.

— Owszem, wielmożna pani! Hrabia o wszystkiem się dowie! — odparł Winter. — Ja sam go wtajemniczę. Pani jednak nie może się jeszcze publicznie ukazać, gdyż okropny wyrok wydany ongi na panią, jeszcze nie jest odwołany. Gdyby pani po raz drugi niewinnie na szubienicę wejść musiała, to jużby mąż panią uratować nie mógł!

Agata popatrzyła przerażona na detektywa i zadrżała.

— Wielki Boże! — jęknęła ona. — Czyż myśli pan, że to by jeszcze raz do tego przyjść mogło?

Winter wzruszył wieloznacząco ramionami.

— Jeżeli ta czarna dama nie będzie mogła nic na korzyść pani wypowiedzieć i dać dowody, to sprawa pani będzie tak samo źle stała jak poprzednio — rzekł on poważnie.

— Czarna dama? — mruknęła Agata boleśnie, patrząc badawczo na detektywa. —Czy pan wie, kto jest ta nieszczęśliwa?

— Nie, tego nikt nie wie — odparł Winter. — Nikt prócz pani. Tylko pani może rozwiązać tę zagadkę i powinna pani w swoim własnym interesie to uczynić.

Agata staczała ciężką walkę w swojem wnętrzu. Mogła ona rozświecić ową tajemnicę, ale ją coś od tego wstrzymywało. Słowa przez usta jej przecisnąć się nie mogły.

— Nieszczęśliwa ta istota została na śmierć skazana — mówił Winter dalej. — Książę wyrok ten pewno potwierdzi i tak los jej będzie zapieczętowany. Jeżeli ona zaś zginie, to nic więcej na korzyść pani nie będzie mogła poświadczyć. Straci pani w ten sposób najważniejszego swego świadka.

Agata była śmiertelnie blada i jakby skamieniała. Wreszcie zaczęła głośno płakać i szlochać i zakryła twarz swą rękoma.

— Czyż już nie ma żadnego ratunku? — jęczała ona rozpaczliwie. — Czyż mój mąż nie może uratować tej biednej nieszczęśliwej osoby? O, on musi to uczynić! On ją musi ocalić! Jaz nim o tem pomówię, póki jeszcze nie jest zapóźno.

— Wątpię czy hrabia Linderhof potrafi coś zrobić na korzyść skazanej — rzekł Winter. — Ona sama uparcie się wzbraniała dać objaśnienia co do motywów swego czynu. Korzystny zwrot jakiś uzyskany mógłby być tylko przez to, gdyby dowieść mogła, że rzeczywiście nie chciała zabić księcia, tylko ministra.

— O Boże miłosierny! — jęknęła Agata. — Ja tego nie pojmuję, dlaczego ona wszystkiego nie mówi. A teraz ona ma umrzeć... umrzeć na rusztowaniu... jak ja niegdyś...

Głos jej odmówił posłuszeństwa. Załamała ona ręce i kurczowo zaszlochała. Daremnie starał się Winter wydostać od niej w jakim stosunku stoi do owej czarnej damy. Agata namiętnie się wzbraniała.

— Niech mię pan nie męczy! Ja panu tego jeszcze powiedzieć nie mogę! — wymawiała się ona. — Tylko mąż mój z własnych moich ust o tem się dowie.

Detektyw zadowolił się tem i dalej już nie badał.

— Przedewszystkiem musi się pani tak trzymać w ukryciu, aby się Walerya o uratowaniu pani nie dowiedziała — ostrzegł ją raz jeszcze.

— Jeżeli ona już się dowiedziała, że pani hrabina żyje i tu się znajduje — wtrącił doktór Kloc niespokojnie. — Zdaje mi się że to była Walerya, którąśmy przedtem przed domem spostrzegli.

Agata i Marta wydały okrzyk przerażenia.

— O, w takim razie ta nikczemna istota znów na zgubę moją czyhać będzie — rzekła Agata trwożnie. — Nie jestem już tutaj pewna. Ona będzie knuła nowe spiski przeciwko mnie i memu dziecku.

— Niech się pani niczego nie obawia, pani hrabino — pocieszał ją Winter. — Ja już

demoniczną tę kobietę unieszkodliwię. — Jeżeli się hrabia Linderhof dowie o wszystkich zbrodniach swej drugiej małżonki, to ją ze wstrętem i nienawiścią od siebie odepchnie, a wtedy moc Waleryi będzie złamana. — Spodziewam się też, że nadejdzie niebawem chwila, w której będę miał dowody jej winy w swoich rękach i na mocy tychże będę mógł wtrącić ją do więzienia.

— A dlaczego pan tego dziś już nie czyni? — przerwała mu Marta. — Czyż to nie jest jasne, co ta kobieta nabroiła?

— Jeszcze nie całkiem — odparł Winter. — Brakuje nam jeszcze najważniejszy dowód, a mianowicie ten, że Walerya otruła pierwsze go męża pani hrabiny, barona Rambowa. Dopiero wtedy pani hrabina będzie oczyszczona z zarzutu. Wtedy dopiero można będzie unieważnić wydany niegdyś na nią wyrok.

— Ach! — westchnęła Agata zasmucona. — Obawiam się, że to nigdy nie nastąpi, bo Walerya nigdy się dobrowolnie do czynu tego nie przyzna.

— Pewno że nie — potwierdził Winter. — Ja też na to wcale nie liczę. — Spodziewam się jednak inną drogą dojść do celu. Pokojówka Waleryi zna wszystkie jej tajemnice. Dziewczyna ta zaś przyzna mi się do wszystkiego, co wie.

— Obawiam się że Walerya ucieknie i pokojówkę swą ze sobą zabierze, skoro się tylko dowie, że jest stracona — zauważył doktór Kloc. — A w takim razie niebyśmy nie zyskali, kochany przyjacielu.

Winter uśmiechnął się przebiegle.

— Ja jej już ucieczkę uniemożliwię — rzekł on spokojnie. — Niech pan nie zapomina, że ja Waleryę na każdym kroku szpiegami otaczam. Nie będzie ona też myślała o ucieczce, dopóki nie będzie widziała wielkiego niebezpieczeństwa. Ona się dotychczas pewno jeszcze spodziewa wyjść zwycięsko ze wszystkich walk.

— Więc pan nie radzi, aby mąż mój otwarcie w mojej obronie wystąpił? — spytała Agata.

— Nie! Nie wolno mu tego teraz jeszcze uczynić, pani hrabino.

— Czy pan myśli to ze względu na jego stanowisko?

— Tak, głównie z tego powodu. Mąż pani uratował panią już raz tajemnie z szubienicy. Popełnił on tem właściwie czyn karygodny wobec prawa. Jeżeli to się teraz rozejdzie, nim niewinność pani jest okazana, to pociągnięto-by go z tego powodu do odpowiedzialności. Nie mógłby się tego wyprzeć, a Walerya postarałaby się już o to, aby wszystko na jaw wyszło. Wtedy musiałby on złożyć swój urząd jako minister i pójść z panią do więzienia, pani hrabino.

Agata wpatrzyła się ponuro w siebie. Musiała ona przyznać, że Winter ma słuszność.

— To prawda! — westchnęła ona wśród łez. — Zgubiłabym męża swego, gdyby się świat i książę dowiedział całej prawdy.

— Mimo to jednak możemy hrabiemu dać tę pociechę, że pani żyje — odparł Winter. — Tylko musi to jeszcze na razie zostać jego tajemnicą. Trzeba go także uwiadomić o wszyst kich zbrodniach Waleryi i aby ją od siebie odtrącił. To jest wszystko, co na razie zrobić możemy.

— Więc niech pan męża mego o tem uwia domi, kochany panie Winter — rzekła Agata stanowczo. — On się w takim razie do mnie zgłosi.

— Jutro hrabiego o wszystkiem uwiadomię — oświadczył Winter. — Zobaczy pani męża swego już jutro wieczorem, pani hrabino.

Omówiwszy jeszcze wszystko potrzebne, pożegnali się obaj przyjaciele i opuścili dom.

Dzień następny przeżyła Agata w niecierpliwości i niepokoju. Dziś się dla niej wszystko miało rozstrzygnąć, Mąż jej miał przez Wintera o wszystkiem być powiadomiony i pewno dziś go już zobaczy. Nie mogła ona się wieczora doczekać, tak była gorączkowo niecierpliwą. Wiedziała ona, że serce hrabiego Edmunda do niej należy, mimo to że Walerya zmysły jego przez czas jakiś na uwięzi trzymała i że on ją dziś tak samo kochał jak dawniej. Była przekonana ze do niej z radością pospieszy i do serca swego ją przyciśnie.

Nadzieja ta napełniała serce jej błogą radością. Niebawem będą oni znowu na zawsze złączeni i wszystkie cierpienia ich się skończą.

Tymczasem zapadł już wieczór i godzina za godziną upływały, a hrabia Edmund zawsze jeszcze się nie zjawiał.

Agata zaczęła się już niepokoić a serce jej ścisnęło się przykrem przeczuciem.

— Co się stać mogło? Dlaczego mąż jej nie przychodził? Może był już tak pod wpływem i wzrokiem Waleryi, że jej więcej widzieć nie chciał? — Nie, nie! To być nie może! — pocieszała się ona w duchu.

Agata i Marta siedziały tak do późnej nocy, nadsłuchując z naprężeniem na każdy szmer dochodzący ich ze dworu.

Nikt jednak nie przychodził. Nawet doktór Kloc ani Winter nie pokazywali się. Co to mogło znaczyć? Czy znowu może jakie intrygi Waleryi? Agata drżała z obawy i smutnych przeczuć.

Wtem... zapukał ktoś do drzwi. Obie kobiety podskoczyły jakby zelektryzowane.

— To on... wreszcie... dzięki ci Boże! — zawołała Agata uradowana i odetchnęła z ulgą.

Marta wybiegła aby otworzyć. Agata oparła się o krzesło i drżąca z radości i wzruszenia wpatrywała się błyszczącemi oczyma w drzwi, przez które ten tak tęsknie oczekiwany wejść musiał.

W tym samym czasie stanął powóz na rogu ulicy, przy której mieszkała Agata, a z niego wysiadł jakiś człowiek, w liberyi służącego.

Kazał on woźnicy czekać na siebie i przebiegł szybko samotną ulicę, rozglądając się ostrożnie na wszystkie strony. Przeszedł on dom modystki aż do następnego rogu, stanął tam na kilka minut i zawrócił.

Gdy doszedł znowu do owego domu, zapukał energicznie do drzwi wchodowych.

Niebawem otwarły się one, a w świetle lampki kurytarzowej ukazała się Marta.

Zmierzyła ona obcego zdziwionym wzrokiem, gdyż poznała po liberyi, że to musi być ktoś ze służby hrabiego Linderhofa. Człowieka samego jednak nie znała. Miał on jasne blond bokobrody, brodę starannie wygoloną i bardzo godne robił wrażenie.

— Czego pan sobie życzy? — spytała Marta.

— Przepraszam panienkę — odparł zapytany — ale ja mam polecenie do samej pani hrabiny.

— Ach! — zapytała Marta. — Czy może od pana hrabiego?

— Tak jest — oświadczył.

— Proszę wejść! — zawołała Marta uradowana a lokaj poszedł niezwłocznie za nią.

Nie spostrzegła ona szyderczego jego uśmiechu, było jej to dziwne, że Edmund powierzył tak dyskretną misyę zupełnie służącemu.

— Dlaczego wielmożny pan nie posłał starego Michała? — badała ona niespokojnie.

— Stary jest chory — odparł zapytany. — Ja zastępuję jego miejsce. Pan hrabia...

— Ale czegóż pan hrabia sam nie przychodzi? — zapytała Marta zaniepokojona. — Czy on także jest chory?

— Nie! — odpowiedział lokaj. — Lecz ja nic nie wiem, panienko. — Mam tylko oddać ten list i czekać na odpowiedź.

— List? Dobrze, chodź pan bliżej.

Otworzyła drzwi i wprowadziła nowoprzybyłego do pokoju.

— Czekaj pan tu — rzekła ona. — A ja wielmożnej pani list zaniosę.

Służący podał jej po pewnem wahaniu zapieczętowany list, a po chwili wręczyła go Marta swej pani z potrzebnemi objaśnieniami.

Okropnie rozczarowana wzięła Agata list do ręki. Poznała ona pismo i pieczęć swego męża.

— Mój Boże! On nie przychodzi, tylko pisze — jęknęła ona i rozerwała kopertę drżącą ręką.

Była w niej karta wizytowa hrabiego, a na niej tych kilka słów:

"Moja kochana Agato!

— Dowiedziałem się że żyjesz! Do ciebie niestety przyjść nie mogę, gdyż Walerya by się zaraz o tem dowiedziała. — Przyjedź ty jednak do mnie! Służący mój ostrożnie cię do pałacu mego wprowadzi. Oczekuję cię z tęsknotą!

Twój Edmund."

Agata chciała bez namysłu uczynić zadość żądaniu swego męża.

— Oto list Marto! — rzekła ona z radością. — On chce abym do niego przyszła.

— Jakto do pałacu? — zawołała Marta zdziwiona. O tem by się Walerya przecież niezwłocznie dowiedziała.

Potrząsając głową wzięła ona bilet do ręki i oglądnęła go podejrzliwie. Czy to naprawdę sam hrabia pisał?

— Niech pani hrabina nie idzie — ostrzegała ona wiedziona jakiemś złem przeczuciem. — Obawiam się że to nie od pana hrabiego, tylko jakaś przez Waleryę zastawiona łapka.

Agata przelękła się, lecz po chwili namysłu potrząsła niedowierzająco głową.

— Jakżeż to możliwe, moja kochana — perswadowała ona — to przecież pismo mego męża.

— A jednak ja w to nie wierzę. Jest to tak łatwo naśladować czyjeś pismo. Proszę i błagam, aby pani hrabina nie powierzyła się opiece tego człowieka.

— Czy to nie jest stary Michał?

— Nie! — odpowiedziała Marta. — To mi jest właśnie podejrzane, że to jest zupełnie obcy człowiek. Zaklinam panią, pani hrabino, nie lekceważyć sobie moich przestróg i obaw, bo to będzie prawdziwa zguba.

Agata zaczęła się wahać.

— Więc poradźcie mi kochana Marto, co zrobić? W każdym razie muszę odpisać na wy-

padek, gdyby to przecież było od mego męża.

— Pan hrabia pewno nawet pojęcia o tym liście nie ma — rzekła Marta tonem przekonania.

— Ależ nie! — sprzeciwiała się Agata. — Przecież Winter dziś memu mężowi wszystko opowiedział i ten list tylko od niego pochodzić musi, ja doprawdy nie widzę żadnego niebezpieczeństwa i przecież pojadę.

— Ale ten obcy służący...

— Niech on tu przyjdzie, ja go się sama wypytam — zadecydowała Agata.

W tem zapukał ktoś do drzwi i na progu ukazał się doktór Kloc. Był on okropnie wzburzony i zadyszany. Gdy zobaczył Agatę krzyknął uradowany:

— Chwała Bogu!

— Co się stało, że pan taki wzburzony? — zapytała Marta zalękniona. — Czy się jakie nieszczęście przydarzyło.

Doktór Kloc zaprzeczył. Spostrzegłszy list w ręku Agaty, zapytał on spiesznie;

— Czy wolno wiedzieć od kogo ten list?

— Od mego męża — rzekła Agata i podała mu kartkę. — Proszę przeczytać, kochany panie doktorze i powiedzieć mi, czy pan w tem coś podejrzanego widzi.

Doktór Kloc przeczytał podaną sobie kartkę i krzyknął gniewnie:

— O, ja przeczuwałem, że ta dyablica znów coś przeciwko pani uknuje i że to się jeszcze dziś stanie. Dlatego przyszedłem tutaj i chwała Bogu, że nie zapóźno!

Agata zbladła ze strachu.

— Jakto? Czyż pan także myśli, że to był podstęp Waleryi, aby mnie znów w swoje siecie złapać?

— Pewno! To nie ulega żadnej wątpliwości — była odpowiedź doktora. — Mąż pani byłby przecież sam się u pani zjawił, pani hrabino zamiast pisać.

— Ależ mój Boże, ja tego doprawdy nie rozumiem! Czy to doprawdy jest tak, jak pan i Marta przypuszcza? — pytała Agata zaniepokojona. — Przecież Pan Winter dziś mężowi memu wszystko opowiedział i dlatego...

— Wychodzi pani z fałszywego założenia, pani hrabino — przerwał doktor Kloc. Winter jeszcze nic hrabiemu Edmundowi nie powiedział. Nie wie on dotychczas, że pani żyje, a zatem listu tego pisać nie mógł.

Oświadczenie to podziałało na Agatę jak grom z jasnego nieba. Blada jak trup padła ona na krzesło i wpatrywała się osłupiałym wzrokiem w doktora. Teraz dopiero pojęła całe niebezpieczeństwo. które jej groziło.

— Wszechmocny Boże! — jęknęła ona. — Jeżeli mój mąż jeszcze nic o mnie nie wie, to jasne jest, że ta karta pochodzi od mojej śmiertelnej nieprzyjaciółki, i że służący, który ją przyniósł, także do spisku należy.

— Więc to służący list ten przyniósł? — zapytał doktor. — Ale chyba żaden ze służby pałacowej?

— Nosi on liberyę służby hrabiowskiej — rzekła Marta. — Pytałam go się, dlaczego stary Michał nie przyszedł, a on mi na to odpowiedział, że stary Michał chory.

— Stary Michał chory? — krzyknął doktor z zawistnym uśmiechem. — Mam więc kłamstwo jak na dłoni. Ja sam z nim przed godziną może rozmawiałem. Jest on zdrów jak ryba. Gdzież jest ten służący? Czy on jeszcze jest tutaj?

— Tak jest! Czeka on w pokoju przyjaciółki — rzekła Marta.

— Chcę go zobaczyć i przesłuchać — rzekł doktor, i wyszedł z pokoju.

Marta wyszła za nim, lecz pokój naprzeciw był pusty i służący znikł bez śladu.

— On uciekł, ten hultaj! — zawołał doktor rozczarowany. — Musiał on pod drzwiami nadsłuchiwać i uznać, że ucieczka będzie jedynym dla niego ratunkiem. Szkoda że Wintera tu niema. On go już byłby przyłapał.

Wrócił on z Martą do Agaty, którą ta ucieczka służącego do reszty w podejrzeniu utwierdziła. Wzruszona dziękowała ona teraz doktorowi za swe ocalenie, bo bez jego rady byłaby niechybnie znów w ręce nieprzyjaciółki swej wpadła.

Było już teraz zapóźno gonić za uciekinierem, i dlatego nie myślał doktor Kloc nawet o tem.

— Dlaczego Winter nie był jeszcze u mego męża, panie doktorze? — zapytała Agata. — On przecież miał zamiar to uczynić.

Miał on też najlepsze chęci, ale niestety nie mógł się z hrabią widzieć — odparł doktór. Nie został przyjęty bo hrabia podobno chory.

— O! — krzyknęła Agata — chory?

— Tak jest! Tak przynajmniej Winterowi powiedziano. Byłem niedawno w pałacu, aby się osobiście o tem przekonać, gdyż dotychczas ja u hrabiego byłem lekarzem domowym i przypuszczałem, że mnie w razie choroby jego wezwą. Mówiłem ze starym Michałem, i dowiedziałem się od niego, że hrabia rzeczywiście nieco niezdrów, i że Walerya posłała po innego doktora. Niebezpieczeństwa jednak nie ma.

— Dziwne, w takim razie, że on nie przy-

jął Wintera, kiedy nie bardzo chory — zauważyła Agata.

— Przypuszczam, że pan hrabia sam nie ma pojęcia o tem, że Winter z nim chciał mówić — rzekł doktor stanowczo. Pewno go Walerya odprawiła. A co do słabości hrabiego, to kto wie, czy to także nie jest jej sprawka. Wie ona, co jej grozi i chce trzymać hrabiego zdała od wszystkich którzyby mu oczy otworzyć mogli.

— Wielki Boże! Więc pan myśli, że Walerya spowodowała słabość hrabiego? — krzyknęła Agata przerażona. Ta demoniczna kobieta gotowa mu jeszcze podać truciznę, gdy zobaczy, że nie ma dla niej innej drogi ratunku.

Doktor Kloc potwierdził to skinieniem głowy.

— Tak jest, ona do tego zdolna. To już nieraz okazała — rzekł on. Ale w tym wypadku to już z wyrachowania i mądrości nie targnie się na życie swego męża. Niech pani hrabina będzie o to zupełnie spokojna. Nie byłaby ona zresztą wołała lekarza, gdyby się czuła winną.

Co pan Winter o tem myśli? Czy on jest tego samego zdania?

— Tak jest! Pójdzie on raz jeszcze prosić o posłuchanie. Jeżeli go znów odprawią, to mu niestety nie pozostanie nic innego, jak czekać.

W takim razie ja tu dłużej z dzieckiem swoim zostać nie mogę — rzekła Agata po krótkim namyśle. — Nie czuję się tu więcej bezpieczna, bo Walerya pewno sprawkę swą powtórzy. — O, Boże! Dokądże ja się z dzieckiem swym mam udać? Czy znajdę bezpieczny przytułek?

— Proszę nie rozpaczać, pani hrabino — pocieszała ją Marta. — Ja zostanę przy wielmożnej pani, i znajdziemy sobie jakieś miejsce, gdzie nas Walerya nie odkryje. Tymczasem hrabia się o wszystkiem dowie, a wtedy moc Waleryi się skończy, i nie będziemy jej się więcej potrzebowały obawiać.

— Radziłbym pani hrabinie nie opuszczać stolicy — rzekł doktor Kloc. — Tu jeszcze najbezpieczniej i proszę się więc stąd nie ruszać. Winter dziś jeszcze pewno tu będzie, więc i jego rady posłuchać będzie można.

— Zobaczymy, co on powie — odparła Agata. — Ja zrobię, co on każe!

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Domniemany służący hrabiego Linderhofa podsłuchał rzeczywiście rozmowę w pokoju, jak to doktor Kloc przypuszczał, i widząc, że go nic dobrego tu nie czeka, wysunął się na dwór. Na rogu ulicy czekał jeszcze powóz. Wsiadł on więc do niego i odjechał.

Powóz jego nie zawrócił jednak w stronę pałacu hrabiowskiego, tylko ku innej dzielnicy miasta.

Po pewnym czasie zapłacił on woźnicy, i poszedł dalej pieszo, ku zamkowi. Zaszedł on do niego z tyłu, od strony samotnej uliczki, i wszedł przez boczną furtkę od parku.

Stanął na chwilę i rozejrzał się wokoło. Było już ciemno i ani żywej duszy tam nie było. Zbliżył się więc do pawilonu, i zobaczył przez spuszczone story, że tam jest światło.

— Widocznie tam ktoś być musi — pomyślał on.

Po chwili wahania przystąpił do drzwi i zapukał. Usłyszał od środka lekkie kroki i niebawem drzwi się otworzyły.

Na progu okazała się elegancko ubrana postać kobieca, oblana niebieskiem światłem ampułki, padającym na nią od środka pawilonu.

Była to Walerya. Wpuściła ona go do pawilonu i zamknęła za nim drzwi.

—Czemu to tak długo trwało? — zapytała ona drżącym głosem. — Czy ci się udało? Czyś ją z sobą przywiózł?

Popatrzyła na niego badawczo i niespokojnie. On zmięszał się, i zwlekał z odpowiedzią.

— Mów więc! — krzyknęła ona niecierpliwie. Widzę już po tobie, że ci się nie udało!

— Tak jest! — odparł on pół gniewnie, pół opornie. — Ten przeklęty doktór wszystkie szyki mi popsuł!

— Doktór Kloc? Na Boga! Że też ty głupcze, nie zrobisz nigdy nic jak się należy! — zgrzytnęła Walerya gniewnie. — Wziąłeś się pewno znów niezgrabnie do rzeczy.

— Jeżeli mnie masz za takiego niezgrabnego, to trzeba było kogo innego posłać — odparł on rozdrażniony. — Po co te wyrzuty? — Wysłuchaj mnie najpierw. Ledwo że mi się udało wymknąć temu doktorowi, bo gdyby mnie był przyłapał, to byłbym zgubiony.

To mówiąc, rzucił się ów domniemany lokaj, którym był nikt inny, jak przebrany Ludwik Hecht, na fotel, i zaczął Waleryi szczegółowo całe to zajście opowiadać.

— Tak, teraz wiesz wszystko! — rzekł on niechętnie. — Dziękuję ci na przyszłość za takie zlecenie. Jakbyś mnie chciała słuchać, to byś wogóle dała spokój walce z Agatą i detektywem. Na nic ci się to więcej nie zda. Nie będziesz ich mogła pokonać.

— Czy sądzisz? — zaszydziła ona gorzko i zmierzyła go pogardliwym wzrokiem.

— To jest moje niezbite przekonanie! — rzekł Ludwik poważnie. — Ty musisz uledz, bo ten detektyw sobie przedsięwziął, aby cię zniszczyć. Czy chcesz koniecznie zguby swej doczekać? Nie bądźże taka głupia i dziecinna! Pozbieraj prędko wszystkie pieniądze i kosztowności które posiadasz... a przedstawia to pewno dość wielki majątek... i uciekajmy we dwoje do Ameryki. Jesteś przecież moja żona i my należymy do siebie. Będziesz wprawdzie musiała zrezygnować z dumnego tytułu hrabiny, ale za to będziesz się mogła pocieszyć myślą, żeś się szczęśliwie od grożącej ci zguby uratowała.

Walerya wysłuchała go do końca z szyderczym i pogardliwym śmiechem na ustach. Teraz wybuchła ona głośnym śmiechem.

— Ja mam z tobą uciekać i z tobą razem żyć! — krzyknęła ona. — Nigdy, przenigdy! Twoja propozycya jest również śmieszna. Oszczędź sobie swoje rady; ja wiem sama co mam robić. Tak źle jeszcze ze mną nie jest i spodziewam się, że zwyciężę! Naturalnie że nie z twoją pomocą, ale brat mój dziś jeszcze tu przyjeżdża! Zobaczymy więc we dwoje, co się jeszcze da zrobić!

— Życzę ci szczęścia! — zaszydził Ludwik — Hrabia Sinobrody to dla ciebie stosowny wspólnik! Ostrzegam cię jednak, że tak ty jak i on wpadniecie w jamę, którą pod hrabiną Agatą kopać zechcecie!

— Zatrzymaj swoje mądrości dla siebie, ty smutny proroku!—rzekła ona. — Ja teraz muszę wrócić do pałacu, do chorego męża!

Ludwik uśmiechnął się ironicznie.

— Jego słabość, to twoja sprawka, co? — zapytał Ludwik, kładąc nacisk na każde słowo.

— Co to ciebie obchodzi!—krzyknęła Walerya gniewnie.

— O nic! — odparł on spokojnie — ale gdyby hrabia teraz umarł!

— To ja po nim wszystko odziedziczę — przerwała mu ona oschle.

— Oho! Zapominasz, że hrabina Agata żyje! — szydził Ludwik Hecht. — Ona ma większe prawo i zabierze ci twoją schedę z pod nosa.

— D o ś ć tego! Schowaj swoje złośliwe żarty dla siebie i odjedź stąd czemprędzej. Nie przychodź też niewołany... czy rozumiesz?

— To dość wyraźnie! — rzekł Ludwik ironicznie, ale nie wstawał z siedzenia. — To znaczy, że mnie więcej nie potrzebujesz? Dobrze! Ja sobie nic wiele z tego robię, ale szkoda że nie chcesz usłuchać moich dobrych rad i przestróg.

— Wychodź już, bo muszę zamknąć pawilon! — zawołała Walerya niecierpliwie.

— Słuchaj, moja kochana! Zapominasz, że jeszcze nie dostałem swej nagrody! — uśmiechnął się hultaj z niewzruszonym spokojem. — Obiecałaś mi 50.000 marek, a dałaś dopiero dziesięć.

— Możebyś chciał tych 40.000 marek jeszcze dzisiaj, roześmiała się ona rozbawiona.

— Tak jest, kochana Waleryo! Uznasz przecież, że mi one są potrzebne — odparł on bezwstydnie. — Ja odjeżdżam jutro do Ameryki, a że ty ze mną jechać nie chcesz i pewnobyś mi pieniędzy tych nie przysłała, to muszę już przy tem obstawać, abyś mi je dziś jeszcze wypłaciła.

— Ani centa ci więcej nie dam! — krzyknęła ona gniewnie. — Cóż ty mi zrobiłeś, abym cię za to wynagradzać miała? Nic!

— To przecież nie moja wina, że się ta sprawa w zamku leśnym nie udała, i że plan uprowadzenia hrabiny Agaty także został pokrzyżowany! — usprawiedliwiał on się. — Czyż ja się nie narażałem na niebezpieczeństwo? Ty jesteś niewdzięczna, moja kochana!

— Może! — wtrąciła ona lodowato. — Czy nie myślisz że to już czas, abyś odszedł?

— Nie chcesz mi więc nic więcej dać! — zapytał Ludwik groźnie.

— Nie! Jeżeli dla mnie nic więcej nie chcesz zrobić, to nie masz więcej prawa do wynagrodzenia! — rzekła ona stanowczo.

— Jedź do Ameryki, czy gdzie chcesz! Ja będę zadowolona, jeśli cię nigdy więcej nie zobaczę i nie usłyszę!

To mówiąc wyszła ona, zanim zafrasowany hultaj jeszcze mógł przyjść do słowa.

CXLVIII.

NOWE NARADY

Walerya przebiegła szybko park, dążąc ku zamkowi. Gdy wchodziła na schody, spotkała swą pokojówkę.

— Pan hrabia już się o panią hrabinę pytał! — rzekła ona.

— Tak? — odpowiedziała Walerya chłodno. — Zresztą nic nie zaszło?

— Oddano przed chwilą telegram dla pani hrabiny i doktór nadjechał

— Gdzie jest telegram! — spytała Walerya zdziwiona.

Pokojówka wyjęła go z kieszeni, a Walerya rozerwała go szybko. Był on od hrabiego Sinobrodego i brzmiał jak następuje:

"Kochana Waleryo!"

Czy mógłbym z tobą jeszcze dziś wieczorem pomówić? Mieszkam w hotelu "księcia Leopolda" pod przybranem nazwiskiem barona Steinberga. Odpowiedz mi, albo przyjdź lepiej sama!"

Walerya schowała telegram i poszła do komnat swego męża.

Hrabia Edmund był seryo chory. Blady i osłabiony leżał on na swoim łóżku i trząsł się w febrze.

Stary Michał siedział zasmucony przy łożu swego pana, a doktór trzymał za puls i liczył uderzenia.

Wtem otworzyły się drzwi i weszła Walerya. Przystąpiła ona szybko do łóżka i spytała stroskanym głosem:

— Jak się ma mój mąż, panie doktorze?

Doktór wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział, bo hrabia Edmund otworzył właśnie w tej chwili oczy. Powiódł on błyszczącym z gorączki wzrokiem po obecnych i mruknął słabym głosem:

— Już mi lepiej! Spodziewam się, że będę mógł wstać!

— Na Boga świętego... nie! — zawołała Walerya zaniepokojona. — Musisz się bardzo szanować, kochany Edmundzie. Nieprawdaż, panie doktorze?

— Pewno! —rzekł zapytany. — Jego ekscelencya będzie musiał jeszcze kilka dni zostać w łóżku.

Dał on jeszcze niektóre wskazówki, napisał receptę i wyszedł.

Walerya odprowadziła go do drugiego pokoju i poprosiła go czarującym uśmiechem, aby siadł.

— Proszę mi powiedzieć prawdę, panie doktorze! — rzekła ona pozornie zaniepokojona, — czy mój mąż jest niebezpiecznie chory? Jestem w ciągłej trwodze o niego!

Doktór wzruszył ramionami. Walerya popatrzyła na niego badawczo.

—Prawdę powiedziawszy, wielmożna pani —rzekł on wahająco, — ja nie mogę jeszcze teraz nic pewnego powiedzieć. Słabość pana hrabiego jest... hm!... dziwna jakaś... wprost zagadkowa dla mnie.

— Walerya umilkła i znów badawczo i przenikliwie na doktora popatrzyła.

— Dlaczego zagadkowa, panie doktorze! — zapytała ona pozornie zdziwiona. — Mnie się zdaje, że to całkiem zwykła i lekka febra.

Doktór dziwnie się uśmiechnął.

— Nie, to nie jest zwykła febra — rzekł on poważnie. — Nie mogę znaleźć przyczyny tej dziwnej słabości, bo mąż pani, panie hrabino, jest zwykle zupełnie zdrów. Febra i gorączka nie są zresztą same przez się słabością, tylko występują zwykle jako objawy innych chorób. W tym wypadku zaś jest mi ta gorączka zagadką, bo nic innego zresztą odkryć nie mogę. Wygląda to tak, jak gdyby stan ten sztucznymi środkami został wywołany.

Walerya zbladła i zadrżała. Doktór odgadł widocznie właściwy stan rzeczy. Lecz opanowała się prędko i rzekła zupełnie na pozór swobodnie.

— Pan się musi mylić, panie doktorze! To przecież nie może być, aby mąż mój mógł z umysłu wziąć taki środek!

— Ja nie mogę tu nic pewnego twierdzić, pani hrabino — rzekł doktór z rezerwą. — Odpowiedziałem tylko na pytanie, a co do przebiegu i wyniku słabości tego jeszcze dziś powiedzieć nie mogę. W każdym razie potrzebny jest pacyentowi absolutny spokój i nie wolno mu się irytować. Przyjdę znów jutro.

To mówiąc ukłonił on się głęboko na pożegnanie i odszedł. Walerya patrzyła za nim posępnym wzrokiem.

— On ma jakieś podejrzenie! — szepnęła zaniepokojona. — Będę musiała wziąć innego lekarza. Ale ostatecznie... cóż on może odkryć? Nic! Edmund nie umrze z tego napoju, który wypił, nic złego nie przeczuwając. Jeżeli dojdę do tego, że się przed Agatą i detektywem nic więcej obawiać nie będę potrzebowała, to on może znów wyzdrowieć.

Wyciągnęła telegram Sinobrodego z kieszeni i raz jeszcze go przeczytała. Zaczęła potem chodzić w zamyśleniu tam i nazad po pokoju. Nie wiedziała ona jeszcze nic o ostatnich zajściach Sinobrodego, ale przeczuwała, że i jego szczęście się skończyło. Okoliczność że pod przebranym nazwiskiem jest w stolicy, była jej dziwnem.

Pójdę do niego — szepnęła ona — bo kazać mu przyjść, to niebezpieczne.

Weszła znów do sypialni swego męża, który ją już przyjął z wyrzutem.

— Dlaczegoś mnie tak długo samego zostawiła, Waleryo? Kazałem cię wołać, ale nie mogli cię znaleźć. Gdzieś była?

— Byłam tylko w parku, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — rzekła ona usprawiedliwiająco, a po chwili dodała z udana czu-

łością: — Jak ci jest, kochany Edmundzie?

Położyła przytem białą, chłodną swą rękę na jego rozpalone czoło i dała staremu służącemu znak, aby odszedł, co też ten uczynił.

—Nie myślałam, że mię zechcesz mieć przy sobie — rzekła ona z gorzkim wyrzutem. — Po wszystkiem, co między nami w ostanim czasie zaszło, musiałam przypuszczać, że mnie już wcale nie kochasz i że ci obecność moja może być nieprzyjemna.

— Jak ty tak możesz sądzić? — rzekł on z westchnieniem. — To prawda, że wydarzyło się niejedno, co... lecz dajmy spokój tym niemiłym historyom — przerwał on sobie sam.

— Co doktór powiedział?

— On sam nie wie, co ci brakuje! Poradziłabym się jeszcze innego lekarza! — odparła ona z udanem zaniepokojeniem.

— Poślij po doktora Kloca! — rzekł. — On jest zdolnym lekarzem. Dlaczegoś pierwej po niego nie posłała?

Po twarzy Waleryi przysunął się cień.

— Bo on odjechał! Od wczoraj podobno — oświadczyła Walerya. — Skoro tylko wróci, zawezwę go do ciebie!

Hrabia Edmund leżał przez chwilę milcząco, potem rzekł ostro:

— Komisarz Winter był dziś tu i chciał ze mną mówić! Dlaczegoś go odesłała, nie zapytawszy się mnie nawet?

— Ależ kochany Edmundzie, jak ty mnie za to obwiniać możesz — uniewinniała się. — Doktór zakazał ci wyraźnie wszelkich irytacyi, a konferencya z nim byłaby cię z pewnością rozdrażniła. Dlatego go odesłać musiałam.

— Kiedy on mi miał pewne ważne rzeczy do powiedzenia!

— Możliwe! Może nawet jakieś oczernienia przeciwko mnie — dodała ona ostro i z goryczą. — Ten człowiek jest niemożliwie zuchwały i kłamliwy.

— O, przepraszam cię! To co on mi doniósł, jest czystą prawdą! — przerwał jej hrabia Edmund z naciskiem.

— Nie, to były kłamstwa! — zawołała ona gwałtownie. — A gdyby on się odważył przyjść raz jeszcze w ciągu twojej słabości, to go znowu odprawię.

— Tego nie zrobisz, bo ja z nim chcę pomówić! — zadecydował on ostro.

— Ależ odeślę go — opierała się Walerya. — Zdrowie twoje jest mi ważniejsze od wszystkiego i nie pozwolę na to, aby on cię kłamliwemi wiadomościami swemi irytował i stan twój pogorszał. Ja nie chcę tego dłużej znieść aby on mię przed tobą otwarcie oczerniał i o zbrodnie mnie posądzał. Twoim obowiązkiem jest bronić mnie przed takiemi napaściami, a ty słuchasz wszystko co on ci mówi. Do czego to doprowadzi? Czy myślisz, że ja to dłużej jeszcze ścierpię? Nie! Jeżeli ty mnie jako swoją żonę nie chcesz wziąć w obronę, to ja opuszczę twój dom i zerwę wszystkie węzły między nami!

— Przestań! — jęknął chory i rzucił się namiętnie. — Czy chcesz abym oszalał z twego głupiego gadania? Ty zostaniesz tutaj, a ja jak wyzdrowieję, to sprawę tę zbadam i dalej pomówimy. Do tego czasu jednak wszystko przy starem zostać musi!

Walerya wstała z siedzenia. Usta jej skrzywiły się szyderczym uśmiechem a jednocześnie obrzuciła posępnym wzrokiem męża swego który leżał wyczerpany irytacyą z przymkniętemi oczyma.

— Kto wie, czy ty wogóle jeszcze wyzdrowiejesz! — zgrzytnęła ona po cichu. — Tymczasem ja cię mam w ręku i jeżeli nie będzie dla mnie innego wyjścia, to ty musisz umrzeć!

Hrabia Edmund nie słyszał tych okropnych słów, gdyż leżał w silnej gorączce. Rzucał się niespokojnie i szeptał urywane słowa bez związku.

Walerya patrzyła na niego groźnym wzrokiem. Nie czuła ona dla niego już najmniejszej miłości i nie mogła mu wybaczyć, że on ją tak przed Winterem upokarzał. Oczy jej błyszczały nienawistnie. Odwróciła się i odeszła.

W sąsiednim pokoju siedział stary Michał i czekał, aby go znów do pana swego zawołano. Czuwał on już zeszłej nocy przy łożu chorego a w dzień także oka nie zmrużył. Wiek jego nie znosił już jednak takich tarapatów. Zdrzemnął on się więc, lecz wejście Waleryi go zbudziło. Zerwał on się na równe nogi i jęknął zaambarasowany:

— Przepraszam, pani hrabino! Byłem tak znużony, żem się mimowoli zdrzemnął.

Chciał w tej chwili wejść znów do pokoju chorego, lecz Walerya go zatrzymała.

— Idźcie spać, stary! — rzekła ona rozkazująco — dziś ktoś inny będzie czuwał przy moim mężu i ja także w pobliżu jego zostanę!

— O, ja się czuję dość silny! — zapewniał wierny służący, który chciał być u boku swego pana. — Niech pani hrabina pozwoli, abym ja i dziś czuwał przy wielmożnym panu.

— Nie, nie! — sprzeciwiała się Walerya rezolutnie. — Zawołajcie kogoś innego, abym mu jeszcze mogła dać potrzebne wskazówki. Chcę wam jeszcze powiedzieć, stary — dodała ona

ostro i z naganą. — Nie macie panu hrabiemu nic o tem mówić, gdy się komisarz Winter znów zgłosi. Lekarz zakazał mu ostro wszelkie wizyty.

— O, pan Winter przychodził w tak ważnej sprawie, że ja sobie uważałem za obowiązek donieść to panu hrabiemu później — jąkał się stary zafrasowany.

— Popełniliście wielki błąd — rzekła ona znów. — Pan hrabia niepokoił się tem bowiem bardzo, a to mu szkodzi. Czy pan Winter wam powiedział, czego chciał od mego męża?

— Nie! Powiedział tylko, że to coś bardzo ważnego.

Walerya uśmiechnęła się szyderczo i gniewnie. Przeczuwała ona, że to o Agatę chodziło, i cieszyła się, że jej się dotychczas udało przeszkodzić tej konferencyi.

— Ten pan Winter pewno jutro znów przyjdzie — rzekła ona znów do starego służącego. Nie ma jednak mowy o tem, aby on hrabiego mógł widzieć. Pamiętajcie o tem. Hrabiemu również nic o detektywie nie powiecie. Czyście zrozumieli?

— Jak wielmożna pani rozkaże — odparł stary sługa, onieśmielony rozkazującym, groźnym tonem Waleryi.

— Dobrze! Jeżelibyście rozkazów moich nie wypełnili, to was bez litości odprawię — rzekła ona chłodno. — Ja nie chcę narażać chorego swego męża na niepotrzebne irytacye. Dlatego musicie odprawić detektywa, gdy się znów zjawi.

Stary Michał nie odważył się ani na słowo więcej, poszedł, aby przysłać swego zastępcę. Po chwili zjawił się ten ostatni, a był to również starszy i wierny sługa domu.

Walerya udała się z nim do pokoju chorego, i dała mu potrzebne instrukcye.

Hrabia Edmund leżał spokojnie i spał. Walerya popatrzyła na niego badawczym wzrokiem, i rzekła do służącego:

— Ja tu jeszcze później zaglądnę, a wy tu tymczasem nikogo do pokoju nie wpuszczajcie. Gdyby coś nadzwyczajnego zaszło, to mię o tem uwiadomicie.

To rzekłszy odeszła ona, aby się udać do hrabiego Sinobrodego. Paliła się ona już z niecierpliwości, aby go zobaczyć, nowiny od niego usłyszeć. Teraz bezpiecznie do niego pójść mogła, gdyż przed mężem obawiać się nie potrzebowała.

Zawelonowała się gęsto, włożyła długi swój płaszcz, i kazała pokojówce czekać swego powrotu. Nie zdradziła jednak ciekawej dziewczynie, dokąd się tak późno wybierała.

Wyszła prędko boczną furtką na ulicę, i oglądnęła się wokoło, czy jej kto nie śledzi, nie spostrzegła jednak ciemnej postaci, która się zdaleka ostrożnie za nią posuwała.

Nie był to jednak Winter ani żaden z jego ludzi, tylko Ludwik Hecht. Nie został on w pawilonie, gdyż wiedział, że mu się to na nic nie zda. Nie chciał zaś opuścić zamku nie załatwiwszy swej sprawy, i czekał tu w ukryciu na sposobność powtórnego rozmówienia się z Waleryą.

Teraz widział ją odchodzącą. Poznał ją mimo jej przebrania na pierwsze wejrzenie, i pytał się siebie zdziwiony, dokąd ona jeszcze tak późno iść mogła? Może go chciała odszukać w hotelu, i dać mu resztę pieniędzy, które mu była winna? Może go w ten sposób chciała do dalszych usług zobowiązać?

Lecz nie! Walerya szła w zupełnie innym kierunku a to na dobre wzbudziło ciekawość Ludwika. Chciał on koniecznie wiedzieć dokąd dążyła, i idąc za nią zobaczył, że znikła ona w bramie hotelu pod "księciem Leopoldem."

Co ona tu chcieć mogła o tak późnej porze? Ludwik odgadł, że tu musiał być hrabia Sinobrody, którego tu miała odszukać, i posunął się za Waleryą, aby się o celu jej wizyty przekonać.

Walerya kazała się zaprowadzić do pokoju który zamieszkiwał Sinobrody pod przybranem nazwiskiem barona Steinberga.

Gdy do niego weszła, zobaczyła ku wielkiemu swemu przerażeniu obcego jakiegoś człowieka, i chciała się natychmiast cofnąć. Lecz on przystąpił do niej spiesznie, i rzekł stłumionym głosem:

— Zostań Waleryo! To ja, czy mnie nie poznajesz?

To rzekłszy, zdjął fałszywą brodę i okulary, i Walerya zobaczyła, że rzeczywiście z bratem swym ma do czynienia. Ucieszyła się bardzo.

— Mój Boże! Dlaczego się tak zamaskowałeś, i dlaczego tu jesteś pod obcem nazwiskiem? — zapytała ona natychmiast po przywitaniu.

— Bo mnie policya prześladuje — rzekł on ponuro i zmartwiony. — Dla mnie wszystko stracone, Waleryo! Wszystko na jaw wyszło, i mnie nic nie pozostaje jak ucieczka.

— O, jakżeż to tak nagle wyszło? — zawołała ona wzburzona. — To się przecież tak świetnie składało, i nikt nie przeczuwał, że to nie była prawdziwa hrabina Gertruda.

— Tak jest! — westchnął on i zacisnął

pięści w bezsilnej złości. Lecz ta fałszywa żmija zdradziła mnie i oszukała. Uratowała się ona sama w czas, i tryumfuje teraz nademną.

— Ależ ona w takim razie sama siebie zgubić musiała — wtrąciła Walerya. — Ja tego wprost nie pojmuję!

— Ty jeszcze nie wiesz wszystkiego i najgorszego — rzekł on z dzikim wyrazem twarzy. Moja właściwa żona Gertruda wróciła całkiem nagle.

Walerya krzyknęła z przerażenia.

— Niemożliwe! — zawołała ona niedowierzająco. — Mówiłeś przecież, że ona zginęła w grobowcu zamku Wildenfels?

— Tak ja myślałem, lecz się omyliłem. Wyratowała się ona z tego grobowca, i to z poprzedniczką swoją, Józefą, którą także uważałem za umarłą.

— Boże miłosierny! — krzyknęła Walerya przerażona. Więc i ta Józefa się zjawiła?

Nie, ona jest obecnie jeszcze w południowej Afryce, skąd Gertruda z bratem jej przyjechała. Zjawili się oni tu nagle i zniszczyli wszystkie moje nadzieje i plany.

— Czyś im w tem nie mógł przeszkodzić?

— Robiłem co mogłem, ale jakiś przeklęty detektyw sprawę tę zwietrzył i ujął się naturalnie natychmiast za hrabiną Gertrudą.

— Ach, to okropne! I ten detektyw teraz cię prześladuje?

— Tak jest! Ledwo że mu umknąć zdołałem — rzekł Sinobrody. — Ja ci to wszystko dokładnie opowiem... czy masz czas?

— Tak jest, mów! I ja ci mam dziwne rzeczy do zakomunikowania — odparła Walerya. — Jestem całkiem w tem samem położeniu co ty. Ziemia się pod nogami mojemi ustępuje.

Twarz Sinobrodego wyrażała w tej chwili okropne rozczarowanie. Spodziewał się on pomocy ze strony Waleryi, a tymczasem i ona nie była w lepszej skórze od niego.

— Czy się hrabia coś o twoich tajemnicach dowiedział? — badał on.

— Tak jest więcej niż potrzeba. Lecz mówmy najpierw o twojej sprawie. Więc hrabina Gertruda tak ci nagle spadła i wykryła oszustwo twoje z tą Francuzką?

Hrabia Sinobrody potwierdził skinieniem głowy, i zaczął jej wszystko ze szczegółami opowiadać. W końcu opowiedział on też, w jaki sposób Gertrudę znów w moc swoją dostał, i jak Piotr zastrzelił brata Józefy.

Zostawiłem Gertrudę na samotnej wysepce leśnej pod dozorem Piotra i czarnego Ignacego — ciągnął on dalej. — Przyjechałem do ciebie po radę i pomoc. W lesie spotkałem detektywa, który szukał z chłopami za Gertrudą. Zastrzelili oni konia podemną, i ja się tylko cudem z czarnym Ignacem wyratowałem.

Umilkł on i popatrzył zamyślony na Waleryę.

— Co myślisz począć z Gertrudą? — zapytała ona po krótkiej pauzie. — Nie możesz jej przecież wiecznie trzymać na uwięzi?

— Nie wiem sam, co mam począć, daj mi jakąś radę!

— Jak długo Gertruda żyje, jesteś w niebezpieczeństwie — rzekła Walerya nielitościwie. — Musisz ją więc ze świata usunąć. Piotr i czarny Ignacy muszą zaś detektywa Greifa sprzątnąć. Nie jest takie trudne, a jak ci się uda, to wiele na tem zyskasz. Gdyby się później nawet druga twoja żona Józefa zjawiła, to łatwo już z nią dasz sobie radę wobec tego, że ona nie będzie miała nikogo, któryby ją wspierał i za nią się ujął.

— O, Józefy ja się nie obawiam — zawołał Sinobrody. — Niech tylko przyjedzie! Brat jej już nie żyje, nie będzie więc w nim miała opieki i podpory. Pójdę więc za twoją radą, a potem odszukam Betlinę i zawlokę ją na zamek Wildenfels. Tam się dopiero na podstępnej tej żmiji zemszczę.

Walerya potrząsła głową i rzekła ostrzegająco:

— Daj sobie z tem spokój! Betlina wyjdzie pewno za tego rosyjskiego wuja, mimo że rozwodu na tobie nie mogła wymusić.

— Jakto? Ona przecież nie może wyjść za nikogo innego, póki jest moją żoną.

— Zapominasz kochany Robercie, że Betlina w gruncie rzeczy żoną twoją nie jest! — uśmiechnęła się Walerya. Tak samo rzecz się ma z Gertrudą, bo przecież poprzedniczka jej, Józefa jeszcze żyje. Betlina jest więc pewna, że ślub jej z tobą nie ma wartości, i nieomieszka wyjść za tego Rosyanina.

— Hm! — mruknął Sinobrody. — Może masz słuszność! Ale w takim razie nie miałbym nad Betliną żadnej mocy więcej, i nie mógłbym jej do powrotu zmusić.

— Prawnie nie! Ale możesz przecież inną drogą swego celu dopiąć. Niech ona tylko wyjdzie za tego bogatego Rosyanina. Będzie to tylko z twoją korzyścią, gdyż ty to wszystko później odziedziczysz.

— Wiem, co myślisz! — zawołał Sinobrody uradowany. — Zostawmy więc to na razie swemu biegowi. Najważniejszem jest, aby sprzątnąć detektywa, bo on już zna za wiele z moich tajemnic, i może mi być okropnie niebezpieczny. Także starego hrabiego jeszcze się

muszę obawiać, bo on gotów upomnieć się o swoje prawa.

— Trzeba go było dawno już uczynić nieszkodliwym!

— Kiedy żaden zamach na niego dotychczas się nie udał — mruknął Sinobrody gniewnie. Trzeba będzie teraz na nowo próbować. Jeżeli ci dwaj Gertrudę sprzątną, to mi będą musieli pomódz ze starym.

— O, my tych dwóch jeszcze bardzo będziemy potrzebowali, kochany Robercie, bo ja chciałam właśnie prosić o twoją pomoc.

— Przeciwko komu? Czyż detektyw Winter jeszcze żyje?

— Nietylko to! — odparła Walerya ponuro. — Ale on bardziej niż kiedykolwiek pracuje nad moją zgubą i zdradził hrabiemu różne moje tajemnice. Dość że ja stoję nad brzegiem przepaści.

— Niech dyabli wezmą tego przeklętego szpiega! — zgrzytnął Sinobrody. — Czyż nie mogłaś temu w żaden sposób zaradzić?

— Nie! Cóż miałam uczynić? Jestem wobec niego zupełnie bezsilna. Ale i to jeszcze nie jest najgorsze, wobec tego że Agata żyje. Jest ona znowu tu, i zemsta moja dosięgnąć jej nie może.

Hrabia Sinobrody popatrzył na nią przerażony, a z ust jego wyrwało się dzikie przekleństwo.

— Na dyabła! Czyż się wszystko przeciwko nam sprzysięgło? — zawołał on. — Hrabina Agata żyje? A czyż hrabia już wie o tem?

— Jeszcze nie! Ale każdej chwili się o tem dowiedzieć może, gdyż detektyw Winter i doktor Kloc wtajemniczeni są w historyę Agaty.

— Musisz więc za każdą cenę przeszkodzić, aby oni hrabiego Edmunda o tem nie poinformowali. Hrabina Agata musi umrzeć. To jest grunt! — rzekł Sinobrody wzburzony.

— Na razie jeszcze niczego się nie obawiam — odpowiedziała Walerya. — Przeszkodziłam, aby się mąż mój od nich mógł czegoś dowiedzieć. Jest on chory. Dałam mu środek, który spowodował silną gorączkę, i jestem zdecydowana dać mu umrzeć, jeżeli mnie nic innego od niebezpieczeństwa ochronić nie będzie mogło.

— Tak więc stoją twoje sprawy — mruknął Sinobrody przygnębiony. — Masz się gorzej jeszcze odemnie. Cóż teraz począć?

— Nie traćmy odwagi! — rzekła Walerya spokojnie. Jeszcze nie wszystko stracone. — Opowiem ci wszystko, abyś wiedział, jak o rzeczy tej sądzić.

Opisała mu w krótkości jak Agatę i Delię w zamku leśnym więziła, i o ile jej się Ludwik i Fryc w tem przysłużyli. Teraz dowiedział się Sinobrody o wszystkiem, a mściwość i nienawiść jego do Wintera bezgranicznie się wzmogła. Lecz był on też na Ludwika i Fryca okropnie oburzony.

— To ci dwaj hultaje wszystkiemu winni! — krzyknął on. — Co za szkoda, że ci teraz w niczem pomódz nie mogę, Waleryo!

— Dziś jeszcze nie jest zapóźno —rzekła ona. — A jeżeli mi będziesz mógł pomódz, to cel osiągniemy. — Pomówmy o tem. Uprowadzenie Agaty nie udało mi się dziś z winy Ludwika. Trzeba coś innego pomyśleć. Wraz z nią trzebaby także sprzątnąć służącą jej, Delię, i wychowawczynię, Martę.

Hrabia Sinobrody głęboko się zamyślił.

— W każdym razie zostałby nam jeszcze detektyw Winter i doktór Kloc. Obawiam się, że nie dojdziemy do celu tak, jak sobie to planujesz.—Mamy pięć niebezpiecznych osób, a wszystkich pięciu przecież zamordować nie można.

— Więc daj mi jaką radę! — zawołała Walerya niecierpliwie. — Pomyśl nad tem, że nie mamy wiele czasu do stracenia.

— Główna osoba jest tu hrabina Agata. Ona w pierwszym rzędzie zniknąć musi. Reszta już będzie łatwiejsza — rzekł Sinobrody. — Zatelegrafuję po Piotra. Może on jutro już z czarnym Ignacem być tutaj i możemy się zaraz zabrać do dzieła.

Radzili jeszcze dość długo, i ułożyli wreszcie plan ku zgubie Agaty. Gdy się wreszcie Walerya z bratem swoim żegnała, była ona pełna nowej nadziei i otuchy.

Biegnąc prędko do domu nie spostrzegła ona Ludwika Hechta, który czekał koło hotelu i teraz posuwał się za nią przez ciemne, puste ulice. Chciał on podsłuchać rozmowę jej z Sinobrodym, ale mu się to nie udało. Nie wiedział więc na pewno, czy to był hrabia Sinobrody, którego Walerya odwiedziła, czy nie!

Biegła ona tak szybko, że jej zrazu nie mógł nadążyć. Zbliżył się do niej dopiero po pewnym czasie, i zawołał na nią.

Walerya zadrżała i obejrzała się zaniepokojona. Uspokoiła się jednak prędko, gdy zobaczyła, że to mąż jej, Ludwik Hecht.

— Czego jeszcze chcesz odemnie? — zawołała ona gniewnie. Skąd ty do tego przychodzisz, skradać się za mną?

— Chcę swoje pieniądze!—rzekł on groźnie. — Bądź rozsądna, Waleryo, i nie zmuszaj mnie do zemsty.

Ona zaśmiała się szyderczo.

— Spróbuj, głupcze! — syknęła ona. — Biada ci jednak, gdy mi jeszcze raz w drogę wejdziesz! Ja cię teraz nie potrzebuję, i zniszczę cię, jak mi się staniesz niebezpieczny. Zapamiętaj to sobie!

Odwróciła się od niego i biegła szybko dalej. Nim jeszcze Ludwik przyszedł do siebie, była ona już przy hrabiowskim pałacu. Otworzyła małą furteczkę boczną i już nią do środka wsunąć się chciała, gdy się Ludwik na nią z głośnem przekleństwem rzucił.

—Nie puszczę cię, nim mi nie dasz pieniędzy! — krzyknął on gniewnie, i złapał za ramię.

Walerya wyrwała mu się z szyderczym uśmiechem, i wskoczywszy zręcznym ruchem do parku, zamknęła mu furtkę przed nosem.

Ludwik zaciskał pięście w bezsilnym gniewie, i odszedł klnąc i złorzecząc.

— Czekaj, czekaj, ty fałszywa kobieto! — zgrzytnął on. — Zemsta moja w proch cię zetrze. — Myślisz, że mnie więcej nie potrzebujesz, i że się możesz odsunąć odemnie, bom ci niewygodny? — Ale pożałujesz ty to gorzko, żeś mię tak od siebie odepchnęła!

CXLIX.

W ZBÓJECKICH RĘKACH.

Długi czas leżała Gertruda bez przytomności. Gdy wreszcie przyszła do siebie, zobaczyła ona zdziwiona, że się znajduje w małej, nędznej chacie. Wyprostowała się na siedzeniu i zaczęła się zaniepokojona wokoło siebie oglądać.

Gdzie ona była i co się z nią stało? Nie przeczuwała ona, że była w mocy hrabiego Sinobrodego. Gorączka przeszła, ale wszystkie członki jej były jakby sparaliżowane.

Chciała wstać, lecz padła znów osłabiona na mchowe swe łoże.

Wtem usłyszała kroki, a przez drzwi wszedł silny, barczysty mężczyzna. Był to Piotr, Gertruda omal że nie zemdlała, gdy go poznała.

Teraz zaczęła ona pojmować, co się z nią stało, i drżąc na całem ciele, przymknęła mimowoli oczy.

Piotr zbliżył się do jej łoża i rzucił na Gertrudę ponure spojrzenie.

— Ona zawsze jeszcze nieprzytomna — mruknął on. — Najlepiej by było, gdyby się już wcale nie obudziła.

Niespokojny wyszedł on znów z chatki, zobaczyć czy czarny Ignac nie wraca. Piotr słyszał wystrzały w lesie i obawiał si, czy się hrabiemu Sinobrodemu i kłusownikowi nic nie stało.

Zatrwożony przechadzał on się wzdłuż brzegu i patrzał na drugą stronę wązkiej rzeczki ku lasowi. Czarny Ignacy jednak się nie pokazywał.

Wtem wychyliła się z poza ciemnych sosen postać ludzka, zbliżająca się do jeziora.

Piotr schował się w krzaki i obserwował z ukrycia człowieka, który mu się zupełnie obcy wydawał. Stanął on właśnie teraz przy ścieżce, prowadzącej do wysepki.

Piotr widział już teraz wyraźnie, że to nie czarny Ignacy, lecz jakiś strzelec. Skąd on się jednak wziął w tej samotni? Czy chciał może wysepkę przeszukać?

Ze zmieszanym uczuciem bojaźni i ciekawości patrzał Piotr na strzelca, stojącego przy ścieżce z bronią w ręku. Przeskoczył on zbutwiały płot i wyglądał tak, jakgdyby chciał naprawdę wejść na wysepkę.

Piotr chwycił za rewolwer, posunął się bliżej w stronę ścieżki i wycelował do strzelca. Obawiał on się bowiem, że ten obcy przybysz gotów odkryć Gertrudę, a do tego Piotr nie mógł dopuścić.

Tymczasem zbliżał się strzelec coraz bardziej do tego miejsca, nie spostrzegłszy schowanego w krzakach nieprzyjaciela. Mostek trzeszczał pod nim, jakgdyby się każdej chwili chciał załamać, lecz wytrzymał. Po kilku sekundach był obcy strzelec już na wysepce.

Nagle padł od strony lasu wystrzał, a w chwilę potem dał się słyszeć przeraźliwy okrzyk. Strzelec podniósł oba ramiona w górę, a potem upadł bezsilny na ścieżkę, stoczył się do jeziora i znikł w ciemnych jego toniach.

Piotr popatrzył za nim zaniepokojony. Kto to mógł być i czyja kula go trafiła? Czy to było przypadkowe, czy umyślne? Nad brzegiem lasu unosił się jeszcze jasny obłoczek prochu strzelniczego, wskazując miejsce gdzie się ukrywał morderca.

Wtem wyszedł z poza krzaków jakiś człowiek i postąpił ku ścieżce. Był to czarny Ignac. Broń w jego ręku jeszcze się dymiła.

Piotr nie wątpił więcej, że wystrzał od niego pochodził. Wyskoczył więc ukryty ze swego ukrycia i zawołał głośno na kłusownika.

Czarny Ignac zbliżył się szybko do niego i powitał go dzikim śmiechem.

— Czyście widzieli tego strzelca, Piotr! — zawołał on.

— Tak jest i celowałem już nawet do niego ale wy mnie uprzedziliście Ignacy — odparł Piotr. — Pewną macie rękę, nie ma co mówić! Chciał on tu coś widocznie wyśledzić!

— Tak jest, on mnie ścigał — potwierdził kłusownik — ale czarny Ignacy nie daje się tak łatwo złapać! Miałem już dawniej chrapkę na tego przeklętego strzelca, bo on mnie przyłapał na zastrzeleniu łani i wtedy z ciężką biedą uszedłem śmierci. Wystrzelił on do mnie i do dzisiejszego dnia jeszcze mam bliznę. Wtedy przysiągłem hultajowi temu zemstę, a dziś to tak wybornie się złożyło. Ten już więcej nie wstanie.

Z zimną krwią otarł czarny Ignacy lufę swej strzelby i szedł z Piotrem w stronę chatki.

— Za tym strzelcem będą jednak szukali i gotowi nas przy tej sposobności odkryć! — zauważył Piotr zaniepokojony.

— Tak jest! Nie jesteśmy tu więcej pewni! — potwierdził Ignacy. — Powinniśmy hrabinę ze świata sprzątnąć i stąd uciekać!

Opowiedział potem w jakiem niebezpieczeństwie był z hrabią Sinobrodym i że omal przyłapani nie zostali. Była więc obawa, że detektyw będzie z ludźmi swoimi dalej po lesie szukał i że odkryje tę wysepkę. Zniknięcie strzelca doda pewno bodźca gorliwości ich prześladowców.

— Pojadę jutro do najbliższej stacyi pocztowej i zobaczę, czy są może jakie wiadomości od mego pana! — rzekł Piotr. — Miał on zatelegrafować, a wtedy wiedzielibyśmy, co mamy zrobić! Do tego czasu musimy na wysepce zostać, albo, znacie może lepszą jakąś kryjówkę?

Kłusownik zaprzeczył. Doszli oni teraz do chatki; nie weszli jednak do wnętrza; tylko siądli pod drzwiami na trawie i dalej rozmawiali.

Nie przyszło im na myśl, że Gertruda mogła słyszeć każde słowo. Podniosła ona się przedtem z trudem już ze swego łoża i widziała padającego do jeziora strzelca. Na widok obu łotrów zaś opanowała ją zgroza i przerażenie a świadomość, że i ona jest w mocy tych obu hultajów, napełniła ją obawą śmierci.

Jak tu się z mocy ich wydostać? Niestety, nie było już dla niej żadnego ratunku.

Między innemi usłyszała ona z ich rozmowy też, że Greif i mieszkańcy wsi za nią szukają, a to dodało jej nowej nadziei.

Nadzieja ta zaś prędko zgasła, gdyż Piotr oświadczył towarzyszowi swemu, że na wypadek odkrycia trzebaby było uwięzioną w tej chwili sprzątnąć.

Z rozmowy obu dowiedziała się też Gertruda, że Aleksander padł z ręki Piotra i omal że nie krzyknęła z bólu i rozpaczy. Doszła ona chwiejnym krokiem do łoża i padłszy na nie, zaczęła gorzko płakać i szlochać. Serce jej pękało z niewymownego bólu.

Nie żyje już ten, którego nad życie kochałam i który mi wszystkiem był na ziemi! — jęknęła ona.

Wtem zaglądnął Piotr do drzwi i popatrzył bacznie na Gertrudę, która go wcale nie spostrzegła. Wrócił on do swego towarzysza i rzekł:

— Ona już przyszła do przytomności i widocznie wszystko słyszała, bo lamentuje i płacze nad śmiercią kochanka swego, kapitana Brandenfelda!

— No, nie przeszkadzajmy jej w tej przyjemności! — zaśmiał się czarny Ignacy. — Nie będzie ona go długo opłakiwała, gdyż najpóźniej jutro i jej ostatnia godzina wybije!

— Hm! Kto wie co hrabia jeszcze postanowi! — rzekł Piotr.

— Czyż myślicie, że on ją może zostawi przy życiu?

— Możliwe i to! Zresztą do jutra się to najpóźniej rozstrzygnie, a teraz musimy dobrze uważać, aby nam nie uciekła.

Obaj hultaje sporządzili sobie teraz wieczerzę. Piotr zaniósł i Gertrudzie mały posiłek, lecz gdy się do niej zbliżył, cofnęła się z przerażenia i lęku.

— Niech się pani nie obawia, pani hrabino! — uśmiechnął on się szyderczo. — Nic się pani nie stanie.

Postawił jedzenie na stole i znów wyszedł. Posiliwszy się zabrał się Piotr wraz z czarnym Ignacem do zerwania kładki nad wodą. Nie było to trudno i około wieczora już tylko pale sterczały.

— Tak! — zawołał czarny Ignac uradowany. — Teraz jesteśmy pewni przed niespodziankami. I hrabina nie może nam więcej uciec. Możemy więc tej nocy spać całkiem spokojnie.

Położyli się przed chatą. Noc przeszła zupełnie spokojnie. Ani żywa dusza nie ukazała się w okręgu samotnego jeziora leśnego.

Skoro tylko dnieć zaczęło, odjechał Piotr konno i spodziewał się być w południe z powrotem.

Czarny Ignacy opisał mu dokładnie drogę.

Gertruda nie wychodziła z chatki, mimo

że oni obaj jj w tem nie przeszkadzali. Siedziała ona zrozpaczona myśląc nad sposobem ratunku i drogą do ucieczki. Lecz wszystkie jej plany zdawały się być nie do wykonania.

Gdy widziała Piotra odjeżdżającego, weszła w nią nowa nadzieja. Liczyła ona bowiem na to, że się czarny Ignacy w ciągu dnia z chatki wydali i że ona wtedy będzie mogła bezpiecznie uciec.

I rzeczywiście wyszedł Ignacy z siecią w ręku na drugą stronę wyspy, aby łowić ryby.

Gertruda obserwowała go i gdy go widziała znikającego w gęstwine leśnej, wyszła z chatki i zaczęła rekognoskować pole.

Podążyła ona wzdłuż brzegu ku kładce, spostrzegła jednak, że ta została rozerwaną. Siadła więc zrozpaczona na trawie i patrzyła tęsknym wzrokiem na las po drugiej stronie.

Przez wodę wobec zerwanego mostu przejść nie mogła, a przecież innej drogi nie miała! Może udałoby się jej przedostać na drugą stronę za pomocą sterczących z wody pali? A choćby miała utonąć, to jej się to wydawało lepszym losem, niż zginąć z ręki tych obu oszustów.

Nie zwlekając więc, wzięła się ona do wykonania swego zamiaru. Ledwo jednak weszła w wodę, zobaczyła nadchodzącego czarnego Ignaca i uznała, że na dziś wszystko było stracone. Cofnęła się więc szybko do chatki a dozorca jej wszedł podejrzliwie za nią.

— Cóż to za wycieczki? — zapytał on gniewnie. — Radziłbym pani tego więcej nie próbować, bo inaczej będziemy panią musieli zamknąć w chatce.

Gertruda nie odezwała się ani słowa na to. Drżąca ze strachu, wbiegła do chatki i rzuciła się rozpaczliwie na swoje łoże.

Popołudniu wrócił Piotr, a towarzysz jego oczekiwał na brzegu.

— No, i cóż za nowiny od naszego pana? — zapytał kłusownik ciekawie.

— A co się tu w tym czasie działo? Czy nic podejrzanego? — pytał Piotr ze swej strony. — Ach, co za okropnie długa i niebezpieczna droga!

— Tu nic nie zaszło nadzwyczajnego! — odparł Ignacy zaniepokojony słowami towarzysza. — Ale cóż wam się w drodze zdarzyło?

— Las pełen jest strzelców i żandarmów! — oświadczył Piotr. — Jest też detektyw z chłopami, boję się ich, bo omal że mnie nie przyłapali!

Kłusownik przeląkł się i zaczął kląć i narzekać.

— A to dopiero! — mruknął on bojaźliwie. — Dziwię się, że ich jeszcze tu nie było!

— Możemy się ich niebawem spodziewać! — rzekł Piotr tonem przekonania. — Nie przybędą oni jednak przed jutrem, a my będziemy musieli tej nocy jeszcze stąd uciec.

— A hrabina?

— O tem jeszcze pomówimy! Muszę najpierw coś zjeść, bo z głodu umieram!

Gertruda spostrzegła jego powrót i trwoga jej się zwiększyła.

Opanowało ją okropne przeczucie. Piotr przynosił bez wątpienia wyrok śmierci.

Drżąc na całem ciele i jakby sparaliżowana patrzał ona na swoich prześladowców, którzy zawsze byli na dworze. Sporządzali oni wieczerzę z której i Gertrudzie część się dostała.

Piotr przyniósł jej jedzenie i postawił je milcząco obok niej.

Potem oddalił się z towarzyszem swym o kawał drogi od chaty, bo nie chciał aby Gertruda rozmowę ich słyszała. Lecz pędzona łatwo pojętą ciekawością, postanowiła ich Gertruda przecież podsłuchać.

Mogła ona ich widzieć przez otwarte drzwi, ale tak samo oni ją mogli spostrzedz, gdyby z chatki wychodziła. Mimo to chciała ona się na odważyć, bo czuła że od tego zależy jej życie, aby się dowiedzieć o zamiarach swych wrogów.

Byli oni na razie tak zajęci jedzeniem, że nie zwracali wcale uwagę na swoją brankę. Chwilę tę wykorzystała Gertruda i wysunęła się z chatki. Schowała się za krzaki i posuwała się ku nim powoli i ostrożnie:

Będąc już tak blizko, że każde słowo ich słyszeć mogła, skuliła się ona w krzakach i zaparła oddech.

— Więc były wiadomości od hrabiego Sinobrodego? — zapytał Ignacy.

— Tak jest! — Otrzymałem telegram na stacyi pocztowej! — odparł Piotr. — Jest on w stolicy u swojej siostry żony min., i każe nam natychmiast do siebie przyjeżdżać, bośmy mu teraz bardzo potrzebni.

— Hm! Co on może od nas chcieć? — odparł kłusownik.

— Mamy tam siostrze jego w czemś pomódz. Tak to przynajmniej z telegramu zrozumiałem. Czeka was tam wielka nagroda, Ignacy!

— Dobrze, kiedy tak! — uśmiechnął się. A czy nie wiecie co to za sprawa?

— Nie wiem o co chodzi, ale dość wcześnie się jeszcze o tem dowiemy.

— Cóż się jednak stanie z panią hrabiną? Czy ją ze sobą zabierzemy?

— Broń Boże! — rzekł Piotr spokojnie. — Hrabia Sinobrody życzy sobie, abyśmy się jej w jaki sposób pozbyli.

— Rzućmy ją do wody! — rzekł Ignacy nielitościwie. — To nam będzie najwygodniejsze.

— Ale zwłoki jej mogłyby być później znalezione, a to by była dla hrabiego Sinobrodego niebezpieczna historya! — zauważył Piotr.

— Ach, nonsens! — uspokajał go kłusownik. — Jezioro jest głębokie i zwłok już nigdy nie znajdą. Postaramy się już o to, aby ona została na dnie!

— Dobrze! — rzekł Piotr. — Zrobimy to w nocy. Jak ona zaśnie, to łatwa sprawa z nią będzie. Po utopieniu jej, zabierzemy się wnet w drogę.

Na tem rozmowa się urwała. Gertruda przysłuchiwała się temu w niemem przerażeniu; krew w żyłach jej się ścinała. Rozpaczliwa trwoga serce jej ścisnęła. Teraz była ona stracona bez ratunku w rękach tych nielitościwych katów.

Jakby oszołomiona klęczała ona na kolanach, oczy jej się wzniosły pełne niewymownej trwogi ku niebu, a z serca jej płynęła niema modlitwa ku Bogu. Czerpała ona z niej pociechę i nadzieję i odwagę wobec strasznego tego niebezpieczeństwa.

— Bóg miłosierny mi pomoże i wyratuje mnie z rąk morderców! — szepnęła ona.

Wysunęła ona się znów ku chacie, ale już do niej nie weszła. Namyślała się tylko, gdzie się ukryć, aby przeczekać noc i rano módz uciec.

Wtem padł wzrok jej na konia Piotra, który się pasł w pobliżu, a oczy jej zaświeciły radością. Koń ten mógł jej posłużyć do ucieczki, a nieprzyjaciele jej nie mogliby jej w tym wypadku nawet ścigać.

Przesuwając się obok chatki, zobaczyła na dworze na ścianie wiszącą strzelbę.

Należała ona do czarnego Ignaca i była to ta sama strzelba, którą on zabił owego strzelca.

Na myśl o tem wzdrygnęła się Gertruda, opanowała się jednak i pokonawszy swoją obawę, złapała broń i szybko z nią uciekła.

Miała więc już i broń dla ochrony swego życia na wypadek potrzebny. Był tam jednak tylko jeden nabój, tak że w najlepszym razie tylko jednego ze swych nieprzyjaciół zabić nim mogła.

Miała zamiar użyć broni tej tylko w razie największej potrzeby. Schowawszy się za chatą nadsłuchiwała ona czy wrogowie jej za nią już nie szukają. Lecz oni siedzieli jeszcze ciągle na tem samem miejscu nic złego nie przeczuwając i naradzali się dalej jeszcze nad sposobem zgładzenia jej.

Gertruda uciekła tymczasem na najdalszą część wysepki i znalazła tam tuż przy brzegu dobry schowek. Były tam bowiem tak gęste krzaki, że się tylko z trudnością przez nie przepchać mogła. Wybrzeże było wysokie i strome a woda wyżłobiła w niem głębokie jamy, z których sterczały korzenie drzew.

Gertruda wsunęła się do jednej z tych małych jaskiń i przykucnęła tam w głębi. Było tam ciemno i wilgotnie a spadające gałęzie płaczącej wierzby zakrywały zupełnie wejście. W schowku tym czuła się Gertruda zupełnie bezpieczna.

Upłynął dłuższy czas, a wrogowie jej się nie ukazywali. Miała ona stąd przez szparę widok na jezioro, które się coraz ciemniejsze stawało.

Zapadł już późny wieczór, a na wysepce nic się nie ruszało, mimo że obaj hultaje ucieczkę jej już przecież odkryć musieli.

Niebawem zapadła już całkiem ciemna noc, a Gertruda drżała z obawy i niepewności i nie miała odwagi wysunąć się ze swej kryjówki. Było to jej zagadkowe, że się ciemiężyciele jej tak cicho zachowywali.

Czyżby myśleli, że ona się z rozpaczy w jeziorze utopiła i dlatego więcej za nią nie szukali?

Nagle usłyszała ona głosy i kroki i łamanie gałęzi pod nogami nadchodzących, którzy miotali głośne przekleństwa, przeszukując krzaki za zbiegłą ofiarą.

— A ja wam mówię Ignacy, że ona nie poszła w wodę! — usłyszała Getruda nagle Piotra. — Bylibyśmy ją przecież spostrzegli na miejscu, gdzie był mostek, bo stamtąd byłaby się ona pewno starała przejść do lasku na drugą stronę! Musi ona jeszcze koniecznie gdzieś tu być!

— Ale, przeszukaliśmy już przecież całą wysepkę — sprzeciwiał się kłusownik. — A do tego jeszcze te egipskie ciemności! Jakże tu kogo odszukać! — upierał się Piotr. — Pomyślcie tylko, że my o brzasku już stąd musimy odjeżdżać! Naprzód więc, Ignacy. Zaświećmy pochodnię, bo bez tego ani kroku dalej zrobić nie potrafimy.

Niebawem czerwony blask pochodni rozjaśnił ciemności. Piotr zaczął teraz wszystkie

krzaki nadbrzeżne przeszukiwać i był już bliżki schowku Gertrudy.

— Jeżeli ona wogóle jeszcze jest na wysepce, to tylko tu gdzieś schowana być musi! — zgrzytnął Piotr. — Zobaczymy jeszcze tu na dole.

Czarny Ignacy odchylił spadające gałęzie, a Piotr świecił i zaglądał w każdą gęstwinę.

Stanęli teraz tuż obok jaskini w której Gertruda była schowana. Czy ją tam odnajdą?

Była to dla hrabiny Gertrudy straszna sytuacya. Miała ona się już za straconą. Jeszcze sekunda, a muszą oni ją odkryć.

W obawie swej cofnęła się ona jeszcze bardziej w głąb jaskini i przycisnęła się do wilgotnej ściany skalnej. Z zapartym oddechem i bijącem głośno sercem nadsłuchiwała Gertruda zbliżania się swych prześladowców.

Lecz na szczeście zwarły się znów krzaki i obaj towarzysze nie spostrzegłszy jej, poszli dalej.

Gertruda padła na kolana aby zmówić dziękczynną modlitwę. Nie odważyła się jeszcze wyjść ze swojej kryjówki, dopóki się ci obaj zupełnie nie oddalili. Słyszała ona ich przez czas jakiś jeszcze w pobliżu, potem wszystko się uciszyło. Widocznie przestali oni już za nią szukać.

Gertruda czekała jeszcze ze dwie godziny. Potem opuściła jaskinię i podążyła ku tej stronie wysepki, gdzie dawniej był mostek. Myślała ona że Piotr z Ignacem już stąd odeszli.

Ostrożnie przesuwała ona się przez krzaki. Noc nie była już tak ciemna jak przedtem, księżyc już wszedł i stał wązki, srebrzysty sierp nad ciemnym jeziorem, którego fale w świetle jego czarująco się mieniły.

Nagle zatrzymała się Gertruda, gdyż usłyszała jakieś grzebanie i tupanie. Oglądnąwszy się, zobaczyła ona na zrębie znów konia, należącego do Piotra. Było to dowodem, że obaj hultaje jeszcze nie odjechali.

Gertruda stanęła wahająco i zaczęła się namyślać. Jeżeli oni do jutra zostaną, to znowu zaczną szukać, a przy świetle dziennym z pewnością ją znajdą. Ale choćby nawet odjechali nie szukając więcej, to zabraliby konia, bez którego o opuszczeniu wysepki myśleć nawet nie mogła, gdyż bez niego niemożliwem by jej było przebrnąć jezioro.

Zbliżyła się więc rezolutnie do zwierzęcia i zwilniła sznur, którym do drzewa było przywiązane. Wokoło niej panowała głęboka cisza. Obaj hultaje widocznie już spali.

Ostrożnie doprowadziła Gertruda konia nad brzeg jeziora. Serce jej biło z radosnego wzruszania. Była ona uratowana.

Wtem dał się słyszeć szmer i głośny okrzyk gniewu. Z chatki wybiegł czarny Ignacy, a za nim pędził zadyszany Piotr. Następnej chwili był Ignacy już przy niej i złapał ją za rękę.

— Popatrzcie to ona! — zawołał on zawistnie.

W pierwszej chwili była ona jakby sparaliżowana ze strachu, lecz prędko się opanowała i wyrwawszy się zręcznie z rąk swego prześladowcy, wskoczyła na konia który ją kilku susami na brzeg przeniósł.

Lecz czarny Ignacy tak już był blizko niej że o ucieczce prawie mowy nie było.

Koń przeląkł się bowiem wody i nie chciał w nią wskoczyć. Obaj hultaje tryumfowali, bo byli pewni że im ofiara ich teraz nie umknie.

Gertruda popędzała konia w śmiertelnej trwodze, a spłoszone zwierzę stanęło dęba i wskoczyło wreszcie w wodę. Lecz w tej chwili przyskoczył do niej znów Ignacy.

Szybkim, błyskawicznym ruchem chwyciła Gertruda za broń i wycelowała do swego przeciwnika.

— Precz stąd! — krzyknęła ona z odwagą rozpaczy. — Albo ja wystrzelę.

Ignacy krzyknął gniewnie i skoczywszy ku niej już ją chciał chwycić za rękę, gdy Gertruda pociągnęła za kurek.

Jak grzmot rozległ się odgłos wystrzału i czarny Ignac padł z jękiem na ziemię.

Przerażonej Gertrudzie wypadła broń z ręki. Spłoszony wystrzałem koń popędził galopem przez wodę i nim Piotr zdążył do zranionego towarzysza, znikła Gertruda już w ciemnym lesie po drugiej stronie wody.

Wściekle rozgniewany wystrzelił Piotr za nią, ale nie trafił. Potem rzucił się w wodę, nie troszcząc się o zranionego Ignaca i przepłynął na drugi brzeg. Musiał on koniecznie przyłapać Gertrudę i spodziewał się, że mu się to uda, gdyż nie mogła przez gęsty las prędko pędzić.

Zasapany wylazł Piotr z wody, wykręcił swoje ubranie i popędził w las. Słyszał on jeszcze zdala tętent kopyt końskich i wytężał wszystkie siły, aby zbiegłą hrabinę przyłapać.

Po dłuższej gonitwie musiał on wreszcie uznać, że mu to będzie niemożliwe. Zgubił on teraz nawet już jej ślad i tak był zmęczony, że musiał odpocząć.

Pełen bezsilnej złości zacisnął on pięści i zgrzytnął zębami. Coby hrabia Sinobrody na

to powiedział, gdyby się dowiedział, że Gertruda uciekła?

A czarny Ignacy? Czy on wogóle jeszcze żył? Piotr przypomniał sobie wreszcie swego towarzysza i postanowił wrócić na wysepkę i zobaczyć co się z nim stało.

Gdy się już zbliżył do wody zobaczył on blask światła przyświecającego przez drzewa. Co to miało znaczyć i skąd światło to pochodzić mogło?

Ostrożnie postąpił on bliżej i niebawem usłyszał ludzkie głosy i zobaczył u brzegu kilka ciemnych postaci.

Kilka pochodni oświetlało tę scenę. Piotr zatrzymał się i obserwował ciekawie tych ludzi, którzy się bez wątpienia na drugi brzeg wody przeprawić chcieli.

Piotr odgadł że to byli wrogowie, którzy za nim, za Ignacem i za Gertrudą szukali. Nie mógł jednak poznać, czy i Greif był między nimi. Widział tylko mundury kilku strzelców i żandarmów i czuł się szczęśliwy, że nie jest już na wysepce.

Nie troszczył się on więcej o czarnego Ignaca, który się teraz żywy czy umarły musiał dostać w ręce wrogów, i myślał tylko o własnym ratunku.

Cofnął się więc i zniknął w lesie.

Wtem usłyszał on tętent kopyt końskich. Chciał wyminąć i schować się, lecz już było zapóźno. Jedźcy już go zobaczyli i ku niemu p-dzili.

Był on właśnie na małej łączce, którą księżyc jasno oświetlał. O ucieczce nawet już myśleć nie mógł.

Wyciągnął on szybko rewolwer, zdecydowany wycelować na wroga i życie swe i wolność mordem okupić. Lecz nagle opuścił broń i krzyknął tryumfująco gdy ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczył, że to nie mężczyzna tylko kobieta, którą miał przed sobą.

Była to Gertruda na jego koniu. Piotr podskoczył ku niej z szyderczym uśmiechem.

CL.

PODWÓJNIE ZDRADZONY.

Od czasu ostatnich zajść upłynęło ośm dni.

W ciągu tego czasu robiła Walerya co mogła, aby Agatę zniszczyć, lcz dzięki zabiegom Wintera i czujności jego, żaden z zamachów jej się nie udał.

W rozpaczliwym humorze przechadzała się Walerya pewnego poranku po cudownych alejach parku hrabiowskiego i knuła nowe plany ku zgubie swej nieprzyjaciółki. Nie mogła jednak znaleźć drogi wyjścia.

W ręku trzymała otwarty list, który dopiero co otrzymała. Był on od Ludwika Hechta. Nie dawał on znaku życia od owego wieczora, którego ona go tak szorstko i szyderczo odprawiła. To co jej dzisiaj donosił, wprawiło Waleryę w okropną irytacyę i wzburzenie.

Wzięła ona list jego po raz drugi do ręki, i uważnie go przeczytała. Brzmiał on jak następuje:

"Kochana Waleryo!

Zdziwisz się może, otrzymawszy list ten odemnie, bo myślałaś pewno, że już jestem w drodze ku nowemu światu. — Nie myślę jednak wyrządzić ci tej przysługi i zniknąć na zawsze. Byłaś wprawdzie tak strasznie nielitościwa i zawistna w obejściu swem dla mnie, gdyśmy się po raz ostatni widzieli, że każdy inny mąż byłby już stracił cierpliwość. Lecz ja chcę ci okazać swoją wspaniałomyślność i dowieść ci niepewność i całą okropność twego położenia.

Żałuję cię właściwie, moje dziecko, bo cóżeś ty dotychczas właściwie wszystkiemi swojemi usiłowaniami osiągnęła? Jesteś wprawdzie hrabiną Linderhof, ale zaszczyty te prysną jak bańka mydlona, przed dmuchnięciem detektywa, albo nawet przed mojem gdybym zechciał. Ty mnie rozumiesz? Pomówię z tobą zresztą wyraźniej. Słuchaj:

— Nie możesz nic przedsięwziąć przeciwko hrabinie Agacie, jeżeli ja tego nie zechcę. Znam ja twoje zamiary, i wiem, że ten domniemany baron Steinberg, który mieszka w hotelu pod "księciem Leopoldem" nie jest nikt inny, jak brat twój Robert, albo... jak go powszechnie nazywają... hr. Sinobrody.—Wiem, że on ma jak najlepsze chęci spełnić twoje życzenia, ale temu ja się sprzeciwię! Ja każdy krok jego będę obserwował, i wszystko w anonimowych listach detektywowi doniosę. W ten sposób pojmiesz, kochana Waleryo, że wszystkie zamiary twoje przepaść muszą, jakkolwiek pięknie i mądrze je ułożyłaś.

Może się na mnie za to będziesz gniewać, ale zemsta jest słodka! — Nie możesz mi się dziwić, że jestem nieco wrogo usposobiony. — Wróćmy jednak do rzeczy: Jest to zupełnie w twojej mocy, abyśmy oboje wrócili do dawnych przyjacielskich stosunków. — Znasz moje warunki. Gdybyś tę

moją propozycyę nie przyjęła, to bądź pewna, że twoje hrabiostwo prędko i okropnie się skończy.

W tym wypadku bowiem opiszę dokładnie wszystko, co przeciwko hrabinie Agacie z twego zlecenia przedsięwziąłem.— Dodam do tego nasz akt ślubny, z którego widać jasno, że ty nie jesteś żoną hrabiego Linderhofa, lecz karanego Ludwika Hechta, i poślę to wszystko detetywowi Winterowi. Naturalnie, że wpierw osobę swą tak zabezpieczę, aby się nic złego stać nie mogło.

—Chcę ci jeszcze donieść coś, co cię pewno bardzo ucieszy. — Słuchaj i dziw się: Mały Walter Rambow żyje, i jest już pod opieką uszczęśliwionej swej matki. — Tak jest, kochana Waleryo, masz okropnie mało szczęścia w swoich przedsięwzięciach. — Żal mi cię, bo widzę twój smutny koniec.

Muszę ciebie i brata twego hrabiego Sinobrodego jeszcze specyalnie ostrzedz. Skoro tylko zechcę, mogę donieść policyi, że on się pod obcem nazwiskiem tu zatrzymuje. — Spodziewam się jednak, że jako rozsądna kobieta uznasz, że to dla na obojga lepiej pogodzić się niż sprzeczać Naturalnie zgoda ta musiałaby być zapieczętowana dostateczną ilością banknotów tysiącmarkowych.

Oczekuję odpowiedzi od ciebie pod wiadomym adresem do jutra wieczora.

Twój zawsze ci wierny mąż
Ludwik Hecht.''

Walerya zmięła list ten gniewnie w ręku, a z ust jej wyrwało się nienawistne przekleństwo.

Na co się jednak przydała bezsilna jej wściekłość? Hultaj drwił i szydził sobie z niej, bo wiedział, że ona warunki jego spełnić musi.

— Więc i dziecko to jeszcze żyje? — zgrzytnęła ona zawistnie. — Więc ta fałszywa żmija mnie oszukała? — O, ja to przeczuwałam, a teraz jestem też i wobec niej bezsilna. — Nie mogę się zemścić na niej, choć bardzo bym chciała.

Przechadzała się ona zamyślona przez chwilę po parku, dopóki nie doszła do pawilonu, w którym odbyła się ostatnia jej pogadanka z Ludwikiem Hechtem. Zatrzymała się ona tu, i mruknęła wchodząc:

— Może on już jest tutaj?

W powilonie panowało ponure półświatło, bo story u okien były spuszczone.

W pawilonie nikogo nie było. Walerya padła z westchnieniem na fotel i czekała. Zamyśliła się tak, że nawet zbliżających się kroków nie usłyszała, i wzdrygnęła się dopiero, gdy się drzwi otworzyły.

Na progu ukazał się hrabia Sinobrody, przebrany do niepoznania. Zamknął on za sobą ostrożnie drzwi, i przywitał się z Waleryą, która go niecierpliwie oczekiwała.

— Czy cię nikt nie widział wchodzącego? — zapyta ona.

— Nie! Uliczka była zupełnie pusta — uspokajał ją Snobrody.

Wszedł on bowiem przez furteczkę boczną, do której mu Walerya klucz dała.

— No cóż Robercie! Jakie nowiny mi przynosisz? — badała ona ciekawie.

— Złe — mruknął on gniewnie. — Nic mi się nie udaje! Wszystko idzie na opak.

Walerya uśmiechnęła się gorzko.

— Mogę ci powiedzieć dlaczego — rzekła ona. — Masz, czytaj ten list!

I podała mu list Ludwika, tłumacząc od kogo on pochodzi.

Hrabia Sinobrody podniósł story, aby mógł przeczytać, potem rzucił list na stół i zaklął gniewnie.

— Ja sobie z tym hultajem już dam radę! — krzyknął on. — Uspokój się tylko! — Nie wykona on swoich podstępnych gróźb! Dyabli go raczej wezmą!

— Obawiam się, że mu w niczem nie potrafisz przeszkodzić! — westchnęła ona przygnębiona. — Jest on chytry jak lis i trudno mu dorównać. — Będziemy się musieli z nim pogodzić... pozornie, naturalnie.

— Chcesz temu bezwstydnemu człowiekowi jeszcze pieniądze ofiarować?

— Cóż mi innego pozostaje? — Nie dam mu na razie dużo i będę go trzymała obietnicami. Główna rzecz jest, aby go odwieźć od chęci zdrady.

Hrabia Sinobrody zamyślił się. Byłby on Ludwika najchętniej zgładził, lecz musiał on wkońcu Waleryi przyznać słuszność.

— Dobrze — mruknął on. — Spróbujmy z nim raz jeszcze po dobremu. — Naturalnie, że nam w takim razie musiałby pomagać. — Trzeba mi koniecznie jakiegoś wspólnika, bo sam nic uczynić nie potrafię.

— Czy się Piotr jeszcze nie zjawił?

— Nie! nic o nim jeszcze nie słyszałem! Kto wie, co się z nim stało. Obawiam się najgorszego.

— Pewno żona twoja, Gertruda uwolniła się, a Piotr wraz z czarnym Ignacem przy tem

zginęli — mruknęła Walerya, wiedziona dziwnem przeczuciem.

— Kto wie? — rzekł Sinobrody, wzruszając ramionami. — Jak stoi sprawa z twoim mężem?

— Już mu lepiej! — odparła ona. — Za kilka dni będzie on zupełnie zdrów, a do tego czasu koniecznie coś decydującego stać się musi, Robercie!

— Tak jest, ale co?

— Hrabina Agata musi na każdy wypadek zginąć!

— Obawiam się, że nam się to nie uda. Czas zanadto jest krótki. Czy nie mogłabyś słabość hrabiego nieco przydłużyć?

— Nie! nie mam odwagi dać mu powtórnej dozy mego środka, bo to by dla mnie bardzo złe skutki mieć mogło.

— Czy myślisz, że on z tego mógłby umrzeć?

— Tak jest! A wtedy odkryłoby się, że on został otruty i podejrzenie podłoby natural nie na mnie. Nie zyskałabym nic na jego śmierci. Gdyby Agatę i dziecko jej zgładzić było można, bo to zmieniłoby postać rzeczy.

— Hm! Musimy się teraz na wszystko odważyć — odparł hrabia Sinobrody. — Ja pomówię z tym hultajem i znów go dla sprawy naszej zjednam. — Pójdę zaraz do niego i wszyscy troje coś uradzimy. — Proponuję, abyśmy się zeszli w pałacu Agaty, w którym jeszcze obecnie nikogo niema. — Tam będziemy przynajmniej bezpieczni i nie będziemy się musieli obawiać zaskoczenia.

— Słusznie! — potwierdziła Walerya. — Ale ja się nie mogę na dłuższy czas z pałacu wydalić. — Muszę być ciągle przy łożu swego męża i uważać aby detektyw albo wrogowie do niego nie dotarli i mnie przed nim nie oskarżyli.

— Możesz to tak urządzić, aby nikt nieobecności twej nie spostrzegł i wieczorem możemy się zejść na naradę.

— Dobrze więc — zadecydowała Walerya po krótkim namyśle. — Odszukaj Ludwika Hechta i bądź z nim tam punktualnie o ósmej godzinie. Ja tam już na was będę czekać.

Hrabia Sinobrody pożegnał się a Walerya wróciła do pałacu.

Po obiedzie wybrała się ona w drogę ku zamkowi Agaty. Czy zastanie ona tam Ludwika ze swym bratem? Nie wierzyła ona w to bardzo.

Powóz jej pędził szybko po samotnym gościńcu leśnym, a konie tak były dzikie, że woźnica wprost je powstrzymać nie mógł.

Nagle padł w lesie wystrzał a w tej samej chwili wypadła z gęstwiny łania i przebiegła na drugą stronę. Spłoszone konie stanęły dęba i pogalopowały w gęsty las.

Walerya uchwyciła poduszki siedzenia z obawy, aby z powozu nie wypaść.

Krzyknęła ona gniewnie na woźnicę, i kazała mu konie zatrzymać, lecz to było niemożliwe. Tak woźnica, jak siedzący obok niego lokaj, potracili głowy z przerażenia.

Była to okropna, dzika jazda. Spłoszone konie pędziły z powozem przez las ku bradzo stromemu wąwozowi, w którego głębi szumiał potok górski.

Daremnie ciągnął woźnica za cugle, aby wstrzymać konie i zawrócić. Stawały się one przez to jeszcze dziksze i bardziej się płoszyły.

Blada jak śmierć, ale spokojna, siedziała Walerya w powozie. Przewidywała ona okropną katastrofę. Jeszcze kilka minut, a spłoszone konie musiały ją ściągnąć w przepaść. Zadrżała ona i zmrużyła mimowoli oczy.

Na prawo i na lewo obijał się powóz o drzewa, lecz ani oś ani żadne koło nie złamało się. Coraz dalej i dalej szła dzika ta gonitwa. Lokaj tak był przerażony, że w śmiertelnej trwodze skoczył z kozła na ziemię, i padł bez znaku życia.

I Walerya zaczęła się namyślać, czy nie byłoby lepiej zaryzykować i skoczyć, niż narazić się na niechybną śmierć. Była ona już blizko przepaści, wstała więc i chciała zeskoczyć, gdy wtem coś dziwnie niespodziewanego zaszło.

Błyskawicznie szybko zbliżali się do nich dwaj jeźdźcy. Jeden z nich młody i widocznie jakiś bardzo wielki pan w kostyumie strzeleckim. Dał on koniowi ostrogi i pędził szybko ku Waleryi, która na niego z podziwem patrzała. Zapomniała ona w tej chwili o niebezpieczeństwie w którem się znajdowała.

Tuż przed przepaścią zajechał im jeździec drogę. Złapał on silną ręką cugle pieniących się koni, i pociągnął je w bok. Stawały one dęba, i skakały tam i napowrót, ale jeździec trzymał je żelazną dłonią.

Gdy wreszcie powóz stanął, uderzył o ścięty pień drzewny, i wyłamało się tylne koło.

Walerya chwyciła za poręcz powozu, lecz już było za późno. Straciła ona równowagę i wypadła na ziemię tuż u brzegu urwiska. Straciła ona przytomność i zemdlała.

I woźnica spadł z kozła, ale nic sobie nie zrobił, i pobiegł zaraz na pomoc jeźdzcowi, który sobie z końmi ledwo mógł dać radę.

Teraz nadjechał i drugi jeździec. Zeskoczył on ze siodła i ukląkł obok Waleryi. Po

chwili zbliżył się i pierwszy jeździec do omdlałej i obaj ocuceniem się jej zajęli.

Między drzewami ukazało się jeszcze kilku jeźdźców, którzy, sądząc z ich czerwonych liberyi wyglądali jak książęcy lokaje. Jeden z nich trzymał na linie sforę dziesięciu może psów myśliwskich, które skowycząc i szczekając powóz i konie okrążyły.

Był to urozmaicony i malowniczy obraz, który się tu w samotni tej roztoczył.

Na rozkaz pierwszego z jeźdźców, przed którym się wszyscy inni korzyli, ułożono Waleryę na miękkich kocach, a lokaje pobiegli po wodę, i poznosili wszystkie możliwe środki ożywiające i ocucające.

Niebawem otworzyła Walerya oczy, i zobaczyła się w ramionach obu jeźdźców, którzy ją wspierali i podnieść się ją starali.

— Mam nadzieję, że się wielmożnej pani dobrodziejce nic złego nie stało? — zapytał pierwszy z nich dźwięcznym głosem.

Zmięszana popatrzała Walerya w twarz mówiącego, w której jaśniała para ciemnych, ognistych oczu, wpatrzonych w nią, z wyrazem niekłamanego podziwu. Podniosła się ona szybko, i w pierwszej chwili nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

Poznała ona bowiem w jeźdźcu tym, który był jej zbawcą, siostrzeńca księcia: księcia Artura. Wrócił on dopiero przed kilku dniami z dwuletniej podróży. Walerya widziała go tylko raz w życiu, ale męska piękność i rycerska postać jego zrobiły na niej tak głębokie wrażenie, że obraz jego z duszy jej nie schodził.

Książę ujął jej rękę, i wyraził gorącemi słowy współczucie swe z powodu przykrej jej przygody. Powtórzył potem pytanie swe co do jej zdrowia.

Walerya nie czuła żadnych dolegliwości, i nie odniosła żadnego szwanku z powodu wypadku. Podziękowała więc księciu za jego ratunek, rumieniąc się skromnie. On zaś uśmiechnął się, i odpowiedział:

— Wielmożna pani pozwoli, abym się dla niej o inny powóz postarał.

To rzekłszy skinął na lokaja, który popędził szybko do stolicy. Drużyna księcia cofnęła się nieco, z wyjątkiem adjutanta jego, który przy nim pozostał.

Walerya usiadła przy pniu drzewnym, i niebawem przyszła zupełnie do siebie. Zaczęła ona swobodnie rozmawiać, i opowiedziała księciu jak to się stało, że się konie spłoszyły, i dokąd jechała.

— Gdyby jaśnie książę nie był pośpieszył na mój ratunek, to leżałabym już teraz nieżywa na dnie przepaści — dodała ona z czarującym uśmiechem. — Zawdzięczam waszej książęcej mości swe życie.

— A ja dziękuję przypadkowi, który mnie tu sprowadził — odparł książę ogniście, patrząc z podziwem na Waleryę. Poznać było, że demoniczna jej piękność robiła na nim ogromne wrażenie. Łatwo zapalne jego serce, wybuchło jasnym płomieniem. Nie spotkał on jeszcze nigdy kobiety tak czarującej piękności.

Dla skrócenia czasu opowiadał on jej o swoich podróżach, i był oczarowany gracyą jej i obejściem. Wiedział on już od woźnicy, kim ona była, i dowiadywał się z współczuciem o zdrowie hrabiego Edmunda.

Walerya, która natychmiast spostrzegła, jakie wrażenie na księciu zrobiła, odpowiedziała na pytanie jego tak, aby książę poznał, że ona się słabością męża swego bardzo nie martwi. Była też wdzięczna przypadkowi, że ją tak z księciem sprowadził.

Skokietowała księcia tak, że on od niej nie odchodził, mimo że wieczór już zapadł i coraz ciemniej się stawało.

Wreszcie nadjechał lokaj z miasta z dworską karetą, jak to książę rozkazał. Książę pomógł Waleryi przy wsiadaniu, i zapytał:

— Czy mi wielmożna pani pozwoli, abym się jutro osobiście o zdrowie jej dowiedział?

— O, proszę waszą książęcą mość! — rzekła ona, rzucając ogniste spojrzenie — będzie mi nad wyraz przyjemnie!

Ucałował on rękę jej na pożegnanie, ona jeszcze raz do niego się uśmiechnęła, i elegancki powóz szybko odjechał. Jak sen, znikło wszystko z przed jej oczu.

Gdy się Walerya do pałacu Agaty zbliżała była już ciemna noc. Przez wypadek ten spóźniła się ona bowiem więcej niż o dwie godziny. Patrzyła ona w okna pałacu, lecz były wszystkie ciemne.

W przedpokoju zastała ona lokaja, i zapytała, czy tu kto na nią czeka.

— Jakiś obcy pan przyjechał, i czeka w salonie — odpowiedział on jej na to.

Walerya pobiegła szybko na górę, i zastała hrabiego Sinobrodego tak zamaskowanego, że go służący nie poznał.

— Czekam już trzy godziny! — zawołał niecierpliwie. — Chciałem już odjeżdżać, bom myślał, że już nie przybędziesz. — Gdzieżeś tak długo była?

— Nie mogłam tu pierwej być! — rzekła ona wchodząc. — Konie mi się spłoszyły i tylko cudem istnym zostałam uratowana!

Sinobrody przestraszył się, a ona opowiedziała mu krótkiemi słowy uratowanie swe przez księcia.

— A to masz szczęście! — uśmiechnął on się. — Szczęśliwy przypadek przyprowadził ci księcia. Założyłbym się, że on się w tobie jeszcze zakocha.

Walerya wzruszyła obojętnie ramionami.

— Gdzie jest Ludwik? — spytała ona wymijająco? — Czyś go nie przywiózł?

— Nie! On nie chciał! Bezwstydny ten hultaj oświadczył mi, że on musi mieć najpierw pieniądze, nim się z nami znów uda w układy. Tu zaś nie chciał przyjechać, bo się obawiał, że mu coś złego zrobimy.

— Łotr!—syknęła Walerya gniewnie. — Cóż my bez niego poczniemy?

— Trzeba mu będzie dać kilka tysięcy! — rzekł Sinobrody. — Obawiam się, że w przeciwnym razie groźby swoje uskuteczni!

— Dobrze! Poślę ci jutro większą sumę, abyś z nim wszystko ułożył i umówił. Trzeba koniecznie coś z Agatą i detektywem zrobić, bo inaczej ja jestem stracona!

— Spuść się na mnie! — uspokoił ją Sinobrody. — Ja zrobię, co będzie możliwe.

Po krótkiej naradzie odjechała Walerya i wróciła dopiero około północy do domu.

Hrabia Edmund pytał w nieobecności jej kilka razy za Waleryą. Uważała ona więc za stosowne wejść jeszcze mimo późnej pory do jego pokoju.

Hrabia wyglądał jeszcze bardzo blady i cierpiący, poznać jednak było, polepszenie tej, sztucznie przez Waleryę wywołanej słabości.

Weszła ona do niego z uśmiechem i objęła go czule i serdecznie.

—Spodziewam się, że się na mnie za wyjazd mój nie gniewasz, Edmundzie — przymilała ona się. — Niewiele brakowało, a nie byłbyś mnie wogóle już więcej zobaczył.

Popatrzył on na nią zdziwiony, a Walerya tak dalej ciągnęła:

— Tak jest, mój drogi, byłam w okropnem niebezpieczeństwie i tylko cudem uszłam śmierci. Wyjechałam po obiedzie na spacer, lecz w lesie konie się spłoszyły, tak że je woźnica więcej w cuglach utrzymać nie mógł. Pędziły one jak szalone, ku głębokiej przepaści i ja już śmierć przed sobą widziałam!

Umilkła ona chwilę i westchnęła. Hrabia Edmund zerwał się przerażony i zawołał:

— Mój Boże, a ja niczego nie przeczuwałem! Jakżesz się wyratowała?

— O, byłabym niechybnie stracona, gdyby mi Bóg nie był zesłał zbawcę! — rzekła Walerya w ukrytym uśmiechu.

— Któż cię uratował? Należy mu sie od nas dozgonna wdzięczność!

Walerya uśmiechnęła się i rzekła dumnie.

— Książę Artur, siostrzeniec księcia naszego, tak się ze mną rycersko ujął!

Hrabia okropnie był zdziwiony i kazał sobie wszystkie szczegóły dokładnie opowiedzieć.

Walerya uczyniła zadość jego życzeniu i wyrażała się przytem z takim zachwytem o księciu, że hrabia nie mógł ukryć swego niezadowolenia.

— Zdaje mi się, żeś się nie bardzo taktownie w sytuacyi tej znalazła! — rzekł on z naganą. — Nie był to rzeczywiście czas na kokietowanie!

— Ależ kochany Edmundzie, jak ty tylko tak mówić możesz? — obrażała się Walerya.— Zamiast mnie żałować, robisz mi wyrzuty. Czyś może zazdrosny o księcia? — dodała ona szyderczo.— Nie wiem co mi właściwie masz do zarzucenia?

Hrabia Edmund uśmiechnął się gorzko.

— Zazdrosny? — powtórzył on ponuro.— Nie mam do tego powodu! Ale dlaczegoś ty właściwie zaraz po wypadku tym do domu nie wróciła?

— Nie chciałam z księciem razem do miasta wracać — rzekła ona — to by ogólną uwagę było zwróciło.

Hrabia o nic więcej nie pytał, tylko się głęboko zamyślił.

— Będę naturalnie księciu musiał podziękować za uratowanie cię! — rzekł on po chwili. — Zdaje mi się że jutro już będę w stanie zacząć znów swe urzędowanie i być u księcia, przy tej sposobności będę się też mógł widzieć z siostrzeńcem!

Walerya na to nic nie odpowiedziała. Nie zdradziła się też z tem, że książę się do niej z wizytą zamówił, bo się obawiała, że go mąż jej sam przyjąć zechce. Spodziewała ona się, że hrabia nie będzie jeszcze jutro mógł pojechać do urzędu.

Nie chciała ona też tego i postanowiła plany jego pokrzyżować. Co do księcia, postanowiła ona sobie koniecznie zawrócić mu głowę. Gdyby jej się to udało, to mogłaby ochoczo patrzeć w przeszłość, gdyż miałaby w księciu opiekę i podporę.

Do osiągnięcia tego celu jednak, musiałaby tak zarządzić, aby mąż jej jeszcze przez jakiś czas był chorym. Trzeba mu więc było zaaplikować jeszcze trochę z tego trującego proszku, który przy sobie w kieszeni nosiła.

— Czyś już wziął lekarstwo? — zapytała nagle.

— Nie, nie chcę żadnych lekarstw więcej!

— rzekł hrabia Edmund stanowczo.— Czuję się całkiem zdrów i rześki!

— Ależ mój drogi! Musisz się przecież stosować do przepisów lekarza! — rzekła obłudna kobieta z lekkim wyrzutem. — Nie jesteś jeszcze tak zupełnie zdrów, jak ci się zdaje. — Weź lekarstwo to jeszcze dla mego uspokojenia.

Hrabia Edmund bronił się z początku przeciwko temu ale Walerya tak długo go nudziła, dopóki wreszcie nie uległ.

Pobiegła do stolika, gdzie stały lekarstwa i wlała kilkanaście kropel przepisanego płynu do szklanki z wodą, potem zerknęła nieznacznie na swego męża.

Leżał on z zamkniętemi oczyma i Walerya czuła się zupełnie bezpieczna. Wyciągnęła ona proszek z kieszeni i otworzyła drżącą ręką papierek.

Wahała się jeszcze przez chwilę, jak gdyby ją jakaś niewidzialna ręka od tego wstrzymywała.

Czyż to nie było straszne przedsięwzięcie? Cóżby ona zrobiła, gdyby on umarł?

— Wszystko jedno! — pomyślała ona po chwili. — Ja nie mam wyboru, i muszę wszystko postawić na kartę.

Wsypała więc rezolutnie proszek do szklanki i zamieszała łyżeczkę, aby si ędobrze i całkiem rozpuścił.

Gdy się potem ze szklanką do łoża męża swego zbliżyła, leżał on nieruchomo i wyglądał jak gdyby spał. Popatrzyła ona na niego badawczo i dotknęła jego ramienia.

— Tak, kochany Edmundzie! — rzekła ona czule, — Tu jest twoje lekarstwo. Wypij je, a będziesz po nim dobrze spał i wstaniesz jutro zdrowy i rześwy.

Hrabia Edmund otworzył oczy, lecz nie wziął podanej sobie szklanki.

Postaw szklankę na stół, ja później wypiję. Idź też już spać, a stary Michał niech do mnie przyjdzie — mruknął on.

Walerya musiała wyjść, aby podejrzenia jego nie wzbudzić, lecz miała pewne wątpliwości.

Czy on coś spostrzegł? Czy przypuszczał, co lekarstwo zawierało?

Nie zapomnij o lekarstwie — upomniała ona go na odchodnem.

On nic już na to nie odpowiedział. Walerya spojrzała raz jeszcze na niego badawczo, a potem zawołała starego Michała. Kazała mu podać lekarstwo, i odeszła do swoich apartamentów.

Czy mąż jej wypije to lekarstwo? A cóż będzie gdy tego nie uczyni?

Myśli te krążyły jej ciągle po głowie, i spać jej nie dały. Ledwo dnieć zaczęło, zerwała się ona i pobiegła do pokoju męża, aby mieć pewność.

Wsunęła się ona zupełnie cicho, jak cień przez jego pokój, oświetlony tylko bladem światłem ampułki.

Wzrok jej padł najpierw na starego Michała, który spał w fotelu tak mocno, że wejścia jej wcale nie słyszał.

Na poduszkach łoża swego spoczywał hrabia Edmund, dziwnie blady, i jakby martwy. Pierś jego nie podnosiła się oddechem. Walerya popatrzyła na niego badawczo i nachyliła ucho do jego piersi. Nie słyszała jednak oddechu. Popatrzyła na stół... szklanka była próżna. Wypił on więc truciznę. Czy więc już nie żył?

Stała ona przez kilka minut jak nieprzytomna. W pokoju panowała grobowa cisza, i coś jakby powiew śmierci.

Walerya cofnęła się przerażona i zadrżała Potem wybiegła z pokoju, jakby gnana furyami i demonami.

CLI.

NOWY KOCHANEK.

—Musimy się dziś za wszelką cenę dostać do hrabiego, i oznajmić mu że żona jego Agata żyje! Chodź pan, kochany przyjacielu. Ja jestem zdecydowany nie dać się dziś odprawić.

Z temi słowy wziął Winter kapelusz i laskę do ręki, podczas gdy doktór Kloc, który wraz z nim był u Agaty, wzruszył tylko ramionami.

— Obawiam się, że dziś nas znów z kwitkiem odprawią — odparł on. Mówią, że hrabia znowu zachorował, gdy się o wypadku Waleryi dowiedział.

— Nie wierzę ani słowa w te pogłoski dziennikarskie. Chodźmy i sami się przekonajmy— nalegał Winter — a gdyby hrabia naprawdę był chory, to Pan jako lekarz domowy tam będzie potrzebny.

Jestem wprawdzie pewny, że nas hrabina Walerya nie dopuści, ale spróbujmy—rzekł doktór Kloc, i wstał z krzesła.

— Ja także wątpię, czy panowie coś osiągną — przerwała im Agata. — Mój mąż jest chory, i znajduje się w mocy tej piekielnej kobiety. Ona was znów odprawi.

— Musimy jednak spróbować, wielmożna

pani hrabino — oświadczył Winter. — Może będzie sposobność, aby wsunąć przy pomocy starego Michała jakiś list do hrabiego. Przez to byśmy ogromnie wiele zyskali.

Wybrali oni się obydwaj w drogę a było to poobiedzie następnego dnia. W chwili gdy się do pałacu hrabiowskiego zbliżali, stanęła przed główną bramę kareta dworska.

Z karety tej wysiadł młody elegancki mężczyzna i znikł w podwórzu. Pełni zdziwienia patrzyli oni obydwaj za nim bo go zaraz poznali.

— To przecież książę — zawołał doktór Kloc. — Jeżeli on go odwiedza, to przecież z hrabią tak źle być nie może.

— On pewnie przyjeżdża do Waleryi — odparł Winter. — To on ją przecież wczoraj wyratował i pewno dziś o zdrowie jej się chce dowiedzieć.

— To się wybornie składa — odpowiedział doktór Kloc żywo. — Wejdźmy i każmy sobie zawołać starego Michała. Będzie on nas teraz mógł bez przeszkód zaprowadzić do hrabiego, gdyż Walerya zajęta jest księciem. Nie potrzebuje ona nawet nic o wizycie naszej wiedzieć.

Winter był tego samego zdania. Weszli więc obydwaj na kurytarz i spotkali jednego służącego. Nie znał on ani Wintera, ani Kloca, bo został dopiero kilka dni temu przez Waleryę przyjęty.

Doktór Kloc poznał natychmiast, że to ktoś nowy i postanowił właśnie tę okoliczność wykorzystać Waleryę podejść. Szepnął on Winterowi kilka słów na ucho i zwrócił się znów do służącego. Wtem nadszedł drugi, również nowy lokaj.

Lecz gdy obu nowoprzybyłych zobaczył drgnął on widocznie i bardzo się zaniepokoił. Wiedział on bez wątpienia, kogo ma przed sobą. Doktorowi i Winterowi wydawał on się zupełnie nieznajomy. Miał on ciemny zarost, który prawie całą twarz jego zakrywał.

Cofnął on się szybko, jakby z obawy, aby nowoprzybyli panowie do niego nie przemówili. Stanął on sobie w głębi obszernej hali, obok schodów prowadzących na pierwsze piętro i obserwował ciekawie, co się tam stanie.

Doktór Kloc nie zwracał na niego uwagi i zwrócił się do pierwszego mówiąc, że on jest lekarzem, za którym posłano. Żądał więc, aby go do hrabiego zaprowadzono.

— Dobrze, panie doktorze! — rzekł lokaj, który nic złego nie przeczuwał. — Proszę iść za mną! Ja panią hrabinę wnet o tem powiadomię!

Lecz tego sobie doktór Kloc właśnie niczył. Walerya nie śmiała o niczem wiedzieć, aby planów jego nie pokrzyżować.

— Nie potrzeba! — rzekł on więc stanowczym tonem. — Jestem tu już od wielu laty lekarzem, à zresztą jego ekscelencya mnie oczekuje!

To mówiąc wszedł on po schodach na górę, a Winter za nim. Lokaj nie wiedział, co ma właściwie począć. Nie miał odwagi sprzeciwiać się tym dwom tak energicznie występującym panom.

Tymczasem pobiegł ten drugi czarnobrody lokaj, który wszystko podsłuchał do apartamentów Waleryi i wpadł do jej budoaru, nie zapukawszy nawet poprzednio.

Było to dziwne obejście jak na służącego, który zaledwie 24 godzin był w służbie.

Walerya była sama. Stała ona przed dużym lustrem i przeglądała się w niem z uwagą. Włożyła na przyjęcie księcia złoto-żółtą jedwabną suknię, która była wycięta, i okazywała ramiona i szyję śnieżnej białości. Na rudawych jej włosach lśnił się kosztowny brylantowy dyadem. Wyglądała zwodniczo pięknie, zdolna rozpłomienić serce każdego mężczyzny i całkowicie go ujrzamić.

Drgnęła ona na nagłe wejście lokaja, lecz się nie oburzyła na to. Zapytała tylko zdziwiona.

— Co to ma znaczyć, Ludwiku? Dlaczego tak nagle tu wpadasz?

— Nadszedł detektyw Winter i doktór Kloc! — odparł on. — Chcą oni udać się do hrabiego, a ten nowy służący... ten idyota... wprowadza ich tam bez oporu.

Walerya zbladła i okropnie się przeraziła.

— A ty? — zawołał ona gniewnie. — Pocóż ty tutaj jesteś i dlaczegoś ich nie odprawił?

— Ja? — zaśmiał on się z bezwstydną poufałością. — O ja nie naraziłbym się na to, aby mnie detektyw poznał. Jest to zanadto wielkie niebezpieczeństwo!

—Głupcze! W tym przebraniu nikt cię przecież nie pozna!

— O, to jeszcze wielkie pytanie! Detektyw ma bardzo bystre oko i kto wie, czy moja broda by go złudziła. Gdyby on poznał, że się pod tą maską tak skrzętnie przez niego szukany Ludwik Hecht ukrywa, to...

Walerya przerwała mu niecierpliwym ruchem i podeszła zaniepokojona ku drzwiom.

— Oni nie śmią się do hrabiego dostać. Ja im obu drzwi pokażę !— krzyknęła ona.

— Więc spiesz się — upominał ją Ludwik.

W przedpokoju spotkała Walerya swoją pokojówkę.

— Jego ekscelencya czeka, wielmożna pani hrabino! — zameldowała ona.

— Ach, mój Boże... książę! — krzyknęła Walerya. — Proś, aby jego ekscelencya chwilę jeszcze zaczekał!

To rzekłszy pobiegła ona ku apartamentom swego męża. Musiała za każdą cenę zapobiedz, aby ci dwaj z mężem jej się nie widzieli.

Gdy raniutko pokój jego opuszczała, myślała, że on się więcej nie obudzi. Lecz niebawem posłał, stary Michał po nią. Stan hrabiego Edmunda wydawał mu się bowiem bardzo groźny. Chory leżał w silnej gorączce i fantazował. Wychylił on tylko połowę przygotowanej mu przez Waleryę medycyny, a resztę kazał Michałowi wylać. Lecz i ta odrobina tak zgubnie na niego podziałała.

Tak więc Walerya osiągła swój cel i tryumfowała. Groziło jej jednak teraz niebezpieczeństwo, bo jeżeliby detektyw z doktorem do chorego weszli, to on by ich mimo stanu swego wysłuchał. Doktór Kloc objąłby też pielęgnacyę chorego i poznałby również, czem została choroba wywołana.

Nie powinno jednak było dojść do tego. Walerya była na wszystko przygotowana. Chciała ona teraz podjąć otwartą walkę z Winterem.

Winter doszedł tymczasem z doktorem do apartamentów hrabiego Edmunda, a lokaj postępował za nimi nie śmiąc ich zatrzymywać.

Wtem zaszła im Walerya drogę. Mimowoli stanęli oni zmieszani, podczas gdy się ona z szyderczym uśmiechem zbliżała.

— Ach ,moi panowie, jestem bezgranicznie zdziwiona że panów tu spotykam! — rzekła ona pozornie zdziwiona. — Nie myślałam, że panów znów tak prędko tu zobaczę, kiedym kilkakrotnie powtarzała, że mój mąż chory i wizyt przyjmować nie może.

Szyderczy jej ton podrażnił obu panów, lecz opanowali oni swój gniew, a Winter odparł chłodno i z naciskiem:

— To pani wina, żeśmy dotychczas do hrabiego nie zostali dopuszczeni, pani hrabino, jestem przekonany, że pan hrabia byłby mnie natychmiast przyjął, skoro by wiedział, że ja tu jestem. Wierzę, że pani ma wiele powodów, aby męża swego od całego świata odosobniać, a szczególnie mnie do niego nie dopuszczać, bo wie pani dobrze że moje wynurzenia wobec pana hrabiego, nie miałyby bardzo przyjemnych następstw dla pani.

Walerya wyprostowała się dumnie, a z oczu jej błyskała śmiertelna nienawiść.

— Mój panie! — syknęła ona i zmierzyła spokojnie przed nią stojącego detektywa ostrym wzrokiem. — Miej się pan na baczności i licz się pan ze swoimi słowami. Tak jest, ja znam, oskarżenia pana przeciwko mnie i nie pozwalałam na to, aby pan chorego mego męża oszczerstwami swemi irytował. I teraz ja się na to nie zgodzę i proszę panów seryo abyście dom ten opuścili. Nie trudźcie się panowie też przychodzeniem tu, bo toby było bezcelowe.

Winter skłonił się ironicznie i odparł z naciskiem:

— Ja wrócę, pani hrabino, niech się pani na to spuści, a wtedy już mi pani nie przeszkodzi zajść do pana hrabiego. Gdybym nie wiedział, że hrabia jest chory... z pani winy... nie dałbym się i teraz wstrzymać. Obawiam się jednak, że irytacya, jaką by mu gwałtowne moje wtargnięcie sprawiło, źle by na niego podziałać mogło. Ja mam czas i mogę jeszcze trochę poczekać! Przyjdzie dzień, w którym panu hrabiemu będę mógł donieść, że żona jego Agata żyje i że uszła szczęśliwie wszystkim prześladowaniom pani. Wtedy zaś rola pani skończona, pani hrabino. Nie ujdzie pani swemu losowi! Bóg z panią.

Mówiąc to ukłonił on się po raz drugi z szyderstwem i wyszedł za doktorem Klocem.

Walerya patrzała za nimi niema i drżąca z wzburzenia i gniewu. Okropna trwoga ściskała jej serce. Wiedziała ona, że groźby Wintera się spełnią i że daleko gorsze skutki dla niej mieć mogą, niż to on sam nawet przypuszczał.

Zaciskała ona pięści w bezsilnej złości. Była wstanie zadusić detektywa własnymi rękoma.

Jakby sparaliżowana stała Walerya jeszcze kilka minut na tem samem miejscu.

Wreszcie wzdrygnęła ona się gwałtownie, bo sobie przypomniała wizytę księcia, który na nią czekał w salonie. Nie była ona w humorze przyjęcia go, lecz się musiała opanować. Może właśnie ta dzisiejsza wizyta księcia o przyszłości jej zadecyduje!

Spiesznie pobiegła ona więc do salonu, gdzie już książę na nią cierpliwie czekał. Gdy się doń zbliżała, nie było na twarzy Waleryi już ani śladu wzburzenia, albo trwogi. Umiała ona, jak żadna inna ukrywać to, co się w duszy jej działo.

— Proszę o przebaczenie jego ekscellencyi za tak długie czekanie na mnie — rzekła ona słodkim głosem i z czarującym uśmiechem. — Książę wie jednak, że mój mąż chory. Nie mogłam się mimo najlepszej chęci wcześniej od łoża jego oderwać, aby księciu za rycerską jego usługę raz jeszcze z serca podziękować!

— O, to jest właściwie moim obowiązkiem uniewinnić się, żem tak nie wczas przyszedł — przerwał jej książę uprzejmie.

Wziął on rękę Waleryi i do ust ją podniósł.

— Bardzo mi przykro że mąż pani jest chory, spodziewam się jednak, że wkrótce wyzdrowieje.

— Kto wie! — odpowiedziała Walerya chłodno i wzruszyła ramionami.

Wskazała ona księciu zgrabnym ruchem ręki fotel i skierowała rozmowę znów na wczorajszy wypadek, aby mu raz jeszcze módz podziękować.

— Czuję się szczęśliwym, żem pani hrabinie mógł oddać tę usługę! — rzekł on, pochłaniając piękną kobietę ognistem spojrzeniem — Nie warto jednak tyle o tem mówić, bo każdy inny na mojem miejscu, to samo by był uczynił.

Ucałował on powtórnie rękę Waleryi, któ ra widziała dobrze, jakie wrażenie wdzięki jej na księciu wywierają.

Wzrok jego stawał się coraz ognistrzy, a Walerya użyła dalej swej kokieteryi, aby łatwo zapalne serce księcia bardziej jeszcze rozpłomienić.

Chciała ona go zupełnie podbić, wciągnąć go w swoje sieci i uczynić niewolnikiem swej piękności.

Jeżeli jej by się to udało, jeżeliby się książę seryo w niej zakochał, to mogłaby ona tryumfować i spokojnie w przyszłość patrzeć. Jeżeliby w tym wypadku hrabia ją od siebie odtrąeił, to miałaby ona księcia, a to by dla niej byłą niezłą zamianą.

Walerya rozważała to wszystko chłodno, podczas gdy z księciem rozmawiała. Nie ukrywała ona tego wcale, że z losu swego nie była zadowolona.

Książę nie znał jej przeszłości i nie miał pojęcia w jaki sposób ona żoną Linderhofa została. Słyszał on dawniej o Agacie i o zapadłym za nią wyroku. Miał Agatę jednak za umarłą i nie mógł przypuszczać, że ona była właściwą żoną hrabiego Edmunda i że Waleryę niebawem zdemaskować miała.

Walerya nie chciała z nim otwarcie mówić, nim miłości jego pewną zupełnie nie była. Musiała ona wiedzieć czy na niego może liczyć i czy piękność jej taką namiętność w nim wzbudza, aby on dla niej na każde niebezpieczeństwo chciał się narazić.

Powiedziała ona mu wyraźnie, że go z tęsknotą oczekiwała, a książę zrozumiał to oświadczenie uczuć.

— O, pani hrabino! — zawołał on wzruszony i zachwycony. — Pani mnie niewymownie uszczęśliwia. I ja się pani przyznać muszę, że pragnąłbym gorąco znów się z panią zobaczyć.

Pocałował ją powtórnie w rękę, a ona patrzyła na niego tak ogniście, że mu aż krew w żyłach zawrzała i serce gwałtownie bić poczęło.

— Ach! — westchnęła ona, a wzrok jej się zamglił. — Gdyby książę wiedział, jak bezgranicznie nieszczęśliwą ja się czuję! Nie mam żadnego przyjaciela i nikogo, przed kim bym sercu swemu ulżyć i rady lub pomocy szukać mogła.

Spuściła ona piękną swą głowę, a z oczu rzęsiste łzy jej się polały.

Książę popatrzył na nią przerażony i ujął serdecznie obie jej ręce.

— Boże mój... pani płacze — zawołał on pełen współczucia. — O, jeśli pani naprawdę tak nieszczęśliwa, jeżeli pani potrzeba do rady i pomocy przyjaciela, to niech pani mnie jako takiego przyjmie. Niech mnie pani obdarzy swym zaufaniem, a ja chętnie uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy!

Mówił on gorąco i namiętnie patrzał pełen żądzy na piękną jej postać.

Walerya podniosła powoli głowę i rzuciła mu znów tęskne i miłosne spojrzenie. Potem westchnęła i szepnęła smutnie:

— Dziękuję księciu serdecznie za jego współczucie, lecz nie mogę tego wziąć na seryo.

— Dlaczego pani o tem wątpi — zapytał on zdziwiony.

— Odpowiedź na to książę sam chyba znajdzie — rzekła ona kokieteryjnie. —Znajomość nasza datuje się dopiero od wczoraj. Czyż może książę dla mnie czuć więcej niż zupełnie obojętne zainteresowanie?

— O, myli się pani, pani hrabino — rzekł on gwałtownie. Gdybym się nie obawiał obrazić panią, to otworzyłbym przed panią me serce.

Walerya uśmiechnęła się uszczęśliwiona, i szepnęła z dobrze udanym zawstydzeniem:

— Jakiego rodzaju uczucie pan dla mnie doświadcza?

Wtedy wybuchł książę wstrzymywaną dotychczas namiętnością, padł przed nią na kolana i chwyciwszy obie jej ręce w swe dłonie, rzekł drżącym głosem:

— Ja panią kocham, szalenie kocham! O niech mnie pani nie odtrąca i na mnie się za to nie gniewa! Ja muszę wypowiedzieć otwar-

cie, to co serce me czuje! Kocham panią od pierwszego spojrzenia! Uwielbiam panią! Pani jesteś moją gwiazdą, mojem szczęściem, mojem wszystkiem na ziemi! O powiedz mi pani, czy się mogę spodziewać wzajemności! Ja żyć więcej bez pani nie mogę!

Popatrzył na nią czule, a z oczu jego biło szczere, prawdziwe uczucie.

Walerya udawała zdziwienie i przestrach mimo że wyznania tego z tęsknotą oczekiwała i pragnęła. Czuła się uszczęśliwioną. Była też dumna z tego, że księcia pozyskała prędzej, niż sama się tego spodziewała.

Udając jednak dalej komedyę, wycofała ona ręce swe z jego dłoni i zakryła niemi twarz.

Wtedy podskoczył książę i wziąwszy ją w swoje objęcia, przycisnął ją do piersi i jęknął namiętnie:

— O, powiedz pani tylko jedno słowo, kochana moja! Błagam panią! Jak sobie mam milczenie pani wytłumaczyć? Czy ja panią obraziłem? Czy się pani na mnie gniewa?

Potrząsła ona milcząco głową i westchnęła.

— O powiedz mi pani, czy mogę mieć nadzieję na największe szczęście na ziemi... na miłość pani — szepnął on namiętnie. — Czyż pani nic jeszcze dla mnie nie czuje? Czy miłością mą pogardza?

Milczące wstrząśnienie głową było znów jedyną jej odpowiedzią. Książę objął ją namiętnie i szeptał jej na ucho gorące słowa miłości. Lecz w chwili, gdy on ją w usta chciał pocałować, odchyliła Walerya szybko głowę i wydarła się z jego ramion.

—Co książę robi — broniła się ona. — O proszę nie zapominać!

Lecz jej opór jeszcze tylko namiętność księcia podsycił. Z zarumienioną twarzą i błyszczącemi oczyma stał on przed piękną kobietą i pożerał wzrokiem wspaniałą jej postać, którą elegancka toaleta jeszcze bardziej uwydatniała.

— Waleryo! Kochana, uwielbiana Waleryo — zawołał on. — Nie bądź pani okrutna. Błagam panią o otwartą odpowiedź! Czy mogę na wzajemność liczyć?

Chciał ją znów objąć, lecz Walerya znów mu się zręcznie wywinęła.

— Na Boga gdyby nas tu tak kto podglądnął — upomniała ona. — Bądź pan rozsądny, książę! Gdyby nas tak mój mąż zaskoczył...

— Mąż pani? O! — szepnął on, jak gdyby przez słowo to spadł z siódmego nieba. — Ach! Gdyby pani była wolną! Gdyby pani nie była skrępowaną!

— A gdybym ja była wolną, gdyby krępujące mnie dziś węzły nagle zostały zerwane! Cóż wtedy książę? Cóżby nam to pomódz mogło? — odparła ona ponuro, i twarz swą rozpaczliwie rękoma zakryła. Potem zaszlochała ona i szepnęła:

— Nas oboje dzieli przepaść, której nic zapełnić nie może! Nie będę mogła nigdy należeć do pana, który jako przyszły następca tronu, zanadto wysoko nademną stoisz!

— Ach, ukochana moja — zawołał on tracąc panowanie nad sobą. — Ja pokonam wszystkie przeszkody! Pani musi być moją żoną.

— Ach — jęknęła Walerya rozpaczliwie. — Co to by było za szczęście! Lecz to nie będzie do osiągnięcia na tym świecie. Będziemy niestety musieli zrezygnować.

— Waleryo — zawołał on ogniście. — Jeżeli pani miłość moją odwzajemnia to nie ma dla mnie przeszkody, którejbym nie pokonał! Niech mi pani tylko to jedno odpowie: Czy może mnie pani kochać tak gorąco i płomiennie jak ja panią?

— Tak jest — wycedziła ona wahająco. — Ja pana kocham, książę, ale do czegóż to do prowadzi? Jak się to dla nas obojga skończyć może? O, jaka ja nieszczęśliwa! Poco ja pana poznałam?

Zakryła znów twarz rękoma i udała że płacze.

Książę był oszołomiony szczęściem, a słowo "kocham pana" brzmiało mu w uszach jak muzyka. Cudowna ta kobieta z demonicznie błyszczącemi oczyma i lśniąco białemi, alabastrowemi piersiami tak działała na jego zmysły że go do szału doprowadzała.

Podskoczył on ku Waleryi i przycisnął ją do swego serca. Oderwał jej ręce od twarzy i okrył usta, policzki i szyję jej gorącymi pocałunkami.

Początkowo wzbraniała się Walerya, lecz niebawem poddała się namiętnym pieszczotom księcia bez oporu. Gorące dreszcze przechodziły całe jej ciało. Położyła ona głowę swą na jego piersi i przymknęła oczy. Serce jej biło gwałtownie i krew żywo po żyłach jej krążyła.

Książę poprowadził ją do kanapy i usiadł obok niej. Objął on ją na nowo, a pieszczoty jego stawały się coraz gorętsze i namiętniejsze.

Wreszcie wyrwała mu się Walerya i jęknęła:

— O, proszę mnie oszczędzać książę i ba-

dźmy rozsądni! Zapomniałam, że jestem żoną innego i że to jest zbrodnią odwzajemniać pańską miłość!

— O, Waleryo! Kochana Waleryo — szepnął on oszołomiony. — Zerwij pani węzły przykuwające panią do męża, którego pani nie kocha!

Ona wzruszyła jednak ramionami i rzekła z westchnieniem:

— Jakżesz jabym to mogła uczynić? Lecz przyjdzie niebawem chwila, w której mąż mój sam mnie od siebie odepchnie! O, gdyby książę wiedział, jakie niebezpieczeństwo mi grozi i jak mnie wrogowi moi ścigają!

Urwała ona, jak gdyby się bała dalej mówić. Książę okropnie się zaniepokoił. Błagał on ją, aby mu powiedziała, co jej właściwie grozi.

— Kto są ci wrogowie pani, kochana Waleryo? — zapytał on. — Jak oni się nazywają i przez co są pani tacy niebezpieczni?

Walerya wahała się przez chwilę. Mimoto była zdecydowana opowiedzieć księciu. Chciała go tylko bardziej jeszcze zaintrygować.

Moim najsroższym i najpotężniejszym nieprzyjacielem jest własny mój mąż — rzekła ona wreszcie ze łzami w oczach.

— Mój Boże, pani własny mąż? jak ja to mam rozumieć?

— Niech tylko książę dalej posłucha, a ja się wytłumaczę, dlaczego w mężu mym dziś najpotężniejszego wroga widzę, i dlaczego się go boję — odpowiedziała Walerya. — Może mi pan nawet nie uwierzy, bo to co panu teraz chcę opowiedzieć, jest ogromnie dziwne a zarazem potworne.

— —Na miłość Boską, pani mnie przeraża, kochana Waleryo — zawoła on wzburzony, a ciekawość jego rosła. — Ulżyj pani swemu sercu, i licz pani na mnie w każdym położeniu! Obronię panią całą swoją siłą i mocę, gdyby panią kto chciał zaatakować.

— Dziękuję panu z serca, kochany książę — odparła ucieszona. — Ale jeżeli książę usłyszy oskarżenia i oszczerstwa moich wrogów, to może w nie uwierzy i z pogardą się odemnie odwróci — dodała Walerya wzdychając.

— Nigdybym ani słowa z oszczerstw tych nie uwierzył — zawołał książę gorliwie. — Niech mię pani jednak dłużej nie wystawia na tortury, lecz powie wyraźnie o co panią posądzają, i kto są oskarżyciele pani?

— Jest to w pierwszym rzędzie jeden detektyw, który mnie nienawidzi, i rzuca na mnie najokropniejsze potwarze, aby mnie zniszczyć.

— Ależ kochana Waleryo — przerwał jej książę zdziwiony. — O cóż on panią może posądzać? Ja panią jeszcze zawsze nie rozumiem!

— Opowiem więc panu wszystko od początku — zawołała Walerya żywo. — Czy wie pan, że krewna moja, baronowa Agata Rambow została za mężobójstwo na śmierć skazana.

— Tak jest, słyszałem coś o tem. Ona podobno męża swego otruła i za to ściętą została?

Walerya uśmiechnęła się dziwnie.

— Tak, została skazana na śmierć, bo wina jej była jasna. Ja sama przeciwko Agacie świadczyć musiałam, gdyż nie mogłam się z prawdą rozminąć. Ale ściętą ona nie została!

— Więc mój wuj ją ułaskawił?

— Nie! Została z szubienicy już w tajemniczy sposób uratowana... podobno przez kochanka.

— Ach — zawołał książę zdziwiony. — A kto był jej kochankiem?

— Mąż mój, obecny minister, hrabia Linderhof — oświadczyła Walerya.

Książę spojrzał na nią z wyrazem najwyższego zdziwienia.

— Mąż pani — zawołał on niedowierzająco. — To on skazaną z szubienicy wyratował? Jak to było możliwie, i poco to on uczynił.

— Był on widocznie o niewinności jej przekonany, a może i nie? Kto to może wiedzieć? Powziął on w każdym razie postanowienie wyratowania kobiety którą ponad wszystko kochał. W jaki sposób to mu się udało, to dotychczas jest zagadką. Dość że ją żywcem z szubienicy wydostał, a władze zostały oszukane i miały Agatę za umarłą. Wszyscy byli przekonani, że ona zginęła.

Książę ogromnie był zdziwiony.

— Nie do pojęcia — rzekł on. — Jeżeli minister to rzeczywiście uczynił, to może to jeszcze teraz najgorsze dla niego mieć skutki. Ale to mi się wydaje takie dziwne i niemożliwe, aby mu się coś podobnego udać mogło, i aby nawet świadków tego aktu mógł złudzić.

— A przecież mu się wszystko udało. Przypuszczam, że i kat był w zmowie — ciągnęła Walerya dalej. — Znikł on bowiem ze swoim pomocnikiem wkrótce bez śladu. I doktór sądowy, Kloc, także w to był wtajemniczony.

— I cóż się później stało?

— Mój mąż poślubił ją później tajemnie. Została ona jego żoną. Naturalnie świat nie śmiał nic o tem wiedzieć, bo Agata musiała uchodzić za umarłą.

Książę podskoczył wzburzony ze swego siedzenia i popatrzył przerażony na Waleryę.

— Nie pojmuje książę jakim sposobem ja żoną jego zostać mogłam — mówiła Walerya

dalej. — Rozwiązanie tej zagadki bardzo jest łatwe. Agata uciekła od hrabiego Edmunda zaraz nazajutrz po ślubie z innym kochankiem... z tym samym, który ją namówił do za mordowania pierwszego jej męża.

— Na Boga — zawołał książę: Co' to za dziwne historye? Pocóż ta Agata wyszła właśnie za hrabiego Linderhofa, jeżeli od niego wnet z pierwszym swoim kochankiem uciekać chciała. Ja tego nic nie rozumiem.

— Miała ona kochanka swego za umarłego, i musiała już z wdzięczności uczynić zadość życzeniu hrabiego. Lecz wtem zjawił się jej kochanek, i ona uciekła z nim bez namysłu, zostawiając nawet swe dziecko.

— Piękna żona — zaśmiał się książę. — A cóż hrabia uczynił? Czy się z nią rozwiódł?

— O nie! On nawet o tem nie myślał, gdyż kochał Agatę namiętnie. Nie chciał on jej utracić i cały świat za nią przeszukał. Ja towarzyszyłam mu w jego podróży. gdyż żal mi go było w jego boleści i rozpaczy.

— Hm! Cóż dalej? — spytał książę, gdy Walerya zamilkła.

— Zbiegła para musiała się dowiedzieć o poszukiwaniach hrabiego i uwodziciel Agaty rozsiał wieść, że ona umarła. Nie uwierzyliśmy w to z początku, lecz dowiedzieliśmy się później, że Agata jest w Indyach i że umarła tam jako żona jakiegoś egzotycznego księcia!

— Skądżesz ona się w Indyi wzięła?

— Tego nie wiem! Musiała ona tam uciec ze swoim kochankiem, któremu ją pewno indyjski książę odbił. Dość że otrzymaliśmy jej dowód śmierci i wkrótce potem ja zostałam żoną hrabiego Edmunda.

— Dziwne! — mruknął książę. — Ale w jakim związku stoją te historye z oszczerstwami i niebezpieczeństwem, które pani grozi?

— Niech mię książę dalej wysłucha — przerwała ona mu — a rafinowany plan przeciwko mnie uknuty jasno się okaże! Detektyw Winter, o którym już wspominałam, był od początku moim wrogiem... nie mam pojęcia dlaczego? Mój mąż dał mu zlecenie szukania za Agatą, a on udawał, że sobie ogromną pracę zadaje, lecz nie miał powodzenia. Wreszcie musiał przecież coś zrobić za ogromne sumy, które mu mąż mój ofiarował i wpadł na dobry pomysł. Mianowicie wmówił memu mężowi że to nie kochanek Agatę uwiódł, lecz że to ja ją porwać kazałam.

— Jakto? Ten człowiek śmie to twierdzić? — zawołał książę zdziwiony i oburzony, — Czy on oszalał? A mąż pani, czy może uwierzyć w takie potwarze?

— Tak! On jest o tem przekonany! Każde słowo detektywa jest mu przeciwko mnie dowodem. Na tem jeszcze nie koniec. Agaty dziecko znikło nagle, porwane pewno przez kochanka matki. I tę okoliczność detektyw przeciwko mnie wyzyskał i posądził mnie, że z nienawiści do Agaty dziecko jej sprzątnęłam!.

— Ten człowiek musi być szalony! — krzyknął książę oburzony. — Ale w to naturalnie nikt nie wierzy.

— O przeciwnie! Mąż mój nie wątpi w prawdę słów detektywa, tem bardziej, że on potrafił pozyskać dla swojej sprawy bonę dziecka, która mnie za udzieloną jej raz naganę nienawidzi, i doktora Kloca. Chcą oni oboje przeciwko mnie jako świadkowie wystąpić i uknuli czarną intrygę dla zgubienia mnie! mnie!

— Ale ja nie pojmuję dlaczego? Cóż pani tym ludziom zrobiła, że oni z tak szalonemi oskarżeniami przeciwko pani występują?

— Zaraz to panu wytłumaczę! — westchnęła Walerya, — Agata wyraziła się raz, że to ja byłam zabójczynią jej pierwszego męża. Otóż detektyw uwierzył w to oskarżenie i używa wszelkich środków aby mnie zgubić.

— Spodziewam się, że mąż pani jest dość rozsądny, aby w te oszczerstwa nie wierzyć! — zawoła książę wzburzony.

— Nie wiem! — odparła z żalem. — Zdaje mi się jednak, że on by w największe z mej strony popełnione zbrodnie uwierzył, gdyby mu to tylko ktoś zaczął wmawiać. ,

— Cóż ten detektyw jeszcze ma przeciwko pani?

— O, zdarzyło się tymczasem coś zupełnie niespodzianego, książę! — zawołał Walerya. — Myśmy się wszyscy mylili! Agata nie umarła! Żyje ona i zjawiła się tu pewnego dnia z powrotem.

— Boże w niebiosach! To brzmi jak cud! — rzekł książę zdziwiony. — A mąż pani co na to mówi? Jest ona przecież jego pierwszą i właściwą żoną! — A pani, kochana Waleryo? Małżeństwo pani z hrabią jest przeto unieważnione.

Zerwał on się z siedzenia i chodził wzburzony tam i nazad po pokoju. Walerya zaś dalej mówiła:

— Mąż mój jeszcze nic o tem nie wie! Pojmie pan też, że ja mu tego w obecnym jego stanie powiedzieć nie mogę, bo to by śmierć jego spowodowało.

— Hm... tak! — potwierdził książę zamyślony. — Ale sądzę, że jeżeli on Agatę tak namiętnie kochał, to ta nowina by go tylko ucieszyć mogła, kochana Waleryo! — Powinna to pani uczynić, i...!

— Niech mi książę pozwoli skończyć — przerwała mu Walerya. — Doniosłabym mężowi swemu o tem, gdyby to dla mnie nie było zgubne. Lecz detektyw sprzysiągł się z Agatą przeciwko mnie, i ona chce prawdę wszystkich jego oszustw poświadczyć. Chce ona mnie oskarżyć, że czyhałam na jej życie, żem ją więziła w myśliwskim zamku hrabiego, który później podpalić kazałam, i różne inne jeszcze zbrodnie. Mój mąż zaś da się im przekonać, o tem nawet nie ma co wątpić. Odtrąci on mnie z nienawiścią i pogardą od siebie i wtrąci jako zbrodniarkę do więzienia.

Ostatnie słowa wymówiła ona ze łzami w oczach i padła szlochając na kanapę.

— O Boże — lamentowała ona załamując ręce. — Jakże tu walczyć przeciwko takiemu wyrafinowanemu i złośliwemu podstępowi? Nie mam żadnego przyjaciela, któryby się za mną ujął, i mną się zaopiekował. Jeżeli on... własny mój mąż... mnie oskarża i potępia, to któż się odważy wystąpić w mojej obronie?

W tem przystąpił książę szybko do niej i czule ją objął.

— Ja to uczynię, kochana Waleryo — rzekł on stanowczo. — Niech się nikt nie odważy naruszyć honoru pani, i z oszczerstwami wobec pani wystąpić.

— Dzięki, stokrotne dzięki mój książę — zawołała Walerya uradowana, i uścisnęła jego rękę, tuląc się przytem do niego. — Tak obroń mnie pan! Stanowisko pana, książę, daje panu moc do tego! Teraz jestem uspokojona i patrzę wesoło w przyszłość! Niczego się więcej nie obawiam!

— Tak jest ukochana. Proszę na mnie liczyć — zapewniał ją książę. — Niech się co chce dzieje, ja panią nie opuszczę! Leży to zupełnie w paninej mocy zrzucić krępujące panią więzy małżeńskie! — dodał on z zapałem. — Małżeństwo pani z hrabią jest zresztą już samo przez się nieważne, gdy pierwsza żona jego jeszcze żyje.

Przycisnął on ją do serca i okrywał jej twarz pocałunkami.

Walerya westchnęła ponuro i zapytała badawczo:

— A jeżeli ja miejsce swe Agacie dobrowolnie oddam i będę wolną... cóż wtedy mój książę?

Wtedy będzie pani zupełnie do mnie należała, kochana Waleryo — zawoła on namiętnie. — Wtedy nie będzie już żadnej przeszkody ku naszemu połączeniu.

Walerya nie była jeszcze zupełnia zadowolona, tą odpowiedzią. Oczekiwała ona otwarte oświadczenie i obietnicę... coś pewnego. Była jednak dość mądra, zadowolić się tem pozornie i postanowiła nie wypuścić księcia ze swoich sieci.

Chciała ona zostać jego żoną. Powzięła już plan działania i była zdecydowaną osiągnąć cel swój za każdą cenę. Pałała też chęcią zemsty ku Agacie i Winterowi. Książę wierzył we wszystkie jej bajki, widział on w niej niewinnie prześladowaną i miał odtąd służyć za narzędzie jej mściwych planów.

Osiągnęła ona właściwie więcej niż się spodziewała. Serce jej napełniało błogie uczucie tryumfu. Chodziło teraz o to, aby zdobycz swą zatrzymać.

Niebawem pożegnał się książę i raz jeszcze objął Waleryę i ucałował.

— Kiedy się znowu zobaczymy, ukochana, — zapytał on na odchodnem.

— Nie wiem jeszcze — westchnęła ona. — Muszę przecież być przy łożu swego męża. Co za szkoda, że nie mogę zostać przy panu, kochany przyjacielu. Obawiam się, że gdy mąż mój wyzdrowieje, a Agata wystąpi przeciwko mnie ze swoimi fałszywymi oskarżeniami, to sytuacya moja będzie okropną. A kto wie, czy pan mię będzie mógł wczas bronić, książę.

—Niech się pani niczego nie obawia, Waleryo! — pocieszał on ją. — Ja będę zawsze w pobliżu pani. Proszę mi jednak przedewszystkiem podać czas i miejsce naszego drugiego spotkania. Czy może już jutro wieczorem? — nalegał on.

— Może w pawilonie w parku! — rzekła Walerya po pewnym namyśle. — Muszę się jednak obawiać zdrady, bo jestem otoczona szpiegami, którzy każdy mój krok obserwują. Jeżeliby nas mąż mój zaskoczył...

— O, on przecież chory! — wtrącił książę. — Nie może nam więc wcale przeszkodzić!

Walerya zawsze jeszcze się wahała, lecz musiała wreszcie ustąpić jego naleganiom. Wręczyła księciu jeszcze klucz do małej furtki bocznej i oświadczyła, że go jutro wieczorem w pawilonie czekać będzie.

— Co się tyczy nieprzyjaciółki pani, Agaty — rzekł, on, to ma ona wszelki powód bać się pani. Jest ona skazana i skoro się tylko policya o pobycie jej w stolicy dowie, to życie jej jest zagrożone. Również mąż pani, hrabia Edmund, w bardzo trudnem będzie położeniu. Ja go nie oskarżę, bo inaczej, jestem pewny, że książę, wuj mój, bardzo ostro by romantyczny akt ten ratunkowy z szubienicy osądził.

— Nie, nie, mój przyjacielu! — prosiła Walerya, — nie mów pan nic jeszcze o tem

księciu, swemu wujowi. Nie chciałabym zgubić męża swego i strącić go z wyżyn na które się z trudem wydrapał. Tylko, gdyby mnie chciał grozić i oskarżać, wtedy i jabym jego i Agaty więcej nie szanowała. Obawiam się też, że detektyw do tego doprowadzi.

— Nie, nie uczyni on tego, bo nie będzie miał mocy dalej pani szkodzić — odpowiedział książę ostrym tonem. — Już ja się o to muszę postarać, aby go z ministeryum wydalili i odebrali mu wszelkie godności jakie posiada.

Walerya uradowała się w duchu z tego, lecz jej chęć zemsty, nie była tem jeszcze nasycona.

Gdy książę odszedł, wybuchło dopiero wstrzymywane jej uczucie tryumfu. Wyprostowała ona się dumnie, a oczy jej zabłysły.

— Ha! teraz się walka może zacząć! — szepnęła szyderczo, myśląc o Agacie i Winterze. Ja napewno z niej wyjdę zwycięsko. Zdobędę sobie nowe i piękniejsze szczęście. Książę jest mi niewolniczo uległy i zostanę jego żoną... a potem, co za przyszłość mnie czeka? Gdy będę żoną następcy tronu, to już tylko krok jeden do najwyższego szczytu... do tronu samego!

Padła ona na fotel i puściła wodze fantazyi i błogim snom o szczęśliwej przyszłości.

Nie spostrzegła ona nawet, że się drzwi rozwarły i że mąż jej, Ludwik Hecht, w przebraniu lokaja wszedł przez nie. Stanął on na progu i spojrzał na nią z szyderczym wyrazem. Podsłuchał on bowiem całą poprzednią scenę i następny monolog Waleryi.

Zaśmiał on się wreszcie cicho i postąpił parę kroków naprzód.

— Jak ty sobie to pięknie przedstawiasz! — rzekł on. — Ale moje dziecko, i o mnie przecież przytem nie zapominaj.

Jakby z chmur spadła, podskoczyła Walerya i zwróciła się gniewnie ku uśmiechniętemu hultajowi.

CLII.

NIEUDAŁE ZABIEGI.

Trwoga opanowała Gertrudę, gdy zobaczyła nagle przed sobą śmiertelnego wroga, Piotra. Chciała ona zawrócić, lecz już było zapóźno, gdyż on przyskoczył do niej i konia za cugle złapał.

— Ha, ha! zaśmiał on się z szatańskim tryumfem. — Więc wreszcie was znów złapałem, piękna hrabino. Teraz mi już więcej nie umkniecie.

W śmiertelnej obawie chwyciła Gertruda za swoją szpicrutę. Koń stanął dęba i omal, że jej z siodła nie zrzucił. Piotr z trudnością tylko za cugle go mógł utrzymać. Lewą zaś rękę wyciągnął, aby chwycić Gertrudę i z siodła ją ściągnąć.

— Precz stąd nędzniku! — krzyknęła ona i wyciągnęła szpicrutę.

W następnej chwili uderzyła ona nią Piotra tak silnie w twarz, że on głośno krzyknął z bolu i cugle z ręki puścił. Następnie uderzyła Gertruda szpicrutą konia a spłoszone poprzednio już zwierzę przewróciło napastnika i popędziło galopem.

Zgrzytając zębami, chwycił Piotr rewolwer, który mu poprzednio wypadł z ręki, lecz koń już znikł z Gertrudą w lesie. Popędził on za swoją ofiarą co mu sił starczyło, aby ją odszukać i dogonić.

Gertruda pędziła tymczasem lotem strzały, nie mogąc powstrzymać spłoszonego konia, a przytem groziło jej ciągle niebezpieczeństwo albo spadnięcia z siodła, albo uderzenia o pień drzewny.

Wreszcie zmęczył się koń i zwolnił w biegu. Gertruda oglądała się na wszystkie strony, lecz nikogo nie zobaczyła. Piotr musiał dawno ślad jej stracić.

Nie wiedziała ona, gdzie właściwie była i którędy konia skierować, aby z lasu się wydostać. Jechała więc dalej na oślep.

Nagle... a było to już prawie nad ranem... zatrzymała ona się i wytężyła słuch. Zdala dochodziło ją szczekanie psów. Jechała ona więc w kierunku z którego ją te głosy dochodziły i spodziewała się w ten sposób dojechać do jakiejś ludzkiej zagrody.

Niebawem zajechała ona na szeroki gościniec. Szczekanie psów stawało się coraz głośniejsze. Widziała już zdala ubogie chatki wioski w której gospodzie mieszkał Piotr z hrabią Sinobrodym.

Gertruda dojechała do tej gospody i zeskoczyła z siodła. Wycie psów zbudziło tymczasem mieszkańców domu. Gospodarz otworzył drzwi i popatrzył zdziwiony na nieznaną sobie postać kobiecą.

Poznał jednak na pierwszy rzut oka swego konia, którego mu Piotr ukradł i złapawszy za cugle, zapytał szorstko:

— Skąd pani przychodzi do tego konia?

Gertruda wytłumaczyła mu się kilku słowami. Gospodarz słuchał zdziwiony, a potem krzyknął uradowany.

— Więc to pani jest tą biedną prześlado-

waną kobietą, którą obaj ci hultaje porwali? I uciekła im pani szczęśliwie? Chwała Bogu. Proszę do gospody! U mnie pani będzie bezpieczna! Ja zaś popędzę natychmiast w las aby odszukać przyjaciół pani, którzy tu za panią szukają.

Gertruda przyjęła to zaproszenie z wdzięcznością niebawem weszła gospodyni, która nią się zajęła. Po całej wsi rozeszła się wieść o zjawieniu się szukanej damy i ludzie rozbiegli się we wszystkich kierunkach, aby odszukać i uwiadomić o tem Greifa i jego ludzi.

W dwie godziny później powitał już Greif z ludźmi swymi Gertrudę w gospodzie, a ona opowiedziała mu dokładnie swe cierpienia i ucieczkę.

— Byliśmy tej nocy na wysepce! — rzekł Greif — i widzieliśmy tam czarnego Ignacego. Kula pani dobrze go trafiła. Żyje on wprawdzie jeszcze, lecz jestem pewny, że on dzisiejszego wschodu słońca już nie zobaczy.

— Nie mogłam się inaczej uratować, jak tylko w ten sposób — uniewinniała się Gertruda.

Potem opowiedziała ona jeszcze spotkanie swe z Piotrem w lesie i walkę z nim.

— Będziemy za nim jeszcze w lesie szukać i spodziewam się, że go przyłapiemy — rzekł Greif. — Ale gdzie odszukać hrabiego Sinobrodego?

— Jest on w stolicy u siostry swej, Waleryi — odpowiedziała Gertruda. — Dowiedziałam się o tem z rozmowy obu hultajów na wysepce.

Detektyw ucieszył się na tę wiadomość i rzekł stanowczo:

— Jadę dziś jeszcze do stolicy. Sinobrody nie śmie mi znów umknąć. Odprowadzę jednak panią do wsi, gdzie przebywa przyjaciel pani, kapitan Brandenfeld. Tam jest jeszcze powóz pani.

— Ach jęknęła hrabina Gertruda wśród łez — On już nie żyje, wszak padł ofiarą tego łotra!.

— Nie, nie! — pocieszał Greif zrozpaczoną kobietę. — On jeszcze żyje i z pomocą Bożą wyzdrowieje! Znaleźliśmy go przy drodze, gdzie ten opryszek Piotr do niego strzelił!

Doniósł on jej wszystko, co się od czasu uprowadzenia jej działo, a boleść Gertrudy zamieniła się w radość. Serce jej wezbrało gorącą modlitwą dziękczynną.

Aleksander żył! Wszystkie cierpienia jej miały się ku końcowi.

Bez wahania pojechała Gertruda w towarzystwie Greifa i jego ludzi do następnej wsi i niebawem stanęła u łoża ukochanego przyjaciela.

Kapitan Brandenfeld nie dowierzał swoim oczom gdy zobaczył nagle przed sobą tę, którą już miał za straconą.

Greif zostawił ich samych i wrócił do lasu aby odszukać Piotra.

Łotr ten przestał dopiero wtedy gonić za Gertrudą, gdy już upadł ze znużenia. Wypoczął więc do rana i wybrał się w dalszą drogę.

Gertruda uciekła mu i nie był już w nadziei przyłapania jej. Chodziło mu więc teraz o swoje własne bezpieczeństwo, a zatem w pierwszym rzędzie o opuszczenie lasu, w którym go teraz pewno ze zdwojonym zapałem ścigali.

Szedł on całemi godzinami i kolana już się pod nim uginały, a z lasu jeszcze wyjść nie mógł.

Wreszcie światło zaczęło przez drzewa przezierać... tam musiał być koniec lasu.

Wytężał on wszystkie swoje siły, aby się do brzegu dowlec. Był głodny i spragniony. Język d opodniebienia mu się przylepił, a nóg swych zupełnie już podnieść nie mógł.

Stanąwszy na pagórku, powiódł on wzrokiem około siebie i rozpacz go ogarnęła. Zobaczył on bowiem u nóg swych ciemną powierzchnię jeziora, a na niem wysepkę, którą na pierwszy rzut oka poznał. Kręcił on się więc wokoło i był znowu tam, skąd wyszedł.

Rzucił on się na brzeg jeziora i ugasił pragnienie w jego chłodnych toniach. Co miał teraz począć? Nie odważył się wrócić na wysepkę z obawy, aby nie spotkać tam jeszcze kogo ze swych prześladowców.

Tak zeszedł dzień i zapadał wieczór, Piotr musiał myśleć o zaspokojeniu głodu, lecz nie znalazł tu nic prócz poziomek. ,

Zmuszony głodem, postanowił on więc wrócić na wysepkę, gdzie zostawił jeszcze sute zapasy żywności. Obszedł on jezioro, i stanął dopiero w miejscu, gdzie sterczały pale z zerwanego mostu.

Zdziwiony spostrzegł on tam przymocowaną do brzegu małą łódkę z wiosłem, lecz ani żywej duszy wkoło siebie spostrzedz nie mógł.

Widocznie ludzie Greifa łódkę tę tu przytransportowali, aby się nią na wysepkę przeprawić. Że jednak łódka z tej strony była, to było dowodem, że na wysepce już nikogo więcej nie było.

Dla przekonania się wystrzelił Piotr z rewolweru. Odgłos wystrzału rozległ się wśród ciszy leśnej i przebrzmiał. Lecz wokoło

wszystko zostało cicho i na wysepce nic się nie ruszało.

Uspokojony tem wsiadł Piotr na łódkę i zaczął wiosłować w kierunku wysepki.

Wieczorne słońce odbijało się w ciemnych toniach jeziora. W trzcinie krzyczało kilka wodnych ptaków. Zresztą nic nie przerywało uroczystej ciszy wieczornej.

Dojechawszy do wysepki nie wysiadł Piotr zaraz, lecz objechał ją naokoło i wyskoczył na ląd dopiero wtedy, gdy się przekonał że tam zupełnie cicho i bezpiecznie.

Przymocował łódkę do pnia płaczącej wierzby i znikł w krzakach.

Niebawem doszedł do chatki, lecz zawahał się czy ma wejść. Może tam schowany jest jakiś strzelec lub żandarm, który go zdaleka spostrzegł i tu się przyczaił, aby go tem pewniej przyłapać.

— Naprzód! — szepnął on wreszcie. — Wahanie się nie ma celu! I zbliżył się rezolutnie do otwartych drzwi. Z rewolwerem w ręku przeszedł przez próg.

— Lecz cóżto? Czy tam w kącie na mchu nie leży jakaś postać ludzka? Przerażony cofnął on się wstecz i wytrzeszczył oczy na postać tę której rysów o zmroku poznać nie można było.

Dziwne, że ten człowiek wcale się nie ruszał. Czyżby spał? Nie słychać nawet było jego oddechu, a w chacie taka grobowa cisza, że po ciele Piotra mrowie przechodziło.

Wahająco i trwożliwie zbliżył on się do kąta i pochylił się nad nieruchomą postacią. Odskoczył jednak z okrzykiem przerażenia, bo zobaczył przed sobą trupią, strasznie skrzywioną twarz czarnego Ignaca.

Piotr poznał, że on od kilku godzin ducha musiał wyzionąć. Został on przez wrogów swych tu do chaty zaciągnięty i opuszczony dopiero, gdy ducha wyzionął.

— Przyjdą oni jednak jeszcze, aby zmarłego pochować — pomyślał Piotr i zabierał się do odejścia, gdyż bliskość zmarłego przerażała go.

Chciał tylko jeszcze zabrać stąd swoje zapasy, lecz wtem usłyszał zdaleka ludzkie głosy i nawoływania.

Piotr nie odezwał się i wróciwszy szybko do chaty zabrał swoje zapasy i podążył ku łodzi. Strzelcy nie mogli go widzieć, gdyż było to po drugiej stronie samotnej wysepki.

— Trzeba się tak ostrożnie stąd wydostać, aby oni mi w drogę zajść nie mogli! — mruknął Piotr w niemałej obawie.

Powiosłował niewidziany przez strzelców i wyskoczywszy na brzeg, wyszukał sobie bezpieczną kryjówkę w gęstwinie i ułożył się do snu.

Spodziewał się nazajutrz znaleźć drogę z lasu, lecz nie dotarł daleko. Spostrzegł on w pewnej odległości wrogów i ledwo ich wyminąć zdołał.

Poszedł więc w innym kierunku, lecz i tu mu drogę zagrodzono. Wszystkie przejścia były widocznie przez wrogów jego obsadzone. Schował on się więc w jaskini i nie wyszedł z niej przed nadejściem nocy.

Słyszał przechodzących tędy strzelców, żandarmów i chłopów, którzy za nim szukali i trząsł się, aby go tu nie znaleźli.

Wreszcie i to niebezpieczeństwo już przeszło. Było już zupełnie ciemno i Piotr wysunął się ze swej jaskini i poszedł ostrożnie dalej.

W ciemności i wymijając kręcącym się jeszcze tu i ówdzie strzelcom zmylił on kierunek i doszedł znów nad brzeg jeziora.

Rozpacz go ogarnęła. Jak długi mieli go oni jeszcze ścigać, jak dzikie zwierzę?

Nagle usłyszał on głosy i zobaczył przedzierające się przez gałęzie promienie światła. Nad brzegiem jeziora palił się stos, a obok niego ugrupowana leżała garstka mężczyzn. W pobliżu przywiązane były konie.

Piotrowi strzeliła błyskawiczna myśl. Gdyby mógł zręcznie skraść jednego z tych koni, to do rana pewnoby z lasu już wyjechał.

Posunął on się na czworakach w stronę ogniska i mógł niebawem poznać twarze mężczyzn.

Był to detektyw Greif ze swoimi ludźmi. W Piotrze wzbudziła się na widok ich nienawiść i chęć zemsty. Mógł on słyszeć wyraźnie każde ich słowo.

Dowiedział się z usta Greifa, że Gertruda była we wsi i że kapitan Braudenfeld także jeszcze żyje. Równocześnie usłyszał też, że oni nie mają zamiaru opuszczać tej okolicę nim Piotra nie przyłapią.

Na twarz zbrodniarza wystąpił szatański uśmiech. Niepohamowana żądza zemsty uczyniła go ślepym na wszelkie niebezpieczeństwa.

Posuwał on się jeszcze bliżej ogniska i wpatrywał się dzikiemi oczyma w twarz detektywa.

— — Do piekła z tobą, przeklęty szpiegu! — syknął on i chwycił za rewolwer.

Rozległ się huk wystrzału... potem okrzyk wielu głosów. Mężczyźni pozrywali się i chwycili za broń.

Greif chwycił się za kłąb, a gwałtowny ból dał mu poznać, że jest raniony.

Wtem rzuciła się reszta ich w krzaki, aby szukać mrodercy. Piotr nie odczekał jednak

następstw swego czynu i pędził stąd jak łania. Słyszał za sobą wystrzały, lecz w ciemności zgubili oni jego ślad.

Greif został sam przy ognisku. Gdy ludzie jego wrócili z nieudałej pognoi za Piotrem kazał sobie obwiązać ranę. Mógł on potem wsiąść na konia i dojechać bez wielkich dolegliwości do wsi.

Po kilkudniowym wypoczynku tu, wyjechał on do stolicy, aby tam odszukać Sinobrodego. Spodziewał się też zastać przy nim Piotra, za którym tutaj daremnie szukano. Günter zaś został dla bezpieczeństwa przy Gertrudzie i Aleksandrze.

Przybywszy do stolicy, odszukał Greif zaraz Wintera, z którym się już poprzednio listami i telegramami porozumiewał.

Winter wiedział też, że Sinobrody był w stolicy, lecz mu się dotychczas nie udało go odszukać. Teraz zabrali oni się we dwójkę do dzieła.

Przypuszczali oni słusznie, że Sinobrody musi być w styczności z siostrą swoją Waleryą i że go najłatwiej odkryć będzie, obserwując ją na każdym kroku.

Wieczorem poszli oni obydwaj do Agaty, aby się tam z doktorem Klocem spotkać. Ledwo się jednak do kamienicy zbliżali spostrzegli stojący przed nim powóz.

Winter stanął i rzekł wzburzony:

— Obawiam się, że tutaj znów coś knują przeciwko Agacie. Czyżby ją Walerya z pomocą brata swego Sinobrodego znów chciała uprowadzić?

— Przekonajmy się naocznie o tem! — odparł Greif. — Chodźmy na górę. Zdaje mi się, że przypuszczenia pana są słuszne i że przychodzimy w sam czas, aby Waleryi szyki pokrzyżować. Może przyłapiemy i Sinobrodego za jednem zachodem.

To mówiąc, znikli obydwaj w bramie domu.

CLIII.

ZADZIWIAJĄCE WYJAŚNIENIA

Walerya opływało w błogości i rozkoszy. Książę dotrzymał słowa i zjawił się następnego wieczora na randez - vous w pawilonie, gdzie piękność Waleryi nowe święciła tryumfy.

Wiedziała napewno, że książe jest teraz pod jej czarem i że ona na pomoc jego liczyć może, cokolwiek jej też przyszłość przyniesie.

I tego wieczora miała ona z nim w pawilonie schadzkę i z niecierpliwością go oczekiwała.

Włożyła wspaniałą toaletę i gdy zegar wybił dziewiątą, opuściła ona swój budoar i weszła do pokoju swego męża.

Przed spotkaniem się ze swoim kochankiem chciała ona się przekonać, czy jej ze strony hrabiego Edmunda nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Stan hrabiego bardzo się polepszył. Mimoto nie był on jeszcze dość silny, aby opuścić swój pokój.

Gdy Walerya weszła, leżał on, śpiąc na kanapie. Był sam. Stary Michał wyszedł na chwilę.

Walerya zbliżyła się do niego na palcach i obrzuciła śpiącego ponurem, nienawistnem spojrzeniem. Oczy jej złowrogo zabłysły, a usta złośliwie się ściągnęły.

— Kochałam cię niegdyś więcej, jak własne życie! — szepnęła ona. — Ale miłość mą zdeptałeś i upokorzyłeś! Gdy zaś zobaczysz Agatę i wszystkiego się od niej dowiesz, to odtrącisz mię od siebie z nienawiścią i pogardą. Dla mnie byłoby mądrze, gdybym do tego nie dopuściła. Życie twoje leży w mojej ręce. O, ja gotowam na ostateczność się odważyć, i...

Umilkła ona jak gdyby przerażona własną myślą. We wnętrzu jej wrzała okropna burza. Przycisnęła kurczowo ręce do bijącego głośno serca i mruknęła boleśnie:

— Gdybyś mię był kochał tak jak Agatę, to by się wszystko inaczej było złożyło! A teraz jabym miała jej ustąpić i z ciebie zrezygnować? Nie! — krzyknęła ona dziko. — Ja się na to nie zgodzę! Ty musisz umrzeć! To jest najlepsze wyjście dla mnie.

Opanowana demoniczną chęcią zemsty, drżała ona jak gdyby we febrze. Przysunęła się na palcach do stołu, na którym stała szklanka z medycyną.

Odwróciła się raz jeszcze w stronę hrabiego Edmunda. Spał on mocno, i nie przeczuwał co się koło niego dzieje. Skorzystawszy z tego, wsypała mu biały proszek do szklanki z lekarstwem, i zamieszała je dobrze.

— Nie wstanie on więcej, gdy się tego napije! — szepnęła znów. — Podejrzenie zaś spadnie na starego Michała, bo mnie nikt nie widział.

Wtem usłyszała w przedpokoju szmer, jak gdyby zbliżające się kroki ludzkie. Stała przez chwilę jakby zdrętwiawiała, lecz prędko się opanowała i znikła jak cień przez boczne drzwi w głębi pokoju.

Wydostała się stąd na korytarz, i po kilku minutach była już znowu w swoich apartamentach.

Zadzwoniła na pokojówkę, i udawała, jak gdyby dopiero teraz chciała odchodzić.

— Wychodzę jeszcze, Frydo! rzekła ona spokojnie. — Gdyby się mąż mój pytał o mnie, to powiedz mu, że już dawno śpię.

Pokojówka uśmiechnęła się przebiegle. Przeczuwała ona, dokąd pani jej się udaje.

Walerya zarzuciła lekki czarny płaszcz na ramiona i wyszła prędko z pokoju. Za chwilę była już w ciemnym, spokojnym parku i szła aleją prędko ku pawilonowi.

— — — — — — — — — — — — — —

Ledwo Walerya opuściła pokój swego męża, wszedł tam stary Michał.

Nie przeczuwając nic złego, zaświecił on lampę i zbliżył się do swego pana. Trzymał on list w ręku i był dziwnie poirytowany.

— Ekscellencyo! — zawołał on i potrząsł ramię śpiącego swego pana.—Proszę wstać!

Hrabia Edmund otworzył oczy i popatrzył zdziwiony na starego sługę.

— Co tam, Michale? Daczego mnie budzisz?

— O Ekscellencyo, proszę wybaczyć.. oto jest list... sam doktór Kloc go przyniósł i powiedział, że to bardzo ważne i abym go ekscellencyi natychmiast wręczył! Chodzi tu podobno o śmierć lub życie!

Tak jąkał się stary służący poirytowany i wręczył panu swemu list ten drżącą ręką. Hrabia Edmund zerwał się szybko z kanapy i usiadłszy na fotelu, wziął podany sobie list.

— Od doktora Kloca! — zapytał zdziwiony. — Co on mi może mieć do powiedzienia i dlaczego sam do mnie nie przyszedł.

— Ach ekscellencyo, on to chciał uczynić. I detektyw Winter był tu niezliczone razy, ale...

Umilkł on, i oglądnął się trwożnie, czy go nikt nie podsłuchuje.

— Jakto — zapytał hrabia ostrym tonem. Mów stary.

— Wielmożna pani nie chciała ich nigdy dopuścić — mówił Michał dalej. — Mówiła ona że to panu hrabiemu może zaszkodzić, i zakazała mi o tem mówić. Ale ja muszę ekscellencyi prawdę powiedzieć!

— Jakto! — zawołał hrabia Edmund gwałtownie, a blada twarz jego zarumieniła się z oburzenia. — Czy pani odprawiła tych obu panów. O, — dodał on szeptem, wiem ja dobrze dlaczego!

Otworzył on list, i czytał, co następuje:

"Wielce szanowny panie hrabio!"

Ponieważ nie mogę się dostać osobiście do jego ekscellencyi, bo pani hrabina kilkakrotnie już mnie i pana Wintera odprawiła... muszę się wziąć do podstępu, i spodziewam się, że list ten szczęśliwie do rąk pańskich się dostanie.

Proszę nie przestraszyć się tego, co ja donoszę. Jest to bowiem bardzo radosna nowina. Żona pana hrabiego, Agata, żyje i jest już w stolicy. Jeżeliby ją ekscellencya widzieć chciał, to proszę pofatygować się do domu wiernych jej przyjaciół, gdzie znalzała schronienie przed śmiertelną swą nieprzyjaciółką, hrabiną Waleryą. Zresztą otrzyma pan hrabia dalsze wyjaśnienia z ust swej małżonki.

W wielkim pośpiechu, jego ekscellencyi oddany sługa.

"Doktór Kloc."

List ten podziałał na hrabiego Edmunda jak uderzenie piorunu. Opuścił on go z rąk, i podskoczył z okrzykiem z siedzenia. Lecz w tej chwili zbladł i padł napowrót na fotel, nie mogąc przyjść do oddechu. Był jakby rażony apopleksyą.

— Na miłość Boską, co się stało, ekscellencyo — zawołał stary Michał przestraszony, i przybiegł do swego pana. — O Boże!... — on umiera! Fryderyku! Karolu! Chodźcie... pomagajcie!

Przyskoczył on jak szalony do dzwonka i zaalarmował służbę. Potem wrócił znów do omdlałego swego pana i zaczął załamywać ręce, szlochać i zaklinać.

Hrabia Edmund nie ruszał się. Oczy jego były przymknięte, a oddech był chrapiący i ciężki.

Wtem otwarły się drzwi, a przez nie wpadło dwóch lokajów. Stary Michał wybiegł im naprzeciw.

—Prędko... pomagajcie... biegnijcie po doktora! — zawołał on zdławionym głosem. — Jego ekscellencya umiera! Zawołajcie wielmożną panią!

Przestraszeni wybiegli znów lokaje, a stary chwycił szklankę wody i bryzgnął ją panu swemu w twarz.

Potem wziął szklankę z lekarstwem ze stołu... tą samą, do której Walerya wlała truciznę i zbliżył się znów do swego pana.

Nie umiał on sobie poradzić i myślał, że lekarstwo tu co pomoże.

Lecz woda zrobiła swoje. Hrabia Edmund przyszedł do siebie.

Wyprostował on się a blada jego twarz wróciła do zwykłego koloru.

Stary Michał podał mu wtedy szklankę i rzekł proszącym tonem:

— Proszę pić, wielmożny panie! Ach, mój Boże! Ja umieram ze strachu! Czy jego ekscellencyi już lepiej?

Hrabia Edmund odpowiedział skinieniem głowy. Nie chciał on pić podanej sobie medecyny i zażądał trochę wody z winem.

Nagle zjawił się jeden ze służących meldując, że wielmożnej pani hrabiny w domu nie ma. Hrabia Edmund skinął mu ręką, aby odszedł i kazał staremu Michałowi podać list, który poraz drugi odczytał.

Z twarzy jego biła błoga radość. Wstał on i wyprostował się, siły mu wróciły.

— Niech powóz prędko zajeżdża! — rozkazał on. — Podaj mi płaszcz, stary! Ty mnie odprowadzisz! Pojedziemy do pani twojej... do hrabiny Agaty.

Stary patrzył na pana swego, jak na szaleńca.

— Ekscellencyo! — szepnął on.

— Prędko! — zawołał znów hrabia. — Ale nikomu nic o tem nie mów!

Stary Michał wybiegł, aby wypełnić rozkaz swego pana, a w dziesięć minut później jechał hrabia Edmund z wiernym sługą swym w stronę przedmieścia.

Wreszcie zatrzymał się powóz... cel był osiągnięty. Z kamienicy wysunęła się męska postać i zbliżyła się do drzwiczek powozu. Był to doktór Kloc.

— Chwała Bogu, że ekscellencya przyjeżdża! — zawołał on uradowany.

Hrabia Edmund wyskoczył z powozu i podał lekarzowi rękę.

— Otrzymałem list od pana. kochany doktorze! — rzekł on. — Cy to prawda, co mi pan donosi? Moja żona żyje i jest tutaj?

— Tak jest ekscellencyo, proszę za mną! Pani hrabina jest już na to przygotowana i czeka niecierpliwie.

Jak we śnie postępował hrabia za doktorem Klocem, który go wprowadził przez kurytarz do jasno oświetlonego pokoju.

Hrabia Edmund przekroczył próg. W pokoju była tylko jedna postać kobieca.

Była to Agata.

Hrabia stał i patrzał na nią, jakby nie mógł pojąć i oczom swoim nie chciał wierzyć, że przed nim stała jego żona, którą on już miał za umarłą. Wydawało mu się to cudem, czy snem, który miał w następnej sekundzie zniknąć.

Wtem przyskoczyła Agata ku niemu i padła mu na szyję szlochając i bełkocąc w błogiej radości.

— O, Edmundzie, ty przyszedłeś! Jesteś znów przy mnie! A teraz już znów wszystko do brze będzie!

Hrabia Edmund przycisnął ją do swego serca. Wśród całusów i łez obrzucili oni się wzajemnie pytaniami dopóki z pierwszego wrażenia trochę nie ochłonęli i się nie uspokoili.

Byli oni sami. Doktór Kloc, Marta i Delia byli w przyległym pokoju. Mały Walter spał już. Nie przeczuwał on, co się w pobliżu jego odgrywa.

Hrabia Edmund siedział obok Agaty przy stole, a opowiadaniom i pytaniom wzajemnym końca nie było.

Agata opowiedziała mu wszystkie swe przejścia od chwili, w której przez Waleryę i Sinobrodego z zamku leśnego została porwaną, a następnie do Egiptu jako niewolnica sprzedaną.

Opowiedziała ona o swoich cierpieniach i przygodach w Indyach, o powrocie do kraju i o innych prześladowaniach Waleryi.

Podpaliła ona wreszcie zamek, myśląc, że w ten sposób najpewniej już ze świata nas zgładzi! — kończyła Agata swe opowiadanie, które hrabia Edmund przerywał głośnymi okrzykami oburzenia. — Była ona przekonaną żeśmy w płomieniach zginęły, a gdy się później dowiedziała, żeśmy się uratowały, starała się nas podstępem znów w swe siecie zwabić. Teraz wiesz wreszcie wszystko, kochany Edmundzie i poznałeś wreszcie tę żmiję, którąś w moje miejsce do serca swego przygarnął.

Hrabia Edmund biegał zirytowany tam i napowrót po pokoju. Z oczu jego bił gniew i gwałtowne oburzenie.

— Tak, poznałem ją wreszie, tę nieludzką, szatańską istotę! — zawołał on zdławionym głosem. — O Boże, jakim zaślepionym głupcem ja byłem! Ja drżę na wspomnienie o tej kobiecie, o tym wężu! Zemszczę się jednak na niej okropnie! — zagroził on. — Przyprowadzę ją tu i ona będzie musiała u nóg twych błagać o przebaczenie a potem strasznie odpokutuje za wszystkie swoje winy i zbrodnie.

Agata potrząsła głową.

— Nie myśl teraz o zemście, kochany Edmundzie! — rzekła ona łagodnie. — Walerya nie ujdzie swej karze, a zbrodnie jej wyjdą na jaw i bez naszego przyczynienia się. Komisarz Winter ma już prawie wszystkie dowody przeciwko niej w swem ręku. Brakuje jeszcze tylko jednego: dowód, że Walerya była zabójczynią mego pierwszego męża.

— Wielki Boże! Czyż i tę zbrodnię ona popełniła?

— Nie wątpię w to! — odparła Agata. — Nie baron Jakób był mordercą, jak nam Walerya pierwej chciała wmówić. Ona sama popełniła zbrodniczy ten czyn. Jest ona też winną śmierci Jakóba, bo był jej współwinnym i ona się bała jego zdrady. To jest zdanie Wintera.

A ten poczciwy człowiek ma bezwątpienia słuszność! — zawołał hrabia Edmund.

— Ale wytłumacz mi Agato, to co mi jeszcze jest niejasne! Wyjaw mi tajemnicę tej zagadkowej kobiety, zwanej ogólnie "czarną damą"? Kto ona jest i jakie stosunki z tobą ją łączą?

Popatrzył on badawczo w bladą stroskaną jej twarz, której oczy pełne były łez.

— Tak jest Edmundzie, dowiesz się teraz to, co ci dotychczas było ukryte! — rzekła Agata drżącym głosem — wiedz więc, że owa nieszczęśliwa kobieta, z którą ja się dawniej tajemniczo schadzałam, a którą mylnie miano za mego kochanka, jest moją matką.

— Jakto? — zawołał hrabia przerażony. — Twoją matką ona jest... owa "czarna dama"? Ta skazana na śmierć atentatka? O, mój Boże, czyż to możliwe? Twoja matka? — powtórzył on boleśnie.

Agata szlochała. Przez chwilę panowało ponure milczenie.

— Ach! Teraz mi jest wszystko jasne! — przerwał właśnie Edmund ciszę. — Ale, dlaczegoż ty mi to zeznanie nie uczyniłaś wtedy, Agato, gdyś stała przed śmiercią? Gdybyś się była otwarcie do tego przyznała, że to było twoja matka z którąś wieczór przed śmiercią swego męża schadzkę miała, to okoliczność ta musiałaby była na sędziów twoich bardzo łagodząco podziałać? Dlaczego wreszcie matka twoja nie wystąpiła sama z tem zeznaniem na twoją korzyść? Ja tego pojąć nie mogę. Nie rozumiem dlaczego się twoja matka po męsku przebierała!

— I to ci chcę wytłumaczyć! —rzekła Agata połykając łzy. — Moja matka nie mogła się za mną ująć, gdyż była sama uwięziona. Ale, abyś to zrozumiał, muszę ci opowiedzieć całą historyę nieszczęśliwej mej matki. Uznasz wtedy, co ją do tego dziwnego postępowania zmuszało i zrozumiesz dlaczego ona popełniła ten zamach na życie poprzedniego ministra.

— Mów więc Agato i wszystko mi jasno wytłumacz! — zawołał hrabia Edmund wzburzony. Lecz ty nie widziałaś jeszcze owej czarnej damy. Skądże wiesz, że ona a matka twoja są jedną i tą samą osobą?

— Moje serce to przeczuwa i wszystkie okoliczności zatem przemawiają! — rzekła Agata pewnym tonem. — Przypomnij sobie Edmundzie, że ona się o widzenie z tobą postarała, gdy jeszcze była w więzieniu i że się tobie przyznała, że to ona była ową tajemniczą osobą, z którą ja owe fatalne schadzki miewałam.

— Rzeczywiście! — potwierdził hrabia Edmund wzburzony. — Nie ma wątpliwości, to ona! Lecz skądże ty wiesz, że ja biedną twą matkę w więzieniu odwiedzałem?

— Marta to mi opowiadała! Dowiedziała się ona wszystko od doktora Kloca, a ten znów od detektywa Wintera.

— Marta? Dawna wychowawczyni twego małego Waltera? Czy ona jest teraz przy tobie? — zapytał hrabia Edmund ponuro. — Nie wiesz pewno jeszcze, że to ona winna zniknięciu twego dziecka?

— Nie, kochany Edmundzie! — uśmiechnęła się Agata. — Ty się mylisz! Marta została od małego Waltera podstępem oddalona, a ten krótki czas jej nieobecności wystarczył najętemu przez Waleryę hultajowi, aby dziecko moje uprowadzić. Lecz, dzięki Bogu, poczciwy komisarz Winter odnalazł Wintera. Wyrwał go on z morderczych rąk Waleryi, a doktór Kloc przywiózł go tu, do Marty, gdzie dziecko moje tu zastałam!

Hrabia Edmund był bezgranicznie zdziwiony i zapytał:

— Więc mały Walter żyje i jest tutaj? — zawołał on radośnie.

— Tak jest, śpi tuż obok. Czy go chcesz zobaczyć?

Bez słowa odpowiedzi wbiegł hrabia Edmund do przyległego pokoju. Agata szła za nim i otóż stanęli oni ramię w ramię u łóżeczka dziecka. Hrabia Edmund pochylił się i złożył lekki pocałunek na czole śpioszka. Miał on łzy w oczach z wzruszenia.

Potem wrócili oni do pierwszego pokoju a Agata opowiedziała mężowi swemu wszystkie przejścia swego dziecka i jego cudowne uratowanie przez Wintera i doktora Kloca.

Hrabia Edmund dowiedział się więc, że Walerya niedawno jeszcze miała małego Waltera w swej mocy i że pokojówka miała go utopić.

Był on okropnie oburzony na Waleryę, i dziwił się, że mu Winter nic o tem nie wspominał.

— Miał on powody do milczenia! — wytłumaczyła mu Agata. — Obawiał się przedewszy-

stkiem, że się Walerya dowie o uratowaniu Waltera i że go na nowo zacznie ścigać. Nawet tybyś Waltera nie mógł był ochronić.

Hrabia Edmund potrząsł smutnie głową.

— O, ta dyablica! — mruknął on gniewnie. — Lecz ty mi chciałaś opowiedzieć historyę swej matki, Agato! Powiedz mi w pierwszym rzędzie, co było powodem jej atentatu na ministra Borgheima, co on jej złego wyrządził?

— On był powodem wszystkich jej nieszczęść, był jej wrogiem, jej prześladowcą i katem! — wybuchła Agata gorzko. — Ten człowiek matkę moją unieszczęśliwił i na piekielny tortury ją wystawiał!

— Boże mój, przez to? Ty mówisz w zagadkach Agato!

— A w końcu doprowadził on do tego, że biedna matka moja, która już tyle przez niego wycierpiała, przez niego skazaną została — ciągnęła Agata oburzonym tonem dalej. — Ten człowiek postąpił sobie jak łotr! Tryumfował on jeszcze, że ona na zawsze ze świata będzie usunięta i że mu w drogi więcej nie zajdzie. O, przeklęty niech będzie ten nędzny uwodziciel! — krzyknęła ona w szalonym bólu i gniewie.

Hrabia Edmund nie rozumiał jej słów i obejścia się. Niemy ze zdziwienia patrzył on na Agatę i oczekiwał od niej wytłumaczenia.

— Ale nie! Do tego nie śmie przyjść! Bóg nie dopuści do takich okropności! — zawołała ona rozpaczliwie. — O, Edmundzie! Jak niegdyś ja, tak teraz moja matka na śmierć skazaną została. A on, minister, mógł ją jednem słowem uratować, a przecież tego nie uczynił. Nie chciał on wyjawić, kto jest moja matka, i dlaczego się na nim zemścić chciała! A teraz ona musi umierać? O, nie Edmundzie! Jeżeli on nie zechce, to ty ją musisz uratować!

— Ja! — zawołał on przerażony. — O Agato, cóż ja tu mogę zrobić?

— Nikt inny tu pomódz nie potrafi!—zawołała Agata rozpaczliwie. — Ty jesteś teraz ministrem, Edmundzie! Jesteś po księciu, najwpływowszą osobą w kraju. O, ratuj ją. — Uratuj matkę moją od strasznej śmierci na szubienicy... tak, jak niegdyś mnie w ostatniej chwili uratowałeś!

Wyciągnęła do niego błagalnie swe ręce on zaś przycisnął drżącą jej postać do swej piersi i szeptał jej czułe słowa, których ona jednak szlochając, prawie nie słyszała.

— Czy chcesz matkę moją uratować, Edmundzie? — zawołała gwałtownie. — O, powiedz tylko to jedno słowo: "tak"!

— Tak jest Agato! — odparł on stanowczo. — Zrobię dla niej wszystko, co będzie w mojej mocy. Wyrok śmierci jej leży u księcia i on go pewno jeszcze nie podpisał. Postaram się jutro o audyencyę u księcia i wszystko mu wytłumaczę. To jest jedyna i najpewniejsza droga.

— Czy chcesz księciu opowiedzieć historyę mojej matki?

— Naturalnie! Musisz mi jednak najpierw opowiedzieć jej losy!

— Lecz w takim razie musiałbyś się księciu przyznać, skąd ty to wszystko wiesz i żeś mnie też kiedyś z szubienicy uratował. Musiałbyś mu też powiedzieć, że ja jestem twoją żoną i że dotychczas żyję. A tego książę nie śmie wiedzieć.

— Dlaczego nie? Prawda przecież musi wyjść na wierzch!

— Tak jest! Sądzę jednak, że to trochę za wcześnie oznajmiać światu, że ja żyję i żem przez ciebie została uratowana. Nie ma przecież jeszcze dowodów mojej niewinności, kochany Edmundzie i twój ofiarny i odważny czyn, byłby ci poczytany za zbrodnię. Nazywałoby się że zbrodniarkę uratowałeś przed zasłużoną karą i mógłbyś przez to jeszcze stanowisko swe stracić! Mogliby cię nawet do odpowiedzialności za to pociągnąć.

Hrabia Edmund zamyślił się ponuro.

— Nie mogę jednak inaczej postąpić, chociażby się obawy twoje nawet ziścić miały — rzekł on wreszcie stanowczo. Pomyśl tylko że i tak wszystko na jaw wyjdzie, bo Walerya nie będzie milczała! Skoro się tylko dowie, że gra jej stracona, to z zemsty tajemnicę naszą całemu światu wyjawi. Lepiej więc będzie, gdy ją uprzedzę i gdy się książę z ust moich o całej prawdzie dowie.

— Ach, Edmundzie! — zawołała Agata trwożnie. — Ty nie obliczasz skutków! Przecież by mnie napowrót wsadzili do więzienia i powtórnie okropny ten wyrok na mnie wydali.

— Nie, nie! To się nie stanie — uspakajał ją hrabia. — Aby się jednak na żadną możliwość niebezpieczeństwa nie narażać, to ukryję cię na razie wraz z Walterem, dopóki się wszystko nie rozstrzygnie.

Agata potrząsła smutnie głową i westchnęła:

— Cóż się jednak z tobą stanie, Edmundzie! A jeżeli cię oskarżą?

— Spodziewam się, że tego nie uczynią i liczę na sprawiedliwość księcia.

— A jeżeli ci książę nie uwierzy? Nie masz przecież żadnych dowodów na poparcie swego zeznania? Ach, kochany Edmundzie!

W tym wypadku nie mógłbyś matki mej więcej wyratować i sam w bardzo przykrą sytuacyę byś się dostał.

— Widzę, że obawy twoje nie są bez podstawy, kochana Agato — odpowiedział on. — Lecz ja rzeczywiście nie widzę innej drogi wyjścia. My tylko otwartością i prawdą walczyć możemy! Mówiłaś poprzednio, że komisarz Winter pracuje nad odkryciem twojej niewinności i że już jest na dobrej drodze ku osiągnięciu tegoż. Powiem więc księciu o tem. Bądź spokojną! My z pewnością zwyciężymy!

— Wątpię! — westchnęła Agata.

— Na każdy wypadek ja poczynię przygotowania — oświadczył hrabia Edmund. — Ty możesz jutro matkę swoją w więzieniu odwiedzić. Musisz się przebrać, aby cię nikt nie poznał. Ja cię niestety odprowadzić nie mogę, bo to by tylko niepotrzebną sensacyę wzbudziło.

— Ach! — zawołała Agata żywo. — Umożliw mi to tylko, kochany Edmundzie. Winter mnie tam może odprowadzić.

— Pewno! On to chętnie uczyni! Przygotuję dyrektora więziennego na twoją wizytę, nie zdradziwszy mu naturalnie, kto ty jesteś.

— A jeżeli mnie mimoto poznają, albo jeżeli Walerya nas uprzedzi, i władzom pobyt mój zdradzi — wtrąciła Agata trwożnie.

— I jedno i drugie by ci nie zaszkodziło, bo jabym już wraz z Winterem znalazł środki obrony dla ciebie. Pomówię z Winterem zaraz jutro, albo jeszcze dziś wieczorem.

— Miejmy więc nadzieję, że się wszystko uda — rzkła Agata ulegle. — Miej się jednak na ostrożności, Edmundzie, szczególnie wobec tej żmii, Waleryi —dodała ona ostrzegająco.— Boję się o twe życie, gdyż ta nikczemna istota zechce się zemścić, skoro zobaczy, że widoki jej upadły.

— Nie obawiaj się niczego — uśmiechnął się hrabia Edmund. — Ona jutro już do więzienia pospaceruje. Winter ją w moim pałacu przyaresztuje. A teraz, odsłoń mi tajemnicę swej matki, Agato — rzekł on zwracając rozmowę. — Chciałaś mi przecież wszystko opowiedzieć.

— Tak jest, mam ci jeszcze wiele do powiedzenia — potwierdziła Agata.

Chciała właśnie zacząć opowiadanie, gdy do drzwi zapukano. Wszedł doktór Kloc, i oznajmił hrabiemu:

— Jego ekscelencyo, właśnie nadszedł komisarz Winter.

— Niech niezwłocznie wejdzie kochany doktorze— odparła Agata w miejsce swego męża.

W następnej chwili wszedł Winter z kolegą swym Greifem, który stanął skromnie na progu.

Obaj przyjaciele omylili się tym razem w przypuszczeniu, że Agacie ze strony Waleryi jakieś niebezpieczeństwo grozi. Zobaczyli oni na dworze przy powozie starego Michała i dowiedzieli się od niego, że hrabia Edmund tu przyjechał. Doktór Kloc dał im bliższe wyjaśnienia.

Ten ostatni wszedł teraz również do pokoju, a hrabia Edmund przyjął radośnie wszystkich, i prosił aby się do niego zbliżyli. Znał on już Greifa, i przedstawił go Agacie, a potem zbliżył się do Wintera, i serdecznie rękę jego uścisnął.

— Jego ekscellencya wie już pewnie wszystko, przez swoją małżonkę — rzekł Winter.

— Tak jest, wiem wszystko — potwierdził hrabia, i dodał z wyrzutem. — Dlaczego mi pan jednak tak długo ukrywał, że żona moja żyje.

— Chciałem jego ekscellencyę kilka razy o tem uwiadomić — odparł Winter. — Nigdy jednak dopuszczony nie zostałem.

— Czyż pan przed słabością moją nic jeszcze o tem nie wiedział, że się moja żona wraz ze swą służącą z zamku leśnego uratowały?

— Dowiedziałem się o fakcie tym dopiero od doktora Kloca, a gdym nazajutrz z jego ekscellencyą, chciał mówić to już było zapóźno. Powiedziano mi, że pan hrabia zachorował i nie zostałem dopuszczony.

— Tak, tak, wiem ja o tem — rzekł hrabia gniewnie. — Dowiedziałem się dziś dopiero, że się pan i doktór Kloc kilka razy daremnie do mnie chcieli dostać! O, jestem teraz przekonany, że choroba moja została sztucznie wywołana przez tę podstępną kobietę, która się dotychczas jeszcze żoną moją nazywa! Dlaczego pan sobie wstępu do mnie przemocą nie wywalczyłeś, panie Winter?

— Byłbym to uczynił, ekscellencyo! Obawiałem się jednak, że ta irytacya panu hrabiemu zaszkodzi! I pani hrabina to samo przypuszczała.

— Zresztą mniejsza teraz o to—zauważył hrabia Edmund. — Przygotywywał mnie pan już od długiego czasu na rzeczy, które mi pan teraz wyjawił. Mimo to, poznałem dopiero teraz po rozmowie z moją żoną, jak ślepy ja byłem, i jak to szatańska kobieta Walerya przed mojemi oczyma prawie wszystkie swoje zbrodnie wykonywała.

— A przecież jego ekscellencya nie wie jeszcze wszystkiego — zawołał Winter. — Żo-

na pana bowiem poinformować mogła tylko o zbrodniach wobec niej popełnionych.

— Cóż ta nikczemna istota jeszcze prócz tego uczyniła?— badał hrabia.

— Jeżeli jego ekscellencya sobie życzy to mogę natychmiast wyjawić wszystkie tajemnice i zbrodnicze czyny hrabiny Waleryi — rzekł Winter. — Chcę też odsłonić jej przeszłość, o ile mi jest znana, i zamachy jej na moje życie!

— Jakto — zawołał hrabia Edmund wzburzony — Więc ta nikczemna kobieta i na pańskie życie czyhała? I ja się o tem dopiero dziś dowiaduję?

— Nie mam dowodów na to, ekscellencyo! —rzekł Winter wzruszając ramionami.

Są to tylko przypuszczenia, mimo że oparte na pewnej podstawie. Dlatego o tem poprzednio mówić nie mogłem. Zamachy na moje życie wychodziły wprawdzie od hrabiny Waleryi ale wykonawcą był w dwu wypadkach służący hrabiego Sinobrodego. Ostatnim razem zaś chciała mnie hrabina Walerya sama otruć. Ukradła mi przy tej sposobności także list, który hrabina Agata do pana hrabiego z Indyi pisała. List ten dostał się był najpierw w ręce Waleryi, lecz ja go przez jednego z urzędników moich od niej wydostałem, i chciałem go jego ekscellencyi przedłożyć.

Winter opowiedział słuchającemu ze ździwieniem hrabiemu Edmundowi wszystko czego on dotychczas jeszcze nie wiedział. Nie miał on pojęcia o tem, w jakim stosunku Walerya stała do hrabiego Sinobrodego. Wzburzenie jego było bezgraniczne, gdy mu Winter wytłumaczył, kim hrabia Sinobrody, właściwie jest, i jakie zbrodnie on już popełnił.

Lecz nie dość na tem. Winter zaczął teraz mówić o Ludwiku Hechcie.

— Ten zbiegły z kryminału łotr jest właśnie pierwszym i prawnym mężem Waleryi—oświadczył on. — Zbadałem tę tajemnicę dopiero niedawno. Teraz pan hrabia pojmie, jak Walerya do stosunków z tym hultajem przyszła.

Hrabia Edmund nie mógł tego od razu pojąć. Opanowały go obrzydzenie i pogarda przed kobietą, którą w zaślepieniu pojął za swoją żonę, a która stare, dumne jego nazwisko taką hańbą i wstydem okryła.

Hrabia Sinobrody, zabójca kobiet, nizko urodzony służący, był jej bratem, a zbiegły z więzienia zbrodniarz, jej mężem.

To były odkrycia, które jak grom z nieba spadły.

Jęcząc z bólu i gniewu padł on na krzesło i zakrył na chwilę twarz swą rękoma.

W tem przystąpiła do niego Agata, i położyła mu rękę na ramieniu.

— Uspokój się, kochany Edmundzie — rzekła ona drżącym głosem. — Zapomnij o tem. Ta nędżna kobieta nie warta, aby się z jej przyczyny martwić. Ona przecież w rzeczywistości nigdy żoną twą nie była, bo przystąpiła z tobą do ołtarza jako żona innego. Ty przecież nic więcej dla niej czuć nie możesz, jak wstręt i pogardę.

Ujął on serdecznie obie ręce Agaty, i podniósł się z siedzenia. Twarz jego była blada, ale wyrażała spokój i stanowczość.

— Masz słuszność, moja droga! Ten nieludzki demon nie może we mnie wzbudzić innego uczucia, jak tylko najwyższą pogardę.

Zwróciwszy się do Wintera, rzekł on:

— Dziękuję panu, kochany panie Winter, żeś mi pan teraz całkiem oczy otworzył. — Jedź pan ze mną do pałacu, i zaaresztuj pan dziś jeszcze tę zbrodniarkę.

Winter zawahał się nieco, i odpowiedział:

— Życzyłbym sobie z ważnych powodów, aby hrabinę Waleryę teraz jeszcze oszczędzić!

— Dlaczego? — spytał hrabia Edmund ponuro.

— Jego ekscellencya wie, że Walerya ma styczność z hrabią Sinobrodym i z Ludwikiem Hechtem. Mam ja wszelkie nadzieje przyłapać obu tych łotrów w ten sposób, że Waleryę obserwuję. Jestem bowiem pewny, że ona się z nimi wkrótce na naradę zejdzie.

— Cóż z tego? — przerwał mu hrabia Edmund.

— Jeżeli zaś Waleryę już teraz wtrącę do kryminału, to stracę ślad hrabiego Sinobrodego i Hechta — tłumaczył mu Winter — a wtedy wielkie pytanie, czy obu tych łotrów kiedy jeszcze w moc swoją dostanę! To mi zaś ważne!

— Nie chcę jednak piekielnej tej kobiety ani na godzinę mieć pod swoim dachem — zawołał hrabia Edmund gwałtownie. —Rób pan, co się panu słusznem wydaje, panie Winter. Ja zaś ze swej strony wystąpię zupełnie otwarcie, i zmiażdżę tę nikczemną istotę swojem oskarżeniem.

Nie udało się Winterowi w żaden sposób odwieźć hrabiego Edmunda od powziętego raz postanowienia. Po krótkiej, naradzie odjechał hrabia w towarzystwie Wintera.

Greif poszedł szukać za śladem hrabiego Sinobrodego a doktór Kloc został przy Agacie.

Niebawem odjechał hrabia Edmund z Winterem do swego pałacu, i pobiegł niezwłocznie do apartamentów Waleryi.

Winter zaś, który porozstawiał detekty-

wów u każdego wejścia, chciał jeszcze na chwilę przy nich zostać.

Hrabia Edmund nie zastał Waleryi, i wrócił gniewny i rozczarowany.

— Gdzie ją znajdę, tę nikczemnicę? — zgrzytnął on. — Czy ona przeczuwała co ją czeka, i czy dlatego uciekła?

Wtem ukazała się pokojówka i cofnęła się przelękniona na widok wzburzonego hrabiego.

— Gdzie jest twoja pani — zawołał hrabia Edmund na nią gniewnie. — Gdzie ona się schowała? Mów natychmiast!

— W parku... w pawilonie, ekscellencyo —jąkała się dziewczyna strwożona.

— Ach! Cóż ona tam robi? — zapytał podejrzliwie.

Pokojówka uśmiechnęła się dwuznacznie. Postanowiła odkryć oszukanemu małżonkowi całą prawdę.

— Wielmożna pani przyjmuje tam wizytę — oświadczyła ona.

— Wizytę? — powtórzył hrabia zdziwiony? — Kogo?

— Jego ekscellencyę, księcia.

Przez chwilę gapił się hrabia na pokojówkę nie rozumiejąc jej słów. Wreszcie pojął o co chodzi i okropna złość go opanowała.

— I to jeszcze — zgrzytnął on. — Do tego wszystkiego jeszcze oszukany i zdradzony.

Wbiegł on szybko do swojego pokoju, i wziął nabity rewolwer do kieszeni. Potem pobiegł lotem strzały w stronę parku.

CLIV.

Katastrofa.

O tej samej porze kiedy Walerya poszła na rendez-vous z księciem do pawilonu, opuścił i Ludwik Hecht w przebraniu służącego hrabiowski pałac.

Wyszedł on małą, boczną furtką na ulicę, i szybko się stąd oddalił.

Niebawem wysunęła się z ciemnego zagłębienia jakaś postać, i podążyła za hultajem. Był to jeden z detektywów Wintera, który skradał się zręcznie za Ludwikiem przez ulice. Wreszcie po długim czasie zobaczył, że Hecht niknie w bramie jednego z domów zajezdnych.

Detektyw zapamiętał sobie wejście, a potem doszedł do rogu ulicy i pomówił z policyantem, który się natychmiast szybko stąd oddalił. On sam zaś wrócił napowrót do domu zajezdnego, i stanął przed bramą jego na straży.

Nie przeczuwając zupełnie, że jest ścigany wszedł Ludwik po schodach na górę, i zapukał do drzwi leżących na końcu długiego kurytarza. Po chwili wpuszczono go do dużego, oświetlonego lampą pokoju, który zamieszkiwał pozornie starszy mężczyzna z pomarszczoną twarzą, długą siwą brodą i niebieskiemi okularami.

— Ach, to wy! — zawołał stary, zamykając przezornie drzwi za sobą. — Czy nie ma jakiego niebezpieczeństwa.

— Nie! W tem przebraniu nikt mnie jeszcze nie poznał. — Spodziewam się, że plan nasz dziś się uda. Czy się zaraz weźmiemy do dzieła?

— Zaczekajmy jeszcze godzinę, bo to zawcześnie. Trzeba poczynić wszystkie przygotowania, a zresztą ja jeszcze kogoś oczekuję.

— Kogo? — zapytał Ludwik zdziwiony.

— Mego służącego, Piotra!

— Co? Czyż on jest teraz tutaj?

— Tak jest! Miałem od niego wiadomości, i podałem mu nowy swój adres. Musi on już być w mieście, i pewno każdej chwili nadejdzie.

— Hm! To się dobrze składa — rzekł Ludwik, Piotr może nam w tem przedsięwzięciu być bardzo pomocnym. We trójkę nie potrzebujemy się obawiać oporu.

Stary pokiwał potwierdzająco głową. Otworzył on kufer, i wyjął z niego kompletny mundur policyanta, i dwa zwykłe ciemne ubrania.

— Piotr może włożyć mundur, i grać rolę policyanta — rzekł on. — Jedno ubranie jest dla mnie, a drugie dla was, przyjacielu Ludwiku! — Powiem urzędnikowi kryminalnemu, że wy jesteście moim podwładnym!

Mówiąc to odłożył okulary, brodę i perukę, z poza której okazała się dobrze nam znana twarz Sinobrodego. Zaczął się on przebierać, a Ludwik poszedł za jego przykładem.

Nagle zapukano do drzwi. Ludwik okropnie się przestraszył. Sinobrody zaś nie tracąc przytomności umysłu, włożył znów brodę, perukę, i okulary i doszedłszy do drzwi zapytał zmienionym głosem starca:

— Kto tam?

Nowoprzybyły za drzwiami, namyślał się widocznie co odpowiedzieć.

Przepraszam — rzekł on wreszcie — czy tu mieszka pan doktór Müller?

Było to nazwisko, które hrabia Sinobrody tu przyjął. Poznał on też głos pytającego, i niezwłocznie odsunął rygiel.

— Wejdź Piotrze! Trafiłeś! — rzekł on przyciszonym głosem.

Po chwili wsunęła się przez drzwi owinięta

w ciemny płaszcz postać i oglądnęła się trwożnie wokoło. Na widok zajętego przebraniem Hechta, zawahał się Piotr trochę lecz hrabia Sinobrody wciągnął go do pokoju, i zamknął za nim drzwi.

Tego się nie obawiaj—rzekł on uspokajająco. — Jest to Ludwik Hecht. Czy go nie poznajesz?

— Tak! — rzekł Piotr, i padł zmęczony na krzesło. — Czy pan list mój otrzymał?

— Naturalnie! Nie mógłbym ci przecież był inaczej odpowiedzieć — odpowiedział hrabia Sinobrody ponuro. — Słyszałem o twoich sprawkach i Ignacego. Zwaryować z wami można. Wszystko znów popsuliście!

— Co my winni? — bronił się Piotr nieśmiało. — Opowiem panu wszystko, a wtedy pan zobaczy że my nic nie winni.

— Nie uważaliście obydwaj! — ofuknął go Sinobrody. — Czy czarny Ignacy zginął?

— Tak jest, hrabina Gertruda go zastrzeliła — westchnął Piotr. — Dostałem ją później raz jeszcze w swoje ręce, ona musi być chyba z dyabłem w zmowie, bo mi się po raz drugi wymknęła. Ile ja wycierpiałem, panie! — Błądziłem po lesie, i nie mogłem się z niego wydostać, a detektyw ze swoimi ludźmi ścigał mnie jak zająca.

— Czyś go nie zastrzelił? — wtrącił hrabia Sinobrody — zdaje mi się, żeś mi coś o tem pisał.

Piotr wzruszył ramionami i zrobił kwaśną minę.

— Tak jest! — rzekł on wzdychając — ale ten detektyw także widocznie z szatanem jest w zmowie, bo słyszałem dziś, że on zupełnie zdrów do stolicy wrócił.

— Co? Czy on tutaj? — zapytał Sinobrody zdziwiony. — Czy on nas może już znów tutaj szpieguje?

— Kto wie? — odpowiedział Piotr zamyślony. — W każdym razie nie jesteśmy teraz przed nim pewni.

Hrabia Sinobrody zaklął głośno i tak się zasumował, że prawie nie słyszał, co Piotr do niego dalej mówił.

W takim razie nie możemy teraz wykonać planu naszego co do hrabiny — zauważył Ludwik. — To zanadto niebezpieczne. — Możemy wpaść w ręce detektywa.

— Trzeba ryzykować — zadecydował hrabia Sinobrody. — Co nam zwlekanie pomoże? Nic! Jutro sprawa jeszcze niebezpieczniejszą być może, a przecież kiedyś musi być wykonana! Naprzód więc! Włóż ten policyjny mundur na siebie, Piotrze! Będziesz tak najbezpieczniejszy!

— Czy to chodzi o hrabinę Agatę, panie?— zapytał Piotr zdziwiony. — Sądzę, że ona nie żyje?

— Owszem, żyje! — odparł hrabia Sinobrody i opowiedział służącemu swemu, co się od Waleryi o Agacie dowiedział.

— Dziś musimy się ostatecznie postarać, aby tę niebezpieczną nieprzyjaciółkę mej siostry w moc swoją znów dostać — rzekł on rezolutnie. — Dobrze, żeś się zjawił Piotrze! Możesz nam być pomocnym. Użyjemy tu podstępu, który się przyjacielowi naszemu Hechtowi raz już udał, gdy Agatę w ręce Waleryi wydał. Ja będę udawał, że jestem komisarzem policyjnym, i zaaresztuję hrabinę, a wy mi przy tem będziecie pomocni.

— Hm! — mruknął Piotr zaniepokojony. — Aby się sprawa tylko udała!

— Uda się bez wątpienia! — zawołał Sinobrody. — Trzeba się do niej tylko ostrożnie zabrać.

— A co się ma stać z hrabiną Agatą? — zapytał Piotr.

— Zawieziemy ją najpierw do własnego jej zamku — rzekł Sinobrody spokojnie. — Nie zatrzymujmy się jednak dłużej, bo już czas do pracy!

Piotr nie sprzeciwiał się temu. Ludwik także milcząco się na to zgodził, mimo że przeczuwał niebezpieczeństwo. Niebawem opuścili oni wszyscy trzej w przebraniu hotel, lecz nie wyszli razem.

Pierwszy odszedł Ludwik, za nim wysunął się Piotr w mundurze policyanta. Ostatni wykradł się hrabia Sinobrody, i wszyscy trzej towarzysze spotkali się znowu na następnym rogu ulicy.

Nie spostrzegli oni detektywa, który się za nimi skradał. Poznał on ich wszystkich widocznie mimo przebrania, bo nie tracił ich z oka.

Hrabia Sinobrody najął niebawem dorożkę i odjechał ze swoimi towarzyszami. Detektyw słyszał jednak dobrze cel podróży, który Sinobrody doróżkarzowi wypełnił, pobiegł szybko do następnej stacyi policyjnej.

Doróżka wioząca hrabiego Sinobrodego zatrzymała się na odludnem przedmieściu niedaleko mieszkania Agaty. Wysiedli oni wszyscy trzej, ledwo jednak zdala kamienicę jej zobaczyli, zatrzymali się zatrwożeni.

— Stójcie — szepnął hrabia Sinobrody.— Przed bramą stoi tam jakiś powóz. Kto u hrabiny teraz być może? Chyba że nie Walerya!

— Wygląda na powóz hrabiego Ed-

munda — rzekł Ludwik Hecht, przypatrując mu się z uwagą i dodał poirytowany. — A otóż stary Michał!

— Na dyabła! Czyżby hrabia Linderhof sam był u niej? — krzyknął hrabia Sinobrody wzburzony. — Stary Michał? Doprawdy, że to on!

Gdy tak stali osłupiali nie wiedząc co począć, wyszli z bramy domu dwaj mężczyźni. Był to hrabia Edmund i Winter. Wkrótce za nimi wyszedł Greif z doktorem Klocem.

Dwaj pierwsi panowie wsiedli do powozu. Michał wskoczył na kozioł, i powóz szybko się stąd potoczył.

Greif stanął z doktorem w bramie, i obaj żywo zaczęli rozmawiać.

Trzej towarzysze obserwowali to wszystko ze zdziwieniem i przerażeniem. Wyzdrowienie hrabiego Edmunda i wizyta jego u Agaty, były dla Waleryi pokrzyżowaniem wszystkich jej planów. Jak sparaliżowani, niezdolni do ruchu stali oni wszyscy trzej na ulicy, i widzieli dokładnie przy świetle latarni obu przed domem stojących mężczyzn. Sami zaś widziani być nie mogli, gdyż stali w cieniu drzew.

— Oto i drugi detektyw... Greif — szepnął Piotr swemu panu. — Więc już i on we wszystko wtajemniczony. Teraz my nic chyba nie wskóramy!

Hrabia Sinobrody nakazał mu milczenie, i wysunął się ostrożnie bliżej, aby przynajmniej pojedyńcze słowa doktora i Greifa mógł połapać.

— Dziś albo jutro powędruje ta dyablica Walerya do kryminału — usłyszał on głos Greifa. — Jeżeli nam się jeszcze uda przyłapać hrabiego Sinobrodego, i tego łotra, Ludwika Hechta, to będziemy mogli tryumfować.

— Obawiam się, że hrabina Agata tu więcej nie jest bezpieczna — odparł doktór Kloc. — Hrabia Edmund poznał widocznie niebezpieczeństwo. Powinien on ją na inne miejsce przetransportować.

— On to podobno jutro już chce uczynić — odpowiedział Greif. — Naturalnie musi hrabina przez czas jakiś zostać w ukryciu, aby jej sąd nie przyłapał. Grozi jej też niebezpieczeństwo ze strony jej nieprzyjaciółki, jak długo jeszcze ona sama i towarzysze jej na wolnej stopie się znajdują.

— Ja zostanę przy niej na straży — odparł doktór Kloc.

Po wymianie jeszcze kilku słów, których Sinobrody dosłyszeć nie mógł, oddalił się Greif.

Doktór Kloc popatrzył przez chwilę za nim, a potem wszedł wprost do kamienicy.

— Sprawa nasza stracona — odezwał się Ludwik Hecht. — Walerya przepadła, gdyż hrabia otrzymał tu już pewno wszelkie możliwe informacye schrońmy się w bezpieczne miejsce, póki jeszcze czas!

— Głupcze! — krzyknął Sinobrody gniewnie. — Jak gdyby to była dla nas jedyna droga. Musicie wrócić jak najprędzej do pałacu i ostrzedz hrabinę Waleryę co jej grozi.

— To bym sam leciał na swoją zgubę! — uśmiechnął się Ludwik szyderczo. — Dziękuję Niech ona się sama sprytnie stamtąd wywinie.

— Nie chcecie pójść! — krzyknął hrabia Sinobrody gniewnie.

— Broń mnie Boże od tego. Zresztą i tak bym już zapóźno przyszedł, gdyż hrabia wraz z detektywem Winterem już są w pałacu.

Hrabia Sinobrody zaklął gniewnie, musiał jednak uznać, że Ludwik Hecht ma słuszność. Było już zapóźno ostrzedz Waleryę, przed grożącem jej niebezpieczeństwem.

— Ale coś przecież zrobić trzeba! — zgrzytnął on bezradnie. — Co się z nami stanie, gdy ten przeklęty łotr Waleryę przyaresztuje.

— Ja nie sądzę, aby on to tak prędko uczynił! — rzekł Ludwik spokojnie. — A w najgorszym razie będzie Walerya przecież miała protekcyę księcia. Pan przecież wie, że moja mądra żona umiała księcia w siecie swoje zwabić! — uśmiechnął on się sarkastycznie. —On jej skrzywdzić nie da. Tego możemy być pewni. Dlatego nie troszczmy się o Waleryę, tylko myślmy o sobie.

— Książę? O, on Waleryę opuści, gdy się dowie, o co ją oskarżają — mruknął Sinobrody — Ani palcem dla niej nie poruszy.

— Ach, nonsens! — sprzeciwił się Ludwik. — Książę ani słowa z tego nie uwierzy. Lecz my tu tak nie możemy stać. Proponuję więc, abyśmy się rozeszli, i odczekali w pewnych bezpiecznych kryjówkach, jak się rzeczy ułożą.

— Nie, to tak nie idzie! — zawołał Sinobrody stanowczo. — Musimy się na wszystko zdecydować i plan nasz wykonać. Mamy teraz przecież tylko z doktorem Klocem do czynienia, a z nim sobie przecież we trójkę radę damy. Musimy hrabinę Agatę w moc naszą dostać.

— Tylko na mnie nie liczcie—rzekł Ludwik z naciskiem. — Ja nie myślę kłaść swej zdrowej głowy pod ewangielię!

Hrabia Sinobrody klął i groził, ale Hecht został niewzruszony przy swojem postanowieniu.

— Naprzód więc, Piotrze! — rzekł Sinobrody wreszcie, rzucając na Hechta wściekłe

spojrzenie. Spróbujemy sami, a temu tchórzowi to popamiętamy.

To rzekłszy, wszedł z Piotrem do kamienicy, Ludwik uśmiechnął się szyderczo na jego groźby i odszedł w tym samym kierunku, który poprzednio obrał Greif.

Niebawem zobaczył on z daleka zbliżający się oddział ludzi i błyskanie hełmów i broni.

— To pewno policya! — pomyślał on, nie przeczuwając nic dobrego i wsunął się zręcznie po za żywy płot jednego ogrodu. Przykucnął on tu właśnie w chwili, gdy ten oddział mężczyzn tędy przechodził.

Przy świetle latarni poznał Ludwik, że się nie omylił. Był to Greif z czterema policyantami i owym detektywem, który Ludwika tajemnie ścigał. Prawdopodobnie dążyli oni do kamienicy Agaty.

— Więc pan na pewno poznał tego hultaja? — zapytał Greif detektywa właśnie w chwili, gdy obok schowanego Ludwika przechodzili.

— Tak jest, panie komisarzu! — odparł urzędnik. — Był on wprawdzie ubrany za służącego, ale ja go mimoto poznałem.

— A z tych dalszych dwóch był jeden hrabia Sinobrody?

— Pewno! Nie sądzę, abym się omylił. Trzeci był w mundurze policyanta. Kazali się tu doróżką zawieźć.

— Więc to pewno zamach na hrabinę Agatę! — rzekł Grief zatrwożony. — Spodziewam się, że wczas przyjdziemy, aby tę trójkę hultajską przyłapać. Trzeci nie może być żaden inny, jak tylko służący hrabiego Sinobrodego, Piotr.

Ludwik nie słyszał już dalszej rozmowy ich, gdyż Greif daleko już z ludźmi swojemi odszedł. Wstał on i uśmiechnął się szyderczo i złośliwie.

— Mnie wy nie przyłapiecie, wy mądrzy panowie z policyi! — tryumfował on. — Cieszyłbym się jednak dyabelnie, gdyby oni teraz złapali hrabiego Sinobrodego i godnego jego służącego.

— Życzyłbym im tego!

Nadsłuchiwał on jeszcze przez chwilę. Potem osądził, że lepiej będzie oddalić się z tego niebezpiecznego pobliża.

Wesoły i uśmiechnięty szedł on szybko dalej w kierunku pałacu hrabiego Linderhofa.

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

W pięknie ogrodzonym pawilonie ogrodowym siedziała Walerya z księciem, nie przeczuwając nic złego. Wśród całusów i pieszczot schodził im czas błyskawicznie szybko. Książe rozpływał się w rozkoszy. Nigdy jeszcze usta kobiece tak ogniście go nie całowały jak dziś. Nie czuł on nigdy takiego szału namiętności, jak dziś w ramionach tej czarującej kobiety.

Trzymając się w objęciach siedzieli oni oboje na kanapie. Walerya leżała w ramionach księcia, którego zmysły wzrokiem swym do najwyższego stopnia rozpromieniła i zachwyciła.

I jej serce biło żywiej rozkoszą. Święciła ona w tej godzinie nowy tryumf, a dusza jej snuła złote, szczęśliwe sny przyszłości.

Gdyby była przeczuwał, co się właśnie w tej godzinie zdarzyło. Ale nie. Czuła się bezpieczniejszą, niż kiedykolwiek. Oszukany jej małżonek leżał przecież chory w swoim pokoju. Z jego strony obawiać się niczego nie potrzebowała. Może on właśnie w tej chwili wypijał truciznę, którą ona mu do lekarstwa domieszała? Wtedy ona by już znowu była zupełnie wolna i nie musiałaby się obawiać jego jako wroga i oskarżyciela.

O tej samej godzinie porywano już pewno Agatę— pomyślała sobie. — Hrabia Sinobrody i Ludwik pewno już teraz byli przy pracy i może już nienawistną jej nieprzyjaciółkę w ręku mieli. Ach! W takim razie mogłaby ona swoją chęć zemsty zaspokoić i ten zupełny tryumf święcić.

Tak myślała Walerya i cieszyła się przedwcześnie ziszczeniem swoich planów, podczas gdy leżała w objęciach księcia i na całusy jego odpowiadała.

A wyglądała przytem na taką kochającą i uległą kobietę, jak gdyby żadna grzeszna, albo nawet tylko zła myśl przez głowę jej nie przeszła. Nie czuła ona unoszący się już nad głową jej miecz Demoklesa.

— Ukochana! — szeptał książę namiętnie. — Zostań wreszcie moją! Opuść męża swego, którego nie kochasz i chodź ze mną. Otoczę cię bajecznym przepychem i każde twe życzenie spełnię! Doznasz szczęścia, o którym dotychczas nie marzyłaś. O zrzuć swe kajdany i chodź! Chodź ze mną niezwłocznie — błagał on gorąco i przycisnął piękną kobietę do swej piersi.

Lecz Walerya potrząsła głową i rzekła z westchnieniem:

— Ach, mój książę, jakżesz chętnie przyjęłabym szczęście, które mi się tak kusząco uśmiecha, ale to być nie może, świat pokazywałby mnie palcami i pogardziłby mną. A i pan miałby dla mnie ciężkie walki do stoczenia, ksią

żę! Oczernianoby mnie ze wszech stron a pan by wreszcie w oskarżenia te uwierzył, potępił mnie i odepchnął.

Ostatnie słowa wymawiała ona drżącym od płaczu głosem, a dwie duże łzy spływały jej po policzkach.

Książę, który nie przeczuwał obłudy, mocno tem był wzruszony. Objął on Waleryę na nowo i okrył twarz jej gorącymi pocałunkami.

— Nigdy, kochana moja! Przysięgam ci na imię Boga, że cię nigdy nie opuszczę i nie uwierzę żadnym przeciwko tobie skargom — zawołał on gwałtownie. O ufaj mi i bądź moją. Błagam cię!

— A choćbym się panu oddała, książę, to cóżby z tego wynikło? — zapytała ona wahająco. — Czyż pan obmyślił następstwa? Obawiam się, że wrogowie moi wymogą na księciu wuju pańskim, aby mnie pan opuścił i zemście ich wydał.

— Nie, nie! Do tego nigdy nie przyjdzie — sprzeciwiał się książę. — Mój wuj nie będzie mi robił żadnych trudności ja się już o to postaram, aby te oszczerstwa wrogów twoich do uszu jego nie doszły. Przestań ze swojemi wątpliwościami, kochanko — błagał on ją. — Poco jeszcze chcesz zostać u boku niekochanego męża? W moich ramionach czeka cię większe szczęście.

— Proszę mi jeszcze zostawić czas do namysłu do jutra — rzekła Walerya.

— Poco? Dlaczego nie zaraz?

Walerya zamyśliła się głęboko i patrzyła ponuro przed siebie. Pierś jej podnosiła się szybko i zdradzała wewnętrzne wzburzenie. Książę patrzał jej błagalnie w twarz i powtarzał swe prośby, widząc, że ona zawsze jeszcze milczy.

— Mój książę — rzekła Walerya wreszcie, biorąc go za rękę, i patrząc na niego przez łzy. — Serce me gwałtownie do pana ciągnie. Ach! jakże chętnie bym była przy panu i dałabym panu wszystko co tylko kochająca kobieta kochanemu mężczyźnie dać może, ale...

Zrobiła ona krótką pauzę i rzekła jąkając się dalej:

— Jakżeby się nasz stosunek na przyszłość ułożył? Czy pan o tem pomyślał, jakie trudności i przeszkody pan by miał do zwalczenia, gdyby o nasze połączenie się rozchodziło?

Badawczo ona spojrzała w jego zasępioną twarz.

— Ach kochana moja — rzekł wymijająco — poco dręczyć się dziś myślą o przyszłości? To się już jakoś da ułożyć. My się kochamy i chcemy do siebie należeć. To się daje urzeczywistnić. Czego jeszcze więcej do szczęścia naszego potrzeba?

Chwycił on ją znów w swoje ramiona, i starał się pieszczotami smutne myśli jej rozproszyć. Walerya wywinęła mu się jednak łagodnie, i rzekła bolesnym tonem:

Nie, mój książę! Ja nie mogę się zgodzić na taki nieprawny stosunek do pana! O, proszę mnie tylko źle nie zrozumieć! Świat potępia kobietę, która się oddaje mężczyźnie, nie będąc jego żoną, choćby go nawet kochała! A jabym nie umiała żyć w hańbie i poniżeniu.

— Jakto — zawołał książę wzburzony. —Ja cię nie rozumiem, Waleryo!

— Niech mi pan nie wmawia, książę — rzekła ona, nie dając się zbić z tropu.— Czy mi pan może przysiądz, że mnie pan zrobi swoją żoną? Jeżeli tak, to ja za panem pójdę, i będę pańską na zawsze!

Popatrzyła przytem na niego swemi czarnemi, demonicznemi oczyma tak zwodniczo, że on padł przed nią na kolana, i podniósł prawą swą rękę jak do przysięgi.

— Tak jest, Waleryo! Ty będziesz moją żoną — zawołał on w zapale. — I chociaż by się temu cały świat sprzeciwiał, to ja cię do swojej godności podniosę.

Serce Waleryi wezbrało tryumfem, a z ust jej wyrwał się radosny okrzyk. Podniosła ona oba swe ramiona i rzuciła mu się na szyję.

— Weź mnie, ja jestem twoją — szepnęła ona namiętnie i gorąco, tuląc się do jego piersi.

Wtem... dały się z dworu słyszeć szybkie, coraz bardziej się zbliżające kroki, które się przed drzwiami pawilonu zatrzymały.

Walerya wyrwała się z objęć księcia i nadsłuchiwała z wstrzymanym oddechem.

— Kto to być może? — szepnęła ona drżąca.

W tej chwili chwycił ktoś z dworu za klamkę i potrząsł drzwiami.

— Zamknięte! — odezwał się gniewny głos za drzwiami.

Z ust Waleryi wyrwał się stłumiony okrzyk przestrachu, a twarz jej powlokła się się trupią bladością. Poznała ona głos.

— Mój... mąż... hrabia Edmund! — jęknęła ona przerażona.

Powtórzyło się znów silne potrząśnienie drzwiami.

— Otwieraj! — zawołał teraz hrabia Edmund gniewnie. — Ja wiem, że ty tam jesteś. Otwórz natychmiast!

W szalonej trwodze załamywała Walerya ręce i wyciągnęła je błagalnie ku księciu, który stał bezradny i nieruchomy na środku pawilonu.

— Boże miłosierny! — lamentowała Walerya. — Obroń mię przed nim, książę! On jest szalony! On mnie zabije. Ach! Co to będzie, jak on księcia tu zobaczy?

Książę powiódł oczyma po pawilonie.

— Pewno nas ktoś zdradził! — szepnął on. — Czy nie ma tu jakiego drugiego wyjścia?

— Nie — lamentowała ona zrozpaczona. — Pawilon nie ma żadnych drugich drzwi.

— Więc trzeba otworzyć i stawić burzy czoło! — rzekł książę stanowczo i podszedł ku drzwiom. — On inaczej gwałtem wejdzie.

— Na Boga Świętego! Proszę nie otwierać — jęknęła Walerya i złapała go za ramię.

Lecz książę wyrwał się i otworzył drzwi. Na progu ukazał się hrabia Edmund blady, z błyszczącymi oczyma i zmienioną z gniewu twarzą.

Stanął on w otwartych drzwiach i starał się opanować. Pierś jego szybko się podnosiła. Wyglądał on, jak gdyby się chciał rzucić na Waleryę, ale się powstrzymał.

Książę stał przed nim w nieopisanem wzburzeniu. Okropne uczucie trwogi opanowało go na widok podrażnionego hrabiego Edmunda. Czuł on, jaką podłą rolę w tej chwili gra wobec niego.

Przez kilka sekund trwało niemiłe milczenie. Walerya padła blizka omdlenia na krzesło i patrzała blada i drżąca na swego oszukanego męża, czując, że się w następnej chwili coś strasznego stać musi.

Książę przyszedł pierwszy do siebie i zbliżywszy się do hrabiego, rzekł drżącym głosem:

— Jeżeli jego ekscelencya żąda satysfakcyi, to ja gotów jestem dać ją każdej chwili! Mnie ta... sytuacya... okropnie przykra... ale....!

Hrabia Edmund przerwał tę przemowę księcia niecierpliwym ruchem ręki. Wydawał on się zupełnie zimny i spokojny.

— O, książę! — rzekł on ostro i rzucił w stronę Waleryi pogardliwe spojrzenie. — Ja się w honorze swym zupełnie nie czuję obrażony, bo owa kobieta nie jest wogóle moją żoną.

— Jakto? — zawołał książę zdziwiony. — Co to ma znaczyć?

— Gotów jestem dać jego książęcej mości jutro wytłómaczenie! — odparł hrabia Edmund wyniośle. — Na teraz jednak prosiłbym o zostawienie mnie samego z tą damą. To bowiem, co jej teraz mam do powiedzenia, nie nadaje się dla uszu świadków.

Mówił on tonem tak stanowczym, że książę nie mógł nic innego począć, jak tylko odejść skłoniwszy się milcząco Waleryi i hrabiemu.

Lecz Walerya rzuciła się za nim w rozpaczliwej trwodze.

— Książę... proszę zostać! Proszę mnie obronić! — wołała ona. — Proszę mnie nie opuszczać!

Lecz książę już był na dworze, a hrabia Edmund szybko drzwi za nim zamknął. Odtrącił on Waleryę na środek pokoju i po chwili stanął przed nią w groźnej postawie.

— Wypuść mnie! — syknęła ona. — Ja nie chcę nic słyszeć.

— Ani kroku stąd! — zawołał hrabia Edmund drżąc z gniewu i oburzenia. — Ja z tobą jeszcze nie skończyłem! Nie ujdziesz ty karze za zbrodnie swoje, ty jadowita żmijo!

Walerya zmusiła się do szyderczego śmiechu.

Czy mnie chcesz zabić z zazdrości i zemścić się za to, żem cię z księciem zdradziła? — zawołała ona z uporem. — Dobrze więc! Ja jestem w twojej mocy!

— Nędznico! — zawołał on oburzony. — Zasłużyłaś wprawdzie na karę za tę niewierność, lecz nie myśl, że ja jestem o ciebie zazdrosny! Nie, twój stosunek z księciem nie narusza mego honoru — ciągnął on z lodowatą pogardą dalej. — Ja nie mam nic wspólnego z tobą, bo węzły łączące nas zerwane są, a raczej nigdy nie istniały. Ty nie byłaś nigdy moją żoną, bo ty należysz do zbiegłego z kryminału zbrodniarza, Ludwika Hechta. On jest twoim prawdziwym i godnym małżonkiem.

Walerya cofnęła się ze stłumionym okrzykiem wściekłości.

— Kto ci tę bajkę opowiedział? — wyjęknęła ona, starając się o panowanie nad sobą.

— Ja wiem, że to nie jest bajką! Nie myśl że mnie w pole wywiedziesz, bo ja cię dobrze znam i przejrzałem cię nawskróś w twojej przewrotności i podłości. Znam wszystkie twoje czarne sprawki. Byłem u Agaty i...

Z piersi Waleryi wyrwał się ochrypły krzyk przerażenia i bezsilnej złości. Słowa te padły na nią jak grom z jasnego nieba. Ziemia usuwała jej się pod nogami. Stała ona jakby sparaliżowana i wpatrywała się w niego osłupiałym wzrokiem. On tak zaś mówił dalej podniesionym głosem:

—Rola twoja skończona, ty przewrotna komedyantko i okrutna dyablico. Odpokutujesz ty strasznie za to, co uczyniłaś, bo tej godziny jeszcze dostaniesz się do więzienia. Komisarz Winter jest tutaj i przyaresztuje cię na moje skinienie.

Walerya upadła pod ciężarem okropnego

ciosu. Z jękiem padła ona na krzesło, a twarz jej pokryła się śmiertelną bladością. Była ona zdemaskowana, zgubiona. Widziała ona w duchu już więzienie i hańbę... przepaść najgłębszej nędzy.

W napadzie szalonej trwogi, skoczyła z siedzenia i krzyknęła dziko:

— To jest wszystko kłamstwo! Ja nie popełniłam żadnej zbrodni! Ja nie wiem nic o Agacie. Daj mi spokój. Czego ty chcesz odemnie? Ja nie chcę ani godziny dłużej pod twoim dachem zostać i dać się od ciebie lżyć i upokarzać!.

Pobiegła ona znów ku drzwiom, lecz hrabia zaszedł jej drogę i odtrącił ją.

— Ty zostaniesz tutaj i wysłuchasz wszystko, co ci jeszcze mam do powiedzenia — zawołał ostro. — Wkrótce skończę z tobą na zawsze i oddam cię sędziemu śledczemu. Gdybyś miała sumienie, to zginęłabyś teraz ze wstydu i skruchy. Czy ci mam wyliczyć, coś uczyniła? Czy chcesz i możesz jeszcze wyprzeć się zbrodni, które popełniłaś, ty szatańska kobieto? Czyś nie porwała Agatę z pomocą brata swego, Sinobrodego i nie sprzedała jej jako niewolnicę? Czyś mi równocześnie nie skłamała, że Agata uciekła ze swoim kochankiem?

— Tak też było! Agata kłamie, jeżeli mnie oskarża! — jęknęła Walerya.

— Więc ty się nie przyznajesz do twoich zbrodni, ty podła istoto — krzyknął hrabia Edmund i porwał ją za ramię. — Musisz jednak zeznać, że to ty popełniłaś tę okropną zbrodnię, o którą Agata była oskarżoną. Tyś tę winę na Agatę zwaliła, pogrążyłaś ją w hańbę i nędzę i na szubienicę ją sprowadziłaś. Ty jesteś zabójczynią barona Rambowa! Ty, a nie Agata!

Walerya wygapiła się na niego jak nieprzytomna i ani słowa wypowiedzieć nie mogła. Trzęsła ona się z trwogi i przerażenia.

— Teraz prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa — ciągnął on dalej — i niewinność Agaty się okaże. Ty zaś jako prawdziwa zabójczyni pójdziesz na szubienicę. Myślałaś, że jesteś już u celu i będziesz mogła tryumfować, lecz teraz dosięgła cię ręka sprawiedliwości i strąci cię niemiłosiernie w przpaść.

Wtem Walerya podniosła się szybko i odtrąciła go silnym ruchem od siebie. Znikła jej rozpacz. Twarz jej pożółkła z gniewu, a oczy połyskiwały w dziwnej nienawiści. Widziała ona, że wszystko było stracone, i że teraz chodziła o walkę na życie i śmierć. Jedyną nadzieją jej był jeszcze książę. On ja musi ratować i bronić i przecież jej teraz nie opuści. Dlaczego więc ma się bać i trząść?

Zdziwiony tą nagłą zmianą w jej wyglądzie i wystąpieniu, cofnął się hrabia Edmund wstecz o kilka kroków, Walerya podniosła groźnie rękę i krzyknęła:

— Nie, ja niczego nie odwołuję i nie żałuję z tego com uczyniła. Co za szkoda, że mi się wszystko nie udało! Lecz nie jest jeszcze tak źle ze mną, jak tobie się zdaje. Nie będziesz nademną tryumfował. Ja się z twoich gróźb śmieję, gdyż wiem, że nie będziesz miał odwagi ze skargą przeciwko mnie wystąpić!

— Nie będę miał odwagi! — krzyknął on wzburzony.

— Nie! — syknęła Walerya szyderczo. — Bo naraziłbyś temsamem siebie i Agatę na zgubę. Zawołaj tylko detektywa i oskarżajcie mnie o co chcecie. Nie macie przecież dowodów. Ja zaś zdradzę to, coś ty zrobił dla Agaty. Opowiem jakeś przekupił doktora i kata i z ich pomocą oszukał władze i uratował z szubienicy skazaną na śmierć mężobójczynię. Ministerstwo twoje się skończyło, a teraz czeka cię więzienie... ciebie i Agatę. Nie ja, lecz ona pójdzie na szubienicę, a ty jej już drugi raz wyratować nie potrafisz.

— Daremnie grozisz! — odparł on chłodno. Pokazujesz się nareszcie w prawdziwej postaci i odsłaniasz całą swą nikczemność i złośliwość. Dość jednak tego. Ja więcej słów z tobą nie tracę! — odparł on pogardliwie.

Z temi słowy odwrócił się on i podszedł ku drzwiom.

— Idź, idź! — krzyknęła ona za nim z ostrym szyderstwem. — Przepowiadam ci jednak, że ja zwyciężę w walce, którą ty rozpocząłeś. Mnie obroni książę i będzie po mojej stronie, jako mój sprzymierzeniec. Nie spodziewaj się, że oskarżenie twoje i detektywa znajdą wiarę. O, ja wszystko przewidziałam i temu zaradziłam.

Już przy pierwszych jej słowach odwrócił się hrabia Edmund i pogardliwie się uśmiechnął.

— Mogę sobie wyobrazić, jak ty księcia okłamałaś! — rzekł on. — Ale nadzieje twoje się nie spełnią. Gdyby książę miał najlepsze chęci, to by cię uratować nie mógł, gdyż twoja wina jest dowiedziona. Książę się od ciebie odwróci ze wstrętem i pogardą, skoro ja mu oczy otworzę!

— Spróbuj! A zobaczysz, jak ja się za obelgi twoje zemszczę. Ja jestem kamieniem, o który ty się potkniesz; ty i twój przyjaciel detektyw. Ty padniesz przezemnie, którą pogardziłeś i będziesz mnie jeszcze na kolanach bła-

gał o łaskę, ty, ten dumny i potężny minister.

Stała ona przed nim wyprostowana i pełna gniewu i nienawiści.

On wzruszył tylko szyderczo ramionami, odwrócił się i otworzył drzwi.

— Będziesz miała czas myśleć w więzieniu nad twojemi planami — rzekł on z naciskiem. — Ty opuścisz ten pawilon jako uwięziona!

Zamknął on za sobą drzwi na klucz. Walerya stanęła jakby skamieniała. Słyszała ona jego szybkie, oddalające się kroki. Teraz on szedł aby zawołać detektywa.

Zadrżała na całem ciele. Dotychczas umiała nad sobą zapanować, lecz teraz upadła z trwogi i przerażenia. Miała się już za straconą i wszystkie dumne jej nadzieje w niwecz się rozpłynęły. Groził jej kryminał... a potem szubienica!

Podskoczyła ona ku drzwiom, i zaczęła nimi trząść gwałtownie i z całej siły.

Daremnie jednak. Były one zamknięte i nie mogła uciec prze grożącem niebezpieczeństwem.

Czy ona naprawdę była stracona? Czyż już dla niej nie było żadnego ratunku? Książę! Lecz ten ją opuścił w decydującej chwili. Cóż, jeżeli przepowiednie hrabiego się ziszczą i jeżeli książę, który był ostatnią jej nadzieją od niej się odwróci i własnemu jej losowi ją zostawi?

Z jękiem rozpaczy i trwogi rzuciła się Walerya na kanapę i wpiła palce swe w bezsilnej złości w jedwabne poduszki.

Dlaczego książę nie wracał? Jeżeli ją tak bardzo kochał, jak to jej niedawno jeszcze przysięgał, to powinien był przecież być o nią niespokojny.

A brat jej, hrabia Sinobrody i Ludwik? O, ci dwaj nie przeczuwali nawet nic o tak przykrem, obecnem jej położeniu.

Gdyby oni teraz chcieli zjawić się i ją uwolnić. W takim razie mogłaby ona uciec, odszukać księcia i oddać się pod jego opiekę.

— Lecz... cóż to? Usłyszała ona teraz zbliżające się kroki i podskoczyła ku drzwiom

— Czy to książę nadchodził, aby ją uratować? Czy może Winter, aby ją uwięzić?

CLV.

ZBRODNIARZE W TARAPATACH

Winter, który razem z hrabią Edmundem do pałacu przybył, czekał w jego apartamentach na dalsze zlecenia

W międzyczasie dowiedział się on już od swoich ludzi, że Ludwik Hecht przebywał w parku hrabiowskim w przebraniu i roli służącego i że go jeden z detektywów miał zawsze na oku.

Spodziewał się więc Ludwika wkrótce w moc swoją dostać i chodziło jeszcze tylko o przyłapanie hrabiego Sinobrodego.

Gdy się Winter po pewnym czasie zapytał o hrabiego, dowiedział się od starego Michała, że hrabia Edmund pewno poszedł do pawilonu, gdyż Waleryi w apartamentach jej nie zastał i od pokojówki się dowiedział, że pani jej w pawilonie z księciem flirtuje.

Winter postanowił sobie pozyskać dla swej sprawy pokojówkę, która ważnym świadkiem przeciwko Waleryi być mogła. Poszedł on więc ze starym Michałem do apartamentów Waleryi, lecz nikogo tam nie zastał. I w własnym jej pokoju pokojówki zastać nie mógł. Znikła ona bez śladu.

Daremnie szukał Winter za nią po całym pałacu. Zapytał on swoich ludzi, którzy strzegli wszystkie wychody, lecz żaden z nich pokojówki nie widział. A przecież musiała ona pałac opuścić.

Dlaczego jednak? To było dla Wintera zagadką.

Czy się może obawiała, że będzie musiała zeznawać jako świadek przeciwko swojej pani, i nie chciała tego z pewnych powodów uczynić.

Niezwłocznie poczynił Winter potrzebne kroki, aby pokojówkę odszukać, gdyż się bez niej prawie obejść nie mógł. Ona by mu pewno mogła niejedno z przeszłości Waleryi opowiedzieć. Dotychczas dziewczyna ta nigdy niczego zdradzić nie chciała, lecz teraz byłaby do tego zmuszoną.

Ledwo wrócił Winter do mieszkania hrabiego, zobaczył go nadchodzącego. Był on okropnie wzburzony i rzekł zawistnie:

— Przyłapałem nędzną tę istotę w ramionach jej kochanka. Książę oddalił się natychmiast i będzie bardzo zdziwony, gdy się jutro dowie, że ona już w więzieniu. Chodź pan ze mną, panie Winter i weź pan jeszcze kogoś ze swoich ludzi, aby zbrodniarkę tę przyaresztować. Zamknąłem ją w pawilonie, aby nam uciec nie mogła.

— Jestem gotów, ekscellencyo! — rzekł Winter i skinął na starego Michała, aby mu jednego z jego ludzi przywołał.

Hrabia Edmund przechadzał się niespokojnie tam i napowrót po pokoju. Nagle zwrócił on się do Wintera, który stał czekając przy drzwiach i podał mu klucz od pawilonu.

— Idź pan sam, panie Winter, gdyż ja tej nędznicy więcej widzieć nie chcę!

— Jak ekscellencya rozkaże! — odparł Winter uniżenie, i wziął podany sobie klucz.

Wtem dały się słyszeć szybkie kroki na kurytarzu i po chwili wszedł stary Michał meldując:

— Ekscellencyo!... doktór Kloc!

Zameldowany doktór wszedł bez tchu, a hrabia zapytał go zaniepokojony:

— Co pana tu sprowadza, kochany panie doktorze? Jest pan tak okropnie zirytowany! Chyba, że się co złego stało?

— Bogu dzięki, nie! — odpowiedział doktór Kloc szybko. — Na szczęście nie udał się zamach towarzyszy Waleryi na hrabinę Agatę!

— Jakto? Nowy zamach? — zawołał Winter wzburzony, podczas gdy hrabia Edmund do słowa przyjść nie mógł. — Kto był sprawcą tegoż? Czy Ludwik Hecht?

— Nie, hrabia Sinobrody! — rzekł doktór Kloc. — Wkrótce po waszem odejściu zapukano do drzwi. My otwieramy i widzimy przed sobą policyanta z jeszcze jednym człowiekiem który się przedstawia jako urzędnik policyjny i oświadcza, że ma zlecenie przyaresztowania hrabiny Agaty.

— Któż to mógł być? — spytał Winter zdziwiony.

— Nikt inny, jak hrabia Sinobrody! — ciągnął doktór Kloc dalej. — Nie poznaliśmy go w przebraniu i nie myśleliśmy nawet o tem, że to może być oszust i sprzymierzeniec Waleryi. W pierwszej chwili byliśmy wszyscy nieprzytomni ze strachu. Lecz ja zachowałem jeszcze tyle przytomności umysłu, aby zażądać od tego domniemanego urzędnika legitymacyę. Chciał on przemocą wejść, lecz ja zatarasowałem drzwi do jej pokoju.

— Cóż za zuchwały napad! — zawołał hrabia Edmund.—Jakżesz się pan pozbył tych obu łotrów?

— Całkiem niespodzianie przyszła nam pomoc w postaci komisarza Greifa z kilkoma policyantami, a przywołał go jeden z naszych ludzi, którzy łotrów tych obserwowali.

— Czy obu tych łotrów przyłapano? — badał Winter ciekawie.

— Niestety, nie! Spostrzegli oni wczas jeszcze grożące im niebezpieczeństwo i uciekli. Lecz Greif ściga ich ze swoimi ludźmi i mam nadzieję, że ich przyłapią. Zostawiłem dwóch urzędników przy hrabinie Agacie, a sam tu przybiegłem, aby zdać relacyę. Mówią, że i Ludwik Hecht brał udział w tym napadzie. Ponieważ on grał tu w pałacu rolę służącego, to przypuszczam, że tu wrócił, by schronić się u Waleryi.

— Przeszukać natychmiast pałac za tym zbrodniarzem! — rozkazał hrabia Edmund.— Ja już wszystko potrzebne zarządzę, a pan wracaj do mojej żony, kochany panie doktorze i powiedz jej pan, że Walerya właśnie teraz zostaje odprowadzoną do więzienia.

Uścisnął on rękę doktora w serdecznej podzięce, lecz nagle źle mu się zrobiło i byłby upadł na ziemię, gdyby go doktór Kloc nie był pochwycił w swoje ramiona.

— Zadużo... tych przejść... dla mnie!— szepnął hrabia Edmund słabo i przymknął oczy.

Winter i stary Michał przyskoczyli do omdlałego hrabiego i zanieśli go na kanapę. Doktór Kloc kazał przynieść wodę, a Michał pobiegł do przyległego pokoju, gdzie na stoliku stały lekarstwa i karafka z wodą i przyniósł ją wraz z zatrutą przez Waleryę szklanką medycyny, której się hrabia Edmund jeszcze nie tknął.

Doktór Kloc pokropił twarz omdlałego hrabiego wodą, a potem wyciągnął flaszeczkę eteru, i pod nos mu ją podał.

Powoli przyszedł hrabia Edmund do siebie. Doktór użył jeszcze innych środków, a spostrzegłszy szklankę medycyny, którą stary Michał zawsze jeszcze w ręku trzymał, zapytał:

— Co wy tutaj macie?

— To lekarstwo, panie doktorze — zawołał stary — Sądziłem, że to panu hrabiemu dobrze zrobi.

Doktór Kloc wziął mu z ręki szklankę, której zawartość mu się podejrzaną wydawała, a powąchawszy ją, potrząsł wieloznacząco głową.

Potem umoczył w tym płynie palec i wziął kroplę na język.

Wypluł on ją jednak natychmiast i, rzuciwszy staremu groźne spojrzenie, zawołał:

— To nie jest lekarstwo, lecz trucizna!

— Trucizna? Wielki Boże — krzyknął stary Michał zrozpaczony. — Ależ to doktór zapisał, a pan hrabia zawsze zażywał.

— I dzisiaj brał lekarstwo z tej szklanki? — badał lekarz zaniepokojony.

— Nie, z tej jeszcze nie brał! Ach, mój Boże! Jeżeli to naprawdę jest trucizną, panie doktorze to ja pojęcia o tem nie miałem! Prosiłem nawet pana hrabiego, aby zażył a gdyby on się był napił, to...

— To nie żyłby już więcej — uzupełnił doktór Kloc. — Poślijcie natychmiast po lekarza, który to lekarstwo zapisał, to się pokaże,

jakim sposobem ta trucizna do szklanki się dostała.

— To także pewnie sprawka Waleryi — rzekł Winter, i zwróciwszy się do starego Michała, zapytał. —Czy pan wasz był dziś wieczorem przez jakiś czas sam w pokoju?

— Tak jest! Wtedy jak ja list od pana doktora Kloca odbierałem — wyjęknął stary sługa.

— Więc to pewne, że Walerya użyła tego czasu, aby domieszać tej trucizny do lekarstwa. Liczyła ona na to, że ją hrabia wypije, i w nocy z tego umrze. Poznała widocznie, że dla niej wszystko stracone, i chciała się przynajmniej zemścić. Dzięki Bogu, że jej się to nie udało.

Doktór Kloc potakiwał Winterowi, a tymczasem pobiegł stary Michał, aby wysłać posłańca do doktora który hrabiego Edmunda w ciągu jego słabości leczył.

Niebawem odzyskał hrabia przytomność, i usłyszał z przerażeniem w jakim był niebezpieczeństwie. I on nie wątpił w to, że Walerya domieszała mu trucizny tej do lekarstwa, i zadrżał przed demoniczną tą kobietą.

— Śpiesz pan się — zawołał on na Wintera. — Uwięź ją pan prędko, aby wam uciec nie zdołała.

Winter nie zwlekał z wykonaniem tego rozkazu. Kazał on jeszcze przeszukać pałac i park za Ludwikiem Hechtem, a potem pośpieszył z jednym jeszcze detektywem i służącym do pawilonu, aby przyaresztować Waleryę.

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

Ludwik wracał do pałacu hrabiego Edmunda, i chciał wejść przez park od strony uliczki, gdy zobaczył w ciemności wychodzącą przez furtkę wysoką i okazałą postać męską.

Miał jeszcze tyle czasu aby na bok odskoczyć i za mur się schować, dopóki owa postać w ciemności nie znikła.

Gdy odgłos kroków jego przebrzmiał, wyszedł Ludwik znów ze swego ukrycia. Nie widział on z postaci tej nic, prócz ciemnego płaszcza i szerokiego kapelusza. Kim był ten człowiek, i co on tu mógł robić?

Ludwikowi nie przyszło na myśl, że to był książę, który właśnie Waleryę opuścił. Przypuszczał on raczej, że to jakiś detektyw, który się tędy kręcił i za nim szukał. Obawiał się on też, że nie będzie mógł niespostrzeżony wejść do parku.

Lecz chęć dowiedzenia się, co się w pałacu po przybyciu hrabiego Edmunda i Wintera działo przemogła jego obawę i nakłoniła go do ryzykowania tego kroku.

— Muszę przecież wiedzieć, jak się ta historya dla mojej kochanej Waleryi skończy — mruknął on szyderczo. i zbliżył się do furtki prowadzącej do parku. Nie spostrzegł on tam nic podejrzanego, obawiał się jednak ukrytego gdzieś ewentualnie detektywa, i wolał dlatego wrócić się jeszcze o kawał i przez mur przeskoczyć.

Udało się mu to też wybornie, po chwili znajdował się wewnątrz parku i zbliżył się do pałacu.

W parku było ciemno i samotnie, i ani żywej duszy wokoło. Zbliżywszy się do pawilonu, zobaczył on przez spuszczone żaluzye światło. Stanął więc i zaczął się namyślać.

Walerya pewno tam siedzi i flirtuje z księciem, a hrabia Edmund daremnie w zamku o nią pyta — uśmiechnął on się.

Chciał on podsłuchać kochającą parę, i zbliżył się bliżej jeszcze do okna. Chciał ich też podpatrzeć, lecz okno było na to za wysokie. Podstąpił więc ku drzwiom.

Ale i tu celu swego nie osiągnął. Zaczął już wogóle wątpić, czy ktoś jest w pawilonie i położył cicho rękę na klamkę, aby ją otworzyć. Daremnie jednak! Drzwi były zamknięte.

W tej chwili usłyszał on też wewnątrz jakiś szmer... coś jakby stłumiony okrzyk. Potem nagłe podciągnięcie żaluzyi. Za oknem, ukazała się głowa Waleryi.

Ludwik chciał uciekać, lecz Walerya otworzyła właśnie okno. Wyjrzała ona i poznała go przy świetle, które z okna na twarz mu padało.

— Ludwiku! Na miłość Boga! — krzyknęła on błagalnie. — Chodź tu!

Hultaj mimowoli się zatrzymał. Błagalny i rozpaczliwy ton Waleryi dał mu poznać że tu coś nie jest w porządku. Zbliżył się on do okna i zapytał szeptem:

— Czy książę jest u ciebie?

— Nie, on już dawno odszedł — odparła ona szybko. — Hrabia nas zaskoczył... książę się oddalił... a ja jestem tu zamkniętą!

— Co? Czy cię hrabia tu zamknął? — zawołał Ludwik wzburzony.

— Tak jest, on o wszystkiem wie, Ludwiku! On już był u Agaty...

— Ja go tam widziałem! Odjeżdżał on właśnie gdyśmy... to jest ja, z hrabią Sinobrodym i Piotrem tam przybyli — przerwał jej Ludwik. — Myślałem sobie, że to dla ciebie bardzo złe następstwa mieć może, i dlatego tu przybiegłem, aby cię ostrzedz.

— Zapóźno! — rzekła Walerya. — Ale

pomódz mi możesz, i musisz! Hrabia każdej chwili z detektywem tu wrócić może. — Prędko bo my nie mamy ani jednej chwili do stracenia. Wyłam drzwi!

—Hm! Czemże? — zapytał Ludwik spokojnie, nie zważając nawet na wzburzenie Waleryi. — Czyż nie możesz przez okno wyskoczyć?

— Gdyby to było możliwe, to bym nie była czekała — zawołała ona niecierpliwie. — Widzisz przecież, że okna są za wązkie. Ja przecisnąć się przez nie nie mogę. — Prędko, i nie namyślaj się, bo uratowanie moje od sekund zależy!

— Zobaczę, czy mam przy sobie witrych — rzekł Ludwik przeszukując swe kieszenie. Znalazł on rzeczywiście potrzebny w tej chwili instrument, i zbliżył się z nim do drzwi.

Walerya nagliła do pośpiechu, nadsłuchując bystro, czy się kto od strony pałacu nie zbliża. Było tam jeszcze zupełnie cicho, lecz detektyw Winter mógł każdej chwili nadejść i ucieczkę jej uniemożliwić.

Drżąca ze strachu, przypatrywała się Walerya pozornie bezskutecznym machinacyom Ludwika. Upływała minuta za minutą.

— Nie idzie —mruknął on wreszcie, tracąc nadzieję.

— Musi pójść — krzyknęła ona. — Jeżeli mnie nie uratujesz, to za mnie zginiesz!

Hecht dalej zaczął próbować. Niecierpliwość Waleryi dochodziła do ostateczności.

Cóż się z nią stanie, jeśli się z pawilonu nie będzie mogła wydostać? Już jej się zdawało, że słyszy kroki, i że detektyw nadchodzi.

Wtem odsunął Ludwik rygiel, i drzwi się otwarły. Była ona uwolniona.

— Uciekajmy stąd czemprędzej — zawołała ona uradowana, biegnąc ku małej furtce, która wychodziła na samotną uliczkę.

Ludwik pobiegł za Waleryą, nie zamknąwszy nawet napowrót drzwi pawilonu.

— Dokąd pędzisz, Waleryo — krzyknął on za nią. Ręczę, że przy furtce ktoś stoi na straży!

Stanęła ona i jęknęła bezradnie:

— Jakżeż ja się z tego parku wydostanę? A tu każda sekunda jest droga! Poradź i pomóż mi, błagała ona gorączkowo.

— Musimy przez mur przeskoczyć. Innej drogi nie ma — oświadczył Ludwik.

— Ale jakim sposobem? Ja się przez mur wydrapać nie potrafię. Przynieś mi jaką drabinę.

— Skąd? Nie mamy przecież czasu do stracenia! Próbuj tylko, ja ci pomogę.

Pociągnął ją za sobą. O dość duży kawał za furtką stanęli oni, i oglądnęli się poza siebie. W parku było jeszcze zupełnie cicho i spokojnie.

— Wdrap się na moje ramiona! — rozkazał Ludwik. — Ja cię podniosę.

Schylił się on, a Walerya poszła za jego radą. Stanęła na jego plecach, a on ją tak podniósł, że mogła stanąć na murze i jemu do wskoczenia pomódz.

Potem zeskoczył on na ulicę, i pomógł Waleryi do zesunięcia się. Byli oni już szczęśliwie poza obrębem parku, ale Walerya nie czuła się jeszcze bezpieczną. Gdyby teraz w zamku ucieczkę jej odkryli, to wiedzieliby, dokąd ona się udała.

Na ulicy było zupełnie spokojnie i odludnie. Wypoczywali oni przez chwilę i oglądali się na wszystkie strony. Wreszcie zaczęła Walerya szybko gonić. Ludwik poszedł za nią, po chwili jednak zapytał:

— Czyś się już namyśliła, dokąd się chcesz udać?

— Do księcia! — rzekła ona rezolutnie. — Jest to moja jedyna nadzieja! Jeżeli się do niego szczęśliwie dostanę, to jestem uratowana, bo on mnie przed każdem niebezpieczeństwem ochroni!

— Hm! Wątpię, czy książę to uczyni — wtrącił Ludwik. — Wiesz co? Wyszukajmy sobie najpierw bezpieczne schronienie, a jutro możesz księcia o wszystkiem uwiadomić.

— Nie, nie! To się dziś jeszcze stać musi, bo jutro wrogowie moi gotowi mnie uprzedzić. Kto zaś wie, czy książę w tym wypadku nie uwierzyłby oszczerstwom hrabiego!

— Ależ nie wpuszczą cię teraz do księcia w nocy!

— Nie troszcz się tylko o to! To już moja sprawa!

— Próbuj, bezemnie! Cóż się jednak ze mną stanie?

— Musisz się gdzieś ukryć! Nie mogę cię przecież do księcia zabrać?

— Dlaczego nie? Nie potrzebujesz mu przecież powiedzieć, że ja jestem twoim mężem!

— Nie, to nie idzie! — przerwała mu Walerya niecierpliwie. — Oddałeś mi teraz wielką przysługę, i ja ci za to jestem wdzięczna. Ale na teraz musisz sobie sam pomódz.

— Niech i tak będzie! — rzekł Ludwik ulegle. — Naturalnie, że cię rychło odwiedzę, kochana Waleryo!

Ona nic na to nie odpowiedziała lecz szła prędko. Po chwili dostali się na jasno oświetloną ulicę i zbliżali się do książęcego zamku.

— Czyście dziś już coś przeciwko Agacie

przedsięwzięli? I czy się wam udało? — spytała Walerya po krótkiem milczeniu . — Hrabia Sinobrody miał przecież dobry plan, który z twoją pomocą miał wykonać?

— Obawiam się, że się ta sprawa dla hrabiego Sinobrodego źle skończyła — mruknął Ludwik i opowiedział Waleryi, co się zdarzyło.

— Pewno go przyłapali — szepnęła Walerya rozczarowana. — Lecz... jesteśmy już o celu. Możesz odejść Ludwiku!

Stanęli oni przed tylną stroną książęcego zamku, którego wysokie mury ponuro wśród ciemności nocnej sterczały.

Walerya zbliżyła się do małych drzwi, i pociągnęła za dzwonek.

Ludwik cofnął się o kilka kroków, lecz się nie oddalił. Chciał wpierw widzieć, czy Waleryę wpuszczono.

Drzwi się odchyliły, i ukazał się w głębi słabo oświetlony kurytarz. Na progu stanął żołnierz z bronią w ręku i obrzucił elegancko ubraną kobietę zdziwionem, nieufnem spojrzeniem.

— Czego sobie pani życzy? — zapytał on ostro.

— Proszę mnie wpuścić i zawołać kogoś ze służby! — rzekła Walerya rozkazująco.

Lecz żołnierz nie wpuścił jej. Walerya mu było obcą, a on miał rozkaz nie wpuszczać nikogo obcego.

— Niech pani przyjdzie jutro, w dzień! — rzekł on i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

— Idyota! — syknęła Walerya wściekle.

Uderzyła ona pięścią o drzwi i pociągnęła znów za dzwonek, lecz daremnie. Drzwi zostały zamknięte.

Stała ona przez chwilę bezradnie namyślając się, czy spróbować jaki inny wchód. Musiała się przecież dostać do zamku.

Wtem złapał ją Ludwik za ramię i odciągnął ją od drzwi.

— Chodź stąd! Nic ci nie pomoże. Ja sobie już to myślałem!— rzekł on. — Nie zatrzymujmy się tu dłużej, bo się jeszcze detektywa doczekamy!

— Ale dokąd? — jęknęła Walerya. — Ja chcę jeszcze jeden wchód spróbować.

— To nie ma celu, chodź — naglił Ludwid. — Udajmy się do pałacu Agaty. Tam z pewnością za tobą szukać nie będą.

Walerya zdecydowała się wreszcie pójść za jego radą. Ludwik zawołał na dorożkę i wsiadł do niej z Waleryą i kazał jechać do pałacu Agaty.

Było już po północy, gdy się do niego zbliżali. Wysiedli oni już o kawał przed zamkiem i doszli do niego pieszo.

Było tu zupełnie ciemno i spokojnie. Nie było nikogo na straży, gdyż prócz ogrodnika, był jeszcze tylko jeden służący w obszernym budynku. Mieszkali oni obaj w suterynach bocznego skrzydła. Walerya nie potrzebowała więc się obawiać, że ją zobaczą.

Brama była zamknięta, lecz Ludwik otworzył ją witrychem. Przeszli przez obszerne podwórze i zbliżyli się do portalu, który Ludwik w podobny sposób otworzył. Po chwili weszli do wnętrza budynku.

Ludwik zaświecił, aby się módz zoryentować. Weszli oni po schodach do apartamentów które Agata niegdyś zamieszkiwała. Tu zamierzała się Walerya ukryć, dopóki od księcia lepszego schronienia nie otrzyma.

Udała się z Ludwikiem do buduaru, którego okna na park wychodziły. Zaświeciła lampę i spuściła rolety.

Ludwik wyszedł do spiżarni po wino i prowiant, gdyż musieli się na przyszły dzień już zaopatrzyć.

Walerya została przez dłuższy czas sama. Padła ona na krzesło i głęboko się zamyśliła. Nie mogła ona ukryć przed sobą, że położenie jej było fatalne. Jeżeli się książę za nią nie ujmie, to była ona stracona.

Chciała wysłać Ludwika nazajutrz z listem do księcia, a od odpowiedzi jego wszystko dla niej zależało.

Może on sam przybędzie i ją ze sobą zabierze? Spodziewała się ona tego.

Nagle wzdrygnęła się, gdyż usłyszała zdala tupot kopyt końskich i ich rżenie. Wreszcie doszły jej ucha także głosy ludzkie.

Zerwała się przerażona. Czyżby to byli jej prześladowcy? Czy to był Winter ze swoimi ludźmi? Jakby skamieniała ze strachu, chwyciła się poręczy krzesła.

Opamiętała się jednak szybko i pobiegłszy do przyległego pokoju, otworzyła ostrożnie okienko i wychyliła się tak, aby mogła widzieć, nie będąc widzianą.

Pod drzewami stali dwaj jeźdźcy, trzymając konie swe za cugle. W ciemności panującej wokoło nie można było poznać ich twarzy. Mieli oni na sobie ciemne płaszcze i duże kapelusze. Stojąc pod drzewami, patrzyli oni badawczo w okna pierwszego piętra.

Chcieli widocznie wejść do zamku i naradzali się cicho między sobą. Walerya ani słowa z tego zrozumieć nie mogła.

— Kto byli ci mężczyźni? Czy nieprzyjaciele? Jakżeż się teraz przed nimi ukryć?

Cofnęła się ona cicho do okna, tak aby

jej nie spostrzegli i wbiegłszy do buduaru, otworzyła drzwi na kurytarz.

Wstrzymując oddech stała ona tam przez kilka sekund. Grobowa cisza panowała w obszernych tych sklepieniach.

Może obaj jeźdźcy wkrótce się oddalą?

Wtem zaskrzypiało coś na dole. To oni widocznie już do zamku weszli. Słychać już było odgłos ciężkich ich kroków po schodach coraz bliżej i bliżej.

Walerya stała jakby przykuta do miejsca. Jeszcze kilka chwil, a zapóźno już będzie do ucieczki.

Z lampą w ręku przebiegła ona kurytarz, lecz gdy chciała zboczyć, wyłoniła się nagle z ciemności przed nią jakaś postać.

Wydała ona stłumiony okrzyk i omal, że lampy z rąk nie wypuściła.

— To ja! Nie obawiaj się! — odezwał się do niej głos Ludwika.

— Bogu dzięki! — odsapnęła ona z ulgą. — Myślałam już, że to wróg. Uciekajmy.... prędko! — szepnęła ona nagląco.

— Po co uciekać? — spytał on zdziwiony. — Czy nam jakie niebezpieczeństwo grozi.

— Naturalnie! Czyś nie słyszał i nie widział?

— Nie! Cóż się stało?

— Nadjechali jacyś dwaj jeźdźcy... może ich jest jeszcze więcej! — szepnęła ona zatrwożona. — To pewno detektyw ze swoimi ludźmi, którzy za mną ścigają. Są oni już w w zamku. Czy słyszysz? Oto nadchodzą!

— Słyszę! — jęknął Ludwik blednąc ze strachu. — Zgaś szybko lampę.

Postawił on kosz z jadłem na podłogę i schował latarkę swą pod surdut, zgasiwszy poprzednio lampkę Waleryi.

— Chodź prędko stąd! — szepnęła Walerya chwytając go za ramię. — Oni się już zbliżają i gotowi nas odkryć!

Lecz Ludwik ją wstrzymał i zawrócił na kurytarz, z którego słychać było kroki obcych.

— Nie zdaje mi się, że to wrogowie! — szepnął on Waleryi. — Gdyby to był naprawdę detektyw ze swoimi ludźmi, to zupełnie inaczej by się znalazł i więcej hałasu by był narobił.

— Któżby zresztą mógł być?

— Zobaczymy! Do ucieczki zawsze dość czasu nam zostanie!

To mówiąc wyciągnął Ludwik ostrożnie głowę z poza rogu i zerknął na obu podejrzanych obcych.

Walerya przezwyciężyła również swoją obawę i obserwowała z ukrycia swego intruzów, którzy teraz stanęli przed drzwiami jej buduaru.

Jeden z nich trzymał w ręku palącą się świecę, która postać jego jasno oświetlała. Walerya spostrzegła pod płaszczem jego mundur i mocno się przeraziła. Obawy jej nie były więc płonne.

— Czy nie widzisz, że to policyant? — szepnęła. — A ten drugi, to z pewnością detektyw Winter!

Ludwik mrugnął jej uspokajająco, a w tej chwili padło światło na drugiego przybysza, w którym Walerya przypuszczała detektywa. Z trudnością wstrzymała ona okrzyk zdziwienia, gdyż poznała w nim swego brata.

— Robercie! — zawołała ona uradowana.

Obaj nowoprzybyli tak zdziwieni byli jej pojawieniem się tu, że już chcieli uciekać. Nie poznali oni bowiem Waleryi przy bladym blasku świecy.

Lecz w tej chwili wyszedł Ludwik z ukrycia i zawołał do Waleryi:

— Tak jest! To jest hrabia Sinobrody, a ten policyant to służący jego Piotr.

Potem zwrócił się do nich, mówiąc:

— Przyjaciele! Nie uciekajcie! To my, sami swoi!

Hrabia Sinobrody i Piotr... bo oni to rzeczywiście byli... zbliżyli się uradowani. Nastąpiło wzajemne powitanie, a potem weszli wszyscy do apartamentów Waleryi.

— Skąd wy tu przychodzicie? — zapytała, Walerya. — Nie mogliście przecież wiedzieć, że my tutaj?

— Nie, tegośmy nawet nie przypuszczali — odparł Sinobrody. — Chcieliśmy się tutaj tylko do jutra ukryć, bo nam się znów nie udało Waleryo! — dodał on ponuro. — Tylko cudem uszedłem wraz z Piotrem przed więzieniem. Ten przeklęty szpieg Greif zaskoczył nas w decydującej chwili z całą bandą policyantów. Musieliśmy uciekać, i z trudem tylko mogliśmy się postarać o konie i tu przyjechać.

— Więc detektyw gotów jeszcze za wami tu przyjechać — rzekła Walerya zatrwożona. — My na żaden sposób zostać tu nie możemy!

— Wątpię, czy ten szpieg ślad nasz znalazł — uspokajał ją Sinobrody. — W najgorszym zaś razie, gdyby tu zjechał, to się zawsze jeszcze możemy schować, albo uciec! Ale skąd ty się tu wzięłaś, Waleryo?

— Ja? Bo i ja uciekłam przed wrogami! — zgrzytnęła ona. — Na razie dla mnie wszystko stracone, spodziewam się jednak, że się pewnego dnia jeszcze strasznie na nich będę mogła zemścić, i nad nimi tryumfować.

Opowiedziała ona bratu swemu wszystkie zajścia od czasu ich rozłąki.

— Gdyby mi Ludwik nie był przyszedł z

pomocą i ratunkiem, byłabym teraz już w mocy detektywa, a może już i w więzieniu — dodała ona zawistnie.

Hrabia przysłuchiwał się jej opowiadaniom, klnąc na hrabiego Edmunda i na Wintera. I on również wrzał chęcią zemsty przeciwko tym wrogom, musiał jednak uznać, że na razie był wobec nich bezsilny zupełnie.

— Co teraz poczniemy? — zapytał on gniewnie. — Plany nasze spełzły na niczem. Scigają nas, będziemy się mogli czuć szczęśliwi, gdy się dobrze przed nimi ukryjemy. Gdybym tak już miał miliony starego hrabiego, to uciekłbym zagranicę, i wszystko bym tu w trąbę puścił.

— To też dla ciebie byłoby najlepsze, gdybyś stąd zniknął — radziła Walerya. — Odszukaj żonę twoją, Betlinę, która uciekła z tym bogatym Rosyaninem, a od niej dostaniesz wszystko, czego ci potrzeba. Zmuś ją do tego aby od niego wydostała testament na swoją korzyść, a potem na drugi świat go wysłała!

— Masz słuszność! To najlepsza droga — rzekł Sinobrody. — Oni pewno do Paryża uciekli, i tam ich prawdopodobnie znajdę. Jadę zaraz jutro, i ciebie ze sobą biorę, Piotrze!

Piotr nie miał nic przeciwko temu, a hrabia Sinobrody tak się do tego planu zapalił, że nazajutrz o świcie już chciał wyjeżdżać.

— A co ty poczniesz, Waleryo? — zapytał po chwili.

— O mnie bądź zupełnie spokojny — uśmiechnęła się ona chłodno. — Książę mnie już nie opuści! Uwiadomię go, że tu jestem, a on już się o bezpieczeństwo moje postara!

Siedzieli oni jeszcze dość długo wszyscy razem w żywej naradzie i rozmowie.

Potem udała się Walerya na spoczynek, i zamknęła Ludwikowi drzwi przed nosem, gdy później chciał pójść za nią.

Hrabia Sinobrody i Piotr czynili przygotowania do podróży. Włożyli oni znów inne przebrania, a Ludwik musiał pójść na straż i do koni.

Wtem... gdy wszystko do odjazdu już było gotowe... wbiegł Ludwik okropnie przestraszony na górę. Otworzył był małą furtkę prowadzącą na gościniec, lecz wyglądnąwszy czemprędzej napowrót ją zamknął i na rygiel zasunął. Przyleciał bez tchu na górę i zawołał:

— Oni przybyli! Ratujmy się!

— Co? Kto? — jęknął Sinobrody zmieszany. — Czy to może policya?

— Tak jest! Żandarmi i inni jacyś ludzie. Cały oddział! Ach, my jesteśmy straceni! Otóż już i oni — jęknął Ludwik przerażony.

Teraz wyraźnie już słychać było kopyta końskie i szczęk broni. Był to bezwątpienia silny oddział jeźdźców, który się do nich zbliżał.

Wszyscy trzej towarzysze stali jakby sparaliżowani ze strachu.

— Precz stąd! Ratujmy się! — zawołał wreszcie Piotr, wskakując na siodło. — Droga przez park jeszcze jest wolna!

— Zatrzymaj się! — rozkazał hrabia Sinobrody. — Moja siostra śpi i nic nie przeczuwa. Ja idę na górę, aby Waleryę zbudzić, a wy wyprowadźcie ze stajni jeszcze dwa konie.

Ledwo Sinobrody wskoczył na górę, stanął oddział jeźdźców przy zamkniętej bramie. Pociągnięto gwałtownie za dzwonek, a równocześnie zaczęto uderzać pięściami o bramę.

— Otwierajcie... w imię prawa! — odezwał się znany głos.

— To jest detektyw Greif! — zgrzytnął Piotr rozpaczliwie. — Ratujmy się!

Ludwik skoczył prędko na konia hrabiego Sinobrodego. Piotr poszedł za jego przykładem. Nie troszczyli się oni wcale o to, co się stanie z Waleryą i jej bratem. To ich wcale nie obchodziło. Im tylko o własny ratunek chodziło. Podczas gdy uderzenia przybyszów o bramę coraz częściej i gwałtowniej się powtarzały, wydostali się oni szybko z parku i pędzili, co im sił starczyło.

W kilka minut później zjawił się stary ogrodnik i służący na podwórzu. Zbudzeni stukaniem i dzwonieniem wybiegli na dwór, i otworzyli bez namysłu, kto się dobywa.

Nowoprzybyli wjechali na podwórze i zeskoczyli ze swoich koni. Greif przystąpił do obu starych służących i zapytał o hrabiego Sinobrodego.

Żaden z nich nie mógł im jednak na to odpowiedzieć.

— Naprzód ludzie! Obsadźcie wszystkie wychody! — rozkazał Greif. — Musimy cały zamek za tymi łotrami przeszukać, bo oni z pewnością tu gdzieś ukryci być muszą!

W okamgnieniu rozkaz jego był wypełniony. Wszedł on sam z kilku urzędnikami do zamku.

Ogrodnik i służący przynieśli latarnie i naprzód im świecili.

Czy hrabia Sinobrody i Walerya i tym razem ujdą swemu losowi?

CLVI.

FATALNE SPOTKANIE.

— Kochana ciociu, jestem już blizką celu. Teraz już go mam z pewnością i w przeciągu dwóch tygodni będę jego żoną.

Tak mówiła Betlina, fałszywa hrabina Gertruda, do ciotki swej, pani Dijon, wbiegając radośnie do jej salonu.

— Czy doprawdy, moje dziecko? — zawołała pani Dijon, przyjemnie zdziwiona. — Czy jesteś już pewną swej rzeczy?

Objęła ona siostrzenicę swą i czule ją uścisnęła.

— Zupełnie pewna! — tryumfowała Betlina, która piękniej niż zwykle jeszcze wyglądała. — On mi to już przyrzekł.

— Ach, co za szczęście! — krzyknęła ciotka.

— Właśnie przychodzę od niego. Stary Rosyanin taki we mnie zakochany, że nie może się doczekać chwili, w której zostanę jego żoną — śmiała się ona szyderczo. — Niech mi ciocia pogratuluje, bo to zazdrości godny los. On jest okropnie bogaty, i każde życzenie moje spełni. On przyjdzie tu wkrótce sam, aby umówić z nami wszystko co do wesela.

Mówiąc to, złapała Betlina ciotkę swoją w pół i zaczęła z nią tańczyć z radości.

— Daj mi spokój, dziecko! Ty mnie jeszcze przewrócisz! — krzyknęła pani Dijon i padła zasapana na krzesło. — Opowiedz mi obszernie, jak do tego doprowadziłaś?

— Ach, to by za dużo trzeba było opowiadać — śmiała się Betlina.

Zaczęła śpiewać wesołą piosenkę, i siadła wreszcie naprzeciw swej ciotki.

— Wiesz przecież, jak się rzecz zaczęła— rzekła ona. — Już w willi nieboszczyka radcy tak tego dobrego starego wujka w siecie swoje osidłałam, że on wszystko inne w kąt rzucił i ze mną od tego okropnego Sinobrodego uciekł. Tu zaś w Paryżu tak dalej koło niego chodziłam, że zmiękł jak wosk w moich rękach. Teraz już się świat przewrócić może, a on mnie przecież nie opuści!

— Doprawdy, dziecko! Tegobym nie była pomyślała! — zawołała ciotka. —Ale ty przecież tego starego, mrukliwego Rosyanina w żaden sposób nie możesz kochać!

— Broń Boże! — rzekła Betlina z komiczną miną. — O miłości ani mowy tu niema!— Wyjdę za niego tylko dlatego, że jest tak

— On jej nie wierzy! — odparła Betlina. nieludzko bogaty, i że u boku jego będę mogła prowadzić królewskie życie. — Spodziewam się też, że się wkrótce z tym światem pożegna, i że ja wtedy zostanę jedyną spadkobierczynią jego ogromnych bogactw, i będę mogła robić, co mi się podoba.

— Hm! — zamyśliła się pani Dijon. Ty widzisz wszystko bardzo różowo, moje dziecko! — Nie zapominaj jednak o przeszłości! Jak łatwo może zajść coś, co zburzy wszystkie twoje piękne nadzieje!

— Ależ, ciotko! — uśmiechnęła się Betlina swobodnie. — Memu małżeństwu nic na przeszkodzie nie stoi. Ja zawsze jeszcze uchodzę za hrabinę Gertrudę Wildenfels, mimo, że prawdziwa Gertruda wróciła.

— Jakto? — zapytała ciotka zdziwiona.

— Ma on mnie za prawdziwą Gertrudę, a ją za oszustkę! Nim on się o prawdzie przekona, to ja już dawno będę jego żoną, a jest to jeszcze wielkie pytanie, czy on się kiedykolwiek o prawdzie dowie. Któż go o tem przekona? Ja nie widzę dla siebie żadnego niebezpieczeństwa.

— A hrabia Sinobrody? — wtrąciła ciotka.

— Ten oszust i zbój? — syknęła Betlina pełna wstrętu i nienawiści. — On mi nic zrobić nie może, bo ja nie jestem jego żoną i nigdy nią nie byłam! Tak samo i prawdziwa Gertruda według prawa żoną jego nie jest, bo Józefa jeszcze żyje! Ona jest właściwą małżonką Sinobrodego a moje małżeństwo z nim jest nieważne! Jakżeż więc mógłby on przeszkodzić związkowi memu z Rosyaninem?

— Przeszkodzić by nie mógł, ale mógłby cię z zemsty zdemaskować i objawić światu, kim ty właściwie jesteś, i jakim sposobem żoną jego zostałaś?

— Ach, proszę się tylko nie obawiać, kochana ciociu! — rzekła Betlina lekko. — Kto wie, czy hrabia Sinobrody, ten łotr i okrutnik, nie siedzi już w więzieniu i nie oczekuje wyroku śmierci?

— O to być nie może, bo już bylibyśmy to w gazetach czytali!

— Może być, że jeszcze go ręka sprawiedliwości nie dosięgła, ale ukrywa on się z obawy, aby go nie przyłapano. Zbrodnie jego już na jaw wyszły, i ja się okropnie cieszę, że się także do tego przyczyniłam. Jak ja go nienawidzę, tego wstrętnego i brutalnego mordercę! — syknęła Betlina z złowrogim błyskiem w oczach. — Jak on mnie dręczył i tyranizował! Ja do sufitu skakałabym z radości, gdyby skończył na szubienicy.

— Nie wiem dlaczego, ale mam jakieś przeczucia — westchnęła pani Dijon. — Zdaje mi się, że ten okropny Sinobrody jeszcze fatalną rolę w życiu twojem odegra, bo nie można wątpić, że on pała chęcią zemsty wobec ciebie!

Betlina znowu się zaśmiała. Czuła się ona zupełnie pewną przed zemstą Sinobrodego. Marzyła swobodnie o przyszłości i malowała ciotce, jakie życie u boku rosyjskiego wujka

prowadzić będzie.

W żywej rozmowie, nie zauważyły one obie dzwonka ze dworu. Myślały, że to właśnie wuj nadchodzi, i dalej sobie gawędziły.

Tymczasem otworzyła służąca drzwi od kurytarza i niebawem stanęła wysoka, elegancka postć męska na progu salonu. Obie kobiety spojrzały na niego, a Betlina zbladła jak śmierć i podskoczyła z siedzenia.

—Wielki Boże! — krzyknęła ona przerażona. — To hrabia Sinobrody!

Stała ona jak skamieniała ze strasznego przerażenia. I pani Dijon podskoczyła z krzykiem, jak gdyby upiora zobaczyła.

Hrabia Sinobrody zawsze jeszcze stał na progu, i poił wzrok widokiem obu przerażonych kobiet. Przyjechał on dziś dopiero do Paryża uciekłszy szczęśliwie z zamku Agaty przed prześladowcami. Znalazł bez trudu pomieszkanie pani Dijon i nie zawiódł się w nadziei, że Betlinę tu zastanie.

Zbliżył się on do niej teraz z groźną miną i złowrogim błyskiem w oczach.

— Znalazłem cię więc, ty podstępna żmijo! — rzekł on. — Myślałaś, że na zawsze odemnie uciekłaś! O, nie, teraz mi będziesz musiała zdać rachunek ze swojego nikczemnego postępku! Ty mnie zdradziłaś i zgubiłaś, a potem uciekłaś odemnie z tym głupim Rosyaninem! Ty mi gorzko odpokutujesz!

Betlina cofnęła się przed nim drżąca i przerażona. Wyciągnęła ona ręce, jakby do obrony, i krzyknęła dziko:

— Precz stąd, morderco! Ja nie mam z tobą nic więcej do czynienia!

I pani Dijon przyszła teraz do siebie, i zagrodziła mu wojowniczo drogę.

— Oddal się pan stąd, panie hrabio! Czego pan tu chce?—zawołała ona wzburzona.— Okłamał pan Betlinę, mówiąc jej, że poprzednie żony pańskie już nie żyją. Betlina nie jest więc wogóle pańską żoną...

— Milcz pani! — krzyknął Sinobrody dziko i odepchnął ją szorstko na bok. Potem zbliżył się groźnie do Betliny, która stała teraz rezolutnie zimna i spokojna, i zawistnie na niego patrzała.

— Nie zbliżaj się do mnie! — syknęła ona groźnie. — Bo zawołam policyę, i każe cię zaaresztować, ty dziesięciokrotny morderco! Wiem ja dobrze o tem, że ty jesteś ścigany i radzę ci, oddal się, i nie wchodź mi w drogę!

— Tak jest! ja zawołam policyę!—krzyknęła pani Dijon i zbliżyła się do drzwi. Otworzyła ona je, i zawołała na służącą, która na kurytarzu podsłuchiwała:

— Antosiu! Dlaczegoś ty tego człowieka wpuściła? On nam grozi i chce nam coś złego zrobić. Pobiegnij natychmiast po policyę!

Hrabia Sinobrody zaklął i odwrócił się od Betliny.

— Czy pani oszalała? — zaśmiał się on gniewnie. — Mnie się ani nie śni zabijać panią albo moją żonę. Niech więc pani zamknie drzwi, i powie dziewczynie swej, aby się cicho zachowywała. Pani sama powinna być zadowolona, że się policya w nasze sprawy nie wtrąca.

— My się nie mamy czego policyi obawiać, tylko pan — krzyknęła ona głośno. — Wynoś się pan w tej chwili, bo inaczej będę zmuszona zawołać o pomoc.

— Ja mam ze swoją żoną do pomówienia. Pani mi tego odmówić nie może!

— Betlina nie jest pańską żoną! — krzyczała pani Dijon coraz głośniej. — A to jest moje pomieszkanie, do którego pan się gwałtem wcisnął. Proszę pana więc natychmiast się oddalić! Antosiu, idź i otwórz temu panu drzwi!

Dziewczyna, która się całej tej scenie przysłuchiwała, pobiegła teraz ku drzwiom, aby wypuścić niemiłego gościa.

Lecz hrabia Sinobrody nie myślał nawet o odejściu. Wściegły z gniewu stał on na środku pokoju i wpatrywał się w obie kobiety ponurym, ognistym wzrokiem.

— Jeszcze tylko kilka słów! — zgrzytnął on, zwracając się do Betliny. — Ty myślisz, że ja jestem teraz bezsilny, ale się przeliczysz! Znam ja twoje zamiary. — Chcesz wyjść za tego głupiego, starego wuja z Rosyi...

— Naturalnie, że chcę — przerwała mu Betlina cięto i szyderczo. — A ty mi w tem przeszkodzić nie możesz!

— Czekaj tylko! — zawołał on groźnie.— Ja mam do ciebie prawo, jako do swej żony, bo żadna z poprzednich żon moich już nie żyje.

— To jest kłamstwo! — zaśmiała się Betlina pogardliwie. — Żyją jeszcze dwie z nich: Józefa i Gertruda. — Jeżelibyś więc chciał prawa swe wobec mnie sądownie dochodzić to się sam w ręce sprawiedliwości oddasz.

Hrabia Sinobrody widział, że groźby jego są bezskuteczne, lecz się nie dał zbić z tropu.

— Czy chcesz ze sobą dać po dobremu pomówić? — spytał on pozornie spokojnie.

— Nie! Nie chcę z tobą nic więcej mieć do czynienia — odpowiedziała Betlina chłodno. — Wychodź stąd czemprędzej, i uwolnij mnie od swego widoku, który wzbudza we mnie wstręt i przerażenie.

Hrabia Sinobrody zaśmiał się krótko i ochryple. Na czole jego nabrzmiały żyły, a oczy

ciskały gromy.

— Dobrze, ale ty to pożałujesz! — zgrzytnął on. — Ja już się o to postaram, abyś celu swego nie osiągnęła, ja cię zniszczę. Dowiodę ci, że ja jestem panem twego losu!

— Ha, ha! Jakim sposobem? — szydziła Betlina.

— Takim sposobem, że oznajmię światu prawdę! — krzyknął on wściekle zły. — Zostawiam ci do jutra czas do namysłu, i jeżeli jutro ze sobą rozsądnie pomówić nie dasz, to ja temu wujowi z Rosyi wszystko wyjawię. Zdaj się na to, że on mi uwierzy. Dowie on się, że ty nie jesteś jego siostrzenicą Gertrudą, lecz jakąś obcą oszustką.

— Co dalej? — szydziła Betlina.

— Wtedy on cię z pogardą od siebie odtrąci, i odszuka prawdziwą Gertrudę, która teraz w rodzicielskim swym domu bawi — ciągnął Sinobrody konsekwentnie dalej — ty zaś powędrujesz do więzienia. Co do mnie, schronię się zawczasu, abyś mi więcej zaszkodzić nie mogła.

I nie czekając na odpowiedź, wyszedł on z pokoju.

— Wrócę tu jeszcze jutro — rzekł na odchodnem do pani Dijon, która zdziwiona za nim patrzała. — Namyślcie się jeszcze, bo ja nie grożę na żarty!

Gdy się drzwi od korytarza za nim zamknęły, spojrzała pani Dijon bezradnie na Betlinę.

— Co teraz poczniesz, biedne moje dziecko — lamentowała ona. To, co on ci mówił, tego tak całkiem lekceważyć nie można, bo jeśli on groźby swe spełni, to przecież wszystko będzie stracone!

— Wuj mu nie uwierzy — zapewniała ją Betlina.

— Obawiam się, że tak! Tembardziej, że się to wszystko łatwo da dowieść — westchnęła pani Dijon. — Zdaje mi się, że mądrzej będzie pozbyć się go po dobremu.

— Kiedyż on się nie da odprawić, i będzie żądał, abym mu przy planach jego była pomocna! — zawołała Betlina gwałtownie. — A ja nic więcej z tym zbójcą wspólnego mieć nie chcę. Niech on wypełni swoje groźby. Ja zaś przygotuję wuja tak na wszystko, że on w tych zeznaniach hrabiego Sinobrodego tylko złośliwe oszczerstwa widzieć będzie. Gdyby czas nie był tak krótki, to nakłoniłabym wuja, aby z nami wyjechał... do Ameryki. Tam bylibyśmy pewni przed Sinobrodym.

Pani Dijon potrząsła głową na znak, że się nie zgadza.

— Już na to teraz zapóźno, moje dziecko— rzekła ona. — Nie sądzę też, aby się wuj na to zgodził. — Musisz koniecznie pozorną uległością hrabiego Sinobrodego udobruchać i odwieźć go od chęci zemsty. — Usłuchaj mojej rady, a nie pożałujesz tego!

— Dobrze! — zadecydowała Betlina po krótkim namyśle. — W takim razie nie powiemy wujowi nic o wizycie hrabiego Sinobrodego.

— Całkiem słusznie! On o tem wiedzieć nie potrzebuje — potwierdziła pani Dijon.

Naradzały się one jeszcze przez dłuższy czas. Wreszcie zjawił się wuj. Przyniósł on drogie podarunki, szczególnie biżuterye dla Betliny, która go za to czułemi pieszczotami wynagrodziła.

Stary, nic złego nie przeczuwający wuj, był rzeczywiście tak zakochany i szczęśliwy, że nie mógł się już doczekać dnia wesela.

Betlina opowiadała mu już przedtem o pani Dijon, i o tem, jak ona ją podczas słabości jej pielęgnowała.

Stary wuj nie dziwił się więc przyjacielskiemu stosunkowi obu dam i uważał to za naturalne, że Betlina teraz przy pani Dijon mieszkała. On sam ulokował się w poblizkim hotelu.

Z ojczyzny Gertrudy dochodziły wprawdzie aż tu wieści o ostatnich wypadkach, ale zaślepiony wuj z Rosyi zupełnie im nie wierzył. Nierozsądna miłość ku tej przebiegłej intrygantce całkiem go zaślepiała. Nie wierzył on prawdziwej Gertrudzie, i miał ją wraz z towarzyszem jej Aleksandrem za oszustów. Widział on, że hrabia Sinobrody ścigany jest przez policyę i nie przypuszczał, aby miał odwagę tu przyjechać.

Betlina i ciotka jej nie zdradziły też jednem słowem wizyty Sinobrodego. Omawiano wszystkie szczegóły wesela, które się miało odbyć w ścisłem kółku. Wieczorem poszli oni wszyscy troje do teatru, a następnie do bardzo eleganckiej restauracyi.

Usiedli tam przy małym, marmurowym stoliku. Betlina powiodła wzrokiem po pełnej sali, i nagle drgnęła i szepnęła ciotce swej coś na ucho, pokazając przytem na stojący w kącie przy oknie stolik.

Siedział tam hrabia Sinobrody sam, zagłębiony pozornie w czytaniu gazety.

— Na Boga Świętego! — szepnęła Betlina zaniepokojona. — Co będzie, gdy go wuj spostrzeże, albo gdyby Sinobrodemu przyszło na myśl do nas tu przystąpić?

— On nas pewno jeszcze nie zobaczył — pocieszała ją pani Dijon również cicho.

Szepty ich i zmięszanie zwróciły na sie-

bie uwagę wuja. Sprawdziło się też to, czego się Betlina obawiała. Wuj spostrzegł hrabiego Sinobrodego i niezwłocznie go poznał.

Z ust jego wymknął się okrzyk zdziwienia, a twarz mu się zasępiła.

— To przecież Sinobrody! — zawołał on gniewnie. — Skąd się ten łotr tu wziął? — Czy on za nami szuka? Co to za zuchwała odwaga jeszcze się między ludzi pokazywać!

— Wstał on i chciał podejść do hrabiego Sinobrodego, lecz Betlina złapała go za ramię i wstrzymała go od tego.

— Zostań i daj mu spokój! — szepnęła ona cicho. — Na miłość Boską, nie rób żadnych skandalów! — opuśćmy lepiej ten lokal, i ujdźmy temu nikczemnikowi z drogi!

— Wuj usłuchał jej rady i siadł napowrót na swe krzesło. Trzeba było najpierw zapłacić za zamówione już napoje.

Potrwało to jeszcze z 10 minut w ciągu których Betlina zauważyła, że ich hrabia Sinobrody już zobaczył. Udawał jednak obojętność, gdyż nie chciał wobec pełnej sali żadnych scen robić.

W chwili jednak, gdy oni we troje ze sali wyszli, wstał i hrabia Sinobrody i pośpieszył za nimi. Przystąpił on nagle do Betliny, która o ramię wuja była oparta, ukłonił się szyderczo i rzekł głośno i groźnie.

— Ach, to ty moje dziecko. Teraz ja się z tobą obliczę!

Wystąpił on wobec Betliny tak wrogo, bo myślał, że ona wujowi już o wizycie jego doniosła i że w plany jego wejść nie chce. Chciał więc użyć tej sposobności, aby się na niej zemścić i w oczach wuja ją zdemaskować.

Lecz nim on jeszcze w jej obronie mógł wystąpić, wyjęła Betlina rękę z pod jego ramienia i przystąpiła do Sinobrodego, który się mimowoli o dwa kroki wstecz cofnął.

— Czyś ty oszalał! — szepnęła ona mu gniewnie, — Czy chcesz wszystko zepsuć? Przyjdź jutro znowu tak jak obiecałeś, to ze sobą pomówimy. A teraz nie zdradź się ani słowem. Wuj nic o tem nie wie, że ty u mnie byłeś!

Wypowiedziała ona to tak cicho i szybko, że tylko hrabia Sinobrody słowa jej mógł usłyszeć, a wuj, który teraz drżący z gniewu do nich przystąpił, nie przeczuwał nawet nic o tajemnem porozumieniu między nimi.

— Odejdźcie natychmiast, stąd, wy zbóju! — krzyknął on stanąwszy między Betliną a Sinobrodym, i pogroziwszy mu pięścią. — Czego wy tu jeszcze właściwie chcecie? Bądźcie zadowoleni, że was jeszcze policya nie przyłapała.

Głośna ta rozmowa zwróciła uwagę ludzi na ulicy. W jednej chwili zebrała się wokoło nich masa ciekawych, którzy się scenie tej przypatrywali.

Hrabia Sinobrody zbladł ze złości i chciał przeciwnikowi swemu obelgę tę dać namacalnie odczuć, lecz zreflektował się na widok ciekawych gapów.

— Czego ja chcę? — zgrzytnął on i zaśmiał się szyderczo. — Czyżeś ty mi nie uwiódł mej żony, stary grzeszniku? I czy myślisz, że ja ci ją tak po dobremu zostawię?

Zebrani wokoło nich ludzie coraz ciekawiej słuchali a niektórzy z nich złośliwie się uśmiechali. Była to przecież bardzo zajmująca scena z modnego romansu małżeńskiego, która się tu na ulicy rozgrywała.

Wuj chciał coś na to odpowiedzieć, lecz Betlina, która się jeszcze gwałtowniejszej sceny obawiała, złapała go za ramię i na bok go odsiągnęła.

— Daj mu już spokój! Poco ludziom dawać powody do śmiechu? — szepnęła ona mu błagalnie. — Poco się policya do nas ma wtrącać? Proszę cię, odejdźmy z tego miejsca!

Dała ona też hrabiemu Sinobrodemu znak, aby się oddalił, a że go poprzednie jej słowa uspokoiły, więc usłuchał natychmiast.

— Zobaczymy się jeszcze! — krzyknął wujowi głośno na odchodnem. — Potem odwrócił się i znikł w nagromadzonym tłumie.

Stary wuj klął jeszcze gwałtownie i nie byłby się dał uspokoić, gdyby hrabia Sinobrody nie był odszedł. Teraz jednak udało się Betlinie pociągnąć go za sobą. Pani Dijon uwiesiła się z drugiej strony na jego ramieniu i tak odeszli oni we troje, ku wielkiemu rozczarowaniu widzów.

— Jeżeli on nam jeszcze raz w drogę wejdzie, ten hultaj to ja go oddam w ręce policyi! — krzyknął wuj gniewnie. — Co za zuchwałość napadać na nas na ulicy!

— Ależ on się więcej nie pokaże — uspokajała go Betlina. — On przecież dobrze wie, że żadnych praw do mnie więcej nie ma.

— O, ja się boję, że on się na tobie zechce zemścić! — odparł wuj zaniepokojny. — Musimy mordercę tego unieszkodliwić. Ja jutro dam znać policyi!

Betlina miała dobre powody sprzeciwić się temu zamiarowi.

— Co za skandal by to wywołało! — zawołała ona niechętnie. — Nie, mój kochany. Ujdźmy mu lepiej z drogi! Możemy przecież jutro raniutko stąd odjechać aby się z nim więcej nie spotkać!

Pani Dijon również była za tą propozy-

cyą i wuj musiał chcąc niechcąc po pewnym czasie uledz. Wybrano za cel podróży eleganckie miejsce kąpielowe nad morzem Śródziemnem, i zaczęto się do podróży przygotowywać.

Betlina tryumfowała w duchu. Osiągnęła ona podwójny cel. Raz, że uszła prześladowaniu hrabiego Sinobrodego, który z pewnością teraz ślad jej zatraci, po drugie, że przeszkodziła temu, aby się nic o przeszłości jej nie dowiedział.

Po przygotowaniach w hotelu u wuja, pojechała pani Dijon sama do swego mieszkania i popakowała w pośpiechu swoje rzeczy, gdyż i ona z nimi miała jechać.

Nazajutrz nad ranem wyjechali oni na dworzec kolejowy i mieli zaledwie tyle czasu, aby kupić bilety i wsiąść do stojącego już pociągu ekspresowego na południe.

Betlina oglądnęła się trwożnie w około. Chwała Bogu! Hrabiego Sinobrodego tu nie było. Nie przeczuwał on, że ona go znów oszukała i przed nim uciekła.

— Wsiadać! Pociąg do Nizzy! — zawołał głośno konduktor.

Dano sygnał do odjazdu. Spóźnieni pasażerowie biegli szybko do wagonów.

Betlina stała przy oknie swego przedziału i patrzyła na cisnący się tłum. Nie spostrzegła mężczyzny w długim ciemnym płaszczu i szerokim kapeluszu, który w ostatniej chwili wsiadł do eleganckiego salonowego wagonu.

Rzucił on na Betlinę gniewne spojrzenie i szepnął zadowolony:

— Czekaj tylko, ty fałszywa, podstępna żmijo! Tym razem ty mi już nie ujdziesz!

CLVII.

TAJEMNICE CZARNEJ DAMY.

W dzień po ucieczce Waleryi zajechał zamknięty powóz przed bramę ponurego budynku o małych, zakratowanych oknach.

Było to więzienia.

Z powozu tego wysiadły dwie osoby: doktór Kloc i bardzo gęsto zawoalowana zupełnie na czarno ubrana dama. Oparła się oramię młodego doktora, i drżała cała jak listek osiki, gdy do bramy przystępowała.

— Odwagi! — szepnął jej doktór Kloc.— A wszystko dobrze pójdzie!

Pociągnął on za dzwonek i niezwłocznie otwarły się małe drzwiczki w dużej bramie. Żołnierz z bronią przewieszoną na ramieniu dał im wejść i zamknął furteczkę znów za nimi.

Tuż obok wejścia był mały domek portyera. Popatrzył on z okna swego badawczym wzrokiem na nowoprzybyłych i poznał Kloca, który też był doktorem sądowym.

Ukłonił się więc uprzejmie i zapytał:

— Czy pan doktór życzy sobie jakieś informacye?

— Nie! Niech się pan nie trudzi! My chcemy do pana dyrektora!

To mówiąc poprowadził doktór Kloc towarzyszkę swą przez obszerne, ciche podwórze ku głównemu budynkowi gdzie były mieszkania urzędników więziennych.

P o r t y e r popatrzył za nimi zdziwiony. Ta czarno ubrana i gęsto zawoalowana dama bardzo go intrygowała.

Kto ona była? I co tutaj chcieć mogła?

Doktór Kloc wszedł z towarzyszką swą do poczekalni i kazał się u dyrektora więziennego zameldować.

Był to już starszy, siwy mężczyzna, o ponurych, twardych rysach, który zapytał suchym, urzędowym tonem o życzenia nowoprzybyłych.

Spojrzał on przytem przenikliwie na zawoalowaną damę, lecz nie mógł rysów jej poznać.

Doktór Kloc nie wymienił też jej nazwiska, tylko wyciągnął z kieszeni zapieczętowany list i podał go dyrektorowi mówiąc:

Oto list jego ekscellencyi, ministra do pana. Proszę go przeczytać!

Dyrektor wziął zdziwiony list do ręki, rozerwał kopertę i czytał co następuje:

Ma pan zlecenie zezwolić lekarzowi sądowemu doktorowi Klocowi i towarzyszce jego na konferencyę bez świadków z uwięzioną, znaną pod nazwiskiem "czarnej damy." Niech pan nie pyta o nazwisko tej pani i nie żąda żadnych wyjaśnień. List ten odda pan doktorowi Klocowi zaraz po przeczytaniu.

Minister hrabia Edmund Linderhof.

Dyrektor włożył napowrót list do koperty i popatrzył okropnie zdziwony na stojącego przed nim spokojnie doktora. Nie dostał on jeszcze nigdy rozkazu tak niezgodnego z jego instrukcyami.

— Czy pan zna treść tego listu, panie doktorze? — spytał on.

— Tak jest! — była odpoiwedź doktora.

— Hm! Ja jestem naturalnie na usługi jego ekscelencyi! — rzekł dyrektor oddając doktorowi list hrabiego Edmunda.

— Proszę nas niezwłocznie kazać zaprowadzić do uwięzionej! — niecierpliwił się doktór.

— Natychmiast! Proszę tylko jedną chwileczkę zaczekać!

To mówiąc opuścił dyrektor pokój i zostawił ich samych. Zawoalowana dama przysłuchiwała się rozmowie obu panów w okropnej irytacyi. Drżała ona i szepnęła trwożnie:

— Ja się okropnie boję, aby mnie nie poznali!

— Ależ to niemożebne, wielmożna pani!— odparł doktór Kloc spokojnie. Nikt się nie odważy żądać od nas jakichkolwiek informacyi. Postaram się też o to, aby nikt niepowołany nie podsłuchał rozmowy pani hrabiny z nieszczęśliwą jej matką.

Agata... bo ona to była... westchnęła głęboko. Po kilku minutach wrócił dyrektor w towarzystwie inspetkora więziennego.

— Proszę pójść za panem inspektorem! — rzekł on do doktora krótko i chłodno.

Doktór Kloc podał Agacie ramię i wyszedł z nią za naprzód idącym inspektorem. Poszli oni przez długi kurytarz i wązkie podwórze do innego budynku na schody.

Inspektor zatrzymał się w dużej izbie o zakratowanych oknach, kazał im tu czekać i oddalił się.

Wrócił jednak niebawem z dwoma dozorcami więziennymi, którzy prowadzili uwięzioną. "Czarna dama" weszła ze spuszczoną głową i rzuciła po obecnych ponure, obojętne spojrzenie. Gdy jednak zobaczyła Agatę, drgnęła i zbliżyła się do niej.

— Oto jest uwięziona, z którą pan chcesz pomówić! — rzekł inspektor do doktora Kloca, na którego ramieniu opierała się coraz bardziej drżąca Agata.

— Proszę nas samych z uwięzioną zostawić! — rzekł doktór niecierpliwie, widząc że ani inspektor ani dozorcy nie zabierają się do wyjścia.

— Żałuję, panie doktorze, lecz to nie wolno! — rzekł inspektor chłodno. — Cokolwiek pan ma z uwięzioną do pomówienia, to ja przytem być muszę!

— Pan dyrektor miał zlecenie zezwolić nam na rozmowę bez świadków! — odparł doktór Kloc gniewnie. — Jeżeli pan nie dostał żadnych instrukcyi, to proszę się pana dyrektora o to zapytać. Jeżeliby nam pan robił jakiekolwiek trudności, to ja będę zmuszony wnieść zażalenie do jego ekscellencyi, pana ministra!

Ta energiczna odpowiedź poskutkowała. Inspektor mruknął coś niechętnie pod nosem, lecz odszedł wraz z dozorcami. Dr. Kloc zamknął. za nimi drzwi na rygiel i stanął sobie na straży.

Agata i czarna dama zachowywały się podczas tej sceny zupełnie milcząco. Ledwo się drzwi za urzędnikami zamknęły, odchyliła Agata welon i zbliżyła się szybko do swej matki.

— Matko! Biedna kochana moja matko!— zawołała ona szlochając. — Więc tak ja cię mam widzieć? Jako skazaną?

Czarna dama wydała głośny okrzyk, zbladła i cofnęła się niewymownie zdziwiona i zmieszana. Patrzała ona na Agatę jak na upiora, który się nagle zjawia.

— Wielki Boże! — zawołała ona znów.— Agato... córko moja! Ty jeszcze żyjesz?

W następnej chwili rzuciły się ku sobie i padły wzajemnie w objęcia. Całowały i ściskały one się wśród łez i wypytywały się wzajemnie o swoje losy.

— Chwała Bogu, że cię jeszcze przed śmiercią swą zobaczyć mogę, moje nieszczęśliwe dziecko! — szepnęła "czarna dama" zdławionym głosem. — Wiesz przecież Agato, za co na śmierć skazaną zostałam. Pojmiesz też, co mię popchnęło do tego nieszczęsnego czynu, którego... aby mi Bóg przebaczył... dotychczas jeszcze nie żałuję!

— Wiem o wszystkiem, matko moja! — szlochała Agata. — Ach, jaki straszny jest twój los. Nie trać jednak nadziei, ty zostaniesz uratowana! Ty nie zginiesz matko!

Czarna dama potrząsła smutnie głową i westchnęła:

— Któż mię potrafi uratować moje dziecko? Ty przecież nie możesz!

— Kto? Mąż mój, Edmund! On wszystko uczyni, aby cię od śmierci uchronić, matko! — odparła Agata żywo. — Bądź więc dobrej myśli. On cię nie opuści i wyratuje tak, jak to ze mną swego czasu uczynił.

— Czyś mu wytłumaczyła, kto ja jestem?

— Tak jest! On wie, że ty jesteś moją matką. Opowiem mu jeszcze wszystkie twoje cierpienia, a wtedy matko...

— Wtedy on się może od ciebie odwróci i nie zechce mi więcej przyjść z pomocą, moje dziecko — przerwała jej czarna dama ponuro.

— przerwała jej czarna dama ponuro. — Poco wtajemniczać męża twego w moją tajemnicę i hańbę, która i na ciebie spada? Nie czyń tego. Mnie na życiu mojem nie zależy i umrę chętnie, gdy tylko będę miała przekonanie, że jesteś szczęśliwa, moje dziecko.

— Ach, matko! Jakżesz jabym mogła być szczęśliwą, jeżeli nie zostaniesz uratowaną?— zawołała Agata rozpaczliwie. — Nie, nie! Ja nie śmiem odmówić męż. memu zeznań, które mu już obiecałam. On ma prawo o wszystkiem się dowiedzieć, a jestem pewną, że to go nie odstraszy. Edmund jest dobry i szlachetny. On cię nie potępi, lecz będzie miał litość nad tobą. To go też do mnie nie zdegustuje!

— — Czy on tego już nie uczynił, biorąc zabójczynię Waleryę na twoje miejsce?

— On wtedy myślał, że już nie żyję, matko. Nie znał też jeszcze tej demonicznej istoty, która go obłudnością swą w siecie zwabiła. Teraz jest zdemaskowana i on ją ze wstrętem od siebie odtrącił. Odnalazłam już swoje dziecko i będę teraz zupełnie szczęśliwa, jeżeli tylko ciebie z tych strasznych murów uwolnię.

— A jak to uczynisz? Ja przecież jestem na śmierć skazana, a twój mąż mimo, że jest ministrem, to przecież wyroku takiego unieważnić nie może. On już teraz nic dla mnie zrobić nie potrafi.

— Potrafi, matko moja! Skoro tylko będzie znał twoją przeszłość i przejścia to opowie je księciu, i przekona go tem, że czyn twój nie był taki potępienia godny! — Jestem przekonana, że książę da się tem wzruszyć, i odwoła wyrok. A wtedy będziesz uratowana i uwolniona.

— Ty się zawiele spodziewasz, moje dziecko! — odparła czarna dama zrezygnowana. — Czyż ty i o sobie pomyślałaś, i czy niewinność twoja już udowodniona?

— Jeszcze nie, i dlatego tylko otwarcie wystąpić nie mogę. Edmund umożliwił mi tę wizytę u ciebie tak, że nikt nie ma właściwie pojęcia, kto ja jestem.

— I tobie jeszcze grożą niebezpieczeństwa, moje dziecko! — westchnęła czarna dama boleśnie. — Jesteś skazana, i uchodzisz dziś jeszcze za zabójczynię twego męża. Cokolwiek ja ku uniewinnieniu twemu wypowiedzieć będę mogła, nie wystarczy, aby cię od okropnego tego oskarżenia uwolnić. Walerya zaś, właściwa morderczyni, nigdy się do czynu swego nie przyzna. — Jeżelibyś się więc raz jeszcze do więzienia dostała, to byłabyś w tym samem położeniu co ja, a mąż twój Agato, ani mnie, ani tobie pomódzby więcej nie mógł!

— To wszystko już rozważyliśmy i nad tem się zastanawiali, kochana matko! — odparła Agata. — Przedewszystkiem więc ty masz zostać uratowana, a potem schronimy się obie wraz z mojem dzieckiem w jakieś bezpieczne miejsce, dopóki wszystkie niebezpieczeństwa nie przejdą i niewinność moja nie zostanie udowodniona. — Jestem pewna, że do tego wkrótce przyjdzie. Edmund i inni przyjaciele nieustannie są czynni, aby znaleźć dowody winy Waleryi. — Ufajmy więc Bogu i im, i wierzmy, że prawda przecież w końcu zwyciężyć musu nad podłą szatańską przewrotnością.

Czarna dama spuściła głowę na piersi, a grube łzy spływały po zmarszczonych policzkach. Wysoka jej postać jak gdyby się zapadła. Siedziała ona skulona na krześle i objęła siedzącą obok niej Agątę.

— Ja już nie mam żadnej nadziei, moje dziecko! — mruknęła gorzko i niepocieszenie. — Kto tak wiele i strasznie cierpiał jak ja, ten już stracił wiarę w sprawiedliwość na świecie. Los jest ślepy. Miażdży on słabego, a daje silnemu tryumfować. A złe jest zawsze silniejsze od dobrego, Agato! — Doświadczyłam to na sobie, i nie mogę więcej wierzyć w zwycięstwo prawdy, tak jak ty — zakończyła słabym głosem.

W tej chwili przystąpił do nich doktór Klos, który się dotychczas z daleka wzruszającej i bolesnej tej scenie przypatrywał.

— Niech wielmożna pani tak nie mówi— rzekł miękko i podał czarnej damie rękę.— Mimo, że nie znam historyę życia pani, jestem przekonany, że jeszcze i dla pani dzień szczęścia zaświta. A co do pani hrabiny, to dowiedzenie jej niewinności jest jeszcze tylko kwestyą czasu. Dlatego proszę nie tracić nadziei. Los pani i córki jej musi się zwrócić ku lepszemu, a ja uczynię wszystko, co jest tylko w mojej mocy, aby się do tego przyczynić.

Czarna dama uśmiechnęła się ponuro. Włożyła ona białą, przejrzystą swą rękę w podaną dłoń doktora, i rzekła tym samym beznadziejnym tonem:

— Ach, cóż pan może, kochany panie doktorze! Drugi raz nie śmie się pan już odważyć na to, co pan wtedy wraz z hrabią Edmundem dla uratowania Agaty uczynił. To co wtedy było możliwe, teraz by się już nie udało!

— Nie, o tem też teraz nie myślę!— odparł doktór Kloc. — Mieliśmy wtedy Deiblera, i kata po naszej stronie. Dziś sprawa z jego następcą nie byłaby taka łatwa. Mimoto jednak zostanie pani uratowana podstępem, przemocą, albo tajemnem uprowadzeniem z tych murów. — Uczynimy wszystko możliwe, aby panią stąd wydostać!

— Dziękuję panu z serca, kochany przyjacielu — odpowiedziała blada, nieszczęśliwa kobieta drżącym głosem. — Nie chcę jednak, aby pan dla mnie tak jak niegdyś dla Agaty ryzykował swoje stanowisko i wolność. I hrabia Edmund nie powinien i nie śmie się w sprawie tej narażać. Pierwszym jego obowiązkiem jest utrzymać się na stanowisku, bo cóż się z Agatą stanie, jeżeli moc i wpływ swój utraci?

— Do tego nie przyjdzie! — zawołała Agata ufnie. — teraz kiedy Walerya jest zdemaskowana, to nikt przeciwko Edmundowi wrogo wystąpić nie może. I chociażby nawet książę nie chciał usłuchać jego perswazyi i

próśb, to przecież Edmund zostanie ministrem i nad uratowaniem tem dalej będzie pracował!

Jej mocna wiara i słowa pociechy doktora Kloca podziałały uspokajająco na nieszczęśliwą matkę Agaty, i wlały nową nadzieję w zwątpiałe jej serce. Głucha rozpacz ustąpiła teraz miejsca pewnej z bólem i smutkiem zmięszanej ufności.

Nie odradzała więcej Agacie, by hrabiemu Edmundowi wszystkie jej tajemnice wyjawiła. Jeżeli on coś dla niej ma zrobić, to musi przecież o wszystkiem wiedzieć.

— Idź więc do niego, moje dziecko, i wyjaw mu całą prawdę — rzekła szlochając. — I daj Boże, aby się nasze nadzieje spełniły!

— Zobaczymy się niebawem, kochana matko! — zawołała Agata i uścisnęła ją czule na pożegnanie. — A wtedy skończą się wszystkie twe cierpienia.

Doktór podał czarnej damie rękę i rzekł jej jeszcze na odchodnem kilka słów pociechy. Potem otworzył drzwi.

W tej chwili wszedł inspektor z dozorcami. Był on chłodny i ponury.

Agata spuściła szybko woalkę na twarz i wyrwała się z ciężkiem sercem z objęć matki. Oparła się znów o ramię doktora i wyszła powolnym krokiem. Na progu jednak oglądnęła się jeszcze raz i skinęła nieszczęśliwej swej matce głową na pożegnanie.

Czarna dama została przez dozorców odprowadzona do swej celi. Inspektor zaś wyszedł za Agatą i jej towarzyszem, rzucając na nich od czasu do czasu badawcze i szydercze spojrzenie. Miał widocznie jaką uwagę na ustach, lecz nie śmiał jej wypowiedzieć.

Wróciwszy do głównego budynku, znikł on nagle w kancelaryi dyrektora i zastał go w rozmowie z jakimś gościem, którym nie był nikt jak sam prokurator.

— Panie dyrektorze! — zawołał, wpadając szybko do pokoju. Wiem ja już kto jest owa zawoalowana dama.

— Doprawdy! — krzyknął dyrektor zdziwiony. — Jak się to panu udało? Czy widział pan jej twarz? I czy był pan świadkiem rozmowy z uwięzioną?

— To ostatnie mi się niestety nie udało, gdyż doktór Kloc obstawał przy rozkazie ministra i musiałem wyjść z pokoju i czekać za drzwiami.

— I słyszał pan coś z rozmowy?

— Tak jest, lecz ani słowa z tego nie rozumiałem, panie dyrektorze! Otworzyłem jednak małe okienko w ścianie, które służy do obserwowania i zobaczyłem twarz obcej damy, bo miała odsłoniętą woalkę.

— I wie pan teraz, kto jest ta osoba, która się cieszy takiemi względami ministra?

— Tak jest, panie dyrektorze. Z początku nie wierzyłem swoim oczom, ale teraz jestem pewny, że ją poznałem!

Prokurator przysłuchiwał się dotychczas milcząco tej rozmowie. Teraz przystąpił żywo do obu mówiących i zapytał:

— A kto jest ta dama, panie inspektorze?

— Jest to owa mężobójczyni, Agata Rambow która przed rokiem w tak zagadkowy sposób z szubienicy została uratowana!— oświadczył inspektor.

Dyrektor zamienił z prokuratorem porozumiawcze spojrzenie.

— Niemożliwe! — zawołał prokurator niedowierzająco. — Nie jest przecież zupełne pewneć czy ona wtedy uszła z życiem, mimo że...

— Ja się nie omyliłem... panie prokuratorze! — przerwał inspektor żywo. — To ona! Dziwne to jest tylko, że się minister za tą kobietą tak ujmuje.

— To mnie zupełnie nie dziwi, to potwierdza tylko podejrzenie, któreśmy dawniej mieli, a mianowicie, że hrabia Linderhof, obecny minister, spowodował uratowanie tej mężobójczyni! — odpowiedział prokurator spokojnie. — Po co ona jednik odwiedziła dziś czarną damę? Czy zobaczył, albo usłyszał pan coś, coby do wytłumaczenia tego służyć mogło?

— Widziałem tylko, że się obie kobiety tak ściskały i całowały, jakgdyby były conajmniej siostrami! — rzekł inspektor. — Niestety, nie mogłem z rozmowy nic słyszeć bo były na drugim końcu pokoju.

— Szkoda! — mruknął prokurator. — Lecz to co pan odkrył panie inspektorze, to także bardzo ważne! Teraz mamy rozwiązaną zagadkę.

— Jeżeli pan skazaną damę teraz chce przyaresztować, panie prokuratorze, to jeszcze czas na to — zawołał inspektor gorliwie. —Ona jeszcze jest w budynku i nie kazałem odźwiernemu otwierać wpierw bramy, nim mu nie dam pozwolenia na to!

— Prokurator zrobił zaprzeczający ruch ręką i potrząsł poważnie głową.

— Nie! — odpowiedział on wreszcie stanowczo. — Nie chcę ekscellencyi jego, ministra, uprzedzać. Rozumie się samo przez się, że nie będę milczał. Wam obom panowie zaś radzę, abyście ani słówkiem o tem nie pisnęli, jeżelim wam na posadach waszych zależy.

Zrozumieli oni obydwaj bardzo, do czego przestroga zmierzała i skinęli głową na znak, że pojęli o co chodzi. Inspektor byłby wpraw-

dzie wołał, gdyby prokurator zaraz wkroczył, ale musiał uznać, że obawy jego są słusznie.

— Nie wstrzymujmy ich zatem dłużej! — zauważył dyrektor. — Idź pan, panie inspektorze i każ pan bramę dla nich otworzyć.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem stał doktór Kloc z Agatą przy bramie i nalegał na portyera aby mu ją otworzył.

Agata drżała z obawy i miała najgorsze przeczucia. Doktór Kloc okropnie się tem zirytował i groził portyerowi, że wniesie zażalenie na niego.

Odźwierny oświadczył, że czyni tylko to, co mu instrukcye jego nakazują.

Wreszcie stracił doktór Kloc cierpliwość. Poprosił on Agatę, aby tu na niego zaczekała i pobiegł do kancelaryi dyrektora. Otworzył drzwi właśnie w chwili, gdy inspektor z pokoju chciał wychodzić i spotkał się z nim na progu.

— Panie, co to ma znaczyć? — zawołał doktór gniewnie. — Zatrzymują nas tu gwałtem. Czy każe nam pan otworzyć bramę, czy nie?

Inspektor cofnął się zatrwożony i wyjęknął coś jakby "omyłka."

Teraz dopiero padł wzrok doktora na obu w pokoju się znajdujących panów. Gdy spostrzegł prokuratora, drgnął on mimowoli i przeczucie jakieś powiedziało mu, poco ten ostatni jest tutaj i o czem teraz rozprawiali.

— Ach, to pan prokurator! — zawołał doktór zdziwiony.

— Tak jest, panie doktorze! Cieszę się, że pana tu widzę! — odpowiedział prokurator grzecznie, lecz z widoczną ironią.

Dyrektor usprawiedliwił się tem, że zapomniał na chwili dać portyerowi rozkaz otworzenia mu bramy. Lecz doktór Klac nie dał sobie tem zamydlić oczy i mocno się zaniepokoił.

Był już prawie pewny, że Agata została poznana i odgadł całkiem słusznie, że tylko z obawy przed ministrem jej tu nie zatrzymują.

Wyszedł więc milcząco za inspektorem, który dał portyerowi znak ręką. W następnej chwili rozwarła się brama.

Doktór Kloc wyprowadził z niej drżącą Agatę, i wsiadłszy z nią do czekającego na nich powozu, szybko odjechał.

— Prawda, że mnie poznano? — zapytała Agata.

Doktór Kloc odpowiedział wymijająco i starał się ją uspokoić. Nie wspominał jej nic o swoich obawach, i o tem, że widział tam prokuratora. Lecz Agata nie dała sobie nic wmówić, i widziała się już straconą.

Pojechali oni prosto do pałacu hrabiego Edmunda i udali się do jego apartamentów. Hrabia oczekiwał ich już z niecierpliwością. Był on w towarzystwie Wintera, który mu zdawał relacye.

Ścigał on bowiem wraz z Greifem zbiegłą Waleryę. Lecz ona i mznikła z oczu, a Ludwika Hechta i Piotra także nie można było złapać.

Opowiadał on hrabiemu o tem właśnie w chwili wejścia Agaty i doktora.

— No i cóż? — zapytał hrabia żywo, biegnąc naprzeciw Agacie... — Czy wszystko dobrze poszło? Czyś rozmawiała z matką swoją, Agato?

— Tak jest! — szepnęła i padła wyczerpana na krzesło. — Lecz obawiam się, że mnie w więzieniu poznano, Edmundzie, i że mnie teraz ścigać będą.

— Z czego to wnosisz? — zapytał hrabia trwożnie.

Agata zaczęła wszystko dokładnie opowiadać, a doktór Kloc dodał ze swej strony, że według wszelkich pozorów urzędnicy więzienni rzeczywiście Agatę poznali.

Potem zbliżył się do hrabiego i szepnął mu do ucha, że zastał prokuratora w rozmowie z dyrektorem więzienia.

Twarz hrabiego Edmunda mocno się zasępiła. Nie mógł się rzeczywiście obronić pewnemu zaniepokojeniu i naradzał się z Winterem co mu teraz uczynić wypada.

Detektyw sądził, że tu są potrzebne szybkie i energiczne działania.

— Dobrze więc! — zawołał hrabia Edmund rezolutnie. — Pojadę dziś jeszcze do księcia i wszystko mu wyjawię.

Potem zwrócił się do Agaty i rzekł:

— To jest teraz jedyna droga! — Musisz mi jednak przedtem jeszcze opowiedzieć historyę życia swej matki, Agato! Czy pozwolisz, aby i nasi przyjaciele byli przytem obecni?

— Naturalnie! — skinęła Agata. — Będziemy przecież jeszcze potrzebowali ich rady.

Winter i doktór Kloc usiedli, i spojrzeli bacznie na Agatę, która tak cichym i smutnym głosem zaczęła:

— Mało tylko z losów matki swej opowiedzieć mogę, gdyż wiem tylko to, co z samych ust jej słyszałam. Przed sześciu laty nie znałam wogóle jeszcze swej matki, i wychowy-

wałam się jako sierota u obcych ludzi. Moi przybrani rodzice nie mówili mi nigdy o tem, że matka moja jeszcze żyje. Widocznie mieli ją samą za umarłą. Nie znali nawet jej nazwiska.

— Co to byli za ludzie, ci twoi przebrani rodzice? — zapytał hrabia Edmund.

— Moi przybrani rodzice nie byli ani bogaci ani dystyngowani — ciągnęła Agata dalej, i mieli jedną córkę, Waleryę którą miałam za swoją siostrę, dopóki mi nie wytłómaczono, że ja nie jestem córką jej rodziców. Ojciec Waleryi był urzędnikiem, lecz umarł wcześnie, nim myśmy obie podrosły.

— Wiem już o tem — przerwał jej hrabia Edmund. — W tym domu poznał cię późniejszy twój mąż, baron Rambow. Zostałaś jego żoną, a gdy wkrótce potem matka Waleryi umarła, przyjęłaś ją do swego domu.

— Tak jest, i ściągnęłam tem nieszczęście w swój dom — potwierdziła Agata. Walerya odpłacała mi moją siostrzaną miłość ukrytą nienawiścią zazdrością i nieżyczliwością. Całem jej staraniem było usunąć mnie z mego miejsca i zostać moją następczynią. Lecz— przerwała ona — nie chciałam przecież mówić o Waleryi, lecz o mojej matce!

— Jakżeż się dowiedziałaś, że matka twoja żyje? — zapytał hrabia Edmund.

— Przez nią samą — oświadczyła Agata. — Dostałam pewnego dnia list, w którym mi matka moja wyjawiła, że mnie po długim czasie wreszcie odszukała. Miałam się z nią zobaczyć tego samego wieczora w pawilonie mego parku, gdzie matka moja na mnie czekać miała.

— I cóż ci wtedy powiedziała? — zapytał znów hrabia. ....

Błagała ona mnie, abym list jej zniszczyła i nikomu, nawet mężowi swemu, nic o tem nie zdradziła.

— Jakie wrażenie z tego widzenia się odniosłaś? — pytał hrabia Edmund.

— Już sama wieść o egzystencyi mej matki napełniła mnie błogiem a zarazem smutnem uczuciem, którego słow. opisać nie mogę. Matka moja, którą dawno już jako zmarłą opłakiwałam, której nie znałam, o której nigdy nic nie słyszałam... zjawiła się nagle dała znak życia... ja ją miałam zobaczyć i mogłam na jej sercu spocząć... ach! Ja tego pojąć wprost nie mogłam. Wieść ta zaskoczyła mnie tak nagle, i wydawała mi się jak sen.

— Zupełnie niejasne było mi jednak, dlaczego matka moja żądała, abym robiła tajemnicę z faktu, że ona żyje, i że mnie odnalazła. — Nie mogłam pojąć, dlaczego nawet mąż mój nie śmiał o tem wiedzieć. Lecz jakiś wewnętrzny głos nakazywał mi spełnić rozkaz mej matki i jakkolwiek trudnem mi to było podchodzić mego męża, to przecież na sobie wymogłam milczenie.

— Gdy się ściemniło, wykradłam się jak złodziej do parku i zdawało mi się, że popełniłam jakąś niesłuszność. Ciekawa i wzburzona biegłam do pawilonu, który zresztą zawsze był zamknięty i nieużywany. — Postarałam się z trudnością o klucz do niego, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy zbliżając się spostrzegłam, że pawilon był oświetlony.

— Zastałam otwarte drzwi i weszłam wahająco i z bijącem sercem. Nie było tam jeszcze nikogo. Padłam na krzesło i czekałam w stanie najokropniejszego poirytowania i obawy.

— Nagle otworzyły się w ścianie tajemne drzwiczki których nigdy przedtem nie znałam, a przez nie weszła jakaś czarna postać i szybko się do mnie zbliżyła.

— Zalękniona i zmięszana podskoczyłam ze swego siedzenia i krzyknęłam głośno, bo mi się zdawało, że widzę przed sobą upiora. W tem odchyliła postać welon i zdjęła płaszcz i ja zobaczyłam, że to była kobieta... kobieta o trupio bladej, schorowanej i znękanej twarzy.

— To ona... moja matka! — pomyślałam i popatrzałam na nią palącemi oczyma.

— Dziecko... moje dziecko! — wyrwało się z usta czarnej damy, tonem który mi dziwnie serce wzruszył. — Ja jestem twoją matką!

Słowo to przełamało lody. Z okrzykiem radości rzuciłam się na nią, i w następnej chwili leżałam na sercu swej matki, któr mnie wśród łez i szlochania całowała i ściskała.

— O, moje kochane dziecko! — zawołała ona pełna zachwytu i szczęścia. — Znalazłam cię wreszcie po długiem i rozpaczliwem szukaniu. Ach, ta błoga chwila zobaczenia cię, wynagrodziła mnie za wszystkie dotychczasowe cierpienia! Co to za szczęście, że cię w ramionach swoich mieć mogę. Teraz niech śmierć przyjdzie i uwolni mnie od tego życia, które dla mnie było tylko męką i cierpieniem.

— Słowa matki wprawiły mnie w okropny stan. Serce mi się ściskało z bólu i współczucia gdy popatrzyłam w jej nieszczęsną twarz w której wyczytać można było bezdenne zmartwienie.

— Ach, matko, kochana matko! — wyjąknęłam gwałtownie wzruszona. — Dlaczegoż ty musiałaś dopiero za mną szukać? Dlaczego ja nie byłam zawsze u ciebie? Skąd to pochodzi, że ja o tobie nie słyszałam, i że cię nigdy

nie widziałam? Dlaczego ja musiałam wzróść między obcymi ludźmi? O, rozwiąż mi tę zagadkę! — prosiłam gwałtownie. — Wytłumacz mi też, dlaczego tak tajemniczo do mnie przychodzisz, i dlaczego nawet mąż mój się nie śmie o tem dowiedzieć?

— Powiem ci to zaraz, moje dziecko— rzekła ona smutnie. —Ja cię przecież nie byłabym nigdy dobrowolnie od siebie puszczała, ale mi cię gwałtem porwano i odemnie uwiedziono! — szlochała boleśnie.

— A kto to uczynił, matko? — zawołałam wzburzona. Kto mnie z pod opieki twojej porwał?

— Twój własny ojciec to uczynił! —była jej odpowiedź.

— Popatrzyłam na nią przerażona, nie pojmując co ona właściwie mówi.

— Słuchaj mnie, moje dziecko! — ciągnęła matka moja dalej. — Opowiem ci całą swą smutną historyę, a wtedy zrozumiesz jak to się stało, że ty wyrosłać wśród obcych, bez opieki ojca lub matki.

— Umilkła na chwilę i starała się przyjść do siebie. Ja leżałam w jej ramionach i zanosiłam się od płaczu. Ona zaś tak dalej mówiła przyciszonym głosem:

— Poznałam niegdyś na książęcym dworze barona Borgheima, który tam był podkomorzym. — Ja byłam wtedy damą dworską księżnej, która od wielu lat nie żyje. Baron miał podówczas tajemny stosunek z pierwszą damą dworską, z piękną i dumną baronówną Falkenhorst. Gdym ja się jednak na dworze ukazała, odwrócił się on od niej i złożył mi swe serce w ofierze.

— Biada mi, że uwierzyłam jego ułudnym przysięgom miłosnym! Zaręczył się on ze mną i termin wesela został oznaczony. Księżna wzięła na siebie moją wyprawę, gdyż ja byłam biedną sierotą. Dzień ślubu już był blizki, gdy nagle zostałam strącona ze szczytu szczęścia w najgłębszą przepaść nędzy i rozpaczy.

Baronównej Falkenhorst udało się znów narzeczonego mego w siecie swoje wciągnąć. Pełna gorącej zazdrości i nienawiści ku mnie, myślała ona tylko o tem jakby mnie zniszczyć. A narzeczony mój zupełnie już znowu w sieciach tej demonicznej kobiety zgodził się na szatański jej plan. Ponieważ księżna mną się opiekowała, nie śmiał on się otwarcie cofnąć, i na taki wstyd mnie narazić. Wiedział on więc o tem, że teraz tylko wyrafinowanym podstępem z drogi usunąć mnie może.

— A dyabelski plan, który on na współkę ze swoją demoniczną kochanką ułożył, aż nadto dobrze mu się udał. Nie przeczuwając nic złego, weszłam w zastawione na siebie siecie. Pewnego wieczora... było to dwa dni przed naszem weselem... dostałam list od swego narzeczonego, który wyjechał na krótki czas na swój zamek rodzinny, aby tam zarządzić wszystko do naszego przyjęcia. Oznajmił on mi, że spadł z konia i leży teraz chory w pałacu przyjaciela ale abym nikomu nic o tem nie mówiła.

— Nie namyślając się, wybrałam się z posłańcem w drogę, i nikt nie przeczuwał, że ja opuściłam zamek. Powóz już czekał. Ja wsiadłam, i woźnica popędził konie. W połowie drogi zmieniono konie, i dalej szły galopem.

Zaczęło mi się to wydawać dziwne i niepokojące. Daremnie jednak wołałam na woźnicę i wreszcie sama drzwiczki powozu otworzyć chciałam. Nie udało mi się to. Powóz pędził dalej wśród ciemnej nocy, ale dokąd? Nie przeczuwałam tego. To mi tylko było jasne, że stałam się ofiarą jakiejś strasznej intrygi.

— Około rana zatrzymał się powóz na podwórzu jakiegoś ponurego, pół zapadłego budynku, który leżał wśród lasu. Był to stary dom myśliwski, należący do posiadłości barona Borgheima.

— Jakiś niesympatycznie wyglądający mężczyzna zaprowadził mnie do komnaty wyglądającej jak więzienie i nie powiedziawszy mi nic, zamknął drzwi na klucz i odszedł.

Siedziałam tam przez długi czas w stanie oszołomienia, na jednym krześle, które było w tym pokoju i nie pojmowałam, co się ze mną stało. Zdawało mi się to strasznym snem, z którego lada chwila obudzić się musiałam.

— Wreszcie otwarły się znowu drzwi. Ten sam mężczyzna wrócił w towarzystwie jakiejś kobiety i oświadczyli mi oboje, że ja tu muszę zostać i że oni są mojemi dozorcami. Prosiłam i błagałam ich aby mi powiedzieli, kto sobie tak okrutnie i podstępnie ze mną postąpił. Daremnie jednak. Nie otrzymałam żadnego wyjaśnienia. Zdawało mi się, że oszaleję. Za dwa dni miało być moje wesele. Co sobie mój narzeczony i dwór cały o zniknięciu mojem pomyśli?

— Prosiłam moich dozorców, aby mnie na wolność puścili, albo list odemnie do barona zawieźli. Obiecałam im wysokie wynagrodzenie. Na nic się jednak nie zdało moje błaganie; ani kobieta, ani mężczyzna wzruszyć się nie dali.

— Tak więc siedziałam przez długi czas uwięziona w tej samotnej ruinie. Żadna wieść ze świata do mnie tu nie dochodziła. Byłam jak gdyby żywcem w odludnej pustyni pochowana. Rozpacz moja do szaleństwa mnie do-

prowadzała. Sto razy starałam się uciec, lecz czujność moich dozorców za każdym razem plan mój zniweczyła.

— Lecz cierpienia moje i nędza jeszcze się miały powiększyć. Podczas gdym była umarła dla świata, rozszerzył mój narzeczony wieść, że ja uciekłam z kochankiem. Uwierzono też temu oszczerstwu, gdyż wszystkie poszukiwania księżnej co do odnalezienia mnie zostały bez rezultatów.

— W kilka miesięcy później ożenił się mój narzeczony z rywalką moją, baronówną Herminą Falkenhorst. Jej szatański plan aż nadto dobrze się udał. Tryumfowała ona, gdyż usunęła mnie ze świata, a mimoto stała wyżej ponad wszelkie podejrzenie.

— Zima minęła, a gdy nadeszła wiosna, miałam cię już, dziecko moje, w ramionach. Byłaś mi pociechą w mojej nędzy i poniżeniu, czułam się szczęśliwą posiadając cię.

Lecz i to szczęście niedługo trwać miało. Okrutność moich wrogów szła jeszcze dalej. Gdym się pewnego dnia ze snu zbudziła, to ciebie u boku mego już nie było. Mój dozorca oświadczył, że zabrał cię z rozkazu swego pana, i że ja cię, dziecko moje, nigdy więcej nie miałam zobaczyć.

— Jak ja tę klęskę przeżyć mogłam, to mi jest zagadką! Wpadłam w straszną gorączkę i byłam kilkakrotnie blizka śmierci. Lecz wyzdrowiałam i nie oszalałam. Gorąca tęsknota za tobą, dziecko moje, i chęć odnalezienia cię, dodały mi sił fizycznych i moralnych.

— Ułożyłam nowy plan ucieczki i udało mi się podejść moich dozrców. Uciekłam z więzienia w którym przesiedziałam 18 miesięcy. Teraz zaczęłam za tobą szukać moje dziecko! Dowiedziałam się wtedy, że rywalka moja Hermina, została żoną barona i że ja uchodziłam za zbiegłą i niehonorową osobę. Wtedy dopiero spadła mi zasłona zoczu i poznałam, jak straszna zbrodnia została na mnie popełniona.

— Powzięłam postanowienie wrócić na dwór księcia i zdemaskować przez oskarżenia swe barona i ową demoniczną kobietę. Chciałam go zmusić, aby mi oddał mój honor i moje dziecko.

— Ten plan jednak miał zostać moją zgubą. Baron dowiedział się niezwłocznie o mojej ucieczce i użył wszystkich środków, aby mnie znowu w moc swoją dostać. A ja byłam tak nieostrożną wpaść w jego ręce właśnie wtedy, gdym się na zamek książęcy dostać chciała. Jego szpiegowie przyłapali mnie, nim się jeszcze ktoś o powrocie moim mógł dowiedzieć.

— Tym razem nie zawieziono mnie do starej ruiny w lesie, lecz... do zakładu obłąkanych. Uchodziłam za pomieszaną i dziwię się żem rzeczywiście nie oszalała.

Dziesięć lat przeżyłam w celi tego zakładu, dopóki mi się nareszcie udało i stamtąd uciec. Wrzałam okropną chęcią zemsty ku temu niesumiennemu łotrowi, który sobie ze mną tak okropnie postąpił. Lecz tęsknota za tobą, moje dziecko, jeszcze była silniejszą i dlatego chciałam odłożyć zemstę na później, a pierwej ciebie odszukać.

Doświadczenie uczyniło mnie ostrożniejszą. Wiedziałam, że baron poruszy znów niebo i ziemię, aby mnie przyłapać, bo gdyby mi się było udało go oskarżyć, to on byłby niechybnie stracony.

Dlatego przebrałam się po męsku i w przebraniu tem łudziłam moich wrogów, którzy ciągle za mną szukali. Tymczasem umarła dobra księżna, która mi zastępowała miejsce matki a ja straciłam w niej najsilniejszą podporę. Baron zaawansował już w tym czasie na ministra. Jego wpływy więc się spotęgowały. Musiałam więc być podwójnie ostrożną i nie mogłam nawet myśleć o tem, aby otwarcie módz przeciwko niemu wystąpić.

— Latami jeździłam po świecie i szukałam za tobą moje dziecko, zanim wreszcie na ślad twój przyszłam. Spotkałam przypadkowo żonę mego dawnego dozorcy. Była ona śmiertelnie chora, i w ostatniej godzinie swej wyspowiadała mi się pełna skruchy. Dowiedziałam się od niej, co się z tobą stało, i gdzie cię odnaleźć będę mogła.

Baron, twój okrutny ojciec, oddał cię do swego leśniczego jako obce dziecko, a leśniczy ten nigdy się o twojem pochodzeniu nie dowiedział. Wychowywał on cię jako swoje własne dziecko, dopóki baron Rambow o rękę twą nie poprosił. Jemu dopiero wyznał on całą prawdą i przez niego tyś się dopiero dowiedziała, że byłaś bezimienną sierotą.

Baron Rambow mimo to się z tobą ożenił, bo kochał cię więcej, niż swe życie. Nie śmie się jednak nigdy dowiedzieć, że ty jesteś moją córką i kto jest twoim ojcem. Nie uwierzył by on nigdy w prawdę moich słów, gdyż ten łotr, uwodziciel mój, jest teraz ministrem, i jego przyjacielem i protektorem. Zdradził onby mnie tylko i zaczęłyby się dla mnie nowe prześladowania.

Tu skończyła moja matka — rzekła Agata po krótkiej pauzie — i możesz sobie wyobrazić, kochany Edmundzie, jakie wrażenie zeznania jej na mnie uczyniły. Błagałam matkę swą, aby się mężowi memu, baronowi Rambow, dała poznać i zapewniałam ją, że on jej

uwierzy i za nią się ujmie. Lecz ona nie chciała. Straciła ona już zupełnie zaufanie do ludzi.

Ja zaś pozostałam z nią od owego dnia w ścisłych stosunkach. Spotykałyśmy się często w pawilonie, a matka moja ukazywała się zawsze w męskiem przebraniu, aby zostać niepoznaną.

Lecz nieszczęsny przypadek zrządził, że nas Walerya pewnego wieczora podsłuchała. Opowiedziała ona to zaraz memu mężowi, że ja go z innym jakimś kochankiem oszukuję, i w chwili gdym się z matką moją żegnała, zjawił się mąż mój nagle przedemną.

Przerażenie moje było bez granic, a matka moja myślała że jest poznaną i straconą. Mąż mój nie szalał z zazdrości i gniewu, lecz był okropnie przygnębiony i zrozpaczony moją domniemaną niewiernością. Gdym jednak pojęła co on myślał, nie mogłam się dłużej wstrzymać i opowiedziałam mu całą prawdę.

Głęboko wzruszony podał on matce mej rękę i przyrzekł jej pomoc i obronę. Zaprosił on ją na swój zamek i radził jej aby z jego pomocą otwarcie przeciwko ministrowi wystąpiła. Ja dołączyłam się do jego próśb, lecz matka moja nie mogła się zaraz zdecydować wyjść ze swego ukrycia.

Uznała ona jednak, że to jest jedyna dobra droga, i że tylko w ten sposób będzie mogła zmusić ministra aby mnie uznał za swoją córkę, i matkę moją zrehabilitował. Jego żona, demoniczna Hermina, już nie żyła. Chodziło więc teraz o to, aby go zmusić, by się z matką ożenił.

Następnego wieczora miała ona wrócić i pójść z mojem mężem do ministra. Lecz to wszystko nie mogło przyjść do skutku, gdyż Walerya przygotowała dla mego męża truciznę, z której on tej samej nocy jeszcze umarł. Wypił on ją nic przeczuwawszy nic złego, a ja... zostałam skazana jako jego zabójczyni!

— A twoja matka? — zapytał hrabia Edmund wzburzony. — Dlaczego ona nie wystąpiła otwarcie w twojej obronie, i nie złożyła świadectwa na twoją korzyść?

— Było jej to niemożliwem, gdyż dostała się w moc ministra i dopiero niedawno znowu wolność swą odzyskała. Mając mnie już za zmarłą myślała ona tylko o zemście i popełniła ów fatalny zamach.

— Dobrze — odparł hrabia Edmund — książę się o tem wszystkiem dowie, i spodziewam się po nim, że on nietylko zniesie wyrok, lecz byłego ministra swego, ojca twego do odpowiedzialności pociągnie. A gdyby książę tego nie uczynił, to ja sam nie spocznę, dopóki ojciec twój za swoją córkę cię nie uzna. Wystąpię ze skargą przeciwko niemu i zmuszę go aby matkę twoją odszkodował za to, co przeciwko niej zawinił!

CLVIII.

W SZALE MIŁOSNYM.

Z trudem tylko uszła Walerya z pomocą hrabiego Sinobrodego prześladowcom swoim w zamku Agaty. Udało im się w ciemności dojechać do lasu, a po kilku godzinach dojechali do jakiejś wsi, i popasali tam w domu zajezdnym.

Tutaj rozeszły się ich drogi. Hrabia Sinobrody pojechał niezwłocznie do Paryża, aby tam Betlinę odszukać.

Walerya zaś została we wsi. Napisała stąd do księcia, donosząc mu, że musiała uciekać, i błagała go o pomoc i obronę przeciwko jej wrogom.

Odesławszy list opuściła ona wieś, i udała się do lasu. Nie czuła ona się tu pewna, i obawiała się że mogą jej tu szukać. Wróciła też dopiero koło wieczora, bo spodziewała się otrzymać odpowiedź od księcia.

Ku uspokojeniu swemu usłyszała że nikt jej nie szukał. Widocznie więc, że Winter ślad jej zatracił. Los Ludwika był jej obojętny. Pragnęła nawet, aby się już raz w ręce policyi dostał, gdyż jej już nie był potrzebny i przeciwnie na przyszłość mógł się stać bardzo niewygodnym.

Pełna niecierpliwości siedziała w wynajętym dla siebie pokoju gospody, i czekała na odpowiedź księcia.

Musiał przecież list jej już otrzymać? Cóż dla niej zrobi? Jeżeli on ją opuści, to będzie stracona!

Lecz wierzyła, że jej nie opuści. Miała przecież dowody jego gorącej i namiętnej miłości!

A przecież... wieczór się już zbliżał, a odpowiedzi od niego nie było. Walerya zaczęła się niepokoić, bo jej się zdawało, że książę nic więcej o niej nie chciał wiedzieć.

Może hrabia Edmund z nim tymczasem pomówił, i wszystkie zbrodnie jej mu opowiedział. Biada jej, jeżeli książę mu uwierzył. W tym razie bowiem nie on przybędzie, lecz detektyw Winter, aby ją uwięzić.

Położenie jej nie było zazdrości godne. Nie mogła wiedzieć, co ją czeka. Jeżeliby zaś opuściła wieś i gdzieś się schowała, to mogła wprawdzie ujść grożącemu jej niebezpieczeństwu, ale temsamem zatraciłby i książę jej ślad i nie wiedziałby, gdzie ją odnaleźć.

Nie! Ona musiała tu zostać, odczekać jak się stosunki ułożą. W każdym razie jutrzejszy dzień miał los jej rozstrzygnąć.

Było to około dziesiątej godziny wieczorem. W gospodzie ucichło, goście się rozeszli, a domownicy poszli spać.

I Walerya ułożyła się do snu. Lecz nagle zerwała się i podskoczyła do okna. Otworzyła je i wyglądnęła zaniepokojona.

Zdala słychać było turkot kół i tętent kopyt końskich. Gościńcem toczył się powóz i zbliżał się do gospody.

Czy to książę wreszcie nadjeżdżał? Czy może detektyw ze swoimi ludźmi?

Walerya starała się przeniknąć ciemności bystrem okiem. W gorączkowem oczekiwaniu trapiona obawą i wątpliwością patrzała ona w stronę zbliżającego się powozu, którego latarnie świeciły. Poznała ona tylko, że to był powóz zamknięty, za którym pędziło dwóch jeźdźców.

Wreszcie zatrzymał się powóz przed gospodą, a z niego wyskoczył mężczyzna w ciemnym płaszczu. Jeźdźcy zeskoczyli ze siodeł.

Drzwi gospody zostały otworzone, i nowoprzybyli weszli do środka. Niepokój Waleryi wzmógł się do ostateczności, gdyż w następnej chwili miała ona się dowiedzieć, czy to jej wrogowie, czy książę.

Otworzyła ona drzwi, aby mődz nadsłuchiwać. Pokoik jej leżał na górze, tuż przy schodach, tak, że mogła ona nawet widzieć postacie w sieniach to znaczy ciemne ich płaszcze i kapelusze, nagle odwrócił się jeden z nich i wszedł prędko po schodach na górę.

Walerya cofnęła się do swego pokoju, gdyż zdawało się jej, że poznała Wintera. Kolana się pod nią zaczęły uginać. Stała ona jakby sparaliżowana, i patrzała się błędnym wzrokiem we drzwi, które w następnej chwili zostały gwałtownie otwarte.

Walerya cofnęła się drżąca i krzyknęła z przerażenia. Teraz zapóźno było do ucieczki.

Wtem zrzucił wchodzący mężczyzna płaszcz, i Walerya poznała w nim ku radosnemu zdziwieniu nie detektywa, którego się obawiała, lecz księcia.

Wydała ona teraz okrzyk radości, i padła wzruszona przed nim na kolana.

— Uratowana! — jęknęła ona zdławionym głosem.

Książę podniósł ją ze ziemi i przycisnąwszy ją do serca, okrył twarz jej gorącymi pocałunkami .

— Teraz jesteś moją, całkiem moją! — szeptał on. — Po otrzymaniu twego listu, wybrałem się sam w drogę po ciebie. Chodź ze mną! Ja cię zawiozę na miejsce, gdzie będziesz pewna od wszelkich niebezpieczeństw!

Jak we śnie dała się Walerya na dół sprowadzić i w powozie posadzić. Woźnica trzasnął z bicza, i nim się Walerya spostrzegła, miała już wieś za sobą.

Książę ją trzymał w swoich objęciach, a ona tuliła się uszczęśliwiona do jego serca. Teraz skończyło się jej utrapienie; teraz ona była bezpieczna i mogła nad wrogami tryumfować. Nikt się teraz nie odważy na nią rzucić

— Jakżeż ty się w to przykre położenie dostałaś, ukochana moja — zapytał on po chwili czułym tonem. — Napisałaś mi w liście, że cię twój mąż chciał zabić, i że cię teraz, kiedyś od niego uciekła, przez policyę ścigać kazał. Czy to prawda, bo ja w to uwierzyć nie mogę.

Tak jest, chciał on mnie zabić ze złości i zazdrości o pana, kochany książę! — potwierdziła. — Detektyw Winter, który był już w pałacu, miał mnie do więzienia zawieźć. Miałam się już za straconą, gdy pan, obrońca mój, mnie opuścił, i na pastwę oszalałego, z zazdrości męża zostawił.

Książę czuł, że niesłusznie wtedy postąpił i uniewinnił się tem, że nie miał pojęcia co hrabia Edmund uczynić zamierza.

— Od dnia dzisiejszego lepiej cię, obronię, kochana Waleryo — pocieszał on ją. — Nie obawiaj się niczego, bo ten detektyw rolę swą prędko ukończy, a co do męża twego, niech on się do mnie tylko pokaże ze skargami i oszczerstwami względem ciebie. Ja mu już pokażę! Na razie nie odwiedził on mnie jeszcze jak to wczoraj zamierzał.

— O, on mnie z pewnością u wuja księcia oskarży, skoro się tylko dowie, że ja jestem pod pańską opieką! — odparła Walerya zawistnie. — Kto wie, czy wtedy wuj, książę nie zażąda od pana, aby mnie pan władzom wydał?

— Uspokój się, kochana! Do tego nie przyjdzie! Bo chociażby nawet książę, wuj mój tego odemnie żądał, to ja cię nie opuszczę! Chciałem już dziś sam pomówić z księciem o mężu twoim i o Agacie, która się znów pojawiła, ale niestety książę na kilka dni wyjechał. W tym wypadku zaś i hrabia Edmund będzie się musiał zatrzymać ze swojemi skargami aż do powrotu księcia!

— O, w takim razie my go musimy uprzedzić! — zawołała Walerya żywo. — On mnie chce zniszczyć oszczerstwem i myśli, że mu się to uda. Dość on mnie już upokorzył i znieważył Ja chcę się zemścić na nim. Ja, słaba kobieta zmiażdżę tego dumnego wyniosłego człowieka tem, co przeciwko niemu wypowiem i strącę

go z wyżyny jego stanowiska i wpływów. Jeżeli mnie pan wesprze w tej walce, kochany książę, to ja zwyciężę!

Książę przycisnął drżącą z nienawiści i mściwości kobietę do siebie i rzekł uspokajająco:

—Spuść się z tem wszystkiem już na mnie! Ja wujowi swemu wszystko wyjawię, gdyż hrabia nie zasługuje, aby go szanować. Zarządzę też, aby ta na śmierć skazana i z szubienicy uratowana Agata znowu sądowi wydaną została. Twój mąż zaś będzie musiał zdać sprawę z tego romantycznego czynu.

— Co go za to czeka?

— Strącą go pewno z godności ministra! To zaś tyle wyjdzie na naszą korzyść, że on zostawszy na swem stanowisku, mógłby cię dalej prześladować i krzywdzić!

— Tak jest, strąćmy go! — zawołała Walerya z szatańską, złośliwą radością. — Niech sam padnie w dołki, które podemną wykopał i niech więzieniem odpokutuje, popełnione względem mnie okrutności!

— To samo uczynimy z detektywem! — uzupełnił książę. — Będziesz tryumfowała nad swoimi wrogami, kochanie, i na przyszłość nikt się więcej nie odważy wystąpić wobec ciebie ze skargą i oszczerstwem.

Walerya wynagrodziła go za to czułemi pieszczotami i przez chwilę panowało milczenie. Powóz pędził bezustanku jednakowem szybkiem tępem, dążąc wśród ciemnej nocy do oddalonego jakiegoś celu.

— Dokąd jedziemy, książę? — spytała Walerya nagle, patrząc przez okno powozu. Było jednak tak ciemno, że nic zobaczyć nie mogła.

— Do cudnie położonego zamku leśnego! — oświadczył książę. — Tam będziesz zupełnie bezpieczna i będziemy się mogli oddać bez przeszkód naszej miłości.

Po godzinie może wjechał powóz w gęsty las, gdzie się wreszcie nad brzegiem małego jeziora okazał piękny, gotycki zamek o smukłych wieżyczkach i jasno oświetlonych oknach.

Powóz wjechał pomału przez bramę na podwórze i zatrzymał się przed szeroko otwartym portalem.

Służący w liberyi przystąpił do drzwiczek i otworzył je. Książę wyskoczył i podał Waleryi rękę przy wysiadaniu.

Gdy ona wchodziła u boku do jego portalu, rzekł on czule:

— Przestępujesz próg swego własnego domu, ukochana, bo ten zamek jeest od dnia dzisiejszego twoją własnością! Daruję ci go i uważam się odtąd już tylko za gościa tutaj!

Walerya nie posiadała się ze szczęścia. Książę poprowadził ją przez rząd wspaniale umeblowanych i rzęsiście oświetlonych komnat.. Walerya patrzała na to wszystko z zachwytem i nie mogła znaleźć dlań słów uznania i podzięki.

Na rozkaz księcia było tu wszystko na przyjęcie jej przygotowane. Obszedłszy wszystko naokoło, dostali się oni znów do przedpokoju i weszli na górę. Tam właściwie były komnaty wyłącznie dla Waleryi przeznaczone.

Książę wprowadził ją tam i rzekł jakby uniewinniając się:

— Niestety, nie mogłem ci dziś jeszcze przygotować żeńskiej usługi, ale jutro już będzie pokojówka. Albo, możebyś chciała mieć przy sobie dawną swoją służącą?

Walerya pomyślała, że to byłoby najlepiej mieć przy sobie Frydę, już choćby tylko na to, aby ona między obcymi ludźmi tajemnic jej nie wypaplała i poprosiła księcia, aby się o nią postarał.

— Zostaję u ciebie, aż do jutra południa! — rzekł on biorąc ją miłośnie w swoje ramiona. — Teraz wreszcie będziemy mogli używać szczęścia naszego bez przeszkód. Teraz ty niepodzielnie do mnie należysz, jedyna, kochana Waleryo!.

I przytulając ją znów do siebie, wprowadził ją do sypialni.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Książę nie odjechał nazajutrz, jak sobie był postanowił, bo chciał jeszcze jedną noc spędzić przy Waleryi. Jak szał opanowała go miłość ku tej demonicznej, pięknej kobiecie. Jego namiętność dochodziła do ostateczności, a Walerya umiała po mistrzowsku podsycać wybuchły płomień.

Książę teraz był ślepym jej niewolnikiem, gotowym spełnić każde jej życzenie.

Gdy wreszcie rano z nią się żegnał i w towarzystwie dwóch strzelców nadwornych do stolicy odjeżdżał, obiecał on jej święcie powrócić wieczorem.

Walerya dała mu spokojnie odjechać. Teraz mogła ona wesoło patrzeć w przyszłość, bo się jej szczęście uśmiechało i świetny los zdawał się być jej udziałem.

Wszystko na dobre jej się składało. Była ona wprawdzie dopiero kochanką księcia, ale spodziewała się wkrótce zostać jego żoną. A potem, stojąc na szczycie szczęścia, mogła ona tryumfować nad wszystkimi, którzy nia dziś pogardzali i z niej szydzili.

Książę obiecał unieszkodliwić wszystkich jej wrogów, a szczególnie hrabiego Edmunda, Wintera i Agatę.

Nie miała się nikogo więcej obawiać. Tajemnica jej nie wyjdzie na jaw, bo któżby ją miał zdradzić?

Ale Ludwik Hecht, pierwszy jej mąż... Co się z tym stać mogło? Czy on był wolny, czy uwięziony? W pierwszym wypadku mogła się spodziewać, że się wkrótce znów z bezczelnemi żądaniami pojawi, a było to dla Waleryi niemałą troską.

O, gdyby ją tak ktoś chciał uwolnić od tego łotra, którego ona nienawidziła i którym pogardzała, a do którego przecież nierozerwalnymi węzłami była przykuta!

Zajęta temi myślami, przechodziła długie aleje pięknego parku, nie mając oka dla piękności otaczającej jej natury i bogactwa kwiatów. Jej plany i myśli o świetnej przyszłości zupełnie ją pochłaniały.

Ogród graniczył z małem jeziorkiem, które było otoczone lasem. Walerya siadła nad jego brzegiem i patrząc na gładką powierzchnię wody, pogrążyła się w marzeniach.

Nie spostrzegła wcale, że niedaleko od niej opierał się jakiś mężczyzna o niski płot ogrodu i bacznie ją obserwował.

Był on widocznie znużony z długiego chodu. Eleganckie jego ubranie było okryte kurzem, a kapelusz musiał zgubić, gdyż stał z gołą głową w pięknych promieniach słońca.

—Patrzajcie! — zawołał wreszcie ucieszony. — To przecież ona! Co za szczęśliwy przypadek, że ją tu spotykam!

Chciał przeskoczyć mur, lecz zjawiający się w tej chwili służący uniemożliwił jego zamiar.

Znikł więc za murem i szedł dalej w stronę bramy zamkowej.

Równocześnie i Walerya wróciła do zamku i udała się do swego buduaru. Niebawem wszedł służący i zameldował jej jakiegoś obcego, który chciał z nią pomówić.

Waleryę opanowało jakieś złe przeczucie. Pomyślała ona zaraz o Ludwiku, lecz wydawało jej się niemożliwem, aby ją tu mógł odnaleźć.

Nie miała jeszcze czasu namyśleć się nad tem, czy go przyjąć, czy nie, gdy on się już sam w ramach drzwi ukazał.

Był to ten sam człowiek, który ją w ogrodzie jeszcze obserwował. Przeczucie Waleryi się sprawdziło, był to bowiem rzeczywiście Ludwik Hecht, który wszedł do pokoju z bezczelnym uśmiechem i nisko się ukłonił.

Walerya wstała z gniewną miną i dała służącemu znak aby się oddalił. Zobaczyła bowiem z jakiem zdziwieniem i niezaufaniem on się śmiałemu przybyszowi przypatrywał.

— Więc to rzeczywiście ty! — rzekł Ludwik zadowolonym tonem.—Co za szczęśliwy traf, że tak przypadkowo tędy przechodziłem i ciebie w ogrodzie zobaczyłem, kochana, Waleryo! Przypuszczam, że ten piękny zamek należy do księcia i że jesteś pod jego opieką.

— Zgadłeś! — odpowiedziała szorstko i krótko, mierząc go spojrzeniem z ukosa. — Jak ty się jednak odważasz w tym stanie do mnie zgłosić? Co sobie służba pomyśli? Książę się jeszcze o tem dowie. Ty mnie też zawsze w ambaras wprowadzić musisz — zakończyła ona gniewnie.

— Mój Boże, ja o tem wcale nie pomyślałem! — uniewinniał się hultaj pokornie. — Nie bądźże zaraz taką szorstką. Ja się okropnie cieszę twojem szczęściem i tem, żeś wrogom swoim uszła. Co to za okropne niebezpieczeństwo dla nas wszystkich było!

— Niebezpieczeństwo w którem ty mnie opuściłeś! — rzekła pogardliwie.

— Ależ, kochana moja! Nie mogłem wtedy niestety nic dla ciebie zrobić, a zresztą hrabie Sinobrody obiecał, że cię uratuje. Nam zaś mnie i Piotrowi kazał naprzód jechać!

Walerya skinęła ręką na znak niedowierzania. On zaś zamilkł i powiódł zdziwionym wzrokiem po wspaniałym urządzeniu komnaty.

— Jak tu pięknie i bogato! — rzekł rozpromieniony. — Tu sobie wybornie żyć będziemy.

— My? — zapytała Walerya z naciskiem. — Żartujesz chyba, bo dla ciebie tu miejsca nie ma! Powinieneś uznać, że my razem być nie możemy.

— Ach, dlaczego nie? — westchnął smutnie. Książę przecież wcale o tem nie potrzebuje wiedzieć! Albo daj mi liberyę i zatrzymaj mnie przy sobie w roli służącego.

— Nie, nie! To nie idzie! — rzekła stanowczo. — Ty musisz się stąd wynieść!

— Nie widzę powodu! — wtrącił cynicznie. — Ja ci przecież zupełnie nie przeszkadzam. W obecności księcia będę jak każdy inny służący. Gdy zaś jego nie będzie, to ja będę twoim prawowitym małżonkiem i będziemy sobie wzajemnie o ile możności uprzyjemniać życie. Czyż ja nie jestem skromny i niezazdrosny, kiedy ci pozwalam na czuły stosunek z księciem? Musisz przecież uznać, kochana Waleryo, że ja rzeczywiście więcej dla ciebie zrobić nie mogę, niż już teraz czynię.

Walerya przysłuchiwała mu się z zimną, ponurą miną.

— Rozumiem cię najzupełniej! — rzekła lodowato. — Ty sądzisz, że ja bym cię słuchać musiała, lecz tak nie jest! Powtarzam ci, że ja nie chcę z tobą nic więcej mieć do czynienia. Ty pójdziesz stąd i nigdy więcej tu nie wrócisz. Jeżeli zaś tego nie uczynisz — to...

— Proszę cię, tylko żadnych gróźb! — przerwał on jej szybko. Nie bądź też śmieszną, bo mnie przecież nie możesz zmusić abym stąd odszedł. Wiesz dobrze, że gdybym księciu prawdę powiedział, to piękne życie dla ciebie w tej chwili by się skończyło. Bądź więc rosądną i zostaw mnie przy sobie. Nie możesz wcale wiedzieć, jak ja ci się jeszcze przydam!

— Nie! — krzyknęła gniewnie i obrzuciła go płomiennym i nienawistnym wzrokiem. — Ja się ciebie chcę raz na zawsze pozbyć, ty dręczycielu! Twoja obecność wszelką przyjemność mi zatruła. Ty musisz stąd odejść. Nie zmuszaj mnie do gwałtownych środków.

— Ależ ty nie będziesz taka głupia, aby się sama zdradzić! — rzekł pewny siebie. — Przyjdź-że do rozumu! Ja jestem zdecydowany nigdy cię więcej nie opuścić!.

Walerya zacisnęła pięści w bezsilnej złości. Mogła ona była zdławić tego zuchwałego łotra! Lecz uznała, że musi go po dobremu nakłonić, aby się z nią rozstał.

Lecz wszystkie jej perswazye, groźby, prośby i obietnice odbijały się o jego niewzruszony upór. Drżała ona z gniewu i oburzenia, a uczucie bezsilności wobec niego do szału ją doprowadzało.

— Dobrze! — syknęła wreszcie wyczerpawszy wszystkie swe argumenta. — Zostań więc tu. Ale ja ci przepowiadam, że ty przepłacisz upór swój życiem. Ja się już potrafię od ciebie uwolnić, choćbym cię, łotrze sama miała zamordować.

— No... no! — rzekł uspokajająco. — Ja wiem, że ty tego tak źle nie myślisz.

— Precz z moich oczu! — krzyknęła ona gwałtownie. — Dam rozkaz, aby cię we wszystko potrzebne zaopatrzeć, ale biada ci, jeżeli ci się wymknie jakie nierozważne słowo, albo jeśli się księciu na oczy pokażesz. Byłaby to twoja zguba!

Pociągnęła za dzwonek i zanim zdziwiony hultaj jeszcze się na to słowo mógł zdobyć, zjawił się służący. Walerya wskazała na swego męża i rzekła rozkazująco:

— Ten człowiek ma dostać pokój dla służby i trzeba go zaopatrzyć w porządne ubranie!

Ludwik cofnął się, widząc jej stanowczość i energię. Nim się obejrzał, był już w przedpokoju, a służący kazał mu iść za sobą.

Walerya została sama. Chodząc nerwowo tam i z powrotem po pokoju, rozważała ona w jaki sposób się Ludwika pozbyć, bo zostać tu nie śmiał pod żadnym warunkiem!

Wreszcie powzięła plan, który jej się wydawał skuteczny i szepnęła szatańsko:

— Pozbędę się go dziś wieczorem jeszcze... i to na zawsze!

Gdy się ściemniło, kazała ona Ludwika do siebie zawołać. Przyszedł on natychmiast i spytał zdziwiony i nieufny:

— Ty chcesz ze mną pomówić? Spodziewam się, żeś się namyśliła i że się zgadzasz, abym przy tobie został?

— Więc ty w żaden stąd się zabrać nie chcesz? — badała.

— Nie! Gdyż tu jestem najbezpieczniejszy przed prześladowaniem!

Walerya zamyśliła się na chwilę, potem rzekła pozornie ulegle:

— Zobaczę, jak to się da zrobić! Nie możesz tu zostać w roli służącego, gdyż nie ja, tylko książę służbę przyjmuje. Nie wiem więc, pod jakim pretekstem bym cię mogła polecić!

— To wcale nie jest potrzebne, gdyż książę o mojej obecności tu wcale wiedzieć nie potrzebuje!

— On by się o tem z pewnością dowiedział! Lecz ja mam inny plan. Gdy książę przyjdzie, to z nim o tobie pomówię. Na razie musisz jednak stąd odejść!

— Dlaczego? I jakie są właściwie twoje plany? — zapytał podejrzliwie.

— Nie pytaj się! Zobaczysz! — zawołała niecierpliwie. — Przedewszystkiem musisz jutro rano, albo dziś wieczorem jeszcze opuścić zamek i udać się do pewnego oznaczonego miejsca. Tam masz odczekać wiadomości odemnie, kiedy masz wrócić.

Ludwik zwietrzył jakiś podstęp. Przeczuwał on, że go Walerya chce zniszczyć, nie wiedział tylko w jaki sposób ona chce to uczynić.

— Mów wyraźniej! — rzekł on opryskliwie. — Twój plan mi się nie podoba!

— Ach, co! Jak mnie nie chcesz słuchać, to się zaraz stąd wynoś! — zawołała szorstko. — Nie mogę przecież więcej dla ciebie uczynić, jak życzenie twoje spełnić. Muszę naturalnie ostrożnie do tego się zabrać!.

— Moja kochana Waleryo! — uśmiechnął się hultaj ironicznie. — Ja plan twój przenikam! Ty chcecz mnie oszukać i w swoje sieci zwabić! Ale mocno się przerachowałaś, gdyż ja się na twoją wędkę złapać nie dam.

— Więc się do moich rozporządzeń nie chcesz zastosować? — irytowała się.

— Nie, moje dziecko! Nie uczynię tego,

dopóki mi planu swego wyraźnie nie powiesz!

— To jest zbędne! — krzyknęła gwałtownie. — Zdecyduj się w tej chwili. Chcesz, czy nie?

— Powiedz mi przynajmniej, na co ja raz jeszcze odejść muszę!

— Całkiem poprostu na to, aby cię książę u mnie nie zastał!

— Nie rozumiem cię, bo jeżeli ja później mam tu przebywać, to on mnie przecież zobaczyć musi!

— Dość tej bezcelowej gadaniny! — przerwała mu niecierpliwie. — Albo pójdziesz i zastosujesz się do moich rozkazów, albo ja z tobą nic więcej nie chcę mieć do czynienia i każę cię gwałtem z zamku wyrzucić. Decyduj się prędko!

— O, ty mnie groźbą nie przestraszysz! — uśmiechnął się lekceważąco. — Wiesz przecież, że gdybyś ją wykonała, to i twoją zgubę byś tem przyspieszyła. Ja opowiedziałbym bowiem natychmiast księciu, że jesteś moją żoną i to samo służba by się dowiedziała.

Walerya uśmiechnęła się szyderczo.

— Nikt by ci nie uwierzył! — rzekła pogardliwie. — A książę najmniej. Powiedziałabym, że jesteś obłąkany i dostałbyś się do domu obłąkanych, albo do domu poprawy.

— Tak jest, widzę, że chciałabyś mnie czemprędzej tam napowrót wsadzić! — zawołał Ludwik podrażniony. — Nie postępujesz sobie ze mną uczciwie. Lecz ja ci się nie ustąpię. Rób co chcesz. Tym razem ty mnie nie podejdziesz.

Walerya nie wiedziała, co mu ma odpowiedzieć. Widziała ona, że plany jej rozbijały się o jego upór i podejrzliwość. Opanował ją straszny gniew. Okiem pełnem nienawiści i groźby wpatrywała ona się w jego szyderczą i tryumfującą twarz.

Wtem drgnęła przelękniona, gdyż usłyszała w przedpokoju szybki, pewny krok i głos którego dźwięk w okropny ambaras ją wprawił.

— Książę! — krzyknęła przerażona. — Precz stąd, ty hultaju! Wynoś się prędko!

Lecz Ludwik stał jakby skamieniały, nieruchomo ze strachu i patrzył osłupiale w drzwi. W żywej sprzeczce nie usłyszeli oni oboje przybycie księcia, a teraz już było za późno, aby się Ludwik mógł ukryć.

Walerya załamywała ręce w rozpaczy i przewidywała okropną katastrofę. Rzuciła ona się dziko na niego i złapała go za plecy.

— Uciekaj... tamtędy! Idźże czemprędzej, hultaju! — zgrzytnęła.

Wtem służący otworzył drzwi i książę stanął na progu. Popatrzył on na Ludwika w bezgranicznem zdziwieniu a twarz jego się zasępiła. Przystąpiwszy szybko do drżącej z trwogi Waleryi, wskazał on wyniosłym, pogardliwym ruchem na stojącego spokojnie w kącie szubrawca Ludwika Hechta.

— Kto jest ten człowiek? I co on tu w twoich komnatach ma do czynienia? — zapytał książę ostrym tonem.

CLIX.

FATALNY KROK.

Z powodu niespodziewanego wyjazdu księcia, musiał hrabia Edmund poczekać ze swoimi wyjawieniami aż do powrotu monarchy. Wrócił on jednak wcześniej niż go się spodziewano.

Ledwo się hrabia Edmund o tem dowiedział zebrał się, aby pojechać do książęcego pałacu.

W ostatniej chwili zameldowano mu jednak Wintera. Detektyw wszedł okropnie wzburzony, a widok jego wzbudził w hrabiu Edmundzie przykre przeczucie. Winter wyglądał tak, jakby go jakieś nieszczęście spotkało.

— Ekscellencyo! — rzekł on drżącym głosem. — Przychodzę oznajmić panu, że z wyższego zlecenia zostałem właśnie wydalony ze służby państwowej.

Hrabia Edmund popatrzył, zaskoczony tą przykrą wiadomością, w ponurą twarz detektywa i na razie nie mógł przyjść do słowa.

— Pan ze służby wydalony? — krzyknął oburzony. — Dlaczego? I za co?

— Tego sam jeszcze nie wiem. Sam szef oświadczył mi z wyrazami pożałowania, że dostał rozkaz mego natychmiastowego wydalenia!

— To musi być jakaś pomyłka! Jabym przecież coś o tem musiał wiedzieć. Któż to rozkazał wydalenie pana?

— Bezwątpienia sam książę! Przynajmniej rozkaz wyszedł z książęcej kancelaryi.

— Tego ja sam nie rozumiem! W każdym razie będę miał wkrótce wyjaśnienie, gdyż właśnie do księcia jechać zamierzam. Nie bierz pan sobie tej sprawy tak do serca panie Winter. Wydalenie pana dziś jeszcze zostanie odwołane! —

—Obawiam się, że to nie będzie tak łatwo, ekscelencyo! — westchnął Winter. — Dla mnie cios ten nie jest zupełnie zagadką i jestem pewny, że to jest sprawka tej dyabelskiej Waleryi. Dowiedziałem się, że ona już jest pod

opieką młodego księcia, który ją ze wsi gdzieś w nocy uprowadził. Przybyłem niestety już zapóźno i straciłem zupełnie ich ślad. Walerya ma więc teraz księcia zupełnie po swojej stronie, a moja dymisya wyszła prawdopodobnie od niego.

Hrabia przysłuchiwał się w ponurem zamyśleniu i potrząsł gniewnie głową.

— Ma pan słuszność! rzekł on. — Lecz jeszcze sprawa nie jest stracona. Spodziewam się przekonać księcia o prawdzie, a wtedy, kochany panie Winterze, wybiła ostatnia godzina Waleryi, pan zaś wróci do swego urzędowania.

— Twarz Wintera nie rozpogodziła się. Nie podzielał on nadziei hrabiego Edmunda, lecz przewidywał większe jeszcze zawikłania. Gdy jednak otwarcie obawy swe wypowiadał, przerwał mu hrabia z uśmiechem:

— Pan zanadto czarno widzi, kochany panie Winter. Bo chćby się nawet Waleryi udało zupełnie młodego księcia w sobie zaślepić i w oczach jego uchodzić za niewinnie prześladowaną, to tem samem nie może ona jeszcze mieć wpływu na księcia regenta.

Ale Walerya zdradziła pewno wszystko tyczące się hrabiny Agaty! — wtrącił Winter. — A stary książę może się o tem już od siostrzeńca swego dowiedział. Tego ja się obawiam.

— W takim razie jest to moim obowiązkiem niezwłocznie z księciem pomówić i wszystko mu wyjawić. Odprowadź mnie pan, panie Winter. Może będę panu nawet mógł niezwłocznie audyencyę u księcia wyrobić.

Winter chętnie się na to zgodził. Wsiadł z hrabią do powozu i niebawem dojechali do pałacu księcia. Było to tego samego dnia, gdy się Ludwik zjawił w zamku leśnym u Waleryi i gdy młody książę był jeszcze w stolicy.

Gdy hrabia Edmund wszedł z Winterem do przedpokoju książęcego zamku, zjawił się nagle młody książę przed nimi, Ukłonili oni mu się obydwaj i chcieli go wyminąć, lecz książę zbliżył się do hrabiego Edmunda z szyderczym uśmiechem:

— Ach, to pan, panie hrabio! — zawołał ironicznie. — Przypuszczam, że pan chce mówić ze mną i zrobić zeznania co do swojej żony, co?

Hrabia Edmund odczuł ironię w głosie księcia i krew zawrzała mu gniewem. Odpowiedział jednak z udanym spokojem.

— Wątpię, czy jego książęca mość słowom moim dziś jeszcze uwierzy. Gotów jestem jednak dać każdej chwili księciu panu żądanych wyjaśnień.

Książę uśmiechnął się nieznacznie.

— To już innym razem, ekscellencyo! — odpowiedział. — Teraz nie mam czasu słuchać zajmującej historyi pana!

Hrabia Edmund ukłonił się milcząco.

— Zresztą słyszałem o panu dziwne rzeczy ekscellencyo — rzekł książę tym samym tonem. — Czy idzie pan teraz do księcia?

— Tak jest! — odparł hrabia Edmund krótko i popatrzył na księcia ostro i badawczo.

— Mogę sobie wyobrażać, co jaśnie książę o mnie słyszał i wiem też od kogo — dodał wyzywająco.

Zgaduje pan więc? Dobrze — uśmiechnął się młody książę złośliwie — książę, wuj mój, zna już także niektóre z tajemnic pana, panie ministrze! Proszę, wejdź pan już tam pana oczekują. Przepowiadam panu jednak niełaskę księcia.

— Dlaczego, jeśli wolno spytać — jaśnie książę?

— Dlaczego? Mój Boże, pan udaje jakgdybyś o niczem nie wiedział — zaśmiał się książę — ach, kochany panie hrabio. Wie pan przecież, że znieważenie prawa się mści... nawet wtedy, kiedy popełnione bywa z litości i chrześcijańskiej miłości bliźniego.

— Nie rozumiem jego książęcej mości — odparł hrabia Edmund sucho — proszę o jaśniejsze wytłómaczenie.

To objaśnienie otrzyma pan tam... — w gabinecie księcia — odparł książę pogardliwie — życzę dobrego powodzenia.

I śmiejąc się odszedł, a hrabia Edmund popatrzał za nim gniewnie. Drżał on z oburzenia.

Jak książę mógł się odważyć tak go zelżyć? Widocznie stanowisko jego mocno było zachwiane. Wychodził właśnie z gabinetu księcia, musiał go więc oskarżyć i zdradzić księciu uratowanie Agaty.

Lecz hrabia Edmund zdecydowany był stawić temu wszystkiemu czoło. Mimo uprzedzenia będzie go książę przecież sprawiedliwie sądził, gdy się prawdę z ust jego dowie. Nie mógł on się wreszcie cofnąć, bo już był zameldowany!

— Ekscellencyo — szepnął Winter zaniepokojony. — Obawiam się, że pana teraz trudna przeprawa czeka, i że wolność hrabiny Agaty mocno jest narażona .Może właśnie w tej chwili, gdy my tu jesteśmy, prowadzą ją z rozkazu księcia znowu do więzienia?

Hrabia Edmund potrząsł głową niedowierzająco.

— Tak prędko, to niemożebne, kochany panie Winterze — rzekł uspokajająco—lecz ja

mimoto dzielę obawę pana. Proszę więc dlatego, aby pan czemprędzej do żony mojej pospieszył i w bezpieczne miejsce ją przewiózł.

Winter chciał się oddalić, gdy nagle zatrzymał się i szepnął hrabiemu:

— Sprawdziło się moje przeczucie, oto nadchodzi prokurator.

Doprawdy, ten sam, który moją żonę niegdyś zasądził — zawołał hrabia Edmund wzburzony — został on bezwątpienia do księcia powołany.

— Z powodu wizyty pani hrabiny w więzieniu — wtrącił Winter śpiesznie. — Prokurator pewnie mu już doniósł o tem, a książę teraz od niego bliższych szczegółów chce się dowiedzieć.

Hrabia Edmund skinął milcząco głową i szepnął do Wintera:

— Spiesz się pan, bo ten człowiek uzyska pewno pozwolenie księcia, co do powtórnego uwięzienia mej żony.

Winter odszedł spiesznie i nie słyszał nawet wołania prokuratora za sobą. W tej chwili zawołano hrabiego Edmunda do gabinetu księcia.

Przeszedł on próg pozornie spokojnie i z wzniesioną dumnie głową, ale serce biło mu gwałtownie w piersi, a twarz jego była śmiertelnie blada.

Książę siedział przy swojem biurku, które było gęsto papierami założone. U góry leżał znany hrabiemu Edmundowi dokument: wyrok śmierci czarnej damy, matki Agaty.

Drgnął on na widok tego papieru, którego doniosłość dopiero w tej chwili mu się uświadomiła. Wtem odwrócił się książę i zwrócił groźny swój wzrok na hrabiego.

Przychodzi pan w sam czas, ekscelencyo — zaczął on ostrym tonem. — Chciałem pana właśnie do siebie poprosić, aby zażądać pewnych informacyi. Doszły mnie bowiem wiadomości o dziwnych, trudnych do uwierzenia rzeczach.

Hrabia Edmund skłonił się nizko i popatrzył księciu śmiało w oczy.

— Chciałem właśnie jego książęcej mości zdać sprawę z tych zajść — odpowiedział ze skromną godnością.

— Tak — zawołał książę zdziwiony. — Lecz najpierw wytłómacz mi pan z łaski swojej, jak to może być, że pan ma dwie żony?

— Byłem przekonany, że pierwsza żona moja już nie żyje, gdym się z drugą ożenił, jaśnie książę.

— A dlaczegóż pan się wobec mnie tej pierwszej żony wypierał — zapytał książę podniesionym głosem. — Pytałem się pana wyraźnie, panie hrabio, czy pan żonaty, gdy pan objął urzędowanie, a pan powiedziałeś, że nie.

— Czy wolno mi będzie wytłómaczyć to jego książęcej mości — zapytał hrabia Edmund drżącym głosem. Jestem przekonany, że gdy mnie jaśnie książę wysłucha, to sam się do tego przyczyni, aby niewinnie skazanej osobie sprawiedliwość została wymierzona i aby prawdziwa winowajczyni zasłużoną karę otrzymała.

— Czy pan chcesz mówić o tej skazanej? — zapytał książę wskazując ręką na wyrok śmierci.

— Nie, jaśnie książę. Mimo, że i o tej nieszczęśliwej dowiedziałem się szczegółów, które do łagodniejszego osądzienia czynu doprowadzić powinny. Moja pierwsza żona została mniej więcej przed rokiem skazana na śmierć za zabójstwo swego męża, barona Rambowa, którego podobno otruć miała. W rzeczywistości zaś ona jest niewinna. Nie żona moja Agata, lecz ta kobieta, którą później w zaślepieniu swem za żonę pojąłem, popełniła ową zbrodnię!

— Czy to jest dowiedzione — zapytał książę niedowierzająco.

— Jeszcze nie zupełnie, jaśnie książę — była odpowiedź hrabiego — lecz ja byłem od początku przekonany, że Agata jest niewinna, lecz nie było w mojej mocy, aby jej pomódz. Nie mogłem przeszkodzić jej skazaniu i dlatego musiałem popełnić czyn, który właściwie wobec prawa jest karygodnym, jaśnie książę Wyrwałem niewinnie skazaną z rąk kata... uratowałem ją od szubienicy.

Zamilkł i ciężko odetchnął. Książę nic na razie nie odpowiedział, lecz ponuro spojrzał w bladą twarz swego ministra.

Ten ostatni zaś zaczął księciu dalej opowiadać o smutnych losach Agaty i prześladowaniu jej przez Waleryę. Opowiedział wszystko, co Winter dotychczas zbadał. W końcu zaś nadmienił o zbrodni poprzednika swego wobec matki Agaty i smutną historyę jej życia.

To wszystko jest świętą prawdą, jaśnie książę — zakończył on. — Nie wypieram się tego, co uczyniłem dla nieszczęśliwej swej żony Agaty, gdyż wiem, że tem nic złego nie popełniłem. Spodziewam się też, że jego książęca mość mnie za to nie potępi.

Książę nie przerwał mu ani jednem słowem, mimo, że mina jego wyrażała nieraz zniecierpliwienie i zdziwienie. Sposępniał bardziej jeszcze i rzekł ostrym tonem:

— Nie mogę uwierzyć w to, co teraz od pana usłyszałem, gdyż ta sama sprawa została mi w zupełnie innem świetle przedstawioną. Panu chodzi zdaje się tylko o to, aby żonę swą

Agatę i matkę jej uchronić od kary, i widzę, że żaden środek nie jest panu zanadto zły, aby cel swój osiągnąć.

Niszczące te słowa padły jak grom na hrabiego Edmunda i zniszczyły wszystkie jego nadzieje.

— Czy jego książęca mość mi nie wierzy — wyjęknął on zrozpaczony.

— Nie, panie hrabio, nie wierzę panu — rzekł książę nieubłaganie. — Nie zmyli mnie pan swoją bajką. Możliwie, że żona pańska, Agata opowiedziała panu w taki sposób historyę swej matki. Lecz mniejsza o to, chodzi tu bowiem w pierwszym rzędzie o pańską własną winę, która polega na tem, że pan przekroczyłeś prawo, ratując skazaną na śmierć mężobójczynię ze szubienicy.

— Jaśnie książę nie może czynu tego potępić, jeśli zważy, że żona moja jest niewinna i że niewinnie ściętą być mogła — zawołał hrabia Edmund z naciskiem. — Ja tylko przeszkodziłem tej niesprawiedliwości.

Książę nakazał mu milczenie niecierpliwym ruchem ręki.

— Jest to dla pana okolicznością łagodzącą, że pan wierzy w niewinność swej żony — rzekł — lecz nie możesz pan zarzucić sędziom, że wydali niesprawiedliwy wyrok. Słyszałem, że wina skazanej była dowiedzona i sprowadziłem tu prokuratora, aby od niego raz jeszcze sprawę tę ze szczegółami usłyszeć. Każę sprawę tę raz jeszcze dokładnie zbadać, a gdy się i teraz jeszcze wina żony pańskiej okaże, to zostanie bez miłosierdzia ścięta.

Hrabia Edmund zadrżał ze strachu. Zbladł jak śmierć i cofnął się o kilka kroków wstecz.

— Jaśnie książę — krzyknął on wzburzony — ja tego nie zniosę aby moją niewinną żonę raz jeszcze na szafot ciągnięto.

— Panie — huknął książę gniewnie — co to za śmiałość tak się wobec mnie odzywać? Czyż pan ślepy, że się pan dla tak niegodnej istoty poświęca? Powinien pan był tę zbrodniarkę ze wstrętem od siebie odtrącić i sam ją w ręce sędziów oddać. To byłby sprawiedliwy uczynek.

— Nie, jaśnie książę — zawołał hrabia Edmund rozpaczliwie. — Nic nie wzruszy mej wiary w niewinność mej żony. O, proszę się dać przekonać, jaśnie książę i proszę w sprawiedliwości swej znieść ten okrutny wyrok i uwierzyć w dowody winy prawdziwej morderczyni.

— Dość — przerwał mu książę ostro — ja nic więcej słyszeć nie chcę. Śledztwo okaże, kto jest winny, a kto niewinny. Co zaś pana się tyczy, panie hrabio, a odpowie pan za swój czyn przed sądem. Żałuję tylko, że nie wiedziałem o tem wcześniej, bo nie byłbym panu powierzył urzędu ministra.

— Jeżeli tak, to mi nic innego nie pozostaje jak podać się o dymisyę — zawołał hrabia dumnie — po tem co zaszło, nie mogę urzędu swego dłużej piastować.

Hrabia Edmund odetchnął głęboko, wypowiedziawszy te ważne, decydujące dla losu swego słowa.

— Pewnie dostanie pan dymisyę — odrzekł książę pogardliwie — od dnia dzisiejszego nie jest pan więcej ministrem. Dalsze zarządzenia moje otrzyma pan w swoim pałacu.

Dał mu ręką znak do odejścia i odwrócił się od pogardzonego słowami tymi hrabiego, w którego duszy wrzała najokropniejsza burza.

To więc był koniec wszystkich jego nadziei, nagłe strącenie z najwyższych wyżyn, w najgłębszą przepaść. Zdymisyonowany, sromot nie oddalony i to wszystko przez kobietę, przez kobietę podstępną, przewrotną i mściwą.

Tak jest, to było dzieło Waleryi. Osiągnęła przez młodego księcia to, czego chciała. Książę powtórzył wujowi swemu wszystko, co mu Walerya nakłamała, a wuj jego w to uwierzył.

On, hrabia Edmund Linderhof, wyglądał jak kłamca i zbrodniarz w oczach księcia-regenta. Agacie zaś i jej matce groziła okropna śmierć, podczas gdy prawdziwa winowajczyni tryumfowała.

Krew zawrzała mu na tę myśl i mimowoli zacisnął pięści, jak gdyby na zmiażdżenie nienawistnej kobiety. Ona tryumfowała, a on poniósł porażkę tak jak mu to przepowiadała.

Jak oszołomiony, wysunął się z gabinetu księcia. Na progu spotkał prokuratora, który właśnie wchodził. Uśmiechnął on się złośliwie i szyderczo, gdyż wyczytał ze zmienionej twarzy hrabiego Edmunda jego los.

Hrabia nie zauważył jednak tego. Wyszedł jak gdyby we śnie, wsiadł do powozu i wrócił szybko do swego pałacu.

W pokoju swoim padł na krzesło i ukrył z jękiem twarz w dłoniach.

Lecz prędko opanował się. Nie wolno mu było poddać się boleści gdyż tu chodziło o energiczne działanie. Przedewszystkiem trzeba było przewieźć Agatę do bezpiecznego schroniska, a Winter sam nie wiedział dokąd.

Zadzwonił. Wszedł stary Michał, lecz słowa uwięzły mu na ustach, gdy popatrzył w śmiertelnie bladą, skrzywioną twarz hrabiego.

— Ekscellencyo! Na miłość Boską, co się stało — zawołał przelękniony — czy pan hrabia chory?

— Nie, nie, prędko stary! Niech powóz zajedzie — rozkazał hrabia ochrypłym głosem.—

Nękała go myśl, że Agata jest w niebezpieczeństwie, i że siepacze już są może w drodze do niej.

Stary Michał nie mógł się ruszyć ze strachu i patrzył osłupiałym wzrokiem w swego pana.

— O, panie hrabio, pan jest chory? Albo może się coś złego stało—przemówił wreszcie.

Hrabia Edmund zniecierpliwił się. Lecz jakżeż mógł się gniewać na starego, wiernego sługę, który z całej duszy był do niego przywiązany i drżał teraz z obawy o niego. Przystąpił więc szybko do niego i podał mu rękę.

Tak jest, nieszczęście, mój dobry Michale — rzekł głucho. — Nie jestem już więcej ministrem. Wszystkim nam grozi niebezpieczeństwo. Chodź, uratujmy przynajmniej moją żonę.

Stary sługa wydał okrzyk przerażenia i złapawszy rękę swego pana do ust ją przycisnął.

Hrabiemu Edmundowi łzy się w oczach zakręciły. Poczciwy jego sługa tak żywy udział brał w jego losach i tak ostatnią wieścią był przygnębiony.

— Odwagi, stary — zawołał energicznie i poklepał go po ramieniu. — Na co się nam nasze skargi zdadzą? My zostaniemy razem w szczęściu i nieszczęściu. Lecz teraz idź, mój wierny Michale i postaraj się o powóz!

Stary Michał chciał właśnie wychodzić, gdy usłyszał szybkie kroki w przedpokoju. Po chwili wpadł Winter z doktorem Klocem do pokoju. Obydwaj byli wzburzeni.

— Mój Boże, co się stało — zawołał hrabia Edmund przestraszony.

— Ekscellencyo — jęknął Winter — przyszedłem za późno i żonę pańską już uratować nie mogłem. Policya mnie uprzedziła i uwięziła ją.

Hrabia Edmund padł bezsilnie na krzesło, a z ust jego wyrwał się przeraźliwy okrzyk.

— Uwięziona? Wielki Boże, teraz wszystko stracone — jęknął rozpaczliwie i zakrył twarz rękoma.

Z współczuciem patrzeli obaj towarzysze na hrabiego, który siedział złamany. Stary Michał odwrócił się i głośno zaszlochał.

Wtem zbliżył się Winter do hrabiego i położył mu rękę na ramieniu.

— Ekscellencyo, proszę się uspokoić i przedewszystkiem o własnem niebezpieczeństwie pomyśleć! — upominał. — I panu grozi niebezpieczeństwo.

Hrabia Edmund wyprostował się i z trudem się opanował.

— Ma pan słuszność, kochany panie Winter. — Musimy działać! Pan żonie mojej już teraz ucieczki ułatwić nie może, nie pozostaje mi więc nic innego, jak ucieczka do rozpaczliwego środka.

Złapał on płaszcz i kapelusz, a z rysów jego biło niezłomne postanowienie.

— Ekscellencyo! — zawołał Winter zaniepokojony i zaszedł mu drogę. — Co pan chce uczynić?

— Uwolnić swoją żonę!

— Ależ, panie hrabio, proszę pamiętać o tem, że żona pańska jest już w więzieniu— mitygował go detektyw. — Proszę na miłość Boską nie działać bez zastanowienia.

— Niech pan będzie zupełnie spokojny!— odparł hrabia Edmund z gorzkim uśmiechem. — Szkoda tylko, żem pierwej rady pana nie usłuchał i wczas żonie swej bezpiecznego schroniska nie zapewniłem. Lecz zapóźno na ratunek jej jeszcze nie jest. Posiadam więc moc i wpływy, dopóki dymisya moja oficyalnie nie jest ogłoszona. Książę nie ma jeszcze formalnego podania mego o dymisyę w ręku. Jestem więc teraz jeszcze ministrem.

Wyprostował się energicznie, a oczy jego zabłysły odwagą.

— Użyję tego wpływu mego w ostatniej chwili jeszcze, aby żonę swą uwolnić! — ciągnął on dalej. — Kto mi się odważy sprzeciwić? Ja ją sam z więzienia wyprowadzę... a potem niech się świat zawali. Ja o nic więcej nie pytam!

To rzekłszy wybiegł szybko z pokoju. Winter i doktór Kloc popatrzyli za nim w niemem zdziwieniu, lecz prędko się opamiętali i za nim pośpieszyli.

Wątpię, czy się hrabiemu jeszcze uda żonę swą uwolnić! — rzekł Winter idąc z towarzyszem swym za hrabią Edmundem.

CLX.

GROŹBA ODWETU.

Promenadą nadmorska Nizzy kroczył wśród piekących promieni słonecznych mężczyzna, którego elegancki ubiór zdradzał przynależność jego do wyższej sfery.

Oglądał się ponurym, badawczym wzrokiem, to w prawo, to w lewo i obserwował bacznie tłumy spacerujących.

W szykownym mężczyźnie tym poznajemy hrabiego Sinobrodego. Wyglądał bardzo niezadowolony, gdyż od trzech dni już tu bawił i szukał bez wytchnienia za Betliną i jej towa-

rzyszem. Daremnie jednak; nie mógł on ich w żaden sposób odnaleźć.

A przecież oni tu być musieli. Mieszkali oni prawdopodobnie nie w hotelu, tylko w jakiejś prywatnej willi i dlatego mu tak szukanie było utrudnione.

Wtem stanął i popatrzył na przejeżdżający tuż obok niego rząd powozów, o których jedwabne poduszki opierały się piękne, wystrojone damy. Obok powozów tych jechali jeźdzcy konni. Był to piękny, ożywiony obraz, okazujący obserwującemu coraz to nowe postacie i grupy.

Hrabia Sinobrody usiadł na ławeczce w cieniu i przypatrywał się jaskrawej tej panoramie.

Osoba jego nie wpadała tu w tłumie tylu różnorodnych ludzi w oko. Mimoto padał niejeden wzrok z pięknych oczu kobiecych na jego bladą, straszną twarz, której kruczo czarna broda nadawała demonicznego charakteru.

Nikt go tu nie zna i czuł on się też dlatego zupełnie bezpieczny. Patrzał jak we śnie na powozy, jeźdźców i pieszo spacerujących ludzi. Wtem drgnął nagle a oczy jego szeroko się rozwarły.

W szeregu powozów spostrzegł on bowiem dwie suto w jedwabie i klejnoty przystrojone damy, a obok nich starszego mężczyznę.

— Otóż są oni! Wreszcie ich odnalazłem! — zawołał uradowany.

— Była to rzeczywiście Betlina z ciotką swoją panią Dijon i starym wujaszkiem z Rosyi.

Betlina wyglądała promieniejąca i jeszcze piękniejsza niż dawniej. W eleganckich swych sukniach zwracała oczy wszystkich przechodniów na siebie.

Paplała, śmiejąc się z rozkochanym w sobie wujem, który również jak ona hrabiego Sinobrodego zupełnie nie spostrzegł.

Ten zaś patrzał za nimi zawistnym wzrokiem i zacisnął gniewnie pięści.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem przechodziły promenadą dwie młode rozmawiające żywo pary i powoli się ku niemu zbliżały.

Pierwszą parą była Gertruda z bratem Józefy, kapitanem Aleksandrem Brandenfeldem.

Aleksander wyzdrowiał pod opieką Gertrudy niespodzianie szybko. Dla rekonwalescencyi jego wyjechali oni na południe i przybyli tymi dniami do Nizzy. Wybrali oni miejscowość tę dlatego, gdyż dostali pewnego dnia list z jednego z włoskich portów, donoszący im że Józefa wraz z przywróconym do zdrowia farmerem do kraju i że się w Nizzy zatrzymają To ich naturalnie spowodowało przybyć tu dla spotkania się z swoimi ukochanymi.

Było to niewymownie radosne spotkanie, przeplatane tysiącem wspomnień z okropnego czasu południowo-afrykańskiej wojny. Lecz te raz byli oni szczęśliwie razem i bliżej ojczyzny.

Józefa i farmer dowiedzieli się o losach Gertrudy w ojczyźnie i o walkach jej z hrabią Sinobrodym. Pierwszym ich zadaniem było zdemaskować hrabiego Sinobrodego, i fałszywą hrabinę i oddać ich w ręce sprawiedliwości.

Nie przeczuwali oni jak bliscy byli tych, których szukali. Józefa z farmerem szli w poważnej rozmowie za Gertrudą i Aleksandrem. Niedaleko hrabiego Sinobrodego zatrzymali się i patrzyli również z zajęciem na długi szereg przejeżdżających powozów.

Nie mogli spostrzedz hrabiego Sinobrodego, który siedział na ławeczce w cieniu rozłożystego kasztana.

I Sinobrody nie spostrzegł grożącego mu niebezpieczeństwa. Wzrok jego spoczywał właśnie na Betlinie i jego towarzyszach. Nie widział nic innego w około siebie.

— Żmija! — zgrzytnął. — Przeklęta szachrajka! Czekaj, odpokutujesz ty mi za swój podstęp.

Postąpił o krok naprzód i wyciągnął groźnie ramię w stronę Betliny. W tej chwili przejechał powóz obok niego i Sinobrody chciał się właśnie na niego rzucić, gdy nagle stanał, jakby piorunem rażony.

Usłyszał bowiem obok siebie donośny, znany sobie głos.

— Patrzcie, to ona... tam w powozie! Ta nędzna oszustka, która przyjęła moje nazwisko i którą hrabia Sinobrody wyszukał, aby miejsce moje zastąpić. Ach, otóż i wuj jest przy niej. Jest w niej tak zaślepiony, że jej zupełnie wierzy i obłudy od prawdy rozpoznać nie może.

Były to słowa Gertrudy, która Betlinę poznała i uwagę towarzyszy swych na nią zwróciła.

— Ta nędzna istota ciebie unieszczęśliwiła! — zawołała Józefa gniewnie. — Zatrzymajmy ich natychmiast i zdemaskujmy ją tu w oczach wuja.

— Nie! — sprzeciwił się temu Aleksander. — Nie róbmy tu publicznego skandalu. Ona nam i tak nie ujdzie i odnajdziemy ją jeszcze wraz z wujem.

Donośne ich głosy doszły ucha Betliny. Spojrzała na nich z ukosa i padła z lekkim o-

krzykiem na poduszki powozu. Opanowało ją okropne przerażenie na widok Gertrudy i jej towarzyszy.

Hrabia Sinobrody nie spostrzegł ich jeszcze. Również stary wuj i pani Dijon nikogo nie spostrzegli i zajęli się przelęknieni zbladłą śmiertelnie Betliną, która była blizka omdlenia.

Gdy znowu otwarła oczy, powóz był już daleko poza miejscem gdzie stały osoby, które ją o taki strach przyprawiły.

Tam stała Gertruda z przyjaciółmi jeszcze w żywej rozmowie. Za drzewem siedział jeszcze zawsze hrabia Sinobrody, pełen gniewu, przestrachu i wzburzenia.

Więc i Józefa tutaj? — pomyślał. — Jest to dla mnie podwójne niebezpieczeństwo.

Mógł on słyszeć każde ich słowo i groźby ich co do Betliny, której zemstę przyrzekli. Zaczął też drżeć o swoje niebezpieczeństwo, gdyż byłby stracony gdyby oni go teraz zobaczyli.

Zgrzytając zębami w niemej i bezsilnej złości, stał za drzewem i zaglądał do nich ukradkiem. Musiał się niepostrzeżenie cofnąć, jeżeli się nie chciał narazić na niebezpieczeństwo.

W tej chwili zbliżała się Gertruda z przyjaciółmi swymi do miejsca w którem on był ukryty i chciała tam usiąść na ławce pod drzewem.

Hrabia Sinobrody skoczył na bok i chciał się niewidziany w krzaki schować. Lecz wtem spostrzegła go Józefa i wskazała na niego z przeraźliwym okrzykiem.

— Sinobrody! Oto ten nędzny morderca swoich żon. Schwytajcie go szybko... Aleksandrze!

Wszyscy go teraz spostrzegli i Aleksander wraz z farmerem pogonili za uciekającym Sinobrodym.

Kilku szybkimi krokami znikł uciekinier w gęstych krzakach.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Stary wujaszek obrzucał Betlinę pytaniami co do powodu jej zemdlenia, lecz ona mu nie zdradziła, że widziała Gertrudę i jej przyjaciół.

— O, to tylko było takie przejściowe osłabienie! — rzekła ona wymijająco. — Jedźmy do domu, nie wracajmy jednak promenadą, bo tam taki okropny ścisk. Możemy wrócić inną drogą.

Posłusznie dał stary wujaszek woźnicy rozkaz powrotu i niebawem wrócili do swego mieszkania.

Powóz zatrzymał się przed bramą dużego pięknego ogrodu, w którego głębi wznosiła się piękna, obszerna willa.

Odźwierny otworzył bramę i powóz wtoczył się w wysypane żwirem aleje ogrodu. Wysiedli u stóp pięknej terasy. Wujaszek poprowadził ją przez stopnie na górę.

Pani Dijon szła za nimi zaniepokojona i zdziwiona. Chciała się czemprędzej dowiedzieć, co Betlinę w taki strach wprawiło, gdyż sama Gertrudy wcale nie widziała.

Wreszcie weszli do tej połowy willi, którą za drogie pieniądze zamieszkiwali. Druga połowa była jeszcze próżna. Było to pierwsze piętro. Na górze zaś mieszkało kilku bogatych Amerykanów i jakaś francuska markiza ze swoją służbą.

Betlina uniewinniła się wobec wuja i odeszła z ciotką do swego pokoju. Tam padła w jej ramiona i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

— Czyś ją widziała, ciociu? — lamentowała. — O Boże, co za okropne niebezpieczeństwo mi teraz grozi. W ostatniej chwili przed weselem dowie się wuj jeszcze o wszystkiem, a wtedy ja będę stracona!

— Boże miłosierny! — zawołała ciotka wzburzona. — Powiedz mi, co się stało, moje dziecko, bo ja nie mogę pojąć powodu twojej rozpaczy!

— Czyś ją nie spostrzegła, ciotko?

— Nie! Kogo?

— Gertrudę! Hrabinę Gertrudę! — szepnęła Betlina trwożnie i opowiedziała jej, jak Gertruda na promenadzie ją zobaczyła.

— Ono mnie także poznała! — dodała Betlina załamując ręce. — A teraz każdej chwili może się tu zjawić, aby mnie zdemaskować. Wtedy wujaszek odtrąci mnie z pogardą i wstrętem od siebie, zamiast się ze mną ożenić!

Jak szalona padła Betlina na krzesło i zaczęła rozpaczać, jakgdyby obawy jej już się spełniły. Pani Dijon również była poirytowana, lecz prędko opanowała się i zaczęła lamentującą Betlinę uspokajać.

— To jeszcze pytanie, czy Gertruda i przyjaciel jej nas tu znajdą, moje dziecko! — perswadowała jej. — Jesteśmy tu przecież pod innem nazwiskiem zapisani! Wuj zameldował się jako pan "von Eckstein" dodawszy sobie szlachectwo. Nasi wrogowie będą więc mieli trudności w odszukaniu nas!

— A mimoto przecież nas odnajdą! My musimy stąd uciekać! Ani dnia dłużej zostać nam nie wolno tutaj!

— Ależ to tak prędko nie idzie! Wuj pewno się stąd ruszyć nie zechce, a prawdziwego powodu przecież mu zdradzić nie możesz!

— Ach, to rozpacz! — jęknęła Betlina,— że też ta Gertruda się tu zjawić musiała. Daj mi jakąś dobrą radę, ciotko! Co tu zrobić aby niebezpieczeństwo to od siebie odwrócić?

— Na razie trzeba tylko odczekać co przyjdzie, a w najgorszym razie jak się ta Gertruda tu zjawi, to przecież ty jesteś ta prawdziwa, a ona oszustką!

— A jeżeli wuj w to nie uwierży?

— W takim razie wszystko by było stracone, ale do tego nie przyjdzie. Za trzy dni ma się odbyć wasze wesele, a gdy będziesz jego żoną, to sprawa zupełnie będzie inaczej wyglądała.

— Ale co się w ciągu tych trzech dni jeszcze wszystko żdarzyć może? Nie, ja tu wiecej nie jestem bezpieczną. Wuj musi się na życzenie moje zgodzić i dziś jeszcze stąd odjechać!

— Ale dokąd, dziecko?

— Z powrotem do Paryża! Tam odbędzie się nasz ślub, a potem możemy znów tu wrócić.

— W Paryżu grozi nam znów Sinobrody! —wtrąciła ciotka zamyślona. — Niebezpieczeństwo które mi z jego strony grozi, nie jest tak wielkie — rzekła Betlina stanowczo. —Po mówię zaraz z wujkiem i musimy dziś wieczorem jeszcze stąd odjechać.

Zawiodła się jednak gorzko w swoich oczekiwaniach. Wujaszek oparł się energicznie jej żądaniu, a Betlina tak była tem poirytowana, że sama bez wujka wyjechać stąd chciała. Z trudem tylko udało się pani Dijon uspokoić swą siostrzenicę i do rozsądku jej przemówić.

Betlina zrozumiała, że musi się do niego zastosować, jeżeli nie chce lekkomyślnie własną ręką szczęście swe zniweczyć.

Dzień upłynął i wieczór już zapadł, a Betlina siedziała jeszcze w pokoju swej ciotki i drżała na myśl zjawienia się Gertrudy i jej przyjaciół.

Lecz obawy jej były bezpodstawne... nikt nie przybył. Wuj nie miał o niczem pojęcia i spędził wieczór w najlepszym humorze w towarzystwie Betliny i pani Dijon.

Następnego dnia wzmogła się obawa Betliny do tego stopnia, że się obawiała wyjść z domu, aby nie spotkać wrogów swoich. Wuj wyszedł więc sam na promenadę, a to Betlinę jeszcze bardziej przeraziło, gdyż była pewna, że musi się z Gertrudą spotkać.

Jestem na najgorsze zdecydowana — szepnęła ona ciotce z westchnieniem. — Radźmy więc co począć, aby nas klęska tak nieprzygotowane nie zastała.

— Ty się darennie niepokoisz, moje dziecko — uspokajała ją ciotka mimo, że sama drżała z obawy przed niebezpieczeństwem i pod nogami widziała otwierającą się przepaść.

— Gdyby tylko mieć jego pieniądze — szepnęła Betlina z szatańskim wyrazem twarzy.— W takim razie wszystko by mi było jedno. Uciekłabym stąd bez namysłu. Lecz niestety, do skarbów jego dostać się nie mogę.

Pani Dijon myślała już także nad tem, jakby to się w pieniądze wujka zaopatrzyć. Wiedziała jednak tak dobrze jak Betlina, że całego majątku swego se sobą nie wozi.

— Musi jednak mieć wielką sumę pieniędzy przy sobie — rzekła — nie zaszkodzi przeszukać pokój w jego nieobecności.

— Tak jest — potwierdziła Betlina — chodźmy się przekonać.

Udały się więc obie do komnat wuja. Betlina zatrzymała się w pierwszym pokoju i rzekła wskazując na biurko:

— Przypuszczam, że on tam papiery i pieniądze chowa.

Zbliżyła się do biurka i zaczęła szukać za kluczami, lecz ich nie znalazła. Wuj miał widocznie je przy sobie.

— Jakby szufladę otworzyć — namyślała się Betlina — zamków rozbijać nie wolno, gdyż wujaszek zarazby to spostrzegł i nabrałby podejrzenia, że go się rewidowało.

— Może dobierzemy jakiś klucz z naszych zamków, radziła ciotka — czekaj dziecko, ja sama po nie pójdę.

Odeszła szybko i po pewnym czasie rzeczywiście zamek otworzyły.

W szufladach było pełno papierów, które obie starannie przeszukały. Wreszcie odkryła Betlina małą żelazną kasetkę i z tryumfem ją wyciągnęła.

— Znalazłam — zawołała radośnie — tu są pewno banknoty.

Potrząsła kasetką i zaczęła się przyglądać zamkowi.

— Nie otworzymy jej — rzekła pani Dijon — cóż teraz poczniemy?

— Weźmiemy całą kasetę — rzekła Betlina rezolutnie.

— Ależ to niemożliwie, gdyż stary Rosyanin by przeczuł, kto go okradł — rzekła pani Dijon. — Nie, moje dziecko, nie róbmy żadnego głupstwa, przez które wszystko byśmy popsuć mogły.

— Ale ja muszę mieć te pieniądze — zawołała Betlina uparcie. — Niech się domyśli,

kto go obrabował, jeżeli tylko my ze skarbem jego szczęśliwie uciekniemy.

— To by było przecież szaleństwem teraz stąd uciekać irytowała się pani Dijon. — Teraz, przed weselem chcesz wszystko popsuć? Czyś rozum straciła, moje dziecko?

— Jak ty coś podobnego możesz mówić ciotko — rzekła Betlina — to nie ulega przecież kwestyi, że ja chętnie wyszłabym za tego starego Rosyanina, aby módz odziedziczyć jego majątek, trzeba się jednak z tem liczyć, że nasze szyki mogą zostać pokrzyżowane i dlatego przynajmniej te pieniądze chcę mu zabrać.

— Nie śmiesz tego teraz jeszcze uczynić. Pomyśl tylko o tem, że wuj mógłby zaraz spostrzedz stratę i na nas podejrzenie rzucić.

— To jeszcze pytanie — uśmiechnęła się Betlina — możnaby to przecież tak urządzić aby nie było najmniejszej wątpliwości, że tu złodziej grasował.

— Jasny dzień i podczas gdy my w domu jesteśmy — tłumaczyła pani Dijon — w to przecież żaden człowiek nie uwierzy.

Betlina przypatrywała się kasetce i odstawiła ją wreszcie z westchnieniem, widząc, że się otworzyć nie da.

— Nie wiemy zresztą, czy tam są pieniądze — mruknęła — szukajmy ciotko dalej.

Zaczęły więc nanowo szperać w biurku, lecz nie znalazły ani pieniędzy, ani papierów wartościowych. Przyszły więc do przekonania, że się moneta wujaszka przecież w kasetce znajdować musi.

— Trzeba więc koniecznie kuferek ten zabrać! — rzekła Betlina. — Postarajmy się o potrzebne narzędzia i zaraz go otworzymy. Potem wyjmiemy pieniądze i postawimy próżny kuferek tam, skądeśmy go wzięły!

— To byłoby bardzo niemądre! — sprzeciwiała się ciotka. — To by dopiero podejrzenie na nas zwróciło, gdyż złodziej złapałby całą kasetę i nie zadawałby sobie pracy, aby ją nazad odstawiać. Pozostaw ją nazad i zaczekajmy aż do nocy. Potem ją stamtąd wydostaniemy i urządzimy wszystko tak, jak gdyby się złodziej był włamał.

Betlina musiała wreszcie uznać, że ciotka ma słuszność i odstawiła kasetkę na miejsce. Nie zdążyła jeszcze jednak zamknąć biurka, gdy stojąca przy oknie ciotka wydała okrzyk przestrachu. Zobaczyła ona zbliżającą się ogrodem postać męską i natychmiast ją poznała.

— Wszechmocny Boże! — krzyknęła blada i drżąca. — To on!

— Wuj? — przelękła się Betlina. — O pomóż mi ciotko, aby wszystko uporządkować nim on wejdzie.

— Nie, to nie wuj! — jęknęła pani Dijon. — Popatrz, to Sinobrody!

Betlina przyskoczyła do okna i przekonała się naocznie, że ciotka nie omyliła się. Syknęła z gniewu i rozpaczy i cofnęła się przerażona.

— O Boże... skąd on się dowiedział... i jak odnalazł? — jęknęła. — Jeszcze i to! A wuj może teraz każdej chwili nadejść i wtedy się wszystko dla mnie skończy, ciotko!

—Odwagi, dziecko! Jeszcze nie wszystko stracone! — pocieszała ją ciotka. — Nie możemy hrabiego Sinobrodego odprawić, bo to byłoby niemądre. Staraj się przeciwnie pozyskać go jako sprzymierzeńca. Jest to jedyna i najlepsza droga wyjścia.

Betlina prędko się opanowała i odzyskała równowagę. Porządkowała jeszcze w pokoju wuja, podczas gdy pani Dijon pobiegła do salonu i dała służącej swej Antoninie rozkaz, aby hrabiego Sinobrodego do pokoju wprowadzić.

Hrabia dzwonił kilka razy, lecz służąca, która go poznała, zwlekała z otworzeniem i wpuścił go dopiero na rozkaz swej pani.

Pani Dijon przyjęła go ze spokojem a niebawem zjawiła się i Betlina. Hrabia Sinobrody zmierzył obie kobiety tryumfującem spojrzeniem. Nim jednak jeszcze mógł przyjść do słowa, rzekła Betlina:

— Zostaw nas samych, ciotko, a sama bądź na straży aby nas wujaszek tu nie zaskoczył. Idź — nalegała widząc, że pani Dijon zwleka — i niczego się nie obawiaj. Spodziewam się, że ta konferencya z hrabią Sinobrodym nam wszystkim na dobre wyjdzie.

Gdy ciotka opuściła pokój otworzyła Betlina drzwi do swego buduaru i dała mu znak, aby wszedł za nią. Hrabia Sinobrody usłuchał i rzekł gniewnie:

— Dziwię się temu uprzejmemu przyjęciu z twojej strony! Domyślasz się też pewno, że przyszedłem aby się na tobie zemścić, ty fałszywe stworzenie. Mam zamiar wyjawić wujowi dziś całą prawdę — i...

— Pozwól mi skończyć! — przerwała mu Betlina chłodno. — Spodziewam się też, że odstąpisz od swego zamiaru, gdy się ze mną porozumiesz!

— Tego ty przecież na seryo nie chcesz— szydził. — Oszukałaś mnie w Paryżu i uciekłaś tajemnie z wujaszkiem. Myślałaś pewno, że cię nie odnajdę, ale się przeliczyłaś moje dziecko! Teraz zaczynasz znów podstępem i chytrością. Lecz to ci już wobec mnie nic nie pomoże. Dziś się obliczymy! — zakończył groźnie.

Betlina nie dała się zbić z tropu. Była pewna. że znalazła środek do ugłaskania go.

— Wysłuchaj mnie spokojnie! — rzekła błagalnie. — To nie jest moja wina żeśmy tak nagle z Paryża znikli, tylko wina wujaszka, który koniecznie przed tobą chciał uciec, bo myślał, że ty mnie chcesz zamordować. Chciałam ci to wszystko napisać, ale nie miałam twego adresu.

— I ja mam w to wierzyć! — uśmiechnął się ironicznie.

— Przekonam cię, że to prawda! — rzekła chłodnym i stanowczym tonem. — Ale wytłómacz mi wpierw, jakim sposobem ty nas tu znalazłeś?

— O, kosztowało mnie to dość trudu! — mruknął opryskliwie. — Wiedziałem, żeście do Nizzy wyjechali gdyż jechałem także tym samym pociągiem. Miałem was w Paryżu ciągle na oku, bo przeczuwałem, że ty będziesz starała się przedemną uciec!

— Powtarzam ci raz jeszcze, że to nie było moim zamiarem.

— Przybyłem z wami równocześnie do Nizzy! — ciągnął dalej. — Na dworcu zniknęliście mi jednak w tłumie i szukałem daremnie za wami, aż do dnia dzisiejszego. Wczoraj zobaczyłem cię z ciotką i wujaszkiem w powozie na promenadzie.

— Ach! — zawołała Betlina zdziwiona. — Czyś widział tam Gertrudę z jej przyjaciółmi?

Sinobrody potwierdził skinieniem głowy.

— Oni mnie także zobaczyli i tylko z trudnością im umknąłem! — zgrzytnął nienawistnie. — Naturalnie, szukają oni za tobą i za mną i bardzo jest prawdopodobnem, że cię tu odnajdą! Co cię wtedy czeka, tego ci chyba powiedzieć nie potrzebuję.

— Spodziewam się być już do tego czasu żoną wujaszka. Odjedziemy stąd natychmiast po naszem weselu, a wtedy niech wrogowie nasi za mną szukają. Nie zobaczą mnie oni więcej w życiu.

— Hm! Takaś tego pewna! — uśmiechnął się ironicznie. — Zapominasz zupełnie o tem, że los twój jest w moich rękach.

— Spodziewam się, że my się porozumiemy! — rzekła Betlina pewnym tonem. — Łączy nas przecież równe niebezpieczeństwo. Czy chcesz ze mną zawrzeć nowe przymierze? Oto moja ręka na to!

Podała mu z kokieteryjnym uśmiechem odzobną drogiemi pierścieniami prawicę, lecz hrabia Sinobrody odtrącił ją z szyderczym uśmiechem.

— Tak łatwo ty mnie więcej nie podejdziesz, ty chytry kocie! — rzekł. Teraz, kiedy masz nóż na gardle, to umiesz prosić i schlebiać. Lecz ja cię już poznałem i wiem, jak się na ciebie spuścić można, ty przeklęta żmijo!

Betlina zbladła i zadrżała z wewnętrznego wzburzenia.

— Więc nie chcesz przeprosin pod żadnym warunkiem? — syknęła.

— Przeproszenia z tobą? Nie! — rzekł pogardliwie. — Możemy się jednak porozumieć. Słuchaj co ja ci zaproponuję. Jeżeli nie spełnisz moich warunków, to jesteś stracona! W tym wypadku bowiem sprowadzę ja ci Gertrudę z towarzyszami jej na kark i zeznam sam wujowi całą prawdę.

— Mów, czego chcesz odemnie! — rzekła Betlina chłodno. — Pierwszym warunkiem moim zaś będzie, abyś mnie z wujaszkiem nie poróżnił!

— O, ja naturalnie na ślub z nim zezwolę! — uśmiechnął się szyderczo. — O to właśnie chodzi! Gdy zaś zostaniesz jego żoną, to musisz się postarać, aby prędko zrobił testament i uczynił ciebie jedyną spadkobierczynią.

— Pewno! To jest oddawna już mojem zamiarem!

— Rozumiemy się więc wybornie! — zaśmiał się hrabia demonicznie. — Gdy zaś już będziesz miała testament w kieszeni, moje dziecko, to mąż twój... musi umrzeć. Czy pojmujesz, jak to myślę?

— Najzupełniej! — odparła Betlina z nienaturalnym spokojem. — Ty pewno myślisz, abym ja go ze świata sprzątnęła?

— Tak jest... ty!— zaśmiał się szyderczo. — A łupem my się oboje podzielimy. Czy się na to wszystko zgadzasz?

— Tak! — odparła ostro. — Tylko jeden punkt jeszcze zmienić musimy. To sprzątnięcie ze świata będzie twoją rzeczą. Ja tego nie umiem. Ty miałbyś zresztą z tego powodu większą szkodę, gdyż mnie by to nic nie szkodziło, gdyby stary wujaszek jeszcze parę lat żył.

— Oho! Już mi się sprzeciwasz i od warunków moich się chcesz uchylić?

— Słyszysz przecież ja się z wyjątkiem tego punktu na wszystko zgadzam — rzekła.— Jeżeli chcesz, ażeby wujaszek wkrótce po naszem weselu zginął, to się do tego musisz przyczynić!

— Dobrze! Pomówimy jeszcze o tej sprawie! — wtrącił hrabia Sinobrody po krótkim namyśle. — My się przecież od dnia dzisiejszego z oczu nie stracimy. Twoją rzeczą niech to zaś będzie, jak najrychlej się z Rosyaninem połączyć!

— Pojutrze ma się odbyć nasze wesele!

— Dobrze! A gdyby ci tu tymczasem ta Gertruda z towarzyszami swymi zagrażała, to możesz na mnie liczyć! —rzekł. Ja będę w twoim pobliżu i przyjdę ci w danej chwili z pomocą.

Naradzali oni się jeszcze przez czas jakiś w zupełnej zgodzie, lecz w duchu wzajemnie sobie niedowierzali, a Betlina szczególnie pełna było podstępnych myśli.

Nagle otworzyły się drzwi i wpadła ciotka z zalęknioną miną, wołając:

— Wuj nadchodzi! Jest już w domu! Ja zapóźno spostrzegłam!

— Na Boga Świętego, co ja z tobą pocznę? — mruknęła Betlina bezradnie patrząc przerażona na hrabiego Sinobrodego. — On cię tu nie śmie widzieć!

— Chodź pan do mego pokoju! — zawołała pani Dijon. — Tam on szukać nie będzie.

Pociągnęła Sinobrodego za sobą, podczas gdy Betlina wyszła wujaszkowi naprzeciw. Wyglądał blady i zmieszany i poznać było, że zwalcza tylko wewnętrzne wzburzenie.

Betlina przestraszyła się. Czy on widział Sinobrodego? Czy wiedział może że się tu znajduje?

Nim jeszcze do niego przemówić mogła, zawołał on drżącym głosem:

— Pomyśl sobie co mi się zdarzyło... spotkałem twego sobowtóra!

Betlina trupio zbladła, gdyż wiedziała natychmiast kogo on ma na myśli.

— Hrabinę Gertrudę? — wymknęło jej się nierozważnie i zaraz poprawiła. — Tę oszustkę?

— Tak jest! To musiała być ona — rzekł ponuro. — Kapitan Brandenfeld był przy niej. Spotkałem ich na ulicy i muszę się przyznać, że widok tej Gertrudy wywarł na mnie dziwne wrażenie!

Byłbym ją mógł z tobą zamienić.

— Czy ona do ciebie przemówiła? — spytała Betlina.

— Nie! Siedziałem w powozie i nie pomyślałem nad tem, aby kazać zatrzymać. Ale zdawało mi się, jak gdyby za mną wołała. Co to za dziwne podobieństwo.

To mówiąc przystąpił do okna i wyglądał przez nie zamyślony.

Betlina bardzo była zafrasowana.

Cóżby ona poczęła, gdyby ta Gertruda tu przyszła?

Nagle usłyszała dzwonek u bramy, a po chwili zobaczyła zbliżające się ścieżką ogrodową trzy osoby na których widok głośno krzyknęła.

— Tak to oni! Godzina odwetu się zbliżyła.

Betlina straciła prawie przytomność. Zaczęła drżeć na całem ciele i gardło jej się ścisnęło.

Obok Gertrudy szedł z jednej strony Aleksander, a z drugiej postępowała Józefa.

CLXI.

POD CZAREM NAMIĘTNOŚCI.

Walerya stała nieruchoma z przerażenia i ani słowa przez usta przepuścić nie mogła.

Ludwik patrzał jak skamieniały na księcia, który znowu obrzucał jego, i drżącą jak listek osiki kobietę, płomienistem, podejrzliwem spojrzeniem.

— No — powtórzył książę — Kto jest ten człowiek?

Potem zwrócił się do Ludwika i zapytał szorstko:

— Czego wy tu chcecie?

Usłyszał jednak tylko kilka niezrozumiałych słów.

Książę stracił cierpliwość. Wskazał rozkazująco na drzwi i zawołał:

— Precz stąd!

Jedno słowo wystarczyło, aby się łotr czemprędzej wyniósł. Ukłonił się i znikł.

Teraz zwrócił się książę do Waleryi i przystąpił do niej z ostrą podejrzliwą miną.

— Czy chcesz mi wytłumaczyć skąd się ten obcy człowiek tu wziął i dlaczego ty go w buduarze swoim przyjmujesz? — rzekł rozkazująco.

Walerya wyprostowała się dumnie i zrobiła obrażoną, zmartwioną minę. Zyskała na tyle czasu, aby się módz opanować i rzekła z godnością:

— Jak dziwnie pan pyta, książę. Muszę się przyznać, że mnie nagłe zjawienie się pana wyprowadziło z równowagi. Ten człowiek... mój Boże... to jest całkiem niewinny człowiek. Jakżeż pan może być tak zirytowany, że...

— Czyż mnie to nie ma dziwić, że zastaję u ciebie całkiem obcego człowieka, który jeszcze do tego dość podejrzanie wygląda?— irytował się książę. — Wytłumacz mi proszę, kto jest właściwie ten człowiek i czego on chce?

— To jest całkiem proste — uśmiechnęła się Walerya. — Ten człowiek jest służący z pałacu hrabiego Edmunda. Jest on mi wiernie oddany i ja mu jestem zobowiązaną, gdyż

mnie uwolnił z pawilonu, w którym mnie mój mąż owego pamiętnego wieczora zamknął, aby mnie wydać detektywowi. Ten poczciwy służący umożliwił mi ucieczkę. Bez pomocy jego byłabym zgubiona na zawsze.

Książę był ogmomnie zdziwiony.

— To rzeczywiście ogromna wierność!— zawołał. — Ale skądże on się tu wziął? Nie znał przecież miejsca twego pobytu?

— Nie! Ale mimoto mnie odszukał.

— Ach! Pewno na to, aby odebrać swoją nagrodę, nieprawdaż?

— O nie, książę! Nie zna pan tego człowieka. On myślał tylko, że mi jeszcze będzie potrzebny.

— Hm! — mruknął książę uspokojony.— Spostrzegłszy tu tego człowieka, pomyślałem w pierwszej chwili, że to może jaki szpieg. Naturalnie że wynagrodzimy tego człowieka, za wyrządzoną ci usługę. Daj mu kilka tysięcy marek, ale musisz mu powiedzieć, aby milczał.

Walerya, która teraz odzyskała całą pewność siebie, widząc jak jej się udało księciu oczy zamydlić, chciała więcej jeszcze osiągnąć Potrząsła więc poważnie głową i odparła:

— Sądzę, że on tem nie będzie zadowolony, gdyż prosił mnie o posadę. Zdaje się też, że to będzie najlepsze wynagrodzenie wobec tego, że od hrabiego został wydalony, jeśli go u siebie zatrzymamy. Gdy mu zaś damy odejść nie zaspokoiwszy jego żądań, to będzie paplał i niebawem rozniesie się to po stolicy, że ja jestem pod pańską opieką, mój kochany książę.

— Masz słuszność, my go tu będziemy mu sieli zatrzymać — rzekł książę po pewnym namyśle. — A tymczasem będziemy pewni, że nas nie zdradzi. Możesz tę rzecz ułożyć całkiem według swego upodobania.

Sprawa ta więc była załatwiona, a Walerya ogromnie była zadowolona, że jej się udało wszystko na swoją korzyść ułożyć.

Przytuliła więc się serdecznie do księcia, który ją do siebie przyciągnął i namiętnie ucałował. Czarująca piękność Waleryi i demoniczny jej temperament rozdrażniły zmysły księcia i wprawiły go w szał miłosny.

Tak zeszła im błoga godzina, w której zapomnieli o Ludwiku Hechcie i o całym świecie. Szepcąc gorące zapewnienia miłosne, oszołomiony namiętnością, przycisnął książę cudowną kobietę czule do siebie, a ona mu się nie broniła, gdy się coraz śmialej do niej zbliżał.

— Waleryo! Ukochana moja! — szepnął namiętnie. — Kocham cię nad życie. Żądaj odemnie czego chcesz tylko bądź moją. Tylko do mnie serce twe niepodzielnie ma należeć.

— O, mój najdroższy! — odparła patrząc na niego ogniście. — Bierz mnie. Ja ciebie tak samo gorąco i namiętnie kocham, jak ty mnie. Chcę na wieki do ciebie należeć, to jest moje jedyne i największe życzenia.

Gorące pocałunki zdławiły ostatnie jej słowa na ustach. Przysiągł on jej wieczną wierność, a serce Waleryi biło błogą, tryumfującą radością. W chytrości swojej czuła, że w tej chwili wszystko osiągnąć mogła od leżącego w jej ramionach zaślepionego namiętnością mężczyzny.

— Czy mi pan może przysiądz, najdroższy książę — szeptała słodko — że mię pan kiedyś, gdy wszystkie teraz nam w drogę wchodzące przeszkody znikną, do godności żony swej podniesie?

— Przysięgam ci to, najdroższa! Daję ci słowo honoru, że zostaniesz moją żoną! — zawołał w namiętnym zapale.

Walerya wynagrodziła mu to potokiem gorących pocałunków. Osiągnęła więc to, do czego dążyła.

Postanowiła sobie przypominać mu dość często w przyszłości jego przyrzeczenie i utrzymać w szale i zaślepieniu. Tylko śmierć ich miała rozłączyć.

Po chwili wysunęła się łagodnie z objęć księcia.

— Jakież jest obecne moje położenie, kochany księciu? — zapytała ciekawie. — Czy mi jeszcze grozi jakie niebezpieczeństwo? Czy mnie hrabia Edmund wobec księcia-regenta oskarży?

Książę Artur uśmiechnął się szyderczo.

— Naturalnie, że to on uczynił! — rzekł on. — Tylko że bez rezultatu, gdyż ja wujowi swemu przedtem już otworzyłem oczy co do intryg jego ministra i powiedziałem mu wszystko, co mi zdradziłaś! Tak więc skargi hrabiego na nic się nie zdały, a książę dal mu dymisyę i odprawił go w gniewie.

Walerya sluchała jego słów z zapartym oddechem. Krzyknęła ona radośnie, a oczy jej błyszczały nader tryumfująco.

— Dał mu dymisyę? Już więc nie jest ministrem? — zawołała ona i podskoczyła z siedzenia. — To świetne! Ja mu to z całego serca życzyłam!

— Tak jest! — uśmiechnął się książę, patrząc w cudną jej twarz z podziwem. — Zwyciężyliśmy kochana Waleryo! Twój mąż strącony ze swej wyżyny i niebawem pociągnę go do odpowiedzialności za jego karygodny postępek co do uratowania Agaty!

— Czy to już pewne? — spytała Walerya

pół niedowierzająco, pół tryumfująco. — Czy książę wdrożył już śledztwo przeciwko niemu?

— Tak jest i kazał jak najostrzej z nim postąpić! Wuj mój oburzony jest na hrabiego, że on sobie pozwolił wbrew wyrokowi jego uwolnić Agatę od zasłużonej kary.

— Doprawdy? Czy on się księciu do tego przyznał? To by było do niego podobne!

— Tak jest! Prócz tego posłał żonę swą Agatę, tę na szubienicę skazaną zbrodniarkę, w towarzystwie doktora Kloca do więzienia, aby tam ową czarną damę odwiedzić mogła! Mówią nawet, że owa na śmierć skazana zabójczyni, jest matką Agaty!

Walerya wydała okrzyk zdziwienia. Nagle wszystko jej się rozjaśniło, co jej w stosunku Agaty do owej zagadkowej kobiety jeszcze niezrozumiałem było.

— Ona jest jej matką! — szepnęła Walerya zdziwiona.

Książę potwierdził skinieniem głowy.

Hrabia opowiedział księciu całą dziwną bardzo historyę tej zagadkowej osoby! — mówił on dalej. — Według tego, miał owa czarna dama być niegdyś kochanką ministra Borgheima, który jest podobno ojcem Agaty. Miał on jednak odtrącić kochankę swą i w najokropniejszy sposób ją prześladować, dopóki ona, rozgoryczona na niego, nie popełniła owego zamachu, który uważano jako atentat na księcia!

— O, to wszystko brzmi jak bajka! — przerwała mu Walerya. — Hrabia chciał tem oczernić ministra Borgheima i zamydlić oczy księciu, aby go nakłonić do miłosierdzia wobec tej zbrodniarki.

— Lecz książę zaraz się na tem poznał, i nie uwierzył ani słowa z tej całej historyi. Nie myśli on też o zniesieniu wyroku.

— Hm! A cóż minister Borgheim na to mówi? Czy się go książę o nic nie pytał?

— Nie! Baron zawsze jeszcze jest chory. Po wyzdrowieniu ma jednak na nowo objąć urząd ministra po hrabiu Edmundzie.

— Cóż dalej! — badała Walerya żywo. — Czy hrabia już oskarżony?

— Nie wiem co się już w międzyczasie stało, gdyż przybyłem tu niezwłocznie, ukochana, aby cię o tym szczęśliwym wyniku rzeczy uwiadomić.

— O, on się musi dostać do więzienia! On nie śmie zostać na wolności, bo inaczej znajdzie środki aby mnie zniszczyć, a siebie zrehabilitować — obawiała się Walerya. — Proszę się zaraz z powrotem do stolicy o to postarać aby hrabiego uwięziono, książę — prosiła ona.

— Spodziewam się, że to już tymczasem nastąpiło. — Uspokój się tylko, ukochana! I twoja nieprzyjaciółka, Agata, jest już uwięziona.

Z ust Waleryi wyrwał się powtórny okrzyk tryumfu, a mściwe jej serce radowało się na tę wiadomość.

Agata uwięziona! Teraz więc zostanie zapadły na nią wyrok wykonany, i ona wraz z matką swoją skończy na szubienicy. Jeżeli jeszcze hrabia Edmund zostanie unieszkodliwiony, to ona będzie mogła wreszcie tryumfować, i bez niepokoju w przyszłość patrzeć.

Któż prócz nich przeciwko niej mógłby wystąpić? Kto mógł prawdę okryć?

Nikt! A jednak... był przecież jeszcze detektyw Winter, który znał wszystkie jej sprawki.

I on więc musi zostać zniszczony! Książę doniósł jej wprawdzie, że Winter został z urzędu swego wydalony, lecz to jej nie wystarczało.

— Ten detektyw musi zostać za to ukarany, że mnie obraził oszczerstwem i fałszywemi oskarżeniami — rzekła ona głośno. — On także musi zostać ukarany więzieniem, bo inaczej nie przestanie mnie oskarżać i podejrzywać.

—Cóż ci ten człowiek może szkodzić? — zapytał książę. — Dajmy mu spokój, to będzie najmądrzejsze. Przez proces dostałoby się bowiem wszystko do gazet, a to ci nie byłoby przyjemne i wywołałoby okropny skandal.

Walerya uznała słuszność wywodów księcia. Szła ona jeszcze dalej w swych przypuszczeniach i doszła do przekonania, że Winter broniąc się, mógłby oskarżenia przeciwko niej poprzeć dowodami. Nie wolno jej więc było w otwartej walce przeciwko niemu wystąpić.

Musiała go jednak uczynić nieszkodliwym, to jej było jasne. On by bowiem nie spoczął, dopóki by ją publicznie nie zdemaskował. Był on w stosunkach z jej pokojówką, a ta znała niejedną z jej tajemnic!

Trzeba więc było przedewszystkiem dziewczynę tę znów w swoją moc dostać. Książę obiecał jej już wystarać się o Frydę. Przypomniała ona mu to teraz.

— Dowiadywałem się już o nią — oświadczył on — lecz pokojówki twej nie ma w pałacu hrabiego. Znikła ona w dzień twej ucieczki.

Walerya ogromnie się zaniepokoiła. Winter miał tę dziewczynę bezwątpienia w swoich rękach i trzymał ją w ukryciu, aby ją potem jako świadka módz użyć.

— Trzeba więc wszystko poświęcić, aby Frydę z rąk detektywa uwolnić — pomyślała ona. — Gdyby jej się to udało, to mogłaby wystąpić odważnie i przeciwko samemu Winterowi.

Pomyślała ona o Ludwiku Hechcie. Może

ten jej będzie mógł służyć za narzędzie przeciwko Winterowi. Jeżeliby się wzbraniał być jej tu usłużnym, albo nawet jakieś zdradzieckie zamiary okazywał, to miała ona go przecież w swojej mocy i była zdecydowana sprzątnąć go bez wahania, i na zawsze się od niego uwolnić.

Nazajutrz nalegała Walerya, aby książę wrócił do stolicy, i zarządził uwięzienie hrabiego Edmunda, w razie gdy to jeszcze nie nastąpiło. Nienawiść jej przeciwko człowiekowi, którego dawniej tak kochała, nie miała granic. Nie chciała ona spocząć dopóki się nie zemści, i doszczętnie go nie zniszczy.

Książę byłby jeszcze chętnie przy niej został, ale ona tak czarno mu grożące jej ze strony hrabiego Edmunda niebezpieczeństwo przedstawiała, że uległ wreszcie jej prośbom. Chciał jednak, o ile możności, wrócić jeszcze tego samego wieczora.

Ledwo książę odjechał, zjawił się Ludwik w buduarze Waleryi. Spędził on noc w okropnym niepokoju, i obawiał się dla siebie czegoś najgorszego.

Walerya uspokoiła go, donosząc mu, jak księcia podeszła.

— Książę stracił nieufność swą względem ciebie, i nie ma nic przeciwko temu, jeżeli tu zostaniesz — rzekła ona. — Widzisz więc teraz, jaka ja dla ciebie życzliwa! W zamian jednak żądam, abyś mnie czynnie w moich planach wspierał!

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy — zapewniał ją Ludwik, zadowolony z tego zwrotu rzeczy. — Czego teraz odemnie żądasz?

— Przedewszystkiem udaj się do stolicy, i odszukaj moją pokojówkę. — Muszę tę dziewczynę napowrót do siebie sprowadzić, bo ona mi może być niebezpieczna, gdy się w ręce Wintera dostanie. Detektyw stracił wprawdzie swoją posadę, ale może mimoto szkodzić. Drugiem twojem zadaniem będzie, aby tego Wintera raz na zawsze uczynić nieszkodliwym!

Ludwik poskrobał się w głowę.

— To bardzo trudna rzecz, moja kochana Waleryo — rzekł on po namyśle. — Wiesz przecież, że dla ciebie wszystko chętnie robię, ale w tym wypadku naraziłbym przecież swoją głowę.

— Znam ja twoje wątpliwości! — krzyknęła Walerya. — Nic ci jednak nie pomoże! Jeżeli mi tego nie uczynisz, to w tej chwili stąd się zabrać musisz!

— No, ja się jeszcze namyślę — rzekł Ludwik — gdzież jednak pokojówkę twą odszukać?

— Tego ja nie wiem, to już twoja rzecz. Może ją detektyw umieścił u Marty? Tam jest także dziecko Agaty i może je pokojówka tu ze sobą zabierze?

— Na co ci dziecko? — zapytał Ludwik, potrząsając głową. — Jego egzystencya ci już teraz przecież szkodzić nie może?

— Kiedy ja dziecko to nienawidzę, również jak jego matkę — rzekła Walerya ponuro. — Rób co ci każę. Przedewszystkiem chodzi teraz o pokojówkę. Dziecko jest w drugim rzędzie. Dostaniemy je kiedy później.

Potem opowiedziała mu, co słyszała o losie Agaty i hrabiego Edmunda.

— Widzisz więc, jak moi wrogowie nędznie kończą — rzekła ona tryumfująco. Moje akcye zaś coraz lepiej stoją. Książę jest moim niewolnikiem. Kocha on mnie ślepo i namiętnie. Zostaną pewnego dnia jego prawowitą żoną! — dodała ona dumnie. Dał on mi słowo honoru na to, i niewątpliwie je dotrzyma.

Ludwik patrzał na nią w bezgranicznem zdziwieniu. Uśmiechnął się on ironicznie, lecz opanował się, i mruknął tylko coś niedowierzająco pod nosem.

Aby później jednak nie mieć trudności, i módz spokojnie patrzeć w przyszłość, żądam od ciebie ostatecznego wydania mego aktu ślubnego, dowodzącego, że ty niestety jeszcze jesteś moim mężem — rzekła ona po krótkiej pauzie. — Czy się na to zgadzasz?

Hultaj zrobij żałosną minę i dziwnie komicznie się znalazł.

— Moja kochana Waleryo! — rzekł on uprzejmie, ale z wahaniem. — Nie namyślałbym się ani na chwilę co do spełnienia twych życzeń, ale...

— Pytam cię raz jeszcze: Chcesz mi wydać akt ślubny, czy nie? — przerwała ona mu ostrym tonem. — Odpowiedz mi krótko i wyraźnie!

— Ależ to niemożliwe! — zawołał on pozornie rozpaczliwie.

—Dlaczego nie?

— Bo ja nie mam więcej tego przeklętego dokumentu!! Zgubiłem go!

Walerya popatrzyła na niego gniewnie i niedowierzająco.

— Kłamiesz! — krzyknęła ona. — Ty mnie chcesz podejść!

— Świadczę się Bogiem, że nie! — zapewniał on ją. — Ja papier ten naprawdę zgubiłem!

— Jeżeli to prawda... bo ja zawsze jeszcze w to wątpię... to jest obawa, że się ten dokument w ręce detektywa jeszcze dostanie — rzekła ona drżącym głosem. — Ty, łotrze! Gdybyś mi był pierwej wydał ten przeklęty papier, to bym teraz już spokój miała. Ach, ile trosk i

trwogi ja już przez ciebie wycierpiałam, ty nędzny hultaju! — zgrzytnęła ona wściekle. — Postaraj mi się o dokument i oddaj go w moje ręce! — dodała ona groźnie. — Bo inaczej wszystko między nami skończone, rozumiesz?

— Ale w jaki sposób dokument ten odnaleźć? — bronił się Ludwik uparcie. — Nie mogę przecież stratę jego w gazetach ogłosić?

— Kpisz sobie jeszcze ze mnie, ty głupcze! Mówię ci postaraj mi się o ten akt, bo gorzko pożałujesz twojej podłości i chytrości!

— Zrobię, co będzie możliwe. Może odnajdę papier ten na zamku Agaty, bo tam go zgubić musiałem.

— Jeżeli mi tego papieru nie przyniesiesz, i jeżeli on by przez kogo był użyty, aby mnie szkodzić, to bądź przekonany, że to w pierwszym rzędzie będzie twoją zgubą. A teraz wybieraj się czemprędzej w drogę! Każę ci osiodłać konia i dać ci wszystko, czego będziesz potrzebował.

Twarz Ludwika wyrażała zaambarasowanie i szyderstwo. Obawiał on się trochę Waleryi, bo wiedział, że ona go może zniszczyć jak zechce i że on zupełnie od łaski jej był zawisły.

— Oszczędź sobie swoich gróźb!—mruknął on gniewnie. — Powinnaś już wiedzieć, że w ten sposób niczego odemnie nie uzyskasz. Ja się będę starał odnaleźć ten akt ślubny, ale jak mi się nie uda, to nie będzie to moja wina!

—Owszem, tylko twoja! — rzekła ona ostro. — Powinieneś mi był ten dokument dawno już wręczyć, gdyż ja ci za to zapłaciłam. Lecz ty mnie wtedy oszukałeś, a zdaje mi się, że i teraz tego próbujesz. Ty aktu nie zgubiłeś, nie chcesz go tylko wydać, a nie masz odwagi otwarcie się do tego przyznać.

Ludwik wzruszył ramionami, uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

— Bardzo się mylisz, jeżeli tak myślisz. Ja mówię czystą prawdę.

— Możebne! W każdym razie wybieraj się w drogę i przywieź mi czemprędzej pokojówkę i dokument. Inaczej, radzę ci... nie pokazuj mi się na oczy.

Wskazała ona rozkazująco na drzwi, a onieśmielony energicznem wystąpieniem jej hultaj wysunął się bez słowa odpowiedzi z pokoju.

Odszedł on do przeznaczonego sobie pokoju i rozważał, jak z nią postąpić.

Wyciągnął on z ukrytej w kalesonach kieszeni duży portfel i otworzył go. Miał tam jeszcze wszystkie banknoty, które mu Walerya niegdyś dała, a było ich dość sporo. Obok nich leżał akt ślubny. Okłamał on małżonkę swą i sądził, że ona mu będzie wierzyć i że się wkrótce uspokoi

— Co teraz począć? — mruknął on bezradnie. — Dokumentu tego w żaden sposób wydać jej nie wolno, bo to jest moja jedyna broń wobec niej. Ale jakże się z tego przykrego położenia wydostać? Szkoda, że Fryca tu niema, aby mi raz jeszcze akt ten sfałszował. Walerya by się pewno tem złudzić dała.

Lecz Fryc siedział w więzieniu i Ludwik musiał myśleć o tem, jakby sobie tu bez niego pomódz. Było to niełatwą sprawą.

W najgorszym i ostatecznym razie wydam Waleryi ten akt — pomyślał on. — Ale będę zwlekał z tem, jak długo się da.

Włożył on teraz książęcą liberyę, w której się spodziewał być niepoznanym w stolicy, wsiadł na konia i odjechał.

Po kilkogodzinnej jedzie dostał się on wreszcie do stolicy i zajechał do hotelu. Zostawił tam swego konia, a sam udał się w kierunku dawnego mieszkania Agaty. Zastał on wszystkie okiennice pozamykane, a dom wyglądał, jakgdyby zupełnie niezamieszkany.

Po chwili zapukał on do bramy, lecz nikt mu nie otworzył.

— Cóż to do dyabła, czy zapóźno przyszedłem? — mruknął on.

Zapukał on jeszcze głośniej, myśląc że przynajmniej Marta jeszcze tu być musi, gdyż chciał on od niej pewnych informacyi.

Podczas gdy on tak do bramy pukał, zaszedł go od ulicy wysoki mężczyzna i położył mu rękę na ramieniu. Równocześnie odezwał się w uszach jego dobrze mu znany głos:

— Ha, czego tu szukacie, dobry przyjacielu?

Ludwik drgnął przerażony. Przed nim stał detektyw Winter.

CLXII.

DESPERACKI KROK.

W czasie, w którym się hrabia Edmund z Winterem udawał do pałacu księcia, była Agata zajęta pakowaniem, a Marta i Delia skrzętnie jej przy tem pomagały.

Doktor Kloc odszedł właśnie, aby się do podróży przygotować. Chciał on Agatę i Martę odprowadzić, gdyż i dla niego zaczynał pobyt w stolicy być niebezpieczny. Był on sprzymierzeńcem hrabiego Edmunda w sprawie uratowania Agaty i musiał się obawiać, że i jego również do odpowiedzialności za to pociągną.

Doktor Kloc nie wierzył jeszcze wprawdzie w naglące niebezpieczeństwo i Agata ufała, że się hrabiemu uda księcia o prawdzie przekonać.

Mimo to jednak uważali oni za słuszne przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności.

Chcieli się przedewszystkiem dowiedzieć w pałacu hrabiego o rezultacie audyencyi jego u księcia i w najgorszym razie dopiero uciekać.

Nie przeczuwali oni wcale, że fatum już nad Agatą wisiało.

W pół godziny po odejściu doktora Kloca, wbiegła Delia, która się w ogródku z małym Walterem bawiła, okropnie przerażona do pokoju swej pani i zawołała:

— O, wielmożna pani! Policya nadchodzi!

Agata podskoczyła przerażona i zdziwiona, gdy jeszcze w bezpośrednie niebezpieczeństwo nie wierzyła. Przypuszczała ona bowiem, że Winter, który o wszystkiem zawsze wiedział i w tym wypadku wczas by był ich ostrzegł. Nie wiedziała jeszcze, że Winter nie urzędował i że jej teraz nikt pomódz nie mógł.

— To pewno nie do nas! — rzekła ona uspokajająco. — Proszę wyjść, kochana Marto, czy naprawdę jest jakie niebezpieczeństwo?

Marta wybiegła, lecz w drzwiach już spotkała urzędnika policyjnego. Odsunął on ją na bok i wszedł do przedpokoju, mówiąc że jest komisarzem policyjnym.

— Czego pan chce? — zapytała Marta, która miała jeszcze tyle przytomności umysłu, aby pana tego zatrzymać. Myślała ona, że Agata tymczasem tylnemi drzwiami uciec potrafi.

—Ustąp się pani! — rzekł komisarz rubasznie, idąc ku drzwiom pokoju Agaty. — Ja od pani niczego nie chcę!

— Pan tu nie ma prawa ludzi napadać! — zawołała Marta, stając przy drzwiach. — Ja pana nie wpuszczę, dopóki mi pan nie powie, czego pan tu chce?

Urzędnik zaklął gniewnie i odtrącił Martę, aby wejść do pokoju. Dwaj policyanci mu w tem pomogli i po chwili odciągnęli broniącą się Martę ode drzwi i utorowali komisarzowi drogę.

Agata wszystko w pokoju swoim słyszała, lecz tak tym niespodzianym napadem była zaskoczona, że nie pomyślała nawet o ucieczce.

W jaki sposób by się mogła wydostać? — Wszystkie wyjścia były pewno zastawione.

Oczekiwała więc losu swojego z rezygnacyą, a policya wszedłszy, zastała ją stojącą bladą na środku pokoju i tulącą dziecko swe, które się trwożnie do niej garnęło.

Delia krzyknęła przeraźliwie i stanęła w obronnej postawie przed swą panią. Na widok tej egzotycznej dziewczyny w oryentalnym stroju, cofnęli się urzędnicy mimowoli o kilka kroków.

Tymczasem wbiegła Marta i zobaczyła, że Agata nie uciekła. Przystąpiła ona do niej załamując ręce i krzyknęła z oburzeniem na komisarza:

— Nie dotykaj się pan tej damy! Czy wie pan z kim pan ma do czynienia? Jest to żona ministra, hrabiego Linderhofa.

— Wiem o tem! — rzekł komisarz chłodno. Wyciągnął on papier z kieszeni i pokazał go Agacie, mówiąc:

— Czy się pani chce naocznie przekonać? Ja mam rozkaz przyaresztowania panią.

Agata rzuciła okiem na fatalny dokument, który był rozkazem prokuratora, aby ją uwięzić. Zbladła ona jeszcze bardziej, ale wyprostowała się dumnie i rzekła z godnością, którą komisarzowi zaimponowała:

— Poddaję się bez oporu temu, co się na razie zmienić nie daje. Spodziewam się jednak, że mąż mój jaknajprędzej uwolnić mnie potrafi. Pozwoli pan, abym się ze wszystkimi tu pożegnała.

— Pewno, wielmożna pani! — odparł komisarz uprzejmie. — Proszę się jednak pospieszyć, gdyż ja dostałem ostre rozkazy i nie mogę postąpić sobie z taką względnością, jakbym sobie osobiście życzył.

Agata skinęła głową i ujęła dziecko w swe ramiona. Serce pękało jej z bólu i rozpaczy na myśl, że się z niem na zawsze może pożegnać będzie musiała. Miała ona znowu wracać do ciemnej, samotnej celi więziennej, gdzie już raz miesiącami przebywała. Upadała ona prawie pod ciosem, który na nią spadł tak niespodzianie i szalona trwoga ją opanowała. Z okrzykiem rozpaczy przycisnęła dziecko swe do serca i szlochała wśród łez.

— O Boże... moje biedne dziecko... mój mały Walter. Zlituj się nad nim Ojcze w niebiosach! Uratuj mnie, dla mego biednego dziecka.

Mały Walter zarzucił jej ręce na szyję i zaczął rozpaczliwie płakać.

Marta i Delia przypatrywały się tej scenie w bezradnym bólu. Nie mogły one pomódz nieszczęśliwej swej pani i musiały się patrzeć na to, jak ją aresztują.

Wtem otwarły się drzwi i wbiegł doktór Kloc. Cofnął on się jak gdyby piorunem rażony i zbladł śmiertelnie. Poznał on sytuacyę na pierwszy rzut oka.

— Wielki Boże! — krzyknął on. — Teraz wszystko stracone.

Marta przyskoczyła do niego z błagalnie wyciągniętemi rękoma i zawołała w szalonej trwodze:

— Jeżeli mnie kochasz... błagam cię, ratuj ją!

Doktorowi łzy w oczach stanęły. Ujął on obie ręce kochanej czule dziewczyny i szepnął w bezradnem utrapieniu:

— O Boże, cóż ja tu mogę pomódz? Ja, jeden, przeciwko takiej przemocy! Gdyby przynajmniej Winter był tutaj!

— Gdzie on jest teraz?

— Pojechał z hrabią do księcia, o ile wiem!

— Więc biegnij i powiedz wszystko hrabiemu. Tylko on tu pomódz może!

Komisarz słyszał każde słowo. Znał on doktora, i obawiał się, że on mu będzie robił trudności przy aresztowaniu Agaty. Przystąpił więc do niego z ponurą miną, i rzekł grożąco:

— Panie doktorze! Upraszam pana, aby mi pan tu żadnych trudności nie robił. — Jestem tu z wyższego rozkazu, i spełniam tylko swój obowiązek! Proszę to rozważyć!

— Bardzo smutny obowiązek, mój panie! — zaśmiał się doktór gorzko. — Chce pan uwięzić zupełnie niewinną osobę! Ja wiem, że to jest sprawka podłej intrygantki, ale tryumf tej szatańskiej kobiety długo nie potrwa!

— Niech pani hrabina nie traci nadziei! — zwrócił się on do Agaty. — Ja uwiadomię o tem pana hrabiego, i wszystko się wyjaśni.

— Ostrzegam pana raz jeszcze, panie doktorze — rzekł komisarz. — O ile słyszałem, to i pan zostanie do odpowiedzialności pociągnięty.

— To już moja rzecz! — odpowiedział doktór rozdrażniony. — Panu zaś radzę zaczekać, dopóki jego ekscelencya, minister, hrabia Linderhof tu nie przybędzie.

— Tego ja uczynić nie mogę! — zadecydował komisarz ostrym tonem. — Ja się muszę trzymać danych mi instrukcyi, i muszę wielmożną panią poprosić, aby za mną poszła.

— Co? Więc pan nie zaczeka na przybycie ministra? — zawołał doktór Kloc gniewnie. — Wie pan, że musiałby pan w takim razie odejść, nie załatwiwszy swego zlecenia, a na to się pan nie zechce narazić.

— Proszę się liczyć ze swojemi słowami, panie doktorze! — przerwał mu gniewnie komisarz. — Będę sobie bowiem musiał postąpić z panem jak mi prawo nakazuje!

— Czy może i mnie pan chce zaraz uwięzić? — zapytał doktór gorzko.

Komisarz rzucił mu gniewne spojrzenie. Poznać było, że się tylko z trudnością opanowuje.

— Liczę na rozsądek pana, że pan mnie na niepotrzebne nieprzyjemności nie narazi — rzekł krótko. — Wie pan, że prawo i moc są po mojej stronie. Zachowaj się pan więc spokojnie.

Doktór Kloc tak był oburzony, że stracił panowanie nad sobą. Chciał komisarzowi właśnie odpowiedzieć coś, co byłoby go w poważny konflikt z urzędnikiem wprowadziło, gdy go Marta gwałtem odciągnęła.

Trzymając go za rękę, błagała ona go, aby z komisarzem daremnie nie zadzierał, a natomiast hrabiego Edmunda tu sprowadził.

Tymczasem przystąpił komisarz do Agaty, i wezwał ją, aby za nim poszła. Zrozpaczona wyrwała się nieszczęśliwa kobieta z objęć swego dziecka. Marta objęła małego Waltera i starała się go uspokoić.

W milczącym, rozpaczliwym gniewie stał doktór Kloc i zaciskał zęby. Klnąc w duchu, wyszedł on z komisarzem i Agatą, która wychodząc na ulicę opuściła gęsty welon na twarz.

— Mamo! Mamo! — brzmiał rozpaczliwy krzyk dziecka za nią.

Agata zaszlochała głośno i byłaby z pewnością na ziemię upadła, gdyby jej komisarz nie był szybko podtrzymał i poprowadził do stojącego przed domem powozu.

Dwaj policyanci szli za komisarzem i Agatą. Dwaj stali przed drzwiami. Przed domem zgromadził się tłum ludzi, i z uwagą scenie tej się przypatrywał.

Komisarz pomógł Agacie wsiąść do powozu i szybko za nią wskoczył. Biedna kobieta rozpłakała się na dobre, i krzyknęła, załamując ręce:

— Moje dziecko! Dajcie mi raz jeszcze uścisnąć dziecko!

Doktór Kloc zbliżył się do powozu, a za nim przybiegła Marta z małym Walterem. — Tłum widzów naokoło wydawał głośne okrzyki współczucia. Lecz policya trzymała wszystkich zdaleka.

Komisarz dał woźnicy rozkaz odjazdu, i powóz prędko się potoczył.

W tej samej chwili zajechał inny powóz i zatrzymał się przed domem. Wyskoczył z niego mężczyzna i zbliżył się do stojącej grupy ludzi. Był to Winter, który przyjeżdżał z książęcego zamku i zobaczył z przerażeniem, że już jest zapóźno.

— Stać! — krzyknął on. Lecz powóz z Agatą galopem popędził.

Doktór Kloc opowiedział Winterowi krótkiemi słowy co się stało.

— Chodź pan! Jedźmy prędko do hrabiego! — zawołał Winter. — My sami nic zrobić nie potrafimy, ale ja się obawiam, że i minister nie będzie w stanie żony swej więcej uratować.

— Mój Boże! Dlaczego nie? — spytała Marta, przystępując do nich z małym Walterem.

— Bo mu książę nie uwierzy — wtrącił Winter, i wskazując na powóz dodał: — Naprzód, kochany przyjacielu!

Doktór Kloc wsiadł za nim do dorożki, i szepnął Marcie kilka pocieszających słów na

pożegnanie. Dorożka popędziła ku pałacowi hrabiego Edmunda.

Zastali oni hrabiego w domu i poinformowali go o tem co się stało. Gdy hrabia wyszedł z mieszkania, zastał już czekający na niego powóz przed portalem. Doktór i detektyw wsiedli za nim do powozu, stary Michał siadł na koźle.

— Blady i drżący opierał się hrabia Edmund o poduszki powozu, który z szybkością strzały pędził przez ulicę.

Doktór opowiedział mu raz jeszcze wszystko szczegółowo i zapytał:

— Cóż jego ekscelencya teraz myśli począć?

— Powiedziałem już raz, że chcę jeszcze w ostatniej godzinie użyć swego wpływu na uwolnienie mej żony! — było jego stanowcza odpowiedź. — A gdyby się nie udało, moi przyjaciele... wtedy i my trzej do więzienia się dostaniemy! — Namyślcie się więc jeszcze, czy nie zostaniecie lepiej przed bramą więzienia, aby się na niebezpieczeństwo to nie narażać!

Lecz obydwaj oni nic o tem słyszeć nie chcieli. Musieli też wiedzieć, czy desperacki krok hrabiego Edmunda się uda.

Niebawem zatrzymał się powóz przed bramą budynku więziennego. Stary Michał zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki, i pomógł panu swemu przy wysiadaniu.

Hrabia Edmund był w galowym mundurze, tak jak go włożył na audyencyę u księcia. Złotem haftowany jego frak, obwieszony był z przodu orderami, krzyżami zasługi i odznakami swego urzędu.

Straż przed portalem salutowała. Hrabia wszedł z towarzyszami swymi do obszernej sali, i zwrócił się ku mieszkaniu dyrektora więziennego. W rysach jego przebijało niezłomne postanowienie. Wystąpienie jego tak było pewne i dumne, jak gdyby jeszcze był w pełnem posiadaniu władzy, której go potępiający wyrok księcia przed godziną pozbawił.

Tu jednak jeszcze tego przeczuwać nie mogli, co się jeszcze przed kwadransem w gabinecie księcia odbyło.

Chodziło teraz o to, aby nie stracić ani chwili czasu, gdyż prokurator, który po nim wszedł do księcia, wiedział już prawdę, a gdyby się tu pojawił, nim plan hrabiego Edmunda był wykonany, wszystko by było stracone.

Na myśl o tem pędził hrabia Edmund tak szybko, że mu towarzysze jego nadążyć nie mogli. W drodze spotkał on urzędnika, który mu się z uszanowaniem ukłonił.

Chcę pomówić z dyrektorem więziennym! — rzekł hrabia. — Gdzie go mogę zastać?

— Jest on teraz w swej kancelaryi, ekscellencyo!

— Proszę mnie zameldować!

— Na rozkaz jego ekscellencyi!

Urzędnik pobiegł i zameldował go dyrektorowi, którego ta niespodziana wizyta ministra zaniepokoiła.

— Czem jego ekscellencyi służyć mogę? — zapytał on wychodząc hrabiemu Edmundowi naprzeciw i nisko się kłaniając.

— Przed kwadransem może, została moja żona tu uwięziona — rzekł hrabia Edmund krótko i ostro. — Proszę mię natychmiast do żony mojej zaprowadzić.

Twarz dyrektora wyrażała ogromny niepokój. Wiedział on, co hrabia Edmund zamierzał, i wiedział również, że to było przeciwko wszelkim prawom i przepisom. Ale czyż mu się wolno było sprzeciwiać rozkazowi ministra?

— Ekscellencyo! — jęknął on bezczelnie. — Zdaje mi się, że musiałbym pierwej prokuratora o żądaniu pańskiem uwiadomić.

— To pan może potem uczynić. Prokuratora zaś ja pociągnę do odpowiedzialności za jego porywcze i niewłaściwe postępowanie. Jeżeli pan nie chce mieć z powodu tego nieprzyjemności, to niech pan niezwłocznie rozkaz mój wypełni!

Stanowcza ta przemowa odniosła pożądany rezultat. Przelękniony dyrektor ukłonił się jeszcze niżej niż poprzednio, i wyjęknął z pokorą:

—Proszę mi wybaczyć, ekscellencyo, i proszę pójść za mną!

Hrabia Edmund dał towarzyszom swym znak, aby zostali, i odszedł z dyrektorem, który po drodze dał podurzędnikowi swemu rozkaz, abu mu zawołał inspektora i klucznika.

Weszli oni teraz do budynku więziennego, i przeszli długi, ciemny kurytarz, na którym spotkali różnych dozorców i różnych funkcyonaryuszy.

Wszyscy oglądali się zdziwieni za ministrem, bo tak dostojnej wizyty mury te jeszcze nie widziały.

— Tu w tej celi umieszczono panią hrabinę prowizorycznie — rzekł dyrektor stając przed drzwiami. — Jest to najlepsza ubikacya, i nic przedtem uczynić nie mogłem, gdyż otrzymałem rozkaz, aby nie brać żadnych względów na wysoki stan, i...

— Dobrze, dobrze! Niepotrzebnie pan się uniewinnia — przerwał mu hrabia Edmund szorstko. — Proszę otworzyć drzwi!

— Natychmiast, ekscellencyo! Oto więc nadchodzi klucznik!

Hrabia Edmund drżał z niecierpliwości, patrząc na ciężkie drzwi i kłódki, poza któremi

przebywała zdesperowana Agata.

Czyż ona nie przeczuwała, że on tu za nią przybył i że ratunek jej był blizki? Biada im wszystkim jednak, jeżeli by się teraz zjawił prokurator i drogę mu odciął.

Na myśl o tem, kroplisty pot na czoło mu wystąpił, a równocześnie miał świadomość, że musi zachować pozorny chłód i spokój, aby nie wzbudzić nieufności i podejrzenia u urzędników więziennych.

Na rozkaz dyrektora zbliżył się inspektor i klucznik i niebawem rozwarły się ciężkie drzwi celi. Potem odstąpili oni z uszanowaniem na bok, aby wpuścić hrabiego Edmunda.

Przechodząc próg celi zauważył hrabia, że była ona rzeczywiście lepiej umeblowana od innych i że miała nawet duże okna z firankami.

Oparta łokciami o stół, siedziała tu Agata blada i zmizerowana, a na wchodzącego męża popatrzyła tak błędnemi oczyma, jak gdyby upiora przed sobą ujrzała.

— Wielki Boże... to ty, Edmundzie? — rzekła ona wreszcie boleśnie.

On zbliżył się do niej i wyciągnął ku niej obie swe ręce. W oczach łzy mu zabłysły. Lecz głos jego był silny i energiczny, gdy się do niej odezwał.

— Jesteś wolną, Agato! Dostałaś się tu przez omyłkę ludzi, którzy mi to ciężko odpokutują! Chodź!

I podczas, gdy ona zwróciła na niego zdziwiony, pytający i wahający wzrok, wziął on ją za rękę i wyprowadził z celi przez szpaler kłaniających się urzędników, którzy oponować temu nie śmieli.

Słyszeli oni wszyscy słowa hrabiego Edmunda i nie przeczuwali, że to było tylko powiedziane na to, aby ich zmylić. Dyrektorowi nie wolno było jednak puszczać na wolność jednej ze swych uwięzionych tak bez zlecenia bezpośrednich swych przełożonych. Wyszedł on więc za nimi i rzekł trwożnie i jąkająco:

— Proszę wybaczyć jedno pytanie, ekscellencyo! Czy mogę się na jego ekscellencyę powołać, gdy mnie za to do odpowiedzialności pociągną?

— Pewno! Ja biorę na siebie wszelką odpowiedzialność!

Dyrektor uspokoił się i ukłonił zadowolony. Teraz mu się przecież nic stać nie mogło, jeżeli działał z rozkazu ministra. Szedł on za nim i Agatą ze swoimi urzędnikami i szeptał coś z inspektorem o dziwnej tej sprawie. Byli oni pewni, że prokurator i komisarz będą jeszcze mieli większe nieprzyjemności, pierwszy za to, że uwięzienie zarządził, drugi za to, że je wykonał.

Gdyby byli przeczuwali prawdę albo słyszeli, co hrabia teraz żonie swojej szeptał?

— Czyś księciu wszystko powiedział, kochany Edmundzie? — pytała Agata. — I czy ci dał pełnomocnictwo, abyś mnie uwolnił?

Umilkła ona, gdy ponurą minę jego na twarzy zobaczyła.

— Nie, Agato! — szepnął on. — Książę mi nie wierzy! Wszystko stracone, i jeżeli nam się nie uda wyjść szczęśliwie z tych murów zanim nadejdzie prokurator, to jesteśmy oboje zgubieni!

Agata omal nie krzyknęła za strachu na straszne to zeznanie. Oparła ona się ciężko o jego ramię i drżała na całem ciele. Kolana się pod nią uginały.

— O, Boże! Edmundzie, jak ty się na coś podobnego mógł odważyć? — jęknęła ona trwożnie.

Hrabia popatrzył na nią czule i szepnął:

— Wszystko dla ciebie, moja kochana! Czyż ja cię miałem zostawić w więzieniu i narazić na pewną śmierć? Nie! Jeżeli cię nie potrafię uratować, jeżeli nas siepacze w ostatniej chwili jeszcze wstrzymają, to przynajmniej we dwoje razem zostaniemy uwięzieni.

— Ach, Edmundzie! A ona... biedna moja matka! — szepnęła ona drżącemi usty. — Czy ona ma być stracona? Czy to niemożliwe, abyś i ją uratował?

On wzruszył tylko ramionami i pociągnął ją szybko naprzód.

— Spróbuję! — pocieszał on płaczącą swą żonę. — Lecz przedewszystkiem ciebie bezpiecznie schronić muszę! Jeżeli potem jeszcze będzie czas, to uczynię i dla matki twej wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Opuścili oni teraz budynek więzienny i przechodzili przez podwórze. Winter i doktór Kloc podeszli o kilka kroków naprzeciw. Byli oni dotychczas w okropnej trwodze, lecz teraz na widok Agaty zajaśniały twarze ich radością.

— Czy tu tymczasem nic nie zaszło? — zapytał hrabia cicho.

Prokuratora jeszcze niema! — odparł Wintoer również szeptem. — Powóz jego ekscellencyi czeka na podwórzu. Kazałem mu tu zajechać!

— Dobrze! Spieszmy się — rzekł hrabia Edmund i zwróciwszy się do doktora Kloca, zapytał:

— Nie mógłby pan teraz żonę moją gdzieś bezpiecznie ukryć, panie doktorze?

— Pewno; ale dokąd, ekscellencyo?

— Na razie do zamku leśnego. Tam chyba za nią nikt szukać nie będzie.

— Niech Winter Martę i małego Waltera tam zawiezie. Ja także dziś tam będę.

— Czy pan hrabia chce zostać w stolicy? — spytał Winter zaniepokojony.

— Tylko tak długo, dopóki matki żony swej z murów tych nie uratuję. Potem muszę wrócić jeszcze do swego pałacu, aby różne ważne papiery i rzeczy z sobą pozabierać.

Rozmawiając tak doszli oni do powozu, który stał blisko portalu. Stary Michał stał obok drzwiczek, a poczciwa twarz jego rozjaśniła się radością, gdy zobaczył Agatę zawieszoną na ramieniu swego pana.

Brama od ulicy była już otwartą, a odźwierny czekał ciekawie na to, co się tu odegra.

Hrabia Edmund poprowadził Agatę do powozu i oglądał się wokoło.

— Chwała Bogu! Śmiałe przedsięwzięcie jego się udało. Jeszcze kilka chwil, a Agata będzie po za murami więzienia. Niech oni się o tem później dowiedzą, gdy ona już będzie uratowana!

Tryumfował on w duchu. Lecz w chwili, gdy Agata z pomocą jego wsiadała do powozu, stało się coś niespodzianego.

W otwartej bramie zjawił się nagle prokurator. Wracał on właśnie z pałacu księcia i zamierzał przesłuchać Agatę w jej celi. Przyszedł wcześnie, aby zuchwałe plany hrabiego Edmunda pokrzyżować.

W pierwszej chwili stanął prokurator zafrasowany i wygapił się zdziwiony na stojącą obok powozu grupę. Dyrektor więzienny pierwszy go spostrzegł i podbiegł ku niemu wołając:

— Panie prokuratorze!

Hrabia Edmund odwrócił się przerażony. Zobaczył on niebezpieczeństwo i wsunął Agatę szybko do powozu. Lecz prokurator podniósł rozkazująco rękę i zawołał głośno:

— Stać! Zatrzymuję was w imię księcia!

Hrabia Edmund zdawał się nie zwracać na to wcale uwagę.

— Naprzód! — krzyknął on na swego woźnicę i wskoczył za Agatą do powozu.

Konie ruszyły w chwili, gdy prokurator z ludźmi swymi na powóz chciał się rzucić!

— Stać! — krzyknął prokurator raz jeszcze. — Zamknijcie bramę!

CLXIII.

W ZAŚLEPIENIU.

wraz z farmerem za hrabią Sinobrodym i Betliną.

Nazajutrz napisał Aleksander do Paryża, do detektywa Greifa, który wraz z Guenterem za Sinobrodym i fałszywą hrabiną w stolicy nadsekwańskiej wietrzyli i zaprosił do Nizzy.

Postanowili oni teraz czekać na detektywa w nadziei, że on szukanych ptaszków tu odnajdzie. Wtem zrządził przypadek, że Gertruda z Józefą i bratem jej wyszli na spacer i że spotkali starego wujaszka. Wołali oni na niego, lecz on na nich nie zważał i jechał dalej nie oglądnąwszy się nawet za nimi.

Aleksander radził, aby za nim iść i miał nadzieję, że się Gertrudzie przecież w końcu uda wuja swego o prawdzie przekonać.

Widzieli oni z daleka jak wchodził do swojej willi i niebawem także tam doszli. Gdy przechodzili ogrodem, zobaczyli Betlinę przy oknie, a Aleksander zawołał gniewnie:

— Oto ta nędzna oszustka! Dziś ostatnia godzina jej wybiła. Ten wujaszek musiałby przecież być ślepy, gdyby w tobie, kochana Gertrudo, nie poznał prawdziwej swej bratanicy.

W tej chwili znikła Betlina z okna i zwróciła się drżąca z irytacyi do wuja, który już również zbliżającą się ogrodem trójkę spostrzegł.

— Co za bezczelność tej oszustki, przychodzić tu, ze swoimi towarzyszami! — zawołała ona z dobrze udanem oburzeniem. — Nie wdawajmy się z nimi przecież w bezcelową sprzeczkę, kochany wuju. Najlepiej będzie ich odprawić.

— Obawiam się, że ci ludzie narobią skandalu, jak ich nie wpuścimy — rzekł wuj zaniepokojony. — Nie mieszkamy tu przecież sami i byłoby mi okropnie nieprzyjemnie, gdyby się obcy ludzie w nasze sprawy wtrącać musieli.

Betlina innego była zdania, lecz wtem usłyszała już kroki obcych w przedpokoju. Pokojówka wpuściła ich i weszła teraz, aby Gertrudę i towarzyszów ich wujowi zameldować.

— Teraz już zapóźno ich odprawić! — rzekł wuj spokojnie. — Niech wejdą, lecz my ich się prędko pozbędziemy.

Po chwili weszła Gertruda z Józefą, a Aleksander za nimi. Wystąpił on pierwszy i rzekł:

— Jesteśmy panu znani, panie Wendland. Przynajmniej ja nie zapomniałem jeszcze, jakie zeznania poczyniłem panu w domu brata pańskiego. Nie wierzył im pan wtedy, mimo że detektyw Greif dawał panu dowody świadczące o egzystencyi prawdziwej hrabiny Gertrudy. Trzymał pan się tej podstępnej kobiety, — która sobie bezprawnie przywłaszczyła nazwisko i tytuł pańskiej prawdziwej bratanicy, — Wtedy ona jeszcze mogła tryumfować, gdyż sprzymierzeniec jej, hrabia Sinobrody, prze-

szkodził prawdziwej hrabinie w czas wystąpić, i oszustkę zdemaskować, a uczynił to w ten sposób, że Gertrudę podstępem w moc swoją dostał i uwięził. Teraz jednak...

Nie mógł dokończyć, gdyż przerwał mu ostry śmiech Betliny. Zbliżyła się ona do niego blada jak ściana a oczy jej błyszczały jak żarzące węgle.

— Panie! — syknęła ona. — Pan się ponownie odważa mnie oczerniać? Zuchwałość z którą mnie pan prześladuje, graniczy z szaleństwem. Tym razem sprowadził sobie pan nawet swoich towarzyszy i jakąś obcą kobietę, która widocznie za świadka ma służyć. Dotychczas wystąpienie pana śmiesznem mi się wydaje, lecz nie odważ się pan granicy możliwości przekroczyć. Mój wuj bowiem nie zniesie nadal bezkarnie pańskich wobec mnie obelg i potwarzy.

— Tak jest, mój panie! Dziwię się doprawdy, że pan ma odwagę raz jeszcze wygłaszać swoje kłamstwa! — zawołał wuj oburzony. — Ja dziś tak samo w to nie wierzę jak dawniej!

— Jeżeli pan się i dziś przekonać nie daje, panie Wendland, to widocznie, że pan nie chce prawdy uznać! — zawołał Aleksander z goryczą. — To co panu powiedziałem, nie są kłamstwa, lecz fakta. Oto stoi przed panem prawdziwa bratanica pańska, Gertruda, hrabina Wildenfels. Jeżeli pan nie jest ślepy, to musi pan przecież widzieć i poznać, która z tych obu dam jest oszustką.

—Ba! — zaśmiał się wujaszek lekceważąco. — Ja już sobie tę młodą damę dokładnie oglądnąłem. Jest ona bezwątpienia zadziwiająco do bratanicy mej podobna, ale...

— Wuju! — odezwała się Gertruda ze łzami w oczach. Milczałam dotychczas, bo się spodziewałam, że mnie sam poznasz. Widzę jednak, że jesteś zupełnie zaślepiony w tej niesumiennej kobiecie, i żeś niezdolny do jasnego sądu. Czy ty mnie naprawdę znać nie chcesz?

Tu głos jej odmówił posłuszeństwa. Zaczęła ona okropnie szlochać. Stary wujaszek widocznie był zdekoncertowany, bo w powierzchowności i wystąpieniu Gertrudy było coś, co mu dawało do myślenia. Wpatrzył się on w nią milcząco i nie mógł się zebrać na odpowiedź.

Betlina spostrzegła z przerażeniem, jakie wrażenie wystąpienie Gertrudy na wujaszku uczyniło. Widziała, że on się zaczął wahać i szybko się do rozmowy wtrąciła.

— Doprawdy, że ta bezczelność przechodzi wszelkie granice! — zawołała ona szyderczo. Odgrywa pani wybornie swą rolę, lecz mego wuja pani tem nie zbałamuci. — Pani chce być hrabiną Gertrudą? Ależ to jest szaleństwo coś podobnego chcieć utrzymywać!

Gertruda zwróciła twarz swą ku oszustce, która ją wzrokiem swym pożreć i zniszczyć chciała. Wyprostowała się ona dumnie i rzekła z gniewną pogardą:

— Nie ja gram komedyę, tylko pani! Ale niech tam będzie! Niech pani dziś jeszcze tryumfuje, i zaślepionego wuja mego łudzi! Niebawem jednak nastąpi chwila, która panią, jako podłą oszustkę zdemaskuje! Wtedy i wuj mój ze szału swego się obudzi, a pani pozna że podstępem i podłością daleko zajść nie można!

Betlina zaśmiała się wymuszenie i zacisnęła pięści, jak gdyby się na przeciwniczkę swą rzucić chciała. Mimowoli cofnęła się Gertruda przed nią.

— Wuju! — zawołała Betlina wzburzona. — Czy ty mię dalej jeszcze znieważać pozwolisz? Precz z wami! Wynoście się wszyscy razem, wy podli szachraje! — dodała ona, wskazując rozkazująco na drzwi. — Nie odważcie się też raz jeszcze domu naszego napadać, gdyż ja w tym wypadku byłabym zmuszona zawołać policyę!

— Policyę? — powtórzył Aleksander z szyderczym uśmiechem. — Tej najbardziej pani obawiać się powinna, a jeżeliśmy dotychczas z otwartą skargą przeciwko pani jako oszustce nie wystąpili, to było to tylko ze względu na wuja hrabiny Gertrudy! Teraz zaś, skoro widzimy, że się pan Wendland przekonać dać nie chce, postąpimy sobie zupełnie bezwzględnie.

— Owszem! — szydziła Betlina. — Bardzo ciekawa jestem, jak daleko w bezczelności swojej dojdziecie.

— Tak daleko, dopóki panią kompletnie nie zdemaskujemy! — odciął jej Aleksander.— Czuje się pani bezpieczna jak długo ma pani wuja hrabiny Gertrudy po swojej stronie. Lecz to oszustwo i ta wyrafinowana komedya, którą pani z pomocą hrabiego Sinobrodego rozpoczęła, niebawem zostanie odkryta. Detektyw Greif jest obecnie w Paryżu, aby się o przeszłości i pochodzeniu pani dowiedzieć. Hrabia Sinobrody również nam się więcej nie wymknie. Wiemy, że on się tu znajduje. Przyłapiemy go i wymusimy na nim zeznanie!

— Co? Sinobrody tutaj? — krzyknął wujaszek wzburzony, patrząc pytająco na Betlinę, która z trudem tylko przerażenie swe ukrywała.

Groźby Aleksandra okropnie na nią podziałały. Drżała ona w duchu z przerażenia.

— Nie wiem nic o Sinobrodym! — wypierał się ona bezczelnie. — Nie widziałam go!

— Może być, że on pani tu jeszcze nie odnalazł, mimo że ja nie wierzę — odparł Aleksander.

Potem zwrócił się do wuja i rzekł:

— Detektyw Greif przybędzie tu jutro z Paryża, i mam nadzieję, że zeznania jego doprowadzą do tego, aby panu oczy otworzyć i zachwiać nieuzasadnioną wiarę pana w tę oszustkę i awanturnicę.

— Zaczekam więc jeszcze na te zeznania— odpowiedział wuj ponuro, patrzący gniewnie na Aleksandra. — Wiem, że nie usłyszę nic nowego, i że pan Greif powtórzy te same bajki, które mnie mówiliście. Co do mnie, powtarzam jednak, że w bajki te nie uwierzę!

— O, przekona się pan, że...

— Dość już tego i wynoś się pan! — zawołał wuj szorstko. — Nie mam już cierpliwości słuchać tych oszczerstw na moją bratanicę i radzę panu ani słowa więcej nie tracić.

— Ja prawdziwej bratanicy pana nie obrażam, tylko tamtą... Mówię zaś prawdę, i...

— Oto są drzwi! — krzyknął stary wujaszek już rozwścieklony. — Wzywam pana opuścić dom mój z obiema swojemi towarzyszkami. — Proszę też więcej nie przychodzić, bo zastanie pan zamknięte drzwi. Nie jestem ciekaw na zeznania pana Greifa, i nie pragnę jego wizyty. Proszę mu to powiedzieć.

— Chodź, Aleksandrze! — zawołała Gertruda, która się tej rozmowie blada i drżąca przysłuchiwała. — Widzisz przecież, że się wuj w żaden sposób przekonać nie daje. Niech się więc trzyma tej nędznej istoty. Uważałam sobie to za obowiązek osobiście się z nim porozumieć, ale on się w zaślepieniu swem od siebie odtrąca. Ja nic przez to nie tracę — zakończyła ona dumnie, i ujęła ramię Aleksandra, aby go za sobą pociągnąć.

Lecz on był taki oburzony, że nie zważał wcale na jej upomnienia.

— Nie, Gertrudo! Ty nic przez to nie tracisz, że cię wuj twój uznać nie chce! — zawołał on. — Pana zdanie nie wiele tu znaczy, panie Wendland, gdyż Gertruda została już w ojczyźnie swej uznana jako córka i spadkobierczyni zmarłego pańskiego brata. Ta oszustka zaś, której głównie o spadek chodziło, będzie się widziała zawiedzioną w swoich nadziejach — dodał on tryumfująco.

Oświadczenie to nie pozostało na wujaszku bez wpływu. Betlina również się przelękła i popatrzyła przerażona na Aleksandra.

— To kłamstwo! To niemożliwe! — krzyknęła ona.

— Ja także w to nie wierzę — powtórzył wujaszek za nią z pogardliwym uśmiechem. — Któż byłby tę damę uznał jako Gertrudę Wendland?

— Sąd! — odparł Aleksander z naciskiem. — Domownicy, a przedewszystkiem żona prokurzysty, służba i gospodyni, pani Martens, jak również inni jeszcze ludzie oświadczyli z największą pewnością, że ta dama jest prawdziwą hrabiną Gertrudą. — Czy panu to jeszcze nie wystarcza, panie Wendland?

— Nie! — zawołał wujaszek gwałtownie. — To wszystko sprawka pana, a jeżeli sąd naprawdę w fałszywe zeznania tych ludzi uwierzył, to my przeciwko temu otwarcie wystąpimy!

— To będzie niemożliwe! — uśmiechnął się Aleksander.

— Ale ja wogóle ani słowa z tego nie wierzę! — ciągnął stary wujaszek gniewnie dalej. — Pan kłamie mój panie! Gdyby to była prawda, to sąd i nas już o tem byłby uwiadomił.

— Byłby pan też już otrzymał uwiadomienie, panie Wendland, gdyby miejsce pobytu pana było znane! — odpowiedział Aleksander. — Ponieważ pan jednak zniknął z ową chytrą damą, która uchodzi za pańską bratanicę, i ani śladu z pana znaleźć nie było można, to i uwiadomienia dostać pan nie mógł. — Jeżeli pan chce mieć pewność, to proszę napisać do sądu z zapytaniem.

Wujaszek nie znalazł już na to odpowiedzi, i nie wiedział wogóle co o tem miał myśleć.

Betlina również milczała i była tak wzburzona i zaambarasowana, że gdyby wujaszek nie był tak zaślepiony, to byłby mógł w tej chwili wyraźnie wyczytać w jej rysach poczucie winy, i trwogę złego sumienia.

Lecz on jeszcze był daleki od poznania prawdy, i widział we wszystkich słowach Aleksandra tylko wyrafinowane oszczerstwo i chytre przekręcanie faktów, Odpowiedział więc tylko ponownym wybuchem śmiechu i po raz wtóry wezwał Aleksandra, aby dom jego opuścił.

— Tak jest, idziemy! Lecz ta oszustka niech drży przed godziną odwetu, która niebawem dla niej wybije! — zawołał Aleksander groźnie, odchodząc z Gertrudą i Józefą.

Za nimi rozległ się wymuszony szyderczy śmiech Betliny.

Po wyjściu tej trójki przechadzał się wujaszek przez chwilę jeszcze tam i napowrót po pokoju. Oczy miał w ziemię utkwione, i okropnie był wzburzony.

Betlina popatrzyła na niego z pod oka i mocno się zaniepokoiła.

Co on teraz mógł myśleć? Czy jej może już nie ufał? Czy go słowa Aleksandra otrzeźwiły? Czy się sieć kłamstwa i obłudy, w którą ona go zaplątała, teraz miała rozedrzeć?

Zadrżała ona na samą straszną myśl. Nie, kilka dni jeszcze musiała ona go utrzymać w

złudzeniu. Potem... po weselu... to niech by mu już zasłona z oczu spadła... Postanowiła ona nie dać mu przyżyć godziny, w której przyszedłby do świadomości.

Ponury, palący jej wzrok wpił się teraz z szyderczym tryumfem w jego zirytowaną, zaczerwienioną twarz. Przystąpiła ona do niego i wzięła go za rękę.

— Kochany wuju! — rzekła słodko. — Nie bierz sobie tego tak do serca. — Widzisz przecież, że ja jestem zupełnie spokojna, chociaż to mnie najbardziej obchodzi. To jest wszystko kłamstwo i oszczerstwo!

— Masz słuszność! Podłe kłamstwo! — zawołał on wzburzony.

— Nie irytujmy się więc! — ciągnęła Betlina dalej. — I ażeby ujść z drogi niepotrzebnym scenom i skandalom wyjedziemy stąd pojutrze zaraz po weselu, nieprawdaż wuju?

On popatrzył na nią badawczo i zawahał się. Lecz Betlina tak długo go prosiła i namawiała, dopóki wreszcie zezwolił.

— Najlepiej będzie, gdy wrócimy do twojej ojczyzny, rzekł on po chwili. — Możeby się tam osobiście o prawo twoje upominać, i oszustce tej plany pokrzyżować. Chciałbym wiedzieć, czy ją tam naprawdę za ciebie mają, i w miejsce twoje uznali!

Betlina, która miała ważne powody tam się więcej nie pokazywać, sprzeciwiała się stanowczo temu planowi.

— Poco? — zawołała ona niechętnie. — Nie wierzę wcale, aby się sąd do tego dotychczas był wtrącał. Czy sobie mamy miodowe miesiące nasze psuć irytacyą i sprzeczką?

Wujaszek ustąpił wreszcie jej prośbom i perswazyom. Betlina tryumfowała w duchu. Zaślepiony starzec był jej niewolnikiem.

Lecz niebezpieczeństwo przecież nad nią groźnie wisiało. Gertruda rozpocznie teraz z pomocą swych przyjaciół otwartą z nią walkę, w której ona, Betlina, prędzej czy później przecież uledz będzie musiała. Gdyby nieco czasu uzyskać mogła, to niechby później już nawet prawda na jaw wyszła. Do tej pory spodziewała ona się już osiągnąć tajemny swój cel.

Najbardziej niepokoił ją Greif. Gdyby on się w Paryżu dowiedział, kto ona właściwie była i jutro może już tu przybył, to była ona stracona. Wtedy wszystkie plany jej by się rozbiły i zamiast ślubnego ołtarza, czekałoby ją więzienie.

Opuściła teraz wujaszka i udała się do pokoju ciotki, gdzie był jeszcze hrabia Sinobrody. Chciała się z nim naradzić i w najgorszym razie uciec, zabrawszy poprzednio wszystko, co się da.

Pani Dijon i hrabia Sinobrody oczekiwali ją, już z niecierpliwością.

— No, jakżesz się skończyło? — zapytał Sinobrody. — Widziałem Gertrudę i przyjaciół jej gdy przyszli i odeszli.

Betlina opowiedziała wszystko i zakończyła temi słowy:

— Jeżeli detektyw Greif się tu jeszcze przed mojem weselem zjawi, to wszystko stracone. Tego jedynie się lękam. Z hrabiny Gertrudy i przyjaciół mniej sobie robię. Ale ten detektyw! — jęknęła ona zrozpaczona. — Przyjdzie on z dowodami i ten stary dureń w końcu mu będzie musiał uwierzyć!

— Co to za stary idyota! — zaśmiał się Sinobrody. — To nie do uwierzenia, że on ci jeszcze ufa po tem wszystkiem co dziś zaszło. On chyba ślepy. Nie dziw, miłość jest przecież ślepa.

Betlina też się zaśmiała, lecz wkrótce spoważniała i zaczęła wątpliwości swe wypowiadać. Pani Dijon również się zaniepokoiła i błagała Sinobrodego, aby im w tem pomógł.

On wzruszył ponuro ramionami i zamyślił się na chwilę.

— Jeżeli to będzie możliwe, wezmę detektywa na siebie — rzekł on. — To by było wszystko, co uczynić mogę. Zresztą trzeba odczekać, co przyszłość przyniesie.

Zostali oni we troje razem do późnej nocy. Hrabia Sinobrody nie odważył się prędzej dom opuścić z obawy, aby go wuj nie spostrzegł Betlina wypuściła go krótko po północy i obiecała donieść mu, gdyby się coś nadzwyczajnego zdarzyło.

Następny dzień przeżyła ona w obawie i trwodze. Obawiała się każdej chwili zjawienia Greifa, i odetchnęła lżej, gdy nadszedł wieczór, a jego nie było.

Wuj wyszedł po obiedzie za ważnymi sprawunkami, na dzień jutrzejszy. Wrócił on dopiero późno i odszukał Betlinę w pokoju jej ciotki.

Wreszcie nadszedł decydujący dzień, który miał spełnić życzenia Betliny i starego, zaślepionego wuja na zawsze do niej przykuć. Lecz ślub miał się dopiero popołudniu odbyć.

Betlina i ciotka Dijon żyły ciągle jeszcze w największej obawie. Stary wujaszek niczego nie przeczuwał i jaśniał szczęściem. Myślał, że dostaje anioła... młodą, piękną kobietę, która go szczerze kochała.

Gdyby był podsłuchał rozmowę, która się może godzinę przed ślubem w buduarze Betliny toczyła pomiędzy nią a ciotką, która "szczęśliwą" narzeczoną do tego uroczystego aktu przystrajała.

Przytem myślały one obydwie o tej strasznej scenie przy ślubie Betliny z hrabią Sinobro-

dym w domu "czarnych braci".

— Oby się tylko to wszystko dobrze skończyło — westchnęła Betlina. — Obawiam się, że może jeszcze coś zajść i temu przeszkodzić.

— O, gdyby już dzień ten nadszedł.

Wujaszek zajechał powozem i zabrał obie damy do kościoła. Miał to być zupełnie cichy ślub, a zaproszeni nań byli tylko Amerykanie, którzy mieszkali w tej samej willi.

Ślub ten odbył się w małej przedmiejskiej kaplicy, która była prawie zupełnie próżna. Prócz zaproszonych świadków nikogo tam nie było.

U ołtarza czekał ksiądz, a u wejścia kościelny, a za kolumną obok ołtarza stała oparta o poręcz ławki postać męska.

Był to hrabia Sinobrody, który chciał być świadkiem tego uroczystego aktu.

Betlina ani ciotka go nie spostrzegły. Lecz wuj, który mimowoli w tamtą stronę spojrzał, zobaczył i poznał go natychmiast. Drgnął on i mruknął coś gniewnie pod nosem. Zrobił nawet taki ruch, jakgdyby chciał do Sinobrodego przystąpić.

— Co to jest? — spytała Betlina trwożnie.

— Patrz tam! — szepnął wujaszek ponuro. — Czy poznajesz tego człowieka za kolumną?

— Gdzie? Kto? — wybełkotała ona przerażona, myśląc o swoich wrogach i o Greifie, który się w ostatniej chwili jeszcze mógł zjawić i wszystkie szyki jej popsuć.

Wtem spostrzegła Sinobrodego i odzyskała równowagę.

— Widzę go, tego nędznika! Czego on tu chce? — szepnęła ona pozornie oburzona.

— Pewno skandalu narobi! — rzekł wuj gniewnie. — Każę go wyrzucić, tego hultaja i mordercę.

— Na Boga świętego! Nie rób tylko żadnych scen! — uspokajała go Betlina, trzymając go silnie za ramię. — Daj mu spokój! On się nie odważy przerwać ceremonii ślubnej.

Stanęli oni przed ołtarzem. Ksiądz zaczął swą przemowę, lecz ani Betlina ani wujaszek nic mu się nie przysłuchiwali. Ten ostatni nie umiał opanować swego wzburzenia i oburzenia, Betlina zaś drżała z trwogi i niepokoju że jeszcze coś ku zgubie jej zajść mogło.

A trwoga ta ciągle się w niej wzmagała. Kolana się pod nią uginały i trupia bladość twarz jej ukryła.

Wtem wygłosił ksiądz decydujące pytanie. Z ust wujaszka wyszło w odpowiedzie głośno i wyraźnie "tak", Betlina szepnęła zaś ochryple i ledwo dosłyszalnie.

Uroczystą ciszę kaplicy przerwał w tej samej chwili szkaradny, stłumiony śmiech szyderczy. Strwożeni i gniewni oglądnęli się wszyscy obecni. I ksiądz spojrzał oburzony, aby dostrzedz i skarcić okiem bluźniercę. Lecz go zobaczyć nie mógł.

Ceremonia było skończona. Wujaszek chwycił ramię Betliny i pociągnął ją w stronę kolumny, gdzie poprzednio stał Sinobrody. Lecz go tam nie było. Opuścił on już kościół.

Zadowolona z tego Betlina wsiadła z małżonkiem swym do powozu i wróciwszy do willi, zaczęła się do podróży przygotowywać.

O tej samej porze był Aleksander z Gertrudą na dworcu i oczekiwali nadejścia pospiesznego pociągu z Paryża. Gdy nadjechał, wysiadło dwóch mężczyzn z wagonu drugiej klasy, oglądając się szukającym wzrokiem w około.

— Oto oni! — zawołał Aleksander i pobiegł ku nim z Gertrudą. Przywitał on serdecznie nowoprzybyłych... Greïfa i Güntera.

— Czy my tylko zapóźno nie przyjeżdżamy — zapytał Greif. — Czy oni jeszcze tu?

— O tak! — potwierdził Aleksander. — Widziałem Sinobrodego dopiero dzisiaj, lecz niestety przyłapać go nie mogłem. Z listów moich zna pan przecież stan rzeczy tutaj, panie Greif.

— Tak jest — skinął detektyw. — Odnalazł pan tu więc to całe towarzystwo, panie kapitanie? Dziwię się bardzo, że stary wujaszek z tą swoją awanturnicą nie znikł tajemnie, widząc, jak rzeczy stoją.

— O, ta kobieta zdaje się teraz być zupełnie pewną! — wtrąciła Gertruda. — Sądzi ona, że nikt jej nie może dowieść, że ona nie jest tą, za którą się podaje!

— Pokażemy my jej dziś jeszcze, że pewność jej jest bezpodstawna! — rzekł Greif z szyderczym uśmiechem. — A wuj pani obudzi się ze swego zaślepienia!

— Ach, wuj mój tak zupełnie jest w sieciach tej niesumiennej kobiety, że jest zupełnie ślepy na wszystko wokoło siebie! — westchnęła Gertruda. — Popełnił on nawet w zaślepieniu swojem krok, które go na całe życie unieszczęśliwi.

— No, cóż on zrobił? — badał Greif zaciekawiony. — Nie popełnił on chyba tego głupstwa, aby się z nią ożenić?

— Właśnie, że to uczynił! — przerwał mu Aleksander. — Dziś odbył się jego ślub z tą nędzną intrygantką!

Greif był żdziwiony, lecz rzekł, potrząsając głową:

— Można się było tego spodziewać! A hrabia Sinobrody zdaje się być z tego zadowolony, Swoją drogą nic przeciwko temu uczynić nie mógł. Skądżesz pan jednak wie o tem?

— Mamy ich ciągle pod dozorem i dowiedzieliśmy się, że ślub ich się właśnie w tej chwi-

li odbywa!

— Dobrze! Chodźmy też, aby być świadkami tej uroczystości! — zawołał Greif. — Albo jedźmy lepiej do mieszkania świeżo pobranej pary, bo do kościoła jednakowo już zapóźno byśmy dojechali.

— Mówiąc to, opuścili oni we czworo dworzec, wsiedli do powozu i kazali się zawieźć do willi wujaszka, aby tak jemu jak i Betlinie zrobić niespodziankę.

CLXIV

Ucieczka.

Zjawienie się prokuratora podziałało na wszystkich jak uderzenie piorunu. Urzędnicy więzienni byli skamieniali z trwogi i zmieszania.

Hrabia Edmund siedział już w powozie przy Agacie, a stary Michał skoczył na kozła, z szybkością której się nikt po nim nie mógł spodziewać.

— Naprzód! Szybko! — krzyknął hrabia na woźnicę.

Ten trzasnął z bicza i powóz wyjechał galopem z otwartej bramy.

Odźwierny tak był bowiem zaambarasowany, że choć usłuchał dość prędko rozkazu prokuratora, aby bramę zamknąć, to jednak było już zapóźno.

Urzędnicy popędzili za powozem, jak gdyby go zatrzymać chcieli. Prokurator pienił się ze złości i obrzucał odźwiernego wyrzutami, że powozu w ostatniej chwili jeszcze zatrzymać nie zdołał.

Stojąca przed bramą straż wystrzeliła za powozem, ale ten zboczył właśnie w tej chwili i znikł za rogiem ulicy.

— Gonić ich! rozkazał prokurator. — Przyłapcie hrabiego i odstawcie mi go wraz z jego żoną.

Co było w pobliżu, pobiegło za powozem, lecz nie było widoków, aby go módz dogonić. Prokurator wbiegł napowrót do budynku, aby zarządzić wszystkie potrzebne kroki, co do ścigania uciekinierów.

Gdy się pozostali na podwórzu urzędnicy oglądali za Winterem i doktorem Klocem, już ich nie było. Znikli oni bez śladu przez główny budynek i wsiadłszy do doróżki, kazali się zawieść do pałacu, gdzie się hrabiego i Agatę już zastać spodziewali.

Hrabia Edmund obliczył jednak, że to by było całkiem niebezpiecznie i kazał jechać woźnicy wprost do pałacu Agaty.

— Nie wolno nam się w moim pałacu zatrzymywać! — objaśnił on Agacie. — Nie mamy czasu do stracenia, gdyż prześladowcy nasi już są niedaleko. Zabierzmy tylko małego Waltera wraz z Martą i Delią i schrońmy się na razie w zamku leśnym!

— Ach, tam nas prędko odszukają! — westchnęła Agata trwożnie.

— Ależ nie! Pomyślą oni prędzej, żeśmy obrali drogę ku granicy, aby czemprędzej z kraju wyjechać! — wyperswadował jej hrabia Edmund.

— Czyżby nie było lepiej naprawdę z kraju uciekać?

— Nie! To by było naszą zgubą! — zawołał hrabia Edmund stanowczo. — Będą oni na wszystkie strony telegrafować i wszystkie drogi nam zamkną! Chwała Bogu, że ty jesteś wolną i jak długo ja żyję, to ręka siepaczy ciebie nie dotknie!

Agata rzuciła się z płaczem w jego ramiona, a on objął ją i twarz pocałunkami okrył.

— Moja biedna żono! — szepnął on boleśnie. — Zaczyna się dla ciebie znów czas prześladowań i walki. Lecz teraz będziemy zawsze razem i wszystkie niebezpieczeństwa dzielić będziemy. Spodziewam się jednak, że tu jeszcze kiedyś otwarcie wrócimy i że prawda zwycięży nad podłością i podstępem.

— Ach, Edmundzie! — szlochała Agata zrozpaczona. — A moja matka? Co się z nią stanie. Boże miłosierny! Ona będzie stracona.

— Przysięgam ci, że my ją wyratujemy! — zawołał on. — Ja już znajdę środki, aby ją stamtąd wydostać.

Wtem zatrzymał się powóz. Hrabia Edmund wyskoczył szybko i dawszy staremu Michałowi jeszcze niektóre rozkazy, wbiegł do kamienicy.

Agata została w powozie.

Na kurytarzu spotkał hrabia zapłakaną i zrozpaczoną Martę.

— Ach, ekscellencyo! Nasza biedna pani...

— Jest uwolniona! — przerwał jej hrabia Edmund. — Prędko Marto! Proszę wziąć małego Waltera i Delię i za mną.

Z okrzykiem radości wpadła Marta do pokoju i wyszła w chwilę potem z małym Walterem i Delią.

Wsiedli oni wszyscy do powozu, tylko Delia musiała się umieścić na koźle przy woźnicy. Stary Michał znikł. Udał on się na rozkaz swego pana do jego pałacu, aby uratować stamtąd niektóre ważne papiery i wartościowe rzeczy, zanim policya tam przybędzie.

Hrabia Edmund oglądnął się raz jeszcze ostrożnie wokoło, zanim wsiadł do powozu. Ani śladu prześladowców jednak nie odkrył.

Powóz ruszył i wyjechał niebawem z miasta na gościniec.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Gdy stary Michał wszedł do pałacu, zastał tam doktora Kloca i Wintera. Uwiadomił on ich prędko o zamiarach swego pana i zgarnął z ich pomocą w krótkim czasie najważniejsze papiery i rzeczy.

Służba nie przeczuwała o co chodzi i nikt jej też nie wtajemniczał.

— Ja idę z wami! — rzekł doktór Kloc do starego Michała. — I ja nie jestem tu już pewny, gdyż oni mnie do odpowiedzialności pociągnąć gotowi. Pan zaś nie ma się niczego obawiać! — zwrócił on się do Wintera.

Detektyw był tego samego zdania i doradzał doktorowi, aby się w bezpieczne miejsce schronił.

— Spiesz się pan! — ostrzegał on. — Policya każdej chwili tu wpaść może.

Stary Michał kazał osiodłać kilka koni, między nimi i wierzchowca hrabiego Edmunda. Potem zniósł z pomocą drugiego służącego pełne walizy spakowanych rzeczy do parku, gdzie przy furtce wychodzącej na samotną uliczkę, stały już przygotowane konie.

Doktór Kloc i stary Michał wskoczyli szybko na siodła i pożegnali się z Winterem.

Wtem nadbiegł z pałacu zasapany służący i krzyknął staremu Michałowi.

— Właśnie nadeszła policya i pyta się za jego ekscellencyą. Mowią oni, że....

— Dobrze, dobrze! — odparł Winter szybko. — Powiedzcie im, że jego ekscellencya wkrótce wróci. Niech czekają!

Służący wrócił do pałacu. Obaj jeźdzcy popędzili galopem, a Winter popatrzył za nimi z zaniepokojoną miną.

— Daj Boże, aby oni szczęśliwie uszli — mruknął zaniepokojony.

Potem zamknął furtkę i oddalił się zamyślony. Po drodze spotkał oddział konnych żandarmów, którzy go jednak nie spostrzegli i dalej ulicą jechali.

Winter mocno się zaniepokoił. Było to jasne że żandarmi ci wysłani byli do pałacu hrab., Edmunda. Musieli oni spostrzedz ślady kopyt końskich za parkiem i to ich mogło naprowadzić na trop starego Michała i doktora. Postępując zaś za tym śladem, mogli oni dojść do zamku leśnego i natknąć tam na hrabiego Edmunda i Agatę.

Doktór Kloc i stary Michał pędzili galopem po gościńcu w nadziei, że powóz hrabiego dogonią, lecz jak daleko oko ich sięgało, nigdzie dostrzedz go nie mogli.

Pędzili tak może przez godzinę, zboczyli z gościńca i przejechali przez wieś. Dowiedzieli się tam, że przed kwadransem może przejeżdżał tędy powóz. Wiedzieli więc, że są na dobrej drodze.

Nie wiedzieli oni nic o grożącem im niebezpieczeństwie i jechali lasem po za którym ciągnęła się polami i łąkami odkryta płaszczyzna, przecięta wijącą się w różnych kierunkach rzeką.

Jechali oni kawał nad wodą i przebywszy most dostali się znowu do wsi, gdzie stanęli przed karczmą, aby konie popaść i trochę wypocząć.

I przez tę wioskę przejeżdżał powóz przed kilku minutami. Nie było go jednak widać, gdyż wjechał już był w las, ciągnący się tuż za wioską.

Doktór Kloc naglił do pośpiechu. Jechali oni więc dalej i byli już blizko lasu, gdy się stary Michał raz jeszcze w stronę wioski odwrócił.

— Panie doktorze! — zawołał on przestraszony. — Gonią za nami! Oto cały oddział żandarmów!

Doktór Kloc oglądnął się i zobaczył rzeczywiście oddział jeźdźców nadjeżdżających od strony wsi. Byli oni otoczeni obłokiem kurzu, ale z poza tegoż błyszczała broń ich i hełmy, dając do poznania, że to prześladowcy.

— Wątpię, czy oni nas dogonią! — rzekł doktór spokojnie. — Konie ich widocznie już zmęczone, a my wkrótce będziemy w lesie.

— Ale pan hrabia i wielmożna pani w powozie! — zawołał stary Michał trwożnie.

— Oni tak prędko naprzód pędzić nie mogą i z pewnością ich dostaną.

— Spieszmy się, bo musimy się z nami prędzej zetknąć niż prześladowcy!

To mówiąc, dał koniowi ostrogi i popędził galopem naprzód. Stary Michał to samo uczynił.

Wtem padł za nimi strzał. Żandarmi ich spostrzegli i chcieli wiedzieć kogo przed sobą mieli. Lecz obaj jeźdzcy znikli teraz w lesie. Pędzili oni w szalonym galopie, zostawiając żandarmów daleko po za sobą.

— Oto powóz! — krzyknął doktór Kloc nagle, gdy byli u skrętu. — Zatrzymał on się, pewno jakieś nieszczęście się stało.

Zbliżyli oni się prędko do powozu i stanęli przed Agatą i hrabią Edmundem, którzy już z niego byli wysiedli.

— Dobrze, że nadjeżdżacie! — zawołał hrabia Edmund uradowany. — Koło się złama-

ło i my w żaden sposób jechać nie możemy.

Woźnica wyprzęgał właśnie konie dla hrabiego Edmunda i Agaty, a że stary Michał dwa rozerwowe konie ze sobą przytransportował, mogły też Marta i Delia o ucieczce pomyśleć.

— Musimy się spieszyć! — ostrzegał doktór Kloc. — Żandarmi są za nami i najdalej w kwadrans już tu będą.

Agata wsiadła na koń, a hrabia Edmund podał jej małego Waltera. Potem wskoczył sam na siodło, a Marta i Delia dostały wyprzężone z powozu konie.

Tylko woźnica musiał zostać, gdyż dla niego już wierzchowca nie stało.

— Wracaj do pałacu! — rzekł mu hrabia. — Nie masz się niczego obawiać, bo nic złego nie zrobiłeś. Staraj się tylko ominąć żandarmów, a jak możliwe, to przynieś nam wiadomość do zamku leśnego.

Woźnica obiecał wrócić i wszedł w głąb lasu, podczas gdy jeźdźcy w przeciwnym kierunku popędzili. Dla ostrożności opuścili oni także gościniec i jechali lasem. W ten sposób musieli prześladowcy ślad ich zatracić.

Ta nadzieja nie zawiodła też uciekających. Po pewnym czasie wyjechali oni z lasu i zobaczyli przed sobą małą wioskę nad brzegiem strumyka.

Było to już późnym wieczorem, a że i konie były zmęczone, postanowili oni we wsi przenocować.

Mogli być zupełnie bezpieczni, gdyż wieść o dymisyi ministra i o prześladowaniu jego pewno jeszcze do tej odległej dziury się nie dostała.

Hrabia Edmund zarzucił płaszcz na swój mundur, aby nie być poznanym i przebrał się w ciemny zwykły ubiór, który mu Michał przywiózł.

— Przybycie ich wywołało w wiosce ogromną sensacyę, a właściciel karczmy nie miał jeszcze nigdy tak dostojnych gości, którzy do tego w tak dziwny sposób jechali.

Trzy kobiety konno... do tego dwa konie bez siodeł... to im się jeszcze nie zdarzyło. Kto ci ludzie być mogli i skąd oni przyjeżdżali?

Tego się jednak dowiedzieć nie mogli. Hrabia Edmund uspokoił ciekawość gospodarza większą sumą pieniędzy, lecz nie odpowiadał na żadne pytania.

Dostawszy dwa pokoje do swej dyspozycyi, wziął hrabia Edmund doktora Kloca na bok i zaczął się z nim naradzać.

— Moja żona się obawia, że my tu przez noc nie jesteśmy bezpieczni! — zaczął on. — Ma ona słuszność, gdyż żandarmi mogą odkryć nasz ślad i tu nas napaść!

— Cóż więc poczniemy! — wtrącił doktór Kloc. — Nasze konie tak są zmęczone, że przed ranem nie będą do użycia.

Gospodarz musi nam się o powóz wystarać, tak abym mógł wysłać żonę moją z Martą i Delią naprzód. Stary Michał będzie im powoził, a my obydwaj jutro konno za nimi pojedziemy.

— Hm! — wtrącił doktór zamyślony. — Jeżeliby żandarmi tej nocy jeszcze tu zajrzeli, to pan będzie zgubiony, ekscellencyo! Niech pan hrabia jedzie lepiej ze swoją żoną, a Marta niech tu do rana zostanie. Ona się przecież nie ma czego obawiać

Hrabia Edmund nie podzielał zdania doktora. Agata byłaby także chętnie widziała, aby ją mąż jej doprowadził, lecz hrabia wyperswadował jej to i uspokoił ją.

— My we dwoje łatwiej się tu wyratujemy, niż gdyby Marta przytem była — rzekł on. — Jutro wieczorem będziemy już wszyscy razem w zamku leśnym. Stary Michał zna wybornie drogę i bezpiecznie was tam zawiezie.

Hrabia Edmund zawołał gospodarza i polecił mu o wóz się postarać.

— Czy państwo już się w drogę wybierają? — zapytał gospodarz zdziwiony.

— Tylko panie! — odparł hrabia Edmund. — Nie mają one tu dość wygód i muszą dlatego dalej jechać. Pan zaś żadnej szkody mieć nie będzie!

Niebawem stał wóz zaprzężony przed drzwiami. Wsiadła najpierw Agata z małym Walterem, a za nią Marta z Delią.

Wśród łez pożegnała się Agata z mężem swoim, który się ją daremnie uspokoić starał. Miała ona uczucie, jak gdyby go nigdy więcej nie miała zobaczyć!

— Jedź, jak prędko tylko możesz i wybieraj samotniejsze drogi! — upominał hrabia Edmund starego Michała. — Zmieniaj konie jak często będzie potrzeba, aby tylko jutro wieczorem być u celu!

Wóz odjechał i znikł w ciemności. Wokoło panowała grobowa cisza i nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Uspokojony ułożył się hrabia Edmund do snu. Doktór Kloc poszedł za jego przykładem.

Nie mógł jednak zasnąć i przewracał się na swojem łożu wśród tysiącznych przykrych myśli. Wreszcie wstał i ubrał się. Otworzył okienice i wyjrzał przez okno.

Na dworze zaczęło już świtać i natura budziła się do życia. Nad lasem wznosił się jeszcze blady sierp księżyca. Głęboką ciszę wokoło przerywało zdala tylko szczekanie psów zresztą, nic się nie ruszało.

Przez chwilę stał doktór przy oknie, wdychając z rozkoszą świeże powietrze. Wtem usłyszał on zdala coś jakby tętent kopyt zbliża-

jących się koni, coraz wyraźniej i bliżej dochodził szmer ten jego ucha.

Byli to bezwątpienia jeźdzcy konni, zbliżający się do samotnej wioski.

— Kto to mógł być? Chyba tylko ścigający ich żandarmi, bo któż inny by tak w nocy do samotnej tej dziury zdążał?

Nagle wyłoniły się z mroku postacie jeźdzców na gościńcu. Konie ich były widocznie bardzo zsapane i tylko powoli naprzód postępowały. Blady blask zachodzącego księżyca oświecał grupę złożoną z pięciu uzbrojonych jeźdzców konnych.

Byli to żandarmi.

Wreszcie zatrzymali się przed gospodą i zaczęli się żywo naradzać. Rozmawiali jednak tak cicho, że nadsłuchujący dotkór Kloc ani słowa połapać nie mógł. To mu tylko było jasne, że to byli ścigający hrabiego Edmunda żandarmi.

A hrabia spał w sąsiednim pokoju, nie przeczuwając nic złego. Doktór Kloc odstąpił szybko od okna tak, że go żandarmi spostrzedz nie mogli. Zsiedli oni z koni i zapukali do drzwi gospody.

Tymczasem wszedł doktór Kloc do pokoju hrabiego Edmunda i zastał go już ubierającego się.

— Są tu nasi prześladowcy! — zawołał doktór Kloc cicho. — Możemy jednak jeszcze przed nimi uciec. Ja wyprowadzę czemprędzej nasze konie. Proszę za mną ekscellencyo!

Wyszedł on z pokoju przez kuchnię na tylny kurytarz domu i otworzywszy drzwi od podwórza, wyjrzał ostrożnie. Nie zobaczył tam jednak nic podejrzanego. We wnętrzu domu zaczęło się jednak ożywiać. Gospodarz zbudzony pukaniem nowoprzybyłych, wołał już na służącą.

Doktór Kloc nie namyślał się dłużej. Pobiegł do stajni i wyprowadził z niej dwa osiodłane konie. Niebawem też zjawił się hrabia Edmund na podwórzu.

— Prędko, kochany doktorze! Żandarmi już są w izbie gospodniej! — rzekł on cicho. Zamknąłem nasz pokój tak, aby im pewien czas zeszedł na dobywaniu się i rozbijaniu drzwi. Musimy uciekać zanim oni się spostrzegą, że nas już w domu nie ma.

To mówiąc wskoczył na siodło. Doktór Kloc otworzył furtkę prowadzącą na łąkę i obaj popędzili w kierunku, w którym wóz z Agatą przed kilkoma godzinami odjechał.

Jeszcze ucieczki ich widocznie nie odkryto. Gdy jednak ze wsi na pole wyjechali, usłyszeli za sobą krzyk prześladowców.

— Oni już tuż za nimi! — rzekł hrabia Edmund zaniepokojony. — Obawiam się, że my losowi naszemu tym razem nie ujdziemy.

— Ufajmy Bogu! — zawołał lekarz będąc dobrej myśli i popędził konia. — Nasze wierzchowce są wypoczęte, a szkapy żandarmów są okropnie zziajane. Nie będą oni nas mogli długo gonić.

— Co za szczęście, że kobiety naprzód wysłane! — odparł hrabia Edmund. — Teraz byśmy je z trudem tylko uratować mogli.

Po za nimi ukazali się już żandarmi, trzaskający z bicza i dający koniom swoim ostrogi. Lecz nic im to nie pomagało, zostawali coraz bardziej w tyle.

Uciekinierzy tryumfowali. I strzały, które za nimi wysyłano, nic nie szkodziły.

Pędzili teraz dość długo przez otwarte pola. Było już zupełnie jasno. Wreszcie zatrzymali koni swe na wierzchołku pagórka i rozglądnęli się przy blasku wschodzącego słońca wokoło.

Nie zobaczyli wokoło ani żywej duszy. — Przed nimi rozciągał się las, a przez drzewa przezierały tu i ówdzie dachy wiejskich chatek.

— Z naszymi zmęczonymi końmi teraz daleko nie zajedziemy! — zauważył hrabia Edmund. — Zatrzymywać nam się także nie wolno. Spróbujemy, może nam się uda dostać we wsi świeżych koni.

— To może być niebezpieczne, ekscellencyo! — sprzeciwił się doktór.

Wreszcie postanowili zaryzykować. Doktór Kloc chciał się sam do wsi udać, a hrabia Edmund miał na niego w lesie poczekać.

Schował on się też w pobliżu wioski w gęstwinie, a doktór poszedł tam pieszo. Trwało to dłużej niż godzinę zanim wrócił, lecz koni nie przyprowadził.

— Położenie nasze fatalne, ekscellencyo! — rzekł. — Uciekajmy czemprędzej w głąb i szukajmy dla siebie i koni bezpieczne schronisko — bo tu by nas prędko odkryli.

— Jakto? Czyż oni już tu za nami tropią? — zapytał hrabia zaniepokojony.

— Tak jest! W karczmie spotkałem dwóch żandarmów, którzy mnie nie poznali. Widzieli mnie tylko pobieżnie, gdyż ja się zaraz ulotniłem. Ale od gospodarza słyszałem później, że oni tu za nami szukają.

— Czy to możliwe? Przecież nas tu jeszcze nikt widzieć nie mógł.

— Spostrzeżono jednak wóz żony pańskiej, panie hrabio! Przejeżdżał on tędy nocą i stary Michał zmieniał tu konie!

— W takim razie oni będą pędzili za wozem i żona moja będzie w niebezpieczeństwie! — zawołał hrabia Edmund zaniepokojony. — Obawiam się, że ona nie zdąży szczęśliwie do zamku leśnego.

— Nie traćmy nadziei, panie hrabio! — pocieszał go doktór Kloc. — Im tam w lesie łatwo zmylić trop prześladowców. Dla nas zaś okropnie to źle, żeśmy świeżych koni we wsi nie dostali, gdyż nie będziemy mogli prędko gonić!

Wyszukali w głębi lasu bezpieczne miejsce, gdzie przez kilka godzin wypocząć mogli.

Tylko hrabia Edmund był niecierpliwy i naglił do odjazdu. Chciał on czemprędzej być w zamku leśnym, aby się co do losu Agaty i towarzyszek jej zapewnić.

Późnym wieczorem zbliżali się wreszcie do celu. Między drzewami przeświecały zarysy ruin zamkowych, a wieża wznosiła się upiorowato na tle ciemnego nieba.

Tutaj zatrzymali się jeźdźcy i spojrzeli w stronę dobrze utrzymanej części budynku. Lecz nigdzie w oknach światła nie było. Stare zamczysko wyglądało zupełnie niezamieszkałe i opuszczone.

Hrabia Edmund otworzył bramę kluczem, który miał przy sobie. Potem wjechali obydwaj na zasypane gruzem podwórze. Zsiedli z koni, hrabia otworzył drugim kluczem portal, przez który weszli do wieży.

Panowała tu cisza i ciemność. Doktór Kloc zaświecił latarkę i przy świetle jej dostali się do utrzymanych jeszcze komnat. Dziwny spokój w zamku uderzył ich podejrzliwie.

— Czyż tu nikogo więcej nie ma? A przecież stary kasztelan z chorym detektywem Braunem jeszcze tu być musiał! I Agata z towarzyszkami swemi pewno dawno już tu przybyła!

— Zapewne już wszyscy śpią! — rzekł doktór Kloc. — Oni nas dziś już nie oczekiwali.

Obawy hrabiego Edmunda zwiększały się. Miał on okropnie złe przeczucie.

Wtem otwarły się ostatnie drzwi na kurytarzu i jasny blask lampy padł na obu nowoprzybyłych.

— Kto to? — odezwał się znany głos kasztelana.

— To ja! — zawołał hrabia Edmund zbliżając się szybko do niego.

— Wielki Boże! To pan hrabia! — zawołał stary zdziwiony.

Hrabia wszedł szybko do pokoju i oglądnął się badawczo wokoło. Nikogo jednak nie spostrzegł.

Doktór Kloc szedł za nim, a kasztelan postawił lampę na stole i powiódł zdziwionym wzrokiem po obu nowoprzybyłych, których się nie spodziewał.

— Czy mojej żony jeszcze tu nie ma? — zapytał hrabia wzburzony...

—Nie, wielmożny panie! — jąknął się zmieszany stary.

Hrabia Edmund zbladł i popatrzył bezradnie na doktora Kloca.

Im się z pewnością coś złego w drodze stało! — mruknął boleśnie. — Wpadły one bezwątpienia w ręce prześladowców!

— One jeszcze mogą nadjechać, panie hrabio! — pocieszał go doktór. — Nie traćmy nadziei.

W tej chwili zapukano silnie do bramy, którą hrabia Edmund napowrót zamknął.

— Oto one! — krzyknął doktór Kloc uradowany.

To mówiąc wybiegł, a hrabia Edmund z kasztelanem pośpieszyli za nim. Gdy zeszli na podwórze, usłyszeli powtórne pukanie.

Czy to była rzeczywiście Agata ze swojemi towarzyszkami, czy może wrogowie, którzy ich tu odszukali?

CLXV.

ZERWANE WIĘZY.

Ludwik niemało był zakłopotany, gdy się tak niespodzianie znalazł wobec detektywa Wintera. Wiedział on wprawdzie, że Winter już więcej nie urzęduje, lecz mógł go mimoto przyłapać i oddać w ręce policyi.

— Był tak przerażony, że w pierwszej chwili wprost przytomność stracił. Spodziewał się jednak, że go Winter w masce jego nie pozna.

— Czego... pan odemnie chce? — jąkał się, zmieniając o ile możności głos.

W książęcej liberyi, którą Ludwik nosił, wyglądał tak, że łatwo detektywa mógł złudzić.

— Pytam się, czego pan tu chce?— odparł tenże szorstko.

Ludwik wyprostował się dumnie i rzekł bezczelnie:

— Mój panie, ja się przed panem nie myślę usprawiedliwiać!

Winter uśmiechnął się szyderczo. Wzrok jego spoczywał przenikliwie na twarzy łotra, któremu się dość nieprzyjemnie zaczęło robić.

— Zdaje mi się, że wiem, kogo pan szuka! — rzekł detektyw ponuro. — Lecz zapóźno pan przychodzi. Powiedz pan tej, która pana posłała, że ofiary tym razem szczęśliwie uszły.

To rzekłszy odwrócił się od hultaja i otworzywszy bramę kluczem, wszedł do kamienicy. Ludwik popatrzył za nim zaambarasowa-

ny. Po chwili odszedł z pod bramy, a uczynił to tak prędko, jakgdyby detekyw jeszcze za nim gonił.

Winter zaś stanął na chwilę w sieniach i jak gdyby wiedziony jakąś myślą, zwrócił się i wyszedł znowu na ulicę.

— Na Boga! Zdaje mi się, że to był godny mąż Waleryi — rzekł wzburzony. — Gdzież ja miałem swoje oczy, żem tego hultaja nie poznał?

Spojrzał na ulicę i zobaczył Ludwika właśnie na skręcie ulicy. Bez namysłu pospieszył Winter za nim i spodziewał się nie spuścić go więcej z oka.

Ludwik nie szedł długo pieszo, bo obawiał się prześladowania Wintera. Odgadł jego myśli i chciał się czemprędzej przed nim ukryć. Nie myślał nawet o zleceniu Waleryi co do Wintera, bo nie był tak głupi, aby się przez zamach na jego życie, któryby się prawdopodobnie nie udał, na własną zgubę narazić.

Skinął więc na doróżkę i kazał się zawieźć do hotelu. Chciał tam wziąć swego konia i wrócić do zamku myśliwskiego, nie załatwiwszy poleceń Waleryi. Było mu to obojętne, co ona na to powie, gdyż i tak przeciwko niemu nic przedsięwziąć nie mógł.

Winter widział go odjeżdżającego doróżką i rozpacz chwyciła go na myśl, że mu się ten łotr znów z pod rąk wywinął. Na szczęście zobaczył jeszcze z tyłu numer dorózki i spodziewał się odnaleźć ją i dowiedzieć się od woźnicy, dokąd ptaszka tego zawiózł.

Gonił czemprędzej tą samą drogą i po pewnym czasie zobaczył tę samą dorózkę późno wracającą. Zatrzymał więc woźnicę, dał mu się poznać jako detektyw i wsunął mu suty napiwek do ręki.

Tym sposobem usposobił dorożkarza, do wszelkich możliwych informacyi.

— Tak jest, panie komisarzu! — rzekł. — Zawiozłem tego człowieka do hotelu pod "niebieskim aniołem." Pan go pewnie tam zastanie!

— Dobrze! Zawieźcie mnie tam! — zawołał Winter i wsiadł do dorózki. — Ten łotr nie śmie mi ujść!

Woźnica zawrócił, i zawiózł Wintera do owego hotelu. Wiedział bardzo dobrze, że już więcej nie miał prawa uwięzić Hechta, lecz mógł przecież tak jak każdy inny oddać w ręce policyi złoczyńcę, za którym ona szukała. Nie było to jednak na razie jego zamiarem. Chciał on wpierw dowiedzieć się przez Ludwika, o miejscu pobytu Waleryi.

Nie przeczuwał, gdzie ona się obracać mogła. Było to niewątpliwe, że jej książę jakieś przytulisko wyznaczył, ale gdzie?

Albo Ludwik mu się do tego przyzna, albo go podpatrzy! Tym sposobem dojdzie z pewnością do celu. Bo to nie ulegało wątpliwości, że Ludwik zawsze jeszcze z Waleryą w pewnych stosunkach pozostaje. Wnioskował więc słusznie, że się ten hultaj wkrótce pewno znów do Waleryi zgłosi.

Jeżeli mu się w ten sposób uda Waleryę odnaleźć, to jej już więcej z oka nie spuści. Postawił on sobie za zadanie życia kobietę tę zdemaskować i w ręce sprawiedliwości oddać.

Gdy przybył do hotelu, dowiedział się ku wielkiemu swemu rozczarowaniu, że Ludwika już tam nie było. Odjechał konno, i Winter nie mógł się w żaden sposób dowiedzieć dokąd. Gospodarz miał go za książęcego lokaja, i utrzymywał, że się do zamku udać musiał.

To się detektywowi po pewnym namyśle dość prawdopodobnem wydawało. Możliwe, że się omylił, i że to nie Ludwik tylko rzeczywiście jakiś lokaj.

Z drugiej strony zaś podejrzenie jego mogło być słuszne. Ludwik mógł być przecież pojechać do zamku księcia z jakiemś zleceniem od Waleryi.

Wreszcie zdecydował się Winter pojechać za Ludwikiem do książęcego pałacu. W pewnem oddaleniu od niego opuścił dorózkę i stanął przy głównym portalu. Był bowiem pewny, że Ludwik opuszczając pałac, tędy wyjdzie.

Lecz cierpliwość detektywa wystawiona była na ciężką próbę. Czekał już dłużej jak godzinę, a jednak daremnie. Zaczął więc teraz wątpić czy Ludwik wogóle jest w zamku. Chciał się już oddalić, gdy wzrok jego padł na kobiecą postać ,która w tej chwili przez portal do zamku wchodziła.

Zadrżał z radośnego zdziwienia. To była przecież Fryda pokojówka Waleryi.

Nareszcie odnalazł dziewczynę, która od ucieczki swej pani znikła bez śladu. Postanowił więc wytrwać na posterunku i odczekać powrotu pokojówki, aby się od niej o miejsce pobytu pani jej dowiedzieć.

Jego przypuszczenia co do Ludwika nie zmyliły go. Hultaj ten pojechał rzeczywiście do zamku. Kazał się zameldować u księcia i miał go w imieniu Waleryi prosić o wiadomości co do Agaty i hrabiego. Dało mu to do myślenia, że w domu Agaty nikogo już więcej nie było, i chciał dla Waleryi jak najdokładniejsze szczegóły zebrać.

Książę nie dopuścił go jednak do siebie, kazał go się tylko przez kamerdynera o życze-

nie jego zapytać i dać mu bilecik do Waleryi z którym niezwłocznie do zamku myśliwskiego miał wrócić. Ludwik dostał też rozkaz zostawić konia swego w zamku i jechać napowrót wozem, którym zawożono dla Waleryi zapasy żywności.

Nie podobało się mu to wcale, musiał się jednak do woli księcia zastosować. Podczas gdy stał na podwórzu, przypatrując się jak wóz naładowywano, nadeszła pokojówka Waleryi. Ludwik poznał ją w tej chwili i przystąpił do niej.

Fryda również go poznała i była bardzo zadowolona gdy się dowiedziała, że ją Walerya odszukać i przywieźć do siebie kazała.

— Chciałam się właśnie w zamku księcia o adres pani hrabiny dowiedzieć, gdyż nie mam pojęcia, gdzie ją mam odszukać — rzekła pokojówka. — Uciekłam wtedy, bo się obawiałam, że mnie detektyw do więzienia zabierze.

— Ach, tego się więcej nie potrzeba obawiać! — odparł Ludwik tonem zadowolenia.— Teraz my górą, moje dziecko! Ogromnie się cieszę, żem was tak przypadkowo odnalazł. Jedźcie zaraz ze mną! Tak świetne życie w tym myśliwskim zamku, jak w raju! A my, mam nadzieję, porozumiemy się jeszcze co do pewnych punktów i wspólne korzyści z nich wyciągniemy.

Miał on zamiar sprzymierzyć się z pokojówką przeciwko Waleryi, by na nią tem większą presyę módz wywrzeć. Równocześnie czuł wiedział dlaczego by sobie nie miał na mały flircik z nią pozwolić. Własna żona jego przecież to samo czyniła.

Pokojówka nie miała również nic przeciwko temu przymierzu, gdyż znała moc Ludwika nad Waleryą. Tak więc wsiedli oni w najlepkszą presyę wódz wywrzec. Równocześnie czuł on pociąg do pięknej i kokieteryjnej Frydy i nie szem porozumieniu na wóz, i układali podczas długiej jazdy do zamku myśliwskiego swoje plany i przedsięwzięcia.

Nie spostrzegli oni detektywa, który stał przyczajony przed bramą, i widział ich oboje wyjeżdżających wozem. Domyślał się, dokąd jechali, i dał woźnicy swemu znak, aby za nimi jechał. Droga szła najpierw gościńcem, a potem przez las. Jechali tak godzinami za wozem, a Winter wiedział, że się w tej okolicy gdzieś zamek myśliwski księcia znajduje, i że oni pewno tam zdążają.

Tam też musiała Walerya przebywać. Nie miał na razie celu jechać aż tam za nimi. Postanowił więc zatrzymać się w pobliżu, i dopiero wieczorem dalsze kroki przedsięwziąć.

Chciał przedewszystkiem rozmówić się z pokojówką, i uczynić z niej swą sprzymierzoną tak naturalnie, aby ani Walerya ani Ludwik nic tego nie przeczuwali.

W małej wiosce, przez którą przejeżdżali, zatrzymał się detektyw i zajechał do karczmy. Było stąd już tylko pół godziny drogi do zamku myśliwskiego, tak że się tam już bardzo dobrze piechotą dostać było można. Zapłacił więc i odprawił dorożkarza, który po krótkim popasaniu wrócił do stolicy.

Tymczasem dojechał Ludwik z pokojówką do zamku myśliwskiego. Nie widzieli Wintera, i nie przeczuwali jak blizko nich i Waleryi detektyw się znajdował.

Walerya powitała radośnie swą pokojówkę, a potem przeczytała bilet księcia, który Ludwik po drodze zręcznie otworzył, przeczytał i napowrót zalepił.

Treść jego była dla Waleryi ważna. Zdziwiła ją ale też zarazem rozczarowała. Książę donosił jej, że dziś wieczorem u niej nie będzie, i wspomniał o ucieczce hrabiego Edmunda wraz z uwolnioną z więzienia Agatą.

Był to dla Waleryi okropny cios, i wprawił ją w niewypowiedzianą trwogę i wściekłość. Tryumf jej był przedwczesny. Oboje, których najbardziej nienawidziła, usunęli się tak, że się nawet zemścić na nich nie będzie mogła!

Gdy jej Ludwik potem opowiedział, jak się przed domem Agaty z Winterem spotkał i z powodu tego nic o małym Walterze dowiedzieć się nie mógł, wtedy wybuchła Walerya gorzkimi wyrzutami.

— Czego ty właściwie odemnie chcesz?— bronił się hultaj. — Cóż ja w tym wypadku mogłem zrobić? Jeżeli hrabina Agata uciekła, to pewno i dziecko swe ze sobą zabrała!

— Ja teraz o dziecku nie mówię! — krzyknęła Agata gniewnie. — Chodziło o to, abyś detektywa unieszkodliwił. To było twojem zadaniem! A sposobność była korzystna. Trzeba było wejść za nim do kamienicy i tam go zręcznie usunąć. Lecz zamiast tego, to ty tchórzliwie uciekłeś! — dodała pogardliwie.

— Na dyabła! — ofuknął się Ludwik. — Mówisz sobie tak na wiatr, nie obliczając, że jabym na tem był najgorzej wyszedł. — Mogłem tam przecież w kamienicy był kogo zastać. On nam zresztą nie ujdzie! — pocieszał Waleryę. — Jestem pewny, że się niebawem znów dobra sposobność okaże.

— A ty jej pewno znów wykorzystać nie potrafisz — szydziła Walerya. — Ja sobie będę musiała koniecznie kogoś innego do pomocy wyszukać.

— Bezemnie! — rzekł Ludwik obojętnie. — Ja nie myślę dla ciebie głowy swej narażać.

Walerya nic mu nie odpowiedziała. Rzuciła mu tylko spojrzenie pełne nienawiści i złości, i odwróciła się od niego.

Pokojówka stała przy drzwiach, i spokojnie scenie tej się przysłuchiwała bawiąc się w duchu kosztem tego miłego małżeństwa.

Walerya kazała się jej zbliżyć, i zapytała podejrzliwie:

— Czyś ty miała w ostatnim czasie jakie stosunki z detektywem Winterem?

— Broń Boże! — zapewniała Fryda. — Miałam przecież sama wiele powodu zdaleka od niego się trzymać!

Walerya uspokoiła się. Skinęła głową na znak zadowolenia, a ponura twarz jej się wypogodziła.

— Zostaniesz więc nadal u mnie, Frydo! — rzekła. — Nie będzie to twoją szkodą, gdyż ja mam świetną przyszłość przed sobą. — Ja zostanę żoną księcia! — dodała z dumą.

— Ach! Doprawdy? — zawołała pokojówka zdziwiona.

— Naturalnie! Czyż o tem wątpisz?

— O nie! Jeżeli wielmożna pani to mówi, to musi być prawda — odparła pokojówka uniżenie.

— A z chwilą, gdy ja cel swój osiągną, to suto wynagrodzona zostaniesz za twe usługi Frydo! — rzekła Walerya podniesionym głosem. — Żądam naturalnie za to, abyś była wierną i rzetelną, i uczyniła wszystko, czego od ciebie będą żądała!

— Rozumie się, pani hrabino! Jestem pani wiernie oddana!

— Dobrze! A teraz możesz odejść. — Pomówimy później o wszystkiem potrzebnem.

Fryda odeszła z głębokim ukłonem, Ludwik, któremu sytuacya była niemiła, chciał również odejść, lecz go Walerya zatrzymała.

— A co z aktem ślubnym? Czyś go odnalazł? — zapytała ostro i krótko.

Ludwik wzruszył tylko ramionami, i mocno był zaambarasowany.

— Nie miałem jeszcze czasu szukać za tym przeklętym papierem! — rzekł po chwili.

— Tego też wcale nie potrzeba, bo masz go pewno przy sobie.

— Ale, ja ci raz jeszcze oświadczam, że go zgubiłem.

— To kłamstwo! Ja w to nie wierzę! — zawołała stanowczo.

— Jak chcesz! — zaśmiał się gniewnie. — A ja ci przecież aktu tego dać nie mogę, jeżeli go sam nie mam.

Twarz Waleryi okropnie się zachmurzyła.

— Słuchaj! — zawołała drżącym z gniewu głosem. — Jeżeli mi do jutra aktu tego nie dostarczysz, to wszystko między nami zerwane, i ja cię jako nieprzyjaciela uważać i traktować będę. — Ty wiesz, co ja myślę.

— Najzupełniej — odparł spokojnie. — Zastosuję się do tego.

Walerya spojrzała na niego niedowierzająco.

Czy mi może grozisz?

— Jak to myślisz? — rzekł szyderczo. —

Ludwik mruknął coś niezrozumiale pod nosem i cofnął się do drzewi.

— Masz do jutra czas do namysłu! — krzyknęła za nim. — Wręczysz mi akt ślubny, albo odpokutujesz swój upór!

Dobrze! Pójdę szukać za żądanym dokumentem! — mruknął ponuro.

— Stój! Nie opuścisz zamku! — krzyknęła rozkazująco. — Zgaduję twoje zamiary. — Ty nie chcesz szukać dokumentu, którego wcale nie zgubiłeś, tylko mi pewno jakiegoś figla chcesz spłatać.

Zbliżyła się do niego, i dodała groźnie:

— Ostrzegam cię, że mnie nie pokonasz. Cokolwiek przeciwko mnie przedsięweźmiesz, to na ciebie samego spadnie! Radzę ci więc: Oddaj mi akt ślubny dobrowolnie! — Ja go muszę mieć, i potrafię go sobie uzyskać. — Zdaj się na mnie!

Ludwik zaśmiał się wymuszenie, i opuścił komnatę. Za drzwiami mruknął jednak zaniepokojony.

— U dyabła! Zdaje mi się, że ona jest mnie w stanie zamordować, jeżeli ja się dłużej opierać będę. Ale ja się już będę miał na ostrożności, a aktu ślubnego mimo wszystko jej nie wydam. Nie, pod żadnym warunkiem! Ten dokument, to jest jedyna broń moja przeciwko niej, i gdyby go dostała, to mnie na dobre wyrzuci, albo ze świata sprzątnie!

Był tego zdania, że jak długo akt ślubny ma w swojem posiadaniu, tak długo też Walerya nic złego wyrządzić mu nie będzie mogła.

— Gdyby był przeczuwał jej zamiary, to byłby się przecież inaczej namyślił.

Aby się narazie przed Waleryą zabezpieczyć, udał się do swego pokoju, i zaczął szybko pisać. Potem włożył list wraz z aktem ślubnym do dużej koperty, którą zapieczętował i adresem Wintera zaopatrzył.

W liście tym wyliczył wszystkie zbrodnie Waleryi, i przyznał się nawet gdzieniegdzie do współwiny. Z pisaniny tej, gdyby się do rąk jego była dostała, byłby Winter mógł wyczytać najważniejsze wyjaśnienia a przez akt

ślubny miałby okropną broń przeciwko Waleryi w swoim ręku.

— Tak! — szepnął Ludwik zadowolony, wsadzając list do kieszeni. — Teraz jestem na wszystko przygotowany. — Gdybyś mnie naprawdę chciała ze świata usunąć, moja kochana Waleryo, to ja po śmierci jeszcze na tobie zemściłbym się!

Odszukał pokojówkę, i chciał jej się z zamiarów swoich zwierzyć.

Fryda przyjęła go z uprzejmym uśmiechem, bo i jej na tem zależało mieć w nim sprzymierzeńca przeciwko Waleryi. Byłaby też chętnie z nim stosuneczek miłośny nawiązała, aby sobie urozmaicić trochę monotonne życie w tym samotnym zamczysku.

Ledwo Ludwik dostrzegł, że się kokieteryjna pokojówka do niego przymilać zaczęła, natarł odrazu szturmem, aby twierdzę za pierwszym zamachem zdobyć.

Zuchwałe to natarcie udało mu się nadspodziewanie. Fryda padła mu w ramiona i związek miłosny między nimi był zawarty.

Ludwikowi sprzykrzyły się jednak wkrótce całusy i pieszczoty. Myślał zawsze praktycznie i przeszedł też szybko do poważnej części swoich planów.

Gdy nareszcie usiedli spokojnie obok siebie na kanapie, zaczął jej Ludwik opowiadać okropne historye o podłości Waleryi, która go podobno niegdyś w nieszczęście wtrącić miała.

Zaszedł w fantazyi swej nawet tak daleko że utrzymywał, że się z powodu Waleryi niewinnie dostał do więzienia.

— Ale się bardzo przeliczyła! — ciągnął dalej. — Nie mogła się ze mną rozwieść, bo nie miała aktu ślubnego, nie sądziła jednak, abym jej nadal mógł być niebezpieczny. Wyszła więc za hrabiego, a ja byłem taki dobrotliwy, żem jej żadnych przeszkód w tem nie uczynił. Ona źle mi się jednak wywdzięczyła, za moją pobłażliwość. Nie wynagrodziła mi żadnej z moich usług, lecz przeciwnie. Widzicie na własne oczy, kochana Frydo, jak moja małżonka ze mną się obchodzi.

— Tak jest! — potwierdziła pokojówka. Nie trzeba jej jednak ustąpić, ani aktu ślubnego wydać, bo ją pan ma w swojej mocy. Proszę sobie też kazać wielką sumę za to zapłacić, że jej pan pozwoli wyjść za księcia. Pieniędzmi tymi zaś możemy sobie świetnie przyszłość zabezpieczyć!

— To i ja myślałem! — przerwał jej hultaj. — A jeżeli mnie pomożesz, kochana Frydo, to prędko do celu naszego dojdziemy!

— Czy mi pan może przyrzec, że się pan potem ze mną ożeni? — spytała ostrożnie.

— Ależ, Frydo! Jak wy się o to jeszcze pytać możecie? — zawołał Ludwik z wyrzutem. — Ja was kocham i jedyne życzenie moje jest uczynić was moją żoną!

Pokojówka rzuciła się uszczęśliwiona w jego ramiona.

— Teraz jestem uspokojona! — zawołała patrząc czule na niego. — Pracujmy wspólnie przeciwko Waleryi. Mamy okropną broń przeciwko niej w swych rękach. Ja znam jedną jej sprawkę, któraby ją wprost na szubienicę zaprowadziła, gdybym ją zdradzić chciała.

Ludwik przeczuwał, o co to chodziło, a pokojówka wcale tajemnicy z tego nie robiła i opowiedziała mu, że Walerya otruła pierwszego męża Agaty i że jej tę zbrodnię dowieść może.

— To świetne dla nas! — zawołał Ludwik uradowany. — Musimy jednak na razie być ostrożni i nie zdradzać mej żony, gdyż ona by w tym wypadku nie mogła wyjść za księcia. Dopiero po jej ślubie, albo krótko przedtem trzeba będzie energicznie przeciwko niej wystąpić. Wtedy nie będzie miała innej rady, jak dużą sumą pieniędzy, milczenie nasze okupić!

— Czy książę zamyśla naprawdę z nią się ożenić?

— Zupełnie seryo! — potwierdził Ludwik. Jest po uszy w niej zakochany, a Walerya umie kochanków swoich do siebie przykuwać.

— Lecz może księciu nawet nie będzie można z nią się ożenić!

— Dlaczego nie? Poślubi ją w najgorszym razie morganatycznie. Tego mu przecież nikt zabronić nie może!

— Tem by się nie zadowoliła!

— O, co do tego jestem pewny! Mam tylko jeszcze jedną wątpliwość!

— Jaką? — pytała pokojówka ciekawie.

— Tę, że moja żona chce mnie ze świata sprzątnąć, i jej się to udać może.

— Mój Boże! Czy pan to seryo myśli? — zapytała pokojówka przerażona.

— Tak jest! Chce koniecznie mieć akt ślubny i myśli, że po mojej śmierci łatwiej w posiadanie jej się dostanie. Lecz ja postanowiłem uwieźć ją w tych nadziejach.

Wyciągnął list z adresem Wintera i tak dalej zaczął mówić:

— Słuchajcie, Frydo! W liście tym wyliczyłem ja wszystkie zbrodnie swej żony o których wiem, i dołączyłem do niego ów akt ślubny. Chodzi teraz, o to, aby go przechować w bezpiecznym miejscu, gdzieby go Walerya odnaleźć nie mogła.

— O, daj mi go pan do przechowania! —

zawołała pokojówka żywo. — U mnie to będzie bezpieczne.

Wyciągnęła rękę po list, lecz Ludwik odsunął i rzekł potrząsając głową:

— Nie, moja kochana Frydo! I w twoich rękach te ważne dokumenta pewne by nie były. Schowam je gdzieś w ogrodzie, albo w lesie, ale przed twoimi oczyma, tak abyś list ten z kryjówki wyjąć i do Wintera posłać mogła, gdyby mi się coś nieludzkiego stało, albo gdybym pewnego dnia znikł bez śladu. Gdyby Winter już nie żył, to odeślij list ten do dyrekcyi policyi!

Fryda obiecała spełnić jego życzenie, dodała jednak.

— Spodziewam się, że tego nie będzie potrzeba, i że się Walerya rozmyśli i na życie pańskie czychać nie będzie!

— Obawiam się, że to przecież uczyni, bo się boi, że ją zdradzę! — odparł. — Powtóre, chce się mnie pozbyć, bo jej z tem wygodniej. Przystąpmy więc dziś jeszcze do dzieła. Skoro się tylko ściemni, pójdziemy do lasu i wyszukamy dobry schowek na list.

— Ale to w ciemności będzie trudno! — perswadowała Fryda. — Mogłoby też wpaść w oko, że się tak późno do lasu wykradamy. Idź pan lepiej sam, a gdy pan znajdzie dobry schowek, to mi go już pan później pokaże.

Ludwik uznał, że miała słuszność i wyszedł sam do ogrodu. Oglądał się na wszystkie strony, lecz nikogo nie spostrzegł. Ogród był zupełnie pusty. Nie mógł jednak znaleźć stosownego schowka na list i wyszedł przez furtkę do lasu.

Szukał przez dłuższy czas, wreszcie znalazł blizko jeziora jakąś ruinę, obrosłą mchem.

Znalazł więc, co szukał. Oglądnął sobie ze wszystkich stron i odkrył wreszcie wejście, zakryte gęstymi krzakami.

Z trudem tylko przedarł się do środka i starannie wszystko obejrzał. W ścianach zwalniały się cegły i wiele z nich już na podłodze leżało.

Ludwik wyjął jedną taką dużą cegłę, wsadził w otwór list owinięty jeszcze grubym papierem i napowrót cegłę wstawił i umocnił.

Zapamiętał sobie jednak dobrze miejsce i opuścił ruinę. Dostawszy się niespodzianie do zamku, zaczął niezwłocznie szukać pokojówki, lecz jej nie znalazł. Była bowiem u swej pani i potrwało to dość długo, nim się zjawiła.

Tymczasem zapadł wieczór. Ludwik opowiedział jej gdzie list schował, a Fryda chciała dziś jeszcze miejsce to zobaczyć.

— Czy się moja żona o mnie pytała? — badał Ludwik.

— Tak jest! Chciała wiedzieć, gdzie się pan, obraca! Sądziła, że lepiej będzie powiedzieć jej, że pan opuścił zamek.

— Dobrze! — rzekł Ludwik szyderczo, — będzie myślała, żem poszedł szukać za aktem ślubnym!

Zeszedł znów na dół i udał się do lasu. Pokojówka poszła z ostrożności trochę później za nim. Zetknęli się u wyjścia z ogrodu, i poszli razem ku małej tej ruinie.

Nie przeczuwali, że byli obserwowani.

Na brzegu jeziora w wysokiej trawie stał mężczyzna, który się za zbliżaniem ich szybko podniósł i za drzewo schował.

Był to Winter, który tu dopiero dotarł i właśnie się namyślał, jak się to do pokojówki, bez zwrócenia uwagi na siebie zbliżyć można było.

Był ogromnie zdziwiony, że ją o tej porze w towarzystwie Ludwika w lesie zobaczył.

Co to miało znaczyć? Byli widocznie ze sobą na poufałej stopie. Czy to może było randezvous miłosne?

Detektyw obserwował ich coraz bardziej zdziwiony lecz oni go nie spostrzegli.

Nad jeziorem było jeszcze dość jasno. Blade światło wschodzącego księżyca mieszało się z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca i oblewało ponurą gąszcz lasu jakimś czarownym, mglistym blaskiem.

Winter skradał się zdala po za parą, która kroczyła powoli ku ruinom. Nie mógł się tak zbliżyć, aby rozmowę usłyszeć, bo by go łatwo spostrzedz mogli.

Niebawem stracił Ludwika wraz z pokojówką z oczu, a gdy się w miejsce to zbliżał, zobaczył ruiny, które przedtem nie spostrzegł. Domyślił się więc, że oboje do wnętrza wejść musieli i przysunął się szybko do zapadłych murów.

Z wnętrza odezwał się głos Ludwika, lecz tak cicho, że Winter słów zrozumieć nie mógł. Co oni oboje tam w tych starych murach robić mogli? Nie było to przecież miejsce dla scen miłosnych!

Po chwili spadło coś jak gdyby kamień, a z ust Frydy wyrwał się lekki okrzyk. Wreszcie wyłoniły się cienie ich z ciemnych ruin.

Winter cofnął się szybko w bok i przeczekał chwilę bez ruchu. Zobaczył, że poszli drogą ku zamkowi i szedł w pewnym oddaleniu za nimi.

Po pewnym czasie znikli we furtce ogrodowej, a Winter uznał, że dziś już nie będzie mógł znaleźć sposobności mówienia z pokojówką

Postanowił więc wrócić tu nazajutrz. Cóż jednak w ruinie tej robili? Myśl ta nie dawała mu ani chwili spokoju.

Dla zbadania kwestyi wrócił do ruin, aby je dokładnie zbadać.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem przechodził Ludwik z pokojówką prze ogród nie przeczuwając nic złego i aby bez przeszkód o dalszych planach módz pomówić, usiedli obok siebie w altanie.

Fryda żyła widocznie w iluzyi że ją Ludwik rzeczywiście kocha, a gorące jej serce pragnęło dowodów tejże w pieszczotach i pocałunkach.

Ludwik nie miał też nic przeciwko czułemu sam na sam z piękną pokojówką i oboje tak sobą byli zajęci, że nie słyszeli zbliżających się od zamku kroków.

Była to Walerya, która przechodziła tędy przez trawnik i usłyszawszy w altanie szepty, przysunęła się bliżej i zaczęła nadsłuchiwać.

Nie była tak ślepą i naiwną jak pokojówka i Ludwik myśleli. Spostrzegła, że Ludwik był jeszcze w zamku i że ją Fryda okłamała. Dało to Waleryi do myślenia i zaczęła naturalnie zaraz podejrzywać, że między nimi obojgiem było jakieś tajemne porozumienie. Oddalenie się Ludwika i następne zniknięcie pokojówki także uwadze jej nie uszło.

Zwiększyło to jeszcze jej podejrzenie i postanowiła mieć ich bacznie na oku. Szukała więc dotychczas po ogrodzie i teraz dopiero w altanie ich odkryła.

Zbliżywszy się do niej, rozgarnęła cicho gałęzie aby lepiej widzieć i słyszeć. W panującej tam ciemności mogła jednak widzieć tylko rysy postaci sprzymierzeńców, którzy blizkości Waleryi nie przeczuwali.

Scena miłosna, która się tu przed oczyma jej rozgrywała, nie obudziła zazdrości Waleryi. Przeciwnie, bawiło ją to tylko. Mąż jej szukał odszkodowania w ramionach pokojówki. Słusznie. Jeżeli to było wszystko, to im przyjemności tej psuć nie chciała.

Uspokojona chciała już odejść, gdy rozmowa wewnątrz altany doznała zwrotu, który ją żywo zainteresował, a zarazem dał jej poznać, że oboje przeciwko niej spisek uknuli.

— List teraz dobrze schowany — usłyszała głos Ludwika. — Tam w tych starych murach nawet Walerya go nie znajdzie, tembardziej, że najmniejszego pojęcia o tem niema! Jakto dobrze, że tą stara ruinę w lesie odkryłem.

— A co jej powiesz, jeżeli jutro akt ślubny od ciebie zażąda? — odezwała się Fryda trwożnym głosem.

— Mniejsza o to — zaśmiał się Ludwik szyderczo — oświadczę swej żonie, że go jeszcze nie znalazłem.

— Kiedy się tem rozłości i może groźbę swą wykonać.

Nie sądzę, aby coś seryo przeciwko mnie przedsięwziąć chciała — odparł Ludwik. — Zna mnie i wie, że ja ją zniszczyć mogę. Lecz musimy wracać do zamku, kochana Frydo — dodał — jest już późno i pani twoja potrzebować cię może.

Pokojówka usłuchała przestrogi jego dość niechętnie. Zamieniła z nim w pośpiechu jeszcze kilka całusów i pobiegła żwawo ku zamkowi. Ludwik miał tu jeszcze trochę przeczekać, aby nie wzbudzić podejrzenia.

Nie widząc jej zupełnie przesunęła się Fryda około Waleryi, która stała nieruchomo drżąc z gniewu i wściekłości.

Ludwik siedział zadowolony w altanie i uśmiechał się do siebie z radości, a urywane słowa, które tu i ówdzie przebąkiwał, okazywały zamiary jego względem pokojówki mającej służyć tylko za narzędzie jego planów.

Miał jeszcze różne wątpliwości i pewną nieufność do swej wspólniczki. Był mocno wzburzony nagłą jakąś myślą i mruczał tak głośno, że go Walerya wyraźnie słyszeć mogła.

— Czy ja nie popełniłem nieostrożności, pokazując jej schowek owego listu? Nie można tak podstępnej żmii ufać, gdyż pewno tylko na swoją korzyść będzie patrzyła! Gotowa jeszcze ukraść ten list z aktem ślubnym, a wtedy miałaby mnie zupełnie w ręku!

Umilkł na chwilę. Potem wstał i rzekł rezolutnie:

— Nie, ja muszę z ostrożności list ten w innem miejscu schować! Walerya chyba nie będzie taka głupia, aby mnie ze świata sprzątnąć, a w takim razie Fryda nie musi wiedzieć, gdzie są papiery!

To rzekłszy wyszedł z altany, nie widział jednak Waleryi, która się szybko w krzaki schowała. Nie czuł też płomiennego, mściwego spojrzenia, które Walerya za nim rzuciła.

Czując się zupełnie bezpiecznym, wyszedł szybkim krokiem przez furtkę do lasu.

Walerya wysunęła się za nim i wyciągnęła z kieszeni rewolwer który na każdy wypadek ze sobą zabrała. Straszne postanowienie malowało się w bladej jej twarzy, oblanej światłem księżyca.

Idąc przez las o kilkanaście kroków za Ludwikiem drżała z trwogi i wzburzenia. Miał

jej bowiem, nie przeczuwawszy nawet wcale, wskazać miejsce przechowania tak ważnego dla niej dokumentu. Chciała go zaskoczyć w chwili wyjmowania tych papierów i wyrwać mu gwałtem z rąk, choćby go w ostatecznym razie zamordować miała!

Wtedy unieszkodliwi go na zawsze i będzie miała spokój od niego.

Zajęta tymi myślami, skradała się za nim i była już blizko starych ruin. Panowała tu uroczysta cisza, nic się nie ruszało. Wintera tu już nie było.

Właśnie chciał Ludwik wchodzić do ruin, gdy usłyszał jakiś szmer. Było to jakgdyby łamanie się suchych gałęzi pod stopami. Odwrócił się i zobaczył stojącą wśród krzaków ciemną postać.

— Stój! — odezwał się dobrze znany głos i postać postąpiła o kilka kroków naprzód.

Ludwik wpatrywał się w nią osłupiałym wzrokiem i do słowa przyjść nie mógł. Poznał on Waleryę i domyślał się, że się za nim skradała.

Walerya mimowoli sama się zdradziła, lecz ponosząc konsekwencyę tego, przystąpiła rezolutnie do swego przeciwnika. Z błyszczącemi demonicznie oczyma syknęła ona gniewnie:

— Ha, złapałam cię na gorącym uczynku, ty podstępny łotrze! Wydaj mi teraz papiery, które tu masz przechowane. Wydaj mi je natychmiast! Radzę ci, chytry łotrze!

Ludwik zadrżał z przerażenia.

— Co za papiery? — jęknął.

— Hultaju! Czy ty sądzisz, że mi oczy zamydlisz? — zgrzytnęła Walerya, drżąc z gniewu. — Znam twój nikczemny plan i wiem wszystko, coś z pokojówką przeciwko mnie uknuł. Podsłuchałam was w altanie i znam wasze podłe zamiary. Już to wy mnie nie podejdziecie. Wiem, że jesteście moimi wrogami, i jako takich będę was traktowała!

Tymczasem przyszedł Ludwik do siebie, a trwoga ustąpiła miejsca gniewowi na Waleryę, za to że go tak podeszła.

Zaśmiał się ochryple i wymuszenie i zawołał szyderczo:

— Czyś zwaryowała? Nie rozumiem ani słowa z twego głupiego gadania!

— Chcesz się jeszcze wypierać, podły hultaju? — krzyknęła ona i zbliżyła się groźnie do niego. — Masz akt ślubny schowany tu, w tych ruinach. Czy wydasz mi go natychmiast? Pytam cię o to po raz ostatni!

Ludwik uznał, że mu to wypieranie nic nie pomoże, był jednak zdecydowany nie dać sobie pod żadnym warunkiem wydrzeć tego ważnego dokumentu!

— Zwaryowałaś! — zgrzytnął raz jeszcze. Ja ci aktu tego nigdy nie wydam..

Twarz Waleryi zachmurzyła się. Wyjęła szybko rewolwer z kieszeni i skierowała go w następnej chwili w pierś Ludwika.

— Giń więc, nędzniku! — krzyknęła dziko. — Widzę, że tylko śmierć twoja zerwie przekuwające mnie do ciebie kajdany.

I nim Ludwik jeszcze mógł odskoczyć, aby ujść grożącej mu śmierci, pocisnęła Walerya za kurek. Ostry wystrzał... stłumiony okrzyk Ludwika... potem ciężkie upadnięcie jego na ziemię.

Walerya zbliżyła się szybko do niego i pochyliła się nad jego ciałem. Z małej rany na piersi sączyła się krew: leżał zupełnie bez ruchu.

— Wreszcie się ciebie pozbyłam! — odetchnęła z ulgą i tryumfem. — Jestem wolną! A gdy cię znajdą... ba! Któż się odważy mnie o śmierć twą oskarżyć? Musi to tak wyglądać, jak gdyby sobie sam życie odebrał — dodała ona po chwili.

I schyliwszy się nad nim, wsunęła mu rewolwer do pół zdrętwiałej ręki.

Tak, a teraz idę papiery szukać — zaśmiała się demonicznie. — Nie będą one trudne do znalezienia, a gdy je dostanę, to...

Urwała ona nagle i wzdrygnęła się, gdyż usłyszała teraz dokładnie zbliżające się szybkie kroki ludzkie.

Kto to mógł być? — przeraziła się Walerya i cofnęła się szybko w krzaki. Potem pędziła, jakby furyami gnana ku zamkowi.

Ledwo zniknęła, zbliżył się nowoprzybyły do ruin. Był to Winter, który odszedł stąd krótko przed nadejściem Waleryi i Ludwika i wrócił śpiesznie, gdy odgłos strzału usłyszał.

Przy świetle księżyca zobaczył on leżącą na ziemi postać. Pochylił się też wnet nad nią i poznał twarz Ludwika Hechta.

— Cóż to? Czyżby on się sam zastrzelił? — zawołał, widząc rewolwer w jego ręku. — Nie, to chyba niemożliwe!

Wiedziony dziwnem przeczuciem zaczął się wokoło siebie oglądać. Pomyślał on, że tylko Walerya czyn ten popełnić mogła i że ona tu gdzieś niedaleko być musi. Nie namyślając się więc, popędził on ku zamkowi.

CLXVI.

Ślepo w zgubę.

Greif udał się czemprędzej do willi, w której Betlina z wujaszkiem mieszkała, bo się obawiał, aby mu się oni oboje nie wywinęli.

Gdy się dorożka przed bramą zatrzymała, wysiedli wszyscy a Aleksander pociągnął za dzwonek. Po chwili weszli przez otwartą bramę do ogrodu i Gertruda spojrzała w okno. — Dziś jednak tam nikogo nie zobaczyła.

Guenter został na terasie, na wypadek, gdyby się Betlina przez jakieś boczne ukryte drzwi z willi wysunąć chciała.

Greif zaś wszedł z Gertrudą i Aleksandrem na kurytarz, gdzie się odźwierny uprzejmie o życzeniach ich zapytał.

Aleksander oświadczył mu swe żądanie i dodał:

— Ja się sam zoryentować potrafię, gdyż tu już raz byłem. Czy państwo w domu?

— Niestety, zapóźno pan przychodzi, gdyż państwo już odjechali! — odparł, patrząc badającemu bystro w twarz.

Stanęli wszyscy troje jak osłupiali, a Greif prawie że w to nie chciał uwierzyć.

— Co, odjechali? — krzyknął on wzburzony. — Przecież dopiero ślub ich był w kościele. To chyba niemożliwe!

— Tak jest, panie! Ja sam się dziwię, że to tak prędko poszło! — rzekł odźwierny wzruszając ramionami — ale fakt jest, że oni odjechali zaraz po przybyciu swym z kościoła na dworzec!

— Dokąd oni odjechali? — badał Greif.

— Tego nie wiem! Zdaje mi się, że do Paryża!

— Więc ja daremnie przyjechałem! — zawołał Greif rozczarowany. — Trzeba było na nich w Paryżu czekać!

Potem zwrócił się do odźwiernego i zapytał:

—A czy oni nie zostawili żadnych zleceń?

— Pani kazała tylko powiedzieć, że wyjechała do Paryża, na wypadek, gdyby się kto za nimi dopytywał!

— Więc to tylko młoda pani powiedziała? A pan nic nie mówił?

— Nic! On się tylko śmiał!

Greif rzucił towarzyszom swoim wieloznaczące spojrzenie. Nie wierzył on w tę podróż paryską.

— Jak ona nas chytrze zmylić chciała! — szepnął on Aleksandrowi. — W każdym razie musimy biedz teraz czemprędzej na dworzec, może nam ich jeszcze uda się przyłapać.

Gertruda nie miała wiele nadziei, lecz mimoto pojechała z towarzyszami swymi na dworzec.

Przeszukali oni tam wszystkie poczekalnie i peron i dowiadywali się u kilku urzędników, lecz daremnie. Pokazało się tylko, że oni do Paryża odjechać nie mogli, gdyż pociąg w tamtą stronę jeszcze nie odjechał. Musieli albo jeszcze być tutaj, albo w inną stronę się udać.

Mimo wszelkich usiłowań nie mogli oni na razie odkryć śladu wujaszka z Betliną i panią Dijon.

Tylko Greif był zawsze pełen nadziei i utrzymywał, że oni troje do Włoch wyjechać musieli. Przypuszczał też, że i Sinobrody za nimi wyjechał. Chodziło też dowiedzieć się o miejsce ich pobytu.

Tego samego dnia jeszcze, wsiadł Greif z Guenterem do pociągu. Zdawało im się, że odnaleźli ślad uciekinierów.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Na pięknej, dzikiemi różami obrosłej werandzie małego dworku, siedziała pewnego wieczora Betlina z wujaszkiem... obecnym jej mężem... w żywej i czułej rozmowie.

Stary wujaszek wprost odmłodniał z rozkoszy miodowych miesięcy i rzeczywiście, nie mógł był dostać piękniejszej i milszej małżonki od Betliny. Oczarowywała męża swego tak, że on czuł się jakgdyby w jakiemś błogim śnie, z którego by się nigdy za żadną cenę nie chciał obudzić.

Od tygodnia byli oni już tu, w małym południowym porcie i wynajęli skromny, ale romantycznie nad morzem położony dworek.

Betlina czuła się tu zupełnie bezpieczna od swych nieprzyjaciół i myślała już nad wykonaniem swego szatańskiego planu, który wraz z Sinobrodym ułożyła.

Biedna ofiara jej chciwości i podłości zaś nie przeczuwała nic, o czarnych myślach knujących się w duszy tej szatańskiej syreny. — Szedł on ślepo na zgubę. Uwielbiał młodą swą żonę, odczytywał jej wszystkie życzenia z ócz i nic mu dla niej drogiem nie było. Potrzebowała tylko skinąć, a wszystko u nóg jej leżało.

Na jej życzenie też kazał sobie wujaszek przysłać od swego bankiera dużą sumę pieniędzy, lecz Betlina nie była z tego zadowolona. Mogła ona żyć szczęśliwie ze swym mężem, ale ona· była żyć szczęśliwie ze swym mężem, ale za nią stała jej przeszłość i pędziła ją z niepowściągnioną siłą ku strasznej tej zbrodni.

Nie miała ona pewnego gruntu pod nogami. Lada chwila mogła prawda wyjść na

wierzch, a szczęście jej minąć jak sen. Na to ona się zaś w żaden sposób narazić nie chciała. Wolała więc sprzątnąć tego starego, zaślepionego durnia, który sobie jeszcze wmawiał, że ona go kochała, a którego czułości często wstręt w niej wzbudzały.

Umiała ona jednak po mistrzowsku ukrywać prawdziwe swe uczucie i udawać kochającą żonę, a pocieszała się nadzieją, że to niedługo potrwa.

I dzisiejszego wieczora była ona dla męża swego tak czuła, że on się wprost rozpływał ze szczęścia. Przytuliła się do jego piersi i paplała wesoło; wreszcie rzekła z westchnieniem:

Kochany mój! Cóż jabym dała, gdyby to tak zawsze zostać mogło! Lecz ja nie patrzę bez trosk w przyszłość. Nieraz myślę nad tem, co by się ze mną stało, gdybyś ty... przypuśćmy... zmarł nagle?

Stary wujaszek pogłaskał ją i odparł z uśmiechem:

— I w takim razie nawet ty będziesz zabezpieczona, moja kochana żono! Wiesz przecież, że ja nie mam prócz ciebie żadnych spadkobierców!

— Doprawdy? — badała ona. — Czy nie ma nikogo, ktoby z jakiemiś prawami przeciwko mnie mógł wystąpić?

— Nie! Nikt do tego prawa nie ma! — uspokajał ją wujaszek.

— A owa oszustka, która się podaje za hrabinę Gertrudę? — lamentowała ona dalej. — Gdybyś ty, broń Boże, umarł, to ona gotowa wydrzeć mi jeszcze nietylko nazwisko, ale i majątek twój.

— Nie dręcz się takiemi przykremi myślami, kochanie, to przecież niemożliwe.

Lecz Betlina, która miała w tem pewien cel, nie dała się zbić z tropu.

— Sądzę najdroższy, że to by było dla nas obojga wielkie uspokojenie, gdybyś ty przyszłość mą zabezpieczył. Mógłbyś przecież napisać testament i uczynić mnie w nim jedyną twoją spadkobierczynią.

Popatrzyła na niego badawczo. On uśmiechnął się i serdecznie ją ucałował.

— Ależ dziecko! Taki testament zupełnie nie jest potrzebny!

Betlina nie dawała się zbić z tropu.

— A dlaczego! — dąsała się. — To by mię jednak ogromnie uspokoiło. Nie prawdaż, że ty zrobisz testament? — schlebiała mu.

Nie mogąc się oprzeć jej prośbie, ustąpił jej wreszcie.

— No, dobrze! — rzekł on. — Tymi dniami ja już rzecz tę uporządkuję!

— Najlepiej zaraz jutro, kochanie! — nalegała i rzuciła mu się na szyję. — Nie można przecież nigdy wiedzieć, co się stanie!

— Niech będzie jutro! — odparł on śmiejąc się. — Chcę abyś była spokojna.

Betlina tryumfowała. Gdy mąż jej wszedł wkrótce do swego pokoju, dla napisania kilku listów, zbiegła z werandy do ogrodu, a stamtąd na wzgórze, z którego był cudny widok na morze.

Lecz Betlina nie przyszła tu dla podziwienia natury. Siadła na ławce i patrzała w stronę miasta. Było tam zupełnie cicho i samotnie. Ani żywej duszy widać tam nie było.

Nagle podskoczyła Betlina, gdyż zobaczyła z daleka na gościńcu męską postać.

— To pewno on! — szepnęła. — Więc on przecież dziś wyjechał!

Wkrótce zbliżyła się postać do niej. Był to Sinobrody.

— Więc otrzymałaś mój list i tu mnie oczekiwałaś? — rzekł on po przywitaniu. — No, jakżesz się tu sprawy mają? Czy służą ci miodowe miesiące? — uśmiechnął się cynicznie.

— Dziękuję... bardzo dobrze, jak widzisz! — była chłodna jej odpowiedź.

Hrabia Sinobrody uśmiechnął się szyderczo. Doprowadził on Betlinę do ławeczki i usiadł sobie obok niej.

— Cóżeś już w sprawie naszego planu zrobiła! — badał dalej. — Czyś go już doprowadziła do tego, aby zrobił testament? Wiesz sama, że to przecież jest konieczne.

— Tak jest! Obiecał mi to właśnie! Jutro zrobi testament!

— Ależ, to niespodziewanie dobrze! A ja się już obawiałem, że ten stary dureń będzie robił trudności! — Musimy czemprędzej dojść do celu, gdyż grozi nam wielkie niebezpieczeństwo!

— Ach! — krzyknęła Betlina przerażona. — Czy może znów od tego przeklętego detektywa? Czy on już ślad nasz odnalazł?

— Spodziewam się, że dotychczas jeszcze nie! Może on się jednak każdej chwili tu zjawić. Widziałem go przedwczoraj w miejscu, które ledwo o 40 mil stąd jest oddalone.

Betlina okropnie się zatrwożyła.

— O, w takim razie musimy się spieszyć! zawołała. — Ten okropny detektyw już jutro tu być może. Kto wie, czy on mi w ostatniej chwili wszystkiego nie popsuje! O, dlaczegoż ja tego testamentu już przedtem nie zażądałam?

Na razie jeszcze go tu nie ma! — uspokajał ją Sinobrody. — Gdyby zaś zanadto wcześnie tu przyszedł, to już sobie z nim radę damy! Chodzi w pierwszym rzędzie o to, aby sta

ry wujaszek nie zwlekał z napisaniem testamentu. Jest to twoją rzeczą, aby on słowo dotrzymał.

— Naturalnie! Już ja to jakoś zrobię!

— Dobrze! W takim razie możemy tę sprawę już pojutrze skończyć. Po jego śmierci my natychmiast znikniemy i udamy się wprost do Rosyi. Spieniężymy tam posiadłości starego wujaszka, a potem możemy zrobić, co nam się rzewnie podoba.

Betlina potakiwała głową na znak potwierdzenia i odeszła, obiecawszy Sinobrodemu, że jutro znów tu na spotkanie jego wyjdzie.

Wróciwszy do domu przekonała ona się najpierw, czy mąż jej jest jeszcze w swoim pokoju. Nie spostrzegł on nawet jej nieobecności.

Betlina weszła do pokoju ciotki swej, pani Dijon i opowiedziała jej, że nagięła starego wujaszka do swego celu i że ze Sinobrodym rozmawiała.

— Detektyw jest już znów w naszem pobliżu! — zakończyła. — Nie wolno nam więc ani dnia dłużej zwlekać i śmierć jego na dziś postanowiona! — dodała ona szeptem.

Pani Dijon zbladła i zaczęła drżeć.

— Ach, dziecko moje! Nie wkładaj swoich rąk do tego! — przestrzegała. — Ty go nie śmiesz zabić, bo on jest twoim mężem. Niech to Sinobrody uczyni.

Betlina wstrząsnęła głową i westchnęła:

— Ja muszę być przy tem... to inaczej nie idzie!

— O, ty się tem unieszczęśliwisz! — lamentowała pani Dijon. — Bo zbrodnia ta w tajemnicy się nie zatrzyma. Hrabia Sinobrody jest twoim złym demonem, nie słuchaj go. On cię zgubi.

— Ja się już nie mogę confé̜ą, ciotko! — rzekła Betlina ostrym tonem. — Na cóż więc te wątpliwości?

— Przyrzeknij mi przynajmniej, że sama nie splamisz ręki swej krwią swego małżonka!

— Nie, ciotko! Ja go nie zamorduję! — zapewniała ją Betlina. — To będzie rzeczą Sinobrodego.

— A co potem? Ten nędznik nie wypuści cię więcej ze swoich kleszczy. On bierze cały plon okropnego tego czynu i wszystko ci wydrze, a ty będziesz jego niewolnicą.

— O nie, ciotko! — uśmiechnęła się Betlina przemądrze. — Tak źle to nie będzie. Przeciwnie, hrabia Sinobrody czyn ten wykona, lecz żadnej korzyści z tego mieć nie będzie. My go przechytrzymy! Znikniemy z testamentem i on nas więcej nie odnajdzie.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Zaślepiony wyjaszek dotrzymał słowa. Pojechał z Betliną nazajutrz do sąsiedniego miasta i wystawił tam u notaryusza testament, którym uczynił Betlinę jedyną swą spadkobierczynią.

Wrócili dopiero wieczorem do domu, a wujaszek wziął ze sobą odpis tego dokumentu.

Korzystając z pierwszej wolnej chwili pobiegła Betlina na pagórek, hrabia Sinobrody już na nią czekał.

— No, cóż! — zawołał on ciekawie. — Jak rzeczy stoją, Betlino?

— Tryumf! — odpowiedziała z błyszczącemi oczyma. — Testament jest zrobiony.

Potem opowiedziała mu jak byli u notaryusza, a hrabia Sinobrody zapytał:

— Czy masz odpis tego tego testamentu?

— Nie! Wujaszek ma ten dokument u siebie zamknięty.

— Musisz go koniecznie wykraść i mnie go wręczyć! — oświadczył. — Potem można go już dziś w nocy będzie zgładzić. Nie ma celu dłużej jeszcze czekać.

Zimny dreszcz wstrząsnął ciałem Betliny na ostre, okrutne te słowa. Opanowała się jednak. Musiała przecież trzymać z tym demonicznym łotrem, mimo, że go się bała.

Usiadła obok niego i omawiała z nim szeptem zagładę swej ofiary. Po krótkim czasie wstała Betlina i wróciła do domu.

Mąż jej siedział na werandzie w rozmowie z panią Dijon. Gdy zobaczył nadchodzącą Betlinę z ogrodu, zapytał, gdzie ona była.

Betlina przystąpiła do niego, zupełnie spokojnie i swobodnie i podczas gdy w myśli sposobem zamordowania jego była zajęta i już go w duchu martwym widziała, dała się pieścić i rzekła z uśmiechem:

— Byłam nad morzem! Chciałabym tak kiedyś łódką na morze wyjechać! Szczególnie teraz wieczorem cudownie być musi!

Zaślepiony i rozkochany w niej wujaszek był jak zwykle gotów spełnić jej życzenie.

— Chodź! — rzekł on wesoło. — Ja jestem za tem; szkoda żeśmy tego już dawniej nie zrobili. Na brzegu tyle jest łódek, a morze jest tak spokojne, że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa.

— Czy cioteczka pójdzie z nami? — spytała Betlina panią Dijon.

Lecz ciotka odgadła cel tej wycieczki i nie chciała być świadkiem strasznej zbrodni. Biedny wuj nie miał więcej wrócić.

Na myśl tę zadrżała ciotka i musiała się odwrócić, aby się nie zdradzić.

— O, mój Boże, jak to się skończy? — jęknęła widząc odchodzącą ramię w ramię Betlinę. — To się nie może dobrze skończyć. To

musi Betlinę na szubienicę zaprowadzić!

Wreszcie namyśliła się i chciała za nimi pobiegnąć, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Po krótkim spacerze doszła para nad brzeg morza. Było tu kilka rozrzuconych chatek rybackich, a zdala mieniły się światła portu. Mniejsze i większe łodzie przymocowane były do długiej drewnianej poręczy.

Betlina oglądnęła się badawczo wokoło. Nie było tu przewoźnika, ale na uboczu stał jakiś człowiek w rybackiem ubraniu.

Zobaczywszy ich, zbliżył się do nich i zdjąłszy kapelusz, zapytał skromnie:

—Czy państwo chcą łódkę?

— Tak jest! — odparł wujaszek. — Możecie nas przewieźć z godzinkę po morzu.

— Na rozkaz, signor!

Przewoźnik, człowiek o dużej, silnej postaci i ogorzałej, ciemną brodą okolonej twarzy, zwolnił łańcuch jednej łodzi i Betlina wskoczyła do niej z wujaszkiem. Wsiadając popatrzyła jednak raz jeszcze badawczo na przewoźnika.

— To ja! — szepnął on ledwo dosłyszalnie.

Ona skinęła głową, gdyż poznała go po głosie. Był to hrabia Sinobrody, który się tak przebrał, aby odegrać rolę przewoźnika. Wujaszek wcale nie przeczuwał, że był teraz w mocy swego mordercy. Siadł on sobie na środkowej ławeczce łódki, a Betlina usiadła naprzeciw niego.

Domniemany przewoźnik ujął wiosła i regularnie, do taktu wodę niemi rozpruwał. Łódka przemykała lekko po gładkiej powierzchni morza, oblanego srebrnym blaskiem księżyca.

Wuj i Betlina rozmawiali początkowo półgłosem, lecz wkrótce oboje umilkli. Im dalej w morze wyjeżdżali, tem większa trwoga opanowywała młodą kobietę. W decydującej chwili straciła ona odwagę do wykonania planu, który z taką szatańską podstępnością i okrutnością ułożyła.

Była ona tak przerażona, że do słowa nie mogła przyjść, a oczy jej spoczywały z wyrazem trwogi i zgrozy na twardej, nieugiętej twarzy Sinobrodego, który zupełnie spokojnie wiosłował.

Betlina drżała na całem ciele i serce jej biło coraz silniej. Twarz jej była trupio blada, i czuła się bliską omdlenia.

Mąż jej spostrzegł tę zmianę w niej i zapytał zaniepokojony:

— Czy ci niedobrze? Może wrócimy?

Betlina skinęła potakująco głową. Wujaszek zawołał na przewoźnika i kazał mu zawrócić. Byli oni już dość daleko od brzegu i żadnego okrętu ani łodzi w pobliżu widać nie było.

Nagle wciągnął Sinobrody wiosła, ujął jedno w rękę i wstał z siedzenia. Wujaszek wcale tego nie spostrzegł, gdyż był do niego plecyma obrócony. Siedział on spokojnie i patrzył zamyślony na nieskończoną powierzchnię wodną.

Betlina jednak, która siedziała naprzeciw, widziała to wszystko. Opanowała ją okropna trwoga, krew w żyłach jej się ścięła. Sinobrody podniósł był właśnie wiosło nad głową biednej ofiary i już go w głowę miał uderzyć.

Wtem wydała Betlina przeraźliwy okrzyk... wujaszek podskoczył, lecz już zapóźno. W tej samej sekundzie padło ciężkie wiosło na jego głowę. Stłumiony, do szpiku kości przenikający okrzyk... potem padł nieszczęśliwy jakby piorunem rażony i zsunął się w zburzone fale.

Betlina zakryła twarz rękoma i do siebie ze zgrozy przyjść nie mogła.

Sinobrody patrzał jeszcze przez chwilę w miejsce, gdzie znikła jego ofiara, potem oglądnął się badawczo wokoło i skonstatował, że nikt zbrodniczego czynu jego zauważyć, ani śmiertelnego wykrzyku jego ofiary słyszeć nie mógł.

Chwycił więc szybko za wiosła i zdążał co mu sił starczyło ku brzegowi.

Od czasu do czasu spoglądał na Betlinę z szyderczym uśmiechem. Siedziała ona zawsze jeszcze z twarzą w rękach ukrytą i kurczowy płacz wstrząsał jej ciałem.

— Nie rób komedyi! — krzyknął hrabia Sinobrody ostro. — Wyglądasz, jakby ci żal było tego durnia!

Betlina opuściła ręce i rzuciła mu pełne pogardy i wstrętu spojrzenie.

— Ja nie jestem jeszcze taka zatwardziała i okrutna jak ty! — zawołała oburzona. — Nie mogę więc tak prędko ochłonąć z wrażenia, tembardziej, że dałabym wiele za to, aby to się odstać mogła! — dodała drżącym głosem.

Z ust Sinobrodego wyrwał się szyderczy uśmiech.

— Przeczuwałem to! Może jeszcze żałujesz? drwił on. — Przezemnie! Faktu samego tem nie zmienisz, a jutro już sama inaczej myśleć będziesz! Jesteśmy blisko brzegu, opanuj się więc i nic po sobie nie daj poznać, bo ludzie gotowi powziąć podejrzenie.

Betlina nic nie odpowiedziała, lecz uznała słuszność jego słów i starała się przyjść do równowagi. Wyskoczyła szybko z łódki i chciała bez słowa do domu pobiedz.

— Czekaj! Ja cię odprowadzę! — krzyknął Sinobrody za nią.

— Nie! — sprzeciwiała mu się. — To by

było podejrzane. Przyjdź późno w nocy, albo jutro rano.

Ponieważ na lądzie było kilku rybaków, więc się Sinobrody do tego zastosował.

Betlina pędziła tymczasem ku swemu domowi, lecz kolana się pod nią uginały. Nie mogła ona pokonać zgrozy, ciarki po ciele jej chodziły.

Pani Dijon stała na warandzie i widząc Bet linę samą z powrotem, wszystkiego się domyśliła. Zbladła ona śmiertelnie i zapytała drżącym głosem:

— Więc już się stało?

— Tak jest! — szepnęła Betlina głucho. — On już nie żyje!

— Boże miłosierny! — zawołała ciotka zdławionym głosem i popatrzyła osłupiałym wzrokiem za Betliną, która znikła we drzwiach swego pokoju.

Poszła więc za nią i zobaczyła ją leżącą w spazmach na kanapie. Wkrótce opanowała się jednak i zerwała się na równe nogi.

— To się przecież stać musiało, ciotko! — rzekła ponuro. — Po co lamentować? Pomyślmy lepiej o przyszłości. Musimy tej nocy stąd uciekać!

— A on... Sinobrody? Gdzie on? — szepnęła pani Dijon zbladłemi usty.

— On przyjdzie... dziś może jeszcze. Ale on nas tu nie śmie zastać!

— Nie pomyślałeś o skutkach, dziecko! — rzekła ciotka. — Ten okropny czyn gotów się wykryć i podejrzenie może paść na ciebie.

— Bądź spokojna, ciotko. Ja już to dobrze obmyślałam. W najgorszym razie nawet mnie się nic stać nie może, bo nie ja go zamordowałam, lecz Sinobrody. Nie mogą mnie nawet oskarżyć o współwinę, gdyż nie ma dowodów, że ja z winowajcą byłam w porozumieniu.

— W jaki sposób wytłumaczysz jednak zniknięcie twego męża?

— Udam, że o niczem nie wiem. Powiem całkiem po prostu, że mąż mój pojechał do Rosyi, aby tam dobra swoje spieniężyć. Nie wraca stamtąd, więc ja jestem jego spadkobierczynią.

Pani Dijon milczała. Nie podzielała spokoju Betliny i drżała na myśl o Greifie i o innych jej przeciwnikach. Musiała jednak teraz już wytrwać, przy swojej siostrzenicy.

Betlina czyniła spieszne przygotowania do ucieczki. Kufry już były spakowane, a służąca posłana była do miasta po powóz.

Betlina przeszukiwała tymczasem w gorączkowym pośpiechu meble i rzeczy w pokoju swego męża. Musiała wyszukać odpis testamentu. Nie śmiał on się dostać w ręce Sinobrodego.

Wreszcie znalazła dokument ten przy innych ważnych papierach i znacznej sumie pieniędzy w sekretarzyku biurka. Zapakowała wszystko to do ręcznej torby i przebrała się do podróży.

Sinobrodego jeszcze nie było i Betlina miała nadzieję, że on się dopiero jutro zjawi. Ciotka napominała ją do pośpiechu.

Wtem słyszeć się dały silne kroki i przez drzwi werandy wszedł hrabia Sinobrody. Nie nosił swego przebrania i wyglądał jak elegancki światowy arystokrata.

Pani Dijon krzyknęła na jego widok. Betlina była również przerażona, lecz szybko się opanowała.

— Zajęte jesteśmy jak widzisz pakowaniem — rzekła spokojnie. — Jutro rano wyjeżdżamy stąd.

Hrabia Sinobrody spostrzegł odrazu, że wszystko już spakowane, i był szczęśliwy, że zapóźno nie przyszedł. Udawał jednak przed Betliną, że się nie spostrzegł, co czynić chciała.

— Dobrze! — rzekł z szyderczym uśmiechem. — Czyś znalazła testament?

— Nie! — kłamała Betlina. — Daremnie wszystko przeszukałam! Obawiam się, że on ten testament miał przy sobie!

— Hm! W takim razie przepadło — rzekł on. — Było to jednak tylko odpis, i nie wiele znaczy.

— Pewno! — potwierdziła Betlina spokojnie. — Jedziemy teraz do Rosyi, ale byłoby z wielu względów do życzenia, abyś ty nas tam nie odprowadzał. Mogłoby to bowiem wzbudzić podejrzenie.

— Nie sądzę! — odparł ironicznie. — Domyślam się, do czego ty dążysz, moje dziecko! — Chcesz mię podejść, lecz ja się od boku twego nie odstąpię! — Zostaniemy razem!

— Jak chcesz! — rzekła chłodno. — Nie składaj jednak na mnie winy, jeżeli nam się nie powiedzie!

— Dobrzę, dobrze! Ale, czy ty naprawdę nie znalazłeś testamentu?

— Nie! Jeżeli mi nie chcesz wierzyć, to szukaj sam!

Sinobrody wzruszył szyderczo ramionami. Nie zależało mu na odpisie, jak długo samą Betlinę miał w swej mocy. Przedsięwiął sobie też uważać, aby mu nie uciekła.

Wzrok jego padł teraz na ręczną torbę, która leżała na stole. Wyciągnął więc rękę po nią i zapytał podejrzliwie:

— Co masz, w tej torbie?

— Nic ważnego! To jest torba mojej ciotki!

To rzekłszy, uprzedziła go Betlina i wręczyła ciotce swej torbę. Pani Dijon znikła natychmiast wraz ze skarbem w swoim pokoju.

W tej chwili zajechał powóz przed bramą. Sinobrody wybiegł zaniepokojony na werandę i zawołał trwożnie:

— Kto to przyjeżdża?

Betlina wyszła, i zobaczyła, że to był powóz, po który służącą posłały. Szepnęła więc dziewczynie coś po cichu, i wróciła do pokoju.

— To jest nasz powóz — rzekła — zamówiłam go na jutro rano, a z pomyłki widocznie teraz przyjechał.

— Możemy więc zaraz odjechać! — odpowiedział Sinobrody. — Po co nam tę noc jeszcze tu spędzać?

— Nie! Ja jeszcze nie jestem gotowa! — rzekła Betlina stanowczo. — Niech powóz czeka do rana, jest tu dość miejsca dla koni i woźnicy.

Sinobrody nie sprzeciwiał się temu więcej. Poszedł do pokoju wujaszka, i zaczął wszystkie meble i rzeczy jego przeszukiwać. Gdy Betlina po chwili za nim tu weszła, zwrócił się do niej z zapytaniem:

— Gdzie masz papiery i pieniądze starego? Ja tu nic więcej znaleźć nie mogę!

— Bo też nic tu nie było — odpowiedziała.

— Co! I ty myślisz, że ja w to uwierzę? — krzyknął on gniewnie. — Stary musiał tu przecież mieć pieniądze i papiery wartościowe? Czyś już wszystko zabrała?

— Nie! Słyszysz przecież, tu nic nie było.

— Nonsens! Kłamiesz! — krzyknął gniewnie. — Gdzieżby stary w obcym kraju mógł swoje wartościowe rzeczy zdeponować?

— W mieście, u notaryusza!

— Tak? — rzekł on z wahaniem. — Czy to prawda?

— Przekonasz się o tem jutro, gdy je sobie u notaryusza każę wydać.

Hrabia Sinobrody zdawał się znów być uspokojony. Nie odpowiedział już nic więcej i przestał szukać. Betlina zostawiła go samego, i poszła do pokoju swej ciotki.

— Musimy się go za każdę cenę pozbyć, tego nędznego łotra — szepnęła ona zawistnie. — Ja jestem na wszystko zdecydowana! Daj jakąś radę, kochana ciotko! — Jakby tu przed nim uciec?

— Ach, dziecko moje! Ja nie znam żadnego środka, któryby nas wybawił ze szponów tego potwora — westchnęła pani Dijon rozpaczliwie — Ty się go więcej nie pozbędziesz, i będziesz musiała do niego należeć!

— Raczej sama się na życie swoje targnę! — zgrzytnęła Betlina nienawistnie. — Mam jednak środek na uśpienie, trzeba mu je zaaplikować. Gdy on zaś mocno uśnie, to my będziemy mogły uciec, i być już daleko stąd rano!

— Spróbuj to, moje dziecko! Tylko go nie zabijaj. Nie bierz życia ludzkiego na swe sumienie. Czy słyszysz? — błagała ciotka.

— Bądź spokojna! — uspokajała ją Betlina, i odeszła do swego pokoju.

Niedługo potem siedli wszyscy troje do kolacyi. Mimo późnej godziny nie mogły obie panie nic przełknąć, za to jadł i pił Sinobrody potrójnie, a szczególnie wino wyborne mu smakowało.

Korzystając ze stosownej chwili, wsypała mu Betlina usypiającego proszku do wina. Sinobrody pił ciągle, dalej, nic złego nie przeczuwając. Był w bardzo dobrym humorze, i zaczął dokuczać Betlinie swojemi czułościami i pieszczotami.

Betlina znosiła te objawy czułości jego ze wstrętem, i czekała z niecierpliwością skutków swego proszku.

Widocznie jednak doza była za mała, gdyż Sinobrody tak był trzeźwy i przytomny jak ona. Postanowiła więc wsypać mu jeszcze drugi proszek do wina, i wybornie jej się to udało.

Niebawem ukazał się pożądany skutek. — Stopniowo ustawał śmiech jego i żarty. Oczy zaczęły mu zapadać. Chciał on wstać, lecz padł napowrót na kanapę, i zapadł w następnej chwili w ciężki sen.

Betlina spojrzała na niego z tryumfem i zawołała:

— Teraz zabierajmy się, ciotko! Ten potwór śpi, i pewno się do jutra południa nie obudzi. Niech potem zobaczy, jakżeśmy go podeszły!

— Rzuciła jeszcze jedno nienawistne spojrzenie na Sinobrodego i wybiegła z pokoju.

Na rozkaz jej zaprzągł woźnica konie. Naładowano kufry i Betlina wsiadła wraz z ciotką swą i służącą.

W domu nie został nikt prócz śpiącego. Powóz zaś podążał w stronę miasta, gdzie uciekające kobiety jeszcze do ostatniego pociągu zdążyć chciały.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Było to około szóstej godziny z rana, gdy się do samotnego, opuszczonego domu zbliżała garstka ludzi. Czterej rybacy nieśli na noszach okryte podartem płótnem ciało ludzkie. Sześciu innych ludzi postępowało za tym smutnym pochodem.

Zatrzymali się oni też przed domem. — Dwóch mężczyzn weszło przez ogród na werandę i zapukało do drzwi. Nikt się jednak z wnętrza nie odezwał.

Tymczasem wniesiono i nosze ze zwłokami zmarłego na werandę. Zaglądnięto do okien i naradzano się co dalej począć. Zapukano wreszcie po raz drugi, daremnie jednak! Nikt im nie odpowiadał, i drzwi nie otwierał.

Zebrani tu ludzie nie wiedzieli co począć. Nie chcieli oni gwałtem drzwi rozbijać. Odeszli więc, zostawiwszy nosze z martwem ciałem na werandzie. Dwóch rybaków zostało na straży.

Na dworze było już zupełnie jasno. Słońce wschodziło coraz wyżej i godzina za godziną upływała, lecz w domu zawsze jeszcze tak cicho było jak w grobie.

Niebawem zebrała się tu rzesza ludzi i patrzyła z wyrazem przerażenia na martwe zwłoki leżącego na werandzie trupa.

Szepty ich stawały się coraz głośniejsze. Niecierpliwość tłumu wzrastała i zaczęły się groźne nawoływania. Wreszcie wdrapał się pewien chłopak do jednego z okien, wybił szybę, i wskoczył do środka.

Wtem usłyszał czekający niecierpliwie tłum z wnętrza przeraźliwy okrzyk, i po chwili wyskoczył chłopak okropnie przerażony.

— W pokoju leży jakiś martwy człowiek! — zawołał przelękły.

Na chwilę wszyscy umilkli, a potem zaczęli nad tem debatować i zdania swe wymieniać.

Kilku mężczyzn pobiegło do miasta, aby wypadek ten w policyi zameldować. Reszta tłumu zaś została, czekając z niecierpliwością na otwarcie domu i dalsze odkrycia.

Dość długi czas jednak już upłynął, a z miasta nikt nie nadchodził. Policyi widocznie nie było spieszno. Tłum zaczął już tracić cierpliwość, i wielu z nich chciało wskoczyć przez okno. Lecz jakiś zabobonny strach przed owym trupem wewnątrz wstrzymywał ich od tego.

Wtem zwróciły się oczy wszystkich na drzwi od werandy, które się teraz z łoskotem otworzyły. Ku największemu zdziwieniu tłumu stanął na progu ich mężczyzna, którego w okolicy nikt nie znał. Miał on odstraszająco bladą twarz, kruczo czarną brodę i dzikie, ruchliwe oczy. Był elegancko ubrany, ale oprószony i zmięty, jakgdyby na ziemi był leżał.

Kobiety krzyknęły głośno, i cofnęły się na widok Sinobrodego, który się tak niespodzianie we drzwiach zjawił. Twarz jego była skrzywiona, a oczy ciskały błyskawice gniewu. Obudził się on dopiero z ciężkiego snu i spostrzegł ucieczkę Betliny i jej ciotki.

Wybiegł więc jak szalony na werandę, lecz zobaczywszy tłum, cofnął się zmieszany. Co to zbiegowisko ludzi tu miało znaczyć?

— To jest morderca! — odezwał się teraz głos tłumu!

— Tak jest! To pewno on zamordował tego człowieka, który tam wewnątrz leży! Trzymajcie go! — krzyczały zmięszane głosy, i kilkanaście rąk groźnie ku niemu się wyciągnęło.

Hrabia Sinobrody stał jak skamieniały. Słyszał on tylko okropne słowo "morderca" i dreszcze przerażenia ciałem jego wstrząsnęły. Czyż już wszystko wykryto?

Wtem padł wzrok jego na nosze. Kto to mógł być? Kto leżał pod tem nakryciem?

Kilku rozsądnych mężczyzn odsunęło wrzeszczący tłum na bok, i zbliżyło się do hrabiego Sinobrodego.

— Kto prócz pana jeszcze jest w tym domu? — zapytali!

— Nikt! — jąkał się. — Ja spałem dotychczas. Jestem krewny tej pani.

Teraz zagadka była rozwiązana. Więc to jego we śnie ten chłopak miał za umarłego.

Jeden z rybaków wskazał milcząco na umarłego, i zdjął płótno z noszy.

— To jest pan, co tu w tym domu mieszkał — rzekł. — Utonął on, a myśmy go znaleźli.

Hrabie Sinobrody przeraził się. Poznał on teraz twarz zmarłego. Był to wujaszek, mąż Betliny, jego ostatnia ofiara.

Nagle odezwał się turkot kół na gościńcu, i zdaleka ukazał się powóz, z którego błyszczały uniformy policyantów i urzędników sądowych. W miarę zbliżania się powozu, poznał Sinobrody detektywa Greifa, i opanowało go nieopisane wrażenie.

Przyjeżdżał on zapóźno, aby zbrodni módz przeszkodzić i zaślepionego wujaszka od śmierci uratować, ale morderca był jeszcze na miejscu, i nie mógł przed nim uciec.

Wreszcie zatrzymał się powóz przed domem, i Greif zobaczył natychmiast leżącego na noszach trupa i stojącego obok niego zabójcę. Szepnął on Guenterowi na prędce kilka słów, i biegł po schodach na werandę.

W chwili niebezpieczeństwa powziął Sinobrody rozpaczliwe postanowienie. Zbiegł on jednym susem po schodach werandy, przecisnął się przez tłum, i popędził jak ścigana łania ku wybrzeżu morskiemu.

— Trzymajcie go! — zawołał Greif, wyjmując swój rewolwer. — Złapcie mordercę!

— Posypały się za nim strzały i cały tłum rybaków wraz z policyą rzucił się w pogoń za nim.

Zdawał on się być stracony. Jeżeliby mu się nie udało dobiedz prędko do brzegu i wsiąść wczas do łódki, to musiałby wpaść w ręce swoich prześladowców.

CLXVII.

Fatalny zbieg okoliczności.

Wśród ciemnej nocy pędził powóz z Agatą i jej towarzyszkami. Spodziewały się one około wieczora dojechać do zamku leśnego, a nad ranem zatrzymały się przez krótki czas w pewnej wiosce dla zmiany koni.

Niebawem wjechały w las. Stary Michał znał dobrze drogę. Popędzał konie i wyszukiwał najsamotniejsze ścieżki. Odwracał się też często z obawy, czy za nimi nie gonią, gdyż powóz ich zwrócił we wiosce ogólną uwagę.

Gospodarz karczmy zarzucał Michała ciekawemi pytaniami, na które on naturalnie tylko wymijająco odpowiadał. Lecz liberya jego i herb na powozie były ludziom tu znane, i dlatego obawiał się stary Michał zdrady nie bez powodu.

Po kilku godzinach zaraz po wyjeździe z lasu okazała się znów wioska lecz stary Michał zręcznie ją ominął.

Jechał on teraz pomału między połami, a pracujący na połach ludzie patrzeli się zdziwieni za powozem, który takie odległe, samotne drogi obierał.

Nagle zobaczył stary Michał jeźdźca konnego i poznał z przerażeniem, że to żandarm. Wyminąć go już było zapóźno.

Michał miał panią swą już za straconą, jechał jednak spokojnie dalej, dopóki żandarm konia swego nie zatrzymał i na nikogo nie skinął.

Michał usłuchał z biedą, gdyż nie mógł żandarma wyminąć. Z powozu odezwał się stłumiony okrzyk. Agata i towarzyszki jej spostrzegły teraz żandarma.

— Czego pan chce? — zawołał stary Michał gburowato.

— Skąd i dokąd jedziecie?—odpowiedział żandarm ostro.

Michał, który znał drogę i okolicę, podał za cel podróży swej należący do jakiegoś bogatego szlachcica, a o dwie mile stąd położony zamek.

— Dlaczego pan w takim razie nie jedzie gościńcem? — zapytał żandarm podejrzliwie. — To przecież znacznie bliżej?

— Tak? — zawołał stary z dobrze udanym zdziwieniem. — A ja myślałam, że ta jest krótsza droga.

Żandarm zdawał się jeszcze nic nie wiedzieć o ucieczce Agaty, i o ściganiu jej. To też był zupełnie uspokojony, gdy mu woźnica na zapytanie jego odpowiedział, że wiezie baronową Rothenfels i jej służbę.

Rzucił on tylko jeszcze jedno przelotne spojrzenie w głąb powozu, i ukłoniwszy się nizko, zjechał z drogi.

Stary Michał popędził galopem. Agata i towarzyszki jej odetchnęły z ulgą. Niebezpieczeństwo szczęśliwie przeszło.

Dzień był gorący, niebo było bez chmurek. Konie postępowały znużone i ze schylonymi łbami, a pyski ich okryte były pianą. Coraz powolej toczył się powóz po piasku.
wolniej toczył się powóz po piasku.

Wreszcie zjechali na gościniec i zdala okasię tu dla popasania, gdyż konie już upadały ze zmęczenia, Agata z towarzyszkami swojemi i stary Michał także już byli głodni i znużeni. Zjechali więc do karczmy i Agata kazała sobie dać pokój, do którego weszła z dzieckiem, Delią i Martą.

Były one wszystkie trzy gęsto zawelonowane, a stary Michał uważał na to, aby je nikt nie obserwował.

Potem poszedł do gospodarza, aby się o świeże konie z nim umówić.

Był to czas żniw, i o konie było trudno, mimo to udało się staremu Michałowi, gdy swoje zmęczone wierzchowce zostawił i jeszcze kilkaset marek do tego dodał.

Ucieszony przybiegł do swej pani i uwiadomił ją o tem.

— Odjeżdżamy natychmiast! — zadecydowała Agata. — Obawiam się, aby nas nasi prześladowcy tu nie zaskoczyli. Zachodzi też obawa, aby się gospodarz nic połapał i nie dał znać żandarmeryi.

Michał wybiegł na podwórze, aby świeże konie zaprzęgnąć i niebawem z powozem przed karczmę zajechał.

Lecz w chwili, gdy Agata z gospody wychodziła i z dzieckiem i towarzyszkami swojemi do powozu wsiadać miała, nadjechało gościńcem trzech jeźdźców konnych.

Stary Michał poznał na pierwszy rzut oka, że to byli żandarmi i szepnął Agacie drżącym głosem:

— Prędko, wielmożna pani! My im jeszcze umkniemy.

Lecz już było zapóźno. Nim jeszcze Agata zdołała wsiąść do powozu, byli już tuż przy niej. Zeskoczyli z koni, a stary Michał poznał

w jednym z nich owego żandarma, którego przedtem w drodze spotkał.

Ów żandarm spotkał wtedy dwóch innych kolegów, którzy Agatę ścigali i opowiedziawszy im o spotkaniu się z powozem, podążył z nimi za uciekinierami.

Agata stała spokojnie przy powozie i dziecko swe na rękach trzymała. Jej znalezienie się wzbudziło respekt u żandarmów. Pierwszy z nich, wachmistrz, przystąpił z ukłonem do Agaty, i rzekł uprzejmie:

— Wielmożna pani — mam zlecenie przyaresztowania pani!

Agata spuściła głowę, aby ukrć łzy. Potem podniosła rezolutnie małego Waltera do powozu i sama obok niego usiadła. Nie chciała się ona z dzieckiem swojem rozłączyć.

Następnie kazał żandarm usiąść Delii i Marcie, oświadczając im, że one również są uwięzione. Usłuchały bez wahania i drzwiczki powozu za niemi zapadły.

Wokoło powozu zebrała się ciekawa gawiedź, którą żandarmi tylko z trudem rozprószyć zdołali. Wachmistrz oglądnął się teraz za starym Michałem, którego także miał uwięzić, lecz go już tu nie było.

Stary sługa widząc, że pani swej już pomódz nie może, skorzystał z ogólnego zamięszania, zmykł przez pdowórze i ogród i zdążał do wsi.

Wkrótce jednak spostrzedz musiał, że za nim ścigają. Usłyszał bowiem za sobą głosy szukających go pod przewodnictwem żandarma ludzi.

Dokąd on się teraz miał schronić? Przed sobą miał tylko łąki i pola, gdzie o schronienie było trudno.

Nagle spostrzegł on na łące paszące się konie i zbawcza myśl przez głowę mu strzeliła. Gdyby tylko dosiąść jednego z tych koni, mógłby stąd uciec.

Lecz prześladowcy jego byli już tuż za nim i głośno na niego wołali.

Stary sługa biegł z szybkością młodzieńca, a dopadłszy jednego konia, odwiązał go i wskoczywszy na niego, popędził galopem.

Był to najwyższy czas, gdyż prześladowcy jego byli już na łące. Stary Michał przeskoczył z koniem swym rów i popędził dalej przez pola.

Gdy się jednak odwrócił, zobaczył że prześladowcy jego resztę pasących się na łące koni dosiedli, i za nim również szybko galopowali.

Dał więc koniowi swemu ostrogi, a że był lepszym jeźdzcem od tamtych, wyprzedził ich wkrótce o wielki kawał i był już blizko lasu. Pedzacych za nim zaś ludzi, zostawił tak daleko za sobą, że ich prawie widzieć nie mógł.

Zwolnił więc w biegu, a wjechawszy do lasu, zeskoczył z konia i prowadził go za cugle obok siebie. Był już tak zmęczony tą jazdą na grzbiecie końskim bez siodła, że dłużej tego wytrzymać nie mógł. Szedł więc dalej pieszo drogą prowadzącą do zamku leśnego, który jeszcze o kilka mil był stąd oddalony.

Około wieczora wsiadł znów na konia, aby prędzej do celu zdążyć. Było już późno, gdy ruiny zamku wreszcie przed sobą zobaczył.

Zapukał silnie do bramy. Hrabia Edmund i doktór Kloc usłyszeli to jego pukanie i pobiegli szybko aby otworzyć bramę w myśli, że to powóz wiozący Agatę i jej towarzyszki.

Lecz gdy bramę otwarzyli, zobaczyli tylko starego Michała na koniu. Wzburzony zbliżył się hrabia Edmund do niego i zawołał:

— Ty sam przyjeżdżasz? A gdzie moja żona?

— Uwięziona! — westchnął stary sługa i wszystko mu opowiedział.

— Wielki Boże! — jęknął hrabia Edmund przerażony. — Więc to wszystko było daremne i ona znów uwięziona? Jak biedną swą żonę znów od zguby uratuję?

— Odwagi, panie hrabio! — pocieszał go doktór Kloc i położył mu rękę swą na ramieniu. — Może jeszcze nie wszystko stracone! Pędźmy za powozem. — Możemy go dogonić zanim do stolicy dojedzie i uratować pańską żonę i Martę wraz z Delią.

— To by było zuchwałe przedsięwzięcie, kochany przyjacielu i naraziłoby nas tylko na więzienie — sprzeciwiał się hrabia — zapomnia pan, że powóz jedzie pod eskortą żandarmów.

— Podstępem możemy się jednak uwolnić — upierał się doktór Kloc. — Niech pan to rozważy, panie hrabio, że jeżeli żona pańska znowu się do więzienia dostanie, to wtedy ustanie wszelka nadzieja uwolnienia jej.

Słusznie, kochany przyjacielu — odparł hrabia Edmund ponuro i podniósł się z siedzenia. — Jedźmy więc, próbujmy wszystko co się da.

Osiodłano konie i wyjechano wraz ze starym Michałem i detektywem Braunem, którego Ludwik Hecht i Fryc tu niegdyś zbili. Był on jednak teraz już prawie zupełnie zdrów, a gdy usłyszał co się stało, ofiarował hrabiemu Edmundowi i towarzyszom swe usługi.

— Ach, kochany przyjacielu — zawołał hrabia Edmund zdziwiony — pan przecież jako urzędnik, nie możesz nam towarzyszyć i pomagać.

Braun obstawał jednak przy swojem postanowieniu.

— Ja nie zostaję dłużej w służbie, odkąd przełożonego mego, Wintera, tak niesprawiedliwie z urzędu wydalono — oświadczył. — Wiem zresztą, że pani hrabina jest niewinną, a służący pański, okscellencyo, uratował mi życie. Uważam sobie więc za obowiązek pomódz panu hrabiemu o ile mogę, niech się co chce dzieje. Wiem, że pan Winter tak samo by był uczynił.

Hrabia Edmund wzruszony uścisnął mu rękę.

— Dobrze więc — rzekł — da Bóg, że będę mógł wynagrodzić pańskie usługi.

Wskoczyli więc w czworo na koń i popędzili przez ciemny las ku wsi, w której żandarmi Agatę przyłapali.

Dojechali tam dopiero nad ranem i zastali wszystko w głębokim śnie. Stanąwszy przed karczmą, zapukali do drzwi.

Gospodarz wyglądnął przestraszony przez okno.

Na pytanie hrabiego odpowiedział, że powóz z żandarmami dawno odjechał i żandarmi spodziewali się być wieczorem w następnej wsi i że tam chcieli przenocować.

— Zastaniemy ich więc jeszcze tam — zawołał hrabia Edmund do swych towarzyszy — naprzód!

Mały zastęp jeźdźców popędził dalej galopem. Po upływie godziny zobaczyli zdaleka sąsiednią wioskę i wjechali do niej przy świetle budzącego się dnia. Niebawem stanęli przed karczmą.

Lecz tu czekało ich nowe rozczarowanie. Dowiedzieli się bowiem, że powóz z uwięzionemi kobietami i strzegącymi ich żandarmami, przed pół godziną stąd odjechał.

Cóż więc mieli począć? Konie ich tak były zmęczone, że nie było nadziei dogonienia powozu.

Hrabia Edmund blizki był rozpaczy, lecz doktór Kloc pocieszył go przypuszczeniem, że we wsi dostaną inne konie i dalej będą mogli popędzić.

Pieniądze i tu okazały swą czarodziejską moc. Za sute wynagrodzenie dostarczono im czterech koni, którymi popędzili dalej.

Godzinami trwała jazda, lecz bezowocnie. Musieli wreszcie uznać, że wysiłek ich był daremny i zatrzymali się w małym lasku tuż pod stolicą.

Wtem zobaczyli oni powóz z Agatą i towarzyszących jej żandarmów, lecz już było zapóźno.

Tam przed nimi w małem oddaleniu wjeżdżali właśnie w wązką uliczkę przedmieścia.

Z uczuciem gniewu i rozpaczy patrzył hrabia Edmund za toczącym sie powoli powozem. Tak blizko już miał Agatę, a przecież pomódz jej nie mógł. Byłoby to szaleństwem pędzić za powozem, aż do miasta. Wiedział bardzo dobrze o tem.

Równocześnie jednak nie myślał hrabia Edmund o powrocie. Miał on zupełną świadomość tego, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, a przecież nie mógł inaczej postąpić i musiał w pobliżu Agaty pozostać. Zupełnie tak samo myślał doktór Kloc i reszta towarzyszy.

Wjechawszy głębiej do lasku zeskoczyli z koni. Przed wieczorem nie mokli się odważyć wejść do miasta.

Było to już dość późno poobiedzie. Słońce zachodziło a nad lasem zaczęło się ściemniać.

Wtedy wsiadł Michał z Braunem i naprzód z nim pojechał. Hrabia Edmund i doktór Kloc, po pewnym czasie dopiero za nimi podążyli. Unikali oni głównych ulic i starali się samotnymi zaułkami do pałacu hrabiowskiego się dostać.

Przed furtką parku stał stary Michał i trzymał obydwa konie. Braun udał się do pałacu aby zrekognoskować pole. Niebawem wrócił i oświadczył, że prócz odźwiernego i jeszcze jednego starego służącego ani żywej duszy w pałacu nie zastał.

Weszli więc razem do środka, ale tak ostrożnie, aby ich służba nie widziała. Tak sobie życzył hrabia Edmund mimo, że oni mu wiernie byli oddani i z pewnością by go nie byli zdradzili.

Wszedłszy do wnętrza pałacu, zaświecili lampy, ale wpierw pospuszczali story, aby obecności swej nie zdradzić.

— Michał postarał się o jedzenie i o wino, a potem poszedł na straż.

Hrabia Edmund naradzał się z doktorem Klocem i z Braunem co zrobić, lecz mimo długich dysput, na nic się zdecydować nie mogli.

Wreszcie wstał hrabia Edmund z siedzenia i zaczął z ponurą miną przechadzać się po pokoju.

Jestem na wszystko zdecydowany — rzekł zrozpaczony. — Nie wolno nam założyć rąk i czekać bezczynnie, lecz trzeba działać. Starajmy się zakraść do więzienia i uwolnić mą żonę.

Doktór Kloc wzruszył tylko ramionami.

Nie udałoby nam się to — odparł. — W pierwszym rzędzie jednak, trzebaby się dokładnie poinformować, gdzie małżonka pana hrabiego jest umieszczoną, gdyż inaczej wcale zoryentować się nie potrafimy. Na to zaś trzeba czasu i dziś już nic przedsięwziąć nie można.

Hrabia Edmund musiał mu przyznać słuszność.

— Tu o dzień nie chodzi — rzekł. — Obawiam się jednak, że nam w pałacu dłużej zo-

stać nie wolno, gdyż nas tu łatwo odkryć mogą. Innego ukrycia dla nas w mieście nie znam.

— Czyż nie ma tu jakiego miejsca, gdzieby nas nie znaleźli, choćby szukali — zapytał doktór Kloc.

Hrabia Edmund skinął zaprzeczająco głową.

Zostańmy jednak na razie tutaj — rzekł— będzie czas do ucieczki, gdy nas tu zaskoczą. W najgorszym razie schowamy się w mauzoleum. Tam będziemy na każdy wypadek bezpieczni.

Braun ofiarował się przynieść potrzebne informacye. Był on jedyny, który bez narażenia się, mógł to uczynić. Główną rzeczą było dowiedzieć się w więzieniu gdzie leżały cele uwięzionych i przekupić jednego dozorcę lub dozorczynię.

Omówiwszy wszystko udał się hrabia Edmund na spoczynek. Doktór uczynił to samo.

Braun został aż do rana w pałacu. Rezydująca służba spostrzegła starego Michała, a ten musiał wtajemniczyć ich w powrót hrabiego, odebrawszy od nich poprzednio przyrzeczenie, że będą milczeć.

Potem stał on z odźwiernym przez całą noc na straży. W rozmowie z nim dowiedział się Michał, że policya dopiero dziś pałac opuściła, i że prawdopodobnie jeszcze dla odszukania jakichś papierów tu wróci.

Wiadomość ta zaniepokoiła starego Michała. Doniósł on to swemu panu, a hrabia kazał się bardzo wcześnie nad ranem zbudzić.

Noc upłynęła bez przeszkód. Widocznie policya nic jeszcze nie wiedziała o powrocie byłego, a teraz ściganego ministra.

Wczesnym rankiem opuścił Braun pałac i poszedł najpierw do Wintera, aby radę jego usłyszeć. Hrabia Edmund zaś spodziewał się Wintera w pałacu.

Zaraz po odejściu Brauna wpadł stary Michał do pokoju, w którym siedzieli hrabia Edmund i doktór Kloc przy śniadaniu i zawołał:

— Policya idzie!

Hrabia zerwał się przerażony.

— Ratujmy się póki czas — zawołał on i złapał za płaszcz i kapelusz.

— To niemożliwe, aby policya o obecności naszej już wiedziała — zauważył doktór Kloc — przecież między nami nie ma żadnego zdrajcy.

— Pewnie, że nie — rzekł hrabia Edmund — moi ludzie są wierni i dyskretni. Chyba że nas wczoraj wieczorem ktoś zobaczył i poznał.

Wtem ukazał się służący i szepnął trwożnie:

— Spieszmy się, ekscellencyi! Policya już w pałacu, oto nadchodzi.

— Czy w parku jeszcze bezpiecznie — zapytał hrabia Edmund.

— Tak jest, ekscellencyo, nikogo tam jeszcze nie ma a tylne drzwi wszystkie są zamknięte.

— Dobrze, w takim razie potrafimy się uratować — rzekł hrabia Edmund.

I gdy w przedpokoju już kroki słychać było, zecieli oni przez schody do parku. Służący zamknął za uciekinierami drzwi od wnętrza, aby prześladowcom zabarykadować drogę.

Hrabia Edmund pobiegł z towarzyszami swymi do mauzoleum, które się w najodleglejszej części parku wznosiło. Otworzył drzwi kluczem i wszedł z towarzyszami swoimi do tej samej ciemnicy, gdzie się niegdyś schroniła Agata.

Niebawem usłyszeli w parku kroki i głosy. Widocznie odnaleziono ich ślad.

— Niech nas szukają ile chcą, a przecież nas nie znajdą — rzekł hrabia Edmund spokojnie. — A choćby nawet tu dotarli, to my zejdziemy do samego grobowca, a tam będziemy bezpieczni.

Wtem dotarli prześladowcy ich do drzwi mauzoleum i zaczęli się gwałtem do niego dobywać

CLXVIII.

Okropny oskarżyciel.

Winter popędził za uciekającą Waleryą, która niebawem za sobą usłyszała kroki. Nie przeczuwała jeszcze, kto za nią gonił, wiedziała tylko że za każdą cenę umknąć musi.

Dobiegła furtki ogrodowej właśnie w chwili, gdy Winter wychodzi z poza krzaków. Wsunęła się ostrożnie do ogrodu i zamknęła za sobą furtkę na klucz. Był to najwyższy czas, gdyż detektyw był tuż przy niej.

Widział zdaleka postać uciekającej, nie mógł jednak zdaleka rozpoznać, czy to była Walerya. A chciał koniecznie osiągnąć pewność.

Nie zwlekając więc, wdrapał się na drzewo stojące tuż obok muru i skoczywszy w ten sposób do ogrodu, pobiegł za uciekającą.

Wołał za nią, lecz usłyszawszy głos jego zdwoiła Walerya swe kroki. Daremnie natężał się Winter, nie mógł już dogonić Waleryę, która go wyprzedzała.

Będąc już blizko pałacu, a widząc prześla-

dowęę zawsze jeszcze za sobą, krzyknęła głośno o pomoc, spodziewając się, że go tem zmusi do ucieczki.

Natychmiast zbiegła się służba, a za nią jakaś wyniosła, arystokratyczna postać w myśliwskiem ubraniu.

Bez tchu zbliżyła się Walerya do tego ostatniego i rzuciła się w jego objęcia. Był to sam książę.

Nie myślał tu wprawdzie wracać tego samego wieczora, lecz tęsknota za Waleryą tu go przygnała. Zeskakiwał on właśnie z konia, gdy go okrzyk kochanki jego tu sprowadził.

Objął on ją, i zawołał zaniepokojony.

— Na Boga świętego! Co ci się stało! Skąd ty przychodzisz?

— Ratuj mnie! Obroń mnie przed tym strasznym człowiekiem! — szepnęła trwożnie i z drżeniem się do księcia przytuliła. — On mnie prześladuje.

Książę powiódł gniewnym wzrokiem wokoło.

— Kto ci grozi? — zawołał dziko. — Gdzie jest ten nikczemnik, który cię tak straszy? Szukajcie za nim i tu mi go sprowadźcie! — zwrócił się do służby.

Wszyscy obecni rzucili się za nim do ogrodu, lecz go odnaleźć nie mogli. Ani śladu Wintera już nie było. Dokąd on uciekł.

Walerya zadowolona była z tej jego ucieczki, bo wiedziała, że przyłapany oskarżyłby ją o zabójstwo Ludwika. Lecz to ją nie minęło. Groziło jej straszne niebezpieczeństwo. Jakby to się przed nim uchronić?

Lecz w tem przyszła jej zbawcza myśl, i na pytania księcia rzekła przebiegle:

— Byłam w ogrodzie na przechadzce, gdy usłyszałam jakieś wołanie o pomoc. Zbliżywszy się do tego miejsca zobaczyłam walczących ze sobą dwóch mężczyzn. Nagle rozległ się odgłos strzału, i jeden z nich padł nieżywy. Morderca zaś... spostrzegłam go... przybiegł tu za mną, przeskoczywszy przedtem mur ogrodu.

— Co za zuchwałość! — zawołał książę oburzony. — A wtedy....

On zobaczył widocznie, że ja byłam świadkiem jego czynu, i gdyby mnie był dopędził, to byłby mnie z pewnością zamordował. Co za szczęście, kochany książę, żeś pan tak w sam czas nadszedł!

Książę oburzył się okropnie na tę chytrze wymyślaną bajkę, nie wątpił naturalnie w wymyśloną bajkę, nie wątpił naturalnie w prawdę tego, co mu Walerya opowiadała.

— Biada temu łotrowi, gdy zostanie przyłapany! — zawołał gniewnie. — Kto ten szaleniec być może.

— Nie wiem! — kłamała Walerya. — Lecz on mi się nie wydawał obcym. — Nie mogłam go tylko z daleka poznać!

— To jest wina służby, że się tu coś podobnego stać mogło! — odparł książę gniewnie. — Poodprawiam wszystkich, bo ty tu musisz mieć ludzi, na których polegać można!

Daremnie były wszystkie poszukiwania służby. Przeszukali cały ogród, lecz Winter znikł bez śladu.

Książę robił gorzkie wyrzuty, Walerya starała się, go uspokoić.

— To nie ich wina! — rzekła. — Wyszłam sama do ogrodu, i nikt w zamku nie wiedział, gdzie ja jestem.

Chciała sobie tą obroną zyskać przychylność służby, i udało się jej to, gdyż książę dał się udobruchać.

— Trzeba teraz zobaczyć nieszczęśliwą ofiarę owego mordercy! — rzekł on. — Może on jeszcze nie zginął, i możnaby mu pomódz?

Służba była gotowa pobiedz do lasu i poszukać zastrzelonego trupa. Wziąwszy latarnie, wybierali się właśnie w drogę, gdy książę oświadczył że z nimi pójdzie.

— I ja także! — zawołała Walerya żywo. — Ja znam zresztą miejsce, gdzie ten nieszczęśliwy padł!

Ta rzekłszy, ujęła ramię księcia, który się ją daremnie od tego odwieść starał. Podeszli do furtki, którą służba otworzyła, i Walerya wskazała kierunek.

Służba poszła naprzód. Zdążali wszyscy ku starej ruinie, i świecąc sobie latarkami szukali po ziemi. Walerya zbliżała się powoli, zawieszona na ramieniu księcia.

Wtem wydał jeden ze służących przeraźliwy okrzyk. Wszyscy inni zbliżyli, się szybko do niego. Na ziemi widać było kałużę krwi. Daremnie jednak szukano zastrzelonego, znikł on bez śladu.

Walerya okropnie była przerażona. Zbladła i drżąca wpatrywała się ona w miejsce, gdzie padł Ludwik Hecht rażony kulą.

Gdzież on mógł zniknąć? Może się zawlókł w krzaki i tam gdzieś leży martwy i skostniały?

Książę również był zdziwiony i przerażony. Przeszukano raz jeszcze stare ruiny zewnątrz i wewnątrz, przetrząsano krzaki i zarośle. Daremnie! Znaleźć go nie mogli.

A przecież on się bez obcej pomocy nie mógł stąd wydostać. Czy go może Winter stąd zabrał? Co za cel miałoby to dla detektywa, gdyby Ludwik już nie żył? A może on właśnie żył, i Winterowi o to chodziło, aby od niego wydobyć pewne zeznania?

Była ona więcej mocno przekonana, że Ludwik w tym wypadku zdradziłby wszystko co widział. Obawa ta mocno ją zaniepokoiła

Biada jej, jeżeli Ludwik żył! Zrobiła sobie teraz z niego strasznego nieprzyjaciela, który ją zniszczy i zdruzgoce w swojej chęci zemsty!

Książę spostrzegł jak zbladła i zadrżała, lecz przepisywał to jej przerażenie widokowi krwi.

— Chodź! Wracajmy do zamku — rzekł znikł on dziwnym sposobem, niech go służba dalej szuka!

Walerya oparła się ciężko na ramieniu księcia, i dała się z miejsca tego odprowadzić. Byłaby najchętniej dla poszukania papierów w ruinach pozostała, lecz tego w obecności księcia uczynić nie mogła.

Dręczona obawą i niepewnością wróciła do zamku, a książę doniósł jej o ponownem uwięzieniu Agaty. Otrzymał on wiadomość tę, po obiedzie w stolicy.

Radość Waleryi z powodu tego była tak wielka, że zapomniała na chwilę o swoich kłopotach i troskach, i spytała się ciekawie, czy i hrabia dostał się w ręce prześladowców swoich.

— Zdaje się, że jeszcze nie! — odparł książę. — Ale i on karze swej nie ujdzie! Wyrok śmierci zaś żony jego Agaty zostanie teraz wykonany!

— Tak, ona musi umrzeć! — zawołała Walerya nienawistnie. — Proszę cię postarać się oto, książę, aby jej broń Boże nie ułaskawiono.

— O, książę, wuj mój, wcale o ułaskawieniu nie myśli — zapewnił on ją. — I matka jej, owa tajemnicza czarna dama pójdzie na szubienicę! Mówią wprawdzie jeszcze o jakiemś nowem dochodzeniu, ale to oznacza tylko jeszcze małą zwłokę w wykonaniu wyroku!

— Jakież to ma być dochodzenie?

— O tem nie wiem nic pewnego!

— Czy książę nie wie, co się stało z dzieckiem Agaty.

— Nie! Zdaje mi się, że bona jego z niem gdzieś uciekł.

— Ach! Przecież i ta osoba jest zbrodniarką, i współwinną swej pani! Ona powinna się dostać również do więzienia, i to wspólnie z doktorem Klocem! — oświadczyła Walerya. — Był wtedy w spisku, gdy chodziło o uratowanie Agaty.

— Tak jest... i ja o tem słyszałem! Doktór został nawet oskarzony, lecz znikł.

— Chciałbym się doprawdy dowiedzieć co się z dzieckiem stało i ująć się za niem, gdyż ono teraz tak bez opieki — rzekła Walerya z udaną litością. Tak — mi żal tego małego stworzenia... chciałabym mu matkę zastąpić!

Książę nie bardzo był zbudowany jej planami.

— Ach, co ci potem obcem dziecku! — rzekł niechętnie. — Ono nie zginie, mając majątek matki swej i hrabiego. Więc choćby się dostał w obce ręce, to i bez naszej opieki otrzyma staranne wychowanie.

— Lecz ja mam niejako obowiązek zaopiekowania się niem! — upierała się Walerya. — Zresztą mam też pretensye do spadku hrabiego, jako jego żona, którą przecież dotychczas jeszcze jestem.

Księciu sprawa ta dość trudną się wydawała. Słuchał on niecierpliwie, a potem zwrócił rozmowę na inny temat, i zakończył ją czułą sceną miłosną.

Walerya musiała się jednak przezwyciężyć dziś, aby udawać uległą kochankę. Myśli jej zupełnie gdzieindziej były zajęte. Chciała koniecznie pomówić ze swą pokojówką, i dowiedzieć się od niej, gdzie Ludwik schował papiery. Zaczęła bowiem już wątpić o tem, czy na własną rękę je znaleźć potrafi.

Niepewność i trwoga co do Ludwika i Wintera, nie dawały jej spokoju. Służba, która jeszcze została w lesie, nie wracała.

Czy oni łotra tego znaleźli? I czy żywego czy umarłego?

Nie mogła wprost dłużej znieść tej niepewności, a tu książę nie myślał nawet o tem aby na noc z zamku wyjeżdżać. Był więc ze swej strony bardzo rozczarowany, gdy się Walerya bólem głowy uniewinniała, i samego go zostawiła.

Wracając do swoich apartamentów, spodziewała się Walerya zastać pokojówkę swoją jeszcze czuwającą. Było już około północy, a Fryda rzeczywiście do snu się jeszcze nie ułożyła. Wyglądało to nawet tak, jak gdyby dopiero co była wróciła z jakiejś wycieczki, bo gdy Walerya wchodziła do pokoju, zrzucała właśnie ciemny, długi płaszcz.

Na skinienie swej pani weszła Fryda do budoaru, Walerya obrzuciła pokojówkę swą gniewnem spojrzeniem, ta ostatnia zaś stała przed nią zimna, spokojna z najniewinniejszą miną w świecie.

— Gdzieś była? — ofuknęła ją Walerya.

— W ogrodzie! Chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, była odpowiedź Frydy.

Głowa jej i postawa były tak zuchwałe, że oburzyły Waleryę. Przystąpiła więc do dziewczyny, i syknęła gniewnie:

— Podstępna żmijo! Ja wszystko wiem! Wiem jakaś mi wierna i uległa, że się nawet z tym łotrem przeciwko mnie sprzymierzyłaś! Nie wypieraj się! Znam ja twoje niecne zamiary! Podsłuchałam waszą scenę miłosną w ogrodzie.

Pokojówka drgnęła. Opanowała się jednak prędko i uśmiechnęła się szyderczo.

— Czy wielmożna pani może zazdrosna? Ten łotr jest przecież mężem...

Ledwo słowa te wymówiła, rzuciła się Walerya z podniesioną pięścią na nią i chciała ją w twarz uderzyć, lecz Fryda zręcznie się wywinęła.

— Nikczemnico! — przyknęła Walerya, wściekając się. — Jeszcze sobie ze mnie będziesz szydziła? Precz stąd, bo cię własnemi rękoma zduszę!

— O, ja pójdę, jeżeli sobie pani tego życzy! — syknęła pokojówka. — Lecz pani tego pożałuje!

— Ja? — szydziła Walerya! — I ty nędzne stworzenie, myślisz, że ja się gróźb twoich boję? Spróbuj mnie oskarżyć! Nie masz przecież dowodów!

— Owszem, mam! — tryumfowała Fryda. — I jeżeli zechcę, to jutro już panią zgubić mogę. — Dowiodę, że to pani otruła barona Rambowa, a żona jest, Agata, niewinnie o to oskarżoną została. Zaraz jutro sądowi doniosę.

Ty tego jutra nie dożyjesz! — wrzasnęła Walerya groźnie. — Czy myślisz, że ja będę spokojnie na to patrzała, jak ty mi plany moje krzyżować będziesz?

— Czy chce mię pani tak zastrzelić jak męża swego, Ludwika Hechta? — zawołała pokojówka. — Niech się pani namyśli, bo ja zwołam wszystkich w zamku i opowiem księciu tajemnice pani.

Walerya drżała z gniewu i oburzenia, lecz opanowała się, bo widziała, że ją pokojówka ma w ręku. Może sobie nawet już zabrała papiery z ruin, a wtedy niebezpieczeństwo byłoby podwójnie wielkie.

— Nie myślę cię zabijać — rzekła, zmuszając się do spokoju. — Lecz wynajdę inny sposób, aby się przed tobą ochronić. — Mylisz się zresztą, jeżeli sądzisz, że to ja zastrzeliłam tego hultaja, co się z mężem moim mienił. To uczynił pewno detektyw Winter!

Pokojówka uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Nie uda się pani mnie oczy zamydlić — rzekła, — ja dam dowody, że to właśnie pani męża swego zabiła.

— Dość tych gróźb! — oburzyła się Walerya, nie mogąc znieść zuchwałości swej pokojówki. — Mówię ci tylko raz jeszcze: namyśl się zanim mi wojnę wypowiesz! Jeżeli mię do tego zmusisz, abym cię za nieprzyjaciółkę uważała, to cię zniszczę bez miłosierdzia!

— O, nie leży to w paninej mocy — uśmiechnęła się pokojówka pogardliwie.

Walerya rzuciła jej groźne spojrzenie.

— Ty się bardzo zawiedziesz! — odcięła się jej. — Jeżeli w mojej mocy było spowodować upadek hrabiego Edmunda i unieszkodliwić tego łotra Ludwika Hechta, to i tobie gębę zatkać potrafię. Odwołaj swe podłe groźby i przyrzeknij mi uległość, bo zgniotę jak robaka!

Słowa jej i pewność siebie uczyniły przecież wrażenie. Fryda była onieśmielona i zreflektowała się, że upadek Waleryi i dla niej by nie był korzystny.

Rzekła więc po pewnym namyśle:

— Nie było to moim zamiarem wrogo przeciwko pani wystąpić, ale pani sama mnie do tego doprowadza.

— Ależ ja wiem, że ty mnie chciałaś zdradzić i w tym celu z Ludwikiem Hechtem przeciwko mnie spiskowałaś — odparła Walerya gwałtownie. Chcę jednak zapomnieć o tem, wobec tego, że sprzymierzeniec twój już zginął i gotowam ci przebaczyć, jeżeli mi natychmiast wydasz papiery, któreście jako broń przeciwko mnie użyć chcieli. Wiem, żeście dokumenty te w ruinach schowali, idź i przynieś mi je — dodała rozkazującym tonem.

— Przepraszam wielmożną panią — rzekła Fryda z kocią giętkością — ale ja doprawdy nie wiem, gdzie te papiery schowane.

— Nie kłam — krzyknęła Walerya gniewnie — ty mnie nie oszukasz. Ja wiem, że ci ten hultaj schowek pokazał i przypuszczam, żeś te papiery już stamtąd wyjąć musiała. Wydaj mi je więc.

Ależ ja wielmożną panią zapewniam, że papierów nie mam — zapewniała pokojówka.

Walerya nie wierzyła jej i w oburzeniu swem zaczęła ją znowu obrzucać groźbami i wyrzutami. Daremnie wymawiała się Fryda, że papierów niema i schowka nie zna.

Może detektyw papiery te już znalazł — dodała — on nas pewno podsłuchał.

Walerya mocno się zafrasowała. Jeżeli przypuszczenia pokojówki były prawdziwe, to tem gorzej dla niej. Ginęła ona wprost z trwogi i bezsilnej złości.

Chodź ze mną — rzekła szorstko — pójdziemy do ruin, bo ja muszę mieć pewność.

Fryda zawahała się, obawiała się, aby ją w lesie nie spotkał taki los, jak Ludwika Hechta. Pokonaną została jednak rozkazującym tonem Waleryi.

Wyszły więc obie w stronę lasu, gdzie już zupełna panowała cisza. Służba księcia zaniechała już bowiem dalszych poszukiwań za rannym.

Gdy stanęły przed ruinami, zapaliła Fryda świeczkę a Walerya weszła z nią do głębi ruin i starannie je obejrzała.

Wzrok jej padł na miejsce, gdzie wyjęty był kamień, a było to rzeczywiście miejsce, które Ludwik do schowania papierów swych wy-

brał. Walerya wsunęła tam spiesznie rękę, lecz ją nazad wyjęła.

Pokojówka uśmiechnęła się złośliwie. Walerya zaś odwróciła się z rozczarowaną miną i zapytała:

— Czy to jest to miejsce, czy nie?

— Tak mi się zdaje — brzmiała wymijająca odpowiedź. — Być może, że detektyw tu był i zabrał papiery.

— Albo ty — zawołała Walerya — jedno z dwojga.

— Ja nie broniła się Fryda — gdybym mogła skąd wydostać te papiery, uczyniłabym to chętnie.

Walerya nic nie odpowiedziała. Zniknięcie papierów było dla niej zagadką równie straszną, jak nieobecność Ludwika. Gdzie oni są i co z tego teraz wyniknie?

Chwyciła się ona myśli, że to przecież Fryda ma w ręku te dokumenty i postanowiwszy poszukać ich u niej ukradkiem, wróciła do zamku.

Nazajutrz rano zbudziła ją Fryda okrzykiem.

— Ajent Winter jest u księcia.

W gorączkowej obawie wszystkiego najgorszego, zaczęła się Walerya szybko ubierać.

— To zły znak, że książę go wogóle przyjął i nie odpędził — myślała przerażona.

Winter postanowił oskarżyć Waleryę wprost przed panującym księciem, gdyż wydawało się mu, że to jedyny sposób uratowania Agaty: ale że do niego samego przystępu niema, więc chciał spróbować z jego siostrzeńcem.

Przyjęcie nie było bardzo omielające. — Książę oświadczył mu, że wogóle tylko po to go przyjął, aby mu zabronić wszelkich wrogich kroków przeciw Waleryi. Ale Winter pełen poczucia słuszności swojej sprawy, odpowiedział nieustraszenie.

— Jaśnie oświecony książę raczy mię łaskawie wysłuchać. — Dam dowód, że kroki moje przeciw hrabinie były uzasadnione. Małżonka hrabiego, Agata, znowu jest w więzieniu, proszę księcia pana, ale ona jest niewinna, bo nie popełniła tej zbrodni, na którą ją zasądzono. Winna jest ta, która tu się teraz chroni przed sprawiedliwością.

Książę patrzał na niego wzrokiem wyrażającym zdumienie, gniew i szyderstwo.

— Panie! — zawołał ostro. — Radzę panu nie przychodzić mi z takiemi oszczerstwami o kobiecie, która jest pod moją opieką! Ja panu dam dowody, że się panu tu nie poszczęści z temi przepuszczeniami.

Za portyerą z drugiego piętra pokoju wychyliła się teraz blada, gniewem zeszpecona twarz Waleryi.

Rozmawiający nie zobaczyli jej.

Książę dał znak Winterowi, że może odejść. Ten ukłonił się, ale zamiast iść zbliżył się jeszcze do księcia o krok i postawa jego zmusiła księcia do wysłuchania dalszych jego słów.

— Jaśnie oświecony książę myli się bardzo — rzekł stanowczo. — Ja mam zebrane dowody winy hrabiny Waleryi. Wasza dostojność nie zamknie ucha prawdzie i nie pozwoli niewinną osobę drugi raz prowadzić na stracenie.

Jeżeli pan masz dowody — odrzekł książę — to złóż je pan do sądu.

— Z chwilą kiedy to uczynię — rzekł Winter z pewnością siebie — ujawni się wiele rzeczy, których wasza dostojność dowie się po raz pierwszy.

— Oskarża pan zuchwale — odrzekł książę prawie zdziwiony. — Ostrzegam pana, że możesz pan to bardzo odpokutować.

Upór i lekceważenie słów jego przez księcia pozbawiły Wintera panowania nad sobą. Zarumieniony, podniesionym głosem, zaczął on wyliczać wszystkie zbrodnie Waleryi i oczom zdumionego księcia okazało się bezgraniczne okrucieństwo, cała przewrotność tej, którą w zaślepieniu ubóstwiał.

Książę słuchał jak zdrętwiały. Nie poruszał się, nie przerywał, skamieniał z przerażenia, tak samo jak Walerya, która słuchała tego wszystkiego za portyerą.

Winter doszedł nareszcie do ostatniej zbrodni Waleryi i tak mówił dalej:

— Wszędzie idzie jej o to, aby znienawidzoną Agatę zniszczyć. Poznawszy jednak, że to niemożliwe, i gdy wreszcie sam hrabia zobaczył się z Agatą i z własnych jej ust posłyszał co cierpiała, postanowiła Walerya struć męża, aby w ten sposób ujść grożącemu niebezpieczeństwu.

Te słowa wyrwały księcia z odrętwienia. Oblał się ciemnym rumieńcem, w oczach zabłysło oburzenie.

— Stój, szaleńcze! — zawołał. — Sądzisz pan, że uwierzę tym bredniom waryata?

— Na wszystko mam dowody — odpowiedział Winter podniesionym głosem, że Walerya męża swego hrabiego Edmunda chciała struć, poświadczy doktór Kloc i służący Michał. Na zamachy na moje życie są dowody także. Co się zaś tyczy hrabiny Agaty i jej niewinnego dziecka...

Tu przerwała mu Walerya wskakując jak pantera do pokoju.

— Bezwstydny oszczerco! — zawołała. — Jak pan śmiesz tu nawet przed księciem wytaczać swoje kłamstwa. — Spodziewam się, że książę nie będzie tak łatwowierny, jak mój mąż

i temu zuchwalcowi da odpowiedź taką, na jaką zasługuje.

Mimowoli cofnął się Winter przed tą demoniczną kobietą, która go wprost przeszywała oczyma. Niespodziane jej zjawienie się zaskoczyło go tak, że nie mógł znaleźć słów.

— W samej rzeczy — zawołał wreszcie książę, który pierwszy przyszedł do siebie. — Ten bezwstydnik zasługuje na energiczne odparcie. Oto stoi przed panem ta pani. — Jeżeli ją pan przeprosisz za swą zuchwałość, zaoszczędzę pana, w przeciwnym razie oddam pana katu.

— No cóż panie? Mów pan dalej — zawołała Walerya szyderczo. — Daj pan dowody swoich twierdzeń. — Świadkowie pańscy są takimi samymi oszczercami jak pan!

— Mam jeszcze innych świadków — odpowiedział Winter spokojnie. — Własna pokojówka poświadczy, że strułaś barona Rambow, że małego Waltera kilkakrotnie chciałaś zgładzić, i że wczoraj wieczorem w lesie zastrzeliłaś swego pierwszego i właściwego małżonka, Ludwika Hechta. Gdyby ten ostatni był jeszcze przy życiu wystąpiłby sam jako oskarżyciel. Ale pani wczas odwróciłaś od siebie to niebezpieczeństwo i wysłałaś tego świadka swych zbrodni do grobu.

Oskarżenie to podziałało na księcia jak uderzenie gromu. Zobaczył jak Walerya drżała i zbladła a w duszy jego zaczęły się pojawiać wątpliwości i podejrzenia.

Zanim jednak skrystalizowało się to w jego umyśle, spostrzegła się Walerya, że to jest rozstrzygający moment, i obawiała się, że ajent wyciągnie list Ludwika i dokument ślubu i tem ją ostatecznie pokona. Gdy jednak to nie nastąpiło, odzyskała odwagę.

— Waleryo, czy to prawda co ten człowiek mówi? — odezwał się teraz książę...

— Kłamstwo, złośliwe kłamstwo! — zawołała dziko. Poniżej mojej godności jest odpowiadać na takie szalone zuchwalstwo i bronić się. Ten człowiek powinien siedzieć w domu waryatów. Nienawiść ku mnie zmysły mu zmąciła.

— Jaśnie książę! — zawołał Winter stanowczo. — Proszę kazać zawołać pokojówkę. Ona potwierdzi każde moje słowo. Hrabina Walerya oszukała już hrabiego, chociażby tem samem, że była żoną tego zbrodniarza. Dotychczas utrzymywała z nim zawsze stosunki. Widziano go kilkakrotnie w pałacu hrabiego, a wczoraj jeszcze był tutaj w zamku.

Książę patrzył na ajenta oniemiały ze zdumienia i przypomniał sobie słowa, które mu powiedział hrabia Edmund, gdy jego z nią zastał raz w pawilonie parku.

Hrabia Edmund dawał to samo do zrozumienia.

— To nie może być! — zawołał. — Jesteś pan niecny oszust. — Nie wierzę panu ani słowa. — Precz stąd, i biada panu, jeżeli się odważysz kłamstwa te powtórzyć publicznie. — Postaram się zresztą o to, aby to panu uniemożliwiono. — Odpokutujesz pan za swoje zuchwalstwo! Niech się pan na mnie zda!

Drżąc z gniewu, stanął książę przed Winterem, który nie wyszedł ze swego spokoju. — Zniósł on spokojnie na sobie gniewny wzrok księcia i odpowiedział z odwagą:

— Cokolwiek jaśnie książę przeciwko mnie podejmie, prawda przecież wyjdzie pewnego dnia na wierzch i słuszność słów moich okaże. Wtedy książę żałować będzie, że nie uwierzył moim ostrzeżeniom i zeznaniom.

Książę uśmiechnął się ironicznie i wskazał rozkazująco na drzwi:

— Precz stąd! Natychmiast!

Winter wiedział, że wszystko dla niego stracone, i gniew i ból go opanowały. Stracona była i ostatnia nadzieja na korzyść Agaty. Walerya tryumfowała.

W twarzy jej malowało się szyderstwo i złośliwa radość, a on zaciskał pięści w niemej i bezsilnej złości.

Cóż teraz miał począć? Czem mógł przekonać zaślepionego księcia?

Nic już więcej nie mówiąc, odwrócił się, gdy wtem usłyszał z ust Waleryi głośne i ostre: "stać!"

Stanęła przed detektywem, który się mimowoli odwrócił i krzyknęła szyderczo:

— Oskarżył mnie pan o zabójstwo człowieka, którego ja wcale nie znam. — Ja zaś odwracam to i mówię, że pan sam mord ten popełnił... ja zaś tylko to zdaleka widziałam. — Nie poznałam pana przedtem, lecz teraz nie wątpię nawet w to, że pan jest sprawcą tej zbrodni. Złapał się pan we własnych sidłach.

— Doprawdy, że ty masz słuszność! — zawołał książę, nim Winter jeszcze do siebie przyjść mógł ze wzburzenia. — Skądżeż by on o tem mógł wiedzieć, gdyby sam nie był sprawcą? Biegł on przecież za tobą aż do ogrodu!

— Biegłem za sprawczynią mordu! — wtrącił Winter oschle.

Dość, mój panie! Jest pan zdemaskowany! — przerwał mu książę pogardliwie. — Teraz dopiero poznaję pobudki pańskiego czynu. Nie ujdzie pan jednak swej karze. Ja sam pana oskarżę i do więzienia wtrącę. Tam się już od pana dowiedzą, kto była pańska ofiara i co pan z zamordowanym zrobił.

— Niech go służba skrępuje, książę! —

zawołała Walerya żywo, nie mogąc ukryć swego tryumfu. — On nam jeszcze gotów uciec!

Winter był tak wściekły na tę fałszywą, podstępną kobietę, że z całą siłą woli oburzenia swego poskromić nie mógł. Wyprostował się więc i podniósł zaciśniętą pięść ku Waleryi.

— Niech pani spróbuje i oskarży mnie o morderstwo! — zawołał on pogardliwie. — Pozna pani, że to spadnie na paninę własną głowę i tryumf pani nie długo potrwa. Ja nie spocznę, póki cię nie zdemaskuję przed całym światem, ty przewrotna, demoniczna kobieto! Nie Agata, która Bogu tylko duszę winna, lecz ty, prawdziwa winowajczyni zginiesz na szubienicy!

Walerya krzyknęła z oburzenia i rzuciła się na zuchwałego detektywa. Książę zaś pociągnął za dzwonek, aby zwołać służbę i kazać jej skrępować Wintera.

Lecz Winter nie odczekał grożącego mu niebezpieczeństwa. Wybiegł z pokoju i wydostał się szczęśliwie ze zamku. Służba popędziła wprawdzie za nim, lecz skrył się wkrótce w lesie i znikł im z oczu.

Zdesperowany niepowodzeniem swem pędził w kierunku miasta. Nietylko, że nic nie uzyskał, ale przeciwnie, zaszkodził tylko sprawie. Nie wątpił o tem, że go książę oskarży o zabójstwo Ludwika Hechta, a on nawet niemiał dowodów na swoją niewinność. Walerya gotowa też świadczyć fałszywie przeciwko niemu i jak nic go zasądzić mogą.

Nie był więc szczęśliwszy od niego i również jak on uległ w walce z Waleryą.

Nie tracił jednak odwagi i miał zamiar udać się najpierw do hrabiego Edmunda, o którego przybyciu do stolicy dowiedział się dziś rano od dawnego podwładnego swego, Brauna.

Nie przeczuwał na jakie nowe niebezpieczeństwa hrabia tym razem był narażony.

CLXIX.

Powtórna ucieczka.

Jak prześladowana zwierzyna pędził hrabia Sinobrody ku brzegowi morskiemu, lecz mimo wytężenia słyszał już za sobą głosy swych prześladowców i nawet odgłos wystrzałów, które padły za nim z rewolwerów Greifa i Guentera.

Rozpacz dodawała mu jednak nowych sił. Pędził więc dalej zasapany nie zważając na kule i kamienie, które wokoło niego świszczały.

Wreszcie dobiegł już nad brzeg morza i skoczył na pir, do którego przymocowana była łódka, która na szczęście nie łańcuchem, lecz sznurem tylko była przywiązana.

Przeciął więc sznur nożem, złapał za wiosło i odbił od brzegu w chwili, gdy pierwszy z prześladowców jego do łódki chciał wskoczyć.

Pomknął jak strzała po spokojnej powierzchni wodnej, słysząc za sobą przekleństwo.

Kilku rybaków odwiązało prędko swoje łódki od piru i Greif pierwszy do jednej z nich wskoczył. Obiecał rybakom wysokie wynagrodzenie i w przeciągu dwu minut pół tuzina łódek ścigało uciekającego Sniobrodego.

Hrabia Sinobrody był już o kawał naprzód w swoim żaglowcu, a wiatr mu sprzyjał. Tylko fale tak były wysokie, że miotały małą łodzią jak łupiną orzecha. Nie miał on jednak wyboru i tylko pędząc dalej w morze, mógł ujść swoim prześladowcom.

Przestrzeń między nimi a nim stawała się coraz większą. Lecz wtem spotkał on się z łodzią rybacką, która się z przeciwnej strony do niego zbliżyła i drogę mu zagrodzić chciała.

Sinobrody nie tracił jednak odwagi w tej krytycznej chwili i wiedział, że tylko pospiech uratować go może. Wiatr był silny, ale jeden żagiel nie wystarczał i trzeba było drugi rozwinąć.

Teraz pomknęła łódka jak mewa po szumiącej fali. Wiatr stawał się coraz silniejszy, a mała łódź Sinobrodego tak się pochylała, że tylko jeszcze o dwa palce ponad wodą z jednej strony wystawała.

Sinobrody nie zważał na to i pędził naprzód patrząc tylko z ukosa na zbliżającą się do niego łódź rybacką. Za prześladowcami swymi już się nawet nie oglądał, ci go dopędzić nie mogli.

Tymczasem łódź rybacka coraz bardziej się do niego zbliżała, a u steru jej stał człowiek z dużym hakiem w ręku, gotów każdej chwili wstrzymać zbliżającą się ku niemu łódź Sinobrodego.

Lecz w stanowczej chwili dał Sinobrody sterowi inny kierunek. Łódź jego zakreśliła łuk i przemknęła koło łodzi nieprzyjacielskiej. Sternik zarzucił hak, lecz już było zapóźno. Sinobrody był uratowany.

Widząc to Greif zawrócił nazad do brzegu. Wiedział już, że Betlina z ciotką uciekły i poszedł przeszukać ich dom. Nie znalazł jednak nic ważnego po wuju, którego okropna śmierć wzbudziła jego litość i gniew na nikczemną winowajczynię i jej towarzyszkę.

Postanowił poruszyć niebo i ziemię, aby przyłapać Betlinę i hrabiego Sinobrodego. Tego samego dnia jeszcze rozszedł się Greif z

Guenterem. On sam miał ścigać Sinobrodego. Guenter poruczone miał wynalezienie Betliny.

Było do przewidzenia, że Sinobrody zginie w śmiałej swej wyprawie wśród rozhukanych fal. Gdy nazajutrz rano zobaczono zbliżającą się do brzegu łódź jego bez masztu i żagli, nie było też wątpliwości, że go morze pochłonęło.

Uwiadomiony o tem Greif postanowił wrócić do stolicy, dokąd go wzywał Winter, donosząc mu smutne wieści.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Greif mylił się jednak myśląc, że Sinobrody zginął. Po bardzo niebezpiecznym borykaniu się z falami spotkał on okręt i został nań przyjęty.

Łódź jego zaś przewróciła się i tak gnana wiatrem dalej pędziła.

Sinobrody powiedział kapitanowi, że wybrał się tylko dla przyjemności i mimo woli swej wiatrem i falami tak daleko w morze zagnany został. Kapitan uwierzył mu i wysadził go przy następnym porcie na ląd.

Uratowawszy się w ten sposób postanowił on odszukać Betlinę i krwawo i śmiertelnie za zdradę na niej się zemścić. Pałał on nienawiścią ku niej.

Znajdował się teraz w dużem mieście portowem, gdzie o przyłapanie obawiać się nie potrzebował i następnego dnia już wyczytał w gazetach przypuszczalną śmierć swoją. To, że go miano za zmarłego, dodawało mu jeszcze więcej pewności. Nie uznawał teraz nawet za potrzebne maskować się lub przebierać.

Miał jeszcze na razie dość pieniędzy i spodziewał się, że mu na odnalezienie Betliny wystarczą. Dokąd miał jechać? Czy do Rosyi? Wahał się jeszcze, gdyż przypuszczał, że ona się tymczasem musiała dowiedzieć zarówno o znalezieniu zwłok jej męża, jak i o krokach, które Greif przeciwko niej i jemu — Sinobrodemu — przedsięwziął.

Nie mogła więc teraz objąć dziedzictwa po nim, gdyż Greif odkrył jej zbrodnię i wszystko dla niej tem zepsuł. Topienie tego starego durnia sensu nie miało. Sinobrody bardzo czyn ten żałował i uważał go za wielkie głupstwo. Przepadło jednak i zmienić się więcej nie dało.

Jedyną pociechą jego było to, że Betlina żadnego użytku z oszustwa swego wobec niego i zbrodni popełnionej na małżonku nie miała. Nie wiedział, że Betlina w przebiegłości swej zaślepionego wujaszka do zapisania na siebie całego majątku namówiła i że łupem swym zadowolona być mogła.

Po namyśle zdecydował się hrabia Sinobrody wyjechać do Paryża, bo tam się Betlinę odnaleźć spodziewał. Chciał się przedtem jednak jeszcze zobaczyć z Waleryą. Wiedział gdzie jest, bo kilka dni temu otrzymał list od niej.

Chciał też poszukać Piotra w zamku Wildenfels, bo on miał mu być pomocnym w wykonaniu planu przeciw staremu hrabiemu.

W dwa dni później był już w stolicy i zaraz na peronie zobaczył Greifa. Na szczęście nie obawiał się go, bo przebrał się nie do poznania. Mimoto mocno się przestraszył.

Wcisnął się w tłum i stamtąd zobaczył kogo to Greif oczekiwał. Była to Gertruda z Józefiną, jej brat i farmer.

Nie przeczuwając nic, jechali śmiertelni wrogowie w tym samym pociągu obok siebie.

Sinobrody nie mógł się oprzeć ciekawości, która go pociągnęła w ich pobliże, ale nie dowiedział się nic ponadto, że chcieli oni odszukać starego hrabiego.

Pod fałszywem nazwiskiem zamieszkał w mieście i dowiedział, że Walerya jest w zamku sama.

Było to w ten sam dzień, gdy Winter tam był. W południe książę pożegnał się z nią czule i wyjechał do miasta. Nie przywiązywał wagi do oskarżeń Wintera i przyrzekł jej, że go zgnębi.

Walerya była więc ucieszona, tylko zniknięcie papierów i zmarłego martwiło ją. Kazała raz jeszcze przeszukać las, ale napróżno.

Było to dla niej zagadkowe.

Wieczorem ciągnęła ją jakaś siła niewidzialna na miejsce zbrodni pod ruinami. Cisza panowała, księżyć świecił jasno i lekki tylko wietrzyk poruszał liście.

Walerya niedaleko jeszcze była od muru, gdy zobaczyła jeźdzca na koniu zdążającego do zamku.

Musiał to być ktoś obcy, nieznający drogi, bo nie jechał ku głównej bramie, tylko w bok.

Jeździec zatrzymał się przy furtce ogrodowej, podniósł się na strzemieniach i zaglądnął do środka.

Widząc potem, że furtka zamknięta, chciał przeleźć.

Walerya zbliżyła się i zawołała nań.

Odpowiedział jej okrzyk zdziwienia — jeździec zeskoczył z konia i pobiegł naprzeciw.

— Waleryo — zawołał — jaki szczęśliwy traf.

— To ty, Robercie — odpowiedziała Walerya zdziwiona — ty żyjesz?

Sinobrody uśmiechnął się ironicznie.

— Cieszy mnie to, że uchodzę za umarłego — rzekł witając się — mam z tobą wiele do pomówienia.

— Wiesz już, co tu się stało — spytała Walerya na to.

— Nie, co? Czy co złego?

— Dziś rano był tu Winter i oskarżył mnie przed księciem. Przeżyłam straszną chwilę, ale zwyciężyłam. Książę jest ślepy i wierzy we mnie silnie.

W krótkości opowiedziała mu wszystko, nie wyjmując tego, że zastrzeliła Ludwika.

— Dobrześ zrobiła — ucieszył się Sinobrody — będziesz teraz miała spokój.

— Ale nie wiem, co się z nim stało — rzekła Walerya — zasmucona — wiem z pewnością, że go trafiłam dobrze, a gdy wczoraj z księciem byłam na tem miejscu, gdzie on padł — trupa nie było.

— To ciekawe — jeśli sam nie wstał, to ktoś go musiał wynieść.

— Tak, ale kto? kazałam cały las przeszukać i póki nie będę miała pewności, nie spocznę bo on w każdej chwili może się stać dla mnie straszliwym wrogiem.

Sinobrody zamyślił się.

Walerya opowiedziała mu dalej o spisku Ludwika z pokojówką i o kradzieży papierów.

— Schowali je tam w ruinach — wczoraj poszukiwałam razem z dziewczyną, ale już ich tam nie znalazłam. Przypuszczam, że moja pokojówka ukrywa je jako broń przeciwko mnie.

— Ale musisz je w każdym razie wydostać — zawołał Sinobrody — skłoń tę dziewkę, żeby ci te papiery wydała, a jeżeli nie chce — to poradź sobie z nią inaczej.

— Naturalnie, ale śmierć jej nie pomoże. Ona zginie, ale papierów ja nie będę miała. Dotychczas świetnie mi się wiedzie tutaj. Hrabia Edmund jest wygnany, Agata siedzi w więzieniu, wszystkich jej przyjaciół zgnębiłam. Książę kocha się we mnie i ożeni się ze mną. Miałabym więc święty spokój, gdyby nie ta wieczna trwoga z powodu tego opryszka i tych papierów.

— Szukajmy jeszcze — radził Sinobrody — może przecież znajdziemy.

— Wątpię. Ona je musi mieć u siebie.

— No, to ja ją wezmę na pogadankę i niech mnie dyabli wezmą, jeżeli z niej czego nie wyduszę.

Robert przywiązał konia do furtki i oboje poszli do ruin i z latarką szukali tam pod każdym kamieniem, oczywiście nie znaleźli nic.

Po pewnym czasie weszli oboje do ogrodu, gdzie zostawili konia i poszli do zamku.

Sinobrody opowiedział Waleryi o swoich losach i o spotkaniu na dworcu z Greifem.

— Muszę się dobrze kryć — rzekł — a wszystkiemu winna ta niecna baba, którą wziąłem na miejsce Gertrudy. Gdybym był wiedział, że tak to będzie, nie byłbym tego głupiego Moskala zabijał. Teraz co mi z tego? Ale ja jej się odpłacę, tej zmii.

— Tak, ty musisz się zemścić — potwierdziła Walerya, ale co masz zrobić z Gertrudą?

— Co? Nic! Gdybym się tylko pokazał, byłbym gotów.

— Nie jest tak źle — rzekła Walerya — wprawdzie sprawy twoje stoją nieświetnie, ale ja, mam teraz moc i wpływy po temu żeby cię popierać. Ściśle wziąwszy, nie można ci nic udowodnić.

— Chociażby nawet, ale ja nie mam ochoty siedzieć Bóg wie jak długo w więzieniu śledczem. Mam plan następujący: Poszukam za Betliną, zabiorę jej wszystko co zrabowała od starego i zemszczę się na niej. Jeżeli znajdę Piotra to z jego pomocą odbiorę staremu hrabiemu jego skarby, a potem jadę do Ameryki, gdzie będę sobie żył spokojnie.

Waleryi nie podobało się to.

— Na co? Tam nie będzie ci bezpieczniej, a tu jesteś potrzebny. Wpsólnemi siłami wyzbędziemy się wszystkich wrogów. Posłuchaj mnie i wyszukaj przedewszystkiem Piotra. On nam jest teraz najpotrzebniejszy. Wmówiłam wprawdzie księciu, że to Winter zabił Ludwika, w danym razie mogłabym przysiądz, ale nie mogę wywoływać skandalicznego procesu, bo on wywlecze wszystko co o mnie wie.

— Jeżeli on nam tak będzie bróździł, to go trzeba sprzątnąć i już.

To będzie najlepsze, ale jeszcze niebezpieczniejszy jest dla nas Greif, który się teraz z nim przeciwko tobie połączy. Widzisz więc, że musisz zostać.

— Gdzież się ukryję?

— Tu, w zamku.

— A jeżeli książę się dowie?

— Nie dowie się. Będziesz w tym pokoju obok mojej sypialni.

— Jak więzień? To mi się nie podoba. Może lepiej gdzieś tu w pobliżu.

— Nie znajdziesz tak dobrej kryjówki. W zamku, przy odrobinie ostrożności, jesteś zupełnie bezpieczny.

Sinobrody zgodził się, oglądnął pokój i z zadowoleniem zobaczył, że ma drugie drzwi.

Konia umieścił w stajni i ukrył się sam w pokoju, który mu Walerya wskazała.

Gdy pokojówka opuściła pokój swej pani, poszła Walerya do brata i długo siedzieli razem, rozmawiając. Nazajutrz Sinobrody wykradał się z zamku do Wildenfels gdzie spodziewał się znaleźć Piotra.

CLXX.

Bez pomocy.

Piaszczystą drogą, prowadzącą przez step, jechał wśród upału słonecznego powóz, za którym pędził jeździec konny. Siedział zamyślony na siodle i patrzał na step, przerywany gdzieniegdzie tylko grupą drzew i krzaków.

Gdzieniegdzie widać było także małe, zabagnione stawy, obrosłe trzciną i szuwarem.

A przecież tak pustym i bez życia step nie był, jak się zdawało na pierwsze spojrzenie. Tu i ówdzie unosiły się słowiki śpiewając w powietrzu, pszczoły i osy brzęczały. Piaszczystemi drogami ciągnęły w powszednie dnie wozy ciężarowe.

Dziś jednak, w niedzielę, nie było takiego ruchu. Do zamku Wildenfels też rzadko kto jechał, odkąd był tak opustoszały.

Powóz i jeździec, o którym mowa, dążyli do gospody "pod pełnym dzbanem", którą po ogniu odbudowano. Była teraz ładniejsza i obszerniejsza, a Gerhard, właściciel, odbudował ją za pieniądze, które mu stary hrabia podarował i od kilku tygodni już znów tam z Katynką i ze służbą mieszkał.

Wreszcie stanął powóz przed gospodą i jeździec zeskoczył z konia. Z drzwi wybiegła urocza postać dziewicza... Katynka... i rzuciła się jeźdzcowi z okrzykiem radości w ramiona.

— Reinholdzie! Więc to wreszcie ty — krzyknęła uradowana — czy wszystkich przywozisz?

To mówiąc wyrwała się z objęć Wintera — bo on to był owym jeźdzcem — i pobiegła do powozu, którego drzwiczki właśnie otworzono.

Pierwsza okazała się smukła postać Delii, za nią wyszła Marta z małym Walterem.

Niebawem wyszedł i Gerhard z gospody na powitanie gości i bardzo serdecznie ich przyjął. Potem weszli wszyscy do domu i usiedli. Wyglądali poważnie, smutno prawie. Myśl o Agacie ciężyła na nich trapiąco.

Podczas gdy Agata zamkniętą była znowu w ponurej celi więziennej, wypuszczono dziś obie towarzyszki jej niedoli Martę i Delię na wolność, nie można im bowiem było niczego dowieść, coby uwięzienie ich usprawiedliwić mogło. Mały Walter nie mógł także w więzieniu przy matce swej zostać.

Winter uważał za najstosowniejsze ulokować ich na razie w gospodzie Gerharda i dlatego tu z niemi przyjechał.

Sam zaś nie długo został, gdyż spieszno mu było wrócić do stolicy. Nie pomogły nawet prośby Katynki, która była o niego zawsze niespokojną.

— O, Reinholdzie — błagała wśród łez — zostań tu i nie narażaj się na ciągłe niebezpieczeństwa. Ja drżę o twoje życie. Naraziłeś się demonicznej Waleryi a ona coraz nowe spiski będzie knuła na twą zgubę. Usłuchaj mnie — błagała rozpaczliwie — czy ja mam cię stracić, miej litość nademną, Reinholdzie.

Głęboko wzruszony przycisnął Winter narzeczoną swą do serca.

— Nie bądź tak bojaźliwą, Katynko — rzekł — życie jest w ręku Boga, który mnie tak często już uratował. Czyż mogę przyjaciół swych opuścić w nieszczęściu? Czyż nie jest moim obowiązkiem bronić ich do ostatniego tchu przed podłością i podstępem tej potwornej kobiety?

Wyrwał on się z jej objęć i odjechał napowrót do stolicy. Miał zamiar udać się wprost do pałacu hrabiego Edmunda.

Nie odjechał był jeszcze jednak daleko od gospody, gdy zobaczył zdala wyłaniającego się z lasu jeźdźca konego, który widocznie zdążał ku "pełnemu dzbanowi".

Zatrzymał więc swego wierzchowca i czekał, dopóki się jeździec ku niemu nie zbliży.

Lecz ledwo hrabia Sinobrody... a on to był owym jeźdźcem... zobaczył detektywa, zawrócił konia, aby go wyminąć. Nie miał on zamiaru zajeżdżania do gospody Gerharda. Chciał ją tylko zdaleka zobaczyć. Jechał na zamek Wildenfels, gdzie Piotra miał odszukać.

Zdziwiony, popatrzył Winter za uciekającym jeźdźcem, którego ucieczki sobie wytłumaczyć nie umiał. Wzbudziło to w nim pewne podejrzenie.

Kto to mógł być? Przypominał trochę hrabiego Sinobrodego, ale mogło to być przecież tylko złudne podobieństwo, gdyż ten już nie żył.

Tak myślał Winter ścigając oczyma uciekającego jeźdźca, który jechał w kierunku zamku Wildenfels.

A gdyby to przecież był Sinobrody?

Nie namyślając się dłużej, dał Winter koniowi ostrogi i popędził za uciekinierem. Chciał za każdą cenę osiągnąć pewność.

Sinobrody zaś widząc, że jest ścigany, zboczył i zniknął w lesie. Bał on się otwartej walki z przeciwnikiem w stepie i postanowił zwabić go do lasu i z zasadzki go zastrzelić.

Winter był jednak zanadto przezorny, aby się na takie niebezpieczeństwo narażać, zawrócił więc przed lasem i popędził napowrót do gospody, gdzie przyjazdem swym ogromną niespodziankę zrobił, Sinobrody zaś daremnie w lesie na niego czekał.

Opowiedziawszy o spotkaniu z Sinobrodym, ostrzegł Winter Gerharda, aby się miał na baczności przed nim, szczególnie z Katynką, którą on przedtem już prześladował.

Nie zatrzymując się i tym razem długo, wrócił Winter do stolicy. Konia swego zostawił w hotelu a sam poszedł pieszo do pałacu hrabiego Edmunda i wszedł tam boczną furtką. Służący, którego spotkał, powiedział detektywowi, że go hrabia wraz z doktorem Klocem w pawilonie oczekują.

Trzeba było być bardzo ostrożnym, gdyż w pałacu było kilku tajnych agentów, którzy hrabiego od czasu powrotu jego śledzić mieli. Jedynem uspokojeniem ich było tylko to, że dowódcą ich był Braun, dawny podwładny Wintera. Był on mu zawsze jeszcze oddany i postarał się o to, by w parku teraz żadnego ze szpiegów nie było.

Winter wysłał służącego do pałacu, aby uwiadomił Brauna o jego przybyciu. W pawilonie zastał hrabiego Edmunda wraz z doktorem Klocem i starym Michałem. Przywitano go radośnie a hrabia, który go z niecierpliwością oczekiwał, zapytał natychmiast co u księcia uzyskał.

— Nic — odpowiedział Winter lakonicznie — od księcia nie możemy się niczego spodziewać.

Hrabia Edmund, który się tej ostatniej nadziei uchwycił, zbladł ze strachu.

— Nie uwierzył panu mimo wszystkich dowodów — wykrztusił drżącym głosem.

— Nie, książę mi nie uwierzył. Jest on zanadto usidlany przez tę demoniczną kobietę. Prawie że mnie nie słuchał i nie uznawał moich dowodów. Groził mi nawet, że mnie zaskarży o obrazę jego kochanki i o morderstwo Ludwika Hechta, które Walerya popełniła.

Hrabia Edmund słuchał tych relacyi Wintera w okropnem przygnębieniu. Niebawem zjawił się i Braun aby brać udział w naradzie. Stary Michał wyszedł, aby stanąć na straży.

Żaden z nich nie mógł zaprzeczyć, że położenie Agaty było rozpaczliwe. A gdyby do tego jeszcze Wintera oskarżono i do więzienia wtrącono, to Walerya wzięłaby górę i przez księcia, który się stał narzędziem, wszystkich wrogów swoich zniszczyć by mogła.

Ku swemu wielkiemu przerażeniu wszyscy to przyznać musieli.

— Według mego zdania pozostaje nam jeszcze tylko jedna droga — odezwał się doktór Kloc po długim namyśle — a to byłoby publiczne oskarżenie Waleryi. Pan to musi uczynić, kochany przyjacielu, dodał zwracając się do Wintera. Musi pan oskarżyć Waleryę o wszystkie jej zbrodnie i podać świadków, a między nimi własną pokojówkę hrabiny. Zyskalibyśmy ogromnie przez to, gdyby ją w czasie śledztwa wzięto do więzienia, bo wtedy możnaby księcia doprowadzić do otrzeźwienia.

Hrabia Edmund patrzył pytająco na Wintera, ten zaś potrząsł ponuro głową.

— Pewno, że to by było dla nas najlepsze — odparł — lecz trzebaby mieć choć małą nadzieję powodzenia. Proszę jednak nie zapominać, że Walerya jest pod opieką księcia, i że z tego powodu sąd by w oskarżenia nasze nie wierzył. Książę uczyniłby wszystko, aby plany nasze pokrzyżować. Uchodzimy przecież wszyscy za współwinnych Agaty i dlatego wierzyć nam nie będą.

— Ależ mamy przecież dowody, na podstawie których sąd sprawę Waleryi zbadać musi — zawołał doktór Kloc zirytowany — nawet sam książę tu nic nie pomoże.

— Młody książę sam wiele by tu nie zrobił — odparł Winter — ale on ma wielki wpływ na swego wuja, panującego księcia. Już to hrabia Edmund na sobie doświadczył, gdy Waleryę przed nim chciał oskarżyć. Niema żadnej nadziei — dodał przygnębiony.

Nastała przykra pauza, podczas której każdy bezradnie patrzył przed siebie.

— Więc ta szatańska kobieta miałaby tryumfować, a niewinność miałaby ponieść taką klęskę — wyrwało się gniewnie z ust hrabiego.

Wstał z siedzenia, a blada twarz jego okazywała jakąś rozpaczliwą rezolutność, gdy zawołał głośno:

— Nie, ja nie tracę nadziei i wiary w zwycięstwo dobrej sprawy. Doktór Kloc ma słuszność i musimy pójść za jego radą. Jeśli nic tem nie wskóramy, to inną drogę obrać trzeba będzie. Wolę sam zginąć raczej, niż patrzeć na niewinną śmierć swej żony na szubienicy.

— Słuchał pan mojej rady, panie hrabio — upominał go Winter. — Wystąpieniem przeciwko Waleryi nietylko że nic nie uzyskamy, lecz do tego jeszcze wiele drogiego czasu stracimy. Tu zaś potrzebny jest pośpiech. Braun poświadczy panu, że wyrok śmierci hrabiny Agaty i matki jej już podpisany i dzień egzekucyi oznaczony. Niema ani chwili do stracenia, gdyż będzie zapóźno.

Hrabia popatrzył na detektywa jak oszołomiony i jak gdyby znaczenia słów jego pojąć nie był w stanie.

Więc książę rzeczywiście wydał ten straszliwy wyrok — jęknął rozpaczliwie — a kiedy on ma być wykonany?

— W środę rano — oświadczył Braun stłumionym głosem.

— Wszechmocny Boże! — krzyknął hrabia przeraźliwie. — Już za trzy dni? Mamy tylko dwie doby do odwrócenia tego strasznego nieszczęścia?

Powiódł on bezradnym wzrokiem po obecnych, lecz nic nie przerwało ponurego milczenia. Myśleli wszyscy nad środkiem uratowania biednej ofiary, lecz wszystko daremnie!

— Braun czynił wszystko możliwe, aby dozorcę więziennego przekupić — odezwał się wreszcie Winter. — Lecz on się w żaden sposób pozyskać nie daje i żadna najwyższa nagroda go nie nęci. Bez niego zaś nie może nawet być mowy o uwolnieniu hrabiny Agaty i matki jej z więzienia.

— Trzeba więc w inny sposób spróbować! — zadecydował doktór Kloc. — Musimy się na wszystko odważyć, choćbyśmy życie nasze przy tem ryzykować mieli.

Hrabia Edmund uścisnął mu rękę ze wzruszenia.

— Dziękuję panu, kochany przyjacielu! — rzekł serdecznie. — Nie mogę się jednak zgodzić na ofiarę, przez którą byście wszyscy straceni być musieli. Przedsięwezmę dlatego już tylko to, co sam zdziałać potrafię.

Lecz wszyscy obecni gremialnie zaoponowali i po krótkiem porozumieniu się zgodzili na rozpaczliwy plan, do którego wykonania nazajutrz w nocy zabrać się mieli.

Była to jeszcze tylko jedyna deska ratunkowa dla Agaty i dlatego zabrano się ostrożnie do dzieła.

Było już ciemno, gdy Winter z doktorem Klocem i Braunem opuszczali pawilon. Hrabia Edmund zaś schronił się ze starym Michałem napowrót do mauzoleum, gdzie go przedwczoraj policya daremnie szukała.

Podczas gdy Braun wrócił do pałacu, do swoich ludzi, opuścił Winter z doktorem Klocem park i szli szybko pustą ulicą. Otulili się w długie ciemne płaszcze i nasunęli kapelusze na twarz, aby ich nikt nie poznał. Ciemność wieczorna bardzo im była na rękę. Niebawem stanęli przy stacyi dorożkarskiej i usiadłszy do jednej z dorożek, pospiesznie odjechali. Winter podał woźnicy adres.

Po niespełna 10-ciu minutach zatrzymał się powóz na jednej z wązkich ulic przedmiejskich. Obaj przyjaciele wysiedli i pieszo dalej poszli.

Wreszcie weszli do nędznie wyglądającego, zaniedbanego domu i wdrapali się po źle oświetlonych schodach na najwyższe piętro. — Tam już zupełna panowała ciemność.

Winter zaświecił woskową świeczkę i zapukał silnie do drzwi, na których wisiała kartka z napisem: "Langhals, agent!"

Po kilkorazowym pukaniu odsunął ktoś z wewnątrz małe okienko, aby spojrzeć. Nie mógł jednak nic zobaczyć, gdyż Winter zgasił świeczkę.

— Otwóżcie, Langhals! — zawołał detektyw głośno i rozkazująco. — To ja... komisarz Winter!

Stłumiony okrzyk przestrachu... potem odsunięto rygiel, w kurytarzu stanęła otulona w brudny i podarty szlafrok postać agenta, który przywitał nowoprzybyłego z wyrazem zmieszania i trwogi.

Agent Langhals znany był Winterowi jako jeden z najbardziej wyrafinowanych i niebezpiecznych łotrów i fałszerzy. Winter był już raz u niego wtedy, gdy mu chodziło o przekonanie się, że to on sfałszował dla hrabiego Sinobrodego list, mający służyć za dowód, że Gertruda żyła w Paryżu.

Langhals zaniepokoił się mocno przybyciem detektywa, bo miał wiele czarnych sprawek na sumieniu i obawiał się, że wykryte zostały.

Lecz Winter uspokoił go mówiąc:

— Niech się pan niczego nie obawia, panie Langhals. Przychodzę do pana w prywatnej sprawie!

Oświadczenie to zdziwiło hultaja, ale go nie uspokoiło. Myślał że jest to podstęp detektywa, aby podejrzenie jego uśpić i wpuścił go wraz z doktorem Klocem tylko z niechęcią do pokoju, gdzie się świeciła mała lampa. Potem stanął przed nim z wyrazem trwożnego oczekiwania. Nie wiedział nic jeszcze o wydaleniu Wintera z urzędu, bo inaczej, nie byłby był stracił odwagi.

Winter spojrzał nań badawczo i przystąpił bez ogródek do celu.

— Wiecie, że was o różne sprawki podejrzewają — rzekł on krótko. — Ja was już właściwie powinienem był uwięzić wtedy, gdyście dla hrabiego Sinobrodego ten list sfałszowali. Nie uczyniłem tego jednak, bom was chciał oszczędzić. Dziś również nie przychodzę do was w złych zamiarach.

Agent zaniepokoił się tak przy pierwszych słowach Wintera, że nawet nie mógł na wewnątrz udawać obojętności. Zadrżał on lekko i opanowawszy się, rzekł z wymuszonym uśmiechem.

To bardzo uprzejmie ze strony pana, panie komisarzu, że nie chce mnie pan uwięzić. Ale ja też nic złego nie uczyniłem!

— Ach, nie udawajcie! Wiecie przecież, że mi oczy nie zamydlicie, panie Langhals! — przerwał mu Winter z naciskiem. — Gdybym chciał, to wtrąciłbym was na kilka lat do kryminału.

— Ależ panie komisarzu. Czego pan właściwie odemnie chce! — zawołał łotr trzęsąc się.

Winter spostrzegł, że swój cel osiągnął i że starego hultaja dość już zatrwożył. Zmienił więc teraz taktykę i rzekł uprzejmie:

— Chciałbym z wami poważnie pomówić, Langhals i dać wam sposobność przysłużenia mi się, za co naturalnie sutą dostaniecie nagrodę.

To mówiąc usiadł, a to samo uczynił za jego przykładem doktór Kloc, który w duchu zręczność towarzysza swego podziwiał.

Langhals zawsze jeszcze detektywowi nie dowierzał i wietrzył podstęp. Dopiero gdy mu Winter raz jeszcze zaręczył, że to nie żart, usiadł naprzeciw nich i odpowiedział z zapałem:

— Będzie mi to ogromną przyjemnością przysłużyć się panu, panie komisarzu i uczynię to chętnie nawet bez nagrody.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Winter sarkastycznie — ale nagrodą chyba nie pogardzicie, co? A teraz przystąpmy do rzeczy. Wy się chyba znacie na włamywaniu, Langhals, co?

Agent zrobił oburzoną minę.

— Włamywanie? — powtórzył on przewlekle — panie komisarzu! Pan przecież nie chce powiedzieć, że...

Jesteście ogromnie zręczni w otwieraniu obcych kas pieniężnch. Owszem, to właśnie chciałem powiedzieć — przerwał mu Winter ironicznie. — Nieraz już dowiedliście tę zręczność, jak n. p. przy włamaniu do banku londyńskiego przed pięciu laty. Widzicie więc, że jestem dokładnie wtajemniczony w waszą działalność.

Agent spuścił głowę i bardzo był zmieszany. Nie uniewinniał się nawet, bo wiedział, że wszystko daremne.

— Znacie się więc na takich rzeczach — ciągnął Winter dalej — znacie też życie w więzieniu, bo dość długo tam byliście.

Langhals popatrzył znów na niego zdziwiony i nie wiedział co o tem wszystkiem ma myśleć. Nieufność jego na nowo się obudziła.

— Pytam się was więc — zaczął znowu Winter — czy potrafilibyście otworzyć wytrychem kilka drzwi więziennych i czy uczynilibyście to za dobrem wynagrodzeniem?

Agent Langhals nie był jeszcze nigdy w życiu tak zdziwiony jak przy tem pytaniu i wygapił się na siedzącego naprzeciw niego detektywa.

— Panie komisarzu, nie mogę przypuścić, aby pan to seryo myślał — jąkał się zmieszany.

— Owszem, zupełnie seryo. Wiem też napewno, że to potraficie, gdy zechcecie.

— Hm, naturalnie, nie byłoby to nawet tak bardzo trudne, ale nie wiem...

— Nie wiecie jeszcze o co chodzi — dopełnił Winter. — Zgodźcie się już raz na to, a powiem wam.

— Jeżeli przytem niema niebezpieczeństwa, to dlaczego nie?

— No, tak bardzo bezpieczne znów nie jest — rzekł Winter otwarcie. Musi się to stać zupełnie potajemnie. Lecz ja was przytem nie odstąpię i będę wam pomagał, ile tylko będę mógł. W najgorszym razie uwięziliby was, ale ponieważ ja i tak miałbym dziś już prawo wsadzić was do kryminału, to wy właściwie nic tu nie ryzykujcie. Czyście mnie zrozumieli?

— Tak jest — mruknął Langhals, któremu się nieprzyjemnie zaczynało robić.

Nie mógł jednak jeszcze zrozumieć, jak to być może, że detektyw żądał od niego coś, co się sprzeciwiało prawu. Było mu to coraz bardziej zagadkowe.

Winter namyślał się tymczasem a ile łotra tego w plan uratowania Agaty wtajemniczyć. Wszystkiego mu powierzyć nie mógł, bo nie można mu było bezwzględnie wierzyć. Z drugiej znów strony, musiał mu wyjaśnić sprawę, gdyż tylko w ten sposób mógł go dla sprawy pozyskać.

— Widzicie więc, że sprawa ta dla was nie będzie niebezpieczna — mówił Winter dalej. Otworzycie tylko wytrychem kilka zamkniętych drzwi i dostaniecie za to nagrodę 3.000 marek. Sądzę, że możecie propozycyę tę bez wahania przyjąć.

Obietnica tak wielkiej sumy rozjaśniła twarz Langhalsa.

— Już ja to zrobię, panie komisarzu — zawołał rezolutnie — proszę mi tylko wytłumaczyć o co właściwie chodzi.

— Tego wam wiedzieć nie potrzeba. To nawet lepiej dla was na wypadek nieudania się — rzekł Winter — jeżeli się dobrze sprawicie, to dam wam nawet więcej, jak obiecałem.

— Jestem do usług pańskich, panie komisarzu — rzekł Langhals — kiedy się do tego mam zabrać?

— To wam jeszcze powiem, a tu macie na razie zadatek 1000 marek.

— To mówiąc wyjął Winter z kieszeni portfel i wypłacił mu wymienioną sumę.

— Spodziewam się, że na przyrzeczeniu waszem polegać mogę — dodał Winter. Jutro wam oznaczę termin. Musicie jednak trzymać język za zębami.

— Naturalnie, panie komisarzu — zapewniał go łotr chowając pieniądze.

— Mamy więc zapewnione narzedzie na-

szych planów —rzekł Winter do doktora Kloca, wychodząc z nim na ulicę — miejmy nadzieję, że się nam powiedzie.

CLXXI.

W dyablim wąwozie.

Niedaleko zamku myśliwskiego księcia, w którym mieszkała Walerya, leżał po drugiej stronie małego jeziora tak zwany przez lud dyabli wąwóz.

Otoczony stromemi, rozpadłemi skałami ciągnął się wąwóz wśród lasu aż do brzegu jeziora. Między skałami szumiał potok górski, tworząc mały wodospad.

Było tu samotnie i cicho, gdyż do dyablego wąwozu nie zaglądał nikt, prócz kłusowników i innej hołoty, która się tu przed prześladowaniem chroniła.

Stromemi skałami temi ponad przepaścią wspinał się mężczyzna z ciężkim tłumokiem na plecach. Był w myśliwskiem ubraniu i wysokich butach z cholewami. Wyglądał jak kłusownik albo rabuś, sądząc z awanturniczej jego fizyognomii i ogorzałej twarzy. Przez plecy przewieszoną miał dubeltówkę, a z cholewy buta sterczała rękojeść długiego noża myśliwskiego.

Oparty o laskę z dużym żelaznym końcem, schodził powoli z góry. Będąc już w wąwozie, skierował się w stronę jeziora i znalazł się niebawem przed stromą, gładką ścianą skalną, wznoszącą się może na jakie 100 stóp wysokości.

Wędrowiec nasz odchylił krzaki i wsunął się w duży otwór skały, z którego prowadziła droga przez wydrążenie tworzące w jednem miejscu jakgdyby obszerną salę. Było tu nawet dość jasno, gdyż liczne szpary przepuszczały światło dzienne.

Zatrzymał się w tem miejscu i złożył swój tłumoczek i dubeltówkę. Potem zbliżył się do kąta, w którym leżał na miękkim łożu z mchu blady i pozornie bardzo ciężko chory mężczyzna.

— Śpi jeszcze — mruknął nowoprzybyły, popatrzywszy na chorego — gdy się zbudzi, będzie się niemało dziwił, że jest tu u mnie w jaskini.

W jednym kącie jaskini była prowizorycznie z kamieni złożona kuchenka. Do tej kuchenki przystąpił teraz Piotr, służący Sinobrodego... bo on to był owym podróżnym, a schronił się w odludne to ustronie przed prześladowaniem policyi... i zaczął sporządzać sobie jedzenie nakrzesiwszy poprzednio ognia.

Drugi zaś leżący na mchu chory mężczyzna to był Ludwik Hecht, godny małżonek Waleryi.

Było to dla Waleryi zagadką, jak ugodzony kulą jej mąż tak nagle i bez śladu mógł zniknąć. Nie byłoby jej nigdy przyszło na myśl szukać go tu i w Piotrze zbawcę jego przeczuwać.

Przechodząc przypadkowo właśnie wtedy koło ruin zobaczył Piotr rannego i poznał w nim Ludwika, nie mając jednak pojęcia, że to Walerya do niego strzelała.

Nie wiedział też Piotr, że Walerya tu w pobliżu mieszkała, a że Wintera zdaleka w lesie spostrzegł, uważał naturalnie jego za sprawcę.

Podejrzywał ich, że się obydwaj spotkali i że się między nimi wywiązała walka, z której detektyw wyszedł zwycięsko.

— Widząc, że Ludwik jeszcze żył, chciał go uratować. Dowlókł go więc do jeziora, położył na łódkę i zawiózł go na drugą stronę.

Przetransportowawszy go do swojej nory, pielęgnował Ludwika, który jeszcze nie przyszedł do świadomości i nie mógł dać bliższych objaśnień. Nie przeczuwał on, że utrzymując Ludwika przy życiu, działa wbrew życzeniom Waleryi i Sinobrodego.

Było to tego samego dnia, gdy hrabia Sinobrody szukał Piotra na zamku Wildenfels. Piotr zaś byłby ze swej strony chętnie dał znak życia swemu panu, lecz nie wiedział, gdzie go szukać. We wsi, gdzie kupował żywność, również jak on, nie wiadziano nic, co się w świecie dzieje.

Posiliwszy się, przystąpił Piotr znów do rannego i dał mu nowy opatrunek. Ludwik poruszył się, jęknął i otworzył oczy.

— No, stary przyjacielu, jak się macie? — zaśmiał się Piotr. — Czy wy mnie poznajecie?

Ludwik wpatrywał się w dziką twarz mówiącego, lecz o zmroku rysów jego poznać nie mógł. Ttylko głos wydawał mu się znajomy.

— Piotr? Czy to wy? — zawołał słabym głosem.

— Naturalnie! — zaśmiał się Piotr. — A wy się dziwicie, że ja tu przy was?

Ludwik potwierdził skinieniem głowy. — Blada, znużona jego twarz wyrażała ogromne zaniepokojenie i obawę.

— Czekajcie, dam wam coś na wzmocnienie! — rzekł Piotr. — Potem pomówimy ze sobą, jeżeli was to nie będzie męczyło.

To rzekłszy podał mu trochę rosołu, z którego Ludwik mało jadł. Następnie przyniósł mu trochę wody z winem i siadł sobie obok chorego.

— Tak, tak stary przyjacielu! — zawołał

Piotr z szyderczym współczuciem. — Macie w piersi porządną dziurę, ale nie umrzecie z tego. Wyciągnąłem kulę i nie ma już niebezpieczeństwa.

— Czy wy... mnie... znaleźli w lesie? — jąkał się Ludwik.

Piotr zaśmiał się i skinął głową.

— Nie myślałem, że was jeszcze żywego tu przytransportuję! — rzekł. — Ubyło wam okropnie wiele krwi, ale macie silną, łykowatą naturę, przyjacielu! Założę się, że za trzy tygodnie już będziecie chodzić.

— Doprawdy? — zapytał Hecht z niedowierzaniem.

— Ależ pewno! Rana wnet się zabliźni. Macie szczęście, żem was wtedy jeszcze żyjącego znalazł i do siebie zabrał. Nie bylibyście w przeciwnym razie nawet następnego dnia dożyli!

— Gdzie ja jestem? — zapytał Ludwik wodząc zdziwionym wzrokiem po jaskini.

— W bezpiecznem miejscu, stary przyjacielu. Możecie być pewni, że detektyw was tu nie znajdzie!

— Detektyw? — powtórzył Ludwik.

— No tak, Winter! — dodał Piotr. — Ten szpieg, który do was strzelał... co?

Ludwik milczał i zmrużył oczy. Od czasu do czasu wyrywało się z ust jego trwożne westchnienie.

Jeżeli mnie Piotr przed Waleryą zdradzi to będę stracony — myślał z rozpaczą w sercu. — Ona by się strasznie na mnie zemściła.

Położenie jego było rozpaczliwe, znajdował się znów w ręku swoich wrogów! Byłoby już lepiej, gdyby go Winter był znalazł i do szpitala więziennego wpakował. Byłby się tam przynajmniej czuł bezpieczny przed zemstą Waleryi.

Piotr nie przeczuwał jego myśli i opowiedział mu dokładnie gdzie go znalazł i jak go do jaskini swej zawlókł.

A teraz o nic więcej się nie troszcie, przyjacielu! — pocieszał go. — Niech tam detektyw za wami szpieguje, ale nigdy w życiu nas nie odnajdzie! Jeżeliby się w pobliże nasze ukazać odważył, to zginie od mojej kuli. Ja mu dawno już śmierć poprzysiągłem.

Ludwik udawał że temu wszystkiemu wierzy i utrzymywał Piotra w tem złudzeniu.

Czy jesteście często w pobliżu zamku myśliwskiego — zapytał badawczo.

— O, nie! Tam zanadto dla mnie niebezpiecznie — odparł Piotr — zamek ten jest zamieszkany.

Odpowiedź ta uspokoiła Ludwika po trosze.

Co wyście jednak tam w pobliżu zamku szukali — zapytał Piotr po krótkiej pauzie — czyście tylko przypadkowo w okolicę tę zbłądzili?

Ludwik skinieniem głowy potwierdził i dodał:

— Detektyw mnie gonił, musiałem się więc do lasu schronić.

— Ach, tak — zawołał Piotr — gdzież jest hrabina Walerya? Czy może już uwięziona?

— Nie wiem — mruknął Ludwik.

I hrabia Sinobrody znikł bez śladu — ciągnął Piotr dalej — chciałbym wiedzieć, co się z siostrą jego stało i pójdę aby się coś o tem dowiedzieć.

Zostańcie przy mnie, prosił go Ludwik — nie zostawiajcie mnie — tak bezbronnego.

— Broń Boże. Uspokójcie się tylko — pocieszał go Piotr. — Ja jeszcze teraz nie odchodzę. Idę tylko nad jezioro, aby kilka ryb złowić, a wy śpijcie tymczasem, przyjacielu. Jesteście tu tak pewni, jak na łonie Abrahama.

To rzekłszy, wyszedł z jaskini i znalazł się niebawem nad brzegiem jeziora, obok krzaków, do których przymocowana była łódka.

Przekonawszy się, że wokoło nikogo nie było, odwiązał Piotr czółno, wskoczył do niego i odbił od brzegu.

Powierzchnia słońca mieniła się złotawo od promieni zachodzącego słońca. Z drugiej strony jeziora wznosiły się białe, smukłe wieżyczki myśliwskiego zamku i wyglądały gdzieniegdzie z pomiędzy drzew.

Piotr zatrzymał się w małej zatoce w pobliżu zamku i popatrzył w zastawione zeszłego wieczora siecie.

Było tam niewiele ryb i do tego wszystkie małe. Powrzucał je więc napowrót w wodę i zabierał się z niechętną miną do ponownego zastawiania swych narzędzi, gdy wtem skoczył przerażony. Usłyszał zbliżający się tętent kopyt końskich i w tej samej chwili zobaczył wyłaniającego się z gęstwiny jeźdźca konengo.

Chwycił szybko za wiosło, lecz jeździec już go spostrzegł i zatrzymawszy konia, rzucił na Piotra podejrzliwe badawcze spojrzenie.

Piotr popatrzył na jeźdźca z bezgranicznem zdziwieniem i widocznie także go poznał.

Owym jeźdźcem był hrabia Sinobrody, który wracał tędy z zamku Wildenfels.

— Hola, Piotr! — zawołał, przybliżając się do brzegu. — Czy to ty, czy nie?

Piotr przybił szybko do brzegu i wyskoczył z łódki. W następnej chwili stanął przed swoim panem, który go serdecznie i radośnie przywitał.

— Co ty tu robisz? — spytał zdziwiony. — Gdzieś się u licha tak długo chował?

— Tam, w dyablim wąwozie, panie! — odrzekł Piotr.

— Co pan jednak tu robi? — Myślałem, że pan za wszystkiemi górami.

Byłem już bardoz daleko stąd! — zaśmiał się Sinobrody. Jak to się jednak szczęśliwie złożyło, żem cię tu spotkał. Bardzoś mi potrzebny, Piotrze!

— Czy może dla hrabiny Waleryi?

— Tak jest! Nie wiesz jednak jeszcze, co ona za szczęście zrobiła!

— Nie, nic nie wiem, panie! Żyję tu jak kret w tej norze i od tygodnia już nic o świecie nie słyszałem.

— Wyglądasz też już jak dziki człowiek! — rzekł Sinobrody, potrząsając głową. — Możnaby cię wziąść za jakiego herszta bandytów!

Piotr zaśmiał się i zapytał o Waleryę.

— Zniszczyła egzystencyę męża swego, hrabiego Edmunda! — tłumaczył mu Sinobrody— i strasznie się na nim zemściła! Jest pod opieką księcia i mieszka tu w pobliżu, w zamku myśliwskim.

— Co? W tym zamku? — zapytał Piotr bezgranicznie zdziwiony.

— Tak jest! I tyś tego nawet dotychczas nie przeczuwał?

— Pojęcia o tem nie miałem i unikałem zawsze zamku! Gdybym był przeczuwał, że siostra pana tam mieszka, byłbym się dawno do niej zgłosił.

— Przyjdź do nas dziś wieczorem, bo mamy wiele do omówienia. Możesz się przez ogród do zamku dostać, będę cię tam oczekiwał, aby cię służba nie spostrzegła jednak.

— Czy księcia nie ma w zamku?

— Nie! Wraca on dopiero nazajutrz!

— Dobrze! — rzekł Piotr z uśmiechem. — Mam dla hrabiny Waleryi ważną nowinę, która ją ogromnie zadziwi.

— A skądże ją masz, skoro się ze światem nie stykasz i co to za nowina?

— Bo widzi pan — rzekł Piotr — idąc onegdaj wieczorem lasem, znalazłem postrzelonego człowieka z raną w piersi!

— Ach! —krzyknął Sinobrody zdziwiony. — Gdzie?

—Tam! Niedaleko zamku myśliwskiego!

— U licha! Czy to nie był przypadkowo Ludwik Hecht?

— Pewno, że to on, panie! — potwierdził Piotr. — Ale skąd pan to wie?

— Haha! — zaśmiał się Sinobrody tryumfująco. — Teraz już wiem, jakim sposobem facet ten znikł tak bez śladu. Czyś go ze sobą zabrał, co?

— Tak jest! Zabrałem go do swojej jaskini, żyje on jeszcze i wcale się dobrze miewa!

— Żyje? Doprawdy — krzyknął Sinobrody gniewnie.

— Naturalnie! Czyż go hrabina Walerya miała za zmarłego?

— A cóż ty sądzisz? — zaśmiał się Sinobrody. — Jakżeż się Walerya wiadomością tą ucieszy. Myśmy już świat cały za nim przeszukali i głowy sobie łamaliśmy, gdzie on się mógł podziać... a on tymczasem był w twojej mocy.

— Skąd hrabina wie, że detektyw Winter do Hechta strzelał? — spytał Piotr zdziwiony, nie pojmując właściwego związku rzeczy.

— Winter? — zaśmiał się Sinobrody. — Skąd do tej myśli przyszedłeś?

— Wiem to od samego Ludwika Hechta.

— A to chytry lis. Nie powiedział ci prawdy, bo się obawiał, że go przed Waleryą zdradzisz!

Piotr bezgranicznie się zdziwił i na Ludwika się oburzył.

—Gdybym to wiedział, tobym mu był dał umrzeć! — zawołał gniewnie.

— Nic to nie szkodzi! — rzekł Sinobrody. — Mamy go przecież w naszej mocy i Walerya rozstrzygnie co się z nim ma stać. Przedewszystkiem będzie on musiał wydać ważne papiery, które gdzieś ma schowane. Jeżeli zaś to nie uczyni, to zrobimy z nim krótką sprawę.

— Najlepiej więc będzie, jeżeli hrabina Walerya sama przyjdzie i z nim się rozmówi.

— Dobrze mówisz! Nie mów tylko nic o tem, aby nie uciekł!

— Tego się nie obawiam, bo on mi uciec nie może.

— Wracam więc teraz do zamku, aby hrabinie Waleryi wszystko opowiedzieć, rzekł Sinobrody. — Około północy będę cię w ogrodzie oczekiwał. Znajdziesz furtkę od strony lasu otwartą.

Pan i służący rozstali się. Sinobrody popędził ku zamkowi. Piotr wrócił do swej jaskini.

Walerya przyjęła wiadomość Sinobrodego z nieopisaną radością. Kamień spadł jej z serca na wieść, że Ludwik znaleziony i znowu jest w jej mocy. Paliła ona się z niecierpliwości, aby się od samego Piotra bliższych szczegółów dowiedzieć.

O oznaczonej porze udał się hrabia Sinobrody do ogrodu na spotkanie Piotra. Czekał może godzinę, lecz służący nie nadchodził.

Dlaczego nie dotrzymał słowa? Co mu przeszkadzało na czas się stawić?

Sinobrody nie mógł tego pojąć. Zbliżył się nad brzeg jeziora, lecz na powierzchni tegoż ani jednej łódki widać nie było.

Po dwugodzinnem daremnem czekaniu

wrócił wreszcie do zamku i naradzał się przez dłuższy czas z Waleryą co dalej począć.

Jeżeliby się Piotr sam nie zjawił, to nie było nadziei odnalezienia ani jego, ani Ludwika, gdyż jego w dyablim wąwozie trudno było odszukać.

— Czekajmy jeszcze do jutra wieczora! — zadecydował wreszcie Sinobrody. — Jeżeli się do tego czasu nie zjawi, to będzie dowodem, że mu się coś stało. W tym razie wybrałbym się do dyabelskiego wąwozu, aby przynajmniej tego łotra Ludwika odszukać.

CLXXII.

NA ZAMKU WILDENFELS.

W dzień po wizycie hrabiego Sinobrodego, który tam służącego swego szukał, panował na zamku Wildenfels żywy ruch.

Był to uroczysty wjazd hrabiego Heralda, prawowitego pana zamku z obiema nieszczęśliwemi żonami Sinobrodego Gertrudą i Józefą.

W orszaku jego był też Aleksander z farmerem i Greifem.

Po długich rozprawach uznał wreszcie sąd prawa hrabiego Haralda i od dnia tego Sinobrody nie był więcej uważany za hrabiego Wildenfels. Miano go nadto za zmarłego i dlatego uważały władze sprawę za skończoną.

Tylko Greif, który dostał od Wintera wiadomość o spotkaniu hrabiego Sinobrodego, wierzył w nią i postanowił nieznacznie w okolicy się za nim oglądać.

Guenter donosił mu z swej strony, że ma nadzieję przyłapania Betliny, której ślad odnalazł.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

W obszernej sali zamkowej zebrało się całe towarzystwo. Był tam też stary kasztelan wraz z gospodynią Krystyną i rybakiem Detlewem, który hrabiego Heralda nie opuszczał. Mówiono o Sinobrodym.

— Trzeba go przyłapać — radził Aleksander.

— Zdaje mi się nawet, że on tu wczoraj był w zamku! — wtrącił kasztelan. — Znikł jednak również prędko jak się ukazał, tak że nie jestem pewny czy to była rzeczywistość, czy przywidzenie.

Wiadomość ta wywarła na wszystkich wielkie wrażenie.

— Trzeba przeszukać zamek — radził Greif — możliwe, że się Sinobrody tu gdzieś ukrył.

Przeszukano cały zamek lecz daremnie. Ani śladu Sinobrodego.

Dzień się miał ku końcowi, trzeba było innej rady.

— Może go znajdziemy w zamku myśliwskim u hrabiny Waleryi — rzekł Greif.

— Trudno napadać na zamek księcia — sprzeciwiał się Aleksander — trzeba mieć wpierw pewność, że się hrabia Sinobrody tam ukrywa.

— Ma pan zupełne prawo uwięzić zbrodniarza nawet na zamku księcia — rzekł stary hrabia.

— Naturalnie — odparł Greif — tylko, że ja mam inne wątpliwości. Otwartem wystąpieniem, nie dojdziemy do celu, bo Walerya wczas ukryje swego brata. Następnie gotowa mnie oskarżyć przed księciem i mogę mieć koniec Wintera, t. j. wydalenie ze służby. Bo to jest pewne, że ona się wyprze przed księciem wszelkich stosunków z Sinobrodym.

Wszyscy obecni przychylili się do zdania Greifa.

— Przystąpmy niezwłocznie do dzieła — rzekł Aleksander. — W dzień trudniej będzie.

— Słusznie — wtrącił Greif — zabierajmy się w drogę.

Aleksander i farmer mieli go odprowadzić. Rybak Detlew także nie chciał pozostać.

Prędko osiodłano konie i czterej przyjaciele wyruszyli. Mieli dość długą drogę do zamku myśliwskiego. Jeszcze wśród ostatnich blasków konającego dnia jechali przez step, a noc zapadła, gdy przybyli do lasu. Pędzili prawie przez cztery godziny, księżyc oświecał im drogę, wreszcie ukazały się im białe mury i wieżyce zamku myśliwskiego.

Jeźdzcy zatrzymali spiesznie konie i spoglądali na zamek, pogrążony w głębokim spokoju. Prawie wszystkie okna były w ciemnościach pogrążone, tylko jeden róg był oświetlony. Tam znajdowały się komnaty Waleryi.

Powoli okrążyli przyjaciele o ile mogli zamek. Dotarli do tylnej strony ogrodu. Tutaj zsiędli z koni i ukryli ich w zaroślach. W murze spostrzegli furtkę i zastali ją otwartą.

— Ta okoliczność wprawiła ich w zdumienie. Nie wiedzieli bowiem, że bramę zostawiono otwartą dla Piotra którego Walerya i Sinobrody tej nocy oczekiwali. Po krótkim namyśle pchnął Greif furtkę i przedostał się do ogrodu. Aleksander poszedł za nim, podczas gdy farmer i Detlew pozostali w tyle.

— Może nam się uda niespostrzeżenie do-

trzeć do zamku i wczołgać się do niego— szepnął Greif swemu towarzyszowi.

Z nadzwyczajną ostrożnością posuwali się wzdłuż krętych dróg ogrodu. Nagle zatrzymał się Greif i bez szmeru cofnął się w cień zarośli, ciągnąc za sobą Aleksandra.

— Patrz pan — szepnął mu — tam stoi jakiś mężczyzna.

Wskazał na wielkie drzewo, o którego pień opierała się jakaś postać, której kontury były ledwo widoczne, bo tam panowała mimo światła księżyca, ciemność.

Postać owa pozostawała bez ruchu, widocznie że ich nie spostrzegła.

— Zdaje się, że to jakiś sługa pałacowy— zauważył Aleksander — ale cóż ten człowiek o tak późnej porze w ogrodzie robi?

— To zapewne nie jest sługa — odparł Greif, patrząc na tę postać — cóżby który z nich o północy tutaj robił? Pójdźmy bliżej.

W tej chwili odezwały się kroki w oddali. Obaj przyjaciele pozostali w zaroślach i nadsłuchiwali.

Także opierająca się o drzewo postać usłyszała kroki, bo wystąpił naprzód i czekała na zbliżającego się.

Ten przychodził od furty, ze strony lasu. Wkrótce wyłonił się z ciemności. Greif myślał początkowo że to może być farmer lub Detlew, przekonał się jednak po chwili, że to jakiś obcy. Człowiek ów wyglądał jak bandyta. Z całej twarzy widoczną była tylko rozburzona broda. Miękki, szeroki kapelusz o szerokich kresach zasunął głęboko na czoło,, tak że zakrywał zupełnie jego rysy, szeroki płaszcz okrywał resztę postaci.

Kto mogła być owa tajemnicza postać? I kto mógł być ten drugi, oczekujący tutaj widocznie obcego.

Greif i Aleksander porozumieli się, by ich dokładnie obserwować. Teraz stali naprzeciw siebie, a obcy niedowierzająco zapytał półgłosem:

— Wy to jesteście, mój panie?

Na to drugi zdjął maskę z twarzy i rzekł z wyrzutem:

— Dlaczegoż na Boga nie przybyłeś wczorajszej nocy.

— Nie mogłem panie, on leżał w gorączce. Nie chciałem go przeto samego zostawić?

— Ach, co tam, nie byłby przecież zginął — odburknął drugi — sądziliśmy, że cię coś spotkało.

— O nie, czy wszystko w porządku panie! Mogę wejść do pałacu?

— Naturalnie, wszak księcia tu nie ma, wejdź, proszę.

Obydwaj odeszli raźno ku pałacowi.

Gdy zniknęli za skrętem, wystąpili Greif i Aleksander którzy słyszeli każde słowo.

— To był on — Sinobrody — zawołał oburzony Aleksander — naprzód, pobiegnijmy za nim. Dopędzimy go jeszcze.

— Tylko bez pośpiechu — odparł Greif i zatrzymał młodego mężczyznę. — Moglibyśmy tylko zepsuć całą sprawę. Wie pan kto był ten drugi?

— Ten bandyta nie, nie znam go wcale.

A przecież zna go pan dobrze, to był Piotr sługa Sinobrodego, który grał przedtem rolę garderobiany u tej fałszywej hrabiny Gertrudy.

— Ach, ten łotr — zawołał Aleksander — czy się pan przypadkiem nie pomylił?

— Broń Boże, poznałem go po głosie. Mamy więc razem i sługę i pana. Spodziewam się, że ich obu schwytamy — rzekł Greif.

— Nie powinniśmy im byli dać się wymknąć, tylko ująć obydwu hultai — odparł Aleksander — teraz nie tak prędko ich zobaczymy.

— A przecież, zaczekajmy tutaj, byłoby niemądrze atakować ich obu, bo są dobrze uzbrojeni, jak uważałem. Walka z tymi dwoma przeciwnikami nie jest ciuciubabką mój przyjacielu. Moglibyśmy łatwo uledz, tem bardziej, że nasz towarzysz nie jest niestety na miejscu.

— Cóż poczniemy teraz — zapytał Aleksander.

— Oglądniemy sobie tymczasem miejscowość — odparł Greif. — Jestem przekonany, że Piotr nie długo pozostanie w zamku. W każdym razie wróci tą samą drogą. Wtedy zobaczymy, co można uczynić.

— Skąd się ale ten hultaj zjawił?

— Prawdopodobnie ma gdzieś w tej okolicy kryjówkę. Mieszka prawdopodobnie z towarzyszem, który jest rzekomo chory. Ze słów Piotra wnioskuję to przynajmniej.

Po tych słowach ruszył naprzód a Aleksander postępował za nim. Poszli najpierw do furtki, gdzie zastali farmera.

— Widzieliście go? — zawołał tenże.

— Rzeczywiście! Ma pan na myśli służącego Sinobrodego, prawda? — odparł Greif.

— Czy to on, był tego nie wiem. W każdym razie ten człowiek wyglądał jak rabuś.

— Skąd on nadszedł? — pytał Greif.

— Od strony jeziora, przypłynął on łodzią. Detlew spostrzegł go przypadkowo przy-

bijającego do brzegu. Łódź leży niedaleko w szuwarze.

— Dobrze — Greif kiwnął zadowolony głową — mamy go z pewnością. Nie może nam umknąć. On powróci do swej nory czółnem, my zaś możemy go albo tu schwytać, albo podążyć za nim do jego kryjówki, to znaczy w tym wypadku jeżeli będziemy mieli czółno. Poszukajmy w ogrodzie, tam je z pewnością znajdziemy.

Zostawił przy tych słowach farmera przy furtce. Detlew dozorował czółno, a Greif z Aleksandrem podążyli znowu do ogrodu. Przeszukali brzeg jeziora i natrafili wkrótce na łazienki połączone krótkim mostem z lądem. Niedaleko zaś stała szopa wbudowana w jezioro, której drzwi atoli były zamknięte.

— Tu są bezwątpienia czółna schowane — powiedział Greif i próbował drzwi otworzyć, a gdy mu się to nieudało zawrócił.

Pośpieszył z Aleksandrem do lasu, a mianowicie do miejsca na brzegu jeziora, gdzie leżało czółno. Obaj przyjaciele wsiedli doń z Detlewem wiosłując wzdłuż ogrodu i dotarli do wspomnianej szopy. Okazało się, że Greif miał słuszność twierdząc, że dostęp do jeziora jest wolny.

Wjechano do środka i przy blasku księżyca spostrzegli dwa czółna, z których jedno większe było żaglowe, drugie zaś zwykłe. Oba czółna były przymocowane łańcuchem i po chwili udało się im oderwać mniejsze czółno. Przy pomocy tegoż wracano na dawne miejsce Piotra czółno sprowadzono do miejsca ukrycia, łódź zaś zabraną umieszczono niedaleko w szuwarze.

W ten sposób był umożliwionym pościg za Piotrem i drogą wodną. Greif uważał za słuszne pozwolić Piotrowi spokojnie wrócić i potajemnie go ścigać. W tym wypadku ani Walerya ani Sinobrody nie mogliby przypuszczać co się stało z ich towarzyszem. Możnaby schwytać chorego sprzymierzeńca zbrodniarzy, ale co on był za jeden, o tem ani Greif, ani jego towarzysze nie mieli pojęcia.

Powrócili zatem na swe stanowisko obserwacyjne, a Greif i Aleksander pozostali w ogrodzie by oczekiwać powrotu Piotra. Noc atoli minęła, a on się nie ukazywał.

Tymczasem Piotr udał się nie przeczuwając niczego ze swym panem do pałacu. Sinobrody prowadził go opuszczonemi drożynami ku komnatom Waleryi, która obu niecierpliwie oczekiwała. Była sama, bo garderobianę, której słusznie nie dowierzała, uwolniła i na spoczynek posłała. Walerya czyniła tymczasem wszelkie wysiłki, by odszukać list Ludwika i metrykę ślubu, ale nadaremnie.

Garderobiana nie dała się nakłonić do żadnego zeznania i Walerya wątpiła, jakoby Fryda papiery posiadała. Wzmianka zaś, że Ludwik żyje, ożywiła w Waleryi nadzieję. Wszak Ludwik musiał wiedzieć co się z jego papierami stało, on też powinien jej wydać takowe.

Była więc mocno rozczarowaną, że Piotr nie dotrzymał słowa i nie przybył poprzedniej nocy. Teraz wreszcie gdy przybył, obrzuciła go w gwałtowny sposób gradem wyrzutów i pytań. Piotr powtórzył jej wszystko co swemu panu opowiedział.

Walerya była zatem zadowoloną. Wszak Ludwik nie mógł się jej już wymknąć. Z chwilą dopiero gdy wyda jej papiery, wywrze na nim zemstę. On musi zginąć, musi — ona to postanowiła.

— Czy on już wie, żeście go zdradzili przed nami — zapytała Piotra.

— Nie, nie mówiłem mu jeszcze niczego.

— Dobrze, on też nie powinien o tem wiedzieć.

— Niechciałbyś może osobiście z nim porozmawiać — zwrócił się do niej z zapytaniem Sinobrody.

— Zapewne, o ile tylko jest wstanie odpowiadać na moje pytania.

— W takim razie możesz tego hultaja zaraz jutro wziąć na spytki.

— Jeżeli to możliwe, to uczyniłabym to, im prędzej tem chętniej — odparła Walerya — Piotr powiada jednakowoż, że leży w gorączce, nie wiem więc czy będzie mógł rozmawiać.

— O tak źle już nie jest — oświadczył Piotr — on przyszedł dzisiaj do siebie. Jeżeli pani chce się zemną udać, to nic nie stoi na przeszkodzie.

Walerya namyślała się chwilę.

— Dziś już nie — odrzekła — pozostańcie do jutra rana tutaj w pałacu, pojadę z wami do pieczary.

Piotr przystał na to. Pozostał przez noc w pałacu, a mianowicie w jednym pokoju z Sinobrodym, który mu opowiadał swoje ostatnie wypadki z Betliną, nawet tego, że zamordował wuja Gertrudy nie przemilczał Sinobrody, przed swym godnym służącym.

Piotr radził mu, by przecież Betlinę wyszukał i łup jej odebrał. Obaj naradzali się jeszcze długo nad tem, wreszcie zadecydował Sinobrody:

— Gdy sprawa z tym łajdakiem Ludwikiem Hechtem będzie w porządku, wybierzemy się obaj w drogę i wykryjemy tę chytrą

gadzinę, która mnie w tak podły sposób oszukała. Spodziewam się, że ją znajdziemy w jej ojczyźnie. Musi mi ona oddać wszystko co od tego Rosyanina wykręciła a potem swą obłudę życiem przepłacić. A jeżeli uda się nam, staremu hrabiemu odebrać skarby, to mamy poddostatkiem do życia i możemy się stąd ulotnić. Wtedy stoi nam cały świat otworem, możemy się osiedlić gdzie zechcemy.

Piotr zgadzał się na wszystkie plany swego pana, nie chciał on się rozłączyć z Sinobrodym, bo pragnął zebrać plony za swe usługi.

Wczesnym rankiem opuścili obaj pałac i niespostrzeżeni przez służbę, udali się do ogrodu, gdzie czekali na Waleryę.

Ta musiała się przedewszystkiem zabezpieczyć przed pokojówką. Fryda stawała jej się coraz niewygodniejszą, a mimo tego nie mogła jej wypuścić z pod swojej władzy, by jej nie zdradziła. Musiała ona zapobiedz temu, by się Fryda nie dowiedziała o jej dzisiejszem przedsięwzięciu, gdyż nie powinna ona się dowiedzieć, że Ludwik był przy życiu.

Po śniadaniu oświadczyła Walerya, że udaje się do ogrodu. Pokojówka niech zostanie w domu i wogóle niech nikt za nią nie idzie. Te zarządzenia wzbudziły naturalnie podejrzenia u Frydy, która też poczęła swą panią śledzić, by się o jej zamiarach dowiedzieć.

Walerya udała się tymczasem do szopy w której się łodzie mieściły, a którą Sinobrody tymczasem otworzył. Pomógł on Waleryi wsiąść na żaglówkę i ruszono najpierw do miejsca, gdzie Piotr swą łódź ukrył. Znaleziono ją tamże i przywiązano do żaglowca, następnie Sinobrody zajął miejsce przy sterze.

Powoli sunął żaglowiec holując łódkę na pełną wodę. O zniknięciu zaś mniejszej łódki z szopy nie mieli pojęcia, wszak nie wiedzieli, czy prócz żaglowca były inne łodzie. Także o swoich przeciwnikach nic nie wiedzieli, bo ci siedzieli w ukryciu, wszystko dokładnie obserwując.

Gdy żaglowiec oddalił się dostatecznie od lądu, wystąpił Greif ze swym towarzyszem. Ścigali wzrokiem oddalających się i widzieli dobrze, dokąd się ci udają. Dążyli oni do kryjówki Piotra, było więc zadaniem naszych przyjaciół odnaleźć takową.

Mimo to było niemożliwą rzeczą ścigać Waleryę i jej towarzyszy drogą wodną. Możliwem by było tylko w nocy, ale teraz w jasny dzień nie mogli się ukazać nie narażając się na niebezpieczeństwo zostać spostrzeżonymi przez to godne towarzystwo.

Aleksander był bezradny i rozczarowany. Widział oddalającą się trójkę, której nie mógł ścigać. Byłby Greif usłuchał jego planu, pochwyciłby Sinobrodego z Piotrem jeszcze przed ukazaniem się Waleryi.

— Widzę już, że nie dostaniemy tych łotrów w ręce! — powiedział zły. — Teraz ich nawet ścigać nie możemy i nie odnajdziemy nawet kryjówki tego hultaja Piotra.

— Uspokój się, kochany przyjacielu! — odparł Greif. — Nie tracimy nic na tem, że na razie tutaj bezczynnie czekamy. Nie spuszczajmy tylko łodzi z oka, jestem niezmiernie ciekaw, gdzie ci ludzie wylądują.

Mówiąc to, skierował mały teleskop w kierunku żeglujących i z naprężoną uwagą śledził kierunek, w którym płynęli. Wszyscy zaś stali ukryci za drzewami, niewidoczni dla żeglujących jadących dość szybko przy pomyślnym wietrze. Coraz dalej płynęła łódź po szumiących falach jeziora i coraz więcej zbliżała się do przeciwnego brzegu.

— Zdążają do dyabelskiego wąwozu — wyrzekł nagle Detlew. — Byłem o tem wprost przekonany, tam bowiem jest podostatkiem kryjówek dla takich łotrów jak Piotr.

— Zna pan bliżej tę okolicę? — zapytał Greif młodego rybaka.

— Co to, to nie, panie komisarzu. Byłem tam raz wszystkiego w dyabelskim wąwozie. Niebardzo tam bezpiecznie. Jest to kryjówka niebezpiecznej hołoty.

— A czy nie możnaby tam dotrzeć drogą lądową — pytał dalej Greif.

— I owszem! Ale to bardzo trudno. Parów ten bowiem jest wysokiemi stromemi skałami od reszty świata odcięty, a tylko kilka bardzo trudnych przechodów prowadzi do tego miejsca.

— Hm! A jak długo to by trwało, abyśmy chcieli się dostać do tej jaskini?

— Pięć do sześć godzin zapewne! — oświadczył Detlew.

— W takim razie wolimy tu zaczekać! — powiedział Greif. — Na każdy sposób dostalibyśmy się tam za późno.

Po chwili łódź dotarła do upragnionego brzegu. Obserwowano jak ta zacna trójka wysiadła i po chwili w manowcach parowu zniknęła.

— Naprzód! pojedziemy tam! — zawołał Aleksander nie mogąc pohamować swej niecierpliwości.

— Powoli! Powoli — odparł Greif pełen spokoju, patrząc wciąż przez lunetę. Niechaj tylko Sinobrody i Walerya znowu powrócą.

— Czy sądzi pan tylko, że oboje wrócą?

— zapytał wątpliwym tonem Aleksander.

— Naturalnie! Wszak Walerya nie jest w stanie kierować sama żaglówką. Z chwilą kiedy dostaną się do pałacu, powiosłujemy naszą łodzią.

Czekano zatem dość długi czas, ale gdy przypuszczenia Greifa się nie sprawdziły, parli wszyscy do pochodu. Detlew był zdania, że można płynąć wzdłuż brzegów, nie będąc tak łatwo widzianym.

Greif uległ wreszcie, albowiem i jemu czas stawał się zbyt długim a nieukazywanie się Waleryi i Sinobrodego dość podejrzanym. Może oni dalej poszli, a kryjówka nie była nawet w dyabelskim wąwozie.

Ponieważ nie można było koni zostawiać bez nadzoru, a także ktoś musiał dawać baczenie na zajścia w pałacu, postanowiono ten urząd powierzyć farmerowi.

Greif z Aleksandrem wsiedli do czółna, a Detlew począł wiosłować. Szybko mknęła łódź popychana silnemi ramionami młodego rybaka wzdłuż brzegów.

Już po krótkim czasie przybyli do ponurego matecznika wśród skał. Wkrótce spostrzegli wchód do dyablego wąwozu, który w ciemnej cieśni zawarty, był podobny do dziury otworu tunelowego.

Z uczuciem zgrozy i podziwu patrzali nasi przyjaciele w ponury otwór parowu, z którego dochodził szum wody, huczącej ze skał.

Zaraz przy otworze był przywiązany żaglowiec. Detektyw zgrabnie skierował łódź w miejsce, gdzie skały i zarośla tworzyły dogodne miejsce do wylądowania.

Tutaj wysiedli nasi przyjaciele i wciągnęli łódź w zarośla.

— Nie zapomnijcie tylko wziąść rewolwerów do ręki! — napominał Greif, podczas gdy wchodzili ostrożnie do parowu.

Czy było mu przeznaczonem znaleźć kryjówkę Piotra i tam Waleryę z Sinobrodym zaskoczyć?

CLXXIII.

OSTATNIA NOC.

W pustej celi więziennej skonało światło dzienne, a ciemne skrzydła nocy skłoniły się ponad niemiłym pokojem. Nagie, szare, brudne ściany wyglądały jak mury grobowca, a trupi zapach zdawał się panować w celi.

Głęboki spokój! Bez ruchu przed barłogiem pod ścianą klęczy ciemna postać niewieścia, ręce w ciężkich dzwoniących kajdanach. Złożone do modlitwy ma ręce, a twarz zwrócona do tego okienka zakratowanego w górze ściany, przez które widać kawałek pogodnego nieba nocnego — tak walczy nieszczęśliwa w duszy z zgrozą śmierci, która już po nią ręce wyciąga.

To Agata, którą odnajdujemy w więzieniu, na śmierć skazaną.

— O Ojcze niebieski, zlituj się nademną! — błagała w modlitwie, podczas, gdy gęste łzy spływają jej po twarzy. — Ratuj mnie, jak mnie niegdyś wyratowałeś przez rękę mego męża. Nie daj mi niewinnie ze wstydem i hańbą zginąć.

Nie wie jeszcze, że godzina śmierci jest jej już naznaczoną, ale nie spodziewa się ona łaski, nie spodziewa się sprawiedliwości od ludzi. Tylko jej mąż jest jej ostatnią jedyną nadzieją. Wiedziała ona, że on wszystko uczyni, by i tym razem straszny los od niej odwrócić. Tylko czy uda mu się to?

Ponure zwątpienie toczy walkę w jej duszy z chwiejną nadzieją. Ale bacz! — Z korytarzyka słychać głos kroków. Drzwi jej celi otwierają się z trzaskiem. Kto do niej zawitał?

Podnosi się i wpija wzrok na wchodzącego.

Klucznik więzienny z jasno płonącą latarnią się ukazał. Obok niego stoi prokurator w towarzystwie protokulanta i dyrektora więziennego.

Lodowy mróz i straszna obawa ścinają nieszczęśliwej ciało. Ona przeczuwa co to znaczy. Przed jej oczyma duszy powraca obraz jaki przeżyła przed rokiem w tem samem miejscu. — Ogłasza się jej wyrok śmierci.

Prokurator bierze plik aktów z ręki protokulanta, otwiera go i uroczystym głosem oznajmia:

— Agato, hrabino Linderhof, jego wysokość, książę, potwierdził ponownie wyrok śmierci wydany na cię przed rokiem za zamordowanie twego pierwszego małżonka, barona Rambow i egzekucya tego wyroku nastąpi jutro o godzinie pół do szóstej nad ranem.

Cisza — niepokojąca cisza. Skazana nie jest w stanie słowa wypowiedzieć, żadnego ruchu uczynić. Rozpacz zamieniła ją jakby w posąg.

Prokurator zamyka akta i zwraca się jeszcze raz do nieszczęśliwej z zimnym tonem.

— Jeżeli pani ma jeszcze jakie życzenie, to proszę nam oznajmić. Kapłan przyjdzie tej nocy i udzieli ci ostatniego pomazania.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wtem, gdy się do wyjścia obrócił, ozwał się przeraźliwy, serce rozdzierający okrzyk przez ponurą

komnatę, który jakby kurcz chwycił wszystkich za serce.

— Miłościwy Boże! Mam więc po raz drugi być straconą — niewinnie zginąć? — wypada jak w gorączce z ust Agaty. — Sprawiedliwości! — Żądam sprawiedliwości! — wołała w świętem oburzeniu. — A przecież jest dowód że nie jestem morderczynią!

— Mnie tego dowodu dotychczas nie dostarczono — odparł złośliwie prokurator. — Wierzyłem dotychczas, że pani mąż, hrabia udzieli mi jakichś dowodów, popierających jego dawne zapewnienia o waszej niewinności. To się nie stało. Przekonywującą okoliczność, że jesteś pani winną.

Agata zamilkła po tych twardych słowach i w najwyższej rozpaczy łamała ręce.

—Powtarzam i wzywam wszechmogącego Boga na świadka, że jestem niewinną! — wyrwało jej się z ust. — A jeżeli mam zginąć, niechaj ma krew niewinna spadnie na tą, która winna całemu nieszczęściu i na niesumiennych sędziów, którzy nawet mnie nie wysłuchawszy skazują.

Prokurator ruszył ręką.

Pytam po raz wtóry, czy ma pani jeszcze jakie życzenie, które można spełnić? — powiedział on lodowato.

— Chciałabym tylko widzieć moje dziecko i męża i pożegnać oboje! — wyłkała Agata z bólem.

— To jest niestety niemożliwe! — odparł prokurator miększym tonem. Pani mąż uciekł, a my nie znamy miejsca jego pobytu i wątpimy czy dobrowolnie sie stawi.

— O Boże — a moje dziecko? — łkała Agata.

— Gdzie się maluczki syn pani znajduje obecnie, nie wiemy. Ale może nam w tem policya będzie pomocną, zarządzę natychmiast co potrzeba i jeżeli policya zna miejsce pobytu paninego dziecka, przyniesie je do pani natychmiast. Ma pani jeszcze jakie życzenie?

— Nie! Nic więcej — jęczała nieszczęśliwa i padła jak złamana przed łoże.

Prokurator skinął na towarzyszy i opuścił celę z nimi. Skazana pozostała samotna — samotna w tej przykrej ciemności, a z nią tylko obawa, rozpacz i ból.

Znowu zapanowała grobowa cisza w celi. Omdlała Agata leżała bez ruchu na posadzce.

Długi czas upłynął. Nikt do niej nie przychodził, Północ się zbliżała, gdy nieszczęśliwa odzyskała przytomność. Otrząsła się, lecz zaraz opadła jak febrą trzęsiona na łoże.

Nagle zabrzmiały głosy kroków. Agata podniosła się i nadsłuchiwała.

Kto przybywał do niej? Była to pomoc do niej się zbliżająca, czy ksiądz mający ją na śmierć przygotować?.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Tego samego wieczora siedział hrabia Edmund w pałacu swym w pracowni. Policya opuściła jego dom, zda się z tego powodu, że sądzono, iż uciekł za granicę.

Podrażniony oczekiwał zjawienia się swych przyjaciół — wszak tej nocy — ostatniej dla Agaty, miano urzeczywistnić plan jej uwolnienia.

Czy ten się uda? Hrabia Edmund spodziewał się z pewnością. Wszystko było troskliwie przygotowane, a na Wintera i doktora Kloca mógł liczyć, ale jak na jego niecierpliwość, bawili oni dość długo.

Wreszcie ukazał się stary Michał, a tuż za nim gorąco oczekiwani.

— Chwała Bogu! Otóż jesteście, kochani przyjaciele! — zawołał uradowany hrabia Edmund i ścisnął im ręce. Czy wszystko w pogotowiu? Możemy się zabrać do dzieła?

— Tak! — rzekł Winter, tylko to nieco za wcześnie panie hrabio. Musimy zaczekać do północy. To najlepszy czas dla nas i możemy się spodziewać, że o tym czasie wszystko w więzieniu śpi.

— Dobrze. Mielibyśmy w takim razie dwie godziny czasu! — odparł hrabia spoglądając na zegarek. — Omówmy tylko jeszcze raz wszystko, by każdy wiedział co mu czynić należy. Uwolnimy zatem najpierw moją małżonkę, a potem jej matkę.

— Zaproponowałbym rozdziału naszego planu — zauważył doktór Kloc. Moglibyśmy obie naraz uwolnić, jeżeli się osobno do celi hrabiny i jej matki udamy.

— Lecz gdyby część z nas została zaskoczoną, jesteśmy wszyscy zgubieni — odparł hrabia Edmund. — W razie zaś gdy się będziemy razem trzymali, to mamy przynajmniej widoki w najgorszym razie przebić się przemocą. A dla matki mej małżonki nie ma tak poważnego niebezpieczeństwa, bo o egzekucyi jej wyroku śmierci nie ma jeszcze nic pewnego Nie uda się dzisiaj jej uwolnienie, to możemy próbę powtórzyć później.

—To prawie niemożliwe — powiada Winter po namyśle. — Matka pańskiej żony jest w każdym wypadku zgubioną, jeżeli jej dzisiaj nie uwolnimy.

— W takim razie musimy działać według planu naszego przyjaciela — wtrącił hrabia Edmund. — A zostaniemy zaskoczeni, to je-

stem co do mej osoby na wszystko gotów, albo z moją małżonką, albo wcale więzienia nie opuszczę.

— To jest i naszem niezłomnem postanowieniem — powiedział Winter. — Jesteśmy wszyscy dobrze uzbrojeni i nie zawahamy się użyć naszej broni, jeżeli będzie potrzeba.

Trzej mężczyźni uścisnęli sobie jeszcze raz silnie ręce jak do świętego przymierza. Omawiali jeszcze szczegółowo plan i opuścili w ciemne płaszcze otuleni, z osobna i ostrożnie pałac. Mieli się zebrać na umówionem miejscu.

Było krótko przed północą, gdy się wszyscy w ciemnej uliczce za więzieniem spotkali. Hrabia Edmund i Kloc byli pierwsi na miejscu Wkrótce przybył i Winter z agentem Langhalsem który miał drzwi otworzyć.

Na rogu ulicy zjawił się stary Michał z trzema końmi dla hrabiego Edmunda, Agaty i jej matki.

Inni mieli zabrać konie po wszystkiemu z pałacu, zaś jako cel tymczasowej ucieczki był zamek w lesie przeznaczony.

Najtrudniejszem było niepostrzeżenie wtargnąć do więzienia, bo wszystkie drzwi były obsadzone posterunkami wojskowemi. Nie można zatem było użyć żadnych drzwi, tylko inną jakąś drogę.

Przy tej ulicy zamkniętej z jednej strony parkanem, z drugiej murem więziennym, znajdowała się kostnica więzienna. Jedno okno prowadziło na ulicę i tem właśnie oknem wyciągnięto poprzednio uwolnioną od stracenia Agatę. Teraz postanowili tem oknem wtargnąć do więzienia.

Wszystko było dokładnie przygotowane. Wewnątrz w tem okropnem miejscu gdzie składano ciała umarłych w więzieniu i straconych na szafocie oczekiwał ich ukryty Braun. Za dnia wtargnął on tam i oczekiwał przyjaciół.

Winter podszedł pod okno i rzucił tam kamieniem. Zaraz potem zostało ono otworzone i Braun się w niem ukazał.

—To my! — zawołał ku niemu Winter. — Czy wszystko bezpieczne?

— Tak! — odpowiedział Braun i zniknął.

Ale w następnej chwili wyłonił się i spuścił krótka drabinkę. Winter wszedł najpierw przez okno a za nim inni. Poczem wciągnięto znowu drabinkę i zamknięto okno, by jaki przechodzień przypadkowo nie powziął podejrzenia.

Braun zapalił ślepą latarkę i przy jej świetle Langhals otworzył drzwi bez trudu. Nie wiedział on jeszcze ciągle o co właściwie chodzi w tej nocnej wyprawie. Hrabia Edmund otulił się w płaszcz tak, że złodziej nie mógł go poznać.

Weszli teraz w wąskie, murami więziennymi okolone podwórze. Jedne drzwi prowadziły do drugiego podwórza a stąd dopiero można się było dostać do więzienia.

Langhals otworzył teraz i drugie drzwi bez trudności. Braun wtargnął naprzód i kiwnął po chwili na innych by za nimi poszli. Podwórze, w które teraz weszli, było zupełnie puste i ciemne. Żaden posterunek nie był tu ustawiony. Jedno skrzydło więzienia dotykało podwórza i jedne drzwi prowadziły stąd do budynku.

Gdy i te otwarto, dotarli dzielni mężowie do długiego, sklepionego kurytarza, oświetlonego matowo kilkoma nikłymi płomykami. Na końcu tegoż weszli do innego budynku i weszli na same schody. Na drugiem piętrze zatrzymali się, aż dotąd doszli niespostrzeżeni. W całym domu panował spokój, tylko zewnątrz na wielkim podwórzu odzywały się miarowe kroki szyldwacha.

— Tu musimy się rozłączyć — szepnął Winter hrabiemu. — Uważam to za lepsze, jeżeli się pan udasz z Braunem do celi matki pańskiej małżonki i zaczekasz na mnie, panie hrabio! Nie mogę tego łajdaka na chwilę opuścić — rzekł rzuciwszy okiem na Langhalsa. — Mógłby nam uciec. — Widzę, że jest w największym strachu i już mu żal, że się z nami związał.

— Ależ bez tego człowieka nie mogę drzwi otworzyć — odparł hrabia Edmund.

— Braun pójdzie z panem, panie hrabio — odparł Winter. — On ma także wytrychy i inne przybory. — Może się wam uda tymczaem otworzyć celę. — Jak tylko uwolnimy pańską małżonkę, pójdę z tym złodziejem za panem.

— A dlaczego pan sobie życzy bym nie był przy uwolnieniu mej żony?

— Bo w takim razie dłużej się musimy zatrzymać panie hrabio! Proszę pana! Zastosuj się pan do mego życzenia — upominał Winter. — Tak będzie najlepiej.

Nie wypowiedział on jednak swych prawdziwych myśli. Uwolnienie Agaty było najtrudniejszą częścią planu, bo w pobliżu jej celi był wartownik. Winter nie chciał Edmunda przyprawić o niebezpieczeństwo uwięzienia w razie nieudania się. Nie powinien był jednak objawiać obawy, bo wtedy dopiero hrabia nie byłby się zastosował do jego życzenia.

Tak przynajmniej nie miał żadnych wyrzutów. Oddalił się więc z Braunem, podczas gdy tamci udali się do celi Agaty.

Z największą ostrożnością musieli dalej kroczyć. Winter uchwycił drżącego na całem

ciele łajdaka za ramię i ciągnął go za sobą. Doktór Kloc szedł naprzód, mając pod płaszczem ukrytą ślepą latarkę, bo w ciemnych kurytarzach nie można się było bez światła poruszać.

Zakręcili wreszcie w odosobniony kurytarz, w którego środku prawie znajdowała się cela Agaty. Cichymi krokami zbliżano się do niej. Teraz zatrzymała się nasza trójka przed drzwiami i doktór Kloc wyciągnął swoją latarkę i oświecił nią cały kurytarz.

— Wszystko w spokoju— szepnął do Wintera. — Pospieszmy z robotą.

Detektyw zbliżył się do drzwi i przyłożył do nich ucho. Nie słyszał ani szmeru.

— Zdaje się, że niema przy niej jeszcze nikogo — powiedział uspokojony. — Dalej więc przyjacielu Langhals, — rozkazał agent. — Teraz okaż swą zręczność. Otwórz te drzwi.

— O zdaje mi się panie komisarzu, że pan chce jakiegoś więźnia uwolnić — odparł złodziej drżący.

— Słusznie to powiedziałeś — odrzekł Winter drwiąco. — Ale teraz raźno. — Jakiś ty straszny tchórz, Langhals. — Nie namyślaj się długo!

— Ach, panie komisarzu, gdybyś pan był to prędzej powiedział...

— Tam do kata! — mruknął Winter i popchnął drżącego ze strachu złodzieja ku drzwiom. Zostaw te lamentacye i do dzieła. — Gdy nas tu zaskoczą, jesteśmy razem z tobą zgubieni. — Przecież cofnąć się już nie możesz!

Jęcząc i stękając poddał się konieczności. Ale jego ręce drżały tak gwałtownie, że ledwo mógł kierować narzędzia. Winter zaś pełen złości klął i bezstał go z cicha.

— Łajdaku! Gdy się sprawa nie powiedzie, to winę będzie ponosić twoje tchórzostwo. Ale ty to odpłacisz. — Zapakuję cię do więzienia — bez litości, gdy nie nabierzesz rozumu.

Nareszcie po kilku minutach pełnych milczącego oczekiwania udało się złodziejowi otworzyć silne zamki. Drzwi się rozwarły, a Winter wpadł szybko do celi.

— Kto to? — zabrzmiał bolesny głos Agaty i podniosła się w tej chwili z łoża.

—Wasi zbawcy hrabino — odparł Winter i stał już przy niej. — Idź z nami. — Wyprowadzimy cię bezpiecznie z tych murów.

— Winter? — Wielki Boże! — wypadło z przestraszonych ust Agaty i jak we śnie błądziła oczyma po stojącym. Mamże oczom wierzyć? I pan odważa się mnie uwolnić?

— Nie sam — powiedział Winter, dając znak Langhalsowi, który się natychmiast udał do celi. — Także mąż pani jest tutaj, pani hrabino. On uwalnia jednak teraz panią matkę. Lecz nie traćmy czasu, każda chwila jest kosztowną.

— O Boże!—zawołała Agata i wyciągnęła obie obciążone kajdanami ręce w stronę detektywa. — Pan poświęcasz swe życie, wolność dla mnie? O wierny przyjacielu! W jaki sposób odwdzięczę ci się kiedyś?

— Uspokój się, pani hrabino — bronił się Winter z udanym chłodem. — Teraz należy szybko działać. Ten oto człowiek zdejmie ci kajdany. — Naprzód Langhals! Prędko!

Agata już nie pytała o nic. Nieograniczone szczęście które ją napełniło, oniemiło ją. Upadła na stołek a Winter chwycił jej ręce. Złodziej wziął swe instrumenty i począł otwierać zamki od szerokich taśm żelaznych.

Nie szło to jednak z należytą chyżością. Winter popędzał złodzieja niecierpliwymi słowy. Nareszcie upadła z brzękiem jedna branzoleta.

Wtem ukazał się doktór Kloc w drzwiach i zagrzewał do pośpiechu.

— Prędko. Słyszę szmery na dolnem piętrze! — wołał trwożliwie.

Agata wydał cichy okrzyk bojaźni.

— Na Boga, już idą! Uciekajcie już! Zostawcie mnie tutaj!

— Za nic na świecie! Odwagi! — wołał Winter.

W tej chwili kajdany opadły. Agata była z więzów uwolnioną.

— Teraz naprzód! — upominał Winter i zarzucił płaszcz swój na ramiona Agaty.

Langhals był już na kurytarzu obok doktora Kloca. Jeszcze Winter z Agatą nie wyszli z celi, gdy wtem wyrosła jak z pod ziemi postać urzędnika więziennego na kurytarzu. Był to klucznik, który miał otworzyć kapłanowi drzwi do skazanej.

Ledwo ujrzał obce postacie przed otwartemi drzwiami, pojął natychmiast co się stało. Z groźnymi ruchami rzucił się ku nim, lecz doktór Kloc poznał w tej samej chwili grożące niebezpieczeństwo.

— Dalej! Jesteśmy zdradzeni — zawołał pełen rozpaczy i zwrócił się do Wintera, który razem z Agatą opuszczał próg celi. Uciekajcie! Ratujcie hrabinę! — szepnął mu w ucho.

Jak skamieniali stanęli wszyscy. Także klucznik stanął na widok znanego sobie detektywa jak wryty. Lecz opamiętał się natychmiast i przyskoczył do grupy.

— Stój! Ani kroku z miejsca! — wołał głośno tak, iż zabrzmiało po pustych kuryta-

rzach. — Na pomoc, na pomoc! — brzmiał jego głos. — Tutaj! Pomocy!

Wtem przyszli obaj przyjaciele do przytomności. Rzucili się oboje jednym susem na klucznika i w następnej chwili ucichł jego krzyk pod żelaznym uściskiem, jakim Winter jego gardło oplótł.

— Ani pary z ust! — krzyknął klucznikowi grożąc, lub jesteś zgubionym!

Lecz człowiek ten rozpaczliwymi wysiłkami się bronił i nagle się wyrwał i znowu zabrzmiał rozpaczliwy jego głos:

Wtedy chwycił doktór Kloc krótką, żelazną sztabę, i ściągnął klucznika przez głowę.

Ten opadł natychmiast krwawiąc i ani głosu ze siebie nie wydał. Winter jak nieprzytomny na niego spoglądał.

—Czyś go pan zabił? — zapytał.

—O nie, tylko go odurzyłem! — odparł doktór Kloc. — Otrzeźwi się dość rychło. Ale teraz uciekajmy. Wyprowadź hrabinę z więzienia, przyjacielu. Pędzę ostrzedz Edmunda. Ten łotr zepsuł wszystko. Słyszy pan? Jego krzyk zaalarmował cały dom. W przeciągu dwóch minut mamy ścigających za sobą.

I wybiegł nie czekając odpowiedzi. Winter zrozumiał, że wahanie się jest zgubnem, a każda chwila kosztowna, to też porwał Agatę za ramię, opartą o drzwi, bladą ze strachu i wprost nieprzytomną.

— Prędko! Spieszmy się hrabino! — zawołał do niej i porwał pęk kluczy, które wypadły klucznikowi i porwał ze sobą Agatę. Langhals szedł za nimi i w największym pośpiechu zdążali przez pusty kurytarz.

I już wrzało w całym domu. Na górnych piętrach rozlegał się hałas. Zbiegowie podwajali szybkość. Uciekali tą samą drogą, którą przybyli.

Podczas gdy w obszernym gmachu szukano i zaalarmowano posterunki na podwórzach dotarli Winter z Agatą i Langhals szczęśliwie do kostnicy. Gdy tam stanęli, rozkazał Winter Langhalsowi oczekiwać tutaj Edmunda i innych. Ale Lankhals, który zupełnie stracił przytomność z przestrachu, nie słuchał Wintera, lecz jednym susem wyskoczył przez okno na ulicę i pędził co miał sił.

— Podłe nasienie — krzyknął Winter patrząc za nim. Ulica była jeszcze pusta. Nie chciał więc dłużej zwlekać, spuścił na zewnątrz drabinę i kazał Agacie naprzód wyjść.

— A mój mąż? — wypowiedziała żałośnie. — Czy pójdzie z nami?

— Spodziewajmy się tego hrabino. Nie zwlekajmy. Twoje ocalenie jest główną rzeczą. — Pomyśl, jaki cię los oczekuje, gdy się ucieczka nie powiedzie.

To napomnienie wyrwało Agatę z jej odurzenia. Ze zgrozą rozpatrywała straszny los, z którego rąk łupieżcych ją wyrwano. Była wolną, ale nie w bezpiecznem miejscu. Teraz sobie to przypomniała i skwapliwie popędziła ku oknu.

Winter był jej pomocnym i przy jego też pomocy zeszła po drabinie. Winter zaś pozostał w górze, nie chcąc drabiny zostawić by jej nie spostrzeżono. Dlatego też wciągnął ją napowrót, podczas gdy Agata stała na dole i w chwilę potem spuścił się sam z niewielkiej tej wysokości.

Tymczasem wzmagał się hałas w więzieniu. Lecz widocznie nie wpadli na drogę, którą się zbiegowie wydostali bo w kostnicy i graniczącym domu było całkiem spokojnie.

Drżąca ze strachu myślała Agata o mężu i innych przyjaciołach. Czy uda się im uciec? Czy też uwolnili matkę? Nie było jednak czasu na czekanie. Winter porwał ją ku rogu, gdzie stał stary Michał z końmi.

Nie byli daleko, gdy bramę więzienną otwarto a z niej wyszło kilku urzędników więziennych w uliczkę. Winter spostrzegł latarnie i przy ich blasku rozpoznał postacie. Także szyldwach, który stał dotąd na podwórzu, wyszedł na ulicę i rozglądnął się po ulicy razem z innymi.

— Idźmy tuż przy murze — szepnął Winter. — W ten sposób nie spostrzegą nas, a do końca ulicy zaledwie kilka kroków.

W rzeczywistości nie spostrzegli urzędnicy w ciemnościach idących postaci.

Ale hrabia i towarzysze mieli odwrót odcięty, bo nie mogli za Agatą i Winterem uciec oknem, by nie zostać sposrzeżonymi. Było wogóle wątpliwem, czy dotrą do kostnicy. Winter przynajmniej nie spodziewał się, by mogli uciec i dawał tylko pilny dozór na to, by Agatę sprowadzić w bezpieczne miejsce.

Nagle usłyszeli spieszne kroki za sobą. Zdaje się, że przecież wpadli na ich trop, bo kilku urzędników wypadło na ulicę a zarazem dały się słyszeć uderzenia kopyt końskich, broń zadzwoniła a hełmy i uniformy zabłyszczały w świetle latarni u wrót więziennych.

Winter spojrzał w tył i zrozumiał niebezpieczeństwo. Byli to żandarmi, którym poruczono ściganie zbiegów. Ale w tej chwili znaleźli konie, pilnowane przez starego Michała.

Wsadzili spiesznie Agatę na konia a sami także koni dosiedli. Zrozumiał też, że nie ma mowy o ucieczce, jeżeli udadzą się do oddalonego zamku leśnego. Jak poprzednio wpadłaby Agata w ręce pościgu. Wtem wpadła

mu myśl do głowy — którą natychmiast zrealizował.

— Do pałacu! — zawołał Michałowi. — Pojedź naprzód — otworzysz nam bramę.

Niebezpieczeństwo nie dozwalało pytań. Michał usłuchał i jak strzała popędził w ciemną noc, podczas gdy Agata z Winterem za nim podążyli. Aż do tej chwili nie zauważono ich, lecz uderzenia kopyt ich zdradziły.

Żandarmi pogonili za nimi. Padł strzał, który zbudził spokojnych mieszkańców ze snu. Jak grzmot rozbrzmiewały uderzenia kopyt po bruku. Z ulicy w ulicę, najkrótszą drogą pędzili zbiegowie ku zamkowi hrabiego Edmunda.

Po krótkiej chwili skręcili w opustoszałą uliczkę od strony parku. Michał wyprzedził ich zaledwie o kilka kroków i gdy przy bramie zeskoczył ze siodła, był Winter z Agatą przy nim.

— Otwórz prędko, Michale! — zawołał Winter zaniepokojony. — Pościg się zbliża! Popędźmy konie dalej! To zmyli z pewnością ścigających.

W mgnieniu oka brama była otwarta. Michał wciągnął konia Agaty do parku, podczas gdy Winter uderzył pozostałe konie, które jak piorun popędziły w dal.

Zaledwo nasza trójka do parku się dostała, i brama zamknięta została, nadbiegli żandarmi, nie zatrzymali się jednak, lecz podążyli w kierunku galopujących koni.

— Chwała Bogu! Jesteśmy uratowani — westchnęła Agata.

— Na razie tak — odparł Winter. — Lecz ścigający dopędzą wkrótce konie i potem poznają, że zostali przez nas oszukani. Przyjdą więc tutaj i zaczną nas szukać. — Michale musisz nas zaprowadzić do mauzoleum: Tam jesteśmy na każdy wypadek bezpieczni.

Staruszek poszedł naprzód i po kilku minutach stali już przed biało-marmurową budową mauzoleum. Weszli więc do środka, a stary otworzył okryte marmurem drzwi w przedpokoju, znane tylko wtajemniczonym. Zbiegowie weszli do małego pokoiku, w którym prócz marmurowych ławeczek nic nie było.

— Zaczekajcie tylko chwilę — rzekł stary zapalając świece w srebrnych kandelabrach. — Odprowadzę tylko konia do stajni i przyniosę nieco jadła.

— Spiesz się kochany Michale i wracaj prędko — rzekła Agata.

Stary zamknął troskliwie drzwi wchodowe, wziął konia za cugle i pobiegł z nim do zabudowań dworskich. Wprowadził go do stajni i zdjął z niego siodło i uzdę tak, że nikt się nie mógł domyśleć czy konia tej nocy używano.

Pałac pogrążony był w głębokim śnie. Portyer i stary sługa, jedyni, którzy przebywali w pałacu, spali oddawna. Nie wiedzieli o niczem co się tej nocy działo i byli tego zdania, że hrabia Edmund opuścił miasto.

Gdy stary Michał jednak w spiżarni napełniał wielki kosz wiktuałami, powstał okropny hałas przed bramą. W ciszy nocnej zadzwoniły przeraźliwe dzwonki elektryczne a portal aż jęczał pod uderzeniami.

Bez wątpienia była to policya, którą się domagała otwarcia. Przeszukano więc naprzód cały pałac za zbiegami. Gwar napełnił gmach. Portyer otworzył bramę i policyanci poczęli dom przeszukiwać. Jasno świeciło się przez okna, a stary widział poruszające się po firankach cienie.

Spieszył więc dalej. Wkrótce był w parku, gdzie panowała cisza. Najbardziej oddalonemi drogami pędził ku mauzoleum. Zaledwie jednak był w połowie drogi, gdy usłyszał krzyk ścigających w parku. Urzędnicy policyjni zdaje się pamiętali, że zbiegowie ukryli się już raz w mauzoleum. Chcieli więc i dzisiaj ich tam wyszukać.

Obawą gnany pędził staruszek z ciężkim koszem. Jeżeli bowiem nie dopadłby mauzoleum przed ścigającymi, to go przecież chwycą. W jak straszne położenie popadłby Winter i Agata, jeżeli policyanci ustawią się przed mauzoleum. Nie pozostaje im nic do wyboru, jak tylko się poddać lub zginąć głodową śmiercią.

A Michał słyszał kroki coraz bardziej zbliżających się policyantów. Wreszcie gdy prawie siły jego się wyczerpały, osiągnął cel. Szybko otworzył drzwi i wśliznął się z swoim ciężarem. Był to najwyższy czas, bo już wyłaniały się postacie ścigających i zaledwo zamknął drzwi za sobą, a już byli przy nich.

Agata i Winter przyjęli go ze stroskanemi minami. Słyszeli hałas i naradzali się nad tem, co czynić należy? Ponieważ urzędnicy policyjni usiłowali wedrzeć się do wnętrza, nie czuli się więcej bezpiecznymi w tem miejscu.

— Gdzie się teraz schronimy? Tu nas tak łatwo mogą schwytać! — odpowiedziała Agata drżąc ze strachu.

— Nie obawiaj się pani hrabino! — pocieszał Michał swoją panią. — Proszę tylko za mną pójść. Zaprowadzę was na miejsce, gdzie nas nikt nie znajdzie.

Chwycił kosz i kandelabr z płonącemi świecami, a Winter zabrał ciężki kosz od nie-

go, poczem wszyscy opuścili komnatę i stanęli w przedpokoju. Stąd słyszeli dokładnie, jak ścigający się starali wyłamać silne drzwi wchodowe. Te zaś jęczały pod silnymi razami.

— Spieszmy! — napominała pełna obawy hrabina Agata.

Michał otworzył drzwi do grobowca. Zgasił świece, by światło ich nie padało przez boczne otwory.

Gdy już wszyscy byli w środku a drzwi znowu zamknięte, zwrócił się Michał ku węższej stronie ściany grobowca i wodził po niej ręką. Przy bladym blasku księżyca, który wpadał przez okienka, domacał się wreszcie jednej marmurowej płytki, którą wyciągnął.

Pokazało się, że ta płyta marmurowa ukrywała żelazne drzwi. Płyta kręciła się bez szmeru około zawiasów i tak dokładnie pasowała do ściany, że nikt nie byłby jej u ważał za tajemne drzwi.

I żelazne drzwi otwarto wkróace. Michał wszedł naprzód w otwór, który jak grób ział ku wchodzącym.

Zapalił świece i zawołał Agatę i Wintera.

— Słyszy pan? — zawołał nagle przestraszony Winter. Nasi prześladowcy są za nami i już wtargnęli do mazoleum.

Z głuchym trzaskiem opadły drzwi wchodowe i już dały się słyszeć kroki policyantów w przedpokoju. W tej samej chwili zaczęli tłuc o drzwi do grobowca.

Bezwłocznie udali się Agata z Winterem za Michałem. Weszli teraz w wązki korytarz o nizkich ścianach. Michał zawarł płytę marmurową, poczem zamknął żelazne drzwi.

Po kilku krokach byli u końca kurytarza przy drugich żelaznych drzwiach. Michał i te otworzył. Kamienne schody prowadziły w ciemną, tajemniczą głębię, z której zalatywał odór zgnilizny.

Agata mimowoli się cofnęła i wpatrywała się w bezbrzeżną ciemność.

— Dokąd idziemy tą drogą? — zapytała drżącym głosem.

— Do grobowca, łaskawa pani! — poczem dodał wzdychając: Tam, na dole, jesteśmy przynajmniej w bezpiecznem ukryciu.

— A więc dobrze. Idź naprzód! — rzekła Agata otrząsając się przemocą z uczucia zgrozy. — Spodziewam się, że nie długo tam będziemy uwięzieni.

Powoli schodzili w głębię. Świece płonęły czerwonym blaskiem w tem zapsutem powietrzu. Cisza, grobowa cisza owiała zbiegów, gdy ostatnie drzwi drzwi za sobą zamknęli. Gdy stanęli w dole na wilgotnym gruncie, otworzyło im się obszerne bardzo miejsce o niewymierzalnym obszarze, gdyż wszystko było w ciemności.

Michał szedł przodem, a zanim postępowała drżąca Agata z Winterem. Szli wzdłuż szeregu trumien, wypełniających grobowiec. Zdawało się im, że droga jest nieskończenie długa. Po pewnym czasie wyłoniło się otwarte sklepienie i tuż obok pokoik oddzielony ciemną zasłoną od grobowca.

W tym pokoiku zatrzymali się zbiegowie.

Nie było tu trumien, tylko kilka spróchniałych ławeczek i stołków tudzież stół, założony narzędziami i różnemi gratami. Wysoko w murze znajdował się otwór, opatrzony siatką drucianą. Przez ten otwór wpływało świeże powietrze ze dworu.

Tutaj stanęli zbiegowie zadowoleni, że uniknęli pościgu. Michał przygotował dla Agaty, która była bardzo wyczerpana, łoże, na którem też nieszczęśliwa niebawem usnęła.

Długi czas upłynął. Obaj mężczyźni siedzieli zamyśleni, a żaden głos nie przerywał ciszy grobowej, która ich otaczała. Wreszcie podniósł się Winter i rzekł stanowczo:

— Pójdę na górę Michale zobaczyć czy niebezpieczeństwo minęło. Zostań tu przy hrabinie. Wrócę niebawem i prawdopodobnie przyniosę dobre wieści.

Stary starał się odwieść go od tego niebezpiecznego przedsięwzięcia, lecz Winter go nie usłuchał. Wziął świecę i klucze i opuścił grobowiec. Była to głównie troska o hrabiego Edmunda i doktora Kloca, która mu nie dawała spokoju. Spodziewał się dowiedzieć, o losie tych ludzi.

Co się też z nimi stać mogło? Czy udało się im tylko uciec, czy też zostali uwięzieni?

Winter dotarł bez trudu do ostatnich żelaznych drzwi. Otworzył i te, a teraz miał tylko płytę marmurową przed sobą. Lecz zanim tę odważył podsłuchiwał przez chwilę, lecz żaden szmer nie dał się słyszeć.

Ostrożnie pocisnął płytę, która się skręciła około zawiasów i wszedł do mauzoleum.

Winter wpatrywał się bystro w przedpokój. I tam nikogo nie było. Posuwał się więc dalej i przekonał się, że i na zewnątrz w parku nie było wart ustawionych. Teraz dopiero zamknął tajne drzwi i opuścił mauzoleum. Z wielką odwagą udał się do pałacu nie myśląc nawet o tem, że mógłby się tam dostać w ręce prześladowców.

CLXXIV.

BEZ SERCA I SUMIENIA.

Dręczony palącem pragnieniem, trzęsąc się od bólu i gorączki, tarzał się Ludwik Hecht po

swoim łożu. Wołał osłabłym głosem na swego opiekuna, lecz nadarmo. Piotr się nie ukazywał.

— Czy on mnie opuścił? O Boże! Chce mi dać nędznie zginąć. Czy mam tu bez pomocy zginąć? — jęczał zrozpaczony chory.

Żadnej odpowiedzi. Podniósł się nieco na barłogu i zamglonemi oczyma oglądał się po jaskini. Lecz natychmiast padł bezsilny na łoże.

Było to wczesnym rankiem, w jaskini panował półmrok. Od poprzedniego wieczora nie widział Ludwik swego obrońcy, Piotra. Nie wiedział on, dlaczego się ten oddalił i nie przeczuwał, że ten go zdradził, co go czekało i że Walerya była w drodze do niego.

Po pewnym czasie opanowało go osłabienie i niespokojny sen zamknął palące powieki. Wtem zerwał się ze strachu. Zbliżały się kroki. Piotr więc przybywał.

Rozwarł powieki i spostrzegł oczekiwanego. Lecz w tej samej chwili zobaczył towarzyszących mu i rozpacz go ogarnęła. W tej chwili zrozumiał, że Piotr go zdradził Sinobrodemu i Waleryi.

Bez ruchu wpatrywał się w tę kobietę, która ze zjadliwym uśmiechem nań spoglądała ciesząc się jego niemocą i trwogą, które można było z rysów jego wyczytać. Także Sinobrody patrzał nań drwiąco i groźnie.

— Masz więc już tego łajdaka — rzekł z brutalnym uśmiechem do Waleryi. — Wyspowiadaj go, gdy ocknie się z radości nad twoim widokiem.

Walerya nachyliła się nad oniemiałym z trwogi chorym i wpatrywała mu się w oczy.

— Przecież cię znalazłam, jesteś w mojej mocy, ty zdradliwy łotrze i poznasz moją zemstę. Nie będę miała litości nad tobą, gdy nie wydasz mi papierów, albo nie wskażesz miejsca, gdzie takowe się znajdują.

Ludwika ogarnęła zgroza. Zrozumiał, że jest zgubiony i nie może się niczego spodziewać od tej demonicznej kobiety. Dzika trwoga ogarnęła go, a z jego żółtej twarzy i gorączką trawionych oczu bił wyraz błagania, nie wywierający jednak wrażenia na Waleryi.

Nie czuła litości nad jego położeniem. Tylko wściekła nienawiść i tryumf biły z jej oczu. A gdy nie odpowiadał, kopnęła go nogą jak psa.

— No, będziesz mówił, czy nie — krzyknęła — chcę mieć te papiery — słyszysz.

— Nie mam ich — wyjęknął Ludwik ledwo dosłyszalnym głosem.

— Więc powiedz mi, gdzie je ukryłeś?

Poruszał ustami, lecz żadnego głosu nie wydał, cały drżał, a gwałtowna gorączka poczęła trząść jeog ciałem.

— Mów, zatwardziały łotrze! Czy usłyszę wreszcie — krzyknęła doń Walerya.

Wtem Piotr wszedł pomiędzy nią a nieprzytomnego chorego.

— On nie może mówić. Zostaw mu pani trochę czasu. On musi przyjść do siebie. Dam mu się coś napić — rzekł Piotr.

Walerya zrozumiała wreszcie, że stan Ludwika w samej rzeczy jest dość niebezpieczny.

— Łotr — rzekła — nie zasłużył na to, by mieć nad nim litość.

Odeszła z Sinobrodym i oglądała jaskinię podczas gdy Piotr był zajęty Ludwikiem.

Wlał mu chłodnego napoju składającego się z wina i wody, lecz chory nie odzyskał przytomności jak się tego Piotr spodziewał.

Gdy się nadarmo silił przyprowadzić go do przytomności, odstąpił Piotr od niego i zbliżył się do Waleryi i Sinobrodego, którzy usiedli w głębi jaskini.

— I cóż? — zapytała Walerya niecierpliwie.

— Zemdlał — oświadczył Piotr wstrząsając ramionami. — Musimy zaczekać.

— Głupstwo — rzekła Walerya. Nie mogę przecież godzinami czekać. Zaraz go ocucę.

Mówiąc to, udała się do chorego. Sinobrody i Piotr starali się ją zatrzymać, lecz Walerya nie troszczyła się o nich. Wszelkie uczucie ludzkości i litości było dalekiem od niej. Tylko śmiertelna nienawiść ku temu, nad którym teraz miała moc, żyła w niej.

Lecz gdy nad nim stanęła musiała uznać, że wszelkie raptowne środki musiałyby spowodować śmierć chorego. Na nim jej wprawdzie nie zależało, ale chciała się czegoś dowiedzieć. Z tego też powodu musiała się wstrzymać.

— Nie sądzę, że można będzie się dzisiaj czego dowiedzieć — oświadczył Sinobrody, wygląda na umierającego.

— Ale ja muszę mieć pewność — odparła rozdrażniona Walerya.

— Nie pozostaje ci zatem nic innego, jak tutaj zasiąść i oczekiwać aż przyjdzie do przytomności.

— To niemożliwe, nie mogę tak długo być poza pałacem. Książę w każdym razie dzisiaj wróci.

— Wię ja tu zostanę — zaproponował Sinobrody. — Mnie on to samo powie, co tobie, odwiozę cię zatem i powrócę tutaj.

Walerya się namyślała. Postanowiła jeszcze godzinę zaczekać. Jeżeli książę nawet wróci, to nie tak prędko dojdzie do zamku myśliwskiego. Żądza uzyskania papierów od Ludwika, przykuła ją do miejsca.

Lecz i ta godzina minęła a Ludwik nie przychodził do przytomności. Majaczył a go-

rączka się stale zwiększała. Teraz zaczęła się Walerya obawiać że umrze i nie powie jej gdzie się tak ważne dla niej papiery znajdują.

— Chodź — rzekła do Sinobrodego — odwieziesz mnie do zamku i zabierzesz ze sobą środki lecznicze. Musimy tego łotra tak długo przy życiu utrzymać, póki nie zezna prawdy.

Wychodzili z jaskini. Piotr szedł naprzód, lecz gdy odchylił gałęzie zakrywające wejście do jaskini stanął i dał znak Waleryi, za nim idącej.

— Cicho — szepnął — kilku ludzi jest w wąwozie.

Walerya i Sinobrody spoglądnęli po sobie. Słyszeli kroki i głosy a Sinobrody przy tych od głosach się porwał. Odgiął gałęzie i patrzał w wąwóz.

Do stu piorunów, to ten przeklęty detektyw Greif i kapitan Brandenfeld.

— Co? O Boże, czy to możliwe?—jęknęła Walerya — skąd oni tu przychodzą, czego tu szukają?

— Szukają nas, o tem niema dwu zdań — odparł Sinobrody — czy słyszysz co mówią?

— Nie, cóż takiego.

— O nas! Podążyli za nami, a teraz szukają wejścia do tej jaskini.

— Skąd jednak ci ludzie wiedzą o naszych planach? — jęczała Walerya — na rany boskie, co teraz począć! Wszak nie możemy się stąd ruszyć.

Sinobrody obserwował chwilał nic nieprzeczuwających nieprzyjaciół. Piotr przystąpił do niego i rzekł: Zróbmy z nimi krótką sprawę, panie, nie trafi się już lepsza sposobność. Zastrzelmy ich z ukrycia. Nikt nawet się nie spostrzeże.

—Masz słuszność — odrzekł Sinobrody. Sposobność jest dogodna, bierz kapitana na cel. Lecz traf go lepiej niż wtedy — ty już wiesz. Temu przeklętemu detektywowi ja wpakuję kulę w łeb, że mu się odechce raz na zawsze szpiegowania. Obaj hultaje ukryli się za krzakami. Piotr skierował strzelbę na Aleksandra, a Sinobrody lufę rewolweru skierował do Greifa. Obaj zaś przyjaciele nie przeczuwali grożącego im niebezpieczeństwa.

Wtem wyłonił się Detlew, który szukał na innem miejscu. Przy jego ukazaniu się opuścił Sinobrody broń i zaklął siarczyście.

— Stój Piotrze, oto jeszcze jeden, ten rybak — znasz go?

— Widzę go panie — odparł Piotr. Lecz co to znaczy. Ubijmy i tego. Wszak zasłużył na to.

— To prawda! Lecz zaczekaj! Może ich jest więcej, a wtedy wpadniemy w ich ręce.

I Walerya odradzała. Obawiała się, że Winter może się w pobliżu znajdować a walka z tylu nieprzyjaciółmi może mieć nieszczególny wynik dla niej i jej towarzyszów. Lecz nim poczęli coś stanowczego, zniknęli trzej przyjaciele.

— Odchodzą — rzekł Sinobrody tryumfując. Prawdopodobnie nie wezmą naszego żaglowca —Dodał stroskany.

— Obserwujmy ich dalej — radził Piotr, — Możemy to uczynić bez żadnego dla nas niebezpieczeństwa z jakiegoś miejsca na brzegu.

Poprowadził Sinobrodego i Waleryę nad jezioro w miejsce gdzie leżało zwykle jego czółno. Ukryci za skałami widzieli jak nieprzyjaciele wyciągnęli łódź z ukrycia, do niej wsiedli i odbili od brzegu.

— Tam do dyabła — zawołał Sinobrody, — było ich tylko trzech. Gdybyśmy ich byli ubili. Teraz rozumie się, jest za późno.

Także Walerya żałowała, że pozwoliła im umknąć. Widziała jak oddalający się zbliżali do zamku i nowa bojaźń ją opanowała. Niespostrzeżenie nie mogli bowiem wrócić, a zachodziła obawa, że przy starciu przynajmniej Sinobrody się w ich ręce dostanie.

Bezradni stali więc i spoglądali na szybko oddalającą się łódź. Walerya drżała z wściekłości. Wszak musiała się dostać do zamku.

Gdyby książę już był, co by pomyślał o jej nieobecności. A może nieprzyjaciele dojdą do niego i doprowadzą do tego, że uwieży w oskarżenia, które ona tak długo oddalała.

— Muszę być w domu — rzekła gwałtownie. — Niech się co chce stanie. Musicie obydwaj pojechać ze mną. Wtedy oni nie odważą się mnie zaatakować.

W tej chwili łódź przybiła do przeciwległego brzegu i Greif z towarzyszami zniknęli w lesie.

— Może odejdą całkiem? — powiedział Sinobrody — spróbujmy. W najgorszym razie jesteśmy dobrze uzbrojeni. Żywego te łajdaki nie dostaną mnie w swoje ręce.

Piotr opuścił sam jaskinię i przyciągnął żaglowiec. Walerya i Sinobrody wsiedli doń i ruszono w drogę. Sinobrody siadł przy sterze, trzymając rewolwer w dłoni, na przodzie siedział Piotr ze strzelbą do strzału przygotowaną. Z naprężoną uwagą obserwowano brzeg do którego się szybko zbliżali.

Nie widzieli jednak nikogo. Zdawało się, że Greif z swoimi towarzyszami rzeczywiście się odalili. Sinobrody skierował czółno do szopy w której je przechowywano. Wjechali, nie zatrzymani przez nikogo i Walerya wysiadła.

— Zaczekajcie tutaj — rzekła — może wrócimy za kilka godzin.

— Nie, nie — rzekł Sinobrody i również wyskoczył z łodzi i zatrzymał ją.

— To nie uchodzi. Gdy nas detektyw z towarzyszami zaatakuje od strony lądu i wody, jesteśmy w pułapce. Nie wolno się nam zatrzymać. Idź do pałacu i zaglądnij czy niema księcia. Jeżeli go jeszcze niema, przyjdź i zawołaj mnie. Pozostanę w pałacu, podczas gdy Piotr powróci.

— A więc dobrze, zatrzymajcie się nieco, wracam za kilka minut!

Po tych słowach zamknęła Walerya drzwi i wyśliznęła się z szopy. Wychodząc spoglądała naokoło, lecz nikogo w ogrodzie nie było. Uspokojona wystąpiła pewnym krokiem i podążyła do pałacu.

Nie przeczuwała jednak, że prócz Greifa i towarzyszy, szpiegowała ją pokojówka. Fryda widziała dokładnie jak Walerya z towarzyszami odjechała i wracała i dopiero gdy łódź się do szopy zbliżała, popędziła do pałacu.

Co jej pani tam w dyablim wąwozie z Sinobrodym i Piotrem czyniła, tego wiedzieć nie mogła, lecz postanowiła wpaść na trop tego.

Walerya dowiedziała się ku swemu uspokojeniu, że książę jeszcze nie powrócił. Wyszła więc natychmiast, wziąwszy ze swego pokoju aptekę domową i flaszkę dobrego wina i udała się do szopy, ścigana tajemnie przez garderobianę.

Walerya wręczyła wszystko Sinobrodemu, a ten natychmiast odjechał.

— Kiedy mam wrócić po ciebie! — zapytał ją.

— Nie wiem napewno. W każdym razie dziś wieczorem! — odparła.

— Naturalnie, że jeżeli książę powróci, będzie to niemożebnem. Najlepiej będzie, jeżeli wrócisz wieczorem żaglowcem, a Piotr powróci swoją łódką, bo możemy ją każdej chwili użyć.

— Czyż mam znowu wrócić do jaskini? — zapytał Sinobrody.

— Uważam to za lepsze. Jest to w każdym razie o wiele pewniejsze. Wieczorem możesz znowu tu pozostać.

Sinobrody myślał o Greifie i uważał za słuszne powrócić do jaskini, gdzie w każdym razie był pewniejszy aniżeli w pałacu. Odjechał więc z Piotrem i nic nie stało na przeszkodzie ich odjazdowi. Także Walerya nie spostrzegła nieprzyjaciół, gdy się do pałacu udała.

A mimo to Greif był z towarzyszami swymi w pobliżu. Ukryli się w lesie i obserwowali wszystko. Gdy Sinobrody z Piotrem wracali do jaskini, radził Aleksander udać się za nimi.

— Nie! — odparł Greif. — To by było bezowocnem, wszakbyśmy ich nie dopadli, a szukanie w dyablim wąwozie nie przyniosłoby żadnych rezultatów. Czekajmy do wieczora, spodziewam się, że te łotry wrócą.

Ponieważ jednak czekanie o głodzie nie było odpowiedniem, wysłano Detlewa i farmera do najbliższej wsi, a ci wrócili około południa we wszystko zaopatrzeni.

Walerya spędziła dzień w okropnym niepokoju i życzyła sobie, aby książę dziś nie wrócił. Zdawało się też, że życzenie jej się spełni, gdyż wieczór już zapadał a książę nie wracał.

Było już ciemno i chmurno. Nagle zerwała się gwałtowna burza z błyskawicami i grzmotami.

Walerya przechadzała się zirytowana tam i nazad po pokoju. Przypuszczała, że ani Sinobrody, ani Piotr nie odważą się przewieźć ją po jeziorze i że będzie musiała odłożyć swe przesłuchanie z Ludwikiem.

A jednak był to z powodu nieobecności księcia najdogodniejszy czas na to. Jutro on już pewno będzie w zamku i odjechać jej nie da.

Nie spała przez całą noc. Burza szalała nad lasem i jeziorem. Deszcz lał jak z cebra, a ogród i las przedstawiały obraz spustoszenia.

Greif schował się wczas ze swoimi towarzyszami do wsi, wrócił jednak nazajutrz rano na swój posterunek. Nie znaleźli tam więcej swej łódki. Burza ją oderwała i pędziła po wzburzonych falach jeziora.

Bez łodzi trudno jednak było dostać się na drugą stronę jeziora do Waleryi i jej towarzyszów.

— Trzeba się postarać o inne czółno — rzekł Greif po pewnym namyśle — pojadę do stolicy, aby sprowadzić jeszcze kilku swoich ludzi. Będziemy ich potrzebowali. Mam nadzieję, że dziś w nocy przyłapiemy hrabiego Sinobrodego wraz z Piotrem.

Aleksander odprawadził go do miasta. — Farmer zaś i Detlew doszli tylko do wsi, gdzie chcieli nająć łódkę.

Przeczucie Waleryi spełniło się. Ledwo opuściła łóżko, zjawił się książę w zamku.

Przywiózł on bardzo Hiobową wieść. Ubiegłej nocy uciekła Agata z więzienia i dotychczas jej przyłapać nie mogli. Gniew i obawa Waleryi była nie do opisania, zwłaszcza gdy jej książę bliższe szczegóły tej ucieczki opisał.

— Więc ten były detektyw Winter do tego się przyczynił — zapytała. — Co to za niebezpieczny człowiek. Ma książę najlepszy dowód, że on był zawsze wiernym sojusznikiem tej

zbrodniarki i dawnej urzędniczej władzy swej nadużywał, aby ją ratować. Podejrzywam go nawet o to, że jest jej kochankiem — dodała szyderczo.

— Możliwe — odparł książę — doktór Kloc także do spisku należał. Urzędnik, którego łotry ci zbili, gdy przez niego na gorącym uczynku przyłapani zostali, obu ich znał.

— A hrabia, czy on także był przy tem, zapytała Walerya.

— Tego nie wiem napewno, mówią, że przy uwolnieniu uwięzionej wiele osób czynnych było, lecz nikogo z nich jeszcze nie przyłapano. Kilku z nich ukrywa się jeszcze w budynku więziennym, gdyż odcięto im drogę do ucieczki. Chcieli także uwolnić — czarną damę — lecz im się to nie udało!

— To tylko władze winne, że się coś podobnego stać mogła — zawołała Walerya oburzona — czemu się energicznie do zbrodniarzy tych nie zabrali? Dlaczego dali uciec hrabiemu Edmundowi? Dlaczego nie uwięzili Wintera? — Człowiek ten jest najniebezpieczniejszy ze wszystkich.

Książę wzruszył tylko gniewnie ramionami.

Szkoda, że nie dałem znać prokuratoryi o zbrodni, którą łotr ten tu popełnił, rzekł.

— Trzeba ich wszystkich uczynić nieszkodliwymi, bo inaczej jeszcze większe nieszczęście sprowadzą na naszą głowę — zawołała Walerya gniewnie. Trzeba się wziąć do rzeczy z większą gorliwością niż dotychczas.

— Masz słuszność, moja kochana — odparł książę — mówiłem o tem z księciem, wujem swoim, a ten oburzony jest na hrabiego Edmunda za ostatni czyn jego i towarzyszy. Spodziewam się, że hrabiego wkrótce przyłapią. Dobra jego zostaną skonfiskowane, a do pałacu w rezydencyi sprowadza się minister Borgheim.

Oczy Waleryi zabłysły szatańskim tryumfem.

— A ja? Czyż nikt o tem nie myśli, że ja jestem spadkobierczynią mego męża — zawołała wzburzona.

— Hm! Nie wiem, jak się sąd na rzecz tę zapatruje — rzekł książę spokojnie — właściwie małżeństwo twoje z hrabią nieważne jest, moja kochana, od kiedy wiadomem jest, że Agata jeszcze żyje. Niemożesz więc rościć sobie żadnych pretensyi do spadku.

— Jakto? Czyż nie byłam mimoto jego żoną? Ja się będę o to procesowała. Ja się nie dam skrzywdzić! Agata od lat już jest na śmierć skazaną. Nie może więc być niczyją żoną i niema prawa do spadku. Majątek hrabiego tylko do mnie ma należeć

— Ach, nie irytuj się takiemi drobnostkami — prosił ją książę.

— Ależ, ja na to nie zezwolę, aby minister Borgheim pałac hrabiego objął — wołała Walerya coraz bardziej rozdrażniona. — Pałac hrabiego jest mój, a pan, kochany książę, powinien wspierać mnie w tej walce o moje słuszne prawa — dodała roznamiętniona.

Widząc, że książę niewiele chęci do tego okazywał, zaczęła Walerya tak płakać i szlochać i prosić, aż książę obiecał, że wszystkie żądania i życzenia jej spełni.

— Baron Borgheim jest bogaty — rzekł — nie będzie mu więc zależało na tym pałacu. Dam mu do poznania, że mi na tem zależy, abyś dostała wszystko po hrabiu Edmundzie!

Walerya tryumfowała w duchu. Teraz nikt jej już nie mógł zabrać majątku hrabiego. Książę się za nią ujmie i ona zwycięży! Chociażby jej teraz przyszłość Bóg wie co przyniosła, będzie przecież miała oparcie na majątku swego oszukanego męża.

Lecz nie dość jej jeszcze tego było. Chciała zniszczyć swoich przeciwników. Uznała grożące jej od Greifa i Wintera niebezpieczeństwo i postanowiła zrobić z księcia narzędzie swej zemsty.

— Jeszcze coś nadmienić muszę, książę — zaczęła znów po krótkiej pauzie — mam nowego wroga, sprzymierzeńca Wintera, który miejsce jego wobec mnie zajął.

— Kto to jest?—zapytał książę oburzony.

— Także jakiś urzędnik policyjny. Nazywa się Greif i zastępował Wintera w czasie jego słabości. Dotychczas trzymał się jednak zdala i w ukryciu. Teraz zaś zaczyna zupełnie otwarcie przeciwko mnie występować.

— W jaki sposób? Cóż on przeciwko tobie przedsięwziął?

— Przedewszystkiem starał się pokojówkę moją przekupić.

— Poco?

— Aby fałszywie przeciwko mnie świadczyła; a co najważniejsze, że przedsięwziął sobie mnie uprowadzić.

— Co? Ciebie uprowadzić? — krzyknął książę wzburzony — ależ to śmieszne!

— O wcale nie, kochany Arturze — westchnęła Walerya obłudnie — grozi mi wielkie niebezpieczeństwo i gdyby mi to pokojówka nie była zdradziła, byłabym wpadła w zastawione na mnie siecie. Ten Greif chce mnie stąd uwieźć i ukryć w jakiemś odludnem miejscu. Chce mię tem zmusić, abym się przyznała do wszystkich zbrodni, o które mnie Winter oskarża!

— Ależ to głupie — zawołał książę pogardliwie.

— A mimoto byłoby im się wszystko udało, gdyby przypadek zamiarów ich nie był zdradził. Krąży wokoło zamku z towarzyszami swoimi już od kilku dni, i czyha na dobrą sposobność aby mnie porwać.

Książę był oburzony i przelękniony, a Walerya podsycała gniew jego przeciwko Greifowi dobrze obliczonemi słowami.

— Uznaję, że przeciwko temu niebezpiecznemi człowiekowi energicznie wystąpić trzeba! — zawołał — ten Greif nic złego ci zrobić nie zdoła... bądź tego pewna. Nakażę służbie, aby dobrze na ciebie uważała, i każdego obcego przyłapała, który się tu w podejrzany sposób zechce dostać.

— To nie wystarczy — wtrąciła Walerya — Greif musi zostać wydalony ze służby!

— I to się stać może, jeżeli sobie tego życzysz — odparł książę.

Walerya znów mogła tryumfować. Jeżeli Greif zostanie ze służby uwolniony, to żadnego wroga już się obawiać nie potrzebowała. Żadne groźby i prześladowania jużby jej wtedy ze spokoju wyprowadzić nie mogły.

W głębi duszy życzyła sobie, aby książę dziś wieczór odjechał; wiedziała jednak, że on ani o tem nie myśli.

Wieczorem zaproponował książę Waleryi przejażdżkę po jeziorze.

Cóż będzie jeżeli Sinobrody z łodzią jeszcze nie wrócił — pomyślała ze strachem.

Nie dała jednak nic po sobie poznać, i zgodziła się pozornie na przejażdżkę.

Książę dał rozkaz przygotowania łodzi, którą dwaj służący mieli wiosłować i podawszy Waleryi ramię, poszedł za nimi.

— Gdzie jest łódź — spytał książę ostro doszedłszy do brzegu, gdzie zastał obu służących patrzących bezradnie na siebie.

— Nie wiemy, jaśnie książę — odparł jeden z nich — oba czółna znikły, chyba je burza porwała i zniszczyła.

Książę zachmurzył się.

— Pewno źle były przymocowane — rzekł z naganą — popatrzcie czy, ich gdzie na jeziorze nie zobaczycie!

Służba pobiegła wzdłuż brzegu, książę chciał właśnie zawrócić, gdy jeden z nich wrócił bez tchu i zawołał:

— Jaśnie książę! Czółno zostało widocznie skradzione, bo widzę je z tamtej strony jeziora, siedzi w niem kilku mężczyzn!

Walerya domyśliła się natychmiast, że to pewno Sinobrody z Piotrem. Co za nieszczęśliwy wypadek, gdyby tak teraz do tego przybyli... cóż wtedy?

Obawy jej nie były płonne. Łódka coraz bardziej się zbliżała. Siedziało w niej dwu mężczyzn, których jednak z powodu oddalenia jeszcze poznać nie było można.

— Doprawdy, że to ci złodzieje — zawołał książę gniewnie.

— Może to niesłuszne podejrzenie — mitygowała go Walerya — ludzie ci przywożą może tylko łódź, którą burza do brzegu ich zagnała.

— Hm! I to możliwe — zauważył książę— gdyby to rzeczywiście byli złodzieje, to może by się nie odważyli wracać na ten brzeg.

Tymczasem zbliżała się łódź szybko do brzegu ale siedzący w niej mężczyźni nie widzieli stojącego w ogrodzie księcia i służbę, gdyż szuwar i krzaki zupełnie ich zasłaniały.

Walerya chciała im dać ostrzegający znak, namyśliła się jednak, gdyż Sinobrody i Piotr zawróciliby niezwłocznie, a to wzbudziłoby podejrzenie księcia. Miała jednak nadzieję, że się wszystko dobrze skończy, gdyż nikt tu w okolicy nie znał brata jej, ani jego służącego.

Zmrok już zapadał, gdy obaj mężczyźni nie przeczuwając nic złego, do brzegu przybili.

Wtem wychylił się z za krzaków książę, a za nim Walerya i służba. Zaskoczeni w ten sposób towarzysze, chcieli w pierwszej chwili uciekać, lecz Walerya wystąpiła i rzekła głośno do nich:

— Wyście pewnie łódź tę znaleźli i przyjeżdżacie aby ja nam oddać, nieprawdaż dobrzy ludzie?

— Tak jest, wielmożna pani hrabino — potwierdził Sinobrody, który się zaraz domyślił o co Waleryi chodziło — znaleźliśmy łódź tę w dyablim wąwozie, a że wiemy, że ona do jaśnie księcia należy, więc ją oddajemy.

To rzekłszy złożył księciu głęboki ukłon, książę popatrzył na niego badawczo. Nie podobał on mu się, a Piotr jeszcze mniej. Nie znał jednak żadnego z nich i nie przeczuwał, kogo ma przed sobą.

Podziękował więc chłodno i odwrócił się. Walerya skinęła bratu swemu nieznacznie. Potem wzięła ramię księcia i odeszła. O wycieczce po jeziorze mowy więcej już nie było...

Było już późno w nocy, gdy książę wrócił od kochanki do swoich komnat. Walerya podniosła się szybko ze swego łoża, i ubrała się. Potem otworzyła drzwi do przyległego pokoju w którym się zwykle Sinobrody ukrywał.

Nie było go jednak tam. Gdzież się więc ukrywał? Chciała go wypytać o Ludwika i jeżeli możliwe dziś jeszcze do niego pojechać. Do rana mogła jeszcze być z powrotem, tak aby książę nie wiedział o jej wycieczce.

Powiodła raz jeszcze wzrokiem po wspaniałem łożu, na którem przed chwila jeszcze w ramionach księcia spoczywała, potem otuliła

się w czarny płaszcz i wybiegła do ogrodu, w nadziei, że może Sinobrodego tam odszuka.

Nie widziała, że się pokojówka za nią wysunęła.

Walerya nie zawiodła się w swoich nadziejach, i spotkała się niebawem z bratem swoim i Piotrem.

Nie zwlekając wsiedli do łodzi i pojechali do jaskini, gdzie leżał Ludwik. Pokojówka patrzała za nimi.

Dokąd jechali tak potajemnie w nocy? Ona byłaby chętnie za nimi pojechała, lecz nigdzie w pobliżu nie było łodzi.

Wtem spostrzegła zdala inną od brzegu odbiegającą łódź z kilku mężczyznami, która za czółnem Waleryi podążała.

Co to być mogło? Co za tajemnice rozgrywały się przed jej oczyma.

W łodzi tej był Aleksander ze swoimi ludźmi. Spodziewali się teraz przyłapać Sinobrodego z Piotrem i Waleryą.

Ci ostatni zaś nie przeczuwali, że byli ścigani, i zbliżali się spokojnie do brzegu.

Czy uda się Waleryi i towarzyszom jej uciec przed grożącem niebezpieczeństwem?

CLXXV.

W WIĘZIENIU.

Winter nie zaszedł jeszcze daleko w parku pałacowym, gdy usłyszał za sobą kroki. Schował się więc szybko w krzaki, bo chociaż nie widział nadchodzącego, przypuszczał przecież, że to nieprzyjaciel. Nie mógł być przez niego widziany.

W następnej chwili poznał jednak nadchodzącego i zawołał:

— Hola, Braun! Skąd się tu wziąłeś?

Braun krzyknął z radości, gdy zobaczył swego dawnego przełożonego.

— Dzięki Bogu, że pana tu znajduję, panie Winter — zawołał. — Chciałem się właśnie zapytać w zamku o pana i o hrabiego.

— Był pan przecież przy hrabiu Edmundzie! Czy się pan z nim rozstał?

— Tak jest i nie wiem, co się z nim stało!

— Jakto? — zawołał Winter zdziwiony.— Czyż doktór Kloc nie zdążył, by was jeszcze w czas ostrzedz?

— Nie! Nie widzieliśmy doktora Kloca więcej, od kiedyśmy się z nim rozstali! — odparł Braun. — Udałem się z hrabią do celi "czarnej damy" i chcieliśmy otworzyć drzwi. Nie udało nam się to jednak, a równocześnie usłyszeliśmy nagle krzyk i odgadliśmy, że pana i towarzyszy w celi hrabiny Agaty przyłapano. Musieliśmy więc czemprędzej uciekać, gdyż już w naszem pobliżu zaczęło się żywo robić od przebiegających tam i napowrót urzędników więziennych.

—Uciekliście więc z hrabią, nim doktór Kloc do was przybiegł? Jakżeście się zatem rozstali z hrabią Edmundem?

— Nie wiem jak do tego przyszło!— rzekł Braun. — Gdym uciekał przez ciemne kurytarze, znalazłem się nagle sam. Daremnie wołałem za hrabią. Znikł bez śladu. Musiałem pomyśleć o własnym ratunku i podkradłem się do trupiarni. Wyjść jednak stamtąd nie mogłem z obawy, aby mnie nie przyłapano i przeczekałem aż do rana. Potem wyskoczyłem z oknem i dostałem się tu, aby się o losie pana i hrabiego dowiedzieć.

— Więc nic o nim nie wiecie?— westchnął znów Winter. — Pewno go wraz z doktorem Klocem przyłapano i uwięziono!

— Przypuszczam, że tak! — potwierdził Braun ponuro. — Całe nasze przedsięwzięcie się nie udało, a biedna hrabina Agata?...

—Jest chwała Bogu uratowana! — uzupełnił Winter. — Udało nam się jeszcze szczęśliwie uciec!

Potem opowiedział mu szczegóły tej ucieczki i dodał, że Agata wraz ze starym Michałem ukryta jest w grobowcu i że tam pewna i bezpieczna przed prześladowaniem.

— Ja sam nie miałem spokoju! — mówił dalej. — Chciałem jeszcze zobaczyć w pałacu, czy nie zastanę tam hrabiego, albo doktora Kloca.

— Niech pan pozwoli, abym ja tam poszedł! — rzekł Braun. — Możliwe że jest tam policya, a to by dla pana niebezpieczne było. Mnie zaś nikt nie podejrzywa. Nie widziano mnie przecież w nocy!

Winter został więc, a Braun niezwłocznie do pałacu popędził. Zastał tam może z tuzin urzędników policyjnych z komisarzem na czele, którzy cały zamek przeszukali. Braun szczęśliwy był, że wstrzymał Wintera, bo to by była jego zguba.

Brauna nikt nie podejrzywał. Komisarz przywitał się z nim nawet uprzejmie w nadziei, że się czegoś od niego dowie. Zawiódł się co do tego, bo Braun utrzymywał, że nic nie wie i że tylko do pałacu na posterunek swój wrócił.

Nie przeczuwając nic złego, komisarz opowiedział ze swej strony Braunowi wszystko, co o zajściach w więzieniu wiedział. Braun udawał zdziwionego i potem zaczął ostrożnie badać, co się z hrabią stało.

— Szukamy jeszcze za nim! — odpowiedział komisarz. — Tu go jednak znaleźć nie możemy. Przypuszczają, że kilku z tej bandy

się jeszcze w budynku więziennym znajdować musi, lecz czy i hrabia między nimi, to jeszcze niewiadome. Starego służącego ścigano aż do mauzoleum, bo podejrzywano go, że Agatę tam ukrył. Niestety szukanie na nic się nie zdało. Znikli oboje bez śladu!

— Pewno dawno już uciekli! — wtrącił Braun pozornie zdziwiony.

— To niemożliwe! — odparł komisarz stanowczo. — Widzieliśmy przecież jak stary znikł w mauzoleum i wbiegliśmy tam za nim. Przeszukaliśmy wszystkie kąty, nie mogliśmy jednak znaleźć ani jego, ani hrabiny Agaty. Pewne zaś jest, że oboje jeszcze tam być muszą. Przypuszczam, że tam w grobowcu jest jakiś tajemny schowek, którego trudno odnaleźć!

Braun milczał, komisarz opowiadał zaś dalej, że Wintera i doktora Kloca zawzięcie szukają.

Wiedział więc wszystko na czem mu zależało i wyszedł pod pozorem że jeszcze mauzoleum przeszuka.

Komisarz dał mu odejść. Braun przekonał się że nikt za nim nie idzie i wszedł do parku. Spotkał się tam z Winterem i wszystko mu opowiedział.

— Mamy przynajmniej tę jedną pociechę, że hrabia i doktór Kloc jeszcze nie przyłapani! — rzekł Winter wysłuchawszy go. — Muszą jednak być w bardzo wielkich terapatach i my im musimy przyjść z pomocą.

— Ale w jaki sposób? — zawołał Braun bezradnie. — Ja tobym się jeszcze mógł odważyć, ale pan?

— Ja się przebiorę! — zadecydował Winter. — Postarajcie mi się o wszystko potrzebne, Braun. Musimy przyjaciół naszych za każdą cenę uratować!

— A hrabinę Agatę?

— O, ona jest w bezpiecznem miejscu i ma starego, wiernego Michała przy sobie! Nikt nie wie, gdzie schowana, możemy więc o nią być spokojni.

Po krótkiej naradzie oddalił się Braun, a Winter wrócił do mauzoleum i niebawem doszedł do miejsca gdzie Agata była schowana.

Hrabina właśnie wstała i żywo go przyjęła.

Wieści jego co do hrabiego, męża jej, bardzo ją zaniepokoiły. Pochwalała plan Wintera i błagała go, aby się niczego nie ulękł i wszystko przedsięwziął, by hrabiego i doktora Kloca uratować.

Winter uspokoił ją o ile mógł i wyszedł niebawem z ukrycia.

Spotkał się znów z Braunem, który mu przyniósł całą masę prawdziwych bród i peruk, jakoteż wybór garderoby jak do maskarady.

Liberyę zupełną zabrał z pałacu, jakoteż cały strój strzelca.

Winter wybrał ten ostatni. Przebrał się za leśniczego i ucharakteryzował się jako starszy człowiek z nieco siwawym włosem i wcale pokaźną brodą. Wten sposób zmieniony, spodziewał się, że nikt go poznać nie będzie w stanie.

— Udajmy się teraz do więzienia i starajmy się tam czegoś bliższego dowiedzieć!—powiedział Winter. — Podam się za leśniczego gdyby nas chcieli zatrzymać.

Opuścili park przez małą furtkę i dotarli po krótkiej wędrówce do gmachu więziennego.

Tu szli naprzód wązką uliczką, aż stanęli naprzeciw muru więziennego. Ostrożnie oglądali przez chwilę zamknięte okno trupiarni, chociaż je Braun uciekając przed kilku godzinami zostawił otwarte.

— Bezwątpienia wpadli na drogę, którą uciekaliśmy w nocy! — szepnął Braun swemu byłemu zwierzchnikowi. — Otwarte okno zdradziło to urzędnikom więziennym. Prawdopodobnie pilnują teraz trupiarni, aby zapobiedz ucieczce hrabiego i doktora Kloca.

— W istocie! — skinął Winter potakująco. — Nie wolno nam dłużej się zatrzymywać, by to nie wzbudziło podejrzenia. Lecz w jaki sposób się tam dostaniemy?

Szli więc dalej i namyślali się co czynić. Wreszcie postanowili, że Braun sam się uda do więzienia i ostrożnie wybada co się tam dzieje. Winter zaś miał oczekiwać jego przybycia w restauracyi w pobliżu.

Chociaż spotykali jeszcze wiele ludzi a pomiędzy nimi urzędników policyjnych, których Winter znał dobrze, żaden z nich nie poznał przebranego. Nikt go nie zatrzymywał nikt go nie poznał. Rozstał się z Braunem i wyszukał lokal, gdzie wrzało życie. Przy jednym gęsto obsadzonym stole spostrzegł Winter człowieka, którego nie spodziewał się tu zastać.

Był to agent Langhals, który był pomocnym przy uwolnieniu Agaty ubiegłej nocy. Spożywał jakiejś danie, wcale się zdawał nie obawiać o swoje niebezpieczeństwo.

Winterowi przyszło na myśl, że to indywidyum da się do innych celów użyć. Siadł naprzeciw niego przy tym samym stole i zamówił śniadanie i szklankę piwa.

Langhals obejrzał przybysza, lecz nie poznał detektywa w przebraniu. Jadł dalej i pił z najlepszym apetytem. Winter mu na razie nie przeszkadzał i udawał że go wcale nie zna i nie troszczył się o niego.

Po pewnym czasie opróżnił się stół wszyscy goście poszli, tylko Winter i Langhals zostali. Teraz sądził Winter, że nadeszła pora, a-

by wszcząć rozmowę zagentem. Spojrzawszy na sąsiednie stoły a przekonawszy się, że goście pozostali nie będą ich mogli słyszeć, pochylił się nad stołem i rzekł zmieniając głos:

— No, przyjacielu Langhals, cieszy mnie, że się znowu widzimy. Uciekłeś więc szczęśliwie?

Langhals opuścił podczas tej przemowy nóż i widelec z rąk i tak zdumiony wpatrywał się w Wintera, że ten się nie mógł powstrzymać od lekkiego uśmiechu, który jak cień mu przemknął przez usta.

— Panie łaskawy, czego pan chcesz odemnie! — wyjąkał blady ze strachu. — Skąd pan mnie zna?

— Ależ uspokój się, przyjacielu, czyż mnie nie poznajesz? — odparł Winter z uśmiechem.

Langhals oniemiały ze zdumienia potrząsnął zaprzeczająco głową, a mowa jego wskazywała niemałą obawę.

— Nie mam tego zaszczytu! — krzyknął niezrozumiale, podczas gdy wzrok jego muskał trwożliwie domniemanego leśniczego.

— A przecież brał pan ubiegłej nocy wraz ze mną udział w dość niebezpiecznem przedsięwzięciu, przyczem jednak nie okazałeś wiele odwagi! — ciągnął dalej Winter zmienionym głosem, sprawiało mu bowiem przyjemność widzieć wzrastającą obawę u tego urwisza.

Kiedy Winter wymawiał ostatnie słowa, Langhals zmienił wyraz twarzy popatrzył z wyrazem przestrachu. Potem wstał szybko z siedzenia i rzekł z komiczną godnością:

— Mój panie, ja pana nie rozumiem! Chyba się pan myli co do mojej osoby! Chciał się oddalić, lecz Winter wstrzymał go i rzekł naturalnym swym głosem:

— Skończmy te żarty! Siadajcie, dobry przyjacielu i pomówmy dalej! Spodziewam się, że sobie nazwisko moje przypominacie?

— Zdaje mi się! Ale czy to naprawdę pan, panie komisarzu! — zawołał hultaj w najwyższem źdźiwieniu.

Poznał Wintera po głosie, lecz zawsze jeszcze wątpił czy to on być może. Dopiero w dalszej z nim rozmowę przekonał się o identyczności komisarza i znikła reszta jego wątpliwości.

— Doprawdy, że nigdybym pana nie poznał, panie komisarzu! — zawołał Langhals.— Myślałem, że pan uwięziony.

— Widzicie, żem tak szczęśliwie uszedł, jak wy! Hrabina jest także w bezpiecznem ukryciu. Tylko hrabiemu i doktorowi Klocowi gorzej się powiodło. Czy wiecie już teraz w jakieście sprawie pomagali?

— Tak jest! Całe miasto o tem mówi!

— A więc nie robię wam z tego tajemnicy! —szepnął Winter. — Plan nasz po części się udał. Wiecie co się stało z doktorem i hrabią?

— Podobno uciekli!

— Nie! Przypuszczam, że jeszcze się ukrywają w więzieniu. Że ich położenie jest bardzo niebezpieczne, rozumie pan chyba. Musimy ich uratować!

— My? — odparł łotr. — Pan myśli, panie komisarzu, że ja mam tutaj pomagać?

— Właśnie! W nocy musimy się raz jeszcze dostać do więzienia!

— Za nic w świecie! — przestraszył się łotr. — Ja tam nie wrócę!

— Stanowczo nie chcecie? — spytał Winter ostro.

— Proszę się nie gniewać! — skręcił łotr onieśmielony już znowu. — Ale to dziwna rzecz!

— Raz jeszcze się pytam, chcecie czy nie?

— Nie mogę nie! — usprawiedliwiał się łotr. — Niech mi pan komisarz wybaczy.

— Tchórzu! — krzyknął Winter — zapłaty nie dostaniecie, a do więzienia pójdziecie pod przymusem, rozumiecie?

Łotr widział, że to nie żarty.

Wiedział jednak, że Winter tu go otwarcie nie zaczepi i chciał uciekać, gdy nagle wszedł Braun.

— Tego dżentelmana trzeba przyaresztować — rzekł Winter do swego podwładnego.

Braun domyślił się, że Winter chce opryszka tylko tak nastraszyć.

— Sam to mogę zrobić! — rzekł zbliżając się do łotra. — Chodźcie ze mną! — rzucił mu z surową miną.

Opryszek skulił się z trwogą.

— Panie komisarzu! — prosił teraz łotr. — Ja panu wyrządziłem przysługę ja... ja ostatecznie zrobię co pan każe.

— A tak, to co innego — ucieszył się Winter. — Cóż się pan dowiedział? — spytał potem szeptem Brauna.

— Tyle co nic. Szukają ich, ale bez skutku. Powiadają, że musieli przecież uciec.

— Hm! Byliby uciekli do pałacu i ukryli się w mauzoleum. Możemy jeszcze raz zobaczyć ale nie wcześniej jak wieczorem.

— Ale i jego nie możemy spuścić z oka, żeby nie uciekł — co mówiąc wskazał Braun na opryszka.

— Pan zostanie przy nim, a ja udam się do pałacu. Wieczorem się spotkamy — zadecydował Winter.

Rozmawiali tak cicho, że łotrzyk nic nie mógł słyszeć.

Rozeszli się w dwie przeciwne strony.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Jak hrabia Edmund mógł bez śladu zniknąć z doktorem Klocem?

W ciemnym kurytarzu zgubił hrabia swego towarzysza, ale nie spostrzegł się prędzej, gdy już Braun był daleko.

Hrabia przerażony stanął, nie wiedząc w którą stronę ma się udać.

Usłyszał za sobą krzyk pościgu i zobaczył na końcu kurytarza latarkę. Biegł dalej nie wiedząc sam dokąd i skręcając w jakiś boczny kurytarz natknął się znowu na jakiegoś człowieka z latarką.

Już chwycił za rewolwer, gdy spostrzegł, że to doktór Kloc. Ten poznał go także.

— Wszystko stracone! — zawołał — ratujmy więc się!

— Przedewszystkiem co z moją żoną? — spytał niecierpliwie hrabia Edmund.

— Zdaje mi się, że zdołała uciec z Winterem, ale my teraz myślmy o sobie!

Uciekając z nim przez ciemne kurytarze, opowiedział mu co się działo w celi Agaty. Tymczasem zaszli na jakieś ciemne podwórze, gdzie zobaczyli przygotowaną dla Agaty szubienicę.

Pod rusztowaniem, obciągniętem czarnem suknem skryli się obaj ścigani, a strażnicy którzy przybyli na podwórze, już ich nie zobaczyli.

Nikomu nie przyszło na myśl szukać zbiegów pod strasznem rusztowaniem. Pościg puścił się więc znowu po kurytarzach zamku.

Dobrą godzinę siedzieli ukryci, nie śmiejąc się wychylić, potem dopiero wyszli i szukali wyjścia z podwórka, ale obie prowadzące do niego bramy w murze były zamknięte.

Już ranek się zbliżał. Jedyna ich nadzieja była, że ktoś wejdzie i bramę zostawi otwartą. Tymczasem musieli się jednak znów skryć pod rusztowaniem z obawy, aby ich nie zobaczono, gdy się rozjaśni.

Nikt nie przychodził. Nic nie zamącało ciszy straszliwego podwórka. Słońce podnosiło się coraz wyżej, ale nie zaglądało do tego ponurego miejsca, gdzie doktór z hrabią minuty na minuty czekali drżąc z trwogi i znużenia.

Tak przesiedzieli w apatyi aż do wieczora. Dopiero gdy się ściemniło, wyszli z ukrycia nie wziąwszy w usta ani kropli wody.

Głód i pragnienie dokuczało im nieznośnie. Mimo to nie tracili nadziei. Narzędziami, które mieli przy sobie, nie zdołali otworzyć żadnych bram, bo nie umieli się z niemi obchodzić.

Zniechęceni oddali się rozpaczy.

— Może nam Winter przyjdzie z pomocą! — rzekł Kloc beznadziejnie. Ale hrabia Edmund był pewny, że Winter jest także uwięziony, a Agata z nim.

— Najlepszy dowód — mówił — że nie rozebrano dziś tego rusztowania. Wszak to na nią!

Wtem usłyszeli jakiś szmer i ledwie doktór Kloc miał czas z hrabią odskoczyć, by się skryć pod murem w ciemności, otworzyły się drzwi gmachu, jakiś urzędnik z latarką podszedł ku szubienicy, zostawiając drzwi wchodowe otwarte.

Dozorca musiał słyszeć ich rozmowę i szukał ich po przeciwnej stronie za rusztowaniem.

W tejże chwili Kloc pociągnął Edmunda za sobą. Obaj skoczyli do bramy, klucz tkwił w dziurce. — Kloc przekręcił go i podwórze było zamknięte.

Niebawem powstał krzyk na podwórzu.

Urzędnik walił o bramę, gdy tymczesem obaj przyjaciele uciekli już przez kurytarz.

Wtem ożywiło się w więzieniu, ozwały się kroki i głosy. Tu i ówdzie zabłysły latarki.

Doktór z Edmundem przybyli do jakichś drzwi, które jednak mimo trudu narzędziami swojemi nie mogli w żaden sposób otworzyć.

Już pościg zbliżał się do nich, gdy wtem drzwi się otwarły i ku ogromnemu źdźiwieniu stanęli naprzeciwko siebie z jednej strony Edmund i doktór, z drugiej Winter.

Winter zoryentował sęi w sytuacyi i zanim pościg nadbiegł, drzwi były zamknięte, a zbiegów nie było.

Winter z Langhalsem wtargnęli powtórnie przez okno do trupiarni. Pod oknem Braun odbywał straż.

Tamtędy też teraz uciekli wszyscy na ulicę.

— Do pałacu, panie hrabio! — szepnął Winter Edmundowi — w mauzoleum jest pańska żona.

Tymczasem pościg wypadł za nimi już na ulicę, i ozwały się strzały.

Musimy się rozdzielić! — zawołał Winter i sam skręcił w ciasną uliczkę, prowadzącą do rzeki. Na prawo w przeciwnym kierunku zniknął Braun z doktorem.

Langhals zgubił się w ciemności nocy. Edmunda opuszczały już siły, gdy się znaleźli nad brzegiem rzeki. Ale łódki tam nie znaleźli. Przed nimi ciemna głębina, za nimi silny pościg.

Teraz o ucieczce już nie było mowy.

CLXXVI.

NOCNY NAPAD.

Coraz bardziej zbliżała się łódź Greifa i towarzyszy jego do czółna Waleryi i jej świty. Nie spostrzegła ona w nocy swoich prześladowców i nie miała pojęcia o grożącem jej niebezpieczeństwie.

Światło księżyca przyćmione gęstemi, zakrywającemi niebo chmurami nie bardzo rozświecało ciemności, panujące wokoło dyabelskiego wąwozu i sterczących obok jeziora skał.

Woda była jak atrament czarna, a płynąca po niej łódź znikła w cieniu skał z przed oczu zdziwionego Greifa. Ciemność wokoło była nieprzenikniona, a latarki zaświecić nie można było, aby się nie zdradzić.

Niebawem przybiło kierowane przez Detlewa czółno do dyabelskiego wąwozu. Towarzysze jego za nim wyskoczyli, lecz Waleryi z jej zgrają odszukać nie mogli.

Daremnie mozolił się Greif. Strome skały i egipskie ciemności przeszkadzały wtargnięciu ich w głąb wąwozu.

Jakżeż tu Walerya tak bez śladu z ludźmi swymi zniknąć mogła? Nawet czółna jej zoczyć nie mogli. Wydawało im się to zagadką, a jednak gdyby nie te ciemności, byliby spostrzegli jej żaglowiec w owej małej zatoczce, gdzie się znajdował drugi wchód do jaskini Piotra.

Tu oni wysiedli, a Piotr wciągnął Waleryę przez wązki otwór skalny do wnętrza.

Sinobrody poszedł za nimi. Zanim jednak znikł w jaskini, przystanął na chwilę u wejścia bo mu się zdawało, że słyszy zdaleka jakiś szmer, jak gdyby cichych kroków i stłumionych głosów.

Mylił go jednak szum fal wzburzonych, a panujące wokoło ciemności nic dostrzedz nie dały.

Wewnątrz jaskini zajaśniało światełko. Była to latarnia Piotra i Sinobrody poszedł za jej blaskiem. Po kilku minutach znaleźli się wszyscy troje przy łożu chorego Ludwika.

Spał, lecz zbudził się na odgłos kroków i spojrzał na stojącą przy nim Waleryę.

Był jeszcze tak osłabiony, że się sam podnieść nie mógł, ale wcale dobrze już wyglądał.

— Teraz mi za wszystko odpowiesz! — krzyknęła zawistnie. — Czy mi wydasz dziś akt ślubny i zdradziecki swój list do detektywa, czy nie?

— Nie mam ich przy sobie!— odparł Ludwik drżącym głosem.

—Wierzę, że ich przy sobie nie masz, gdyż inaczej byłby je Piotr w kieszeniach twoich znalazł! — zawołała Walerya. — Ale i w starych ruinach nie ma. Szukałam ich tam wraz z moja pokojówką... twoją sprzymierzoną! Przyznała mi się, żeś je tam schował. Musiałeś je stamtąd wyjąć i gdzieindziej umieścić.

Twarz Ludwika wyrażała zaniepokojenie i wzruszenie.

— Jakżeż te papiery z ruiny zniknąć mogły? — wybełkotał zirytowany.

— To ty sam chyba najlepiej wiedzieć musisz!

— Ależ ja pojęcia o tem nie mam — zapewniał ją.

— Więc, myślisz, że je Fryda stamtąd sprzątnęła?

— Tak jest! Nikt inny!

— Lecz Fryda, utrzymuje, żeś ty papiery te sam stamtąd wyjął. — Przyznaj się! — groziła Walerya.

— To jest kłamstwo! Jeżeli papiery znikły, to tylko Fryda je wzięła! — zawołał Ludwik.

— Chcesz mi oczy zamydlić, ale ci się to nie uda! — odparła Walerya. — Powiedz mi, gdzieś papiery schował, a ja ci wybaczę, żeś mnie w tak podstępny sposób chciał zgubić!

— Ja żadnego użytku z papierów tych robić nie chciałem! — bronił się Ludwik.

— Oszczędź sobie te głupie wykręty, wiesz przecież że mnie tem nie zmylisz — odparła pogardliwie. — Znam ja twój charakter i plan, który z pokojówką mą przeciwko mnie uknułeś! Szkoda, że cię kula moja lepiej nie trafiła!

— Doprawdy że mię krzywdzisz — jęczał Ludwik. — Schowałem papiery te w ruinie tylko na to, abym się w danym razie nimi mógł bronić.

— Więc chcesz całą winę na Frydę zwalić?

— Nikt inny papierów tych wziąć nie mógł, tylko ona! — Zażądaj je od niej.

— Co ty na to? — zwróciła się Walerya do swego brata.

Sinobrody spojrzał ponuro na Ludwika i odpowiedział krótko:

— Ten hultaj kłamie! Nie daj mu się w pole wyprowadzić!

— I mnie się tak zdaje, lecz jakżeż prawdę od niego wymusić? — rzekła gniewnie.

— Ja sam z nim pomówię — mruknął Sinobrody i pochylił się nad Ludwikiem.

— Czy słyszysz, hultaju! Nie wierzymy ci! — krzyknął na niego. — Jak się teraz do prawdy nie przyznasz, to ostatnia twoja godzina wybiła!

Twarz Ludwika powlokła się trupią bladością.

— Powiedziałem całą prawdę! — rzekł przekornie.

— Przyznaj się, psie uparty! — zgrzytnął — bo ci kulę w łeb wpakuję!

To rzekłszy wyciągnął rewolwer, i przyłożył go Ludwikowi do czoła. Ten zbladł jeszcze bardziej i zadrżał na całem ciele. Pozornie zachował jednak spokój, i rzekł obojętnie:

— Zamordujcie mnie jak chcecie, a ja przecież nie mogę powiedzieć tego, czego nie wiem!

—Namyśl się u dyabła, bo tu chodzi o twoje życie! — zgrzytnął Sinobrody. — My nie żartujemy!

Ludwik nie odpowiedział nic więcej, gdyż wiedział, że mu ani prośby ani groźby nie pomogą, i że na litość ze strony przeciwników swych liczyć nie może.

Wzrok jego spoczął teraz na marmurowo zimnej twarzy Waleryi, która ze swej strony patrzała na niego z demoniczną nienawiścią.

— Czy chcesz się wreszcie przyznać do prawdy — rzekła zimno. — Czy może wolisz umrzeć? Pytam cię po raz ostatni!

— Przekonasz się z czasem, że mówiłem prawdę? — szepnął zdławionym głosem. — Jeżeli mi nie chcesz wierzyć, to rób co chcesz! Jestem w twojej mocy, i wiem, że ani u ciebie, ani też u twego brata zabójstwo człowieka, nie jest wielką rzeczą.

— Sam wyrok na siebie wydałeś — syknęła, i zwróciwszy się do Sinobrodego, rozkazała:

— Zabieraj rewolwer, Robercie! Pozbędziemy się go najlepiej, topiąc w jeziorze.

Ludwikowi krew się w żyłach ścięła na te słowa. Widział, że wrogowie jego nie żartują i ogarnęła go śmiertelna trwoga. Zaczął myśleć nad tem, jakby się uratować.

Sinobrody złapał go już za barki, a Piotr ujął za nogi. Chcieli go tak wynieść i wrzucić do jeziora.

Drżąc z obawy, wyciągnął ku Waleryi błagalnie swe ręce i zawołał:

— Miej litość nademną!

Lecz Walerya nieprzystępna była dla takich uczuć.

— Mów, albo... — krzyknęła dziko.

— Słuchaj mnie! — jęknął przerażony łotr. — Chcę ci wyznać całą prawdę.

Na skinienie Waleryi odstąpił Sinobrody wraz z Piotrem od łoża chorego. Ludwik leżał przez kilka sekund jakby oszołomiony i martwy. Duże krople potu na czoło mu wystąpiły.

— No i cóż? — nalegała Walerya niecierpliwie.

Ludwik otworzył oczy, i popatrzał na nią jakby nieprzytomny. Wyrażały one obawę, chytrość i nienawiść.

— Papiery leżą jeszcze w ruinach — syknął przez zęby. — Bezemnie ich jednak nie znajdziesz, gdyż nie leżą one już na miejscu, które wskazałem pokojówce.

— Opisz mi dokładnie miejsce, to ja już znajdę.

— Daremnie je szukać będziesz, mruknął. — Leżą one pod podłogą.

— Dobrze! Przekonam się, czy prawdę mówisz, a jeżeli papierów tam nie znajdę, to śmierć twoje niechybna!

— Mówiłem już, i jeszcze raz to powtarzam, że papierów sama nie znajdziesz! Czekaj, dopóki nie wyzdrowieję, a wtedy w twojej obecności papiery ze schowku wyjmę.

Walerya zdawała się namyślać. Potem popatrzyła badawczym, przenikliwym wzrokiem w bladą, skrzywioną strachem twarz Ludwika.

— Jestem pewna, że mię okłamujesz — rzekła po chwili milczenia. — Pójdę natychmiast i przekonam się!

Odwróciła się od niego, i zaczęła się z bratem swoim po cichu naradzać.

Sinobrody nie wierzył w zeznania Ludwika, i miał je tylko za wykręt, zmyślony tylko na to, aby życie swe uratować.

— Zróbmy z nim koniec — radził. — Jeżeli papiery tam są rzeczywiście, to je i bez niego znajdziemy.

Walerya nie mogła się jednak na ten czyn zdecydować.

— Zostawmy go jeszcze przy życiu! — zadecydowała. — Mamy go przecież w swojej mocy, i możemy z nim zrobić każdej chwili, co zechcemy.

Sinobrody niechętnie jej tylko ustąpił.

— Uważaj! — rzekł ostrzegająco. — Pożałujesz jeszcze, żeś mię nie usłuchała! Nie można nigdy wiedziec co się stanie. On może uciec, a wtedy nie ujdziesz jego zemście.

Walerya nie dała się jednak zbałamucić. Nie była to z jej strony litość dla Ludwika, tylko zimne wyrachowanie. Chodziło jej o papiery, które przez niego miała wydostać. Chciała je wpierw mieć w ręku, a potem mógł umierać.

— Chodźmy — rzekła więc do Sinobrodego. — Nie mogę się dłużej zatrzymywać, aby książę nieobecności mej nie spostrzegł.

Wychodząc wszyscy troje z jaskini, zobaczyli na wodzie światło, i mogli wyraźnie poznać cienie ludzkich postaci.

— Co to jest?—Zawołała Walerya zatrwożona. — Widocznie ktoś tu nas szpieguje i nas szuka!

— To jest bezwątpienia ten przeklęty szpieg Greif z kapitanem Brandelfeldem! — zgrzytnął Sinobrody gniewnie. — Wygląda, jakgdyby ich conajmniej było sześciu. Cóż u licha zrobimy?

— O, jaskini pewno nie znajdą! — pocieszał go Piotr. — Rozglądają się w ciemności i pewno niebawem z niczem odjadą.

— Kto wie? — odparła Walerya zaniepokojona. — Ja nie mam czasu czekać, i muszę natychmiast do zamku wracać.

Sinobrody zaklął po cichu. Uznał jednak że napad na wroga byłby teraz bardzo nierozsądny.

— Sądzę, że możemy spokojnie odjechać— rzekł Piotr. — Oni nas w tej ciemności nie zobaczą.

— A jak przecież znajdą wchód do jaskini? — wtrącił Sinobrody. — Gotowi znaleźć Ludwika i zabrać go ze sobą, a to by było fatalne dla ciebie.

— Bierzmy go więc ze sobą — rzekła ponuro. — Nie wiem tylko dokąd?

— Do zamku go ze sobą zabrać nie możesz — perswadował jej Sinobrody. — Będzie więc lepiej, gdy go tu zostawisz. — Trzeba go tylko lepiej schować.

Zwróciwszy się do Piotra, zapytał:

— Czy nie ma tu w jaskini bezpieczniejszego schowku?

— Nie wiem! Trzebaby szukać.

— Nie mam czasu! — zawołała Walerya niecierpliwie. — Niech go znajdują, jak chcą. — Nie obawiam się Greifa, bo zostanie on wkrótce i tak wydalony ze służby, jak Winter.

Wsiadła do czółna, a towrzysze poszli za jej przykładem. Odbiwszy od brzegu, popatrzyli raz jeszcze w stronę wąwozu i zobaczyli, świecące latarki i poruszające się postacie. Widocznie nikt nie spostrzegł ich odjazdu.

Dojechawszy do brzegu, wyskoczyła Walerya pierwsza i pobiegła ku zamkowi, z obawy, aby książę nie spostrzegł jej nieobecności.

Sinobrody pozostał z Piotrem w tyle i omawiał z nim nowy plan.

— Sposobność jest korzystna! — rzekł hrabia Sinobrody. — Detektyw jest z kapitanem i nie ma przeczucia, żeśmy mu uciekli. Udajmy się więc na zamek Wildenfels i zabierzmy skarby starego hrabiego. Może nam się uda uczynić go nieszkodliwym, a Gertrudę i Józefę w moc naszą dostać. Uwięzilibyśmy je obie w jaskini, obok Ludwika Hechta!

Piotrowi podobała się pierwsza połowa planu, lecz uwięzienie Gertrudy i Józefy miał za zupełnie bezcelowe. Sinobrody nie dawał się jednak zbić z tropu.

— Osiodłaj konie! — rozkazał. — Chcę wejść do zamku i omówić sprawę tę raz jeszcze ze swoją siostrą Waleryą.

Podczas gdy się Piotr zbliżał się do stajni, Sinobrody pospieszył w stronę komnat Waleryi.

W zamku panowała cisza i ciemność. Wszystko spało.

Niespostrzeżenie dostał się Sinobrody do swego pokoju, leżącego obok sypialni Waleryi.

Chciał już zapukać do drzwi, gdy się nagłe przerażony wstrzymał. Z pokoju Waleryi dochodziły go głosy ludzkie. Nie była sama.

Sinobrody przyłożył ucho do klamki i rozpoznał wyraźnie męski głos. Książę był bezwątpienia w komnatach Waleryi.

Postanowił więc czekać. Długo jednak zatrzymać się tu nie mógł, jeżeli nie chciał odłożyć napadu na zamek Wildenfels. Tego zaś uczynić nie mógł, gdyż taka dobra sposobność jak dzisiejsza, pewnoby mu się więcej nie nadażyła.

Klnąc na księcia, oddalił się Sinobrody i spotkał w ogrodzie Piotra. Skoczyli obydwaj na koń i popędzili przez furtkę leśną.

Gdy dojechali do zamku Wildenfels, była właśnie godzina trzecia nad ranem i wszystko w głębokim śnie jeszcze leżało.

Dostali się bez trudu na podwórze, gdzie Piotr umieścił konie. Potem weszli do tego skrzydła, w którem się znajdował skarbiec hrabiów Wildenfels.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Sinobrody i Piotr nie opuścili zamku myśliwskiego niespostrzeżenie, gdyż w lesie stało kilku mężczyzn na straży, podczas gdy Greif dyabelski wąwoz przeszukał.

Spostrzegli też jeźdźców, gdy z ogrodu wyjeżdżali i poznali w nich Sinobrodego i Piotra.

Niezwłocznie rzuciło się dwu z nich na koń i popędziło za zbrodniarzami.

Jeden z prześladowców tych był farmer, a drugi jakiś agent policyjny. Trzeci zaś został w lesie na straży. Zaświecił czerwoną latarkę, a sygnał ten spostrzeżono w dyabelskim wąwozie.

Wkrótce zjawił się Greif z Detlewem i Aleksandrem, a detektyw objaśnił im w krótkich słowach co się stało. Nie namyślając się, dosiedli Greif z Aleksandrem koni i popędzili w kierunku zamku Wildenfels.

— Oni nam tym razem nie umkną, łotry! — zawołał Greif z tryumfem. — Złapiemy ich z pewnością na zamku Wildenfels!

— Daj Boże, aby nie przyjechać tam za późno! — rzekł Aleksander zaniepokojony. —

Obawiam się o bezpieczeństwo naszych pań.

W obszernej, starożytnej komnacie, przypierającej do skarbca, siedział stary hrabia o późnej godzinie przy blasku małej lampki. Urządził sobie ten pokój, gdyż nie chciał mieszkać w komnatach zajmowanych przez tak długi czas przez Sinobrodego.

Na dużym stole przed nim leżała cała masa złota i srebra, które sobie hrabia z banku na przebudowanie zamku kazał przysłać. Nie mogąc spać, przeliczał hrabia pieniądze, aby je w skarbcu schować.

Wnosił tam właśnie część pieniędzy, gdy się do pokoju jego ciche kroki skradać zaczęły. Hrabia nie słyszał tego jednak i nie przeczuwał, jak straszne niebezpieczeństwo mu grozi.

Przed drzwiami ozwały się szepty, potem położył ktoś rękę na klamce. Lecz drzwi były na klucz zamknięte a nie otwarły się. Wsunięto między drzwi żelazny pręt. Jedno szarpnięcie, głośne skrzypienie i rygiel się ułamał, i drzwi z trzaskiem się rozwarły.

W tej chwili wrócił stary hrabia ze skarbca i spojrzał oniemiały ze strachu na drzwi w których otworze stały dwie straszne postacie.

— Sinobrody! — krzyknął przeraźliwie. — Wielki Boże!... Pomocy!

Z dzikim uśmiechem przeskoczył hrabia Sinobrody próg pokoju. Piotr poszedł w jego ślady z dużym nożem myśliwskim w pięści.

W pierwszej chwili stał przez wrogów swych napadnięty hrabia, jak gdyby sparaliżowany.

— Krzycz ile chcesz! — kpił Sinobrody.— Nikt ci na pomoc nie przyjdzie. Jesteś w mojej mocy i ostatnia godzina twoja wybiła!

— Podły morderco! — krzyknął stary hrabia, który się szybko opanował i za stół skoczył.

Złapał za nabitą broń, która na kanapie leżała i wycelował groźnie w stronę Sinobrodego i Piotra, którzy się do niego zbliżyć chcieli.

— Poddajcie się, mordercy! — krzyknął hrabia wściekle. — Poddajcie się, albo was obu zastrzelę jak psów!

— U dyabła! — zgrzytnął Sinobrody. — Opór twój na nic ci się nie zda, bo nas jest dwóch.

Zaczęła się rozpaczliwa walka na noże i pistolety. Wreszcie krzyknął Piotr przeraźliwie, opuścił nóż i padł z jękiem na ziemię.

Przerażony patrzał Sinobrody na leżącego Piotra i opadła mu ręka z rewolwerem.

— Odrzuć rewolwer zbóju — krzyknął stary hrabia do niego — bo strzelę do ciebie.

Zgrzytając zębami cofnął się Sinobrody, a oczy jego ciskały błyskawice najdzikszej nienawiści. Z ust jego wychodziły najokropniejsze groźby i przekleństwa.

Stary hrabia nie spuszczał go ani na chwilę z oka, i domagał się od niego energicznie odrzucenia broni.

Wtem rozległ się na podwórzu głośny krzyk i nawoływania. Słychać było po schodach tupanie nóg. Widocznie zbliżała się staremu hrabiemu pomoc. Odgłos wystrzałów zaalarmował śpiących mieszkańców zamku.

Sinobrody przestraszył się. Ujrzał, że tylko ucieczką uratować się może, więc skoczył z

— Stój — krzyknął stary hrabia i wyodwagą przez okno.
strzelił za nim. Lecz dym się rozszedł, a Sinobrody znikł.

W tej chwili wpadł do pokoju Greif z Aleksandrem, farmerem i detektywem. Nie mogli ich wprawdzie dogonić, lecz poznali cel ich jazdy.

Zobaczywszy Piotrą na ziemi, a starego hrabiego z rewolwerem w ręku, wszystkiego się domyśleli.

Stary hrabia powitał ich z radością.

— Gdzie jest Sinobrody — zapytał Greif i wybiegł z pokoju.

Wszyscy obecni pospieszyli za nim. Przy leżącym nieprzytomnie Piotrze nikt nie został. W całym zamku powstał ruch. Zbiegła się służba, a Gertruda i Józefa przybiegły przelęknione i pytały o powód tego zamieszania.

Wkrótce wszystko co żyło pogoniło za Sinobrodym. Pozamykano wszystkie wyjścia, a Greif zaczął poszukiwać wszystkie zakątki i schowki rozległym zabudowań zamkowych.

Szukano przez całą noc i zaczęło już nawet świtać, a Sinobrodego jeszcze nie znaleziono. Przypuszczano, że mimo pozamykanych bram zdołał uciec, i wrócono do Piotra, który leżał zimny i martwy na podłodze.

Greif popatrzył na niego gniewnym wzrokiem.

Szkoda, że już umarł — rzekł — myślałem ,że wydobędę od niego jeszcze jakie zeznania.

Zamknięto pokój ze zwłokami Piotra aż do nadejścia komisyi sądowej.

Po krótkiej pauzie wzięto się znowu do szukania za Sinobrodym. Greif pewny był, że z zamku uciekł, i wiedział gdzie ma go szukać.

W towarzystwie detektywa popędził więc do zamku myśliwskiego, pewny że Sinobrodego tam przyłapią. Wiedział, że księcia tam zastanie, spodziewał się jednak, że ten mu przeszkód robić nie będzie.

Około południa dojechał do zamku myśliwskiego i zastał tam już swoich ludzi, któ-

rzy po bezskutecznem szukaniu opuścili dyabli wąwóz i tu przybyli. Strzegli zamku, lecz Sinobrodego nie widzieli.

— A przecież on tu być musi— rzekł Greif stanowczo — zostańcie wy przy wyjściu, a ja wejdę do środka, aby zupełną pewność osiągnąć.

Pociągnął za dzwonek. Wyszedł odźwierny i zapytał, czego sobie życzy.

Greif wręczył mu swoją kartę, i prosił aby go u księcia zameldował.

Niebawem wrócił odźwierny i zmierzył Greifa pogardliwym wzrokiem.

— Żałuję, ale książę nie przyjmuje — rzekł szyderczo i zamknął Greifowi bramę przed nosem.

Greif zacisnął pięści. Obrażająca ta odprawa była naturalnie dziełem Waleryi. Był wobec tego bezsilnym. Zamek należał do księcia, nie wolno mu było do niego wtargnąć.

Postanowił więc wrócić do stolicy, aby uzyskać pełnomocnictwo. Ludzi swoich zostawił na straży, aby im Sinobrody nie umknął.

CLXXVII.

PRZYJACIÓŁKA W POTRZEBIE.

Bezradny i zmęczony został Ludwik w jaskini, gdy go Walerya z Sinobrodym i Piotrem w nocy opuścili.

Ogarnęła go śmiertelna trwoga. Wiedział, że jest na zawsze stracony.

Wiedział, że Walerya przeszuka ruinę, i że tam papierów nie znajdzie. Okłamał ją aby uzyskać trochę czasu, lecz na nic mu się to nie zdało. Zobaczy wkrótce, że ją oszukał i srodze się zemści.

Obawa jego wzrastała z każdą chwilą. Znosił nieopisane katusze. Leżał tu chory, bezsilny i niezdolny do jakiekolwiek wysiłku.

Jakżesz chętnie byłby uciekł. Lecz nie mógł się podnieść, aby opuścić tę straszną jaskinię.

Jęknął głośno i przeklinał Waleryę. Dostał gorączki z rozpaczy. Nienawidził tej demonicznej kobiety, i poprzysiągł jej okropną zemstę.

Lecz cóż mu te odgrażania się pomagały? Walerya drwiła sobie z jego bezsilnej złości. Miała życie jego w ręku, jedno skinięcie jej, a byłoby po nim.

Nie słyszał tego jak Greif z ludźmi swoimi jaskinię przeszukiwał. Jakżesz chętnie byłby detektywa wezwał na pomoc, gdyby był przeczuwał, że go ma w pobliżu.

Tak przeszła noc. Ludwik zasnął silnie, a gdy się obudził było już południe. Rana strasznie go bolała, pragnienie okropnie dokuczało mu. Daremnie wołał o pomoc, aż mu w gardle zaschło i siły go opuściły. Stracił prawie przytomność i myślał, że już umiera.

W samotnej jaskini zaczęło się ściemniać. Zapadła noc, a nikt się u niego nie zjawiał. Czyż Walerya chciała go na tak straszną śmierć narazić?

Wtem zobaczył zdaleka promień światła. Wstąpiły w niego nowe siły i nowe nadzieje.

Po chwili przyszło mu jednak na myśl, że to mogła być Walerya albo jej towarzysze i że oni mu śmierć przynoszą. Z przerażeniem i trwogą patrzał więc na wyłaniające się z ciemności i zbliżające się do niego postacie.

— Mimo całej ostrożności Waleryi, dowiedziała się pokojówka jej o tajemnicy w dyabelskim wąwozie. Nie przeczuwała wprawdzie, że się tam Ludwik ukrywa, bo go miała za umarłego, lecz przypadek miał jej przyjść z pomocą.

Podsłuchała bowiem rozmowę Sinobrodego z Piotrem, gdy po raz pierwszy z jaskini wracali. Plan przeciwko staremu hrabiemu nie interesował Frydy. Zaczęła dopiero z zajęciem nadsłuchiwać, gdy o Ludwiku była mowa i dowiedziała się, że on żyje i gdzie się znajduje. Pojęła więc teraz wycieczkę Waleryi do dyabelskiego wąwozu.

Przebiegła pokojówka postanowiła natychmiast uwolnić Ludwika i pokrzyżować plany swej pani. Na razie jednak nic uczynić nie mogła, gdyż Walerya wróciła do zamku. Musiała więc wrócić za nią, aby nie ściągnąć na siebie podejrzenia.

Ani Sinobrody, ani Piotr nie spostrzegli pokojówki, gdy się do zamku skradała.

Nazajutrz rano chciała Fryda przystąpić do swego dzieła, było jej to jednak niemożliwem, gdyż Walerya ciągle ją potrzebowała. Przebiegła dziewczyna pocieszała się jednak nadzieją, że wieczorem wolna będzie, gdyż książę miał tej nocy zostać w zamku.

Udała ból głowy i uzyskała pozwolenie, aby się wcześnie spać położyć. Ledwo się jednak ściemniło, zarzuciła ciemny płaszcz i wysunęła się przez ogród na brzeg jeziora. Wsiadła do czółna a że dobrze umiała wiosłować więc znalazła się niebawem w dyabelskim wąwozie.

Była tak zmęczona wiosłowaniem, że musiała spocząć na chwilę. Była już ciemna noc, a nagie, groźnie sterczące skały, dodawały samotni tej ponury wygląd.

Zebrała jednak całą swą odwagę, zapaliła latarkę i posunęła się wzdłuż brzegu. Niebawem zobaczyła wystarczającą płytę skalną,

która jej się jak brama grobowca wydawała.

Było to drugie wejście do jaskini, które odkryła i wszedłszy ostrożnie, szła, torując sobie drogę przy świetle latarki.

Nagle usłyszała ona cichy jęk i stanęła przerażona, nie wiedząc czy ma dalej pójść, czy się cofnąć.

Wtem zobaczyła ona na mchu leżącą postać ludzką. Był to Ludwik. Z przerażeniem i współczuciem spojrzała w jego bladą, znękaną twarz.

Ludwik również poznał pokojówkę, lecz myślał, że mu się to śni. Z wytężeniem sił podniósł głowę i jęknął ochrypłym głosem:

— Fryda! Czy tu wy? Na miłość Boską!

— Tak jest! — odparła pokojówka klęcząc obok niego. — Chwała Bogu, że pana tu w tej nędznej jaskini znalazłam i że panu pomódz mogę.

Ludwik ujął jej rękę z wzruszeniem, a z oczu jego zaświtała nowa nadzieja.

— Jestem bliski śmierci! — jęknął on. — Trochę wody, bo ginę!

Fryda wyciągnęła z kieszeni flaszkę wina, którą na każdy przypadek ze sobą przyniosła, poszła po wodę i podała spragnionemu Ludwikowi orzeźwiający trunek.

Po chwili wzmocnił się Ludwik o tyle, że mógł się z nią porozumieć.

Podziękował on pokojówce najpierw za jej troskliwość i opowiedział jej jak go Walerya w lesie postrzeliła, a Piotr znalazł i tutaj przytransportował.

— Nędznik ten zdradził mnie jednak przed moją okropną, podstępną żoną! — zgrzytnął on. — Przyszła ona tu do mnie i zażądała papierów. Ach, cóż ja się przez tych kilka ostatnich dni wycierpiałem. Wczoraj wieczorem chcieli oni mnie mordować!

— Nie miałam pojęcia, że pan jeszcze żyje! — wtrąciła pokojówka. — Dowiedziałam się o tem dopiero ubiegłej nocy, i nie mogłam się tu przedtem wybrać. Jakżesz panu teraz pomódz? Przecież pan się z miejsca ruszyć nie może!

— O Boże! A przecież mi tu dłużej zostać nie wolno !— jęknął Ludwik. — Bo Walerya tu wróci, a wtedy ja przepadłem! Nie opuszczajcie mnie, Frydo! — błagał on. — Pomóżcie mi, a ja wam wiecznie za to wdzięczny będę!

Pokojówka byłaby mu chętnie pomogła, lecz nie miała tyle sił aby go z jaskini wynieść. Ludwik także to widział. Daremnie przemyśliwali oni oboje nad drogą wyjścia.

— Jeżeli to inaczej nie pójdzie, to zawołajcie detektywa na pomoc, Frydo! — westchnął Ludwik w rozpaczy. — Wolę wrócić do więzienia, niż wpaść napowrót w ręce tej szatańskiej kobiety.

— Detektyw Winter nic nam pomódz nie może! — odparła Fryda ponuro. — Rzeczy tak bowiem stoją, że Walerya utrzymuje, że Winter był waszym mordercą. Mają go nawet o to oskarżyć! Ale jest tu inny ajent policyjny Greif....

—O, znam go dobrze! Biegnijcie czemprędzej, Frydo i proście go o ratunek dla mnie.

— Jest on tu w pobliżu i szukał już za panem! — rzekła Fryda. — Był nawet wczoraj w dyabelskim wąwozie i dziwię się, że nie odkrył tej jaskini!

— Gdybym to był przeczuwał! — krzyknął Ludwik zdziwiony. — Byłbym go zawołał.

— Może to w inny sposób pójdzie! — rzekła Fryda zamyślona. — Jeżeli was bowiem detektyw stąd uratuje, to powędrujecie wprost do więzienia. Cóż więc będzie z naszych planów przyszłości?

— Ach! Macie słuszność! — potwierdził Ludwik.—Cóż jednak innego da się zrobić? Niebezpieczeństwo jest wielkie i nagli do pośpiechu. Jutro Walerya pewno wróci, a wtedy jestem stracony!

— Sądzę, że się niepotrzebnie o życie swoje obawiacie!

— Ależ ja jestem pewny, że ta dyablica śmierć moją postanowiła! Ja jej zawadzam i ona mnie chce ze świata sprzątnąć. Wam zaś, Frydo, grozi to samo niebezpieczeństwo, bo Walerya zna wasze przymierze i wie, że ja was we wszystko wtajemniczyłem!

— Ja się jej nie boję! — zaśmiała się Fryda szyderczo. — Na mnie ona się nie odważy, bo ja mam przeciwko niej broń! Wie ona o tem...

— Właśnie dlatego, że jej jesteście tak niebezpieczną, nie spocznie Walerya, dopóki was nie zgubi! — wtrącił Ludwik pewnym tonem. — O, nie lekceważcie sobie moich ostrzeżeń, Frydo! Błagam was o to!

— Będę się miała na ostrożności!

— Jakżeż się przed podstępem Waleryi bronić chcecie? Ona przecież wie, że wy macie papiery... list mój do Wintera i akt ślubny... Nieprawdaż, Frydo? — zapytał badawczo.

— Mam papiery! — odrzekła pokojówka spokojnie, wyratowałam je stamtąd jeszcze w sam czas! Hrabina szukała je tam później, lecz już nie znalazła. Wmówiłam jej wtedy, że pan papiery te gdzieindziej schował. Nie mogłam sobie inaczej pomódz!.

— A teraz ona je odemnie żąda! — dodał Ludwik. — Trzymajcie dobrze te papiery, Fry-

do! Szczególnie ten akt ślubny! — upominał ją.

— Naturalnie, że nie wydam!

— Mam tylko jeszcze jedno gorące życzenie, zemścić się na tej żmii! — krzyknął Ludwik z zawiścią. — Chcę się na niej zemścić i chociażbym sam przytem miał zginąć!

— To na później! A teraz musi pan pomyśleć o własnem uratowaniu!— upominała go Fryda. — Nie wiem doprawdy co z panem wobec tej bezsilności pana zrobić i jak panu pomódz.

— Czy nie moglibyście wciągnąć jakiego służącego z zamku w zaufanie?

— To byłoby bardzo ryzykowne! — odparła Fryda.

— Nie mam więc żadnej innej rady! — westchnął Ludwik.

— Musi pan więc na razie tutaj pozostać i podchodzić Waleryę różnemi obietnicami! — radziła pokojówka. — Niema na razie innej drogi wyjścia. Niech pan obstaje przytem, że papiery muszą być w ruinach!

— Ona mi nie uwierzy!

— Dlaczego nie? Ale chociażby nawet wątpiła, to zanadto jej zależy na wydobyciu papierów, aby nie miała wierzyć we wszystko, co jej pan mówi! — tłumaczyła mu pokojówka. — Musi pan obiecać swojej żonie, oddać jej papiery te, skoro tylko pan wyzdrowieje i do ruin będzie mógł pójść. Tem ją bezwątpienia będzie można trzymać na pasku.

— Wątpię! — mruknął Ludwik zniechęcony. — Ona mnie pewno każe zamordować!

— Do tego nie przyjdzie! — zawołała Fryda. — Ja temu wszystkiemi siłami przeszkodzę.

— Czyż się o własne życie nie obawiacie?

— Niech pan o mnie będzie spokojny! — uspokajała go pokojówka. — Na dziś i jutro może pan zresztą być pewny, że żona pańska się tu nie zjawi, bo książę tak długo w zamku zostanie. Co do mnie, będę się też starała przeszkodzić wizycie hrabiny Waleryi, albo Sinobrodego i Piotra u pana! Proszę więc też nie tracić odwagi i nadziei.

Słowa pokojówki podziałały na Ludwika dziwnie uspokajająco. Postawiła ona mu jeszcze przy łożu wodę i żywność i pożegnawszy się, odeszła.

— Jutro wieczorem znów tu zaglądnę. Proszę się niepotrzebnie nie niepokoić.

Wskoczyła do czółna i w godzinę później była w zamku i wsunęła się niespostrzeżenie do swego pokoju.

Wbrew oczekiwaniu jej wrócił książę już nazajutrz w południe do stolicy, aby przedsięwziąć kroki przeciwko Greifowi, temu niebezpiecznemu wrogowi Waleryi.

Ledwo książę odjechał, dała Walerya dwom służącym rozkaz, aby się zaopatrzyli w potrzebne narzędzia i za nią do ruiny poszli.

Fryda przypatrywała się tym przygotowaniom ze złośliwą radością. Oglądała się daremnie w zamku za Sinobrodym i Piotrem, nie wątpiła jednak ani na chwilę, że Piotr jeszcze żyje, nie miała przeczucia o jego śmierci.

Fryda myślała, że ją Walerya ze sobą do ruin zabierze, lecz się omyliła, hrabina poszła sama ze swoimi oboma służącymi. Sinobrody także się nie pokazywał... czyżby go nie było w zamku?

Nagle ukazał się przed bramą zamkową oddział jeźdźców konnych. Byli to żandarmi i policyanci z Greifem i Aleksandrem na czele i domagali się, aby ich wpuszczono do wnętrza.

Odźwierny nie chciał brać na siebie odpowiedzialności i prosił Greifa aby czekał nim on rządcę zawoła. Ten ostatni zaś, dał prędko znać o tem Waleryi i pospieszył do bramy, aby z detektywem pomówić.

Tymczasem dostała się Walerya ze służącymi swoimi do ruin, ledwo się jednak zabrano do roboty, gdy się zjawił posłaniec rządcy.

Walerya mocno się przestraszyła, gdyż obawiała się, aby Greif jej samej nie chciał przyaresztować.

Bez zwłoki wróciła się Walerya ze służbą swą do zamku. Opanowała ją okropna trwoga i przerażenie, gdyż poznała się na grożącem jej niebezpieczeństwie.

Detektyw czekał pewno na odjazd księcia i myślał, że teraz będzie miał łatwą sprawę!

Z pozornym spokojem, który sobie ciężko wywalczyła, przystąpiła Walerya do furtki. Była na najgorsze przygotowana, lecz wbrew oczekiwaniu, nikt jej wstępu do zamku nie zabronił. Wsunięto za nią dwu tajnych agentów, którzy się w ogrodzie skryli.

Spostrzegli to służący i wszczęła się między nimi a policyantami walka. Walerya biegła jednak dalej i nie czekała końca.

Wbiegła wprost do swoich komnat i zamknęła się w sypialni. Zastała tam siedzącego przy stole staruszka o siwej brodzie i eleganckim ubraniu.

Był to brat Waleryi, hrabia Sinobrody, któregoby w przebraniu tem nikt nie był poznał. A przecież on to był. Uciekł szczęśliwie z zamku Wildenfels i wsunął się tu tak niespostrzeżenie, że go ludzie Greifa nawet nie spostrzegli.

Na widok Waleryi skoczył zaniepokojony.

— Czy grozi nam może jakie niebezpieczeństwo? — zapytał.

—Tak jest! Jest tu znów detektyw!—

zawołaał gniewnie. — Obawiam się, że się tym razem tak byle czem zbyć nie da!

Sinobrody zaklął dziko, i mocno się przestraszył.

— Więc on wie o tem, że ja tu jestem, ten przeklęty szpieg? — zgrzytnął wściekle.

— Zapewne! — odpowiedziała Walerya.— Co za szkoda, że księcia tu nie ma. Jestem w strachu, że ten przebrzydły detektyw i mnie tym razem ma na myśli.

— To niemożliwe! Musiałby być szalony, aby się na coś podobnego odważył.

— Kto wie? Musimy w każdym razie być na wszystko przygotowani. Trzeba cię więc w pierwszym rzędzie ukryć, gdyż w tym pokoju łatwo cię odnajdą.

— Co? Czy ty detektywa wogóle do zamku wpuścisz?

— Nie pozostaje mi nic innego, jak to uczynić — odparła Walerya, wzruszając ramionami. — Widocznie ma do tego pełnomocnictwo, gdyż inaczej nie byłby wrócił. Szkoda tylko, że książę nie wrócił wcześniej do stolicy i nie przeszkodził krokom tego niebezpiecznego człowieka.

— Nie trzeba go wpuścić! — zawołał Sinobrody wzburzony.

— Obawiam się, że to nam nic nie pomoże.

— Czy myślisz, że się tu przemocą wciśnie? Chyba, że się na to nie odważy — rzekł Sinobrody. — Bez pozwolenia księcia nie wolno przecież policyi napadać zamku.

— Zrobię co będzie możliwe, aby detektywa odstraszyć. — Ale ty musisz być na każdy sposób ukryty.

— Tak jest! Ale gdzie tu znaleźć dobry schowek?

Walerya także tego nie wiedziała i była zupełnie bezradna. A tu czas naglił, gdyż Greif pewno długo wstrzymać się nie da.

Wtem... gdy oni oboje jeszcze daremnie nad drogą wyjścia medytowali, zapukał ktoś z przedpokoju do drzwi, które Walerya na klucz zamknęła.

Przerażeni podskoczyli oni oboje z siedzenia. Walerya zbladła, a z ust Sinobrodego wyrwał się okrzyk przestrachu.

— Oto już on, ten łotr! — rzekł drżącemi usty. — Teraz już zapóźno!

— Zostań więc tu, i schowaj się — szepnęła mu Walerya. — Zrobię wszystko, co tylko możliwe, aby temu zuchwałemu człowiekowi wstęp do komnat moich zagrodzić.

Wybiegła i drzwi za sobą na klucz zamknęła. Przeszła przez sypialnię i buduar. Potem otworzyła pozornie spokojnie drzwi do przyległej komnaty.

Przed nią stała Fryda z trwożnie wzburzoną twarzą ale z oczu jej błyskała złośliwa radość. Przekonawszy się, że sama, odzyskała Walerya równowagę.

— Czego chcesz? — spytała krótko.

— Komisarz Greif jest w zamku — odpowiedziała — i prosi, aby go wielmożna pani hrabina przyjęła.

— Jakto? On już w zamku? Kto go wpuścił? — zawołała Walerya gniewnie.

Rządca i odźwierny, których ludzie detektywa do tego zmusili!

Twarz Waleryi oblała się rumieńcem oburzenia.

— On tę zuchwałość ciężko odpokutuje! — rzekł dumnie. — Idź i powiedz temu człowiekowi, że ja się z nim widzieć nie chcę, i że mu w imieniu księcia zamek ten natychmiast opuścić rozkazuję.

Pokojówka skłoniła się, i nieznaczny uśmiech okalał jej usta. Gdy chciała wychodzić, aby rozkaz pani swej wypełnić, zapukano do drzwi, i wszedł rządca.

Przez odchylone drzwi widać było w przyległym pokoju zgromadzoną służbę i ludzi Greifa. Panował tam niespokojny szmer. Greif i Aleksander pchali się gwałtem naprzód.

Walerya podniosła dumnie piękną swą głowę i nakazawszy rządcy swemu milczenie, zmierzyła Greifa i towarzysza jego gniewnym wzrokiem.

— Co tu się dzieje? Co to ma znaczyć? — zawołała ostro. — Kto tym ludziom przyjść tu pozwolił?

— Przepraszam, wielmożna pani hrabino! — jąkał się rządca. — My jesteśmy niewinni. Pan komisarz wszedł tu gwałtem, i koniecznie z panią hrabiną chce się rozmówić. — Nie mogliśmy go w żaden sposób od tego wstrzymać.

— Dobrze! — rzekła Walerya łaskawie.— Widzę, że jesteście niewinni. — Książę pan dowie się jednak o tym zuchwałym napadzie, i ukarze winnych. To jest niesłychane, co sobie ci ludzie pozwalają!

To rzekłszy, chciała wrócić do swego buduaru, jak gdyby Greifa wcale nie widziała, lecz on zastąpił jej drogę i rzekł rozkazująco:

— Wielmożna pani! — Proszę mi odpowiedzieć na moje pytanie!

Walerya zbladła z bezsilnej złości, i zmierzyła detektywa pogardliwem spojrzeniem.

— Panie! — syknęła. — Czy pan wie, co pan czyni? Zdaje mi się, że nie, bo inaczej pewnoby się pan na tak zuchwały czyn, jak wtargnięcie w dom mój, nie odważył.

— Biorę na siebie odpowiedzialność za moje czyny — odparł Greif ze spokojną godnością. — Mam bowiem pełnomocnictwo przeszukania zamku w nieobecności księcia!

— Kto panu pozwolił wtargnąć tu jak jaki rabuś?

— Moja przełożona władza — oświadczył Greif zimnym tonem. — Oto jest moje pełnomocnictwo! Czy wielmożna pani zechce się przekonać?

Walerya nie spojrzała nawet na podany sobie dokument ,lecz drżała z ukrytej bezsilnej złości.

— Co pana tu sprowadza? — wycedziła przez zęby.

— Szukam zbrodniarza, który tu ma być ukryty — odparł Greif podniesionym głosem. — Wiem napewno, że on za wiedzą pani jest tu schowanym.

Walerya wybuchła nerwowym śmiechem.

— Zdaje mi się, że się panu w głowie pomięszało. — Nie wiem doprawdy, czego pan chce?

— Proszę nie grać komedyi — rzekł Greif wobec służby, która się zatrwożona scenie tej przysłuchiwała. — Wie pani sama dobrze, że szukamy tu ściganego przez policyę zbrodniarza i mordercę hrabiego Sinobrodego... brata pani, pani hrabino!

Walerya drgnęła, jak gdyby piorunem rażona przy ostatnich słowach detektywa. Blada jej twarz wykrzywiła się nie do poznania. Spojrzała na Greifa, jak gdyby go wzrokiem zmiażdżyć chciała.

— Szaleńcze! — syknęła zjadliwie. — Co pan tu mówi? Sinobrody miałby być moim bratem? Czy pan zwaryował?

— Wcale nie! — uśmiechnął się Greif szyderczo. — Oburzenie pani, faktu zmienić nie może. — Wierzę, że to pani nieprzyjemnie, że tajemnicę jej tak wobec wszystkich zdradzam, lecz obowiązek mnie do tego zmusza. — Przypuszczam, że ukryła pani brata swego w swoich komnatach. — Czy pozwoli pani, abym tam zajrzał?

To rzekłszy, chciał wejść do buduaru, lecz Walerya zagrodziła mu groźnie drogę:

— Ani kroku dalej! — krzyknęła, nie mogąc już nad sobą panować. — Precz stąd! Wynoś się pan natychmiast ze swoimi ludźmi z komnat moich, i ze zamku!

— Wielmożna pani! — rzekł Greif poważnie, ale z naciskiem. — Proszę mi z drogi ustąpić!

— Precz stąd! — powtórzyła Walerya, nie ustępując z miejsca. — Oddal się pan natychmiast stąd, bo każę pana przez służbę wyrzucić!

— Jestem tu jako urzędnik, i wzywam panią w imię prawa, nie przeszkadzać mi w wykonaniu mego obowiązku! — zawołał Greif szorstko, — bo byłbym w przeciwnym razie zmuszony użyć gwałtu.

— Gwałtu przeciwko mnie? — zaśmiała się Walerya ostro. — O, jaki z pana bezczelny człowiek! Chcę widzieć jak daleko się pan jeszcze w zuchwałości swej posunie?

Nie odpowiadając więcej na łajania Waleryi, zwrócił się Greif do swoich ludzi, i rzekł rozkazująco:

— Wejdźcie ze mną do tych apartamentów!

Kilku tajnych agentów usunęło Waleryę na bok. Musiała patrzeć w bezsilnej złości na wejście Greifa i towarzyszy jego do swego buduaru. Służba nie miała odwagi wystąpić przeciwko policyi, mimo rozkazu Waleryi.

Po chwili przekonał się Greif, że Sinobrodego niema ani w buduarze, ani w przyległych do niego komnatach. Lecz gdy chciał wejść do sypialni, zastał drzwi od niej zamknięte. Wiedział dobrze, że Walerya dobrowolnie nie otworzy, i dlatego kazał ludziom swoim użyć witrychu.

Raz jeszcze próbowała Walerya wstrzymać detektywa, lecz daremnie. Otworzono sypialnię i Greif wszedł do niej Walerya wbiegła tuż za nim, narzekając i łając.

— Nawet do sypialni mojej odważa się pan wpadać — krzyknęła. — To jest obraza i obelga. Pan mi za to ciężko odpokutuje! Książę nie pozostawi takiej obraży bezkarnie.

— Sądzę przeciwnie, że się książę wreszcie o prawdzie da przekonać — odparł Greif pogardliwie. — A wtedy, wielmożna pani, wybije godzina odwetu.

Walerya zaśmiała się szyderczo.

— Proszę natychmiast komnaty moje opuścić! — zgrzytnęła drżąc ze złości. — Nadużywa pan swoją władzę bo nie ma pan tu nic do szukania.

Widząc wreszcie, że sobie Greif z tego nic nie robi, rozkazała rządcy:

— Poślij pan natychmiast konnego posłańca po księcia. Niech przyjedzie, aby mnie przed napaścią ochronić.

Ale i tem sie Greif nie dał onieśmielić, i kontynuował swoją rewizyę, podczas gdy rządca odchodził, by zlecenie Waleryi wypełnić.

Wreszcie doszedł do drzwi, poza którémi Sinobrody był ukryty, a że je zastał zamknięte więc je przez ludzi swoich witrychem dał otworzyć.

Walerya zadrżała z trwogi. Jeżeli go Greif znajdzie, to będzie to dla niej najgorsze skutki miało. Wtedy będzie to jasne, że była sprzymierzoną Sinobrodego, i książę straci wiarę w nią, i da się o winie jej przekonać.

Za kilka chwil miał się jej i Sinobrodego los rozstrzygnąć. Greif niczem wstrzymać się

nie dał. Był zdecydowany przeszukać każdy kącik, aby ściganego zbrodniarza wreszcie znaleźć.

Lecz pokój był pusty, Sinobrody znikł bez śladu. ....

Walerya odetchnęła lżej. Lecz Sinobrody musiał jeszcze być tutaj, gdyż drugie drzwi były od środka zamknięte.

Gdzie on się mógł ukryć? Czy go Greif odnajdzie?

CLXXVIII.

PRZEŚLADOWANY I POMSZCZONY.

— No, Michale?...

— Jeszcze zawsze nic, wielmożna pani — westchnął stary sługa.

Po raz dziesiąty może wychodził z grobowca do mauzoleum i wyglądał za Winterem i hrabią Edmundem. A zawsze wracał do czekającej niecierpliwie swej pani ze smutną wieścią, że jeszcze nie nadchodzą.

Było to tej samej nocy, której hrabia Edmund z doktorem Klocem z więzienia uciekli. Zaczęło już dnieć, a Agata daremnie czekała.

— Obawiam się, że wszystko stracone, i że mąż mój wraz z przyjaciółmi swymi uwięziony — rzekł smutnie. — Inaczej dawnoby tu już być musieli.

— Może są wolni, i tylko się tu dostać nie mogą — wtrącił stary Michał. — Wyjdę raz jeszcze, aby zobaczyć.

— Nie, nie, bo cię gotowi jeszcze przyłapać — oponowała Agata. — Zostań przy mnie Michale, bo ja się sama boję.

— A co zrobimy, jeżeli pan hrabia tu nie trafi? To przecież nie może być trwałem miejscem pobytu dla pani hrabiny.

— Zaczekajmy do jutra wieczora. A gdy się do tego czasu nikt z naszych nie zjawi, to miejsce to opuścimy — rzekła Agata, a po chwili dodała smutnie: Nie wiem, jednak dokąd się udać.

— Może do gospody "pod pełnym dzbanem!" — zawołał stary Michał żywo. — Znajdzie wielmożna pani tam swego synka wraz z dobrą Martą i Delią.

Agata podskoczyła radośnie.

— Czy doprawdy ich wszystkich tam zastanę — zapytała niedowierzająco.

— Najpewniej! Pan Winter sam ich tam ulokował. Czy wielmożna pani dotychczas nic o tem nie wiedziała? — pytał stary Michał.

— Nie! Nikt mi jeszcze nic o tem nie mówił. Teraz więc nie będę zwlekała.—Nie sądzę, aby mąż mój dziś jeszcze tu mógł nadejść.

— Proszę się postarać o konie, i wybierajmy się czemprędzej w drogę.

— A jeżeli pan hrabia albo Winter tu za nami będą szukać? — zauważył Michał. — Co oni sobie pomyślą, gdy nas tu nie zastaną?

— Zostawię im pisemną wiadomość —rzekła Agata. — Idź Michale i zobacz, czy nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, gdy norę tę opuścić zechcemy.

Michał wyszedł znów na świat Boży i wydrapawszy się z mauzoleum, oglądnął się ostrożnie po parku. Było już zupełnie jasno, lecz spokojnie i samotnie.

Ostrożnie posunął się aż ku zamkowi, i wsunął się nawet do wnętrza.

Przechodząc długimi kurytarzami spostrzegł, że policya nie opuściła jeszcze zamku. W jednym z przedpokojów stało kilku mężczyzn, którzy się staremu Michałowi bardzo podejrzani wydawali. Byli to pewno tajni agenci.

Przekonawszy się, że ani hrabiego Edmunda, ani Wintera w pałacu nie ma, chciał się Michał cofnąć, lecz miał zamiar zabrać jeszcze coś poprzednio dla Agaty.

Był właśnie zajęty pakowaniem sukien dla niej, gdy usłyszał nagle szmer na kurytarzu.

Wtem drzwi się otworzyły i na progu stanął jakiś urzędnik policyjny.

Stary krzyknął ze strachu i chciał uciekać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

— Nic obawiajcie się, stary przyjacielu — usłyszał tuż przy sobie znajomy głos. — Czy mnie nie poznajecie?

— Mój Boże! Przecież to doktór Kloc! — zawołał uradowany i zdziwiony. — Czy ja się nie mylę? Czy to doprawdy pan?

— Naturalnie, że ja!— zaśmiał się doktór. — To Braun mnie tak wybornie przebrał i nikt nie przeczuwa, kto się pod uniformem tym kryje. Policya, która za mną ściga, kłania mi się uniżenie. — Czuję się zupełnie bezpieczny.

— Więc się pan z więzienia uratował! — zawołał stary Michał radośnie. — A czy pan hrabia również wolny?

— Tak jest! Winter nam do tego dopomógł — odparł doktór. — Lecz gdzież są oni obaj? Spodziewałem się ich tu zastać.

— Tu? — westchnął stary Michał. — Nie, panie doktorze! Daremnie z wielmożną panią od wielu godzin już czekamy. W mauzoleum nikt się jeszcze dotychczas nie pokazał.

Doktór Kloc mocno się zaniepokoił.

— To zły znak — rzekł on. — Kto wie, czy ich znów nie przyłapano.

Opowiedział staremu krótkiemi słowy ucieczkę z więzienia, i dodał, że się z hrabią Edmundem i Winterem rozłączył.

— Pobiegłem z Braunem, i uszliśmy szczęśliwie naszym prześladowcom — zakończył on. — Nie wiem, co się z hrabią i Winterem stać mogło. — Miejmy jednak nadzieję, że i oni się gdzieś bezpiecznie schronili.

Michał opowiedział doktorowi, że się Agata do gospody "pod pełnym dzbanem" przenieść miała, lecz doktor Kloc utrzymywał, że to zanadto ryzykowne, i że ją tam łatwo znaleźć mogą.

— Chciałbym sam pomówić z hrabiną — rzekł on po chwili. — Z ostrożności nie wolno nam jednak równocześnie wejść do mauzoleum. — Idźcie naprzód, Michale! Ja zejdę tam za wami.

Michał odszedł. Dostał się on szczęśliwie do parku, i był niebawem z powrotem w mauzoleum.

Po godzinie może nadszedł doktor Kloc w swym uniformie. Braun przyszedł za nimi, i teraz ruszyli wszyscy do grobowca.

Michał popędził naprzód, aby Agatę przygotować. Hrabina przestraszyła się w pierwszej chwili munduru, lecz gdy doktór Kloc do niej przemówił, zamienił się jej strach w jasną radość.

— Gdzież mój mąż — zapytała ona niecierpliwie.

Doktór Kloc powtórzył jej wszystko, co wpierw już opowiedział Michałowi.

Agata obawiała się również, że mąż jej wraz z Winterem powtórnie uwięzieni zostali. Szlochała gorzko, i załamywała ręce z rozpaczy.

— Tylko nie tracić odwagi, wielmożna pani — pocieszał ją doktór Kloc. — Miejmy nadzieję, że oni uszli swoim prześladowcom, i że się tylko gdzieindziej skryli.

Uspokajające jego słowa nie chybiły celu. Agata otarał łzy i rzekła spokojnie:

— Chcę wierzyć w ich uratowanie. Panu, zaś, panie doktorze, dziękuję z całego serca, za wszystko co pan dla nas zrobił. Bez pana już dawno nie żylibyśmy. — Nie potrafimy się panu nigdy za to należycie odwdzięczyć.

To mówiąc, podała młodemu lekarzowi rękę, którą tenże z uszanowaniem ucałował. Co zaś do pochwał jej, odparł skromnie:

— Jeżeli wielmożna pani coś na zdaniu mo im polega, to radziłbym czekać na razie tutaj, bo to jest jedyne bezpieczne miejsce. Zostałbym chętnie przy pani, gdyby nie niepewność co do losu pana hrabiego i Wintera.

— Tak jest, idź i szukaj pan za nimi, panie doktorze! — zawołała Agata żywo. — Co do mnie zaś, wolałabym czekać w gospodzie "pod pełnym dzbanem" niż w tym strasznym grobowcu, gdzie mię lęk bierze.

— Obawiam się, że to zanadto ryzykowne, wielmożna pani,— odparł zaniepokojony.

Agata upierała się przy swojem, obiecała jednak zaczekać tu jeszcze do nocy na rezultat poszukiwań doktora Kloca, który się właśnie z Braunem oddalił.

Agata została znów sama ze starym Michałem.

Dzień zeszedł, ani hrabia Edmund ani Winter nie jawili się. Wieczorem weszła Agata ze starym służącym do mauzoleum, i tam na powrót doktora czekała.

Michał stał w sionkach na straży. Noc była ciemna i burzliwa. Deszcz padał strumieniami, a wiatr wył w koronach starych drzew.

Długi czas siedziała Agata pełna niepokoju i trwogi. Było już około północy, gdy usłyszeli wreszcie zbliżające się kroki, i niebawem ukazała się przed nimi ciemna postać.

— To ja! — zawołał nowoprzybyły.

Był to doktór Kloc, ale już nie w uniformie, tylko w cywilnem ubraniu i czarnym płaszczu.

Wyciągnął z pod niego latarkę, i zeszedł w dół do grobowca.

— No, cóż? — zapytała Agata nadchodzącego. Co za wieści pan przynosi?

— Nie mogłem się nic dowiedzieć — westchnął doktór Kloc. — Znikli obaj z horyzontu, i jedyną moją pociechą jest to, że przynajmniej uszli policyi.

Agata była okropnie rozczarowana. Spodziewała się, że w ciągu dnia przecież jakiś ślad męża jej się odkryje. Możliwe jednak było, że oni obaj podczas ucieczki śmierć znaleźli.

— Gdyby tak było, to bylibyśmy się już o tem dowiedzieli — rzekł doktór. — Prawdopodobniejsze jest, że uciekli do zamku leśnego. Nie będą tam jednak pewni, gdyż słyszałem, że tam za nimi szukali.

— Więc przypuszczają, że oni tam uciekli? — spytała Agata.

— Widocznie! Obawiam się też, że i "pod pełnym dzbanem" za nimi szukać będą i dlatego proszę, aby wielmożna pani hrabina na razie tu została !— przestrzegał doktór Kloc.

Agatę pędziła jednak tęsknota za dzieckiem.

— Zostanę tam tylko do jutra wieczora i napowrót tu wrócę! — odparła i pozostała niezłomnie przy swojem postanowieniu.

Widząc, że perswazye daremne, oświadczył doktór Kloc, że ją odprowadzi.

Przygotowano wszystko do odejścia. Braun stał w parku na straży, a o każdem zbliżającem się niebezpieczeństwie miał donieść.

Agata otuliła się w ciemny płaszcz, a doktór Kloc wyprowadził ją do parku. Michał

pobiegł naprzód i otworzył furtkę.

Na rogu ulicy stał zamówiony przez Brauna powóz bez woźnicy. Michał wskoczył na kozioł. Agata wraz z doktorem Klocem wsiedli do powozu, który szybko się potoczył.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Wyjechali bez przeszkód z miasta. Niebawem przebyli samotny, pusty step.

Niedługo po odjeździe Agaty, zbliżyli się z ulicy dwaj mężczyźni do furtki, zamknęli ją i wrócili do mauzoleum. Zaświecili światło i otworzyli drzwi do grobowca.

Spodziewali się znaleźć tam Agatę i mocno się zaniepokoili, gdy jej nie zobaczyli. Hrabia Edmund pewny był, że ją tu policya odkryła i uwięziła.

Dopiero Winter znalazł zostawioną przez Agatę kartkę, z której się o pobycie jej "pod pełnym dzbanem" dowiedzieli.

— Pędźmy za nią! — zawołał hrabia Edmund.

Winter sprzeciwiał się temu z początku i miał różne wątpliwości. Wkońcu ustąpił hrabiemu i popędził z nim ku gospodzie.

Nie przeczuwali, że byli widziani przez tajnego ajenta, który był w parku na straży i że ten hrabiego Edmunda nawet poznał.

Chciał w pierwszej chwili narobić krzyku, lecz się rozmyślił, że mu uciekną, nim on pomoc dostanie. Z rozmowy ich dowiedział się, że spieszyli "pod pełny dzban" a to mu wystarczyło.

Dał im więc spokojnie odjechać, a potem poszedł do zamku i uwiadomił o tem swego przełożonego, który sam pojechał do dyrekcyi, aby pościg za uciekinierami zarządzić.

Hrabia Edmund i Winter tak prędko pojechali, że musieli dogonić powóz, który z powodu burzy tylko pomału naprzód postępował.

Byli oni jeszcze dość daleko od gospody, gdy Michał usłyszał za sobą tętent kopyt końskich i rżenie.

Odwrócił się przestraszony, lecz w ciemności nic widzieć nie mógł. Zapukał więc do okna powozu i zawołał:

— Ścigają nas, panie doktorze! Słyszę jeźdźców za nami!

Agata krzyknęła. I doktór usłyszał zbliżających się jeźdźców i miał się za straconego.

Daremnie naganiał Michał konie. Niebawem wychylili się obaj jeźdźcy z ciemności i pędzili jak czarne cienie.

— Jest ich dwóch! — rzekł doktór, biorąc rewolwer do ręki. — Może sobie z nimi damy radę.

— Na Boga! Tylko niech się bez rozlewu krwi obejdzie! — zawołała Agata przerażona. — Wolę już abyśmy się poddali naszemu losowi!

— Nie! — zaprotestował doktór. — Przeciwnie, sprzedamy wolność naszą tak drogo, jak się tylko da.

Doktór Kloc wychylił się z okna i zawołał do pierwszego jeźdźca:

— Uciekaj stąd, albo wystrzelę!

— Nie strzelajcie przyjacielu! — była głośna jego odpowiedź.

— Na Boga! To głos mego męża! — zawołała Agata.

—Stój! — zawołał doktór Kloc na woźnicę. Powóz zatrzymał się. Jeździec zbliżył się do powozu.

— Co to za radosna niespodzianka! — cieszył się doktór. — Czy to naprawdę pan, panie hrabio? Tak ciemno, że człowiek ręki swej nie widzi.

— Tak, to my! Ja i Winter! — odpowiedział hrabia Edmund. — Omal, że nas pan nie zastrzelił, doktorze! Czy nas pan miał za nieprzyjaciół?

— Nie przeczuwaliśmy, że wy tak prędko będziecie za nami! Dobrze, że jesteśmy razem, panie hrabio.

Doktór Kloc wsiadł na konia i o godzinie drugiej zajechali do gospody "pod pełnym dzbanem". Zapukali a Gerhard im otworzył.

Katynka i Marta ubrały się prędko i wnet zebrali się wszyscy dokoła stołu i opowiadali sobie swoje dzieje.

Tymczasem gnali już ich prześladowcy przez puszczę. Winter nie radził zostać w gospodzie dłużej niż do rana. Radził skryć się na zamku Wildenfels.

Gerhard i doktór Kloc byli także tego zdania i nad ranem postanowiono wyruszyć.

Agata z dzieckiem Martą i Delią miały pojechać naprzód, a tamci za nimi.

Gerhard z Michałem wyszli na podwórze i tam mimo szalejącej burzy, usłyszeli tętent zbliżających się jeźdźców, przekonali się, że niebezpieczeństwo jest bliższe, niż sądzili.

Michał bez trudu wbiegł do izby oznajmiając zbliżające się niebezpieczeństwo, i zanim jeszcze przestraszeni mogli wyjść z osłupienia, wbiegł drugi wołając:

— Ratujcie się! Żandarmi już są!

Rzeczywiście już w samej izbie słychać było tętent kopyt. Musiał to być większy oddział który się zbliżał do gospody.

Winter pierwszy odzyskał przytomność.

— Ratuj się pan, panie hrabio, przede-

wszystkiem z żoną! Siadajcie na konia i uciekajcie przez ogród!

— Hrabia nie chciał pozostawić losowi Wintera i doktora. Tymczasem odezwały się silne uderzenia o bramę i wołania:

— Otwórzcie w imieniu prawa!

Hrabia Edmund udał się do ogrodu, by wskazaną drogą spróbować ucieczkę. Winter z doktorem Klocem pobiegli skryć się do piwnicy, a tymczasem Gerhard z latarnią i kluczem w ręku szedł otwierać wrota, do których niecierpliwie stukali żandarmi.

Na podwórzu wsiadł hrabia Edmund z Agatą tymczasem na koń. Stary Michał pobiegł naprzód do ogrodu. Było tu jeszcze wszystko spokojne.

Żandarmi trzymali się na gościńcu przed domem. Michał otworzył tymczasem furtkę ogrodową i wypuścił uciekinierów.

Nie odjechali oni jeszcze daleko, gdy ich żandarmi spostrzegli i tętent kopyt końskich usłyszeli.

Czterech żandarmów puściło się w pogoń za nimi, niebawem byli tak blisko, że ich już poznać mogli.

Hrabia Edmund spostrzegł zaraz, że jest ścigany i Agata również na tem się poznała i galopowała co tylko mogła.

Wtem padło kilka strzałów. Koń hrabiego Edmunda skoczył dziko i zrzucił go z siodła.

— Edmundzie! Gdzie ty? Boże, kochany! — krzyknęła Agata przerażona.

Nie dostała żadnej odpowiedzi.

Deszcze padał strumieniami; burza wyła i świszczała. Koń hrabiego Edmunda pobiegł szybko naprzód i znikł w ciemności.

Znowu wołała Agata imię męża, lecz daremnie!

— Czy on już nie żył? Czy go kula ugodziła? Jeżeli zaś został przy życiu, to wpadnie z pewnością w ręce swych prześladowców.

Agata starała się zatrzymać swego konia, aby się za mężem swym oglądnąć, lecz szalony wierzchowiec szalał z bólu i pędził dzikim galopem naprzód.

Żandarmi tymczasem bardzo się zbliżyli. Nie spostrzegli oni wprawdzie, że hrabia Edmund spadł z siodła, poznali jednak, że koń jego pędził w innym kierunku.

Rozłączyli się więc w ten sposób, że dwu z nich pędziło za Agatą, a dwu za koniem.

Niebawem usłyszała Agata znów prześladowców swych za sobą. Opanowała ją śmiertelna trwoga. Padły znów strzały. Widziała ogień z karabinów i mogła już poznać, kto byli ci prześladowcy.

Zaczęła się dzika gonitwa. Tu na tej nieskończonej płaszczyźnie nic innego Agaty uratować nie mogło, jak tylko szybkość jej konia. Nie miała pojęcia gdzie on ją niósł, traciła jednak oddech, pędząc tak wśród burzy i deszczu.

Nagle skoczył koń, zsunął się i padł na ziemię.

Agata uderzyła silnie głową o ziemię, i straciła przytomność.

Gdy się z omdlenia swego przebudziła, zaczynało już dnieć. Mimo to jednak Agata ledwo poznać mogła gdzie się znajdowała.

Spostrzegła, że się znajduje na dnie głębokiego, długiego rowu, do którego wpadł jej koń, który leżał obok niej zupełnie martwy i skostniały.

Chciała wstać, lecz nie mogła. Nic sobie wielkiego nie zrobiła, lecz członki jej były sztywne i jakby sparaliżowane.

Oglądnęła się wokoło... ani śladu jej prześladowców. Stracili oni już dawno jej ślad.

Deszcz ustał, tylko wiatr jeszcze z niezmniejszoną siłą szalał po stepie.

Gdzie ona właściwie była? Czyż nie było nikogo wokoło, któryby jej mógł pomódz?

Agata zaczęła głośno wołać, lecz nikt jej nie odpowiadał. Gdy się jaśniej zrobiło, spostrzegła ona w pobliżu las, który step otaczał. Musiała więc być bardzo daleko od gospody "Pod pełnym dzbanem".

Z natężeniem wszystkich sił udało jej się podnieść z ziemi. Siedziała jeszcze przez chwilę na mokrym piasku. Suknie jej były przemokłe od deszczu. Drżała ona z wielkiego zimna.

Wokoło grobowa panowała cisza. Nie było tam ani żywej duszy. Wilgoć i zimno paraliżowały jej członki i o febrę przyprawiały.

— Boże miłosierny! — lamentowała. — Co tu ze mną będzie? Czy mam marnie zginąć?

Chciała się dowlec do poblizkiego lasu, któryby ją przynajmniej przed wiatrem schronił, lecz nie mogła zrobić kroku. Uczuła okropny ból.

Zrezygnowana więc padła znów przy martwym koniu, gdy wtem usłyszała jakiś szmer. Oglądnęła się, i zobaczyła dziwną scenę.

Brzegiem lasu posuwał się jeden z tych wagonowych, zamkniętych wozów, które używają wędrowni komedyanci albo cygani, a który jest zarówno wozem jak pomieszkaniem.

Czwórka nędznych koni ciągnęła ciężki ten wóz, obok którego szło kilku opalonych, czarnowłosych mężczyzn. Z powierzchowności można ich było mieć za cyganów. Jako ochronę przed zimnem miał każdy z nich zarzucony malowniczo przez plecy koc koński. Palili oni krótkie fajeczki i szli ponuro, powolnym krokiem.

Wewnątrz wozu umieszczone były kobiety

i dzieci. Od czasu do czasu błysło przez okno jakieś czarne oko, albo ukazała się jaskrawa chusteczka.

Agata spojrzała na nich z wyrazem trwogi.

Czy miała ich zawołać? Czyż mogła się spodziewać pomocy od najpodlejszego najbardziej pogardzanego narodu na ziemi?

Nie mogła się zdobyć na odwagę, i drżała na samą myśl, że oni ją zobaczą.

Wóz przejeżdżał teraz tuż koło niej, lecz cyganie mieli twarz ku lasowi odwróconą, i wcale jej nie spostrzegli.

Wtem wyglądnęła z okna pomarszczona twarz starej cyganki. Zobaczywszy Agatę, otworzyła okienko i zawołała na idących obok mężczyzn.

W tej chwili wóz się zatrzymał, a cyganie zbliżyli się do Agaty. Ze strachem spostrzegła ona obok siebie awanturnicze ich postacie i opalone, brodate twarze.

Stanęli oni przed nią i oglądali ją ze zdziwieniem. Poznali na pierwszy rzut oka, że to jakaś wielka dama, a najstarszy z nich zdjął czapkę i zapytał łamaną mową niemiecką;

— Czy wielmożna pani spadła z konia?

— Miałam okropny wypadek — odpowiedziała, dzwoniąc zębami. — Jeżeli mi zechcecie pomódz, to sutą nagrodę otrzymacie.

Cygan oświadczył swą gotowość, i spytał, co dla niej zrobić może.

Agata namyślała się przez chwilę. Byłaby cygana najchętniej posłała do gospody "pod pełnym dzbanem" obawiała się jednak, że tam zastanie żandarmów, i że ją zdradzi. Nie chciała go też wtajemniczać w swoje położenie i swój los.

Wtem otworzyły się drzwi wozu i jakaś stara cyganka zsunęła schodki i zeskoczywszy po nich na ziemię, zbliżyła się do Agaty.

Stanęła przed nią, i wpiła w nią czarne, przenikliwe swe oczy. Agata również bacznie na nią spojrzała. Rysy starej cyganki wydawały się jej bardzo sympatyczne.

Była ona dość porządnie i suto ubrana. Czarny, aksamitny jej gorsecik przyozdobiony był szklanemi perłami i złotymi cekinami. W uszach miała długie, złote kolczyki, przyozdobione lśniącymi kamieniami.

Duże jej czarne oczy błyszczały młodocianym ogniem, wywierały magnetyczną jakąś siłę.

— Ta pani miała okropny przypadek, matko! — tłómaczył jej starszy cygan.

Stara skinęła głową, i dziwnie się uśmiechnęła. Pochyliwszy się nad Agatą, rzekła miękkim, łagodnym głosem:

— Czem pani możemy służyć, hrabino Linderhof? Jesteśmy do usług pani.

Agata mocno się zmieszała, i spojrzała na starą przerażonym wzrokiem.

— Kobieto, skąd wy mię znacie? — jęknęła.

— Więc ja się nie omyliłam? Więc to pani jest rzeczywiście ową hrabiną, o której teraz cały świat mówi? — zapytała stara z uśmiechem, a potem dodała uspokajająco: Proszę się nie bać, my pani nic złego nie zrobimy.

— O, wy się mylicie! — zawołała Agata wzburzona.

— Ja nie jestem tą, za którą mnie macie!

Stara cyganka uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Po co się wypierać? — rzekła łagodnie. — Czy się pani obawia zdrady? Proszę być zupełnie spokojną. — Znam całą historyę pani, pani hrabino, i wiem, że panią niewinnie na śmierć skazano. Uciekła pani z więzienia, goniono za panią, i pani tu z konia spadła. Czyż nie jest tak?

Agata uznała, że nie pomoże jej wypieranie się, nie mogła jednak powziąć zaufania do tych cyganów. Siedziała ona bezradna, a łzy toczyły się po jej policzkach.

Wtem uklękła stara przed nią i ujęła jej ręce w swe dłonie.

— Proszę nie płakać, wielmożna pani! — rzekła łagodnie i pocieszająco. — Niech pani widzi w nas przyjaciół i nam się zwierzy. Nie może pani znaleźć lepszego ukrycia przed prześladowaniem, jak między nami.

— Ależ, moja dobra kobieto! Wy mię przecież nie znacie, skądżeż więc tyle dobroci! — spytała Agata niedowierzająco. — Jestem wam przecież zupełnie obcą!

— O nie! — zawołała stara. — Wiem o pani więcej, niż pani sama przeczuwa! Znam też nieszczęśliwą matkę pani, pani hrabino! Gdyby ona o naszem spotkaniu wiedziała, radziłaby pani z pewnością, aby nam pani zaufała.

Agata popatrzała na starą jeszcze z większem zdziwieniem i zdawała się nie pojmować jej słów.

— Wszystko pani wytłumaczę! — rzekła stara. — Lecz przedewszystkiem muszę panią stąd do wozu przytransportować! Pani jest chora i musi przez jakiś czas u nas pozostać.

— Nie, nie! — broniła się Agata. — Jeżeli jednak coś dla mnie zrobić chcecie, to zanieście przyjaciołom moim w gospodzie "pod pełnym dzbanem" wieści o mnie.

— Dobrze, pani hrabino! Ale mimo to nie damy pani siedzieć w mokrych sukniach i na-

razić się na spotkanie z żandarmami. Widziałam ich dopiero niedawno w lesie.

Agata oglądnęła się przerażona wokoło i zdecydowała się wreszcie przyjąć propozycyę starej cyganki. Lecz gdy chciała wstać, padła znów z okrzykiem bólu na ziemię.

— Pani złamała nogę! — rzekła stara z współczuciem. My już i na to poradzimy. Ale teraz musimy panią do wozu zanieść.

Agata niczemu się nie opierała. Czuła się bliska omdlenia.

Zaniesiono ją do wozu i położono na miękkie łoże. Kobiety i dzieci zbliżały się ciekawie do niej, lecz stara cyganka odganiała je i podczas gdy jedna z kobiet sporządzała herbatę, oglądnęła złamaną nogę Agaty. Potem złożyła i obandażowała ją zręcznie, ściągnęła jej mokre suknie z ciała i okryła ciepłymi kocami.

Na dworze krzątali się cyganie przy martwym koniu. Zdjęli siodło z niego i zakopali jego cielsko w ziemię.

Potem pojechał wóz dalej, a cyganie szli jak przedtem obok niego.

Wtem ukazało się nagle na stepie kilku jeźdźców, którzy się do wozu cygańskiego zbliżali.

Byli to żandarmi, którzy Agatę i męża jej ścigali. Gonili oni przez całą noc bez przerwy i śladu ich szukali.

Zobaczywszy cygański wóz zbliżali się pędem do niego. Cyganie także dawno już jeźdźców spostrzegli, udali tylko, że ich nie widzą.

W tej chwili zbliżyli się do nich konni żandarmi i kazali wóz zatrzymać.

— Czy nie spotkaliście tu damę na koniu? — zapytał żandarm cygana.

— Nie, panie wachmistrzu! — była odpowiedź.

— Skąd wy jedziecie?

— Ze wsi, koło tartaku!

— W takim razie musieliście damę tę widzieć! — rzekł żandarm niedowierzająco. — Ona musiała tędy przejeżdżać.

— Nie! Nikogośmy nie widzieli! — odparł cygan spokojnie.

— Nie wierzę wam, hołoto! — zaklął żandarm. — Ręczę, żeście ją widzieli, a nawet u siebie schronili.

Cygan wymawiał się i przysięgał, lecz wachmistrz zeskoczył z konia i zawołał na swoich ludzi:

— Przeszukamy wóz tej bandy. Może oni ją u siebie schowali.

Kazał cyganom otworzyć drzwi. Rozwarły się one niebawem i stanęła w nich stara cyganka

— Czego sobie pan wąchmistrz życzy! — zapytała ona niewinnie.

— Wpuśćcie nas! — zawołał żandarm gniewnie. — Wiecie sami dobrze, czego ja chcę.

Spuszczono schodki. Jeden z żandarmów stał koło koni, drugi z karabinem koło schodków, a z trzecim wszedł wachmistrz do środka wozu.

Cyganie zachowywali się tak spokojnie, jakgdyby się rewizyi tej nie obawiali.

A przecież żandarmi musieli Agatę w wozie zobaczyć?

CLXXIX.

TRYUMF WALERYI.

Był to dla Waleryi krytyczny moment, gdy Greif wtargnął do pokoju Sinobrodego. Lecz gdzież ten się podział Pokój był próżny.

Greif spojrzał nieufnie wokoło. Walerya odzyskała jednak odwagę, i przystąpiwszy do niego, zawołała z tryumfem:

— Czy pan już się przekonał, że podejrzenie pana nieuzasadnione? Czy się pan wreszcie zdecyduje komnaty moje opuścić? Wzywam pana po raz ostatni położyć koniec bezczelnej tej obeldze.

— Jeszcze nie! — odparł Greif chłodno i oglądnął się bacznie po pokoju. Nagle schylił się i podniósł z ziemi bronzową, skórzaną rękawiczkę i zawołał z tryumfem:

— Oto dowód, że w tym pokoju był mężczyzna! To jest rękawica hrabiego Sinobrodego! Czy może mi pani zechce zaprzeczyć?

Walerya zbladła i straciła przytomność. Opanowała się wkrótce jednak i wybuchła głośnym śmiechem:

— Co mnie obchodzi ta rękawiczka! — rzekła. — Nie wiem do kogo ona należy i skąd się tu wzięła. Ja tego pokoju nigdy nie używam.

— Mnie ona jednak wystarcza jako dowód, że się Sinobrody tu ukrywał — rzekł Greif stanowczo. — A jeżeli drzwi od środka są zamknięte, to jest dowodem, że on się jeszcze tam znajduje.

— Więc go pan dalej szukaj! — szydziła Walerya w bezsilnej złości. — Spiesz się pan jednak, panie, gdyż niebawem nadjedzie książę i odprawi pana w sposób, który panu nie będzie bardzo przyjemny.

Greif nic nie odpowiedział. Przystąpił do szafy i chciał ją otworzyć. Lecz znalazł ją jednak zamkniętą.

— Proszę o klucz do tej szafy! — rozkazał detektyw służbie.

— Nie pozwalam! — krzyknęła Walerya

gniewnie. — Ten człowiek nie ma prawa moje meble rewidować.

Służba nie ruszała się. Nikt nie spełnił rozkazu detektywa. Greif zawołał na jednego ze swych ludzi i kazał mu rozbić szafę, w której wedle jego przypuszczenia miał być Sinobrody ukryty, gdy wtem powstał szmer jakiś w przedpokoju.

— Książę! — ozwały się różne głosy.

Walerya wydała okrzyk tryumfu i wybiegła księciu naprzeciw.

Zapanowało ogólne zdziwienie, gdyż posłaniec Waleryi, który po niego miał jechać, dopiero przed chwilą zamek opuścił.

Lecz książę spostrzegł po drodze ludzi detektywa i domyślił się, że tu może o Waleryę chodzi. Zawrócił więc rezolutnie i spotkał się przed zamkiem z posłańcem Waleryi który mu wszystko wyjaśnił.

Wszedł do buduaru z gniewnym wzrokiem i zarumienioną twarzą. Walerya wybiegła z zrozpaczoną miną naprzeciw.

— O, jaśnie książę! Kochany mój książę! — wołała wśród łez i wyciągnęła ku niemu błagalnie ręce. — Proszę mnie obronić przed krzywdą i obelgą. Ten pan — rzekła wskazując na Greifa — oskarża mnie o porozumienie z jakimś zbrodniarzem i utrzymuje żem go u siebie przyjęła i ukryła. Daremnie go zapewniałam, że to tak nie jest. Wtargnął gwałtem do moich komnat i nawet sypialni mej nie oszczędził. Proszę mnie pomścić, książę. To jest niesłychane co, ja ze strony policyi znieść muszę !

Drżąc z oburzenia stała przed księciem z płomiennym wzrokiem, nie dając się uspokoić, ani potoku słów swych przerwać.

Wreszcie umilkła, gdyż spostrzegła, że księcia już dość podjudziła.

— Proszę się uspokoić, kochana hrabino! — rzekł drżącym głosem. — Sprawię pani zupełną satysfakcyę, a ten zuchwalec odpokutuje swoją bezczelność.

To rzekłszy wszedł gniewnie do sypialni, gdzie go Greif ze spokojem oczekiwał.

— Jaśnie książę wybaczy, żem w jego nieobecności tu wtargnął — zaczął na swe uniewinnienie, nim jeszcze książę mógł przemówić. — Lecz sprawa moja nie cierpiała zwłoki. Nie działałem li tylko na podstawie przypuszczeń. Jestem pewny, że zbójca Sinobrody znalazł w zamku pańskim przytułek i schronienie... tu u siostry swej, hrabiny!

— Kłamca! Bezczelny kłamca! — przerwała mu Waleryi i rzuciła się jak furya na detektywa. Potem zwróciła się do księcia, który stał zmieszany i przygnębiony i rzekła obłudnie:

— Niech jaśnie książę człowiekowi temu nie wierzy! On bezczelnie kłamie! To jest ten Greif, o którym księciu już opowiadałam... towarzysz i sprzymierzeniec Wintera, który mnie chce zniszczyć. Gdyby się książę nie był teraz zjawił, to by mnie był uwięził! To był prawdziwy powód jego napadu! Nie szukał tu nikogo ukrytego, tylko na mnie się uwziął!

Chytre te słowa Waleryi wzmogły jeszcze oburzenie księcia. Zmierzył detektywa niszczącem spojrzeniem i sygnął gniewnie:

— Wiem teraz, co mam myśleć o zamiarach tego człowieka.

— Jaśnie książę! — zawołał Greif. — Proszę...

— Panie! — przerwał mu książę w najwyższem oburzeniu. — Czy ma pan jeszcze za tę bezczelność chcieć się uniewinniać? Milcz pan! Ani słowa więcej! I oddal się pan natychmiast ze swoimi ludźmi; Nie minie pana zasłużona kara za nadużycie swej władzy.

Greif zbladł, a później poczerwieniał na tę niezasłużoną obelgę .

— Przepraszam jego książęcę mość — rzekł dumnie. — Ja nie działałem samowolnie, lecz z wyższego rozkazu.

— Więc i przełożony pana zostanie pociągnięty do odpowiedzialności! — krzyknął książę gniewnie. — Otworzę tej wyższej władzy oczy na bezczelne znalezienie się pana.

— Zrobiłem tylko swój obowiązek — bronił się Greif. — Hrabina Walerya ukrywała brata swego Sinobrodego, już od dłuższego czasu. — Mam na to dowdy. — Chciałem go dziś tu przyłapać, i ze względu na jaśnie księcia wybrałem czas jego nieobecnosci...

— Aby hrabinę bezkarnie módz zelżeć — przerwał mu książę szyderczo. — Dość tego! Rozkazuję panu wynieść się natychmiast ze swoimi ludźmi!

— Więc mi jaśnie książę nie pozwala szukać tu dalej za Sinobrodym?

— Nie! Żądam, aby się pan natychmiast stąd wynosił! — krzyknął książę rozdrażniony. — Czy mię pan zrozumiał? Tu policya bez mego pozwolenia nic nie śmie robić!

Greif złożył księciu niski ukłon i rzekł gorzko:

— Muszę się do rozkazu jaśnie księcia zastosować. Nie moja jednak odpowiedzialność, jeżeli zbrodniarz i tym razem ujdzie karzącej sprawiedliwości.

Słowa detektywa zawierające wyrzut bardziej jeszcze księcia rozjuszyły.

— Strzeż się pan zuchwałości! — zawołał wzburzony. — Drogo pan za to zapłaci.

— Ja księciu panu nie ubliżam — bronił się Greif.

— Nie radziłbym też panu tego. A co do tego ukrytego zbrodniarza, to kłamstwo! Niech go pan gdzieindziej szuka. A przedewszystkiem: Oddal się pan stąd, bo moja cierpliwość wyczerpana!

Groźnym ruchem ręki wskazał książę detektywowi drzwi. Greif ukłonił się raz jeszcze, dał ludziom swoim znak i wyszedł.

Gdy przechodził obok Waleryi, uśmiechnęła się szyderczo.

Zwyciężyła znowu dzięki zaślepieniu księcia. Niebezpieczeństwo przeszło, a Greif, okropny jej wróg, uległ znów sromotnie w walce. Nie wystarczało jej to jednak jeszcze. Chciała go całkiem zniszczyć... tak jak Wintera... aby przeciw'ko Greifowi jak najostrzej wystąpił.

Książę obiecał jej to, gdyż sam był na niego oburzony za to, że zamek jego śmiał napaść.

Dał służbie ostry rozkaz, aby na przyszłość czemuś podobnemu zapobiegła, a gdy się wieczorem z nią żegnał, miała Walerya pewność, że akcye jej teraz lepiej stoją.

— Jeszcze tylko Ludwika usunąć, to już żadne niebezpieczeństwo jej więcej grozić nie będzie. — pomyślała. — Trzeba więc dziś jeszcze koniec z nim zrobić, jeżeli papiery w ruinie znajdzie.

Książę wrócił w towarzystwie swego strzelca i lokaja do stolicy. Po jego odjeździe pobiegła Walerya do pokoju Sinobrodego i zapukała.

Po chwili otworzyły się drzwi, i Sonobrody się ukazał.

— Czy wszyscy już stąd odjechali? — zapytał. — I książę także?

— Tak jest! Chwała Bogu! — zawołała z ulgą i padła na krzesło. — Co to było za straszne niebezpieczeństwo, Robercie! O włos jeszcze, a ten przeklęty szpieg byłby cię odkrył. Książę w sam czas się zjawił.

Sinobrody skinął ponuro głową.

— Tak jest! Uratował mnie mimowoli.

— Gdzie się schowałeś?

— Do szafy!

— Mój Boże! A detektyw właśnie szafę tę chciał otwierać! — zawołała Walerya wzburzona. — Co za szczęście, że to się tak skończyło. — Bez księcia bylibyśmy straceni!

— Tak jest! Dobry książę zasługuje rzeczywiście na naszą wdzięczność — szydził Sinobrody. — Raz coś mądrego zrobił... ten osioł!

Walerya uśmiechnęła się.

— Szczęście moje, że taki zaślepiony — rzekła. — Jest to podstawa mej przyszłości.— Pozbyłam się wreszcie tego Greifa... już nam obu niebezpieczny nie będzie!

—To przyjdzie kto inny na jego miejsce — odparł Sinobrody ponuro. —Dla mnie już wszystko stracone. — Gdyby się moja wyprawa na starego hrabiego była udała, to co innego. Tak jednak nic dobrego już mnie nie czeka. Chcę już tylko odszukać Betlinę, i zemścić się na niej i zniknąć na zawsze z widowni.

Walerya wzruszyła niechętnie ramionami.

— Nie traćże zaraz nadziei — perswadowała mu. — Wyprawa twoja na zamek Wildenfels bardzo niemądrze była ułożona. Dlatego się nie udała i przyprawiła cię o stratę twego pomocnika. Piotr był niezbędny... nikt nam jego nie zastąpi. Gdybyś mi się z tem zwierzył, byłabym ci stanowczo odradzała.

— Po co te wyrzuty — rzekł niechętnie.— Co się stało, zmienić się nie daje.

— Nie potrzebujesz jednak zaraz rozpaczać. — Zostań na raze tutaj. Ja nie mam nikogo więcej prócz ciebie, a potrzebuję cię aby z Ludwikiem już raz skończyć.

— Dasz sobie sama radę z tym łotrem!

— Nie! Ja się bez ciebie nie mogę obejść, Robercie! Ty nie śmiesz mię opuszczać!

— Ach, nonsens! Czyż z miłości mam się dla ciebie dać przyłapać?

— Jesteś tu bezpieczniejszy niż gdzieindziej — perswadowała mu Walerya.

— Dziękuję! — zaśmiał się szorstko — Dzień dzisiejszy był mi tego dowodem.

Walerya zmarszczyła brwi, i wstała gniewnie.

— Namyśl się jeszcze — rzekła ponuro.— Jeżeli mię teraz opuścisz, to na moją pomoc liczyć więcej nie możesz. Palcem dla ciebie nie ruszę!

— Cóż ty wogóle dla mnie zrobić możesz? — zaśmiał się.

— Więcej aniżeli myślisz! Prorokuję ci, że nie daleko zajdziesz, jeżeli ze mną zerwiesz. — Jeżeli teraz opuścisz zamek, to wpadniesz w ręce siepaczy. Detektyw czeka tylko na to, abyś z kryjówki wyszedł.

Słowa Waleryi wywarły na Sinobrodym wrażenie. Uznał, że ma słuszność, i zamyślił się. Walerya spojrzała na niego badawczo.

— Widzisz więc, że mam słuszność — zapytała. — Czy zostajesz tutaj?

— Dobrze — mruknął. — Muszę na razie jeszcze tu się ukrywać,

— Nic przez to nie tracisz — rzekła zadowolona. — Chodź ze mną do ruin, aby za papierami poszukać, a potem do Ludwika. — Obawiam się, aby z głodu nie zginął.

— Nie byłoby wielkie nieszczęście. Co zaś do szukania papierów, to nie ma sensu. Gotów

nas Greif jeszcze przy tem zaskoczyć. On pewno jeszcze jest w pobliżu.

— Gdzież tam! — sprzeciwiała się Walerya. — Pewno pospieszył do stolicy, aby przełożonym swym złożyć sprawozdanie.

— Ale już znowu może być z powrotem!

— A choćby! Przebierz się za służącego i weźmiemy jeszcze kilku ludzi ze sobą. — Muszę mieć papiery, bo to mi spokoju nie daje.

— Mam to przekonanie, że papiery te są u twojej pokojówki — rzekł Sinobrody stanowczo. — Zamiast więc biegnąć do ruin, weź lepiej dziewczynę na ostre przesłuchanie, i zmuś ją do oddania ci tych papierów.

— Możemy zrobić jedno i drugie. Jeżeli się szukanie w ruinach okaże bezskuteczne, to się wtedy do pokojówki zwrócę. Niech nas teraz do ruin odprowadzi.

Walerya zadzwoniła, lecz pokojówka się nie pokazała.

— Co to ma znaczyć — zawołała zaniepokojona. — Gdzie ona być może

Służba także Frydy nie widziała.

— Uważaj, bo cię ta żmija podchodzi! — upominał Sinobrody Waleryę. — Miałem zawsze podejrzenie, że ona cię szpieguje i plany twoje krzyżuje. Może pobiegła teraz do stolicy, aby księciu zdradzić, że ja tu jestem.

— Nonsens! Ona się na to nie odważy. Nie wie zresztą, że ty tu jesteś.

— Pewno się domyśliła, a może nas nawet podsłuchała i wie, że Ludwik jeszcze żyje. W takim razie odnajdzie go jeszcze i uratuje.

—Nie uda jej się to, bo Ludwik jest ciężko chory — odparła Walerya. — Może jednak podejrzenie nasze prawdziwem się okaże!

Opuścili szybko zamek i uspokoili się, gdy łódkę nad brzegiem jeziora zobaczyli.

— Nie może ona być u Ludwika, kiedy tu są oba czółna — rzekła Walerya. — Prędzej w ruinach ją spotkamy.

— Cóżby ona tam szukała?

— Papiery!

— Ach! Ona je dawno już ma!

— Wątpię! Zobaczymy jednak w każdym razie.

— A jak mię ludzie detektywa w lesie przyłapią?

— Nie bądź przecież takim tchórzem! Masz przecież na sobie liberyę lokajską. — Nikt cię w przebraniu tem nie pozna. Będą cię mieli za służącego księcia.

— To rzekłszy pociągnęła Walerya brata swego za sobą. Wyszli przez furtkę. W lesie było cicho i samotnie. Zdążali więc szybko do ruin, i ostrożnie się do nich zbliżali.

— Jest tam zupełnie ciemno. Pokojówki więc tam nie ma — szepnął Sinobrody.

Zaświecił latarnię i wszedł do środka. Było tam zupełnie pusto. Leżały tylko na ziemi zostawione przez służbę narzędzia.

— Oderwijmy podłogę! — rzekła Walerya.—Przekonajmy się, czy papiery te rzeczywiście tu schowane.

Sinobrody złapał za narzędzia i zaczął podłogę odrywać. Przekopał całą ziemię pod spodem, lecz papierów nigdzie nie znalazł.

— Wiedziałem to z góry! Można sobie było oszczędzić pracę! — mruknął gniewnie. — Ten hultaj zuchwale nas okłamał i przez niego straciliśmy drogi nasz czas. Tymczasem mogła się już pokojówka do niego dostać, choćby nawet dłuższą, lądową drogę obrała.

— Jedźmy natychmiast do niego! — zadecydowała Walerya. — Teraz nie będę więcej miała litości dla kłamliwego i niegodziwego łotra. Dziś my już z nim koniec zrobimy.

— I z twoją pokojówką również, gdy ją tam zastaniemy! — dodał Sinobordy.

Doszli do brzegu, wsiedli na łódkę i odjechali.

CLXXX.

NOWE NIESZCZĘŚCIE.

Hrabia Edmund nie bardzo się stłukł, spadłszy z konia. Został jednak raniony wystrzałem i mógł się z powodu rany tylko z trudem podnieść.

Żandarmi przejechali tuż koło niego, ale go w ciemności nie spostrzegli.

Obawiał się jednak, że go z powrotem zobaczą i zebrał wszystkie siły, aby się dalej powlec. Nie zaszedł daleko i padł znużony obok gęstwiny krzaków.

Widział już niedaleko gospodę "pod pełnym dzbanem," której wszystkie okna były oświetlone.

Tu szukali teraz siepacze za Winterem i doktorem Klocem. Czy im potrafią umknąć? A stary Michał? Co się z nim stało?

— Jeżeli mi tylko Agata szczęśliwie ujdzie, to będę zadowolony! — myślał hrabia Edmund, chroniąc się w gęstych krzakach przed ulewnym deszczem.

Gwar z gospody aż do niego dochodził. Dwaj żandarmi tuż obok niego przejechali, ale go nie widzieli.

Nagle spostrzegł hrabia Edmund zbliżającą się do niego postać. Kto to mógł być? Hrabia zawołał na niego. Odpowiedział mu okrzyk zdziwienia.

— Boże kochany, to wielmożny pan tutaj? — ozwał się głos Michała, który w następnej

chwili był tuż przy swoim panu. Uciekł był z domu przed żandarmami i szczęśliwie tu się dostał.

Gdy się dowiedział, że pan jego spadł z oknia i jest raniony, załamał ręce z rozpaczy.

— Jakżesz się wielmożny pan stąd wydostanie? — lamentował. — Tu dłużej pan hrabia zostać nie może, bo każdej chwili nas odkryć mogą!

Zabandażował ranę hrabiego Edmunda i wraz z nim patrzał w stronę gospody.

Stay Michał nie wiedział, czy Winter i doktór Kloc są pewni w swoim schowku.

— Gdyby się ci żandarmi już stąd wybrać chcieli! — westchnął. — Co poczniemy, jeżeli się dzień zrobi a oni jeszcze tu będą?

— Musimy cierpliwie czekać! — rzekł hrabia Edmund. — Spodziewam się, że żandarmi jeszcze przededniem do miasta wrócą!

Lecz nadzieja ta się nie ziściła. Było już zupełnie jasno, a żandarmi ciągle jeszcze koło gospody się kręcili i wietrzyli.

Położenie obu zbiegów stawało się coraz niebezpieczniejsze. Musieli oni lada chwili zostać odkryci.

Hrabia Edmund drżał z zimna w przemoczonem swem ubraniu. Wiatr był zimny i ostry, a rzadkie krzaki nie bardzo od niego chroniły.

Siedzieli obok siebie w ponurem milczeniu. Michał widział że stan jego pana ciągle się pogarszał i myślał jakby temu zaradzić.

— Wielmożny panie! — rzekł wstając. — Pójdę do gospody po konia.

— Nie, na miłość boską, zostań tutaj! — prosił go hrabia Edmund. — Nie wrócisz, gdy pójdziesz, bo cię żandarmi przyłapią.

— Mniejsza o to! Cóż na mnie zależy — odparł wierny służący. — Jeżeli mi się zaś uda konia tu sprowadzić, to wielmożny pan będzie uratowany.

I nie słuchając więcej perswazyi hrabiego pogonił stary Michał co mu sił starczyło, a chował się ostrożnie za drzewa i krzaki, aby go żandarmi nie zobaczyli.

Hrabia popatrzył niespokojnie za nim i widział go znikającego w ogrodzie gospody. Odetchnął z ulgą.

Czy mu się to śmiałe przedsięwzięcie uda?

Upłynął dłuższy czas, a stary nie wracał. Hrabia zaczął już tracić nadzieję. Stary sługa jego wpadł bezwątpienia w ręce siepaczy. Było już zupełnie jasno a po stepie kręcili się zawsze jeszcze żandarmi.

Dokąd jednak hrabia Edmund miał uciekać. Byłoby to szaleństwem wychylić się teraz z poza krzaków.

Nie spuszczał oka z gospody gdzie panował żywy ruch. Żandarmi szli i wracali i kręcili się po podwórku.

Może już się wkrótce stąd zabiorą!

Myśl ta dodawała hrabiemu nowej odwagi. Z chwilą gdy wrogowie jego stąd odjadą, będzie mógł dojść do gospody.

Wtem zadrżał, gdyż usłyszał w pobliżu tętent kopyt końskich. Obrócił się i spostrzegł dwóch żandarmów którzy do gospody dążyli i tuż koło niego przejeżdżali.

Skulił się jeszcze bardziej w krzakach, ale drżał z obawy, aby go nie zobaczyli. Byli już tuż obok niego i badawczo w krzaki patrzeli.

Hrabia Edmund miał się za straconego.

— Stój! — zawołał jeden z nich. — Widzę tu kogoś w krzakach.

Towarzysz jego czemprędzej się zbliżył.

— Wyłaź przyjacielu! — zawołał pierwszy. — Pokaż swą twarzyczkę.

— To hrabia Linderhof! — rzekł drugi półgłosem i skoczył z siodła.

Zbliżył się do hrabiego Edmunda, który się tymczasem wyprostował i losowi swemu z rezygnacyą poddał. Żandarm ukłonił się z uszanowaniem, lecz po chwili odrzekł stanowczo:

— Panie hrabio! Jesteś pan naszym więźniem!

Hrabia Edmund otulił się w płaszcz i nic nie odpowiedział. Żandarmi byli zdobyczą swą mocno ucieszeni. Czekała ich suta nagroda za to.

Pierwszy z nich wyjął łańcuch i chciał ręce hrabiego okuć lecz drugi oburzył się na to i szepnął swemu towarzyszowi:

— Daj temu pokój! Taki wielki pan z pewnością nie ucieknie!

Schował więc łańcuch napowrót do kieszeni i kazał hrabiemu złożyć broń.

Hrabia Edmund oddał bez wahania swój rewolwer. Potem dał się bez oporu do gospody zaprowadzić.

Żandarmi byli właśnie na odchodnem i przybycie hrabiego narobiło wiele wrzawy.

Twarz wachmistrza rozpromieniła się na ten widok, ale mieszkańcy gospody bardzo się zasępili.

I stary Michał był uwięziony. Nie mógł wykonać swego planu, gdyż go przyłapano.

Hrabia rozglądał się wszędzie, czy nie zobaczy Wintera i doktora Kloca, lecz ich nigdzie nie spostrzegł.

Zaprowadzili go do środka, aby mu dać wypocząć i przebrać się w suche ubranie. Zrozpaczony padł na ławkę przy stole i zakrył twarz rękoma.

Teraz już było po nim. Czekało go więzie-

nie i hańba. Świecił mu tylko jeszcze jeden promyk nadziei, że Agata była uratowana i wolna.

Żandarmi szeptali między sobą, a wachmistrz patrzał co chwila do okna. Oczekiwał z niecierpliwością ludzi, którzy za Agatą szukali i wysłał wreszcie dwóch obecnych dla przeszukania pola.

Mieszkańcy gospody zbliżali się z smutnemi twarzami do drzwi i patrzyli z współczuciem na nieszczęśliwego hrabiego.

Gerhard zacisnął pięści w bezsilnej złości że więźniowi pomódz nie mógł.

Katynka i Marta płakały. Delia trzymała małego Waltera za rękę i starała się go uspokoić. Cały dom pełen był żandarmów, którzy każdy kątek przeszukali.

Hrabia Edmund podniósł się z siedzenia i podszedł spokojny i zrezygnowany do gospodarza. Żandarmi nie mieli odwagi mu tego zabronić.

Gerhard ujął ze łzami w oczach podaną sobie rękę hrabiego i serdecznie ją uścisnął.

— O, panie hrabio! — zawołał zdławionym głosem. — Że też to się tak stać musiało.

Hrabia Edmund westchnął ponuro.

— Chwała Bogu, że żona moja uratowana! — rzekł. — Spodziewam się, że nie wpadnie powtórnie w ręce swych prześladowców! Dowiedźcie się o nią kochany Gerhardzie.

— Bardzo chętnie, panie hrabio!

— A Winter i doktór Kloc? — spytał Edmund cicho.

Twarz Gerharda rozpogodziła się.

— O, oni są w pewnem ukryciu! — szepnął. — Żandarmi wszystko przeszukali, a mimoto ich nie znaleźli i myślą, że uciekli.

— Chwała Bogu. To wielkie szczęście, że oni wolni. Żona moja nie będzie więc bez opieki!

— Pewno że nie, panie hrabio! Jestem pewny, że Winter ani doktór Kloc nie spoczną dopóki pani hrabiny nie odnajdą i bezpiecznie nie umieszczą. Lecz cóż będzie z panem, panie hrabio i z Michałem?

W tej chwili przystąpił do hrabiego wachmistrz i rzekł grzecznie ale stanowczo:

— Pan hrabia będzie łaskaw wrócić na swoje miejsce. Nie mogę na rozmowę tę z Gerhardem pozwolić!

— Chyba mnie pan nie zabroni pożegnać się z dzieckiem mojej żony! — zawołał hrabia Edmund dumnie i niechętnie.

I nie czekając na odpowiedź, zbliżył się do małego Waltera i do serca go przycisnął. Pocałował go i oddawszy go Marcie, wyszedł ze łzami w oczach.

Żandarmi nie robili mu trudności. Wzięli oni teraz hrabiego i starego Michała między siebie i wyprowadzili ich na podwórze. Stał tam zaprzężony powóz, którym przyjechała tu Agata z doktorem Klocem.

Hrabia Edmund oglądnął się raz jeszcze za Gerhardem i Martą z dzieckiem, potem wsiadł do powozu, a Michał wskoczył na kozioł.

Otoczony żandarmami ruszył powóz w drogę.

Gdy pochód ten zniknął w oddali, wrócił Gerhard z Katynką i Martą do gospody. Zostawił on szlochające dziewczęta na górze, a sam wszedł z latarką do piwnicy.

Przeszedł długi korytarz i stanął wreszcie pod murem, do którego przypierała duża drewniana skrzynia. Odsunął tę skrzynię i otworzył dużą, żelazną klapę, która się w murze znajdowała.

Potem pochylił się i światło latarki padło na znajdujące się za klapą obszerne, ciemne sklepienie.

— Przyjaciele! — zawołał Gerhard. — Żandarmi już odeszli, ale zawsze to lepiej będzie, gdy jeszcze na razie tu zostaniecie!

— Czyż jest jeszcze jakie niebezpieczeństwo — ozwał się głos Wintera.

— Obawiam się, że tak! — odparł Gerhard. — Po stepie kręci się jeszcze kilku żandarmów. Mogą oni lada chwila tu wrócić!.

— Dobrze więc. Zostaniemy tu na dole dopóki się wszystko nie uspokoi! — zawołał teraz doktór Kloc. — Nie jest nam tak bardzo źle.

— Czy hrabia zdołał ujść z żoną? — zapytał Winter.

— Hrabina umknęła! — odpowiedział Gerhard. — Ale hrabia został napowrót przyłapany i stary sługa jego także!

Odpowiedział mu podwójny okrzyk przestrachu. Winter i doktór Kloc mocno się zaniepokoili.

— O, to źle! — zawołał Winter. — Jakżeż hrabina wieść tę przyjmie? Musimy ją odszukać i zawieść na bezpieczne miejsce, gdzieby przed prześladowaniem pewną być mogła.

— Mam nawet zlecenie pana hrabiego z prośbą, abyście się panowie żoną jego zajęli! — rzekł Gerhard. — Obawiam się sam, że hrabina znów w ręce prześladowców swych wpadnie, jeżeli dotychczas jeszcze bezpiecznego schowku nie znalazła.

— Dowiemy się wkrótce o tem !— odparł Winter. — Sądzę, że żandarmi szukający za hrabiną, raz jeszcze tu przybędą.

Po krótkiem porozumieniu się zamknął Gerhard znów klapę, zasunął skrzynię i wrócił na górę.

Zastał Katynkę przy otwartych drzwiach.

Skinęła na niego i rzekła pokazując w dal:

— Patrz ojcze! Oto są żandarmi!

Gerhard spostrzegł dwóch jeźdźców galopujących przez step. Patrzał na nich bacznie przez chwilę i rzekł stanowczo:

— Nie, moje dziecko! To nie są żandarmi, lecz jacyś obcy ludzie. Zbliżają się do gospody! Dobrze, że tamci na dole są ukryci!

Oczekiwał ciekawie obu jeźdźców, którzy byli jeszcze tak daleko, że ich poznać nie było można.

Katynka wróciła do izby, do Marty, Delii i małego Waltera.

Po niejakim czasie stanęli jeźdźcy przed gospodą, a konie ich były spienione. Gerhard poznał ich i zbliżył się ku nim z okrzykiem radości.

— Ach, to pan, panie Greif. Co za szkoda, że pan kilka godzin przedtem nie nadjechał.

Był to rzeczywiście detektyw Greif i Aleksander, brat Józefy. Ten ostatni nie znał jeszcze Gerharda i miał go też za urzędnika policyjnego.

Przybywali oni teraz obydwaj z zamku myśliwskiego księcia, po owych nieudanych poszukiwaniach za hrabią Sinobrodym.

Greif przywitał się z Gerhardem i zaznajomił go z Aleksandrem. Potem weszli wszyscy do izby, podczas gdy parobek konie do stajni poprowadził.

Przybywam tu, aby się z Winterem porozumieć, kochany panie Gerhard! — rzekł Greif. — Czy go jeszcze tu zastaję

— Tak jest, Bogu dzięki! — była odpowiedź Gerharda. — Jest on tu wraz z doktorem Klocem... lecz niestety. Jeszcze pan nie wie, co się stało? zapytał Gerhard wzburzony.

— Nie! Co takiego?

— Straszne nieszczęście! Hrabia uwięziony, również jego biedna żona jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Ścigają ją żandarmi.

Greif był przerażony. Znał Wintera zdarzenia ostatnich czasów. Bolał nad losem hrabiego Edmunda i bał się o Agatę .

Gerhard zdawał sprawę z tego co zaszło.

— Na szczęście nie odkryto Wintera, ani doktora Kloca !— dodał. Zaraz im doniosę o przybyciu pana.

Z Greifem udał się do sypialni, podczas, gdy Aleksander pozostał u Katynki, która tymczasem weszła. Ze zdumieniem spostrzegł Greif, jak Gerhard odsuwa wielką szafę.

Gdzie szafa stała, spostrzegł w podłodze drzwi spustne.

Gerhard objaśnił mu, co czyni i wtajemniczył go w urządzenie domu.

— I tu pan ukrył naszych przyjaciół? — zapytał Greif. Znakomita zaiste kryjówka!

— Szkoda tylko, iż nie ukrył się tu też hrabia Edmund ze swoją żoną, kiedy przyszli żandarmi! — westchnął Gerhard. Lecz ze strachu postradaliśmy wszyscy głowy.

Otworzył drzwi spustne i nachylił się nad ciemnym jak grób otworem.

— Chodźcie na górę! — zawołał. Dobry przyjaciel na was czeka!.

— To ja! — rzekł Greif.

Była to wielka niespodzianka dla Wintera i Kloca, którzy też prędko weszli po drabinie w górę i przywitali swego przyjaciela. Gerhard pozostawił ich samych i wyszedł by strzedz wejścia.

Greif wysłuchał opowiadania Wintera i sam mu z wszystkiego zdał dokładną sprawę. Jak go książę wyprosił z pałacu i jak Walerya odniosła nowy tryumf.

Winter rzekł:

— Sprawy źle stoją. I pan ściągnąłeś teraz na siebie nienawiść tej szatańskiej kobiety. Książę zupełnie jej ulega i czyni bez namysłu wszystko, czego ona zażąda.

— Tak! — westchnął Greif. Jestem zdecydowany, że i ja zostanę zwolniony ze służby. Miałem nadzieję, że uda mi się ująć Sinobrodego w zamku myśliwskim i że nareszcie udowodnię księciu prawdę. Ale, niech się stanie co chce, chociażby mnie spotkać miała niesłuszna kara i prześladowanie, nie spocznę, dopóki nie zedrę tej obłudnej maski z tej szatańskiej kobiety. Walczmy i nadal przeciw przewrotności, przeciw podstępom i zbrodni! — zawołał natchniony. — Prawda musi zwyciężyć!

— Wielkie to nieszczęście, że hrabia uwięziony! — rzekł Winter. I matka hrabiny Agaty ciągle jeszcze w więzieniu, boję się, że wykonany zostanie na nieszczęśliwej okrutny wyrok.

I Greif podzielał te obawy.

— Wszystko co uczynić możemy — rzekł — jest: zabezpieczyć hrabinę Agatę. Co dalej pocznę, to zależy od tego, czy zostanę zatrzymanym w służbie.

— Nie wątpię — odrzekł Winter — że postąpią z panem tak, jak ze mną.

— W każdym razie przyjdę tu jeszcze dziś wieczorem, — powiedział Greif. Nie powinien pan opuszczać gospody, tu na razie jesteś jeszcze bezpiecznym.

— Ale hrabina Agata? — zawołał doktór Kloc. — Kto jej szukać będzie, jeżeli my nie możemy?

— Tak, tak! Ale to dla was rzecz niebezpieczna — rzekł Greif. — Mam jednak radę. Kapitan Aleksander Brandenfeld może się

podjąć tego zadania. Zaraz z nim się rozmówimy.

Zawołał Aleksandra, który chętnie się zgodził rozpocząć poszukiwania za Agatą.

— Jeżeli pan znajdziesz hrabinę, weź ją ze sobą na zamek Wildenfels !— prosił Winter. Może jeszcze dzisiaj w nocy i my się tam udamy. Brand przyniesie nam tu wszystko, co będzie potrzebne do przebrania.

Greif przyrzekł wydać Brandowi odpowiednie zlecenia. Następnie udał się do rezydencyi, by swemu przełożonemu zdać sprawę z tego co zaszło na myśliwskim zamku księcia.

I Aleksander nie zatrzymał się dłużej w gospodzie Winter i doktór Kloc zostali w sypialni Gerharda

Aleksander nie był jeszcze daleko, kiedy spotkał na drodze trzech żandarmów, zdążających na zmęczonych koniach ku gospodzie. Zatrzymali go i pytali skąd idzie.

— Z gospody! — odpowiedział Aleksander.

Żandarmi poczęli go wypytywać niedowierzająco. Oświadczył im kim jest i że z Greifem szukał za Sinobrodym. Wtedy żandarmi stali się grzeczniejsi. Spytali, czy ich koledzy są jeszcze w gospodzie.

— Nie! — oświadczył Aleksander. — Tam się dowiedziałem, co się stało. Panowie ścigaliście pewnie żonę hrabiego? — spytał.

— Tak!

—I straciliście jej ślad? — badał dalej Aleksander.

— Nie! — brzmiała odpowiedź. Nasi koledzy są na jej tropie. Z pewnością dostaną ją w swoją moc.

Z trudnością ukrył Aleksander swe przerażenie. Tymczasem żandarmi z wolna oddalili się ku gospodzie, gdzie chcieli kilka godzin spocząć, bo konie ich były bardzo zmęczone.

Aleksander podążył dalej. Czy znajdzie Agatę? Czy może już wpadła w szpony swych wrogów?

CLXXXI.

NIEBEZPIECZNY ZWROT.

Pełen trosk spieszył Greif do rezydencyi. Jeżeli straci swój urząd — a może czeka go jeszcze surowsza kara, natenczas nie wyjdą na jaw zbrodnie Sinobrodego i Waleryi. Zwycięży przewrotność i złość, a dla przyjaciół Agaty nastaną przykre czasy.

Natychmiast udał się do swego najwyższego przełożonego, do szefa policyi kryminalnej. Wysoki ten urzędnik, starszy wprawdzie, lecz energiczny i bystry, przyjął go jak zwykle, bardzo grzecznie. Przyjęcie to dla Greifa było rękojmią, że go książę jeszcze nie oskarżył.

— No i cóż, kochany panie Greif? Ma pan nareszcie Sinobrodego? — spytał szef.

— Nie, ekscelencyo! Niestety, znowu bez skutku! — oświadczył Greif. Jego książęca mość kazał mi opuścić zamek i zagroził, że zażąda mego ukarania.

Twarz szefa sposępniała.

— Proszę o dokładne sprawozdanie! — rzekł szef policyi kryminalnej.

Zgodnie z prawdą opisał Greif zdarzenia, w zamku myśliwskim i dodał:

—Nie ulega wątpliwości, że Walerya ukryła u siebie swego brata. Ująłbym zbrodniarza, gdyby nie przybycie księcia.

Zamilkł, czekając na uznanie swego szefa. Ten był bardzo wzburzony. Chodził po pokoju; nareszcie zatrzymał się przed Greifem i wpatrując się weń, rzekł:

— Wiesz pan, kochany panie Greif, że nie każdy by się na to odważył? Wiesz pan na jakie niebezpieczeństwo naraziłeś się pan swem odważnem postępowaniem

— O to nie pytam, ekscelencyo. Chciałem tylko spełnić swój obowiązek.

— Hm! tak! — i spełniłeś go pan, nieustraszenie i odważnie. Moje uznanie, kochany panie Greif. W moich oczach jesteś pan zupełnie usprawiedliwionym.

Greif odetchnął swobodnie.

— Czekam ze spokojem na oskarżenia i zażalenia jego książęcej mości — mówił szef dalej. Usprawiedliwię — gdy się to okaże potrzebnem — moje rozkazy i pańskie postępowanie przed księciem lub przed ministrem. Spodziewam się, że książę będzie bezstronnym. Więc bez obawy, kochany panie Greif. Nie czeka pana los kolegi pana, Wintera!

Greif skłonił się.

— Tylko jedną radę dam panu! — rzekł dalej szef. Ponieważ to, co wiemy, jeszcze zawsze nie starczy, by oskarżyć Waleryę, albo raczej tę zbrodniczą awanturnicę. i ponieważ chroni ją tak wybitnie książę, bądź pan ostrożnym i nie działaj pan otwarcie przeciw tej kobiecie.

— Ale przeciw wspólnikom hrabiny Waleryi mogę działać? — spytał Greif. — Spodziewam się, że na tej drodze dojdę do celu.

— Pewnie! Pod tym względem masz pan nieograniczone pełnomocnictwo! Przedewszystkiem staraj się ująć pan Sinobrodego. Lecz nie chodź więcej do zamku księcia.

— Muszę ująć i służącą hrabiny Waleryi, bo dziewczyna ta zna tajemnice swej pani. Po-

znał się na tem już Winter i doprowadził do tego, że dziewczyna zdradziła mu niejedno.

— Wiesz pan, gdzie Winter przebywa

Greif nie odpowiedział natychmiast. Szef zmiarkował jego kłopot i uśmiechnął się:

— Widzę, że pan to wie! — rzekł uprzejmie. — Nie chce pan tego zdradzić! Dobrze. Nie nalegam! Chciałem tylko zaproponować, czy nie mógłby pan wspólnie z Winterem prowadzić dalej swoje dzieło. Naturalnie w zupełnej tajemnicy.

— O, ekscelencyo! — zawołał Greif. — Winter z radością to uczyni. Gdyby tylko mógł wyjść ze swego ukrycia.

— Z naszej strony nie będzie miał trudności. Dał się wprawdzie zawikłać nieroztropnie w niebezpieczne przedsięwzięcia hrabiego. — Bo jest przekonany o niewinności hrabiny Agaty i chciał tę nieszczęśliwą ocalić!—przerwał Greif.

— Wiem o tem! I dlatego jestem po stronie Wintera. Ale jako urzędnik naruszył swój obowiązek, bo pomógł do uwolnienia skazanej. Lecz nie jestem prokuratorem, który musi oskarżać i karać.o Połącz się pan zatem z Winterem — wynik będzie pewniejszy.

— To i moje przekonanie, ekscelencyo. Znajdę wtedy i ślad zbiegłego od pewnego czasu więźnia Ludwika Hechta. I to ważny świadek przeciw Waleryi. Zyskalibyśmy dużo, gdybyśmy mogli udowodnić, że on był pierwszym i właściwym mężem tej kobiety.

— Pewnie! Do dzieła więc, kochany panie Greif. Do boju przeciw zbrodni! Walcz pan szczęśliwie!

Uścisnął serdecznie rękę Greifa. Ten uradowany chciał natychmiast udać się do gospody, by Wintera o wszystkiem zawiadomić.

Zabrał on ze sobą Branda i późno popołudniu stanęli na miejscu.

Tu byli jeszcze owi żandarmi, których spotkał był Aleksander. Nie było to Greifowi na rękę, lecz nie miał czasu do stracenia.

Szeptem porozumiał się z Gerhardem i udał się potem z nim do pokoju, gdzie byli Winter i doktór Kloc. Greif zdał sprawę ze swej wizyty u szefa policyi. Ze zdziwieniem i radością słuchali obecni jego opowiadania. Nie spodziewali się takiego zwrotu. Naturalnie oświadczył Winter swą gotowość działać na wspólną rękę z Greifem.

— Przedewszystkiem trzeba uchwycić służącą Waleryi! — radził Winter. Sinobrody nie wymknie się nam.

— Nie, nie wymknie się, jeżeli naprawdę ukrywa się w zamku myśliwskim księcia, o czem nie wątpię! — odpowiedział Greif. — Pozostawiłem tam przecież kilku moich ludzi. Nikt nie może niepostrzeżenie wydalić się z zamku.

— Dobrze — rzekł Winter zadowolony. — Prędko więc w drogę i starajmy się dostać służącą w swe ręce. Przez służącą dowiemy się też, co się stało z Ludwikiem Hechtem.

— Jego zniknięcie z miejsca, gdzie padł od kuli Waleryi, jest dla mnie dowodem, że on jeszcze żyje — mówił Greif. — A jeżeli jest on w mocy Waleryi, to wiem, gdzie go szukać. Ukryty jest w "szczelinie dyabelskiej."

I Greif opowiedział o swoich poszukiwaniach i o tajemnych podróżach Waleryi i Sinobrodego.

— Zatem przypuszczenia nasze są uzasadnione! — zawołał Winter. — Dalej więc do dzieła!

— Czy i ja mam z wami pójść? — spytał wzburzony doktór Kloc, który przysłuchiwał się temu wszystkiemu w milczeniu.

— Nie, nie! — odparł Winter. Zostaniesz pan tu, kochany przyjacielu, i szukać będziesz przy pomocy Brauna za hrabiną Agatą.

Doktór Kloc zgodził się. Winter i Greif pożegnali go i udali się do izby mieszkalnej, gdzie omówili wszystko z Katynką i jej ojcem. Katynka chciała go zatrzymać.

— Reinholdzie !— szeptała, wskazując na izbę gościnną. A żandarmi? Czekaj, aż odejdą.

— Bądź spokojna, moja Katynko! — uśmiechnął się Winter i na pożegnanie ucałował ją serdecznie. Nic mi oni złego nie uczynią.

Wszedł do izby gospodniej, gdzie siedzieli jeszcze żandarmi i rozmawiali z Braunem. Grefi szeptem zlecił Braunowi, że ma być pomocnym doktorowi Klocowi w poszukiwaniach za hrabiną Agatą.

Na widok Wintera zerwali się żandarmi, zdziwieni, skąd on się tu tak nagle zjawił. Jeden z nich zbliżył się do Greifa i spytał, czy on przyaresztował Wintera.

— Zostawcie tego pana w spokoju! — rzekł Greif szorstko.

— Ależ my mamy rozkaz aresztowania go! — zauważył żandarm.

— A ja panu oświadczam, że pan Winter zostanie na wolnej stopie! Zrozumiałeś pan — zawołał Greif stanowczo: Wobec swego przełożonego powoła się pan zresztą na mnie !

— Według rozkazu, panie komisarzu.

Greif i Winter szybko udali się w drogę w stronę zamku myśliwskiego księcia.

Kiedy stanęli na miejscu, był już wieczór. Udali się na tylnią stronę zamku, gdzie było wejście ogrodowe. Tu podwładni Greifa zdali mu sprawę z sytuacyi. Niedawno zwiedziła Walerya ruiny w lesie. Tajni ajenci śledzili ją. Widzieli także Sinobrodego, którego jednak

wskutek jego przebrania uważali za służącego.

— Przypuszczam, że to był hrabia Sinobrody! — zauważył Winter.

Agenci donieśli także, że spostrzegli na jeziorze czółno. Nie mogli jednak obserwować wskutek ciemności. Greif i Winter odgadli, że to Walerya z Sinobrodym udali się do „czeluści dyabelskiej".

— Chodźmy za nimi! — zadecydował Greif. Może zbadamy tajemnicę tej czeluści.

Udano się na brzeg na miejsce, gdzie czekało najęte we wsi czółno. Daremnie szukano. Czółna nie było.

— To dziwne, gdzie się czółno podziało! — rzekł Greif. — W zamku nikt przecież nie wiedział, gdzieśmy czółno ukryli

— Możemy się wystarać o inne czółno! — rzekł Winter.

— Wątpię! Lecz trzeba się rozglądnąć w sytuacyi! Nie wątpię, że to Walerya spłatała nam tego figla.

W ogrodzie znaleźli łódkę Piotra. Tej użyli do swoich celów.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Podejrzenia Walery względem jej służącej nie były nieuzasadnione. Służąca uważała właśnie za dobrą sposobność odszukać dzisiaj Ludwika Hechta. Wiedziała Fryda też, że ludzie Greifa posiadali czółno i wiedziała, gdzie ono ukryte. Udała się więc niepostrzeżenie w to miejsce i bez przeszkody odbiła od brzegu. Nie wątpiła, że Walerya i Sinobrody w tę noc udadzą się jeszcze tutaj. Musiała więc się spieszyć, by jej nie zastali u Hechta.

Ludwik oczekiwał ją z utęsknieniem. Stan jego w międzyczasie poprawił się znacznie. Uradowany wyciągnął ręce ku Frydzie, która usiadła obok niego.

— Nikogo tu nie było?— spytała, rozpakowując przyniesione środki żywności.

— Dzięki Bogu! — odpowiedział Ludwik. I Piotra też nie było.

— Łotr ten nie żyje! — powiedziała mu Fryda. Zginął w ubiegłą noc na zamku Wildenfels!

Opowiedziała mu wszystko, co o tem wiedziała, także o zajściach w zamku myśliwskim.

— Szkoda, że Sinobrody znowu uniknął swego losu! — zgrzytnął Hecht. — Teraz Walerya ma potęgę i stała się dla nas podwójnie groźną. Komisarz bezwątpienia otrzyma dymisyę, podobnie jak to się stało z Winterem i Walerya pozbędzie się znowu wroga. Po tem co zaszło i mnie grozi większe niebezpieczeństwo. Śmierci, już zdaje się, nie uniknę.

— I ja sądzę, że pan i ja jesteśmy teraz w wielkiem niebezpieczeństwie. Skoro hrabina Walerya dowie się o wszystkiem, wtedy...

— Podzielisz ze mną swój los! — uzupełnił Ludwik. — I może już w tej godzinie śmierć nasza postanowiona. Uciekajmy więc stąd, Frydo! — zawołał trwożliwie. Pomóż mi! Mam na tyle sił, by odbyć piechotą niedługą przestrzeń.

Wstał z trudnością i oparł się o ścianę skały.

— Wątpię! — rzekła Fryda, czy potrafisz się na nogach utrzymać, a ja jestem zbyt słabą, bym pana podźwignąć mogła.

— Musi się udać — jęknął Hecht. Choćbym na czworakach miał się poczołgać.

— Ale dokąd pana zawieźć? — spytała Fryda bezradna. Nic nie wiem.

— Chyba znajdziemy w pobliżu ukrycie! Frydo! szukaj pani! Zaklinam cię! — błagał. — Ratuj mnie, póki jeszcze zcas!

— Fryda zrozumiała, że Hecht zostać tu nie może. Z latarnią w ręku poczęła szukać w jaskini. Teraz dopiero spostrzegła, jak przestronną ona jest. Wszędzie tu były boczne wyjścia, wrzynające się głęboko w skałę. Stanęła w pobliżu wyjścia, prowadzącego do czeluści. I tu były rozmaite drogi i wąwozy. Jedna nawet prowadziła na zewnątrz, lecz na stromą ścianę, prostopadle sterczącą w jeziorze.

W środku spostrzegła jednak Fryda szeroką czeluść boczną. Tu znalazła z pół tuzina wyjść, któremi się można było dostać w małe jaskinie i kurytarze. To było najodpowiedniejsze ukrycie, bo w tem mnóstwie wyjść nie łatwo się można było zoryentować.

Szybko wróciła do Ludwika i doniosła mu o swojem odkryciu. Zerwał się, lecz przecenił swoje siły. Już po kilku krokach padł znużony.

Fryda wspierała go, lecz nie mogła go udźwignąć. Nagle przyszła jej zbawienna myśl. Przyniosła z jego posłania koc wełniany i rozpostarła go na ziemi i Ludwik usiadł na nim. Ujęła końce i poczęła koc wraz z siedzącym na nim Ludwikiem ciągnąć z całej siły. Ziemia była gładka, więc szło to nieźle. Wkrótce stanęli u celu i Ludwik był ukryty.

Gdy Fryda chciała się oddalić, zatrzymał ją.

— Zostań pani jeszcze! Zastanowimy się nad tem, co nam w przyszłości czynić wypada.

— A jeżeli zaś nadejdą tu Walerya i Sinobrody? — spytała.

— Tu jesteśmy bezpieczni.

— A moje czółno leży u wyjścia z jaskini. Skoro Walerya i Sinobrody odkryją je.

dowiedzą się tem samem, że ja tu jestem.

— Ukryj więc szybko czółno.

— Dobrze, ale gdzie? — No, ale ja znajdę już dobre ukrycie.

Oddaliła się. Bez trudu znalazła wejście do czeluści, którędy się można było dostać do jaskini. Tu zaświeciła światło, by potem nie zbłądzić. Następnie udała się przez jaskinię ku drugiemu wyjściu nad jeziorem.

Nim wyszła skręciła nieco światło w swej latarni. W środku na jeziorze spostrzegła coś ruchomego. To bezwątpienia czółno, wiozące Waleryę i Sinobrodego do "dyabelskiego wąwozu."

Fryda spieszyła się. Popłynęła na czółnie w zarośla i ukryła tam swe czółno. Potem czeluścią pospieszyła ku wejściu do jaskini, które znalazła dzięki zostawionemu tam światłu. Wnet stanęła w jaskini, światło zgasiła i przy świetle swej latarni wkrótce przybyła do kryjówki Ludwika. Doniosła mu o grożącem niebezpieczeństwie, bo podczas swej wędrówki słyszała po przeciwnej stronie jaskini kroki Sinobrodego i Waleryi.

Fryda zgasiła światło i w trwożliwem oczekiwaniu siedzieli w ciemności.

Nic nie przeczuwając udali się Sinobrody i Walerya ku miejscu, gdzie tak długo miał Hecht swe legowisko. Blada twarz Waleryi zdradzała straszne postanowienie. Chciała dzisiaj pozbyć się na zawsze niebezpiecznego swego wroga.

Nagle Sinobrody przystanął i zaklął złowrogo:

— Do pioruna! Łotr uciekł nam!

— Uciekł! — zawołała Walerya. — Śnisz chyba!

— Patrz! — zgrzytnął Sinobrody. To nie złudzenie. Nie ma tego łotra!

Walerya stanęła jak wryta. Szybko jednak opanowała się.

— Ludwik musiał chyba ukryć się w jaskini.

— Szukajmy go! — zadecydowała.

— Znajdziemy go, jeżeli Fryda nie uprzedziła nas! — rzekł Sinobrody.

— Nie, to niemożliwe. Hecht bliskim był śmierci wskutek osłabienia i głodu.

— Słusznie! Mam nadzieję, że go odnajdziemy. Chociaż nie wierzę, by bez pomocy mógł się był ubrać. W całej tej sprawie działa bezwątpienia Fryda?

— W jaki sposób mogła się tu dostać?

— Dyabeł ją wie! Ale jestem pewny swego. Może ta żmija jest jeszcze u niego w ukryciu.

— Biada jej, jeżeli ją znajdziemy! — zawołała Walerya. Dalej Robercie, każdy kąt musimy przeszukać. Jeżeli się nam Ludwik wymknie, nie jesteśmy bezpieczni.

— Bądź spokojną! Znajdziemy go.

Rozpoczęli poszukiwania, które trwały przeszło dwie godziny, lecz nie odniosły żadnego skutku. Walerya rozpaczała. I Sinobrody stracił nadzieję.

Wreszcie, wśród nowych poszukiwań, odkryli boczny kurytarz, prowadzący do kryjówki Ludwika.

— Szukajmy i tu!

Ludwik i Fryda usłyszeli ich kroki i straszne wyzywanie Sinobrodego. Trwoga ich nie miała granic. Za kilka chwil wszystko miało się rozstrzygnąć. Wtem Sinobrody minął czeluść prowadzącą wprost do kryjówki. Poszedł na koniec kurytarza i nagle zobaczył ciemną głębię jeziora.

—Tutaj nie uciekli! — rzekł do Waleryi, która za nim podążyła, — bo znaleźliby śmierć w jeziorze. Wróćmy się.

I znowu minęli czeluść, kryjącą Ludwika i Frydę. W swem wzburzeniu nie zauważyli jej.

Nagle Walerya stanęła i chwyciła brata swego za ramię.

— Cicho! — szepnęła. Słyszysz? Ktoś jest w jaskini.

— Nie widzisz? — światło! Słyszę głosy. Kilku ich jest. To mężczyźni. Skręć światło.

Sinobrody uczynił to natychmiast. Stali wśród ciemności w milczeniu.

— To pewnie komisarz! — szepnęła Walerya. Ratujmy się!

Obcy przybysze poczęli się zbliżać. Sinobrody i Walerya cofnęli się szybko ku wyjściu nad jeziorem, gdzie stało ich czółno.

— Co ten szpicel tu robi? — zgrzytnęła Walerya.

— Wątpię, czy to on — zauważył Sinobrody.

— Z pewnością! Któżby zresztą?

— Do dyabła !— zaklął Sinobrody wściekły. Jeżeli ten komisarz dostanie Hechta i Frydę w swoją moc, to sprawa twoja weźmie niepomyślny obrót. Oni zdradzą wszystkie tajemnice.

Wsiedli szybko do czółna i oddalili się niepostrzeżenie.

Tymczasem przeszukiwali jaskinię Greif i Winter przy pomocy swoich ludzi. Wszystko wskazywało na to, że niedawno byli tu ludzie.

Ludwik i Fryda usłyszeli w swem ukryciu szmer i odgadli jego przyczynę.

— To bezwątpienia komisarz — rzekła Fryda. Gdyby mu się też udało dostać ich w swą moc, przedewszystkiem Sinobrodego.

Lecz i im groziło niemałe niebezpieczeństwo.

Po pewnym czasie nastała cisza. Fryda zaświeciła latarnię i korytarzem udała się w stronę jaskini. Wszędzie było ciemno i cicho. Zdawało się, że Greif i jego towarzysze oddalili się.

Uspokojona Fryda wróciła do Hechta.

— Nie mamy się czego obawiać — rzekła. Lecz teraz muszę wrócić na zamek, bo zbliża się już północ.

Ludwik starał się ją zatrzymać, ostrzegając ją przed zemstą Waleryi.

— Nie, nie! — odpowiedziała Fryda. Nic mi nie grozi.

— Pędzisz w swą zgubę — rzekł Hecht. A ja zginę tu marnie, opuszczony, bo ty więcej nie wrócisz!

— Wrócę, może nawet już jutro w nocy.

— Nie wierzę! Zginiesz z ręki Waleryi!

— Nie uczyni tego.

— Uczyni! Albo uniemożliwi ci przyjście tutaj.

— I tego się nie boję — rzekła Fryda. Bądź spokojny o mnie, kochany przyjacielu! W każdym razie muszę jeszcze raz wrócić na zamek, bo mam tam owe papiery: list pana do Wintera i metrykę ślubną.

— Należało zabrać ze sobą te papiery. Są one u mnie teraz bezpieczniejsze, niż u pani.

Fryda uśmiechnęła się. Odgadła jego myśli. Chciał jej znowu zabrać te drogocenne papiery.

— Słusznie pan zauważyłeś — rzekła, zgadzając się pozornie. — Przyniosę te dokumenta i tu je ukryję.

Pożegnała go i oddaliła się ostrożnie. Nikogo nie spostrzegła, była pewną, że Greif i jego ludzie oddalili się. Zwolna posuwała się jej łódź wzdłuż wybrzeża. Nie zauważyła jednak, że jest śledzoną, że dwie postacie nie spuszczają jej z oka.

A kiedy minęła sitowie i wyskoczyła na ląd, postacie owe zbliżyły się nieznacznie.

— Mówiłem ci — szepnął Sinobrody. To Fryda. Teraz ją mamy, tę żmiję.

... — Niech wróci spokojnie do zamku — odrzekła szeptem Walerya. Nie wymknie się nam.

Walerya i Sinobrody posuwali się jak upiorne cienie za Frydą, która nic złego nie przeczuwała.

CLXXXIII

WŚRÓD CYGANÓW.

Żandarmi wtargnęli do wozu cygańskiego w którym znajdowały się tylko kobiety i dzieci.

Jeden z nich przeszukał wszystkie kąty, zrzucił z legowisk koce. Daremnie. Nie było śladu zbiegłej Agaty. Kobiety cygańskie śledziły każdy ruch wzburzonego urzędnika. Z nieznaczną ironią uśmiechała się stara cyganka.

Nagle wzrok żandarma padł na postać niewieścią, siedzącą wśród reszty cyganek. Była to piękna, młoda kobieta w pstrym stroju, jej czarne włosy i opalona twarz w niczem nie odróżniały jej od reszty towarzyszek. A mimo to wpadła żandarmowi w oko.

Zbliżył się ku niej i zmierzył ją ostro. I zdawało mu się, że drży. Wogóle wydawała się być cierpiącą.

— Kto ta kobieta? — spytał.

Nastało kłopotliwe milczenie. Zbliżyła się wtedy stara cyganka i rzekła spokojnym i pewnym głosem:

— To Maryanna, panie. Moja synowa.

— Hm — tak? Żandarm nie spuszczał kobiety z oka. — A co jej to — spytał. Czegoś się ona boi.

— Chorą jest —oświadczyła stara cyganka. — Zostawcie ją, panie. Nie dotykajcie się jej, bo możecie się zarazić!

— Co- Czy chorą jest na zaraźliwą chorobę?

— Tak, panie! Cholera! Nie widzicie?

Żandarm zbladł i cofnął się.

— Do dyabła! Należało mi to odrazu powiedzieć. — Nie byłbym tu wszedł! — zawołał.

Szybko oddalił się, wsiadł na konia i popędził ze swym towarzyszem, jakby go śmierć gnała.

Ruszył i wóz cygański. Obok szli mężczyźni, a przy oknie stała stara Cyganka i patrzała za żandarmami. Po chwili zaśmiała się złośliwie.

— Dzięku Bogu! Wywiodłam ich w pole! — zawołała.

Potem przystąpiła do owej młodej, widocznie chorej kobiety, i rzekła:

— Żandarmi poszli precz, pani hrabino. Nie ma obawy. Nie wrócą więcej!

— Ach! — westchnęła Agata, bo to ona była ową rzekomą Cyganką. — Byłam w wielkiej trwodze.

— Niech się pani hrabina nie boi! — uspokajała ją Cyganka. Nikt pani hrabiny nie pozna, bo wyglądasz jak prawdziwa córa naszego ludu.

Prawdą to było. Sztuka mądrych Cyganek zmieniła ją nie do poznania.

— Sądzę — szepnęła Agata, że własny mąż nie poznałby mnie. Mimo to Agata była

niespokojną. Nie czuła się dość bezpieczną u Cyganów.

— Dokąd dążycie? — spytała po chwili, wyglądając z okna.

— Chcemy się przedostać przez granicę— objaśniła stara Cyganka. — A sądzę, że i to dla pani hrabiny będzie najlepiej, bo tu na razie nie jesteś pewną życia.

Agata skinęła głową.

— Chciałabym przedewszystkiem upewnić się co do losu mego męża — rzekła. — Proszę was, zatrzymajcie się w tej okolicy i wyślijcie posłańca do gospody "pod pełnym dzbanem."

— Stanie się, wielmożna pani — odpowiedziała Cyganka.

Mimo to minęło jeszcze kilka godzin, nim się Cyganie zatrzymali. Bali się pogoni. I Agata była tego zdania, że należy się zatrzymać możliwie jak najdalej.

Zatrzymano się w pobliżu wsi, która leżała za lasem. Rozbito obóz. Agata napisała kilka słów do Gerharda. Jeden z Cyganów wsiadł na konia i popędził z listem Agaty. Mógł wrócić dopiero o północy. Agata nie przeczuwała, że mąż jej i stary Michał zostali uwięzieni.

Cygan dla ostrożności nałożył drogi i jak długo mógł trzymał się lasu.

I Aleksander był już w zupełnie innej okolicy. Udał się najpierw na zamek Wildenfels, gdzie zatrzymał się kilka godzin, potem puścił się w dalszą drogę w towarzystwie służącego. Wieczorem stanął we wsi, w pobliżu której Cyganie rozbili swój obóz.

W gospodzie stanęli owi żandarmi, którzy przeszukiwali wóz cygański zaraz po oddaleniu się doktora Kloca i Branda. Chcieli tu przenocować. Narazie zasiedli w izbie gościnnej do posiłku. Sam Gerhard obsługiwał tych gości w nadziei, że dowie się od nich o losie Agaty.

Lecz oni nie wiedzieli więcej niż Gerhard, któremu zresztą nie ufali.

Było już późnym wieczorem, kiedy na dworze usłyszano tętent konia. Przed gospodą zatrzymał się jeździec i wszedł wprost do izby gościnnej. Żandarmi zdziwili się, skoro spostrzegli jednego z Cyganów, z którymi się dzisiaj byli spotkali.

I Cygan poznał żandarmów i przestraszył się mimowoli. Zakłopotany stanął w drzwiach, trzymając czapkę w ręku. Gerhard zbliżył się do niego ruchem, jakby chciał się krótko tego podejrzanego gościa pozbyć.

— Czego tu chcecie? — spytał szorstko.

Cygan nie mógł oczywiście w obecności żandarmów zdradzić swego zlecenia. Szybko się zoryentował i prosił o nocleg.

— Nie mam dla was miejsca.

— Mnie byle kąt wystarczy — rzekł Cygan skromnie. — Mogę spać w stajni przy swym koniu.

— Ha! — dobrze! — zgodził się Gerhard,

Wtem wstał jeden z żandarmów i zbliżył się do Cygana, mierząc go podejrzliwym wzrokiem.

— Słuchajno, chłopcze! — zawołał. — Ty jesteś jednym z tej bandy, wśród której przebywa ta kobieta chora na cholerę — co?

— Nie — nic nie wiem panie! Ja nie mam żony! — odpowiedział Cygan, udając, że nie wie o czem mowa.

— Co? Kłamiesz, łotrze! Poznałem cię! Wynoś się! Chcesz nam cholerę na kark sprowadzić?! Gerhardzie! — wyrzućcie tego czarnego łotra! On nas wszystkich zarazi!

Cygan zaśmiał się szyderczo.

— Pan wachmistrz się myli — oświadczył —Nic nie wiem o cholerze. — Przychodzę z miasta. Jestem sam jeden.

— Tak? Z miasta przychodzisz? — spytał żandarm, niepewny swego.

— Tak! Z daleka idę.

I nie w ciemię bity Cygan począł opowiadać, gdzie to on już dzisiaj był i dokąd dąży.

— Być może, że się mylę— rzekł żandarm. — Gerhardzie, jeżeli chcecie człowieka tego zatrzymać u siebie przez noc, nie mam nic przeciw temu.

Wrócił do stołu do swoich. Cygan oświadczył, że zaprowadzi konia do stajni i rzucił Gerhardowi spojrzenie, by za nim poszedł.

W sieni stanęli i Gerhard spytał:

— Czego jeszcze chcecie?

— Muszę z wami mówić — odpowiedział Cygan tajemniczo.

— W jakiej sprawie?

— Mam do was zlecenie — szepnął Cygan. — Chodźcie dalej.

Gerhard niedowierzał dziwnemu zachowaniu się Cygana, obawiał się podstępu i zniecierpliwiony rzekł:

— Jakie zlecenie? Od kogo? — Mówże!

Cygan nachylił się i szepnął:

— Mam do was list od hrabiny Linderhof.

Gerhard chwycił jego rękę.

— Czy to prawda? — zawołał. — Co ty wiesz o hrabinie? Czyś ją widział?

— Tak! Jest u nas!

— A! I ona was z listem posłała? — Dajcie! — zawołał Gerhard głośniej, zapominając w swej radości o żandarmach.

— Pst! — ostrzegał Cygan. — Ostrożnie! Tu jest list.

Gerhard pospieszył do tylnej sieni, gdzie zajęta była Katynka i dziewka. Dziewce kazał się zająć Cyganem, a z Katynką udaj się do izby mieszkalnej, wyjaśnił jej, co zaszło i kazał zawołać Martę, która miała rozeznać pismo swej pani.

Marta natychmiast przyszła.

List Agaty brzmiał:

"Kochany Gerhardzie!

— Znalazłam dzięki Bogu, schronienie u Cyganów. Jednak nie mogę i nie chcę u nich zostać. Jeżeli możliwe, niech przyjdą do mnie Winter albo doktór Kloc. A może potraficie uwiadomić mego męża. Czy udało mu się uciec? Proszę o odpowiedź przez posłańca, który odda ten list.

Szczerze wam dziękuję wasza

Agata hrabina Linderhof."

Radość ich nie znała granic. Łzy zabłysły w oczach Marty:

— Dzięki Bogu! Jest bezpieczną — szepnęła.

Zawołano z kuchni Cygana i zarzucono go pytaniami. Opowiedział dokładnie, jak wywiedli żandarmów w pole. Marta napisała list do Agaty, miał go Cygan odnieść i donieść Agacie, że hrabia Edmund jest uwięziony, a doktór Kloc szuka jej. Cygan miał ruszyć w drogę, skoro tylko koń jego wypocznie.

Tymczasem w żandarmach, na których nie zwracano uwagi, wzbudziło się podejrzenie. Dziwiło ich, czego Gerhard tyle rozmawia z Cyganem, usłyszeli także, że jest mowa o jakimś liście.

— Założę się — rzekł wachmistrz do swoich towarzyszy, że chodzi tu o hrabinę Agatę. Jest ona u Cyganów. Banda ta oszukała nas. Wiem już! Ta chora na cholerę — to ona! Przysięgnę że tak jest.

— Ależ to była Cyganka — zauważył drugi żandarm.

— Ach, przeklęty ten tłum ma tyle kruczków i umie czarować, jak sam dyabeł. Zamienili hrabinę sztucznie w Cygankę i wymyślili cholerę, by nas wystraszyć. — A my osły. — No, czekajcie łotry! Zapłacę ja wam. Co on mówi, to kłamstwo. Bo czego on chce od Gerharda. A oni przecież wszyscy są po stronie hrabiny. — Jestem pewny, że Cygan ten przyniósł list od hrabiny.

— Tak, tak! Tak sprawy stoją! — potakiwał drugi żandarm. Ale co począć? Łotr ten nie wyzna prawdy.

— To nie prowadziłoby do celu. Chłopcy, musimy dostać hrabinę. Pomyślcie tylko o pięknej nagrodzie, ktróa nas czeka, 1000 marek.

— Słuchajcie. Cygan pewnie z odpowiedzią wróci do swej bandy. Podejdziemy go naturalnie tak, aby nie zmiarkował.

— Hm, tak! Wtem właśnie sęk! — odpowiedział drugi żandarm.

— Innego wyjścia nie ma! — zadecydował wachmistrz.

W tej chwili wszedł Gerhard, lecz nie domyślił się, o czem żandarmi mówią. Na jego widok poczęli rozmawiać o obojętnych rzeczach.

— No, Gerhardzie — spytał nagle wachmistrz. Jak tam? Zatrzymujecie tego Cygana przez noc

— Tak! — odpowiedział Gerhard. Niech śpi w stajni.

— Hm! By nam tylko nie oczarował naszych koni! Nie ufam ja tej bandzie.

— Trzeba zaglądnąć, czy tam w stajni wszystko w porządku! — zauważył drugi żandarm i wstał.

— Bądź pan spokojnym! — rzekł szybko Gerhard. Cygana umieściłem w starej stajni. Nie styka się z moimi ani z pańskimi końmi.

— Nie zaszkodzi, jak popatrzę.

Żandarm wyszedł, a za nim zaniepokojony Gerhard. Chciał Cygana ostrzedz. Lecz ten spostrzegł już żandarma i śledził go potajemnie. Widział, jak żandarm wszedł do stajni i przy świetle latarni począł siodłać konie.

— Aha! — szepnął. Nie ufają nam. Zdaje się, że chcą udać się w moją stronę.

Zbliżył się doń Gerhard.

— Spieszcie się! — ostrzegał go szeptem. Żandarmi podejrzywają nas.

Cygan znikł z małej z desek zbudowanej stajni, gdzie stał koń jego już osiodłany. Szybko go dosiadł i popędził w dal przez ogród.

Lecz widzieli go żandarmi. Dosiedli swoich koni i puścili się w pogoń. Usłyszeli tylko tętent konia i poznali kierunek, w którym Cygan uciekał. Zresztą nic widzieć nie mogli, bo noc była bardzo ciemna.

Gonili w ślad Cygana, w nadziei iż ten nie wie, że go gonią i poprowadzi ich do obozu swych towarzyszy. Ale Cygan, wiedząc dobrze o pogoni bo słyszał dokładnie tętent kopyt końskich i szczęk broni — pędził ile mu sił starczyło i co kilka chwil zmieniał kierunek. W ten sposób spodziewał się omylić pogoń, która chyba w lesie straci jego ślad.

Po pewnym też czasie zniknął Cygan wśród ciemności w lesie. Zatrzymał się w gęstwinie, by zmęczony koń jego spoczął.

Tymczasem żandarmi minęli jego kryjówkę, w pewnem tylko oddaleniu od niej. Widział i wnet puścił się w dalszą drogę, jeszcze cią-

gle miał się na baczności, bo przypadek mógł mu znowu żandarmów sprowadzić na kark.

Już był niedaleko wsi w pobliżu której był obóz cygański, gdy nagle spostrzegł naprzeciwko siebie jeźdźca który stał na wzgórku przed wsią.

Nie mógł go w żaden sposób ominąć. Na szczęście nie był to żandarm.

Był to Aleksander. Czekał tu na swego służącego, którego wysłał był do wsi. Kiedy spostrzegł Cygana — zrazu myślał, że to może doktór Kloc — zawołał:

— Hej, przyjacielu! A wy skąd?

Cygan nie znał Aleksandra, bał się, czy to nie tajny agent. Nie chciał się z nim wdawać w rozmowę zaciął swego konia i znikł w lesie.

Aleksander nie miał wcale zamiaru gonić. Gdy nagle pomknęli tuż obok niego 3 jeźdźcy i zniknęli w lesie. Byli to żandarmi.

Cygan zmiarkował że go ścigają. Zaciął znowu konia swego z całej siły, wnet ominął las i przez łąki i pola przybył po drugiej ich stronie znowu nad brzeg lasu, gdzie Cyganie rozbili swój obóz.

W następnej chwili wpadł tak nagle że wystraszył obozujących dookoła ogniska Cyganów. Zsiadł z konia i popędził ku wozowi, stojącemu na uboczu.

Kobiety i mężczyźni otoczyli go, zarzucając pytaniami. Powiedział im że grozi niebezpieczeństwo i że muszą natychmiast ruszyć. Potem wszedł na stopnie wozu i zniknął w jego wnętrzu.

Wszyscy czuwali, tylko dzieci spały. Agata siedziała obok starej Cyganki i rozmawiała z nia.

Młody Cygan wpadł do wozu, trzymając w ręku list i zawołał:

— Żandarmi są tu! Gonili mnie. Pani hrabina musi uciekać. Tu u nas niebezpiecznie.

Okrzyk trwogi wydarł się z piersi Agaty.

— Miłosierny Boże! Zginęłam!

— Odwagi! wielmożna pani — rzekła stara Cyganka. Wzięła list z rąk Cygana i zawołała:

— Prędko osiodłać konia. — Ty hrabinę odprowadzisz. My za wami.

Młody Cygan wybiegł.

Agata drżała na całem ciele. Stara Cyganka wzięła ją za rękę i rzekła:

— Pani hrabina pójdzie ze mną. Tu jest list. Tylko bez obawy. Za kilka minut musi pani hrabina opuścić nasz obóz.

Szybko wszystko do ucieczki przygotowano.

— A teraz precz! — zawołała stara Cyganka, stojąc na stopniach wozu. Nieprzyjaciel już tu.

Przy pomocy jednego z Cyganów dosiadła Agata konia, zaopatrzonego w siodło damskie. Młody Cygan ujął cugle i galopem popędzono w ciemny las.

Przez pole zbliżali się żandarmi. Ogień obozowy wskazywał im miejsce, gdzie się Cyganie znadjowali. Ledwo zniknęła Agata ze swymi, gdy nagle wpadli trzej żandarmi do obozu.

CLXXXIII.

WSZYSTKO STRACONE.

Przez ciche w ciemnościach nocnych pogrążone kurytarze zamku posuwała się Fryda do swego pokoju, nie przeczuwając że w ślad za nią dążą Walerya i Sinobrody.

Ledwo dostała się do swej komnaty, gdy drzwi się znowu otwarły i na progu stanęła Walerya w towarzystwie swego brata. Drżąca na całem ciele wpatrywała się w nich Fryda, zrozumiała, że o wszystkiem wiedzą.

Z groźnym wyrazem twarzy, zbliżała się Walerya ku niej.

— Gdzie byłaś wśród nocy? — zawołała.

Pytanie to obudziło we Frydzie przypuszczenie, że jej pani o niczem nie wie. Odpowiedziała:

— Mój Boże! Gdzie byłam? Nigdzie!

— Żmijo! — zgrzytnęła Walerya. —Wiem skąd wracasz. Widziałam cię. Chcesz zaprzeczyć, że byłaś w jaskini u swego łotrowskiego sprzymierzeńca.

Fryda zbladła, mimo to rzekła uparcie:

— Nie wiem, czego pani chce.

— Znam teraz twe podstępy! Bądź pewna nie ujdzie ci to bezkarnie.

—Jaśnie pani, nie rozumiem o co idzie!— zawołała Fryda, udając oburzoną. — Wyznaję, że poszłam za śladem jaśnie pani, jednak straciłam panią z oczu i wróciłam z drogi.

Walerya roześmiała się złowrogo.

— Kłamiesz! — zawołała. — Przed nami byłaś w jaskini i ukryłaś tam tego łotra. Nędznico! Nie kłam, powiedz, gdzie go ukryłaś?

Walerya chwyciła Frydę za pierś.

— Puść mnie pani! — zawołała Fryda, bo zacznę krzyczeć.

— Robercie! — rzekła Walerya spokojnie. — Daj mi sznury i chustkę. Przełamię ja opór tej żmiji.

Frydę zdjęła śmiertelna trwoga. Uwolniła sie gwałtownym ruchem z objęć Waleryi, rzyciła się ku drzwiom i poczęła wołać o pomoc.

Lecz w tej chwili rzucił ją Sinobrody na ziemię. Lewą ręką objął jej szyję, tak że krzyk jej natychmiast zamilkł. Sztylet który trzymał w prawej ręce, przyłożył do jej piersi i rzekł:

— Ani słowa więcej — bo zginiesz!

Fryda poddała się. Sinobrody związał jej ręce, potem usta, tak że ledwo mogła oddychać.

Potem razem z Waleryą podążyli z nią przez kurytarze i przez schody w dół, do piwnic zamkowych.

Zatrzymali się w jakimś lochu, bez okien. Były tu rozmaite rupiecia, także szafy wykute w ścianie, ławka, stół i kilka stołków.

— Zdejm jej chustkę — rzekła Walerya do swego brata. Tu może krzyczeć dowoli, nikt jej nie usłyszy.

Sinobrody spełnił rozkaz siostry. Fryda przez kilka chwil próbowała złapać oddech. Była zupełnie wyczerpaną.

Z okrutnem zadowoleniem patrzała Walerya na swą ofiarę.

— Posłuchaj mnie, żmijo! — rzekła, i rozważ me słowa. Życie twoje odemnie zależy. Nikt ci pomocy nie udzieli. Nikt o ciebie się nie spyta, gdy tu, w tym lochu, zginiesz. — Tak, tu zginiesz wśród strasznych katuszy. To będzie moją zemstą za twą zdradę i twój podstęp.

Fryda teraz dopiero uprzytomniła sobie straszne swe położenie.

— Miłosierny Boże! — zawołała. Co pani chce ze mną uczynić. Chcesz mnie zabić.

— Tak, bez miłosierdzia usunę cię ze świata! — tryumfowała Walerya. Uczynię cię nieszkodliwą.

— Mój Boże! Co ja pani zrobiłam? Puść mnie! Zwołam wszystkich...

— Krzycz! Nikt cię nie usłyszy. — Nikt cię nie ocali — rozumiesz? Od mojej łaski jesteś zależną.

Fryda padła Waleryi do nóg i objęła błagalnie jej kolana.

— Wstań! Twe skomlenie nie wzrusza mnie! — rzekła Walerya i odepchnęła ją. — Jeżeli mi prawdę wyznasz, przebaczę ci jeszcze tym razem. W przeciwnym razie los twój rozstrzygnięty!

— Co mam wyznać? — biadała Fryda. — Co złego zrobiłam?

— Milcz! Oto jeszcze pytasz? Radzę ci, wyznaj wszystko!

— Na co tyle zachodu — wtrącił Sinobrody niecierpliwie. Nie chce mówić, potrafię już rozwiązać jej język. Środków po temu nie brak mi.

Fryda drżała zawsze na sam widok Sinobrodego. Zerwała się teraz z dzikim okrzykiem i rzuciła się ku drzwiom. Lecz w tej chwili chwycił ją Sinobrody i rzucił o ziemię.

— Mów nareszcie! — rzekła Walerya groźnie. — Słuchaj, co ci powiem: podsłuchałaś nas i dowiedziałaś się, że twój sprzymierzeniec Ludwik Hecht jeszcze żyje. Odszukałaś go i teraz przed naszą zemstą ukryłaś. Wyznajesz?

— Nie, nie! Krzywdzi mnie pani!

Zdawało się jej, że jedynym ratunkiem jest konsekwentne kłamanie, bo Walerya niczego jej udowodnić nie mogła.

Walerya kazała jej milczeć i rzekła sucho:

— Upominam cię po raz ostatni. — Chcesz zeznać, czy nie?

— Gdzie się obecnie Ludwik Hecht ukrywa?

— Ależ ja tego nie wiem?

— Wiesz! Bo tyś go ukryła!

— Nie, nie! Przysięgam, że nie! Nic o nim nie wiem.

— Przecież nas ciągle śledziłaś? — rzekła Walerya, tracąc już cierpliwość. Może nie szukałaś za tym łotrem?

— Tak, wyznaję, to zrobiłam. — Ale go nie znalazłam.

— Nie? — szydziła Walerya. — Bezczelnie kłamiesz. Lecz daremnie. Dzisiaj widzieliśmy cię w jaskini.

— No, tak — byłam w jaskini. Ale nie znalazłam tam męża pani.

— Zakazuję ci łotra tego nazywać moim mężem! No — więc twierdzisz, że go już nie było, kiedyś przyszła do jaskini? Nie wierzę!

— Prawdę mówię! Przedtem byli w jaskini ludzie. Prawdopodobnie komisarz Greif i jego ludzie. Ci pewnie Ludwika Hechta zabrali.

Walerya zamieniła spojrzenie ze swym bratem.

— Czy to prawda? — spytała.

— Tak! Sama widziałam.

Na twarzy Waleryi malował się strach, przerażenie i niewiara.

— Nie wierz tej bestyi! — zawołał Sinobrody. — Wszystko kłamstwo. Komisarz przyszedł do jaskini, kiedy myśmy już tam przez całą godzinę szukali Hechta.

— Prawda, nie pomyślałam o tem — rzekła Walerya. — Widzisz więc, kłamstwa twoje na nic się nie zdadzą.

— Powiedziałam prawdę. Komisarz był tam dwa razy i za pierwszym razem...

— Milcz, nędznico! Nie wierzę! Słuchaj — życie twoje na włosku wisi. Ostatnia rada: wyznaj!

— Co mam wyznać, skoro mi pani nie wierzy?

— Ty wiesz gdzie Ludwik ukryty. Powiedz gdzie! Chcesz, czy nie?!

— Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Zabrał go komisarz.

— Obstajesz więc przy swoich kłamstwach? — spytała Walerya groźnie. — I nie chcesz też zeznać, gdzie są ukryte papiery?

— Co za papiery? — spytała Fryda, udając zdziwioną.

Walerya tupnęła niecierpliwie nogą.

— Nędznico! Nie udawaj! Wiesz, że chodzi mi o papiery, które ci oddał Ludwik Hecht.

— To nieprawda! Ja nie mam tych papierów.

— Nie chcesz mi ich wydać?

— Myli się pani. Hecht nie wskazał mi miejsca, gdzie te papiery leżą. — Nie mogłam ich więc zabrać.

— Bestyo! — zgrzytnęła wściekle Walerya. — Chcesz więc zginąć? Dobrze! Nie wyjdziesz stąd więcej. Gdybyś prawdę zeznała, tobym ci przebaczyła.

Odwróciła się i kroczyła ku drzwiom. Teraz poznała Fryda, że Walerya nie żartuje i że groźbę swą wykona.

Ze strasznym okrzykiem rzuciła się ku swej pani i chwyciła się juj sukni.

— Na miłość Boską! Tu mnie pani chce zamknąć? — zawołała w śmiertelnej trwodze. Nie! Puść mnie pani!

Walerya ją odepchnęła.

— Tu zostaniesz! Nikt cię nie ocali!

— Będę krzyczeć o pomoc. Znajdą mnie — i ocalą! — zawołała Fryda w rozpaczy. Uwolnią z rąk pani — a wtedy: drżyj przed moją zemstą!

Walerya roześmiała się pogardliwie.

— Nędznico! Grozisz mi?! — Lecz: masz jeszcze wybór. — Chcesz prawdę wyznać, czy zginąć?

— Nie! zawołała Fryda namiętnie. — Nigdy ci nie zdradzę, gdzie ukryty jest twój mąż. Nigdy też nie dostaniesz owych papierów.

Oczy Waleryi zabłysły złowrogą wściekłością.

— Więc, giń! — szalona. — Znajdę i twego towarzysza. Podzieli on twój los.

Wyszła i zabrała ze sobą latarnię. Już Fryda była przy otwartych drzwiach, gdy silnym rzutem pchnął ją Sinobrody. Zatoczyła się. Ciężkie drzwi zapadły. Fryda słyszała przekręcenie kłucza w zamku...

Daremnie biła o drzwi i wołała o pomoc.

Szatański uśmiech szyderski był jedyną odpowiedzią. Omdlona padła na ziemię.

Spokojnie wrócili Sinobrody i Walerya do swych komnat. Nikt ich nie spostrzegł. Przybyli do budoaru Waleryi.

— Czy chcesz tam w dole zostawić Frydę? — spytał Sinobrody.

— Pewnie; Niech zginie! — dopowiedziała Walerya stanowczo.

— Boję się tylko, że ją tam znajdą — zauważył Sinobrody.

— O, o to jestem spokojną. — Zresztą postaram się i o to, by nikt ze służby nie zbliżył się w tamte strony.

— Hm! Ale zauważą nieobecność jej. — Jak wytłómaczysz jej zniknięcie?

— Poprostu powiem, że opuściła służbę.

— A Ludwik Hecht? Jak znajdziemy tego łotra?

— Zaraz jutro za dnia przeszukamy jaskinię. — Bo ja nie wierzę, by go stamtąd komisarz zabrał.

— I ja nie! Lecz komisarz pewnie przeszukuje tamte okolice ze swymi ludźmi.

— Ach, głupstwo, Rola tego człowieka skończona. Książę uczyni go już nieszkodliwym — rzekła Walerya stanowczo.

Mimo, to, należy być ostrożnym — mówił Sinobrody. — Tobie komisarz nic nie zrobi, nie odważy się. Ale ja zginę jeżeli się dostanę w jego ręce.

Waleryi udało się jednak rozproszyć obawy brata i pozyskać go dla swoich planów. Sinobrody udał się na spoczynek. Lecz Walerya nie myślała o śnie.

— Prócz Hechta pozbyłam się wszystkich wrogów — rzekła zadowolona. — I on musi zginąć. Kto wtedy wystąpi przeciwko mnie? Ale mi to nie wystarcza. Nie chcę siedzieć wiecznie w tym samotnym zamku jako kochaka księcia. Nie! W krótkim czasie musi mnie książę uczynić swą żoną, a wtedy mogę swobodnie i dumnie podnieść głowę.

Nagle wzdrygnęła się.

W przedpokoju usłyszała szelest. Zerwała się i sięgnęła do kieszeni, gdzie miała rewolwer.

Nadsłuchiwała. Słyszała kroki, zbliżające się ku jej drzwiom. Potem cisza.

Czy złodziej w zamku? Walerya udała się do przedpokoju, który słabo oświecała ampuła. Nikogo tu nie było. Lecz sąsiednie drzwi stały otworem. Odważnie kroczyła Walerya dalej, do salonu, gdzie się również świeciła ampuła. Kiedy Walerya stanęła na progu, zdawało jej się, że widzi na ścianie poruszający się cień.

Podniosła rewolwer.

— Kto tu? — zawołała. — Odpowiadaj, bo strzelam!

Cisza.

Poszła dalej. Lecz nie znalazła nic podejrzanego. Nie spostrzegła ciemnej postaci człowieka, który przykucnął za stalugą, na której stał obraz, a która okrytą była ciężką materyą.

Człowiek ten nie spuszczał z niej oka. Zbli-

żyła się ku staludze. Przez chwilę groziło obcemu niebezpieczeństwo. Lecz Walerya poszła dalej. Otworzyła drzwi do pokoju gościnnego. Tu było ciemno, chwilę nadsłuchiwała. Następnie wróciła do swego budoaru i drzwi zamknęła.

Teraz wyszedł z za sztalugi obcy człowiek. Światło ampuły padło na jego twarz, gdyby go Walerya teraz spostrzegła poznałaby w człowieku, który tak odważnie wtargnął do jej komnat — Wintera.

Przybył on tu niespostrzerzenie o północy z tajnym agentem, chciał za każdą cenę dostać w swe ręce Frydę.

Dla ostrożności ukrył się w korytarzu przed komnatami Waleryi. Tu chciał czekać, aż wszyscy ułożą się do snu. O tem, co się działo w piwnicy, nic nie wiedział. Myślał, że Fryda jest u swej pani. A kiedy ona opuści pokoje Waleryi, chciał ją Winter ująć.

Na wszelki wypadek jednak wysłał swego towarzysza do pokoju Frydy. Agent bez trudności tu się dostał. Jednak przyszedł zapóźno. Kilka minut wcześniej zastałby Waleryę i Sinobrodego. Teraz byli oni już z Frydą w piwnicy.

Agent czekał długo. Fryda nie przychodziła. Nagle usłyszał szmer. Otworzył drzwi i patrzał.

Na końcu ciemnego korytarza wynurzyło się światełko i zjawiły się dwie postacie, w których agent poznał Waleryę i Sinobrodego. Wracali oni właśnie z piwnicy. Cicho przymknął drzwi i nadsłuchiwał. Przybyli minęli drzwi, które agent znowu otworzył. Widział ich jeszcze jak zniknęli w komnatach Waleryi.

Agent odszukał teraz Wintera. Ten tymczasem starał się znaleźć w ciemnym korytarzu wejście do komnat Sinobrodego.

Nagle się zatrzymał i nadsłuchiwał. O uszy jego odbił się straszny krzyk.

— Wielki Boże! — zawołał. — Co to? Kto krzyczy? Skąd?

Słuchał z napiętą uwagą. Lecz znowu cisza.

W Winterze zbudziło się podejrzenie. Wpadła mu na myśl Fryda. Może agent ujął dziewczynę i to ona tak przeraźliwie krzyknęła.

Pospieszył w stronę pokoju Frydy. W drodze spotkał agenta.

— No? Ma ją pan? — spytał wzburzony.

— Nie! Nie zjawiła się w pokoju.

— Czy słyszał pan straszny krzyk?

Agent zaprzeczył.

— Widziałem, że Walerya i Sinobrody błądzili po zamku — doniósł agent. Minęli pokój Frydy i zdawało się, że wracają z dołu.

Zdziwiało to Wintera niepomiernie i nowe obudziło w nim podejrzenia. Ten okrzyk, zaraz potem zjawienie się Waleryi i Sinobrodego, czy one ze sobą stoją w związku. A może zabili Frydę?

Po krótkiem zastanowieniu się, wysłał Winter agenta do Greifa, który ze swymi ludźmi czekał w ogrodzie. Greif miał przeszukać zamek, zwłaszcza dół.

Winter udał się do komnat Waleryi, by się upewnić, czy tu niema Frydy. Dostał się do salonu, gdy wskutek szmeru zwrócił uwagę Waleryi. Ukrył się za stalugę, bo na odwrót było zapóźno.

Przez otwarte drzwi mógł się jednak rozglądnąć po budoarze Waleryi. Frydy tu nie było. Jego podejrzenie zyskiwało dlań silniejsze kształty.

Wyszedł cichutko i zeszedł na dół, gdzie się spotkał z Greifem, którego ludzie wszędzie byli czynni.

Greif podzielał zdanie Wintera.

Zeszli do piwnic. Nie odkryli ani śladu.

— Wróćmy — rzekł Greif. — Jeżeli oni naprawdę ubili Frydę, to ją pewnie dobrze ukryli.

— Spróbujmy więc przynajmniej ująć Sinobrodego — zaproponował Winter. Jest on tu w zamku. Trzebaby cicho dostać się do jego komnat, i we śnie go ująć. Nim Walerya zdoła zwołać pomoc, będziemy z nim daleko.

— Hm — rzekł Greif. Plan pana jest nie zły, lecz wątpię, czy się nam uda wtargnąć do jego komnat i nie zwrócić na się uwagi. A jeżeli się spostrzeże, to się nam wymknie.

— Bardzo to karkołomne — odpowiedział Greif i doniósł Winterowi, jakie mu szef dał zlecenia.

Przeciw Waleryi nie wolno mi działać. Nie wolno mi nawet wejść do zamku. Jeżeli książę dowie się o naszym nocnym napadzie na zamek, postara się o to, by mnie wydalić że służby. — A wtedy co dalej?

— Prawda, ma pan racyę! — rzekł Winter. Już i mnie groziło niebezpieczeństwo nielada. A nie czekałbym aż by mnie Walerya ubiła.

— W każdym razie sprawa wzięłaby dla pana niepomyślny obrót! — odrzekł Greif poważnie. Mimoto spróbujemy szczęścia, ale z zastosowaniem wszelkich środków ostróżności. Taki więc mam plan: Pan z kilku ludźmi staniesz przed komnatami Waleryi. Ja z innymi spróbuję wtargnąć do komnat Sinobrodego. Gdyby chciał uciekać, to wpadnie panu w ręce.

Ale to wtedy dużo hałasu narobi.

— W takim razie, skoro Walerya zaalarmuje służbę, musimy się natychmiast cofnąć. Za żadną cenę nie możemy być poznani.

Opuścili piwnicę i udali się na piętro. Winter z 2 agentami ustawili się w kurytarzu przed

pokojami Waleryi, tymczasem Greif z kilku ludźmi udał się na kurytarz, gdzie było wejście do komnat Sinobrodego.

CLXXXIV.

BEZPIECZNE SCHRONIENIE.

Agata znowu musiała uciekać, w śmiertelnej trwodze, że za chwilę wpadnie w ręce swych prześladowców.

Tymczasem żandarmi zatrzymali się w obozie cygańskim. Cyganie zachowywali się spokojnie, wyczekująco.

Wachmistrze zbliżył się do wozu, a spostrzegłszy starą cygankę, zawołał surowo:

— Gdzie jest ten człowiek, który przed nami uciekał i właśnie tutaj przybył?

— Nikogo nie widziałam! — brzmiała odpowiedź.

— Kłamiesz, czarownico stara. Znam ja cię. A jeżeli nas teraz spróbujesz oszukać, pomaszerujecie wszyscy do więzienia.

Groźba ta nie wywarła na cygance żadnego wrażenia. Pogardliwie wzruszyła ramionami, cyganie zbliżyli się i przebrali groźną postawę.

Gdy to wachmistrz, zauważył i spostrzegł ich sztylety pistolety, wpadł w wściekłość.

— Miejcie się na baczności! Łotry! — zawołał i porwał swój rewolwer.

— Baczność! — zawołał na swoich ludzi. Gdyby jeden chwycił za broń, strzelać bez pardonu!

Postawa cyganów stawała się groźniejszą. Żandarmi przygotowali się do ataku. Zdawało się, że przelew krwi jest nieunikniony.

Wtem wystąpiła stara cyganka i w języku dla żandarmów niezrozumiałym, rzekła kilka rozkazujących słów do wzburzonych cyganów. Usłuchali. Wszyscy się cofnęli a stara cyganka zwróciła się ku wachmistrzowi.

— Panie! — rzekła. Dobrze radzę. Nie drażnj pan naszych ludz i nie ciskaj obelg, bo może być źle .

— Nie będziemy robić z wami ceremonii. Kto opór stawiać będzie, tego ubijemy jak psa! Zrozumiałaś? A teraz, stara, wydaj nam ową chorą na cholerę. Czy wiesz, o kim myślę?

— Pewnie! Lecz nie ma jej już u nas! — odpowiedziała stara spokojnie.

— Oho! Prędko ukryliście ją.

— Posłaliśmy ją do szpitala w najbliższym mieście.

Żandarm wybuchł śmiechem, potem groźnie zbliżył się do cyganki.

— Kłamstwo! — zawołał. Kobieta ta po pierwsze nie jest cyganką a po drugie nie jest chorą. Oszukałaś nas dzisiaj z rana. Ale w gospodzie widzieliśmy waszego posłańca i zmiarkowaliśmy, jak te sprawy stoją. Krótko mówiąc owa rzekoma chora cyganka jest zbrodniarką, która uciekła z więzienia i której szukamy. Zaraz nam ją wydajcie!

— Myli się pan. Tej osoby nie ma u nas! — oświadczyła stara stanowczo.

Żandarm przybrał groźną minę i wśród złorzeczeń starał się zmusić cygankę do zeznania prawdy. Daremnie. Uporczywie twierdziła, że owa chora jest jej synową i że ona ani jej ludzie nic o Agacie nie wiedzą. Podobnie też nikt nic nie chciał wiedzieć o cyganie z gospody.

Nie było innej rady i musieli się oddalić z niczem. Wachmistrz był wściekły.

— Czekajcie, łotry! — zawołał. Okaże się, żeście mieli u siebie tę zbrodniarkę. A wtedy biada wam. Pomaszerujecie wszyscy do więzienia. Radzę wam, nie ruszać się z miejsca. Jutro będziemy tu znowu.

Oddalili się wśród złorzeczeń cyganów, którzy nie zważając na ich rozkaz, natychmiast poczęli się gotować do wymarszu.

Już mieli ruszyć, kiedy ze strony wsi wynurzyli się trzej jeźdźcy i szybko zbliżali się ku obozowi.

Byli to Aleksander, doktór Kloc i Braun.

Doktór Kloc i Braun spotkali się przypadkiem z Aleksandrem i właśnie naradzali się, jakby szukać Agaty. Aleksander opowiedział im też o owym cyganie, którego spotkał i którego ścigali żandarmi. Gdy tak rozmawiali, spostrzegli żandarmów, którzy właśnie z obozu cygańskiego wracali do wsi. Przyjaciele, unikając ich spotkania, zboczyli z drogi i ukryli się w zaroślach.

Żandarmi minęli ich. Rozmawiali głośno.

— Pewnie łotr ten przed nami przybył do bandy tej! — mówił wachmistrz. Trzeba go było ująć w gospodzie i odebrać mu list, który przyniósł Gerhardowi. Niech dyabli wezmą tę bandę cygańską.

Dalsze słowa przebrzmiały w oddali. Lecz przyjaciele dosyć usłyszeli. Zrozumieli, że idzie o Agatę.

— Zdaje się, że jesteśmy na dobrej drodze! — rzekł doktór Kloc. Trzeba odszukać tych cyganów, którzy niewątpliwie są w pobliżu.

Ognie obozowe wskazały im drogę.

— Holla, ludzie! — zawołał doktór Kloc. Gdzie jest wasz naczelnik. Mamy z nim kilka słów do pogadania.

— Nie ma tu naszego naczelnika! — odrzekł stary cygan. A czego chcecie?

— Pewnego wyjaśnienia, za które bogato

zapłacimy. Szukamy pewnej kobiety, którą ścigają.

— Poszukajcie gdzieindziej, panie! — przerwał cygan. U nas jej niema.

— Sądzę jednak, że wiecie o niej więcej, niżli zdradzić chcecie! — mówił doktór Kloc. Jesteśmy przejaciółmi hrabiny. Przychodzimy z gospody i wiemy, że tam był wasz posłaniec.

Cyganie poczęli szeptać, gdyż niedowierzali jeszcze przybyszom.

Zbliżyła się stara cyganka, która słyszała rozmowę spytała ostróżnie:

— A kim pan jesteś? Wymień pan swe imię.

Przybysze dali się poznać. Stara przywitała ich i wyjaśniła sytuacyę.

— Spotkaliście panowie żandarmów? — spytała.

— Tak! — odpowiedział doktór Kloc i ich to rozmowa wskazała nam drogę tutaj.

— Jeżeli panowie chcecie, chodźcie z nami! — rzekła cyganka, za kilka godzin zobaczycie hrabinę.

Przyjaciele połączyli się z cyganami. Tylko Braun pozostał, by udać się do gospody ''pod pełnym dzbanem'' z pomyślną wieścią.

Orszak cygański ruszył. Droga prowadziła przez las i była uciążliwą. Dlatego dopiero nad ranem stanęli u celu.

Obóz cygański znajdował się w odludnej części dalekiego boru, na miejscu, gdzie stały ruiny prastarego od wieków zapadłego klasztoru.

Przybyłych przywitali ich towarzysze z radością. Starszy mężczyzna ze siwą brodą, dumna postać w bogatym fantastycznym stroju przywitał doktora Kloca i Aleksandra. Był to naczelnik, a raczej król gromady, a owa stara cyganka, która pierwsza zaopiekowała się Agatą, była jego żona, Barbara.

Ona objaśniła mężowi kto są ci obcy ludzie. Naczelnik przywitał ich teraz serdecznie i poprosił, by się z nim udali do ruin klasztoru.

— Tam znajdziecie panią hrabinę! — rzekł Urządziliśmy jej tam mieszkanie możliwie najwygodniej.

Agata, której już doniesiono o przybyciu przyjaciół, wyszła na ich spotkanie. Przywitała ich z radością.

— Bogu dzięki! — zawołał doktór Kloc. O tem, co zaszło w gospodzie, słyszała już pani pewnie.

— Tak! — rzekła Agata wśród łez. Wiem, że mój mąż uwięziony. I ja tu nie jestem wcale bezpieczną.

— Pewnie — mówił Aleksander. Należy się obawiać, że panią tu znajdą, bo szukają panią. Dlatego sądzę, że pójdzie pani do nas, na zamek Wildenfels. Tam jest pani zupełnie bezpieczna.

Agata zgodziła się z radością. Zawołała Barbarę i doniosła jej, że uda się w dalszą drogę.

— Dziękuję wam, dobra Barbaro! — rzekła, ściskając jej rękę. Mam nadzieję, że kiedyś nagrodzę wam przysługę.

— Nie liczymy na zapłatę! — odpowiedziała Barbara. Nie puściłabym i teraz panią hrabinę, ale tu nie dość bezpiecznie. Żandarmi wnet tu będą. Musicie się spieszyć. Dwóch naszych odprowadzi was.

— Barbaro, jeśli możecie, przyjdźcie do mnie na zamek Wildenfels. Macie mi jeszcze wyjaśnić swój stosunek do mej matki.

— Przyjdę, wielmożna pani i wszystko opowiem! — brzmiała odpowiedź.

Przygotowano się do wymarszu. Agata złożyła swe przebranie, które jej było teraz niepotrzebne. Pożegnała serdecznie swych opiekunów i ruszyła w drogę w towarzystwie przyjaciół i dwóch cyganów, którzy ich odprowadzili aż na kraniec lasu. Stąd jeszcze dwie godziny drogi do zamku Wildenfels.

Nareszcie stanęli u celu.

— Dzięki Bogu! — zawołała Agata. — Teraz jestem bezpieczną.

Udała się ze swymi przyjaciółmi do zamku, gdzie ją z radością przyjął stary hrabia, Gertruda i Józefa.

Postanowiono sprowadzić na zamek Wildenfels także małego Waltera, Martę i Delię.

Powozem udali się zatem doktór Kloc i Aleksander do gospody, gdzie stanęli wieczorem.

Wiadomość o uratowaniu Agaty wywołała tu wielką radość. Na szczęście nie było tu żadnego obcego i bezpiecznie można było zabrać Martę, Delię i małego Waltera na zamek Wildenfels.

Agata była w rozpaczy o los swego męża. Zrozumiała, że na razie nic dlań uczynić nie można, także nieszczęśliwą jej matkę musiano zostawić jej smutnem przeznaczeniu.

Doktór Kloc starał się uspokoić Agatę.

— Hrabiemu w najgorszcym razie nic strasznego się nie stanie! — mówił. A jeżeli przyszłość zdemaskuje Waleryę i udowodni niewinność pani, wtedy i hrabia opuści więzienie.

— Ach, i kiedy nam ten dzień zabłyśnie? — westchnęła Agata. Nigdy chyba!

Zapanowało ponure milczenie. Każdy wiedział, że mała jest nadzieja by się stosunki zmieniły. Walerya odniosła zwycięstwo nad sprawiedliwością i prawdą. Otoczył ją swą potężną opieką książę.

CLXXXV.

U SZCZYTU POTĘGI.

— Robercie! — Spisz?

Walerya spała w stroju nocnym na progu pokoju, który zamieszkiwał Sinobrody. Było tu ciemno.

— Robercie! wstań! Czy nic nie słyszysz?

— Co się stało? Kto tu? — zawołał Sinobrody i zerwał się z łóżka.

— Prędko! Wstań!—szepnęła Walerya. Co się tu dzieje? Czy nie słyszałeś szmeru u swych drzwi?

Sinobrody zaklął i szybko zarzucił na siebie suknie.

— Przypuszczam, że to komisarz! — mówiła Walerya. Właśnie chciałam się ułożyć do snu, gdy usłyszałam podejrzany szelest. Zdawał się pochodzić z twego pokoju. Kiedy otworzyłam drzwi, słyszałam wyraźnie, że pracuje ktoś około zamku.

— Do dyabła! Prawie nie do uwierzenia! — zgrzytnął Sinobrody. Gdyby nie ty, mógłby mnie we śnie napaść. Ale może się pomyliłaś, bo tu wszędzie cicho.

— Tak, bo posłyszano nas i przekonano się żeśmy plan udaremnili. Nie waży on się otwarcie tu wtargnąć.

— Przekonajmy się! — zawołał Sinobrody i wziął rewolwer, który leżał pod poduszką. Ubiję tego psa, gdy go zobaczę.

Zbliżył się ku drzwiom, by je otworzyć.

— Stój! — zawołała Walerya, zatrzymując go. Nie działaj nierozważnie. Może ten szpicel stoi jeszcze ze swymi ludźmi za drzwiami i czeka tylko, byś je otworzył.

— Hm! A co poczniemy? Mamy czekać, aż inną drogą się tu dostanie.

— Tu może się dostać tylko przez moje pokoje, lecz nie odważy on się wtargnąć do mnie po raz drugi. Nie chciałabym alarmować służby. Ale gdy to będzie konieczne, uczynię to.

Sinobrody poszedł za nią do sypialni, której drzwi zamknięto.

Potem udali się przez buduar do salonu i Walerya opowiedziała swemu bratu, jak to już tu spłoszyła raz intruza.

Walerya i Sinobrody przeszukali wszystkie pokoje.

Nareszcie odważyła się Walerya i otworzyła ostróżnie drzwi na kurytarz. Tu stał Winter na straży ze swoimi ludźmi, lecz zdawało się, że nikogo tu niema. Na kurytarzu było ciemno, zupełna cisza tu panowała.

— Boję się! — mówił Sinobrody szeptem, jeżeli komisarz, rzeczywiście jest w zamku, to podpatrzył nas pierwej w piwnicy. Może Frydę nawet uwolnić!

— Musimy się w tym względzie upewnić!

Walerya zadzwoniła gwałtownie w dzwonek elektryczny, cofnęła się do swoich komnat i otworzyła drzwi wchodowe. Sinobrody zaś zamknął się w swoim pokoju, bo nie wolno mu było pokazać się służbie.

Na odgłos dzwonka zerwała się służba. — Krzyki i głosy przerwali dotychczasową ciszę.

Walerya przyjęła wystraszoną służbę słowami:

—Obcy ludzie wtargnęli do zamku i usiłowali otworzyć moje drzwi. Jestem przekonaną, że to ów komisarz ze swymi ludźmi, których już książę raz wyprosił. Człowiek ten chciał wykonać zamach morderczy. Zniknęła i Fryda; pewnie jej się pozbył. Spieszcie, może się wam jeszcze uda kilku z tych morderców ująć.

Służba przeszukała cały zamek i ogród, lecz nie znalazła nikogo. Tylko porzucone narzędzia i kapelusz, który jeden z agentów pozostawił, świadczyły o tem, że się Walerya nie myliła.

Walerya kazała przedmioty te zachować. Postanowiła ze zdarzenia tego ukuć broń przeciw Greifowi.

Z brzaskiem dnia wysłała do rezydencyi posłańca z listem do księcia. Skarżyła się gorzko na Greifa, chociaż nie miała zupełnej pewności, że to on był sprawcą nocnego napadu.

W kilka godzin wrócił posłaniec z krótką odpowiedzią księcia, które te napisał słowa:

"Przyjadę dzisiaj wieczorem. Postaram się, by przeciw komisarzowi Greifowie zastosować najsurowsze środki. Zostanie on ukaranym.

Walerya tryumfowała. O treści listu doniosła natychmiast swemu bratu.

— Głupiec ten tym napadem sam sobie grób wykopał! — zawołała radośnie.

— Nie mamy pewności czy to on był — zauważył Sinobrody. A jeżeli się wyprze?

— Nic mu to nie pomoże! — przerwała Walerya. Powiem poprostu, że go widziałam i poznałam. Zarzucę mu także, że gwałtem uprowadził Frydę, by jej użyć przeciw mnie.

—No, życzę ci szczęścia! — rzekł Sinobrody zadowolony. Książę chyba wszystko dla ciebie uczyni.

Walerya wzięła do ręki gazetę, którą jej książę przysłał. Wzrok jej padł na miejsce zakreślone czerwonym ołówkiem.

— Hrabia uwięziony! — zawołała, zrywając się z siedzenia. Ha, został skazany na ciężką karę więzienną!

— Czy możliwe? — spytał Sinobrody.

— Czytaj!

Walerya podała mu gazetę. W oczach jej malował się szatański tryumf.

— Cudownie! — rzekł Sinobrody. No, teraz pozbyłaś się go nareszcie. Szkoda, że Agacie udało się uciec.

— O, i ona zostanie ujętą! — zgrzytnęła Walerya. Stało by się to już dawno, gdyby nie ten Winter i inni jego przyjaciele.

— Niewątpliwie i Greif macza w tem rękę. Wstyd, że nawet urzędnicy policyjni opiekują się zbrodniarzami.

— No, wypadasz z roli! — zaśmiał się Sinobrody. Wiemy przecież jak rzeczy stoją.

— Książę musi się postarać, by Greifa i Wintera uwięzić! — zawołała Walerya.

A po chwili milczenia rzekła nagle:

— Może pojedziemy do jaskini, by poszukać Hechta.

Sinobrody przywdział strój lokaja, potem razem udali się do "czeluści dyabelskiej".

Ale i dzisiejsze poszukiwania spełzły na niczem. Rozczarowani wrócili do zamku. Sinobrody zaproponował, by Frydę jeszcze raz przesłuchać.

Walerya zgodziła się, postanowili jednak dla bezpieczeństwa przeczekać do nocy lub do rana.

Wieczorem cofnął się Sinobrody do swego pokoju. Walerya omówiła z nim jeszcze raz plan, w jakiby zniszczyć Greifa, a Sinobrody miał w tem odegrać pewną rolę.

Przy pomocy nowej służącej, którą wybrała z pośród służby zamkowej, zrobiła Walerya toaletę na przyjęcie księcia.

Przywdziała wspaniałą blado - czerwoną suknię z miękkiego aksamitu, w której uwydatniały się wszystkie wdzięki jej uroczego, bujnego ciała. Kostyum był przy szyi głęboko wycięty. Cienka, powiewna koronka słabo tylko osłaniała bujną jej pierś cudowną. W złoto-rudawe włosy wplotła sznur białych pereł, przeplatane brylantami, które błyszczały w różnych światełkach.

Walerya spoglądnęła w lustro i uśmiechnęła się zadowolona.

— Ach, jaka pani piękna! — zawołała dziewczyna. Książę pan będzie zachwycony.

Walerya kazała służącej oddalić się. Usiadła na otomanie, starając się przybrać uroczą pozę i mimowoli przymknęła oczy.

Minęła godzina. Walerya w nocy prawie nie spała, opadło ją znużenie i zasnęła.

Nie słyszała jak zapukano do drzwi i wszedł książę.

Przystanął jak wryty, zachwycony widokiem tej czarownie pięknej kobiety. Wpatrywał się w nią, jakby pijany tem szczęściem, potem się zbliżył ku niej i ucałował namiętnie jej na pół otwarte usta.

Walerya otworzyła oczy i wpatrywała się weń przez chwilę. Potem zarzuciła mu na szyję swe miękkie ramiona i pociągnęła ku sobie. Namiętnie objął ją książę i gorąco całował.

Upojony leżał u jej piersi i szeptał namiętne słowa miłości. Walerya użyła całej swej sztuki, by do szaleństwa roznamiętnić i tak już miłością zaślepionego księcia.

A kiedy zmysły się uspokoiły, książę usiadł obok niej i patrząc jej w oczy, rzekł:

— Kochana Waleryo, sprawiłaś mi dzisiaj cudowną niespodziankę. Kiedym cię spostrzegł śpiącą tu na otomanie, podobną do bogini piękności, chciałem do nóg twych upaść i modlić się do ciebie.

—O książę mój, kto wie, czy zawsze tak piękną będę dla ciebie! — rzekła Walerya z uroczym uśmiechem.

— Zawsze! — zawołał, całując ją. Spodziewam się też, że w krótkim już czasie, nazwę cię moją wobec świata.

Oczy Waleryi zabłysły radośnie.

— Tak! — mówił książę dalej. Pokonam wszystkie trudności. Przy najbliższej sposobności, wuj mój książę dowie się o tobie!

Walerya objęła namiętnie księcia i całowała go gorąco, a książę odwzajemniał jeszcze namiętniej jej objawy miłości.

— Ach, najdroższy mój Arturze! — westchnęła Walerya. Tak cudownie mi przyszłość malujesz. A przecież kiedy pomyślę, jak mnie ciągle jeszcze prześladują, wątpię, czy mi naprawdę kiedyś takie szczęście zabłyśnie.

W ten sposób zeszła na temat, o który jej obecnie głównie chodziło.

Książę zerwał się wzburzony.

— Tak, to niesłychane! — zawołał. Czy naprawdę, ten komisarz odważył się napaść tu na ciebie w nocy? Prawie trudno w to uwierzyć.

— Nie pomyliłam się! — odrzekła Walerya stanowczo. Sama go widziałam i poznałam. Spłoszył go mój rewolwer!

— Co, broni musiałaś użyć? Łotr zuchwały! — zgrzytnął książę. Nocą wtargnął do twoich komnat?

— Chciał mnie uprowadzić, jak to już raz spróbował był. Myślał, że mu się to jednak uda. A dla pewności pozbył się w jakiś sposób mej służącej.

— O, Boże! A co się stało z tą dziewczyną?

— Nie wiem! Dotychczas nie wróciła!

— Dotychczas miałem względy dla tego człowieka! — rzekł książę. Lecz teraz koniec.

Przyrzekam ci Waleryo zupełne zadośćuczynienie.

Książę był tak wzburzony, iż z trudnością mówił. Walerya postanowiła wyzyskać jego gniew.

— Boję się, kochany Arturze, że nie wiele potrafisz uczynić. Bo widocznem jest, że człowieka tego proteguje i ochrania jego najwyższy przełożony i pochwala jego postępowanie. Na własną rękę nie odważyłby się na to komisarz. Czuje się on pewnym i spodziewa się, że i książę nie potrafi położyć tamy jego wybrykom.

Walerya dobrze cios obmyśliła. Poznała, że słowa jej rozdrażniły księcia.

— Nie potrafię go poskromić? — zawołał. Ja, przyszły władca nie mógłbym poskromić poddanego mi łotra? Skąd ta myśl!

— Sam komisarz powiedział mi to! — kłamała odważnie.

Książę zbladł.

— Tak? Więc i szydził ze mnie? Przekonasz się, że mam na tyle władzy, by z tym człowiekiem uczynić, co mi się podoba. Obojętnie dla mnie, czy działał na własną rękę, czy nie. Doniosę księciu, co ten komisarz popełnił i potrafię uczynić go nieszkodliwym.

— O, powiedz także księciu, że ten Greif pomógł do ucieczki skazanej na śmierć żonie hrabiego Linderhof! — zawołał Walerya. On i jego towarzysz Winter. I tacy ludzie, którzy nadużywają prawa, są urzędnikami.

— Uspokój się! — rzekł książę. Człowiek ten ciężko to odpokutuje. Ręczę ci mem słowem honoru. Opowiedz mi tylko dokładnie o tym nocnym napadzie. Jak się udało temu człowiekowi wtargnąć niespostrzeżenie do zamku? Zawiniła tu chyba służba, która nie spełniła należycie swej powinniści. Zmienię służbę i zastąpię ją ludźmi pewnymi.

— Służba niewinna, kochany Arturze! — oświadczyła Walerya. Wszyscy spali. Nie mogli tego napadu przeczuć. Komisarz jak złodziej rozbił zamki. Znaleźliśmy potem rozmaite narzędzia.

— A ciebie szmer zbudził? — spytał książę.

— Tak, słyszałam w salonie szmer i zerwałam się z łóżka. W buduarze spostrzegłam człowieka, w którym natychmiast poznałam Greifa. Spytałam go, skąd się tu wziął. On obrzucił mnie obelgami i groził, że mnie gwałtem uprowadzi. Że jego ludzie stoją pod drzwiami i że ich zawoła, skoro zechcę stawiać opór. Na szczęście miałam rewolwer. Na widok broni, nędznik uciekł tchórzliwie. Ja jednak poczęłam gwałtownie dzwonić i w największej potrzebie przybyła mi pomoc.

— Służba nadbiegła? — spytał książę.

— Tak, ale nieco później. Narazie udzielił mi pomocy dzielny człowiek, który spał dla ostrożności w pobliżu moich komnat.

— Kto to? — spytał książę zdziwiony.

— Ów służący z pałacu hrabiego Linderhof, który mnie już tam obronił przed zemstą mego męża, kiedy mnie hrabia zamknął w pawilonie. Za twoim pozwoleniem, kochany Arturze, zatrzymałam go tu w mej przybocznej służbie.

Tym rzekomym służącym był właściwie Ludwik Hecht, teraz jednak miał Sinobrody grać jego rolę.

— Świadectwo tego człowieka — mówiła dalej — jest bardzo ważnem, bo zresztą nikt ze służby nie widział komisarza, który ze swoimi ludźmi uciekł.

— W przyszłości postaramy się o większe bezpieczeństwo, rzekł książę. Przyślę ci ludzi pewnych.

— Najchętniej opuściłabym ten zamek! — odpowiedziała Walerya. Tu mimo środków ostrożności ciągle grozi mi niebezpieczeństwo.

— A gdziebyś zamieszkała?

— W pałacu hrabiego Linderhof. Byłbyś mi też tam bliższym i mogłabym cię częściej widzieć.

Księciu żądanie to nie podobało się.

Hm! zdaje mi się, że nie możesz jeszcze pokazać się światu!

Byłby to krok nieroztropny. Musimy przeczekać, aż się skończy proces hrabiego i wszystko, co z tem stoi w związku.

— O! — zawołała Walerya niechętnie. To długo jeszcze potrwać może.

— Nie sądzę. Wszystko może się rozstrzygnąć już w kilka tygodni. Postaram się sprawę przyspieszyć. Jak słyszałem, chce hrabia udowodnić niewinność swej żony Agaty, jednak w to nikt nie wierzy.

— Oczywiście. Jego dowody polegać będą na tem, że mnie znowu oczerni. Ale gdyby Agatę ujęto, to chyba natychmiast wyrok wykonanym zostanie.

— Bezwątpienia. Chociaż jej ujęcie natrafia na trudności. Dotychczas brak wszelkiego śladu.

— Temu wszystkiemu są winni jej przyjaciele: Greif i Winter.

— Tak, ale poskromimy teraz Greifa.

— A jak stoi sprawa z matką Agaty? Dziwi mnie, że dotychczas wyroku nie wykonano.

— Dziwnie się jakoś składa historya z tą "czarną damą." Zdaje się przecież być czemś innem, niźli anarchistką za co ją uważano. Już hrabia odkrył księciu nadzwyczaj romantyczną

historyę z przeszłości tej kobiety. Miała ona być dawniej damą dworu i narzeczoną ministra Borgheima, a jej zamach miał być aktem zemsty.

— Ach, to chyba wszystko nieprawda? — przerwała Walerya zdziwiona.

— Kto wie? "Czarna dama" napisała w więzieniu historyę swego życia, którą na jej życzenie przedłożono księciu. Historya ta zawiera także zeznania hrabiego.

— A książę? Czy wierzy?

— Nie! Nawet nie spytał o to ministra Borgheima. Ponieważ się jednak okazało, że "czarna dama" była dawniej jako chora w zakładzie obłąkanych, więc mają lekarze zbadać jej stan umysłowy. A jeżeli uznaną zostanie chorą, nie ulegnie karze śmierci.

Walerya milczała. Chociaż prawie nie znała matki Agaty, pragnęła mimoto gorąco, by i ona skończyła na szubienicy.

Urwali tę rozmowę i odali się znowu miłostkom. Walerya oświadczyła wreszcie, że jest znużoną i że chce spocząć.

Książę wstał, objął ją i zaprowadził do sypialni.

Walerya było znowu samą. Książę udał się do swoich pokoi na parterze.

Walerya prędko wstała ubrała się. Otworzyła drzwi do pokoju brata. Ten wszedł i rzekł z uśmiechem:

— Nareszcie po miłostkach. Czekałem niecierpliwie. No co, zaglądniemy do Frydy?

— Na to dosyć jest czasu! — rzekła, kończąc swą toaletę.

Usiadła.

— Jestem zmęczoną — rzekła. Teraz godzina pierwsza, do 3-ciej chcę spocząć. Możesz u mnie zostać.

Położyła się na otomanie i wnet zasnęła. Sinobrody usadowił się na stołku i z dziwną chucią patrzał na nieokryte wdzięki Waleryi.

— Zaprawdę — szepnął — gdyby nie była moją siostrą — szkoda!

Czas minął. Sinobrody zbudził siostrę swą. Zaświecili latarnię, zabrali rozmaite rzeczy i udali się niespostrzeżenie do piwnicy, do lochu gdzie siedziała Fryda.

Była tu zupełna cisza. Czy może Fryda z rozpaczy sama sobie życie odebrała! Sinobrody oświetlił ciemny loch swą latarnią. Lecz Frydy nie było.

— Fryda! — zawołała Walerya. Gdzie jesteś?

Cisza.

Przeszukali każdy kąt. Daremnie.

— Do dyabła! — zgrzytnał Sinobrody. Uciekła! Jak to możliwe!

Walerya nie mogła jeszcze pojąć tego co się stało. Blada stała, jakby przykuta do ziemi.

— A ten Greif — wyjąknęła nareszcie. On ją uwolnił. Co teraz, Robercie? Żmija ta zdradzi nas. Ha! Czemu jej odrazu nie zabiłam, miałabym spokój na zawsze.

Nie mogła uzyskać równowagi. Tymczasem Sinobrody szukał jeszcze po wszystkich kątach wołając:

— To niemożliwe, ona tu być musi!

Klął i złorzeczył. Nagle wzrok jego padł na wielką w murze wybitą szafę. Drzwi jej były nieco odchylone. Zbadał szafę, lecz i tu Frydy nie było.

— Ale ona przecież szafę tę otworzyła! rzekł. Ciekawym w jaki sposób.

Walerya przystąpiła, w tylnej ścianie spostrzegła wązką szparę.

— Patrz! zawołała. Zdaje się, że to drzwi.

Sinobrody wszedł do szafy, by szparę zbadać. Ledwo jednak stanął na dnie szafy, gdy się rozległ dziwny szelest i szpara stawała się coraz szersza, aż okazała otwór w ścianie, jakby drzwi.

Zrozumieli teraz mechanizm tej szafy.

Sinobrody oświecił teraz powstały otwór. Widział początek wązkiego korytarza, skąd wydobywało się zgniłe powietrze.

— Tędy uciekła! rzekł. Ale dokąd też ten korytarz prowadzi?

— Nie wiem! odpowiedziała Walerya, — wątpię też, czy ktokolwiek w zamku zna tę tajemnicę. Jednak musimy wyjście to zbadać, przedewszystkiem, czy prowadzi na zewnątrz.

Weszli. Szli z jakie 10 minut. Ze ścian zlewała się woda, tworząc na ziemi brudne kałuże. Rozmaite wstrętne robactwo, wystraszone światłem, uciekało. Im głębiej się zapuszczali, tem cięższe było powietrze, tak że trudno było oddychać. Latarnia świeciła mdło, jakby zagasała.

Mimo to spieszyli dalej. Walerya nie mogła też uwierzyć, by Fryda odważyła zapuścić się daleko w tym korytarzu, zwłaszcza w ciemności. Wierzyła, że za chwilę znajdą ją omdlałą albo może nieżywą na ziemi.

Niebawem zatrzymali się przed nizkiemi drzwiami żelaznemi, które zdały się zamykać korytarz. Kiedy Sinobrody drzwi się dotknął, otworzyły się same, bo rdza przeżarła zasuwy.

Weszli w mały czworoboczny loch gdzie kilka schodów prowadziło w górę. Owiał ich tu strumień świeżego powietrza, a kiedy weszli na schody, zobaczyli otwór, niegdyś widocznie zamknięty drzwiami, których resztki leżały na ziemi. Minęli ten otwór i nagle stanęli w lesie i zobaczyli nad sobą niebo gwiaździste.

Zdziwiona rozglądała się Walerya dokoła.

Spostrzegła tuż obok mury i ruiny zabudowania. Szybko się zoryentowała. Poznała ruinę, w której Hecht ukrył był papiery a gdzie niegdyś trafiła go kulą rewolwerową. Wtedy nie spostrzegła tego podziemnego wejścia, bo miejsce to zawalone było gruzami i otoczone zaroślami.

— Tędy ta żmija uciekła! zawołała w rozpaczy. Darmo jej szukać dawno już jest w bezpiecznem schronieniu.

— Pewnie! miała dosyć czasu. O, to nieprzyjemna historya! Chociaż nie mieli żadnej nadziei, mimo to przeszukali całą okolicę. Oczywiście bez skutku.

Walerya rozpaczała. Nagle zawołała:

— Fryda bezwątpienia udała się do jaskini, do Hechta. Tam ją znajdziemy.

— Wątpię! — rzekł Sinobrody. Nie miała czółna. A to chyba niemożliwe by piechotą tę drogę odbyła.

— Wszystko jedno! zadecydowała Walerya. Musimy tam pojechać.

Udali się mimo niechęci Sinobrodego do ogrodu i czółnem zajechali do jaskini, którą dokładnie przeszukali. Daremnie nie znaleźli i tym razem ani kryjówki Hechta, ani też nie odkryli śladu Frydy.

Wyczerpani wrócili do zamku. Sinobrody zszedł do piwnicy i zamknął więzienie zbiegłej Frydy. Potem wrócił do pokoju Waleryi na naradę.

—Stoję teraz u szczytu potęgi, bo przy pomocy księcia wszystko mogę zyskać! — rzekła Walerya. Ale najmniejsze niepowodzenie może mi zgotować zgubę. Jeżeli nam się nie uda ująć Frydę, i jeżeli ona użyje swej broni przeciw mnie, wszystko stracone.

— Nie trać odwagi! — pocieszał ją Sinobrody. Księcia jesteś pewną, i jak długo cię otacza swą opieką, nie masz się czego bać!

— To prawda! A jeżeli książę uwierzy w mą winę!? jeżeli mu dostarczą niezbite dowody — np. ową metrykę ślubu z której się przekona, że jestem żoną Ludwika Hechta — co wtedy?

— Jak długo ja żyję i jest iskierka nadziei, nie stanie się to nigdy! — odpowiedział Sinobrody. Jeżeli ty zginiesz, to i ja jestem stracony. Zastanówmy sie tylko. Przedewszystkiem trzeba się przekonać w rezydencyi, czy Fryda tam jest, czy nie.

— Ale kto to uczyni?

— Ja! — oświadczył Sinobrody. Przebiorę się tak, że mnie nikt nie pozna. A jeżeli odszukam Frydę, przywiozę ci ją żywą, albo umarłą.

Nim dzień nastał, opuścił Sinobrody, przebrany za książęcego strzelca, zamek i popędził ku miastu. Czy wróci szczęśliwie? I jaką przywiezie wiadomość?

CLXXXVI.

GROŹNE OZNAKI.

Tego samego dnia w południe wrócił książę do rezydencyi. Natychmiast odszukał swego wuja, który też przyjął swego siostrzeńca.

Książę był zdziwony, kiedy zobaczył w gabinecie wuja, szefa tajnej policyi, przełożonego Greifa. Postanowił jednak skorzystać z tego spotkania.

— I cóż, kochany Arturze, sprowadza cię do mnie? — spytał wuj, serdecznie go witając.

— Muszę się uskarżyć na kilku urzędników policyi! — rzekł Artur wzburzony, patrząc gniewnie na szefa. Kiedy ten chciał się cofnąć, zawołał:

— Zostań pan, panie tajny radco. I pana tyczy moja skarga!

Szef skłonił się z uszanowaniem.

— Książę panie, słucham! — rzekł spokojnie. Właśnie zdałem sprawę jego książęcej mości, ze zdarzeń na zamku księcia pana.

—Tak! — odezwał się stary książę. Powiedz mi zatem Arturze, jakie są twe zażalenia?

— Policya z komisarzem na czele wtargnęła dwa razy do mego zamku pod pozorem, że szuka zbrodniarza, który się tam ukrywa. W rzeczywistości napady te skierowane są przeciw hrabinie Linderhof, która znalazła schronienie na moim zamku. — Czy nie tak, panie radco?

— Nie książę panie! — odpowiedział radca. Komisarz Greif miał zamiar ująć zbrodniarza Sinobrodego.

— Myli się pan! Muszę wyrazić moją niechęć, że urzędnicy pana pozwalają sobie na podobne nadużycia! — zawołał książę gwałtownie.

— Ależ, kochany Arturze! — przerwał stary książę, ludzie ci spełniają tylko swoją powinność.

— Przebacz wuju, że się sprzeciwię. Przekonałem się, że cała ta zbrodnicza historya, to kłamstwo. Komisarz Greif inne ma cele. To nędznik, który nadużywa swej władzy i także dla mnie nie ma uszanowania. Żądam jego ukarania!

Szef policyi był nieco zdziwiony. Twarz starego księcia sposępniała. Snać, że oskarżenie księcia wywarło na nim wrażenie.

— Co ten nędznik zrobił. Prosze cię, Arturze, wytłumacz nam to! — rzekł surowo.

— Napadł nocą hrabinę Linderhof, stojąca w mojej opiece aby ją uprowadzić. Tylko dzięki pomocy służby hrabina ocalała. Następnie uprowadził służącą hrabiny. W jakim celu nie wiem. Lecz stoi on w związku z hrabią Edmundem Linderhof i jego żoną Agatą, chce więc bezwątpienia użyć służącej jako narzędzia przeciw hrabinie Waleryi.

Nastało milczenie, które przerwał stary książę, machnąwszy niechętnie ręką:

— Kochany Arturze. Słyszę nie bez zdziwienia, żeś wziął na siebie rolę obrońcy hrabiny Waleryi, ktora to pani, dowiedz się o tem, nie jest wcale tak zupełnie czystą!

— Co? — zawołał książę. Więc odważono się oczernić nawet wobec wuja tę niewinną kobietę. Ja ręczę swym honorem, że ona jest czystą i bez skazy.

— Uspokój się kochany Arturze! — rzekł książę, uśmiechając się ironicznie. Twój zapał daje mi wiele do myślenia. Zdaje się, że ta piękna pani bardzo się interesuje.

— Tak wuju!

— Tak? — spytał książę zwolna, nie spuszczając Artura z oczu.

Zwrócił się do szefa policyi i rzekł uprzejmie:

— Kochany panie radco, pańskie sprawozdanie zupełnie mnie zadowoliło, proszę tylko temu komisarzowi polecić, by w przyszłości działał ostrożniej. Dziękuję panu.

Szef skłonił się i wyszedł.

— Tak, kochany Arturze —! rzekł książę, uśmiechając się, jesteśmy teraz sami.

Zapalił cygaro i usiedł wygodnie w fotelu.

— Usiądź Arturze i wytłumacz mi, co masz wspólnego z hrabiną Waleryą

Książę Artur starał się opanować swe oburzenie i przez chwilę nie odpowiadał.

— Czy ci odpowiedź na moje pytanie sprawia kłopot? — spytał stary książę.

— Wcale nie, kochany wuju! Wiesz, żem poznał hrabinę Waleryę przypadkiem, w nadzwyczajnych warunkach. Zrobiła na mnie wrażenie i znajomość odnowiłem.

— Wiem! — rzekł książę spokojnie. Hrabina jest piękną kobietą i potrafiła zdaje się, rozpalić twe tkliwe serce! — uśmiechnął się ironicznie.

Książę Artur zarumienił się, że wuj jego tak sobie lekceważy jego święte uczucia.

— Tak! — rzekł silnie. Nie przeczę temu.

— Hm! Jesteś więc zakochany w tej interesującej pani?

— Tak! — zawołał książę Artur namiętnie. Kochany wuju, ta kobieta jest mojem jedynem szczęściem. Uwielbiam ją i postanowiłem silnie naszemu. stosunkowi nadać formę legalną.

Uśmiech zniknął z twarzy starego księcia. Spojrzał ostro na siostrzeńca i rzekł surowo:

— To znaczy, że masz zamiar z tą awanturniczą kobietą ożenić się, tak?

Książę wstał. Jego twarz sposępniała jeszcze więcej i przybrała surowszy wyraz.

— Chyba żartujesz!

— Nie, kochany wuju. Mówię seryo.

— Oszalałeś! — wybuchnął książę. Wiesz ty też, co chcesz uczynić? To szaleństwo, którego nigdy nie ścierpię, na które nie zezwolę.

Książę Artur zbladł i cofnął się.

— Wuj odmawia mi swego zezwolenia? — spytał drżącym głosem.

Książę roześmiał się gniewnie.

— Chyba postradałeś zmysły, mój kochany! Nic mi więcej o tem nie mów! — zawołał gwałtownie:

— W takim razie kochany wuju, muszę ci oświadczyć, żem się związał już mem słowem i mam też zamiar słowa danego dotrzymać. Nigdy nie porzucę tej kobiety, którą kocham nadewszystko.

— Wielkie słowa! — odparł książę chłodno. Odzyskasz ty rozum, bo jestem przekonany że twoja namiętność dla tej piękności wnet przeminie. Wcale nie biorę tego tak tragicznie.

— Wuju, mówię poważnie. Kobietę tę uczynię mą żoną choćbym się nawet narazić miał na twą niechęć!

— Posłuchaj Arturze!— rzekł książę. Brak mi już cierpliwości. Mówisz jak amant w teatrze. Zastanów się tylko! Chcesz się ożenić z kobieta, która — wyrażając się łagodnie — tak się skompromitowała w świecie?! Nie wydaje ci się to śmiesznem?

— Nie, nic nie widzę w tem śmiesznego, że się chcę ożenić z kobietą którą kocham?

— Tak? Ale w obecnych warunkach niema mowy o spełnieniu twego szalonego zamiaru.

A dlaczego nie? Czyż hrabina nie równa mi urodzeniem?

— I to poważny powód. Czy chcesz się wyrzec tronu? spytał książę ostro.

Książę Artur wzdrygnął się, prędko jednak odzyskał równowagę i odpowiedział:

— Jeżeli być musi — tak!

— Głupcze! — zawołał książę. Idź — zastanów się — ze swoim zamiarem nie przychodź więcej do mnie! — Zrozumiałeś?

— Kochany wuju...

— Rozkazuję ci, zerwać wszelkie stosunki z ciekawą hrabiną Linderhof. Nie wolno ci iść do niej! Przekonasz się ty wkrótce, że ta ko-

bieta — jeżeli pozory nie mylą — jest zbrodniarką. I ja miałbym zezwolić na taki związek?! Sama taka myśl jest karygodna.

Książę Artur był blady i drżał na całem ciele. Z trudnością się opanował.

— Nie wierzę w te oskarżenia! — rzekł. To złośliwe oszczerstwa. Nie chcę i nie mogę pozbawić ją mej opieki!

— Dosyć już tego! — przerwał książę. Ani słowa więcej. Spodziewam się, że spełnisz me życzenie. Ostrzegam się, nie wywołuj skandalu, którego skutki mogłyby ci być nieprzyjemne. Idź i wybij sobie z głowy to szaleństwo.

Książę oddalił się gniewnie. Artura opanował straszny żal. Przyszedł tu pewny zwycięstwa, a teraz zniszczone są jego najpiękniejsze nadzieje.

Ale nie dał za wygraną. Dumnie podniósł głowę i zawołał namiętnie.

— Moją być musi! Chociażby się ziemia zapadła!

I wyszedł z gabinetu wuja.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

W rezydencyi rozpoczął Sinobrody swe poszukiwania. Zadanie miał trudne. Konia zostawił w gospodzie i bez planu wałęsał się po ulicach. Skierował swe kroki w stronę budynku policyjnego, w nadziei, że może spotka Frydę, która zechce odszukać Greifa.

Na strój swój myśliwski zarzucił jeszcze ciemny płaszcz, by nie zwracać uwagi. Daremnie godzinami całemi wystawał pod policyą. Nagle przyszła mu myśl, że może Fryda schroniła się do pałacu Linderhof. Udał się tam. Główna brama była zamknięta, otwarte jednak było boczne wejście. Ostrożnie rozglądnął się dokoła i wszedł. Stanął w małym przedsionku, zamkniętym szerokiemi, szklannemi drzwiami.

Nikogo tu nie było. Sinobrody poszedł dalej i zatrzymał się u schodów, prowadzących na górę, gdzie zamieszkała była Walerya i także Fryda.

Nagle usłyszał oddalone głosy i wtem dwie postacie schodzące po schodach. Poznał ich głosy. Był to Greif i Winter. Sinobrody cofnął się szybko w ciemny schowek i nadsłuchiwał.

— Ponieważ napad nocny nie udał się — mówił Greif — musimy tajemnie tylko obserwować zajścia w zamku myśliwskim.

Przybyli na dół i zatrzymali się tuż przy schodach, całkiem w pobliżu Sinobrodego. Podali sobie ręce na pożegnanie, a Greif rzekł:

— Idziesz pan na zamek Wildenfels?

— Tak! — odpowiedział Winter. Oddam hrabinie Agacie znalezione tu papiery.

— Szczęście to wielkie, że biedna ta kobieta znalazła nareszcie schronienie na zamku Wildenfels.

— Pewnie! Są tam jej przyjaciele. Także dziecko jest przy niej. To wielka dla niej pociecha.

— No i pańska wiadomość ją ucieszy! — rzekł Greif. Papiery te wszystko wyjaśnią. A w końcu dostaniemy w ręce Frydę, najważniejszego świadka przeciw hrabinie Weleryi!

— Więc Fryda naprawdę panu pisała?

— Tak, mam tu ten list. Czytaj pan! To nielada niespodzianka.

Winter czytał półgłosem:

„Wielmożny panie komisarzu!"

Chcę uczynić ważne zeznanie w sprawie hrabiny Waleryi. Przyjdź pan jutro wieczorem do „czeluści dyabelskiej". Mój warunek: sam niech pan przyjdzie, W przeciwnym razie nie pokażę się.

Fryda.

— Pan pójdziesz naturalnie? — spytał Winter, oddając Greifowi list.

— Pewnie! Oczywiście nie wymknie ona mi się więcej. Pójdzie ze mną. Umieszczę ją narazie w więzieniu policyjnem.

— Ale nie idź pan sam! Trzeba być ostrożnym. Pójdę z panem w towarzystwie kilku ludzi i zatrzymam się w pobliżu.

— Dobrze! — rzekł Greif. W takim razie spotkamy się dzisiaj wieczorem w „Pełnym dzbanie" i stamtąd pójdziemy razem. Pożegnali się. Winter opuścił pałac, a Greif znikł w tylnym kurytarzu.

Chwilę jeszcze czekał Sinobrody, potem wymknął się na ulicę.

— Ha! — zaśmiał się trumfująco. Cudowne odkrycie! Teraz wiem, gdzie się ta żmija ukrywa. Teraz dostaniemy w swe ręce i ją i jej sprzymierzeńca. Tych szpiclów uprzedzimy.

Był bardzo wzburzony. Gestykulując, pędził jak waryat ulicami.

— Ach! — pomyślał — a hrabina Agata schroniła się na zamek Wildenfels!? Ha, ha! Jak się też Walerya ucieszy, gdy się o tem dowie. Trzeba uwiadomić policyę. Niech ją zabierze do więzienia!

Popędził do gospody, wsiadł na konia i wrócił na zamek.

— Już wróciłeś? — zawołała Walerya zdziwiona. — Jaką przynosisz wiadomość?

— Najlepszą! — zaśmiał się Sinobrody.

— Mówże! Znalazłeś Frydę?

— Wiem, gdzie się znajduje!

— Nie ma jej w rezydencyi

— Nie! Ale w „Szczelinie dyabelskiej."

— Mówże nareszcie, skąd to wiesz

— Raduj się ze mną— zawołał Sinobrody. Dzisiaj jeszcze będzie ta nędznica i jej sprzymierzeniec w naszej mocy.

I opowiadał podsłyszaną rozmowę.

— Co za szczęście! — radowała się Walerya. O, damy się we znaki tej nędznicy i jej przyjacielowi. Przyłapiemy ją, nim się ten Greif zjawi. Trzeba to mądrze urządzić, by ją wywabić z kryjówki.

— Jestem pewny, rzekł Sinobrody, że żmija ta ma zamiar nietylko zdradzić wszystko komisarzowi, ale zaprowadzi go ona także do Hechta, który mu resztę opowie i wyda mu twoją metrykę ślubną.

Walerya podzielała obawy swego brata.

— Co za szczeście żeś przypadkowo odkrył jej zamiary, bo w przeciwnym razie sprawa by wzięła niepomyślny dla nas obrót.

— O, mam jeszcze jedno odkrycie! — rzekł Sinobrody z radością. Ci szpicle mówili o Agacie. Chciałabyś wiedzieć, gdzie ona?

— Co, wiesz? Mów!

—Wiem, podsłuchałem przecież ich rozmowę!

— Gdzie jest ona, mów! — nalegała Walerya. Może w starym zamku leśnym?

— Nie! Na zamku Wildenfels, u swoich sprzymierzeńców.

Walerya wydała okrzyk tryumfu.

— Natychmiast uwiadomię o tem księcia! Nim słońce wejdzie, będzie Agata w więzieniu, a teraz jej ani sam Bóg nie ocali.

Napisała kilka słów i zadzwoniła na służącą:

— List ten niech natychmiast konny posłaniec zawiezie do rezydencyi i niech go odda do własnych rąk księcia.

Służąca oddaliła się po chwili. Rozkaz Waleryi spełniono natychmiast.

Wieczorem poczęli robić przygotowania. Sinobrody przebrał się tak, że był nieco podobny do Greifa. Wsiadł na czółno Piotra, z przodu zawiesił latarnię. Fryda, myślał, zobaczy światło i pomyśli że to Greif.

Już się zupełnie ściemniło, kiedy Sinobrody ruszył. Walerya wsiadła z oddanym sobie służącym na łódź i podążyła w ciemności ku jaskini wzdłuż wybrzeża.

CLXXXVII.

W ROZPACZLIWEM POŁOŻENIU

Winter i Greif nie mieli pojęcia, że Sinobrody podsłuchał ich rozmowę i że mu mimowoli zdradzili miejsce pobytu Agaty.

Winter odszukał na zamku Wildenfels Agatę i jej przyjaciół. Naradzali się właśnie jakby hrabiego Edmunda uwolnić. Przywitano go radośnie. Doniósł im, co zaszło na zamku myśliwskim księcia i nowym zwrocie w sprawie Waleryi, i że jej służąca Fryda chce ją zdradzić i wystąpić jako świadek przeciw swej pani.

— Chce się ona prawdopodobnie zemścić na Waleryi! — tłómaczył Winter. Prawdopodobnie chciała się Walerya pozbyć niebezpiecznej służącej, wtajemniczonej w jej zbrodnie. Fryda ukrywa się obecnie w "Czeluści dyabelskiej", gdzie bezwątpienia ukryty jest i mąż Waleryi, Ludwik Hecht.

Aleksander chciał komisarzowi towarzyszyć w ich wyprawie.

— Zostań pan tu! — rzekł Winter. Nie potrzeba nam pańskiej pomocy.

— Ale i tu nie mam nic do roboty.

— Musi pan czuwać nad bezpieczeństwem hrabiny Agaty.

— Czy jej grozi niebezpieczeństwo?

Winter wzruszył znacząco ramionami.

— Nie można wiedzieć co zajść może. Trzeba być ostrożnym. Może władza odkryła jakiś ślad.

Zapatrywanie Wintera podzielał i stary hrabia.

Agata przysłuchiwała się ich rozmowie w milczeniu. Twarz jej zdradzała trwogę i westchnęła głęboko.

— Pani hrabino, jeszcze trochę cierpliwości i wszystko się zmieni na lepsze? — pocieszał Winter. Prawda zwycięży.

— Boję się, że się nasze nadzieje nie ziszczą — rzekła Agata.

— O, z pewnością. Zresztą zrobiłem dzisiaj w pałacu mężu pani ważne odkrycie.

— A mianowicie? — spytała Agata zaciekawiona.

Winter wyciągnął plik papierów i podał Agacie.

— Te dokumenta — rzekł — znalazłem w buduarze Waleryi. Przy swojej ucieczce z pałacu nie mogła pewnie tego wszystkiego zabrać. Są to dwa listy Hechta i odpis metryki ślubnej, z której wynika, że Walerya jest naprawdę żoną tego zbrodniarza.

— To rzeczywiście ważne odkrycie! — rzekł Aleksander. W jaki sposób dostałeś pan te papiery?

— W skrytce w buduarze Waleryi znalazłem je. W listach mówi Ludwik Hecht o zbrodniach, których się dopuszczono przeciw hrabinie Agacie w leśnym zamku. Listy te są ważnym materyałem dowodowym.

Wnet się pożegnał i udał się do gospody, gdzie Greif już nań czekał.

Zasiedli z Gerhardem i Katynką do kolacyi i omówili jeszcze raz swój plan.

Nagle ozwał się tętent kopyt końskich. Winter otworzył okno i zobaczył oddział żandarmów.

— A to co ma znaczyć? — spytał zaniepokojony.

I Greif przystąpił do okna. Żandarmi minęli gospodę i zniknęli w oddali.

— Dokąd oni pędzą? Zdaje mi się, że na zamek Wildenfels — rzekł Winter.

— Ale nie! — uspakajał go Greif. Na cóż? Prócz nas nikt nie przecież nie wie, że tam hrabina Agata ukryta.

— A ja się mimo to boję! odparł Winter. Oni z pewnością pędzą na zamek.

— Może szukają cyganów. Nie ma powodu do obaw. W najgorszym razie, nie łatwo znajdą na zamku hrabinę!

Winter nie mógł się uspokoić i chciał udać się na zamek Wildenfels, by tam uprzedzić przybycie żandarmów. Lecz Greif przekonał go, że to niemożliwe. Zmuszony, zrzekł się Winter swego planu.

Wnet opuścili gospodę i udali się w stronę zamku książęcego. Winter bawił myślą na zamku Wildenfels, zaniepokojony o los Agaty.

Przeczucie go nie myliło. Bo żandarmi rzeczywiście mieli zlecenie ująć Agatę na zamku Wildenfels. List Waleryi do księcia podziałał, książę uwiadomił, natychmiast policyę. Tak więc groziło Agacie nowe niebezpieczeństwo, o którem ani ona, ani jej przyjaciele nie mieli pojęcia.

Skoro Winter oddalił się z zamku Wildenfels, całe towarzystwo zasiadło tam do kolacyi w pokoju jadalnym a Aleksander wstał i wychylił puhar na pomyślność Agaty. Wtem otwarły się drzwi i wpadł do pokoju stary kasztelan Tomasz.

— Pani hrabino ratuj się! — zawołał ledwie dysząc. — Żandarmi! Straszne powstało zamieszanie. Okrzyk zgrozy wydarł się z piersi Agaty:

— Miłosierny Boże! jestem zgubiona!

Pierwszy stary hrabia odzyskał równowagę. Zwrócił się do Tomasza i spytał:

— Gdzie są żandarmi? Chyba jeszcze nie w zamku?

— Nie, panie hrabio. Detlew stoi u bramy i stara się ich zatrzymać! Ale musimy ich wpuścić!

— Pewnie, idźcie Tomaszu, ale nie spiesz. Tymczasem ukryjemy hrabinę!

Stary hrabia przystąpił do Agaty:

— Spokojnie, kochana moja pani! Chodź pani ze mną. Ukryję panią bezpiecznie. Nie pytaj pani o nic i nie bój się niczego.

— Ach! dziecko moje jest w niebezpieczeństwie! — zawołała Agata.

Marta uda się za panią natychmiast z małym Walterem! — rzekł Aleksander i wybiegł Wiedział już, gdzie stary hrabia chce Agatę ukryć.

Hrabia i Agata oddalili się. Józefa i Gertruda zgasiły światło w jadalni i cofnęły się do swoich komnat.

Tymczasem wpuszczono żandarmów. Na ich czele stał komisarz kryminalny, ten sam, który już był raz aresztował Agatę w domu modniarki.

W wielkiej sieni zostawił dwóch żandarmów, a z dwoma udał się komisarz natychmiast do komnat na pierwszem piętrze.

Wszedł do jadalni, kazał światło zaświecić i spostrzegł nakryty stół. Wszystko świadczyło o tem, że kolacyę nagle przerwano. Komisarz przeliczył nakrycia i chciał właśnie iść dalej, gdy wszedł Tomasz, a za nim stary hrabia i Aleksander.

— Czego pan żąda? — spytał stary hrabia.

—Pan jest hrabią Wildenfels?

— Tak! Czy mogę spytać z jakiej przyczyny wtargnąłeś pan z żandarmami do mego zamku?

— Panie hrabio — rzekł komisarz ostro — zna pan chyba powód. Szukam zbiegłej z więzienia hrabiny Agaty Lindenhof!

— A, i jej pan tu szuka? W moim zamku? — spytał udając zdziwienie.

— Tak! doniesiono nam, że się ona tu znajduje. I jesteśmy tego pewni, panie hrabio. Proszę więc o jej wydanie!

Mylisz się pan, mój panie! — rzekł hrabia stanowczo. Ten, który zrobił podobne doniesienie, zakpił sobie z was chyba. Zaręczam, że hrabiny Agaty tu niema!

— Innego jestem zdania! Zwracam panu uwagę, panie hrabio, że może to mieć złe skutki i dla pana i dla ludzi pańskich, jeżeli hrabiny wydać nie zechcecie! — rzekł groźnie komisarz.

— Za nauki dziękuję panu! — odpowiedział hrabia wyniośle. — Jeżeli mi pan nie wierzy, proszę przeszukać cały zamek!

— Tak też uczynię! — oświadczył podrażniony komisarz!

— Proszę! — brzmiała spokojna odpowiedź starego hrabiego.

Komisarz jeszcze raz rozglądnął się po nakrytym stole, zmierzył Aleksandra, poczem znowu zwrócił się do hrabiego i rzekł:

— Pan hrabia był widocznie ze swoimi gośćmi przy kolacyi! Kiedy się zjawiłem, porzuciliście państwo ten pokój i zgasiliście światło, domyślam się, dlaczego się to stało.

— E, mój panie, a cóż to pana obchodzi co ja robię i moi goście! — odrzekł hrabia szorstko.

— Jestem przekonany, — zawołał komisarz wzburzony, że hrabina Agata siedziała tu przy stole. Nasze niespodziane przybycie wystraszyło gości, a pan hrabia nie kazał bramy otworzyć, jak długo nie ukrył hrabiny.

Stary hrabia uśmiechnął się pogardliwie i rzekł:

— Cóż mnie obchodzą domysły pańskie! Oświadczyłem, że hrabiny Linderhof tu niema. Nie wierzy pan, szukaj! Więcej dla pana uczynić nie mogę.

— Przepraszam, panie hrabio! Jesteś zobowiązanym prawdę mi powiedzieć!

— Tak? A względem czego?

— Proszę mi wymienić osoby, które tu poprzednio siedziały przy stole!

— A to w jakim celu?

— Powtarzam swe życzenie, panie hrabio.

Teraz wmieszał się w rozmowę i Aleksander.

— Panie hrabio — rzekł, uczyńmy zadość życzeniu tego pana, skoro go to ma uspokoić. A więc panie komisarzu — mówił dalej uśmiechając się ironicznie — prócz mnie i pana hrabiego siedziały przy stole jeszcze dwie panie, nadto mój przyjaciel, osadnik z południowej Afryki.

— A kto te panie?

— Jedna jest moją siostrą, a druga moją narzeczoną.

— Chciałbym te panie zobaczyć!

Stanie się zadość życzeniu pana, chociaż dziwnem mi się ono wydaje. Poproszę tu te panie.

Wyszedł. Po chwili wrócił z Gertrudą i Józefą. Przyszedł także osadnik. Wszyscy udawli ździwienie z powodu nadejścia żandarmów.

Komisarz nie był zadowolonym. Na stole widział jedno nakrycie więcej.

— Czy dowiem się, kto prócz tych gości siedział przy stole? — spytał.

— Komisarz Winter! — zawołał Aleksander.

— Winter? A skąd on się tu wziął? — Gdzie on jest?

— Krótko przed przybyciem pana zamek opuścił .

Komisarz niedowierzał.

— Nie wierzę! — rzekł stanowczo. Bo w takim razie spotkalibyśmy Wintera w drodze. Chcecie mnie państwo wywieść w pole.

Aleksander wzruszył ramionami.

— Mów pan sobie co chcesz! — rzekł.

— Dobrze, przeszukam cały zamek!

— Prosimy! — szydził Aleksander. Ofiaruję się na przewodnika, bo możesz pan tu zbłądzić.

— Dziękuję! Znam ten zamek i jego tajemnice. Uwolniłem tu swego czasu z grobowca mego kolegę Greifa, pana hrabiego i jeszcze kilku, kiedy Piotr w grobowcu zamknął. Pan hrabia zdaje się, nie poznaje mnie.

Wiadomość ta wszystkich przeraziła. Komisarz dostrzegł to. Był teraz pewnym swego. Zwrócił się też do Aleksandra i rzekł:

— Możesz mnie pan prowadzić, jeżeli chcesz. Bądź pewnym, że znajdę hrabinę Linderhof, jeżeli ona jeszcze tu jest!

Wszyscy milczeli. Komisarz wysłał jednego żandarma przed bramę, by stał tam na straży. Żandarmów z sieni wyprawił na inne miejsce, a sam z czwartym żandarmem w towarzystwie Aleksandra i kasztelana Tomasza rozpoczął wędrówkę po zamku.

W jadalni pozostali stary hrabia, osadnik Gertruda i Józefa. Wszyscy byli zaniepokojeni.

— Boję się o Agatę! — szepnęła Józefa.

Stary hrabia milczał ponury. Nagle zwrócił się do osadnika i rzekł:

— Spiesz pan! Wiesz przecież, gdzie Agata ukryta. Komisarz znajdzie ją tam w każdym razie, bo zna tajemne wejście do grobowca.

— Tak, tak! — przerwał osadnik. Powiedz mi no pan, co mam uczynić.

— Poprowadzisz Agatę do mego pokoju, gdzie się znajduje tajemny skarbiec. Jeżeli i tam komisarz się dostanie, to hrabina musi się schronić za obraz. Posłuchaj pan, wytłómaczę panu dokładnie mechanizm obrazu.

Uczynił to prędko, poczem osadnik oddalił się, a stary hrabia udał się za komisarzem.

Ten skierował natychmiast swe kroki do grobowca. Lecz spróbował się dostać od strony wieży. Tu drzwi były zamknięte, a stary Tomasz oświadczył, że kluczy nie ma. Komisarz wrócił się i obrał drogę, którą niegdyś poszli byli Greif, stary hrabia, Detlew i Gunter. Komisarz znał tę drogę i nie dał się wywieść w pole. Daremnie starał się go Aleksander odwieść od tego planu.

Kiedy komisarz schodził już ze schodów, zjawił się stary hrabia. Aleksander szepnął mu:

— Hrabina odkryta! Komisarz znajdzie ją tam.

— Niech szuka! — odparł hrabia. Nie ma jej już tam. W sam czas ocalił ją osadnik!

— Dzięki Bogu! A gdzie jest?

— W moim pokoju! Tam też są Marta z dzieckiem i Delia. Niech sobie komisarz szuka, gdzie mu się podoba. Chodźmy do hrabiny.

Stary hrabia z Aleksandrem udali się do pokoju, do którego przed kilku minutami sprowadził osadnik Agatę. Ta była w śmiertelnym strachu.

— Nie bój się pani! — pocieszał ją hrabia. Tu pani jest bezpieczną. Możesz się ukryć tam za obrazem.

W tej chwili ozwały się na schodach ciężkie kroki.

— Ukryj się pani! — zawołał Aleksander, który stał przy drzwiach. Komisarz idzie.

Hrabia nacisnął guzik, obraz się otworzył, Agata znikła, i w tej samej chwili obraz wrócił na dawne swe miejsce.

Drzwi się otwarły i wszedł komisarz. Nim się rozglądnąć mógł po obecnych, stało się coś niespodziewanego.

Mały Walter, który dotychczas spokojnie leżał na rękach Marty, zerwał się nagle z okrzykiem trwogi, kiedy matka jego zniknęła za obrazem. Popędził w stronę obrazu, małemi rączkami bił w ścianę, wołając żałośnie:

— Ach, mamo, mamo kochana, otwórz!

Już była obok niego Marta. Wzięła go na ręce objęła silnie i szepnęła:

— Cicho bądź, na miłość Boską, bo zdradzisz swą matkę. I mały Walter umilkł, chociaż nie rozumiał, o co chodzi.

Ale zachowanie się dziecka zwróciło uwagę komisarza. Przystąpił doń, ujął za rękę i spytał:

— Gdzie twoja mama? Powiedz mi?

— Nie! nie mów Walterze! — zawołała Marta, zapominając się. Ten zły człowiek chce mamie twej coś złego zrobić!

I osiągnęła swój cel. Dziecko milczało i trwożliwie odwróciło się od komisarza. Ten odgadł, że Agata musi być w pobliżu i że zniknęła za obrazem.

— Nie trzeba mi zeznań tego dziecka! — rzekł, krocząc w stronę obrazu. Znalazłem nareszcie ślad!

Wszyscy stali w oczekiwaniu. Komisarz skinął na żandarma, który stał u drzwi.

— Panie hrabio! — rzekł rozkazująco. — Obraz ten to drzwi. Proszę je otworzyć.

Hrabia odzyskał tymczasem równowagę. Zamienił spojrzenie z Aleksandrem i odpowiedział spokojnie:

— Mylisz się pan! To nie drzwi. To obraz wmurowany w ścianę, nie można go obalić.

— Nie zmyli mnie pan. Zachowanie się dziecka wszystko mi zdradziło. Nie chcesz pan spełnić mego żądania?

W takim razie przemocą obraz ten usunę.

— Do tego nie masz pan prawa! — zawołał Aleksander. Całą swą postacią zasłonił obraz i rzekł do hrabiego:

— Panie hrabio, nie zezwól pan, by człowiek ten zniszczył panu ten wartościowy obraz!

— Pewnie, że na to już nie zezwolę: Panie komisarzu, nie dotknie się pan tego obrazu!

— Spełnię swój obowiązek! — brzmiała odpowiedź rozdrażnionego komisarza. Proszę ustąpić! — zwrócił się ostro do Aleksandra.

— Nie, nie ustąpię! — oświadczył tenże.

Komisarz przybrał groźną postawę:

— Upominam pana jeszcze raz, żebyś ustąpił, bo użyję siły!

— Tego pan nie uczynisz! — odpowiedział Aleksander spokojnie i wyniośle, bo na gwałt gwałtem odpowiem!

Wyprostował się. Był zdecydowanym na wszystko. I osadnik był gotów stawić zawzięty opór. Komisarz, pewny swego odkrycia, nie chciał ustąpić.

— Dobrze! — rzekł gniewnie. Chcesz pan tylko przemocy ustąpić. Sam sobie pan skutki przypisze.

Kazał zawołać jeszcze dwóch żandarmów. Sytuacya stawała się krytyczną. Stary hrabia przewidywał straszną katastrofę. Zaklinał komisarza, by odstąpił od swego zamiaru. Daremnie. Zjawili się żandarmi i komisarz rozkazał przemocą usunąć Aleksandra z pod obrazu.

Wtedy Aleksander wyjął z kieszeni rewolwer i skierował ku żandarmom.

— Dam ognia, jeżeli się mnie dotkniecie! — oświadczył stanowczo.

Żandarmi cofnęli się.

— Panie !— rzekł komisarz wściekły. Ustąp!

— Nie!

— Każę pana ubić jak psa!

Komisarz rozkazał żandarmom przygotować swe karabiny.

—Nie uczyni pan tego! — odpowiedział Aleksander spokojnie. Bo najmniejszy ruch podejrzany, a kula moja przeszyje danemu żandarmowi serce.

— O i ja — zawołał oburzony osadnik— również zrobię użytek z broni, gdyby pan komisarz w szaleństwie swem chciał spełnić swą groźbę.

I porwał ze ściany wiszącą tam broń i skierował ją na komisarza. Ten blady jak trup, cofnął się o krok. Nim mógł powziąć po-

stanowienie, stanął między nimi hrabia i zawołał:

— Przyjaciele! Na miłość Boską, bez przelewu krwi. Panie komisarzu, nie doprowadź do ostateczności. Nie potrafisz usprawiedliwić swego postępowania. Nie masz pan prawa, kazać strzelać do spokojnych ludzi. A jeżeli wydasz taki rozkaz, mam nadzieję, że żandarmi będą mieli na tyle rozwagi by nie usłuchać.

I rzeczywiście żandarmi nie mieli ochoty strzelać. Komisarz poznał, że jest bezsilnym.

— Dobrze! — zgrzytnął. Zasięgnę instrukcyi u mego przełożonego. Za opór zapłacicie gorzko.

Kazał żandarmom stać na straży przed drzwiami pokoju.

— Wrócę jeszcze w nocy i przywiozę pomoc! — rzekł do żandarmów. Wy tymczasem nie opuścicie swego stanowiska. Tylko staremu wolno wyjść z pokoju. W razie oporu użyjcie natychmiast broni.

Dosiadł konia i popędził do miasta.

Stary hrabia zamknął drzwi i rzekł:

— Co teraz poczniemy? Położenie nasze jest rozpaczliwe, skoro komisarz wróci, wszelki opór będzie bezcelowy, bo przywiezie z pewnością oddział żandarmów.

— Jedyne wyjście rzucić się na żandarmów, stojących pod drzwiami i rozbroić ich, wtedy hrabina może bez przeszkody uciec! — rzekł Aleksander.

Hrabia nie podzielał tego zdania.

— Nie uda się to. A wtedy wszystko stracone! — odpowiedział. Może się uda oddalić podstępnie żandarmów.

— To z pewnością się nie uda! — sądził Aleksander. W każdym razie trzeba jak najprędzej umieścić hrabinę w bezpiecznem schronieniu, gdyż tu w żaden sposób zostać nie może.

— Naturalnie! Ale jak to zrobić?

— Jak powiedziałem, tylko przemocą.

Nagle otwarł się obraz i Agata, która wszystko słyszała, opuściła swą kryjówkę.

— Nie narażajcie się dla mnie, drodzy przyjaciele! — błagała. Jeżeli ucieczka się nie uda, niech się spełni me przeznaczenie. Bóg się mną zaopiekuje!

— Nie, pani. Nie oddamy cię w ręce siepaczy! — zawołał Aleksander.— Jak długo ja żyję, nie! I wszyscy tak samo myślimy.

— Błagam pana, nie używaj gwałtu! — zaklinała Agata. Nie narażaj swego życia. Nie chcę tej ofiary! Zresztą to wszystko bezcelowe. Musicie uledz w walce z żandarmami.

— Z pewnością! — rzekł hrabia. Gwałtem nic tu nie zyskamy. A skutki dla nas wszystkich byłyby okropne, gdybyśmy jednego z żandarmów zabili lub choćby tylko zranili. Zastanówmy się. Musimy znaleźć radę.

— Wątpię!

— Użyjmy podstępu! — proponował hrabia. Hrabina przebierze się, by o ile możności do mnie była podobną. Mnie wolno się swobodnie poruszać, mógłbym więc przynieść potrzebne przebranie.

—A jeżeli żandarmi poznają hrabinę? —

— Nie rozpaczajmy! —rozstrzygnął Alek-

spytał Aleksander. Plan to niebezpieczny.

— Nie znam niestety innego.

sander. Jeszcze dosyć mamy czasu. Zastanówmy się, znajdziemy przecież środek ratunku.

—Po dłuższej naradzie ułożono plan. Agata wróciła do swej kryjówki. Kiedy obraz za nią zasunął się, otworzył hrabia drzwi i wyszedł.

Żandarmi puścili go.

Jaki plan ułożyli przyjaciele Agaty? I czy się on uda?

CLXXXVIII.

NIEUDANE PRZEDSIĘWZIĘCIE.

W największem niebezpieczeństwie odkryła Fryda tajemne wyjście, którem uciekła ze swego więzienia. Postanowiła szukać schronienia w jaskini u Hechta.

Lecz skąd wziąć czółno? Do ogrodu iść nie chciała, bała się, że Walerya odkryła już może jej ucieczkę i szuka jej.

Postanowiła iść piechotą. Już dzień świtał, kiedy zupełnie wyczerpana stanęła u celu.

Jej przyjaciel oczekiwał ją z niecierpliwością.

— Nareszcie! — zawołał. Obawiałem się już, że pani więcej nie wróci.

Fryda usiadła, zaświeciła światło i przedewszystkiem zabrała się do jedzenia z zasobów Hechta. Równocześnie opowiadała mu co ją spotkało.

— Strasznie się zemszczę! — zakończyła swe opowiadanie. Strącę ją w przepaść z tej potęgi, którą osiągnęła przez zbrodnię. Zaraz dzisiaj pierwsze przeciw temu poczynię kroki.

Hecht był wzburzony. Czuł strach przed Waleryą jednak nie pochwalał myśli Frydy o zemście.

— Na cóż ci się teraz zda zemsta? — tłumaczył jej. Jeżeli zdradzisz teraz Waleryą, zniszczysz tem samem nasze piękne szczęście na przyszłość. Przeczekaj aż wrócę do zdrowia i Walerya zostanie żoną księcia. Wtedy musi się bać i spełni nasze warunki. Możemy na niej

wymódz bajeczne sumy, a gdy się to uda, możemy wtedy te żmiję zgubić!

Jednak Fryda nie zważała na jego słowa. Pragnęła zemsty i słusznie sądziła, że zwłoka jej tylko może zaszkodzić.

— Niemądrzę pan robisz — zawołała. Mamy czekać aż nas Walerya znajdzie? A ona nie spocznie, aż nas zniszczy. Musimy ją więc uprzedzić! To nasz jedyny ratunek.

— Prawda! — westchnął Ludwik zrozpaczony. A Walerya szuka nas, tej nocy była tu znowu z Sinobrodym. Słyszałem ich głosy. Na szczęście nie znaleźli mnie.

— Mnie ona szukała! — zaśmiała się Fryda. Więc już odkryła mą ucieczkę? Ha! Jej rozpacz, kiedy mnie nie znalazła w lochu piwniczym, jej wściekłość nie znała chyba granic. Wie ona przecież, co jej odemnie grozi!

— Wytłumacz mi Frydo, jakie są twe zamiary?

— Zdradzić zbrodnie tej nędznicy.

— Komu? Policyi?

— Tak! Komisarzowi Greifowi. Zaproszę tego człowieka na schadzkę i powiem mu wszystko, co wiem!

— Komisarz nie przestanie na twoich zeznaniach. Uwięzi cię, a wtedy co się ze mną stanie?

— Nie obawiaj się !— rzekła Fryda. Nie tak łatwo dam się komisarzowi uwięzić. Zostaw mi już troskę o to. Będę wolną i zostanę tu, aż i ty będziesz na tyle silnym, by opuścić to miejsce.

— Fryda! — zawołał Ludwik nieuspokojony. Rzucasz się w przepaść, szalona! Czy nie pojmujesz, że komisarz nie zostawi cię na wolnej stopie, byłby głupcem, gdyby to uczynił!

— A to dlaczego?

— Bo potrzebna mu jesteś jako świadek przeciw Waleryi. Nadto zmusi cię on, byś i mnie zdradziła.

— Głupstwo, twoje obawy nie są uzasadnione! — oświadczyła Fryda. Już to ja tak urządzę, że mnie komisarz zostawi na wolnej stopie. W każdym razie, ty nie masz się czego bać, bo cię nie zdradzę.

Próżno starał się Ludwik odwieźć ją od planu. Była zdecydowaną na wszystko. Porzuciła też wnet Ludwika. Przejęta myślą zemsty i nienawiścią ku Waleryi, nie zważała na nic.

Cóż ją obchodziło, że jej zemsta może Hechta zgubić?

Udała się do poblizkiej wsi, dokąd przybyła po upływie dwóch godzin. W gospodzie napisała list do Greifa, prosząc go na wieczór na schadzkę do "szczeliny dyabelskiej." Łatwowierna myślała, że Greif naprawdę sam przyjdzie.

Popołudniu dość późno, wybrała się w drogę powrotną i wieczorem przybyła do jaskini. Ludwik spróbował jeszcze raz wpłynąć na Frydę, by zmieniał swój plan. Daremnie.

Kiedy się ściemniło, opuściła jaskinię, nie zważając na złorzeczenia Hechta, który był bardzo rozgoryczony.

Ten był w rozpaczy i trwodze śmiertelnej. Był przekonany, że go Fryda —. chcąc nie chcąc — musi zdradzić. Miałby tu czekać aż komisarz przyjdzie, by go aresztować?

Postanowił sobie wyszukać inną kryjówkę, sam bez niczyjej pomocy. Z trudnością podniósł się zsunął się ze swego legowiska i porwał koc i kosz z żywnością. Ciągnął to za sobą, trzymając w drugiej ręce zaświeconą świecę i wyczołgał się nareszcie ze swego lochu.

Zobaczył rozmaite wejścia do innych mniejszych jaskiń. Lecz przecenił swe siły. Nie mógł iść dalej. Spoczął, potem znowu rozpoczął swą wędrówkę i zaczołgał się do innej jaskini, która, zdało mu się, rozciągała się głęboko w skale.

W kącie, prawie już na końcu jaskini, rzucił się na koc, zupełnie wyczerpany. Zgasił światło. Czuł się tu bezpieczniejszym.

Kiedy Fryda opuściła jaskinię, spostrzegła wnet światło latarni, która była uwieszoną na przodzie czółna. Czółno leżało nad brzegiem. Lecz nikogo nie widziała w niem.

— O, już tu jest! — zawołała zdziwiona. Lecz gdzie on?

Obudziło się w niej podejrzenie, czy też Greif sam przybył. Przezwyciężyła jednak obawę i zachowując wszelką ostrożność, zbliżyła się do czółna. I tu nic nie zobaczyła, skierowała się więc ku jaskini, w nadziei że może tam spotka już Greifa.

Stała przed wejściem do jaskini. W tej samej chwili usłyszała szelest w zaroślach, podskoczyła ku niej ciemna postać i silna ręka złapała ją za ramię.

Okrzyk zgrozy. Nie wątpiła że to Greif, ale nie mogła go poznać wskutek ciemności. Drżącym głosem wykrztusiła:

— Mój Boże! puść mnie pan, panie Greif!

Odpowiedział jej śmiech szyderczy i głos, który ją wprawił w bezgraniczny strach:

— Żmijo! To nie twój szpicel policyjny, którego sobie zamówiłaś! Nie poznajesz mnie? Teraz nikt cię nie ocali!

— Tak! — Sinobrody! — to ja! — szydził Sinobrody. A teraz: marsz!

Pchnął Frydę w wejście do jaskini. Lecz rozpaczliwym ruchem uwolniła się z jego objęć i wymknęła mu się.

— Na pomoc, na pomoc! — wołała rozpa-

czliwie i pędziła na brzeg, gdzie leżało czółno Sinobrodego.

Rzucił się za nią. Nagle Fryda potknęła się o korzeń i upadła. Prędko się wprawdzie zerwała, ale już był Sinobrody przy niej i chwycił ją silnie swą żelazną ręką.

— Nie uciekniesz mi ty żmijo! — zgrzytnął.

Rozpoczęło się straszne szamotanie, w którem słaba dziewczyna uległa. Nie troszcząc się wcale o jej krzyk wlókł ją Sinobrody za soba. Ale tylko kilka kroków, bo nagle usłyszał głośne: "stój!" i spostrzegł łódź która właśnie przybiła do brzegu. Czterech mężczyzn wysiadło i zbliżało się doń szybko.

— Stój! — Stój w imieniu prawa! — zabrzmiał głos Greifa.

Na chwilę Sinobrody stracił przytomność, poznał komisarza. Zaklął przeraźliwie, wydobył rewolwer i wystrzelił w kierunku swoich wrogów.

Podczas tego uwolniła się Fryda z jego żelaznych objęć, lecz Sinobrody rzucił się za nią szybko, jak krwiożerczy tygrys i skierował rewolwer ku jej piersi.

— Nie zdradzisz nas! — zgrzytnął. Giń żmijo!

— Stój, morderco!

Już nadbiegli Greif i Winter i wyciągnęli ku niemu ręce.

Dziki śmiech szyderczy. Padł strzał i ze strasznym krzykiem runęła Fryda na ziemię. Tej samej chwili padły dwa strzały, Sinobrody czuł, że został raniony. Potężnym skokiem zniknął w zaroślach.

— Za nim! — zawołał Greif i w towarzystwie dwóch agentów puścił się w pogoń.

Fryda zdawała się być śmiertelnie ranną. Nieprzytomna leżała na ziemi.

— Boże! Ona umiera! — zawołał Winter w rozpaczy. I nic nam więcej nie zezna. Wszystko stracone!

Pospieszył do czółna, wziął latarnię Sinobrodego, przyniósł w kapeluszu wodę i nachylił się nad nieprzytomną. Rozerwał suknie, zobaczył ranę i poznał, że nie jest niebezpieczną. Kula zraniła jedną żyłę, co spowodowało silny upływ krwi.

Zmył ranę i obandażował ją. Na razie nie mógł Winter nic uczynić.

Rozgladnął się dookoła. Od strony jaskini usłyszał głosy. Czy ujęto Sinobrodego? Czy może Greif się z nim szamoce. Winter pospieszył w stronę jaskini. Tu zobaczył światło, i wnet natknął na Greifa, który właśnie chciał przeszukać boczną kryjówkę jaskini. Winter połączył się z nim. Poszukiwania ich nie odniosły jednak skutku. Sinobrody uciekł.

Greif rozpaczał.

— Niemożliwe, by uszedł daleko! — zawołał. Znalazł tu schowek. Zostańcie w jaskini na straży! — rozkazał swoim ludziom, a skoro się zbrodniarz pokaże, to zaraz strzelać!

Agenci udali się na drugi koniec jaskini, nad brzegiem. Jeżeli Sinobrody był tu jeszcze ukryty, to ucieczka była niemożliwą.

— Czy Fryda żyje? — spytał Greif Wintera.

— Żyje! Rana nie jest niebezpieczną, lecz narazie jest nieprzytomną.

— Dzięki Bogu, że ją przynajmniej mamy. Jej zeznania pozwolą nam nareszcie zdemaskować tę zbrodniarkę Walerye.

Przybyli na miejsce, gdzie leżała Fryda. Po krótkich zabiegach Fryda otworzyła oczy.

Wzrok jej padł na Wintera, poznała go natychmiast. Blada jej twarz zdradzała niechęć. Prędko się podniosła i rzekła do Greifa:

— Nie spełniłeś pan mego warunku!

— Nie! Tego się pani chyba nie spodziewała — odpowiedział Winter za Greifa. I ja pragnę bardzo słyszeć zeznania pani. A pani wszystko powiesz, bo nam zawdzięczasz swe życie.

—A czy morderca ujęty? — zapytała.

— Jeszcze nie! Ale mamy nadzieję, że się to wnet stanie. Rana pani nie jest wcale niebezpieczną. Czy może pani wstać?

Fryda podniosła się, wsparta o ramię Wintera. Ale czuła się słabą i musiała znów usiąść. Po pewnym czasie przyszła do siebie i podczas gdy Greif udał się ponownie do jaskini, opowiedziała Winterowi w jaki sposób ją Sinobrody napadł i chociaż nie wiele mogła o tem powiedzieć, to jednak doniosła mu o ostatnich zajściach.

Winter przerwał.

— Przeczuwałem coś podobnego. Lecz powiedz mi pani, dlaczego Walerya chciała zguby pani. Dlaczego tak z panią postąpiła?

— Wiedziała, że chcę zdradzić komisarzowi Greifowi wszystkie jej tajemnice. Dlatego chciała mnie sprzątnąć. Ale z Boską pomocą udało mi się znaleźć w tej jaskini kryjówkę.

— Hm! pani była tu już dawniej. Ja wiem dlaczego. Odwiedzała tu pani swego dobrego przyjaciela.

— O, co znowu? — zaśmiała się Fryda nieszczerze. Kogobym tu szukała?

— A, to ja pani powiem! Męża Waleryi. Ludwika Hechta!

— Broń Boże! On nie żyje!

— E żyje! A pani o tem lepiej wie, niż ja. Tam, w jaskini, ukrywa się przyjaciel pani. Nie wypieraj się pani, jesteśmy tego pewni.

— W takim razie wie pan więcej niż ja! — rzekła Fryda krótko.

— Nie bawmy się w ciuciubabkę. Zdaje mi się, że pani chce nam zdradzić tajemnice swej pani. Pocóż więc te wybiegi?

— Poczynię ważne zeznania. Ale tylko pod pewnymi warunkami.

— Moja pani! — rzekł Winter surowo, pani nie zdaje sobie jasno sprawy ze sytuacyi. Wiesz pani chyba, jak sprawy pani stoją. Obowiązkiem urzędnika jest aresztowań panią natychmiast.

— Jeżeli mnie panowie uwięzicie, nic nie zeznam! — zawołała Fryda.

— Żąda pani pozostania na wolnej stopie?

— Naturalnie! W przeciwnym razie...

— No, przekonamy się wpierw, jaką wartość mają zeznania pani.

— O, nie panie Winter. Tylko wtedy wszystko wyznam, jeżeli pan i Greif zapewnicie mnie, iż mnie nie uwięzicie.

—Niedowierza nam pani! Niesłusznie! Zresztą jaką rękojmę miałyby dla pani nasze zapewnienia Nie moglibyśmy ich dotrzymać. Zaznaczam też, że zeznania pani wtedy tylko mieć będą wartość, gdy złożysz i dowody.

— Mogę to uczynić!

— A, to pięknie! Ale przedewszystkiem niech pani nie uczyni nam zeznania, lecz prokuratorowi. Temu też złoży pani swe dowody. Nie zechce pani tego uczynić, natenczas zeznania pani nie mają żadnej wartości. Zeznania pani muszą być osobiste i publiczne wobec najwyższego sądu.

— Uczynię, to, ale dopiero wtedy, kiedy hrabina Walerya będzie w więzieniu.

— Nie, to się już teraz stać musi i dlatego odprowadzisz nas pan do rezydencyi.

— Chcesz mnie zatem pan uwięzić? —zawołała Fryda oburzona.

— O, nie! Złoży pani tylko swe zeznania wobec sędziego i zobowiąże później wystąpić jako świadek. Rozumie pani?

— Tak! Ale czy mogę panu ufać? Skoro panowie dowiecie się o wszystkiem, to mnie wtedy może uwięzicie?

— Czy słowo moje pani nie starczy?

— Tak, ale prokurator nie będzie miał żadnych względów na słowo pańskie.

— Pani o nic nie jest oskarżoną. Prokurator nie ma więc dowodu uwięzić panią. Chyba, że się pani sama poda jako współwinna zbrodni Waleryi.

— Będę się miała na baczności. Ale pan to uczynić możesz, bo znasz ową aferę z dzieckiem i...

— Inne sprawki! — uzupełnił Winter. Ale nie obawiaj się pani niczego, jeżeli wyznasz uczciwie wszystko co wiesz o zbrodniach Waleryi.

Fryda jeszcze nie była zdecydowaną. Teraz dopiero spostrzegła, się że sama wpadła w pułapkę i że należną jest od łaski i niełaski Wintera i Greifa.

Greif wrócił. Sinbrodego jeszcze nie ujęto. Ich wspólnym usiłowaniem udało się jeszcze nakłonić Frydę do zeznań.

Przedewszystkiem powiedz nam pani, co wiesz o śmierci barona Rambow! — rozpoczął Winter. Że hrabina Agata jest niewinną, o tem wiemy. Według mego przekonania, mord ten popełniła Walerya. Czy to jest prawdą?

— Tak! — potwierdziła Fryda. Winę zręcznie złożyła na Agatę. A baron Jakób był w zmowie z Waleryą. Zeznał fałszywie przed sądem. Wiem, że on podpatrzył zbrodnię Waleryi.

— A ponieważ stał się jej później niebezpiecznym kazała go zamordować Sinobrodemu i Piotrowi! — przerwał Winter. O tem wiemy, brak nam tylko dowodów.

— Mogę je dać! — mówiła Fryda dalej. I ja byłam świadkiem mordu Waleryi, bo i ja widziałam, jak wmieszała w wino truciznę, z której umarł baron Rambow. Widziałam jednak także, jak flaszeczkę z resztą trucizny wsunęła w kieszeń Agaty, gdzie truciznę odnaleziono i uznano to, jako dowód jej winy.

— Może pani to w sądzie zaprzysiądz?

— Mogę! Ponadto podsłuchałem niejedno krotnie rozmowy między Waleryą a jej bratem Sinobrodym, z których się dowiedziałam, co potem przedsięwzięto przeciw hrabinie Agacie.

— Dobrze. Ale czy pomyślała pani też o tem, jak niecnie i bez sumienia postępowałaś, żeś o tem dotychczas milczała? — zawołał Winter oburzony. Wiedziałaś, kto jest mordercą barona Rambowa, a milczałaś pani i zezwoliłaś, by skazać niewinną na śmierć Agatę. Czy wiesz pani, że czeka cię za to ciężka kara!

Fryda przestraszyła się, jednak odpowiedziała hardo:

— Jeżeli taka mnie ma spotkać nagroda za me zeznania, to nie powiem więcej ani słowa.

— Idźmy dalej! — rzekł Winter surowo. Jakie pani ma dowody!

— Mogę podać, skąd Walerya wzięła truciznę! rzekła Fryda niechętnie.

— Tak? To naprawdę ważny dowód! Więc?

— Pewnego dnia przybył do zamku obcy człowiek, którego Walerya potajemnie przyję

ła. Podsłuchałam ich rozmowę. Obcy oddał Waleryi małą flaszeczkę i otrzymał za to mnóstwo pieniędzy. Była to flaszeczka z trucizną!

— A ten obcy? Kto on? — badał Winter.

— Słyszałam jego imię. Walerya nazywała go Langhals!

Winter wydał okrzyk zdziwienia.

— Co? Langhals — ten łotr! Teraz pojmuję, skąd Sinobrody ma znajomość z tym człowiekiem. No, jutro będziemy mieli już pewne wiadomości. Jeżeli Langhals wyzna, że wręczył Waleryi truciznę, wygraliśmy sprawę!

— Zaraz go jutro przyaresztuję! — rzekł Greif.

— Dobrze! — mówił Winter. Ale musimy jeszcze dostać Ludwika Hechta.

Zwrócił się do Frydy i patrząc jej groźnie w oczy rzekł surowo:

— Pani wie, gdzie Hecht się ukrywa. Zaprowadź nas pani do niego. Jeżeli tego nie uczynisz, uważaną będziesz za współwinną zbrodni Waleryi.

— Ależ ja nie wiem, gdzie się Hecht ukrywa! — wzbraniała się Fryda.

— Wiesz! Tam — w jaskini! Szukaliśmy go już, jest dobrze ukryty, tak że nie wtajemniczony znaleźć go nie może!

— Więc skąd ja mam znać jego kryjówkę? I ja go szukałam, ale również bez skutku.

Winter stracił cierpliwość.

— Chcesz pani zeznać, czy nie! — zawołał groźnie. Grozi ci więzienie, pamiętaj!

Groźba poskutkowała. Fryda poznała, że nie ma wyboru i że w swem położeniu o warunkach nie ma mowy.

— Chcę wyznać prawdę! — rzekła cichym głosem. Tak, Ludwik Hecht ukryty jest w jaskini.

— Szczęście dla pani, że mówisz prawdę. Zaprowadź nas pani do niego! — nalegał Winter.

— Nie mogę — dzisiaj nie!

— Dlaczego?

— Bo chcę mieć pewność, że będę wolną i że nie zostanę ukaraną. Wtedy dopiero wydam wam Hechta. Także żądam za me zeznania odpowiedniej nagrody. Wydam wkońcu ważne papiery.

— Nagrodę pani otrzymasz bo hrabina Agata i jej mąż okażą pani wdzięczność. Lecz o jakich papierach wspomniała pani?

— Należą one do Ludwika Hechta. Jest tam metryka ślubu świadcząca o tem, że Walerya jest żoną Hechta, nadto list, który Hecht niegdyś do pana, panie Winter, napisał był. W liście tym zeznaje wszystkie zbrodnie Waleryi. Te papiery mam w przechowaniu.

— Gdzie je pani ma? Tam w jaskini?

— Nie, w zamku. Oddam je, gdy będę pewną wolności.

— O, tak to się nie uda! — zawołał Greif. Musimy mieć i papiery i Ludwika. Przynajmniej papiery musisz nam pani oddać natychmiast.

Fryda zgodziła się.

— Zaraz pani pójdzie z nami na zamek! — zadecydował Greif. W naszym towarzystwie nic złego panią nie spotka.

Zmuszona Fryda uległa.

Wnet przybyła z Greifem i Winterem do zamku i bez hałasu zaprowadziła ich do swego pokoju.

Przysunęła tu krzesło do pieca i rzekła do Wintera:

— Niech pan komisarz wejdzie na krzesło i proszę wyjąć z tylnej ściany pieca środkową płytę kaflową z ostatniego szeregu. Tam znajdziesz pan papiery!

Winter uczynił to, co mu Fryda kazała. Papiery znalazł i pierwszy rzut oka na nie, przekonał go jak ważne dostał dokumenta.

Kiedy przyjaciele odwócili się, Greif pomagał Winterowi — spostrzegli ku swemu przerażeniu że Fryda zniknęła. Skorzystała ona z chwili, gdy nie zwracano na nią uwagi i wymknęła się.

— Za nią! Przyłapiemy ją jeszcze — zawołał Greif i razem z Winterem puścili się w pogoń za Frydą.

Wtem, kiedy pędzili przez ciemne korytarze zamku, rozległ się hałas. Zabłysło światło i nadbiegło kilku uzbrojonych służących.

— To oni! — zawołał jakiś głos. Naprzód! Ująć złoczyńców.

Z dzikim okrzykiem rzucił się tłum na Greifa i Wintera.

CXXXIX.

CZYN JUDASZOWY.

Długi minął czas, nim hrabia wrócił do Agaty i jej przyjaciół. Żandarmi stali pod drzwiami, lecz puścili go bez trudności. Stary hrabia zamknął drzwi i otworzył obraz. Agata opuściła swą kryjówkę. Przez chwilę naradzano się szeptem poczem hrabia złożył swe długie palto. Dookoła ciała miał owiniętą długą linę, którą teraz zdjął.

Aleksander przystąpił do okna i otworzył je. Okno prowadziło na morze. Aleksander umocował przy pomocy osadnika linę do okna. Agata miała się po niej spuścić.

Osadnik zaświecił latarnię, którą umocował u swego ubrania, wychylił się z okna i spuścił się po linie. Aleksander patrzył za nim. Osadnik dostał się szczęśliwie na ziemię.

Tymczasem ubrała się Agata w długi płaszcz hrabiego i szeroki kapelusz pluszowy, który ukrył jej włosy. Przypięła też długą siwą brodę, tak, że podobną była do hrabiego. Mimoto jednak nie mogła się odważyć w przebraniu tem wydostać na zewnątrz drzwiami. Żandarmi mogliby ją poznać. Dlatego musiała obrać drogę przez okno.

Zbliżyła się ku oknu, a spostrzegłszy czarną otchłań, cofnęła się mimowoli.

— Odwagi pani hrabino! — rzekł Aleksander. Nie ma wyboru. Proszę się tylko silnie trzymać liny — a wszystko uda się pomyślnie.

— Pamiętajcie o mem dziecku — błagała Agata. Zbliżyła się do łóżeczka małego Waltera, który spał spokojnie z uśmiechem na ustach. Ucałowała go i gorąca łza spadła na twarz malca.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece! — szepnęła stroskana matka.

Aleksander naglił, bo niedługo mógł się zjawić komisarz. Przy pomocy Aleksandra wychyliła się Agata z okna i za chwilę zawisła już na linie między niebem a ziemią.

Na dole odebrał ją osadnik. Poczem spuścił się po linie Aleksander, następnie odwiązała hrabina linę i rzucił ją na dół. Osadnik zabrał ją. Przy świetle latarni puścili się w drogę, wzdłuż wąskiego brzegu skalistego, gdzie najmniejsza nieuwaga mogła spowodować śmierć.

Aleksander wspierał Agatę. Już po kilku krokach zatrzymali się przed oknem, leżącem w górze w odległości sześć stóp od ziemi. Z okna wychyliła się postać kasztelana Tomasza.

— Chodźcie, wszystko bezpieczne! — zawołał stary.

Osadnik rzucił mu linę, którą Tomasz umocował u okna. Pierwszy wspinał się osadnik. Aleksander owiązał linę Agacie dookoła ciała, następnie po linie dostał się na okno i w ten sposób wciągnęli Agatę.

Znaleźli się w wielkim, pustym pokoju, w niezamieszkałej części zamku. Nie zatrzymano się tu. Stary Tomasz poprowadził ich przez sklepiony kurytarz na wązkie podwórze.

Właśnie opuszczali kurytarz, kiedy Aleksander przystanął i nadsłuchiwał. Przeszukał kurytarz, nic jednak nie spostrzegł.

— Szli obok wieży, minęli ją i dostali się na drugie podwórze zamkowe, gdzie w murze była furtka, prowadząca na zewnątrz.

Dla ostrożności zgaszono latarnie. Stary Tomasz dał Aleksandrowi klucz z furtki i szepnął:

— Na dworze stoją już konie w pogotowiu. Z Bogiem, panie.

Cofnął się. Tamci ostrożnie zbliżali się do furtki. Nagle Agata przystanęła i trwożliwie objęła Aleksandra.

— Tam — widzi pan, przy bramie stoją żandarmi, daremnie — szepnęła.

— Tak, tam stoi żandarm — odpowiedział szeptem Aleksander. A tam, jeszcze jeden. — To chyba zdrada. Ktoś nas podpatrzył.

— To obojętne! — odpowiedział osadnik stanowczo. Z nimi musimy się odważyć na walkę.

— Na miłość boską, nie — błagała Agata. Hałas zwabi tamtych żandarmów, a wtedy wszystko stracone. Może znajdziemy inne wyjście.

— Wątpię! —, rzekł Aleksander. Ale i to prawda, na walkę narażać się nie możemy, bo nie wiemy ilu jest żandarmów. Ktoś nas zdradził.

— Ale dokąd się udamy? — spytał osadnik Najlepiej, spróbuję uwiadomić hrabiego. On może nam w tem rozpaczliwem położeniu pomódz.

Zgodzono się na to i wrócili. Byli już w kurytarzu, kiedy na końcu spostrzegli światło i postać, która się ku nim zbliżała.

Chcieli uciekać, gdy Aleksander zawołał radośnie:

— Dzięki Bogu, to hrabia!

Hrabia był zdziwiony na widok swych przyjaciół.

— Co się stało? — spytał.

Aleksander wyjaśnił mu sytuacyę i rzekł:

— Przedewszystkiem musimy pomyśleć o bezpiecznem schronieniu dla hrabiny.

Stary hrabia zastanowił się.

— Chodźcie ze mną! — rzekł po chwili.

Hrabia poprowadził ich na górne piętro niezamieszkałego skrzydła. Przez szereg komnat dostano się do obszernego pokoju o trzech drzwiach.

— Gdyby panią przypadkiem tu znaleźli— rzekł hrabia, możesz uciec przez jedne z tych drzwi. Zresztą pozostaniemy możliwie jak najbliżej pani, by panią w razie niebezpieczeństwa ostrzedz.

Oddalił się, lecz nie spostrzegli, że są śledzeni. W jednym pokoju stał ukryty służący. On to już przedtem zwrócił żandarmom uwagę na plan przyjaciół Agaty. Pragnął nagrody

judaszowej i postanowił nieszczęśliwą kobietę zdradzić siepaczom. I teraz wiedział, gdzie Agata ukryta.

Służący ten był w zamku jeszcze z czasów Sinobrodego. Stary hrabia chciał go oddalić, zatrzymał go tylko na jego usilne prośby.

Zdrajca czekał, aż komisarz nadejdzie.

— Aż do tego czasu mogę hrabinie służyć mem towarzystwem! — zaśmiał się cynicznie.

Począł się ostrożnie zbliżać do pokoju Agaty, która nie przeczuwała, jaki jej wróg grozi.

Zaryglowała drzwi i zaświeciła świecę. Strasznie tu było, w tym wielkim pokoju. Przez rozbite szyby okien zawodził wiatr żałośnie, promień świecy rzucał na ścianę czarne cienie.

Agata odczuwała trwogę. Blada i drżąca siedziała oparta o poręcz krzesła. Zdawało jej się, że za chwilę wychyli się z kąta jakaś upiorna postać.

Serce biło jej gwałtownie. A wiatr zawodził coraz straszniej wśród tej ciszy grobowej.

Nie, zostanie tutaj. Czemu ją tu zostawili — samiuteńką. Gdyby tu z nią była przynajmniej wierna Delia.

Wstała. Wzięła świecę i postanowiła wyjść jednemi drzwiami na korytarz, do komnat Gertrudy i Józefy.

Wtem zatrzymała się jakby przykuta do ziemi, blada i drżąca. Nadsłuchiwała. W sąsiednim pokoju usłyszała ciche stąpanie.

Kroki zatrzymały się pode drzwiami. Potem niewidzialna ręka ujęła klamkę. Jednak drzwi były wewnątrz zamknięte.

— Kto to? — pomyślała Agata w szalonym strachu.

Nie śmiała ruszyć się z miejsca.

Teraz strach jej wzrastał z każdą chwilą — zapukano do drzwi. Stała nieszczęśliwa kobieta nieruchomie, niezdolna pojąć co się dzieje.

Powtórne pukanie. A potem cichy, obcy jej głos:

— Pani hrabino, proszę otworzyć.

Agata nie ruszała się z miejsca.

— Pani hrabino! powtórzył głos. Zaklinam otwórz pani. Hrabia mnie przysyła.

Te słowa rozpruszyły obawę Agaty. Zbliżyła się ku drzwiom i spytała:

— Hrabia was przysyła, a wy kto?

— Służący w zamku! —

— Dlaczego hrabia sam nie przychodzi!

— Nie może. Śledzą go. Komisarz wrócił i jest na tropie. Mam panią hrabinę ostrzedz i poprowadzić do innej kryjówki.

Teraz Agata otworzyła drzwi. Natychmiast jednak sięgnęła do kieszeni, gdzie miała mały rewolwer, który jej wręczył Aleksander.

Wszedł zdrajca. Natychmiast zaryglował drzwi. Agata zmierzyła go. Jego strój świadczył rzeczywiście o tem, że jest służącym hrabiego.

— Pan hrabia was przysłał? — spytała. A dokąd macie mnie poprowadzić?

— Pani hrabina pójdzie za mną! — rzekł z uśmiechem. Przystąpił bliżej i Agata spostrzegła w jego twarzy dziwny wyraz, który wzbudził w niej podejrzenie.

Chcę wiedzieć, dokąd mam z wami iść! — rzekła stanowczo.

— No, do grobowca. Tam, mówi hrabia, będzie pani hrabina bezpieczną.

— Podejrzenie Agaty rosło. Zachowanie się tego człowieka, jego ruchy i wzrok nie budziły zaufania.

— Nie zbliżajcie się ku mnie! — zawołała. Idźcie do pana hrabiego i powiedźcie mu, by sam przyszedł.

— Pani hrabina mi nie ufa.

— Nie!

— Ależ pani hrabino mam od pana hrabiego zlecenie.

Zwłoka może być dla pani zgubną.

— Wszystko jedno. Zawołajcie hrabiego.

— Nie, powiedziałem już przecież, że hrabia nie może przyjść! — zawołał służący zmienionym głosem. Cóż to znowu.

— Jak mówisz do mnie! — zawołała Agata oburzona. Oddal się natychmiast. Zrozumiałeś!.

Teraz i służący zrzucił maskę. Zaklął.

— Do dyabła, Nie chcesz pani ze mną iść dobrze. I stąd mi się nie wymkniesz.

I chciał gwałtem zbliżyć się do Agaty. Teraz poznał, że się nie dała oszukać.

— Nędzniku! — zawołał. Poznałam cię. Ale wiedz, że nie jestem bezbronną. Wynoś się, bo cię ubiję jak psa.

I w tej samej chwili skierowała ku niemu rewolwer. Służący cofnął się, zaklął, lecz prędko uzyskał równowagę:

— Ba, tego się nie boję. Tą zabawką nie wiele mi pani zrobisz. Bądźże pani rozsądną. Życie pani w moich rękach. Mam zawołać żandarmów? Jeżeli panią zdradzę, zginęłaś!

I zwolna zbliżał się ku Agacie. Ta jednak ani na chwilę nie spuszczała go z oczu, a rewolwer ciągle był skierowany ku jego twarzy.

— Jeszcze raz powtarzam, idźcie stąd! — rzekła groźnie.

— Posłuchaj pani tylko i zastanów się — tłumaczył jej nędznik. Mogę panią zgubić, ale chcę cię ratować. Naturalnie, chcę byś za to uczyniła mą wolę. Rozumiesz mnie przecież, co?

Uśmiechnął się i ruchy jego zdradzały wyraźnie jego niecne żądanie.

— Nędzniku podły! — zawołała Agata. Milcz! Wynoś się.

Służący zaśmiał się szyderczo. Pochłaniał wprost wzrokiem postać Agaty.

— Jeżeli pani zechce strzelać, jesteś straconą! — rzekł. Wtedy nie będę miał litości dla pani. Zresztą strzał zwabi żandarmów. Więc poddaj się, piękna hrabino. Szkoda, by tak piękna kobieta zginęła pod toporem kata.

— W tej chwili padł strzał. Lecz ręka Agaty drżała gwałtownie, strzał chybił i nim mogła drugi raz dać ognia podskoczył ku niej służący i wydarł jej rewolwer.

— Ha, ha! Teraz jesteś w mojej mocy! — zawołał i objął jej postać z dziką pożądliwością.

Broniła się rozpaczliwie i głośno wołała o pomoc. Lecz służącego zdała się namiętność zupełnie zaślepić. Nic nie słyszał. Podniósł Agatę i zawlókł ją, wśród szamotania, na wielką staromodną sofę, stojącą w kącie pokoju.

Daremny był opór Agaty. Zdawało się, że ulegnie wyuzdanemu nędznikowi i że zmysły straci. Już czuła na swem ciele dotknięcie jego rąk, gdy wtem zbliżyły się szybkie kroki i silnie pukano w drzwi.

— Pani hrabino, otwórz pani, niebezpieczeństwo! — odezwał się głos Aleksandra.

Służący zerwał się. Agata wstała, odepchnęła nędznika i popędziła ku drzwiom. Nim służący mógł przeszkodzić, odsunęła zasuwkę.

W tej samej chwili drzwi się otwarły i Aleksander stąpał na progu. Na jego widok puścił służący Agatę i chciał uciekać, lecz zapóźno. Silnem uderzeniem powalił go Aleksander na ziemię.

W pokoju zjawili się także hrabia i osadnik. Zwabił ich strzał Agaty.

— Mój Boże! — zawoła hrabia, podczas gdy osadnik pobiegł na pomoc Aleksandrowi, szamoczacemu się ze służącym.

— Co się tu stało?

Agata powiedziała mu w krótkich słowach całe zajście. Hrabia zbliżył się do służącego, który leżał na ziemi między Aleksandrem a osadnikiem i jęczał pod razami dłoni.

— Nędzniku! — zawołał. — To twoja wdzięczność za moje względy? Łotrze, śmiałeś napaść na panią hrabinę? Zapłacisz mi za to.

A kiedy mu Agata powiedziała, że nędznik ten zdradził plan ucieczki, zawołał osadnik:

— Powiesić go!.

— Nie ujdzie karze! — rzekł stary hrabia. — Na razie jednak trzeba go uczynić nieszkodliwym. Trzeba go zamknąć w bezpiecznej kryjówce.

— Boję się, że nam ten łotr sprowadził już oprawców — powiedział Aleksander. Słyszycie? Zbliżają się tu. Tak, spieszmy się.

Lecz już odezwały się w przedsionkach głosy. Mogli to być tylko żandarmi. Służący odzyskał odwagę. Korzystająo z przerażenia nieprzyjaciół, zerwał się i rzucił się ku drzwiom.

Tuż pod drzwiami dopadli go Aleksander i osadnik. Zamknięto mu usta, tak, że przebrzmiały jego wołania i zawleczono go na kurytarz, dokąd schronili się już byli hrabia i Agata.

Hrabia zamknął drzwi i rzekł szeptem do Aleksandra:

— Poprowadzę hrabinę do Gertrudy i Józefy, gdzie jej szukać nie będą. Wy sprzątnijcie tego zdrajcę. Najlepiej do grobowca z nim.

Oddalili się wszyscy i już wtargnęli żandarmi do pokoju, który właśnie opuścili byli.

Aleksander i osadnik poznali, że niemożliwą jest rzeczą sprowadzić służącego do grobowca, bo w tej części zamku wszędzie czuwali żandarmi i urzędnicy policyjni.

— Komisarz wrócił i przywiódł, zdaje się, znaczną pomoc! — rzekł Aleksander. A więc, cóż poczniemy z tym łotrem?

— Nie róbmy żadnej ceremonii, stryczek się jeszcze znajdzie.

— Nie przyjacielu, nie jesteśmy w Afryce!

Podążyli dalej ze swoim jeńcem, któremu zawiązali usta chustką i ręce związali tak, że nie mógł stawiać oporu.

Schodami zeszli na długi korytarz, gdzie zatrzymali się przed drzwiami, pchnęli służącego do ciemnego lochu, zamknęli drzwi i oddalili się pospiesznie.

Tymczasem zjawili się urzędnicy i na tym kurytarzu. Komisarz wiedział już o usiłowanej ucieczce, szukano więc Agatę i służącego zdrajcę, by od niego zasięgnąć wiadomości.

Krzyk i strzał Agaty wskazały im drogę. Jednak przybyli za późno.

Teraz mijali żandarmi drzwi, pod któremi leżał związany służący. Nie mógł krzyczeć o pomoc i począł butami bić o drzwi. Żandarmi zatrzymali się. Komisarz kazał drzwi otworzyć. Przy świetle pochodni zobaczyli na ziemi związanego człowieka.

— Kto ten człowiek? — zawołał komisarz.

Jeden z żandarmów poznał służącego.

Komisarz kazał go uwolnić z więzów i podnieść z ziemi.

— Przyjacielu, kto ci się w ten sposób przysłużył? Czy hrabia?

— Tak! On i tamci przyjaciele hrabiny!

Odkryłem hrabinę i chciałem ją ująć. Wtedy nadbiegli jej przyjaciele i obezwładnili mnie. Chcieli mnie zabić.

— A znalazłeś hrabinę? — zawołał komisarz. Jest więc w zamku, co?

— Tak! wiem, gdzie óna, panie komisarzu, wydam panu hrabinę, ale pan musi ująć hrabiego, kapitana Brandenfelda i jego przyjaciela.

— Pewnie! — oświadczył komisarz. A wasze przysługi zostaną sowicie wynagrodzone. Dzielny z was człek. Powiedźcie mi tylko gdzie hrabina ukryta?

— Zaprowadzę panów. U hrabiny Gertrudy. Słyszałem to z ust starego hrabiego, który nie przypuszczał, że będę to mógł panom powtórzyć.

Oddalili się wszyscy pospiesznie.

— Hrabina Agata nie powinna się nam wymknąć! — zawołał komisarz.

Tymczasem przybył hrabia z Agatą do komnat Gertrudy i Józefy. O ucieczce nie było mowy. Podczas gdy się naradzano, gdzie najbezpieczniej ukryć Agatę, wpadła do pokoju Delia, a za nią Aleksander i osadnik.

— Ratuj się pani! — zawołała Delia. Przychodzą. Służący zdradził, gdzie się pani znajduje. Żandermi go uwolnili, a on ich prowadzi.

Wszyscy oniemieli ze strachu.

Po chwili zawołała Agata:

— Widzę, że niema dla mnie ratunku! Niech się więc spełnią wyroki przeznaczenia.

— Nie, hrabino, jak długo ja żyję, nie wpadniesz w ręce oprawców! — zawołał Aleksander stanowczo.

— Panie hrabio, ukryj pan hrabinę możliwie najbezpieczniej. Progu tego nie przekroczą.

W przedpokoju powstał hałas. Kroki zbliżały się szybko. Hrabia pociągnął Agatę do sąsiedniego pokoju.

Jeszcze drzwi się za nimi nie zamknęły, kiedy się zjawił tłum żandarmów z komisarzem i ze zdrajcą na czele.

— O, hrabina! — zawołał służący wskazując na Agatę.

— Ująć ją! — rozkazał komisarz.

CXC.

WIERNIE DO GROBOWEJ DESKI.

Kiedy Walerya poznała, że napad na Frydę nie udał się, uciekła prędko ze służącym. Co zaszło z Sinobrodym, czy ocalał, to było dla niej obojętnem.

Wróciła do zamku. Strach ją zdjął na myśl, że może Fryda wpadła w ręce policyi, bo wtedy wszystkie plany zniszczone.

Prędko powzięła postanowienie: uzbroić służbę zamkową i przemocą odbić Frydę policyi, ewentualnie uwolni także Sinobrodego.

Kazała zawołać zarządcę i wydała mu swe zlecenia. Służba już spała, trzeba ją było dopiero obudzić. Przygotowania te zabrały sporo czasu.

Wtem doniesiono, że dwóch ludzi obcych i Fryda wtargnęli do zamku. Walerya uradowana wysłała swych ludzi do pokoju Frydy. Kazała też obsadzić wszystkie wyjścia.

Niedługo krzyk i hałas świadczyły o tem że przybysze walczą ze służbą zamkową.

Wybiegła. Spotkała kilku ze służby i zarzuciła ich pytaniami.

— Widzieliśmy ich, ale uciekli — doniosła służba.

— Uciekli? To niemożliwe. Wszystkie wyjścia są obsadzone. Pewnie się ukryli. Szukać ich!

Pobiegła za służbą. Cały zamek był w ruchu. Daremnie. Greifa i Wintera nie znaleziono, także Frydy nie było:

Walerya była wściekłą. Postanowiła wrócić do jaskini. Może jej się uda ocalić Sinobrodego.

W towarzystwie sześciu ludzi plan swój wykonała. Zaświeciła pochodnie.

Nagle spostrzegła Walerya dwóch ludzi, którzy się cofnęli na jej widok. Byli to ajenci, zostawieni tu przez komisarzy dla ujęcia Sinobrodego.

Walerya kazała tych ludzi ścigać. Wnet jednak stracono ich z oczu. Czółno Sinobrodego leżało jeszcze na brzegu. Walerya sądziła więc że jej brat ukrywa się tu jeszcze. Może ujęli go komisarze?

Przeszukano jaskinię. Daremnie.

Walerya wróciła do zamku. Powzięła nowe postanowienie. Udać się do rezydencyi do księcia, by ją obronił, by jej udzielił pomocy w walce przeciw Greifowi.

Z brzaskiem dnia wyjechała w drogę w towarzystwie kilku służących.

Nagle na drodze spostrzegła dwóch jeźdźców.

— Książę! — zawołał lokaj siedzący na koźle. Tak, to książę pan.

Walerya kazała stanąć. Książę pozdrowił ją zdziwiony.

— Dokąd, ukochana? — spytał szeptem.

— Do ciebie najdroższy Arturze! Nie jestem dość bezpieczną w zamku. Tej nocy wykonał komisarz ponowny napad.

Twarz księcia sposępniała.

— Niestety, kochana Waleryo, jesteśmy

bezbronni wobec tego człowieka! — rzekł, sam wuj mój otacza go swą opieką.

—Więc i nadal może ten człowiek pozwalać sobie na napady i gwałty? — zawołał Walerya. To przecież niemożliwe. Jak może jego książęca mość pochwalać postępowanie komisarza?

Książę Artur wzruszył ramionami.

— Wuj mój jest ci niestety niechętny — rzekł z pewną trwogą. Miałem z nim poważne zajście. Wróćmy, wszystko ci opowiem.

Wsiadł do powozu Waleryi i kazał wrócić do zamku. Walerya była przerażoną. Nic dobrego nie przeczuwała.

Książę opowiedział jej, co zaszło między nim a wujem i dodał:

— Jestem zdecydowany, uczynić to, co chcę. Bądź spokojną, kochana!

Walerya zoryentowała się szybko, że położenie jej staje się krytycznem. W każdym razie osiągnięcie celów było dalekie.

— O Boże! Jak się to skończy? — zawołała rozpaczliwie. Widzę już, że wpadnę w ręce tego Greifa. Jego książęca mość widzi we mnie przeszkodę dla twej przyszłości, a jego gniew zniszczy mnie. Będę musiała uciekać w daleki obcy kraj, aby uniknąć tych wiecznych prześladowań.

— Ukochana. Proszę cię, nie oddawaj się przesądnym obawom! — przerwał jej książę. Pod moją opieką jesteś zupełnie bezpieczną.

— Nie! — zawołała Walerya. I przyjdzie czas, że i ty uwierzysz, że jestem zbrodniarką, jak moi nieprzyjaciele. I ty mnie ocepchniesz.

— Nigdy zawołał książę wzburzony. Bądź spokojną. Postaram się o twe bezpieczeństwo i podobny napad nie powtórzy się więcej.

— Ach, nie wierzę, by ci się udało ochronić mnie i przezwyciężyć przeszkody, na jakie natrafia nasz związek! — westchnęła Walerya. Nasze szczęście miłosne źle się skończy. Nie widzę innego wyjścia jak tylko — śmierć.

— Waleryo! Co mówisz! — zawołał książę. Co za nierozsądne myśli.

Walerya ujęła nagle jego ręce i patrząc mu dziwnie w oczy szeptała trwożliwie i namiętnie:

— Arturze! Kochany mój! Ochronisz mnie. Będziesz mi wierny aż do ostateczności? Czy mnie tak kochasz, że potrafisz mi wszystko poświęcić, twe stanowisko i szczęście i władzę? Czy potrafisz, gdy wszystko będzie stracone — iść ze mną — na śmierć?

Książę Artur zbladł i milcząco patrzał na piękną, demoniczną twarz Waleryi.

Po chwili rzekł:

— Ależ ukochana! Co za szał! Widzisz upiory!

— Czy przyrzekasz, że chętniej śmierć wybierzesz, niżbyś się miał mnie wyrzec?

Nachyliła się ku niemu, tak, że czuł jej oddech na swych ustach i objęła go swemi ramionami:

— Tyś mi wszystkiem, Arturze! — mówiła boleśnie. Miałabym cię stracić? Przysiądz mi że się cokolwiek stanie, nigdy mnie nie opuścisz.

— Nie kochana! nigdy cię nie opuszczę! — szepnął książę wzruszony. Bądź spokojną. Będziesz moją żoną, chociażby się ziemia zawaliła.

— A jeżeli przemocą zechcą cię mi wydrzeć? Co wtedy ukochany? A to się stanie? Gniew twego wuja zdruzgoce mnie. Rzuci mnie do więzienia, niewinnie zostanę skazaną i w murach więziennych życie stracę.

Mój Boże! Co za obrazy! Nigdy się to nie stanie! — zawołał książę i przytulił do siebie Waleryę. Jak długo ja żyję, nie masz się czego bać. I abyś była zupełnie spokojną, zostanę przy tobie, aż minie wszelkie niebezpieczeństwo.

Walerya uśmiechała się uszczęśliwiona. Nie mówiła nic, ale serce jej radowało się, teraz była pewną zwycięstwa.

Przybyli do zamku. Książę odprowadził Waleryę do jej komnat i został u niej.

Nie mogła Walerya pojąć, w jaki sposób Winter i Greif wydostali się z zamku, chociaż wszystkie wejścia były obsadzone.

Winter i Greif, skoro zoryentowali się, że ich ścigają, schronili się prędko do piwnic, tam otworzyli okno i wydostali się na zewnątrz Udało im się też szczęśliwie wydostać z ogrodu, skąd podążyli do lasu. Tu stały już w pogotowiu konie, strzeżone przez jednego z agentów. Tego pozostawili tu na straży, a sami popędzili w dal.

Greif chciał wystarać się w rezydencyi o pomoc, bo z niewielką garstką swoich ludzi nie mógł skutecznie działać. Musiał też jak najprędzej zarządzić ujęcie agenta Langhalsa.

Przedewszystkiem jednak należało odzyskać Frydę.

Greif i Winter rozstali się. Winter miał się udać do gospody, a stamtąd na zamek Wildenfels. Przeczuwał, że Agacie grozi niebezpieczeństwo i chciał spróbować, czy mu się nie uda ocalić ją.

W gospodzie spotkał Winter doktora Kloca, który przybył do rezydencyi. W jego towarzystwie puścił się w dalszą drogę.

I Frydzie udało się umknąć szczęśliwie z zamku. Na czółnie dostała się do jaskini, lecz długo ukrywała się w sitowiu, nie mając odwagi wylądować. Stąd obserwowała, jak Wa-

lerya ze swoimi ludźmi przybyła do jaskini, a następnie znowu powróciła do zamku. Wtedy dopiero odważyła się szukać schronienia w jaskini, posuwając się ostrożnie po omacku. Co chwila przystawała, nadsłuchując. Bała się agentów Greifa, a przedewszystkiem Sinobrodego.

Chciała odszukać Hechta, nie przeczuwając, że on tymczasem zmienił kryjówkę.

W ciemności posuwała się naprzód tylko z wielką trundnością; zaświeciła więc małą świecę woskową. Dostała się nareszcie w boczny kurytarz, który prowadził do kryjówki Hechta.

Wtem straszny ją zdjął lęk, przed nią zabłysły czerwone płomienie i usłyszała stąpanie mężczyzny. Szybko schroniła się w boczny kurytarz, ostrożnie rozglądając się. Wnet spostrzegła postać mężczyzny, poznała go. Był to Sinobrody.

Strasznie wyglądał. Suknie były na nim podarte, obryzgane krwią. Podobnie jego twarz i ręce. Posuwał się zwolna, utykając na lewej nodze. W ręku trzymał rewolwer, a jego dzikie oczy krwiożerczo rozglądały się dookoła.

Uciekł wprawdzie przed pogonią i znalazł tu w jaskini kryjówkę,

Ale kula Greifa zraniła go w nogę. Poruszał się z trudnością. Postanowił ukryć się w jaskini i czekać tu na przybycie Waleryi.

Na jego widok wzdrygnęła się Fryda i prędko udała się głębiej w jaskinię, gdzie pierwotnie ukryty był Hecht.

Jakież było jej przerażenie, gdy go tu nie znalazła. Pierwszą jej myślą było, że wpadł w ręce agentów Greifa.

Wtem usłyszała słaby okrzyk. Nadsłuchiwała. Był to głos Hechta. Odszukała drogę do niego i znalazła go wreszcie w kącie z jednych bocznych kryjówek.

Boże mój! Czego pan tu zalazłeś? — zawołała niechętnie. Ledwo pana odszukałam.

— Dla ostrożności! — oświadczył Hecht. Bałem się tego komisarza. Ale powiedz mi Frydo, jak sprawy stoją, jaki przebieg miało twe spotkanie z komisarzem?

— Niepomyślne dla mnie! — westchnęła Fryda. — Sinobrody napadł mnie i nie wiele brakło, a byłby mnie zabił. Szczęście, że w sam czas zjawił się komisarz.

Opowiedziała mu następnie wszystko, co zaszło. Nagle umilkła i zgasiła światło. Usłyszała kroki.

— Kto to? — szepnął Ludwik.

— Sinobrody! Cicho! Ani słowa!

Ludwi kumilkł. Strasznie podziałało na niego wspomnienie Sinobrodego. Po chwili ujął rękę Frydy i szepnął:

— Boże! Jeżeli on nas tu odkryje, Frydo, nie masz broni?

— Mam sztylet! Lecz Sinobrody ma rewolwer.

— O, jesteśmy zgubieni.

— Cicho! Zdradzisz nas! Czy słyszysz? Zbliża się tu! Boże mój!

Drżąc na całem ciele stulili się w ciemnym lochu. U wejścia zabłysło światło, stękając stanął Sinobrody w korytarzu, skąd prowadziły wejścia do licznych kryjówek bocznych.

Był niezdecydowany którą ma kryjówkę wybrać. W końcu wybrał tę, w której Hecht dawniej się ukrywał tuż obok obecnej kryjówki Frydy i jej sprzymierzeńca.

Słyszeli dokładnie, jak Sinobrody rzucił się na dawniejsze posłanie Hechta. Wnet zgasił pochodnię i jaskinię zaległa zupełna cisza.

— Straszne sąsiedztwo!—szepnął Ludwik.

— Nie możemy tu zostać! — odpowiedziała Fryda trwożliwie.

— Ach, chcesz mnie porzucić? Ja nie mogę niestety oddalić się stąd.

— A ja ginę tu ze strachu! — odpowiedziała Fryda i wstała.

W ciemności domacał się Ludwik jej sukni i trzymał się jej rozpaczliwie.

— Na miłość Boską, nie rób pani hałasu! — zaklinał ją. Zdradzi nas pani. A jeżeli nas ten nędznik odkryje, zginiemy. Zostań pani, błagam cię!

Sinobrody poruszył się. Zdało się, że zwrócili na siebie uwagę. Fryda usiadła natychmiast, nie miała odwagi ruszać się. Nadsłuchiwali z biciem serca.

Tymczasem Sinobrody uspokoił się. Zdawało się, że zasypia.

Po upływie dłuższego czasu szepnął Ludwik:

— Gdyby mu można odebrać rewolwer!

— Ach, nie miałabym odwagi iść tam! Mam nadzieję, że tu nie zostanie, lecz wróci na zamek.

Nadzieja nie ziściła się. Sinobrody został w swej kryjówce. Nie mógł się też oddalić, bo w jaskini byli dwaj agenci policyjni.

Tak więc musieli tu zostać Fryda i Hecht, unikając starannie wszelkiego szmeru.

Minęło kilka godzin. Dopiero późno po południu opuścił Sinobrody swą kryjówkę. Fryda nadsłuchiwała Hecht zaś spał.

Fryda wymknęła się ostrożnie. Chciała się przekonać czy Sinobrody oddali się naprawdę. Chwiejnym krokiem, opierając się o ścianę, zdążał ku głównej jaskini.

W połowie drogi przystanął wystraszony. Usłyszał zbliżające się kroki. Ledwo zdołał się ukryć, gdy w kurytarzu zjawili się ludzie.

Byli to agenci. Z rozmowy ich poznał Sinobrody, że go szukają i że spodziewają się tu również Hechta. Miano także przesukać jaskinię we wszystkich zakątkach.

Skoro zbliżali się agenci ku jego kryjówce, zdjęty trwogą posuwał się Sinobrody coraz bardziej w głąb jaskini, z trudnością wielką, nie zważając na to, że ostre skały ranią go dotkliwie. Nareszcie dostał się w szersze miejsce i runął na ziemię. Już go agenci nie mogli spostrzedz.

I Fryda cofnęła się na widok widok agentów. Przeszukali oni wprawdzie główny kurytarz, lecz nie wpadli na myśl, by zajrzeć do bocznych kryjówek.

Wrócili się więc.

Teraz chciał Sinobrody opuścić swą kryjówkę. Lecz nie udało mu się to. Wprawdzie z zewnątrz przecisnął się z trudnością przez wązkie przejście, lecz nie mógł tego dokazać przy powrocie, bo czeluść skalista na zewnątrz była coraz węższą.

Wszelkie wysiłki spełzły na niczem. Podarł na sobie suknie, a ostre kamienie raniły mu ciało przy każdym ruchu.

Wnet wcisnął się tak silnie w czeluść, że nie mógł się ruszyć ani naprzód, ani wstecz. Zdjęły go strach i wściekła rozpacz. Jak ranny lew rzucał się, lecz twarde skały nie ustępowały.

Opuściły go siły. Całe ciało okryte było ranami, a rana rewolwerowa dolegała mu coraz boleśniej. Z nadmiaru bólu począł ochryple jęczeć. Lecz nie zjawiał się zbawca. Próżno się miotał, próżno wysilał się, nie mógł się uwolnić.

Jeżeli się teraz Greif zjawi, znajdzie go. Wściekły był na myśl, jak tryumfować będzie ten znienawidzony komisarz. Zgrzytał w bezsilnej wściekłości zębami i znowu próbował uwolnić się, lecz daremnie.

Złorzeczył Waleryi, że go opuściła w tem niebezpieczeństwie.

Wtem zbliżyły się kroki i zajaśniało światło.

— Kto to? Czy to Greif i jego ludzie? W takim razie ostatnia to chwila Sinobrodego.

CXCII

KTO OCHRONI NIEWINNOŚĆ?

— Stój! Ani kroku dalej!

Temi słowy przyjęli Aleksander i osadnik urzędników policyjnych. Uzbrojeni zamknęli wejście, którem uciekł hrabia z Agatą.

Komisarz wściekły rzucił się na nich, przemocy musieli ustąpić. Tymczasem zyskała Agata na czasie. Drzwi były zamknięte, dopiero po kilku minutach rozbito zamek.

Na czele służącego rzucili się żandarmi w pogoń za uciekającymi. Wiedzieli, że im się nie uda umknąć, bo wszystkie wejścia były obsadzone.

Wszystkie następne drzwi były również zamknięte i sporo zabrało to czasu nim i tu rozbito zamki.

W końcu wtargnęli żandarmi do ostatniego pokoju, skąd prowadziło wyjście na kurytarz. Stali tam na straży urzędnicy policyjni.

Tu musieli się hrabia i Agata zatrzymać. Spokojni, zdecydowani na wszystko czekali w pokoju, do którego wtargnęli żandarmi. Natychmiast otoczono Agatę i jej opiekuna.

— Aresztuję panią, pani hrabino! — rzekł komisarz i przystąpił do niej groźnie.

Agata nie stawiała oporu. Także stary hrabia był zrezygnowany. Poszedł za Agatą, którą urzędnicy sprowadzili do pierwszego pokoju. Tu przyjaciele Agaty czekali pełni niepokoju i na jej widok wydali okrzyk trwogi. Gertruda i Józefa przystąpiły do niej i głośno biadając objęli nieszczęśliwą kobietę.

Aleksandra zdjęła wściekłość. Mimowoli podniósł rewolwer, który trzymał w ręku. Lecz nie, to byłoby szaleństwem.

Wtem wzrok jego padł na służącego, który wcale nie krył się ze swą radością. Podskoczył ku niemu i chwycił go za gardło.

— Podły Judaszu! — zgrzytnął i skierował rewolwer ku jego piersi. Masz za twą zdradę.

Wtem przyskoczył żandarm i wydarł Aleksandrowi broń z ręki.

Komisarz był oburzony. Groźnie przystąpił do Aleksandra i rzekł:

— Pociągnę pana do odpowiedzialności! Wszyscy stawialiście zbrojny opór i ochranialiście zbrodniarkę. Podam to do wiadomości władzy.

— Możesz pan to uczynić! — odpowiedział Aleksander pogardliwie. Ale ten łotr nie ujdzie zasłużonej kary. Ręczę za to.

— O, nic pan nie uczynisz temu dzielnemu człowiekowi, bo więzienie pana czeka za twe nierozważne postępowanie. Pana i pańskiego przyjaciela. Także pan hrabia odpowie za to, że zbrodniarkę ochraniał i ukrywał.

— Zachowaj pan dla siebie groźby! — rzekł hrabia ostro. Osiągnąłeś pan swój cel, czego jeszcze chcesz?

— Nic! — odpowiedział rozdrażniony komisarz. Zobaczycie, co za skutki pociągnie za sobą wasze postępowanie.

Wydał rozkaz do wymarszu.

Tymczasem nastał już dzień. Agata zwróciła się do komisarza i błagała ze łzami w oczach:

— Pozwól mi pan pożegnać me dziecko!

Lecz rozdrażniony komisarz odmówił:

— Żałuję! — rzekł szorstko. Na to nie ma czasu. Nie możemy się zatrzymywać.

Nagle powstał ruch w przedpokoju wśród zgromadzonej tam służby.

Doktór Kloc i Winter torując sobie drogę wśród żandarmów za chwilę stanęli przed komisarzem i Agatą.

— Hrabina uwięziona! — zawołał Winter.

Komisarz odwrócił się i zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem.

— Jak pan widzisz, panie Winter! — uśmiechnął się szyderczo. Nie udał się pański ratunek, a sam się w nieszczęście wtrąciłeś.

— Głupie gadanie, zawołał Winter. Wypraszam sobie na przyszłość podobne uwagi.

Komisarz bladł. Nienawidził on Wintera już oddawna, za to, że był lubianym i awansował prędko. Myślał, że teraz wolno mu urągać przełożonemu koledze.

— Na cóż to sobie pan pozwala? — zawołał oburzony, prostując się dumnie. Panie Winter, uważaj pan! Pańska karyera skończona. W samą porę pan mi się zresztą nasunął. Wie pan, że pana szukają, co?

Winter zmierzył komisarza pogardliwym wzrokiem.

— Czy chcesz mnie może pan aresztować? — spytał szyderczo.

— Tak aresztuję pana.

Winter roześmiał się.

— Kochany panie, śmieszny jesteś! Mam panu może udowodnić, że nie masz do tego prawa?

— Co?

— Widzę, że nie masz pan pojęcia o rozkazach. dotyczących mej osoby! — rzekł Winter chłodno. A ponieważ nie mam obowiązku pouczać pana, zechciej pan zasięgnąć informacyi u swego przełożonego.

— Ma to znaczy że pan jesteś wolny?

— Tak!

— Ba, kiedy nie wierzę.

— Nic to nie znaczy, łaskawy panie. Oświadczam panu zatem, że nie pójdę z panem i wniosę odpowiednie na pana zażalenie.

— Mało mnie to obchodzi! Chce pan ze mną dobrowolnie pójść, czy mam użyć siły?

— Namyśl się pan jeszcze — zawołał Winter gniewnie. By się jednak z panem nie wdawać, udam się teraz do miasta i zamelduję się u szefa.

Odwrócił się pogardliwie od komisarza i przystąpił do Agaty

— Pani hrabino, proszę nie rozpaczać — pocieszał. — Teraz nareszcie rozstrzygnie się los pani i to ku dobremu. Niech panią odprowadzą do więzienia. Niedługo a będziesz pani oczyszczoną od wszelkich podejrzeń.

— Nie rób mi pan płonnych nadziei — mówiła Agata łkając. Dla mnie nie ma ratunku.

— Nie hrabino, niewinność pani wyjdzie na jaw. Teraz nareszcie zwycięży prawda. Tak, nie rozpaczaj pani. Mieliśmy tej nocy szczęście, Służąca Waleryi dostała się w nasze ręce i zeznała prawdę.

W oczach Agaty zabłysła iskra nadziei.

— Służąca Waleryi — wykrztusiła — co ona zeznała?

— Że Walerya zamordowała męża pani, barona Rambowa. Służąca był świadkiem mordu. Znamy też, dzięki zeznaniom służącej, człowieka, który dostarczył Waleryi trucizny.

Wszyscy słuchali z naprężoną uwagą.

Winter doniósł im także o ważnych dokumentach, które wydała mu Fryda.

— Wprawdzie się nam służąca znowu wymknęła, bo boi się kary. Ale dostaniemy ją dzisaj jeszcze lub jutro, a z nią także Ludwika Hechta, męża Waleryi. Wtedy możemy otwarcie wystąpić z oskarżeniem przeciw tej szatańskiej kobiecie i cały świat przekona się o niewinności pani.

Łkając gwałtownie, podała Agata Winterowi rękę i rzekła wzruszona:

— Kochany mój przyjacielu! Dziękuję ci za wszystko. Tak, teraz śmiało wracam do więzienia, bo wiem że niedługo czeka mię wolność i swoboda.

Doktór Kloc nie brał udziału w rozmowie. Stał w tyle, bo jakkolwiek był przebrany, bał się że go komisarz pozna. Atoli komisarz nie zwracał wcale nań uwagi. Słuchał opowiadania Wintera i jego postępowanie stało się grzeczniejszem.

Kiedy Winter dowiedział się że łotrowski służący zdradził Agatę, zwrócił sęi ku niemu groźnie. Dziwnie trwożliwie zachowywał się służący z chwilą gdy się Winter zjawił. A teraz próbował wymknąć się z pokoju. Lecz już zastąpił mu Winter drogę i złapał go za kołnierz.

— O przyjacielu — rzekł — ja cię znam. Byłeś przy tem, gdy twój dawny pan, Sinobrody, pewnej nocy podpalił "Pełny dzban."

Służący zbladł. Usiłował uwolnić się z objęć Wintera i zawołał oburzony:

— Nic o tem nie wiem! Czego pan chce? Puść mnie pan.

— Ej, łotrze! Byłeś przy tem, nic ci nie pomoże. Sam Sinobrody zdradził cię — dodał

podstępnie. Zeznał że to ty ogień podłożyłeś.

— Co? Ja? — zawołał służący w śmiertelnym strachu — to kłamstwo, Piotr to uczynił. Ja wcale przy tem nie byłem.

— Nie, a skąd wiesz, że Piotr ogień podłożył?

— On mi powiedział.

Winter roześmiał się.

— Nie, łotrze, kłamstwo na nic się nie zda. Ty brałeś w tem udział i jesteś współwinnym zbrodni swego dawniejszego pana. Udowodnimy ci to. Moja narzeczona, Katarzyna Gerhard, pozna cię z pewnością, a także urzędnicy Brand i Guenter. Powiedz łotrze, kto wtedy zranił Wintera kulą rewolwerową? Ty, czy Sinobrody?

Służący drżał gwałtownie. Miotał się i wył, lecz nie udało mu uwolnić się z objęć Wintera.

— Panie Kerner — zwrócił się Winter do komisarza — proszę tego człowieka okuć i uwięzić.

— Czy to nie pomyłka, czy pan pewny swego?

— Pewnie, proszę uwięzić tego zbrodniarza.

— Nie, to kłamstwo, jestem niewinny — wołał służący.

Lecz już żandarmi rzucili się nań i związali go.

— Masz nagrodę za swą zdradę — zawołał Winter.

Tak więc przyjście Wintera zmieniło zupełnie sytuacyę. Komisarz zmienił się do niepoznania, a Winter był na tyle mądrym, by się odnosić do niego grzecznie i po koleżeńsku. I chociaż poznał doktora Kloca, udawał, że go nie widzi, bo Winter szepnął mu kilka słów.

O uwolnieniu Agaty nie było oczywiście mowy, choćby już tylko ze względu na powagę komisarza. Ale pozwolił on Agacie pożegnać się ze swem dzieckiem i ze swymi przyjaciółmi. Następnie ruszono w drogę. Do jednego wozu wsiadło kilku żandarmów ze związanym służącym, do drugiego Agata w towarzystwie Wintera i komisarza. Reszta żandarmów ruszyła konno.

Przed gospodą "pod pełnym dzbanem" zatrzymano się, bo Winter spostrzegł przed domem Greifa i Branda. Doniósł im o wszystkiem.

— Miejmy nadzieję, że się wszystko pomyślnie skończy — rzekł Greif. Ale teraz musimy koniecznie uwolnić hrabinę, nie powinna wrócić do więzienia.

Wzburzene Greifa zdziwiło i przeraziło Wintera.

— Mój Boże, co się stało?

— Cicho, później pomówimy.

Zbliżył się komisarz Kerner. Greif poprosił go, by się tu zatrzymał.

Wszyscy udali się do gospody, także Agata.

Właśnie chcieli Greif i Winter wyjść z izby gościnnej, by się porozumieć, kiedy Brand spostrzegł służącego. Natychmiast zawołał swoich przełożonych i rzekł:

— Poznaję tego łotra. Brał on udział w napadzie Sinobrodego na gospodę.

— Wystarcza to, by udowodnić jego winę — rzekł Winter. — Greif zamienił z Brandem kilka słów. Ten zbliżył się do Agaty i poprosił ją, by się udała do izby mieszkalnej, do kąd przed chwilą udali się Greif i Winter.

Komisarz chciał iść za Agatą, ale Brandowi udało się zatrzymać go. Zbliżył się Gerhard i postawił przed nimi na stole flaszkę wina.

W izbie mieszkalnej czekała na Agatę Katynka i poprowadziła ją natychmiast do sąsiedniego pokoju.

Tymczasem Greif wytłómaczył Winterowi sytuacyę:

— Langhals znikł. Łotr przeczuwał co się święci.

— Czy doniosłeś pan o wszystkiem co zaszło, prokuratorowi?

— Tak, oddałem mu także listy Hechta i metrykę ślubną. Ważne to dokumenta świadczące przeciw Waleryi lecz nie udowadniają one niewinności hrabiny Agaty. Tak przynajmniej sądzi prokurator. Nie wierzy on też, by nam Fryda prawdę powiedziała. Sądzi, że to jej wymysł, by swą panią w kłopot wprowadzić. W przeciwnym razie nie byłaby uciekła.

Wiadomości te wywarły na Winterze przygnębiające wrażenie. I Greif nie miał wiele nadziei, ale rzekł:

— Dałoby się może jeszcze coś zrobić, gdyby hrabina była wolną. Możnaby przeczekać, co się dalej stanie. A tymczasem może uda się ująć znowu Frydę i wyśledzić Hechta i Langhalsa. Ale na to trzeba sporo czasu. Nad to należy się obawiać, że Fryda i Hecht wpadną w ręce Waleryi, a wtedy znikną nam na zawsze.

Prokurator twierdzi, że tylko wtedy mogą znieść wyrok śmierci wydany na Agatę, jeżeli mu dostawimy Frydę i Langhalsa i ci wszystko zeznają.

— Więc jak ratować hrabinę? — zawołał Winter w rozpaczy.

— Musimy umożliwić jej ucieczkę, albo raczej ukryć ją tutaj.

— Może się to nie udać. Znasz pan przecież komisarza Koernera.

— Pewnie lecz on nie powinien się niczego domyślić, bo w przeciwnym razie wszystko stracone. Pomów pan ze swą narzeczoną i z hrabiną. Nie traćmy czasu. Braun zatrzymuje wprawdzie komisarza, ale nie uda się to zbyt długo.

Winter udał się natychmiast do sąsiedniego pokoju, do Agaty i Katynki, a Greif powrócił do izby gościnnej. Przechodząc szepnął kilka słów Gerhardowi, który się natychmiast oddalił.

Przy stole siedzieli jeszcze komisarz i Braun przy winie. Kiedy Greif sam powrócił, wstał komisarz i zapytał podejrzliwie o Agatę.

— Hrabina jest w izbie mieszkalnej z panną Gerhard — oświadczył Greif spokojnie. Wróci za kilka minut.

Następnie zwrócił się Greif do Brauna i wspomniał, że czas udać się do "Czeluści dyabelskiej". Zażądał od komisarza by mu odstąpił większą część załogi, na co się ten zgodził.

Szybko ruszyli w drogę Greif, Braun i żandarmi. W gospodzie pozostał komisarz z czterema ludźmi.

Kiedy się Agata po upływie pewnego czasu nie zjawiła, obudziły się w komisarzu poważne podejrzenia. Otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, lecz nikogo tu nie znalazł. Przebiegł i wszystkie inne pokoje, lecz nie było ani śladu Agaty.

Poznał że się dał wywieźć w pole przez Wintera, a prawdopodobnie i Greifa.

W kuchni spotkał Katynkę, która zajęta była przy piecu.

— Gdzie hrabina? — zawołał komisarz. Co to znaczy? Szukam jej po całym domu!

Katynka udała zdziwioną.

— Mój Boże! Nie wiem. Zamieniłam z hrabiną zaledwie kilka słów, potem się oddaliła.

— Dokąd?

— Zdaje mi się że w stronę ogrodu!

Komisarz był wściekły.

— A pani pozwoliłaś hrabinie oddalić się? Chociaż wiedziałaś że jest uwięzioną?

— Mój panie, zapominasz, że nie jestem żandarmem pana! — odpowiedziała rezolutnie Katynka. Nie mam obowiązku czuwać nad więźniami.

— Zrozumiałem związek cały. Pani ułatwiłaś hrabinie ucieczkę, pani i narzeczony pani, pan Winter.

— Jeżeli hrabina panu uciekła, to nie nasza w tem wina! — broniła się Katynka z godnością.

Nadszedł Gerhard. Natychmiast zarzucił go komisarz pytaniami.

Gerhard odpowiedział, że nie wie gdzie Agata.

Przeszukano okolicę i każdy kąt w samej gospodzie. Daremnie. Nie było śladu Agaty. Było trudno pojąć, jak mogła uciec w tak krótkim czasie. A Winter? Gdzie on się podział?

Komisarz był zrozpaczony. Przysiągł, że nie opuści wpierw gospody, aż znajdzie Agatę.

CXCIII

UDAŁY POŁÓW.

Pełen trwogi oczekiwał Sinobrody postaci, która się zbliżała ku jego kryjówce.

Poznał ją. Fryda stanęła przed nim. Wystraszona patrzała na Sinobrodego. Jego krzyki zwabiły ją.

— Ha, ha! — zaśmiała się radośnie. Sinobrody! O, zaraz zawołam żandarmów, by cię wyswobodzili z tego położenia.

Sinobrody zaklął straszliwie. Twarz jego wykrzywiła się przeraźliwie.

— Żmijo przeklęta! — zawył. Biada ci, skoro się stąd wydostanę.

Fryda śmiała się szyderczo. Z szatańską radością napawała swe oczy widokiem jego męczarni.

— Zawołać ci może siostrzyczkę? — rzekła. Ucieszy się, gdy zobaczy swego braciszka. E, nie pozbawię się tej radości, by cię widzieć na szubienicy. Czekaj chwileczkę. Właśnie nadszedł komisarz Greif. Przyprowadzę ci go tutaj.

Oddaliła się, nie zważając na przekleństwa Sinobrodego. Nie miała zresztą wcale zamiaru zdradzić go, bo byłoby to i jej zgubą. Zresztą nie wątpiła że Sinobrody zostanie wnet odkryty.

Ostrożnie zbliżyła się do wielkiej jaskini. Tu było dość jasno. Zgasiła więc światło. Udała się ku wyjściu i tu nikogo nie było, między zaroślami posuwała się dalej.

Wtem usłyszała za sobą głosy. Do brzegu przybiła łódź i grupa mężczyzn wysiadła. Byli to Greif, Braun i żandarmi. Fryda poznała ich. Oni jej jednak widzieć nie mogli, bo była za daleko od nich, nadto chroniły ją zarośla.

Zbliżyli się ku jaskini i znikli w niej.

— Teraz go dostaną! — radowała się myśląc o Sinobrodym. Czy też znajdą Hechta? — dodała zaniepokojona. O, obojętne mi to. Wszystko przecież stracone i ja tu więcej nie wrócę.

Oddaliła się.

Sinobrody rozpaczał. Nie wątpił, że Fryda spełni swą groźbę. Nie, wrogom swym nie wpadnie w ręce. Sam sobie życie odbierze. Chciał wyjąć z kieszeni rewolwer, był jednak tak ściśnięty, że nie mógł ręką poruszać.

— Był bliskim szału. Skały mu tak pierś ści skały, że nie mógł oddychać. Lecz strach szalony dodał mu sił olbrzymich. Szarpnięcie jedno — drugie, kamienie ostre zerwały mu kawał ciała z piersi i z tyłu. Ból był straszny, ale zagryzł zęby. Musi się uwolnić.

Teraz nareszcie był wolnym. Zatoczył się i padł w kurytarzu.

Krew lała się silnie, lecz nie zważał na to. Wtem ozwały się głosy. Poznał głos Greifa. Zerwał się, Już zbliżały się ciemne postacie, oświecone światłem pochodni. Sinobrody począł uciekać, lecz zauważono go.

— Kto tam ucieka? — zawołał Greif. Sinobrody! Naprzód! Łapać go!

Rzucono się za nim. Siły go opuszczały. Stanął na końcu kurytarza, lecz nigdzie wyjścia. Pogoń tuż za nim. Zdawało się, że stracony. Odwrócił się. Straszny przedstawiał się widok.

— Poddaj się szatanie! — zawołał Greif.

Szyderczy śmiech.

— Żywego mnie nie dostaniecie. Zgiń psie!

Padł strzał. Kula świsnęła nad głową Greifa. W tej chwili dali ognia żandarmi.

Kiedy rozglądnęli się, miejsce gdzie stał Sinobrody było puste.

Szukać go! — zawołał Greif.

Ślady krwi na końcu korytarza znaczyły drogę Sinobrodego. Przeszukali jeszcze raz, korytarz. Nagle Greif stanął i wskazał na boczną kryjówkę.

— Tu się ktoś schronił. Ślady krwi na to wskazują. W każdym razie nie Sinobrody. Zobaczmy.

Była to kryjówka Hechta. Z rewolwerem w ręku wszedł Braun w ciemną jaskinię. Towarzyszyli mu dwaj żandarmi.

W tym lochu ukrywał się był Sinobrody, a obok leżał Hecht i w śmiertelnym strachu wsłuchwał się w zbliżające się głosy i kroki.

Już wszystkie kryjówki z wyjątkiem Hechta przeszukano. Nic nie znaleziono. Przyszła kolej i na jaskinię Hechta. Nagle Braun, który wyprzedzał towarzyszących mu żandarmów, przystanął i zawołał:

— Tu jest człowiek!

Światło oświecało drżącą postać Ludwika. Pełen trwogi i przerażenia, blady, wpatrywał się w Brauna.

Już nadbiegł Greif. Poznał wykrzywioną ze strachu twarz złoczyńcy i zawołał:

— Zaprawdę! To nasz przyjaciel! Tak, to Hecht! Nareszcie kochanku! A gdzie Fryda?

Greif rozglądnął się dokoła. Myślał, że tu znajdzie i Frydę. Ludwik nie mógł ani słowa wymówić. Strach i rozpacz sparaliżowały go zupełnie. Odkrycie to nagłe było. Żołnierze podnieśli go i zanieśli na wolne miejsce.

Greif zarzucił go pytaniami.

Ponieważ wszystko było stracone, uważał Ludwik kłamanie za bezcelowe. Opowiedział więc że i dlaczego Walerya doń strzelała i wszystko co od tego czasu zaszło.

— A Fryda przecież była u was?

— Tak, pielęgnowała mnie. Ale kiedy tu Sinobrody osiadł, uciekła.

— Czy sądzicie że wróci?

— Nie wiem, lecz bardzo wątpię!

— Wiecie, dokąd się udała?

— Nie, nie mam pojęcia!

— Jak dawno już uciekła?

— Przed pół godziną.

— O, w takim razie niedaleko będzie! — zawołał Greif i zwrócił się do Brauna.

— Nie mamy tu zresztą nic do szukania. Natychmiast puścimy się w pogoń za Frydą.

Wydał rozkaz, by Hecht na razie tu został. Jeden z żandarmów miał udać się na zamek Wildenfels i sprowadzić doktora Kloca, by ten opatrzył ranę Hechta. Reszta z nich miała szukać za Sinobrodym. Przypuszczano bowiem, że się on ocalił.

W czeluści zostawiono dwóch żandarmów na straży. Stało się to bardzo szybko. Greif z Braunem i jeszcze z jednym żandarmem puścili się w pogoń za Frydą. Greif zdawał sobie z tego sprawę, że od ujęcia Frydy wszystko zależało.

Tymczasem Fryda uciekła już daleko. Opuściwszy czeluść, mogła się udać w rozmaite strony.

Na końcu czeluści rozdzielili się. Każdy miał szukać w innym kierunku.

Fryda nie przypuszczała, że ją tak prędko ścigać będą. Nie wierzyła, że tak prędko odkryją Hechta w jego kryjówce. Pod wie-

czór przybyła do wsi na krańcu dalekiego lasu.

Wstąpiła do gospody i zażądała pokoju. Nie było miejsca, ulokowano ją więc w izbie strychowej. Kazała sobie podać jedzenie i rozważała, co jej dalej czynić wypada.

Do Ludwika nie chciała wrócić. Wydało jej się to bardzo niebezpiecznem. Uciekać dalej nie łatwo było. Cała jej gotówka składała się z kilku talarów. Jakby przyjść w posiadanie większej sumy?

Wpadła na szczęśliwą myśl. Wiedziała, że Walerya uciekając z pałacu hrabiego Edmunda, nic nie mogła ze sobą zabrać. Fryda wiedziała też, gdzie jej pani ukryła swe kosztowności.

Opuściła więc gospodę i ostatnim pociągiem wyjechała do rezydencyi.

Tu udała się do pałacu hrabiego. Miała klucz od bocznej furtki i z łatwością dostała się do środka.

Najpierw w pokoju swym znalazła w szafie swe oszczędności w sumie prawie tysiąca marek. Następnie udała się do pokoi Waleryi, gdzie się spodziewała więcej znaleźć. I nie zawiodła się. W sypialni otworzyła małą szafkę toaletową. Po długich usiłowaniach rozbiła zamek jednej szuflady. Tu znalazła pudełko z drzewa orzechowego, oprawne w srebro. I tu rozbiła zamek. Trud jej został sowicie wynagrodzony. Znalazła nadzwyczaj bogate kosztowności Waleryi. Ukryła je w swej torebce i wróciła do swego pokoju, przebrała się tu i zarzuciła czarny płaszcz.

Mogła swobodnie działać, bo w pałacu mieszkali — i to w suterynach, tylko odźwierny i stary ogrodnik.

Pierwszym rannym pociągiem chciała wyjechać z rezydencyi. Udała się na dworzec, lecz miała jeszcze godzinę czasu, siadła więc w poczekalni i kazała sobie podać kawę.

Tymczasem wszedł do poczekalni mężczyzna w długim płaszczu podróżnym. Przyglądnął się Frydzie. Ta zadrżała. Tylko niewyraźnie widziała rysy przybysza. Lecz zdawało się jej, że go zna.

Przystąpił bliżej. Fryda poznała go. Był to ów złoczyńca, który dostarczył Waleryi trucizny.

— Mój Boże! Langhals? — szepnęła Fryda mimowoli.

Ten cofnął się, widząc się poznanym. Rozglądnął się trwożliwie dookoła.

W poczekalni było jeszcze dwóch gości, którzy jednak nie zwracali na nich uwagi.

— Zna mnie pani? — spytał szeptem. Czy nie od hrabiny Waleryi?

— Tak, ale nie jestem więcej w jej służbie.

— Hm! skąd mnie pani właściwie zna, panno Frydo? — spytał podejrzliwie.

— Skąd? — uśmiechnęła się. Ma pan złą pamięć, panie Langhals. Pomogę panu. Było to na zamku Heilligensee. Przyniosłeś pan hrabinie Waleryi pewne tajemnicze coś — no, wie pan chyba co?

Uśmiechnął się ironicznie i wyjąknął:

— Nie rozumiem pani.

— A, głupstwo! Nie udawaj mój przyjacielu. Wiem, że pan dostarczyłeś trucizny, z której umarł baron Rambow! — szepnęła Fryda, akcentując dotkliwie każde słowo. Widziałam, jak wręczyłeś Waleryi flaszeczkę.

Fryda patrzała tryumfująco w jego przerażoną i bladą twarz.

— To nieprawda! — wykrztusił. Nic nie wiem!

— Mnie pan nie wywiedzie w pole, kochanku. Przypomina sobie pan wszystko dobrze. Podsłuchałam waszą rozmowę, widziałam jak odebrałeś nagrodę. I ta sama flaszeczka, widziałam ją dokładnie, znalezioną później, została u hrabiny Agaty. Widziałam jak ją wsunęła Walerya w kieszeń Agaty. — No, panie Langhals, gdybym to wszystko opowiedziała komisarzowi Winterowi.

Na te słowa Langhals usiadł i osłupiałym wzrokiem patrzał na Frydę.

— Chyba mnie pani nie zdradzi! Jaką by korzyść pani z tego miała?

Fryda nie przyznała się, że go już zdradziła i odpowiedziała:

— Wiesz pan chyba, co się dalej stało? Hrabina Agata dotychczas uchodzi za morderczynię swego męża.

— Tak, niestety wiem wszystko — wyjąknął drżącym głosem. A wiesz mi pani, nie miałem pojęcia, do czego ta trucizna może służyć.

— Nie? O, temu nikt nie uwierzy.

— Nie wiedziałem! W pewien wieczór przyszła do mnie hrabina Walerya. Nie wiem, skąd miała mój adres. Zażądała prędko i pewnie działającej trucizny, za którą ofiarowała mi 3.000 marek. Kiedy się wahałem, obiecała 5.000. Potrzeba mi było pieniędzy i zgodziłem się.

— I nie spytałeś pan, na co to ma służyć?

— Spytałem, lecz hrabina odpowiedziała krótko, że mnie to nie obchodzi i że się nie mam czego obawiać

— Widzi pan, że inaczej sprawy stoją. Ale ja wcale nie chcę zguby pana. Chcę tylko zniszczyć hrabinę Waleryę, a pan mi musisz pomódz. Cieszę się, że nas przypadek tu sprowadził. My tylko sami jesteśmy w stanie zdemaskować Waleryę i udowodnić niewinność hrabiny Agaty.

— Tak, i sami dostaniemy się na szubienicę! — uzupełnił Langhals. Nie, moja kochana, to szaleństwo. Ja się cofam!

— Oho! nie wolno panu — groziła Fryda, przejęta jedynie myślą zemsty ku Waleryi. Pomyśl pan tylko, jeżeli ja zeznam prawdę, pan tem samem zostaniesz zdemaskowany.

— W sam czas ulotnię się. Czyń, co się pani tylko podoba.

Wstał szybko, lecz Fryda zatrzymała go.

— Wysłuchaj mnie pan spokojnie! — rzekła stanowczo. W razie ucieczki, każę pana aresztować. Możemy się jeszcze porozumieć.

Langhals usiadł. Zdradzał politowania godną bezradność.

— Pani chce odemnie pieniędzy, co? — wykrztusił. Ale ja nic nie mam.

Fryda uśmiechnęła się szyderczo.

— Nie, nie chcę od pana pieniędzy. Co za myśl! Powiedziałam już, czego żądam od pana.

— Ależ mój Boże, bądźże pani rozsądną! — biadał Langhals. Chcesz nas koniecznie wtrącić w przepaść. My musimy milczeć.

— Wysłuchaj mnie pan! Zna pan komisarza Greifa i Wintera, prawda?

— Tak, aż nadto!

— No, widzi pan! Ja ich także znam. Napiszesz pan teraz do tych komisarzy list i zeznasz w nim całą prawdę. A więc i to, żeś sprzedał hrabinie Waleryi truciznę.

— A potem?

— List ten, i ja dopiszę kilka słów, wyszlemy pocztą, a następnie wyjedziemy. Mam dosyć pieniędzy i nie zależy mi na 100 markach. Dostaniesz je pan, jeżeli natychmiast napiszesz list.

— Hm! to pięknie! — uśmiechnął się Langhals z większą już otuchą. Ale po prawdzie, nie wiele się spodziewam po tym liście. Na podstawie takiego oskarżenia sąd nie wystąpi przeciw Waleryi. A pani przecież tylko do tego dąży, co?

— Troskę o resztę zostawimy panom komisarzom. Mają oni już inne dowody winy Waleryi.

— Ale ja chcę odjechać najbliższym pociągiem.

— Mamy jeszcze blisko godzinę czasu. Zatem do roboty! — nalegała Fryda.

Langhals nie robił już żadnych trudności. Zażądał przy bufecie papieru i atramentu. Następnie zabrał się do pisania niebezpiecznego listu. Po upływie pół godziny list był napisany, Fryda przeczytała.

— No, to podziała! — rzekła i dopisała jeszcze do listu kilka wierszy od siebie. Szkoda, że nie mamy więcej czasu. Mogłabym się panu wystarać o więcej środków.

— A to w jaki sposób? — spytał Langhals chciwie.

— Patrz pan!

Otworzyła swą torębkę i pokazała klejnoty, które porwała z pałacu hrabiego Edmunda. Oczy jego zabłysły chciwością. Wyciągnął rękę po te skarby, lecz Fryda cofnęła drogocenną torebkę.

— Skąd pani to ma? — spytał.

— To klejnoty hrabiny Waleryi! — oświadczyła mu Fryda dziwnie spokojnie. Zabrałam je z pałacu hrabiego Edmunda. I pan znalazłby tam jeszcze dosyć skarbów. Jeżeli pan chce, opiszę panu dokładnie miejsce, gdzie one leżą.

Chciała go złapać. Gdyby się zgodził, zatelegrafowałaby natychmiast do Greifa, że Langhalsa może ująć w pałacu hrabiego. W ten sposób pozbyłaby się go, a zemsta jej na Waleryi byłaby zupełną.

A Langhals nie połapał się na jej podstępie. Na widok klejnotów obudziła się w nim jego chciwość.

— Mów pani! — szepnął. Albo lepiej chodź pani ze mną!

— Nie, nie można! Ja muszę wyjechać. Ale tu pan ma klucze. Z łatwością dostaniesz się pan do pałacu i nie masz się pan czego bać, bo pałac zupełnie pusty.

Wręczyła mu klucze i opisała miejsce, gdzie leżą klejnoty. Langhals drżał na myśl o bogactwach, które go czekają.

Mieli oni się pożegnać, bo niewiele już było czasu do nadejścia pociągu. Poczekalnia zwolna napełniała się podróżnymi.

— Bądź pan zdrów! — rzekła Fryda i podała Langhalsowi rękę.

— Dokąd pani jedzie? — spytał. Nie mógłbym się z panią spotkać?

— Nie! — odpowiedziała krótko. Żegnam pana!

W tej chwili weszli do poczekalni szybko dwaj mężczyźni. Przyglądnęli się dookoła, jakby szukali kogoś. Zwolna zbliżyli się też ku Frydzie i Langhalsowi, którzy cofnęli się ku

wyjściu. Nagle spostrzegli ich. Jeden z nich wydał stłumiony okrzyk:

— Panie Braun, widzi pan, to ten łotr!

— Zaprawdę, panie Greif! Teraz mamy go. O, taż to Fryda.

— Mamy szczęście! Wspaniały połów.

Greif i Braun nie przypadkiem, przybyli na dworzec. Jeden z agentów Greifa odkrył Langhalsa i doniósł mu o tem natychmiast. A teraz znaleźli tu też przypadkiem Frydę.

Stała ona właśnie z Langhalsem przy wyjściu. Żegnała się z nim. Wtem nagle wydała okrzyk i wskazała w stronę, skąd zbliżali się Greif i Braun.

Ze strachem poznała Fryda komisarza.

Chciała uciekać, lecz ani ona, ani Langhals nie mogli się ruszyć z miejsca.

Tymczasem Braun chwycił za rękę Langhalsa i trzymał go silnie. Greif zaś zbliżył się do Frydy i rzekł z ironicznym uśmiechem:

— Ach, moja pani! Widzimy się znowu. Przyjaciel pani, pan Ludwik Hecht, ucieszy się. Mamy go już. A teraz dostaliśmy i pana Langhalsa. A, jak się to wszystko ładnie składa.

— Ach, ja nic nie powiem, wszystko odwołuję! — zawołała Fryda, starając się uwolnić z rąk komisarza.

— Proszę się zachowywać spokojnie! — rzekł komisarz groźnie, Przypatrz się pani z jaką godnością zachowuje się pan Langhals.

Ten rzeczywiście nie stawiał najmniejszego oporu. Ze wszystkich stron cisnęli się ludzie i przypatrywali się tej scenie.

Greif i Braun zaprowadzili Frydę i Langhalsa do sąsiedniego pokoju. Komisarz odebrał przedewszystkiem Frydzie torebkę. Zdziwiony zobaczył tu klejnoty. Znalazł także list, który poprzednio napisał Langhals.

Przeczytał go i zwrócił się do Langhalsa:

— Pan to pisałeś? — spytał.

Langhals potwierdził, a Fryda opowiedziała genezę listu. Uradowany, list schował.

— Naturalnie, że powtórzysz pan to wszystko ustnie prokuratorowi! — rzekł do Langhalsa. I pani powtórzy swe zeznania! — zwrócił się uprzejmie do Frydy. Lecz powiedz pani, skąd masz te klejnoty?

— To moja własność! — oświadczyła Fryda.

Greif się uśmiechnął.

— Ja sądzę żeś pani to skradła Waleryi. Potrafimy to zresztą zbadać.

Oddał torebkę Braunowi i kazał więźniów odprowadzić do więzienia.

— Dzięki Bogu, stoimy u celu! — rzekł Greif zadowolony.

Udał się do swego biura, aby zdać szefowi sprawę z wypadków dnia.

CXCIII.

OSTATNIE WALKI.

W gospodzie szukał komisarz Koerner długo Agaty, w końcu oddalił się z niczem, wioząc ze sobą służącego, który zdradził był Agatę.

Gerhard udał się do swej sypialni, odsunął szafę i otworzył drzwi spustne.

Gerhard zawołał Wintera, który natychmiast stanął na drabinie.

— Czy niebezpieczeństwo minęło? — spytał.

— Tak, komisarz się oddalił. Chodźcie!

Winter i Agata opuścili swą kryjówkę. Winter nie chciał zatrzymywać się tu dłużej.

— Idę do miasta! — oświadczył. Tam Greif potrzebuje niewątpliwie mojej pomocy. Tu zaś obecność moja nie ma celu.

— Ale co się stanie z hrabiną? — spytała Katynka. Komisarz powróci niewątpliwie!

— Nie sądzę! A chociażby nawet, to macie tu bezpieczne schronienie. Albo ma może pani hrabina zamiar wrócić na zamek Wildenfels? — spytał Agaty.

— Nie, nie! — odpowiedziała. Tu jestem bezpieczniejszą.

Winter pożegnał się i pojechał do miasta. Ponieważ jednak tu nie zastał Greifa, wrócił do gospody i udał się stąd na zamek Wildenfels, aby przyjaciołom Agaty donieść o jej losie.

Następnego dnia spotkał Winter Greifa w budynku policyjnym. Właśnie odstawiono do więzienia Frydę i Langhalsa, wnet miano sprowadzić i Hechta.

Radość Wintera nie znala granic, gdy się o tem dowiedział.

Razem udali się do szefa. Ten przyjął Wintera z zdziwieniem, lecz bardzo uprzejmie. Kiedy się o wszystkiem dowiedział, podał im rękę i rzekł do Wintera:

— Spodziewam się, że pan wnet znowu wróci do nas! Obecne wypadki usprawiedliwiają zupełnie pańskie postępownaie. Nie wątpię, że zwolnienie pana ze służby zostanie cofnięte.

— Mimo to, ekscellencyo, zdaje mi się, że nie wrócę więcej do służby.

Szef nie wziął jego słów na seryo, pożegnał ich uprzejmie i radził, by przy pomocy prokuratora zwrócili się przedewszystkiem do księcia.

Jednak Greif i Winter sądzili, że nie zdołają przekonać księcia o winie Waleryi. Nadto należało się obawiać że uwiadomiona o wszystkiem Walerya, spróbuje uciec.

Mimo to udali się do prokuratora. Ten zawezwał natychmiast Frydę i Langhalsa. Wyznali oni zupełną prawdę oczywiście starali się o ile możności umniejszyć swą winę na niekorzyść Waleryi.

Rozmaite dokumenta uzupełniły zeznania Frydy.

Tymczasem sprowadzono i Hechta i umieszczono go w szpitalu więziennym. Tam go odszukano i przesłuchano bardzo dokładnie.

Jedynem pragnieniem Hechta było, zgubić Waleryę. Sam nie miał już nic do stracenia.

Prokurator odczytał list, który on napisał do Wintera i gdzie zdradzone były tajemnice Waleryi.

— Czy pan podtrzymuje te zarzuty? I czy one odpowiadają prawdzie?

— Tak, mogę każde słowo zaprzysiądz! — odpowiedział Hecht. I wszystko dokładniej jeszcze opowiem!

— Uczynisz pan to podczas głównej rozprawy przed sędziami przysięgłymi. — A ten dokument tu, zna to pan?

— Znam! To metryka ślubna mojej żony!

— Więc obecna hrabina Walerya Linderhof jest rzeczywiście żoną pana?

— Tak, o tak! — zawołał Hecht. A kiedy wyszła za hrabiego Linderhof, wiedziała dobrze, że ja jeszcze żyję. Może to poświadczyć mój przyjaciel Kulas.

— Ale pan nic nie uczyniłeś by przeszkodzić temu związkowi. Żona pana dała panu kilkakrotnie większe sumy. Piszesz pan tu w liście, że razem z Kulasem czuwałeś nad dwoma więźniami swymi w zamku, leśnym hrabiego Linderhof. Żona pańska ofiarowała ci 50 tysięcy marek, jeżeli więźniów tych sprzątniesz ze świata. Kto to był?

— Hrabina Agata i jej służąca!

— Próbowałeś spełnić życzenie swej żony?

— Niech Bóg broni! — zaprotestował Hecht.

— Panie prokuratorze, łotr ten kłamie! — wtrącił Winter. On i Kulas chcieli zamordować hrabinę i jej służącą. Poprzednio o mało co nie ubili agenta Brauna, którego wysłałem do zamku. W końcu podpalili stary zamek aby w płomieniach hrabina zginęła.

Hecht widząc że mu kłamanie nie pomoże, przyznał się do zbrodni. Zeznał również, że to on porwał niegdyś małego Waltera.

— Czy to prawda, że własna żona do was strzeliła? — badał prokurator.

— Tak — zgrzytnął Ludwik.

W towarzystwie Greifa i Wintera wrócił prokurator do swego biura.

T epruzcatzeyłz ołsowdak.zes?kwt zże

Tu przeczytał zeznania Hechta i Frydy, badał metrykę ślubną i rzekł:

— Trudno mi uwierzyć, by ten Hecht był mężem takiej kobiety!

— A przecież nie można w to wątpić! — odpowiedział Greif. Panie prokuratorze, zdaje mi się, że teraz możemy już rozpocząć śledztwo przeciw pani Hecht, czyli jak ona siebie nazywa, przeciw Waleryi hrabinie Linderhof!

Prokurator był niezdecydowany.

— Moi panowie! — rzekł. Właśnie w tym wypadku nie można być dość ostrożnym. Nie zapominajmy, że kobietą tą opiekuje się sam książę.

— Ależ panie prokuratorze! — zbrodnie tej kobiety są przecież namacalne. Jej wina udowodniona.

— Nie zupełnie, mój łaskawy panie! — rzekł prokurator prawie nieprzyjaźnie. Żywił on niechęć dla Wintera i gniewało go to że Winter nie zostanie pociągnięty do odpowiedzalności za uwolnienie Agaty.

Winter zamilkł. Nie mógł pojąć o ile wina Waleryi nie jest jeszcze dość jasną.

I Greif nalegał na aresztowanie Waleryi.

— Książę ją tak długo ochrania, jak długo wierzy w jej niewinność! — rzekł energicznie. Naszym obowiązkiem, panie prokuratorze, jest przekonać księcia o prawdzie. Zwracam panu na to uwagę z rozkazu szefa.

Prokuratorowi wcale nie był na rękę sposób odzywania się Greifa i rzekł ostro:

— Nie pytam o pański sąd w tej sprawie. Narazie nie mogę zezwolić na aresztowanie hrabiny Waleryi.

— Proszę nam zatem powiedzieć, co pan prokurator uczynić zamyśla? — spytał Greif oburzony.

— Jakkolwiek nie jestem do tego zobowiązanym, powiem panu, że całą sprawę przed łożę jego ekscellencyi panu ministrowi. Niech on rozstrzygnie, co czynić wypada.

— Proszę pana prokuratora, byśmy ja i kolega Winter mogli brać w tem udział.

— W jakim celu?

— Bo my możemy pana ministra przekonać o winie Waleryi.

— Przedewszystkiem sam pomówię z jego ekscellencyą. Gdyby pan minister zażądał jeszcze wyjaśnień, uwiadomię panów.

Pożegnał ich niechętnie. Greif i Winter byli zrozpaczeni.

— Postępowanie prokuratora jest karygodne! — zawołał Winter. Boi on się księcia. Cóż poczniemy?

— Nie pozostaje nam nic innego jak poczekać, a przedewszystkiem czuwać nad tem, by Walerya nie uciekła.

Pożegnali się. Winter udał się do gospody, Greif zaś do jaskini, gdzie ciągle jeszcze stało na straży kilku żandarmów. Nie wierzono temu by Sinobrody zginął był w głębinach jeziora, bo nie znaleziono jego trupa. Przypuszczano więc że żyje i że się ukrywa. Lecz i ponowne gorliwe poszukiwania nie wydawały żadnego rezultatu. Zniechęcony powrócił Greif wieczorem do rezydencyi.

Następnego dnia odszukał go Winter. Kiedy się naradzali nad sposobem dalszego postępowania, nadeszła depesza do Greifa od Guentera. Brzmiała ona:

"Fałszywa hrabina Gertruda znaleziona. Przyjedź pan natychmiast. Czuwam nad nią. Guenter."

Greif skoczył radośnie.

— Natychmiast wyjeżdżam! — zawołał. Pokieruj pan tu wszystkiem. Sinobrodego dalej szukać. Jestem przekonany, że ukrywa się on w jaskini albo u swej siostry.

Winter niechętnie zgodził na się wyjazd Greifa w tem trudnem położeniu. Greif miał jeszcze konferencyę ze swym przełożonym i wyjechał pociągiem pospiesznym. Winter otrzymał od szefa pełnomocnictwo zastąpić Greifa we wszystkiem.

Tego samego dnia jeszcze udał się Winter do prokuratora. Ten przyjął go bardzo zimno i oświadczył, że sprawa jest teraz u ministra.

Winter miał już się oddalić, kiedy przyniesiono prokuratorowi list od ministra. Prokurator przeczytał go i rzekł:

— Jego ekscellencya pan minister wzywa nas do siebie, mnie pana i Greifa.

Winter był uradowany. W godzinę później zajechał z prokuratorem przed pałac ministra Borgheima. Przyjął ich natychmiast. Lecz był u niego książę Artur.

Winter przestraszył się. Obecność księcia nie zapowiadała nic dobrego. Ten szybko doń przystąpił i rzekł gniewnie:

— No, jest pan! Znowu pan popełniłeś szaleństwo. Jego ekscellencya pan minister uwiadomił mnie. Przyszedłem po bliższe informacye. Podtrzymujesz pan swe szalone oskarżenia, czy je odwołujesz?

Winter odzyskał równowagę. Wyprostował się dumnie i rzekł stanowczo:

— Nie, książę panie, nie odwołuję! Są świadkowie i dowody, które nie pozwalają wątpić o winie hrabiny Waleryi.

— Świadkowie pana nie są wiarygodni! — zawołał książę pogardliwie. A dowody, to sfałszowane dokumenta.

— Książę panie.

— Milcz pan! Mimo ostrzeżeń nie przestałeś prześladować hrabiny. Teraz skończyła się moja cierpliwość! Panie prokuratorze! Żądam by tego człowieka aresztowano i ukarano dotkliwe z powodu obrazy i fałszywych, złośliwych oskarżeń.

Prokurator skłonił się, odchrząknął i rzekł widocznie zakłopotany:

— Książę pan wybaczy, to niemożliwe!

— Co? — zerwał się książę. To znaczy, że ten oszczerca ma ujść bezkarnie?

— Książę panie! Ja tak nie sądzę! — jąkał się prokurator. Ale musianoby wprzód udowodnić, że oskarżenia są zmyślone, a dokumenta sfałszowane.

Książę milczał i oburzony zmierzył prokuratora wściekłym wzrokiem.

— Panie prokuratorze, stajesz pan zatem po stronie tego oszczercy i jego stronników, co? — spytał groźnie.

— Nie, książę panie! Spełniam tylko mój obowiązek.

— Obowiązek? Pańskim obowiązkiem, panie prokuratorze, było odrzucić natychmiast podobne oszczerstwa, a oszczerców ukarać.

Tego było i prokuratorowi za wiele. Odrzekł głęboko dotknięty:

— Książę pan raczy nie zapominać, że mój urząd domaga się odemnie zupełnej bezstronności. Śledztwo przeciw Hechtowi i Langhalsowi nagromadziło materyał, obciążający poważnie hrabinę Waleryę. Tylko wzgląd na księcia pana skłonił mnie, żem sprawę oddał do zbadania jego ekscellencyi, panu ministrowi. A miałbym obecnie prawo wydać rozkaz aresztowania hrabiny Waleryi.

Książę chwycił za rękojeść miecza. Drżał, a oczy jego ciskały iskry gniewu.

— Spróbuj pan tylko! — zawołał. Biada temu, kto naruszy wolność hrabiny, stojącej pod moją opieką. Słuchaj pan, jeżeli nie spełnisz mego rozkazu i nie wystąpisz przeciw osz-

czercom, wniosę zażalenie do jego książęcej mości. Zresztą pan minister zna moje życzenia i da panu wskazówki.

Książę pożegnał ministra i oddalił się. Minister zwrócił się do prokuratora:

— Słyszałeś pan sąd księcia pana, mogę panu tylko polecić działać z jak największą ostrożnością. Tu zwracam panu akta. Zeznania tych trzech zdrodniarzy są według mego zdania bezwartościowe.

Winter nie wytrzymał więcej.

— Ekscellencyo — zawołał nieustraszony. — Jeżeli ekscellencya zbada te dokumenta, nie powiesz, że są bezwartościowe. A chociaż świadkowie są zbrodniarzami mimo to zeznania ich są zgodne z prawdą.

Groźnie zwrócił się minister ku odważnemu komisarzowi.

— Panie — zawołał dumnie i ostro — na co sobie pań pozwalasz? Nie pytałem pana o zdanie, radzę być w przyszłości ostrożniejszym w swych zbyt wolnomyślnych zapatrywaniach.

Winter opanował się i odpowiedział spokojnie:

— Nie przestanę walczyć w obronie prawdy.

Minister nie odpowiedział, skłonił się prokuratorowi, który pociągnął za sobą Wintera.

— Otóż mamy — rzekł prokurator zrozpaczony. Książę nie da się przekonać. Wiedziałem o tem, a może ma i racyę.

— Nie pan prokurator tak nie sądzi! Jedno mamy jeszcze wyjście, choć pan ze mną do jego książęcej mości.

— Prokurator uśmiechnął się rozdrażniony. — Za nic w świecie.

— W takim razie daj mi pan akta, sam pójdę.

— Nie, aktów nie wydam i radzę panu dobrze, odstąp od swego szalonego zamiaru.

— Nie boję się wielkich panów.

— To leć pan w przepaść — zawołał prokurator i oddalił się.

Winter udał się do swego szefa po poradę. Ten kazał mu czekać. Tego samego dnia jeszcze pomówił z prokuratorem a następnego dnia zjawił się na audyencyi u starego księcia. Tu spotkał się z ministrem, który był bardzo niezadowolony, że stary książę dowie się o całej aferze.

Jednak szef policyi nie zważał na to. Wytłumaczył ministrowi, że na księcia Artura nie można w tym wypadku brać względów, lecz należy postąpić z zupełną bezstronnością.

Razem zostali przez księcia przesłuchani. Minister w krótkich słowich skreślił księciu aferę. Książę natychmiast poparł policyę ku zdumieniu ministra i rzekł:

— Kochany Borgheim — proszę mi jutro przedłożyć akta. Chcę tę aferę zbadać z powodu — księcia Artura.

Kiedy szef doniósł Winterowi o przebiegu posłuchania u księcia, Winter nie posiadał się z radości. Spodziewał się, że teraz wszystko weźmie szczęśliwy obrót.

Książę Artur został w rezydencyi, następnego dnia chciał się udać do Waleryi. Nim jednak opuścił swój zamek, wezwany został przez adjutanta do księcia wuja.

Ku swemu zdziwieniu zastał w gabinecie księcia także ministra. Na stole leżał plik aktów. Książę poznał natychmiast, że to papiery odnoszące się do afery Waleryi.

Stary książę wyglądał bardzo poważnie. Pozdrowił swego siostrzeńca nie tak serdecznie, jak zwyczajnie.

— Wiesz już, kochany Arturze, jakie to w ostatnich dniach podniesiono zarzuty przeciw hrabinie Waleryi Linderhof. Spodziewam się, że twój stosunek do tej kobiety zmienił się.

— Wuju — zawołał książę stanowczo. To wszystko niecne oszczerstwa niesumiennych wrogów hrabiny.

— Czy zbadałeś uważnie te akta?

Książę Artur uczynił pogardliwy ruch.

—Nie, bo i po cóż? Wiem, że to wszystko kłamstwo.

— A ja się przekonałem — rzekł stary książę z naciskiem, że oskarżenia podniesione przeciw hrabinie Linderhof są uzasadnione. Dalsze śledztwo wykaże, o ile ta kobieta jest winną. Poleciłem panu ministrowi, by sądom zostawił zupełną swobodę, by zatem bez wszelkich względów rozpocząć postępowanie dowodowe przeciw wszystkim winnym.

Książę zbladł i cofnął się.

— Wuju, proszę mi wytłumaczyć, dlaczego chcecie zupełnie niewinnego człowieka wtrącić w przepaść — zapytał drżącym głosem.

— Mylisz się, hrabina nie jest niewinną.

— Ręczę, że jest niewinną— zawołał książę gwałtownie. — Pan minister był jeszcze wczoraj mego zdania. Skąd ta nagła zmiana?

— Książę panie — nie miałem wcale wpływu na postanowienia jego książęcej mości — rzekł minister. — Jego książęca mość zbadał sam akta i...

— Tak jest — przerwał stary książę. — Radzę ci kochany Arturze, uczyń i ty to a zmienisz zdanie o tej hrabinie. W każdym razie proszę cię stanowczo nie mieszać się w tę aferę. Tu ma tylko sąd rozstrzygać.

Książę Artur poznał niebezpieczeństwo.

— Nie mogę uwierzyć w winę hrabiny

Waleryi — zawołał — i dlatego nie oddam niewinną na pastwę jej wrogów.

— To znaczy, że chcesz wystąpić przeciw sądowi? — zapytał książę surowo.

— Ochronię ją przeciw niesprawiedliwym atakom.

Książę rzucił mu groźne spojrzenie, potem zwrócił się do ministra i rzekł spokojnie, lecz stanowczo:

— Kochany Borgheim, życzę sobie przeto, by proces miał swój naturalny przebieg.

Pożegnał go. Minister zabrał akta i oddalił się.

Książę Artur, który dotychczas z trudnością panował nad sobą, począł teraz wuja zaklinać, by zmienił swe postanowienie. Namiętną obronę Waleryi przerwał książę słowami:

— Dosyć, powtarzam tylko raz jeszcze, porzuć tę kobietę, która jest zbrodniarką. A kiedy ją policya uwięzi ty się temu nie będziesz mógł sprzeciwić.

Stary książę oddalił się.

I znowu poniósł książę Artur klęskę. Ale teraz sytuacya stawała się bez wyjścia. W zaślepieniu swem nie myślał nawet książę o tem, że może ta kobieta przecież jest winną.

— A chociażbym z światem całym miał stanąć w szranki, ja ochronię ją — zawołał.

Dosiadł konia i popędził w dal.

Jeszcze tego samego dnia otrzymał Winter pełnomocnictwo aresztowania Waleryi. Los jej był rozstrzygnięty.

CXIV.

STRASZNY KONIEC.

W mieście portowem, daleko od rezydencyi, spotkali się komisarz i agent Gunter. Ten oczekiwał swego przełożonego na dworcu kolejowym. Był to już późny wieczór.

— Dzięki Bogu, że pan komisarz przyjechał. Jutro byłoby za późno.

— O ile — spytał Greif. — Przedewszystkiem, ma pan fałszywą Gertrudę?

— Dzisiaj tak! Dowiedziałem się jednak, że wyjeżdża jutro okrętem do Ameryki w towarzystwie pani Dijon.

— A gdzie ona?

— W hotelu, w pobliżu portu.

— Dobrze, wobec spóźnionej pory jednak poczekamy do jutra. Gdzie pan mieszka?

— W tym samym hotelu. Mam nawet sąsiedni pokój.

— Cudownie, a powiedz mi pan, po co mnie wezwałeś?

— Policya tutejsza odmawia mi wszelkiej pomocy, panie komisarzu. Nie mogłem sobie poradzić i wezwałem pana.

— Ależ to niemożliwe.

— O, Betlina — tak się właściwie nazywa fałszywa Gertruda — znalazła sobie bardzo wpływowego kochanka konsula. Człowiek ten opiekuje się nią. Występuje pod obcem nazwiskiem, ma wszystkie potrzebne papiery i przeczy, jakoby była ową Gertrudą.

Za sprawą konsula poleciła mi policya, bym kobiet tych nie indagował. A już kilka razy miałem sposobność aresztowania ich. Wymknęły mi się, bawią tu od czterech dni i bezpieczne są pod opieką konsula. Pochodzi on zdaje mi się z Paryża. Prawdopodobnie znała go już dawniej.

Wsiedli do dorożki i pojechali do hotelu. Tu dowiedzieli się, że konsul ów bawi u pań. Greif zbliżył się w pokoju Guntera ku drzwiom sąsiedniego pokoju i patrzył przez dziurkę od klucza. Zobaczył młodego, przystojnego mężczyznę w towarzystwie wystrojonej kobiety, w której na pierwsze spojrzenie, poznał fałszywą Gertrudę, miał więc pewność, iż się Gunter nie pomylił w osobie.

— Kochany Guenterze, zostań pan tu i nie spuszczaj ich z oczu — szepnął — ja wnet wrócę.

Greif udał się do urzędu telegraficznego i nadał depeszę do paryskiego inspektora policyi, pana Lagrange, który jemu i Gunterowi wyświadczył już był dawniej w Paryżu wielkie przysługi. Nie czekał na odpowiedź, lecz udał się do budynku policyjnego, gdzie go mimo późnej pory — przyjął pełniący służbę wyższy urzędnik.

Temu określił sytuacyę i poprosił o pomoc. Udało mu się przekonać urzędnika, że Betlina jest ową poszukiwaną zbrodniarką. Wnet nadeszła odpowiedź od inspektora paryskiego, który dla pewności wysłał depeszę do władzy policyjnej i prosił, by Greifowi użyczyła wszelkiej pomocy.

To podziałało. Przydzielono Greifowi kilku agentów tajnych i z nimi powrócił komisarz do hotelu.

Już dawno północ minęła. Kochanek Betliny oddalił się był tymczasem, a obie panie udały się na spoczynek.

Greif, pewny swego, nie chciał wśród nocy, niepokoić mieszkańców hotelu.

Przeczekał do rana. Wtedy przystąpił do drzwi i zażądał by go wpuszczono. Dopiero po dłuższym czasie odezwał się głos pani Dijon:

— A kto tam, czego żąda?

— Otwórz pani natychmiast — rozkazał Greif. Policya jest.

Okrzyk zgrozy. Potem cisza. Drzwi nie o-

twierano. Zaniepokojony Greif kazał drzwi rozbić i agenci wtargnęli do ciemnego pokoju. Zaświecono światło. W pierwszym pokoju nikogo nie było.

Greif zbliżył się ku drugim drzwiom. Jego pukanie i wołanie zostało bez odpowiedzi. Greif spytał sprowadzonego kelnera, czy pokój ten ma jeszcze jedno wyjście.

— Tak, panie —brzmiała odpowiedź — ku schodom.

— W takim razie uciekną, ścigać ich! Za mną Guenter.

Wnet przybyli ku drugiemu wyjściu. Sypialnia Betliny była pusta.

— Więc uciekły — zgrzytnął Greif.

— Tu one — zawołał nagle Guenter, który wychyliwszy się przez poręcz spostrzegł w dole powiewającą suknię kobiecą.

Zbiegł ze schodów lotem błyskawicy, a za nim Greif. Stanęli na dole. Dwa długie korytarze prowadziły na lewo i prawo. Za schodami leżała sień, oddzielona szklanemi drzwiami. Tędy pospieszył Greif do tylnej części sieni. Już cały personel hotelowy został zaalarmowany i rozpoczęła się ogólna pogoń za zbiegami.

Greif spodziewał się, że one nie mogą wydostać się z hotelu, że mu się zatem nie wymkną. Ale mijały godziny, był już jasny dzień. Wtedy dopiero ujęto jakąś postać odzianą tylko w strój nocny. Była to pani Dijon.

Blada i drżąca stała przed Greifem, który ją pozdrowił z ironiczną grzecznością.

— Gdzie siostrzenica pani, piękna panna Betlina — zapytał szyderczo.

Nie wiedziała tego pani Dijon. W ciemności straciła Betlinę z oczu.

Rozpoczęto na nowo poszukiwania. Znaleziono ją nareszcie w piwnicy, ukrytą wśród beczek.

Piękna dziewczyna przedstawiała widok s m u t n y. Kiedy ją Greif z b u d z i ł ze snu, nie miała czasu zarzucić suknie. W białym koronkowym stroju nocnym uciekła zarzuciwszy tylko cienką chustkę na nagie plecy. Chustkę zgubiła podczas ucieczki, a teraz szamocąc się rozpaczliwie z agentami, podarła na sobie suknie. Prawie naga, z rozpuszczonemi włosami stała przed swymi prześladowcami, drżąc na całem ciele.

—Dzięki Bogu, mamy i ją — zawołał Greif tryumfująco i zbliżył się ku niej.

— Czego pan chce odemnie —'zawołała w bezsilnej wściekłości.

— Aresztuję panią za namową i pomoc w morderstwie i za oszustwo — rzekł Greif i skinął na agentów, którzy zaprowadzili Betlinę na górę do jej pokoju. Tu była już jej ciotka w towarzystwie Guntera i innych agentów.

Obie kobiety musiały się ubrać. Ich papiery i kosztowności wziął Greif do siebie.

Tego samego dnia jeszcze wrócili do rezydencyi. Tu przesłuchano obie kobiety. Zeznały wszystko, Betlina opowiedziała również w jaki sposób zamordował Sinobrody prokurzystę w wagonie kolejowym. Obie kobiety osadzono w więzieniu.

Od szefa swego dowiedział się Greif, co zaszło podczas jego nieobecności. Wnet zeszli się z Winterem i postanowili bez zwłoki sprowadzić Waleryę do więzienia.

W towarzystwie silnego oddziału żołnierzy policyjnych udali się pod bramę. Długo dzwonili, nareszcie zjawił się zarządca i zapytał groźnie, czego chcą.

—Żądamy wejścia w imieniu prawa — oświadczył Greif. Jeżeli książę jest w zamku proszę go uwiadomić o naszem przyjściu.

— Książę jest tu — odpowiedział zarządca szorstko — i rozkazał nie wpuszczać policyi. Oddalcie się więc panowie, darmo fatygowaliście się — dodał ironicznie.

— Nie, żądamy stanowczo, by nam nie robić trudności — zawołał Greif. — Jeżeli pan nie otworzysz spadnie na pana odpowiedzialność skoro użyję siły.

— Co, siły chcesz pan użyć, to niesłychana zuchwałość. Doniosę o tem księciu.

Zatrzasnął otwór przez który mówił i pobiegł do zamku. Z niecierpliwością czekali Greif i Winter na jego powrót.

Lecz zarządca nie wracał, a bramy nie otwierano. Sytuacya była krytyczną. Użyć siły pod obecność księcia, było groźnem. Rozgniewany książę uzbroi swoich ludzi, na walkę orężna zaś nie chcieli i nie mogli sie zgodzić.

Po naradzie zdecydował się Greif udać do miasta po wskazówki, jak ma postąpić.

— Tylko książę sam może tu pomódz — rzekł — uważaj, pan na wszystko aż do mego powrotu.

Dosiądł konia swego i popędził w dal.

Winter postanowił korzystać z czasu i szukać Sinobrodego. Większość załogi zostawił pod zamkiem i udzielił im dokładnych instrukcyi. Sam z kilku żołnierzami udał się do jaskini, gdzie stało na straży jeszcze ciągle czterech żandarmów.

I obecne szukanie spełzło na niczem.

Winter powrócił z dwoma ludźmi pod zamek. Minęło już południe. Nareszcie Greif powrócił. Jego oczy wyrażały radość i tryumf.

— Zbliżamy się do celu — zawołał — jego książęca mość wyszle posłańca do księcia Artura. Nasz szef to uzyskał.

— A do tego czasu musimy czekać — zapytał Winter.

— Tak, nie wolno nam użyć siły przeciw księciu ani jego ludziom.

— Szukałem tymczasem Sinobrodego — oświadczył Winter. Lecz daremnie, a przecież jestem przekonany, że on żyje i ukrywa się w jaskini. Powinniśmy i nadal szukać za nim.

Greif zgodził się.

— Skoro przybędzie posłaniec księcia, lub jeżeli się zdarzy coś nadzwyczajnego, uwiadomicie nas — rozkazał swym ludziom.

I znowu wrócili do jaskini. Zbadali teraz dokładnie korytarz, każdy kąt, każdą kryjówkę. Daremnie, na końcu korytarza dostali się Greif i Winter wąską szczeliną na płytę skalistą, która sterczała wysoko nad jeziorem.

Po lewej i po prawej stronie wznosiły się skaliste ściany, a tu i ówdzie sterczały zarośla.

— Patrz pan — rzekł Winter, Wskazując na jeden z krzaków. — Cóż to tam wisi. Zdaje się, jakiś kawał sukna.

— Tak, naprawdę — zawołał Greif — skąd się to tu wzięło?

— Zdaje się, że jesteśmy na tropie — rzekł Winter i w tej samej chwili wydał stłumiony okrzyk.

— Tu, o tu jest!

— Gdzie? — Kto? — Sinobrody?

— Tak, tam na zrębie widziałem go. Straszna wykrzywiona twarz.

Twarz ta jednak natychmiast zniknęła. Greif wpatrując się w to miejsce rzekł niepewnie:

— A może się pan pomyliłeś? Trudno uwierzyć, by się tup człowiek mógł dostać.

— Widziałem dokładnie. To twarz Sinobrodego. Niewątpliwe jest zagadką, jak on się tam dostał. Szukajmy drogi musimy go ująć.

— Zdaje mi się, że od strony jeziora będziemy mieli lepszy przegląd. Zostań pan tu, a ja pójdę na jezioro — zaproponował Greif.

Tak się też stało.

Tymczasem i Winter nie był bezczynnym. Z zastosowaniem wszelkich ostrożności udało mu się dostać na wystającą skałę. Skąd mógł już łatwo osiągnąć górną krawędź skały. Tu w górze rozciągała się długa skalista płaszczyzna.

Wtem na licznych kamieniach spostrzegł ślady krwi daleko się ciągnące. Musiał tędy przechodzić ranny człowiek.

Winter był teraz pewnym, że się nie pomylił. Tam dalej widział już poprzednio twarz Sinobrodego. Tam też musi się on ukrywać.

— Holla — zawołał w stronę jeziora, uważać, mamy go.

Tymczasem Greif wiosłując wzdłuż skał, zbliżył się do miejsca, gdzie w górze stał Winter. Znajdujący się w łodzi wydali okrzyk radości i zwrócili wzrok ku górze. Winter zawołał do siebie Branda i jeszcze dwaj żandarmi wspinali się w górę, w podobny sposób jak Winter.

Ostrożnie z rewolwerem w ręku posuwali się Winter i Brand. Wyrostki skaliste zamykały im widok. Teraz skręcili. Tu było miejsce gdzie się Winter spodziewał Sinobrodego znaleźć. Lecz znikł już, zerwane kawałki sukna strzępy, ślady krwi, świadczyły o tem, że tu przebywał człowiek, ale gdzie on?

Winter rozglądał się dookoła. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Wnet mrok zalegnie te skały i uniemożliwi dalsze poszukiwania. Winter drżał z niecierpliwości.

Posuwał się dalej, a tuż za nim Brand. Także obaj żołnierze zbliżali się już.

Mimo że droga nie była wcale łatwą, udało się Winterowi przedostać tak daleko, że mógł zobaczyć koniec płaszczyzny. Tam zamykała się wysoka, stroma ściana. Dalej nie mógł Sinobrody uciec, tylko do tej ściany.

Kiedy Winter i Brand zbliżyli się ku temu miejscu — zatrzymali się nagle. Tam za skałą tuż nad brzegiem jeziora podniosła się postać ludzka, której widok wzbudzał wstręt i trwogę.

Był to Sinobrody. Jego wygląd prawie przeraził Wintera który w jednej chwili spostrzegł skierowany ku sobie rewolwer.

— Zgiń psie, szpiclu — zawołał Sinobrody.

Padł strzał, kula jednak świsnęła tuż nad głową Wintera i utkwiła w skale. W tej samej chwili dał Brand ognia do Sinobrodego. Zdawało się jednak, że i jego kula chybiła celu, bo straszny śmiech szyderczy był odpowiedzią.

Sinobrody zrozumiał, że niema dlań więcej ratunku. Przed nim nieprzyjaciel, dokoła wysokie strome skały — tylko z lewej strony było wyjście, lecz była to otchłań jeziora.

W tem rozpaczliwem położeniu był zdecydowany wdać się w walkę na śmierć i życie.

Winter nie ociągał się. Miał już przy sobie swych ludzi. Uzbrojeni natarli na złoczyńcę.

— Poddaj się — zawołał — bo ubijemy cię jak psa!

— Ha, ha, ha, — zaśmiał się Sinobrody — zbliżcie się tylko psy.

W jednej chwili przyskoczył do niego

Winter. W tej chwili stanął Sinobrody, który zrozumiał że ulegnie przemocy, tuż nad przepaścią.

Mimowoli cofnął się. Tam śmierć go czekała, lecz wolał zginąć, niż wpaść w ręce policyi.

— Stój, stój — zawołał Winter i wyciągnął ku niemu ręce.

Sinobrody skoczył i rzucił się ze skały. Znikł nagle z oczu Wintera, który usłyszał tylko pluskanie wody, dowód, że Sinobrody rzucił się w jezioro.

Winter nachylił się. Tam w falach spostrzegł Sinobrodego, który z ostatniem wysiłkiem rozdzielał fale.

Niedaleko leżało czółno, lecz skała zasłaniała mu miejsce, skąd zeskoczył Sinobrody.

— Hola — zawołał Winter — łapać go, o tam w falach.

Czółno szybko się zliżyło. Greif spostrzegł już Sinobrodego. Jak strzała pędziło czółno po powierzchni wody.

I Sinobrody zrozumiał niebezpieczeństwo. Był już tak wyczerpanym, że nie mógł myśleć o ucieczce. Już Greif wyciągnął ku niemu ręce, gdy Sinobrody nagle zapadł w głębinie.

— Utonie — zawołał Greif rozpaczliwie, patrząc w miejsce, gdzie mu Sinobrody znikł z oczu.

— O jest — zawołał nagle jeden z ludzi Greifa. Tuż obok czółna wynurzył się Sinobrody z wody. W sam czas chwyciło go dwóch ludzi, nieprzytomnego wyciągnęli na czółno i odpłynęli.

Wnet dobili do brzegu. Tu czekał już Winter.

— Macie go — zawołał radośnie. — Czy żyje?

— Miejmy nadzieję — rzekł Greif z zimną krwią. Szkoda by było, gdyby nie zginął z ręki kata.

Sinobrodego, nie dającego znaku życia, wynieśli z czółna i złożyli na trawie, na brzegu. Winter nachylił się nad nim.

— Zdaje się, że nie żyje — rzekł rozczarowany.

Zastosowano wszelkie środki, by go przywołać do życia. Nagle Brand wskazał w kierunku zamku i zawołał:

— O, umówiony znak, posłaniec księcia przybył, biała chorągiew wywieszona.

— Wróćmy do zamku — zawołał Greif. — Nasi niech tu zostaną i próbują przywołać Sinobrodego do życia, chociaż wątpię czy się to uda.

Z Winterem i Brandem wrócili do zamku. Tu przyjął ich Guenter i doniósł:

— Adjutant jego książęcej mości przybył i udał się natychmiast do zamku do księcia Artura.

— No, to się wszystko dobrze składa — rzekł Winter. Adjutant odwoła pewnie księcia do rezydencyi, książę musi spełnić rozkaz swego wuja. A skoro książę się oddali — mamy swobodę działania.

— Boję się tylko, że książę nie posłucha natychmiast zauważył Greif.

CXCV.

NIEDALEKA ZEMSTA.

— Tak, ukochana grozi ci poważne niebezpieczeństwo. Niestety, udało się niecnym oszczercom zjednać sobie i księcia wuja mego, który wprost chce cię wydać na pastwę policyi.

Temi słowy zakończył książę dłuższą rozmowę, w której doniósł Waleryi o wypadkach ostatnich dni.

Walerya zrozumiała że zbliża się dzień sądu.

Fryda ujęta i Ludwik. Ponadto agent Langhals występuje jako świadek przeciw niej. O nim zapomniała — teraz wszystko odkryte, stracona — zginie z ręki kata.

Siły ją opuściły. Drżała na całem ciele. Nagle zerwała się i zawołała w szalonej trwodze:

— Ratuj mnie Arturze, ratuj mnie!

Książę objął ją i przytulił do siebie.

— Bądź spokojną, ukochana, ja cię uchronię. Nie opuszczę cię. Biada temu, kto się odważy dotknąć ciebie zginie.

Lecz Walerya nie dała się uspokoić. Księcia była pewną, że jej w swem zaślepieniu nie opuści. Ale, czy ją potrafi obronić? Nie, jest bezsilnym wobec swego wuja. Nie, nie może jej pomódz, nie przeszkodzi temu, by jej nie uwięziono.

Daremnie próbował ją książę uspokoić, płakała i łkała spazmatycznie, łamała ręce i wielkimi krokami chodziła po pokoju.

Nareszcie udało się księciu wpłynąć na nią nieco.

— Posłuchaj mnie, biedna moja Waleryo — rzekł tuląc ją do swej piersi. Nie bój się niczego, jak długo jesteś w mej opiece, ja cię nie opuszczę.

— Niedługo potrafisz mnie ochronić — biadała Walerya — wuj twój rozłączy nas.

Oprawcy wydrą mnie z twych objęć i ty, najdroższy mój Arturze, nic nie pomożesz.

— Pomogę, zobaczysz, jestem na wszystko zdecydowany.

Drżąc przytuliła się do niego Walerya.

— Jeden jest tylko ratunek — łkała — ucieczka. Uciekajmy natychmiast kochany Arturze.

— Uciekać — zapytał książę Artur — nie można ukochana.

— Dlaczego? Jeszcze czas, kiedy policya się zjawi, będzie za późno. A ona przyjdzie tryumfująco staną przedemną owi komisarze i zabiorą mnie, niewinną swą ofiarę.

Książę Artur ucałował jej głowę.

— Płonna obawa — uspokajał ją — twoi wrogowie nigdy nie odważą się użyć wobec ciebie siły, jak długo wiedzą, że ja cię ochraniam.

— Uczynią to dzisiaj jeszcze. Ukochany mój, nie doceniasz niebezpieczeństwa. Błagam cię, uciekajmy, uprowadź mnie w bezpieczne schronienie. Wtedy niech mnie oskarżą moi nieprzyjaciele i więcej jeszcze dostarczą fałszywych świadków, wtedy potrafię udowodnić mą niewinność.

Jej błagania i łzy nie minęły bez skutku. Książę Artur wiedział, że nie był dość silnym, by zapobiedz złemu. Zgodził się w końcu na ucieczkę.

Jednak było już za późno. Podczas gdy się jeszcze naradzali, zjawił się zarządca zamku. Doniósł, że Greif i Winter stoją z oddziałem żołnierzy policyjnych pod bramą i żądają wejścia.

— Komisarz oświadczył, że użyje siły, jeżeli mu bramy nie otworzą.

Książe zerwał się.

— Siły użyje? Czy ten człowiek oszalał — uzbroić służbę. Każdego, który spróbuje wtargnąć do zamku, jak psa ubić — rozkazał książę.

Zarządca skłonił się.

— Co książę pan rozkaże, bym odpowiedział komisarzowi — zapytał.

— Nic — rzekł książę pogardliwie — ogniem odpowiedzieć, jeżeli ten szaleniec śmiał by wtargnać do zamku.

Zarządca skłonił się w milczeniu i oddalił się.

Walerya przysłuchiwała się w trwodze tej rozmowie. Po odejściu zarządcy zerwała się:

— O mój Boże, teraz już niema dla mnie ratunku. Wszystko stracone.

— Ależ kochana Waleryo, czego się obawiasz? Czy przypuszczasz że komisarz odważy się wtargnąć siłą do zamku?

— Ale on się nie oddali, urządzi na mnie zasadzkę i...

— Zapominasz ukochana, że ja jestem przy tobie — uspakajał ją książę.

— Ach — biadała Walerya w rozpaczy — co się teraz stanie? Uciekać nie mogę, a pozostawanie w zamku jest niebezpiecznem.

Po dłuższych wysiłkach udało się księciu uspokoić ją.

— Zaczekajmy do wieczora — rzekł — potem w towarzystwie mych służących siądziemy na konie i uciekniemy.

Wydał też swym ludziom odpowiednie zlecenia. A ponieważ policya cofnęła się z pod bram zamku, przypuszczał książę że się oddaliła.

Wieczorem siedział książę Artur z Waleryą, która jeszcze nie mogła się uspokoić. Przygotowania do ucieczki były gotowe.

Wtem zawiadomiono księcia o przybyciu adjutanta od jego książęcej mości.

Książę Artur zbladł. W pierwszej chwili był zdecydowany nie przyjąć adjutanta. Rozmyślił się jednak i kazał go wprowadzić. Za chwilę zjawił się adjutant w pełnym uniformie. Pozdrowił księcia w sposób wojskowy, nie zwracając wcale uwagi na Weleryę.

Podał mu zapieczętowany list.

— Od jego książęcej mości — rzekł krótko.

Książę nie przeczuwał nic dobrego. Domyślił się, co list zawiera. Otworzył i zaczął czytać. Walerya nie spuszczała go z oczu. Widziała jak ksiażę zbladł. Z trudnością starał się panować nad sobą. Rzucił list na stół. Zbliżył się do adjutanta i zapytał szorstko:

— Znasz pan treść tego listu?

— Tak, książę panie — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Powiedz pan jego książęcej mości, że ulegając wezwaniu, będę za dwie godziny w rezydencyi.

Adjutant skłonił się.

— Książę pan wybaczy — rzekł — jego książęca mość polecił mi, bym księciu panu towarzyszył.

— Więc czekaj pan! — odpowiedział książę szorstko i dał mu znak by się oddalił.

W milczeniu opuścił adjutant pokój. Walerya wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Uczepiła się księcia i objęła go.

— Nie opuszczaj mnie! O Boże! Nie opuszczaj mnie, najdroższy mój Arturze! — błagała rozpaczliwie.

— Nie idź!

— Muszę! — odpowiedział książę posępnie. Nie wolno mi się sprzeciwiać rozkazowi księcia. Czytaj, co pisze!

Ale Walerya nie miała cierpliwości na przeczytanie listu księcia. Biadała i zaklinała księcia, by u niej został. Daremnie. Chętnie by został, ale nie mógł.

— Bądź spokojną ukochana. Jutro wrócę do ciebie! — uspokajał ją.

— O nie, nie wrócisz, nie zobaczę cię więcej!

— Wrócę! Przyrzekam! Słowa ci danego dotrzymam — zapewniał. Nim słońce wejdzie, będę przy tobie.

— Książę, wuj twój, przemocą cię wstrzyma.

— Nie ulegnę mu!

— Przeczuwam ukochany, że mu uledz musisz! A wtedy nie mam nikogo, któryby mnie obronił i mnie niewinną zawloką do więzienia! — wołała Walerya w szalonej trwodze.

— Nie stanie się to, jak długo ja żyję! Uda mi się, mam nadzieję, wpłynąć na księcia. Więc chcę też udać się do niego. Ja kierować będę twoją obroną i przekonam mego wuja, żeś stała się ofiarą złośliwej intrygi. Bądź zdrowa ukochana. Wrócę do ciebie za kilka godzin.

Ucałował ją i zbliżył się ku drzwiom.

Rzuciła się za nim i uczepiła się go.

— Zabierz i mnie! — błagała.

— Na miłość Boską nie! To niebezpiecznie, tu jesteś bezpieczną aż do mego powrotu!

Nie słyszał już książę jej ostatnich słów. Drzwi się za nim zamknęły. Z dzikim okrzykiem padła Walerya na ziemię. Strasznie wyglądała.

Słyszała tętent koni w podwórzu zamkowem. Pobiegła do okna. To książę, jego adjutant i dwaj przyboczni jeźdzcy.

Pojechał i nie miała nadziei że wróci. Nie wpadnie ona w ręce policyi. Spróbuje uciec. Może się jej uda. Przypomniała sobie owe tajemne wyjście w piwnicy, którem uciekła Fryda.

Musi prędko działać. Zabrała swe kosztowności. Zarzuciła płaszcz czarny, twarz okryła gęstym welonem i wymknęła się. Wewnątrz zamku było niewielu ze służby, większość stała w podwórzu, gotowa do ewentualnej obrony.

W ten sposób mogła Walerya niespostrzeżenie dostać się do piwnicy.

Stanęła przed owym wyjściem, zaświeciła latarnię. Ten podziemny, ciemny jak grób korytarz, przeraził ją. Lecz nie było wyboru.

— Wtem — co to? Strzał? Policya wtargnęła już do pałacu.

Dalej więc. Walerya dodawała sobie odwagi i kroczyła dalej prędko, jak gnana przez duchy. Przerażał ją odgłos własnych kroków, zdawało się jej, że tuż za nią pędzi komisarz.

Wtem nagle przystanęła. Tam w oddali jakby płomień pochodni. Co to? W korytarzu ozwały się ciężkie kroki.

Ukryła latarnię pod płaszczem. Tak, tam zbliżali się ludzie. Stamtąd z końca korytarza. To chyba komisarz i jego ludzie. Pewnie Fryda zdradziła mu tajemnicę.

Rozpacz i trwoga odebrały jej na chwilę równowagę. Więc musi wrócić. Coraz bardziej zbliżały się pochodnie. Za chwilę zobaczą ją, nie należy zwlekać.

Szczęśliwie dostała się znowu do piwnicy. Zamknęła żelazną ścianę szafy. Chyba nie potrafi komisarz drzwi tych otworzyć.

Opuściła piwnicę i zamknęła za sobą wszystkie drzwi. W zamku spotkała zarządcę, który jej już dawno szukał i doniosła mu, iż zauważyła, że nieprzyjaciele zbliżają się tajnem wejściem.

Zarządca przeraził się. Nic nie wiedział o tem wejściu. Chciał zarządzić odpowiednie środki, by policyę powstrzymać.

Walerya udała się do swoich komnat i zamknęła się. Teraz nie widziała dla siebie ratunku.

Na dworze wzmagał się hałas. Padły strzały. W ogrodzie świeciły się pochodnie. Służba biegała bezradnie po podwórzu. Ze wszystkich stron nadciągali żołnierze policyjni.

Walerya błądziła po swoich wspaniałych pokojach. Twarz jej zdradzała szaloną trwogę.

Hańba jej groziła, więzienie i śmierć. Już widziała szubienicę i kata.

Okrzyk zgrozy. Łamała ręce i chciała się modlić prosić Boga o ratunek. Lecz nie mogła słowa przemówić. Pobiegła do okna.

Tam w podwórzu zamkowym pochodnie. Służba gotowa do ataku. Wtem ze strony ogrodu trzask i huk, to furtka runęła i nieprzyjaciele wtargnęli.

Straszne zamieszanie. Służba się cofnęła. Rozległa się krótka komenda. Na odgłos tego rozkazu Walerya zadrżała. To komisarz Greif wtargnął do zamku na czele swych ludzi.

Walerya nie spodziewała się więcej ratunku. Przeczuwała swój koniec.

Lecz nie. Żywa nie wpadnie w ręce znie-

nawidzonego komisarza. Sama sobie śmierć zada.

Pospieszyła do swego buduaru. Otworzyła szafę i wyjęła z niej skrzynkę, która zawierała rozmaite medykamenta między temi także flaszeczkę strasznej trucizny. Tą to trucizną chciała sprzątnąć hrabiego Edmunda. Użyła jej także do swych zamachów na życie Wintera. Teraz ona sama miała z trucizny tej zginąć.

Flaszeczka zawierała tylko jeszcze resztę, ale to starczy. Napełniła szklankę winem, wlała zawartość flaszeczki i podniosła szklankę do ust.

CXCVI.

ZWYCIĘSTWO PRAWDY.

Hrabia Edmund przepędził straszne chwile w więzieniu. On do niedawna pierwszy w kraju po księciu, był teraz pozbawiony wszelkich godności i więziony jak zbrodniarz. Więcej jeszcze trapiła go troska o nieszczęśliwą swą żonę Agatę.

Wtem nagle powstał w jego aferze dziwny zwrot. Prędzej, niż się spodziewał.

W czasie kiedy rozegrały się ostatnie wypadki, zawezwano go pewnego dnia do prokuratora. Przyjął go nadzwyczaj grzecznie, poprosił go by usiadł i rzekł:

— Panie hrabio, mam wesołą wiadomość. Otóż okazało się, że żona pana nie popełniła owego mordu, za który ją swego czasu skazano na śmierć.

Okrzyk radosnego zdziwienia.

— Więc nareszcie! Dzięki Bogu! — zawołał uszczęśliwiony hrabia Edmund.

— Tak! — rzekł prokurator, wskazując na plik aktów. Dzięki Bogu, że nie zapóźno odnosi zwycięstwo niewinność. Panie hrabio, chcę pana zapoznać ze stanem rzeczy i przeczytać panu zeznania trzech świadków, stwierdzające niewinność żony pana.

I począł z aktów czytać wypadki ostatnich dni, nadto najważniejsze zeznania Frydy, Langhalsa i Ludwika Hechta.

— A zatem — dodał, na podstawie tego żona pana jest niewinną. Niesprawiedliwy wyrok został zniesiony na rozkaz jego książęcej mości.

— A morderczyni barona Rembow?

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jest nią Walerya Hecht, to jej prawdziwe nazwisko. Prawdopodobnie dzisiaj przyaresztuje ją komisarz Greif.

— O Boże! — szepnął hrabia Edmund wzruszony. Dzięki Ci! Już nie wierzyłem w zwycięstwo prawdy, a teraz. Ach! — dodał, to wszystko zawdzięczamy tym dzielnym urzędnikom, komisarzowi Greifowi i Winterowi.

— Tak! — rzekł prokurator nieco zakłopotany, panowie ci zdobyli sobie wielką zasługę. Panie hrabio, wiele się zmieniło. Jego książęca mość wydał także postanowienie ważne także i dla pana hrabiego.

Wziął dokument i począł czytać:

"W imieniu jego książęcej mości zarządza się niniejszem, by hrabiego Edmunda Linderhof uwolnić natychmiast z wiezienia i obalić wniesione przeciw niemu oskarżenia.

Nadto ponieważ wyszła też na jaw zupełna niewinność hrabiny Agaty Linderhof, nie można też czynu jej męża, zdążającego do jej ocalenia, uważać za naruszenie istniejących przepisów prawnych. Należy raczej wspaniałomyślny ten czyn nazwać zasługą, która zapobiegła wykonaniu niesprawiedliwego wyroku śmierci.

W imieniu jego książęcej mości
Minister Borgheim."

Prokurator wstał, zbliżył się do hrabiego i rzekł uroczyście:

— Oświadczam panu zatem, panie hrabio, że jesteś wolnym i że możesz wrócić do swego pałacu.

W pierwszej chwili hrabia nie mógł przemówić słowa. Zdziwienie i radość opanowały go. Wszystko się stało tak niespodzianie. W oczach jego zabłysły łzy.

— Dziękuję panu, panie prokuratorze, rzekł głęboko wzruszony i podał mu rękę. Przypuszczam, że i pan dołożyłeś starań, by prawda zwyciężyła.

— Uczyniłem, co mogłem — odpowiedział prokurator zakłopotany. Wie przecież pan hrabia, jak stanowczo wystąpił książę w obronie swej kochanki i dlatego też nie mogłem tak wystąpić, jak chciałem.

Hrabia Edmund spostrzegł jego zakłopotanie i prędko porzucił ten temat.

— Czy wie pan, gdzie się obecnie znajduje moja żona? — spytał.

— Przypuszczam że pani hrabina bawi na zamku Wildenfels albo w gospodzie "Pod pełnym dzbanem" — rzekł prokurator i opowiedział, co wiedział o prześladowaniach Agaty.

— Zresztą — dodał, już wczoraj a także i

dzisiaj ogłoszono wszystko publicznie w gazetach. Niewątpliwie dowie się o tem i żona pana hrabiego. Ponadto otrzyma pan hrabia w tej mierze pewne wiadomości od komisarza Wintera.

— Dobrze! Ale panie prokuratorze, jeszcze jedno: mój stary sługa został ze mną razem uwięziony niewinnie. Czy nie można i jego uwolnić?

— Chętnie spełnię życzenie pana hrabiego. Służący pana hrabiego zostanie natychmiast uwolniony.

— A matka mej żony? Czy sprawa tej nieszczęśliwej kobiety nie weźmie szczęśliwego obrotu?

Prokurator wzruszył ramionami i rzekł:

— W tej sprawie rozstrzyga sam książę!

— Więc spróbuję jeszcze raz przekonać jego książęcą mość, że kobieta ta zasłużyła raczej na litość niżeli na karę. Jej zamach był aktem zemsty na ministrze Borgheim.

— Tak ona twierdzi! — powiedział prokurator. Pan hrabia zna przecież historyę tej kobiety. Byłoby dobrze, gdyby mi pan hrabia chciał to opowiedzieć.

Hrabia Edmund zgodził się. Opowiedział wszystko co wiedział, a sekretarz prokuratora zaprotokułował to.

— Sprawa bardzo poważna! — rzekł prokurator. Bo jeżeli to jest prawdą, natenczas minister jest zupełnie skompromitowany. A tu sam książę może zadecydować, czy należy wdrożyć śledztwo.

— Książę zażąda niewątpliwie dokładnych informacyi w tej sprawie, a ja wszystko uczynię, bo oczyścić matkę mej żony.

Hrabia Edmund opuścił następnie więzienie w towarzystwie swego wiernego Michała. W pałacu oczekiwała go nowa niespodzianka.

Na schodach spostrzegł grupę ludzi, których się tu nie spodziewał. A wśród nich postać kobiecą, która mu się rzuciła na szyję.

— Agata! — zawołał hrabia. Nareszcie!

— Edmundzie! — rzekła Agata wśród łez. Tyś wolny? Dzięki Bogu. Wiem o wszystkiem. Przybyłam tu z moimi wiernymi przyjaciółmi, by cię tu oczekiwać.

Radość hrabiego nie znała granic. Długo nie mógł słowa przemówić.

Rozglądnął się po obecnych. Tak, to jego najserdeczniejsi. Mały Walter, prowadzony za rękę przez wierną Martę, a obok niej doktór Kloc. Byli też Aleksander i stary hrabia, a także Józefa i Gertruda.

Wszyscy uradowani ściskali go serdecznie. Poprowadził ich do swoich komnat i nie było końca pytaniom i opowiadaniom.

Zapadł zmrok.

Z niecierpliwością oczekiwano przybycia Wintera.

— Prawdopodobnie natrafili nasi przyjaciele na trudności przy aresztowaniu Waleryi! — rzekł hrabia Edmund do doktora Kloca.

— Pojadę i obaczę co się stało — oświadczył tenże.

Osiodłano dwa konie i w towarzystwie Aleksandra popędził doktor Kloc w dal.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Książę Artur oburzony rozkazem swego wuja przybył do pałacu i udał się natychmiast do księcia.

Wuj przyjął go chłodno. Książę Artur nie czekając na przemówienie wuja, rzekł wzburzonym głosem:

— Wasza książęca wysokość uważał za stosowne zawezwać mnie do siebie. Posłuchałem, chociaż jestem zdziwiony dziwnym sposobem wezwania.

— Zdziwiony jesteś? — przerwał stary książę gwałtownie. Próśb mych i przedstawień nie posłuchałeś, więc rozkazałem. I to cię tak dziwi?

— Tak! Bo mój stosunek do hrabiny Waleryi jest moją sprawą prywatną! — zawołał książę Artur. Oświadczyłem też już wielokrotnie, że nie ustąpię! Czemu więc policya niepokoi kobietę, stojącą pod moją opieką? I dlaczego wasza książęca mość odwołał mnie z mego zamku o tak późnej godzinie?

Książę dał mu się wygadać. Uśmiech ironiczny zawitał na jego twarzy, który jednak wnet znikł.

— Szalony! — zawołał gniewnie. Kiedy nareszcie przejrzysz. Sprowadziłem cię tu z zamku, byś nie popełnił jakiego szaleństwa.

— O! odpowiedział książę Artur gorzko, właśnie temu chciałem zapobiedz. Lecz mam nadzieję, że i pod moją nieobecność ludzie moi spełnią swój obowiązek.

— Więc rozkazałeś może by stawić policyi opór?

— Tak!

— Więc otwarcie naruszasz ustawy i moje rozkazy? — zawołał stary książę. Czy rozum straciłeś? Chcesz, by cię uważano za buntownika? Ostrzegam cię po raz ostatni! Jeżeli wytrwasz w swem zaślepieniu, postąpię z tobą bezwzględnie. A teraz idź! Bez mego pozwolenia nie opuścisz więcej swych pokoi.

Książę zbladł.

Usta jego drżały nerwowo.

— Wuju! — zawołał zdławionym głosem. Cofnij ten rozkaz!

— Nie! I mam nadzieję, że posłuchasz!

— Tylko sile ustąpię! Obojętne mi, co się stanie!

Stary książę zadzwonił.

Natychmiast wszedł adjutant.

— Kochany kapitanie — rzekł doń stary książę spokojnie. Bez mego zezwolenia książę Artur nie opuści zamku. Rozkażesz pan strażom, by przytrzymały księcia, gdyby nie posłuchał mego zarządzenia

— Wedle rozkazu!

Adjutant oddalił się.

Książę zwrócił się do swego siostrzeńca.

— Cierpliwość moja skończyła się — rzekł niechętnie. Nie chcesz w dobroci posłuchać, więc zastosuję najsurowsze środki. Nie myśl, że stoisz ponad prawem. Twoja kochanka zostanie uwięzoną jako zbrodniarka.

— Od tej chwili zerwane są wszelkie stosunki, łączące cię z tą kobietą!

Stary książę skinął i książę Artur bez słowa odpowiedzi oddalił się blady i drżący.

Lecz nie dał za wygrane. Udał się do swoich komnat i zawołał swego przybocznego strzelca. Dał mu pewne zlecenie, poczem tenże się oddalił. Książę przywdział długi ciemny płaszcz i wyszedł ku tylnym schodom.

Tu spotkał już swego strzelca.

— Wszystko gotowe? — spytał książę. Konie?

— Wszystko, książę panie!

Książę zeszedł ze schodów ku ogrodowi, który się rozciągał daleko za zamkiem. Strzelec księcia otworzył niestrzeżoną furtkę i weszli do ogrodu, spiesząc ku wyjściu. Strzelec znowu otworzył furtkę. Tu czekał już lokaj z parą koni.

Książę i strzelec dosiedli koni i popędzili w dal.

Tuż przed północą stanęli w zamku myśliwskim.

Już zdala słyszał książę krzyk i strzały. Wściekły wpadł przez otwartą bramę w dziedziniec zamkowy.

Przy świetle pochodni można się było prędko zoryentować w sytuacyi.

Policya i żandarmi zapełnili dziedziniec, prąc na zamkniętą bramę główną, której broni ła służba.

Wściekłość księcia nie znała granic. Spiął konia ostrogami i wjechał w szeregi policyi.

— Precz łotry! — zawołał, bijąc spiructą na wszystkie strony. Podniosły się krzyki i złorzeczenia. A strzelca który śmiał naśladować przykład swego pana, ściągnięto z konia.

Tymczasem książę przed bramą zsiadł z konia. Rozglądnął się dookoła i zawołał swego strzelca. Lecz ten w utarczce z policyą odniósł ciężką ranę. Książę wściekły wtargnął znowu w szeregi żandarmów, którzy dobyli szabli lecz na widok księcia cofnęli się.

— Który łotr to uczynił? — zgrzytnął książę. Kto śmiał zranić mego służącego?

Cisza.

Darmo wyzywał książę urzędników, którzy tylko z trudnością panowali nad sobą.

— Wszystkich was pociągnę do odpowiedzialności! — zawołał. Napędzę całą bandę. A teraz precz!

Policya cofnęła się wprawdzie, lecz nie chciała opuścić dziedzińca.

— Łotry nie posłuchacie?

I ta groźba nie odniosła skutku. Wtedy książę zbliżył się ku bramie. Służba otwarła ją. Stanął w bramie i rozkazał służbie przygotować broń.

— Jeżeli wszyscy w przeciągu dwóch minut nie opuszczą dziedzińca, każę strzelać.

Odpowiedzą były krzyki oburzenia.

Książę słyszał pojedyńcze ich głosy, które mu złorzeczyły.

W tej krytycznej chwili wpadł na dziedziniec zamkowy nowy oddział z Greifem i Winterem na czele.

Wrócili właśnie z podziemnego wejścia skąd daremnie próbowali dostać się do zamku.

— Co się tu dzieje? — zawołoł Greif i popędził ku bramie.

W tej chwili zauważył księcia. Wśród ogólnego zamięszania nie słychać było żadnej komendy.

— Tutaj! — zabrzmiał głos księcia. Posłuchajcie jaki mój rozkaz.

Z trudnością przywrócił tymczasem Winter spokój. Nareszcie dowiedzieli się komisarze, co zaszło.

Przystąpili do księcia, który miotał n nich groźbami.

— Każę was wszystkich ubić, jeżeli natychmiast nie opuścicie zamku! — zawołał. To moje terytoryum! Kto tu wtargnie, wszystko mi jedno kto on, tego uważam za rabusia i zbrodniarza.

Książę nie pozwolił komisarzom przemówić, grożąc ciągle, że każe strzelać.

Greif i Winter porozumieli się. Obawiając się poważnej katastrofy, kazali swoim ludziom opuścić dziedziniec zamkowy.

— Zamknąć bramę! — rozkazał książę.

Poczem zwrócił się do zarządcy, który blady i wystraszony stał za nim.

— Gdzie hrabina? — spytał. W swych pokojach?

— Tak, książę panie.

Książę wydał jeszcze niektóre zlecenia i udał się w towarzystwie zarządcy do zamku, wprost ku pokojom Waleryi. Lecz ku jego zdziwieniu, były drzwi zamknięte a na swe pukanie nie otrzymał odpowiedzi.

Zaniepokojony zwrócił się do zarządcy.

— Boję się, że hrabinę spotkało nieszczęście. Sprowadź pan ludzi. Trzeba drzwi natychmiast otworzyć.

Niedługa zjawiła się służba z potrzebnemi narzędziami. Otwarto drzwi. Wszyscy wtargnęli do oświeconych komnat.

Książę szybko przebiegł pokoje i stanął na progu buduaru.

Wtem z okrzykiem zgrozy cofnął się książę.

Na ziemi leżała bez ruchu Walerya.

— Boże wszechmocny — zawołał książę— ona nie żyje?

Za nim cisnęła się służba, patrząc trwożliwie na nieruchomą bladą postać Waleryi.

Książę opamiętał się.

Rzucił się ku niej i nachylił się nad nią.

Zerwał się, gdy zobaczył wykrzywioną jej twarz. Spostrzegł leżącą na ziemi szklankę.

— Trucizna — szepnął przejęty niewymowną boleścią — otruła się.

Zwrócił się ku gapiącej służbie i zawołał:

— Prędko po lekarza, natychmiast do miasta, zawołać doktora.

Służba rozbiegła się. Książę sam pozostał przy swej kochance. Lecz niedługo powstał w przedpokoju zgiełk. W tej samej chwili stanęli na progu huzarzy z oficerem na czele i adjutantem jego książęcej mości.

W rezydencyi zauważono wnet ucieczkę księcia Artura i na rozkaz starego księcia pośpieszył za nieposłusznym oddział huzarów, by go przemocą sprowadzić.

Służba natychmiast otworzyła bramę wysłańcom księcia, a za nimi wtargnęli do zamku także Winter i Greif ze swoimi ludźmi.

Wszyscy byli przerażeni na widok nieruchomej Waleryi i rozpaczającego księcia.

— Wielki Boże — zawołał Winter—wskazując na leżącą na ziemi szklankę. Zapóźno, zbrodnicza ta kobieta sama na siebie wyrok wydała.

Zerwał się książę, zacisnął pięść i grożąc Winterowi, zawołał wściekły:

— Tak łotry, to wasze dzieło. Śmierć tej niewinnej kobiety na was spada. Ale biada wam, drzyjcie przed moją zemstą. Strasznie zapłacicie mi za to wasze morderstwo.

Mimowoli uczuł Winter pewien strach na widok księcia, który w swem zaślepieniu ciągle jeszcze ubóstwiał tę kobietę szatańską i biadał po jej stracie, jak gdyby to był anioł.

Książę wskazał nagle ku drzwiom i zawołał:

— Precz wszyscy, bo nie ręczę za siebie.

Lecz adjutant pewnym krokiem zbliżył się do księcia, salutował i rzekł:

— Książę panie, jego książęca mość rozkazał, by książę pan natychmiast powrócił do rezydencyi.

Książę patrzał nań ponuro. Rysy jego przybrały wyraz groźny.

— Idź pan, panie kapitanie — rzekł szorstko — powiedz jego książęcej mości, że mnie żadna siła nie oderwie od boku tej kobiety.

Adjutant stał niewzruszony.

— Książę panie, mam surowy nakaz, nie powrócić do rezydencyi bez księcia pana.

— To zostań pan tu — rzekł książę zimno — albo może chcesz pan użyć siły — dodał po chwili, chwytając za rękojeść miecza.

— Nie — rzekł adjutant spokojnie — skoro książę pan nie chce usłuchać rozkazu jego książęcej mości, pozostaje mi tylko donieść o tem.

— Rób pan, co ci się podba. Lecz opuść pan, huzarzy pańscy i policya te komnaty. Domagam się tego stanowczo.

Adjutant cofnął się, a za nim Winter i i Greif.

Nagle książę wydał okrzyk radości i ukląkł obok Waleryi. Podniósł jej głowę i wpatrywał się w jej twarz.

— Żyje — zawołał — oddycha, dzięki Bogu, żyje.

— Żyje — odezwał się głos Wintera jakby echo.

I wszyscy, którzy właśnie chcieli się oddalić, zwrócili się ku drzwiom.

— Sprowadźcie lekarza — zawołał książę — na miłość Boska prędko.

I zdało się, jakby Bóg chciał spełnić jego życzenie. Na progu stanął doktór Kloc w towarzystwie Aleksandra.

— Przyjacielu — zawołał Winter — spostrzegłszy doktora i pociągnął go do pokoju— widzi pan, Walerya zażyła truciznę.

Książę usłyszał te słowa.

— Panie doktorze — zawołał — chodź pan. Ratuj ją — błagał drżącym gołsem. — Ratuj ją dla mnie, a ja cię nagrodzę.

—Nie dla ciebie ja uratuję, lecz dla kata— pomyślał doktór Kloc.

Natychmiast jednak zbadał Waleryę, która teraz dawała słabe oznaki życia i przy pomocy służby sprowadził ją do sypialni. Udał się za nim książę i w gorączkowem naprężeniu śledził ruchy lekarza.

— Czy jest jaka nadzieja? — zapytał.

Doktór Kloc wzruszył ramionami i mruknął kilka niezrozumiałych słów, a głośno dodał:

— Książę pan zechce mnie samego zostawić przy chorej.

Niechętnie wyszedł książę z pokoju. Doktór Kloc zawołał służącą do pomocy, poczem zamknął drzwi i rozpoczął swą czynność.

Długo trwało, nim się okazał pewien skutek. Na chwilę odpoczął, odstąpił od łoża, na którem leżała Walerya i patrząc na nią z obrzydzeniem szepnął:

— Nędznico, pocóż te moje zabiegi. Dla ciebie byłoby lepiej, byś nie wróciła do życia.

Mimoto rozpoczął na nowo swe zabiegi. A służąca spełniała każde jego zlecenie.

Nagle zapukano do drzwi po drugiej stronie. Służąca otworzyła. Wszedł Winter.

— Cicho—szepnął —książę jest jeszcze w buduarze. Nie powinien wiedzeć, że ja tu jestem, co z Waleryą?

— Spodziewam się, że wyjdzie — oświadczył doktór Kloc.

— Naprawdę to dobrze, nędznica ta musi przed śmiercią wyznać swe zbrodnie.

Chwilę jeszcze szeptali, nagle rzekł Winter:

— Chwyciliśmy dzisiaj Sinobrodego, lecz wydobyliśmy go z jeziora prawie martwego. Nie wiemy, czy się udało naszym ludziom przywrócić mu życie. Jeżeli pan możesz oddalić się stąd, to może oglądnie pan tego łotra.

— Sinobrodego, szkoda go, gdzie on?

— Tam, w jaskini?

— Dobrze, zaraz pójdę. Narazie moja obecność tu zbyteczna.

Winter ulotnił się przez sąsiedni pokój. Doktór Kloc otworzył drzwi do buduaru. Natychmiast wszedł książę. Wzrok jego padł na bladą postać Waleryi, która na białych poduszkach leżała jakby nieżywa.

— Czy uratowana? — zapytał książę drżącym głosem.

— Chwilowo, książę panie — odpowiedział doktór Kloc, a zwróciwszy się do służącej, wydał jej niektóre zlecenia.

— Dokąd doktorze, zostań pan tu — błagał książę nie możesz jej pan przecież teraz opuścić.

— Wnet wrócę, książę panie. Narazie jestem tu zbyteczny — oświadczył obojętnie doktór Kloc.

— Ale pan chyba nie wróci do miasta?

— Mam tu jeszcze jednego zbrodniarza, któremu trzeba mej pomocy, książę panie. Mianowicie brata tej tu kobiety, który przed pogonią rzucił się do jeziora.

— Co — zawołał książę blady — o kim pan mówisz?

— O hrabiu Sinobrodym, książę panie, o osławionym mordercy kobiet.

I nie zważając na księcia, który stał w bezgranicznem osłupieniu, wyszedł doktór Kloc z buduaru.

CXCVII.

ZAKOŃCZENIE.

W kilka dni później zajechał na dziedziniec zamku myśliwskiego zamknięty powóz w towarzystwie dwóch konnych żandarmów. Na przodzie powozu siedział urzędnik policyjny.

Księcia tu nie było, ani jego służby. Od dwóch dni znajdował się w swym zamku w rezydencyi, pilnie strzeżony. W zamku myśliwskim objął rządy mianowany przez starego księcia, nowy zarządca.

Służbę, która na rozkaz księcia Artura stawiła policyi zbrojny opór, oddalono bez wszelkich względów.

W samotnym zamku zaległa cisza. W pokojach Waleryi siedzieli urzędnicy kryminalni ze swym komisarzem Winterem, który zamieszkał w buduarze.

U łoża Waleryi siedziała służąca i jej opiece miała Walerya do zawdzięczenia, że prawie minęło niebezpieczeństwo.

Lecz cóż mogło przynieść jej jeszcze życie? Wiedziała teraz, że jej nikt nie ocali.

Jej jedyny przyjaciel i obrońca, książę Artur, był bezsilnym.

Lecz chociaż drżała w bezgranicznej trwodze na myśl o karze, która ją czekała, nie czuła mimo to ani wyrzutów sumienia, ani żalu. W duszy jej walczyły ze sobą tylko trwoga śmiertelna i bezsilna wściekłość.

Wszystko skończone.

Żyła jeszcze wspomnieniami minionego szczęścia. Tu w tych pokojach wspaniałych przeżyła błogie godziny w objęciach zaślepionego księcia.

A teraz?

Wszystko skończone.

Prysły jej sny i dumne nadzieje

Szubienica ją czeka.

Drzwi się otwarły i wszedł Winter, a za nim przybyły właśnie urzędnik policyjny w

towarzystwie woźnego sądu. Walerya drżała gwałtownie.

Winter skinął na urzędników. Zbliżyli się do łoża Waleryi i podnieśli materac.

— Czego chcecie? — zawołała Walerya. Dokąd mnie prowadzicie?

— Do więzienia! — rzekł Winter szorstko. Naprzód! — rozkazał.

Walerya czuła, że ją unoszą.

— Zostawcie mnie tu! Tu chcę umrzeć!— wołała rozpaczliwie. Ne pójdę do więzienia. O Boże! Zlitujcie się nademną!

Lecz podobnie jak ona nie znała litości dla swych ofiar, tak nie znano też i teraz dla niej.

Winter naglił do wymarszu.

Sprowadzono Waleryę do zamkniętego wozu, do którego wsiedli dwaj urzędnicy policyjni.

Rozpaczliwy okrzyk z wnętrza.

Wóz ruszył w asystencyi żandarmów.

Zadanie Wintera tu było ukończone. Tego samego dnia jeszcze wrócił do rezydencyi i razem z komisarzem Greifem udali się do prokuratora, w którego kancelaryi zjawił się wnet i doktór Kloc. Razem wszyscy udali się do celi w szpitalu więziennym, gdzie umieszczono Waleryę.

Na kurytarzu przed drzwiami stali trzej więźniowie, otoczeni silną strażą. Byli to Langhals, Ludwik Hecht i Fryda.

Ludwik Hecht nie odzyskał jeszcze zupełnego zdrowia. Wspierał się na ramieniu dozorcy więziennego.

Wszystkich trzech wprowadzono do celi.

Śmiertelnie blada leżała Walerya na nędznem posłaniu.

Obok jej łoża siedziała starsza, rubaszna kobieta, która wstała za wejściem prokuratora i jego towarzyszy.

Walerya wpatrywała się w przybyłych.

Na skinienie doktora Kloca, który jej się przez chwilę badawczo przypatrywał, przystąpił prokurator i rzekł do niej surowo:

— Zna pani te osoby — prawda?

Walerya widziała Frydę, swego męża, Langhalsa, twarz jej wykrzywiła się w bezsilnej wściekłości.

Nie odpowiadała.

— Czy przyznajesz pani, że ten człowiek jest twoim prawowitym mężem? — spytał prokurator, wskazując na Hechta.

— Nie! Nie znam go!

— A, wiemy o tem lepiej niż pani! Mamy dowody. Kłamanie na nic się nie zda. Czy przyznajesz pani, że od tego tu człowieka, wskazując na Langhalsa, kupiła pani truciznę, którą otrułaś barona Rambow?

Walerya zawołała pogardliwie:

— Nędznik ten kłamie!

— Służąca pani, Fryda, podsłuchała rozmowę pani z Langhalsem i widziała, jak wsunęłaś truciznę w kieszeń hrabiny Agaty Linderhof, by w ten sposób na nią skierować podejrzenie.

— To wszystko kłamstwo! — zgrzytnęła Walerya.

— Wówczas złożyłaś pani w sądzie fałszywą przysięgę i z winy pani została hrabina Agata skazaną na śmierć. Czy nie chcesz pani wyznać swych zbrodni?

— Nie mam nic do wyznania!

— Dobrze! Nie potrzeba nam zeznań pani, bo zeznania świadków i inne dowody stwierdziły winę pani. Muszę panią jeszcze tylko z urzędu zawiadomić, że wytoczono pani skargę z powodu następujących zbrodni: mord, namawianie do mordu w trzech wypadkach, usiłowane skrytobójcze morderstwo na mężu pani Ludwiku Hechcie i na hrabiu Edmundzie Linderhof i jego żonie hrabinie Agacie Linderhof i w końcu krzywoprzysięstwo.

Prokurator i jego towarzysze opuścili celę więzienną.

— A teraz do Sinobrodego! — rzekł. Panie Winter, czy zjawił się hrabia Windenfels z hrabiną Gertrudą i Józefą?

— Tak, panie prokuratorze, są w rozmownicy!

— Poproś ich pan do mego biura!

Winter spełnił zlecenie prokuratora, w którego biurze zjawili się też w międzyczasie Greif i Aleksander i wszyscy obecni podczas przesłuchania Waleryi.

Na rozkaz prokuratora wprowadził woźny sądowy fałszywą hrabinę Betlinę, a zarazem i jej ciotkę, panią Dijon.

Za chwilę usłyszano brzęk łańcuchów i w asystencyi dwóch herkulesowych żandarmów wszedł Sinobrody. Udało się przywrócić go do życia i teraz stanął oko w oko ze swoimi [illegible] rami i ze swymi współwinnymi.

Wyglądał strasznie.

Lecz dziki jego opór nie złamany [illegible] dał się jak pojmany tygrys, a oczy [illegible] czały jadem nienawiści i wściekłoś[illegible] Józefy i Gertrudy.

Patrzano na niego ze wstrętem.

Betlina zeznała wszystko. Podała, że Sinobrody zamordował prokurzystę i ojczyma Gertrudy. Sama zaś wypierała się wszelkiej winy. Na nic się to nie zdało, bo Sinobrody sam odsłonił wszystkie swe zbrodnie, by w ten sposób wykazać i winę Betliny.

Prokurator odczytał mu oskarżenie, które wyliczało wszystkie jego zbrodnie.

— Przyznajesz się pan więc do wszystkiego?

— Tak! Niczego się nie wypieram, bo i tak pójdę pod szubienicę! Ale zaznaczam wyraźnie do zbrodni na tym starym głupcu Rosyaninie namówiła mnie ta tu, wskazał na Betlinę i dzielnie dopomagała przy wtrąceniu starego do wody.

— To kłamstwo! Ten nędznik kłamie! — wołała Betlina rozpaczliwie.

Sinobrody zaśmiał się szatańsko.

— Gołąbku, podzielisz mój los. I to mnie cieszy, że taka cię czeka nagroda za twą przebiegłość i podstęp.

Prokurator nakazał milczenie.

— Ile miałeś pan żon? — spytał surowo.

— Pięć z temi tu! — oświadczył Sinobrody z cynicznym uśmiechem. A jeżeli doliczę i tę kanalię, piękną pannę Betlinę, to pół tuzina.

— Jak się nazywały pierwsze trzy żony i kto one były?

— Pierwsza nazywała się Iris. Było to stare, brzydkie pudło. Była bogatą i nie miała krewnych!

— Dlaczego ją zamordowałeś?

— Bo mi się sprzykrzyła i chciałem rozporządzać zupełnie swobodnie jej pieniędzmi.

— Więc wtrąciłeś ją do owego tajemniczego sklepienia, które odkryła hrabina Gertruda!

— Tak! i następne żony również.

— Kto one były?

— Druga była również dość bogatą. Nazywała się Liana. Ponieważ jednak była ciekawą i śledziła moje tajemnice, potrafiłem się jej pozbyć.

— To samo uczyniłem z trzecią, z Margaretą, młodziutką dziewczyną.

— A potem?

— Ożeniłem się z piękną Józefą. Resztę [illegible]ż chyba ona zeznała. Podobnie Gertruda [illegible]dland. Proszę mi już dać spokój z dalsze[illegible]taniami.

— [illegible]zy pan zamordowałeś radcę komer[illegible]

— Ja i mój służący Piotr!

— [illegible] barona Jakóbą, co? A potem sk[illegible] podejrzenie na Gerharda?

— Tak, nie przeczę niczemu!

Wstręt i obrzydzenie zdjęły obecnych na widok tego potwora. Na skinienie prokuratora odprowadzono go do więzienia.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

W dwa miesiące później odbył się, wśród ogólnego zainteresowania, proces Waleryi i Sinobrodego.

Skazani zostali na śmierć przez powieszenie.

Aż do końca procesu prawie wierzył książę Artur niewzruszenie w niewinność Waleryi.

Dopiero kiedy rozprawa wykryła wszystkie szczegóły, zoryentował się nareszcie książę. Poznał, że kochał szatana w ludzkiej postaci i przeklinał chwile, które spędził w objęciach Waleryi.

Pewnego dnia, nim słońce weszło, sprowadzono Waleryę i Sinobrodego pod szubienicę.

Aż do tej chwili spodziewała się Walerya ułaskawienia.

Na widok szubienicy, straciła odwagę. Padła na kolana i w szalonej rozpaczy błagała o litość.

Porwano ją i sprowadzono pod szubienicę gdzie niegdyś klęczała Agata. Jeszcze jeden rozpaczliwy okrzyk...

Zbrodniarka przestała żyć.

Po chwili zginął i Sinobrody z ręki kata.

— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Betlina została skazana na długoletnie więzienie. Pani Dijon na stosunkowo lekką karę więzienną.

Także Fryda otrzymała łagodniejszą karę, niźli się spodziewała.

Ludwik Hecht, oskarżony o usiłowane morderstwo na Agacie, Delii i na Braunie, nad to o podpalenie zamku leśnego, został skazany na dożywotnie więzienie. Ten sam los spotkał i Langhalsa.

Winter otrzymał napowrót swój urząd. On i Greif zostali sowicie wynagrodzeni przez hrabiego Edmunda. Również i doktór Kloc.

Agata oczyszczona była od wszelkiego podejrzenia.

Szczęście jej chmurzył jeszcze tylko los nieszczęśliwej jej matki. Lecz hrabia Edmund nie dał za wygrane. Stara Cyganka wystąpiła ze swemi sensacyjnemi zeznaniami.

Znała była przedtem matkę Agaty i wiedziała o jej prześladowaniach przez ministra Borgheima. Nieszczęśliwa musiała długo ukrywać się wśród Cyganów.

W końcu wglądnął książę w tę aferę i zdemaskowano ministra. Winter znalazł w pałacu ministra jego listy, pisane do żony, stwierdzające niewątpliwie jego winę.

Musiał się podać do dymisyi, nadto na rozkaz księcia ożenił się z nieszczęśliwą kobietą, którą niegdyś unieszczęśliwił i tak prześladował i zdradził. Ponieważ jego pierwsza żona dawno nie żyła, nic temu nie stało na przeszkodzie. Jednak natychmiast po ślubie rozeszli się

znowu. Minister udał się za granicę, a matka Agaty została przy swej córce.

Hrabia Edmund został ministrem. I dla ciężko doświadczonych zabłysło nareszcie szczęście.

Na zamku Wildenfels odbyła się niedługo wielka, radosna uroczystość. Tam cztery szczęśliwe pary zawarły związek małżeński.

Winter poprowadził swą Katynkę do ołtarza.

I doktór Kloc nie zwlekał i poślubił oddawna serdecznie ukochaną Martę. Następne pary to Gertruda i Aleksander, Józefa i farmer.

A stary hrabia uradowany, wszystkim ślub na zamku swym wyprawił. Naturalnie byli obecni wszyscy przyjaciele. Wśród nich dzielny rybak Detlew, wierna Delia i Greif, również Braun i Guenter.

W dziedzińcu zamkowym goszczono Cyganów.

Kiedy wszyscy siedzieli przy bogato zastawionym stole, wstał stary hrabia i rzekł do wszystkich wzruszonym głosem:

— Kochani przyjaciele i szczęśliwi nowożeńcy. Dzień ten radosny jest dla nas wszystkich najpiękniejszym w naszym życiu. Wśród cierpień i niedoli zdobyliśmy szczęście. Najstraszniejsze jednak ciosy przecierpiała nasza ukochana hrabina Agata.

— Puchar ten piję i życzę, niech jej przyszłość przyniesie tyle szczęścia i radości, ile przeżyła smutku i cierpienia!

Szalone wiwat, brzęk pucharów, radość bez granic.

Nagle cisza. Wszyscy nadsłuchiwali.
Przez otwarte okno słychać było śp
To młoda śpiewała Cyganka.

"Zapomnianych piosnek echa
Znów mi w sercu drżą.
Do mnie, do mnie, bajki mo
Co z oddali mkną!

Jeszcze w sadach kwiat
Brzmi pieśniami gaj,
Jeszcze życie pachnie w
Jeszcze maj!"...

KONIEC

DO ROZPUKU

1. Po kolei — ojca w pysk.

W pewnem sławnem miasteczku zasiedli poczciwi radni ze swoim panem naczelnikiem do rady. Radzono o czemś bardzo ważnem. Nie wiemy jednak o czem, gdyż nam tego nie powiedziano.

Radzą więc, rozmawiają, żartują. Kto mowny bierze żywy udział w rozmowie, gestykulując przytem; kto zaś z panów rajców cichego usposobienia, kiwa monotonnie łysiną, pykając fajkę.

I tak wszyscy poważnie i cicho radzą bez najmniejszej sprzeczki, sądząc sprawę. Nie powiemy jednak, czy tak mądrze i rozsądnie, jak poważnie, bo nie wiemy, czy na tej radzie nie było właśnie o tem że kowal zawinił, a szewca powiesili. Bo i któż zaprzeczy, że nie mądrze osądzili. Kowal był jeden na całe miasteczko i każdemu potrzebny, czy wyrwać ząb, czy podkuć żółte lub czerwone buty, gdyż czarnych obcasowych, zdaje się, wówczas jeszcze na świecie nie znano,,— szewców zaś było do licha. Powieszą jednego — dwadzieścia będzie na jego miejsce.

Do tej rady przybrano do kompletu pewnego młodego radnego, który wiekiem stanowił żywy kontrast między starymi i poważnymi towarzyszami. A był on właśnie synem jednego ze starych radnych. Usadowiono ich tak, że ojciec siedział obok syna.

Ostatecznie przyszło do rady. Wszycy zgodzili się na to, co ojciec powiedział; jeden tylko syn nie chciał się zgodzić, dowodząc ustawicznie z pisma, że tak być nie powinno, że wszyscy źle sądzą. Wkońcu nawet zarzucił ojcu w oczy kłamstwo.

To tak ojca rozgniewało, że nie wiedział nawet co ma synowi odpowiedzieć. Odwrócił więc rękę i wyciął mu potężny policzek, mówiąc: "Milcz, durniu! Tak ojciec mówi — starsza głowa!"

Wszyscy oniemieli. Syn zawstydził się, że jego — radnego, uderzono w twarz i to na radzie, przy wszystkich. Wstał więc, podniósł rękę i już chciał odmierzyć taką samą miarką, lecz spoglądnąwszy na ojca, odwrócił się i uderzył sąsiada-radnego w twarz, mówiąc przytem: "Po kolei, panie bracie, po kolei podajcie, to już i ojcu się dostanie!"

Sąsiad sąsiada trzas... trzas — poszło dokoła od radnego do radnego, aż się i ojcu dostało.

Tacy to kiedyś mądrzy radni bywali; nie od tego, żeby i dziś ich nie było.

---

2. Biją i płakać nie pozwalają.

Wszedł podróżny do domu w tej właśnie chwili, gdy żona biła męża i prosi o nocleg.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków... — brzmiała odpowiedź.

— Czy nie przyjęlibyście mię na noc, jeżeli łaska wasza?

— Chętnie — odpowiada gosposia. Przecież domu mi nie ukąsicie, a jak to powiadają: "Gość w dom — Bóg w dom." Czy z dalekiej drogi? Skąd Bóg prowadzi? Co nowego słychać na świecie? — skwapliwie wypytywała podróżnego, zapomniawszy o mężu, którego przed chwilą dopiero biła i wyzywała.

— Et, źle na świecie — odrzekł podróżny, biją i płakać nie pozwalają.

— Słyszysz, słyszysz, stary psie, odezwała się znowu do swego męża, — jaka bieda u ludzi, a tobie u mnie co za licho? Napłaczesz się co dnia, ile tylko sam zechcesz.

Następnie zwróciła się łaskawie do podróżnego:

— Proszę siadać... jesteście pewnie znużeni drogą... A coby wam zgotować? Może pierogów ze śmietaną? Swemu zaś staremu ustawicznie powtarzała, że u ludzi stokroć gorzej, gdyż tam biją i płakać nie pozwalają, a one chociaż go co dnia wybije, to przecież płakać mu nie broni.

---

3. Obiecał pan kożuch, lecz ciepłe jego słowo.

Podczas wojennych czasów zabawiają się raz panowie w karczmie, popijając, aż tu nadchodzi baba-żebraczka. Podsłuchawszy pod drzwiami, pomyślała:

Teraz panowie hulają, to może i po talarze dadzą jałmużny, a który podochocony, to kto wie czy i czerwonego nie rzuci...

Odchyliwszy drzwi, wlazła babunia do karczmy, stała w kąciku koło pieca, a wzdychając i pokaszlując odmawia "Ojcze nasz,"

Panowie nawet nie zwracali na nią uwagi. Podeszła więc bliżej i trzęsąc się od zimna, prosi:

— Litościwi panowie, ofiarujcie staruszce jaki grosz, poratujcie ubogą, a ja będę Boga prosić, aby wam dał zdrowie szczęście i dobre panowanie.

Jeden z towarzystwa, obróciwszy się, spytał:

— Czego ty, babo, tak się trzęsiesz? Czyś zmarzła?

— Oj, zmarzła panie... Idzie zima, a ja biedna nie mam się w co ogarnąć.

Lecz pan ją wnet pocieszył: — Nie martw się babo, ja ci kupię kożuch.

— Bóg zapłać, łaskawy panie, przerwała dziękując uradowana babka.

— Zdrowo znoś, babuniu — odrzekł pan i obrócił się do swoich, a całe towarzystwo wybuchło wesołym śmiechem.

Starowina, postawszy jeszcze chwile, obróciła się i odeszła z niczem, myśląc: "Obiecał pan kożuch, lecz ciepłe jego słowo."

---

4. Cygańska reguła.

Pewien gospodarz zaprosił kumotra Cygana na obiad. Zasiadłszy, oczekiwali zanim gospodyni poda do stołu. Po licznych potrawach, podała na półmisku ziemniaki ze śmietaną. Jedną połowę półmiska okrasiła dobrze śmietaną, drugą zaś połowę bardzo mało i tą właśnie stronę obróciła do Cygana.

Cygan, zmiarkowawszy to, począł narzekać niby na swoją żonę, mówiąc:

— Ej, kumotrze, jacy to wy szczęśliwi że Bóg dał wam tak dobrą żonę, bo moja ladaco, nie szanuje mię, tylko ustawicznie gryzie. Lecz gdy tylko przyjdę do domu to ot tak jej szyję ukręcę i pokazując ten ruch na półmisku, obrócił lepiej smarowaną stronę do siebie.

---

5. Za nieposłuszeństwo — trzy razy kara.

..Pewnego czasu szedł raz drogą Chrystus ze św. Piotrem i Pawłem. Przechodząc obok karczmy, gdzie pijacy ochoczo hulali, rzeknie Piotr:

— Panie, wstąpmy popatrzeć!

— Będą bić, odpowiada Chrystus.

— Ależ chodźmy, nalega Piotr i nie dał tak długo spokoju, dopóki nie wstąpili.

Jak tylko ukazali się we drzwiach, na plecach u Piotra pokazały się skrzypce. Zobaczywszy to pijacy, zawołali chórem:

— Muzyka, muzyka, graj!...

Piotr odmawia się jak może, że nietylko nie umie grać, lecz nawet skrzypiec nie posiada. Lecz pijacy przeczyli temu, twierdząc, że takowe widzą u niego na plecach. Zjawisko to widział naturalnie tylko Chrystus i oni. Poczęli nalegać lecz obeszło się jakoś bez bójki. Wreszcie pozwolono starcom zanocować.

Układli się święci do snu, a pijacy podpiwszy sobie jeszcze, poczęli znowu nalegać na Piotra, który spał na kraju łóżku, żeby grał, a gdy im i teraz odmówił, pobili go za to.

Gdy pijacy już ustąpili, rzekł Piotr do Chrystusa:

— Panie, kładź się ty z kraju, a ja w środku! Pomieniali się.

Przychodzą znowu pijacy, mówiąc:

— Biliśmy krajnego, teraz średniego i pobili znowu Piotra, sami zaś poszli pić dalej.

Piotr rzeknie znowu:

— Panie, niech Paweł kładzie się do środka, ja zaś aż od ściany. I pomieniali się znowu.

Za chwilę przyszli znowu pijacy i poczęli krzyczeć:

— Biliśmy krajnego i średniego, teraz należy się trzeciemu i znowu Piotra dotkliwie pobili.

Wstawszy na drugi dzień, rzekł Chrystus do Piotra:

— Widzisz, a nie mówiłem, że będą bić?

— Prawda, odrzekł Piotra, i od tego czasu już nie wstąpił do karczmy.

---

6. Opowiadanie frajtra Jana Wojtowicza. W karczmie.

— Hej, Moszku, Jud! Gib mir Bier! Ale eins-zwei —ferfluchte Kerl, postaw tu przedemną.

Moszko stawia przed Wojtowicza litr piwa. Wojtowicz pociągnął spory łyk, następnie splunął, zrobił brr... i krzyknął:

— Ferfluchte Kerl! Teremtete! Nie takie to sem italiańskie wino! Tego jak wypijesz, to aż w piętach poczujesz.

— A czy wy, panie wojak, byli w Italii?— pytają ludzie.

— No, richtig, że byłem odrzekł Wojtowicz, podkręcając wąsa. Właśnie chcę wam o Italii opowiedzieć, ferfluchte Kerl!

— Otóż, jak mię oddali do wojska, to zaraz zaasenterowali i odrazu marsz do kasarni! Wszyscy do mnie: "Servus, Wojtowicz! Wie gehts? Wie gehts?"

Pan kapitan poklepał mię po ramieniu i rzekł do pana felebra:

— Weź Wojtowicza do twego cugu i do

twojej cymbry, niech się prędko egzecyrki u-czy, żeby był frajtrem, bo on jest dichtig muża. A kamraci pokazują mi, jak klopać deki i kapudraki, jak czyścić wychodki.

Chodziłem co rana do flajszbanku po flajsz dla menaży. Raz powiadam do Żyda:

— Abramku, ferfluchte Jud! Dziś u nas święto, daj nam dobrego flajszu! Patrzę, a on zamiast flajszu, samych knochów nałożył. To mię bardzo rozgniewało. Jak rzucę w niego knochami, on tylko wajknął, nakrył się nogami i niby kiwa na mnie stopami. Wszyscy kamracia w śmiech:

— Fain, Wojtowicz! Ty jesteś dichtig i ornliche muża!

— Nietylko kamrazia, ale i starsi mię szanowali. Raz posłali mię pan kapral po kwaterkę wódki, bo trzeba wam wiedzieć, **że po tej** egzecyrce niejednemu żołnierzowi robi się aż pod sercem mdło. Idę ja do kantyny, aż tu słyszę, ktoś za mną krzyczy: "Wojtowicz, halt!" Oglądam się, a to nasz sam pan kapitan. Ja zaraz pokornie melduję: "Posłali mię pan kapral po sznups!" — "W tej chwili rechts-um, do kasarni!" Wróciłem się, ale powiedziałem: "Dobrze, ja się wrócę, ale mnie i panu kapitanowi będzie licho od pana kaprala!"

Z wielkim żalem wróciłem się do cymbry. Pan kapral byli trochę gniewni, lecz nie powiedzieli nic, gdyż byli miękkiego serca.

— Nie długo uczyłem się tej egzecyrki, bo musicie wiedzieć, że na mojej głowie nikt kołków nie strugał, a mądrej głowie dość dwa, trzy słowa.

—W krótkim czasie awansowałem na wice gefrajtra. Już i Wojtowicz sobie sarża! Już ma większy lenung, już szuhów nie wiksuje... Ot sobie pan na całą gębę.

— Nie długo po tem dostałem befel maszerować do Italii. Boże, aż się nam serce ucieszyło, bo żołnierz w garnizonie pleśnieje jak stary grzyb, a jak usłyszy za marszrutę, kwatyrmachów, to serce mu w piersi nie General-marsz, ale do szturmu bębni. Zagrała banda zagrzmiały bębny, a my eins... zwei, eins... zwei — i wszystko naprzód. Maszerowaliśmy tak, sam nie pamiętam jak długo, aż razem staliśmy przed bardzo wielkie góry — Alpy. Bardzo to wysokie góry, a błyszczą jak złoto i srebro. Z tych Alp patrzałem na morze, a ono tak długie i tak szerokie, że ani początku, ani końca nie miało. W tem morzu kąpało się słońce, sam widziałem na własne oczy. Umywało się w morzu całą noc, a rano wschodziło takie fajn piękne, jak ta holka, że za nią żołnierze biegają. A szedł z nami pan ojciec generał Radziecki, który był sobie bardzo dobrym generałem.

— Maszerujemy tak pod jedną wielką górę, aż tu przychodzi do mnie pan ojciec generał Radziecki i mówi: "Wójtowicz!... a ja mówię: "Hier, panie kapitan!" — "Weź karabin in-die-balans, bo niebo przekłujesz!" Ja się patrzę... teremtete!... a to dwa cale od nieba! Jak który dichtig muża chciał ukrzesać ognia do fajki, to tylko bagnetem po gwiazdach czach, czach... iskra skoczyła we fajkę i zaraz ją zapalił.

— Przychodzę raz do pana ojca Radzieckiego, melduję pokornie i pytam: "Gdzie tu koniec świata jest?" Pan ojciec rzekł do mnie:

— Ten koniec świata bardzo daleko, ale ty dichtig muża — idź to znajdziesz!"

Poszedłem. Idę, idę, aż przychodzę na jedną wielką skałę i myślę sobie, że tu już pewnie koniec świata. Siadłem na tej skale i nogami balansuję. Ale jeden but był zepsuty, źle przywiązany, dlatego zleciał z nogi. Leci, on, leci popod skały, popod chmury, a taki mały jak ziarno maku, że ledwie go widać. Ach, ferfluchte teremtete! Siadłem i zamyślił się; jak tu iść do Italii w jednym trzewiku bosakiem? Przecież Italianki będą się śmiać. Pan kapitan nie da nowych czyżemków, a pan kapral będą krzyczeć. Aż tu mię ktoś po ramieniu klap! Oglądam się, a to ojciec generał Radziecki i mówi do mnie: "Wojtowicz!" a ja mówię: "Hier, panie kapitan!" — "Wstydź się, ty taki dichtig i ornliche muża, a tak się zamyśliłeś!" — "Źle, panie kapitan, trzewik był źle przywiązany i... upadł. Popatrzcie się jaki mały. Jak się pan kapral dowiedzą to będzie wam i mnie kłopot!" Ojciec Radziecki rzekł na to: "Twój trzewik zaraz tu będzie!" Wyciągnął taką tabakierkę, a z niej kawałek magnesu, a mój trzewik po pod skały fiw, fiw... cyk! ojciec Radziecki rzekł do mnie: "Chodź, teraz i przyczepił się podkową do tego magnesu. A pomaszerujemy do Italii!"

— Idziemy my, a tu przeciw nam stoi milion Italianów. Wyciągnęli oni jedną tak wielką armatę, że była dwie mile długa, a ćwierć mili szeroka, a jak z niej wystrzelili, to aż ziemia zadrżała i zabili miliony naszych kamraci; wszystko się ścieliło, jak trawa pod kosą. Aż tu przychodzi do mnie pan ojciec generał Radziecki i mówi: "Wojtowicz!" a ja na to: "Hier, panie kapitan!" — "Trzeba coś radzić, bo wyginiemy!" Wszyscy do mnie: "Bracie Wojtowicz kamracie, nie daj nam marnie ginąć!" Myślę sobie, co tu robić? Wziąłem jeszcze takich dwóch dichtig muża jak ja, zrobiliśmy widła i strąciliśmy tą armatę w dół. Zato chcieli mię zrobić kapitanem, ale ja mówię do pana ojca Radzieckiego: "Nie umię ani czytać ani pisać; jeszcze takie numera, co wychodzą

na loteryi, to umię, ale takie drobne jak mak to już całkiem nie." "Byli u nas starsi frajtrowie, którzy rozumieli pismo, dlatego prosiłem pana generała ojca Radzieckiego, żeby ich zrobił kapitanami, a mnie wirkliche frajtrem.

Razu pewnego, nie pamiętam jak to już było, pędzili za nami Italiani. Ja uciekam, co sił starczy, patrzę, a przed nami tak szeroka rzeka że ani rusz przepłynąć, nie pamiętam już, jak się nazywała czy Po, czy Minezio. Ale Wojtowicz zawsze ma swój rozum. Patrzę, a tu siedzi tak wielka mucha, że jedna jej noga na tym, a druga na przeciwnym brzegu. Nie było czasu namyślać się, gdyż ferfluchte Italianie gnali w ślad za nami, a kule latały jak chrząszcze. Chwyciłem się grzbietu muchy, zrobiłem fajn woltyże i patrz — a Wojtowicz już na drugim brzegu i śmieje się z Italianów na całe gardło. A oni stali nad brzegiem, grozili kułakami, dziwując się, jakto ja bez czółna i bez wioseł dostał się na drugi brzeg rzeki. Poznali oni, że ja jestem frajter Wojtowicz, ferfluchte Kerl!

Następnie pomaszerowaliśmy do Italii. A Italia jest bardzo śliczny italiański kraj. Figi rosną tam tak wielkie jak cebrzyki, a szmerańcze jak dziecinne głowy, a tyle ich jest jak u nas ziół i trawy. Tytoń rośnie tam już krajany. Pewnie znacie te italiańskie cygara, że w nich jest słomka? Rosną one tam tak, jak u nas trzcina na bagnach, tylko wytnij nożykiem — i pal. Raz narukowaliśmy do jednej góry; patrzę z blizka, a to cała góra ze samego cukru. Wszyscy kamracia położyli się i nuż skałę lizać. Zupę soliliśmy tam tylko cukrem, a na resztę menaży pieczony cukier. Wszyscy kamracia i ornliche muża postawali tak słodkimi, że muchy i komary tak lepły do ich twarzy, jak do miodu. Jak który ornliche muża poszedł do lasu, to narwał pełne czako rodzynków i szmerańcz, położył się pod drzewo i jadł, aż pasa popuszczał. Wino tam nie w beczkach, lecz w sadzawkach, tak, że nawet konie poiliśmy winem.

Hej, hej... Tam to było życie! Jedz, pij i baw się, a o jutro się nie troszcz! A jak tam niziutko słońce świeci tak, że dichtig muża palcem go dosięgnie. Tak tam ciepło, że Italianie chodzą bez koszul. Ci Italianie to bardzo fałszywy naród, gdyż tam już małe dziecko od piersi szwargoce po italiańsku. Ferfluchte Kerl!

Z Italii maszerowaliśmy przez Wiedeń do Kulszenburgu. We Wiedniu przechodziliśmy przez jeden bardzo wielki kościół całe trzy dni, a na środku pod samą amboną mieliśmy odpoczynek i tam gotowaliśmy menaż.

Wyszedłszy z Kulszenburgu, maszerowaliśmy przez Morawę, tu gotowaliśmy knedle tak wielkie jak dynie. Kaszę zaś gotowaliśmy w tak wielkim kotle, że po nim pływał szyf, a z niego trzech muża mieszało kaszę wiosłami.

Panowie gospodarze, przeszedłem już świat i widziałem różne miasta, ale takich miast, jak nasza Warszawa, Kraków i Poznań nie widziałem.

---

7. Jakto Bartek Ciura dostał się na księżyc.

Mojej matce, która była właśnie mną brzemienna, zachciało się koniecznie pieczonych szpaków. Zauważyłem, że ojcu było to obojętnem, a matka tymczasem lamentuje za szpakami.

Postanowiłem przeto udać się sam za szpakami. Idę ja, idę, aż tu lecą na rożnie pieczone ptaki i zaleciały prosto w hreczane duplisko. Podlazłem do dupliska wpycham rękę — nie można, próbuję nogę — też nie idzie. Cóż tu robić? Przyszło mi na myśl, że najlepiej byłoby całemu wleźć. Skurczyłem się w dziesięcioro, włażę tak w duplisko, a tam, Boże! Szpaki aż się roześmiały zobaczywszy mnie. Jem, ile mogę, a resztę chowam za pazuchę w rękawy, w cholewy, przez co zrobiłem się tak gruby, że nie mogłem już na żaden sposób wygramolić się z dupliska. Teraz chyba umieraj, lub radź się szpaków, co w takim wypadku robić? Przychodzę do głowy po rozum i błysła mi szczęśliwa myśl, że w domu u ojca jest siekiera. Pobiegłem czemprędzej do domu po siekierą i dopiero przy jej pomocy wydostałem się z dupliska.

Idę już do domu, niosąc matce szpaki. Patrzę, aż tu leci pszczoła.. Jak wytnę obuchem pszczołę w głowę — zabiłem; pszcoła upadła, a ja jak pocznę ją dusić, wydusiłem beczułkę miodu i krążek wosku, wielki jak koło. Teraz już było mi za ciężko nieść miód, wosk, siekierę i szpaki, tembardziej, że i sam objadłem się jak beczułka. Rozmyślam nad tem, czy nie dałoby się z tego wosku zrobić konia i wszystko to włożyć na niego. Tak też zrobiłem. Włożywszy na konia cały ten ciężar — jadę. Może tak za pół godziny słyszę, a za mną z tyłu coś: hi... hi... hi... — hi... hi... hi...! Siadając na konia przez nieuwagę włożyłem za pas siekierę, która z powodu ustawicznego ruchu konia, przecięła go na dwie połowy — i teraz właśnie, za przeproszeniem, tył rży za przodem gdyż za daleko się zostawił.

Świeży kłopot: Co teraz począć? Złażę z przodka i wołam tył: cioś... cioś... cioś! Nadbiegł tył, przykładam — nie trzyma się. Poczekaj, myślę. Wylazłem na wierzbę, wyciął kół, zastrugał i zbił tym kołem obie części ko-

nia razem. Jadę ja dalej, jadę, już nie daleko do domu aż tu spostrzegłem że wierzba wypuściła tak wysoką gałęź, że sięga aż do księżyca. Przypomniałem sobie, że moi krewni, którzy poumierali, winni mi pieniądze a oni pewnie muszą tam być. Lezę więc po tej gałęzi na księżyc. Wylazłszy, patrzę, a moi krewni tak tam po karczmach hulają, aż echo się rozchodzi, gdyż innej roboty nie mają. Pohulałem z nimi dwa tygodnie, oddali mi pieniądze i ja pożegnawszy się idę z powrotem. Przychodzę do tego miejsca, gdzie wylazłem, patrzę źle! Koń, widzicie, odpasł się na kilkanaście sążni, dlatego trudno mi teraz zleźć. Co tu znowu począć? Idę ja do młyna, patrzę, a na młyńskim kamieniu, który kręci się co siła, leży ku-...eczanej plewy. Z tej plewy skręciłem po-... i przychodzę na dawne miejsce, żeby się ...ić na ziemię, gdyż matka bez szpaków ... już zeschła. Ciekawy też byłem, co robi ...konik i miód? Już się spuszczam, a tu mo-...kich pięć sążni do ziemi nie stało powroza. ...amyślając się długo urywałem postronek ...y, a związywałem u dołu. Tak zrobiłem ... razy. Zdawało się, że już niedaleko do ..., że nawet nogi jej dotykają. Zdecydowa-...n się skoczyć. Puściłem z rąk powróz i lecę ...k na ziemię, a trzeba wiedzieć, że do ziemi ...ła jeszcze dobra mila. Aż teraz moja śmierć! ...ecę, lecę, patrzę na dół, a podemną strasznie ...ielka woda — morze. Boże! Aż we wodzie bę-...zie mi koniec... Naraz słyszę coś za mną za-...rzmiało i w tej samej chwili jakaś ogromna ...la podleciała mi pod nogi i leci wprost na ...ugi brzeg. Nie tracąc czasu, usiadłem na ku-...i lecimy. A to, widzicie w tej chwili, kiedy ja ...uszczałem się z księżyca, była właśnie wojna ...ponii z Rosyą. Japończyk wystrzelił z tam-... strony na oMskala, a ja siadłszy na tę kulę, ...ę wprost do niego. Moskal stał na drugim ...zegu i zajadł chciwie kiełbasę. Jak tylko spo-...rzegł, że my lecimy, schował kiełbasę za pa-...chę, splunął w obie dłonie i chap jedną ręką ... tą kulę, a drugą mnie za czuprynę, krzyk-...ął: "Sukin syn!" i buch mną o ziemię. Ja tyl-...ko zastękał. Kulę schował do patrontasza, a ...giąwszy się, podniósł mię ... ziem za czuprynę ...rzycząc: "A to ty, Laszok, razom z Japańcem ...tiły menia ubyt!? Pażli!" Wziął mię swoi-...kciowymi palcami w samym pasie, pomy-... coś, następnie, przeżegnawszy się trzy ra-... otworzył gębę, jak czeluście pieca — i da-... mną w usta. Chciał mię żywcem zeżreć. ...tało mi już tchu i ja nie mogłem już ani ... prze... W chwili jednak, kiedy stra-... sążnis... Moskala miały mię już prze-... na po... ...czałem w gębie Moskala że-...ać się i przypadkowo załaskotałem go o podniebienie. Moskal strząsł się, wyciągnął mię z gęby, a ja ciągle żegnam się i żegnam. Popatrzył na mnie chwilę, popatrzył, a wreszcie pyta:

— A ty czto za adin?

— Ja jestem Bartek Ciura, z Galicyi!

— Nu, a czto ty diłał z Japancem? — pyta Moskal.

— Poszedłem matce po szpaki, gdyż strasznie się jej zachciało...

— Wresz, sukin-syn! Ty buntowszczyk!

Kopnął mię z tyłu nogą tak silnie, że uczyniłem się przed naszą chatą. Wstąpiwszy do domu, zastałem niewesołą nowinę, gdyż matka w smutku, nie mogąc się doczekać szpaków, wydała mię już na świat.

---

8. Jak gospodarz oszukał swego kumotra Cygana.

Nastały sianokosy. Radzi się gospodarz żony, że potrzeba kosarzy.

— Szkoda najmywać drugich, rzekła żona. Ot koś ty, a do pomocy weź sobie kumotra-Cygana i chociaż mu zapłacisz, nie będzie żalu, gdyż to kumotr.

Na drugi dzień rano, gospodarz zaprosiwszy kumotra, biorą ze sobą wódkę, jedzenie i wodę i idą tak obaj na sianożęć. Nim jednak przyszli na miejsce, słońce wskazywało już czas na śniadanie.

— Kumotrze, zagadnął Cygan, zjedzmy śniadanie, a potem weźmiemy się do koszenia.

Gospodarz przystał na radę Cygana, więc piją wódkę zakąsując.

Po śniadaniu rzekł Cygan. "Kumotrze, byłoby dobrze trochę poleżeć, żeby się sadło zawiązało."

Gospodarz przystał i na to. Pokładli się i śpią. Słońce już do południa, spiekło im porządnie głowy i oni obudzili się. Zaspany Cygan mówi:

— Kumotrze, teraz zjedzmy obiad, a potem zaczniemy w dobry czas kosić.

Gospodarz przystał i na to. Zabrali się do obiadu, pomimo, że do południa i jednej piędzi trawy nie skosili.

Po obiedzie rzekł znowu Cygan.

— Ej, kumotrze, teraz bardzo gorąco, nie można kosić. Posiadajmy w chłodzie, poklepmy kosy, a przed wieczorem będą z rosą dobrze ciąć. Poklepali kosy, a słońce już ku zachodowi, gdyż Cygan sobie pomaluťku.

— Ja myślę, rzeknie Cygan, że my przy sposobności zjemy już i podwieczorek, a potem zaczniemy kosić.

Gospodarz przystaje i na to. Zjedli pod-

wieczorek, wypróżniwszy cały zapas wódki i jedzenie.

Cygan stawia znowu propozycyę, że teraz o chłodzie najlepiej byłoby przespać się, gdyż muchy ucichły i nie będą tak dokuczać.

Położyli się więc w cieniu spać, a zbudzili się dopiero wieczorem.

— Teraz, kumotrze, rzekł Cygan, chodźmy do domu zjemy kolacyę, za to jutro jak wyjdziemy, to będziemy kosić co sił starczy, to u was to u siebie.

Przyszli do domu, gospodyni przyrządziła wieczerzę i prosi do stołu, nie domyślając się nawet, że kumotrowie i jednej wiązki trawy nie skosili.

Po wieczerzy Cygan podziękował, a obiecawszy że jutro przyjdźcie i to całkiem pewnie, poszedł wesoło do domu. Myślał biedak, że znowu uda mu się taka sztuczka.

Na drugi dzień zerwał się gospodarz rano, a biorąc kosę, odezwał się do żony:

— Dziś żebyś nic na obiad nie gotowała i nam na pole jedzenia nie wynoś, gdyż kumotr, Cygan, ladaco, nietylko że nic nie kosił, lecz jeszcze i mnie do tego zmusił. Dopiero przed wieczorem nabierzesz do garnków jakich zlewków i niby nam wyniesiesz. Ja spostrzegłszy ciebie puszczę się ze złości z kosą za tobą, a ty wtedy rzuć garnkami o ziemię, sama zaś uciekaj. Dopiero wieczorem przyrządź jak najlepszą kolacyę.

Wziął ze sobą spory kawał chleba i słoniny dla siebie, a spotkawszy już po drodze kumotra-Cygana poszli w pole.

Zaczęli kosić. Koszą, koszą, słońce już w obiad, a nareszcie zbliża i podwieczorek, żona jednak nie wynosi jedzenia.

Gospodarz kosząc niby za Cyganem, dobrze go napiera, mówiąc:

— Prędzej, kumotrze, żeby niechcąco nogi nie pokaleczyć.

Cyganowi jednak nogi nie były w głowie, gdyż miał próżny żołądek.

Gospodarz wyjmował ustawicznie z za pazuchy chleb i słoninę zajadając, a Cygan spieszy, co może, gdyż nie głodny gospodarz dobrze za nim goni.

— Ej, rzekł gospodarz, psia wiara żona nie wynosi jakoś jeść, a ja już z głodu mdleję. Ale jak już przyniesie, to jej kosą szyję zetnę!

— Kumotrze, róbcie co chcecie, ale aż wtedy gdy się najemy, bo gotowa wylać jedzenie — i poginiemy z głodu.

— No, no, rzekł gospodarz, żebym ją tylko zobaczył, to już jej pokażę, kiedy ma kosarzom jeść wynosić!

Jeszcze nie wymówił ostatniego słowa, patrzy a daleko w polu idzie żona, niosąc w obu rękach garnki z pożywieniem. Skoro tylko trochę się zbliżyła, puścił się gospodarz z kosą i z krzykiem za nią. Ona zaś nastraszywszy się, rzuciła garnkami o ziemię, sama zaś uciekła do domu.

Cygan, biedaka położywszy się na brzuchu, chlepce zlewki, mówiąc:

— Bogdajże was, kumotrze; a nie mówiłem, że tak będzie?

Chlepnął trochę, lecz cóż to znaczyło, potem dalej do kosy, a taki głodzien, aż czarny, ledwo nogami plecie. Stał, spogląda czy wysoko słońce i kiwa ręką, żeby prędko w dół schodziło, a gospodarz kiwa w górę. Spostrzegł to Cygan i odzywa się:

— Kumotrze, nie mylcie słoń...
niech już idzie, jak idzie, przynajmniej
wstrzymujcie!

Cygan ledwo doczekał wieczora.

Przyszedłszy do domu, zasiedli do w...
rzy. Gospodyni podała garnek kwaśnego
świeżego, a na stół żytni świeży chleb.
tak sobie podjadł, że brzuch stał jak b...
mógłby prawie w gardle palcem dosi...
Wtedy gospodyni wyciąga z pieca jaje...
potem pierogi; kumotr Cygan tylko skos...
lecz niema gdzie mieścić. Następnie pod...
kiełbasę i różności, a wkońcu i pieczone pro...

Popatrzywszy na to Cygan, a nie mo...
już jeść, zawołał ze żalem:

— Kumotrze! Umiała wasza żona jeść g...
tować, lecz nie wiedziała w jakim porząd...
podawać! Następnie zwrócił się do prosiątk...
ze słowami: "Niechaj cię chociaż ucałuję!"
ucałował serdecznie pieczone prosię. Następ...
udał się jak niepyszny do domu.

---

9. Skąd się wzięła wiska?

Piją ludzie wiskę, a nie wiedzą, skąd
ona wzięła. To tylko pewne, że nie powstał...
Bożej woli, gdyż jest ona początkiem wszy...
kiego zła dla ludzi. Nikt więc inny, tylko s...
tan ją wynalazł. A jak to było, posłuchajcie...

Działo się to jeszcze bardzo dawno. L...
dzie żyli sobie spokojnie; nie było pijakó...
złodziei, rozbójników, podpalaczy i różny...
grzeszników na ziemi. Zasmucił się wielce s...
tan, gdyż nie miał kogo zabierać pod swoje...
nowanie. Nakoniec pomyślał nieczysty i m...

— Zgotuję im taki napój, że kto go t...
wypije, straci rozum i pocznie wyrządzać...
demu szkodę, będzie tworzyć zbrodnie i...
stępstwa, a tym sposobem podpadnie po...
je panowanie.

Tak się też stało. Rozniecił tak wiel...
gnisko, że aż się w niebie zakurzyło a dym...
szedł aż do Boga.

Czy nie zauważyliście dymu? pyta Bóg.
— Zauważyliśmy, odpowiadają święci, tyl-
ie wiemy skąd on pochodzi.
— Piotrze! rzecze Bóg, pójdź i zobacz, — co to też tam na ziemi dzieje się.

Posłuszny Piotr poszedł. Przychodzi do nieczystego i pyta:

— Cóż ty takiego robisz?

— Ot co, gotuję ludziom napój niech piją, to mniej wody wypiją...

— Patrz na niego, jaki dobry! A cóż to za apój? — pyta Piotr.

— Skosztujcie, odrzekł szatan.

Apostoł tylko łyknął, a już z miejsca nie tąpił, tylko tam gdzie stał, upadł i zachra-

ymczasem szatan kurzy, a ludzi koło nie-
pełno, że opędzić się nie może; każdy
ie, każdy chciałby się napić.
niebie dym aż w nosach wszystkim
oczy wyjada.
ójdź-no ty Pawle, zobacz, co się tam
wypędź Piotra, rzekł Bóg.
ucił Paweł na siebie burkę, a przy-
do nieczystego, pyta:
zego ty, Piotrze, tu leżysz i czego tak
, że w niebie trudno aż wytrzymać?
Piotr leży, gdyż jest znużony, a ja go-
ludzi napój. Widzicie co tu narodu,
ił szatan.
Cóż to za napój? pyta Paweł.
Spróbujcie, ot widzicie, że ludzie i na-
wo w kościele porzucili, a biją się o nie-
dobry, odpowiada szatan.
sztował Paweł tego napoju, zrobił dwa
atoczył się i runął na ziemię obok Pio-

niebie już pełno dymu, tak, że święci
ani patrzeć, ani oddychać.
wołał Bóg Jerzego i rzekł do niego.
Pójdź-no ty kozacze, przywołaj tam-
obacz co to za bies tak kurzy; nakaż
, żeby zaprzestał, gdyż jak ja wstanę, to
zie licho na ziemi.

Rozgniewany Jerzy chwycił lancę, opasał blę, a stąwszy w okamgnieniu obok szatana, ta groźnie:

— Cóż ty wyrabiasz, przeklęty? Dawno ż ciebie za kudła brano, pędzono z nieba i cano w smołę? Poczekaj, ja ci przypomnę!...

Zląkł się szatan.

Jerzy, zobaczywszy Piotra i Pawła leżące- spytał znowu:

— A ci dlaczego leżą? i przytem uderzył ła lancą w bok. Zerwał się Paweł, jak o- ony. Potem zbudził też Piotra, ale tenże tak blizko ognia, że mu aż poła przygo- . Popatrzywszy na połę rzekł

— Niechaj będzie ten prezklęty napój odtąd gorzałką (wiską)!

Następnie począł Jerzy wypytywać Piotra i Pawła, co się właściwie im stało, a kiedy ci opowiedzieli mu nieczyste dzieło, jął obkładać szatana lancą popod żebra i po grzbiecie, szablą zaś po głowie i tak go zbił, że długo jeszcze skomlił w kącie piekła.

To właściwie bajka. Prawdą jednak jednak jest, że wiska jest rzeczywiście wymysłem szatana i kosztuje drogo tych, którzy ją używają. Ileż to niw, domów, gruntów, zdrowia i czci potracili nasi ludzie przez ten dyabelski napój, a ile też ucierpiała oświata!?

---

10. Jak sługa nauczył swego gospodarza, żeby mu dobrze jeść dawał.

Pewien gospodarz był bardzo skąpym, a jeszcze gorsza gospodyni. Lubieli oni mieć kim robić, ale nie dawali czeladzi dobrze jeść. Przez cały Boży rok nic innego innego, tylko rzadziutko zasypany barszczyk i kapuśniak, a chleba tylko na pokaz, żeby go nie jeść, gdyż szkoda.

Razu pewnego dostali oni mądrego sługę — Janka.

Wyprawiając go gospodyni w pole, nalała miskę barszczu i mówi:

— Pośniadaj Janku, a później będzie obiad!

Chlepnął Janek barszczu, lecz cóż to znaczy goły barszczyk? Przeleje się po kiszkach, a żywności nie da.

— Niechno gosposia da odrazu i obiad, poco to dwa razy zasiadać do jedzenia, rzekł Janek.

Gospodyni myśli: To dobry sługa, kiedy niechce tracić czasu nawet na jedzenie, lecz radby cały dzień pracować.

Podała mu więc obiad.

Janek zjadłszy obiad, nie czuje jeszcze porządku w kiszkach.

— Ej, gosposiu, do kolacyi znowu trzeba zasiadać, a tak niech gosposia poda przy sposobności, to zjem wszystko razem.

Podała kolacyę.

Janek, zjadłszy, przeżegnał się i poczyna szeptać "Ojcze nasz." Modli się, modli, a niecierpliwa gospodyni mówi:

— Ta idźcie już raz w pole!

— A gdzież wy widzieli, rzekł Janek żeby ludzie po kolacyi szli do roboty? Po kolacyi odmawiają modlitwy i kładą się spać, to też i ja idę teraz do stodoły na spoczynek. Dobranoc!

Pomyślała gospodyni, że z Jankiem nie łatwa sprawa, to też na drugi dzień podała mu takie śniadanie że nie zechciewał już ani obiadu ni kolacyi.

11. Panowie i Cygan.

Jadą raz dwaj panowie karetą i spotykają Cygana.

— Z czego ty, Cyganie, żyjesz? — pyta jeden z nich. Gruntu nie posiadasz, robić nie chcesz, gdyż ile razy tylko przejeżdżam, zawsze widzę, jak się parzysz na słońcu.

— Z czego żyję? — powiada Cygan. Ja mam taką mantę.

— A gdzież ty ją masz?

— Zapomniałem ją tam w lesie, pod dębem.

— A więc przynieś ją, zagadnął pan, chciałbym zobaczyć.

— To długo potrwa, odrzekł Cygan. Jeżeli chcecie ją widzieć, niech mój chłopak siada na konia, to ją przywiezie.

Kazał pan odprządz konia. Cyganiątko siadło i jedzie prosto do dęba. Lecz jakoś nie wraca. Czekają panowie, czekają a wreszcie wydało im się to już za długo.

— Co to takiego, że on nie wraca? pyta jeden z panów.

— Co takiego? odrzekł zakłopotany Cygan. On biedny nie może ją sam na konia wysadzić, gdyż za ciężka.

— W takim razie siadaj ty sam na drugiego konia i pędź, tylko rychło wracaj!

Siadł Cygan na konia, lecz jak tylko ujechał kawałek, ukłonił się niziutko panom i powiada:

— Jedźcie panowie, nie czekajcie, jeden niech ciągnie, drugi zaś popycha.

Sam zaś zaciął konia i już go panowie więcej nie zobaczyli, ani koni swoich.

---

12. Kobieta Pokuta.

Żył w pewnem miasteczku gospodarz, jak to powiadają — syty. Wszystkiego dobra miał w bród. Posiadał tylko jedną brzydką wadę, że nie znał ani Boga ani bliźniego. Do kościoła nigdy nie chodził, bo albo było zimno, a on zimna — jak sam twierdził — nie znosi, albo za gorąco, a wtedy bał się, żeby nie zemdlał, albo błoto, to znowu szkoda butów albo zawierucha lub deszcz — i jakoś trudno było się wybrać. Zjawiał się on wprawdzie w kościele, lecz tylko raz w roku, na Wielkanoc i to ze święconem.

Gospodarz ten nazywał się Maciej Kalitka, żona zaś jego Melania. Dostroiła się też do niego w całości, jak to powiadają: jaka bieda jechała, taką też spotkała.

Nie pomogła im ani nauka ojca duchownego, ani wymówki ludzi; Maciej i Melania jej natury nie porzucili.

Razu pewnego zesłał Bóg na nich choro... Jak oboje razem grzeszyli, tak też razem zachorowali. Z początku nudy koło serca, bezsenne noce i brak apetytu. Pierwszem lekarstwem była czysta wódka, następnie wódka z pieprzem i z pieprzową miętą, a gdy i to nie pomogło, posłali po wróżkę. Wróżka zażegnywała, gotowała zioła, nogi jednak jak puchły, tak puchną i to czem raz gorzej.

Widocznem już prawie było, że Maciejowi i Melanii nie długo przyjdzie cieszyć się tym światem, temi dukatami, że ich może z kwart... w skrzyni naprzątali i temi banknotami, kt... pożyczali ludziom na wysoką lichwę. Ja... powiadają — porzucaj wszystko i idź w z... mogiłę.

Siedzą tak oboje po całych nocach ... ku i płaczą. Żal im było tego świata, a ... większy żal, że nie było u nich potom... wszystkie pieniądze wraz z gospodarstw... staną się komuś cudzemu.

— Zaco też zesłał Bóg na nas taką... bę? pyta Melania.

— Czy ja wiem, za co... Pewnie zato, ... chodzimy nigdy do kościoła.

— Zato, zato, odpowiada starzec, ... w tej właśnie chwili wszedł za chlebem, ... dział, jak u nich rzeczy stoją.

— Może i zato, westchnął Maciej, le... teraz robić?

— Co robić? odrzekł żebrak. Nałóż... siebie pokutę i przebłagajcie Boga.

— Jaką pokutę?

— Ot taką: Nie chciały wasze nogi c... do kościoła, to niech też nogi pokutują. ... się nawet, że od nóg poczęła się puchlina... to zróbcie sobie następujące postano... Skoro tylko Bóg pozwoli wam wyzdrowieć, ... przez sześć tygodni wielkiego postu żebyści... chodzili do kościoła. Przedtem jednak musici... wsypać w buty po garści grochu. Tak macie... stojąc wysłuchać nabożeństwa, a dopiero przyszedłszy do domu, wysypać z butów groch.

— Nie tylko przez sześć tygodni, lecz nawet przez cały rok będę tak czynił, jeżeli tylk... Bóg zlituje się nademną i pozwoli podnieść si... z tej choroby, wyjąkał Maciej.

— Och, i ja tak samo... Przez cały rok b... dę sypać w buty groch i ani jednej niedzi... nie opuszczę kościoła, żeby tylko, żeby.....

— Czy starzec był jakim znachorem, c... słowa te wymówił w szczęśliwą godzinę, doś...

że Maciej i Melania do tygodnia powstawali. A była to właśnie pierwsza niedziela wielkiego postu.

— No, powiada Maciej, chodźmy stara do kościoła, a nasyp, serce, grochu w buty, gdyż ja już w swoje wsypałem.

— I ja także już nasypałam, odrzekła Melania.

Wdziali buty, ubrali się i idą. Maciej co stąpi krok, to jęknie, lecz cierpi biedak. Melania zaś stąpa ostro i śmiało, jak zwyczajnie.

— Oj!... krzyczy Maciej przysiadając; nie mogę tak zajść do kościoła, bo pokaleczę całkiem nogi...

— Macieju, cierp nieboże, to przecież pokuta, pociesza go żona.

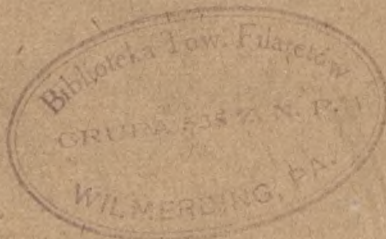
— Ba, pokuta, ale ja nie mogę kroku zrobić. A ciebie, Melanio, nie kłuje groch w nogi?

— Bogu dzięki nie!

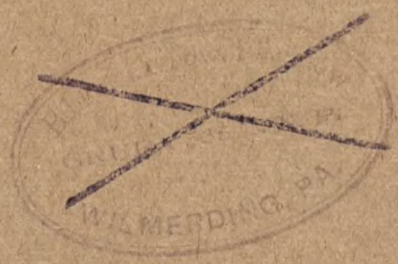
— A to co takiego? pyta zdziwiony Maciej..

— Bo ja, widzisz, groch przedtem sobie zgotowałam.

Widzicie więc ludzie, co to znaczy kobietą i jaką jest kobieca pokuta.




BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVIENSIS


WILMERDING, PA.